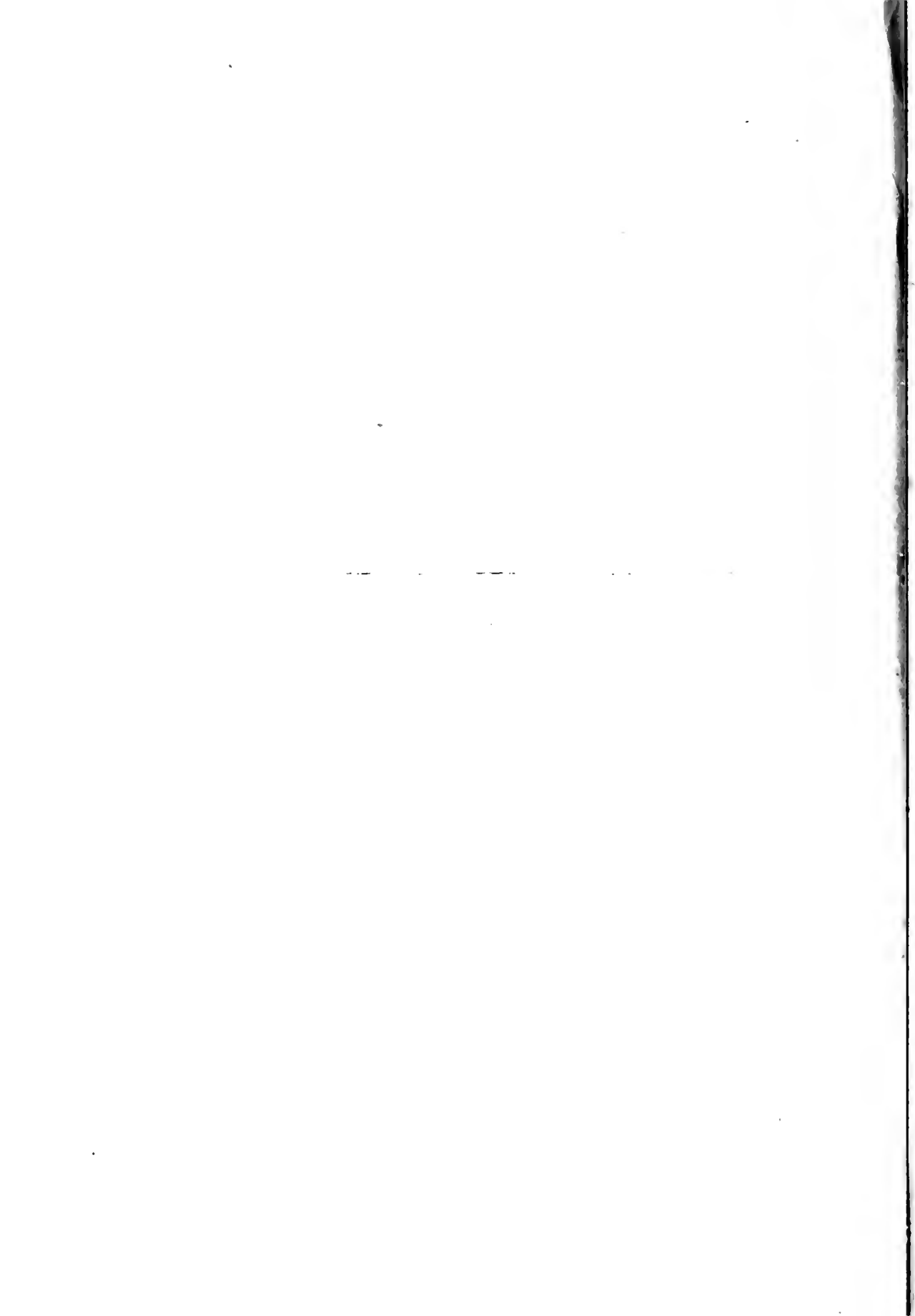


KSIAŻKA JUBILEUSZOWA.



KSIĄŻKA JUBILEUSZOWA

DLA UCZCZENIA

PIĘĆDZIESIĘCIOLETNIÉJ

DZIAŁALNOŚCI LITERACKIEJ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 3.

—
1880.

Дозволено Цензурою.

Варшава 16 Сентября 1879 г.

CZCIGODNY JUBILACIE!

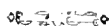
Półwiekowa Twa praca literacka, świetna talentem znakomitym i ożywiona duchem najzaciejszym, niezrównany, pożytek naszemu społeczeństwu przyniosła: wzbogaciwszy piśmiennictwo ojczyznie utworami wielkiej wartości, pociągnęłaś ogół ku niemu, zachęciłaś go do czytania; a poruszając w pismach swoich zagadnienia najżywotniejsze, jak społeczne, tak i moralne, sprowadziłaś wiele fałszywych wyobrażeń, obaliłaś wiele przesądów, nauczyłaś pojmować obowiązki i miłować dobro powszechne, rozjaśniłaś nie jeden umysł i nie jedno serce podniosłaś. Nie na tém wszakże koniec Twych zasług: za przykładem i przewodem Twoim chwalebnym, za Twą podniętą i zachętą serdeczną, w ciągu lat pięćdziesięciu coraz to więcej pracowników na niwę literacką występowało i coraz to bogatsze i piękniejsze plony ją okrywały; a jeżeli żaden jój zagon już nie leży dzisiaj ugięty, to przeważnie z Twojej przyczyny,—bo gdy po smutnym zaniedbaniu, nowa się na nią rozpoczęła uprawa, Tyś ledwie nie na każdym odłogu sam najpierwszą skibę zaorał. W miarę zaś ożywiania się ruchu umysłowego, w miarę rozrostu piśmiennictwa i czytelnictwa, przybywały nam coraz nowe drukarnie, sił większych nabierały dawniejsze, zjawiali się nowi nakładcy, rozwijał się handel księgarski, powstawały wciąż nowe wydawnictwa, przynoszące coraz obfitsze przedsiębiorcom korzyści. Gdy zaś z dawniej gromadki czytelników tak liczna ich rzesza zczasem urosła i łaknienie strawy duchowej tak się bardzo w nią wzmogło, iż same księgi już go zaspokoić nie były zdolne; prasa nasza peryodyczna, przed czterdziestu kilku laty jeszcze tak słaba i uboga pod każdym względem, rozrastając się coraz bujniej i piękniej, doszła wreszcie do tego stanu, w jakim ją dziś widzimy: a wątpimy, czy któraby z polskich drukarni nie miała, dzięki Tobie, zajęcia; czy któryby z wydawców firmy swój nie ozdobił Twojem imieniem; czy ktoreby z pism peryodycznych najdzielniejszego w Tobie nie znalazło współpracownika. Na uwieńczenie zaś tego wszystkiego, Sameś, dostojny jubilacie, odznaczył się nie tylko, jako znakomity re-

daktor, jako wydawca dzieł wysokiej wartości, lecz i jako drukarz niepospolity, traktujący swój zawód, nie jak proste rzemiosło, lecz jako kunszt prawdziwy, i wznowie w nim pragnący tradycję Aldów i Elzewirów.

Cale więc społeczeństwo oświecone, wszyscy, którzy w jakibądź sposobie ze sprawami piśmiennictwa się wiążą i z pożytkiem dla siebie na pożytek jego pracują, winni są Ci wdzięczność najwyższą. Wyrazem tej wdzięczności, oraz pamiątką jej dla czasów potomnych, jest niniejsza „Książka jubileuszowa,” siłami zbiorowemi przedstawicieli Twych dłużników wydana: w niej literaci składają Ci w hołdzie swą pracę, redakcyę, wydawcy, drukarze i księgarze — nakład pospolny; czytelnicy zaś, ubiegający się o jej posiadanie, z jednej strony pragną Cię uczyć, zapisując swoje imiona na liście jej prenumeratorów, z drugiej — przyczynić się choć w części do ulżenia Twych trosk i trudów, których już tyle w Swojem życiu zaznałeś, i do zapewnienia Ci spokoju i swobody umysłu, abys mógł jeszcze długie lata dla dobra i dla chwały społeczeństwa Swego pracować.

Redaktorowie, współpracownicy i wydawcy książki jubileuszowej.

Warszawa d. 3 Października 1879 r.



SPIS RYCIN

ze wskazaniem stron. do których się odnoszą w życiorysie.

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
1. Józef Ignacy Kraszewski (z r. 1879)	1	15. Gmach szkolny w Świsłoczy . . .	16
2. " " " (z r. 1859)	84	16. Domek Hoferta w Świsłoczy . . .	16
3. " " " (z r. 1851)	70	17. Kościół S-go Jana i gmach pouniwersytecki w Wilnie . . .	19
4. " " " w wieku młodzieńczym . . .	21	18. Horodec, niegdyś posiadłość Urbanowskich . . .	28
5. Zofia z Małskich Kraszewska, matka jubilata . . .	8	19. Omelno, niegdyś dzierżawa J. I. Kraszewskiego . . .	36
6. Jan Kraszewski, ojciec jubilata . .	7	20. Gródek, niegdyś posiadłość Józefa Ignacego i Zofii Kraszewskich . .	37
7. Konstancya z Morochowskich Nowomiejska, prababka J. I. Kraszewskiego . . .	10	21. Ilubin, niegdyś posiadłość Kraszewskich . . .	47
8. Anna z Nowomiejskich Małska, babka J. I. Kraszewskiego . . .	13	22. Luck, główne miasto powiatu, w którym najdłużej przemieszkiwał Kraszewski . . .	68
9. Dom przy ulicy Aleksandrya w Warszawie . . .	4	23. Dom niegdyś Kraszewskiego w Żytomierzu . . .	75
10. Plan domu przy ulicy Aleksandrya w Warszawie . . .	4	24. Dom niegdyś Kraszewskiego przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie .	96
11. { Dolhe posiadłość rodziców J. I. Kraszewskiego . . .	6	25. Willa Kraszewskiego w Dreźnie .	103
{ Kisiele, posiadłość Józefa Ignacego i Zofii z Woroniczów Kraszewskich	32	26. Wnętrze pracowni Kraszewskiego w Dreźnie . . .	103
12. Romanów, niegdyś posiadłość Małskich . . .	10	27. Facsimile pisma Kraszewskiego, z roku 1879 . . .	2
13. { Ruiny zamku w Białej . . .	14	28. Facsimile pisma Kraszewskiego, z roku 1819 i 1832 . . .	5 i 25
{ Sala zamkowa w Białej . . .	14		
14. Gmach szkolny i brama Trynitar-ska w Lublinie . . .	15		

SPIS RZECZY.

	Str.		Str.
Wstęp.		II. POEZJA:	
I. Zyciorys. przez A. Pługa.	I.	1. Dramat. przez Wł. Bogusławskiego	250
II. Obrazdziałalności literackiej. od 1830—1880.	1	2. Epes i Liryka, przez W. Korotyńskiego	260
I. POWIEŚCIOPISARSTWO:		III. FILOZOFIA:	
1. Powieść obyczajowa.		J. I. Kraszewski w stosunku do filozoficznych dążeń swojego czasu, przez H. Struvego	277
a. Pierwsze dziesięciolecie od 1830—1840. przez P. Chmielowskiego	3	IV. DZIEJOPISARSTWO:	
b. Drugie dziesięciolecie od 1840—1850. przez E. Orzeszkową.	32	a) Wilno, przez A. H. Kirkora.	327
c. Trzecie dziesięciolecie:		b) Litwa Tom I, przez J. Karłowicza.	331
a) od 1850, — 1856 przez Maryana Gawałowicza.	44	c) Litwa Tom II i Litwa za Witolda, przez Konstancją Skirmuntównę	334
b. od 1855 — 1860, przez Waleryą Marrené.	62	V. KRYTYKA LITERACKA, przez R. Plenkiewicza	343
d. Czwarte dziesięciolecie od 1860—1870, przez Stan. Grudzińskiego.	79	IV. PODRÓŻOPISARSTWO, przez A. Bądzkiewicza	412
e. Piąte dziesięciolecie od 1870 — 1880, przez Dyonizego Henkla i Edw. Lubowskiego.	96	VII. ARHEOLOGIA:	
2. Powieść ludowa, przez K. Kaszewskiego	126	1. Sztuki piękne, przez W. Gersona.	431
3. Powieść historyczna:		2. Projekt encyklopedyi starożytności polskich przez K. Wł. Wójcickiego	440
a. Z dziejów Rzymskich, przez T. Korzona.	162	VIII. DZIENNIKARSTWO:	
b) Z pierwotnych dziejów Polski — przez Michała Bobrzyńskiego	184	a) Redaktorstwo Athenaeum, przez Włodzimierza Spasowicza.	445
c. Z wieku XVI i XVII przez Wł. Nehringa.	189	b) Redaktorstwo Gazety Polskiej przez Ed. Sulickiego	455
d. Z epoki Saskiej, przez K. Jarochowskiego	206	IX. EDYTORSTWO:	
e) Z epoki Stanisławowskiej, przez Wł. Smoleńskiego.	215	Pamiętniki historyczne, przez J. K. Plebańskiego	463
		XI. Wspomnienia.	
		Kartka z niedawnej przeszłości. przez A. Kraushara.	505



WSTĘP.

Oddając w ręce czcigodnego jubilata i publiczności niniejszą księgę pamiątkową, uważamy za rzecz konieczną zapisać na jej kartach historią jej powstania i wykonania, jako też imiona tych ludzi, którzy w jaki bądź sposób dopomogli nam do spełnienia naszych zamiarów.

Pierwsza myśl uczczenia J. I. Kraszewskiego przez wydanie na rzecz jego *Księżki zbiorowej*, poruszona była jeszcze w roku 1877 przez Adama Pługa w redakcyi „Kłosów,” gdzie też odbyła się pierwsza narada prawie wszystkich przedstawicieli prasy Warszawskiej, którzy, zgodziwszy się w zasadzie na pomieniony wniosek, uchwalili, aby p. p. Karol Kucz, Edward Leo, Adam Pług i Wacław Szymanowski zajęli się zwołaniem drugiego zgromadzenia, mającego już ostatecznie projektowane wydawnictwo zatwierdzić, oraz komitet redakcyjny zorganizować.

Drugie to zgromadzenie odbyło się dopiero w dniu 2 Stycznia 1878 roku. Na niem najpierw wzięto pod rozagę plan książki, która według projektu, ogłoszonego po odbyciu pierwszej narady w Nr. 638 „Kłosów,” miała być złożona z utworów najcenniejszych pisarzy i przyozdobiona ilustracyami najslawniejszych artystów naszych, z dodaniem życiorysu, portretu, oraz medalu jubilata. Nie odrzucając tego planu, uczestnicy narady nad tém się jedynie zastanawiali, jak wykonać go, nie narażając się na niezmierny napływ artykułów małej wartości, i z jakich mianowicie utworów książkę ułożyć, żeby nie była zbieraniną bez żadnego ładu i składu, ale miała cechę wybitną i stała się pożądaną dla czytelników. Wiele wniosków podnoszono w tej mierze, między innemi zaś professor Struve przypomniał, ogłoszony w jednym z dzienników, wkrótce po uchwaleniu już w Warszawie książki zbiorowej, projekt Teo-

dora Tomasza Jeża, który wzywał kolegów literatów, „aby każdy z nich coś o Kraszewskim napisał, biorąc do pisania treść bądź ze stosunków bezpośrednich lub pośrednich, jakie z nim kiedy miał, bądź też z innych źródeł, np. z wrażeń, jakie wywarł na niego ten lub ów utwor niezmiernie cennego pracownika.”—Oparłszy się na tym projekcie, professor Struve podał wniosek, aby zamiast artykułów luźnych i różnobarwnych, złożyć książkę jubileuszową z szeregu studyów systematycznych, ogarniających cały zakres pięćdziesięcioletniej działalności tego pisarza; co zgromadzenie zatwierdziwszy większością głosów, w ślad w tém przystąpiło do wyboru komitetu redakcyjnego, do którego powołani zostali: p. p. Piotr Chmielowski, Kazimierz Kaszewski, Wincenty Korotyński, Tadeusz Korzon, prof. Henryk Lewestam, Alexander Oskierka, prof. Adolf Pawiński, Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), Hipolit Skimborowicz, prof. Henryk Struve, i Kazimierz Władysław Wójcicki.

Komitet redakcyjny rozpoczął czynność swoją w dniu 11 Stycznia tegoż roku, i po dwóch posiedzeniach program książki zatwierdził, powierzwszy jego zredagowanie p. Wincentemu Korotyńskiemu.

Następnie komitet redakcyjny, któremu pan Graeyan Unger oświadczył, że „Książkę Jubileuszową” gotów jest wydrukować bezpłatnie, zaprosił na naradę redaktorów, wydawców, drukarzy i księgarzy Warszawskich, i zawiadomiwszy ich o szlachetnej ofercie p. Ungra, zwrócił się do nich z propozycją, aby się przyczynili do pokrycia kosztu papieru oraz wszystkich innych wydatków, odnoszących się do tego przedsięwzięcia, którego celem z jednej strony jest złożenie hołdu jubilatowi od przedstawicieli tych wszystkich, którzy w jaki bądź sposób, czy moralny, czy to materalny, do

rozwoju piśmiennictwa się przykładają i pożytek z niego odnoszą,— z drugiej zaś powiększenie tego funduszu, który zebrać się może z edycji jubileuszowej wyborowych pism Kraszewskiego, przedsięwziętej przez p. Ungra. Zgromadzenie jednomyślnie i jednogłośnie propozycją komitetu przyjęło, ofiarowawszy nakład na trzy tysiące egzemplarzy w objętości do 40-stu arkuszy, bracia zaś Orgelbrandowie wzięli nadto na siebie druk bezpłatny prospektu, ułożonego przez prof. Lewestama, a p. Lewentał druk programmatu.

„Książka tedy Jubileuszowa“ składać się miała: 1) Z obszernego życiorysu jubilata; 2) Z obrazu półwiekowej jego działalności literackiej, to jest ze studyów nad utworami jego, uszykowanymi w następujące szeregi: a) powieści, b) pisma wierszem epiczne i liryczne, c) dramata, d) filozofia, e) dziejopisarstwo, f) podróże, g) krytyka literacka, h) prace z dziedziny artystycznej i archeologii, i) publicystyka, k) wydawnictwa literackie, l) drukarstwo i edytorstwo; 3) Z artykułów odosobnionych, odnoszących się do stosunków jego życiowych; 4) Z wyczerpującej bibliografii dzieł jego i pism ulotnych. Ilustracje składać się miały z portretów jubilata w różnych epokach jego życia, z wizerunków miejsc, upamiętnionych dłuższym jego pobylem, oraz z portretów jego babki, prababki i rodziców. — Medalu zaniechano, uważając go za zbyt cenny, w obec uchwalonych już we Lwowie i Dreźnie.

Komitet redakcyjny starał się, o ile mógł, jak najlepiej plan swój wypełnić i miał nadzieję, że już druk książki w Marcu rozpocznie; ale artykuły napływały bardzo powoli i ledwie w końcu Maja mogły być oddane pod prasę, i to jeszcze nie wszystkie, bo każdy z nich członkowie redakcji postanowili odczytywać *in gremio*, na co aż pięćdziesiąt posiedzeń trzeba było poświęcić. Tymczasem liczba pronumeratorów tak wzrosła, iż wypadło o 1,500 egzemplarzy nakład powiększyć, koszt na to przeznaczając z przedpłaty. I tego wszakże było jeszcze za mało, gdy bowiem przyszło do układu listy przedpłacicieli, znalazło się ich około pięciu tysięcy; lubo więc już w trzeciej części „Książka jubileuszowa“ była wydrukowana, postanowiono jeszcze tysiąc egzemplarzy przyczynić, zdecydowawszy się na powtórne wydanie początkowych arkuszy.

Nie na tém wszakże koniec redakcyjnych kłopotów: wobec ogromu materiału, nie sposób było ściśle się obrachować z ręko-

pismami, zwłaszcza nie mając ich wszystkich pod ręką przy rozpoczęciu druku; skutkiem czego, zbliżając się do końca, spostrzerzono, że gdyby wszystkie prace, przez komitet przyjęte, miały być w książce ogłoszone, to wyniosłyby zamiast 40, 46 arkuszy, na co by niestarczyła zamówiona ilość papieru; gdyby zaś, ulegając konieczności fatalnej, redakcja się zdecydowała na użycie odmiennego gatunku, to z jednej strony byłoby niepodobna skończyć druku w czasie właściwym, z drugiej zaś zrobiłby się wielki uszczerbek w funduszu owacyjnym, bacząc zwłaszcza na cenę książki, w stosunku nawet do 40 arkuszy, niższą już niesłychanie. Nadto zaś, ponieważ już okładki, obliczone na objętość czterdziesto-arkuszową zostały w znacznej części przygotowane, w razie więc powiększenia tej objętości, wypadłoby innemi je zastąpić i kilkaset rubli stracić daremnie.

W skutek tego, w ostatniej chwili plan książki uległ pewnej modyfikacji, bo z żalem i przykrością niezmierną komitet redakcyjny musiał rzec się ogłoszenia prac kilku, które w programmacie szły na ostatku, i na które z tego właśnie powodu nie starczyło miejsca i czasu, mianowicie zaś całego działu artykułów odosobnionych, jak np. *Szkoły w Białej Radziwiłłowskiej* i czteroletni w nich pobyt Józefa Ignacego Kraszewskiego, p. Z. Glogera, *Kobieta Kraszewskiego*, studjum Jana Zacharyasiewicza, *Wspomnienia z pobytu Kraszewskiego w Warszawie* przez Alexandra Tyszyńskiego, oraz *Bibliografia* przez Hipolita Skimborowicza; jako też nadesłanych za późno, a ztąd i nieogłoszonych w prospekcie: *Kraszewski, jako pisarz ludowy* Dra Dobrzyckiego. i *Kraszewski, jako filantrop*, Justyna Wojewódzkiego. Spodziewamy się, że szanowni autorowie nam wybaczą to mimowolne przeciw nim wykroczenie; bo czytelnicy z równą przyjemnością, jak i w książce jubileuszowej, prace ich powitają na innem miejscu, pamiątka zaś ich hołdu dla jubilata pozostanie na zawsze w tej historii wydawnictwa naszego.

Właściwie jednej tylko bibliografii stała się przez to krzywda największa, która się i na książce naszej odbija. Jakkolwiek bowiem dla ogółu publiczności mogła być ona obojętną, dziś zwłaszcza, gdy od czasu podania jej projektu przez Zygmunta Glogera przed wszystkiemi innemi pomysłami uczczenia jubilata, już wydano aż trzy spisy tego rodzaju (Estrejcher, Nowolecki i En-

gestroem); ten wszelakoż miał być pełniejszym, gdyż obejmował nie tylko dzieła Kraszewskiego w książkach wydane, ale znaczną część pism jego po dziennikach porożpraszanych, jak na przykład w Tygodniku Petersburskim, w Athenaeum Wileńskim, Piśmiennictwie, Gazecie Porannej, Bibliotece Warszawskiej, Gazecie Warszawskiej*), w Kłosach, Bluszczu, oraz w Tygodniku Ilustrowanym. Byłby więc się znacznie przyczynił do uzupełnienia obrazu półwiekowej działalności literackiej naszego jubilata, i z tego też powodu nad niemożnością unieszczenia jego w książce niniejszej bolejemy najmocniej, a tém bardziej, że praca ta, nie nadająca się do pism peryodycznych, tylko osobno chyba ogłoszoną być może.

W końcu powinniśmy się jeszcze usprawiedliwić, że słuszne zarzut, jaki łatwo spotkać nas może, że książka ta, mająca być obrazem działalności literackiej J. I. Kraszewskiego od r. 1830 po 1880, tytułowi swemu nie odpowiada, bo nie tylko w niej pominięta prawie zupełnie działalność jubilata publicystyczna, lecz nie tylko z ostatniego dziesięciolecia, które wydało do 80 powieści, ledwo ich dwadzieścia kilka wzięto pod rozbiór, zostawiwszy na boku takie, jak: *Złoty Jasienko*, *Pałac i folwark*, *Sieroce dole*, *Kamienica w Długim Rynku*, *Podłybłę weneckie*, *Herod baba*, *Wielki nieznajomy*, *Niebieskie międaly*, *Król i Bondarywna*, *Żeliga*, *Krwawe znamie*, *Zygzyki*, *Sąsiedzi*, *Krzyżacy*, i t. p.; lecz nawet i w poprzednich okresach, o niektórych jak gdyby zapomniano. Owóż co do działalności publicystycznej, było dla nas niepodobieństwem zebrać i ogarnąć cały zasób materyałów, do takiego studyum potrzebnych; co do powieści z ostatniego okresu, ilość ich jest tak wielka, i tak z każdym prawie miesiącem rośnie, iż nie mogliśmy dosyć pracowników zgromadzić do należytego ocenienia ich wszystkich, a sądziliśmy zresztą, że w poprzednich czterech okresach dosyć już o Kraszewskim, jako o powieściopisarzu, mówiono, ażeby talent jego z téj strony w całość pełni został poznanym; szczerby zaś, jakie w tych okresach znaleźć się mogą, są tak drobne, iż bynajmniej temu na przeszkodzie nie staną. Z jednego tylko uniewinnić się nie zdolamy, a mianowicie, żeśmy tu pominięli utwory jubilata dla dzieci i dla ludu, które, jakkolwiek małą część

w jego pracy stanowią, zewszecmiar jednak na uwagę zasługiwały; ale przy takim ogromie materyałów, zaiste trudno było wszystkie w nim szczegóły ogarnąć.

Co do sposobu, w jakiśmy wykonali swe przedsięwzięcie, nie mniej trudne, jak ważne, sąd o tém już nie do nas należy; tego tylko zataić nie możemy, że w ocenie utworów jubilata, pod pewnemi względami, brakuje należytej jednolitości, która niepodobną była do osiągnięcia w pracy zbiorowej, gdzie każdy z pracowników chciał i miał prawo niepodległość zdania zachować, pod jednem tylko zastrzeżeniem sumiennosci i dobrej woli. Mniemamy jednak, że w ogólnym tonie dyssonansów rażących nie ma; a jeśli on nie jest dość chwaleczym, to jedynie dla tego, że nie szło nam o panegiryk, ale o szczerą i gruntowną ocenę talentu, pracy i zasługi tego pisarza, który tak już dobrze wypróbowany w ogniu krytyki najsurowszej, jakiej mu nie szczędzono przez cały ciąg jego zawodu, iż najzimniejsze i najbezwzględniejsze zdanie o tych albo owych jego utworach, rozważanych z osobna, ogólniej summy ich wartości nie zmniejszą i ustalonej chwały jego zaćmić nie zdoła. Przeciwnie zaś, niewielbienie bezwarunkowe, osłanianie stron słabych, nieodłącznych od rzeczy ludzkich, ubliżyłoby zarówno nam, jak i jemu, i osłabiłoby znaczenie książki niniejszej, która już sama przez się jest zaprawdą wymownym hołdem, a razem i dowodem niezbitym wiekopomnej zasługi tego, kto ją wywołał i treści tak bogatej do niej dostarczył.

Dla uzupełnienia historyi tego wydawnictwa, pozostaje nam jeszcze zapisać tu nazwiska tych osób, którym ono był swój zawdzięcza. Członków komitetu redakcyjnego wymieniliśmy wyżej; współpracownicy podpisani pod swojemi artykułami; jeszcze więc dodamy tylko imiona pomocników naszych pośrednich i ofiarodawców nakładu. Do rzędu pierwszych zaliczamy: pp. Kajetana Kraszewskiego, Władysława Górskiego (Podolanina) i panią Wasiljewową, którzy autorowi życiorysu udzielili niezmiernie cennej i bogatej korespondencji Kraszewskiego; pana Andriollego, który umyślnie odbył podróż do Romanowa, żeby skopiować portrety rodziców jubilata; p. Marcina Olczyńskiego, pod którego opieką wszystkie ilustracye wykonane zostały i któreśmy winni wyszukanie planu domu przy ulicy Alexandryi i wskazówek do odtworzenia téj budowy, dziś już nieistniejącej; oraz pana Witolda Małcurzyńskiego, Adama Mieleżkę Maliszkievicza, Lucyana i

*) Spisu rzeczy, zawartych w Gazecie Warszawskiej, dokonał p. Czesław Jankowski. (Przyp. Red.)

Bogusław Kraszewskich, z których pierwszy wystarał się dla nas fotografii szkół Świ-
słockich i domku Hoferta, drugi zdyął z na-
tury widok byłego domu jubilata w Żyto-
mierzu, trzeci — widok Dołhego, ostatni
zaś skopiował portrety pani Nowomiejskiej
i Małkiewicz.

Do nakładców, oprócz wymienionego już
wyżej, pana Ungra, należą redakcje pism:
Ateneum, Biblioteka Warszawska, Błuszcz,
Echo, Ekonomista, Gazeta Handlowa, Ga-
zeta Polska, Gazeta Warszawska, Izrael-
lita, Kłosy, Kolce, Kronika Rodzinna,
Kurier Codzienny, Kurier Poranny, Kurier
Warszawski, Przyjaciół Dzieci, Tygodnik
Mód, Tygodnik Powszechny, Wędrowiec,
Zdrowie, Zorza; oraz wydawcy, drukarze
i księgarze warszawscy: Berger Józef, Ge-
bethner i Wolff, Glücksberg Michał, Hönik
Ferdynand, Kowalski Adolf, Lewental Sa-
lomon, Orgelbrand Maurycy, Orgelbrand

Mieczysław, Orgelbrand Hipolit, Trenkler
Henryk, Wende Edward. Z zamiejscowych:
Wolff Maurycy z Petersburga, Zawadzki
Felix z Wilna, Krzyżanowski T. A. z Kra-
kowa, Czajkowski i Seyfarth, Gubrynowicz
i Schmidt, Milikowski J., Richter F. H.
i Wild K. ze Lwowa. O innych, zaproszo-
nych do udziału przez kolegów warszaw-
skich, nie wątpimy, że się przychylią, ale
dotychczas nie pewnego o nich nie wiemy.

W końcu powinniśmy jeszcze zaznaczyć,
że papiernia Mirkowska (braci Nathan-
sonów), zniżyła dla nas cenę papieru; pan
Michał Glücksberg trudnił się interesem
z papiernią i zbieraniem funduszu nakłado-
wego; wydawca *Kłosoć* zajął się bezinte-
resownie przyjmowaniem prenumeraty i ex-
pedycją tysiąca kilkuset egzemplarzy „Książ-
ki Jubileuszowej.”

Redakcja „Książki Jubileuszowej.”

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
(ŻYCIORYS).



J. H. Murray

(z r. 1879).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

(ŻYCIORYS).

Zaszczytny, ale jakże trudny zarazem obowiązek na siebie wziąłem, pokusiwszy się o to, aby w rysie biograficznym skreślić wizerunek człowieka, co w półwiekowym swym zawodzie pisarskim, przez talent znakomity, wszechstronny, przez mnogość, różnorodność i doniosłość dzieł swoich, co raz żywsze budzące zajęcie, i co raz większą, co raz powszechniejszą wziętość zyskując, stał się nareszcie ukochaniem, chlubą i chwałą tej społeczności, wśród której tak wytrwał, z taką miłością, apostołując w imię prawdy, dobra i piękna, był jednym z najdzielniejszych czynników w rozwoju ducha dwóch pokoleń.

Zadanie to — tém trudniejsze jest dla mnie, iż je spełnić mam w chwili, gdy uznanie dla tego ulubieńca narodu doszło do najwyższej swojej potęgi, gdy od dwóch lat wszędy, gdzie tylko mowa nasza słyszeć się daje, imię jego codziennie powtarzają ledwie nie wszystkie usta, gdy wszyscy prawie o tém tylko myślą i radzą, jakim mu hołdem cześć i wdzięczność swoją okazać, czém jubileusz jego upamiętnić; gdy wreszcie mamy oto obchodzić *złote jego wesele*, półwiekową rocznicę uroczystą zaślubin jego duszy z duszą narodu, w sposób tak wspaniały i wzniosły, w jaki dotychczas w żadnym kraju, żaden z pisarzy nigdy jeszcze nie był uczczonym.

I jaż to mam być biografem tego tytana, i to w księdze, która jest przeznaczona dla uczczenia jego w dniu tak solennym; w księ-

dze jedyną w swym rodzaju, w której trzydziestu pracowników przyjąć udział musiało, aby podolać bodaj w części ogromowi zadania, jakim była ocena bezprzykładnej w dziejach literatury działalności tego pisarza; w księdze wreszcie, która, ze względu na swój wyjątkowy charakter, nie tylko dla naszej społeczności, i nie tylko dla naszych czasów, lecz bez wątpienia i dla obcych, i dla przyszłych pokoleń będzie niepoślednie miała znaczenie, chociażby tylko jako ważny materiał do historii piśmiennictwa polskiego.

Jakichże-to trzeba na to zdolności, ażeby godnie obowiązek ten spełnić, ażeby przedmiot tak poważny i ważny należycie zgłębić, ogarnąć i w najwłaściwszym a prawdziwym świetle przedstawić! Jak bystrego oka i biegłej ręki, aby pochwycić i odtworzyć wiernie a sympatycznie, w szczegółach drobiażkowych, powszednich, wyraz tego oblicza, które w sereu i wyobraźni czytelników świeci, opróżnione aureolą geniuszu, chwały i zasług.

Im ktoś jest bliższym, droższym sereu naszemu, tém zrykłe wybredniejsi bywamy względem jego portretów, nieraz i w najtrafniejszych nie znajdując tych właśnie rysów, które dla nas najmilszą, a zarazem najwybitniejszą jego cechę stanowią. Słusznie zatem lękać się mogę, że wizerunek Kraszewskiego, nakreślony przeze mnie, nie jednemu z wielbicieli jego żarliwych wydać się może całkowicie chybionym. Wprawdzie z mnogiej ich rzeszy znaczna większość nie

widziała go w żywe oczy, a i z tych nawet, co nań z blizka patrzyli, bardzo nie wielu jest wtajemniczonych w całą koleję jego żywota każdy wszelako, kto go czytał, kto nawykł poddawać się wrażeniom, mistrzostwem jego słowa wywodywanym: kohebać, co on podał do ukohebania, gardzić tém, co on okryć chciał wzgardą, śmiać się z tego, co mu się podobalo ośmieszyć, waleczyć, cierpieć, smuć się lub radować wspólnie z tymi, dla kogo on chciał zjednać współczucie; każdy taki już niewątpliwie stworzył sobie jego obraz duchowy i obłócił go w pewne formy zewnętrzne, jakie za najstosowniejsze uznawał. A ponieważ prawdą jest niezawodną, iż każdy autor wiele w ulubionych swych bohaterów, jeśli nie całą swoją duszę, to jej cząstkę najszlachetniejszą, i nieraz nawet odtwarza w nich własne swe dzieje; obraz więc taki może być z wielu względów dość trafny, — nie omyli się bowiem, kto np. w *Gustawie* z „Poety i Świata“, w *Juliuszu* z „Pamiętników Nieznajomego“, w *Stanisławie* z „Powieści bez tytułu“, wreszcie w *panu Grabie* z „Dziwadła“ zechce się dopatrywać stopniowego rozwoju uczuć, myśli i zasad ich autora; a tém bardziej, kto nabierze o nich pojęcia bądź z „Wieczorów Wolińskich“, bądź też z innych pism jego w tym rodzaju, w których już wprost od siebie, własnymi ustami wypowiada swe przekonania, składa swoje wyznanie wiary.

Zawsze jednak będzie to obraz idealny, daleki od zupełnej zgody z rzeczywistością, jakiej się wymaga po życiorysie; nie jest więc bezzasadną moja obawa, że na porównaniu z tym ideałem, utworzonym przez samych czytelników dzieł Kraszewskiego, wizerunek jego, który ja podam, bardzo wiele w oczach ich straci. Zresztą muszę przyznać się z góry, że, nawet pominawszy ten szkopuł, nie śniem ani zamaryć, abym sprostał ważności przedsięwzięcia swojego, t. j., abym potrafił w taki sposób skreślić dzieje tego żywota, iżby z nich w całej pełni prawdy i życia, z krwią i duchem sobie właściwym, mógł być poznany i należyte ocenionym tak niepospolity i tak wyjątkowy zewszecmiar człowiek.

Jakkolwiek bowiem, dzięki nieocenionej uprzejmości i zaufaniu p. Kajetana Kraszewskiego, oprócz ustnych relacji, miałem od niego około pięciuset listów Józefa, pisywanych w przeciągu lat kilkudziesięciu do rodziców, babek i braci; jakkolwiek córka s. p. Dycalpa (Phcyda Jankowskiego) złożyła w moje ręce cenną korespondencją Kraszewskiego z jej ojcem, a p. Władysław Górski z bogatego archiwum swego zaopat-

rzył mnie w nie mniej ważną z Konstantym Podwysockim; mimo to wszakże, mimo nawet osobiste stosunki z jubilatem i możność zasięgnięcia pewnych wskazówek u czeigodnej jego małżonki, widzę ze smutkiem, że tak, jakbym powinien był i pragnął, obrazu jego życia odmalować nie zdołam. W korespondencyi bowiem rodzinnej, szczególnież z lat młodzieńczych, są bardzo znaczne luki, a tych ustnemi podaniami niema komu zapełnić; bo żaden z braci, z których p. Lucyan młodszym jest od niego o lat siedm i pół, a p. Kajetan o piętnaście, wspólnie z nim się nie wychowywał. Z kolegów szkolnych jeden tylko p. Gloger, który z nim w Białej, przez trzy lata zamieszkuje pod jednym dachem, słuchał tychże co on wykładów, mógł coś niecoś o nim powiedzieć; to wszakże nie na korzyść, lecz wyszło mi raczej na szkodę: opisane bowiem przez niego czasy Białskie osobny ustęp w naszej książce stanowią, i rad nie rad muszę o nich zamilczeć. Z kolegów zaś uniwersyteckich jedni się już w grobach pokładli, drudzy się po szerokim świecie rozbiegli i nie spotykamy dzisiaj żadnego z takich, którzy na jeden wydział i na jedne kursa z nim uczęszczali; z zamieszkałych bowiem w Warszawie, Hipolit Skimborowicz przybył do Wilna po ukończeniu Uniwersytetu, a Jan Turski był już na trzecim kursie, gdy on wstąpił na pierwszy; ani jeden więc, ani drugi nie byli w jego życie zblizka wtajemniczeni, i nie mieli zresztą żywszych pobudek do zajmowania się nim ze szczególną bacnością, — bo i któż w Kleofasie Fakundzie Pasternaku a choćby i w autorze „Kościoła Świętomichalskiego“, mógł przeznęć tego męża znakomitego, którym się dzisiaj całe społeczeństwo polskie zaprzęta, i przewidzieć, że najdrobniejszy szczegół, dotyczący jego żywota, urośnie kiedyś do znaczenia faktu ważnego?...

Sam nareszcie jubilat, na którego pozwa-
lałem sobie liczyć najwięcej, na zapytanie moje co do dat i wypadków niektórych, tak mi odpowiedział w jednym ze swoich listów: „Dat z mego życia (rzecz zaledwie do wiary, ale prawdziwa) doprawdybym nie mógł dziś podać ściśle. Miałem i mam taki wstręt do zajmowania się sobą, a tak mi było zawsze pilno, żem pogubił pamięć faktów, prócz głównych... Co powiesz na to? Z takim bólem jakimś patrzę na przeszłość swoją całą, tak ona nie odpowiada temu, co się narzyło, tak wszystko zwielmnięte mi się wydaje, aż do działalności literackiej; że gdy mnie kto zmusza znowu rozpatrywać się w tej przeszłości, boleść mi tem zadaje.”

do Jekateryny i wziętych Adam Warth
 i innych przyjaciół zachęcił do lihow-
 dawy. miał ogromne łapięgi wypró-
 bywać. które przysięgał. Z nich po-
 dano mi 2 kurdziejanie i mieszka-
 nie. i słowami pisaniami. ale
 w Romanowie wytało wiele i
 więcej. Na przykład w Ufa i w Kaza-
 ni. Młodzieńcy byli przystawcy
 łapięgi. w Lublinie lihowdawy mało
 było. w Smoleńsku Władzi. wiele
 uprządku na łapięgi. Kierownictwo, na je-
 zykowe studium. Dawat łapięgi stare
 i nowe.

W Wilnie .. niepodobna dziś zregu-
 lować wrażeń i robot. Medycyna,
 język arabski (oraz Rumaczenie
 moje grammatyki arabskiej Volneya)
 kochajduszka - pojęcia. wprze-
 ciwnie. Zaczętem tu Głosiarium
 słowackie. język polski...

Gdzie dziś podobaję się kroczyć zoty
 i promienie słoneczne, które roztę-
 gnowały..? Ja, - dziś bolejąc nad
 tem i owem. nad kierownictwem nie-
 takim jak bym dziś go zniósł. Warte,
 czasem i ty. odwracam się od praski
 łoci, bo mnie w niej dziś boli a
 mało pociesza.

A inną znowu razą: „Zajęty ciąglą pracą, tak się nie liczyłem z własnem życiem, że zapominałem niemal wszystko. O sobie, Bóg widzi, nie było czasu myśleć, a nigdy nie dbał o to, jak się przedstawiać przyszłości. Kto się o to stara, egoistą jest. Bóg niech czyni z ciałem co wola Jego, z duszą co łaska, a z pamięcią, co sprawiedliwa.”

A gdy go badał o stosunki i wrażenia z lat młodocianych, które na serce jego i na umysł wpływ przeważny wywarły, to mi odrzekł: „Co ty ode mnie chcesz, abym ja ci pisał o wpływie zewnętrznych okoliczności na moje rozwinięcie? Wpływy to były niedostrzeżone, powolne, a wsiąkanie i odżywianie się, jak w roślinie, nie daje się wyważyć i oznaczyć. Gdzie dziś polapać te krople rosy i promienie słońca, które roślinę wywołały?”

Jedynych więc wskazówek szukać musimy w jego pismach z lat młodszych, głównie w opisach Romanowa, Dolnego, Białej, Lublina, Świsłoczy i Wilna, ogłoszonych w „Obrazach z Życia i Podróż” albo przekładać je w „Pamiętnikach Nieznanego”, „Powieści bez tytułu” i innych, w których pewne momenta, jak z wewnętrznego, tak i zewnętrznego żywota jego, mniej więcej się odzwierciedliły; — albo wreszcie czerpać ze „Wspomnień” drukowanych w „Nowinach” r. 1877, — gdzie tak uroczą przedstawia nam Kraszewski rodzinne i sąsiedzkie swoje stosunki i całe otoczenie, wpośród którego rozwijał się duch jego młodociany.

W dalszym ciągu trudności, jakie napo-

tykam w swoim zadaniu, nie mogę też i tego pominąć, że, pisząc o człowieku żyjącym, nie wolno mi dotykać bardzo wielu szczegółów zajmujących i ważnych, któreby się mogły znacznie przyczynić do uwydatnienia nieraz najpiękniejszych i najcharakterystyczniejszych rysów w jego fizyognomii duchowej; ale muszą być przemilczane, bądź dla tego, że odsłonięcie pewnych uczuć i czynów wzniosłych, mogłoby temu sercu, co je zrodziło, wielką krzywdę i boleść zrzadzić, jako profanację jego świętości, — bądź też przez cześć, należną tajemnicom rodzinnym.

Owoż dla tych wszystkich powodów, życiorys ten, którego całą ważność dobrze pojmuję, wzięty sam w sobie, nie pod jednym względem będzie chybnym, niedokładnym, niepełnym, i nie dosięgnie tej wyżyny, na jakąby się wynieść powinien, dzięki przedmiotowi swojemu; mogę jednak tym się pocieszyć, i bacząc na to spodziewać się pobłażliwości czytelników, że jest on tylko jedną regielką w tym monumentalnym, który sily zbiorowe wzniosły ku czci i chwale jubilatą w kształcie tej książki, a więc, że uważany jako cząstka całości, dopełniająca ją i przez nią dopełniająca się nawzajem, o ile było można przeznaczeniu swemu odpowie; a w każdym razie, dzięki tym dokumentom autentycznym i świadectwom niepodważalnym, na jakich się opiera, będzie najdokładniejszym i najwiarogodniejszym ze wszystkich dotąd znanych, i dla przyszłego biografu, obdarzonego odpowiednim talentem, przynajmniej za materiał dobry posłuży.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną, na niebie gorą tu i owdzie luno,
Ziemia drży, słychać — biją strunami pioruny.
Wojna! wojna! nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnymi
Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział, oprócz spółleśników, —
Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,
W puszczy loskot, — to kula od jakiegoś działą,
Zbiadziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Kwac pnie, siekac galezie...

Tak-to było na Litwie w pamiętnym 1812 roku; ale krwawe te dzieje lud zawczasu już czytał w różdze ognistej, gorejącej na niebie, w skwarach słonecznych, od których się ziemia paliła, w wyciu psów, locie ptaków i tym podobnych prognostykach najrozmaitszych, instynktem przeczuwając groźne wypad-

ki, dla oświecenijszych i bystrzejszych umysłów zapowiadając się dość wyraźnie i zrozumiale w stanie polityki ówczesnej, w zabiegach dyplomatów, w układach i rokowaniach, w obietnicach, podszeptach i namowach, w uzbrojeniach, zaopatrywaniu twierdz pogranicznych, nowych zaciągach i poruszeniu wojsk. Wojna! wojna! już od dawna, co raz to głośniej, z ust do ust sobie podawano; bo też od dawna, niby zbliżającą się burzę, czuć ją było prawie w powietrzu, zanim groźne jej hasło dnia 22 Czerwca 1812 roku z Wilkowyszek zagrzmiąło.

Przewidywano też zawczasu, że za Niemnem i Bugiem rozpoczną się pierwsze kroki nieprzyjacielskie.

W tym czasie, w okolicach Prużany, w gubernii grodzieńskiej, w dziedzicznej wiosce

Dolhem, mieszkał pan Jan Kraszewski, który dnia 24 Maja w roku 1811, zaślubiwszy pannę Zofią Malską, oczekiwał uwieśnienia szczęścia swojego w pierworodnym dziecieniu. Nie dziwy tedy, że i on też, przewidując groźne wypadki, wcześniej pomyślał o tém, aby przed niemi młoda swa małżonkę uchronić, i już pono przed Wielkanocą 1812 roku odprowadził ją do jej rodziców, mieszkających na prawym brzegu Bugu, a więc w Księstwie Warszawskiem, w Romanowie, pod Białą, z kądem w Czerwieu razem z matką, była swoją nauczycielką, panią Stokowską, i z doktorem z Włodawy, pani Zofia udala się na dłuższy pobyt do Warszawy, a mąż jej do Dolhego powrócił, aby pełnić służbę obywatelską i rodzinną strzechy pilnować.

Ze ta dbałość o bezpieczeństwo żony nie była ani trochę zbyteczną, dowodnie przekonały dalsze wypadki, bo cała owa groza, którą odmalował poeta w przytoczonym powyżej wierszu, cznie się dala i w Dolhem, w okolicach którego czynną była głównie dywizya generała Koscińskiego z 7-go korpusu Regnier'a, oraz oddziały posiłkowe korpusu austriackiego Schwarzenberga, ścierające się z dwiema dywizjami, które się były odłączyły od korpusu generała Bagratyona i podtrzymywały dywizya Tormansowa. Potyczka jedna odbyła się d. 12 Sierpnia pod Horodeczną, na szerokiach wydmach piaszczystych o poltrzeeci zaledwie mil od Dolhego, druga zaś jeszcze bliżej, bo tylko o wiorst sześć od tej wioski, koło Semenczy, gdzie Sasi z kozakami mieli niefortunną utarczkę. Ciągłe zaś przemarsze wojsk, najścia marodków, grabieże, rekwiizycye, oraz kwatunki wojenne, tak srodoze rujnowały majątek i tak się daly w znaki dziedzicowi, iż sam kazał zburzyć swój własny, obszerny dom mieszkalny, pozostawiając tylko oflicynę niewielką, aby dwór okazały, dający się spodziewać i dobrego obłowy, i wygodnej kwatery, przestał wabić gości natrętnych.

Ale wróćmy do pani Malskiej. Nie samo bezpieczeństwo pobytu przyeciągło ją do Warszawy, i nie sam wzgląd na stan zdrowia pani Kraszewskiej, lecz i ta jeszcze okoliczność, że jedyny jej syn, p. Wiktor, znajdował się wówczas w tem mieście w Szkole Kadetów, skąd mógł być łatwo lada chwila powołany do broni i na zawsze dla niej straconym; pragnęła więc zapewne jeszcze się nim nacieszyć i może raz ostatni w życiu pobłogosławić.

Podróżni nasi zamieszkali przy ulicy Alexandrya, w domu zwanym dawniej pałacem Słuszków, a podówczas stanowiącym własność Zienteckich, mianowicie zaś w ofi-

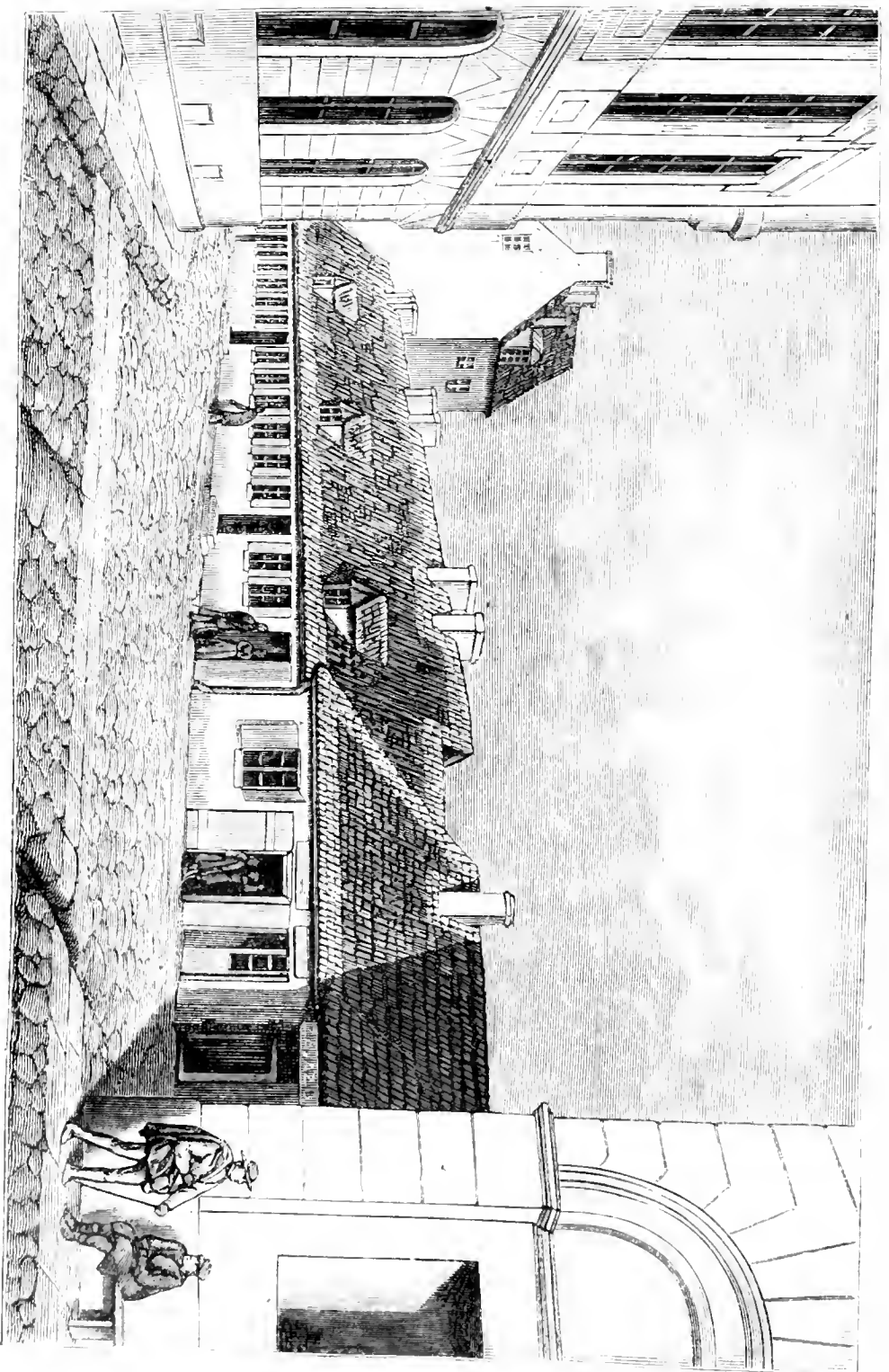
cynie parterowej od frontu, nieistniejącej już od r. 1872, gdyż na gruncie tym stał szpital dziecienny. W epoce owej w oflicynie istniał pewny rodzaj zajazdu, czyli jak się to dziś nazywa *chambres garnies*, i w niej to d. 28 Lipca 1812 roku przyszło na świat to dziecko, co miało urosć z czasem na męża, któremu dziś swoi i obcy, ezolo, półwiekową pracą chwalebna uznojone i zasługą promienne, że czcżą wieńczą wawrzynem.

Dziecie to podane do chrztu w kościele Świętokrzyżkim w dniu 6 Sierpnia, otrzymało dwa imiona: Ignacy Józef. Obrządku świętego dopełnił ks. Adalbert Malinowski, rodzicami chrzestnymi byli niejaki Jan Plenik lekarz) i Anna Malska.

Tymczasem matka pani Malskiej, Nowonicką, z dwiema siostrami Pani Zofii, Konstancją (poźniej Moraczewską), i Józefą (Szwykowską), wówczas małemi dziewczeczkami, liczącemi pierwszą lat dwanaście, a druga dzieścię, — wyjechała na mieszkanie do Białej, gdzie się u Sióstr Miłosierdzia schroniła. A p. Malski, wszelkie swe ruchomości powierzywszy opiece włościan, którzy je pomiędzy siebie porozdzielali i poukrywali po stodółach i strychach, kosztowniejsze zaś rzeczy zdawszy na ręce rzadzczy dóbr Romanowskich, p. Werpachowskiego, którego syn, towarzyszył dziecinnych p. Józefa, w tychże dobrach lat dzieścię miejsce zajmuje, — dwór pusty pozostawił na lasce losu, a sam to w Białej, to w Warszawie gościł na przemian, dzieląc opiekę swoją między rozerwane rodzeństwo. Ani włościanie, ani rzadzca, nie zawiedli zaufania p. Malskiego, i nie z depozytu nie uronili. Rzadzca szerególniż aż do heroizmu swoje wierność posunął: bo gdy zbrojni rabusie na Romanów napadli i w całym dworze nie znaleźli żadnej zdobyczy, to chcąc wymódz na nim wyznanie, gdzie srebra i inne kosztowności ukryto, ręce mu skępowali i zawiesiwszy na nich u galezi, na powolnym ogniu go piekli; wytrwał jednak w męczarniach, nie nie wyznał i stałością swą napastników wreszcie rozbroił.

W jesieni na czas krótki cała rodzina zjechała się do Romanowa, lecz po to tylko, aby na wieść o odwrocie Napoleona emigrować dalej na zachód. Ta razą wszyscy spolem udali się w Krakowskie, gdzie przyjaćiel p. Malskiego, Soltyk, oddał im na mieszkanie swój pałac, położony tuż pod Stopnicą.

Z gościnności tej korzystali aż do końca Lutego, o tym zaś czasie przenieśli się w blizkie sąsiedztwo, do Skrobaczewa, zaproszeni przez państwo Wielogłowskich. Tu dnia 19-go Marca obchodzono raz pierwszy

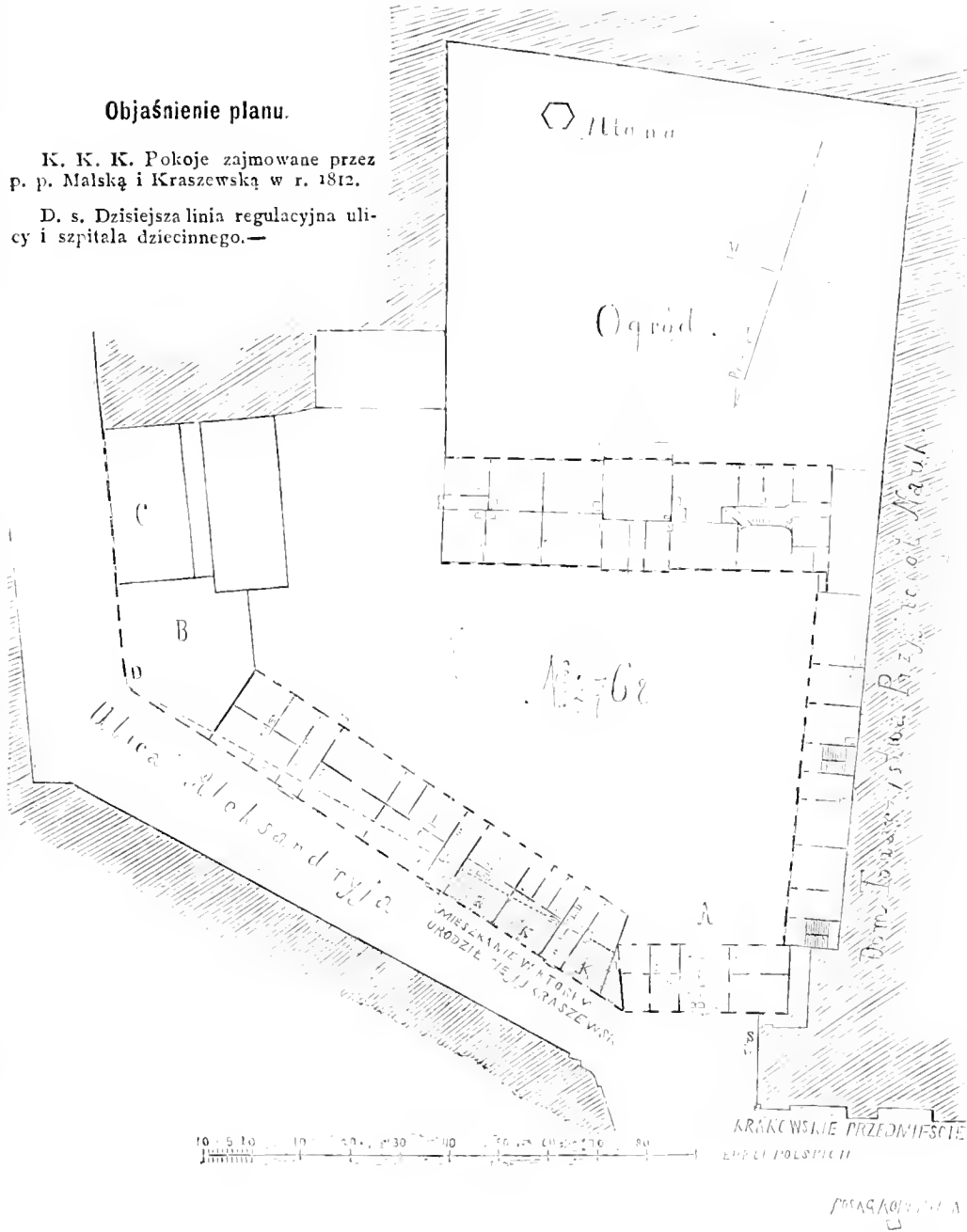


Dom w Warszawie, przy ulicy Alexandrya, w którym się urodził J. I. Kraszewski.

Objaśnienie planu.

K. K. K. Pokoje zajmowane przez
p. p. Malską i Kraszewską w r. 1812.

D. s. Dzisiejsza linia regulacyjna uli-
cy i szpitala dzieciennego.—



Plan domu przy ulicy Aleksandrya w Warszawie.

imieniny naszego jubilata, a razem też i ciotki jego, Józefy Małskiej; obchodzone snadź lucznie, bo w rodzinie pozostała tradycja, że mały solenizant srodze się był przeraził, usłyszawszy muzykę pólkową, z którą jeden z wojskowych wyższej rangi przybył ze Stopnicy do Skrobczewa.

Tyleśmy zaczerpnęli z podań domowych; ale w archiwum Romanowskiem znaleźliśmy korespondencyą Wiktora Małskiego z matką, w niej zaś dwa listy, jeden z d. 5-go drugi z 22-go Kwietnia, pisane z Krakowa do Skrobczewa. W pierwszym z nich zawiera się wiadomość, że od wyjazdu pani Małskiej z Warszawy, aż do owego czasu, syn nie wiedział, gdzie się ona obraca, a więc naturalnie i ona nie też o nim wiedzieć nie mogła. Owóż donosił jej, że Warszawę wojsko polskie opuściło, Szkoła Kadetów przed samemi examinami rozwiązana została, a czterech z niej sierżantów, w tej zaś liczbie i jego, wyprawiono do Częstochowy, zkąd wkrótce, przed nadejściem Rosyanami, załoga, pod osłoną kawalerii Księcia Sulkowskiego, ustąpiła pod Kraków; a to wszystko działo się w Łutym.— W drugim liście wyczytujemy, że wojsko Saskie przeciągnęło przez Kraków, aby się z wielką armią połączyć, i że rozeszła się pogłoska, jakoby też i korpus polski miał podobny rozkaz wkrótce otrzymać, w skutek czego, z górą sześćdziesięciu oficerów podano się do dymissyi i otrzymało ją. „Maintenant tout est tranquille (pisał dalej p. Wiktor), mais il paraît, que notre émigration, qui me fait autant de peine qu'à vous, aura lieu, parceque on a licentié le Commissariat de Guerre et les Administrations Militaires en grand partie. On dit cependant, que nous resterons encore une quinzaine de jours et ce temps paraît suffisant, pour que Vous veniez à Cracovie avec la Comtesse Wielogłowska pour me voir encore“.

Czy pani Małska odwiedziła syna w Krakowie, tego wcale nie wiemy; lecz ponieważ wojsko rosyjskie zawładnęło tym miastem d. 18-go Maja, a dnia 25-go Poniatowski z korpusem swoim do Saxonii pociągnął; nie jej tedy nie pozostało, tylko wracać do Romanowa, zkąd i pani Kraszewska musiała też niezwłocznie do Dolnego pospieszyć, bo zapewne pilno jej było ujrzeć wreszcie ukochanego męża, który tak długo tęsknił do niej w trwodze i niepokoju, a od roku prawie będąc już ojcem, pociechy rodzicielskiej jeszcze nie zaznał.

Jakoż w liście pani Szwykowskiej, rodzonej siostry pani Małskiej, pisany d. 21-go Czerwca z Prużany do matki (Nowomiejskiej), czytamy te wyrazy: „Powróciwszy z Wilna, zastałam panią Kraszewską, która mi powiadała, z jaką trudnością przebiegała się w nasze strony. O jakże ja wiele na

tém cierpieć, że nie mogę widzieć się z najlaskawszą mamą dobrodziejką, tém bardziej jeszcze, że wiem, jak wiele na zdrowiu ucierpiała przez długi przeciąg tych rozruchów i tulania się“.

Mamy tedy dowód niezbity, że Ignacy Józef Kraszewski i świat ujrzał, i pierwszy rok życia swojego, ledwie nie cały, na tulaniu się spędził.

Później, jak wiemy z jego wspomnień, wychowywał się pod opieką swojej babki, oraz prababki, Konstancyi z Morochowskich Nowomiejskiej, o których aż dotychczas pełną czci i miłości pamięć zachował. Lecz kiedy mianowicie przeszedł pod tę opiekę, tego na pewno nie umiemy oznaczyć.

Prawdopodobnie nastąpiło to ledwie w tedy, kiedy już pani Zofia miała do pielęgnowania drugie dzieciątko; przed tém zaś niewątpliwie znaczne matrony dorywczo tylko ukochanym wnuczkiem cieszyć się mogły, zatrzymując go na czas dłuższy lub krótszy w Romanowie, ilekroć tam zjeżdżali państwo Kraszewscy, co się często trafiać musiało.

Tak przynajmniej wnosić pozwala jedyne pismo, jakie dotąd się dochowało z najrańszych lat jego dzieciństwa, którego facsimile tu podajemy, a którem jest dopisek w liście rodziców, wmszujący dnia imienin prababce w r. 1819, datowany z Dolnego.

Dolhem więc przedewszystkiem nam się zająć wypada, a przy niem też poświęcić słów kilka i pamięci rodziców jubilata. Uważamy to za rzecz konieczną, z tą bowiem czytelnicy będą mogli powziąć wyobrażenie, jakie wpływy działały na budzące się myśli i uczucia dziecięcia, jakie pierwiastki wzięto ono z ducha i krwi swych życiodawców. A moge to uczynić tém śmieliej, że mam z czego zaczerpnąć wiadomości dokładnych, dzięki nstnej relacyi p. Kajetana i wydanej przez niego monografii domu Kraszewskich, jako też nieoszacowanym wyjątkom ze wskazanych już wyżej „wspomnień“ Józefa Ignacego, z których nie zawaham się przytoczyć tu dłuższych ustępów, zamiast, co bym je miał parafrazować. Wyjątki te, mało komu dotychczas znane, będą niechybnie z przyjemnością powitane przez czytelników, stanowiąc najpiękniejszy i najeńszczyj ustęp w życiorysie niniejszym; a niło mi przy tém zaznaczyć, że autor ich sam mię npoważnił i zachęcił do użytkowania tego materiału cennego, którego niezm równem zastąpić bym nie zdołał.

„Jedną może z najmniej znanych okolic naszego kraju, pisze J. I. Kraszewski, jest Prużańskie i Kobryńskie. Oprócz wojen Napoleonich, w czasie których pono gdzieś w tych stronach strzelano do siebie, żaden z nacześniejszych rozmiarów fakt nie zapisał tych cichych miejscowości na kartach historii. Jak ludzie szczęśliwi, Prużańskie historii nie ma. Kątek to mający swą szczególną, odrębną, własną fizyognomią. Płaszczyna trochę piaszczysta, zasiana kamieniami nie tutejszemi, które przed tysiącami lat wody jakiegoś kataklizmu przyniosły; gdzieś tam gaj brzozy, gaj olszowy, gaj sosnowy, a za moich czasów szerokie błota i moczary, na których tysiące czajek, batalionów i bekasów żyły i rozmnażały się swobodnie, nie licząc kaczek na jeziorach. Jak spojrzeć, piaszczysta, równa, jednolita, a wśród niej folwarczki, wioski, kościółki drewniane, cerkiewki. Drogi się wiją brzegiem pól i łąk, często w kształcie kamiennych grobelek, w czasie roztopów, przyprowadzających do rozpacz. Wśród błot — brody, kępiny, kośnica, trzciny; gdzieś tam ów prastary kamień wędrowny, który zasnął i mechem się okrył, a ledwie już czubek jego widać nad ziemią“.

„Tych kamieni wędrownych, znanych mi osobiście, ileż to tam było po nad drogami i polami! Z mniejszych robiono płoty malownicze i owe śmiertelne grobelki; większe, jak możnowładcy, zabezpieczone były od wszelkiej zaczepki i stały spokojne. Bardzo proste żywioły, z których się składa krajobraz tych nizin nad Jasioldą i Szezorą, nad Prudem i innemi wodocieczami tutejszemi, bardzo nawet zdają się one niewdzięczne; a mimo to tworzyły się z nich, wierząc mi, cudne obrazy, coś wdzięcznego bardzo i tęsknego w sobie mające“.

„Wśród takiej równiny wilgotnej leży ojcowskie Dolhe, wioska niewielka w okolicach Prużany.“

„W małym Dolhem, z małym domkiem, z małą kapliczką na wzgórzu małym, z ogródkiem, z odrobiną zarośli, która cały las składała, z jedną sosną na polu, pozostała po szczęśliwszych czasach, (na której zawsze przepowiadano mi obwieśnienie za swawolę), w Dolhem tém ojece i my przeżyliśmy spokojne długie lata. Ojcu z pierwowci obywatelskiego zawodu pozostał tytuł Chorażego powiatu Prużańskiego, a był on tak samo pewno ostatnim Chorażym, jak dziad ostatnim Łowczym Trebowelskim. Ja mam szczęście być bodaj ostatnim Sędzią Granicznym tegoż powiatu Prużańskiego, choć żadnej nigdy granicy nikomu już rektyfiko-

wać nie miałem sposobności. Jak widzicie, dygnitarstwami się pochlubić w ostatniej epoce żywota rodziny nie możemy. Dawniej pono siadało się i wyżej, ale fortuna kołem się toczy. Dopóki rodzina siedziała na Mazowszu, z kąd pochodzi, było lepiej; potem się rozproszyła po świecie za chlebem, i rozrodziła się, i na skromnym zagonie Pana Boga chwaliła. Wędrowały tak u nas zbyt potonstwem pobłogosławione familie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, szukając dla siebie kresytywy.“

Takim-to wędrownikiem za kresytywą (jak się dowiadujemy z Monografii domu Kraszewskich) był pradziad Józefa Ignacego, który, dziedziczne dobra Szarzyn, w ziemi i powiecie Wyszogrodzkiem położone, zostawwszy siostrze swojej Kunegundzie Przedpelskiej, wstąpił do wojska i dosłużył się stopnia Rotmistrza, następnie zaś otrzymał Cześnikowstwo Płockie, i wreszcie osiadł na Czerwonej Rusi, gdzie też w młodym wieku życie zakończył, pozostawwszy jedynego syna, Kajetana, na opiece Potockich.

Opieka ta wysła pupillowi na dobre. Wincenty Potocki, Łowczy Koronny, uczynił go sekretarzem swym urzędowym i skutecznie pomagał mu do kresytywy. W roku 1783 otrzymał patent na Łowczowstwo i oprócz własnej wioski Buzówki (w Braclawskiem) miał jeszcze od Podkomorzego w Nienimrowszczyźnie w dożywotnim zastawie majątek Maryanówkę, a dzierżawił Obodne, Sławińce, Kowalówkę, Jary, Czynolapówkę, Spadachy, Błidki i Holowienkę; od Michałowskiej zaś, matki żony, Krzykowce i Bijowce; a nadto przez lat kilka dzierżawił także od Łukasza Berleza Strutyńskiego Kamionkę i Słobodę Łacką. Oprócz tego miał też dwa własne dworki w Nienimrowie, z których jeden sprzedal Ignacemu Staruszkiewiczowi, drugi Winnickiemu.

Dotykamy umyślnie tych szczegółów drobnostkowych, w tém przekonaniu, że dla rodaków, zamieszkających w Nienimrowszczyźnie, nie mogą być one obojętnymi.

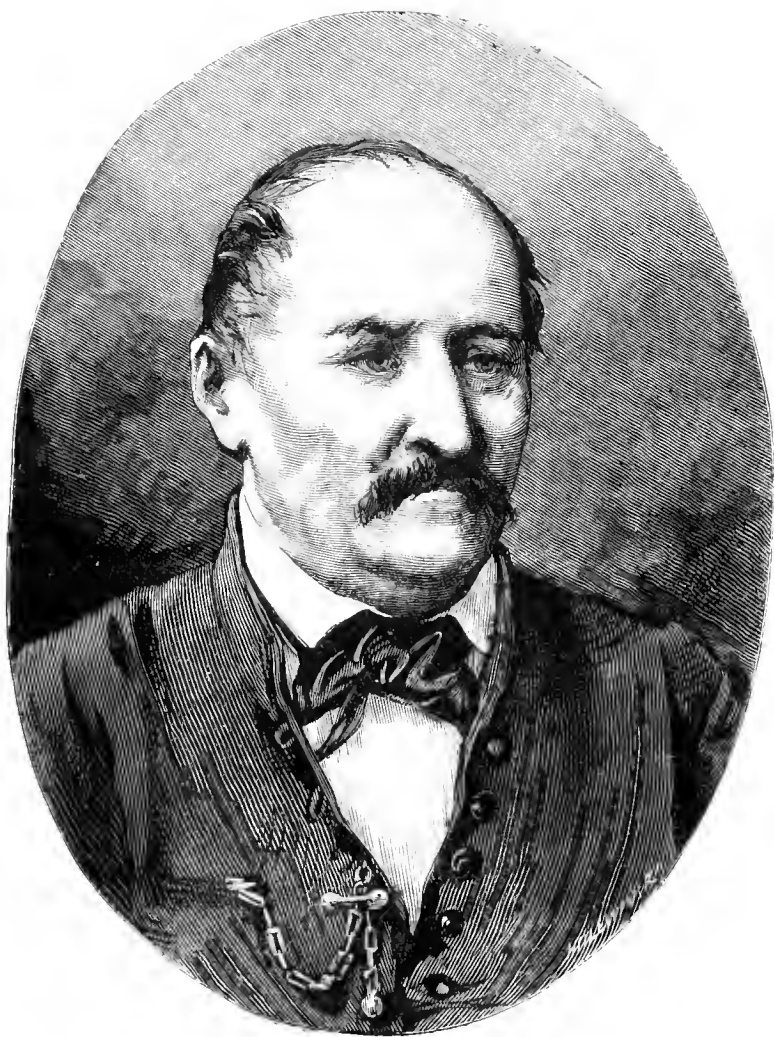
Pan Łowczy Trebowelski przedko owdowiał, żona jego zmarła w Bohatkowcach na Czerwonej Rusi, w gościnie u swęj matki, która, owdowiawszy po Michałowskim, wysła powtórnie za Morawskiego, Stolnika Halickiego. Pozostał mu po niej syn jedyny, z imienia Jan, liczący ledwie kilka miesięcy. W cztery lata niespełna potem umarł i pan Łowczy (1793) zostawwszy dziecię nieletnie pod opieką Bogusława Kraszewskiego, pólkownika Petyhorskiej brygady W. X. L. i brata jego, vice-brygadiera, Antoniego.



D O L H E.



K I S I E L E.



Jan Kraszewski, ojciec jubilata.

Opiekunowie ci, w myśl ostatniej woli Łowczego, sprzedali wieś dziedziczną jego, Bożówkę, również jak wszystkie relikwenty; a lubo (jak czytamy we wspomnieniach Józefa Ignacego) *obchodzono się z tą spuścizną bardzo rezolutnie*, przecież parękrośtysięcy złotych zostało. Stolnikowa Morawska tak się przywiązała była do wnuka, że go za nie opiekunom oddać nie chciała. Ci możeby nie bardzo tego się domagali, gdyby nie ukaz Cesarza Pawła, zagrażający konfiskatą majątku tych, którzyby po ogłoszeniu jego nie powrócili z za granicy; dla ocalenia więc fortuny, nie męgulowanej jeszcze podówczas ostatecznie, jeśli się środków energetycznych, i vice-brygadyer Antoni po prostu wykradł wnuka babuni.

Oddano go następnie na naukę do szkół Pijarskich w Lubieszowie, nie przystawszy na propozycję Wincentego Potockiego, który chciał go wziąć na opiekę do siebie, i żądał, aby mu go przysłano na wychowanie do Paryża. A gdy sierota dorósł lat ośmiunastu, za owych parękrośtysięcy złotych kupiono mu w zapadłym kącie Polesia majątek słusznie zwaną *Borową*, bo w głębi nierzecznych borów położoną, obszerną jak niemieckie księstwo, z dużą włością i okazałym dworem, ale prawie całkiem odciętą od reszty świata, i wyglądającą jak prawdziwa pustynia: jedna tylko grobla do niej prowadziła przez bagna, a na wiosnę, podczas roztopów i wylewu Styrn, Prypeci i niezliczonych jezior, dostać się tam można było chyba tylko czółnami. Nie dziw tedy, że stęskniony do świata i do ludzi, młodzieniec, chętnie usłuchał rady opiekuna i zamienił Borową z majorem Józefem Kraszewskim na Dollę i Peresudowicze w Prużańskim. Ostatnią wieś, w skutek procesu granicznego, z czasem pan Jan utracił i pozostał tylko przy Dollhem.

„Jak tylko doszedł do pełnoletności, nikt się już o niego nie troszczył (pisze Józef Ignacy), sam wszystko winien był sobie; a że nie przepadł, rzucony tak na pastwę losom i własnej młodości, to za cud Opatrzności można uważać.“

Naturabnie, że młodość ta musiała być ochocza a bujna, że Łowczy Trebowelski rad korzystał z tej swobody, niezależności i z dość znacznej fortuny, które posiadał tak wczesnie. Świadkowie tych wesołych czasów kawalerskich żyli jeszcze nie bardzo dawno, byli zaś to dwaj kochańscy teorbaniści, ocajańdusze, Denis i Alexander, słynni na całą okolice, równie z talentu swego, jak z dziarskości, sprytu i figlów, a paniczowi całém sercém oddani. Ale nie było w tém swa-

woli naganniej, a gdy panicz spoważniał, spoważnieli także i oni, i jeden z nich osiadł na roli, a drugi na znakomitego wyszedł kucharza, i aż do śmierci na swém stanowisku przetrwawszy, przekazał je w spadku synowi, który do dziś dnia w Romanowie kimszł ojcowski świetnie reprezentuje i starszego pana wdzięcznie wspomina.

Zmiana ta w trybie życia p. Łowczyca zaszła jednocześnie ze zmianą stanu, a sprowadziła ją panna Zofia Mańska, córka Błażeja i Anny z Nowomiejskich, dziedziców Romanowa w Podlaskim. Jedną z jej sióstr, Konstancję, była za Kazimierzem Morawczewskim, druga za Józefem Szwykowskim, którzy obaj byli obywatelami powiatu Prużańskiego i obaj piastowali z kolei urząd marszałkowski w tymże powiecie; ojciec zaś ostatniego, p. Podkomorzy Piotr Szwykowski, był żonaty z rodzoną siostrą żony p. Błażeja, Karoliną Nowomiejską.

W skutek tych kolidacji, między Prużańskim a Romanowem musiały być częste stosunki, i łatwo się nastęczyła sposobność panu Janowi, który był znanym i lubionym w całym powiecie, a z panem Podkomorzym sąsiedował o miedzę, do poznania panny Zofii Mańskiej; a poznać ją i pokochać było to prawie jedno, bo i wdziękiem urody, i przymiotami serca, i pięknem ukształceniem umysłu powszechnie uwielbienie sobie jednala.

Ułogosławiony szczęściem domowem, pan Jan zmienił całkowicie tryb życia, osiedził się na swym zagonie, i chyba, (jak to we „Wspomnieniach“ czytamy) gdy chciał trochę świata obaczyć, rozerwać się, odżywić, jechał do rodziców matki do Romanowa, lub niekiedy do Grodna; w ogólności jednak, wyjąwszy urzędowanie, na którym mu nie zbywało (był z kolei sędzią granicznym, sędzią ziemskim, prezydentem ziemskim, asesorem sądu głównego granicznego, izby kryminalnej, wreszcie chorążym); w domu siedzieć lubił, ogrodem, skrzypką, gawędką i gospodarstwem się zabawiał.

„Szczęśliwą parę Bóg ndarował dosyć licznym potomstwem, składającem się z trzech synów: Józefa, Lucjana i Kajetana, oraz dwóch córek: Joanny i Anny.“

Pan chozący był od natury obdarzony niepospolitemi przymioty. Paulina Wilkońska, która znała go osobiście, zapisała o nim w swoich wspomnieniach: „był to nadzwyczaj przyjemny, wyższego rzędu szlachciec-obywatel, pełen życia, uprzejmości, rozumny i umysłowy.“ Wiemy zkaż inąd, że przy męskiej, dziarskiej postaci i typowo-polskiem, pięknem obliczu, odznaczał się i tym humorem jowialnym, co to chwyta za serce,

i bystrością umysłu, i darem spostrzegawczym i narracyjnym. A nie brakło mu i weny poetyckiej: muzykę lubił i uprawiał; w listach władał piórem tak dzielnie, jak w pogadance żywym słowem; niekiedy zaś i na wierszyk dowcipny a udatny umiał się zdobyć. — W literaturze pięknej miał prawdziwe zamiłowanie, i najczęściej długie wieczory w Dolhem — kółko rodzinne na czytaniu głośnień spędzało. „Ś. p. matka moja, — pisze mi p. Kajetan Kraszewski, — była znakomitą lektorką i ona-to w tej roli przy ognisku domowym pospolicie występowała, dzięki czemu wiele arcydzieł piśmiennictwa naszego, a w ich liczbie i „Pana Tadeusza,“ poznałem wprzód, zanim się dobrze czytać nauczyłem“.

O ukształceniu umysłowym matki tej i wysokich zaletach serca, wspomnieliśmy już wyżej; jeszcze jednak dodać musimy, co mamy nie od synów, ezei i miłością pamięć jej dotychczas otaczających, lecz od obcych, którzy ją zbliżka znali, i dzisiaj jeszcze z niewielbieniem wspominają jej zaćność, słodycz anielską charakteru i obok głębokiej a szczerzej pobożności, surowej względem siebie, wyrozumiałości i pobłażliwości względem drugich, i to ciepło serdeczne, te wesoła pogodę duszy, które obejściu się jej z ludźmi nadawały urok niewysłowiony, wszystkich zniewalający. Nie możemy przy tym pominąć wielce charakterystycznego wyrażenia o niej jednej z sąsiadek: że jeśli cudów nie czyniła, to jedynie przez skromność.

Przysłowie uczy, że jabłka nie daleko od jabłoni padają; to też we krwi i duchu dzieci odrodziły się skłonności ojca i matki, a jeśli najwyższego doszły rozwoju w najstarszym bracie, to i w młodszych też widzieć się dają. Kajetan na niepospolitą talent muzyczny, który okazał w wielu pięknych kompozycjach na fortepian, a „Komuszyce Brzeski,“ „Chelmuianie,“ komedja premiowana na konkursie lwowskim p. t. „Uproszczone zalety“ i pomniejsze ntworki powieściowe i poetyczne, świadczą wymownie o zdolnościach jego pisarskich, równie w prozie, jak w wierszu; Lucyan zaś, jako malarz dyktant, władał piórem i ołówkiem tak dobrze, iż gdyby był na serwo poświęcił się tej sztuce, to byłby niewątpliwie zajmował w niej stanowisko wybitne.

Nie poprzestając wszakże na wskazaniu przodzonego źródła tych pierwiastków duchowych, które były zadatkami tego, co się w tak świetny sposób objawiło z czasem w Józefie, powinniśmy i to zaznaczyć, co i sam on przyznaje, i p. Kajetan utrzymuje

stanowczo, mianowicie zaś, że narracye ojcowskie, których się tyle mały Józio nasłuchiwał, były jednym z najpierwszych i najsilniejszych wpływów na kierunek jego umysłu: „Ja (pisze p. Kajetan), com z ojcem przeżył dzień przy dniu ostatnich lat przeszło dwadzieścia (więcej, niż ktokolwiek z całej rodziny), do ostatnich chwil słyszałem coraz coś innego, i dziś, czytając powieści Józefa, bezustannie spotykam się w nich tu i owdzie z tym samym duchem, językiem, formą nieraz i humorem szczególnie, jakie cechowały opowiadania naszego ojca. Była to jeszcze tradycja dawnych czasów, podniesiona talentem osobistym, pamięcią wyborną, znajomością ludzi i stosunków wielkiej przestrzeni naszego kraju. Wrażenia tych narracji z lat dziecińczych niezatarte pozostać musiały z konieczności na zawsze, tém bardziej, że były one tak umiętne i z taką sztuką prowadzone, iż, jakby w dramacie lub powieści, choćby to była dykteryjka najprostsza, słuchacz do końca ze wzrastającą ciekawością czekał rozwiązania, którego z toku opowiadania najczęściej nie był zdolny przewidzieć“.

W końcu pominąć nie możemy i otoczenia poza domem rodzinnym, które na wrażliwy umysł dziecienny oddziaływać także musiało, o czem zresztą najwymowniej świadczą „Wspomnienia“, do których znów sięgamy, jak do nieocenionej skarbnicy.

„Sąsiedztwa milego było dosyć; w najbliższem były domy pokrewne Szwykowski i Moraczewskich, a dalej dużo innych: Bulharynowie, Trębicey, Wredtowie. Przez groble długą, w Sapieżyńskich Bogusławcach mieszkał Grabowski, który je dzierżawił szczególnie. Na grobli tej przypatrywałem się szalonym zapasom batalionów, które się tu po całych dniach śmiertelnie tłukły.“

W Polonim Hrudzie nieopodal mieszkał Kapitan Sobolewski. Była to jedna z najoryginalniejszych postaci w okolicy. Mężczyzna dobrze stary, lisy tak, że mu brwi zupełnie wypełzły, twarz szeroka i blada, spokojna, dziwnie spokojnego, nieco szyderskiego wyrazu, usta wielkie, postawa żołnierska, ubiór staroświecki — najczęściej frak szaraczkowy, a raczej makowego koloru. Kapitan Sobolewski czasem przyjeżdżał wózkami, a niekiedy, jeżeli bród wyszechl pomiędzy Polonim Hrudem i Dolhem, przychodził i pieszo, z facyczką o krótkim cybuszku w nstach i z kapciechem na guziku. Grywali z ojcem w maryszka, a kapitan opowiadał swe dzieje, bo był za Rzeczypospolitą w wojsku francuzkiem i za Napoleona. Republikanin, żołnierz, niedowiarek Boży, dawał matce naszcej powód



Zofia Kraszewska, matka jubilat.

do niestanniej troski o zbawienie, ale nawrócić go nie było środka. Nie chwalił się on ze swą niewiarą, nie popisywał z nią, ale przyparty do powiedzenia, co myśli, mówił bez ogródki. Jakim sposobem znalazł się Sobolewski we Francji w czasie wybuchu wielkiej rewolucji, gdzie papiery swe legitymacyjne szlacheckie spalił, nie mogliśmy dojść nigdy. Z czasów szczególniejszej kampanii pierwszych w obronie granic Francji, potem z wypraw włoskich miał tysiąc szczegółów do opowiadania. Dziś mi trudno przypomnieć, gdzie czasu oblężenia jadł szczyry, ale potrawa ta wbiła mi się w pamięć.

„Opowiadał z wielką prostotą i przejęciem te dzieje lat pamiętnych, najczęściej stojąc w postawie żołnierskiej, z głową podniesioną, i nieodstępną fajeczką w ustach, którą tak miał trzymać w kątku, że mu do mówienia nie przeszkadzała. Człek był spokojny, skromny, ubogi, a nigdy się nie skarżący na niedostatek, nawykły do wszystkiego, na duchu spokojny“.

„Były to jeszcze czasy, gdy na excentrycznych figurach na świecie naszym nie zbywało. Pieszo przywędrowywał czasem o kiju stary Jan Dolega Dolubowski, z wierszami osobiłwemi i trywialną wesołością swoją. Rodzaj Dyogenesa to był, któremu, równie jak Kartuzowi O. Gradzkiemu, w głowie się nieco maciło. Dolubowski prawil improwizacye w rodzaju Rozbickiego, które powtarzano“.

O tym oryginale powiadał mi jeszcze pan Kajetan Kraszewski, że był to człowiek z wyższm ukształceniem umysłu, posiadający starożytne i kilka nowożytnych języków, podobno nawet doktor filozofii; ale gdy mu się we łbie przewróciło, rzucił na przepadłe dom swój i rolę, ubrał się w łapcie i płócienną kapotę, i puścił się na wędrowkę ode dworu do dworu, z torbą na plecach i z kijem w ręku, mówiąc o sobie: *Ego sum philosophus mundi*, a od nikogo nie żądając nic więcej, nad złotówkę i trochę masła do drewnianej maszniczki, którą zwykł nosić z sobą.

„Zabawny p. Komornik Denisko należał też ze swą pocziwą naiwnością, łatwowiernością i dziwaczniemi pomysłami, do tej gromadki, ożywiającej okolice. Nadzwyczaj dowiejny, oczytany, nie bez dołności, ale niespokojnego ducha, dziedzic Czachca, Bulharyn, mógł się też liczyć do excentryków. Na typach wybitnych temu zakątkowi nie zbywało,—nie mogę dziś wyliczyć ich wszystkich“.

„Żyło się tu bardzo spokojnie, wesoło i zgodnie. Społeczeństwo ówczesne, od gór-

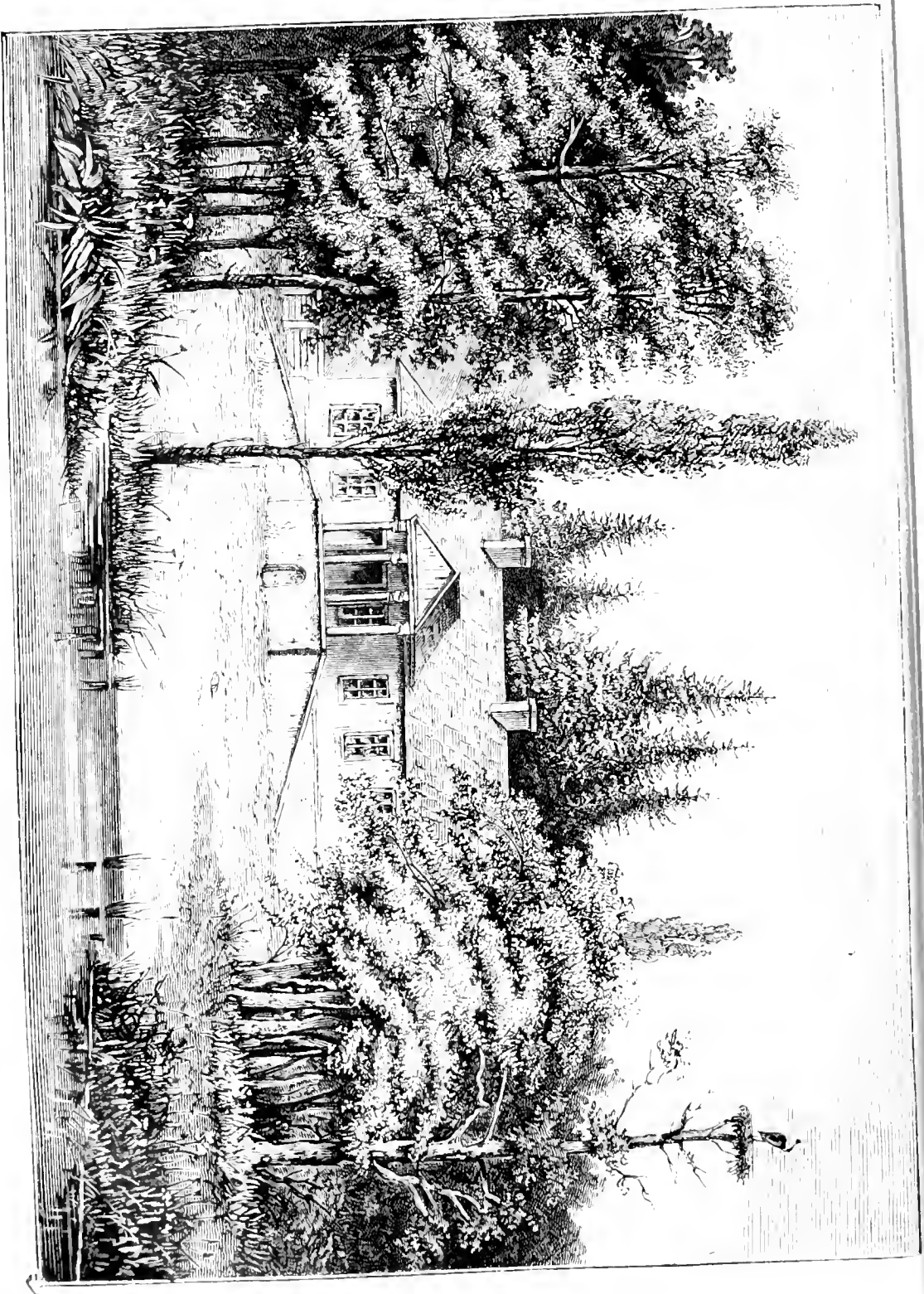
nych sfer poczynając, do najniższych, wyrabiało się jakoś daleko indywidualniej, niezależnie od przyjętego prototypu, swobodniej i zyskiwało na tem z wielu względów. Nie razily te cechy odrębne, niezwyczajne, które starano się poszanować i z wyrozumiałością się z niemi obchodzić. Co za niezmierny zapas wspomnień przeszłości, opowiadań, tradycji, anegdot, krażył w kółkach, wyliczyć niepodobna. Mieszkający w Polonym Hrudzie, obok Sobolewskiego, Farcinelli de Larzac, którego ojciec był komendantem w Nieświeżu u Księcia Radziwiłła *Panie Kochanku*, przynosił nam powieści o Księciu Wojewodzie. Żyło o nim tradycje i w spokrewnionym z Radziwiłłami domu Trebickich, w Linowej, gdzie jeszcze ostatnich karłów nadwornych, po polsku strojnych, oglądaliśmy“.

(W tem bez wątpienia źródło tego zamilowania a razem i mistrzostwa, z jakim J. I. Kraszewski postać Księcia Karola w „Ostatnich chwilach Ks. Wojewody“ i w dwóch komedjach swoich odtworzył; ztąd naturalnie i p. Kajetan musiał zapożyczyć tych rysów, któremi ją tak udatnie i tak prawdziwie w „Koniuszyen Brzeskim“ przedstawił).

„Niedaleko od Prużany zaczyna się puszcza Białowiezka, na której skraju jakiś czas mieszkał Franciszek Karpiński, z którym ojciec był blisko znajomym, i, jeśli się nie mylę, wyznaczonym przez niego na wykonawcę testamentu. Ze wspomnień o Karpińskim, któreśmy niegdyś już spisali, zostało mi w pamięci smutne wrażenie zrezygnowanego, ale zwiechniętego i nieszczęśliwego człowieka, nie umiejącego się z losem i życiem pogodzić. Chorobliwa czułość przedziła się w nim w rodzaj mizantropii, znosił ją wszakże, niż cynizm i dziwactwo Trebeckiego“.

„Powielekroć przejeżdżałem w różnych kierunkach tę Białowiezką puszcę, której olbrzymie drzewa i malownicze gąszcze jeszcze mi stoja przed oczyma. Nie wiem, czy w całej Europie znajduje się gdzie las tak pierwotnej jakiejś epoki, nadzwyczajnej siły wzrostu noszący cechy. Niezmierzone błotne obszary, rozległa puszcza Białowiezka i Kobryńska, nadawały tej okolicy charakter, przypominający dawne wieki, gdy się te kraje zaludniać dopiero poczynaly. Dziś on już w znacznej części się zmienił. Lasy przedzielone i powycinane zostały, błota osuszone i zmienione na łąki żyźne. Tam, gdzie między Sapieżyńskimi Bogusławcami a Dolhem była tak zwana dyferencya i granica nieoznaczona na nieczgruntowanych grząznięcach i kępiastem błocie, dziś wybity kanał

ROMANÓW PODŁASKI.





Konstancja Nowomiejska, prababka jubilanta.

szło 90, na twarzy zachowawszy ślady dawniej piękności w uśmiechu pełnym słodyczy.“

„O ile sobie przypominam, wychowała się razem z panną Fleming, późniejszą księżną Czartoryską. Wyszedszy za pana Nowomińskiego, który znaczne dobra dzierżawił i na nich milionowy zrobił majątek, po zgonie jego osiadła przy jednej z córek i tu dokonała żywota.“

„Nie wiem przez ile lat pod łóżkiem prababki stało pudło z habitem św. Franciszka, w którym się, jako terecyarka zakonu, pochować kazala. Wszystko do tego było w gotowości: bielizna, świece, pieniadze, nawet podarki dla gromady, która tśc miała za pogrzebem. Pamiętam, gdy co rok przewietrzano te przygotowania, na które z uśmiechem spokojnym patrzyła prababka, jedną ręką w bok się ująwszy, jak to miała we zwyczajn.“

„Pamięć miała doskonałą, dowcip, wesołość nieprzebraną, dobroć niewyczerpaną, powagę przy tēm wielką. Lubila się poruszać, nieustannie umiała być czynną; pamiętałem ją nawet samę powożącą się wózekiem, (do którego wręczano powoźną klacz gniałą, od much odzianą w kape), i przejeżdżającą się do Chmielity, gdzie na drób i nabiał naglądała sama.“

„Jedną z zasad, praktycznie przez prababkę mi wszepepionych, które mi się najmocniej wbiły w pamięć, była: trzeba za złe dobrēm płacić. Widzę się jeszcze w zielonęj *alepinowej* sukience, po dopełnieniu jakiejś zbrodni w ogrodzie, zapłakanego, i prababkę, która, mocno mnie zgromiwszy, podała mi gruszkę smażoną, dodając do niej: trzeba dobrēm za złe płacić. Jakim sposobem tak mi się to w pamięć wrazić mogło, gdy tyle innych rzeczy ważniejszych się zapomniiało? — to tajemnica prababki.“

Nie możemy przy tēm pominąć szczegółu, zanotowanego w „Obrazach z Życia i Podróżu“, że też sama prababka była pierwszą mistrzynią Kraszewskiego, który wspomina o pobieraniu u niej *naucze czytania na kalendarzu*; a wiemy także z podań rodzinnych, że i w pobożność go wdrażała, sama z nim odmawiając poranne i wieczorne modlitwy. Powiadano mi bowiem w Romano- wie, że raz, gdy mały Józio, rozespany, nie miał wielkiej ochoty do pacierza, a prababka, chcąc go podniecić, pogroziła mu, że jeżeli się nie pomodli, to Anioł Stróż nie będzie go w nocy pilnował; chłopczyzna odpowiedział jej: to niech babeia swego poprosi, żeby i mnie pilnował... *łószczko moje tak blisko przy łóżku babei stoi!*“

„Dom Małskich — pisze dalej Kraszew-

ski — żywo się zajmował tēm, co się na świecie działo, pisało, obiecywało, dokonywało. Musiało to na umyśle dziecięcym czy nie wrażenie. Wieczorem, gdy pan Błażej Małski po wielkiej sadi się przechadzał, babka czytywała głośno. Książek w domu było pełno. Wuj, ciotki, babka Małska, lubili literaturę; Wiktor Małski był artystą, malował i sztukę kochał.“

„Dziad i babka często mawiali o dawnych czasach. Przypominam sobie, jak pani Małska opisywała mi podskarbiego Tyzenhauza, który po sądzie, jaki zapadł na niego, wracając z Grodna, u państwa Nowomińskich nocował, i w zielonem, axamitem pokrytym futerku, smutny i młeczawy stał przy piecu. Babka z naiwnością dziecięcą spytała go nawet: dla czego był taki smutny? — i za całą odpowiedź otrzymała pogłaskanie po głowie. Pamiętała także na badu jakimś w Grodnie panią generalową z Radziwiłłów Morawską, w mundurze generalskim ze szlifą i w białej kaźmirkowej spodnicy, mocno zapychającą tabakę. Przesnął się przed jej oczyma później sławny Biskup Warmiński, jako *cadet de famille*, dosyć skromnie dworem jadący na trybunał, na który wybrany był deputatem duchownym.“

„Mnożtwa podobnych wspomnień zachowało się z owych czasów. Dziadek, który spisywał wszystkie okolicznościowe wiersze, listy, mowy, dawnym obyczajem, (książka ta po nim mnie została), pamiętam, czy miał w oczach, gdy mu babka sławną mowę abdykacyjną Jana Kazimierza czytała. Nie jeden raz ją słyszałem wieczorem powtarzaną i był to pierwszy dokument historyczny, z którym się poznałem wprzód, niż z dziejami. Utkwiły we mnie na zawsze przepowiednie w nim zawarte, które dziadowi lzy z oczu wyciskaly. Pan Małski mówił mało, ale czuł mocno.“

„Wieczorami, przy świecach z umbrellą, zasiadala zwykle babka z pończochą w rękę do czytania głośnego; dziadek się albo przechadzał po ciechu, stając niekiedy, lub na kanapie podparty słuchał. Czytywano nowe, a gdy tych brakło, i stare rzeczy.“

„Sąsiedztwo Romanowa, pomimo tak na pozór samotnej okolicy, było dosyć ożywione i liczne: Szlubowscy, Jasińscy, Borkowscy, a dalej Masłowscy, Mańkowscy (krewni prababki), Korycey i wiele innych domów szlacheckich. Nie pamiętam już, kto ze starzej szlachty, co się konfuszowo jeszcze nosila, w paradnym stroju przybył na obiad do dziadka i bawił aż pod wieczór. Gdy wyjechał bryką ku Sosnowce, wyszedłem i ja na przechadzkę w tę samą stronę. Jakież

było zdziwienie moje, gdy pod lasem znalazł owego paradnego gościa, siedzącego na suchym rowie i strój kosztowny, *sub Jove*, nienającego na płóciemy kitel i kozłowe buty. Dąło mi to pierwszą oszczędności naukę. W ten sposób suknie dziadowskie przechodziły na wnuków.“

„Prawie zawsze dla nabożeństwa w kaplicy bawil w Romanowie Reformaat, często zajężdżali kwestarze. Za jednego kapelana, z którym się jakoś zuchwale i nieprzyzwoicie znalazłem, skarcony, dostałem od dziada w skórę, abym na przyszłość kapłanów szanował. O t^{em} *promemoria* t^{em} mocniej przypominam sobie, gdyż był to *casus* pierwszy i ostatni w życiu. W ogóle reformaci byli ludzie dobrego humoru i prostoduszni.“

„Na obiad i wiecz^{er}ze nderzano w b^ęben i schodzili się na^owczas wszysej domownicy do stołu. Prababka jadła u siebie, bo bardzo często pościła. Oficyaliści dworsey, młodszy Piwonⁱ, i starszy racmistrz Wićkiewicz, zapalony myśliwy, wirtuoz na skrzypcach, zjawiali się także. Wićkiewicz, o ile u stołu bywał milezący, stanąwszy przed gankiem, niewyczerpane szczegóły miał do opowiadania z lat dawnych, z 1812 roku. Pamiętał on bodajże jeszcze dziadowską dzierzawę Bobrujskiego Starostwa. Spluwając często, wspomagając się wstawianiem „Mości Dobrodzieju“, gładząc peruczkę, Wićkiewicz z zapalem po stokroć jedno powtarzał. A choć już trzymał klucz od swęj izdebki w ręku, opatrzony dla bezpieczeństwa drewnianą kłódką, choć mu jego wyżeł dopominał się powrotu do penatów, raz poczawszy relacyę, nie łatwo kończył. Wieczorem, jeśli na kaczki nie poszedł, suwając nogami po niewielki^{ej} izdebce, godzinami grał na skrzypcach, które stały bardzo starannie zamknięte w okazałym pudle. Poczciwy stary dożył tu lat końca, podupadłszy mocno na zdrowiu. Zrósł się był z domem i rodziną.“

„Przypominam sobie mglisto bardzo odwiediny u państwa Borkowskich J. U. Niemcewicz, na którego przyjęcie wielce się przygotowywano. Bawil jakoś krótko, ale sławny na^owczas autor „Powrotu Posła“ i „Spiewów“, poruszył sąsiedztwo cale. Mówiono długo i dużo o nim.“

„Widywałem, jeżeli się nie mylę, u Szlubowskich, młodego na^owczas, zaledwie zaczynającego zawód swój, Stefana Witwiekiego, który tu był jakiś czas nauceycielem domowym. Przypominam go, jako bardzo pięknego i milego m^ężczyznę. Okolicey nie zbywało na wspomnieniach i miejscach zajmujących: nie licząc Białej, o trzy mile był

Kodeń, ze swym kościołem, Intulatem, starą cerkiewką zamkową, opustoszałą rezydencyą pani ex-Wojewodzin^{ej} Mścisławskiej, Różanka Pacowska, Włodawa, Wisznice i Dolholiska. W kościolku w Dolholisce, na obrazie cudownym, jako *rotum*, wisiał order Cynevnata, ofiarowany przez Kościuszkę. Po drodze z Romanowa do Dollhego przejeżdżało się około Siechnowicz, starego gniazda Kościuszków, z drewnianą cerkiewką na piasku, staremi jodłami otoczona. Komorę i granicę przebywało się w Brześciu Litewskim. Naprzeciw niego w Terespolu, *alias* Błotkowie, rezydował sławny na całą okolicę doktor Müller, do którego się zdalał zjeżdżali pacyenci. Byłem tam i ja raz dziecięciem na kuracyi. — Strasznie dawne, dawne czasy!“

„Choć to Podlasie było tak oddalone od wielkich gościnieców, od świata, od ruchu i ludzi, że nawet czasu wojen rzadko tu jakie wojska się pokazywały, w okolicy Romanowa, w Romanowie samym, życia było wiele: listy, dzienniki, książki, czasem ludzie z daleka je przywozili. Wuj, Wiktor Maliski, niegdys^z oficer artylleryi, człowiek bardzo wykształcony, dobry rysownik, malarz, duszą artysta, ale zarazem zapalony myśliwy, czytywał wiele i zajmował się literaturą. Z p. Janem Szlubowskim, także znawcą i miłośnikiem sztuki, odbyli oni podróż do Włoch, i do Rzymu i Neapolu czterokomą bryczką polską się dostali. Gdy wieczorem zbliżali się do star^{ej} Partenopy, a na horyzoncie ukazał się z ognistym czubkiem Wezuwiusz, siedzącego na koźle podlasiaka zapytali podróżni: „jak mu się też zdawało? co by to być mogło?“ — Nie znieszanym weale chłopak odpowiedział rezolutnie: „a co ma być? węgle dla kowala palą.“

„Jak dziadka, babkę, tak i wuja interesowało wszystko, co się w kraju i za granicą działo; czytano echiwie, rozprawiano wiele. Co nie mogło się dostać drukowan^{em}, przepisywano. Pamiętam, że pierwsze poczye Mickiewicza, które obudzały nadzwyczajne zajęcie, wszystkie chodziły starym zwyczajem z rąk do rąk w rękopiśmie. Walter-Scott, Byron, Shakespeare, leżeli u wuja na stoliku; odradzając się na nowo literaturę francuską, książki włoskie, przywiezione z podróży, czytano i tłómaczono. Pan Jan Szlubowski w Opolu zgromadził dosyć piękny zbiór obrazów i rzeźb, zdobytych także we włoskiej peregrynacyi. Wszystko to pierwszemi wrażeniami działało na umysł dziecięcy. Wspomnienia tych czasów tak jeszcze żywe pozostały.“

„Prababka, oprócz książki do nabożeństwa,



Anna z Nowomiejskich Malska, babka J. I. Kraszewskiego.

czytała mało. Babka za to po całych dniach czytywała, albo robiła w krośnach, — reumatyzm nie dawał jej wiele się poruszać. Dziad gospodarował i miał obowiązki obywatelskie, często też wyjeżdżał musiał. W ofiecytach u wuja panowały książki, ołówki, farby i myśliwskie przybory. Nie było rodzaju polowania, któregoby nie próbowano, bo i z ptakamiśmy jeździli starodawnym sposobem, a kilka sokolów i kobuzów wychowywano umyślnie do tego. Lasy Romanowskie obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, okoliczne błota w ptastwa mnogość. Zawczasu nauczyłem się konno jeździć i z koniem sobie dawać rady; a dziś jedną z najdotkliwszych przywacy jest może, że wierzchowca mieć nie można. Ojcowska kara klacz pierwsza mnie ponosiła i trochę potłukła; niezliczoną potem ilość razy padało się, podnosiło, i pędziło z niewymowną rozkoszą w pola i lasy“.

„Bałów i zabaw wrzawliwych nie pamiętam tu wcale, oprócz jednych imienia prababki, na które między innymi gośćmi przybył pierwszy murzyn, jakiego w życiu widziałem. Uczynił na mnie niepospolite wrażenie. Pamiętam, że jak innych gości, przyjmowano go w salonie, i miał powierzchowność dobrze wychowanego człowieka“.

„Wszystkie dawne obyczaje zachowywały się tu ściśle i wiernie, prababka była ich stróżem. W niej żyły tradycje wszelkie, które wspomnieniami popierała. Obchodzono doroczne uroczystości wedle form prastarych. W języku, którym mówiła prababka, zachowało się mnóstwo tych odejmi, akcentów, dodatków, które z mowy pisanej znikły. Chociaż rozumiała po francuzku, nigdy językiem tym nie mawiała, i dla tego może mowa jej miała niewymowny wdzięk archaiczny, nie książkowy, ale żywy, z życia wyrosły. Odzywała się w niej rubasność pewna, ale niewieścią skromnością powstrzymana i niemal wytworna“.

„Nieboszyczka pradiadka nie pamiętam wcale, wiem tylko o jego zgonie, o którym często opowiadano. W dosyć już późnym wieku będąc, p. Nowomiejski chorzał na podagrę i z krzesła się nie poruszał. W wigilię Ś-go Wojciecha, na imieniny jego, zjechali się zięciowie i wnuki. Wieczór upłynął bardzo wesoło. Nareszcie kazał się z krzesłem przytoczyć do stołu, mówił wiele, wypił pół kieliszka wina, naśmiał się, żartował, i odprowadzony przez wszystkich, spać się położył. Nazajutrz, w dzień patrona, Ś-go Wojciecha, gdy długo nie wstał, sądzono, że zmęczony potrzebował spoczynku. Około południa chciano go zbudzić;

znaleziono w łóżku uśpionym na wieki, i dzień wesela stał się dniem żałoby“.

Nie dziw tedy, że w takim otoczeniu, pod takimi wpływami, zdolności przyrodzone w Kraszewskim i rozwijać się, i objawiać weześnie zaczęły, jak o tém sam w „Obrazach z życia i podróży“ zaświadcza; że od dzieciństwa już szal jakiś wrzał w jego głowie; że wprzód pisać zaczął, nim się pisać nauczył, drukowanemi literami składając już jakieś powieści i wiersze, z których, prócz dobrych babek, reszta familii nicliłościwie sztydziła; że zarówno i do rysunków wielki okazywał pociąg i zdolność; że marzył na przemiany o nauce, o sztuce i o sławie, i miał już przeczucie jakieś wszystkiego, przeczucie powołania.

Powołanie to wszelakoż wyraźniej objawiło się dopiero w Białej, gdzie młodym, rozłakomionym tylko, że się tak wyrażymy, w Romanowie, odpowiedniejszy znalazł pokarm dla siebie. Słusznie bowiem wnosić możemy, że w domu państwa Małskich, jakkolwiek myśli, i uczucia, i zwyczaje, i obyczaje były prawdziwie polskie, mimo to wszakże, ulegając duchowi czasu, a zwłaszcza przy ubóstwie ówczesnem literatury swojskiej, więcej w nim po francuzku, niż po polsku czytano. Świadczy o tém i sam Kraszewski, który we „Wspomnieniach“ swoich tak pisze:

„Nowe książki francuzkie rozrywano, podawano sobie z rąk do rąk; nie mieć ich, nie znać, — było upakarzającem. Umiejętność francuzkiego języka była nieodzowną; upodleganym w towarzystwie stawał się, kto go nie umiał“.

Jakoż cała rodzina państwa Małskich, jak się przekonujemy z papierów familijnych, przeważnie w tym języku z sobą korespondowała; a że i sam Kraszewski bardzo już weześnie doskonale z nim się zapoznał, mamy tego dowód niezbity nie tylko w tłómaczeniu przez niego w szkołach Białskich bajek Lafontaine'a wierszami, a w Wilnie powieści Paul de Kocka, i w nkladaniu dla Glücksherga słownika Polsko-Rossyjsko-Francuzkiego; ale i w korespondencyi jego rodzinnej, z czasów akademickich, gdzie znajdujemy kilka listów do matki i do babki, wyborną francuzczyzną pisanych.

„Dla mnie jednak (spowiada się w swoich „Wspomnieniach“) od dziecińczych lat, już nie wiem skutkiem czego, — przeczuciem jakimś, sympatya niepojętą, — książka polska, szczególnież stara, miała urok niesłychany. Nikt u nas w domu w starych książkach wcale się nie kochał; nie było to więc naśladownictwem, ale symptomatem dla mnie

do dziś dnia niezrozumiałym. *Pierwszy raz w życiu spotkałem się ze skrzynką bardzo starych ksiąg, wyrzuconych z biblioteki Białskiej na strych przy porządkowaniu jej przez Zengtellera*”.

W Białej też, dokąd, przygotowany przez same tylko babki, bez pomocy żadnych nauczycieli, w roku 1822 został wprost do drugiej klasy oddany, dzięki ogromnym księgom wypisów, które posiadał professor Bartoszewicz i chętnie ich uczniom pożyczał, zapoznał się dopiero bliżej z poezjami Krasickiego, Naruszewicza, Niemcewicza i Brodzińskiego, a nareszcie i Mickiewicza, i już nie instyktownie, lecz świadomie i z pewną znajomością rzeczy, rymować zaczął.

„Tu (pisze we *„Wspomnieniach*”) pierwsze bajki wierszem tłmaczyłem z Lafontaine’a i w paradnie oprawnym sexternie ku wkuistiej zachowałem je pamięci. Nie mogę zarzucić, czym też nie pisał poematu czterech pór roku, których raptularza już tylko mi się fizygnomia przypomina. To pewna, że umysł się poruszał, i przyszły ów zawód, do którego popychała mnie jakaś fatalność, wabił już ku sobie”.

Dla nas jedyną próbką twórczości jego poetycznej z epoki Białskiej jest Ballada, zapisana w księdze Glogera, której treść z przytoczeniem kilku wyjątków znajdują czytelnicy w miejscu właściwem.

To mi też przypomina, że nie mam prawa rozwodzić się o czasach białskich, które szanowny kolega Kraszewski, jako świadek mocny, należycie opisał; do jego więc opowiadania odsyłając czytelników w tym miejscu, wspomnę tylko dla związku rzeczy, że okres ten obejmuje lat cztery, z których dwa mały Józio w drugiej klasie przepędził, co w taki sposób we *„Wspomnieniach* swoich objaśnia:

„Nie mogę się wcale pochwalić, żebym był uczniem bardzo pilnym; miałem brzydki zwyczaj uczyć się zawsze nie tego, co było potrzeba, ale ku czemu ciągnęła fantazja i owa nienasycona ciekawość, która ciągnie do piekła. Pragnęło się wyprzedzić, nie wlec się powoli, i dużo waleśsało się po bezdrożach”.

* * *

Skończywszy wszystkie klasy w szkole Białkiej, z początu powieścią, z pełną teką bajek, z głową roztrzępaną, marzeniami rozbitą, żądzą widzenia i nauki, po ostatnich błogich wakacjach w uroczym Romanowie spędzonych, Kraszewski udał się do Lublina, gdzie go babka Małska sama odwiozła.

Kiedy się zbliżali do tego miasta, i już

wieże jego kościołów z za wzgórz się ukazywały, i do żywszego bicia pobudzały serce chłopiecia, — „powiedz mi Józefie — zagadnęła go babka — pamiętasz ty, co się w tym miejscu stało ważnego, pamiętnego?”

Niestety! nie mógł sobie nie przypomnieć! Dopomogła mu babka i mocno tém zawstydzonemu zaleciła, aby się lepiej do historii przykladał. „Kto więc — pisze Kraszewski, — czy to drobne zdarzenie nie wpłynęło na zamulowanie w niej późniejsze; bo pamiętam, że w Lublinie spisywałem nagrobki stare i chwytalem, jakie mogłem, książki historyczne”. Pierwszą próbką antykwaryuszką był przerysowany przez niego napis zewnątrz farnego kościoła.

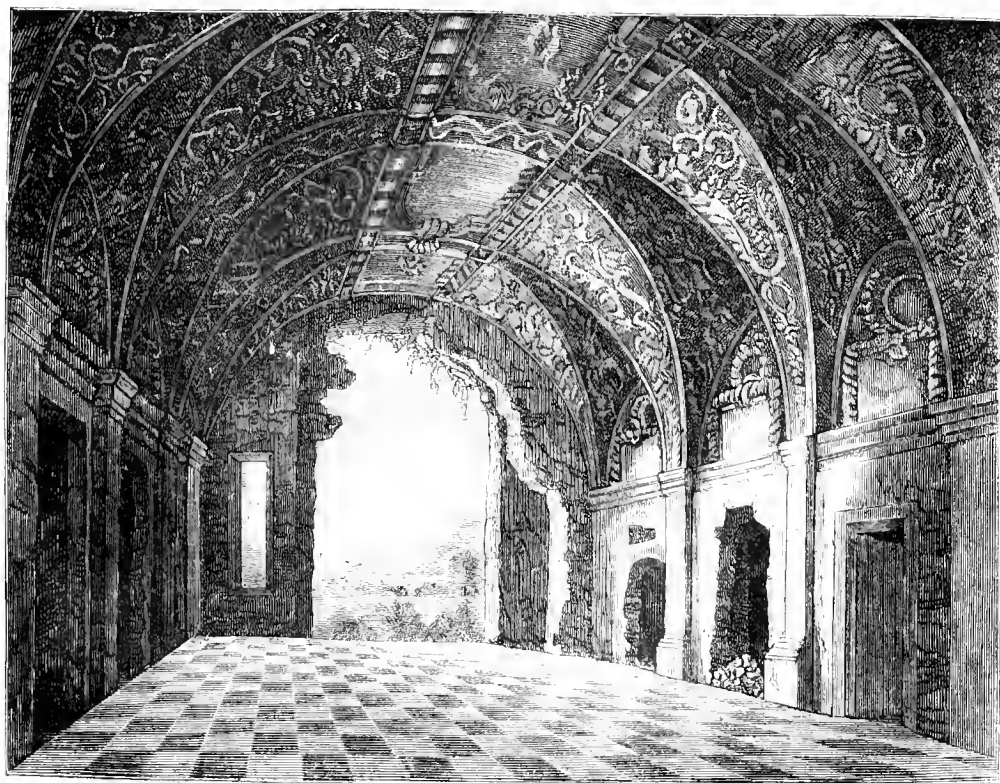
Umieszczono go u professora matematyki Ostrowskiego, który żyje do dziś dnia, a o którym w swym liście do mnie taki sąd wyraża Kraszewski: „Był to najlepszy człowiek w świecie, łagodny; i on, i ona, i cała rodzina najlepsze zostawili po sobie w mojem sercu wspomnienie. Dla takiego lobuza i warchola, jakim ja byłem podówczas, aż nadto byli dobrzy i względni”.

Z tém wszystkiem sam przyznaje w „Obrazach z życia i podróży”, że rok przepędzony w Lublinie przyjemnych mu wrażeń nie przyniósł. Nie podobna wszakże przypuszczać, aby sam wstąpił do matematyki, którą mu gwałtem pakowano do głowy, miał być głównym tego powodem, ani nawet aby to wpłynęło na owej sceny burzliwej, która ten rok i w ogóle czasy Lubelskie zakończyła, kiedy chłopak ambitny, dotknięty do żywego odmówieniem spodziewanej nagrody, podczas wywoływania imion uczniów wybranych, cisnął z umieszczeniem książkami i sexternami o podłogę i wyszedł z sali. — Musiały się do tego przylączyć jeszcze inne nieprzyjemności. Z listu pisanego do babki przed samemi examinami, dowiadujemy się o kłopotach pieniężnych, o stanie oplakanyim odzieży i t. p. „Jakże zadroszcze tym, co są w domu! — powiada, — oni się o swe potrzeby nie starają, a ja sam muszę o sobie myśleć. Nie tak to, jak w Białej”.

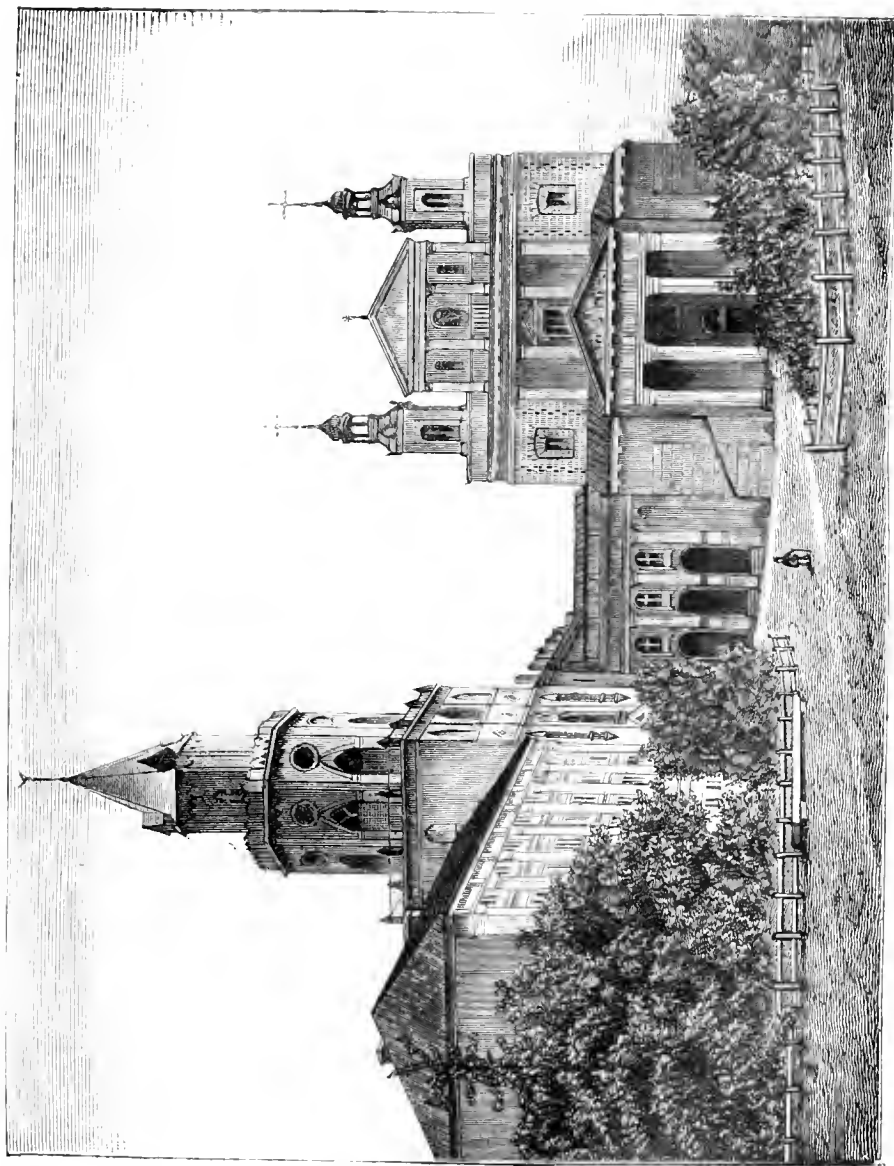
Widoczna więc, że albo babka i rodzice traktowali wyrostka jak dzieciaka, dla którego to nigdyś dosyć było makagiki i pierników od Fejgi, i za szczupło mu udzielali zasiłku na prywatne jego wydatki; albo, że Lublin nastroczał mu różne pokusy, i narażał go na wybryki, w Białej nieznanne. W liście już cytowanym tyle tylko napotykamy: „Calutki prawie Lublin nosi kapelusze słomkowe *à la bergère*, roboty jednego w kadanach, bardzo ładne i bardzo tanie... A co



Zamek Radziwiłłowski w Białej.



Sala w zamku Białskim.



Gmach szkolny i brama Trynitarska w Lublinie.

to będzie z t \acute{e} m, że babunia sama przyznawała mi potrzebę kapelusza, którego nie mam, i podobno obejść się muszę, pomimo nawet furakerki mocno podart \acute{e} j⁴. W *postscriptum* zaś: „Ale! przypomniałem sobie: co tu wiśni w Lublinie!”

A prócz kapeluszy *à la bergère* i wiśni, ileż-to w tym Lublinie znajdować się mogło rzeczy uccających, o których niepodobna było pisać nawet do babki, nie dopiero do ojca.

Musiały więc się trafiać pewne wybryki, a po nich bardzo ciężkie prywacy, które młodzieniaszkowi rok ten zaprawiły goryczą. Do wniosku tego upoważnia nas jeden ustęp z listu późniejszego, pisanego z Wilna do ojca, gdzie powiada między innemi: „przypominasz mi, drogi ojcze, czasy Lubelskie; ależ ja wtedy byłem dzieckiem *pluch \acute{e} m i marnotrawn \acute{e} m*. (*)

Bo zresztą, sądząc z tego, co zapisał w „Obrazach”, życie w t \acute{e} m mieście dość mu nastroczało przedmiotów do przyjemnego i pożytecznego spędzania czasu. Książki, których tu łatwiej mógł dostawać, niż w Biał \acute{e} j, pocieszały go po matematycznych zadaniach, i po nudnych a trudnych, bo na dośłown \acute{e} m wyczerpi \acute{e} ni \acute{e} si \acute{e} ufundowanych, lekcjach; gród zaś ten starożytny, po którym biegał z ciekawością niezmierną, dostarczał dosyć karmi dla przyszłego badacza dziejów, już się w nim budzącego do życia. Kościół farny, fundacyi Leszka Czarnego; kościół Dominikański, gdzie uczniowie na Mszę chadzali i gdzie ukazywano stół, na którym akt pamiętny z r. 1569 reprezentanci obu narodów podpisali; kolegium po-jezuickie, w którym się wówczas szkoły mieściły, i dawny kościół jezuicki, opustoszały, ale ozdobny jeszcze prześlicznemi freskami; pałac Biskupi, klasztor panien Brygitek, kościół S-go Ducha, stary gmach Sądów Trybunałskich i jeszcze dwie cenne, bo nie-zepsute pamiątki dawnych czasów, poważnie wznoszące się dwie bramy: Żydowska i Krakowska, jako też kilka kościołów na przedmieściu, czerniejących na wzgórzach, z przeświecającemi się dachy, z pochyłone-

ni krzyżami, zajmowały go i pociągały przed innemi i mocniej mu się w pamięć wryły. W kościele po-jezuickim, który oglądał wspólnie z przejeżdżającymi przez Lublin księciem Janem Woronieckim i Pawłem Piętkowskim, znawcą i amatorem sztuki, po raz pierwszy otworzyły mu się oczy i zabili serce na widok tego gmachu, tak pięknie, smakownie, z takim bogactwem pomysłów i wdziakiem kolorytu ozdobionego.

Co do pożytku, z nauk szkolnych odnie-sionego, tak o t \acute{e} m opowiada Kraszewski: „Więcej może wówczas miałem od swoich towarzyszy, bo w ciągu tego roku skorzystałem sam przez się czytaniem książek; ale gdzie trzeba było nauczyć się czegoś na pamięć, wypowiedzieć *pensum* słowo w słowo, nigdy się nie mogłem odznaczyć. Pamięć moja, skrzetnie chowając nazwiska, daty pojedyncze, fakta, wypadki, nie mogła się nakłonić do przyjęcia jednej sekcji wierszy, pół kartki prozy. Ztąd, najlepiej mogąc napisać zadanie, dość mając językowej wprawy, nigdy nie uchodziłem za dobrego ucznia, bo żadnej lekcji słowo w słowo nauczyć się nie mogłem”. W inn \acute{e} m wszakże miejscu powiada: „książki, bez żadnego wyboru chwytane, rozprzegające wyobraźnię, zapalające ją, często szkodliwe, tyle tylko na mnie wpływały, że coraz jaśniej widział, iż pisać muszę; pisałem więc, bez odetchnienia gremolac \acute{e} ”.

Wszelakoż mimo tego wszystkiego, nie, musiało być tak bardzo źle z nauką, jak to Kraszewski opowiada, skoro uznawał się godnym nagrody, i skoro w swoim liście do babki z d. 6 Lipca 1827 roku pisał: „Czyby nie było można, żeby papa był na moim examinie, i widział postęp mój, i cieszył się, jeżeli jest z czego”.

Badź co bądź, dobrze jednak się stało, że, czy to w skutek owej sceny burzliwej, czy dla zabezpieczenia młodzieńca od wpływów niebezpiecznych większego miasta, czy ztąd wreszcie, że ojciec chciał sam zbliżka czuwać już nad nim i ostatecznie z pod opieki babek odebrać; przeniesiono go na dalsze

(*) Po napisaniu tego życiorysu, znaleźliśmy dowody, że domysły nasze były zupełnie słuszne. Świadczy o t \acute{e} m list p. Ostrowskiego do pani Malskiej, z którego się dowiadujemy, że Józio dopuścił się okropnych zbrodni! oto w ciągu roku poczynił male długi na *wisnie* i inne drobiazgi, a nawet niektóre rzeczy na to posprzedawał; co zaś gorsza, za pieni \acute{e} dze, które był w jego ręce złożył Wieckiewicz dla p. Ostrowskiego, kupił sukna na tużurki, kamizelkę, *kapelusze* i t. p.! Stało się to powodem niezmiernego zmartwienia dla babki, do której na dobitkę doszła jeszcze wiadomość, jakoby rektor szkół lubelskich miał oficjalnie oświadczyć, że Józio był zanadto

pieszony! — „Gdyby w Józefie znalazł wady, którychśmy nawet nie spostrzegli, (pisała pani Malska do córki) niebym nie mówiła; lecz zkad przekonanie, że rozpieszony? Byliżśmy tam przez rok cały? A samo oddanie w *dziesiątym* roku w dom obcy, (do Biał \acute{e} j) czy dowodzi rozpieszienia? Każde głupstwo, niesprawiedliwość lub mierzetelność oburza uczciwą duszę”. — Z innego znów listu pani Malskiej z tego czasu dowiadujemy się, że Kraszewski, wyszedłszy z Biał \acute{e} j z klasy czwartej, w Lublinie examina nie zdawał, sam uznając, że nie dość pilnie do nauk się przykładał, i że powinien na rok drugi na tym samym kursie pozostać. *Przyp. autora.*

studya szkolne do Swisłoczy, bliższej od Dolnego, niż Lublin.

„Spokojne bowiem życie w Swisłoczy, (pisze w swoich „Obrazach“), gdzie trzeba się było konieczniej zająć nauką, choćby dla tego, że czém inném nie było, i mnie, i wielu innych zapewne zmusiło do oddania się namiętnego książkom, pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umyśle, jak tylko nie ma nic, co by oderwać mogło, co by nieciło jakim powabem, rzucić się musinny do nauki, potrzebując za warmek życia zajęcia, któreby siły nasze wyczerpało. Dla tego miasteczka takie, jak Swisłocz, podobniejsze wsi, niż miasteczku, spokojne, nstromne, najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się trzeba konieczniej, lub z nudą umrzeć. W większych miastach umysł się zapala widokiem żywego, działającego świata; tu wszyscy otaczający oddychają nauką, przypominają ją tylko wszystko, a nie od niej nie odrywa-”

Obaczmyż, jak ta pocziwa Swisłocz wyglądała za czasów Kraszewskiego, który jej tak wiele zawdzięcza. „Przebywszy pełną tajemnic, europejskiej sławy, żubrami i łowami głośną białowieżską puszcę, ujrzyysz małe miasteczko, z wieżą kościołka farnego, z bielejącymi murami pałacu, i bram swych senioralnych wystawami malujące się na dolinie. Z jednej strony jego stare drzewa ogrodu pałacowego, z drugiej drobne domki mieszczan. Wjeżdżasz ulicą, która się zaczyna od kościoła Aniołów Stróżów. Piękna myśl była, u bram miasteczka, napelnionego młodzieżą, wystawić u wejścia Aniołom Stróżom, tak młodości potrzebnym, kaplicę. Od niej aż do rynku wciąż drewniane, niskie, ciągną się domki mieszczan, zamieszkałe przez studentów. Na szerokiej ulicy rozlegają się śmiechy wesole; tam grają w piłki, tam z książkami w ręku swawolą chłopięta, dalej starsi próbują sił swych na skrzypcach i fletach. Wszędzie gwar i życie, wesole życie młodości, pełne ruchu. Na barierach posiadali jedni, drudzy powychylali się z okien, trzeci idą w zapasy z sobą, inni na wyprzódki biegają. Ulica ta nie ma pozoru miasta, sklepu w niej, karczmy, szyneczku nie ujrzyysz; spokojne domki stoją w rząd, jak studenci, i roją się samemi studentami. Po-za domkami ogródki, przed niemi lawki w cieniu młodszych i starszych drzew, na których korze kilka już pokoleń imiona swoje zapisało. Po prawej ręce od wjazdu, zbliżając się ku miastu, zaraz cie zastanowią cztery, starsze od sąsiadów swych, cieniste kasztany, przed wystawą drewnianego domku Huferta“.

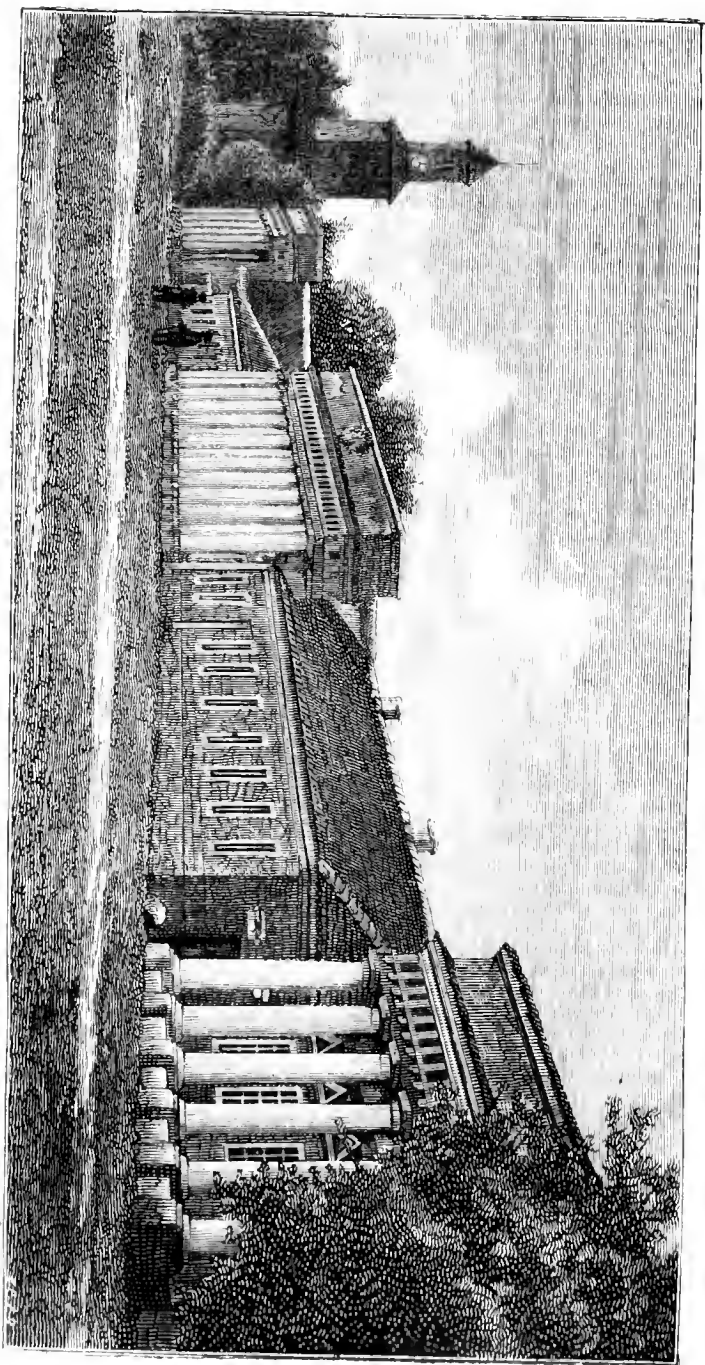
W domku tym mieszkał, uczył się i ma-

rzył przez dwa lata Kraszewski, a w ciągu tego czasu, jak to sam przyznaje w „Obrazach“, więcej nauce niż przeszłych lat po innych szkołach. Zaraz w początkach, musiał wziąć się skwapliwie do niemiętnego dotychczas języka rosyjskiego, aby mu nie przeszkadzał do wyższej klasy, i dość rychło z nim się obeznał, a pierwszym tego dowodem było tłómaczenie *Rozmowy* Karamzina o szczęściu, które otworzyło mu wstęp do szkoły i zjednało względy profesora.

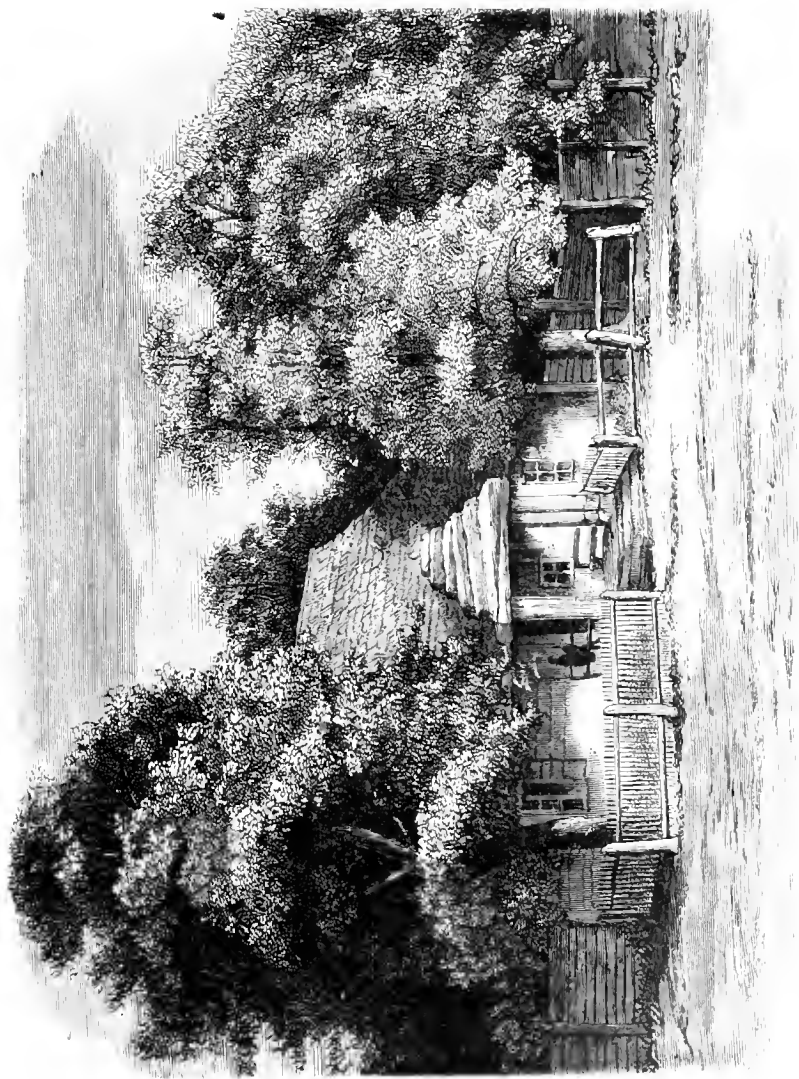
Następnie zabrał się szczerze do innych języków, mianowicie do łacińskiego i greckiego, i całe nieraz noce przepędzał nad tłómaczeniem paradoxów Cyceronowych, sam sobie takie twarde pensum zadając. Oddał się też z wielkim zapalem i już weale na seryo studyum nad językiem ojczystym: czytał Górnickiego, Reja, Kochanowskiego, świeżo wydanych w Warszawie w małej tańszej edycyi; a nie kończąc już swoich powieści, w Białej pozaczynanych, i zarzucawszy poczyte, pisał obszerną rozprawę o przysłówiach, oraz zbierał wypisy z autorów XVI wieku.

A wejście to na drogę filologicznej pracy zawdzięczał łagodnemu, uczonemu profesorowi Waliickiemu, który wspierał go życzliwemi radami, zaopatrywał w dobre książki z własnej swojej biblioteki, podniecał w jego sercu przywiązanie do swojskiej mowy, jakimś sam się odznaczał, podał mu myśl do historii polskiego języka i do *Glossarium*, które później tak mocno w Wilnie go zaprzatały, a z których o ostatniem w „Obrazach z życia i podróży“ powiada, że gdyby go zdołał dokonać, toby mogło być użytecznem, miały się w niem bowiem zawrzeć wyrazy, wyszłe już zupełnie z użycia, z objaśnieniem, kiedy były używane, w jakim znaczeniu i kiedy je zarzucono; wyrazy, które zmieniły swe znaczenie na inne, i t. p. Wyciągi z Lindego stanowiły podstawę tego *Glossarium*, ale przybyło do nich z czytania mnóstwo wyrazów, wiele znaczeń.

Zacny ten profesor Waliicki, z którym Kraszewski raz się tylko w czasach późniejszych spotkał, na zawsze w jego sercu pozostawił wdzięczne wspomnienie i odżył w sympatycznej postaci profesora literatury z pierwszego rozdziału „Powieści bez tytułu“, w której, jakkolwiek autor wypiera się stanowczo, żeby w niej znaleźć było można ludzi i wypadki, brane żywcem z rzeczywistego świata, nie wahamy się upatrywać zdarzeń i osób, istotnie z jego życiem związanych, i ledwieśmy nie pewni, że on to sam był owym Szarskim, który na lekeyi literatury czytał opisanie wiosny wierszami, a nawet gotowiśmy przypuszczać, że twarz



Gmach niegdyś gimnazyalny w Świsłoczy.



Dom niegdys Hoferta w Swistoczy.

jego, ozdobna młodocianym żywym rumieńcem, (jak opisuje Głoger) i przy lada wzruszeniu tęp mienią się płomąca, a szkolnej dziatwy ścignęła nań przezwisko *Piconii*. Zresztą odnajdujemy tu i owe stare kasztany, oceniające ganek dworku Huferta, znany nam ze Swisłoczy, i nie wątpimy weale, że jest to tylko echo tych rad życzliwych, których niegdyś zaeny Walięki Kraszewskiemu ndzielał, gdy professor literatury w „Powieści bez tytułu” mówi Szarskiemu: „masz nauczyć się całego świata, pokochać go, poznać siebie, poznać ludzi, a potēm jeszcze zbadać całą mądrość przeszłą, wszystko, co ludzie kiedy stworzyli, żeby nie powtórzyć słabięj, co wprzód gorąco wypowiedzianem było... w ostatku to narzędzie twoje, *język i literature*, na któręj skibę pot turego czoła ma upaść, musiszz przeniknąć, musiszz się ich wyuczyć”.

Obok zatrudnień naukowych w szkołach Swisłockich, prywatnie brał Kraszewski lek-

cye muzyki od niejakiego Brauna, po trzy godziny tygodniowo; lecz nie mając w domu fortepianu, nie mógł z nich odnosić takiej korzyści, jakiej i po zdolności jego, i po zamiłowaniu w tym kunszcie możnaby się było spodziewać. Rysunkom także oddawał się z upodobaniem, i musiał w nich czynić postęp nie mały, skoro, gdy potrzeba było zdjąć plan szkolnego gmachu, jemu to polecono, i z zadowoleniem wykonanie przyjęto.

„Tak w mgnieniu oka dwa lata przebiegły, przeleciały. Dwie nagrody i świadectwo *maturitatis* otrzymałem. Teraz miałem jechać do uniwersytetu; zdawało mi się, że był poważnym człowiekiem; ręka napierała się pióra, które później tyłu mi wytrącić chciało, głowa paliła się nadziejami przyszłości, nigdy niemającemi się ziszczyć... Wyjechałem ze Swisłoczy, modlać się do tych Aniołów Stróżów, którzy mnie mieli prowadzić po świecie”.

Po wakacyach, spędzonych w Dolhem, pobjętosławiony przez prababkę i babkę tylko listownie, d. 15 Września 1829 roku, wyruszył cheiwy wiedzy, z sercem gorącym i głową zapaloną młodzian do Wilna, dokąd mu towarzyszył sam ojciec, aby go ułokować według swęj myśli i polecieć opiere zamieszkałych tam krewnych, mianowicie zaś wspomnianego już wyżej Podkomorzego Piotra Szwykowskiego, i przełożonęj zakonu Wizytek, panny Dłuskiej, dla wysokich zalet serca i umysłu powszechnie szanowanęj i wielbionęj, a zostającęj w kolegacyi z Kraszewskimi przez Barbarę z Dłuskich Nowomiejską, prababkę Józefa.

„Strasza burza z piornami (pisze Kraszewski w swych „Obrazach”) napadła nań na wyjeździe do Wilna. Byłaż to przepowiednia burzy, w któręj szwankować miałem i cierpieć tyle?... Nie wiem”.

Nie wczyna nam zapewne za złe czytelnicy, a jubilat wybaczy, że przytoczymy tu choć kilka wyjątków z opisu onęj burzy, który znajdujemy w jego liście do matki, latowanym z d. 4 (16) Września, z Krystyanpola, w drodze do Wilna. Niema w nim yprawdzie nic wybitnego, ani oryginalnego, bo nawet w formie jest naśladowaniem listów Krasiekiego; ze względu wszakże na to, że po owęj Balladzie, zapisanęj w księdze Głogera z Białęj, jest to pierwszy znany

nam wiersz autora Witolorandy, i opiewa epizod z jego życia, który sprawił na nim wielkie wrażenie i na długo utkwil w pamięci, wydaje nam się godnym zanotowania; nadto zaś, w książce niniejszęj słusnie się mu i dla tego jeszcze miejsce należy, iż właśnie w roku i miesiącu, przeznaczonym na obchód jubileuszowy, równo upłynęło pół wieku, od kiedy on wyszedł z pod pióra jubilata.

Oto kilka wyjątków z niego:

....wszystko to jest zniemie:
Laska pańska, gust kobiety, pogody jesienne.

Krasieki.

„Gdybym mógł wierzyć, że obroty i szyki gwiazd wpływają na wypadki naszego życia, i że podróż, pod nieszczęśliwym zaczęta znakiem, źle się wiedzie; mógłbym sprawnie twierdzić, że do końca nie się nam nie będzie szykowało. Nie wiem, czyli to Mamę Dobrodziejkę zabawi, lub nie, lecz ja wielką w tęp znajdę pociechę, gdy nieszczęśliwy dzień wczorajszy mamusi opiszę”.

Jeszezem domową ma hube strzeche
Smętnem mógł oglądać okiem,
Jeszezo, tę mając jedyną pocieche,
Karmił się Dolhej widokiem;

Gdy się niebo zachmurzyło,
Dał się uczuć wiatr jesienny,
To raz mocny, potem zmienny,
Z wielką, to znów z mniejszą siłą.

„Lecz wiadomo, że zawsze pochlebiamy
sobie, iż z tego, co nam niemiłe, nie nie bę-
dzie; a zatem

Śmiałośmy osadzili, spojrzawszy do góry,
Że wiatr rozpędzi chmury.

„Jakoż bez wypadku dostaliśmy się do Be-
rezowój karczmy.

Tam, gdy za stołem usiadłem
I gruszki wyjmując jadłem,
Grzeczny żyd wyniósł z komory
Orzechów półmisek spory.

Tymczasem nieszezęściami obciążona chmura,
Sunie się od zachodu jak alpejska góra,
Warczą z daleka grzmoty i błyski migają,
Głosy płaczliwe ptasząt cisze przerywają,
Szumią galezie lasu, zwierz w norach się kryje,
A chmura dalej rusza i już burza wyje.

„Po rozmaitych w karczmie z żydem i księ-
dzem rozmowach, w czasie kropiącego już
deszczu, wyjechaliśmy z gospody.

Bodaj domowa strzecha spokojna i cicha!
Lepsza, niż w wojnie złoto, w pokoju miedź licha.
Bodajto żyć spokojnie, nie zajrzeć nikomu.
Przy kominie, w cicheści, śród wiejskiego domu!

„Ale, że to niepodobna, trzeba się i z bu-
rzą oswoić,—

Bo kto nie doznał niewczasu i znoju,
Nie skosztuje słodczy wiejskiego pokoju.

„Tymczasem, porzuciwszy to wszystko, po-
stępuję do dalszego opisu podróży:

Z początku deszczyk kropił zwolna i nieznacznie,
Ale potem za kolnierz jak nam tu nie zaczął...
Płyną strugi po sukniach, po bryce i koniach,
Coraz gęstsze kaluże, już płyną w toniach...
I tak utrapieni srodze
Wśród lasu, błyskaw i gromu,
Jadąc po bezcennej drodze,
Woleliśmy zostać w domu.

„Brakło jeszcze ciemności, i ta wkrótce
nastąpi;

A niekiedy pioruny bijące z daleka,
Światłem swym wskazywały człowiekowi ezleka.

„Gdybyż przynajmniej można się było spó-
dziwać, że ta młoka wybawim jaką poku-
tującą duszę, jak ów podróżny Mickiewicza,
co mu oś pekiła na mostku, byłoby to mo-
gło pocieszyć w tym utrapieniu; coż gdy
niczego podobnego spodziewać się nie było
można“.

Tu, na wspomnienie ballady Mickiewicza,
budzi się w siedemnastoletnim rymotworecy
duch romantyczny. Po kilkunastu wierszach,
poświęconych opisowi coraz cięższej i przy-
krejszej podróży, czytamy dalej:

Za górą wśród gęstych błysków,
Grzmotów, piorunów pocisków,
Ujrzelismy chatek kilka,
Bedziem przy nich—jeszcze chwilka.

Chwilka tylko,—już mijamy
Mały młyneczek bez tamy
I na wzgórkach kościół stary...
Wtém—czy prawda, czy to czary?
Widmo jakieś z dala bieży,
Bez nakrycia i odzieży,

W ręką, naśmiewając się i z wiatru i gromu,
Trzyma pęk buczyn wielki,
I tak wybiega z domu,
Niosąc na przypadek wszelki,
Niby tarcze jakąś, niecki.
Był to duch jakiś zdradziecki;
Myśmy nań krzyknęli z dala,
Duch się z snu swego ocecił,
Co prędzej ogień porzucił,
A sam się spiesźnie oddał.

„Duchem tym był nieostrożny chłopiec,
co się z ogniem do obory wybierał. Tak
tedy dojechawszy do Krystyanpola, i obsu-
szywszy się należycie, postanowiliśmy bez
parasola nigdzie się nie ruszyć. Tak to za-
wsze *mądry polak po szkodzie*. Jakoż dziś
papa parasol kupił i resztę drogi jesteśmy
bezpieczni. Kończąc ten długi i nudny opis
i przepraszając, że go wierszami wysłowił,
zostaje mój Dobrodziejki przywiązany
i szczerze kochającym synem Józef“.

U spodu tego listu znajduje się winiętka,
piórem naszkicowana, a przedstawiająca
u góry główkę aniołka z rozpostartymi skrzy-
dełkami, u dołu po dwóch stronach dwie
inne jakieś fantastyczne, niby satyrów, czy
szatanów, a w pośrodku gótykami litera-
mi wypisane miejsce pobytu *Krystyanpol*
i data. W rymotku tym znać już nie-
mąłą wprawę ręki i pewną pomysłowość,
dla tego też wspomniany tu o tej pierwszej
znanej nam próbie artysty Kraszewskiego,
który w dojrzalszych latach z takim za-
miłowaniem malarstwu się oddawał, i dziś
jeszcze znajdując w nim miłe wyśmienienie po-
lierackiej pracy.

Wrażenia, jakich doznał Kraszewski, po
przybyciu do Wilna, odnajdujemy w „Powieści
bez tytułu“ wiecie odmalowane.

„Pierwsze dni były, jak zawsze, pełne
zajęć i zachwyty. Jak gdyby się obawiał,
żeby mu wszystko nie pomicikało, obejrząc
ehol razem całe Wilno, pamiątki jego, oko-
lice i osobliwości. Polecił z kolegami dra-
pać się na górę zamkową, do sterczących
zwłok Głównego Zamku, do katedry, na
groby czczonego Witolda, na Bekieszówkę, po-
nad Wilną do gruzów pałacu Barbary, do
Ostrej Bramy... Obiegał kościoły, zachwycał
się uroczemi wieżami tego grodu, któ-
rego każda pięćdziesiątka przesiąkała tysiąca-
mi pamiątek. Głowa mu się paliła na same
myśl, że depce pobojowisko, przez które
przeszło tyle wieków, bohaterów, ludów, za-
pala i poświęca. Nie było chwili czasu,

żeby odetchnąć, bo z jednej strony wpisy, rozpoczynające się prelekcyę, z drugiej—porywające życie akademickie, tysiączne pokusy i roztargnienia ogarniały go, chwytając myśl, serce i przytomność, wprawiając w rodzaj rozkosznej gorączki. Któż z nas nie pamięta (pyta Kraszewski) tego szalu dni pierwszych i rozmarzenia, w jakim poczyniał żywot akademicki, będący nieustannym pasmem zachwytów. Zetknięcie się tyłu młodości z sobą, jak skupienie w jedno ścisłe ognisko promieni słonecznych, musiało wyrodzić stan całkiem nowy i niezwykły w innych życia warunkach. Z drugiej strony nie nie przeważało, nie poskramiało go, bo nauczyciele nawet, i co się tylko z tym młodym ludem stykało, porwane wirami niepohamowanym, zamiast go usmięczać, pędem jego chwyceno, leciało na głębinę“.

Stan ówczesny uniwersytetu Wileńskiego znajdują czytelnicy zarysowany w artykule p. Chmielowskiego. Kraszewski zapisał się na wydział literacki, lecz przez ciekawość, przez zamilowanie w naukach w ogólności, i na lekcye medycyny czasem nieszczęśliwy. Ztąd też w „Powieści bez tytułu“ znajdujemy charakterystykę młodzieży z obu tych fakultetów, którą tu przytaczamy, aby dać poznać czytelnikom te elementy, które na ducha jego oddziaływać musiały.

„Medyce, po większej części chłopcy ubodzy a pracowici, garnęli się do świętej nauki z zapalem, rażno jakoś i ochoczo, smutne swe studia usiłując rozweselać humorem, nieustannie podtrzymywanym skupieniem się w gronku dla nauki i dodania sobie ducha. Pomiedzy nimi, począwszy od najznakomitszych inteligencji, do najpłytszych umysłów, szereg zdolności był niezmierznie rozmaity, wychowanie też, obyczaje, usposobienia najróżniejsze“.

Szyderstwo chłodne i niewiara szeroko tu panowały, choć były wyjątki, ogół wszakże składał się z materyalistów. Gdyby nie uczucia szlachetne, których wygasić nie mógł sceptycyzm zaraźliwy, kupka ta była by straszną, tak zimno już uczyla się patrzeć na świat, ciągle do czynienia mając z trupami, lub z człowiekiem w stanie anormalnym, schorzałym i upadłym; ale i te święte idee braterstwa, poświęcenia, uczucia honoru—żyły na ruinach bujnie i rozjaśniały szary horyzont materyalizmu. Idee te pomiędzy garścią medyków niemal do exaltacji dochodziły, tak żywo były uczute sercami, bo człowiek, z jednej strony stygnąć, musi drugą szukać, czemby się rozgrzał i poruszył“.

„W oddziale literackim, stosunkowo daleko mniej licznym, składającym się z uczniów uboższych jeszcze, których popęd niezłomny do studyów niewdzięcznych nakłaniał, większa była jednolitość usposobień i fizyognomii jednostajniejsza daleko. Było ich niewielu, zamysłonych, zapracowanych, niepewnych jutra, po większej części wyglądających w przyszłości ciężkiego chleba nauczycielskiego; a obok wytartych mundurów tych cierpliwych wyznawców nauki, zaledwie parę wytworniejszych fraków bogatych chłopców, którym tylko o stopień chłodziło, ukazywało się na ławach rzadko zajętych“.

„Większa część uczniów oddziału literackiego miała usposobienia, na które rachowała, i odznaczała się też nieodłączną od nich zarozumiałością. Mniej tu było braterstwa, związku, serdeczności, wesela, niż pomiędzy medykami; bo każdy chodził z sobą, myślał o sobie, ufał w siebie, i rzadko miał ochotę się rozśmiać“.

Że Kraszewski nie należał do rzędu tych sensatów pochmurnych i o sobie tylko myślałych, o tem wątpić nie można, bacząc nie tylko na temperament sangwiniczny, ale i na charakter ówczesnych jego utworów, w których górnie nadewszystko dowcip grzeczny, lecz wesoły nieraz aż do pustoty. Wiemy zresztą zkaż inąd, że pomimo tego, co, jak to niżej obaczymy, pisał do matki i do ojca o zatopieniu się w pracy umysłowej i o życiu sedynteryjnym, nie był wcale ani anachoretą, ani jakimś ascetą, lecz owszem, lubił i wycieczki zamejskie; i sznurkowanie po ulicach pomiędzy tłumem, dla zbierania wzorków z natury; i wyprawy nieco awanturcze na maskarady, w tym rodzaju, jak na przykład owe na Pohulance, opisane w „Obrazach z życia i podróży“, mimo to, że na takich zabawach studentom bywać zabraniano, szczególnie w maskach; i zaglądanie do kawiarni w tym guście, jak owa z „Powieści bez tytułu“ u *Julki*, z rzeczywistości wzięta; i swobodne, gwarliwe wieczorki koleżeńskie, z których jeden tak wdzięcznie w „Pamiętnikach nieznajomego“ odmalował.

Chcecie go złapać na gorącym uczynku, patrzeć i odgadujcie, bo on tu jest z pewnością:

„Stał się Ludwik i jego towarzyszków, składająca się z dwóch izdebek i przedpokoju, wychodzi oknami na ulicę; schodki do niej wiodą ciemne, które nieraz przekleli bede. Na wieczorną pogadankę nie potrzeba nam było przygotowań wiele. Dwie świece lojowe paliły się w dwóch pokojkach, które dym wagał się napelniać; Ludwik leżał na łóżku, myśmy siedzieli koło niego na

kuferkach, na krzesłach, na komodzie, gdzie kto padł. Roznoszono herbatę z sucharkami, w szklankach różnych kształtów i barwy, z niedostateczną ilością łyżeczek, które szczęśliwym się tylko dostały, reszta nie szalała piórami i szczyrykami, lub nie nie szalała weale. Kilka cybuchów z małemi fajeczkami czarnemi nieustannie napełniały się suchym tytoniem i wypróżniały się pod piecem“.

„Jedni przybyli w szlafrokach, drudzy w narzuconych płaszczach, inni w starych wytartych mundurach. Kilku tylko przeniosło wista w pierwszej izbie, wista, co niechybnie faraonem miał się skończyć, nad gawędkę. Można miarkować, jaka była wrzawa, hałas i ile wesołego śmiechu!“

Zaczęło się od lekeyi i professorów, a każdy, wedle wydziału, do którego należał, swoich chwalił, lub przeklinał. Rzadki jednak co złego o nauczycieli wyrzekł; większość kocha ich, i słabości nawet, tak łatwo łapać się dające, pobłażaniem szacunku okrywa. Anekdoty o życiu prywatnem, o żonach professorów, o zwyczajach ich, śmiesznostkach, powtarzano po raz tysięczny. Każdy tam swój grosz dorzucić musiał. Układano się o korepetycyę, o pożyczanie spisanych lekeyi i książek. Cieszyłem się, widząc, że już samo nabywanie szacunku ożywiało nas wszystkich. Biedacy tylko, na umyśle chorzy, podupadli na odwadze, szukają sposobów jak najłatwiejszego wyuczenia się na pamięć tego, co przyswoić sobie należy.“

Nie na tém wszakże kończyły się Kraszewskiego w Wilnie rozrywki. „Ówczesny świat wileński (czytany w „Powieści bez tytułu“) nie wyjmując nawet najpierwszych domów, chętnie wstęp dawał tym, którzy nosili mundur akademicki, nigdy nie splamiony nieczem i służący za najlepszą rekomendacyą młodzieży. Był kto wprowadził akademika, przyjmowano go wszędzie, jeśli nie ze szczególnemi względami, których młodzież wymagać nigdy nie na prawa, to z uprzejmą i serdeczną grzecznością. Malo też było rodzin, u którychby na wieczorach, zabawach i przy codzienniej herbacie, nie ukazał się kto z młodych uczniów uniwersytetu. Był to żywioł, wlewający w tę społeczność nieco ruchu, nieco uczucia i ognia. Minowolnie rozgrzewać się musiano od pierśi młodzieńczych.“

Wątpić tedy nie można, że i Kraszewski na podobnych herbatach, wieczorach i zabawach uprzejmie też był witym, tém bardziej, że się już i talentem z grona rówieśników wyróżniał, i przez krewnych, na-

leżących do wyższej sfery w towarzystwie wileńskim, łatwy wstęp do najpierwszych domów mógł znaleźć; żeby jednak częstym w nich bywał gościem, żeby podobał w towarzystwie etykietałnem i chętnie się garnął do niego, tego znów utrzymywać nie można, znając dobrze jego usposobienie pod tym względem, stałe się objawiające, równie w pismach jego, jak w życiu, w którym zawsze za najcięższą próbę dla siebie liczył wszelkie zetknięcie się z tak zwanym wielkim światem, że przypomniły tylko jeden następ z „Trapezologii“, gdzie widzimy go, jak w podróży, zaskoczony przez srogą burzę z piorunami, które na niego zawsze wywierały niewymownie przykre wrażenie, waha się, czy się schronić przed niemi do pańskiego palacu, po pod którym właśnie przejeżdża, czy też raczej zmoknąć do nitki i poddać się wszystkim męczarniom podrażnionych i rozszalałych nerwów.

O studiach Kraszewskiego w tym czasie, o zamilowaniu jego wielkim w nauce, możemy powziąć jak najdokładniejsze wyobrażenie z „Pamiętników Nieznajomego“, zwłaszcza porównyując je z listami, z tejże epoki, do rodziców pisywanemi.

„O moja matulin! (pisze w rzeczonych „Pamiętnikach“), skarby drogie są w nauce! nie myśl, bym je miał zaniedbywać, nie lekaj się także, bym Boga z oczu stracił. Nauczyłaś mnie widzieć Go wszędzie, szukać Go zawsze, i obejść się teraz bez Niego nie mogę. Nie myśl, bym dla poczyti naukę rzucił! Nauka dostarcza materiału pocieci, ona mi szerokie rozświetla pole, jasno ukazuje przestrzeżenie. Niema nauki suchej... Nie! poczyta nie wyłącza nauki, owszem, obejść się bez niej nie może. A kto ją ma w sercu, temu przesiąknie wszystko poczytą, jak soki ziemi, przechodząc lodygę róży, w jej się zapach zmieniają, jak w pszczołce pokarm miodem się staje i woskiem!“

„Opiszę ci, matulin, moje zatrudnienia, abyś się przekonała, że nie próżnuję przecie. Uczę się czego pragnąłem, i uczę się z zapalem. Większość naszych nauczycieli ze wszech miar na wdzięczną zasłużył pamięć. Są to ludzie zamilowani w swym przedmiocie, a to zamilowanie jest największą rekojnią dla uczniów. Patrz! wprawdzie ze stanowiska materialistów, ale czyż temu winni? Uczyli się, młodymi byli, gdy nauka na tém stanowisku prawie wszędzie stała; nie dziw więc, że się i oni na niem znaleźli. Nie są to geniusze, co by w jakimkolwiek sposobie reformować mieli; ale ludzie z talentem i sumiennymi. Jeden tylko (nazwiska ci nie powiem, cudzoziemiec, szyderstwem zbywa naj-

poważniejszy przedmiot, który traktuje. Dwa wielkie imiona, dwa luminarze nasze, nie na naszym horyzoncie świecą (zapewne Jędrzej Śniadecki i Porywanko) nie będą więc ich sądził. Ja z moich zwłaszcza rad jestem. Kocham Leona Borowskiego... jest to seep-tyk w głębi podobno, ale człowiek głowy i serea, nauki wielkiej, wyrozumiały dla nas, przyjazny wszelkiemu młodemu talentowi. Mówiłem z nim kilka razy, zachęcał mnie nawet, jestem z tego trochę dumny.“

„W ciągu tygodnia uczęszczęm regularnie na lekye, które mi przypadają w różnych godzinach przed- i poobiednich. Oprócz języków, historii, literatury i tego, co do oddziału mego należy, chodzę na lekye malarstwa, rysuję z natury. W pozostałych godzinach tyle jest do czynienia obcego, naszego, nowego i dawnego! Muszę grać, rysować i spoezać; nie mogę być całkiem obcy towarzyszom moim. Widzisz więc, matniu, że dnie mam zajęte, a zawsze mi się krótkimi zdają. Na moje pragnienie nauki zycia doprawdy za mało.“

Wprost zaś już od siebie Kraszewski, z końcem pierwszego roku akademickiego, po odbytych szczęśliwie examinach, pisze do ojca:

„Pan Holówko powiada, że mnie sedenterya wychudziła i wybledziła; ja toż samo utrzymuję, ile razy spojrzę w zwierciadło; ale wszystko, co tylko ciało upieknia, nie przed naukami i umysłowym posiłkiem. My żyjemy w ciele, jak ślimak w skorupie, a dusza nasza i umysł jest wszystkiem. Tęto dopiero rok, kiedy mi raz pierwszy w życiu bogate języków i nauk otworzył skarby, obdził nieznany zapal do nauki. Czuję, że jęć moje życie poświęcę i dla niej jestem stworzony. Jeżeli kto na świecie się nudzi, niech się uczy, a uzna, że jedna tylko nauka i praca umysłowa może człowieka uszczęśliwić. Wakacye moje tego roku będą pracowite: mam napisać odpowiedź na temat Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w Warszawie zadany, za którego rozwiązanie jest tysiąc złotych nagrodzony; moja historia języka polskiego czeka także niecierpliwie porządku; Grammatyka Arabska, ogromna in 4-to, pożyczona na całe wakacye, potrzebuje mojego pióra do skrócenia. O! cóż tu przyjemności przy tak urozmaiconej robocie!“

Jest to jedyny list, dochowany z pierwszego roku pobytu Kraszewskiego w Wilnie. Widzimy, że się w nim nie chwali przed ojcem ani poczytami, ani powieściami swojemi, lubo wiemy zkaąd inąd, że już w tym czasie miał ich zapas nie mały: że wykończył już „Wielki świat małego miasteczka,“ i „Pana Walerego,“ rozpoczęte jeszcze na

szkolnej ławie, i kilka nowych rzeczy napisał, jak np. „Dwa a dwa cztery;“ że, jak to w „Powieści bez tytułu“ odnajdujemy: nosił się z niemi nadaremnie po drukarniach, Zawadzkiego, Marciniowskiego, Zymela i Manesa i Glücksberga, zanim powziął postanowienie ogłosić je na drodze premiera-ty pod tytułem zbiorowym: „Kilka obrazów towarzyskich,“ na które prospekt już miał przez cenzurę zatwierdzony dnia 21 Czerwca (2 Lipca) tegoż roku, a w Sierpniu wydrukował go nawet w Kuryerze Litewskim. Prze-mielenie to wszakże łatwo się daje wytłómaczyć obawą, aby ojca, który nie rad był tak wczesnem popędowi jego do literatury nadobnej, i zarówno, jak wszystkie krewni, z wyjątkiem tylko babki i prababki, w ogóle dość niechętnie spoglądał na garnięcie się syna do zawodu literackiego, tém bardziej nie uprzedzać przeciwko sobie, nastęrczając mu przypuszczenie, że dla blahych chluku-bracyi może się zaniedbywać w studiach poważnych.

W tym też roku zaznajomił się i zaprzyjaźnił z wydawcą „Noworocznika Litewskiego,“ Hipolitem Klimaszewskim, którego piękną postać tak sympatycznie w „Powieści bez tytułu“ nam odmalował, a znajomość ta wpływ niemaly na działalność jego literacką wywarła, o czem nas przekonywa dowodnie nie tylko Powieść pamiętiona, lecz i jeden z *Listów do Nieznajomego*, (Kłosy T. XXVII N. 679), w którym pisze:

„Czy pamiętasz professora Klimaszewskiego? czy przypominasz sobie jego czarne, błyszczące oczy, ognia pełne, kruczy włos, i uśmieszek twarzy kwitnącej młodością? Była to sympatyczna postać. Przeżyliśmy z sobą długie a liczne godziny u św. Piotra na Antokolu i u św. Ignacego. Pamiętam o nim tylko, jako o człowieku, co mnie pierwszy skusił do pisania i zachęcił do pracy.“

W *Powieści zaś bez tytułu* tak charakterystykę jego i swój z nim stosunek określa:

„Młody ten człowiek, niedawno kandydat jeszcze w instytucie pedagogicznym, wówczas nauczyciel literatury starożytniej w szko-łach, dał się był świeżo poznać pracą, z jaką rzadko kto występuje w początkach, — uczonym, ale pełnym życia komentarem nad poczytami Stanisława Trębeckiego. Dzieło to nie mogło nieć i nie miało rozgłosu w sferach towarzystwa, zajętych czytaniem łatwem, gdzie zaledwie o niem wieść doszła, ale zjednało mu szacunek u ludzi, ceniących głębszą naukę i miłujących poczytą jedną śpiewaka *Zofiówki*. Professor Hipolit rzucił tę książkę, chcąc przez nią powiedzieć: oto, co mogę, — oto, co umiem! — Ale za-

razem widząc, jak głodne rzesze wyglądały pokarmu, jak ogół pragnął strawy, któryby pożywać umiał, przeczuwając, że wychowanie literackie czytających počać się musi od ksiąg, pod formą łżejszą wiodących do myśli i pojęć surowszych o sztuce; przedsięwziął zebrać w jedną wiązkę wszystkie natchnienia młodzieży, wszystkie utwory swoje i rówieśników, wszystkie śpiewy, w których tętniała tęsknota wieku i wyrwały się uczucia jego. Tą powodowany myślą, gromadził do Noworocznika swego kłosa po polu z niezmordowaną gorliwością, nie wahając się schylać po nie i do tych, którymi by inny pogardził, jako niedorosłeni dziećmi. I w dzieciach czasem mówi proroczo przyszłość.

Schylał się więc i do Kraszewskiego i umieścił w „Noworoczniku“ swoim jego „Historię organisty Sokalskiego,“ i „Wieczór, czyli przygody peruki,“ następ z powieści „Dwa a dwa cztery.“

„Noworocznik Litewski,“ podpisany przez cenzurę, d. 3 (15) Listopada 1830 r., prawdopodobnie wyszedł w Grudnia; ale czy autor „Organisty“ doświadczył tej rozkoszy niewysłowionej, jaką się do zawrotu głowy upaja każdy początkujący, dostając wprost z pod prasy jeszcze wilgotny pierwszy arkusz najpierwszego utworu swego? rzecz to bardzo wątpliwa: dnia bowiem 3 (15) Grudnia zvaliła się na głowę jego burza, której zapowiednia mu była owa, co nań spadła w drodze do Wilna.

Nie wdając się w szczegółowy opis tej katastrofy, krótko tylko powiemy, że zanościło się na to, a nawet zapadło już było postanowienie, iż miał pióro na karabin zamienić. Skutkiem wszakże nadwątlonego zdrowia, nie mógł się udać w drogę niezwłocznie i poszedł na kuracyna do szpitala księży Piarów, zkad dnia 18 (30) Grudnia 1831 r. pisał do matki:

„Korzystam ze zręczności, żeby donieść mamie, że jeszcze żyję i jestem w mieście do czasu, bo sam nie wiem, kiedy mi jechać w podróż wypadnie, i to w podróż, oeh jaka! której się nigdy nie spodziewałem. Cały ogrom moich myśli i wyobrażeń zmienił się od czasu, jak to niespodziane nieszczęście mnie uderzyło. Ale też, o kochana mamko, jak wiele to nieszczęście posłużyło do rozwinięcia mego ducha, do ustalenia charakteru! Mogę powiedzieć, że od tego dopiero czasu zacząłem rozumować, jak doznałem, co to nieszczęście. Przypomina mi mama i babunia, abym nie zapominał o Bogu. Ach! któż kiedy w nieszczęściu o Nim zapominał. W pomyślności wielu lu-

dzi o Nim zapomina, ale nieszczęśliwy nigdy. On ku Niemu ręce podnosi, bo w Nim tylko dla nas nadzieja. Gdybym mógł pokazać choć na chwilę stan mego serca i duszy, nie można by mnie nigdy obwiniać o obojętność lub zapomnienie. Zapomnieć rodziców, sióstr, braci, krewnych, nie podobna temu, kto umie czuć, bo w nich polegają najmilsze nam, najdroższe i najtrwalsze uczucia. Nie tak serca nie rani, jak prośba matki do syna, aby o niej nie zapominał; kto zapomni o matce, ten nie wart, aby o nim Bóg pamiętał. Jedyną pociechą moją w tym stanie są książki; rzuciłem się teraz na drogę zupełnie suchą; marzę sobie o filozofii, śmieję się z nieszczęść, dumam, czasem płaczę, ale najwięcej czytam. Nazwałbym największym moim nieprzyjacielem tego, kto by mi książki odebrał, byłoby to może więcej, niż życie odebrać, bo ja dziś tak mało życie cenię, iż nawet się nie staram, aby je przedłużyć... Może moi bracia lepiej odwdzięczą starania i lzy rodziców. Ja już zginałem dla was i dla siebie. O kochana matko, nie płacz nade mną! ja wszystko wycierpie i zniosę, jeżeli będę wiedział, że nikt po mnie nie płacze, bo wiedząc, że mój drugi nieszczęśliwym nie czynił, podwójnie cierpieć będę“....

„Może to jeszcze nie ostatni list ode mnie... ale żegnaj was, kochana matko, ojciec, babki, siostry, bracia: Joasin, Anusiu, Lucyanie i ty maly Kaziu! pamiętaj, żeś miał brata, który był nieszczęśliwy, ale nigdy występny, który zbłądził nieraz, ale nie z nalogu, który kochał cały świat, który na świecie dojrzał za predko i zmarł za predko na wszystko. Niech to będzie dla was nauką, że nie bardzo trzeba się cieszyć, kiedy dziecko nad lata pokazuje po sobie zdolności; ach! taki nieszczęśliwym jest bardzo, walczy ciągle z samym sobą i ginie wówczas, kiedy drudzy żyć zaczynają.“

W tydzień potem pisał znowu do ojca:

„Jestem jeszcze tutaj i nie spodziewam się nawet predko wyjechać; tymczasem siedzę, a że od dawna nad książkami siedzieć przywykłem, więc mi dziś nie bardzo przykro, a przy tém oswoilem się z swoją dolą: wszakże mi przy urodzeniu napisano na czole, że mam cierpieć. Cóż mi poradzi, że będę płakał nad sobą.“

„Szczęśliwa przyszłość nas czeka, bo w tém życiu niema, nie było, nie będzie, nawet nie może być szczęścia“....

„Ja zaczynam się przyzwyczajać do swego teraźniejszego położenia, może i z przyszłym moim stanem także zgodzić się jakkolwiek potrafię!“

„Żegnaj papę i mamę! jeżeli nie na tym, to na tamtym świecie wszyscy się zobaczymy. — Wdzięczny, przywiązany i do śmierci kochający syn.“

Nie spełniły się wszakże smutne przeczuć: burza przegrzmiała i znów pogodnie niebo usmucnęło się młodzieńcowi. Dzięki staraniom i wpływowi panny Dłuskiej, generał gubernator wileński, książę Dolhorn-kow to sprawił, że Kraszewskiego ominęła służba wojskowa. Wiadomość tę radośnie przyniesiono mu w sam dzień jego patrona 7 (19) Marca 1832 roku. Nazajutrz pisał do rodziców:

„Dziś dla mnie dzień pamiętny na całe życie. Prawdziwie teraz powiedzieć można, że ręka i opieka Bozka nade mną niezastąpionym jeszcze spoczywa. Wrócony na łono rodziny, do której serce moje wzdychało, będę się starał otrząść lzy łeh i na przyszłość zasłużyć na łeh przywiązanie. Jedno tylko pozostaje mi do życzenia: ażebym jak najprędzej przestał być ciężarem łm i mógł kiedykolwiek, choć w milionowej części, odwdziżyć laski najukochańszych rodziców.“

Nie zaraz jednak mógł do domu powrócić, a jakkolwiek tęskno mu było do rodziców i białek, do sióstr i braci, wszelako słuszenie wnosić możemy, że nie tak bardzo przykrzył przymusowym pobytom w Wilnie, gdzie właściwsze pole i odpowiedniejsze warunki, niżli na wsi, dla swych ulubionych zajęć znajdował, i gdzie życie dla młodego człowieka musiało samo przez się mieć nierównie więcej pożytku, niżli *przy kominiu, w cichości, wśród wiejskiego domu*, do którego tak tęskno wzdychał podczas nawałnicy w podróży. Zresztą i sam się nie tuił z tēm przed matką, że mu dobrze tam było; pisał do niej: „jestem tu prawdziwie w swoim żywocie: żyję jak chcę, wstaję o której chcę, o której chcę, się kładę, robię co chcę, i cóż mi brak? tylko mamy, papę i Dolhego. Przy tēm wszystkim, proszę sobie wyobrazić otwartą na moje rozkazy całą księgarnię, arcydziela stare i nowe, proszące się tylko, żebym je czytał! Ach gdyby jeszcze mama, papa, siostry i wszyscy tu byli! Ale niechno pokoić moje łntesa i to, co zamierzam dedykować księciu; a zaraz piękną prośbę napiszę do niego tak czule, że mi pozwoli pewno, pewno, wrócić do domu. Ach! gdyby jeszcze w Dolhem była księgarnia, Ale mniejsza o to! W Dolhem dla mnie jest więcej, niż całego świata księgarnie i księgi!“

Mieszkał wówczas nawprost kościoła Ś-go Jana w domu Orłowskić, zajmując z razu jeden pokój obszerny, w którym za parawa-

nem stało też i łóżko jego lokaja, po imieniu także Józefa, przysłanego mu do posługi przez ojca; ale z czasem z własnych już literackich dochodów przynajął sobie drugą, mniejszą, obok położoną izdebkę, a tak rad był z tej swojej rezydencji, tak w niej sobie podobał, iż ją najpierw w liście do matki, później w „Obrazach z życia i podróży“, a w końcu i w „Pamiętnikach nieznajomego“ opisał w ten sposób:

„Umieściłem się pod bokiem jezuickiego kościoła i uniwersytetu, naprzeciw wieży Święto-Jańskićj, wprost Długićj ulicy i placu, pełnych ruchu i gwaru. Niema tu zieleności drzew, gór, ale mam kawalek nieba i dużo ludzi. Ludzie czasem warci są drzew, a pewnie dłużej przedmiotu do myślenia dostarczają. Z wysokości więc poglądam na nich i próżnuję całe godziny, przypatrując się dziewczętom biegnącym po wodę, woźnikom wabiącym przechodniów, pobożnym tłumom, idącym do kościoła, gwarliwym szmerem mojej rówieśniczej młodzieży. He tu spostrzeżeń z wierzchołka mojego obserwatorium niezmięć można!... Mam dwa pokoje na drugiem piętrze. Pierwszy wygląda prawie na salę, tak wielki, przestronny i wysoki, ale brak przedpokoju czyni go razem salą, sienią, jadalnią i garderobą. Za szarym, kwiecistym papierem pokaleczonym pokrytym parawanem, tuli się mój poczeiwy sługa i wszelki sprzęt, milkający oczu ludzkich... Kątek użyteczny mało co ujmując rozległemu salonowi: przy ścianach jego, niegdy sinych, dziś szarych, tuli się zbierane meble różnych wieków, różnych kształtów... W głębi, za drzwiami, komin zimny i nieużyteczny, tuż piec potężny. W ścianie, na płacyk wychodzącej, dwa duże okna, osłonięte firankami — niestety — nie dziewiczej już czystości. Przed ogromną, olbrzymem, kanapą, mój stolik, zarzucony papierami, książkami, pióro, nutami i rysunkami. Naprzeciw — fortepian najęty, poczeiwy, rozbity instrument, który mi przecież służy, jako może, i nieraz z serca wywoła jasną, harmonijną nutę. Nad nim jedyna rycina... wyobrażająca Adama, przebudzającego się ze snu i spoglądającego na Ewę. Rajskie przebudzenie!... Ale któryż malarz wyrazi, co wyrażać powinna twarz Adama? Podziwienie, niepokój, upojenie i radość. Naszemu rytownikowi wcale się to nie udało. Natomiast kilka wierszy Milfona, podpisanych u spodu, wiodzą nas lepiej w czarodziejski ów raj.“

„Minawszy fortepian, wchodzim do drugiego pokoju, na którym kończy się moja

posiadłość. Małeńki, przyziemny, miły jest wszakże. Tu widocznie przyjmujemy gości, bo niema ani rozrzuconych papierów, ani polamanych piór, ani literacko-studenckich owych śmieci, w które obfituje moja pocziwa sala. Natomiast jednostajne krzeselka, mahoniowa kanapa, stolik, wielkie *trumeau* w kąciku, *Historja Pała i Virginii* na ścianach. I po wszystkiemu.

„Otóż odszkiecowany z wickszych rysów obrazek mego mieszkania; ale ileż to drobnych poświęcić się musiało. Zapomniałem na przykład, wielec charakteryzujących salę, pajaka szklanego, zlocistego, grubo zapylonego, zwieszającego się od sufitu, i ekrana od komina, który wyobraża dwa całujące się gołębie... mocno spłowiałe w tym nieskończonym calusie“.

W liście do matki jeszcze dodaje do powyższych zalet mieszkania; „O kilka kroków Glücksberg, a woda sławna z doskonałości, Święto Jaiska, przed moimi oknami. A co się tycze stołu (czytamy w tymże liście) ten jest dobry, i że ja nie wiele jadam, bardzo mi wystarcza. Za złoty na dzień żyję wysilenie! Mam sobie najczęściej rosół dobry z ryżem z cieleciny, pieczone lub kotlety. Alboż to niedość? Z rana pije herbatę i w wieczór zamiast wiecerzy. Właśnie teraz rozmyślam, jakby tu co innego sobie przybrać, bo cukier drogi i wiele go wychodzi, może będę pił mleko“.— „Jedynem mojem staraniem (pisze znów w innym miejscu) utrzymać się jak najoszczędniej; pożalowałem sobie nawet na rękawiczki, których nie sprawiam, bo mało wychodzę. Za to też pewny jestem, że papa będzie ze mnie kontent, bo się z tego, co mi laskawie przeznaczył, utrzymam“. W miesiąc jednak potem matce domosi: „Sprawiliem sobie z *moich* dochodów piękny surdut, dogadzając żądaniu papy, który mi się kazał oporządzić“. A znów później w parę tygodni: „Lekajac się, żebym moich pieniędzy nie roztrwonil, posprawialem sobie wiele rzeczy, do ubioru osobliwie. Garderobie mojej nie nie brakuje, jestem nawet elegant... ale to nie nie szkodzi... trochę“. I jeszcze nieco później: „W tej chwili pocisnałem mój zegareczek złoty, niewiekszy od dwózzłotówki, i on pokazał mi dziesięć minut po jedenastej. Ten zegareczek, tak regularny i tak mały, kosztuje nie blisko dziesięciu dukatów. Trzebaż się było kiedyś zdobyć na niego. Glücksberg dał mi na to pieniądze. Papa może gniewać się będzie; ale ja rzeczę, że się nie oszukał,— najlepszy zegarmistrz go ocenił, a idzie tak regularnie, jak największa Bregetowska cybula w kieszeni jakiego amatora“.

Glücksberg dał pieniędzy! czyż to nie end zaiste! Glücksberg dał pieniędzy, początkujecemu i tak młodemu jeszcze pisarzowi! po ukazaniu się zaledwie pierwszych próbek w „*Noworoczniku*“ i „*Pana Walerego*“.

Tak było rzeczywiście; gdyż „Pan Walery“, który rok przed tem wyszedł z jego drukarni, choć zdaje się, że nie jego nakładem „Pan Walery“ sprawił na czytelnikach dosyć wielkie wrażenie; mimo bowiem wszelkich wad swoich, był wcale niezwykłym zjawiskiem na owe czasy, kiedy oficyna Zymela i Manesa drukowała szuwaksem, ćwieczkami na bibule i na wózkach żydowskich rozsyłała po całej Litwie i Żmudzi, za jedyną nieledwie strawę umysłową, same tylko semniki, kalendarze, albo Syndbada i Magiellone, albo wreszcie powieści, tłumaczone z francuzkiego, niemieckiego i rossyjskiego, oraz książki nabożne nawpół z romansami Lafontaine’a i Kotzebuego.— *Pasternak* poruszył, zainteresował, zaintrygował wszystkich, a choć jedni się nim gorszyli i dziwy niestworzone wymyślali na autora, wielu było jednak i takich, którym się dla świeżości i oryginalności, tak treści, jak i formy, rzeczywiście podobał, w handlu zaś książka miała powodzenie ogromne.

Reminiscenye tego wrażenia widzieć się dają w pewnym stopniu na kartkach powieści bez tytułu; a i w listach Kraszewskiego do matki znajdujemy ciekawy szczegół, odnoszący się do tego zaciekawienia publiczności, po wyjściu również u Glücksberga drugiej powieści „*Pasternaka*“.

„Dziś jestem proszony na obiad do traktierni Tyeyusa od jakiegoś Pana Moniuszki, bogatego obywatela z Mińskiej Gubernii, który życzy sobie mnie poznać, przeccytawszy *Pasternaka*. Mnie to bardzo ciesz... *voilà de la roque, je crois*“— Było więc już coś nawet i w rodzaju owacyi, i to ze strony tak poważnych obywateli, jak powszechnie znany wówczas i szanowany na Litwie Moniuszko, (ojciec Stanisława).

Nie dziw tedy, że Glücksberg nie zaniechał pochwycić w swoje ręce tak wiele obiecującego pracownika. Wprawdzie chciał był go zaprzadzić przedewszystkiem do przykładów, do *słownika polsko-rossyjsko-francuzkiego*, ale i oryginalnemi utworami nie gardził, równie jak Marcinowski, który już w tym czasie nabył od Kraszewskiego *Dwa a dwa* cztery, i *Majstra Bartłomieja*, lubo ogłosił te powiastki ledwie w r. 1837.

Z listów Kraszewskiego do matki dowiadujemy się, że za tłumaczenie *Domu Białego* miał dostać po 20 rubli od tomu, a za *Słownik*, ni mniej ni więcej, jak 30 duka-



J. I. Kraszewski, w wieku młodzięcym.

Facsimile pisma J. I. Kraszewskiego z r. 1819.

Najmilszy dla serca mego,
dopelniam obowiązki tużaj zycie
mea moie, o wisczenie omylek nie-
ustawienie blagac bede Poya.
Najstaszniejszej babuni' dobro
dzieci swego obowiazaniej praw
niek i Podzięk.
Jozef Kraszewski

Facsimile pisma J. I. Kraszewskiego z r. 1832.

Ach! Mam! doprawdy, ze miło jest pracowac, jako
Kto moie!.. Ojciec nie odpierze w oinac kiedy re-
ze niekiedy, mogly byzmaci piora, acy nie robacz,
biker na papierze, a towa nie uprzejmogli, w oin-
cas kiedy wydam ze druziciej Tomowi Dziel kiedy
brak slawny, ilepij, a paradirowany i bogaty w oin-
cas odpowiadaj...

Najprzeczniejszy syn
Jozef

tów (!). Szczegółowego wykazu owych honoraryów nie spotykamy, tylko pod dniem 29 Lipca (10 Sierpnia) 1832 r. znajdujemy taką wiadomość: „skończyłem dziś „Kościół S-to Michalski“ za który mi dają rubli srebrnych sześćdziesiąt za jeden tom! Wielka to różnica od tłumaczenia, bodaj-by się tylko sprzedać go udało i odebrać pieniądze. Wówczas radbym bardzo powrócić do domu z moimi skarbami, których do 200 rubli byłoby powinno, ale to tylko na papierze“. A znowu nieco później: „Od Glücksberga odebrałem już 60 rubli, od Marciniowskiego wszystko, t. j. czterdzieści pięć, a jeszcze zostaje czterdzieści, które odbiorę w przyszłym tygodniu. Prócz tego piszę na nowo. Obiecuję mi złote góry!“

Z pewnością wszakże twierdzić można, iż więcej nad te świetne zarobki i złote góry w obłeciu, któremi się chwalił rodzicom dla tego tylko, żeby ojca przekonać, że i z pióra żyć można,—więcej nad to do pisania sama skłonność wrodzona, sama potrzeba wynurzenia budzących się tłumnie uczuć i myśli, a obok tego i pragnienie tej sławy, o której w „Pamiętnikach Nieznajomego“ pisał: „O! sława, sława! to piękna i święta rzecz! Żyć w pamięci ludów, w błogosławieństwie pokoleń, najwyższa to nagroda życia, warta poświęceń i znojów. Sława, powiadają, jest fałszem, marnością, czezym dymem... Nieprawda! Znamię to uroczyste, którem ludu piętnują wybranych, a głosy ludów—głosem Boga. Sława jest uznaniem człowieka przez braci, sława nie dymem czezym, ale rzeczywistą i najwyższą płacą... płacą ducha duchowi... Ja chcę, ja muszę być, ja będę sławnym! A w liście swym do matki: „Ach mamó! doprawdy, że miło jest pracować, jak kto może! *Bedzie czas odpocząć wtedy, gdy już ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli; wtedy, gdy już wydam ze dwieście tomów dzieł, kiedy będę sławny, ślepy, sparaliżowany i... bogaty*“.

Owocami tej pracy, zadatkami tej przyszłej sławy, były, oprócz już wymienionych: „Ostatni rok panowania Zygmunta III“, „Kościół S-to Michalski“, oraz „Pan Karol“, które się wszystkie ukazały w r. 1833, i bez wątpienia w Wilnie, w domu Ostrowskiej napisane zostały. Nadto zaś spotykamy w jednym z listów do matki: „en outre je traduis quelques contes les plus nouveaux de Hoffman, Balsac, Janin, etc., pour être mis en recueille, que je publie incessamment, et j'ecris, on j'ébauche enore un Roman

en 5 volumes sous titre: *Trupia główka*. Ce sera une conception burlesque, sentimentale, romantique, infernale, gaie, sombre, bonne ou mauvaise—il y aura de tout“.

Co się stało z projektowanym owym zbiorem przekładów, nie wiemy; co zaś do „Trupiej główki“ słusznie można przypuszczać, że z niej powstał „Pan Karol“, gdyż, jak wiemy, bohater, tem imieniem ochrzczony, miał tak oryginalną fizyognomię, iż, kiedy się ukazał w traktynie,—„Sędzia dwa razy spojrzął na niego, i odezwał się do sąsiada po cichu:

— „Facecye! czysta trupia głowa ten jegomość; i oczy, i zęby! hm! p. Józefie?“

— „Prawda! prawda! jakie oczy! jak węgle! nos, usta, usmiec... zdaje się *trupia głowa*, tylko co wyjęta z kostnicy“.

Do szeregu tych utworów, w Wilnie powstałych, dodać jeszcze powinniśmy z przed roku 1832, oprócz już wyżej wymienionych powieści: „Pan Walery“, „Wielki świat małego miasteczka“, „Dwa a dwa cztery“, oraz „Majster Bartłomiej“,—„Kotlety“, zaznaczone w bibliografii świeżo ogłoszonej w Krakowie, i niewydane „Życie Cycerona z Plutarcha“, przełożone i objaśnione przypisami przez Józefa Kraszewskiego, a poświęcone Adamowi Jundziłłowi, któreśmy oglądali w rękopiśmie u p. Kajetana Kraszewskiego, a które nosi adnotacya Cenzora, że było mu złożone 1829 r. 28 Grudnia v. s.—Nadto zaś nie możemy zamileżeć o gromadzeniu materiałów do „Historji miasta Wilna“, której domyślać się wypada w przytoczonej już wzmiance o tem, co *Księżu dedykować zamierzał*, a z czego tymczasowo wznosił się „Kościół S-to Michalski“(*).

Nie samą wszakże pracą literacką zajmował się w Wilnie Kraszewski: już wtedy objawiała w nim się ta różnorodność talentu, co się z czasem tak bujnie rozwinęła, szczególnie zaś z wielkim upodobaniem muzyce się oddawał, i już 19 (31) Sierpnia 1831 r. pisał do matki: „Do dziś dnia już wiele nut napisałem, których tytuły, jeśli to zrobi jaką przyjemność mamie, wypisuję; chciałem nawet posłać którekolwiek, ale teraz pożyczone: 1) Grande Valse, sur des thèmes d'Auber, Rossini, Weber et c. 2) Variations sur un thème d'Auber de la Muette de Portici. 3) Variations sur un thème national favori, très connu. 4) Premier Caprice sur un thème polonais. 5) Second Caprice sur un

(*) Z tejże epoki pochodzi powieść historyczna p. t. „Zacy Krasowsky“, ogłoszona dopiero w r. 1845, naturalnie nie bez poprawek. *Przyp. autora.*

hème polonais. 6) Troisième Caprice en forme d'un petit Rondeau.

Nie dziwy więc, że przy tak mroznaiceonych i tak miłych zajęciach, przy rozrywkach i karmi umysłowej, jakich mu hojnie miasto dostarczało, w gronie rówieśników wesółych, wśród gwaru coraz głośniejszego, jaki dzieła jego budziły, nie przykrzył przezwlekającym się pobytem w Wilnie, a nawet z pewnym żalem mógł myśleć o rozstaniu się z ulubionym swym mieszkankiem, w którym tak błogie poranki i wieczory przepędzał, jak te, co w „Improwizacyach“ swoich i w „Wędrowkach“ później opisał; w którym miał szczęście w jesieni 1832 roku ukochać matkę przyjmować i czytać jej „Kościoł S-to Michalski“ i słyszeć z ust jej chlubną pochwałę; w którym, w gronie swych rówieśników, jako najmilszych i najczęstszych gości spotykał, utalentowanego muzyka Wiktora Każyńskiego, oraz Józefa Krzeczковского, co jednocześnie z nim w *Noworoczniku Literackim* wystąpił, a później, sam wydawca *Noworoczników*, prace jego ogłaszał w *Znieny, Birucie i Remembrancy*. — Rozstać się jednak było trzeba, bo, gdy przeszkoda do powrotu usunięta została, ojciec stanowczo zawezwał go do domu.

Kiedy ten powrót do Dolliego nastąpił, ściśle oznaczyć nie możemy. Wileńska korespondencya Kraszewskiego z rodzicami przerywa się 6 (18) Września 1832 r., ale explicyja z zarzutów przeciw „Kościołowi S-to Michalskiemu“ wysłana była do „Tygodnika Petersburskiego“ jeszcze z Wilna d. 13 Stycznia 1833 roku, list zaś jego do babki Małskiej, w którym jej donosi o przybyciu swymu w progi rodzinne, ma datę 28 Lipca, a jakkolwiek bez roku, odnieść go jednak niepodobna ani do 1832, co do którego nie ma wątpliwości najmniejszej, ani też do 1834, o którym mamy niezawodne wskazówki, tak w korespondencyi, jak i w datach pod artykułami w „Wędrowkach“, że go w domu przepędził; a że i w początkach jego, później wydanych, pod wierszem „Do Nowonarodzonego“, znajdujemy datę 3 (15) Września 1833 w Dollhem, mamy więc prawo utrzymywać na pewno, że dopiero w początkach lata 1833 roku pożegnał się Kraszewski z ukochanym Wileńkiem.

Nie wątpliwy, że pierwsze dni pobytu w gronie rodzinnym, dla młodzieńca o sercu tkliwym, kochającym, a stęsknionym do niego w długiej, pełnej niepewności, rozłace, musiały być bardzo przyjemne; że nie jeden wieczór spędził rokosznie na opowiadaniu drogiej swej matce o pierwszych swych wawrzynach i ciemiach, na odczytywaniu

jej swych utworów, na zwierzaniu się z nowych pomysłów i zamiarów; przypuszczamy zarówno, że i wiejska swoboda, rozrywki i zabawy, łowy, konie przejażdżki i wycieczki w sąsiedztwo, nowością wrażeń, nastrojeniem świeżego pola do studyowania życia i stosunków towarzyskich świata szlacheckiego z natury, zajmowały go z razu i pociągaly. Długo wszakże trwać to nie mogło: mimo wszelkiej swojej ponęty, był to świat, całkiem niepodobny do tego, jaki najlepiej odpowiadał ówczesnemu jego usposobieniu; brakło mu i księgarni, i drukarni, i miłych towarzyszy, przynoszących nowiny o tem, co tam o nim w świecie gadają; brakło tych wzruszeń nieustannych, jakie w Wilnie budził w nim ciągły ów gwar nagan i pochwał, a choćby plotek niedorzecznych, najdziwniejszych, który się wkoło niego rozlegał; brakło mu onć pełni życia literackiego, do jakiego tam nawykł, w jakim się rozmiłował namiętnie; a korespondencya z Krzeczowskim nie tylko nie mogła mu tych braków zastąpić, lecz owszem drażniła go, przynosząc mu daleki odgłos tego gwaru i ruchu, który mu był niegdyś tak miłym, a od którego, rad nie rad, się musiał usunąć, aby się w głuchej wiejskiej ciszy pogodzić. Nad to zaś, już tu nie mógł, ani kłaść się, ani wstawać o której chciał, ani robić, co chciał, ani w czytaniu i pisanu zatapiać się po uszy, jak to w Wilnie bywało.

Ojciec, czekając starć daty, po staremu trzymał syna w rygorze; nie wiele przywiązywał wagi do pochwał, jakich zresztą nie wiele ukazało się o nim do owego czasu w dziennikach, a boleśnie odczuł ostre nagany, jakich weale nie brakło; i z jednej strony widząc przez nie sponiewieraniem pocziwe swe imię szlacheckie, z drugiej upatrując w nich smutną wróżbę dla tego dziecka, co tak niewdzięczny sobie zawód obrało, na pracę jego literacką patrzył okiem niechętnym i wyraźnie dawał mu poznać, że wołał-by w nim widzieć gospodarza, pomocnika, wyrczyciela w trudach na zagonie rodzinnym, chlebobajnym, niż jakiegoś pisarza, młode lata próżno marnującego. A jak na toż, i wuj, i ciotki, i życzliwi sąsiedzi byli zupełnie tegoż zdania; więc p. Choraży jeszcze mocniej w niem się utwierdzał, czemu zresztą dziwić się weale niepodobna, bo wówczas żaden ojciec nie mógł wróżyć szczęścia synowi w zawodzie literackim. Smutne więc było położenie Józefa i rychło smutne ogarnęły go myśli.

„Wszystkie piękne marzenia moje o literaturze już się rozwiały; (pisał do babki) nie mi

nie pozostaje, jak oswoić się z życiem wiejskim, które, pomimo wszelkich przyjemności, nie mało jednak do życzenia zostawia. Zawód mój pisarski prawie skończony; rozpoczynając go od utworów słabych, chybionych, doznawszy ostrych krytyk a zachęty prawie najmniejszej, muszę dziś ubolewać nad tym smutnym początkiem, który już bardzo trudno naprawić. Jednak jeszcze pracuję; praca ta stała się potrzebą mego życia; piszę więcej, a boję, że człowiek, choć dąży ciągle ku lepszemu, nie może sam być pewnym, że dobrą jest to, czego dokonał.

W następnym wszakże liście, pisanym znów do babki w pół roku później, 1 (13) Lutego 1834 r., napotykam nieco więcej otuchy, obok bardzo ważnego szczegółu, dotyczącego „Historji miasta Wilna”.

„Ja teraz na gospodarstwie w domu jestem z mamą, papa do Grodna na sejmiki wyjechał; siedzę więc, i ile umiem, gospodaruję, nie opuszczając zwykłej mojej roboty pisanja. *Usłuchałem rady Babuni Dobrodziejki i piszę teraz, zgromadziwszy do tego pomoce, „Historję miasta Wilna”, piszę i czuję, że ta praca tak jest ogromna, tak wiele czasu, tak wiele poszukiwań wymaga, iż jest prawie nad moje siły. Dotąd jednakże jeszcze się nie odstręczyłem tej myśli, i wiele trudu i kosztu włożywszy już w samo zbieranie materiałów, nie chcę raz zaczętego i ukladu tylko wymagającego pisma porzucić. Inne moje ramoty posłałem do Petersburga i Wilna do Cenzury, i teraz mniej się już uskarżać mogę na złe przyjęcie, zapewne dla tego, że więcej uwagi do pisania przykładam.*”

A w jaki sposób te roboty powstały, co mu do nich było podniętą, świadectwo o tem znajdujemy w „Powieści bez tytułu” ukryte. Kręczkowski, jakeśmy już o tem wspomnieli, „podniecał go swemi listami z Wilna, i pościągł do dawnych zajęć, które już się stały potrzebą i nalogiem u niego, tak, iż tęsknił do jarzma, co mu kark namulało. Ukradkiem, nocą, zrywał się do książek, do papierów, do rozpoczętych robót, o których myślał nawet wśród pół gospodarskiej pracy. Czuł on, że na tej tylko drodze przydać się na coś może i zostawić po sobie, jeśli nie geniusza, to usiłowań pamiętkę.”

Wkrótce wszelakoż miała się dla niego skończyć ta ciężka próba, ta niecznośna służba dwóm państwom. Już w powyższym liście do babki znajdujemy dobrą wiadomość, że uzyskał pasport na Wołyn i w następnym miesiącu na wyjechać, jeśli się uda, do znaną już jedną bibliotekę, którą chciałby obejrzeć i wyciągnąć z niej korzyść jaką potrafi.

Biblioteka owa znajdowała się w Horodcu, majątności pana Antoniego Urbanowskiego. Żona jego miała trzy siostrzenice, Woroniczówny, których ojciec, właściciel Prawotyń, był rodzonym bratem ks. Prymasa Jana Pawła; a sama będąc weale bezdzietną, wiele je milowała, i w części nawet wychowaniem ich się trudniła, w młodym wieku każda z nich po kolei przez lat kilka tuląc w Horodcu pod skrzydłem serdecznej swęj opieki, później zaś bardzo często, nieraz nawet na czas przydłuższy, ściągając je do siebie w gościnę.

Starsza z pań Woroniczównien wyszła za sąsiada Horodea, pana Stachowskiego z Ossowej, posiadłości niegdyś Aloizego Fełińskiego. Pan Stachowski, człowiek najzaniejszy pod słońcem, niepospolity równie sercem, jak i umysłem, żył w przyjaźni z panem Chorażym, i nieraz go w Dolhem odwiedzał. Owóż, kiedy tam przybył po powrocie Józefa z Wilna, poznawszy się na wysokich jego zdolnościach, zbadawszy usposobienie i rozpatrzywszy się w położeniu jego ówczesnem, zajął się nim bardzo serdecznie, i wpływem swym zdołał wymóżyć na pana Janie, że pozwolił mu na czas dłuższy z nim do Ossowej, a ztamtąd do Horodea pojechać.

Pobył w Horodcu jest jednym z najważniejszych w życiu Kraszewskiego wypadków, od tego bowiem czasu w dziejach jego nowa się rozpoczyna epoka, w której wszystkie dalsze przygody wysnuwają się, jak nić z kłębka, ze stosunków, zawiązanych w tym domu. Uważamy przeto za rzecz konieczną, jak domowi temu, tak i gospodarzom jego czcigodnym, poświęcić tu nieco dłuższe wspomnienie.

Horodec upamiętnił Kraszewski najpierw w „Dmianiu nad Horyniem” utworze poetycznym, wydrukowanym w *Zniewu*, następnie w Tygodniku Petersburskim, gdzie opisał jego bibliotekę, a nareszcie we „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy”, dedykowanych panu Antoniemu Urbanowskiemu.

W pierwszym wydaniu tego dzieła, rzecz swoją o Horodcu rozpoczyna w te słowa: „Nie śmiem szerokim opisem profanować miejsca, tak dla mnie drogiego. Nie wszystkim wolno tam patrzeć z podróżnym, gdzie go serce, nie ciekawość lub chęć nauczania się czegoś, prowadzi. Wszakże opisywać Polesie, a nie wspomnieć o Horodcu, byłoby znów niedarowanym grzechem. Więc nie nie mówiąc przez samo uszauwanie o jego mieszkańcach, będę tylko mówił o niektórych ciekawościach.”

W drugim wydaniu, ogłoszonym w Pa-

ryżu r. 1860, inny już wstęp do opisu tego napotykanym, i tu dopiero poznajemy Pana Urbanowskiego, o którym autor przez uszanowanie był zamieścił w pierwszej edycji. Przytaczamy jego wyrazy:

„Nie chciałbym dziś pisać o tém miejscu, tak smutno mi rozpocząć tych słów kilka. Tego, któremu przypisałem „Wspomnienia“, który był duszą Horodea, którego podziwiałem anielską słodycz i cnotę—niema już między nami! Straciliśmy go w pamiętnym dla nas tą klęską 1842 roku d. 21 Czerwca. Niech kilka poświęconych jego pamięci wyrazów zastąpi dawny przypis tej książki; będzie to drewniany, ubogi krzyżyk na jego spokojnym grobowcu“.

„Antoni Urbanowski należał do tych rzadkich zjawisk w społeczeństwie, których większa część otaczających ludzi ani pojąć, ani ocenić nie są w stanie. Całe jego życie różniło się od zwykłych gwarynych i wrzawliwych żywotów ludzi, którym, jak jemu, i majątek, i wziętość, i charakter, otwierały drogę na świat szeroką. Odpychając odważnie, co dla niego życia było lupiną, ukształcił sobie właściwy tryb postępowania, wyznaczył drogę i z niej nie zszedł ani kroku. Znaczenia nie pragnął, zgiełku unikał, i siedmdziesiąt kilka lat w zaciszu spokojnym, wśród modlitw, ksiąg, muzyki i obrazów, przeminały dla niego w niezmałocnej i drogicj mu ciszy. Prawda, że Bóg mu dał za towarzyszkę anioła dobroci, który go pojął, który czuwał nad nim“....

„Pół dnia zehodziło mu na gorącej modlitwie, drugie pół na pieszczeniu się z ulubionemi książkami i słuchaniu muzyki, którą namiętnie lubił.“

„Haydn, Mozart, Beethoven, byli mistrzami jego wybranymi; tych dziełami zachwycając się, nieraz, w głębokim milczeniu, zadumany, pozwolił srebrnej łzie ukazać się na powiekach. Muzyka poważna, religijna, wzruszała go najwięcej; słuchając jej, zakrywał oczy, ażeby żadne ziemskie wrażenie marzeń niebieskich nie przerywało.“

„Równie namiętnie kochał dawne nasze zabytki, stare nasze księgi, oglądał je z rozczuleniem, cieszył się, dostając je, jak dziecko, rozpromieniał, gdy się nim przed znawcą mógł pochwalić. To stanowiło całe jego życie. Corocznie tylko w lecie udawał się do wód za granicę, by zaćwerczyć w nich siłę, zdrowia, by posłyszeć muzykę i przywieźć książek do domu.“

Z urywków „Wspomnień“ Kraszewskiego, ogłoszonych w *Nowinach*, dowiadujemy się,

że „ś. p. Urbanowski odbywał coroczną swą wędrówkę do Saskiej stolicy musztardowym koczem, z tłómkami z tyłu, cztery konie w poręcz, z pościelą własną i wszelkiemi zapasami, ba! i z kucharzem własnym, nie licząc wiołoncezlisty, towarzyszącego mu zawsze.“

„W społeczeństwie miły, łagodny, pobłażający, serdeczny, pokorny, umyślnie, zdawało się, krył dary, jakimi go Bóg zbogacił, by z nich próżniej nie odnosić chwały. Czasem tylko wyrwały mu się wyrazy, które namiętnowały głęboki, trafny sąd o rzeczach i ludziach, doćwip niepospolity i pojęcie rzeczy, jemu tylko właściwe. Kto go znał, nie mógł nie kochać, kto kochał, nie potrafił zapomnieć; a co do mnie, wątpię, bym kiedy płakał tak gorzko, jak po niespodzianej jego stracie.—Serce jego było niewyczerpanym skarbem dobroci, a śmierć dopiero potrafiła odkryć uczynki, z któremi się tał do zgony.“

Dla dopełnienia tego wizerunku, zapożyczmy kilka rysów z opisanja Horodea w numerze 636 Kłosów, przez p. Tadeusza Steckiego, który znał dobrze państwo Urbanowskich oboje, bo się urodził i dziecięce lata spędził w ich domu. Owoż dowiadujemy się od niego, że „był to, przy całej swj. zacności, starszutek oryginalny. Mały, suchy, z łysiną, którą od natrętnych poleśkich komarów pod chusteczką zwykł był ukrywać; mówił cicho, nie wiele, gwarynych zebrań nie lubił, a tylko z potrzeby i wrodzonej gościnności na nich się ukazywał. Znaczoną część dnia spędzał w gabinecie swoim i w ulubionej bibliotece. W przepisywaniu, w wyciągach z dzieł drukowanych, miał szczególniejsze upodobanie i stosi tego po nim pozostały. Był on bibliomanem w całym słowa znaczeniu, mogącym wytrzymać porównanie bodaj ze Świdzińskim nawet. Stara książka, rękopis, Ald, inkunabul, miały dla niego do końca życia pociąg niesłychany. To też z malego księgozbioru, który mu się dostał po rodzicach, przez lat kilkadziesiąt pracy i skrzetnego nabywania i poszukiwania, przyszedł do skarbów w swj. bibliotece, którą pozostawił, do 20 tysięcy tomów rzadkich druków i najpiękniejszych wydań leżąca.“

„Niepośledniego znaczenia była i galerja obrazów w Horoden, do 500 sztuk obejmująca, a wyróżniająca się tém od innych zbiorów naszego kraju, że lichych płócien nie znalazłeś tu zgola; (oprócz kopii wybornych, znajdowały się w niej oryginały najpiękniejszych mistrzów, jak Leonardo da Vinci, Do-

minichino, Caracci, Guido Reni, Rubens i wielu innych).

„Numizmatyka horodecka, celująca oddziałem monet, medali greckich i rzymskich cesarzy, familii i miast, przeważnie wielkich sztuk złotych, posiadała też ważny zbiór monet i medali polskich: kompletnie tu prawie było panowanie Zygmunta Augusta, a najrzadsza sztuka, jedyną może, był portugal litewski dziesięciodukatowy, bity w roku 1562.“

Dodajmy tu nawiasem, że zbiory te wraz z Horodeem przeszły w spadku na dom Starzyńskich, i w części dostały się do Drezna, w części do Warszawy, przeważnie zaś do Zaimce w gub. Podolskiej. — Opis ich dokładniejszy znajdują ciekawi bądź to we „Wspomnieniach Połesia, Wołynia i Litwy“, bądź w cytowanym przez nas artykule pana Steckiego, z którego jeszcze jeden ustęp bierzemy, dla zapoznania czytelników z panią Urbanowską i życiem towarzyskiem w Horodeu.

„Elżbieta z Kruszewskich Urbanowska, córka Jana, pułkownika h. wojsk polskich, była jedną z tych matron naszych, których pamięć w kraju nie zaginie nigdy, które wejdą w jego historią, bo były świetną ozdobą epoki, w której żyły. Wszystko w sobie łączyła ta pani: bogobojność, światobliwość, wysokie, najdystygowańszymi tylko sferom wówczas dostępne, wykształcenie, i coś, co ku niej wszystkich pociągało, co ją niewysłowioną jakąś aureolą opromieniało. Z ramek wyjęta margrabina, z duszą, z sercem, z obyczajami całkiem naszymi, swojskimi. Ona-to była duszą tego domu, najjaśniejszą gwiazdą tego Horodea, do którego wszystko, co żyło w kraju, kupiło się.“

„Najświetniejszą dobą tutejszego pałacu, dobą lucznych balów i zgonadzeń w domu pp. Urbanowskich, był okres czasu między 1820—1840 rokiem. Państwo Urbanowscy utrzymywali nadworną doskonałą muzykę, z kilkudziesięciu ludzi złożoną, między którymi słynęli dwaj soliści, bracia Lejmani, skrzypek i wiolonczelista; — ta dodawała świetności zebrań, uprzyjemniała licznyemu gościom chwile, które i tak szybko pod gościnnym tym dachem płynęły. Tu domownikami prawie byli: uczony Ksawery Godebski, miły i wykształcony pułkownik Chłopecki, i odznaczający się galanterią i dowcipem Stanisławoścy Szambelani: Kajetan Wierzchowski i Serafin Plotnicki. Gość zmieniał gości, a wszystkich jedna uprzejmość, jedno spotykało przyjęcie, tak tego, co poszostną przyjeżdżał kareta, jak i tego, co skromnym przywłókl się wózkami. Z rana

dzwonek nawoływał gości i domowników na mszę św., na wspólne nabożeństwo, któremu, klęcząc, z przykładną bogobojnością, przewodniczyli sami gospodarze; wieczorem z galerii wspaniałej, żółto mozaikowanej, o złocistych gzymsach, przez dwa pietra wysokięj sali, rozlegały się dźwięki orkiestry, symfonie, kwartety, aż i mazur zagrzaniał, i wesolo, ochoczo, bawiono się nieraz do rana“.

Do tej-to rozkosznej siedziby w r. 1834 Kruszewski wprowadzony przez Stachowskiego, znalazł tu jak najserdeczniejsze przyjęcie i najmielszą gościnę, która od razu, na czas pewny, ledwie nie w stały pobyt dla niego się zmieniała. I nie dziwy! Biblioteka nieoceniona, galeria obrazów doborowa, orkiestra wysmienita, przy uprzejmości gospodarzy — toż-to raj istny dla młodzieńca z takim usposobieniem, jak był już podówczas Kruszewski; ale pono nie w samych księgach, muzyce i malowidłach tkwiła owa pocięta, co go od razu usidliła w Horodeu. Brakuje nam wprowadzić z tego roku innych na to dowodów, oprócz owego *Dumania nad Horyniem*, napisanego w dniu 23 Kwietnia w Ossowej; ale i tego dosyć, aby tajemnicę serca odgadnąć, ot np. z takich wyrazów, zwróconych do Horynia:

„Czybyś nie wolał w pięknym Horodea ogrodzie,
Między klombami posuwać się z cicha?
O! w Horodeu tak miło i ludziom i wodzie,
Powietrze, ziemia, taką przyjaźnią oddycha,
Że ja, gdybym był tobą, tambym się odwrócił.
Popłynąłbym i został, i więcej nie wrócił“.

Za to z korespondencyi z r. 1835 dowiadujemy się w liście z dnia 26 Marca (7 Kwietnia), że już w Zapusty był Kruszewski w Horodeu, gdzie prawie cały wielki post i święta przepędził, czasami tylko na dni parę wydalając się do Ossowej; że mu tam wszyscy bardzo radzi i psują go swoją dobrocią; że dzień imienia jego obchodzono muzyką i sutym obiadem i różne podarunki na wiananie mu ofiarowano; że sam Pan Urbanowski, któremu, nie bacząc na wymówki i protestacyę, ułożył po francuzku katalog jego księgozbioru, ani chce słyszeć o tem, żeby miał powracać do domu, i że nie tylko pozwala mu korzystać z swojej biblioteki, lecz sam wyszukuje dla niego dzieł potrzebnych, dzięki czemu już zebrał pięć sexternów wypisów do Historii miasta Wilna; (my zaś do tego jeszcze dodać możemy, że pamiątkę miłego krzątania się w tym księgozborze pozostawił w artykule swoim, ogłoszonym w „Wędrownikach“ p. t. *Przechadzka po bibliotece*, a niewątpliwie napisanym w Horodeu).

„Milo mi (pisał w końcu listu) wracać do domu, ale nieraz i za tą stroną westchnę; daj tylko Boże, żebym ją zawsze z przyjemnością, a nigdy ze smutkiem nie wspominał. Wytlómaczenie tych frazesów, trochę może niezrozumiałych, zostawiam do powrotu“.

Powrót ten jednak nie nastąpił tak szybko, gdyż jak raz w miesiąc później, w liście Kraszewskiego do matki, datowanym jeszcze z Ossowej d. 25 Kwietnia (9 Maja) 1835 r., znajdujemy owo *wytlómaczenie*, z którym się ojcu zapowiadał.

W liście tym, pisanym po powrocie z Prawotyńa od Państwa Woroniczów, młodzieńcze rozmarzony, wyexaltowany, szczęśliwy ale razem i rozbolany, bo pełen niepewności i trwogi, jak wyznanie jego będzie przyjętym przez rodziców, z pokorą i ufnością synowską do macierzyńskiego sereca się garnie, a błagając o wyrozumiałość i pobliżliwość i o wstawienictwo do ojca, z którego strony najbardziej się boi ostrej nagany, wyznaje, że się kocha. „Ale niech się mama nie straszy, bo w tym niema nie takiego, co by przestraszyć mogło. Osoba, którąm wybrał, jest najlepszego wychowania, urodzenia, najzgodniejszego wieku, bo ma ledwo lat osiemnaście, a jest nią siostra Pani Stachowskiej, panna Zofia Woroniczówna, którą najbezstronniczszém uważając okiem, nie można odmówić jej najslodsze go charakteru, najlepszych skłonności, talentów, słowem wszystkiego, czego się tylko wymaga. To, co ja mówię, potwierdzą wszyscy. Przypięm, co dla mnie niebogatego bardzo wiele znaczy, jest bardzo skromnych gustów, może nadto skromnych, i bardzo, ale bardzo gospodarna i lubiąca wieść, zajęcia domowe i ciche życie, jak nasze. Dodaję jeszcze, że familia jest najśliczniejsza, nie tylko co do rodu (choć to i ja, i pewno papa i mama mało cenia) ale i co do wychowania, obyczajów, tonu, najprzykładniejsza, a wzorowa co do tej miłości i zgody, której nigdzie podobnej, jak tutaj, nie widziałem. Gdyby ich mama poznała, kochałaby, jak ja kocham, bo to sama cnota i dobroć, prawdziwie chrześcijańskie. W takim domu, przy takich przykładach, moja panna Zofia wyrosła, i jest taką, jak się po tym można spodziewać. Pan Stachowski mnie kocha, jak ojciec, i żona również; tylko grzeczność i tylko łaski odbierałem i ciągle odbieram“.

O cóż tedy szło mu właściwie? z kąd pochodziły te obawy i ta niepewność? Oto lekał się, aby mu rodzice za złe nie wzięli, że bez ich zezwolenia i rady za daleko już zaszedł, i żeby nie uznali, że za młodym

jest jeszcze na to, aby o małżeńskim związku zamyślać. Wiele tłómaczy się, że inaczej stać się nie mogło, bo gdy się mimowoli zdradził z swoją miłością, gdy wszyscy na nią oczy zwrócili i zaczęły się szeptki i narady po całym domu: potrzeba było raz im koniecznie położyć. Panna Zofia, gdy jej wyznał swoje uczucia, do rodziców go odesłała; pojechał więc do Prawotyńa, ażeby się dać poznać i powrócił z dobrą otuchą: chociaż bowiem się nie oświadczył, wiedział przecież, że Państwo Woroniczowie już przez Stachowskich o zamiarach jego byli uwiadomieni, i z przyjęciem, jakiego doznał, przekonał się, że nie zgoda do zarzucenia mu nie miano, oprócz wieku nadto młodego i braku stanowiska ustalonego, przy zupełnej i bezwarunkowej zależności od woli starszych. O to więc był w trwodze śmiertelnej, aby ta wola nie stała się przeciw niemu; o to błagał, aby rodzice uwierzyli, że, pomimo swojej młodości, dość jest już sercem i umysłem dojrzały do osiągnięcia tego szczęścia, bez którego życia pojąć nie może, i aby ojciec dobrotliwie obmyślił sposób, jak mu potrzebną niezależność zapewnić.

Niestety! błagania te i wszelkie explikacye nie odniosły skutku pożądanego. Powróciwszy w Maju do Dolnego z Horodea, który się na lato całkiem wyłudniał, (bo pan Urbanowski musztardowym swym koczem puszczał się za granicę, Pani Urbanowska do dóbr swoich na Pobereżu, a ztamtąd do Odessy, Panny Woroniczówny do rodziców wracały), Kraszewski znalazł matkę gorzej usposobioną, niż był ojciec względem jego projektów: nie chciała ona wierzyć, jak pragnął, w dojrzałość jego sereca i umysłu i w stałość uczuć, i nie życzyła sobie, aby przy swém poetyczném usposobieniu, przy pociąganiu namiętnym do zajęć naukowych, literackich i artystycznych, tak wczesnie w małżeńskie się jarzmo zaprzęgał i zapal swój młodzieńczy użytkowywał na łamanie się z twardą prozą ziemiańskiego żywota, lub też, nim oswładnięty, dla pióra i dla książki zapominał o świętych obowiązkach rodzinnych i o pracy dla chleba powszedniego. Zamiast więc powrotu ku jesieni na Wolyń z dobrami nowinami, jak się spodziewał, całe lato w domu spędziwszy, i napróżno szukając gorącego poparcia swojej sprawy ze strony babki, do której na początku Sierpnia udawał się o to listownie, prawdopodobnie w końcu tegoż miesiąca ruszył do Wilna, co mu snadź znała matka nłatwiej dobrotliwie musiała, w nadziei, że się zatopiwszy tam w życiu literackiem, w poszukiwaniach po archiwach materyałów do histo-

ryi swojej, zapomni od przedwczesnej miłości i projektach matrymonialnych, a przynajmniej znajdzie pociechę i osłodę na serdeczne cierpienia swoje.

Pobyt w Wilnie tą razą, o ile z listów wnosić można, musiał trwać co najmniej cztery miesiące, to jest od Sierpnia do końca Listopada; gdyż w Październiku już Kraszewski przeproszał ojca, że się nazbyt długo zasiadział, a w Grudniu, bez oznaczenia dnia, pisał do brata Lucjana, że cztery już tygodnie jak wrócił; do babki zaś, że, pracując, jak mógł najspieszniej, już uporządkował materiały, w Wilnie zdobyte, i przeobraził całkiem na nowo dwa tomy historii tego miasta, które były dawniej skończone. Dowiadujemy się z tychże listów, ile go trud, grosza i kłopotu kosztowała ta sprawa, dla której po raz pierwszy w swym życiu musiał wyciekiwać po przedpokojach, ocierać się o wszystkich urzędników i polknąć bardzo wiele przykrości, a dzień i noc pracować cały miesiąc po archiwach i bibliotekach. W Październiku donosił ojcu: „Na koniec otrzymałem już wstęp do archiwów i część onych przetrząsałem; wiele rzeczy bardzo ważnych znalazłem, co dzień tam chodzę i piszę, ale jest jeszcze sto kilkadziesiąt ksiąg in folio do przejrzenia i kilkadziesiąt tysięcy arkuszy papierów. Prócz tego imię archiwa i biblioteki, — nocą i wieczorami wypisuję wyjątkami do historii, która nigdy bez tego nie miałaby wartości, i tak jeszcze będzie dziurawa, bo część aktów jest w Petersburgu, część w Smoleńsku, a część się spaliła“.

Mimo jednak tak ciężką pracę, i mimo cały urok życia literackiego, które dla niego, w przeciągu tych kilku miesięcy w Wilnie, w całej pełni znowu się rozwinęło; nie ostrygł Kraszewski w swęj miłości dla panny Zofii i nie zachwiał się w raz powziętym postanowieniem. Ledwie się załatwił z przerobieniem swojej historii, już się znów do Horodea wyrwał, a rodzice, radzi nie radzi, stałość jego uszanować musieli i podróży tej się nie sprzeciwili. Pospieszył więc na Nowy Rok (1836) do państwa Urbanowskich, gdzie tak samo, jak pierwszą razą, zastał pannę Woroniczównę i znowu całą zimę na Wołyniu przepędził, zażywając miłej gościnności, częściej u Stachowskich w Ossowej, a przeważnie w Horodeu.

Na wiosnę jednak powróciwszy do domu, w usposobieniu swych rodziców żadnej zmiany nie znalazł, i z wielkim żalem pisał w Maju do babki, że pono będzie musiał na zawsze pożegnać się z lubą nadzieją, w którą włożył całe swe serce, bo, nie mając by-

tu samoistnego, zaślubić panny Zofii nie może, gdyż jakkolwiek można ją kochać, zhańbiłby się we własnym przekonaniu, gdyby jej całe mienie swoje zawdzięczał. Jedną mu tylko pozostała jeszcze otucha: oto niedawno ogłoszono konkurs na katedrę literatury polskiej przy świeżo założonym Uniwersytecie Kijowskim; a ponieważ dla osiągnięcia jej nie potrzeba nic więcej, prócz złożenia rozprawy na dany temat, ku czemu ma już materiały bardzo obfite, zgromadzone i uporządkowane od dawna (Historja języka polskiego), spodziewa się więc, że przy Bożkiej pomocy, zdola tę posadę uzyskać; zwłaszcza, iż przychodzą mu w pomoc i *te fraszki*, które dotąd drukował, w wezwaniu bowiem do konkursu zawarowano, że pomiędzy kandydatami *autorowie* będą mieli przed innymi pierwszeństwo. — Wprawdzie pensya, przywiązana do tej posady, zaledwie 500 rubli wynosi, lecz i na tём poprzestąć gotów, byle stanąć o własnych siłach i cel upragniony wreszcie osiągnąć.

Sprawa jednak nie stała tak bardzo złą, jak się niecierpliwemu młodzianowi zdawało. Rodzicom szło jedynie o zwłokę, ze względu na wiek syna, liczącego półowiecas ledwie dwadzieścia cztery lata. Jakoż w parę miesięcy potem Pan Chorąży sam się udał do Prawotyń, aby o rękę Panny Zofii dla niego prosić. Powrócił z dobrą wieścią, że uroczyste przyrzeczenie otrzymał, i już mniemał, że tego będzie dosyć dla zaspokojenia trwóg i tęsknoty młodzieńczej; bo ani o dniu ślubu, ani o jakimkolwiek postanowieniu, albo przynajmniej choćby planie względem jego przyszłości, nawet mowy dotąd nie było. Co gorsza, utrudniano mu wyjazd na Wołyn, gdzie rad byłby na skrzydłach lecieć po powrocie ojcowskim, a musiał czekać na to kilka tygodni, i dopiero na początku jesieni pisał się w drogę.

Podróż ta, z której wrażenia i przygody opisał w długim liście do matki, była bardzo przyjemna i zajmująca; w niej bowiem znaczną przestrzeń kraju ogarnął i wiele miejsc ciekawych po raz pierwszy oglądał. Dążąc do Prawotyń przez Ossowę Stachowskich i Horodec, tą razą drogę na Pińszczyznę obrócił, był w Pińsku i ze Stachowicz do Iwanicy płynął wodą. „Okolic tych opisać nie potrafię, (jego to słowa) bo nie równie jednostajnego, smutnego, dzikiego widzieć nie podobna. Błota bez końca, zarośnięte gęstym *czerotem*, wśród którego, zamiast dróg, krzyżują się rzeki i rzeczulki, a nad niemi, jak u nas nad drogami, stoją karczmy u brzegu. Cichość, pustynia okropna! a oprócz trzciny, łozy, błota i Pińczuków nie nie wi-

dać i nie słyhać. Długo będę pamiętał tę przejażdżkę, a jeśli da Bóg doczekać jakiego nowego projektu na książkę, nie zapomnę w niej o Pińskim Zarzeczu⁴. Projekt ten musiał powstać w tym samym czasie, lecz nim go uskutecznił, wrażenia, wyniesione z Pińszczyzny, w „Tygodniku Petersburskim“ ogłosił, a dopiero w kilka lat później wcielił je do swych „Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy“, w których zebrał także opisy wielu innych okolic, pierwszy raz ujrzanych w tej podróży. Z Prawotyńa bowiem jadąc do Kisiel, gdzie wówczas Pani Urbanowska bawiła, oglądał Szepetówkę ze źródłami mineralnemi, Horodyszczę, słynne z piękności położenia i owiane poezją legendy, jako też nie mniej malowniczy Hryców; a powracając inną drogą, zwiedził Sławutę, „tę stolicę Izraelizm Wołyńskiego, która od XVI wieku cały Wołyn książkami z swęj drukarni żydowskiej karmiła“, widział piękny pałac książęcy, kościół S-tęj Doroty i bibliotekę żydowską, a w pobliżu fabrykę sukna. Oprócz tego równie z Kisiel, jak z Prawotyńa, nieraz się wychylał w sąsiedztwo i, coraz nowe miejsca, nowych ludzi poznając, coraz to więcej materiału do przyszłych swych utworów gromadził.

List, dostarczający nam tych wskazówek, godnym jest ogłoszenia w całości; ale że w korespondencji, udzielonej nam przez pana Kajetana Kraszewskiego, listów podobnych znajduje się tak wiele, iż z nich byłoby można na jakich parę tomów najciekawszej treści zacytować, ograniczymy się przeto jednym tylko jeszcze wyjątkiem, mianowicie krótkim opisem Kisiel, które z czasem przeszły w posiadanie Józefa.

„Kisiel są tak piękne, że tego opisać nie można: wody, góry, chatki, laski—cudowne! a potem wszystko to ozdobione z takim smakiem, utrzymane w takim porządku, iż tworzy to całość zachwycającą. Z okien domu widać wieś, rozsypaną z pobielanemi domkami na górze, dalej zielone pola, dalej lasy po górach. Ogród angielski niewielki, ale śliczny; woda w nim piękna i dosyć duża. Za arcydzieło można policzyć kaplicę, stojącą na urwisku góry, i tak zastosowaną do miejsca, że w niej jest razem altana, sklep, i oratorium; z każdej strony inaczej i coraz piękniej ją widać“.

Mily ten pobyt na Wołyniu byłby zapewne przeciągniął się do wiosny, równie jak lat poprzednich, gdyby z Kijowa nie nadeszła była wiadomość, że z pośród siedmiu rozpraw, przedstawionych na konkurs o katedrę literatury polskiej, rozprawa Kraszewskiego

uwieńczoną została. Musiał więc czemprem prędzej wracać do domu, aby zebrać i wysłać dokumenta, jakich potrzeba było dla objęcia przyznanej już posady. Zauważyć wszakże musimy, że czynił to dla dogodzenia ojcu, który tą nominacją nieczuł się serdecznie; „co zaś do mnie—pisał do babki—nie płakałbym, gdyby mnie ona ominęła: pensya nie wystarczy na utrzymanie; lecz ponieważ ojciec chce tego, poddam się więc temu nowicyatowi; a nie wątpię, że i Zofia moja, równie jak jej rodzice, nie nie będą mieli przeciwko temu“.

Zalatwiwszy się z dokumentami, Kraszewski znów wyjechał na Wołyn, gdzie spędziwszy cztery miesiące, powrócił do Dolhego w najsmutniejszym usposobieniu duszy; gdy się bowiem już mniemał blizkim tego celu upragnionego, do którego tak długo, walcząc z przeszkodami, dążył wytrwale, nagle się ujrzał znowu oddalonym od niego. Podczas bowiem pobytu jego w Prawotyńie umarł Pan Woroniecz, który mu prawie jak rodzony ojciec stał się już ukochanym; był więc to ciós tak srogi, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie zaznał. Nadto zaś, znalazł się jakiś pretekst do odmówienia mu katedry kijowskiej: żałoba tedy narcezoną i brak stanowiska niezależnego, w niwecz obrócili jego nadzieję, a przynajmniej ziszczenie jej na czas nieograniczony odwlokli.

W jesieni wszakże tegoż roku (1837), Pan Choraży, przekonawszy się wreszcie o mocy charakteru i stałości nczu swojego syna, postanowił położyć koniec ciężkim próbom dotychczasowym i wziął dla niego od Krasickich w dzierżawę wieś Omelno, w powiecie Łuckim na Wołyniu.

Niestety! koniec ten prób dawniejszych stał się dla Kraszewskiego początkiem nowych, innego już wprawdzie rodzaju, ale nie mniej ciężkich i przykrych. Omelno bowiem *złotém jabłkiem* weale nie było, i nawet stary, doświadczony a zasobny gospodarz, musiałby się dobrze natrudzić, nakłopotać, nie dojeść i nie dospać, chcąc wyjść na niem choćby na swoje; cóż więc mówić o gospodarzu młodym, bez doświadczenia i zapasów pieniężnych, a na dobitkę literacie i zakochanym! Nie trudno sobie wyobrazić, co miał nieborak do zniesienia, a zwłaszcza, wziawszy jeszcze i to w rachubę, że się musiał i ekwipować, i dom na przyjęcie żony urządzać.

W Lutym jeszcze 1838 pisał do babki: „Co do mych interesów, te się, Bogu dzięki, nie pogorszyły, a przybyło mi trochę spokoju i rezygnacyi. Bo zresztą gospodarstwo moje nie jest tak bardzo rozpaczliwe; stra-

ty były nie nader wielkie, a nadzieja na przyszłość prawie pewna; wzięłam bowiem Omelno w stanie tak oplakany, że tylko ku lepszemu iśćby powinno. Braknie mi jeszcze mnóstwa rzeczy w przygotowaniu do wesela mojego. Dom mieszkalny, to rudera zupełna, którą przerobić trzeba, poczynając od drzwi i okien, a czasu na to mało, bo go właśnie gospodarstwo dużo zabiera. Z wysiłkiem niesłychanym urządziłem gorzelnię i nakpiłem wółw; a trzeba jeszcze myśleć, jak się to spienięży, co się zdobędzie, u nas, gdzie wszystko prawie po niczemu. Moje studia, moje dawniejsze prace literackie, prawie zupełnie zatopione w tym morzu zajęć drobnostkowych i kłopotów powszednich. Nie zrywam jednak z moim zawodem, który mi był tak miłym, choć żadnej nie przynosił korzyści. Piszę stale do jednego dziennika literackiego (Tygod. Petersb.) i ciągnę dalej wydawnictwo Historyi Wilna. Wszystko to bardzo pożyteczne i przyjemne czas mi zapelnia, ale pieniędzy ani się spodziewać z tej strony. To też postanowiłem szukać ich w gorzałce, w burakach, w wółwach i tym podobnych przedsięwzięciach pewniejszych. Mam nadzieję, że potrafię z czasem nagiać swój umysł do tej pracy w nowym rodzaju, smutniejszej wprawdzie i znużniejszej, lecz bez wątpienia potrzebniejszej dla mnie, niż literacka.

Ojcu zaś w tymże miesiącu zwierza się jeszcze szerzej z niezliczonych swoich kłopotów gospodarskich, z gorczyzą mówi także o niesłusznych pretensjach i wymaganiach ze strony jurysdatorów, a charakterystyczny jest ustęp, w którym się uskarżając na pewne niedokładności w kontrakcie, obracając się na jego szkodę, „wyobraź sobie, drogi ojczu, (powiada) żem się nie opatrzył, iż nie umieszczono w kontrakcie, jako na trzeci rok mniej o 500 złotych mam płacić! Tegom się nie spodziewał! Ale milczę i nie mówię o tym ani słowa, a w swoim czasie dam sobie rady, bo mam świadków i jestem spokojny. *A jeśli nie dotrzymają przyrzeczenia, to będę miał przyjemność nazwać ich w żywe oczy nieuczciwymi. Złe jest ludziom nadto zaufać; czytałem kontrakt z pięć razy, a tego nie spostrzegłem*“.

Miał oprócz tego i przeróżne inne mitregi w tych początkach ciężkiego gospodarstwa swojego: tak np. kiedy wyglądając ojca w Omelnie, przysposobił się na przyjęcie jego z całą troskliwością synowską, kiedy przygotował i pokój ciepły, i łóżko nowe, kiedy się nawet i w miód, i w cielęcine, i w kuropatwy i sarny dla niego zaopatrzył; Pan Choraży nie mógł przyjechać, a nato-

miast dziedzic Omelna, wracający z kontraktów, zatrzymawszy się na dni kilka u swojego dzierżawcy, codziennie gości nieproszonych sprowadzał, którzy, zjeżdżając się po sześć i siedm osób, objadali biednego possesora, spożywając zapasy, na przyjęcie ojca przygotowane, i macieli mu spokój pożądany.

A że idzie nam o to, aby należyte dać poznać błogie pierwociny gospodarstwa literackiego, nie możemy więc i o tym jeszcze zaniedbać, że w domu, który restaurował Kraszewski, zajmowała jeden pokój jakaś lokatorka nieznośna, otoczona kupą starych pijaków, psów, bachorów i brudów.

Nie dziw więc, że się ojcu wynęczał w taki sposób: „Literatura mało mnie teraz zajmuje, bo chociaż nie bardzo jest około czego się krzątać, ale samo gadanie o gospodarstwie i przyjmowanie gości strasznie wiele czasu zabija, którego mocno żałuję. Dla literata niema jak odludny kątek. Lepiej to tam było w ofiynie w Dolhem, i więcej można było pracować, i mniej było kłopotów. Czemu to człowiek zawsze za tym wzdycha, czego nie ma? Ja Zosię bardzo Kocham i szczęścia jestem pewny, ale tyle mam dziś kłopotów, że dla nich mierzalować mi przychodzi dawniej ciszy i książek, do których teraz nie dają mi przystąpić nudne interesa“.

Nie dziw, że się przyznawał, iż gdyby mógł ustąpić komu Omelno, choćby ze stratą oczywistą, to rad byłby z całego serca przy rodzicach w Dolhem zamieszkać, pewnym będąc, że i jego przyszła, którą zna dobrze, inaczej nie myśli.

Tym trybem upłynęło Kraszewskiemu kilkanaście miesięcy od zadzierżawienia Omelna, w ciągu których mierzal wybiegał dla orzeźwienia się i odpoczynku do Horodca albo do Prawotyń, gdzie nareszcie dnia 10 (22) Czerwca 1838 roku poślubił ukochaną swą Zosią. Ślub się odbył w domowej kaplicy Prawotyńskiej, a na nim, prócz licznego rodzeństwa panny młodej, znajdował się też ojciec i brat pana młodego; matka zaś, babka i prababka, nie mogąc osobiście tak dalekimi odbyć podróży, listowne tylko nadesłały błogosławieństwo.

Po weselu i przenosinach do Omelna, rozpoczęły się dla państwa młodych obowiązki odwiedzin bliższych i dalszych krewnych i przyjaciół; zbyt uczęszczanie zaś dodawać, że Dolhe w licznych ich szeregu stało na pierwszym miejscu: najgorętszym bowiem pragnieniem Pani Zofii było co najrychlej złożyć hołd powinny przydanej matce, którą kochała już od dawna, poznawszy ją z opowiadań swego narzeczonego i z listów, ja-

kie od niej odbierał, a portret jej, rysowany przez niego, licząc do rzędu skarbów swoich najdroższych. Niemniej pilno było obojgu do Romanowa, do prababki i babki, które Józef tak czcił i kochał, a stęskniony do nich w długiej rozłące, tak często je z takim uwielbieniem wspominał, iż serce jego przyszłej musiał samo przez się uczuciami temi się przejać. Od wyjazdu bowiem do szkół Lubelskich, aż do owego czasu, raz tylko jeden, po powrocie z Wilna do domu, mógł Kraszewski z niemi się widzieć, czego ślad znajdujemy w Wędrownkach, gdzie artykuł pod tytułem „o różnych rzeczach“, nosi datę 17 Listopada w Romanowie, bez oznaczenia roku; lecz ponieważ wspomina w nim o swych utworach, ogłoszonych w r. 1834, a „Wędrownki“ do Cenzury były oddane 1837, odpowiedziny więc te przypaść musiały między jedną a drugą datą, i to snadź całkiem niespodzianie; w listach bowiem z tego okresu, pisywanych do babki Małskiej, najmniejszej wzmianki nawet o projekcie względem tej podróży nie spotykamy,—owszem, w każdym z nich znajdujemy samą tylko tęsknotę, same tylko skargi żalose na fatalną niemożność zaspokojenia tej potrzeby serdecznej.

Niemożność ta i tą razą, dla trudności w uzyskaniu pasportu, nie rychło się dała usunąć, i dopiero ledwie w jesieni udali się państwo młodzi do Romanowa, a ztamtąd do Warszawy, gdzie państwo Moraczewscy mieszkali, i gdzie rozbudżające się już podówczas życie literackie i artystyczne, nie mniej jak samo miasto, ze względu na znaczenie swoje dziejowe i zabytki przeszłości, dla Kraszewskiego musiało być niemłą pojętą.

Jakie wrażenie sprawił na Kraszewskim ten pierwszy jego pobyt w Warszawie, tego nie możemy określić; jedyny ślad piśmienny po tej wycieczce pozostał w „Tygodniku Petersburskim“ w artykule o sztukach pięknych, gdzie, mówiąc o pracowni Suchodolskiego, napomyka o dość obojętnym przyjęciu, jakie spotkało go u tego artysty, czemu się bynajmniej nie dziwi, uważając się za figurę podrzędną; a w liście z tego czasu do babki spotykamy pobieżną wzmiankę, że minister Grabowski obiecał mu materyały do „Historji Wilna“ i zaprosił go do korespondencyi z sobą. Nadto zaś słyszeliśmy od Pana Skimborowicza, któremu tém się chwalił w parę lat później Bonawentura Łąbrowski, że jubilat nasz u tego ostatniego uczył się podówczas malarstwa; co jest rzeczą prawdopodobną, gdyż dopiero od roku 1840 zaczynamy w jego listach znajdować ślady zajmowania się już nie samemi rysunkami, lecz i malowaniem olejnym.

Widocznie więc, co zresztą i zkad inąd dobrze wiadomo, że Kraszewski podówczas bynajmniej nie miał miru w warszawskim świecie literackim, skoro nawet nie wprowadzono go do salonu pani Nakwaskiej, ani pani Lewockiej, u której przecież ciotka jego, pani Moraczewska, bywała.

„Pan Walery“, „Kościół św. Michalski“, „Wielki świat małego miasteczka“, „Pan Karol“, „Ostatni rok panowania Zygmunta III“, „Dwa a dwa cztery“, „Raj i piekło“, „Majster Bartłomiej“, Tom I „Wędrownek umysłowych“, Tom I „Historji miasta Wilna“, „Dwa tomy poezji“, utwory poetyczne i prozaiczne, drukowane w „Zniczu“, w „Bircie“ i w „Bojanie“, i cały szereg artykułów, ogłoszonych od roku 1836 w „Tygodniku Petersburskim“, między którymi były takie, jak krytyka „Dziejów Litwy“ Narbutta — „Asmodeusz“, — „Choroby moralne XIX wieku“, — „Przeszłość i przyszłość romansu“, krytyka „Historji Wilna“ Balińskiego, i rzecz o tém, „Jak się robią nowe książki ze starych książek“, która wywołała wrzawę niezmierną: wszystko to razem wzięte nie starczyło jeszcze surowym arystarehom warszawskim, aby się przekonali o prawdziwym talencie i nauce niepospolitej Kraszewskiego i przestali go lekceważyć narzecznie. Kiedy za Bugiem imię jego już było bardzo głośnem, kiedy „Tygodnik Petersburski“ całą swą żywotność i wziętość jemu przedewszystkiem zawdzięczał, kiedy nie tylko Groza i ksiądz Trynkowski wiersze na pochwałę jego pisali, nie tylko Edmund Wasilewski, mówiąc o nim w „Pamiętniku Naukowym Krakowskim“, mistrzowskie mu zalety przyznawał; ale nawet Michał Grabowski upatrywał już w nim polskiego Waltera-Skotta; w Warszawie uporczywie odmawiano mu należnego uznania.

Oprócz tego, dowiadujemy się z opowiadania Wielisława, ogłoszonego w „Tygodniku Ilustrowanym“ (T. XI str. 69) p. t. „Sądy o Kraszewskim“, jak tu przyjęto w r. 1837 jedną z najcelniejszych powieści jego, p. t. „Świat i Poeta“. Autor powierzył ją swęj ciotce Moraczewskiej, z prośbą, aby wyszukała dla niej wydawcę. Jeden księgarz odrzucił ją stanowczo, drugi, młodszy więc śmielszy, gotów był ofiarować swoje usługi, zawarowawszy tylko, aby utwór ten został wrzód ocenionym przez znawców. Zasiadł więc areopag w salonie literackim pani Lewockiej; gospodyni podała manuskrypt Dmochowskiemu, proponując mu, aby przeczytał kilka ustępów. Dmochowski, z góry uprzedzony przeciw autorowi, umyślnie snadź czytał bezczemnie, naciskając

na błędy tu i owdzie napotykanne, i nie dopielniając myślą znaków pisarskich, gdzie je opuszczono przypadkiem; a na domiar nie-szczęścia, raz i drugi natrafił na ustępy dosyć drażliwe, które przyjęto z okrzykiem oburzenia i zgromy, ostatecznie zaś osądzono, że utwór ten jest, szczególnie pod względem formy, niższym od krytyki wszelkiej.

Pan Skimborowicz wszakże utrzymuje, że mimo to Dmochowski był się zdecydował powieść tę wydrukować; lecz spotkawszy się w „Tygodniku Petersburskim“ z artykułem Kraszewskiego, w którym wydawane przezeń przekłady otrzymały nazwę tandety, tak się za to rozgniewał, iż zamiaru swego zaniechał i rękopism odrzucił.

Nie dziwy więc, że przy takim usposobieniu inteligencji warszawskiej, Kraszewski nie mógł znaleźć w jej kołach serdecznego przyjęcia; odniósł wszakże ten tryumf, że, spotkawszy się tutaj z wydawcą Poznańskiego „Tygodnika Literackiego“, znalazł w nim chętnego nabywcę dla sponiewieranej swęj powieści „Świat i Poeta“, za którą wziął 50 dukatów, i został zaproszonym na stałego współpracownika do tego czasopisma.

Powróciwszy do domu, to jest do Omelna, przez całą zimę 1838—9 tyle tylko tam przesiadywał, ile tego koniecznie gospodarka potrzebowała, najwięcej czasu razem z żoną przepędzając w Horodeu, gdzie państwo Urbanowscy oboje, a zwłaszcza ona sama otaczała ich troskliwością najczulszą, jak najlepsza matka własne swe dzieci. W Horodeu też, w początku kwietnia 1839 roku, pani Zofia powiła pierwszą córkę, której, zgodnie z jej wola, dano na cześć praprababki na chrzcie świętym imię Konstancja. Tu także bez wątpienia powstać musiała największa część utworów Kraszewskiego, ogłaszanych w roku 1839 w „Tygodniku Petersburskim“, i w „Tygodniku Literackim“, z których pierwszy płacił mu grzecznościami tylko, a drugi trzy dukaty za arkuusz, jak się w początkach Marca tego roku chwalił babuni, dodając przy tem, że „jakkolwiek mi nigdzie indziej nawet koszt papieru i atramentu nigdy się nie wracają, ja mimo to utraconym sposobem pizę a piszę;— było to widzieć w moim prze-naczeniu.“

W następnym wszakże liście, datowanym w kilka tygodni później, donosi już: „Literackie moje roboty troszkę poszły w cenę; odebrałem w przeszłym miesiącu od dwóch siegarzy aż dwa wezwania o rękopisma, mam przynajmniej nadzieję, że kiedyś nich mieć coś będę.“ I znowuż wkrótce

potem: „Sprzedałem moje Historię Wilna, największemu księgarzowi, tanio, bo za 2000 złotych, ale to też pierwszy z nim interes. (Dodajmy tu w nawiasie, że pierwszy tom w pierwszym wydaniu drukował swoim własnym nakładem, na co mu ojciec 200 rubli pożyczył). Mnóstwo mam zatrudnienia, bo wszystkie pisma polskie peryodyczne wyobraziły sobie, że mnie potrzebują koniecznie. Piszę do Petersburskiego, do Wileńskiego jednego (?), do „Tygodnika“ w Poznaniu, do „Lwówianina“ we Lwowie, i do „Przeglądu“ w Kijowie (*); ale tylko jedno pismo Poznańskie płaci. Mnóstwo odbieram listów, pochwał, zaprosin; gdybym był próżny, a mógł się cieszyć tą odrobiną zapracowanej wziętości, gdybym nie znał, jak to jest rzecz krucha, miałbym powody do tego. Lepszy nasi księgarze już są ze mną w stosunkach, a nie tylko nasi, lecz i poznańscy. Chciałbym bardzo babce coś posłać, ale czekam na pierwszy tom historii Wilna nowęj edycji (przerobił go po krytyce Daniłowicza w Tygodniku Petersburskim) i na coś nowszego, a jak wyjdzie, to razem przez Dolhe odeślę. Wszakże to babunia była pierwszym moim nauczycielem.“

W roku 1839 wyszedł tylko „Poeta i Świat“ w Poznaniu, i drugi tom „Wędrowek“ w Wilnie; ale z pewnością twierdzić można, że nie tylko przerobiony tom pierwszy „Historii Wilna“, i nie tylko nie jeden rozdział w trzecim tomie „Wędrowek“, oraz we „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy“, ale również „Witoloranda“, „Mistrz Twardowski“ i „Całe życie biedna“, ogłoszone w r. 1840, były plonem z r. 1839, i w znacznej części zrodziły się w Horodeu. Do tego dodać jeszcze należy pracę nad dalszemi tomami „Historii Wilna“ i przeróbkę „Pana Karola“, który też w roku 1839 ukazał się w drugim wydaniu; mnóstwo artykułów w „Tygodniku Poznańskim“ i „Petersburskim“, oraz w dodatku do „Gazety Porannej“, do którego Hipolit Skimborowicz Kraszewskiego zaciągnął.

Widzimy więc, że mimo gospodarskie zajęcia i kłopoty, mimo pracę na roli, niwa

(*) O tym *Przeglądzie* nie wiemy; musiało to być chyba czasopismo tylko projektowane, które zamówiło sobie kollaboracya Kraszewskiego; ale natomiast wiemy, że w Piśmiennictwie Skimborowicza kilka rzeczy drukował, a między innemi „Obrazki z natury“ i „O grze w karty“ — artykuł powtórzony następnie w Tygodniku Petersburskim, równie jak i recenzya przekładów W. Hugo Brunona Kiejańskiego. Przyp. autora.

literacka nie leżała weale ngorem, ale przeciwnie, była uprawiana bardzo żarliwie i obfitsze żniwo przyniosła, niż w którym bądź roku z czasów późniejszych, przepędzonych w wiejskiem zaciszu. Dowodzi to wyraźnie, że nie zbywało wtedy Kraszewskiemu ani na swobodzie umysłu, ani na wolnych chwilach; bo wierna towarzyska jego żywota od razu prawie całkowity kierunek interesów materialnych, cały zarząd nie tylko w domu, ale i na folwarku, w swoje ręce wzięła, a przynajmniej bardzo a bardzo często miała w tém męża wyreczyć. Nad to zaś znajdujemy w liście Kraszewskiego do babki wyjaśnienie następujące: „Interesa moje idą, jak Bóg dał; a zawsze ci najdobrotliwsi, anielscy, ciocia i wuj mojej Zosi, Urbanowscy, wziawszy na swoje serce opiekunstwo nad nami, pomagają nam i najlaskawsi są na nas. Ich dobroć dla mnie nieraz mi baliki przypomina, bo trudno jest na obcym świecie, gdzie, jak ja, ktoś mało znajomy wejdzie, znaleźć takie serca i takie dusze. Jaką mam dla nich wdzięczność, opisać nie potrafię, lecz i ta za mała jeszcze na to, co oni czynią.—O jakżebym pragnął, żeby kiedy babunia mogła poznać nasze ciocie! jakby ją pokochała! Moja Zosia bardzo a bardzo za Romanowem wdycha; wczoraj mówiła, że piechotą-by poszła do babek; ale tak nam trudno o pasporta, że nie wiem, kiedy się do niego dostaniem, choć tak szczerze tego pragniemy“.

W ogóle więc Omelno, choć z raz tak się źle przedstawiło, i tyle trudów, tyle zgryzoł Kraszewskiemu przyniosło, wszakże w dziejach żywota jego ilustruje wprawdzie jeden z najkrótszych, ale zarazem jeden z najwdzięczniejszych rozdziałów. Tu rozpoczął życie na własną rękę; tu się dla niego w rzeczywistość zmieniły, długo żywione w duszy, marzenia i nadzieje najmilsze; tu stanęła kolebka pierwszej rodzicielskiej jego pociechy; tu się nareszcie porodziły, lub przynajmniej zjadł na świat wyszły i owe dzieci jego ducha, które mu najwięcej laurów przyniosły i sławę jego ustaliły na zawsze.

Siedziłą tę tak opisał w swojej sielance p. t. „Wioska“:

Las był wkoło, lecz inny, inne łąki, pola,
Jakiś barwy odmienne, nie litewska rola;
Coś wiało od Wołynia, ale Wołyn był jeszcze.
Młodeму wszędzie dobrze, a nadzieje wiesze
Lepszą dolę wróżyły, i w tym pustym lesie
Duniam, pracując, dusza ku przyszłości rwie się.
Wstąpiłem tu sam jeden, wyszedłem we trój;
Szczęście się potroiło, a z nim niepokój.

Niepokoje te ztąd wynikały, że Omelno, pod względem gospodarczym, było kątem

bardzo niewdzięcznym; że, lubo, przy usilnej pracy a oszczędności, można w niem było wyjść na swoje, ale trudność sprzedaży i ceny na produkta, najeczęściej bardzo niskie, rok rocznie sprowadzały nowe kłopoty przy placeniu dzierżawy. Zawsza więc musieli Kraszewscy upatrywać sobie nową siedzibę, i postanowili nabyć jaki folwark na własność, do czego też pp. Urbanowscy ich namawiali, ofiarując pomoc ze swojej strony. Już więc w roku 1839 jął zabiegać młody gospodarz o kupno dwóch wioseczek, Korczyńa i Zylży, należących do klucza Klewańskiego, który książę Konstanty Czartoryski miał podówczas na sprzedaż. Obejrzał je Kraszewski na miejscu i przekonał się, że mająteczek to weale nielakomy, bo ma najgorszą ziemię i kwestyą o granicę, a cała wartość tylko w lesie i w splawnej rzecce, tuż pod samym dworem płynącej; mimo to jednak targ rozpoczął, a nawet prosił wuja Malskiego, aby mu ułatwił porozumienie się i układy z plenipotentem księcia; bo ową rzeką splawną był Horyń, ten sam Horyń, co płynie przez Horodec; bo z Korczyńa do Romanowa na Kowel i Włodawę nie dalej, jak z Dolnego.

Na szczęście, zamiar ten, za skutecznieniem którego przemawiało nie wyrachowanie, lecz tylko serce, z powodu zbyt wygórowanej ceny majątku nie dał się przyprowadzić do skutku, a natomiast w r. 1840, udawszy się na kontrakty do Dubna, nabył tam Kraszewski od Podhorodeńskich wieś Gródek, nieopodal od Łucka, w dobrej ziemi, licząc 130 dusz za 140,000 złotych, z których częścią potracala się na dług bankowy, i bardzo się cieszył z tego nabytku, wielkie w nim upatrując zalety. „Jakkolwiek bądź na początek frochę nam trudno będzie (pisał w Kwietniu do babki, już z tej nowej siedziby swojej, gdzie i żona była wtedy obecną) *bo i chłopci zubożeli, i gospodarstwo podupadło*; ale sam majątek bardzo jest dobry, *il-y-a de l'etoffe*. Leży o jeden dzień drogi od splawnego Buga, rodzi wybornie pszenicę, ma wielki dostatek łąk, pastwisk i znaczną bardzo przestrzeń lasu czarnego, wybornie zachowanego. Ma rzeczkę, zabudowania niektóre dobre, domek mały, ale wygodny, w endownie pięknym położeniu, ogrody wszelkiego rodzaju, bo nawet i piękny angielski ogródek, założony wśród gór i jarów, z pięknymi bardzo widokami. Słowem, będzie to kiedyś bardzo wygodny i intratny kawalek. Dziś nawet, przy nieosobliwem gospodarstwie, robił intraty 8,500 złotych. Cieszymy się oboje, że byłobyśmy nie mieli trudności o pasporta, to łatwo nam będzie dostać się



OMELNO.



GRÓDEK.

do Romanowa, od którego nie jesteśmy da-
lój, jak o mil siedemnaście". — W „Wiosce“
zaś w taki sposób Gródek opisał:

„Poglądnuj ze wzgórza:

Wzrok leci zadumany, w zieloniach się nurza,
I nie chce mu się wracać, tak to kraj uroczy!
Jeszcze go czuje serce, jeszcze widzą oczy.
Nad zielonemi łąki, rzeczką przeciętymi,
Piętrzą się wzgórza, śmiejąc ku niebu od ziemi;
Tu ówdzie chatka biała, jak grzybek wyrosła,
Oceńniona gruszaną, okolona plotem.
Dalej stodołka starą strzechę swą podniosła,
A w koło pola, gaje, przetykane złotem,
I smaragdowe łąki, i wioski bez liku.
Cerkiewek i kościolków, jakby na obrazku...
Tam domek stary skrył się wśród gąszczy gaiku,
Tam pasieka dymy w lasku.
Wygony jak kobierce, przeświecają łąny,
Wszystkie ciekawe na wzgórze patrzeć się wybiegły,
A kraj gdyby malowany,
A widok, jak sen, rozległy...

Wszakże zanim osiadł w tej uroczej
ustroni, musiał Kraszewski nie mało się na-
trudzić i nie mało zaznać przykrości, tak
przy obrachunkach z dawniej dzierzawy, jak
też i przy kupnie majątku, najeżonem tysią-
cem prawnych formalności i krzezków, które
zabrały mu ze trzy miesiące, a, jak się póź-
niej okazało, nie całkiem jeszcze usunięte
zostały.

Uszczęśliwiony tym nabytkiem, młody gos-
podarz z zapalem się zabrał do pracy już
na własnym zagonie, i nie szczędził trudu
ni kosztu, aby swe gospodarstwo doprowa-
dzić do kwitującego stanu, w czym gorliwie
pomagała mu dobra żona, a państwo Urban-
owscy w trudnych razach wspierali; że
zaś, zwłaszcza w dwóch pierwszych latach,
i zdrowie mu służyło, i urodzaje były pięk-
ne, i zboże się dobrze płaciło, a dodajmy
nawiasem i wziętość literacka wciąż rosła,
i popyt na utwory jego co raz się wzma-
gał: czuł się więc z bytu swego całkowicie
zadowolonym, i Bogu zań dziękując, pełen
dobrej otuchy i nadziei na przyszłość, z rów-
ną ochotą biegł do pluga, jak i do pióra,
i jedno z nich drugiemu nie przeszkadzało.

Z czasem wszakże, gdy na żywy inwen-
tarz, na remanenta, na wzniesienie gorzelni
i innych gospodarskich budowli, których
brakło w Gródku uroczym, a w końcu i na
rozszerzenie domu mieszkalnego, który, w miarę
powiększającej się rodziny i gromadzą-
cych się zbiorów naukowych i artystycz-
nych, co raz się okazywał szczuplejszym,
musiał wyłożyć kilkadziesiąt tysięcy złotych;
gdy co raz częściej trafiały się lata nieuro-
dzaju; gdy się przypłatał jakiś proces,
w skutek pretensyi, na majątku ciężących,
a nie wykazanych przy kupnie, co się w je-
zyku jurystowskim nazywało *podówczas wil-*

kiem; kiedy życie rodzinne, obok całej peł-
ni swojego szczęścia, rozwinęło się w całej
pełni swych niepokojów, zmartwień i kło-
potów nieuniknionych; gdy raz po raz to
żona, to jej matka lub ciotka, to którejś
z trojga dzieci chorowało; gdy śmierć mu za-
brała wuja Urbanowskiego, ukochaną pra-
babkę Nowomiejską i zacnego księdza Cho-
łoniewskiego; gdy i sam, co raz częściej za-
padając na zdrowiu, zaczął cierpieć chro-
nicznie na artrytyzm, ból gardła i na bieie
humorów do głowy, a pomimo starań naj-
usilniejszych, nie mógł dostać pasportu za
granicę, gdzie mu lekarze do wódjechać
kazali, i gdzie sam się spodziewał orzeźwie-
nia dla umysłu i sereą znaleźć; gdy wresz-
cie bracia literaci zawistni jeli mu doskwie-
rać co raz dotkliwiej; powoli ogarnęło go
zniechęcenie, zwątpienie i ledwie nie zupeł-
na apatya, która szczególnie w listach do
przyjaciół i do rodziny, poczynając od ro-
ku 1845 po 1849, wyraźnie się odbija, a po
części widzieć się daje i w zmniejszonej
twórczości literackiej, jakkolwiek, o czem
się niżej przekonamy, nalogowa, namiętna
praca, w innym tylko kierunku, i w tym
czasie nie ustawała.

W Gródku upłynęło Kraszewskiemu lat
dziewięć (od 1840 po 1849), a żywot jego
w tym okresie, lubo obfity w ciężkie troski
i smutki, ale i z przyjemności i z wielkich
nawet pociech nie obrany, w główniejszych
rysach tak się oczom naszym przedstawia.

Naturalnie, że główną jego cechę musiały
zatrudnienia literackie stanowić, o tych wszak-
że pomówimy osobno, a najpierw zajmiemy
się stroną jego ogólnie ludzką i stosunkami
powszedniemi.

Wolyniaczy nowego współobywatela, któ-
rego imię już tak głośnie było podówczas,
że ci nawet, którzy dzieł jego nie czytali,
już się musieli dosyć o nim nasłuchać, po-
witani bardzo serdecznie, szczególnie zaś
miejscowa arystokracja, cała rzesza hrabiów
i książąt, która naówczas tak wybitny i odrę-
bny charakter tej prowincyi nadawała.
Dzieńcie Dubna, książę Józef Lubomirski,
i syn jego Marcelli, gdy Kraszewski przy-
był na kontrakty do tego miasta dla ukła-
dów o kupno Gródka, zaraz z nim zabrali
znajomość i uprzejmie go zaprosiwszy na
wieczory i obiady do swojego palacu, gdzie
się codziennie zgromadzali najprzedniejsi
i najdystyngowani przedstawiciele tak zwa-
nego wyższego towarzystwa, od razu go do
nich zbliżyli; a wszyscy ci wielcy panowie,
co i sam Kraszewski przyznaje w liście do
matki, byli dlań, jak się wyraża, *d'une pré-*
venance et d'une politesse excessive, od nie-

jednego z naszych braci szlachty poufalsi i przystępniejsi."

Powtarzało się to i później niejednokrotnie, gdyż Kraszewski prawie corocznie, w części dla interesów majątkowych, w części dla rozrywki i studyowania życia z natury, zjeżdżał na kontrakty do Dubna; a gdy w końcu 1842 i na początku 43 przez czas dłuższy z całą rodziną swoją przeniósł się do Sławucie, gdzie pani Urbanowska dla kuracji była osiadła, to stosunki z okoliczną arystokracją jeszcze ściślej się zawiązały.

"My tu na wielkim świecie (pisał wówczas do matki) i ja porobiłem znajomości, już to w samej Sławucie, gdzie mnie najlaskawiej przyjęli i przyjmują, i gdzie bywam codziennie, już to w Krzewinie u księżnej Jabłonowskiej, gdzie mieszkają X. X. Lubomirscy młodzi. Chociaż dotąd starannie unikałem znajomości z wielkimi panami, bo dla szlachcica zawsze to niebezpieczne, jednak tu nadzwyczajnej uprzejmości, grzeczności, uprzedzającemu obejściu się oprzeć się było niepodobna, i nad wszelkie spodziewanie zbliżyć się musiałem do tych, których, widząc, że nie sposób, poznawszy, nie szanować i nie cenić ich znajomości. X. X. Sanguszkowie tutejsi odznaczają się przed innymi w tym względzie. Wszyscy oni w tym domeczku, w którym mieszkam, oddawali mi wizyty, a książę Marelli Lubomirski o kilka wiorst stąd po dwakroć do mnie przyjeżdżał, książkami mnie obypał i dał dowody największej uprzejmości. Jutro jadę z tąd o kilka mil z wizytą do p. Franciszka Lenkiewicza, jednego z najznakomitszych tu ludzi, który między innymi ma piękne obrazy i wzorową oweczarnię. Poznałem go już dawniej w Dubnie, teraz odnowilem znajomość i muszę go odwiedzić."

Wiemy jednak, że stosunki te ze światem arystokratycznym, którego grzeczność i uprzejmość umiał cenić Kraszewski, szanując to, co na poszanowanie zasługiwało, nie zaślepily go bynajmniej na jego wady i drożności i ust mu nigdy nie zamknęły, ilekroć szło o wypowiedzenie choćby najostrzejszych słów prawdy. *Pravda a praca, Unquibus et rostra*, hasło jego i herbowe godło Jastrzębców, zawsze nim kierowały, zarówno wobec panów, jak szlachty. Zresztą stosunki te nie zasłyły dalej nad grzeczność i uprzejmość towarzyską w przypadkowej styczności, lecz nie mogły się nazywać ani przyjaźnią, ani zażyłością sąsiedzka. W ogóle bowiem, zatopiony w pracy swej literackiej, której ogrom nawet i wtedy, gdy sam pracownik utrzymywał, że nie nie robi, był prawdziwie zdumiewającym, — zakłopotany go-

spodarstwem trudnym i nudnym, często wręszcie szwankujący na zdrowiu, Kraszewski w życiu wiejskim mało się udzielał sąsiadom; a że i sama Pani nie miała najmniejszego upodobania w wizytach i zabawach, stosunki więc ich towarzyskie były bardzo ograniczone, a natomiast rodzinne stanowiły najpierwszą i najwyższą potrzebę serca, były źródłem największych przyjemności i pociech. Zimą zazwyczaj przepędzali u Państwa Urbanowskich w Horodcu, z kądem Kraszewski wybiegał tylko na kontrakty do Dubna, — lato w Gródku, z kądem przez kilka lat pierwszych — (póki się rodzice nie przenieśli do Romanowa) bądź sam Kraszewski, bądź oboje z dziećmi jeździli zwykle do Dolhego, albo też z utęsknieniem wyglądali najpożądańszych i najdroższych gości u siebie; a do błogosławionych, do rajszych dni w swym życiu zaliczali te przed innymi, w których babka, albo rodzice uszczęśliwili ich swoimi odwiedzinami. Babki Małskiej wyglądali trzy lata, raz w raz powtarzając o tę łaskę czule zaklecia, a nie znajdując słów na podziękowanie po każdej obietnicy, i nie mogąc dosyć odboleć doznanego zawodu, zanim wreszcie 1842 roku powitali ją w Gródku. Cóż to była za radość, co za uroczystość rodzinna! „Całe życie pamiętać będziemy tę bytność naszej kochanej babki (pisał wnuk po jej wyjeździe) i gdybym mógł, tobym pomnik w ogrodzie postawił, żeby mi to co chwila mocniej przypominał". — „Odwiedziny kochanej babki nieustannie mam w myśli, bo tyle nam szczęścia przyniosły, że opisać tego nie zdołam; — (dodawala ze swojej strony pani Zofia). Ściele się u nóg najlaskawszej i drogiej babki, prosząc, aby nas zachowała w swym sercu i jeszcze kiedykolwiek odwiedziła". W jesieni r. 1843, podobną radość sprawili im oboje rodzice, a powracając do Dolhego zabrali z sobą, jako zakładniczkę, najstarszą ich córkę, Kostusie, która się przez trzy lata u nich chowała, wznawiając tradycje romanowskie i dając powód do tych częstszych stosunków między Gródkiem a Dolhem. Następnie w r. 1846 jeszcze większą i pełniejszą pociechę przyniósł Państwu Kraszewskim przyjazd jednoczesny babki, matki i siostry ukochanej Józefa, Anny, która, niejako w zamian za Kostusie, w przedłuższej pozostawała u nich gościnie. W końcu raz jeszcze radośnie się rozjasniło niebo nad Gródkiem w r. 1848, dzięki przybyciu matki.

Notujemy te wszystkie odwiedziny, jako ważne wypadki w życiu Kraszewskiego, bo istotnie takimi były. Serce tego człowieka pod miękkiemi i ciepłemi rękoma trzech tak

zaczynnych, dobrych i mądrych niewiast, jak prababka, babka i matka, w przeczystej atmosferze cnót rodzinnych, jaką oddychano w Dolhem i w Romanowie, tak się rozwinięło od lat najrańszych, iż dla niego miłość rodzinna stała się najgłówniejszą i najpierwszą potrzebą życia. W zbiorze kilkuset listów familijnych, któreśmy przeglądali, ledwie nie każda kartka ta miłością opromieniona, a zresztą wszystkie one są jej najoczywistszym i najwymowniejszym dowodem: nie wiele bowiem między nimi jest pisanego w interesach materialnych, lecz prawie jeden w drugi przedewszystkiem z potrzeby serca, dla zasięgnięcia wieści o rodzicach, babkach, braciach i siostrach, dla zawiadomienia ich o sobie, o swój żonie i dzieciach, o zajęciach literackich i gospodarskich, dla udzielenia dobrej rady w razie potrzeby, dla wyjednania jakiejś łaski u ojca którego bądź z rodzeństwa, dla wyświadczania się z wszelkich swych zamiarów, smutków i pociech, dla samego nareszcie wynurzenia czci i miłości.

Gdybyśmy mieli prawo i mogli wypisać tu choć połowę takich ustępów, w których uczucia te malują się z całą szczerością i prostotą nieporównaną, a zarazem przytoczyć fakta, prawdziwość ich dowodzące, byłoby to zaiste najpiękniejsze karty w tej biografii, najwybitniejsze rysy w charakterystyce tej szlachetnej i wzniosłej duszy. A i to jeszcze dodać trzeba, że uczucia te nie tylko nie ostygły z wiekiem, ale przeciwnie wzmacniały się coraz do bardziej, i że mąż zasłużony w narodzie, ojciec dzieci dorosłych, tak się garnął do serca swych rodziców, z takim uszanowaniem i pokorą synowską we wszystkiem się do nich odnosił, jakby od lat dziecinnych w stosunkach między nimi żadna zmiana nie zaszła. Jeszcze w 1852 roku pisał do matki: „powtarzam, co już tyle razy mówiłem, że mocno i szczerze drogą mamę kocham, i jak stare dziecko tęsknię do niej“. W innym znów liście: „im się bardziej starzeję, tem mocniej i więcej kocham; na nieszczęście takeśmy daleko, tacy podarci na kawałki i rozerwani“. Albo znów: „Mileczenie Romanowskie zawsze mnie niepokoi; choć los daleko mnie odpędził, serce tam zostało i chodzi po starć ścieżce od domu do kaplicy, od kaplicy do ofiicy, i po szumiącej alei jodłowej. Nie widzicie go tam, ale jakże często z piersi mi ucieka wleży się koło was“.

Potrzeba zaś tej miłości, tego związku nieustannego z ukochaną rodziną była tak silną i tak żywą, iż nigdy dość się zaspokoić nie mogła, co się widzieć daje w czę-

stych dopiskach żony na jego listach do rodziców, zaklinającej ich, aby o Józefie nie zapominali, bo każde ich dłuższe milczenie staje się dla niego źródłem udręczeń i tęsknoty niezmiernej; o czém zaświadczyć może i następny wyjątek z listu do brata Kajetana: „Dzięki za list, choć krótki, za jakiś ślad, że Was obchodzę jeszcze choć trochę, za przypomnienie dawnych, niepowrotnych czasów, kiedyśmy jednę jeszcze składali rodzinę. Dziś darmo by się ludzi! myśły ziarna, rozsypane z jednego gronka, a wrosły każde gdzie indziej, a obracające się każde inaczej. Nikt z Was mojego przywiązania do rodziny ani pojął, ani rozumiał, ani w nie uwierzył! Cicha czasem łza zakręci się o zmroku na wspomnienie Romanowa i Dolhego, ale nikt jej nie widzi, a ja opędzam ją czém prędzej, żeby się na starość nie rozmazywać“.— Gdzie indziej jeszcze: „Ej Kaj! czemu więcej nie pisałeś o sobie, o ojcu, o matce, o Lncyanowstwu, a tak szczerze i po bratersku? Jam tak żądny tych nowin, a tak je rzadko odbieram! trzeba o nie naglić, prosić, dopiero mi tam coś kapniecie, jak jałmużnę“.— „Pisuj do mnie kochany bracie, boś ty mi brat, nie tylko wedle ciała, ale i wedle duszy, ty mnie zrozumiesz łatwo, boś ty takutenki, jak ja,— i tobie do życia potrzeba czegoś więcej, niż pospolitych jego warunków... szukasz w kamieniach, w astronomii, w muzyce żywioła tego i masz stokroć słuszość,—bez tego niema życia, lub jest tylko bydlęce“.— „Pisz do mnie szeroko,—czasem ujmij z dziennika coś, gdy dzień był pusty, a natomiast po kawałku pisz dla mnie w sposobie dziennika, bo życie wasze Romanowskie mocno mnie obchodzi, i nie jeden szczegół miłoby mnie zajął, gdybyś tylko miał cierpliwość wypisać się. Jak idą obserwacye z lunetą? Ile razy teraz na zachód słońca patrzę, zawsze sobie ciebie przypominam. Jaki to dobry sposób wynalazłeś przypominania mi się codziennie!“

W przytoczeniach tych wyprzedzamy bieg czasu, bo chcemy w całej pełni, od razu odmalować tę piękną stronę charakteru, żeby już w dalszym ciągu życiorysu do niej nie wracać, jeszcze więc dorzucamy szczegółów kilka:

Po osiedleniu się w Hubinie pisał do ojca (r. 1850): „Za świerki z serca dziękuję! O niechby się przyjęły! byłyby to wnuki starych świerków Romanowskich; gdybyż choć jeden chciał mi rosnąć! Mam tu olchę Dolzańską; poglądałbym razem na świerki i na olchę; przypominałyby mnie, wygnani-cowi, oddzielenemu od swoich, Was wszyst-

kich, i moje słodkie czasy dzieciństwa i młodości, które już nigdy, nigdy się nie wróci! Drogi ojcze, kochaj mnie tyle, co i resztę swych dzieci, a pewnie na mojem sercu i wdzięczności nigdy się nie zawiedziesz, bom wasz zawsze posłuszny syn!"

Posłusznym się nazywał, i był nim rzeczywiście: wszelkie zlecenia, wszelkie chęci ojcowskie, w najważniejszych i najdrobniejszych sprawach, spełniał z uległością obojętną, a jeśli to było niepodobieństwem, to się tłumaczył i przeproszał, i korzył się, jak małe dziecko. Tak np. dla dogodzenia jemu zaczął pisać do „Biblioteki Warszawskiej“, zapominając uraz, do których nie brakło mu słusznym powodów; a później, obrażony przez „Gazetę Warszawską“, na wstawienie się jego, nie cofnął jej swojego współpracownictwa. Tak znów kiedyś, ażeby mu zrobić przyjemność, przez pół roku poszukiwał po całym Żytomierzu jakichś osobliwszych cybuchów, podobno ordowych, o których się starszuskowi zamarzyło przy fajce; a inną razą przez cały rok rozpisywał listy na wszystkie strony, dopytując się o jakiegoś szewca, który przed laty uszył był dla Pana Chorażego buty wygodne. Nareszcie prawie co rok, a czasem nawet parę razy do roku, na żądanie jego, malował mu obrazy, lub kopiował portrety rodzinne, o to jedynie prosząc, aby ojciec nie kompromitował go, malowidła jego rozdarowując.— Po tém wszystkiem zbyteczna już powiadać o gotowości do posługi w ważniejszych sprawach, gdzie szło już nie o dogodzenie jakiejś zachęcanie, kaprysowi, fantazyi, lecz o interesa żywotne, o uchronienie od kłopotów i strat materialnych.

Kiedy w roku 1854 przyszedł do posiadania Kisiel, najpierwszą jego myślą, najpierwszém było pożądaniem, żeby w nich ugościć rodziców.

— „Matuniu moja (pisał) gdybyś nas uszczęśliwiła, gdybyś się pomodliła w naszej kapliczce za dzieci swoje! Jahym i konie i powóz wysłał do Uściługu lub do Polonki, i obowiązując się całą podróż wziąć na siebie, byleby nas to szczęście spotkało, o które tak proszę, tak proszę, jak o największą łaskę! i ja, i Zofia, i dzieci! Niech mama pomyśli, niech choć trochę nas pożaluje!“ Do ojca zaś inną razą: „Proszę mi dać okazję, to przysłę papie starego, doskonałego *dereńtaku*; ale niech lepiej papa do nas na dereńiak przyjedzie, to nas uszczęśliwi. Pieścić Go będziemy i chuchać, że Mu u nas źle będzie. I w Kisielach, i w Żytomierzu znajdzie się pokój wygodny, i to, co tylko papa lubisz i do czego

przywykłeś: książki, tytoń, kawa, gawędka; a pocieszylbyś się papa wnukami, które doprawdy warto pobłogosławić. Wielkoby to było dla nas wszystkich szczęście.“

Kiedy się te pragnienia ziszczyć nie mogły, z bólem serca skarżył się matce: „Oboje z Zosią tęskny list Mamy czytaliśmy z rozrzewnieniem. Prawda, że tak rok za rokiem upływa, życie mija, a ledwie na krótko i rzadko nam do siebie zbliżyć się podobna. Nikt tego może tyle, co ja, nie czuje. Wszystko mi tu przypomina Dolhe i Romanów, każda olszyna, i każda jodła, którą zobaczę.“

Gdy zaś po długiem utęsknieniu, nie mogąc doczekać się pasportu do Romanowa, zjechał się w pogranicznym Uściługu z rodzeństwem, dokąd mu i żona towarzyszyła, tak o swoim szczęściu pisał do matki: (5 Stycznia 1855). „Najmilszą niespodziankę zrobił mi ojciec, którego anim się śmiał spodziewać po takich zamieciach i burzach! Oprócz tego poczeiwy Kajetan z żoną, i państwo Rulikowscy (rodzice pani Kajetanowej), wszyscy byli tak nieporównanie dobrzy i grzeczni, że tu na chwilę zjechał; a jaką to serdeczną sprawiło mi radość, tego list mój będzie dowodem, bo go piszę rozmarzony i zapewne napiszę bez wielkiego sensu. Mało takich chwil trafia się na Bożym świecie, a po nich pozostaje długie wspomnienie. Jedno tylko zatrulo moją radość, że będąc bliźniok Romanowa, nie mogłem do mamy dojechać!“

Wreszcie, gdy w roku 1857 został obrany kuratorem szkół żytomierskich i zatwierdzony na urządzie, tak pisał do rodziców:

„Kilka tylko słów piszę, prosząc Was, kochani rodzice, o błogosławieństwo na nowy dla mnie zawód: westębnijcie za mną do Boga, ażebym moim obowiązkom nieczciwie podolał, ludziom się nie naraził i sumienia nie zawiódł. O to proszę, nie dla formy, ale z potrzeby dusznej, w przekonaniu, że Wasze święte modlitwy wyproszą mi pomoc z Nieba i łaskę Bożą, bez której się nie dobrego zrobić nie może w najmniejszej rzeczy.“

Dla uzupełnienia tej charakterystyki, dodamy jeszcze rys niezmiernie oryginalny: że Kraszewski, który namietnie pali fajkę, a pisze zwykle piórem gęsiem, aż do roku 1859 innych piór ani do pisania, ani też na munsztuczki do cybuchu nie używał, jak tylko tych, które mu babka, albo matka, bądź z Dolhego, bądź z Romanowa, umyślnie przysyłały.

Gwałt sobie zadajemy niemały, na tém już urywając cytaty, ale i tak bodajże za-

nadtośmy sobie pozwolili w tej mierze; a byłoby z czego hojnie zaczerpnąć! Od lat dziecińczych aż do czasów ostatnich, czy w dobrych, czy to w złych losach, czy z domu, czy z podróży, czy z kraju, czy z zagranicy, nieustannie ten syn i brat pocztowy z swym rodzeństwem korespondował, wtajemniczając je we wszystkie swoje myśli, uczucia i postęпки. Babka, ojciec, matka i obaj bracia, a szczególnie Kajetan, miewali co rok po kilkanaście lub i więcej listów od niego. Fakt ten byłby już godnym zaznaczenia nawet wtedy, gdyby Kraszewski w samej tylko rodzinnej korespondencji szukał ujęcia dla wrażeń swojej duszy; ale zważywszy jak rozległemi były stosunki jego literackie, ile co poczęta do znajomych i nieznajomych towarzyszy pióra musiał listów napisać, jak szerokie miał pole w swym zawodzie pisarskim do wynurzenia tego, co mu w głowie albo w sercu powstało, jak narazie zatopionym był zawsze w pracy, — ze czcią trzeba uchylić czoła przed objawem tym miłości rodzinnej, jakiemu równych, wątpliwy, aby wiele dało się znaleźć.

Po stosunkach rodzinnych, które w życiu Kraszewskich tak szerokie miejsce zajęły, wielki też dział w niem przypadł i na stosunki literackie, nie ograniczające się samą tylko korespondencją: ze znajomością, zawieranych listownie, wywiązywała się znajomość osobista, a niekiedy i przyjaźń, jak np. z księdzem Hołowińskim, Choleńskim, Konstantym Podwysockim, Komornikiem, Dycalpem, Rzewuskim, Grabowskim, Wróblewskim, Aleksandrem Przeczdzickim, Skimborowiczem, Karolem Drzewieckim, Kondratowiczem i innymi. Niektórzy z nich, jak ks. Choleński w 1842 r., Drzewiecki w 1843, ksiądz Hołowiński w 1846, Skimborowicz w 1847, umyślnie przyjeżdżali do Gródka, lub do Hubina (Kondratowicz 1850); z niektórymi zaś spotykał się w Lucku, w Kiewie lub w Warszawie; Dycalpa w Żyrowicach sam odwiedził, zabiegłszy tam z Dolnego w 1843 r.; Kazimierz Komornicki był jednym z najbliższych i najmilszych Kraszewskiego sąsiadów, przyjacielem od serca; sąsiadką również była Ewa Felińska, autorka „Dziennika z pobytu w Berezowie,” matka Arcybiskupa, który też w pierwszych latach swego kapłaństwa, przyjeżdżawszy o niej na Wołyń, był z nią razem w gościnie w Gródku i najserdeczniejszego doznał przyjęcia. Zaglądali tu czasami i księżarze, jak Adam Zawadzki i Maurycy Wolff ten ostatni wraz z Syrokomlą był w Hubinie). Zaglądali i nie sami profesjonaliści, ale także ludzie inteligentni, miłośnicy lite-

ratury i sztuki, umiejący cenić uprawiaczy pola umysłowego, jak np. Franciszek Skibiński, ksiądz Jeremiaś Woroniecki z Królestwa Polskiego, i p. Justyn Majewski, sąsiad z Polonki i przyjaciel od serca, którego z takim rozrzewnieniem we wstępie do „Wieczorów Wołyńskich“ Kraszewski, obok Hołowińskiego i Komornickiego, wspomina.

Gdzież więc przy tém mogło znaleźć się miejsce na stosunki powszednie, trywialne, czeze i nudne? — Zaiste było to zupełnem niepodobieństwem: gdyż, jakkolwiek Kraszewski odznacza się darem niezrównanym stosowania się do poziomu umysłowego tych, z którymi musi przestawać, i tak ujmującą prostotą i przystępnością, iż najprozaiczniejszą lreczkosiej może łatwo przy nim zapomnieć, że ma do czynienia z znakomitym człowiekiem; wszelakoż częstsze stykanie się z takimi ludźmi, naginanie się do ich usposobień i upodobań, było-by z używaniem drogiego czasu i zasobów duchowych, nieopłacającym się ani wpływem moralnym, ani studyowaniem typów i charakterów, ani wytehnieniem dla umysłu, które laćniej mógł znaleźć przy fortepianie, przy stalugach, w ulubionych konnych przejażdżkach, lub też w wesołym gwarze i szczebiocie kochanych dzieci, których mu tu przybyło dwoje: syn Jan, urodzony d. 13 Marca 1841 roku i Franciszek d. 8 Kwietnia 1843, a z których dwojgu starszym, kiedy podrosły, sam lekeye muzyki dawał.

Grywał dużo, a nawet i kompozycyi też próbował; wydał *Pastusze piosunki, na fortepian przepisane, i Fantazyjke z ulubionych piosenek*). Malarstwu także oddawał się z wielkiem upodobaniem, obdarowując obrazami swojemi rodzinę i przyjaciół, a niekiedy mienając je na stare książki lub malowidła z słynnym w epoce owój antykwarjuszem wędrownym, Igiem, który do Gródka bardzo często zaglądał, a zawsze się dobrze oblawiał; bo i pieniędzy dość wywoził, i roboty malarskie Kraszewskiego odprzedawał później z dobrym zarobkiem, jak się o tém przekonywamy z listu do Podwysockiego: „Wielkieś zrobił głupstwo, kochany Konstanty, nabywając grupę straszdyń, bezecną nazwaną moję; masz wiedzieć bowiem, że co tylko z robót moich tym sposobem wychodzi na świat, są to rzeczy spalania tylko warte, które żyd, znając moję słabość do starych książek i obrazów, u mnie wyhandlowuje. Dajże mi słowo, że tę grupę spalisz, a dam ci inną robotę. Niepoczęty ten handlarz spekuluje na ciekawości ludzkiej i moje utrapione roboty wyciąga mi z kątów za pomocą starych kronik i ma-

lowidel, a mam trochę słabości do sztychów, ksiąg i obrazów, że za nie ostatnieby podobno oddał sp... Wiedząc, jak dalece ubogiemu człowiekowi słabość ta jest niebezpieczną, dałem sobie słowo, i co większa, dotrzymuję go, że nie tego rodzaju za pieniądze kupować nie będę; gdzie więc jest jakie zamazane płótno, to żyd u mnie wyciągnie. Jedną tylko trochę lepszą moją robotę, „Wjazd Radziwiłła do Rzymu 1680 r. kupił od tego żyda podobno Świdziński“. (Dziś znajduje się w Bibliotece Ordynacji Krasieńskich).

Musimy tu jednak zaznaczyć, że w tej passyi malarskiej nie zawsze mógł Kraszewski sobie dogodzić; farby bowiem i płótno aż z Warszawy musiał sprowadzać, i nieraz wyczekiwać parę miesięcy, nim je przysłano.

Ale wracając do stosunków sąsiedzkich, nie omylimy się zapewne, gdy przypuścimy, że w niektórych ustępach „Powieści bez tytułu“ można znaleźć ich wyjaśnienie, że mogło tak i z nim się trafiać niekiedy, jak w tej powieści z Szarskim, iż „gdy który z sąsiadów objawił ochotę zaproszenia go do domu, — Dajże pokój! — odzywał się drugi — a co my z nim robić będziemy? o czem gadać? w karty nie gra, nie pije, nie pobaraszkuje... pociechy z niego nie będzie, a jeszcze nas gotów opisać“.

Dodajmy tu nawiasem, że istotnie, od czasów uniwersyteckich, w którym zabawka przy zielonym stoliku nie mało nań ścigała przykreści, Kraszewski, wierny przyrzeczeniu uczynionemu matce, nigdy w karty nie grywał, ani dla gości w domu swoim ich nie miał, i dzieciom nawet bawić się niemi nie pozwalał. Co zaś do *opisywania*, wiemy z pewnością, że o to rzeczywiście często mu wytaczano pretensye i miewano gorzkie urazy.

„Imi, przez jakiś niby szacunek, udawali, że poważali go wiele, mówili mu wielkimi słowy o jego poświęceniu, o pracy, o dziełach; ale z największą seryą odegrawszy tę komedyjkę, uciekali, żeby drzwi za drzwiami ze słów własnych. W napuszonych zresztą pochwałach nieszczerze ich znać było“.

A nie brakło i takich co, jak za panią matką pacierz, powtarzali bezzasadne zarzuty i dzikie posądzenia za „Historią miasta Wilna“; byli i tacy, co za *Saukę* z „Latar ni czarnoksiężki“, za „Ulanę“, „Ostapa Bondarczuka“ i „Jarync“, oskarżali go o dążności demagogiczne, które z resztą i w gospodarstwie jego, i w postępowaniu z włościanami bardzo łatwo upatrzeć mogli; zaraz bowiem po objęciu w swe posiadanie Gródka, poznał darenaszczyny i daniny, i ni-

gdy w niezem praw dziedzica nienadużywał, lecz owszem z troskliwością chwalebna wglądał i w materyalne, i w moralne potrzeby swoich *poddanych*: kiedy w roku 1848 nawiedziła Gródek cholera, po przejęciu jej pisał do ks. Placyda Jankowskiego (Dycalpa): „U nas Bogu dzięki nikt nie umarł; ratowaliśmy sami; nie uciekaliśmy od niej nigdzie, bo zostawić tak lud biedny na łasce Opatrzności nie pozwalało nam sumienie“. Kiedy zaś w tymże roku zaprowadzono w Gubernii Wołyńskiej tak zwane *inwentarze*, to z pociechą pisał do ojca: „Jest to taka rzecz, że naznaczono robocizny tylko trzy dni miesięcznie i jeden dzień żeński — na tydzień, i nie więcej. Zmniejszy to nasze dochody, ale lepiej dla ludzi. Moi oczekują bez niecierpliwości i mówią, że nie bardzo im pilno do tych odmiar“.

— A do Konstantego Podwysockiego: „Bądź przekonany, że w tem jest *bon gré mal gré* sprawiedliwość; choćby to miało o moje oprzeć się kieszeń, nie mogę nie chwalić tej reformy. W ogóle zreguluje to stosunki i przetrnie nadużycia, co zawsze pożądanem było“.

Wszystko się więc na to składało — i charakter, i sposób myślenia, i rodzaj zajęć nie zwyczajny, i cały ustrój życia, iż Kraszewski nie mógł się ściśle zbratać z swoim sąsiadstwem, i ani domu otwartego prowadzić, ani do otwartych uczeszczać. Wyjątkowe to położenie i przykreści z niego płynące, wybor nie sam zcharakteryzował w liście swym do „Tygodnika Petersburskiego“ (r. 1841 N. 21), z którego przytoczymy parę wyjątków, jako najautentyczniejsze świadectwo prawdziwości słów naszych:

„Jest więcej takich, którzy wolne tylko chwile, niedogryzki życia, umysłowym zajęciom ofiarują; lecz imnie się zdawało, że aby skutecznie pracować i z siebie dla siebie coś zrobić i dla ludzi być użytecznym, trzeba oddać większą i lepszą część życia. Co za tem poszło? Naturalnie, zapomnienie o wszystkiem, wyrzeczenie się towarzystwa (po większej części nie wielka ofiara) wyrzeczenie się przyrodzenia, swobody, spokoju, nadziei polepszenia bytu materyalnego, nawet przyjemności familijnych, które nie tościwie wydągająca praca obcina niemiłosiernie. Nie skarżyłbym się na to, nie mówiłby nawet, gdyby komukolwiek na myśl przyszło nie już *ocenić* poświęcenie, ale choć zrozumieć je. Ci panowie, uważający literaturę za rozrywkę, książkę — za słaby surogat wista; te panie, które śmiechu tylko szukają wszędzie, dowcipu na każdej karcie młodzieży naszej rozpoznawana; starzy, literatów po większej części na jednej sz-

z kamedyantami kładący: jakże mają seryo pojąć takie poświęcenie i zrozumieć, że ono istnieje, gdy, przekonani nawet o niem, nie potrafią go nazwać, chyba szaleństwem i obłąkaniem. Proszę pana — powiadają — eale dnie, eale noce trawi nad książkami, nad pisaniem; gospodarstwo opuszcza, *sasiedom uchybia, bo u nich nie bywa, z ludźmi nie żyje*: czysty waryat, panie dobrodzieju! — Biedny człowiek! — odzywa się głos drugi. — wyraźnie ma jakiegoś sznsta nieborak! Żeby tym dzieciństwem eale życie poświęcić! — Drugi, choć w oczy wstydzą się nawracać na drogę zbierania grosza, gospodarowania i t. d., choć w oczy wysoce chwala takie poświęcenie się; za oczy, zarówno z innymi, ruszają ramionami. Trzeci, że nigdy nie próbowali pracy podobnego rodzaju, nie pojmują, nie rozumieją, utrzymują, że możnaby było pogodzić oddanie się literaturze i mamonie⁴.

„Wystaw więc sobie pan, co to w tej nieszczęśliwej głowie się dzieje, gdy z jednej strony biją w nią myśli z pięknego świata, a z drugiej kłopotliwe przypomnienie jutra, przyszłości, starości? Człowiek porzywa pióro i rzuca, siada pisać i wstaje, chciałby tworzyć, a nie może. Gdy się wreszcie zdecydował, machnął ręką i odpędził natrętne myśli, usiadł i począł; wtém wpadł ktoś, wszedł z potrzebnym zawsze zapytaniem o stodołę, owcach, gorzelni — i wszystko popsuł⁴...

„Ale nareszcie otrząsnąłeś się z gospodarstwa, zdaleś się choćby na złodziei, spodziewając się, że przynajmniej nie wiele ci ukradną, i pokonałeś interesa, zapłaciwszy, dla spokojności, dwa razy jedno, wróciłeś do domu, odpocząłeś; usmiechnęła się żona, przywitało cię dziecko, rozruszały cię książki nowe, któreś czytał, siadaś do pracy, roją się myśli, układasz plany, różowo widzisz ten utwór przyszły, który, dokonany, wyda ci się pewnie popielatym tylko... znowu jesteś w swoim żywiole... Trzask z bicia!... ktoś przyjechał! — Pędza owce; chwala Bogu! ale już śmiertelne dreszcze przeszły cię od stóp do głowy, zimno ci się zrobiło, przelakłeś się, — no, ale nie, niema niczego... Trzask z bicia! o! ktoś przyjechał! Tak — odpowiada ci żona po ciehu — istotnie stoś przyjechał. — A więc preez książki, precz papier i pióra, precz myśli! Wypogódź ezoło, idź, podziękuj gościowi, że cię odwiedził, że o tobie pamiętał. I tak się też robi: trzeba być uprzejmym, usmiechającym się, zapraszającym; trzeba nie puszczać, trzeba rozmawiać o pogodzie, o urodzajach, o sąsiedztwie; trzeba siedzieć jak na me-

kach, udawać wesołego, szczęśliwego! Trzeba, mówię, bo inaczej ogłoszą cię za człowieka, który nie umie żyć z ludźmi, powiedzą, żeś dumny, zarozumiały, żeś... ale kto to wszystko zliczy, co gadają!... Zbyłeś gościa jednego, wjeżdża drugi: przyjacielu, jak się masz?... Niema co mówić, wszyscyśmy przyjaciele! Bierze na sekret; ważne wiadomości: tam mówiono o tobie to i to; tam a tam odpowiedział tak a tak; sprzeczał się. Tu znowu powiadają, że ty... i tak dalej. Niepodobna, żeby najrozumniejszego nawet człowieka najgłupsza czasem plotka nie dotknęła. Otóż i po spokojności! Wije ci się po głowie myśl niepotrzebna i dręczy, jak soliter. Wyjechał nareszcie roznośiciel plotek z nowemi plotkami dalej i już jesteś wolny. Nadjeżdża posłaniec. Czego tam? Pan i pani proszą o książki. Dajesz książki, bo oddałbyś duszę, żeby się uwolnić. W tydzień odbierasz książki oszarpane, poplamione, podarte i, zamiast podziękowania, list z wymówkami, żeś chyba na szyderstwo i żart dał takie rzeczy do czytania: jedna książka była zanadto rozumna, druga za głupia, (znajdźże środek, kiedyś mądry!) trzecia nieprzyzwoita, czwarta nie nowa, a piąta usypiała skutecznie. Pożyczając drugi raz książki! — Już znowu siadasz. Wieczór nadechodzi, swobodny wieczór, bo wieczorem rzadszy gość, nie przychodzą listy i nie latają daleko plotki; pewny jesteś odpoczynku. Gdzie tam! Oto wchodzi ekonom, któremu sto razy powtarzać musisz do zrozumienia dyspozycyę na jutro (a jednak jej nie spełni; *sołnik* wnosi ogromny pęk kursori do podpisania; dozorca magazynowy przysłał jakieś formuły, które potrzeba przepisać; dają ci znać, że przyszli żołnierze, a ty ich musisz rozstawiać; tu znowu potrzebują furmanek pod przechód i t. d. Otóż i wieczór ci przepadł! Szczęśliwys, jeśliś skończył to wszystko do dziesiątej, i już, spojrzawszy na zegar, leżysz sobie cztery godziny wolne, bo ledwie spoczniiesz o drugiej. Ale w tej chwili, jakże nie pomówię z biedną żoną, która cały dzień w mleczniu strawiła nad robotą i książką? jak nie pobawić się z dziećciem, które ku tobie rączki wyciąga!... Tak prędko biega godziny! Północ, niechło, wszysey spać idą — godzina pracy. Wtém czujesz, jak, całodzienną wrzawą, niepokojem, rozdrażnionem nerwy drgają w tobie, jak głowa ci się płomieni, jak oczy pieką, krew wre po żyłach. Siadasz i wstajesz, padasz wreszcie bezsilny na łóżko, bo ci sił nie stało. Ciągłe chciałeś coś robić, a jednak nie nic zrobiłeś, dzień przepadł. Tyś eodzien bliższy grobu, a dzień

ten minal niezapisany w księdze żywota! Niepodobna! niepodobna! Zrywasz się, oblewasz zimną wodą, chłodzisz się powietrzem i siadasz do pracy. Bardzo jednak wątpliwe, abyś co dobrego napisał“.

„Nazajutrz przychodzi poczta. Dzień cały zajmie ci czytanie przysłanych pism peryodycznych, ksiąg, gazet i listów. A! listów, na które odpisywać trzeba, a bywa ich dziesięć, piętnaście i więcej! Dodawszy listy gospodarskie, przyjacielskie, w interesach i familijne, zformuje to jakich 2000 półarkuszy do napisania na rok. Tymczasem siadasz tylko czytać; już i to robota. A naprzód wpada ci do rąk gazeta z Warszawy, *opieczetowana*, nadesłana bezimiennie: jest to extrapoczta wyexpedyowana zjadliwą krytyką; wyrachowano wybornie, aby nie zawieruszyła się na pocęcie i najprędzej doszła. Jakkolwiek kto jest oswojony z rozumem i nierozumem recenzjami, (a ja, spodziewam się, jestem bardzo, bo mnie, ostatniemi mianowicie, karmią, nie żalując) zawsze to pewna, że wiele smutne wrażenie robi zjadliwy pocisk. Jeśli jeszcze nie widzisz sensu, prawdy, znajomości rzeczy, tylko szczerą złość, litość cię bierze nad beżniennym głupcem, ale cię boli serdecznie. Popsuty humor; co gorsza, rodzi się na jakiś czas niechęć do pracy, zrażenie, odpada ochota, radbyś wszystko porzucił. Ale zaprzężony koń nie rzuca szlei, choć mu boki obciera. Czytasz dalej: listy z komplementami,—młda potrawa, która weale nie osładza gorczy głupich recenzji.—Listy z wierszami!—uchowaj nas Panie! ciężkie to listy! jednakże, aby nie zawieść zaufania, potrzeba odpowiedzieć! Listy z prośbą o radę literacką,—trzeba dać radę. Listy z wymówkami,—trzeba przyjąć wymówki. Listy z reklamacyami,—trzeba wrócić temu literę, a tamtemu półtorę, opuszczonej gdzieś wypadkiem. Listy z poznamieniem się,—trzeba podziękować; a koniec końcem: trzeba na wszystko odpisać. Aby się prędzej zbżyć z głowy ciężaru, siadasz i piszesz półtora dnia; jedzie z nimi na pocztę posłaniec, i drugie ci tyle przywozi. Nie mówię, co to kosztuje pieniędzy,—gorsza szkoda czasu. Człowiek już o pierwszej nie myśli, choć żonie żal tych idących w świat rubli, które nigdy już nazad nie wrócą“.

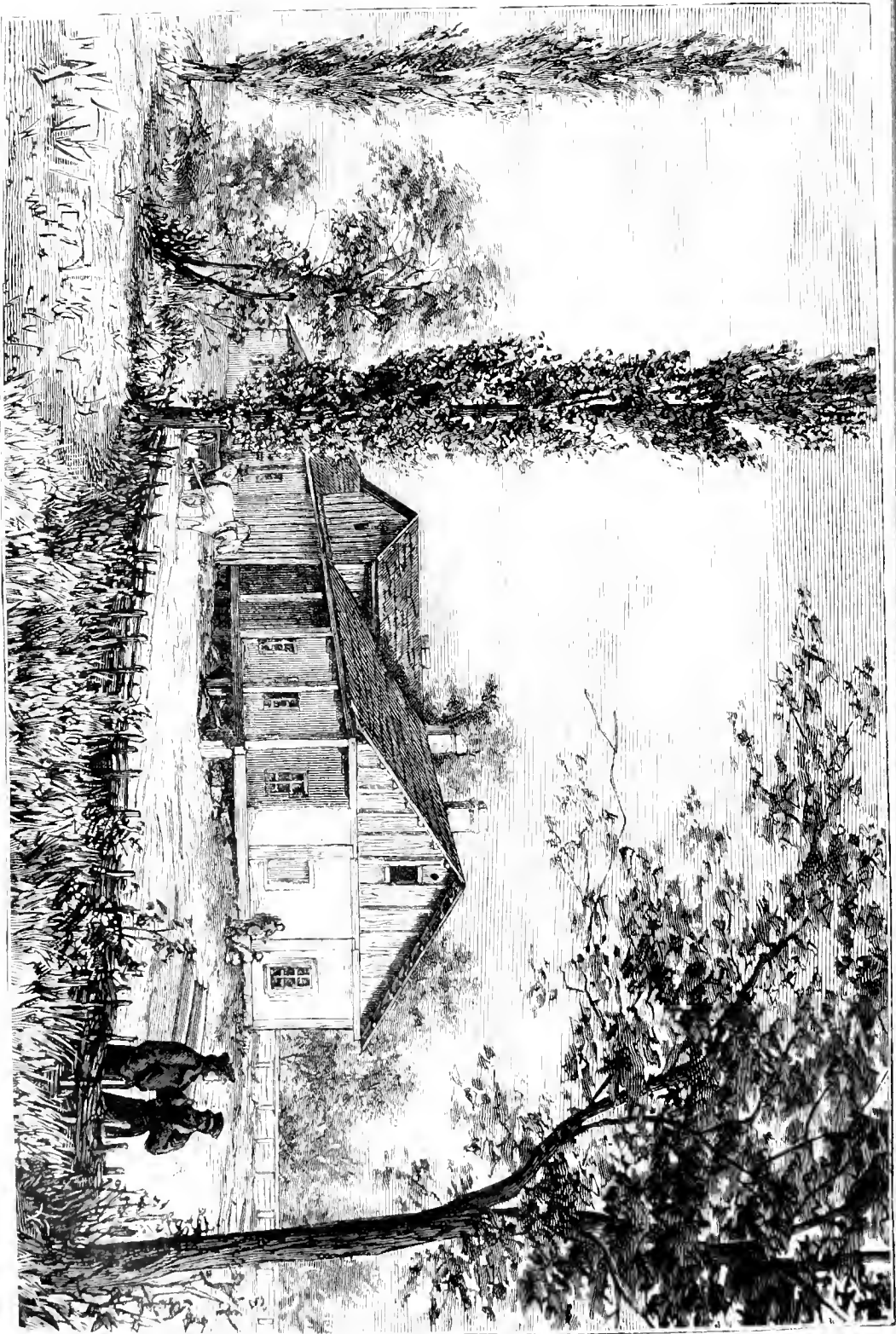
„Otoż masz, panie, obraz tylko jednej części kłopotów. Teraz, wzięwszy samo tylko życie literackie, na które ile zostaje czasu, osądzisz sam; podzielmy je jeszcze na godziny nauki, (bo się człowiek do smierci uczy), godziny czytania, godziny poszukiwań i samego już tworzenia. Kilka rzeczy już po-

czętych wymagają każda osobnych przygotowań, namysłu, badań, zastanowienia. Tymczasem księgarze dopominają się rękopismów, a wydawcy pism peryodycznych — artykułów“.

Naturalnie, że manifest publiczny w tym rodzaju już sam przez się nie mógł być dla sąsiadów zachętą do utrzymywania stosunków z jego autorem, gdyż słuszne mieli prawo przypuszczać, że umyślnie był na to obliczony, ażeby się od nich odżegnać. Powtarzamy więc, że stosunki były bardzo ograniczone, a wszystek czas pochłaniały zajęcia umysłowe, po trosze gospodarskie, oraz życie rodzinne. Gdy dla zdrowia trzeba było koniecznie oderwać się od pracy, to, jakeśmy widzieli, dążył Kraszewski tam, gdzie go serce ciągnęło: do Dolnego, Hrodca, Prawotyń, Ossowej, albo na kontrakty do Dubna; w latach zaś 1842, 1843, 1844, 1846 i 1847 odbył nieco dalsze wycieczki, a mianowicie do Kijowa, do Kamieńca, do Odessy, do Warszawy i do Drużkiewic.

Kijów podówczas sływał swojemi kontraktami, na które się zjeżdżało najprzedniejsze obywatelstwo z całej Ukrainy, Wołynia i Podola, a po części i z Litwy, nie tylko dla załatwienia interesów ziemiańskich, nabywania albo zbycia majątku, dla sprzedaży produktów, ulokowania kapitałów lub też zaciągnięcia pożyczki, nie tylko dla zaopatrzenia się na cały rok w wiktuały i wszelką prowizję spiżarnianą, jako też w rozmaite przedmioty elegancji i zbytku, w pyszne futra, jeprawie i axamity, w marmury, srebra i kryształy, co wszystko zwozili tu kupcy przedniejsi z Warszawy, z Wilna, z Petersburga, z Moskwy i z za granicy; ale nie mniej, a może jeszcze bardziej, dla wesołego przepędzenia czasu, dla świetnych uczt i balów, a często często i dla bachanalii *balagulskiej*, gdzie się wino lalo strumieniem, i na stoły zielone sypały się tysiące *peców*, z którymi nieraz jedna karta zabijała całą fortunę a czasami i dobrą sławę.

Obok tego wszelakoż wielu tu poeigały i wznioślejsze, szlachetniejsze upodobania; na sali bowiem kontraktowej można się było spotkać niekiedy i z obrazem weale ułatnym, i z rzezbą niepoślednią, i z *antykiem* osobiwszym w magazynie Schafnagla; księgarń Glicksberga i Zawadzkiego rozwijały tu całe swoje zasoby, popisując się najświeższymi płodami; a nieraz nawet pierwszorzędni artyści, jak np. Lipiński, Dreischok, Liszt, Apolinari i Antoni Kąssey, występowali tutaj z koncertami. Zjeżdżali się więc na kontrakty i literaci, wszyscy prawie



HUBIN.

przedstawiciele życia rmyslowego w trzech guberniach a współpracownicy „Tygodnika Petersburskiego“ i „Athenaeum“, z których grona ksiądz Hołowiński stale podówczas przemieszczał w Kijowie, a z prowincyi przybywali Hr. Alexander Przezdziecki, Hr. Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Alexander Groza, Michał Jezierski, Konstanty Podwysocki, Hr. Gustaw Olizar, Karol Drzewiecki, wreszcie miłośnicy i zbieracze starych ksiąg, manuskryptów, rycin i obrazów: Konstanty Swidziński i German Hołowiński, krewny żony Podwysockiego. (Pomimo woli przychodzi nam uwaga, że wszystko to byli bracia-szlachta, obywatela ziemscy, ba i wielej nawet panowie! — Niechże to posłuży za rehabilitacyą tej *kasty* w oczach tych, co w niej chcą upatrywać samych tylko próżniaków i półglówków, a nawet prawa bytu jej odmawiają).

Naturalnie, że Kraszewskiego na kontrakty kijowskie sprowadzili przeważnie pobudki literackie, a mianowicie chęć poznania swoich współtowarzyszy i korespondentów; jednak nie samo tylko obeznanie z literatami sprawiło na nim bardzo mile i długo niezatarte wrażenie, ale nie mniej też i wieczory towarzyskie, w kółkach ścisłych, gdzie uroczę, serdeczne i inteligentne ukraińki, lepiej pono, niżeli ich mężowie i bracia, poznać, ocenić i ucześć go umiały.

Nie mamy na podoręczu materyałów, z którychbyśmy mogli zczerpnąć szczegółowych wskazówek o zjeździe literackim ówczesnym i wszystkich jego uczestnikach, i musimy poprzestać na przytoczeniu tylko tego, co sam Kraszewski w listach swych do rodziców, oraz do Dycalpa, o tém napisał.

„Kijów wydał mi się, mimo zimy, prześlicznym (do Dycalpa), a tak oryginalnym, tak dziwnym! Wystaw sobie trzy miasta oddzielne, z ogromnych gmachów złożone, najeżone złocistemi kopułami cerkwi niezliczonych, rozrzucone wpośród drzew, po wysokich górach, u brzegu Dniepru. A co za widoki! Z galerii cerkwi św. Andrzeja odkrywa ci się *Podol*, u nóg twych Dniepr, za nim step śmiejący w oddaleniu, góry *Carського sadu*... nie do opisania. Z mieszkania znowu mego na *Starym Kijowie*, przy kościele katolickim, widać całe *Peczerskie* i część *Kreszczatki*. Kiedy drzewa jeszcze ubrały się w swoje brylantowe zimowe sukienki ze szronu, nie równego wyobrazić nie możesz. Jest to miasto w ogrodzie prześlicznym. Nie potrzebuję ci pisać, że w czasie kontraktów życia było wiele, ludu bożego mnóstwo. Nie myśl jednak, aby lu-

dzie, i choroba nawet, do tego stopnia mnie opanowała, żebym wyjechał z Kijowa, nie zwiedziwszy jego starożytności i osobliwości. Co mogłem, obejrzałem: Pieczary, Lawrę, Sobór Michajłowski, Sofijski i t. d.... (szegóły i uwagi o tém pomijamy). Naszych panów literatów było dość wielu. Hr. Rzewuski przybył na koniec. Uspokobieni jesteśmy z nim jeśli nie serdecznie, co nie możliwa, to przynajmniej na oko dobrze. Czytał nam część swojej powieści „Listopad.“ Jest to *Soplica* na większą skalę, ale wiele gawędy, a dramatyczności wcale brak, co czyni rzecz trochę wodnistą. Ma jednak to poprawić Grabowski — urywki ze swjej powieści „Tajkury;“ będzie to rodzona siostra „Stanicy;“ i kto wie, czy nie więcej jeszcze interesująca. Obrazy niektóre (mało czytał) wyborne. Nakoniec twój najniższy sługa czytał „Mindowsa;“ a przyjęło go dobrze, aż nadto dobrze, zwłaszcza, że czytałem go całego, a kilka tysięcy wierszy do wysłuchania, to kara Boża (*). Tak na lekturach, gawędkach, sprzeczkach, obiadach, śniadaniach, przeszły nam kontrakty, jak z bicia trzaski.“

Dalsze szczegóły czerpiemy z listu Kraszewskiego do rodziców:

„Na opisanie pobytu mego w Kijowie, znajomości, jakie tutaj pozabierałem, i t. d. listu za mało; może da Bóg, że to kiedyś ustnie obszernie opowiem, teraz tyle tylko doniosę, że wszędzie, od wszystkich doznałem najlepszego, lepszego niżelim zasłużył, przyjęcia. Wszysey chcieli poznać się ze mną, — obiady po obiadach, wieczory po wieczorach, toasty po toastach. Czytałem przy kilku, potem, z powodu większych żądań, przy kilkunastu osobach mego „Mindowsa;“ i wszystkim się podobał. Teraz poprawiam go do druku. Stałem tu u księdza Hołowińskiego, prawdziwego przyjaciela, który się dzielił ze mną, czém miał, kołmi, stancją, wszystkiem. Byli tu między innymi Grabowski, Gustaw Olizar i Rzewuski. Z Rzewuskim, który ma do mnie urazę, byliśmy zimno, ale dobrze; hr. Olizar — najmiłszy człowiek w świecie. U obudwóch

(*) Złośliwi opowiadali onego czasu, jakoby przy czytaniu tém Rzewuski drzemał; nie ręczymy za autentyczność tej anekdoty, mamy jednak prawo przypuszczać, że autor „Mieszani“ mógł rzeczywiście ruszyć takim konceptem, tak samo, jak to później, według podania Henryka Cieszkowskiego, uczynił był na posiedzeniu Biblioteki Warszawskiej, na które raz przybywszy, „rozłożył się wygodnie na kanapie, udał uśpionego i w głos śród czytania chrapać zaczął. Szczególną było chęcią jego drażnić to, co na ogólnie zasługiwało uznanie.“

ostatnich, wracając z Kijowa, byłem w Żytomierzu, gdzie mieszkają, u pierwszego na wieczorze, u drugiego na obiedzie. Papy notatkę o „Mieszaniach“ komunikowałem w części *Bejle*, ale na nią mileżał; powiastkę tylko o Wołodkowiezu chełwie pochwycił, i pewnie z niej skorzysta (*). „Co się tycze naszych zajęć z „Biblioteka Warszawską“, te już podobno skończone. Widziałem w Kijowie jednego z panów, który nymyślnie z tem przyjechał, aby prosić o zgodę i mir, na co przystałem, bom nie rozpoczął kłótni i zwad i pierwszy jestem do podania ręki, nie pamiętając na urazy osobiste. Nie wiem, czy tak nisko jestem, czy tak wysoko, ale dość, iż języki tych panów nie dosięgły mnie i nieobrażony pozostałem, a oni sami sobie zaszkośli.“

„W Kijowie poznałem mnóstwo pocziwych ukraińców, którzy mnie serdecznie w odwiedziny do siebie zapraszali; poznałem nawet sąsiadów Buzówki, dawniej naszej wioski, która dziś, jak mi powiadali, ma 700 dusz i należy do p. Sawieckiego jakiegoś. Poznałem niemłodego już p. Marka Sarneckiego, który mi powiadał, że był w Buzówce, kiedy mój dziad na śmiertelnym łożu już leżał. Muszę tam być tego roku koniecznie.“

Do tych ukraińców pocziwych, z którymi się Kraszewski poznał w Kijowie, należał i Konstanty Podwysocki, a znajomość tą, dobrze już przygotowaną przez korespondencyą, od razu się stała szczerą i stateczną przyjaźnią; jakkolwiek bowiem p. Konstanty w literaturze bardzo skromnie miejsce zajmował, bo nie miał wybitnego talentu, a zwłaszcza leniwym był do pióra, ale odznaczał się sercem najpięszem, charakterem szlachetnym, umysłem pięknie ukształconym, humorem i dowiepiem niezrównanym, co wszystko czyniło go najpocziwszym i najmiłszym koleżką. Nie dziw więc, że Kraszewskiemu tak od razu przypadł do duszy, iż przyrzekł mu, że go latem odwiedzi na Ukrainie, aby czas dłuższy w jego domu pogodzić i razem z nim odbyć kilka miłych

wycieczek po tym kraju uroczym, który pociągał go ku sobie wspomnieniem chwil, błogo spędzonych w towarzystwie ukraińskim podczas kontraktów. A lubo nie mógł przyrzeczenia tego dotrzymać, to nie omieszkali wszakże z pierwszej sposobności skorzystać, aby sobie i jemu wynagrodzić ten zawód: w roku 1847, gdy Podwysocki razem z Germanem Hołowińskim przeniósł się na Podole i czas jakiś przesiadywał w Kamieńcu, od którego o dziewięć mil, w Zawalijkach, mieszkał p. Bratkowski, szwagier pani Kraszewskiej, to p. Józef, przybywszy tam z żoną w gościnę, na drugi dzień, rozstawionemi końmi, do Stariej Petrydawy pospieszył. „Leciałem na złamanie karku, — pisał do pana Konstantego za powrotem na Wołyn, — ale jakżem się zmartwił, kiedy od faktora domu, w którym stoicie, dowiedziałem się, że p. Podwysocki i p. Hołowiński wyjechali do Sawiniec! Bawilem w Kamieńcu spelnia 24 godziny, byłem świadkiem pożaru w rynku, i wyjeżdżałem smutny, spoglądając po za siebie na płonące jeszcze miasto i dymiące żgłiszcza. A! nie uwierysz, jak mi się podobał ten cudny, czarodziejsko-piękny, w tyle żywych pamiętek strojny Kamieniec! Pomimo słoty, wiatru, zimna, błota (było to w Październiku), latałem jak szalony i zachwycałem się. O! co za miasto dla poety, dla malarza! Co za śliczna ruina! Nie będę ci pisał o Kamieńcu, bo go lepićj odemnie znasz, dość powiedzieć, że zakochany w nim.“

Powodem, że Kraszewski nie mógł ani latem 1842 na Ukrainę, ani w 1843 na kontrakt do Kijowa pojechać, były po części straty i kłopoty w gospodarstwie, po części pogorszony stan jego zdrowia, dla którego, kiedy nie zdołał za granicę dostać pasportu, zdecydował się wreszcie do Odessy, do kąpieli morskich się udać, w towarzystwie pani Urbanowskiej, która co lato wycieczkę tę była zwykła odbywać. Wrażenia z tej podróży opisał i ogłosił r. 1845—6, w 3-eh tomach, pod tytułem „Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku“, dawszy wprzód po-

(*) Powiastka o Wołodkowiezu, którego żywot awanturniejszy i zgon tragiczny dali poznać: Rzewnski w *Pamiętnikach Sapiegi* i Chodźko w *Pamiętnikach Korsakowa*, była taka, jak ją nam powtórzył p. Kajetan Kraszewski z tradycyi ojcowiskiej. Słynny ten awanturnik, rozstrzelany jak wiadomo za napad zbrojną ręką na trybunał Miński, za porabianie krucyfiksów i zranienie sędziego, miał jakoby niegdyś w tymże Mińsku podczas kazania sprowadzić pod same drzwi kościoła cyganów z niedźwiedziem i kazał im przy odgłosie bebenka i piszczałki zwyczajne sztuki pokazywać. Naturalnie, że na głos tej dzikiej kapeli, na wykrzykiwanie niedźwiedźników i ryk niedźwie-

dzia, tłumem się ludzie wysypali z kościoła, jedni zaciekawieni, drudzy oburzeni tą awanturą: a kaznodzieja, widząc dom Boży prawie pusty, zastąpił z ambony i poszedł za innymi, aby opamiętać niebacznych, a surowo skarcił zuchwałych gwałcicieli świątyni Pańskiej. Kiedy stanął na ganku i ujrzał Wołodkowieza, zanoszącego się od śmiechu, z wielkiej niechęci, że się mu tak dobrze z figłem powiodło, — grmnie go, rzucił słowo prorocze, że przyjdzie czas, w którym on sam własną osobą jeszcze ciekawsze widowisko wyprawi, niż obecnie z niedźwiedziem, i tumult jeszcze większy wywoła.

Przyp. autora.

znać z nich wyjątki w „Bibliotece Warszawskiej” i w „Przeglądzie Naukowym,” nadto zaś odbił je po mistrzowsku w krajobrazach, służących w części za tło do powieści historycznej „Zygmuntowski czas.” Wyjechał z Grodka d. 22 Czerwca, powrócił 11 Września 1843 r. Kto inny na właściwem miejscu zda sprawę z przebiegu tej wycieczki; my zaś poprzestaniemy na przytoczeniu głównych tylko zarysów, które napotykamy w liście Kraszewskiego do babki: „Odbylem maleńką przejażdżkę, bo tego podróży nazwać nie można, do Odessy i dalej w stepy Bessarabskie, po nad Dniestr, do Akermanu, Benderu i Kiszyniewa. Miła mi się została pamiątka w notatkach i rysunkach, zebranych na tej przejażdżce. Kraj ten, a nade wszystko widok zachwycający morza, był dla mnie zupełną nowością. Do tego brzegi morza Czarnego, w tych miejscach, gdzie step, jak koło Odessy, jest zamieszkały i zasadzony drzewami, cudnie piękne. Po nad morzem zwisają się urwiska wzgórz i skał kształtów najdziwniejszych; sam widok stepu, choć smutny, bo w wielu jego częściach ani drzewka niema, (tylko to, co sadzone i mozolnie utrzymane), ale nowy i w swoim rodzaju wspaniały. Czasem dookoła na ogromną przestrzeń nie nie widać na płaszczyźnie, prócz kilku daleko rozsypanych starych mogił. Brzegi Dniestrowe za to, z oryginalną zupełnie i nieznaną nam wegetacją, całe pobierane w *skompije*, które wyglądają jak drzewa z piór, albo z puchu, w łaski drobne, w góry i garby różne,—prześliczne. Dniestr płynie doliną głęboką, środkiem łąk, lasów i zarośli trzcinowych, krecąc się na wszystkie strony. U ujścia do morza w Akermanie rozlewa się w ogromny Liman, czyli jezioro, szerokie i długie na wiorst kilkanaście. Tu dwa brzegi Dniestrowe łączy chodzący między nimi parowy statek. Akerman, starożytny zamek, nad limanem, ogromny, a tak cały, mimo swą starość, że jednego mu kamienia nie braknie. Leży na skale i literalnie kąpie się w limanie. Tu, dla nas nowe, ogromne winnice, które, rozrzucone po całym tym kawałku kraju, zupełnie podobne do naszych pól, kartoflami zasianych.”

„Odessa, ogromne, nad samym morzem zbudowane miasto, na wszystko, co za granicą mają: teatr włoski, francuzki, niemiecki, asfaltowe trotuary, oświetlenie gazem, i t. d. Jeden tylko kościół katolicki, mały, choć katolików mnóstwo; magazyny, sklepy przepyszne, ale nade wszystko piękny port i bardzo mądrze urządzona kwarantanna, która jest prawie drugim miastem w mieście.

Tego roku zjazd do kąpieli był niezmierny; najwięcej z naszych prowincyi, do 300 rodzin; ale chłód i deszcze kąpać się nie dawały. Ja jednak, uparłszy się, wziętem pięćdziesiąt kilka kąpeli, które, jak dotąd, posłużyły mi trochę. Trudno się nie zahartować, kąpać się dwa razy na dzień w takiej zimnej i tak balwanami bijącej wodzie.”

Zarys ten uzupełnić jeszcze musimy kilkoma szczegółami z listu do Podwysockiego:

„Powiedasz, że mnie w Odessie na ręku nosili,—jeżeli nosili, to tak lekko, że nie czułem; a może jestem trochę rozpieszczonym dzieckiem... Morze, bożkie morze zachwycało mnie! O! ty nie wiesz pewnie, co to widok morza, co to za cudowny widok! Jam je śpiewał, rysował, malował, opisywał, i dotąd z zapалу ochłoniąć po nim nie mogę.— Odessa wyborna, ale, gdyby nie przyjezdni, nudna i strasznie droga. Miejscomu byli dla mnie grzeczni, aż do gubernatora, wszyscy nadzwyczaj grzeczni. Literatura właściwa nie ma tu zwolenników; sztuki, wyjąwszy muzykę, w zanedbaniu, a muzykę tylko jedną, to jest włoską, pojmują i cenią; teatr—at sobie. Co się tyczy snyderstwa—mizerye; co się tyczy malarstwa—nie, albo gorzej niż nie, bo co tu malują, tego opowiedzieć niepodobna i uwierzyć trudno. Jakiś włos, p. Vitale, namalował do kościoła katolickiego *Zdjęcie z Krzyża*, które jak sobie przypominę, to mnie dreszcz przechodzi.”

Nie na samą jednakże kuracyi Kraszewski czas przepędzał w Odessie; zamierzwszy podróż swoją opisać, gromadził do niej materiały na miejscu, ku czemu wiele mu pomocnem było *Odesskie Towarzystwo historyczne i starożytności*, głównie zaś profesor Skalkowski, autor „Nowej Sieczy” i Murzikiewicz, sekretarz pomienionego Towarzystwa, które zamianowało Kraszewskiego w tymże roku członkiem swym honorowym. Tutaj też nasz podróżnik spotkał się po raz pierwszy z wielce wziętym i powszechnie szanowanym w Odessie doktorem Karolem Kaczkowskim, w którego domu nie jedną miłą chwilę przepędził.

W roku 1844 miał Kraszewski mocne postanowienie odbyć wycieczkę do Warszawy i Romanowa; dnia 27 Listopada pisał do ojca: „Jestem zupełnie gotów do podróży; lecz zaczęłam już się obawiać, aby i ta, jak tyle innych moich projektowanych podróży, na trudności pasportowej nie zagrzechla, a smutno by mi było nie widzieć teraz babki. Żonę z dziećmi wyprawilem już do Horodea; jestem sam, jak palec w domu i długie wieczory ślepiać, oczy wymęcam do reszty.

Jeden tylko mój *Terrence*, ogromne ezarne psisko, dotrzymuje mi towarzystwa i nie da się nikomu ruszyć, żeby się zaraz do skutecznej obrony nie rzucił. Ale te długie wieczory, przy szumiącym za ścianą wicherze jesiennym i głuchej ciszy w całym domu, samemu jednemu nie bardzo są wesołe, zwłaszcza mnie, com już przywykł do gwaru dzieci i ruchu ludzi ciągłego, tak, że najczęściej czytam i piszę nawet w tym gwarze. Dziś już pisałem, poprawiałem pisane, czytałem, grałem, rysowałem, nuty pisałem, chodząc do budowl, i rady sobie dać nie mogę, tak nudno! Nareszcie doczekałem się dziesiątej i położę się, i zatem reszta listu do jutra.

W jesieni roku 1846, po załatwieniu wszelkich formalności, upragniony pasport wydano, i Kraszewski udał się nareszcie do Romanowa, z kąd z ojcem i bratem Lucyanem (nie Kajetanem jak podaje Wilkońska) pojechał do Warszawy, gdzie stanął, jak się okazuje ze wzmianki w Nrze 318 Kurjera, odszukanej przez p. Krzemińskiego, w drugiej połowie Listopada, a gościł aż do świąt Bożego Narodzenia, nie zaś dni kilkanaście, jak znów błędnie utrzymuje Wilkońska, myląc się i w tym jeszcze, iż wyjechał przed ojcem; inaczey bowiem świadczy o tym przytoczony przez nią list Pana Chorażego, który pod dniem 6 Stycznia 1847 roku pisał z Romanowa do jej męża:

„Powróciwszy z Warszawy do Romanowa i wypawszy się w wiejskiej zaciszy, obudziłem się z *przybyciem mego Józefa*, z *którego Świeta i Rok Nowy* zaczęliśmy w towarzystwie domowem matki, żony i córki. Przybyli nam także z Warszawy Walentowie Szwykowscy i *syn mój Lucjan*. Dni przeszły jak godziny. Zapłakałem, żegnając Józefa, z którym przyjdzie może za lat parę zobaczyć się. *Ruszył on na przekłete koczarakty Dubieńskie*, od których wylamać się nie mógł i zostawił mi tylko miłe wspomnienie Warszawy i tych wszystkich, którzy raczyli łaską swoją zaszczyścić syna mego. W szarej kapocie i szlafmycy, siedząc przy skromnym moim kominku, *śladko będę rozpamiętywał Grudzień 1846*, i odmawiając paciorki, westchnę do Boga za tych, którzy do serca przytulili mego pierwotnego.”

Pobyt Kraszewskiego w Warszawie z humorem nieźrównanym opisał w jednej z najładniejszych swych *Rametek* August Wilkoński, żona zaś jego tyle tylko zanotowała: „Warszawa rwała się do niego; wyrzucił go sobie, bo nie mógł wszystkim zapaściom poddać. Obiady, wieczory, gonili jedne po drugich. To proszono, by obłu-

bienieć powiódł do słabnego ołtarza, to znaw, żeby chrzestnym był ojcem, i tak istny wiazał się łańcuch”.

W książce naszej znajdują czytelnicy osobny ustęp, odnoszący się do tej gościnności Kraszewskiego w Warszawie, a skreślony przez naoczego świadka, Tyszyńskiego; my zaś dodamy tylko jedno jeszcze wspomnienie, zapisane przez Henryka Cieszkowskiego. Oto: „Zecerowie wszystkich drukarni miejscowych, w których nasłuchali się nazwiska Kraszewskiego, pragnęli obaczyć autora, którego pisma tyle im dawały zatrudnień, a razem i chleba. W tym celu zebrali się w mieszkaniu Redakeyi „Biblioteki Warszawskiej“, podczas śródownego posiedzenia, na którym znajdował się Kraszewski. Wyszedł przeto do nich; wybrany orator z zecerów grona wystąpił z kilku pochlebnemi dłań słowy, które do łez pobudziły Kraszewskiego i w zamian serdeczne z jego strony wywołały podziękowanie”.

W posiadanej przez nas korespondencyi Kraszewskiego nigdzie żadnej wzmianki nie spotykamy o tych tryumfach, odniesionych przez niego, w nieprzyjawniej mu dosyć długo w Warszawie, nie więc nie możemy powiedzieć o tem, jakie na nim uczyniły wrażenie; to tylko pewna, że się do „Biblioteki Warszawskiej“ już stanowczo nawrócił, a gościnę swą terażniejszą zaznaczył w niej słownym utworem p. t. „Łza w Niebie”.

Pozwalamy wszakże sobie przypuszczać, że większy był entuzjazm dla Kraszewskiego w publiczności, niżeli wpośród rzeszy literatów warszawskich; w listach bowiem Augusta Wilkońskiego do Pana Chorażego, spotykamy co następuje: „w artykule moim o Panu Józefie ^{95/100} należy do zalet jego, cały zaś obrazek jest wyrazem wdzięcznego hołdu, z *pominięciem żalu literackiego za negliżowanie literatów miejscowych*. Z tejsz korespondencyi dowiadujemy się, że Kraszewski, powróciwszy do Gródka, miał napisać do Dzwona Literackiego „Łzę w piekle“.—w zamian za którą Wilkoński mu obiecywał „Łzę w czyścisku”.

W r. 1847, już wyłącznie tylko dla zdrowia, którego stan bardzo się był pogorszył, odbył Kraszewski podróż do Druskienik. Wyjechawszy z Gródka 31 Lipca, przez Luck, Holuby, Ratno, Dywin, Kobryn, Pruzanę, puszcę białowieską, Swisłocz i Grodno, dnia 8 Sierpnia stanął na miejscen, gdzie przebywał parę miesięcy, i gdzie przejażdżkę swą i pobyt opisał w szkicu literacko-lekarskim (do wspólki z doktorem Wolfgangiem) p. t. „Druskieniki”.

Ze szkicu tego dowodnie się przekony-

wamy, że towarzystwo Druskiewickie weale się Kraszewskiemu nie podobało, gdyż nie szedził kolorów ciemnych na odmalowanie wad i zdrożności jego, niżej stawiać Litwinów pod względem umysłowym i obyczajowym, od Podolan i Wołyniaków. Słyszeliśmy, jakoby i tu jeszcze trwały one dzikie pretensje za „Historią Wilną“, pewni wszakże jesteśmy, że okoliczność ta nie zaprawiłaby żółcią pióra Kraszewskiego, który w tym samym szkicu uciekł serdecznem i uznania pełnem wspomnieniem, zmarłego w Druskienikach podczas jego pobytu, Jana Czeczotą, nie pomnąc na te cierpkie przygryzki, jakie niedługo nieboszczyk z powodu jego „Bojów Witoldowych“ w „Tygodniku Petersburskim“ a następnie i w osobnej broszurce wydrukował.

W listach zaś do rodziny tyle tylko o pobyte swym u wód Druskienickich napomknął:

„W Druskienikach dosyć nudno, a ja znajomości robić nie chcę i nie mogę, bo doprawdy zdrowie nie pozwala. Potrzebuję spoczynku, towarzystwo zaś nie bawi mnie, ale męczy, — muszę go unikać. Czas mi upływa przy stoliku, przy rysunku i fortepianie. Rzadko kogo widuję; czasem, jeśli pogoda służy, udaję się na przechadzkę nad Niemen, a jakkolwiek długi dzień, bo o piątej wstaję, a o 11-jej się kładę, jakoś go zająć niemi, najwięcej rysunkiem. Dałem tu gubernatorowi plan na wieżyczkę w łazienkach, i muszę mu zrobić, bo mi prosił, widok Druskienik. Pisać nie mogę, ani mi się chce, a w istocie takie mam jeszcze biece humorów przy tych kąpielach, że i to nie daje mi niczem się moenięj zająć“.

Podwysockiemu zaś po powrocie tak donosił o stanie swego zdrowia:

„Z Druskienik powróciłem z wielkimi obietnicami zdrowia, ale z tém prawie, z czém pojechałem; t. j. ból gardła nieustanny, którego charakteru kilku już doktorów, badając, nie dobadano się; ból w nogach, który jest artrytyczny; w ostateku rozdrażnienie nerwów ogromne, które mi się znakomicie powiększyło. Radzą mi teraz Karlsbad, ale jak się wybrać i czy to podobna?“.

Nie wybrał się też ani do Karlsbadu, ani do Libawy, którą mu również zalecano, ani nawet powtórnie do Druskienik, jak sam sobie zakładał, ani też do Odessy, o której również prawie co rok w listach swych do rodziny i przyjaciół wspominał. Dopiero zrokiem 1851 rozpoczyna się znów ruchliwsze i czynniejsze życie Kraszewskiego, ale o tém pod Hubinem i Żytomierzem mówić będziemy, tu

zaś mamy się zająć poglądem na stosunki i zatrudnienia jego literackie w czasach Gródeckich.

Ledwie się tu osiedlił, zaraz powziął zuchwałą myśl wydawania pisma peryodycznego, i porozumiewawszy się ze współpracownikami „Tygodnika Petersburskiego“, z którymi bądź listowne, bądź też i osobiste wiązały go bliższe stosunki, założył w Gródku redakcyą Athenaeum. Myśl tę nazywamy zuchwałą i sądzić, że nikt nie zaprzeczy prawdziwości słów naszych, zważywszy, że czasopismo to, poświęcone historii, literaturze, sztukom pięknym, krytyce i filozofii, miało być redagowanem przez jednego pisarza, zamieszkałego na wsi, oddalonej na 70 do 100 mil od główniejszych ognisk ruchu umysłowego; że współpracownicy tego pisarza jedni mieszkali w Petersburgu, drudzy w Warszawie, inni w Wilnie, albo w Kijowie, inni znów zagrzebani byli, równie jak i redaktor, kędyś po wiejskich dworach na szerokich obszarach Litwy, Ukrainy, Wołynia i Podola; że nie tylko nie sposób było osobiście porozumiewać się z nim, ale i korespondować nie łatwo, — nie dość bowiem, iż brakło wówczas telegrafów i dróg żelaznych, lecz i pospolita poczta wozowa, obok wszelkich swoich niedogodności, i tą się jeszcze odznaczała, iż ją kilkomilowa przestrzeń oddzielała od Gródka; że wreszcie Athenaeum drukować się musiało w Wilnie, po za oczyma redaktora, który przez pocztę załatwiał i korektę, i wszelkie sprawy redakcyjne, i nieraz nader przykrych niespodzianek doznawał.

Zapewne, że Kraszewski musiał rozumieć należycie wszystkie wymienione przez nas trudności, a jednak nie zraził się niemi bynajmniej i odważnie wziął się do wydawnictwa, które śmiało nazwać możemy pierwszym i jedynym w swoim rodzaju; niezawodnie bowiem nigdzie i nigdy żadne podobne temu nie istniało w takich warunkach.

Początki były świetne, bo za Bugiem i Niemnem, przy dość trudnych wówczas stosunkach z Królestwem kongressowem, wobec ożywiającego się ruchu umysłowego, którego potrzeb nie mogły zaspokoić ani lekkie Noworoczniki, ani za poważne i ocieźne „Wizerunki naukowe“ ani „Tygodnik Petersburski“, co wziętość swoją Kraszewskiemu zawdzięczając przeważnie, często mu bruździł i doskwierał hanielnie, — nowe czasopismo, o programmie tak szerokim i zajmującym, było zjawiskiem zewszecmiar pożądanem, a redaktor jego dość już był znanym i dość wziętym, mimo wszelkie halasy i napaści bądź zawistnych, bądź uprzedzo-

nych, aby to, tak śmiałe i trudne, lecz pożyteczne przedsięwzięcie doprowadzić do skutku.

Ocenę szczegółową Athenaeum znajdującym się na inném miejscu, my zaś w ogólnych tylko rysach jego dzieje chcemy nakreślić. Kilkudziesięciu pisarzy, a w tej liczbie Bajnicki, ks. Choleńkowski, Daniłowicz, Drzewiecki, Feliska, Fisz, Grabowski, Groza, ks. Hołowiński, Jankowski (John of Dycalpa), Korzeniowski, Maciejowski, ks. Mośzyński, Przeździecki, Rzewuski, Syrokomla, Szezeniowski, Szyrmer, Waleryan Wróblewski (znany później pod nazwiskiem Koronowicza), i inni wzięli udział w tém wydawnictwie, które, walcząc z tysiącem przeszkód, jak moralnych, tak materialnych, dzięki jedynie wytrwałości i energii Kraszewskiego, trzymało się lat jedenaście i w sześćdziesięciu sześciu swoich tomach zgromadziło dość spory zasób prac niemałej wartości, a przez cały przeciąg swego istnienia znakomicie się przyczyniało do rozwoju życia umysłowego, z jednej strony przygotowując czytelników, z drugiej — kształcąc pisarzy, aby z czasem, jak ci, tak też i tamci, przez moralne i materialne swoje zasoby wpłynęli na ożywienie się i wzrost pomysłowy piśmiennictwa w Warszawie. Chcąc wszakże należycie ocenić zasługę Kraszewskiego w tej mierze, nie dość jest opierać się na tém jedynie, co się w Athenaeum znajduje; Athenaeum o tyle tu jest ważnem, o ile się stało pobudką do związania się korespondencyi literackiej między Kraszewskim a licznymi jego kółkami, korespondencyi, którą, w takich rozmiarach i w taki sposób, taki tylko nieustraszonego pracownik, taki miłośnik dobra powszechnego, udarowany tak potężną organizacją umysłową, obok innych mnogich zatrudnień, zdolen był przez lat jedenaście prowadzić. Gdyby więc można było zebrać wszystkie te listy, których krocic z Gródka i Lubina rozbiegły się po całym kraju; gdyby tak, jak się przechowywały pisywane do księdza Choleńkowskiego, Dycalpa, Pługa i Podwysockiego, i jak zapewne przechowywać się muszą te, które otrzymywał Karol Drzewiecki i hr. Alexander Przeździecki, nie nległy zatracie pozostałe w papierach Grabowskiego, Rzewuskiego, ks. Hołowińskiego, Przeclawskiego, Wróblewskiego, i wielu innych, a nadewszystko Syrokomli, który, o ile wiemy, posiadał ich podobno więcej, niż kto-bądź z wymienionych wyżej korespondentów; i gdyby je wszystkie można było ogłosić z odnośniami do nich odpowiedziami: wtedy dopiero w całej pełni wyszłaby na jaw i dała się ocenić zasługa Kra-

szewskiego, jako pobudziciela i nawołiwacza do pracy i organizatora jej w pośród starszych i rówieśnych jemu pisarzy; jako opiekuna, przewodnika i mistrza młodszych, i w ogóle jako ducha, mniej lub więcej ożywającego całe zbiorowe ciało inteligencji ówczesnej po za granicami królestwa, a przez nią oddziaływającego i na całą społeczność, może nierównie silniej i skuteczniej, niż przez organ swój literacki. Każdy bowiem z jego korespondentów stawał się w swym kółku propagatorem jego uczuć i myśli, i tam nawet, gdzie one zrazu opozycyą wywoływały, powoli serca i umysły z niemi oswajał; a gdzie stanowczo, uporeczywie i ze wstrętem je odrzucono, tam już samo ścieranie się zdań sprzecznych, sama zaciętość walki przynosiła wielki pożytek, budząc ogół z drzemki leniwiej, z odrętwienia apatycznego, i w ten sposób dopomagając do osiągnięcia celu, który Kraszewski w zawodzie swym pisarskim sobie założył, jak to między innemi i z listu jego do Dycalpa widzimy:

„Zarzuciłeś mi (pisał d. 20 Kwietnia 1841 roku), że się zbyt na drobne pisemka rozsypuję i trwonię co tam we mnie jest daru (jeśli jest); pozwól się wytłómaczyć. Mnie nie chodzi wcale o siebie, o moje pisma i t. d. Inny mam cel. Nie wierzę w nieśmiertelność literacką i nie wiele stoje o sławę; mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem i t. d. poruszyć, rozruszać, zachęcić, aby otworzyć drogi drugim, rozrzucić kilka idei, błędzących mi po głowie. Oto mój cel, oto sława, którą pragnę — sława pobudziciela. Dla tego to ja nie wypracowuję tego, co piszę, ani dbam o przyszłość pism moich. Chodzi mi, abym zachęcił tylko, abym rozgrzał do pracy. Jedną drogę otworzywszy, rzucam się na drugą. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano, iżem się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów“. A w innym znowu liście, chwalać się nakłonieniem do pracy literackiej Wróblewskiego i Smokowskiego, — „Zobaczysz dalej, jakich-to ja wywołam pisarzy całe nowych, a wielkich, zda mi się, nadziei! Oto moja zasługa w literaturze. Mój Boże! kiedy mnie nie będzie, kiedy ja to mizerne życie moje pracy, kłopotów i poświęceń, nienznanne, mienagrodzone, skończę, niosąc z sobą do grobu moje bezgraniczności; niechże mi choć tego nie odmówią, żem zachęcał, wzywał, i żem lajał, aby pisali i czytali. Powtarzam ci, to moja zasługa, którą wyżej cenię od dzieł wszystkich“.

Ale wróćmy do „Athenaeum“: podjęte zra-

zu z wielkim zapalem i najlepszą otuchą, stopniowo co raz cięższém brzemieniem gnio-
tło barki swego założyciela. Najprzedniej-
si jego współpracownicy: Hołowiński, Gra-
bowski i Rzewuski, głównie zaś dwaj osta-
tni, którzy snadź po to tylko udział w tej
pracy wzięli, aby redaktorem ovladnąć i tak
się rządzić w jego czasopiśmie, jak się już
wtedy w „Tygodniku Petersburskim“ rzą-
dzili, spostrzegli, że się w swęj nadziei
zawiedli, zaczęli z wolna obojętnieć ku ni-
mu; nadto zaś dość już rychło, bo przy koń-
cu 1841 r. wystąpienie Rzewuskiego z „Mie-
szaninami obyczajowemi“, stało się pierwszą
pobudką do uraz i niesnasek, które się zesa-
sem zakończyły ostateczném zerwaniem, po
drugim zwłaszcza tonie owego dzieła i po
fatalném skompromitowaniu się Grabowskie-
go przez list do Strutyńskiego, wykładający
plan i cel projektowanego przez autora „Sta-
nicy Hulałpolskiej“ dziennika, p. t. *Sto-
nianin* (1843), który-to list czasopismo Po-
znańskie, *Rok*, ogłosiło z zabójczemi komen-
tarzami.

Kraszewski, po ukazaniu się „Mieszanin“,
dość pobłażliwie na nie się zapatrywał, nie
zupełnie się pisząc na surowe wyroki obur-
zonej opinii publicznej, której niesprawie-
dliwości sam na sobie doświadczył; ale też
nie za jedno i sam autora potępiał. „W *Mie-
szaninach* (pisał d. 3 Października 1841 r.
do Jolna of Dycalpa), są kwestye, które nie
dadzą się rozbić w druk, kwestye, które
poruszać, korzystając z okoliczności cza-
sowych, wiedząc, że nie mogą być refuto-
wane, było niedelikatnie. Ja, znając osobi-
ście i kochając Rzewuskiego, wiedząc, że to
wszystko, co w *Mieszaninach* jest tak dzi-
wném, jest wbrew przeciwném pospolitemu
jego sposobowi widzenia, nie mogę się wy-
dziwić, z kąd mu przyszło napisać takie rze-
czy, które malują go dla nieznajomych w spo-
sób niekorzystny. Z *Mieszanin* powstało
zamieszanie, bo Przeczdziecki napisał o nich
artykuł w „Tygodniku“; ztąd gniewy, że się
porwać śmiano na obrzymą naszego, a do-
mysły, że Grabowski stronę jego trzymać
będzie, że między Przeczdzieckim a Rzewu-
skim zajdzie, jeśli nie wojaczka, to przynaj-
mniej oziębienie i t. p. Ale ja jeszcze tych
skutków nie widzę i nie wierzę, aby tak ro-
zumny człowiek, jak Rzewuski, miał się gnie-
wać za to, że ktoś inaczej myśli od niego.
W istocie Bejla jest trochę zarozumiałym
o sobie, ale ma przyczynę, bo i nauka jest
i zdolność wielka, a przyjaciele nabili mu
uszy geniuszem, jak to zwyczajnie przyja-
ciele. Bejla też nie daje sobie powiedzieć,

że cokolwiekby źle zrobił, lub tylko nie
doskonałe“.

W następnym wszakże liście widzimy, że
się Kraszewski w swojém zdaniu omylił,
Grabowski bowiem rzeczywiście z obroną
Rzewuskiego wystąpił. Przykre to na nim
uczyniło wrażenie, z którego tak się Dycal-
powi spowiadał:

„Zdziwiłem się tą absolutną, prawie bez
restrykcyi, pochwałą dzieła, którego rozbie-
rać zupełnie w teraźniejszych okolicznościach
niepodobna; ale w Grabowskim to było prze-
widziane. Grabowski jest *un homme de sy-
stème quand même*: wszystko, co wchodzi
w jego system, przyjmuję, co nie wchodzi
absolutnie odrzuca. Wypadło więc z syste-
matu „Mieszaniny“ pochwalić, bo realnie,
rozpatrzywszy się w zasadach Grabowskie-
go, nie podobna nie widzieć, że one dążyły
do rezultatów takich, jakie przyjął za swo-
je w Bejle (Rzewuskim), śmielszym tylko
od niego w posuwaniu się do ostatecznych
wniosków. Ale z tém wszystkiém, gdy Rze-
wuski jest człekiem dowcipnym, zręcznym,
milym gadułą, sofistą niepospolitym, a ra-
zem zebrawszy, człekiem bez zasad i prze-
konań (żadnego nie ma własnego); Michał
Grabowski, choć jedną z nim myśl, naj-
sumienniejszy, najpoczeiwszy, najstałszy
w swym raz powziętym systemacie (który
ma za jedyne dobre). Ten—zręczny tylko
sztukmistrz, drągi sumienny apostoł: jedne-
mu o rehabilitacya, ilustracya imienia, o roz-
głos, a może i o wzniesienie się byle jakie
chodzi,—drugi (zda mi się) goręco żąda do-
bra powszechnego i zapalem szczerym ule-
pszenia swych braci. Mimo to wszystko,
czy mi się powoli otwierają: widzę, czego
nie chciał dotąd wldzićć, że ja jestem osza-
kanym, i teraz pozornie ze mną hr. Rze-
wuski będąc niby dobrze, knuje przeciw
mnie, chce mi szkodzić“.

Owo knucie tajemne wkrótce się w jawną
niechęć zmieniło, gdy Rzewuski, nie poprze-
stając na obronie Grabowskiego, zażądał jęj
i od Kraszewskiego i odebrał odmowę.

„Oczekrowałem tę odmowę, jak mogłem
i ozdobiłem, (pisał Kraszewski do Dycalpa)
a jednak się pogniwiał i grozi mi odstę-
pstwem od „Athenaeum“! Między chęcią utrzy-
mania tego pisma na najlepszej stopie, a po-
trzebą nieklócenia się z sumieniem mojem,
wybór niewatpliwy. Cenię kollaboracya Rze-
wuskiego i kompanii (bo jest kompania, któ-
ra mnie zapewne z pryncypalem swoim je-
dnocześnie opuści; ale czyliż podobna tak
sprzedawać swoje współpracownictwo? Bo
już nie pierwszy raz i różne mi warunki
podawano. Napisał wprzód hr. Rzewuski,

że pismo, którego będzie kollaboratorem, musi być wyrazem jego opinii: — zgoda, — nie daleki od jego zasad byłem i jestem, a mitygując je, przyjąłem dla pisma ducha religijno-moralnego. Teraz znów chodzi o obrotne książki, której dotknawszy, można się zdepopularyzować na wieki, która nie trafia do mego przekonania. No, niechże się dzieje wola Boża! milezę i czekam. Jeśli opuszcza „Athenaeum“, znajdzie do niego nowych niepoślednich współpracowników, i to pismo nie upadnie pewnie, a ci, co to uczynią, zasłomą się, bo wszyscy wiedzieć będą, za jaką cenę mi kollaboracyą przedawać chciało“.

Zajście to załagodził nieco ksiądz Hołowiński, ale tylko pozornie, jak widzimy znów z listu Kraszewskiego do Dycalpa z d. 6 Grudnia 1841 roku, w którym pisał:

„A! Bóg z nim i z dumą jego, i ze wszystkiem co jego jest. Nie dla interesu, Bóg widzi, ale tylko dla prośby księdza Hołowińskiego, na list ostatni odpisałem grzecznie i słodko, choć list ten jest historyczną pamiątką niepojętego szalu, niepojętej śmieszności“.

W następnym roku spotkanie się na kontraktach, jak widzieliśmy wyżej, było zimne, lecz grzeczne, a nawet, w powrocie swoim przez Żytomierz do Gródka, Kraszewski był w gościnie u Rzewuskiego. Stosunki wszakże, raz już oziębione, na nowo się rozgrzać nie mogły, i jak to Kraszewski dobrze przewidział, oziębienie to od Rzewuskiego przeniosło się i na innych. W tymże roku, w kilka tygodni po kontraktach Kijowskich, pisał do Podwysockiego:

„Nie wiem zkad ksiądz Hołowiński wyczytał, ale donosi mi, jakoby Grabowski miał do mnie pretensyą, że ja go w literackim świecie chcę zawiązać. *C'est le mot*. Czy nie *Studia* to literackie temu przyczyną? ale sam powiedz, moja lekka książeczka może co ująć autorowi *Literatury i krytyki*? Bardzo mnie boli, że teraz, jak widzę, straci zupełnie serce do mnie i ochłodnie. Pisałem już do niego kilka słów po powrocie, ale straciłem nadzieję być z nim kiedy prawdziwie dobrze: są rzeczy, które, rozłamane, skleić się nigdy nie dają.“

Pod koniec tegoż roku ukazał się w „Tygodniku Petersburskim“ artykuł z podpisem *Gerwazy Bomba*, niewątpliwie będący echem Rzewuskiego, artykuł, pełny zjadliwego dowcipu, a głównie wynierzony przeciwko Kraszewskiemu, który, o autorstwo jego posądzając Dycalpa, tak do niego pisał pod datą 10 Grudnia 1842 r.:

„Prześlizgnie, przedowcipnie! a bardzo ci dziękuję za światło jakie najpierw i *par excellence* na mnie rzuciłeś. Com ci jednak był winien, żeś tak usilnie do mnie i najwyłącznie do mnie przyłgnął? com ci był winien, że chciałeś mnie tak koniecznie poniżyć? — nie rozumiem. Przyznaję, że wiele słabych napisałem rzeczy, żeś się rozproszył na zbytnią ilość pism i pisemek; ale, mój szanowny Gerwazy, nie wiesz, jaki twój artykuł skutek robi na czytelnikach, którzy w nim będą wzięli więcej, niż włożyłeś; a może się sumiennie nie godziło tak pisać, *pour faire de l'esprit et de l'effet*. Dziwi mnie, jak to ja jeden i ja najwięcej szkodzię literaturze! Chcecież mnie z niej koniecznie wypchnąć? Nie spodziewam się; ale, na Boga! szeroko miejsca zostało i nikomu go nie zajmując“.

Okazało się, że autorem tego artykułu był Sztyrmer. Kraszewski, który go był z razu tak żywo wziął do serca i na *Tygodnik* się pogniewał, wkrótce w zażaleniu swoim ochłodził, i już w Kwietniu 1843 roku pisał do Podwysockiego:

„Co się tyczy sprawy Bomby, chociaż ja sam z początku gniewałem się na niego, ale, wszystko rozważywszy, może ten głos z boku był potrzebny i niema co się dąsać za trochę ostrą prawdę. Ja byłem najboleśniej dotknięty, a najpierwszy przebaczałem. Będę się, gdybyśmy pisać przestali, żeby *Tygodnik* nie upadł; robię więc chętnie ofiarę z miłości własnej i pisać znów zacząłem. Upadek tego pisma byłby zawsze nieszczęściem, zwłaszcza, że na jego miejsce pewnieby nie stanęło nowego. Co się tyczy projektu pisma periodycznego w Kijowie, są to *des chateaux en Espagne* i nie więcej. Z góry powiadam, że z tego nie być nie może, a gdyby było, jeśli Bejla stanie na czele, na chwilę podrażni ciekawość, ale nie obudzając żadnej sympatyi, nie utrzyma pisma“.

„Co do mnie, jeśli z tego powodu existencya „Athenaeum“ się zachwieje, co bardzo być może, jeśli będę musiał zaprzestać je wydawać, a Glücksberg chwyci się nowego redaktora, a ja nie znajdę nakładey; pewna rzecz, że się przeniosę z wydawaniem czegoś do Warszawy ale nie osoba, tylko piśmem się przeniosę, w nowym zaś piśmie, którego by głową był Bejla i któreby jego opinie szerzyć miało, uczestniczyć nie mogę i nie będę“.

Gdyż trzeba wiedzieć, że w tym czasie Rzewuski wydał drugi tom swych „Mieszaniń obyczajowych“, o którym Kraszewski w tymże liście tak się wyraził: „Drugi tom

jest dubeltowym pierwszym tylko. Wszelką sympatya, jeśli jakiej iskierka była we mnie dla niego, straciłem; nie można na podobne książki odpowiadać inaczej, jak wzgardą.“

Co zaś do projektowanego czasopisma w Kijowie, prawdopodobnie było ono tępem, o którym-to traktował ów nieszczęsny list Grabowskiego, co go w opinii publicznej tak haniebnie poniżył i do zgonu nie był mu zapomnianym, tak, iż nawet taki utwór jak *Zamieć w stepie*, nie wrócił mu postradanej sympatyi, a nawet przeszedł prawie niepostrzeżony.

Kraszewski wszakże pomiędzy nim a Bejłą upatrywał wielką różnicę, i gdy o tym ostatnim pisał do Podwysockiego, że jest człowiekiem chwili, bez przekonani głębokich, po którym wszystkiego się można spodziewać; o Grabowskim tak się odzywał po fatalnej jego kompromitacyi: „Polożenie Michała i znam, i umiem doskonale ocenić, i głęboko nad nim boleję; ale pozwól z całą szczerością i otwartością wypowiedzieć, jak o nim trzymam. Jam go zawsze pojmował, jako człowieka sumiennego nawet w złem, które czyni i myśli, ale przy tępym wyobrażam go sobie, jako człowieka dość zarozumiałego, upartego i ściśnionego dobrowolnie w jedno kółko myśli, z którego wyjść nie może. Jego list ostatni był znów wynikiłością przyjętej zasady katolicyzmu, który anti-nowatorskim i ultra-konserwatywnym wyobraził sobie, gdy tymczasem tak nie jest; bo katolicyzm nie potrzebuje do siebie ciągnąć i krajać wszystkiego pod swoje miarę. On jest tak wysoki, że nie na niczego z cembry się porównania łącał, a jako absolutna prawda, wszelką prawdę w świecie politycznym, socyalnym, miał już, jako pierwiastki, w sobie. Wierzę w jego sumienie, ale wierzę i w upór. Dla tego, że jest sumiennym, jest nieprzelamalnym. Cóż chcesz poradzić człowiekowi, co łąca od pigulek Morisona, Morisonem na ożu śmierci się karmi? Co chcesz, bym mu poradził? Polożenie jego smutne i uroczyste naucejające; człowiek ten, jak ty porzadasz, rozgrzany, wprowadzony na drogę, podjudzony, opuszczony naresze, zgłębienie, (mnie się zdaje), ale swoich krucich kieszeni nie odda, i nie poda ręki tym, których opinie przywykł wojować.“

A w rok później: „Miałem od dwóch artykułów, sądzący Grabowskiego surowo, prawiedliwie, jak mi się widziało; teraz, gdy tak srodcie ranny (w Roku Poznańskim 1844), i przybity przez opinią, nie chcę o drukować. Ty mówisz: bądźmy szcze-

rzy. Jak tu np. być szczerym, gdy klęska jego nakazuje szanować nieszczęście i milczeć. Nie podzielałam zdań Michała, ale umiem cenić sumienność i przekonanie szczerem. Niech mu Bóg szczęści, już się pewno w życiu na jednej drodze nie spotkamy.“

Owoż w skutek tych zajęć i różności przekonań, Rzewuski już po pierwszym roku istnienia „Athenaeum“, usunął się od kollaracyi, Grabowski w parę lat później, a po nim Szyrmer i Przeclawski; że zaś i Hołowiński, jakkolwiek Kraszewskiemu zawsze przyjaźny, przeniósłszy się na posadę rektora Akademii duchownej w Petersburgu (w końcu roku 1842) też do „Athenaeum“ przestał pisywać, w ten więc sposób cała koterya „Tygodnika Petersburskiego“ opuściła czasopismo Wileńskie, któremu nie tyle tępym odstępstwem, co poprzedniem swęm uczestnictwem, wyrządziła krzywdę niemałą, równie jak i jego redaktorowi; sam też Kraszewski o tępym świadczy w liście do Podwysockiego z r. 1845: „Nie masz wyobrażenia, jak chwilowa styczność z Grabowskim i Bejłą skompromitowała mnie i jakie wywołała sądy w innych prowincjach, mniej znających nasze stosunki i sposób myślenia.“ Dla tego też, w miarę jak „Tygodnik Petersburski“ coraz bardziej poddawał się wpływowi Bejły, Kraszewski coraz bardziej usuwał się od niego, i w końcu, po skandalicznych owych przypiskach do powieści „Listopad“ zerwał z nim całkowicie. Nie to mu jednak nie pomogło, tyle tylko, że zyskał sobie jawnych już a zaciętych wrogów w „Tygodnikarzach“, którzy, z Bejłą na czele, srodcie a niekiedy mu dogryzali. Kraszewski z tych beczonych napaści niby się cieszył: „Bejła wyznachował (pisał w połowie Listopada 1845 r. do Podwysockiego), włożył czapkę na bakier, i już się żadnego przekonania swego (ainsi nomme) nie wstydzi. Jestem mu nieskończenie wdzięczny, że mi publiczne dał świadectwo o różności zdań i myśli naszych. Tego mi było nawet potrzeba, bo wielu upierało się widzieć we mnie jego współwyznawcę. Prawdziwie nie pojmuję, co się stało z księdzem Ignacym (Hołowińskim)? i czy on dzieli uwielbienie, jakie w Petersburgu mają dla Bejły? Rzadko już pisujemy do siebie i krótko, a ja delikatnej materii nie zaczepiam. Prawda, mój Konstanty, że dziwną rzecz oni zrobili z katolicyzmem! i potem oburzają się, gdy za granicą pietystami, ultramontanami ich zowią, gdy na nich — plwają. Jakże ma być inaczej? kto niczego nie poszanuje, ten się spodziewać nie może, aby go poszanowano.“

Wystąpił też bez wahania do walki z Bejlą i Bejlizmem. „Wiesz zapewno (pisał w Lutym 1846 roku znowno do Podwysockiego), że z Bejlą wojujemy. Największą on nam krzywdę wyrządził, akkaparując „Tygodnik“ i czyniąc z niego organ jakiejś wyłączonej koteryi. Nie wiem, czy pamiętasz w „Listopadzie“ pobożność generała Kunickiego i wystawienie jej za wzór dla osób świeckich. Pobożność ta, turecko-rabińska, oburzyła mnie; protestowałem przeciwko niej, że nie jest wcale katolicką. Na wezwanie moje, dobry ksiądz Cholomiewski napisał obszerny artykuł z rozbiorem tej dewocyi generała Kunickiego i z potępieniem jej. Odsyłam go do druku do Warszawy. Objawienie się przeciwko Rzewuskiemu takiego znakomitego człowieka, jak ks. Cholomiewski, dowiedzie ludziom, jaka to jego nanka, jakie cele.“

Nie długo wreszcie polemiki tej było; już we Wrześniu bowiem tegoż roku uskarżał się Kraszewski Podwysockiemu: „Walka jest nieuchronną; ale znudzony, nią oplwany, i nie mając gdzie słowa powiedzieć, jestem w najsmutniejszem położeniu. Wystaw sobie, że hr. Bejla i jego wydawca zagrozili Bibliotece Warszawskiej, jeśliby ogłaszała moje listy, zagrozili egzystencji „Athenaeum“ jeślibym drukował co na nich, a w „Tygodniku“ mowy niema o bezstronności. Gdzież słowo wyrzec? gdzie przeciw takim argumentom odwołać się? Jedna opinia publiczna nadużycia takie skarcić może. Tymczasem ja, często spotwarzany, a zawsze niepojmowany, nie mogę się nawet na nią oprzeć.“

Był wprawdzie jeden organ mianowicie „Gwiazda“ w Kijowie, pod redakcyą Benedykta Dołęgi (Jakóba Jurkiewicza), która po roku 1849 doświadczyła na sobie tego losu, jakim Bibliotece i Athenaeum zagrażano, wtedy jednak śmiało walczyła przeciw koteryi petersburskiej, młode i świeże siły pod swój sztandar gromadząc, i bez wątpienia byłaby najchętniej Kr. otwarła pole do zapasów z Rzewuskim; ale redaktor Athenaeum, jakkolwiek z dobrą wolą, sobie właściwą, obdarzył był to czasopismo swoją nowellą, za poważnym wszakże był na to, aby miał wziąć udział w polemice Gwiazdździarzy, prowadzonej takim sposobem, iż wyglądała raczej niby bójka uliczna. Były tam najpocześniejsze intencye, były nawet piękne talenta (Fisz i Gryf—Marcinkowski) ale przy tém wielki brak dojrzałości, zbyt ni zapęd i ton nader nieprzyzwoity. To też Kraszewski nazywał ją skandalem, a gdy w roku 1848 przybył jej w pomoc *Lewiatan*, w tymże tonie i duchu, zcharakteryzował obie te

publikaeje temi słowy, *Gwiazda* zagasła, a *Lewiatan* zdechły.“ Bądź co bądź, przyznać jednak potrzeba że „Gwiazda“ ostatecznie koteryą „Tygodnika“ zdyskredytowała pośrednio szkodząc przy tém i Kraszewskiemu, którego imię, mimo zerwanie ostatecznej, w r. 1845, w pamięci czytelników wiązało się ciągle z tém czasopiśmem, a który, po ustąpieniu z niego Bejły, niespodzianym swoim powrotem w r. 1849 do organu, tak haniebnie osławionego, jeszcze bardziej popsuł swą sprawę.

Powrót ten zgorszył wielu, a nawet i Podwysockiego mocno zadziwił, co widzimy z tłómaczenia się Kraszewskiego przed tym ostatnim: „Mam w ręku listy, dowodzące, że wcale nie *proprio motu*, ale na wielkie prośby księdza Biskupa Koadjutora (Holońskiego) i samego wydawcy, *zgodziłem się ratować* „Tygodnik“, (c'est le mot). Poświęcić mu swoich przekonań ani na włos nie myślę i moje artykuły muszą go w ten sposób zawrócić na inną drogę, choć powolnie. Dalem do „Tygodnika“, oprócz ciągle posyłających się artykułów, całą powieść, której dążność musi za sobą solidarnie pociągnąć i wydawcę, i pismo. (Były to przesłane owe „Dziwadła“). Jeśli jej nie umieszczą, to kwita z kollaboracyi. Bo, jakem ei mówił, ja ze swego nie ustąpię, możesz być pewnym; ale, mając zrzeczność, mając nadzieję uczynienia z „Tygodnika“ nie to, czém jest, ale coś innego i lepszego, mógł-żem, ofiarą bodaj własnej miłości, nie pokusić się o to dla wszystkich. Sądź i potępiaj, jeśli możesz. Zresztą, jest to próba ostatnia; jeśli się ta nie uda, niech go licho porwie i po wszystkich“.

Próba się nie udała, a same chęci i ofiara Kraszewskiego, nie uznane i nie zrozumiane przez ogół, ówczesnej partyi postępowej, z „Gwiazdą“ na czele, do której się przyłączył i „Pamiętnik naukowo-literacki“, w tym właśnie roku założony przez Romalda Podbereskiego, dały powód do jawnego już wystąpienia przeciwko niemu, i to w sposób niezmiernie energiczny, obliczony ni mniej ni więcej, jak na zadanie mu ciosu ostatniego. — Bohaterskiego tego czynu podjęła się pani Zofia z Brzozówki, z domu Chłopicka, *primo-voto* Desztrungowa, *secundo* — Klimauska, współpracowniczka „Pamiętnika naukowo-literackiego“ (jak go przezwiał Kraszewski, znana wówczas zaledwie z jednej tylko dość jaskrawej powiastki p. t. „Cudowny Kapeluszy“, w czasopiśmie tém ogłoszonej. Assumpt do pamphletu swojego, pod tytułem: *Effekt Hubiński'ej krytyki*, wzięt z *Listów* Kraszewskiego do „Tygodnika“

z których *drugi* zawierał w sobie surowy sąd o „Roczniku literackim“ na rok 1849, i o jego wydawcy (Podbereskim). Ujmując się wrzekomo za część pisma i jego kierownika, autorka „Cudownego Kapelusza“, w którym przechadzając się wśród społeczeństwa, najwięcej stron ujemnych w onym upatrywała, najbardziej Kraszewskiego potępia za to, czem sama zawiniła, a co mu najnieśluszniej zarzuca. Jako *curiosum* w swoim rodzaju, przytaczamy parę wyjątków z tej oryginalnej elukubracji:

„W pismach Kraszewskiego naczęścić odbija się strona ciemna, pokalana życia, a drwinki badziej teraz, niż kiedykolwiek, powinny nam się wydać, jak brzydkie czyny człowieka; drwinki i doweip są tylko fałd mózgow, rozbijającą się o duszę i wpadającą w łożysko nieości. P. Kraszewski za często widzi ujemną stronę ludzi, widzi wszędzie gangrenę, nigdzie prawie zdrowia, serca i okwitości ducha. W powieściach jego szukam eheiwie życia ludzkiego, ogrzanego uczuciem, namaszczonego świętością, ducha, co stanowi piękno estetyczne,—nigdzie, nigdzie go nie znalazłam. Pod jego piórem, odartem z puszku młodzieńczego, wylewają się myśli ujemne, myśli spekulanta, myśli jakby starego Francuza, nieprawego syna jakiegoś przeszłowiecznego encyklopedysty. W jego pismach prześwieśla się sztuczna natura, jakaś mozaika, w której nie widzimy Bożego ducha..... nie mają one istoty, treści. Musiał p. Kraszewski żyć długo w jałowej krainie ducha, na której tylko piolunkowy doweip i pałacy osot porasta“.

Po kilkunastu stronicach krytyki w tym rodzaju, kończy nareszcie Pani Zofia filippikę swoje zwrotem następnym do Dołęgi:

„Mam jeszcze jedno do Pana pytanie; mój umysł kobiecy nie może tej zagadki rozwiązać: co rozumiesz szanowny *obywatele* o *Liście 1-m* Pana Kraszewskiego, umieszczonym w „Tygodniku Petersburskim“, którego summa jest, że Pan Wydawca „Tygodnika“ inny ma cel i dążenia, niż Pan Kraszewski; że tenże wydawca „Tygodnika“ nie przyjmuje do swego pisma, co z jego celem i dążeniem niezgodne; że dla tego właśnie p. Kraszewski przestał pisać do Tygodnika; że ani p. Kraszewski, ani p. wydawca „Tygodnika“ swego stanowiska i dzisiaj nie zmienił;—kto teraz pojmie, czemu p. Kraszewski wszedł znowu do milieji tygodnikarskiej? czemu od niej (był) *odstał*? czemu droga, po której do niej cho-

dził, była zarosła jego własnymi słowy?—Ja tego pojąć nie mogę.“

Dołęga, który się nie zawahał w swojej „Gwiazdzie“ tego *Listu* ogłosić, ten Dołęga który w parę lat później miał odwagę przyjąć współpracownictwo w „Dzienniku Warszawskim“, założonym przez Rzewuskiego—i wszystkich swych przyjaciół do tegoż najgoręcej namawiał, odpowiada na pytanie pani Zofii z Brzozówki, że wielu jego korespondentów, a nawet i pan Karol Kaczkowski, *ten największy pokój i harmonii towarzyskiej przyjaciół*, złe przyjęło spzymierzenie się Kraszewskiego z Tygodnikiem. „Ja skłonny jestem zawsze wierzyć w szlachetność pobudek i wierzyłbym najmocniej, że Kraszewski jedynie przez litość nad niedźm płożeniem „Tygodnika“ zaprzął się obecnie do jego taczki, gdyby mi nie zarzucano zewsząd wątpliwości. Teraz już moja wiara znacznie zachwiana została.“

A na to pani Zofia mu odpisuje, że „choć zawsze rada wierzyć w szlachetność choćby najenigmatyczniejszych pobudek w pogodzeniu się nieprzyjaciół, wątpli jednak, aby rozłokowanie się Kraszewskiego w „Tygodniku Petersburskim“, aby chorągiew do której swą rękę przyłożył, *miała barwę rodzinną* (?) bo *Taczka*, do której się przykuł, tylko truciznę rozwozi. W euda wierzę i całą duszą, i dla tego zaprzęczenie się Pana Kraszewskiego do *Tygodnikarskiej taczki* uznaję wtenczas za niepokalane, gdy albo umarłego wskrzesi, albo będzie miał odwagę odstąpić i wyznać, że wskrzeszać nie ma siły i władzy. Inaczej już nie potrzeba pytania, jakiej zasługi byłby ten, kto żółć dla Jezusa rad przez sztafetę dostawiać.“ (1).

Ciekawa ta korespondencya w roku 1850 została przedrukowaną z „Gwiazdy“ w Wilnie u Zawadzkiego, prawdopodobnie kosztem i staraniem Podhoreskiego, któremu oprócz eheci odwetu, nie mało też i oto chodzilo, aby Kraszewskiego pognać, jako wydawcę „Athenacum“ stojącego na wstrecie „Pamiętnikowi naukowo-literackiemu“, gdzie za przykładem pani Zofii, sam redaktor, i ktoś ukryty pod nazwiskiem *Alksnisa*, nie szczędzili mu najostrejszych dogryzków.

Gwiazdciarze też nie zasypiali z swojej strony. Zdawało im się, że Kraszewski rozniewał się na Gryfa, a z nim i na całe stronnictwo, za naganę swoich uwag krytycznych o „Żydzie Tulaczu“, i że dla tego właśnie postanowił, już dogorywający pod ich ciosami, Tygodnik Petersburski ratować. „Gwiazda“, której istnienie, skutkiem zabiegów

której Petersburgkiej, na czwartym jej tomie ustalo, w r. 1850 przerodzić się miała na „Gołębia“ i „Papugę europejską“ pod redakcją Grzegorza Lubeckiego i Napoleona Klimanńskiego, a pomiędzy materiałami do tych publikacji zgromadzonemi znajdował się zapas niemały artykułów w tym że rodzaju, co list Zofii z Brzozówki; odkąd bowiem ona podniosła głos przeciwko Kraszewskiemu (pisał Dolega do jednego z korespondentów swoich) stał się on przedmiotem najsurowszej krytyki i zwrócono się do badania, rozbiegania i komentowania całego niejako processu literackiego życia tego pisarza.“

A Kraszewski tymczasem tak się o tém wszystkiém odbywał, w jednym ze swych listów prywatnych: „Szczęść Boże *Gołębiewi* i *Papudze*, alechym pragnął, by te ptaszki nie daleko od krzyża odlatywały. Nanka Chrystusowa jest jak ta suknia dziana, którą, według podania nosił Jezus od dzieciństwa i która z nim rosła: nauka ta wystarczała zarówno małym pierwszym wiekom Chrześcijaństwa i dorosłym pokoleiom późniejszym; najwznioślejsze umysły, po długich badaniach prawdy, musiały do niej powrócić, bo po za nią jest poszukiwania prawdy, w niej prawda. Ja, jako katolik i katolik w duszy (mówię nie o katolicyzmie ultramontańskim, ale poeciwiem ojców naszych), jestem przekonany, iż im dalej odbiegniemy od tej nauki, tém dalej znajdziemy się od całej naszej przeszłości. Niechże oba te pisma będą natelnione duchem chrześcijańskim, duchem miłości, braterstwa i zgody; niech pomażą, że łząc i szarpiąc swoich, że siejąc nienawiść, zbiorą czasa żniwa coś innego, nie błogosławieństwo Boże. Jedno im tylko daję pozwolenie i to zupełne: na mnie, o mnie i przeciwko mnie mogą pisać, co się im podoba,— *carte blanche*. Niech ja będę ofiarą, jeśli ofiary potrzeba, ale niech pomażą, że kto szerzy nienawiść, niezgode, kto pod pozorem żarliwości obnaża strony słabe i brudne charakteru narodowego, wytyka osoby, i wywołuje na nie przekleństwo, źle czyni. Nie wiem; może zbyt jestem pobłażliwym, ale mam przekonanie, że tą drogą szyderstwa i boju do niczego dojść nie można. Niech bojuje, kto ma siły, o zasady i myśli, ale niech nie chwytą się osób, bo i nie pora, i paskudnie. „Gwiazda“, ostatniemi czasami Podbereski, w opinii stracił; mam tysiąc złezności przekonywać się co dzień, że po chwilowej ciekawości paskwile te obudziły wstępną jakąś. Według mnie, popsuli najlepszą sprawę, przesłali dziecianną, gwałtownością i temi

drożdżami, tym kwasem osobistości, którym podlano wszystko.“

Nad *kwasem* tym nie sam Kraszewski ubolewał. Już w roku 1842, po zamęcie, spowodowanym przez „Mieszaniń obyczajowe“ ludzie dobrej woli, którym zdawało się, że do pomyślnego rozwoju piśmiennictwa konieczne jest potrzebną zgoda i braterstwo między jego uprawiającymi, starali się nieszności te uciszać i łagodzić. Tak naprzykład z jednej strony hr. Alexander Przeździecki w 1844 spraszał literatów na zjazd (niedoszły) do Czarnego Ostrowia w celu nawrócenia Jarosza Bęjły i pojednania go z Kraszewskim; a w roku 1846 Skibiński tego ostatniego do zgody z pierwszym chciał nakłonić. Tak znowu z drugiej strony byli tacy, którzy przed rokiem 1849 próbowali, czyby Kraszewski nie mógł zrehabilitować stronnictwa „Gwiazdy“, żeby się powściągnęło w swych wycieczkach nieprzyzwoitych przeciw koryfeuszom „Tygodnika Petersburskiego“, inni zaś usiłowali pohamować gwiazdźarzy w ich zapędach przeciw Kraszewskiemu i „Athenaeum.“

Ale zabiegi te były daremne: Kraszewski, dowiedziawszy się o celu zjazdu Czarno-Ostrowskiego, postanowił od niego się uchylić; na propozycję Skibińskiego odpowiedział, że łatwiej ogień z wodą, czy wodę z ogniem, niżli jego z Bajłą pogodzić; a o Gwiazdźarzach tak odpisał w r. 1847 na list Wł. Ch.

„Dzięki ci, Panie, żeś z tak chlubnym zaufaniem zwrócił się ku mnie, żądając, abym rękę przyłożył do wielkiego dzieła pojednania. Cóżbym nie dał, żeby tego dokonać było można! Nie ja waśni poczałem, anim ich podżegał, i nikt lepij nie czuje nade mnie, ile one nam szkodzą. Na tę nieszczęsną „Gwiazdę“, pomimo pozorów przeciwnych, umyślnie jej nadanych, najmniejszego wpływu nie miałem, anim wiedział, co się w niej drukować ma. Gdyby mój wpływ mógł się zdać na co, nie wahałbym się go użyć na ten cel z całym zapalem, jaki mi jeszcze pozostał dla sprawy literatury... Czemże to dobre chęci tak są dziś bezsilne?! Wszędzie rozprzeżenie, nienawiść, nienauka, znużenie i ostrygłość, lub bój bez celu i myśli. Jest bój, co żywi, jest bój, co zabija, a nasze literackie boje już przeszły w ostatni. Był czas, gdy życie dawała walka, ale czy on powróci? Zadałem i ja nieraz jej w literaturze, bom był przekonany, że cisza—to śmierć, że ruch, chociażby był wojną—to życie. Dziś, widząc, co się dzieje, poradzić nie umiem. Zdaje się, że jakieś prawo fatalne nad losami naszej literatury ciąży i gna ją ku jej zgubie. Ostatek roz-

bitków na deskach okrętu roztrzaskanego nie zlepią desek, aby budować nowy statek, ale się niemi tłucze i zabija. O! gdyby w mojej było moey to zmienić! Czemże jest „Athenaeum“, od początku aż do dziś dnia zapoznane, jeśli nie tēm ogniskiem, w którym skupiać się miały i pojednać najsprzeczniejsze literatury naszej żywyły. Ale ani tłōmaczyć się z tego celu, ani go jaśniej ukazywać nie mogłem, i nikt go tōż, krzycząc na bezbarwność tego zbioru, dotąd nie wyczytał. Literaci petersbursey sami poniekąd nadużyciem siły, którą im dawało monopolium ich publikaeyi, byli powodem wielkim do rozżarzenia wojny. Nie chce jednak w ten sposób bynajmniej tłōmaczyć „Gwiazdy“, bo święte są słowa Pańskie, że eudze błędy usprawiedliwiać nas i do grzechu popychać nie powinny. Bądź pan pewien, że gdyby słaby wpływ mój mógł tu się na eo przydać, ealego-bym użył i użyję na odwrócenie „Gwiazdy“ od niekatolickiego kierunku; ale czy mi się uda?—wątpię, po sto razy wątpię“.

Wątpienie było słusznem, a rok 1849 dowiōdł, czēm się stał dla „Gwiazdy“ Kraszewski, którego pozwolono w niej sponiewierać Pani Zofii z Brzozówki, wbrew temu, eo 1848-go pisał na pochwałę jego w tejże publikaeyi Karol Kaezkowski. Redaktor zaś tego czasopisma na wspomniane wyżej zażęgi pojednawcōw odpowiedział długim szeregiem tak dziwacznych zarzutōw i tak wlaezające Kraszewskiemu warunki zgody podał, iż dalsze pertraktacye w tym wzglęzie stały się zupełnē niepodobieństwem.

Owōż w pośrōd takich-tō stosunkōw literackich istniało „Athenaeum“, którego byt, ak mógł, podtrzymywał Kraszewski, o długotrwałości jego powatpiwać zaezawszy już przy końcu drugiego roku, i z kaźdym nowym przewidując blizki upadek. Wspomnieliśmy już o tēm, eo pisał do Dycalpa o zatargu z Rzewuskim i ze stronnictwem „Tygodnika Petersburskiego“, 1842 roku; a jeszcze kilka cytat podamy. W Kwietniu 1843 r. uskarżał się temuż korespondentowi: Powiem ci, eo mnie jeszcze nie mało trapi: to widok i przekonanie, że chwilowe sukcesa naszej literatury znowu ustają, znowu pojeńniej publiczność i księgarze skarżą, że nie wychodzą dobrze. Wprawdzie rzecz pōl tylko wierze temu, bo inaczej mōić w swē m położeniu nie mogą i nie powinni; ale zawsze jest w tēm i eoś niecoś awdy. Zimno mi się robi na myśl saę, że Bejła miał-by być prorokiem, gdy ōwił, że to jest tylko śpiew labędzi!—i eich będzie przekłty ze swojēm proro-

ctwem, gdyby się ziścić miało! On pierwszy tę myśl w nas wszczepił, a nieobliczone samā tą myślā zrobił szkody; bo przypuszczenie takie jest już w kaźdym z nas oziebiającē, doprowadzającē do rozpaczey. Jednakże nie tracę jeszcze nadziei, że się nasza literatura utrzyma jako tako i zwycięży wszystko, eo jej wzrostowi staje na przeszkodzie: gdyby inaczej było, dziś bym skruszył piōro“.

W liście zaś do Podwysockiego, już nawet znacznie weześniej, bo w Styczniu 1842 roku, wskazywał ten symptomat złowrogi: „Czy uważasz — pisał do niego — jakie jest w naszych literatach (chwilowe zapewne) opuszczenie się? Grabowski nie nie pisze, Rzewuski tylko obiecuje, Hołowiński ani myśli, Jegomość Pan Konstanty także tylko nadzieję robi, a nie nie tworzy; ja tylko jeden, wierny swojemu przeznaczeniu, poki dyszę, pōty piszę,—ale obojga podobno już nie długo“.

Dalēj znōw w r. 1844 donosił temuż: „Czwarty rok dla „Athenaeum“ jest widocznie krytycznym: nikt artykułōw nie przysyła, i zapewne, skończywszy tych sześć tomōw, skończy i swoję exystencyā pismo nasze. *Requiescat in pace!* Jeżeli się w ciągu roku nie poprawi, będe musiał *fermer boutique*, z wielką zapewne wielā pociechā. Nie jest to moją intencyā weale; owszem, projektowałem był na rok piaty drukować swoim kosztem u Zawadzkieh i wziąć na siebie całą antreprzyę, gdyż w takim razie byłbym swobodniejszym i pismo regularniēj wychodzić-by mogło. Ale widzę, że to próżne marzenie. Straciłem ks. Cholonewskiego, który jest chory i nie pisze; Hołowińskiego, który nie ma czasu; M. Grabowskiego, którego nie bardzo życzę sobie, bo się boję, aby mnie nie skompromitował; Rzewuskiego, z którym nie mam stosunkōw:—eoż więc zostaje? Ja i kilku początkujących, a dwóch może z Warszawy. Nie podobna się utrzymać dalēj. Przewiduję to i oswajam się ze smutną myślā zakończenia. Te kilkadziesiąt tomōw będā dowodem moieh usiłowāh. Dalēj gdyby zeszło na moje tylko i moje pisanie, jabym wystarczyć nie mógł i toby nawet celowi memu nie odpowiedziało. Smutno, że u nas tak pędko kaźda się rzecz wyczerpać musi: dobre chęci, zgoda, zapal—wszystko“.

Podwysocki doradzał Kraszewskiemu na te kłopoty, aby się z wydawnictwem swoim przeniōsł do Warszawy, lub do Krakowa, lecz ten mu odpowiedział: „Twōj projekt eo do „Athenaeum“ dobry, ale dla mnie nie nowy; bo eo mi proponujesz, dawno

cheiałem uczynić i próbowałem, lecz napróżno. Żaden księgarz warszawski, z powodu współzawodnictwa Biblioteki, podjąć się wydawnictwa nie chce, nadto zaś, co bardzo ważna, nie dadzą inaczej pozwolenia na pismo peryodyczne, jak zamieszkałemu tam i to za wielkiem staraniem. Proponowano mi do Krakowa przenieść; ale tu granica staje na przeszkodzie wydawaniu i oddalenie. Co się tycze korzyści, jabym nawet wyrzekł się tych, jakie mam (a te są całe imaginacyjne, bo redakeya gotówką więcej mnie kosztuje, niż przynosi), gdyby było podobieństwo co zrobić“.

Dodajmy tu w nawiasie, że T. Glücksbberg płacił Kraszewskiemu po 100 dukatów za sześć tomów „Athenæum“; a jakkolwiek współpracownicy tego pisma honorarium wcale nie pobierali, to wszakże, nie licząc pracy redaktorskiej i wydatków na listy i posyłki, artykuły samego redaktora, zamieszczane w tém czasopiśmie, dwakroć już więcej były warte najpewniej.

Mimo to wszakże, nie ustawał w pocziwnej pracy, lubo coraz mocniej się przekonywał, że usiłowania jego były daremne, jak widzimy z listu do Podwysockiego pod datą 1845 r., który według nas ma znaczenie nie małej wagi:

„Stan literatury jest tylko odbiciem stanu społecznego; próżno się więc na literaturę uskarżać. Powodów oziebłości, rozprzeżenia, potrzeba szukać głębiej. Działanie społeczeństwa i jego stanu na literaturę równie jest działaniem literatury na społeczeństwo. Takby być powinno, ale nie zawsze tak się dzieje; bo taka tylko literatura może skutecznie oddziaływać, która jest wyrazem swojego wieku, która w głąb kwestyi żywotnych wchodzi. Tymczasem nasza wejść nigdzie nie może, i to nie nasza wina. Niech ci to wytłómaczy oziebłość ku niej publiczności i male jej znaczenie. Smutna prawda, ale prawda; — *dura lex sed lex*. Smutny twój list, koehany Konstanty, powtórzył mi to tylko, o czém ciągle myślę. Literatura u nas pada; Bejla cieszy się, wołając: zgađen! Co do mnie, póki pracować będę mógł, póki przyłożyć się maluczko ku czemu dobremu potrafię, nie ustąpię z placu; reszta w woli Bożej, a co się dzieje wola Bożą, to dzieje się dobrze“.

A toż samo, co tu w zakończeniu czytamy, pisał i w cztery lata później:

„Jam sobie wziął za godło życia wytrwałość: już chyba sił nie stanie, żywota zabraknie w piersi i padnę na placu; to wówczas pogrzebiecie mnie z książką w jednej ręce,

z piórem w drugiej i z zamarlém słowem na ustach“.

Jakoż, nie ustając w pocziwnej pracy, a pragnąc, bądź co bądź, „Athenæum“ utrzymać i wprowadzić na lepsze tory, już przy końcu 1844, tak o swych planach względem niego pisał do Podwysockiego:

„Dzięki za rady twoje względem „Athenæum“. Ja sam czułem i czuję potrzebę dokładnego zformułowania w tém piśmie opinii moich, dotąd mniej wyraźnych; lecz okoliczności czysto materyalne stoją mi na zawadzie. Nie możesz sobie wyobrazić, ile na pozór nie nieznaczący p. Teofil Glücksbberg wpływa na pismo i cięży mi! Na rok (da Bóg żyć) 1846—bo 45 już skonstraktowany—chcę koniecznie zebrać kilka akcyi i wydawać sam pieniędźmi swemi i akcyonaryuszów. Każda akcyja będzie na 300 rubli; będzie dawała prawo 1-o do bezpłatnego egzemplarza, 2-o do procentu 6-go, i 3-o do dywidendy zysków. Wszystkichi akcyi będzie dziesięć tylko. Ta summa dla tego potrzebna, aby nie kłopotać się o sprzedaż i nie spieszyć z nią, a przez to ceny egzemplarzy nie zniżać. Ten mój projekt jeśli przyjdzie do skutku, „Athenæum“, nie zależąc od nikogo, nabędzie wybitnego charakteru i zformuluje czego chce.— Naprzód: będzie katolickie, ale katolicyzm jego nie będzie ultramontanizmem, ani teorią absolutyzmu; będzie katolicyzmem prawym, przyjaciелеm postępu, i w stosunku do filozofii spokojnym, bo pewnym siebie. Przekonaniem jest mojom, że filozofia niezadługo spoi się z katolicyzmem, to jest: *przyjdzie do rezultatów jego, z negacyi wciżdzie w twierdzenie*. Ani się więc nam bać filozofii, ani z nią walczyć, ale raczej uważać ją za naukę, i przyspieszać, jeśli można, bieg do końca, do dua negacyi. Filozofia, jako nauka, jest cudnie piękna; jako rezultat, daje fałsz dotąd, ale to są tylko momenta filozofii, nie zaś jej ostatnie słowo. 2-o Co do teorii socyalnej, „Athenæum“ powie tyle, żehy je zrozumiano, że chce ulepszeń dla ludu, chce wyzwolenia jego i sprawiedliwości. 3-o Co do języka, ten szanując i piastując, jako najdroższą pasciznę, etc. etc. 4-o Co do innych punktów, sam wyrozumiesz latwo stanowisko moje i pisma“.

„Będąc oparte na sobie tylko, „Athenæum“ będzie mogło opłacać artykuły i wybierać je stosownie do swęj opinii, lub umieszczać jej przeciwnę, otwiercie się z niemi rozprawić i krytykę obok położyć.— Jeżeli nie uda mi się (zebrać akcyi), to „Athenæum“ po staremu wlec się będzie“.

Nie udało mu się, niestety! W r. 1846 tak się skarżył Podwysockiemu:

„Człowiekowi siły odpadają, głowa się zawraca i ochota ginie do pracy. Od kilku miesięcy siedzę z założonemi rękoma. Chciałem uwolnić się od Glücksberga i sam wydawać *Athenaeum*. Na to potrzeba mi było kilkaset dukatów pożyczyć częstkowo, lecz u nas w kraju, u najbogatszych ludzi, po sto czerwonych złotych na ten cel nie znalazłem! Wszyscy mi odmówili! Zostaje więc we władzy i pod cenzurą Glücksberga, który mi redakcyjne moje zamiary łamie i wywraca. Jest to najsmutniejsze w świecie położenie! Żeby też u nas, w pięciu guberniach bogatych, pięciu ludzi po sto dukatów pożyczyć (bo daru nie potrzebuję) na taki cel użyteczny nie mogło! To zgroza i obrzydliwość! Ale dajmy temu pokój. Skibiński podjął mi się był o to starać, lecz ani słowa o tém nie odbieram. Tak mój drogi Kostanty! bieda i głupstwo! Ja tymczasem jeszcze wytrwale swoje robię i pracuję; ale w duszy już energii i tej wiary, z jaką dawniej pracowałem, czuję, że braknie. Publiczność podzielona na tysiące stronnictw, żadnej jedności, żadnej zgody moralnej w umysłach, sereca nie biją na jedno, każdy szuka kogoby obłudzał i obrzydził, a najdziwniejsze teorye nowe, jak na drożdżach, rosną na młodych głowach nowego pokolenia. Nie jestem nieprzyjacielem postępu; ale gdy on nie opiera się na miłości bliźniego i na chrześcijańskim uczuciu przebaczenia i miłosierdzia, nie rozumiem go; gdy wojuje passją i przekleństwem—odpycham“.

Przy końcu wszakże roku 1847 wstąpiła weń lepsza otucha: wznowiwszy projekt wydawania *Athenaeum* przez akcyę, znalazł pięciu akcyonaryuszów i gotów już był przenieść na własne ryzyko wydawnictwo *Athenaeum* do Zawadzkiego, ale ten, zagaiwszy z razu układy, zamknął później zupełnie i Kraszewski musiał pozostać na lasce i nie lasce T. Glücksberga. I Glücksberg wszakże, zawarwszy umowę na piśmie, zerwał ją końcem roku 1848, umyśliwszy wydawać coś nowego („*Gwiazdę*“ i „*Pamiętnik naukowoliteracki*“). „Z oburzeniem więc, kosztem składki, jaka się już zrobiła, (donosił Kraszewski Podwysockiemu) poczynam bez *prenumeratorów wydawać*. Zmیلuj się wynajdź ich choć kilku, i ratuj mnie, i ty, i kto łaskaw,—odpowiedzialność strat wszystkich na mojej kieszeni. Zrób to, jak umiesz, po przyjacielsku. Tom pierwszy już się drukuje. Zaręczam, że nigdy jeszcze *Athenaeum* nie było tém, czem będzie. Wszystko,

co piszę, w niém się drukować będzie, i bodajbym miał sam tylko pracować, nie liebego nie depuszczę, a mam zapasy rzeczy dobrych zupełnie, cudzych, (moje są tylko *pisaller* w mojem przekonaniu). Mój Konstanty! zrób jak umiesz, kiedy chcesz, i pomóż, jeśli możesz“.

Na nieszczęście, nie nie pomogły ani moralne, ani materialne wysiłki. Mimo tak cennych rzeczy, jak „*Dzieje Litwy za Witolda*“, które Kraszewski za najlepszą z prac swych historycznych uważał, jak jegoż poświęcić „*Pan i Szew*“, jak „*Pamiętniki*“ Józefa Drzewieckiego; „*Wspomnienia z pobytu w Berezowie*“ Ewy Fejlskiej, „*Przegląd dziejów malarstwa*“ Kazimierza Komornickiego, i kilka innych; zamierające wydawnictwo ożywić się nie mogło, przedstawiając się tylko jako szereg książek zbiorowych, nie dających dokładnego pojęcia o ruchu umysłowym współczesnym, nie poruszających kwestyi żywotnych, a więc i nie odpowiadających duchowym potrzebom społeczeństwa, które, jak to sam Kraszewski wypowiedział już był przed kilku laty, „nie znajdując w niém dobrej karmi, opuściło je ostatecznie“. Inaczej być nie mogło; *dura lex, set lex*; a zdumiewać się trzeba, że wśród takich okoliczności, przy tak ciężkich warunkach, Kraszewski przez jedenaście lat zdołał utrzymywać to czasopismo, które w najświetniejszym okresie swoim nie miało więcej nad dwiestu kilkudziesięciu prenumeratorów, u schyłku zaś i połowy tego nie dochodziło.

Zresztą i to jeszcze trzeba wziąć na uwagę, że gdy do roku 1849 było ono jedynym organem literackim obszerniejszych rozmiarów w Zachodnich guberniach Cesarstwa; to już w roku rzeczonym wystąpił z niém do współzawodnictwa „*Pamiętnik naukowoliteracki*“, nie ciekawy sam w sobie, lecz, jako *nowe siłko*, ponętny; powtóre, że Rzewuski, który, pomimo wszystko, co przeciwko niemu świadczyło, miał jednak na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w pewnych kołach dosyć sympatyj, a był tak zręcznym, że nie tylko Warszawskich literatów, (między nimi zaś Bartoszewicza i Wilkońskiego), lecz nawet najzwziętszych swych wrogów ze stronnictwa „*Gwiazdy*“ umiał zniewolić, Rzewuski powiadamy, założywszy „*Dziennik Warszawski*“ i pobudziwszy do współzawodnictwa „*Gazetę Warszawską*“, obu tym czasopismom zarazem śród dawniejszych swoich spółziomków powodzenie zapewnił, zjednawszy im prenumeratorów dość licznych.

Wszystko się więc na to złożyło, aby lata 1849, 50 i 51, a szczególnież ostatni, stały się dla redaktora *Athenaeum* najtrudniej-

szemi; to też, zamiechawszy próżnych wysiłków, postanowił w końcu je zwinąć, a natomiast całą swą działalność publicystyczną przenieść do *Gazety Warszawskiej*, z której wydawcą zabrał bliższe stosunki, podczas bytności swjej w Warszawie 1851 roku, i wszystkich swych dawniejszych współpracowników ku niemu zwracał.

Ostatni tom *Athenaeum* dopiero w Marcu 1852 roku wyszedł z cenzury, a zaledwie przy końcu Kwietnia w ręce czytelników się dostał.

Na wstępie znajdujemy tutaj *Zamknięcie*, w którym redaktor, żegnając się z czytelnikami, kreśli pobieżnie cel i ogólny charakter swojego wydawnictwa, oraz korzyści, jakie ono przyniosło, z pośród których za największą uważa to, że „wywiodło na pole pisarskie wielu a wielu ludzi, co dziś są jego chlubą lub nadzieją, albo byli ozdoba”. A przyznając, że pismo, które żyć nie może o własnych siłach, już żyć nie potrzebuje, i przyjmując winę tego na siebie; ufa jednak, że „sąd, jaki wyrzeczy przyszłość, będzie zapewne oparty na położeniu naszym zupełnie excentrycznym, na osamotnieniu, na pozbawieniu pomocniczych środków, i weźmie w rachubę chęci obok możliwości: przypomnimy tu tylko, żeśmy redagowali zbiór ten o siedemdziesiąt mil od miejsca, w którym się drukował, sami zastępując redakcją, sekretarza, kolloboratorów często, a na ostatku i nakładcę”.

Rospisaliśmy się nieco obszerniej o dziejach *Athenaeum*, pomijając bowiem jego wartość wewnętrzną, samo już założenie i utrzymanie tego pisma przez ciąg lat jedenastu, wśród okoliczności tak nieprzyjaznych, słusznie policzyć trzeba Kraszewskiemu za jedną z najprzedniejszych i największych zasług w literackim jego zawodzie. Obecnie wstecz się cofnąć musimy; bo zajmując się historją *Athenaeum* i przerwać jej nie mogąc, wybiegliśmy po za okres życia Kraszewskiego Gródecki, o którym jeszcze dosyć mamy do powiedzenia.

Lubo, jakśmy wyżej już wspomnieli, był to czas, zwłaszcza poczynając od roku 1844, bardzo ciężkie dla Kraszewskiego, pełne trosk, zmartwień i kłopotów najrozmaitszych; lubo i gospodarstwo, i sprawy majątkowe często go odrywały od pióra; lubo i na zdrowiu często zapadał, a wskutek rozdrażnienia nerwowego, tak się stał wrażliwym na burzę i na grzmoty i tak niewytrzymałym na upały, iż, jak się sam przyznawał w liście do Chłonińskiego, przez całe lato do żadnego prawie zajęcia nie czuł się zdolnym: pomimo to jednakże,

oprócz redagowania *Athenaeum*, prowadzenia z jego przyczyny tak rozległej korespondencji, iż był czas, (w r. 1842) gdy zamyslał przyjąć sekretarza wyłącznie dla niej, w Gródku Kraszewski wykonał, lub rozpoczął, cały szereg prac rozmaitych, o których choć pokrótce wspomnieć wypada.

Wprawdzie wykaz tych prac dokładnie znajduje czytelnicy w dziale bibliografii; ale że żadna z nich nie ukazała się w druku tegoż roku, w którym wyszła z pod pióra, cennymi więc zapewne będą wskazówki, jakieśmy o niektórych przynajmniej, w listach Kraszewskiego znaleźli.

Najpierw tedy w roku 1840 spotykamy „*Historją o bladej dziewczynie z pod Ostrężnicy*”, o której później pisał do Podwysokiego: „zgodzę, że w „*Wędrówkach*” 1840 r. było dokończenie tego, ale ja znacznie przerobiłem tę powieść (*Z życia sieroty*), jak widzisz sam. Dalej „*Kronikę Stańczykową*”, oraz „*Ostatnią z Książąt Śluckich*”, powieści historyczne, które bez wątpienia powstać musiały z materyałów, nagromadzonych i badanych dla „*Historji miasta Wilna*”, ukończonej ledwie w roku następnym ku jesieni.

Jakkolwiek bowiem jeszcze w Lutym 1841 roku chwalił się Kraszewski Dycalpowi, że już przepisuje tom III i IV tego dzieła, wszelakoż musiała to być właściwie ostateczna jego redakcja; bo znowu w połowie Października pisał do tegoż: „Ukończyłem swoją przenukną „*Historją Wilna*”, którą plótnem Penelopy nazwać-by można, tyle razy tkana i pruta była, i przerabiana. Pozbyłem się jej nie bez kłopotu, a teraz za nią ludzie krzyczą na mnie. Nie dalej jak kilka dni temu miałem wydarzenie szczególne z tego powodu, którego jednak opisywać nie myślę. Dość, że wszedł na zgromadzenie jedno, gdzie ważna w duchowieństwie naszym figura (podobno ks. Ozarowski) tylko co na mnie piorunowała. Wyobraź sobie pomieszanie wszystkich, i moje, i jego, gdy mu inni winowatym winał. Znalazł się usłużny, który mi poszepnął na ucho, co tu przed chwilą na mnie mówiono. Śmiałem się w duchu serdecznie, poglądając po sturbowanych fizjognomiach, dając do zrozumienia, że wiem, jak o mnie sądzili surowo i niesprawiedliwie. Dobry humor mnie nie opuścił, a owa figura jest w tej chwili zapewne trochę nieukontentowana ze swego pontafego wynurzania się przed licznym zgromadzeniem. Takie-to przyjemności spotykają po świecie piszących! ale cóż? my się śmiejemy tylko po cichu i idziemy dalej, kiedy sumienie nie wyrzuca, ażeby się

prawdę zfałszowało, dogadzając komu, lub się dopuściło szalbierstwa w dowodzeniu rzeczy niebywałych i nadawaniu charakteru innego wypadkom, niż miały. „Zapłacono mi (w innym liście znów się skarża) niegodnymi podejrzeniami i potwarzami, gdy ja sumiennie pisałem, jak czulem i widziałem przeszłość“.

W tymże roku (t. j. 1841) spotykamy raz jeszcze wzmiankę już o przepisującej się *Ksieźniczce Słuckiej*, którą sam autor tak osądza: „Braknie jej wykończenia; ja ją cenię bardziej jako historią, niż jako powieść; bo część historyczna jest ściśle historyczną, i dla tego-to nie dodano, aby upiększyć, zaokrąglić, ozdobić, lub tak jak nie“.

I znów tegoż roku jeszcze w Lutym napomyka Dycalpowi o swęj powieści, noszącej tytuł *Poleszanka*, którą niewątpliwie musiała być „Ułana“, jest więc ona pierwszym utworem Kraszewskiego z życia ludu; jakkolwiek bowiem ukazała się dopiero w roku 1843, jednocześnie z „Latarnią Czarnoksiężką“, w której spotykamy historią „Sawki“, ta wszakże później napisana została.

W Grudniu zaś donosi temnż korespondentowi: „Mój „Mindows“ cały już z mego macierzyńskiego łona wyszedł, i—po akuszersku mówiąc—odeiły. Stało się! Dziecię tak było potwornie wielkie, że ledwie je urodził. Jest to, wedle mnie, com najlepszego zrobił w życiu, i potem mówię już *nunc dimitte*, bo na tém koniec, bo więcej po mnie (lepszego) nie można się spodziewać.— Ale stój, panie Kraszewski! osądza cię. Ach! ciągnąłem je z wnętrzości moich, z serca mego... gdyby, krwią pisząc, lepiej się pisało, pisałbym krwią moją. A jeśli nie udało się, nie wina chęci,—wina talentu, którego niema, a i krwią go nie zastąpić“.

Wiemy jednak, że po odczytaniu utworu tego w miesiąc potem na kontraktach w Kijowie, gdzie mu poczyniono różne uwagi, zaprowadził w nim pewne zmiany, o których tak pisał do Podwysockiego: „poprawiłem *Mindowsa* w kilku miejscach: śmierć Matki zrobiłem trochę cudowniejszą; niektóre rozmowy poskracałem, a scenę zabójstwa Sudyłmonta, ojca Marti, odnuieniem znaczenie. Zresztą mało co się odnuieni. Przepisywanie idzie powolnie, ale jakoś idzie“.— Poprzednio zaś podobnie przerobił „Witolandę“ do drugiego wydania, w skutek recenzji Grabowskiego, któremu tak się zwierzał z tego zamiaru: „Koniec, jak to wszyscy spostrzegli zgodnie, jest słabszy od początku, być może, że go znacznie przerobię, tak jednak, że tylko w wykonaniu będą

różnice i dodatki; bo co do treści, przez jakąś niepojętą słabość ojcowską, zmienić jej nie potrafię (*).

W tymże liście do Grabowskiego napotykanym wskazówkę, że na jego żądanie napisał część piątego tomu „Stanicy Hulajpolskiej“, o czem i w liście do Dycalpa wspomina, odpowiadając mu we Wrześniu na prośby natarciwce o drugi rozdział „Powieści składanęj“ do której jeszcze w Maju został zaproszonym przez niego. „Kilka razy (powiada) porywałem się kontynuować pańską powieść, ale napróżno; to mi się tu zdarzyło, co z Edwarda Tarszy „Stanicy“, której tomu V-go tylko parę rozdziałów niewiele wartych, rok siedząc, wyklepałem (**). Jednakże próbować jeszcze będę, bo mam to na sercu, aby koniecznie dokazać. Cóż kiedy zawsze mój dalszy ciąg wydaje mi się słabszym od początku, nie mogę trafić na wene. Wprawdzie i z własnymi robotami nie jestem temnż czasy szczęśliwszy; więcej ich drę i palę, niż zostawiję po napisaniu.“

Jakoż istotnie dość opornie szło wspólni-

(*) Co do poprawek, powinniśmy zaznaczyć, że przy całej łatwości pióra, z pod którego płynęły tak obficie coraz nowe utwory, Kraszewski nie jeden z nich poprawiał i przerabiał starannie, a do rzędu takich zaliczyć trzeba i fantazją jego poetyczną p.t. *Szatan i Kobieta*, którą napisał był jeszcze w Dohlem albo w Horodeu, między 1834 a 1835 rokiem, a ledwie w r. 1841 poprawioną ogłosił. Utwór więc ten słusznie zaliczyć można do drugiego dziesięciolecia działalności jego literackiej, który był najobficiej w poezją. (Przyp. autora).

(**) O tej robocie Kraszewskiego, o której nikt dotychczas pono nie wiedział, znajdujemy jeszcze taką wiadomość w liście Grabowskiego do Rzewuskiego, udzielonym nam przez p. Władysława Górskiego: „Muszę opowiedzieć historią tej kompozycji: wróciwszy z Warszawy na Ukrainę, zacząłem dowiadywać się o tradycjach miejscowych (bo z dzieciństwa nie mi nie pozostało, zaczawszy od 8-go roku życia wajażować od szkoły do szkoły). Rozpowiadało mi o życiu hulackim wojskowych polskich, kwaterujących na tej ostatniej krawędzi Rzeczypospolitej. Uderzyło to moje imaginacyę. Słyszałem także szczyty pieśni miłosnych, złożonych widocznie przez tych ichmościów. Podalo to mi myśl napisać zbiór takich pieśni, w którychby można przygody takiego życia zamknąć: w istocie napisałem, a nawet ogłosiłem kilka pod nazwą *Melodji Ukraińskich* (Moira uznałałem wtedy za arcy-geniusz). Miałem wszakże tyle sensu, że niezabawem zraziłem się do moich wierszy. Spróbowałem dawną myśl oddać w romansie; napisałem kilka rozdziałów bez planu na dalszy ciąg i nazwałem to *Stanicą Hulajpolską*. Sam tytuł głupi, bo *stanice* nie było w Polsce. Miało to znaczyć *niejśce kwaterunku chorągwi*, lub coś podobnego. Nie dziwię się, że zagadkowy tytuł wytlomaczyli sobie we Lwowie. *Dom za jezdnią w Hulajpolu*. Kilka napisanych rozdziałów pokazałem przyjacielowi, któremu się podobali, dałem więc im pokój. Wyjechałem potem

kom to przedsięwzięcie, bo ledwie w r. 1843 ukończonem zostało, w trakcie zaś tego, znów na propozycyę Dycalpa, przystał Kraszewski na spółkowe opracowywanie *Typów Litewskich*, do których, oprócz artykułów, miał mu i rysunków dostarczać. „Ażeby ci dowieść mego współzucia dla tej publikacyi, (pisał do niego w Maju 1842 r.) wypiszę ci tu niektóre typy, jakie mi się zdają koniecznie potrzebne do tego zbioru: panowie, półpankowie, chorzy na pana, dzierżawca, szlachcie zagrodowy, szyper, doktor, ksiądz, artysta (malarze, muzycy i—organisci!!!) ekonom, panna respektowa, akademik, sędzia, *faktor*, *dorożkaż*, *proccsowież*, *dorobkiewicz*, kancelista, Zmujdzin, *poeta starego zakonu*, poeta romantyczny, nauczyciel domowy, guwernantka, kobiety: literatki, gosposie, matki, kochanki, *stare panny*, gastrolatrzy, kawaler do wzięcia za pieniądze, stary birbant i młody birbant, *tygarz*, chodzi w spodnicy, *amator muzyki*, cukruwamiery, rezydent, (dać go Chodźce), pieczeniary, księgożerca, myśliwy, sejmikowicz, szuler, od konina do konina, stary kawaler, kuzynkowie, amatorowie medycyny, rozbiorowy majątek i jego mieszkające, pińska szlachta, kabaliści, winiarze, żebracy, wojskowi, ciotka powiatowa i wuj powiatowy, exystencye zagadkowe, figlarz i t. d. i t. d.

Typy, wydrukowane tu kursywą, brał Kraszewski na siebie, i w Październiku tegoż roku dostarczył Dycalpowi „Ekonomą“ i „Starą pannę“ z rysunkami, piórem wyko-

znów z Ukrainy: wróciłem znowu, lecz przez dziewięć lat nie z azierałem do „Stanicy“. Powodzenie: „Kuliczyczyny“ sprawiło, że się znowu wziął do niej, i właśnie w tym czasie zacząłem zbierać dokładniejsze wiadomości o Ukrainie z końca przeszłego wieku; lecz że tymczasem pisałem, nieraz więc napisałem coś takiego, jak raz w wigilą dnia, kiedyś się dowiedział, że to nieprawda. Są więc w *Stanicy* nie tylko fałszywe historyczne, ale i obyczajowe. Nie jest to owoce wiadomości o Ukrainie, nie; ten romans był dla mnie środkiem do nabycia wiadomości. Weszły weń prawdziwe szczegóły, lecz w wielu miejscach, gdzie imaginacyą chciałem zgadywać, imaginacya wiodła mnie bezczelnie. Teraz wiem w większej części, gdzie zwiódła, ale już tak zostanie; bo jeżeli to dzieło, mimo wszelkich wad, okaże zalety, na przykład fantazyi i czułości, to da tym samem popęd romansopisarstwa Polskiemu. Sława więc Tarszy zgaśnie, lecz zasługa zostanie, a tego jedynie pożądam. Ponieważ historią mojęj *Stanicy* napisałem, muszę dodać, że przeszłego (1840) roku, całkiem będąc niezdolnym ją skończyć, udałem się do Kraszewskiego, i on pocieiw, przy wszystkich swoich robotach, nie odmówił mi podać ręki. Napisał mi *pure rozdziałów*, ale nasze dwa sposoby tak odmienne, że niepodobna była zostawić, musiałem całkiem przerobić; jemu wszelkie zarzuty wiadomości stanęły też też o Legeju.

Przyp. autora.

nanemi, a w następnym „Chłopka Litewskiego“. Wydawnictwo to wszakże nie mogło przyjść jakoś do skutku; Kraszewski więc, który oprócz powyżej wymienionych jeszcze i kilka innych typów opisał, niektóre z nich, jak *Dorobkiewicz*, *Chory na pana*, *Faktor*, i t. p. wydał w *Obrazach z życia i podróży*—inne w książce osobnej p. t. „Typy i charaktery“ (1854 r.). Dycalp zaś dopiero w lat kilkanaście potem zużytkował swój pomysł, dorobiwszy, na żądanie Konstantego Tyszkiewicza z Lohojoska, text do typów rysunkowych Bartelsa. Lecz i ta praca aż dotychczas nie wyszła na świat: rękopis z rysunkami znajduję się dziś w ręku córki autora, mieszkającej w Warszawie.

Typy te wszelako były tylko zabawką dla Kraszewskiego, który w tym roku stokroć ważniejszych prac dokonał. Najpierw dowiadujemy się z korespondencyi z Podwysockim o rozpoczętęj trzecięj części *Anafielas*, o której w ten się sposób wyrażał: „Witold się marzy i pisze, (było to wkrótce po przeobrażeniu i oddaniu do druku „Mindowsa“, nabytego za 100 dukatów przez Zawadzkiego. O! Witold!... on mnie przygniecie! Jeszcze to nieszczęście, że wpadnę na te same dzieje, które pierwszy stworzył nasz, Adam, opiewał!... Ale kto wypłynął na środek morza, nie ma się co oglądać na brzegi.“

Następnie, w połowie Sierpnia, dotknięty srogim ciosem, przez śmierć Urbanowskiego, skłopotany rozlicznemi interesami, przygnębiony, zbolący, spowiada się znowu Podwysockiemu: „Wśród tej burzy, zatrudnień, kłopotów, cała pociecha książka i pióro, gwałtowne oderwanie się prać od świata. Co innemu byłoby niepodobnem może, dla mnie stanowi jakiś rodzaj upojenia,—jest to mój trunek, którym się na frasunek upajam. Uwierzyć lub nie, ale cztery tomy powieści w tych gorączkowych chwilach napisałem,—tytuł: *Latarnia Czarnoksiążka*. Są to obrazy naszych czasów. Znać w sposobie pisania moje położenie, bo to wszystko rzucane na papier szybko i bez wykończenia,—czuję, czuję, że lepiej wykończywszy, rzeczyby zyskała, ale nie potrafię.“

W Listopadzie zaś, donosząc Podwysockiemu o wyjściu „*Obrazów z życia i podróży*“, drugiey edycyi „*Witolorady*“ i „*Pcezy*“ oraz o wysłaniu do druku „*Mindowsa*“, „*Powiastek i obrazków historycznych*“, „*Ulan*“, „*Latarni Czarnoksiążki*“ i o przygotowaniu dwóch tomów „*Studjów literackich*“—pytasz mnie (powiada) skąd ja to biorę?... a jednak, klucę ci się honorem, że więcej

czasu tracę na rysowaniu, malowaniu, przepisywaniu nowych nut i t. p., na czytaniu, myśleniu, niż na pisaniu. Tylko kiedy siadę pisać, to piszę nieustannie, ciągle, nieoderwaną; przyzepiam się jak pijawka do papieru i pędzę do końca; aż spieszyszy się mocno, powoli już i swobodnie próżnuję, chodzę i dumam“.

W r. 1843 wycieczka do Odessy, którąśmy już wspominali, a z której drogiecenna pamiątka, księga notat i szkiców ołówkowych, przedstawiających widoki miejscowości ciekawszych i typy rozmaite, jakie Kraszewski napotykał po drodze, poczynając od Kisiel, znajduje się dziś w rękę jego syna, Franciszka, nastreczyła mu treść obfitą do nowej pracy, mianowicie do „Wspomnień Odessy, Jedyssanu i Budżaku“. Zabrał się do nich zaraz po powrocie, przyrzekłszy je Glücksbergowi w pierwszym kwartale następnego roku, i ustąpiwszy mu trzy ich tomy za 200 *tylko rubli gotówka i pięćdziesiąt książkami*. A przecież nie była to praca ulotna, oparta na samém tylko obserwacyi i na sprawozdaniu z doznanych wrażeń, ale potrzebująca i szperania, i studyów sumiennych. To też, pisząc do ojca w Listopadzie, tak się przed nim uskarżał: „Dziwuje się papa w ostatnim liście, że we mnie dawnego życia nie widzi, że ostygl. Nie wiem prawdziwie, jak i to, co jest, utrzymało się we mnie. Praca nieustanna, ciężka, nieraz kłopotów wiele, potrzeba ciągłego myślenia, co będzie? jak sobie dać radę? do tego zdrowie lihe... Trudno być przy tém wszystkiém młodym. Każda rzecz mi teraz szkodzi, nerwy osłabia, lada wrazenie daje ból głowy, można od tego zmarznąć. A powoli, powoli, kołnany papo, człek się starzeje; ja to do siebie bardzo czuję, ale to naturalne i konieczne przejście. Z moimi pryneypalami-księgarzami nie zrobić, nie počąć, a tymczasem pracować trzeba, a praca ta tylko tą trochę sławy się płaci, która ani grzeje, ani karmi. Ale cóż robić.“

Wszelakoż w tymże liście donosi o skończonćj drugiej seryi „Latarni Czarnoksiężkić“ w czterech tomach, o dramacie „Tezyńscy“ i o kończących się „Witoldowych bojach“, a Podwyżsokiemu nadto dodaje wieść o „Malepareie“, o „Nowych studyach literackich“ i o „Aktach Babińskich.“

Ala i to jeszcze nie wszystko; przekonujemy się bowiem z listu, pisanego w połowie Stycznia 1844 r., że pracując nad Witoldowymi bojami, już o innćj, poważniejszćj rzeczy zamyślał. „Jak tylko wydam Witolda—donosił mu—siadam do „Historyi Litwy“, od dawna się gotującćj w moćj głowie i rosną-

cćj co chwila w materyaly... niezem już zajmować się oprócz tego nie będę. Praca to ciężka i mozolna, *ale tyle się jćj już robiło*, że szkoda porzucić. Mam plan całkiem nowy. Historia to będzie jakaś środkująca między kroniką a historją; chce ją uczynić żywą, dramatyczną, opisową; a *choć jać jak najpilnićj badam materyaly*, chce tę pracę ukryć zupełnie i na gruzach jćj wystawić coś świeżego i ożywionego. Nie będzie to rzecz tak obszerna, jak Narbutta, ale, gdyby się udało, lepiej powinna malować Litwę, którćj dotąd, mogę powiedzieć, nikt nie zna“.

W następnym, to jest w 1844 r., w Marcu ukończył „Boje Witoldowe“ i „Wspomnienia Odessy“, a w Maju pisał do Dycalpa: „Witold pojechał już do druku. Ostatni to pewnie mój poemat, na co słowo daję, nie bójcie się już więcej—*dziwi i skończyłem*. Co ludzie powiedzą o Witoldzie niezmiernie mnie obchodzi, i strach mnie przejmuję o niego. Nie chciałbym, aby go uznano niższym od starszćj braci. „Wspomnienia Odessy“ poszły do Glücksberga, i teraz nie nie piszę: spoczywam, maluję i porządkuję noty do „Historyi Litwy“. Pół dnia maluję, gram, jeśli mam nowe nuty, czytuję; wieczorem piszę listy, gospodaruję, klóczę się z ludźmi, i tak żyję, obelhodząc się bez pisanja, choć tysiąc myśli już mi się kręci po głowie, i kolacze, prosząc o wyjście. Najważniejsze teraz moje dzieło rozpoczęte—to stodoła, którą buduję; nie liczę obrazu dużego, także rozpoczętego niedawno, a wystawiającego „Pogrzeb litewski“.

I rzeczywiście, rok ten najmniej był płodnym w nowe dzieła, a szerególnićj w powieści; prawdopodobnie jedna tylko, „Pod Włoskiem niebem“, została napisana w tym czasie, a może też (jeśli nie wcześnićj) i „Czasy Zygmuntowskie“, która, jak się to okazuje z korespondencyi z księdzem Chobniewskim, ogłoszonćj przez d-ra Antoniego J., znajdowała się już w Cenzurze Warszawskićj na początku 1845 r., lubo wyszła ledwie w następnym.

Natomiast w epoce tćj Kraszewski żarliwie się zabrał był do studyów filozoficznych, pobudzony do nich zapewne przez ruch umysłowy w Warszawie i przez uznanie konieczności zaznajomienia z tym kierunkiem czytelników swojego Athenaeum. Jeszcze bowiem w pierwszych dniach Czerwca 1842 r. pisał do Dycalpa w te słowa: „Trzeba ci wiedzieć, że Warszawa świeżo przez uczniów Uniwersytetu Berlińskiego zarażona została *Hegelianizmem*, i socyalizmem, i demagogią w wysokim stopniu... My więc wszyscy

nie mamy łaski w oczach tych panów, z przyczyny, żeśmy nie chodzili na uniwersytet berliński. Wielka szkoda! małej rzeczy nam brakuje, ale bez niej nigdy z nas (jak to mówią) ludzie nie będą. Gdybyś też wiedział, co za dziwotwórzy ta młodzież, w której są indywidua nie bez wartości, nie bez talentu, ale zarozumiale we dwoje swego talentu“.

Cheć więc wkroczyć naresze na to całkiem nowe dla siebie pole, aby na niem walczyć z przeciwnikami, musiał poznać rodzaj ich broni i sam się należyte uzbroić.

„Zachciało mi się (pisał w Sierpniu 1844 r., do Podwysockiego) poznać bliżej tę zawołaną filozofią, z którą dawno dawno, w osobie Łocka i Descarta, jeszcze na ławce uniwersyteckiej zabierałem znajomość. Ta nowa nauka idzie mi dość lekko i wiele mi zajmuje. Człowiek, aby był szczęśliwy, musi czegoś się uczyć; to mu daje zapomnienie życia rzeczywistego i kłopotów od niego nieoddzielnych. Jestem więc *en plein* Hegel, a dla lepszego wbicia wpamięć, tłómaczę, czytając. Im dalej idę w tém wszystkim, tém (wielbiąc wysilenie umysłowe, dedukcy logiczne i metodę, często zadziwiającej subtelności) moenić się przekonuję, że za sto lat ludzie się będą uśmiechać z terazniejszej mądrości, która do niczego nie prowadzi, chyba do pewnej wprawy umysłowej, do szermierstwa logicznego i do wątpienia o wszystkim“.

Do Dyealpa zaś w Październiku tegoż roku: „Wdałem się w uczenie nowej filozofii niemieckiej i tak zajęty jestem absolutem, że o niczem więcej myśleć, ani pisać nie mogę. Głupia to rzecz ta żądza nauki, pragnienie wiedzy! pędzi człowieka, jak batogiem, pod formuły matematyczne Hoëne Wronskiego, pod skomplikowane tezy, antithezy i synthezy Trentowskiego, pod subtelna, jak deszcz jesienny, spekulacya Hegla... Wyobraź sobie, że pływam w morzu tych barbarzyństwa pełnych wyrażen, których najpiękniejszą ozdobą jest *dwójganiec* Trentowskiego, *podścisłiska* i *rozłogi*? Na cożem się w to wdał? zapytasz. Fatalność, panie! fatalność! Chwycała mnie filozofia za pole ciekawości, jak machyna parowa, i dusi między dwoma cylindrami. Jeśli mi tu nie będzie amen, to nigdy“.

Rezultatem tych studiów były: ogłoszone w roku następnym w Athenaeum „Idea systematu Hegla“ (tłómaczenie z Otta), przygotowana do drugiego tomu tegoż czasopisma, lecz nigdzie pono niewydana, przeróbka, (nie wiemy z czego, bo autor nie wymienia) p. t. „Rys historyi filozofii niemieckiej“ i po-

dobnież nieogłoszony „*Rzut oka na stan filozofii niemieckiej*“. Nadto zaś w tymże czasie musiał kończyć tom trzeci swoich „Wspomnień Odessy“ i rozpocząć *systemat Trentowskiego*, który, jakkolwiek się dopiero w roku 1847 w Lipsku ukazał, znajdujemy już na początku 45-go w listach Kraszewskiego wspomniany, równie jak, tamże odesłane do druku, nieznane nam i w bibliografii nie wymienione: „*Studya historyczne litewskie*“.

Z dalszym ciągiem „Systematu Trentowskiego“ przeniosły się na rok 1845 i dalsze też studya filozoficzne, które wszelakoż niezadługo ustąpiły miejsca studjom historycznym i archeologicznym; w Lipcu bowiem pomienionego roku już donosił Podwysockiemu o przygotowującej się „*Historyi Litwy*“, a zarazem pisał do niego: „Mój drogi, mieszkaś w kraju bogatym w ruiny i blisko najbogatszego w to Kamieńca; żeś mój przyjaciel i radłys mi przyjemność zrobić, w to nie wątpię. Mam prośbę: oto począłem zbierać dla ubrania ścian małego domku ogrodowego różne stare kamienie rytu, z herbami, napisami, datami, i t. p., choćby polamane i szczatki tylko. Czy nie będziesz miał sposobności czém podobnem mnie udarować? Jeśli dostaniesz, dnieś, a ja umyślę nie po to jestem gotów przysłać, bo goręję myślą zebrania takiego rodzaju pamiątek do mojej Sybilli. Możesz się śmiać z tej myśli, ale nie godzi się nie pomódz“.

Owóż to, co z początku było zabawką, przeszło z czasem w pracę poważną, doprowadziło do „*Historyi sztuki u Słowian*“ i „*Ikonoteki*“, w roku bowiem 1848 pisał do Dyealpa: „mam w tece ogromny zbiór *od lat trzech rozpoczęty*, zawierający słownik artystów wszelkiego rodzaju—artystów naszych, u nas, dla nas, z naszych przedmiotów pracujących, tadzież „*Ikonotekę polską*“, to jest spis wszelkich dzieł sztuki, ruin, pamiątek i t. d.“... A wiemy nadto, że już w roku następnym przez publiczną odczwę prosił o pomoc i o materyały do „*Słownika malarzy polskich*“ (*)

(*) Nie poprzestając jednak na tém, prywatnie jeszcze, a podobno skuteczniej, gdzie tylko mógł kołatał, zebrali o wiadomości o rycinach i dokładne ich opisy, i sam zwiadał biblioteki, notując z nich i opisując, co tylko znalazł. Jednym zaś z najpożyteczniejszych pod tym względem korespondentów jego był zacny i niezony rektor Pijarów w Lubieszowie, ksiądz Antoni Moszyński, obecnie przemieszkujący w Pińsku, dokąd po zwinięciu kolegium Lubieszowskiego przeniesionym został w r. 1843. Kraszewski, którego ojciec, jak to wiemy, wychował się w Lubieszowie, już przez to samo nie mógł nie interesować,

O tém wszakże pod właściwym rokiem pomówimy nieco obszerniej, tu zaś powinniśmy zaznaczyć, jedyny w tym okresie utwór belletrystyczny, wydany pod tytułem „Pamiętniki nieznajomego“ 1846 r. w Warszawie, lecz zrazu przeznaczony dla Biblioteki Warszawskiej, pod nazwą poetyczną: „*Złote sny młodości*“.

O utworze tym w którym Podwysocki domyślał się *autobiografii*, Kraszewski mu napisał: „domyśl twój nie jest seislą prawdą: co do *wypadków*—wcale nie; co do myśli, uczuć i esencji—niechybnie tak“.

Słusznie jednak można przypuszczać, że i „Ostap Bondarczuk“ był owocem również z 45-go roku, bo już w Lutym 1846 czytamy w listach, że został odesłany do Lipska, jakkolwiek w Wilnie ukazał się ledwie w 47.

W korespondencyi z roku 1846 znajdujemy wspomnienie o skończonym i oddanym do druku pierwszym tomie „Historyi Litwy“ i o powieści artystycznej *Sfinx*, która była naturalnym wynikiem zatopienia się Kraszewskiego w studyach materyałów do historyi sztuki i słownika malarzy polskich; a w tym że roku połył na kuracyi w Druskenikach, o czém już było wyżej, podał mu temat do książeczki, opisującej tę miejscowość i podróż do niej.

Rok 1847 był znowż jednym z najmniejszej produktywnych u Kraszewskiego, który tak się skarżył Podwysockiemu: „Dotychczasowa moja kuracya już mnie mocno nadrujnowała,—ciasno mi i ciężko; a nie uwierzysz, jak od niejakiego czasu nie pracować nie mogę! *Pierwszy raz od lat kilkunastu* nie mojego się nie drukuje, nie napisanego. Wyszły temi czasy „*Sfinx*“, „Os-

tap Bondarczuk“ i „Rozbiór Trentowskiego“; a teraz nie wiem, czy i za rok co nowego wyjść już będzie mogło; ja tylko czytam, maluję, próżnię i ziewam, ale kilka godzin pracy użyć mi nie tak, że ani pomyśleć się stałe do czego“.

Jakoż istotnie, prócz prześlicznej powiastki „Budnik“, drukowanej w Bibliotece, nie i rok 48 nie przyniósł, co bynajmniej jednak nie znaczy, aby i w nim też, choćby we własnem swoim rozumnieniu, *nie* Kraszewski nie robił; bo już w końcu Stycznia oznajmował Podwysockiemu: „Na stoliku mam coś bardzo poważnego, filozoficznego, i powieść, i panowanie Witolda, od 1387 do 1430 jedną z moich najlepszych pewnie prób historycznych;—ale to wyrywkami tylko piszę—ciągle nie mogę“.

Czém było owo *coś poważnego, filozoficznego*, nie wiemy; w powieści domyślamy się jedną z najprzedniejszych, mianowicie „Dziwadeł“, która już w Marcu odesłana była „Tygodnikowi“, jako prosek piżmowy, mający jego siły podnieść do przetrwania ciężkiego kryzysu. Zresztą obok dalszej pracy nad historyą Litwy, teraz właśnie najmocniej zajmował go *Słownik artystów*, oraz *Ikonotheka*, co widzimy z listu do Podwysockiego (26 Października v. s.)

„Ja nie nie robię, lub tak, jak nie, bo zupełnie ręce założył, mimo choroby, nie jest w mojej mocy. Zajmuje mnie teraz najmocniej „Słownik artystów i dzieł sztuki naszej“, którego ogromne już stosy leżą przede mną. Są wielkie a nieznane prawdy, które ten zbiór odkryje i wyjaśni. Zdziwienie się obfitości mojej pracy i nowym widokom, które otworzy na ciebie dotąd kąty historyi. Mnie ta praca, która się zrosła z życiem mojem, bawi, zajmuje, jątrzy i opanowywa całego. Mieliszmy naszą symbolikę, nasze właściwe dzieła; nasz duch objawiał się w różny sposób po zamkach, kościołach, w budowach i wyrobach naszych. Wskazać go, odkryć, pokazać znaczenie—potrzeba i czas. To przedsięwzięcie i każdy kamyczek nowy, który znośę do tego stosu gruzów, przyeiskam do serca z radością i umieszczeniem nie do opisania! Kto to wydrukuje? kto to czytać będzie?—ciągle mi w poprzek staje; odpycham je wszakże i idę dalej.“

A podobnież i do Dycalpa:

„Ta praca jest dla mnie wytelnieniem i rozkoszą; zebrałem już do 400 artykułów do tego zbioru, i bawię się nim, jak dzieckiem; ale gdy Bóg da to wydać i przejrzyć, przekonasz się, że spieniężywszy wszystkie

się tą miejscowością, a tem bardziej zważywszy, że się tam znajdowała dość bogata biblioteka; jeszcze tedy z Dolnego po raz pierwszy tam zajrzał, a poznawszy ks. Rektora, wysoki się dla niego przejął konsyderaeyą i później go kilkakrotnie odwiedził. W nim też znalazł najpierw chętnego pomocnika w zbieraniu materyałów do drugiego wydania Historii Wilna, w której w dopiskach do IV tomu poehlebą wzmianką za tę pomoc mu się wywdzięczył. Później zaś, gdy wydawnictwo „*Athenum*“ rozpoczął, zyskał w nim dobrego współpracownika; a w końcu do „Słownika malarzy polskich“ dostał odeń kopią portretu oraz kilkanaście rysunków Mübela, Piara, który freskami swemi kościół Lubieszewski ozdobił; nadto zaś bardzo wiele cennych notatek i ksiąg starych, rycinami ozdobnych.

Wiadomości tych zacierpnęliśmy z listów Kraszewskiego do czeigodnego księdza Rektora, których nam ten ostatni ze zwykłą sobie nprzejmnością udzielił.

(Przyp. autora).

nasze tego rodzaju skarby, jesteśmy bogatsi, niż się nam zdawało. Gdybyś wiedział

o jakich materiałach gdzieś udzielił mi; wszystko, bodaj kruszynki drobne, przyjemne."

Rok 1849 był epoką, w której Kraszewski pożegnał się z ulubionym swym Gródkiem. Sprzedał go, jeszcze w Lipcu roku 1848, a tak nagle i niespodzianie, iż wszystkich swoich zdziwił tem i zasmucił, zwłaszcza, że nie do nabycia upatrzonego nie miał, a już po nowym roku zdać go musiał nowemu dziedzicowi. „Smuci mnie to (pisał do ojca) że papa z wyraźną niechęcią pisze do mnie o sprzedaży Gródka, gdy wedle wszystkich sprzedaż ta, choć z remanentami, jest jeszcze bardzo dobra. Gródek ma zbyt mało ornęj ziemi i wzgórzysty nadto, ażeby się mógł nazwać dobrym pod względem gospodarskim. Młody i bogaty człowiek, co go kupuje, płaci za pozycję i ogród, nie za to, co mu przynosić będzie; a ja oglądając się muszę na mój procent, bo codziennie większe expensa i większe obowiązki. Zresztą sprzedaż korzystna i spodziewam się coś lepszego, jeśli Bóg pomoże, kupić. Na wszystkie boki piszę, dowiadując się, czy kto nie sprzeda czego."

Brat Lucyan mu doradzał, żeby nabył sechę swęj ciotki w Romanowie; lecz on, pomimo całe przywiązanie do tej siedziby, nie zdołał się na to odważyć. „Było-by to przy mojem zdrowiu (pisał do ojca) śmiercią niechybną dla mnie, gdybym w interes nieskończony i proces dobrowolnie się wpędził. Ojciec zaś mi czynił ostre wyrzuty, że się nie chce zbliżyć ku swoim, przenosząc się bądź na Litwę, bądź do Królestwa, co mocno pocziwęgo syna ubodło.

„Jak dalece wyrazi listu papę mnie obezszly (tłómaczył mu się) nie chce pisać i nie potrafiłbym, ale mi bolesne zrobiły wrażenie! Mój drogi papo, nie wiesz tego może, jak kocham swoich, jak szanuję ciebie, i jak każde słowo ostrzejsze głęboko we mnie zostaje. Szkoda, że widzieć się z papą nie mogę i wytłómaczyć mu; szkoda, że ja nie mogę dojechać do Królestwa, a papa do mnie nie zerzeesz. Gdybyś tu był na miejscu, zobaczył wszystko, rozpatrzył się w interesach, zastanowił nad projektem; inaczejbyś mnie i moje czynności osądził. Ale pomimo, że i Zosia tego najgoręcej życzy, i ja, nie mogę się spodziewać nawet. Jeżeli się oddalił od was, Bóg wi-

dzi, że to nie z woli mojęj i nie z winy Zofii, albo własnej; okoliczności tak pokierowały. Obwiniając mnie o to, ciężko mnie papa dotknął. Są w życiu smutne a nieuchylone konieczności; obwiniać za nie może się nie godzi, gdy kto sam pierwszy nad nimi ubolewa."

Inni streczyli mu różne majątki na Wołyniu, ale ze wszystkich najbardziej mu przypadła do gustu Medwedówka, w powiecie Starokonstantynowskim, między Kisielami a Wiszniopolem. Dektor Karol Kaczkowski, który dobra te nabył od książąt Czetyrtyńskich, oddzieliwszy dla siebie jeden folwark, a na resztę zaciągnawszy pożyczkę w banku i stale zamieszkawszy w Odesję, szukał kupca na ten majątek. Było tam 240 morgów łąny i 340 dusz włościańskich, gorzelnia 100-pudowa, arenda, 500 owiec, pasieka duża, las, woda, młyny, ogród, oranżerya, mieszkanie, budowle gospodarskie, a nawet i kaplica. Lecz trzeba było za to wszystko zapłacić 51,000 rubli, i po strąceniu długu bankowego brakłoby jeszcze Kraszewskiemu półszość tysiąca rubli. Summy tej trzeba było kędyś pożyczyć, co i nie przychodziło tak bardzo łatwo, i zanim ją mógł znaleźć, zimna rozwaga wzięła górę i odjęła ochotę do ponętnego, lecz kłopotliwego wiece nabytku.

Znalazło się coś mniej pięknego, lecz nierównie bezpieczniejszego, o czem w Styczniu 1849 roku tak pisał do rodziców Kraszewski:

„Los nasz, długo niepewny, nareszcie się rozwiązał: kupiliśmy majątek o dwie tylko mile od Gródka, nazwany Hubin, w przeszlicznęj ziemi Wołyńskiej, z hrabstwa Horochowskiego, Tarnowskich. Jest to najlepszy folwark w kraju, gdzie wszystkie są dobre. Ma na 121 dusz, 113 włók ziemi w łąkach a około stu korey pszenicy. Na gruntach osadę szlachecką, placącą czynsze; 35 włók lasu, 50 sążni siana, zabudowania gospodarskie dobre, dom tylko lichy. Wszyscy mi winszują kupna, choć zapłaciłem 165,000 złotych i wszystkie koszty moje. Z majątkiem biore gotową cegłę, młyn, wiatrak i młockarnię. Obejmuję Hubin 25 Stycznia v. s. Zosia nie rada przemianie miejsc'a."

W tydzień potem donosił już Podwysockiemu. „W tej chwili wynoszę się już do Hubina, wioski nowonabytcej, w której nie mam prawie mieszkania i nie mam wcale ogrodu. Co kłopotów, co pracy, co zajęć, co żalów wkoło mnie! ja przecież trwam przy odwadze mojej i nie uląknę się jeszcze tego, co uczynił.“

Jakoż list cały, zapisany na cztery strony, pełnie jakimś ożywieniem i energią niezwykłą. Chwali się w nim polepszeniem się stanu zdrowia, wyrzeka przyjacielowi, że się dobrowolnie starzeje i powiada: „już to najgorszy symptomat, gdy czas swoją drogą, a człowiek sam w dodatku wieku sobie przydaje. Jesteśmy młodzi, póki młodymi być chcemy; a póki młodość, póty życia. Co do mnie, trzymam się, jak mogę, choć czuję zimną, kościstą rękę czasu, dotykającą ramion i przydającą im brzemienia, którego się dawniej nie czuło.“ A dalej znów: „Ja jeszcze jestem tak młody do pracy, że materiał do niej prawie do szalu mię pobudza. Zapewnij mnie tylko, że mi wszystkie swoje zbiory pokażecie, że nie nie schowacie, że p. Hołowiński pozwoli mi przejrzeć swój zbiór i spisać co potrzeba (20,000 rym) a przyjadę do Rychny, i przywykły do tej roboty, nad dni 10 do 12 nad nią nie zabawię.“ Kończy zaś temi słowy: „Alem się zapędził! staję; dosyć tego—trzeba się pożegnać. Czekają mnie rachunki, spisy, rejestra, układy i t. p. W tej atmosferze żyję od kilku miesięcy. Wszystkie książki w pakach; wszystkie rękopisma w pudłach; obrazy powiązane, papier odesłany do Hubina; a ja na stosie śmiecia, i niemnikunonęj pozostałości wszelkiego życia, na kulawym stoliku piszę tych kilka słów do Ciebie i wdycham... Gdybym nie miał trojga jasnych główek dzieciennych przy sobie, rzekłbym się interesów i wszystkiego, co truje dni tak drogie; ale dla nich—porzeka!“

W końcu Lutego pisał już z Hubina do ojca: „Jesteśmy już tutaj od trzech tygodni. Zosi bardzo smutno po Gródku, a że w dodatku nie bardzo zdrowa, więc ciężko mi a rozweselić i rozruszać. Hubin wcale nie ładny, domek ciasny; ale to majątek, którego cała zaleta w gospodarskich dogodnościach. Do opisu statystycznego nie dołączyć nie mam, prócz wielkich nadziei,—daj Boże, żeby nie zawiodły. Z lasu zdaje się, że się da wyrobić materiał drzewny szacunkowy; grunta wyborze; ale gospodarstwo ciężkie i pracowite: swoje konie, brony, blagi trzymać potrzeba, dom budować, ogród zasadzać, wody mało i tego brakuje. Re-

mauenta zbożowe nabyłem nie bardzo drogo w snopach.“

Dnia zaś 17 Marea do Lucyana: „Ja już na nowém gospodaruję i biorę się szczerzej do gospodarstwa nie z upodobania, ale z potrzeby. Ręk mam mało, więc gospodarstwo trudnem będzie, ale obiecuje być korzystnem. Kupilem sobie trochę owiec i folwarczne konie, bez których się tu nie obejść. Wydatki ogromne mam, a jeszcze i mleczarnia, i poprawa budowli mnie czeka; nie wiem jak temu podolam.“

Widać więc ze wszystkiego, że i to nie było takie *złote jabłko*, jak się z razu zdawało; chciał jednakże pan Józef pochwalić się niemi przed swoimi i moeno ich do siebie zapraszał. „Papa obiecał mi bytność swoją z Kajetanem (donosi w tym że liście Lucyanowi). Bóg wiedzieć raczy, czy dotrzyma obietnicy, a bardzo go pragnę widzieć u siebie, żeby mi nową siedzibę pobłogosławił. Ty także wiedzieć powinieneś że mam tysiąc morgów lasu, a w nim sarny, dziki, ciętrzewie, zajace, a po polach stada kuropatw, które Bryś tylko, chodząc za mną, ploszy nadaremnie. Gdyby czas i pozwolenie polowania mieć, możnaby tu sobie dogodzić *Arctis au lecteur*. Mogłbyś i ty spakować się i przyjechać do mnie.“

Z nastaniem robót pólnych na wiosnę zabrał się Kraszewski do gospodarstwa z niesłychaną energią; czy to przez punkt honoru, chcąc przekonać jak sąsiadów, tak i rodzinę, że Hubin był istotnie dobrym nabytkiem, a on sam, choć literat, rządzonym gospodarzem być zdola, czy też skutkiem swego temperamentu, teraz tak się zapaliwszy do roli, jak poprzednio do filozofii, a potem do słownika „Malarzy polskich.“ Dość że ledwie nie w każdym liście do ojca, matki, i do braci, najwięcej odtąd o swém gospodarstwie rozprawiał. Jakoż w Maju pisał do matki: „Jestem prawie, jak ekonomem, bo Rozbieki dziwnie ocieźlał, a młody jego pomocnik niewprawy do gospodarstwa; sam więc dysponuję, objeżdżam, obchodzę. Może to mamy i nie będzie zajmować, ale już takem się zagospodarował, że mi trudno o tem nie pisać.“

Żona zaś w dopisku dołączyła: „Szeroko Józio opisał, co się tu z nami dzieje, co porabiamy; nie więc mi nie pozostaje do doniesienia, chyba dodam, jak mi jest bolesne oddanie się jego takie gospodarstwu, interesom. Może to być z dobrém naszem; lecz jak nie dla niego takie zajęcia, jak go utrudzać muszą! Dzięki Bogu, że przynajmniej zdrowie jego teraz znacznie lepsze, lecz pracy nad siły. Do gospodarstwa kłopotliwego

zaprowadzającego się, przybyły jeszcze i literackie niemale zajęcia. eliwili jednej nie ma biedak do odetchnienia! Inny jużby nleął pod ogromem ich lub je odrzucił; a on, jak mrówka, krząta się i garnie wszystko do siebie.“

A toż samo napotyamy i w liście z tegoż czasu do brata Lucjana: „Wdałem się w gospodarstwo i skutecznie, czy nie, ale gospodaruję. Radbym tu ciebie mieć do porady i do pokazania, co kupilem i co myślę robić dla nlepszenia majątku.“

Następnie zaś, po wyliczeniu rozmaitych swych zajęć i kłopotów rolniczych, kończy wreszcie: „sam wszystkiego doglądam, a konno tak tego jeżdżę, że aż raz upadłem z konia, a raczej z koniem, bo się mój wierzchowiec powalił ze mną, choć był drogi i nibyto dobry. Teraz inszą kupilem sobie szkapę, a resztę nogami własnemi obchodzę, choć dyable daleko, bo rozległość gospodarstwa mojego duża.“

Lecz wszystkie te wysiłki do nieczego nie prowadziły; gospodarstwo szło ciężko i niepomyślnie.

„Z lubina byłbym kontent zapelnie (pisał w końcu Czerwe 1844 r. do ojca) ale pracy wiele, o robotnika trudno, a choć pól dużo, z tego właśnie powodu forsowne gospodarstwo. Muszę trzymać około 20 koni folwareznych, 20 wołów do pluzków, mam już 700 owiec, a resztę bydła skupić jeszcze nie zdołałem. Urodzaje mierne, a jarzyny spalone bardzo, zwłaszcza wczesniejsze, pszenica średnia, żyto podobnie. U nas tu do granicy austriackiej kupują żyto po złotych 12, jęczmień po 10 i więcej, i ja trochę, choć z kłopotem, sprzedąć musiałem; owsa nikt nie ma, na wełnę kupców ani słyszeć.“

A w połowie jesieni tegoż roku: „Trzymamy się jako tako, zdrowi i wytrwali na tysiączne kłopoty, których nigdy nie mieliśmy, co tutaj.“

Niepowodzenie to mocno martwiło biednego gospodarza-literata, który niechybnie z własnego doświadczenia musiał skreślić następny ustęp w „Powieści bez tytułu“ pisząc o Szarskim:

„Nie szło mu tak, jakby pragnął, a co gorza, głosy, które słyszał wkoło siebie, całe zawsze nieszczęście przypisywały literackim jego zajęciom.“

— Co pan chcesz? hreczka posiana po literacku, żyto wschodzi po łacinie, gnój w poetycznym rozrzucony nieładzie.

„Zadawano mu i roztargnienie, którego nie miał, i brak poświęcenia, którym nigdy nie grzeszył“.

— A cóż ma być dobrego,— mówił ekonom,—kiedy pan jeździ z książką na pole, a do chłopu mgdy nie powie *chamie*, jak się należy, tylko *mój kochany*, a wdaie się z nim w *perchowyzy*, jakby to on co rozumiał, gdzie po prostu bizuny dać trzeba. Już to językiem bizuna nie zastąpić.

„Sąsiedzi kiwali głowami na wszystko, czy dobrze szło, czy źle, widząc we wszystkim tę nieszczęsną poczyą.— Książki pisze, to dość powiedzieć!—mruczeli, ruszając ramionami“.

To też, zrzućwszy pychę z serca, poddał się smutnej konieczności i już w Lutym 1850 roku złożył niefortunne swe rządy, o czem tak donosił Lucjanowi:

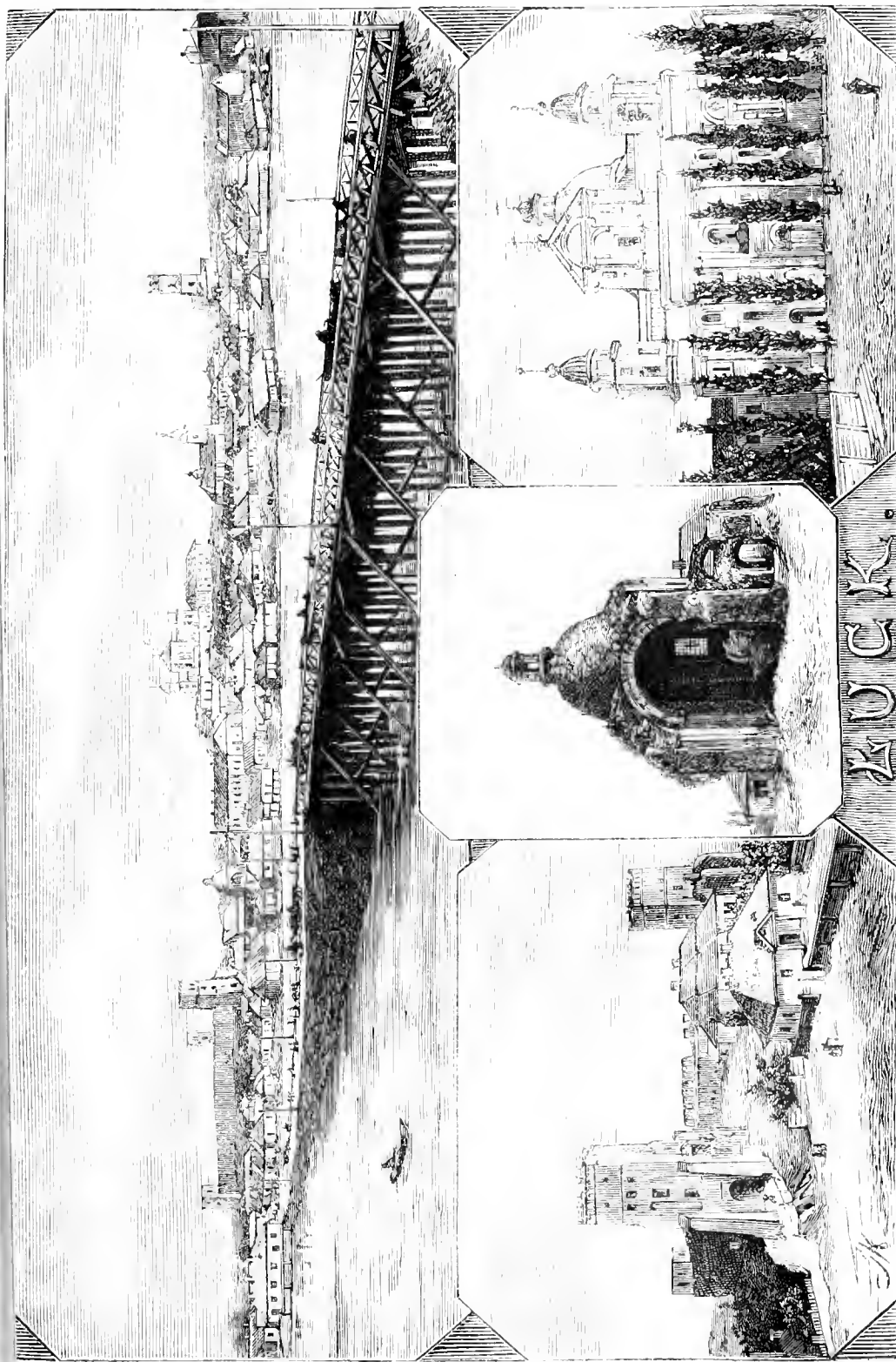
„Przekonawszy się, że sobie nie dam rady z gospodarstwem i literaturą zarazem, dziś właśnie instaluję kogoś, com go na swoje miejsce do ogólnego zarządu wziąć musiał, i na malęj wiosce płacę mu 135 rubli, a prócz tego i ekonomu trzymać będę musiał. Bardzo mnie boli ta kosztowna moja niezdolność; ale tyle strat tego roku przeczły zarząd pomiosłem, że był to jedyny sposób—ostatni“.

I to wszakże nie nie pomogło. W jesieni roku następnego nskarżał się znowu przed ojcem: „Gospodarstwo moje powszechnie tutaj klesce nieurodzaju okropnego nleęło; Wołyn i Podole, można powiedzieć, połowy tego roku nie mają, co niewady; wszędzie pszenicę koszoną i żyto, a na Podolu wprost spasałi tylko i nasienie się nie wróciło“.

„U mnie też ta sama kleska: straciwszy 500 owiec, na wsi trochę bydła, w domu trochę koni z jakiejś zarazy, doświadczywszy srogiego nieurodzaju, bo jarzyny także spaliło, a potem już po zbiorze zgnoiło, będzie miał rok, przy interesach, bardzo ciężki“.

Następne lata, 1851 i 1852 nie wiele też były szczęśliwsze; w jesieni tego ostatniego pisał do ojca, że ma mnóstwo interesów sądowych, grozących wydatkami i niepokojem, choć niestrasznych zresztą, a urodzaj zaledwie mierny; jarzyny co się zowie nie—„jedną pszenicą żyć będzie potrzeba, i nie wiem, jak się to uda“.

Kleski te i kłopoty ostatecznie go zniechęciły do gospodarstwa, tak, iż postanowił narreszcie pożegnać je na zawsze i przenieść się na mieszkanie do miasta, zwłaszcza, że i podrastające dzieci potrzebowały już szkolnej nauki. Przyjemną więc mu była wiadomość, że został mianowany professorem literatury polskiej przy uniwersytecie w Krakowie, co w samą porę przychodziło w pomoc jego zamiarom. „Nie expatryuję się jednak (pisał do Podwysockiego); jest to



Zwałiska zaniku.

Zwałiska kościoła Bazylianów.

b. kościół katedralny.

tylko czasowe. Skończyć na professurze, jak widzisz, ale bądźcie zdrowe powieści!" Rząd austriacki starał się sam dla niego o pozwolenie zajęcia tego miejsca, a ks. Metropolita łódzki czynił mu już nawet wszelką nadzieję, że to pozwolenie nyzyska; lecz nadzieja ta była zwodniczą: z końcem lata tegoż roku, Józef Kremer zawiadomił go listem z Wiednia o zupełnej odmowie.

Wtedy Kraszewski powziął zamiar z wiosną 1853 roku osiedlić się w Warszawie; pisał już był nawet do swoich tam znajomych, prosząc, aby mu poszukali do nabycia jakiego domku małego, i czekał tylko na ustanie cholery, grassującej podówczas, aby się osobiście tam udać i bliżej wszystko zbadać i obmyślić na miejscu. Starsza córka uczęszczać miała na naukę do Panien Wyztek, a synowie przygotowywać się do szkół.

Do osiedlenia się w Warszawie musiało Kraszewskiego zachęcić wspomnienie miłych wrażeń, jakich doznał w tém mieście, podczas dwukrotnych swych odwiedzin w roku 1851, o których nieco niżej mówić będziemy. Wkrótce wszakże zmienił ten projekt i tak się Podwysockiemu ze zmiany tej tłómaczył: „Gdy mi przyszło zbliżka przypatrzeć się memu pobytowi w Warszawie, uznałem go niepodobniestwem. Naprzód, życie z takim funduszem, jak mój, przy stosunkach i znajomościach już porobionych, byłoby niemożliwem bez powołnego zrujnowania się. Gdyby jednak to się nawet dało urządzić, są inne uwagi: Warszawa pełna koterii, intryg i plotek, a ja mam z góry gotowych nieprzyjaciół, co tylko czekają, by wybuchli. Trzeba by się wyrzec albo głoszenia świętej prawdy, albo pokoju, i wyrzekłbym się go dla prawdy, gdybym był sam, nie z familią, z żoną, z dziećmi, którym mój pokój tyle stanowi. Wolę więc mniejsze, ustrome miasteczko“.

Mniejszém tém miasteczkiem miał być na razie Lublin, a to głównie ze względu na rodziców, którzy bardzo życzyli sobie mieć ukochanego syna w pobliżu. Później, wskutek rozporządzenia Ministerium oświaty, nie pozwalającego młodzieży udawać się na wychowanie do innych naukowych okręgów, nad ten, w którym stale była osiadła, gotów już był przestać na Równem, z którym przemawiała niedaleka odległość od Hubina i Kisiel i nie bardzo wielka od Romanowa, jako też możność utrzymania się tanim kosztem na tym partykularzu; w końcu wszakże stanowczo zdecydował się na Żytomierz, z czego też zaraz współobywatela skorzystali, „obrali go w Maju roku 1853 Kuratorem ho-

norowym tamiecznego gimnazjum, dawszy za nim 248 głosów na 300.

Nim wszakże podążymy do tego miasta, musimy wstecz się cofnąć, ażeby zanotować kilka jeszcze ważniejszych faktów z życia Kraszewskiego w Hubinie, w którym lat pięć przeżywszy, wiele trosk i kłopotów powszednich, i nie mało też ciężkich zmartwień doświadczył, w epoce tej oplakawszy śmierć babki i niemniej ukochanej, siostry swej, Anny, zgasłych w jednym miesiącu i nieledwie w dniu jednym (24 i 25 Maja 1853 roku), a z których pierwsza, umierając, miała jakoby jasnovidzenie rychłego zgonu drugiej. Zgon właśnie tej ostatniej był jednym z najdotkliwszych ciosów dla Kraszewskiego, skonała bowiem w jego oczach, w kwiecie wieku, anielska ta istota, nieodrodną córką swęj matki, udarowana najpiękniejszymi przymiotami serca i umysłu, i to wtedy, kiedy najbardziej się radował, najwięcej sobie obiecywał pociechy z zamieszkania jej z mężem, p. Łuniewskim, na Wołyniu, w bliżkiem sąsiedztwie od Hubina, mianowicie w Polonce.

A trzebaż jeszcze wiedzieć, jakich to on starań dokładał, aby to małżeństwo skojarzyć, któremu ojciec był dość długo przeciwnym; jak zabiegał, aby znaleźć jaką dobrą posadę, lub korzystną dzierżawę dla p. Łuniewskiego; ile się nakłopotał i natrudził, zanim zadzierżawił owę Polonkę, w której, będąc tak obarezonym własnem swém gospodarstwem i ciężkimi interessami, pierwszego roku musiał rządzić jakby u siebie, skupując remanenta, orząc i siewając; bo p. Łuniewski, zamieszkały w Królestwie, nie mógł w porę przybyć na Wołyn dla objęcia dzierżawy.

Obok tego wszelakoż, w pierwszych szczególniej latach, i przyjemnych wrażeń nie brakło. Tutaj mu dnia 22 Lipca 1849 roku urodziła się druga córka, tu miał szczęście przyjmować ojca, który do chrztu ją trzymał; tutaj raz jednocześnie aż trzech miłych gości Pan Bóg mu zdarzył: obu braci i przyszłego szwagra pospolni z nimi (1850), drugi raz znowu p. Kajetana, 1852; tu wreszcie, o czém już było wyżej, odwiedził go serdeczny Syrokomla (1850), o czem tak pisał do jednego z swoich correspondentów: „Poczętwszy poeta zrobił pocztą mił trzydziści kilka, by mi dłoń podać. Z całego serca jestem mu za to wdzięczny. Poznałem go i potrafiłem ocenić prostą, sympatyczną duszę jego i talent. Siedział u mnie dni kilka, już tęskniąc za domem i za pracą.“— A Podwysockiemu tak go malował: „Dobry to, bardzo dobry chłopiec! pełen zapędu do

pracy, prosty, niewinny, milezący i absorbowany w sobie, jak poeta, pracowity jak mało.

Co do stałych stosunków, te, jak i w Gródku, utrzymywały się przeważnie z Ossową i Horodcem, gdzie po dawnemu Państwo Kraszewscy zwykle zimą spędzali.

Z Hubina w roku 1851, oboje, zostawiający najmłodszą córkę pod opieką samej pani Felińskiej, z dziećmi starszemi wyjechali do Romanowa, z kąd pan Józef udał się do Warszawy.

Tu dopiero spotkało go właściwie po raz pierwszy zasłużone ucieczenie, w którym i literaci już przyjęli udział serdeczny. Przyjęcie, jakiego doznał, i wrażenie, jakie wyniósł z Warszawy, opisał za powrotem w liście do Podwysockiego, z którego obszerniejszy wyjątek, jako bardzo ciekawy, pozwalamy sobie przytoczyć:

„Warszawa naprawdę ciekawa. Nie masz pojęcia, jakie tam jeszcze wre życie. Przyjęło mnie nad zasługi, aż do zbytku szumno i huczno: przez trzy tygodnie fetowano codziennie niestannie, może zarówno z przyjaźni, jak na psikus Rzewuskiemu, którego jak tam nie cierpią, wypowiedzieć niepodobna. Miałem obiadów, wieczorów i toastów moe ogromną, i wyjechałem, szczerze i serdecznie wdzięczny za to współzucie. Rzewuski, chcąc mi zaszkodzić, na samo moje przybycie, wydrukował jakiś artykuł, dość zły, przeciwko mnie; zrobiło to efekt przeciwny, i na obiedzie, który dla mnie dano w resursie, zebrano się około półtora osó, manifestując. Ten obiad, gdybym ci go mógł opisać, był ciekawy: każdy toast poprzedzała mowa, lub improwizacye wierszem, — zupełnie jakiś bankiet opozycyjny. Byłem jak odurzony i ledwie teraz przychodzę do siebie. Gdybym był próżny (niestety! nie jestem nim), — mógłbym się nasycić kadzidłem dowoli. Szkoda! minęła mnie wielka przyjemność; unialem tylko być wdzięcznym i potrafiłem trochę się zmęczyć“.

„Choć chory, na dyecie, w kąpielach, w kropiach, obejrzałem w Warszawie, co tylko było do widzenia do historii sztuki, dostałem mnóstwo nowych i starych do mojego zbiora sztychów i rysunków, i przybyłem do domu tak obciążony temi łupami, że mi się powóz łamał od nich“.

„Muszę ci napisać pokrótce, co się dzieje w literaturze Warszawskiej. Jest tu dziś więcej życia, niż kiedykolwiek; a Pan Bóg, co mnie wszystko na korzyść obrócić, sprawił, że i Rzewuski na coś się przydał, bo

jego „Dziennik“, element sprzeczny, wywołał w gazetach życie przez to, że im zagroził swoją konkurencją. Sarkazmy hrabiego spowodowały także szczere jęcie się pracy, i tak zle na dobre wyszło. Nienawiści i wstrętu, jakie ten człowiek tu obndził, wyrazić niepodobna: nikt, ale to nikt, nie sympatyzuje z nim; wszyscy od niego niekają. Przykro mi było patrzeć na to upokorzenie. Spotkałem się z nim na wieczorze u pani Łuszczewskiej i było osó około 60 — nie miał do kogo mówić. Powitał mię, odpowiedziałem; a widząc, że się cofam, nszedł, i już więcej go nie spotkałem, — na żadnym z wieczorów i obiadów nie był. Dziennik jego, w Warszawie prawie nieznany, całe swe powodzenie winien prowincyom naszym, co prenumeratę go wspierają. Biblioteka Warszawska rozbudza się do życia co raz bardziej i staje się co raz lepszą. Do nowych pisarzy zaliczyć tu muszę Gregorowicza, autora „Obrazków wiejskich“, prześlicznych prawdą; Gliszczyńskiego, tłumacza Kallimacha; W. W. Irbanta wielkiego talentu, Karola Wittego, dobrego krytyka... Starszych znasz. Artystów moc wielka i kilku wybornych. Obchodziłem pracownię; widziałem, co się mahje i tworzy, i zdziwiłem się mnogości. Suchodolski wypracował nad zwykły swój sposób, z daleko większym wykończeniem, Jadwigę, gdy Jagiello ledwie z ganku zamkowego ukazuje się, jako chrześcianin i król. Obraz piękny bardzo, — zarzucają mu brak ruchu, ale figury prześliczne. U tegoż widziałem *chatę ukraińską*, *Farysa* (nowego) i kilka innych ładnych robót. Piękne są także obrazy Hadziewiczza, Zaleskiego, Simmlera, Breslauera, portrety Kaniewskiego, i wiele innych: a młodzieży, co się sposobi i wychodzi na świat artystyczny, mnóstwo i pełnej nadziei. Przywiózłem wiele ich rysunków, prób, litografii, i t. p.“

Tegoż roku przy końcu Listopada odbył niespodzianie powtórna podróż do Warszawy, już jedynie z powodu zdrowia, dla porady lekarskiej. Jechał wprost, ominawszy Romanów, za co rodziców najpokorniej przepraszał, i z powrotem dopiero musiał Wigilią i Święta Bożego Narodzenia razem z nimi przepędzić, do domu bowiem przybył ledwie 28 (16) Grudnia.

W roku następnym (1852) odbył powtórna podróż do Odessy, którą obszernie w listach do Gazety Warszawskiej opisał.

Puścił się w drogę d. 22 Czerwca, „nie żegnając nikogo, oprócz swojej słomianej strzechy“, bo się wybrał z całą rodziną,



J. I. Kraszewski (z r. 1851).

ki
na
po
L
w
te
se
ja

na
ab
si
de
oi
de
to
ca
si
ju
i
ob
ni
gl
so
P
ti
es
tu
in
W
te
oi
I
n

za
ve
po
re
w
L
ro
z
s

która po drodze zostawiwszy w Kisielach, sam na Beresteczko, Kozin, Krzemieniec, Jampol, Starokonstantynów, Koźnin, Krasilów, Lanckoroń, po-pod Kamieniec, udał się wprost do Rychty, miejsca pobytu Konstantego Podwysockiego, którego tak kochał serdecznie, a do którego, prócz uczucia przyjaźni, wabił go i ów sławny zbiór rycin.

„W chwili, gdym trochę zbłądziwszy, już zaczynał rozpaczać o dojechaniu do Rychty, zdając się uciekać przede mną, spuściłem się z wysokiego wzgórza, i przepysny widok uderzył moje oczy. Nie miałem już odwagi zamknąć się w powozie: szedłem dalej piechotą. Wielki krajobraz Podolski rozścielał się w dali przede mną, sinemi kończąc się łaskami i wzgórzami. Bliżej pod górą, z których tu i owdzie sterczały skały, błysnął, wijący się malowniczo, czysty i żywo pędzący Żwańczyk. Gdzieś tam okalały go pagórki, obrośnięte korzeniami, to znów nagie urwiska i siwe ściany kamienne, gładkie i prostymi zakończonymi liniami. Na przeciwnym wysokim brzegu, na stromym, sięgającym górze, za rzeczką, podparty skałą, przypominającą te, które okalają Kamieniec, tuż pod wsią szeroko rozrzuconą, stał zameczek, ze starymi basztami po rogach, którym tylko łączącej je dawniej brakło kortyny, by jeszcze dziś mógł nazwać się forteczką. W pośrodku sama budowa mieszkalna, w literę T zbudowana, siwa trochę i zgarbiona, zdawała się zamysłona oglądać w rzekę... Ale pocóż u licha ten opis? piękne miejsca widzieć potrzeba,—one się nie opisują“....

„Mozolnie wdrapawszy się po skałę, przez most, ku zameczkowi wiodący, wszedłem piechotą w dziedziniec, i po dziesięciu latach... spotkaliśmy się, z uczniem oglądającym ku sobie, ile też nas te nielitościwe lata zmieniły“.

„O życie, życie! tak z nim częstokroć nie lekko, a tak żal przebytego! Próżno podnosim oczy ku innemu, obiecane życie; i ta pielgrzymka wiąże serce, a ku zachodowi jej tak nam dziwnie tęskno za drogą, na której zranił się nieraz stopy“.

„Jeśli wyrzekł się odmalowania pejzażu, tym bardziej wyrzec się muszę wywołania uczucia—byliśmy radzi, szczęśliwi, weseli“.

Przytoczyliśmy ten ustęp nieco przydłuższy, w przekonaniu, że zrobimy przyjemność czytelnikowi, odświeżając w jego pamięci przypomnienie tego człowieka, który niegdyś był mu tak drogim, i uroczył jego siedzibę, która się mu tak bardzo podobała.

Przepędziwszy dni kilka w Rychcie, i obejrzawszy zbiory p. Hołowińskiego, w których

znalazł nie mało rzeczy bardzo rzadkich i ważnych, a szczególnie obfity oddział Świętych krajowych i niektóre zbiory królów, puścił się dalej na Kamieniec do Odessy.

„Opóźnienie (pisał w Gazecie) zmuszało mnie tylko przelecieć przez Kamieniec, spiesząc do kąpieli. Niepodobna jednak było nie podziwiać piękności oryginalnej tego miasta, siedzącego jakby na umyślnie wy-ciosanym skalistym podłożu. Kamieniec, oprócz tego położenia malowniczego, ma jeszcze tyle ruin i pamiątek przeszłości, aż się od nich trudno oderwać, a natura takim tu była artystą, oszarpując dokoła skały.“

„Zdaje mi się, że całe album bardzo zajmujące można by utworzyć z różnych widoków Kamienca, tyle tu rzeczy godnych ołówka. Widziałem samych ruin i gmachów niektórych zajmujące rysunki Księcia Jeremiasza Woronieckiego, niezmiernie warte wydania. Są to szkice, ale z wielkim uczuciem i dokładnością rzucone; żał, żeby w ręce amatora pozostać miały“^(*).

„Wieczorem, po wędrówkach dokoła miasta, spocząłem, kołysany piękną muzyką na koncercie panny Christiani, sławnej wiolonczelistki“.

Z Kamienca, kołmi najętymi u żyda do własnego powozu, z balagula, dalej pociągnął najbardziej malowniczym pasem Podola, przez Szatawę, Maków, Zamechów, Mińkowce, Letniówce, Kuryłowce Murowane, Jaryszów, Mohylów, Tulezyn, Obodówkę i Czeczelnik, a dalej Balte, Kodymę i step Tatarski do Odessy, gdzie stanął dnia 27 Lipca, a przez żyda, powracającego do Kamienca pisał do Podwysockiego: „Drzewieckiego nie zastałszy, ułokowałem się fatanie i drogo w *Parzykim hotelu*. Przejechałem w istocie śliczne Podole; ale co wy mówicie o górach? ani jednej niema góry; robicie sobie illuzję i swoje głębokie jary, w które po skałach spuszczać się i z nich wydrapywać trzeba, zowiecie pompatycznie górami. Nie godzi się tak fantazjonować. Do tej pory Podole uchodziło za góryste, ja mu te słowa odbiorę, *si gloire il y a*. Dojechałem dość zdrowszy, porządnie zmudzony, i gdyby nie twoje *Revue de Paris*, tobyś

(*) Pozostały; ale natomiast fotograf Kamieniecki, p. Michał Greim, ułożył piękne album fotograficzne, w którym na trzydziestu dużych kartonach zdjęte są widoki z różnych stron tego miasta, oraz najcenniejszych gmachów i ruin, do czego dołączając krajo-brazy jego okolic, oraz widoki Żytomierza i Kijowa, składa je w upominek jubileuszowym Kraszewskiemu.
Przyp. autora.

był na szabasie zginął, bo szabas odbywał się w Balcie. Pomimo piękności Podola i Makowskich ulic swierkowych, i różnych innych wdzięków, taki Rychta bardzo ładna, ładniejsza niż ci się zdaje, oryginalna i ma swój wdzięk właściwy. Mohylów przesłizny; piękne i owo miasteczko Marchockiego (Minkowce), ale i Rychta piękna, a może od nich piękniejsza“.

W miesiąc później znowu pisał do tegoż przyjaciela, pocieszając go po stracie Germana Holowińskiego, i donosząc między innymi: „Kiedy powrócę, nie wiem; każą mi się kąpać dopóki będzie można tylko, do 15 (21) Września tu posiedzę, ztąd pojedę w Konstantynowskie, a ledwie 1-go Października będę w domu, i już ciebie czekać, drogi Konstanty. Tylko mi przyjedź, proszę! rozewiesz się trochę u mnie; a choć moja słomiana strzechy, to nie twój zanek, musi ci być dobrze; o! bo oboje dolożym starania, żeby ci było wygodnie, i zaciszno, i spokojnie; tylko przyjeżdżaj!“

„Odessa pusta, zimna i nudna, i bardzom się na zły rok wybrał z kuracyą moją, ale cóż robić? kąpie się, choć w zimnie, kąpiele mi pomagają wiele i nie mam wiary, żeby mi pomódz miały, a nawet na gardło mi gorzej trochę w ogóle. Wojałbym był brać kąpiele u ciebie, w twoim Zwańczyku na skalach, i siedzieć z tobą razem; ale gdzie taka ludzka dola, żeby jęć jak rdza nie jadła tęsknota? Mój drogi! przyjedź ty do mnie! Jeśli się znowu rozjeżdżamy dalej, kiedyż to Bóg da twoję poczeiwą dłoń uścisnąć? A takie chwile w życiu—to drogie wspomnienia, to kropelki rosy na zeschłej trawie“.

A jednak i w Odessie nie zhywało na ludziach, niejących go uczyć i ocenić, garścących się całym sercem do niego i starających się uprzyjemnić mu jego pobyt w tym mieście. Między innymi Dobrowolski Adolf, krzemieneczanin, żonaty z siostrą Karola Sienkiewicza, głośny swojego czasu plenipotent dóbr massy Radziwiłłowskiej w Nieświeżu, ten sam, w którego kancelaryi pracował niegdyś Syrokomla, i który-to Zamowi sprzedał za dwa złote folwark Kochaczyn,—człek nieporównanej zaerności, wówczas bankier, na wielką skalę prowadzący handel zbożowy; dalej Jan Sowiński, szwagier Korzeniowskiego, filolog i pedagog niepospolity; Alexander Wicherski, muzyk, malarz i poeta; Blumenfeld, również pedagog, bardzo miły, zacny i pięknie ukształcony człowiek, i wielu innych.

O Blumenfeldzie pisał Kraszewski do Podwysockiego: „Poznałem się z Blumenfeldem,

którym niech Bóg płaci za ich serdeczną gościnność, bo mnie karmił i jadłem, i książkami, i bardzo, aż do zbytku, są dla mnie dobrzy, ze swoim pewnie utrapieniem, bo nieraz im ten gość doknuć musi. Ale tu tak pusto, tak jakoś zimno, że do kogoś potrzeba się uciec i pod czyjeś schować się skrzydło. Lękam się tylko, żebym im nie był zawadą“.

Wszelakoż za powrotem pisał do ojca: „W Odessie byłem bardzo przyjmowany, choć się nie dawalem. Był wielki wieczór i wyprowadzenie z poehodniami przez uczniów Liceum, a potem znów wieczór na pożegnanie, na którym Polaacy, mieszkający w Odessie, ofiarowali mi piękny mój portret, malowany przez Chojnackiego. O innych, mniejszych grzecznościach, nie wspominam. Był czas, kiedy to wszystko byłoby mnie bawiło i cieszyło, ale teraz jakoś mi się smutno robi, patrząc na to; bo często brzydkie myśli przychodzą.“

Ow balagula Kamienniecki, z którym Kraszewski szabasował w Balcie, tak się mu był podobał, iż uprosił Podwysockiego o przysłanie go z koni do Odessy, aby z nim i do domu powracać, i stało się według jego żądania, lecz się źle stało. Powrót ten był przypadł w święta żydowskie, skutkiem których musiał dłużej nad zamiar przesiedywać w Odessie, a potem przeczekiwać je w Ananjewie i w Tulczynie, gdzie na dobitkę okradziono go na sto kilkadziesiąt rubli, odbiwszy w noc walizę u powozu i zabrawszy z nięć piękny dywan angielski, odzież, bieliznę i dużo fraszek.

Dla mnie jednak mitrega ta w podróży Kraszewskiego stała się źródłem jednę z największych przyjemności w mem życiu. Mieszkalem wtedy o sześć mil od Tulczyna i zawiadomiony od niego przez gońca umyślnego, że musi w tym miasteczku trzy dni przepędzić, ruszyłem tam natychmiast, aby poznać tego człowieka, z którym już od lat sześciu korespondowałem, który był moim mistrzem i ojcem z ducha, który zachęcał mnie i wspierał zyczliwymi radami, używając miejsca dla pierwszych moich próbek w „Athenaeum“, gdzie wydrukował *Spośród Dzieciobójców*, *Goście z grobu*, *Zarazę* i kilka ramot, i który wreszcie nie odmówił poparcia dziecinemu zamiarowi mojemu wydawania pisma zbiorowego, i nie tylko dał mi do niego śliczny swój *typ* p. t. „Stary szlachcic“, ale nadto przekazał wszystkie materyały, od „Athenaeum“ pozostałe.

Nie posadzą mnie czytelnicy, że piszę to dla próżnej chluby; cel ten dalekim jest odemnie, bo choć i wtedy uważałem, i dziś uwa-

zam spotkanie to i przyjęcie, jakiegom doznał, za wielką chlubę, nie z niej wszakże sobie nie przypisuję, a nawet i podówczas nie przypisywałem. Piśzę zaś to tylko dla tego, aby dać poznać jeden z najpiękniejszych rysów charakteru tego znakomitego meża, mianowicie zaś, niezrównaną jego uprzejmość, skromność, dobrośliwość, i onę umiejętność zniżania się do pojęć i usposobień towarzystwa, z jakim przestaje, o której jużem wyżej wspominał.

Biegłem do niego z sercem niespokojnie bijącym, pełnem trwogi obok radości niewymownej, bom się czuł wobec tego olbrzyma tak maluczkim i tak nie nieznającym, że nawet nie wiedziałem, czy się ośmielić przy nim usta otworzyć, aby mu całą wdzięczność i cześć swoje wynurzyć. A tymczasem znalazłem w nim jakby starego znajomego, jakby pocziwego koleżkę, tak, iż zdalo mi się, że nie tylko te lata, odkąd z nim zawiązałem korespondencję, ale odkąd jeszcze na szkolnej ławce jego pisma czytać zacząłem, przeżyłem z nim pod jednym dachem, bliźniutko przy jego sercu.

A tak dalece swą uprzejmość posunął, że kazał mi nocować w tymże, co on, zajeżdźcie w jednym z nim pokoju, gdzie przy łóżce, gorejącej przez całą noc, (bo skutkiem nerwowego usposobienia, Kraszewski nie mógł wówczas sypiać w ciemności), gwarzyliśmy do godziny drugiej za północy, wszystkiem, cośmy mieli na sercu, co nam tylko na myśl przyjść mogło. Zamilkł wreszcie. Sądziłem, że już zasnął; lecz po dłuższej chwili znów się odezwał, a ze słów jego zmiarkowałem, że milczenie owo było podstępem; mówił bowiem o coraz się powiększającym szeregu dusz kochanych, które, w miarę, jak człowiek dalej w życie chodzi, opuszczają go na tej drodze, znacząc się grobami, tak iż świat coraz większą pustką się staje, a pacierz za umarłych o raz to dłuższym.

Następny dzień prawie cały spędziłem w pałacu Potockich, pustką wówczas stojącym, gdzie tylko w jednej izbie ogromnej, lankowych sklepieniach i oknach kratowanych, przemieszczał Franciszek Kowski, ówczesny Moliere, autor „Wspomnień“ ciekawych „Tymona“, i bardzo dowcipnych „Frańka“, zajmujący się wtedy porządkowaniem miejscowego archiwum i biblioteki,—w oficy zaś rezydował Józef Głuziński, rzadca generalny, znany z dzieł swych agronomicznych. Obaj ci ludzie, którym, a zwłaszcza dwulkiemu, nie brakło wyższego ukształcenia umysłowego, byli to oryginały w swoim rodzaju, facecyoniści, jak to onego cza-

su nazywano, pełni wesołego humoru, nieprzebrani w conceptach, przypowieściach i anekdotach dowcipnych, szczególnie przy kielichu starego miodu lub węgryna;—zdawałoby się, że Kraszewski nie będzie umiał nastroić się do ich usposobienia; a jednakże i w to potrafił, i tak baraszkował z nimi wesoło, i tak szczerze śmiał się z ich dowcipów starszylacheckich, jakby już korzec soli zjadł z nimi. Po obiedzie zaś, na który p. Głuziński był nas zaprosił, słuchał pensjonarskiej gry na fortepianie jego córki, z cierpliwością i poszanowaniem do brych intencji.

Oglądaliśmy całe wnętrze pałacu, galeria obrazów, zbiór numizmatów, bibliotekę it. d.; ale najwięcej czasu zabrało nam bogate archiwum, które później dostarczyło Kraszewskiemu materiału do „Starościńy Belzkiej“ (Gertrudy Komorowskiej).

Nie mogę też i tego pominąć, że zawdzięczając uprzejmość Jana Sowińskiego, z którym się zaznajomił w Odessie, a którego brat, doktor, mieszkał w Tulczynie, nie zaniedbał też i jego domu nawiedzić, jakkolwiek mu było wiadomo, że gospodarz był nieobecny; bo zarówno i z ojcem jego żony, światłym i utalentowanym muzykiem. Nowotnym, spotykał się w Odessie i miał dla niej pozdrowienie od niego, a przy tem cenil, pięknie się zapowiadający, talent malarski brata jej, kształcącego się podówczas w Rzymie.

Tegoż dnia, po odejściu świąt żydowskich a zachodem słońca, puścił się w dalszą drogę na Braclaw, Niemirow, Winnicę, Lityn i Staro-Konstantynów do Kisiel i Hubina.

Ostatnią wreszcie nieco dalszą wycieczką z Hubina była 4 Czerwca 1853 roku do Romanowa, dla pocieszenia osmucionych rodziców po stracie naraz matki i córki.

Pozostaje nam jeszcze zanotować utwory Kraszewskiego, które w tej siedzibie powstały, o ile o nich w jego listach napotkaliśmy wzmianki.

Tu przez trzy jeszcze lata prowadził dalej uciążliwą redakcję dogorywającego „Ateneum“, ztąd czas jakiś pisywał do „Tygodnika Petersburskiego“, do „Biblioteki Warszawskiej“; ztąd też w roku 1851 rozpoczął korespondencję do „Gazety Warszawskiej“, która przez ośm lat wielkie swe powodzenie przeważnie jego współpracownictwu zawdzięczała. Tutaj w roku 1849 napisał powieść „Pan i Szew“, „Ostrożnie z ogniem“, oraz dokończył „Dziejów Litwy“ i „Panowania Witolda“.

W r. 1850 w Marcu donosił Podwysockiemu: „W tej chwili nie prawie nowego

prócz „Historyi sztuki“ nie mam na warsztacie, a to idzie powoli, powoli, a ostróżnie a mozolnie nad wyraz; z drobnych-bo bardzo okrucichów duże lepiej domowstwo, a jeszcze mi i o piękność jego chodzi. Pracuję nad niem *con amore*, jak nigdy.“

„Mam myśl nowęj powieści, w rodzaju „Latarni“. Stan naszych prowineyi co chwila to się mieni, trzeba go przedstawiać tak, jak jest. Tytuł ogólny odpowie najpospolitszej u nas wadzie,—nazwę powieść: „Komedyaneci“, — bo któż dziś u nas nie gra trochę komedyi? A zaostrzę pióro, jak nóż.“

„Rzuciłeś mi myśl do trzeciej części „Ostapa Bondarczuka“, którą zapewne pochwyć; ale nie będzie to odbicie pierwszej części.“ Przypuszczamy, że tą trzecią częścią być musiał „Hryc Soroka“ napisany w rok później. Do roku zaś 1845 należą: „Tomko Prawdzie“ — ostatnie słowo onych studyów filozoficznych, któremi się lat parę tak gorliwie zajmował, nazwany przez autora w liście do Podwysockiego waryacką powiastką, „Komedyaneci“ i „Ostatni z Siekierzyńskich“, poświęcony Syrokomli na pamiątkę jego pobytu w Hubinie, oraz „Kordecki“, jak się przekonywamy z listu do Podwysockiego z dnia 27 Września v. s. „Mimo choroby, a raczej dla tego, że choruję, żeby się zadurzyć, piszę, a piszę. W tej chwili dokończywszy „Komedyanatów“ (nie zapominajmy, że w Marcu pisał zaledwie o powyższym świeżo pomyśle do nich) i „Siekierzyńskiego“, siadłem do „Kordeckiego“ Co za przedmiot! Już tom I napisałem i zapalałem się do tej wielkiej postaci i sceny ogromnej. Jak temu podołać, to drugie pytanie. Są i inne projekta, ale kto da siły, kto da wytrwanie, którego się zaczyna przebić, tak czując czas i potrzebę spoczynku!“

W korespondencyi z roku 1851 nie spotykamy wzmianki o nieczem nowem, wiemy jednak, że w tym czasie powstały: „Hryc Soroka“, drukowany w Bibliotece „Warszawskiej“, a w r. 1852 przerobiony i w całości wydany p. t. „Ładowa pieczara“, i „Stary sługa.“

W roku 1852, dowiadujemy się o „Złotém jabłku“, „Interesach familijnych“ i „Dyabla“, o których tak sam autor pisał do Podwysockiego: „Złote jabłko, jakkolwiek lekkie i głupie sobie, przedstawiać miało *autant que faire se peut*, stan właścicieli ziemskich i ich kłopoty. At! dobrze się pośmiać, gdy się plakać sprzykrzyło. Co się tyczy „Interesów familijnych“, w tych chciałem przedstawić: czem był wiek XVIII w „Kaszubianin“; jak zło jest zaraźliwe

—w „Jasku; co za stworzenia zaludniają u nas sądy — w Sobackim. Te trzy typy są główne. Wreszcie chciałem rozmaitości charakterów i obrazków.“

W końcu Grudnia dopiero donosił że pisze „Dyabla“ dla Gazety Warszawskiej, o którym w Marcu następnego roku znowu wspominał w te słowa: „napisałem powieść z czasów Stanisława Augusta. Boję się, co o niej powiecie. Na biedę, gdy ją pisałem, to mi materyałów brakło, a dopiero teraz dostałem tak wyśmienity, że gdyby można, to bym gotów całą rzecz przerobić; ale Lesznowskiemu już *Dyabla* i san dyabeł nie wydrze.“

Rok 1853, a przynajmniej w pierwszej swojej połowie, nie mógł być produkcyjnym dla Kraszewskiego, musiał w nim bowiem puścić Hubin w dzierżawę, kupić dom w Żytomierzu, odbyć podróż do Romanowa i przesiedlić się na nowe miejsce, co wszystko razem zawiele nastęczało kłopotów i trudów, aby mógł przy tém mieć czas i ochotę do literackich zajęć.

Z Hubina wyjechali państwo Kraszewscy pierwszych dni Lipca, ale się zatrzymali w Kisielach u pani Urbanowskiej, chcąc przeczekać panującą podówczas na Wołyniu cholere. Dopiero w połowie Sierpnia v. s. sam Kraszewski ruszył ztamtąd do Żytomierza, gdzie zaledwie w drugiej połowie Września nadejściem całą rodziną.

Jakkolwiek na wsi nie mało trosk i kłopotów zaznał Kraszewski, wszelakoż z bólem serca ją żegnał i wspomnieniom jej cały poemacik poświęcił, z którego kilka strofek bierzemy dla zamknięcia tego okresu jego życia:

Mnie żal mój staryj wioski, jak starego świata,
Zorawi moich studni, płotów z chrustku tkanych,
Gdzie z przyzbą białą, czarną śmiała mi się chata
W ogródku z wisien niskich i bzów roszczochranych

Żal mi i ludu tego, co z nami żył w parze,
Sercem przy sercu naszym, z dłonią w naszej dłoni!..
Żegnajcie starzy moi bracia gospodarze!

Cześć waszym sercom czystym, waszój siwój skroni!

Żegnaj mi dworze, wiosko, pola i ementarzu,

Ludu pożeży i ziemio pożeżywa,

Ty krzyżu, opiekunie stary i włodarzu,

Stary dębie, schyłona brozo, wierzbo krzywa,

I oezko jasne, świecące w pierścioniu,—

Stawku, drzemiący w drzew chłodzie i cieniu!

Nigdy się nigdy nie zobaczymy więcej!

Tylko wasz obraz, w mój dusy wryty,

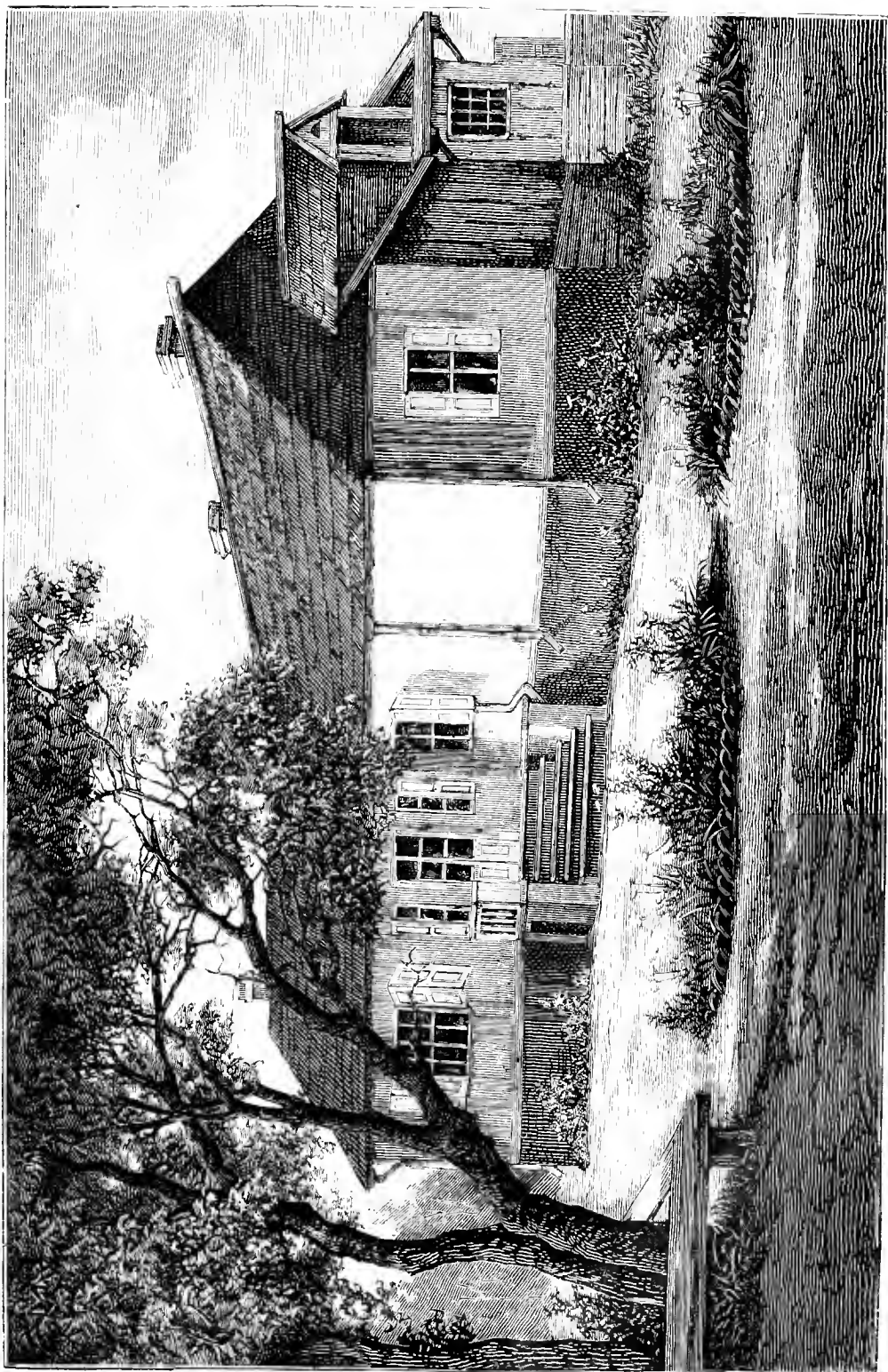
Jak obraz matki na duszy dziecięcej,

Pójdzie, gdzie pójdzie, pójdzie niezabyty,

A w śmirei chyba godzinie

Z ostatnią łzą mi wypłynie!

Pierwsze wrażenia w Żytomierzu, dla obójga państwa Kraszewskich, przyjemnem



Dom niegdys J. I. Kraszewskiego w Żytcmierzu.

wcale nie były. „Siedzim w naszym domku (pisał do brata Kajetana w Listopadzie) oboje po troszku chorując, na pustyni, a w zgiełku, — w ciągłych ludziach od rana do wieczora, tak, że się opędzić trudno, a w obczyźnie. Ja ledwie znajduję czas co napisać, ledwie mogę co zrobić, a męczę się okropnie! Zofia nie mniej utrapiona; ale to dopiero początki, — jakoś to się ureguluje“.

To uregulowanie się jednakże przychodziło nie łatwo, a coraz nowe przybywały kłopoty: trzeba było myśleć o wychowaniu dzieci; szukać dla nich nauczycieli i, towar ten sprowadzając z daleka, a targując jak kota w worku, doznawać nieraz niemiłego zawodu, trafiawszy na próżniaka, nienka, lub jakiego mrwisa.

Dla stosunków serdecznych państwo Kraszewscy w Żytomierzu mieli z razu tylko jedyny dom państwa Komornickich i pani Steckiń, towarzyszki lat młodocianych pani Zofii w Horodcu, zanim się bliższe zawiązały stosunki z nieco większym, lecz zawsze ciśnień kółkiem poufalszych znajomych.

W jesieni 1853 roku wielce się ucieszyli przybyciem pani Urbanowskiej, która, Horodec wypuściwszy w dzierzawę, dla nich głównie postanowiła zimę w Żytomierzu spędzić.

„To jedno (pisał Józef do Kajetana) cokolwiek nam robi miasto znośniejszem; reszta tłum obcych, tłum cudzych. Żytomierz — pustka wielka, dla literatury i sztuki — wygnanie; myśl tu się nieźle nie zaprzęta, a karty w wielkiej modzie. Ja życie wiode, a raczej wieść chcę, jak na wsi, ale nie umiem, — gości pełno. W tej chwili jest tu i Wicherski, (Alexander, z Odessy), który twoje Bogarodzieę przeglądał, i *dziwował się jak kum kumie, że tak ślicznie pisać umie*“.

Nie długo wszakże pani Urbanowska osładzała państwu Kraszewskim przykre początki te pobytu w Żytomierzu. W Styczniu 1854 roku już pan Józef pisał do Romanów: „Dotąd nie miałem ani siły, ani czasu uwiadomić rodziców o nieszcześciu, jakie nas spotkało; o stracie pani Urbanowskiej, która dla Zofii, dla nas obojga, była drugą matką. Luniewski, którego tu Pan Bóg zesłał, żeby nam w tej nędzy pomagał, napisał obszerniej, ja nie mogę; chory byłem i bardzo jeszcze niezdrow jestem; Zofia jak cień chodzi. Cośmy wycierpieli przy dwukrotnem jej konaniu, przy chorobie i po zgonie, Bóg jeden policzył. Okropna to była choroba i śmierć, bo biedna święta nasza straszliwie się męczyła! We czwartek przed Nowym rokiem nareszcie była chwila,

w której się wszystkim zdało, że po przyjęciu św. Sakramentów i pobłogosławieniu nas skończyła. Szarytki, będące przy niej, oczy jej zamknęły, zastygła; ja chciałem wyprowadzić żonę, gdy nagle wróciło życie i nadzieja. Ale na to tylko, żebyśmy na drugie, prawdziwe już konanie patrzyli w niedzielę rano. O pół do piątej jeszcze przyjechała ode mnie ostatnią łyżeczkę lekastwa, a o kwadrans na szóstą już nie żyła! Ja dostałem długiego serdecznego śmiechu i położyć się musiałem po nim, a jeszcze i dziś czuję ból w sercu. Tak się nam zaczął rok 1854, niedobry, ciężki, smutny. Zofia tak ciągle płacze, że jej listu tego dawać nie chcę, bo znowu-by płakać musiała, biedna, a tak strasznie zmieniona i wycieńczona! Bardzo — bośmy teraz sieroty, bardzo sieroty!“

W ślad za tem zaczęły się dla Kraszewskiego bardzo ciężkie kłopoty majątkowe: ostatnią wolą nieboszczki Urbanowskiej, która posagowe swe dobra, Kisiela i Pisarzówkę, przekazała trzem swoim siostrzenicom, t. j. pani Stachowskiej, Bratkowskiej i Kraszewskiej, dla dalszych krewnych zostawiając na nich legata, było: aby państwo Kraszewscy swych współsukcesorów splacili, a sami przy Kisielach zostali; należało więc starać się o pieniądze dla szwagrów, którzy ich niezwłocznie potrzebowali, i zająć się podziałem spadku, co wszystko prowadziło za sobą i zgryzot, i mitręgi nie mało, zanim się ostatecznie interesa uregulowały. Spadek zaś ten, którego *część najczystsza*, jak o nim Kraszewski się wyraził, stanowiły *tyż gorzkie, utrapienie i smutek*, powiększając jego fortunę, w dwójnasób mu przyczynił długotrwałych ciągłych kłopotów; bo dla zaspokojenia swych współdziedziców nie tylko musiał w banku i u ojca się zapożyczyć, lecz nawet pani Zofia sprzedawała swoje klejnoty, żeby niścić się z wszelkich legatów.

Na urzędzie Kuratora honorowego szkół w tem tryenium Kraszewski zatwierdzony nie został, czem się wcale nie zmartwił, we trzy bowiem miesiące po wyborach uskarżał się Podwysockiemu na ten zaszczyt, o który się bynajmniej nie ubiegał; gdyż na osiedlenie się w Żytomierzu sześć tysięcy rubli wydawszy i na utrzymanie się w mieście potrzebując wiele wykladać, z trwogą myślał o nowych kosztach, jakieby z obowiązku swego musiał ponosić. I bez urzędu wszakże ze szkołami ciągle miał styczność, w pierwszym już roku pobytu w Żytomierzu starszego syna do gimnazjum oddawszy, a młodszego do wstąpienia tamże przygotowując.

Ztąd też i tryb domowy życia stosownie się ułożył,—„sam przez się stał się miejskim, (tak go opisywał w liście do matki) bo nasz student powraca w pól do trzeciej z klasy, więc wstajemy nie rano; o 8-jej—9-jej herbata, o 12-jej do 1-jej śniadanie dla dzieci, około 3-jej obiad, czasem później, około ósmej herbata, i już potem do 10—11 siedzimy razem, a potem czytanie, pacierze, i tak do północy lub później. Ja mniżej piszę a więcęć bywam w towarzystwie, choć go unikam; mniżej mam czasu na literackie zajęcia, a oprócz tego maluję niby i gram. Znajomości porobiło się nadto; ale w świecie my mało bywamy, Zosia zaś mniej jeszcze ode mnie. U nas za to ludzi dosyć, co wieczór na herbatcie ktoś miejscowy lub przyjezdny. Żytomierz zresztą spokojne, parafiańskie miasteczko; okolica przesieczna! nie u nas w kraju nie widziałem piękniejszego. Nasz dom w środku miasta, a w katku i w ciszy,—od ulicy ogródek go oddziela“.

Muzyką w owym czasie z wielkim zamiłowaniem zajmował się Kraszewski. „Grywam więcęć niż kiedy (pisał w Grudniu 1855 do brata Kajetana) ełagle na cztery ręce z fisharmoniką i fortepianem, co regularnie idzie. W ten sposób z Czapkiem (był to nauczyciel muzyki w Żytomierzu, Czech) układamy sobie śpiewy Mendelsolna Bartolda, Sonaty Beethovena i t. p. Są umyślnie tak pisane niektóre rzeczy. Twoje *Duo* często się powtarza; ale gdybyś co dłuższego i wyraźnie napisał dla mnie na fortepian i na fisharmonikę, wielkabyś mi zrobił przyjemność“.

Często też w listach Kraszewskiego z tego okresu do pana Kajetana spotykają się o muzyce różne uwagi, z których choć parę powinniśmy przytoczyć, dla zaznajomienia czytelników i z tą stroną jego zdolności i upodobań.

Oto są one:

Z dnia 28 Marca (9 Kwietnia) 1855 roku.: „Spieszę ci, koehany Kajetanie, podziękować za twoję przesyłkę nut, która mi wielką zrobiła przyjemność. Odebrałem ją w łóżku, bo dostałem był rodzaju febry artrytycznej, a tēm więcęć mnie ucieszyła, że nie miałem nowego ani do grania, ani do czytania. Wstałem tegoż dnia i rozpocząłem od twego fragmentu na fortepian, który mi się niezmiernie podobał,—już go prawie umiem, i śpiewa mi w uchu. Ślicznie napisany. *Duo* także wyborne, a z reszty najlepszym mi się zdaje mazurek: *Pewnie ludem są twe oczy*. Słowem, nabawiłem się i toba, i portretem Szopena, dla mnie nieznanym; i *Preludya*, które są szalenie tru-

dne czasami, ale wszystkie cudne! Gdzie ten człowiek brał formy i myśli? z kąd mu one płynęły?“

Z d. 24 Marca (5 Kwietnia) 1857 r. „Trio twoje graliśmy kilkakrotnie tn i zawsze z równą, a nawet coraz większą przyjemnością. Ostatnią część, fugato, znawcy bardzo cenili wysoko, bo ma i surowość formy, i trzeźwość, a rozwinięcie i wdzięk, który w tej sukience rzadko chodzi. Pierwsza część wdzięczna, ale może za mało rozwinięta,—należałoby ją obszerniej traktować. Co się tycze fisharmoniki, trzeba na niej unikać siekanego akkompaniamentu i nut odrywanych, choć rzadko, dla kontrastu, i to się użyć może. Teraz, w ezasie już trzytygodniowego pobytu u nas Apolinarego Kątskiego, ciągle muzyka, przez dzień, lub codzień... Kwartet szczególniej Mendelsolna króluje; grano tu jego *Duo*, *Trio* (forte-pian zwykle i wiolonczella). Kwartet na rznięte instrumenta i drugi z fortepianem; *Trio* Beethovena, kwartet tegoż (dzieło 18). Kątski w exekucyi klassycznej nieporównany, Buddeus (forte-pianista) wyborny, wiolonczella, Stephens z Petersburga, wyborny także. Ciągła więc muzyka i nauka. Wczora było Trio na 1-e Preludyum Bacha, zrobione przez Gounoda: fortepian, skrzypce i organek, to jest Buddeus, Kątski i ja. Poszło wybornie! Oprócz tego duetów, to jest układan na organek i fortepian, arecydziel starych, ciele stosy. Posprawadzałem co tylko gdzie było i mam co grać. Twoje *Duo* między innemi także przychodzą często... gdyby były wyraźniej pisane!... Ale ja je czytam, a inni ślepią i nie mogą. Za drobny, Szopenowski masz charakter muzyczny“.

Z d. 27 Stycznia 1857 r.

„Posyłka twoja ucieszyła mnie jak dziecko, ale kiedy spróbuję to *Duo*, nie wiem; na to trzeba zdrowia trochę. Próbowałem mi go Moczulski, słuchałem z daleka, leżąc w łóżku,—śliczne! *Larghetto* piękne, ostatnia część rozumna i wysokiego stylu; ale reszta, gdy sam zagram. Ja i Zosia za dedykacyą dziękujemy serdecznie, serdecznie!... Obiecuję sobie z niego wiele rozkoszy, bo twoje kompozycye na prawdę są więcęć, niż mo braterskiemi dla mojej duszy: coś w nich czuję swojego, wiem, że gdybym umiał, takbym a nie inaczej pisał“.

Z d. 28 Stycznia 1858 r.:

„Otwieram list, już zapieczetowany, aby ci powiedzieć, że pięć razy z rzędu graliśmy poważne i pysznie napisane twoje 4-e *Duo* i Czapek niezmiernie je wychwalał. Są nowe efekta całkiem, i nawet szóstki dwa razy wiązane dobrze idą, ale basy się

podwaja, żeby wychodziły. Oryginalne jest to, co, w *Re* major przeszedłszy, piszesz na dwa instrumenta. Faktura śliczna, ale, niestety! krótkie to bardzo, choć bardzo piękne. Wyjście potem śpiewu, który dwa razy się powtarza w *Si* bemol, bardzo majestatyczne; w ogóle całe *Duo* ma poważnego coś i wielkiego w sobie; jakby stary ktoś pisał; a po nim grając Beethovena *Grand Trio* Op. 3, aniśmy uczuli różnicy stylu—to dosyć będzie dla ciebie, jak sądzę“.

Z wyjątkiem onej wielkiej fety muzycznej, którą, dzięki Kątskiemu, w roku 1857 przez cały się miesiąc raczył Kraszewski, pospolicie akkompaniatora do ulubionych swych organków miał najchętniej we wspomnianym już Czapku, albo w panu Mozulskim, jednym z ukształceńszych młodych obywateli z okolic Żytomierza (z Diwoczek) z którym się zaprzyjaźnił, bądź też w imienniku swym, panu Włodzimierz Kraszewskim.

Rok 1856 nowe zmiany w życie Kraszewskiego wprowadził. W Maju zjechało się obywatelstwo Wołyńskie na Wybory do Żytomierza, i Kraszewski, stale już zamieszkały w tém mieście, uchylić się od udziału w nich nie mógł. Musiał nawet przyspieszyć swój powrót z Romanowa, dokąd wraz z żoną tego roku jeździł w gościnę i dokąd też państwo Lueyanowstwo przybyli; na pamiątkę zaś tego zjazdu familijnego, na którym po raz pierwszy, po dość długiej rozłące i rozproszeniu, wszyscy trzej bracia wraz z żonami w jedno się rodzinne kółko zebrałi,—napisał i poświęcił braterstwu piękną legendę „Stary Zamek“, ogłoszoną w „Tece Wileńskiej“.

Spieszył zaś przedewszystkiém dla dogodzenia ojeu, który koniecznie chciał go widzieć na urzędzie obywatelskim. To też nibawem po powrocie, 31 Maja (12 Czerwca) pisał do p. Kajetana: „Dziś rano, podniesiony na ręku współobywateli do koła marszałkowskiego z okrzykiem, obrany zostałem znowu, jednogłośnie, kuratorem szkół, i pracuję nad formularzem moim do potwierdzenia, co trudniejsze do napisania od czterotomowej powieści, bo tu istotnie z niczego trzeba coś stworzyć. Może będę, a może nie będę potwierdzony, Bóg to wie; ale wiem, że toby przyjemność ojeu zrobiło i zobowiązałem się obierającym, że o potwierdzenie starać się będę. Od przyjazdu chodzę w mundurze (obywatelskim) i tak mi śmiesznie, jakby do szkół powrócił.“

Potwierdzenie nastąpiło nierychło, bo załedwie przy końcu Stycznia roku następnego, *de facto* wszakże już się urzędowanie

rozpoczęło, a z niem jeszcze więcej stosunków i przeszkód w pracy Kraszewskiemu przybyło. „Rodzaj życia, jaki tu prowadzimy (pisał w Grudniu 1856 do Kajetana) jest nieznośny. Od rana do wieczora w moim pokoju jarmark i, jak stara prababka mówiła, *Zarwańska ulica*. Robota się dziesięć razy przerywa w pięciu wierszach, a człek, słuchając głupstw cudzych, sam głupiej: wieś lepsza do pracy, a ja do niej stworzony jestem; miasto wielkie—ma resursa, male—jest wielką lichotą. Ludzie tu poczciwi, nie przece; ale i z najlepszych ingrediencyi można zrobić niesmaczną potrawę, świadkiem nasz *Denis*, gdy mu się nie chce, albo gdy się upije. Cóż ci doniosę? małując, durząc się, i nie pisząc, cały dzień waleśam się, nie do rzeczy paplać, i kładę się zmęczony, jak gdybym młócił w stodole.“

Z potwierdzeniem wszakże na kuratorstwie jeszcze uciążliwsze życie nastalo: musiał udać się zaraz do Kijowa dla złożenia przysięgi i dla przedstawienia się gubernatorowi i kuratorowi uniwersytetu, i dni dwanaście tam przepędził, upadając pod brzemieniem netz rozmaitych, bałów i wieczorów, wizyt i rewizyt bez liku, bo działo się to podczas kontraktów; wróciwszy zaś do Żytomierza, trafił na zjazd marszałków, przybyłych dla powitania nowego gubernatora i na nowo wpadł w odmet fet i ciągłych zabaw karnawałowych, których tak serdecznie nie lubił.

„Nareszcie rozpocząłem już to tak zwane urzędowanie (pisał do rodziców w końcu Lutego); wizytowałem uroczyscie szkoły i pensjonaty; musiałem wejrzeć w utrzymywanie uczniów i najuboższym dopomódz choć tyle, żeby nie byli głodni. Wszystko to razem z podróży do Kijowa i wydatkami, z tego źródła wypływającemi, już przeszło siedemset rubli wynosi, a jeszcze mam przed sobą obiad, który wydać muszę dla professorów, dyrekevi i władz, nie licząc drugiej podróży do Kijowa, jak tylko powróci z Petersburga kurator uniwersytetu, którego pierwszą razą nie zastałem. Dotąd idzie mi nieźle, choć te urzędowe przedstawienia, formy, papiery i t. p. dosyć ciężko mi nauczyć się zachować, pisać i t. d. Jest to urząd trochę reprezentacyjny, mało znaczący i niewielką dający moc zrobienia dobrego; wszakże i to się na coś przydać może.“

Jakoż przydało się istotnie, jak widzimy z listu do Podwysockiego, do którego na początku 1859 roku tak pisał: „Żle robi wasz poczciwy kurator, że w Kijowie nie bywa i o szkoły mało się troszczy. Ja ztąd

się pozbywając nieznosnego dyrektora gimnazjum, minowolnie wam się nim przyśłużyłem. Już gorszego nigdy mieć nie będziemy; ale eo mnie zgryzoty wydalenie jego kosztowało, trudno wypowiedzieć.“

Kto wie, jak jest demoralizującym i zgubnym dla młodzieży wpływ złego dyrektora, łatwo pojmie doniosłość zasługi Kraszewskiego, który nie szczędził trudów i zabiegów i poruszył wszystkie sprężyny swych rozległych stosunków, aby od tego wpływu powierzone sobie szkoły uwolnić.

Jak zaś dbał o te szkoły, jak gorliwie spełniał tak lekceważony przez innych obowiązek, można z tego powziąć wyobrażenie, iż gdy examina nastąpiły, to codziennie po cztery godziny z rana i tyleż po obiedzie asystował przy nich w gimnazjum; asystentowi zaś kuratora z tak rozległą wiedzą i z tak głośnym imieniem, ani dyrektor, ani nauczyciele nie mogli bez wątpienia brać za próżny tylko formalizm, i jak w trybie examinowania uczniów, tak też i w opiniowaniu o ich postępie, musieli się na niego oglądać, eo nie mogło być bez korzyści dla tej młodzieży, która ze swojej strony zapewne się o to starała, aby go nie zasmucić i wstydu wobec niego nie zaznać.

Lecz nie tylko w ważniejszych, wyjątkowych okolicznościach Kraszewski okazywał swoją gorliwość; w każdym dniu i nieledwie w każdej godzinie dawał jej nieustanną dowody. „Donosilem ci,—pisał do brata,—o kupnie wierzchowca araba, który mnie bawi dosyć, choć trzęsie okropnie; *) ale i na niego, i na inne moje mile zajęcia i rozrywki teraz skąpo czasu, bo cały dzień drzwi się nie zamykają, a interesów cudzych, obowiązków szkolnych i t. p.—mnóstwo, które iść powinny przed wszystkimi. Życie urzędnika takiego rodzaju, całe na po-

ślugach drobnych, zabiera czasu ogromnie; nie oficjalnie zrobić nie można, ale wszystko robić potrzeba to wstawianiem się, to prośbami, to kieszenią, a czas się traci, tak, że ja ani maluję, ani gram, ani piszę, ani czytam prawie, tylko urzęduję.“

„Ojciec utrzymywał (pisał do matki), że to urząd do niczego nie obowiązujący, bo go tak widywał pełnionym; ale sumiennie chcąc się z niego wywiązać, i opiekę nieustanną, i oko, i pieniądze mieć potrzeba na zawołanie.“

Nie szczędził też ani trudów, ani pieniędzy: wspierał uczniów ubogich, zaopatrywał ich i w książki, i w odzież, płacił nie raz za nich wpisowe, a nadto w swoim domu miał zawsze na utrzymaniu, jeśli nie dwóch, to przynajmniej jednego wychowanka, przybranego za towarzysza do swoich synów. Jemu też to przeważnie zawdzięczało gimnazjum znaczną pomoc pieniężną, którą przyniósł r. 1857, w Marcu, koncert, wydany przez Apolinarego Kątskiego. „Trzystu kilkudziesięciu studentów, profesorowie i ja, asystowaliśmy; zebrano dwa tysiące na ubogich uczniów, a ehlopecy przeciwnego muzyka wynieśli uwienieczonego na rękach. Ja to znowu urządziłem sam.“

Nie same jednak kuratorskie zajęcia obarczały w tym czasie Kraszewskiego. W liście, tylko eo przytoczonym, znajdujemy jeszcze wiadomość, że przez współobywateli, których kosztem zbudowany był Teatr Żytomierski i stanowił własność obywatelską, powołanym został na dyrektora tej instytucji. „Urządzenie teatru (pisał) całkiem na mojej głowie. Wczoraj wyprawilem kogoś myślnie do Wrocławia po garderobę, a do Łwowa i do Krakowa po aktorów; buduję w gmachu teatralnym ganki, piece i t. p. Kassa przy mnie i cały kłopot; później tylko, gdy się urządzi, część estetyczna należeć do mnie będzie. Polecono mi także sprawienie dekoracyi, które będzie robił Gruppius w Berlinie, zaopatrzenie biblioteki, i t. p.... Gdzie tu eo pisać? Jednak czasem parę godzin rano pracuję, parę godzin przed wieczorem, i tak się pisze listy do Gazety, lub poczęte powieści.“

Lecz i na tem jeszcze nie koniec: obrany dyrektorem klubu szlacheckiego, musiał też i jemu czas swój poświęcać, a chcąc go uczynić nie samym tylko przybytkiem balów odświeczeniych i gry w karty codzienniej, od razu za 180 rubli gazet rozmaitych zaabonował. Dalej, jako dyrektor zawiązanego w 1857 r. Towarzystwa Dobroczynności, i w niem pracą i radą swoją dobru powszechnemu, jak mógł, tak służył, a na po-

(*) Oto jest owo doniesienie: „Ach bracie! przed tobą muszę się przyznać do wielkiego, głupstwa które popełniłem tylko eo (24 Marca 1857 r.): zacheiało mi się konia wierzchowego... miasto... na ładajakim jeździć się nie chce, wyjeżdżonego dostać było trudno. Pojechałem do najslawniejszej po Sanguszkowskiej stajni Żurowskiego i kupilem pod wierzch arabskiego ogiera (Tamara), lat pięć na szósty, za 600 rubli! Ujeżdżony jak pod kobietę, a jak dyabeł żywy, ciemnorożowy szpak“. W Czerwiec jeszcze cieszył się nim jak dziecko i odsyłał Kajetana do feljetonu Czasu, żeby z artykułu p. t. „Wyprawa do Arabii po konie“ przekonał się co zacz jest w prostej linii dziad Tamara. Lecz w końcu tegoż roku donosił: „Tamara sprzedalem, aby nie stał daremno, gdy pojeżdże za granicę; odebrałem za niego swoje 600 rubli, a jeździłem do jesieni i raz pysznie spadłem, choć na miękką ziemię, bo swawolił czasami.“

czątek, korzystając z bliższych stosunków z Kątskim, sprawił to swoim wpływem, że wirtuoz ten, tak podówczas słynny i wzięty, grą swoją przyczynił się do zasilenia młodego Towarzystwa, o czém świadczy list jubilata do p. Kajetana, gdzie czytamy: „do tej pory, jak tu jest, wirtuoz nasz nie dla siebie prawie nie zrobił, ale trzema koncertami na ubogiej dał nam już 1500 rubli do różnych kas i instytutów.“ W końcu, jako naczelnik komitetu statystycznego, i na tém stanowisku nie próżnował Kraszewski, jak się o tém przekonywamy z listu jego do p. Kajetana w jesieni 1854 r. „Mileżałem długo z powodu, żem kutał po świecie. Historia taka: spodziewamy się tu od dnia do dnia W. X. Konstantego; przyszło pismo od ministra z zawiadomieniem, że kazano przygotować statystyczne wiadomości i rysunki budowli starożytnych w gubernii; a że komitet statystyczny pod moją zostaje opieką i rozporządzeniem, musiałem sam jechać rysować. Zrobiłem 450 wiorst w cztery dni, a dziś wyjeżdżam jeszcze zrobić dwieście kilkadziesiąt i dokończyć wszystko, co trzeba. Niektóre rysunki już są gotowe, inne powoli przysposabiam, ale roboty mam mnóstwo.“

Podczas tych-to ekskursyi, wpadłszy do Łucka, dowiedział się Kraszewski, że zamknięty i spustoszony kościół po-Bonifraterski został wystawiony na licytację i kupiony przez żyda, który chciał w nim jatki założyć. Wszedł więc zaraz z petycją do gubernatora, przedstawiając ogólne prawa synodu, które miejsce poświęconych nie pozwalają sprzedawać niechrześcianom, i prosił, aby mu pozwolono zaprzedać mury odkupić. Gubernator odniósł się do General-Gubernatora i wnet kazano oddać rzeczony kościół Kraszewskiemu, który zwróciwszy 1300 rubli żydowi, stał się legalnym właścicielem poświęconej ruiny; o czém z wielkiem uradowaniem pisał później do ojca, winszując sobie, że potrafił od profanacji i zniszczenia ostatecznego zabezpieczyć dawny Przybytek Pański. „Pan Bóg tak chciał podobno (przytaczamy jego wyrazy), a żeby przykład dobry i pre-judykat się zrobił na przyszłość. Grosz, jaki miałem, chętnie poświęciłem dla chwały Bożej i dla ocalenia ołtarza. Wszyscy się dziwią, że mi ten interes tak gładko poszedł i bez żadnej trudności.“

W skutek tego wszystkiego, popularność naszego jubilata była ogromną; ale też ciężko musiał na nią pracować i okupywać ją ofiarami bez końca.

Tak np. czytamy w liście pani Zofii do rodziców z d. 10 Września 1857 r. „Józio zeszedł zimy wybierał się za granicę i miał pasport prawie już w rękę; lecz gdy urzędowanie spadło, przez zbyt sumiennosci pozostał. Teraz wczesnie zaczynam pracować nad nim, aby wszystkie trudności na bok usunął, a myślał o poprawie zdrowia. Przekonaną jestem, że nie wody, nie kuracya, bo w nie nie wierzy, ale sama przejażdżka, samo oderwanie się od pracy wielkie dobro może mu zrobić. A pracę niesłychaną ma teraz! Już nie tę dawną, która choć męczyla, lecz razem i przyjemność sprawiała; ale pracę wśród ludzi, z ludźmi i dla ludzi, bo się nauczyli nikogo o rade, o pomoc i posługę nie prosić, tylko jego. Miła jest zapewne ogólna miłość i szacunek u ludzi, lecz go czasem to życie nie jego zamęcza do choroby, do rozdrażnienia takiego, że po prostu upada pod niem.“

I nie dziwy! Oto np. próbka tego życia z dwóch dni jedynie (galowego i powszedniego), którą bierzemy z listu Kraszewskiego do brata: „Dzisiaj o dziesiątej w mundurze u marszałka (wprzód przyjmować musiałem u siebie profesorów i gimnazjum całej; dalej o pół do jedenastej u gubernatora, później u Biskupa, u vice-gubernatora, w kościele. Jutro posiedzenie komitetu teatralnego o dziesiątej, komitetu turemnego o jedenastej, w wieczór wybory w klubie, a dziś teatr uroczysty. Tak jest prawie codziennie—nie to, to owo; po trzy razy zaczynam pisać powieść dla „Gazety Warszawskiej“, a w tych ciągłych odrywkach nie mogę nie ulepić. Nawet znakomicie mnie to życie ogłupilo—ani chwili czasu.—Mam sobie polecone ułożenie nowego programmatu szkół, a może i urządzenie później szkółek początkowych. Cieszę się tem, że z tej pracy, dla mnie ciężkiej, może być jakaś korzyść dla ludzi. Robię, co mogę, i to mnie pociesza; fraszka literatura, gdzie chodzi o ulżenie nędzy, o oświatę i ważniejsze dla społeczności zadania... Nie poznalbyś mnie, kochany Kajetanie, w tém życiu urzędniczem, które mnie nawet powierzchownie zmieniło: w mundurze, w czapce z gwiazdka, z bakembardami po pas ogromnemi, i starego, jak dziad.“

Wspomnieliśmy już wyżej o popularności i ogólnem uznaniu, które zdobył sobie Kraszewski, nie tylko dzięki ustalonej sławie pisarskiej, ale też i przez pracę obywatelską: owoż wybitnym tej popularności dowodem była uczta, na cześć jego w dniu 19 Marca 1857 r. przez Marszałka gubernialnego wydana, o której tak pisał do ojca:

„Jeśli tego rodzaju sukcesu bawić mogą ojca, pocieszać, to się muszę pochwalić wczorajszym Świętym Józefem; naprzód z rana, poczynawszy od studentów i profesorów, całe miasteczko było u nas z powinszowaniem. Marszałek gubernialny dawał obiad dla nas i zaprosił, co żyło,—było nas osób ze sześćdziesiąt, obiad wspaniały, muzyka, toasta, a dla mnie z Zofią ciężkie chwile do przebycia. Był i gubernator, i cały officialny świat na tym obiedzie. Wiem, że to papie przyjemnem będzie, i dla tego się tём chwale. Narobiło mi to i zazdrośnych zapewne, bo to pierwszy przykład takiej fety dla urzędnika wybieralnego, ale to rzecz nieuchronna“.

Gdy zaś przed tём na dni dwanaście państwo Kraszewscy dali wieczór u siebie dla Kątskiego, to wszystko, co tylko było znakomitego intelligeney, rodem lub urzędem, równie w mieście, jak w okolicy, skwapliwie pospieszyło na inwitaacy, i do godziny drugiej po północy, bez tańców i gry w karty, grono osób kilkudziesięciu najmilszej zażywało uciechy, serdecznie podobając w uciesie duchowej, jaką taki tylko gospodarz był w możności dla nich zastawić.

A nazajutrz Kraszewski, który zaledwie o godzinie piątej mógł zażyć wezasu, donosząc o tej uciece rodzicom, pisał między innemi: „Wczorajszy wieczorek był bardzo świątny i piękny, a muzyka taka, jaką nie łatwo drugi raz posłyszeć: były skrzypce Kątskiego, fortepian, organek, wiolonczella, wyborny śpiewak basista i baryton. Ciż sami dziś występują w urządzonym przeze mnie koncercie na ubogich“.— „Wieczorek ten szczególnym trafem przypadł w dzień mych imienin, według nowego stylu, a była to dwudziesta piąta rocznica dobrej onej nowiny, którą mi książę Dolgorukow zwiastował,—bardzo dla mnie pamiętna epoka życia... Porównałem położenie moje dzisiejsze z tamtém i podziękowałem Bogu, bo mi więcej dał, aniżeli zasłużyłem. Ale te lat 25 zostawiły ślady, i wielebym dał, żeby ich nie mieć na sercu i na ramionach. O! jakem-to ja stary, kochany ojcze! jakem stary!“

Popularność ta wszakże, tak poczeiwie zapracowana, ten szacunek i miłość, które się zdawały tak mocno w sercach współobywateli ugruntowane, wkrótce na ciężkie próby wystawione zostały. Nadszedł rok 1858, rozpoczęły się zjazdy obywatelskie dla narady w kwestyi włościańskiej, która najżywiej zaprzatnęła wszystkie umysły. Autor „Sawki“, „Iłany“, „Ostapa Bondarczuka“, „Jaryny“ i „Ladowej pieczary“, nie mógł w sprawie tak ważnej, gdzie szło o losy tego ludu, który

tak kochał, a z nim i o losy całego kraju, i o dobre imię tej szlachty, której się uznawał krwią z krwi i kością z kości, nie mógł obojętnym pozostać. Ale że w prywatnych zebraniach, czy to we własnym swoim domu, czy u Gubernialnego Marszałka, równie jak i na kontraktach Dubieńskich, miał niejednokrotnie sposobność przekonać się o niesposobieniu umysłów i o intencjach współbraci, z goręczą przeto w duszy, przed rozpoczęciem narad z Żytomierza wyjechał, i tak z Kisiel pisał do Podwysockiego: „Ja umyślnie nie jestem w Żytomierzu i nie należę do rady, bo mi dano do zrozumienia, że się mnie obawiają, jako utopisty. Napisałem tylko list do Marszałka swego powiatu, który będzie czytany publicznie. Teraźniejszy stan umysłów w chwili tak ważnej, gdy bez szkody dla siebie możemy uczynić, co sumienie i rozum każą,—przeraża mnie. Dużośmy gadali, a gdy zrobić przyszło, najpoczeiwszy nawet uciekają się bo sofizmatów najdziwniejszych. Serce mi się zakrwawiło; była chwila, żem pomyślał wyprzedać się i kraj opuścić. Teraz nieco się opamiętałem, zawsze jednak instykt zachowawczy przeważa i zaślepia. Ledwie można im wytłómaczyć, że do zbytku interesu swego pilnując, gotowi właśnie go narazić“.

List ów do Marszałka Luckiego, którym był wówczas p. Wincenty Korwin Piotrowski, dziś inicjator i promotor upominku jubileuszowego od dawniejszych współobywateli Kraszewskiego, dzięki uprzejmiej uczynności jego mamy użyczony sobie w oryginale.

Dokument to niezmierniej wagi, dowodzący i wytrawnego sądu, i wielkiej znajomości rzeczy, i głębokiej przenikliwości, proroczo prawie przyszłość przewidującej. Żahjemy, że wzgląd na rozmiar naszej pracy, która już i bez tego za wiele w tej książce miejsca zabrała, nie pozwala nam tego listu podać w całości, i musimy tylko zaznaczyć, że był to wniosek bardzo umiarkowany, bardzo oględny i rozsądny; a jednak, odczytany na zjeździe w Żytomierzu, wielką wrzawę wywołał, i Kraszewski, wróciwszy z Kisiel w Łutym, jakkolwiek nie chciał uczestniczyć w naradach, narażonym jednakże został na bardzo przykre zajście z całym kolemb obywatelskiem.

„Miałem dużo przykrości,—pisał do brata Lucjana — w sprawie publicznej, powasniłem się z połową świata tutejszego o włościańską przyszłość, ale o tём pisać nie chcę. Zjazd był burzliwy bardzo, ja się w końcu usunąłem... długa historia... Ale

dziś ludzie się przekonywają, że ja miał słuszość“.

A do Podwysockiego w kilka tygodni później, postanowiwszy już wyjechać w podróż za granicę:

„Bezennnie więc narady tu się w komitecie odbyły, ale ja niepotrzebny, bo w tym sensie, jak ogół chce, niechym nie zdołał zrobić. Niepojęcie ważności tej kwestyi włościańskiej nadzwyczajnie. Tu, według mnie, niema innego wyjścia, jak od razu, szczerze i porządnie kończyć: dać sadyby i razem po kawalku gruntu, ale tak, jak wszędzie, za indemnizacyą, nie darmo. Swoboda bez własności—na nic. Sadyba—to nie własność, tylko przykucie; trzeba więc i mazać; ale bez szkody nieczyjej można to wykonać“ (*).

Wkrótce jednakże zatarło się to nieporozumienie; serdeczna szlachta uwierzyła w dobre intencye Kraszewskiego, a jakkolwiek nie przyznała mu jeszcze całkowitej słuszości, wszelakoż chciała dowiedzieć, że go po dawnemu kocha i ceni, i przed wyjazdem jego za granicę wyprawiła mu, w imieniu całej gubernii, wspaniały obiad pożegnany w sali klubowej, dnia 21 Kwietnia v. s.

Wszelakoż w sercu Kraszewskiego rozbudził się żal dawny, gdy, za powrotem z za granicy, zastał sprawę włościańską prawie w tym samym położeniu, w jakim ją, wyjeżdżając, zostawił. Wtedy-to goręczy swoje wyłał w *Listach* do „Gazety Warszawskiej“ Nr. 54, 1859 r. List II z dnia 28 Stycznia, gdzie przyznając szlachcie Wolińskiej egoizm, obywatelność na dobro kraju, brak zupełny ducha ofiary i poczucia obowiązków obywatelskich, a dla zawstyżenia jej, wynosząc pod niebiosy stan moralny na Litwie, pisał między innymi:

„Tam jest życie, u nas śmierć, na którą podaje niema ratunku, bośmy narazie poczciwego wstydu pozbyli“.

A dalej wykazując, jak trudno skłonić

szlachtę do ofiar dla powszechnego dobra, mówił z goręcią:

„Potem, wróciwszy na własne śmieciisko, dostojny naczelnik szlachty chlubi się, że groź z duszy oszczędził i nie dał go wyrwać sobie, i szczerpi u współbraci tę zasadę dorobkowiezowską i żydowską, że lepszy szeląg, niż najświętsza ofiara“.

„Powiecie mi, że jestem pesymista, że kraj czernieje. Nie! ja go kocham wszystkimi siłami duszy i przez tę miłość dla niego krwawymi łzami nad nim płaczę, a to, co mówię, mało jeszcze, w miarę tego, co widziałem, na co patrzę codziennie. Jest i u nas garstka bezsilna pragnących pobudzić do życia, i nakłonić do spełnienia obowiązku; ale to *vor elamantis in deserto*. Gniewamy się srodze, gdy kto nam wyrzuci winy nasze, a opowiadając się nie myśląc; tłumaczymy je, sofistykując, jak gdyby z niedopełnienia obowiązku czémkolwiek wytłumaczyć się było można. Jak ów Szekspirowski król na polowisku, wołający: konia! królestwo za konia!—my krzyczymy ciągle: ocalcie obywatelskie kieszenie! sumienie i obowiązek za kieszenie nasze!“

„Nie wiem, czy potrafimy ocalić kieszenie nasze, które wysąca zbyt; ale dobre imię i przyszłość stracimy pewnie na tej drodze“.

Gorzkie te słowa, może nieco za ostre, ale w gruncie rzeczy prawdziwe, srodze obraziły szlachtę Wolińską! powstał gwar niesłychany! ze wszelkich stron posypały się na Kraszewskiego srogie rekryminacye i listy bezimiennie, pogrozkami i brutalstwem zaprawne.

Nie ulekły jednak wobec tej strasznej burzy, w kilka tygodni potem pisał znowu do „Gazety Warszawskiej“:

„List nasz, jak bardzo wiele słów niemilych, nie został zrozumianym. Niechcni nam osobiście, lub poczuwający się do winy, znaleźli w nim powody do oburzeń i zaskarżeń;

nie zjechała z różnych stron cesarstwa, przeważnie znakomitsi przedstawiciele jej z Litwy. Kraszewski widział jasno, że wielka reforma nie może być osiągnięta w ciasnych ramach, i musi być na odpowiednich zasadach oparta. Dbał o to, aby szlachta jasniała do końca tym światłem, jakim zabłysła, dając miętawy kwestyi włościańskiej, aby się nie cofnęła przed niezbędniemi ofiarami; a gdy już wprowadzać się będzie, aby ją dobrze, serdecznie, jako z upragnieniem oczekiwanego gościa, przyjęła, nie tłumając dalszego jej rozwoju. Nie zadał Kraszewski klamę swym tendencyom szlachetnym, wypowiedzianym w tylu pismach wtedy nawet, gdy kwestya włościańska poruszona jeszcze nie była. Nie zapomnę nigdy biesiady wśród leżących ziemian u przedawiciela szlachty Litewskiej pana B. Z. Słowa Kraszewskiego płynęły, jak z nieprzebranego źródła myśli i uczuć, zawsze wznieśli i czennieli.“

Przyp. autorski

1.

(*) Co do kwestyi włościańskiej, nie możemy tu pominąć bardzo ważnej wskazówki, jakiej dostarczył nam pan Andrzej Leszczyce Grabianka, jeden najmłodszych członków byłego Komitetu Włościańskiego gub. Podolskiej:

„Widziałem go (pisanie p. Grabianka w liście do Reakcyi Książki Jubileuszowej) 1860 r. w Petersburgu, am wówczas w Głównej Komisji, redagującej praca emancypacyi i uwłaszczenia włościan, skoncentrowały się projekta wszystkich komitetów gubernialnych. Ie chodziło Kraszewskiemu o wywieranie wpływu na członków tej komisji, bo z całej przestrzeni uherii północno i południowo-zachodniej, leżono tu trzech, a opinie nasze były dobrze mu znane. Ie w tym właśnie czasie Komisya nasza powołała deputowanych z Komitetów prowincjonalnych dla wyjaśnienia, dotyczących się potrzeb miejscowych, a przy m szlachta, mocno zainteresowana tą sprawą, leż-

niezaponownie się nawet słów, przekreślonych myślnie, aby nam zadać oczernienie kraju i niesprawiedliwość względem niego. Niektórzy opposycjoniści wynaleźli w wyrażeniu o domowym *śniecisku*, które nie w sobie nie ma pogardliwego ani obelżywego, wielką winę i obrazę ogółu. Tu już śmiać się doprawdy trzeba z obrońców naszych prowincyi i odesłać ich do dykeyonarzy... A! drogie śnieciska domowe! jakieśmy was i imienia nawet waszego zabyli“.

„Nigdyście widzę nie pojęli i nie potrafili zrozumieć, że człowiek może działać bezpobudek osobistych, miłując tylko dobro publiczne, i mierzycie mnie kusą miarą cudzą, na którą przecie dwudziestokilkuletnią pracą nie zasłużył. Ja nie od was dla siebie nie chcę, ale wszystkiego dla was, dla kraju, dla dobra ogółu; nzwiercież przecie raz w życiu czystości chęci i pobudki.“

„Com powiedział, tego nie odwołuję. Gniewajcie się. Gniew wasz pociesza mnie i raduje — żądałem go. Niech gniew ten na złość niegodziwemu oszczerecy wywoła szkołę agronomiczną, towarzystwo dróg szosowych, szkółki dla ludu po wsiach, restauracyą kościołów, stały fundusz na podtrzymanie teatru; któż wie? niech jeszcze na złość mnie przyłoży się do uczynienia stypendyów przy gimnazjach dla ubogich uczniów, ochron po miastach, do pozamykania karezem po wsiach... Bez żadnej przesady, jeśli, uczyniwszy to, czego po was kraj wymaga, zechcecie potem, jako oszczerecy, ukamienować mnie na rynku, wyjdę na plac, nścisnąwszy żonę i dzieci, i stanę z twarzą pogodną na męczeństwo.“

Na te zarzuty, powtórzone dwukrotnie, niezuł się w obowiązku odpowiedzieć publicznie, w imieniu całej szlachty, jej Gubernialny Marszałek, i uczynił to również w liście do „Gazety Warszawskiej“ (Nr. 129, 1859 r.), snadź ułożonym na ogólnej naradzie, w której uczestniczyć musiał dr. Kaczkowski, zamieszkały podówczas w Żytomierzu; gdyż wszystkie argumenta przeciwko Kraszewskiemu, w onym manifestcie zawarte, znajdują się i w broszurze Doktora, zatytułowanej: „Sprawozdanie, złożone stowarzyszeniu księgarsko-wydawniczemu w Żytomierzu d. 23 Kwietnia 1859 r.“ a ogłoszonej prawie jednocześnie z listem Marszałka, pierwszych dni Maja tegoż roku, przed samemi wyborami obywatelskiemi.

Było więc to coś nakształt *hajze na Soplicę!* Szło o uzbrojenie przeciwko Kraszewskiemu opinii publicznej i o zadanie mu ciosu ostatniego, a przynajmniej o upokorze-

nie go przez usunięcie od urzędu kuratorskiego.

Wprzód jednak zanim dzieje tego zamachu opowiemy, powinniśmy wyjaśnić, co zacy było wspomniane *Stowarzyszenie księgarsko-wydawnicze*.

Powstało ono z inicjatywy ś. p. Alexandra Grozy, któremu żarliwego poparcia udzielił dr. Karol Kaczkowski, cieszący się wielką popularnością na Wołyniu, jako też Pan Lipkowski, zany obywatel Podolski, w Żytomierzu osiadły. Kaczkowski, obok wielu pięknych przyniotów, grzeszył niepomierną ambicyą, próżnym był i żadnym holdów i kądziel. Wziętość Kraszewskiego niezmier na była mu solą w oku; chciał go zaćnić a przynajmniej dorównać mu znaczeniem i wpływem. Obok więc ucznia obywatelskiego, obok chęci najlepszych, *Stowarzyszenie wydawnicze* nastęrczało mu dobry pretekst do zaspokojenia miłości własnej. Wziął więc je w swoje ręce i stał się głównym jego kierownikiem, a Groza prawie całkiem w cieniu pozostał. W jego dom zbierano się na narady i projekt ostatecz nie uchwalono i zatwierdzono. Opierał się on na akcyach po 500, po 100 i po 50 rubli mających się niszczać w czterech ratach w ciągu lat czterech. Fundusz ten mia posłużyć do prowadzenia *wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych* p. t. „Biblioteki domowej“, i przez zniżenie ceny książek, d uprzyściplnienia ich klasom niezamożnym a więc i do rozszerzenia oświaty. Akcy narysunki od swych wkładek mieli procent pobierać w książkach nakładowych stowarzyszenia i uczestniczyć w dywidendzie czy stego zysku.

Plan zaiste był piękny i ponętny; jako zaraz pierwszego roku, jak to sprawozdanie dra Kaczkowskiego opiewa, rozebrano alcy po 500 rubli 36, po 100—67, po 50—4 ogółem akcy 152 na summe 27,150 rubli, której pierwsza rata wyniosła r. s. 6,78 i k. 50.

Oprócz tego, panowie Kaczkowski, Lipkowski i Kwiatkowski zawiązali spółkę osobną i, złożywszy 7000 rubli, otwarli i obsługę stowarzyszenia księgarsko-wydawniczego w Żytomierzu drukarnię.

Chętnie też i autorowie, wyzyskiwani d tąd przez księgarzy niemilosternie, pogarli się do tej spółki, ozdoblonej zaeną firmą obywatelską, słusznie się spodziewając, i ich praca znajdzie u niej lepsze wynagrodzenie, a dzieła ich, przez nią wydane, i samą powódzenie większe zapewnią, i d pomoga do wyrwania handlu księgarskiego i pisarzy z rak spekulantów. Jako

w rzeczonym sprawozdaniu figurują między innemi takie znakomitości, jak Bartoszewicz, Bielowski, Chodźko, Libelt, Odyniec, Siemiński, Syrokomla, Wróblewski (Koronowicz) i wielu innych, do których się następnie przyłączyli Zygmunt Kaczkowski i Karol Szajnocha.

Kraszewski wszakże nie chciał w tém przedsięwzięciu przyjąć udziału, znając bowiem dzieje podobnej spółki, założonej dawniej w Warszawie, i bacząc na niejseowe stosunki, nie wierzył w powodzenie tej sprawy, zwłaszcza, gdy ją na samym wstępie najfatalniej zwichnięto, nabywszy nierozważnie Wileńską i Kijowską księgarnię Teofila Gliksberga za 17000 rubli, i zamiast rozmnażania i propagowania własnych nakładów, otwartwszy trzy księgarnie sortymentowe (w Żytomierzu, Kijowie i Włnie), których obrót na ich utrzymanie nie mógł wystarczyć.

Kaczkowski tedy, urażony odmową, postanowił srodze ukarać za nią Kraszewskiego i w ślad za listem Gubernialnego Marszałka, ogłoszonym w Gazecie, drukując swoje sprawozdanie w broszurze, większą część jej zapełnił oskarżeniami autora *Historji kółka w płocie*, jak go ironicznie nazywał, i walką z nim o część Wołynia,—jakby zapomniawszy zupełnie o tém, co sam o nim przed dziesięciu laty w „Gwiazdzie“ napisał, a filippikę swą zakończył temi słowy:

„Ciężka spadnie odpowiedzialność za ten kamień na nas niebacznie ciśniony! My wszakże, Chrystusową spełniając naukę, chlebem za kamień oddajemy i nie ciskamy słów złośliwości i pogardy, ale raczej pobłażania i braterskiej miłości, jaką pragniemy mieć dla autora listów“.

Masłem zapewne, czy też miodem do tego chleba, było zakończenie listu Marszałka gubernialnego w „Gazecie Warszawskiej“, gdzie taką znajdujemy insynuacyą:

„Szczegółowe wyznajemy, że nie pojmujemy tego żółciowego napadu p. Kraszewskiego, bo jeśli by nawet były powody jakieś skierowania na drogę pożyteczną, a pochodziły z prawdziwej życzliwości dla prowincyi; nie z żółcia, ale z braterską miłością wypowiedziane, toż samo obudziłyby współczucie i z równą miłością zostałyby przyjęte. Wyłanej zaś żółci nie wiemy sami, czemu przypisać, czy osobistej jakiejś niechęci, czy strategii: zacząć krzyczeć, aby nie krzyczano na nas;—czy nakoniec wyrachowaniu: uprzedzając zjazd wyborowy, gdy tam co się zrobi podług przygotowanych chęci szlachty Wołyńskiej, o czem p. Kraszewski jest świadom, nie przypisać tego jej samiej, lecz wziąć

na rachunek uprzedniego swego napomnienia“.

Na list Pana Marszałka wystosował odpowiedź Alexander Darowski, w której, z małemi wyjątkami, przyznał Kraszewskiemu prawie zupełną słuszość, rozpatrzwszy z kolei stan wszystkich owych instytucyi i spraw obywatelskich, któremi się szanowny przedstawiciel szlachty, tak samo, jak Kaczkowski, przechwalał, a w końcu dał mu taką naukę:

„Nie tu miejsce wyliczać zasługi Kraszewskiego, dość powiedzieć, że od pana Marszałka dawniej i lepiej publiczności znany; a pan Marszałek wnioskiem swoim o *wyrachowanie* zrobił z niego jakiegoś dudka, strojącego się w pawie piórka. Powiedzieć, że sobie chce przywłaszczać jakieś cudze, niewypowiedziane szlacheckie myśli, człowiekowi, który blisko 30 lat obdziela swojemi myślami wszystkich, co tylko czytają i czują po polsku, na to potrzeba chyba człowieka, który ani czytać, ani czuć po polsku nie umie. Zaprawdę miał słuszość Kraszewski, kiedy się żalił, że go mierzą na cudzą, kusą miarę. Czy pan Marszałek miał, że gdy postawi Kraszewskiego w położeniu trudnem podjęcia własnej obrony, ujdą mu bezkarnie słowa, ubliżające jego cześć i niepokalanemu imieniu? Mniejsza o szlachte, mniejsza o to, co myśli,—podobne średniowieczne petryfikacye mało kogo obchodziły w XIX wieku; ale jeśli ja sam w wyświeceniu zagajonej sprawy uniewinnilem w części obywateli przeciwko skargom Kraszewskiego, trudniej będzie wymówić się Panu Marszałkowi z zarzutów, które on znów Kraszewskiemu położył. Pokaże się może, że to ta dobroczynność, która Kraszewskiemu coś powierzyć chciała, ta spółka wydawnicza, do której należeć nie chciał, ten komitet włościański, którego narad nie zaszczylił swoją obecnością, będą właśnie owemi niepoczesnemi patzkami, usiłującemi podszyc się pod cudze pierze“.

List ten podobno ogłoszonym nie został,—znany go jedynie z odpisu, którego nam udzielił pan Władysław Górski, posiadający w swém archiwum wszystkie dokumenta, dotyczące się tej sprawy. Natomiast ukazał się w „Gazecie Warszawskiej“ (Nr. 143, 1859 r.) artykuł Szymona Konopackiego p. t. „Uwagi nad listami z Żytomierza“, w którym szanowny autor, występując w roli rozjemcy, starał się uniewinnić Kraszewskiego tém, że w zbytnej gorliwości o dobro kraju i o cześć swych spółobywateli, dla dodania im bodźca ku lepszemu, nie chciał chwalić ich za to, co dotąd nieznili dobrego, lecz za-

wstydzał, porównyując Wołyn z Litwą, która go wyprzedziła pod każdym względem.

„Latwo nam—tak zakończył swoje uwagi—oczyścić się z niektórych jego zarzutów niezależnie od nas okolicznościami; ale niejmy przecież na uwadze dążność owych zarzutów: wszystko w nich przemawia serdeczną życzliwością dla nas. Obyśmy godnie umieli ocenić tych Arystydesów, co się nie zrażają choćby wygnaniem, hyle enota miała swe ołtarze. Jakoż ku chwale naszych trzech prowincyi zamilkną niebawem owe szermowania pokątne, owe na chwile rozbudzone nieporozumienia, a szlachta Wołyńska, Kijowska i Podolska uczeni się w pamięci potomków, zgodnie przyznając czełogodnemu J. I. Kraszewskiemu dostojny a zasłużony tytuł prawego obywatela“.

I miał słuszną rację obrońca. Artykuł jego był pisany 10 Maja v. s. a w parę tygodni potem już się przepowiednia spełniła. Kraszewski został znów wybrany na kuratora większością 267 na 328 głosów.

Jednakże pierwszy tydzień sejmików przeszedł bardzo burzliwie: rozjątrzenie było nie zmiernie, miał wszakże i Kraszewski dosyć stronników,—a stronników nie lada, bo cała partya postępowa i młodsze pokolenie szły za nim. Ufny więc w słusność sprawy, za którą się narażał, a silny wiarą w czystość i szlachetność swoich przekonań, choć, jak pisał do ojca, trudno było pokazać się na ulicy, nie wahał się jednak chodzić na posiedzenia, i śmiało stawiał czoło całej gubernii. Ma się rozumieć, że się wyrzekł wszelkiej kandydatury na jakibądź urząd obywatelski, mając już wtedy zamiar przenieść się do Warszawy i objąć redakcyę Gazety Codziennj. Lecz w dniu głosowania na kuratora, delegacya młodzieży szkolnej i studentów uniwersytetu wpadła na sąd elekcyjny z adresami do kola Marszałkowskiego, błagając swoich ojców i starszych braci, aby nie pozbawiano ich tak chlubnej i serdecznej opieki, jaką dotąd mieli w Kraszewskim. Naturalnie, że wypadek ten, niesłychany w dziejach wyborów, sprawił wielkie wrażenie na umysłach obywateli, z czego stronnictwo postępowe potrafiło skorzystać, i gdy przyszło do głosowania, znalazło się tylko 61 takich, którzy w zaciętości swojej wytrwali i czarne galki Kraszewskiemu rzucili. Jubilat nasz, rozczulony i nęty manifestacyą zaciętych młodzi, nie miał serca, by zię oprzeć jej prośbom i wzgardzić odyskaniem tak świetnie zaufaniem i uznaniem współbraci: przyjął więc ofiarowany sobie urząd, z tēm jednak zastrzeżeniem, że po roku złoży go w ręce kandy-

data swojego, Hrabi Włodzimierza de Broel Platara. Dalsze czynności elekcyjne odbyły się w jak najlepszym usposobieniu ducha: zawotowano i ofiary na szkoły, i na teatr, i subsydjum dla powróconych na rodzinną ziemię współbraci.

Stało się więc to, co Kraszewski przez swe *Listy* pragnął osiągnąć; dawniejsza bowiem opozycya, czy to poczuwszy wstyd poeciwy, czy też pragnąc dać dowód, że sądy jego o niej były weale niesprawiedliwe, a Marszałek Gubernialny miał słusność w zakończeniu sławnej swęj odpowiedzi,—opozycya, powiadamy, z tēj, lub z owęj pobudki, zanie spełniła obowiązek obywatelski.

Potrzeba jednak wiedzieć, że poprzednio już zwolennicy Kraszewskiego, z Marszałkiem powiatu Żytomierskiego, Lucyanem Niewmierzyckim, na czele, usilnie pracowali, aby go pojednać z nieprzyjaciółmi, szczególnie zaś z Marszałkiem Gubernialnym. Uproszono nawet Biskupa, aby swym wpływem pośredniczył w tēj sprawie, a na solennem nabożeństwie przed otwarciem wyborów, wymowny kaznodzieja wzywał zgromadzoną w kościele szlachtę do bratniej zgody i jednomyślności dla powszechnego dobra. W tym też celu p. Niewmierzycki dać postanowił wielki obiad u siebie, na który całe kolo obywatelskie, a z niem także Kraszewskiego zaprosił. Kraszewski odpowiedział, że w takim tylko razie inwitaacya przyjęcie, jeżeli go Marszałek Gubernialny w liście prywatnym za obrazę przeprosi i odwoła niesłuszne posadzenie, którem ubliżył mu w Gazecie. Marszałek, miłość własną *pro publico bono* z serca złożywszy, zanie tę ofiarę wypełnił. Kraszewski się stawił na obiad; podali sobie ręce na zgodę; a poeciwa szlachta rozserdeczniona obu ich podniosła do góry.

Nie na tēm wszakże koniec tryumfu Kraszewskiego i dobrej sprawy. Owa broszura Kaczkowskiego, co mu, jak onego czasu głośny pamflet Zofii z Brzozówki, miała zadać cios ostateczny, broszura, którą nieprzyjaciela jego tak gorąco po całym kraju rozpowszechnić pragnęli, że nie tylko rozsyłali ją wszystkim akcyonaryuszom Stowarzyszenia, lecz nawet na zabawie, urządzonej na korzyść Towarzystwa Dobroczynności w ogrodzie publicznym w Żytomierzu, członkinię tegoż Towarzystwa z panią Marszałkową na czele, sprzedawały razem z eukrami i lodami na rzecz ubogich; nieszczerą ta broszura dostawszy się i na Podole, sprawiła tam weale przeciwny skutek, niż ten, jaki przez nią chciała osiągnąć.



J. I. Kraszewski (z r. 1859).

Szlachta Podolska, w liczbie kilkudziesięciu osób, zjechawszy się do Gubernialnego swego Marszałka na imieniny, wystosowała list zbiorowy do p. Kaczkowskiego, świadcząc o swém współczuciu dla *Spółki Wydawniczej*, ale razem ubolewając nad wojną, którą ta Spółka Kraszewskiemu wypowiedziała. „Z Broszury, noszącej tytuł sprawozdania, (czytamy w onym liście między innemi) przekonał się, że *Wydawnictwo* pragnie poniżyć zasłużonego w kraju tak godnie J. I. Kraszewskiego, oświadczając stanowczo, że *wiara w niego zachwiać się musi*. Nie rozszerzając się nad tym bolesnym a gorszącym przedmiotem, powodowani miłością dobra powszechnego, dbali o cześć obywatelską, zyczliwi szczerze dla *Wydawnictwa*, za najświętszy pożytek sobie obowiązek prosić szanownych jego członków, aby nie umniejszali wartości tak ważnej sprawy niesłusznem powstawaniem na tego, czyje imię tak jest drogiem wszystkim dobronysławcy, że obrażać, zniewagę jego za swą własną, a co większa, za zniewagę całej krajowej uważają, i lano mogą się odwrócić od przedsiębiorstwa, nie pełnącego duchem miłości braterskiej i szacunkiem dla tak zasłużonego męża“.

Na ten list, pod którym się podpisali najprzedniejsi i najbardziej wpływowi obywatele Podolsey, w imieniu Spółki wydawniczej odpowiedział Doktor Kaczkowski, przedstawiając swoją broszurę nie jako napad na Kraszewskiego, lecz jako obronę szlachty Wolyńskiej, za ostro w miesieniu osądzonej przez niego; a ubolewając nad tem, że jak w zarzutach tej szlachty uczynionych było za wiele i nadto, tak i w obronie nie jeden wyraz i myśl za daleko zaszły, donosił w końcu o pojednaniu się z Kraszewskim temi słowy:

„Uznanie ogólnego dobra przyciągnęło nas wszystkich ku sobie. Jeśli drukiem wyszłym z *Wydawnictwa* bronił się obywatelstwo trzech gubernii, a raczej świadczymy o niém; to za to żywem słowem na ogólnem posiedzeniu *Wydawnictwa*, wobec zgromadzonego tegoż obywatelstwa, daliśmy świadectwo, jak czeimy, jak stawiamy wyoko zasługi Kraszewskiego. Szczerześ ta nasza poprowadziła wszystko ku dobremu: my schylił się przed zasługami J. I. Kraszewskiego; on, przeglądając myśl *Wydawnictwa*, zbliżył się ku niemu, doń naży, rady swój nie odmawia, współpracownictwo obiecuje. Miło nam jest donieść Wam o tém skojarzeniu nie powaśnionych, le nie dobrze rozumiejących się stron“.

Wszystko się tedy najpomyślniej złożyło, lecz, niestety, zapóźno!

Od zawiązku kwestyi włościańskiej wszedłszy w przykrą kolidżę z szlachtą Wolyńską, rozjątrzywszy ją późniet listami do Gazety Warszawskiej, zanadto wiele od niej uciarpiał, zanadto był boleśnie dotkniętym w najszlachetniejszych i najświętszych swoich uczuciach, aby w końcu nie stracił wiary, że z czasem wszystko da się ku lepszemu obrócić, i aby, zniechęcony ostatecznie, nie chwycił się skwapliwie zaproponowanego sobie przez Kronenberga redaktorstwa Gazety Codzienniej, które mu nastęczało dobrą sposobność do opuszczenia Żytomierza na zawsze, o czem już oddawna zamyslał. Zamysł ten wszakże nie tyczył się z razu Warszawy; jeszcze pierwszych dni Marca 1859 r. pisał do p. Kajetana tylko o powrocie w Lipen do Kisiel. „Zrzuciwszy mundur, będę znowu niby gospodarował. Wdaję się nawet w przedsiębiorstwo. Zakładam w Hublinie, po odebraniu go z dzierżawy, fabrykę oleju wielką, parową; mam współnika, który maszyny dostarcza i pół kosztów“.—Są to jego własne wyrazy.

Redaktorstwo więc owo przyszło nagle i niespodzianie, lecz łatwo go zniećilo, bo uśmiechała mu się myśl o posiadaniu własnego organu, gdzieby miał szersze i swobodniejsze pole do propagowania swoich przekonań, niż w za ciasnych dla niego szpaltach, nieraz opornych mu, Gazety Warszawskiej, albo Dziennika Warszawskiego, który po ustąpieniu Rzewuskiego, uzyskawszy jego kolidoracyę, odstreczył go, lekceważącym i talent jego, i zasługi, artykułem Michała Grabowskiego. Myśl tę chciał Kraszewski przyobleć w ciału przy pomocy szlachty Wolyńskiej i proponował jej założenie dziennika na funduszu obywatelskim; lecz gdy nie uzyskał poparcia, znalazł w apaty tej i nierozumieniu ważności podanego przez się projektu nowy powód do zniechęcenia, nową podniętę do przyjęcia propozycyi Kronenberga.

Jakoż w liście Kraszewskiego do brata Kajetana, pisanego pierwszych dni Maja 1859 znajdujemy wiadomość, że już umowa z Kronenbergiem zawarta, i że od Nowego roku redakcyę Gazety obejmie. Wcześniej jednak, bo już w połowie Lipca tegoż roku, na krótki czas przybywszy do Warszawy, dnia 10 Sierpnia został zatwierdzonym na redaktorstwie, a na początku Września, po otwarciu kursów gymnazyalnych, wzięwszy urlop na cały miesiąc, udał się tam powtórnie, aby redakcyę zorganizować.

Urlop ten wszakże przeciągnął się do

dwóch miesięcy, w skutek ciężkiej choroby, na którą, przybywszy do Warszawy, Kraszewski zapadł. Powrócił więc do Żytomierza ledwie w połowie Listopada, a w trzy późniejsi miesiące złożył swój urząd, i wyjechał 12 Lutego, po kilkodniowym pobycie w Romanowie, stanął na miejscu swego przeznaczenia dnia 24 tegoż miesiąca.

Okres ten zostawiwszy na później, powiemiśmy wprzód dopełnić historią czasów Żytomierskich szczegółami z życia literackiego i prywatnego, których zaledwieśmy z lekka dotknęli, zając się przeważnie zawodem jubilata publicznym w jego życiu obywatelskiem podczas pobytu w Żytomierzu.

Obraz tego zawodu, nawet bez owych zwierzeń, któreśmy przytaczali, już sam przez się powinienby wystarczyć na to, aby dać należyte wyobrażenie, jak mało Kraszewskiemu pozostawało czasu na pracę literacką; wszelakoż, mimo tylu rozrządzeń i kłopotów, w pierwszych zwłaszcza trzech latach, przed objęciem urzędu kuratora, pióru swemu nie pozwał wcale zasychać, i oprócz stałych listów o literaturze i sztuce do *Gazety Warszawskiej*, pisywał także feljetony do *Czasu Krakowskiego* i do *dzienników Lwowskich*, a w roku 1854 przyjął kolarczyca i w *„Dzienniku Warszawskim“*, o czem tak donosił Podwysockiemu: „Od dwóch dni zamęczony jestem przybyciem w przejeździe do Kijowa Redaktora i wydawcy *Dziennika Warszawskiego*, Szymonowskiego i Ungra, którzy mnie ciągną na gwałt, bym pismo ratował. Mają widzieć w projekcie, rzuciwszy *„Dziennik“*, założyć *„Illustracyę Polską“*, rzecz literacko-artystyczną. Projekt mi się uśmiecha, ale ciężko, jak chcą, imienia mego na to pożyteć. *„Dziennik“* bardzo źle stoi co do liczby prenumeratorów, i niezawodnie padnie“.

Mimo jednak tę smutną wróżbę, nie odmówił swojej pomocy i napisał wkrótce „Trapezologion“.

Pierwszym owocem z roku 1853, jeżeli nie zrodzonym, to przynajmniej dojrziałym na bruku Żytomierskim, było jedno z arcydzieł Kraszewskiego, *„Chata za wsią“*, napisana dla *„Biblioteki Warszawskiej“*. A był to podobno nie tylko pierwszy, ale i jedyny owoc z onego czasu, o niczem bowiem imię ani w korespondencyi Kraszewskiego żadnej wzmianki nie spotykamy, ani się z bibliografią roku następnego nie dowiadujemy; *Typy* bowiem i *Charaktery* były dawniej pisane.

Rok 1854 natomiast był już znacznie obfitszym, oprócz bowiem „Trapezologionu“

wydał *„Czerzą mogiłę“*, drugą seryą *„Komediantów“*, pierwszą komedią *„Portret“*, i nowe arcydzieło *„Powieść bez tytułu“*, którą Kr., zalecając do czytania Podwysockiemu, najkochańszemu swém dziecięciem nazywał;—a podobno poczęły się też i *„Dwa światy“*, bo już w Lutym 1855 napotykamy taką wzmiankę: „W tych czasach mniéj niż kiedy pisałem i piszę, ale jednak znowu powieść na stole: *„Dwa światy“*“, i znowu po niej projektów tysiąc, aż mi wstyd! Tego brzydkiego nalogu we mnie ani dobieć!“—*„Portret“* wraz z drugą komedijką p. t. *„Łatwiej zepsuć niż poprawić“*, wyszedł z druku 1856 roku, lecz już w tym samym liście znajdujemy wiadomość, że go autor odesłał do teatru warszawzawskiego.

W roku 1855 z listu do p. Kajetana pod datą 28 Marca v. s. dowiadujemy się o pracy historycznej, która później zapewne zaniechana została, w druku bowiem wcale nie wyszła. Oto są słowa Kraszewskiego: „Ja piszę, to jest zaczynam pisać *Panowanie Zygmunta Augusta* i ono mi teraz siły wszystkie zabiera. Porwałem się z zapadem i ogromną pracę mieć będę“.

W Sierpniu zaś w korespondencyi z tymże bratem spotykamy co następuje:

„Co pisać?—nie, albo tak jak nie—*„Ochotkiego“*“, którego czytasz, lub nie czytasz, a który mnie nudzi już; potem naturalnie znowu te nieszcześliwe powieści, na które jestem skazany, z czego jednak moeno się myślę wyłamać i coś poważniejszego przedsiębrać. Ale to podobno tak będzie, jak powiada R. Szechodolski, że gdyby najbliższego świętego namalował, powiedzą, że konia zrobił; tak i tu: żebym historią najpoważniejszą napisał, powiedzą, że powieść“.

Jedną z tych powieści prawdopodobnie musiał być *„Jermola“*, drukowany w 1856 w *Bibliotece Warszawskiej*, drugą *„Choroby wieku“*, ogłoszona w *Kronice Warszawskiej*, za które wiecie ostrzeżeń zarzuć Kraszewskiego spotkało, na co ubocznie odpowiedział w liście do *Gazety*, datowanym z Kijowa 1859 roku w tych słowach, po gorącym wezwaniu do zajęcia się założeniem szkoły agronomicznej: „Nie zrozumiano nas wcale, gdyśmy w *Chorobach wieku* wołali przeciw zmaterjalizowaniu się społeczeństwa naszego i wygasaniu ducha; nie pojmą też może, gdy powiemy, że postęp nawet materialny, pracę, naukę, widzimy konieczną potrzebą, byle one nie czyniły nas czem innem nad to, czem jesteśmy. Ci tylko, co myśl naszę wówczas pojęli, zrozumieją wezwanie dziśiejsze do ukształcenia, właściwego stanowi“.

Rok 1856 przyniósł „Starościne Belzką“, o której w Listopadzie donosił ojciec, że ją studjuje, i że byćby powinna bardzo zajmująca, bo dostały mu się papiery do niej, niesłychanie ciekawe,—oraz „Bożą Czeladkę“, która gdy się drukować rozpoczęła w Gazecie (1857 r.), tak o niej pisał do rodziców: „połecam ją waszym łaskawym względem, i mamy się o zdanie o niej dopytując; powinnaby matce przypaść do smaku, bo tam pocziwowych i wedle jej serea ludzi malował“.

Następny (1857), stosunkowo do innych, był najobłitszym w tym okresie, czemu się dziwić trzeba, pamiętając, ile Kraszewski miał naówczas zajęć w życiu publicznym i rozrządzeń w stosunkach towarzyskich; pierwszych bowiem dni Stycznia 1858 roku w liście do p. Kajetana znajdujemy co następuje:

„Mnie dosyć tu na świecie ciężko i bardzo jakoś postarzałem, ociążałem, poglupiałem trochę i gryzę się tēm. Zamyslałem pisać *Dzieje domowe Polski od Mieczysława do Stanisława Augusta*; ale to dopiero pomysł pierwszy. Będzie to historia kraju i życia jego wewnętrznego, religijnego, obyczajowego. Są moje w druku, lub wyjdą: w Bibliotece Warszawskiej *Staropolska miłość*; u Ungra *Wiosna*, sielanka (gdzie ojciec znajdzie i o Dolhem słowo) i w Dodatku do „Czasu“ *Mogily*, fragment; przepisyuję dla Gazety *Metamorfozy*, tamże będzie moja *Podróż do Kaniowa Stanisława Augusta*; przysposabiam *Pamiętniki Gozdzińskiego* (*), tomów 3 i *Wieczory Wołyńskie*. We czwartek grają moje faceci w jedynym akcie w tutejszym teatrze, ale ja jadę i widziéć jej nie będę“.

Naturalnie więc, że to wszystko, z wyjątkiem *Dziejów domowych* oraz *Pamiętników Gozdzińskiego*, a nadto jeszcze i komedia p. t. „Stare dzieje“ grana raz pierwszy w Żytomierzu 1-go Stycznia 1858 r., zostało napisaniem w roku 1857 przez tego człowieka, co się nazywał *ociężałym*, *postarzałym* i *oglupiałym* trochę, a na zajęcia literackie te jedynie chwile obracał, których ludzie jakimś wypadkiem na usługi swoje wydrzcé mu zapomnieli.

(*) O tych *Pamiętnikach*, zarówno jak o *Życiu domowym Polski* i o *Panowaniu Zygmunta Augusta* nigdzie drukowanej wzmianki znaleźć nie mogąc, zapytaliśmy o nie jubilata i takąśmy odebrali odpowiedź: „*Panowanie Zygmunta Augusta*“ rozpocząłem od studyów nad prawodawstwem; otóż jak mnie one zaprowadziły na pustynie, jak przyszło coraz głębiej się puszczać, aby zrozumieć postęp i rozwój późniejszego, tak robota upadła, a raczej sił zabrakło.

Snadź więc starość ta i ociążałość, na które się uskarżał, były jedynie urojeniem; przeciwnie, ze wszystkiego się okazuje, że w roku tym życie jego wewnętrzne i zewnętrzne podniecone było najmocniej, i rozwijało się najenergiczniej, o czém zresztą świadczy wymownie i sam już fakt powstania w tym właśnie czasie poematu p. t. *Hymny boleści*, i takie w nim ustępy, jak ten np.

„Zdrętwiały żyłem,—słońce zapadało krwawo:
Na zachód spoglądając z pragnieniem, obawą,
Tesknilem za młodością, czując, że nie przeżył
Siły, którą mi Pan Bóg na żywot wymierzył:
Gdy boleść ościła z uspienia długiego
I krwią na nowo wlaną wzdęte żyły biegą.
Odrodzony, nią dyszę—z *letargu powstalem*,
Otom *zbur młody, siłuy, otom zburu żywy*,
Piersią oddycham całą, sercem cierpię całym.
Wskreszony od umarłych bólem—i szczęśliwy“.

W roku 1858, wycieczka za granicę, o której niżej mówić będziemy, nie mało Kraszewskiemu czasu zajęła, a wrażenia i materjały w niej uzbierane, z których powstać miały „Kartki z podróży“ i „Caprea i Roma“ tak go zaprzętały jeszcze i po powrocie, iż trudno mu już było o czém innem pomyśleć; ztąd też nie więcej z tej epoki nie pozostało, oprócz „Historji kolka w płocie“, urodzonej pod wpływem onych myśli i uczuć, jakie w nim zbudziła kwestya włościańska.

Rok następny, jakkolwiek kłopotliwy i ciężki, tak z powodu zajęć niemiłych z obywatelstwem, jak i w skutek układów z Kronenbergiem o „Gazetę Codzienną“, był jednak dość obfitym w nowe utwory, przyniósł bowiem „Kartki z Podróż“, „Dziś i lat temu trzysta“, „Syrena“ (Piękna Pania), komedya „Miód Kasztelański“ i „Caprec i Rome“, o którym-to utworze pod dniem 8 (20) Czerwca tak Kraszewski pisał do Podwysockiego: „Kończę w tej chwili studyum historyczne *Caprea i Roma* z pierwszego wieku naszej ery, obejmujące czasy Tyberjusza i Nerona. Musiałem szczerze pracować, aby tę epokę, jak była, wystawić; ale obraz zaprawdę ciekawy i wielki. Bóg tylko wie, jak mi się udał. To próba nowego rodzaju: nie jest to powieść, nie jest to historia—coś pośredniego. Miałem chwile pracy ciężkiej, ale i rozkoszy wielkiej zarazem“.

„Pamiętniki Gozdzińskiego“ leżą niedokończone, z powodu, że przedmiot w wykonaniu zdał mi się za cyniczny i za drażliwy. Coś niecoś z tradycyi o Gozdzi kim użyłem do „Marnotrawnego syna“, ale... bardzo mało. „Dzieje domowe“ jest to historia ducha i obyczajów, czyli historia cywilizacyi, nad którą chce pracować, jeśli przed śmiercią doczekam się chwili swobodniejszej“.

Przyp. autoru.

Podróż za granicę, do której i dla zdrowia, i dla wzbogacenia umysłu, tak długo nadaremnie tęsknił Kraszewski, przyszła nareszcie do skutku r. 1858.

Przygotowując się do niej, przy końcu 1857 tak pisał do Podwysockiego:

„Na wiosnę wybieram się spocząć w podróż, którą na cztery miesiące zakreslam, ale jeszcze w nią nie wierzę. Chciałbym wyjechać w Maju, a zaczawszy od malowniczej podróży po Karpatach, przebieść Europę, widzieć szkoły, które będę miał polecić oglądać, być aż w Rzymie i powrócić przez księstwo Poznańskie. W środku tej podróży mam i wody jakieś pić (ale jakie? kiedy ja prostą wodę *nigdy* ani ćwierci szklanki wypić nie mogę, żebym po niej nie chorował? matka moja także wody nigdy nie pija, a ja smaku prawie nie znam). Mam też i kąpać się w Ostendzie lub w Wenecyi, co ostatniebym wolal, bo zbiegowiska takiego, jak w Ostendzie, nie chciałbym, i głupie miasto—niema nie“.

Jakoż istotnie, dnia 21 kwietnia v. s. pożegnany uroczystym obiadem przez współobywateli, wkrótce potem wyruszył w drogę, mając za towarzyszy młodego malarza Rodziewicza i przyjaciela Moczulskiego, o którym jużesmy wspominali uprzednio. Na początku Maja przybył z nimi do Romanowa, gdzie spędziwszy dni kilka, odprowadzony przez brata Kajetana, udał się do Warszawy, zkąd, dnia 22 tegoż miesiąca, od Krakowa wycieczkę zagraniczną rozpoczął, a nazajutrz pisał już do p. Kajetana:

„O południu dostałem się do Krakowa... okolica cudowna! Miasto, jak relikwiarz rzeźbiony. Kościoły, gdyby ze szczerego złota ulane, takie cacka nieopisaną, malowniczej piękności. Wyrazić niepodobna, jaki był widok nieszpórów u Panny Maryi, przed ołtarzem Najświętszej Panny Zwycięzkiej, takiej, jakiej dalsze mi obrazek.—Wnętrze tej świątyni—obraz nieporównany, zachwycający!“...

„Jutro będę na obiedzie u Kasztelana Węzka; pojutro—t. j. we wtorek po południu, na umyślném zgromadzeniu Towarzystwa Naukowego i na obiedzie ditto u Kasztelana. Wicęć nie nie wiem jeszcze, tylko, że we środę jadę do Wiednia, gdzie tegoż dnia, Bóg da, o szóstej wieczorem stanę. Dalej na Tryest do Wenecyi, wszędzie po parę dni bawiąc dla spoczynku i oglądania“.

Mamy w ręku kilka dość obszernych listów, pisanych przez Kraszewskiego do rodziny i do przyjaciół z tej wycieczki, a każ-

dy z nich byłby godnym powtórzenia w całości, gdyby nie to, żeśmy w tej książce już tak dużo miejsca zabrali: odsyłając więc czytelników do szacownych „Kartek z podróży“, tutaj poprzestaniemy na streszczeniu jej, zacierpnieniem z listu do Podwysockiego:

„Po powrocie do Żytomierza tak byłem i zajęty, i chory, i smutny, że mnie nawet na kilka słów nie starczyło. I dziś nie lepiej: chcąc widzieć wiele i skorzystać z drogi, trochęm się nią zamęczył. Przez Warszawę udałem się do Krakowa, ztamud do Wiednia, gdzie dłużej zabawiłem nieco. Następnie do Tryestu, do Wenecyi, gdzie stanąłem w solenny dzień Bożego Ciała. Do Padwy na S-ty Antoni. Dalej Verona, Bergamo, Brescia, Medyolan dłużej znowu, i Genua. Z Genui przez Chiavone, Spezia, Sestri do Pizy i Florencyi, do Sienny, Perugii, Assyżu, zkąd przez Spoleto do Rzymu i okolic. Tu znowu dłużej—cały miesiąc—siedziałem. Nie chcę ci opisywać tego, o co nie zapytujesz (andynecyi i przyjęcia u Ojca S-go),—kiedyś ci to opowiem. (*) Z Rzymu, po obejrzeniu okolic i miasta, przez Monte Cassino pojechałem do Neapolu. Tu obejrzałem Pompeje, Herkulanum, byłem na Wezuwiuszu, w Castellamare, Sorrento, na wyspie Capri, w Puzzuoli, Bajach etc., i morzem, mimo Elby i Korsyki, popłynąłem do Marsylii, zkąd przez Lyon do Paryża. Tu znowu siedziałem dłużej, i przez Bruxellę, Lowanium, do Kolonii, a Renem do Moguncyi płynąłem. Z Moguncyi przez Frankfurt i Lipsk udałem się do Drezna i na Wrocław wróciłem do Krakowa. Zważywszy, ile ważnych i ciekawych oglądałem miejsc, dziwię się sam, jak to w cztery miesiące (bo odrzucając Kraków i Warszawę, tyle zostało) mogłem dokonać? Dodaj, że wszędzie pisałem dziennik i robiłem notatki. Spytasz o wrażenia? Włochy zrobiły wielkie i trwale swoją pięknoscia i pamiątkami; Francya i Paryż—smutne i odczarowujące. Włochy ze swą początkową wiekiastą, mimo, że

(*) Andynecya ta nader bolesną była dla Kraszewskiego, a to z łaski księży Zmartwychwstańców, którzy uprosili Ojca S-go, aby go upominal o kierunek pism jego, uważany przez nich za niemoralny. Upomnienie to, którego źródła, naturalnie, nie mógł się nie domyślić Kraszewski, zatruło mu goryczą tę chwilę, której z upragnieniem wyglądał, wrócić sobie, że będzie ona najuroczystsza w jego życiu i największej pełną błogości. Nieogledni żarliwey sami później pożałowali tego, co uczynili, i chcieli go na drugą andynecyą namówić, zapewniając, że dozna już innego przyjęcia: ale Kraszewski nie chciał ich protekcyi zawdzięczać złagodzenia przykrości, jakiej z ich powodu był doznał, i oświadczył, że ją z pokorą, jako dopuszczenie Boże, przyjmuje.

mane z tylu opisów, wydały mi się nowemi; Paryż i Francją doskonale znałem i znalazłem się tam jak w domu,—tak ten kraj chłodny dał się schwycić i opisać. Tam nie starczy pędzel, ołówek i pióro na niepochwytą stronę poetyczną; tu fotografii dosyć. Jeden sklep i knępy sami.—Podróży mojej krótkiej i pobieżnej musiałem dać cel wyłączny, bo wszystkiego widzieć niepodobna mi było i żebym widział; patrzałem więc wyłącznie na dzieła sztuki, i szczegółniej z pomnikami, w galeryach i t. p. mój czas strawiłem, wpatrując się w dzieła mistrzów. Rysowałem i pisałem wiele, często o jadle, a zawsze o śnie zapominając,—to mnie wyczerpało; bo były dnie, żem po dwie godziny sypiał, a nigdy wiecej nad 4, albo 5. Jeździłem po całych tych Włoszech Veturynem, sam, unikając kolei i dyliżansów, aby być panem swoich ruchów i kroków; to też zrujnowałem się na tę podróż okrutnie! do 5000 rubli mnie kosztowała z malami pokupkami książek i organku. Teraz siadam opisywać ją i na nowo przestudowywać, co widziałem, z notat, szyćchów, książek. Żem się trochę nauczył, to pewna; ale że nagle obleciałem Europy kawał, to równie pewna. Gdyby nie dziennik, trudno mi było sobie przypomnieć szczegóły. Ziomków widziałem kupę wszędy, różnych, przeróżnych, jednych z boleścią, drugich z lietością, innych ze współzuciem spotykając... Wszędzie mi znimi i od nich dobrze było“.

Dla dopełnienia jeszcze parę słówek z listu do p. Kajetana, pisanego w sześć tygodni po powrocie do Żytomierza, dokąd wyjechałszy z Warszawy 7-go października, pędził Kraszewski bez wytchnienia 80 godzin, nie mogąc nawet wstąpić do Romanowa, gdyż i bez tego już swą podróż znacznie po za kres urlopu przeciągnął.

„Od powrotu mojego, oprócz listów i drobnych rzeczy, napisałem już 1300 stronie, a jeździłem do Kijowa i chorowałem w dodatku. I dziś cherlam, bo choć niby dla kuracyi jeździłem, alem się wcale nie leczył tylko gorączką i fatygą. Oto masz ekskuse mego milczenia.—O podróży mojej wiesz z listów do Romanowa: Włochy były głównym jej celem, widziałem je dobrze; mniej Francją i Niemcy; wszakże i tu galery i biblioteki w Wiedniu, w Dreźnie, w Lipsku, Frankfurcie, Bruxelli, Paryżu, przeglądałem starannie. W Paryżu litografowałem na kamieniu pejzaż, który też ci dam,—pierwsza próba—słaba. Rysunków z natury mam kilka albumów i palę się do malarstwa teraz, ale mi czasu brak. Jak mi się uda,

to ci przysię wloski pejzaż; ale inna to rzecz admirować, inna malować“.

Z bliższych podróży Kraszewskiego, w tej epoce godnie są zaznaczenia kilkakrotnie wycieczki do Warszawy i Romanowa, jako też do Kijowa. Z warszawsko-romanowskich najpaniętniejsze były z r. 1855, 1856 i 1859. W pierwszej, odbytej latem, jak i w 1851, doznał w Warszawie najserdeczniejszego przyjęcia, a szczegółniej ze strony ś. p. Ant. Lesznowskiego, i mnóstwo znajomości porobił, aż się na nie ojeu uskarżał, pisząc, że nigdy jeszcze w życiu tyle się nie kręcił i nie chodził tyle. Nie z tego tylko względu zasługuje ta podróż na uwagę, lecz i ztąd jeszcze, że jeno traf szczęśliwy ocalił w niej naszego jubilata, jeżeli nie od śmierci, to od bardzo ciężkiej przygody.

W roku tym, pod dniem 19 Lipca w Nr. 187 „Gazety Warszawskiej“ znajduje się taka wiadomość: „W nocy z d. 10 na 11 Lipca, pięciu jeźdźców kaukazko-góralskiego konnego dywizyonu, pijanych, opuściwszy samowolnie swoje kwatery w Kaluszyne, udali się na szosę w kierunku do m. Mińska. Odszedłszy wiorst 4-ry, napotkali furmanów żydowskich, i rzuciwszy się na nich, pięciu zabili, pięciu ciężko ranili, a zaślepieni będąc szalem i żądzą krwi, zabili przy tém sześć koni. W czasie tego wypadku nadjechał dyliżans, wyprawiony z Warszawy do Brześcia Litewskiego. Po spełnieniu pierwszego morderstwa, jeźdźcy, jeszcze więcej rozjątrzeni, strzelili razy kilka do dyliżansu, w skutek czego poczytłion został zabity, a żona kapitana komendy żandarmów w Siedleach ciężko raniona. Ze znajdujących się w dyliżansie pasażerów, urzędnik drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej od dwukrotnego pehnięcia kindzałem żyć przestał, a trzy kobiety ratowały się ucieczką i t. d.“

Owóz wiedzieć potrzeba, że tym-to właśnie dyliżansem projektował Kraszewski 10 Lipca ruszyć do Białej; ale interesa tak się złożyły, że na rozstrzygnięcie ich musiał jeszcze dni kilka czekać. Korzystając z tej przynmsowej zwłoki, udał się do Częstochowy, aby ujrzyć nareszcie tę Jasną Górę, której bohaterką obronę przed kilku laty opisywał w swoim „Kordeckim“, i dopiero dnia 13 Lipca pnął się już do Romanowa; a łatwo sobie wyobrazić, jakiego musiał doznać wrażenia, przejeżdżając między Mińskiem a Kaluszyńm po świeżych śladach krwi, z którą o mało się i jego krew nie mieszała!

Druga wycieczka (1856 roku) na długo zostawiła blogie wrażenie w pamięci Kra-

szewskiego przez zjazd rodzinny w Romanowie, o którym jużemy uprzednio wspominali.

Trzecia natomiast, 1859 r. była zapewne najsmutniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu odbywał; bo zagnęła go do niej okropna wieść o śmierci matki, zmarłej dnia 24 Lutego. W Marcu tedy, w bezdroż najbezpieczniejszą, rozboleła, zgnęana, spieszył co najrychlej do Romanowa, aby ojca pocieszyć i trzeci grób z kolei oblać łzami rzewnymi na ementarzu w Wysznieach, gdzie obok prababki Nowomiejskiej, i babki Małskiej, spoczęła już ostatnia z onych trzech niewiast, które tak czeili, kochał i wielbił, im głównie zawdzięczając najcenniejsze skarby swej duszy.

Co zaś do wycieczek Kijowskich, do których zmuszały go zazwyczaj interesa gimnazyalne, a podczas których każdą razą i studenci uniwersytetu do niego się garnęli, znajdując zwykle zdrową radę, a nieraz i przestrozę zbawioną, aby nie przebiegali miary w swych zapędach humanitarnych, marzeniach i zabiegach, dążących do oświaty i dobra ludu,—z wycieczek tych wspomnimy głównie o jednej, mianowicie zaś z r. 1859, podczas kontraktów, opisanej następnie w *Liście* do „Gazety Warszawskiej“, z którego najpierw tu przytoczyć musimy ustęp, odnoszący się właśnie do studentów, a będący niewątpliwie streszczeniem tego, co im ustnie musiał przekładać:

„Dziś zadaniem tej młodzieży, która się tu kształci, aby stanowiska, na którychby najpoważniej dla dobra kraju działać mogła, zająć się starała. Uspokoić się do tego, dobijając się o to potrzeba pracą. Uniwersytet to młody jeszcze, ale na starych wznięsiony tradycjach, bo wziął pańszczyznę po Wilnie i Krzemieńcu; rozwija się zaś żywo i silnie, a Bóg da, że w dobrym pójdzie kierunku. Uczucia poczciwe, święte, braterstwa, miłości, nauki i pracy, przeleją się na młodzież Kijowską. Dziś tu żywiły jeszcze wszystkie w pierwotnej walce z sobą i światem, nie przyszły do normalnych funkcji, nie miały dość czasu i siły, by wysnuć z siebie jasne pojęcia obowiązków i zadań głównego, jakim jest własne ukształcenie i podniesienie się moralne a chrześcijańskie; ale wszystko zwiastuje świetniejszą przyszłość. Młodzież nasza i tu, jak gdzieindziej, odpowie godnie tradycjom przeszłości. Z powagą, godnością, spokojem w sercu, wiarą, miłością pracy i ludzi, wyrobi się ona tak, jak powinna, na użytecznych krajowi obywateli, na świetny rozsądek nowego pokolenia. Wierzmy w to i ufamy.—

Spółeczność nasza cała wygląda od tych, którzy ją tu przedstawiają, aby pojęli, ile dziś na ich ramionach spoczywa, i jak ważnym jest dla kraju każdy krok drogiej młodości. Z pociechą też głęboką spogląda na wszelką myśl i czyn zacny, które uczniów uniwersytetu co dzień wyżej stawiają. Długie, bolesne doświadczenie uczyniło nas starymi; nie mamy czasu szaleć i trzpiotać się, jak bursze niemieckie; położenie wkłada na nas wielkie obowiązki, a młódz wie i czuje, jak im ma podolać.“

Dalej widzimy z tegoż listu, jak się żywo Kraszewski interesował sprawami komitetu włościańskiego, na którego posiedzeniach w Kijowie bywał, i jak bacznie wglądał w to wszystko, co się ogólnego dobra dotyczyło.

„Nowa i pożądana dla wielu zmiana stosunków włościańskich, (pisał w rzeczonym *Liście*) powołała nie jedno kółko ludzi trochę naprzód patrzących do naradzania się o przyszłości. Brak ukształcenia gospodarskiego w tej klasie, która się gospodarstwem zajmować musi, niedostatek ludzi do porządniejszego prowadzenia gospodarstwa, zmiany, które w niem zająć muszą, potrzeba postawienia na stopie, odpowiedniej wymaganiom czasu, skłaniają do myślenia o jakimś instytucie gospodarsko-przemysłowym, o szkole agronomiczno-technicznej, dla naszych prowincji. Przed laty kilku, pierwszą myśl podobnego zakładu, wraz z pierwszą nią ofiarą, podał p. Zenon Holowiński; ale odezwa jego, umieszczona nieszczęśliwie w „Tygodniku Petersburskim“, (piśmie żadnego nie mającemu rozgłosu, pozostała prawie niepostrzeżoną. Dziś wznowiamy ją, usilnie nastając, aby przyjęła mogła do skutku. Projekt p. Holowińskiego nie tylko dziś jest na dobie, ale łatwo by się dał wykonać, gdybyśmy chcieli gorliwiej nim się zająć. Szkołę tę technologiczno-rolniczą, połączającą w sobie teoretyczny wykład nauk, do przemysłu i gospodarstwa nieodbitnie potrzebnych, i szkołę praktyczną rolnictwa i przemysłu w różnych ich rozgałęzieniach, szkołę techników, gospodarzy, ekonomów i parobków, moglibyśmy łatwo założyć przez akcyę i zarządzić nią sami, przez wybranych od akcyonariuszów dyrektorów ze szlachty naszych prowincji. Instytut ten, którego uznanie i potwierdzenie przez Rząd nie ulega najmniejszej wątpliwości, miałby wszelkie rekojnie trwałości i rozwoju, zależące od kierunku ludzi, najlepiej znających potrzeby kraju naszego. Sami-byśmy na nią wynaleźć mogli najstosowniejsze miejsce środkowe w trzech guberniach i urządzić ją

wedle planu, odpowiadającego wymaganiom chwili obecnej. Zakupienie ziemi, sformowanie zakładu, sprowadzenie ludzi, machin, utrzymanie wreszcie instytutu, dla naszych prowincyi nie byłoby ofiarą tak wielką, a wypłaciłoby się podźwignięciem gospodarstwa, które zmianom nieuchromym, tak, jak jest, poddać nie może. Mielibyśmy swoich techników, rolników, ekonomów, a nawet wzorowych parobków, machiny, nasiona, lepsze rasy bydła i koni, słowem wszystko, czego nam dziś niedostaje, co zdaleka i na wiarę sprowadzić musimy. Potrzeba tylko wspólnej zgody, woli i wytrwałości, aby myśl tę przyprowadzić do skutku; a gdybyśmy w czem pomocą ku temu być potrafili, najchętniej się ofiarujemy.“

Pilnie też wejrzał i w organizacya teatru Kijowskiego, który go tem żywiej obchodził, jako organizatora i opiekuna teatru Żytomirskiego; a że to już sprawy dawno przebrzmiałe i nie wszystkim wiadome, nie od rzeczy więc będzie przytoczyć tu wiadomość, zapisaną w owym *Liście* przez Kraszewskiego, jaki był wówczas stan rzeczy:

„Teatr Kijowski od kilku miesięcy przeszedł pod dyrekcya, przybyłego z Galicji, Teoila Nowiny - Borkowskiego, który całą antrepryzę wziął na siebie, i polska scena niezaprzeczenie na tem zyskała. (Grywano jednocześnie sztuki polskie i rosyjskie, lub częścię maloruskie). Może być, że pan Borkowski od razu nie mógł postawić teatru na takiej stopie, jakiej Kijów wymaga; ale usilnie pracuje, aby go podnieść, — i w tym celu wybiera się w podróż do Krakowa i Lwowa, dla odżywienia towarzystwa nowymi artystami. W dzisiejszym składzie jest kilku odznaczających się talentem ludzi: p. Natorski, komik, pełen życia, pani Gadomska, p. Olesińska, wreszcie sam dyrektor. Świeżo przybyła z Wilna wodewilistka, p. Pacewiczówna, zyskała także przy pierwszym wystąpieniu oklaski. Nie zaprzeczamy, że wiele jeszcze uczynić można w Kijowie, ale na początek, to, co jest, powinno obudzić współzainteresowanie, a bez niego trudno, by p. Borkowski mógł eo uczynić. Winniśmy tu w imieniu teatru polskiego złożyć szczerze dzięki Marszałkowi szlachty Kijowskiej, p. Jaroszyńskiemu, który serllecznie stara się podtrzymać i zabezpieczyć przyszłość tutejszej sceny; i od początku wziął ją pod swoje protekcya. Jego negatywie i gorliwości obywatelskiej winni byćśmy, jeśli się teatr podniesie i do stałego przyjdzie bytu. Panu Borkowskiemu zostaje starać się o to, aby godnie odpo-

wiedzieć swemu powołaniu, i mając tu publiczność wykształconą, młodzież akademicką, ludzi klas wyższych towarzystwa za słuchaczy, wyborem sztuk i ich wykonaniem zastosować się do słusznych wymagań ogółu.“

W końcu nie pominął też i stosunków literackich i artystycznych, a nawet od nich sprawozdanie swoje rozpoczął i sygnął sporą garstkę nowości, z jakimi wystąpiły wówczas księgarnia miejscowa Idzikowskiego Petersburska Wolffa, Wileńskie Zawadzkiego i Glügsberga, oraz Warszawska Orgelbrandta. Ciekawem byłoby przytoczenie wzmianki o nowych dziełach, jakie się wówczas ukazały, dałoby to bowiem pojęcie o ruchu umysłowym z epoki owęj, w której jeszcze prasa peryodyczna nie poehilała tak, jak dzisiaj, całej produkcji literackiej; ale nie możemy tego uczynić, przez wzgląd na konieczną potrzebę szczedzenia miejsca. Zakończymy tedy wspomnienie tej wycieczki ustępem, odnoszącym się do literatów, jacy się znajdowali wówczas w Kijowie.

„Najprzód stali tutejszy mieszkance, p. Michał Grabowski, który w tej chwili więcej jest zajęty enkrowarnią, piaskiem, projektowaniem budowami na gorze S-go Andrzeja, cegielnią wielkich nadziei i majątkiem świeżo kupionym, niż może literaturą. Zresztą nie dziw, że się zraził, umilk, odsunął; — trochę sam winien, że go dobrze ludzie ocenić nie mogli, bo zawsze najmniej sympatyczną obrał się do nich stronę; trochę znowu ludzie winni, że z tej strony o całym sądzili człowieku. Więc stanął na boku i śmieje się z nas wszystkich... daj mu Bóg na zdrowie, toć nikomu nie szkodzi. Pomimo bardzo zresztą otwartości niechęci, jaką mi zawsze szanowny ten krytyk okazać raczył, nie mając sobie do wyrzucenia, hym mu kiedy szyderstwem, lub zapoznaniem jego talentu odplacił, powiem i dziś, że daleko więcej wart nad to, co o nim ludzie trzymają... a to nie wszystkim się zdarza. Dowodem uczciwych chęci, często usposobieniem do sarkazmu maskujących się tylko, niech będzie ofiara świeża p. Michała Grabowskiego, który swą liczną bibliotekę na czytelnię dla uczniów uniwersytetu darował.“

„Oprócz niego, widzieliśmy p. Mareinkowskiego (Gryfa Nowosielskiego); Alexandra Grozę, zajętego drukarnią i wydawnictwem, już przychodzącem do skutku; Leopolda Jakóbowskiego, który przygotował do druku pierworys prawoznawstwa (rodzaj prawniczęj encyklopedyi, bardzo pożądanęj); jeszcze nieznanego, ale wielkie czynią-

cego nadzieje, Leonarda Sowińskiego, którego Satyra ma ogłosić Idzikowski; p. Podbereskiego, wydającego rzecz o Scytach i Scytyi Herodotowej, ciekawą i sumiennie opracowaną; H. Skimborowicza, przybyłego tu chwilowo z Warszawy; naostatek pełnego nauki i dowcipu, Alexandra Darowskiego, którego talent stawia wszędzie na czele, choćby go przypadek na końcu położył. Któż u nas nie zna tych tysiąca ulotnych wierszy, listów, pisemek, rozprawek, w których, z właściwą sobie tylko werwą i nielitościwym sarkazmem, erudycją zawsze obfitą i wesoleścią niekiedy przerażającą, lub powagą senatorską, ehloszece on wszystkie wady nasze społeczne i szle *mementa* zapominającym na chwilę o obowiązkach? Chociaż i nam samym zdarzyło się nieraz odebrać tego rodzaju admonicyą lub krytykę... choć często surowości p. Darowskiego nie podzielimy i uważamy ją za zbytęzną; uczucie szlachetne i pobudki, jakie go do tej cenzorskiej pracy skłaniają, uniemy ocenić. Nie małaż to rzecz, nie zważając na to, że się sobie cały Boży świat naraża, prawdę mówić, choćby rodzonemu, *usque ad finem*..

W przytoczonym wyjątku o literatach, na szczególniejszą zasługę uwagę ustep o Michale Grabowskim: gdyż trzeba wiedzieć, że autor „Stanicy Hulajpolskiej“, której tom piąty chciał być mieć napisanym przez Kraszewskiego, r. 1857 wystąpił w „Dzienniku Warszawskim“ z artykułem o tym ostatnim, pełnym tak wielkiego lekceważenia, iż nim nie tylko Kraszewskiego dotknął boleśnie, lecz wszystkich jego zwolenników strasznie oburzył i wywołał z jednej strony protestacye publiczne, z drugiej zaś masę listów prywatnych, w których i znajomi, i nieznanymi, wierszem i prozą starali się dowieść jubilatowi, jak im droga cześć jego i jaką wzgardę w nich obudził swoim artykułem Grabowski.—Listy owe, przepisywane w wielu exemplarzach, kursowały po Wołyniu, Podolu i Ukrainie, i samiśmy spotykali je nieraz; dziś tylko jeden posiadamy, i nie tyle ze względu na jego wartość literacką, ile na treść, która była wyrazem wówczas uczuć ogólnych, przytaczamy tutaj z niego wyjątek:

„Kochać Cię, sere rodaków stało się potrzebą, Wszyscy Twojej mistrzowskiej wierzymy powadze, Naród wielebna w Tobie genialne władze, Tyle z chlubą przebytych w pisarstwie zawodów, I dziwi się, i cieszy obfitością plodów. Nie masz palacu, dworu i poziomu chaty, Gdziebyś gości nie wleciał nasz ptaku skrzydlaty. Równy przynosisz pokarm dla mitry, jak plachty, Czytują cich w palacach i we dworach szlachty, Plej obie, stany wszystkie słodyczą się poją..

O mistrzu! kiedyż Twoje wrogi się rozzbroją! Niedawno ten, w którego duch złości się wielki, Ukrainiec z *Stanicy* zazdrością wyrzelił: Dumny dawnem, zatartem w kraju powodzeniem. Dziś chciałby Cię, w rozpacz, własnym okryć [cieniem].

Zaledwo wiatr ten powiał z Ukrainskiej dziezy, Gdy naród, zgodnie karząc zamach napastniczy, Powstał przeciwko sprawcy, zawołano hola, I musiał wyjść na szranki piewca *Hulajpola*.

Próżno się będzie zawiść szamotać i zżymać, Mistrzu! naród w twej sprawie zdola ci dotrzymać, Zapewni ci spokojne w swoim łonie chwile, Ty, swobodny, o własnej geniuszu sile, Poruszyć wszystkie tony narodowej fletni, Która imię twe wzniesie i kraj twój oświeci..

Wiersz ten wyszedł z pod pióra Jana Sowińskiego, krzemienieczanina, znanego pedagoga i autora „Uczonych Polek“. Kraszewski dziękując mu serdecznie za ten dowód współczucia, tak się wyraził: „Gdzieżbym czerpał siłę do pracy po dwudziestu kilku latach trudu i zmęczenia, jeśli nie w tych oznakach sympatyj, które mi drogę wskazują i uzbrajają do walki? Wiersz Pański, choć wysoko wynosi mnie nad zasługę i wartość, zostanie dla mnie i przyjaźni Jego pamiątką, i wyrazem opinii, która mnie podtrzymuje.“

Sprawa ta ciągnęła się dość długo, a choć Grabowski mileżał, co raz to nowe spotykały go cięgi, których szczególnie ostre pióro Apollona Korzeniowskiego mu nie szczędziło, dogryzając mu niefortunne jego eukrowarstwem. A miał powód i prawo, z pobudek nawet osobistych, kruszyć kopią za cześć Kraszewskiego, bo jeszcze w roku 1854 napisał, a w 1856 wydrukował piękny, pełny ognia i siły, wiersz ku jego chwale, (w „Strofach oderwanych“ przy dramacie p. t. „Komedya“), który ze wszech miar jest godny uwagi, gdyż w swoim czasie był wyrazem uczuć i myśli wszystkich miłujących dobro powszechne i walczących w imię postępu.

Na zakończenie czasów Żytomierskich musimy jeszcze kilka słów poświęcić prywatnym i rodzinnym stosunkom Kraszewskiego. W epoce tej, prócz kłopotów, jakich go nabawily Kisieli, wymagające ledwie nienatychmiastowej spłaty spólsukcesorów i legatów, poczynionych przez panią Urbanowską, nie mało miał ich jeszcze z powodu interesów szwagra swojego, Luniewskiego, któremi się z prawdziwem poświęceniem zajmował, jeszcze i wtedy nawet, gdy już zamieszkiwał w Warszawie; jako też i w skutek opieki, spadłej nań w r. 1858, nad osierociałemi dwiema córkami cioteczniego brata swęj żony, które się obie w jego domu odtań wychowywały.

Wiele też ciężkich ciosów dotknęło go w tym czasie; mówiliśmy już o śmierci pani Urbanowskiej i matki, nie na tém wszakże konie: w roku 1855 moeno go zasnuć zgon Metropolity Holowińskiego, który odczuł głęboko nie przez samę jedynie pamięć na przyjazne dawne stosunki, lecz i przez wzgląd na stratę, jaką w nim Kościół katolicki w Archidiecezyi Mohilewskiej ponosił. W roku zaś 1856 przyszło mu opłakiwać dwóch najlepszych, najzaśniejszych przyjaciół: w Styczniu — Stachowskiego, w Listopadzie — Kazimierza Komornickiego.

A na te ciężkie smutki, takich pociech, jakichby pragnął, próżno oczekiwał i wolał; ani rodzice, ani bracia, mimo nieustannych zaprosin to do Kisiel, to znów do Żytomierza, gdzie się na ich przyjęcie tak sposobil, jak gdyby chciał im nieba przychylić, nie nawiedził go w tym czasie ni razu; a on sam, mimo chęci najszerzszych, nie mógł być nawet na weselu ani brata Lueyana, ani też Kajetana.

Rozrywki towarzyskie, holdy i tryumfy publiczne nie zdolne były zaspokoić potrzeb tej duszy, której usposobienie starał się dać poznać czytelnikom; jedna tylko owacya, najmniej głośna, najmniej ostentacyjna, głębiej się w sereu Kraszewskiego odbiła, o której w roku 1855 tak pisał do brata Kajetana: „Powiedz mamie, że od zgromadzenia księży Paulinów Częstochowskich odebrałem za „Kordeckiego“ rodzaj przywileju dla mnie, żony i dzieci, którym przypuszczeni jesteśmy do łask, jakie zakon Pauliński ma u Boga i zaskarbia eo dzień. Mamę kątek w ich modlitwach za żywych, a po śmierci za umarłych. Przyznam ci się, że ten patent na różowym jedwabiu do lez mnie ucieszył i serdecznie był miły! Nie wątpię, że i mamie robi to przyjemność. Paulini tak się dorze dowiedzieli imion żony i dzieci, że ich wszystkich tam pomieścili. Przypadek chciał, że to odebrał w sam dzień S-go Józefa“.

Tyleśmy o czasach Żytomierskich zaezerpnęli z korespondencyi Kraszewskiego, ale jeszcze, dla dopełnienia ich obrazu, ze wspomnień naszych osobistych kilka rysów dodać musimy. Wspomnienia te odnoszą się do ostatniego roku pobytu Kraszewskiego na Wołyniu, od Czerwca 1859 po Luty 1860.

Była to najświetniejsza epoka w dziejach Żytomierza, nie pod względem przepychu i wystawności życia, lecz pod względem rozbudzenia się ruchu myślowego i pracy w rozmaitych kierunkach dla powszechnego dobra. Nie było prawie słyhać o balach i zabawkach publicznych, ani o hucznych

zgromadzeniach na tańce albo uczy w domach prywatnych; ale teatr, muzyka, literatura, zakłady dobroczynne, reforma włościańska, towarzystwo rolnicze i kredytowe, szkoła agronomiczna, szkółki wiejskie, i w ogóle sprawy społeczne, żywo zaprzętały wszystkie umysły; a Spółka Wydawnicza, Towarzystwo Lekarskie, Komitet Teatralny, Towarzystwo Dobroczynności, raz w raz nastreczały sposobność do zgromadzeń na posiedzenia urzędowe i narady prywatne. Zawiązało się też, obok oficyalnego Towarzystwa Dobroczynności, prywatne Towarzystwo S-go Wincentego a Paulo, z inicjatywy p. Jana Prusinowskiego, które tak szybko i tak świetnie się rozwinęło, że już w pierwszym roku swego istnienia nabyło dom na własność i otwarło w nim konwikt na 30 ubogich uczniów. Nad to zaś, wzięwszy za cel swego istnienia, nie opiekę nad staremi i kalekami, tylko czynną, natychmiastową pomoc ludziom zdolnym do pracy, ale pozbawionym jej, czy to w skutek choroby, czy innego jakiego bądź nieszczęścia, rozdawało zasilki, dostarczało lekarzy i lekarstwa bezpłatnie, nie krepując się żadnym formalizmem, i podając wsparcie niezwłocznie, za porozumieniem się trzech tylko członków, z których prócz tego każdy, w razie nagłej potrzeby, mógł był działać bez odwoływania się do innych, biorąc rzecz na własną odpowiedzialność.

Poezet inteligencyi był dość licznym, jak na prowincyalne miasteczko: prócz Kraszewskiego, z pisarzy, mniój lub więcej podówczas znanych, mieszkali w Żytomierzu Alexander Groza, Edward Gaili, Andrzej Janowicz, Karol Kaczkowski, Apollo Korzeniowski, Jan Prusinowski; a czestymi gośćmi bywali Eustachy Iwanowski, Erazm Michalowski, Włodzimierz Plater i Leonard Sowiński. Istniały przy tém dwie księgarnie — Spółki wydawniczej i Budkiewicza, — i dwie polskie drukarnie — Chruszcza i Kwiatkowskiego. W końcu zaś okresu, o którym mowa, życie umysłowe tak się już było rozwinęło potężnie, iż nawet do publicznych przyszło odczytów, na co przed Żytomierzem w całym kraju żadne miasto prowincjonalne, nawet i samo Wilno, jeszcze się wówczas nie zdobyło.

Muzyka miała kilku bardzo zdolnych przedstawicieli, w których domach kolejno urządziły się wieczory muzyczne, a Kątski, Taborowski, Biernacki i Samuel Kossowski, z koncertami występowali.

Teatr, powierzony kierownictwu p. Adama Milaszewskiego, utalentowanego artysty, którego żona odznaczała się także grą wybo-

na. w dramacie zwłaszcza i tragedyi, pod dyrektoryą komitetu, w którym z Kraszewskim uczestniczył Apollon Korzeniowski, rozwijał się co raz to świetniej i miewał chwile powodzenia nie lada, przepelniając się tłumem widzów na takich przedstawieniach, jak np. „Miód Kasztelański“ Kraszewskiego, albo „Dla miłego grosza“ Korzeniowskiego, lub „Wyrok Jana Kazimierza“ Syrokoni; lub też na wodewilach, do których Prusinowski arey dowcipnie okolicznościowe piosnki dorabiał.

Życie to, naturalnie, tak się rozwinęło pod wpływem rozmaitych sprzyjających okoliczności; ale niepodobna zaprzeczyć, że pobyt Kraszewskiego w tém mieście stał się też niemal do tego bodźcem, i że dom jego był ogniskiem, zkad życia tego bily prądy najpotężniejsze, przenikające tych nawet, którzy się od niego zdala trzymali, lub nawet kusili się działać przeciwko niemu.

W domu tym, w tym prawdziwym przybytku literatury, nanki i sztuki, ześrodkowywały się myśli i uczucia, skupiał się duch całego Wołynia, Podola i Ukrainy, których najcenniejsi przedstawiciele raz w raz zaglądali do niego; a dzięki stanowisku i stosunkom rozległym gospodarza, odbierającego codziennie stoły listów ze wszech stron świata, i wtajemniczonego należyte we wszystko, co działo się albo projektowało w całym obszarze spraw społecznych i umysłowych,—wynosili ztąd i rozpowszechniali po kraju wiadomości ciekawe a pożyteczne, poglądy trafne, rady zdrowe, i bodaj drobne iskry tego zapалу, jakim ku dobru powszechnemu serce Kraszewskiego zawsze płonęło.

Tryb życia jego w onym czasie, kiedyśmy się z bliska mu przyglądali, nie różnił się wcale od tego, jakiśmy wyżej już własnym jego słowy zarysowali. Zajęciom literackim i korespondencyi niezmiernie więcej tylko przedpołudniowe godziny mógł poświęcać, jeśli dniem przed tém z góry niemi nie rozporządził, czy to na przyjęcie u siebie nataczających interesantów w najważniejszych sprawach, czy na wyjazd do miasta w endzych pilnych potrzebach. Nie jedna z takich godzin ciąży i na naszym sumieniu, a co gorsza, nie jedną nawet zdobyliśmy przebojem, wcale jej nie zamówiwszy sobie zawczasu. Przebojem, powiadamy; nie brakło bowiem czujnej straży jubilatowi, od natrętów broniącej. W przedpokoju spotykało się zwykle poczciwego sługę, Piusa, całym sercem oddanego dobremu Panu, a bardzo roztropnego i rozumiejącego należyte całą ważność tych godzin pracy. Ten wszakże, znając doskonale bliższe stosunki

swego Pana i umiejąc odróżnić niepotrzebnych nudziarzy od tych ludzi, którzyby się nie ośmielili, bez pobudki nagłej i ważnej, zakłócać mu drogiego spokoju, bez oporu drzwi nam otwierał. W krzaczaliśmy więc następnie do jadalni, o dwóch oknach, wychodzących na ogród, o ścianach pozawieszanych obrazami, przylegającej lewą stroną do pokojów panieńskich, prawą zaś do salonu. Tu cisza panowała głęboka,—czasem tylko słówko nieco głośniejsze ozwało się po-za lewymi drzwiami, gdzie panienki lekkie odbywały. Pomimo woli szło się dalej prawie na palcach, z jakąś trwogą i wyrzutem w sumieniu za winę popelnianą rozmyślnie, choć z konieczności. Salon, zajmujący całą szerokość domu, stosunkowo za wąski, z drzwiami parterowemi i gankiem od ogrodu, miał wszystkie ściany obrazami okryte, w pośród których nie brakło dzieł niepospolitej wartości słynniejszych mistrzów obcych, i płodów pięknie się już wówczas rozwijającej sztuki krajowej. Tutaj też stał fortepian i ulubiony organek Kraszewskiego. Za salonem, z prawej strony była sypialnia, z lewej—pracownia jubilata, przedzielona pokoikiem niewielkim, stanowiącym gabinecik Pani Kraszewskiej, a właściwie strażnicę, gdzie ona, przy krosienkach lub z książką w ręku, zawsze się o tój porze znajdowała na czatach, i nie jeden z tych, którym Pius dał próg przestąpić, ztąd, jak nie pyszny, natychmiast się musiał wynosić; chyba że prośby nataczające przez drzwi zamknięte doszły do uszu gospodarza, który, po głosie suplikanta poznawszy, nehyłał je wówczas i, z dobroliwością sobie właściwą, skwapliwie go do siebie zapraszał.

Pracownia zajmowała obszerny, dwoma, w dwóch ścianach przeciwnych, weneckimi oknami oświecony pokój. Po pod ścianami podłużnemi stały szafy biblioteczne, u dołu opatrzone w szuflady, gdzie się mieściły rękopisma i teki, z uporządkowanym systematycznie bogatym zbiorem rycin, odnoszących się do historii sztuk pięknych w Polsce. Po nad szafą, ściana przeciwna wchodowi, prawie całą zowiezoną była pejzażami olejnymi, peza Kraszewskiego, a pod oknem na lewo stały zwykłe sztalugi. Na półkach i na małych stolikach poustawiane i porozkładane były rozmaite wykopaliska i zabytki starożytności, a znów na innych ścianach, w miejscach nie zajętych przez szafy, wisiały stare zbroje i rynsztunki wojenne. Wreszcie po pod oknem po prawej stronie, wzdłuż przez środek pokoju, stał długi stół, gobelinem przykryty, z całym

przyborem do pisania, założony pakami listów, rękopismów, dzienników i nowiuteńkich książek w rozmaitych językach.

O południu zazwyczaj, bądź sam Kraszewski jeździł z wizytami, lub dla załatwienia spraw przeróżnych po mieście, bądź też u siebie odwiedziny urzędowe przyjmował. Po obiedzie znów parę godzin literackiej pracy poświęcał, lub też opiece nad teatrem, w którym, ilekroć tylko się do nowej sztuki przysposabiano, assystował zwykle przy próbach.

Wieczorem za to już dla wszystkich dom stał otworem, i rzadko kiedy na herbacie obeszło się bez gości, czy to miejskich, czy z prowincyi przybyłych, przeważnie z towarzystwa męzkiego, którzy, wstawszy od stołu, wynosili się wraz z gospodarzem do zaciszyć jego pracowni, gdzie przy fajkach, przy cygarach, do późna w noc ciągnęła się pogadanka rokoszna o tém wszystkiem, co tylko umysł ukształcony i serce zaaneżające mogło najżywić.

W razie, jeżeli gośćmi byli bliżsi znajomi, Kraszewski często, czy to sam, czy przy towarzyszeniu na fortepianie, Czapka, przy ulubionym swym organku zasiadał, nieraz godzinami całemi, zwłaszcza gdy owe jakie kompozycje nadeszły, kapał się w tych potokach melodyi, które z pod białych jego paleów tryskały, i orzeźwiał w nich duszę, *upałem dnia* pracowitego unojona.

Tak bywało codziennie, z wyjątkiem tylko sobót, których wieczory poświęcone były niybo *dziecinnyim zabawom*, bo w nich także i starsi brali udział bardzo serdecznie. Zresztą i owe dzieci nie zupełnie były już dziećmi, których przedstawicielką istotą tylko najmłodsza córka gospodarza nawać się mogła; starsza bowiem już była wtedy panną na wydaniu, a dwie krewne pani Kraszewskiej miały już trochę prawa do marzenia o długich sukniach. Z dwóch zaś synów państwa Kraszewskich, starszy był lat dziewiętnaście, młodszy szesnaście.

Na wieczorki te pospolicie zbierało się towarzystwo dość liczne, lecz przeważnie,

jeśli nie całkiem, z najbliższych tylko i najpoufalszych przyjaciół i znajomych złożone: tutaj najczęściej spotykali się Korzeniowscy, Prusinowscy, Pietkiewiczowie, dwie córki Kazimierza Komornickiego, przyszły zięć gospodarza, p. Bolesław Łoziński, Dr. Nowicki, nauczyciel gimnazyalny Tytus Kossowski, i inni, których dziś już przypomnieć sobie dobrze nie mogę.

Bawiono się z razu w gry towarzyskie: w *sasiada*, w *wajażera*, w *à la guerre*, w *ptaszka* i t. d. Przy *ptaszku* jedną razą, ktoś, podobno p. Prusinowski, odznaczający się szczególniejszą łatwością w improwizowaniu dowcipnych zwrotek, stanawszy w śroku kola, zamiast zwykłej piosenki o *ptaszku, szukającym ziarna pszenicy*, wyrecytował *ex abrupto* jakiś zgrabny neume, wymierzony do któregoś z uczestników tej gry niewinnej; naturalnie, że ów musiał mu odpowiedzieć w tenże sam sposób, i *ptaszek* się raptem przerodził niybo w *Krakiwiaka*. Zwrotki wesołe, żartobliwe, sypały się jak z rogu obfitości, a całe towarzystwo tak się wesoło i ochoczo bawiło, tak szczerem i serdecznym wybuchalo śmiechem co chwila, iż w końcu i szanowny gospodarz, wywabiony tą wrzawą ze swego gabinetu, gdzie w gronie starszych poważną się bawił rozmową, przyszedł przyglądać się i przysłuchiwać pustym naszym igraszkom i śmiał się do rozpuku wraz z nami; a nasze rymowane koncepta tak się mu podobały, iż zażądał, aby mu je syn starszy stenografował, i cały tego arkusz uzbierał.

Dawne to, bardzo dawne już czasy! lat dwadzieścia odtąd ubiegło; a jak mnie, tak zapewne i wszystkim innym uczestnikom tych zabaw, rozerwany i rozproszony gdzieś po szerokim świecie, dotąd żyją one w pamięci, choć wspominać je dziś tak ciężko! bo ileż to zmian smutnych zaszło odtąd w życiu i sercach ludzkich! ileż osób z owego grona, co się tak rażno, tak ochoczo wtedy bawiło, znikło, zgasło przedwcześnie, rzuciwszy mrok żalobny i chłód grobowy na tych, których duszy przyświecali ciepłym promieniem miłości lub przyjaźni prawdziwej!

W Lutym tedy 1860 roku wyruszył Kraszewski do Warszawy, rodzinę całą pozostawiając w Żytonierzu, dokąd już tylko na czas krótki zajrzał był w Czerwiec tegoż

roku, aby pobłogosławić związek starszej swej córki z p. Bolesławem Łozińskim. Znów odjechał i już wielu z tych, co się do niego całym sercem garnęli, nigdy go odtąd nie ujrzano.

Na pożegnanie już mu szlachta Wołyńska nie wydała obiadu, i nikt nie wystąpił z żadną owacją; grono tylko najszerszych, najwierniejszych przyjaciół, którzy wierzyli w zaenność jego zamiarów i wiedzieli, do czego dąży, dłoń mu uściśnęło gorąco, przyrzekłszy najzardliwsze poparcie i współdziałanie.

I tą razą sam tylko udał się do Warszawy: państwo Łozińscy w Żytomierzu osiedli, pani Kraszewska przeniosła się do Kisiel, chcąc tam lato przepędzić i cieszyć się, dopóki mogła, tą ciszą wiejską i swobodą, w której tak bardzo podobała, a z niechęcią i prawie wstrętem myśląc o osiedleniu się w Warszawie. Zresztą i dom w tym mieście nabyty przez Kraszewskiego przy ulicy Mokotowskiej, jeszcze się restaurował podówczas; dopiero więc przy końcu Sierpnia całe rodzeństwo (z wyjątkiem starszej córki), znalazło się pod jednym dachem. Nie na długo jednakże, bo już 1-go Września, w części dla orzeźwienia się po ciężkiej pracy, i dla zdrowia, w części dla zabrania stosunków w interesie Gazety, wyruszył Kraszewski po raz drugi w swym życiu za granicę, uwołając z sobą i starszego syna swojego, dla umieszczenia go w szkole politechnicznej w Gandawie. Z podróży tej powrócił dopiero w połowie Listopada, a zwiedził w niej Wrocław, Brukselę, Paryż i dłuższy czas przepędził we Włoszech, głównie w Genui, co wszystko w Listach do Gazety opisał.

I później wszakże przez cały czas pobytu w Warszawie, mało Kraszewski zaznał pociech w życiu rodzinnem, od którego ciągle go odrywało życie publiczne i ciężka praca redaktorska. Nad to, pani Kraszewska z młodszą córką i pupilkami na lato wyjeżdżała zwykle do Kisiel; on zaś i w roku 1861 w Październiku jeszcze raz za granicę wybrałszy się na dwa tygodnie, w skutek ciężkiej choroby, która go zaskoczyła w podróży, powrócił ledwie w Styczniu 1862 r.; a w końcu i młodszego syna, Franciszka, tegoż roku do Krakowa na naukę odesłał. Romanów ukochany ledwie raz tylko w onym czasie zdołał odwiedzić, i raz tylko cieszył się obecnością brata Kajetana w Warszawie, również jak i starszej córki, Łozińskiej, której nigdy już w życiu nie miał więcej oglądać.

Wszystko to, razem wzięte, musiało bardzo smutnie odbijać się w tym tak czułym i tak wrażliwym sercu; a jednak było małą zaledwie cząstką tych przykrości, jakie na Kraszewskiego zwały się w Warszawie.

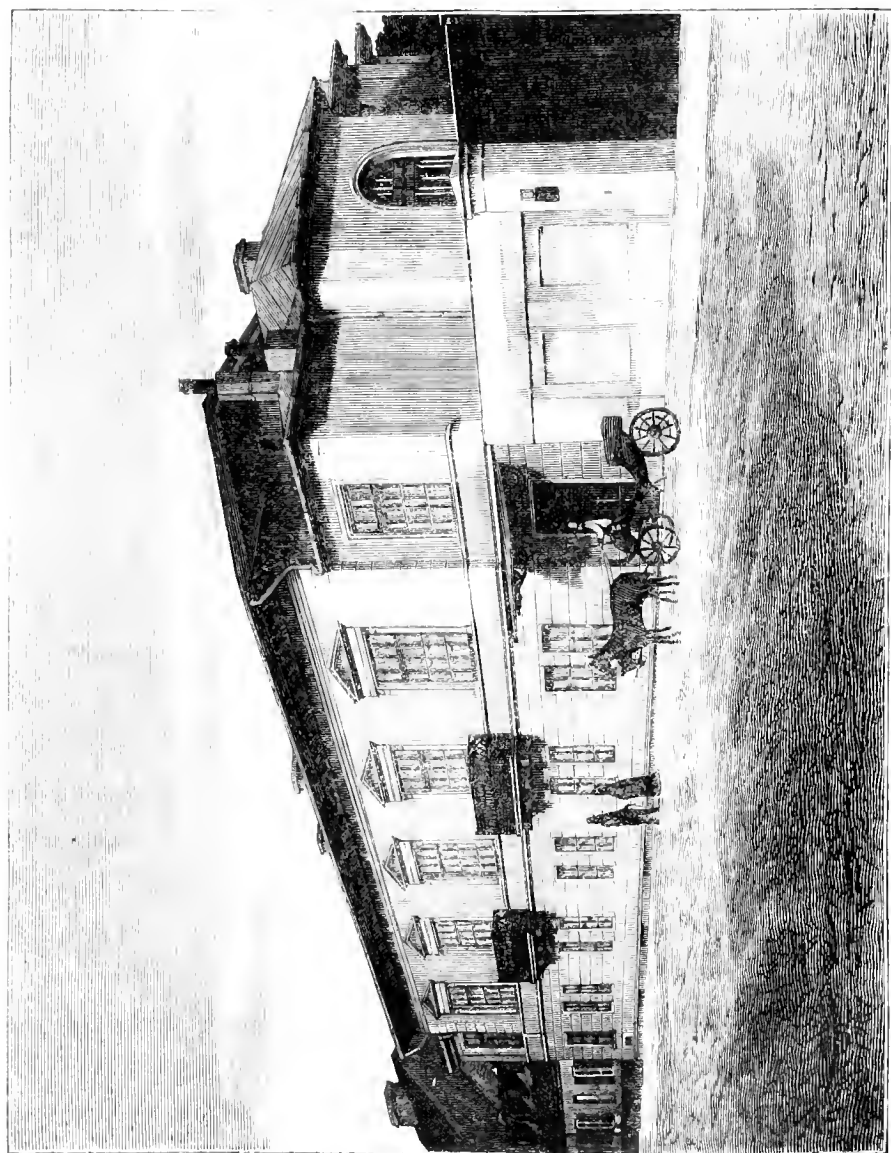
Zródłem ich wszystkich była ta nieszczę-

na Gazeta, a właściwiej ta chęć gorącego służenia dobru powszechnemu, które zniechęciło do niej Kraszewskiego, przejętego niezlomną wiarą, że kierując nią podług swojej myśli i woli, a mając środki należyte i moralne i materialne do rozwinięcia jej na taką skalę, i do postawienia na takiej stopie, żeby odpowiadała wszelkim wymaganiom możliwym, potrafi przez nią oddziaływać na ogół, i osiągnie ów cel wysoki, do którego z takim zapalem i z taką wytrwałością dążył przez całe życie.

Zamiary jego były najzaenniejsze, najczystsze; myśląc o ich urzeczywistnieniu, dalekim był od ubiegania się za jakąkolwiek osobistą korzyścią, owszem—całego siebie na ofiarę oddawał i zamiast, coby miał, opuściwszy Żytomierz, osiadł w uroczyszach, zacisznych swych Kisielach, mogących, zwłaszcza przy Hubinie, dostarczyć środków do zadośćuczynienia wszelkim potrzebom, a choćby i zachciankom dostatniego i wikwintnego życia; zamiast spokojnie i swobodnie oddychając wiejskiem powietrzem, wśród tej okolicy czarownej, co go niegdyś tak zachwycała, na łonie tej natury, którą tak kochał i tak dobrze rozumiał i odczuwał,—oddać się całą duszą swym upodobanym zajęciom,—literaturze, muzyce i malarstwu, i jedynie dla przyjemności, dla rozrywki, dla odświeżenia się i podniecenia, kiedy niekiedy wychylać się czy to do Warszawy, czy za granicę; zamiast tego wszystkiego, powiadamy, rzucił się w odmęt życia, całkiem przeciwnego swoim usposobieniom i, dla miłości dobra ogólnego, poświęcił równie interesa materialne, jak i wszelkie pociechy, wszelkie przyjemności duchowe: poświęcił byt dostatni, spokojny, niezależny, swobodny, i to wtedy, gdy właśnie mógł być w całej pełni z niego korzystać.

I jakąż za to wszystko zyskał nagrodę?—Oto ludzie złej woli krzyknęli w niebogłosy, że się żydom zaprzedał! a całuteńki prawie obóz szlachecki, wszyscy ultra-konserwatyści, uwierzywszy niceniej potwarzy, przeciw niemu stanęli, a z nimi też i Towarzystwo Rolnicze.

Naturalnie, że wobec tego i najbliżsi, najdrożsi, nie mogli być z postępków jego zadowoleni, że, jak żona, która z przykrością niewymowną i ledwie nie ze wstrętem zrezygnowała się na mieszkanie w Warszawie, tak też ojciec i bracia niezmiernie nad tym gwarem nieprzyjaznym boleli; a choć znali aż nadto dobrze całą bezinteresowność i czystość intencji Kraszewskiego, i choć wiedzieli, jakie dla idei poniósł ofiarę,—nie wierząc jednak, aby dopiął zamierzonego



Dom niegdys J. I. Kraszewskiego, przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie.

celu, to co czynił za złe mu brali; nie taili swego niezadowolenia, i nieraz mu radzili, aby nadaremnej walki zaprzestał i nie dawał na poniewierkę poeziewego swego imienia.

Lecz ni obey, ni swoi zachwiać go w raz powziętém postanowieniu nie zdołali: „Myślisz się, (pisał jeszcze w Lipcu 1859 r. do brata), sądząc, że żydowska sprawa i element wychodzi w tén,—zawarowałem sobie, żeby go nie było, ani być mogło. Ani bronić nikogo nie będę, ani zaczepiać. Cała rzecz: utundować dobrą i uczeiwią gazetę. O żydach niéma mowy, bo dla mnie niéma żydów—są ludzie, obywatele krajni, i ci, co na to nie zasługują. Kto spełnia obowiązki, jest,—kto nie spełnia ich, nie jest synem kraju. Przerabiać nikogo nie trzeba, bo siłą rzeczy przerobi się, albo zostanie odepchniętym!“

Do ojea zaś w Łatym 1860 r.: „Pozycja moja, jako redaktora, nie taję tego, jest bardzo, że wszęch miar ciężka; ale praca jest powołaniem człowieka, a walka obowiązkiem: trzeba iść mężnie do celu. Już się też coś zrobiło, gdy „Gazeta Codzienna“ ma 4200 prenumeratorów, a początkowych numerów z tego roku już braknie“.

I znowu w Czerwcu tegoż roku: „Co do Gazety, w krótkich ojeu odpowiedź słowach: Oto mam już blisko trzydzieści lat doświadczenia, i gdym się brał do tej pracy, nie oglądałem się na niebezpieczeństwa i trudności, poświęciłem się dla idei, jaką miałem. Tego nie odstąpić, choć się żółci napiję, a co ma być, to będzie. Raz wzięwszy się, obydnęby postąpił, rzucając, i dopiętro-bym łowiódł, że nie wiedziałem, co robiłem.—Żydów, ani żydowskiej, ani żadnej sprawy tego rodzaju, nie znamy i nie wiemy, ani cheemy wiedzieć. A że ludzie złej woli worzą plotki i potwarze, a szlachta łatwowierna im wierzy,—cóż robić? Czas wielki najster, a prawda wyjdzie na wierzch. Dajmy już temu pokój. Z mojej przyczyny słożył Kronenberg z górą 250,000 złotych, z tego powodu nawet honor-by mi nie douścił go porzucić. Niéma o czém mówić“.

Jakie zaś były owe plotki i potwarze, najpiej świadczy o tén bardzo ciekawy dokument, a mianowicie list z pod Pińska Stanisława Hreczyny, pisany do Kraszewskiego jeszcze w Styczniu 1850 r., z którego pa-
g wyjątków podajemy:

„Razem prawie z prospektem *Gazety codzienniej* dobiegły do nas dziwne zasmęcające wieści i o niej, i o jej redaktorze: chcą nam wmówić, żeś się pan zaprzę-
dł, że posługujesz jakimś osobistym wido-

kom, że masz najzgubniejsze dla nas zamiary i t. d. Jedni malują cię, jako przenie-wiercę, dradzy jako symplejnsza, uwiedzionego i ślepego. Wieści te rozmaitemi dobiegały do nas drogami: w listach bezimennych, w rodzaju okólników do ludzi wpływowych i na urzędach stojących, w postaci nowin autentycznych z Warszawy, w formie najświeższych wiadomości, z najpewniejszego zaczerpniętych źródła“.

Dalej opowiada pan Hreczyna, jak bronil Kraszewskiego przeciwko tym potwarzom, powołując się na trzydziestoletnią jego pracę bez zarzutu i skazy;—lecz przyznaje, że mu nie bez trudności to przychodzi, w końcu zaś pisze: „Miałeś Pan i masz przyjaciół, naraziłeś sobie wielu, inaczej być nie mogło, gdy się obstawało za prawdą, a nie chciało poehlebiać; ale większość dała Panu nieraz dowody wiary i ufności. Sądząc, że i teraz wyjdiesz z tej wrzawy czystym i niezlamanym; żal mi jednak szczerze, prawdę powiedziawszy, żeś pan wlaź w tę kaszę. Trzeba ci było dziennik na Litwie wydawać, nie w Koronie, gdzie cię mniej znają, gdzie przybywszy z jakimś takim imieniem i zasługą, musiałeś pobudzić zazdrości, niechęci, i naturalnych pozyceją swoją zrobić sobie nieprzyjaciół. Piękna to rzecz tak odważnie się stawiać, ale niezbyt wygodna. Alboż to niéma młodszych i cheiowych walki i rozgłosu, żeby Pana zastąpili w tych szarmy-lach? po co zdrową głowę klasć pod Ewangelia? Rzucić pan, szczerze życzę, pracę przykra, zgryźliwą, a znajdziesz łatwo inną, którą równie nam użyteczny będziesz. Jesteś już nie tak młodym, aby to cię nie miało kosztować; czasu zajmie to wiele, a kto wie jeszcze, jaki będzie skutek?“

Kraszewski, opatrzywszy ten list odezwą do Adama Kirkora, odesłał go z prośbą o umieszczenie w „Kurjerze Wileńskim“. Czy był tam ogłoszony, nie wiemy, i nie mając zresztą potrzeby z tén się liczyć, uważamy za rzecz właściwą przytoczyć tu z tego dokumentu wyjątek.— Oto są słowa Kraszewskiego:

„Świat lubi się zabawiać potwarzami, ale potwareami gardzi. Na chwilę wszystko się imie ludzi; głoszą, co posłyszeli, choć nie-spełna w to wierzą; ale czas jest wielkim mistrzem sprawiedliwości, odkrywa powody, odsłania twarze zakryte, wyświeca pobudki czynów, i pogardą weześniej czy później płaci tym, co na nią zasłużyli. Ze spokojem czystego sumienia oczekujemy jego wyroku; cofnelibyśmy się w takim razie tylko, gdyby głos ogółu, przeważny i poważny, objawił nam, żeśmy fałszywą poszli drogą,

nie przed intrygą, plotką i potwarzą. Głos ten właśnie mówi nam jasno, że potwarzom nie dano nęba i widzimy to z liczby czytelników naszych, z oznak współczucia ludzi bezstronnych i osobistemi nie skrepowanych względami, ze współdziałania pisarzy, z nawrócenia tych nawet, którzy chwilowo rozsianym tak troskliwie pogłoskom wiarę dali. Pójdziemy więc dalej, póki siły, ufając pomocy Bożej i ludzi zaonych a nie uprzedzonych; i choć po latach trzydziestu pracy, niemal na nowo dobijać się nam przychodzi wiary i uznania, cóż robić! mamy jeszcze dość cierpliwości, by zawód swój bodaj na nowo rozpocząć.

Tak-to pisał Kraszewski, a szczeroci słów swoich i mocy swych przekonań uczynkami dowodził.— Nie zważając na krzyki, na oszczerstwa i podejrzenia, na szkany nawet najbezczenniejsze, stał wytrwale na stanowisku swoim, i ciele serce, wszystkie siły w trudne to zadanie włożywszy, tak żarliwie nad podniesieniem i rozwojem swej Gazety pracował, iż po dziewięć godzin codziennie jej poświęcał, a dla podtrzymania stosunków ze swymi współpracownikami nieraz po dwadzieścia listów na dzień pisywał.

W innym dziele książki niniejszej znajdujemy artykuł, wyłącznie poświęcony dziejom Gazety pod redakcją Kraszewskiego; my zaś ograniczymy się na przytoczeniu jej ogólnej charakterystyki, nakreślonej wybornie przez p. Stanisława Krzemińskiego, w jego studium o Kraszewskim, ogłoszonym na początku roku bieżącego w „Bluszczu“.

„Bardzo wiele przez dwa pierwsze lata zrobił Kraszewski dla swojej gazety. Oprócz artykułów wstępnych, oprócz mnóstwa drobnych wiadomości, przeważnie literackich, zasilił ją następującymi pracami własnego pióra. Szereg *Silva rerum*, siedmdziesiąt dziewięć *Listów z podróży* (1860), *Dziś i lat temu trzysta*, *Syrena*, powiastka współczesna (1859), *Jasotka* i początek *Kopciuszka*, nareszcie wspomniane już *Kartki z podróży* (1860). Ścisłe redaktorskie powołanie swoje dobrze przeprowadził; zapewnił gazetce współpracownictwo najznakomitszych pisarzy. (Z licznych ich szeregu zanotujemy tylko: Szajnochę, Bielowskiego, Hoffmanna, Wiszniewskiego, Lenartowicza, Chojeckiego). Bujnie rozwinęła się od razu korespondencya zagraniczna, oryginalna. Dział beletrystyczny, literacki i krytyczny w dwóch pierwszych latach był najobfitszy. Do działu nauk społecznych przykładał pióra swego, niezależnie od listów z Genui, Michał Wiszniewski. Ku końcowi 1860 r., polityka

zaczyna wypierać literaturę i wiedzę czysto umysłową, i kierunek ten, raz nabyty, utrwała się już w Gazecie; podobnie z rokiem 1861 teoryzowanie ogólnikowe ustępuje miejsca poglądom konkretnym nad konkretnymi wypadkami. Dążność pisma pozostaje niezmienną i w jednakowym zawsze kształcie przejawia się nawet wtedy, gdy znikają zupełnie artykuły rozumowane o najważniejszych zadaniach i wydarzeniach wewnętrznych.“

„Wytworzywszy dla Gazety wyborne ramy, ożywiwszy ją wszechstronnie, zasiliwszy owocem własnego trudu piśmienniczego, miał Kraszewski prawo powiedzieć (1860 r. Nr. 318) że włożył w nią całą swoją myśl i pracę. W tym programmie Gazety na rok trzeci (1861) zapowiada, że będzie nadal wygłaszał potrzebę przemysłu i handlu, potrzebę, którą nieuprzedzeni uznawać już zaczynają. Nowe wyznaczenie wiary redaktora przybyło do poprzednich z powodu zmiany tytułu na *Gazetę Polską* dnia 3 Kwietnia 1861 r. (Nr. 57). Jest ono najwybitniejszem ze wszystkich, wygłoszonych w Gazecie, i do historii ducha Kraszewskiego, którą następcy nasi z większą jeszcze ciekawością, niż my, śledzić będą, ważny stanowi przyczynek. Na czele wszystkich wypowiedzianych tu myśli postępuje równoprawnienie stanów, stworzenie z rozpieczonych żywiołów jednej całości. „Żyć trzeba z ludzkością, lecz bez kosmopolityzmu. Postęp nie narusza narodowości. Rozwijając się na podstawie Chrześcijańskiej, każdemu przecież zostawiać należy wolność sumienia.“

„W latach 1861, 1862 mniej jest w Gazecie artykułów zasadniczych, a za to więcej szczegółowego rozważania rozmaitych niezaspokojonych potrzeb i instytucji. Redakcyja zabiera niekiedy głos w obronie wszechstronnego, spokojnego rozwoju, zachęca do popierania ówczesnych urzędzeń publicznych; zastanawia się nad szkołami różnego stopnia i zakresu, rozpatruje stosunki i urządzenia ekonomiczne; ale praca ściśle redakcyjna ustępuje miejsca w tych latach przysyłanym zewnątrz pracom doraźnym jednorazowych współpracowników. Polityka zagraniczna przechodzi do rubryki artykułów wstępnych; zajmuje się nią nawet w *Listach z ulicy Mokotowskiej* sam redaktor, przeznaczając je prawie w zupełności na rzeczy obce. (A dodamy od siebie: tenże redaktor i *wiadomości ostatnie* sam też pisuje). Gazeta ma ciągle ton poważny, trzyma się zdala od lekkości, do której zresztą duch czasu nie usposabiał:

staczać musi polemiki, ale w nich zachowuje godność, i mimo trudnego zadania, ani błędów nie popełnia, ani z drogi obronę nie schodzi. Obok poważnych prac ekonomicznych, stają bardzo trzeźwe i zdrowe uwagi nad oświatą ludową, nad podniesieniem izraelitów, których równouprawnienie stanowi jedną z gorąco wyznawanych idei redakcyi. Dział korespondencyjny jest obfitym od innych i, rzecz można, najbogatszym i najlepszym, jaki kiedykolwiek istniał w czasopiśmie polskiem. Gazeta ma korespondencye ze wszystkich krajów Europy, ma własne—rzeczywiście własne—telegramy, z których korzystają nawet dzienniki niemieckie. Z kraju listy stałe, doraźne, w każdym napotykają się numerze, a w nich życie społeczne, czysto społeczne, dobrze się odbija. Literatura rozumująca zupełnie prawie przytłumiona, drobne tylko wiadomości dają obraz bieżącego ruchu literackiego. Belletrystykę wyobraża *Kopciuszek*, ciągnący się jeszcze przez cały rok 1861 i część następnego; potem idzie w feljtonie *Historja upadku dynastji Sobieskich*, dokończona już w r. 1863; przerwę pomiędzy nią a *Dolą i Niedolą*, nazwaną także *Człowieczkiem*, wypełnia *Collins*. Zapowiedzianego *Końca Świata*, samego redaktora, nie znaleźliśmy w egzemplarzu redakcyjnym. Przy wielkiej ruchliwości, Gazeta zyskuje już w 1861 r. ogromne uznanie i osiąga liczbę 7,500 prenumeratorów, największą, jaką miał kiedykolwiek dziennik polski poważny.“

Widzimy tedy, że nie tylko kierownictwem redakcyi zajmował się Kraszewski, nie tylko ledwie że nie każdy numer Gazety zaopatrywał w artykuły polityczne i literackie, lecz nadto i powieści dla niej pisywał („Jasienka“ i „Kopciuszek“), kończąc przy tém „Kartki z podróży;“ a nawet umiał znaleźć jeszcze dość czasu i na odczyty o *Cywilizacji polskiej między X i XIII wiekiem*, które w Grudniu r. 1860 w sali Resursy Kupieckiej wygłosił. Miały to być zrazu odczyty o historii literatury polskiej, jak widzimy z listu Kraszewskiego do ojca pod d. 15 Listopada; dla czego się projekt odmienił, na to brak nam pewnych wskazówek. Czytamy tylko we dwa tygodnie później w liście do p. Kajetana (7 Grudnia): „Gotują się w tych dniach moje prelekcye o *historji cywilizacji w Polsce*, na których miéć będę więcej słuchaczy, niżeliem się spodziewał, bo już dziś, gdy jeszcze nie są pozwolone, a tylko jest nadzieja, miejsca wszystkie pozamawiano. Miarkujesz, że to wystąpienie całym mną wstrząsa i niepokoi,

Boje się i pragnę tego. Boje się zawieść nadzieję, pragnę zadość uczynić.“

Miał też czas i ochotę przedsięwziąć wydawnictwo dla ludu, o którym pod d. 11 Lutego 1862 tak donosił panu Kajetanowi, prosząc go o współpracownictwo: „Jest rzecz taka: wzięłem się do pisania książeczek dla ludu; inne roboty pojdą mi łatwo, ale pierwszy zaraz extra-popularny wykład kosmografii ogólnej, nie idzie mi,—że jestem przygotowany. Chcę to koniecznie sam zrobić, pomóż mi tém, żebyć przyłączony rękopis odczytał, zrobił uwagi, co i jak dodać, i dołożył plan reszty, któraby go dopełniła, ale jak można najprościej. Ja z twojej kanwy zrobię reszcie, ale ty zainicjuj. Rzecz trzeba żeby była krótka a jasna; ja się męczę, nie znając głębiej przedmiotu, ty go posiadasz *à fond*, przyjdzie ci łatwiej. Tylko liezb i naukowości nie dawaj; pamiętaj, że piszę dla chłopca.“

Książeczka więc p. t. „Świat i ziemia“ powstała przy współpracownictwie p. Kajetana Kraszewskiego, a rzecz o *pracy*, na której się to pocziwe przedsięwzięcie skończyło, była już całkowiec własnym jubilatą utworem.

Nareszcie w tymże roku (1861) przy pomocy F. S. Dmochowskiego, przedsięwziął był Kraszewski na własną rękę wydawnictwo czasopisma naukowo-literackiego p. t. „Przegląd Europejski“, którego plan doskonałe był obmyślany i wiele się dawał spodziewać, lecz naleyście rozwiniętem być nie mógł; była to pora bowiem weale nie sprzyjająca przedsięwzięciom tego rodzaju. Ani wątpić, że ze zmianą okoliczności, taki redaktor byłby zdolną swój Przegląd na stopie odpowiedniej założeniu postawić; lecz mu na to czasu zabrakło. Niepowodzenie jednak pod tym względem sowiec okupila Gazeta, która pod jego kierownictwem, jego piórem wspierana, doszła do takiego rozwoju, jak wewnątrz, tak i zewnątrz, iż śmiało utrzymywać możemy, że ówczesne jej czterolecie jest epoką w dziejach naszego dziennikarstwa, które odąd, wprowadzone na nowe tory, — dziś jeszcze, po szesnastu latach istnienia, przy całym swym rozroście, w żadnym z organów swoich na nie lepszego, pod względem programmatu, zdobyć się nie zdołało, a w wypełnieniu gotowego, daleko pozostało po za swym wzorem.

Nie przezcymy, że „Gazeta Warszawska“, podnieccona przez „Dziennik“ Rzewuskiego, w rozwoju prassy naszej codziennój ma też wielkie znaczenie; nie przezcymy również itemu, że doniosłe środki materyalne, jakimi mogła

rozporządzać Gazeta Polska pod redakcyą Kraszewskiego, na podniesienie jej wartości znakomicie wpłynęły: ale pamiętamy również i o tem, że jak niegdyś „Tygodnik Petersburski“, tak później i „Gazeta Warszawska“, przeważnie Kraszewskiemu zawdzięczała stan swój kwitnący; oraz, że „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych“ w swoim czasie, opierając się na funduszach nie mniej doniosłych, utrzymać się nie mogła.

Są pewnie względy, bardzo ważne, które nie pozwalają nam się kuśić o należyte rozjaśnienie wszystkiego, co się wiąże z historią redaktorstwa Kraszewskiego w „Gazecie Polskiej“; nie możemy jednak zamilczeć, że już w Marcu 1861 roku znalazły się powody, zniechęcające go bardziej, niż dawniejsze wrzaski, klątwy, potwarze i niezliczone anonimy, do dalszego prowadzenia tej sprawy; że się zrazu przyznawał ojem: „iż się zanadto po miłodemu wziął do tego, i wołał-by siedzieć spokojnie w Kisielach, ale się stało i odstać nie może“, a później napomynał z goryczą, że bodaj będzie musiał zerwać z Gazetą, i to wtedy, gdy już uprzedzenia przeciw żydom ustaly. Jakoż, rychło spodziewając się tego, założył Przegląd Europejski, chcąc posiadać własny swój organ; w Maju zaś 1862 już wyraźnie pisał do brata: „Chciałbym się pozbyć Gazy, a zostać tylko przy Przeglądzie, dom sprzedać, sprzedać konie i żyć ciszej i skromniej. Do Nowego roku jeszcze będę ciągnął z Gazetą, dalej wątpię; bo i materyalnie nawet jest to interes dla mnie nie dobry, a moralnie — gra świecy nie warta. W ogóle pokaże się, że grubo na tem wszystkiem straciłem ze wszelkich względów; ale myśl, którą miałem, wszczepilem, i ona mi jest nagrodą straty i pracy. Mówcie co chcecie, myśl pojednania z żydami, którą kraj przyjął, nie jest tak małą rzeczą, jak się zdaje. Teraz chcę wrócić do literatury i nauki i spokojniejszego żywota“ (*).

(*) A jak mu podówczas był pożądanym ten żywot spokojniejszy, widzimy to i z wierszyka żartobliwego, którym odpowiedział na wierszowane również skargi brata Kajetana, narzekającego na złe cygara:

Mój drogi! choć ty klaki, łój palisz i pierze,
Jednak palić swobodnie masz choć trochę czasu,
A mnie uznojonego i chętką nie bierze,
Choćby były Huppmanna w pudełku z atlasu.
A wierz mi, o cygaro łatwiej jeszcze może,
Niż o swobodę, którą ty masz w każdej porze,
Którę ja nie mam nigdy, nie kupię za złoto,
A dawne nasze czasy wspominam z tęsknotą!

Powodem tego zniechęcenia, pominiawszy względy uboczne, była niesłychanie trudna pozycja Kraszewskiego na stanowisku redaktorskiem; bał się, aby nie zaszkodził „Gazecie.“ Szło więc co raz to gorzej, aż wreszcie pod d. 2 Stycznia 1863 roku taką wieść zakomunikował p. Kajetanowi: „Nie wiem, czy wam to zrobi przyjemność, czy smutek, ale od 10 Grudnia nie jestem już redaktorem „Gazety.“ Nastąpiło to wprawdzie w skutek silnego parcia z góry od Margrabiego, lecz z mojej dobrej woli, dla ocalenia ile możności samej „Gazety“ od skutków nienkontentowania do mnie. Mam redakcyą swojego „Przeglądu“ i przy tej zostaję; bo w tej chwili przynajmniej nie mógłbym jeszcze powrócić na wieś. Taki jest stan rzeczy moich, i chociaż położenie zmieniło się, dotąd nie widzę, żeby się pogorszyło. Na domie trochę straciłem (40000 złotych), alem się ciężkich pozbył długów i to dobrze. W tej chwili „Gazeta“ nie ma innego redaktora, tylko sam Kronenberg odpowiada. Ja jeszcze zdaję papiery i pomagam do urządzenia nowego. Z Kronenbergiem pozostałem dobrze, i wiele mu winniem wdzięczności, gdyż mnie uwolnił od posiadania domu i dopomógł tym sposobem do zapłacenia długu i tego, com był jemu winien za Łozińskiego, tak, iż na czas jakiś jestem spokojniejszy.“

Nie długo wszakże było tego spokoju, bo już 27 Stycznia pisał do brata: „Kochany Kaj! Donoszę ci krótko, że jestem zmuszony przez Margrabiego wyjechać na czas jakiś za granicę, aby nie być posądzonym o zły wpływ na dziennikarstwo, jaki mi tu widać przypisują. W Sobotę jadę i na twoją opieczę zostawiam żonę i dom. Dowiaduj się do nich, proszę. Zrób, co możesz; abyś moje konie sprzedał, i o Zofii trochę pamiętał. Ojca nogi ucaluj, a pisz do mnie, co się z tobą dzieje.“

Do ojca zaś d. 6 Lutego z Drezna pod Nr. 14 na Prager Strasse:

Bodaj ojcowski tytuł przy starym koninie,
I święty spokój wiejski w każdej dnia godzinie!

Nie mogliśmy się powściągnąć od przytoczenia tego wierszyka, który tak żywo nam przypominał ów list, opisujący burzę w drodze do Wilna z przed lat trzydziestu trzech:

Bodaj domowa strzecha spokojna i cicha!
Lepsza, niż w wojnie złoto, w pokoju miedź licha.
Bodaj-to żyć spokojnie, nie zająrzeć nikomu,
Przy koninie, w cichoci, wśród wiejskiego domu!
(Przyp. autora).

„Kazano mi oddalić się nie tylko od Gazety, ale nawet z Warszawy. Wybrałem sobie tymczasowo Drezno, gdzie, przyspieszwszy swój wyjazd nie z własnej woli, stanąłem d. 3 Lutego. Dzisiaj spodziewam się tu Jana, a za parę dni Frania także; żona moja pozostała w Warszawie, lecz gdyby pobyt mój miał się przeciągnąć, zapewne także przyjedzie tu. Zdrowie moje, mimo biedy, jeszcze służy jako tako; znoszę wszystko, zapominając, że mam lat 50, bo muszę żyć i pracować, jakbym miał ich tylko połowę.“

Ale bratu Lucyanowi wcale w inny sposób stan swój malował:

„Z przyszłością nieodgadnioną na karku, jakby z kamieniem u szyi, położenie moje nie do zazdrości. W jakiej trwodzie o was, o ojca, o Kajetana jestem, wysłowić nie mogę! Jeszcze dzień, jak dzień; ale przyjdzie noc, to te pokoiki, w których ja sam, i sny, i marzenia, i przywidzenia... zasnąć straszno! Niczem tu uzyskany chwilowo spokój, chyba wyrzutem, gdy się tam zostawiło ojca, braci, żonę, dziecko, a zresztą tysiące braci i tysiące matek! Dodaj i to, że w tych męczarniach dwuletnich straciłem siły, zdrowie złe, życie nowe mi nie służy... Nie mów o tém i nie pisz; alem ciągle chory, śpiący i siebie nie poznając... Już mi się chce skończyć... tu na ementarzu leży Brodziński — byłby honor położyć się przy nim.“

Do Kajetana znowu: „Piszcie do Zofii; ja to pocieszę, że ktoś o niej pamiętać będzie; bo wielu jest przyjaciół, ale w biedzie i kłopotach opuszczają wszyscy. Doświadczyłem tego. Tu znalazłem więcej stosunkowo sympatyj, niż w kraju. Drezno ciche, spokojne; ale jak dla mnie, po dwuletniej gorączce, ten spokój nie zbyteczny, gdyby go nie pożerała tęsknota i ciągła trwoga o was wszystkich.“

Wpółśród téj trwogi i tęsknoty, rozboleły, stroskany, a niepewny przyszłości, sam nie wiedział, co z sobą począć, i czém swoje serce ukoić: „Polożenie moje — pisał do brata — dziwne, przykre i nienormalne! Jeżeli to potrwa, nie reze, czy w tém pustém Dreznie wysiedzę. Pojadę do Szwajcaryi, lub do Anglii, żeby coś widzieć!“

Jakoż istotnie w końcu Lipca do Genewy wyjechał, zkąd już 7 Sierpnia pisał do brata Lucyana, że, odbywszy pieszą przechadzkę na Mont-Blanc, z powodu niewygody i drożyzny wielkiej, nazajutrz ma wyruszyć do Genui. Jak długo tam przebywał, na to w korespondencji rodzinnej braknie całkowicie wskazówek. Następnym list nosi datę 23 Października 1864 roku, a pisany jest znowu z Drezna,

z domu na Augustusstrasse Nr. 6,—zkąd inąd jednak wiemy, że już w Lutym tam się znajdował i życie nader czynne prowadził, otoczony czeią i miłością bardzo licznej kolonii polskiej, której był opiekunem, doradcą i kierownikiem, równie w moralnych jak i materialnych potrzebach, wylewając się całém sercem na jej usługi.

„W owym czasie (opowiada naoczny świadek) zajmował Kraszewski bardzo skromne mieszkanie, ledwo z trzech pokoiów złożone, z których w jednym mieściła się jego pracownia. Tam zazwyczaj codziennie do godziny 11-jej z rana i od 3-jej do 6-jej po południu, przyjmował wszystkich przychodzących w odwiedziny lub w interesach; a nocę poświęcał pracy, jak się wyrażał, *dla chleba*. Przyszedłszy tam, za każdym razem zastać było można kilku lub kilkunastu siedzących i stojących gości lub, interesantów, którzy patrzyli z podziwem na niezmiernie szybkie i chętne załatwianie spraw swoich“.

Widzimy więc, że się otęczał z apatyi i odzyskał dawną energią, a raz się już zrezygnowawszy na dłuższy pobyt za granicą, dla usunięcia wszelkich przeszkód do pracy, zabezpieczenia się od przenosin ciągłych z domu do domu i przejażdżek z miejsca na miejsce, nabył na własność piękną willę w Blasewitzu pod Dreznem i starać się o obywatelstwo Saskie zamierzał. W Maju jednak 1865 roku przyszła mu myśl przesiedlenia się do Galicyi; zaniechał więc pierwszego projektu, i przyjąwszy główne współpracownictwo w dzienniku świeżo założonym we Lwowie, prawdopodobnie projektował już wtedy tam się wkrótce osiedlić. Po upływie wszakże półroczu, usunął się od udziału w tém czasopiśmie, i jak pierwszy, tak i ten drugi projekt poszedł w odwłokę.

Tymczasem, siedząc w Dreznie, coraz to szerzej rozwijał swą działalność, jak społeczną, tak też i literacką. W latach 1864-1865 bibliografia wykazuje już kilkanaście tomów nowych powieści, nie licząc prac, rozproszonych w różnych dziennikach; przy końcu zaś 1865 wystąpił na cel dobroczynny z dwunastu odczytami „O obyczajach i zwyczajach dawnych niewiast polskich“, które tak wielkie miały powodzenie i wziętość, iż przyniosły ubogim dwa tysiące talarów. W tém też miejscu zaznaczyć trzeba, że i w parę lat później w podobnymże celu wygłoszone odczyty „O katakumbach“, nie mniej pomyślnym skutkiem uwiecznione zostały.

Usunąwszy się od dziennika Lwowskiego, Kraszewski, który czuł konieczną potrzebę oddziaływania na opinią publiczną, w roku

1866 wydał książkę, poświęconą sprawom społecznym p. t. „Wieczory Drezdeńskie“ i zajął się bardzo czynnie założonym przez Dzińskiego w Dreźnie „Przeglądem Po-wszechnym“; a gdy i to czasopismo na szó-stym swym zeszyście żywot skończyło, sam przedsięwziął wydawnictwo roczników, poświęconych sprawozdaniu ze wszystkich sfer życia umysłowego i społecznego, których ukazało się cztery tomy, stanowiące niezmiernie cenny materiał historyczny, a które ostrym sądem i krytyką stosunków Galicyjskich straszną wrzawę przeciwko autorowi w tej prowincyi zbudziły i wiele nań ścigały przykrości.

Zanim jednak ukazał się tom I-szy tego dzieła, Kraszewski został mianowany honorowym obywatelem miasta Krakowa; ale gdy się tam udał w końcu Kwietnia 1867 r., Krakowianie, którzy już mieli czas zapoznać się z jego rocznikami, obrażeni, zwłaszcza na pewnych stroniectwach, dość zimno go przyjęli, nie przeszkadzając mu bynajmniej publicznemi holdami oddawać się poszukiwaniom w Bibliotece Jagiellońskiej, którym dni kilkanaście poświęcił. Prywatnie jednak mnóstwo osób niesło mu wyrazy czci i wdzięczności; a gdy, przerwawszy swoje studia, wystąpił z odczytami o *Dantym* na rzecz Towarzystwa wzajemnej pomocy słuchaczy Jagiellońskiej wszechnicy,—to się tłumy na nie tłoczyły.

Lwów natomiast, dokąd Kraszewski, nlegając zaprosinom gorącym wielu osób, udał się z Krakowa z odczytem, przyjął go z niesłychanym zapalem. We dwa dni po przybyciu, grono literatów miejscowych uceziło go holdem publicznym, a następnie i miasto na cześć jego urządziło festyn w Strzelnicy. Rada zaś Miejska jednomyślną uchwałą przyznała mu honorowe obywatelstwo. Następnie uczyły szły za ucztami, tak, iż śmiało rzec można, że cały czas pobytu Kraszewskiego we Lwowie był szeregiem nieprzerwanym owacyi, które się zakończyły składką na fundusz imienia Jubilata na wydawnictwo dzielek popularnych dla klas roboezych, i odprowadzeniem gościa ukochanego przez tłum kilkotysięczny aż do dworca kolei.

Powracając do Drezn, wstąpił Kraszewski do Poznania, gdzie go z niemniejszym, jak we Lwowie, powitano zapalem. Oprócz uczy publicznej, wydanej przez miejscowych obywateli, i wielu innych zebrań tego rodzaju, ubiegano się o posiadanie go w domach prywatnych i zapraszano na prowincya, gdzie szczególnie w domu hr. Mielżyńskiego w Miłosławiu urządziłoby dla niego najświet-

niejsze przyjęcie, przy zjeździe najprzedniejszych obywateli.

W wycieczce tej Kraszewski, dobrze się przypatrzawszy położeniu rzeczy w Galicyi i przekonawszy się dowodnie, że żadne przedsięwzięcia literackie powodzenia tam mieć nie mogą, zamiechał raz na zawsze zamiaru osiedlenia się w tej prowincyi, mimo przyznane sobie obywatelstwo austryackie. A ponieważ interesa majątkowe jego były wówczas w bardzo złym stanie i trzeba było myśleć o zapewnieniu sobie własną pracą kawałka chleba, jął się przeto bardzo śmiałego przedsięwzięcia i założył w Dreźnie własną drukarnię. Utopił w niej znaczne fundusze, chcąc od razu postawić ją na takiej stopie, żeby dorównać mogła doskonałością swoich druków pierwszorzędnym typografiom zagranicznym; ale nie zdołał jej utrzymać i razem z swoją firmą ustąpił ją panu Lebińskiemu w Poznaniu, tyle zaś na nią stracił, że nawet one zbiory nieocenione rycin, które z takim zamilowaniem przez lat wiele gromadził, musiał w końcu oddać na sprzedaż.

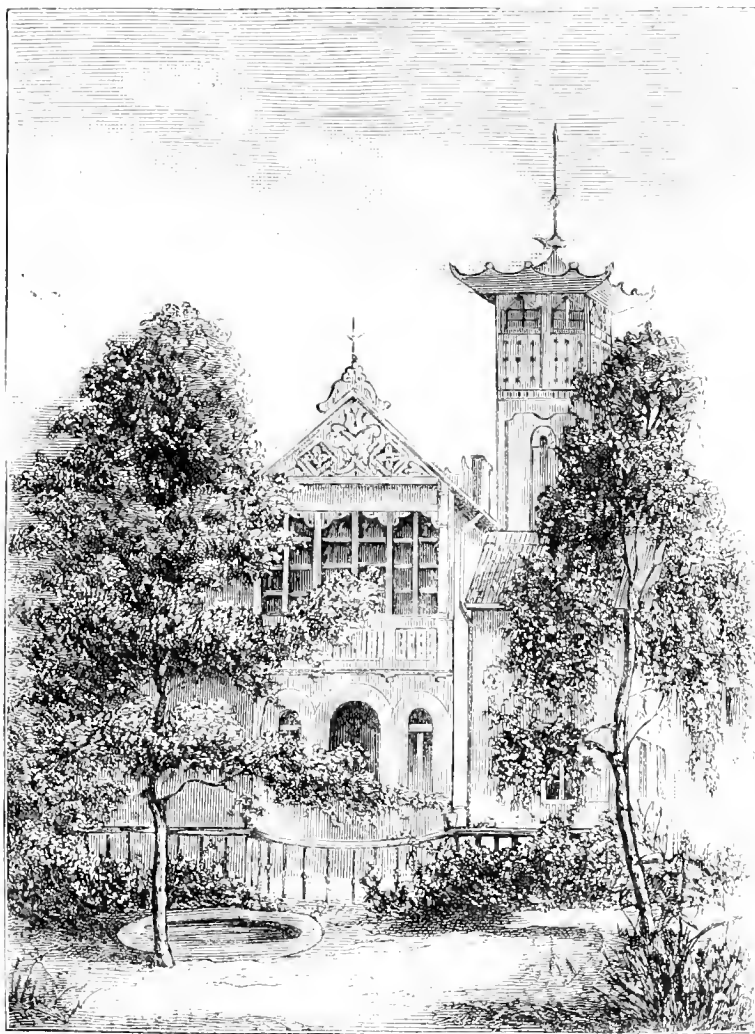
W drukarni swęj prowadził Kraszewski wydawnictwo „Biblioteki Pamiętników i Podróż“, której wyszło sześć tomów, zawierających rzeczy znakomitej wartości. (*)

W roku 1871 Kraszewski po raz wtóry Kraków odwiedził, i miał tam znowu odczyt „O postępie“, na rzecz miejscowego stowarzyszenia *Postęp*. Tą razą, po ucieczeniu się uraz dawniejszych przeciwko *rachmistrzowi narodowemu*, wszystkie warstwy społeczne otoczyły go zasłużonem uznaniem i przyjęcie było bardzo serdeczne, pojednanie prawie zupełne.

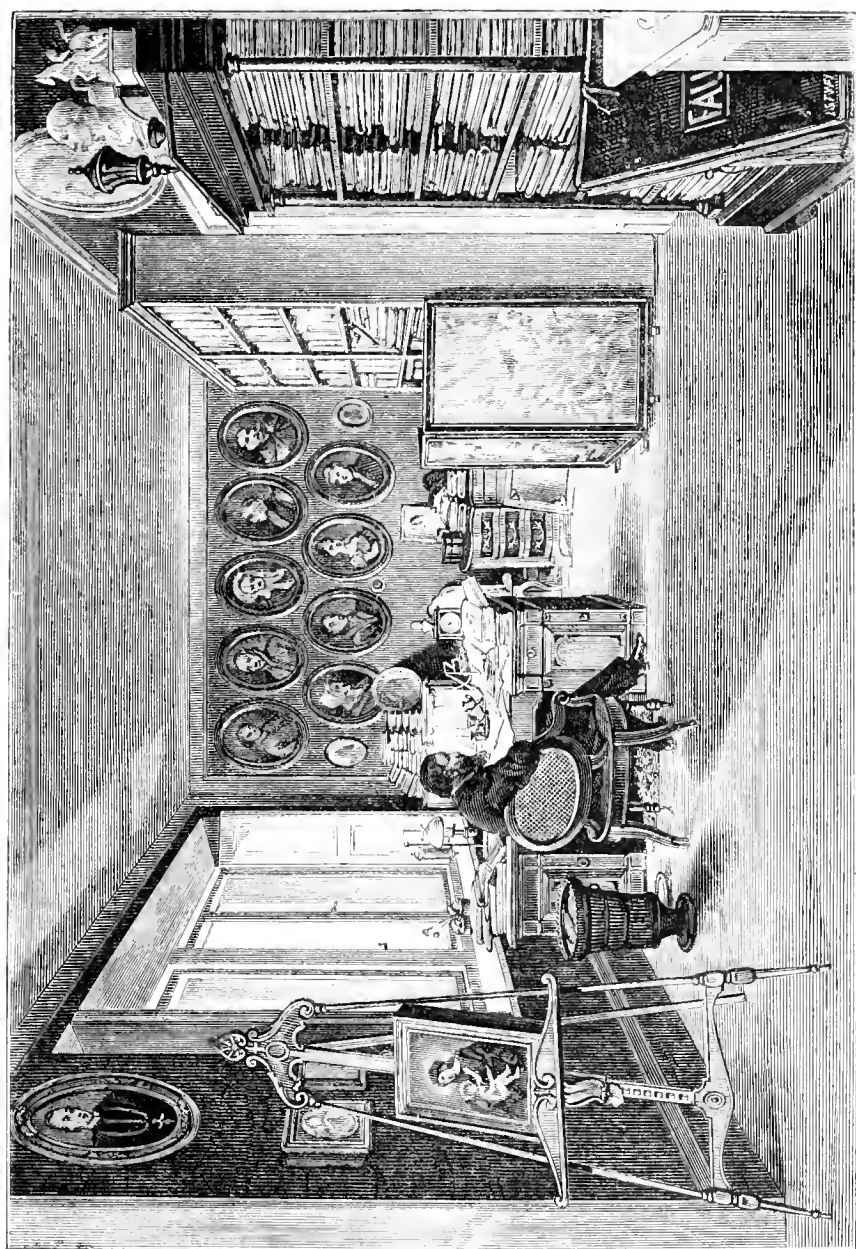
Po sprzedaniu swojej drukarni, Kraszewski już się więcej niekuśił o własny organ; publicystyczna jednak działalność jego nie ustała i ciągnie się do lat ostatnich, bądź w większych wybitniejszych rozprawach, bądź w korespondencyach do czasopism.

Działalność, jaką Kraszewski na tej drodze rozwinął, jest prawdziwie zdumiewająca: *Biesiada*, *Bluszczyt*, *Kłosy*, *Tygodnik Ilustrowany*, *Tygodnik Mód i Powieści*, pun-

(*) Tu także wydrukował „Boską komedya“ w przekładzie Antoniego Stanisławskiego, którego sam zachęcił i podniósł do tej olbrzymiej pracy, poznawszy z niej pieśń 1-szą *Piekła*, jeszcze w Zytomierzu 1857 roku, przy czem oświadczył mu, że i sam próbował tłómaczyć to arcydzieło, ale zrażony trudnościami, rychło zaniechał. Wiemy jednak, że w roku 1866 ogłosił był trzy ostatnie pieśni w „Bibliotece Warszawskiej“, a jak się później pokazało, przekład swój z czasem doprowadził do końca. Kiedy wszakże Pan Stanisławski również całego tłómaczenia dokonał i w r. 1869 po darczynnych staraniach i zabiegach w Warszawie o nakładę, udał się z rękopisem



Willa J. I. Kraszewskiego w Dreźnie.



Wnętrze pracowni J. I. Kraszewskiego w Dreźnie

ktualnie co miesiąc otrzymują od niego *Listy*, w których ogarniając cały ruch naukowy, literacki, artystyczny, społeczny, a po części i polityczny, nie tylko w Niemczech, ale w ogóle w Europie, z wszelkimi jego objawami czytelników swych zapoznaje.

A nie zapominajmy jeszcze i o tём, że był czas, kiedy i *Gazeta Polska* i *Wiek* podobnież takie miesięczne *kroniki* otrzymywały; nadto zaś, że nie tylko czasopisma polskie Poznańskie oraz Lwowskie, ale także niektóre francuskie i niemieckie korzystają z korespondencji jego.

Zważywszy rozmaitość i bogactwo treści tych *kronik*, zważywszy, że każda z nich zwykle zawiera sprawozdania nie tylko z tego, na co obserwacya wystarcza, ale i z dzieł najnowszych w rozmaitych językach; jeszcze większemu przejęmiemy się zdumieniem na myśl, ile to potrzeba przeczytać, żeby tyle materiału do sprawozdań tych nagromadzić! Zaprawdę, zwykły człowiek, nawet z nieposłednim talentem i przy usilnej pracy, miałby się już prawo pochlubić, gdyby jedynie w tym zakresie był zdolny tyle, co Kraszewski, uczynić. A wiemy przecież, że to ledwie drobnina cząstka działalności tego prawdziwego Bryareusza z ducha; że od roku 1864 po dziś dzień napisał sto powieści, z których część większa po dwa i trzy tomy wynosi, a wiele między niemi jest historycznych, na źródłowych studyach opartych; że opracował dzieje Rzeczypospolitej w trzech tomach z czasów Stanisława Poniatowskiego i kilka monografií pomniejszych; że zredagował sześć tomów „Pamiętników i Podróży po dawniej Polsce“, „Pisma Kazimierza Brodzińskiego“ w dziesięciu tomach z dopiskami i życiorysem autora, i w takiż sposób zajmował się redakcyą dzieł Shakespeare'a; że wiele też cudzych utworów, jak np. „Historya Infant“ Mantenla, „Odczyty o Poezyi“ Cybulskiego, listy Jana Śniadeckiego, i inne, w przedmowy i u-

wagi swoim piórem opatrzył, naturalnie więc i wydawnictwem ich się opiekował; że napisał siedm utworów dramatycznych, a ma w tece na ukończeniu dzieło nie zmiernej wagi p. t. „Historya Cywilizacyi w Polsce“, wielki dramat wierszem i poemat nasz domowy; że wreszcie, zasypywany ze wszeh stron listami codziennie od znajomych i nie znajomych, literatów i nie literatów, mężczyzn i kobiet, a niekiedy nawet od dzieci, na każdy odpowiada natychmiast.

A jeszcze i to także powinniśmy zaznaczyć, że nie tylko muzyce i malarstwu po dawnemu oddaje się z upodobaniem, ale się bawi litografią, miedziorytnictwem, a nawet malowaniem na porcelanie.— Pan Orda tego roku widział u niego cały tuzin talerzy, przezeń właśnie w malowidło przyozdobionych, i jeden z nich w upominku otrzymał.

Słyszając to wszystko, możnaby przyjść do wniosku, że Kraszewski po całych dniach i nocach pióra z rąk nie wypuszcza i jest istnym mólem książkowym; tymczasem, rzecz się ma zupełnie inaczej: pominawszy już to, że co rok podróżuje dla zdrowia, że w 1870 jeździł na kongres antropologiczno-archeologiczny do Bolonii, a w 1874 do Sztokholmu, jako przedstawiciel Akademii umiejętności Krakowskićj; że, jakśmy widzieli, występował niejednokrotnie z odczytami; znajdując przy tём wszystkiém dość czasu i na usługi dla rodaków, tak często go w Dreźnie odwiedzających, których nie tylko najserdeczniej wita w swym domu, nie tylko jako *cicerone* oprowadza po mieście, ale i w okolicy rad odbywa z nimi wycieczki.

Wszystcy ci, którzy mieli szczęście tam się z nim spotkać, nie umięją słów znaleźć na opisanie jego uprzejmości i dobroci nie porównanej, o której szczegóły zajmujące powzieliśmy od pani Maryi Ihnickiej, Justyna Roli i od profesora Stanisławskiego.

Sprzedawszy willę Blazewicką, nabył Kraszewski dom na Nordstrasse pod Nr. 27, w którym mieszka dotychczas, a który Justyn Rola tak opisał w swojej książeczce na cześć jego w roku przeszłym wydanej:

„Ustroń prawdziwie pastelnicza, malutki, w szwajcarskim gęście domek, ze wszeh stron okolony gęstą zielenią drzew, krzewów i kwiatów, stoi na uboczu, oddzielony kratami od ulicy. Czarny duży pies Newfoundlandzickiej rasy czuwa nad bezpieczeństwem, a Saxonka, z poeziewą twarzą staruszka, piastuje urząd odzwiernego. Od bramy do domu idzie się wśród krzewów i kwiatów, i z malutkiego przedpokoju wchodzi się do małego również saloniku, w którym szczególnież zwraca uwagę zawieszona na ścia-

swom do Żupańskiego i wszedłszy z nim w umowę o wydanie swej pracy na wspólny koszt, z zawarowaniem wspólnych zysków lub straty, zwrócił się następnie do Dreżna, aby korzystać z drukarni Kraszewskiego; ten, przyjąwszy go najserdeczniej, wyraził mu szczerze uradowanie ze szczęśliwego uwiecznienia dzieła, i z tego, że się ono ma odbijać w jego drukarni, a zarazem oświadczył, że swego już przedadu weale nie wyda.

Wiadomość tę czerpiemy wprost od pana Stanisławskiego, który stosunki swe z Kraszewskim, zawiązane przed dwudziestu dwoma laty z tego powodu, pisawszy w zajmującym *wspomnieniu*, przeznaczał je do książki jubileuszowej, lecz zupełny brak miejsca nie pozwolił nam z jego uprzejmości skorzystać.

(Przyp. autora.)

nie błogosławieństwo księdza Marka „Domowi, rodzinie i przyszłym pokoleniom Kraszewskich”. Na lewo z saloniku wchodzi się do również małego pokoju bawialnego, gdzie znajduje się fortepian z rozłożonemi na nim nowościami muzycznymi. W pokoju przyległym stał na sztalugach świeżo zaczęty obraz, a na ścianach wisiało kilka, na wół, lub całkowicie ukończonych.—Na prawo z saloniku jest pracownia Kraszewskiego. Tu na biurku leżą w największym porządku stosy przygotowanych już prac. Z tego pokoju przechodzi się do biblioteki, od podłogi aż do sufitu zastawionej w dwa czworokąty, jeden około ścian, a drugi po środku, półkami pełnemi książek“.

„Kraszewski wciąż pracuje przy biurku; o 2-ćj jada skromny obiad—buljon lub rosół z kury i jarzyny; (gdyż ten niezmordowany malarz pracy jest wiotkim, słabym, ciągle chorującym, i trudno pojąć, jak taki duch potężny trzyma się w tak wątłym ciele). Po obiedzie godzinę czasu poświęca na przechadzkę, a potem znów zasiada przy biurku i do późnej nocy pracuje“.

Dorzućmy wszakże od siebie, że nie jest to stały tryb życia Kraszewskiego, który go chętnie zmienia w wyjątkowych okolicznościach, często się trafiających, gdy rzecz idzie o dopomożenie komu z rodaków, czy radą, czy protekcyą w sprawach ważniejszych, lub chociażby tylko o uczynienie przyjemności, jakśmy już wyżej mówili.

Stosunki rodzinne Kraszewskiego, od czasu osiedlenia się w Dreźnie, wielkiej zmianie uległy—został całkowicie osamotnionym. W pierwszych latach, póki trwała jeszcze niepewność co do jego przyszłości, Pani Kraszewska, z jednej strony mniemając, że prędzej albo później doczeka się jego powrotu, z drugiej ze względu na interesa majątkowe, nie mogła za granicę wyjechać, zwłaszcza mając, prócz młodszej córki, do pielęgnowania dwie siostrzenice. Następnie, kiedy siostrzenice za mąż powychodziły, a synowie się poženili, i jak tańte, tak też i ci zamieszkali w Warszawie; gdy ją otoczyła gromadka wnuków, z których dwoje, osierociałych po ojcu i po matce, z dalekich stron przybyło pod jej opiekę: wszystko to razem tak silnemi węzły ją skrepiwało, iż musiała szczęście żony poświęcić na ofiarę obowiązkom matki i babki. Rozłąkę tę osłodziła niustanna, co-tygodniowa, a niekiedy i częstsza korespondencya pomiędzy mał-

żonkami, przy najtkliwszej pieczołowitości z jego strony o jej spokój i potrzeby materialne; synowie zaś, często ojca w Dreźnie odwiedzający, są niejako żywem ogniwem pomiędzy obojgiem rodzicami, oddalonymi jedno od drugiego smutnym zbiegiem okoliczności. Obojgu zaś i to jeszcze na pociechę zostaje, że każde z nich, choć osobno, spełnia swoje powinność: ona, zastępując matkę sierotom, on do ostatka sił we właściwym sobie zawodzie cały się na usługę społeczeństwu oddając, i w oderwaniu tem (nie duchowem, lecz materialnem tylko) od rodziny, więcej czyniąc dla niego, niżby mógł być uczynić w pośród trosk i kłopotów powszednich.

W tym też okresie dotknęło Kraszewskiego kilka ciosów bardzo bolesnych: w roku 1864, 27 Lutego, zgon ojca, zmarłego u swęj córki Moraczewskiej w Joalinie; w 1870 nagle i tragiczna śmierć starszej córki, wracającej z daleka, po stracie męża, z dwojgiem sierot, do matki; w roku przeszłym zgon już dorastającej wnuczki; w tym narazie—śmierć przedwczesna i niespodziana pani Kwaśnickiej, jednej z onych siostrzenic, któremi się państwo Kraszewscy z rodzicielską prawdziwością w swoim domu opiekowali.

Praca jednak usilna, niustanna, namiętna, praca ta, o której niegdyś, mając lat osiemnaście, pisał do ojca, że ona jedna może człowieka uszczęśliwić, praca dla dobra powszechnego, dla przewodniej idei w całym życiu, pokrzepia go i podtrzymuje, wytrwałym czyniąc, na troski i cierpienia.

To też dobrze czyni nasza społeczność, że dzisiaj za tę pracę, której przez lat pięćdziesiąt tak statecznie wiernym pozostał i taki plon bogaty dal z niej zebrać krajowi, wieńczy go, słusznie mu należną, nagrodą. Dobrze czyni, że liście wawrzynowe kładzie mu na te skronie, które nie jeden cień zakrwawił; że ze czcią i miłością skwapliwie się garnie do tego serca, które tak wiele przeboleło, i tyle ciężkich ofiar poniosło. Dobrze czyni, że tak szczerze i gorąco pragnie zapewnić byt spokojny i niezależny temu, kto w swém życiu tyle trosk zaznał i na tyle strat się naraził; dobrze czyni, bo spełnia święty obowiązek, a spełniając go, daje dowód najlepszy, że półwickowa praca jubilata dla jej dobra bezowocna nie była.

Adam Plug.

OBRAZ DZIAŁALNOŚCI LITERACKIEJ

J. I. KRASZEWSKIEGO

od 1840—1880.

POWIEŚCIOPISARSTWO.

I.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA.

Pierwsze dziesięciolecie

(1830-1840).

„Choćbyście mnie mieli ukamienować, za-
bić, ukrzyżować lub głodem umorzyć za
mój ciężki grzech, ja taki muszę pisać. Tak
jest, muszę: nie nazwę tego inaczej jak *mus-
sem*. Oto trzeci dzień drogi, a już nie mogę
pohamować *nieszczęsnego popędu*; chwytam
żydowsko - obrzydliwy, splugawiony kalam-
marz, pióro wycheltane brudnymi ich rę-
koma; zamykam się w sobie i piszę. Nie
tyle mi dojmuje niewygodna podróż, nie
tyle reumatyzmy, nie tyle głód, nie tyle
krzyki całej synagogi, przez ścianę sanhe-
drynującej, ile ta potrzeba pisania, pragnie-
nie wylania się. Jakże teraz słodko dorwać
się pióra i znów wjechać w ten świat
o tyle lepszy od rzeczywistego, w świat my-
śli, marzeń, rozpraw; świat pośredni mię-
dzy dwoma, które znamy, przedświatem i światem,
którego pojąć nie umiemy: duchów i anio-
łów.“

Tak pisał Kraszewski do „Tygodnika Pe-
tersburskiego“ ¹⁾ wówczas, gdy miał dopie-
ro 9 lat czynnej służby piśmienniczej. Na-
stępne lat 40 przekonały, że ów *mus* pisa-
nia nie był czczym wyrazem, dla efektu
jedynie użytym, albo przemijającym tylko za-
chciankę malującym, lecz najdobitniejszem
i najwłaściwszem określeniem prawdziwego
powołania autorskiego, które potrafi wszyst-
kie przeszkody usunąć, wszystkie trudności
zwalczyć, wszystkie zawody i cierpienia
znieść, ażeby się w końcu wszechstronnym
na ogół wpływem i uznanem swych zasług

uwieńczyć. Nieszczęsny popęd przez Kr.
wspomniany stał się twórcą całej biblioteki,
która nigdy pustkami nie stoi, ale przeci-
wnie zawsze zgromadza w sobie tłumy żą-
dnych oświaty i zadowolenia estetycznego.
Szczęście to dla nas, że go Kraszewski
pohamować nie mógł, gdyż z kilkuset tomo-
wych jego wyników liczne pokolenia korzy-
stały i korzystać będą.

Ta nadzwyczajna płodność autorska, któ-
rą wiernie sprzymierzona była zawsze łat-
wość tworzenia, przejmując nas nie tylko
wdzięcznością, ale i zdumieniem. Jakiż Je-
den człowiek daje nam setki powieści, pi-
sze całe tomy poezji, okurza z wiekowego
pyłu dokumenta dziejowe i układa mono-
grafie historyczne, pracuje nad sztuką i ar-
cheologią, zajmuje się filozofią i naukami
społecznymi, redaguje pisma, wydaje pa-
miętniki, cały ruch umysłowy w świecie
neywilizowanym ujmując w krótkie sprawo-
zдания; a oprócz tego wszystkiego ma czas
jeszcze na rysunek, malowidło, muzykę...
Dziś gdy zamierzono obrachować się z tém,
co jeden Kr. utworzył, wezwano kilkunastu
rachmistrzów, a i ci nie są jeszcze pewni,
czy pracy podjętej należyście podolają.

Dla psychologa i estetyka przedstawia
się w tej olbrzymiej działalności obszernie
pole do spostrzeżeń. Rozrost talentu, jego
dojrzałość, są dla estetyka najmielszym bez-
wątpienia przedmiotem badań, gdyż w utwo-
rach skończonych a świetnych znajdzie naj-

więcej sposobności do rozkoszowania się pięknem i wskazania go innym. Piérwsze atoli zawiązki talentu, jego próby i usiłowania, jego nawet błędy, dla psychologa i historyka literatury są może najciekawsze;

bo go naprowadzają na ślady téj tak zawiłej zagadki, która się twórczością nazywa, i dają mu możność wyjaśnienia sobie genyzy indywidualności pisarskiej.

I.

Kiedy Kraszewski przybywał do Wilna dla dokończenia wykształcenia, uniwersytet tamieczny od lat kilku ulegał już dezorganizacyi. Professorowie, którzy stanowili dawniej jego sławę i ruch naukowy wkoło siebie wywoływali, albo pomarli, albo poróżniali się w rozmaite strony kraju. Grodecki umarł; Lelewel przeniósł się do Warszawy; Jan Śniadecki siedział na wsi, jako emeryt, ostatnich miesięcy życia dokonywając; ks. Stanisław Jundził od r. 1824 przestał wykładać historią naturalną i zawiadywać ogrodem botanicznym; Józef Gołuchowski gospodarował zawzięcie i zamiast Schellinga studiował Priesnitzą; Onaciewicz pisał swe żale nad marnotrawstwem funduszów uniwersyteckich. Nauka zeszła na drugi plan a niektórzy jej przedstawiciele wobec młodości i kraju zajęli się robieniem dobrych interesów i dbali przedewszystkiem o karyerę; ztąd powstały intryki, które w dość zgodnem niegdyś ciele nauczycielskiem zaprowadziły zamieszanie i niesnaski.

Mimo to, ilość studentów była znaczna; w roku 18⁵⁰/₅₁ wynosiła 1200. ²⁾.

Kr. wstąpił na tak zwany popularnie wydział literacki, który niegdyś tak świetnie się rozwijał, a teraz tak smutnie podupadł, chociaż zawsze jeszcze największą liczbę studentów ku sobie pociągał. Poczciwy stary Żukowski, samouk, wykładał język hebrajski i grecki; Hryniewicz, uczeń Grodka, daleko pozostał poza mistrzem, a chociaż po łacinie pisał pięknie, nie potrafił przecież dla tego języka obudzić szczerego zapалу; Paweł Kukolnik nawet się nie starał braku Lelewela zastąpić i w opowiadaniu dziejów miał wygląd raczej na własną osobę, aniżeli na naukę. W filozofii tylko Anioł Dowgird, a w wymowie i historii literatury Leon Borowski, jakkolwiek bez odznaczających się talentów, uniknęli przecież mierności i mogli większy wpływ na studentów wywierać. Śladów atoli wpływu Dowgirda w początkowych pracach K-go odkryć niepodobna, gdyż z nazwisk np. filozofów wspomniany jest tylko jeden *Kant* ³⁾ z epitetem „ciemny“, który-to epitet w Wil-

nie od czasów krytyki Kanta przez Śniadeckiego Jana stał się popularny; wykłady za to Borowskiego zaznaczyły się w nich widomie. Leon Borowski był jednym z najlepszych uczniów Grodka; przejął on od niego zamiłowanie do nauk klasycznych i potrafił uniejętnie je stosować do badania literatury ojczystej. Z nauczyciela gimnazyalnego objął po śmierci Euzebiusza Słowackiego katedrę wymowy w uniwersytecie, najprzód jako zastępca, a potem jako profesor zwyczajny. Już w r. 1820 pisząc swoje „Uwagi nad poezią i wymową“, które mu stała posada zapewniły, wyraził on stanowczy swój wstręt do ślepego naśladownictwa ówczesnych wzorów francuzkiego klasycyzmu, a wskazywał natomiast wiecznie piękne utwory poezyi greckiej jako przedmiot studyów najkorzystniejszych; równocześnie zaś zalecał wczytywanie się w dzieła pisarzy naszych XVI stulecia, tudzież wyszukiwanie w dziejach i obyczajach narodowych tematów do poezyi oryginalnej. Z takim przygotowaniem naukowem nie mógł on podzielać rozpowszechniającego się wtedy zapалу dla wybryków romantycznych, nie mógł pochwalać zaniedbania formy i rozpasania wyobraźni. Zresztą Wilno samo, chociaż było kolebką romantyzmu polskiego, niedługo przechowywało w swych murach jego tradycje. Częścić tam owszem pojawił się jakiś utwór klasyczny, zarówno w dobrém, jak i w złém znaczeniu tego wyrazu. Pisma peryodyczne, redagowane przez członków uniwersytetu, rzadko kiedy dopuszczały do szpalt swoich plody młodych i, powiedzmy prawdę, bardzo miernych pod względem zdolności zwolenników romantyzmu, gdyż po wyjeździe owéj fulangi uniwersyteckiej, której duchowo przewodził Mickiewicz, żadnego właściwie w Wilnie znakomitego poety nie było.

Nie więc dziwnego, że pod takimi wpływami nie mógł Kr. zapalić się miłością do dumań marzycielskich i rojeń fantastycznych. Zarówno w maledach mia-teczkach, w których pierwotne pobierał nauki, jak i w Wilnie, gdzie je chciał udoskonalić, zarówno w całym otoczeniu literackim, jak i w spe-

cyalnym przedstawicielu pojęć estetycznych w uniwersytecie, znajdował większą skłonność do dawnego, aniżeli do nowego porządku w rzeczypośpolitej poetycznej. Jeszcze w szkołach pisał *bajki*, które stanowiły gatunek poezji, znienawidzony przez gorętszych romantyków; a gdy pierwszą swą powieść ogłaszał, nie omieszkiał na samym jej początku zamieścić protestacyi przeciw romantyzmowi, jakkolwiek i do klasycyzmu się nie przyznawał. „Pisać ballady? — czytamy w *Panu Walerym* — być romantykiem? Otóż sposób pozyskania sławy w dzisiejszym czasie. Te *czule wiersze*, których nie rozumiejąc tyle ludzi uwielbia; te podobieństwa, te postaci, te czucia gorące chwytają za serce! Młode panienki w kątku, niewidzialne, ukryte, lubią czytać te *bezduszne zapęły* i zaléwać się łzami, których przyczyny nie widzą. Gdzieinżiś młodziemiec porywa książkę, neży się kochać, zapomina deklinaacyi, a wdycha jak najęty do pierwszego czupiradła, które mu się przed oczy nawinie. Starzec czyta równie, czuje mocniej bijące serce, *zdaje mu się*, że kochał, że jeszcze kocha, muska wyłysiałą głowę przed zwierciadłem, prostuje nogi, chowa starannie tabakierkę i okulary, śpieszy w niewczesne zaloty, kupuje sobie żonę i — dwoje ludzi nieszczęśliwymi robi. Oj nie chcę być romantykiem!“ (str. 8 i 9). I nie jest to wyrażenie odosobnione, — podobne napotyka my dwukrotnie w „Wielkim świecie małego miasteczka“ (I, 122. II, 108). A zapatrywanie się podobne podzielała ówczesna młodzież w znacznej części; w „Noworoczniku“ bowiem „litewskim“ wydanym przez H. Klimaszewskiego na r. 1831, spotykamy, obok wielkich twórców romantyki, przeważnie naśladowanie wzorów klasycznych.

Serce autora było widocznie jeszcze zupełnie spokojne i nie doznawało owych uczuć gorących, które tak swobodnie wyśmiewał. Umysł jego był podobny do powierzchni cichego jeziora, która odbija w sobie wszystkie przedmioty, zarówno wesołe jak smutne rozbudzające myśli, bez najmniejszej nawet zmiany w samej sobie. Obdarzony od natury wrażliwością wielką na to, co poza nim było, wyrobił w sobie zmysł obserwacyjny, szczególnie do zewnętrznej postaci osób i miejsc odnoszący się, ale zarazem nadzwyczaj łatwo uległ wpływom otoczenia. Łagodnego usposobienia, wychowywany w małych miasteczkach pod dozorem ścisłym starszych nauczycieli, nie należał on bezwątpienia do tych, co w uniwersytecie rej wodzą między kolegami, posilkując się głośnym krzykiem lub pięścią, ale do

tych, co nauką, pilnością, ściągają na siebie uwagę. Nie trzeba jednak wyobrazić sobie, żeby to był młodzieniec zupełnie popularny, bez wybitnej indywidualności; nie; satyryczne i krytyczne jego uzdolnienie już wtedy się ujawniało, ale w formie cichego spostrzeżenia, złośliwego uśmiechu lub gestu. Najwięcej on lubił wieczorne pogadanki z kolegami przy fajce i herbacie, a czasami i szklanceczce ponczu, pogadanki o wszystkim i o niczem, których ślad pozostawił nam w „Wędrówkach“³⁾. Pracował zwykle w nocy.

Gorączka poznania wszystkie nauki milemi mu czyniła, z wyjątkiem jednej matematyki, którą go dręczył w Lublinie jego opiekun naukowy. Ten wstręt do umiejętności przeniósł on i do samych jej przedstawicieli. „Nie, wiem — mówił — czemu się to dzieje, że od najdawniejszych czasów historia nie pokazuje ani jednego tłustego matematyka: wszystko chudzi, lub przynajmniej bledzi. Musi to być kara boża na nich, że sobie mózg suszą nad niepotrzebnemi bredniami“⁴⁾. Ze wszystkich nauk jednak najwięcej go zainteresowało językoznawstwo i badania dziejowe. Katedra zajmowana przez Borowskiego miała urzędowy tytuł katedry „wymowy i grammatyki powszechniej.“ Nie było tam naturalnie mowy o lingwistyce porównawczej w takim znaczeniu, jakie jej nadał naówczas Bopp w swoich wykładach; przedstawiała się tam wyłącznie niemal przekazana przez wiek XVIII grammatyka filozoficzna, dająca zarys ogólnych zasad, wspólnych wszystkim mówom świata, bez względu na stopień ich pokrewieństwa. Nie posiadamy wprawdzie żadnych świadectw o tych wykładach; domyślać się jednak można, że tradycyjne od czasów Kopczyńskiego porównywanie języka polskiego z łaciną, a może i z greczyzną, w skład ich wchodziło. Bądźco bądź, zajęcie się grammatyką powszechną powiodło K-go do studyowania języków różnych, nie tylko obowiązkowych: staro-słowiańskiego, rosyjskiego, łacińskiego i greckiego, ale także nadobowiązkowych — hebrajskiego i arabskiego. Kr. lubił następnie o arabskim szczególniej rozprawiać „cytować przysłowia arabskie.“⁵⁾

Z temi studjami językowemi łączyło się poznawanie starożytnych pisarzy polskich, za wskazówkami Borowskiego. Pierwsze pisma K-go świadczą o obszerném czytaniu w tym względzie. Cytaty wprawdzie, którymi lubił stroić nagłówki rozdziałów swoich powieści, nie zawsze są wprost brane z dzieł autorów, do których należą, lecz niekiedy tylko ze zbiorów i wypisów (jak np. cały ustęp o „Wieśniaku“ Zbylitowskiego w II

temie powieści „Wielki świat m. m.“ oparty jest na rozbiórce tego poematu przez Euz. Słowackiego „Dzieła“ III, 127—135); w każdym atoli razie większość pochodzi wprost ze źródła i dowodzi, że młodzienniec 18-letni nie tylko bieżącą, ale i dawno ubiegłą zajmował się literaturą. Nowe wydanie starożytnych pisarzy polskich, przez firmę Gałęzowskiego podjęte, ułatwiało mu poszukiwania i uprzystępiało nabywanie dzieł, których cleyce pierwotne, a nawet powtórzone, dość były rzadkie.

Zamilowanie w dawnych autorach pówiodło do poszukiwania starych dokumentów, do studyowania napisów nagrobkowych, zaglądania do bibliotek a badania dziejów. Ruch na polu dziejopisarstwa, od czasów mianowicie Naruszewicza, wzmagal się u nas ciągle i był jedną z najcharakterystyczniejszych cech ówczesnej działalności literackiej. W samym Wilnie krzatali się około historii i budzili do niej zapal dawniej: Lelewel, Daniłowicz, Onaciewicz, Michał Baliński, a ten ostatni i w chwili pobytu K-go w tym mieście nie był bezczynnym. Pisma periodyczne pomieszczały chętnie dokumenta historyczne. Poszukiwanie starych książek i rękopismów przechodziło nawet w manię, stawało się namiętnością. I Kr. téż, jakkolwiek wysmiewał erudyty i zbieraczy białych kruków, sam przecież chętnie się wczytywał w stare rękopisma, jak o tym świadczą cytaty w jego pierwszych utworach: „Ostatnim roku panowania Żyg. III“ i „Kościele ś. Michałskim.“ Nie zakochał się on wprawdzie naówczas w przeszłości, nie myślał jej wcale idealizować; bo naprzód taki kierunek nie wyrobił się jeszcze wtedy w naszej literaturze, która w ocenie dawnych czasów podzielała mniej więcej przekonania partyi reformatorskiej u nas z końca XVIII stulecia; a powtóre, sam satyryczny nastrój umysłu K-go nie pozwalał na wielbienie tego, co minęło, dla tego jedynie, że już jest bardzo stare. Coś go ciągnęło do przeszłości, chciał ją poznać i zbadać dokładnie, choćby na to, żeby ją przedewszystkiem wyszykanować.

Ten sam uśmiech ironiczny zwracał Kr. tak na czasy, w których żył, jak i na swoje otoczenie. Ironia jego nie sięgała wprawdzie głęboko, nie dotykała wielkich niedorzeczności lub wielkich błędów; ale odzywała się lekceważąco o wszystkim, albowiem odnosiła się głównie do powierzchui wszystkiego. Ponieważ namiętności nie zbudziły się w nim jeszcze, nie wybuchał więc gwałtownie; śmiał się z cierni Werthera, wysmiewał sentymentalność; ale chcąc dać ujście swojemu satyrycznym zachciankom, kie-

dy mu ów „nieszcześliwy popęd“ do pisania nie dawał spokoju, postanowił kręślić sylwetki miejsc i ludzi, których zapasu dostarczał mu jego bystry zmysł obserwacyjny.

Powieść, za przykładem Zachodu, zaczynała już naówczas i u nas stawać się najpopularniejszą formą twórczości. Mianowicie od czasu „Malwiny“ kźnej Wirtemberskiej znajdowali się powieściopisarze i powieściopisarki z talentem, obrazujący stan społeczeństwa naszego z tych warstw, które do nazwy intelligencji mogły mieć prawo. Szlachta wiejska, bogatsza i uboższa, stanowiła główny element powieściowy; gdy tymczasem chłopci, urzędnicy, mieszczanie, epizodycznie tylko do utworów tych wchodziłi. Koloryt ich po większej części był sentymentalny; przesadne malowanie uczuć, deklamacya nieznośna, stanowiły zwykłe ich cechy. Jednakże znajdowały się już i pocieszające wyjątki. Obok „Nierozsądnych ślubów“, obok „Adolfa i Julii“ zwłaszcza, możemy już wymienić tak piękną i tak naturalną powieść, jak *Pan starosta Fryderyka Skarbka*, która wybornie przedstawiała życie nasze za czasów pruskich, albo téż utwory Jaraczewskiej a szczególnie jej *Wieczór adwentowy* lub *Pierwsza młodość, pierwsze uczucie*.

W powieści historycznej naśladowanie Waltera Scotta wydało znaczną ilość utworów, pobudziło różnych pisarzy do próbowania sił swoich w tym tak naówczas ulubionym rodzaju. Niemcewicz, Skarbek, Wężyk, Bronikowski, Gaszyński, poczęści także Zygmunt Krasiński, ogłosili swoje utwory, które tę wszakże miały tylko zaletę, że mówiły o rzeczach krajowych, gdyż pod względem estetycznym nie posiadały wielkiej wartości. Jeden Bernatowicz, i to w „Pojaście“ tylko, utworzył dzieło, które do znakomych policzyć można. Spółecznie wszakże zupełnie odmienny sposób traktowania powieści historycznych wyrabiać się zaczął. Pierwszy Niemcewicz, nie znając jeszcze powieści Waltera Scotta, napisał dziełko drobnych rozmiarów, gdzie chciał scharakteryzować dwie odmiennie pod względem obyczajowym epoki, których wspomnienie silnie mu w pamięci utkwiło. *Dwaj Sireci chorze* nie stanowią wprawdzie całości artystycznej; ale w malowaniu epoki Saskiej tyle zawierają rysów żywych, jakby sportretowanych, że pojedyncze ustępy mogły być wskazówką, iż w przedstawianiu potocznego życia dziejowego możesz znaleźć żywioł prawdziwie poetyczny. Na większą skalę i z nie tak wyraźnym celem dy-

daktycznym, jak Niemcewicz, skróśliła K. Tańska w *Listach Elżbiety Rzeczyki* i w *Dzienniku Franciszki Krasieński* wyborną charakterystykę obyczajów polskich za Augusta III, wśród sfery mianowicie szlacheckiej.⁹⁾

Kraszewski w powieści obyczajowej poszedł naprzód za śladem Skarbka; za wzór jednak nie brał najlepszego jego dzieła: *Tana Starosty*, ale pierwsze próby (*Tan Antoni*, *Łódź bez celu*), w których Skarbek był znów naśladowcą Sterne'a. Wzór ten atoli nie był dla niego wyrocznią: obok bowiem samego Sterne'a znał już wówczas i wysoko cenil innych pisarzy, mających wtedy sławę w Europie, ponieważ zajmowali się nimi Francuzi. Pisarzami tymi byli: zmarli już wtedy Niemcy, Jan Paweł Richter i Hoffmann, tudzież Amerykanin, Washington Irving. Z latami wpływ ten cudzoziemskich autorów wzmagal się coraz bardziej, lecz w pierwszych kilku utworach zostawił nader nieznaczne ślady, a mianowicie chętkę do fantazywania, której najcharakterystyczniejszym wyrazem jest taniec sprzętów, opisany w „Wielkim świecie małego miasteczka“, a powtórę dość częste wprowadzanie obłąkanych do treści utworów (w „Dwa a dwa cztery“ obłąkany Ryszard, w „Kościele ś. Michalskim“ obłąkana Marya).

Główne w każdym razie rysy są te same, co u Sterne'a i u Skarbka. A naprzód zauważmy cechę, która odróżniła powiastki Skarbka od ogółu powieści polskich jemu współczesnych, a która polegała na tem, że za bohaterów i ich towarzyszków brał ludzi najpospolitszych, najzwyczajniejszych, nie będących nawet czemś szczególnie w swoim nader ograniczonym kółku. Niema tu mowy o ludziach niepospolitej potęgi umysłowej, albo silnych namiętności, albo wielkiej mocy charakteru; nie; są to jednostki, jakich się ysiacie spotyka, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Toż samo i u K-go. Kierunek ten tworzenia sformułował on sam bardzo wcześnie. „Kiedy wszystkie wielkie, patetyczne, dziwne, czule, na tysiące stron ynicowano przypadki, przyszło nakoniec to tego, iż do malarzy się wzięło. Dawniej więcej pisano historyi o ludziach, dziś więcej o sercu i uczuciach; dawniej bawiono wystawieniem człowieka, jakimby mógł być, dziś lubią spoglądać na takiego, jakim est“¹⁰⁾. „Wielkich tylko ludzi zajmować mogą opisy dzieł wielkich, które człowieka. / niskim urodzonego stanie i żyjącego pod tarą ojców swych strzechą, na przodków agonie, oślepiają niejako wielkością swoją,

i bardziej mu upokarzający stan jego czuć dają, niżeli wznoszą i poprawiają jego skłonności i umysł. Dla takich ludzi trzeba pisać biografie mężów, na widok których powiedzieliby mogli sami w sobie: *jestemym równi lub nimi być możem*“¹⁰⁾. Takiego to rodzaju ludzie zapełniają scenę powieściową w „Panu Walerym.“ „Wielkim świecie małego miasteczka“, „Dwa a dwa cztery.“ Jest ich ilość bardzo znaczna; ale wyliczenie ich imienne i bliższa charakterystyka byłaby zbyt czarna; są to bowiem postaci bez cech wybitnych, wyraźnych, i dlatego w massie jedynie określić się dają.

Wprowadzenie takich osób i odpowiednich ich sferze wypadków uważał sobie Kr. za zasługę i w prospekcie na „kilka obrazów towarzyskich“, które miały zawierać *Tana Walerego* i *Wielki świat małego miasteczka*, wystąpił zbrojnie przeciw tym, co nadzwyczajnemi awanturami wyobraźnię czytelników dręczył chęci! „Pomimo natężonych usiłowań—czytany tu—niektórych nowszych z powołania, a raczej z rzemiosła, pisarzy powieści, którzy chcą w nas wmówić, że jedynie zdziwne i imaginacyi utwory mogą zajmować czytelników; każdy zdrowo myślący i marzeniami tych ichnościów nieprzejęty uzna, że daleko miłej czytać się dają żywe i wierne obrazy naszego życia. Widząc tedy, że panowie wyżej wspomnieni bazgracze ciągle na świat wysyłają jakieś *hiszpańskie dziewczę*; że drudzy występują z *pusztelnikami*; że w końcu bredzą bez sensu i ładu, i że o poznaniu ludzi wyobrażenia nie mają; wzdychając nad losem, który, jak szalonnemu miecz, w ręce ich dał pióro, nie dawszy głowy: siadłem pisać o czemkolwiek, przynajmniej jeżeli nie lepszym, to podobniejszym do prawdziwego.“¹¹⁾

Z tem zamilowaniem powszedniości łączył się naturalnie wstręt do deklamacyjnego przedstawiania uczuć, co jest wspólne zarówno Skarbkowi, jak K-mu. Kr. nawet poszedł dalej od Skarbka, gdyż prawie zupełnie w początkowych utworach uczuć nie przedstawiał, albo je zwywał bardzo szybko i bardzo pobieżnie. W „Panu Walerym“ żadnej intrygi miłosnej niema, przysuwają się wprawdzie trzy postaci kobiece, ale o ich uczuciach dowiadujemy się bardzo mało. W „Wielkim świecie małego miasteczka“ istnieje już wprawdzie osnowa miłosna, lecz w porównaniu z innemi przedmiotami, które tam autor opisuje, zajmuje ona najniżej miejsca i właściwie w trzech tylko scenach występuje. W „Dwa a dwa

cztery" miłość Malwiny wyraża się jedynie rumieńcem, a miłość Ryszarda — wejrzeniem.

Chęć wydrwienia dawnych patetycznych umiesień poprowadziła zarówno Skarbka jak K-go do przeplatania scen poważnych trywialnie komicznymi. Potyknięcie się w skutek niezgrabności, wywracanie stolów i nakryć do herbaty, spadnięcie peruki i t. p. wypadeczki, przedstawione nieraz w karykaturze, przerywają zazwyczaj jakąś rozmowę, albo przeszkadzają zabawie, których opis w tonie poważnym jest trzymany. Takie sceny miały na celu rozśmieszenie czytelnika; rzadko jednak kiedy cel swój osiągały, gdyż pospolicie znać w nich było namyślną kombinacją autorską, a nie przebieg rzeczywistych wypadków.

Zamiłowanie piękności natury zarówno u Skarbka, jak i K-go, było teoretyczne tylko. Autor mówi często o widokach przyrody, ale nigdy szczegółowo ich nie maluje. Weźmy przykład z „Pana Walerego”. „Z przyjemnością błądził po lasach pan Walery, a jak to prawie zawsze się zdarza, kiedy umysł nieczem ważniejszem nie był zajęty, wpatrywał się, dumając, w czerwieniejące listki osiny, żółtkłą topolę lub brzozę i posępnie zieloną jodłę. Przyrodzenie albowiem mało tych zwykło zajmować, których życie jest nieprzebranym pasmem zdarzeń, silnie na umysł działających i porywających z sobą wszystkie władze człowieka; ono tym tylko skarby swe i piękności odkrywa, którzy w nim szukają pociechy i oddać mu się mogą. Dusze do ziemi przykute najmniej ziemskich przyrodzenia powabów kosztują; gdy tymczasem mała liczba ludzi, żyjących w przyszłości i niemiejących czuć przyjemności umysłowe, napawa się wdziękiem natury, jako godnym zastanowienia człowieka.”¹²⁾ Przykład ten charakteryzuje sposób traktowania natury w początkowych powieściach K-go; przemaga tu rozumowanie, wmawiające poczucie piękna natury nie tylko w czytelników, ale i w siebie; istotnego atoli głębokiego odczucia tego piękna niema, a więc niema i pięknych obrazów jego, które zastępuje ogólnikowe, schematyczne niemal przedstawianie stanu pogody, albo widoków drzew i traw. Widocznie zachwyt nad naturą był jedynie dotąd obojętnym spadkiem, odziedziczonym po poprzednich powieściopisarzach; ale nie wpływały jeszcze wtedy z wrażeń osobistych.

I w kompozycji artystycznej znajdujemy ważne podobieństwa. Przedewszystkiem zarówno obrazom pierwszym Skarbka, jak K-go, brak perspektywy; wszystkie osoby, wchodzące do powieści, są traktowane je-

dnakowo: niema tu wyróżnienia osób głównych od podrzędnych, chyba to jedno, że osoba główna częściej się zjawia na scenie, chociaż przez to nie na wybitności artystycznej nie zyskuje. Powtóre: widzimy u Kr. brak starania o całość i to w większym nawet stopniu, aniżeli u Skarbka. Szereg drobnych wypadków, stawiających osoby powieściowe w różnych pozycjach: oto główne staranie autora, któremu nie idzie bynajmniej o zogniskowanie tych wypadków, ani o rozwój charakterów. Ztąd często osnowa się zrywa, a autor robi zupełnie luzne uwagi, które nie mają nieraz żadnego związku z treścią opowiadania. Niekiedy także spotykają się zwroty do pracy autorskiej; powieściopisarz uskarża się przed czytelnikiem, że mu pisanie ciężko idzie, że się już zmudził gryzmołeniem, że mu to i owo przeszkadza w tworzeniu. Takie przenoszenie czytelnika ze sceny powieściowej do gabinetu autora, częste u Sterne'a, u Jean Paula i Skarbka, jest ulubionym tematem w pierwszych powieściach K-go. Ztąd także np. zwroty spotykają się tu nieraz: „Plan mój pozwala mi przerywać lub łączyć mój powieści według żądania; a zatem opuszczam mego rywala i kochankę, a o czem innem zaczę uwagi.”¹³⁾

Pod wymienionemi tu względami powiastki K-go nie stanowiły nowości w literaturze polskiej; były w nich jednakże i takie strony, którychbyśmy napróżno u Skarbka szukali. A naprzód: Kr. daleko chętniej przebywa wśród mieszczan, aniżeli wśród szlachty wiejskiej; daleko częściej prowadzi nas do małego miasteczka, aniżeli do stolicy. Burmistrz, doktorowie, aptekarze, księża, organiste, pocztmajstrowie, traktyernicy, piekarze, szewcy, krawcy, szynkarze, kapitaliści drobni, są to osoby, występujące wyłącznie w dwu powiastkach, (W. s. m. m. i Dwa a dwa cztery) tak dalece, że szlachta albo wcale się w nich nie pojawia, albo też chwilowo tylko i jakby przez mgłę jest widziana. K. w jednym z najpięrszych utworów wyraził zdziwienie, dla czego żaden z autorów nie pisze dla niższych klas ludzi¹⁴⁾; sam chcąc zapewne brak ten zapełnić, zaczął wydawać swoje dziełka. Patrzy on na ten swój światek ironicznie, czuje swoje nad nim wyższość, upatruje w nim wszędzie śmieszność i tylko ze strony śmiesznej go przedstawia. Tłem, na którym postacie te się rysują, są to dobrze znane autorowi miasteczka: Biała, Swisłocz, Lublin; wiele rysów pochwycił bez wątpienia autor z ludzi, których niejednokrotnie widywał; ale wiele też dodał z przeczytanych książek zagranicznych i z wła-

snęj imaginacyi. Ponieważ zaś nie przedstawiał ludzi całkowitych, ale jednostronnie śmiesznego w nich pierwiastku się dobadywał, wpadał częstokroć w karykatury zmieniające fizyognomie ludzi do niepoznania, tak, że jeden z krytyków powiedział wprost, iż ten ogółu powieści jest zupełnie fałszywy, gdyż w „naszych miasteczkach nigdzie niema takiego towarzystwa, jakie autor wywiódł na scenę (w „Wiel. św. m. m.“); że jest to jakieś niedołężne naśladowanie bytn miasteczek zachodniej Europy.“¹⁵⁾ Sąd to trochę niesprawiedliwy, gdyż Kr. rzeczywiście brał wiele z obserwacyi; ale ponieważ był zdania jednego z rosyjskich pisarzy, że „chęć ludzi widzieć, jakimi są, trzeba więcej patrzeć przez okna i dziurki, niżeli oko“¹⁶⁾, przeto obserwacye jego ściągały się bardziej do powierzchowności, aniżeli do wnętrza duszy. Przez okna i dziurki od kluczów można wiele ujrzeć tajemnic; ale wtedy jedynie tajemnice te przedstawia się nam w swojej wewnętrznej treści, gdyśmy z ludźmi przeżyli dość czasu oko w oko, wówczas bowiem odkryje się różnica pomiędzy człowiekiem w towarzystwie a człowiekiem na osobności...

Kr. kręślił z prawdziwem zamilowaniem zewnętrzne kształty miejsc, a mianowicie budynków, placów, tudzież sylwetki ludzi; i to stanowi drugą nowość w ówczesnym powieściopisarstwie. Przed K-im niewiele zajmowano się opisem powierzchowności osób podrzędnych; a nawet główne z lekka tylko kręślono; miejscowość również w wyjątkowych tylko razach dawano poznać dokładnie. Kr. przeciwnie, nie wprowadzi najlichszej nawet, najmniej znaczącej w powieści osoby, ażeby stroju jęj i fizygnomii szczegółowo nam nie przedstawił. Niema także tak blahego przedmiotu w otoczeniu ludzi, o którymby nie wzmiankował. Rysy wprawdzie, i w jednym i w drugim wypadku użyte, są blade, tak, że opis jest nieraz suchy i, że tak powiem, urzędowy; ale w każdym razie jest dokładny i szczegółowy. Jeden przykład wystarczy za najbardziej nawet drobiazgową analizę. Mamy przed sobą człowieka siedzącego w traktynie, którego raz tylko w powieści widzimy, który nie gra żadnej roli w jęj osnowie; zobaczymy, jak K. F. Pasternak starannie mu się przygląda, jak go studyuje i jak go czytelnikom poznać daje¹⁷⁾. „Tam za oddzielnym małym stolikiem siedzi ponury jakiś negocyant, susząc zapewne głowę wśród weselości powszechnej nad zyskiem, jaki mu nowe kupno ma przynieść. Ubiór jego nie okazuje ubóstwa ani mierności i jest nawet

niejako wykwintnym. Surdut z pięknego sukna, *florensem podszyty* i pod samę szyję zapięty, okrywa cięło mocne i zdrowe; długie palone buty polyskują na nogach; na palcu świeci mu się kosztowny pierścień, a chustka w kraty buchasto zawiązana podtrzymuje szeroki podbródek.“ To dopiero ubranie; a teraz fizygnomia. „Twarz jego jest pełna i rumiana, oczy żywo obracają się na wszystkie strony, nos garbaty i polyskujący *jak od lakieru*, rzęca cięń na szerokie i utluszczone usta.“ I na tém jeszcze nie koniec; potrzeba było opisać, jak siedział i co przy nim się znajdowało. „Zawiązał serwetę pod samę brodę, tabakiera i chustka leżą na stole. Przed nim stoi dobry zraz pieczeni cięlecej i parę butelek marcowego piwa, który on z *naturczywością Tantalą* używa. Zdaje się gardzić towarzyszami i do nikogo nie mówi; zapytania zaś zływa jednozłgłoskową odpowiedzią. Na rozmaite koncepta spółbiesiadników satyrycznie się uśmiecha i wodzi oczyma po wszystkich, jakby szukał sobie towarzysza do rozmowy i jada.“ Mógłby kto pomyśleć, że ta fizygnomia z szerokimi i zatluszczonemi ustami miała jakiś szczególny urok dla autora i pobudziła go do tak fotograficznego opisu. Ależ nie; na tém właśnie zasadza się skłonność ówczesna K-go, że wszystkie osoby i wszystkie przedmioty mają dla niego ten interes szczególny, iż każdą rzecz poczytuje za godną dokładnego rysunku i uwiecznienia zapomocą artystnu. Jest to dowodem nadzwyczajnego rozwinięcia „zmysłu plastycznego“, który tak rzadko się zdarzał u dawniejszych powieściopisarzy, a który u K-go występował tak jawnie, choć w formie jeszcze bardzo pierwotnej. Nie trzeba podobno dodawać, że zmysł ten był jedną z najwyraźniejszych przepowiedni przyszłego zawodu powieściopisarskiego i zapowiedzią jego niewyczerpanej płodności. Kto tak szczerze a nawet marnotrawnie z bogactw zbiór osób i miejscowości w swoich utworach; kto stworzył tak ludny światek na samym pierwszym występie swojego zawodu: ten składał dowody, że wyobraźnia jego, ciąglem doświadczeniem zasilana, nie wyczerpie się nigdy.¹⁸⁾

W powieściach *historycznych* też same znajdujemy cechy. Kr. nie poszedł w ślady Waltera Scotta, a nawet nie zbyt entuzjastycznie o tym „kuławym bożku“ Szkocyi się odzywał; tém bardziej zaś lekceważył sobie jego naśladowców polskich, tak dalece, że nawet *Pojacie* znaczenia artystycznego odmawiał. Zdaje się także, iż nie znał ówczesnych romansopisarzy francuzkich,

a między innymi Bibliophile'a Jacob'a (Pawła Laeroix), którzy ironicznie na przeszłość patrzyli. Nie znajdujemy przynajmniej ani jednego nazwiska z nowej szkoły powieściopisarskiej we Francji w „Rzucie oka na ścieżkę, którą poszedłem,” podpisanym 1-go kwietnia 1832 r.¹⁹⁾ W powieściach więc historycznych nie ulegał on według wszelkiego podobieństwa do prawdy żadnemu specjalnemu wpływowi, lecz zastosował do ich pisania metodę, jakiej się trzymał w powieściach obyczajowych. Najpierwszą próbą w tym kierunku był wedle zeznania samego autora „Ostatni rok panowania Zygmunta III,” o którym w parę lat po wydrukowaniu mówił ze wstętem: „Będę sobie miał długo do wyrzucenia, że m go drukował; na co się to zdało, kiedy nie zabawne i nienauczające”²⁰⁾. Istotnie trudno zmodyfikować sąd autora. Od pierwszej do przedostatniej strony dwutomikowego „obrazu” Zygmunt III kona a skonać nie może; rozmaitość zaś cała polega na przenoszeniu się z sal dworu do golarni. Na zamku królewskim staje przed nami wszechwładna a cheiwa na złoto Urszula Meyerin, ezere-da głupich medyków, tłum przebiegłych jezuitów; w golarni zaś plotki sług, klótnie panów, bójk i narzekania na zepsute duchowieństwo. Intryga jest niby, ale nie dba o przeprowadzenie jej autor, obrazkami przedewszystkiem osób i miejsc się zajmując, tak, że właściwie dopiero przy końcu tomu drugiego spotykamy pewne działanie, które się zaraz urywa. Jezuitci bowiem chcąc odebrać kochankę Władysławowi królewiczowi, wysyłają o. Grothusa, ażeby udając mowę jego, zniewolił Anastazję do wyjechania. Królewicz tymczasem nadbiega, odkrywa zdradę i wiąże o. Grothusa, któremu jezuitci wyprowadzają wkrótce pogrzeb dla honoru zakonu. O jezuitach nie mówi inaczej autor, tylko jak o kuglarzach nie tylko państwu, lecz i religii szkodliwych, a najbardziej efektowna scena opiera się na przedstawieniu zaślepionego ich fanatyzmu. Król leży w ostatniem osłabieniu, lekarze nakazują ciszę; a jezuitci obściapiwszy łożo „wołali z całego gardła na bezprzytomnego i konającego prawie Zygmunta, aby za grzechy żałował.”

— Królu—wołał schylony nad łożem ks. Marquat — królu, żałuj za grzechy żywota swojego, abyś był zbawionym!

— Panie! — krzyczał głośnie i jeszcze drugi nad uchem — myśl o niebie i sercem módl się Bogu.

— N. Panie! — wrzeszczał trzeci, chcąc w gorliwości obudwu przewyższyć — bij się

w piersi, bo będziesz potępiony... (Ostatni rok panowania Zygmunta. III-go, tom. II, 122, 123).

Drugim z kolei utworem była powiastka o przygodzie Józefa Poniatowskiego p. n.: „Imieniny.” Jest to żywo opowiedziana anegdota o dwu rywalkach do serca księcia Józefa, które, pogodziwszy się chwilowo, chciały zrobić mu niespodziankę i zupełnie odnowić jego apartament, zarówno co do mebli, jak i co do sprzętów podręcznych. Upatrzawszy odpowiednią chwilę, dokonały swego zamiaru i, ukrywając się w sypialni, czekały przybycia księcia. Książę, zmęczony i znudzony towarzystwem „uszurowanem w etykiety,” lubiąc płec piękną, chociaż „gardził nią w duszy,” pojechał do tancerki i przepędziwszy z nią długie chwile w Łazienkach, zaprosił ją na kolację do siebie. Gdy ją spostrzegli wchodzącą z księciem, rywalki owe z furją zakrzyknęły na solenizanta i rzuciły się do psucia mebli, tłuczenia luster, porcelany, szkła... Gdy się burza uspokoiła i rozgniewane hrabiny oddaliły się, książę zasiadł spokojnie do wieszczery ze swą tancerką²¹⁾.

W „Kościele” wreszcie „Ś-to Michalskim” wraca do ulubionego wtedy tematu wystawiania jezuitów, jako intrygantów, podżegaczy bójk w sprawie religii, ale przydaje do tego jako *pendant* głupotę i pijackie życie przewodników duchowych wyznania kalwińskiego. Na jedną i na drugą grupę patrzy drwiąco, ironicznie; kreśli karykatury, zwiedza winiarnie, wałęsa się po ulicach, ale zagląda także do grobów i fantazyjuje w obliczu trupów. Akademików ówczesnych przedstawia jak zgraję bandytów, którym idzie jedynie o rabunek. Poetę, a raczej okolicznościowego rymokletę, odmalowuje nam jako pieczeniara: „nie darmo — powiada — miał on poetyczną minę, twarz długą, nos orli, oczy czarne i wielkie, czoło wysokie, rumieniec i uśmiechające się oblicze,” „Wszyscy owych czasów poci — objaśnia następnie autor — tak jak on wyglądał; bo wówczas nieznano jeszcze literatury, coby jak dziś zbiedziła, zchudziła i zubożyła człowieka. Dawniej nie było u nas prawie poetów z professyi; przy szklance, przy oklaskach, przy dobrze napakowanym żołądku i niepróżnej kieszeni, rodziły się ody i pieśni”²²⁾.

Szlachetnych lub mądrych osób niema tu prawie wcale: przed oczyma naszymi przewijają się głupcy, pijacy, waryaci, zbrodniarze, a co najmniej już samoluby. Ani dla wyższych stanów, ani dla ludu, nie znajdujemy sympatii. „Nie było sprawiedliwo-

ści u góry; lud sam ją sobie, ile mógł, wymierzać musiał, a wiadomo jak wyglądała *sprawiedliwość demokratyczna*, kiedy zemsta i miłość własna obrażona sędziami kierują⁽²³⁾.

Zamiłowanie do kreślenia bójek, do przeplatania poważnych scen trywialnie koniecznymi odnajdujemy i tutaj w zwiększonym jeszcze stopniu. Autor ścina głowy ludziom jak makówki; maluje często rabunki, napascei, sceny topienia z naigrzawaniem; w opisie zburzenia zboru kalwińskiego szczegółowo wymienia każde natarcie. To znów każe poważnemu rektorowi niby ze strachu wpaść w kominek z żarzącymi się węglami i nie móż się podnieść i t. p.

Powieści historyczne wielce się nie podobaly ówczesnemu światu literackiemu, zwłaszcza, gdy księgarz Glücksberg, który był wydawcą „Kościoła św. Michalskiego” zamieścił w „Kuryerze Litewskim” szumne jego pochwały. W powiastkach obyczajowych widziano talent, przyznawano im wiele naturalności; przyznawano im, że zabawić mogą. Ale co do powieści z dziejów, które przywykło się widzieć w poważnej szacie dziejopisarskiej, albo w pięknym romansie Bernatowicza, lub też w miłych obrazkach Tańskiej, nie mówiąc już o innych, bez wielkiego talentu wprawdzie, ale z uszanowaniem rozwijających obrazy przeszłości: takie lekceważące ich traktowanie wydało się rzeczą bardzo niestosowną. R. W. który obie większe powieści K-go w Tyg. Petersb. krytykował, uważał, że autor „zdaje się mieć talent znikczemuiania najinteresowniejszych miejsc historii w swoich rysach i obrazach historycznych” zarzucał K-mu „same niewczesne koncepta w rzeczy poważnej, żarty przytoczone nie w miejscu, charakteru niedokończone i słabe, wypadki dziwaczne lub nie nie znaczące tam nawet, gdzie czytelnik koniecznie spodziewa się sceny patetycznej lub przerażającej, obrazy słabe i dziecinne, epizody bez sensu, rozwiązanie bynajmniej nie zajmujące i brak nauki; a kończy zdaniem: „Panu K-mu nie możemy zaprzeczyć talentu, lecz wykształcenia smaku i pracy jeszcze mu życzyć należy⁽²⁴⁾”. Wydawca *Tygodnika*, który nie cierpiał Kocka, nazywając go autorem gryzetek, zgorszony ogłoszeniem Glücksberga o przedsięwzię-

tym przekładzie romansów tego autora przez Durochowskiego w Warszawie i Kraszewskiego w Wilnie, do surowej krytyki p. R. W. dodał jeszcze od siebie kilka ziarenek gorzyczki. Komentując bowiem w przypisku niepoehlebne zdanie recenzenta o niewczesnych żarcikach, dodaje: „Musiał on tego nieszczęśliwego nałogu nabrać, pracując nad tłumaczeniem Paul de Kocka, za co powinienby tego autora jako osobistego swego uważać nieprzyjaciela... To językowe pajacostwo, szal ten dowcipkowania w rzeczach poważnych, wyłącznie francuzki, w samej Fraucyi już upadł; nie wskrzeszajmy go w naszej pięknej i silnej mowie; nie upędzajmy się za tēm, co każdy dohosz francuzki stokroć gładszej i zręczniejszej od nas zrobić potrafi⁽²⁵⁾”.

Był to pierwszy silniejszy cios, otrzymany od krytyki; wywołał on w duszy autora uczucie boleśne, bo uczucie zawodu; przejął go niechęć do krytyki. Skłonny zawsze do wypowiedziania swych uczuć, choćby tylko chwilowo goszczących w jego duszy, zapisał i tę niechęć zaraz w r. 1833 w artykule poświęconym „Galileuszowi”. „Litości! litości dla Galileusza — wołał: Cóż wiuciu ten męczennik własnej wielkości? Nie dość-że dla niego codziennych przykrości życia? Trzeba, żeby *krytycy*, bracia jego z nieprawego łoża, mierzili mu życie, i nie umiając pojąć całej dzieła myśli, rzucali mu w oczy *drobne błędy*, *rozsiadane po jego piśmie*, których jego oko, przywykłe do większych obrazów, dojrzyć nie może? Na nieszczęście, większa część świata czytającego *przez wasze oczy* patrzy na wszystko! Dumni swoją chwilową władzą i przywłaszczoną mocą, żyjąc moralnie i fizycznie *ciudem błędnymi*, przez wdzięczność dla nich, powinniłbyście im przepuścić tawa, gdzie więcej jest dobrego, jak złego⁽²⁶⁾”.

Ale młodość zbyt ma wiele w sobie żywotności, ażeby nie mogła znieść większych nawet bólów, niż komarowe ukłucia krytyki. Ponieważ głównie na powieści historyczne uderzono, zraził się K. na czas długi do kreślenia „obrazów” dziejowych, ale pisać nie przestał; ze spotęgowaną owszem siłą talentu i z większym doświadczeniem zabrał się do powieści obyczajowej i innych prac literackich.

II.

Po r. 1831 Wilno znacznie opustoszało. Statystyka urzędowa wykazuje tu na r. 1832 około 35,000 mieszkańców, a Bałłucki domyśla się nie urzędowo, że było

ich około 50,000, ale z pomiędzy nich odlicza na żydów 30,000. Nadzwyczajne przepełnienie miasta ludem żydowskim „a bardziej jeszcze jego azyatycki ubiór i od-

rażliwe niechędóztwo"—jak się wyraża ten autor — nadawało ludności Gedyminowego grodu „ponury charakter i sprawiało w każdym widzu wstręt naturalny na pierwszy rzut oka, a wielu z przyjezdnych źle usposobiło dla Wilna.“ Tak określił wrażenie swoje człowiek, który zrosł się niemal z tym miastem, gdyż w nim lata młodości i znaczną część wieku męzkiego przeżył. A wrażenie to usprawiedliwił charakterystyką części miasta, zamieszkałej przez element przeważny. „Ażeby je ocenić—mówi on—trzeba wiedzieć ciasne i brudne ulice i zandki, sami środek miasta stanowiące, zapchałe ciśnącą się od rana do późnej nocy ciżbą żydowstwa; trzeba poznać ich staroświeckie kamienice, gdzie wśród steku nieczystości każda prawie izba jest schronieniem kilku rodzin na pułapach z całym swoim gospodarstwem żyjących⁽²⁷⁾. Dodać należy, że miasto było bardzo źle oświetlone latarniami olejnymi, że kupy błota i śmieci zalegały boki większej części ulic.

Uniwersytet został zamknięty. Literatura była w nędzynie; ledwie jakieś dzieło szkolne, gospodarskie, lub „kucharz dobrze usposobiony“ (1833) i „kucharka oszczędna“ (1835) Szytlera znajdowała chętnych nakładców. Nawet „Pan Podstolic“ Massalskiego musiał się z Wilna przenieść do Petersburga. „Kurjer Litewski“, jedyne przez lat trzy pismo periodyczne, stał się po roku 1831 gazetą urzędową, wychodzącą trzy razy na tydzień, w której jedyne działy literackie zapełniały reklamy księgarzów.

K. czytał w domu, chodził do bibliotek i archiwów, szczęśliwy, że mu dostępno pozwolono, zbierając materiały do swego „Wilna“. Życie towarzyskie było bardzo słabo rozwinięte i pełne przesądów.

O ówczesnych stosunkach społecznych ztąd można brać miarę, że K. zaraz po wydrukowaniu *Kościola Święto-Michałskiego* przesłał do *Tygodnika Petersburskiego*, z usilną prośbą o zamieszczenie, list, w którym starał się oczyścić z zarzutów, jakoby chciał szkalować społecznych mieszkańców Wilna wyznania helweckiego; chociaż o zarzutach tych, robionych prywatnie, zasłyszal tylko. Musiał się tu autor ucieszyć aż do tak heroicznych argumentów, że minęły wieki fanatyzmu, że czwarte pokolenie nie powinno się obrażać za wystawione błędy przodków, że kto wie, czy nie więcej wywyższył w swoim obrazie kalwinów „nad zapędne pospólstwo“, wykazując wyższy stopień oświaty (u kalwinów) w wieku dość ciemnym jeszcze. „Co do mnie—kończył swoje usprawiedliwienie — będę się starał, abym nie brał

przedmiotów do powieści z czasów, w których podobne religijne właśnie na scenę wychodzą i zapewniam najmocniej, że o nich więcej nie wspomnę. Nie jest albowiem w charakterze moim, abym komukolwiek przykreść umysłu miał wyrządzać, a tąd bardziej ludziom, którzy mnie bynajmniej nie zawiniłi“ (w Wilnie 13 stycznia 1833). Można by mniemać, że autor przesadził tutaj obawy swoje; w rzeczywistości jednak miał słuszność; bo w parę miesięcy potem nadesłał z Wilna R. W. recenzję *Kościola Święto-Michałskiego* i w niej utrzymywał, że „Ewangelicy“ mieli rację się gniewać, gdyż nazwa „kalwinów“ wyrażała pogardę“. K. więc wolał przebiegać ulice miasta wieczorem, gdy padał mrok nocny, a wpatrując się ciekawie w przesuwające postacie, starał się odgadnąć dokąd, po co, z jaką myślą dążyły? Wprawdzie i przechadzki wileńskie dla wielkoświatowca nie przedstawiały żadnego powabu. Jeden z nich naprzykład, z obrzydzeniem wspominając próżniactwo i pijaństwo wileńskie, tak mówi o jednym z ulubionych miejsc tych niekłopotliwych peregrynacji: „Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, jaki jest cel zgromadzenia się na Rossie. Dokoła tamecznej równiny wznoszą tylko nagle, jak krótkowieczne grzyby, budki obficie zaopatrzone w trunki; piwo szczerbowski i słonimskie, miód kowieński, doskonałe wódki i mizerne wina są wszystkiego gruntem i zasadą, i zdaje się, że poचेściwi mieszkańcy grodu Gedymina na to z ciasnych swych zaułków na wolniejsze wyciągają powietrze, ażeby spożywane trunki prędzej parować mogły“. Inaczej jednak patrzył na to były mieszkaniec małych miasteczek, choć i on zresztą wolał samotną niż tłumną przechadzkę. „Nieraz gonilem—powiada—za posępną twarzą, pod której brwią nawisła szukałem dziwacznej powieści. Wróciwszy potem do samotnego mieszkania, rozplątałem moje marzenia, rozrzuciłem je, saulem z nich powieści tak dziwaczne, jak postaci sunące się po ulicy o zmroku, jak myśl młodego, gdy ją co daleko od świata rzeczywistego uniesie⁽²⁸⁾. Przechadzki te nie mogły zostawiać zbyt estetycznego wrażenia na tak wrażliwym na zewnętrzne kształty umyśle, jak K-go; nie mogły nasuwać mu myśli o harmonii i spokoju artystycznym, tąd bardziej, że rozczytywane się w utworach Jana Pawła Richtera, Hoffmana i romantyków francuzkich w zupełnie innym myśli jego zwracały kierunek. Nie harmonia kształtów, ale *sila*, jakimi bądź środkami zdobyta, stała się odtąd jego hasłem literackim;

brak tej siły wyrzucił wszystkim pisarzom polskim. Uwielbiając Hoffmanna, jako geniusza całkiem oryginalnego, twierdził, że „z małej liczby próbujących u nas, nikt, ale to nikt, nie tylko fantastycznie, ale w jakimkolwiek innym rodzaju *oryginalnie* nic nie napisał”. I nie odnosił tego zuchwałego wyroku do powieści jedynie, lecz do całej działalności umysłowej Polaków. „Proszę przewrócić—pisał—cały katalog Bentkowskiego, i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi—i proszę z tego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju *choćby jedną* pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiegokolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacji nadała ruch myślowi i wpływała na epokę... Prócz oryginalnego geniuszu Kopernika, któż więcej stanie? Może *jeden*, może żaden⁽²³⁾).

Tak surowego a pod pewnemi względami niesprawiedliwego sądu o wartości utworów umysłowych swojskich do owego czasu nikt u nas nie wygłosił. Jak widzimy, K. porzucił ton dobrodusznie drwiący i uganianie się za łatwym dowcipem, ale bystrzej zaczął spoglądać we wnętrze rzeczy i nabierał siły zarówno w sądach, jak i w ich wypowiedzianiu. Pogoń za siłą myśli, obrazów słów powiodła go do wyszukiwania tematów nadzwyczajnych, do używania porównań jaskrawych, do niezważania na dobór wyrazów, byle te najdobitniej malowały myśl, jaką miał wypowiedzieć.

Najpierwszym z tej nowej fazy utworem był „Pan Karol“, który się zrodził, jak mówi autor — ze światła w oknach na Skobówce, z przechadzki na Antokol, z ujrzałych śmiesznych figur kilku w traktyerze⁽²⁴⁾. Ułożył go K., napisał i przepisał we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miał zaradnienia⁽²⁵⁾. Przedstawia tu Don Juana wileńskiego, któremu długo żadna kobieta przeciw się nie mogła, ani mieszcza, ani nawet hrabianka, który przeciw trafil wreszcie a skąpa, doświadczoną, choć wcale niewykształconą Żmujdzinkę, starą pannę Hermegildę Twardowską⁽²⁶⁾—utracił nazwę niewyciężonego. Trzyma się tu jeszcze autor świata mieszczańskiego, ale już nie z małych miasteczek, tylko z Wilna; przebywa zęsto w restauracjach, nie zagląda nigdy o grona rodzinnego, chyba wówczas, gdy ochanka mąż przy żonie zastaje; nie szaleje już jak dawniej mnóstwem osób, ale wybiera kilka i te staranniej skreśla; ludzi acnych i mądrych i teraz jeszcze nie dotręga; uśmiech szyderski, ale już nie do-

broduszy, towarzyszy mu zawsze, gdy patrzy na te postaci opasłe, pijackie, albo skąpe, samolubne; kobiety poczytuje za istoty wogóle bardzo słabe i łatwe do uwiedzenia, gdyż taka postać, jak Hermenegilda Twardowska, postać najdoskonalej pod względem artystycznym obrobiona, jest wyjątkiem, a i ona opiera się Karolowi nie z miłości cnoty, ale z wyrachowania, gdyż widzi, że zapal kochanka jest wielce podejrany; każe mu więc puścić krwi półtora spodka: „żyd cyluryk i za dwadzieścia groszy puści, a z targiem, to i za piętnaście“.

I w kompozycji zaszły zmiany. Jest już większa dbałość o pewny ciąg w opowiadaniu: sentenecy i wszelkiego rodzaju uwagi, które dawniej tak wielką odgrywały rolę, znikły prawie zupełnie, tak, że mamy przed sobą osoby obiektywnie przedstawione w rozmowie najczęściej, rzadziej w działaniu, bez żadnych autorskich osobistych rekomendacji. Jako najważniejszy środek zrobienia efektu używa autor kontrastu, którego poprzednio śladu nawet nie było. Tu kochanek, dostawszy od kochanki pierścienek, chce go sprzedać jej małżonkowi; tam znów tenże sam kochanek pieści się z inną, gdy pierwsza w trumnie przy śpiewie księży i świetle pochodni przejeżdża koło tego domu na wieczny już spoczynek; gdzieindziej znów małżonek, chcąc wyłajać żonę za schadzki z kochankiem, za utratę obrączki ślubnej, przekonywa się ze zdziwieniem, że sama jej nie ma na palcu, za co musi rozgniewaną żonę na kłęczkach przeproszać. W wyrazach nie przebiera: najgrubszy, najtrywialniejszy, najniesmaczniejszy jest dla niego dobry, jeżeli siłą się odznacza.

Odtąd przez lat kilka ten tryb tworzenia zapanowywa w utworach K. i jest stosowany do najrozmaitszych tematów. Sentenecy tylko wracają, ale przybierają odmienne od dawniejszego, daleko oryginalniejszy charakter. W roku 1833 odwiedził K. rodzinę na wsi, bawił w Dolhem i zamtąd robił wycieczki, przypatrzył się szlachcie wielkiej tym okiem, jakim patrzył na całą literaturę krajową i zobaczył, że to istoty zamateriałizowane, samolubne, ciemne i strasznie głupie. Napisał dla nich gawędę o kaszy gryczanej, niemającą wielkiego sensu i tak ją zakończył: „Ten rozdział przeznaczam dla gospodarzy, a chociaż wiem, że z niego i sam Salomon kropił sensu nie wyciągnie; nie mię to jednak nie obchodzi; dla was, panowie gospodarze, to i tak zanadto dobre, dla was, co urodziwszy się w gryce, pożywacie ją całe życie, siejecie i nie umiecie myśleć o czem innem, jak o kaszy. Jak

wam Bóg da rozum do czytania, i mnie go do pisania dla was użyczy³²).

Na tém się jednak nie ograniczył. Wy-
stawił on szlachtę wiejską i księży w „Cze-
rech Weselach”, powieści najlepiej z po-
wyższych wykonanej, zawierającej najwię-
cej dobrze nakreślonych charakterów i naj-
dosadniejszą napisaną mową. Główną oso-
bą tego utworu jest kobieta Julia, będąca
niejako przeciwwagą Karola. Jest to uoso-
bienie energii w szczupłym zakresie zie-
mianńskiego żywota, a zarazem upostacio-
wanie popędów zmysłowych. Zdaniem Ju-
lii miłość jest tylko pragnieniem rozkoszy,
a mąż najeźściej parawanem, za którym
ukrywa się kochanek. I nie jest to taka
miłość zmysłowa, jaką w obsłonkach lubił
przedstawić powieściopisarze francuscy, Du-
mas lub Sand; nie, ona ma ten trywialny
charakter, jaki u Pawła de Kocka spotyka-
my. Julia nie rozumie innej, a jej natura
jest tak płomienna, tak w materializmie
pogrążona, że właściwie nie ma nawet wy-
rzutów sumienia, gdy mężów i kochanków
luzuje. Autor nie unika scen najbardziej
nawet nagich, ażeby tylko z expressyą ten
charakter wystawić. Trzy razy wychodzi
ona za mąż, a ciągle balamuci Adolfa, sta-
nowiącego najzupełniejszą z nią sprzeczność
pod względem tegości charakteru; jest on
bowiem uosobioną słabością, do potwornych
posunięć granic. Ażeby mieć wyobrażenie
o Julii, trzeba wiedzieć, że, z powodu pło-
chości, mąż jeden, fałszywem uniesiony po-
dejrzaniem, własną żonę koniem na śmierć
roztratowuje, że nasza bohaterka idzie po-
tém za niego i w noc ślubną swemi wy-
znaniem przyprowadza go do zażycia tru-
cziny. Szarpany bólami usiłuje zadławić
żonę, mniara wskakże, a Julią otreściwał
bez sił i czucia ledwie zdolano uratować.
Przygoda nie odstępowała jednak odważnej
bohaterki od ślubów; idzie po raz trzeci za
mąż, za niedołęę, który, podczas weselnego
obchodu zadługo zabawiwszy się z przyja-
ciółmi, musi noc przepędzić w skrzyni, gdy
żona z kim innym wczasu używa.

Glupota, samolubstwo, szachrajstwo, po-
dłość przedstawiona w postaciach wchodzą-
cych w skład powieści (Dyonizy, Aleksey, Sa-
lezy) a niezapoaniowane téż zmaterjalizowanie
księży, którzy będąc na pogrzebie i widząc
smutek na twarzy Adolfa i obłąkanie w obliczu
męża, powiadają sobie: „Pan Bóg nie zapo-
mina o nas, zapomaga potrosze sług swoich:
trzeci to już pogrzeb tak bogaty tego roku
w naszej parafii” — mechanicznie odczytują
browiarz, śpiewają pieśń pogrzebową, prze-
platając ją gawędką o swoich dochodach, o

psach, o polowaniu; powtarzają sobie plot-
ki o zmarłym. W całej galerii obrazów i obraz-
ków, dwie tylko postacie są uczciwe (pre-
zes i Matylda, żona Adolfa), ale te właśnie
postaci zupełnie w cieniu zostawione. Autor,
przejmując się tém, co kreślił, staje się pes-
symistą i materialistą — na chwilę. Radzi
on np. kochankom, żeby lubie swoje widy-
wali tylko wieczorem: „Podwójny z tego
pożytek, bo złudzenie piękności na dłużej
przechowa... a do zbrzydzenia sobie kobie-
ty tak nie wiele potrzeba. Dość jednej płam-
ki na twarzy, ust spalonych, zębów niemy-
tych, dość jednej skazy: dostrzeżenie ziem-
skiej ułomności w urojonym aniele odraża
rozbija uroki, łamie miłość. Ludzie są bru-
dnymi stworzeniami: trzeba je myć, polero-
wać, czyścić jak deskę, z której stolarz chce
cos wyrobić świecącego, aby pokryć chro-
powatość, brudy, plamy i skazy wewnętrzne

Takiej powieści, z taką expressyą w szcze-
gółach, z taką jaskrawością w barwach, z ta-
kim realizmem w traktowaniu stosunków
towarzyskich, nie było wówczas w literatu-
rze naszej. Poezyi nie było tam prawie za-
pełnić; panowała wszędzie proza; sytuacye
nawet tragiczne (ojciec obłąkany, niepo-
znający syna) zostały umieszczone na takim
poziomie, że uczucia grozy nie budzą.

Ale na tém pragnienie siły i oryginalno-
ści nie mogło się ograniczyć. Potrzeba było
wyszukiwać tematów niecodziennych i do-
bierać barw jak najjaskrawszych. A więc
opowiada nam autor, jak jeden zapaleniec
pragnąc doznać uczuć niewieścich, zaprze-
dał się dyabłu, ażeby mógł zostać kobietą
jak ten Leon, w Leontynę przemieniony, je-
dnodniową tylko znał miłość i kochanków
swoich zmuszał do samobójstwa; jak go
wreszcie na stosie spalono (było to w Hi-
szpanii) i jak z tego stosu czart we własne
postaci wyskoczył³³). To znów kreśli nam
sylwetki całego szeregu waryatów i wary-
tek i utrzymuje, że najszczęśliwsi i najzdrowi
są głupcy, że wiara, ślepa wiara jest
drogą do spokojności i szczęścia, i że umy-
sły gorętsze, oryginalniejsze, dopóty spoko-
ju nie znają, póki nie zwaryują³⁴). Kiedy
indziej znów opowiada historią żebraka, któ-
ry na to przez lat pięćdziesiąt głodził się
rękę po jalmużnę wyciągając, ażeby spro-
sić na ucztę najznakomitsze osoby, opowie-
dzie im swoje życie i wypić truciznę³⁵). Po-
mysły tego rodzaju roily się wówczas tłum-
nie w głowie młodzieńca, który sądził, że
w tym kierunku zdola utworzyć rzecz zna-
komitą. Dzieje biedaka, który pracą lub
zrządzeniem losu zostaje bogatym i może
cisnąć słowa pogardy tym, którzy nim da-

wniej gardzili, były tematem ulubionym wówczas, z przyczyny, że przedstawiały wyborną sposobność do efektownego kontrastu. Jeden z takich biedaków, obrzydliwy z natury i zeszpecony nędzą, kładzie się w rynsztok, ażeby po jego grzbiecie mogła przejść panienka; później tenże sam żebrak, znalazłszy wór złota, każe sobie tę dziewczynę przyprowadzić i pomimo swej brzydoty dostaje śmiech — za pieniądze. Taki żebrak jest filozofem, cynikiem, i rozprawia o śmieciach, o prawdziwych śmieciach, jakby o najpiękniejszym przedmiocie. Chcąc poznać realizm w wyrażeniach i tę żądzę stworzenia kontrastu, trzeba odczytać choć jeden ustęp. Garbaty, oszpecony, olachnamony zamuśnaczy ulic ujrzał piękne dziewczę i pomyślał, że i on równy jej człowiek, że może ją poślubić. „Dumną myśl moję zabiła myśl druga, wspominałem na twarz moję oszpeconą, pojrzałem na ręce, na garb, na bosc i polezione nogi i wyznałem, że w moich błęciach ten anioł byłby jak brylant w błocie... Rzuciłem miotłę, uderzyłem głową w mur kościoła; chciałem się zabić, skaleczyłem się tylko; krew połała się z rany; rany obsiadły spiekle me skronie, słońce paliło czoło, w usta płynęła krew własna, płą byłem we krwi i serce we krwi pływające. Dziewczyna przeszła mimo, nie spojrzawszy nawet na mnie i śmiejąc się, rozznawiając z jakimś młodym mężczyzną, znikła mi z oczu. Ja rzuciłem się na kupę śmieci błota, tarzałem się w niej bez pamięci; zatrzałem, czy nie znajdę czem życia odebrać; ale nie było — musiałem żyć i cierpieć!“³⁶) I w tym tonie, podobnem frazesami, rzecz się ciągnie przez 4 strony.

Jeżeli chcemy sobie objaśnić te dziwne objawy, musimy sobie przypomnieć ten świat aryatów i fantastów, jaki Hoffman stworzył w powieściach swoich, ten świat okropności i brzydoty, jaki Wiktor Hugo w *Hae Islandzkiem*, w *Bug-Jargalu*, a nawet *Notre-Dame de Paris*, z takim zamilowaniem opisywał; musimy sobie wogóle przypomnieć hasła romantyków niemieckich, zwłaszcza francuzkich. K., który dawniej nie w świecie romantykiem zostać nie chciał, teraz stał się zwolennikiem teorii romantycznej: w utworach swoich nie dbał ani o moralność, ani o idee, mając cel jedynie artystyczny wywołania efektu na czytelnika. W sposobie tworzenia, w kompozycji i stylu estetycznego ładn nie pilnował, o umotywowanie wypadków się nie starał: wszystkie braki zastąpić musiała fantazyja i siła wyrażenia. Wśród błędnych aspektowych utworów ówczesnej belletrystyki

naszej był to skandal wprawdzie, ale skandal, który rozbudzał umysły, a przynajmniej wyobraźnię, który życie nieporządkujące, wyuzdane, ale bądźco-bądź życie istotne wprowadzał na scenę powieściową.

Równocześnie jak został romantykiem, stał się też K. poetą w formie wierszowej, choć poprzednio nazwy podobnej stanowczo się wypierał³⁷).

Przy końcu r. 1833 zaczął się w Wilnie ożywiać ruch naukowy. Na miejsce uniwersytetu założona została naprzód akademія medyczna a potem duchowna. Zapewne i na wykładach lekarskich bywał niekiedy K., o czem świadczy częste wzmianki o doktorach, seceji trupów, skalpelach, bisturach i t. p. Ale wraz z założeniem akademii duchownej nastąpiło regularne uczęszczanie na wybrane lekcye, pomiędzy którymi najpierwsze miejsce zajmowały odczyty Leona Borowskiego. Lekcye w niej odbywały się tu już w końcu r. 1833. gdyż ukaz, ustanawiający akademię, ma datę 1 Lipca 1833 (v. s.), chociaż otwarcie publiczne miało miejsce dopiero 11 Lutego (v. s.) 1834 r. pod przewodnictwem biskupa Kłagiewicza, w towarzystwie rektora Aloizego Osińskiego, tudzież profesorów i innych urzędników akademii. Cały świat urzędowy, mając na czele księcia Mikołaja syna Andrzeja Dolhorukowa, który był wtedy gubernatorem wojennym wileńskim, był przytomny. Odbyło się naturalnie kilka mów i to w trzech językach: polskim, rosyjskim i łacińskim. Po polsku przemawiali: biskup Kłagiewicz, Aloizy Osiński, ks. Antoni Fijałkowski („o potrzebie, pożytkach i wpływie historii kościelnej na teologiczne nauki“). Stanisław Hryniewicz rozwoził się po łacinie nad ważniejszymi pożytkami, wynikającymi ze studyów klasycznych zarówno dla wszystkich działaczy publicznych, jak szczególnie dla księży; a Paweł Knoknik wykazywał po rosyjsku wpływ Opatrzności Bożkiej na los narodów i państw³⁸), Duch w tej akademii, o ile z tych przemów wnioskować można, miał być ściśle religijny, konserwatywny. W każdym razie dawała ona poznać świat zagadnień umiemych i tym sposobem wyrwała umysły ze sfery parafrastycznej niewiadomości i dążenia do poziomu materialnych celów.

W tymże samym czasie i starsze i młodsze pokolenie pomyślało o wznowieniu czasopiśmiennictwa. Ignacy Szydłowski, dawny członek „Towarzystwa Szubrawców“, znalazłszy w Zawadzkiem nakładce, zaczął z początkiem r. 1834 wydawać zeszytami „Wizerunki i roztrząsania naukowe“, złożone z sa-

mych przekładów z nader drobnemi wzmiankami bibliograficznymi o literaturze krajowej. Artykuły były w ogóle treści poważnej; redaktor brał je z najznakomitszych miesięczników i kwartalników angielskich i francuzkich; zaznajamiała one ze stanem literatury i estetyki. Młodzi trudni tam znajdowali przystęp, gdyż Szydłowski, jak powiadali, zrażał pedantyzmem.

Nie mogli oni marzyć o trwalszém jakiegś wydawnictwie; poprzestali więc na zbiorku pomniejszych, który zamierzali co rok ogłaszać, choć spotykali ciągle trudności. Trzeba było zbierać prenumeratę, a chętnych do jej składania nie było, jużto dla tego, że książkę poczytywano jeszcze za rzecz niebardzo potrzebną, już też dla tego, że kilku spekulantów zawiodło nadzieje publiki i, zebrawszy pieniądze, nie myślało ogłaszać za nie obiecanych dziełek.—K. żył wtedy w ścisłej zażyłości z Józefem Krzeczkovskim i Wiktozem Każyńskim. Otóż jeden z nich, a mianowicie Krzeczkowski, podjął się trudów wydawnictwa i zdołał zebrać podpisy 231 prenumeratorów, w których liczbie znajdowały się nazwiska: znanego męża „Maryli“ Wawrzyńca Puttkamera i znanego światu uczonemu Jędrzeja Śniadeckiego. Nietylko młodzi, ale i starsi literaci nie odmówili swego bezpłatnego udziału w dostarczeniu artykułów. Znajdowały się tu urywki z poezji Mickiewicza, Odyńca; Józef Jaroszewicz dał obszerną rozprawę p. n. „Stan Litwy do przyjęcia wiary chrześcijańskiej“; Michał Baliński zebrał szczegóły statystyczne o Wilnie. Zbiorowi nadano napis „Znicz“, który był symbolem zogniskowania nczuć i dążeń młodzieńczych, bo nikt jeszcze wówczas istnienia „znicza“ nie zakwestyonował. Rozumie się, że i K. stanął w rzędzie współpracowników, i to zarówno w prozie, jak w wierszu. Z artykułów prozą znajdujemy tu, prócz przekładu z Jean Paula („Śmierć anioła“), dwa zupełnie różne pod względem wykonania obrazki, jeden („Podróż po mojej szkatułce, dziwactwo“³⁹) datowany w Grudniu 1831, przypominający chwilę smutku w życiu samego K go, ale wyrażający ten smutek w sposób widocznie pożyczony z Wetera, a skomplikowany manierą Jean Paula w traktowaniu nczuć; drugi zaś pisany później („Majster i czeladnik“⁴⁰) a przedstawiający cechy drugiej fazy twórczości K-go, kiedy ulubionemi środkami były siła i kontrast. Opowiada tu legendę o budowniczych kościoła św. Anny w Wilnie. Do dramatu tego wchodzi trzy osoby: majster Wojciech Krzyżak, córka jego Marya i zięć,

czeladnik Piotr. Pomiędzy majstrem a czeladnikiem zawiązuje się sprzeczka o doskonałość roboty: Piotr podejmuje się sam dobudować kościół „choćby miał krewią własną wszystkie sklejać cegły“; majster zezwala na to, przedrwiwając jego zarozumiałość. Piotra dręczy zazdrość i żądza sławy; napróżno stara się uspokoić go Marya; ale i Wojciech, z razą niedowierzający zręczności swego ucznia, gdy kościółek miał już być odsłoniiony, zawrzał gniewem i wyrzucił Piotrowi, że nie zaczął jego śmierci, ale chciał jeszcze za życia i sławę jego wtrącić do grobu; a skończył na podejrzeniu, że czeladnik musiał z dyablem wejść w spółkę. Potem, niby uspokojony, namawia go, żeby wszedł z nim na rusztowanie; doszedłszy na szczyt, silną ręką chwycił Piota za szyję i pchnął go uderzeniem nogi“. Czładnik zatrzymał się na chwiejnej desce, a tracąc siły, co chwila wołał przytłumionym głosem: „ratuj Maryo, ratujcie!“... Stary majster nie nie słyszał, nie nie chciał słyszeć... porwał ogromną cegłę z rusztowania, ugodził nią oburącz w głowę nieszczęśliwego — i ciało jego padło na kupę gruzów przed kościółkiem“.

Wiersze, zamieszczone przez K-go w „Zniczu“, były to pierwsze próby poetyczne, jakie drukował. Jest ich dwa i w obu zarówno pojęcia, jak frazeologia i sposób wierszowania, noszą cechy romantyczności. Puszczono tu wodze wyobraźni i pozwolono jej hasać najswobodniej, nie starając się ani o jasność, ani o doskonałość formy. Koloryt smętny, melancholiczny, a nawet ponury; nieodczowna błada twarz miesząca, gwiżdzy, niebo, brzemień kłesk, zagaby nieszczęść znajdując się zawsze na zawołanie. Uspokobienie marzycielskie odbija się we wszystkich szczegółowych i ogólnych pomysłach. W fantazyi „Wieńce“ krośli poeta w czterech następach dzieje serca dziewczęcego. Dzieckiem kocha dziewczica matkę i dla niej zbiera kwiatki; w 15-tym roku, w upojeniu szczęścia zrywa je dla kochanka; potem w jesieni ze zwiedłych liści splata wiązanki na grób matki i kochanka; w końcu rwie je dla siebie, ażeby mogły jej pokryć. Stan przyrody, zawsze tu zgodny z usposobieniem dziewczicy, kreślony jest ogólnikowemi a zwykłemi u romantyków rysami. Jesień n. p. tak się nam przedstawia: „Mgły niebo i ziemię pokrzyły; Wichry północne zawyły, Drobne listki, drobne kwiatki, Oderwane z łona matki, Uleciały z wiatrami, jak jedyne człowieka w nieszczęściu nadzieje“. Najpiękniejszy jest początek:

Tęcza po niebiosach płynie!
Mgliste słońce odstania oblicze splakane,
Niebo chmury straszno i nad wschodem gnie
Groźne burz czoło z obłoków utkane.

Świat cały teraz jak oblubienica,
Która łzami zalawia czarne swoje oczy,
Wkrótce szczęścia uśmiechem maluje swe lica
I błyska złotem rozwitych warkoczy.

Mimowolne przypomnienie z Mickiewicza („muskając spłoty swych złotych warkoczy”) znalazło tu miejsce, gdyż sfera pomysłów była ta sama. W drugim wierszu, który Kr. nazwał melodią p. n. *Puchy* (z datą 16 Lipca 1833), niejasność myśli przeszkadza dobremu wrażeniu, jakie wywołują harmonijniesze niż w „Wieńcach” wiersze. Zachęca tu poeta Alinę, żeby spojrzala na gwiazdy, niebo, i każe jej żałować tych ludzi, których powieki na zawsze już zamknięte; objaśnia, że matki, kochanki, żony, próżno posyłały wzrok za mogiły i dziwi się, że płaczą po umarłych, kiedy tylu żywych zostało; kończy tym, że gdyby nawet ktoś wywołał dachy, to oczy tej ziemi nie obaczyłyby go zapewne: „Naprawdę goni powieka; Próżno uścisk oczekuje; Żona z uścisku ucieka, Serce go jedno czuje!” I znowu mimowolna pewnie reminiscencya z „Romantyczności”, kiedy dziewczę sercem czuje obecność kochanka, którego dotrzeć nie mógł starzec ze szkiełkiem w oku.

Odtąd przez lat dwa tworzenie powieściowej ustąpiło miejsca poetycznemu. W „Zniewolcu” na rok 1835 znajdujemy tylko jedną „fantasmagorię historyczną” napisaną prozą p. n. „Raj i piekło”, gdzie odnajdujemy stale cechy drugiej fazy powieściopisarskiej; ale natomiast mamy trzy dłuższe poezje: „Zawsze razem” „Dwa słowa” (1 lutego 1834 *Dolhe*), „Dumanie nad Horyniem” (23 kwietnia 1834 *Ossowa*) gdzie miłość, smutek, tęsknota i pesymizm splatają się w wieńiec poetyczny. Na rok 1835 przypada obszerny dramat historyczny „Halszka”. Tu się połączył realizm powieściowy (w pierwszych dwu aktach) z pesymizmem i bajronizmem poetycznym (w akcie III). Samolubstwo i zepsucie moralne w jednych charakterach, a filozofia pesymistyczna, lub uczucie, do najwyższej podniesione potęgi, w drugich — służą tu za czynniki, mające z siłą kontrastu na czytelnika uderzyć. Dymitr, z początku lękliwy, czasami brutalny, staje się w końcu bajronistą, nie wierzącym w przyjaźń, marzącym o śmierci i pogardzającym ludźmi, o których powiada, że „ich dusza głęboka.

Czysta po wierchu jak jeziora wody;
Spodem muł czarny: w nim lęgną się żmije,

Książka Jubileuszowa.

W nim rudyh węzów pelzają narody,
Jed, złość, prz-wrotność na spodzie się kryje.

Dla „Molui”, wiernej Dymitra kochanki, „ojczyzna w uścisku jego, dom na jego łonie”; gotowa ona zabić ojca, matkę; nie lęka się szatana ani Boga. Filozofem, wyrozumiałym na błędy, a nawet na zbrodnie ludzkie, jest tu grabarz, który, przejęty marnością rzeczy ziemskich, dla złota nie zdradzi nikogo, ale też na zabójstwo patrzy okiem obojętnym.

W miarę jak K. oddawał się poezji, ulegał coraz bardziej działaniu ówczesnej atmosfery literackiej, przejętej smutkiem głębokim, a niekiedy ndanym, i brzemiennej oczekiwaniem i pragnieniem rychłego zgonu. Nie zdziwimy się więc, gdy 23-letni młodzieniec napisze swój *testament* z mnóstwem bardzo długich kresiek i podwójnych wykrzykników. W tym testamencie będzie takie samo narzekanie na książki, jak u Gustawa z „Dziadów” i potępienie pisarskiego zawodu:

Księgi w głowie pożar rozdmuchają zdradny,
Zbrzydzą pokój i rolę i więcej zaciszę,
O! nieszczęsny kto czyta, szalony, kto pisze!

Radzi więc bratu Lucyjanowi, żeby książki rzucił w ogień, bo cała mądrość zamknięta w słowie *kochaj*. Poeta sam nie miał nigdy siły rozstać się z temi zdrajcami księgam, które go zabijały, choć on je tak kochał. W zamian za nie ofiaruje mu przez siebie rysowane widoki tych miejsc, gdzie przeżył szczęście wielkie, przetrwał żal głęboki; gdzie spoczęła po smutkach skłopotana głowa pod dachami Hrodeca, Dolhej, Romanowa:

Jest tam nasza kaplica i luba *Ossowa*
I wiele, wiele jeszcze miejsc, gdzie moje życie
Zostawiłem szczątkami, gdzie serce ulata,
Dokąd nawet po śmierci przylecę jak dziecię
Pobawić się pamiątką naszego leż świata.

Obok tego rzetelnego wspomnienia nie obyło się bez karykatury romantycznej. Józefowi Krzeczkowskiemu, który miał w jego sercu miejsce brata, zostawia nasz poeta umierający „włosy tej głowy, którą świat wzgardził i cierniowym wieńcem otoczył.” Lubiej nie nie zostawia, każe jej o sobie zapamiętać i życzy, żeby była tak szczęśliwa, jak on był biedny.

U wrót grobu prawie
Jeszcze za tobą łza spływa,
Może ostatnia, którą *widziały powieki* —
Może piersi na więcej westchnień już nie stanie
I usta moje zamknę ciche pożegnanie,
Ciche, krótkie, lecz na wieki.

Testament ten, datowany 26 Kwietnia 1835 z Ossowy, doszedł do wiadomości publicznej dopiero w roku 1837, gdyż pomimo

najpilniejszych starań nie udało się Krzeczkowskiemu wydać „Zuicza“ na rok 1836, z powodu nader szczupłej liczby prenumeratorów. „Zuicz“ więc zagasł, a po dwu latach zasiadła u spopielalego ogniska piękna wedle podania „Biruta“. W tym noworoczniku również K. przeważnie podaje wiersze, umieszczając z prozy piękny opis pożaru Zamku Wileńskiego w r. 1610. Pomijając poezye egotyczne, znajdujemy tu po raz pierwszy utwór, na tle historycznym osnuty, p. n. *Biruta*, i po raz pierwszy także wiersz z tematu ludowego p. n. *Czy powrócić?* Wybór historycznego tematu zaważony był z jednej strony studiami dziejowymi K-go, a z drugiej tytułem noworocznika. Wybór zaś tematu ludowego świadczy raz jeszcze o wielkiej wrażliwości autora na wpływy zewnętrzne. W tym bowiem czasie zaczęto skrzętnie bardzo zbierać pieśni i podania gminne we wszystkich okolicach kraju, upatrując w nich najsilniejszy i najtrwalszy żywioł poezyi prawdziwie narodowej. W roku 1830 K. choć poprzednio jeszcze w gimnazjum pisał rozprawę o przysłowiach polskich, nie zbyt wysoko przecież cenił „podania ludowe“ do okolic pewnych lub budynków przywiązane, uważając je za „mało zajmujące“⁴¹. I teraz wprowadzić surowo się odzywa o podaniach. Krytykując bowiem tradycję, przywiązaną do *Bekieszczołki*, wzgórz pod Wilnem, i wykazując jej bezzasadność, tak się odzywa, „Niech to podanie, tak powszechne, że je nawet z ust świątliwszych ludzi słyszeć często wspominane można, nauczy tych, którzy dawniejsze dzieje z błędnych odgłosów współstwa budować myślą: ile się na nich opierać można. Dość było ludowi góry, pomnika i głuchego odgłosu wojennej sławy, aby z nich zrobić bajkę dość poetyczną, lecz za to zupełnie bezzasadną. Takimi często bywają gminne podania“⁴². Mimo to przecież pod wpływem owego ogólnego zająęcia się poezyą ludu, zaczął tworzyć w duchu poezyi ludowej, jak tego dowodzą piosenki „Czy powrócić“, „Roznowa“, „Pieskaniec“ (z iliryskiego), „Biedny chłopiec“, „Monomachia wiatru z chmurą“.

Poezye K-go same w sobie nie wiele posiadają wartości; nie wniosły one z sobą żadnego nowego żywiołu poetycznego, ale w ukształceniu powieściopisarskiem odegrały rolę dość znaczną. Obok świata ludzi głupich, samolubnych, zmateryalizowanych, musiał K. postawić świat ducha, świat uczuć i myśli podnioslejszych i prozaiczne swoje obrazki technieniem marzycielskiej poezyi urozmaicić; bo jakkolwiek i w wierszach

niejednokrotnie poeta wpadał w trywialność, strzedz się jej przecie musiał, ponieważ nie harmonizowała ona z wyższym nastrojem, jaki w ówczesnej liryce panował. I w samém wyrażeniu nawet trzeba było unikać wyrazów zbyt jaskrawych, zbyt grubych; trzeba było odznaczać kontrast subtelniejszemi niż w prozie rysami. Wiersze K-go, jakkolwiek pod względem kompozycyi i formy wierszowania zazwyczaj słabe, wyróżniały się wszakże od tłumu wierszydel, zamieszczanych w ówczesnych noworocznikach, i dobrze usposabiały krytyków. Jeden z nich, dawniejszy surowy krytyk prozaicznych utworów, uwielbienie swoje dla „Dwóch słów“ K-go tak jalece posunął, że je godnymi „Dwóch słów“ Mickiewicza nazwał⁴³. Znajdowało się w nich nieraz trafne a malownicze porównanie, myśl jakaś niepowszednia, obrazki bardzo udatne.

Nastroj poetyczny odbił się też i w utworach prozą, naprzód w prawdzie w sposób niezbyt smaczny, stwarzając tak zwaną prozę poetyczną; ale następnie przyczynił się wielce do podniesienia wartości artystycznej powieści K-go. Najwcześniejszym w tym kierunku artykułem była improwizacya fantastyczna p. n. „Było nas dwoje“ (napisana 18 września roku 1835 w Wilnie, a wydrukowana w drugiej części „Biruty“ (1838, str. 27—39). Realizm wyrazów i wyrażen dziwnie się tu brata z subtelnością pomyślu; a ironia z samego siebie idzie w parze z uczuciami podniosłemi. Któż to są ci dwoje? To on i ona; zapewne; ale ta „ona“ jest narzeniem tylko, które zaledwie chwilę jedną na ziemi gościło a potem wzniosło się do nieba, z kąd było rodem. Po zniknięciu marzenia tego „on“ pozostał bez serca i na próżno chciał nowe sobie sprawić, kupić u ludzi, skraść z gabinetu anatomicznego, znaleźć u zwierząt, zrobić z cukru. Ani na balu w pałacu, ani w chatce ubogiej, ani w domku szlachcica nie znalazłszy serca, zapukał do drzwi klasztoru, chcąc u bogomyślnych ascetów nabyć je sobie, lecz i tu odpowiedziano mu: „Wszystko nasze odesłaliśmy do nieba; jest tylko jedno u o. Dominika, ale go zastawił gdzieś w sklepie.“ Przekonywa się wreszcie, że serce póty tylko jest sercem, póki jest młode, i żyje już jedynie nadzieją połączenia się z lubą w niebie... Takie jednak zakończenie wydawało mu się zbyt powszedniem; musiał więc użyć dyssonansu... „O moja luba, czekaj tam na mnie; a ja tymczasem pójdę na obiad i upiję się sobie, bo cóż robić, kiedy serce takie zwiędłe i stare...“

Daleko piękniejszą pod względem arty-

stycznym jest powiastka: „Tatarzy na weselu“ a zwłaszcza legenda „Jako Satan kusił pustelnika na puszczy“¹⁴), gdzie korzystając ze swoich studyów historycznych i lingwistycznych, z wielkiem powodzeniem naśladował mowę staropolską i styl Reja, tak, że potrzeba filologa, ażeby poznał podrobienie i odkrył formy językowe, niezgodne z dawną morfologią. Pod względem estetycznym odznacza się ten utwór nadwyzczajną prostotą. Autor ściśle się trzyma

ogrębów, które dobrowolnie sobie zakreslił i nie wychyla się po za nie ani razu; charakter świętego, jego myśli i uczucia, jego ludzkie skłonności, których nie potrafiło zabić długoletnie ascetyczne życie, naturalność w doborze środka, za pomocą którego szatan przywiódł go do grzechu: wszystko to tak dobrze jest utrzymane w ciągu powiastki, że tworzy z niej całość nadwyzczaj udaną¹⁵) a z pomysłami wieków dawniejszych wielce zgodną.

III.

Pod koniec 1835 czy też na początku 1836 Kraszewski, oddawszy pierwszy tom swojego „Wilna“ do cenzury¹⁶) wyjechał na wieś, naprzód do Romanowa, gdzie lata dziecięce przy babce spędził, potem do Horodea, gdzie czas jakiś bawił¹⁷) a potem do Dolnego na Litwie, gdzie rodzice jego mieszkali. Półtora roku spędził tutaj K. W jaki sposób?—dokładnie a szczegółowo tego nie wiemy. Że życie jego na wsi nie było podobne do próżniackiego żywota ówczesnej młodzieży szlacheckiej; że nie zapełniały go polowania, zabawy, jarmarki: o tém możemy być prawie pewni, zważając na ogólny charakter umysłowy K-go z owej doby, a zarazem na wyraźne napomknienia w jego dziełach.—Przypatrywanie się pracom rolnym, może zaprawianie się do nich, odwiedziny sąsiadów, rozmowa a przede wszystkim rozmyślanie, marzenie, czytanie i tworzenie: oto główne żywioły jego życia spokojnego i jednostajnego, jakie człowiek oddany pracy umysłowej mógł u nas na wsi prowadzić. Rok 1836 jest jedynym w całej działalności pisarskiej K-go, w którym żadne jego dziełko osobno z druku nie wyszło i w którym się wogóle tak mało w czasopismach artykułów jego ukazało. O szerokiej jego stosunkach literackich nie było natenczas jeszcze ani mowy; żaden redaktor nie żądał jeszcze utworów jego pióra; żaden nakładea nie zapragnął łożyć na nie nakładu. Z jednem Wilnem tylko łączyły go pewne znajomości, i to naturalnie w kółku młodzieży, której wydawnictwa, na prenumeracie oparte, nie bardzo się powodziły. Do „Wizerunków i roztrząsań naukowych“ przystęp nie był łatwy dla młodego literata, naprzód dla tego, że bardzo mało umieszczano tam artykułów oryginalnych, a powtóre, że potrzeba się było dostroić nie tylko do kamertonu pisma, ale nadto i do wymagań redaktora, byłego „Szubrawca“, Ignace-

go Szydłowskiego. K., bawiąc jeszcze w Wilnie, przełamał był główną zapórę, gdyż Szydłowski pomieścił króciółką jego rozprawkę p. n. „Rękopisna Żelizów z wieku VI—IX (w r. 1835, tomik VIII str. 133—142), w której w sposób wielce poważny i suchy streścił najważniejsze wiadomości, w rękopiśmie wynalezionym niby przez jakiegoś Jana Andrault de Bay Antosewicza zawarte i bardzo lekliwie podawał w wątpliwość autentyczność tego namacalnego fałszyku. Rozprawka ta, dotycząca historii, tak ulubionej Szydłowskiemu, zjednała autorowi przychylne zdanie redaktora, który w przypisku nadmieniał, że „artykuł ten udzielony został przez znanego ze sławy z wielu interesujących pism wierszem i prozą, młodego literata, który teraz nad dziejami Litwy pracuje.“ Pomimo takiej pochwały, nie spotykamy przecież w „Wizerunkach“ zbyt często artykułów K-go, których w tece miał znaczny zapas, jak się przekonywamy z „Wędrówek literackich.“ W roku 1836 znów jedną tylko znajdujemy rozprawkę K. „O polskich romansopisarzach“ (tomik II str. 91—122), nieporównanie śmielej napisaną, aniżeli poprzednią, i będącą wyrazem ówczesnych poglądów młodego powieściopisarza na tę gałąź literatury, która przy jego pracy miała kiedyś przybrać tak ogromne rozmiary. Zwraca naprzód autor uwagę na to, że jest to rodzaj pisania bardzo trudny do zdefiniowania „jako najmniej uległy prawidłom estetycznym, błędny i nieokreślony.“ Decyduje się przecież na taką definicyę: „W najprostszym znaczeniu romans i powieść są obrazem jakiegokolwiek epoki świata, życia, widzianej nie wielkiem, skupiającem okiem historyka, ale drobnostkową, flamańską, mikroskopową źrenicą.“ Za reformatorów romansu poczytuje Cervantesa, Fieldinga, Lesage'a. Od ich czasów różniła romanse *wypadkowe i obrazkowe*.

Stern oddzielił się od poprzedników i stał na czele *egotystów*. Wielbicielem Waltera Scotta, jak już wiemy, K. nie był. „Popularność” W. Scotta—powiada—dowodzą zapewne, że nie był jednym z najoryginalniejszych geniuszów, ani Hoffmanem, ani Jean Paul'em, ani Rabelais'em, ani Sternem; wszakże nie idzie za tąd, żeby każdy to, co on, potrafił. Bez wątpienia prędzej znajdzie się sto dobrych naśladowań Waltera-Scotta, niż jedno Richtera lub Sterna, bo na to trzeba smaku, talentu, nie fantazyi twórczej, ognistej, lub szczypiącego, ostrego humoru; ale smak tak jest trudny do schwycenia, tak doczesny, tak nieokreślony, że nabycie go równie prawie wrodzonym, jak tamtych dwu przymiotów, nazwać się może.“ Utrzymuje następnie, że „chcąc pisać dobrze, dziś konieczne trzeba być jednostronnym“, co łatwo się wyjaśnia ulubionem wówczas przez K-go hasłem romantyków, żądających nade wszystko *sily*. W kraju naszym spostrzega osobliwy fenomen, że „jak w inszych rodzajach, tak i w tym, nie mamy żadnego genialnego pisarza, któryby, niezależnie od smaku wieku i przykładów obcych, wystąpił z dziełem, mogącym mieć jakikolwiek wpływ na duch literatury, któreby albo w formach, albo w materji, zupełnie od otaczających było różne.“ Po surowym przeglądzie powieściopisarstwa polskiego, przy ocenie którego przewodził mu myśl pisanja tylko dla celów artystycznych, z wyłączeniem wszelkiej idei użytecznej, porównywał to ubogie piśmiennictwo z nadzwyczaj bujnie rozwiniętym romansopisarstwem Zachodu, a mianowicie Francji, a kończy smutnym zwrotem do praktyki. Zastanowiwszy się bowiem nad talentem i liczbą utworów powieściowych francuzkich, zwraca się do nas samych: „W stosunku choć piątą część ich miećbyśmy powinni; i mamy nawet; ale nasi pisarze tłómaczą tylko endze, bo któż chciałby czytać jakiegoś *shé* lub *wicz*, kiedy może mieć Balzaka, Sue i Hugo? A ci którzy czytają naszych *shé* i *wicz*, czyliż ich rozumieją? Niestety! wiele wody upłynie, nim będziemy mieli właściwie swoich i oryginalnych pisarzy; cieszymy się tymczasem *Podstolim* i *Janem z Tęczyną!* Cóż robić!“

Widzimy tu także pesymizm w zapatrywaniu się na naszą literaturę, nie tak wszakże stanowczy jak dawniej, kiedy jednego tylko, i to z wielkiem zwątpieniem, widział pisarza godnego nazwy twórcy; ale tutaj nie ogólnikiem już tylko szernuje autor, lecz szczegółową krytyką główniejszych utworów. Znać już, że się K. zagłębił

w przedmiot, że zbadał go zmodyfikowało choć w części dawniejsze absolutnie wypowiedziane zdanie.

Drugi artykuł K-go, wydrukowany w r. 1836, pojawił się w *Tygodniku Petersburskim*. Pismo to wychodziło od r. 1830 i przez lat kilkanaście było najbardziej wpływowym w prowincjach południowo-zachodnich, już przez to samo, że było jedyną polityczno-literacką gazetą, jaka w owych stronach się drukowała. Prócz tego redaktor zapowiadał, że na wszystko zapatrywać się będzie ze stanowiska europejskiego i wszystkie utwory zarówno „ręczne jak umysłowe“ mierzyć i oceniać według skali europejskiej. „Aby się prawdziwie zasłużyć wiekowi—powiadał—rozumieć go potrzeba; a rozumieć niepodobna, nie dotrzymując mu kroku“. Pogodzenie indywidualności narodowej i plemiennej z ogólnem europejskiem wykształceniem, utrzymanie węzła „plemiennego pobratymstwa“ ze Słowianami, a mianowicie z Rosyanami, o którym dotychczas, jak się wyraża, „najwięcej wiedzieliśmy przez pośrednictwo niemieckich uczonych“, oto zadania, których rozwiązanie miało stanowić treść *Tygodnika*, który od roku 1831 zaczął już dwa razy na tydzień wychodzić. Zadania te spełniał redaktor dosyć powierzchownie, nie wiele bowiem zajmował się literaturą polską, dając po większej części w oddziale literackim same przekłady; ale przekłady te zaznajamiały istotnie z kwestjami bardzo ważnemi, zapoznawały ze światem pojęć estetycznych, filozoficznych i historycznych, który u nas naówczas jednostkom tylko bardzo wykształconym był dostępny.

Od r. 1832, w skutek artykułów pomieszczonych w roku poprzednim, *Tygodnik* został gazetą urzędową dla Królestwa Polskiego; stał się nieodbitnie potrzebnym piśmem, z powodu ogłaszania rozporządzeń rządowych. Powoli wydawca zaczął jakoś zapominać o skali europejskiej i literatura polska zaczęła znaczne zajmować miejsce w szpaltach jego; część mianowicie krytyczna, jakkolwiek przez bardzo słabych recenzentów zapełniana, dawała przecież choćby zawiadomienia o tąd, co też-to w piśmiennictwie krajowym się ukazywało. Od roku 1834 zaczyna od czasu do czasu nadysłać prace swoje Michał Grabowski, przezwawszy kilkoletnie swoje, od chwili wyjazdu z Warszawy (1830) trwające, milczenie.

Wśród takiego stanu *Tygodnika*, K. nałsyła z Dolnego (10 lipca) obszerną krytykę pierwszego tomu „Dziejów starożytnych narodu litewskiego“ przez Toodora Narbut-

ta. Artykuł ten, napisany dosyć spokojnie, ale surowo, wytykał zarówno drobiazgowe błędy w dziele zawarte, jak i fałszywe pojęcie zadania historyka. K. uważał pracę Narbutta za „materiał historyczny i pracowitą kompilacyą“, odmawiał autorowi nazwy historyka i przedstawił mu jako ideał dziejopisarza—Capetigne'a; etymologią jego zestawia z cudackimi wywodami Dębołęckiego, przy czém sądzi, że „porównanie języków nie z podobieństwa słów, ale z ich ducha wywodzić się powinno“, dziwi się „szczególniej prostoduszności i łatwowierności“ Narbutta, a w końcu dostrzega, że „odrzucający rzeczy obce, niepotrzebne rozwlekłości i cytacje zbyteczne, a dodawszy nieodbitie potrzebne, których brakuje, byłby tomik z tego tomu wielce zajmujący“. — Wydawca Tygodnika, Przecławski, umieścił krytykę, ale nie omieszczał dać nauki i recenzentowi, zarzucając mu, że nie rozważył, jak mało ludzi pracowało dotąd nad dziejami litewskimi, że mierzył pracę Narbutta skalą cudzoziemską; dalej robi spostrzeżenie, że Capetigne jest raczej politykiem niż historykiem i za wzór krytyka dziejowego stawia Herena; wreszcie nie skąpi uwag ogólnych: „Nie przyjdziemy nigdy do ładu z naszą krytyką, nie zdołamy uczynić jej pożyteczną dla czytelników a nie zrażającą dla pisarzy, jeśli będziemy podług emdoziemskiej próby cenili ich zalety lub wady, i zabiierając się do recenzji, nie przywiedziemy sobie na pamięć ich miejscowych zasobów i pomocy, nie obejrzymy z własnego krajowego stanowiska ich zamiaru, usposobienia i środków“.

Z takimi omówieniami podana krytyka nie mogła zachęcić K-go do nadsyłania innych artykułów, tém bardziej, że Przecławski już wówczas słynął jako mąż wielkiej nauki, wielkiego talentu i wielkiej bystrości krytycznej; czy słusznie, przekonamy się niebawem. K. więc zamknął się w sobie po tej próbie, zniechęcił się jeszcze bardziej do księgarzy i wydawców, a jedyną może pociechę stanowiła korespondencya wierszowana z Józefem Krzczkowskim, który, zostawszy w Wilnie, oddał się cały poetycznym rojeniom i pisał 18 października 1836 do przyjaciela:

Dziś mię chęć sławy takim rozpala pragnieniem
I coraz szerszą podsyca ochotą,
Iżby mi go marnie w dawnym chęiał przysiąć stoku.
Dziś wzrok mój licznym rozstrzelon promieniem
Siega daleko; dziś mojemu oku
Mało i mało rodzinnego nieba.

Na zachętę K-go, żeby się przeniósł na Podole i ożenił, odpowiada z poetyczną em-

fazą, że „drobiazgu wrzask głośny“ a przy posielance mniej tklivéj od skały, możeby jego „pieśni nieznane zniarniały“.

Z odpowiedzi K-go na ten list poetyczny (data 5 stycz. 1837) poznajemy, w jak smutnym stanie duszy się znajdował. Tak się czuje zmordowanym, choć w tak krótkiej podróży, że chciałby, zasiadłszy przy kominku „spać duszą, ciałem, rękoma, oczami i o niczém nie myśleć, o niczém nie wiedzieć tak, jak mieszkańcy mogiły“. Największymi jego wrogami są nerwy, których nie może uspić ani opium, ani z laurocerasu krople wyciśnięte, ani wszystkie te leki, któremi im grozi:

Drżą mi w głowie, drżą w sercu, w piersiach, w ca-
(tém ciele,

Ogień w nich płynie.

Ale w głowie, aj! w głowie jakże tam ich wiele!
A gdy się rozgryają w wieczornej godzinie;
Próżno im na dobranoc nudne książki czytam,
Gram w karty, lub gazetę bibulastą chwytam,
By z niej usypiające silnie wyssać soki:
Próżno. Jak owa młodzież gdy rozpocznie skoki,
A skrzypce grać przestaną i świece pogasną,
Jej bez skrzypców wesoło i bez świecy jasno.
Z temi nerwami jestem — wątpliwości niema —
Tak, jako koń na mlynie, co sam ruszył koło,
Ale koła nie zatrzyma.

Ze wsi żadnych wieści nie pisze, bo dla wieśniaków „świat pusty i niemy“, ale prosi natomiast Krzczkowskiego, ażeby mu o nowinach z Wilna doniósł. Pyta ironicznie:

Kto tam u was co pisze? nad czeni prasa stęka?
Przed jakim nowém głupstwem świat wasz mądry
(klęka?

Czy kalendarz Zymela, czyli Słownik nowy
Wyszedł jak promień z waszych literatów głowy?
Kto na rok nowy piórem, w wodzie umoczonym,
Co nowego przetłómaczył?
Kto teraz, panowie moi.
U was na świeczniku stoi?

Krzczkowski, któremu z wydaniem „Biruty“ szło nie tego, odpisuje mu (13 marca 1837), że mówcy, literaci chwalą i ganią w miarę, jak im kto zapłaci, że bez stosunków za każdą pracę można się w Wilnie spodziewać nagany.

W końcu, z powodu owéj krytyki dzieła Narbutta, powiada:

I ty, luby Józefie, skosztowałeś grzechu,
Do skorych przyganiaczy mieszając się cechu.

Ta właśnie korespondencya poetyczna dostała się do Tygodnika, a jego wydawca, nie odznaczający się wybrednym smakiem estetycznym, który pomieszczał już w piśmie swoim różne miernostki rymowane, dał i jój przytułek u siebie (N. 21, 22, 34 z r.

1837), Równocześnie K. nadesłał mu swoje „Pamiętniki”; a wydawca, udzieliwszy mu przestroge, żeby ile możności o sobie, w tak młodym wieku będąc, starał się nie mówić, zaczął je częściowo drukować. Pierwszy wyjątek z tych „Pamiętników” (rozdział XIV) przedstawiał zarys „Literatury w Wilnie na początku XIX wieku”, napisany w tym samym duchu, co i rzecz o romansopisarzach polskich, to jest przeważnie pesymistycznie. Pomijając niekorzystne zdania o Szubrawcach i „Wiadomościach Brukowych”, o „Towarzystwie Typograficzném” i tym podobnych ważnych objawach życia umysłowego i społecznego w ogóle, warto zaznaczyć, jak wtedy oceniał spór klasyków z romantykami. „Wilno—powiada—dziwnym sposobem chwyciło się nowej szkoły; poeci tutejsi po większej części poszli za nowością; teoretycy za rutyną; kłócono się i zabijano (ale tylko piórami) w tej walce ślepych: póki w kilka znowu lat obie strony się nie spostrzegły, że były się omackiem i nie wiedząc o co. Mgła przeszła i zgoda nastąpiła. To tylko istotnie dobrego z tych sporów wynikło, że *ożywiły* nieco literaturę, zmusiły do badań, rozpraw, roztrząsania teorii, że sprostowały szkolarski sposób krytyki tutejszej, czepiającej się tylko w dziełach strony języka, a nigdy strony ducha” (Tyg. Petersb. 1837 N. 30).

I ten jednakże artykuł nie wzmocnił jeszcze stanowiska K-go w *Tygodniku*. Zdania w nim zawarte sprzeciwiały się po części temu, co dawniej sam wydawca lub też jego współpracownicy wypowiedzieli, choć w głównych zarysach nie były zupełnie oryginalne, gdyż zarówno lekceważenie działalności Szubrawców, jak i surowa krytyka romantyzmu już od trzech lat wygłoszona była przez S. G. w „Nowej epoce literatury polskiej”. Wyrażenia K-go, jakkolwiek bardzo śmiałe na owe bezbarwne czasy literackiej ospałości piśmiennictwa w kraju, nie raziły przecież wielką jaskrawością i nie odznaczały się ogniem; dopiero pomieszczony w 38 N. z r. 1837 artykuł p. n. „Jak się robią książki nowe z starych książek; rzecz „o kradzieży literackiej” z mottem: *ex rapto vivimus*, napisany (26 kwietnia 1837) z taką werwą, z jaką pisał K. powiastki swoje z drugiej fazy, a druzgocący od jednego zamachu wszystkie niemal znakomitości literackie, sprawił takie na wydawcy *Tygodnika* i na czytelnikach jego wrażenie, że odtąd nie mógł się już obejść bez współpracownictwa takiego literata. K. odróżnił trzy rodzaje książek: 1° ciągniona z siebie literatura egotyczna, nie-

które poczye, romanse, 2° książki z żywego świata: podróże, historia społecznego, 3° książki robione z książek i tych najwięcej: „historia cała, wszystkie dzieła erudycey na odgrzewaniu i zszywaniu eudzych myśli, starych łachmanów zasadzone”. Dawniej K. twierdził, że w naszej literaturze nie niema oryginalnego; teraz tożsamo wypowiedział o literaturach zagranicznych. „Od Alkoranu Mahometa aż do romansów naszego Balzaca, których materyał pierwszy jest pożyczony, wszystko prawie jest tylko odgrzewaniem.” Jako przykłady przytacza Lamartine’a, Janin’a, Lacroix, Sand’a, Dumas’a, Hugo, „który pisał naprzód ody podobne do elegii, potem elegie podobne do ód, potem romanse, w pół elegie w pół ody, potem, to jest teraz, *zestawiały*, naśladuje sam siebie: jego dramata są odgrzewane także: materyał w nich często gorszy od jarmacznych turlupinad, świeci się w nowej błyszczącej oprawie”. Goethe sam jest to „wielki dłużnik wszystkich czasów i krajów”. Cała ówczesna literatura jest „wyrobnicza, plagiatorska”. Oczywiście, że nasze piśmiennictwo przy tej ogólnej rzezi nie mogło nie dostać cięć nader bolesnych: wyprowadzeni na scenę jako plagiatorowie: Gwagnin, Bielski, Górnicki, Kochanowski, Paprocki, Rej. Później—powiada K.—kradli wszyscy bez litości, bez miłosierdzia, bez sumienia, uważając prawie kradzież i naśladownictwo za godny pochwały czyn. I znowu następuje spis nazwisk takich, jak: Krasiecki, Naruszewicz, Trembecki (który „zrobił poemat „Zosiówka”, gdzie Pelej i Tetyda, barany i filozofowie i piękna Zofia razem sobie siedzą”), Węgierski i t. d. Z nowszego okresu niema wprawdzie żadnego nazwiska, ale cały zwrot romantyczny wysmiany, dla tego, że wskrzeszał średnie wieki, czasy rycerskie, które „już raz zabił żartem Cervantes i pogrzebał go, stawiając mu nad grobem krzyżyk z włóczni Don Kichota i kijów Sanszopansy”. A społeczna K-mu literatura? „Dziś co robisz? — pyta—Naśladowaliśmy Niemców, tłumaczmy Francuzów, może, jak się nauczym po angielsku, będziemy Anglików nicować, a jak trochę się poduczym, zaczniemy nieznacznie okradać i przerabiać. Bo zawsze naprzód idzie tłumaczenie, potem przerabianie i na koniec kradzież”.

Ten wybryk dumy młodzieńczej, zbyt ufniej w swe sily a więc lekceważącej wszystko, co przedtém było, co się przedstawia jej jako stare i zużyte, ten wybryk, który siedem replik wywołał (Tyg. Petersb. 1837 N. 46), podobał się niezmiernie wy-

dawcy *Tygodnika*, lubiącego jaskrawe wyrażenia i oryginalność przekonań. Odtąd już przez czas długi nie napotyka się artykułu K-go z przypiskiem wydawcy protestującym, a natomiast bywają przypiski pochwalne, bywa usprawiedliwienie i obrona zdań przez K-go wypowiedzianych, chociażby one najmocniej kontrastowały z tém, co sam dawniej wygłaszał. Co więcej, K., o setki mil odległy od Petersburga, zaczyna wyręczać redaktora w odpowiedziach, w których potrzeba było ciętego pióra. Do stało się też wówczas dawniejszemu krytykowi powieści K-go w *Tygodniku* p. T. B., z powodu jego zdań o poczyt⁴³⁾, dostało się księgarzom⁴⁴⁾, wydawcom Magazynów, encyklopedyj, Wizerunków. K. stał się wyrocznią *Tygodnika*, którego wydawca w zreczenie zredagowanym frazesie zupełnie identyfikuje z duchem swego pisma, mówiąc, że jego artykuły są „rozwinieniem, z nieskończeniem większym talentem, pierwiastku, który stale przewodniczy redakcyi“.

K. stał się wkrótce tak stałym współpracownikiem *Tygodnika*, że przez rok cały nie było niemal numeru, w którymby się nie znajdował jego artykuł, a w niektórych było ich i po dwa naraz. Pisał o wszystkim: o Pińsku i Pińszczyźnie, o Wilnie i jego mieszkańcach, o domach i ludziach, o karczmach i szybach, o nowych książkach zagranicznych i krajowych, o wynalazkach i historii, o filologii i romansie, o krytyce i sztuce; a pisał żywo, barwnie, bez oglądania się na osobistości, sądził surowo i stanowczo, wyrokował bez zająknięcia. Dziś trudno już nam zrozumieć nawet, jak wielką była to zasługa, to budzenie życia umysłowego, bez względu nawet na wartość wypowiedzianych zdań. Na szczęście mamy świadectwo społecznego krytyka, który znał dobrze rozwój literatury polskiej od r. 1820 i który, sam będąc współpracownikiem i czytelnikiem *Tygodnika*, mógł doskonale ocenić wpływ artykułów K-go na publiczność. Otóż warto poznać jego o nim zdanie: „Choć da się to z wielu względów wymówić — powiada — pewna jednak, że *potoczna* literatura polska szła ospale; mieliśmy albo ludzi gruntownie uczonych, którzy, pracując w ciszy i dostatku czasu, stali opodal od popularnego bieżącego piśmiennictwa; albo przygodnych beletrystów, w większej połowie naśladowców i wielbicieli modnych pisarzy cudzoziemskich, niżeli przedstawicieli swojskiej umysłowości; jedni jak drudzy odzywali się do swojej publiczności z rzadka, przerywając, nieotwarcie, uroczyście; rzec więc można, że nie było żadnego

ruchu, ani śladów obecnego życia w takiej literaturze. Stało się dopiero inaczej, przynajmniej w naszych prowincjach, od czasu wystąpienia p. K-go w *Tyg. Pol.* Przedmiotami uczone, historyczne, erudycyjne zaczął on traktować poufale, jako rzeczy, których wiadomość dochodzić powinna całej publiczności, bo one być mają treścią rzeczywistej narodowej literatury; wyjawiał zdanie o kwestjach literackich i moralnych, do jakiego go położenie tych kwestyi w obecnej chwili u nas i w Europie wiodło; słowem, wystąpił w naszej literaturze jak człowiek młody, uczony, śmiały, czynny, pracowity i, zajmując się z upodobaniem literackimi rzeczami, nas do zainteresowania się niemi zachęcił. Raz pierwszy ujrzeliśmy w nim pomiędzy nami czynnego i pełnego talentu *literata*“⁴⁵⁾.

Z mnóstwa artykułów, jakie K. pomiędzy 1837 a 1839 drukował w *Tyg.*, żaden po ową rzecz o kradzieży literackiej nie narobił takiej wrzawy, jak *Asmodeusz w roku 1837*, w którym poznajemy nową stronę rozwoju umysłowego autora. Poprzednio K. w krytyce swojej miał na względzie stosunki literackie i wydawnicze, teraz zwrócił się do innych i objął wzrokiem całość cywilizacji europejskiej. *Asmodeusz*, który niegdyś Lesage'owi tyle ciekawości pokazał, odwiedził teraz naszego Don Kleofasa, ażeby mu wyjaśnić naprzód niedorzeczność, a potem zgnębność kultury i oświaty współczesnej Europy. Drogi żelazne, oświetlenie gazowe, pigułki Leroy, nowe systemata we wszystkich naukach, frenologia, a obok nich ubóstwo, samobójstwo, zagmatwanie w pojęciach, a zwłaszcza obojętność moralna, gorzące powieści Sand'a, obrzydliwe i demoralizujące widowiska z dramatów Hugo, Dumas'a, frymarenienie nauką, bezwstyd ogłoszeń i reklam, banki oszczędności, parlament angielski: słowem cały „wiek progresu“ został tu poddany chłościę nielitościwej, tak, że tema biednemu XIX wiekowi przyszło zaplonać od wstydu, wobec wszystkich poprzedników swoich. Cywilizacja jego niema żadnej idei, żadnej zasady, pełna jest zgnilizny, a wnetrze jej toczy skir okropny.

Kręśląc tę przerażającą dyagnozę choroby, K. nie podaje żadnego lekarstwa, bo go, jak się zdaje, nie miał sam. I rzeczywiście Słowianofile, którzy społecznie na „zgniły zachód“ narzekać zaczęli, mieli przynajmniej ideał w problematycznej gminie słowiańskiej, albo nawet w swoim własnym kraju. K. takiego ideału nie miał; napomynał on tylko nawiasowo, kręśląc ogólnikowy program „grammatyki historyczno-po-

riównawczej języków słowiańskich, że kto wie, czy badania grammatyczne, a zatem „zbliznienie, pojędhanie, zrównanie“ języków nie byłoby pierwszym krokiem do zjednoczenia, które leży w łonie czasu niechybne; że „cywilizacya łączy ludy tysiącem stosunków i potrzeb wzajemnych, ustanawia handel płodów umysłowych; wpływy częstsze, terminologie wspólne—powoli nieznacznie ogniwami łączy najrozmaitsze języki; czemużby *bratnich* kiedyś nie związała wspólność ukształcenia i losów, jak je rozłączyły wypadki różne i odmienne koleje. Jest to daleko podobniejszemu od projektu pasigrafii Leibniza: co czas rozłączył, czas złączyć może, co rozdzielił odróżnił, połączenie zjednoczyć“⁵¹). Ale myśl ta była tylko mimochodem rzucana, wydawca *Tygodnika* przyklaskiwał jej i starał się w tym duchu nakierować artykuły; ale K. dopiero po czterech latach wrócił do niej i to również na chwilę tylko⁵²). Tymczasem zaś szło K-mu jedynie o wypowiedzenie swojego potępienia cywilizacyi społecznej; w czym poszedł za tym głośnym wtedy chaosem przekonau, jaki w stolicy Francyi panował, gdzie wszyscy, będąc niezadowoleni z istniejącego porządku rzeczy, nie pomijali najmniejszej sposobności, ażeby wyrzucić rządowi na oczy, w jak okropnym kraju znajduje się nieładzie i zarazem podać tysiączne plany reformy religijnej, politycznej, naukowej. Tych planów reformy K. nie przyjął, bo coby one znaczyły w naszym kraju; ale narzekania na cywilizacyę, które na wrażliwy jego umysł silne robiły wrażenie i z jego pesymistycznym poglądem tak dobrze harmonizowały, wygłosił on z tą werwą i jednostronnością zarazem, do której był nawykł naówczas. Ludzie doświadczeni, a między nimi M. Grabowski, zrobili uwagę, że takie narzekania na cywilizacyę i oświatę w kraju, w którym piśmiennictwo jest tylko bawidełkiem zaledwie kilkunastu monomaniów⁵³, może w wielkie błędy wprowadzić czytelników, może ich zniechęcić do czytania⁵⁴). Radzili więc K-mu, ażeby napadał na cywilizacyę francuską, wyraźnie ostrzegając, że o niej tylko mówi. A gdy inni zaczęli szemrać, K. zawiadomił wydawcę *Tygodnika*, że Asmodensza pisać już nie będzie. Wydawca w publicznie ogłoszonym liście wszelkimi sposobami starał się go odwieść od tego zamiaru. „Pańskie artykuły—pisał—dają już do wytrzeźwienia nas ze zbytignego uwielbienia dla pewnych imion i rzeczy, już do sprostowania błędnych sposobów widzenia, już nakoniec do pokazania rzeczy we właściwem świetle i zachowania

prądu od umysłowych wyboczeń, któreby z obcych krajów do nas wtargnąć mogły. Piśma Pańskie są prawdziwą i wielką przysługą dla ogólnej masy narodowego myślenia; gdzieindziej zjednałyby autorowi słuszną wziętość, u nas ściągnęły niechęć; ale to rzecz bardzo naturalna; trzeba być na to przygotowanym; my nie lubimy, żeby nas ostrzegano, odczarowywano“⁵⁵). K. odpisał na ten list bardzo pochlebnie dla wydawcy, mówiąc, że żadne pismo nie ma tak ustalonej sławy i popularności, że życzy sobie jaknajdłużej w takich jak dziś dotrwać stosunkach; wyraża się dalej, że burzy się nie lęka, również jak o pogodę nie prosi, a tłumacząc się pośrednio z zarzutów przez Grabowskiego zrobionych, występuje przeciw naśladowaniu francuszczyzny, powstaje na czasy Stanisława Augusta i twierdzi, że „nam Słowianom nie wypada naśladować, bo naśladownictwo jest dowodem słabości“, że należy znać zagranicę, ale strzedz się umysłowego z nią zlania, któreby „nam Słowianom odebrało oddzielny charakter rodzimy“. W końcu przyrzeka pisać dalej Asmodensza, ale długo nie przesła dalszego ciągu. Wydawca znużony widocznie oczekiwaniem, sam próbuje kontynuować; ale po jednym nieudatnym szkicu zaprzestaje śmiałego zamiaru, a K. nie myśli już go podejmować wcale.

Widocznie K. nie doszedł był jeszcze do wewnętrznego ze sobą samym zgody, widocznie różnorodne myśli tłumem napływały do jego duszy i pobudzały fantazyę do wytwarzania tysiącznych choćby sprzecznych z sobą obrazów i pomysłów, ażeby tylko konieczności tworzenia zadość uczynić. Kto nigdy nie zaznał takich marzeń i mająceń młodzieńczych, które w przekonaniu swego twórcy przybierają niejednokrotnie, chociaż chwilowo tylko, kształty wielkich prawd, nieznanych dotąd nikomu, a więc wyższych od wszystkiego, co ludzkość do owiej pory pomyślała; kto nigdy nie staczał z sobą walki zawziętej, w której zwątpienie i przygnębienie mierzy się nieraz poczuciem siły olbrzymiej, gotowej świat przerobić od fundamentów: ten nie potrafi ocenić tej fazy w rozwoju umysłowym K-go, co ma tyle podobieństwa do sławnej epoki „burzy i wrzenia“ (*Sturm und Drang-Periode*) w literaturze niemieckiej.

Jeżeli wielkie pragnienia i wzniósłe myśli nie mogą być urzeczywistnione, wówczas powstaje niesmak, rozczarowanie, zwątpienie. A od czegoż urzeczywistnienie zależy? Naprzód bez wątpienia od zdolności tego, który takie pomysły tworzy; a powtó-

re od najbliższego otoczenia i od stosunków czasowych. Poznajmy to najbliższe otoczenie, jak się ono samemu K-mu przedstawiało, a zrozumiemy choć w części, że umysł marzycielski, fantazyja żywa, serce niezmiernie wrażliwe, nie mogły przylgnąć do niego od razu, musiały z nim walczyć, choćby tylko na polu ducha i w tej walce słabnąć na chwilę i wątpić o własnych siłach.

Jak wiemy, od roku 1836 mieszkał K. na wsi i to na ziemi, która wyrwana przez wyższe zakłady naukowe z długoletniej drzemki unysłowój, w owym czasie znowu w nią zapadła. W drugiej połowie roku 1837 zmienił miejsce pobytu, z Dolnego przenosi się do Omelna na własną dzierżawę i oddaje się gospodarstwu. Jakżeż się do tego nowego zawodu zabierał powieściopisarz i poeta? Czy rozkoszował się sielanką, czy podniósł do ideału pracę około roli? Bynajmniej.—Mamy z tego czasu jego wiersz, napisany (we wrześniu 1837) do Józefa Krzczakowskiego, pod tytułem „Żal przeszłości“, w którym zawiadamiając przyjaciela, że pierwszy raz się do niego zaczął, wdycha za dawnym swoim życiem i wcale niewesołą widzi przed sobą perspektywę. Odtąd—powiada—odtąd trzeba

W pocie czoła jak Kain obrabiać to pole
I wyganemu z raju młodości i marzeń,
Straconemu bez skrzydeł zapału pocieie
Wiesć życie uplecione z drobnych losu zdarzeń —
Życie miérzwy i znoju na przenudynym świecie.

Widocznie jego fantazyi ruchliwej i niespokojnej ciążyło to życie rzeczywiste, uregulowane wymaganiami gospodarstwa, zajęciami prozaicznymi, nieraz nużącymi i nudnymi. A chociaż i dawniejsza droga życia nie była usłana listkami róży, wdychał przecież za owymi chwilami „sennego dumania“, które go w swobodny świat pomysłów wprowadziły. Teraz, gdy myślami i uczuciami chciał się podzielić, kogoż w koło siebie znajdował? Oto ludzi, dla których książki, jeżeli je wreszcie kupią, są po większej części czemś w rodzaju sprzętu w salonie, utrzymaniem dla przyzwoitości w wielkim poszanowaniu, bo bez rozcinania karteek; ludzi, dla których wyrocznią jest „Żurnal Paryzki“, którzy lubią przedewszystkiem jeść, pić, grać w karty, podróżować do wód, słowem bawić się i tylko się bawić, a nie rozmyślać. Żądza błyszczenia od zamożnych przechodzi do biedniejszych i rujnuje ich oczywiście; potem zostają tylko szkielety walących się pałaców i bydło pasące się po zarostłych chwastami ogro-

dach... Dla chęci bawienia się poświęcają pieniądze, honor, pozbywają się ludzkości względem chłopów, których za robocze bydlę uważają. Młodzień pije, je, bije, łaje, poluje zarówno na zające, jak i na wiejskie dziewczęta, nikogo się nie bojąc. Najpotrzebniejszym do życia codziennego jest batóg, do odświętnego pistolety. Hulatyka, kupczenie kółmi: oto jej zajęcie“).

Uspodobienie zaś do czytania na Litwie tak mu się przedstawiało: „Litwa żyje brzuchem nie głową... Przyszłe zatem roczniki niech będą na wzór Almanach des gourmands, a niezawodnie się udadzą; przyszła gazeta niech ma tytuł *Żarłoka*, przyszły romans niech opisuje najobszerniej niestrawność i jej skutki poetyczne; przyszła historia niech będzie historią żołądka, zaczawszy od całych wołów Mendoga i uczyty łuckiej 1429 r. aż do nowożytnych kremów i galaret: wszystko to wydrukuj się i doskonale sprzedaj... Z innemi dziełami poczekajcie!“ (Tyg. Petersb. 1838 N. 7).

Jakże tu żyć z takimi przedstawicielami patryarchalnej prostoty, i patryarchalnego barbarzyństwa? Człowiek mniej wrażliwy i mniej uzdolniony byłby naturalnie urobił się na ich obraz i podobieństwo. Człowiek mniej wrażliwy, chociaż uzdolniony, byłby spokojnie obserwował te ciekawe okazy z rodzaju „człowieka“. Potem K. tak zrobił; ale w początku poczuł jedynie straszny przedział pomiędzy sobą a swoim otoczeniem, poczuł głęboką różnicę życiową próby od wymarzonej poezyi; i zabołał strasznie nad tym rozdwojeniem. Znał już dawniej ten kontrast, tak obfity w poetyczne motywy, z pism Jean Paula, który lubował się zawsze w przedstawianiu sprzeczności pomiędzy życiem unysłowem a życiem praktycznym; ale dawniej nie przemawiały one do niego tak żywo, tak dobitnie, tak wyraźnie, jak teraz, gdy sam na sobie doznał skutków owego kontrastu, gdy sam stanął w kolizyi ze swymi sąsiadami. I jak zwykle, nie zaniedbał tych świeżych wrażeń spisać i podzielić się nimi z ogółem czytającym. A chociaż w teorii potępiał romantyczność, w praktyce stworzył dzieła, przedstawiające najcharakterystyczniejsze cechy romantyzmu.

Opowiedział nam najprzód „Życie sieroty“ tak smutne, że do łez rozczuliłoby mogło, gdyby temu tkliwemu wrażeniu nie przeciwstawiały się inne wprost przeciwnie, bo komiczne i to naumyślnie dla kontrastu przez autora wywołane. Edward jest marzycielem, duszą poetyczną: ujmuje go prostota

i naiwność dziewczęcia bez wychowania i bez wykształcenia; podejmuje się opieki nad nim; ale gdy przyszła proza życia, gdy w domu zaczęto pieluchę rozścielać, gdy jego ukochana bardziej stała się czułą na krzyk dziecięcia niż na rozmowę poety: on rozczarował się i znudził, a skutkiem tego dokuczał biednej sierocie. Scena kończy się tragicznie: sierota, wzięwszy na siebie swoje biedną sukienkę, w której przyszła do Edwarda, topi się w rzecę. Można ją było jeszcze uratować; ale mieszczański, który widział tonącą, pożałował swojej nowej kapoty i zanim rzucił się do wody, zaczął się rozbierać...

Tu marzyciel wyszedł zwycięsko kosztem życia biednej istoty. W powieści „Maciek i Maciuś“, inny los go spotyka. Marzyciel zaparł się swoich marzeń i dla pieniędzy ożenił się ze szpetną ale bogatą panną, która go dręczy swoją miłością, podczas gdy on wdycha na próżno za dawnym swym ideałem kobiety. Marzenia, którym się przezwyciężył, mszczą się nad nim: czynią go nikiemnikiem, zdradzającym nie tylko żonę, nie tylko przyjaciela, ale nawet ukochaną niegdyś kobietę. Zaprzaniec musiał zginąć: zginął tak, jak w poprzedniej powieści sierota⁷⁷).

Oba te utwory pełne kontrastów, nie tak przecież jaskrawych jak w „Czterech Wesołych“, ale subtelniejszych znacznie, urozmaicone tu i owdzie fantazyjowaniem, były przecież przygotowaniami tylko do utworu, który miał skupić w sobie cały ówczesny świat marzeń, myśli i uczuć młodzieńca i przeciwstawić go światu rzeczywistemu, t. j. ściśle mówiąc takiemu, jakim go ten młodzieniec sobie wyobrażał. Utwór ten napisany z taką werwą, z taką śmiałością i swobodą a zarazem rozległością myśli, jakiej poprzednie utwory w tym skupieniu nie posiadały, był najświetniejszą improwizacją o tych potęgach duchowych, co napełniały piersi młodzieży i zapalały ich serca nieokreślonemi, a przecież miłeni pragnieniami, był streszczeniem tych walk przykrych, jakie jednostka ukształcona a wrażliwa musiała staczać z prozaicznymi przedstawicielami życia codziennego. Nie było w niej ani kompozycji artystycznie przeprowadzonej, ani nawet silnie narysowanych charakterów, ani tej obfitości fizjonomij z natury portretowanych, jak w dawniejszych utworach; ale była natomiast siła porwykającego słowa, był liryzm głęboki i przejmujący serca, spotęgowany *ironią* dotkliwą, choć niby spokojną; był nastrój poetyczny, rzadko zakłócony a częściej wzmocniony dys-

sonansami. K. wypowiedział wtedy już całego siebie, jakim był w danej chwili; a ponieważ dużo już przeżył, przemarzył, przemyslał; więc to, co tu przedstawił, nie mogło nieobudzić największego zajęcia w czytelnikach. Łatwo się domyślić, że mówię o powieści „Świat i poeta.“

Gustaw jest sierotą. Już ta okoliczność zjednywa dla niego nasze współczucie. Dzieciństwu jego brakło czulego serca i miękkiej dłoni matki. Wychował się u krewnych. Stryj jego był to samolub najobrzydliwszy, epikurejczyk, któremu imponowała jedna tylko potęga: potęga złota. Jego brat stryjeczny, a więc najbliższy towarzysz, to miniatura ojca. U stryjenki jedynie i siostry znajdował pewne pobłażanie, pewną przychylność. W jaskrawo zarysowanym kontraście ukazują się jego marzenia dziecięce o duszy kwiatów i ich miłości. W około niego albo serca twarde i prozaiczne, albo miękkie i prozaiczne. Czuje się osamotnionym; w dodatku doznaje niesprawiedliwości; za przekroczenie brata stryjecznego, a raczej za niezadowolone żądze stryja, zostaje wypędzonym z jego domu. Wstępuje do uniwersytetu; zraża go pedantyczna nauka, dreszczem przejmuje materialistyczne wyobrażenie o duszy i o sercu, ucieka z lekcy anatomii. Była to tak delikatna organizacja umysłowa, że najłżejsze nawet zetknięcie z rzeczywistością wprawiało ją w drżenie gorączkowe, w obłęd niemal. On marzył o wszechświecie, a tu trzeba było zdobywać sobie wiedzę o nim krok po kroku, kawałek po kawałku, w odmierzonych odstępach, z odznaczonymi miejscami spoczynku i wytchnienia.

A potem obudziły się w nim namiętności. Własne jego ciało wystąpiło do walki z jego duszą; poziome pragnienia zakłócały jego wysoki polot duchowy. Marzył o miłości, ale urzeczywistnienie tych marzeń było nowym zawodem. Pierwsza jego żona Marya była to serdeczna, kochająca namiętnie istota; ale niestety! nie rozumiała go. Gdy on chciał się przechadzać przy świetle księżycza albo dumać, zapominając o wszystkim; albo gdy się unosił nad jakim pięknym miejscem w poemacie: ona przerywała mu marzenia wzmianką o obiedzie, kolacyi albo bieliźnie. Z ognistej miłości wykradł ją, bo to było jakoś daleko poetyczniej, aniżeli prosić zwykłym trybem o rękę; lecz zaledwie parę miesięcy po ślubie upłynęło, już się znudził, już się przymuszał myślać o obowiązku do okazywania żonie swego przywiązania, już zaczął pisać rozpaczliwe listy do drugiego ideału, który go zachwycił tém,

że w księgarni chciał bądź co bądź nabyć dzieła Szekspira.

Marya poświęca się dla Gustawa, wstępuje do klasztoru. Gustaw żeni się z owym nowym ideałem; pierwsze chwile spędza nadzwyczaj przyjemnie, ale wkrótce przekonywa się, że jego Łucya „jak wszystkie kobiety literatki“ (słowa K-go), które w literaturze szukają tego samego co w stroju, pojazdach, balach, to jest pochwał i oklasków, że ta Łucya była niezmiernie próżna, chciała koniecznie na swoim postawić i upierała się w zdaniu o poezji. Wkrótce spory o różnych poetów, choć z początku zajmujące, zaczęły nudzić obie strony tak, że przestali się niemal widywać; on z książką w ręku siedział w swoim gabinecie, ona w salonie słuchała pochlebnych uniesień jakiegoś blagiera. Musieli się rozstać: Łucya, niewstrzymywana, wyjechała za granicę i nie wróciła...

A jak z temi dwoma wybranymi istotami, które go doprowadziły do axyomatu, że dla poety małżeństwo jest zabójcze; tak tém bardziej z innymi ludźmi Gustaw nie może przyjść do ładu. I nie dla tego, żeby ich znał z gruntu i żeby to poznanie przekonało go o ich nicości. Nie. Tacy ludzie jak Gustaw, zamknięci w sobie, nie umieją patrzeć bezstronnie na swoje otoczenie, lecz każdą mimochodem spostrzeżoną wadę do olbrzymich doprowadzają w wyobraźni swojej rozmiarów i, zamiast ludzi rzeczywistych z błędami i zaletami, widzą tylko albo samych nikczemuików, albo też, i to najczęściej, karykatury godne jedynie śmiechu. Gustaw nie znał ludzi, bo z nimi nigdy nie lubił nawet rozmawiać; książka i wyobrażenia wystarczały mu najzupełniej; przynajmniej tak mu się zdawało. Kochał samotność, unikał tłumnych zebrań, a jeżeli szukał rozmowy, to tylko we dwoje. Towarzyskiej rozmowy nie umiał nawet poprowadzić; był nią tak umęczony, jakby największym ciężarem. Lekcewał wszystkich, gdyż mniemał, że nikt go zrozumieć nie potrafi. Powtóre, Gustaw nie był zdolny do pracy ciągłej, ustawicznej. Kiedy był młody i musiał zarabiać na utrzymanie, podejmował się wprawdzie każdej roboty; ale zostawszy bogatym, polubił próżnowanie. Nie widzimy go nigdzie przy zajęciach gospodarskich, na wyborach szlacheckich, na zjazdach; on nawet nie próbuje apostołstwa wśród obywateli, bo jest z góry przekonany, że ono na nie się nie zda. Marzenie i czytanie, to głównego jego zajęcia; czasami jakiś wierszyk napisze bardzo smutny, bardzo mglisty i bardzo niepoprawny. Na-

wet szlachetność jego, którą tak często przeciwstawi egoizmowi innych ludzi, pozostaje skarbem zaklętym, z którego nikt, ale to nikt nie korzysta: jedyny jego czyn z czasów młodości, wyratowanie staruszki, wynagrodził mu się obficie, bo zapewnił mu byt niezależny. Tacy ludzie jak Gustaw nie spostrzegają nawet, że czyny ich bynajmniej nie są urzeczywistnieniem ich szerokich planów, bo oni uważają się za istoty wyższe, dla których zwykła logika i etyka są rzeczami zbyt poziomymi, ażeby ich obowiązywać miały. A więc ten człowiek nie cierpiał naprawdę, a więc nie zasługuje na nasze współczucie?... O nie! Bo nie tylko te cierpienia są wielkie, które najobojętniejszy nawet widz uznaje za takie, ale i te także, które nam własna przygotowuje wyobraźnia. Tém one są dotkliwsze, tém silniej dojmują sercu, że je nie wielu odczuć i zrozumieć potrafi.

Jakiż koniec takiego człowieka? Jeszcze w r. 1832, a zatem kiedy Kr. miał lat 20, napisał następujące słowa: „Goethego Werther jest sławnym typem; typem równie narodowym, jak dzieła Richtera. Niemiecki Werther się zastrzelił, francuzki zakopałby się w jakim klasztorze z miniaturą swój Lottchen i plecionką jej włosów; angielski, jeśli by nie naśladował literalnie Niemca, toby pojechał przynajmniej do Szwajcaryi spaść z jakiejś skały, lub głodemby się zamorzył; hiszpański strulby rywala, siebie, ją i każdego, coby mu stanął na drodze; nasz Werther rozpiłby się z rozpaczą lub zaciągnąłby się do wojska“⁵⁸). Gustaw wybrał pierwszą alternatywę. Kto chce przykładem poety upoetyzować ten postępek, łatwo sobie przypomni Hoffmana. Kr. nie stawiał ani wzoru do naśladowania, ani przestrogi dla marnych ludzi; kiedy pisał powieść, zanadto był przejęty swym pomysłem, aby stanąć względem niego na stanowisku przedmiotowym. Wprawdzie, jako autor, panował on nad swym bohaterem i praktyką stwierdzał, że inaczej i lepiej w rzeczywistości pokierować się można; ale nigdy z tej przewagi w powieści swojej nie skorzystał. On chciał odmalować wiernie ten przejściowy stan duszy, który mierne talenta zwykle zabija, ale dla talentów wyższych jest tylko próbą ognia, z której one zwykle wychodzą. Kiedy Kr. pisał „Świat i poeet“, czeił Gilberta i Chattertona; kiedy go oddał do druku, nazywa Chattertona szalbierzem i mówi: „Gdy Gilbert, Chatterton lub kto inny się zabija, to trudno wytłómaczyć inaczej, jak nierozumną rozpaczą lub podłym tchórzostwem, lub wreszcie nienasyconą czezością

umysłową, której winą na wiek spada," przy czem surową naganę daje poetom i artystom, których pierwsze niepowodzenie do grobu wpędza⁵⁹). Wtedy już inne postacie zajmują jego wyobraźnię: już powstaje czysto-przedmiotowa Witolorauda, opowiadanie historyczne „Stremulissa“, które wyszło dopiero r. 1846 (zob. *Tygodnik literacki*, Poznań, Tom 1, Nr. 42, z 14 stycznia 1839) p. n. „Żacy krakowscy“, „Kasztelan i Wojewoda“, (które później nazwał autor „Ostatnią księżniczką slucką“, tudzież obraz rodzajowy: „Całe życie biedna.“ Wtedy następuje zwrot ważny w pojęciach religijnych i społecznych. „Powrót ze sceptycyzmu do idei religijnych—pisze naówczas,—daje się czuć w drgających konwulsyjnie członkach całej ludzkości, pozbawionej odjęciem chwilowem wsparcia religii, celu swojego i punktu oporu. Francya, która zaraziła tym duchem całą prawie Europę, zdaje się teraz sama dawać przykład powrotu.“ (*Tyg. Petersb.* 1838, Nr. 36). Wtedy nie zbyt już przeczy zasadom arystokratyczno-konserwatywnym Michała Grabowskiego, z którym zapoznaje się osobiście, jak niemniej z Henrykiem hr. Rzewuskim, ks. Hołowińskim i innymi przedstawicielami kierunku zachowawczego.

I warunki zewnętrzne uległy także zmianie. W tym samym roku, w którym Kr. został współpracownikiem *Tygodnika* (t. j. 1837). Aleksander Tyszyński wypowiada pochlebne o powieściach Kr. zdanie⁶⁰), a Edmund Wasilewski pisze osobny artykuł o młodym pisarzu, entuzjastycznie się nad jego utworami⁶¹). Spółpracownictwo w *Tygodniku* wszakże dało mu tak szeroki rozgłos, jakiego dawniejsze utwory, rozechodzące się w bardzo szczupłej liczbie egzemplarzy, w żaden sposób zapewnić mu nie mogły. Artykuły tu pomieszczane doczekiwały się przedruku w innych pismach polskich (Muzeum Domowem, Przyjacielu ludu, Pamiętniku naukowym krakowskim). Autor został „znakomitym“ a przymiotnik ten nie rozłącza się już z jego nazwiskiem, ilekroć je wspominają współpracownicy *Tygodnika*. W „Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych“ znowu się pojawiają artykuły K-go (*Klonowicz, Muciej Strzykowski*). Kiedy w początkach r. 1838 założono w Poznaniu pismo nowe „*Tygodnik literacki*“ udano się do „znakomitego“ już autora z prośbą o współpracownictwo, a rozbierając jego utwory, nie szczędzono epitetów najpochlebniejszych, „genialności“ oczywiście nie wyjmując. Wydawcy, którym nie szczędził dawniej najostrzejszych wyrzutów, „że oni spokojnie żyją mózgiem pisarzy, ich duszą, zapałem,

nie czując ani iskry wdzięczności, ani odrobiny czucia“ i których zawód nazywał niegodnym frymarkiem, a ich zakłady „domem podrzutków i zaprzędanych:“ teraz zwrócili się ku niemu sami. Józef Zawadzki, najbogatszy księgarz w Wilnie, umarł w końcu 1838, a syn jego Adam, człowiek ukształcony, zawiązuje bliższą znajomość a może i przyjaźń z autorem „genialnym.“ W ten sposób na dość szerokiej przestrzeni imię K-go z uwielbieniem już było wspominane; jedna tylko Warszawa, choć z przedruku artykułów K-go korzystać niechętnie, nie chciała mu przecież dać tytułu znakomitości. Zauważyć jednak potrzeba, że literaci z samej Warszawy zachowali się biernie; i że wszystkie dotkliwsze pociski na K-go nadesłane były z Wilna i okolic. W *Tygod. Petersb.* nie wypadło drukować artykułów przeciw stalemu i tak potrzebnemu współpracownikowi; a kiedy raz wydawca pomiescił dosyć potulny zresztą wiersz (A. L. i B. D.), który z uwielbieniem wspominając o łagodności i pokorze sławnego naówczas kaznodziei Ludwika Trynkowskiego, przeciwstawił owym przymiotom „pychę“ K-go: ten nadesłał „pierwszą i ostatnią odpowiedź“ w której opowiedział bajkę o tych, co lubią ciemności. Itaz—powiada—wszedł księżyc i nagle zaświecił. Na co on świeci—pytali obskuranci—tak pięknie, gdy ciemno i spać tak dobrze!... Obskurant bryś zaczął szczeleć, lecz księżyc świecił a świecił i próżne było szczełanie brytana. Bajka kończyła się takim zwrotem do krytyków:

Tylko znowu nie myślcie, że to do was może,

A broń Boże! a broń Boże!

Ta bajka najmniejszego nie ma związku z wami,

Nie jestem ja księżycem, ni panowie psami!

(*Tyg. Petersb.* 1838, N. 22).

To dało powód p. S. P. do gwałtownego wystąpienia przeciwko K-mu w „Magazynie Powszechnym“ (1838, str. 150, 151). Tu nazwawszy *Tyg. Petersb.* „konfidencyjnym dziennikiem wzajemnych stosunków kilku przyjaciół“ gani uwielbienie, jakie niektórzy pisarze głośno (a mianowicie Trynkowski) wypowiadali, i pyta, kto to jest Kr.; a wyliczwszy to, czem nie jest, rozpowiada lekceważąco o jego powieściach i artykułach, w *Tyg. Petersb.* od dwu lat umieszczanych, których treść przedstawia z oburzeniem. „W pismach tych dowodzi Kr., że wszyscy ludzie są głupi, wszyscy autorowie złodzieje, wszyscy księgarze oszuści (lotryl nie chcą drukować p. K-go), kto się zaś odważy przebaknąć choć słówko przeciw jego arcydziełom, ten jest po prostu

pies. Jeżeli mi nie wierzysz czytelniku, weź Tyg. Peters. z r. b. a znajdziesz całe ładne wierszyki, w których p. Kr. przeciwników swoich delikatnie nazwał psami; siebie zaś, snadź przez skromność, do księżycy porównał. Chcąc ulżyć potomności pracy w wyszukiwaniu różnych szczegółów życia swego, zawczasu już drukuje w Tyg. własne Pamiętniki. Przypomina to nam Macviusa, co kazał pomnik sobie zrobić i sam własnymi rękoma posąg swój zaniósł i na wsi postawił. W szczegółach znajdujemy — ciągnie dalej S. P. — znieważone to wszystko prawie, cośmy cenili: odarte ze czci imiona mężów, którychśmy mieli za chwałę i ozdobę literatury naszej; sponiewierane zalety kraju naszego. Oddał-że sprawiedliwość p. Kr. któremukolwiek pożytecznemu przedsięwzięciu? Niech jeno ukaże się zapowiedź jakiegoś dzieła, a możemy być pewni, że w Tyg. wystąpi z zarzutem i naganą. Kiedy wszystkich miłujących nauki radością napelniło ogłoszenie księgarni Zawadzkiego w Wilnie o wydaniu historyi naszej literatury z rękopismów nieodżałowanej pamięci Sobolewskiego, natychmiast p. Kr. pokwapił się do Tyg. z pełnym żółci i nienawiści pismem.“

Krytyka ta zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na K-go; charakteryzuje ona niejednokrotnie w różnych odstępach czasu odzywający się głos rutynistów, przywykłych do spokojnego przeżywania dawno zjedzonego pokarmu umysłowego i występujących z zawziętością przeciw wszelkiemu ruchowi na polu myśli i badań. Nie oszczędzono K-mu ani jednego pocisku; dotknięto jego miłość własną, co rzecz najmniejsza; zakwestyonowano jego rozum, jego serce, co bezwątpienia daleko było dotkliwszemu; ale na tém nie poprzestano. Dla tego, że Kr. wytykał wady, surowo karecił występki, śmiał się z niedorzeczności, już rutyniści zakrzyknęli, że „sponiewierał zalety kraju własnego.“ Dla tego, że się ośmielił krytykować powagi literackie, już rutyniści głosili że „odartł ze czci sławne imiona“... Przyznawszy nawet, że w wielu razach krytyka K-go szła za daleko, że była nieraz nieumotywowana, miała jednak tę zaletę, że po-

budzała do myślenia; a użycie przeciwko niemu tak niskiego środka, jak oskarżanie go wobec ogółu o szarpanie sławy narodowej, zawsze będzie potępienia godnem.

Pismo Warszawskie, pomieszczając ten wybryk jakiegoś wileńskiego paszkwilanta, balaucilo umysły ogółu. Na wieczorach piątkowych u pani Lewockiej „Świat i poe-ta“ K-go został uznany za niegodny druku, tak, że autor aż do Poznania posłać go musiał.

Ale i Warszawa wreszcie zaczyna się poznawać na talencie K-go. Kolega jego z Akademii Duchownej (p. H. Skimborowicz), zostawszy redaktorem Gazety Porannej, zalażył przy niej Pismo Dodatkowe 1839 r., poświęcone sprawom literackim. Tu ścięrały się zdania o Kr. Redaktor stał zawsze po stronie Kr., a jakkolwiek i ganiące pomieszczał artykuły, nie przestał przecież sam uwielbiać jego talentu; on-to zaprosił K-go do nadsyłania obrazków, naumyślnie dla „Pisma dodatkowego“ napisanych. „Wiściarze i Obrazki z natury“ były to pierwsze nie przedruki, jakie w Warszawie się pojawiły.

Mimo to przecież długo jeszcze panowały w Warszawie uprzedzenia przeciwko K-mu. To też dziś, jakby dla wynagrodzenia swego rutynicznego oporu względem świeżych, barwnych, wyrządzających z odrętwienia umysłowego utworów młodzieńca, pierwsza zaprojektowała uczenie publiczne półwiekowej, nieustrudzonej i niezrażonej pierwotnem niepowodzeniem działalnością. Dziś każdy już bez wahania powtórzy słowa, któremi jeden z jego czcicieli, pod koniec pierwszej dziesięciolecia ówczesną pracę tego pióra określił: „Jest to mąż posiadający nie tylko wielostronne wykształcenie, ale i ów nieugięty hart, jaki jest koniecznie potrzebny do zwalczania jawnego i ukrytego głupstwa, usiłującego zagłuszyć każdy wyższy talent. Tęj to niezłomnej duszy winien jest Kr. swoje zwycięstwo; winien je nadewszystko owemu przenikliwemu dowcipowi, nieszczepliwemu sarkazmowi i owęj, rzekłbym, zuchwałej ciętości, z którą wszystko, co się tylko na placu nawinie, swoim obosiecznym bulatem z góry, wstępnyim bojem siecze, gromi i na głowę poraża.“⁶²).

Piotr Chmielowski.

PRZYPISKI.

1) Tyg. Pet. 1838 Nr. 38 w artykule p. n.: „Podróż po szybach karczemnych“ datowanym z Drohiczyna 11 kwietnia. Przedrukował go potem Kr. w „Obrazach z życia i podróży“ 1842, tom I str. 139—149.

2) Tygodnik Petersburski r. 1830, Nr. 43 z 29 Października, a zatem po zapisie studentów.

3) Wielki świat małego miasteczka I. 83.

4) Tom I. Wilno 1838, str. 39—63.

5) Kościół św. Michaiłki w Wilnie 1833. I, 64, 65.

6) Wędrowki literackie, fantastyczne i historyczne. Tom III, str. 66—68.

7) W Panu Walerym, w rozdziale XVII, w *Dwa a dwa cztery* na początku.

8) Obszerniejszą charakterystykę powieści polskiej przed rokiem 1830 znaleźć można: 1-o w artykule J. I. Kraszewskiego p. t. „O polskich romanopisarzach“ *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, poczet nowy, r. 1837, tomik II, str. 94—122; 2-o w dziele M. Grabowskiego: *Literatura i krytyka* 1840, w oddziale p. n. „Literatura Romansu w Polsce“; 3-o w rozprawie S. hr. Tarnowskiego p. n. „Romans polski na początku XIX w.“ Kraków 1871.

9) Wielki świat małego miasteczka, (I, 14).

10) Biografia Sokalskiego organisty w „Noworoczniku litewskim na rok 1831“ str. 177—194.

11) Prospekt ten znam jedynie w dochowanym do dziś dnia rękopiśmie; wiadomo wszakże, iż był drukowany w dodatku do „Kurryera litewskiego“ z r. 1830.

12) Pan Walery, str. 81, 82. Podobny ustęp odczytać można w „Wielkim św. małym miast.“ I, 43.

13) Wielki świat małego miasteczka I, 100.

14) Tamże I, 102.

15) Artykuł R. W. w „Tygodniku Petersburskim“ r. 1833, Nr. 47.

16) Wielki świat małego miast. I, 83.

17) Tamże II, 36—38.

18) Z tego samego czasu pochodzi powiastka fantastyczna p. n. „Majster Bartłomiej“ i prawdopodobnie temi samemi, co powyżej wymienione, odznacza się cechami. Ponieważ jednak sam nie mogłem jej odczytać, poprzestałem więc tu maszę na krytyce „Pietruszki“, który ocenił „Pasternaka“. Powiada on, że „Cagliostro“ z Wędrowek literackich to rodzony brat Majstra Bartłomieja i tak dalej ciągnie: „Gdyby p. Pasternak wyrzekł się miłości własnej i przeczytał to swoje dzieło, zaparłby go się najmocniej; nie obciąłby w jego obronie ani jednego ucha i siedziałby z nim w kącie cieluteczko, jak mysz na pudle. Bo tu p. Pasternak już przestał być mistrzem w szkicowaniu, tu raczej farby rozlewa, przypina garby i bez cienia, bez światła, jakąś różnokolorową rozmazuje plamę. Powieść o djable alchemiku, garbusku i suchym człowieku, albo raczej powieść o niczym, bez treści, nie malująca wieku, gdzie p. Bartłomiej, chociaż nawet w kontuszu, trudno przyjąć za krajowca. Cała wreszcie ta gina-twanina, setne odbicie owęj winiarui Hoffmanowskiej,

dziejów człowieka, który cień zgubił, plecie się bez wiktania, bez interesu, bez jakiegokolwiek prawdy i wreszcie bez rozplecenia. Nigdyhym ci jej nie przypisał, kochany panie Pasternaku; myślałem tylko o strasznej zbrodni, o stelionacie, o podszyciu się pod twoje szanowne nazwisko. Lecz gdy Cagliostro przeczytałem, pod imieniem samego J. I. Kr. wydanego; wiedzy znikła wszelka wątpliwość i prosiłem tylko matki Muzy, by w nieszczęśliwą godzinę nie powiła więcej waszych braci.“ (w „Piśmie dodatkowym“ do *Gazety Porannej*, r. 1839 Nr. 28).

19) Wydrukowano ją dopiero w r. 1837 na czele powiastki „Dwa a dwa cztery.“

20) Wędrowki literackie, fantastyczne, historyczne, I, 114.

21) Powieść ta datowana w 1831 z Wilna, wydrukowana została dopiero w 1838; zdaje się, że pod względem stylowym uległa zmianom w przeciągu tego czasu znacznym zmianom.

22) Kościół Święto-Michalski w Wilnie, 1833, tom I, str. 58.

23) Tamże, I, 140.

24) Tygodnik Petersburski 1833 N. 28 Recenzja „Kościół Święto-Michalski“ i N. 47 Recenzja „Roku ostatniego pan Zygm. III.“

25) Tyg. Petersb. 1833, N. 28.

26) Wędrowki literackie I, 213, 214.

27) Statystyczne obrachowanie ludności miasta Wilna w r. 1832 przez M. Balińskiego w „Znizu“ na rok 1834, str. 101—112.

28) Przedmowa do drugiego wydania „Pana Karola“ datowana 12 sierpnia 1840.

29) Wędrowki literackie I, 102.

30) Tamże I, 114.

31) Tak się nazywała w pierwszém wydaniu; w drugim przemienił ją autor na *Herakowską*.

32) Improwizacje dla moich przyjaciół. Wilno 1834, str. 25.

33) Wędrowki literackie I, 143—172 „Leon Leontyna, powieść waryata“.

34) Tamże „Bedlam“ 173—211.

35) Tamże „Uczta żebraka“ str. 212—224.

36) Improwizacje dla moich przyjaciół: „O śmieciach“ str. 26—56.

37) Wielki świat małego miast. II, 108.

38) Otwarcie publiczne Akademii Duchownej Rzymsko-katolickiej Wileńskiej. Wilno w druk. J. Zawadzkiego 1834, str. 134 i 1 karta „spisu rzeczy.“

39) *Znicz*. Noworocznik wydany przez Józefa Krzecz-kowskiego. Wilno 1834 str. 217—224.

40) Tamże str. 89—92.

41) Wielki świat małego miasteczka I, 20.

42) W drugiej części „Znizu“ 1838, str. 123—133.

43) T. B. w Tyg. Petersb. 1835, N. 26 (w ocenie „Znizu“ na rok 1835).

44) Obie zamieszczone w „Bojanie“, części pierwszej 1838, str. 93—102; 167—180.

45) Błędy morfologiczne główniejsze są te: 1^o w samym tytule i w tekście *na na puszcze* zamiast *na*

puszczy 3^o usze zam. uszy, młody lata zam. młode, 3^o doń (zam. do niego), drugi bowiem przypadek zaimka ja, ja, je nigdy nie mógł brzmieć ja; 4^o ziemi zam. ziemie, ziemię zam. ziemią, po izbiech (zam. po izbach), gdyż tylko męzkie i nijakie rzeczowniki miały w miejscowniku zakończenie ech i. t. p.

46) Data pozwolenia cenzury „Wilna“ w pierwszym wyd. (podp. Leon Borowski) jest: 23 stycznia 1836 roku.

47) Wiersz „W Dzień pożegnania 12 kwietnia 1836 datowany jest z *Horodea*. Patrz „Bojan, część pierwsza“ 1838, str. 148—151.

48) Tyg. Petersb. 1838, N. 27.

49) Tamże, 1838, N. 7.

50) Tyg. Petersb. r. 1838, N. 79.

51) Tyg. Petersb. r. 1837, N. 57.

52) Tyg. Pet. 1841, N. 26.

53) Wyrażenie M. Grabowskiego w Tyg. Petersb. 1837, N. 68.

54) Tamże 1838, N. 10.

55) Tamże rok 1838, N. 31.

56) Zobacz zarysy Wołynia we „Wspomnieniach Wołynia, Polesia i Litwy“ 1840 t. 2.

57) Obie wspomniane powiastki wydrukowane zostały dopiero roku 1840 w trzecim tomie „Wędrówek“, ale napisał je autor o wiele wcześniej, jak świadczy data cenzury 21 października 1837 r.

58) „Dwa a dwa cztery“: „Rzut oka na ścieszkę.“

59) Porównaj Tygodnik Peters. 1837 N. 381 i r. 1838 1 i 3.

60) Właściwie Tyszyński wypowiedział swój sąd pochlebny o powieściach K-go wprzód niż ktokolwiek, gdyż data cenzury jego „Amerykanki w Polsce“ wskazuje r. 1835; ale w druku pojawił się on dopiero r. 1837. Przytaczam jego zdanie: „W kręśleniu towarzyskiej rozmowy a szczególnie towarzystwa obrazów niedorównanym jest dzisiaj autor *Czterech Wesel i Pana Karola*. Niektórzy w p. K-im nie więcej nie widzą jak Paul de Kocka polskiego: krzywdą pierwszego widoczna. Wprawdzie pióro autora ma skłonność do śmiechu i pełnych trzpiotostwa obrazów, jak pióro francuzkiego pisarza; ale do siły komicznej tego ostatniego łączy i siłę tragiczną: obrazy pełne okropności i mocy, plotące się razem z śmiesznymi i nagle, niespodziane z jednych do drugich przejście są główną sztuką i pięknem p. K-go utworów. Styl komiczny autora nieporównany w ucinkach i toku, w miejscach tragicznych nieraz jest pełnym poezji (Cztery Wesela, Raj i Piekło, Improvizacye; dawniejsze: Pan Karol, Wielki świat mał. miast.) i t. d. i t. d. Zob. „Amerykanka w Polsce“ 1, 270 w przypisku.

61) Pamiętnik naukowy, Kraków 1837. Tom III, str. 3—11.

62) Tyg. Literacki 1, N. 40, 31 grudnia 1833.

Drugie dziesięciolecie

(1840–1850).

Całe życie biedna, 1840.—Powieść składana, 1843.—Latarnia Czarnoksiężka, 1843 i 1841. — Pod włoskiem niebem, 1845.—Pamiętniki nieznajomego, 1846.—Milion posagu, 1847. — Sinx, 1847. — Ostrożnie z ogniem 1849 — Pan i Szewc, 1850.

Niedawno zda się—a przecież tak dawno! Trzy dziesiątki lat, okres krótki w dziejowym życiu nie już ludzkości, ale jednego choćby odłamu jej — narodu, czas trwania jednego zaledwie pokolenia, przynosi niekiedy ze sobą ważne i różnostronne przełomy i zmiany. W burzliwym i burzącym, pracowitym i badawczym wieku naszym szczegółuiej, trzydziestoletni okres czasu unicestwić musi i wzajem do bytu wywołać zjawisk wiele, nadwreżyć, zerwać lub zawiązać mnóstwo stosunków, umysłem ludzi przedstawić niedostrzegane przedtém punkta widzenia, a uczuciom ich nadać nieznane wprzód barwy i cieniowania. Jednak, wśród zmian tych i różnic licznych a ważnych, pilne i pojętne oko może i powinno dostrzegać niezmazalne wspólności natury ludzkiej i plemienniej, niezłomne kojarzenia się przyczyn i następstw.

U nas w tym okresie czasu ruch literacki ożywił się ogromnie. Istniejący już od r. 1830 „Tygodnik Petersburski“ zyskał sobie w tym czasie wielki wpływ i powagę, szczególniej na Litwie i Rusi. Do walki z nim wystąpił zastęp młodych pracowników pióra w „Gwieździe“, której tom pierwszy wyszedł w Petersburgu, a trzy następne w Kijowie. W Wilnie, obok gasnących „Wizerunków i Roztrząsań naukowych“ zjawia się „Athenaeum.“ W Warszawie dwa mianowicie czasopisma nowo założone zwa-

cają na siebie powszechną uwagę: „Biblioteka Warszawska“ i „Przegląd naukowy.“ W Poznaniu „Tygodnik Literacki“—„Orgdownik naukowy“, „Rok“—pierwszorządne zajmują stanowisko. We Lwowie „Dziennik mód paryzkich“ pod tą nieobiecującą chorągwią skupia wszystkie siły młode a zdolne. Mnóstwo noworoczników wszelkiego rodzaju wszędzie obudza pewne zajęcie dla literatury. Surowa krytyka społeczeństwa, po części w czasopismach, a po części w broszurach („Mieszaniny obyczajowe Jarona Bejły“) i nieustanna a nieraz gwałtowna polemika, zaciekawiały ogół, a przez to zmuszały go niejako do czytania, rozważania, myślenia. Z Niemiec przybywały prądy filozofii heglowskiej, niezależnej od wiary, i spotykały się z głęboką, żarliwą, bezwzględną religijnością autora „Piełgrzymki do Jerozolimy“ i z szyderstwem Henryka Rzewuskiego. Spoczywający zawsze na dnie narodowego ducha, demokratyzm budził się ze snu, nurtując coraz głębiej pokolenie młode, które wzgardą i nienawiścią okrywało przestarzałą instytucją poddaństwa ludu, kastowe zasklepienie się w pysze i przesadach rodowych.

Wśród tych, którzy w porze owęj potrafili wznieść się na szczyty myśli i uczné, a szalę śmierci i życia przechyliłi na stronę życia, najżywszym może a pewnie najtrwalszym i najszerszym blaskiem jaśnieje

imię I. J. Kraszewskiego. Działalność jego w ciekawym tym momencie dziejów naszych, była wielce różnostronna, na polu publicystyki, poezji, historii i powieści rozwijaną.

Nazwa powieści obyczajowej niedokładnie przedstawia rodzaj twórczości, rozwiniętej przez K-go w dziewięciu powieściowych utworach, których oceną zająć się tu mamy. Przez powieść obyczajową rozumiemy utwór, usiłujący przedstawić obraz obyczajów społecznych ze stanowiska czysto obiektywnego, bez upatrywania i rozwijania w danej sytuacji jakiegokolwiek idei filozoficznej lub społecznej, bez pracowitego zagłębiania się w procesa duchowe i w subtelności uczuć i charakterów przedstawianych postaci. Powieść obyczajowa posiada tę właściwość, ściśle z naturą jej związaną, że działa szybkimi i grubymi rysami, mało cieniuje, a trzyma się w tonach jaskrawych bardziej, niż miękkich, śmieje się częściej niż płacze, humorem i ironią posługuje się chętniej, niż patosem i poetycznością. W ogólności, jeżeli inne rodzaje powieści tém większą mają wartość, im bardziej formą swą zbliżają się do dramatu, powieść obyczajowa zdaje się być bliżej spokrewnioną z komedią. Otóż w szeregu wyżej wymienionych utworów K-go znajdujemy trzy zaledwie, które formą i treścią należą ściśle do kategorii powieści obyczajowych, a temi są: „Cale życie biedna“, „Milion posagu“, i „Ostrożnie z ogniem“. „Powieść składana“ utwór dwóch naraz pisarzy, nazwać się może fantazją prędką, niż powieścią, fantazją zręczną i wdzięczną, ale do której autorowie sami, jak to znać z przedmowy, wagi większej nie przywiązywali. Co do pięciu pozostałych „Pod włoskiem niebem“ jest powieścią czysto i najściślej psychologizną; „Sfinx i Pamiętniki Nieznajomego“ zaliczyć należy do rzędu powieści filozoficznych; „Pan i Szewc“ i „Latarnia Czarnoksiężka“ przedstawiają utwory najzupełniej odpowiednie temu, co rozumiemy pod nazwą powieści społecznej.

Przeważnie, prawie wyłącznie, zastanawimy się tu nad trzema naczelnymi w szeregu całym utworami, któremi są: Sfinx, Pamiętniki Nieznajomego i Latarnia Czarnoksiężka.

„Sfinx“ jest historią artysty, niezrozumianego przez społeczeństwo, udręczonego losem i daremnie przez długie lata usiłującego rozwiązać podwójną zagadkę Sfinxa: istotę szczęścia i życia. Dziecię chłopca zmujdzkiego Rugpiutisa, pijaka, awanturnika, oszusta, który mnóstwem zabiegów

i starań, niezupełnie niezwykłych, zdobywa sobie kawał nędznej ziemi i buduje na nim nędzniejszą jeszcze, byle swoją, chatę — i matki, chłopki także, uczciwej, dzielnej, męźnej kobiety, — Jan Rugpiutis od dzieciństwa już objawia ogromne zdolności do rysunku i malarstwa. Zdolności te zdobywają łaski wielkiego pana dwunastoletniemu chłopcu, które, wysłane na naukę malarstwa do Wilna, wpada od razu w świat obcy sobie, obojętny, a często zły i nieprzyjazny. Zostawszy naprzód uczniem człowieka bez serca, talentu, i rozumu; niechęciowiec wypędzony przezeń w skutek śmierci protektora, a zatem braku środków pieniężnych; przyjęty następnie przez malarza Bałraniego, szlachetnego, zdolnego lecz słabego i złamanego życiem artystę i znowu na bruk miejski wygnany, za sprawą kobiety namiętnej, kapryśnej i niesamiennej; młodziutki Jaś w ciężkich kolejach tych kształci jednak talent swój, dąży do ideału sztuki, cierpi fizycznie i moralnie, a pociechę i skrzepienie znajduje w przyjaźni kilku biednych, jak on, i jak on szlachetnych towarzyszy, a także w rodzącej się miłości dla młodego i ślicznego dziewczęcia. Pierwsze objawienie się Janowi miłości téj i jej przedmiotu stanowi jeden z najwdzięczniejszych obrazków powieści. „Naprzeciw okien Jana, w przeciwnym domu, ukazywał się zwykle z za wypłowiałej firanki suchy i dziwaczny profil staruszki... Głowa staruszki często ukazywała się nie sama, ale jakby opleciona dwiema anielskimi twarzyczkami przesłizanych dziewczątek. Dnia jednego, gdy słońce biło w otwarte okno przeciwka, Jan ujrzał nagle dwie młodzieńcze twarzyczki, uśmiechające się ptaszkowi białemu, gołąbkowi, którego jedna z nich trzymała w ręku, dzióbek różowy do rumianych swych przytykając ustek. Złote włosy dzieci północy błyszczały na białych ich skroniach; niebieskie oczy opasane były rzęsami ciemnymi... Malarz zadumał się, popatrzywszy na profil błękitnookiej i począł ją ścigać wzrokiem...“ Młodzieńcza ta idylla z szybkością błyskawicy przelatuje po ciemnym niebie młodego artysty i znika. Jan, w nędzy i smutku, pieszo i o głodzie prawie, dąży do stolicy kraju, Warszawy, gdzie pod panowaniem Stanisława Augusta rozwija się i kwitnie zaniłowanie sztuk pięknych. Kwitnie tam ono, jak wąż roślina, urodzona wśród burzy. W stolicy panuje wrzaskliwy chaos wesołości i rozpacz, zabiegów i trwóg, poświęceń i nikczemności. Młody malarz, zwalczwszy wiele trudności, intryg i niechęci, zdobywa sobie nakoniec ła-

ske i protekcyą króla, dzięki którym, wyjeżdża do marzonego rajy artystów, do Włoch. Tu spotykają go dziwne koleje zachwytów i rozczarowań, szczęścia i boleści. Zdobywając coraz większą znajomość sztuki, traci on religijną wiarę; namiętnie ukochany przez kobietę piękną i rozzumną, ukochać jęj wzajem nie może i staje się sprawcą śmierci jęj i jęj brata. Z wydoskonaloną potęgą twórczą, lecz z piersią pełną bólu i wątpienia, wraca do kraju: chatę swą rodzinną znajduje pogrążoną w najgłębszej nędzy; na wielkim, samotnym ementarzu grzebie umarłą matkę, jedyną istotę, z którą łączyły go związki krwi i miłości,—i udaje się do Wilna, aby zdobywać tam sobie byt i sławę. Niestety, tu także na kroku każdym spotykają go zawody, smutki i wszelkiego rodzaju nędzy życia. Obojętność publiczna i zawiść kolegów-malarzy wtrącają go w niedostatek materyalny; kobieta zalotna i bez serea przyprawia go o długie męki serdeczne i nieledwie o stragę rozumu i życia; odnalazszy ideał pierwszej młodości swęj, owę błękitnooką dziewczynkę z gołębiem, żeni się z nią; lecz wkrótce, w skutek niepowodzeń ciągłych, ubóstwa, a w wielkiej części właściwej sobie niezaradności, traci żonę, dziecię, i ostatecznie, odzyskawszy dawną, dziecięcą swą wiarę religijną w ścianach świątyni, którą zdobi pracami swemi, uspokojenie serea rozdartego burzami życia i swobodne pole dla rozwijania swęj artystycznej twórczości znajduje w murach kapucyńskiego klasztoru.

Takiem jest skreślone w „Sfinxie“ życie niezrozumianego przez ogół artysty. Stanowi ono ciemno-krwawą nić, wijącą się po pierwszym planie obrazu, którego tło napełniają szerokie malowania społeczeństwa i, z zamilowaniem wielkiem, jak też z nieumniejszém znawstwem rozwijane, poglądy i myśli o sztuce.

W „Pamiętnikach nieznajomego“ spotykamy się znowu z historją zawiedzionego powielekroć i w różny sposób udręczonego serea. Młody Juliusz, student Wileńskiej Wszechnicy, spogląda w życie, u początku książki, z zapalem wulkanicznym dla wszystkiego, co piękne i dobre, z nieograniczoną wiarą w istnienie na ziemi doskonałego szczęścia, z namiętném pragnieniem szczęścia tego, którego źródła dostrzega wszędzie: w pięknościach natury, w dobroci ludzi, w rozkoszach nauki, przedewszystkiém jednak i najbardziej—w miłości kobiety. Stan raczej liryczny, niż sytuacja dramatyczna, zarysowuje się tu od razu wyraźnie i silnie. Młody optymista i marzyciel, po-

siadający w najwyższym stopniu to, co w języku Goethego zwało się „piękną duszą“ spotyka się oko w oko z twardą, prozaiczną, a przedewszystkiém niestałą w objawach swych, rzeczywistością. Cztery postacie kobiece przesuwają się przez życie jego, a każda z nich, zamiast przynieść mu wysnione, doskonale szczęście, ślady przejścia swego znaczy rozczarowaniem, bólem, nudą lub rozpaczą. Pierwsza z nich—to tak zwana kobieta niezrozumiana, wpół heroiczna, wpół rozpustnica, o twarzy Janusowej, która z jednej strony przedstawia ofiarę ustaw społecznych, z drugiej kata serc ludzkich, z jednej—duszę wiecznie spragnioną ideału, z drugiej—ciało nieustannie zapadające w kałuże. Szczera i młodzieńcza miłość dla kobiety takiej zawsze okupioną być musi chwilowém przynajmniej poniżeniem i trochę utraceną wiary w ideał kobiety i jęj miłości. Od poniżenia i wątpienia ratuje przecież Juliusza kobieta inna, młodzieńcze dziewczę tym razem, świeże i niewinne, lecz smętne, extatyczne, do Anioła raczej podobne niż do człowieka. To też, zamiast jak człowiek stanąć u boku jego z miłością wierną, dłonią pomocną i myślem bratnim, dziewczę to jak Anioł odlatuje od niego do nieba. Umięra z żalu po szczęściu, które w anielskim umieszczeniu własnemi dłońmi skruszyła i odrzuciła. Po długich latach cierpienia i tęskoty za ideałem uczucia, od którego spodziewał się szczęścia, a który dotąd dał mu tylko zawody, wątpienia i smutki, Juliusz, jako dojrzały już i zmęźniały człowiek, znajduje chwilę ukojenia i nowęj nadziei w spokojnej lecz stałej, głębokiej i dziwnie szlachetnej miłości dawnęj towarzyski dzieciństwa swego, kobiety, która nie umie grać, marzyć i tonąć w zachwytach na widok gwiazd i słońca, ale która natomiast całą młodość swą i wszystkie widoki świetnej przyszłości, i wszystkie pragnienia młodego serea poświęca pracy trudnej a użytecznej, obowiązkowi córki i obywatelki kraju—i jedynęj, trwałej jak życie, choć nie odwzajemnionej, miłości. Przychodzi chwila, w której miłość ta, silna i wzniosła, choć cicha i skromna w swych objawach, zdaje się być odwzajemnioną. Juliusz przywyka, przywiązując się do swęj dobrej, dzielnej, szlachetnej towarzyski i zostaje jęj mężem. Niestety! na kilka dni przed ślubem, w domu szczęśliwej i wszechstronnie szczęścia tego godnej narzeczonej, zjawia się kobieta, od nięj daleko piękniejsza, śmielsza, ognistsza, uprawiająca muzykę, czytająca poezję, umiejąca wpatrywać się w zachód słońca i wschód księżyca oczyma

tonąciami w Izawym zachwycie, umiejąca też zaciekać oryginalnością obejścia się, tajemniczością spojrzeń i westchnień. Biędua Cesia, ze szczerem i rozzumem wejrzeniem swych błękitnych oczu, ze swemi kluczami w wiecznie czynnych rękach, ze swą naturą prostą a głęboką, przeszłością czytą a zwyczajną i miłością dumną a skromną, wydaje się Juliuszowi bladym i nudnym cieniem wobec świetnego zjawiska kobiety, wpół lwicy, wpół muzy. Wierny słowu swemu, wkłada on wprawdzie na rękę obrączkę ślubną, lecz uważa już ją za kajdany, które mają go na wieki przykuć do taczki prozaicznego małżeńskiego życia, a rozdzielić z ową krainą świetlistych eterów i wulkanicznych płomieni, w których przemieszkują przedmiot ostatniej jego miłości. Miłość ta jest już tym razem naprawdę—ostatnia. Juliusz chowa ją w głębi smutnego serca, i siły dla przeniesienia życia, które mu cięży, pociechy, wśród oblegających go wspomnień i tęsknot, szuka w dopełnieniu rodzinnych swych powinności, w pięknościach natury i sztuki, w pracach i uczuciach obywatelskich.

Sprawozdanie z dwóch tych powieści połączyłam umyślnie dla tego, że nie tylko są one z sobą pokrewne ze względu na ton, koloryt i charaktery działających w nich postaci; ale że przez nie obie przebiega jedna myśl filozoficzna, a zagadnienie, postawione i rozwiązane w pierwszej chwili, nie, i jakby sposobem próby, w drugiej dopiero staje przed czytelnikiem jasno, silnie i znajduje rozwiązanie swe stanowcze i tak trwałe, jak trwałym będzie dzisiejszy ustrój cywilizowanej ludzkości. Zagadnienie to postawione i rozwiązywane w „Sfinxie” i „Pamiętnikach Nieznajomego” mieści się w ogromnych zapytaniach: czym jest życie? czy jest szczęście? i gdzie jest szczęście? U początku pamiętnika swego Juliusz z niecierpliwością i ciekawością młodzieńczą woła: „kto mi powie słowo tej zagadki, o którą od wieków pytają milczące Sfinxy i piramidy w piaszczystych pustyniach, i zielone morze głębie, i szumiące lasy nasze? Wszystko żyje, a nikt nie wie, co życie... Co to życie? co to życie?”

Jan w „Sfinxie” i Juliusz w „Pam. Nieznajomego” pytanie to rozwiązać usiłują. Punkt wyjścia ich jest prawie jeden, pierwsza odpowiedź prawie jednobrzmiąca. Kochała swą, która wśród serdecznej rozmowy woła:

„O życie! wielka i straszna zagadka!”

Jan odpowiada:

— Którą rozwiązuje chwila szczęścia.

— I długie lata wspomnień, i długie lata nadziei.

— Zawsze to ta sama chwila szczęścia, widziana wprzód z bliska, potem w oddale. Całe w niej życie.

A Juliusz sam przed sobą tak zagadkę tę rozwiązuje:

„Życie... to wielki hymn stworzenia dla Stwórcy, wielki widok na ludzkość, na wieki, na ludy, na światy, z wierchołka duchownej Himalaj, życie... to cudowny, słodki sen...”

Zatem pierwsza odpowiedź dwóch młodzieńczych serc i umysłów: życie to chwila szczęścia i — słodki sen. Lecz jeśli w szczęściu i słodkim śnie spoczywa istotna i jedyna treść życia, kędyż jest szczęście? i gdzie rosną kwiaty, na których miękkim i wonnym posłaniu słodko spać i śnić można? W bólu i znoju serc poszukują dwaj młodzieńcy owej błogosławionej krainy, z niebem bez chmury, z klimatem bez chłodu, z ziemią bez pustyń, z ludzmi — bez płam. Jan nie znajduje jej w dumach i rozkoszach sławy; Juliusz nadaremnie szuka jej w zachwytach i uniesieniach miłości. Do wawrzynowego wieńca chwały wplatają się nieodzownie ciernie srogich wyrzeczeń się i osty gorzkich zawiści, — z pośród róż miłości wygląda zatruta strzała niestałego kupidyna i wyrasta smutny cyprys grobowy. Ażeby wśród wyrzeczeń się i cierpień, które obficie darzą czcicieli swoich niebiańsko piękne, lecz spartańsko surowe Muzy, zostać doskonale szczęśliwym, żyć trzeba wśród społeczeństwa złożonego z samych szlachetnych i genialnych duchów, umiejących razem z artystą unosić się na wysokości fantazy i myśli, i tam oddawać mu należną miarę czci i miłości. Ażeby u boku ukochanej kobiety znaleźć raj wysniony, czarodziejskim słowem jakimś zakląć trzeba oczy jej, aby nie gasły nigdy, — lica, aby nie wędliły, — uczucia, aby nie stygły, — myśl, aby na chwilę choćby nie zstępowała z idealnych szczytów; — zakląć trzeba ciemną stronę wszelkiej natury ludzkiej, aby w niej przemieniła się na słoneczną; twarde i prozaiczne warunki powszedniego życia, aby dla niej i wokół niej przerabiała się na wiecznie kwitnącą wiosnę poezyi. Marzenia do ziszczenia niepodobne! Tu ani tam, w sławie ani w miłości dla kobiety, Jan i Juliusz nie znajdują słowa, któreby otworzyło kamienne usta Sfinxa i wydobyło z nich tajemnicę życia i szczęścia. Jednak — żyć trzeba. W rzeczywistości i literaturze minęły już były czasy Wertarów, tych tragicznych leniwców i zuchwa-

łych tchórzów, którzy, unikając mozołu i bólu, niekali z obozu walczących i cierpiących—przez bramę śmierci. Gdy skończyły się pierwsze konwulsje *Weltschmerz'u*, tej szlachetnej lecz bezpłodnej choroby umysłów, zapatrzonych w tytaniczne szczyty, a nie umiających dojrzeć światów, mieszczących się na ziarnku piasku albo w kropli wody; gdy najpotężniejszy przywódca ponurego orszaku tego, zropanego twórcy Child-Harolda, rozwiązanie życiowej zagadki znalazł w walce i śmierci; pisarz, który tak, jak J. I. Kraszewski, gorąco kochał naród swój, a tak z całej mocy swój przeważał szalę życia i śmierci na stronę życia,—w społeczeństwie naszym i w momencie owym, pisarz taki nie mógł ostatecznego rozwiązania zagadki życia i śmierci znaleźć w akcie samobójstwa.

Jan więc i Juliusz, z krwawych doświadczeń wyniosłszy przekonanie, że życie nie jest ani „chwilka szczęścia“ ani „słodkim snem“, nie uciekają z doliny doczesnych burz i walk w krainę nieodgadnietą a tajemniczością mamiącą Wiekiistości. Żyją dalej.—Gdzie i jak? — Szukają szczęścia i znajdują je.—W czym?

Ciekawem jest porównanie ostatnich słów obu powieści, mieszczących w sobie odpowiedź na te pytania, z określeniami życia i szczęścia, wypowiedzianymi przez dwóch młodzieńców u początków ich istnień.

„Życie to chwilka szczęścia“ mówił Jan.

„Życie to sen słodki“, odgadywał Juliusz.

Było to u początku drogi. U końca jej—Jan w celi klasztornej i w habicie mniszym, w ten sposób opowiada przyjacielowi znalezione nakonieć szczęście swoje:

„Szczęśliwy, że się tu zamknął!... Długie godziny płyną mi u trójnoga w zapastrykowaniu się na postaci wielkie, święte, wspaniałe, które wywołuje na płótno czytanie i modlitwa. Czasem przyjdzie pamięć, jak stara przesunąć się po tym błękiecie, jak złocista chmurka po niebie... Nie zaprę ci się łez, które płyną z tych oczu: ale to nie są łzy rozpacz, to słodki płacz cichego smutku, oświeconego nadzieją wieczności.... Myśli, dawne myśli moje, dumne i skrzydlate złożyłem na ofiarę Bogu.... Pokorne myśli dzisiejsze wspólne mi są z dziecięciem i wieśniakiem. Dusza moja nie potrzebuje dziś wynętrać się, jak dawniej, gdy tęskniła za ideałami, które próżno gonila po rzeczywistym świecie“.

A Juliusz następniemi słowy określa ciche i szczęśliwe uspokojenie, które zdobył sobie i zapracował: „Jestem uspokojony na duszy i nie żałuję niczego... Od kolebki po-

cząwszy, od samolubnej młodości, człek, doskonaląc się, z ciasnego Ja wychodzi i uznaje się częścią całości... Godzi się w szale pierwszych godzin życia wszystko chcieć sobie święcić; ale im dalej idziemy, tém mniej sobie celem i sobie panami jesteśmy. Wchodzimy w towarzystwo i święcić się musimy obowiązkom... Odtąd cel człowieka zewnątrz niego; osobistość jego tonie w wielkim ogromie... Zostaje mu w duszy, jako ostateczna pociecha, to, że się doskonalili... doskonaląc się sam, posuwa z sobą wiek swój i następne pokolenia ku doskonałości... Adziu mój! nie spodziewaj się szczęśliwości w rozumieniu takim, jak ją pospolicie biorą... Nie patrz na przyszłość jako na wesołą przechadzkę, po której bokach kwiaty rosną i szemrzają strumienie; ale jak na ciężką drogę, wiodącą do celu wielkiego... Nie poważniejszego, nie surowszego, jak życie, a kto je chce zbýć żartami, ten go nie pojął.“

Sfinx — przemówił. Otworzyły się kamienne usta jego i wypowiedziały dwa olbrzymie słowa: Bóg i ludzkość. W pierwszym mieszcza się pojęcia wiary religijnej, ciszy klasztornej, extatycznych pociech modlitwy i kojących nadziei nieśmiertelności; w drugim,—doskonalenia się wewnętrznego, miłości cnoty, wierności obowiązkowi, pracy święconej dobru ogólnemu, czynu i myśli walczących w imię lepszej doli przyszłych pokoleń, uciech i trosk rodzinnych, rozkoszy głębokich, czerpanych z łona nauki,—ukojeń łagodnych, znajdowanych w mieniącem się niezliczonymi pięknosciami obliczu natury.

Dla czego każdy z dwóch ludzi, wydzierając Sfinxowi zagadkę jego, inne wydarł mu słowo i zanurzył dłoń w innym zbiorniku ludzkich pociech i wsparć?—roztrzygają o tém charakter i skierowania się, tak umysłowe, jak ogólnie życiowe, każdej z dwu tych jednostek.

Jan—jest artystą i posiada wszystkie cechy umysłu i charakteru, przywiązywane w czasach owych do ludzi twórczością obdarzonych. Jest on wrażliwy na każde najłżejsze zewnętrzne dotknięcie, a tak burzliwy, że wypadek, któryby nad tysiącem ludzi przeleciał i zabrzęczał, jak lekkoskrzydła muszka, dla niego jest gromem, od którego ziemia drży pod jego stopami. Przeważającą władzę moralnej istoty jego stanowi fantazja,—tuż przy niej na szerokim miejscu rozsiadło się uczucie, a biedny rozum, zepchnięty ku szaremu końcowi, rzadko bardzo otrzymuje prawo głosu. Ztąd niezmierna miękkłość charakteru tego, gwał-

cego się jak wosk pod naciskiem najbliższymi, i chwiejność umysłu, zmieniającego zamiary swe i przekonania przy łađa silniejszym wpływie zewnętrznym; ztąd też rozpaczliwa niezaradność w powszednich sprawach życia, w stosunkach z ludźmi i walkach z przeciwnościami losu.

Nie dziwnego, że szczególna organizacya ta uczuwa pociąg ku wszystkiemu, co nadziemskie, niewidzialne, tajemnicze i cudowne; co z górnych błękitów zesłać mu może się, niepodobną dla niego do zdobycia na ziemskich nizinach; przyrzec mu pociechy zaświatowe, w nagrodę tutejszych bezowocnych walk; fantazyą unieść w krainy niezamazane żadnym pyłkiem ziemskiej powszedniości, serce i myśl porwać w ogniste kręgi ekstazy. Wiara religijna, wszczepiona w dziecińne serce Jana, dwa razy gaśnie w nim i dwa razy rozpala się na nowo. Na woskowym umyśle człowieka tego pierwsze piętno sceptycyzmu i niewiary wyciskają drobne paluszki pięknej kobiety, drugie—troski i niepewności ubóstwa. Po raz pierwszy leczy go z choroby owój widok mogiły matki, po raz drugi—uroczysta cisza świątyni i miłosiernie poglądające z cieni oblicza świętych. Jak widzimy więc, ani wiara, ani niewiara nie powstaje tu z myśli badawczej i surowej, z krwawych trudów rozumu, wydzierającego prawdę swą nauce, naturze, dziełom i losom ludzkim. O wierze i niewierze stanowią tu: wrażenie, fantazyja, uczucie; najgłębszy zaś grunt natury tej, potrzebującej zewnętrznego a choćby cudownego wsparcia, spragnionej nieskazitelnego i nieprawdopodobnego na ziemi ideału, przeważa szalę na stronę wiary.

Prawy, szlachetny, wzniosły Jan nie należy do rodu silnych. Istoty jemu podobne stoją zawsze, wobec gwarów i labiryntów świata, w postawie białych Aniołów, owiniętych omdlalemi skrzydłami i w przestrachu, tęsknocie, tulących się do niebieskich sklepień. Gdy zaś niebieskie sklepienia nie otwierają się przed niemi, zlatują one tam, kiedy najgłębsza na ziemi panna cisza, kiedy rozlegają się pienia najbardziej do chórów Anielskich zbliżone, kiedy kornie ku ziemi schylają się blade twarze i tęskno ku niebu wznoszą się splakane oczy—w białe, milczące mury i zielone, samotne ogrody klasztorów.

W poemacie niemieckiego mistrza poezyi (Goethego) Prometeusz woła do Zeusa: „Czyś nie miał Ty, że życie znienawidzę i na pustynię ucieknę, dla tego, iż nie ziszczają się wszystkie sny o kwiatach?”

Ale Jan nie był z rodu Tytanów....

Inaczéj z Juliuszem. Ten także nie staje od razu przed czytelnikiem w pancerzu i przyłbicy rycerza niezłomnej woli i odwagi. Zaczyna też życie od marzeń i—słów na kwiatach. Ale tak w psychicznym ustroju jego, jak w stosunku względem ludzi, zachodzi ta ważna z Janem różnica, że nie nosi on na sobie piętna wyjątkowości, a w sobie dumnego jój poczucia. Czuje się on człowiekiem, równym w dostojeństwach wszystkim swym braciom ludziom, obowiązany wiece do dźwigania z nimi wspólnych brzemion pracy i cierpień. Jakkolwiek z początku życia swego myli się srodze, upatrując możliwość szczęścia przeważnie i wyłącznie prawie w miłości kobiety, od fatalnych następstw jednostronności tej ratuje go umiejętność panowania nad namiętnościami swemi i szczerą, silną, rozsądną miłość dla nauki, natury i kraju. Gdy nie ziszczają się „sny jego o kwiatach” nie znienawidza on świata i na pustynię nie ucieka; a jakkolwiek drugą tę fazę życia jego autor zarysowuje krótkimi tylko i ogólnemi rysami, widzimy z nich wyraźnie, że obowiązek, praca, rodzina i natura, te dzielne podpory ludzkiego życia i bogate źródła ludzkich pociech, nie zawadzają go wcale. Znajduje więc—szczęście, bo jak życie ludzkie nie składa się z samych tylko spraw olbrzymich i piorunujących katastrof, ale z mnóstwa szczegółów większych i mniejszych, często bardzo małych, lecz dla logiki całości niezbędnych; tak i szczęście nie zawiera się ani w jednym wulkanicznym uczuciu, ani w jednym uroczystym momencie, ani w żadnej wyłączności ze składowych części życia, ale w mnóstwie wrażeń, myśli, uciech, dążności, w mnóstwie chwil drobnych i rozproszonych po przestrzeni czasu, lecz które, należycie odcięte i wyzyskane, składają się na syntezę jedynéj możliwéj człowiekowi szczęśliwości. Dla pojęcia i wyzyskania wszystkich żywiołów szczęścia, zawartych w życiu, trzeba pewnych uzdolnień serca, woli i rozumu. Juliusz uzdolnienia te posiadał, to też pewni jesteście, że nieraz, gdy ścigał okiem szlachetną i rozumną żonę swą, przesuwał się po cichym domu jego nakształt czujnego, opiekuńczego ducha rodzinnego,—gdy kochającém, badawczém okiem czytać usiłował w rozwijającym się umyśle syna zgłoski jego przyszłości,—gdy, cofając się wstecz, rachował godziny i cierpienia przeszłości swéj, dobru ogólnemu poświęcone,—gdy nad kartami rozwartéj książki myślał swą objęciem miłości splatał z myślami geniuszów, a z głębi wiejskiej zagrody swéj z roz-

koszą wpatrywał się w świetności letnich wieczorów, lub surową wspaniałość zimowych dni:—jesteśmy pewni, że we wszystkich tych drobnych na pozór, rozproszonych po przestrzeni lat, powszednich zda się, a jednak czystych i uroczystych momentach, Juliusz zapominał o Elnie, Maryi i Izie, przestawał wdychać nad nieziszczonemi „snami o kwiatach“, i z dłonią na spokojnie choć silnie bijącym sercu mówił: jestem szczęśliwy.

Tak być musiało i takie-to w istocie szczęście, jako jedynie możliwe i pożądania godne, autor ukazał na ostatnich kartach powieści, jako ostateczną odpowiedź na pytania: czem jest życie? i —gdzie jest szczęście?

Juliusz jest człowiekiem pospolitszym od Jana i zarazem—stokroć od niego wyższym. Słowo zagadki, które wy dobył on z tajemniczych ust Sfinksa, świecić może jak słońce przewodnie nad szerokimi drogami ogółu ludzi; jest ono w zgodzie zupełnej z istotną zdrową naturą człowieka i z pojęciami obecnymi czasów. Być może, iż czasy przyszłe, pokolenia dalekie, odkryją w naturze świata i człowieka inne jeszcze cele życia i źródła szczęścia; lecz dziś, wśród dzisiejszych stosunków i pojęć, na Jana ogół ludzi zapatrywać się może jako na poetę, mglą czasu przyémiony nieco, fantastyczne bardziej niż rzeczywiste zjawisko przedstawiający obraz, w Juliuszu zaś każdy uczciwy, silny i rozumny człowiek pozna, lub poznać zapragnie samego siebie.

Oto dla czego powiedziałam wyżej, że zagadnienie filozoficzne, obu powieściom wspólne, w „Sfinkse“ rozwiązane jest chwycenie i jakby sposobem próby, a w „Pam. Nieznajomego“ dopiero znajduje energiczną i jasną odpowiedź.

Spójrzmy teraz na przyczyny, które skłoniły autora do wcielenia myśli swej w postać tak wyjątkowemu obdarzoną cechami i tak miękkimi oznaczoną kontuarami, jaką jest postać Jana, bohatera powieści „Sfinksa“. Rozważenie przyczyn tych odkryje nam pewne ciekawe właściwości czasu i niemniej ciekawe, nierozdzielne te węzły, które łączyć muszą najgenialniejszego choćby pisarza z prądami przebiegającymi atmosfereą umysłową, wśród której żyje on i tworzy.

Według wyobrażeń czasu tego, w którym „Sfinksa“ utworzonym został, artysta, poeta, w ogóle człowiek obdarzony twórczością, był istotą inną wcale niż ogół ludzi, inną zasadniczo, rodzajowo niemal, tak dalece inną, że zrozumieć ludzi i dojść

z nimi do zgody jakiegokolwiek było dlań niepodobieństwem zupełnem. Ażeby istotnie godnym być wielkiego daru, musiał on uduchowić się, uduchowić się tak dalece, że ciało jego przemieniało się w mgłę różową, wśród której widać było serce, jedno tylko serce, w postaci płomienia, nigdy nie gasnącego i wiecznie przeszyciego strzałami bólu i miłości. Serce to było u niego jedynem siedliskiem duszy; mózg tajał we mgłę, równie jak nerwy i krew, które, jako czysta materyja, nie posiadały wobec ducha prawa bytu, jak ręce, które oprócz pióra, pędła lub dłuta, niczego, pod groźbą poniżenia, mieć się nie mogły. Głową dotykał on niebios, a nogi jego nie dotykające ziemi przemieniały się w skrzydła. Nie myślał wcale, tylko marzył. Nie badał nie—bo wszystko przeczuwał. Było to coś naksztalt połączenia w jednej postaci: tytana, Anioła i proroka. Naturalnie i co za tém idzie niezbędnie, istoty tak zasadniczo różnej od siebie, ludzie zwykli, pospolici, ani wyrozumiewać, ani należycie oceniać nie mogli. Artysta więc czasów owych zostawać musiał w stanie niezbędnego i bezzaradnego niezrozumienia. Bratnie serca odnajdywał tylko u podobnych sobie kapłanów sztuki, których dusze nawoływały się wzajem i szukały wśród świata, naksztalt smutnych, samotnych ech, przelatujących i spotykających się wśród pustyni. Do tytana, Anioła i proroka przybywała jeszcze czwarta składowa część artysty, przypominająca wytwór też owych czasów: niezrozumiana kobieta.

Nie było tak dawniej i później tak być nie miało. Pomijając już czasy staré klasycyzmu, wieki XV i XVI, przedstawiają nam potężne postacie artystów takich, jak n. p. Michał Buonarrotti i Leonard da Vinci, którzy byli nie tylko mistrzami w sztuce, ale wielkimi uczonymi, patriotami i krzewicielami nie samych tylko estetycznych idei. Corregio nie tylko nie buja w uduchowieniu wyłączając wszelką przymieszkę materyi, ale owszem materyja wielką odegrywa rolę w obrazach jego, a formy, pełne fizycznego zdrowia i siły, przeważają je niemal na stronę cielesności. Jeżeli przytoczymy tu, ogólnie znanych z charakteru swego, przedstawicieli szkoły Flamanckiej, nie będziemy potrzebowali mnożyć przykładów dla wykazania stanowiska zajmowanego względem ludzi i natury przez mistrzów sztuki z epoki Odrodzenia.

To samo niemal da się powiedzieć o czasach obecnych. Dziś ludzie, posługujący w jakimkolwiek kierunku dar twórczy, nie

sa i nie mogą być abstrakcjami oderwanymi od życia i społeczeństw swoich, nierozumiejącymi tłumu i nierozumianymi przez tłum synami geniuszów. Owszem, wiemy dobrze, że bardziej jeszcze, ściślej niż ludzie pospolici, „wpijają się oni w ziemię jak dziecię w pierś macierzystą” i ze wszystkiego, co na nią żyje, czuje i myśli, czerpią soki żywotne dla twórczej swój działalności. Wśród dziś żyjących artystów trudno jest znaleźć takiego, któregoby dzieła a nawet życie uniknęło ostrego skalpela krytyki społecznej; ale też niepodobna prawie ukazać jednego choćby Kamoensa, umierającego na szpitalnym barlogu. Ani bożek, ani duch czysty, ani dziecię nieba, ale najwyborniejszy plód czasu swego i społeczeństwa, artysta dzisiejszy nie bywa i nie ma prawa być nierozumianym; owszem, wtedy tylko zdobywa sobie imię mistrza, gdy zrozumianym jest najlepiej i najogólniej. Niezrozumienie stało się dziś niezbitym niemal dowodem nie talentu, ale przeciwnie, braku jego, lub braku uprawy, podnoszącej zdolność pierwotną na stopień talentu.

Jeżeli tak było niegdyś i tak jest dzisiaj, zkadże powstały wyobrażenia owe o artyście, które w pierwszej połowie naszego wieku panowały u nas i gdzieindziej?

Wytworzył je romantyzm, ten szczególnie kierunek romantyzmu, którego głównymi przedstawicielami w Niemczech byli Tieck, Novalis, Fr. Schlegel i inni, którego powiew czuć w pierwszych utworach mistrzów francuzkich, jak Sand i Wiktor Hugo, który też zaznaczył wiele kart Słowackiego, Krasińskiego i nawet najtrzęsawiejszego z romantyków naszych, Mickiewicza.

Skrajny kierunek ten romantyzmu odznaczał się głównie dwiema cechami: gwałtowną żądzą, napiętym poszukiwaniem rzeczy i zjawisk nadzwyczajnych, groźnych, ponurych i wywyższeniem strony uczuciowej człowieka z głęboką pogardą rozumu. Towarzyszyła mu też silna reakcja religijna, skierowana przeciw prądom idei, przynikającym koniec zeszłego wieku. Dla romantyków kierunku tego piękności natury mieścili się tylko w ponurych nocach, dzikich rozpadlinach skalnych, puszczech pierwotnych i t. d. cnota i szczęście ludzkości — w dawno minionych wiekach, dostojenstwo człowieka — w uczuciu i wierze. Nie dziw więc, że artysta, ów najdostojniejszy na ziemi człowiek, uchodził za kwintessencją uczucia i wiary. Nie dziw też, iż życie zwyczajne i społeczność ze zwyczajnych ludzi złożona nie mogłyby się uważać za rodzinny grunt tego, który, nadzwyczajny sam

i o nadzwyczajnych rzeczach marzący, pochodził z nieba, należał do nieba, a od ziemi otrzymywać mógł samo tylko niezrozumienie, same męki lub — skazy.

Jeden z przywódców skrajnych owych romantyków w Niemczech (Wakenroder) w ten sposób wyraża się o tym przedmiocie: „Sztuka jest zwodliwym zakazanym owocem; ktokolwiek raz skosztował słodkich jej soków, staje się nieodwołalnie straconym dla czynnego, żyjącego świata. Wobec rzeczywistości, *miękką* dusza artysty staje w bezzaradności zupełnej.” Inny romantyk niemiecki, Rückert, w ten sposób rzecz tę wyraża: „Jeśli chcesz w wieku męzkim władać mieczem wiedzy, nie powinienes w latach młodzieńczych kosztować przysmaków sztuki.”

Otóż i posiadamy klucz do otwarcia wnętrza duszy Jana w „Sfinxie”, duszy tej o miękkich konturach i o jednostronnym rozwoju. Tchnienie romantyzmu przejmując zresztą nawskroś powieść tę, nadaje jej ów ton z jednej strony podniosły istotnie, z drugiej wpadający w ławy sentymentalizmu, uwyrażnia się zupełnie już jasno i bezspornie w sympatycznej lecz na wskroś fantastycznej i nadzwyczajnej postaci doktora Fantazego, owego uczonego obłąkańca, który, niewiedzieć zkad przybywając do powieści, niewiedzieć kędy znika, zapelnia kilka kart książki prześlicznymi, pełnymi poezji rojeniami, lecz całym swym wpółdemonicznym, wpółpatologicznym nastrojem, przypomina nieodzownie bliżkie sąsiedztwo Hoffmana. Romantycznym też jest bez wątpienia malarz Bartrani, mistrz i zda się rodzony, choć starszy, brat Jana, wzniosły, słaby, wiecznie cierpiący, w sercu skoncentrowany i niezrozumiany artysta. Romantyczność objawia się wyraźnie w przewodzie żywiołu erotycznego, który nie tylko w „Sfinxie”, ale jeszcze i w „Pam. Nieznajomego” usuwa niejako w cień wszystkie inne strony życia; w postaci Maryi, (Pam. Niezn.) przezroczyściej i rozwrotnie jak mgła, a z proroczą trafnością *przewzmagającą* nieszczęścia; w demonicznych właściwościach oczu Kasztelanowej (Sfinx), które samém tylko spojrzeniem, bez współudziału słów ni czynów, zdobywają ludzi, czarują ich, piornują i zabijają. Tymże samym wpływem przypisać należy głęboką religijność, która, przenikając obie powieści, w „Sfinxie” o krok zaledwie nie dosięga mistycyzmu, i ten zwrót, czci rzewnej a wyłącznej, pełny ku przedrafaelowskiej szkole chrześcijańskiego malarstwa, której Jan i brat

Franciszek zdają się być spóźnionymi lecz wiernymi adeptami.

Widzimy więc, że umysł wielkiego pisarza naszego nie unikał naturalnego i powszechnego prawa, stwarzającego pomiędzy twórcami dzieł myśli i fantazyi a umysłową atmosferą, która ich otacza, pokrewieństwa nierozzerwalne. Nie unikał on prawa tego, bo łamać naturalną i powszechną logikę rzeczy nie jest w mocy człowieka żadnego, chociażby orężem jego był geniusz. Z inną jednak stroną, podlegającą prawu powszechnemu, J. I. Kraszewski posiadał i wyzyskał przywilej, będący własnością tylko tych, których orężem jest geniusz—przywilej dopatrywania kielkujących pod osłoną teraźniejszości zarodków przyszłości, pochwytywania, wśród szumu i gwaru zjawisk i dążeń, zostających w pełni rozwoju swego, słabych, nieśmiałych dźwięków tych, które zaledwie się rodzą. Za mgłą romantyzmu, okrywającą dwie naczelną w okresie tym powieści jego i znaczącą je zlekka marzycielstwem, sentymentalizmem i niemal mistyczną religijnością, przebiega w tychże powieściach żywy, wartki i coraz rozszerzający się strumień zdrowego i jędrnego realizmu, który, godząc się wybornie z idealami życia i sztuki, brata się zarazem z istotną naturą, z niej czerpiąc dla treści prawdę, dla formy plastykę i koloryt. W „Sfinxie” wszystkie niemal drugoplanowe postacie posiadają tę czerstwość i siłę życia, tę pewność rysunku i wydatność kształtów, które świadczą o tém, że genialne oko pisarza potrafiło przebieć spójnieniem czarowną, lecz z fantastycznych mgieł utkaną zasłonę i wyrzucić na świat natury i prawdy. Samo nawet wyobrażenie o istocie i zadaniach artysty zdrowieje tu i mężnieje w czarującej, choć nie czarodziejskiej postaci Mamonicza, rzeźbiarza. Prosty we wzniosłości swój, wesoly w ubóstwie, rozkochany w sztuce aż do narażania dla niej życia na niebezpieczeństwa najsrozsze, lecz nie mniej kochający świat i ludzi; wciąż poszukujący ideału piękna, lecz nie gardzący uczciwą pracą na chleb; Mamonicz czaruje, zachwyca, przykuwa do siebie czytelnika siłą swą i prostotą, zdrowiem, naturalnością i całkiem ludzką, lecz nie mniej wielką i świętą dobrocią. Realistycznymi także, choć w różnych całkiem rodzajach, są w „Sfinxie” postacie Rugpiutisa, przebiegłego i moralnie zepsutego chłopa, quasi-malarzy Wileńskich i strasznych istotnie ich polewie, jak też w „Pam. Nieznajomego” owa dobrodusznia a mądra, z jednej strony aniëlko a z drugiej szydersko

uśmiechnięta, nad wyraz sympatyczna a nawskroś żywa fizyognomia starego Wrzoska. Rzeźbiarz Mamonicz i filozof Wrzosek najdzielniejszymi są i najwznioslejszymi, a zarazem najbardziej realistycznymi postaciami obu powieści.

Zwrót ten ku naturze i rzeczywistości życia, ku obiektywnemu zapatrywaniu się na zjawiska i sprawy świata i konkretnemu ich przedstawieniu, więcej jeszcze niż w „Sfinxie” i „Pam. Nieznajomego” uwyraźnia się w dwóch obyczajowych powieściach: „Całe życie biedna” i „Milion posagu”, w powieściach małych rozmiarów, lecz z których druga szczególnie silnie zaznacza nową fazę, jak powieść w ogóle a w szczególności powieść polska pod piórem Kraszewskiego przyjąć miała. Jeżeli w obrazku „Całe życie biedna”, obok malowania tak wyrazistego, że aż graniczy z jaskrawym, znajduje się jeszcze jakaś mglistość i niepewność rysunku, a także jakaś fantastyczność, rzec można, excentryczność pomysłów,—jeżeli błąda, sentymentalna, bardziej do czystego ducha, niż do człowieka z krwi i kości, podobna Anna, a również wypadki takie, jak zjawienie się czarnego charakteru powieści jednocześnie z uderzeniem gromu, oraz żadnymi zrozumiałymi powodami niesprawiedliwiona, i chyba jako kara niebios rozumiana, śmierć Anny, uciekającej z domu męża,—przypominają jeszcze smak, manierę i wysubtylizowane pojęcia skrajnych romantyków; w „Milionie posagu” nie spotykamy już nie, prócz objawów istotnej, żywej natury, ułożonej tu ręką artysty w obraz, pełny syntetycznej całości. Jest to może satyra bardziej niż powieść, tłumnie może napełniona postaciami rysowanymi z natury, z mistrzowską już biegłością ręki, z humorem jowialnym czasem, a czasem z cicha, jakby niechący, złośliwym, z wyrazistością zarysów i kształtów niemal dotykającą. W niewielkiej powieści „Pod włoskiem niebem” spotykamy się znowu z kilku nieodłącznymi symptomatami romantyzmu: z miłością szczególną, namiętą dla Włoch w ogóle, a dla Rzymu w szczególności, z przewagą żywiołu erotycznego i z naprężeniem uczuć erotycznych do stopnia tak wysokiego, że graniczą prawie z maniactwem. Jeżeli jednak o stosunku romantyków do krainy Włoskiej ktoś powiedział, że Włochy takie, jak je opisywali oni, są krajem przez nich i dla nich odkrytym, bo prócz nich nikt ich takimi nie widział i widzieć nie będzie; słowa te stosować się nie mogą do opisów kraju tego, danych nam przez Kraszewskiego, a posiadających tak

bogaty koloryt, taką plastykę i werwę, że czytając je, wierzyć koniecznie trzeba, iż są wiernym i nie upiększonym, choć pięknym, obrazem prawdy.

Najjaśniej przecież, najstałej, bez żadnej już przymieszki ni skazy, zwrót zaznaczony powyżej objawia się w najpiękniejszym zapewne z okresu tego utworze Kraszewskiego, mianowicie w „Latarni Czarnoksiężkiej“.

Utwór ten, jeden z najpiękniejszych, jakie Kraszewski napisał kiedykolwiek, dla beletrystyki naszej ważnym jest nieskończenie przez to, że bez wahania i na oścież otwiera przed nią nowe, jasne, szerokie drogi.

Ażebym jasno zrozumieć doniosłość powieści tej i ważność uczynionego przez nią kroku na przód,—porozumiejmy się co do natury i znaczenia tego rodzaju utworów, który nosi specjalną nazwę: powieści społecznej.

Do cech jej należy to, że wyjątkowość i fenomenalność wszelka są jej ściśle wzbudzone, a postacie w niej działające muszą nosić na sobie wydatne piętna typów, czyli uwydatniać sobą właściwości grup społecznych, które w utworze swym autor ukazać zamierza. Uczucia, dążenia i losy zbiorowe występują tu wydatniej, niż procesa duchowe, odegrywające się w łonach jednostek. Zamiast subtelного, drobiazgowego wgłębiania się w serca i charaktery ludzi pojedyńczych, skalpel psychologiczny analizuje tu ducha narodu całego, lub wielkich jego odłamów. Pod względem środków artystycznych, powieści takie działają szeroko i śmiało rysami, rozległe tła zaludniają tłumem różnorodnych postaci, zstępują aż do warstw ludności, zalegających najgłębsze dna społeczeństw, w ustroju pewnym, lub w pewnych zjawiskach społecznych upatrują nie samą tylko stronę uczuciową, ale przyczyn ich szukają we wszechczynnikach, urabiających naturę i losy społeczeństw: w pojęciach umysłowych, wychowaniu dzieciowem, charakterze plemiennym i t. d.

Wszystkim tym warunkom, towarzyszącym powieści społecznej, „Latarnia Czarnoksiężka“ odpowiada najzupełniej. Jest to utwór do streszczenia bardzo trudny, czego dowód niezbity znajdujemy w przedmowie, w której autor z wyborną werwą opowiada troski swe, sprawione trudnością wynalezienia odpowiedniego dla powieści tej tytułu. Słusznie jednak u końca poszukiwań swych zawołał: Eureka! Znaleziony po wielu wahanach się tytuł wybornie

przedstawia osnowę i formę powieści. Są to istotnie tysiączne szkła magiczne, przez które czytelnik oglądać może społeczeństwo ówczesne ze wszystkich stron jego i we wszystkich niemal jego objawach; jest to mozaika, złożona z dyamentów, z których na każdym przedstawia się oku coraz inny obraz. A wszystkie te czarodziejskie szkła zaprawione są silnemi i wybornie harmonizującemi z sobą barwami, i wszystkie te dyamenty, spojone z sobą jednością przewodniej myśli, układają się pod ręką mistrza w jedną artystyczną całość. Gdzie tu odegrywa się dramat, stanowiący, jak wiadomo, pierwszy zawiązek powieści każdej? — Na przestrzeni kraju całego. — Kim są bohaterowie powieści? — Wielkie grupy i warstwy ludności, na które rozpada się, z których składa się społeczeństwo. Grupy te, to: arystokraci rodowi i pieniężni, dorobkiewicz, jarmarkowicze, gracze, sejmikowicze, szlachta zagrodowa, lekarze, prawnicy, chłopci. Nie braknie tu żadnego prawie z żywiołów społecznych, a wszystkie żyją, ruszają się, błądzą, cierpią, ścierają się pomiędzy sobą z takim gwarem i życiem, z taką prawdą charakterów i namiętności, szpetności i piękna; że w istocie, czytelnikowi zdawać się może, jakoby sprawdziła się na nim bajka dobrze znana, iż w czapce *niewidce* i *butach siedmiomilowych* przechadza się on wszędzie, widzi wszystko, podsłuchuje wszystko i, w dłoni trzymając karty książki, trzyma żywe, zbiorowe serce rodzinnej swjej społeczności. Ogólna, przewodnią myśl powieści całej mieści się w tryskającym z wielkiego serca wykrzyku: „ratujcie się! ratujcie siebie sami! Oto przed wami stają: śmierć i życie! Bądźcie godnymi życia, a kosa śmierci odbije się bezsilnie o hart piersi i jasność czoł waszych!“ Naturalnie, surowa i smutna myśl ta usuwa na plan dalszy malowanie miłosnych rozkoszy i męczarni; romans, nie sentymentalny i eteryczny, lecz krwi i ognia pełny, przewija się tu jak nie purpurowa w paśmie, bogatym we wstęgi wszech uczuć, pojęć, cnót i błędów ludzkich. Dalekiem jest tu także od autora lekceważenie umysłowej strony człowieka. Wobec płątanin społecznych, niezmienne do rozwikłania trudnych, rozum odzyskuje prawa swe i dostojenstwo i jedną gwiazdą więcej ozdabia czoła szlachetnych i cnotliwych. Z kart powieści tej wieje jeszcze zdrowy, uczciwy, rozumny demokratyzm, pragnący dla małych i pokrzywdzonych sprawiedliwości i poprawy losu, ale nie usiłujący zepchnąć na stanowisko małych tych, którzy mo-

ca oświaty i pracy wznieśli się na wyższe szczeble dostojenstwa i cywilizacji.

Po przeczytaniu powieści tej, bardziej niż każdej innej, zawołać można: niedawno zda się, a przecież tak dawno! Na przestrzeni kraju, mnóstwo, mnóstwo rzeczy zmieniło się od czasu, w którym naród nasz ze wszech stron oglądać mógł samego siebie w latarni czarnoksiężkiej, przesuwanej przed nim ręką wiernego i mądrego jego syna. Zniesiona instytucja poddaństwa włościan, zmienione do gruntu warunki ekonomicznego rozwoju, napływ pojęć nowych i powstanie nowych potrzeb, sieci dróg żelaznych, które owinęły kraj, i obrycze nowych bólów i obowiązków, które opasały serca i sumienia,—zgladziły wiele zjawisk, naówczas istniejących, a wywołały wiele innych, przekształciły do pewnego stopnia charaktery, przeinaczyły ośnoję istnieć. Rozprzegła się i zniknęła niejedna z ówczesnych grup społecznych; zmieniły się do gruntu wzajemne stosunki tych, które pozostały; do pracy około utrwalania fundamentów swych naród zapotrzebował i czasy mu przyniosły narzędzia, wówczas nieznanne. Tak, a przecież powieść Kraszewskiego, „Latarnia Czarnoksiężka,” pierwsza nasza powieść społeczna, nie utraciła wagi swój i wartości; bo jeśli, od czasu ukazania się jej, w łonie społeczeństwa naszego zaszły zmiany wielkie i ważne, jeżeli warstwa nowych potrzeb i pojęć przykryła te, które istniały podówczas, nie stłumiła przecież zasadniczej dążności.

Jeżeli „Sfinx” i „Pamiętniki Nieznajomego” ukazały nam myśliciela, umiającego spoglądać śmiało w oblicza najtrudniejszych do rozstrzygnięcia zagadek filozoficznych, w „Latarni Czarnoksiężkiej” poznajemy gorącego miłośnika ojczystej ziemi i takiego jej znawcę, że wielka miłość ta i to niewielkie znawstwo odkryć nam może tajemnice olbrzymiej, przez długi potem szereg lat nie wyczerpującej się ani na chwilę, jego twórczości. Nie podobna także i nie należy pominąć tu milczeniem, że, pisząc „Latarnię Czarnoksiężką”, Kraszewski nie tylko tworzył piękne dzieło myśli i fantazyi, ale dokonał też czynu istotnie obywatelskiej odwagi. Czytelnictwo krajowe składało się wówczas wyłącznie prawie z tych klas i ludzi, w malowaniu których autor nie szczędził rysów prawdziwych, lecz ciemnych. Postać hrabiego Edwarda, marnotrawcy, żarłoka i oszusta, lub drugiego, hrabiego Alfreda, salonowego samoluba i zjadacza serc niewieści, niemiłe działać musiały na uczucia utytułowanych czytelników książ-

ki. Historia chłopca Sawki, ten krótki, lecz pełny ognia i sily dramacik, błyszcący na kształt żarzewia, mającego rozniecić straszne pożary, mącić musiała niezawodnie pełną martwego spokoju atmosferę dworów i dworaków szlacheckich. Wszystko to razem ściągnąć mogło na głowę autora chmurę niechęci i grad wyrzutów. J. I. Kraszewski nie przeląkł się przecież niebezpieczeństw i śmiałą pierś stawiał goryczom, przywiązanym niezbędnie do zawodu głosiciela prawdy. Jest to w bogatym jego wawrzynowym wieńcu jeden więciej, a pewnie nie najjaśniejszy, liść chwaly. Jest to też jeden więciej dowód tej prawdy, iż nie odzowną składową częścią każdego wielkiego talentu bywa szczerość i śmiałość. Drobne ptaszęta uciekają w popiołu przy najbliższym szeleście; orla, mieszkańca gór, nie straszą szumy wichrów ani huki gromów. Słuchają gwaru burzy, znoś jej pociski i—patrzy w słońce.

Pragnęłabym jeszcze powiedzieć coś o przedstawionych w powyższych powieściach Kraszewskiego postaciach i typach niewieści, branych z różnych sfer społeczeństwa, i zaprawdę, ukazujących nam daleko więciej smutnych, lub tragicznych, niż pocieszających i szczęśliwych objawów kobiecego ówczesnego świata. Pragnęłabym również, przytoczeniem kilku choćby naczelných ustępów, dać czytelnikom próbę i miarę wielkiej piękności i poetyczności, odznaczającej stronę opisową powieści tych, stronę, która najwyższego mistrzostwa dosięga w opisach Rzymu (Pod włoskiem niebem), Klasztoru Kapucyńskiego i Warszawy za czasów St. Augusta, (Sfinx,) w obrazach natury, któremi niły dyamentami, z rozrzutnością istotnego bogacza, usiał autor „Pamiętniki Nieznajomego.”

Z konieczności przecież poprzestając na ulamków zaledwie przedstawieniu przedmiotu, spróbuję tylko jednym jeszcze rzutem oka ogarnąć główne cechy i zasługi, rozwinięte i zdobyte przez Kraszewskiego w tej drobnej częstce jego działalności.

Wówczas Kraszewski, fantazyą swą i myślą stwarzając coraz nowe, a świeżością i pięknnością pociągające obrazy, rozbił też w narodzie swym miłość dla ojczystego języka; wkrzesił w nim wiarę w moc i żywotność rodzinnego piśmiennictwa; w ręce jego, przewracające nie dbale kartki zdawkowych plodów literatur obcych, włożył książkę polską i w niej, jak w zwierciadle, ukazał mu jego samego. Z książek Kraszewskiego społeczeństwo epoki owiej uczyło się wielkiej mądrości po-

znawania samego siebie, z nich płynęła mu w serce miłość dla natury ojczystego kraju. Nie wszystkie zapewne, znajdujące się w ówczesnych powieściach Kraszewskiego pojęcia i artystyczne środki, do przedstawienia ich użyte, znaleźć mogą poklask dzisiejszego czytelnika. Czas płynął, a z nim do głów i piersi ludzkich przypyływały prądy nowe, a upływały z nich dawne. Dziś znajdujemy w ówczesnych twórcach Kraszewskiego coś z tego, cośmy już odrzucili, a nie znajdujemy czegoś, cośmy za swoje przyjęli. Lecz, gdy w następstwie czasu, silna i bogata organizacja umysłowa umożliwiać miała Kraszewskiemu rozwijanie się, równoległe niemal z rozwojem powszechnych wyobrażeń i powszechnej wiedzy, i wówczas już, rozważany w stosunku do czasu i społeczeństwa swego, Kraszewski ukazuje się nam jako przewodnik, umiejący spojrzeć daleko po drodze świata i dosłyszeć toczące się po niej głuche szmery przyszłości. Dzisiejsze więc zapewne niż ówczesne społeczeństwo jest zdolne i mocne oddać mu hołd wdzięczności zato, że dostrzegł on i ogół przekonywał usiłował, iż w pracach tylko umysłowych i organizacyjnych spoczywa godność i szczęście ludów.

To wydarzenie się z objęć, rutyny tak umysłowej, jak społecznej, sprawiło, iż w epoce tej właśnie J. I. Kraszewski zbudował najszersze i najtrwalsze podstawy dla nowożytniej powieści polskiej.

Wtedy to, po chwilowym zaledwie wahaniu się, śmiało i stanowczo zwrócił się twarzą ku naturze i prawdzie, ku rzeczywistemu życiu natury i ludzi, i z nich pełnemi dłońmi czerpać zaczął dla powieści swych tła, postacie i ideje. Dojrzał on i dowiódł, że, nie przenosząc się w zakłętą krainę nadprzyrodzonych i nieprawdopodobnych zjawisk, na każdym miejscu rzeczywistego świata

znaleźć można piękność natury, a w pierś i doli każdego, najzwyczajniejszego choćby człowieka, odkryć dramat i naukę.

J. I. Kraszewski jest niewątpliwie twórcą nowożytniej powieści polskiej, a obdarzenie ojczystego społeczeństwa jedną więcej formą, w którą przelewać ono może myśli swe i uczucia, jednem więcej narzędziem do uszlachetniania charakterów i oświecenia umysłów, staje obok wszystkich innych zasług i prac wielkiego pisarza i obywatela, jako jedno z pierwszych praw jego do miłości i wdzięczności żyjących i potomnych.

Co do nas, w późniejszej już dobie przybyłych pracowników pióra, którzy wprzód, nim zaczęliśmy pisać, uczyliśmy się czytać i myśleć na książkach przez Kraszewskiego pisanych, my wszyscy powieściopisarze i beletryści w ogóle powiedzieć możemy, według starego, pięknego przysłowia, że, „jak gałęzie z drzewa swego, z niego początek swój bierzem.” Przybywając, znaleźliśmy już dział piśmiennictwa, do którego wiodły nas skłonności nasze, *przez niego* uprawniony i wysoce udoskonalony; społeczeństwo, dla którego pracować zapragnęliśmy, *przez niego* do słuchania nas przysposobione; znaleźliśmy poważanie dla pracowników myśli, *przez niego* zapracowane i skłonność ogółu do cierpliwego słuchania rzeczy i ludzi nowych, którą w nim *on* wyrobił. To też jeżeli kiedy ktokolwiek z nas, w miarę zdolności swój i możliwości, przyniesie większy lub mniejszy pożytek społeczeństwu swemu, zdobędzie sobie wobec niego mniejszą, lub większą zasługę, — wielką zawsze część przyniesionych przez nas pożytków i zdobytych zasług sąd ogólny wplecie, i sami z radością wpleść będziemy gotowi, w wieniec chwały, otaczający skroń naszego mistrza.

Eliza Orzeszkowa.

Trzecie dziesięciolecie.

(1830—1835.)

I.

(Dziwadła — Tomko Prawdzie — Ostatni z Siekierzyńskich — Stary Sługa — Intereszy familijne — Złote jabłko — Komedyanci.)

Okres czasu, w którym cały ten cykl powieści, wymienionych w tytule, powstał, przypada właśnie na lata gospodarki Kraszewskiego w Gródku i Habinie, przed przeniesieniem się na stałe mieszkanie do Żytomierza.

„Wszystkie powieści nasze współczesne, z owych lat, z których „Komedyanci“ pochodzą (1830—1834), pisze on sam—oparte są na rzeczywistości, z niej wzięte—odbija się w nich wołyński świat, na jaki się długo patrzyło—nie tworzyliśmy nic, studyowaliśmy wszystko.“

„Stendhal powiedział, że *powieść być powinna zwierciadłem, przechodzącym się po gościńcu*. Zawsześmy to określenie jego mieli na pamięci z dodatkiem, iż zwierciadło wypukłe, lub wklęsłe być może, jeśli sztuka wymaga tego.“

Mówiąc dalej o genezie tworzenia, a właściwie odtwarzania owego powieściowego świata z rzeczywistości—dodaje, korzystając z przytoczonego porównania Stendhala: „Tu i ówdzie zwierciadło użyte było tylko wklęsłe, lub wypukłe; nigdyśmy się nie porywali na malowanie ludzi i sfer nam nieznanych, któreby odgadywać było potrzeba. I jeśli mają dziś jaką wartość te opowiadania, ciągną ją całą z tej trochy prawdy, jaka się w nich mieści.“

Ale dlaczegoż takie zamknięcie się w granicach jednej prowincyi, jednego niemal po-

wiatu, dla czegoż tylko Wołyn ma być jedynie tłem *teatrum*, na którym autor swoje figury wyprowadza?

Jest i na to odpowiedź w tej samej przedmowie, z której zapożyczyliśmy powyższe cytaty:

„Żadna prowincya—pisze autor *Komedyantów* o Wołyniu—nie miała więcej oryginalnych typów, więcej w sobie żywotności—nad tę. Czuło było w niej zasoby wielkie, które się tylko rozwinąć nie mogły wśród nieprzyjaznych im okoliczności. Największa różnorodność charakterów, usposobień, wychowania i kształcenia, składała tę społeczność, w której i z dawnych żywiołów wiele i nowo wyrobionych nie mało się obracało. Od szlachty Owruckiej do półpanka w pałacyku, od książąt pałacowych w piecach u żydów, do dorobkiewiczów z brylantami na palcach, nie umiejących pióra utrzymać—mieliśmy tam wszystkiego podostatkiem.“

Dodajmy do tego, że autor od r. 1836 z maleni tylko przerwami całe lat 22 żył sam wśród tego wołyńskiego świata, że miał go ciągle przed oczyma, patrzącemi bystro i badawczo w otaczające go społeczeństwo, że nie znał wówczas jeszcze zagranicę, a Warszawę odwiedził w tym czasie zaledwie dwa razy, że nakoniec obfitość materiału dopraszała się niemal o użytkowanie; a zrozumiemy, dla czego to ów

okres twórczości Kraszewskiego zamyka się przeważnie w powieściach, układanych na tle życia i stosunków Wołynia i wolińskiego Polesia.

To „zwierciadło, przechadzające się po trakcie“, wolińskim odbijało z fotograficzną niemal wiernością osoby i rzeczy, typy i charaktery, życie i sprawy społeczności, która dzisiaj prawie, pomimo tak niewielkiej różnicy lat, do historii po większej części już należy.

I tak powieść, która przy swoim ukazaniu się była tylko „skromnym obyczajowym obrazkiem“—stała się z latami powieścią historyczną: powiedzieć o niej można znowuż słowami samego autora, że „przynosi woń lat ubiegłych, stawia przed oczy cienie znikłych niepowrotnie postaci.“ Radykalne zmiany stosunków przekształciły tę prowincję, jak i wiele innych.

Kraszewski jakgdyby instynktownie przeczuwał to wszystko, co w nawale czasu wypadki przyniosą, jakgdyby wieszczym duchem przewidywał jakąś wielką burzę, która rozruci „Złote jabłko“, rozpędzi „Stare służki“, odmieni „Dziwadła“ i inaczej ureguluje „Interesa familijne“, jak gdyby przeczuwał inny, poważniejszy dramat życia społecznego, w którym zwyczajni „Komedjanci“ rolom swym poddać nie potrafili; jakgdyby wreszcie chciał przekazać nam tę alegoryczną postać *Tomka*, idącego w świat z płaczem szukać prawdy, a znajdującego ją po długiej, bolesnej wędrówce na progu ojczyźnej chaty: zabrał się z nie-zrównaną skwapliwością do utrwalenia tego wszystkiego w swoich powieściach, co wkrótce miało uleść potędze losu i niszczącemu wpływowi czasu.

Owoż, z właściwą sobie tylko płodnością, utworzył w tym kilkunastu letnim okresie długi szereg dzieł, które, jakkolwiek nie imponują w porównaniu z późniejszą jego pracą literacką, ilością tomów, wszelako, powiedzieć śmiało możemy, stanowią jedną z najjaśniejszych konstellacyi na horyzoncie jego twórczości. Zapominać bowiem nie należy, iż na lata między 1849 a 1854 przypada także napisanie „Powieści bez tytułu“ i „Powieści ludowych“, które to utwory stanowią epokę w powieściopisarstwie Kraszewskiego. Zarzucano mu swojego czasu, że ponad wolińskie opłotki nie podnosi oczu, a o całym społeczeństwie sądzi z ganku poleskiego dworku; że pewien zaściankowy pesymizm wiąże się do jego sądów o sprawach ogólnych szerszego zakresu; że zna wprawdzie wybornie swoje prowincję, ale jej marą

mierzy inne i ma wszelkie zalety, ale i wady lokalnego pisarza. Następne lata i późniejsze dzieła Kraszewskiego odmieniły i złagodziły ten sąd o jednostronności jego poglądów.

Mimo to, utrzymało się w pewnej części ogółu czytelników zdanie, iż cały cykl powieści wolińskich niekorzystnie daje wyobrażenie o ówczesnych stosunkach, że barwy ciemne przeważają w obrazach, charaktery ludzi nie budzą sympatii, że po przeczytaniu takiego „Złotego jabłka“ lub „Komedjantów“ nie chciałoby się za nie w świecie żyć wśród tych panów podsędków, marszałków, hrabiów Denderów i Sulinowskich, złych albo złośliwych, zepsutych lub nie-dojrzałych. Nie chciałoby się ténbardziej, że wszyscy oni mają być wiernie kopiowanymi z natury, bez przesady i domieszki fantazji autorskiej,—tak podobni do swoich prototypów w rzeczywistości, iż po ukazaniu się tej, lub owej powieści, jak nożyczki na stole, odzywali się sami. A nie miało to być nawet w intencji autora fotografować pewne indywidua, on tylko „z pojedynczych rysów stwarzał zbiorowe figury i nie myślał o fotografii.“

Tém gorzej dla społeczności, która autorowi tematu do tych powieści dostarczała.

Nie,—nie możemy się przyznać do wielkiej sympatii dla tej całej galeryi typów wybitniejszych, które, według zapewnień autora, mają reprezentować społeczność Wołynia przed r. 1852; a przecież, niechaj mówi kto chce, dla takiego rotmistrza Kursedza, dla takiej rodziny Hieronimów Zawilskich, lub Dziadunia Dymitra, a wreszcie i dla Bałów, warto po przeczytaniu tych powieści powrócić do nich po raz drugi.

A ponad tymi wszystkimi, wyższy o całą głowę, najsympatyczniejszy i najsilniejszy z wszystkich może bohaterów Kraszewskiego, wzór „człowieka, jakiego nam trzeba“, ów pan Graba w *Dziwadłach*, tak po szlachecku porwie nas w objęcia, tak przyciągnie do siebie, tak podbije sercem i umysłem, że—raz go już poznawszy—kochać nie przestaniemy. I będziemy potem jego imieniem nazywali już wszystkich dobrych obywateli, zacnych panów, niestrudzonych ludzi pracy i poświęcenia, których nam los na drodze życia spotkać dozwoli. A nie mały to zaszczyt będzie dla tego, o kim powiemy.

— To drugi Graba z *Dziwadła*!

Ala skoro nam ta postać tak bardzo utkwiła w sercu i pamięci, oddajmyż jej należną sprawiedliwość i od niej rozpoczą-

nijmy przegląd powieściowych bohaterów cyklu wołyńskiego.

Wszelako najpierw słówko o samej powieści.

Jakśmy kolejno na początku wyliczyli tytuły, tak powstawały w umyśle i pod piórem autora dzieła, które—dodać należy—obok ciężkich i kłopotliwych zajęć gospodarskich, nie były jeszcze kompletnym wyrazem jego działalności pisarskiej. Musielibyśmy tutaj jeden pokłon więcej oddać autorowi, którego wiek nasz stawia za wzór pracy i płodności literackiej; ale w jej ocenie zastąpił nas lepiej kto inny na początku niniejszej książki.

Każde niemal z dzieł, o których mówić przypadło nam w udziale, posiada, obok wspólnych znamion ogromnego talentu swego twórcy, obok tych pokrewnych cech pochodzenia, właściwych zazwyczaj wszystkim utworom jednego i tego samego mistrza, swój, odrębny, właściwy charakter, wyróżnia się wybitnie główną przewodnią myślą, co jak woń z kwiatu—unoszą się nad niemi naturalnie, niesztucznie zaszczerpona, posiada swoje osobną atmosferę, w której ta, lub owa kwestya społeczna, czy moralna—rozwija się przed oczyma naszymi w mistrzowsko nakreślonym obrazie. Słowem, każda niemal z tych powieści ma jakąś odrębną żywotność, która ją stawia samą w sobie i dla siebie na osobnym miejscu; każda porusza jakieś wyższe zagadnienie, które poza artystyczną wartością utworu nadaje mu szczególniejsze znaczenie faktu nie tylko samej literackiej miary. Mamy tu na myśli obywatelską stronę tych utworów i wykazać jej nie omieszkamy.

Powinilibyśmy może, ściśle rzeczy biorąc, rozpocząć od *Ostatniego z Niekierzyńskich*, w którym rozwiązanie kwestyi szlacheckich wspomnień i przywilejów, wobec wymagań wieku, nadawałoby się właściwiej za wstęp do zcharakteryzowania nowego rzeczy porządku w ustroju społecznym, jaki Kraszewski nakreślił śmiałą ręką w *Dziwadłach*.

Ale nie chcemy przerywać chronologicznego porządku.

Gdyby nie pilna potrzeba zasilenia „Tygodnika Petersburskiego“ w r. 1849 *Dziwadła*, przytłoczone w tece autora co raz nowszymi pracami, byłyby może pozostały niewykończone i nie przyozdobiły szeregu najcenniejszych utworów Kraszewskiego z tej epoki. Dość na tém, że powstały; złożyło się dwa tomy powieści, pisanéj formą mieszaną: częścią w listach, częścią zwykłym opowiadaniem.

„Powieść ta, pomimo żwawych krytyk, większe może miała powodzenie nad inne,—mówi autor w przedmowie do ostatniego wydania z r. 1872,—lepij przyjęta została, niżeliśmy się spodziewali; przypisujemy to nie wartości jej, ale pragnieniom i dążności, jakie myśl główna obudziła.“

Nie myli się Kraszewski, przypisując głównie tendencyi tego utworu tę wielką wziętość, jakiej do dzisiejszego dnia jeszcze używają *Dziwadła*, jakkolwiek pod względem artystycznym, techniki układu i sposobu obrazowania, wiele innych je przewyższyło. Choćby tylko wspomnieć najbliższe w szeregu tym „*Interesa familijne*.“

A całą swą wartość zawdzięcza ta powieść jednej postaci, jednemu charakterowi—panu Grabie; dodajmy, *par courtoisie pour les dames* i Irenie, lecz z nią rozprawimy się w inném miejscu.

Odmalować jakiś kąs, deskami od świata zabity na zapadlém Polesiu, w którymby się znalazły wszystkie wady i śmieszności, wszystkie niedostatki i zbytki prowincjonalnego życia; pokazać te stosunki, jak one się przedstawiały w rzeczywistości: to obywatelstwo bezduszne, pijące, polujące i żyjące z dnia na dzień, kontencie, że je Pan Bóg stworzył,—tych marszałków powiatowych, cenionych nie według głowy i charakteru, ale według kucharza i piwnicy, tych ziemian, nie znających innéj przyjemności nad karty, lub pijatykę w miasteczku, nie widzących dalej, jak poza koniec swojego nosa; nadać temu koloryt miejscowy, realny; zapelić figurami żywcem wziętymi ze świata; powiązać pospolitą intrygą, do której jedynie byłoby zdolne:—taki był plan powieściopisarza. A dopiero na tém tle szarawém postawić figurę jasną, czystą, piękną, szlachetną, typ dobrego i rozumnego obywatela, zacnego człowieka, dzielnego gospodarza i powiedzieć: „Patrzcie, oto takiego nam potrzeba, jak ten, a mamy tylko takich, jak tance!“ zlać w tę postać wszystkie idealne rysy pożytecznej i wpływowej jednostki społeczeństwa, potrzebującego więcej, niż każde inne, ludzi czynu i silnych przekonań: oto było zadanie autora.

Nazwał on swego bohatera *dziwakiem*, bo takim wydać się musiał tym, którzy go nie pojmowali, wyższych celów jego nie rozumieli, w pracy około dobra społecznego z nim razem iść nie mogli. Smutno się robi na myśl, że jeszcze przed ćwiercią wieku należeliśmy do społeczeństwa, w którym *dziwadłami* nazywano ludzi, co się odważali inaczej czuć, inaczej myśleć, i inaczej swoje obowiązki obywatelskie pojmować.

Pan Graba, jeżeli tak powiedzieć można, ma za dużo rysów dodatnich, jak na postać realną; prawie uwierzyć się nie chce, aby gdzieś na naszej ziemi istniał taki szlachcic, co to potrafił urządzić sobie życie w najdrobniejszych szczegółach według programatu z dewizą: miłość i praca; a co więcej, aby taki programat dał się ze wszystkiem przeprowadzić, pomimo wszelkich przeciwności i przeszkód. Prawie wierzyć się nie chce, aby ten ideał obywatela i ziemianina miał się urzeczywistnić; aby w każdym wiejskim dworze znalazł się kiedyś taki pan, kochający włości, jak własnych braci i starający się więcej o ich dobro materialne i moralne, niż o siebie samego; którego gospodarstwo byłoby wzorową szkołą, dom przybytkiem sztuki i nauki; któryby miał za cel życia: „być użytecznym bliźnim, a umysłem i czynem wznosić się jak najwyżej, jak najbliżej ku bóstwu, którego jesteśmy obrazem.“

A za środek do tego celu udoskonalenia własnego, znżyczenia wszystkich sił naszych, wszystkich chwil życia, uważał: pracę i ofiarę.

— Bez trudu nad sobą i poświęcenia dla bliźnich, ani pomocnymi społeczeństwu, ani sobie samym czem być powinniśmy, nie będziemy, — powiada Graba. Życie dla niego jest krwawym bojem i musi nim być dla każdego, co je z powagą, jako brzemię, jako obowiązek, jako wielką misję spełnia. Nie ma on i nie szuka żadnej za to nagrody; co robi — robi dla własnego przekonania. Nikt go nie zachęca, prócz własnego sumienia. Sąsiedzi nienawidzą go i wściskają się na jego dziwactwa, tłómaczą najpoczarniej jego postępowanie; są wszelako tacy, co go cierpieć nie mogą, ale mimo wolnie szanować muszą. Ten dziedzic bogatych włości jada przy jednym stole z czeladzią, chodzi za pługiem, kiedy trzeba parobka do orki przyuczyć; ale wolne chwile spędza w zbrojowni, lub w bibliotece, pełnej dzieł sztuki.

Pracuje, bo kocha; miłuje, bo się poświęca; *gdzie samolubstwo, tam śmierć!*

Tę chrześcijańską zasadę stara się zaprowadzić na każdym polu pracy społecznej i nigdzie go ona nie zawodzi.

Takim-to jest ów pan Graba, którego autor nie zrobił nawet bohaterem powieści, chociaż go czytelnicy instynktowo prze czuli. A ten „wzór człowieka, jakich potrzebujemy,“ (a że potrzebujemy bardzo jeszcze i dziś, o tym przekonywać nie trzeba) — nie jest nawet szczęśliwym w życiu: uosi w sercu ból i zawód, który innemu

mogłoby całe życie złać i służyć za wymówkę apatii i odrazy do świata. Ten człowiek jest najnieszczęśliwszym mężem, którego żona dla tego porzuciła, że nie chciał dla niej marnować majątku, wyjeżdżać za granicę, prowadzić domu na stopie wielkoświatowej. A on i tę swoją Terenię kocha jeszcze i żyje z jej przyczyny w ciągłej męczarni, jak Salamandra, ten symbol namiętności, w płomieniach.

Zaiste, można go nazwać *dziwadłem*, ale prosić Boga zarazem, aby nam wszystkim tak zdziwaczęć pozwolił...

Jakgdyby potrzeba było jeszcze bardziej uwydatnić tę idealną postać *dziwaka* i dać mu jakiś cień, któryby pozwolił jego konturom odkroić się silniej, wyraziściej, autor pod koniec prawie powieści wprowadził nową figurę, tak samo jak Graba zrąnioną w serce zawodem, ale zdziwaczalą na prawdę: Piotra Dolskiego. Człowiek to nie- szczęśliwy, odludek, bo przeboleć i przebaczyć nie umiał zawiedzionej miłości, trochę zdziczały w swoim podziemiu, w którym niby drugi Machnicki waryat, ów „Król zamczyska“ — lata całe przepędził. A było w nim także dużo materiału na innego człowieka; zabrakło sił, woli, hartu zasad, wiary w Boga i wiary w siebie. Zdziczał, jak ziele, które okwitło pod skwarem słońca, ale na nie się więcej przydać już nie mogło.

O panu Grabie moglibyśmy jeszcze mówić długo, zawsze z jednaką przyjemnością, z jednakim szacunkiem; moglibyśmy z jego aforyzmów ułożyć cały katechizm obowiązków obywatelskich, tyle w słowach jego prawdy, tyle serca wielkiego i wielkiego umysłu; a przecież i on nie bez *ale...*

Żał nam wytykać mu cośkolwiek, prawie nie śmiałoby się wspominać o tym; ale cóż? pan Graba pokutować musi nie za siebie, ale za wszystkich niemal bohaterów Kraszewskiego, jednym i tym samym obciążonych zarzutem. Pan Graba, tak świetnie wyposażony tyłu przymiotami, tyłu dodatnimi rysami charakteru, tak znakomicie usposobiony do akcyi, do działania — w powieści zajmuje stanowisko dość bierne; słuchamy go tylko i z jego ust dowiadujemy się o jego wartości moralnej, ale czynów widzimy mało. Gdyby nie mówił o sobie, może za ledwie przez połowę nauczylibyśmy się go cenić i poważać.

Nie możemy, pomimo chęci zajmować się wszystkimi osobami tej zajmującej powieści, ani paradnym kuzynem Suminem, ani słodziechym jego wrogiem kapitanem, ani

główną figurą powieści, około której właściwie cała akcja się toczy, Jerzym, zrehabilitowanym utracynszem i wietrznikiem warszawskim;—nie możemy dłużej wpatrywać się w ów powieściowy kalejdoskop; bo nam spieszno do innych, a przedtém jeszcze choćby na chwilę zatrzymać się musimy przy pięknej Irenie. Należy się jej to nie tylko, jako godnej towarzysze pana Graby w *Dziwadłach*, ale jako rzadkiemu typowi kobiecej galeryi ze wszystkich powieści Kraszewskiego.

Zbytecznym byłoby powtarzać po raz setny i pierwszy, co pod względem pewnego pesymizmu w przedstawianiu charakterów kobiet zarzucano autorowi *Czterech wesel* i *Orleki*. Może miano poniekąd słuszość wymagać po nim, aby do swych powieści mniej wprowadzał postaci ujemnych. Niezaprzeczenie, było w tém wiele racyi; ale może też nie ze wszystkiemi należało winić autora, że „zwierciadło, chodzące po gościńcu“ odbijało takie kobiety, jakie najczęściej spotkać się zdarzyło na szerokich traktach życia, a że odbijało wiernie i nie zeszpecało bynajmniej fizygnomii, tego choćby najwierniejsi rycerze płci pięknej zaprzeczyć nie mogą, jak i tego, że owych ujemnych typów autor nie wysnuł ze swój fantazyi, ale zbierał —niestety—z rzeczywistości.

Powiedział ktoś, że u nas przeciętny typ kobiety dobrze nie nadaje się bardzo do szerszych ram powieści lub dramatu; że jest on w pewnym względzie bierny, pozbawiony rozmaitości, i podobny jeden do drugiego, jak lilja do lilji; przez swoją prostotę i skromny wdzięk przyrównać się daje do tych kwiatów łagodnej woni, a nie krzyczących barw, które się stawia na ołtarzu Panu Bogu na chwałę, ludziom na pociechę. Nie pomylimy się, twierdząc, że wszędzie i zawsze w dziełach sztuki, może po części tak, jak w życiu,—kobiety dobre, enotliwe i święte są w mniejszości i mniej mają szczęścia do właściwego ocenienia.

Ale porzućmy reflexyę, a stańmy raz przed dworem w Rumianej, gdzie panna Irena gospodaruje sama w towarzystwie przyjaciółki i quasi rezydentki, pani Lackiej; przypomina ona po trosze w głównych duchowych zarysach swego sąsiada, pana Grabę. Młoda, piękna, bogata, niezależna, wykształcona, trochę filozofka, trochę sawantka (w tém najlepszym znaczeniu), dowcipna, a energiczna prawie po mężku, mogłaby zawrócić głowę i podbić serce najtwardszego kawalera maltańskiego i zmusić go do złamania celibatu. Połączyły się w tym charakterze pierwiastki męzkiej i kobiecej natury, jest

w niej coś z lwicy; ale właśnie dlatego, że lwica, a taka przytém dobra, czysta, potulna, gdy trzeba, figlarna nawet, choć umiałaby być groźną i straszną,—właśnie dlatego, że swojej siły nie nadużywa, nie popisuje się nią, podbija wszystkich i zjednywa.

„Nie jest to ideał nasz,—powiada o tej swój heroinie Kraszewski,—ale istota żywa i podległa słabości wieku i czasu, jak wszyscy: bez tego byłaby zimną i powszednią.“

Z tej samej gliny wszelako, co takie Ireny powstają czasami owe „mężyzce“, jeżeli im stwórca mniej trochę swego ducha technął w oblicze. Zdarza się także, że wyrastają z nich z czasem owe dziwadła w spódnicy, dla których francuzi mają osobną nazwę: *les femmes fortes*.

Jak na wyjątek, jak na „okazową pannę“, Irena jest zajmującą; żeby wszelako społeczeństwo dużo zyskać miało z takich kobiet, rezolutnych wprawdzie i umiejących sobie radzić w życiu, ale żyjących więcej jakąś wyrozumowaną teorią, niż uczuciem,—nie powiemy; i dla tego, niski ułkon oddając jej wszystkim zaletom umysłu i charakteru, odchodzimy od niej ze słowami autora: „nie jest to nasz ideał.“

Zresztą przesądzać ze wszystkiemi trudno, bo w bohaterce *Dziwadła* poznaliśmy tylko kobietę w mniejszej połowie jej życia: widzieliśmy ją, jako pannę Irenę; a w dniu, kiedy zaczęła właściwą swą rolę społeczną, kiedy została panią Jerzową, autor zrobił kilka punktów i powieść podkreślił. Epoka jej nowego życia, epoka obowiązków i poświęceń, w której kobieta w całość pełni dopiero jasnieje, duchowo i sercowo dojrzewa, została dla nas zakrytą na zawsze.

Wolno nam domyslać się jak najlepiej; ale jeżeli co, to pewni być możemy, że nigdy z niej nie zrobi się taki dziwolązek, jak owa znudzona, rozstrojona, niesympatyczna, choć zbiedzona—prawda że z własnej winy,—pani Lacka, która wyrzekła się prawdziwego uczucia i zaparła własnego serca dla świetniejszej partyi i bogatszego męża.

Podobnie, jak *Dziwadła*, i następna „powiastka, jeżeli ją tak nazwać można“, *Tomko Prawdzie*, — nie powstała od razu, nie wyszła z pod pióra Kraszewskiego cała, jednolicie tworzona. Autor rozpoczynał ją, rzucił, powracał znowu do niej i przestawał kilka razy, ale w rezultacie dokończył wreszcie w roku 1850, i przesłajac swoją

„wierutną bajkę“ Waleryanowi Wróblewskiemu w Zielinicach, tak się o nią wyraził w przypisku: „Dziwaczna to ramota, kochany Waleryanie, a może i nie potém; ale jak biedne, chore, słabiutkie dziecię, ja ją kocham, i jak przyjacielowi ojciec—to dziecię przynoszę.“

Nie bardzo tam ono słabiutkie i biedne, a już, że nie chore, to pewna, bo pełne zdrowych myśli i nezuć; możeby pociągnięte na ścisły *examen* przez dzisiejszą filozofią nie ze wszystkiém się ostało, możeby nie rozruszało tak bardzo umysłów, przyzwyczajonych *jurare in verba magistri*, i nie zadających sobie pracy tyle, aby krytykować w powiastce jakieś filozoficzne teorema. Znalazłoby się wielu takich, co, nie doczytawszy do końca całej książki, wynieśli by z niej całkiem fałszywe wyobrażenia i zarazili się sceptyzmem barona von Teufela, *recte* złego ducha, który w widomiej postaci występuje, jako jedna z najważniejszych figur w powiastce, bo jako *spiritus contradictionis*.

Ale zważmy, że *Tomko* takim, jakim jest, „powstał w latach, gdy u nas tak nie dawno jeszcze wszystko na filozofią chorowało.“ „Dziś może mniej zajmie,—powiada sam autor,—bośmy zupełnie zobojeźnieli, nie żebyśmy mieli być lepsi, ale żeśmy na innym jakimś szczeblu życia, na którym nie wiele nam chodzi o to, co w istocie najgoręcejby serce i umysł zajmować powinno. Nie umiem określić nawet, co dziś najbliżej serca naszego? a boję się zgadywać, bym przykrzejszej nad wszystkie, w tej książeczce zawarte, prawdy nie powiedział.“

Pragnął Kraszewski w swoim *Tomku* przedstawić tego kolaczącego się ducha wieku, który uwziął się wszystko zbadać, wszystkiego dociec, zapuścić sondę krytyki na samo dno i znaleźć tam tę jedną, wielką, bezwzględną prawdę, szukaną na wszystkich drogach przez ludzką całą, od chwili narodzenia się pierwszej myśli na ziemi.

Czy to najwyższe dążenie ducha ludzkiego, ten cel w postaci wiecznego znaku zapytania, poznanie jednej, jedyniej prawdy, osiągniętym zostanie? czy ta ciągła pielgrzymka ludzkości coraz wyżej, coraz stromiej, coraz niebezpieczniej, zakończy się kiedy? czy ludzkość, z etapu na etap dążąc bez wytchnienia, ma kiedyś stanąć u końca swój drogi?... nie wiemy jeszcze, jak i nie wiemy tego, czy życzyć sobie tej ostateczności należy.

W starożytném Sais, w ziemi Faraonów, był ongi tajemniczy posąg bóstwa, zakryty przed oczyma śmiertelnych. Wyrocznia za-

braniała surowo podnosić zasłonę, pod karą... poznania prawdy. Znalazł się raz tylko śmiałek, który o północy, pomimo zakazu kapłanów, strzegących bóstwa, wtargnął do świątyni, świętokradzką ręką podniósł oponę i padł bez zmysłów; troska przecięła jego lata młode,—tego co widział, opowiedzieć nikomu z żywych nie potrafił.

A przecież w ślady tego młodzieńca, który życiem przypłacił poznanie prawdy, idziemy wszyscy: dla czego?... bo to samo bóstwo, co nam ją zasłoniło, zaszczepiło w duszy naszej szlachetny popęd, wyróżniający nas od wszystkich innych stworzeń na ziemi — popęd szukania prawdy, wlało nam w piersi „przecznice innego świata, w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiém się w Bogu w całość połączym.“

Dziwna to gmatwanina pozornych sprzeczności, a jednak jej ludzkość zawdzięcza swoje podniesienie się i uszlachetnianie bezustanne, jak gdyby ogień niezapokojonych pragnień w jej łonie był tym żarem letniego słońca, pod którego promieniami dojrzewają pełne kłosy dusz ludzkich i umysłów.

Na wzór owego młodzieńca w Sais, *Tomko Prawdzie*, szlachetkie dziecko pocziwych dwojga Litwinów, wybiera się w świat daleki szukać prawdy; w drodze znajduje towarzysza, figurę à la Hoffmann wymalowaną. Ten człowieczek w peruce i staroniemieckim stroju, ten baron Lucyper von Teufel jest uosobieniem sofizmu i negacyi. Idą tedy obaj razem, i po kolei, wszędzie, u ludzi i u przyrody pytają: co jest prawda? Ale ani ziemia, ani niebo, ani żadne stworzenie, ani prostaczkowie, ani rozumni akademicy, ani nikt dokładnej odpowiedzi dać im nie może. Każdy na prawdę dla siebie, ma swoją prawdę: najmędrzy i najmniej zarozumiali „wie, że nie wie.“ Wszystkie najpoważniejsze działy nauki i umiejętności ludzkiej nie mogą się zdobyć na odpowiedź, któraby *Tomka* zadowolili. Rozmawiania filozofów, astronomów, matematyków, fizyków, przyrodników, wszystkie metody, wszystkie systemata nie mogą go przekonać; czemu by sam uwierzył może, to zresztą podrzuconém słówkiem wątpliwości, sceptycyzmu, baron von Teufel obala w jego oczach.

Zrozpaczony, pomieszany, woła po tylu doświadczeniach:

— Prawda! jest prawda! Niema prawdy! Wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem, wszystko uludą!

Wówczas, nad krawędzią przepaści, do

której po rozstajnych doszedł drogach, spotyka go stary nauczyciel Dołęga i w przesłicznych słowach krzepi zboląłego, tłumacząc mu, że prawdy jednej, absolutnej, w zdaniu jednym, w miejscu i kątku pewnym, w kilku wyrazach ludzkich zamkniętej, w wyłączonej jakiegóż istocie, w jednym rodzaju żywota, niema i być nie może.

Prawdą jest wszystko. co istnieje; prawdą jest życie, byt; a najwyższą prawdą jest źródło żywota — Bóg!

Całej prawdy nie znajdzie na ziemi nigdzie, tylko skorupki rozbite z tego bozkiego naczynia, które spadając z nieba, w kawałki się rozprysło; tylko bryzgi świecące rozsypały się po naszej drodze.

— Prawda jest w Bogu, a Bóg jest prawdą, co pochodzi z ducha; wszystko fałszem, co rodzi się z ciała i materji, to jest ze śmierci: — powiada Dołęga do swojego ucznia. — Nie szukaj prawdy w samym sobie, ani szczęścia w sobie samym; staraj się o szczęście drugich, żyj cały w braciach, umiej się poświęcać, a znajdziesz i prawdę żywota i szczęście. W nauce prawdą jest, że nie spełnia nie umiemy, nie wiemy, że na najwyższym szczyśle umiejętności ludzie upokorzeni wołają: wiemy, że więcej jest daleko nad to, co umiemy i rozumem naszym dójść możemy. Na dwie istotnej nauki — pokora. W świecie moralnym prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spójnienie z jej losami. W świecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pozbawienie i poświęcenie, — znowu żywot ducha, a nie ciała; usamowolnienie umysłu i duszy, spełnienie zwierzęcej części człowieka... Ale nie myśl, — powiada w końcu Dołęga, — by nauka była najwyższą zasługą człowieka, a wiedza szeroką problematą jego doskonałości. Nie, stokroć nie! jesteś w błędzie! Czyn jest wyższym od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajemki.

Po tej nauce, którąśmy tu słowami samego autora streścili, *Tomko* powraca do rodzinnej zagrody, postarzały duchem, zbiedzony walką wewnętrzną, gorączką poznania tej wielkiej, utajonej kochanki jego myśli, — wraca, aby zapłakać na ojcowskim progu i zawołać:

— Prawda jest w sercach poczciwych, prawda jest, gdzieśmy bliżej Boga. Nie! ani mądrość wasza, ani miasta wasze nie są prawdą.

W przedśłowiu do *Tomka*, Kraszewski spowiada się czytelnikowi z tego, że czuł dobrze, jak wielkie i nieodosowne zadanie w maluczkich i lekkich objąć chciał ra-

mach; wiedział, że na to „Jean Paul’a i jeszcze jakich kilku w dodatku piór potrzeba było, żeby to choć znośnem uczynić.“ Otóż i wskazówka, kto mu podszepnął myśl napisania „powieści filozoficznej“; ten Jean Paul Richter, ulubieniec Kraszewskiego wraz z anglikiem Sternem i fantastycznym Hofmanem, podsunęli mu prawdopodobnie pomysł napisania takiej „wielutnej bajki“, którejby się słuchało z zajęciem, jak bajki, ale nad sensem moralnym rozmyślało poważnie.

Czy ten rodzaj powieści, przeszczepionej do nas z zeszłego wieku, w którym romans przechodził jeszcze epokę krytycyzmu, ma jaką racją bytu? czy nie jest po trosze anachronizmem? nie chcemy rozstrzygać stanowczo; zdaje nam się tylko, że gdyby Jean Paul, który musiał być ojcem chrzestnym *Tomka* i pokumał się z autorem przy tej okazji, skorzystał był z tego samego tematu, to, pominąwszy, że jego *Prawdziw* byłby niezawodnie niemieckim professorem, jak Quintus Fixlein, że rozprawiałby długo i szeroko o każdej drobnostce i całe traktaty filozoficzno-teologiczno-przyrodnicze spisywał, możemy być pewni prawie, iż takiego zakończenia, naszego, szlacheckiego, istic polskiego zresztą, nie byłby dał swojej książce.

Kraszewski swego *Tomka* zawraca pod ojcowską strzechę, na rolę, do rodzinnej wioski, do tego pluga, za którym rodzic chodził, śpiewając godzinki, do tego życia powszedniego, wieśniaczego i pracy ziemniaczyni, bez względu na to, że mu przez głowę przeszły wszystkie systemata filozoficzne; każe mu do nóg paść tym staruszkom ciemnym, nie oświeconym, prostaczkom, co mu życie dali i pozostać przy nich, i po nich wziąć spuścizną resztę przyszłości, mienia i pocziwów tradycyi, aby kiedyś wyrosnąć jeszcze na takiego... pana Grabę w swoim społeczeństwie.

Bierzemy do ręki trzecią z kolei powieść, sympatyczną już z pierwszej karty na początku, która powiada, że książka powstała jako upominek, Władysławowi Syrokomli posłany przez autora po odwiedzinach z księgarzem B. M. Wolffem w Hubinie r. 1850.

Ostatniego z *Siekierzyńskich* pisał Kraszewski w Czerweu i Lipcu, podczas letnich zajęć gospodarskich; nie wiele mu spokojnych chwil zapewne zostawało do tworze-

nia powieści, która pod względem artystycznym ma swoje słabe strony, wlecze się jak uboga szlachcianka rzeźniennym dyszlem, przystając po drodze to tu, to tam, i opowiada *ab oco* całą niemal genealogią zanego Siekierzyńskich rodu, o którym nie wie ani ksiądz Niesiecki, ani Paprocki i Okolski, ani herbarz, ani kronika, tylko pan stolnik nurski ś. p. J. M. P. C. Piotr Kornikowski, figura z całą prawdą charakterystyki swego wieku zmyślona przez autora.

Ta skromna historia szlachecka, jak ją autor nazywa, miała swojego czasu,—a bodaj czy i dzisiaj jeszcze w części przynajmniej nie ma,—bardzo poważne znaczenie. Nie tak to łatwo było wetknąć kij w mrowisko, nie tak to lekko przyszło ukorzyć się przed nowymi wymogami wieku i dla dobra nowego rzeczy porządku wyzuć się z tradycyjnych praw i przywilejów i odezwać się głośno:

— Panowie bracia, klejnotnicy, szlachto, jakakolwiek jesteście—przyszł czas wejrzenia w siebie i przed siebie; przeżyliśmy się, misja nasza skończona, trzeba koniec położyć tej odrębności, trzeba wyjść z tych ścisłych granic, starym lemnieszem i szczerbatą karabelą zakreślonych! Inny urząd społeczeństwa nowe żywioły powołuje do równego życia, do walk, do samoistnej pracy. Z przodowników trzeba przejść na szeregowców. To, co było—niech się święci po wiek wieków, ale niech odtąd zostanie tylko pamiątką, a nie przywilejem jednej części, jednej warstwy, jednego pokolenia.

Nie łatwo to było, zwłaszcza gdy się samemu nosiło Jastrzębia w herbowej tarczy—nawoływać do odwrotu; przekonywać, że odtąd równe prawa i równe obowiązki ciążyą na wszystkich, że społeczeństwo nie może być jakimś konglomeratem bez jednolitej spójni, któryby na pospolity gruz pokruszyć się dało, że dlatego potrzeba uznać nowe, szersze hasła równości i braterstwa: zająć uczciwe miejsce, gdzie się da—w organicznej pracy, a pozbyć się starych przesądów kastowych. Trzeba było pokazać nacznie, do czego upór doprowadzić może, czem się skończyć musi to trzymanie się nieuprawnionego dłużej stanowiska, ale nie można też było kopnięciem nogi rozwałać pruchniejących podstaw dawniej budowy. Trudność niełada, zaparcie się wielkie, odwaga nie mała;—zdobył się na to wszystko Kraszewski, mówiąc:

„Szlachta u nas miała wieki zaszczytnego posłannictwa, które przeżyła, rosnąc w siły i skarbiąc sławę krwią; miała żywot wyrobiony, odrębnie, oryginalnie, po-

ciągający barwami, jakie przybierał, lecz misja jej wyłączna, przedłużana sztucznie, skończyła się wreszcie.“

Dla odwrócenia strasznych skutków zepsutego, osłabionego organizmu społecznego, potrzeba było ratunku, wiania weń nowych sił żywotnych. Nie wszyscy to, niestety—zrozumieć u nas chcieli. Ścierały się też z sobą dwa prądy w społeczeństwie: jeden konserwatywny, uparty, pociągający wstecz, drugi postępowy, płynący ku nowym ideałom, równouprawnieniu, obalający stare przywileje. Nie mogło przyjść tak łatwo do kompromisu między dwoma obozami, a były to na nieszczęście prawdziwe obozy, nie stronnictwa, obozy walczące z sobą na ostre. Z postępem walki upór jednych, zaciekłość drugich zwiększały się. To, co miało się rozwiązać spokojnie, ugodowo, rozumnie—musiało przejść wszystkie niemal stadia domowej wojny. I zobaczyliśmy u siebie, nie widziane nigdy może u nas tak ostro zakrojone kontury arystokracji i demokracji, dworu i chaty, salonu i ulicy. Przyszło na końcu wzdychać do tego, aby ta szlachta miała choćby „rozum kmiecy“, jeżeli już nie można było przypuszczać, że kiedyś spełni się przecież „ten jeden tylko, jeden eurl“, o który poeta modlił się w psalmie natchnionym, i pogodzi z sobą braterskiem ręki uściśnieniem dwie rozłączone połowy społeczeństwa.

W *Siekierzyńskim*, i w wielu innych opowiadaniach, Kraszewski dotknął tej drażliwej sprawy szlacheckiej, chociaż, jak sam się przyznaje, „z boleścią, bo sprawa szlachty, wolącej umrzeć na stanowisku dawnym, niż żyć na nowym... była własną pisarza sprawą... domową, a rodzinną... a tak trudno się było dać zrozumieć i być rozgrzeszonym!“

Jakiegokolwiek były wady i przymioty naszej szlachty, pociąganej dzisiaj tak często przez rozmaitych powołanych i niepowołanych prokuratorów przed trybunał teraźniejszości—to pewna, iż nie miała ona podobieństwa ze szlachtą innych narodów, i daleko jej jeszcze było do owych feudalnych pańków, narodzonych w średnich wiekach, a dogorywających jeszcze w naszych czasach po szerokim świecie. Miała ona swą odrębną indywidualność, która wzbudzała sympatya nawet wtedy, gdy się zanadto rozbijała ta tradycyjna „natura szlachecka“, więcej krwi gorącej, niż wpływu umysłu podlegająca.

I kto wie, czy cała kwestya szlachecka ze swymi drażliwościami, nie miała u nas najgłówniejszego źródła w kwestyi oświa-

ty? czy we wcześniejszych rozjaśnionych umysłach panów braci po szlacheckich dworach i zaściankach nie byłaby też sama zabłysnęła myśl potrzebnej reformy społecznej, tolerancji i równouprawnienia, i wielu innych podobnych rzeczy? Może te „lby podgolone“ z fantazją zadzierały się dlatego tak w górę, że ich konieczność nie schylała częścię nad księgą... Mieliśmy oświatę i wielką nawet, względnie do pewnych epok, w jednostkach, ale na tem też poprzestawało wszystko. Potrzeba było aż naszych czasów, aby światło wystawić z pod korca, aby błysnąć w oczy zaślepionym i oświecić w okół nich całe, ogromne pole działań i obowiązków, ugięciem leżące. Dzisiaj trudnoby było nie przyznać, że wiele rzeczy zmieniło się na lepsze; idziemy na przód przy świetle zapalonych pochodni. O ileż dalej byłibyśmy zająć mogli, zapaliwszy ją u własnego ogniska przed wiekiem!..

W blasku oświaty i postępu przygasnąć musiały herbowe klejnoty; i dlatego to ów ostatni z *Siekierzyńskich* nie ma już w naszym wieku racji bytu. Dzisiaj taki pan Tadeusz, herbu Siekiera, zapatrzony li tylko w swoje genealogiczne drzewo, myślący tylko o przywróceniu dawniej rodowej świetności w jakikolwiek sposób, zatopiony cały w jednej tylko *idée fixe*: przez kolligację wysoką podnieść klejnot familijny—byłby wielonym anachronizmem, marą, żywym nieboszczykiem.

Dzisiaj nie wolnoby mu było żyć wyłącznie taką jedną myślą, odkroić swoje interesa tak skrupulatnie od sprawy ogółu i tylko pielęgnować własne drzewo genealogiczne, żeby nie uschło, albo nie straciło którejś z gałązek jeszcze zielonych.

Ktoby go widział w przebraniu, ukradkiem, pod obcem, mieszczańskim nazwiskiem, sprzedającego pieprz w sklepie koczennym, aby w ten kupiecki sposób dojść jak najrychlej do majątku, a potem odkupić rodzinny Siekierzynek, dawną rezydencją swoich praocjów, mógłby śmiało wzruszyć ramionami i z uśmiechem powiedzieć o nim: *mente captus*.

Jedyny potomek stariej szlachty, podupadłej, wysadzonej z własnej siedziby na bruk miejski, chwytając się tego rozpaczliwego środka dojścia do fortuny, mimo to, że go stare przesady wstrętem przejmują do kupieckiego stanu: wpada na dość oryginalny i niezwykły pomysł: przebiera się za kramarza i robi majątek w tajemnicy, a po kilku latach za uciulany grosz odkupuje ojcowską wioskę i szukać zaczyna żony,

uflny w blask starego, szlacheckiego herbu. Konkury mu się nie wiodą, aż za trzecim razem próbując szczęścia, już, już uratowałby ród Siekierzyńskich od wygaśnięcia, gdy najniespodziewaniej wydaje się tajemnica jego nowonabytej fortuny. W sam dzień zapowiedzianego ślubu, jeden z nieprzyjaciół Tadeusza zdradza ją przez zemsztę niedoszłemu teściowi, który odrzucił znieślawionego handlem i frymarkiem—szlachcica.

Wyborny to epilog, dramatyczny i przejmujący zgrozą, a cechujący—jak najdobitniej—wybujałe przekonania i przesady naszej szlachty, wynikłe ze zbyt wygórowanego pojęcia o swoim powołaniu i stanowisku społecznym.

Dla dzisiejszego pokolenia, praktyczniej pojmującego życie, wytrzeźwionego z tak zwanych mrzonek przeszłości, taki typ gasnącego szlacheństwa z epoki przełomu, wydać się może dziwaczny, nawet śmieszny dla tych, co nie chcą nic mieć *za sobą*, byleby tylko wszystko *przed* sobą mieć mogli. Mamy już dzisiaj więcej takich Siekierzyńskich, ważących pieprz i imbir za ładą sklepową, i nie tylko za ładą, ale na wielu innych polach, łokciem i miarką dorabiających się fortuny, lecz nie dla jakiegoś tam ideału, choćby bardzo osobistego, ale budzącego szacunek w każdym człowieku serca; mamy i dzisiaj potomków starych rodzin, zaszczerpionych w mieszczaństwo, tylko, że o wiele prozaiczniejszych, o wiele niższych, wyrzekających się starych tradycji rodowych, gotowych chętnie stary herb szlachecki wywiesić za godło kupieckie, byle tylko dorobić się majątku, dla niego samego. A o ile dawni Siekierzyńscy grzeszyli zbytkiem szlacheckości, o tyle ci nowsi grzeszą zupełnym jej brakiem; tamci żyli jakąś tradycyjną fikcją, ci wolą wegetować zmateryalizowani w bycie filiistrów, wygodnym, bezpiecznym, bez wszelkich aspiracji wyższych.

Może nam kto zarzucić zbytnią otwartość, ale nie zawahamy się wyznać, że gdyby nam przyszło wybierać między tym szlachcicem, udającym kupca, a tym kupcem, wyzutyk z szlacheństwa dla korzyści nowego stanu, skłonilibyśmy serce i rękę ku pierwszemu. A patrząc na tego ostatniego z rodu Siekierzyńskich, umierającego ze sromu i hańby, zabitego przesadą własnej kasty—upadłego w walce o stare przywileje, robi się nam bardzo, a bardzo smutno na duszy, gdy pomyślimy, że to ma być jeden z ostatnich już, co umieli tak silnie odczuć i ukochać zabytek rodzinnej

przeszłości i mieli jakąś wyższą, jakąś inną dumę i ambicję od wielu dzisiejszych pospolicich zjadaczy chleba.

Może i to jeszcze przemawia za *Siekierzyńskim*, że ma on ten sam urok, którym pociągają stare ruiny o zachodzie słońca, a jak słusznie powiedziano — zawsze silniej przemawiać będzie do duszy poetyczny widok gruzów wielkiego zamku, niż zbudowana z nich nowa... gorzelnia.

Siekierzyński tedy, z całą swą tendencją, z całą poezją swego upadku, jest jedną z najwybitniejszych postaci, jakie mamy w powieści społecznej; może on za długo żyje w utworze Kraszewskiego, może to nie dobrze dla dzieła sztuki, że autor każe nam od pradziadów śledzić dzieje jego rodziny, że go od kolebki do mogiły przeprowadza w naszych oczach, jak Dickens swego Dombeya, albo któregośkolwiek z innych bohaterów pełnej krwi angielskiej; możeby powieść skorzystała była na efekcie, gdyby była żwężlejszą, gdyby miała szybszą akcję i nie ciągnęła się przez długie lata; ale mimo to wszystko odkłada się książkę z dziwnym jakimś wrażeniem. Z oczu nie schodzi ta postać kontuszowa, szlachecka, zgnębiona i powalona na progu cichego dworku, po doznanych despekcie w domu narzeczonych, z gorączkowym płonieniem na twarzy, z rozwianym włosiem; nie można się pozbyć jego widoku. Widzi się go w tym weselnym stroju, bez czapki, leżącego na wschodkach domu, bez sił, składającego głowę na zbuntwiałem drzewie, które się nad nim wkrótce w proch rozsypie; widzi się, jak bezprzytomnie ręką szuka szabli u boku, której tylko bogata pochwa wisi jeszcze u tego pasa. W uszach brzmi skarga stolnika nurskiego, powtarzającego bezustannie nad martwem ciałem wychowauca: Ostatni z *Siekierzyńskich*, ostatni z *Siekierzyńskich*!...

I chciałoby go się w imieniu nowego wieku rozgrzeszyć słowami: *Requiescat in pace*!... za wszystkie jego własne i ojców jego przewinienia.

Siemiński, nader wybredny krytyk — pisał w swoim czasie tak: „W steku powieści naszych, ileż to jest, pozwalamy zapytać się takich postaci, co by miały swój żywotny i gruntowny organizm? Krom Paska, tego zapłodniacza licznie sypiących się tomów, braci Strawińskich, żyjących kontrastem, szczytnego księdza Robaka, kwestarza Chodźkowskiego i ostatniego z *Siekierzyńskich*, wyłączając Panie Kochaniku, który jest wyjątkowym oryginałem — zgoła oprócz tych kilku figur, nie mogących nam być odebranymi przez żadną literaturę — nie widzę na-

wet usiłowania, aby nowsze kreacje chciały się wzniesć do tej wysokości: owszem powieść, wpadłszy w niewłaściwe tropy, coraz więcej rezygnuje z niezbędnych warunków poetycznej kreacji.”

Nie zaprzeczy nikt, że *Siekierzyński* jest kreacją nawskróś poetyczną, a w rzędzie powieści Kraszewskiego jedną z najwięcej obywatelskim duchem natchnionych; tworząc ją wiedział dobrze, iż było wówczas zadaniem powieściopisarza, który patrzył na smutne upory resztek dawnego rzeczek porządku, aby przygotowywał nowy, i zwolna z gruzów oczyszczał pole do budowy. Nie uszło mu to bezkarnie, na sucho; jak każde śmielsze wystąpienie, drażniące cudze ambicje i przekonania, i *Siekierzyński* swoim jawieniem się ściągnął na autora wiele przykrości, wiele chwil twardych do przebycia, wiele wejrzeń nieprzyjaznych, potwarzy i ukłuc, i mściwych napaści.

„Malowano nas czerwono, mówi Kraszewski o sobie, czyniono z kolei czem można było najwstrętniejszemu... nieraz wyłączano z towarzystw, lub błotem i kamieniem karano za sumienne stanie przy prawdzie. W milczeniu znieśliśmy walkę o usamowolnienie włościan, zagajoną w *Latarni*, *Ostapie*, *Jarynie*, a zamkniętą *Kółkiem w płocie*, o stanowisko szlachty, o kwestyę równouprawnienia i tolerancji, które czytelnik znajdzie rozpieczętowane z tych lat, gdy się te zadania rozwiązywały... Czas sam porozplątywał te węzły, a często, gdzie my ręką własnych użyć do nich nie chcieliśmy, obca dłoń ze szkodą naszą je rozciągała. Powieść szła, jak plug, pierwsze podnosząc skiby, w pocie czoła... młując ręce i oblewając się potem... jak skromny parobek siadł później pod piecem zapomniana, a ekonomowi przyznano zasługę gospodarstwa i jakiego takiego urodzaju.”

Z wiekiem i doświadczeniem, Kraszewski zaczął realniej traktować kwestyę szlachecką, zwłaszcza od czasu, kiedy go studia nad wiekiem XVIII natchnęły historycznym poglądem na przeszłość narodu i znaczenie jego pojedynczych warstw; ale *Siekierzyński* pozostał zawsze typem odrębnym. Powtarzał się on tylko w odmiennych formach w niektórych późniejszych powieściach, przybrawszy więcej współczesnej, życiowej charakterystyki, wystudyowanej potem z mistrzostwem w takich figurach, jak książęta Bransey w *Mortuariu*. Kwestya, poruszona przez autora przed ćwierć-wiekiem, wyklarowała się w jego umyśle, zaokrągliła, nabrała wyrazistości; pojęcia rozwinęły się

i dojrzały jeszcze więcej, co musiało wyjść na korzyść formy i treści przedmiotu.

Z założenia i rozmiarów tej pobieżnej pracy musimy unikać szczegółów, dotykając zaledwie całości; a chciałoby się tak serdecznie zatrzymać dłużej przy tych szczegółach, chciałoby się jeden za drugim, choćby pierwszy lepszy, choćby na chybi-trafi, rozebrać, podziwiać, nacieszyć się nim, jak to dziewczę, któremu dano szkatułkę klejnotów do zabawy. I to ładne, i tamto, i to jeszcze ładniejsze, i nie wiedzieć, które wybrać, które lepiej ukochać. Wszystko ładne w swoim rodzaju.

Ale folgując sobie, musielibyśmy napisać dwa razy tyle, co wszystkie siedm powieści razem wynoszą; bo i jakżeżby można, mówiąc o *Siekierzyńskim*, pominąć zaraz pana stolnika nurskiego, albo któregośkolwiek z owych Wichułów, Pancerzyńskich, Urbanów, Filoktetów Józafatów i Atanazy! Toż to kopalnia cała typów i charakterów, których już dzisiaj ze świecą nie znajdzie więcej.

A niechby tylko pozostać dłużej przy tej parze starych, pocziwych sług, strzegących, jak dwa dobre duchy—ukochanego panicza, przy tym Macieju i Dorocie, wiecznie klócających się z sobą, a połączonych wspólnością uczucia i wierności dla Tadeusza. Jakież to wyborne dwie figury charakterystyczne: ten Maciej, mający manią do robienia tabaki z nudów, zrzedzący bezustannie nawet na samego siebie, i ta Dorota, pocziwa, prosta kobiecina, oddana cała na usługi szlacheckiego domu, który z jęj warzywa długi czas utrzymywać się musi.

Dzięki Bogu, oddalamy się coraz bardziej od tych czasów, gdy zawód praktyczny ubliżać się zdawał szlachectwu, ale i od tych ludzi jesteśmy coraz dalej, co jakby same dodatnie strony swęj epoki skupiali w sobie. Te małe, drobne zasługi, te ciche cnoty, które niby przywiązane były do pewnego stanu, do pewnych osobistości—giną gdzieś, nikną, a jeżeli są—to w kąciaku jakimś schowane tak, że się ich doszukać nie można.

Im mniejsza zasługa, tém głośniejszego dzisiaj domaga się uznania, im drobniejsze poświęcenie, tém większej spodziewa się likwidacyi. Idzie to jakoś na odwrót teraz. Otóż i jeszcze jedna zaleta Kraszewskiego, że wcześniej od innych umiał ocenić i podnieść tę wielkość małych zasług, że się dla nich w potomności o szacunek upominał. Stosu-

nek mocniejszych do słabszych, wyższych do niższych, ma w życiu o wiele mniej trzeźwo i jasno patrzących krytyków, dobierających właściwej miary do ocenienia tego stosunku. Kraszewskiemu przyznać należy, że był sprawiedliwym w tym względzie. W powieściach jego, obok przechowywania tradycyi, widnieje jeszcze szlachetna dążność podniesienia niższych warstw społecznych; prawda i to, że często dla względów artystycznych zanadto idealizował swoje postacie z ludu, że jego chłopki pozują czasami na heroiny romansu; ale on nie wszczepiał w nie sztucznie innej natury, on tylko odkryte w nich czynniki wzmacniał niekiedy, ubarwiał, rozwijał, podnosił, a czynił to z intencją i wtedy tylko, gdy mu chodziło o to, żeby taką jednostką pozyskać sympatyę dla ogółu, dla całego stanu, lub warstwy.

Zresztą i tego nie zawsze nadużywał; umiał patrzeć, szukać i miał szczęście znajdować to, czego inni palcem namacaćby nie potrafili.

Weźmy ot tego *Starego sługę*, który w r. 1851 inauguruje niejako oryginalny odcinek w „Gazecie Warszawskiej“ Ant. Lesznowskiego i przyucza czytelników „Gazety“ do zasmakowania w poważniejszej beletrystyce. Mamy przed sobą typ już wymarły, albo wymierający gdzieś na łaskawym chlebie, starego kamerdynera; jednego z tych przypadkowych członków rodziny, co to w każdym niemal domu znajdować się musiał, wrastając przez kilkadziesiąt lat wiernęj służby tak jakoś w organizm domowy, że bez niego starego dworu za nic wyobrazić sobie nie można, zupełnie jak starej komnaty bez zegaru z kukułką.

Taki stary Jan, czy Stanisław, przechodził ze swém państwem wszystkie dole i niedole, żył z rodziną, nie wychodząc ze swego stanu, nie porzucając swęj zależności. I wytwarzał się dziwnie oryginalny stosunek, dla nas dzisiejszych mający tém więcej uroku, żeśmy się przyzwyczaić musieli do złych sług i gorszej usługi. Gdybyśmy byli ciekawi tajemnicy, która takie stosunki zawiązywała, pomimo tego, iż na ich orzeczenie brakło praw i obowiązujących ustaw, to mamy tylko jeden talizman, spajający tak silnie ludzi różnego stanu, wieku i pochodzenia—serce.

Uczucie jest najsilniejszym cementem dla dusz ludzkich i ono to po wszystkie wieki bywało mistrzem człowieka i kierownikiem jego; ono najczęściej—nie powiemy zawsze, regulowało kwestye, którym żadna ustawa zaradzićby nie umiała.

Otóż tak działo się i ze starymi sługami;

nie grosz, nie chléb, nie zyski przywiązywały do pana,—ale uczucie, które z początku może było tylko instynktem, przyzwyczajeniem, lecz później wrastało w serca pana i slugi, i łączyło je bezwiednie, zbliżając do siebie.

Taki stosunek właśnie obrał sobie Kraszewski, jako temat do powiastki bardzo skromnej, z życia dworu wiejskiego na Polesiu, i zużytkował materiał wdzięczny niezmiernie, swoją prostotą i spokojem ujmujący każdego. Bohaterem,—nie, to zawiele, jak na *starego slugę*,—główną figurą powieści jest Stanisław Skiba, kamerdyner w domu sędziny Zackiej, a nieodstępny niegdyś, całowieczny towarzysz, rówieśnik i powiernik jej nieboszczyka męża.

Oto, jak go autor przedstawia: „Piękną jest każda ofiara, ale ofiara życia całego, zaparcie się siebie, poświęcenie nieustanne, złożone z codziennych drobnych a ciężkich posług, ponawiających co chwila ślub raz uczyniony ukochanym... najtrudniejszą jest pewnie i najmniej pospolitą. Uczyniona przez rachubę, bez serca, ofiara ta nie ma wartości; ale gdy ją podnosi uczucie, uświęca przywiązanie, jest to bezwątpienia najpiękniejsze, bo najskromniejsze z poświęceń. Życie całe Stanisława składało się z ofiar, ponawianych bez końca, nieocenianych wysoko przez niego, choć istotnie wielkich, z zaparcia ciągłego samego siebie i wszelkiej pamięci na los własny. Wcielił się on był w pana swego, potem w jego rodzinę, przrósł do niej i zapomniał o życiu odrębnym, własnym, żyjąc nią tylko.“

Któż nie przyzna, że taki sluga—to skarb w domu?... a trzeba widzieć, jak to Kraszewski oględnie szafuje tym ideałem, jak on go trzymać umie w granicach jego stanu. Jak mu nie pozwala wspiąć się za wysoko na jakiś niewłaściwy szczebel romansowego bohaterstwa, ale od początku do końca zachowuje w nim tę pokorę i prostotę prawdziwie *starego slugi*, człowieka z ludu, uszlachetnionego przez obcowanie z wyższymi od siebie w hierarchii społecznej.

Franecz nie byłby przeniósł na siebie, żeby takiego Skiby nie zrobić sprężyną jakiejś skomplikowanej akcji, nie przeznaczyć mu roli wybitnej, pierwszorzędnej w powieści, skoro już nadał jej jego firmę. Kraszewski pozwala mu zostać biernym cały czas i nie wychodzić poza normę, do której go nie uprawnia nadzwyczajnie. A przecież jakież to wielki charakter, jakaż to wzniosła dusza w tym starcu, który daje sobie połamać obie nogi, w obronie czci i honoru swój ukochanej panienki, porwa-

nął podstępem przez nienawistnego jej konkurenta!

Scena w lasku, gdy stary sluga rzuca się na uwodziciela, który gwałtem biedną dziewczynę uprowadza do powozu, aby ją wykraść i skompromitować zmusić do zaślubienia — jest nad wyraz dramatyczną.

Koła zgruchotały mu obie nogi, ale ból jest mniejszym od rozpacz Stanisława; on czuje tylko, że nie mógł uratować swój panienki, że nie może ścigać lotra; zbiczony krwią, samotny wśród głębokiego lasu, modli się ze złożonymi rękoma i z oczyma zwróconymi ku niebu, a modlitwa jego płynie tak gorąca, obłana krwią i łzami, że Bóg jej wysłuchać musiał—i wysłuchał...

Nie,—nie można obojętnie patrzeć na ten obraz, namalowany tak zwykłymi środkami, a tak przejmujący do głębi; chciałoby się potem razem z odbitą przez ukochanego Bolesława Justyną sklonić głowę ułoża tego *starego slugi*, kreślącego nad nimi spracowaną ręką znak krzyża z błogosławieństwem na całą resztę żywota.

Wierzmy, że takich Stanisławów niema już i na Polesiu, i nigdzie więcej; ale tym gorzej dla nas, bo może to dowód tylko, że i panów takich niema, którzyby takich sług godni byli.

Jak wszędzie, tak i w tej powieści, Kraszewski jest mistrzem rysunku i architektomiki; tylko tu umiarkowanię, niż gdzieindziej, dobierał środków, nie przeladował wdzięcznego obrazka figurami, ale te, które są — są świetne. Ci Boikowscy, mąż i żona, para jakich mało; on rządzi majątkiem rodziny i sprzeniewierza się rejestrom, ona rządzi mężem i sprzeniewierza się jemu — ale bez rachunku i wszelkiej odpowiedzialności. Oboje uważają tylko swój obowiązek, jako sposobność do eksploatacji i intrygowania. Ten ich folwark, z całą swą atmosferą, z całym urządzeniem, jako *pendant* do dworu — wyborny. Poznać w nakreśleniu każdego rysu rękę człowieka, który, sam będąc gospodarzem i dziedzicem, długo ocierać się musiał o te typowe figury rządców, skubiących za plecyma pauza, co się da, kradnących z nalogu, niemal z tradycji.

Poznamy później nieodrodných braci Boikowskiego i w *Interesach familijnych*, w *Złotém jabłku* i w *Komediantach*. Wszystko to jedna rodzina, podobna do siebie — kubek w kubek.

Jeżeli chodzi o tło powieści — to nie różni się ono od innych poleskich i wołyńskich obrazów. Szaro, płamisto, smutno... stosunki wstrętne, ludzie zepsuci, moral-

ność tandetna. Występuje tu przeważnie młodzież, której reprezentantem ma być Alfred Kalauka, kawalek wiejskiego awanturnika, co nie miał czasu i sposobności wyrósć na całego lotra, hulaka, utracysz. Autorowi wystarczyło opisać w kilku wierszach jego kawalerskie mieszkanie, aby go nam streścić całego: „Łóżko przepyszne, dywan na niém perski, broń liczna i ładnie w rodzaj panoplii powiązana; cybuchy, fajki, toaleta wykwiutna, ale popiołu cygarowego pełno wszędzie, woda nalana w pośrodku, tytuń rozsypany na łóżku. pieniędzy garść w szufladzie otwartój, głowa cukra rozplatana na lavabo, funt herbaty w kąciku na przymurku, a Jagoda (Kozaczek Kalanki) gospodarzy, cygara kradnie, obładowuje niemi kieszenie i, poglądając ku drzwiom, zabiera się nawet do pieniędzy.

Po cóż mamy iść dalej?... tak wszędzie.

W kredensie koczacy w elbika się zarzynają, opalając pańskie cybuchy i fajki; w stajni sztos i drużbart z gorzałką, na folwarku miód piją i grają w łaraona. W kuchni psy poczęły sztukę mięsa, a kucharz spity zasnął, głowę położywszy wygodnie na świeżo przyniesionych flakach.

Czy nie plastycznie, czy nie dosyć?... zdaje się, że po tém wszystkiem można z głębi duszy zawołać: „Niechby sobie zresztą dostatek i ostatek lichu brało i topniały resztki majątku; ale spojrzeć na tych młodzieńców, na ich siły źle nżyte, na zabite w zarodku zdolności, na zmarnowane talenta, na czas tak marnie stracony, ciężko nie westchnąć, trudno nie zapłakać!“

Jest tam wprawdzie i antyteza w postaci Bolesława Wilczka, przezywanego *poetą* w sąsiedztwie, co dla gospodarza ma być uchybieniem niełada; ale poznać w nim na pierwszy rzut oka, że to coś z rodu Grabów, coś—co w rzeczywistości jest jeszcze likeyą, wstawioną umyślnie do obrazu, aby nią rozjaśnić ponury koloryt.

Mimo to wszystko, gdyby nie tak dawno temu, jak autor powiada—możnaby się wybrać myślnie na to zapadłe Polesie po przeczytaniu *Starego sługi*, choćby dla odzyskania grobu Stanisława, nad którym pewnie płakać musi stary opój Jan, odmawiając po pijanemu pacierze; choćby dla zobaczenia téj Zapadni z całą rodziną Jochima Moszkowicza Rejsa, karczmarza jakich mało, albo typowego Zimory, stróża, mającego jakieś dziwnie pokrewne podobieństwo z Maciejem w *Siechierzyńskim*; choćby dla tego, aby się przekonać, czy się co na le-

psze nie przemieniło, bo już na gorsze — niechaj Bóg uchwala!

*

Załatwiliśmy się z połową powieści cyklu wolińskiego.

Zostają nam jeszcze trzy i to największe pod względem objętości, ale podobne do siebie z charakteru, w którym się bardzo wyraźnie wpływ romansu francuzkiego przebijają. Najmniejszą w *Złotém jabłku*, największą w *Interesach rodzinnych*.

„Nie wiem, czy się to godzi, takiego powieściopisarza karmić taką, jak moja, powieścią“—pisze Kraszewski w dedykacji do Józefa Korzeniowskiego, poświęcając mu te nieszczęsne *Interesa rodzinne*.

Powiedzieliśmy „nieszczęsne“, bo nikogo nie uszczęśliwiły tak bardzo: ani autora, na którego ściągnęły zarzuty niemoralności, ani literatury powieściowej, która mogła je sobie zastąpić tłumaczeniem francuzkiego romansu, ani czytelników, którzy zachłysnąć się nieraz musieli atmosferą gabinetu Kasztelanica, będącego główną osią powieści.

Mamy w szerokich ramach obraz jednej licznie rozgałęzionej rodziny, której najstarszym i najbogatszym reprezentantem jest wstrętny i odpychający rozpustnik Kasztelan Stanisław z Zawila Zawilski.

Chodzi o sukcesyją, o spadek milionowy, który familia stara się zabezpieczyć sobie i uratować przed intrygami faworytów starca; zabiera wszystko ten z krewniaków, co najmniej o to się troszczył, nieboszczyka nawet osobiście nie znał, nigdy mu nie nadskakiwał i więcej wart był od innych. Dzieńdziej Hieronim Zawilski, najuboższy, ale i najgodniejszy fortuny. Reszta odebodzi z kwitkiem.

Wszystko uszłoby jako tako, gdyby nie ten Kasztelan, trup galwanizowany siłą woli, wielony egoizm, cynizm, niedowiarstwo, widmo Stanisławowskiej epoki, dyszące resztkami namiętności i umiłowania nade wszystko życia. Sprośny, rozwiązy, epikurejczyk, nad grobem jeszcze folgujący niewygasłym chuciom—słowem potwór pudrowany, we fraku i żabotach, zgniły moralnie, przesiałknięty na wskrós wszystkiemi zepsutemi sokami wieku, w którym mu się wychować przyszło.

Dać mu koronę na głowę i berło w rękę, a byłby może z niego drugi Ludwik XI.

I z takim-to człowiekiem, którego życie było i jest szkołą zepsucia, experimentem

niemoralności we wszystkich kierunkach natury ludzkiej aż do zezwierzęcenia, z tym wrzodem swego społeczeństwa, który przeszło dziewięćdziesiąt lat wzbierał—musimy przestawać prawie bezustannie przez całe cztery tomy długiej powieści.

Podczas czytania to nie jeszcze, ale po przeczytaniu dopiero zaczyna nas przesładować, jak widmo, jak zimora; omal, że się nie śni w nocy.

I ten jeden człowiek najszkaradniejszy, najmniej zapewne wart ze wszystkich ujemnych charakterów Kraszewskiego, ten wpija się nam w umysł tak, że nie oprócz niego z całej powieści pamiętać nie chcemy i nie możemy.

Jakgdyby całe cztery tomy tylko dla niego były napisane, dla tego, który jest okropną anomalią ludzką!—ale bo tak jest... Kasztelanie jest wszystkiem, pomimo tych kilkudziesięciu osób, grupujących się obok niego—w powieści. Wystaje on z ram obrazu z takim optycznym złudzeniem, jak owe cienie, co to występują z płótna w ciemnej komorze i rosną w oczach patrzącego do ogromnych rozmiarów. A przecież mamy jakiś żal do autora, że ten portret tak pochwytnie, z taką realną prawdą, z takim mistrzostwem rysunku i kolorytu odmalował. Ma on być naprawdę portretem z datą około r. 1850; a całe *Interesa familijne* to „obraz Wołynia i Polesia wołyńskiego przed trzema dziesiątkami lat.“ Dzisiaj podobno—jak sam autor przypuszcza, nie znajdzie tam więcej ani owych Zawilskich, ani Pobiellów, którzy w jego obrazie światło przedstawiać mieli. Radykalne zmiany stosunków przyniosła ta ćwierć wieku, która za cały wiek liczyć się może.“ Straszne to wszystko!...

Doczytując ostatniej kartki, przychodzi nam na myśl pytanie: czy warto było tyle talentu, tyle artyzmu poświęcić dla tego utworu? czy nad owym Kasztelanem nie należało raczej zrobić krzyżyka, jak nad zapowietrzonym i pogrzać go, jak się zapowietrzonych grzebie, od zdrowych ludzi zdaleka, aby nie zatruli swemi wyziewami?

Szukamy i trudno nam znaleźć cel w napisaniu tej powieści; jest tylko jeden: osiągnięcie szczytu w artyzmie powieściopisar skim. Jeżeli tak, to się autorowi najzupełniej udało; cóż-to za prawda w tych ludziach, co za wykończenie szczegółów, co za przepyszna faktura, jakie sceny, jakie życie, a jaka różnorodność i doskonałość typów!—a jednak nie każdemu byśmy śmieli zalecić *Interesa familijne* do odczytania. Dla znawców sztuki jest to osobne muzeum ży-

wych figur, ale muzeum, do którego wstęp dorosłym, i to mężczyznom, dozwolony.

Na szczęście w bibliotece powieściowej Kraszewskiego znajdują zbyt bojne wynagrodzenie wszyscy ci, którym *Interesów* do rąk nie dano, i nie tracą wiele na tém, że ich ominęła sposobność poznania takich kobiet, jak Aniela, pani Tryze, albo Sobocki i Jaś, lub Terminiński. Szkoda tylko, że takiego pięknego dworku i takich miłych ludzi, jak Żmurowie, dziadunio Dymitry, albo rodzina Pobiellów—nie zobaczą, bo o takich samych dość trudno—nawet u Kraszewskiego.

Jakby dla zrównoważenia wrażeń, wywołanych *Interesami familijnymi*, autor najbliższą z kolei stworzył powieść, nazwaną *Złotem jabłkiem*.

Chcąc powiedzieć, o co w niej chodzi, nie potrzebujemy dużo słów dobierać, chociaż to powieść czterotomowa. Mieszczańska rodzina Bałów, ulegając sielskim zachęciom ojca, które się w nim dość późno obudziły dopiero na wiadomość, że pochodzi ze starej herbowej szlachty—wynosi się na wieś, aby żyć po obywatelsku. Wieś ma być „złotem jabłkiem“, — tak przynajmniej wmówił w Bała dawniejszy jej właściciel, pan hrabia Jan Bracisław Sulimowski. *Złote jabłko* okazuje się gułką bardzo lichego gatunku, przecenioną w trójnasób. Biedny Bał, co pracą dorobił się majątku na dwóch sklepach korzennych—musi teraz srogo odpokutować swoje szlacheckie fantazyje, jako właściciel dóbr ziemskich. Ta obywatelska zabawka nadszarpunęła mu fortunę, — oto zresztą mniejsza; majątek nie jest jedyną ambycją pana Bała, w którego szlacheckie pochodzenie, chcąc nie chcąc, trzeba uwierzyć, widząc to, co on robi i jak robi. Ale przykrości są większe; zmiana sfery daje się dotkliwiej uczuć, niż wszystko inne. Przychodzi walczyć z zaściankową zawiścią, z uprzedzeniami sąsiadów, oganiać się jak od moskitów, od plotkarzy i oszczerców.

Ten najpoczeiwszy z ojców i mężów, człowiek—choćby do rany przyłóż, pełen szlachetności, dobroci, najlepszych chęci dla każdego, ten poczeiwoz, coby sobie buzi dawał z całym światem, wszystkim wrogom swoim gotów pierwszy podać rękę,—znosić musi krzyż Pański, i za co? za to, że go opauowała najniwieńniejsza mrzonka szlachecka, której nikt wyrozumieć, a co gorzej, nikt wybaczyć nie chce.

Ma on w sobie coś ze krwi *Siekierzyńskiego*; chodzi mu, jak tamtemu, o uświetnienie imienia Bałów i odpolerowanie starej tarczy herbowej; ale on nie zapiera się

tęgo, że był i jest porządnym, hurtownym knieciem warszawskim, zamożnym, że na swoje miliony musiał ciężko pracować; on nie może pojąć, co właściwie w tym złego, że ma dwa sklepy korzenne i majątek, a teraz zachciało mu się skosztować złotego jabłka, bo się w nim apetyt jego przodków, owych Balów z Balogrodu, obudził.

I ten biedak za to tylko—pokutować musi; on, co zaszczytniej od wielu dobrze urodzonych pojmuje swoje *szlachectwo*, bo jako synonim *szlachetności*; co nie może zrozumieć, aby ktoś mógł być hrabią i oszukiwać, frymarzyć, lub żyć podstępem i fałszem, zostaje przyjęty w nowej sferze, jak prosty intruz, przed którym zamykają drzwi sąsiedzi. Na nim, na potomku Balów z Balogrodu, mści się przesąd jego praocjów!

Dochodzi do tego, iż on, który nigdy w życiu Balzaca nie czytał, musi z doświadczenia własnego przyjść do przekonania, że: *le-i-bas, rien n'est complet que le malheur*; a gdyby nie był szlachcicem, to mógłby znienawidzić wieś, szlachtę, wszystkich hrabiów, wszystkich chłopów i powróciłby za swoją ladę sklepową przy Bieleńskieji ulicy, postanawiając prawnikom swoim pod utratą błogosławieństwa przekazać, aby pozostali w mieszczańskim stanie i nie marzyli nigdy o wzniesieniu się w wyższą sferę. Ale Pan Bal jest podobno Gozdawitą, i dla tego pozwala się tyranizować, a nawet po trosze, bezwiednie może—tyranizuje tą swoją manją obywatelstwa ziemskiego całą rodzinę. Doskonale sobie jest ten w kupcu obudzony szlachcic z swoją niezaradnością w nowym zawodzie, ze swojemi złudzeniami, naiwny mieszczanin, ale wcale nie śmieszny po mieszczańsku. Gdyby cała burżoazja taką była, jak on—miasta byłyby rajem.

Dziwnie ta sympatyczna postać, od początku do końca ma jakiś swój odrębny urok, jakąś czystą, pogodną, zdrową atmosferę uczciwego człowieka około siebie. Może to w tym tajemnica tego, że Bal jest z krwi i kości przeciętnym typem naszego „pana brata“ z tą swoją naturą miękką, uczuciową, popędliwą, szczerą, i otwartą, łatwowierną i pocziwą; możnaby mu chyba zarzucić, iż się nie nazywa Stanisławem, lub Kazimierzem, ale tak jakoś nie po polsku: Erazmem. Dwór jego w Zakalu musiałby być jednym z najprzyjemniejszych na Wołyniu; prawie żal bierze, że ani on, ani jego żona i dzieci nie mogą ożyć na kartach powieści; że się ich wszystkich uściśnąć nie może po przyjacielsku i po-

cieszyć w tém otoczeniu tuzinkowych charakterów i przykrości niezasłużonych.

Nie dziwny się wcale, iż autor „po dwudziestu przeszło latach przeczytał swoje własną powieść z przyjemnością“ i przyznać mu musimy, że jest ona bardzo prosta w pomyśle i wykonaniu, jako obrazek, w którym więcej prawdy, niż sztuki; a może dlatego, iż się nie starano o wielce kunsztowną jej budowę, że wzorowano z natury, zająć potrafi czytającego i przemówić do jego serca silniej od wielu innych.

Nawet ogólne tło powieści trochę odmiennie, trochę jaśniejsze; to sąsiedztwo Zakala nie takie bardzo złe, więcej złośliwe, próżne i śmieszne. Wyklóciwszy się z nimi, możnaby nawet dość znośnie żyć w tym kątku, byle nie na stopie bardzo poufałej.

Jedną z najmniej sympatycznych a najwięcej ujemnych figur jest hrabia Bracisław Sulimowski, zbankrutowany arystokrata, pyszałek, oszust, wyyskujący niedoświadczenie i łatwowierność mieszczańską Bala. Stanowi on w powieści niejako przeciwieństwo tego zacnego mieszczanina, w którym pod nową formą odrodziło się prawdziwe szlachectwo rodowe. Sulimowski jest szlachcicem z herbów, z pozorów, z sygnetu na palec, z tytułów, z pretensyi wielkoświatowych; Bal jest karmazynem wobec niego z ducha, i charakteru, i instynktów. Nie można się wahać w przyznaniu tarczy herbowej jednemu z nich; powinien ją nosić ten kupiec korzenny, którego przodkowie byli, czy nie byli Gozdawitami, ale to pewna, że on więcej wart od wszystkich hrabiów z rodziny Sulimowskich, frymarzących dla grosza wszystkiem, nawet honorem, nawet swoją błękitną krwią.

Robiono zarzut wielkiemu naszemu powieściopisarzowi, że zanadto ciemno maluje wyższe warstwy towarzystwa, że jest pesymistą w swoich poglądach na arystokrację. Byłoby to słusznem zapewne, gdyby ten sam autor, który napisał *Dwa światy* i *Komedjantów*, nie był później stworzył *Morituri* i *Resurrecturi*. Nie jest to wcale dowodem stronności, że Kraszewski wyciągał pod pretekst złych reprezentantów arystokracji i tak ostro, tak dotkliwie biczował ich wady i ujemne strony charakteru; umiał on ocenić i wydatnić wartość i znaczenie tych, którzy na to zasługiwali. Ze stawał wyniośliwszy dla nich, niż dla innych, to słuszna.

„Wyższość umysłu, siła ducha, powinna być znamiennem arystokracji, bez niej nie ma tylko nadużycie i przesąd,—pisał jeszcze

w swoim *Prawdziu*. Gdzie tylko panowie stracili wyższość tę, gdzie przestali spełniać misję, daną im przez Opatrzność: prowadzenia niższych od siebie do umysłowej, duchowej wyższości, tam, jak u nas, domy ich pustką, herby gniazdami wróbbli, ród pośmiewiskiem, a groby oplwane.“

„Chcecie żyć?—wołał do nich z głębi serca,—stańcie na miejscu, to jest na przykład! Pracowaćby wam potrzeba, poznać błędy swoje, oziębłość, zastygnięcie, rozwiązłość, płochosć i dumę, uderzyć się w pierś i powrócić z pokorą do dawniej misji: wieść braci do udoskonalenia moralnego, przykładem, czynem i ofiarą. To da wam nowe życie. Dziś żyjecie tylko sobą i dla siebie, odcięci od reszty społeczeństwa, trupem jesteście i zgniście.“

Trzydzięści lat temu, gdy Kraszewski pisał te słowa, a czytając je dzisiaj zdawać się jeszcze może, że atrament na nich nie zasechł. Można by, nie wytykając palcami, zapytać ogólnie: „Potomkowie naszej szlachty czego uczą tych ubogich, których do siebie biorą i płaszczem łaski okrywają? Najgorsi uczą ich kart, rozpusty, próżniactwa i szyderstwa, dumy i zarozumienia; najlepsi — uczą robić cukier burakowy!.... Cukier jest rzeczą doskonałą, ale nie prowadzi do niczego, krom pieniędzy.“

Nie mówi się takich słów bez bólu i gorczy, ale jakżeż milczeć?... Prawda, że czasy się zmieniły, że przybyło więcej wyjątków dobrych, wyższych, szlachetniejszych, ale społeczeństwo czy kasta nie może być uratowana, jak Sodom, dla dziesięciu sprawiedliwych.

Totus mundus agit histrionam, powiedział Plaut, a Kraszewski te słowa położył jako motto na ostatniej powieści, nad którą jeszcze zastanawiać się mamy;—tylko, że ten *totus mundus* w *Komediantach* ogranicza się bardzo, zmienia się w jedną sferę,—to nie cały świat, to tylko ten, który słusznie, czy nie słusznie, pozwoliliśmy sobie dotychczas nazywać „wyższym“. *Komediantami* tu właściwie są sami ludzie dobrze urodzeni, utytułowani, sami hrabiowie. Pan Zygmunt August Dendera, Sylwan syn jego, Cesia córka, hrabina Eugenia żona, druga hrabina Czeremowa, jej matka, to jedynie ważniejsi aktorowie, to właściwie jedna tylko rodzina histrionów.

Wszystko to arystokracja najczystszej

krwi, z pochodzenia, z tytułu, z pozycyi i majątku. Niema w nich nawet ani krztu tej śmieszności, jaką ma niekiedy Sulimowski w *Złotém Jabłku*, pyszniący się ciągle wysoką parentelą i świetnością swego rodu. Ci nie mówią nawet o tem, bo to już samo przez się rozumić trzeba, ale natomiast o ile gorsi są oni wszyscy od tego pana Bracisława, który nakrzywdził wprawdzie wielu w swém życiu, lecz na śmiertelném łożu wyznał wszystkie winy i zbrodnie, rozdał cały majątek, aby ulżyć sumieniu i zakończył życie w skrusze za grzechy.

Denderowie zaś, gdy się spotykają za kulisami między sobą, nie ukrywają wcale swych zamiarów, planów, podstępów, knują wspólnie spiski na cudzą kieszeń, na cudze szczęście; tylko na scenie nie wypadają nigdy z roli, jak dobrym komediantom przystało. Sztukę udawania posiadli wszystką, hipokryzję, jak sztuczna maska, przyrosła niemal do nich,—nie zedrzyć jej z duszy, jak nie wygładzić tego słodko obłudnego uśmiechu z ust typowo zakrojonych.

Jeżeli gdzie, to w *Komediantach* Kraszewski najczarniejszych użył kolorów do odmalowania sfer arystokratycznych; ale kto zdobędzie się na zarzucenie mu fałszu, kto się ośmieli nazwać takich Denderów karykaturami?... Pewnie nie ten, co się choć trochę otarł o owe wyższe sfery. W rodzinie hr. Zygmunta Augusta,—zapewne, że dość wyjątkowej — zepsucie i wszystkie ujemne strony charakteru, wychowania, moralności, występują wzmocnione, spotęgowane. Nie można przypuścić nawet, aby wszyscy hrabiowie byli takimi, bo nie brak nam na szczęście innych, i to bardzo odmiennych; ale że w tej arystokracji i tylko w niej, tego rodzaju Denderowie znajdować się mogą, w to uwierzyć można najzupełniej. Warunki życia, atmosfery, wychowania, stosunków, składają się najczęściej na wytworzenie takich indywidualności, takich komediantów na scenie świata, zmuszonych od dzieciństwa wszystko pojmować konwencyonalnie, grać rolę, jaką przypadnie, przyzwyczajając się do kulis salonu i zadawałać jego atmosferą.

Jeżeli niema wielu takich Denderów, sprzedających własne dzieci, własną żonę i cześć mężowską, wyzyskujących wszystkich i wszystko dla uratowania przed światem pozorów, utrzymywania *à tout prix* towarzyskiej pozycyi — to natomiast niezawodnie znajdzie więcej podobnych Sylwanów, próżniaków, indyferentów, zdemoralizowanych paniczów, bez celu w życiu, bez wytkniętej

drogi obowiązku, polujących na bogaty posag, za który daloby się korzystnie sprzedać swą hrabiowską koronę wtedy, kiedy odzłocenia zapotrzebuje. Rachuba, kaprys co najwięcej, zamiast uczucia, nerwowość zamiast namiętności, żadnych wyższych, szlachetniejszych aspiracji, życie dla użycia, marnotrawstwo sił, młodości, talentu, majątku, ojcowizny — oto wszystko, a bota i zarozumiałość, pewność siebie i przekonanie o jakiejś przyrodzonej wyższości w każdym czynie, na każdym kroku.

Kraszewski, malując w tak niekorzystnym świetle znaczną część arystokracji, chciał jej powiedzieć niejako:

— Patrzcie: tak się nam przedstawiać, żądamy od was więcej, niż od innych, boście więcej posiadli. Uważacie się za lepij urodzonych, za szlachetniejszych, chcecie dowieść wyższości swój rasy — to nam jej dowódźcie czynami, nie formą bez treści, nie konwenansem, nie nadużyciem. Gdy nie potraficie umoralniać z swych wyżyn, to nie demoralizujecie przynajmniej; do tego nikt, a najmniej wy panowie, nie ma prawa, ni przywileju. Nie chcecie schodzić w tłum i swego *forum* kalać źle urodzonymi — to nie schodźcie; ale w maskach komedyantów nie puszczajcie się za lekką zdobyczą, lub dla płochj zabawy na tę samą ulicę, na którą z wysokości swego balkonu splunąć jesteście gotowi. Macie dumę hidalgów, miejcież i ich nieskalane ambicje. Jesteście wychodowanym sztucznie kwiatem społeczeństwa, miejcież nie tylko świetniejsze barwy, ale i woń świeższą, a nie zatrważającą. *Noblesse oblige!*... Są tacy, którzy pojąć nie mogą, dlaczego hrabiowie, lub książęta mają być, pod względem moralnym i obywatelskim, lepszymi od innych śmiertelników, kiedy honor, uczciwość, moralność, użyteczność są dla wszystkich jednakim obowiązkiem; słusznie — ale dlaczegoż w takim razie ci sami hrabiowie, czy książęta, mają mieć wyższe prerogatywy w hierarchii społecznej, dlaczego należy przyznawać im przywileje, których niczjm podtrzymywać i okupywać nie chcą, lub nie umieją; żądają pretensya w takim razie do większej pobłażliwości?...

Nie wątpimy, iż wśród najwyższj arystokracji znajdują się jednostki — i coraz liczniej znajdować się będą, które bez tój pobłażliwości obić się mogą i przed sprawiedliwym sądem opinii z podniesionj czołem się ostoją. Nie wątpił o tjem i Kraszewski, pisząc *Komedyantów*; a że ocenić, jak należy, umiał tę prawdziwą *noblesse*

arystokratycznj natury i charakteru. do-
wiódł w późniejszych swych utworach.

Życzyć wypada, aby wśród naszych hrabiów — taka zdegenerowana rodzina Denderów wymarła jak najrychlej bezpotomnie, i zdaje się, że taki los spotkać ją musi, bo przedzj, czy późzj, zabraknąć jej powinno soków żywotnych razem z materyjalną podstawą, którą własnymi nogami zdruzgotała. Kto cały blask swego rodu utrwalić chciał w pozłocie hrabiowskij korony, czy mitry książęcj — a w niczj innj, ten zgasnąć musi z chwilą, gdy ta pozłota się pokruszy. Wielka część arystokracji rodowj nabiera dzisiaj warunków bytu arystokracji pieniężnej. Spadnie z herbu dukat, pozostanie plama. Upadek takiego rodu, jak Denderów, nie będzie miał w sobie nic tragicznego.

Zygmunt August, strwoniwszy z całą familią bogatą fortunę hrabiowską, nie przestaje grać komedyi. Katastrofę i upadek według jego teorii sprowadziły dwie przyczyny: jego nieposzlakowana (?) uczciwość i spiski ludzi, nienawidzących ostatniego potomka wielkij i możnej rodziny!...

Ale czas nam zmierzać ku końcowi; — powróćmy do powieści.

O ile autor w hrabiowskij rodzinie zebrał niesympatycznych i ujemnych rysów, o tyle starał się zrównoważyć je innymi figurami. Jako przeciwstawienie, zbyt pretensjonalnie Zygmunt Augustem nazywającego się hrabiego, postawił nawskróś czystą i pocziwą postać szlachcica, rotmistrza Kurdesza, i między jego skromnym dworkiem w Wólce a pałacem w Denderowie nawiązał nie intrygi, płaczącej się przez cztery tomy, z początku dość zwyczajnie, późnjej wszelako w sztucznie nawiązanych węzłach i namotanjach.

Powieść właściwie składa się z dwóch połów, pomiędzy którymi twórczość autora rok cały odpoczywała. W pierwszj szło jeszcze wszystko jako tako, chociaż trochę leniwie, w drugiej scena się zaludniła, akcja ożywiła, zagmatwała, powieść nabrała interesu, ale i efektów dość nieswojskich, jak cała historia tajemniczj Eweliny, którą Sylwan ni ztąd ni z owąd spotyka na drodze do Warszawy, dokąd jedzie z zamiarem upolowania sobie posagu, z żoną w dodatku. Cała druga połowa *Komedyantów* traci wiele charakteru swojskij powieści, a traci zbyt francuszczyzną.

Kurdesz i Franja, jego córka, z ochmistrynią Brzozosią, najsympatyczniejsza trójka; ludzie to naturalni, prości, nie umiejący udawać, ani kłamać, nie wznoszący się wiele ponad poziom zwyczajnych, ale dodatnich cha-

rakterów, które tém bardziej odbijają od swego otoczenia, gdy się obok nich widzi ciągle ciemne sylwetki Denderów. Pośrednikiem pomiędzy temi dwoma światkami jest Wacław, kochany przez Franję, wabiony przez hrabiankę; z początku zakrawa on na artystyczną naturę; później, gdy odziedzicza milionowy spadek, zmienia się w dość pospolitego młodzieńca. Charakter jego nierówny, chwiejny; stoi on jak słońce między dwoma słońcami i zwraca się to ku hrabiance, to ku wiejskiemu dziewczęciu, a może w głębi duszy ukrywa jakąś małą passyjkę dla melancholicznej Eweliny, której tak żywo przypomina dawnego kochanka, że ją prawie swoim widokiem o utratę zmysłów przyprowadza. Chwalić mu tego nie można, ganić bardzo nie trzeba, boć on nie stanowi głównej figury w powieści, na bohatera się nie wprasza, komedii grać nie umie, ani potrzebuje, a że się w końcu zdobywa na stałość dla swojej Franji, którą zaślubia po śmierci Kurdesza, to wcale pięknie i szlachetnie z jego strony.

Młody pan hrabia Sylwan, *par excellence* karyerowiec wielkiego świata, kończy gorzkiej od papy, boschodzi na karciarza, ale dystygowanego, z firmą zakrytą; wyrabia sobie stan nie objęty żadną klasyfikacją, żyje wszelako dosyć znośnie, jako pasożyt tej sfery, w której tacy panice do ubrania salonu nadają się zawsze, jak piękne, bronzowe kandelabry. Spotykaliśmy sami niejednokrotnie podobnych Sylwanów, grających komedią, która nie tylko była już żywiołem ale i środkiem ich exystencji.

Wyższe towarzystwo posługuje się nimi, jak liczmanami przy grze, które udają pieniądze, choć żadnej wartości nie mają.

Pod względem artystycznym w *Komedyan-tach*, jak wszędzie, znajdzie łatwo wiele scen pięknych, z życia wykrojonych, oryginalnych i poetycznych.

Jakito pyszny jest ten stary Kurdesz, na łożu śmierci zachowujący jeszcze tę równowagę uczciwego człowieka, co się ze świata wybiera, jakby się wyprowadzał do drugiej wioski, i dysponuje po gospodarsku, co zrobić należy.

— Kłopotu mieć nie będziecie ze mną, powiada — bo to się człowiek nie od dziś na tę podróż gotował. Oto za tym kłuczykiem jest pięć ruloników z pieniędzmi, w kufle znajdziecie światło jarzące, w skrzyni jest żółte dla bractwa. Do karawanu zaprzędz stare moje konie; tylko, żeby mi ten hulłaj Hrycko w dyszel deresza się nie ważył zaprzęgać, bo jakbym widział, w bramie cmen-

tarzowej się zatnie i kłopotu narobi, a narowisty, że go nie przepierze.

Słowa te w w ustach innego człowieka mogłyby się wydać w takiej chwili nienaturalnością, przesadą. — Kurdesz z pewnością tak umierać musiał.

Dziwna rzecz!... ale w *Komedyan-tach* dwie śmierci najlepsze robią wrażenie, najwięcej mają efektu; o ile pierwsza pewnym odcieniem jowialności nacechowana, o tyle druga głęboko dramatycznem przejętą uczuciem. Jest to śmierć księdza; ale co za śmierć!... Za tę jedną scenę w plebanii, gdzie umiera stary proboszcz, potłuczony i połamany, bo wracając późnym wieczorem od chorego, wywrócił się i spadł z wysokiego mostu — za tę scenę konania ks. Warela i jego głośną spowiedź z grzechów całego życia, można oddać całą powieść.

Wszędzie, gdziekolwiek u Kraszewskiego pojawia się kapłan — z małemi wyjątkami, jest on postacią wysoce moralną, piękną, często podniosłą, a zawsze pocziwszą od innych ludzi i namaszczoną jakimś stygmatem cichego poświęcenia dla chwały Bożej, dla dobra współbłżnich. Cokolwiekby powiedziano o stosunku Kraszewskiego do kościoła, nikt mu zarzucić nie śmie, aby działał na szkodę wiary swojej, lub czyjejkolwiek; aby nieopatrznie rzucał się na formę nie odróżniając jej od treści.

Pomimo uprzedzeń do pewnych kwestyj, do pewnych sfer, stan duchowny i interesa kościoła były dlań nietykalnemi. Wiedział on dobrze, jak ostrożnie w tym względzie postępować należy powieściopisarzowi, nad którego dziełami nie wszyscy rozumieć zechcą, lub potrafia.

Taki ksiądz Warel, jako wielki, wyjątkowy w rzeczywistości, przykład enoty w powieści, nszlachetnia sobą czytelnika, różnych do naśladownictwa zachęca, budzi szacunek dla stanu, który go budzić powinien swą wyjątkową missją, i wskazuje ile w niej dobrego i szczytnego uczynić można.

Historja jego życia, to historia nawrócenia; opowiada on ją dlatego, aby złożyć dowód mocy Bożej, która z niewiernego nawet może uczynić narzędzie zbawienia dla drugich, jak to z niego uczyniła, — z niego, który bez powołania wdział sukienkę kapłańską i długi czas walczyć musiał sam z sobą, zanim się zwyciężył i nagiął do obowiązków.

— O bracia moi, — wola ten konający kapłan, — wiary! wiary nad wszystko nigdy nie traćcie, bo ją nie łatwo odzyskać, a kto

lekkomyślnie naraża się na niepowetowaną szkodę, jest jak zuchwalec, co wśród prochów z iskrą igra bezrozumną...

* * *

Przerzuciliśmy tedy ośmnaście tomów powieści obyczajowych, w ciągu jednego pięciolecia powstałych pod piórem Kraszewskiego. Nie mogliśmy w szczupłym zakresie tej pracy pokusić się o wyczerpującą pod każdym względem ocenę tych siedmiu utworów, nacechowanych odrębnym charakterem, żywotnością tendencji, śmiałością zdania i pięknem artyzmu. Wolno nam było tylko, jak w siedmiu tonach gammy — wydobyć w każdej jakiś dźwięk piękniejszy, jakiś oderwany głos wyróżnić z całego akkordu; pomijając inne, staraliśmy się wybierać same dominujące tony, nie mogąc rozwodzić się zbyt szeroko nad pełną harmonią każdego z dzieł wielkiego mistrza. Miłujące serce jego, jak posąg Memnona odzywało się tym, lub owym dźwiękiem, odpowiednio do tego, jak w nie padał promień słońca, krążącego po horyzoncie społecznego żywota. Mało który z pisarzy umiał tak trafić podchwytywać tętna swojego wieku, jak Kraszewski; niby lekarz, badający cho-

ry organizm, z przytulonym uchem do jego piersi, słuchał — a co w nią zasłyszal, spisywał wiernie niestrudzoną ręką.

Nigdy niebył w rozdźwięku ze swoim czasem i otoczeniem i tym się tłumaczy według nas — ten nieprzeparty wpływ, jaki przez pół wieku bezustannie zdołał na trzy pokolenia wywierać.

Wyznajemy z dumą, że należymy także do tych licznych, którzy na jego książkach czytać, myśleć i czuć się nauczyli, więc tém pochopniej, choć z wielką nieśmiałością, pośpieszyliśmy wpleść skromny listek do wienca, który dlań wdzięczna społeczność uwija.

A gdyby można serca w jeden wieniec zmienić, oddać by go należało w hołdzie temu, o którym niedawno jeszcze śpiewał jeden z najpierwszych naszych poetów współczesnych:

U nas — gdzie przodownikom narodowej pracy
Trud ciężkiego żywota jedyną nagrodą,
U nas — gdzie oni idą kornie jak żebracy
Przed tłumem, co za sobą do przyszłości wiodą,
I siejąc ziarno myśli, za wszystkie korzyści
Zbierać muszą zatruty owoc nienawiści,
U nas nie znajdzie lauru dla uczczenia głowy
Tego, co żył boleścią i życiem narodu!...

Ta książka na szczęście, z pomiędzy wielu innych gorętszych objawów jest wymownym świadectwem, że się poeta pomylił.

Marian Gucławiecz.

II.

„Powieść bez tytułu.“ „Trapezologion.“ „Dwa światy“ „Choroby wieku.“ „Boża czeladka.“ „Abracadabra.“ „Mogily.“ „Podróż do miasteczka.“

Człowiek, żyjący taką pełnią inteligencji, jak Kraszewski, chwytający wszystkie prądy otaczającego świata, oczywiście wcielać je musiał w dzieła swoje. Historia więc pięćdziesięcioletniej działalności literackiej jego jest niezaprzeczenie historią półwiekowych idei i sposobu, jakim te idee odbijały się w naszym społeczeństwie. Biorąc pod rozbiór dzieła jego z jakiej bądź chwili, nie podobna tracić tego z uwagi. Z tego też powodu powieści, pochodzące z jednej epoki, pomimo różnorodności zadań, nderzają zawsze pewnym pokrewieństwem, pisane są widocznie w jednakim nastroju, z jednaka myślą przewodnią.

W długoletniej działalności naszego autora, jak w każdym prawidłowym rozwoju, niema gwałtownych przełomów; są idee

kielkujące, wzrastające i znów przeradzające się w inne. To właśnie stanowi największy tytuł autora do sławy, to sprawia, iż dzisiaj zarówno, jak na początku swego zawodu, odpowiada on potrzebie chwili, i — nawet niezależnie od zasług — jest równie sympatyczny dzisiejszemu pokoleniu, jak i pokoleniom poprzednim.

Poglądy społeczne i zasady Kraszewskie go są wybitne, cechują wszystkie jego utwory, wypowiadają się też bardzo wyraźnie w powieściach obyczajowych.

W czasie zaś, który mi przypadł do rozbiór, wypowiadają się one tém wyraźniej, że obiektywne stanowisko, będące postulatem dzisiejszej powieści, w ową epokę nie było jeszcze jasno określone, a nawet nie było jeszcze wcale postulatem.

Przeciwnie; pomiędzy 1855 a 1860 rokiem autor nie zupełnie przemawiał do czytelnika, jak równy do równego sobie; czuł się niejako w prawie i obowiązku wypowiedziania otwarcie przekonań swoich, moralizowania, nauczania. Powieść nie była wysła u nas z obłot tendencyjności i blisko spokrewnionego z nią dydaktyzmu, a przekonania Kraszewskiego zbyt były silne, by nie wychodziły na jaw niemal na każdej karcie. Nie potrzebujemy więc doszukiwać się ich pracowicie; mamy je gotowe, wypowiedziane otwarcie nawet do tego stopnia, iż niektóre powieści, jak n. p. „Choroby wieku“ wyglądają jak prosta ilustracja tych przekonań.

W owych latach usposobienie autora było pesymistyczne: uderzał go rozłam pomiędzy światem przeszłości, a nadchodzącym nowym społecznym porządkiem; tradycja, ustępująca zwolna i koniecznie przed rodzącymi się i wzrastającymi ciągle potrzebami wieku.

Te nowe potrzeby wcielają się w ludzi i w formy sobie właściwe, często przesadne, często mgliste, jak wszystko to, co jeszcze nie skryształowało się ostatecznie; nie dziw więc, że formy owe rażą oczy nie nawykłe do nich, a rozkocharane w formach i postaciach przeszłości.

Każda przeszłość przez to samo, że jest przeszłością, ma dla poety urok, jaki posiadają zawsze rzeczy minione. Starcie zaś ustępujących idei i prądów z ideami i prądami, które ich miejsce zajmują, daje pole do walki, będących najwłaściwszym i najodpowiedniejszym polem dla powieściopisarza.

Pole to po wszystkie czasy poeigało Kraszewskiego. W epoce, o której mówię mi wypada, walka rozgrywała się pomiędzy sentymentalno-mistycznymi ideałami a zjawiającym się utylitarnym kierunkiem, przychodzącym do nas z Zachodu, ku któremu parla coraz bardziej ekonomiczna konieczność. Ta walka stanowi tło ogólne, na którym rysują się dopiero wszelkie zagadnienia inne, wszelkie artystyczne kreacje. Z tego punktu zapatrywać się na nie należy, ażeby pojąć ich całe znaczenie i doniosłość.

Walka ta widnieje już w prawdzie w wielu poprzednich utworach Kraszewskiego, ale nosi raczej charakter walki wyjątkowych jednostek z koniecznościami życiowymi, z którymi te jednostki zharmonizować się nie mogą; w tej zaś epoce przybiera bardziej ogólne rozmiary: mamy ją wyraźnie wypowiedzianą w „Powieści bez tytułu“

w „Dwóch światach“, w „Trapezologionie“, dochodzi ona swego apogeu w „Chorobach wieku“ ję wyłącznie poświęconych, a w „Bożej Czeladce“ daje się już spostrzegać zwrot inny.

„Powieść bez tytułu“, jedna z najszerzej pojętych i nakreślonych przez autora, oprócz ogólnego tła, przebijającego się we wszystkich utworach owej chwili, obejmuje promieniem swoim wiele innych zagadnień, tak społecznych, jak uczuciowych. Niektóre z nich autor poruszał już, jak to sam powiada w przedmowie, w jednym z najpierwszych dzieł swoich: „Poeta i Świat“, inne są właściwością „Powieści bez tytułu“ i niezmiennie dodają ję wartości.

Zetknięcie się istoty wykształconej, wrażliwej, podniosłej i—dodać koniecznie trzeba—niepraktycznej, z rzeczywistością, stanowi nader sympatyczny wątek natchnienia dla Kraszewskiego, który snad sam zaznał wiele z tych cierpień, przez jakie przechodzą ulubieni bohaterowie jego; bo wplata chętnie podobne postacie do wielu bardzo swych utworów, stawiając je na pierwszém miejscu, jak w dwóch przytoczonych powieściach, w „Pamiętnikach Nieznajomego“, w „Śniuxie“ i innych, lub dając im rolę komparsów, jak n. p. Justyn w „Dwóch Światach“, lub Leon w „Bożej Czeladce“. Zmieniają się tylko zewnętrzne okoliczności, ale postacie te zachowują wszystkie swe główne rysy; chociaż przyznać trzeba że Gustaw z „Poety i Świata“ dziwnie wyszlachetniał w nowem wcieleniu swojem, jako Stanisław Szarski.

W „Powieści bez tytułu“ rozsuute jest pasmo różnolitych wydarzeń, obrazów, charakterów, a nadewszystko poruszanych jest wiele kwestyj, których doniosłość dzisiaj dopiero ujawniła się w całej potęgę.

Historia biednego poety jest smutną bar-dzo. Już w pierwszych latach szkolnych wyróżnia go professor literatury pomiędzy współuczniami za ćwiczenie, napisane wierszem o wiośnie. Człowiek to zestarzały przed czasem, poniżony i zwątpiały; on-to, dając dziecku książki, których ono pożąda namiętnie, przepowiada mu ciężką dołę, jaka stała się jego samego udziałem, cierpienia serca, co rozwinięte i podbudzone, nie bije w takt ze zwykłą miarą sere ludzkich, i myśli przenoszących poziom ogólny.

Odbija się tutaj echo owych słów pamiętnych ojca wszystkich poetów, jacy zjawili się w naszej literaturze, *Gustawa*, słów,—zwróconych do dawnego nauczyciela:

„Ty mnie zgubiłeś, ty mnie nauczyłeś czytać...“

Profesor daje książki Stanisławowi, chociaż te same książki stały się powodem jego własnej zguby, jak to utrzymuje; bo jakkolwiek oplakany jest los starca, żyjącego w opuszczeniu i poniewierce, los ten bynajmniej nie przeraża młodego poety, który, idąc za popędem zdolności swoich, niecoła się przed złemi przepowiedniami.

Lata szkolne były to najpiękniejsze lata Szarskiego: ukończywszy chlubnie nauki, powraca on do rodzicielskiego domu. Ale dom ten, który w złotych snach marzącego dziecka przyoblekał się cudnymi barwami, przyniesiony był żelaznym despotyzmem głowy rodziny.

Stary Szarski jest to postać z dalekiej przeszłości i boleć nad tem nie możemy, że nie dzisiejsza; byłby to może wyborny dowódzca batalionu, ale nie ojciec, który sercem i rozumem domowi swemu przewodniczyć winien. Wszyscy w domu, poczynawszy od matki, drżą przed skinieniem nieubłaganego władcy, przypominającego niektórymi rysami słynnego ojca Benedykta Winnickiego. W gawędzie Pola jednak matka, chociaż nie śmiała wstawić się za jedynakiem do rozgniewanego ojca, płakała po cichu; matka Szarskiego, przeciwnie, nie śmie nawet w głębi ducha pożałować syna. Stosunek pomiędzy małżonkami jest tutaj inny zupełnie, a dla syna jeszcze gorszy: stary Winnicki razem z synem tyranizował żonę; gdy tymczasem stary Szarski potrafił przełać w żonę swego ducha, swoje przekonania.

Jeśli co okupić może srogość jego, to idea, że srogość ta jest obowiązkiem; to sumienność, z jaką spełnia sam, co za obowiązek uważa. Twardy dla drugich, jest nim zarówno dla samego siebie; jego własne życie nie jest łatwiejsze, niż życie tych, którzy go otaczają.

Tym sposobem ten niemilosierny ojciec, obchodzący się tak okrutnie z synem, co za znalezione wiersze każe mu ciężko pokutować, a gdy, zamiast słuchać na uniwersytecie medycyny, oddaje się studjom literackim, wyrzeka go się i przeklina, jest mniej wstrętny od wielu innych ojców tyranów.

Sędzia Szarski ma swoją odrębność i poczyna nawet po nad despotyzmem, jaki rozciągał nad rodziną, widnieć myśl przewodnią: pod surowością nieubłaganą czuć zduszone serce. Sędzia rozumiał, że rodzina, ten węgielny kamień ładu i spójni, stać może jedynie posłuszeństwem, i dla tego, nawet wówczas, gdy jak ojciec przebacza synowi,

iż ten nie pokierował się wedle jego woli, jako głowa domu uczynić tego nie może i odbiera mu przynależną część dziedzictwa, bo od zupełnego przebaczenia wstrzymuje go — obowiązek.

Dla tego też, pomimo niesprawiedliwości, jaka dotyka głównego bohatera, Stanisława, nie możemy tracić sympatii dla jej sprawcy. Sędzia, ulegający wyższemu prawom, niż prawo miłości rodzicielskiej, sam tutaj występuje, jako ofiara swoich zasad.

W tych szlachetnych rysach charakteru leży także powód ślepego posłuszeństwa matki: ona nie przez bojaźń samą wyparła się syna wespół z mężem; ona szanowała wyższą głowę domu — jego zasady — była poddana silniejszej inteligencji, nie zaś prostej obawie. Nienbлагany jednak despotyzm, któremu od dzieciństwa podlegał bohater powieści Stanisław, tłómaczy brak sily jego charakteru.

Obok poważnej, choć szorstkiej, postaci starego Szarskiego występuje typ zupełnie odmiennego zakroju, krewny i imiennik jego, pan Adam Szarski, szlachcic z nazwiska, półpanek z fortuny, pan z pragnienia, składający wraz z żoną i córką swoją Adelą jeden z tych obrazków, które byłyby bardzo śmieszne, gdyby pod temi śmiesznościami nie kryły się zboczenia i wady, dające początek wielu dramatom tak w dziedzinie prywatnej, jak i publicznej.

Tutaj występuje stosunek bogatych krewnych do ubogich, w epoce, w której solidarność, zerwana faktycznie, trwała jeszcze w tradycjach. Stosunek ten dostarczył tematu do „Interesów familijnych“ i do wielu innych powieści Kraszewskiego; bo ilu jest na świecie ludzi i charakterów, tyle razy też same z pozoru okoliczności stają się odmiennymi, działając na odmiennie z gruntu istoty.

Tutaj bogaci krewni, którzy z powodu bogactwa swego pną się do wyższych warstw społecznych, spoglądają z góry i niechętnie na ludzi, którym los dał nosić toż same nazwisko, a nie dał ani środków, ani zachęć jednakich, przedstawieni są z wielką prawdą. Bogaci krewni nie zrywają zupełnie z ubogimi stosunków, raz dla tego, żeby nie stracić popularności pożytecznej w niektórych razach, powtóre, żeby zdala od ich wpływu ci *holysze* nie skompromitowali czem wspólnego nazwiska. Zbyt skąpi, żeby im dopomódz materialnie, chcieliby jednak narzucić im swój sposób widzenia rzeczy, a przynajmniej wpłynąć na to, by nazwisko, które noszą, nigdy nie ukazało się światu w sposób zdradzający ubóstwo

lub potrzebę pracy, —co do dziś dnia jeszcze płami i poniża w niektórych oczach, a jeszcze bardziej poniżało i plamiło przed dwudziestu laty.

Panna Adela, córka Adama Szarskiego, była pierwszą miłością Stanisława. Brał on na seryo jej dzieciinne próby kokieteryi, któremi wabiła poetycznego kuzynka; zresztą być mogło, że w tej kokieteryi miało udział i piętnastoletnie serce dziewczęcia.

Adela jest to jedna z tych istot, dobrych może z natury, z których przeciwieństwo fałszywy kierunek wyrabia wiekuiste kałeki, nieszczęśliwe same i czyniące nieszczęśliwymi łatwowiernych.

Stanisław do takich należał. Pierwsza miłość jego rozwiała się więc tak, jak rozwiewają się podobne sny wiosenne.

Wdziwając długą sukienkę, Adela odrzuciła niezapominajkę, którą ślubowała wieczną miłość ubogiemu kuzynkowi, a wraz z nią i pamięć tego uczucia, chociaż może w danej chwili było ono prawdziwe. Nie przyszło jej nawet na myśl, by inaczej być mogło. Wszakże wychowanie, jakie odebrała, nauczyło ją szukać w życiu rozrywki jedynie, bawiła się więc sercem ludzkim tak, jak wszystkimi innem.

Była to pierwsza miłość poety, sielanka wiośniana, czar, którym żył czas jakiś. Rozwianie marzeń było mu bolesne, nie zlamano go jednak; bo miłość ta, lubo zapuściła korzenie w sercu, nie zrosła się z życiem, nie nabrała jeszcze rzeczywistych konturów.

Drugą postacią niewieścią, występującą w tym utworze, jest typ zupełnie inny, istota może po raz pierwszy ukazująca się na kartach naszej powieści, —piękna, poetyczna Izraelitka, Sara.

Stwarzając ją, Kraszewski dotykał już kwestyi żydowskiej, tak gorąco podejmowanej obecnie, i zajmującej tak poważne stanowisko w powieści.

Kraszewski z właściwą sobie bystrością, od dawna przezeń doniosłość tej kwestyi. Już w „Latarni Czarnoksiężkiej“ pomiędzy rozmaitemi warstwami społecznymi pomieścił historią Hersza.

Tam jednak spotykamy opis powierzchowny, ograniczający się do tego, co uderza każdego w obyczajach żydów naszych, kielcy przeciwnie w „Powieści bez tytułu“ życie ich zarysowuje się głębiej i poważniej. Rodzina kupca Białostockiego przedstawia w głównych postaciach trzy typy, zauważane przez wszystkich głębiej patrzących na ludność Izraelską naszego kraju, trzy typy opisane obszernie przez panią Orzesz-

kową w „Elim Makowerze.“ Dziki fanatyzm jest udziałem starego Abrahama, syn jego Dawid, nie ma już wstrętu do chrześcian, trzyma się tradycyi o tyle, o ile potrzeba, ażeby nie gorszyć swoich współwyznawców, wówczas gdy trzecie pokolenie (Sara) lękające wiedzy, odwróciło się już faktycznie od separatyzmu i zabobonu, które były tak długo panującą cechą żydów, i sercem złączyło się ze społeczeństwem, wśród którego żyje.

Sara jest to jedna z najpoetyczniejszych postaci Kraszewskiego. Miłość dla Stanisława rodzi się w niej, wraz z rozbudzeniem inteligencji, miłość pokorna, wielka, namiętna i pełna poświęcenia do przesady. Dzieckiem prawie, Sara, nie zrażona ubóstwem Szarskiego, nie waha się słodzić mu je wedle możliwości; rozpieszczona jedynaczka własnymi rękoma dźwiga na poddasze jego dzban wody, ażeby mieć tajemną rokosz posłania mu, nłżenia czemkolwiek.

Później, wydana za mąż przemocą, do niego zwraca się, szukając ratunku; później jeszcze, gdy los i ludzie stanęli pomiędzy nimi, gdy zrozumiała, że może mu jedynie przynieść nieszczęście swoją miłością, stara się go z niej uleczyć z najwyższem zaparciem się, udając obojętność i zepsucie z razu, a wreszcie kalając się w jego oczach.

To ostatnie jednak poświęcenie Izraelitki, poświęcenie, którego nie wahamy się nazwać przesadnem, okazało się fatalnem dla poety, bo kochał ją całą potęgą namiętności, do jakiej był zdolny.

Zdrada jej, chłód przybrany, widok jej kochanka, jest to dla niego cios ostateczny. Poeta umiera trawiony boleścią, a nad grobem jego wierna ręka nieszczęśliwej Sary kładzie wieńce i pamiątki ze stałością, jaką tak rzadko mają żywi dla umarłych.

Taką była druga miłość poety.

Trzecią spotkał był on na drodze życia w chwili, kiedy ani odpowiedzieć, ani jej ocenić już nie mógł, za późno dla swego szczęścia. Marylka kochała go z całym zapalem i świeżością, młodzieńczej, czystej natury, ale promienie jej miłości nie zdołały ocucić obumarłego od ran, zadanych przez Sarę, serca Stanisława. Miłość, która powinna była ziścić najwyszukiwsze marzenia i starczyć na życie całe, zaledwie ostatnie chwile ozłociła mu bladym blaskiem. Stanisław umiera z ręką Marylki w swoich dłoniach, dopiero w ostatnich chwilach poznając wartość tego uczucia, które mu się bezwarunkowo oddało.

Na tle tych trzech miłości, źródle naj-sroższych cierpień poety, rysuje się mnóż-

two cierpień innych, podrzędnych, a przecież dotkliwych, raniących jego miękkie a nieopatrne serce. Szarski jest prawy do heroizmu, ufny—do śmiałości, dobry—do słabości, tkliwy—do dzieciństwa. Chłodne spojrzenie bolało go więcej, niż innego obelga; zabijała obojętna atmosfera; łada krytyka odbierała mu wiarę w siebie; zdrada ludzka wstydzila go, i jak gdyby to on ją popełnił, nie śmiał spojrzeć w oczy człowieka zdradzającego. Wszystkie te właściwości skazały go z góry na żywot nieczuci i na śmierć przedwczesną, tém bardziej, że trzeba mu było zdobywać sobie chleb powszedni i łamać się z trudnościami bytu.

W dzisiejszym świecie nie było dla niego miejsca; nie umiał ani cisnąć się gwałtem do uczty życia, ani bronić, ani zdobywać.

Walka o byt nie nosiła jeszcze wówczas tej dobitnej nazwy, dzisiaj tak rozpowszechnionej; ale niemniej istniała od niepamiętnych czasów, i od niepamiętnych czasów zabiegliwy, śmiały a częściej jeszcze bezczelny, otrzymywał pierwszeństwo przed skromnym i zacnym. W „Powieści bez tytułu“ walka rozgrywa się głównie pomiędzy Szarskim, najgorzej do niej uzbrojonym, a drugim studentem uniwersytetu, Bazylewiczem. Wśród typów z literackiego i akademickiego świata, zapelniających czterotomową powieść, Bazylewicz pierwsze zajmuje miejsce. Posiada on właśnie te wszystkie wady, których brakło Szarskiemu, a które zazwyczaj są najlepszą rękomią powodzenia. Bazylewicz, samolub, samochwał, nigdy nie oglądający się na drugich, nie przebieierający w środkach, strojący się w cudze pióra, wszystko zagarniający dla siebie, bezczelny bez skrupułów żadnych, musiał w każdym spotkaniu odnieść nad nim zwycięstwo.

Bazylewicz, spanoszony, sławny, odgrywający znakomitą rolę na świecie, pomimo braku talentu, naaki i sumiennosci, jest w świecie naszym zbyt częstym zjawiskiem, byśmy w nim nie poznali wielu zwycięzców życia. Natura pochwycona tu jest z taką prawdą, że Bazylewicz gniewa i niecierpliwi tak, jakbyśmy rzeczywiście mieli z nim do czynienia; ilustruje on wymownie tę wieczną ironią losu, albo i nie losu, mocą której nadęta mierność zajmuje zwykle miejsce należne talentowi.

Trzeba przyznać, że cały świat literacki otaczający Szarskiego dziwnie jest do dzisiejszego podobny; autor kreślił go szerokimi rysami i stworzył długo trwałe typy, które nie przeżyły się dotąd, skoro w po-

śród metod społecznych odnaleźlibyśmy je bez trudu.

Oprócz tych wiekniстых warunków bytu, przedstawionych plastycznie w kilku szeroko pojętych typach, spotykamy odzwierciedloną wiernie jedną chwilę ze świetnych czasów wileńskiego uniwersytetu, niby dekoracją objaśniającą warunki przemijające czasu i miejsca, na tle których rysują się owe typy.

Tło to zapadło już bezpowrotnie w mroczną przeszłość, i z pozoru przynajmniej różni się niezmiernie, od tła dzisiejszego. Pełno tam wiary, zapалу, uczucia i tych wszystkich czynników, na których brak słyszymy w koło ciągle narzekanie.

A jednakże, pomimo zapалу, wiary, uczucia, będących na wszystkich ustach, w tym dawnym świecie, tak samo jak dzisiaj, wygrana nie należała do najszlachetniejszych, zręczność, szalbierstwo, bezwstyd, królowały w nim tak samo, jak w dzisiejszym. Dowodem tego los Szarskiego.

Fakt ten przywodzi na myśl pytanie: czy te wszystkie piękne wyrazy, które ludzie ówczesni mieli na ustach, nie były wyrazami tylko? czemuś na kształt fałszywego szyldu, pokrywającego te wszystkie wieknieste czynniki, panujące w łonie ogółu, za których sprawą wszystko, co góruje, cierpieć musi, z powodu braku współczucia i zrozumienia; a jeśli siła wytrwania i hart jednostki nie staną na równi jej wyższości, nie sprostają ogólnej sile, jednostka ta upaść musi, zgnieciona obojętnością tłumu, wśród którego nie znajdzie się dla niej miejsca. Siły tej Szarski nie posiadał. Czy konieczne przez winę swą poetyczną organizacyi? Gdyby Kraszewski dał nam jedną tylko podobną postać w „Powieści bez tytułu“, mogłaby pod tym względem istnieć wątpliwość; ale nie zostawiają nam jej inne twory. A jednak organizacje poetyczne bywały rozmaite. Czyż siła twórcza, którą tak dobitnie w kilku słowach określił autor w „Powieści bez tytułu“, mówiąc o Stanisławie: „Każdy przedmiot w tej duszy zogniskowanej w sobie, zamkniętej we wnętrzach, przybierał rozmiary wielkie, poważne i stawał się pod ręką jego tworem nowym, silnym, zdrowym, w którym czuć było krew krążącą i bijące pulsa życia. Najmniejsza drobnostka, jedno często słowo, budziło w nim szereg idei, émy marzeń, których tłumy wywołane zjawiały się, jak słowem czarnoksiężnika w ludzi przemienione kamienie... i szły, ciągnęły się, snuły się pasmem nieskończoném... Z ponizanych, jak paciorki na sznurek, faktów, z martwych

kilku wyrazów, w umyśle jego tworzyły się obrazy, życia pełne. A gdy po długim czytaniu głos podniósł o treści księgi, nie poznać jej było w zmianie, jakiej, przechodząc przez duszę jego, uległa... Stanisław czytając tworzył, — czyż siła ta, powiadam, koniecznie musi iść w parze z życiową bezsilnością i rozwijać się koniecznie jej kosztem? Poezya bywa czasem także energią i wolą, chociaż nie zawsze skierowaną wedle pojęć powszedniego poziomu.

Kraszewski pojął Szarskiego, jako istotę niezdolną zupełnie do praktycznego życia jakiegobądź rodzaju: w sprawach sercowych daje się oszukać wyrachowaną Adeli, zarówno jak nierozważnie poświęcając się Sarze, a i nie rozumie doniosłości i uczucia Marylki. W sprawach dotyczących się powszedniego życia i materialnych warunków, pokazuje zupełną nieudolność. Na wsi, po śmierci ojca pomimo szalonej pracy i najlepszych chęci gospodaruje jak najgorzej. W Wilnie w niczem nie umie sobie dać rady; Szezerba bronić go musi od wydzierstw we wszystkich interesach kupna i sprzedaży, wyszukiwać mu lekcye i roboty, słowem zajmować się w zastępstwie jego gospodarką życia, której nikt bezkarnie opuszczać nie może.

Tam tylko, gdzie idzie o zasady, o rzeczy uczciwości, lub inteligencji, Szarski odzyskuje samodzielność i stoi niugięty przy przekonaniach swoich: żadna pokusa nie istnieje dla niego; wobec nędzy, wobec poniżenia, odrzuca wszelkie propozycje nie liczące z jego zasadami, odrzuca myśl samę jakiegobądź półustępstwa, któreby mogło choćby cieni wątpliwości wzbudzić w jego sumieniu. Wśród otaczających go mgłów charakter jego pozostaje nieskalany. Kraszewski chciał tu widocznie przedstawić w apoteozie posłannictwo pisarza tak, jak je pojmuje: bohater jego gotów jest raczej ponieść wszystkie męczarnie, niż poziom swój zniżyć. Być wyszydzanym, wyzyskiwanym, niezrozumianym, odepchniętym: oto jest dola Szarskiego; a gdy wreszcie sława i miłość skłaniają się ku niemu, obie przechodzą za późno.

Jak widzimy, nastrój autora jest smutny. Świat, jaki go otacza, nie zadawalnia go; snadź spotkały go zawody i bóle, których echem drgają jego powieści. Bóle tém dotkliwsze, że spowodowane są miłością ludzi, którzy na to nie zasługują. Podobne uczucia łatwo przechodzą w naturę. Chęć poprawienia bliźnich, wyradza ją często bardzo w autorach tendencyjnych, jakim był wówczas Kraszewski, który z tego powodu

lubił wypowiadać gorzkie prawdy temu raniącemu go światu.

Za pozor do satyry służył mu mogła lada okoliczność, skoro osnął ją nawet na epidemii wirujących stolików.

Epidemia ta nie dostarczyła Kraszewskiemu wesołej fraszki, jak to możnaby sądzić z pozorów; nie roześmiał się on ze szczególnego zaślepienia chwili, nie wysyskał komicznych sytuacji, które się tak łatwo nastrecały pod pióro; można powiedzieć, iż nie był usposobiony do śmiechu, a jeśli kiedy przychodził mu na usta, był to krwawy śmiech ironii. Widzimy to w „Trapezologionie.“ Na tle choroby umysłowej, obalamucającej ówczesne społeczeństwo, napisał on satyryczno-moralną bajkę, w której spowiewany rezydent brzuchomówca i frant zawołany, pod pozorem spowiedzi rozmaitych duchów, wypowiada swoim chlebowcom gorzką prawdę, a razem z nimi i wszystkim należącym do tej pseudo-arystokracji ówczesnej, tak szczerze nie lubionej przez Kraszewskiego.

Przy tej sposobności rezydent, zawsze pod imieniem duchów, wygłasza wiele arcytrafnych uwag, świadczących, że pozorne niedołęztwo jego ukrywało bystrą obserwacją i niepospolitym zmysłem filozoficznym, sięgającym nawet do dzisiejszych deterministycznych doktryn, skoro zapytany o przyszłość stolik, gadający ustami Wiekłaszewicza, taką daje odpowiedź zepsutemu i bezmyślnemu paniczowi:

„Chcesz wiedzieć przyszłość? zajrzyj w przeszłość swoją: są to dwa liście jednej łądugi, jak liście podobne do siebie. Nie innego wyrosnąć nie może na roślinie, prócz jej własnego liścia i kwiatu... czasem go robak stoczy i wykrzywi, czasem go burza złamie, lecz rozwiń, a w środku znajdziesz zawsze to, co z niej wystrzelić musiało.“

A przepowiadając upadek rychły całej warstwie społecznej, czczej, dumnej, bezpożytecznej, w osobie jej reprezentanta, stolik dodaje:

„Spojrzyj więc na przeszłość swoją... Próżność, duma, chęćka błyszczenia wszystkiem, co tylko połyskiwać może: ot co znajdziesz w niej; a to samo z owocem leży w przyszłości twojej: jeszcze więcej próżności i śmieśności, którą ona ściga niechybnie, i jeszcze więcej dumy i upokorzenia i żądz błyszczenia, której wkrótce nie będzie czem świecić, bo oleju nie dolewasz do lampy“...

Zdania podobne nie są oderwane; wypowiedziała je autor we wszystkich utworach swoich — z owiej epoki, najwyraźniej czyni to jednak w obszerniej powieści „Dwa świa-

ty“ jednej z najartystyczniejszych, jakie wyszły z pod jego pióra, i która też zyskała sobie nadzwyczajny rozgłos.

Światów sprzecznych i wrogich sobie mamy wiele na rozmaitych szlakach życia: świat uczucia i świat rozumu, świat wiary i świat wolnej myśli, świat maluczkich i świat wielkich,—wszystko to dostarczało i dostarcza negujących antytez dla powieściopisarzy wszelkich stronnictw i krajów. Szezeg ich byłby bardzo długi, gdybyśmy śledzić chcieli przebieg podobnych idei w literaturze; wymienimy więc tylko kilka głśniejszych i bardziej znanych przykładów. Zestawienie świata nędzy i świata zbytku—był to, jak wiadomo, ulubiony temat Eugénusza Sue, widoczny we wszystkich prawie powieściach jego drugiej manieri, począwszy od *Tajemnic Paryża*.

Nieco później pisał Dizraeli, swoją *Sybil of the two nations*, nazywając dwoma odrębnymi narodami bogatych i ubogich. Przyrównawszy się wszystkim powieściom Wiktora Hugo, od *Kościola Panny Maryi* do *Człowieka śmiechu*, i *Dziecięćdziesiątego trzeciego roku*, widzimy w nich występujące wyraźnie owe dwa narody, czyli dwa światy. Dwa światy Kraszewskiego, które on tak chętnie stawia naprzeciw siebie i wziął za temat tak zatytułowanej powieści, jest to także świat ubóstwa i świat bogactwa, a raczej świat pracy i świat używania. Reprezentantami pierwszego nie są jednak nieszkaficy wieśniaczej chaty, ale dworku cząstkowego szlachcica; ztąd powstaje kolizja daleko mniej jaskrawa, a dająca za to pole do subtelniejszej, psychicznej analizy.

Dwa odrębne żywioły, mające się zetrzeć z sobą, stoją na jednakim poziomie intelektualnym i to od razu nadaje powieści głębsze znaczenie, bo nie rozgrywa się w niej rzecz, o kęs chleba, ale o duchową cząstkę. WYROBIECIE intelektualne nie koniecznie równa ludzi, przeciwnie przybiera ono odrębne cechy, stosownie do cech rasowych, do nawyków, do panujących w pewnych sferach poglądów i zasad.

Wytrawny autor nie posłużył się zużyтым sposobem zaludnienia dworku aniołami, a pałacu szatanami. Przeciwnie, tu i tam mamy ludzi z sumą cnót i przywar sobie właściwą, a równoważącą się może. Tylko cnoty te i przywary są tego rodzaju, że odpychają się wzajem; a gdy wola jednostek przełamuje instynktowe niechęci, zjednoczenie trwałem być nie może. Życiowe prądy unoszą w różną stronę ludzi, którzy szczerze pragnęli podać sobie ręce; jednak

zetknięcie to chwilowe łamie życie maluczkich w ten sposób, jak rozdartą bywa drobna łódź z zetknięciem się z większą nawa, która, niepoczuwszy prawie wstrząśnienia, plynie dalej, nie bacząc, że zostawia po za sobą klęskę niepowrotną.

Co najważniejsza, bohaterowie powieści nie padają ofiarą czynników nie obrachowanych z góry, przeciwnie znają oni własne przywary i trudności swego położenia, ale znajomość ta nie może uchronić ich od nieszczęścia, jakkolwiek przewidywali je niejako.

Reprezentant wyższego świata, Julian Karliński, nie łądzi się bynajmniej ani co do własnego położenia, ani co do położenia całej warstwy społecznej, do której należy.

„Myślisz—mówi on do Aleksego Drabickiego, przyjaciela i towarzysza swego z lat uniwersyteckich,—że ja nie czuję i nie znam choroby całego plemienia, do którego należę... Dziś my niedobitkami tylko jesteśmy pułku, który wiodł niegdyś do zdobycia cywilizacji i przewodniczył w szeregach, pierwszy krew przelewając za nią; aleśmy zapomnieli podać, które wiodły, jak gwiazda, i przerodzili się w bezczynne istoty, których żywota celem: użycie, spokój, próżnowanie.“

Równie dobrze i Drabicey, uboga rodzina szlachecka, żyjąca w sąsiedztwie pałacu Karlińskich, znają ten świat wyższy, który ich zbliżyć do siebie usiłuje. Kiedy Julian zapytuje Alexego. „Za kogoż ty mnie masz?“ Alexy odpowiada bez wahania. „Za najlepszego z ludzi, ale za najsłabszego... za najpoczeiwsze z dzieci arystokracji, do której należysz ciałem, duszą, życiem i słabością swoją.“

„Dobry człowiek—mówi matka Alexego o Julianie—wszyscy oni dobrzy ludzie, choć do rany przyłóż; ale nam nie żyć z nimi: oni ani czasu, ani pieniędzy nie umieją cenić: my się przy nich popsujemy, a oni się nie naprawia.“

Pomimo tak jasno wypowiedzianego zdania: dwa światy zbliżają się; pierwszy potrzebuje pracy i energii drugiego, drugi daje się pociągnąć magnetycznie wykwiutem, polem i blaskiem pierwszego. Przyciągają się na mocy tych kontrastów, które w końcu staną pomiędzy nimi, rozerwą przyjaźń i miłość.

Świat pałaców reprezentuje głównie Julian, który przez siebie samego i przez usta przyjaciela dostatecznie jest określony, oraz siostra jego, Anna, jedna z tych czystych eterycznych istot, nie pojmujących ziemi, nie stąpających po niej, które tyl-

ko w cieplarnianej atmosferze wychować się mogą.

Na piękność Anny, tak jak i na piękność Juliana, złożyło się wiele próżniaczych pokoleń. Niema w niej krwi ani muszkułów, są nerwy tylko wydelikacowane i wypieszczone. Umysł lotny, skierowany jest tylko do niektórych przedmiotów, brzydzi się realnością każdą. Dobroć jej jest bierna, schyla się wprawdzie przez miłosierdzie do żebraków i nędzarzy, ale jest głuchą i ślepą na cierpienia otaczających, bo cierpienia te przechodzą jej pojęcie. Niech szalona namiętność towarzyszyki rozwija się swobodnie pod jej okiem, niech Julian z niej korzysta, niech Alexy kona z miłości,—ona tego wszystkiego nie widzi, a gdyby i widziała, nie byłaby zdolną pojąć. Uczucie jej jest raczej sentymentalizmem, nabożeństwem—ucieczką do sfer niebieskich od zwykłych życiowych warunków. Pełna ekstazy, tonąca w modłach i w jakimś eterycznym cierpieniu, nie mającym nic z realnością wspólnego, niby nie myśląca o sobie, posiada jednak dumę rodową, ukrytą pod pozorem chrześcijańskiej pokory, a górującą nad wszystkimi enotami. Zniży się chętnie do prostaczków, bo prostaczkom tym nie przyjdzie na myśl równać się z nią; ale gdyby Julian chciał się zemić z śliczną, szlachetną i wykształconą Polą, która go kocha, którą zgubił, oburzenie jej nie znalazłoby granic. Kiedy dowiaduje się, że Alexy śmiał ją kochać, chociaż nigdy ani słowem, ani spojrzeniem nie zdradził szalonej namiętności, chociaż miała dla niego pozorną przyjaźń, szacunek i wdzięczność; czuje się głęboko obrażoną, poniżoną nawet. Złożonego śmiertelną chorobą, w której bezwiednie wśród majaceń gorączki zdradził swoje tajemnicę, pozostawia obojętnie na opiece sług, nie dbających o człowieka, od którego odwrócił się pstry koń pańskiej łaski, nie okazuje mu nawet zwykłego miłosierdzia, jakie miałyby dla jakiegobądź nieznanego żebraka, dla winowajcy, lub zbrodniarza nawet.

W oczach jej ten człowiek popełnił czyn, gorszy od wszystkich zbrodni, — śmiał ją kochać.

Obok tych dwóch naczelných postaci ze świata użycia, grupuje się kilka innych kreślonych równie trafnie, a bynajmniej nie pozbawionych sympatycznych rysów. Prezes n. p., stary grzesznik, człowiek łatwych uciech i łatwych miłostek, jest najlepszym opiekunem, ojcem prawie dla Juliana i Anny. Jest on nawet bardzo uczciwym człowiekiem,

tylko jest nim wyłącznie dla ludzi ze swojej sfery.

Względem *niewrodzonych* rządzi się odmiennymi prawami; a jeśli nie mu zarzucić nie można w stosunkach pieniężnych, to w postępowaniu nie zapomina ani na chwilę o dzielącej ich przepaści i pod pozorną grzecznością daje to uczuć na każdym kroku.

Brat jego, Atanazy Karliński, którego mistycyzm doprowadził niemal do manii religijnej, jest to znówu najlepszy i najzaczniejszy człowiek; ale świat może wkoło niego rozsypać się w gruzy, on nie poczuje się do innego obowiązku, nad obowiązek modlitwy, on będzie płakać, bić się w piersi, ale na obronę tego, co mu jest drogiem, nie zdoła nawet podnieść palca. Świat cały pojmując on jako klasztor, gdzie w pokucie przewodniczyć winny wielkie rody, bo to jedyne działanie, jakie pozostaje naszemu wiekowi.

Łatwo zrozumieć, że w ręku takich ludzi jak Julian, Prezes, Atanazy, majątek szwankuje, a stan jego coraz mniej odpowiada świetności imienia. Dla tych wszystkich jednak rozpieszczonych, poetycznych, księżyce, czy też po prostu rozzytkowanych istot, majątek jest niezbędnym warunkiem istnienia.

W tym razie pałac potrzebuje energii, pracy, uczciwości, a nawet pewnego poświęcenia się swoim interesom, i szukać musi tych wszystkich przymiotów pod dachem szlacheckiego dworku.

Julian, Prezes, Anna wreszcie, błagają Alexego, ażeby ich ratował i ciężar, któremu oni wydolać nie mogą, wziął na swoje barki. Alexy czuje dobrze, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Pod własną słomianą strzechą był panem, był głową domu; kochali go i szanowali wszyscy, nawet matka, ceniąca pracę rozsumną, którą utrzymywał i ją, i młodsze rodzeństwo. Ale gdy jeden z braci zastąpić go może w małym gospodarstwie; gdy matka, nie rada temu, że wszedł z wielkimi panami w stosunki, zaczyna wyrzekać na wyższe wykształcenie, które odebrał, a które ona, zarówno jak stary professor w „Powieści bez tytułu“ uważa za powód nieszczęścia; gdy z drugiej strony nalegania pałacu się wzmagają, a łączy się do nich i głos własnego serca, Alexy zostaje rządcą i plenipotentem Karlińskich.

Tutaj jednak pomalą zmienia się położenie. Alexy jest wprawdzie zawsze przyjacielem Juliana, ale jest zarazem i sługą jego. A Julian jest to kapryśne dziecko, które musi mieć na zawołanie to wszystko, czego zapragme, czy to przyjaciela, czy ko-

chanke; jak u dziecka tak u niego zabawka posiadana prędko wartość swą traci.

Alexy nie jest w palcu jedynym reprezentantem innego świata; świat ten przedstawia także Pola, sierota po dawniej garderobiannie i oficjalistce, którą rodzice odumarli malém dzieckiem, a wychowano z miłosierdzia razem z Anną. Chowając ją w ten sposób, nikt nie zatroskał się o przyszłość sieroty. Była ładna i sprytna, bawiono się nią, jak lalką, dopóki była małą; gdy podrosła, służyła znów za zabawkę Annie, która ją pokochała i nie chciała się z nią rozstać. Później los jej był stokroć gorszy: póki bawiła się nią matka Anny i Juliana, i Anna sama, zabawka była jeszcze niewinna; ale Pola wyrosła na śliczną dziewczynę, przedstawiającą zupełną sprzeczność z Anną; nie miała ona nic eterycznego: wesoła, szczebiotliwa, dowcipna, była czémś na kształt słonecznego promienia, zabłąkanego w posępnej atmosferze pałacowej. I stało się, co stać musiało: Pola i Julian pokochali się. Pomiedzy temi dwiema istotami zrodzonymi tak daleko od siebie, a połączonymi nierozważnie jednością nawyków i pozorną równością, żyjącymi pod jednym dachem, przyszło do zapomnienia o wszystkiém, co ich dzieliło.

Była to rzecz łatwa do przewidzenia; jednak nie przewidział jej nikt. Zapewne gdyby szło o kogokolwiek innego, a nie o córkę garderobianny, nie byłoby takiego lekceważenia. Anna zbyt mało rozumiała warunki realne, ażeby pomyślała o podobnej miłości; a jeśli pomyślał o niej Prezes, lub pułkownikowa Delrio, to żadne z nich nie chciało brać na seryo rzeczy tak blahć, jak miłości młodego człowieka z dziewczęciem, wychowaném z łaski.

Miłości te jednak przybrały rozmiary namiętności. Pola, z całą szaloną nieopatrnością natury szlachetnej, rzuciła się w nią bez pamięci na nie, bez litości sama nad sobą. Julian był tak słaby, iż nie mógł się oprzeć szalowi ukochanej i popędowi własnego serca.

Miłość ta bez przyszłości, skazana na marne od pierwszej chwili swego istnienia, rzuca także cień swój na przyjaźń Juliana z Alexym. Młody panicz, przywykły, by mu wszyscy schlebiali, oburza się na surowe rady, jakie od niego odbiera. Żąda prawdy, ale wówczas tylko, gdy prawda jest dla niego przyjemną, gdy nikt rzeczy nie nazywa po imieniu. On przecież ma się za uczciwego człowieka, chociaż uwiódł sierotę, zostającą pod jego dachem; rozumie, jakie ciężką na nim obowiązką; nie dał

prawa nikomu o tém powątpiewać; jest przecież wolny, ożenić się z nią może, nie potrzebuje, by mu to przypomiano.

Prawdopodobnie Julian wie dobrze w głębi ducha, iż tego uczynić nie może; a jednak, kiedy to mówi Alexemu, nie jest zupełnie kłamcą; pragnie on oszukać się, nspić własne sumienie i wmawia sam w siebie szlachetne przedsięwzięcia, których spełnić nie zdola. Julian, nawet gdyby chciał zenić się z Polą, nie może tego uczynić bez skazania się na ubóstwo. Karlin jest bardzo zadłużony; rachowano dotąd, że podzielić się musi pomiędzy Julianem i Anną tylko; ale mają oni jeszcze brata Emila, głuchoniemego, który dawał dotąd tak słabe znaki inteligencji, że miano go za zupełnego idyotę. Anna, z całém poświęceniem się dla brata-kaleki niepraktyczna, jak wszyscy z jej plemienia, pomimo gorących usiłowań, nie mogła w nim rozbudzić myśli żadnej. Cudu tego dokonywa Alexy, uzbrojony niezmordowaną cierpliwością i wolą, jaką natchnęła go miłość dla Anny. Za jego sprawą biedny kaleka przyszedł do samowiedzy, nauczył się mowy miganiej i wszedł w stosunek z innymi ludźmi. Nie była to już wegetująca niemal roślinnem życiem istota, ale człowiek, jakkolwiek upośledzony i słabo rozwinięty.

Owo zmartwychwstanie kaleki, przyjęte z entuzjazmem przez Annę, nie wywarło tego samego wrażenia na Prezesie, który zrobił uwagę, że Emil nigdy kompletnego człowieczeństwa nie dojdzie, imienia Karlińskich dźwignąć nie zdola, a przez pewne umysłowe rozwinięcie nabrał prawa do swojej części majątku i uszczupli tym sposobem schedę Juliana i Anny.

Nie jest on za to bynajmniej wdzięczny Alexemu, a ponieważ nie podejrzewa jego tajonej miłości, przypisuje tę niewczesną gorliwość chęci opanowania głuchoniemego, który przywiązał się nadzwyczajnie do swego nauczyciela.

Nieszczęściem ludzi wysoko położonych jest to właśnie, że ze sfer niższych zbliżają się do nich najczęściej ludzie nie zasługujący na zaufanie. Prezes żył zbyt długo w pewnym świecie, w pośród pewnych ludzi, by wierzyć w bezinteresowność. I jak widzimy w tym razie, nie mylił się zbyt; powody postępowania Alexego nie były takie, jakie mu przypisywał; jednak, gdyby nie skryta miłość dla Anny, nie byłby on nigdy zajął się idyotą.

Położenie Alexego staje się teraz drażliwem. Prezes posądza go także, iż on to kładzie w głowę Juliana szaloną myśl oze-

nienia się z Polą, a przynajmniej pobudza go do oporu przeciw zaślubieniu bogatą dziedziczką, której posag coraz niezbędniejszym był dla Karlina.

Alexy przyrósł sercem do tego drugiego świata, ale świat ten przeciwnie coraz bardziej oddalał się od niego.

W miarę posuwania się w życie, pojęcia i marzenia uniwersyteckie stygły w głowie Juliana, szersze idee, zaczerpnięte w kole towarzyszków, ustępowały coraz bardziej wpływowi otaczającym, i miękka ta natura nagięła się do otoczenia społecznego, wśród którego istnieć jej przyszło.

A przytém znajdował się on w trudnym położeniu, pracować nie umiał, potrzebował wiele, nieczuł najmniejszego powołania do ubóstwa i ciągłych ofiar. Wiedział, że jedynym środkiem zbawienia dla niego było bogate ożenienie. Z drugiej strony Pola była śliczna, zachwycająca, kochała go do szaleństwa; ani myślał, ani chciał się jej wyrzekać.

Wprawdzie są ludzie, co te pozorne sprzeczności życia wybornie godzić umieją; ale ludzie ci nie mają nic z Katonem wspólnego. Są położenia, w których Katonskie cnoty są bardzo niewygodne, a w których, jeśli się ma przypadkiem Katona za przyjaciela, to przyjaźń zerwać się musi. Otóż Alexy w tej sprawie grał w stosunku do Juliana rolę Katona.

Położenie w Karlinie było bardzo wyteżone, kiedy wyteżyło się ono bardziej jeszcze w skutek przybycia Alberta Zamszańskiego, człowieka zrujnowanego majątkowo, dla którego Anna, chociaż z niewielkim posagiem, była jeszcze bardzo powabną partją, komedyanta o pustém sercu, płytkiej głowie, wielkiej towarzyskiej ogładzie i zrzeczności.

Ieteryczna, dumna, nieprzystępna Anna, która wyrzekała się i gardziła zwykłą miłością, ulega zręcznym zabiegom swego wielbiciela, podnosi go na piedestał miłości, raniąc tym sposobem śmiertelnie owe wierne, poświęcone serce, którego uderzeń nigdy dosłyszeć nie chciała, zabija moralnie człowieka, uważanego przez nią za przyjaciela, za dobroczyńcę jej kaleki brata.

Wszystkie te odcienia są charakterystyczne i pokazują, iż pomimo poświęcenia, przyjaźni i miłości swojej, Alexy nie był w Karlinie niezém, nieczém zupełnie.

Prezes, któremu nie podobna było zaprzeczyć znakomitej znajomości ludzi i zrzeczności na niej opartej, trafia na najpewniejszy sposób rozerwania miłości Juliana i Poli: udaje się do niej saméj, przedstawia

położenie Juliana i żąda, by w imię miłości swojej dla niego, w imię wdzięczności, jaką winna domowi, w imię dumy swojej wreszcie, wyrzekła się tej miłości i sama zerwała węzły, których Julian zerwać nie ma sily; żąda więcéj jeszcze, żąda, by uczyniła to w ten sposób, aby Julian nie domyślił się poświęcenia; chce, by zmusiła go pogardzić sobą i wydała mu się zmienną zalotnicą. Słowem: żąda tego, co uczyniła własnowolnie Sara dla Szarskiego, chociaż z tak nieszczęśliwym skutkiem.

Pola z rozpaczą w sercu stosuje się do jego woli. Wyteżone położenie przypomina okolicznościowo położenie Sary względem Szarskiego, tylko niema tutaj niebezpieczeństwa, by Julian przyplacił życiem zerwaną miłość. Za to ofiara jest zbyt wielką na sily heroicznej Poli. Duma jej i miłość nawet, które kolejną umiał Prezes podrażnić, podtrzymują ją w walce z ukochanym, z otaczającymi, którzy jej nie pojmują, a wreszcie z sercem własném. Pierwszy lepszy człowiek, który stanie na jej drodze, ma być współnikiem jej ofiary. Tym pierwszym lepszym jest Justyn, wychowaniec Atanazego Karlińskiego, jeden z tych poetów, o których mówiliśmy wyżej, nie umiejących stąpać po ziemi, a więc zmuszonych tym sposobem być zawsze na łasce mecenasa, przyjaciela lub losu. Justyn, zwabiony gorączkową zalotnością Poli oddaje się jej całém sercem, tak jak ona sama oddaje się Julianowi.

Miłość Poli szalona, bezwarunkowa, zupełna, nadaje jej pigęno tragicznej bohaterki: miłość, jak powiada angielski poeta, była jej enotą i zbrodnią, — poświęca jej więc bez wahania nie tylko samę siebie, poświęca jej szczére serce biednego poety, którego żonę zostaje.

Epizod to jeden z najdramatyczniejszych w powieści, a jednak Julian, co jest jego świadkiem, nie umie go zrozumieć, może nawet zrozumieć nie chce; bo gdyby z jasnowidzeniem miłości, z postanowieniem i siłą, spojrzał w oczy Poli, dramat rozegrać-by się musiał inaczej.

Każdy jednak kocha tylko wedle miary własnej a Juliana uczucie było karłowate, jak on sam, i zdobyć się nie mogło na podobną stanowczość. On może podejrzewał ofiarę dziewczyny, bo tak nawet kazała mu wierzyć miłość własna, rozdrażniona jej mniemaném odstępstwem; on cierpiał, że ją tracił; ale wszakże potrzebował bogatej żony... zrozumiał wreszcie, że podobna miłośćka do nieczego doprowadzić nie mogła, i sądził, że Pola rozumiała to także ze swojej strony.

On także okazywał się wspaniałomyślnym; nie chciał zawiązywać losu biednej sieroty i wierzył, że z własnej woli wychodzi za Justyną, bo mu tak było wygodnie.

Tak więc dla dwóch istot, które zbliżyły się sercem i życiem do innego świata, świat ten okazał się fatalnym. Pola w parę miesięcy po ślubie umarła z rozpacz i tęsknoty; Alexy, zraniony obojętnością Juliana i Anny, obrażony przez Prezesa, który chciał go się w ten sposób pozbyć, staje się pastwą gwałtownej choroby, spowodowanej nadmiarem cierpień, i to w chwili właśnie, kiedy miał Karlin opuścić.

Podźwignął się z niej wprawdzie, ale zestarzały przedwcześnie, niepowrotnie złamany, stracony dla społeczeństwa, dla rodziny, dla czynnego życia, do którego stał się niezdolnym.

Te dwie ofiary jednak bynajmniej nie zamąciły spokoju sumienia Karlińskich. Usnęli ich z drogi swojej, jako niepotrzebnych już, i poszli dalej, nie fraszając się o upadłych, lub umartych. Julian tylko, zawsze słaby i wrażliwy, gdy dowiedział się o śmierci dawniej kochanki, pobałdł, zadrżał i zawołał nerwowo: „Jam ją zabił“.

Ale że, jak wiadomo, na śmierć niema lekarstwa i żadna rozpacz umartwych nie wskrzesi, Julian ożenił się według planu z bogatą dziedziczką, żył z nią potem bardzo przyzwoicie, miał dom nader dystyngowany i pełno łatwych pokątnych miłości, którymi osładzał sobie nudy domowego życia.

Anna przekonała się wkrótce, że bożyszczę jej było, niestety, niezmiernie pospolitym człowiekiem; ale pocieszała się tem, że świat nie znał go tak dobrze, jak ona, a duma i chłód serca stanęły jej za szczęście.

Obok tych głównych bohaterów powieści grupuje się pełno figur podrzędnych, dodatkowych, nijakich lub karykaturalnych, należących do jednego lub drugiego świata; a pod tym względem autor okazuje zupełną bezstronność, obdarzając, jak jedne, tak i drugie, właściwymi im śmiesznościami.

Współwłaściciele wsi Zerby, których poznajemy u Alexego, nie są ani na jedną linią gorsi lub śmieszniejsi od wielu figur podrzędnych, dodatkowych lub karykaturalnych, stanowiących arystokratyczne towarzystwo Karlina,—tylko śmieszności te są zupełnie odnienne.

Z dwóch światów, jakie nam przedstawił autor, jeden nie jest może bezwarunkowo lepszym od drugiego; tylko są one odrębne,—ani w jednym, ani w drugim żyć-by-

my nie chcieli. A jeżeli świat pałaców budzi wstręt większy, to dla tego jedynie, że jest wyzyskującym: olśni on, odurzy, wypije życie i myśli z niższego, a sam się tém nie wzbogaci. Tutaj także leży wyższość dworku nad pałacem; z niego jedynie, według autora, wyjść mogą ludzie czynu, ludzie pożyteczni.

Ostatecznie powieść ta pełna pesymizmu, tak, jak wszystkie powieści z owej epoki. Technicznie i „Powieść bez tytułu“ i „Trapezologion“ i „Dwa światy;“ technicznie więc jeszcze powieść następna w chronologicznym porządku „Choroby wieku.“ Przyczyn tego pesymizmu nie trudno się dopatrzeć. Autor znajduje się w rozstroju z koniecznymi prądami czasu, a zatem musi być niezadowolony z wypadków i ich kierunku.

Klucz usposobienia tego znajdujemy w „Chorobach wieku.“ Bo czemuż są owe choroby? Oto Kraszewski ochrzcił tém mianem ruch przemysłowy, podniesienie gospodarstw rolnych, zakładanie fabryk, praktyczność, wreszcie i obrachowanie, rzeczy, niestety, obce naszej naturze, ale której brak staje się powodem upadku tak narodów, jak i jednostek.

Powieść cała opiera się na historii dwóch pokrewnych domów, Demborów i Solskich. Dembor, praktyczny i wyrachowany, traci wreszcie majątek, gdy przeciwnie Solscy, przechowujący starannie odwieczne *status quo*, przy skromnych potrzebach, utrzymują się przy rodzinnej siedzibie i wujowi swemu, Demborowi, dają na starość przytułek, gdy tymczasem jego rodzina rozpryska się w chwili niepowodzenia. Interes był jej węzłem jedynym; w imię interesu rozpraszają się też jej członkowie, każde sobie szukając deski ocalenia, bez troski o innych.

Taką jest budowa powieści, budowa nader tendencyjna, skoro, wbrew oczywistości, praktyczny i obrachowany właśnie dotknięty jest stratą majątku.

Budowa ta nie może zadowolić czytelnika, tém bardziej, że autor, pomimo chęci widocznej przedstawienia w złym świetle głównego bohatera, Dembora, nie koniecz- nie cel swój osiąga.

Zaiste smutnie musiałby zapatrywać się na świat, kto chciałby usunąć z niego wszystkie czynniki, narzucone przez konieczność, wciskające się do życia w jej imieniu.

Być może, iż wiele rzeczy czyniono u nas gorączkowo, przesadnie, nie w porę, szczególnie w kierunku przemysłowym, jak zwykle się dzieje, kiedy trzeba przełamać naturę,

lub w jednej chwili naprawić, co opóźniło się wiekami niedbalstwa. Być może, iż jeden i drugi źle na przemysłowym gospodarstwie wychodził; ale niestety późniejsze okoliczności pokazały, jak tacy Demborowie byli w kraju naszym potrzebni. Zrozumiał to doskonale sam Kraszewski, i wypowiedział myśl swoje w dwóch wspaniałych powieściach: „Morituri“ i „Resurrecturi“, stanowiących dla niego pomnik chwały, tak wykonaniem, jak myślą przewodnią, myślą zupełnie sprzeczną z chorobami wieku.

Chwila, w której autor pisał tę powieść, była to chwila rozłamu: świat nasz umysłowy, walając się pomiędzy dwoma przeciwnymi kierunkami, które dziś nazwanoby pozytywnym i idealnym, widział je w krańcowych barwach. Obrachowanie życia, gospodarstwo, odpowiednie wymaganiom obecnego czasu, miara i waga, która tak wstępną wydała się Solskim, a staje się niezbędniejszą z dniem każdym, nie pociągają za sobą bynajmniej wykluczenia sercowego czynnika i silniejszych węzłów rodzinnych, jak u Demborów.

Naturalnie, gdzie tak się stało, musiało się dziać źle bardzo, a niepowodzenie materialne musiało też mieć podwójne bolesne znaczenie dla ludzi, którzy na niem opierali wyłącznie szczęście życia.

Od dawna to powiedziano, że nieszczęście jest kamieniem probierczym serc ludzkich; nieszczęście więc tylko ujawniło to, co było już faktem spełnionym w rodzinie Demborów. Czytelnik bowiem od pierwszego jęj poznania nie ma już pod względem łączącej ich spójni, najniższego złudzenia. Ludzie ci składają jedną z tych rodzin, których węzłem jest tylko imię wspólne, i które z tego tytułu tylko zamieszkują pod jednym dachem; zresztą każdy ma swoje wyłączne zamiary, obrachowania i kółło myśli, któremi się z innymi nie dzieli. Taki jednakże chorobliwy stan rodziny nie jest wcale wynikiem przemysłowego kierunku; nie tylko w życiu, ale i w powieściach Kraszewskiego spotykamy często podobne. Nie szukając daleko, w „Trapezologionie“, zaznajamia nas autor z rodziną mającą też same cechy rozprężenia, co rodzina Demborów, chociaż niema ona pretensyi żadnej do przemysłu, wysokiej agromonii i t. p.

Pomimo to, w „Chorobach wieku“, pełno zajmujących i pięknych szczegółów, n. p. fabryka literacka pani Demborowej, skreślona jest z tym humorem i znajomością stosunków niektórych koteryi, które, jako

oparte na psychologicznych danych, zawsze są zrozumiałe.

Znać jednak, że ciasno Kraszewskiemu w pośród idei, w których się rozpostrzeć nie może swobodnie bez dochodzenia do ostatecznych wyników, nie podobnych do osiągnięcia. Potrzebuje on sympatycznych przedmiotów, ażeby talent jego pokazał się w całej świetności. Głębkie pióro wydola każdemu zadaniu, ale najlepiej zabłyśnie w malowaniu postaci, które autor ukocha i do ukochania podać może.

Wymownym tego dowodem jest jedna z najpiękniejszych powieści jego: „Boża Czeladka“. Zdaje się, jakoby, zabierając się do tych wszystkich wdzięcznych postaci, które w niej wyprowadza, autor pozostawiał na boku wszelkie pesymistyczne poglądy, wszelkie absolutne teorie. Są to obrazy z życia, przepyszenie rysowane, malowane jasnym barwami, zostawiające bohaterom, nieskrepowanym żadną tendencją, swobodne pole do działania, a przestrzegające tej jednej koniecznej zasady, by skutki odpowiadały przyczynom.

To też wszystkie osoby występujące w tej ślicznej powieści, mają tak odrębną indywidualność, iż, spotkawszy je, poznalibyśmy od razu i ukłonili się im bez wahania. Tutaj nie tylko dwa, ale wszystkie odrębne światy spletają się harmonijnie; poczyja brata się z prozą, a życie płynie tak cicho, spokojnie i wdzięcznie, że radzibyśmy wiedzieć dokładnie, w którym to zakątku ziemi leży owa *Borowa*, tak podobna do ziemskiego raju.... I po chwili przychodzi nam na myśl, że raj taki może zakwitnąć wszędzie, gdzie tylko biją zacie serca, pełne miłości i współczucia dla każdej niedoli ludzkiej, pełne łagodnego przebaczenia dla wad i omyłek.

We wstępie zaraz, autor spowiada nam się ze swoich myśli, a myśli te są wcale różne od tych, na których tle snuł poprzednie powieści. Pogodził on się z koniecznościami bytu i wypowiada to wyraźnie.

„Zwrócić ludzkość na tory przebieżone — niemożliwa.... My też nie rozpaczamy wcale o przyszłości; i w niej się znajdują piękne i szlachetne strony.... Ani poczyja nie umrze, ani ideały nie znikną, ani cześć tego, co wielkie piękne, szlachetne, nie zginie. Ze spokojem patrzmy na zachodzące słońce dnia naszego, ului w jaśniejszy poranek....!“

Z tą nadzieją w sercu, kreślił autor obraz tego minionego dnia i ożłocił go całym łagodnym blaskiem miłości.

Powieść rozpoczyna się dziennikiem Jana Bronicza, powracającego do domu po ukończeniu szkół. Dom rodzicielski jego jest to uboga zagroda zagonowego szlachcica; ojciec własną ręką prowadzi pług na rolę, wydając zbyt skąpo chleba na potrzeby rodziny; matka i siostra trudnią się domową robotą. Stary Bronicz, człowiek nieugięty a szlachetnej dumy, nie chciał nigdy nie przyjąć od bogatych krewnych dla samego siebie; przyjął jednak naukę dla jedynego syna, i za tę naukę Jan wraz z ojcem jedzie dziękować nieznanym dobroczyńcom swoim, Chorażom Jamuntom z Borowój.

Ci bogaci krewni nie mają najmniejszego podobieństwa do śmiesznych i samolubnych typów takich, jak Pan Adam Szarski w „Powieści bez tytułu“, i do wielu innych bogatych krewnych, występujących w rozmaitych innych utworach. Jan Bronicz nie jest też nie a nie podobnym do bohaterów, jakich mieliśmy sposobność w poprzednich powieściach Kraszewskiego poznać, ani do Stanisława Szarskiego, ani nawet do Alexego z „Dwóch światów“. Nauka nie zerwała serdecznego węzła pomiędzy nim a matką ziemią, pomiędzy nim a mniej uczoną i zapracowaną rodziną. Jan, pomimo ukończenia szkół, nie czuje się wygnańcem w ojczyźstęj chacie; ale przeciwnie, solidaryzuje się z rodziną. A kiedy, nauczwszy się żać w tajemnicy, ażeby ojcu przy ciężkiej robocie pomagać, staje z nim na zagonie w prześliczny rosisty poranek, to prosta owa scena technie wiekuista poezya.

„Ojciec zdjął czapkę, pobłogosławił żyto, pochylił się i w imię Boże pierwszą garść użawszy, kłosa wytarł, a zboże rzucił dla ptastwa polnego, wedle jakiegoś starego obyczaju. Za nim rzędem stanęliśmy: Andzia, najmit i ja.

— „A ty co tu robisz?“—spytał ojciec?—czy to zabawka? Zboże popsujesz i po wszystkim.“ Dopiero dowiedziawszy się, że Jan uczył się umyślnie i żać potrafi, ojciec, rozczulony do łez, ścisną syna i mówi, błogosławiąc mu:

„Nie odrzucam twojej pomocy; użnij że i ty garść chleba na ojcowskim zagonie... a kiedyś więcej ich było i nie samiśmy zbierali“.

Tym tonem opisane jest parę tygodni pobytu Jana u rodziców. Potem przenosi nas autor do Borowój do *Bożej Czelodki*, otaczającej poważne postacie starych Jamuntów.

Mamy tutaj plastyczne przedstawienie

patryarchalnego stosunku, kiedy dom zamężnych krewnych był ostoją dla całego rodu, przygarniał, żywił i zatrudniał najdalszych nawet powinowatych; kiedy gościnne podwoje starych dworów otwierały się na oścież dla wszystkich, a gospodarze dzielili się chętnie chlebem nie wykiutnym i sercem braterskim. Takim dworem jest Borowa. Sam choraży, Jamunt, poważny, mileczący i posępny, od czasu sejmu Grodzieńskiego wpadł w smutek, z którego nie dzwignął się już nigdy. Z pomiędzy licznych majątków swoich wybrał na rezydencją Borową, otoczył się licznym kołem sług i przyjaciół, używając dóbr i dostatku dla dobra bliźnich, przerywając tylko wówczas posępne milczenie, gdy chodzi o wyświadczenie przysługi, wspomnienie lub pociechę cudzą.

Duszą domu była sama pani Jamuntowa. Oddana mężowi, kochająca go nad wszystko, podziwiająca jego myśli i uczucia, miała przecież nieznaną pogodę umysłu i wesołość nawet, którą ożywiała wszystkich.

Niosąc ulgę cudzym troskom, zapominała o własnych, a domownicy, rezydenci i oficjalsi, prawie wszyscy mniej więcej krewni, obchodzili ją, jak dzieci własne. Galeria domowników Jamuntów przedstawia najróżnorodniejsze typy; są tam i śmieszności, i wady, jak wszędzie; ale atmosfera w Borowój nie sprzyja rozwojowi wad, a na śmieszności też nikt nie zważa. Gdzieindziej, ludzie ci zapewne nie byłiby ani tak dobrzy, ani tak szczerzy, ani tak serdeczni; tutaj stają się ową *Bożą Czeladką*, pomiędzy którą chciałoby się żyć i umierać. Jamuntowie, choć z majątku i ze starożytności rodu należą do świata pałaców, posiadają tę prawdziwą godność, co to zasadza się na poszanowaniu siebie i drugich, i nie czynią pomiędzy ludźmi różnicy z powodu majątku lub urodzenia. Spokrewnieni z najpierwszemi rodzinami, nie wstydzą się ubogich i bez wahania nazywają kuzynem starego Bronicza.

Używają rozmaitych sposobów, ażeby przyjść mu w pomoc, a gdy dumny starzec odrzuca ją bez wahania, zatrzymują Jana w Borowój, nadając mu urząd bibliotekarza. Najważniejszą osobą w Borowój był, naturalnie, jedynak Jamuntów, pan Alexander, równie znaczny, jak rodzice, na którego barkach spoczywała nadzieja przeciągnięcia tradycyi domowych i rodu Jamuntów. Ale pan Alexander choć liczył lat z górą trzydzieści, do ożenienia się nie miał najmniejszej ochoty. Trapiło to srodze rodziców, trapiło i domowników, którzy znali

go od dziecka i radzi mu byli nieba przychylić; a trapiło tém więcęć, że okazywał niejaka skłonność do melancholii ojcowskiej. Ale pomimo namów i próśb, pomimo, że każdy wybór jego byłby przyjęty z radością przez rodziców, żadna, by najpiękniejsza panna, nie potrafiła wzruszyć jego serca.

Tak stały rzeczy w Borowej, gdy zjechała do tego gościnnego domu, staropolskim zwyczajem stojącego dla wszystkich otworem, kobieta, z pozoru najmińiej dla niego stworzona, piękna, wytworna, zalotna i nieco osławiona, pani Dorota Bulska, rozwódka po dwóch mężach.

Historia pięknej Doroty była bardzo dramatyczną: z razu pieszczona przez opiekuna, który w końcu pokazał się jej ojcem, wypędzona po jego śmierci przez chciwych krewnych, przechodziła przez wszystkie upokorzenia sieroctwa, opuszczenie, ubóstwo, wpadła w najgorsze ręce i była już na drodze upadku, gdy odszukana przez wuja, odzyskała na raz imię ojcowskie i wielki majątek, który jej się po matce należał.

Te wyjątkowe okoliczności wyrobiły też charakter wyjątkowy. Piękna Dosia zbyt częściej poznała ludzi z najgorszej strony, y ich za coś mieć mogła; ślady pierwszych wrażeń pozostały niestarte: piękna i bogata, toczona holdami, lekceważyła tych, którzy lekceważyli ją w dniach sieroctwa. Serce jej zamarło, bawiła się ludźmi i bawiła się losiwiwie, jakby chciała im odpłacić to, co ięgdys z ich łaski przecierpiała.

Intelligentna, zręczna, panująca nad sobą, osiadała wszystko, ażeby się stać jedną ze wietnych gwiazd, przesuwających się po horyzoncie salonów, i była nią rzeczywiście. Łając powolnych skinięciu swemu roje wielicieli, którzy gotowi byli złożyć u jej stóp ceca, zrobiła wybór dziwny: poszła za człowieka starego, przeżytego, z ogromnym majątkiem, z pięknem nazwiskiem, ale z najorszą sławą. Jak się łatwo domyślić, małństwo to było nieszczęśliwe, i po krótkim pożyciu skończyło się rozwodem.

Później piękna Dosia odprawiała po świecie pochód zwycięzki, zawracając wszystkie owy, wodzące w orszaku swoim artystów poetów, i mężów stanu, słowem wszystko, co górowało nad tłumem. Potrzebowała błdów, zabaw i rozrywek. Świat cały użyć jej musiał i spełniać najdziwaczniejsze i zachęcenia. Codzień nowymi otaczała się dźmi, wyszukiwała różnych wrażeń, jakby pieć chciała jakiś niepokój wewnętrzny. Jeśli kiedy odezwiała się w niej serdeczna

stróna, gluszyła ją natychmiast w samej sobie szyderstwem.

Słowem, była to istota zachwycająca, a niepochwytua, czarodziejska, zagarniająca wszystko pod władzę swoją.

Po kilku latach swobody, z nudów, z kaprysu, lub też wprost dla oryginalności, poświęciła najpospolitszą w świecie figurę, hrabiego Bulskiego.

Nikt nie mógł pojąć, czemu wybrała go za męża i ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy; był to może experiment dokonany na własném sercu i osobie; żyli z sobą lat kilka, potem rozeszli się znowu.

Taką była ta kobieta, która, mając jakieś dobra w sąsiedztwie Borowej bez mieszkalgiego domu, a będąc w dalekiem pokrewieństwie z Jamuntami, tak samo, jak pół Litwy, pod tym pozorem zjechała do ich gościnnego domu. Wrażenie, jakie ta świetna, wielkoświatowa wietrznieta sprawiła w pśród *Bożej Czeladki*, stanowi jeden z najwdzięczniejszych obrazków książki, która posiada ich tyle. Hrabia Bulska wywołuje z kolei ciekawość, podziw, zgorszenie i zachwyt na dworze Jamuntów, na którym nigdy jak świat światem, nie pojawiło się nic podobnego. Ona wnosi tu żywioł niepokoju i burzy, jaki towarzyszy jej wszędzie.

Wkrótce ściaga się za nią cały rój wielbicieli różnej narodowości: Anglik, Włoch, Niemiec, nie licząc kilku krajowców, składają jej swoje holdy, a nawet poważny, snrowy trochę, melancholiczny Alexander nlega jej czarom. Piękna Dosia dokazała cudu niemal i zawróciła mu głowę.

Zawiodła ją zapewne do Borowej ciekawość, chęć poznania tak odmiennego świata od wszystkich, jakie widziała dotąd, chciała sprawić sobie zabawkę wrażeniem, jakie to czyniło.

I rzecz dziwna! atmosfera spokoju, ciszy, powagi, prostoty i prawdy, jaka panowała tutaj, owiała ją. Piękna Dosia, ulegając jej wpływowi, stawiała się mniej zalotną, mniej dziwaczną, stateczniejszą.

Próbowała wyrwać się ztąd i powracała znowu. Spadły na nią nieszczęścia, łatwe do przewidzenia. Dobra sława jej poniosła szwank ostateczny w skutek pojedynku o nią pomiędzy hrabią Bulskim a jakimś młodym, gorącym wielbicielem. Pojedynek wypadł tak nieszczęśliwie, iż młody człowiek na miejscu zabity został, a matka jego głośno przeklęła zalotną kobietę, co stała się przyczyną jej nieszczęścia.

Wiesci te doszły i do Borowej, do której biedna Dosia przyjechać nie śmiała. Ale Jamuntowie posiadali najrzadszą z cnót

ludzkich cnotę, która tak niechętnie mieści się obok innych — pobożanie. Dosia była kobietą innego świata, dziwiła ich każdym czynem i słowem swoim; nie potępiali jej jednak dla tego i, pomimo wszystkiego, co się stało, pomimo, iż widzieli tłumioną miłość jedynaka, która ich przerażała, gdy samotna kobieta przybyła do dóbr swoich, zaprosili ją do Borowój.

Teraz jednak Dosia pokazała się zupełnie przetworzoną; znikła jej dawna załamałość, nie bawiła się już zawracaniem głów biednych ludzi, jacy ją otaczali; ale smutna i poważna, złamana wyrzutami sumienia, podnosząc się załedwie z ciężkiej choroby, wiodła tu życie ciche, prawie pokutnicze. Śmiech jej przebrzmiał i przypominał się tylko lekkim uśmiechem; oczy straciły wyzywające iskry, spoglądały smutno i łagodnie.

W tej nowej metamorfozie, piękna Dosia stokroć piękniejszą jeszcze i sympatyczniejszą wydała się Jamuntom, a Alexander oszalał zupełnie. Dosia kochała go także; pokochała może od chwili poznania; może to był ów czar, który ją do Borowój przykuwał; spotkała tu wreszcie uczucie nieklamane, spojrzenia zgodne z sercem, usta bez fałszu.

Ale miłość prawdziwa jest pełną pokory. Kobieta, której sławą dziwacznych awantur rozbrzmiewał kraj cały, która grała dotąd ze szczęściem własnem, zarówno jak ze szczęściem bliźnich, nie czuła się godną zaplanować w tym cichym, spokojnym świecie *Bożej czeladki*, być córką i następczynią Chorażynęj, która wraz z mężem błagała ją o szczęście jedynaka.

Pomimo tych próśb, pani Bułska, walcząc z sercem własnem, z ukochanym i rodzicami jego, żąda roku zwłoki, i rok ten postanowiła spędzić w Rzymie, w klasztorze, pokutując za przeszłe grzechy, lub też przygotowując się do nowych obowiązków... Zanim rok ten upłynął — umarła.

Rozwiązanie to czyni zarówno zadość wymogom artyzmu, jak i wymogom logiki. Dosia jest to jedna z tych natur bogatych, tak spaczonych przez świat i ludzi, iż postanowien jej nikt, nawet ona sama pewną już być nie może.

Pisano wiele, niejednokrotnie o grzesznikach różnego rodzaju, nawróconych przez miłość. Na świecie rzadko bardzo coś podobnego się zdarza, odmiana każda jest rzeczą łatwą jedynie na kartach książki, lub w wyobraźni ludzi, nie rachujących się z siłą nawyknień i z uosobieniem, które te nawyknięcia wywołuje. Tutaj powtórzyć

trzeba ze starym Chorażym Jamuntem. „Nie potępiam nikogo, bo któż zbadał głębie serc ludzkich i śmiałby kamieniem rzucić? Kto wie przyszłość i obrachuje człowieka? To, co nam wydaje się kłeską, bywa błogosławieństwem; co się widzi szczęściem, jest karą. Ale poprawa człowieka, rzecz trudna; ale na niej budować przyszłość domu i rodziny — rzecz krucha.“

Charakter pięknej Dosi był właśnie tego rodzaju. Artystycznie więc śmierć zakończyła ten obraz, który inaczej mogłby zawsze w myślącym czytelniku zostawić wątpliwość; odmiana i poprawa bowiem nie leżała w konieczności tego charakteru, — był to wynik okoliczności, lub woli autora.

Zresztą i pod innym, szerszym względem śmierć ta czyni zadość wymogom artyzmu i logiki. Borowa i jej życie należy do przeszłości. Słusznie zatem ażeby ze śmiercią Alexandra, który, straciwszy ostatnią miłość i nadzieję życia, zapadł w melancholię, jak ojciec, zerwała się nie tradycyja, by resztki istot, skupionych około serdecznego ogniska Jamuntów, które czas oszczędził, rozpieczęły się po świecie, ze śmiercią ich potomka. Jest to obraz skończony, jak bezpowrotnie skończony jest świat, z którego powstał.

Tym pełnym miłości utworem, Kraszewski oddał hołd ukochanej przeszłości, gotując się do zgody z teraźniejszością, która miała odkryć mu także swoje piękne strony i dostarczyć tylu niewyczerpanych powieściowych tematów.

„Boża Czeladka“ stanowi jedną z najlepiej obmyślonych, zbudowanych i wykonanych powieści Kraszewskiego. Jest to jedno z tych arcydzieł, które wbijają się w pamięć niestartem rysami, do których zawsze powraca się z rozkoszą. Ostatnia też z większych rozmiarów powieść obyczajowa, napisana przez Kraszewskiego przed 1860 r. Z r. 1859 mamy tylko kilka drobnych utworów. Wybitny obrazek „Abra-kadabra“, rodzaj fantazyi: „Mogily“ i allegoryczna „Podróż do miasteczka.“ „Abra-kadabra“ jest to zajmująca historia niepospolitego człowieka, który niezłomną siłą woli dźwignął się z ostatniej szczebli wysoko na drabinie społecznej, a pokosz-tawawszy po kolei wszystkich nauk, skończył na wyrafinowanym epikureizmie. Ale szczęście tego człowieka, któremu się wszystko udało, którego życie idzie jak dobrze uregulowany zegar, nie pociąga i z pewnością w nikim nie wzbudzi zazdrości. Widzimy tu ogromną siłę, wydaną na bardzo mały rezultat. Boć ażeby zostać wysokim

urzędnikiem, bohater opowiadania nie potrzebował lat kilkanaście ślezczyć nad nauką, łamać się z tylu trudnościami, i tak szalenie wyteżać siły; trochę służalstwa, trochę pochlebstwa, niekiedy mogło doprowadzić go do tegoż samego rezultatu. Charakterystyka jego nie leży w rezultacie tym, tylko w wolnym wyborze drogi życiowej. Pracował on jedynie dla własnej przyjemności i spokoju, szukając tego, co szczególnie dać może. Poznał ludzi dokładnie, pogardził nimi, twierdząc, że jest to gromada cieląt, która czasem przypina sobie skrzydła, udając aniołów, czasem znów rogi, udając szatanów, ale w gruncie będąca zawsze gromadą cieląt tylko i niczym więcej.

Na tym sądzie Abrakadabra zbudował swoje teorie życia.

Fragment ten, bo tak zatytułował go autor, przyszedł mu pod pióro w chwili zniechęcenia i spleenu, jeśli nie był po prostu obrazkiem zdjętym z natury.

Drugi fragment, a raczej fantazja, przedstawia z nim żywą sprzeczność. Jest to rodzaj wędrówki po świecie zagrobowym pod skrzydłami Anioła Stróża, daleka reminiscencya Dantego, nie sięgająca kręgów piekielnych, ani wyżyn raju; historia duchów, pokutujących na ziemi, od której odwiązać się nie mogą; historia, wypowiedziana językiem poetycznym; wynykająca się ścisłej analizie samym przedmiotem swoim. „Mogily“ formą tylko należą do powieści, myślą wiążą się z cyklem poetycznym.

„Podróż do miasteczka“, to w formie pełnej prostoty historia życia ludzkiego, ujęta w ramy allegoryi łatwej do odgadnięcia.

Młode pachole, żegnane przez bogobojnych rodziców, opuszcza dom ojcowski, by iść pracować na własną rękę. Niesie z sobą szczupły zasób, na jaki stać było ubogą chatę pracownika i dobre rady i błogosławieństwo, i kielnię, wagę i miarę, którymi ma pracować około wznoszącego się domu Bożego. Za przewodnika wśród nieznaną drogę służyć mu powinien krzyż, błyszczący na kościelnej wieży w pobliżu miasteczku.

Młody podróżnik rano wychodzi i wcześniej powinien zdążyć do celu, który przed nim jaśnieje; ale w drodze spotyka tyle pokus... Naprzód dopieka mu słońce, więc, zamiast trzymać się ubitego gościńca, zbacza na ciemne ścieżki i już traci z oczu krzyż, który miał go prowadzić: a tu jeszcze wabią go zalotne spojrzenia dziewcząt i odwodzą od drogi właściwej. Zbłąkany, próżno zapytuje,

którędy mu iść należy? Jedni każą mu iść w prawo, drudzy w lewo; jedni radzą się cofać, drudzy postępować naprzód. Spotyka złych ludzi, okradają go ze szczupłego zapasu, jakim go rodzice w drogę opatrzyli, wyśmiewają go, krzywdzą, poniewierają.

W każdej złej przygodzie przychodzą mu na myśl dobre rady ojcowskie, ale jak się tylko z niej wydobędzie, zapomina o nich znowu. Wabią go coraz nowe zabawki i rozkosze, ale nie dają mu się nigdy pochwycić i sprowadzają mu na głowę coraz nowe nieszcześcia. Aż wreszcie wśród ciemnej nocy, wycieńczony zmęczeniem, głodem i pragnieniem, zbity, poraniony, krwawy, obrzucony błotem, dobija się do celu podróży, do domu Bożego, około którego miał pracować, i za ledwie ma tyle siły, by zadzwonić do wrót klasztornych, które otwierają się miłosiernie dla niego. Podróżnikowi zdawało się, że tylko dzień jeden upłynął od chwili, gdy puścił się w drogę; alicci włosy jego już były siwe i twarz zorana zmarszczkami.

Ten wierny obraz ludzkiej doli, skreślony żywymi barwami, ma coś dziwnie smętnego, licuje z ogólnym nastrojem autora i wiąże się coraz więcej z całym szeregiem prac jego, niż z wrażeniami chwili, wypowiedzianymi się dobitnie w większych utworach tego okresu.

Okres to niezmiernie ważny w ogólnym rozwoju działalności powieściopisarstwa Kraszewskiego, albowiem w utworach tego pięciolecia mamy dokładny obraz sposobu zapatrywania się Kraszewskiego na ówczesne zjawiska życiowe, na idee panujące, oraz widzimy jasno stosunek jego do tych idei.

Pięciolecie to jest ważne nie tylko dla tego, iż zawiera tak rozgłośnie utwory, jak „Powieść bez tytułu“ i „Dwa światy“ ale że (jak mieliśmy sposobność zauważyć) pesymizm autora doszedł do zenitu w „Chorobach wieku“, i że w umyśle jego nastąpił zwrot jaśniejszy.

Jak zaś smutno zapatrywał się w owym okresie Kraszewski na wszystkie stosunki ludzkie, a nawet na własną działalność i przyszłość, to widać najdobitniej na końcu „Trapezologionu“, gdzie występuje on już nie pod figurą żadną, ale we własnej osobie, kiedy duch stolikowy, zwracając się wprost do niego, przepowiada mu przyszłość w tych słowach:

„Miałeś chwilę urojonego powodzenia, potrzeba, byś za nie wypił wiele łyżek twym nietkniętym goryczy. Będiesz pracował w pocie czoła na pośmiewisko u ludzi, będziesz im dawał życie swoje i krew swoją, aby z nich wyciskali żółć, którą cię poć

mają, i zabraknie ci przyjaciół — to mało — nieprzyjaciół ci zabraknie: otoczy cię cisza głucha zapomnienia i śmierci jeszcze za życia.

Będziesz widział tych, co suknię twoją rozdarłszy, ze szmat jej uszyli sobie dostatnie okrycie, podniesionych i wieńczonych, myśli twoje podawane za cudze, przyswajane na własność, pracę twoją zamurowaną obojętnością. Nowy świat rozrośnie się w kolo ciebie, pewien, że cię już niema, a gdy spróbujesz odezwać się, okrzyczy cię za upióra... To los twój i innych wielu“.

Że nie był to los Kraszewskiego, że autor tworzył sobie przesadnie najeźrarniejsze obrazy, najlepiej o tém świadczy kraj cały, sławą jego rozbrzmiewający. Przytaczamy jednak ten ustęp, gdyż charakteryzuje najlepiej ówczesne usposobienie autora, pokazując, że nie był w zupełności w harmonii z otaczającym światem. Wszakże pamiętać należy, iż „Trapezologion“ poprzedził „Bożą Czeladkę“, tę śliczną, pełną harmonii i miłości powieść, której z tego powodu nie wahamy się uważać za naczelny utwór tego okresu.

Walerya Marrené (Morzkowska).

Czwarte dziesięciolecie.

(1860—1870.)

(*Resztki życia*. — *Metamorfozy*. — *Jasielka*. — *Kopciuszek*. — *Złoty Jasieńko*. — *Kamienica w długim rynku*. — *Orbeka*.)

Dziesięcioletni okres działalności powieściopisarskiej Kraszewskiego, o którym mam mówić, należy do płodniejszych a jest bezwarunkowo ważnym, gdyż stanowi chwilę nowego zwrotu, początek odrębnej i na szerszą skalę podjętej twórczości. Zmianę tę spowodowały różnorodne a przemożne wrażenia doznane w tym czasie, inne warunki otoczenia, zmiana miejsca pobytu, w ogóle okoliczności, które — jeżeli wolno się tak wyrazić — otworzyły autorowi „Latarni Czarnoksiężkiej” szerokie pole, duchowi jego pozwoliły szerzej roztoczyć skrzydła, wznieść się wyżej po nad dotychczasową obserwacją życia wołyńskiego.

Nie chcę bynajmniej powiedzieć przez to, że Kraszewski był kiedykolwiek zamknięty w obrębie tej lub owej prowincji — miał on bowiem zawsze przed sobą ogół cały społeczeństwa i dobro jego na celu. Lecz teraz same warunki bytu pozwoliły mu bliżej ogłowi temu i jego sprawom się przypatrzeć a wir życia publicznego uniośł go na wyżyny.

Mając dotknąć tylko małej — i powiedzmy otwarcie, mniej znaczącej części produkcji jego literackiej w tym okresie, nie możemy poglądu naszego rozwinąć szeroko, jak szeroko rozwijać się zaczęła w tym czasie działalność twórcza Kraszewskiego. Postaramy się wszakże skreślić w ogólnych zarysach charakterystykę tego zakresu, by na jęj tle przedstawić wybitniejsze

twory powieściowe, badaniu naszemu dostępne.

W r. 1857 i w następnym Kraszewski odbywa pierwsze swe wycieczki za granicę, zwiędza Niemcy, Włochy, Francją z zaczęta jeszcze w Żytomierzu powieścią, którą w podróżach tych pisze dalej i kończy ją wreszcie wróciwszy do Żytomierza.

Powieść ta p. t. *Resztki życia*, nosząca na sobie datę roku 1858 i pisana w Żytomierzu, Wenecyi, Rzymie, Paryżu, Dreźnie, jest ostatnią z powstałych z bezpośredniej obserwacji życia na Wołyniu. Już bowiem w r. 1860 Kraszewski przenosi się na mieszkanie do Warszawy, by w trzy lata potem obrać sobie stałą siedzibę w Dreźnie.

Nie wglądając więc nawet we wstrząśnienia moralne, jakich doznać musiał w tym czasie, widzimy, że zmiana warunków otoczenia nie mogła zostać bez wpływu na na wrażliwą naturę pisarza, który zawsze żywo odczuwał potrzeby i dążenia chwili i bywał ich wiernym tłumaczem.

W powieściach, które mamy przed sobą, przebija się głównie wpływ wielkiego miasta, w *Kopciuszku* i *Orbecu* maluje się życie warszawskie, brukowe, pełne właściwego mu charakteru. *Złoty Jasieńko* oraz *Kamienica w długim rynku* odróżniają się również od dawniejszych powieści odrębnym kolorytem miejskim. Pod zupełnem już wrażeniem nowego otoczenia powstał szereg innych obrazów rzeczywistości do przeglądu naszego nie należących.

Wspomnieniem życia wołyńskiego są *Jaszelka*, pod wpływem zaś wspomnień uniwersyteckich powstała najpiękniejsza z okresu tego powieść — *Metamorfozy*.

Obok śladów wrażenia przywiezionego z wycieczek za granicę spotykamy w powieściach tego okresu odbicie spraw, które mi się autor szczerze zajmował w kraju, mianowicie spraw wychowania i sztuki.

Co do myśli przewodnich, jakie w powieściach tych widzieć się dają, nie wiążą się one oczywiście w jakąś systematyczną całość, każda z powieści tych istnieje dla siebie i w założeniu swoim nie miała być dalszym ciągiem poprzedzającej, z tém wszystkim jednak, kombinując fakta niektóre, zbierając tu i ówdzie rozpiechle a podobne do siebie rysy, możemy przyjść do pewnego pojęcia o tém, co w danym czasie Kraszewskiego najbardziej obchodziło, ku czemu zwracała się myśl jego, zaprzątągią dobrem ogółu.

Wszystkie te wrażenia, wspomnienia i dążności, postaram się zebrać i zestawić nawzajem, wywiązując się tym sposobem z zadania niniejszej pracy.

Względy artystyczne mniej tu obchodzą, gdyż najpierw: w tym czasie nie powstało w zakresie dla nas dostępnym ani jedno dzieło mogące pod względem sztuki stać obok *Powieści bez tytułu*, *Ułany*, *Spinka* i innych, owszem należą tu powieści, którym krytyka artystyczna szczególnie wiele robiła zarzutów, jak *Kopciuszek*, *Riesztli życia* i *Orleba*; — a wreszcie, na zasadzie własnego zdania Kraszewskiego: „*dzieło powinno być jak orzech: biała dziurawca i bez ziarna, ziarna chcą szukać najpierw, mniej dbając o jego lupinę*.”

Zdaniem naszym, ci, którzy dla artystycznej budowy powieści, pomijają jej bezmyślność, lub ujemność dążeń, postępują jak dzieci, przekładający złoconą lupinę pustego orzecha nad zdrowe i pożywne ziarno. Jeżeli czém usprawiedliwić można panowanie powieści w literaturze i jej wpływy, — to tylko zespoleniem się jej z życiem, wyższym nastrojem jej społecznym, odbiciem potrzeb i dążeń społeczeństwa danej chwili.

Bez myśli przewodniej, bez treści żywotnej, powieść — sztuczna igraszka słów — może mieć tylko bardzo problematyczną i małą wartość w oczach poważnej krytyki.

Szukajmy więc treści żywotnej w wymienionych na początku tej pracy powieściach Kraszewskiego, zbierając rozpiechle tu i ówdzie zarysy.

Ze spraw społecznych zawsze najżywot-

niejszą a sercu Kraszewskiego zapewne najbliższą — jest wychowanie. W bardzo wielu dziełach jego mamy dowody, jak dalece bierze on tę kwestyą do serca i jak dobrze pojmuje wysoką jej doniosłość. Ta strona jego przekonań społecznych nigdzie się może tak wybitnie nie maluje jak w miłości, z jaką przedstawia on — już to nbogich nauczycieli poświęcających całe swe życie nauczaniu, już to w ogóle ludzi pracujących nad wychowaniem intelektualnem i moralnem dzieci i ludu.

Stan nauczycielski, warunki jego bytu, stosunek zachodzący pomiędzy nauczycielem a rodzicami dziecka, lub też rodzicami a władzą szkolną — wszystko to obchodzi Kraszewskiego tak dalece, że w siedmiu powieściach leżących przed nami kilka razy do przedmiotu tego powraca, a mianowicie w *Riesztkach życia*, *Metamorfozach*, *Jascelkach* i *Kopciusku*.

W piórszej z tych powieści, w epizodycznem opowiadaniu Poronickiego, spotykamy właśnie jeden z tych upodobanych autorowi typów, w postaci poczciwego Słonkiewicza, zwanego *Wielorybem*.

Postać to niezmiernie sympatyczna. Uboży, niepozorny, niezgrabny, zestarzały przed czasem, na twarzy niepospolicie brzydki, Słonkiewicz jest człowiekiem złotego serca, do poświęceń gotowym, wzorem łagodności i dobroci.

Wydziedziczony ze wszystkich uciech i rozkoszy życia, znajduje on pociechę i cel swego bytu w udzielaniu opieki i pomocy dzieciom staraniom jego powierzonym.

Skromny, potulny i lękliwy umie on wszakże tam, gdzie dobro ich wymaga, narazić się na przykrości a choćby i prześladowania. Ujrawszy sierotę bez opieki, obłoczonego, z pokaleczonemi nogami, zjadającego suchy kawał chleba i przypatrującego się zdaleka zabawom wesołej dziatwy, zbliża się ku niemu, zawiązuje z nim rozmowę i nie namyśla się ani chwili nad tém, by sam cierpiąc biedę — biedę cudzą wziąć na swoje barki; — zabiera przybłądę do siebie.

Dziatwa zaczyna szydzić z nowego przybysza i jego lachmanów.

— A gdyby z was który, — rzekł wieloryb — był w jego położeniu, miłoby wam było, żeby z niego szydzono zamiast pomódz, i przedrwiwano, co by się miano litować? — a jesteście wy pewni, że to jednego z was nie spotka! Kto wie? Jutro może najbogatszy być na ulicy i bez chleba... Panu Bogu nie trudnego. (T. III, str. 28).

Nowy gość, przynoszący z sobą tylko młody aperyf bez złamanego szeląga, ściąga

na protektora zły humor i niezadowolenie pani Kulikowej, utrzymującej uczniów na stauncy, u której właśnie Slonkiewicz był korepetytorem. On — znosi to w milczeniu, aż się w pocziw kobięcie serce obudziło, i przygarnęła sierotę. — Będzie miał więc strawę i dach nad głową.... Pozostaje jeszcze odzież, książki, papier — a przede-wszystkióm trzeba go do szkół oddać.

Slonkiewicz bierze to na siebie. Zaczyna od przygotowania chłopca do klasy pierwszej. Znalazł się ktoś z dobrych ludzi i ofiarował jakąś sumkę drobną na pierwsze potrzeby. Najtrudniój wszakże przyszło otworzyć mu drzwi szkoły, — której dyrektor ucznióm ubogich i sierot nie lubił.

Ten dyrektor jest figurą tak dalece prawdziwą, że aż nas chętką bierze przypuścić, iż znalazł się on istotnie we wspomnieniach z czasów, w których Kraszewski był kuratorem szkół.

Była to figura niewielka, czupurna, krzykliwa i despotyczna: rozsiewał postrach paniczny — i cieszył się tem. Udobruchać go wszakże było łatwo. Klienci posiadający tę tajemnicę, przynosili mu na ofiarę, czy to głowę cukru, czy pieniądze w brzęczącej monecie, czy prowizye domowe — lub nawet wazoniki z kwiatami — wszystko to przyjmowane było, jako objaw wdzięczności i poważania i skutek swój wywierało, — chyba... że ofiarodawca za długo się namyślał nad złożeniem daru, lub też składał ofiarę zbyt lichą, wówczas — „dyrektor odrzucał ją z oburzeniem, zgrozą, łajaniem, a niekiedy konfiskował na rzecz szpitalów...”

Nie dziwno, że przy takim usposobieniu, pan dyrektor srogim był dla uczniów ubogich, których rodzice na przyzwoitą ofiarę zdobyć się nie mogli, a szczególniój też dla sierot.

To też pocziwy Slonkiewicz niemalą miał trudność w przyprowadzeniu swojego kandydata do szkoły — w najlepszym razie czekał go egzamen publiczny, twardy, ostry, — podczas gdy inni panice, odbywali go osobno w mieszkaniu dyrektora lub przy obfitem śniadaniu wydanem przez rodziców.

— Do szkół! a to poco? — poco! wszyscy do szkół! do czego im ta nauka! wszyscy do tych szkół się cisną! szkoły są dla małych dzieci szlachty!

Pocziwy Wieloryb pokorny swoją miną, całowaniem dyrektora w łokcie i tytułowaniem go Jaśnie Wielmożnym panem dokonał wszakże swego — pozwolono malcowi przystąpić do egzaminu. Dalej więc chociaż do wszystkich raucyzieli, prosić, polecać się ich łasce i pamięci — aż, dzięki tym

wszystkim zabiegom przyjęto jego protegowanego do klasy pierwszej.

Slonkiewicz kochał w nim sieroctwo i opuszczenie, zbliżała ich wspólność doli — łączyła jedna praca i jedno dążenie. Mistrz chciał wychowanka swego zrobić tem, czem był sam.

— Widzisz mój kochany, — mawiał, — i ja jak ty byłem sierotą bez kawałka chleba, odumarli mnie rodzice, a przecież nieżę się, ot, do czego doszedłem...

To co dla nas w powiedzeniu tem jest gorzką ironią, nie było nim weale w przekonaniu Slonkiewicza, mówił to, by zachęcić do pracy. A jeżeli się zdarzyło, że trzeba było poskramiać rozbrykaną młodzież, — wtedy zwracał się do niej z tem zaklęciem: — jak mnie kochacie!

Jakie proste, piękne — a jakie prawdziwe i charakterystyczne.

Nie mniej prawdziwą jest druga strona obrazu. Chłopiec uczy się dobrze, pracuje, staje się celującym uczniem i odbiera nagrody. Sprzeciwia się to pewnym planom dyrektora, przeszkadza powodzeniu jego protegowanych. Zaczyna się więc prześladowanie intruza, który się tu wcisnął bez niczyjjej protekcyi a jedynie z pomocą ubo-giego również Slonkiewicza. — Chęć zaszkodzenia w promocyi — rozbija się o pilność, zdolności i cierpliwość biedaka. Od czegoż jednak różne środki, których się używa w razie potrzeby z powodzeniem!

Ponieważ jakimś paniczyni, powodzenie swoje oplacającemu złotem — trzeba było dać również złoty medal, a sierota stawał i w tém na zawadzie, usunięto go od konkursu złą notą w obyczajach. Wprawdzie Slonkiewicz uprosił znowu, że notę ową poprawiono w świadectwie, ale to już nie nie pomogło — medal dostał się paniczyni.

Przykładów podobnych bywało dużo. Łatwo pojąć, że tak demoralizujący system pedagogiczny wywiera wpływ fatalny i kazi duże młode już na wstępie do życia.

To też Kraszewski przedstawia tę manipulacyą w całej jej nagości, maluje ją z ironią i bójącym sarkazmem — a ustęp ten należy do najlepszych w powieści *Resztki życia*.

Co do zacnego Slonkiewicza ma on postać do siebie podobną w *Metamorfozach*; jest nią stary pedagog, kierujący pierwszymi krokami również ubo-giego sieroty Serapiona, zwanego Milezkiem. Podobieństwo typu i sytuacji uderzające, — dowodzi to, jak bardzo sprawa sama musiała leżeć na sercu autora, skoro do przedmiotu tego mimowolnie powracał.

Pedagog ten, była to (powiada autor) istota skazana na długie męczarnie, okryta

już siwizną, nie skarżącą się nigdy, wzdychająca czasem, osierocona, samotna, chleb pożywająca w pocie czoła i utęsknieniu, — w której mieszkała litość, choć sam on nie doznał jej od nikogo.

Jest więc pewna różnica pomiędzy tymi dwoma typami, bo kiedy pedagog w *Resztkach życia* z doli swojej jest zadowolony i wyższych pragnień nie zna, — ten drugi cierpi i czuje swoje upośledzenie i sieroctwo. Z tem wszystkiem jednak są to dwa pokrewne dodatnie typy nauczycieli.

Sympatyczną również postacią, choć pedagogiem starego autoramentu, jest ksiądz prefekt w *Metamorfozach*, opiekun Longina, pozujący na surowość i despotyzm, w gruncie zaś dobry aż do słabości, łagodny i zany staruszek, postać również wybornie odmalowana i typowa.

Podnioslejszy od niej, pelen religijnego namaszczenia, zbliżony prawie do ideału a jednak prawdziwy, jest paroch unicki, ojciec innej postaci w *Metamorfozach* — Cyryla, i pierwszy kierownik syna. Jeżeli do tych dodamy jeszcze Teosia Muszyńskiego (w *Kopciuszku*), który również chleba nauczycielskiego probując, miał o zawodzie tym właściwe i dobre wyobrażenie, — będziemy mieli przed sobą cały szereg postaci dodatkowych, pracujących na zaszczytnem lecz trudnem polu nauczycielstwa.

Podczas gdy zarówno Słonkiewicz, jak i podobny mu pedagog w *Metamorfozach*, pedzą życie smutne, pozbawione wszelkiej wygody i przyjemności, pedagogom niepowołanym, którzy sobie wcale podnoszą celów zawodu nie stawiali, los się uśmiecha a oni korzystają z niego.

I tu najlepiej cudzoziemcom. Takim jest p. Le Bon, w *Resztkach życia* francuz (szwajcarski), zadawałający się bardzo bierną rolą, gdyż aprobujący wszystko, cokolwiek dla jego ucznia ojciec uważał za właściwe, nie utrudniający go zbyt nauką z obawy niby o zdrowie — poprzestający na roli nauczyciela do nauczania mowy francuskiej i pochlebiający we własnym interesie i ojcu i synowi.

Niebezpieczniejszym od niego jest francuz również p. Bolard (w *Metamorfozach*), nauczyciel Konrada, ex-furierysta, — ex-sensymonista, ex-cabetista, ex-chatelista — marzyciel i zwolennik reform radykalnych.

Postać to wyborna, odwzorowana również z życia i bardzo prawdziwa. Takich apostołów przybyło do nas z Francji nie mało. — Przedewszystkiem gaduła, Bolard, bez względu na to, czy go kto słucha czy nie, w gorętszych chwilach natchnienia mówił

do czterech ścian i stołków, gestykulując gwałtownie. Stawał po stronie wszelkiej reformy, bo też nie chodziło mu o odbudowanie świata nowego, lecz o przewrócenie starego.

Kraszewski nie przestaje na malowaniu typów nauczycieli, lecz jednocześnie ukazuje dowodnie skutki rozlicznych wpływów na młodzież. — Biorąc stosunek zwykły, to jest przypuszczając, że usposobienie i charakter ucznia kształtują się na wzór kierującego, w uczniach tych właśnie daje nam poznać jakość wpływu nauczyciela i wartość kierunku.

Rzecz prosta, że taki pan Le Bon przez własnego ucznia traktowany *en canaille*, nie może mieć dla niego żadnej powagi a więc i żadnych wywierać wpływów. Lecz — już oto — nie wiele lepszy od niego Bolard oddziaływał na swego ucznia Konrada w ten sposób, że w życiu późniejszym wyraźnie się przejawiają skutki jego wpływu.

„Zasady wszechpione przez Bolarda sprawiły, że w przekonaniu Konradka wszystko co tylko istniało, było złe i do przerebienia. Zaczynał od tego, że ruszał ramionami i śmiał się, a że krytyka zawsze łatwa, gdy przypiał parę latek, choć nie miał czem później tego, co zburzył, zastąpić, wykręcał się ogólnikami. — Pomimo swęj toalety i elegancji, swych płaszców i kamizelki, Konrad był surowym także stronnikiem powrotu do obyczajów pierwotnych, do spartańskich polewki, do odzieży prostej, do kumunistycznego pozamykania ludzi w komórkach na wywarzoną chlebiec i soli i pewnej ilości wody. Ale te jego reformy i teorie były także płaszcami podbitymi pąsowo i kamizelkami w kwiaty, — na ulicy zwracał oczy podszewką, w salonie utojami.“

Kolega Konrada Teofil — marzyciel również, ale już innego rodzaju, bo szerszy od Konrada, nie pozujący bynajmniej, lecz obdarzony istotnie fantastyczną naturą poety, — także nie jedno ze swego nieszczęśliwego usposobienia zawdzięcza wpływom pierwszego nauczyciela.

Nauczyciel ten do typów ujemnych należy również, choć wartość jego znacznie wyższa od dwóch poprzednich cudzoziemców. Przedstawia on niestety postać każdemu z nas znaną, gdyż takich nauczycieli mamy dosyć.

Uspokojenie niespokojne, zmienne, nie pozwoliło mu trzymać się jakiegś jednej drogi w życiu — przeczekał się więc ustawicznie od zawodu do zawodu, w niczem wytrwać nie mogąc.

Okoliczności nie pozwoliły pójść na uniwersytet, osiadł na wsi i wziął się do gospodarstwa. W rok potem—zostaje cukrownikiem, nauczywszy się cukrowarstwa z książki, jak przedtém agronomii. I tu mu się nie powiodło—wstępuje do seminarjum; w niespełna rok zrzuca sukienkę i chce się żenić. Gdy jednak i to mu się nie udało—zostaje pan Atanazy nauczycielem i cały zasób swego rozczarowania, zniechęcenia i rozpacz przelewa we wrażliwą i czulą duszę wychowawcą—na jego oczywście niedołą.

Niestety! ów pan Atanazy jest typem, jak powiedziałem, bardzo u nas znanym, czemuś może przypisać należy w znacznej części i to, że takich jak Teofil ludzi mamy aż nadto.

Wątpliwości nie ulega, że z naszczej znanej zmienności, braku wytrwania i systematycznej pracy niejedno wychowaniu zawdzięczać należy.

Wpływy dodatnie wychowania przejawiają się również w całym życiu następnym a ognisko rodzinne jest tém zaczerpniętym kole, z którego wynosimy w świat zasoby siły lub słabości, cnót lub ułomności, które stanowią poniekąd kierujące losami naszemi—przeznaczenie.

Rzadko w której powieści prawda ta wyrażoną została tak dobitnie i przedstawioną w sposób tak prawdziwy, jak to widzimy w *Metamorfozach*. Dzieje kilku młodzieńców, którzy już na ławce uniwersyteckiej różnią się nawzajem od siebie tém właśnie, co się w nich pod wpływem różnorodnych warunków pierwotnego wychowania wyrobiło, a którzy spotykając się z sobą potem w lat dwadzieścia pomimo zmian spowodowanych przez życie, noszą na sobie jeszcze wyraźne piętno tradycji domowych,—dzieje te nader prawdziwe i pospolite dają nie mało do myślenia i głębokie zostawiają po sobie wrażenie.

Cóż bo to za potężna siła tych tradycji, co za przemożny wpływ tych pierwszych pojęć i wrażeń, skoro tysiączne metamorfozy żywota zatrzeć ich śladu nie są w stanie.

Słusznie mówi stare przysłowie nasze: *czem się skorupka za młodu napoi, tém na starość trąci*.

Bez przesady powiedzieć można, że *Metamorfozy*, pomimo swej formy powieściowej, są raczej pełnym głębokiej treści traktatem o wychowaniu.

Druga powieść napisana w tym samym okresie, — *Jasiełka* zasadniczą tę kwestję

wychowania porusza również z wyraźnym naciskiem.

Tu już nie o nauczycieli, lecz idzie o system pedagogiczny.

W myśl powyższej wyrażonej, że nam brakuje najwięcej hartu charakterów i wytrwania we wszystkiém, ojciec (hr. Herman) usiłuje wychować syna jednaka tak, by go zrobić silnem, zahartowanem na wszystkie przygody życia, nieugiętej woli i charakteru dzieckiem natury.—Nie poprzestając na usunięciu wszystkiego, co tylko rozpieścić i rozmiękać może, dręczy go nieustannie wszelkimi sposobami, bierze go na ciężkie próby, tak że dziecko staje się męczennikiem utopii ojcowskiej.

Nieszczęściem zdarzyło się właśnie, że Juraś nie potrzebował takiego prowadzenia, że owszem, przyniósł już z sobą na świat zarody dziwnego uporu, nieufności, że więc do tak żelaznego charakteru trzeba było łagodnej ręki, która by dopomogła do swobodnego rozwoju innych sił w gruncie dobrej i szlachetnej duszy.

Prostém następstwem niewłaściwego zastosowania systemu, bez uwzględnienia potrzeb moralnych dziecka, było, że się Juraś zraził do ojca, powziął ku niemu jako swemu gnębielowi nienawiść, aż wreszcie, chcąc prześladowania uniknąć, — uciekł w świat, rzucając starca na pastwę opuszczenia i samotności.

Doskonały to przykład zgubnego wpływu ideologów, zastosowujących bez względu na nic utopie swoje do wychowania młodzieży.

Widzimy też z tego, jak wszechstronnie Kraszewski kwestję wychowania rozbiara. Powieści, o których mówimy, stanowią maluczką część całej jego działalności twórczej—a oto już i w nich dotknięte zostały najboleśniej ujemności wychowania u nas i najważniejsze jego potrzeby. Widzimy bowiem, do czego prowadzi brak rozumnego kierunku i obojętność na sprawy wychowawcze,—jakie są główne wpływy edukacyjnych ujemności i nadużycia,—a wreszcie, jakie rodzi następstwa przesada gorliwości wychowawczej, doktryna nie licząca się z warunkami usposobienia i natury dziecka.

W skutek potargania węzłów rodzinnych i puszczania się w świat samopas—bohater powieści *Jasiełka* zahartowywa się bardziej jeszcze w przygodach i niewygodach życia.

Staje się człowiekiem pełnym charakteru, o niezłomnej woli, obdarzonym miłością wszystkiego, co prawdziwe, proste i szczerze, nienawidzącym więzów konwencyonalizmu, brzydzącym się obłudą i fałszem, słowem,—

człowiekiem żelaznym, jakim go chciał mieć ojciec.

Niestety jednak, żelazo to ma szczyrby. Zahartowane na wszystko, poczeiwe i dobre dziecko natury jest jednak po trochu *dzi-kiem*, nieusposobionem należycie do życia społecznego i towarzyskiego w danych warunkach, zresztą — serce i namiętności młodzieńcze domagają się swych praw, rozpięrając pancerz żelaznej woli.

Juraś spotyka na swój drodze idealną istotę, rzeczywście godną miłości — i uczuciem tém zapala się ku niej w jednym mgnieniu oka. Miłość ta uszlachetnia go, dokonywa wielkich zmian w świecie jego moralnym, gdyż w jej promieniach zaczynają kielkować i rość uczucia tklwe, miękkie a głębokie — po raz pierwszy w życiu.

Alc ów anioł jego zostaje w niebo wziętym, idealna kochanka jego — umiera, niszcząc nielitościwie nadzieje i marzenia młodzieńca.

Zamyka się więc on w swojej wielkiej boleści, jeszcze dalej pragnie usunąć się od świata a zahartowany w nowym ogniu — nieszczęścia, budzi w nas wiarę, że się już ta żelazna wola przed niczem nie ugnie.

Lecz oto — zastawia nań sidła uroczą i przebiegłą a zimną kokietką, otacza go misterną siecią fałszów i obłudy — i ów niezłomny kochanek prawdy i szczerości, zawzięty wróg fałszu i hypokryzyi, daje się ująć w jedwabne więzy, dala się zaprowadzić aż do ołtarza wyrafinowanej i zimnej zalotnicy, gdyby niespodziewany wypadek nagle nie otworzył mu oczu.

Nie wiem, czy domysł nasz jest prawdziwy, czy istotnie trafimy w myśl autora, lecz nam się zdaje, że tym upadkiem człowieka żelaznego charakteru chciał Kraszewski dać do zrozumienia, że jednostronny, niedostateczny rozwój sił ducha nie zabezpiecza nas od upadków, gdyż ani sam czyn, ani sama myśl, ani uczucie samo nie stanowi człowieka, lecz połączenie tych władz duchowych; więc też równomierne ich rozwijanie powinno być zadaniem wychowania.

„Wychowanie od kolebki u ogniska domowego, mówi Kraszewski, — nabiera dla nas wagi niezmiernej. Lata dziecinne stają się dobą posiewu.

Dom — naszą świątynią, przybytkiem, szkołą; pierwszym kapłanem jego — matka, najwyższym stróżem — ojciec. Pod strzechą tuła się cale skarby nasze“.

Sądzę, że żaden z powieściopisarzy naszych przed Kraszewskim nie zajmował się tyle sprawą wychowania, żaden tyle, co on, myśli zbawionych w tym przedmiocie nam

nie podał. Starałem się w kilku powyższych przykładach podnieść tę stronę zwłaszcza, że w okresie, o którym mowa, Kraszewski więcej niż kiedykolwiek miał to na sercu, w wychowaniu widząc najpotężniejszą dźwignię narodu i podstawę jego przyszłości.

Patrzac w ten sposób na sprawę wychowania, zwraca się szczególną uwagę na główny jego czynnik — kobietę. Skoro, jak powiedziano wyżej, matka jest pierwszym kapłanem domu i wpływ jej staje się często decydującym o całej przyszłości dziecka, to kwestya wartości moralnej kobiety staje na pierwszym planie.

Prawda to nie nowa, ale wątpliwości nie ulegająca, że przez kobietę rozwiązać się dają najłatwiej najtrudniejsze zadania społeczne, że ona trzyma w swém ręku nie Aryadny, mogącą wyprowadzić bezpiecznie z labiryntu zawikłań i sprzeczności.

Jakimi tedy są nasze kobiety?

O idealnym ich typie pisano i mówiono już bardzo wiele — dorzucanie kadzidla pochwały do rzetelnej prawdy nie prowadzi do niczego. Choćby się nawet z uznaniem zalet i doskonałości tego typu nie spotykało tak często w literaturze i w życiu, każdy z nas znalazłby jego odbicie w sercu swoim, boć każdy w najskrytszym sanktuarium swego serca chowa wspomnienia matki, czy żony, siostry czy kochanki, wspomnienia dla niego święte i wiecznie żywe.

Zarzucauo Kraszewskiemu, że kobiety jego rzadko kiedy odpowiadają wyobrażeniom przywiązanym do ideału kobiety naszej, że owszem — najczęściej spotykamy się u niego z istotami profanującemi godność niewieścią, schodzącymi po fatalnej pochyłości aż do cynizmu i zbrodni.

Zarzut ten stosuje się ponieważ do całej produkcji powieściowej Kraszewskiego, ze szczególną jednak siłą pada właśnie na okres, będący przedmiotem pracy niniejszej. W powieściach tych istotnie postacie kobiece przedstawiają się nam w świetle bardzo ujemnem.

Gdyby trzeba było dać jaskrawy przykład, do czego posunąć się jest zdolną kobieta wyzuta z cnót swój płci właściwych, pozbawiona serca i sumienia, — jedna postać Miry w *Orbeve* wystarczałaby na to najzupełniej, wystarczyłaby mogła na długo tak, jak prototypy zbrodniarek: Lady Macbet, Regana i Goneryla u Szekspira, Balladyna u Słowackiego, a zaś w dziejach Messalina, Brunhilda, Fredegonda itp. wystarczy na nieskończoną ilość lat.

Alc oto, w tym samym okresie, obok Miry spotykamy taką jenerałową Palmer

w *Kopciuszku* i pannę Anetę w *Jascelkach*, dwie postacie kobiece — wstrętne.

Na niższym stopniu w hierarchii typów ujemnych stoją pani Samuela i Elwira oraz Jordanowa w *Kopciuszku*, Lullier w *Orbecie*, pani Jędrzejowa i Pułkownikowa w *Jascelkach*, baronowa Zabicka w *Złotym Jasienku*, panna Petronela w *Resztach życia*, Fanny Bogna i Surginowa w *Metamorfozach* — zastęp jak widzimy nie mały. Dałby się on zrównoważyć kilku postaciami dodatnimi, które spotykamy tu również, ale — sprawiedliwość wymagać każe, iż postacie te występują dość błado i wszystkie je razem, bez niczyjej pomocy, sama już Mira zaćmiwa.

Już z tego, com wyżej powiedział, poznać łatwo, że bynajmniej nie głosuje za pochlebianiem kobietom naszym, ani też za przedstawianiem ich jedynie w świetle dodatni. Owszem, im bardziej pragnęlibyśmy u nich widzieć zbliżenie do idealnego typu, tém surowiej wytykać trzeba te ujemności, które je od niego oddalają.

Prawda, choć przykra, zbawienną jest i pożyteczniejszą od pochlebstwa i gdyby się nią zawsze w stosunkach z kobietami kierowano, wyszłoby to niewątpliwie na ich, a więc i społeczeństwa korzyść.

Tak, ale.... czy kobiety skarżące się na Kraszewskiego za nadużycie barw ciemnych w ich przedstawieniu, za wyraźną predykcją do malowania typów ujemnych i wstrętnych — nie mają słuszności?

Tę im podobno zaprzeczyć nie można, zwłaszcza jeżeli mowa o tym okresie, w którym pokazały się *Kopciuszek*, *Jascelka* i *Orbeca*.

Jest tu niewątpliwie nadużycie barw ciemnych, jest przykre powtarzanie się rysów ujemnych, niechęć widoczna w przedstawieniu postaci niewieścich.

Czem się to wytłumaczyć da u Kraszewskiego, który w ogóle pesymistą nie jest, w którego świecie więcej nierównie spotykamy ludzi słabych i ułomnych, niż złych i przewrotnych? Dla czego większa część ponurych cieniów spoczywa właśnie na postaciach kobiecych, zwłaszcza też w okresie, o którym mowa?

Postaramy się zagadkę tę rozwiązać w miarę możliwości.

Wspominałem na początku, że powieści te pisane były pod wpływem otoczenia miejskiego. Każde większe miasto posiada ów pokost kosmopolityczny, zacieraający potroszę charakter typowy, swojski. U nas pokost ten wytwarzał się pod wpływem głównie francuzkim; wraz z tą mową przy-

szły do nas obyczaje i narowy obce, zepsucie szerzyć się zaczęło za pomocą głównie niezdrowych romansów *literatury szalonej* (jak ją trafnie nazwał Michał Grabowski). Znałki jego najpierw widzieć się dały na społeczeństwie miejskiem.

Kraszewski obserwował je pilnie, lękał się i słusznie, by zaraza ta nie skaziła nas sere i umysłów kobiet naszych — i ostrem piórem satyryka zaczął prześladować wytwarzające się pod jej wpływem typy.

Domysł ten stwierdza i zupełnie obcy, nieswojski charakter przedstawianych postaci. Ani Mira, ani Generalowa Palmer, ani nawet Aneta nie są typami naszymi, czuć je zdaleka cudzoziemskizyną.

Z drugieji strony, karcąc te naleciałości obce, Kraszewski zostawał do pewnego stopnia i sam pod ich wpływem, czego dowodem, że np. *Kopciuszek*, po bardzo małych zmianach, mógł by ująć śmiało za tłumaczenie pierwszej lepszej powieści francuzkieji.

Weźmy jakąbądź inną powieść Kraszewskiego, czy to *Powieść bez tytułu*, czy *Dwa światy*, czy *Spinka*, czy *Moritur*, czy słowem którąkolwiek typową powieść, znajdziemy w każdej postacie dodatnie i ujemne, tych ostatnich może i więcej, ale — to nasze dawne znajome, to typy, z którymi się żyło, to wady, ułomności i śmieszności nasze, swojskie.

Zupełnie inaczej w takim *Kopciuszku*; nam tu obco i nieswojsko, czujemy się jakby na obczyźnie, bo też generałowa Palmer i kapitan Pluto z naszego gruntu niewyrośli, choć ich autor za takich podaje, — oni przyszli do nas razem z tym światem awantur-niczym, skandalicznym, dwuznacznym, podejrzanym, przyszli z *pół-swiatkiem*, który nosi charakter obcy, jak i obce miano, dziwnie w spolszczeniu wyglądające.

Pół światek ten, obrabiany specjalnie przez Dumasa (syna), weźmijmy jeszcze pojawiać się w powieści francuzkieji pod piórem Sue'go, Balzac'a, Kock'a i bodaj czy nie za sprawą głównie tego ostatniego dostał się do naszej powieści.

Taki *Kopciuszek* nie jest bez poprzedników w samej nawet powieści Kraszewskiego, poprzedziły go bowiem, pisane pod tym wpływem *Pan Karol*, *Cztery Weseła* i t. d.

Jak obcą nam jest generałowa Palmer, tak obcy dla nas typem jest Mira w *Orbecie*, ale tu już się ma cokolwiek inaczej. Bo tu postać tytułowa, smutny bohater powieści posiada charakter zupełnie swojski. Z tego też względu, zachowując się najobojętniej w obec *Kopciuszka*, który wzbudza,

co najwięcej, niesmak, losami Orbeki jesteś — my do głębi przejęci.

Swojskość — jest zdaniem naszym jednym z nader ważnych warunków powieści obyczajowej, która już z samą naturą swojej tendencyjną jest, jako satyra obyczajów, cokolwiek by o tem mówili zwolennicy *sztuki dla sztuki* w powieści.

Orbeka — należy do tych utworów Kraszewskiego, które obudziły największą wrzawę — a więc i największe wrażenie. Muszę się więc przy niej dłużej zatrzymać.

Rzućmy okiem na całość tego utworu.

Na początku, w pięknym sympatycznym obrazku, poznajemy jedną z tych naszych wiosek rokosznych, otoczonych lasem, bogatych w urodzajną glebę, obfitujących we wszystko, co tylko służyć może potrzebom i przyjemnościom życia wiejskiego, wioską naszą, typową, którą tak nroco i serdecznie malować umie Kraszewski.

Pędzel, który nam dał tak miłą i piękną sielankę, jaką jest *Wioska*, ilekroć do przedmiotu tego powraca, umie nań rzucić tyle światła, barw rokosznych, tyle poezji szczerą i prostą a sercom naszym bliższą i droższą, że po raz bodaj tysięczny gotowi jesteśmy krajobrazowi się temu przyglądać z jednaka zawsze rokoszą.

Na tle takiego krajobrazu, widzimy dwór. To również stary i dobry nam znajomy, to jedno z tych gniazd szczęśliwych, na które patrząc mówimy sobie: jak tu dobrze i zaciszno być musi! —

Niestety! w harmonii, jaką ta wieś nie młoda, bo odradzająca się nieustannie natura oddycha, najeżesz się tonem fatalnym odzywa się człowiek — najdoskonalsze lecz i najułomniejsze jej dziecie. Podobnież i tu — właściciel tej rokosznej wioski, mieszkawiec starego dworu, zamiast spokoju i ciszy, która go otacza, ukrywa w sercu swém przytłumioną burzę żądz, namiętności, pragnień niezaspokojonych, — oraz niezabliźnione rany przebytych cierpień, walk i zawodów.

Takim jest Orbeka. Przy nim widzimy starego sługę, człowieka, który żył dłużej od pana swego, który musiał również przeżywać cierpienia i niedolę, bo któż jest wolny od nich, — ale żył w zbliżeniu do natury, w prostocie ducha, obcy wygórowanym i sztucznym potrzebom, w szczupłym więc kole swych pojęć i obowiązków pozostał spokojny i od pana swego szczęśliwszy.

To otoczenie stanowi kontrast ze stanem duszy Orbeki, doskonale malujący sytuację. Czujemy od razu, że iskry tlejące w popiele

wywołają katastrofę wybuchu, który wcześniej czy później nastąpi.

Orbeka ma duszę sobie bardzo pokrewną w jednej z postaci *Resztek życia*. Pan Joachim Wielica przechodził również smutne koleje i podobnież jak Orbeka wycofał się z walki życia zboląły lecz nieuspokojony. Obaj byli na progu szczęścia, którym darzy życie rodzinne, ale żaden z nich szczęścia w niem nie zaznał. Żona Wielicy umarła prędko, nie zostawiając nawet tkliwego po sobie wspomnienia, — żona Orbeki opuściła go i wyszła za innego. Wielica, pomimo że mu zostało dziecko — córka, znalazł się wkrótce samotnym i opuszczonym, jak i bezdzietny Orbeka. Obaj szukają pociechy i zapomnienia w pracy duchowej, w naturze, w kontemplacji marzycielskiej — napróżno... Tylko dalsze ich losy różnią się już stanowczo, bo gdy nowe uczucie zrodzone w sercu Wielicy na widok młodego i niewinnego dziewczęcia wywołuje jedynie nową walkę, z której wychodzi on zwycięzko, — nowa namiętność rozszalała w piersi Orbeki przyprowadza go o zgubę.

Są to dwie zbliżone do siebie natury, różniące się jedynie siłą woli. Wielica cierpi, walczy, upada, podnosi się i wreszcie zwycięża siebie, — Orbeka upada prawie bez walki, nagle, gwałtownie i na zawsze.

Jako charakter, Wielica jest nierównie wyraźniejszy i zrozumialszy. Orbekę nie tak łatwo zrozumieć.

Bo jaką jest owa Mira? Kobieta bez serca, bez głębszej nawet namiętności, paląca swém spojrzeniem i uśmiechem a w głębi zimna i wystygła, wykwalifikowana w życiu poprzedniem kokietka, próżna, chytra i — bezczelna.

Co w niej mogło tak bardzo, tak nieskończenie pociągać poetyczną duszę Orbeki? Chyba fatalność w niej uosobiona? Chyba przypuścić trzeba, że złe duchy (jak w *Nieboskiej komedji*) sprzysięgłszy się na jego zgubę, wyprawiły ją do niego.

„W drogę, w drogę widma lećcie ku niemu, — ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożniony umarłej wczoraj, odświeżony w mgłę i ubrany w kwiaty.“

Tak wygląda Mira.

Orbeka, człowiek prawy, uczciwy, znający życie, mający pojęcia wyższych jego zadań, wreszcie — człowiek pełen serca, ulega wpływowi dość pospolitych czarów, składa u nóg zalotnicy całą istotność swoją, daje się jej pozabawić majątku, cześci, wstydu — prawie życia, nie przekonywa się bijącemi w oczy dowodami jej niekczemności i zdrady, schodzi powoli aż do poziomu szaleń-

stwa, obłąkania, idyotyzmu, aż się wreszcie rzuca pod koła jej powozu, znajdując tam koniec meczarni i życia.

Czyż to możliwe? — wołają czytelnicy — czyż to prawdopodobne? — Gdzież kobieta taka? — a jeżeli się znajdzie, — to gdzież taki mężczyzna? Kraszewski cisnął obelgę w oczy zarówno kobietom jak i mężczyznom.

Takie głosy słyszeć się dawały powszechnie po ukazaniu się *Orbeka* i taka opinia została poniekąd do dziś... Czy zupełnie słuszna? — to rzecz inna.

Czy możliwem jest, by człowiek taki, jak Orbeka, do takiego stopnia uległ fatalnemu wpływowi kobiety, która niczem na miłość jego nie zasługiwała — a przeciwnie godną była pogardy?

Doświadczenie odpowiada na to twierdząco. Rzecz to smutna, ale, niestety! prawdziwa, że natury egzaltowane, namiętne, uczuciowe, najłatwiej podejść się dają istotom od nich nieskończenie niższym, skarby swych uczuć powierzając często w najmniej godne tego zaszczytu ręce. — Prawdę tę stwierdzono doświadczeniem codziennem, niejednokrotnie już widzieliśmy uosobioną w kreacjach poetycznych.

U Szekspira Tytania kocha się w głupowatym Spodku a miłość jej gorąca nie ustaje nawet wtedy, gdy go siłą czarów w osła przemieniono. Eteryczna, idealna Goplana kocha gburowskiego i pijanego Grabca. U Sofoklesa Klitemnestra nie waha się zamordować bohaterskiego męża Agamemnona dla miłości tchórzliwego i nikczemnego kochanka.

Wprawdzie w tych wypadkach zaślepienie jest po stronie kobiet, lecz są też tysiączne w dziejach ludzkości i w dziejach pieśni przykłady podobnego zaślepienia mężczyzn. Don Kichot uwielbiający Dulcynę z Tobozo jest jednym z ich wzorów, rycerski i szlachetny Lech u Słowackiego, nlegający ślepo poszeptom krwawej i dzikiej Gwinony, jest rodzinnym naszym typem. Długim szeregiem ciągną się odpowiednie przykłady dziejące, w których mówiąc słowami Homera, Zews za narzędzie zguby obiera niewiastę. A rzadko kiedy w przykładach podobnych kobieta wyrasta po nad miarę istoty bez serca i sumienia, pozbawionej zresztą cech innej niepospolitości.

Zresztą, — po co sięgać tak daleko! Orbeka jest, niestety, postacią, z jaką niejednen z nas spotkał się w życiu. Piszący te słowa znał osobiście takiego Orbekę, musiałby więc zadać fałsz oczywistości, zarzucając Kraszewskiemu przesadę. Autor

powiada w końcu, że opowiadanie prawdziwego zdarzenia dało mu pochoch do napisania *Orbeka* — dziwna rzecz, że nie położyło to tamy zarzutom nieprawdopodobieństwa, gdy zapewnienie to było nawet zbyt czynnem.

A Mira? — może takię Miry niema na świecie?

Chciałoby się na chwałę ludzkości, na cześć jej niewieścięj połowy zaprzeczyć możliwości takiego typu, chciałoby się tém bardziej, tém goręcej zaprotestować przeciwko podobnemu zjawisku u nas. Niestety! znowu przychodzi surowe smutne doświadczenie, by poweździeć, że autor nie zbłądził, nie przesadził nawet, że postać ta jest *prawdziwą*.

Niewątpliwie, taka Mira istnieć może tylko jako wyjątek, ale istnieć może.

Kobieta ta żyje jedynie ku zadowoleniu w sobie jednego z najniższych moralnie instynktów ludzkich: samolubstwa.

Egoizm poniewierający wszystko, cokolwiek stoi mu na drodze, nie znający żadnych względów: obowiązku, uczucia, sumienia, opinii, bez litości poświęcający wszystkich dla dogodzenia sobie, jest zawsze zbrodnią. Ale zbrodnia taka może być czasem tragiczną, może mieć cechy wielkości niemniej. Idealnym typem samolubstwa jest demon — a jednak ileż on ma grozy i uroku w poemacie Milona. Na wskroś samolubne, moralnie lichę postacie bohaterów Bajrona — ileż mają wdzięku i własności obudzania sympatyj.

Szczytem samolubstwa niewieściego w poezyi naszej jest Balladyna — a wszakże budzi grozę, będącą wpływem jej demonicznej natury.

Mira wzbudza wstręt swoją nikiemnością, wstręt głęboki i wzgardę, ale nie więcę. Ani przez jedną chwilę czytelnik nie zostaje pod jej wpływem, ani razu nie podziwia jej. W zbrodni swęj jest pospolitą, czujemy, że gdyby zeszła ze stanowiska, na którem utrzymuje się kosztem łatwówiernych i słabych swych admiratorów, spadłaby na dno przepaści społecznej, znalazłaby się w szeregu ostatnich wyrzutków i tam nie zajęłaby wybitnego stanowiska. Przypominają się słowa Homera:

Nie wiem czy obrzydliwsze na świecie jest
[zwierzę

Nad kobietę, gdy w taką zbrodnię się ubie-
[rze.

Istotnie piękna Mira wysuwa się ze swęj kobiecości i staje przed nami — zwierzęciem.

I to jest właśnie powód główny oburzenia, jakie w niektórych czytelnikach powieść ta wywołała. Bo nie istotnie nie uspra-

wiedliwia zaślepienia Orbeki w takiej kobiecie. — Zalotność jej — pospolita, środki, jakich używa na olśnienie swój ofiary — tak znane i spowszedniałe, że tylko człowiek już zaślepiiony mógł się nie dać ująć, piękność sama, jakkolwiek niezwykła, wdziek i dowcip, które się złożyły na to, że (jak powiada autor) „kochalo się w niej wojsko, duchowieństwo, dygnitarze, starzy, młodzi, panowie, poeci, artyści i bankierowie“ — nie tłómaczą jeszcze dostatecznie zrodzenia się tak szalonej, zabójczej miłości w sercu człowieka, który moralnie stal wyżej od wieku, znał świat, posiadał wreszcie majątek znaczny — mógł więc pod każdym względem więcej być wymagającym w wyborze kobiety, której się miał na wieki zaprzedać.

Jakkolwiek istotnie nie tak szalonej miłości nie usprawiedliwia i autor nie umotywowal jej artystycznie, na czem ucieierała stanowczo wartość powieści, miłość taka, jako zjawisko życiowe nie jest bynajmniej nieprawdopodobnem, więc ci, którzy powieści tej zarzucali nieprawdopodobieństwo — mylili się w dobrej wierze.

Ale na tem nie koniec, gdyż słusznie ktoś zapyta: czy malowanie tak wyjątkowych postaci i wypadków może być właściwem zadaniem powieściopisarza? czy powieść taka ma rację bytu ze stanowiska zarówno etycznego jak i estetycznego?

Na to mam jedną tylko odpowiedź: *Orbeka* jest powieścią tendencyjną. Zwolennik zasady: sztuka dla sztuki — może ją za to potępić, ale my chętnie staniemy po stronie przeciwnój.

O tendencyi w powieści błędą u nas najsprzeczniesze zdania. Sam Kraszewski niejednokrotnie przeciwko tendencyjności utworów powieściowych występował, co mu wszakże nie przeszkodziło stworzyć szeregu powieści tendencyjnych, do których i *Orbeka* zaliczam.

Jakaż powieści tej tendencya?

W odpowiedzi na to pytanie powrócimy do początku niniejszej pracy. Oto, skoro uznając niesłychaną doniosłość sprawy wychowania rodzinnego, Kraszewski dostrzegł działanie zgubnych wpływów naleciałości zachodnich, prowadzące do rozprzężenia rodziny a więc grożące sprawie tej ostatecznym upadkiem, chciał przeciwstawić tym wpływom (oddziaływającym głównie na kobiety) siłę męskiego charakteru i woli. — Mianując męczyznę — ojca, stróżem tego domu, którego pierwszym kapłanem jest matka — kobieta, chciał uzbroić go w dostateczny zasób energii, która by ode-

przód mogła nacisk demoralizujących żywiołów.

Taka Mira, generałowa Palmer i t. p. są właśnie nosobieniem tych żywiołów rozkładu, którym się oprzeć, które zwalczyć powinna potęga męskiego charakteru.

Dwa są sposoby podbudzenia energii w ludziach słabszego charakteru: albo ukazywanie im wzorów siły i woli, któreby ich pociągnęły i do naśladowania zachęciły mogły, albo też przedstawianie im w jaskrawych kolorach następstw, jakie pociąga za sobą słabość charakteru, co w słabszych tych duszach obudzić może poczucie własnej słabości i chęć podźwignięcia się z niej.

W tym właśnie drugim kierunku działał ma powieść *Orbeka*. Autor w przypisku do niej, zatytułowanym: *Do D. Z. F.* powiada.

„Czy się to opowiadanie przyda na co tym nieszczęśliwym, to rzecz bardzo wątpliwa dla mnie. *Może tylko obronić od puszczania cugli namiętności, którą każdy mnie ma do pohamowania latwą, nie widząc, iż każda godzina zwiększa jej siłę, a zmniejsza w nim siłę oporu.*

„Z tem życzeniem puszczam w świat opowiadanie, jakkolwiek i ty i ja zgodziliśmy się na to, iż cudze doświadczenie a mniej jeszcze opowiadanie na cokolwiek się przydać może. *Zawsze jednak utkwii coś w człowieku, zostanie wrażenie choć słabe i odezwie się w daną chwilę.*“

Oto więc tendencya *Orbeki*. Ze swój strony dodać mogę jeszcze tę uwagę, że powieść ta skutek swój osiągnęła niezawodnie, skoro tyle wywołała hałasu i tak przykre sprawiła wrażenie. — Nóż w ręku chirurga dotykający rany — sprawia ból dotkliwy, ale są wypadki, w których tylko ta bolesna operacya uleczyć może.

Broniąc w ten sposób powieści *Orbeka* od zarzutów, jakie na nią spadły, nie odpiaram jednak wszystkich skarg, jakie się słyszeć dały, na sposób przedstawienia kobiet w powieściach Kraszewskiego; owszem ośmielał się zrobić im pod tym względem zarzut stanowczy.

Oto — zaczęsto spotykamy w nich postaci, podobnie jak Mira, ujemne, w skutek czego — bądź co bądź wyjątkowe — rosną one poniekąd do znaczenia ogólnego. — Cudzoziemiec, czytając *Orbeka*, *Kopciuszka*, *Jasienka* — trzy powieści napisane w ciągu jednego dziesięciolecia, mógłby przyjść do przekonania, że istoty jak Mira, generałowa Palmer i Aneta należą u nas do typów zwyczajnych — a tak przecię, dzięki Bogu, nie jest.

To typy wyjątkowe, noszące na sobie wy-

rażną cechę obcych wpływów i nie mogąc w żaden sposób reprezentować średniej miary ujemności naszych swojskich typów. — Dziwić się trzeba istotnie, żąd Kraszewski bierze taką obfitość podobnych postaci niewieści i czemu je malować lubi.

Zarzut ten wzmagą się w siłę w obec powieści, jak *Kopciuszek*, której tendencyjnością tłómaczyć nie można, gdyż jej dopatrzeć się trudno.

W sześciu tomach tej powieści *obyczajowej* widzimy szereg wypadków, których punktem środkowym są dzieje pokrewné nieco Mirze, ale od niej bledszej generałowej Palmer, z domu Kirkuciówny. — Powieść ta z małemi odmianami jest obrazem obyczajów pewnej wyjątkowej sfery, zdradzającej aż nadto wyraźnie swe zamorskie pochodzenie.

Istotnie, jeżeli zważymy, że Kraszewski w powieściach tych malował życie miejskie i że przed rokiem 1860 stałe w żadnym większym mieście nie przebywał, należałoby sądzić, że obrazy tych jego powieści powstały z wrażeń życia warszawskiego i obserwacji na bruku warszawskim zebranych.

Zresztą tłem, na którym rozwijają się dzieje i *Orleki* i *Kopciuszka* jest Warszawa, z czém się autor bynajmniej nie ukrywa, podając nazwy miejscowe ulic i gmachów.

Jeżeli jednak przypomnimy sobie, że właśnie z bezpośredniej obserwacji życia warszawskiego w tym okresie powstały powieści i obrazy całkiem odmiennego nastroju i charakteru, w których zwłaszcza postacie niewieści jaśnieją wielkim wdziękiem i pięknością moralną, — to nie będziemy mogli pogodzić tych sprzeczności inaczej, jak tylko przypuszczając, że tamte właśnie były żywym odbiciem rzeczywistości, na którą autor patrzył własnymi oczami, te zaś dwie, o których mówimy, powstały pod wpływem i z reminiscencyi powieści francuskiej.

Przypuszczenie to, któreśmy już raz powyżej zrobili, nabiera tém większego podobieństwa do prawdy, że na początku tego właśnie okresu Kraszewski przebył i przecierpiał moralnie wiele, że przeto gdy cała dusza jego zwróconą była w inną stronę a pisma peryodyczne warszawskie domagały się nieustannie pomocy jego pióra, pisał dla nich powieści, pozbawione ścisłego związku z życiem danéj chwili, czerpał więcej z fantazyi, niż z obserwacji życia, a fantazyja nastrecała mu obrazy i typy, będące reminiscencyą francuskich romansów, które ciekawsza na grunt nasz przenosiła.

Oto w jaki sposób kreślił p. Stefan Busz-

czyński i Stefan moralny Kraszewskiego, w pierwszych chwilach pobytu w Dreźnie:

„Znekany, schorzały, z trudnością niemal z nadludzkim wysileniem tylko mógł wrócić do dawnych swych zajęć. „Pióro mi z ręki wypada“, mawiał często. Duch jego potrzebował wypoczynku. Myśli mu się rwały. Ciało osłabło, kto go widział wówczas, mniemał: iż jego zawód literacki klonił się ku schyłkowi.“

Świadełstwo to, zupełnie wiarogodne, domysłem moim nadaje cechę prawdopodobieństwa. Oświadczam jednak, że są to tylko domysły, które mi się wydały koniecznymi w tym razie.

Publiczność czytająca utwory powieściowe często nie zwraca wcale uwagi na datę ich powstania i nie liczy się z warunkami, w których wyszły one z pod pióra autorów. A jednak względ to nader ważny i tłómaczący często trudne do rozwikłania zagadki.

Postępując dalej w charakteryzowaniu tego okresu, zwróćmy uwagę na odbicie w nich wrażeń, jakie zostawiły po sobie wycieczki Kraszewskiego za granicę.

Powiada p. Buszczyński, że wrócił on z tych podróży *znużony, zbolący, rozczarowany* — poznajemy to z rozrzuconych tu i ówdzie śladów tego wrażenia. Nigdzie się jednak tak serdecznie, gorąco nie odbiło jak w *Metamorfozach*, w opowiadaniu Albina. Charakterystyczniejsze ustępy uważam za konieczne przytoczyć.

„Śmieszny, kto sądzi, że po za granicami naszymi są jeszcze jakieś narodowości, są indywidualne charaktery ludzi; — tam epoka narodowości już przeszła, jedni słowianie w nią wierzą i piastują tę świętą ideę starą, która tam wydaje się przesadą. Tam wieża Babel zmieszanych ludów i języków, niema przywiązania do ziemi, które zastąpiła miłość grosza, nie ma poszanowania tradycyi, a jest wiara w nieomylność rozumu — Francuz, Anglik, Niemiec, Włoch, jeden mają cel żywota... jedną ideę i ojczyznę, religię, wiarę..... Grosza...“

„*Money is a good soldier*, powiedział Szekspir, a tam u nich i żołnierza i prawo i uczucie i kościół i cnotę zastępuje pieniądz. Rzekłbyś, że ta ludzkość cała oszalała, że ją chwyciła jakaś choroba zaraźliwa, jakaś gorączka, manja.... o niczém nie mówią, nie słuchają, na nic nie patrzą prócz grosza. Stare uczucie, przekonania, świętości, służą tylko za narzędzia, są to czece formuły, czasem użyteczne, któremi jeszcze się posługują, ale celem jedno.... z bogactwem.“

„Zrazu mimo poszanowania, jakie we mnie

wzbudzały co krok spotykane wielkie pamiątki... obrzydliwość uczulem dla tego tłumu nawróconego przez Izraela na wiarę żydowską i życie żydowskie... Nie można tego nazwać inaczej:— spełniły się przepowiednie, przyszło królestwo Izraela i bankier stał się panem świata.

„Stara Europa, pełna relikwii życia zgasłego, żadnego niema związku z tą nową, która na jej gruzowisku koczując jak naród przybyszów. Sterczą katedry olbrzymie, w których się nikt nie modli, pokazują je za pieniądze, przestały być świątyniami Boga, są to *dzieła sztuki!* Dzieła sztuki — myślałże lud pobożny, co je stawiał i tę skamieniałą modlitwę wznosił nie znając prawideł budownictwa, że dźwiga... dzieła sztuki?

„Pełno grobów, postaci olbrzymich, zdobywców, bohaterów, męczenników, świętych, a wnuki ich wszyscy... żydzi. Jedno jest tylko co ten świat wielki rozdziela na dwa olbrzymie pokolenia, wybitnie się od siebie różniące: jedno jak żyd w dorobku skąpi obrzydliwie i brudno, drugie jak żyd bogaty nadyma się, używa, zbytkuje i popisuje zdobyczą.

„Drugą plagą tego nieznanego nam uniwersum nowej fazy, jest zbytek, który naturalnie wynika z żądzy i posiadania grosza... trzebać się wreszcie pochwalić z nim i ciału dogodzić, gdy się dlań tyle pracowało. Cały ów świat myśli o dwojgu — zdobyć i żyć! — a jeżeli chcecie jeszcze, z używania popis zrobić — nie wycęć. Wszystko święte dawniejsze zostało martwem słowem bez zastosowania i możliwego użycia. Cóż zrobić z Ewangelią wśród tego żydostwa? Chrystusa ukrzyżowaliby raz drugi, gdyby to mogło podnieść kurs papierów na giełdzie Ol gdybyśmy nasze skarby znali i cenić umieli, jakby dla nas ta uludna cywilizacya materializmu nie uroczego nie miała! jakbyśmy jasno w niej ujrzeli ziarno grzechu i pochodzenie pogańskie! — Ale wielu z nas powraca zachwyconych geometrycznym ładem Europy, przemysłem dokazującym cudów, suchemi zjawiskami rozumu żydowskiego, a nie widzi, że u nas nie tam jest życie jutra, że u nas siły jeszcze, gdy tam starość niedołężna, co się poi i podbudza, aby żyła potroszę, durzy się i szaleje.

„Kości praójców nawet pokazują tam za biletami płatnemi, bo nie bez grosza... Nie pytaj gościnności słowiańskiej, ani uprzejmości naszej; filuci tylko, co cię odrzucić pragną, są grzeczni, a kupcy, gdy im płacisz, uprzejmi, zresztą kręć sobie kark na rynku,

nikt się nie odwróci, to im wszystko jedno, byle drogiego czasu nie tracić... bo czas to grosz, życie grosz, wszystko grosz...

„Całą Europę, pokazywaną dziś za biletami, przejrzałem bez entuzjazmu, z bólem w sercu dojmującym. Nasz kraj dziki wydał mi się po niej rajem — tu szeroko, swoboduie, ludzko, swojo, tak jakieśmy nawykli... tam jeden sklep i kramy żydowskie. Wkrótce na stopniach Ś-go Piotra zrobią giełdę, a relikwie będą miały kurs na burcie... ale któż je kupi?... chyba my.

„Z duszą uciśnioną powróciłem...“ (*Metamorfozy* t. III., str. 18, 19, i 20).

Czy w opisie tym uie ma przesady? zapyta kto z czytelników.

Tyle, ile jej być musi w każdym szczereńm oburzeniu, w głosie wyrwywającym się z piersi pod świeżem wrażeniem.

Że wrażenie to było bardzo świeże — o tém przekonywają nas daty. Powieść *Metamorfozy* zaczęta w r. 1856 została skończona w 1857, to jest właśnie w roku pierwszej wycieczki Kraszewskiego za granicę. Ponieważ zaś ustępy wyżej przytoczone znajdują się w tomie ostatnim (trzecim) przeto wszystko upoważnia mię do mniemania, że zostały one napisane właśnie pod pierwszém wrażeniem.

Że przez usta Albina przemawia tu sam autor, to również zdaje się nie ulegać wątpliwości a to głównie przez zestawienie tego, co mówi Albin, z tém, co o cywilizacyi zachodniej mówił sam Kraszewski jeszcze w *Tygodniku Petersburskim*, co zresztą w tychże *Metamorfozach* już sam, bezpośrednio... Oto jeden taki ustęp z tomu I (str. 78 i 79):

„Dziś, od niejakiego zwłaszcza czasu skutkiem najfałszywszych teoryj pogańskich napływających do nas z zachodu, pod pozorem dobra ogólnego postępu, przemysłu i handlu, przyszliśmy do czci ciela złotego, której już się nawet nie wstydzimy. Śmieją się jak z nieuków, z tych, co inaczej utrzymywać śmieją, ci dobroczyńcy ludzkości, co w grosz jak w zbawienie wierzyli.

„Żąd przyszlismy wreszcie do mierzenia groszem wartości człowieka, uczynków, dusz, umysłów i narodów. Najniecieńsze z narodów, jak Anglia, co zamęczyła Irlandyą, krwią się jej upajając, co wysłała Indye, do rozpaczey je przywołując niechrześcijańską administracyą, co podburzała ludy kłamiąc później najuroczystszy obietnicom swoim i opuszczając je, gdy skorzystała z rozruchu dla swój kontrabandy — co oprócz własnego interesu nigdy nie znała nie wycęć — wyszła dziś na świecznik jako

wzór i mistrzyni. Wszyscy ją wielbią i podnoszą, że tyle ma grosza, że go tak robić umie, i tak nim mądrze szafuje. Nigdy jeszcze sumienie ogólne nie było tak sfalszowane — robiono złe, ale skłaniano głowę przed ideałem dobra i oczyszczano się kłamstwem cnoty, dziś ideałem się staje, co najszpetniejszego w świecie jest pod względem moralnym... ale praktyczne i silne!..“

Widzimy tu niejako powtórzenie tego, cośmy przytoczyli powyżej, z tą jedną różnicą, że w ustępie tym (napisanym prawdopodobnie przed wyjazdem zagranicę) autor i nas podciąga pod ogólną miarę, — w tamtym zaś po powrocie, robi dla nas pewien wyjątek, znajduje, że stosunkowo jest u nas jeszcze lepiej niż gdzieindziej.

W powieści napisanej znacznie później, bo wydanej w roku 1869 (daty ukończenia niema), w *Złotym Jasionku*, a mianowicie w opowiadaniu Wilmusia o tém co zagranicą widział (str. 336, 337 i następne), spotyka się znowu z podobnym poglądem. I tu jest mowa o zmateryalizowaniu, o wystygnięciu serca, o braku uczucia braterskiego, łatwości życia, gościnności i uczynności, ale jest też wielka różnica — znać, że to nie pod pierwszém wrażeniem pisane.

Przez usta Wilmusia autor zdaje się z tego tłumaczyć, mówiąc, że „człowiekowi wyjechawszy z domu wszystkiego swojego braknie, wszystko cudze zdaje się śmieszne i przechwalone — ale potem! potem, rozpatrując się w różnych różnościach niemieckich, francuzkich i cudzoziemskich, musi sobie powiedzieć — dyabłośmy od nich daleko! Wiele u nas jest dobrego, ale nie małoby nauczyć się potrzeba.“

Jest tu więc odwrotna strona medalu, w której widnieje wyższość zagranicy nad nami pod względem ogólnego dobrobytu, zniesienia różnicy stann i bujnego rozwoju przemysłu i rękodzieł.

Przedstawienie dodatniej strony ludzi zagranicznych znajdujemy także w powieści *Kamieńca w długim rynku*. Jest tu wyborne zestawienie dwóch krewnych — Paparonów, z których jeden urodzony w Gdańsku wychował się pod wpływem niemieckim na pracowitego i rzadnego człowieka, podczas gdy drugi, pochodzący z linii Paparonów zamieszkałej w Poznańskiem, szlachcic czystej krwi, zachował wszystkie narowy szlacheckie — niepraktyczność, rozrzutność i lenistwo.

Jest tu również obrona niemieckiego systemu wychowania kobiet, których wysokie często wykształcenie wcale nie odrywa od gospodarstwa, od najskromniejszych zatra-

nień około kuchni i spiżarni, które bez zrywania się idą od fortepianu do rądelków, rozumieją również dobrze oszczędność jak Mendelsohna i Schumanna, a wymagania najprozaiczniejsze równie jak poezję Goethego i Schillera, łącząc w sobie swobodę lotu ku ideałom z nieublaganą rzeczywistością życia.

Na niekorzyść za to Niemców czytamy, że z małemi wyjątkami — nie szanują oni swych kobiet i lekceważą je, w skutek czego, pomimo jej zalet, kobieta bywa tu na przód gospodynią i sługą, a rzadko kiedy prawdziwie towarzyszką i przyjaciółką mężczyzny.

Widzimy więc z tego, że w powieściach tego okresu odbiło się wyraźnie wrażenie wycieczek za granicę, przechodząc od gorącego oburzenia do chłodnego oddania sprawiedliwości. Bądź co bądź jednak wrażenie pozostało przeważnie złe, gdyż Kraszewski jako poeta i miłośnik wyższych idealnych celów życia, przeważnie na tę stronę zwracał uwagę i jej słusznie przypisywał najwyższą doniosłość.

Zaspokojenie idealnych potrzeb ducha ludzkiego, autor *Świata i Poety* oraz *Powieści bez tytułu* i *Spinksa* miał zawsze za jeden z głównych i pierwszych warunków bytu, przeto z zagadnieniami tej idealnej natury, z potrąceniem o sztukę spotykamy się u niego tak często.

I w tym okresie niebrak odbicia tej ulubionej sfery jego ducha. — Spotykamy tu bowiem kilka typów artystycznych, skreślonych z wielką prawdą, uczuciem a niekiedy i humorem, w miarę jak postać duchem artystycznym opętana na to zasługiwała.

Wiemy już, jak Kraszewski pojmuje sztukę, bo to widnieje ze wszystkich jego powieści.

Sztuka dla niego jest bóstwem — artysta bóstwa tego kapłanem. Powinien więc być poetą, co myśl wielką, uczutą, pojętą i wyrwającą się na świat puszcza nań strojną we wszystko, co jej dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykálną uczynił. Nigdy, zdaniem jego, artysta nie może spojrzawszy na dzieło swoje, powiedzieć, że dobre jest, chyba, gdy npadnie na ducha, umysłu i wyobraźni...

Tworzenie jest oddaniem na zewnątrz najlepszej części twórcy, uszczerbkiem i ofiarą nieopłaconą. Sztuka jest tworzeniem ideałów.

„Poeta na tym świecie jestto roślina przesadzona z Afryki pod biegun lodowaty. Wzniesie się i nsechnie pod mroźnym oddechem świata, pod zimną ręką Eskimosów, którzy ją będą chwalić, ale nie ogrzeją, ale

nie zrozumieją! Próżno wyglądać będzie swego słońca i nieba, lody, meli tylko, niedźwiedzie i cieleta morskie otoczą go, będą wachać, próbować, kosztować,—aż póki nie zniszczą. Poeta jak upiór,—na świecie, lecz nie z tego świata, wstaje dla cierpień i męczarni, rozprasza ludzi swoim przybyciem, mówi do głuchych, żebrze litości obeym im językiem, a cóż mu z szumnego *Requiem* i wieńców po śmierci, kiedy rzuci je dłoń ziarna, jak niechętną jalmużnę? (Poeta i Świat.)

W ten sposób uważając sztukę, Kraszewski z oburzeniem odzywa się zawsze o jej niepowołanych kapłanach, lub o tych, którzy z niej robią parady, popis, rzemiosło. — Ztąd też artyści z urzędu rzadko zyskują jego sympatyę.

„Artysta dzisiejszy, mówi on,— to sztukmistrz, a nie mistrz w sztuce, to rzemieślnik kapryśny, co się wyczerzył trudności, co zna wszystkie sznurki (ficelles) rzemiosła swego. Ale dla mnie rozplakany pastuszek grający sobie w polu na dudce piosnkę natychmiastową... jest daleko nad niego większym artystą.“

To też w powieściach Kraszewskiego w ogóle, szczególnież zaś w tych, z którymi mamy do czynienia, sympatya autora zwraca się wyraźnie do tych miłośników sztuki, którzy ją uprawiają dla siebie, bez zamiaru i chęci produkowania się z nią publicznie—wszelkie zaś wirtuozowstwo nie ma u niego względów.

Dość przypomnieć tu kilka postaci np. Otto Marzycki w *Jaselee* i Maks Fermer,— w *Metamorfozach* Teofil i Bogna; w *Orbece* wreszcie sam jej nieszczęsny bohater. — Między nimi wprowadzić niema ani jednego istotnego artysty,—są to dyktanci, lecz już i w nich objawiają się wyraźnie różnice usposobień artystycznych. O występujących publicznie muzykach autor przez usta cudze a niekiedy i bezpośrednio wydaje sąd najniekorzystniejszy.

„Tamei (powiada Otto) nie są muzycy: to spekulanci, którzy tak samoby jeździli po świecie z olejkami, z pomadą, z menażeryą lub kosmorama. Talent u nich być może, ale pojęcie, poszanowania sztuki — nie ma, bo prawdziwy artysta woli umrzeć z głodu, niż świętością frymarzyć... Są tacy, co czeząc muzykę, kochając ją, kryją się z nią jak ze skarbem... i to są tylko prawdziwi artyści.“

W ten sposób w ukryciu uprawiają sztukę z miłością ku niej, lub z potrzeby moralnej Otto, Teofil i Orbeke. Wirtuozow-

stwo reprezentują — dwie postacie nienne — Maks i Bogna.

Gdyby tego nie było dosyć, moglibyśmy znaleźć wielką ilość ustępów potępiających nie amatorskie ale zawodowe (jeżeli wolno się tak wyrazić) traktowanie sztuki. Wszystkie one dalyby się zredukować do jednego zdania. „Nie cierpię popisów, nienawidzę szarlatanów, nie lubię fanfaronady w niczem; muzykę jak kochankę mam dla siebie: nie wożę się wcale z nią po świecie. (Jasełka t. I. str. 222.)

Czy pogląd to słuszny? czy sztuka z chwilą, w której przestaje być niepodzielnym skarbem osobistym artysty, naraża się na profanacyę, traci coś na godności swojej? Czy istotnie artysta, który się szanuje, powinien ukrywać się przed światem ze swym mistrzowstwem?

W odpowiedzi na to pytanie można by napisać traktat obszerny, którego treścią byłby tylekroć przez Kraszewskiego poruszany i przedstawiany stosunek artysty i poety do świata.

Gdybym chciał tylko wypowiedzieć, co mi się w tej chwili ciśnie pod pióro — sprawa ta podwoiłaby ramy niniejszego artykułu. Trzeba więc poprzestać na kilku uwagach.

Kraszewski ma najzupełniejszą ze swego stanowiska słuszność, ale stanowisko jego jednostronne.

Dwa są bowiem zadania artysty. Jedno polega na rozdmuchiowaniu i żywieniu w sobie iskry świętej talentu i natchnienia, na spotęgowywaniu siły ducha twórczego pracą i utrzymaniu go w stanie doniosłości i czystości moralnej. Drugie zależy na podnoszeniu duchów innych nad poziom powszednich trosk i kłopotów, na rozbudzeniu w pierśiach ludzkich tęsknoty do tych idealnych światów, których sztuka jest wystannikiem.

Słowem artysta powinien osiągnąć cel dwojaki: naprzód własnej korzyści ducha a potem skutecznego oddziaływania na tłumy, z którymi się ma skarbem duszy swój dzielić.

Otóż Kraszewski pamięta ustawicznie o tym pierwszym obowiązku artysty, zapominając często, lub może nie zawsze wierząc w skuteczność oddziaływania na zewnątrz, w doniosłość utylitarną strony artysty.

Temu się dziwić nie można. Kraszewski sam jest poetą i artystą w duszy, wszystkie więc metamorfozy ducha artysty pochodzące z zetknięcia się ze światem i jego demoralizującym wpływem są mu znane i zrozumiałe. Widział on niejednokrotnie prawdziwe talenty artystyczne marnujące się na drodze popisów i gonienia za oklaskiem i

groszem, widział mierności pozujące na geniuszów i zyskujące poklask uwiedzionych tém tłumów, widział ludzi, których rzetelne zdolności i prawdziwe poczucie sztuki były zapoznavane i poniewierane przez tych, którzy gonili za blichtrzem i błagą, samozwańców sztuki. Patrząc na to wszystko, mógł on nabrać niechętnego uprzedzenia do tego, co się pokazuje za biletami, co każe się podziwiać i uwielbiać.

Zresztą, kto szczerze i prawdziwie kocha sztukę, ten stokroć woli ją widzieć w atmosferze ciszy i modlitewnego spokoju, niż w gwarze oklasków i głośnych zachwytyłów tłumu. Dla każdego artysty czy poety wyższego nastroju większą nagrodą szczere uznanie kilku ludzi istotnie umiejących czuć i rozumieć sztukę, niż entuzjazm, często bezmyślny, tłumów. Wymownie wyraża to Baliński w powszechnie znanym wierszu:

Czasem w dodatku słyszę oklaski,
Szczerze czy zwodnie, wszystko mi jedno:
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich grantowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały!... toć to szyderstwo!
Wasze pochwały, toć to bluźnierstwo!

Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Więc nie dziwno, że z tego stanowiska patrząc na sztukę i pod takiem zostając wrażeniem, można powiedzieć jak Otto w *Jasiekach*: muzykę jak kochankę mam dla siebie — nie wożę się z nią wcale po świecie.

Ależ z tego samego stanowiska trzebaby było przyznać, że „rozplakany pastuszek grający sobie w polu na dudce piosenek natchnioną“ jest większym artystą niż Paganini, Bach, Bethowen, Mozart, Liszt itd. gdyż on gra tylko *sobie*, podczas gdy tancerze dawali się słyszeć światu i zbierali wieńce laurowe, że takież pastuszek rzeźbiący dla siebie z kawałka drzewa Chrystusa na krzyżu lub postać jaką inną świętą — większym artystą nad Michała Anioła, Benvenuto, Canovę i t. d.; że wreszcie poeta tworzący w ukryciu przed światem serdeczne i rzuwne piosenki, z którymi się przed nikim nie zdradza, gdyż „sprzedawać pieśni — hańba poecie“ jest, większym poetą w duszy nad tych głośnych i sławionych wieszczów, których świat słuchał.

A w takim razie — cóżby się stało z cywilizacyjnem sztuki znaczeniem i potężnym jej wpływem na ludzkość?

Kraszewski bardziej, niż kto inny, rozumie doniosłość tego wpływu, i twierdzenie odobne powyższemu, byłoby w jego oczach zięciną przesadą. A jednak jest ono tylko rosta konsekwencyą téj wiary artystycznej, którą wyznają niektóre dodatnie postacie

artystów w postaciach jego, którą on sam niekiedy wyraża.

Tu właśnie maluje się pewna jednostronność poglądu, na którą musiałem zwrócić uwagę, mówiąc o powieściach tego okresu.

Nie przeszkadza to bynajmniej, by przedstawione w powieściach tych typy artystyczne miały w sobie szczerą prawdę życiową.

Zarówno z autorem kochamy Ottona i Teofila, zarówno z nim lekceważymy Maksa i oburzamy się na jego blagę.

Wyborną choć w kilku zarysach przedstawioną postacią jest w *Metamorfozach* Bogna *monstrum idealne*, jak ją słusznie autor nazywa, która siedem lat mając, śpiewała już i grała w publicznym koncercie, wiedząc doskonale, że jest fenomenem i kandydatką na bóstwo; która rozwijała się w atmosferze sztuki, jak kwiat cieplarniany, zdobywając sobie wszędzie holdy i uznanie, która rodzice wozili wszędzie, jak cacko owinięte watą w pudełku, która z Lamartinem jadła obiad, dla której Musset improwizował, Hejne z nią żartował, Gutzkow zrobił heroinę jakiejś powieści; która z Dickensem podróżowała po Włoszech a Ingres robił jej portret, Delaroche dawał lekcye, Rauch statuetkę dla niej wyłepił, Hugo napisał cztery wiersze do albumu i Pellico dał odę.

Któż z nas nie ma lub nie słyszał o takiem potworze idealnym, przywykłym stapać po różach i laurach? Może na mniejszą skalę, nie tyle głośnie, ale trafiają się one dość często.

Istota natchniona, na estradzie, otoczona słuchaczami — wielka aż do śmieszności, o której z góry wiadano, że ilekroć otworzy usta, wyjdzie z nich coś nadzwyczajnego i w słowie każdym znajdowano intencje, odcienia, piętna jakieś endowne — Bogna jest postacią znakomitą, skreśloną z nieporównanym humorem i prawdą.

W obec takich to wielkości można zatęsknić do skromności i prostoty pastuszej, ale bo też wielkość to podejrzana, sztuczna, śmieszna i — mała.

Nie masz istotnie nic wstrętniejszego nad mierność puszącą się i krzykliwą, domagającą się oklasków i wieńców i odbierającą je zazwyczaj z rąk olśnionego tłumu.

Dotknąwszy pobieżnie, o ile rozmiary pracy niniejszej pozwoliły, wybitniejszych cech strony wewnętrznej powieści Kraszewskiego w danym okresie rzucamy teraz okiem na stronę ich zewnętrzną.

Pod tym względem przedstawiają one pewną osobliwość w budowie swej, warunkom artystycznym mało odpowiadającą

Epizodyczność jest cechą jej charakterystyczną. *Resztki życia* złożone są z samych prawie epizodów i figur epizodycznych. Niepodobna nawet powiedzieć, kto tu jest postacią główną, o kogo czytelnikowi chodzić ma najwięcej. Akcy właściwej brak, zajęcie rwie się co chwila i zawiązuje na nowo. W zakończeniu wychodząca na jaw tendencja całego utworu wygląda na sens moralny bajki.

Żeby zarzuty te nie miały pozoru bezzasadności, przypominam, że połowę tomu pierwszego zajmuje przedstawianie czytelnikowi osób do powieści wchodzących po porządku — szeregiem; że prawie cały tom III zajęty jest najzupełniej epizodycznym opowiadaniem Poronieckiego; że na koniec postać fantastyczna i wdzięczna Andzia jest również epizodyczną i niknie wreszcie, nie zostawiając po sobie w powieści żadnego śladu.

Metamorfozy składają się również z samych epizodów. Czytelnik akcy żadnej nie widzi, tylko o niej słyszy. W początku podobnie jak w *Resztkach życia* szeregiem opowiada autor o dziejach poprzednich swych bohaterów, potem każe im wypowiadać (również kolejno) marzenia ich i nadzieje na przyszłość, nareszcie, po latach dwudziestu sprowadzając ich znowu razem, pozwala nam poznać z ich kolejnego opowiadania dzieje każdego z nich w ciągu minionych lat.

W czterotomowych *Jaselkach* na niezbyt bogatej osnowie zdarzeń, widzimy wielką ilość przeróżnych postaci i typów, przesuwających się przed nami, co dało powód do tytułu tej powieści. Rzecz naturalna, że i tu epizodów obfitość.

To samo do pewnego stopnia powiedzieć można o innych powieściach z tego okresu, z których pod względem architektoniki powieściowej najlepszą może jest *Kopciuszek*, pod innemi względami wcale nie najlepsza.

W ogóle powieści te nie należą do najbogatszych pod względem artystycznym. Nie przeszkadza to jednak temu, by dwie z nich, mianowicie *Jaselka* i *Metamorfozy* zaliczyć do najlepszych powieści Kraszewskiego.

Składają się na to dwa ważne warunki: znakomita charakterystyka postaci, oraz serdeczne ciepło rozlane w tych utworach, pełnych sympatycznego, swojskiego charakteru.

Górującą nad wszystkim myślą obywatelską i podniesieniem najważniejszych kwestyj społecznych i życiowych, powieść *Me-*

tamorfozy stoi wyżej po nad wszelką krótkowidzącą krytykę, która by chciała na tém słonecznym i gorącym tle całości szukać plam uchybień artystycznych.

Kto z promiennych dni młodości swojej zachował wspomnienia serdeczne, kogo życie nie odarło z podniosłych pragnień i ideałów, kto się nie pozbył wrażliwości duszy pozwalającej odczuwać dołę i niedolę bliźnich, kto słowem nie roztrwonil po świecie skarbów młodości, temu *Metamorfozy* przypadną do serca, poruszą w nim wspomnienie niejedno i do poważnych a smętnych pobudzą refleksyi.

Jeżeli idzie o typowe postacie odmalowane żywo, z werwą, prawdą a nierzadko i serdecznym humorem, to nie brak ich w żadnej z tych powieści, owszem, jest ich tak wiele, że nie śmiem się nawet pokusić na ich wyliczenie.

Są to najczęściej postacie kreślone jakby od niechcenia, nie stojące na pierwszym planie, występujące często tylko na chwilę, ale łatwo po każdej poznać — *ex ungue leonem*, — mistrzostwo pędzla, który umie na najmniejszym drobiazgu się zdradzić.

Można nawet powiedzieć, że u Kraszewskiego te mniejsze, drugorzędne figury występują nieraz dobitniej, mają więcej nierównie siły indywidualnej od niektórych pierwszorzędnych. Szkodzi to oczywiście perspektywie obrazu, ale też często podtrzymuje uwagę i zajęcie czytelnika tam, gdzie ono słabnąć zaczyna. Naprzykład w *Kopciuszku*: Drzemalik, Kirkać i przyjaciel jego Pętelka, w *Jaselkach*: Radwanowie, Mąkiewicz i Lacyna, w *Resztkach życia*: Andzia, Szambelan, Jacek, Mulka dyrektor trupy prowincjonalnej i Samuel aktor tego towarzystwa; w *Metamorfozach*, cały szereg postaci drugorzędnych — wszystkie one wzbudzają zajęcie i zwracają ku sobie uwagę, zostając w pamięci czytelnika, choć on zaledwo przez chwilę je widzi.

Epizody stanowiące niemną stronę architektoniki w tych powieściach zalecają się również swém obrobieniem lub treścią. Andzia w *Resztkach życia* i jej stosunek do młodego Żelizy stanowią obrazek prześliczny, pełen prawdy i poczywi. W długim opowiadaniu Poronieckiego jest dużo znakomitych obserwacji życiowych i typów wprost z życia wziętych. *Historja o królewiczu Ramianku i siedmiu królowiach* w *Metamorfozach* stanowi całość bardzo oryginalną i ciekawą, każde zaś opowiadanie wzięte z osobna posiada wysokie zalety. Powieść ta robi wrażenie albumu zło-

zonego ze znakomitych obrazków i portretów.

Widzimy więc, że nawet tam, gdzie krytyka artystyczna chciałaby położyć swoje veto, znakomity talent autora potrafi się objawić już to błyskiem myśli czy dowcipu, już to mistrzostwem pojedynczych zarzysów, osłabiając siłę zarzutu.

Powieści te, to jakby zbiory odłamków drogiego kamienia, w który młot ciężki uderzył. Szczątki te, choć nie zawsze symetrycznie dobrane, nie zawsze do siebie przystające, świecą jednak i oczy ku sobie pociągają, świadcząc o swém pochodzeniu.

Trzeba wszakże pamiętać o tém, żeśmy tu mówili tylko o okruszynach, które bynajmniej nie dają obrazu całej produkeyi powieściowej Kraszewskiego w danym okresie czasu.

Było niegdyś przysłowie, że *resztki pan-*

skie więcej warte od całych majątków szlacheckich: przypomniało mi się ono w tej chwili. Kraszewski to—jest niewątpliwie takim *panem* w literaturze naszej powieściowej.

Lecz porównanie to kuleje, bo mówi tylko o bogactwie—a więc, względnie do pisarza, o talencie tylko. Kraszewski jednak jest nie tylko poetą i artystą... jest on przede wszystkim człowiekiem serca i obywatelem kraj swój szczerze miłującym.

Można znaleźć miarę dla jego talentu, można znaleźć cenę wartości jego utworów, o co i ja się pokusiłem w pracy niniejszej, lecz któż ocenić zdola tę miłość cecującą wszystkie jego utwory, to serce zacne, serdeczne, nasze, którem się z nami w każdym utworze swym dzieli?

Przed odszukaniem takiej miary i takiej ceny—składam pióro.

Stanisław Grudziński.



Pięte dziesięciolecie

(1870—1880.)

I

1) „Dzieci wieku,” 2) „Niebieskie migdały,” 3) „Mogilna,” 4) „Morituri,” 5) „Resurrecturi,” 6) „Roboty i prace.”

Zbiorowy przegląd powieści obyczajowych Kraszewskiego już się kończy. Olbrzymi materiał ogarniający warstwy, charaktery, opinie, stronnictwa, w ogóle najróżnorodniejsze rysy życia społecznego, został już w miarę możliwości rozpatrzony. Zdawałoby się, że piszącemu o kilku utworach z lat ostatnich, przypadną w udziale drobne tylko cząstki obfitego żniwa, będące mniej więcej odbiciem mimowolnym obrazów, powtórzeniem idei, odgłosem hasel napotykanym dawniej w pismach jubilata. Byłoby to naturalne, niemal konieczne. Tak się dzieje zwykle, że najznakomitsze talenta tworząc ciągle i przez czas długi, wyczerpać wreszcie muszą bogate swoje zasoby. W stosunku jednak do Kraszewskiego prawidło przedstawia zdumiewający wyjątek. Talent jego zamiast uleść znużeniu, okazuje się dziś żywotniejszym, niż kiedykolwiek: buja wyżej, sięga głębiej, opiera się mocniej, na coraz pewniejszych zasadach. Nigdy może z pod pióra Kraszewskiego niewyszło dzieło doskonalsze w swoim rodzaju nad „Morituri,” — a i cały szereg powieści, o których mówić zamierzam, świadczy, że w porze, gdy do wieńca sławy nie już autorowi nie brakło, odkrył on nagle całkiem nowe widnokręgi dla swjej twórczości.

Zapuszczając się w te obszary w ślad za Kraszewskim, czytelnik doznaje uczucia niespodzianki, z której nie każdy umie zdać sobie sprawę. Kraj to przecież rodzinny, życie tam swojskie, prowadzi nas tuż sam przewodnik światły i doświadczony — zkład

się więc wzięły tak ogromne różnice? Czy błędziliśmy przed tem, czy dopiero teraz wkraczamy na mauowce? Ani jedno, ani drugie. Poprostu, idziemy dalej, wraz z życiem, które się rozwija, ze światłem, które się rozszerza, z bieżącymi potrzebami czasu, z doświadczeniem autora i z postępem własnego społeczeństwa. Nie zerwaliśmy z kierunkiem od początku wytkniętym; ten był, i pozostanie niezmiennym w zawodzie Kraszewskiego. Posuwając się naprzód, opuszczamy tylko stanowisko, na daną chwilę nieużyteczne, — a z tą zmianą miejsca przynosimy się równocześnie w stronę, z którą nie jeden szczegół przedstawić się nam może inaczej, niż wtedy, gdy wskazywał go autor, w innych okolicznościach, i na innym punkcie społecznej naszej drogi.

Kto zrozumiał dobrze charakter działalności pisarskiej Kraszewskiego, zawsze najciaśniejszymi węzłami połączony z istnieniem ogółu, tak iż wszelkie tętna społeczne wywołują wnet odpowiednie drgania w organizacyi duchowej pisarza i pozostawiają ślad w jego dziełach; kto pojął, że bez tej magnetycznej wrażliwości niepodobna być wiernym malarzem swojej epoki przez całe lat pięćdziesiąt; komu nie tajemno jest, że owa nadzwyczajna wrażliwość jedynie w gorącym współczuciu obywatelskiem źródło mieć może; ten potrafi sobie wytłomaczyć, a nawet często i usprawiedliwić pewne, sprzeczności w utworach jubilata.

Sam autor, w przedmowie do najnowsze-

go wydania powieści „Poeta i Świat“ wyznaje, że „nie tylko zmienił się poeta, — świat także się zmienił... Dla tego często i poeta wyda się anachronizmem, i świat jakimś nie dzisiejszym... W pół wieku ostatnim przeżyła społeczność wieki“.

Szczere to objaśnienie powinno by dostatecznie wykazać czytelnikom powód niezgodności w poglądach Kraszewskiego na różne objawy życia, o którym nie wyrokował z eterycznych wyżyn Parnasu, lecz dzielił je na twardej ziemi z bratnią rzeszą, — całą siłą pragnień, całą siłą miłości...

Łatwa to rzecz, „siedząc w bańce własnych marzeń“, spiewać wciąż jednym tonem fantastyczną piosenkę, do której motyw wysnuty z powietrza, przyjemnie działa na ucho, ale w realnej sferze obowiązków nie rozjaśni żadnej wątpliwości, niczem nie zasilą, i nie ulży w niczem. Gdyby Kraszewskiemu szło o to, zdobyłby wygodnie i tanio dyplom „nieomyślności“, jak wielu innych pisarzy, którzy umieściwszy serca swoje i mózgi gdzieś na odległym Helikonie, mogą nie wzruszeni, bo nieruchomi, powiedzieć o sobie: „świat się zmienił, poeta jednak zabierze do grobu swoje maksymy, z którymi się nosił przez cały żywot, w których nie nie przerobił, nie nie poprawił, nie nie dodał i nie ujął od czasu, jak zaczął czuć i myśleć... Tak... „czuć i myśleć“ w obrębie oderwanych pojęć i platonicznych sentymentów, w przyzwolonej odległości od wirów i zadań życiowych, — to bezpieczna rola! Można kręcić się w kółku ogólników lub oklepianych kazań przez całą wieczność, nienaraziwszy stałości swych przekonań na ciężką próbę. Ale co innego — szukać razem ze społeczeństwem dróg praktycznych i środków skutecznych! Od jakiegoż pory „nieomyślny“ poeta rozpoczął pełnić tę mianowicie swoją powinność? Nie jest zasługą marwota, więc niedość jest czuć i myśleć szlachetnie; trzeba jeszcze wnieść cząstkę swęj pracy do życia, zastosować ją do położenia doczesnego, choćby potem przyszło „niejedno miłe zburzyć, i inaczej odbudować“...

Niejedno też miłe Kraszewski zburzył, aby odbudować inaczej, a lepiej.

W żywój solidarności z interesami bieżącymi, z ruchem i całym bytem społecznym, ży przyuczyna, że pisząc dużo, nie przestał na dotychczas być oryginalnym, zajmującym najpoczytniejszym z naszych powieściopisarzy. Zbiór jego powieści przedstawia tylko wizerunek ludzi i rzeczy wciąż około pięćdziesięciu, lecz pozwala szczerze badać, jak stopniowo przeradzały się w tymże czasie typy, kształciły się wyo-

brazenia, i brały górę nowe dążności, gdy prądy nurtujące w społeczeństwie wywierały wpływ i na autora, w potrójnym charakterze: myśliciela, powieściopisarza i publicysty. Kraszewski zajmował się temi prądami, był w bezpośrednim z nimi stosunku; walczył przeciw nim dzielnym swem piórem, gdy sądził, że są szkodliwe, niekiedy znów im ulegał po dłuższym oporze, jeśli uznał, że dla pożytku ogólnego zrobić ustępstwo należało.

Porównajmy „Poetę i Świat“ z „Dziećmi wieku“, lub z „Niebieskimi migdałami“, „Choroby wieku“ z „Mogilną“ lub z powieściami, jak „Morituri“, „Resurrecturi“, „Roboty i prace“, zestawmy poetę Gustawa z epigonem jego, poetą Walkiem Łuzińskim w „Dzieciach wieku“, lub z marzycielem-paniczem, hrabią Zdzisławem Samoborskim w „Niebieskich migdałach“, wreszcie postawmy Jana Dembora w „Chorobach wieku“. obok rodziny Brańskich w „Morituri“, — a przekonamy się, że Kraszewski, skoro chodziło o prawdę i dobro, skoro one wyraźnie mu się objawiały, nie grzeszył zacietością sekiarza, obstającego przy swoim gwoździu ocalenia miłości własnej.

Ale skłonność do rozumnych i uczciwych następstw, niedoprowadziła Kraszewskiego do odstępstwa od głównych zasad.

Nie rozszedł się on nigdy ze swem społeczeństwem w pojęciach obywatelskich, wśród chaosu teorii, usiłujących utorować sobie przejście do praktyki, które uwikłać mogły niejedną głębszą umysł w sić fałszu pięknymi pozorami przyszyroną. Na tym punkcie w stałości nikt go nieprzewyższył; tu już nie pociągnął poetyckiej jego wrażliwości żaden świetny paradoks, niewydobył z niej wiersza, niewyludził słowa. Dzieła jubilata nie wszystkie mają równą wartość, ale wszystkie są czyste, znaczne, wszystkie pomimo tych lub owych kontrastów zmierzają do wspólnego celu, który unosząc się po nad przemijającymi kwestyami, ani razu nie był podany przez autora w wątpliwość. Niezgodne z sobą w wielu względach: „Świat i poeta“, „Dzieci wieku“, „Choroby wieku“, „Morituri“ i t. p., służą zarówno sprawie ideałów, drogich Kraszewskiemu, jednakowo dzisiaj, jak i przed pół wiekiem. Rycerz i rzecznik poczciwości, Gustaw, z biegiem czasu runął ze szczytów, na jakie wzniósł go był autor, lecz poezja pozostała i nadal na swych wysokościach; spadkobierca Gustawa Walenty Łuziński zamiast korony cierniowej odziedziczył po swym protoplaście czapkę z dzwonekami, ale nie zaćmił się w „Dzieciach wieku“ majestat poczciwości, nie splamiło

jęj królewskiej szaty dotknięcie pajaca. Podobnie i dążność „Chorób wieku“, wręcz przeciwna poglądom wyłożonym w kilku powieściach z daty późniejszej, niezakłóca owęj harmonii wyższej w najnowszych i w najdawniejszych pismach Kraszewskiego.

Zwroty atoli okolicznościowe, lubo nie uwłaczające nigdy ani godności, ani miłości kraju,—były czasem nader stanowcze. Wśród nich odznacza się szczególnie wydatnemi zmianami w poglądach autora, wojna poety ze światem, rozpoczęta przez Gustawa, prowadzona w dalszym ciągu przez Szarskiego w „Powieści bez tytułu“, a przegrana ostatecznie, bez ratunku i bez honoru przez Walka Luzińskiego i przez brabiego Zdzisława. W pierwszym, chlubnym jeszcze, okresie wojny, świat zламаł poetów przemocą materyalną. Bój toczył się długo. Po jednéj stronie srożyła się dzika tłuszcza, walcząca egoizmem i ciemnotą; z drugieję występowali posłannicy z niebios rodem, dla tego słabi, że ziemia była dla nich więzieniem brzydkim i ciasnym, w którem nie mogli rozwinąć swobodnie skrzydeł do lotu. Ziemia na świetlane ich duchy rzuciła garść błota i skuliła je cielesnemi pętami. Napróżno biedni tęskniąc za swoją empirejską ojczyzną wyrwali się z pod jarzma, by pomknąć w krainie nieskończoności. „Świat“ trzymał „poetów“ w niewoli, mągał im i zaprzeczał praw do odrębnego istnienia. Uroził on sobie, że poeta na równi z ogółem śmiertelników powinien kochać, cierpieć, służyć, że ma sądzić i być sądzonym według skali dobrego i złego, ustanowionéj dla wszystkich; że uniesienia poetyckieję fantazyi są wybrykami dziwaetwa; ztąd wypadł wniosek, że poeta reprezentowany przez Gustawa jest w części szaleńcem, potroszę niedołęgą, w każdym razie istotą kapryśną, zarozumiałą i samowolną,—potrzebuje więc nie czuleję opieki, lecz surowéj kurateli. Na mocy tego rozumowania „świat“ zawyrokoował, że im gwałtownieję „poeta“ będzie się upominał o wyjątkowe przywileje, tém silnieję wypada go ująć w karby powszechnie obowiązujące. Przeciw wyrządzoneję sobie krzywdzie poeta zaniósł skargi przed bogów; lecz, że pomyślnéję interwencyi zastępów nadziemskich jakoś nie spodziewał się wcale, bronil się przeto szyderstwem i pogardą. A gdy zgębiony przez świat, musiał wkońcu zejść ze świata mroku i grzechu, na świat sprawiedliwy i promienny,—obrońca pokonanego, Kraszewski, opowiedział z porywającą wymową historią poety, w książce, której dość się naczytać niemożna; opisał jego rodowód i przynioty, zdjął zeń brzemię

zarzntów, obwinil świat, i polecil matkom, aby modlily sie nad kolebką synów.

„Panie, zrób go czém chcesz, tylko nie poetą! Bo lepiej być nędzarzem, lepiej być głupim, lepiej być niemym, głuchym, ślepym, niż poetą; lepiej być garbatym, koso-okim, ryżym, kulawym, lepiej być żydem, niż poetą. Poeta na tym świecie jest to roślina przesadzona z Afryki, pod biegun lodowaty. Wzniesie się i uschnie pod mroźnym oddechem świata, pod zimną ręką Eskimosów, którzy ją będą chwalić, ale nie ogrzeją, ale niezrozumieją! Próżno wyglądać będzie swojego słońca i nieba, lody, mchy tylko, niedźwiedzie i cielęta morskie otoczą go, będą wachać, próbować, kosztować,—aż póki nie zniszczą. Poeta jak upiór,—na świecie, lecz nie ztego świata, wstaje dla cierpień i męczarni, rozprasza ludzi swoim przybyciem, mówi do głuchych, żebrze litości obcym językiem, a cóż mu z szumnego *Requiem* i wieńców po śmierci, kiedy je rzuci dłoń zimna, jak niechętną jalmużnę?

„Pokój ich duszom w grobie, bo go nie znały na ziemi!...“

Tak żył i umarł Gustaw, temi słowami pożegnał głowę wojującego kościoła poezyi autor. Jnaczej było z Walkiem Luzińskim pracowitym następcą Gustawa. Zapewne Kraszewski tego pokrewieństwa niespostrzegł, kreśląc obraz Walentego. Ojciec duchowy pokolenia niósł wysoko sztandar obozu, syn w stroju arlekina wywijał chorągiewką blażeńską, uszytą z wstrętnych lachmanów. Twórca szkoły legł, jak wódz uczeń powalił się, jak zwierzę.

W obec krańcowo przeciwnych rezultatów możnaby mniemać, że ten nad wszelki wyraz lichy Walek jest co najwyżej potworną karykaturą swego typu. I nie zawodnie, jest on ułomnym jego obrazem. Jest mimowolną parodią Gustawa,—ale czy skutkiem tego, że skrzywił w sobie wzór pierwotny? Bynajmniej. Różtrząsając bacznie mowę myśli i postęпки Walka, niedoszukamy si w nich zgola skazówki pozwalającéję przypuszczać, że zboczenie tkwi w tém a tém miejscu, i że wynikło z jakich bądź naleciałości, obcych naturze gatunku. Sądy Luzińskiego o ludziach i o samym sobie, nawet frazesy jego wzięte są jakby żywcem z powieści: „Poeta i świat“, z kilku rysów odgadniesz w Walku Gustawa II-go, idąc go w prostéj linii od Gustawa I-go, zależyciela dynastyi poetów, walczących ze światem. Na mocy poczuwania się do szczegónej missyi poetyckieję, Gustaw spogląda z góry na rzeszę, złożoną, według niego

z giazdów, czworonogów, małp i t. p.; oburzał się na ludzi, że go nierozumieją, czuł się wśród nich wyjątkiem, czyniącym zaszczyt ludzkości, słowem, był oryginałem, którego kopią może nieumyślną, z pewnością niekształtną, ale wierną co do treści, przedstawia Walek. „Ja nie jestem, jak inni ludzie“, twierdził Gustaw, a zbytecznym byłoby dodawać, że nie mówił przez pokorę. Wyrażenie to miało oznaczać, że należy on do garstki wybranych, którym reszta pospolitych śmiertelników hold nieść powinna. Tak samo myślał o sobie, i to samo wypowiadał Luziński.

Dla Gustawa i Walka wyższość poety nad światem stanowiła nie pewnik matematyczny, lecz dogmat. zaczerpnięty w dziełach niedostępnych dla ziemskiej logiki. Sprzeczać się więc z nimi o zasadność tych dumnych roszczeń, byłoby niepodobieństwem. Spytał o dowody, a odpowiedzi, że je przechowują w głębi wewnętrznego przeświadczenia. Jeśli ten argument nie wyda ci się dość silnym, nastręczysz im nową sposobność do użalania się na tępe umysły i kamienne serca, w rzędzie których ty sam, z powodu okazywanej nieufności, zająłeś miejsce wydatne od tej chwili. Trzeba ci było, pod karą utraty cech człowieczeństwa powitać w pocie monarchę stworzenia. Postąpiłbyś tym słuszniej, że w państwie poetyckim tron jest obszerny. Zmieścić się na nim może tylu władców, ilu jest Gustawów i Walków na bożej ziemi. Snadno się tam dostać, — byle chęci starczyły.

Walenty Luziński dostał się na ów tron, wstępując pilnie w ślady Gustawa. Sam siebie wybrał na króla, sam się ukoronował, oznajmiwszy współmieszkańcom prowincjonalnego miasteczka, że jest fenixem, geniuszem, poetą...

Jakie miał do tego kwalifikacje? A jakież miał Gustaw? Cóż ztąd, że Walek nieodzynał się na polu twórczości literackiej? Mógł przecież być poetą, nie pisać wierszy. W epilogu do dziejów Gustawa znajduje się ustęp objaśniający podobne fenomeny: „Nie wszyscy poeci piszą (słowa są epilogu), niektórzy czytać nawet nie umieją; ich charakter, natchnienie, zapal czynią ich poetami“...

Z tego stanowiska rzecz biorąc, Walenty aż nadto posiadał praw do tytułu poety. Umiał nie tylko czytać i pisać, lecz nawet, choć to go nieobowiązywało, układał plany dramatów i próbował dorabiać końcówki. Dr. Mylius nazywa swego wychowanka „zdolnym, utalentowanym, genialnym człowiekiem“, a zdanu temu zagniewanego o-

piekuna czytelnicy wierzyć są obowiązani. Co do charakteru, zapalu i natchnienia — Walek chyba i z tego względu czynił zadość wymaganiom szkoły. W powieści: „Poeta i świat“ znamiona charakteru poetyckiego tak są określone: „Poeta jestto istota excentryczna, różniąca się tém tylko od szalonych, zamykanych w szpitalu wariatów, że czasem na chwilę powraca z kontemplacyjnego życia swego na ziemię, i rozerwane pasmo jej wyobrażeń łączy jako tak“...

Otóż Walek Luziński w wysokim stopniu odpowiadał temu prawidłu. Wiarogodny świadek Dr. Mylius, przyznając mu geniusz, uważa jednak Walka fantastą i dziwakiem, to zaś co o nim czytamy w „Dzieciach wieku“, zaostrza naganę wygłoszoną przez opiekuna. Walek zakrawa niezaprzeczenie na pół-wariata.

Ale nieprzerwyjmy charakterystyki typu poety.

„Nie myśl go użyć, przestrzega autor, do pospolitych życia potrzeb, do tych funkcji zimnych, bezmyślnych, obcych mu zupełnie, które on uważa, pojmuje, lecz się do nich zniżyć nie potrafi“...

Wbrew tak wyraźnym przepisom miał-żeby Walek nieotrzymać patentu na poetę, on, który zalicza próżnowanie do warunków dojrzałości geniuszu? Zniżeniem się do pracy, do powszednich życia potrzeb, Walek, zaiste, przenigdy nie zgrzeszy. On jest najmocniej przekonany, że pracując, zabiłby nadzwyczajne swe zdolności, czyli popełniłby gorszy występki niż samobójstwo. „Nie wszyscy ludzie stworzeni są jednak, deklamuje Luziński; ja nie jestem bydlęciem, jak drudzy“...

Frazeologia Walka żywo przypomina wyrzekania Gustawa:

„Czemuż nie jestem, jak inni ludzie?... Ja nie jestem, jak ci ludzie.... insze myśli moje i serce moje.... Wy tego nie rozumiecie, bydlęta dwunożne“... i t. d. i t. d.

Les beaux esprits se rencontrent...

Miejszaby nam zabrakło, gdybyśmy chcieli przytaczać liczne rysy uderzającego podobieństwa między Gustawem i Walkiem. Są to jakby dwa sobowtóry, tylko że pierwszy cieszy się pobbazaniem autora, drugi zaś przeznaczony został na to, by za wspólne winy sam jeden otrzymał zasłużoną chłostę.

Nawet zewnętrzne okoliczności, sieroctwo i ubóstwo, uzupełniają moralne między nimi powinowactwo, chociaż nie z tego, co usprawiedliwiał Gustaw, nie uniewinnia Walka. Obaj w gruncie byli samolubami w nienawiściach i w miłościach swoich.

Płochy Walek zbałamucil Linke dla rozrywki; rzekomo uczuciowy Gustaw unieszczęśliwił dwie żony, zaślubiwszy je dla dogodzenia poetycko-sentymentalnej fantazy. Obaj chorobliwie drażliwi i żółciowi, niewiedzieli, co począć z sobą, czego chcieć, i czem zaspokoić nieokreślone pragnienie, żeby niecierzyło im beczynne i bezcelowe życie. Nadmierna pycha zaślepiała jednego i drugiego, bo że Walek okazywał się nieco chłodniejszym od Gustawa, nie nadało to jeszcze zbyt wielkiej professorowi nad uczniem przewagi. Gustaw płonął wprawdzie, ale ogniem bengalskim. Więcej w tych fajerwerkach było blasku, który gasł szybko, niż ciepła, przy którym nikt się nie ogrzał. Od iskry bożej, oczywiście, miał „świat“ wszelką słuszość spodziewać się czegoś lepszego, — nie rac chwilowych, lecz promieni trwałych i ożywczych (*).

Zgodził się z tém i Kraszewski, lubo nie wtedy jeszcze, gdy opisywał żywot Gustawa. Dopiero w „Dzieciach wieku“ powraca on znowu do zatargów poety ze światem, aby tym razem zgromić z należytą surowością „jednego z wydziedziczonych od losu, którzy zamiast z nim walczyć, wolą stękać nań, narzekać, nie nie robić i *świat za własne niedołęstwo przeklinać*“.

Świat za własne niedołęstwo przeklinać!... Ledwie śmiemy wierzyć, iż te wyrazy znaleźliśmy w czémś, co wyszło z pod pióra autora powieści „Poeta i świat“. Ale tak jest nie wątpliwie. Słowa te skreślił Kraszewski w „Dzieciach wieku“. Za pośrednictwem Walka zarzut ściąga się do całego rodu poetów, przeklinających świat za własne niedołęstwo.. Czy który z nich zwie się Gustawem, czy Walkiem, mniejsza o imię. Będzie on zawsze deklamatorem, a najżałośliwszy jego lament,—tylko stękaniem niedołęgi.

Zrażony do ulubieńca Kraszewski, postępuje w „Dzieciach wieku“ z poetą, jak dr. Mylius z Luzzińskim. Nawraca go jeszcze, ale już nie marzy o poprawie. Popsuło mu się cudowne dziecko; wyrósł z niego

próżniak z pretensjami do wielkości. Przecież—czy w istocie się popsuło? Czy wady te nieistniały w niém od początku? Istniały one bez wątpienia już w Gustawie, lecz autor niegorszył się niemi, w mniemaniu, że są to objawy potęgi twórczej, właściwe jedynie mistrzom zesłanym na ziemię, dla jej chluby. Przyjęty uwielbieniem dla idei, dla szlachetnych uniesień, dla poezji, Kraszewski tłumaczył na dobre, wychwalał nawet to, co nie było w poetach ani dobrém, ani poetyczném. Szło mu naten czas o zdobycie w społeczeństwie dostojnego miejsca dla tych, co najsilniej i najwybitniej stronę duchową reprezentują. Było to może na owe czasy nie zupełnie bez pożytku. Dopóki idealne pierwiastki nie zostały dostatecznie rozwinięte i wzmocnione w społeczeństwie,—może wygórowana o nie troskliwość miała poniekąd racją bytu. Znany njemne skutki wybuchającej ekscytacji, ale o wiele trudniej dałyby się obliczyć następstwa, gdyby zapanował był przeciwny kierunek. Bezwzględna część dla cyfr, nieznajdująca przeciwwagi w poszanowaniu tego, co na szacunek zasługuje, choć nie wyraża się w imponującej liczbie lub w stopniu potęgi fizycznej,—kto wie, czy nie gorsze przyniosłaby skutki? W każdym razie, lękał się tego szczerze Kraszewski, przeciwdziałal temu, o ile mógł, a mógł wiele; z tego też punktu podobno sądzić wypada tendencyjne jego powieści przed trzema lub czterema dziesiątkami lat napisane.

Wszelako dążność jednostronna doprowadzić musiała do szkodliwej złądy. Z takiej mimowolnej jednostronności powstał był niegdyś Gustaw, do takich złudzeń tragi — komicznych doszedł, tym razem z wiedzą autora,—jako smutny przykład zaślepienia,—Walek Luzziński. O ile poprzednio Kraszewski ujmował się energicznie za bezbronnym poetą, o tyle przeciw jego nadużyciom silnie później wystąpił w interesie ogółu, niemyląc może o tém, iż wiele zarzutów potępiających Walka wypadało niegdyś zrobić Gustawowi.

„Weź się do pracy, radzi dr. Mylius Walkowi, zakresł życiń cel, zstąp z obłoków fantazyą twą nagromadzonych, żyj jak drudzy.... Geniusz nie dosyć jest samemu w sobie uznawać, trzeba go ludziom objawić, udowodnić.... Geniusz powinien siłą swą wyrobić sobie drogę, a nie domagać się, aby mu je drudzy oczyszczali.... U ciebie wszystko w słowach, ja pragnę czynu, ja nie rozumiem człowieka, który nie nie produkuje, oprócz—skargi i narzekania“....

(*) Że Walek nie był zupełnie chłodnym, mamy na to również świadectwo Mylius, który mówi: „Codzień nam z sobą, mnie staremu i zimnemu, jemu *zgorzkniałemu* i zarozumiałemu, było ciężej“. „Geniusz, który czuł w sobie, a moje pierwsze pieszczoty, duch wieku, który go owionął, uczyniły zeń istotę dla mnie nie zrozumiałą. Coś z *ody do młodości*, wydmuchniętego na pokaranie moje“... Niemają zatem ci słuszości, którzy sądzą, że Walek był prostym tylko błagierem.

Ciekawa rzecz, co by na to odpowiedział w swoim czasie Gustaw. Ale Walek nie mógł wytrzymać z Myliussem dysputy. Spór o poetyckie przywileje w tej zajmującej rozmowie został rozstrzygnięty na niekorzyść poety. Pozbawiony pomocy, wieszcz ze szkoły Gustawa, widząc się w położeniu bez wyjścia, zdaje się przemawiać do autora słowami Walka:

„Dobrze ci jest mówić dziś, żeś mi nie niewinien, że ja się o nie upominać nie mam prawa, to wygodnie,—ale niesprawiedliwie! Prosiłem cię ja, gdyś mnie brał w łachmanach sierotę, abys we mnie te iskry, która mnie miała nieszczęśliwym uczynić, rozdmuchał swojemi pieśczętami? Żądałem ja od ciebie wychowania tego, które mój umysł i serce, i żądze i pragnienia, rozkołysać miało? Jestem twym dzieckiem po duchu, jeśli nie z ciała, dziełem twym jestem, jestem dla ciebie obowiązkiem, ciężarem, zgryzotą!..“

Stanowczą odprawę pocie Kraszewski daje przez Myliusza. Daremnie bowiem Walenty starał się skłonić opiekuna do skruchy. Doktor stracił już cierpliwość. Nie przeczy on, że zawinił zbytnią dobrocią, lecz właśnie dla tego, żeby otrząsnąć się z nagannęj słabości, cofa odtąd swe łaski—i wymawia dom wychowawcowi.

Haniebném wygnaniem z progów sprzymierzeńca zakończyła się wojna poety ze światem. Ostatniego ze spadkobierców Gustawa nieprześladowano za to, że chciał „wzlatywać nad poziomy“ i „gryść sercem“, niemając ani skrzydeł ani serca, lecz pozbyto się go, jak natręta i głupca, zamknąwszy mu bez ceremonii drzwi przed nosem.

Wyrok skazujący Walka, poprzedzony był innym, wydanym przez myślący ogół, który, nagradzając szacunkiem za mądrość, za cnotę i za pracę, żąda od wszystkich obywateli służby stosownej do uzdolnienia. Przed sądem tej powagi sprawa lamentujących beczynninie poetów była już oddawna zdecydowana, Kraszewski zaś teraz akt nagany publicznej do kronik swoich wiecznie zapisał.

Szybki postęp ludzkości w okresie odzielającym zgon Gustawa od narodzin Walka, czyli w ciągu lat blisko trzydziestu, jak rzekł Kraszewski, „wywołał wielkie zmiany w autorze, zmienił nie tylko poetę, —i świat także wiele zmienił.“ Owocem tych zmian razem wziętych, zaszłych w pisarzu, i wszędzie dokoła pisarza: w świecie, w potrzebach czasu, i w otaczających warunkach; rezultatem tego dojrzewania

i tej wytrwałości społecznej, jest, między innemi, trywialny upadek szkoły, założonej niegdyś przez Gustawa.

Sprawił to nie Kraszewski, lecz wiek płodny w przełomy i w przekształcenia. Woli możnego reformatora uległ z konieczności kronikarz i malarz obyczajów społecznych, odtwarzający w swych dziełach zmienne rysy wzorów. Nie jest to jednak posłuszeństwo ślepe, bez wszelkich zastrzeżeń. Dość przeczytać „Dzieci wieku“, żeby poznać, jak mało sympatyi ma Kraszewski dla kierunków swego stulecia: jak dalece świeże budowy, usuwające z powierzchni nie jedną ruinę, drażnią jego smak estetyczny. Wiedząc lepiej, niż wielu, że niepodobna nabytkom kształcących się wiedzy i odnawiających się form życia odmówić mniejszej lub większej wartości, czuje się on nieraz zniewolony poprzez użyteczną nowość, którą więcej ceni, niż lubi. W „Dzieciach wieku“ wyzuwa poetę z przywilejów, które mu przedtem zagwarantować pozwolił; wiek jednak, czas, postęp, aczkolwiek dzieje się to za ich wpływem, nie na tym zwrocie w pisarskiej działalności Kraszewskiego nie zyskują. Przeciwnie, Walek wciąż zarabia na plagi, nie w charakterze poetyckiej latorośli Gustawa, lecz jako „dzieci wieku.“(*) Za wszystko złe odpowiedzialność spada w tej powieści na ducha czasu. Wyrachowanie, żądza użycia, próżność, egoizm, frymarmczenie związkami małżeńskimi, są zdaniem autora produktem nowej cywilizacji. Młodość odmalowana tam w ciemnych barwach, gorzej się przedstawia, niż starość lekkomyślna i zmysłowa,—nosobiona w d-rze Walterze, a poniekąd i w Myliusie. Zła córka, chłodna zalotnica, łowiąca za pomocą bezwstydnęj kokieterii starego, lecz bogatego męża, Idalia Skalska,—wyobraża dziewicę „wieku;“ brat jej Roger, żeniący się ze starą, i „dzietną“ panną dla posagu—ma być młodzieńcem nowoczesnym. Inżynier Szurma, uczciwszy od tych dwojga istot nad wyraz wstrętnych, wyrzeka się uczucia, dla kariery. Zapamiętałym myślicielem na posagi jest i galicyjski baron Helmold—i wreszcie Walek, grający w to-

(*) W „Dzieciach wieku“ Walenty przedstawiony jest, jako poeta tegoczesny, ale zawsze jako *poeta*. Charakterystyczną jest uwaga autora umieszczona w tomie 2 na str. 166: „Nic okrutniejszego, wierzcie mi nad *poetę*: byle mógł poemat odkopać, gotów otworzyć grób!...“ Oczywiście, nie do jednego Walka i nie do takich wyłączenie, jak on, poetów ściągają się te gorzkie słowa.

warzystwie „dzieci wieku“ najśmieszniejszą rolę. On nawet do grona kawalerów czyhających na wiano, dostroić się jak należy, nie umie. Przed stu laty wycierałby kąt u magnatów i smażyłby na ich cześć panegiryki ze zgrabną przynówką do pańskiej kieszeni, lecz teraz, gdy już mecenasów głodnym poetom zabrakło, cóż taki próżniak i taki pasożyt miał czynić? Gdyby przynajmniej traf szczęśliwy sprowadził na drogę Walka wspaniałomyślną hrabinę, gdyby mu ona, jak Gustawowi, zapewniła niezależność,—Luziński byłby prawdopodobnie nie pomyślał o zaślubieniu hrabianki Jzy. Skoro jednak los nie obdarzył go majątkiem, a bez majątku żadan poeta ze szkoły Gustawa, obyć się nie jest w stanie, rad nie rad sięgnął Walek po rękę nie ładnej i nie młodej panny. Wiek był tu bardzo pośrednio swatem. Utrudniał poetom życie bez pracy, lecz nie stworzył typu, starszego niż on sam, niż era chrześcijańska,—bo wiadomo że wieszczów, sprzedających się, jeśli nie w formie małżeństwa, to w formie dworactwa, znała już starożytność.

Do gromady poetów nie zdolnych wzbic się w błękity, i nie umiejących chodzić po ziemi, zbliża się hrabia Zdzisław Samoborski w „Niebieskich migdałach.“

Wcale to inny, aczkolwiek pokrewny, egzemplarz typu. Urodzony w pałacu, wychowany na panicza, zniewieściał i rozmierzony o niebieskich migdałach od dzieciństwa,—Zdzisław idzie przez życie, jak lunatyk, nie rozumiejąc i nie usiłując zrozumieć, dokąd dąży i gdzie zajdzie?

Były dla niego czasy pomyślniejsze—dopóki spodziewał się, że otrzyma po rodzicach dużą fortunę, i że będzie mógł jej używać według upodobania. Wtedy niebieskimi migdałami mógł się karmić do syta. Śniły mu się na jawie same powodzenia, wawrzyny i rozkosze. Ukończywszy przygotowawcze studia w domu Zdzisław wybierał się na uniwersytet do Berlina, gdzie obiecywał sobie nie źle się bawić—w oczekiwaniu doktorskiego dyplomu „na ogromnym pargaminie.“ Stopień naukowy już nie był do pogardzenia. Dla zdobycia go hrabia postanowił niezaniebawiać kursów uniwersyteckich—w porze wolnej od konnej jazdy, od spacerów w wykwiutnym powoziku, od teatru, podróży pieszej po Szwajcaryi i t. p. Po ukończeniu nauk Zdzisław zamierzał ożenić się. Małżeństwo miało być poprzedzone ślicznym romansikiem z narzeczoną, którą już zawa-

obraźni Zdzisława, następował nieprzerwany szereg obowiązków dojrzałego człowieka. W liczbie ich na pierwszym stało miejscu, urządzenie wspaniałe rezydencji hrabiowskiej; później, szły wycieczki artystyczne po Europie, wizyty sąsiedzkie, nieco zajęć gospodarskich, myślistwo, przyjmowanie gości, oraz wiele innych zadań, nie mniej ważnych.

Plan był gotowy. Imaginacja Zdzisia usypała kwiatami wszystkie drogi wędrowki doczesnej, gdy nagle przegrany proces ze stryjem zniszczył do gruntu świetny gmach rojeń hrabiego. Grom spadł tak niespodzianie, że Zdzisław bogaty i pełen otuchy jeszcze dnia poprzedniego, ujrzał się nazajutrz bez chleba i bez przytulku.

Odtąd miłośnik „niebieskich migdałów“, poeta, czy pseudo—poeta, krążący wiecznie myślą i marzeniami około własnego ja, rymopis sybaryta, z odcieniem arystokratyzmu, wyłączając go najbardziej z demokratycznego koła Gustawów i Walków—prowadzi z kolei wojnę ze światem, który niedawno uśmieczał się doń pieszczotliwie, roztaczając przed pięknym paniczem swe skarby i pońety.

Łatwo domyśleć się, że nieszczęsna ta wojna odbyła się zupełnie tak samo, jak odbywa się wojna owcy z wilkiem. Gustaw walczył jękiem i boleśnem szczyrstwem, Luziński pychą i złością, Zdzisław nie przysposobiony zgoła do ciężkich zapasów z przeciwnościami, których dawniej nie przewidywał,—okazał się głuchym, ślepym, nieczulym, istnym idyotą, wpadał z jednej zasadzki w drugą, wlażył z błota do błota, wszędzie pokonywany, często pobity na głowę,—z żadnej porażki nie uratował honoru. Znęcał się nad nim, kto chciał, używał go za narzędzie do intryg każdy, komu się podobało. Zdzisław nie bronił się, nie protestował, nie wiedział prawie, co się z nim działo. Winnym był—ale popełniał czynny zbrodniczy zawsze z cudzej inicjatywy. Tu go namówiono, tam popełnił, ówdzie nałożono nań cenę, sprzedano i kupiono, nie osłoniwszy nawet bezczelnych targów tajemnicą. Jeden szczegół wystarczy dla wykazania moralnej nicości bohatera „Niebieskich migdałów.“ Będąc kochankiem matki przyjaciela, Zdzisław zgodził się zostać mężem kochanki jej syna, zobowiązawszy się poprzednio, że po zawarciu małżeństwa, rozwiedzie się niezwłocznie z żoną. Co to była za miłość, co za dziwna przyjaźń, jaka potworna wymiana usług,—wystawić sobie trudno, biorąc miarę z normalnego

stanu naszych obyczajów. Ale Zdzisław raz wykołejony zapomniał o istnieniu granicy oddzielającej rzeczy godziwe od niegodziwości. A choćby i pamiętał o niej—to czyli teoretyczna znajomość złego i dobrego mogła go powstrzymać od przekroczenia tej granicy, skoro po jednej stronie nagromadziły się dlań same troski, z drugiej zaś brały siedlisko jedne od drugich milsze pokusy. Na bierną, powszednią nieczciwość byłby zapewne zdobył się hrabia, gdyby mu nie wydarto dóbr, kapitałów i pałaców. Niepośliznąłby się on bardzo niebezpiecznie na posadzce najgładszej, nie zbłąkałby się w lesie estetycznie skrojonych alei, w labiryncie salonów i galerii,—ale w otwartym polu, na prostych ścieżkach, uczęszczanych przez gmin, zarabiający w pocie czoła na skromne utrzymanie,—musiała lalka hrabiowska wywracać koziolki.

Po wielu awanturniczych przejściach, zgębiony i sponiewierany Zdzisław umiera z suchot. Sięgając do moralnych przyczyn wczesnej jego śmierci możnaby powiedzieć: umarł—otruwszy się „niebieskimi migdałami.“ Na podobną chorobę, lubo jej przebieg był inny, zgasł Gustaw. Walek miał ją wielce rozwiniętą; że zaś nie sprzątnęła go ze świata, zawdzięcza to Łuziński głównie powodom ubocznym.

W powieści: „Poeta i świat“ owe niefortunne „niebieskie migdały“ nazywają się natchnieniami poetyckiej duszy. Szkodliwość ich nie ulega żadnej wątpliwości, lecz trucizna powabniej wygląda, lepiej smakuje, a samobójca budzi współczucie. Następnie w „Dzieciach wieku“ jad się rozkłada, pod wpływem, jak chce autor, temperatury czasu, staje się mętny, odstręcza goryczą, mniej szkodzi konsumentowi, lecz świadkom sprawia niesmak widokiem. Używa go sporými dozami Walek. Przeniesione w końcu do tych cieplarni, gdzie się hodują delikatne płonki rodu Samoborskich, „niebieskie migdały“ dadzą się określić jednym wyrazem: niepraktyczność!

Wymieniwszy właściwą nazwę choroby, stanęliśmy odrazu na punkcie, od którego rozpoczyna się drugi zwrot w ideach społecznych Kraszewskiego.

Niepraktyczność, która gubi Zdzisława, już Walkowi poczytywaną była za wadę. Została ona jawnie zaliczoną do chorób,—a tym samym, podług autora, praktyczność musi być objawem zdrowia.

Wobec tych wniosków, błędnie nawet detronizacya poety „przeklinającego świat za własne niedołęstwo.“

Zwrot to prawdziwie zadziwiający. Jeśli bowiem w „Niebieskich migdałach“, w „Morituri“ i „Resurrecturi“ praktyczność stanowi uznany przez autora warunek żywotności społecznej, to jednak wiemy, że jeszcze w r. 1856, inaczej ją przedstawił Kraszewski, pisząc powieść pod tytułem: „Choroby wieku.“ Dowodził on w tym dziele obszernie, że wynikiem logicznym całej przeszłości naszej, oraz wzorem postępu przyszłego, jest tradycyjna niepraktyczność; zgubną zaś dla organizmu krajowego naleciałością ma być przeciwnie, praktyczność(*). Od tytułu i dedykacji, w której autor oświadcza, że „pamięci niepraktycznych ojców naszych ten ubogi krzyżyk na mogile postawił“, aż do ostatniej myśli i do ostatnich wyrazów, znajdujemy tam wszędzie ostrą naganę reform ekonomicznych w naszym kraju. O „Chorobach wieku“ wspomniano już w tej książce przedemną; dla porównania jednak dawniejszych opinii Kraszewskiego, ze stanowiskiem, jakie w tej kwestyi zajął obecnie, pozwolę sobie przytoczyć parę wyjątków ze wspomnianej powieści.

Opisując dom i gospodarstwo Jana Dembora autor woła: „nie prawdaż, że tu miło i pięknie, a nadewszystko jak porządnie! jak porządnie! jakie dokoła drogi, co za mosty, jak urządzony płodozmian, jakie przepyszne zabudowania gospodarskie—i znowu co za porządek!... Nie poznasz kraju twojego w tym zakątku, tak przerbionym i urządzonym z cudzoziemską. Wyobrażam sobie, że holender, lub szwab, któryby tu przyjechał jakim wypadkiem, serdecznieby się pewnie uradował i wykrzyknąłby z głębi serca: A nareszcie ziemczeli i słowianie, i nabrali rozum!... Ale nam starym, dziedzinniałym, niedołężnym, i zapewne ograniczonym ludziskom, cotośmy od kolebki przywykli do *nieładu naszego, do nieopatrzności posępnej*, do wód naszych ukochanych,—czegoś smutno i tęskno za tą poezią, którą żelazny sznur geometryczny i linie agronoma, i te wszystkie ulepszenia kieszeniowe wyganiają gdzieś przez daleko!..“

(*) W przedmowie do nowego wydania powieści swoich, Kraszewski pisze, że „w r. 1856 poczytywano mu niemal za grzech dążność „Chorób wieku.“ w roku 1874 również wyda się ona dziwaczką, któż wie, rok 1890 może ją usprawiedliwić!.. Przedmowa ta nosi datę r. 1874,—a więc skreślona już była po napisaniu „Morituri.“ Daje to wskazówkę, że obawa „zbytnej praktyczności“ dotąd jeszcze nie opuściła autora.

„Nie pojmuje, by ludzie tak zacięcie gospodarzący, mogli służyć sprawie duszy, jak służy interesowi kieszeni. Ten świat tak porządny,—dziwne suchy, zimny, straszny mi się nawet wydaje...”

„*Wolałbym z lichem dawne ubóstwo nasze, trochę nawet starego nieładu, a większe zasoby ducha, a gorętsze serca, a silniejsze uczucia. Niech mi nikt nie dowodzi, że można być najlepszym gospodarzem, agronomem, spekulantem, przemysłowcem, i najczulszym a najpoetyczniejszym z ludzi. To są podobno żywioly, które z sobą nigdy w parze chodzić nie będą.... Nie mówcie nam, jakoby poezya godziła się z takim postępem, że i on ma poezyję swoją, my nie uwierzmy temu. Przyznajcież raczej, że nie chcecie marzenia i poezyi, żeście ukochali rzeczywistość, i niewierzyście w ducha, a więc i karmić go macie za rzecz próżną.*”

Zdania te, wypowiedziane wprost od autora, zebraliśmy na kilku początkowych stronicach „Chorób wieku”. Tworzą one wstęp do obrazu, nakreślonego w tymże tonie i z tąż dążnością. Główną postać Jana Dembora, Kraszewski tak charakteryzuje:

„Ideje jego o ludzkości i społeczeństwie wyrobiły się raczej rozumowaną drogą teoryi, niż chrześcijańskimi zasadami i nauczaniem. *Pragnie ulepszeń dla wszystkich*, zaprowadza u siebie czynszę, woła o nie u innych, zakłada szkoły i ochrony, pilnuje kasy oszczędności, moralizuje lud w przekonaniu, że to się wszystko wypłaci, a ludzkość w ten sposób od burz socyalnych zasłonioną zostanie... Zasady jego są jak najściślej obrahowane, tak, aby miłosierdzie stosownym, nie dziś, to jutro, wypłaciło się procentem amortyzacyjnym, spokojem, bezpieczeństwem, godnością... Grosza nieda ubogiemu, ale założył dom pracy i przytułku... Nie mu zarzucić nie można, prócz że został machiną rachunkową, a człowiekiem nie jest wcale.”

Takie były wady, zacierające w Dembore znanie istoty ludzkiej, podług ówczesnych wyobrażeń Kraszewskiego. Przywar tych nie posiadał bohater powieści, noszącej tytuł „Mogilna”; nie wdawał się on w postępową gospodarkę, nie bawił się w utylitarną filantropią, o zaprowadzeniu czynszów nie pomyślał, szkółek i ochron nie zakładał, szpitala nie wybudował. Gdy miał, pieniądze, to śpieszył je wydać, gdy nie miał, to pożyczał. Poprawiając przysłowie: „Maciek zrobił, Maciek zjadł”

prezes Mogilski, zawsze serdeczny, gościnny, dzielący się z żebrakami po chrześcijańsku, a z sąsiadem po szlachecku, tém co Bóg dał, czem chata bogata,—właściwie daleko więcej jadł, niż robił. „Trochę nbostwa” nienęciło go, co prawda, bo przyzwyczajony był do wygod i do hojnego szafowania groszem,—ale „trochę nieładu” zgadzało się z jego usposobieniem, i z tą wiarą,—że złe przy bożej pomocy minie. Ale złe nie mijalo. Przeciwnie coraz rosło, coraz stawało się groźniejszem a z nié m jednocześnie wzmagal się i nieporządek i apatya, i długi. Doszło do tego, że prezes aż chorował ze strapienia, lecz nie stanowczego nie przedsiębrał, żeby wydobyć się z sieci zdradzieckiego „szwab”, w które wpadł lekkomyślnie, a zerwać tych sieci nie miał już możności, nie chciał, czy nie umiał.

Bo „szwab” zapowiedziany w „chorobach wieku” przybył w okolice Mogilny i usadowiwszy się w pobliżu, nie spuszczał ję z oka. Rzecz dziwna,—nie razily niemca patryarchalne rządy polskiego szlacheica, nie gniewalo go wcale niedbalstwo, które widzial dokoła. Przeciwnie, widok tej niezadadności, tego nieładu, tej „nicopatrności posępnęj” sprawiał mu prawdziwą przyjemność. Radca handlowy von Larisch, pomimo, że ta wieś, i te pola i te zabudowania, nie przypominały mu bynajmniej gospodarstw niemieckich, pomimo że nie mógł zawołać: „a! nareszcie i słowianie nabrali rozumu!” bo tego rozumu nigdzie nie spostrzegł,—nucił jednak w duszy hymn na cześć Germanii, uważając się za zdobywcę, któremu przeznaczono zająć w dzikim kraju, część ziemi na pożytek i chwałę wielkiej ojczyzny niemieckiej. Obliczył on dokładnie, że „polnische Wirthschaft” doprowadzić musi nieuchronnie właściciela do „krachu,” i oparłszy na tém przypuszczeniu swe plany, szedł śmiało do celu. Fakta dowiodły, że radca handlowy rachował dobrze. Obecnie Mogilna jest w posiadaniu Larischów, a dawni jej panowie tulają się gdzieś po świecie. Teraz rzeczywistość, odkąd nabywca urządził się po swojemu, daje ona „szwabom” słuszny powód do tryumfu. Prowadzą do niéj zapewne drogi wyśmienite, które mi zwozi się polskie żyto i pszenica do niemieckich spichrzów; a jakie tam mosty, jak urządzony płodozian, jakie przepyszne budynki, a jaki porządek! Niema obawy, żeby na takiej drodze lub na takim moście, który ze szwabów dziś tam gospodarujących, kark sobie złamał. Rola wzorowo uprawiana napelnia

talarami kieszenie, worki i skrzypie potomków rady handlowego. W pięknym zamczku gotyckim hodują się młode Hansy i Luizy. Dostatek, przezorność i pracę widzisz na każdym kroku w Mogilnej, tylko bogdaj, niema tam i dziś, jak nie było za czasów Mogilskiego,—ochronek i szkółek, a jeśli nowy właściciel zaprowadzi je kiedy, to będzie w nich dziatwę ludu naszego uczył belfer pruski po niecieku. Tymczasem wieś, niegdyś polska, utraciła już dawne miano. Nazywa się teraz nie Mogilna, lecz Mögeln. Na dalsze jej losy autor rzuca żalobną zaslone.

Zamykając książkę, nie jeden może z czytelników powie: „szkoda, wielka szkoda, że ten czułościowy Mogilski nie naśladował przezorności trzeźwego i twardego Dembora!”

Smutna dola cielego zakątka—to nie jeszcze,—to zaledwie skromny prolog do potężnego dramatu, odbywającego się w jednej z najlepszych, jeśli nie najlepszej bezwzględnie powieści obyczajowej Kraszewskiego: „Morituri.“ Upadek mierniej fortunki szlacheckiej, tém przykrzejszy, że zbyt u nas częsty, wydaje się drobnym i nie znaczącym w obec strasznej klęski, poniesionej przez ród książęcy Brańskich, tak możny i tak dumny, że wiekuista świetność swego gniazda uważał za konieczność historii i za wyłączną sprawę Opatrzności. Przenigdy, żaden Brański nie byłby w stanie wyobrazić sobie, jak mogłaby ludzkość trwać dłużej, gdyby ten wspinały szczepek arystokratyczny przestał być jej ozdobą, jej chlubą, jej najdosłowniejszą reprezentacją. Jaktło!... ci, którzy przez tyle wieków stali na czele narodu, na wyżynie obywatelskich godności; ci, których przez tyle stuleci otaczał tłum dworzan, sług, podwładnych, a nigdzie nie było wyższych i silniejszych; ci, w których żyłach płynęła potokami krew wziętych władców,—ci najznakomitsi dygnitarze, ci potentaci, ci monarchowie niemal—mielizby spaść do rzędu chudopacholków, zniżę się do ciżby, połączyć się z nią i zmieszać, i tracić swój blask, i majestat,—i co najgorsza, swą niezależność? Toż być nie może; nie było jeszcze w tym rodzie tak ekkomyślnego dziecka, któreby podobnym śmiałom uwierzyć chciało... Chyba jaki armazon, rewolucjonista, wolteryanin, człowiek dla którego nic świętego, wielkiego, pewnego na ziemi nie istnieje; chyba szalony półmędrak niepojmujący, że świat potrzebuje mieć jakąś podstawę, i że tą podstawą nie może być nic innego, tylko

takie rody, jak Brańskich — byłby zdolny wróżyć im ruinę. Cóż ztąd, że w bieżącej chwili, interessa Brańskich, jakoś, może i w samej rzeczy, nieco się powikłały,—może,—bo tego napewno nikt nie wie,—ani książęta, ani ich oficjalsiści, ani domownicy, ani zgoła żywa dusza w państwie Brańskim,—coż ztąd, choćby i w tych wieściach zawierała się odrobina prawdy? Alboż kłopotliwe przygody nie zdarzały się wszędzie, w ogniskach najznakomitszej pod słońcem arystokracji? Były to dopuszczenia z woli Niebios, wpływające dla tego, aby doświadczyć hartu ducha wybrańców; po próbach wszakże następowały zawsze, obfitsze niż kiedykolwiek, łaski, w nagrodę za niewzruszoność i odwagę owych rycerzy bez trwogi i zarzutu,—owych filarów niezłomnych, dźwigających na sobie całą przeszłość i przyszłość społeczeństw.

Książęta Brańscy są do tego stopnia przejęci swem wyjątkowem posłannictwem, że nawet nie poddają go rozważnie, nieformułują, nie myślą i nie pamiętają o niem. Posłannictwo to dane z góry, objawia się w ich egzystencji, w tém, że się urodzili, że są synami swych ojców, potomkami swych przodków, że zostawia po sobie następów;—na tém według nich polega ustroj porządku ziemskiego, w tym prostym fakcie mieści się Slovo przeznaczeń i powołań dziejowych. Są oni najwyborowszymi wykonawcami wyroków boskich, są przedniemi strażami pochodów wszechludzkiego, są kwiatem ziarn, zasianych ręką stwórcy—są zatem niejako w najbliższym stosunku ze Stwórcą. Otrzymawszy wprost od Niego namaszczenie, znajdują się w bezpośredniej jego mocy i opiece.

Nie mówią o tém otwarcie, lub mówią bardzo rzadko, bo missya ta stanowi rodzaj misteryi, unosi się w nieokreślonych wysokościach, streszcza się w wewnętrznym poczuciu. Między sobą różnić się mogą nieskończenie temperamentem, gustem, zdolnościami, nałogami, zawodem,—mogą mieć niejednakowe opinie w wielu rzeczach, lecz w przedmiocie idei rodowej zgadzają się najzupełniej. Z trzech braci, przedstawiających starsze pokolenie Brańskich, jeden nosi tytuł szambelana, drugi jest jeneralem, trzeci sufraganem. Różność stanowisk, dodawszy do niej różnice osobistych usposobień, dostateczną byłaby do rozbicia trzech żywotów na trzy różne sfery interesów i kierunków,—gdyby po nad służbą cywilną, wojskową i bożą, po nad dworską czynną szambelana, po nad rycerskością jenerala i po nad religijnością sufragana,

nie stały wyżej: honor, wielkość i okazałość rodu. Względem tym zawdzięczał szambelan, jako najstarszy w rodzinie, powagę dyktatorską i niby kapłańską zarazem. Na niego zwrócony był ciągle wzrok braci, dzieci, i całego otoczenia; jemu to za jakąbądź cenę starano się trosk oszczędzić; w okazywanej mu czci przebiegał się pewien odcień pobożności, od której nawet świętobliwy dygnitarz Kościoła nie był wolnym. I nie działo się to bynajmniej z powodu indywidualnych przymiotów głowy książęcego domu: hold płynął z tradycji, z rodzinnego legitymizmu; miał raczej na widoku przedstawiciela dynastji, niż osobę szambelana, raczej symbol prawowitej władzy w rodzinie, niż jednego z jej członków, — niż człowieka.

Myliłby się bardzo, kto by sądził, że stosunek, na takich oparty podstawach, miał charakter zimnej etykiety, ograniczającej się na formach zewnętrznego poszanowania, że w gruncie, był on łącznikiem niezmiernie słabym, niezdolnym rozgrzać serca i wywołać poświęcenia. Jak się rozgrzewały serca książąt Brańskich, — wchodzić nie będę w proceder tego zjawiska, dość że się rozgrzewały. Ludzie współcześni z trudnością zrozumieć mogą naturę ucznć, pielęgowanych w łonie niełobitków minionej epoki, których był już jest tylko powolnym konaniem, lecz jeszcze świeci jasno promieniem gasnącej siły, w swoim czasie tak olbrzymiej, że ostatnie jej szczytki mają pozory energii i nieśmiertelnej młodości.

Ci *morituri*, wbrew powątpiewaniom racjonalistów, milują żywo, gorąco, wierzą nieugięcie i składają z fanatycznym zapalem ofiary na ołtarzu swojej idei. Żeby utrzymać upadającą świetność rodu, prawie wszyscy oni poświęcili lub szczerze chcieli poświęcić własną przyszłość. Książę generał rzekł się praw do dziedzictwa, i został kawalerem maltańskim; młodszy brat przywdział suknię duchowną; książę Robert, syn szambelana, gotów był opuścić kobietę droższą sobie nad życie, i ożenić się z inną, a siostra jego, księżniczka Stella, ofiarowała dobrowolnie rękę synowi dorobkiewicza, którego miłość w innych okolicznościach wydalaby się jej śmiesznym i obrażającym zachwalstwem.

Nieprzydały się jednak na nie rozpaczliwe książąt wysiłki. Ruina, na którą złożyły się: konserwatywne próżniactwo, poetyczny „nieład“, i, posępna nieopatrność — zbliżała się wielkimi krokami. Już burza nadeszła, a w Brańsku niezauważono jeszcze brzemiennej piorunami chmury. Panowało tam

przekonanie, że siedliska trwającego od wieków, żaden wichur obalić, żaden grom zniszczyć nie może.

Na pogrążonych w słodkiej drzemce żywotliwej przestrogi robiły wrażenie natrętnego bajania, przykrego dla ucha, — lecz niepotrzebnie przerywającego błogi spoczynek. Trochę więcej frasowano się, gdy uporczywe nalegania wierzących zmuszały do namysłu, zkąd wziąć pieniędzy do spłacenia pilniejszych długów? Funduszów zazwyczaj na ten cel nie było, pozostawał więc tylko jeden środek: wyjednanie zwłoki, którego to środka plenipotent Brańskich, Gozdowski, używał z powodzeniem. Obcując długo z książętami, plenipotent nabył od nich wstrętu do przeglądania rachunków, — tém więcej, że nie spodziewał się znaleźć tam nie pocieszającego, nie, co by mogło mu wskazać sposób pozbycia się niemiłych gości, nawiedzających go coraz częściej z plikami papierów, których treści domyślał się, lecz bliżej z nią się zapoznawać nie lubił. I miał pod pewnym względem słuszość. Najważniejszym punktem każdej takiej sprawy było to, że wymagano zapłaty, rządca zaś wiedział, że wymagania tego rodzaju nie mogły odnieść żadnego skutku, dla prostej racji, którą oplakany stan kassy wymownie wskazywał. Dość już miał ambarasu Gozdowski, gdy wypadło na bieżące wydatki książąt zaciągnąć dług nowy, — zadanie to z dniem każdym stawało się ciężliwszem, przecież, bądź co bądź, łatwiej jeszcze było pożyczać, niż oddawać. Mając do wyboru dwie rzeczy trudne, rządca wolał robić to, co było możliwszem do uskutecznienia. Pożyczał zatem, pożyczał ciągle, gdzie tylko udało się zarwać nieco gotówki, zwierzycielami zaś układał się, błagał o cierpliwość, przyrzekał nadal płacić regularnie, dowodził, że kapitały ulokowane na majątku Brańskich, nie mogły znaleźć lepszego pomieszczenia, — i sam poniekąd wierzył w to, co mówił. Dla rządcy nie było na świecie większych magnatów nad książąt Brańskich, przyznawał niekiedy, będąc przyparty do muru, że w fortunie ich dalyby się wynaleźć dziś pewne szczyrby, ale zato jutro, pojutrze, przedź czy później, w każdym razie w porę, Brańscy znowu pójdą w górę; niezawodnie, książę Robert ożeni się z milionerką, a księżniczka Stella wyjdzie za mąż za nababę, prztem spadnie może jaka sukcesyjka... Wtedy gmach pomyślności Brańskich, stać znowu będzie równie mocno, jak stał od niepamiętnych czasów. Teraz szło o to, aby szpary w jego fundamentach na prędce załepić, załatać, no! i spokojnie czekać dalej.

Różowe nadzieje Gozdowskiego były tylko odbiciem marzeń księcia jenerała. Plenipotentowi, napastowanemu przez natrętów, upominających się o zwrot należności mimo jego woli, nasuwała się przed oczy groźna rzeczywistość, — której książę Hugon niewidział i nie chciał widzieć. O konieczności zaradzenia złemu stanowczemi środkami, Brańscy mówić sobie nie pozwalali. Pewnego razu, jeden z przyjaciół domu, rzucił myśl sprzedaży części dóbr, dla uratowania reszty. Książę jenerał uniósł się, ofuknął śmiałego wnioskodawcę, i na tém projekt się skończył.

— „To nie może być, — to niepodobieństwo“, powtarzał jenerał, ilekroć musiał wysłuchać przykrój prawdy, „majątek nasz tak ogromny, rodzina tak zacna. Pan Bóg jej nie opuści“. A na pociechę dodawał: „jakoś to będzie“.

Przekonawszy się wreszcie, że było źle bardzo, książę Hugon, spadł jak z obłoków. O ile poprzednio nieznawał niebezpieczeństwa, o tyle, gdy wybiła godzina niedoli, beztraska jego ustąpiła nagle miejsca szamotaniom się gorączkowym. Gryził się, dręczył, spędzał nocy bezsenne, snuł jedne od drugich dziwniejsze plany, rachując zawsze nie na siebie, lecz na pomoc cudzą. „Zobaczycie“, zwierzał się Robertowi i Stelli, „że to jeszcze wszystko jakoś szczęśliwie się skończy. Jeszcze jest tysiące środków, o których się w pierwszych chwilach nie pomyślało. Ja mam rozległe stosunki, nasza rodzina znana jest całemu światu, nie dadzą jej spaść. Esterhazowie, spokrewnieni z nami, są niezmiernie bogaci. Ja mogę wygrać na loteryi. Napiszę do cesarza austriackiego, do króla bawarskiego, do Rotszylków. Ze starym Rotszyldem byłem za pan brat, lubił mnie bardzo... To są ich listy...“

Na inne praktyczniejsze sposoby działania, kawaler maltański nie wpadł, bo też w istocie trudno już było przedsięwziąć coś skutecznego.

Jednocześnie drugi brat szambelana, nie mniej przerażony, zasyłał gorące modły do nieba na intencją rodziny. Większa część dochodów biskupa szła na użytek mieszkańców Brańska, resztę zabierali ubodzy. Ponieważ żył nader skromnie, utrzymywano, że odmawiając sobie przez skąpstwo wszelkich wygód, zbierał skarby. Nikt nieprzypuszczał, żeby pod mniemanem sknerstwa ukrywał się niedostatek. W mieszkaniu biskupa bywało chłodno i głodno, obiady składały się zazwyczaj z potraw niesmacznych i niezdrowych, na stół dawano „chleb zgorzkniały i kwaśne wino“, służba nosiła

wyszarżaną liberyą, a stare i chude konie, ledwie wlokły odwieczne karecisko. Brak wygód niesprawiał sufraganowi żadnej przykrości i chyba to go martwiło, że nie mógł hojniej wspierać biedniejszych od siebie. W szczerém wyrzeczeniu się uciech ziemskich, w pokorze, w cierpliwem znoszeniu przeciwności, osobiście go dotyczących, był niedoścignionym wzorem dla duchowieństwa całej dycezyi; a jednak w tym przykładnym kapłanie, w tym pokutnym i nieśmiałym anachorecie niewygasły ambicje świeckie. Dla siebie nie dbał o nie, — dla rodu pożądał dostojęństw, władzy, bogactw. On sam poprzestałby chętnie na strawie najlichszej, ale książęta Brańscy powinni byli jeść bażanty; czuł się prochem, ale Brańscy musieli stać wysoko w hierarchii społeczeń. Niepowodzenia rodziny zatruwały mu spokój. Szczęściem, niedoczekał ostatecznej katastrofy. Zapadł w ciężką niemoc, z której się nie podźwignął, a kiedy umarł, okazało się, że biskupa i księcia, brata i stryja wielkich panów, nie było za co pochować.

Zajmując się przeważnie znaczeniem społecznem tej pięknej powieści, wykończonej z niezwykłą w naszej literaturze starannością, i wycienionawej mistrzowsko, nie mogę rozszerzać się nad oddzielnemi postaciami, z których każda ma swą indywidualność, dostrojoną wybornie do tła ogólnego. Cichy i pokorny sufragan, żwawy jenerał, wyniosły szambelan, melancholizny Robert, idealna Stella, są najwidoczniej ludźmi téjże samój, wysokiej warstwy towarzyskiej; jest między nimi uderzające powinowactwo duchowe i jakby pewne podobieństwo familijne. Słabi, nieroztropni, niudolni, bezbronni i bezsilni w obec nowych potrzeb i warunków czasu. — wywierają atoli urok szlachetną godnością i wrodzoną dobrocią. Mili i laskawi w bliższych stosunkach, rzadko bywają z obcymi poufali, łatwiej u nich o wspaniałomyślność, niż o serdeczność. Wytworne, lecz chłodne, areypanskie obęście książąt, odgradza ich murem chińskim od pospolitych śmiertelników, imponuje rzeszy, i onieśmiela nawet sceptyków, którzy wiedzą, że dui tego blasku i tego majestatu są już policzone. Świetnie, w scenie nakreślonej niezmiernie subtelniemi rysami, autor przedstawia zakłopotanie mecenasa Hartknocha, podczas odwiedzin w pałacu Brańskich. Przybył on w imieniu swego klienta, zna tajemnicę majątkowego położenia gospodarzy, trzyma zgubne sprężyny, które zadadzą wkrótce cios ostatni tym dumnym arystokratom, — lecz zasiadłszy w gronie przyszłych swych ofiar, traci pew-

ność siebie, czuje się żenowanym, sztywnym, pomimo, że przyjęto go dość uprzejmie, i że nie się tam właściwie nie dzieje takiego, co by go zwykłej swobody pozbawić mogło. Dąsa się więc mecenas na siebie, radby otrząsnąć się z wrażenia, daremnie wysiłki! Jakiś głos wewnętrzny szepece mu niewyraźnie, że on — to plebejusz, a oni — to patrycyusze. Wprawdzie, niebawem z mocy sądowego wyroku ci patrycyusze wyrzuceni będą ze swych wspaniałych przybytków, — pójdą na tułaczkę, rozprószą się, zginą.... ale tymczasem plebejusz siedzi, jak na szpilkach, licząc się ostrożnie ze słowami, bo zabrawszy głos na początku rozmowy, sam zaraz zmiarkował, że śpiewa tonem fałszywym.

Prócz Brańskich i Gozdowskiego, dobrze są jeszcze naszkicowani rezydenci dworu i osoby drugorzędne, zwłaszcza pysznym jest syn byłego handlarza nierogacizny Zygmunt Garbowski, starający się o rękę Stelli, jeden z tych sympatycznych sowizdrzalów, których Kraszewski tak maluje doskonale.

Narzędziem fatalizmu skazującego ród książęcy na upadek, autor uczynił prostaka, nigdyś sługę Brańskich, człowieka z gminu, mszczącego się za otrzymaną od szambelana przed pięćdziesięciu laty, policzek. Jedyną barwą tego charakteru jest zaciętość. Dorobiwszy się lichwą wielkiej fortuny, Zembrzyński używa jej na szkodę Brańskich, staje się głównym wierzycielem książąt, i nakoniec wywłaszcza ich z całego mienia. Zapewne, umyślnie Kraszewski usunął z pierwszego planu działacza najgłośniejszego, by przez to dowiedzieć, że nie żadna szczególniejsza potęga strony napastującej, lecz raczej niedołęztwo napastowanych było powodem klęski.

Trafną w tym przedmiocie dal Zembrzyński odpowiedź Gozdowskiemu, na zarzut zrobiony przez plenipotentą:

„Mój Mości Dobrodzieju, widziałeś asin-dziej kiedy stary dąb, który pastuszkowie wypalą... utrzyma się to na pasemku kory... przychodzi leciniuchny wietrzyk i olbrzym się wali. Mówią, że burza dąb obaliła a nie... Spróchniały był, spalony był.... Ja jestem tym wietrzykiem, szanowny Panie Dobrodzieju“...

Zasadniczy morał powieści zawiera się mianowicie w tej odpowiedzi Zembrzyńskiego, wykrętniej, co do niego samego, lecz słusznej w zastosowaniu do Brańskich. Ród ich, o którym sądzili, że upaść nie może, bo potrzebny jest światu, oddawna przestał mu być potrzebnym. Wielkość tego rodu i niepożytość równie były fikcyjne, jak poży-

teczność i niezbędność jego w dziejach społeczeństwa. Dzieje przecież od dawnych już lat toczyły się wciąż swoją koleją, bez udziału Brańskich, społeczeństwo niosło ciężar obowiązków, pracowało, żyło, nie widząc przy sobie, ani przed sobą tego „kwiatu“ swjej historii, tego mitrą ozdobionego „czola narodu“. Ręka Brańskich nigdzie niedopomagała w trudach o głowi, światło ich nierozjaśniało dróg w pielgrzymce wspólnej, serca ich niebily przy sercach braci. Gdzież się podzieli? Nie wiadomo, nie słyhać było oddawna nie o nich, krążyły tylko domysły, że Brańskich już niema na tym padole płaczu, że to plemię ongi rycerskie i senatorskie, zniechęcone zmiennościami losów „poszło gnić między królami“. Szare pospólstwo, co znało zasługi rodu starego z podania, westchnęło za duszę nieboszczyków ze współczuciem, z wdzięcznością, z żalem po straconych przewodnikach swoich, i kroczyło dalej utartymi szlakami w imię Boże. Tym aktem zejścia, wydanym przez lud bratni, zamknięty został rodowód Brańskich w obliczu historii i narodu. Ogół żywotny i czyny oddalając się, rzucił za siebie garść ziemi na cześć tych, co pozostali w mogiłach — do dnia sądu....

Byli w swoim czasie zaci, mężni, ofiarni, rozumni. Wszystko to już przeszło.... Pan ich teraz wezwał do siebie.... *Requiescant in pace!*

Cóż to za złudzenie, że ci wypisani z księgi żyjących, ci zmarli i pogrzebani, jeszcze drgają, dyszą, jeszcze śni się im, że zajmują naczelne posterunki, że nadają kierunek dążącej naprzód ludzkości! Czyżby dotąd się męczyli? Czyżby konanie było tak ciężkie? Niestety, konanie Brańskich, rzeczywiście bardzo ciężkie, a żyć dłużej nie mogą, jak nie może zazielenić się ów dąb wypalony przez pastuchów, w którego wnętrzu próżnia już tylko i trochę popiołu. Grunt macierzysty nie zasila więcćj swemi sokami pnia zwęglonego, nie odmładza jego konarów. Ot, lada podmuch wiatru wstrząśnie kolosem, lada tknięcie palecem obali tę marną formę jędrnej i silnej przeszłości.

Ratunku zatem „morituri“ znikąd spodziewać się nie powinni, a w sobie ani go szukają, ani znaleźćby nie zdołali. Zapóźno! Wszelkie deski ocalenia z rąk się im wymknęły. Jenerał w porywie rozpaczyny wyrzucił Opatrzności, że zapomniiała o Brańskich, którzy byli tak religijni, tyle zbudowali kościołów... Ha! widać, że wyznaczała jeszcze Opatrzność inne zadania, inne wskazywała cele, mieszcząc swych wybranych na szczytach społeczeństwa.

Nie Opatrzność pono zapomniała o tém, co winna Brańskim, lecz przeciwnie Brańscy zapomnieli, co winni są chwale, jaka na nich dziedzicznie spływała, stanowisku, na jakie narodzenie ich wyniosło, obfitości środków, jakimi długo rozrządzali.

Szczodrze uposażeni, silni, szanowani, — cóż z temi darami uczynili?

Opatrzność zleciła im stać na czele masy społecznej, oni oderwali się od społeczeństwa obyczajem, wyrzekli się przymierza pracy i solidarności w interesach publicznych; zamknęli się w twierdzy niedostępnej dla potrzebujących zachęty, poparcia, opieki, ulgi, przodownictwa...

Opatrzność dała im wsie, zamki, zaszczyty i złoto. Oni strwonili to wszystko. W dobrach książęcych panował chaos. Gospodarstwo na ogromnych obszarach ziemi prowadzone było niedbale, z uszczerbkiem dla właścicieli, i z krzywdą dla rolnictwa. O należyte ulepszenie gruntów nikt się nie starał; rozchód przewyższał stale dochody; część bogactw krajowych marniała, zły przykład bezrządu płynął z tamtąd, z kąd powinny były iść zbawienne wzory.

Stosunek ekonomiczny, aczkolwiek prowadził wprost do ruiny, przedstawiał się atoli względnie trochę lepiej od stosunku duchowego.

Morituri na długi czas przed upadkiem materialnym upadli już byli moralnie. Śmierć ducha poprzedziła zgon ciała.

Jakiemże prawem „morituri“ oskarżają za swą niepraktyczność, za próżniactwo i stopień umysłu — Opatrzność? Na jakiej zasadzie wyrozumowali, że społeczeństwo ocali ich, bo przeznaczenia jego związane są z ich egzystencją?

Pasmo wzajemnych usług zerwali sami. Ogół obywateli się bez ich uczestnictwa, oni też nawzajem obycie się muszą bez jego nagrody.

Mogli byli niewątpliwie przyczynić się znacznie do ogólnego dobra, ale cóż, kiedy, nie pragnąc tego szczerze, niewykształcili w sobie odpowiednich zdolności.

I znowu po przeczytaniu powieści Kraśzewskiego wypada powtórzyć to, co prawdopodobnie wielu pomyślało, dowiedziawszy się o losach Mogiłuch: „Szkoda, że ci Brańscy nienasładowali Dembora!“

W „Resurrecturi“ dla „skazanych na zagładę“, świta pierwszy brzask odrodzenia. Błady promyk jutrzeńki zabłysnął, chociaż słońce jeszcze daleko. Podupadły ród Horyszków wywalcza sobie miejsce w społeczeństwie przez pracę.

Czytając „Morituri“ byliśmy świadkami tragedii, w powieści noszącej tytuł: „Resurrecturi“ autor pociesza zasmuconych widzów — sielanką.

Dzieło wskrzeszenia poruczone zostało najprzód kobiecie. Okres zmartwychpowstania zaczyna się od uprawy grządek, na których Cecylia Horyszkówna sadi jarzyny i zasiewa kwiaty. Nowa to dość postać w naszym piśmiennictwie. Panna „dobrze urodzona“, młoda, piękna, oddająca się zatrudnieniom, stosownym zaledwie dla ekonomicznych, należy podobno i w życiu powszednim do istot wyjątkowych, a cóż dopiero w książce, w powieści. Żebyż przynajmniej ograniczyła te zajęcia do kwiatów, można byloby pobłażać jej kaprysowi, czy dziwactwu. Ale Cesia przekracza wszelkie granice estetyki, bo sadi ogórki i kapustę; i niekoniecznie na tém, że je sadi, ona je sprzedaje, — ona, nazwijmy rzecz po imieniu — handluje warzywem! Każdy wykwinny konsument literatury nadobnej przyzna pewnie, że z takiej prozaicznej dziewczyny, zrobić bohaterkę romansu trudno. W naszej epopei narodowej, w „Panu Tadeuszu“, Zosia wprowadzi karmiła kury, ale to sprawa całkiem inna. Zosię toleruje wykwinny czytelnik, z tych względów, z jakich ma wyrozumiałość dla herodów — bab Homera, Szekspira, Tassa, ceniąc wierność kolorytu epoki, i podziwiając naturę mniej lub więcej dziką typów zaginionych. Szorstkość ich przedstawia pewną wartość archeologiczną, wykwinny czytelnik szacuje takie zabytki na równi niemal ze starą porcelaną, lub pargaminem upstrzonym niekształtną bazgraniną, odznaczającą się cudaekim stylem i barbarzyńską pisownią naszych prapraojców. Dalej, trzeba zważyć i na to, że Zosia karmiła kury dla własnej przyjemności, co jest okolicznością łagodzącą, nawet w poemacie. Bohaterka Mickiewicza nie frymarczyła, nie spekulowała, a Cesia, — wstyd powiedzieć, — frymarczy! Zosi dużo ująć może, bo tylko, przypomnijmy sobie, jak się wychowała, z kim przestaje, jacy to kawalerowie starają się o jej rączkę „sypiać gęsty grad perłowy“. Oto gburowaty chłopak z zaścianka, zwan Sakiem, który *par de sa amour* morduje drób w kurniku, i niebardzo pokażniejszy od niego Tadeusz. A Cesia jest naszą współczesną; nie zawija włosów w papiloty, gajz, jeśli nie myśle się, nosi cywilizowany kok; nie biega po egrodzie w bieleńcu i boso, nie proponuje błędnym rycearzom, aby pomogli jej wypędzić pierzastych gości z ogrodu. Cesia ubiera się modnie, nigdy nie wyjdzie z sypialni przed ukończe-

nieniem toalety. a jednak trudni się tém, czego by nie raczyła podjąć się dystygnowana klucznica; ma polor salonowy, a sadzi kapustę; mówi po francuzku, a wdaje się w targi pieniężne, jak przekupka; stara się o nią hrabia, a Cesia prowadzi konszachty z żydami. Wnuczka starosty, doprawdy, ujmę przynosi swemu towarzystwu. W powieści, na piedestale bohaterki, jest po prostu nieprzyzwoita....

Gdzie tam! U Kraszewskiego inaczej wygląda Cesia. Jest bardzo przyzwoita, uroczą i godną uwielbienia, jakich jej nieszczęśliwych bracia, domownicy i życzliwi z sąsiadów. Zrazu żartowano z tej ekonomiki panińskiej, a pocziwa Piotruska, choć wypiaślowała Cesię na rękach, gorszyła się jej postępowaniem. Dobroczynne skutki rząduści i pracy zadaly niebawem fałsz wróżbom szyderskim i wyleczyły Piotrusię z przesądu. Młoda panna najwzyszy ster gospodarstwa stała się aniołem opiekuńczym zrujnowanego domu, wprowadziła do niego ład i stosunkową zamożność; młodszych braci, którzy przedtém bawili się włóczęgą po okolicy i polowaniem, wysłała do uniwersytetu, dostarczyła im pieniędzy na podróż i pobyt w mieście; umiała obudzić w nich poczucie prawdziwej godności, zachęcić do pracy, i zapewniła wychowancem swoim niezalezną, zacnie zdobytą przyszłość.

Bo jedynie przez pracę, przez jasne zrozumienie obowiązków, przez właściwe i głębokie poczucie honoru, podźwignąć się mogą ci, co upadli; wskreszać mogą ci, którzy, jak Mogiłscy i Brańscy, sami sobie grób wykopali. Taki jest ostatni wyraz dążności objawiających się w nowym zwrocie poglądów społecznych Kraszewskiego. Wolność nazwać ten kierunek nagannem ustępstwem, lub zgola odstępstwem od zasad dawniej wygłaszanych? Zadnem dowodzeniem takiego wniosku usprawiedliwić niepodobna.

Godło „Chorób wieku“ rozstrzyga zagadkę, łagodzając rażącą ale pozorną sprzeczność, jaka zdaje się zachodzić między tą powieścią, oraz pokrewnemi jej utworami Kraszewskiego, a „Mogiłną“, „Morituri“ i „Resurrecturi“ z drugiej strony. Godło to zaczerpnięte ze słów świętego Pawła, brzmi: „Ducha nie gaście“. W gruncie rzeczy niczego innego nie żądał Kraszewski stając niegdyś w obronie „niepraktyczności“. Lękał się on zbytku matematyki i trzeźwości, gdyż obawiał się, aby kraj pociągnięty na drogi nowe nie poszedł z czasem w kierunku wręcz przeciwnym swemu powołaniu, żeby rachunek nie zabił w nim ideału, a materya nie stłumiła ducha. Ostrzegał ziom-

ków przed złem, które i dziś za złe uznaje, jak uznawał w czasie, gdy tworzył „Choroby wieku“. Zasadniczej sprzeczności nie ma zatem w drugim zwrocie. Doświadczenie wskazało Kraszewskiemu, że się poprzednio uniósł w dobrych chęciach. Błąd ten należało poprawić, przesądę usunąć, — i Kraszewski to właśnie w nowszych powieściach uczynił.

Mylić się jest rzeczą ludzką. Nie było pisarza, ani publicysty, bo niema na świecie człowieka, któryby zawsze widział jednako czystą prawdę i w przekonaniach swoich niepotrzebował nigdy nie zmienić. Mylił się i Kraszewski, jak nieraz mylimy się wszyscy, ale w tém, że spostrzegł pomyłki, że zapragnął i zdołał je sprostować, że nie miał uporu i pychy uchodzącej często za stałość; w tym obowiązku ogólnie ludzkim i w tej sumienności pisarskiej, nie wielu bogdaj mogłoby znaleźć współzawodników.

I to jest jego zasługą, to również przyczyniło się do popularności jego dzieł i do sławy imienia autora. W tém objawia się niestannie żywotny związek pisarza ze społeczeństwem, z biegiem spraw ogółu, ze zbiorowym postępem.

„Mogiłna“ i „Morituri“ zawierają surową krytykę niepraktyczności, „Resurrecturi“ wskazują zdaleka tory, któremi dążyć nadal trzeba. „Roboty i prace“ dają zarys tego, co się już na wskazanęj drodze zrobiło.

Nim o tym ostatnim utworze powiemy słów parę, wróćmy jeszcze na chwilę do poprzedzających powieści. Zaletą artystyczną „Resurrecturi“ jest wdzięk, „Morituri“ zaś są obrazem na wielką skalę, dziełem, rzec można, klasycznem u nas w swoim rodzaju. Całość obmyślona poważnie, szczegóły mistrznie obrobione zlewają się z sobą harmonijnie, tendencya przeprowadzona z jak największą ścisłością, za pomocą wyłącznie akei, bez dysput i bez dydaktyzmu. W całej powieści nie napotkasz cienia rozprawy, wszędzie samo życie, ruch, interes, wszędzie obraz, w którym więcej zwracają na siebie uwagę grupy charakterystyczne, niż osoby, więcej jest rysów subtelnych, barw delikatnych i płaskorzeźby, niż form posagowych. W „Resurrecturi“ plastyki mało; niema wzniosłych ustępów, jak np. pełna tragicznej grozy scena oblężenia księcia generała w „Morituri“: wszystko tam spokojne, a powabne. W braciach Cecylii, Julku i Henrysiu ujmuje szczerść i żywość; w siostrze powaga i szlachetność — młodość. Pełno tam ludzi dobrych, złych nie wiele, nudnych

niema wcale. A jakiż to miły zuch, ta Jadzia, z która nawet Cecylia rady sobie dać nie umie! Główna trochę szalona, lecz serce niezaparte, czując zdrowo i po prostu. Gdy Jadzia pokocha, to nie pozwoli sobie odebrać wybranego, dla jakichś względów konweniencyalnych. Podobał się jej brat młodszy Cesi, Julek; domyśla się jego wzajemności, więc cóż dla niej znaczyć może nierówność majątkowa? Co jej do tego, że Cesia, mająca dumę ubóstwa, niechętnie patrzy okiem na wznagającą się skłonność brata ku bogatej pannie? Co jej do tego, że i sam Julek podziela skrupuły siostry? Na takie drobnostki Jadzia wcale zważać nie myśli, témbardziej, że obieczone dziecko z góry jest pewne przyzwolenia rodziców. Uwagi Cecylii krótką zbywa odpowiedzią: że na złość jej, zawróci głowę Julkowi, a wtenczas już będzie musiał się ożenić. I zrobiła na złość Cesi, zawróciła głowę Julkowi, gdy zaś tenże, zostając pod wpływem siostry, próbował ukrywać miłość, zniecierpliwiona Jadzia kazała mu oświadczyć się sobie, żeby już raz tym nieczonym ceremoniałem kres położyć.

Powyższy epizod miłosny, jedynym jest naprawdę romansem w „Resurrecturi“. Rys to godzien uwagi, zazwyczaj bowiem w powieściach Kraszewskiego bohaterki i bohaterowie nader bywali sentymentalni, a jeśli znalazł się między nimi jakiś wyjątek, to nieposiadał sympatyj autora. W „Chorobach wieku“ i w „Dzieciach wieku“ brak miłości ścigał gromy; w „Morituri“ przeciwnie, miłość księcia Roberta dla hrabiny Natalii, ma charakter ramiętności chorobliwej, i czyni zakochanego obojętnym na wypadki, których powinien był energicznie wystąpieniem niedopuszczyć. W „Resurrecturi“ autor posuwa się jeszcze dalej w tym kierunku. Zaparcie się miłości stanowi tam cnotę. Ludzie, w ogóle, w obu tych powieściach, zaledwie wiele mają kłopotów lub zajęć, żeby się mogli swobodnie oddawać romantycznym natchnieniom serca. Wbrew sercu, księżniczka Stella ofiaruje swą rękę Zygmunutowi Garbowskiemu, wbrew sercu także, Cesia oddawia rękę hrabiemu. Zostało ono sługą i zaczyna już wiedzieć, co to pany. Odkąd nauczyło się brać w rachubę praktyczne życie zadania.

Rehabilitacja praktyczności sięga do najwyższego szczytu w „Robotach i pracach“. W obec warsztatów, fabryk, lokomotyw Werndorfa i Płockiego dziwnie maleją „ulepszenia kieszeniowe“ Dembora. Potrzeby społeczne musiały wielce się zmienić w wyobrażeniu autora „Chorób wieku“, jeśli już

teraz nierazi go nawet świat przedsiębiorstw inżynierskich i przemysłowych, z którego tajemnych głębin uchyla brzechwę zasłony w „Robotach i pracach“. Sam nieboszczyk Dembor, gdyby ożył, prawdopodobnie oszomiony hukiem maszyn, świstem pary, widokiem tylu kosztorysów, budżetów, bilansów, koncessyi, statutów, planów — zawołałby z przerażeniem: „Ależ tego już za wiele, ależ to już zaledwie po cudzoziemsku, po niemiecku... Dokąd szedłem skromnie i pozwoli, wypędzicie teraz na leb na szyję; ja com przedsięwziął, tom uskuteczniał na własne ryzyko, wy wciągacie do waszych robót i prac tysiące ludzi, miliony zaczerpnięte z kapitałów krajowych... Strzeżcie się, cofnijcie, dopóki pora!“

A wtenczas Kraszewski oświadczyłby zlekionem Demborowi, przez usta osób działających w powieści, że obawy zacofanego przybysza sfery zagrobowej, są śmieszne, gdyż kraj nieczego niema zawiele — prócz nieładu, niedbalstwa, i „poępnój nieopatrności“. Dwaj współzawodnicy, stojący na przeciwnych krańcach poglądów i celów, cnotliwy Werndorf i przewrotny Płocki, w kwestyi ekonomicznego położenia kraju, bardzo zbliżone wygłaszają zdania.

„Nasz zawód, mówi Płocki, ludzi — propagatorów trudu, przemysłu, czynu, trudniejszym jest, niż gdziekolwiek indziej, społeczność nawykła wiekami używać, nawet zmuszona do pracy, lub zagnana nadzieją zysku, bierze się do niej bez zamilowania, dlatego tylko, aby co prędzej coś zarobiwszy, próżnować, zbytkować i używać mogła. Człowiek, który zawód jakiś obrał sobie za życie całe i poślubił, jest tu w pojęciu ogółu zawsze jakąś niższą istotą. Bo ogół ten rozumie pracę, jako jakieś skaramanie boże, a nie błogosławieństwo.“

Werndorf miarkuje zapęd Płockiego przypominając mu, „że tu też zyski są daleko większe, nie tylko finansowe i osobiste, ale społeczne. Pionier, który z siekierą i wozem wjeżdża w puszcze amerykańską, doskonale wie, że tam go czekają grzechotniki, bawoły i dzieci indyane, ale zdobywa kraj, tworzy świat nowy, pustynię zmienia w warsztat pracy ludzkiej, zdobywa ludzkości prowincją nową. My tu powinniśmy z tém samem uczuciem pracować.“

Rozmowa wrogów tak jednomyślnie zapatrujących się na posłannictwo reformatorskie przemysłowców w naszym społeczeństwie, byłaby niegdyś rozkoszną muzyką dla uszu Dembora. Obecnie rzucając światło zaszczytne na system i czyny pioniera zmarłego wśród „grzechotników, ba-

wolów i dzikich indyana", najdzielniej pomściła ona jego pamięć.

„Ktokolwiek zna przeszłość i teraźniejszość naszą, powiada Werndorf, przysiąc musi, że *nie ma pilniejszego nad ekonomiczną reformę.*“

Ciesz się cieniu Dembora!

„Gospodarstwo rolne, twierdzi dalej Werndorf, jest mimo postępów, jakie uczyniło i czyni, zacofane jeszcze... Trzeba rozwijać przemysł, ulepszać gospodarstwo rolne, z handlu surowymi płodami przejść na wyprawienie płodów tak przerobionych, aby ich wartość, pracy dala szacunek i zwiększyła się praca... Tysiąc rzeczy jest do zrobienia, tysiące dróg jest otwartych. Podniesienie przemysłu i gospodarstwa wiąże się nierozdzielnie z podniesieniem oświaty ludu i rękodzielników, przemysł wymaga inteligencji, gospodarstwo nauki i wykształcenia, dla tego u nas *szkoła jest najprodukcyjniejszą, najlepiej procentującym się kapitałem.*“

Złote słowa, prawda wielka, niezaprzeczona, ale cóż innego utrzymywał i robił Dembor, gdy pragnął ulepszeń dla wszystkich, zaprowadzał u siebie czynsze, pilnował kasy oszczędności, moralizował lud w przekonaniu, że to się wszystko *wypłaci*; gdy zakładając szkółki, ochrony, dom przytulku i pracy miał na widoku, że miłosierdzie nawet stosownym, nie dziś to jutro, wypłaci się procentem amortyzacyjnym...

Ciesz się cieniu pierwszego z pionierów! Z kości twoich powstałi szermierze, co chcą kraj zdobywać, tworzyć świat nowy, pustynię zmieniać w warsztat pracy. Żeby dopiąć tych zamiarów, nad które, podług Werndorfa, społeczeństwo niema żadnych pilniejszych, potrzebni są im tacy, jak ty pomocy. Szukają oni wszędzie usilnie sobie podobnych, ale, niestety, znaleźć nie mogą.

Werndorfovi możemy dać wiarę. On nie kłamie, nie deklamuje na wiatr jak Płocki, a jednak przyznaje, że „u nas połowa surowych materiałów niezmierniej ceny, ogromne zasoby leżą nieużytkowane, ekonomiczny rozwój szeroki jest możebył... ludzi brak tylko, ludzi...“

Brak ludzi jest do tego stopnia absolutnym, że ładajakiego Piętkę największy koryfeusz ruchu ekonomicznego, Werndorf i Płocki, z rąk sobie wyrrywają.

Indywidualna bez zasad i charakteru, jak

Piętka, istoty znikczemniałe, jak Wytrychiewicz, posłuszne narzędzia intrygi, jak Nursy—w takim to składzie przedstawia się otoczenie wodzów mających zdobyć świat „prowincją nową...“

Sztab arcy lichy—a cóż dopiero za zbierana drużyna musi być w łonie armii!... Jakże tam muszą znajdować się ciekawe modele dla malarza obyczajów! Może ukaże nam je kiedy Kraszewski, a wtedy przekonamy się, czy wolno mieć choćby nadzieję, że owe hufce pionierskie wywalczą istotnie ludzkości „prowincją nową...“

Tymczasem z wprowadzonych żywiołów do powieści widać, że świat tworzony przez pionierów obfituje daleko więcej w „*robotników ciemności,*“ niż w „*ludzi pracy i dnia białego.*“

„*Robot* intryganekich“ jest tam dużo, natomiast jasne „*prace*“ społeczne zakryte zostały dla oka naszego. Samotny przedstawiciel *pracy*, stary zasłużony weteran, schodząc z pola, które uprawiał sumiennie, z niepokojem spozierał na rozpoczęte dzieło swoje, bo nie spostrzegł dookoła siebie ludzi idei „*pracy i dnia białego,*“ w gronie najbliższych sprzymierzeńców...

Masz prawo zatem cieszyć się duchu Dembora! Nie Mogiłscy lekkomyślni i niezaraadni, nie książęta Brańscy zasklepieni w martwą obojętność, potrzebni są społeczeństwu, nie po ich zgonie wdzięcze ono żalobę, ale ciebie szczerze uczei wdzięcznym wspomnieniem, boś mądrze osądził, że interes jednostki łączyć się powinien z dobrem ogółu, o które niestannie dbać, i w każdym zawodzie, o ile starczą siły, rozszerzać je należy...

W trzech ostatnich powieściach, Kraszewski wytknął dokładniej, niż kiedykolwiek, drogę wiodącą ku temu celowi. Jakże niepodobna ora do ścieżek, po których niegdyś blakali się poeci i marzyciele w powieściach jubilat! A jednak tu i tam przyświeca też sama gwiazda przewodnia: miłość kraju, prawdy, ideału, promieniąca czystym blaskiem we wszystkich dziełach Kraszewskiego. To też podziwiając talent i nadzwyczajną twórczość, które w szacunku publiczności wzniosły go tak wysoko, czujemy, że sercem, myślą i życiem pisarz noddalał się od ogółu, ani na chwilę, przez całe półwieku chlubnego swego zawodu.

D. Henkiel.

II.

1) „U babuni;“ 2) „Klin klinem;“ 3) „Pan na czterech chłopach;“ 4) „Z dziennika starego dziada;“ 5) „Serce i ręka;“ 6) „Ada.“

Ciekawym zaiste byłby obraz, podający krótko porównawcze zestawienie treści wszystkich powieści Kraszewskiego. Bez wątpienia znalazłyby się między niemi pewne nieuniknione analogie, pewne cechy pokrewne, które wprowadzić w obrobieniu odmiennym przybrały odrębną indywidualność, ale ogółem biorąc, zadziwiłyby tych zwłaszcza krótkowidzów, którzy na życie i na człowieka patrząc powierzchownie, sądzą, że dusze wszystkich dalyby się podciągnąć pod jeden strychulec.

Nie więc dziwnego, że bezprzykładnie płodnemu przypadły kilkakrotnie pod pióro niektóre ogólne temata, wypływające z uczuć i namiętności człowieka, lub niektóre zagadnienia ściśle związane z bytem narodowym, przeszłym i teraźniejszym, albo wreszcie sprawy dotyczące życia naszego rodzinnego i społecznego,—ale w tych razach—oprócz, jakęśmy rzekli, odmienności obrobienia, przypisać to trzeba wpływom chwili, pod wrażeniem których, autor uczuł moralną potrzebę wypowiedzenia swych poglądów. Tém, jakoteż temperamentem pisarskim, tłumaczyć się muszą niejaki sprzeczności lub powroty do tychże samych przedmiotów.

Wszakże—jeżeli się i zdarzają te bardzo rzadkie wypadki, to obiór tych przedmiotów świadczy zawsze o troskliwości obywatelskiej pisarza, który nigdy niezapomniiał, że zadaniem jego nie jest zabawka albo irrażnienie nerwów czytelnika, lecz prawda, wyłaniająca się zwyczajko z zakrętów tajemniczych ludzkich namiętności i przykład, który tak bardzo naszemu społeczeństwu potrzebny.

Dla tego jeżeli w powieści: „U Babuni“ osnowa główna przypomina „Interesa familijne“, to jedynie o tyle, o ile i tu spodziewają się sutego spadku liczni a chciwi krewni, bliźsi i dalsi. Cała ta galerya rozmaitych figur kobiecych i męskich, krążąca około bogatěj a tajemniczo milczącej babuni, stawiająca sobie z każdego jēj słowa i ruchu, horoskop co do wielkości przyszłego zapisu, jakkolwiek przedstawiona barwnie dosyć i prawdziwie, nie wywołuje jednak tego wrażenia, jakie autor tak znakomicie—prawda, że odmiennymi środkami—wydobywa w „Interesach familijnych.“

Mniej tu dosadnej satyry, tak koniecznej do schłostania ohydnej chciwości całej czeredy zgłodniałych krewniaków, wyrzekających się wszelkich uczuć dla zdobycia grosza bez pracy. Jestto, rzeklibyśmy, szkicowany zaledwo obrazek obyczajowy, nie kuszący się wcale o efekt wielkiego płótna, a lubo wątpić nie można, że szkicowany z natury, nie przedstawia jednak tēj pełni charakterów, tēj świetności w chwytności szczegółów, a mianowicie tego psychologicznego rozwoju, którym się autor tak niepospolicie odznacza w tylu innych utworach,—że tu zacytnjemy choćby „Adę“, o której powiemy niżej.

Prostota wreszcie osnowy, nie stopniuje ani nie potęguje zajęcia czytelnika, który radby mieć przed sobą walkę czy starcie się uczuć i interesów, tak jakto zwykłe bywa w rzeczywistości—a ma tylko spokojny i rozsądny—za nadto rozsądny—tok opowiadania, którego nie podnosi nawet dyalog, śliczny zazwyczaj u Kraszewskiego.

Potrzeba nam tu jednak z konieczności, uczynić małe zastrzeżenie.

W tym ogromie prac, jakie Kraszewski, rzec można każdodziennie dokonywa, nikt z pewnością wymagałby nieśmiały, ażeby wszystkie utwory jego, jaśniały równą doskonałością artystyczną. Muszą być pomiędzy nimi niektóre, niezupełnie równej wartości. Ale i te nawet — a do tych zaliczamy powieści: „U Babuni“, „Klin klinem“, „Cześnikówny“, czytają się przyjemnie i zadawalniają zupełnie wymagania przeciętnego czytelnika. Tak w powieści: „U Babuni“, jak i w „Klin klinem“, spotyka się on z ludźmi rzeczywistymi, żyjącymi istotnie a nie na papierze. I czyny ich i słowa, nacechowane są prawdą i wiernością, tylko, że tym razem, ani te czyny, ani te słowa, niepozostaną na długo w pamięci czytelnika, bo autor nie technął w nie tej siły i nie obłókł ich w tę formę, jaka jedynie dziełu sztuki nadaje trwałość bytu.

Autor z pewnością jako prawdziwy artysta, wiedząc dobrze, że nie zawsze z równomiernym natężeniem talentu stwarza się dzieło, zna różnicę wartości utworów swoich; — wie dobrze, że gdy jedne pisał od ręki, jedynie z zamiarem wypowiedzenia natychmiast nasuwającej mu się kwestyi lub przedstawienia pomysłu, tak jak mu się zarysował w pierwszych konturach, — w drugie, przelał wybuch swego zapалу i natchnienia, z dołożeniem owęj klasycznej *ultima manus*.

Ala w obydwóch razach — wypełnił postawione sobie systematycznie a szerokie zadanie, niesienia zdrowej myśli, pożywnego ziarna *jak najczęściej*, w jak najdalsze strony i w jak najgęstsze masy czytelników, których rozmaity stopień rozumienia i uodolnienia, rozmaitego też wymaga pokarmu. To wielkie zadanie, — powtarzamy —, które nam w części wytłomaczy niezmordowaną wytrwałość Kraszewskiego w ciągłym tworzeniu, sprawiło też to, że on pierwszy z pośród naszych pisarzy, stał się tak rozpoznawczym i popularnym, że jego pierwszego, znają wszystkie klasy naszej społeczności, więcej i mniej ukształcone. Wykwintny znawca więc, którą powieść na wziąć do ręki i pieścić się nią jak artystycznie wykonanym dziełem, zadawalniającym i peczęcie jego estetyczne i myślowe, szukającą tej lub owęj zagadki psychicznej — ale spracowany, ukształconiejszy rzemieślnik, zmęczony urzędnik, rolnik czy kupiec, kiedy pragnie wieczorem odetchnąć i umysł odświeżyć, otwiera pierwszą lepszą powieść Kraszewskiego i czyta z prawdziwą przy-

jemnością, bo się spotyka z rzeczywistymi ludźmi, i czyta z zaciekawieniem, bo sprawy świata, nad którymi nicma nigdy dosyć czasu zastanowić się głębiej, rozwijają się przed jego okiem tak naturalnie, jakby on sam — tak mu się przynajmniej zdaje — rozwiązać je chciał i umiał. Tęto wielki przymiot naturalności i prawdy, nadaje taką poczytność wszystkim bez wyjątku Kraszewskiego powieściom.

Bo czyż nie jest wiele naturalną sytuacją w „Klin klinem“? Piękna, fantastyczna i na pozór poetyczna kobieta, a w gruncie egoistka bez litości, niezadowolona jest z zanego i rozzumnego ale chłodnego męża. Dla czego — sama nie wie. Nie lubi go, wstręt do niego czuje jak romantyczna *l'âme incomprise*, marzy o czémś innym, wznioślejszem. a więc pragnie uciec z jego domu, ale nie sama, tylko w towarzystwie urodziwego, łagodnego i bogatego młodzieńca, Bernarda.

Ten — jak zwykle zakochani pierwszą miłością — gotów do wszelkich poświęceń. Z ślepą wiarą w jej męczeństwo i w jej wyższość, sprzeciwia się nawet woli matki którą czcił dotąd i postanawia żyć dla niej, pracować i cierpieć dla niej. Lecz wkrótce — gdy już ta pani zdala jest od męża i gdy się zaczyna dotkliwie długi szereg sztykan rozwodowych — zmieniają się role. Nie ona jest ofiarą — bo nią nigdy nie była, ale jej drugą ofiarą staje się idealny kochanek Bernard. Dziwi się ona sama sobie, że w nim się zakochać mogła, zwłaszcza, gdy on teraz majątkiem swym rozporządzać niemoże, ale przestaje się dziwić na dobre w chwili, w której oświadcza się o jej rękę, ordynaryjny, brzydki i głupi, ale bardzo bogaty konkurent. Bernarda wyrzeka się z taką samą łatwością, jak się przedtém wyrzeka męża. On tylko znosi męczarnie i znosiłby je bez końca, gdyby nieposłuchał zdrowej rady i nie zakochał się w swęj kuzynce, przekonawszy się przedtém naocznie, jak pospolitym i samolubnym był ideal pierwszy jego miłości.

Klin przeto na klin pomógł tu znakomicie, lecz pytanie, czy zachowawszy to samo tło, to samo rozwinięcie, a nadawszy tylko charakterom tym, większą siłę i namiętność, tak w złém jak i w dobrém, — czy rzecz ta mogłaby się była rozwiązać tak praktycznie i tak pokojowo? Czy taki zawód w najgorętszych i najczystszych uczuciach, młodego, niezspsutego człowieka, kończy się zwykle — nie goniąc tu bynajmniej za przesadami efektami — w sposób tak rozsydny, i tak chłodny wysuwający moral? Czy wreszcie ko-

biety tego rodzaju, co Seweryna, chociaż osiągały to, czego chciały, to jest wielką swobodę przy dużym majątku — a co one zwaly poezją usposobienia — wypuszczają tak łatwo ze swych szponów, wielbicieli? Z przykładów rzeczywistych wniosoby można, że nie pozwalają im na to: miłość własna, egoizm, jako też pewna wrodzona im demoniczność czy logika zepsucia. Alboż czcigodny autor, nie dał nam znakomitych kilku typów tego rodzaju, w innych swych powieściach?

Próbkę demonicznej namietności, widzimy w powieści p. t. *Cześniówka*. Namietnością tą jest zemsta, — zemsta niezwykle, sroga, niugaszona, trochę hiszpańska; — a wywołana doznana ciężką krzywdą.

Uwodziciel, majątny syn obywatela ziemskiego, skorzystał niegdyś z sieroctwa dwóch sióstr, przytulonych u jego matki, i uwiódł obie. Jedną wykradł dziecko — nieszczęsna poszła w świat na tulaczkę i przepadła — druga zesłała na nędzę i pijaństwo — z rozpacz. Niegdyś piękna, z dobrego domu i dobrze wychowana, dziś na pół — obłąkana, w lachmanach, tańczy przed szynkiem w otoczeniu gapiącego się tłumu. Ale mimo pijaństwa i szalu, zemsta pali jej duszę. Uwodziciela, który mieszka w tych okolicach, przesładuje od lat wielu ciągle i wszędzie, samém już swoim pojawieniem się, śmiechem i przekleństwami. Życie mu zatrula, bo ten uwodziciel, nazwiskiem Skórski, ani się ożenić, ani między ludźmi pokazywać nie śmie. Raz nawet w nocy, nastraszyła go, gdy jechał konno przez las. Spadł z konia i zachorował niebezpiecznie. Wyleczywszy się, pojechał do Warszawy, sądząc że tam spójko znajdzie. Ale i tam odnalazła go Cześniówka, która o żebraczym chlebie przywlokła się za nim. W Warszawie też zetknął się pan Skórski, żalujący „młodzieńczego grzechu“, z drugą cześniówką, która po mnogich awanturniczych przygodach, została żoną jakiegoś tajemniczego generała i awanturnika na wielką skalę, Hochwarta.

Tu się poznają obie siostry — żebraczka i wielka pani. Wspólnemi siłami postanawiają obalić wspólnego wroga.

Tragicznie zawiązany węzeł, tragicznie się rozwiązuje. Biedną Cześniówkę zabija Skórski w przystępie uniesienia wystrzałem z pistoletu; — zabójcę oddano pod sąd.

Dotąd cała ta historia lubo nadzwyczajna trochę, urokiem swym dramatycznym, trzyma na uwiezi; dalszy jej ciąg a raczej *zakończenie*, mające być expiacją uwodziciela za pośrednictwem odnalezioną córkę, mniej

się wydaje prawdopodobne, może dla tego że autor wykonał je zbyt pośpiesznie.

Rzecz czyta się jednakże z zajęciem, a kara za zbrodnię i pokuta poniesiona za nią, niezawodnie uderzy zbawiennie świadomość, mniej dbających o finezyje i konsekwencye psychologiczne.

Z rzeczywistą też przyjemnością, czytamy historię szlachecką z XVIII w. p. t. *Pan na czterech chłopach*. Anegdota ta powieściowa, obyczajowo-histeryczna, z owych czasów, gdy możnowładca w Polsce, choćby się nazywał Flemmingiem, trzymał w rękę swém los człowieka i to do tego szlacheica, i to trzymał tak, że mógł postąpić, jak chciał, jak mu podyktował chwilowy kaprys, — napisana jest nietylko niezmiernie żwawo i pociągająco, ale nadto z tem mistrzostwem pędza, który koloryt epoki Sasów, tak już znamienicie odtworzył w szeregu powieści: *Brühl*, *Urabina Kozel*, *Siedmioletnia wojna* i *Starosta Warszawski*.

Często z takiej ubocznej przygody dworu „królewitka“ możnowładcy polskiego, lepić można poznać stosunki obyczajowo-społeczne ówczesne, aniżeli z grubych, obszernemi cytatami zaopatrzonej rozprawy. Jedna scena sejmiku prowincjonalnego, którą tu autor przedstawia, maluje nam znakomicie wszystkie węzły trzymające wielkich panów z zamożną i drobną szlachtą, wszystkie namietności i gniewy lokalne i wszystkie ówczesne uprzedzenia, wyobrażenia i poglądy.

Flemming, choć był obcym posesyjonatem na tej ziemi i senatorem, przecież wnet przesiąknął dobrmi i złmi stronami innych „paniów“, a wymawiając złe po polsku, znał jednak tak dobrze szlachtę, jak gdyby ród jego od wieków w Polsce był osiedlony.

Te obyczajowo-histeryczne gawędy, zawięzamy od czasu, gdy Kaczkowski pisać przestał, jedynie Kraszewskiemu, który widocznie w przerwach pracy swój, przy znanym cyklu wielkich powieści historycznych, pisze je sobie *con amore*, dla wytchnienia.

Umyślnie zostawiliśmy na koniec, trzy dalsze powieści, bo odróżniają się one treścią swoją, prowadzeniem i formą, niepospolicie od poprzednich. Zaczniemy od najdrobniejszej, liczącej zaledwie 68 stronnic, a przecież mogącej być nazwaną arcydziełem *sui generis*.

Tytuł jej: „Z *dziennika starego dziadka*“.

Przeczytawszy tę książkę, jak to mówią „jednym tchem“, doznaje się wrażenia rzeźwonego i smutnego.

W dzisiejszych czasach, w których wszystko tak przesiąknięte zwątpieniem i pessy-

mizmem, że sobie 10-cio letnie chłopcy w łby strzelają—znaleźć opowieść prostą i prawdziwą, a tchnącą najszlachetniejszym, idealnym prawie a przecie ludzkim optymizmem, należy do wydarzeń niezwykłych, ale zarazem i pocieszających. My—dzieci znużone naszej przejściowej, jak chcą niektórzy, epoki—szczęśliwi, jesteśmy, gdy na chwilę chociaż uwierzyć nam wolno w pogodę duszy, w harmonijny, nie epikurejski i nie horacyuszowski pogląd na świat, lecz pełen głębokiej wiary w odwieczne prawa moralne i religijne. I wszystko nam jedno, że nam tę uciechę daje człek maluczki, nieolśniewający ani sławnymi przegodami swego życia, ani reflexyami filozoficznymi; dosyć, że widzimy w nim duszę, zdolną czuć, jak każda najpiękniejsza, a cierpieć z rezygnacją pogodną, jak mało która.

Pan Gabryel Kalasanty Rzempiński, ongi porucznik, pisze swój pamiętniczek. Człek to oczywiście starzej daty, nieznający gorączkowych pragnień i niepokojów doby bieżącej, taki też chyba tylko zdobyć się może na życie pełne uweselenia, choć skromniuchne i ubożuchne. Sam też się charakteryzuje temi słowy: „Samiućki jeden jak palec na świecie całym! siedem krzyżków, zgarbione plecy, włosów omal, sił niewiele a w sercu?—pustki? Nie. Gdy się nie może żywych, kocha się umarłych, a ci żywi, jak mi Bóg miły, nie tak są znowni żli i czarni, jak ich tam malują“.

Staruszek ten uregulował sobie życie, jak zegarek. Czyni jęgo skromne, niepozorne, a mimoto w każdym dojrzałym sercu, przepełnionego miłością dla wszelkiego boskiego stworzenia, czy ono człowiekiem czy zwierzęciem.

Mieszkając na poddaszu, samotny, bez opieki na stare swe i schorzałe lata, znajduje sobie światek, do którego gwałtem przywiązać się pragnie, bo kochać kogoś i coś musi. Więc rzuca kawałek cukru w kąt dla „znajomiej myszy“, która po niego regularnie przychodzi. Po tem wychodząc ze Mszy XX. Dominikanów, daje równie znajomemu sobie dziadowi grosz, także z tą samą regularnością, co cukier myszy. Zna on odwiedzających kościół o tej ranniej porze. Potem jada obiad bardzo lichy, ale zaraz tłumaczy i uniewinnia, że za mały grosz trudno wymagać bażanta.

Lecz cóż się dzieje z tą myszą? Pod dniem 17 Maja, pisze strapiony: „Moję myszy dziś nie było ani słyhać ani widać... czy niedłowa? interesa jakie familijne, czy uchowaj Boże, ten kot bury ję nie schrupał?“ Tego też jednego zbójcy kota nie-

cierpi, ale go pocieszają trochę wróble, które się wszystkie stawily do apelu. „Te miejskie wisusy, czyste łobuzy uliczne... miasto działa na wróble“. I o nie boi się burego kota. Stróż w tym domu, gdzie mieszka, umarł. Gospodarz przyjął jakiegoś obdarzonego chłopaka, niepodobnego do ludzi. Obszarpane to, zamorusane, napół-dzikie, ale i tak pan porucznik miał od razu do niego pewną słabość, może właśnie dla tego, że chłopczyśko takie biedne i obdarte. Chciał go pogłaskać, ale niepodobna się dotknąć, taki brudny. Chłopiec ten, którego nazwano „Czupurnym“, często odstąd rozmawia z nowym swoim panem, który nie chce już dawać jeść obcym myszom,—idącym w ślad za tamtą starą lokatorką, „bo ten Czupurny, bywa, jak powiada, głodny“. Porucznik zaczyna się rozpytywać o rodowód tego chłopca, chciałby z niego powoli zrobić człowieka, témbardziej, że on się gotryma wiernie, gdy tymczasem wróble i myszy gdzieś zdezerterowały. Kupuje mu buty, ale pod warunkiem, że się będzie uczył czytać.—Gdy zacznie syllabizować, dostanie inną sztukę ubrania.

Pan porucznik zna dużo ubogich i nieszczęśliwych ludzi, — ot i jakiegoś lekarza bez praktyki Sulzera, bardzo uczonego i poczeiwego człowieka, choć się trochę napija.

„Ale—Boże miłosierny, człowiek co żądnej w życiu pociechy niema, że z desperacji szuka w kieliszku chwilowego szczęścia błysku, siły do życia, czyż go zaraz za to potępiać?“ Przez niego i przez straganarkę, która знаła matkę Czupurnego, dowiaduje się sekretów jego rodzinnych, i z ich pomocą ma nadzieję chłopcu dopomódz. Ale cóż, kiedy Czupurny, trochę się poduczywszy, drapnął od swego dobrodzieja! Sulzer też przyznał się porucznikowi, że ostatkami goni, trzeba mu było pożyczyć dukata. Ale ot—gdy wracał ze Mszy, patrzy, wlecze się psisko skowycząc i kulejąc. Trzeba go było przytulić i wyleczyć. Pies jednak wylizawszy się, drapnął tak samo, jak Czupurny. Pewnego dnia wszelako, złapał porucznik chłopca na ulicy i przytrzymał—nagadawszy mu, żeby się porządnie prowadził,—puścił, a ten też uciekł co tchu, ale pan porucznik miał tyle przezorności, że mu przedtém powiedział, gdzie go może znaleźć w razie jakiejś biedy.

W trakcie tego gospodarz, u którego mieszkał, tak go nudził i męczył,—według pana porucznika: tak go bawił i mile przyjmował, — że każdemu na świecie wierzący pan porucznik, zaoszczędzony jedyny swój

kapitalik u Potockich, oddał mu na procent. A tu akurat Sulzer rozchorował się i umarł. Trzeba mu było, napełguowawszy go, pogrzeb sprawić. Aż pewnego dnia dowiaduje się, że ten gospodarz jego, zbankrutowawszy, uciekł za granicę, co znaczyło, że cała chudoba porucznika od razu przepadła. Pan porucznik był sam stale przekonany, że to plotki, ale po tym utwierdza się, że „istotnie biedni zbankrutowali“. Co robić? Prawnik objaśnił, że skrypt na nie się nie przyda. Ha!—gdyby iść za gumienego, nogi ma jeszcze i oczy, do dozoru posłuży.

Zaczyna się nie bięda, ale nędza. Z mieszkania swego wyniósł się, bo nie miał czém płacić;—pocziwa stara przekupka, dała mu przytułek za małą bonifikacyą. Rzeczy i garderobę sprzedał; oddał ję tylko chleb i czasem co ciepłego, bo: „regularne objady, to niedobre nawyknienie“ a apetyt, swoją drogą, ma ogromny, wszystko mu pachnie. Jednak sygnetu ojcowskiego nie radby sprzedawać.... tylko, że może gwałtowna potrzeba zmusi. Roboty też żadnej znaleźć nie może, wszędzie go odprowadzają dla tego, że stary. Ale to nie. Od czegoż Opatrzność, tylko co ję nie widać. A potem ileż ta bięda pociech mu zsyła, bo oto przekonał się, że Czupurny chciał mu dopomóc datkiem, a lubo on tego nieprzyjął, bo na cóż mu to, lecz jakież ten chłopak ma serce! A i ta przekupka, gderliwa, kwaśna, ale co za dusza, jaka dla niego opiekunka!

W Listopadzie zauważył pan porucznik, że trochę zimniej na świecie, ale zreperował sobie stary surdat i znowu się przekonał, jakie to są korzyści z ubóstwa!—*gratiae status*, człowiek sam sobie radzi.

W alkierzu ca prawda trochę duszno i mokrawo, czasem stare piersi ledwo tęp powietrzem oddychać mogą, ale pieścić się nie trzeba. Gdyby tak dało się co zarobić, z serca zdjęłoby się pychę szlachecką i porucznikowską. Sły jeszcze się kołaczą, tylko nie wiele się umie. Pan porucznik spotkał się raz na ulicy z dawnym swym kolegą wojskowym, Roźniakiem. Serdeczniej się okazywał ten kolega, zwłaszcza, że przypuszczał, jako pan porucznik ma swój kapitalik i nikogo niepotrzebuje. Otóż rozochocony zaprasza porucznika na obiad. Ogarniają skrupuły p. porucznika, niechciały mu się przyznać, że jest teraz bardzo bogi, ale tak dawno objadu nie jadł,... o.... a wreszcie, wszak go niezrukuje?

Oczem się na tym obiedzie nie nagadali! Roźniak mu przypominał Paulinkę, którą rodzice zmusili do pójścia za mąż za kogoś innego, a ona tylko porucznika kochała

i teraz jeszcze—wdowa bezdzietna, wspomina go zawsze z rumieńcem.

Roźniak prosi go do siebie na wieś, przedkładając, że wieś zdrowsza i tańsza od miasta; skoro mu jednak srodze strapiiony porucznik, wyjawil szczerze swoją ruinę, Roźniak pomieszany niemal, przyznał skwapliwie, że i miasto ma zdrowe powietrze.

Ale od 10-go Grudnia „zabawna znowu historia“. Szedł p. porucznik przez Dynasę, w tem spotyka człowieka z piłą pod pachą, który popatrzywszy nań, proponuje mu wręcz, czyby się niezgodził z nim drzewa trzść? Z początku to jakoś dziwnie wzruszyło p. porucznika, aż mu krew do głowy pełnęła, ale się jednę chwilę opamiętał. Choćby i to, że „biednemu człowiekowi dopomogę w ten sposób do zarobku“.... Niestety! nazajutrz musiał się położyć i trapił się, że swoją chorobą „majstrowej zrobi przykrość“. Coś mu bardzo niedobrze, w głowie się jakoś kręci, w ustach zasycha.... małożby to być oswobodzenie?

Było to istotnie oswobodzenie.

Na tęp pamiętnik urywamy.

Zdaje się nam, iż czytelnik nieżaluje obszerniejszego streszczenia tęp prześlicznej kompozycyi, którą trzeba przeczytać całą, ażeby zrozumieć jak prostymi środkami wywołuje się wrażenia podniosłe. Autor ukazał tu znowu lwią siłę, swoją potęgę w artyzmie, mocą której z tematu, którego by się dla jego zwykłości nie jęło stu innych, stworzył coś nietylko pięknego formą i treścią, ale i głębokiego.

Ten porucznik, czelek cichy, przepelniony miłością bliźniego, pobłażający zdrożnościom i występkom ludzkim, bo wgląda w ich przyczyny, nie jak ów Cezar-filozof „który wszystko przebaczał, bo wszystko rozumiał“, ale jak prawdziwy chrześcianin, — menarzekający i nie przeklinający nawet wtedy, gdy znękany nędzą cierpi i opuszczenie, przebaczący zawsze i wszędzie widzący dobre tylko, a we wszystkim, mądrze urządzone wyroki Opatrzności, czyż nie jest typem, którego znękany duch nasz laknie, za którego rzeczywistością w życiu tęskni? Jakże dziś o ludzi takich trudno,— jakże dziś trudno o optymizm w nieszczęściu! Dla tego tak trafnie wybrał autor na typ tego rodzaju, człowieka niedzisiejszego, lecz czasów dawniejszych, gdy życie niewydawało się jednym tylko pasmem udręceń, ale drogą wiodącą w lepszy świat, ale ciąglą tęsknotą i ciąglem przedzieraniem się do ideału, choćby po cierniach najcięższych obowiązków trudów i poświęceń!—

Niejednokrotnie zastanawiać się nam przyszło nad Nemezis powieściową, która ograniczała się prawie zawsze dotąd na nagrodzić cnoty a ukaraniu występku. Zazwyczaj autor każdy, tak dalece ulegał wymaganiom czytelnika, chcącego przynajmniej w książce znaleźć to, o co w rzeczywistości trudniej, że wbrew bystrości swęj spostrzegawczej, wbrew doświadczeniu a nawet regułom sztuki, kończył zawsze uszczęśliwieniem prześladowanych i cierpiących, a pogwałceniem złych i winnych(*).

Dzisiaj się to zmieniło. Autorowie trzymając się wierniej realizmu, rozporządzają losami bohaterów, tak jak niemi zazwyczaj życie — którego powieść powinna być odbiciem — rozporządza. I zakończenie takie zadowolnić musi głębiej wnioskującego czytelnika, bo w tym rozbracie zasługi ze szczęściem, cnoty z nagrodą, w tój ironii przeznaczenia, stara się on dopatrzyć logicznego związku albo logicznej przyczyny. Prawda, że ta przyczyna na pozór jest zakryta, często niewidzialna i aż skłaniająca do fatalistycznych pojęć; zbadawszy wszakże do dna niejednen ludzki stosunek, niejedno życie zmarnowane, dopatrzyć się można tój ukrytęj sprężyny, leżącej najczęściej w samém usposobieniu psychiczném czy moralném człowieka. Bardzo często krok jeden fałszywy lub miękkość charakteru, lub uleganie wpływom, odrzucanie rad rozsądku czy woli, powoduje cały szereg wiążących się ze sobą następstw, niezdolnych zatrzeć pierwszego błędni czy winy.

W życiu codziennem giną te głębsze przyczyny dla zwykłego spostrzegacza, chcącego następstwa swego błędni przypisać wyrokowi niezbadanym, utoli w powieści dobrę, mimo że nie są moralizująco wskazane przez autora, albo je odgadnie albo je sam sobie dopowie.

Jeżeli w „*Dzienniku starego dziada*,” zadawać się nam przyszło nad niedolę szlachetnego bohatera, szukając przyczyny jęj w niedostrojeniu się do praktycznych prądów epoki innęj, aniżeli była ta, w której się wychował, — w czém może właśnie tkwi

ironia autora, — to w powieści *Ręka i serce*, nie zostawiono nie naszęj zadumie, gdyż pojmujemy dobrze, że dole i niedole rozlicznych bochaterów musiały wypaść tak a nie inaczej. Charaktery ujemne w tęj powieści, czynią wszystko, co trzeba, ażeby sobie zapewnić powodzenie materialne, o które wyłącznie im chodzi — a przecież się zawodzą i odnoszą zasłużoną karę dlatego, że nawet w rachubie cynicznosamolubnęj, niemożna lekceważyć tak pogardliwie, pewnych wpływów i pobudek moralnych.

Charaktery zaś te — narysowane z niepospolitą siłą w odcieniach szczegółowych, odznaczają się jeszcze istotną oryginalnością, co nie jest tak łatwém wobec tematu tak już wyzyskanego, jakim jest zdobywanie bogatego wiana.

Oryginalność tę posiada nie tylko młody pan Zygmunt Dobiński, właśnie ów pretendent, ale przedewszystkiem sprawca tych zabiegów o pannę i posag, ojciec jego, pan szambelan.

Jest to figura, jedna z najznakomitszych z powieści Kraszewskiego. Wzięta niestety żywcem z rzeczywistości, nazwaną być może słusnie typem owych parweniuszów bez czei, sumienia i narodowości, którzy wyrastają na gruncie rozbitego i pozbawionego publicznego swego bytu, społeczeństwa.

Przestali wierzyć we wszystko, co nie jest pieniądzem. Dla zdobycia go, gotowi na wszelką zbrodnię moralną, byle nieobwarowaną paragrafem kodeksu kryminalnego.

Niema intrygi, poniżenia się, serwilizmu, zdrady, którychby się natychmiast, niepojmując nawet skrupułów, nie podjęli, gdyby im za to zapłacono; honor, godność, sumienie, kraj, rodzina, są dla nich tylko frazesem zgola, o tyle potrzebnym o ile się da skapitalizować. Autor bardzo umiejętnie zeszkiełował tu kilku przodków szambelana, ukazując niejako dziedziczność tój chciwości nikczemnej, a czyż mało mamy takich rodzin *nowych*, których założycieli przyrównać można do sępów, żywiących się ciałami poległych!

Szambelanowie tego pochodzenia z dewizą: *Chapeau bas, marquis Carabas*, przynoszą hańbę każdej społeczności, za nimi stoją całe zastępy drobnych aspirantów do mniejszych i jak najmniejszych zaszczytów i synekur, opłacanych wyrzeczeniem się wszelkich przekonań.

Szambelan Dobiński jednak, tak jak jego ojciec, mimo ciągłęj gotowości do podłych usług, mimo wytężenia wzroku i uszu w te strony, w którychby się sprzedać można było, majątku ani kariery nie zrobił —

(*) Starożytni jasność swoich intencji w tój mierze doprowadzali, rzecz można, do naiwności, a jednak te reguły poetyczne uważano i wtedy, i długo jeszcze potem, za trafne. Tak na przykład, bohaterowi dodatniemu użyczali nie tylko dzielności i szlachetności, ale i urody fizycznęj, chcąc, ażeby cnota mile gładka oko. Zbrodni zaś dawano cechy odrażające zewnątrznie. U Homera Achilles jest piękny, podły Thersites brzydki. Przystawało to do uczuć i świadomości czytelnika, a raczej do jego sumienia.

i oto co mu spać niedaje, co go czyni takim chytrym i czujnym na wszelką sposobność. Lecz ją nareszcie zwietrzył i dlatego czemprędzej przywołał do siebie na wieść, wycierającego kąty za granicą, jedynaka swego Zygmunta.

Na niego liczy, jak na jedyne i ostatnie podźwignięcie fortuny rodzinnej. Zna on go dobrze, wie, że to młodzian wytrawny, wyćwiczony we wszelkich figlach i podstępach romansowych, z sercem pustem i chłodnem a głową obliczającą tak, jak on sam. Pokróćce go przeto informuje, że w domu rady z Brzezia, potomka starożytniej rodziny i wielkiego bogacza, znajduje się córka lat dwudziestu kilku, piękna i ukształcona, ale której rodzice mimo największych starań, wydać za mąż niemogą. Niemogą zaś dlatego, że panna zawsze w ostatniej chwili odmawia. Przyczynę odmowy zna pan szambelan i na nią opiera jedynie plan swój. Przyczyna ta jest tajemnicą dla świata, lecz nie dla jego lisiego węchu.

Oto, w życiu panny Olimpji, wydarzył się przed laty dziesięciu, wielki skandal według wyroku świata gdyby o tym wiedział, a według opinii ludzi dobrych: tragiczna przygoda. Ojciec jej, ożenił się na swe nieszczęście, z kobietą piękną, ale lekomyślną do najwyższego stopnia. Dopóki Olimpia była dzieckiem, bawiła się matka z całą swobodą rozpieszczoną królowej, wzdając za sobą rój wielbicieli; gdy córce było lat 18, wywiozła ją do Dreżna, niby dla dokończenia jej edukacyi. Mąż zamykał oczy na wszystko, bo chciał uniknąć szkodliwego rozgłosu dla swego nazwiska i dla swój jedynaczki.

Ale tam w Dreźnie stała się przygoda, o której on na swoje nieszczęście nie dowiedział się, gdyż żona utuliła ją przed nim umyślnie. Muzyk czech rodem, nazwiskiem Brataunek, zrobił furorę swemi koncertami. Pani radczyni odrazu się w nim zakochała, i pod pozorem dawania lekyi córce, wciągnęła do swego domu. Był to mężczyzna bardzo przystojny, a co ważniejsza, człek szlachetny. Nicodpowiedział afektem na amory stariej radczyni, ale w dziewczęciu, choć się długo bronil, zakochał się szalenie. Ona w nim także, z zapalem młodości, z namiętnością właściwą jej temperamentowi i z wiarą w człowieka, idealnie pojmującego życie i kobietę. Może wiedziała, że w matce ma rywalkę, dosyć, że pewnego dnia zniknęli oboje — na długo i bez śladu. Z wielkim dopiero trudem, udało się przeżaloną matkę odnaleźć córkę gdzieś w głębi gór czeskich, lecz odcierawszy ją gwałtem,

przywiozła do kraju kobietę zlamaną, apatyczną i nieszczęśliwą.

Na tej przygodzie boleśnej i smutnej oparł właśnie szambelan wraz ze swoim godnym synkiem, całą spekulacyą i pewnością ndania się jej. Synek dostawszy języka, odgadłszy charakter matki, zrozumiał że, córkę radaby wydać za mąż jak najprędzej, ojciec także, choć tylko dlatego że córka ma już lat 29; chodziło tylko o pannę samą, która krwawą swoją ironią, dumą nieprzejednaną i uporem, trzymała dotąd zdala od siebie wszystkich śmiarków.

P. Zygmunt jedzie na zwiady w sąsiedztwo, bierze tu dzierżawę i zwolna dociera do twierdzy.

Cała ta historia jego strategii, zabiegów dyplomatycznych, chytrych a bezczelnych, opisana z niezmierną werwą, — a już scena, gdy p. Zygmunt zostaje przez rodziców z radością przyjęty i potrzeba jeszcze tylko zezwolenia samiej córki, porywa dramatycznością i prawdą. Olimpia znękana i przygnębiona, ulega głównie woli ojca, bo jego bardzo kocha i szanuje, ale pod tym jedynie warunkiem, że opowie najotwarciej przygodę swoją narzeczonemu i że nałoży sama pewne warunki. Od tego nieodstępnie, mimo gorących zakleć matki, iżby przeszłość zataiła. I oto kiedy goście zaproszeni na ślub, czekają w przyległym salonie, już tylko na narzeczoną, która się niejawia, — narzeczoną idzie do niej i tam słyzy słowa, pod którymi każdy człowiek z honorem, ugiałby się ze wstydu. On jednak przyszedł tu po to, żeby dobić interesu.

Mówi mu ona w oczy spokojnie i chłodno, że dla niego nigdy żoną niebędzie, tylko z nazwiska, że przy ślubie musi jej włożyć na palec ten pierścionek, jaki dostała od jedynego człowieka, którego kochała, kocha i kochać będzie do śmierci. P. Zygmunt na wszystko się zgadza, belkocząc, że liczy na przyszłość. I z tej illuzji wywodzi go ona, kończąc swoją spowiedź, tryskającą teraz jeszcze, głębokiem i prawdziwem uczuciem.

„..... Wychowałam się przy matce za granicą.. miałam lat 18, serce dziecka, wiarę dziecka, nieświadomość świata dziecinną. Uczylam się muzyki... nauczycielem moim ostatnim był młody człowiek, człowiek genialny, człowiek godzien tego imienia, szlachetny, pełen prawdziwej pocztyi w duszy... piękny jak anioł, biedny jak wyrobnik, zany jak bohater.. kochaliśmy się, rajskie to były chwile z nim raz w życiu sięgnęłam niebios, ażeby wpaść do piekła. Chcia-

łam mu się poświęcić, narzuciłam mu się gwałtem, zmusiłam go, ażeby mnie uwiózł... Długo nie mieliśmy żyć z czego — postanowiliśmy być szczęśliwi choć dni kilka i umrzeć razem. Uciekłam z nim od matki w głąb jego kraju, do ubogiej chaty w wiosce, w której się urodził... O! te dni szczęścia, nigdy niezapomiane, niepowrotne nigdy... kupiliśmy dwie trumny wysłane kwiatami, które stały w drugim pokoju, i tak żyliśmy między niebem a śmiercią."

Po tej najszczerzej spowiedzi, Zygmunt jej przerywa mówiąc, że o tym dawno wiedział.

Zdawałoby się, że to zbyt jaskrawe, a jednak życie uczy, że to tylko prawdziwe.

Jadą więc nowożeńcy, tak fatalnie związani ze sobą, za granicę. Wszyscy im zazdroszczą. P. Zygmunt ufny w posiadanie, w upływ czasu, w słabość Olimpii jako kobiety, ale się wnet gorzko zawodzi. Zatrzymali się w Dreźnie.

Tu spotkała się Olimpia ze swą dawną przyjaciółką, hrabiną Klarą, rozwódką. Doskonale narysowany ten typ kobietek wietrznych, światowych, zawsze wesołych, zawsze trochę zakochanych, wiecznie kierujących małą intrygą miłosną, jeżeli nie swoją, to cudzą.

Klara dowiedziawszy się całej historii życia Olimpii, chce ją leczyć najpierw rozrywkami, w którychby naturalnie mąż nie brał udziału. Przeto właśnie da mu się uczuć, że jest tylko lepij platynym kammerdyncerem.

Zaczynają od pójścia na jakiś wielki koncert.

I tu, trafem szczególnym — poznaje w występującym na estradę, Bratanka.

Niepodobna nam opisywać dalszych lubo ciekawych przygód, powiemy tyle tylko, że Klara ułatwia widzenie się przyjaciółki z dawnym kochankiem, że mąż zaczyna cierpieć męki poniżenia, obawy o stratę wraz z żoną, posagu, a nawet męki zazdrości — że nareszcie dawni kochankowie uciekają. Olimpia dotrzymuje tego tylko, co wręcz najotwarciej zapowiedziała mężowi swemu przed ślubem, w owiej sławnej rozmowie.

Ostatnia iskra lepszych uczuć — jak chce autor — zadrgała w Zygmuncie. Z wielką zgryzotą, widząc się tak zdeptanym, zachorował śmiertelnie: logiczniej z jego charakterem wydaloby się nam, że powodem tej choroby była ogromna strata w interesach materyalnych, dla których poświęcał wszystko, co człowiek poświęcić może.

Przyznać musimy, że z chwilą tej choroby, postać Olimpii w dalszym ciągu powieści, mniej się staje sympatyczną; być też może, że gdyby Zygmunt niezachorował, ale z całą konsekwencją, takich jak on charakterów, szedł dalej, powieść zyskałaby na zajęciu, a co ważniejsza, na psychicznej prawdzie. Jest bowiem pewien rozłam między p. Zygmuntem nakreślonym ostreimi a wydatnemi rysami przed ślubem, a p. Zygmuntem po ślubie. Ten drugi wychodzi ze swego charakteru, bo choroba jego następstwem jest uczucia wstydu, którego przecież nie miał ani krzty wtedy, gdy z miedzianym czołem słuchał wyznania Olimpii i zgodził się na nie.

Tacy ludzie mają jeden cel przed oczyma — pieniądź, a gdy dla niego raz poświęcili wszystko, co się zwie szanownem i zacnem, to później przy pierwszym niepowodzeniu, gmatwają się tylko i brną dalej, ale nie zwracają już nigdy do uczuć czystych. Daleko trafniej zdawałoby się nam, gdyby autor wyraźnie był zaznaczył, że Zygmunt zachorował z gniewu i rozpaczony niepowodzenia, a nie z przyczyny moralnej i snąc czuł to autor dobrze, skoro w końcu wyrównywa jego charakter, każe mu się znów starać o posag jakiejś angielski.

Jakże za to konsekwentnie i prawdziwie, odbija się przy swoim synu pan szambelan! Zastawszy go jeszcze chorego w Dreźnie, nierozczuła się nad nim, nie bije się w piersi, ani nie miewa snów niespokojnych, jak tego wymagałoby zle sumienie, ale pali mu kazanie tej treści: „... Być może, że w tem i mojej winy jest trochę; ale grając o tak wielką stawkę, *niewstyd się i pośliznąć*. Cóż u licha! przypatrz się małżeństwom pierwszych naszych rodzin, wejrzyj w życie, które nikomu nie jest tajne... spotkasz się z mnóstwem takich przygód, których rozsądni ludzie tak tragicznie nie biorą... *Główna rzecz, by człowiek niezawistość sobie wyrobił i majątkową podstawę — reszta! kto tam na to uważa*. Abdykować niegodzi się nigdy!“

Jest to język zrozumiały dla wszystkich szubrawców, język którymby niepotrafił przemówić prosty rzezimieszek. Pan szambelan też targuje się do ostatka. Wtedy już i gdy się rzec musi powrotu Olimpii, do syna, — bo ojciec jej, dowiedziawszy się teraz o wszystkim, łączy ją z pierwszym kochankiem — chce przynajmniej wydrzeć jak najwięcej. Dostaje sporą sumę odstępnego dla syna, pod warunkiem, że obaj, cicho siedzieć będą.

I oto, jak dawny wilk pokazał swe pazury. Ten Zygmunt, który zachorował ze zgryzoty moralnej, targuje się teraz znowu ze swoim ojcem i oszukuje go na odebraną summię, niedawny mu tego, co przyobiecał.

Widzimy więc, że temat na pozór tak znany, obrobiony został w nowy i oryginalny sposób. Wszystkie postacie w powieści tej, dodatnie i ujemne, żyją życiem prawdziwem i tak dosadnym, że czasami wydaje się, jak gdyby autor nie tylko treść swjej powieści, ale i charakter, przekopiował wprost z rzeczywistego wydarzenia. Czyż takie przekopiowanie nie jest właśnie najwyższą sztuką, gdy nie jest powtórzeniem ślepego znamion zewnętrznych, ale odtworzeniem właściwości ludzkich, cnót i przywar, w ich charakterystycznych objawach? Wszak każdy z nas widzi codziennie, ludzi pospolitych i wyższych, tych, których nazywamy „zerami“ i tych, którzy za „oryginałów“ uchodzą, a przecież umieć schwytać to, co w każdym najpospolitszym, stanowi całą jego treść, jego duchową fizio-omię, potrafi tylko prawdziwy pisarz—arysta.

Kraszewski i w tej powieści dowiódł, że alerya portretów człowieka, może się stać niewyczerpaną dla malarza obyczajowego, który nie odtwarza rysów tylko twarzy i jej rodawek, ale dobada je się dwa duszy bez względu na to, czy ona wielka czy mała.

W szeregu powieści, o których nam mówić przyszło, mamy jeszcze ostatnią, trzech-omową p. t. „Ada.“

Słusznie ona zatytułowana jednym imieniem kobiecym, bo jest subtelnym studjum charakteru kobiety, a jak tu, *starzejacę* jej panny.

Pomysł tej postaci jest stosunkowo dosyć nowy. Z powieści bowiem starających się przedstawić sympatycznie staropanieństwo, oznaczyć głównie można: „Krystynę“ Hoffmanową i „Starą Pannę“ Sadowskiej. Zauważaj zaś spotykaliśmy się z typem starej panny, przedstawionej zawsze z strony komicznej i z tą szarzą nieto-liwą, która dla konceptu poświęca prawdę, — przecież w bardzo rzadkich wypadkach, panna zostaje starą z własnej winy — często wygórowane poczucie godności własnej, która się nie chce sprzedać, a najczęściej, nie- szczęśliwe stosunki rodzinne, zmuszają do tego położenia, które „drugiem sieroctwem“ nazywać trzeba.

Obce literatury, głębiej zapatrywały się więc i sprawiedliwiej i humanitarniej na stare panien, — między innymi Balzac i Currer Bell.

Ada znajduje się w wyjątkowym położeniu. Ojciec umarł dawniej od matki, która po najnieszczęśliwszym z mężem pożyciu, zmarła nareszcie wtedy, gdy Ada była już dorastającą panną.

Zostawiła jej w spuściźnie duży, ale bardzo obdłużony majątek ziemski, a zarazem wspomnienie niezatarte swego złamanego życia, swego udręczenia, jakie znosić musiała z lekkomyślnym i bez serca mężem — Odtąd Ada z zakrwawionem sercem i z załzawionemi oczyma, spogląda zawsze na portret matki, zawieszony w jej sypialni, i przed nim to ślubuje uroczyście, niepójść za mąż nigdy.

Nie jest to „ślub panieński“ wykonany na wzór figlarnych niewiniątek z komedii Fredry, ale przyrzeczenie panny, która cierpieniem matki, rozważa i niezwyklem kształceniem, staje się dojrzalą kobietą odrazu, bez wpływu przeżytych doświadczeń.

Przyrzeczenia dotrzymała, — w chwili bowiem zaczęcia powieści, zbliża się już do lat trzydziestu, a mimo licznych konkurencyi o jej rękę — hrabiów, nawet i książąt, odrzuciła wszystkie, całą zamknięta w świecie, który sobie umyślnie sformowała i urządziła. Świat ten na pozór, jest światem książek i obrazów, czyli poezyi, filozofii i sztuk pięknych — a potem, światem kilkunastu osób, krewnych, blizkich i dalszych, jako też rezydentów, których przygarnęła z litości i z fantazyi rozbujanęj ze swobodą artystyczną.

Cały ten jej dwór, gdyż jest rzeczywiście niby dworem samowładnej królowej, złożony z samych oryginałów, pozbieranych Bóg wie gdzie, ale odpowiadających jej usposobieniu i powziętemu systematowi życia. Więc żyje tu: malarz, tak zwany przez Niemców: *passives genie*, to jest genialny w pomysłach a niedołężny w wykonaniu, muzyk-Czech, znakomite komponujący oratoria, naczelny plenipotent i rządcą, dawny pułkownik, balwochwalecz do Ady przywiązany, złoźnica i intrygantka, kuzynka Hortensya, stara panna najgorszego gatunku, młoda kuzynka, sierota, — ksiądz kanonik de Bello, wielki pan i jeden z tych cichych, salonowych apostołów, działających zawsze *ad maiorem Ecclesiae gloriam*.

W tym otoczeniu, złożonem z najróżnorodniejszych usposobień, żyjącem nieharmonijnie ze sobą a patrzącem na chlebobawczyńię ze skrytym uczuciem zazdrości i obrażonej bez przyczyny miłości własnej, — panuje ona tu samowładnie i czuje się najzupełniej szczęśliwą, aż do... chwili, w któ-

rój zapoznala się bliżej z młodym sąsiadem Robertem Jazygą.

Jestto młodzieniec dwudziestokilkoletni, a więc młodszy od niej, bardzo urodziwy, z umysłem otwartym, choć wcale nienkształconym, z sercem poczciwem, czyli jest on tej natury sympatycznej, która się łatwo kochać daje.

Wzajemny stosunek Ady do Roberta, polega na tém, że on pociągnął ją ku sobie wszystkimi swymi przymiotami, nacechowanymi prostotą i szczerością pięknej młodości, sam zaś uległ odrazu przewadze jej wysokiej inteligencji i serdeczności, którą mu objawiała przedewszystkiem tém, że się zajęła kształceniem jego umysłu, przez książki i rozmowy.

Ona nie przypuszcza ani na chwilę, ażeby ją pociągnęły: jego młodość i uroda, ażeby to, co ona zwie rozrywką swoją i sympatyą duchową, było po prostu odezwaniem się praw młodości, z których dotąd nie korzystała. Nieprzypuszcza tak dalece, że w dzienniku, który spisuje z namiętną skrupulatnością, analizując różnorodne stany swjej duszy w stosunku do niego, wpada na najrozmaitsze domysły, tylko nie na jedyny, rzeczywisty, a którego czytelnik łatwo się domysla.

Ta subtelna analiza, którą czytać trzeba, ażeby ocenić należycie wykwintność jej i psychologiczną wartość—jak z jednej strony daje od razu do myślenia czytelnikowi, że jest tylko zamaskowaniem rodzącej się i coraz rosnącej miłości, tak z drugiej, wnioskującemu głębiej, każe się już z góry obawiać o los wybranego.

Kto tak nurtuje ciekawie w tajnikach serca ludzkiego, kto taki skalpel zatapia we własnych myślach, uczuciach i wrażeniach, ten, prędzej lub później, skazuje się na rozczarowanie. Cechą prawdziwej miłości jest ta głęboka a ślepa wiara, że osoba którą kochamy, ma i rozum i szlachetność i piękność i wszystkie te zalety, których na razie w niej się dopatrujemy bezwiednie;—później zaś, gdy się już ta miłość utrwaliła, wiara w te zalety choć zostaje osłabioną, przemienia się jednak w przywiązanie, nmięjące osłonić czarodziejską gazą zle nawet strony charakteru. Miłość jest, jak słusznie choć trywialnie powiedziano: ślepą; jeżeli nią nie jest, jeżeli zdolna każdej sekundy, rozejrzeć się dokładnie i *sąd wydać* chłodny a trafny, w trwałość jej wierzyć niepodobna. *C'est un assez bon roman, que celui de la nature humaine*, — powiedział Rousseau—tu jednak tej miłości szczerzej, tkwiącej w naturze ludzkiej, szukaćby nadarmo.

Ale do tego jeszcze daleko; teraz, w miarę, jak to nowe dla niej uczucie, rozwija się w sposób, który ją niezmiennie (jako nowość zapewne) zajmuje, Ada lęka się i czasami przypuszcza, że to być może miłość. A całe już jej otoczenie, jest tego najzupełniej pewne i stosownie do tego się zachowuje.

Przedewszystkiem panna Hortensya i ks. kanonik. Oboje przestraszeni, iżby Ada nie poszła za męża, bo wtedy Hortensya straciłaby prawdopodobnie przytułek, a kanonik część majątku znaczną i już prawie przeznaczoną na cele propagandy.

Oboje też z pomocą bardzo licznej rodziny, sprowadzonej umyślnie z różnych stron, otaczają Adę, niby pasem żelaznym, kontrolując każde jej słowo, każdy ruch stawiając przeszkody, a nienawidząc z całej duszy, mimowolnego sprawcę tej nagłej przemiany: Roberta.

Najciekawszym wszakże jest proces wolny ducha Ady, a raczej jej przeobrażenia zupełnego. Wszystkie bowiem dotychczasowe zajęcia i przyjemności nudzą ją wszystkie tak silne postanowienia męczą zdaje się, jakby teraz dopiero nowy świat odkryła, bo też ten świat i to życie, po technieniem budzącej się miłości, ukazują się jej z nową całkiem a nieznaną dotąd stroną. Przeobrażenia tego ślady, czytamy najdokładniej w jej poufnym dzienniku, w którym się spowiada jak dziecię przed najdroższą matką. Na portret też tej matki patrzy i teraz jeszcze, zawsze z rozrzewnieniem często z wyrzutami czynionemi sobie za to że powziętego votum zaniechać zamyśla. Lecz ani jej walka wewnętrzna, ani przeszkody stawiane jej przez rodzinę, nie mogą powstrzymać uczucia, wydobywającego się tym gwałtowniej, im dłużej mileżały prawe młodości.

W samych jeszcze początkach, gdy się opiera i walczy, pisze w swym dziennikuPatrz matko, jak ja walczę mężnie, jak cierpię wesoło i jak strasznie już jestem zmęczona... tworzę sobie coraz nowe zajęcia duszy niemi zupełnie niemożę... sztuka mąskrzydła, co podnoszą na chwilę, ale niniosą daleko... *Życiu potrzeba celu*..... Ma cel inny życie nad ten, byśmy wyrosli komuś na pożarcie? ludziom, losom, wilkom zwątpieniu? ja niewiem!

A potem:

„Jak skoro czuję, że się węzeł jakiś zadzierżnąć może, rwę go nielitościwą ręką... boli, ale z własnej woli, tak lepić”.

Duma kobiety, niechęcej znać innych więzów, nawet tych, którym się kobiety podają z całym wdziękiem ich natury, a za

razem reflexya chłodna, mimo rozbudzonego uczucia, wybijają się jakby mimowoli na wierzch, w tych poufnych zwierzeniach przed sobą samą. Mówiąc zaś o Robertcie, chwali jego przymioty, ale pisze jak, gdyby się jęj wyrwały z pod pióra te słowa: „Bóg mu dał tak *śliczną powierchołość*“.

Nadzwyczajmisternie kreśli autor charakter Ady. Bardzo czytana, z natury i położenia swego wyjątkowego reflexyjna aż do pesymizmu, przytem obdarzona poczuciami artystycznymi, szukającą instynktowo wszędzie i zawsze piękna — waleczy zacięcie z miłością, która się jęj wydaje i złamaniem przysięgi i niezaszczytną słabością. Wszak jest kobietą energiczną i wyższą, a przecież daje się oswadzać uczuciu, któremu ulegają wszyscy. To ją martwi i gniewa tęp wicęć, że teraz oddziałują na nią wpływy bardzo złe, jak np. wiosna z całym swym urokiem i potęgą wrażeń. Oto co pisze: „...Miłość się mści na mnie, że jęj niechcę serca otworzyć... Te zapachy wiosny, te pieśni w powietrzu, ten ruch wszędzie bułzący do nowego życia, do nowęj śmierci — działa niezdolnie na człowieka, niepokoi go. Jak może być, aby na istotę rozumną, miała prawo działać powietrze, pokarmy, łóżce?“

Przytem, grała tu rolę ważną ta okoliczność, że stary Jazyga, ojciec Roberta, który ięgdys wiele zgryzot przebył przez ożenie — się z panną arystokratycznego rodu, tak ano przysięgał sobie, trzymać zdala syna iętylko od pokus świata wyższego, ale goła od nanki i wszystkiego, coby go drogi prostego szczęścia sprowadzić mogło. Dlatego czuje się przerażony do najwyższego stopnia tem, że Roberta tak mile widzą w domu arystokratycznej, bogatę (bo Ada ogromny posiada już teraz majątek) i tak uczonęj panny. Widzi groźne niebezpieczeństwo i chce go ocalić. Zaczyna od tego, że zabiera ją do siebie na czas jakiś, w odległą ztąd kolicę. Ta przeszkoda oddziałowała najsilniej na Adę i wprawia ją w tęsknotę, którą jeszcze pragnie uważać jako przyzwyczajenie się do towarzystwa Roberta, bo swoję bogą gniewa się, że: „ten chłopak nieznający, skromny i *pospolity*, zajął tak wiele miejsca w jęj sercu i życiu“.

Nader umiejętnie rzuca autor światelka na Adę. Naprzykład, gdy każe jęj odwiedzić swą garderobianę Kasię, śliczną i świet ukształconą dziewczynę, która nagłe skochała się w prostaczym i rumianym leśniczynie i dla niego porzuciła zbytki, jakie miała we dworze. Ada nie może się wydzierać: „Dlaczego wołała znosić ciężką pracę,

jęść chleb razowy i śnieje się jeszcze i mówi, że szczęśliwa! Niepojęta rzecz!“

Zmiana jednak wkrótce nastąpiła.

Miłość czyni postępy w sercu Ady i kiedy powtórnie jest u Kasi, pojmuję już lepiej i czuje mocniej to jęj szczęście. Błogo jęj tu i miło w tęp ubogięj chacie, a w tęp ktoś zajechał konno przed chatę. To Robert, który ma odjeżdżać do ojca. Ponieważ się już zmierzcha, więc ją przeprowadza przez lasy do domu, i tu w tęp drodze niewiedzieć jak i kiedy, zbliżyli się do siebie, pocałowali, a choć przyrzekli nroczyscie, że będą ze sobą jak brat i siostra, łatwo jednak przewidzieć, że na tęp braterstwie się nie skończy. Przeszkody wszelkiego rodzaju, działają na Adę podniecająco, głównie zaś opór starego Jazygi, który powtórnie zabiera syna do siebie, ale na to, ażeby go wicęć nie puścić.

Z tego, co się dotychczas przeczytało o Adzie, możnaby wnioskować na pewne, że gdyby jęj zostawiono swobodę z Robertem, sama prędzej późnij — a może prędzej — przykrzyłaby go sobie. W rysunku jęj charakteru aż do tęp chwili, mimo że czytelnik ciągle widzi postępy miłości, leży właśnie ta finezya, pozwalająca z maleńkich szczegółów takich przypuszczeń. Żal nam czasem udęrczenia tęp Ady, która abdykuje ze swęj dumy i samodzielności na rzecz chociażby szlachetnego uczucia, ale mimowoli czegoś boimy się o Roberta, co również zawdzięczamy artyzmowi autora, który umyślnie każe mu się zachowywać biernie, nie kierując na niego uwagi, jak na głównego bohatera. Robert zostaje w cieniu, a całe światło rzucone na Adę, — dlatego nie zajmuje on nas jako indywidualność, dopiero późnij, jako ofiara.

Lecz czytelnik dobronasny, przekonany jest, że teraz Adę z Robertem śmierć tylko rozłączyć zdoła, bo oto przy tęp powtórny pożegnaniu, Ada po walce heroicznej ze sobą, zamyka się z Robertem w swym pokoju i płacząc wybucha zazdrością, lęka się, ażeby go jęj inna nie wydarła, a potem kładąc mu na palec pierścien, mówi zwyciężona nareszcie: „Będę twoją!“ I jak wszyscy ci, którzy najłatwiej przysięgi łamią, dodaje: „W obliczu Boga przysięgnijmy sobie, połączeni jesteśmy na wieki!“

Przyrzeka mu czekać i być wierną, dopóki on ojca swego nieprzebłaga i nieprzekona. Przyrzeka wicęć jeszcze, bo mówi tonem najwyższęj szczerości, kiedy Robert lęka się, czy ona wytrwa: „...Jam sierocęm życiem, męką przeboleła lata długie... cie-

bie... jednego mam. Zmienić się nie mogę, chyba umrzeć!"

Któżby za tę kobietę tak wytrwale i po-
wornie, ale i tak mężnie wywalczającą sobie
trochę szczęścia na tej ziemi, niepołożył
ręki na ogniu, nie dał głowy, że przedź
wszystko się zmieni aniżeli ona?

A jednak... bardzo niedługo potem... ona
się zmienia i to tak do gruntu, że w no-
wej tej epoce poznać nam ją trudno, —
a powiedzmy prawdę, że nam się autor do
tego tak całkowitego przeistoczenia jej, nie-
pozwolił przyzwyczaić.

Jest ono cokolwiek za nagle i za niespo-
dziane. Nie iżby było niemożliwem, bo sami
wykazywaliśmy i odgadywaliśmy tę możliwość,
ale jest za mało wymotywowanem. Że taka
reflexyjna i po neronowsku artystyczna na-
tura, ruchliwa jest i zmienna, to jest arcyl-
logicznem i prawdziwem, ale przyczyna tej
zmiany — łysina starego Jazygi, czyli prozaicz-
ność ojca i prozaiczność syna, który w odda-
leniu na poetyczności stracił w jej oczach —
zbyt pobieżnie usprawiedliwiona. Być może, że
się mylimy, że takie natury, jak Ada, potrze-
bują być ciągle pod wrażeniem, w nieobec-
ności zaś ukochanego, pozbywają się tych
wrażeń i rozezarowują od razu, przypomi-
nając sobie wtedy same tylko ujemne lub
pospolite jego strony. Być może i nawet
tak z pewnością bywa w życiu, w powieści
wszakże, uwydatnienie tego momentu wy-
raźniejsze, wyrobiłoby silniejsze przekona-
nie w czytelniku.

Że taki nieszczerzy człowiek jak Robert,
złamany na całe życie, nie miękczy to by-
najmniej tej kobiety, która w rozezarowa-
niu swoim rozpamiętywać zaczyna, litując
się nad Kasią czyli nad skutkami małżeń-
stwa, to jest: rodziną, kolebką, troskami!
Ona teraz, gdy wie znów, że dotrzyma
przysięgi matce, bo przysięgać i czynić
wota lubi bardzo — pisze do niego list
wystylizowany, wyfrasesowany, rozsądny a
taki samolubny i chłodny, jaką ona sama
była zawsze, niewiedząc nawet może o tém.

W epilogu po latach dziesięciu, daje autor
scenę w świetnym salonie Ady w Warsza-
wie. Zestarzała się, ona już bardzo, ale
zawsze pełno u niej eleganckiego świata,
pełno artystów, z pośród których zawsze
wybiera jednego i to z najmłodszych, na
wychowanie i dalsze kształcenie.

Epilog ten, doskonale uzupełnia chara-
kter Ady! Panna Hortensya, przypominając
komuś miłośćkę jej z Robertem, niedziwi
się, że go kochać przestała, „bo jak piesek
się jej w oczy patrzył". Słuszna uwaga —
kobietom tego rodzaju trzeba imponować

koniecznie, choćby na sposób brutalny Lau-
zuna, który kazał ciocięcej siostrze wiel-
kiego króla Francyi, ażeby mu ściągnęła
buty.

Kto wie, czy w tém nie tkwi cała za-
gadka, ale kiedy Ada w końcu, powiada do
swój ubogiej, lubo z mężem najszczęśliwszej
kuzynki: „Inni będą mi zazdrościli — a ty,
ty mnie pożaluj czasem", to już chyba ni-
komu na myśl nie przyjdzie żalować jej,
albo nawet zazdrościć. Żalu niegodna ani
zazdrości ta, która serca swego oszczędza,
lecz się igraszki z innem niewzdraga. Po-
dziwiać możemy takie „wyższe" kobiety
w salonie, ale nie chcemy ich w życiu.

Typ wszakże Ady, jest nietylko nowy i
prawdziwy, ale znakomicie pod względem
psychologicznym wykończony. Słusznie go
tę w wspaniałym szeregu typów, stworzo-
nych przez genialnego powieściopisarza na-
szego, do najpierwszych zaliczyć trzeba.

Niedawno czytaliśmy o najnowszym ro-
mansie francuzkim ten ustęp:

„Jakże smutny obraz degradacji typów
w romansie! Pojęcie uczucia miłości, zniża
się prawie rok za rokiem i upadła, tak jak
i te szalone namiętności z czasów dawnych,
które dziś przeszły zrazu w rozpustę wyo-
braźni, potem w zwierzęce zachcenia zmy-
słowe, a nakoniec w dziedzinę wypadku
patologicznego! Indyany, Walentyny, Fer-
nandy, przemienione w Emmę Bovary,
w Germinie Lacerteux i w Gervaise Cou-
peau (Zola); — poetyczne krajobrazy pęzła
pani Sand, przemienione w sklepik farma-
ceuty, w przedpokoje fagasów, w *chambre
garnie* bulwarowe i *Assomoir* zarogatkowe.
A język? stawszy się współnikiem tych po-
twornych zbroceń społecznego gustu, ten
język francuzki, tak czysty i jasny niegdyś,
przemienił się teraz w żargon wszelkich
miejsz szkaradnych, wszelkich śmietnisk,
po których wędruje splamiony i zblocony.
Czyż w tej historii szybkiego upadku i ze-
psucia powieści, niema się w skróceniu hi-
stori całej przemiany smaku, języka i oby-
czajów?"

Niemieliśmy jeszcze dotąd ambicyi na-
śladowania metody naturalistycznej Zoli,
o której tu mowa. Metoda ta niezachęcająca
teorią a wstrętna w wykonaniu, choć ol-
śniewa dziś mniejszość Francuzów, a i do
nas, w mniej zdrowe warstwy, przedziera
się sposobem najświeższej i jako owoc za-
kazany pęknęcej mody, przecież nie zakry-
wa chmurą, widnokręgu przyszłości...

Powieść nasza innemi szła i innemi nadal
iść musi drogami; nam niepotrzeba drasty-

cznemi efektami, nazywanemi: „jedyną możliwą dla dzisiejszych ludzi reformą“ gwałtem przyciągać czytelników. Znajdą się oni zawsze, gdy na téj glebie dobrze już uprawionój i dalej, ludzie rzeczywistego talentu pracować zechcą. Atoli z chlubą powiedzieć możemy, że na czele zastępów powieściopi-

sarzy, buławę nosił i nosi taki hetman jak Kraszewski, który przez pięćdziesiąt lat bojował po różnych szlakach, ale zawsze pod sztandarem trzymanym wysoko i z hasłem, któremu nie przestanie przywodzić całe społeczeństwo polskie.

Edward Lubowski.

II. POWIEŚĆ LUDOWA.

I.

Pomiędzy klasą ukształconą w narodzie a ludem prostym, zachodzi niemal różnica taka, jak pomiędzy kamieniem szlifowanym a bryłą rodzimą: badanie jednego i drugiego ma właściwe sobie korzyści i powaby; rzec nawet można z pewną słuszością, iż to, po co głębiej sięgnąć potrzeba, co prostsze i natury bliższe, nierównie więcej przedstawia interesu, jako rzecz posiadająca liczniejsze a wyrazistsze cechy samodzielne i silniejszą spójność konkretną. Ztąd też, w literaturze każdego kraju grupa, mieszcząca obrazy ludowe, największą zwykle obudza ciekawość obcych. Kiedy bowiem w obrazach, mających za przedmiot klasę ukształconą, czytelnik przychodzi do oglądania form, uczać i pojąć, mniej więcej znanych, bo powszechnych i przez jednolitą a sztuczną cywilizacją wyrobionych, — w obrazach czerpanych z masy ludowej napotyka odrębność i znamiona, których ryłec cywilizacyjny nie zdołał zatrzeć, aby na ich miejscu wyrzeć jakieś znamię wspólne. I im dalej od sfer cywilizacji, tem odmian i odrębność silniej występują, tak iż gdzieś, w stanie tak zwanym dzikim, dochodzimy do widoków najniespodziewańszych, częstokroć wstrętnych, ale tu już ginie nawet ten charakter specjalny, który nazywamy ludowością, a natomiast występuje plenię.

Ludem zwiemy zwykle taką grupę, która łączy pomiędzy cywilizacją a dzikością, w punkcie oddalenia od jednej i drugiej stale nieudeterminowanym. Zostaje ona pod akeją instytucji państwowych zarówno z

grupą cywilizacyjną, a więc pod pewnemi wpływami cywilizacji sztucznej, — przez co usuwa się z jej sfery stan absolutnej dzikości; ale z drugiej strony, grupa ta skutkiem cięższych warunków życia nie może zdążać szybko za zmianami prądów, nie może sobie assimilować wszystkich interesów postępu, przyzostaje co chwila, tak że w końcu przed oczyma jej zapada mniej więcej gęsta zasłona na to, co odbywa się na wielkiej a już dalekiej od niej scenie świata. Wyścieg niemożliwy ustaje, a około grupy pozostałej tworzy się nowy światek skryształizowany. W światku tym jeszcze żyje aktualnie to, co dla innych już jest przeszłością, niebytem. W jego pojęciach, miłościach, obyczajach i zajęciach, w pewnej części pozostało to, co było dawniej, i czego postęp idei nie zdążył unieść, przestoczyć lub zastąpić innemi pojęciami, inną miłością, obyczajem i zajęciem. To ewolucya zatrzymana na pewnym punkcie przeobrażenia, zarywająca coś z jednej formy i z drugiej, posiadająca już wszelako własną i ustaloną, dopóki jej nowe a potężne wpływy środowiska do nowiej nie poruszają ewolucyi: — to lud.

I nietylko w wierzeniach, języku, stroju i obyczaju lud przechowuje zatwardziałe formy tradycyjne, żyjąc niejako w przeszłości, amalgamując je lub szczepiąc na nowych idejach: trzyma się on czasami i instytucji prastarych, wrogich poniekąd nowemu porządkowi rzeczy. Kraszewski przytacza to, co sam z podań ustnych zebrał o pewnej miejscowości na Wołyniu (I), gdzie lud zachował nietylko zwyczaje i obrzędy zapo-

muiane gdzieś indziej a dla nas już niepojęte, ale po wiekach jeszcze nie rozstał się z pewnym zabytkiem politycznym ustroju gminy słowińskiej, pokątnie tylko praktykowanym. Zachował poczucie się do spójni braterskiej i solidarnego związku w gromadzie pod przewodnictwem starszych, których wola spełnia się w cichości i ze ślepej posłuszeństwem. Lubo ta spójność gromadzka jest sama przez się zjawiskiem dość powszechnym na wszystkich przestrzeniach ludem naszym osiadłych, w miejscowości jednak, o której mowa, wyróżnia się ona tym jeszcze, iż gromada stawia sobie na czoło Starszego, który niby urzędnik z wyboru, prezydent gminy lub kapłan, spełnia potajemnie przed światem urzędowym rodzaj dyktatury, regulując wszelkie sprawy osobiste i domowe, stosunki z dworem i władzą, ilekroć zachodzi jakaś wątpliwość lub potrzeba ważniejszego postanowienia.

Dobrze uczyniła literatura nasza, że za sprawą kilku pisarzy, w rzędzie których Kraszewski jedno z miejsc okazalszych zajmuje, zajął bliżej w serce ludu, w jego życie domowe i cały ten świat, mający tyle odrębności. Dobrze uczyniła mianowicie dlatego, że od lat kilkunastu zaszła pewna zmiana w środkowisku społeczeństwie, naruszająca porządek organizmu, która tam dawne jego formy do nowej ewolucji powoła, i w skutek której to, co w chwili chwytania rysów społecznego pisarzem porządku było aktualnością, dziś już zaczyna przechodzić do dziedziny historii. Kraszewski kreślił rzecz można, po ostatek chwile przelomną, a zajmując się obrazowaniem życia ludowego pomiędzy mniej więcej rokiem 1840 a 1860, od „Latarni Czarnoksięskiej“ do „Kółka w płocie“, doprowadził tym sposobem dzieje swe prawie aż do nowego zwrotu, wynurzającego dla ludzi nowe koleje życia.

Niepowiemy, ażeby Kraszewski, w kilkunastu tomach swoich powieści ludowych, stał się historyografem całości lub systematykiem. Przeciwnie: wybrał on sobie jedną tylko ustron, głównie okolice Polesia i Wołynia, raz tylko zajrzawszy i to przypadkiem na Podole. Nie czynił umyślnych i rozległych studyów; brał to, co napotkał pod ręką. Jako poeta wybierał motywa przeważnie sprzyjające fantazji, z którą jednak spłótł zgręcznie poglądy ekonomiczne i socyalne. To zatem, co czytamy u niego o stanie ówczesnym ludu, stosuje się głównie do jednego tylko odłamu kraju; zakątek, któremu mało widło swe poświęcił, na wprawdzie pewne rysy wspólne z całością, zwłaszcza podchodzącą pod jeden i tenże sam porzą-

dek polityczny, — ale zachowuje i pewne różnice względnie do całości, tak co do wyników tegoż porządku, jako i co do odcieni etnograficznych, barwiących jedność a przecież samoistnie wydatnych. Zaznaczamy to dla tego, ażeby wrażenia otrzymanego z przeczytania wszystkich powieści ludowych Kraszewskiego nie rozciągać do całości absolutnej tego, co się nazywa ogólnym mianem polskiego ludu.

Sam to niejako zeznaje Kraszewski w jednym z listów prywatnych, którego oryginał jest w naszym posiadaniu. — „Rzeczywiście, — pisze on, — myśl do obrazów ludowych podał mi pobyt na wsi i zbliżenie się do ludu w Omelnem, w Gródku, w Hubinie i Kisielach, od roku 1837 do 1858. — Gospodarowałem, jakim uniałem i studiowałem razem. Pamiętam, że wielkiego przyjaciela zyskałem w Gródku w chłopaku, którego kazałem ukarać przy sobie za to, że się porwał na swego starego ojca. Tak uczułem sprawiedliwość tej kary, że mnie za to pokochał; i gdy sprzedałem Gródek, przychodził do mnie z pozdrowieniem do Hubina. Epizod Sawki w „Latarni“ był pono pierwszą, jeśli się nie mylę, próbą. (Tak jest rzeczywiście, — dodajemy od siebie). Uderzyło mnie to, że wpółświąty, zacny prałat, ks. Ożarowski, był nim do łez przejęty. Wiele faktów wprost z życia pobrałem. Do „Chaty za wsią“ służył mi cygan kowal na miejscu u mnie. Przez lat dwadzieścia nosiłem się ciągle, mając do czynienia z ludem, słuchając, patrząc, wywołując opowiadania. Otóż właściwa geneza tych powieści... Wiem, że z natury jest wiele, ale nie niewolniczo. Sztuka wymaga wyboru razem i prawdy. Fotografia, jej nigdy niezapści ani realizm bezmyślny... W całej mojej krzątaninie, obok kwestyi sztuki, która była mi może najpierwszą, stała zawsze, niestety! kwestya celu i potrzeb czasu“.

W skromności swój dodaje autor listu: „Dlatego wiele z tych rzeczy zestawie, ale, jakkolwiek liche, są to historyczne kartki“.

Ostatnie zdanie poważamy się zmodyfikować w ten sposób, że kartki te są bez zaprzeczenia historyczne, z powodów które wyluszczyliśmy wyżej, ale bynajmniej nie są liche. Przeciwnie, to jedne z najwytworniejszych kart, jakie posiada literatura nasza, a w zakresie ludowym, nie ubliżając innym, — może najwytworniejsze. Wszystko to wreszcie, ogólnie wzięwszy, pisane z prawdą a miłością wielką, przetkane złotą nicią fantazji; słowem małe poematy w prozie, elektryzujące mocą uczucia, typy siłą

i wdziękiem kolorytu tryumfujące nad czasem, a przechowujące tym sposobem wieczną młodość, czyli nie starzejące się nigdy. Nie chodzi nam o to, czy wszystkie wydarzenia, czy wszystkie rysy, przytoczone w powieściach, są prawdziwe; zaleta ich polega na tem, że są prawdopodobne, a temu niezaprzeczy nikt, ktokolwiek zna lud wogóle, w szczególności zaś, w tym zakątku etnograficznym który autor obrał sobie za scenę do swoich przedstawień. To pogodzenie prawdy z osobistym zapatrywaniem się i wrażeniem od przedmiotu, ta synteza szczegółów, doprowadzająca do wytworzenia obrazu konkretnego, to wypełnienie zadania sztuki, znajduje, zdaniem naszym, nader szczególnie rozwiązanie w powieściach ludowych Kraszewskiego, wziętych ryczałtem. I tak on sam to zadanie pisarza, w przytoczonym liście niechętnie scharakteryzował, opowiadając, w przeciwstawieniu do fotografii i bezmyślnego realizmu, że sztuka wymaga prawdy ale i wyboru: naszym obowiązkiem zaświadczyć, że zadanie, o którym takie ma pojęcia, spełnił z powodzeniem.

II.

Położenie socyalne ludu téj właśnie krajiny, która stanowi scenaryusz Kraszewskiego, było przedmiotem ówczesnie częstych nawoływań prassy, interesującej się całością: nie ma, zdaje się, czasopisma z piętego dziesiątka lat i dalej, któreby w jakiegokolwiek formie, poważnej lub ulotnej, książkowej czy dziennikarskiej, etycznej lub belletrystycznej, nie czyniło aluzji do tegoż położenia, z widoczną tendencją przyniesienia ludowi ulgi. Ale nawoływania te były głosem wołającego na puszczy: rady i przestrogi, pociski i żale odbijały się o żółtawą tarczę egoizmu. Rozwiązanie pozostawiono czasowi, subtelne palce Nemezy uważając za sprawniejsze do rozwikłania rozlicznych węzłów zaciśniętych przez obyczaj, prawo i historią.

Stan dawno usunięty w reszcie Europy wskutek wstrząśnięć z końca zeszłego wieku, tu pozostał był w najlepsze prawidłem obowiązującym. Niewola włościanina nie wyraziła się dostatecznie słowem: *pańszczyzna*, jak w sąsiedniej krainie zachodniej, ale słowem *poddaństwo*.

Słowo to nieoznaczalo wprawdzie niewoli osobistej, ale niewolę ziemi. Właściciel majątku nie mógł już frymarczyć włościaninem pojedynczo, wyrwać go z łona rodziny, zamienić za inny przedmiot lub sprzedać, jak to czynili plantatorowie amerykań-

scy z murzynami; ale miał prawo uczynić to wszystko ryczałtem, z ziemią, na której włościanin posiadał grunt, wydzielony za przymusową robociznę. Włościanin tedy był to tak zwany „*glabae adscriptus*“, którego ruchów granicę stanowiła granica wiośki, gdzie wpisany był w skazki, a wyemancypować się mógł jedynie, czy sam czy z rodziną, za okupem, którego pan samowolnie ustanawiał wysokość. Dopóki był poddanym, nie miał najmniejszego prawa do rozporządzania członkami rodziny własnej, nie mógł, choćby mu starczyło, wychowywać dzieci dowolnie, kształcić ich w szkole, rzemiośle lub kunszcie, bo wszystko to były rozrodzone machiny robocze, których bytek wyrządzał ujme pańszczyźnicę, gdy przeciwnie, *chata siemienista* stanowiła potęgę dworską, jedną z sił inwentarza. Niewolno też było chłopu wybrać sobie żony należącej do cudzego poddaństwa, inaczej, jak za okupem, zwanym *kunica*. Takie przynajmniej dwie sceny wykupu narzeczonych opisyje Kraszewski (2); przeciwko czemu to tylko moglibyśmy przytoczyć, że byliśmy osobiście świadkami podobnie mieszanych małżeństw, ale bez okupu, a czy to stało się skutkiem prawa, czy skutkiem łaski, trudno nam sprawdzić; to pewna, że nawet propozycya ze strony narzeczonego nie była czynioną, i wszystko kończyło się na formie próby i przyzwolenia. Jesteśmy pewni, że jeżeli to krzyżące nadużycie leżało w prawie, to oprócz brudnych wyjątków, obyczaj wstydział się zeń korzystać, — zarówno jak z prawa przyznającego spadek tylko w cztertnastej części dziedzictwa ogólnego majątku dla córek.

I cóż włościanin otrzymał za tyle przymusowej abnegacji z rzeczy człowiekowi najdroższych, które miliony jemu podobnych posiadały dokoła niego, nie sobie z posiadania ich nie czyniąc? Miał kawałek gruntu, zaledwie chroniący od głodnej śmierci, i to jeszcze przy pomyślnym urodzaju a nie-licznej rodzinie; wolno mu było paść bydło na wspólnym wygonie, czerpać wodę ze wspólnego źródła i drzewo ze wspólnego lasu. Figurowały wprawdzie na papierze jakieś wspólne śpiczrze zapaśne na wypadek nieurodaju, do których i dwór miał się przyczyniać, ale w rzeczywistości była to fikcyja, zręcznie maskowana pozorami.

Prawo chroniło wprawdzie włościanina od nadużyć dworu; co rok z wiosną zjeżdżał do wsi urzędnik powiatowy, by odczytać gromadzie jej przywileje i obowiązki, w języku małorozumiałym, w treści niesłuchanej, bo znanej jako prosta formalność; i na

tém ograniczała się opieka, pozostawiająca dół włościanina na dyskretyi bezpośredniego stosunku. Dola też ta zależała głównie i jedynie, rzec można, od charakteru i uczuć osobistości, stykającej się bezpośrednio z gromadą: od dziedzica, rządcy, ekonoma, pisarza prowentowego; czasami i proboszcz nie pozostawał bez wpływu. Jakżeż to można było na rzecz ludzkości i wszelkich wysokiego rzędu interesów wyzyskiwać tę złotą minę podobnego stosunku, a jak ona bezpłodnie zmarniała! Owszem, wyprodukowano z niej kruszec, ale podobny temu, z którego wybite były srebrniki Iskaryoty.

Nie zadowolę też i uniesień nad temi stosunkami pełną jest prassa współczesna, ale przestróg i oburzeń. Jeden tylko „Tygodnik Petersburski“ nie należy do chóru, milczy albo mityguje, i nie podoba mu się myśl wyprowadzająca „Ostapa Bondarczuka“ z kurnej chaty do salonu. Był to jednak głos odosobniony; inne, ile miały i mogły, częstokroć bez talentu, czasami bez dostatecznego taktu, ale zawsze w dobrej wierze i z dobrą przeczuciem wskazywały szkodę i niebezpieczeństwo egoizmu, apatyj, braku poczucia się w prawdziwym obowiązku obywatelskim.

Sawka Kraszewskiego, jako epizod luźny, wstawiony prawie bez związku w obrazy szlacheckie „Latarni Czarnoksiężkiej“, był manifestem młodzieńczym, protestacją przeciwko postępowaniu dworów, utworem, w którym werwa uczucia nie miarkowała się jeszcze dostatecznie karbami artystycznymi. Nie szukaj tam tej pełni charakterów i harmonii estetycznej, która późniejsze utwory ludowe Kraszewskiego stawia w rzędzie niesplowiałych obrazów rodzajowych, — ale znaleźć tam możesz niemal całkowity zarys historii włościan jednej prowincyi, ich stanu społecznego. Autor odbywa tam studium na jednej rodzinie, ale ta jedna rodzina — to wszyscy.

W chwili krytycznej matki, przybywa do chaty znachorka i za jej przybyciem chata zbogaciła się (czy nie zubożała) jedną duszą więcej. Według obyczaju, trzeba bogdajby za ostatni lub pożyczany grosz wyprawie chrzestiny, na których zapisie się kto żyw, aż do starszyny gminnej i cerkiewnej... Jakże się wychowa ten nowoprzybyły? Za ledwie porzuci wyschlą pierś matki, zdany na ręce mało co starszej siostry, wygrzewać się będzie w piasku lub błocie przed chatą; zgłodniały, stacząc będzie walkę z psem lub kotem o spleśniałą kromkę chleba, ale zdrowa krew i silna natura doda mu siły, i wyrośnie, jak energiczny chwast na wydumie

piaszczystej. W miarę wzrostu, a więc w miarę większej potrzeby posilku, nie może już pozostać bezużytecznym w chacie; ledwie też wstanie na nogi, już go czeka obowiązek i praca, rozpoczyna się praktyczna jego edukacja od pasania gęsi, a ponieważ zakres jej niedługi a ćwiczenie częste, *Sawka* w kilku leciech uczyni postęp ogromny. W wieku, w którym innych chłopców nianki prowadzą na paskach, on w cerkwi żegua się i bije czołem; gdy prowadzą umarłego, on rzuci garść piasku pod koła; gdy pan przejeżdża, on się pokłoni do ziemi, aż długimi włosami proch przed nim zamiecie; on zna wszystkie drogi i zakątki siola, wszystkich sąsiadów, a bydelko swoje rozróżni choćby w tysiącu podobnych.

Ale kiedyś nareszcie dzieciak wyrasta na człowieka, na istotę odpowiedzialną za siebie. Na ciężką dla wsi chwilę przypada młodość *Sawki*.

Powiedzieliśmy już, — dola włościanina, jako maszyny roboczej, zależała od ręki, która nią władała. Dotąd, ekonom dawny, jakkolwiek ciężki, dawał się przecie ubliżać włóczębnym, kwaterką, czarnymi oczyma dziewcząt i pokłonami gospodarzy. Obecnie nastał inny, który począł od chłost niemilosiernych, od zaszczepienia grozy i wpojenia posłuszeństwa; było czy nie było za co, on bił i bił od rana do wieczora, a nużyby się kto poskarżył przed rządcą, ten poprawił jeszcze po ekonomie. Bo pan rządcą był człowiekiem cheiwym, który korzystając ze świeżego właśnie wyjazdu dziedzica w podróż kilkodniową, chciał się czym prędzej na chłopie zbogacić, ekonoma przypuściwszy do przymierza i spółki. Nie dość więc, że nie było żadnego rachunku pańszczyzny, że dnie kobiece nie liczyły się za nic, że prządky w dzień szły do rządcy na folwark, że robocizna trwała od świtu do zmroku, ale jeszcze potworzono nowe daniiny i osypy, któremi przemysłuy plenipotent wraz z ekonomem zwiększali swoje dochody.

Za takim uciskiem nędza wkraczała do wsi pośpiesznie, i każda chata odczuwała ją srodze, tembardziej chata *Sawki*, w której nie było młodych hożej, co by przez uśmiech wyciśnięty strachem mogła ulagodzić ekonoma, i nie było zapasiku, którymby można na chwilę męczarnię okupić.

Aż samo przez się ułożyło się chacie. Starszy brat *Sawki*, wzięty do owiec dworskich, którego jednak chacie żywiec kazano, bity codziennie, opuścił głowę i ręce, pobladł, zachorzał i umarł. Zbito mu cztery deski, zapłakali, zapili żal, i zapomnieli o Parchomie, bo praca bez techn i końca

walną stanowi dystrakcyą. Na jego miejsce wzięto do dworu brata średniego, całe gospodarstwo przynależne chacie pozostawiając na ręku dwojga starych rodziców, zapracowanych na polu pańskim, bez wytchnienia, z pomocą tylko jednego Sawki, który stracił już ową beztroskliwość chłopięcą, ale pracował nad siły z rodzicami, stękając i bolejąc z nimi.

Jednakiej w swych częściach składowych używając doli, cała wieś stanęła w ruinie; a tym czasem rządcą, co był najechał na folwark dwiema ostrokościstemi szkapami, czwanił się teraz w koczobryku piątką koni w krakowskich chomontach. Ekonom, co się przywłókł na mizernej kobylicie, wioząc za sobą na wołowej furmance żonę z błędami dzieciskami i zielony kuferek lekki, bo pusty, jeździł teraz nejteczanką, trzema gnidoszami i palił tytoń zalibocki z piankowej fajki.

Ale przychodzi i na niego kréska. — Ten „lach psawiara bez sumienia“, jak go nazywają we wsi, tak raz kijmi uczęstował jednego młodego chłopka, że pomimo żalu, gromada z pewnem zadowoleniem wyglądała śmierci ofiary, ażeby sprawę tę ujawnić przed władzą. I rzeczywiście tak się stało. Na wieść o tém, na folwarku zawrzało jak w piekle. Gromada stanęła groźna, chciała śledztwa, proboszcz odmówił pogrzebu. Daremnie ekonom, rwąc się za włosy obiecywał podwładnym złote góry, gromada święciła jakieś wesele zemsty, radując się kłopotem ciemniźcyela, który wiedział, że w najszcześliwszym przypadku usuniętym zostanie, opłaciwszy się dobrze doktorom, assessorom i całemu sądowi. Jakoż za zejściem kommissyi, obejrzenie ciała okazało, że wprawdzie świeży pobój mógł się do śmierci przyczynić, ale i to także być mogło, że Denis umarł z nagłego napływu krwi do górnych trzewi niekoniecznie z pobojem, — jak twierdził, ni czarno, ni biało, doktor niemiec, który zebrawszy krocie na urzędzie lekarza powiatowego, jeszcze się nie wahał przedawać za kilka rubli. Ale zeznania gromady inny nadały obrót rzeczy: świadectwa nadużyć i bezprawij tak się nagromadziły, że, pomimo całej łagodności, z jaką uwzględniano sprawę złooczyńcy, zmuszono go do opuszczenia służby i oddano pod sąd.

Pozbycie się takiego smoka stanowiło wielką wygraną gromady, i ojciec Sawki uczucia jej skreślił w kilku szlachetnych a gorących słowach: — „Płakać i wesoć się... jeden umarł, a wszystkim będzie lepiej! żal tylko stariej matki. Sława tobie i dzięki

Denisie, bo ty umarłeś, żeby nas wybawić z ucisku, i będą ludzie w sto lat chodzić na twoję mogilę, a ciebie wspominać!“

Ale to kwestya jeszcze, czy gromada pod innym względem lepiej wyszła na zmianie? Wprawdzie i sam rządcą, przerażony wypadkiem zwolniał, i przyjął ekonoma młodziaka, wcale nie z narowami chciwości, ale tak erotycznie nastroszonego że cały dzień uwijał się za młodociami i pokoju im nie dawał, z czego śmiali się tylko obojętni małżonkowie, ojcowie i bracia.

Okoliczność ta ważną w życiu Sawki odgrywa rolę. Chłopiec ten, kiedyś podczas prawnika wiejskiego pilnując wieczorem koni w zaroślach przydrożnych, ujrzał napaść ekonoma na uciekającą ze strachem dziewczynę, i w chwili dla niej najkrytyczniejszej pośpieszył z tak skuteczną pomocą i tak sękatym kijem, że pomimo próśb, płaczu i całowania w ręce, napastnik odszedł do wsi trochę na całym ciele zdemontowany, i oczywiście buchający zemstą, a Sawka odprowadził dziewczynę do cudzej wsi, z kąd pochodziła. Odprowadzenie to spowodowało bliższe poznanie się i sympatyę.

Sympatya ta wzmogła się jeszcze w skutek zemsty ekonoma, który nauczony świętym przykładem poprzednika, nie śmiał wymierzyć na skórze Sawki doraźnej sprawiedliwości własnego autoramentu, ale skorzystał z okazji legalnej.

Według dawnego porządku rzeczy, pobór wojskowy po wsiach odbywał się przy udziale dworów, którym pozostawiano wybór z liczby poddanych wyznaczonego kontyngensu rekrutów. Rozumie się, że Sawka w wyborze tym otrzymał najcelniejszy numer, dzięki troskliwości ekonoma o jego przyszłość rycerską. Ale Sawka, muiej dbały o laury wojenne, skrył się do gościnnej chaty Hrehora, któremu córkę uratował od napaści sromotnej, i tam czas grozy bezpiecznie przesiedział, używając go na bliższe zaciśnienie węzłów z tą nową rodziną. Kiedy po przejściu burzy rekruckiej wrócił, zastał szczęściem innego już ekonoma, i, uszczęśliwiony, wysłał swaty o rękę Naści, która, że była obcą, musiał jeszcze za nią zapłacić tamtemu dworowi pięćdziesiąt rubli, ażeby mu ją odstąpiono.

Nie wiedział, że kupuje sobie biedę. Naścia była młodocianą uroczą; wszystko téż, co mogło korzystać z wyższości położenia, uwijało się koło niej w zalotach, a najczynniejszym okazał się syn rządcy, młodzian świeżo odziany w futerał uniwersytecki. Pomijamy całe stopniowanie wrażeń, przez jakie przeszło serce młodej niewiasty od pierwotnego

oburzenia aż do zasmakowania w tych grzesznych załotach, których, niestety, nie pierwszym i nie ostatnim była ona na wsi przedmiotem: zdarzały się nawet i takie, które jej zazdrościły. Sawka domyślając się wszystkiego, posmutniał, zbrzydził sobie dom i pracę; nie poszedł się wprawdzie utopić w stawie, ale co dnia topił się w karczynie. Szlachetny atoli z natury nie mógł być widzem obojętnym sromoty, i postanowił zaprotestować. Dybał na schadzkę i zdybał. Pół życia zaledwie zostawił w niewiernej żonie i w jej uczonym gachu, a sam nieciął za kordon, do jednej z nadgranicznych wiosek halickich, które pełne były zbiegów z sąsiedniej prowincyi, zagnanych wichrem ucisku i nadużyć.

Powróciwszy z tęsknoty po kilku latach, gdy mógł się spodziewać spokoju i zapomnienia, nie zastał już starego ojca, ani żony niewiernej; zmówił pacierz na ich mogiłach, i rozpoczął nowe życie, a raczej wrócił do dawnego na zwróconém mu gospodarstwie, wlokąc dalej ten żywot puryasa, sprawdzając niejako na sobie to, co Kraszewski miał we dwadzieścia lat później w ogóle wyrazić (3):—„Chłop widocznie stworzony został przez Boga, z przeznaczeniem tego, co znosi; inaczej, jakżeby wytrzymał to, czego my dziesiątej części znieślibyśmy nie potrafilili!“

Jest rzeczą niezawodną, że niekażda wieś, nie każda rodzina i nie każda jednostka stanowiła obraz powyższych przejęć; być może, jestto obraz pesymistyczny, kreślący maximum niedoli: ale to pewna, że wszystkie pierwiastki, z których się składa, są rzeczywiste, sprawdzałe, a w obrazie tym tylko nieco więcej skoncentrowane. Pierwiastkami temi są: niewola, praca i hańba,—jakoby wydzielone na los chłopu, skutkiem dawniejszych urządzeń państwowych, nie mitygowanych inicjatywą obywatelską.—Trzy te pierwiastki koniecznie wchodzić muszą w grę tam, gdzie chodzi o kreślenie żywota włościanina ówczesnego, i umysł pisarza musi o nich objawiać swe zdanie. Wysyłając w świat rodzinny tę energiczną przegrawkę do swego koncertu ludowego, Kraszewski uczynił to jeszcze w sposób więcej liryczny; niemniej jednak w bolesnej tej psalmodyi, wysunęły mu się pewne próbki charakterów indywidualnych, ogólne tła usposobień gromadnych. Nie apoteozuje on tu chłopca, jak niektórzy pisarze ludowi bez taktu i smaku, przedstawia go owszem częściowo złym i zepsutym, tak jak jest w istocie, skutkiem edukacji wiekowej; wskazuje tylko na jego naturę, w gruncie

niecziwą, lubo zacliwaszczoną naleciałościami nieprawości, tak hojną sypaniem ręką. Pozwala sobie nawet z tego powodu wprost refleksyi moralnych, argumentów *ad hominem*, wydających zamiar tendencyjny tego epizodu. Powiada, na przykład, mówiąc o wieśniacze:—„Któż nie ma prawa zacheścić jej, zelżyć słowy, uściskiem, wejrzeniem, śmiechem; kto nie ma prawa odepchnąć męża, ile razy staje na zawadzie miłostkom? kto nie ma prawa sponiewierać małżonka w oczach żony, żonę w oczach męża? Każdy swobodniejszy od nich, każdy się biednej kobiecie wyższém czémś od jej współtowarzysza wydaje; a za krok na drodze występku wszakże placą względami, ulgą w pracy, pieniędzmi; wszakże jest zachętą do występku, pobbazanie dlań, a razy, a przesładowanie, a przemoc nawet, dla cnoty upornej.... Nie śmieję się z zepsucia w niższych klassach, wy je sami robicie, rzucając ziarno, z którego wyrasta: wy je sami podsycać.“

Wprawdzie tu nie przedstawia jeszcze autor w postępowym procesie psychologicznym tego przejścia od ciemnoty i naiwności do wyrachowanego zepsucia, w jakie często popada natura włościańska, ale, łącznie z całą prasą współczesną, wytyka powody, leżące we wpływach gorszących przemocy, na nią zwałając całą odpowiedzialność.—„Dziwicie się naszemu wieśniakowi,—powiada,—że czasem zepsuty, popelni występki; dziwujecie się raczej jego cnocie. Maż on oświecenie, maż czas zastanowienia się nad sobą, maż obmyślany chleb na jutro? Ciężka, ciężka jego dola. A kto jej ulżyć się nie stara, ten wiele winien przed Bogiem i przed ludźmi. Za zbrodnie wielu poddanych karzący panów potrzeba, i Bóg sprawiedliwy wymierzy każdemu według zasług jego.“

Kraszewski z późniejszej epoki, niechętnieby się podejmował tych kaznodziejstw, których tu w biegu akcji nie szczędzi; powiedzieliśmy też, że utwor ten pochodzi z czasów mniejszej dojrzałości kompozytorskiej a większej bezpośredniości wrażenia. I pomimo też wiotkości konstrukcyi, oddziaływał wrażeniem: cytowano go sobie często ustnie, zajmowano się nim piśmiennie; epizod ten był niejako tym gazem, który oświecił całą *Latarnię*, przez niego jedynie rzecz można znaną i polubioną. Bo był to rodzaj proklamacyi wydaney przez młodego i sympatycznego pisarza, za wkroczeniem w granice nowej krainy, którą miał eksplorować. Dziwiono się, przyklaskiwano,—a z tém wszystkiem był to groch na ścianę, którego nie byłoby co zbierać dzisiaj, gdy ściana się

przewalila; ale obowiązek historyka podejmuje skrzętnie ten przyczynek do dziejów kamienicy Kukrowieckiej, przedstawiający, jak daleko zaistnieć może zaślepienie przemocy, pozbawionej uczucia ludzkości i podstaw etycznych.

Zywioły nagromadzone w tym utworze rozchodzą się i dalej, powtarzają; — zmienia się forma, ale treść tendencji, podbudzająca klasę wyższą do opamiętania się i reformy, pozostaje tą samą. Kraszewski ma przez dwadzieścia lat odwoływać się do sumienia narodu, wykazywać wartość podobnego dzieła, przekonywać mocą talentu, że materiał ludowy godnym jest takiej ofiary z egoizmu. I po latach dwudziestu ma znowu wydać manifest ostatni, kreślący zawód swój, rozczarowanie, — potępienie.

Z faktem tym pisarskim łączy się fakt obywatelski Kraszewskiego, który, jak wiadomo, po rok 1860, będąc posiadaczem ziemskim i mieszkając na Wołyniu, używał wszelkich prerogatyw stanu. Pomiędzy rokiem 1856 a 1861 była chwila głębszej refleksji w kraju, refleksji, która wprawdzie nie powinna była dać się sprowadzić na bezdroża, ale która niezaprzeczenie miała i swoje momenta poważne. Do takich należał wzgląd ekonomiczny, wychodzący z lena Towarzystwa Rolniczego, implikujący zarazem i urządzenie stosunków włościańskich. Otóż w chwili najgorętszych na Wołyniu rozpraw w kwestyi wyzwolenia i uwłaszczenia, Kraszewski rzuca *Historję kolka w płocie* (rok druku 1860), a jednocześnie jako obywatel ziemski przemawia za tem na zebraniu statystów... Głos jego, o! czigodny egoizmie! takie rozniecił oburzenie w gronie obradujących, że czasu wyborów, z pomiędzy trzystu głosujących, miał Kraszewski za sobą dwóch tylko, to jest zięcia swego Łozińskiego i Dunina. Nauka poszła w las, a fakta poszły drogą Nemezy. Kraszewski silnie zaprotestował w „Gazecie Warszawskiej“ przeciw obywatelstwu Wołyńskiemu, i porzucił towarzystwo, z którym go tak głęboka rozdzieliła przepaść, by myśl swą snuć dalej na tle publicystyki, jako redaktor „Gazety Codzienniej.“

Jak dalece próżnemi były jego usiłowania literackie, podejmowane przez lat dwadzieścia w kwestyi włościan, widać i ztąd, że pierwiastki bolesne, wypełniające epizod *Sawki*, przenoszą się i do *Historji kolka w płocie*, koniec wiąże się z początkiem témiz samými ogniwami, i dwa te obrazy stanowią symetryczną odpowiedniość: różni ich tylko ogromna w ostatnim przewaga siły artystycznej tak iż ten łączy w sobie zara-

zem zalety broszury socjalnej i malowidła estetycznego stopione w jedność, nad którą nadto wdziczy się allegorya.

Wśród ruin zniszczonego lasu, wyrasta gdzieś z korzenia starego dębu, młody dąbeczak zaniedbany, naturą silną walczy o byt z chwastami i innemi drzewy, chcącemi go zagłuszyć i zniszczyć; już znaczny ponad inne, wystrzeliwa coraz śmielej koronę i szepeze coś miłośnic z sąsiednią sośninką: zostaw mu tylko swobodę wzrostu, a stanie się królem, podziwem gaju. Ale nie! Kiedy dąbeczak ukazał zaledwie swe atletyczne kształty, ludziom właśnie nieopodal zawałił się płot i trzeba go było naprawić, ku czemu wiele przydać się mogły młode łodygi, wyrastające na bezużytecznym zrębie. I tak dąbeczak ów, uznany za wiele dogodny, padł pod siekierą, i z domniemanego króla gaju, poszedł gnić, jako kolek w płocie.

I Sachar z chaty Semenowej, rówieśnik owego dąbeczaka, posiadał podobne jemu przymioty i siłę.... jako urodzony artysta. Historia jego jest analogią historyi kolka w płocie, napisaną nie, jak dzieje Sawki, w tonie lamentu i deprecyacji, ale tak sobie z fantazyą, która łzę pokrywa śmiechem, boleść żartem, i już nie łaje ani strofuje, tylko nie wymieniając nikogo po imieniu, uderzaniby omackiem, w ciemności, na oślep, ale zawsze jakoś trafi w pierś, w którą wymierzyła, pociskiem wyrzutu, zaostrzonym dowcipem. Cały rozdział czwarty wysnuwający genealogią chłopstwa, stanowi próbkę takiego dowcipu, urągającego płaskim krótkowidzom, którzy nadużył swych chcieli maskować różnicą rasy, tak jak równocześnie obywatele Stanów Zjednoczonych głosili nieczłowiecze pochodzenie murzyna. Tu równie, jak w rozdziale siódmym i ósmym, a wreszcie i w rozmaitych ustępach książki, dowcip Kraszewskiego dochodzi niejednokrotnie do werwy pamfletu: już autor znużył się daremnym przez lat dwadzieścia zachęcaniem, przedstawieniem poważnym, teraz drwi, ale czuć, że przy tych drwinach serce mu marznie i pęka.

Otóż ten Sachar, ten przyszły kolek w płocie, był synem Charytona, który przyszedł do niego tym sposobem, że się ożenił z Wasyliśką, młodą służącą na folwarku. I cóż dobrego zrobił? To prawie, że się powtarza historia Sawki z Naścią. Próżno mu ojciec Semen odradzał; ale co robił Wieśniacy, — powiada autor, — także tej nieszczęśliwej chorobie podlegają, która się u nas miłością zowie, a rzadko i z nich który wyjdzie cało: naznacza ona, jak przeżyła ośpa, na całe życie. Wasyliśka, jako

dwórka, w cienkich chodźła koszulach i śliczne pieśni śpiewała, a śliczną była, że aż nasuwało się pytanie, z kąd w tym rodzaje Chama biorą się tak ładne twarze, żywe oczy, zgrabne kibicie, a zwłaszcza ręce i nóżki? Jako żona też, młodyca ta, nawykła do innego trybu życia na folwarku, w chacie po tygodniu posmutniała. Raz wraz przychodzili nieproszeni goście, na których pies domowy ujadł; młodycy stroić się chciało choćby na pole, w niedzielę tęskniła do tańca i skrzypek, a w domu jakoś z robotą nie szło, i musieli ją zastępować, bo ją białe rączki bolały. Choć to ze dworu dziewczyny różnie wychodzą, nie była to przecież kobieta zła, tylko zanadto chwyciła próżniaczę naturę dzieci Jafetowych, zanadto zasmakowała w atmosferze ich świata, i w nowym środkowisku czuła się niby okradzioną. Tego było dosyć, ażeby zatruci życie rodziny, niemającej czasu na to, aby folgować marzeniom.

Najpierwszém dzieckiem jój był Sachar, nie do ojca podobny, ale za to istny obraz matki, fizycznie i moralnie. Piękny, zdrowy i silny, przyniósł z sobą w duszy coś Jafetowego: smutek macierzyński, pragnienie rozrywki, marzenie i upodobanie w swobodnym spoczynku, słowem zupełny kontrast z tém, do czego przeznaczało go urodzenie.

Ściele mu się też istne życie Prometeusza przybitego do skały, Pegaza ujarzmionego przy pługu: odwieczna bajka, która nie przestanie być wiekuistą prawdą. Niepotrzeba było wprowadzić być na to chłopem wołyńskim, ażeby padać ofiarą skłonności, zgwałconych przymusem; i w klassach, zupełnie swobodnie rozrządzających ruchami własnego ciała, zdarzają się bardzo często takie fatalizmy: ale tu przynajmniej próbować można, i nieraz dziecko nekane przez rodziców roztropnych za folgowanie jakimś zachceniom powyżej stanu, urwie się, by wbrew nawet okolicznościom nieprzyjawnym powstać autorem „Zbójców“ lub „Ostatnim Minstrelem“. Inaczej wszelako tam być musi, gdzie granica ruchów jest ściśniętą do minimum.

Sachar wybujał krzepki i barczysty, jak ów dąbek w lesie, ale i jak ów dąbek czuł się przysłany do ziemi, wówczas gdy chciało mu się dosłuchiwać szmeru dalekich gromad ludzi. Matka śpiewem, las szumem, łąki wonią, wody szmerem tęsknym wychowały go na marzyciela i świeciło mu coś w głowie, snulo się w myślach niewyraźnie, chciałby to sobie rozjaśnić, rozświetlić, ale tu zewsząd były nań ciemności otoczenia; dawało mu się, że niepowinien zostać przy

roli, chacie i tém życiu, zewsząd zamkniętém nadziei wszelkiej, wybiedz na przestwory szersze, a wszędzie znajdował zapory i przymus.

Nie było z niego pociechy w chacie: artysta gnębil w nim chłopca. Zyskał też miano niezdary (netiamet); ale że dobrym był do rady, do tańca, że zadziwiał wszystkich sprytem, uczynnością w potrzebie, że śpiewał, czego się nigdy nie uczył, folgowali mu wszyscy i lubili go, niby jakiegoś nieszkodliwego cudaka, paniątko w skórę chłopską zaszyte. Wiodło mu się też doskonale i wesoło. Ale to taka bieda z człowiekiem, a nawet z chłopem, że kiedy mu się wiedzie, to nigdy nie ma dosyć: chce się więcej, bogdaj gwiazdki z nieba, do której nie dojść, chyba przez otwór w ziemi. I Sacharowi też chciało się zawsze nie tego, co było, ale co być nie mogło. Czekał jutra nie śpiąc, a po wczorajszym dniu płakał. I tak to wyrosł on na podziw ludziom, na utrapienie sobie.

Bo z domem i gromadą, to jeszcze półbiedy: swój, więc wyrozumiały, o ile chańskie plemie rozumować może. Ale Sachar był oprócz tego jedną ze sztuk dworskiego inwentarza, a tu uważano nieraz, że gdy ekonom dawał mu nauki moralne, to chłopiec ziewał i spoglądał na ptaki uwijające się w powietrzu. A lubo dwór nie był co do kropki podobny do tego, który opiekował się takim „Sawką“, ale niewiele go to wzruszało, że ma w swojej wsi chłopaka, który ucieka gdzieś w zarośla ustronne ze skrzypką, i nieneczony, gra do zasluchania, tak że aż panienki idące ze dworu rade nadstawiają ucha. Mułej estetycznie wrażliwy ekonom, podczas poboru rekruta zauważył, że lepiej oddać do wojska taką naturę awanturniczą, w gospodarstwie nieprzydatną, a zaoszczędzić zdolniejszego: rozumowanie bardzo logiczne, którego jednak nie podzielała matka, i syna wyprawiła w świat.

Uchodząc z tęsknotą w duszy za swojemi, ze skrzypką i bochenkiem chleba, młody Sachar spotkał na gościńcu starszego brata po duchu, grajka, który utalentowany, ale nie forytowany, jechał na jednokonną biedeczkę szukać szczęścia w stolicy. Poznali się, zbliżyli, pokochali, i razem udali w podróż. Pod kierunkiem nowego przyjaciela, wznowiła się technika gry Sachara, ale duch lotów pozostał; i gdy z czasem dorwał się skrzypki, jechał na nią takimi pieśniami, jakich w murowanym świecie słycać nie było, i lubiono Sachara więcej za te dziwne śpiewy, niż za jego uczoną muzykę. Nie wpłynęło jednak to pomyślnie na położenie

oln muzyków, starszy umarł wkrótce z wycieńczenia, a Sachar z tęsknoty powrócił do swoich.

Radość połączona ze strachem towarzyszyła powrotowi jego w rodzinie, ale ta muzyka dziwna zjednała mu nie tylko przebaczenie we dworze, lecz pewną nawet względną życzliwość. Powiadamy, względną, ale powinniśmy powiedzieć, wysoką; bo dwór, podziwiając niezwykle zjawisko w tym młodym, bladym i długowłosym włóczędze, już go nie zdegradował do pluga, ale zatrzymał go przy sobie, na zaszczytnym stanowisku... lokaja. I nie sądźmy, ażeby względność ta nie braną była na serio. Słyszeliśmy na własne uszy, jak jeden dziedzic, biorąc chłopaka ze wsi na posługi pod rozkazy kredencera, oświadczał z całą świadomością wyświadczonego dobrodziejstwa, że chłopak tym sposobem wyjdzie z czasem na człowieka.

Tak dąbeczak rówieśnik schylić musiał czoło liściom szepejące z wiatrami, by w gronie osieczyny stary plot podeprzeć. Tak Sachar staął wpośród gawiedzi liberyą okrytą, dzięki swemu talentowi, by po wyczyszczeniu butów i zamieceniu pokoju czasem państwu sprawić muzyczną rozrywkę. — „Dziwna rzecz, — mówił o nim sam pan dziedzic, rozumiejący, że najprzystojniejszym stanowiskiem dla ucziwego szlachcica jest mazurki żony, — dziwna rzecz: gra ci mazura i ochoczo, od ucha, a lichy wie jak brzęczy w nim coś, niby skarga i krzyk straszny, ... mnie po jego granie zawsze jakbym z pogrzebu wrócił; i uważam, że Dosia chodzi smutno, Adelaidzia także, nawet chłopcy pomywacze nosy spuszczaają... osobliwszy człowiek i gra jakaś dziwna.“ — „Żeby tak na mnie, — szeptał znowu Matyasz przywódzca służby, chłop już wyjafcony, — jabym go puścił w świat, bo to gotowo jakiejś biedy we dworze narobić.... Nieprzytomny chodzi, nie rozumie, co się do niego gada, nie boi się nikogo, łaj go, ani drgnie, bij, ani się ruszy, a w dodatku pocichu płacze... i wszystkie dziewczęta chodzą za nim, jak za malowanym obrazkiem. Naco we dworze taki sługa! Uczciwy, to prawda; ale co mi z tego, że on z dobrej woli ucziwy, kiedy ja kijem z każdego zrobię wzór cnoty i posłuszeństwa.“

Takich renegatów chłopskiej doli, którym dwór tylko swoje wady zaszczeplił, wyniszczając zalety naiwności i prostoty, często przedstawia Kraszewski jako pomiot, i jedną z najsmutniejszych ofiar stosunku niewolnika do pana. Człowiek taki, z istoty dzięk, posiadającej przynajmniej otwartość

natury wolnej a uszlachetnionej piętnem niewoli przymusowej, człowiek taki, we dworze nawykając do służenia na łapkach i zbierając korzyści dobrowolnego zaprzeczenia, wyradza się powoli i przyjmuje naturę psa domowego, który łasi się do fraka, a zjadł szczerka na łachmany i z tyłu zachodzi, aby ukąsić.

Alie Sachar tak był już życiem złamany, tak wygięty, że z obojętnością prawie przyjął to upokorzenie swoje, którego doniosłość wduszy, oddanej skłonnościom wyższym, rozumiał, a którem opłacić musiał szczęście przebywania wśród swoich. Szczęście to miała naprawdę urzeczywistnić miłość: ale i tu wdanie się dworu tylko fatalny dalał jej obrot. Sachar pokochał Natalkę, sierotę ze wsi, podjętą przez siostrę dziedzica, i wychowaną na stopie pół sługi, pół rezydentki, a już to dla wdzięków, już dla wcale przyzwoitego ułożenia, poszukiwanej przez wielu wielbicieli surdutowych. Była ona Sacharowi wzajemną, ale związek ten wszystkim wydał się potwornym, zwłaszcza samej dziewczęce, która, pragnąc lepszego dla dziewczyny losu, pót ją odciągała, aż ta zdradziła słowo dane włóczędze i przyrzekła rękę innemu, po myśli pani. Dowiedziawszy się o tej zdradzie z ust samej kochanki, Sachar odstąpił krok, popatrzył długo, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zadrgały, i nie mówiąc ani słowa, odszedł powoli.... Zaśpiewał i zagrał wesoło, i odtąd wesołość do końca życia nie odstąpiła.... waryata. Darcie Natalka, chwilowo tylko obalamucona czułą opieką dziedziczki, zwróciła doń całe serce: już on jej nie poznawał, tylko wciąż na skrzydce, jedyną wierną przyjaciółkę, stan duszy swojej wygrywał. Nieszczęście jego pociągnęło za sobą i Natalkę, która chorobą a następnie złamaniem życia przypłaciła chwilową niewiarę. A dwór dziwił się tylko, zkąd tyle uczucia bierze się u istot wcale do tego nie powołanych, i żałował ich obojga, tak jak żałuje się niemego stworzenia, jęczącego pod plotem.

Żalujemy, że z natury niniejszej publikacji zobowiązani do możliwych streszczeń, musimy odmówić sobie obszerniejszej analizy tego utworu, któraby pociągnęła za sobą wykazanie artystycznych szczegółów, jakimi on się odznacza, zwłaszcza co do samej charakterystyki tego chłopca — artysty, rozrywanego mocami wprost sobie przeciwnymi. Ze społecznego punktu przejrzystym on jest dostatecznie, i jasno wypowiada myśl, ile to przez wieki zmarniało istot wyższych, nie mogących wydobyć się ze stanu niewoli do swobód stanu średniego,

już to przez surowość instytucji, już też przez obojętność klasy, nie umiejącej lub nie chcącej ocenić pożytku ogólnego, jakiby powstał z takiego podniesienia poziomu mass. Pomimo radykalnych zmian, czyniących niepodobnym powrót takiego stanu rzeczy, nie sądzimy, ażeby tendencyjność takiego utworu, jaką była w r. 1858, dziś zupełnie utraciła znaczenie. Stosunki się zmieniły, ale cel pozostał ten sam.

Pomiędzy dwa takie utwory, jak „Sawka“ i „Kolek w płocie“ ujęta działalność na polu ludowém Kraszewskiego, dobija się uznania w etyce narodu, dając do domysłu dewizę: „ab uno disce omnes.“ Ale nie byłaby ona wierném odbiciem obrazu historycznego wnętrz narodowych, gdyby, co do cech głównych, nie środował między niemi utwor trzeci, uzupełniający niejako to, co w tym przedmiocie było do zaznaczenia. Stan zależności, jakkolwiek niemiliym jest, nieprawym i nienaturalnym, może mieć wszelako pewne korzyści, dopóki władza nie staje się przemocą, ale przeciwnie, nakładając na umysł oświecony pewne obowiązki, dba o ich wykonanie. Jakiegokolwiek reformy liberalne wprowadzilibyśmy w stosunki społeczne, nie sprawimy tego, ażeby dzieci nie były zależne od rodziców, slugi od panów, robotnicy od pracodawców, słowem, ażeby możniejsi, rozumniejsi i bogatsi, nie przewodzili nad uboższymi w duchu i znaczeniu. Równość więc niezależność zawsze będzie raczej prawem ideałem społecznym, niżeli rzeczywistością, widzimy to w społeczeństwach najpiękniej nawet, jak na dzisiejsze czasy, urządzonych. Zależność zatem, wcale nie pożądana, bo wiadcząca o małości mas, przyjęta wszakże, jako fakt dopuszczalny a w pewnych warunkach konieczny, kierowana wyższymi zasadami moralnemi, wytworzyć może pewien stan tak zwany patryarchalny, ozwijający obustronnie uczucia miłości, — stan, którego niejednokrotnie widzieliśmy w dziejach obrazy tchnące bogością i pozycją. Stan z przed roku 1861, jeżeli nieaktownym był do zmienienia, mógł wszelako wytwarzać podobne obrazy, pod warunkiem tych zasad moralnych, o których mówimy, — wytwarzał je tam, gdzie podobne zasady miały, a Kraszewski przykład podobnego stosunku przedstawia w *Ludowej Pieczarze*, tworze środkującym w porządku chronologicznym pomiędzy wstępem i zakończeniem jego obrazów ludowych (rok 1852). — miał to być zapewne z jego strony inny rodzaj pobudki reformistycznej: apologia przeciwstawiona krytyce.

Ażeby nas nie posądzono, że szeregując pojedyncze utwory mistrza, przypisujemy mu zamiary i konsekwentności, które mogły być czystym przypadkiem, powołujemy się na jego własne słowa wyjęte z przypisku wstępnego do tegoż utworu w edycji powtórnej lwowsko-warszawskiej: — „I to też historia przeszłości, — powiada, — stosunków patryarchalnych, po których dziś zostało tylko wspomnienie... Sto lat nas od tego świata dworu i wioski, gromady i pana przdziela... Z pewnych względów moje opowiadanie to, jak *Historia kolka w płocie*, nazwać się może materialem do dziejów przeszłych społeczeństwa naszego.“

Sam więc autor upatruje pewną łączność między temi utworami, do których my nadto zaliczamy i „Sawkę.“ A choćby nawet tendencyjności nie towarzyszył tak jasno sformułowany zamiar a priori, niemniej widocznie skleiła się ona a posteriori, iżbyśmy nie mogli jęj dostrzedz.

Ważną wskazówką z tego przypisku jest to, że autor nie napotkał nigdzie tego stanu za swego życia, ale materyał do swego opowiadania o „Ładowej Pieczarze“, natchnionę oglądaniem tajemniczych podzamkowych przejść w Chocimiu, na Wołyniu, zdobył w rozmowach po drodze, których powieść jest stuletniem już echem, a więc tradycją. Podaje ją zatem autor, jako pewien wzór i postulat chwili społecznej tworzeniu opowieści.

Jużeśmy wyżej przypadkowo napomknęli, że wieś będąca teatrem tej opowieści (Stare) przechowała szczątki urządzeń pierwotnej gminy sławiańskiej, i była też to wieś, w której lud z panem starą jeszcze sławiańską jedność stanowił, trwając z pokolenia w pokolenie w miłości i zgodzie. Dwór stał na czele wioski: był jęj rządem i sędzią, ale zarazem opiekunem, śpichlerzem, podskarbin, obrońcą, przedstawicielem. Jakoby naodwrot temu, cośmy widzieli w streszczonych poprzednio dwóch powieściach, przez usta wprowadzonego tu wieśniaka, ukształconego a jednak zostającego w nieprzerwanym związku z gromadą, autor powiada: — „Szlachcic kierował mniej więcej rozległą gminą ludu, której był raczej ojcem z ducha, niż panem z materji; w miarę wielkości swych obowiązków usposabiał się całém życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonoj mu gromadki, puszczał z nięj w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiając przy roli takich, co tę pracę kochali, a do innęj nie mieli serca lub zdadności; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał.“

Ze pod względem istnienia kiedyś takiego lub podobnego stanu, autor ma za sobą prawdę historyczną, nie ulega wątpliwości;— dowodem, mnóstwo uszlachconego przez starszyznę chłopstwa, z którego później powstała tak licznie reprezentowana u nas szlachta zagonowa, dowodem poeci (Janicki) i wiele szlachty duchownej wyszłej z szeregów gmin. Dalecy wszelako jesteśmy od podzielenia zdania autora (str. 88), że, „społeczność owa była czémś idealnie doskonałym;“ i nie powiedzielibyśmy razem z nim (str. 89): — „niech sobie nowi mistrze nauki społecznej szukają lepszego wzoru społeczności nad ową sławiańską, ja go nigdzie nie widzę.“— Stan taki mógł być dobrym chwilowo; że się jednak opierał na łasce i dyskretyi obyczajowej, nie zaś na prawie, więc nie był zgodnym z pojęciem natury społeczno-ludzkiej, i przeto utrzymać się nie mógł. Optymizm Hrycia Soroki, owego ukształconego chłopca, któremu autor powierza swą rolę, zachodzi za daleko, kiedy na zarzut interlokutora, wyrażający się słowami, — „zależność i poddaństwo!“ odpowiada: — „Są to czeze słowa: z takimi jak nasi, panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece; zresztą czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?“ (str. 101).

Prawda: ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ.... i dosyć było zepsuć się szlachcie, z jakich bądź powodów, ażeby z tego raju patryarchalnego uczynić piekło przemocy, które tak malowniczo sam autor opisuje i na którym opis swój w ostatniej powieści zamyka. Jakich to zatem potrzeba ludzi, ażeby stan bezprawia uczynić stanem błogości i wytrwać! To nad siły natury ludzkiej, ulomnej i kruchej. Wreszcie nie mamy co dalej polemizować z autorem w sprawie, która w tej formie nigdy już nie wróci; tembardziej, że on raczej bronił tu przeszłości naszej od zarzutów okrucieństwa, sypanych zbyt hojną ręką przez ludzi mnięjących historią, a w tej właśnie przeszłości wskazywać chciał wzory postępowania w okolicznościach podobnych a złych, i których zmienić z gruntu nie było można.

Nie sądzę, ażebyśmy potrzebowali przytaczać tu szczegóły tego życia dobrej i kochającej się rodziny, jaką tworzy dwór wspólnie z gromadą w Starém. Artyzm powieści nie wybija się tu w sposób szczególniej odznaczający, lubo akcja dostatecznie realizuje to, co w pewnych ustępach książki, za długich może, jak na utwor belletrystyczny, stanowi niejako dogmatykę życia patryarchalnego gminy. Dość jeżeli powiemy,

że solidarność obustronna, w dobrej i złej doli, wspólność interesów, gotowość do obrońy i poświęceń, stanowi treść budującą, a w doświadczeniu dziejowym, nawet i z czasów bliższych, nie bezprzykładną.

III.

A teraz, ułatwiwszy się choć pokrótce ze stanowiskiem społecznym autora w kwestyi ludowej, reprezentowanem głównie w tych trzech utworach, zwrócimy uwagę na jego zadanie psychiczne, uplątane w tę sieć stosunków, oraz na tło artystyczne, na którym cała ta gra, z natury kompozycyji, odbywać się musi. Autor, jak to i sam wyznał, unika fotografii, któraby z niewolniczą wiernością aparatu odciskała całą powszedniość życia i duszy wieśniaczej; zadaniem więc jego będzie rozgarniać tę powszedniość i pod jej grubemi osłonami doszukiwać się w głębi ideału, niewidzialnego dla oczu pospolitych, pod warunkiem, ażeby ideał ten był odbiciem prawdy, nie zaś jej surrogatem lub złudzeniem psychicznym— tak iżby to byli wieśniacy polescy czy wołyńscy, a nie wieśniacy Kraszewskiego.

Nie mamy się czego obawiać. Zdolny to reżyser: jeżeli kiedy w cyklu ludowym słyszymy głos jego, jako autora, to tylko w prologu, przed odsłonięciem kurtyny, albo z za kulis, na scenie sam nie występuje nigdy. Chodzi za chłopem wszędzie: do chaty, przeglądając wszystkie jej zakątki, studyjac nawet jej architekturę, sprzęty domowe; i wszystkie prawie jego powieści, lubo pochodzące z tych samych albo sąsiednich jedna drugiej okolic, mają swą osobną dla się topografią, osobny krajobraz, osobne domowisko, — wskazówka, że autor w twórczości swej ulegał żywym podbudzeniom, czerpanym bezpośrednio od przedmiotów natury, a w całym otoczeniu człowieka widział część kalkującą jego samego. I tak też, ponieważ natura i otoczenie nie były dlań rzeczą abstrakcyi, którą umysł podług siebie modeluje, ale wzorem konkretnym i żywym, przeto z każdego opisu powstało malowidło żyjące, pejzaż, mający samodzielną wartość sam przez się i w sobie; i wszystkie te opisy, przeniesione na płótno, utworzyłyby śliczną galerią drobnych lanszafatów polesko-wołyńskich, którymby ani słońca, ani powietrza, ani barw, ani różnaitości, pomimo wspólności tła nie brakowało. Kraszewski ma tak żywe poczucie natury, że ilekroć dotknie się jej w powieści, wszędzie ciągnie za sobą atmosferę, a tak nią

oddziaływa na współczującego czytelnika, że kiedy opis zmierza ku końcowi, radbyś znów do początku powrócić. W opisach swych trzyma się on przedmiotowości tak pilnie, że nie zaniedba najmniejszej zmiany, czy to w samém tle krajobrazu, czy w jego szczegółach, ilekroć zachodzi zmiana warunków.

Zmiany to niewielkie, dostateczne jednak do urozmaicenia malowniczości tła. Krajobraz ziemi naszój, w owym zwłaszcza zakątku, nie przedstawia wydatnych różnic geologicznych: jedna płaszczyna aż po samo Podole; każda wszelako przypadłość gruntu odkrywa jakby nową kartkę w albumie. Wieś na szczytém polu, a wieś nad brzegiem jakiejś rzeczulki, albo w pośród lasu położona, dostarcza innego materiału malarskiego, z którego nie zaniedbuje korzystać autor. Tak też czyni i z każdą chatą, tym nieodzownym prawie pierwiastkiem pejzażowym. Wszystkie one do siebie niby to podobne, dla widza pospolitego obojętne a nawet wstrętne, ale oko artysty odkrywa znamiona cenne dla sztuki, oprócz tego uroku ogólnego, jaki ten skromny dodatek sztuczny, rzeczonny niby strój na piersi natury, sprawia w widzu obdarzonym poczuciem estetycznym. Chata wreszece cechuje miejscowość, stanowi pewien komentarz, objaśniający zamieszkałych w niej ludzi.— Powszechnie w miejscowościach tych (1) jest ona niska, nieszczelnie pokryta czarńmi od dymu dranicami zaledwie przymocowanemi do krokwi, pod okapem wystającym widać niewygodną przyzbę, składającą się częstokroć z kłody odartej z kory; przy niej niskie drzwi od dziedzińca, zniżone jeszcze wysokim progiem, strzegącym się przed zalewem blisko stojącej kałuży; małe okienka, złożone z okrągłych szyb zielonych, podobnych do dna butelek, rzadko z szybek pospolitych, kupionych z oknem gotowém na jarmarku. Nad okopconém dachem słomianym, wysokim, wznosi się czarny dymnik drewniany, w kształcie trąby lub słupa czworobocznego, który jednak nie odprowadza dymu tyle, iżby go nie było pełno w izbie, zwłaszcza zimową porą. Wehodziłszy tam często w tój porze, i trzeba było się zgiąć we dwoje, ażeby w niższej przynajmniej warstwie powietrza coś można zobaczyć, bo w wyższej ciemno zawsze jak w nocy, od dymu, który oczy wygrzyzał a tamował oddech. W takiej to jednak atmosferze dymu, pary, swędów rozmaitych, żyje zwyczajnie Poleszuk. Ta malowniczość pejzażowa ciężko się okupuje zdrowiem.

A jednak taka chata poleska, to jeszcze

budynek *comfortable* w porównaniu z chatą podolską. Tam przynajmniej są lasy duże, a więc i drzewa dostatek; tu nie z tego; chata w bezlesiu buduje się, Bóg wie jak i z czego. Inna też, a osobliwa, więcej jeszcze pejzażowa jój fizyognomia (5). Kilka zaledwie ją słupów dębowych lub osikowych podpira po bokach; beleczki, którychby poleszuk nie wziął na krokwie, osikowe lub brzoźowe, chude, krzywe, służą za podstawę dachu; o krokwiach niema co i mówić, są to tylko patyki odarte z kory, zawieszzone nieforemnie a tak dalekie od linii prostych, że dach cały, gdy słoma się złoży, wygląda jak tło do pagórków i dolin. Ściany, zawsze wprowadzicie bielone, co czyni chaty te więcej malowniczymi, ale powstają z polan drzewa najrozmaitszego, i nie troszczą się o żadną foremność; krzywe prosto ułożyć się nie da, więc w górze się wydmie, a dołu wkleśnie, i tak trzyma się to na lasce wiatrów i śniegów, dopóki jest czym podpierać. Taką to już różnicę w siedzibach ludzkich zaprowadza grunt, nie obfitujący w drzewo.

Nie są bez wpływu na te zmiany i same położenia a obyczaje ludzkie. W owej wsi wołyńskiej, gdzie wieki posiadania zadzierzgnęły silny węzeł serdeczny pomiędzy rodziną panów a włościanami, chata, nie tracąc swego charakteru lokalnego, odznacza się większą starannością konstrukcyi i względny wykwintem. Jój okap opiera się na czterech słupach rzeźbionych, kształtu indziej niebywałego, z przepaskami pośrodku, z czołkiem dziwacznie wyrzynanem (kapitel) i wysoką podstawą; nawet końce belek, uszaki okien i inne części składowe, odznaczają się rzeźbą; to ślad jakiejś starożytnej domorodnej sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który tu się razem z obyczajem przechował; co popierać się zdają trzy kamienie przed chatą, przeznaczone do siedzenia dla jakiejś starszyny, a widocznie ręką ludzką obrabiane (6). Wszystkie to przedstawia jedną z cech odrębności wsi, która dziwnym sposobem przeżyła czasy zmian i jeszcze oddycha ostatnim tchem starosławiańszczyzny.— Coś znowu innego zobaczymy, gdy nas autor zaprowadzi pod domowisko tych najemników pół osiadłych, pół koczujących, którzy trudnią się węglarstwem i smolarstwem: ludzie różni, ale dla braku gruntu stałego nieraz ubożsi od poddanych. Chata ich też więcej jeszcze zaniedbana, i sklecona jakby bez myśli o jutrze, (bo w miarę wyzysku materiału drzewnego trzeba posuwać się dalej), przedstawia więcej charakter budyń, niżeli domu; wnętrze odpowiada powierzchowności. Ale wpośród gratów nędznych zo-

baczysz tam trzy rzeczy charakterystyczne: strzelbę, bo każdy taki smolarz żyjący wśród puszczy, jest zarazem myśliwym i, rozumie się, skrytółcem; starą szablę, bo to szlachcie schłopiały; i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który przypomina jego pochodzenie Mazurskie (7).

Gdyby, słowem, iść za śladami autora, można by razem z nim odbyć studium architektoniczne z zakresu ludowego, zbliżka łączące się z charakterem i obyczajem mieszkańców; ale to dopiero jeden szczegół. Ażebym wieśniaka obserwować tylko z oddali, nim się do wnętrza jego duszy dostaniesz, trzeba podejść nie tylko pod jego chatę, ale pójść za nim do karczmy, do kościoła i do dworu. Karczma, to miejsce uciechy codzienniej, niby resursa stanu średniego w mieście; kościół, to skarbnica nadziei przyszłego żywota; dwór, to władza i zwierzętność. Wszystkim tym trzem wkoło siebie ustawionym ogniskom, wieśniak musi dać z siebie coś, musi odpracować, odpłacić, część życia ofiarować: za opiekę pann, za nadzieję księdzu, za uciechę arendarzowi; a już to arendarz największy procent tej ofiary zabiera. Bo, lubo rzadko, znajdują się przecież wsie bez dworu; bez kościoła często, bez karczmy nigdy. Karczma, to forum publiczne, sąsiadujące zwykle z kościołem, i razem z nim uczestniczące we wszystkich najważniejszych epokach życia człowieka: kiedy się rodzi, żeni i umiera. Dodajmy do tego wszystkiego jarmark, niby doroczną w braku inną uroczystość narodową, dzień swobody, a będziemy mieli całe pole, na którym chłopą poszukiwać można. O szkole nie mówimy, bo w owe czasy szkoła w tych miejscowościach należała tylko do jakichś wybryków dworskich, do dziwactw, na które uśmiechali się lub krzywili sąsiedzi; — traciło to niebezpiecznym socjalizmem.

Na dalszym dystansie także to otoczenie, zbiorowe niejako, ukazuje autor: to dopiero dekoracja i scenarium. Z tych zbiorowości wyłaniają się jednostki, i te wchodzi już w zetknięcie bliższe: to przejście do właściwego dramatu życia. Jednostki te albo wychodzą wprost z ludu, albo z innych klas społecznych, by stać jako czynniki w jego życiu.

Z ludowych, najwalmniejszą figurą we wsi jest znachor, respective znachorka, a im gdzie większa panuje ciemnota i grubszy zabobon, tém znachorstwo większego używa zachowania i powodzenia. Zkąd się to bierze, Bóg wie; ale to pewna, że rady znachorskie, względnie do prostej i grubiej organizacji wieśniaczów, często bywają sku-

teczne, tak samo jak w wypadkach chorób ważniejszych zabijają. Nie przeszkadza to jednak ludziom mieć w nich największe zaufanie: pomyślnie skutki przypisują oni mądrości lekarki, zły wypadek dopuszczeniu Bożemu, i skutkiem takiej konplanacji, tonący zawsze brzytwy się chwytą. Nie bez tego, żeby z charakterem znachorki nie łączył się potroszę charakter czarownicy; więc też zaufanie z pola medycyny przenosi się i do innych sfer, tak że Czyżycha w epizodzie „Sawki” a Sołoducha w „Chacie za wsią,” spełniają jakieś funkcje opatrności gromadzkich we wszystkich razach trudnych i wątpliwych. — W „Ładowej Pieczarze,” gdzie ludność, pod sterem rozumnego a pieczołowitego zarządu, poważniej narzezy spogląda, już takich istot o umyśle nadprzyrodzonym nie poświęci, i wszelki charakternik żeby tam wyszedł na swoich interesach. Te dwie jedyne znachorki, jakie ukazują się w powieściach Kraszewskiego, oprócz pewnej dobrodusznój chytrności, okrywa jakaś barwa uczciwości i poświęcenia: nędzarki same, bo zwykle taka mądrość nadludzka nawiedza na wsi tylko proletaryat, graniczący z żebractwem, żyją wprawdzie z cudzej biedy, a każda rada, czy to w dolegliwości fizycznej, czy moralnej, okupuje się im jakim datkiem, ale też, gdzie potrzeba, okazują się one bezinteresownymi, i serca im nigdy nie brak dla swoich.

Inaczej rzecz się ma z proletaryatem, zostającym na służbie u dworu lub na folwarku. Tu przerywa się nie sympatyj między dziećmi jednej doliny, i ta nieufność, jaką chłop uczuwa względem zarządu, przenosi się w części na wszystko co w skład jego wchodzi, tak, iż współbraci, co się oddalili od ziemi a poszli na wysługi domowe, uważa on za apostatów. Tamta znów strona przywdziewając liberyą cywilizacyjną, i ocierając się zbliżka o potęgę wiejskie, doznaje głupiego zawrotu głowy i ma siebie za coś wyższego od istoty siemieżnej. Autor nasz tu i owdzie z trafnością biegłego psychologa wskazuje te przeobrażenia postaci ludowych, zatrzymane w jakimś poczwarnym stanie gąsienicy; ze smutkiem widzi w szeregu dworów podszczuwania przeciw swoim, donosicielstwo, i co najbrudniejsza, meklerstwo (8), a wszystko to praktykowane dla przypochlebiania się, w nadziei zysku. I to są podobno najnędzniejsze „kolki w płocie,” jakie dwór wycina wśród dzielek ludowych.

Z innoplemiennych, cyganie nie wchodzi jako stały żywioł sielski, a jeżeli autor poświęcił mu jedno z najpiękniejszych swych

natchnień, stało się to więcęć przypadkiem. Jest za to inny żywioł innoplemienny, nieodczepny od chłopca, jak szata Nessusa od kości: to żydzi. Jakąż to rogatą trzeba było mieć naturę, żeby mając tyle przeciwko sobie, wytrzymać jeszcze wpływ tej potwory nienasyconej, która, pod osłoną dworu, ekonoma i urzędu, dnem i nocą stojąc na straży chłopskiego dobytku, ciągnęła go ku sobie całym sprytem, podstępem, obchodząc zdalczą, naciskając zbliżką, używając wszelkich sposobów, na jakie tylko zdobyć się może sumienie brudne samo przez się a jeszcze rozgrzeszone przesądem wyznaniowym względem goima. Tolerowanie żyda na karczmie, jeślibyśmy pilnie rozważyli wszystkie tego skutki, należy do najcięższych grzechów, obciążających sumienie społeczne, i niema zdaje się ekwiwalu, któraby grzech ten tak prędko starła z czoła narodu. Tębardziej że, ażeby go uniknąć, nie chodziło bynajmniej o jakieś wielkie interesa, dotyczące rdzeni majątkowej, ale o różnicę kilkuset rubli więcęć lub mniej rocznie, jeżeli w karczmie gospodarować będzie żyd albo nie. Kiedy zaś przed trzydziestu kilku laty władza zabroniła żydom bezpośredniego szynkowania wódki po karczmach wiejskich, jeszcze właściciele starali się obchodzić prawo wszelkimi sposobami, i zawsze, pomimo zakazu, żyd z za szynkwasu wyglądał. I tym sposobem, ta karczma, w istocie rzeczy poważny zabytek dawnych gromadzkich budowli wiecowych, na narady i obrzędy publiczne przeznaczonych, formą nawet konstrukcji przypominająca gdzieniegdzie podaniowe ich kształty, i ztąd nawet zapewne ratuszem w miasteczkach podolskich nazywana, — karczma zamieniła się w jakieś ohydne pandemonium pijaństwa i zelżywości. Jedną z takich karczem i jednego z takich karczmarzy opisuje Kraszewski w scenie nabywania odeń skóry przez chłopca. Obrazek to istnie flandryjski, który pomimo kształtów *grotesque*, rozdziera serce, nasuwając wciąż na myśl to nieszczęsne zdanie: „ab uno disce omnes.“ A ten *unus* mniej więcęć tak wyglądał, że użyjemy własnych słów autora (9): „Szmul był człowiekiem niepierwszej młodości... Poważny ów, szpakowaty nieco potomek zracla, zdawał się na pierwsze wejście pięknym i szlachetnego oblicza... ale kłamał, jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknoscią swoją. Nie było bowiem pijawki ciętliwoskiej nad Popieleńskiego Szmula, a zyski coraz większe nie ostrzegwały go od maluczkich: obok tysięcy kładł wyszazane grosze miedziane, oblane potem wie-

śniaczem, a dumny swém położeniem i bogactwem, lud gorzej bydlę odprawiał, obchodząc się z nim bez litości. Doszło do tego, że wieśniacy pokrywom z interesami woleli się uciekać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać, co Szmula do większej jeszcze przeciw nim pobudzało zjadłości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali: uważał to za formalny bunt z ich strony.“ — I rzeczywiście, żyd na wsi nie poprzestaje na jednej karczmie: to tylko jego główna kwatery, posterunek, z którego całość najwygodniej obejmować może. Ztamtąd, w miarę wzrostu pajęczych szponów, rozciąga on sieć coraz dalej, na pacht, na staw, na las, na zboże, aż się czasami i dworowi dostanie, a zawsze drogą pożyczek lichwiarskich, których ofiarą chłop przedewszystkiem pada.

Nieraz pierwotnem zajęciem i początkiem fortuny, zamiast karczmy i pachtu, bywa kradzież koni. Okropną scenę, w której wydatniejsze cała niedola nędzarza, wobec zdradzieckości i przekupstwa, opisuje autor, kiedy żyd ścigany z końmi ukradzionymi, zrzęcznie podstawia je najzaśniejszemu człowiekowi z ludu, i ten wbrew najoczywistszej prawdzie, oskarżony o kradzież niespełnioną, dzięki powolności pana *pomocnika* dla interesów żydowskich, całe miesiące guje w więzieniu (10), a przez czas jego nieobecności wielkie i niepowrotne nieszczęście nderza nań w domu.

Gdyby autor chciał był wyczerpać stosunek żyda do chłopca, mógłby być w jakiej wiosce nadgranicznej potracić o przemysłnictwo, które pod naczelnem przywództwem żyda, zwykle dogodnie ukrytego, całym ciężarem demoralizacji i odpowiedzialności, nierzadko gardłowój, spada na chłopca, stając się, na równi z karczmą i innemi wyzyskami przemysłu wiejskiego, podstawą fortun izraelskich.

Niejakaś jednak niechęć plemienna kieruje ręką autora obrazów ludowych w kreśleniu tego złowrogo wpływu żydów na ustrój sielski. Znadto są to rzeczy znane, aby o prawdzie jego spostrzeżeń i opisów powątpiewać można: wszystko to są rysy chwytane w przejściu, z natury. I za również prawdziwy uważamy szczegół z pięknej strony przedstawiający plemię, kiedy bogaty kupiec berdyczowski, Hercyk (11), przychodzi ze znaczną a szlachetną i beziuteresowną ofiarą, przez wdzięczność lekarzowi za uratowanie mu syna. Najlepsza to odpowiedź dla tych, co by w oznaczaniu stosunku żydów do chrześcian chcieli przypię-

sywać autorowi jakąś stroną tendencyjność.

Rzecz szczególna, że autor prawie wcale nie zajmuje się stosunkiem chłopca z cerkwią, ślad zaledwie jakiś gdzieś zaznaczając: za to stosunek ze dworem i jego przyległościami najobszerniej zajmuje miejsce, co wreszcie jest bardzo naturalnem.

Jakim był ten stosunek w ogóle, staraliśmy się określić w poprzedniej części naszego studium, poświęconej stronie, że tak powiem, politycznej i ekonomicznej cyklu powieściowego. Dwór, w postaci pana, występuje tu zwykle ujemnie. Z ręką na sercu jednak oświadczyć możemy, że w tym kierunku nie mieści się żadna doktryna demokratyzująca, żadna tania trybunerya, ani gra na popularność, która wreszcie byłaby zgola fałszywie obliczoną, powstając przeciw większości czytających, w pośród których żył autor. Są to raczej spostrzeżenia i uwagi obywatela, rozumiejącego stan rzeczy i potrzeby kraju, poglądy myśliciela znającego życie i wartość jego objawów, pisarza niepodległego, który wszystkie te spostrzeżenia, uwagi i wrażenia, kojarząc w wyobraźni płodnej, wyciska następnie w utworze. I nie możemy lepiej określić jego stanowiska pomiędzy ludem i dworem, jak słowami, które wyraził w jednym ze wstępów później dopisanych, mówiąc (12): „Miał i zachował wiernie wielką miłość dla ludu i proletaryatu, której się nigdy nie zaprzec. Zwano go z tego powodu rozmaitemi imionami, które wolał nosić i znosić, niż wyrzec się tego, co mu się od lat dziecinnych jako prawda przedstawiało... Są ludzie, niestety, którzy nierzadko, że wieśniaka Pan Bóg stworzył z innymi prawami i przeznaczeniem, z inną prawie naturą i do różnych losów; nam się zdawało i zdaje zawsze, iż od przyjścia Chrystusowego na ziemię wszyscyśmy równi i równouprawnieni do światła, dobrobytu, cnoty i szczęścia, o ile go na ziemi się mieści. W Jeremie... i innych powieściach odmalowana jest i walka o byt najuboższej części społeczeństwa naszego, i walka o jej prawa, o uczucia ludzkie. Choćby legalnie rozstrzygniętą została ta sprawa ludu, nierychło społeczność sama się nią zajmie i do serca ją weźmie. Autor we wszystkich powieściach, w których idea ta wydłubić się mogła, starał się wskazać, jak pojmował zadanie i obowiązek tego stanu, który u nas zwał się szlachtą, a do dziś dnia został przodujący mieniem, oświatą i znaczeniem. Sądził, że na to Bóg wysadził jednych i dał im więcej, ażeby wspo-

magali, dźwigali, podnosili biedniejszych na siłach“.

Otóż i całe wyznanie wiary, cała doktryna. Jak są wykonywane zadania i obowiązki tego stanu, o którym wspomina autor w przytoczonym wstępie, wykazał on tylko w jednej „Ładowej pieczarze“; jak są zaniedbane i lekceważone, wykazywał we wszystkich innych. I ta też różność stosunku dworu do gromady służy zarazem do wykazania charakteru chłopca. Gromada szczęśliwa w trybie patryarchalnym, ze smutkiem spogląda, iż ostatni z kolei dziedzie, już zachodzący w wiek dojrzały, nie żeni się. Dochodzą przyczyny i domyślają się jej w tem, iż pan znajduje się w krytycznem położeniu finansowem. Ażeby więc nie utracić szczęścia tradycyjnego i nie przejść pod zarząd innego rodu, gdyby ten ostatni dziedzie zszedł bezpotomnie, zbierają znaczną sumę i w sposób rozrzewniancy zmuszają go do przyjęcia pożyczki. Po śmierci jego, sługa chłop, który cały wiek przeżył z nim razem, dostaje obłędu. A kiedy wdowie z małćmkiem jeszcze synkiem grozi niebezpieczeństwo, cała wieś w ruchu uzbraja się i z narażeniem życia pilnuje, by włos z głowy nie spadł drogim tym istotom (13). I były w danym razie tajemnice między dworem a gromadą, tajemnice znane wielom, ale prędzejby połamały się wszystkie tortury, nimby ktoś trzeci potrafił coś przez nie wycisnąć ze stron obu.

Prawość zatem, szczerość i skłonność do poświęceń, występują tu jako wrodzone i gruntowne przymioty charakteru ludu. Jako jedną też z cech jego głównych zamieścić tu musimy miłość dla rodzinnego kąta, wyrażającą się tęsknotą nie do pokonania w oddaleniu. I nie jest to czyży frazes, komunizm, którego autor często tu używa za czynnik stanowczy w postanowieniach ważnych. To cecha sprawdzona tysiącem faktów pozytywnych, stanowiąca nawet jedną z przyczyn szkodliwie oddziaływających na stan ekonomiczny naszego ludu, który woli pozabawić się zarobku w przemysle, niżeli dla zarobku opuszczać zagrodę. A miewaliśmy przykłady, że poddani, poza granice kraju wysyłani, bez żadnych bliższych związków familijnych w domu, zyskawszy nawet oprócz swobody, sposób utrzymania, wracali jednak do poddaństwa, ażeby wrócić do ukochanych stron rodzinnych z tęsknoty za niemi.

Takim chce mieć grunt ogólny wieśniaczego charakteru Kraszewski, na skali, rozumie się ideału, który rozprasza się w miarę, jak pod wpływami warunków destrukcyj-

nych, dostarczanych przez rzeczywistość, grupy i jednostki rozmaicie się wychowują i kształcą, ulegając mniej więcej działaniu środowiska albo przeciw niemu walcząc. Pan, egoista, wyniosły, pogardliwy, odgrywający rolę olimpijską wśród czerni, mrozący ją swym wzrokiem lodowym (14); pan nie zły, ale apatyczny, rządzący przez pośrednictwo chciwców i demoralizatorów, jak w większej części obrazów; pan rozpustnik (15); pan albo półpanek, za jedyny cel życia mający wyciąganie zysków bez wstydu i miary (16): są to pierwiastki, wytwarzające atmosferę moralną zabójczą, a że najsilniejsze ze wszystkich, i z małym wyjątkiem nieprzemienne, przeto ją z pokolenia w pokolenie utrwalają. Na wzór, z inicjatywy niejako, takich panów, modelują się ich namiestnicy, niełudzkością i chciwością potęgujący w szeregach mniej-szych i większych to złe, którego zasada leży w nieopatrności naczelnego zwierzchnika.

Pierwszym wynikiem takiej atmosfery jest przygnębienie duchowe, bezcelowość życia, apatyczność egoistyczna, jakiej nlega chłop, przekonany nareszcie, iż na wielkim świecie zostaje sierotą, z kulą niewoli u nogi, bez możliwości wyjścia i zmiany. Uczucie to objawia się wszędzie w grupach ludowych, przedstawianych przez Kraszewskiego, i stanowi niejako ogólnie tło malarskie każdego obrazu. Zdaje ci się, że wszędzie tam widział ludzi, wprawdzie na podobieństwo innych, ale którzy nie mają gruntu pod nogami.

Z tego uczucia bezwładności wytwarza się rezygnacja, zadziwiała i niepojęta dla każdego, kto w jakiejś części zachował poczucie samego siebie. Pytasz się daremnie, jakim sposobem ludzie ci wytrzymać mogą tyle zaparcia, a musisz dobrze zrozumieć i ocenić potęgę długoletności działań, przyczyn tych samych, ażeby to sobie nareszcie wytłómaczyć. Jakiż! żadnej protestacji, żadnego oporu, żadnego poruszenia!... Tu lepiej zamilczeć, ażeby nie przypominać kilku przykładów, jakie bezowocnie wyrzuciły się z wnętrza dzieł. Wśród tej małej sfery, którą ograniczył obraz swego Kraszewski, spotykamy przecież kilka wypadków, w których nadmiar nadużyć i bólesci nadmiar spotkały się tak, by nareszcie jak dwa przeciwne prądy elektryczne spowodzić wybuch, z inicjatywy pojedynczej lub zbiorowej. Kilka wypadków... żniwo tak słabe na tak potężny zasiew. Jakże to dobrze świadczy za wartością gruntu, który zasiew kłokółu odrzuca! Widzieliśmy w epizodzie „Sawki“ gromadę przygotowaną na

wszystko, by przy daniej okazji zgubić ciemniejącego ekonoma. Możemy zobaczyć, jak mąż znieważony, zamiast przyjąć zapłatę zniewagi, jak to, niestety! czyniło bardzo wielu innych, mści się, obracając w perzynę dom i dobytek dworski (17); jak ojciec, rozdarty i oszalały hańbą córki, ciosem zabójczym godzi w uwodziciela (18). Mamy przed oczyma scenę, scenę znakomitą, w której gromada odprawionego za nadużycia rządcę, ściągając zemstą zwierzęcą, by go żywym ze wsi nie wypuścić, a tylko wdanie się energiczne i taktowne chłopów wykształconego i sympatycznego wszystkim, zaledwie powstrzymuje ją od szalonego kroku (19).

Mściwość nie jest zapewne uczuciem chwalebny, ale jako wynik poczucia się w godności, jako fakt świadczący o pewnym zwrocie do energii samodzielnej i obrony zdeptanych praw, imponuje grozą a zniewala bezinteresownością. Lecz chłopstwo owego czasu nie wolno było od uczucia wprost przeciwnego, to jest od uległości, która falę ucisku miała odpierać zalewem hańby, nędzę odkupywać sromotą, najbezzemniejszą, bo podkopującą zacność i świętość rodziny. Ponad pańszczyznę nieumiarowaną, ponad darmochami, ponad zdzierstwem materialnym wszelkiego rodzaju, ponad katowaniem cielesnym, górują fawory dworskie, zapuszczające w tę ciemną, ale naiwną masę ludową jad bezwstydu i upodlenia, aż do pożądania nareszcie tego, co na pierwszą myśl wydawało się tak wstrętnem. Na widok takich objawów, już nie występnym ale bohaterem wydaje się nam ojciec, mąż lub brat, który walkę o godność posunął aż do szału, a zwyciężony pomstą aż do zbrodni. A jednak w widoku takich upadków obfitują obrazy Kraszewskiego. Usłyszysz tam takie wyrazy, jak: „Biedna! Nie lepiej dla niej byłoby, jak inne, zostać szczęśliwą, zepsutą, jak jej siostry, niż biedną i czystą, jak niewielka liczba wybranych męczenników, których między jej równi nie znaleźć“; — wyrazy świadczące, jakich nadludzkich sił było potrzeba kobiecie, posiadającej pewne powaby, ażeby wobec nacisku zbrojnego wszelkimi środkami przemocy nie upaść; zwłaszcza jeżeli podobne krasawice, nawykły już uważać zaloty pańskie za pociechę i pożądany wypadek raczej, niż za postrach i nieszczeście (20). Na kogo wydasz wyrok potępienia, jeżeli podsłuchasz tak naprzykład rozmowę chłopów w karczmie, wódką zalewających złą dolę:

— „Pokochał się pan z żoną chłopą, a chłop to widział; i co ma zrobić? Wybił żonę. Nazajutrz jego w dyby i do czabanki

wsadzili na chleb, na wodę, aż pobladł, jakby chorował, siedząc tak cztery niedziele. Poczęli prosić pana ludzie.... wypuścili go. On, co tylko żonka jemu na oczy naszła, znów do niej. Pan jego znów na chleb i wodę, aż tak siedział pół roku. Nu, nie wiem jak tam jego puścili, a puścili potem. W dwa dni, z wieczora, aż tu pali się dwór a wiatr był na gumna i tok, pali się sto-dola, ta i obora. Oj! pan w płacz i ręce łamie; a nazajutrz jego w dyby. Najechało tam dużo, posadzili chłopca a pytali, a macali, a prosili, sprowadzili popa, a mężczyli go, aż się po dobrej woli sam przyznał. Poszedł chłop w kajdany, a żona do dworu. Nu! jak tobie zdaje się. Okseniu, nie lepiej było cierpieć a milczeć?“ (21)

I po przedstawieniu tej paraboli zagrożonemu mężowi, sąsiedzi wręcz mu oświadczają bez figur retorycznych: „To już taka dola, *skaczy wraże, jak pan każe*. Kiedy się jemu zachciało twojej żonki, ustąp że się z drogi i milcz, jeżeli chcesz spokoju, bo cię tak z roboty w robotę, z posyłki w posyłkę gnać będą, aż gdzie zdechniesz. Lepiej daj jej pokój, bo to nie ty pierwszy i nie ostatni. Tobie głowa z karku nie spadnie, a zobaczysz, jaki w domu będzie dostatek.... Aby ty tylko oczy zamykał, ani się spostrzeżesz, jak ci wszystkiego przybędzie“.

 (22)

Domyślamy się, ile to kosztować musiało autora, gdy pisał te słowa. Wprawdzie nigdy i w żadnym świecie nie brak tego rodzaju korzyści, jakie rozwiązała zamożność ciągnie z niecoświeconej biedy, przyjmując na swe sumienie odpowiedzialność moralną za skutki deprawacyjne; ale odpowiedzialność ta o tyle przynajmniej podzieliła się i zmniejsza, o ile ofiara ma więcej środków obrony i wybór łatwiejszy, o ile wreszcie gwałt zadany moralności, na wypadki pojedyncze liczyć się może. Tu przeciwnie, gwałt o tyle jest cięższym i haniebniejszym, że mu towarzyszy zupełna bezbronność ofiar, oddanych całkowicie na dyskrety gwałci-ciela, który, jak widzimy, ma tysiąc środków do zaskachowania upornej cnoty; i gwałt ten tym surowiej powinien być napiętnowany, że objawy jego nie mają już charakteru pojedynczych wypadków zdrożności pobudzonej namiętnością, ale demoralizacją zamienia w system, całą ludność żeńską zamieniając w jassyr panującego. Takiego bowiem charakteru jest ten gwałt i to zepsucie, jakie za sobą pociąga, i to nam objaśniają słowa usłużnego lokaja, który o jednej z dziewczyn zdaleka dotąd upodobanych panu, sam do siebie powiada (23): „W isto-

cie, nieszpetyny dziewczak się robi, a w nędzy to sparszywieje. Paniczowi raz wraz na myśli ta dziewczyna, a tu już we dworze same tylko *lupinki*. Nudzi się biedaczysko“.

I tak, zrazu gwałt, dalej pogodzenie, a w końcu poddanie się. Z długiej nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiej pracy, kiedy się młodość pragnąca życia wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody, serce zaczyna bić jakimś taktem nieznanym, zamaszystym; kwiaty wyrastają pod nogami, blask ich olśniewa oczy, woń ich upaja życie. A ilekroć chmurka ma zamieć myśl, umysł olśniony kłamie samemu sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek deszczowy, co tylko ziemię spragnioną orzeźwi; myśl lęka się utracić chwili drogiej, wprzód niespodziewanej nawet, a teraz będącej już warunkiem życia. Tym sposobem powstaje dusza nowa, która marzy, uśmiecha się, raduje w pośród tych kwiatów, węży pełzającego pod nimi nie widząc, rdzy prostytutce, zachodzącej na godność ludzką, nie czując.

Ten rys charakteru grup ludowych, widniejący dość silnie z powieści naszego autora, jest najboleśniejszym, i jemu też samemu najboleśniejsze nastreża uwagi. Gdzie jednak powód, że czysta, uszlachetniona męką niewinna fizyognomia wieśniaka zeszpeciła się tym rysen? Oburzamy się w dziejach naszych przeciw barbarzyńskim hordom Tatarów, którzy zapędzali w jassyr nasze na pograniczach niewiasty. A teraz gdzie oni są?... Ci nowi hanowie, nierównie dogodniej dla siebie powtarzający sceny z pograniczów.... czy mamy do nich zastosować toż samo pytanie? Ha! logika faktów, teoria przyczyn i skutków, jest nieublaganą a sąd Sprawiedliwości wiekuistej nieomylnym.

IV.

W pośród tych wszystkich wpływów, stosunków, obyczajów i tradycji wyrabiają się charaktery pojedyncze, które przy pewnej energii wewnętrznej, zasiloniej okolicznościami, występują poza sferę powszedniego trybu, a tworząc z pobudek samodzielných pewne pasmo wydarzeń niezwykłych, stanowią przedmiot zajmujący dla psychologa i artysty. Nie przedsiębiorając więc rozbioru szczegółowego utworów naszego autora, obowiązani wszelako jesteśmy wskazać charaktery naczelné, które żywiej zarysowały się w pośród wszystkich tych żywiołów ludowych, jakie, z całości jego cyklu, nagromadziliśmy poprzednio.

Tylokrotnie wspomniany przez nas „Saw-

ka" przedstawia raczej pewną ogólność dodatnią, wzorową próbkę, że tak powiem, stanu, pozbawioną jeszcze tych cech indywidualnych, poszukiwanych przez badacza duszy. Sachar z „Historii kołka w płocie“, przeciwnie, zawiera już te cechy w wysokim stopniu wydatniejące, tak w dziecku, jak i w młodzieńcu; cechy ogólnie ludzkie, a przytem szczególnie zwrócone do uwydatnienia walki staczającej się pomiędzy położeniem socyalmém i usposobieniem duchowém, a której ofiarą pada indywiduum. Ale, że już z innego powodu wskazaliśmy, chociaż pobieżnie, te cechy szczególne, przeto do téj postaci wracać już nie będziemy.

Typ najbliższy chłopu, bo najdalszy od zmieszania się z kulturą innowarstwową, przedstawia się tu w „Jermole“, który lubo do starości przepędził życie we dworze w charakterze kozaka, ale że trafił na pana zacnego, którego téż sercem ukochał, przeto nie utracił z pierwotnej prostoty i czystości duszy, a do najpóźniejszego wieku nie przestał być dziecięcim wioską, zachowując jęj upodobania, nawyknięcia, obyczaje i przesady.

Urodzony nad brzegiem Horynia (na Polesiu), wczesny sierota, zrazu pastuszek u obcych za łyżkę stawy naczciwie podaną, wpadł w oko dobremu panu, służąc wiernie pochował go nareszcie, i w nagrodę za wierną służbę dostał od spadkobierców na starość kawałek rudery drewnianej i kawałek gruntu, tyle, żeby przy ograniczeniu się, do jakiego chłop nasz mógł być zdolnym, zwłaszcza, że wódki nie pijał, nie nurzyć z głodu.

Są rośliny dzikie, na polach i w lasach, bez żadnego udziału sztuki, bożą tylko rozsypane ręką, które wszelako szlachetnych noszą miano, bo mają w łonie swém utajony wdzięk i siłę, tak iż przy warunkach stosownych rozkwitają przepyszném kwieciem. Są inne, jak pokrzywy i chwasty, z których hodowla nawet nie pięknego nie wyprowadzi, a może je tylko do olbrzymich doprowadzić rozmiarów. Tak samo i z ludźmi żyjącymi w stanie natury, mniej lub więcej od kultury dalekim. Jermola témszczególnie reprezentuje nasz lud, i tém się odznacza indywidualnie, że jako roślina dzika, niehodowana, ale szlachetna, posiada jakiś wrodzony instynkt cnoty, ten to instynkt właśnie, który sprawił to, że lud nasz, bez względu na wpływy, jakim ulegał, na przykłady, jakie miał przed oczyma, na nędzę i brak wychowania moralnego, nie tylko w ogóle nie został potworem, co byoby do wytłómaczenia, ale przeciwnie, utrzy-

mał się w pierwszeństwie moralném nad wielu innemi ludami, w mniej nawet niekorzystnych warunkach zostającemu. Starzec ten, i teraz jeszcze zostając w nędzy, nigdy się nie poskarżył na życie stérane, nie rzucił przekleństw na przeszłość, wystarczał sobie w biedzie i osamotnieniu, dźwigając się duchem pobożnym. Sercem przerastając innych współbraci, świadczył im przysługę, co jednalo mu współczucie i wzajemną pomoc.

Zastajemy go tu już w starości, nie widzącego nic przed sobą prócz śmierci, kiedy raz wieczorem pięknego lata, wracając do chaty, znalazł pod nią podrzucone dziecko.

Pierwszy płacz téj istoty, zapadając w serce Jermoly, stał się ziarnem uczuć nowych, skomplikowanych; ziarnem, które schwycone przez grunt bujny, wydało stopniowo ten cudownie piękny kwiat, zowiący się miłością rodzicielską. Jest, rzeczywiście dziwna rozkosz estetyczna, patrzeć, jak pod ręką potężnego malarza dusz prostych odbywa się ten tajemniczy proces natury, mocą którego serce starca, nieświadomego zgola tych uczuć rodzinnych, w chwili, gdy szukał węzła, co by go jeszcze ze światem połączył, nagle budzi się do czegoś niespodzianego; jak on naraz młodnieje, zapala się, gorączkuje, przeczuwa w zarodku cały gmach szczęścia przyszłego, jakie ztąd powstać może, i budowę jego rozpoczyna rękami drżącymi ze wzruszenia, radości i obawy, aby go nie stracić.

Bo istotnie za cały fundusz do wzniesienia téj budowy starzec miał po sobie tylko serce swoje, przeciwko sobie wszystko. Sam ledwie nie żebrak, znudzony życiem, miał stać się podmuchem i podporą nowego życia, usłać je kwiatami, wypromienić nadzieją, ubogacić zasobami przyszłości. Sam niedołężny przez wiek, miał kierować istotą nie-dolężniejszą od siebie i uczynić ją silną. Ażeby zobaczyć, jak się cud ten jawi, potrzeba kartka za kartką śledzić wszystkie jego fazy, stanowiące historię serca, przejętego zapalem cichym a postanowieniem silnym, trzebaby niejako przepisywać wszystkie szczegóły urzeczywistniające plastycznie te drgnięcia ducha, opanowanego wyłącznością i odciskające się w czynach, równie prostych, naturalnych jak wzniosłych i zadziwiających. W całej książce nie ma innego romansu nad romans starca z przybranym synem, ale romans to tak żywo wydarty z łona natury, tak pełen barw gorących, że daje zapominać o wszystkich innych warunkach serca i wyczerpuje całą uwagę.

Zarzucamy nieraz Kraszewskiemu, że świat

jego surdutowy zanadto załudniony jest bohaterami kompleksy słabiej, i to prawda. Tu niejednokrotnie przychodzi nam podziwiać energią bohaterów sierniężnych, nad którymi chyba już prym trzyma Jermola. Niedosyć, że siły jego fizyczne dziesięciokrotnie pod działaniem uczucia, ale i umysł staje się twórczym; wpada on na trop pomysłów, któreby mu w innym razie nigdy do głowy nie przyszły, odkrywa drogi życia, nigdy dotąd nieprzebyte, rozbija zapory mocą, nigdy dotąd sobie nieznana, i staje u celu. Jeżeli dodamy, że wszystko to odbywa się na tle stosunków czysto sielskich a więc wolnym od wszelkiej wybujałości zdradliwej, na tle stosunków, ujętych w krajobraz, nieustannie nasuwający przed oczy malownicze obrazy wsi poleskiej, wszystkie te potężne usiłowania, te zamachy starca, zejdą naturalnie do rozmiarów bardzo drobnych, a zgola naiwnych, co tym więcej na zaletę ich prawdy i harmonii przemawia. Natura niemniej szej użyć musi energii na wyprodukowanie jaskółki, jak orla, ale pamięta o granicach kształtów, izby obie produkuje, zachowując harmonię, pięknymi były. Pamiętał o tym Kraszewski, i przeto produkcja jego w Jermole jest tak naturalnie śliczna.

Nie powiemy, ażeby to podrzucenie dziecka było należyte i dość naturalnie wymotywowanem, i sam autor przy bliższem rozpatrzeniu zapewne zgodzi się na to, ale bądź co bądź, ten obraz rozwoju uczuciowego, już piękny sam w sobie, jako całość, ubogaca się jeszcze elementem dramatycznym przez tę tajemnicę przywiązaną do samego faktu, która nieustannie towarzyszy działaniom Jermoly, niepokojąc go myślą domniemaną potrzeby zwrotu. I właśnie, w lat kilkanaście, kiedy Radionek, pod niezmordowaną ręką Jermoly, silny i sprytny, wyrósł na dzielnego chłopka, mogącego już śmiało radzić sobie w życiu; kiedy węzeł miłości zacisnął się nierozzerwanie pomiędzy nim a przybranym ojcem i wsią, wśród której się wychował, wtedy tajemnica ta wybuchła z całą siłą dramatyczną. Rodzice, szlachta dziedziczna z okolicy, nieszczęsnym składem okoliczności zmuszeni dotąd ukrywać się nie tylko z rodzicielstwem, ale nawet z małżeństwem, obecnie uwolnieni z pod tego przymusu, przybywają po odbiór depozytu.

Zlebyśmy opisali wszystko, co zaszło przedtem, gdyby każdemu nie przyszło na myśl, że chwila ta sprowadziła rozstrój sere nie do opisanego. Żywioly zmieszwały się tak, że walka stała się niechybną a każde zwycię-

stwo boleścią; i nie najmniej bojącym jest tutaj Radionek, który był nawet przez starca oswojony z myślą tego, co się teraz stało. Pogodzenia uczuć żadnego być nie może; węzły zaszły zadaleko w duszę i krew, ażeby je bez rozszarpania rozerwać można. Rodzice, wdzięczni i rozumiejący wagę uczucia, szukają sposobu wyjścia tak, ażeby bez obrazy niczyjój odzyskać swe prawo; ale wszystko, co zaproponują, słusznie niezadowolnia Jermoly, który doskonale rozumie, że jego nabyte prawo ojcostwa tylko w stosunku, jaki istniał dotąd, w całości zachowaniem być może; rodzice w imię natury i obowiązku, odstąpić mu go nie mogą: Radionek patrzy na nich, jak na obcych, i za każdym wyciągnięciem ich ręki, żłikie ptaszę tuli się do starego piastuna.

Po wszystkich jednak daremnych próbach komplaniacy, stało się to, co się musiało stać. Chłopiec musiał wrócić tam, gdzie go powoływało prawo urodzenia, gdzie według rachuby ludzkiej zyskać czy odzyskać miał raj chwilowo utracony, dostatek, położenie socyalne, znaczenie. Wszystko to, wracając do przerwanego przez lat kilkanaście porządku, byłoby bardzo dobrem; ale szynując się, zostawiało za sobą serce bezpowrotnie rozdarte, którego praw i boleści nikt słuchać nie chciał, zostawiało ruinę gmachu, którego każda cegielka trzymała się zroszona łzami uniesienia, cementem najzacieńszych technic z całością spojona. I ten starzec, ruina własnych marzeń, pozostał znowu osamotniony, by z czarną rozpaczą w sercu liczyć godziny wlokące do śmierci; upiór Jermoly pokutujący na grobie szczęścia, na progu chaty, z której wydarto mu skarb jedyny.

Łej! nie. Zawiele wlał duszy w swego wychowanka. Noc na progu przedrżmana rozmarzyła go nieco. Nadejściem... cóż to! czy anioł musnął go skrzydłem?... — To ja ojczel! — zawołał Radionek, który z palacu kilka wiorst odległego przyfrunął, ptaszę kochane i wdzięczne, z tęsknoty za gniazdem.

Odtąd też, Jermola w obrazie tym uczuciowym schodzi niejako na drugi plan, występuje nowy żywioł uczucia synowskiego w Radionku, który walczyć między dwiema miłościami, staro i nowo rodzicielską, ginie z wysileniem tej walki. Oto są uczucia traktowane na serio, mężkie, energiczne, same przez się stanowiące temat tragiczny, nawet wśród bohaterów najmniej do tragedji klasycznej podatnych. Możeby autor mógł nadać inne rozwiązanie swój treści, mniej rozrzewniające i bolesne; bo czemużby Ra-

dionek, stanowczo po roku targania wyszedłszy z domu rodziców już dlań zubożniałych, i uciekłszy z Jermolą aż na Pińszczyznę, nie miał żyć, nie zrywając z rodzicami, ale idąc dalej w rozwoju samodzielnym, jak to czyni Gaston, w powieści J. Sanda, *Flamarande*? Lecz i rozwiązanie Kraszewskiego nie ma nic, co by było nienaturalnym, a jeżeli zanadto rozrzuca, to tylko skutkiem głębokiej sympatii, jaką wzbudził autor do swych dwóch bohaterów, tak silną związanych miłością a tak dziwnie pięknych. Będziemyż upatrywać upadek czy płamę na charakterze Jermoli, a więc niekonsekwentność z całością, w tém, że ten człowiek odrzuca jako rodzicom naturalnym chłopca, marniejącego w pałacu? O! nie. Byłaby to moralność doktrynerska, teoretyczna, nie wglądająca w życie. Jermola jest cały wyłączością uczucia; on zna tylko swojego wychowawcę, i nie innego znać nie chce; widzi go nieszczęśliwym, wyciągającym doń ręce za życiem dawnym, za swobodą wsi; widzi rodziców już tylko z obowiązku zajmujących się synem, który nigdy z nimi zrosnąć się nie mógł: jego kodex etyczny pozwalał na ten nowy czyn miłości, przedstawiający się wprawdzie w formie kradzieży, ale w treści będący tylko aktem wielkiego serca i poświęcenia. Nietylko w naturze prostaczek, ale i w ukształconej jeszcze ten czyn nie byłby pozbawiony cech usprawiedliwiających.

Ten *romans* Jermoli, na gruncie dwóch swych żywiołów: wyłączności i energii życiowej, spotyka się z innym utworem, a mianowicie z „Ulaną”. Jak oddać się, to oddać całém sercem, bezwarunkowo, z zaparciem i zapomnieniem wszystkiego, przejść w świat całkiem nowy, zerwać z dotychczasowością. Tak czyni Jermola stając się ojcem, tak czyni Ułana, stając się kochanką.

Dalej jednak porównanie zachodzić nie może, i zaraz ukazuje się głęboka bruzda, rozgraniczająca te dwa charaktery: starca i niewiasty młodej, tak podobne do siebie expressyą uczucia, tak różne przedmiotn jego wartością. Uczucie Jermoli jest najmniej egoistycznym, najwięcej ludzkim; uczucie Ułany jest najegoistyczniejszym, bo erotycznym. Jermola na rzecz własnego szczęścia poświęca tylko siebie, swój trud i zachód, uszlachetnia się. Ułana poświęca obowiązki najbliższe, najświętsze; i ten wykw jej uczucia stałby się kalużą, gdyby siła namiętności potężnej, rwącej za sobą wszystko, co drogie i święte, nie zamieniła tego wylewu w burzliwy potok, pełen grozy, szumu i wiru, który druzgocząc podstawy

etyczne, ale razem z sobą porywając działacza, niby ofiarę, by ją roztrącić w powszechném zniszczeniu, — staje się estetycznie pięknym, jak łuna pożaru, bez względu, co swym ognistym całunem pokrywa.

Powieść o Ułanie nie potrzebowałaby uleść przemianie w treści, gdyby nawet rzecz działała się w sferach kultury wyższej, tak tam już uwydatnione są w postaci głównej znamiona, po których poznaje się duch niepospolity siłą i stanowczością, do żadnej niżkiej rachuby niesклонny. Nie to nieprzeszkadza Ułanie, że chodzi w grubej świdze i boso, że dźwiga wiadra i zamiata izbę; toż samo mniej więcej czyniły córki patriarchów biblijnych, a wszelako służą za przedmiot natchnienia poetom i malarzom. Człowiek nadaje wdzięk wszystkiemu, jeżeli go ma w duszy i zharmonizuje się ze środkowiskiem swem. Wrodzona gracia pociąganie w swe koło wszystkie przedmioty, kształt i ruchy, nad którymi panuje: to tajemnica powabu kobiet w kurnej chacie, zarówno jak w salonie; przemiana rol, wyjście ze środkowiska, w którym kształciła się i rozwijała gracia, uczyniłoby je śmieszniemi. Nie jestże pełnym wdzięku robotnik w kurtee lub bluzie, zawieszony na rusztowaniu, z czapką na bakier, żwawo narzucający wapno na cegły i wesołym pogwizdywaniem dodający sobie ducha? Potrzebuje on tylko pewnej perspektywy, i choć go zaraz malować. Ubierz go we frak i posadź w salonie, będzie karykaturą, równą paniczowi z salonu, zawieszonemu na rusztowaniu z kielnią w ręku i skopkiem.

Nie masz tak poziomej sytuacji (oprócz psychicznie i fizycznie wstrętnych), w którychby nie wyzyskać nie można na korzyść estetyki. A jeżeli nadto zajęciu towarzyszy wrodzony wdzięk zajętego, to harmonia kształtów i ruchów w tej chwili nasunie obraz. Przypnie trzeba, że ubiór kobiet poleskich i w ogóle litewsko-ruskich wcale nie nadaje się do uwydatnienia kształtów w sposobie rzeźbiarskim, i bardzo tam trudno o pozy akademickie, tak zwyczajne na południu. Długa, prawie po kostki sukmana z grubego sukna, zwana świtą, ujmuje całą kibię, jakby wnieustępny i ciągnący się do dołu worek, pod którym giną i formy ciała i jego elastyczność. Głowę okrywa (u zamężnych) biała namiotka, nakształt czapki płaskiej, przymocowanej bez wdzięku, a z tyłu tylko mającej spadek na szyję w rodzaju harbajtla. Nogi ujęte w postoly, to jest w łapcie, piecione z kory wierzbowej i łozinowej; miejsce pończoch zastępują

płaty płócienne, obwiązane postronkami z jednej strony u łapci, z drugiej pod kolanem umocowanymi. Trzeba mieć dużo piękności i wdzięku, ażeby się w takiej oprawie podobać.

Podobała się jednak Ulana młodemu panu. I my nie dziwimy się temu wcale. W tej czarnej masie kobiet zapracowanych, zarostych nędza i brudem, nieraz zdarzało się spotykać oblicza kształtne, delikatne, tryskające życiem, o rysach tak regularnych, o wielkiem oku, otwierającym się tak żywo i głęboko, że przychodziło żałować, iż nie możemy w tej chwili z całym bogactwem kolorytu odcisnąć tego oblicza z jego naiwną ciekawością, z wdziękiem nieświadomym siebie, z uśmiechem walczącym różanemi usty, służącemi za zasłone białym równiutkim ząbkom, niewinnie kokietującym.

Ulane podobała się panu fizycznie z pierwszego rzutu oka; za drugim rzutem zajął się i jego umysł, bo Ulana była kobietą nie pierwszą lepszą. Nie w jej guście była rachuba na fawory pańskie. Wyższa od sióstr, zepsutych postępowaniem dworu, z pokorą poddanki ale i z dumą uczciwej kobiety, dała panu odprawę, po której ten jeszcze goręcej szukał z nią spotkania. W całej postawie jej był smutek, widoczne niezadowolenie z życia. Coś snąć wpadło do serca Ulane, co zerwało harmonią pomiędzy pragnieniem jej a stanem. Żona wiejskiego garncarza, miała kilkoro dzieci. Szanowała obowiązki i modliła się do Najświętszej Panny, ażeby ją uwolniła od zalecanek ludzkich, nieodłącznych od każdej twarzyczki świeższej. Ale nie wesoło wygląda to szczęście, które tylko w spełnieniu obowiązku przymusowego uczuwamy. Ulana była jakiś czas we dworze. Oświecona kilku płomykami światła, jakie przez portyery salonu przedziera się do izby czeladniej, nabyła poczucia innego świata, w którym duch głośnień wyraża potrzeby swoje, niż ten, co zawarty w ciele prostaczki. Dusza delikatniejsza, nie poprzestaje ona na tém kochaniu, jakie ma od męża, gbuza i zazdrośnika. We dworze słyszała o innym, i widziała, jak się kochano po pańsku. Podobało się jej takie kochanie... i tém więcej może, iż się go nigdy niespodziewała osiągnąć. Równy z równą, — to dobrze; ale widziała ona już niejedno kochanie pańskie zwrócone do wieśniaczki, i widziała, jak się skończyło. Miła jej była woń tego affektu, jaka buchała od pana Tadeusza, lecz czuła, że jest zatruta.

— Al moje dzieci!... zawołała z nienacka, kiedy pan pierwszy raz, ośmieliwszy się, objął ją w pół i pocałować chciał.

Dla czego wtedy dzieci przyszły jej najsamprzód na myśl, chociaż ani mowy o nich nie było? Dla czego, wciąż roznawiając z panem po polsku, jak nawykła dzieckiem będąc we dworze, nagle wykrzyknik ten rzuciła po rusku, językiem, który wyszła z matki i którym modliła się do Boga?

Drobny to rys, ale jeden z tych mistrzowskich, delikatnych a prawdziwych, które uchodzą przed okiem ogółu. Znały to silne napięcie ducha, świadomość instynktowną i mimowolną niebezpieczeństwa, oraz puuktu głównie zagrożonego.

I wytłomaczyła się obszerniej panu z tego mimowolnego ruchu duszy: „kiedy kto komu przysięgał w cerkwi, a ksiądz pobłogosławił, koło ołtarza oprowadził, i razem krzyż całowali i z jednego kubka pili, o! to niedobrze złamać przysięgę, — i zły koniec zawsze“.

Słowa te, cechujące duszę uczciwą, były prorocze.

Im więcej było oporu tém napad uparty. Nie pomogły przymilania, poczęły się groźby, równie bezskuteczne. — „Cóż mi pan zrobisz? Każesz bić? Czyż i tak mnie nie biją! Odbierzesz chleb? I tak go nie wiele; a dzieci male: w rekruty nie oddasz“. — Jeszcze jeden krok zaczepny ze strony pana, a nóż błysnął w ręku Ulane.

I czyż to miłość podbudzała tego kochanka z pod ciemnej gwiazdy do takiego nekania zacnej kobiety? Żarty! Jeżeli miłość, to taka, co się u pogan przedstawia jako *Cupido* (pożądliwość), w postaci małego a lubieżnego chłopca. Inem zaś było to kochanie, które śniło się kobiecie, dumalo, o którem w piosnce śpiewają, a na wieczornicach gadają: wiedziała, że nie w chacie go szukać, a jeśli znaleźć, to w końcu śmierć musi być konieczna.

Było coś jednak z tego kochania w affekcie pana Tadeusza, jeżeli nie treść to forma, która zjawiając się coraz częściej i narazcie ustawicznie przed wyobraźnią kobiety, nie pozostała bez wpływu. Następuje oddziaływanie wzajemne, i wzajemne ustępstwa. O ile affekt Tadeusza, z prostego podrażnienia fizycznego, pod wpływem szlachetnego oporu, walczącego bronią uczciwości, wstępuje na coraz wyższe szczeble duchowości, o tyle jednocześnie nabiera więcej sił do zwalczania skrupułów kobiety, w gruncie uczciwej, ale szukającej ujścia dla czułości wrodzonej, której serce jej pełne; i straż obowiązku staje się coraz mniej czujną, coraz mniej skuteczną. W tej atmosferze pożądań, w której duch gra równo z krwią i ciałem, na tej arfie prądów

magnetycznych, płynących z dwojga natur młodych, a w soki żywotnie bogatych, dzieje się z nią coś niepojętego, smutno jęć, miło i straszno zarazem. Ucieka od Tadeusza, ale dognana czuje, że już gwałt zadawać musi sobie, ażeby uciec znowu i nie słyszeć tej piosenki miłośnej pańskiego kochania, tak lubięj, tak upajającą, tak różną od brutalnych zaleceń gburowatego męża, który postrachem tylko jest dla niej, odkąd młodzian dorodny i wytworny nazywa ją piękną, odkąd przysięga, że szczęśliwy byłby jęć miłością i nie porzucił nigdy. Odwieczna historia erotyczna Fausta i Magorazy, którą ukryty za narkotycznymi krzewami roślin cypryjskich szatan, układa na tle zmysłowości ludzkiej.

A jakaż rolę mąż odegrywa w tém wszystkim? Męża, ażeby nie przeszkadzał, łatwo panu oddalić na dwoje i tygodnie pod łada pretextem. Choćby i był, jemuż to być w takiej walce subtelnej rozjemcą? Jego małżeństwo, to połączenie kruka z gołąbką; co może być między nimi wspólnego, jeśli moc obowiązku przymusowego folguje. Biedny prostak i gbur! Niewiarę żony zwykł mierzyć tylko grubością kija i ilością razów; innego argumentu nie znał. To nie lekarz na choroby duszy.

I argumenta jego już wiszą nad ciałem Ulany, która upłątana w tę miłość pańską, już nie ma siły uciekać od niej, ale na zawołanie pana biegnie z nim w las lub do ogrodu dworskiego, zapominając dzieci, chatę, męża, wstyd,—bo kocha.... Zkąd jęć to przyszło, nie wiedziała sama. Płakała czasem nad sobą, a szła do kochanka i poświęcała mu wszystko za trochę szalu, którego lepszej połowy nie pojmowała, słuchając go, jak dalekiej pieśni, którą wiatr rozrywa, a jeszcze piękną do uszu przynosi.

Były to ich miodowe dni szalu, kiedy rozmawiali milcząc lub niewielką słowy, a w tej rozmowie było tyle treści. Byli szczęśliwi, szczęściem jakimś osobliwszem, niepojętym, potwornym, w którym oboje czuli, że je opłacają drogo; Tadeusz więcej niż ona, bo musiał na swoje sumienie przyjąć całą odpowiedzialność za jęć wykroczenie przeciw obowiązkowi, za wszystkie następstwa, jakie się zrodzą, kiedy z różanej mgły szalu wychyli się rzeczywistość, zwolna, wolna dochodząca do coraz widoczniejszych ształów. I Tadeusz, jako znający lepiej ziele serc ludzkich, widział resztką rozumu, że po dniach dzisiejszych nastąpi jakieś juro odmienne, któremu on pierwszy da początek. A Ułana, upajając się słowy i my-

ślami tego nowego świata, do którego na skrzydłach szalu wznosił ją kochanek, nie myślała o jutrze, ją jeszcze niepokoiło dzisiaj, ale i ten niepokój wkrótce miał ustąpić.

Pomimo częściej, a umyślnie przez Tadeusza powodowanej nieobecności męża, nieznośnym stał się podział i udawanie. Cała wieś wreszcie wiedziała o nić, i krewni męża nie omieszkali go uwiadomić. Skorzystała więc z jego pierwszego brutalstwa, aby zerwać, i bez podziału, bez pamięci, bez wyrzutów oddać się zakochanemu.

Czyż bez wyrzutów? Tak. — „Ja i dzieci teraz mniej kocham, — mówiła sobie. — Dawniej, dzieci to był mój skarb, a dziś widząc je, myślę, jakby one były cudze. Biedne dzieci, już wam i matki nie stało, wy za życia sieroty. Kto was będzie hodował, kto was będzie pieścił, kto kochał? Nie ja, nie ja! Ja już nie wasza, porwali mnie w cudzy kraj, gdzie słodko żyć, a choćby i umierać, — porwali od was! Matkam wasza, a nie matka już, nie matka sercem, — cudza!“ I wychodząc z chaty, gdzie całą przeszłość czystą zostawiała za sobą, patrzyła na nie obojętnie, zimno; całowała je na pożegnanie, ale myśląc o poczynaniach innych, o innej miłości.

To zerwanie węzłów najdroższych, może-myż uważać za rys fałszywy w kompozycji artysty, za prostą nikczemność, która się błędnie zaplątała w duszę, której on przyznaje instynkt wyższe, myśli, uczucia i pojęcia nad stan rośniejsze? Bynajmniej; to jedna zaleta więcej kompozycji. To konsekwencya energii w naturze prostej, którą Bóg stworzył całą i silną, nie wycieńczoną niczem, nie zestarzałą za młodu. Gdy na taką duszę padnie uczucie i schwyci ją w kieszcze uroków swoich,—wtedy rodzi się w nić namiętność niepohamowana, dzika, wyłączna. W Ułanie kodex moralny był słabo wszczepiony, i pod tym względem nie można ją porównywać z kobietą salonów. Wszelkie restrykcyje cywilizacyjne, jakim słusznie ta ulegaćby mogła, tu osłabiałyby tylko twór ulegający przedewszystkiem pierwszym i bezpośrednim drgnięciom natury, która nie oblicza, ale pędzi, gdzie ją niosą pobudki wewnętrzne.

Raz też oderwana od wszystkiego, co nie było tęp uczuciem jęć nowym, oddała mu się z całą exaltacją duszy i zmysłów; dzika kochanka, piła z tej czarownej krynicy, jak zwierz w spiekę, którego nie odpędzisz strzałą od wody, nie odstraszysz śmiercią. I było jęć cudnie z tą namiętnością, z tym wyrazem siły uczuciowej, ognistej, szczerzej,

prawie bezwstydną, a samą rzadkością swą zadziwiającą. Sama ofiara, jaką na rzecz tego uczucia uczyniła z uczuć innych, zobowiązku i czci, — o ile w kobiecie instynktów prawych, — świadczyła, że ono zrosło się z jej życiem na wieki. Była to miłość w swej formie najelementarniejszej, najczystszej, bezpośredniej, odartej ze wszelkich względów pobocznych, światowych. Nie *Fryne* to ani *Charitas*, nie Tamara kaukazka, ani Beatrix średniowieczna, lecz coś oryginalnego swoją wyłącznością, coś pośredniego, istna *Wenus*, mieszcząca tyle pierwiastku zmysłowego i duchowego, ile go trzeba dla utworzenia harmonii tego uczucia, które rozwijając się na ziemi, koroną sięga eterów.

Taką jest *Ułana* Kraszewskiego, o ile rozrzucone rysy charakteru zdołaliśmy skupić; obraz miłości samodzielnej, pierwotnej, stworzonej, jakby według tego typu odgadniętego, który boginią miłości gotową z piany morskiej wyprowadza. I cała zaleta artystyczna tego poematu zależy nie na wypadkach nader interesujących, które tu pomijamy, ale na tém stopniowaniu światła, przez które charakter kobiety przechodzi dla zabłysnięcia całością. I ten pan *Tadeusz*, — Boże mu odpuść! służy tu tylko za cień do uwydatnienia tych światła, które tem więcej jaśnieją, im on, zrazu przez nie opromieniony, w coraz większy mrok zapada. On, wychowanek świata, oplacający zdenerwowaniem za powierzchowną oglądę, nie mógł zerwać z przeszłością, nie zamknął rachunku ze światem, nawykniem i względami przyzwoitości; on, chwilowo porwany w atmosferę prawdziwego szalu, stopniowo zaczął trzeźwieć, i stopniowo też ujmował karmin temu uczuciu wyłącznemu *Ułany*, dla którego był tém, czém słońce dla rośliny. Aż z zupełnego braku słońca, ten kwiat agawy, który raz tylko na wiek wykwił, ale kwiatem nad kwiaty, zwiędł, a z nim uschł i krzew, z którego wyrzelił. Rozdzierającą jest ta scena, w której *Ułana* na ślubny podarek dla ukochanego przynosi swego trupa zawieszzonego na drzewie.

Dwa te charaktery ludowe, starego *Jermola* i młodej *Ułany*, przedstawiają, jak powiedzieliśmy, dwa typy miłości, równiej siły i wdzięku, tylko natury odmienniej. Ważność ich dla sztuki na tém zależy, że lubo kreślone, jakby od niechcienia, pod piórem niejako rosnące i meźnięjące, kreślone są na sercach nieużytych, dziewiczych, na kartach białych, które jakby same z siebie wydobywają barwy służące do ich zobrazowania. A że w sercach tych jest wrodzona siła,

połot wyższy, więc i kreacye ich samoistne nabierają téj siły i połotu, co ich wyróżnia nad inne. Też same uczucia i też samą siłę znaleźćby można i w klasach społeczeństwa wyższego, czemu nie? Ale jest to inne zadanie sztuki. Tam jednostka występuje już przygotowana i objaśniona z zewnątrz, odbyła propedeutykę uczuciową: tu bohaterowie są tem ciekawszymi, że samouczkowie. Ich więc kreacye, to jakby pieśń genialnego lirnika w porównaniu z hymnem *Moniuszki*.

Gdybyśmy się zapatrywali na sam temat wątku powieściowego, moglibyśmy porównawczo powieść o *Ułanie* zestawić z „*Budnikiem*“; są nawet, którzy zestawienie takie czynią. Rzeczywiście, i tu i tam tło intrygi stanowi uwiedzenie kobiety z gminu przez dziedzica; i tu i tam romans rozwiązuje się katastrofą; i tu i tam wybucha zemsta opiekunów: w pierwszym utworze, męża, w drugim — ojca. Ale zestawienie takie, oparte na rzeczach przypadkowych, byłoby banalnem, nie objaśniałoby nic, oprócz tego, że Kraszewski w „*Budniku*“, jako utworze późniejszym, powtórzył sam siebie. I byłoby to istotnie samoplagiatem, gdyby chodziło o temat. Ale cóż to jest temat? To dopiero szkielec, a na dwóch szkielecach całkiem podobnych powstać mogą dwa ciała estetycznie całkiem różne. I tutaj też, pomimo niemal tożsamości tematu, kompozytorka zgola inną obrała sobie drogę. Szczegółowe nawet studia okazałyby mogły, że w ludowych utworach Kraszewskiego, powieść, to jest fabuła sama, ma dla autora nawet znaczenie drugorzędne, i stanowi niejako zaprawę dla obrazów i typów, które tu u niego stoją na pierwszym planie. Zaprawa to po większej części smaczna i wielce pomocna do rozłożenia się obrazom wielostronnemu, ale nie ona głównie nas też zajmuje.

Z tego powodu uważamy „*Budnika*“, jako obraz, za rzecz zupełnie inną od „*Ułany*“, nie tylko w kompozycji, ale nawet w szczegółach odwrotną. Jakoż tam charakter kobiecy stanowi główną figurę obrazu, nie tylko z tytułu ale i z treści, gdyż autor do tego się głównie przyłożył, ażeby ten charakter sam się należycie wytłumaczył mnożstwem ruchów i giestów expressyjnych, czyli pewną liczbą scen częściowo go odsłaniających a stanowiących niby kartki jego historii psychicznej. Tu, charakter kobiecy jest tylko prostą sylwetką, zdjętą z natury; to niby *Ofelia*, zjawisko cteryeczne, nikłe, schwycone w jedną sytuację, dosyć ogólnie charakteryzującą każde dziewczę młode, zostające w położeniu bohaterki, bez żadnych zna-

mion szeregółowych. Zemsta znówu, wchodząca jako czynnik w oba utwory, ma także charakter odmienny, nie tylko co do objawu powierzchownego i rezultatów, ale właśnie co do pobudek wewnętrznych. Zemsta Okse-
nia (męża Ulany), to czyn nieszczęśliwego z położenia, a z charakteru brutalnego ciemni, który miłość swą dla żony tłumaczył tylko zazdrością, pożogę zaś, jaką sprawił we dworze, mógłby tak samo sprawić, gdyby dwór go ukrzywdził boleśnie w czem inném, zgola materialnym, jest w tym czyn nie nierównie więcej złości, lubo wytłumaczonej, niż uczucia honoru, które nie odegrywa tu widocznej roli. Zemsta Budnika pochodzi z serca ojca, który kocha tklawie i z zapalem dziecko jedyne, boleje nad upadkiem jej czci, cierpi wespół z nią, i czuje głęboko krzywdę uczynioną czci własnej w zniewadze wyrządzonej córce. Zemstę jego pobudki i okoliczności nie tylko tłumacza, ale nawet usprawiedliwiłyby mogły nadmiarem uczucia dla dwóch rzeczy dro-
gich mu w życiu: dla czci i córki, oprócz których nie posiadał nic.

I ta też postać stanowi tu figurę naczelną w obrazie, nie tylko jako charakter ludzki, ale więcej jeszcze jako typ lokalny, przez co i łączy się i rozdziela interes powieści. Postać ta jest już połowicznie tylko ludową, amalgamat szlachcica i chłopu, wytworzony przez historią kraju. W usposobieniu i animuszu przeważa szlachcic, w wychowaniu i trybie życia, chłop: postać to w każdym razie gminna, którą wszakże swoboda socyalna, obok nędzy więcej, może niż chłopskiej, odznacza wpośród innej czeredy wiejskiej.

Nieoceniona to zasługa Kraszewskiego, że on jedyny jeszcze schwycił ten znikający, a dziś zapewne już całkiem zanikły, typ osobistości ludowej, zwaną Budnikiem. Gdyby nie on, po zupełnem zniknięciu, możeby już nie miał go kto wskrzesić, a jednak czytaliśmy rozmaite ciekawe rzeczy o Parryżu, o Alpach i Nilu, przez Polaków pisane. A tém łatwiej było mu schwycić tę postać, że na nią spoglądał często. „Budników, — pisze w jednym z listów prywatnych, — miałem w Hubinie chat kilkanaście u siebie, spotykałem ich ciągle. Pamiętam, że niejaki Szadurski, gdy mu przychodziło kilka dni obowiązkowych w dodatku do czynszu oddać na mojem polu, stawiał zawsze więcej snopów, niż chłopci. — Pytam go raz, dla czego się tak zмага: Ano, niechaj znają, co szlachcic może, — odpowiedział. Miłość własna była i w nim, a buta szlachecka“.

Klasa ta ludu znaną jest głównie na Po-
lesiu Wołyńskim; a odrębna obyczajami, narzeczem, wyznaniem i twarzą od miejscowego żywiołu, używa miana Mazurów, częściej Budników, od lichych chat i jakby tymczasowych, które im służą za schronienie. Pochodzenie tych osadników wyświeca pierwsza z tych nazw, dochowany nieco akcent i obyczaje: czas przybycia ich oznaczają na kilkaset lat, ale czy ich tu burza jaka zagnała, czy potrzeba zarobku, czy inna jaka przyczyna, niewiadamo. Prócz nazwisk szlacheckich, rodowych, żadnych piśmiennych dowodów pochodzenia swego nie dochowali: jedynymi oznakami jakiś obrazek pochodzenia koronnego, jakaś szabla zardzewiała, po przodku rycerzu, może konfederacie, której potrzeba już nie przypasze, ażeby nie być śmiesznym, ale ją zawiesi na ścianie i przechowywać będzie, jak skarb rodzinny, którego początku zapomniał.

Nie stanowią oni ludności zbitę w jakiś osobny zaścianek, ale rozrzucają się po lasach i puszczech, u ruczajów i podłe dróg, a tak w jednej okolicy siedzi ich osobno po kilka i kilkanaście rodzin. Pomimo jednak rozstrzelania, nie znieśli się z ludem miejscowym, mając się za coś wyższego, przez pamięć na pochodzenie, i wreszcie na swój stan wolny. Zajęciem ich było trzebieenie lasów, wyrabianie belek, kłapek, smoly, dziegiu, potażu, i dopóki lasów starczyło, najem taki mógł im się oplacać. Życie osamotnione, leśne, półkoczujące i dzikie, wpłynęło na wytworzenie odpowiednio dzikiego obyczaju, energii i siły; wyniszczenie lasów stopniowo doprowadziło ich do nędzy.

W jednym z takich lasów, napół już zniszczonych siekierą budników, osadza autor Bartosza z rodziną, złożoną z drugiej żony, odziedziczonej po bracie, oraz z syna i córki z pierwszego małżeństwa. Nie wiem, jak tam długo autor chodził za takim budnikiem, aby go śledzić; ale to pewna, że trudno o coś bardziej żywotnego, jak ten obraz życia, który tu się przedstawia, tak że niewiadamo co bardziej podziwiać: treść czy akcesorya, które sposobem wykończenia dochodzą do znaczenia treści. W całym opisie panna jakaś atmosfera leśna, śni się się wciąż przy czytaniu jakiś daleki krajobraz zielony, pełen drzew, poprzerzynany drożynami, w którym to jeziorko błysnie, to gaj zaszumi, to zwierz przemknie rogaty, to łąka wyrzy słoneczna śród cienia otaczających gestwin. I po takim to krajobrazie przechodzisz kilka godzin, zawiadując o chaty, podsłuchując rozmów charakter-

stycznych, ocierając się o postacie dla ciebie nowe, ciekawe, z innego świata, a przecież tak głęboko ludzkie i polskie. I z tych wszystkich posłuchów wywiązuje się zwolna historia straszna, wzruszająca, przy której serce ci bije z natężenia, uwagi i żalu.

Bo biedny to ten twój bohater, ojciec rodziny, ciężko zmuszony pracować bez nadziei lepszego jutra. Żona jego, pospolita kobiecina, przybita nędzą, w oczach zagastyłych przedstawia nie rezygnacyjną szlachetność, ale raczej gotowość nawet spodlenia się, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszej doli. Syn, to rodzaj dobrotliwego guoma: silny jak zwierzę, strzelec nieporównany, ale jak zwierzę nieociosany i głupowaty. Jedynym zjawiskiem przyjemnym, córka zaledwie wychodząca z lat dziecińczych ku dziewczęcości: blada, wysmakła, gietka, o czarnem oku, przemawiającą namiętnością, w ubraniu nędznym, ale już tak ułożonym, ażeby stroiło wdzięczne; ze wzrokiem błędnym, ale głęboką zadumą świadczącym, że ona myślami i nadziejami pomknęła kędyś daleko za chatę i lasy, a wtedy tylko budzi się z zadumy, kiedy ktoś przypadkiem wymówi przy niej imię panicza ze dworu.

Nad taką to rodziną trzyma opiekę Bartosz, siwiejący nieco starzec o pięknem czole, obliczu nie idealnem wprawdzie, ale pełnem wyrazu i energii. Oblicze to wyciosane jakby z kamienia, a namaszczone myślą jakiśś tesknoty i smutku niepokieszonego, obramowane wdzięcznie krótko przyszytą brodą. Wzrost jego wysoki, ramiona olbrzymie. Ubranie składa się z szarój, krótkiej kaptoty, pasem czerwonym ujętój, z szarawarów grubych płóciennych, zakończonych łapcianami o skórzanych sznurach. Na głowie czapka mała bez daszka; przez plecy przewieszona strzelba myśliwska i torba borsucza.

Takim jest mniej więcej portret Budnika zdjęty z powierzchowności.

Wewnątrz Bartosz odpowiadał tym rysem. Nie lekceważąc ludzi swojego stanu, stronił jednak od nich, czując się naturą wyższm. Wyżsi znówu od nich nie umieli go ocenić, bo sukmaną zakrywała im człowieka; w karczmie nie bywał, nie cierpiąc żydów, których nazywał pijawkami: jedyną jego rozrywką była przechadzka wśród ciszy lasu, z którym od urodzenia się zrósł. Niepokonany myśliwy, nigdy próżno nie wracał; a w braku zwierzyuy, przyniósł, stosownie do pory, jagody lub grzyby, ziola lekarskie, korę, sprzętek jaki wystrugał, siła na ptaki, i tym sposobem czas zawsze użytecz-

nie przepędzał, pracując. Zdawało się że praca tylko daje mu zapominać jakąś wielką a utajoną boleść. Wyższość natury i życie niepokalanie szanowali w nim bracia budnicy, uważając go za swego patriarchy, doradcę, moralnego zwierzchnika. Znał on ich wszystkich, stosownie do okoliczności pocieszał, ratował lub bawił. — „Myśmy, — mawiał, — garścią tu obcych wygnańców; powinniśmy być tém pocziwsi, pracowitsi i lepsi od drugih, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całej i ziemi rodzinnej, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy; to i Chrystus ubogim był, i Józef cieśla się nie wstydał nazywać, pracujmy; biedniśmy: cierpmy, a nieskarżmy się, jak baby, bo to i na nie się nie zdało i ludziom śmiech“. — Obejście jego z równymi, było ludzkie, uczciwe, ale szło nieco z góry. Siedział w nim jakiśś atawistyczny sposóbem szlachcie cnotliwy i butny, zaklęty w chłopca. Cóż to będzie, jeżeli okoliczność jaka stawia go w kolizji z wyższm od siebie stanowiskiem, choć może mniej wysokim naturą? Okoliczność stawiała go w kolizji z bydlęciami, zaklętem w szlachciea.

Studyując wyłącznie tu żywioł ludowy, pomijamy wszystkie charaktery szlacheckie, jakie się przewijają po tych utworach; inaczej z wielkiem zadowoleniem zajrzelibyśmy do dworu, ażeby przypatrzeć się młodemu paniczowi, którego zaślepiona matczka (wdowa) ubóstwia, i przy pomocy swego francymern, przysposabia w nim swemu małemu państewku na swym małym dworze, małego Heliohabala, wszystkie dziewczęta okoliczne jakiego bądź stanu, z różnicą tylko wieku i wdzięku, czyniąc bezwiednie ofiarami jego bardzo kochliwej kompleksji. Do takich to ofiar należeć miała Julisia, córka Bartoszowa, którą panicz od czasu do czasu w swych gonitwach leśnych nawiedza, zatrzymując się przed chatą, zawsze pod jakimś ważnym pozorem.

Bartosz przewiduje skutki takich uprzejmości, i spogląda na panicza wzrokiem tak wdzięcznym, że ten wolałby mniej uprzejmości. Łatwo odgadnąć wzruszenia biednego starca, zagrożonego we czei swój i miłości. Wprawdzie siła jego jest twierdzą dostateczną dla całości dziewczęcia; ojciec może panować nad ciałem, ale czyż zapanuje nad duszą? A w razie śmierci, kto czuwać będzie nad dzieckiem? Czy macocha o instynktach niskich, czy brat półdyoty?.... Wydać ją za żonę?.... Ej! i to jeszcze nie stanowcza tarcza; a wreszcie któż dziś weźmie taką nędzarkę, bez chaty i posagu?

Nieszczęśliwi, którzy wiedzą, czują i przewidują! Już Bartosz raz w życiu miał boleśną przeprawę z powodu zalotów odważniejszych dworaka do swej nieboszczki żony, których skutki były okropne. I oto powód tej tajemnej jego boleści. Maż teraz córka pójść na podobną dolę?

Tém téż interesującym staje się ten charakter czysty i nieuległy, a szanujący w sobie godność człowieka, że całe jego położenie jest ciągle polem walki z żywiołami, godzącymi nań w postaci nieczystości, podłości i zaparcia godności ludzkiej.

On czysty, jak kropla rosy porannej, skutkiem umyślnego podstępny złodzieja fachowego posądzony o kradzież koni, za „pieniądz tegoż złodzieja“ przez urzędnika sprzedajnego prześladowany w sposób najbrutalniejszy,—przedstawia obraz męczennika, budzącego na każdej stacyi męczennickiej, szczególniejszą sympatyą. Cóż dopiero, kiedy po długiej drodze krzyżowej za domem, oderwany od rodziny, powraca, by się dowiedzieć, że stało się to, czego się względem córki obawiał! Skorzystano z przypadku: podstęp złodzieja względem ojca, posłużył podstępowi rozpustnika względem córki: dwaj wyrzutki spotkali się, by jeden zadał ranę w serce, a drugi w niej żelazo obrócić. Bartosz zastał córkę sponiewieraną i obłąkaną napół. Za to w chacie dostatek, porządek, strojność,—owoce współludzka łatwej pani Bartoszewej, która nie była rodzoną matką Julisi.

Bartosz jako człowiek wychowany w dziecinie, w życiu surowem, niepozbawionem poezyi, tém się wyróżnia od ludzi ewangelicznych, z którymi wiele ma rysów wspólnych, że w gwałtowności swej niepohamowany, podsycany dzikością życia, niepomny innych uraz, obrazy honoru wybaczyć nie może; a tu los drugi raz go już stawia właśnie w takim położeniu. Dotąd boleścią duszy pokutuje za uniesienie młodości, którego następstwem była przedwczesna śmierć pierwszej żony i kalectwo jej współwinowajcy: to jednak nie reflektuje go w położeniu obecnem. I pierwszą myślą jego zrozpaczonej duszy jest zemsta, kiedy woła do obłąkaniej córki:— „Dziecię moje, nie obawiaj się. To ja, ojciec, z tobą; nie zbójcy i nie łotry, jakimi cię tu otoczono bezemnie. Al nie ujdzie im to! Bóg świadek! O! nie przebaczę! Ale tyś niewinna“. I wciąż Boga, w gruncie pobożny ten człowiek, czyniąc swoim współnikiem:— „Boże!.. dodaje,—sroga kara twoja. Za brak miłosierdzia i przebaczenia, tyś mnie i dziecku nie prze-

baczył, tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola twoja!“

W rozpacz niekonsekwentny sam z sobą: bo jeżeli Bogu przypisuje taki wymiar kary za pierwsze swe niesienie, powinienby pomyśleć, że i drugie nie ujdzie mu płazem, skoro dobrowolnie wywołuje gniew Jego. Ale on się już i gniewu tego nie boi; niema w życiu już nic do stracenia, a rozpacz zasłania mu wzrok na to, co ma nastąpić po śmierci. Wreszcie, czy, jakiego pada ofiarą, wymaga rachunku sprawiedliwości. A do kogoż ten nieszczęśliwy i upośledzony parias uda się po jej wymiar?... Sam musi być sędzią i wykonawcą. Ta niekonsekwentność jego, ten obłęd rozumu, zwalzonego uczuciem, ta przysięga zemsty, wykonana na grobie honoru domu i dziecka, czyni go groźnie pięknym, po ludzku wspaniałym i poetycznym, tak, jak ten krajobraz, wespół którego atmosfery, podobne jednostki wyrastają.

W ogóle charakter Bartosza, nie przedstawiający nic szczególnie oryginalnego wespół ludzi jego hartu, tu zdobywa sobie miejsce wydatne, najprzód położeniem bojownika, walczącego wśród okoliczności dziwnych; powtóre, dzielnym kolorytem scen, w których się szczegóły charakteru jego objawiają, i na prawdziwego bohatera go wynoszą.—Powieść zaś sama, oprócz tej postaci głównej, nadająca znamiona charakterystyczne każdej prawie bez wyjątku figurze, mniej lub więcej czynnej, do najartyściejszych kompozycji naszego autora bezwarunkowo należy.

Gdybyśmy czynili ten pobieżny przegląd w porządku szczegółów i scen z życia wiejskiego, to za najbogatszą ich skarbnicę musielibyśmy wskazać: „Chatę za wsią“. Tam i liczne zaludnienie, i formalność żywiołów i szereg wypadków, nadto rozmiar utworu (trzytomowy), przy zwykłym autorowi wdzięku opowiadania, składają się na to, ażeby bez względu na brak ścisłej jedności w kompozycji, dzieło owemu nadać jedno z pierwszych miejsc w zbiorze utworów ludowych. Ze względu jednak na ideał ludowy, jaki koncentruje się w pewnych typach, oraz na tendencyjność społeczną, dzieła poprzednie nad obrazkami z „Chaty za wsią“ górują.

Powieść ta, złożona z szeregu kartek malowniczych, wdzięku niewymownie prostego, posilkuje się żywiołem wyłącznie sielskim: ale mało ma w sobie meznanego dla czytelnika, który z poprzednio cytowaniami przez nas utworami dobrą zabrał znajomość. Uderzającą jej nowością to, że w kombinacji

z żywiołami stałemi wprowadza element cygański, i na tle téj kombinacji fantazuje dramatycznie. Cyganie żywo nas zająć mogą, jako fantazya, zwłaszcza jak tu, opierająca się na gruncie rzeczywistości, i w formie nader artystycznej przeprowadzona, ale wrażenie téj fantazyi nie może być tak ściśle związane z interesem, jaki w oczach naszych przedstawia lud rodziimy: ma ona dla nas do pewnego stopnia znaczenie symfonii muzycznej, której słuchamy chciwie, bo piękna, a po wysłuchaniu, oczarowani, nielato z życiem dostrzegamy jój związku.— Czem mogą być same w sobie takie charaktery, jak wprowadzona tu Aza, dziecic burzy i ognia, dziewczica demoniczna, którą wszędzie indziej nazwałyby można szaloną, fanatyczką cyganizmu, palającą mściwą nienawiścią do ludzi osiadłych za swe wyłączenie, nawet wtedy gdy sobie sama dołę wygnać czą wybiera. Im dokładniej wyrażają się jój rysy pełne zmysłowości, nastroju chytrego kotki, która chowa pazury pod aksamitem dotknięcia, im więcej ona kocha tę wolność bezmyślną, bogdajby opłacić się mającą zniszczeniem i rozpaczą innych,—i im więcej sztuka wyda z siebie dla uwydatnienia téj natury zmysłowo uroczej, tem większy budzi ona prozaiczny wstręt moralny. Żywioł cygański, gdziekolwiek ukaże się w sztuce, nie innego sprawić nie może nad wywołanie wrażenia plastycznego form zmysłowych i energii krwi; a pod tym względem niech nas nie ludzi Esmeralda: Aza Kraszewskiego jest nierównie prawdziwsza. Wzgarda cywilizacji, beczelność życia dobrowolna, wstręt od wszystkiego, co moralnie pożyteczne, brak wszelkich zasad i egoizm nieuleczony, niemogą z siebie wydobyć nic, co by wchodziło w sferę piękności pozazmysłowej i subtelnej.

Zjawienie się téż cyganów we wsi i pobyt ich dłuższy wprowadza do niej jakiś element rozkładowy, nieszczeście. I kto by pomyślał! W rozkładzie tym zjawia się fakt na kształt owego, kiedy zając, istota najpłochliwsza w świecie i obrzydliwa przez to samęj sobie, znajdując niespodziewanie istoty jeszcze od siebie płochliwsze, nabiera ducha i buty. Kto by pomyślał, że chłop owego czasu, tak nisko położony nędzarz, jeszcze będzie miał sposobność głowę do góry zadzierać, i występować ze wzgardą równą wzgardzie fanatycznego arystokraty względem gminu. Tak się jednak stało, a to w chwili, gdy jeden z bandy cygańskiej dopomina się o rękę córki, nie już chłopą czystej krwi, ale nawet półcygana, który od dzieciństwa wkorzeniwszy się w wieś

i jój stosunki, z zapalem neofity nienawidził dawną sektę i ród swój przed nią ochraniał. W tém oburzeniu ojca przyjmuje udział rodzina i gromada; wdaniu się dworu na korzyść zakochanej pary stawia opór bierny ale nieugięty,—gotowa przypłacić go najcięższą odpowiedzialnością. A kiedy, pomimo to, nie może przeszkodzić temu, co uważa za zgorszenie, wyłącza dotknięte przekleństwem ojcowiskiem stadło ze swego towarzystwa, niby owce zarażone, obojętnie patrzy na jego marnienie, rozpaczliwe zapasy z nędzą, śmierć, i po śmierci nawet, w drugim pokoleniu prześladowuje szyderstwem, niechęcią, odrzuceniem zupełnem.

W takim postępowaniu zwłaszcza ze strony najbliższej rodziny, jest wiele bezserdeczności, ale tkwi zarazem głęboka prawda. Chłop nasz, jak daleko siedzi, wszędzie odznacza się tém zakuciem w absolutną swojskość, i ma to podobieństwo do zwierzęcia, że nie cierpi istot odmiennego gatunku, nigdy się z niemi nie łączy, w najlepszym razie zachowuje względem nich zbrojną neutralność, tolerując je tylko w imię interesu. Ale gdy przychodzi do poufального stosunku, — o! to rzecz zgoła inna.

Dalekim on jest niezmiernie od idei kosmopolitycznych. To zaś ma wspólnego z resztą ludzi, że pojęcia arystokratyczne względnie do tego mikrokosmu, w którym żyje, wyrabiają się u niego i wszczepiają silniej, niżby kto sądził z jego powierzchowności. Ród gospodarski a komorniczy lub parobczany; ród dawno we wsi osiadły a świeżo przybyły,— wielka to różnica w heraldyce wiejskiej. Cóż dopiero porównanie chłopca osiadłego z cyganem, włóczęgą i poganinem.

Ten rys charakteru chłopskiego, tak trafnie tu wprowadzony, przypomniał nam wszystkie nasze własne w tym względzie spostrzeżenia; a w powieści niniejszej on to jest osią obrotu całej machiny perypetyi i obrazów, z których nareszcie wykluwa się pewien charakter, w swoim rodzaju ciekawy.

To dziewczynka pary przeklętej, znana we wsi pod nazwą *cyganuchy*, która odtańd pochłania całą uwagę. Sierota, obca wśród mnóstwa ludzi, wśród wujów i ciotek, sama jedna jak dusza pokutująca w „chacie za wsią“, zbudowanej pod cmentarzem herkulessowym wysiłkiem jój ojca, który się z nędzy i zgryzot nieopodal w lesie powiesił, a do czego mu zarówno cyganie jak i chrześcianie pomogli, — gdzie matka jój odumarła, pozostawivszy dziecic bez chleba

i bez opieki. Nasz świat kamienny nie zna takich wypadków, i trzeba dopiero zapuścić się w głębie puszczy i błot, ażeby na łonie natury nagięć dopatrywać się tajemnic jej dzieci. Po ojcu mała cyganiełka odziedziczyła energią i duch samopomocy, po matce ~~dużę~~ po obojgu urodę i nędzę. Za całą jej przyjaźń i towarzystwo, stara znachorka, mąż jej, ślepy żebrak, i jakiś podobny jej paryas wiejski, z głupia frant parobczak.

Ci przyjaciele, z szeregow ostatniej demokracji sielskiej wybrani, namawiają dziewczynkę, ażeby udała się gdzie za kawałkiem chleba na służbę, przyrzekając pomoc, grożąc, że tu zginie sama jedna. Ale Marysia, ani słuchać o tém nie chce: — „Zginąć, to zginę, — powiada, — a taki ztąd nie pójdę, — to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jej nie porzucę. Myśm tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła.... ona tu zmarła. Al! nie! nie! to święty kąt dla mnie, ja nie porzucę chatynki mojej.“

I na podziw całej wsi, żyje to nieboże, najsamprzód pracą rąk swoich, kądziela, przedąc za zapłatę dla bogatych gospodyń, a przytém pomocą tych lichych opiekunów, którzy sercem i radą, groszem uzbieranym lub wiktuałem podebrany, czasami zasila głodniaków. Latem, zwykłą siedzibą jej cmentarz i grób matki, z kąd widać chatę, jak na dłoni; zimą, izba jedyna w chacie zimnej, rzadko opalanej; towarzystwem nie me stworzenia, które ją pokochały. Opieka przyjaciół czuwa nad nią zdaleka; zbliżka podtrzymuje ją pogoda duszy, pewność siebie i radość, że nie opuściła świętej dla siebie ojcowizny.

I trudem a ładem, pomysłowością naiwną a praktyczną, wyrasta to na dziewczę urodziwą, o której energii i wdziękach urości rozchodzą się po wsi. Ciotki ujęte opowiadaniem o niej cudów przez starego żebraka przybyszą pierwsze, aby ją poznać i jałmużną jaką podeprzeć. Zastają tyle imponującej wyższości i wdzięku, że odcho-
dzą zawstyżone, nie śmiać się ofiarować ze swemi datkami. Ukazanie się jej w cerkwi zwraca na nią powszechną uwagę, a kiedy kobiety po nabożeństwie zastanawiają się, jakim sposobem dziewczyna ta w takich warunkach, gdzieby każde inne dziecko w kilka dni zginęło, mogła sobie poradzić i tak na podziw się udać, jeden tylko przyjeźdźca był komentarz, dostarczony przez najstateczniejszą. — „Czekajcie no! mówiła ona, — nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam. Matka jej była charakternica: za-

wsze miała, slysze, mleko, choć krowy nie było; wetknęła kołek w ścianę, poszeptala, i doila, jak krowę. Mąż jej był charakternik; to wszyscy wiedzą, że z/ł mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upierami być muszą i do swojej Doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać i karmić. To nie może być inaczej.“

Słowa te domyślniej staruszki wypowiedziane z namaszczeniem, poszły w obieg pomiędzy lud. A że nie się przedtę nie czepia ludzi, jak myśl najdziksza śmiało im w oczy rzucona, więc zaraz uwierzyli w upiórów. Każdy dorzucił jeszcze coś swojego, tak że od niedzieli do niedzieli, już w drugim końcu cmentarza rozpowiadać zaczęto, jakoby Soloducha z Martynichą widziały na własne oczy matkę jej Motrunę, występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jej włosy i razem z nią przedającą w nocy na motki najemne.

I teraz dopiero wydała się nareszcie tajemnica doskonałości jej przodu, za którym ubiegały się gospodynie, a zarazem tajemnica jej urody i wdzięcznego przyodziewku. Bo z kąd oczywiście, te włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bucik, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka? Z kądże by to się wszystko u niej brało? Z nieba przecież nie spadło. Albo czy to głód i biedę znać na tej twarzy, rozkwitającej uśmiechem różanego pączka? Niejedna gospodyni mlekiem swoją karmi, a tak jej nie wygląda.... Oczywiście sprawa to nieczysta.

Tak tedy wytłumaczono sobie tę tajemnicę wrodzonego wdzięku, stylu i zaradności; komentarz ten o mało nie pozbawił jej zarobku, bo gdzież to pocziwym ludziom wdawać się z siłą pieczętą! I trzeba było całej prawdy lez i całego ich uroku w oczach Marysi, ażeby ten argument zachwiać w umyśle sceptyczejszych gospodyń.

Ale nie tu jeszcze najcięższa próba dla tego charakteru tak samorodnie wybijającego. Czas tej próby nadszedł właściwie, kiedy młody Lowelas wiejski, syn budniczy z okolicy, służący za gajowego, którego niepohamowany donżuanizm poczynił już znaczne spustoszenia po sercach różnych dwórek a nawet i o ekonomówny zawadzał — teraz za pierwszym widzeniem Maryni, zwrócił się ku „chacie za wsią.“ — Zrazu nęcony tylko nadzieją łatwego zwycięstwa młody chłopak, ufny w swe skromne leśni, czostwo, dumny pochodzeniem szlachecki mę jakby jeszcze pamiętał przysłowie o zagrodzie i wojewodzie, gniewał się tylko au

niespodziewany odpór, jakiego doznał od Marysi, ostrzeżonej instynktem cnoty i uwagami przyjaciół. Ale jak zwykle w czło-wieku, tak i w Tomka Chońskiego, wszyst-ko, co by powinno było tamować bieg na-miętności, jeszcze go silniej podbudzało,—i przedmiot dlań zakazany tén stał się pożądanym, droższym, niezbędnym, god-nym posiadania za jaką bądź ofiarę. Ta przemiana formy uczucia w Tomku spro-wadziła przemianę i w uczuciu Marysi, a to ku jój największemu nieszczęściu. Toż to ona stała na tén samém polu, tylko w odwrotnym stosunku, na którym zginęła jój matka, i taką ruiną zasypała całą przy-szłość. Uciekać jój trzeba z tego pola przekleństw. Tomek, to jedyny syn rodzi-ców dumnych, którzyby za ujmę mieli po-łączyć się z najarystokratyczniejszym rodem chłopskim, cóż dopiero z cygańskim. I daremnie ojciec, uwiadomiony o zabiegach syna, wyjaśnia to niewinnej sprawczyni je-go niepokojów,—ona wcześniej przewidzia-ła to sama, i wcześniej skazała się na ca-łopalenie uczucia, w imię obowiązku i du-my osobistej. Ona nie chce, aby wyświad-czano jój łaskę, przyjmując w dom wy-rzutka. Gdyby poszła w dom cudzy, to na prawach równych, pociągnięta miłością a zatrzymana szacunkiem; inaczej, może um-rzeć z kochania, ale nie okupi go niezado-woleniem cudzém, upokorzeniem własn-ém. Daremne w tym przedmiocie uwagi przyjaciół praktyczne; nie nie zachwieje w postanowieniu dumnego sereca.

Ale co robić? Co robić pomiędzy gwał-townymi zabiegami na śmierć rozkochanego Tomka a udłężeniem na śmierć rozżało-nych rodziców?... Bywają chwile w życiu, w których spotęgowuje się człowiek,—po-wiada autor,—w których więcej widzi, wię-ciej może i więcej czuje, niż zwykle.

Taka chwila przypadła na Marysię, któ-ra była pustelnicą, dziecięciem mogił, wy-kołysaném dumami wśród samotności, i tén wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kiero-wać nawykła. W sercu biednego dziew-częcia jawiło się przekonanie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jasnowidzenie konieczności i żal ciężki ucisnął jój serce nieprzekar-mione dotąd weselem. Nie wiedząc jesz-cze, co się stanie z nią, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić musi. Ale co robić?... Jakby z odpowiedzią na to zapyta-nie, przybywa na ten czas po długiej nie-obecności, takie ślady pobytu swego zosta-wiwszy, też sama banda cyganów, z któ-

rój obozu wyszedł jój nieszczęśliwy ojciec. I też sama Aza, w postaci kusiciela, zja-wia się przed córką tego, którego pokocha-ła zapóźno, aby ją porwać prawem krwi... Propozycya zrazu wstrętna, wobec naciśku Azy i serdecznego kłopotu Marysi, zaczy-na innego w jój umyśle nabierać znaczenia. Jak spełnić dzieło poświęcenia, to do dua. Oderwać się, zginąć, to jedyny sposób wy-lечения Tomka i uspokojenia rodziców; to jedyny sposób zerwania z niepodobnym szczęścia marzeniem, które bądź cobądź przebija się przez sieć rezygnacyi. Marysia zdolna jest do postawienia zapory nieprze-lamanej między sobą i ukochanym, do te-go kroku bezpowrotnego, do tego boha-terstwa; i po rozrzuwającej scenie poże-gnania z chatą i z całą przeszłością, ze wszystkimi drogami zabytkami niedoli ro-dziców i własnej, ustępuje namowom Azy.

Dosyć nam na tén dla wyobrażenia cha-rakteru, któryśmy skreślili, idąc wślad za natchnieniami poety. Nie przeczymy, że wszystkie te charaktery pojedyncze i na-czelne, jakie się tu przewinęły, poczynszy nawet od „Sawki,”—są to charaktery wy-jatkowe, ale w tén dla nas znaczeniu, że „*exceptio firmat regulam*.”—Mógłby ktoś nawet zapytać trywialnie: gdzie kto wi-dział takich chłopów i takie chłopianki? Ale na to odpowiada mu sztuka, że ona nie jest fotografią. I Kraszewski nie wi-dział zapewne swych bohaterów takimi od stóp do głów w naturze, jakich opisał w dziele, bo nie kopiował. Widział on je-dnak, zarówno z drugimi, rysy pojedyncze, tu i owdzie rozrzucone po indywiduach, zasłyszał podania powtarzane ust tysią-cem, jak owo, z którym poddany dla oca-lenia pani gonionej przez wilki, wyrzuca się z sani, by sobą zając żarłoczne bestye i ułatwić jój ucieczkę. Takie pojedyncze rysy imaginacya gruppuje, a sztuka wytwa-rza z nich całości jednokształtne, żyjące obrazy natury, ideały.

Autor nasz nie poprzestał na wzorowa-niu chłopca w zakresie jego sfery wieśniac-zkiej. Kreśląc go z rozmaitych stron do-brych i złych, powszednich i wyższych, nai-wnych i wstrętnych,—dwakroć zadawał so-bie pytanie: co by to było z chłopca, gdyby wyszedł ze stanu wieśniaczego i, stanawszy ukształceniem na równi z klasą wyższą, wniósł się w jój stosunki. Pytanie to można wielorako rozwiązać, i w ogólności nie przedstawia ono samo w sobie gło-bokich tajemnic. Któż z nas nie kolegował w szkołach z kilku uczniami późniejszego włościańskiego, i kto nie zna późniejszych ich

zawodów? Są oni takimiż i dobrymi obywatelami kraju, jak inni, a w miarę uzdolnień mniej lub więcej pokazne zajmują stanowiska w społeczeństwie: stan duchowny mieści ich największą liczbę.

Kraszewski jednak w przedstawieniu takich jednostek miał widać jakiś zamiar szczególny, z kwestyą ludową, która go bardzo zajmowała, połączony: oto chciał w nich wykazać pewne pośrednictwo między ludźmi jednego plemienia a jednak rozdzielonymi i to nie tylko pozycją społeczną. Jeżeli tak było, a co śmiało wnosić możemy ze sposobu, w jakim się przedmiot u niego rozwija, to przyznać mu trzeba, że miał natchnienie wielce szczęśliwe, i gdyby nie przemawiał do głuchych, wielce w błogie następstwa płodne. Bo gdzież istotnie doskonalsze pośrednictwo, niż to, które jest krwią ze krwi, kością z kości, i kędyż wzajemna ufność mogłaby lepsze znaleźć zarzewie, niż tam, gdzie z jednej strony stoi na straży wdzięczność a z drugiej nadzieja. Nieodstępna bowiem była mu i ta myśl, że w takiej masie czerni niepodobna, ażeby nie znalazła się jakaś rodzina wyższości, którą zamiast zakopywać, jak dyament w ziemię, należałoby odkrywając podnieść i blask z niej wydobyć, ażeby świeciła ziemi, która ją wydała.

Negatywnie myśl tę rozwiązuje Kraszewski, jak widzieliśmy, w „Historji kolka w płocie.“ Coście uczynili z wyższością? zdaje się pytać. Rozwiązanie pozytywne przedstawia się w *Hryciu Soroku* z „Ławrowej Pieczary“, oraz w powieściach „Ostap Bondarczuk“ i „Jaryna“, które właściwie są dwiema tylko częściami jednej powieści, w rozmaitych czasach pisaniami.— Jak się autor wywiązał z tej myśli, przeprowadzonej w kierunku pozytywnym, zobaczmy zaraz.

Nie możemy dostrzedz tego, ażeby chronologiczność towarzyszyła ściśle rozwijaniu się planu Kraszewskiego co do tendencji społecznej, jaką w utworach swych przeprowadza; zdaje się, przeciwnie, że cały porządek myśli idzie według wrażeń, nastrojonych przypadkowo, tak iż rozmaite utwory szykować należy według myśli przewodniej tej lub owiej, raczej, niżeli według porządku czasu, i dlatego dwa charaktery, wyrażające myśl prawie jednaką, jak Hryć Soroka i Ostap Bondarczuk, dzieli od siebie znaczna przestrzeń czasu, wypełniona utworami innego odcienia myśli. Kiedy „Ostap“ ukazuje się bezpośrednio po „Ułanie“ w roku 1847, „Ładowa Pieczara“ ze swym bohaterem Hryciem wychodzi dopiero w r. 1852.

Pomimo jednakiej a przynajmniej bardzo podobnej treści obu bohaterów, ważna zachodzi pomiędzy nimi różnica indywidualna co do form. I tu porządek niejako się odwrócił. Hryć, późniejszy, stanowi zaledwie sylwetkę wyraźną, ale bardzo streszczoną. Charakter wreszcie, który wyobraża ta treściwa sylwetka, przedstawia rysy spokojne, reflexyjne, coś niby ze statysty i filozofa, o sercu wielkiem, ale ohejciu chłodnem. Ostap, — przeciwnie, — to obraz rozległy, barwny, różnorodnie wypełniony: charakter namiętny, ognisty, rzucający się na oślep w przepaście za podmuchem serca. Są to z Ostapem dwaj bracia podobni, tylko jeden o naturze bogatszej, drugi o uboższej w expressyą: a że obaj w gruncie zacni i działający, więc działania ich w treści jednakie, różnią się wszakże expressyą.

Hryć od dzieciństwa, lubo kochając wieś, wydziera się gwałtem do czegoś nieznane-go, i w tém dążeniu zyskuje pomoc dziadka. Kształci się w wielkiem mieście, ale pomimo wykształcenia i zyskania form światowych, kmiotkiem pozostaje w sercu. Bądź co bądź, Hryć jest to spory kawał doktrynera; i nie wiem jak go tam przyjaciel i niegdyś uczeń z miasta mógł z zimną krwią wysłuchać, kiedy Hryć sam przez naukę podniosłszy się tak wysoko a przez życie miejskie nie z czystości duszy nie utraciwszy, powstaje przeciwko nauce miejskiej i książkowej, przeciwko miastu, przeciwko Zachodowi, a wywyższa wieś i naukę podaniową, która przekazała nam wiedzę „tajemnic niedostępnym uczonym i pojęcie świata takie, jakim Bóg opromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego“ (24). Szanujemy zapał Hrycia dla przeszłości i jego miłość dla form swoich, połączoną z miłością ziemi, ale ani jego pesymizmu względem całego ruchu nowego, ani optymizmu względem wszystkiego, co było, wziętego ryczałtem, nie możemy podzielać, i przyznam się, nawet go niezupełnie rozumiemy. Pomimo wszakże tego doktrynerstwa, Hryć z konsekwencyą żelazną dochowuje wiary tradycyom, w imię których, zatęskniony za wsią, za chatą, za braćmi, za życiem dawnem, zrywa ze światem miejskim, do którego niegdyś z taką się wyrwał gorączką, powraca do domu, by odżyć wspomnieniami młodości, zawiązać przerwana nić zajęć około roli, i cały zasób wiedzy pożytkować na korzyść braci rodzonych,—pod braterstwem tém rozumiejąc tak dobrze gromadę, jak dwór,—a swoją drogą ukochaną naukę dziejów prowadzić

dalej, tylko w inny sposób.—„Tu jestem u źródła dziejów,—powiada tym nieco paradoxalnym tonem,—i czerpie je nie z suchych kart, gdzie mi klótnie o lata nieustannie obraz rozrzucają (nie sądzimy, nawiasem mówiąc, ażeby autor *Litwy* takie tylko znaczenie na seryo przypisywał krytyce historycznej).—ale z mogił, z ziemi, ze starych pamiątek dziadowskich, z drgającej powieści, którą kmić wieki powtarza, z pieśni, którą nawykł śpiewać, z języka, którym mówi“ (25).—Studia wszelako archeologiczne, w trakcie których widać i sam autor pisał tę powieść z sercem, rozkollysaném ich powodzeniem,—nie przeszkadzają Hryciowi a raczej pomagają mu do utrzymania we wsi patryarchalnego ładu, o którym szerzej mieliśmy sposobność poprzednio powiedzieć. Jego zabiegliwość i poświęcenie się dla wspólnej sprawy, rola opatrnościowa, jaką wygrywa względem dworu, są to tylko następności tych zasad, które głęboko w duszy jego utkwiły.

Takież sam grunt moralny leży na spodzie charakteru „Ostapa Bondarczuka“, ale bujniej i w sposób nierównie więcej malowalniczy rozrastają się jego formy. Ostap jest dziecięciem ludu, wychowaném *po pańsku* nie w skutek wzajemnej pomocy, leżącej w systemacie wsi, jak w „Ładowej Pieczarze“ Hryć, ale w skutek prostego przypadku, który mu, jako dziecku, nastręczył sposobność zobowiązania pana. I panu hrabiemu nie byłaby nawet przyszła do głowy myśl wywdzięczenia się, a tylko pani, kobieta uczuć delikatnych, stała się jej matką niejako i wykonawczynią. Wielka też różnica w powrocie do domu Hrycia i Ostapa. Hryć wraca jak do siebie, do rodziny, z okiem śmiałym, swobodny. Ostap, wracając pełen światła i nauki z Berlina, jako doktor medycyny, drży ze wzruszenia, nim się ukaże dziedzicowi, którego zna usposobienie dla ludzi skąpych. Przygotowany na upokorzenie, nie może się jednak powstrzymać w trwodze na myśl, ile ucierpieć będzie musiało jego, dziś tak wydelikatnione, uczucie godności ludzkiej.

Ale dlaczegoż doktorowi medycyny wracać w poddaństwo zardzewiałego w przesądach despoty? zapyta kto. Ha! w tém też leży cały charakter Ostapa, wzniosłego marzyciela ludowego. Dwa jego rysy najcenniejsze, to miłość dla swoich, dla braci po niedoli,—i godność osobista, posunięta poza granice wszelkiej rachuby. On jest „dumny swém chłopstwem“ i za nic w świecie nie oddałby tego klejnotu pierworodnego. Przez tę dumę nie chce być nic niko-

mu dłużny, a wszelką przysługę wypłacić z lichwą; dłużnym zaś czuje się dziedzicowi za pomoc w edukacji, braciom czuje się dłużnym przez solidarność krwi.

Synowiec dziedzica, Alfred, razem z nim wychowujący się na uniwersytecie, chłopiec serdeczny a kochający go, jak brata, musi mu dobrze nadskakiwać, ażeby, mimo całej wzajemnej przyjaźni, nie urazić jego dumy. I często, kiedy mu Alfred mówi:—tyś mój przyjaciel,—Ostap odpowiada z pewną afektacją:—wasz poddany!... Jedynym przecież powiernikiem jego utrapień w chwili powrotu do kraju jest ten Alfred, który poradzić sobie nie może z tą naturą tak dziko wzniosłą i nieugiętą, a stojącą na rozdrożu w wyborze między dwoma udręczeniami.

Serce go ciągnie do kraju, a boi się, drży, ziębnie. Wiele swym panom winien, ale wiele i cierpi przez nich; naczół go wzięli sierotą i wyrzucili z miejsca właściwego... Pomiędzy nimi on paryas. Ani wychowanie, ani talent, ani cnota, ani nic w świecie nie zastąpi dla nich urodzenia. Wić, co go z tej strony czeka. Wrócić między swoich?... Świat ducha i myśli rozgranicza ich od siebie: pozostaje więc sam jeden, wyjątkowo, na stanowisku osamotnioném, wyłączeniém, boleśném... A nie wracać do kraju nie może. Panom wszędzie jeden jest świat: jego ciągnie ziemia, wioska, stara chata obalona, cmentarz wiejski, wszystko! On tam na obczyźnie żyje, jak igła magnesowa, sercem wciąż zwrócony na północ. I gdyby nawet potrafił zaprzeć się na wieki ziemi rodzinnej, czyż nie ma obowiązku powrócić tam, gdzie go oczekuje dziedzic, dobroczyńca, któremu właśnie ubył felcer ze szpitala wiejskiego i Ostap przyda się, aby go zastąpić.

W tych tu uwagach, gdzie prawda łączy się nicią namiętności z paradoxem, mniej więcej streszcza się położenie bohatera i zarazem jego charakter, w którym góruje uczucie bezwarunkowe obok prawości i dumy. Trudno opisać upokorzenie, ze względu na wyjątkowo a nizekzemnie pyszny charakter hrabiego,—jakiego doznaje Ostap za przybyciem do domu, gdzie dusza na dwie połowy rozdziera mu się z jednej strony widokiem nędzy i zezwierzęcenia braci chłopskiej, z drugiej przeczcuciem własnego losu. Darcennie jednak zgorszony przyjęciem jego przez stryja Alfred nakłania go, ażeby udał się z nim razem do jego dóbr, leżących w sąsiedztwie, ofiarując się wykupić go razem z całą rodziną.—„Cała więc mi rodziną! odpowiada mu nato Os-

tap,—wszyscy ci biedni braćmi, jedna w nas krew, a krwi siła potężna. Czuję to w tej chwili. Chyba byś uwolnił wieś całą i pozwolił mi zabrać kości rodziców; inaczej ztąd pójsz nie potrafić... Nie mów że się na nic biednym braciom nie przydam: słowo pociechy, grosz posiłku, są wielką dla nich rzeczą.“

Bądź co bądź pocziwy Alfred, stojąc między fanatykiem dumy arystokratycznej i fanatykiem dumy chłopskiej, zdołał wydrzeć Ostapę i zabrał go do siebie... ku wielkiemu nieszczęściu wszystkich. Oprócz samej głowy domu, reszta rodziny uparcie chce widzieć w Ostapie człowieka... dotyczy to mianowicie córki hrabiego, przyrzeczonej Alfredowi i przezeń ukochanej. Jak się to stało, mniejsza; dosyć że Ostap, świadomy nieukrywaną wreszcie dla siebie życzliwości hrabianki i sam głęboki dla niej uczuciem przejęty, tyle przemieszany, żeby nie rozłączyć się z miejscem rodzinnym, musi zadać sercu ten gwałt, nateraz podwójny, ażeby się oderwać od wszystkiego, co kocha, a w sobie i poza sobą pozostawić ruinę szczęścia. Wprawdzie po jego odjeździe łączą się Alfred i Michalina węzłem małżeńskim, ale pomiędzy ich duszami stoi nieodżegnany cień Ostapę, któremu serce hrabianki wiernie pozostaje. Dziesięć lat czasu zaprowadza wielkie odmiany w stosunkach zewnętrznych. Hrabia ojciec umiera, Michalina pamiętna pragnień ukochanego, które są dla niej świętością, usamowlaśnia jego biedną rodzinę, wyposaża; Alfred odkrywa, przypadkowo, w głębi jarów podolskich, drogiego wszystkim zbiega, który, niby pustelnik średniowieczny, oderwany od świata, naukę swą poświęca dobrem okolicznych nędzarzy, ale do wyjścia z pustelni nakłonić go nie może. —„Nie jestem już tym berlińskiego uniwersytetu wychowancem,—powiada doń Ostap,—którego znałeś dawniej. Suknia inna, myśli inne, wszystko się we mnie odmieniło. Jedno pozostało dawne: przyjaźń i wdzięczność dla ciebie, a przekonanie, że między wami nie ma tam miejsca dla mnie.“

Żał było autoremu rozstać się z tą sympatyczną postacią, walczącą z fatalizmem losu i własnego serca. Wracę więc do niej raz jeszcze po dość długiej przerwie, ażeby uzupełnić ten charakter nowymi rysami wzniosłości i poświęcenia. Przerwane natchnienia trudno powiązać tak, ażeby ta przerwa nie zaznaczyła się i w samej artystycznej robocie. Nie wglądamy też bliżej, czy dobrze umotywowanym jest nowe

przybycie Alfreda do Ostapę, i czy ten Alfred, tak zany, mógł przez rozpacz, że nie może dobić się do serca żony, zniszczyć moralnie i materialnie do tego stopnia, iż nie widzi dla siebie innego ratunku nad jakąś awanturę, umyślnym pojedynkiem wywołaną, ucieczkę za granicę; témbardziej iż niedawno, kiedyśmy go widzieli w podróży z żoną, nawiedzającego pustelnię Ostapę, nie podobnego stanu nie zapowiadało. Teraz, zrozpaczony, gotowy prawie do samobójstwa, a po dziesięciu przeszło latach pożycia z żoną, opowiadający Ostapowi z rozdrażnieniem szaleńca wszystkie tajemnice serca i wybryki gorączkowe, zdumiewa nas straszną niespodzianką. Uchodząc, żąda on od Ostapę wielkiej ofiary: ażeby rzucił swą pustelnię wiejską i udał się do jego domu, jako opiekun żony i dziecka, pełnomocnik wszystkich interesów, które znajdują się w najopłakańszym stanie. Błaga, zaklina na przyjaźń, zobowiązuje, i zobowiązawszy, chroni się, pozostawiając w ręku Ostapę cały instrument pełnomocniczy.

W takim nastroju uczuć, chwila to rzeczywiste dla Ostapę straszliwa. Powody wewnętrzne, które go skłoniły do opuszczenia tych drogich miejsc rodzinnych, nie ustają bynajmniej. Wić z ust samego Alfreda, że Michalina kocha go po dawnemu, w sobie czuje ranę pogłębioną tylko, ale nie wyleczoną. Michalina jest, według opowiadania męża, aniołem poświęcenia i cnoty: małżonko zbliżyć się do niej i wystawić dwa serca niepokalane na pokusę wzajemną? A jednak trzeba spełnić prośbę przyjaciela. Tylko jak? W tém leży najżywszy interes sytuacji, dotyczący tego niepospolitego wśród ludzi charakteru. To próba jego najwyższa.

Tém bardziej, że kolidują ta trafia na moment wielkiego zniechęcenia Ostapę, kiedy brak szczęścia mocno mu się dawał uczuwać. Posiadał on wszystko, czego potrzeba człowiekowi, ażeby używać wszelkiego dobra, jakie daje młodość, wykształcony umysł, zdolność, myśl rozległa, słowem cywilizacja, a zamknął się w swym sieroctwie, odwrócił oczy od uciech właściwych sobie, sercu nakazał milczenie, błogosławiąc i tym, którzy go wyprowadzili ze stanu zwierzęcego a do godności człowieka podnieśli, i żalując, że wyszedł z tego stanu, kiedy tyłu jego braci bije się w ciemnościach. Ten stan jego serca, w którym zaparcie równa się prawie ubłogosławieniu, nigdzie lepszego podobno nie znajduje komentarza, jak w tych wierszach Szyllera:

„Zwei Blumen blühen für den weisen Finder,
 Sie heißen *Hoffnung* und *Genuss*.
 Wer dieser Blumen eine brach, begehre
 Die andre Schwester nicht.
 Geniesse, wer nicht glauben kann. Die Lehre
 Ist ewig, wie die Welt. Wer glauben kann, entbehre!
 Die Weltgeschichte ist das Weltgericht.
 Du hast gehofft, dein Lohn ist abgetragen.
 Dein Glaube war dein zugewognes Glück!“
 (Resignation).

W tym wierszu rzeczywiście reassumuje się stan duszy Ostapa i jego smutny monolog, zwłaszcza kiedy kończy go słowami: — „Niema bo innego szczęścia na ziemi nad nadzieję i widzenie szczęścia; potem wspomnienie widzenia, mara wiary i nie więcéj. Szczęście wielkie, marzone, nie byłoby trwałém, i któż wie, możebyśmy jak w bajce o Meluzynie, njrzeli wdzięczną jego postać, przeistaczającą się w potwór ohydny, możebyśmy za życia nawet wspomnienie szczęścia stracili. Więc tak lepiej, lepiej, tak być musiało, skłóśmy głowę przed koniecznością żelazną.“

I właśnie, kiedy Ostap nrządził sobie względny spokój na tle takiej rezygnacji, która jest surrogatem szczęścia, nie takim wszakże, aby je doskonale zastępował. a przeciwnie świadczy o jego braku, — przychodzi, ktoś aby wstrząsnąć tą skorupą sofistyczną, i ukazać w dali szczęście prawdziwe... tylko niedostępne, któremu spojrzeć oko w oko potrzeba, dotknąć go nigdy.

Cóż uczyni Ostap? Czy będzie liczył na swoje siły, czy też zdobędzie się przeciwie na taką siłę, aby się przeciwko słabości sił swoich możliwéj obcą siłą zabezpieczyć? W obu razach będzie to bohaterstwem, tylko całkiem odmienném. Dla bezpieczeństwa więcéj Michaliny, niż swego, Ostap wybiera drugie... okropne. Jakoż, przedstawie się jęć, jak dawniej, w postaci wytwornego młodzieńca, dziś zmężnialego tylko wiekiem, odkryć przed nią wszystkie zasoby, równające go z towarzystwem wyborówém, korzystać z praw, jakie mu nadaje natura wyższa i uzdolnienie, byłby to środek odnowienia wszystkiego, co doń tak mocno odrazu skłoniło czuły a bezprzesądny nastrój Michaliny. Trzeba się więc obrzydzić, uniemożliwić: ~~bożę~~ część zaparcia i ofiary przyjąć dla siebie. I oto, w jaki sposób skutecznia Ostap.

Plątała się przy jego chacie dzieweczyna urodziwa i hoża, wdzięczna za uratowanie matki i przez wdzięczność wielce rozmiłowana w lekarzu, którego cała okolica wielbiła za jego bezinteresowną pomoc, a uważała zawsze za coś wyższego, pomimo że

się formą stroju i sposobem życia mało od reszty gromady odróżniał. Tajemniczość zawieszona nad jego osobą jeszcze mu dawała uroku. Ażeby więc rozdział pomiędzy sobą i Michaliną uczynić materialnie i moralnie nieprzebytym, Ostap popelnia na sobie rodzaj samobójstwa i pojechawszy, najsmprzód sam, do domu Alfreda, przedstawia się Michalinie, jako chłop z ubioru, z pokory i oddalenia, pełen szacunku, zimny, — nie wszelako o swéj ofierze nie mówiąc.

Gorzki ten środek jednak sprawia tylko wrażenie goryczy, ale skutków nie przynosi takich, jakie zamierzył Ostap. Pod tą formą szorstką, Michalina widzi tylko jakąś maskaradę, niegodną Ostapa, której mu wybaczyć nie może, i ten dawny Ostap żyje w jęć sercu, upewnioném, że on się zbudzi z chwilowego letargu.

Wszystkie trudy i zachody, cała energia, jaką rozwija Ostap dla ocalenia majątku Alfredów, błędnie w porównaniu z tą jego wielką, podwójną ofiarą, sięgającą aż do grobu. To odgraniczenie się od Michaliny w sposób, jakiego użył, było podłożeniem własną ręką ognia pod stos, na którym płonął. Bo małżeństwo jego nie mogło ograniczyć się na formie. Jaryna, figura nie usprawiedliwiająca miejsca, jakie zajmuje na tytule dzieła, — jest to sobie proste zwierzątko samolubne, kochające po swojemu gwałtownie i niemilosiernie. Opuszczona przez męża zaraz po ślubie, trwoży się i tęskni... wbrew zakazowi Ostapa, przybywa z domu rzucić mu się na szyję w obecności Michaliny, przedstawiając w całej potworności swéj tę ofiarę, jaką dla niej, dla Alfreda i dla siebie uczynił ten dziwny bohater.

Powiadamy, dziwny; bo rzeczywiście więcéj to fantazyja, niż człowiek. Nie ma co ubolewać nad podobnemi fantazyjami, które wykazują, do czego dusza ludzka szlachetna jest zdolną, ale fantazyje takie o tyle wdzięczniej i głośniej przemawiają, o ile są naturalniejszemi; Ostapa zaś szukać trzeba nieco poza naturą, może aż w granicach przesady. Skala umysłu jego i uczuć obliczona jest na miarę najwyższą, ale w tém nie ma nic niepodobnego, — owszem, potrzeba tylko, ażeby wszystkie urzeczywistnienia w czynach odpowiadały téj skali, a równowaga pomiędzy umysłem i uczuciem wszędzie była zachowaną. W pierwszym okresie życia, lubo Ostap naraża uczucie swe na pociski, przeciwko którym taki umysł, jak jego, mógłby być wynaleźć zabezpieczenie,

dobrze poszukawszy,—równowaga ta nie jest wszakże widocznie zachwiana. Za to w drugim okresie, ofiara jego z umysłem tak rozległym trudno pogodzić się daje. Jakim sposobem Ostap nie dostrzega tego, że dogadzając pewnym warunkom moralnym, nadwiera drugie, a chcąc uratować hrabiankę, rzuca jej na ofiarę, niby jakieś narzędzie, Jarynę, w której prawa ludzkie zarówno uszanować był winien? Jego wstręt do tego kroku, pasowanie się z sobą, cierpienie, świadczą o pogardzie, jaką ma dla samego czynu, podeślając mimowolnie pod nią i osobę, która jest tego czynu przedmiotem; a w miarę wielkości ofiary, którą spełnia, rośnie i to lekceważenie przedmiotu reakcyjnego. Wytłumaczywszy to na język czysto prozaiczny, znaczy to: Dla takiej istoty, jak Jaryna, dosyć będzie tego zaszczytu, iż zostanie moją żoną; a wara jej od wszelkich przywilejów małżonki, od uczucia i uniesień, które posiada inna; niechaj tam ona radzi sobie, jak może, byłem ja uratował interesa droższe. I przychodzi chwila, w której Jaryna zrozumiała nareszcie wszystko, i wypowiada to ojcu:—„On się ożenił,—jak to powiedzieć,—żeby ta pani, która go kochała dawniej, myślała sobie, że on o nią zapomniał i dała mu pokój.“ A na zapytanie ojca, że musiał jej zapewne nie kochać, dodaje:—„Gdzie tam! kto ich zrozumieł Ojciec rodzony, on ją bardzo kocha, ale kocha i męża, i nie chciał, żeby mu się psuła. Co ja dla niego!“

Ten wyrzut istoty prostej ale prawej, jest wielkiem potępieniem sercowej dyplomacji Ostapa. Może on po śmierci Alfreda i Michaliny, powrócić do swjej ustroni, ażeby uczciwie oddać się obowiązkom męża, ale niech nikt nie mówi, żeby to było w porządku moralnym i naturalnym. W każdym razie żona jego wie i wiedzieć będzie, że mu za narzędzie tylko posługiwała, że on mężem jej nie jest i nie będzie nigdy; a takie położenie nigdy męża ze strony moralności wyższej nie zaleca.

Z drugiej strony, patrząc na utwór ten, jako na tendencją, nie przedstawia się ona bardzo zachęcająco. Dlaczegoż było później ubolewać nad „kołkiem w płocie“, zapyta ktoś, jeżeli chłopą wyprowadzonego na pole światła i swobody, postawiło się wprzód i od razu w położeniu najniezwyklejszym? Jak Hryć Soroka z „Ładowej Pieczary“, tak i Ostap, po wszystkich przejściach cywilizacyjnych, zawracają między swoich, i spełniają tam pewną misję pożyteczną, każdy w swoim rodzaju. Nic piękniejszego.

Ale Hryć wykonywa to przynajmniej z weselem duszy; Ostap, przeciwnie, z rozdarciem jej na szmaty. Przypuśćmy wreszeie, że wielkość jakaś okupuje szczęście osobiste; ale piękne, sympatyczne i pożyteczne działania Ostapa ograniczają się do skali nader małej, względnie do sił jego umysłu. Wyprostowywa on kil a zająć w stosunkach wiejskich mocno nakrzywionych, udziela pomoc lekarza,—ale wszystko to w granicach jednej parafii. Skutki nie opłacają się wysileniem i ofiarą, położoną dla wyprowadzenia jednej istoty z mroku do światła, nie opłacają się zmarnowaniem szczęścia i umysłu tej istoty wyjątkowo wyższej. Gdyby Ostap nadal znaczenie obowiązkom dla swoich tęsknotą, wyrażającą się za wsią, materialnym pobytom i niejako nowym schłopieniem, z poświęceniem wszystkich, co mógł być zrobić dla idei obywatelskiej i nauki na innem polu, przestronniejszém, gdzie można dać potężne i głośne świadectwo dzielności chłopu uszlachetnionego;—gdyby, powiadamy zaniebdał tego wszystkiego, do czego jednak miał siły dostateczne, przez jakieś przywiązanie niższe do wspomnień dzieciństwa,—to powiedzielibyśmy, że Ostap jest więcej sentymentalistą niż uczuciowym, i że dogodzenie czułości swjej, jako chłop, przenosi nad wielkość Śniadeckiego, jako uczony. Takim jest jednak Ostap, jeżeli tendencją społeczną utworu chcielibyśmy w nim krytykować. Rozumien y • doniosłość wpływów z ręki w rękę, z oka do oka, z serca do serca, ale zależy to od skali. Działanie takie jest w sam raz dla Hrycia Soroki, który na tyle się podniósł, że mógł nie tak wiele ustąpić z siebie, przenosząc swą pedagogią z miasta do wioski. Ale chłopska sukmana doktora medycyny Eustachego Bondara, ucznia uniwersytetu berlińskiego, jest dla nas istotnie, jak dla Michaliny, strojem maskaradowym, zaparciem bez wyższego znaczenia, misją niedochozącą miary misyonarza.

Nie żądamy jednak żadnych poprawek w tém dziele, w którem nie przestaniemy upatrywać albo zbyt wysokiej skali charakteru, albo zbyt obniżonego jego przeznaczenia. Sympatyczność tej postaci, szlachetność ruchów jej tak pociąga, że bez względu na różnice w zapatrywaniu się, jakieśmy tu zanotowali, jest to jedna z tych postaci, które się, raz widziane, nie zapominają. Nie jest to wszakże postać, jak widzimy, ludowa, tylko jej przeobrażenie: przekonanie autora niejako, w jaki sposób zrealizować się może grunt ludowy na dro-

dze ewolucji cywilizacyjnej. Pod tym względem, choćby to było widzenie osobiste, umilknąć muszą różnice w zapatrywaniu się, lubo Ostap, w zasadzie bez względu na objaw plastyczny, stanowi ideał, prawie niedościgły, czystości duszy i poświęcenia. Ewolucja taka, jakiej on jest przedmiotem, wydaje jednostki rozmaite, od warcholów bróźdzących pojęciami demagogicznymi aż do obywateli wzorowych; zależy to od stopnia, na którym taż ewolucja się zatrzymała (niedouczków zwykle bywa najwięcej); czy stanęła tam, gdzie prostota duszy i naiwność nie zdołały się nadwerekzyć i zatrzeć, by ustąpić miejsca przymiotom wyższym; czy przeszedłszy granicę, gdzie te przymioty nabywać koniecznie potrzeba, ażeby było czém zastąpić utratę naiwności i w duszy nie pozostawić pustki, mogącej się napełniać złem ziarnem moralnym—doszła do tej granicy, w której nauka i wiedza istotnie umacnia sokiem, zamiast kaleczyć łupiną. Oprócz tego w działaniu tej ewolucji niemalą odegrywa rolę i skłonność indywidualna, wybierająca te raczej, niż inne kierunki moralne. Ilryć i Ostap Kraszewskiego pod obu temi warunkami zostają w położeniu najszcześniejszém, nie widzimy zatem powodu, dlaczego by nie mieli, bez względu, powtarzamy, na formę mniej lub więcej dokładną, być wyrazem artystycznym tej prawdy, która, jak okazało się z rozbioru ogólnego należy do istoty gruntu, dającego początek obu tym postaciom.

* * *

Pomimo obszerności wykładu poświęconego utworom ludowym Kraszewskiego, nie tylko nie wyczerpaliśmy wszystkich postaci charakterystycznych wiejskich, zajmujących w tych szeregach miejsca mniej więcej drugorzędne, zgoła pomijając postacie nieludowe, z których kilka nawet wcale

się zajmująco przedstawia, jak w „Chacie za wsią“, „Budniku“, „Kołku“ i „Bondarczuku“—ale co większa, nie odkryliśmy strony w belletrystyce najważniejszej, to jest strony kompozytorskiej. Ażeby ta strona była należycie ujawniona, trzeba by poświęcić osobny rozbiór każdej powieści i wdać się w szczegóły, nierzadko w drobnostki, mało znaczące dla treści, ważne dla estetyki. Rozciągnęłoby to pracę nad wszelki możliwy zakres, przeznaczony dla niniejszej publikacji, mającej streścić całość działalności Jubilata. Pozostawiając krytyce dalszej studia nad szczegółami artystycznymi, poprzestać musieliśmy na wskazaniu ogólnego ducha utworów cyklu ludowego i ich żywiołów głównych. Złożyliśmy świadectwo, że Kraszewski pracował dla ludu wprawdzie nie bezpośrednio, ale stawał jako pośrednik pomiędzy nim i intelligencją, przemawiając do tych właśnie najgoręcej tonem zachęty i krytyki, którym powierzono było w znacznej części kierownictwo bezpośrednie. Jaki był owoc jego dwudziestoletniej pracy, stanowczo wyrzec nie można; zdanie powinno być oparte na wyjaśnieniach bliższych i faktycznych, które czas tylko i kierunek umyślny nastreżycy mogą. To jednak śmiało przypnieść można, że tak silne zwracanie uwagi i takie jawne odkrywanie bolesnych stron kwestyi nie mogło pozostać choćby bez częściowego skutku; że przykładem zachęcało innych do zabierania głosu, do muwienia uwag i przestróg,—że tém samém przyczynić się musiało gdzieś niegdzieś do wytrzeźwienia pojęć, i jeśli nie zdołało, jak wiemy, ani na chwilę przyspieszyć pożądanego dobra, mogło jednakże miarę złego umniejszyć. W każdym zaś razie prace na tym polu Kraszewskiego świadczą o jego dobrych dla ludu chęciach, o szczególnem zainteresowaniu się dla mass cierpiących i bezbronnych.

Kazimierz Kraszewski.

PRZYPISKI.

- 1) *Ladowa Pieczara*, 10 sq.
- 2) *Latarnia Czarnoksiężka*; II, 88, 89.
Jaryna; 85 sq. *)
- 3) *Historja kolka w płocie*, 23.
- 4) *Ułana*, 8.
- 5) *Ostap Bondarczuk*, 9.
- 6) *Ladowa Pieczara*, 52.
- 7) *Budnik*, 14, 15, 16
- 8) Panna Tekla i zaufany Łokaj w po-
wieści *Budnik*.

*) Cytaty czerpane są co do *Ostapa Bondarczuka* z edycji Wileńskiej r. 1851, co do *Jaryny* z edycji r. 1850, co do wszystkich innych z edycji Ławowsko-Warszawskiej—r. 1873.

- 9) *Jermola*, 52 sq.
- 10) *Budnik* rozd. VII.
- 11) *Jaryna*, 98 sq.
- 12) *Jermola*, 7.
- 13) *Ladowa Pieczara*, 25, 62, 117.
- 14) *Ostap Bondarczuk*.
- 15) *Ułana*, *Budnik*.
- 16) *Jaryna*.
- 17) *Ułana*, 73.
- 18) *Budnik*, 112.
- 19) *Ostap Bondarczuk*, 198—210.
- 20) *Ułana*; 23, 30.
- 21) *Tamże*, 46.
- 22) *Tamże*; 59, 61.
- 23) *Budnik*, 62.
- 24) *Ladowa Pieczara*, 94.
- 25) *Tamże*, 101.

III.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

I.

1. *Capreae i Roma, obrazy z pierwszego wieku*, tomów 2. Lwów. Gubrynowicz 1875, wydanie 2-gie.
2. *Rzym za Nerona. Obrazy historyczne*.

Od roku 1858 Kraszewskiego zajęła tak silnie epoka pierwocin chrystyanizmu, że podjął studia pracowite nad literaturą i archeologią starego Rzymu, oraz przedsięwziął „prawie nmyślnie“ podróż do Włoch, „aby na miejscu studia poczynione dopełnić“. Na zwaliskach willi Tyberyuszowych, na wyspie Capri, jak wyznaje sam autor, zrodził się w jego myśli plan „opowiadania“, czyli raczej szeregu obrazów z epoki Tyberyusza, Kaliguli, Klaudyusza i Nerona, które zostały wykończone w r. 1859, a w następnym ukazały się dla czytającej powszechności, nasamprzód w odcinku „Gazety Warszawskiej“, później w dwukrotnych oddzielnych wydaniach i w tłumaczeniu niemieckim p. t. *Capreae i Roma*. Potem w r. 1864 Kraszewski znowu wrócił do ulubionego tematu i skreślił w większych ramach wiekopomną chwilę pierwszego prześladowania chrześcian p. t. „Rzym za Nerona“. Po kilku latach miał w Dreźnie odczyty publiczne, ogłoszone następnie drukiem w „Kronice Rodzinnéj“, p. t. „Wiek Katakumbowe“. Nareszcie w r. 1875, pisząc przedmowę do lwowskiego „wydania Kaprei“, zapowiedział dopełnić jeszcze tę ostatnią pracę — „tak dla nas ta epoka narodzin chrześcianstwa pozostała zawsze pojętną“.

Pierwsze z wymienionych tu dzieł nie miało być powieścią; znajdujemy nawet wyraźne oświadczenie autora w „Słóvk wstępném“, nie miało też być historią, bo tę „już raz skreśliło energicznie pióro Tacyty z siłą niezrównaną“. Wchodząc tedy

w plan utworu, powinniśmy mieć na oku, że autor chciał „w szeregu obrazów charakterystyczniejszych odmalować tę chwilę, dla całej ludzkości stanowczą, która przedziela dwa zupełnie odmienne światy, dwie wielkie epoki żywota dziejowego“. Fantazya poety ma tu posługiwać tylko do nadania obrazowi dosadniejszych konturów i barw jaskrawszych, niż te, jakimi rozrządzać może historyk, ale tak rysunek jako i koloryt musi być w zupełności zgodny z historią. O tę zgodność, a nawet i dokładność historyczną autor dbał wielce, skoro studyował Tacytę, Swetoniusza, Pliniusza, Senekę, Diona, Kassjusza, Filona, Józefa, Euzebiusza, Tertulliana, Akta Apostolskie, ułamki pism, pomniki, a nawet napisy. Dodając do tych studyów jeszcze autopsyę, czyli naoczne oglądanie miejscowości iabytków badanej epoki, przyznać musimy, że do dzieła swego autor zabierał się z przygotowaniem niezwykle pracowitem i wielostronnem. Nie dziw, że wyglądał krytyki starannéj, któraby ten ogrom podjętego trudu sumiennie oceniła. Niestety! daremnie czekał na nią lat dwadzieścia i tak długie milczenie zabołało go, że się użalił „raz w życiu“ przed czytelnikami, puszczając w świat nową edycyę: „Kaprei i Romy“.

Mylnie jednak wytłumaczył sobie autor ono milczenie krytyki obojętnością, gdy niewątpliwie było ono niemym wyrazem trudności zadania, którą ja właśnie odczuwam żywo, gdy z podziału pracy nad księgą jubileuszową przypadło mi ocenienie

„Rzymskich powieści“. Wyzuając nawet, że nie przerwałbym tego powszechnego milczenia, gdyby mi się nastręczyła inna sposobność okazania cześć dostojnemu Jubilatowi. Do wymierzenia albowiem rzeczywistej wartości w mowie będących utworów zbywa mi nie tylko na uzdolnieniu do analizy estetycznej, ale i na odpowiedniemu przygotowaniu naukowemu. Dotychczas nie podejmowałem szczegółowych badań nad rządami potomków Cezarówych, a jeszcze mniej znane mi są pierwotne dzieje Chrystyanizmu. Winienem przeto zawarować się na wstępie, że ręka moja nie ma mocy sięgnąć po szalę krytyka i że się zdołę zaledwo na artykuł sprawozdawczy.

„Wśród najpiękniejszego morza w świecie, jakby z roztopionych ulanego lazurów, pod najczystsze niebem południa, u brzegu okrytego drzewy pomarańczowemi, na których świecą wечно złociste owoce, leży, jak olbrzymi sarkofag na grobowisku przeszłości, wyspa skalista... To Capreae—uroczy kątek ziemi, oderwany od ładu umyślnie, aby swobodniej mógł dumać i sam być panem sobie“. Czarowne też było całe wybrzeże Kampanii z miastami Paleopolis i Neapolis, Surrentum, Stabie, Puteole, Baii, z nieprzerwanym pasmem willi rzymskich „o jasnych i purpurowych kolumnach, świątyni ze złocistymi dachy, kolistych amfiteatrów, zawieszonych nad morzem łaźni i kosztownym kamieniem wykładanych pieczar“. „Wszyscy mieszkańcy tych wybrzeżów zgreczonych, „brzegów czystym nieprzyjaznych dziewicom“ (Virg.) tchnęli samą rozkoszą i weselem... Jeżeli zbłąkany filozof lub skwaśniały retor—przyszedł dowodzić znikomości rzeczy ziemskich, prędko upajały go wonie, rozmarzały uśmiechy, śpiewy i wino, i kończył, bełkocząc nieprzytomny: Carpe diem! chwytaj dzionek, co ulata... I brzegi wciąż rozlegały się pieśniami, które, gdy przerwał jęk głuchy, to tylko, by po nim pieśń jeszcze dźwięczała weselej“.

A na wyspie Kaprei kryło się w zielonych gajach pomarańcz dwanaście willi Cezara, pomiędzy którymi największą i najwspanialszą była Jowiszowa. „Rozbiegały się od niej w różne strony po całej wysepce, wschody szerokie, jak ulice Rzymu, a łagodne, by i starzec mógł się po nich przechać, jeżeli mu się ramiona sług sprzykrzyły... Wyobrażenia budowniczych, co się silili na nowe, niespodziane, niewidziane, mogąc się tu rozpaść swobodnie, cud zrobiła, przypochlebiając się panu, wyszukując kształtów olbrzymich, barw nieznanych, wysadzając każdą stopę, to świecącymi krysz-

taly, to różnobarwną polewą, to całmi bryłami, na których podania starć Grecji snycerz wykuł w nieskończonę wstęde, gmach opasującej dokola.. Nawet przepaście użyte zostały dla stopy i oka, zwyciężone pracą, zmuszone okryć się zielenią, upinać kwiatami... A słupy, które podpierały strop, który izby pokrywał, posadzki, co je wyściełały, wszystko to złotem, purpurą, drogim kamieniem przyoblec się musiało“.

Przepisałibyśmy chętnie całe dwa pierwsze rozdziały, w których autor rozwinął panoramę miejscowości, bogatą w szczegóły obrazowe, świetną kolorytem, ogrzaną uczuciem poety, co się napawał bezpośrednimi wrażeniami cudownej natury, owianą powietrzem starożytności. Bo jest tu obfitość rysów historycznych, drobnych informacji archeologa i wspomnień poezji Augustowego wieku. Gdy jednak plan ogólny książki nakazuje nam oszczędność w rozmiarach artykułów pojedynczych, powstrzymujemy się przeto od pokusy i powiemy tylko, że tego jasnego obrazu użył autor za tło, na którym w całej grozie odbija się postać Tyberyusza.

Sila kontrastu jest wszakże nieco osłabiona przez wsunięcie charakterystyki ówczesnego społeczeństwa i domu Augusta, oraz biografii Tyberyusza, poczynając od rodowodu i wieku dzieciennego aż do odjazdu jego na Kaprę. Cały ten ustęp (III—VII) jest trzymany w tonie naukowym, oparty na świadectwach źródłowych, stylizowany oględnie, tak że historyk mógłby się pod nim podpisać. Wymienia autor nieszczęsne okoliczności z życia Tyberyusza—jego dwa małżeństwa tak różne, bo z ukochaną kobietą gwałtownie zerwane i z wyrodną córą Augusta (Julią), pełne sromu i bólu, ośmioletnie wygnanie na wyspie Rodos, ciężki stosunek z wpoi-potężnym teściem, konieczność ukrywania uczuć i cierpień. Tłumaczy się tym sposobem rozwój instynktów nienawistnych i obłudy, które opanują całą duszę przyszłego cezara. Obok tego przyznaje mu autor przymioty niepospolite: „Był on jako żołnierz i wódz wytrwałym na niewygody i znoje, po starorzymsku prowadząc legie do boju, bez namiotu, na wilgotnej ziemi nocie przepędzając z niemi, często jedząc na trawie, w nocy każąc się budzić za każdą potrzebą, karność strzegąc pilnie“. „Pracował w senacie, sądom pretoriańskim (właściwie: pretorskim) przysłuchiwał się z kątką, zbyt kom szat jedwabnych i naczyń złotych zabraniał... w własnym życiu okazując się oszczędnym“. „Był to jeden z tych ludzi, którzy, bojując z sobą i złemi skłonnościami swemi, wielkimi

być muszą w jakikolwiek sposób. Tyberysusz mógł też być wielkim, gdyby objawwszy spadek po Auguście, potęgą swą nieograniczoną nie oszalał, a namiętnościom wodzów nie puścił¹. Wszakże nieco niżej czytamy, że Tyberysusz w słowach tylko wielkim być usiłuje, gdy Germanik jest istotnie wielki czynami. Nawet pierwszy peryod panowania jest tylko „zajmującą sztuką sceniczną”. Idąc za zdaniem Facyta, autor podnosi wszystkie dobre czyny Tyberysusza do współzawodnictwa z bohaterem ulubieńcem Rzymu, Germanikiem, a skoro ten umarł, wtedy Tyberysusz „podniósł głowę i aktorskie zrzucił suknie — niepotrzebował grać cnoty i wspaniałomyślności”. Zaczęły się sprawy o obrazę majestatu i okrucieństwa, prorożkowane przez zaufanego Sejana, aż i ten ulubieniec uknuł zdradę przeciwko swemu panu, przez co podejrzliwość i mściwość Tyberysusza urosła do potwornej ostateczności.¹⁾

Od téj chwili autor porzuca wykład historyczny i tworzy szereg scen artystycznych.

„...U dworca Jowiszowego, nad samą zwieszoną przepaścią, na białych mozaik pokładzie, oparty o brązowe balustrady, siedział mężczyzna przygarbiony i patrzył to na szerokie morze, to na góry otaczające. Najumiejszy szelost go niecierpliwił, każdy ruch na wyspie przerażał, ale znać było, że tę boleść trawiącą starał się ukryć i choć drgnęło ciało zesłabłe, wracało znowu do posagowego spoczyku, do bezwładnej obojętności. Był to mąż lat już podeszłych, z wylisiałą głową, przygarbiony, chudy, kościsty... Oczy jego były blade i szklane, głowa poorana fałdami, skóra na policzkach obwisła i pocentkowana bliznami już zgojonych ran, obok których nowe, rozdarłe jeszcze, zaledwie krwawo poprzyśchały... A jednak w obliczu stęraném i krwią namiętności nabiegłém, w rysach téj twarzy nieszlachetnemi żądzami spalonej widać jeszcze było... jakby świetniejszej promyk młodości... Tym starcem był Tyberysusz Cezar²”.

Opodał stało, jakby czekając rozkazów, kilku ludzi skrytych za kolumny: Kajus Kaligula, syn Germanika i dwóch domowników, a Thrasyllus, astrolog i wieszczbiarz z obliczem spokojném, z długą brodą białą, w szacie filozofa, brunatnej, poplamionej i zszarzałej, przechadzał się w długim, marmurowym portyku.²⁾

Nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, od strony morza ukazała się czepiająca się po stromych skalach i po nad nie wystająca

postać człowieka. Z téj strony, budowy willi były całkiem niedostępne; zdawało się niepodobieństwem, by stopa człowieka wdarła się tedy do strzeżonych mieszkań pana. Zjawienie się więc ludzkiej postaci nad tą przepaścią nieprzystępną przerażyło niespokojnego już Tyberysusza — zadrzał więc chorobliwie, potem zbłądł od gniewu i wydał krzyk gardłowy, na który zbiegło się natchniaszt, co żyło: Cajus, filozofowie, niewolnicy i straż. Tymczasem śmialek ów był prostym rybakiem z Caprei, który chciał docisnąć się do cezara, bo złapał niezwyklej wielkości barwenę i tę właśnie chciał ofiarować mu. Sądził zapewne, że za taki przysmak otrzyma hojną nagrodę, ale się bardzo omylił w rachubie.

„Tyberysusz zadrzał; nędzny ów rybak i Grecy i Kajus obawę jego spostrzegli; pomścić się więc musiał za to i trzęsąc jeszcze, rozkazał ową szorstkiej łuski barweną, nieszczęśliwemu twarz wytrzcąć. Ze śmiechem i wyciem rzucili się niewolnicy na osłupiałego rybaka, który jedną nogą stojąc jeszcze nad przepaścią, drugą sparty o balustradę, wił się cały pokrwawiony, wołając: O! dzięki jeszcze bogom, żem mu raka, złowionego razem, nie przyniósł.

— I tu go dostaniel — rozśmiał się starzec, skinąwszy na swoich.

Z okrucieństwem nieludzkim jęczącą ofiarę wstrzymano za włosy nad skalą, dopóki nie przyniesiono raka, którym twarz poranioną, na nowo mu odarto. Naówczas nasycony skinał cezarski i nędznik ów, zepchnięty nagle, znikł na skalach, rzucony ku morzu³⁾”.

Treść téj starożytnéj sceny wzięta jest ze Swetoniusza⁴⁾, tylko że biograf rzymski zawarł ją w kilku wierszach sucho zredagowanych i że nie wspomina ani o strąceniu pokaleczonego rybaka w morze, ani o dalszych jego losach. Kraszewski skorzystał z kilkunastu napomknienia, niby z motywu, żeby utworzyć jedną z tych postaci, którei illustrował beznamiętną nędzę dolnych warstw społeczności rzymskiej. Nadał mu imię Ulp, osadził go w nieprzystępnej, niedojrzanéj dla oka ludzkiego jaskini, obdarzył go niezwykłą zrzecznością i duszą prostą „jakie opiewa Wirgili w swoich sie-lankach”, dał mu dziwny rodowód, bo tylko przybranego ojca i przybranego dziada. „I dziad, i ojciec, i ja żyjemy tu sami, bez kobiet. W Surrentum często się trafia, że matki ubogie rzucają dzieci na drogę niemowlętami, wówczas bierze je, kto chce, jeśli zwierz nie pożre. Tak ojca mego wziął dziad.... tak mnie ojciec przyniósł

nagiego i płaczącego z pod Herkulesowej świątyni.... I ja kiedyś może znajdę sobie dziecko podobne⁵⁾.

Ten ostatni rys jest bez wątpienia bardzo silny, ale kto wie? czy nie przekracza granic prawdopodobieństwa. Autor kilkoma poważnemi cytatai w odsełachu poparł fakt wyrzucenia dzieci przez starożytnych (co zresztą praktykuje się i w nowożytnych społeczeństwach), nie przekonał nas wszakże, aby człowiek wolny, chociażby najuboższy i najgłodniejszy, mieszkawiec Italskich wybrzeży, spotykający się z ludźmi, chociażby na rynku przy sprzedaży ryb, żadnemi słubami ascetyzmu nie skrępowany, mógł spędzić całe życie w samotności, nie znając kobiety, a jeszcze trudniejszemu staje się przypuszczenie, że tak żyć mogły trzy pokolenia.

Ulp nie utonął w morzu i nie był dobity przez wioślarzy cezara. Dzięki zręczności swojej zatrzymał się na urwisku i doczołgał się do swój jaskini. Żyd-lekarz Helios wygoił mu twarz balsamem, a następnie jaskinia Ulpa służyła za kryjówkę gromadce nieszczęśliwych żydów, czasowo na Kapre i zamieszkałych.

Wracając się do Tyberyusza, dowiadujemy się, że przesiadywał on, oczekując na ygnali o śmierci Sejana. Gdy na wybrzeżu Italijskiem zabłyśły umówione ognie, warz cezara rozplómięła się na chwilę usta wyszeptaly: „Stało się; żal mi tysego, ale sam sobie zgubę gotował“. Potem żał zawołać Pryksusa, piastującego urząd posługacza rozkoszy⁶⁾, mówiąc: „Czas spoznać po trudach myślenia i pracy“. Całe owarzystwo udaje się do gaju Wenery. Potęszyło się ono o kilka osób, pomiędzy tóremi znalazł się Kokcejusz Nerwa, konsul, z twarzą „piękną rzymskiego posągu, iadłą, uciszoną, chłodną“ i niezwyklej piękności młodzieniec Hypatos, ofiara bezecnej abieźności starca. Uczta zaczęła się od owcickowania, greckich i łacińskich epigramatów, któremi się cesar popisywał, odierając w zamian pochlebstwa od wystrazonych współbiedniaków. Potem ukazał się dziewczeczki „ledwie wyszłe z dzieciństwa, porwane gdzieś rodzicom i wyuczone użyć za obrazek.... na zabawkę biesiadnikom“; potem ozwały się fletnie i pieśni greckie; dziewczęta tańczyły, a w końcu na pokaz cezara stary garbaty retor musiał wskakać sposobem Doryckim. Nagle orgia przerwał wypadek niespodziewany: na łożu wojem cesar znalazł wiersze złośliwe, do ciebie wymierzone (Fastidit vinum etc. ze wetoniusza, 59). Pochwycił je „drzącą

ręką....rozśmiał się dziko.... wychylił czaszę duszkiem“, ale potem zapanował nad sobą i chłodno krytykował dostrzeżoną wadę wersyfikacyi.

Druga podobna orgia odbyła się w willi Plutonowej. I tak „codzień niemal nowe dla zużytego i bezsilnego starca wymyślano rozrywki, zmieniając miejsca, ludzi, przedmioty.... Porywano z łoną rodzin upatrzone dziewczęta, a nawet dzieci maluczkie na sprośne zabawki.... nie bronil ich ród, pochodzenie, wiek, ani płacz matek, ani rozpacz mężów, ani zaklęcia i prosby. Pryksus płałdrował bezkarnie po Surrentyńskich brzegach, w Kampanii i Łukanii.“⁷⁾

A jeszcze straszniejszym stawał się Tyberyusz, gdy się zamknął w niedostępnych swych izbach, bo wtedy nie tylko dwór i Kaprea, ale Rzym cały ze strachem oczekiwał wyroków śmierci i wszelkich okrucieństw. Autor wylicza je w długim szeregu — „krew lala się strumieniami; najbliżsi nie czuli się bezpieczni“. Właśnie w chwili takiego osamotnienia cesar „doznając w duszy dziwnych niepokojów“, przechodząc od ateizmu do zabobonności, uczynił ślub ofiarowania bogom zagniewanym ulubieńca swojego, Hypatosa, obiecując sobie odzyskanie sił straconych, gdy ołtarz Mitry zostanie krwią oblaany. Jakoż w rozdziale XVI jest opisana przerażająca processya do grotty boga słońca: „Cesar niesiony na tronie złocistym ze lwy skrzydlatemi, postępował powoli z wieńcem i tyarą na czole....Z wielkim przepychem odziany tłum zbrojny, polyskiwał od purpury i złota. Kilku kapłanów w wysokich czapkach perskich towarzyszyło cesarowi....Dwóch ludzi czatowało, oczekując wschodu słońca; na dany przez nich znak ogień z wonnego rozpalony drzewa, buchnął płomieniem jasnym....Nim mgła ta rozeszła się....krzyk boleści przeszył powietrze, krótki, urywany, śmiertelny.... Hypatos leżał u nóg cezara, poświęcony przezeń na ofiarę słońcu w samo serce wbitym nożem“.

Scena ta jest węzłem poczynającego się dramatu dziejowego: zapasów pogaństwa z wykluwającą się nową siłą duchową — chrystyanizmem. Na tej samej bowiem Kaprei w doniku kamiennym, ukrytym między skalami, niedostrzeżonym przez szpiegów Tyberyuszowych, mieszka przyszły chrześcianin, żyd Juda z młodzieńczą żoną swoją Rachelą. Hypatos był jego bratem i przybiegał w odwiedziny, wymykając się pokrywemu z willi Jowiszowej, żeby wylać boleść swoją i pomówić wspólnie o świętej Hieruzalem. Dla tych nieszczęśliwych wygnańców

zaświtała jutrzienka nadziei, gdy prefekt pretoryanów i najzaufańszy minister cezara, Makron, sprowadził na Kaprę żyda-lekarza, Eliasza czyli Heliosa. Byłto starzec, zamieszkały w Rzymie, nawpół „zgrezcony“, dawniej hellenista Aleksandryjczyk, potem nawrócony do czystego judaizmu od czasu, gdy mu plebs rzymska zabiła jedynego syna. Rozczytując się w Biblii, znalazł w niej myśl pocieszającą, że Opatrzność rządzi ludźmi, że „Bóg ludzkości opuścić i rzucić jej na pastwę zezwierzęceniu nie może“. Znal „przepowiedzenie, obiecujące przyjście Messyasza, syna Bożego, który miał się narodzić w godzinie naznaczonej, gdy świat nowego objawu widomego Boga zapragnie i konającymi usty zawoła“. Przybywający ze Wschodu podróżni przynosili już najsilniej potwierdzające wieści o spełnieniu przepowiedni; mówili o narodzonym w Betleem, o umęczonym w Hierusaleem Messyaszu, który z grobu zmartwychwstał zwyciężąc śmierć“. Oczekiwał tedy nadziei zbawienia. Na twarzy jego wyrzyły się spokój i moc ducha.

Tyberysusz w leki nie wierzył, to też i Heliosowi nie dał się badać, ale wszczął rozmowę o Judei i spytał, czego wiara żydowska naucza?

— Czei jednego wielkiego Boga! odparł Aleksandryjczyk.

— Jednego! — zaśmiał się cesarz — a jakże jeden wystarczyłby na cały świat i ziemię....

— Jak ty, Cezarze, na świat cały panujesz i wystarczasz!

Na to zręczne pochlebstwo Tyberysusz się uśmiechnął.

— Mówią, dodał pisząc coś sztyletem po cytrusowym stoliku, że Judea oczekuje przyjścia wielkiego jakiegoś władcy; że są przepowiednie u was, które zwiastują narodzenie mocarza, co świat podbije; prawda-li to?

— W księgach naszych — rzekł Hebrejczyk — jest o tym podanie, ale to nie władca wedle ciała i miecza, tylko wedle ducha. Nie będzie on panował łęgiami wielkimi i potęgą ziemską, lecz słowem i prawdą.

— Czeze wyrazi! — rozśmiał się Tyberysusz — jak może władać ten, co nie ma siły, jeno w nściech....?

I w obec uczonego Greka, lekarza Charyklesa, uwidatniła się różnica duchowa pomiędzy mądrością pogańską a nowym, jej obcym żywiołem. Odprowadzając starca do miasteczka Kaprei, Charykles filozofował z nim, przekonał się, że ten kładł na równi z filozofią marzenia nieznane i, odchodząc, rzekł: „Ci ludzie chorują jeszcze na te zęby

mleczne, które my już do dziaśeł zjedliśmy wierząc prorokom, odnosząc wszystko do Bógów.... Mysłmy już wyżej tych babskich bajek i przywidzeń. — A jednak Grek po raz pierwszy oddawna uczył się niespokojnym i nie rad z siebie“.)

Jakkolwiek Helios nie miał doradzić cesarzowi żadnych leków oprócz spokoju, przecież z woli Makrona musiał pozostać na wyspie. Przez Hypatosa poznał się zaraz z Judą, Rachelą i owym okaleczonym rybakim, Ulpem, któremu pogoł rany na podartęj nieludzko twarzy. Ta gromadka nieszczęśliwych żydów, układa teraz plany ucieczki z Kaprei. Juda i Rachel mają zabrać z sobą Hypatosa. Wdzięczny Ulp gotów jest przewieść ich w nocy pomiędzy galeriami floty strażniczej, gdy właśnie Tyberysuszowi przyszła myśl owęj krwawej ofiary i Hypatos legł pod nożem ofiarniczym. Tragiczność sytuacji wznaga się tém jeszcze, że Juda i Rachel poza drzewami i szczelinami skał ukryci, byli świadkami okropnej sceny, a nadto, że Rachel, porwana grzeszną miłością ku Hypatosowi, wbiegła nieprzytomna między rzeszę cesarową, żeby się rzucić na zwłoki ukochanego. Tyberysusz, nderzony podobieństwem tej kobiety do pierwszej swojej żony Agryppiny, zatrzymał się i spytał: „Kto jesteś?“ W odpowiedzi usłyszał przekleństwa. „Słowa wyrzeczone skazywały ją na śmierć; gniew powoli wyrastał w jego piersi, oblewał twarz i krwawymi zabłysnął oczyma, ale zarazem przywykły mu towarzyszyć uśmiech, zjawił się na spalonych wargach. —

— Na stos oboje! — rzekł do otaczających.“

Epizod o miłości wzajemnej, chociaż tajemnej, pomiędzy Hypatosem i Rachelą, zbyt cenny zapewne w charakterystyce pogaństwa i judaizmu, a nawet niedość jasno wymotywowany z analizy psychologicznej charakterów, ma jednak racją bytu i cel swój w kompozycji artystycznej. Oto boleść, jakiej doznawał Juda, ma przygotować i urobić serce jego do przyjęcia „dobręj nowiny“ — Ewangelii. Bo wkrótce Tyberysusz opuścił Kaprę, żeby się udać do Italii w ostatnią swą podróż. W orszaku jego pociągnął Helios, a za Heliose m Juda, którego nie już nie zatrzymywało na wyspie. W końcu pierwszej części dzieła znajdujemy jeszcze pełny ruch, barw i szczegółów archeologicznych obraz Kampanii ówczesnej; tu w mieście Neapolis, Juda otrzymał miejsce dozorey w jednym z domów bogatego żydalieliwiarza Hananiasza. A Tyberysusz błędził po Kampanii, dokoła Rzymu, trawiony śmiertelną chorobą, lecz ukrywający ją na-

wet przed spadkobiercą swoim Kajusem Kaligulą i prefektem pretoryanów Makronem. Ci jednak byli już w porozumieniu i czyhali na ostatnie tchnienie cesarza. W Puteolach na łożu biesiadniczym, wychyliwszy z wysileniem kilka czar wina, Tyberysz opadł nareszcie wyczerpany, przyslanając sobie twarz końcem szaty. Zaniesiono go do sypialni, lecz u drzwi stanęli z uchem do ściany przyciśniętym Kajus i Makron. Nieprzerwane milczenie ośmieliło pretoryanina wejść do wnętrza sypialni; chciał zdjąć pierścień z ręki, gdy w tém zmarły „podniósł głowę, otworzył oczy straszliwie i uśmiewał się złowrogo“. Wtedy Makron kazał niewolnikom narzucić poduszki na to ciało, to jest udusić żyjącego jeszcze.

Takim jest pierwszy obraz dramatyczno-historyczny, któremu Kraszewski dał napis: „Capreae“. Już z podanych tu zarysów czytelnik domysli się, że jest w nim obficie scen wzruszających, myśli podniosłych, pejzażów uroczych, charakteru historycznego. Rysów drobnych, a tak potrzebnych do uplastycznienia zaginionej przeszłości jest tyle, ile ich niepodał przed Kraszewskim bogdaj żaden pisarz polski, poczynając chociażby od Zygmuntowskich czasów. Nasza powszechność niewiele okazuje zamilowania do rzeczy starożytnych, a do archeologii objawia nawet niechęć wyraźną; historykowi więc albo archeologowi specjaliście możeby nie uszła taka obfitość szczegółów co do stroju i architektury, sprzętów domowych, służby, nazw nieznanych, wierszy łacińskich i greckich, ile ich sypnął pełną garścią ulubieniec czytającej społeczności naszej.⁵⁾

I osoby w akcyą wprowadzone trzymane są ustawicznie w świetle historycznym. Tyberysz, Kajus, Makron, żona jego Ennia, Pryskus, piastujący haniebne „officium a voluptatibus“, astrolog Thrazyllus, Kokcejusz Nerwa, lekarz Charykles, wzięci są ze Swetoniusza i Tacyty⁶⁾ ich główne czyny i ruchy, a częstokroć nawet słowa, dadzą się poprzeć dosłownymi cytatai tekstów. Nie napotkaliśmy w znanych nam źródłach Heliosa, ani téż wzmianki, żeby do Tyberysza wolany był żyd jakiś; jestto zapewne postać utworzona na wzór Filona Żydowi-na, hellenisty Aleksandryjskiego. Rachel, Juda, Hypatos, ustęp miłośny i straszna scena ofiary słońcu, są utworami wyobraźni, wszakże nie wykraczają poza granice możliwości historycznej. A więc przyznajemy obowiązanym, że w Kaprei Kraszewskiego pierwiastek historyczny jest ściśle

utrzymany. Do kreacyi artystycznej ta dola wystarcza zupełnie.

Gdyby jednak szanownemu autorowi zależało na dokładności naukowej, na odtwarzaniu rzeczywistości dziejowej w prozaicznej szczeroci, w takim razie musielibyśmy podnieść parę kwestyj spornych. Nie godzimy się na charakterystykę Tyberysza, widzimy zbyt dużą jaskrawość a nawet—niemożliwość historyczne w obrazach życia Kaprejskiego.

We wstępnym, historycznym przeglądzie Kraszewski przyznaje wprawdzie Tyberyszowi przymioty niepospolite umysłu i charakteru, mianuje go nawet wielkim, jakśmy to wyżej zaznaczyli, ale nieco później zmienia swój sąd, mieniając go wielkim tylko w słowach, gdy Germanik miał być wielki czynami, później znów robi go już tylko aktorem¹⁰⁾, a nareszcie w obrazach, które właśnie najsilniejsze czynią wrażenie i nawet zacierają w pamięci one sądy pierwotne, Tyberysz występuje tylko jako potwór rozpusty, okrucieństwa, obłudy, tchórzostwa. W tych obrazach skupione są wszystkie okropności VI księgi Tacytowych Roczników, nie przepuszczono żadnej prawie anegdoty Swetoniusza (prócz niemożliwych do powtórzenia w obecnych warunkach piśmiennictwa), a dodatki dowolne, sceny fantastyczne i skrócenie czasu akcyi znakomicie przyczynia się do spotęgowania wrażeń. Tak np. scena z rybakiem (Ulpein) podług Swetoniusza miała miejsce „w kilka dni po przybyciu na Kapreje“, a więc w roku 27, po n. Chrystusa, sprawa Sejana i oczekiwanie sygnałów o jego śmierci w roku 31, o zwałbaniu Kajusa (Kaliguli) do Ennii przez Makrona mówi Tacyt pod rokiem 37, dodając wskazówkę chronologiczną: „po śmierci Klaudy“, żony Kajusa, zmarłej dopiero w r. 36 po Chrystusie¹¹⁾, a Kraszewski wszystkie te wypadki mieści w jednym dniu, w nieprzerwanym ciągu, dodając jeszcze mnóstwo szczegółów uczty, którym zaznaczyć chronologii nie potrafimy, ale które niewątpliwie z kilkuletniego pochodzą okresu, gdy wiadomym jest, że Swetoniusz grupuje fakta podług ich treści, nie zaś podług czasu. A nie zdaje się nam trafnym stan umysłu Tyberysza w dniu śmierci Sejana; wątpliwe czy miał wtedy ochotę do uczciowania. Byłato chwila w jego życiu krytyczna. Sejan miał w ręku wszystkie narzędzia władzy, swoje kreatory na urządach cywilnych, dowództwo nad pretoryanami, zaszczyty niemal równe cesarskim, służalczość senatu, siłę ręki i głowy, plany rokосу gotowe. Tego dnia Tyberysz trzymał w po-

gotowiń najszybsze tryremy, żeby płynąć do Syrii lub Galii w razie niepowodzenia, nie darmo też sam patrzył ze szczytu najwyższej skały na ogień sygnałowe. Straszne wzburzenie jego umysłu objawia się w okrótnej zemście na dzieciach, krewnych i przyjaciółach Sejana, a wątpliny, czy w takim podrażnieniu mógł żartować na zimno: „Biedny Aelius!... Żal mi łysiego!“¹²⁾, tém bardziej, że nie o łysinie Sejana nie wiemy; przeciwnie, z wzmianek Tacyty, a szczególnie z powodzeń u dam rzymskich, którymi się posługiwał do wybadywania sekretów politycznych, z uwiedzenia następczyni tronu, synowej Tyberysusa Liwii, która własnego męża (Druzusa) otruli w nadziei wyjścia za mąż za Sejana, domyślać się raczej należy, iż był niepospolicie pięknym fizycznie mężczyzną.

Obraz orgii w gaju Wenery jest rozwinięciem dwóch ustępów w Swetoniuszu (43, 44), o willi Plutona nie przypominamy sobie żadnej wzmianki w źródłach a scena zamordowania Hypatosa w „wielkiej jaskini Mitry“, zrodziła się w wyobraźni Kraszewskiego, jak się domyślamy z przypisku, pod wrażeniem znalezionej na Kaprei tajemniczego nagrobka, napisanego po grecku¹³⁾. Ponieważ nie mamy dowodu, żeby nagrobek ten zostawał w jakimkolwiek związku z panowaniem Tyberysusa (bo Kapreje były później w posiadaniu innych właścicieli); ponieważ nie doczytaliśmy się nigdzie, by Tyberysus, trzymający się ściśle tradycji narodowych, piastujący godność arcykapłana (pontifex maximus) czcił Mitrę, by za jego czasów istniało zgromadzenie kapłanów tego azyatyckiego boga nie już na wyspie Kaprejach, ale nawet w Rzymie, więc i scenę z Hypatosem, jakoteż orgią w willi Plutona, zaliczamy do utworów fantastycznych, z historią nie prawie wspólnego nie mających. Prawdopodobieństwo wszystkich trzech obrazów staje się o tyle słabszym, iż autor wprowadził do nich rysy przepychu i zbytku istnie Helioabalowego, gdy Tacyt, Seneka, Dion, a nawet Swetoniusz, świadczą o mądrym zarządzaniu finansów, tudzież o oszczędności Tyberysusa, graniczącej chyba ze skąpstwem¹⁴⁾. Co dziwniejsza, sam Kraszewski w tomie drugim nazywa go „skąpym dziadem“ w przeciwstawieniu do Kaliguli, który rozpraszał nagromadzone skarby. Na ustach i w rozmowach Tyberysus Kraszewskiego sztydzi z godowników swoich, napawa się ich strachem, uśmiewa się na pochlebstwa, gdy Tyberysus historyczny żegnał swoich gości każdego po imieniu, stojąc z liktorem na środku triclinium, gdy posyłając nawet

oskarżenie do senatu umiał uprzejmie bawić skazanego, gdy pochlebstwami gardził zawsze, a za szczera, chociaż obraźliwą dla siebie, mowę darował nieraz życie oskarżonym¹⁵⁾.

Sama śmierć Tyberysusa jest opowiedziana podług relacji Tacyty, popartej, acz nie z zupełną jednomyślnością, przez Diona i Swetoniusza. Kraszewskiemu służyło niezaprzeczone prawo posłużyć się tą relacją i wyszukać w niej najbardziej dramatyczne szczegóły. Historyk wszakże znajdując u Tacyty ostrzegający frazes: „mniemano“ (creditus est), u Diona dodatek o głodzeniu umierającego, u Swetoniusza kilka różnych podań — zwątpiłby o wiarygodności całej sceny duszenia poduszkami i obrałby relację najprostszą a najbliższą czasem, bo od Seneki pochodzącą, mianowicie, że Tyberysus leżał długo nieruchomy, zacisnąwszy lewą rękę z pierścieniem władzy najwyższej, potem zawołał nagle na służbę, a nie dowolawszy się, powstał, lecz go siły opuściły i padł bez ducha niedaleko od łoża¹⁶⁾.

Sąd o mężu politycznym, o naczelniku państwa, nie może być sprawiedliwym bez uwzględnienia biegu spraw państwowych, które główną część codziennych zatrudnień i frasunków jego stanowią. Tyberysus rządził światem i rządził na prawdę, rządził mądrze i biegle. Jakażto massa raportów, zapytań, prośb, interesów przechodziła codziennie przez jego ręce, domagając się decyzji, częstokroć niezwłocznej! W jakimże celu urządzoną była służba kurierska do Kaprei, po co zabrany był Kokcejus Nerwa, biegły prawnik (cui legum peritia)? Co robiło na Kaprei 20 senatorów? Kraszewski nie poświęcił żadnego obrazu, w którymby Tyberysus ukazał się przy pracy, jako kierownik spraw bieżących, jako zwierzchni administrator nie tylko miasta Rzymu, ale i prowincji i ludów niegdyś tak przez arystokracją rzymską gnębionych. Zapewne, jestto strona najmniej do artystycznego traktowania podatna, najmniej poetom przystępna, atoli pominięcie jej przy jaskrawem oświetleniu stron innych narusza równowagę na szalach sprawiedliwości. Czytelnik, mając wyobraźnię rozognioną i serce wzburzone scenami rozpusty, okrucieństwa i wszelkiej ohydy, zdecyduje, że Tyberysus był podobny do Nerona lub Helioabala i omyli się.

Co do pojmovania charakteru cezara nie śmiemy narzucać szanownemu autorowi żadnego postulatu, gdy w obozie historyków panuje do dziś dnia wielka niezgodność sądów i domysłów. Zaznaczymy tylko, że Swe-

toniusz używa opinii niedołęznego biografa, a i Tacyt na bezwarunkowe zaufanie u nich nie zasłużył. Już Voltaire nazwał jednego „fabrykantem anegdot“, drugiego „pisarzem złośliwym“ (auteur malin) i wyszydził opisy sprośnych uciech, Tyberysusowi przypisywanych¹⁷⁾. Niebuhl w swoich prelekcjach, nie zapuszczając się w głębszą krytykę i wygłaszając w ogóle zdania surowe, przytacza przeciw z uznaniem słowa Napoleona I, wyrzeczone do deputacji Instytutu, o niesprawiedliwości Tacyta¹⁸⁾. Wietersheim widzi w Tyberysusie człowieka z natury „fałszywego, dzikiego, pełnego uczuć nienawistnych, trzymanych na wodzy tylko przez rozsądek i rozum“, a jednak oświadcza, że „nie wszystko to jest uzasadnionem, co społeczeństwo włożyło na barki Tyberysusowi“, że Tacyt „za mało odróżnił człowieka od monarchy“, że „do ostatniego technicznie Tyberysus objawiał niepospolite cnoty, jako rządca państwa... o ile ciemne strony jego duszy, obawa i złość nienawistna nie tłumiły w nim rozumu i poczucia prawa“¹⁹⁾.

Poważny autor 8-tomowej historii cesarstwa rzymskiego, ksiądz anglikański Charles Merivale za okrucieństwa popełnione w zemście, acz nie bez ważnych przyczyn na stronnikach Sejana, na Asiniuszu Gallu, na krewnych swoich, nazywa Tyberysusa tyranem, przypuszcza rodzaj obłąkania umysłowego przy uniesieniach gwałtownych, niemal dziedzicznych w rodzie Klaudyuszów, lecz o rządach jego mówi z uznaniem, a prowincje znajduje w dobrym stanie, przecząc Swetoniuszowi; o Judei np. powiada, że stosunkowo szczęśliwszą była, niż pod berłem własnych królów. Wieści o życiu Kaprejskiem poczytuje za baśnie, które się legły w stolicy zaciekawionej i podrażnionej niezwyklej odosobnieniem się mizantropacezara; ohydny zaś scenom rozpusty stanowczo nie wierzy, chociaż znane mu są gemmy i mozaiki, znalezione na Kaprei i poniekąd mogące popierać Tacytowe twierdzenia²⁰⁾. Adolf Stahr w przypiskach do swego wydania pism Tacyta, a szczególnie w specjalnej monografii o Tyberysusie pozuwa się jeszcze dalej, oskarża bowiem Tacyta o zaślepienie stronnictwa, o sfalszowanie prawdy, o spotwarzenie człowieka nieszczęśliwego; Germanikowi odmawia wszelkich talentów wojennych i w przesadnych pochwałach Tacyta wynajduje dowody ciężkich jego porażek, słabości jego charakteru, ogromnych i bezowocnych strat, które wyłączały Gallią, a które koniecznym czyniły odwołanie wodza niedołęznego i polityka nieopatrzego, w Tyberysusie zaś znaj-

duje przymioty wielkiego monarchy, umysł światły, mądry i przenikliwy, sprawiedliwość i łagodność, pogardę zaszczytów i ostentacji, cierpliwość w znoszeniu uraz osobistych i paszkwilów, panowanie nad sobą, czyste obyczaje i umiarkowany tryb życia²¹⁾. Za to Beulé, znakomity archeolog, ale namiętny przeciwnik bonapartyzmu i Napoleona III, widzi w Tyberysusie „wymowny i straszny obraz niebezpieczeństw despotyzmu tak dla monarchów, jako i dla ludów“, czyni go człowiekiem bezwłasnowolnym, wdrożonym do uległości Augustowi, Liwii, Sejanowi, a po wyzwoleniu się z pod obcych wpływów czyni go rozpasaną na wszelkie okrucieństwa i wszeteczeństwa potworą; wierzy we wszystkie opowieści Swetoniusza, popierając je znalezionemi na Kaprei tessarami i gemmami. Porwany entuzjazmem archeolog nie pilnuje się dat, nie grupuje wypadków i tworzy całość przerażającą. Niemniej też jest surowym dla narodu rzymskiego, który dał się ujarzmić i nazywa „chimerami“ owe nadzieje, jakie pokładał w Germaniku lub Agryppinie²²⁾.

Wobec takich różnic w zapatrywaniach poeta może korzystać z rozległej swobody w odgadywaniu charakteru Tyberysusa, nie narażając się na zarzut fałszu historycznego. To też i Kraszewskiemu przyznajemy prawo pojmovania zagadkowego cezara tak, jak go przedstawił. Tyle tylko zarzucilibyśmy ze stanowiska psychologiczno-artystycznego, że Tyberysus Kraszewskiego nie jest dostatecznie obłudny i skryty, że od wzruszenia drży, błędnie, wydaje „krzyk gardłowy“, „dziko się śmieje“, a na twarzy jego umie czytać nawet Kaligula²³⁾.

Lecz postępujemy dalej za autorem. Szkice historyczny wprowadza do nowej epoki — panowania obłąkanego szaleńca Kaliguli. Znowu snuje się przed oczyma naszymi pasmo okrucieństw i dziwactw poczwarnych a na końcu ukazuje się opis konnej przejażdżki cezara po morzu, to jest po drodze na okrętach usłanej przez zatokę Neapolitańską od Puteolów aż do Baii. Opis ten wspiera się na Swetoniuszu²⁴⁾; dodaną jest tylko uczta na moście, zakończona spychaniem biesiadników do morza. Stanowi ona tło do następnego, drugiego obrazu.

„Właśnie w chwili, gdy od Puteolów do Baii całe owo prześliczne, ciche wybrzeże tysiącem ogni wśród okrzyków tłumu zapłonęło, a z morza owały się dźwięki muzyki na łodziach, poprzedzających cezara — ubogi statek kupiecki z ciemnym żaglem i niepozornemi czarnemi ścianami przybijał powoli od wschodu.... Na pokładzie, wśród

ładunku, oświecone blaskiem, jakby luty pożarnej, płonącej okolicy, stały dwie poważne postacie.... Byłito ludzkie już lat podszlejszych, acz jeszcze nie starzy, w ciemnych sukniach podróżnych, kroju używanego na wschodzie.... Wzięli pod płaszcze jeno po węzłku małym i zesłi żegnając dowódcę statku, który przed nimi pochylił głowę z pokorą, jakby wzywając błogosławieństwa. Dowiemy się niedługo, że jednym z przybyszów był św. Piotr.

„Traf chciał, a raczej wyższe zrządzenie, by deska, która od brzegu do statku dla wysiadających rzuconą została, przywiodła ich właśnie w to miejsce tłumu, gdzie stali: Asprenus, właściciel domu w Neapolu, Helios i Juda“. Św. Piotr pozdrowił Asprenusa obyczajem rzymskim, a Juda poznawszy Izraelitę, sam przystąpił, całował kraj szaty i spytał o wieści z Judei. W odpowiedzi usłyszał:

— Przybywamy z wieścią zaprawdę szczerliwą i wielką; cieszyć się synowie Izraela i poganie, i wszystkie ludy ziemi!

Od tej chwili siew chrystyanizmu rozpoczął się.

Bo najprzód Juda, Helios i Asprenus utworzyli serca dla „dobrej nowiny“ i usłyszeli ośmioro błogosławieństw. W Neapolu w ogrodzie przy domu Asprenusa, gdzie dziś wznosi się kościół św. Piotra, „ad Aram“ zwany „na prostym stole, pod gołym niebem, spełniła się pierwsza ofiara chrześcijańska na ziemi rzymskiej ku jej odkupieniu²⁵⁾“.

Drugą grupę nawróconych stanowili niewolnicy Hanaanaszowi, których Juda zastał w najopłakaniejszym stanie, gdy obejmował zarząd domostwa przed kilku mniej więcej miesiącami: barczysty, ale ranami okryty Part, siwy, z nienawistnym spojrzeniem i ręką w boju uciętą, Germańczyk, nieczuły na bicie, nierozumiejący mowy łacińskiej, a tylko płaczący za północną ojczyznę swoją Got czy Swew, i łomny, z nogą strzaskaną, Iberyńczyk — wszyscy zgłodzeni, pojeni wodą zagniłą. Należeli do jakiegoś pana utracjusza i za dług zabrani byli wraz z opuszczoną willą przez lichwiarza Hanaanasza. Juda polepszył dole ich, lecz ulgi moralnej przynieść im nie zdołał. Dopiero Galilejczyk — apostoł dokazał cudu: do Swewa, Iberyńczyka i Parta przemówił do każdego rodowitą ich mową, zwiastował im swobodę i życie, przemianę świata, iż „nie będzie ani Rzymian, ani Greków, ani Partów i Scytów, ale jeden naród braci i synów Bożych“. Gdy tak mówił, posiadali wszyscy wedle niego, a tak się zaszuchiwali,

że płynęły im dnie i godziny niepostrzeżone, a oni o życiu, pokarmie i śnie zapominali, pijąc z tego źródła nienasyceń, dopóki im płynęło.... W taki sposób wiara nowa na brzegach szczęśliwej Kampanii pierwszy raz zaszczeponą została²⁶⁾.

Trzecią grupę poznamy już w Romie, dokąd nas autor w części drugiej swego dzieła prowadzi. Upłynie lat kilkanaście. Panowanie Kaliguli i Klaudyusza przesunie się przed oczyma czytelnika tylko w historycznych szkicach, bez obrazowania. Potém roztoczy się Rzym Neronowy, „ten najwspanialszy i najpotężniejszy gród-mocarz, którego imię rozlegało się przez wieki niepożyte czasem i ruiny obleka majestatyczną purpurą.“ Skreśliwszy artystyczny plan miasta, załudniwszy je tłumem rozmaitych postaci, wprowadza nas autor do cichego domostwa na Awentynie, w którym mieszka, wdowa patrycyanka Emilia Cellia z dwiema młodemi córkami: Akwila i Pryscyllą. Siedziały wszystkie trzy kobiety, gdy przyszedł w odwiedziny brat stariej matrony, senator Pudens. Byłto człek dobrze już stary, bogaty, możny, ale nsuwający się od dworu cezara, i od występów publicznych, i od ponęt władzy. Dzięki szczeremu zbiegowi okoliczności i skromności swojej przebył szczęśliwie najniebezpieczniejsze czasy Tyberjusza, Kaliguli i Klaudyusza.

Od własnego niewolnika dowiedział się o Ewangelii, został chrześcianinem i swój dom ofiarował na miejsce zebrań i nabożeństwa braciom w Chrystusie, u niego gościli apostołowie. Teraz przychodził do Celii, z zawiadomieniem, że „się wśród Rzymu rodzi świat nowy, że przyniesiono nam naukę, wiarę objawioną w dalekiej Judei, tak wielką i świętą, że jej żadna filozofia najsztubniejsza nie sprostą... Ostatni z niewolników, pogardzony, popychany, nagle, gdy nań duch ten zstąpi, staje się dziecicciem Bożem.. mocarzem.. i zwyciężą świat... Kładą ręce na chorych i uzdrawiają ich dotknięciem, ślepym odmykają oczy, chłomym chodzić każą — i wstają, i idą; trucizna Lokusty staje się dla nich napojem bez siły i szkodliwości.. I to cudem, że ta wiara, która się zrodziła u stóp wbitego gdzieś daleko narzędzia sromotnego męczeństwa... u krzyża, której narodzin pierwszymi świadkami byli ubodzy rybacy, pastuszkowie, żydzi, dziś błyskawicą rozsiała się już po świecie i liczy tysiące wyznawców.“²⁷⁾

Złumiona Celia zapragnęła poznać tę

naukę i Pudens obiecał przysłać po nią zanębanego sługę.

Przybywszy do domu Pudensa ze starszą córką, Celią ujrzała w drugim podwórzu wielki krzyż ciemny, nakreślony świeżo ręką niewprawnego malarza, i dosyć liczną gromadę osób, oczekujących na mistrza i kapłana. „Byłito po większej części ludzie ubodzy w szatach skromnych, lub nawet, choć twarz ich i ręce wydawały za możliwość i wygodę życia, umyślnie odziani tak, jakby niedostatni byli. Jedni z nich oczekując ofiary, klęczeli i modlili się po cichu, drudzy zdawali się głęboko zamyśleni, inni półgłosem rozmawiali z sobą łagodnie... Po chwili weszli dwaj mężowie poważni, z których jednego już widzieliśmy przybyszem, sprawującego ofiarę na górze w Neapolis, w domu Asprenusa.

Rozstąpił się tłum i głębokie padło milczenie. Pudens zbliżył się do starca nazarjskiego i, ucalowawszy kraj szaty jego, szepnął mu coś po cichu; inni także pośpieszyli cisnąć się, witając i domagając błogosławieństwa. Wszystkich Apostół przyjął ojcowsko, każdemu rzekł jakieś słowo, z którym odszedł pocieszony, a potem na ławie przysiadłszy, począł kazać do ludu, który słuchając słów jego, rozłożył się pod kolumnami, przy ścianach, na posadzce i ławach kamiennych.

Począł od dziejów rodu ludzkiego i, stare wyłożywszy przymierze, jął dopiero nowe zwiastować. A gdy przyszedł do narodzenia Chrystusowego i do nauki żywotem Jego zaszczeptionej, dopiero wzniosła się mowa jego i duch nowy wstąpił przezeń w słuchaczów. Poganie, dla których było to wcale nowem, widąc było, stopniowo przejmowali się wyrazami jego, zdziwieni nowe oglądali światy i, powoli wznosząc się do wysokości prawdy wielkiej, wlewali łyzy radości z ujżenia światła i usłyszenia słowa pokoju... Celią splakana padła na ziemię, dziękując jednemu, już uznanemu Bogu, że tej chwili dożyła. Uściślały się z córką jednem przejęte uczuciem.

Nastąpiła potem ofiara. „Starzec Apostół przywdział szatę białą, stół przykryto, przyniesiono chleb i wino i ze łzawą modlitwą przy cichym wiernych udziale, odprawiono symboliczną ofiarę, przypominającą śmierć krzyżową Zbawiciela. Ten, co ją spełniał, był jednym z uczniów Chrystusa... chodził z Nim po Judei, kazać i nawracając, widział jego cuda, pochwyczonego przez lud nie odstępował do śmierci, skowanie na krzyżu umęczonego oglądał, ciało martwe do grobu przeprowadził, zmartwych-

wstałego ujrzał w biele wracającego do swoich, a obchodząc pamiątkę tej ofiary... płakał przejęty do wnętrza. Dzieje ostatnich lat, które przeżył u boku mistrza i Boga, z matką Jego, przechodziły mu na myśl z kolei; każde słowo Chrystusa przypominał sobie, ze drżeniem dotykając rozdartego dla świata ciała Jego i krwi dlań przelaną. Lud strasznój objacie przytomny uczucie to podzielał, msza dlań była żywą historią miłości i odkupienia.“

Po zakończeniu obrzędu Pudens zaprosił wszystkich obecnych do caenaculum na skromną biesiadę. „Trochę ryb, owoców, chleb i wino zmieszane z wodą, stanowiło całe przyjęcie, bo umartwienie ciała... było zasadą, na której nowy rozwinąć się miał obyczaj i życie. Świat pogan szalał, dogadzając fantazjom cielesnym, chrześcijanie usilowali je zwyciężyć.“²⁵⁾

Przepisaliśmy prawie cały ten (IV) rozdział Romy, bo widzimy w nim zalety wysokie. Z pisarzy, którzy pierwszych chrześcijan i męczeństwa ich malowali, nikt podobno, o ile mi wiadomo, nie pokusił się o nakreślenie postaci św. Piotra. Kraszewski odważył się i, przynajmniej, szczęśliwie z trudnego wywiązał się zadania. Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Listy, sama tradycja nawet, zamało dostarczają rysów i cech indywidualnych, a świętość osoby trzyma na wodzy wyobraźnię artysty. Kraszewski dał lekkie, niemal przezroczyste kontury, powierzchowność określił tylko ogólnym charakterem poważnej i wzmianką o białej szacie przywdzianej przed rozpoczęciem ofiary, a potem ożywił świetlaną, zaledwo widzialną postać takim ciepłym serdecznym, tak wzniosłym duchem, jakiego tębać w nią mógł tylko szczerzy chrześcijanin, żarliwie wierzący i głęboko czujący.

Uwydatniając znowu różnicę pomiędzy dwoma światami, autor opisuje nam wielkie igrzyska jednocześnie, bo w tym samym dniu przez Nerona wydane — pochód ze świątyni Jowisza Kapitońskiego przez forum i Velabrum do cyrku wielkiego, wyścigi wozowe, zapasy gladiatorów, gonitwy młodzieży senatorskiej, walkę bestyjarzy ze zwierzętami dzikimi, przy czem arena zamienioną była na las; nareszcie naumachia w tej samej arenie, zamienionej w jezioro. Widowisko trwało od wschodu słońca do nocy; podziękował za nie cesarzowi okrzyk ze stu tysięcy piersi, ale gdy tłumy rozpierzchły się „po ulicach Rzymu, popinach, termach, tabernach, ganeach,“ Neron pozostał jeszcze, bo w tejsz arena kazał ucztę dla siebie zastawić. Cały opis ten jest prze-

pyszny bogactwem i różnorodnością szczegółów, dosadnością kolorytu historycznego, bo też ma na celu przedstawić czytelnikowi moment największego rozbujańa zmysłowości z przepychem i kunsztem, jaki możliwym był tylko pod dyktando wszechwładnego cezara-artysty.

— „Co ci się zda — rzekł Pudens do starca chrześcijanina, przypatrującego się pochodowi Nerona — silny jest jeszcze Rzym, i wielki? Nie rychło pożyje go prawda i obali, bo fałsz urosł w potęgę i tysiące rąk bronić go będzie.. żyjąc z niego.“

Chrześcijanin innego był zdania i w tym samym tłumie znajdował elementa nowego świata.

Po uczcie Neron wybrał się na wycieczkę nocną po ulicach Rzymu, szukając przygód i wrażeń niezwykłych. Przywdziałszy szatę brunatną z kapturkiem i wzięwszy z sobą kilku towarzyszy szedł aż pod bramę Kapieńską, staczając bójki z przechodniami, odbijając i rabując sklepy, aż nareszcie wstąpił do gospody syryjskiej, sławnej z pięknych tanecznic. W istocie znalazł tu niezwykle piękną niewolnicę syryjską Anią, która obsługiwała i bawiła gości namiętnym tańcem, ognistemi oczyma, obnażonemi ramionami. Jest ona bez wątpienia typem ostatecznej niedoli stanu niewolniczego, najmieszczęśliwszą ofiarą w rękach chciwego i nie-ludzkiego gospodarza. Szczęściem dla niej Neron, otrzymawszy jakąś niespodzianą wiadomość, pośpiesznie opuścił caupone, a po niejakić chwili weszli dwaj podróżni Judejczykowie chrześcijanie. Ania skwapliwie przyjęła dobrą nowinę, a Pudens wykupił ją z niewoli. ²⁹⁾

Zbliżamy się do ostatniej katastrofy. Uzupełniwszy dzieje Nerona kilkoma rozdziałami, trzymanymi w tonie naukowo-historycznym; zaznaczywszy szybki rozrost gromad chrześcijańskich, których już objąć nie mogły ani ogrody Pomponii, ani dom Pudensa, Kraszewski wprowadza nową, nieznaną dotychczas osobę — Szymona Maga, samarytanina rodem, który niegdyś przyjął chrzest, ale po to tylko, żeby pojąć tajemnicę czynienia cudów jednem słowem lub prostem rąk kładzeniem. Ofiarował nawet pieniądze św. Piotrowi za udzielenie mu tego daru, a gdy mu dano surową odpawę, stał się zawziętym wrogiem apostoła i chrześcijan. Całe życie strawił on na badaniu tajemnic egipskich i chaldejskich... miał sławę wielką, jako Magus i twórciel cudów, które stawiał przeciwko prawdziwym cudom chrześcijan... miał w Rzymie swych przyjaciół i uczniów, którzy weń wierzyli; przed nie-

którymi z nich za chrześcijanina i Chrystusa, przed innymi za mocniejszego nad chrześcijan uchodził... Człowiek ten, zjawisko ciekawe u świtu chrześcijaństwa, był raczej „wielonym duchem ciemności, stojącym do walki z prawdą.“ „Stary już i ogorzwały od słońca przy ciemnej twarzy miał włos siwy, który dziwnie swą białością na tle brunatnem odbijał. Wiek jeszcze go był nie złamał, a siwizna i starość łączyły się w nim dziwnie z siłą młodzieńczą i niepokojem lat młodych. Oko jego biegło nieustannie, badając i szukając tajemnic świata i ludzi, usta drgały gorączkowo, po żyłach wzdętych krew biegła szparkim strumieniem. Ubrany po wschodniemu, na głowie miał zawój biały, jakim się na ówczes zydzi odznaczał.. postać jego, przenosząca o pół głowy najrozsądniejsze niewolniki germańskie, odbijała na tle tłumy.“ Przeprowadzony przed Nerona, mówił o sobie w tych wyrazach: „Ucząc się wielkiej mądrości wiekuistej, przebiegłem nie ziemię samą, ale wszelkie światy, przedzierzając się stopniami, z kamienia w roślinę, z rośliny w zwierzę i. przezcala szereg stworzenia przechodząc, pókim nie zostałem człowiekiem... Mieszkalem na gwiazdach i na słońcu, i na księżycu i na planetach wszystkich, i w prochach jasnych, któremi zasiane niebo. Coraz nowe z każdym życiem przybyszą mi siły... Byłem Chrystusem... jestem Bogiem, duchem i mocą... Żyłem wśród Magów w Niniiwie i Babilonie, na dworze królów parthyjskich, nauczyłem się języka zwierząt. Wszystko to potędze twojej boskiej przynoszę, Cezarze, w pomoc i na usługę.“

Neron słyszał już wiele o chrześcijanach, spytał więc, czy i chrześcijańskie robi cuda?

„Czynię większe, niż ci, co się tak zowią! odparł pogardliwie Szymon.“

Na dowód swojej mocy endotwórczej „otworzył szaty swoje powoli, i począł potrząsać niemi... a z fałdów tego okrycia do koła całej postaci począł się wydobywać jakby obłok, jak mgła biała, coraz gęstsza, coraz silniejsza... i otoczyła Szymona, osłoniła, objęła przed oczyma Cezara.“ ³⁰⁾

Wyszedłszy z pałatyńskiego pałacu Szymon spotkał się z s. Piotrem, zadrżał, stanął oko w oko i wyzwał go do walki.

Tymczasem Neron, przesycony i zmęczony umysł dla rozrywki Rzym spalić, żeby go piękniejszym odbudować na nowo. I stało się zadość szalonemu zachęcani ceszara: podpalone przez jego niewolników miasto płonęło przez pięć dni i pięć nocy. Aż piątego dnia pożogi przybiegli augustani i poczęli przerażeni opamiętywać szaleńca, bo

lud już dochodził do rozpacz. Potrzeba było radzić. Przywołano Symona Maga, a ten podsunął myśl zrzućcia winy na chrześcijan.

I później jeszcze tenże „Symon z przyjaciół Neronowymi, przez piękną Helenę,“ trojańską, czy tyryjską mby, pracował, aby do chrześcijan codziennie nienawiść powiększać.

Tak zaczęło się pierwsze prześladowanie. Tysiąc ludzi zginęło wśród mąk okropnych: palenia żywcem, wieszania na drzewach i krzyżowania. Ale w tym tłumie męczenników Symon Magus nie znalazł ś. Piotra.

Dopiero we dwa lata potem, w odbudowywanym już na nowo Rzymie, spotkał go na ulicy i oddał w ręce siepaczy.

Apostoł wtrącony do najgłębszego lochu w więzieniu Tulliańskim spotkał się tam ze ś. Pawłem. Obaj przesiedzieli tu długo, a czas ten nie był dla nich straconym, gdyż nawrócili dozorców Proculus i Martyniana, oraz czterdziestu siedmiu ze straży i żołnierstwa. Wszyscy oni zapragnęli chrztu. „A że nie było na podoręczu wody... jał się modlić starzec, aby mu Bóg, jak Mojżeszowi dla spragnionego ludu, dał źródło wytrysnąć ze skały. I skończywszy drugą modlitwę, schylił się, i z oczów jego padła na kamień i ze lzy tej świętej strumień czysty popłynął na czarne kamienie: woda to była Piotrowego serca, której do dziś wieki wyczerpać nie mogły.“

Obciążonego kajdanami ś. Piotra poprowadzono do cyrku, aby się patrzył na tryumf Symona Maga, który miał wznieść się w powietrzu, jak mytologiczny Ikar na skrzydłach. Cyrk przepełniony był widzami; Neron z Poppeą zasiadli na podium. W istocie wśród niesłychanego okłasku powoli wznosił się począł nad dach, na którym stał... stopy jego już nie tykały pokrycia, dźwignął się nad otaczające balasy zlociste.. ale łot jego był ciężki, nieśmiały, wysiłony. Wzrok Piotra ścigał go wytężony i jasny. Magus począł coraz wyżej poruszać skrzydłami, wleciał ku środkowi areny, po nad samą „Spine,“ zbliżając się ku siedzeniu cesarza.. Wtém Piotr rękami, na których ciążyły kajdany, uczynił znak, przerywając powietrze na krzyż i Symon w tejże chwili zwinął się głową ku ziemi zwrócony, opuścił ręce i padł z krzykiem przerażenia, jak kamień z procy ciśnięty... krew z podrażnionego ciała czerwonym tryskiem oblała jasne szaty cesarza i Poppei.³¹⁾

W tłumie różne były domysły, tłumaczenia, wnioski, ale Neron przypisał upadek Symona „temu znakowi, który okuty człowiek uczynił w powietrzu. I ułakł się tej

potęgi tak wielkiej, tak dlań niepojętej, której spętać żelazem nie było można..

— Chrześcijanie... wszędzie ci chrześcijanie! szepnął w duchu.“

I zaczął urządzać wielkie igrzysko z samych chrześcijańskich ofiar złożone.

Nazajutrz Paweł poszedł pod miecz kata, Piotr zawisł przybity do krzyża, Juda-Candidus, Swew-Natalis dali się pożreć dzikim zwierzętom bez oporu i jęku, stary Helios wyzionął ducha, nietknięty nawet przez lwa, nawiedzony śmiercią bez męczarni. W końcu stała się rzeź bezbronnym ohydna i sromotna.

Noc nadchodząca i godzina łaźni zamknęła to widowisko, które po sobie zostawiło wspomnienie dziwne w sercach najtwardszych.

„A gdy przyszły ciemności z domków na Suburra, z katakumb, z willi, z domu Pudensa, z Awentynu i Celiuszowej góry zstąpiły w cichości niewiast pobożnych gromadki, z lampami szatą pokrywającymi i skierowały się ku cyrkowi, ku górcom pobliskim, kędy ciała męczenników wywleczone zostały... jęły one zbierać krew świętą i napawać nią chusty, napelniać naczynia, okrywać ciała, przenosić uświęcone reszty, aby je osobnym uczcił pogrzebem.“

„Bóg rozpoczął się dopiero... ale ofiara, pokora i miłość miały go cudownym zamknąć zwycięstwem— słabszego, pokonaniem na wieki i potępieniem siły bezrozumnej.“

Ta piękna myśl jest właściwem zakończeniem dzieła, jest nawet jego niłą przewadnią i ideą zasadniczą. Wydobyszy ją winniśmy jeszcze dodać komentarz dotyczący zużytkowania materiału historycznego, uwagi zaś co do formy odłożymy na później.

Do skreślenia postaci Nerona i dwóch jego poprzedników materiał brany jest z przytoczonych już wyżej pisarzy źródłowych i studyów archeologicznych. O szczegółach spierać się nie będziemy. Obłąkany Kaligula i potworny Neron są to takie widma, takie zmyry, na sumieniu i pamięci rodzaju ludzkiego ciężące, że wszelkie alegrody Swetoniusza, wszelkie przekleństwa Apokalipsy z łatwością przylgną do nich mogą bez uchybienia prawdzie historycznej. Zaprzeczylibyśmy chyba trafności ogólnego poglądu na społeczeństwo i na państwo Rzymskie, jaki się objawia po części z ugrupowania obrazów, a po części nawet z wyrażonych orzeczeń Kraszewskiego. Obrazy owiem i historyczne opowiadania ustawione w długim szeregu, jakkolwiek różne pod względem wykonczenia i siły, mają przecież

jedną dążność: napoić wyobraźnię i serce czytelnika wstrettem i odrazą do świata pogańskiego, przekonać, że ten świat jest w zupełnym trupim rozkładzie. Zdaniem szanownego autora „Tacyt najwymowniejszymi słowy maluje ten upadek wybranych, który za sobą pociągnął całego państwa ruinę. Wszędzie się dzieje tak samo, gdziekolwiek wyższa warstwa narodu wyprze się swoich obowiązków. Powoli zepsucie od niej przechodzi do najniższych słożeń towarzystwa, i państwo zjedzone od tego raka gnieje, rozpada się i ginie“. Tylko te gromadki, które się okazały chętnymi do przyjęcia chrystianizmu, znalazły sąd łaskawszy: „Ale nie wszystko jeszcze zgnilo i zepsuło się w tym Rzymie... Ten lud, który tak gorąco, tak łatwo, tak żywo przyjął przyniesione mu światło nowej wiary, musiał mieć w sobie jakieś zarody dobra, musiał czuć znękanie teraźniejszością i uznawać, że to co było, trwać nie mogło“³²⁾.

Do planu dzieła, do celów artystycznych pogląd taki może być potrzebnym i pożytecznym, gdyż przyczynia się do wywyższenia chrystianizmu—co właśnie jest głównym zadaniem autora. Ze stanowiska wszakże naukowego ówczesne państwo rzymskie przedstawia się historykowi inaczej i, nie zmniejszając bynajmniej zbawczych wpływów, wznosłego posłannictwa, cudownych tryunfów Ewangelii, musi on pamiętać też o pracach i zasługach, jakie złożył ludzkości Rzym pogański. Rozpisanie, okrucieństwa i szaleństwa domu Klaudyuszów lub Ahenobarba działa się wprawdzie na wyżynach społecznych, ale w niewielkiem stosunkowo kole dworu i patrycjatu. Istniały przecież masy ubogie, żyjące pracą w samej stolicy, w Italii, w prowincjach Europy, Azji i Afryki. Te mniej rozpustować musiały, niżby się z igrzysk cyrkowych domyślać można było, skoro tyle nam jeszcze pomników pozostawiły niepożytej trwałości, zdziałanych reklam i kunsztu i wiedzy. Jak się przedstawiał Rzym cesarski mieszkańcom prowincyi, poznać łatwo możemy ze słów hellenisty aleksandryjskiego Filona, Żydowina, spisanych po audyencyi u dotkniętego już obłąkaniem Kaliguli: „Któż nie był olśniony i nie cieszył się widząc, że Kajus obejmuje rządy cesarstwa tak spokojnego i dobrze urządzonego, spokojnego i uszykanowanego we wszystkich członkach swoich, Północy i Południa, Zachodu i Wschodu, Greków i Barbarzyńców, stanów wojskowe i cywilne—a wszystko to jest zjednoczone w pomyślności, pod osłoną pokoju

powszechnego. Obfitowało ono w skarby, nagromadzone złota i srebra, w pieniądze i naczynia drogie; pyszniło się potężną siłą piechoty i jazdy, lądową i morską, a zasoby jego płynęły wiekiustym potokiem. Po naszych miastach widziało się same ołtarze i ofiary, kapłanów przybranych w białe szaty i wieńce, ochoczych przewodników powszechnego wesela; bankiety i zebrania, muzyczne popisy i konne wyścigi, jarmark we dnie i w nocy, zabawy, rozrywki, przyjemności wszelkiego rodzaju, dla wszystkich zmysłów. Bogacz nie deptał ubogiego, mocny słabego, pan swego sługi, wierzyciel dłużnika; niezależność każdej klasy była szanowaną należycie, tak iż wiek Saturnowy poetów nie może już być uważany za zmyślenie, bo urzęczywił się niemal w życiu w tej błogosławionej epoce“³³⁾ Sam Tacyt przy całym swoim pesymizmie, przy nieukojonym żalu za upadłą, rzeczpospolitą, wygadał się przecie, że „nie wszystko dawniej lepszem było; nasz wiek też przysporzył potomkom wiele chwały i kunsztów godnych naśladowania“³⁴⁾. O zgniliźnie, o upadku państwa Rzymskiego pod Tyberyszem lub Neronem mówić jest zawczesnie, gdy państwo to przetrwało w całości jeszcze lat przeszło czterysta. Uniżyć cesarstwo przez porównanie z rzeczpospolitą wolno było Tacytowi, zaciętemu Kwirycie, który żył w wieku I i nie rozróżniał przelotności zdobywczego, ciemniejszego, łupieckiego grodu na państwo kosmopolityczne, na społeczność wszech narodów cywilizowanych, ale nam niewolno, gdy z odległości dziewiętnastu wieków widzieć łatwo możemy, iż sił żywotnych wystarczało cesarstwu na okres wcale nie krótszy od okresu republikańskiego,³⁵⁾ a pod względem summy dobrobytu, światła, dzieł cywilizacyi, zasług dla potomności, porównanie wypadnie chyba na korzyść cesarstwa. Kaligula był szaleńcem, Neron matkobójcą, bezczynnym rozpustnikiem, marnotrawcą, okrutnikiem, ale nie zapominajmy, że w kilkanaście miesięcy po nim z tego społeczeństwa pogańskiego wyszedł purpurą obelczony Wespazjan, człek uczciwy, prosty a tak przedziwne zdrowym rozsądkiem obdarzony; pomnijmy że zaczęcie się właśnie „wiek złoty“ cesarstwa t. j. okres stuletni przeszło takiej pomyślności, takiej szczęśliwości powszechniej, jakiej dotychczas rodu ludzki nigdy nie zaznał od początków życia dziejowego. Srogim jest lud rzymski, bo miecz przyrósł mu do dłoni od wieków; przerażają nas cyrki rzymskie, prawo kryminalne słusznie nosi nazwę „li-

bri terribiles," ale nie sądźmy świata starożytnego wedle naszego pojęcia i obyczaju, pomnąc, że Europa Chrześcijańska była niegdyś też srogą i że miała stosy niemniej może straszne od pochodni Nerona-wych. Rzym nie zdobył się na prawo miłości, ^{ale} jego juris consulti, juris periti, mędracy-prawnicy z czasów cesarstwa, podali nam przynajmniej określenie sprawiedliwości, czyste, szlachetne, powszechne, przydatne wszystkim narodom i czasom.

Do nakreślenia postaci pierwszych chrześcijan i ojca apostołów Kraszewski posługiwał się Dziejami Apostolskimi, Apokalipsą, Listami, literaturą patrystyczną i tradycją zebraną w Rzymie dziśjszym. Oznaczyć stopień dokładności historycznej w tych kreacyach jest dla mnie zadaniem nader trudnym przy mroku, jaki otacza pierwsze gromadki chrześcijańskie, i przy szczupłym zasobie osobistych moich wiadomości. Uprzedzam przeto, że w całym tym dziele sądu własnego nie ośmielię się sformułować i że poprzestanę na zaznaczeniu punktów spornych.

Pierwszy „kościół," pierwszą ofiarę chrześcijańską na ziemi italskiej mieści Kraszewski w Neapolu. Zgadza się to nie tylko z tradycją miejscową, przywiązaną do świątyni S. Pietro ad Aram, ale i ze znaczeniem geograficznem poblizkiego miasta Puteoli (Puzzoli). Do tego portu zawijały zwykle okręty, przychodzące z Aleksandrii, tu wysiadali zwykle Żydzi. Ztąd odbywano już lądową podróż do Rzymu. Przebywając tę drogę św. Paweł w r. 61 znajdował już chrześcijan witających na stacy, zwanęj Rynkiem Appiuszowym i przy Trzech Karczmach (Forum Appii, Tres Tabernae)³⁶⁾. Było więc zapewne zgromadzenie chrześcijan i w Neapolu. Imiona pojedyncze nie są znane, musiał więc Kraszewski utworzyć z wyobraźni Asprenusa, i niewolników Hananiaszowych, oprócz znanych już nam Judy i Heliosa.

Ale już na tym pierwszym kroku napotykały kwestyą sporną. Kraszewski okazuje nam przybijającego na kupieckim okręcie ś. Piotra z towarzyszem, o którym później nie wspomina (ś. Pawłem czy Markiem?) i to podczas szalonego festynu Kaliguli, a więc przed r. 41-m ery chrześcijańskiej. Ś. Piotr zatem miał sam przynieść do Kampanii pierwsze nasiona Ewangelii. Jestto właśnie przedmiot najzawziętszego sporu pomiędzy teologami katolickimi i protestanckimi od XVI wieku, ci ostatni bowiem, zwalczając zwierzchnią władzę duchowną papieżów, opartą na

spadkobierstwie po ś. Piotrze, dowodzą że ten apostoł nigdy nie tylko w Rzymie, ale nawet w Italii nie bywał, że urządzenie kościołów między poganami, a więc i w Rzymie jest dziełem apostoła Pawła. Dzieje Apostolskie milczą wprawdzie o podróży ś. Piotra do Rzymu, ale społeczne prawie wzmianki Ewangelii ś. Jana i Apokalipsy oraz powoływane przez historyka kościelnego Euzebiusza i innych pisarzy dawne świadectwa, tradycya i istnienie grobów obu apostołów ustalają fakt męczeństwa, a więc i pobytu w Rzymie. Do takiego też wniosku przychodzi Renan w drodze badania naukowo-historycznego po za obrębem wszelkich interesów wyznaniowych, dowodzi jednak, że ś. Piotr nie mógł przybyć do Rzymu i do Italii przed ś. Pawłem, a więc przed 61 rokiem ery naszej³⁷⁾. W tém różni się on od teologów katolickich, którzy naznaczają rok 42 jako datę przybycia ś. Piotra do Rzymu³⁸⁾. Jest rzeczą naturalną, że Kraszewski szedł za wykładem katolickim tej kwestyi spornej, ale zaszedł jeszcze dalej, gdy sprowadził ś. Piotra do Neapolis przed 41-m rokiem. Utworzone więc przez niego scena wejścia ubogiego statku do zatoki Neapolitańskiej podczas konnej podróży po falach i krwawej uczty, jaką Kaligula wyprawiał, jest artystycznie piękna, ale chronologicznie niemożliwa.

Następny obraz—kazanie, ofiara i uczta w domu Pudensa jest możliwy pod względem chronologicznym, mieści się bowiem w epoce Nerona, zapewne niedługo przed pożarem Rzymu i prześladowaniem. Miejsce akcyi nosi też znamię historyczne, albowiem tradycya przechowała nazwę domu Pudensa na górze Wiminalskiej, jako miejsce pobytu ś. Piotra, podobnie, jak domu Pryska na Awentynie. I tu wszakże zachodzą historyczne nieporozumienia lub wątpliwości. Nie wiemy, na jakiej zasadzie Kraszewski zrobił Pudensa senatorem, patrycyuszem. Nie przypominamy sobie podobnego imienia w żadnym ze znanych rodów rzymskich patrycyuszowskich. Brak zwykłego praenomen przy imieniu nie przemawia za znakomitością osoby, noszącej to imię. Znajdujemy je w liście przypisywanym ś. Pawłowi, wtórnym do Tymoteusza³⁹⁾ ale też bez żadnych dodatków, bez najmniejszych cechy charakterystycznej, prócz tej, że był chrześcijaninem. Jeszcze większego kłopotu nabawia nas Cellia z córkami swojemi, Akwila i Priscilla. Dwa te ostatnie imiona powtarzają się po kilkakroć i w Dziejach Apostolskich i w liście ś. Pawła do Koryntyan, i w liście do Ty-

motusza⁴⁰), lecz należały one do małżeństwa, nie zaś do „dziewięć poświęconych Pann.“ Akwila był to żyd—chrześcijanin, wygnany z Rzymu jeszcze za cesarza Klaudyusza, który przybył z żoną swoją Priscillą do Koryntu, w którego domu ś. Paweł bawił i którego później wyprawił do Efezu. Osoby te nie znajdowały się w Rzymie podczas pobytu ś. Pawła, ponieważ przesyła im z Rzymu pozdrowienie. Mogły się znajdować inne osoby w domu Pudensa takichże imion, wątpliwy wszakże, by imię, Aquila (orzeł) należało do osoby płci żeńskiej.

Inne postacie pierwszych chrześcijan są tworzone zapewne z wyobraźni, zatem kontroli naukowej nie podlegają.

Ostatnie sceny, mianowicie prześladowanie i śmierć apostołów, nastroczają wiele wątpliwości, których ani Kraszewski, ani żaden historyk usunąć nie jest w stanie, wynikają one bowiem z braku dokładnych wiadomości o tych wypadkach, z niedostateczności materiału historycznego.

Tak od Tacyty dowiadujemy się o jednym tylko prześladowaniu chrześcijan za Nerona, mianowicie w sierpniu r. 64 w skutek pożaru, jaki miał miejsce w lipcu tegoż roku. I Swetoniusz o jednym tylko prześladowaniu wspomina. Należałoby więc umieścić męczeństwo ś. ś. Piotra i Pawła pod tymże rokiem; tak też czyni Renan, popierając hipotezę wzmiankami Euzebiusza i Klemensa Rzymianina⁴¹). Zresztą nie podaje swego twierdzenia za udowodnione i pewnym być mieni jeden tylko fakt, że ś. Piotr umarł, jako męczennik. Ale jeden z ojców Kościoła, mianowicie ś. Hieronim podaje rok 68 (właściwie 14-y panowania Nerona) jako datę śmierci męczeńskiej Pawła i tę datę przypisuje Merivale⁴²); nie przypuszcza jednak prześladowania ogólnego chrześcijan, lecz wyrok śmierci, na ś. Pawła wydany, przypisuje osobistej sprawie, wyteczonj mu albo o nawrócenie kochanki Nerona na wiarę chrześcijańską, albo o kłótnię z Symonem Magiem. Nie wspomina też nie o męczeństwie ś. Piotra. Narzeczcie teologowie katoliccy n.p. Alzog, opierając się na cytatach Euzebiusza łączą śmierć ś. Pawła z męczeństwem ś. Piotra, przyjmują datę Hieronimową, rok 68, a nawet gotowi są przyjąć i 67, żeby pogodzić 25-letnie biskupstwo księcia apostołów z pierwszą jego podróżą do Italii (w 42 r.)⁴³). Miał tedy Kraszewski podstawę do utworzenia sceny spotkania obu apostołów w więzieniu Tulliańskiem, pożegnania ich i śmierci jednocześnie. Dopuścił się tylko niedo-

kładności chronologicznej, wyznaczając datę roku 66, która, zdaje się, nie ma za sobą żadnego zdania ani historyków, ani ojców Kościoła. Bez podstawy też zapewne zrobił dwa prześladowania Neronowe z jednego znanego i opisywał śmierć Judy-Kandyda, Swewa-Natalisa, Heliosa i innych razem z apostołami.

Jeszcze hazardowniejsem co do wiarygodności historycznej jest wprowadzenie Symona Maga. Zagadkowa ta postać ukazuje się niespodzianie przy końcu dzieła. Może niekoniecznie była potrzebna, może nawet szkodzi podniosłości wrażenia scen ostatnich w obec umysłowych nawyknień dzisiejszego czytelnika. Dla mnie ów ustęp szczególnie jest niemłym, bo zmuszony jestem zwać spór z szanownym autorem, który w trzech przypiskach zapewnia o historycznej ścisłości wszystkich występów Symona⁴⁴) gdy ja widzę w nich tylko legendę i to nie zupełnie ukształtowaną, z różnorodnych materyałów złożoną.

Czytamy w Dziejach Apostolskich o Szymonie czarnoksiężniku, który chciał za pieniądze kupić u ś. Piotra mocy czynienia cudów i za to został zgromiony—ale nie więcej⁴⁵). Swetoniusz w ustępie o zabawach wspomina, że jakiś Ikar spadł „przy pierwszym usiłowaniu natychmiast“ i samego Nerona krwią obryzgał⁴⁶). Ale pomiędzy Szymonem Dziejów a Ikarzem Swetoniusza niepodobna wykryć żadnego związku, tak samo jak nie znaleźliśmy w żadnym źródle społecznym nie wspólnego pomiędzy Szymonem, Ikarzem i śmiercią ś. Piotra. Dopiero w późniejszych wiekach znajdujemy różne niezgodne z sobą podania. Tak np. Euzebiusz wyszydza pogan, że Samarytanina Szymona rodem z Gitton czcili jako boga i powołuje się na świadectwo Justyna, że na wyspie Tybru, położonej między dwoma mostami, Rzymianie postavili posąg z podpisem: Simoni Deo Sancto. Tłumacz i komentator katolicki z XVII wieku Henr. Valesius prostuje w tym miejscu pomyłkę Justyna, bo posąg wyobrażał dawne bóstwo Sabińskie Semonia Sanka, a napis brzmiał: Semoni Sancto Deo Fidio⁴⁷). Zresztą Euzebiusz nie wspomina o lataniu Ikarowem Symona, owszem twierdzi, że oszustwa jego „wraz z samym autorem“ zniszczone zostały przez ś. Piotra za czasów cesarza Klaudyusza, a więc przed Neronem. Cyryl Jerozolimski mówi o kłótni Symona ze ś. Pawłem. Legenda o locie Ikarowym została podana przez mniej znanych pisarzy późniejszych (Sewera, Maxyma Turyńskiego etc.) i upowszechni-

niona przez historyków kościelnych XVI wieku Baroniusza i Sygoniusza. Z pisarzy dzisiejszych katolik Alzog wspomina o Symonie Magu, jako o pierwotnym autorze herezyi gnostyków, ale nazywa go też Cerintem i o walce ze ś. Piotrem nie wspomina ⁴³⁾. A protestant Lipsius w krytycznym badaniu „legendy Piotrowej” dowodzi, że podanie o walce ś. Piotra z Symonem powstało pierwotnie w r. 130 po Chr. w sekcie Ebionitów, ale że Symonem tym był ś. Paweł ⁴⁴⁾.

Nie znamy „Historji Symona Maga,” o której wspomina Kraszewski, sądzimy jednak, że przytoczone wskazówki mogą starczyć za dowód, że „Historja” ta bynajmniej historyczną nie jest, że wiarygodność jej musi być podobnej natury z dziełami takimi, jak Hexenhammer.

Rozebrałismy stronę historyczną „Kaprei i Romy” z drobiazgowością, która może się wydać nawet przesadną. Do tej drobiazgowości jednak obowiązywało nas pracowite przygotowanie materiałów, wprowadzonych przez szanownego autora do jego kreacji. Niejednokrotnie wypadło nam spierać się z nim o daty, imiona, charakter, poglądy. Jakież atoli mamy postawić wniosek ostateczny? Czy strona historyczna dzieła jest fałszywą czy prawdziwą?

Niespodzianką będzie zapewne dla czytelnika, gdy oświadczę, że w ogóle jest trafną i artystycznie wierną. Utrzymywalibyśmy energicznie swoje zarzuty, gdyby na karcie tytułowej stał napis: „Historja Kaprei i Romy,” albo: „Studjum historyczne.” Ale gdy autor ofiarował publiczności szereg obrazów historyczno-artystycznych, gdy jest poetą, nie może być do niego stosowaną skala krytyki naukowej, ścisłej, być pomiędzy badaczem naukowym i poetą niestannie objawiać się musi różnica usposobień i uzdolnień, nawet wtedy, gdy jedną książkę wspólnie czytają, gdy na jeden przedmiot jednocześnie patrzą. Obaj przecie, jakkolwiek różnemi postępują drogami i w różne formy wcielają swą pracę umysłową, mogą zarówno prawdę osiągnąć. Prawda artystyczna zależy na trafności wrażenia, na zgodnym z rzeczywistością uczuciu, jakie w czytelniku się zbudzi po odczytaniu dzieła. Owoż ta prawda artystyczna w wysokim stopniu przez Kraszewskiego osiągnięta została. Bo czyż nie był straszny Tyberyusz na Kaprejach? Czy nie okropne były czasy Nerona? Czy nie byli Rzymianie spodleni i krwiożerczy? A małoż było nieszczęśli-

wych w ich społeczeństwie? A ci nieszczęśliwi, czyż nie znajdowali ukojenia w wierze Chrystusowej? Czyliż zaprzeczy ktośkolwiek, że cudownym był tryumf tej wiary nad zbrojnym w potęgę ziemską pogaństwem?

Historyk, posługując się swoją metodą, uszeregowalby dokładniej lata, imiona, fakty, obejrzałby spokojniej warunki polityczne, prawne, ekonomiczne, powstrzymywałby się od decydowania kwestyj wątpliwych, sytuacji niejasnych; ale czy potrafiłby obudzić w czytelniku i w masie czytelników uczucie zgrozy na zbrodnie ciemnychców świata i uczucie zachwytności, czci, uwielbienia dla świętych bojowników cnoty i miłości? Oto pytanie, na które za odpowiedź służyć mogą holdy, składane przez masy, przez naród, autorowi Kaprei i Romy, jakich żaden historyk nie otrzymał nigdy.

W pięć lat po „Kaprejach,” w roku 1861 Kraszewski napisał drugi utwór, na tle tych samych wypadków osnuty, ale już czysto-artystycznej natury p. t. „*Rzym za Nerona*.” Jestto powieść jednolita, kształtna, prostotą planu przypominająca klasyczną świątynię, w każdym szczególe, nawet w wysłowieniu odtwarzająca życie, obyczaj i ducha starożytnego—a więc powieść historyczna.

Rozwija się ona w listach pisywanych przez młodego rzymsianina Juliusza Flawiusza do przyjaciela służącego wojskowo w Gallii, oraz przez młodą wdowę Rzymiankę, Sabinę Marecją, do dawnego swego niewolnika-nauczyciela, zamieszkałego na starość w Atenach. Tylko do ubocznych wyjaśnień użyto parę listów do innych osób.

Juliusz, wychowany w domu bogatego stryja, w niedostatku ale pod kierownictwem młodego Greka Chryzypa, niespodzianie otrzymał spadek po tymże stryju; mógł więc wejść do najwyższego towarzystwa stolicy, ale surowa szkoła młodości i nauki starego filozofa zabezpieczyły go od zepsucia, jakimże przesiąknięty był wielki świat rzymski. Zna to zepsucie i opisuje w swych listach, ale nie inaczej jak z pojęciem, odrazą, żalem. Skarzy się na czechość swego życia: „Kładę się tęskny i zmęczony, wstaję nie pokrzepiony snem... Co robić z rankiem, jeśli się do thermów nie pójdzie; co robić z dnem, jeśli się go połowy nie rozsieje po ulicach?... Myślisz, żeś gdzieś po drodze posiał natrętnych klientów, nie, czatują na ciebie pod portykami i ścigają aż do drzwi... musisz rozdać

jalunżę... Przykro jest widzieć takie upodlenie człowieka. Chryzyp na to wszystko uśmiecha się z grecką ironią i trochę niewiści, mówiąc: — Zwyceżyliście świat, a samych siebie zwyceżyć nie możecie! W pośród naprzykzonego tłumu i próżniaczęj gawiedzi, gdyby nie ten Grek i nie młoda Sabina... nie wytrwałbym.“

Sabina jest kobietą niepospolitą. Wydana w piętnastym roku życia za starego ale bogatego rozpustnika Treboniusa, „czegoż się w tym domu napatrzeć i nasłuchać musiała, otoczona niewolnicami wszelkiej barwy, które więcej jemu, niż jej posługiwały, chłopiętami wszelkiego wieku i poprzebieranymi w niewieście szaty rzezańcami! Własna tylko cnota mogła ją tu od zepsucia uchować.“ Owdowiawszy, postanowiła za mąż nie wychodzić, aby dziecię swoje wychować na godnego Rzymu obywatela. Skromna jest i piękna, jak posąg Westalki, cała w peplum ewity, aby oko lubieżne nie splamiło go nawet wejrzeniem... Nie trzyma ona czeredy niewolnic dla stroju i wymyślnych starań o ubranie: wszakże, gdy ci się ukaże, promienieje zawsze szlachetnym wdziękiem, jakby zstąpiła z marmurowego podnóża na ziemię. „Incessu patuit dea.“ Ma rok dwudziesty a wygląda na szesnastcie.

Juliusz rad odwiedza ją, jak krewny po matce, niby jako brat siostrę, ale już w pierwszych jego listach ukazują się elementy silniejszego, niż w pokrewieństwie, uczucia. Nie wątpimy, że zaproponowałby Sabinie związek małżeński, gdyby nie wiedział o jej postanowieniu pozostania wdową po jej durnym mężu (univira).

Raz przez ciekawość, oboje udali się do cyrku, żeby mieć wyobrażenie o świętnych igrzyskach Neronowych. Trafili właśnie na takie przedstawienie, kiedy na walkę z dzikimi zwierzętami wydano troje chrześcijan: starca wychudłego, młode dziewczę wielkiej piękności i mężczyznę w sile wieku, czarno zarosłego. Słyszeli smutny, dziwny, nadludzko spokojny, straszny śpiew tych ofiar, co żadnej broni przyjąć nie chciały; widzieli, jak młodzieńca rozszarpał tygrys, dziewczę schwyła pantera, a starzec, smutnie patrząc na zwłoki dzieci, oczekiwał śmierci z okiem niezmrużoném, nie prosił o życie, nie patrzył nawet na widzów, na cezara, na Westalki, a gdy kat przypadł, roztworzył ręce, nadstawił pierś... i krwią zbroczony upadł, nie wypuściwszy z ręki związanego na krzyż kawałka drzewa. Wrażenie było silne, chociaż odbiło się nie jednakowo na umyśle widzów. Juliusz uczul

litość: „Chrześcianie, sekcjarze plugawí, przecież to ludzie byli.“ Nie wierzył już wiściom ulicznym o cześć przez chrześcijan oddawaną białemu na krzyż osłowi, o uczciach ich, biesiadach i ofiarach w jaskini odprowadzanych, lecz jeśli nowej wiary nie ohydzał i nie lękał się, to tylko szedł za zdaniem Chryzypa, który nauczył go nie sądzić o tém, czego się nie zna. Sabinę zaś widowisko to poruszyło tak silnie, że, powróciwszy do domu, o niém i o niém tylko mówiła prawie ze łzami. Podśledzała ją niewolnica Ruta i, ukląkszy przed nią, ukazała taki sam kawałek drzewa, związanego na krzyż, a następnie zapoznała ją z zasadami nowej nauki⁵⁰⁾

Z téj różnicy wrażenia wysnuł Kraszewski dramat miłośny, obfity w sytuacje wzruszające. Bo Sabina niezwłocznie napisała do dawnego swego nauczyciela Zenona Ateńczyka, pytając o zdanie; ten zaś, nagadawszy się o smutnym stanie Aten, o upadku wiary w bogów pogańskich, opowiedział o mowie ś. Pawła w Areopagu, którą słyszał, znalazł w niej podobieństwo do nauki Sokratesa i zakończył swe pismo zdaniem, że „prawdy szukać trzeba; jeśli ci się ona nastręcza, czemużby ją odpychać, a rozumem nie wypróbować, czy istotnie taką jest, jaką się być oznajmia?... Niech Demiurgos trzyma cię na drodze mądrości i panowania nad sobą.“ Zdanie takie było niemal zachętą, a własne poczucie i aspiracye duchowe Sabiny pociągały ją ku nowej nauce. „Wyznam ci: zdumiała mnie ona. Znalam prawie wszystko, co rozum ludzki zdobył mądrości wiekami; ale tego, czego mnie uboga nauczyła niewolnica, sam umysł mój, nawet z pomocą mistrzów, z wiedzą wszystkiego, czego ludzie doszli, samby wynaleść i z łupin wątpliwości dobyć nie mógł.“

Została więc chrześcijanką, a ta przemiana sprowadziła zupełną zmianę w jej trybie życia, zachowaniu się i powierzchowności. W towarzystwie Ruty pieszo okryta zastoną i skromną szatą przeciskała się przez gwarną bramę kapeńską, żeby schodzić w podziemia na pobożne zgromadzenia chrześcijan, usunęła kosztowne, ale sprośne obrazy mitylogiczne ze swego atrium, wyrzuciła nowe symbole na ołtarzu domowym, nie przyjmowała dawnych swoich znajomych, nawet Juliusz rzadko mógł ją widywać; natomiast nieznane jakieś postacie wchodziły do jej insuli pokryjomy; mowa jej stała się niezrozumiałą, tajemniczą.

Juliusz, nie domyślając się istotnej przyczyny, dziwi się téj zmianie i tworzy coraz gorsze przypuszczenia, które dręczą go

tém silniój, że kocha Sabinę i że w seceń jego zrodziła się zazdrość. Bo przy wyjściu z cyrku spostrzegł Sabinę Lucysz, wytworny, wypieszczony rozpustnik z dworu Nerona, a zarazem daleki krewny Juliusza. Wprowadzony do domu cnotliwój wdowy był przez nią przyjętą „zimno... ale nie dosyć chłodno... Ona go słuchała, obojętnie wprowadzie, ale ze zbytnią uwagą... Dała mu nadto długo mówić, zbyt go słuchała cierpliwie... Z natężoną uwagą przysłuchiwała się, gdy zaczął mówić o Neronie... Pó chwili jął Lucysz rozpowiadać o Poppei i dowodzić, że zręczna a piękna niewiasta łatwo nim rządziłyby mogła, przez Nerona Rzymem, a przez Rzym światem całym!.. Twarz Sabiny pokraśniała; on zwycięzko postrzegłszy to, zagryzł usta: „Habet!“ Posadza więc Juliusz Sabinę, że się dała uwieść pokusom zepsutego społeczeństwa, że może się stała kochanką Lucysza, albo samego Nerona. To podejrzenie stało się prawie pewnością, gdy usłyszał z jej ust wyznanie: „tak jest, innego kocham, wielkiego męża... z którym żaden się człowiek równać nie może.“⁵¹⁾

Zrozpaczony szukał rozrywki w towarzystwie innych kobiet, ale nadaremnie. Jedne wydały mu się „barpiami o pięknych twarzach“, inne, jak uczona Lucylla w przybrukanój tunice, wykładająca różnicę Homera od Wirgiliusza, lub kobieta-gladiator w szyszaku z mieczem i puklerzem popisująca się siłą przed gośćmi—budziły w nim niesmak. Chwilę tylko spędził milę w domu sławnój Epicharydy, którą bogowie obdarzyli nadzwyczajną pięknnością, która „wielką energią ducha łączyła z sercem na podziw niewieściom, litościwem i dobroczynnem.“ Tu spotykał się z najznakomitszymi mężami Trzeaszem, Kornutem, Persynszem, Lucanem, nareszcie Pizonem, który właśnie gotował już pamiętny swój spiszek. Epicharys najsilniój objawiała nienawiść swą ku Neronowi i była duszą sprzysiężenia. Wszystkie te wrażenia jednak nie są zdolne zatrzeć pamięci o Sabinie. Opisując je przyjacielowi Juliusz, zapowiada raz, że wyjedzie do Galli szukać wrzawy obozowej, ale i na wyjazd zdecydować się nie jest w stanie.⁵²⁾

Rozwiązanie tego węzła domysłów, podejrzeń, udręceń zaczyna się od dnia, kiedy w Rzymie wybuchł straszny pożar Neronowy. Juliusz wieczerał u swego towarzysza lat młodocianych a dobrego przyjaciela Celusa. Zapominając o własnem miennu, biegł ku Palatynowi, żeby ratować Sabinę. „Krzyk, wrzaski, płacze, tumult był nie do opisania.

...Powyracane lektyki, pogruchotane wozy, omiatały kobiety pomijając musiał, a chociaż mu Afer i dwaj z nim idący niewolnicy dopomagali, nie wiadomo, czyby się potrafił przedostać, gdyby nie oddział straży pretoriańskiej, idący przed nim, który spieszył ku Palatynowi i drogę mu torował, ścieląc ją rannymi i trupami.“ Własny dom Juliusza stał już w płomieniach. „Pod pozorem uratowania pałacu cezara mury rozbijano taranami, zbliżyć się do nich nie było wolno, żołnierze i niewolnicy rozszarpywali, co znaleźli.“ Płonął też przyległy dom Sabiny, ale ona sama właśnie w tój chwili wypadła jak obłąkana, dzwigając na rękach napół rozbudzone dziecko sweispiesznie pobiegła ku drodze Apijskiej. „Cudownym instynktem miłości macierzyńskiej omijała wszystko, co zagrażało jej mogło, wysłizgiwała się niebezpieczeństwom, przechodziła się przez ludzi siłą olbrzymią, uchodziła, niewiadomo jak, najeżdżającym wozom, przebijając się przez natłoczoną ciżbę i leciała, jakby nadprzyrodzoną jakąś osłoniętą siłą.“ Przedarła się nawet przez Kapieńską bramę, gdzie „stał zbity koni i ludu natłok“ bo tu dwa spary się prądy: biegnących do miasta z okolic na widok pożaru i uciekających z miasta pogorzalców. Przedarł się i Juliusz, ale ze zgniecionem ramieniem, pokrwawionym, zbity, ledwie żywy. Widział wciąż uchodzącą Sabinę, ścigał ją, wołał—gdy nagle znikła mu pośród zarosli, jak gdyby ziemia się pod jej stopami otwarła.

Zeszła do Katakumb, ale przy wejściu zgubiła swoją chustkę (sudarium), kilku kroplami świeżej krwi zbryzganą.

Juliusz rozpatrzywszy się baczniój w tём miejscu, rozgarnawszy gałęzie, odkrył rodzaj studni, opartój o ścianę kamienną, a dalej jakiś ciemny otwór i jakby wchód, prowadzący do głębi pieczar. Z mieczem w ręku zszedł po chwiejących się schodach i opierając się rękoma o wilgotne ściany postępował naprzód, aż w końcu ujrzał blade światelko i usłyszał dziwny jakiś szmer. Był to odgłos modlitwy, wspólnie odmawianej przez liczne zgromadzenie. Widział późniój, jak z małego, bocznego wgłębienia wystąpił mężczyzna w odzieży, po której poznać można było rycerza rzymskiego, jak pokropił wszystkich jakąś wodą lustralną, poczem mówił z powagą wielką, jakby w natłumieniu wieszczem o gromach i karach niebios na Rzym zepsuty i cezara. Teraz łatwo już było domysleć się, że zgromadzenie składało się z chrześcian.

Uspokoivszy się, że Sabina musiała tu

znaleść opiekę, a nie chcąc nabawić zgromadzenia strachem, Juliusz cofnął się i tą samą drogą wydostał się znów na powierzchnię ziemi.

A pożar szerzył się i srożył coraz bardziej, a rozpacz ludności stawała się coraz straszniejszą. „Nie byli to już prawie ludzie... ale jakaś dzicz o zachowanie życia rozbijająca się, wściekła, wojująca na oślep.“ Wszakże wśród zgiełku znalazł się jakiś niewolnik grecki, cynik, który usiadłszy na murze nad drogą czytał sobie spokojnie jakiś zwitek pargaminowy przy odbłasku płomieni. Juliusz postradał i drugi swój dom, a z nim wszystkie kosztowności po stryju odziedziczone. Pozostała mu tylko posiadłość wiejska. Tymczasowo musiał zamieszkać w domu Celsusa. Sabina zaś z dzieckiem swoim i kilkoma wiernymi niewolnikami zamieszkała w grobowcu swojej rodziny, w górnej sali, przeznaczonej na uczty pogrzebowe.

Schronienie jej odkrytym zostało nasamprzód przez Juliusza, który chciał ostrzedz ją o gotującym się prześladowaniu, a następnie przez Lucynusza, który użył szpiega, pragnąc niezwykły opór pięknej wdowy zwyciężyć. Łatwo domyślić się, że Juliusz owdzięki miłością, nawrócił się na wiary chrześcijańską, ale niespodzianką dla czytelnika jest, nagle przeistoczenie się Neronowego dworaka. Jestto sytuacja bardzo szczęśliwie pomyślana i po mistrzowsku przeprowadzona. Bo Lucysz zgłasza się o urlop do Tygellina i podaje cel swojej wycieczki, otrzymuje ten urlop z warunkiem, aby donosił o swoich przygodach, gwoli zaciekawienia objawionemu przez samego cezara, a stanawszy niespodzianie przed Sabina, doznaje pogardliwego przyjęcia, które go tak dalece rozgniewało, że zamiast miłosnych oświadczeń zaczął grozić denuncyacją. I oto zmiana dokonywa się niemal w jednej chwili, jasność nowego świata trysnęła jak błysk pioruna. Sabina w obec dziecięcia, które wyciągało ku niej rączki, zdobyła się na siłę, żeby zawołać: „Tak, jestem chrześcijanką. Oto masz Lucyszu, ów oręż, któregoś pożądał, masz broń donosiciela, miecz, co mi życie odebrać może. Jestem chrześcijanką i nie zaprę się tego; chlubię się tém przed tobą; wyznam to, ciągniona na stos i męczeństwo. Ale powiedz mi, dodała mierzając go piorunującym wzrokiem, kim ty jesteś ty, co dla nasycenia namiętności nikczemnej, dla zemsty, poświęcasz sumienie, rzlachetność, poczciwość?“⁵⁴⁾

Po tych słowach ciężka walka nwydatniła się na twarzy Lucysza; reszta uczci-

wych uczuć jego serca biła się z zepsuciem, wahał, słabł, nareszcie padł na kolana, składając ręce, zmieszany, przelekły, pokorny. Odtąd stał się innym człowiekiem. Wzwołany do dworu, uczuł wstręt do uczty cezara; wszakże na jego zapytanie szyderskie o powodzeniu wyprawy—wywinał się kłamstwem, że Sabina odjechała do Tuskulum. Ale niedługo usunął się zupełnie od dworu i „zniewieściał się ów gach Neronowy“ przybrał surowe oblicze, niepozorne szaty, całe dnie spędzał po kryptach na modlitwie i słuchaniu nauk, posługując starszym, podejmując najcięższe prace. W gorliwości wyprzedzał nawet Juliusza.

Tymczasem trwało wciąż prześladowanie chrześcian. Sabina z Pomponią Grecyną i córkami Pudensa, Praksedą i Pudencyanną „wychodziła co noc prawie, niosąc z sobą naczynia na krew, wodę i gąbki; powracały z zakrwawionymi chustami, kryjąc często w sukniach poucinane głowy, które nazajutrz razem z ciałami z poszanowaniem w kryptach składano.“ I spiszek Pizona został wykryty. Epicharys, przez dwa dni dręczona, w strasznych torturach skończyła pod sznurami, nie wyrzekłszy słowa, z zaciśniętymi ustami na podziw katom i Rzymowi. Zginął poeta Lukan i krewny Juliusza, trybun od pretoryanów, Fulwiusz Flawiusz. Trwoga padła na miasto. Każdy oczekiwał w swoim domu centuriona, zwiastuna śmierci.⁵⁴⁾

Nadeszła w końcu ostatnia katastrofa. Sabina pomimo przełożeń Juliusza, wyjechać do Tuskulum nie chciała, żeby się od współwyznawców swoich nie oddalać. Chrześcijanie bowiem dowiedzieli się wczas o nowych im groźących zamachach Neron i naradzali się nad przyszłością swoją. Jedni pragnęli męczeństwa, drudzy gotowi byli za broń pochwycić i rachując na znaczną swoich liczbę pokusić się o zdetronizowanie okrutnego cezara, ale Tymoteusz, zapewne znany z Listów towarzysz ś. Pawła zgromił jednych i drugich i nauczył, jakim powinno być męstwo chrześcijanina (Przypomina on nieco biskupa Viktora ze znakomitej sceny katakumbowej w „Irydyonie“ Krasińskiego). Przejawszy się tą nauką, Sabina nie chciała ani wyzywać prześladowców, ani też unikać śmierci. Tylko coraz gorliwiej służyła zgromadzeniu wiernych. Ze swego domu przekopala zejście do krypt, a Juliusz i Lucysz pracowali jako „fossorowie“ z rydlami w ręku. Raz, gdy wracali z modlitwy, ujrzeli dom Sabiny, otoczony strażą i ludzi biegających z pochodniami, jak gdyby kogoś szukali. Nastą-

pila chwila krótka, ale wysoce dramatyczna — pożegnanie z Juliuszem. Sabina powierzyła mu swego syna Paulusa i kazała schronić się przed niebezpieczeństwem. „Bracie mój! rzymskim zwyczajem, gdy umiera bliski krewny, na ustach jego kładzie najdroższy mu z rodziny pocałunek ostatni, jakby duszę jego chciał pochwycić... Duszę moję oddaję Bogu, ale braterskim pocałunkiem ciebie żegnam... którego jednym kochała na ziemi!“, poczem położyła mu ręce na ramionach, ustami dotknęła warg jego i, zarzucając peplum, śmiałym i żywym krokiem puściła się ku domowi.

Raz jeszcze mówił Juliusz z Sabiną, gdy była już uwieczoną w domu wyzwolenca Rupasa, w lochu bez okna i światła, bez powietrza, bez garści słomy. Poznała go i zaraz o swego Paulusa spytała; potem zalecała: „Naucz go kochać Boga, za którego ja umieram. Wreszcie niech tobie będzie podobny. Obadwaj módlcie się za mną. Ciało lub proch, jeżeli można, złóżcie w krypcie obok innych współwyznawców“. Przytulona do zimnej ściany, drżąca, biała, patrzyła nań jednak z pogodą i spokojem niepojętym. „Juliuszu, mówiła jeszcze, mam prośbę do ciebie drugą... Jeżeli będziesz mógł, przyjdź tam, gdzie mi zginąć przeznaczono; bądź tryumfowi przytomny... Nie chce, abys brał z sobą Paulusa: na jego serce dziecięce widok byłby zbyt okrutny... Ale tyś mężczyzna... ty mu powiesz kiedyś, jak matka jego, błogosławiąc mu umarła.“

Woli jej stało się zadość, Juliusz znajdował się w cyrku i widział ją, jak stała z wierną swą Kutą, przodującą niewiast gromadce. Spozrzętała go, gdy podniósł w górę jej białe sudarium. „Skloniła głowę na pożegnanie, rękę przykładając do serca. I jakby tego krótkiego ziemskiego pożalowała — zawstydzila się, nczucia, ukłękła zaraz, zaczęła się modlić, kat nadbiegł ku niej, z kolei pochwylił za włosy, które obciął, a potem jednym zamachem strącił głowę z jej ramion. Padła... Juliusz widział krwi strumień, w którym białe drgało ciało. Jednocześnie z drugiej strony padał Lucjusz; innych podnoszono na krzyżach i rzucano na rozpalone stosy.

W nocy ciała te zostały zebrane i zamiesione do katakumb. Te były oświecone lampami, ubrane zielonemi gałęzmi, jak wrota nowożeńca, gdy sponsa próg ich ma przestąpić. Na zwłoki Sabiny stary sarkofag był przeznaczony, na nim kapłan odprawił pierwszą ofiarę i stał się odtąd ołtarzem. Położono na nim napis: Sabina Marcia, anima dulcis et innocens.

Tu jest właściwy koniec powieści. Kraszewski dodał jeszcze jeden list (XXVI) starego Chryzypa do Zenona Ateńczyka, ale my wolelibyśmy pominąć go w nowym wydaniu, chociaż zawiadamia nas o śmierci Juliusza. Sceptycyzm i stoicka obojętność starego filozofa — poganina, niepotrzebnie ostudza, nawet mrozi te uczucia rzeczne, te uniesienia bólu, miłości, podziwu dla tryumfującej nad nędzami ziemskimi męczennicy. Bo w naszych szkicach mogły być ogólnymi tylko rysami zaznaczone główne sytuacje, bez cieniowania, bez wykończenia, tak niezbędnego do osiągnięcia wrażenia artystycznych, bez tej nieustannej gry uczuć, które nas ciągle pociągają ku Sabinie, budzą w nas nieustanne współczucie dla niej, a nie uwłaczają nigdy jej charakterowi — „duszy niewinnej i słodkiej.“ Takie utwory nie dają się szkicować lub skracać bezkarnie; każdy rys, każde przemówienie, jest tu niezbędnym, nie dającym się zastąpić. Czytelnik jest zajęty od pierwszej stroniczki wszelkimi władzami ducha; na ostatnich kartach mimowolnie nabieży mu łza pod powiekę.

Takiego wrażenia powieść poprzednia, Capreac i Róma, nie wywarła i przez porównanie obu utworów może zdolamy wykryć przyczynę tej różnicy.

W pierwszym, w Kaprejach, jest za wiele trudu naukowego, jest nie zupełnie szczęśliwe skojarzenie historii ścisłej z poczytą, z twórczością fantazyjną. Opowiadające ustępy czterech panowań, trzymane w tonie prozaicznym, nie osiągnęły warunków od prozy wymagalnych, a jednak rwały pasmo jedności w układzie tak dalece, że przedstawicielami tej jedności, są tylko Helios i Juda, którym nie można przyznać, charakteru pierwszorzędnych postaci. A jakkolwiek luźny to węzeł, przecież wiąże i nie pozwala czytelnikowi godzić się z zapowiedzią autora, że dzieło nie będzie powieścią, lecz szeregiem obrazów historycznych. ⁵⁵⁾

Przy zbyt znacznej szerokości ram i kilkakrotnej zmianie personelu, wszystkie osoby maleją i tracą żywość karnacyi. Nie starczy miejsca i czasu na wykończenie, na owe drobne rysy i punkta, które nadają osobie cechy indywidualne. Szczególnie ów brak wypukłości daje się widzieć w gruppach chrześcijańskich.

Przy bogactwie materiału, pozostałego po pogańskich pisarzach i artystach, przy obświeceniu danych ze społecznej literatury i sztuki chrześcijań — Kraszewski, kusząc się wciąż o dokładność historyczną, tworzył najczęściej obrazy świata pogańskiego, a wra-

liwość poetycka nie pozwalała mu utrzymać w nich właściwej miary i proporcji. Porwany oburzeniem, zgrozą, gromadzi same okropności, które czasem nużą już czytelnika i budzą powątpiewanie, czyliż takiem w istocie było społeczeństwo rzymskie? Czy taką mogła być natura ludzka? Kto nie jest obeznany ze stanem materyału, a porachuje tylko sumnę otrzymanych od autora wrażeń, może nawet posądzić, że poeci, artyści lubują się w grzechu, że kreśląc chociażby dzieje cnotliwych chrześcian, wołają zarządzać głębokie studia nad pogańską demoralizacją i uświetniać ją barwami swojej wyobraźni.

Te wszystkie usterki znikają w „Rzymie za Nerona.“

Tu żywioł historyczny występuje w niezwykłym bogactwie i żywości, ale nie w genealogicznych wywodach, nie w politycznych poglądach i sądach, tylko w układzie myśli, w zwrotach mowy, w obyczajach, trybie życia, w powierzchowności i wnętrzu człowieka. Fakta zewnętrzne rozmiągają się częstokroć z poprzednią wersją lub z dokumentami historycznymi. Pudens nie jest już senatorem, Akwilla i Pryscylla zamieniły się na Praksedę i Pudencyannę, córki Pudensa, Celia znikła, a na jej miejscu ukazała się Pomponija Grecina, znana z Tacyta⁵⁴⁾; Tigellinus jest potężnym ministrem Nerona podczas spisku Pizonowego, chociaż podług Tacyta był on w tym spisku skompromitowany i odebrał sobie życie wśród biesiady epikurejskiej, napisawszy rubaszny i szyderczy list do cezara; prześladowanie chrześcian trwa zbyt długo, a zaczyna się jeszcze przed pożarem Rzymu, męczarnie są zbyt urozmaicone, a niezgodne z tekstami Tacyta i Klemensa Rzymskiego, — ale to wszystko nie psuje ani trochę wrażenia ogólnego, nie obraża instynktów nawet specjalisty — historyka. Boć autor nie okazuje żadnych roszczeń do ścisłości szczegółowej, a w ogólnym rysunku epoki i w treści życia świeci prawda historyczna, wychodzi na jaw z każdego wiersza, z każdego niemal wyrazu.

Zmniejszenie ram powieści, zredukowanie czasu do kilku zapewne mieściecy Neronowych rządów, znakomicie posłużyło do zwiększenia wyrazistości osób i charakterów, do nadania spójności szczegółom. Forma korespondencyi następcza Juliuszowi sposobność wspomnienia o smutnych nowinach miejskich, o wielu osobach, ale na pierwszym planie stoją zawsze trzy postacie:

Juliusz, Lucjusz i górująca nad nimi Sabina. Świat pogański ukazuje się w pewnej odległości i w mniej ponurym oświeceniu; są tu przecież ludzie, których zrozumieć możemy: są filozofowie, godni szacunku i sympatyzni; jest nawet grupa charakterów znakomych odwagą, prawością i szlachetnością: Trazeasz, Kornutus, Fulwiusz, Flawiusz, Celsus, Epicharys. Ich siła moralna, sięgająca aż do bohaterstwa, dorównywa niemal bohaterstwu chrześcian, różni się tylko źródłem, pobudkami, celem ostatecznym, tłem działalności duchowej. Tych szlachetnych Rzymian możemy szanować, dać im cześć nawet, ale gromadkę chrześciańską ukochać musimy, a najbardziej chwytą nas za serce Sabina, Marcja, wdowa Treboniuszowa. Bo jakimiż skarbami serca uposażył ją Kraszewski! Dobra dla swoich niewolników, przyjaciółka Ruty, pełna tkliviej miłości macierzyńskiej dla swego Paulusa, tająca swą miłość dla Juliusza, milująca swoich spólowyżnawców, umierająca dla miłości Boga, zaprawdę „anima dulcis et innocens“ — jest ona postacią świetlaną, świętą, a jednak związaną silnie z człowieczeństwem, bliską nam, zrozumiałą, dającą się ukochać.

Z dokonanego obecnie porównania wyciągamy wniosek, że „Capreae i Roma“ jest dziełem przygotowanym do „Rzymu za Nerona.“ Tam autor poczynił pierwsze studia nad epoką trudną, nad zadaniem skomplikowanym i tajemniczym: tu materyał naukowy jest już przetrawiony, nie przygniat twórczych pomysłów, lecz je zasila duchem przeszłości. Tam kontrast pomiędzy pogaństwem i chrystyanizmem jest niemożliwie ostry, dwa światy są przedzielone przepaścią: tu łączy je natura ludzka, a jednak różnica jest widoczna i jasna. Tam serce autora bije uczuciem wstrętu dla pogaństwa i jakiegoś ascetycznego zachwyty dla misteryi chrześcianizmu: tu panuje wyrozumiałość, łagodna i rzewna, tkliva, ale zdolna do wszelkich ofiar miłość; jeśli wolno użyć takiego porównania, rzeklibyśmy, że Kraszewski w „Kapiei“ przejęty jest uczuciami Dominga Guzinana, w „Rzymie za Nerona“ bije w nim serce Franciszka z Assyżu. I w Kapiei są piękne sceny, szlachetne sytuacje, myśli podniosłe, ale Rzym Neronowy jest utworem doskonałym, jest jednym z najcenniejszych klejnotów naszej literatury, jest godny tłumaczenia na wszystkie języki obce, bo dla wszystkich będzie zarówno zrozumiałym i miłym.

Tadeusz Korzon

PRZYPISKI.

- 1) Capreae i Roma t. I str. 37, 43, 36, 42, 44, 45.
- 2) Ibid. I, 54—56.
- 3) Ibid. I, 59.
- 4) Tiberius, 60.
- 5) Capr. i Roma I, 142, 145.
- 6) Ib. I, 67, 75, 76—77, 106, 107, 155—156, 82.
- 7) Ib. I, 172, 173, 119, 122, 123, 133, 139.
- 8) Szczegóły archeologiczne są wogóle wierne, ale opis willi Tyberyuszowych jest fantastyczny, gdyż pozostałe na Caprei ruiny, pochodzą z późniejszych czasów, prócz jedynych może wschodów (Benlé: Tibère. 1870. 3e. edit. str. 316).
- 9) O Kajusie Tacyt. Ann. VI, 20, 46, o Makronie Ann. VI, 15, 47, 50, Ennii VI, 45, Trajyllu VI, 21, Nerwie VI, 26, Charyklesie VI, 50, o Tyberyuszu mnóstwo faktów z ksiąg I—VI, o Pryskusie Sueton. 43, o Makronie i Ennii Dio Cassius ed. Leunel. p. 639 A. etc.
- 10) Capreae i Roma, wydanie Lwowskie 1875 r. t. I, str. 36, 42, 45.
- 11) Tacit. Ann. VI, 15 i 20; Tyberyusz zresztą dopiero w 33 roku sprowadził Kaligulę do siebie na Kaprę, we dwa lata po śmierci Sejana. Wyjaśnienie co do tej Klaudyi czyli Junii Klaudyi patrz u Merivale'a, t. V, str. 398, nota 2.
- 12) Caprea i Roma I, str. 78, 79, 66.
- 13) Caprea i Roma, rozdziały X, XIII, XX, XXI, przypisek w t. I, str. 156.
- 14) Tacitus Ann. VI, 13, 17, 45, IV, 64, 20, Seneca Epist. 95 (42), Sueton. 46, 47, Dio Cass. ed. Leunel. p. 608 C., Caprea i Roma II, str. 16.
- 15) Suet. 72: „nec abstinuit consuetudine“ nawet w ostatniej chorobie, Dio Cass. ed. Leunel p. 609 A; Tacit. VI, 50: „quaesita comitate, quamvis manifestam, defectionem tegebat.“
- Sam Kraszewski przytacza podobny fakt z Getulikiem (I, 179), tylko inaczej go tłumaczy.
- 16) Sueton. Tiber. 73.
- 17) Voltaire—Le Pyrrhonisme de l'histoire, chapitre XII.
- 18) B. G. Niebuhr—Vorlesungen über römische Geschichte an der Universität zu Bonn gehalten. Berlin 1848. Reimer III. 173.
- 19) Wietersheim: Geschichte der Völkerwanderung. Leipzig. 1859. Weigel I, 132—134.
- 20) Ch. Merival dean of Ely—History of the Romans under the empire. New edition 1876. London Longmans, Green & Co. tom IV, str. 235; V, 349, 350, 351, 372, 384, 408, 411—421.
- 21) A. Stahl—Tiberius, Leben, Regierung u. Charakter 1873 Berlin Guttentag. str. 317—378, 377, 38—96 i passim.
- 22) Benlé—Tibère—3e edit. Paris, Michel Levy 1870. tr. 354, 324, 263. Auguste sa famille et ses amis. 3me edit. 1875. Paris, Michel Levy, str. 144: voyez es pauvres Romains, où ils en sont déjà réduits: à l'adorer comme des bons princes, que ceux, qui reurent avant l'âge. Revue d. d. Mondes 1858 str. 64 i nast.: „Germanicus“ str. 386 i nast.: „La veuve e Germanicus.“
- 23) Caprea i Roma I, str. 58, 59, 76.
- 24) Caligula, 19.
- 25) Caprea i Roma II, 20, 21, 22, 75, 117, 23, 29, 31.
- 26) Ib. I, 195.
- 27) Caprea i Roma II, 34—38, 49, 61, 63, 65, 116, 131, 67, 68.
- 24) Caprea i Roma II, 69, 75, 76, 77.
- 29) Caprea i Roma II, rozdziały V, VI, VII, str. 85, 103.
- 30) Capr. i Roma II, 135—7, 140—3.
- 31) Capr. i Roma II, 149, 152, 155, 171, 174, 177.
- 32) Capr. i Roma II, 57, 59.
- 33) Philo, Legatio ad Caium, 4.
- 34) Ann. III, 55.
- 35) Rachując od ustanowienia Rzeczypospolitej (510 r. przed n. Chrystusa) do dyktatury Cezara 46 r. przed Chr.) otrzymujemy lat 464, cesarstwo zaś trwało do roku 476 po Chr., a więc 522 lat; gdybyśmy zaś rachowali okres Rzeczypospolitej do bitwy pod Akcyum, to i tak liczby długowieczności obu okresu nie wyrównają się, gdyż staną w stosunku 479 do 507.
- 36) Sueton. August. 98, Strabo XVII, 1, 7, Plinius XXXVI, 14, Jos. Vita. 3. patrz u Renana, Saint-Paul. Paris 1869, Michel Levy str. 558—9. Dzieje Apostolskie XXVIII, 15.
- 37) E. Renan—L'Antechrist. 3eme ed. Paris 1873 M. Levy. Appendice str. 551—556.
- 38) Alzog—Hist. Powsz. Kościoła. Warsz. 1855 t. I str. 164.
- 39) Listy ś. Pawła — II, Tymot. IV, 21.
- 40) Dzieje Apost. XVIII, 2, 18, 26, List do Korynt. XVI, 19, do Tymot. wtóry IV, 19, Alzog—Hist. Powsz. Kościoła. Warszawa 1855, tom I, str. 161.
- 41) E. Renan—L'Antechrist etc. str. 185, odsyłać 5.
- 42) Merivale—The Romans under the Empire etc. tom VI, str. 450 przypisek 1.
- 43) Alzog—Historia Powszechna Kościoła etc. Warszawa 1855 tom I, str. 165. Eusebii Caesariensis — Hist. Eccl. lib. II, cap. 25.
- 44) Capreae i Roma II, str. 140: „Cała ta nauka Symona Maga, tak uderzająca podobieństwem z nowymi niby. dziś ogłoszonymi prawdami, jest ściśle historyczna;“ II, str. 142: „I ta historia Heleny tyryjskiej, towarzyszkii Symona, jest prawdziwa;“ II, strona 14. „Abyśmy nie byli posądzeni o zapożyczenie tego pomysłu, odsyłamy do historii Symona Maga, z której Gothe musiał wziąć ją do Fausta.“
- 45) Dzieje Apost. VIII, 9—27.
- 46) Suet. — Nero, 12: primo statim conatu.
- 47) Patrologiae Cursus Completus... accurate T. P. Migne 1857. Lutetiae Parisiorum Tomus XIII, pag. 73, Euseb. Hist. Eccl. lib. II, capp. 13, 14, 15.
- 48) Alzog—Hist. Powsz. Kościoła, Warszawa 1855 tom I, str. 243.
- 49) Dzieło Lipsiusa nosi tytuł: Die Quellen der römischen Petrusgeschichte. Kiel 1872. Nie znamy go sami i przytaczamy podług Renana, który z tym wywodem się zgadza: L'Antechrist, str. 555, 161, przypisek 4, (tu są przytoczone niektóre źródła) etc.
- 50) Rzym str. 26—31, 42, 45, 44, 36, 53.
- 51) Rzym 62, 69, 126.
- 52) Ib. 77, 81, 80, 135.
- 53) Rzym 146, 148—150, 153, 156, 155, 194.
- 54) Rzym 198, 215, 127.
- 55) Rzym 221, 223, 232, 235, 237, 238.

56) Tacit. Ann. XIII, 32, nie nazywa jej wyraźnie chrześcijańską, otwiera wszakże drogę do domystów,

a Renan i Merivale VI, 111 skłonni są tłumaczyć tekst w sposób zgodny z domystem Kraszewskiego.

II.

1) Stara Baśń 1876. 2) Lubonie 1876. 3) Bracia Zmartwychwstańcy 1876. 4) Masław 1877. 5) Królewscy Synowie 1877. 6) Historia prawdziwa o Petruku Właście, Palatynie 1878. 7) Stach z Konar 1879.

W zwykłej, dobrze pojętej historycznej powieści nie jest historia ani głównym celem, ani też nawet poważniejszym czynnikiem, ona jej tylko wątku i szczegółów obrazowych dostarcza. Powieściopisarz, stawiając sobie jakąś kwestję psychologiczną, tworząc pewne charaktery i obmyślając ich wzajemne na siebie oddziaływanie, częstokroć nie znajduje w dzisiejszych stosunkach życia należytego tła i warunków, wśród którychby się te charaktery mogły rozwinać a myśl przewodnią jego powieści uwidocznić. Szuka więc tego tła i tych warunków w nieprzejrzaną kopalnię przeszłości, znajduje i na tej kanwie rzecz swoją umieszcza, jej szczegółami ją rzeźbi i barwi. Częściej jeszcze musi się do historii uciec autor powieści, jeżeli przedmiotem jego myśli i wyobrażeń są polityczne pytania, zajmujące żywo społeczeństwo, wśród którego się piszący obraca, posiadające dlań chwilową lub trwałą ale istotną, wielką doniosłość i wagę. Powieść tego rodzaju, z wybitnym politycznym lub społecznym dążeniem, trudniej jeszcze niejednokrotnie na tle dzisiejszych stosunków umieszczać, łatwiej nieraz wynaleźć je w historii, która przecież z życiem obecnym nieprzerwany stanowi związek i sposobem przykładu i nauki skutecznie na nas wpływa i działa. Autor piszący takie historyczne powieści musi oczywiście nad dziejami zupełnie panować, musi odtworzyć nam społeczeństwo żywe, postawić nam przed oczyma cały zasób jego myśli i uczuć, jego warunków, urządzeń i środków. Inaczej zamiast rzeczywistego dałby powieści swojej za podstawę tylko cłkiwy i nużący szablon. Panując nad historią, nie jest jednak powieściopisarz nią bynajmniej związany, fantazja jego tworzy tu jedyną granicę nie w historycznej, ale w psychologicznej prawdzie, nikt się go nie zapyta, czy wiernie odtworzył historią, jej dążenia, charaktery i walki, każdy rad będzie nawet z tego, że historią do wyższego tonu, na pewien koturn podnieść, byleby jego obraz był historycznie możliwym, byleby się

z naturą ludzką, z istotą podanych w nim warunków dziejowych nie mijał, przeciw prawom rozwoju społeczeństw nie grzeszył. W powieści historycznej właściwiej, taksamo jak w dramacie lub epopei odgrywa historia rolę ważną, ale musi pierwszeństwo na rzecz myśli przewodniej i artystycznej konstrukcji bezwzględnie ustąpić.

Z całkiem odmiennego punktu widzenia sądzić musimy powieści, które się pospolicie zowią również historycznymi, któreby jednak właściwiej było nazwać obrazami, ilustracjami historycznymi, skreślonymi w postaci powieści. Takie zadanie podjął Kraszewski w szeregu utworów, których tytuły podaliśmy wyżej. Jestto szereg obrazów powieściowych, objaśniających, uplastyczniających nasze dzieje już do końca XII-go wieku, dalsze obrazy obejmą dzieje następujące aż do końca Rzeczypospolitej. W „Starej Baśni” mamy obraz ludów słowiańskich przed powstaniem polskiego państwa, w „Luboniu” panowanie Mieszka I-go, w „Braciach zmartwychwstańcach” rządy Bolesława Chrobrego, w „Masławie” bunt Masława i odrodzenie Polski przez Kazimierza, w „Boleszyce” walkę Bolesława Śmiałego ze ś. Stanisławem, w „Synach Królewskich” zapasy Krzywoustego ze Zbigniewem, w „Petruku Właście” zatargi synów Krzywoustego po podziale kraju, w „Stachu z Konar” rządy Kazimierza Sprawiedliwego. Wątek każdej powieści wzięty jest z codziennego życia, dostarczyły go często legendy pojedynczych prastarych rodzin, występują w nim osobistości, stojące na niższych szczeblach hierarchii społecznej, dając temsamem sposobność do skreślenia społeczeństwa w jego codziennym życiu, ale ponad tym w każdym powieściowym górą zawsze wielkie historyczne osobistości, one każdej powieści dostarczają właściwych bohaterów, one czytelnika, obznajmionego już z życiem codziennym wszystkich warstw narodu, wprowadzają na widownię wielkich, rozstrzygających o dalszym rozwoju politycznym zapasów. Powieści przesuwały się w chrono-

logicznym porządku, ściśle ze sobą się wiążą i łączą, i stanowią tęsamą ciąglą nieprzerwaną ilustracją naszej wewnętrznej i zewnętrznej historii w jej najszerszym cywilizacyjnym pojęciu. Kto zna historię ze wszystkimi jej szczegółami, ten w powieściach tych znaleźć ma próbę połączenia tych szczegółów w jeden plastyczny obraz, kto ją zna słabo, kto jej nie zna wcale, kto niema dość skupionej myśli, ażeby ją sobie przez naukę przyswoić, ten ma ją poznać z powieści, ten ma z powieści wynieść do nauki historii zachętę i otuchę. W takich historycznych powieściach, historia staje oczywiście na pierwszym planie, ona sama jest celem, artystyczna konstrukcja jej narzędziem i środkiem.

Oceniając w tém, jedynie, jak myślę, właściwém świetle „powieści historyczne“ Kraszewskiego, o których mowa, uznać je trzeba dziełem znakomitým i niepospolitým praktycznej doniosłości i wagi. Czynią one zadość dwóm swoim zasadniczym wymogom. Jest w nich znajomość historii z pierwszej ręki, ze źródeł, taka, jaką się żaden z naszych powieściopisarzy, niehistoryk, nie może poszczycić. Ustępów źródeł wplecione są w opowiadania w sposób nadzwyczaj zrzeczny, wyczerpnięte wszystkie, rozszerzone z zachowaniem właściwej miary, uzupełniane troskliwie wynikami najnowszych umiejętności badań. Skrupulatny na polu nauki historycznej pedant, byle z warunków artystycznego tworzenia zdawał sobie sprawę, nie zarzuci autorowi przesady lub fantastyczności, uzna jego gorliwość w trzymaniu się ściśle historycznego gruntu. Szerza publiczność dostaje w powieściach osnovę, która błędnymi pojęciami wiadomości jej nie skrzywi i nie zamąci. Pod względem artystycznym są to niewątpliwie ilustracje niezwyklej wartości. Autor, czerpiąc wprost ze źródeł, zdobył się na koloryt, do kolorytu czasów pierwotnych co najmniej wielce zbliżony i nigdzie z nim w jawnej nie stojący sprzeczności. Charakterystyka osób uzupełnia się pięknymi obrazami przyrody w ówczesnym jej stanie, osoby występują wolne od wszelkiej szablonowości, działalności ich i wywiązujące się ztąd wypadki przedstawione są z nadzwyczajnym spokojem, prostotą a nieraz i poezią i prawdziwým mistrzostwem, i to jest druga „powieści historycznych“ niepospolita zaleta.

Braki i wady, jakie w nich znajdujemy, tłumaczą się natomiast wszystkie naturą podobnego przedsięwzięcia, naturą tego ro-

dzajni ilustrujących historię powieści. Inad temi mamy się zastanowić.

Ilustrować w powieściach historię, kiedy ta historia nie jest dotychczas umiejętnie zbadaną, kiedy najważniejsza dla powieściopisarza historia wewnętrznych stosunków pogrążona jest w prawdziwym zamęcie najsprzeczniejszych ze sobą zdań i najdowolniejszych hipotez—oto pierwsza największa przeszkoda. Pokonał ją zwycięzko Kraszewski, stanął w obec czytelnika z taką znajomością historii, z tak trzeźwým i rozważnym uchwyceniem jej najwięcej charakterystycznych rysów, jakim się żaden z jego współzawodników poszczycić nie może. Rzeczy knieie w „Staréj Baśni“, powstanie władzy książęcej w „Luboninach“, rycerstwa w „Zmarłychwstańcach“, wybuch reakcyi pogańskiej w „Masławie“, wzrost kościoła i jego hierarchii w „Boleszczycach“, obrona władzy królewskiej i jednności państwa w „Synach Królewskich“, rozterki dynastyczne i wzrost możnowładztwa w „Petrku Właście“, wszechwładza panów duchownych w „Stachu z Konar“, „wszystkie te zwrotne punkta naszych pierwotnych dziejów występują tak plastycznie, tak żywo, z tak wyrazistým nacechowaniem ich kolejnego powstania i rozwoju, że ten, kto „powieści historyczne“ uważnie przeczytał, musi je zrozumieć i pojąć i już o nich zapomnieć nie może. Z pośród mnóstwa naukowych hipotez wybrał autor bystrym swym umysłem najprostsze i dla tego niewątpliwie najwięcej do prawdy się zbliżył. Wziąwszy sobie za przewodnika znakomitą pracę Roepella, umiał się przy niej konsekwentnie utrzymać i dla ponętnych, ale fantastycznych hipotez Lelewela lub Szajnochów wyników jej nie poświęcił. Występując z mniejszym umiarkowaniem, z większym zasobem fantazyi, apodyktyczności i tendencyi mógł autor podnieść niezmiernie artystyczną stronę powieści, wlać w nie więcej zapalu i życia, zbudzić głębszy interes, ale cel dydaktyczny, popularny, powieści byłby na tém niewątpliwie stracił. Są one nieco blade, w szczegółach za mało wyraziste, zbyt nieraz spokojne, nie wzruszają, ale też i nie drażnią; co w nauce jest dzisiaj niejasnym, wątpliwým, to i w powieściach utrzymaném jest w niejasności, w półcenieniu.

Ilustrować historię pierwotną narodu, która choćby już najlepiej była opracowaną, tak przerażająco jest skąpą, skąpą w prawdziwe, niezbędne dla powieści szczegóły i obrazy—oto druga a niemala trudność. O historii naszej przedchrześcijańskiej nie wiemy nic zgola, do całych dziejów X-go

i XI-go wieku mamy tylko suche rocznikarskie zapiski i późniejsze legendy, dopiero z początku XII-go wieku posiadamy w kronice Galla szerszy współczesny obraz ówczesnego narodu i państwa, ze środka tegoż wieku zakwestyonowaną w swęj autentyczności biografią Piotra Własta, z początków XIII-go stulecia bogatą kronikę Kadłubka. Z tak szczupłego materiału utworzył Kraszewski ośm historycznych powieści. Z trzema ostatniemi rzecz była stosunkowo łatwa, oparł je autor na kronice Galla, biografii Piotra i kronice Kadłubka; dla ludzi, którzy dla braku znajomości łaciny i głębszego wykształcenia pięknych tych historycznych pomników nie mogą czytać w oryginale, przełożył je autor na język polski w sposób barwny i zajmujący. Trzymając się wiernie toku ich opowieści, wyzyskał z godną uznania troskliwością ich najdrobniejsze szczegóły i wzmianki, wyzyskał ich współczesny, prawdziwy koloryt. „Królewscy Synowie“, „Historja o Petru“ i „Stach z Konar“ przemawiają też do czytelnika kolorytem tym, obfitością szczegółów i bogactwem prawdziwej treści najwięcej z pośród ośmiu powieści. „Stara Baśń“ jest zupełnie dziełem fantazji, posługującym się analogią innych współczesnych, lepiej nam znanych plemion słowiańskich i kunsztowną retrospektywą z naszą późniejszą historją. Dla czterech powieści pomiędzy „Starą Baśnią“ a „Królewskimi Synami“, brakło również historycznej podstawy w kręśleniu wewnętrznych stosunków, wziął ją autor z kroniki Galla, nieco tylko przez kombinacyą zmieniając; w powieściach tych nie zdołał się też ustrzedz rozwodnienia jednego i tego samego materiału i nużącej nieraz, z ciągłego powtarzania wynikającej monotonii. Wolelibyśmy, gdyby autor po „Staręj Baśni“ napisał zaraz powieść z czasów Krzywoustego, na kronice Galla opartą, uderzającą charakterystyką ówczesnego społeczeństwa i państwa, realizmem postaci historycznych wybitną, a w powieści takiej znalazłoby się miejsce, ażeby za pomocą wtrąconych epizodów, na dawniejsze czasy rzucić potrzebne światło, i streszczając wiernie legendy, przedstawić, jak w onych czasach na czasy te zamierzeć się zapatrywano. Materiał historyczny w jednej skupiony powieści, skryształizowany, podniesiony, robilby na umyśle czytelników o wiele głębsze, niezatarte wrażenie.

Tłumaczyć najstarsze kroniki w formie powieści, w sposób przystępny, plastyczny i barwny, wdzięczne to niewątpliwie i pożyteczne zadanie, ale każda z tych kronik

stoi na odmienném stanowisku, każda w swém świetle wypadki przedstawia i ocenia, rażące między niemi zachodzą sprzeczności. Kronika Galla jest apoteozą siły i jedności państwa w osobie Krzywoustego, biografia Piotra Własta, broniąc samoistości możnowładztwa, potępia te zasady w osobie Władysława II-go, kronika Kadłubka, apoteozując wszechwładzę hierarchii kościelnej, rzucił kamieniem potępienia na Mieszka Starego, który w ślady polityki swego brata Władysława i ojca Krzywoustego wstępował. W szeregu powieści historycznych, obejmujących te czasy, musi jednak być ten związek; powieściopisarz niemoże w każdej powieści iść bezwzględnie za kroniką, która jej za podstawę służy, nie może sądu swego historycznego nieustannie zmieniać, porzucając zaś sąd kronikarza traci téśmą wiele szczegółów i współczesny koloryt. Trudność to może największa. Rozwiązując ją, starał się Kraszewski pośrednie stanowisko zająć. Nieporzucił kronikarza, w jego świetle przedstawia wypadki, ale w licznych, z ręcznemi wtrąconych uwagach wymierza im ostrą nieraz krytykę i w ten sposób jednolitość swego sądu historycznego utrzymać się stara. Za Gallem idzie bezwarunkowo, trzymając się następnie biografii Piotra, przedstawia w njemném świetle Władysława II-go, ale winy jego raczej na wady osobiste charakteru jego i jego żony Agnieszki, niż na politykę Bolesławowską zwałić się stara a możnowładztwu ostrych słów nagany nie szczędzi. Idąc dalej z Kadłubkiem, potępia Mieszka, lecz również raczej dla jego osobistych przywar i ułomności, znaczenie kościoła i biskupów podnosi, ale zarazem w sposób nader zręczny daje na każdym kroku do poznania, że zbyt duża przewaga kościoła i kryjąca się pod jej płaszczy swawola ziemian sprawie publicznej szkodzi, bytowi państwa zagraża. Niepodobna metodzie tej odmówić wielkiej zręczności i zalet, lub wskazać inny sposób rozwiązania niemalżej trudności, ale niepodobna również zaprzeczyć, że takie traktowanie szkodzi niezmiernie jednolitemu wrażeniu powieści. Czytelnik lekkomyślny krytykę tę niejako nawiasową pominie, czytelnik, głębiej sięgający, niewie po czyjej stronie stanąć, czy po stronie sympatycznie skryślenych, ale szkodliwie lub słabo działających osobistości, czy też po stronie postaci historycznych, ujemnych swoim charakterem, wielkich ideał, którą pojmują i której nie-szczęśliwie służą. Człowiek wytrawniejszy, niepotępi Władysława II-go i Mieszka Starego, którzy bronili sztandaru polityki pia-

słowskić, i do jedności państwa i złamania możnowładztwa dążyli i przeczytawszy powieść zapyta, dla czego autor jej stał się ogłosem potwarzy, rzuconych na charakter tych osobistości przez kronikarzów służących przeciwnemu im obozowi?

Oto ujemne strony powieści, których celem nie jest powieść, jako powieść, lecz objaśnienie i rozpowszechnienie znajomości naszych pierwotnych dziejów. Dodałibyśmy do nich jeszcze jedną, t. j. pośpiech w pisaniu. Bez tego pośpiechu nie może stać tak wielkie a pożyteczne dzieło, pośpiech ten jednak szkodzić musi niejednokrotnie artystycznej konstrukcji powieści. Czuć wszędzie, że autor całej swą wyobraźnię, całego talentu w układzie i budowie powieści, całego mistrzostwa w skreśleniu szczegółów nie wyczerpnął, razi nas często pewna przewlekłość w opowiadaniu lub powtarzanie jednych i tych samych rzeczy, lecz każdy bezstronny krytyk przyzna, że być inaczej nie mogło.

Do tych ogólnych uwag, dorzucimy jeszcze kilka spostrzeżeń o pojedynczych powieściach.

Prześliczną, na wskroś poetyczną, prawdziwą epopeją jest „Stara Baśń.“ Ale podanie o straceniu Popiela, a wyniesieniu Piasta, jak je Kraszewski w tej powieści przedstawił, nie oznacza w dziejach naszych żadnej stanowczej zmiany. Popiel, był to książę okrutny i niesprawiedliwy, nie szanujący swobód słowiańskich, więc z dynastją swoją upada. Wybierają prawość wieloną, Piasta; ale swobody słowiańskie prowadzą do anarchii. Piast zaś nie rozwiązuje trudnego zadania, w powieści trzyma się z dala od wszelkiej polityki, ucieka w lasy przed wołającym go na stolec książęcy wiecem. Czy taki człowiek bez żadnego programu mógł założyć wielką dynastją? niepodobna. To też w dalszych powieściach potomkowie Piasta wstępują nie w jego, ale w ślady Popiela i przemocą, oraz instytucjami z zachodu przejmowanie władzę swoją wzmacniają a swobody słowiańskie łamią. Pocóż więc strącono Popielową dynastją? Co najwięcej dla tego, że trzymała z Niemcami. Ale jedna ta okoliczność, pomijając już, że prawdopodobieństwo historyczne za nią nie przemawia, nie tłumaczy nam jeszcze powstania naszego narodu i państwa, które nastąpiło przez połączenie drobnych ludów mieszkających między Odrą a Wisłą i narzucenie im żełaznej centralizacji. Jeżeli zaś autor faktu tego nie chciał obrać za główną ośnowę

pierwszej powieści, jeżeli w „Starój Baśni“ zamierzcie stosunki chciał rozmyślnie pozostawić w zamęciu, to należało może w silniejszóm świetle podnieść i uwydatnić pewne dążenia i pierwiastki, mające za podstawę do budowy państwa i narodu polskiego posłużyć.

Dobrze pomyślana i zbudowana powieść: „Lubonie,“ budzi wielki interes, ale zajęcie to słabnie w chwili, kiedy autor w sposób zbyt przewlekły zaczyna opowiadać kunktorstwo Mieczysława w przyjęciu i ogłoszeniu chrześcijańskiej nanki. Czy Mieczysław w zaprowadzeniu chrześcijaństwa, mając za sobą hierarchią urzędniczą i wojskową, miał się bezbronnym tłumom pospólstwa obawiać, latami zwlekać i kościół chrześcijański przeprowadzać połowicznie, cichaczem? Nawet słaby Jagiełło mężniej sobie postąpił, a przenoszenie jego charakterystycznych rysów na wielką postać Piastowicza, duchem inicjatywy imponującą, nie jest szczęśliwym pomysłem. Mieczysław nie jest też głównym bohaterem powieści, lecz są nim apostołowie chrześcijaństwa, skreśleni z wielkim życiem i uderzającą prawdą.

Najsłabszą ze wszystkich powieści są „Zmartwychwstańcy.“ Autor zniżył ją do tonu rodzajowych obrazków. W powieści, w której idzie o zbudowanie uniwersalnej słowiańskiej monarchii, bohaterem nie jest sam Bolesław Chrobry, lecz jakichś dwóch rycerzów, a na drugim planie opat Aaron; król, który był wcieleniem idei tworzącego się państwa, odgrywa tylko bierną, trzeciorzędą rolę. Widzimy tu zresztą Bolesława na schyłku jego życia, siedzącego w Poznaniu, myślącego tylko o zapewnieniu całości państwa przez uzyskanie korony od papieża i przekazaniu jej synowi, w którego działalności słabe pokłada nadzieję. Chrobry już wszystkiego dokonał: i państwo ogromne zjednoczył i od Ottona koronę uzyskał, — Bolesław w powieści myśli o prawnym i legalnym utrwaleniu swojego dzieła i w rachunkach swoich — jak świadczy panowanie Mieszka II-go i Kazimierza, na które autor w epilogu kilka światła rzuca — zupełnie się zawodzi. Niemcy mają się go bać, ale i on prawdopodobnie boi się Niemców. Bili się z sobą niegdyś, ale teraz cicho siedzą i spokojnie na siebie patrzą. Niebył to sposób do scharakteryzowania bohatera, który z orężem w ręku Polskę przystęp do morza otworzył, żelaznymi słupami w rzekach naznaczał granice, idei niemieckiej przeciwstawił ideę słowiańską i po śmiertelnych walkach zdobył jej w r. 1000 formalne uznanie w polityce powszechnej, europejskiej. Wprawdzie

i w *Iliadzie* Achilles długo tylko narzeka i grozi, ale kiedy wybiła chwila działania, kiedy stanął na okopach i zjawieniem się swojemu wojsku trojańskie w bezładną wprawil nieciezkę, widzimy, że wyobrażenie, jakieśmy sobie o bohaterze tworzyli, sprawdziło się, uczucie uwielbienia nami owała. Tymczasem w „Zmartwychwstańcach“ czekamy na takie zbudzenie się Bolesława, czekamy długo, aż do ostatniej chwili na próżno. Bolesław nie dobywszy oręża umiera a czytelnik rozstaje się z nim raczej z żalem do niego, niż z uwielbieniem. W ogóle pisać powieść z czasów Miecysława lub Bolesława nie można już nie podnieść jej do epicznych rozmiarów.

O wiele wyżej od „Zmartwychwstańców“ stawiamy „Masława.“ Cechuje go konsekwentne i żywe rozwinięcie wątku powieściowego, oraz piękna i dobrze utracona charakterystyka historycznych postaci. Dzikim obrazem spustoszenia kraju i zniszczenia owoców jego dotychczasowej cywilizacji rozpoczyna się powieść, mająca nam przedstawić gwałtowną reakcję przeciw nowemu porządkowi, jaka wystąpiła na jaw po śmierci Mieszka II-go, po wypędzeniu Ryxy i syna jej Kazimierza. Na tle tego obrazu, oświeconego luną najazdów pomorskich i czeskich i mordereżami grabieżami zbuntowanego chłopstwa, rysuje się w ponurym świetle złowroga, ale wielka postać Masława, który z parobka dworskiego umiał się wzniesić na najwyższe godności, wśród ogólnego zamętu władzę książęcą na Mazowszu uchwylił, a o wyswobodzeniu reszty kraju z pod obcych najeźdźców i założeniu nowej własnej, w miejscu piastowskiej, dynastii marzył. Cała powieść trzyma się ściśle historycznego toku wypadków a uczynilibyśmy chyba ten zarzut, że nie zużytkowała dwóch nader pożytecznych motywów. Autor przedstawia cały bunt Masławowy, jako rewolucję jedynie socjalnej natury, zapominając, że w bunie tym grała omal, że nie ważniejszą rolę odrębność ludów, składających ówczesną Polskę, które przez długi czas siłą tłumione, podniosły się gwałtownie przeciw gniotącej je centralizacji Piastowskiej. Nietylko na Mazowszu podniósł głowę Masław; podług wyraźnego świadectwa Kadłubka i w innej części kraju znaleźli się ludzie w rodzaju Masława, którzy siłą swego charakteru narzucili się na przywódców ruchu separatycznego pojedynczych dzielnic i niezatarte jeszcze w pamięci ludu stanowisko książąt dzielnicowych zajęli. Jedni z nich ugięli się pierwej, drudzy później przed Kazimierzem, najmniej trzymał

się Masław, bo poczucie odrębności najmocniej się trzymało na Mazowszu. Tylko też Masława imię przechowała historia, ale powieściopisarz mógł być i powinien innych Masławów na Szląsku, w Krakowie, Gnieźnie lub Łęczycy postawić i przez wzajemne ich ze sobą zcieranie się powrót Kazimierza umotywować. Ujemną również stronę powieści stanowi ta okoliczność, że stosunek osobisty Masława do ruchu, na którego czele stanął, nigdzie nie jest dokładnie skreślonym. Niemożemy przecież przypuścić, ażeby Masław, który wzrósł na królewskim dworze i wysokie dostojęstwa posiadał, przewrotowi socjalnemu i chłopowładztwu z przekonania sprzyjał. Ambicja jego kazała mu się na tym ruchu oprzeć, ale czuł pewno jego słabość i niezdolność do wszelkiej organizacji. W duszy Masława wrzec też musiała walka wewnętrzna, która w miarę zbliżającego się upadku nabierała prawdziwie dramatycznego charakteru. Niebyleż to prześliczny motyw dla powieści?

„Boleszczyców“ cechuje wielka obfitość treści, różnaitość charakterów, tragiczność wypadków, obracających się około zabójstwa ś. Stanisława i wygnania Bolesława Śmiałego. Największą tęj powieści zaletą jest ściśle historyczne, wolne od wszelkiej przesady, pojęcie tak trudnej a drażliwej dla historyka postaci, jaką jest ś. Stanisław. Autor całą działalność biskupa krakowskiego związał ściśle z ruchem ówczesnym kościelnym, reprezentowanym przez Grzegorza VII-go i w obec natury dobrą w gruncie, ale dzikiej i niepokonanej w żądach i dumie swój, Bolesława, postawił biskupa nięgiętego w przekonaniach, nieznającego pobłażania i miłości tam, gdzie obrażoną była zasada kościelna, zasada przewagi kościoła nad państwem. Pomiedzy takimi osobistościami, skreślonymi na początku powieści, czuje czytelnik, że przyjęcie musiało do śmiertelnej walki. Katastrofa zbliża się nieublagana a jej ofiarą pada naturalnie Bolesław. Do podniesienia tych dwóch głównych postaci, do narysowania ich stosunku względem całego narodu, przyczyniają się doskonale drugorzędne postacie w powieści, a w szczególności wpleciony w całą powieść obraz rycerskiego rodu Jastrzębców i jego zachowanie się w obec wielkiej tragedii dziejowej. Kiedy cały ród razem z ogółem duchowieństwa i rycerstwa staje przeciw Bolesławowi, kilku Jastrzębców, których król na swój dwór przyjął, zachowuje mu wierność, a w chwili, w której przyszło wybierać między królem a polityką własnego rodu, zrywa solidarność i wę-

zły łączący ich z rodem. Była to zbrodnia tak straszna, iż później, po katastrofie, w chwili ogólnego pojednania, ród Jastrzębców przebaczyć jej nie mógł, i tych, którzy do niego wracali, po surowym sądzie na nowo odepchnął. Odepchnięci dali nowemu rodowi Boleszczyców początek. Instytucja „rodów“ odgrywająca tak wielką rolę w początkowej naszej historii, znalazła w powieści tej wyborną, szczegółową a wielce plastyczną ilustrację.

O trzech ostatnich powieściach mówiliśmy już w ogólnych uwagach. Każda z nich, popularyzując osobną kronikę, nosi na sobie jej wybitne piętno. Zbliżają się one prawie do opowiadania historycznego, do którego źródła dostarczają już obfitego mate-

riału. „Królewscy synowie“ obracają się w sferze politycznych zapasów. Niedoleżny Władysław Herman, dumny wojewoda Sieciech, zdradziecki Zbigniew i górujący nad wszystkimi Bolesław Krzywousty, występują tam w wielkich psychologicznie i historycznie z prawdą nakreślonych rysach. W historii „Petrka“ dramat rodzinny rozwija się na tle wybuchających pomiędzy synami Krzywoustego zapasów. W „Stachu z Konar“ wypadki polityczne znowu na pierwszy plan występują, ale do urozmaicenia i ożywienia ich służą wybornie liczne legendy rodowe, wplecione w sposób nadzwyczaj misterny i utrzymujące uwagę czytelnika w naprężeniu aż do ostatniej chwili.

M. Bobrzyński.

III.

Wiek XVI i XVII.

1) Kościół ś. Michała 1833. 2) Rok ostatni panowania Zygmunta III, 1833. 3) Mistrz Twardowski 1840. 4) Stańczykowa kronika od r. 1505 do 1508, 1841. 5) Ostatnia z książąt Słuckich 1841. 6) Żacy Krakowscy 1845. 7) Zygmuntowski czasy 1846. 8) Kordecki 1852. 9) Powrót do gniazda 1874. 10) Żywo i sprawy JMPana Medarda z Golezwi Pelki 1876. 11) Pamiętnik Mroczka.

Taine pisze, że we Francji kursuje półtora miliona tomów dzieł Waltera Skotta, i dodaje: „wszyscyśmy się z niego uczyli historii“. Tak było i gdzieindziej, a nie tylko ogół publiczności zachwycał się urokiem obrazów i figur historycznych w powieściach Waltera Skotta i uczył się z nich historii, lecz i najlepsi pisarze uczyli się od niego pisać nie tylko powieści historyczne, ale i historią: Cooper, Dickens, („Barnaby Rudge“), Bulwer („Rienzi“, „Devereux“), Manzoni („I promessi sposi“), W. Hugo („Notre Dame de Paris“), nawet G. Freytag („Soll und Haben“), z historyków Macaulay i Thierry („Histoire de la conquête de l'Angleterre“), i Ranke nauczył się wiele z Waltera Skotta. Był to więc niepospolity mocarz literatury, który ją popchnął na nowe tory w powieści i w sposobie opowiadania w ogóle: za powieścią wierszowaną posłała powieść prozą pisaną (od r. 1814), w jednej i drugiej powoływał do życia przeszłość żyjącą jeszcze w tradycji i przedstawiał z niezwykłą znajomością miejsc, czasów i ludzi i z niezwykłym mistrzostwem: antykwaryusz, turysta, prawnik i poeta składali się w nim na ten potężny talent malowania przeszłości; co antykwaryusz

z wielkim zamiłowaniem wystudował, i co turysta zwiedził, z tego doświadczony prawnik snuł zręcznie relacją, a poeta to wszystko wznosił w sferę sztuki, usuwał w należyłą perspektywę i w ruch wprawiał wedle praw artyzmu, rozkładał czynność, jak w dramacie, jednakże wedle prawideł epiki. Charakter jego powieści dziwnie rozgrzewał i zapalał imaginację: zawsze w nich pełno życia i szczyku oręza i zaciętych walk, zawilość lub jądro wydarzeń stanowi uciśniona niewinność, uwolniona kochanka, tajemniczy rycerz i dość swoją miarą cudowność, a to stanowią piękne krajobrazy, przedewszystkiem owe uroczyska, dumające wśród gór, szkockie jeziora!

Za przykładem innych krajów i w Warszawie i Wilnie posypały się tłumaczenia i naśladowania Walter Skottowskich romanów. Roku 1822 zaczęły w Warszawie wychodzić pisma historyczne W. Skotta, tłumaczone na polskie przez różnych autorów, aż do r. 1837 urosła z tego przedsięwzięcia biblioteka z 50 tomów złożona, i w Wilnie wychodziły tłumaczenia W. Skotta na język polski. Niebawem zaczęły się pojawiać i oryginalne powieści historyczne w języku polskim. Już r. 1820 Bernatowicz (bezimiennie)

napisał romans: „*Nierozsądne stuby*“ w formie listów, osnuty na tle wieku XVI, ale powieść w swoim czasie rozgłośnia, nie ma nic wspólnego ani z romansem historycznym, ani z historią, pomimo wprowadzenia Montluca na scenę; w takimże rodzaju jest powieść „*Julia i Adolf*“ Kropińskiego z roku 1824, gdzie rzecz niby wzięta z czasów Zygmunta Augusta; o wiele więcej trafiał w ton historycznego romansu Niemcewicz w „*Janie z Tenczyna*“ (r. 1825), choć osoby powieści pomimo nazwisk historycznych są właściwie typami lub portretami osób Niemcewiczowi współczesnych, podobne więc do tych panów i pań, którzy przy obiedzie wydanym autorowi na imieniny, ukazali się w strojach osób, występujących w „*Janie z Tenczyna*“. Niemcewicz powieścią swoją wydał hasło, i odtąd posypały się powieści w guście Waltera Skotta: r. 1826 ukazała się najlepsza powieść historyczna „*Pojata*“ Bernatowicza, r. 1827 wyszły dwie historyczne powieści hr. Skarbka: „*Damian Ruszczyca*“ i „*Turlo*“, r. 1828 wystąpił znów Bernatowicz z nową powieścią historyczną „*Nalecz*“, a Wężyk napisał: „*Władysław Lokietek czyli Polska z XIII w.*“ i „*Wincenty z Szamotuł*“, dalej szedł Jaszowski, Gaszyński, Zygmunt Krasinski i inni. Od r. 1826 ukazywały się w tłumaczeniu polskim powieści Alexandra Bronikowskiego: „*Mysza Wieża*“, „*Wieżenie Jana Kazimierza*“, „*Hypolit Boratyński*“, „*Kazimierz II.*“ i „*Esterka*“, „*Zawieprzyc*“ i inne, w których pomimo zaprzeczenia autora był sposób przedstawienia rzeczy Walterskottowski. Tłumaczenia te podejmowane przez Adr. Krzyżanowskiego, Królikowskiego i innych, z wielkim były czytane zajęciem; po r. 1830 występowali coraz nowi romansopisarze na polu powieści historycznej: Gąsiorowski Franciszek (Nowowiejski, 1833), Wojcicki (1834), M. Grabowski (1837), M. Czajkowski (1837), Adam Gorczyński (1838) i inni.

Kiedy Kraszewski wystąpił na pole powieści, zastał już repertuar romansów historycznych dość zasobny i ogólne w publiczności do nich upodobanie; miał „za sobą pochwały mody i smaku“ (Wędrowki Literackie Kraszewskiego 1838 str. 103. Jednakże Kraszewski nie zaczął od powieści historycznej. Jego rodzaj był inny. Zachwycił go Hoffmann¹⁾ fantastycznymi powieściami, hołdował więc temu kierunkowi w romansie, gdzie

„fantazyja miesza marzenia i myśli i nadzieje ludzi z tém, co się rzeczywiście dzieje“, i wielbił Hoffmana, Jean Paula, Sterna, Rabelais'go, — o Walter Skocie wiele nie trzymał. „Popularność W. Skotta (mówi w artykule: „O polskich romansopisarzach“ w *Wizerunkach i Roztrząsaniach Naukowych*, poczet nowy, tomik XI, r. 1836 str. 97) dowodzi zapewne, że nie był jednym z najoryginalniejszych geniuszów, ani Hoffmaunem, ani Jean Paulem, ani Rabelais'em, ani Sternem. Bez wątpienia, prędkiej znajdzie się sto dobrych naśladowań W. Skotta, niż jedno Jean Paula lub Sterna, bo na to potrzeba smaku, talentu“; — w inném miejscu „niepomiernej sympatii dla przeszłości“ przypisywał liczne romanse historyczne. — Dalo się wprawdzie wiele powiedzieć przeciw romansowi historycznemu: był on podobnie, jak wiele pojawów w romantyce, wyrazem tęsknoty za przeszłością, ucieczką w czasach rewolucyjnych do czasów wiary, porządku i poezyi, ale w miejsce złudzeń poetycznych dawał on złudzenie prawdy historycznej, i owo wyznanie Taine'a „wszystcyśmy się z Waltera Skotta uczyli historii“ jest większą dla Walter Skotta pochwałą, niż dla właściwej historii. — Mickiewicz w drugim roku prelekcji o literaturze nar. słow. rzucił słowo potępienia na Waltera Skotta, że w nim pycha zrodziła pretensyą, iż chciał wymierzać całą rozciągłość duchowego i ziemskiego zawodu swych bohaterów, że przedmioty historyczne są, jak owoce hesperydów, i nie wolno ich zrywać bezkarnie, tylko wielkim mistrzom powieściopisarstwu, i mówił, że metoda upowszechniona przez W. Skotta zrobiła wiele kłesk w literaturze słowiańskiej. — Gerwinus w historii liter. niem. nazywa W. Skotta twórcą poetycznych lantan, które wykrzywają oblicze historii a zmysłu artystycznego nie kształcą, — a jeżeli trafna jest definicya romansu przez Vischera sformułowana, że romans jest obrazem rzeczywistości z doświadczenia pojętej (erfahrungsmässig erkannte Wirklichkeit), to romans historyczny traci racyą bytu, bo najdokładniejsze studjum historyczne nie zastąpi własnych, w życiu doznanych wrażeń i poczynionych spostrzeżeń.

Podobne mógł mieć Kraszewski skrupuły co do romansu historycznego, i jego definicya romansu, którą umieścił na początku artykułu o polskich romansopisarzach (str. 95), że „romans i powieść są obrazem jakiegokolwiek epoki świata, życia, widzianej nie wielkim, skupiającem okiem historyka, ale drobnostkową, mikroskopową zrenicą“,

¹⁾ Wędrowki liter. Kraszewskiego 1838 str. 97 w artykule: „Nieboszyk Hoffmann“.

pokazuje, że pojmował romans historyczny nie w tym, co W. Skott, i jego szkoła, sposobie. A choć Kraszewski nigdzie W. Skotta wprost się nie wyrzeka, to jego szkołę, jego naśladowców nisko cenil. „W ślady szkockiego powieściopisarza rzuciły się roje gryzmołów, z kronikami w rękę, z rysunkami i mappami miejsc, z księgami o starożytnościach narodowych; na nieszczęście, wybierając się w drogę, ci wędrowcy pozapominali tylko talentu“. Ze związku, w jakim te słowa się mieszczą, nie wypływa, ile z tej ostrój nagany spada na polskich romansopisarzy, którzy szli śladem *proroaka przeszłości*, jak W. Skotta nazywał M. Grabowski, jednakże nieprzychylnie o polskich romansach historycznych zdanie w tymże samym artykule pokazuje, że pomiędzy tymi „gryzmołami“ niefortunnymi mieścił w swęj myśli także polskich naśladowców W. Skotta. Z polskich romansów historycznych jedynie „*Jan z Tenczyna*“ nyzyszał względną i przychylną jego krytykę. „*Jan z Tenczyna*“ jest przebraniem W. Skotta w kontusz i żupan ze szkockiego tartanu i plaidu. „*Nierozsądne śluby*“ Bernatowicza się wedle słów młodego powieściopisarza podobno nie zupełnie rozsądnemi, a w „*Pojacie*“ oprócz osób wprowadzonych nie nie widać, wszystko jest zwyczajne, pospolite“, o romansach Fr. Wężyka powiada, że one nigdyby mu nie zjednały sławy, „*Kuszczyce*“ hr. Skarbka jest „walterskotacyą, z powieści Skarbka najmniejszej wartości“. Walterskotacye są u młodego krytyka w niełasce, fantastyczna powieść „*Podróż bez celu*“ Skarbka zyskuje pochwałę.

To stanowisko zajął Kraszewski nie dla tego, żeby potępiał cały rodzaj romansów historycznych, ale dla tego, że go nie nęciła chęć naśladowania w rodzaju, który „łatwy do naśladowania, bo prędzej znajdzie sto dobrych naśladowań W. Skotta, niż jedno Richtera i t. d.“ Kraszewski zaś od samego początku pragnął iść własną drogą, wedle niego „każdy pisarz niezależny, oryginalny, tworzy sobie w powieści nową formę“ (Wizer. 95), w innym artykule przyjmuje zasadę Villemain'a, że „nie trzeba naśladować nikogo“ (Wędr. liter. tom I, 1838 str. 103).

To też pierwsze powieści Kraszewskiego nie są historyczne, a pierwsze jego powieści historyczne nie są w rodzaju Waltera Skotta. Pierwsze zaś swoje powieści: „*Pan Walery*“ i „*Wielki świat małego miasteczka*“ sam autor w kilka lat po ich ukazaniu się bardzo niepoehlebnie i zanadto surowo ocenił (Wędr. liter. tom I, 1838, str. 113 nast.)

a z tej autokrytyki wynika, że młody i utalentowany autor szukał odpowiedniej talentowi swojemu formy, i nie znalazłszy jej „w nieforemnej rapsodyi“ jak nazywa *Pana Walerego* i w *obrazkach z małego miasteczka*, gdzie imaginacya jest „wyraźnie torturowaną“, wszedł po raz pierwszy r. 1833 na pole historycznej powieści. W tym roku wyszła w Wilnie w 2 tomikach na bibule u Zawadzkiego powieść p. t. „*Kościół s. Michalski w Wilnie*“. Rzecz osnuta jest na wydarzeniu, które zaszło na początku października r. 1639 w Wilnie: ze zboru ewangelickiego strzelano z łuku do św. figur, ozdabiających front kościoła s. Michała, jedna ze strzał utkwila w figurze s. Michała Archaniola, skutkiem tego zbor ewangelicki był przez wzburzoną ludność katolicką szturmowany, i w tém zawichrzeniu, któremu dopiero piechota wojewódzka koniec położyła, jeden szlachcic życiem przypłacił, wielu kupców od rabunku ucierpiało. Kraszewski osnuł swoje opowiadanie na faktach historycznych, z czego w uwagach 2-go tomika zdaje sprawę, głównie opierając się na akcie komissyi w Wilnie odprawionej, drukowanym w „Tygodniku Wileńskim“ T.V r. 1818 N. 107, i na mowie Cieciszowskiego, rektora akademii Wileńskiej;— jeszcze później poświęcał tej rzeczy uwagę i w „Wędrowkach Liter.“ (tom I, 1838 str. 114) mówi wprost że „*Kościół s. Michalski*“ w wielu miejscach fałszywy co do badań historycznych, które niedokładności starał się wyrównać w „*Historji miasta Wilna*“ i rzucić światło „na tę historją nie zupełnie wyjaśnioną co do szczegółów“ (II, 25). Już z tych przytoczeń widać, jak Kraszewski pojmował romans historyczny, że chciał go uważać jakby kartę wydartą z księgi dziejów, doczytaną przez szkło mikroskopowe, jak wielką wartość przypisywał prawdziwie historycznej w romansie,— ale w samej powieści jeszcze wyraźniejsze dowody, że mu głównie chodziło o wierność historyczną. Na początku rozdz. III uderza w oko czytelnika motto: *Historia quoquomodo scripta delectat*, w przedmowie autor oświadcza, że „chce pisać, tak jak było i podaje obrazy historyczne“, a w przypiskach uprzedza, że nawet takie podrzędne w powieści osoby, jak kupiec Desaus Francuz i Zaranek, wypędzony akademik, który, prowadząc armatę do szturm na zbor, zabił szlachcica, są historyczne, historyczną osobą jest Piekarski, sługa jego Rakowski, Naborowski i wielu innych. Autor też idzie śladem historyi, wprowadza nas do handlu kupca Desaus, i do muięj znanęj gospody Wileńskiej i za-

poznaje nas z stosunkami religijnymi i z tą atmosferą duszącą, w której wtedy Wilno żyło, i zapoznaje nas z głównymi osobami, które miały w wypadkach odegrać rolę, a wreszcie prowadzi nas w dom Naborowskiego na chrzciny pomiędzy starszyzną Kalwinów, gdzie winem zagrzany pasierb Naborowskiego, Wacław Piekarski, puszczał strzały do obrazu ś. Michała naprzeciwko, i opisuje w dramatyczny sposób szturm na zbor Kalwinów i uliczną wrzawę. Cała ta część jego powieści jest wedle intencji autora szeregiem historycznych obrazów, jak widzieć można z przypisków i z „*Hist. Wilna*“ 1840 II, 19 nast.; pytanie tylko zachodzi, czy w tych obrazach jest też i prawda wewnętrzna i duch, który wypadki wywołał? Główną rolę w powieści odegrał Wacław Piekarski, który po pijanemu ze zboru Kalwinów strzelał do frontu kościoła ś. Michałskiego i do mniszki, która się w chórze modliła; on więc był sprawcą katastrofy, która tyle nieszczęść i tyle wrzawy sprawiła, bo i przed sejm wytoczoną była r. 1640. Ten politowania godny człowiek staje tu w świetle fałszywem, bo fakt, który jest osnową powieści, jest owocem fanatyzmu religijnego, nie zaś głupoty i pijactwa. Wacław Piekarski był narzędziem fanatyzmu. Kraszewski chciał zapewne faktowi odjąć ohydę zbrodni i osłabić go, rzuciwszy garść politowania na sprawę. Daremne usiłowania! bo wypadek pełen grozy obniża do poziomu zwykłej brawdy ulicznej. I choćby historia, o czém nie wiemy, rzeczywiście znała Piekarskiego, jako głupca, włóczącego się po szynkowniach, to warto było w tym punkcie historii ubliżyć, powieść byłaby zyskała.— Do tego żywiołu historycznego przydał Kraszewski nieco żywiołu zmyślonemu: snują się tu niby dwa romanse, jeden nieszczęśliwej żebraczki Maryi i Kalwina, X. rektora, i drugi między Saxończykiem Dawidem Manheimem i jego żoną „panną Justyną“, córką kupca Desaus: z pierwszego romanse zostało się w powieści tylko wspomnienie i widok nieszczęśliwej tej miłości ofiary, t. j. obłąkaniej żebraczki Maryi, drugiego stosunku pomiędzy panną Justyną, potajemnie zaślubioną cudzoziemcowi, a jej mężem, doczytujemy się na końcu powieści, kiedy Manheim bliski jest śmierci. Te cztery osoby wybornie są w powieści naszkicowane i utrzymują przy kronikarskim jej charakterze ciekawość czytelnika, ale wszystko to, co do nich się odnosi, jest epizodem i na ruch wypadków nie wpływa,— a osoby same są pomyślane za nadto jeszcze w duchu Jean Paula i Hoff-

mann: stara Marya jest obłąkana, ale przebiera, obłąkania miarę dozwoloną w powieści, kiedy X. rektora „swojego Stasia“ w komin z krzesłem wypycha, (I, 103) i staje się niepotrzebnie strasznydłem, kiedy się zjawia w białej sukni, zdjętej z trupa. Nie mniej dziwny i niezwykle stosunek zachodzi między Dawidem Manheim a córką kupca Desaus: połączeni są oni *związkim* małżeńskim, gdy pierwsza żona Manheima, która go w odwet za to, że ją poślubił bez miłości, na śmierć zadrgęzyć chciała, żyła jeszcze. Dziwny to musiał być stosunek tego człowieka do dwóch żon, z których jedną nie kochaną miał przy sobie, a tę, którą kochał, rzadko tylko widywał; z tego co Manheim sam opowiada Justynie, wnosić można, że ten stosunek równał się torturom, ale też dziwny to był człowiek ów Manheim, który pierwszą żonę tak „zgrabnie udusił, że krzyknąć nie miała czasu“, a drugiej żonie o tém opowiada (II, 146). I to jest ostatnia rzecz, której się o tym Saxończyku dowiadujemy. Powieść cała zdaje się być urwaną. Przedewszystkiem nie mile uderza, że nie ma sądu i kary na gwałcieli porządku publicznego.—

W tym samym roku, co: „*Kościół ś. Michałski*“, ukazała się powieść historyczna Kraszewskiego p. t. „*Rok ostatni panowania Zygmunta III-go*“ w 2 t. Wilno w druk. A. Dworca. Jest to znowu powieść zakrawająca na historią, o tem już uprzedza motto z Pliniusza wzięte: „*Historia quoquo modo scripta delectat*“, w tytule dodatek „obraz historyczny“, i częste wzmianki w przypiskach, że osoby są historyczne, że rzecz jest wzięta z Siarczyńskiego *Obrazu panowania Zygmunta III-go*, z relacji Mucantego, z pamiętnika Alberta Radziwiłła, z Naruszewicza *Życia K. Chodkiewicza*, z rękopisu z r. 1610 (I, 107); zapewnia też autor, że miał dokładny opis zameczka łowieckiego, w którym królewicz Władysław ukrył swoją kochankę, piękną Saxonkę Anastazję Wolmar, w tomie II (str. 66) wspomina „stary szpargał“, który mu dostarczył szczegółów bardzo ciekawych; autor starał się także zachować charakter wieku, w sceneryi i w języku, o czém wyraźnie uprzedza (I, 149). Ale ten „obraz historyczny“ nie jest wykończony, i jest jakby wydartą kartą z kroniki, tylko przypadkiem wypadło tak, że właśnie na tej karcie, znalazły się niepiękne sprawy tych, którzy byli najbliższymi osoby umierającego króla: „dwór cały wówczas podobien był motłochowi, który się ciśnie do kadzi i beczek zastawionych w dzień uczty na rynku“ (II, 50), król umiera oto-

czony szarańczą pasożytów, pomiędzy którymi najniechętniejszą rolę odgrywa faworyta króla i zmarłej jego małżonki Konstancji, panna Urszula Meyer, Bawarka. Król Władysław, odsunięty od podwoi królewskich, bawi się miłośkami z piękną Saxonką; panna Urszula, dawna Władysława kochanka, naproczno rywalkę chce zgubić, bo król wczasy jeszcze nadbiegł, kiedy X. Grothus, przebrany za królewicza i wysłany przez Urszulę Mejerin, miał piękną Anastazję podstępnie wywieść; król wczasy przeto wysłanca Urszuli skrepić zdołał, i do klasztoru odesłać, z którego tenże już tylko do grobu poszedł. W takich okolicznościach umiera Zygmunt III. Nie bez zarumienienia czytamy, że król wczasy w noc ostatnią ojca wysunął się z komnaty umierającego króla i z zamku, do swojej kochanki, i tam miał spotkanie z wysłanicem panny Urszuli; te szczegóły nie są historyczne, i ztąd biorąc pohop, mogliśmy mieć żal do autora, że skoro już raz opuścił ścisłą kolęj historii, a wybiegł prawem pwieściopisarza na niwę fantazji, nie dopełnił „obrazu historycznego“, nie wystawił n. p. Urszuli Mejerin w należytem świetle; z powieści niedowiadujemy się, kto ona była, jaka jej przeszłość, i jak Zygmunt III-ci wszedł w posiadanie tego spiritus rector? Nie skreślił także autor charakteru królewicza Władysława, który tu tylko z jednej strony niekorzystnie się przedstawia. Widać chodziło mu tylko o *wystawienie jednej chwili historycznej*, którą jako powieściopisarz, pragnął skreślić i wycieniować. *Ostatni rok panowania Zygmunta III* jest bowiem obrazem kilkunastu dni, opowiedzianych wedle dat historycznych, wziętych z Alberta Radziwiłła (od 9-go do 30 Kwietnia 1632), i wypełnił szczegółami, których dostarczyła historia, a które uzupełniła fantazja; co do dat mylnie są słowa powiedziane I, 147, że spotkanie dwóch gadulów w nieźle skreślonej „golarni pod Pogonią“ w dniu 21 Kwietnia, przypało „w kilka dni po pojedynku“ pana Zenonowicza, który jest trafnie wystawioną figurą zawadyki, z Tom. Sapiehą, po pojedynku przypało dnia 9 Kwietnia. — Autor sam później czuł, że ta powieść się nieudała, czuł to już w czasie pisania (II, 1), jednakże nie jest ona bez zalet, niektóre rysy są przez młodego autora, do ocenienia epoki naukowo gruntownie przysposobionego, w owym czasie, r. 1833, dobrze skreślone. Już w Świsłoczu uczniem będąc, (pisze w „*Obrazach życia i podróży*“ Wilno 1842), pod kierunkiem profesora Walickiego, oddawał

się studjom języka polskiego i jego historii, i dla tego czytywał, studiował poetów i kronikarzy z czasów Zygmunto-wskich.

Jak były przyjęte te dwie historyczne powieści Kraszewskiego? W Tygodniku Petersburskim (jak pisze Grabowski Lit. i Kryt. II, 167) ukazała się surowa krytyka na „*Kościół S. Michałski*“, i sąd na obie powieści u publiczności był niekorzystny, sam Kraszewski wydał na nie sąd niepocholeby; w Wędrówkach Literackich, (tom I 1838) tak pisze: „Po *Kościół* spadłem na drugi, gorszy daleko obraz historyczny, nudny i źle pisany, a pisany daleko wprzód od *Kościola*, chociaż drukowany później. Będę sobie miał długo do wyrzucenia, żem go drukował“. Ale tak, jak autor nie łudził się co do wartości swoich własnych powieści, tak i na wszystkie romanse polskie wydał sąd niepocholeby z wyjątkiem *Pana Podstolego* i *Jana z Tęczyna* (Wizerunki etc. poczet nowy XI, 1836, str. 115) i romanse polskiemu, „wnioskując z form, pod jakimi pokazywały się powieści i romanse polskie“, stawiał prognostyk, że „naszym rodzajem będą te drobniostkowe malowidła obyczajów (tableaux de genre), które pokazują się ciągle i wracają“. Jednakże tego rodzaju Kraszewski nie uprawiał, pragnął owszem powieści fantastycznej, tej, która mu się od początku uśmiechała, jako ideał, wyrobić uznanie, i dla tego po dwóch próbach historycznych powieści, z gorączkowym pośpiechem powrócił do niej, napisał „we trzy tygodnie“, jak opowiada w *Obrazach z życia i podróży*, powieść fantastyczną: „*Pan Karol*“ (1833), „*Cztery wesela, szkie fantastyczny*“ (1834), „*Improwizacje*“ (1834), „*Majster Bartłomiej, powieść fantastyczną*“ (1837), „*Poeta i Świat*“ (1839) i inne. Jego pragnieniom rodzaj ten czynił zadość, bo w tym rodzaju „trzeba być, jak pisał, oryginalnym i mieć smak przytę, mieć talent, trzeba pisać z zapalem, z natchnieniem“ (Wędr. Lit. tom I 1838, str. 101). „*Poeta i Świat*“ była taką powieścią wedle serca Kraszewskiego, i choć publiczność z początku chłodno przyjmowała te powieści fantastyczne, tak że w r. 1836 w *Wizerunkach*, Kraszewski nie bez słusności pisał, że „fantastyczność nigdy podobno nie wyrośnie i nie wykwitnie na naszej ziemi“, to jednakże „*Poeta i Świat*“ czytano z zachwyceniem.

Tymczasem Kraszewski skupiał ducha swego w studiach coraz rozleglejszych. Szydłowski już w r. 1835 w *Wizerunkach*, N. 8 (str. 130), donosił publiczności, „że znany ze sławy młody literat Józef Kraszewski, teraz nad dziejami Litwy pracuje“, od r. 1836

był współpracownikiem *Tygodnika Petersburskiego*, dawne studia nad językiem i starożytnościami polskimi, tak bardzo umiłowane już w Świsłoczy, których owocem była „Historja języka polskiego“, nie ustawały; rozczytywał się w pomnikach dziejowych, w kronikach, przygotowywał materiały do rozległego dzieła, obejmującego historję Wilna, które potem wychodziło w 4-ch tomach od r. 1840 (pierwszy tom cofnięty z obiegu księgarskiego przez autora już poprzednio, to jest w r. 1838 z datą cenzury 1836, wyszedł). Te poważne zajęcia, te artykuły i rozprawy, w których była rozległa nauka i tak wielkie czytanie, że nie nie zdawało się być obcym młodemu autorowi, to „wstąpienie na wyższe stanowisko w świecie naukowym“, jak M. Grabowski (*Lit. i Kryt.* 1831 I, 133) się wyraża, prztem ogłoszenie r. 1838 dwóch tomików *Poezyi*, zaczęło nawet odbierać nadzieję, aby Kraszewski ostatecznie poświęcił się zawodowi powieściopisarstwu. I rzeczywiście, od r. 1840 poczyną się nowy peryod w zawodzie antorskim Kraszewskiego: od r. 1840 wydaje rozszerzoną *Historję Wilna*, r. 1840 *Wspomnienie Wołynia, Podola i Litwy*, od r. 1841 (przez lat 10) pismo naukowe *Athenaeum*, r. 1842 *Studia Literackie*, r. 1843 ogłasza *Pomniki do historii obyczajów w Polsce z XVI i XVII wieku*, — wszystko to obfite plony z dawniejszych i niustających studyów historycznych i literackich; z tych studyów historycznych wysnuł też myśl piękną do poematów *Witolorauda* 1840, *Alindows* 1843, *Witoldowe boje* 1845.

Jednakże właśnie te studia nad przeszłością kierowały myśl Kraszewskiego do romansu historycznego, do którego zresztą i materiały był gotowy i publiczność usposobiona przez wydawanie pamiętników przeszłości staraniem Maciejowskiego, Wojcieckiego, Gołębiowskiego, Raczyńskiego i innych (w r. 1839 pojawiły się też *Pamiętniki J. M. Pana Severyna Soplicy*), przez zwrot ku studjom starożytności i skutkiem tęsknoty za przeszłością, która była tych studyów i podniętą i wynikiem. Taki zwrot w ogólnych naukowych zajęciach, obudził w Kraszewskim myśl wrócenia się do historycznej powieści. Równocześnie M. Grabowski, jedna z głównych powag krytycznych, wzywał i zachęcał Kraszewskiego do tego. „Co nas utwierdza w mniemaniu, że panu Kraszewskiemu przeznaczono zostać niepospolitym narodowym powieściopisarzem, co w nas to mniemanie ocuciło, to widok zamiłowania jego w historycznych śledzeniach. Zostać W. Skottem może tylko hi-

storyk antykwaryusz“, a wielki talent Kraszewskiego utwierdzał go w tém oczekiwaniu: „tylko z takimi darami można zostać W. Skottem. A chcielibyśmy się tego po panu Kraszewskim spodziewać“, (*Lit. i Kryt.* 1840 II, 173, 175).

Pierwszą w tej nowej seryi powieści historycznych, która się w r. 1840 ukazała, była: „*Mistrz Twardowski*“, powieść z podań gminnych“ Wilno w 2-ch tomach. Rzecz jest wprawdzie osadzona na tle wieku XVI, ale scenerya i dekoracyjna strona, stanowiąca tło, z małemi odmianami mogłaby przypaść i do innego wieku, zresztą podanie i myśli, które autor w nie włożył, wytworzyły z Twardowskiego figurę tak uniwersalną, że przypada ona do każdej epoki, byle tylko w ramach średniowieczności osadzonej. Rzecz zaś wzięta jest z podań ludowych w całości bez uronienia szczegółów, i mistrz Twardowski wystawiony wedle tej poetycznej tradycyi jako czarnoksiężnik, mniej jako mędrzec. Pierwszy tom napisany jest w tonie poważnie przypowieściowym, w mniejszej tylko części w tonie Faustowym, bo z żywiołu filozoficznego są tylko słabe pobłyski, w drugim zaś tomie powieść wychodzi po za obręb ujmującej baśni i wchodzi w zakres romansu, ale niestety najniemorálniejszego: w historii tego romansu mistrza Twardowskiego z „panią Twardowską“ znać także tkaninę fantazyi ludowej, z nieodłączną dozą humoru, ale w powieści, zaprawionej filozoficznymi myślami walki o wszechwiedzę i wszechmoc i o szczęście doczesne najwyższe, powieść o takiej miłości dyabelskiej jest dysharmonią, bo polega na pomieszaniu ról, Twardowski wkracza w rolę dyabła. W tém jest w ogóle słaba strona „mistrza Twardowskiego“, że tak bliskim jest dyabła a tak dalekim od Fausta, czy to Goethego, czy Lessinga, czy Marlowe, podobnie i dyabeł w „*Mistrzu Twardowskim*“ ma więcej charakter przypowieściowej, kuso z niemiecka przybrananej figury, złośliwej i szkodliwej, aniżeli tego złego ducha niszczonego, o którym Goethe powiedział: das ist der Geist, der stets verneint. Ale wszystkie te niedomagania powieści wynagradza rozdział 12 tomu II-go, gdzie Twardowski żałuje swój przeszłości i z dyablem się kłóci. Nie zadowolniła go mądrość, przeciwnie marzenia o szczęściu w nauce przywiodły go do żalu za straconą przeszłością, w której miał wiarę w duszy, żądza użycia świata doprowadziła go do przesytnu, wzdychał do wiary i do niewinności młodzieńczej, ale z duszy ta woń wiary i niewinności uleciała. Wszystko to

jest z psychologiczną trafnością, że znawstwem ludzi i z wielkim talentem wystawione, i tu dopiero Twardowski, który dotąd występował za nadto w roli czarnoksiężnika, ukazuje się, jako mędrzec, który mógłby powiedzieć, że wszystko jest maruością, gdyby mógł mieć wiarę. Usłyszał głos pieśni Bogarodzica, poczuł znowu znaznienie w sobie i łzę w oku. Teraz szybko dokonywał się rozwiązanie rzeczy. Dyabeł w kłopotcie o duszę, karczmę Rzym pod Sandomierzem zbudował, mistrza do niej zwabił, verbum nobile przypomniał, i wziął w swe szpony wedle układu, ale tu mistrz jeszcze raz życie swe i młodość przypomniał, wyjął kantyczki i jak w młodych latach zaśpiewał, i natychmiast dyabeł puścić go musiał, i Twardowski zawieszony pomiędzy niebem i ziemią do dnia sądnego... Jednakże zakończenie to, jakkolwiek pięknie pomyślane, jest bez umotywowania i zapytać wolno, z kąd Twardowski miał kantyczki, kiedy przeżywał ciąg powieści od czasu zaprzędania się dyabłu, do nich nie zaglądał? Podanie mówi tylko, że Twardowski śpiewał kantyczki, które młodym będąc ułożył na cześć Panny Maryi, i w tym także sposobie improwizował plan dopocmatu o Twardowskim, o czym z listów Odyńca Bolesławita w *Omni-busie* II r. 1869 pisze.

Po „*Mistrzu Twardowskim*“ ukazała się „*Stańczykowa Kronika*“, osnuta także na tle wieku XVI p. t. „*Stańczykowa Kronika od r. 1505 do 1508*“, w Wilnie u Zawadzkiego r. 1841 w „*Zbiorze Szkiców*“, na nowo wydana we Lwowie r. 1875 u Gubrynowicza i Szmidta. Stańczykowa Kronika? Z uśmiechem czytelnik bierze książkę do ręki, ale nieznajduje blażeństw i humoru i tego, czego się spodziewa, Stańczyk owszem konkurencyą czyni kronikarzom i z powagą opisuje dwór wesołego kandydata *Ferdynanda*, wicherzenia Glińskiego, przedstawia obraz słabego Alexandra, opowiada przebieg sejmów Brzeskiego, Radomskiego, ucieczkę do Lidy, pierwsze chwile panowania Zygmunta Starego, historią pana Kościeleckiego, męża Katarzyny Słężanki, miłośnicy Zygmunta i t. d., i nad wszystkiemi, co pisze, głęboką zadumą i pewną melancholią rozlewa, tak go smutnie usposabia nierozum ludzki. Nawet w tym jednym epizodzie, który na zmyślenie zakrawa, t. j. w historii nieszcześliwej Stańczyka miłości do Boimówny, nie widać blaźna i blażeństw, — i wszystko ma pozór kroniki nie — Stańczykowej, jedno tylko różni ją od zwykłych kronik, że p. Stanisław (tak zapewne trzeba tłumaczyć Stańczyka) żywić i obficie opowiada, niż

kronikarze, „co suche liście zbierają“, tak że się jego kronika przyjemnie czyta. Szkoda, że jej nie kontynuował; na jednej z ostatnich kart, mówiąc o tém, że na dworze króla Zygmunta I, życie bardzo spowazniało, obiecuje jeszcze coś „o tém po tém“ napisać. Do tego nieprzyszło, urwał na r. 1508, z kilkudziesięcioletniego życia swojego tylko 70 stronicznie kronikę zostawiając.

W tym samym roku 1841 ukazała się w Wilnie obszerna powieść w 3-ich tomach, osnuta także na tle wieku XVI p. t. „*Ostatnia z książąt Słuckich, kronika z czasów Zygmunta III-go*“ poświęcona Ad. Zawadzkiemu. Autor nie bez intencji nazwał tę powieść kroniką, bo przedstawia w niej wedle współczesnych źródeł walkę między wojewodą Wileńskim Radziwiłłem a Hieronimem Chodkiewiczem, kasztelanem Wileńskim, o rękę Zofii Olelkiewiczówny, ostatniej dziedziczki księstwa Słuckiego.

Ręka Zofii już w dzieciństwie r. 1594 zapewnioną była zapisem w Brzostownicy księciu Jannszowi Radziwiłłowi, synowi wojewody, przez starostę żmudzkiego Jerzego Chodkiewicza, jej stryja i opiekuna. Radziwiłłowie wymogli potem na bracie starosty Jerzego, Hieronimie kasztelanie Wileńskim, na którego przesłała opieka nad młodziuchną księżniczką, odnowienie zapisu, wedle którego księżniczka gdy dojdzie do lat 15, dnia 6 lutego r. 1600 miała być oddaną w małżeństwo, księciu Januszowi Radziwiłłowi, jeżeli skłonność serca się nie odmieni, tę zaś młody x. Janusz zjednał sobie już w Brzostownicy. Tymczasem przyjaźń wnet się zepsuła o dobra podorszańskie (Kopyś), należące do Radziwiłłów, a w Chodkiewiczów rękę będące zastawem, o które Radziwiłł prawem dochodzić zaczął; skutkiem tego Chodkiewiczowie, Alexander i Jan Karol, wymogli na kasztelanie, że X. Zofii nie wyda Radziwiłłom bez ich wiedzy, tém łatwiej, że Radziwiłłowie byli nowej wiary, i że powinowactwo między księżniczką Zofią a x. Januszem było wedle kanonów i wedle statutu litewskiego przeszkodą do związku małżeńskiego. Nie dość na tém, — księciu Januszowi wzbroniono nawet przystępu do księżniczki Słuckiej, którą z Brzostownicy sprowadzono do obwarowanej kamienicy Chodkiewiczów w Wilnie. Zapis dawny z Brzostownicy był dla Radziwiłłów tak korzystny, że mogli już teraz o niedotrzymanie jego pozwać kasztelana, iż z synowcami potajemnie złożyli przeciw nim czynił, kasztelan skazany został na zapłacenie stu tys. kóp lit. zakładu, o które i ban-

nieya spaść mogła na niego. Rozjątrzone strony gotowały się do walki, bo Radziwiłł w oznaczony dzień dopomnieć się chciał księżniczki Zofii, a Chodkiewicz był zdecydowany nie wydać jej dobrowolnie. Chodkiewiczowie obwarowali zamek i zaopatrzyli w armatę i w wybornego najemnego żołnierza, Radziwiłłowie zebrali kilka tysięcy różnych pocztów, bo na zawołanie wojewody różni panowie pośpieszyli z swoim nadwornym wojskiem. W obec tych groźnych przygotowań księżniczka Zofia w samotnych komnatach w Chodkiewiczowskiej kamienicy z poddaniem się Opatrzności oczekuje rozstrzygnięcia swęj doli, księciu Januszowi sprzyja, ale opiekunom we wszystkim chce być powolną, wiary w szczęście już nie ma, bo słowo rzucone przez stryja, że związek z bliskim krewnym, x. Januszem byłby bez błogosławieństwa, zatrąło jej spokój. Tymczasem stanowcze wypadki przygotowywały się, napróżno książe wojewoda przez senatorów, na których czele stał zięć jego Lew Sapieha, żądał od kasztelana wolnego przystępu dla syna do księżniczki Zofii, napróżno magistrat wysyłał do obu stron deputacyą, aby wybłagać umiarkowanie, napróżno książe Janusz przebrany za żebraka, przekradł się do komnat księżniczki Zofii, prosząc o stanowcze za nią oświadczenie się, napróżno wreszcie król wysłał deputacyą pojednawczą z x. biskupem Gedrojem na czele, zdołała ona tylko małe z obu stron wyjednać koncesye. Nadszedł dzień 6 lutego r. 1600 rozkaz do szturmu na kamienicę Chodkiewiczowską już wydany został, wtedy dopiero biskup gorącym wystąpieniem wymógł cofnięcie rozkazu, sprawa została w zawieszeniu, wreszcie przez rozjemców zgoda przyszła do skutku. Ślub księżniczki Zofii z x. Januszem odbył się w Brześciu litewskim 1 listopada 1600 (III, 113 jest pomyłka druku).—ale księżna szczęścia nie doznała w małżeństwie, bo zabiegi księcia o jej rękę nie były bezinteresowne, i księżna, trapiąca myślą niebłogosławieństwa, widoocznie nikła, i w 9 latach po ślubie zesza ze świata, zostawiając zapisem prawymocnym dobra Sluckie i Kopyskie mężowi swemu, który jej wspaniały pomnik na grobie postawił.

Taka jest powieść trytomowa o księżnie Sluckiej, na poważny ton nastrojona i złożona ze scen i sytuacji, na szeroką skalę welle świadectw historyi skreślonych. Miłość księżny i jej osoba w tej walce o kobietę stosownie do charakteru epoki w cień jest usunięta, i dopiero w tomie III

kilku rysami naszkicowana; zdobywa sobie ta nieszczęśliwa ofiara rodowych interesów sympatya czytelnika od razu, jednakże te kilka scen z życia potocznego, w których księżna występuje, są, jak epizody wplecione w powieść, i na jej rozwinięcie nie wpływają, bo rzecz sama jest na tak wysokim poziomie postawiona, że zwykle w romansach zawiłkiania, motywa, sprężyny, intrygi i t. d. w tej „kronice“ miejsca nie znalazły. Ale jak zyskuje na tém historyzująca powaga, tak traci znowu interes powieść. Jedną z głównych w powieści sytnacyi, t. j. ostateczne postąpienie kasztelana, który wreszcie oddał księżniczkę Radziwiłłom, jest tylko kilku słowy napomknięta (III, 106): że kasztelan ostrygi długą walką znudzony, że lękał się banienicy.—wedle zwykłego w powieściach historycznych zachowania się romansopisarzy należało się w tym punkcie spodziewać jednej z tych operacyi powieściopisarskiej rutyny, wedle której kasztelan wprowadzony w pewną zawiłość i kolidzją względów i interesów, ustąpić musiał, choć ustąpić się wzbraniał, przyczem i księżniczka mogła odegrać czynną rolę, której się przez całą powieść spodziewamy, skoro o nią sprawa się toczy. Ale autorowi chodziło głównie o przedstawienie historycznych wydarzeń i zachowanie tonu historycznego, i dla tego też poprzestał na niewielu zmyśleniach, a w tych zmyślonych niewiele motywach i sytuacyach trafił w charakter wieku zupełnie. W r. 1859 Syrokomla napisał dramat historyczny p. t. „Możnowładcy i sierota (Zofia, księżniczka Slucka)“, zapewne osnuty na tle powieści Kraszewskiego, jak wskazuje szczegół o podkradzeniu się x. Janusza w stroju żebraczym do księżniczki, ale Syrokomla dorzucił do tego materiału historycznego szczęśliwe zmyślenie miłości księżniczki Zofii do Karola Chodkiewicza, i z tego motywu uczynił główny temat dramatu. W ocenieniu tego nieco retorycznego utworu Kraszewski (Władysław Syrokomla Warsz. 1863 str. 163) zaznaczył, że „historia nie wzmiankuje nie o przywiązaniu żadnem księżniczki“, chociaż przyznawał, że poccie łatwo przyszło tę krwawą niemal historyą wytłumaczyć miłością Zofii dla jednego z Chodkiewiczów. Nam zaś niech wolno będzie powołać się na to przytoczenie, jako jedno z licznych świadectw, jak Kraszewski w swoim pojęciu o romansie historycznym więcej kładł przycisk na historyczność, aniżeli na romans.

Powieści historyczne Kraszewskiego do-

tańd wymienione były parafrazą historii, były „obrazami historycznymi,” skreślone-
ni ręką powieściopisarską. Od romansu historycznego zaś wymagano, aby łączył historią z poezją, aby był upoetyzowaniem przeszłości, poezją historii, wymagano, aby był podległym sztuce, inaczej będzie przedrzeźnianiem dziejów, ich „uprozaiycznieniem” jak się wyraził M. Grabowski (Lit. i Kryt. II, 40), który porównał powieściopisarzy polskich, wywołujących do życia w powieści historyczne figury królów, książąt i wielkich wodzów, do chłopców bawiących się na cmentarzu kośćmi przodków swoich (E. Tarsza w Athenaeum 1842 II, 112). W tych i tym podobnych nieco gorączkowych sądach, które wypływały z niechęci, że żaden z romansów historycznych polskich nie odpowiadał wymaganiom warunkom pewnej teorii, odwoływano się do W. Skotta, jako mistrza, którego wzorom nie było nic równego. Na czem więc polegała tajemnica tego uroku, który W. Skott wywierał, na czem polegała sztuka jego tworzenia? Walter Skott wtedy, kiedy pisał „Woodstock”, t. j. r. 1826, rzucił w pamiętniku te słowa: „nie mam wyobrażenia, jak wykombinuję katastrofę, i jestem w takiem usposobieniu, jak kiedy znajduję się w zupełnie nieznaney okolicy. Nigdy nie byłem zdolny ułożyć plan powieści naprzód, a jeżeli go z góry powziąłem, nie podobna mi było trzymać się go, w akcie pisania rozszerzałem niektóre ustępy, innem skracał, albo opuszczał, osoby powieści wychodzą na większe lub mniejsze figury w miarę tego, jak mi się pod ręką udają. Główniem się tylko o to starał, aby to, co piszę, wydało się zajmującym, resztę puszczęłem na los szczęścia. Jest to trochę hazardowną rzeczą, pnieć to na los szczęścia, czy się rzecz uda czy nie, ale już to tak jest zemną. Nie chciałbym jednak, aby młodzi pisarze mnie w tém naśladowali.” Niezawodnie, że byłoby niebezpiecznie naśladować takie nietroszczenie się o plan należyty bez odpowiedniego talentu. Ale pomimo to wyznanie, w którym niewiadomo, ile jest dobrowolnego złudzenia, a ile zaufania i pewności siebie, miał W. Skott pewną metodę w pisaniu, i każdy przedmiot historyczny ukazywał mu się pod pewnemi widokami artystycznymi. Rzecz zwykle jeszcze w żywej tradycji będącą, przez zręczną expozycją usuwał w pewne oddalenie, w którym to, co było pospolitego, znikało, to zaś, co mogło zająć imaginacją, ukazywało się w wyraźnych liniach; osoby żyjące w pamięci ludzi wprowadzał w rolę, przypadające osobom w zwykłych

powieściach obyczajowych, te osoby, które w sieć zawiślań wprowadzał, były zwykle nie bohaterami historii ale drugorzędnymi osobami, które wynosił do godności bohaterów i bohaterek powieści, i wprawiał w ruch i akcję, rozwijającą się głównie w żywym i naturalnym dyalogu. Tym sposobem historia dostarczała tylko tła i aparatu, sztuka powieściopisarska tworzyła charaktery. Jeżeli w tém tak swobodnem poczynaniu W. Skott niekiedy (jak w *Talismanie*, *Hrabi Paryża* *Robertie*, w *Durwardzie*) wkraczał w odleglejsze czasy, w epokę krucyat i epokę Ludwika XI, to dowodzi bogatego uposażenia jego powieściopisarskiego talentu, ale nie rozszerza tego zakresu, w którym był niezrównanym mistrzem.

Taki ideał przyświecał teoryom M. Grabowskiego o historycznym romansie, i takie zasady wyznawał wówczas (około r. 1840) ten krytyk, który o sobie w liście do hr. Henr. Rzewuskiego napisał: „gdybym ja nie starał się u nas zwracać uwagę powszechności na stronę pociągającą co ważniejszych fenomenów literatury krajowej, to nikt inny zrobić tego nie zechce.” M. Grabowski więc w recenzjach i listach (ogłoszonych r. 1843) wielbił w W. Skocie, że jego osoby „w żywym i naturalnym dyalogu rozwijają akcję dramatyczną” (Liter. i Kryt. II, 64), że u W. Skotta „styl jest ciągle malowidło, z każdej jego kartki malarz może osobny obraz zrobić” że „ten ciąg obrazów zajmuje imaginacją,” że „obraz namietności ma być w ruchach, czynach, w głosie, nie w uosobianiu psychologicznej natury tej namietności, jak w dawnych romansach (Korresp. II, 72)” i t. d.

W obec takiego bezwzględного uwielbienia dla W. Skotta „Księżniczka Ślucka” nie mogła znaleźć przebaczenia krytyka. W liście do X. Hołowińskiego z d. 17 kwietnia 1842 (Korresp. II, 30) oświadcza Grabowski: „Po księżniczce Śluckiej i ja powiedziałem, że Kraszewski powinien zaniechać romansu historycznego.” J. Kraszewski, daleki od wszelkiej próżności autorskiej, przyznał mu rację. „Metoda Twoja,” pisze w liście, którego Grabowski (w Korr. II, 123) wyjątek przytacza, „twoje pojęcie historycznego romansu jest najlepsze, sam to najpierwszy wyznaję, że się pomylił, biorąc wypadki historyczne, fakta znane (jak w Śluckiej) za przedmiot historycznej powieści. Taka powieść może być tylko parafrazą faktu, rozwodnieniem faktu (wyrażenie używane przez M. Grabowskiego), częstokroć żywiej opisanego w kronikach. Masz najzupełniej za sobą słusność.... Pojaleś do-

brze romans historyczny, i teraz gdybym co w tym rodzaju napisał, nie wedle innej metody, jak wedle Twojej bym postąpił". Na wrażliwym umyśle M. Grabowskiego te słowa Kraszewskiego wielkie zrobiły wrażenie: ciesząc się z wygranej, że Kraszewskiego przywiódł do uznania swojej teorii o romansie historycznym, namawia go, aby się wziął do napisania w tym sposobie powieści historycznej,—i zaręcza, że on sam nigdy nie miał zamiaru przywłaszczania sobie romansu historycznego (wtedy wyszły już były dwa jego romanse hist.: *Koliszczyzna i Stepy* 1837 i *Stannica Hulaj-polska* 1841), że mu się owszem nie powodziło na tem polu, „znał teorią, ale nie miał zdolności zastosowania jej.“

Wezwanie M. Grabowskiego zostało bez skutku, Kraszewski przez parę lat nie pisał romansów historycznych. W roku 1843 wydał p. n. „Powiastki i obrazki historyczne,“ jedynie zbiór szkiców poprzednio już znanych z czasopism a parafrazujących broszury z wieku XVI i XVII, albo kreślących obrazki pojęcia domowego na podstawie utworów poetycznych i podań, w roku zaś 1844 w „Małoparciu“ zwrócił się do w. XVIII. Oddany studiom historii i literatury, badaniom naukowym i redakcyi Athenaeum, w chwilach wytchnienia pisał powieści obyczajowe, należące do najlepszych (*Lalarna Czarnoksiężka, Ulano*), w chwilach zaś natchnienia pisał poezyc: r. 1843 ogłosił drugie wydanie poezyi, a po *Witoloraudzie* układał piękne obrazy *Alindorsa*, był wtedy w prawdziwie twórczym usposobieniu i mogło się zdawać, że odda się całkiem poezyi, a Grabowski już w lutym r. 1842, kiedy dopiero następny z *Alindorsa* miał sposobność słyszeć, przepowiadał, że „*Alindors* stanowić będzie epokę w literaturze naszej,“ i że Kraszewski „stanowić będzie epokę w sztuce. Ale nie jako poeta miał Kraszewski stanowić epokę, tylko jako twórca romansu polskiego, który publiczność polską do czytania polskich książek przyzwyczaił. Kiedy w r. 1841 w „Spojrzeniu na dzisiejszą literaturę polską“ w *Athenaeum* I, 188, pisze: „Krajowa literatura więcej osób obchodzić zaczęła.... niektóre domy dając dobry przykład, dozwolily sobie na 10 tomów francuskich, kupić dwa polskie przynajmniej i odważyły się kłaść je otwarcie na stolikach salonu,“ to głównie on do tego się przyczynił. I tę korzystną zmianę w usposobieniach publiczności czytającej robiły przedewszystkiem jego powieści.

W r. 1845 po raz trzeci zabrał się Kraszewski do powieści historycznej, i znów szukał tematów w epoce Zygmunto-wskiej, do której go dawne studia i dawne sympaty ciągnęły. Tym razem ukazały się dwie powieści historyczne: „*Zacy Krakowskiej*“ 1845 i „*Zygmuntowskie Czasy*“ r. 1846. Ale pierwsza z nich nie jest romansem historycznym, tylko jak tytuł opiewa: „prosta kronika spisana przez J. I. Kraszewskiego“ i wystawia wywiedrowanie żaków krakowskich z Krakowa r. 1549 w skutek nieotrzymania satysfakcyi za zabicie kilku z młodzieży przy ulicznej burdzie. Wszystko to jest wzięte z kroniki Orzechowskiego, z wyjątkiem niektórych, epizodycznych i ornamentacyjnych dodatków, nawet owo miejsce, gdzie Orzechowski opowiada, że po opuszczeniu Krakowa „ucichły szkoły, w żalu zostały kollegia, umilkły świątnice, i wszystkie miasta strony trapiły się na ich odejście, bo i jednego podobno z owego mnóstwa nie zostało, coby albo w kościele kapłanowi do mszy posłużył, albo w akademii i w szkołach pod nauczycielem czego słuchał,“—i nawet odparcie tego mniemania, że ci wychodzący sprowadzili reformacyą do Polski, znalazł Kraszewski w Orzechowskim; zresztą do źródeł współczesnych niejednokrotnie się odwołuje (str. 28, 107, 178 i t. d.). Jednakże ta „kronika“ bez dat, bez annalistycznych nowin, bez kronikarskiej formy, uderzające ma podobieństwo do obrazu historycznego, któremu braknie tylko wycieniowania charakterów i planu powieściowego. Nie wiąże się też Kraszewski zupełnie kronikarską tradycyą, i do kronikarskich żywiołów dorzuca nieco zmyślenia; takim dodatkiem jest n. p. scena przy grobie jednego z zabitych żaków, o tyle niefortunna, że jest epizodem niepotrzebnym i że w niej w nierówniej mierze miesza się tragiczność z komiką; o wiele lepszy jest epizod o Stańczyku i jego bajka, pytanie tylko zachodzi, czy takich bajek w Polsce w XVI wieku słuchano w salonie? Sądząc z Górnickiego *Dworzanina*, wypadłaby odpowiedź negative.—Z tych przytoczeń pokazuje się, że Kraszewski pomimo, iż nazwał *Żaków krakowskich* „kroniką,“ pisał ją jako powieściopisarz i pragnął dopełniać historią: takie pokuszenie się widać też w jednym essencyonalnym punkcie, i to w tych pytaniach: kiedy powstała w żakach myśl opuszczenia Krakowa? dla czego? komu wypadło stanąć na czele tego ruchu, tak niezwykłego w dziejach uniwersytetu krakowskiego? Kraszew-

ski napomyka myśl swoją, przedewszystkiem co do wewnętrznych pobudek emigracyi, powiadając na ostatniej stronie, że studenci Krakowscy to prototypy anarchistów polskich, a w przedstawieniu jednej z pierwszych scen t. j. przy zbieraniu trupów, powiada co do zewnętrznych pobudek, że wtedy już zrodziła się myśl opuszczenia szkół Krakowskich, że już wtedy odzywały się głosy: „jeśli nie będzie sprawiedliwości, pójdziem do Moskwy, na Ruś, gdzie lud prosty, liतोściwy i dobry, pójdziem do Włoch, do Niemiec, gdzie nas oczy poniosą!“. Tymczasem Orzechowski rzecz tak przedstawia, że myśl opuszczenia Krakowa dopiero wtedy powstała, kiedy w sądzie królewskim „nie po ich woli się działo“ (I, 51 tłóm. Włynskiego). W każdym razie wywędrowanie żaków z Krakowa jest niewytłumaczoną zagadką, o której wyjaśnienie mógł się pokusić powieściopisarz, jednakże autor jej nie rozjaśnił, nie postawił nikogo na czele ruchu, nie okazał nikogo z professorów uniwersytetu, nie powiedział, dokąd ci nierozważni żacy poszli, i co się z nimi stało? Widocznie więc chodziło mu tylko o wystawienie samego wychodźstwa w historycznym obrazie. Dlatego rzecz kończy się na wywędrowaniu z Krakowa, i nie dowiadujemy się nawet, co się stało z Streli-mussą, nieszczęsną przyczyną całego ruchu. W Orzechowskim znajduje się o nią ciekawa wzmianka, że ją córka własna za niedopuszczenie do załotów zabiła, sama za tę zbrodnię w skórę zaszyta i utopiona. Był to wdzięczny i łatwy materiał do dramatycznych scen w powieści. Nie użył jednak tego materiału Kraszewski, i dobrze się stało, bo z takiej treści można było tylko snuć romans à la Sue, od którego autor był dalekim, skoro chciał napisać coś na kształt kroniki.

W r. 1846 ukazała się w Warszawie u Orgelbranda Kraszewskiego powieść w 4 tomach p. t. *Zygmuntowskie czasy, powieść z r. 1572*. Ten tytuł, nieco lakoniczny, krzywdę wyrządza dziełu, bo *Zygmuntowskie czasy* są wykończonym romansem historycznym, pierwszym, który Kraszewski napisał, napisał zaś z wielkim talentem. Księżniczka Anna Beata Solomerecka wydana była z woli stryja opiekuna za jego syna bez wzajemności, był to związek, który doradziła chciwość, a dokonał gwałt, bo stryj sierotę odciał od świata i trzymał w zamku nadbożańskim, jak w więzieniu, jedyny człowiek, którego poznała z wałów zamku i którego dziewczę pokochała miłością, był

prosty szlachcic z nad Bohu, Czuryłło, bez wpływu i mienia, a król, który miał także prawo do rozrządzania jej ręką, jako właściwy opiekun (I, 157), był daleko. Związek był tajony, gdyż ślub zawarty między bliskimi krewnymi był bez dyspensy, książdz Hausner zaś, wyprawiony do Rzymu po uzyskanie aprobaty Stolicy Apostolskiej, długo nie wracał. Tymczasem księżna wezwana na dwór króla Zygmunta Augusta, bawiła przy królowej Bonie, a książę Solomerecki, mąż Anny Beaty, na wojnie przeciw Tatarom zginął. Niedługo potem, w czasie przygotowań do koronacji Barbary Radziwiłłówny, drugiej żony króla, księżna zachorowała i powiła syna, potomka imienia Solomereckiego i dziedzica bogatych włości matki na Rusi; majątność poległego jej męża była szczupła, brat zaś jego stracił majątek za granicą. Ale straszna fatalność zawisła nad kołyską i nad losem młodego księcia, któremu na chrzcie dano imię Stanisława: nie było dowodów jego prawowitego urodzenia, cień podejrzenia padł na piękną księżnę, która na dworze królewskim bawiła, jako niby niezamężna, i do królowej Barbary dziwnie podobną była. Brat zabitego przez Tatarów księcia Solomereckiego zaprzysiągł młodemu potomkowi imienia Solomereckiego zgubę, aby rzekomą plamę z tego imienia zmasać i majątek księżny, jako jej brat stryjeczny, kiedyś posiąść. Te zabiegi i krwawe zamachy księcia są główną ośnią powieści. Widzimy więc całą zgrają łotrów i ludzi ładaco, kupionych przez księcia i sprysiężonych na wolność i życie młodego księcia sieroty: żyda Hahngolda, dziada Łagasa, żaka Urwisa i im podobnych. Jednakże wszystkie te intrygi i zamachy, obliczone na zgubę młodego księcia, w niecz się obracają, bo czuwają nad nim matka, Agata, dawna jej służa, stary Czuryłło, później i młody Czuryłło, który dziwne przeszedłszy koleje, z niewoli tatarskiej prawie cudem się uwolnił. Księżna musiała syna ukrywać najpierw u piastunki Agaty, potem u pewnego księdza, daleko od ludzi i świata, gdzie był na nauce, wreszcie musiała go wyprawić do Krakowa, aby tu pomiędzy żakami, jako sierota pod zmyślonem imieniem Maćka Skowronka, się ukrył. Tu powieść się zaczyna na szerokiém tle życia żaków i żebraczęj tłuszczy. Przybycie młodego księcia do Krakowa nie zostało tajemnicą, wiedzieli o nim i ci, którzy go chcieli zgubić, i ci, którzy nad nim czuwali. Książę stryj wysłał na niego ścigaczy, sierota tylko cudem wyrwał się z rąk dziada Łagasa, który go do Węgier miał uprowadzić, schro-

nił się do plebanii pod Proszowicami, i szczęśliwie był ustrzeżony od dalszych niebezpieczeństw przez Urwisa, który z wroga stał się jego przyjacielem, znalazł i do Krakowa znowu zaprowadził. Ocalonego matka w Krakowie z pomocą Agaty pomiędzy żakami odszukała i oddała, uzyskawszy od króla Zygmunta Augusta zapewnienie dóbr dla siebie, pod opiekę Firlejowi marszałkowi, u którego nie długo pobyl, bo znowu porwany był i uwięziony do Wilna do Sapiechów, tym razem przez życzliwych przyjaciół, którzy obawiali się, aby matka dla ocalenia dziecka nie wyrzekła się majątku i czci własnej, już bowiem raz gotowa była poświęcić wszystko na żądanie księcia, byleby życie drogiego syna uratować. Tymczasem dziwne zaszły rzeczy! Młody Czurylla, kochanek młodości księżny, w ciężkiej niewoli tureckiej, jako towarzysz niedoli księdza Hausnera, przy jego śmierci wszedł przypadkiem w posiadanie papierów, dotyczących się sprawy małżeństwa księżny Sołomereckiej, które tenże wywiózł z sobą z Rzymu: powróciwszy do kraju, długo te papiery nosił przy sobie, nie domyślając się ich treści i ważności; przypadkiem zaś odkryte i oddane marszałkowi Firlejowi, niezbitce okazały prawie śluby księżny, i prawowite urodzenie młodego księcia Stanisława, który też przez stryja choć nie bez oporu uznanym został. Książę sam zginął w pojedynku z młodym Czuryllą, który odrzuciwszy ofiarowaną sobie rękę księżny, zginął gdzieś na wojnie. — Taka jest nasza „powieść z r. 1572“. Z podanej treści widać, że tytuł jest w tym jednym względzie za ciasny, natomiast wyrazi w tytule: „Zygmuntowskie Czasy“ mówią za wiele, bo chociaż tu z wielkim talentem skreślony jest wizerunek krakowskiego i wioskowego społeczeństwa polskiego z wieku XVI, o ile ono na związek ze szkołą i kościołem, to braknie jednakże w portrecie tego społeczeństwa polskiego z wieku Zygmunta męża stanu, humanisty i mieszczanina polskiego, bo Pieniążek jest bardzo słabo nakreślona figura. Stosowniejszy tytuł byłby: Sołomereccy. Losy tego rodu tak niezwykle, w których zresztą i obraz życia wieku XVI jasno się ukazując, nastreżają wdzięczny temat do powieści, z nich więc autor wysnuwa wątek zajmujących scen, z tradycją zaś poczynął sobie swobodnie, umieszczając wszędzie ciekawe obrazy życia miejskiego i wiejskiego, jak je znał z najlepszych źródeł. Niezrównane są sceny z życia żaków, ze świata żebraczego, z plebanii, z niewoli tatarskiej i tureckiej. Tę swobodę widać najprzód w tém,

że w ciągu powieści zmieniał plan całości, nigdzie przez to nie osłabiając wrażenia i zajęcia czytelnika: żyd Hahngold miał, jak się zdaje, odegrać rolę znaczniejszą, bo młodemu księciu, przybywającemu do Krakowa, wymieniają go jako niebezpiecznego wroga, później zaś Hahngold, oprócz chęci zysku, nie okazuje innej namiętności; pisarz żebraczęj tłuszczy w Krakowie. Broński, zdaje się także był przeznaczony do odegrania ważniejszej roli, bo jemu Agata opowiada historią młodego księcia, ale i do tego nie przyszło; proboszcz z pod Proszowic, jedna z najwybitniej skreślonych figur, pod którego dachem nieszczęśliwa sierota znalazł przytułek, i który pojechał do Krakowa dowiedzieć się bliższych szczegółów o młodym księciu, miał prawdopodobnie także odegrać w powieści pewną czynną rolę, tymczasem ta podróż pełna niewygód i przygód na wątek powieści nie wpłynęła. Jednakże są to epizody wdzięczne, jak frędzle dla ozdoby pięknej tkaniny dodane; gdyż w ogóle autor ze stanowiska malarza historycznego nie chciał pominąć charakterystycznych momentów, jak n. p. ustępu o Lizmaninie, lub o Janie Tenczyńskim w Iłszpanii, którzy w powieści żadnego nie biorą udziału. Również widoczną jest swoboda, z jaką Kraszewski korzystał z tradycji o Sołomereckich, w chronologicznym pomieszczeniu wszystkich szczegółów w r. 1572, bo data takowa jest tylko niejako punktem dośrodkowym wielu szczegółów i punktem spojrzenia na Zygmuntowskie czasy, w r. 1572 umiera ostatni z Jagiellonów. Dosłownie brać tej daty nie można, bo skoro księżna Sołomerecka przybyła do Krakowa „w czasie przygotowań do koronacji królowej Barbary“, więc przy końcu r. 1550, i skoro niedługo potem urodził się Staś, więc powinien on w powieści osnuć na tle wypadków roku 1572 występować, jako przeszło 20 letni młodzieniec, a nie jako żak, „dziecko“. I w innym jeszcze względzie widać to, że autorowi nie chodziło o dokładność chronologiczną: młody książę pierwszy raz z Krakowa porwany był w noc Bożego Narodzenia; gdybyśmy chcieli brać datę r. 1572 *à la rigueur*, wypadłoby przypuścić, że to stało się też r. 1572, wtedy jednakże t. j. na Boże Narodzenie r. 1572 Zygmunt August już nie żył. Najwięcej zaś znać, że autor nie wiązał się ściśle chronologią, z następującą okolicznością. Księżna Anna Beata Sołomerecka przez lat 20 nie starała się dowiedzieć, jak Kurya rzymska zapatruje się na jej ślub z bratem stryjecznym, — sama młodemu Czuryllie opo-

wiadała, że ksiądz Hausner przed 15-stu laty poszedł do Rzymu, z powieści zaś naszej wypada, że to przed 20 było laty — wieść tylko głucha chodziła, że ksiądz Hausner, wysłany przez stryja teścia po ślubie do Rzymu, gdzie zginął w świecie. Można jednakże było starać się o kopie tych dokumentów, które ksiądz Hausner zabrał z Rzymu, to byłoby dało wątek do wysnuć ciekawych zabiegów, opowiadań, scen, intryg: że autor tego motywu nie użył, jest dowodem, że mniej mu chodziło o ścisłość chronologiczną. W powieści historycznej poczytać wypadnie za błąd, ale ten błąd wynagrodzony jest wielkimi zaletami powieści, szczególnie w obrazach Krakowa, dworu umierającego Zygmunta Augusta, morowego powietrza, niewoli młodego Czurkły u Tatarów i Turków i tylu innych, skreślonych i wykończonych z wielkim talentem.

Po „Zygmuntowskich Czasach“, które w sobie tyle zalet mieszczą, nastąpiła długa przerwa w szeregu historycznych powieści Kraszewskiego, dopiero r. 1852 ukazała się znowu dwutomowa powieść na tle historyi osnuta p. t. *Kordecki, powieść historyczna przez J. J. Kraszewskiego* w Wilnie u J. Zawadzkiego. Po pierwszy raz wprowadził Kraszewski wydatną postać historyczną, jako bohatera powieści, wbrew zwyczajom romansopisarzy, którzy czują, że ze znanym bohaterem historycznym nie mogą sobie poczynać z swobodą powieściopisarską, bo trudno go wyjąć ze związku historyi i postawić w sytuacjach, jakich żąda rozwinięcie akcyi wedle wymagań sztuki wyzwolonej, inaczej dopełniając w motywach historyą, ubliża się albo historyi albo bohaterowi, — ztąd wolą charakter obrać epoki uwydatniać raczej na jej pochyłościach i w nizinach, aniżeli na jej wierzchołkach. Prawdziwa analiza historycznego charakteru jest rezultatem naukowych poszukiwań. Jednakże wyrok utalentowanego powieściopisarza może analizie dopomódz intuicyą, i może postać dziejową, którą historia kreśli zwykle w ogólnych liniach, wycieniować wedle tradycyi, jeżeli ta tradycya żyje jeszcze i z autorem związaną jest rozlicznymi włóknami współczucia. Na tém stanowisku stanął Kraszewski. W chęci uczczenia bohatera Częstochowy, na zbliżający się dwósetletni jubileusz obrony klasztoru od oblężenia Szwedów r. 1655, opowiedział przebieg téj obrony z zamiłowaniem, z werwą i z myślą oddania hołdu prawdzie. Tej prawdy szukał w pamiętniku samego Kordeckiego o oblężeniu Częstochowy p. t.:

Nova Gigantomachia contra sacram imaginem Deiparae virginis in monte claro Czenstochoviensi i t. d. 1657, 2gie wydanie 1694. Powieść Kraszewskiego jest w główniej części swobodną parafrazą tego pamiętnika (wedle łacińskiego oryginału, tłumaczenie Łepkowskiego ukazało się dopiero r. 1858) ze wszystkimi szczegółami, które uzupełnił, snując wątek powieści wedle ducha oryginału. Autor zdaje się jednak mniemać że poddanie się Krakowa Szwedom dopiero w listopadzie, w czasie oblężenia Częstochowy nastąpiło (I 49, II 99, 101), i że uczyniło położenie oblężonych tak rozpaczliwem, Kraków zaś 17 października poddał się ¹⁾, o tém wiadano w klasztorze od początku oblężenia (*Nova Gigantomachia* wyd. 2, s. 15). To jest jedyna ważniejsza zmiana w osnowie opowiadania, téj zmiany nie było potrzeba, ona owszem osłabia wrażenie. Jeszcze w jednym względzie odstąpił Kraszewski od pamiętnika: wedle Kordeckiego miała podobno, jak to potem w Częstochowie opowiadano, objawić się Millerowi jakaś tajemnicza osoba i strachem do odwrotu nakłonić; że tego szczegółu Kraszewski nie użył jako motywu w powieści, jest wyraźną wskazówką, że głównie chodziło mu o prawdę historyczną. A przecież w ten ściśle historyczny żywioł wplótł autor zajmującą zmyśloną powieść o Lasocie, Krzysztoporskim i o starć zebrańce Kostusze, dawniej córce bogatego mieszczanina Sandomierskiego, która oddawszy rękę bogatemu Lasocie, i z majątku sobie najprzód zapisanego sądownie wyzuta i rozwiedziona z nim, Krzysztoporskiego poślubiła, a od tego źle traktowana i w zamknięciu trzymana, przez pierwszego męża wyswobodzona, puszczoną była w świat na Opatrzność Bożą; wszystkie te osoby znalazły się na Jasnej Górze w czasie oblężenia. Powieść ta, której ostatni akt odgrywa się w czasie tego oblężenia, dodaje groźnemu położeniu rzeczy jeszcze więcej grozy przez śmierć Lasoty i Krzysztoporskiego i ciężką pokutę Kostuchy, która w gradzie kul pod murami klasztoru na próżno szuka śmierci. Nie mógł autor piękniej pomieścić końca historyi miłości, która była pełną obłędów serc namiętnych, jak na tle wypadku, który był wyrazem i owcem najwyższego zaparcia się miłości własnej. Cały ten epizod nie jest jednakże bez podstawy historycznej, w historyi bowiem oblężenia klasztoru na Jasnej Górze odgry-

¹⁾ Kochowski *Climacter* II str. 54.

wa rolę nie tylko Krzysztoporski i Lasota (Nova Gigantom. 54), ale i Kostucha: „Constantia mulier natura et audax intra fossas inhabitans“, która z pogardą śmierci Szwedom szkody, obłożonym zaś przysługi wyświadczała. Ze tę żebraczkę Kraszewski czyni pokutnicą za ciężkie grzechy młodości, i że ta pokuta jest tak zaśluga pełną, to dodaje powieści bardzo wiele uroku.

Po Kordeckim zdawało się, że Kraszewski w powieści historycznej opuści epokę dawniejszych wieków, z upodobaniem tworząc powieści na tle wieku XVIII: *Djabel* 1855, *Dola i niedola* 1864, *Macocha* 1871, *Hrabina Kosel* 1874 i inne; dopiero r. 1874 zwrócił się znowu do historycznych wspomnień z wieku XVI i za temat powieści wziął z niego losy młodego człowieka kształconego w Wittenberdze, który tam nowiej zasmakował wiary, a powróciwszy do ojczystego gniazda, znalazł w ojcu surowego sędziego swego odstępstwa od ojców wiary, i, dom ojcowski rzuciwszy, w końcu w świecie gdzieś bez wieści zginął.

Powieść ta ma napis: „*Powrót do gniazda, powieść z połaci XVI wieku*“. Młody Janusz, syn wojewody z Rochowa, człowieka starego autoramentu, oddany był za namową stryja, pisarza koronnego, na naukę do Wittenbergi, i tu odpadł od wiary przodków i pokochawszy córkę bogatego złotnika Hansa Hennichena, młodzieuchną i piękną Frydę, potajemnie z nią się zaręczył. Po roku, kilkakrotnym rozkazem ojcowskim powołany do domu, powraca do gniazda rodzinnego, smutny i z ciężkiem sercem, bo wie, że rodzice nie pobłogosławia ani jego wierze ani miłości, przeczuwa twardą walkę z ojcem surowym i twardszą z sobą samym, bo jakże pogodzić sprzeczne uczucia posłuszeństwa synowskiego i wierności przekonaniu i kochance? Nie wiele położenie jego ulżyło się przez to, że kolegę swego Tiliusa, który mu się ofiarował towarzyszyć do Polski i tam apostołować nową wiarę, zostawił w Krakowie, bo ojciec już na wstępie źle go przyjął, że dopiero za trzecim wezwaniem do powrotu był posłuszny, w najgorszym mieszkaniu przy bramie osadził i zapowiadał, że go na żołnierkę na kresy poszle. Stryj z Zalesia, pisarz koronny, przyjaciel reformy, znalazłszy się krótko po przybyciu wojewodzica w dom rodzicielski także w Rochowie, dodawał Januszowi otuchy, i w razie potrzeby gościć u siebie ofiarował. W dzień potem, Janusz nie stawiał się na mszę w kaplicy, „dzwouka nie słyszał czy słyszeć nie

chciał“ (str. 142). Od téj chwili poczyną się jego i całej rodziny boleśna i nieszczęsna niedola. Ojciec osadził go w wieży, książd proboszcz napróżno go odwiedzał, napróżno i matka nawiedziła go w brzydkim lochu: święta ta osoba, od żalu powalona na łożo choroby, zwlokła się z niego, nocą mimo wiedzy męża zaszła do więzienia, aby miłością macierzyńską skłonić go do tego, do czego ojciec nie mógł surowością. Syn wypłakał się u nóg matki, wyznał miłość do Frydy, i serce swe i duszę swą przed nią otworzył, ale ani matka nie mogła pochwalać odstępstwa od wiary i miłości osoby do obcego kraju i rodu, która miała być matką gasnącego Rochitów pokolenia, ani syn nie skłonił się ku woli matki. Plakali oboje i z niewymownym bólem serca rozłączyli się — na zawsze! Syn z więzienia uszedł do Zalesia, matka powoli gasła, aż i zgasła ze zmartwienia, przez starego księdza proboszcza zostawiając dla syna błogosławieństwo i napomnienie, aby ojcu był posłuszny. Wojewoda zaś wydziedziczył i wyrzekł się syna. Prosił za nim książd proboszcz, błagała umierająca żona o przebaczenie, — wojewoda nie przebaczył; wstawał się stryj, Janusz przy trumnie matki w kościele przed ojcem upadł na kolana, ojciec nie przebaczył, — na prośby tych, którzy się za Januszem wstawiali, odpowiadał: „nie mam syna“, — odepchnął go na zawsze od siebie. Zerwał z bratem, zerwał z wszystkimi, sponiewiał, osamotniał, — nie pobłogosławił w godzinę zgonu i do łoża śmierci nie pozwolił przystąpić, bratu tylko, który puściwszy żalę, jakie miał do niego, w niepamięć pielęgnował chorego, powiedział: „gdym nawróconym będzie, dasz mu moje błogosławieństwo“. Wojewoda umarł w Krakowie. Tu znalazły się w żałobną godzinę jego śmierci wszystkie główne osoby powieści. Stary Hennichen, który wiedział o miłości młodych ludzi, i który życzył sobie związku swej córki z wojewodzicem i na ten cel postarał się o dyplom szlachecki, dowiedziawszy się z listów Tiliusa do znajomych o uwięzieniu i ucieczce „grafa Jana“, odważył się na krok ostateczny: pod pozorem sprzedaży drogich kamieni królowi Zygmuntovi Augustowi pojechał do Krakowa, zabrawszy z sobą córkę i jedną siostrę, w rzeczywistości zaś pojechał, aby ubóstwiać przez siebie córkę pomódz. Ale stryj Janusza, choć Januszowi i reformie przychylny, o miłości jego z Frydą nie chciał nie słyszeć, i na pierwszą próbę złotnika trafienia do uczuć jego, odpowiedział obelgą. Stary Hennichen, wyleczony z pró-

żności, oziabł w swoich uczuciach dla Janusza, i nie przyjmował go już u siebie; wspomniawszy chłodno o zmienionych stosunkach, zabierał się do powrotu. Ale Fryda nie mogła znieść myśli rozłączenia, ona pierwsza podała myśl ucieczki, i Janusz z nią i wiernym sobie od czasów Wittenberskich Jozakiem ujechali w świat daleki z Krakowa, napróżno przez Henni-chena i przez stryja ścigani. Ślub w ciągu ucieczki wzięwszy, przepadli bez wieści — w Holandyi, i zmarli rychło w niedostatku. Syn ich, który jako złotnik w Krakowie pracował po 20 latach, nie znalazł ani języka ojczystego, ani historii ojca swego. Otrzymałszy zapomogę, wrócił do Holandyi i tu własny warsztat założył. — Taką jest ta smutna powieść, osnuta na tle historycznym, ale nie historyczna w ścisłym znaczeniu tego słowa, bo Zaranek, Tilius, Szalaj i inni głosiciele nowej wiary nie mogą uchodzić za osoby historyczne, wojewoda zaś z Rochowa, herbu Roch, jest zmyśloną osobą, wojewody tego nazwiska i herbu w obranej przez autora epoce nie było. Mniej też autorowi chodziło o wystawienie społeczeństwa polskiego w wieku XVI, jak raczej o wystawienie walki między powagą i karnością religii i obyczaju a indywidualną wolnością myśli i uczuć; pierwszą przedstawia ojciec, drugą syn; tę walkę wystawił autor w sposób tragiczny, trwa ona krótko, bo ojciec syna za niestawienie się do kaplicy na mszę do lochu zamknąć każe, syn zaś posuwa się do ostateczności, i z pod ojcowskiej mocy uchyla się ucieczką, ale smutne skutki tego konfliktu trwają długo i targają węzły rodzinne, wpędzają matkę do grobu, ojca powoli trawią bólem i doprowadzają do wyparcia się własnego dziecka, a syna skazują na ucieczkę od swoich i z kraju. Kara za nieposłuszeństwo syna dotknęła w skutkach i matkę i ojca i własne owego dzieci: nie pomogły prośby niczyje, kara spełniła się w całości, wojewoda pozostał nieprześląganym. Ten twardy i nieugięty charakter wystawił autor z wielką konsekwencją: wojewoda znosi skutki swojego postąpienia z symem z energią przekonania, że inaczej postąpić nie mógł i nie może, ale ból wewnętrzny był silniejszy od tej energii, i ten ból złamał i strawił go. Nie można bez wewnętrznego niepokoju czytać przebiegu tej katastrofy. — Naprzeciw tej osoby z żelazną wolą postawił autor syna z charakterem nieco biernym (w stanowczej chwili pociągnęła go do ucieczki Fryda, która jest bardzo zręcznie i sympatycznie skreśloną), i charakter jak-

by z wosku, tj. brata wojewody, pisarza koronnego z Zalesia. Sprzyja on reformie, ale do niej otwarcie się nie przyłączył, Janusza. przyjmuje u siebie, ale w danej chwili zamiast otwarcie postąpić, podstępnie chce zepsuć jego miłosny stosunek do Frydy, nie bez trudu wyrwa się z wygód życia, aby jakiśkolwiek krok stanowczy uczynić; z sympatyj do reformy wyleczy się bez wewnętrznych niepokojów. Dom jego w Zalesiu i jego otoczenie wystawił autor z wielką sztuką, i tu mamy sposobność poznania wieku XVI za Zygmunta, choć częściowo i z jednego punktu widzenia, ale dokładnie.

Podobnie jak Kraszewski epoki wieku XVI użył za tło do wystawienia idei o powadze i posłuszeństwie, tak i wiek XVII „wiek galanterii“, posłużył mu za kanwę do wystawienia wzajemnych stosunków obojgich pici w Polsce za ostatniego z Wazów i następnych dwóch królów, w powieści p. t. *„Życiok JM. Pana Medarda z Gołzawki Pelki z notat familijnych spisane“*.

Alfons Karr wyczytał w przypowieściach Salomona że „l'homme amoureux suit la femme comme un boeuf, que l'on mène au sacrifice“. Jest to widać dowcipne streśczenie rozdz. VII Przypowieści, gdzie jest mowa o głupim młodzieńcu i o niewieście „gotowej na łowienie dusz“, i gdzie jest powiedziano, że „młodzieniec poszedł za niewiastą, jak wół, gdy go na rzeź wiodą“ i t. d. Powieść o Medardzie Pelce jest niegorszą ilustracją do przytoczonych słów, które są w równym stopniu skargą na niewiastę, jak na młodzieńca. JMp. Pan Medard Pelka jest taką ofiarą kobiecej lekkoci. Dwudziestoletni młodzieniec, piękny i zany, ale gorączkowego temperamentu (I, 10), zakochał się w 15-letniej dziewczynie, pięknej, ale przez zalotną matkę, wdowę podcześnie, wychowaną Jadwidze Pocięjownie. Wyjeżdżając po pierwszy raz na wojnę, w czasie najazdu Szwedów r. 1655, przy pożegnaniu w nieobecności matki wyznał jej swą miłość, i otrzymał kokardę niebieską, jako „rycerz kochanki swojej“, przyślągl „wierność do śmierci“, i poniosł serce rozkochane na śmiertelne i opaty wojenne, ale wnet pani podcześnie piękną córkę przefrymarczyła bogatemu wojewodzie sieradzkemu, i pan Medard miał tylko szczęście być gościem przypadkiem na ślubie (w Głogowie na Szląsku, na dworze królewskim) i rozmawiać z swą kochanką, gdzie się od niej dowiedział, że *on* jej wierność winien, a ona jemu nic, i gdzie wprawdzie umiał zaimponować słowami i podcześnie

i jej zięciowi, ale z niczem odjechał w tej myśli, że młody, że czekać może na szczęście, w które wierzył. Podczaszyna przy ponowném spotkaniu otworzyła mu oczy, że bez pieniędzy nie może myśleć o Jadwi, więc poszedł gdzieś w świat i przez lat przeszło 10 ciężką służbą obozową i wojenną dorobił się wielkich bogactw, — ale znów się zawiódł, bo matka, która pana Medarda kiedyś sama ciągnęła ku sobie, z nienawiści ku niemu córkę, od pewnego czasu owdowiałą, z pośpiechem wydała za jakiegoś księcia Pruskiego na Szląsku, który młoda żonę, nieco zalotną, przez zazdrość na zamku w Braniborzu osadził. Pan Medard z bezprzykładnem poświęceniem uwolnił panią swego serca z tego zamknięcia, przywiózł do Warszawy, księcia w pojedynku zabił, ale — kochanka młodości znowu z natchnienia matki, nie troszcząc się o swojego „rycerza“, poszła za mąż za innego, pisarza koronnego Paca, wtedy, kiedy Pelka był z Sobieskim pod Chocimem. Pelka miał tylko znowu wątpliwą satysfakcyą widzieć, że jego dama z Pacem nie jest szczęśliwą. — Ale już tego było zawiele dla niego, po trzeci raz być pominiętym! Napróżno wniwiał w siebie, i przyjaciół (III, 39) „ze gwałtem kochanki nigdy brać nie myślał, że nie chciał szczęścia swego zawdzięczać choćby chwilowo zadanemu gwałtowi“, czuł, że jego życie marnie uchodzi, — poszedł więc do klasztoru do Bernardynów do Lwowa, szukając spokoju duszy. Pani pisarzowa gwałtem go ztamtąd wydobyła, Pelka z Pacem się strzelał (powód dały polityczne przy koronacji króla Sobieskiego okoliczności), ale nieszczęśliwie. Wyleczywszy się, pojechał na wieś, i kiedy się zdawało, że o sercowych udręcezeniach zapomni, za sprawą przyjaciela swego Rożańskiego poznał i pokochał piękną złotowłosą pannę wojszyczankę Elżbietę Kmiecównę i zaręczył się z nią, ale się ożenił z inną. Matka znów gachów sprowadziła, pani pisarzowa jednego z nich wybrała, pana Firleja, i z nim się zaręczyła. To biednego pana Pelkę doprowadziło do ostateczności, dawno już był stracił swój animusz, i popadł w melancholię, teraz ostatnie siły dobił i, niszcząc się krzywd swoich, strzelił do jejności. Szczęściem nie zabił.

Wtedy dopiero pani Jadwiga przyszła do rozumu, i uznała, że dawno powinna było wierność rycerza swego wynagrodzić ręką swoją. Przyjaciół Pelki Rożański, dwoje kochanków w końcu szczęśliwie połączył, wrzódzy jednakże osądzwszy, że „trzeba było przed 10-ciu laty do Jejności strzelać“.

To streszczenie jest tylko słabym odbłaskiem powieści Kraszewskiego, wykończonęj z wielkim talentem i z wielką znajomością serc ludzkich, z trafnem zastosowaniem języka i sposobu opowiadania XVII wieku. Rożański Pelce wpół żartem w pół seryo raz powiedział, że o jego miłości jako o Syllorezie bajki rozpowiadają. *Syllorez* Potockiego wprawdzie wtedy, r. 1674, nie był się jeszcze w druku ukazał (to nastąpiło dopiero 1764), jednakże ten fantastyczny wierszowany romans należy zapewne do najszybszych utworów Potockiego i był zapewne znany z rękopisów, jak *Argenida* tego autora, o której także przed drukiem jej są wzmianki. Co zaś ważniejsza, to że przygody Medarda Pelki również są dziwne, jak przygody bohaterów i bohatererek Sylloreza: żywot i sprawy Pelki osadzone są wprawdzie na tle historycznem, bo go widzimy przy Czarnieckim, potem na elekcyi króla Michała Wiśniowieckiego, którą on razem z szlachcicem Piotrowskim zdecydował, później w obozie pod Chocimem, na koronacyi Sobieskiego, — ale autor przesnuwa pasmo dni jego o wiele więcej po tych *życiach* ludzkiego drogach i ścieżkach, na które oko Kraszewskiego nie padło, i dając folgę upodobaniom wieku XVII, w którym ulubionemi powieściami były takie, jak *Baniatuka*, *Nadobna Paskwalina*, *Argenida*, *Psyche* i inne, wypełnia życie swego bohatera coraz to dziwniejszemi przygodami, szczególnież ta epoka jego żywota, która następuje po wydaniu Jadwigi za wojewodę, pełną jest cudowności: Pelka bowiem poszedł w świat w największej tajemnicy, aby się bardzo zbożać, po 10-ciu latach powrócił z bajecznemi skarbami, ale tał się przed ludźmi, gdzie je zebrał, dopiero później (II, 305) wyznał, że lat 10 spędził w wojsku cesarskiem i na wojnie, i że bogactwa winien „zdobyć z rycerskim i nagrodzić“, choć wtedy (1656—1666) cesarz żadnych nie prowadził wojen — ale kiedy, jak wiemy, bogactwa nie pomogły i młoda wdowa wyszła za księcia Pruskiego, który ją na zamku Braniborskim zamknął, wtedy Pelka jedzie kochankę uwolnić, ale popada w ręce rywala swego, dostaje się do „Kostnicy“ na pewną śmierć, cudem się uwalnia, tymczasem pacholę jego Gabryk, który na

pana czekał na próżno, doznaje także dziwnych przygód, bo szlachcic polski Wielkanić, wracając przypadkiem jako pątnik z Kompostelli przez Braniborz, zrzucił odzież pątnika, dosiadł konia Pelki, zebrał jego przyjaciół, aby go uwolnić i pomścić, tymczasem zabłądzili w lesie, cudownie odnaleźli Pelkę u pewnego węglarza w chatce leśnej i razem z Pelką księżną uwieźli i zamek Braniborski spalili.—Takich dziwnych przygód, powtarzających się motywów, takiego nagromadzenia nadzwyczajnych wypadków wymagało w myśli autora całe założenie powieści, zapewne też w „familijskich notatach“ znalazł niejedną dziwną sprawę, ale powieść cierpi na braku umotywowania, bo wszelkie te powikłania pochodzą zawsze z przypadku, główna osoba powieści jest nad miarę bierna i cierpliwa, Jadwiga z wyjątkiem tym, że jest zalotna i uparta, jest także osobą w ogóle bierną i energią pokazuje tylko wtedy, kiedy się „upomina o zaprzędaną sobie duszę“, jedynie wypadkami kieruje podczaszyna, która jednakże na główną osobę powieści nie jest przeznaczoną.— W szczegółach powieść o JMPanu Medardzie Pełce jest z mistrzostwem wykończona: to co się cichem życiem w powieści nazywa, wystawienie miejscowości, zwyczajów, sytuacji, kostiumów i t. d. jest wyborne i składa się w ciąg obrazów, z których malarz gotowe brać mógłby motyw, wyborne skreślone są np. przekradanie się Pelki z żydem Lejbusem przez obóz Szwedów pod Krakowem (I, 199), targ o córkę (I, 152), dwór Niemirów i wizyta Szwedów (II, 56), elekcja króla Michała (II, 172) i wiele innych.

W linii równoległej z powieścią o I.M. Panu Pełce rozwija się powieść o Mroczku w „Pamiętniku Mroczka.“ W krótkich treściwych słowach opowiada Jan Mroczek najciekawsze wypadki życia swego z czasu swjej młodości, swję służbę na kresach, swję miłość do starościarki Heleny Nałęczówny, i udział swój w wyprawie Sobieskiego pod Wiedniem. Historia tēj miłości jego jest jakby odwrotną stroną medalu, jakby przeciwstawieniem powieści o IMPanu Medardzie Pełce. Obydwaj młodzieńcy z niebogatej drobnej szlachty, Mroczek nawet ubogi, pokochali dziewicę senatorskiego rodu, miłość w obojwóch zapaliła się w takim czasie, kiedy wypadło na głos króla iść na nieprzyjaciela, obydwaj wiernie i stale kochają, ale jeden kocha płochną kokietkę, drugi osobę piękną wielkiego ducha i serca, która jest wzorem wiernej kochanki. Kiedy Mroczek idzie na wojnę, nie mia-

nuje go ona swoim rycerzem, jak Podczaszanka Pełkę, ale ślubuje mu stateczną miłość i takić żąda też od niego, i kiedy z Wiedeńskiej wrócił potrzeby, zubożony zdobyczą i od króla nagrodzony starostwem, wtedy go okoliczności i życzliwe osoby przynaglają do tego, że i gwałtem wziął bogdankę i do ślubu poprowadził, wbrew woli dwóch braci współdziedziców i opiekunów. Podczaszyna ciotka Heleny, którą kochała jak córkę i której matkę zmarłą zastępowała, w stanowczej chwili mówiła Mroczkowi: „Zacny z Waćpana człowiek, że ci gwałt wszelki jest obmierzły, ale są wypadki, w których i do ostatnich środków uciec się trzeba, gdy o przyszłość osoby drogiej idzie.“ Mroczek poszedł za tą radą. Zapewne i w tym punkcie chciał autor przeciwstawić losy dwóch kochanków: Pelka nigdy gwałtu dopuścić się nie chciała, jego też dzieje są długim pasmem katuszy, inaczej w powieści o Mroczku; choć przeszkód jest pełno i choć szlacheckich imprez wiele i pojedynków i wyjennych przygód i niebezpieczeństw, to jednakże przyjacielskie przysługi, protekcja podczaszyny i wreszcie samego króla kierują wszystko ku dobremu. Niezwykłej piękności sceny są w tēj powieści, szczególnie sceny obozowe, przygody najstarszego Nałęczu, który jako łup z wyprawy Wiedeńskiej przywiózł sobie piękną żonę Greczynkę, po bitwie obronioną łupieżcom,—i fortele Grabowskiego w uwięzieniu panny i w czasie oblężenia Surowina, dokąd młode małżeństwo uciekło przed pogonią Nałęczów.

W powieściach historycznych, o ile tyczą się wieku XVI i XVII, Kraszewski nie trzymał się żadnych wzorów, wierny skłonnościom swoim szukał własnych dróg i pisał wedle natchnienia i własnych upodobań. W tych powieściach historycznych jego, różnić można dwa rodzaje: jedne są pisane z intencją wiernego kreślenia wypadków, drugie z myślą tworzenia charakterów i sytuacji na tle historycznym, w pierwszych przeważa historyczność, w drugich powieść, pierwsze są obrazami historycznymi w duchu kronikarskim, drugie obrazami obyczajowymi na podścielisku historycznym. Do pierwszych należą: „Kościół Ś. Michalski“ r. 1833, „Rok ostatni panowania Zygmunta III-go“ r. 1833, „Stańczykowa Kronika“ r. 1841, „Ostatnia z książąt Słuckich“ r. 1841, „Zacy Krakowscy“ r. 1845 i „Kordecki“ 1852, do drugich: „Zygmuntowskie Czasy“ r. 1846, „Powrót do Gniazda“ 1874, „Żywot i sprawy Pelki“ 1876 i „Pamiętniki Mroczka“ („Mistrz Twardowski“ mało ma

z historią wspólnego). Od r. 1846 więc Kraszewski rzucił dawny swój rodzaj oparty na wierności historycznych faktów, i obrat inny, w którym z historii już tylko duch obranej epoki pozostał, „Kordecki“ choć po roku 1846 napisany, należy jeszcze do pierwszego rodzaju. Do drugiego zaś rodzaju, w którym swoboda zmysłów poetycznych bierze górę nad kronikarsko-antykwareuszkimi względami, ciągnął autora naturalny popęd talentu i skłonności pisarskie; na ten zwrot już się zanoszą w „Żakach krakowskich“ r. 1845, tam na str. 104 są te słowa: „historia i bajka czemże są od siebie różne? że w pierwszej szuka człowiek dla swój dumy pokarmu, w drugiej dla ciekawości, ja wolę ciekawość jak dumę... lituję historyków, inaczej z tymi, co bajki piszą.“ Nie wyrzekł się przeto Kraszewski historii, bo pisał potem dzieła, oparte na rozległych badaniach historycznych, ale na polu powieści to przejście od historycznej akuracności do swobodnego tworzenia wyszło na dobre, bo powieści późniejsze historyczne, poczynawszy zaraz od „Zygmunto-wskich czasów“ odznaczają się życiem i trafiają w charakter dawniejszych czasów i ludzi,—o ile się to da osiągnąć, bo od epoki XVI-go i XVII-go wieku oddziela ogół czytającej publiczności wiek XVIII, którego tradycja, żyjąca dotąd, zatarła oblicze tam-

tych wieków w poczuću dzisiejszego społeczeństwa, tak, że bez naukowego przysposobienia trudno je znać, bez tej zaś solidarności z tradycją obranej epoki powieść historyczna ma w sobie pewien niedostatek, i dla tego romansopisarze historyczni najchętniej obierają za tło takie epoki, z którymi jest związek tradycji, i Kraszewski sam to uczynił z tak wielkim powodzeniem w powieściach historycznych z epoki Saskiej i Stanisławowskiej, albo też cofając się w odleglejszą epokę, wnoszą do niej dzisiejsze zapatrywania, wyobrażenia i uczucia swego społeczeństwa, aby odległość zmniejszyć. Rzadko kto robił do napisania historycznego romansu tak rozległe studia, jak Scheffel do „Ekkeharda“, a jednakże wszędzie tam znać i dzisiejsze wyobrażenia. Tak się też ma z romansami historycznymi Kraszewskiego drugiego rodzaju: i ludzie w nich i cały zakrój życia są takimi, jak żyją w pamięci starszych osób z przeszłowiecznej tradycji; tylko w nich uderza podobieństwo do ludzi i myśli i obrazów życia w historykach i poetach polskich XVI i XVII wieku. Nie są to historyczne osoby, jak i powieści, których są bohaterami, nie są zawsze w ścisłym znaczeniu tego słowa historycznymi, ale mają pamiętnikowy charakter z wielkim życiem dramatycznym.

Władysław Nehring.

IV.

Epoka Saska.

- 1) Hirabina Kosel 1874. 2) Brühl 1875. 3) Z wojny siedmioletniej 1876. 4) Starosta Warszawski 1877. 5) Skrypt Flemminga 1878.

Powieść historyczna jest i potrzebuje być w literaturach innych narodów tylko płem kompozycji i fantazyi artystycznej, w naszej jest obok tego czemś więcej. Inne narody mają rozliczne środki nauki swych dziejów, mają urzędowe katedry uniwersyteckie i zakłady szkolne, mają troskliwie i systematycznie uprawianą całą przeszłość swą dziedzinę. U nas panują wielce od-

mienne pod tym względem stosunki. Co na tém polu zdziała od kilku lat zaledwie istniejąca i funkcyonująca Akademia umiejętności krakowska, jakie owoce wyda rozwinięta również dopiero działalność uniwersytetu Jagiellońskiego i Lwowskiego, przyszłość dopiero okazać może. W innych zaś stronach kraju nie ma zakładów publicznych, z którychby światło znajomości dzie-

jów spływało na ogół, czy choćby tylko na łaknących nauki wybrańców. Nie dość na tém, wskazuje nauka nasza dziejowa od pewnego czasu jakoby zastój. Mnóstwo monografii i monografiek historycznych znajduje się rozrzuconych i rozprzeczonych po najrozmaitszych czasopismach, ale jakąż rzadkością, jakąż *rara avis*, dzieło poważniejszych rozmiarów, traktujące w pragmatycznym opracowaniu jakibądź obszerniejszy przestwór przeszłości naszej. Jeżeli się zaś podobna rzadkość w naszym wydawnictwie i w naszym handlu księgarskim pojawi,—jakież, zapytalibyśmy dalej procent wytłoczonych jój exemplarzy dostaje się pośród wielką masę czytającej publiczności, która ostatecznie jest i powinna być celem każdego dzieła pióra i nauki?... Co najwięcej, pozostają podobne dzieła i podobne utwory rodzajem *arcanów* uczonego świata, takiego naturalnie, na jaki nas stać wśród obecnych okoliczności, a to co się nazywa u nas publicznością, choćby nawet *czytającą publicznością*, pozostaje najzupełnie obcym naukowemu w dziedzinie historycznej ruchowi. Z podobnych przyczyn i wśród podobnego położenia rzeczy, coś naturalniejszego, jak że znajomość przeszłości naszej, popularyzowana swego czasu pomiędzy publicznością, *Śpiewami historycznymi*, podtrzymywana *Pielgrzymem z Dobromiła*, *Historją opowiedzianą synowcom* przez Joachima Lelewela, *Wieczorami pod Lipą* w różnych ich wydaniach, zacznie zamierzać i, jakoby wędrownic pośród naszego społeczeństwa, ścieśniać się i chronić do coraz ciaśniejszego, co nie daj Boże, kółka specjalnych jakich uczonych? Otóż nie można wśród podobnych okoliczności i wśród podobnie mało pocieszającej perspektywy ocenić dość wysoko i dość zaszczytnie zbawczej, ocalającej interwencji *powieści historycznej*, podjętej naturalnie ze świadomością ważności zadania i ostatecznych jego celów. Zadanie z pewnością szczerne, wspaniałe, pierwszorzędne, byle było dobrze rozumiane, byle mu towarzyszyła obok dokładnej znajomości epoki, obok nzdolnienia artystycznej kompozycji, jako nic złota, ciągnąca się przez całość tendencya umoralnienia i pouczenia, dążność rozprzestrzenienia moralnego i umysłowego widnokręgu własnej społeczności za pomocą dziejowej prawdy, podanej w nadobnej formie. W tym kierunku zmierzała i zmierza powieściopisarska działalność Kraszewskiego. Uwieńczeniem jój jest ów podjęty przezeń obok tylu innych zatrudnień zaledwie przed trzema laty, wykonany już obecnie w tak znacznej

części, pomysł ujęcia całego obszaru dziejów polskich powieściowem przedstawieniem. Wolnoż nam pośród i mimo tak szczerego uznania dla podobnego przedsięwzięcia, wystąpić w obec autora z *jedną* tylko uwagą, która przecież w razie uznania jój słuszności, *może być* jeszcze uwzględnioną?—Tragiczne, męczeńskie dzieje braci naszej lechickiej nad Łabą, nad zachodnio-północnymi brzegami Bałtyku, dzieje Obotrytów, Wagirów i Rugian, boje Kruka, Nikłota i Przybysława z nawałą germańską, zgon męczeński Warcisława, bitwa pod Dyminem, powstanie słowiańskiego ludu około Zwieczyna i Wielkiego Grodu, szturm Arkony,—wszystko to razem jest częścią dziejów naszych, bo dziejów plemienia lechickiego, kroniką męczeństwa i bohaterstwa na przemian naszej przedniej straży, zapomnianej zbyt pochopnie przez doznającą dzisiaj podobnego losu główną armią, prawdziwym „*wstępem krytycznym*“ do dziejów naszych... Nie należałoby się dzisiaj, wśród obecnego *hodie mihi eras tibi*, rehabilitacya dziejowa owiej lechickiej braci z nad Łaby i Bałtyku, a czyż *Kronika Helmolda*, *Arnold Lubecki*, *Dytmar i Annale Lubeckie* nie zawierają w połączeniu ze smętnie uroczą widownią owych walk i owych cierpień, aż nazbyt obfitego materiału, któryby był godnym pędzla znakomitego malarza przeszłości? Niechaj nam będzie wolno wyrazić nadzieję, że to niwa, której się jeszcze dotknie pióro zanego naszego jubilata.

Po tym nawiasowym wstępie wróćmy do naszego przedmiotu. Jak co dopiero powiedziano wyżej, podejmuje autor olbrzymią pracę ujęcia całości dziejów polskich w powieściową formę. Wobec podobnego, wchodzącego poważnie w życie, przedsięwzięcia, występują wszystkie dotychczasowe jego powieści historyczne bądź to w charakterze monografii, bądź jakoby wyprzedzających, rekonesansowych wycieczek, które czekają połączenia z całością. W rzędzie takich to monografii czy przedniostrożowych wycieczek w dziele spowieściowania całych dziejów polskich, przedstawia się *cykl powieści historycznych z epoki saskiej*. Zastanawiając się nad ich treścią, dążnością, rozmiarami, przychodzimy do przekonania, iż w klasyfikacyi i kategoryzowaniu dziejowo-powieściopisarskiej działalności Kraszewskiego, przypadnie całemu owemu cyklowi powieści z epoki saskiej raczej stanowisko i charakter monografii, aniżeli gotowych już jakoby napozór ogniów do powiązania może w jedną całość powieściowo opracowanej epoki Wazów lub Sobieskiego z również powieściowo

opracować się mającą epoką Stanisława Poniatowskiego. Choćby, co daj Boże, Kraszewski doprowadził do końca i skutku całe swoje przedsięwzięcie *spowieściowania* historii polskiej choćby i do dni dzisiejszych nawet, nie daly by się wtłoczyć w logiczny i sforny szereg podobnej całości, wszystkie jego powieści z epoki saskiej. Ich cyklowi będzie się zawsze osobne należało miejsce, z tej prostej przyczyny, że to wycieczka znakomitego pisarza na obcą właściwą Polsce widownię, że główni ich bohaterowie i bohaterki nie Polacy, że związek ich z Polską bardzo luźny, że z wyjątkiem, jak zobaczymy i uzasadnimy niżej, *Starosty Warszawskiego* i *Skryptu Flemminga*, trącających więcej o strony i stosunki polskie, są to istotnie powieści raczej *saskie*, aniżeli nasze. Nie jest to i nie ma być broń Boże, zarzutem, jest tylko prostym wydobytym z ich treści i przebiegu spostrzeżeniem. Nie dziwny się, jeżeli długi pobyt w Dreźnie, w owęj Florency nadelbiańskiej, pośród Sasów, z którymi nas tyle wspomnień i tyle wspólnych tradycji z dawnych czasów łączy, nie minął bez wpływu na wrażliwy, artystyczny umysł autora. Ów długi pobyt, owo otoczenie, owe wspomnienia i tradycje, owe wymowne mury i owa piękna natura *zastużyły* sobie na osobną swą powieść historyczną. Posypał się tedy ich jakoby wieniec, składający się z pięciu dotychczas utworów, które niechaj nam będzie wolno wymienić kolejno w naturalnym ich, chronologicznym porządku: *Hrabina Kosel*, *Skrypt Flemminga*, *Brühl*, *Z wojny siedmioletniej*, *Starosta Warszawski*. *Hrabina Kosel*, *Brühl*, *Z wojny siedmioletniej*, są to utwory wyłącznie prawie tylko przeszłość *saską* obchodzące. Węzeł *Hrabiny Kosel* z Polską przedstawia jedynie podrzędną, zacząć mimo podrzędności, poświęconą bez granic postać zakochanego w niej śmiertelnie Zakliki. W *Brühlu* przypomina bardzo odległą Polskę, pojedynek intrygi i ambicji, jaki główny bohater nie na polskiej ziemi i nie o polskie stanowisko stacza z faworytem Augusta III Sułkowskim. W *Wojnie siedmioletniej* pojawia się jako jedna postać polska poczciwo-rubaszny Masłowski, przypominający wiernie Porthosa z *Trzech Muszkieterów* Dumasowych. Trzy te powieści przetłumaczone na język niemiecki, mogłyby z zaszczytem figurować, jako prawdziwie piękne plody narodowej powieści dziejowej niemieckiej, robiąc niebezpieczną konkurencją Gustawowi Freytagowi, który, jeśli się mocno nie mylimy, podjął również, jak Kraszewski u nas, dzieło spowieściowania historii niemieckiej. *Skrypt*

Flemminga odbywa się już na dwóch widowniach, w Saksonii i Polsce i ma już więcej kolorytu polskiego; również *Starosta Warszawski* jest ustępem z ostatnich dni niemal panowania Augusta III, odgrywającym się na ziemi polskiej, bądź to w stolicy, bądź też na czerwono-ruskim zamku Krystynopolskim, spoetyzowanego w *Maryi Malczewskiego* wojewody, Franciszka Salezego Potockiego, ojca Szczęsnego. Postępując tedy dalej w analizie cyklu powieści Kraszewskiego z epoki saskiej przychodzimy do rezultatu, iż polska przeszłość i polska widownia z epoki Augusta II, jest tylko właściwie przedmiotem jednej powieści, *Skryptu Flemminga*, traktującej czasy intryg po konfederacji tarnogrodzkiej. że zaś z epoki Augusta III jest znów tylko przedmiotem *Starosty warszawskiego* dotyczącego swą treścią zaledwie schyłku owego panowania. Tak więc przedstawiają się nie mniej z dziejów panowania Augusta II, jak Augusta III z dziedziny polskiej widowni i polskich stosunków bardzo rozległe jeszcze i nie tknięte dotąd obszary powieściopiskarskiej działalności Kraszewskiego. Po tém koniecznem rozklassyfikowaniu przedmiotu naszego, przystąpmy do treściwego z cyklu powieści z epoki saskiej sprawozdania i ocenienia, zaczynając rzecz naszą od przodujących liczbą i chronologicznym porządkiem utworów dotyczących widowni specyficznie saskiej. W pierwszym rzędzie przedstawia nam się tutaj *Hrabina Kosel*... Ciekawa to postać nie dla tego, że była kochanką Sybaryty XVIII wieku, czém było mnóstwo innych kobiet owęj epoki, lecz że była jedną, z pośród nich, o której jest rzeczą pewną i dokumentowo stwierdzoną, iż wpływała swą osobą a może i swą akcją na różne ewolucje polityki Augustowej. Poprzedniczki jej, jak hr. Koenigsmark i Lubomirska, służyły polityce Augusta, ale nie nadają kierunku. Hr. Koenigsmark jeździ w interesie Augustowym do obozu szwedzkiego, Lubomirska towarzyszy królowi w różnych jego przeprawach i podróżach, jest, co najwięcej, dla reprezentantów zagranicznych mocarstw, mianowicie Francji, przedmiotem nadskakiwań, oplacających się pufnemi informacjami. Inaczej Kosel. Kosel staje się dośrodkim powodem, z r. 1704 na 5, zerwania niemal aliansu z Piotrem W., zawarcia osobnego pokoju z Karolem XII. Kosel staje się prawdopodobnie dla tego przedmiotem zabiegów reprezentanta interesu carskiego Patkula. Kosel jest niewątpliwą przyczyną zaniedbania spraw polskich przez Augusta przez pierwszą połowę

roku 1705 i zawieszenia Augustowej akcyi przeciw Szwedom. Taką przedstawiają ją nam archiwalne badania. Jest to więc postać, której obraz mógł i powinienby w powieści historycznej świecić pierwszorzędnie na tle tego właśnie ustępu przeszłości sasko-polskiej. Kraszewski, jakkolwiek, zauważmy zaraz, bez pokrzywdzenia prawdy historycznej, co więcej, z zachowaniem nawet tyle wymaganego dzisiaj we wszelkich płodach sztuki realizmu, wolał przedstawić bohaterkę swjej powieści z innej strony. Polityka i wojna schodzi w jego opowiadania na uboczny, zaledwie zdaleka dostrzegalny plan, nie widzimy jego bohaterki, ani dyktującej konieczność osobnego pokoju ze Szwedem, ani konferującej z reprezentantem cara i biorącej odeń znaczne pieniądze, ani powstrzymującej, jak Dalila Samsona, królewskiego kochanka od rzucenia się w niebezpieczny wir zawiruchy polskiej. Kosel Kraszewskiego, to jedynie tylko, czém niezaprzeczenie była, namiętna, przywiązana do króla częścią uczuciem, częścią ambicją kobieta, ale w obrębie téż tylko owego stosunku, bez ukazania się na szerszej widowni. Począwszy od owj orgii i od owego zakładu, którego wygraniem równie nieuczynny jak służalczy Ilom przegrywa żonę do króla, skończywszy na uwiezieniu hrabiny na zamku Stolpeńskim, jest cała o niej powieść pięknym, w obrębie prawdy historycznej zamkniętym, artystycznie wykończonym, psychologicznie usprawiedliwionym, główną bohaterkę idealizującym obrazem miłośnego jej stosunku z królem. Ona odgrywa w tym stosunku rolę szlachetnej, uwiedzionej i oszukanej ofiary, król, czém był niezaprzeczenie historycznie, cynikiem bez serca i sumienia, mszczącym się, czy to w polityce, czy w miłości, w danj chwili na tych, co potrafili kiedybydź obudzić jego słabość. Długa pokuta w więzienném schowaniu na zamku Stolpeńskim staje się oczyszczającą karą nieszczęsnej ofiary za grzechy zyskanego wbrew prawom moralności krótkiego panowania i blasku. Postać króla występuje w tém czarniejszych tylko dla tego barwach... Jeżeli, jak co dopiero powiedziano powieść Kraszewskiego obraca się właściwie tylko w ramach osobistego, miłośnego stosunku między królem a hrabiną Kosel, nie mamy zamiaru twierdzić przez to, aby nie wchodziła nigdy i niczém na wielką widownię historyczną owj epoki. Pod tym względem dość przypomnieć sobie intrygankie, jak wszędzie, tak i tutaj, postacie księcia Eggona Fürstenberga, Flemminga, Löwendahla, czynników i sprężyn upadku Ko-

sel, wyniesienia następczyni jej, pani Denhoff. Dość dalej przypomnieć sobie ową usługę wzajemną względem siebie ówczesnych dworów niemieckich, usługę, która nawet Katonowi nibyto pomiędzy niemi, jakim był król pruski Fryderyk Wilhelm I, nie pozwala prześladowanej kobiecie pozostać spokojnie w Berlinie czy w Halli i zmusza ją tém samém do poszukania sobie wiecznego schronienia pod kluczem prześladowcy... Z Polską i polskimi stosunkami, jak już powiedziano, nie ma ta powieść żadnego związku. Jedyń węzeł z krajem i ziomkami autora stanowi, jak już powiedziano, biedny szlachcic Zaklika, dworzanin Koseli, sługa jej i nie udarowany wzajemnością kochanek, którego ostateczną, długo poszukiwaną nagrodą było dać się zabić w niefortunnie podjętém dziele oswobodzenia hrabiny z pod klauzury Stolpeńskiej. Postać dodajmy, historyczno-moralnie prawdziwą, istny symbol rezygnacyi, jedynej, jak już zauważyliśmy gdzieindziej, prawdziwej, cnoty czy wady, która wielkiemu ogółowi polskiemu owj epoki pozostała na spodzie zewnętrznego oblicza, zepszczonego intrygą, zeszkaradzonego spekulacją, stepiałego obojętnością na ojcyste losy... *Hrabina Kosel* pozostanie tedy, choćby w takich tylko ramach, w jakie autor przedmiot swój ujął, (a mógł mu, nie przeczymy, nadać szerszą,) wiernym historycznie, wykonanym artystycznie obrazem epoki nie polskiej, na którym przecież, dzięki osobie skromnego a niefortunnego Zakliki, i współczesnej Polsce rzut światła prawdy się dostaje.... Idźmy dalej w naszą lustracyi historycznych powieści Kraszewskiego z epoki saskiej. W pochodzie tym tracamy z porządku rzeczy chronologicznego o postać *Brähla*. Czasowo wzięwszy stanowi to skok dwudziesto-kilkoletni. Królowanie Koseli na dworze i w sercu Augustowém dochodzi do zenitu w latach 1705 do 1707, wyniesienie się paza *Brähla* na tymże samym dworze datuje się z ostatnich lat panowania Augusta II, około roku 1730. *Brühl*, podobnie jak *Kosel*, jest znów powieścią wyłącznie i specyficznie saską, nie mającą nic prawie wspólnego z historią współczesną i stosunkami polskimi, ale, powiedzielibyśmy, góruje nad pierwszą szerokością horyzontu, charakterystyką historycznych, pierwszorzędnych postaci, znajomością dworskich, politycznych, społecznych stosunków Saxonii, wreszcie znakomitým psychologiczném cieniowaniem występujących w powieści osób. Powtarzamy raz jeszcze: nie jest to widownia polska, na którą nas autor wprowadza, jest to grunt czysto

niemiecki, na którym się rzecz cała toczy, ale pod względem umiejętności znalezienia się na tym obcym gruncie, niechaj istotnie zwijają żagle wszyscy historyczni powieściopisarze niemieccy, a jesteśmy aż nadto przekonani, iż Brühl w przekładzie niemieckim wywołałby niepodzielne uznanie całej krytyki tamtejszej. Cóż za istnie Rembrandtowym światłocieniem rozpoczyna się rzecz w owym lesie przy ognisku naganki królewskiej, gdzie autor wprowadza na scenę dwa najcharakterystyczniejsze przeciwieństwa moralne owęj epoki: młodego pазia Brühla, spekulującego zręcznie na wygranie wielkiego losu w rozgrywającej się ciągle loteryi rokokowego dworu, i młodego marzyciela, pietystę hr. Zinzendorfa, którego właśnie może widok otaczającego zepsucia kieruje na drogę przeciwną, każe mu szukać szczęścia i pociechy w religii, namaszcza w przyszłości na twórcę do dziś dnia istniejącej, pobożnej kolonii Herrnhutów.... Po tym wstępie coś dalej za wyborny obraz owęj destytucyi starego, zapitego, znanego historycznie sekretarza Augusta II, Paulego przez skradającego się intrygę i nieuczciwym podstępem do jego stanowiska Brühla. W scenie owęj spojenia starego sekretarza przez chytrego młodzieńca, w uwieńconęj szezęśliwym skutkiem spekulacyi objęcia po nim stanowiska zaufania przy osobie królewskiej, jakżeż dziwnie wiernie, choć ambigonicznie może dopiero tylko zwierciadli się charakter owęj dziwnej osobistości, której nie zbywało na sprycie, ale zbywało na sumieniu, która ambicją i używanie postawiła sobie za cel życia, która do tego celu gotowa była dążyć w pierwszym akcie intrygę, by scenę ostatniego zakończyć niekiedy okrucieństwem. Powieść Kraszewskiego jest począwszy od téj chwili wiernym obrazem bajecznej kariery Brühla. Stanąwszy na silnych nogach, zająwszy jako sekretarz poufny, później jako tajny radca nadworny starego Augusta II, stanowisko zaufania, połączywszy się węzłem małżeńskim z córką jednego z pierwszych rodów cesarstwa niemieckiego, spotyka się na samym wstępie prawie podobnego powodzenia swego z nowem panowaniem. August II umiera w Warszawie, syn jego August III, ów August żyjący tylko zewnątrzniemi praktykami pobożności, ciężkiem piwem, polowaniem, strzelaniem psów, wygodą, potrzebą pieniędzy, zamiłowaniem malarstwa i muzyki,—wstępuje na tron, wyzywając swemi przywarami i ulubieniami jakoby umyślnie wszelkie otaczające swą osobę nieczyste spekulacye i intryganckie ambicje. Dziejowa

Opatrzność wyprowadza dziwne, niekiedy komiczne, niekiedy ponure widowiska, zestawiając obok siebie ku stworzeniu jedności jakoby w dwóch osobach, tych i owych władców z tymi i owymi doradcami czy osobami zaufania. Na takie całości składają się Ludwik XIII z Richelieum, cesarz Franciszek z Metternichem, dostojne osobistości, bliższe nam czasem i przestrzenią z innemi znakomitościami bieżącego wieku. Na taką też całość, *si parca magnis componere licet* składają się August III z Brühlem. Bez takiego Augusta III był taki Brühl niepodobieństwem dziejowem i politycznem. Jaka-bądź wyższa zdolność, jakibądź podnioslejszy umysł na tronie, byłby od razu, na pierwszy rzut oka przeniknął nicość Brühla, na tle której jedynie tylko intryganctwo w interesie własnej spekulacyi jako smutnie dodatni zapisuje się czynnik. Człowiek temperamentu i zdolności Augusta III przedstawia ponętny połów dla osobistości, jak Brühl. Trzeba mu usunąć tylko z drogi postacie zawadzające, trzeba mu podstępem i intrygą, nie inaczej jak swego czasu podrzędną figurę Paulego u Augusta II, tak teraz u następcy jego podkopać i obalić ważniejszy nieskończenie rodem, znaczeniem i stosunkami filar nowych rządów, jakim był Sułkowski. Autor przeprowadza w swęj powieści z dziwną prawdą, z artystycznem prawdziwie cieniowaniem stosunków, ludzi i środków, szczegóły owęj podziemnej walki, jaką Brühl wypowiada wszechwładnemu faworytowi królewskiemu. Jakże znakomita charakterystyka gry zręcznego intryganta, który, wkładając się umiżonością i udaną przyjaźnią w zaufanie Sułkowskiego, podkopuje jego kredyt u słabego króla. Jakże wybornie skreślona i uchwycona jego dwulicowość, posługująca się niemniej Jezuitą Guarinim i pobożnością królowej Maryi Józefy, jak popularnością luterskiego kaznodziei miasta Drezna, niemniej pięknym głosem Faustyny Hasse, jak sprowadzonym z Włoch do galerii drezdeńskiej utworem pędzla znakomitego mistrza.

Wszystkie te środki, narzędzia, czynniki i ludzie składają się w ręku Brühla na wspólny mianownik minującej roboty, której ostatecznym rezultatem obalenie Sułkowskiego. Charakter Augusta III wśród téj intrygi Brühla przedstawiony z niezrównaną prawdą w całej swęj chwiejności, wygodzie, niedołężności i lenistwie. Komicznie charakterystycznym rysem usposobienia ociężałego króla jest owa missya sekretarza poufnego do Sułkowskiego z przestroga przed następstwami własnej

swój nielaski. Król widocznie ma jeszcze serce do dawnego faworyta, lenistwo tylko i wygoda nie pozwalają się mu wyzwolić z kajdań narzuconych przez nowego... Prócz owęj charakterystyki głównych postaci, jak Augusta III, Brühla, Sulkowskiego, jest nie mniej wykończoną, nie mniej trafnie pomyślaną i artystycznie wyrzeźbioną charakterystyka osobistości, występujących na drugim planie powieści, czyto królowej Maryi Józefy, czy Ojca Gnariniego, czy pokątnych doradców i agentów Sulkowskiego i Brühla, Hennickiego i Ludowicego, czy śpiewaczki Faustyny Hasse, czy choćby błaznów królewskich, Storchia i Froscha. Dwór, teatr, kancelarya i ulica pierwszej połowy XVIII wieku na gruncie Saksonii, na bruku jej stolicy, znajdują się tu z równą prawdą oddane, z prawdą i wiernością, którejby rodowity syn tej krainy we własnym jakim utworze z pewnością prześcignąć nie był zdolny. Kończy się wreszcie owa znakomita opowieść genyzy Brühlowej wielkością zadowoleniem moralnego uczucia,—sceną spotkania w szlaskiej karczmie wśród śnieżnej zawieruchy między popularnym i bezpiecznym już teraz w Polsce Sulkowskim a uciekającym do niej z Saksonii pod grozą Fryderykowej inwazy Brühlem. Sulkowski pozostawia i tutaj, na ten raz zwyciężko i wspaniałomyślnie, plac Brühlowi, byle z podobną osobistością, choćby nawet wśród świszczącego wichru, nie pozostać pod jednym dachem. Jedyną jego zemstą wżgarda, jako odpowiedź na podstęp i intrygę... Brühl odjechał tedy do Polski, by ją zawichrzyć, by ją uczynić polem swych sztuk i intryg nie inaczej od ojczystej Saksonii,—autor odprowadza go jakoby w swém opowiadaniu do granic polskich, by, nie przekraczając ich z wędrownym taborem uciekającego Augusta III i jego wszechwładnego faworyta, wrócić sam do Saksonii, i przedstawić w nowej powieści: „Z siedmioletniej wojny“ jej obraz w przededniu i w pierwszej chwili inwazy pruskiej. I w tej powieści znajdujemy się wyłącznie na gruncie niemieckim, między Berlinem i Potsdamem, czychającym na Drezno Berlinem a Dreznem oddającym się uczuciu bezopatrznego bezpieczeństwa. Gorączkowa ta, nerwowa chwila z historii prusko—saskiej znalazła wyborne, wymowne dziejopisarza w osobie hrabiego Vitzthuma von Eckstädt, który w dziele wydanem w samym przededniu ponownej inwazy pruskiej z roku 1866 pod tytułem *Vorstudien zur Geschichte des sieben jährigen krieges* skreślił przebieg

owych boleśnych i upokarzających dla Sasów wypadków, poczynwszy od przekroczenia granicy saskiej przez wojska Fryderykowe, skończywszy na przypieczętowanej kijem Fryderykowym kapitulacyi armii saskiej pod Pirną. Kraszewski sięga w artystycznym obrazie owęj chwili w nieco dalszą przeszłość, w epokę wojennych ze strony Fryderyka przygotowań, wśród których wprowadzony również na scenę sekretarz gabinetu saskiego Menzel, sprzedaje mu za grubą cenę tajemnice negocyacyi i korespondencyi dyplomatycznej Brühla, wśród których dalej między Berlinem a Dreznem przewijają się tajemniczo pod przybranemi nazwami i interesami podejrzane figury, z zadaniem dokładnego przepatrzenia wszystkich kątów saskich, nim do nich Prusacy w nieproszoną gościnę zawitają. Rzecz powieści Kraszewskiego rozpoczyna się od misyi takiego tajnego agenta z Berlina do Drezna. Autor odszukuje nie bez trafności, nie bez znajomości charakteru epoki, osoby jego pośród owęj dobrowolnej emigracyi włosko-szwajcarskich awanturników, których królem nazwać można Casanowę a którzy pod najrozmaitszemi postaciami, w roli chiromantów, artystów, wojskowych, dyplomatów, zalewali północną Europę i szukali kariery na jej dworach. Bohater powieści Kraszewskiego, rekrutuje się z pośród owego zastępu oscyllującego wiecznie między świetną karierą i aresztowaniem. Jest nim kawaler de Simonis, wyprawiony najprzód w roli tajnego agenta Fryderykowego do Drezna, nie mogący następnie w podobnym charakterze wytiwać i przechodzący w Dreznie pod wpływem nowego otoczenia, pośród jakiego się znajduje, na agenta szpiegującego Prusaków w interesie saskim. Król i Brühl znikają ze sceny z chwilą inwazy pruskiej, z chwilą zajęcia stolicy saskiej przez Fryderyka, który, by się dostać do tajemnic archiwum saskiego, królowę gwałtem swym żołnierzom od skrzyń jego odrywać każe, który mszcząc się na Brühlu, tłucze własnym kijem zwierciadła w jego pałacu a sam pałac wraz z ruchomościami na zniszczenie wydaje. Zostaje na miejscu Królowa, wynosząca z podobnych zajęć i upokorzeń żaród śmierci, której w rok później ulega, pozostaje Brühlowa, która znajduje upodobanie w sobie Simonisa, wahającego się znów sercowo między nią a hrabianką Nostitz, jak się waha politycznie między Prusakami a Sasami. Rodzajem opiekunkiej Opatrznosci znajdujacego się ciągle w sąsiedztwie stryczka Włocha czy Szwaj-

cara, staje się młody Polak Masłowski, oddany przez surowego ojca do Dreżna na naukę „dobrych manier“ i w celu dokończenia „edukacji.“ Jak już zauważyliśmy wyżej, jest Masłowski rodzajem Porthosa z *Trzech Muszkieterów* Dumasowych, osobistością poczciwego serca, wielkiej odwagi, silnej ręki, nieszczególnie daleko sięgającej, ale praktycznej głowy. Poczciwy Masłowski chroni i przechowuje Simonisa, ile razy wśród rozpanoszenia się Prusaków w Dreżnie, zemsta ich ma go doścignąć, chroni i przechowuje szczęśliwie. Nie dość na tem, poświęca się Masłowski (co nie całkiem nie historycznym, bo opowiadanie dukumentowe hrabiego Vitzthuma von Eckstädt wskazuje nam imiona Polaków, używanych do podobnych misji) w interesie i z polecenia królowej na niebezpieczną wyprawę wskróś otaczających straży pruskich do przebywającego na Königsteinie króla Augusta. Schwyciony a ocalały cudem jakoby tylko od śmierci, wraca do Dreżna, by odebrać podziękowanie nasamprzód, by uzyskać później, dużo później, już po ukończeniu burzy siedmioletniej wojny, rękę gorliwej zwolenniczki i agentki domu saskiego, hrabianki Nostitz. Simonis mimo wszelkich niebezpieczeństw, kłopotów i ciężkich przepraw, wypływa także ostatecznie z końcem wojny na suchy brzeg, by w spokoju i wygodach dobrego bytu przypominać sobie nie bez uczucia zgrozy chwile minionych szczęśliwie niebezpieczeństw. Otóż zestawiona, o ile możności jak najkrócej, treść tego opowiadania historycznego, jak je autor nazywa,—opowiadania, które również, jak poprzedzające, sięga śmiało w wysokie sfery ówczesnej wojny i polityki, zachowując przecież dla tego nie mniej szczęśliwy i prawdziwy pędzel dla niższych, dla owego ogółu, na którego ciele, jako *in anima vili*, eksperymeta owę wielką polityki i wojny się odbywają.... Światło ciem między cyniczną i skeptyczną, ale matematycznie środki swe obliczającą i praktycznie do celu sterującą osobistością Fryderyka a owym optymizmem augustowo-brühlowym, który niebezpieczeństwa do ostatniej chwili widzieć nie chce i nieprzyjaciela lekceważy, jest mistrzowsko uchwycony; występujące na tle jego osobistości z uderzającą scharakteryzowane są prawdą. Równie prawdziwym, by zejść jeden szczebel niżej, jest obraz ówczesnej społeczności saskiej, jej stosunku i postawy do wojennej burzy, która ją tak nagle, tak niespodzianie zachwyciła, by wywołać zbiorowe przekleństwo przeciw rządowi Brühla, by

krajowi i jego stolicy pozostawić straszliwą ruinę, wyludnienie i materialne zniszczenie. Brühl z królem Augustem opuścili Saxonię, by przenieść pierwszy swoje intrygi, spekulacje i sztuki gry ambitnej, drugi swe wygody, swe nawiązywania, swe zabawy, swe polowania i strzelaniny spędzanych pod okna psów, do Polski... Autor towarzyszy mu tutaj i skreśla w *Staroście Warszawskim* jakoby dalszy ciąg swego Brühla, ale już na ziemi polskiej. Czasem akcyi powieściowej są ostatnie lata panowania Augusta III, bohaterem jej Alojzy Brühl, syn lepszy od ojca, starosta warszawski, późniejszy generał artylerji Rzeczypospolitej, który do przybranej ojczyzny szczerze był przywiązany, a któremu okoliczności tylko zewnętrzne, intrygi, niechęci i zazdrości wewnętrzne, nie pozwoliły odwzajemnić się jej za udzielone w hojnej mierze tytuły, godności i parentele, wynagrodzić złe, jakim ją obdarzył ojciec. Rzecz rozpoczyna się faktem monstrualnej intrygi i monstrualnego nadużycia, podobnych i wykonanych chyba tylko w Polsce Brühla i Augusta III, w ową Polskę, scharakteryzowaną tak przerażająco w *Pamiętnikach* Kitowicza i Matuszewicza, w ową Polskę, w której, *proh pudor!* za pieniądze wszystkiego dostać było można a w której Brühl, drogą fałszerstwa i przekupstwa został szlachcicem polskim na Ocieszynie. Brühl, pracujący nad wyniesieniem siebie i swego rodu w Polskę, jak to już był uczynił w Saksonii, robi starostą warszawskim za pomocą najrozmaitszych sztuk i intryg dwunastoletniego syna, Alojzego, wprowadza go uroczyście na gród Warszawski, wyprawia ucztę, wśród której wiwaty i spełnione kielichy głośną głosem odzywającego się tu i owdzie opozycyjnego sumienia. Młodzieńcki starosta, poświęcający się przez posłuszeństwo synowskie widokom i rozkazom ojca, przyjmujący z rezygnacją starostwo Warszawskie, jak później rękę niekochającej i nie kochanej przezeń córki dumnego króla Rusi, wojewody Franciszka Salcego Potockiego, poczuwa się przecież do tyła dumy i do tyła uczucia moralnego, aby pracą, której towarzyszą niepospolite zdolności, *zasłużyć* sobie na stanowisko, jakie mu się w przybranej ojczyźnie bez zasługi dostaje. Pracą tą tedy i dobrą wolą widzimy go zrehabilitowanym, jeżeli tak wolno powiedzieć, na owym stanowisku generała artylerji, jakie mu się w Rzeczypospolitej dostaje. Nieczysta dzięki intrygom ojcowskim geneza jego kariery zostaje zatartą i uzaczną wła-

sną zasługą. Stanowisko generała artylerii, związek z rodziną Potockich, wprowadzają bohatera powieści na polityczną wyżynę, z którejby się dało spoglądać na bieg współczesnej wielkiej polityki polskiej, rozpatrzyć w szczegółach ówczesnej walki między *familią* a *dworem*, okazać na scenie postacie bohaterów i wodzów tej często krwawej rywalizacji. Autor trzyma się jednakże w przeprowadzeniu swęj powieści innej drogi. Z wyjątkiem sceny sejmowej, wśród której, po obustronnych przygotowaniach do krwawego zatargu, występuje stolnik litewski z namiętną inwektywą przeciw Brühlowi, a której rezultatem pozabawienie Alojzego godności i urzędów Rzeczypospolitej; z wyjątkiem dalej przedstawienia czytelnikowi magnackiego dworu, związanego ze stronnictwem królewskiem wojewody Potockiego; z wyjątkiem wreszcie misji młodego Brühla na Węgry do bawiacego tamże, jako wychodźcy wskutek zwycięstwa rodziny, z rodziną, stronnikami i żołnierzem domowym Radziwiłła Panie Kochanku,—nie widzimy w *Staroście Warszawskim* wielkiej widowni politycznej, ani bohatera powieści w stosunkach czy w zapasach z głównymi jej postaciami. Przeciwnie, schodzi raczej opowiadanie jego z wyżyny powieści historyczno-politycznej na stanowisko powieści historyczno-obeyczajowej, obraca się w sferze drobnej, sejmikującej lub dworującej szlachty, zstępuje na poziom podwójnego romansu z jednej strony między młodym Brühlem a dawną jego miłością panią Solłohubową, z drugiej między panią Brühlową, córą rodu Potockich, z młodym dworzaninem jej męża, Tadeuszem Godziemką. „*Honny soit qui mal y pense*“ zresztą w obu tych stosunkach miłosnych, które wplecione epizodycznie w obraz powieści historycznej, zajmują w niej nieco może za obszerne miejsce i przeistaczają, jak już zauważyliśmy wyżej, powieść zakroju historycznego, na powieść obyczajową XVIII wieku. Stosunek kochanków w obu tych miłościach jest czysty i niewinny. U Godziemby kończy się rezygnacją; u Brühla i Solłohubowej,—po zgonie małżonki pierwszego, męża drugiej, połączeniem małżeńskim przy sposobności przypadkowego spotkania w Wenecyi... Historyczne tło i w tej powieści zachowane jak najwierniej; co jednakże rzeczą widoczną i na co raz jeszcze kładziemy przycisk, nie pozostaje sobie charakter powieści wiernym do końca, ułatwiając się jakoby z podstawy dziejowo—politycznej w odmienną sferę obrazu obyczajowego z przeszłości.

Ostatnim dotychczas owego cyklu powieści historycznych z epoki saskiej ntworem jest *Skrypt Flemminga*. Tutaj wraca autor znów w epokę Augusta II, mianowicie w ową późniejszą jego panowania epokę po traktacie Warszawskim z roku 1717, kiedy szereg broni ustal, wojna czyto ze Szwedem, czy malkontentami polskimi ustala, a rozpoczęła się owa gra intryg, która prócz krótkiej przerwy bezkrólewia z roku 1733 i powtórnej elekcji Stanisława Leszczyńskiego, miała wypełnić i zapełnić dzieje obu Sasów aż do ostatniego dnia ich rządów w Polsce.

Przedmiotem opowiadania autora jest owa chwila rozdrażnienia narodowego wskutek wystawionego za naprawę królewską skryptu obu hetmanów, w którym się zrzekli władzy naczelniej nad żołnierzem Rzeczypospolitej obcego autoramentu na rzecz Flemminga. Nawiasowo powiedziawszy, jest to jedna chwila i jedyny w ciągu długich Augustowych rządów fakt, w którym wyjątkowo należy ze stanowiska dobra i interesu narodowego przyznać słusność królowi przeciw szlacheckiemu narodowi. August chciał się naówczas w interesie własnej ambicji wyemancypować z pod ciężarów mu coraz bardziej przewagi sąsiednich mocarstw. Nie czego innego naturalnie wymagał interes polityczny Rzeczypospolitej. Przypadkiem tedy zszedł się interes Polski ze spekulacją Augusta. August zamierzył czynnikiem owęj emancypacji na wewnątrz uczynić wojsko Rzeczypospolitej obcego autoramentu i usunął je w tym celu, by je mieć pod bezpośrednią swoją dyspozycją, z pod komendy hetmanów. Na zewnątrz miał być owęj emancypacji środkiem alians między Polską, Saksonią, Anglią, Hanowerem i Austrią. Reprezentanci sąsiednich Polsce mocarstw zważywszy podobną kombinacją i podobny zamiar królewski, rozwinęli intrygę, użyli pieniędzy, podniósł się na sejmach z roku 1718 i 1719 krzyk szlachecki przeciw komendzie Flemminga, plan Augusta spełził na nieczem. Obrawszy sobie za przedmiot polobną chwilę dziejów Augusta II, czy nie należało może nie mnić w interesie smutnej prawdy historycznej, jak dla dania świadectwa podkopanej naówczas obyczajowości polskiej, położyć przycisk na tego rodzaju wielce charakterystyczną rzeczywistość? — Autor postępuje, przyznajemy, bez nadwężenia prawdy filizonomii epoki, odmienną znów metodą, skreśla obraz dworu i społeczeństwa drezdeńskiego z Flemmingami, z Przebendowskimi na czele, starającymi się uciszyć zer-

wana z powodu odebranej hetmanom komendy burzę, szlachtę na Litwie przedewszystkiem, w stolicy jej Wilnie, gardlującą na zebraniach prywatnych i publicznych przeciw panowaniu absolutnemu króla i komendzie znienawidzonego Flemminga. Maślowski, Godzięba czy Zakliką, z przeszłych powieści, jest w *Skrypcie Flemminga* pan Serwacy Przebendowski, potulny na pozór i cichy, namiętny i wrzący w gruncie serca i duszy przeciw saskim zamiarom sługa i daleki krewny domu podskarbiego koronnego tegoż samego nazwiska. Wśród podobnych stosunków i podobnego zakroju wychodzi *Skrypt Flemminga* również więcej na wspaniałą prawdę i życiem występujących w nim czynników obraz obyczajowy drugiej połowy epoki Augustowej, aniżeli jest właściwie powieścią historyczną, któraby w formie artystycznej przedstawiała szerszej publiczności wielkie i stanowcze narodowego życia momenta, które sobie wzięła za przedmiot. Pod koniec wszakże powieści odsłania się wielka widownia dworska, w Warszawie, by ukazać na swém tle zorzę nowo-wschodzącego słońca, ową Annę Orzelską, kochankę — córkę starego Sybaryty na tronie naszym, ową świetną i błyszczącą amazonkę jego rewii Warszawskich z lat 1730, 1731 i 1732, bohaterkę coroczną uczt 26 Lipca, przedmiot zabiegów i komplementów tak zagranicznej dyplomacyi, jak panów polskich. —

Na tym ostatnim utworze kończymy nasz pobieżny przegląd cyklu historycznych powieści Kraszewskiego z epoki saskiej. Analiza ich dowodzi, że grunt *polski* dotknięty w nich dotąd zdaleka i zlekka tylko. Przeważnie są ich przedmiotem i widownią Saksonia, osobistości historyczne i stosunki saskie, *Starosta Warszawski*

tylko i *Skrypt Flemminga*, pierwszy z epoki ostatnich lat Augusta III-go i początków Stanisława Augusta, drugi z ostatnich lat Augusta II-go, przekraczają granicę polską, toczą się połowicznie przynajmniej na ziemi polskiej. Dla znakomitego pisarza, który powieścią historyczną zamierza ogarnąć *cały* obszar dziejów *polskich*, stanowi tedy smutna i czarna epoka Sasów *w Polsce* niekniętą prawie dotąd jeszcze niwę. Niema w tém dla literatury i dla społeczności naszej, jak sobie tuszymy, żadnej szkody. Artystycznie wzięwszy, pozostaną powieści Kraszewskiego z epoki saskiej znakomitemi utworami, które nas choć na obcym gruncie obznajomiły dokładnie z charakterem czasu i osobistościami występującymi na pierwszym planie. Historycznie zaś, spodziewajmy się, że niezmordowany pisarz, który ogromne swe zadanie spowieściowania całej przeszłości polskiej, posuwa naprzód z tak zadziwiającą szybkością, będzie miał jeszcze dość czasu, by w wielkim swém przedsięwzięciu osiągnąć epoki saskiej, opracować ją na gruncie *polskim*, pochwycić zmysłem badawczo-intuicyjnym co wybitniejsze, co charakterystyczniejsze jej ustępy i chwile, stworzyć ku nauce społeczności naszej, wyręczając, jak powiedzieliśmy na wstępie niniejszego naszego rozbioru, powieścią suchy i nieprzystępny każdemu wykład dziejowy, — obraz każdej epoki, równie doskonały artystycznie, ile pouczający prawdą historyczno-politycznego oblicza narodowego. Wdzięczna za to, co jej na tém polu znakomity pisarz już stworzył, spodziewa się i oczekuje, że dalszemi utworami swęj powieściowopisarskiej działalności spopularyzuje znajomość téj równie ważnej, jak smutnej epoki, którą tak mało znamy z jej prawdziwej, rzeczywistej strony.

Kazimierz Jarochoński.

V.

Czasy Stanisława Augusta w powieściach J. I. Kraszewskiego.

(Maleparta, 1814. Dyabeł, 1855. Staropolska miłość, 1859. Doła i niedoła, 1864. Papiery po Glince, 1872. Macocha, 1873. Boża opieka, 1873. Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie kochanku), 1876. Kawał literata, 1876. Syn marnotrawny, 1878.)

Dwa były, powiada Kraszewski (*Maleparta*), za Stanisława Augusta narody w narodzie. Jeden z ślepą zapamiętałością nie nad szczęście obecne nie widział; drugi głosem proroczym wołał na nową Niniwę: nad głową twoją zniszczenie! Pierwszy ów naród składał się z dworu i większości królewskiego otoczenia, takiegoż procentu magnatów, wszystkich pięknych kobiet i wszystkich miejskiej młodzieży,—szlachta zaś, starzy, co wiek cały postrzegali chyłącą się rzeczpospolitą do upadku, zimniejsi lub baczniejsi, którym życie samolubne nie zawracało już głowy,—ową drugą tworzyli już grupę. Gdy ci wołali: giniemy!—tancerze toneli w orgii; „usłyszawszy wypadkiem surowy głos proroków,—szydzili z niego i śmiali się.“

One dwa światy w cyklu powieści, na tle epoki stanisławowskiej osnutych, dla antytezy mniej lub więcej wydatnie rysują się zawsze. Przyjrzyjmy się orgii i surowym prorokom, a najprzód okażmy poglądy autora na genezę i naturę tego „narodu“, który z ślepą zapamiętałością nie nad szczęście obecne nie widział, dla którego zagładą grozący głos lepiej przewidujących, surowych starców był głosem wołającego na puszczy.

Fakt orgii objaśnia Kraszewski historycznym pewnikiem, że „jest coś w naturze ludzkiej niepojętego, pędzącego do szalu i rozrywki w przededniu zgonu“ (*Macocha*); „wiek ośmnasty, w którym runął świat stary,—tańczył, we krwi strumieniach czer-

wone korki trzewików farbując.“ I w Polsce waliły się światy... rozpasanie nasze w owych czasach nieszczęsnych było „niepojętym“ wprawdzie, lecz w naturze ludzkiej leżącym objawem zgonu.

Przyczyną złego była „przywoźna mądrość francuzka“ (*Maleparta*), którą w „szale nierozważnym“ chwytało, upajano się nią i i „z zawróconą głową skakano na gruzach potłuczonej przeszłości.“ Zapomniawszy o starych podaniach, na których się kraj wspierał i domy,—rwano się do naśladowania obczyzny, nie rozumiejąc jej i nie zastanawiając się nad tem, czy dobre, co nowe, czy potrzebne; wszystko, dość aby nowe było, chwytało łapczywie. W początkach sądzono, że idee przywożne „prześlisną się po powierzchni, jak modna narzutka, nakrywając strój staroświecki,“ tymczasem widocznem było, że obok nich „nie się ostać nie mogło całém“ (*Kawał literata*). I to nawet, co gdzieindziej, jako ściśle spojęne z całością, dobrém być mogło,—u nas, przesadzone na inną ziemię i do naszych obyczajów przycepięte nietrafnie, stało się zgubnem (*Staropolska miłość*). Życie cudzoziemskiego kraju, gdyby wrzód na karku, siedziało krajowi, nie mu prócz pogardy nie dając; wychowanie ówczesne tylko europejski brad, czezość i lichotę wszczepiało, nie nie przynosząc dobrego (*Doła i niedoła*). „Nie przewidywano następstw koniecznych: z nieublaganą loiką rzucone nasiona myśli rozwijały się w groźne skutki, owładwały całém społeczeństwem, groziły obaleniem istnie-

jącego porządku...“ Spozrzeglwszy, do czego doprowadziły przez Voltaire'a, Rousseau, Diderota, d'Alamberta wygłaszane zasady, najżarliwsi ich wielbiciele z przerażeniem w końcu poczęli się cofać.

Naturę idei francuzkich z ośmnastego wieku, i sposób, w jaki się one na polskim szepczyły gruncie, przedstawia nam Labe Poinot (*Dyabel*), który podejrzany o jakąś zbrodnią, musiał z ojczyzny swojej uciekać i, zabłądziwszy do Polski, został wychowawcą syna bogatęj szlachcianki. „Dobitnie i silnie“ przedstawiał wiek ośmasty, a wykształcenie naukowe posiadał duże. Po trosze umiał on wszystko, przedewszystkiem ogólne zarysy nauk pochwycił. Przy pomocy książek na zawołanie był astronomem, matematykiem, historykiem, latinistą, hellenistą, numizmatykiem, archeologiem, botanikiem, mineralogiem;—oprócz tego śpiewał, grał na klawicymbale, malował nieźle guaszem, wykrawał sylwetki, bazgrał dekoracye, w potrzebie dyrygował orkiestrą, a w teatrze amatorskim odgrywał role. Był to omnibus,—nie zgłębił jednak gruntownie niczego. Czytanie dzieł filozoficznych „pomąciło mu zdrowsze wyobrażenia, zacerpnięte w pierwiastkowym wychowaniu religijném;“ chociaż nosił dla jakiegoś przyzwyczajenia i ceremonii suknię duchowną — był jednak zapalonym zwolennikiem encyklopedystów, dawno już nie miał wiary i szczególniejszym materyalizmem nasiąknął. Dla formy tylko mówił o istności najwyższej, nigdy nie wspominał o Bogu, z obrzędów religijnych dowcipnie szydził, „czerpiąc krytykę i koncepta z dykeyonarza Voltaire'a,“ który mu za nieprzebraną służył skarbnicę. Szal prozelityzmu do tego stopnia posuwał, że żadnej nie pomijał zręczności i nawet obcym prezentował swoje poglądy.

Mistrz taki wprost od religijnęj, pobożnej i „duchem chrześcijańskim przejętęj“ babki wziął w swe ręce chłopaczka. Z początku niemógł z nim sobie dać rady; znalazł go prowadzonym po barbarzyńsku, mnóstwo w umyśle jego znachodził chorobliwych narośli i dzikich przesądów. Uczeń pomiędzy mistrzem stanąwszy a babką, nie wiedział, co począć: dwa przeciwne wpływy ogarnęły umysł dziecięcy. Z jednej strony do fanatyzmu prawie, a raczej do ascetyzmu posunięta głęboka wiara z całym apparatusem praktyk, „surowa czasem do zbytku,“—z drugiej strony burzliwy duch wieku, który „niszczył i wywracał, nie patrząc, gdzie się zatrzyma; co bojąc się, aby nie-uwierzyć zanadto, — wołał wszelką wiarę odrzucić.“ Dwa tak sprzeczne działania za-

chwiała umysłem gietkim, a jedno z nich pozyskać musiało w końcu przewagę. Wprawdzie pozostał w głębi „pierwszy odcisk młodości,“ odzywał się w młodym człowieku „głos jakiś wewnętrzny;“ — pomimo tego Poinot uczynił pupila, czém sam był na małą skalę,—„uniwersalnym a płytkim polihistorem“ go zrobił. Przebiegłszy z nim pędem cały kurs nauk i przeczytawszy cenniejsze dzieła, w które się wcielił duch czasu,—resztę dowcipnemi rozmowami dopełnił. Otwarcie zaś opowiadał o dworze Ludwika XV i czasach regencyi, rzadko kiedy niezaczepiał o jakie zgorzsenie lub wypadek, dający do myślenia głęboko,—w wykładach historii podzegał namiętności, „koniecznością charakteru, temperamentu lub losu wszystko zło“ usprawiedliwić potrafił, — pracę i obowiązek i poświęcenie nazywał przysądem. I uczeń uwierzył, jako cechą najwyższej mądrości jest w nie nie wierzyć, czego sprawdzić nie można; najpierwszym obowiązkiem zdawało mu się być szczęśliwym, największą pracą — trochę się przez grzeczność pomudzić, o poświęceniach zaś myślał, że nie spełniać, lecz je przyjmować tylko należy. Wyobrażał sobie życie „nie po staropolsku, ale z francuzka,“ jako morze rozkoszy i szalów; galeria obrazów przyszłości jego składała się z samych scen miłości i zbytku, z jej ram złożonych uśmiechało mu się tysiące twarzycek, — myśl o obowiązkach i pracy jak naprzykrzonego odpędzał komara. O czasach współczesnych rozumienie miał dobre: świat, mawiał, porozumniał i wyrósł; po długim barbarzyństwie znosi się teraz na porządek lepszy i nowy.

Z takimi zasadami przybywał młodzieniec do Warszawy i wchodził w świat wielki, któremu przodował Stanisław August. Kraszewski nie wyrobił sobie o tym monarsze stanowczęj opinii od razu, musiny przeto postać Poniatowskiego odtwarzać w zmienném świetle różnemi czasy wypowiedzianych poglądów.

W pierwszćj powieści (*Maleparta*) Stanisław August jest królem przepelniającęj Warszawę orgii: zajmuje jednak bardzićj pozycyą bierną, niż demoralizująco-zaczepną. Młodego a przystojnego monarchę po prostu napastują kobiety; że Stanisław August nadobne panie przyjmował serdecznie, więc go opanowały bezwstydnie, szkaradnie! Już w dniu koronacyi nie jeden uśmiech zalotny go wabił; w następującyeh po nićj zabawach niektóre z niewiast, straciwszy ciepłiwość i skromność, ku Poniatowskiemu szły same, ledwo nie głośnie wołając: choć

dzień jeden niech będę królową! I było ukoronowanych mnóstwo: król sprawiedliwy podawał rękę ^{do} kolei wszystkim, kładł równocześnie ^{na} ~~dyabeł~~ ^{dyabeł} na pochylone przed sobą głowy, uśmiechał się na prawo i w lewo, a gdy serce było zajęte, — odkładał na jutro. „W takim życiu dziwność, że zapominał o koronie i berle, a pamiętał tylko o sobie?“

Powyższa zbyt ogólna zresztą charakterystyka, odnosząca się do pierwszych lat zasiadania Poniatowskiego na tronie, w późniejszych powieściach niepospolitą ulega zmianie. Znać to w drugiej chronologicznie powieści (*Dyabeł*), przedstawiającej nam króla podczas podróży kaniowskiej i w epoce wielkiego sejmu.

Nie jest to ów młody, zalotny i wesół, o miłośkach, sztuce i poezyi marzący tylko ex-stolnik, którego niegdyż małżonkowie z pedzlem w rękę, koronacyjną malującego liberyą; nie jest to ów wielbiciel piękności, nie amator-artysta, nie literat-poeta, ale dojrzwały mężczyzna z obliczem napiętnowanym boleścią. Piękną i wspaniałą postawą, o twarzy arystokratycznej i rysach szlacheckich, dobroćliwości pełnych, — powierzchownością swoją zdradzał aż nadto charakter miękki i duchową, na obliczu odbitą żalobę. Znać w nim było człowieka, który, nie będąc stworzonym do walki, — walczył, bo musiał; cierpiał, nieumiejąc znośić boleści i milczał, choć usta pragnęły przemówić szczerze. Coraz częściej widywano go chmurnym, czasem samotnego ze łąką w oku, a któż policzy tajemne westchnienia tej duszy słabej, która nigdy nie potrafiła się zdobyć na mężstwo. Słabość, zużycie, brak wszelkiej wiary, były głównymi jego grzechami, które wychowanie i okoliczności do prawdziwie królewskich rozwinęły rozmiarów. Nie wierzył w przyszłość i żył z dnia na dzień, z bojaźnią oczekując czarniej zaslony, zapadającej na ostatnie akta tego dramatu, w którym naczelną odgrywał rolę. Zużyty przedwcześnie na umyśle, sercu i ciele, zimno jakoś, litośnie, czasem szyersko, patrzył na ludzi, nie pozbawionych resztek zapалу. Zrywającemu kwiaty, by je, gdy zwiedną, porzucić, już i miłość w piersiach zastygła; lubiał jeszcze kobiety, ale kochać nie umiał — krótkochwili w nich szukał, nie serca, zajmowała go zarówno starościna opecka i Czajka żydówka, jakaś kasztelanowa i pani Lhuillier; wojewodzicowa mściławska, piękna Elja, młynareczka i tyle innych. W zobojętnieniu potrzebował rozrywki, szumu, gwaru, więc się w poufałym pożyciu otaczał lu-

dzmi wartości moralnej nie wielkiej, — dowcipniami i pochlebami, którzy na rozkazy potrafili śmiać się i szaleć i znów na rozkaz uciłnąć. Wstydząc się ran duszy, stał przed ludźmi dowcipny i wesół z rzadkim talentem niedopuszczania roznowy poza pewne granice, z umiejętnością mówienia tego tylko, co chciał powiedzieć. Czynił jednak wszystko na zimno i z musu; — nie go prawdziwie wzruszyć, rozdrażnić, rozgniewać nawet nie mogło; Ryks był jedynym człowiekiem, na którego się czasem znecierpliwił do złości, którego nawet niekiedy poszturchiwał. Usta, choć wiała z nich pustka, kłamały formami uczuć, których brak zakrywało pochlebstwo; grzeczność i szczebiotliwa galanteria francuza zastępowały zgasły sentyment. Odgrywały na duchu, nie potrafił się zdobyć na odpacer; jedynym upustem boleści była modlitwa. U łoża w tajemnej komnacie klękał często ze złożonymi rękami, lzy lejąc. Zobojętniały i bez własnych przekonań, pomiędzy różnemi stronnictwami politycznemi się taczal: ku Branickiemu pociągała go dawna z tym panem zażyłość, — ostatek serca i szlachetności ku reformatorem go ciągnął. Nie mógł być obojętnym dla usiłowań na bezinteresownej miłości kraju opartych, którym opinia publiczna dawała poklask; ale popęd szlachezny trwał chwilę tylko, — pajęczą nitkę zerwało zwątpienie i znów ku hetmanowi powracał. „Szczerze powiadam, ja nie dobrego nie przewiduję. Niektórzy chcą dobrze, ale nie wiedzą, co począć; inni bezmyślnie krzyczą, reszta za stosunkami idzie, przyjaźnią i interesem. Wszystko to, daj Boże, by z dymem, a nie ze krwią poszło... Kiedy człowiek umiera, próżno myśleć, żeby mu bolący żal wyrwać, a przytem kraju nie przerabia się od fundamentu jednego dnia na zawołanie, — to darmo. Mnie nikt nie wszczepi nadziei, choćbym może za nią życie sakryfikował z ochotą.“

W zwątpieniu szuka rozrywek. W wigilię sejmu z Norblinem i Bacciarellim przegląda rysunki i maluje nową liberyą; najważniejsze sprawy usuwa na później; senatorom posłuchania nie daje, obecnych pragnie się pozbyć co prędzej, pilno mu bowiem widzieć świeżo oznajmionego artystę. Zagrożona Rada Nieustająca, projekty względem armii i alians pruski, popierany gorąco, a dla króla nieznaczny, — nie nie było wstanie z dziwnej otygłowości Stanisława Augusta wydobyć, nie pobudzało go nawet do wystąpienia we własnej obronie. Wśród takich okoliczności bawił się

jeżeli e. w zadanie nie wierząc środki: siedzi ku przyszłości, w którą nie ufał, jak się rzadzie w ciemnościach nad przepaść. Sztych przysiany przez Albertrandiego, obraz nabity za granicą przez jakiegoś agenta, przywieziony z Rzymu marmury, nowa robótka Baccarelli'ego, jakiś plan Zugh'a, przez dostarczycielkę wdzięków odkryta świeża twarzyczka, na obiadach czwartkowych wierszyki, kadzidło i doweip: w gabinecie rozmowa lub pędzel,—wszystko to stanowiło rozrywkę, jeżeli nie zapomnienie o wszystkim, to przynajmniej mogącą roztargnienie wywołać. Ze wszystkich zamarych uczuć pozostały mu dwa tylko: sympatya dla francuszczyzny i próżność. W podróży kaniowskią podejmowany gościnnie przez wielkoświatową gospozię, admirał jej pałac, że w nim nie polskiego nie było, że gdyby nie zima, zaglądnąca przez okno, sądziłby, że jest w salonie pani Geoffrin. „Nagdzie śladu barbarzyństwa naszego, naszych obyczajów, naszych nałogów i przesądów nie widzę; marzę, że jestem w Paryżu.“ Gdy mu się prezentował w Warszawie jakiś angielski baronet, przyjął go z zaletnością i, zaniebując innych, cały się zwrócił ku niemu: posądzal go o intencję opisu podróży, w którym bał się zająć miejsce pości dnie.

W czterech następnych powieściach (*Dola i niedola*), (*Mucocha*), (*Boża opieka*), (*Kawał literata*), wizerunek Stanisława Augusta z tych samych składa się rysów, chociaż niebrak i nowych, które fizyognomią zmieniają i szlachetniejszy nadają charakter.

Brak wiary do ludzi i świata wieje od niego zawsze; gra rolę—ile razy pogodniejszy na twarzy przybierze wyraz; ze zmęčeniem a myślą pośpina w obliczu—jest sobą. Na uczynioną uwagę, że serca wszystkich poddanych należą do niego, że przecież ma władzę,—łagodnym odpowiadał uśmiechem. Prócz sług moich, mawiał, nie rozkazuję nikomu; trafia się często, że nie ja im, lecz imnie oni zadysponować potrafią. „Panuję, to prawda, ale — słowo szlacheckie — nie wiem ja od Wpana silniejszy. Nie mam przyjaciół, otoczony jestem niechętnymi,—potężniejsi odemnie są wszyscy. Któż mi daje siłę i któż jest ze mną?—Kilku pocciwych ludzi, ale myślących nie tyle o kraju i o mnie, jak raczej o sobie.“ Na audyencyi przyrzeka mu szlacheckie życie złożyć w ofierze:—„formułę tę, odpowiadał Stanisław August, nieraz słyszałem od takich, którzy mnie później przy pierwszym niebezpieczeństwie mieli sumienie opuścić.“ W poświęcenia bez miłości i interesu nie wie-

rzył:—„niewdzięczność, powiedział jest w porządku spraw codziennych naszego życia.“ Ofiar nie żądał,—przekładał nad nie pocciwe słowo i rękę, na której by się mógł oprzeć w potrzebie; za uczynioną usługę żądał tylko pamięci. Dną jeszcze zachowywał wrażliwość, chociaż wybuchał hamować umiał. Gdy mu stariej daty szlachcina oświadczył, jako ze zniewieściałych pół-francuzów, pół-niemców pociechy nie będzie, — Stanisław August pobladł, popatrzał i wargi zaczął; ramionami poruszał, gdy mu tenże weredyk prawil o obyczajach, wierze i życiu pradziadów (*Dola i niedola*). O oświecie rodzinnej rozumiał niewiele. Gdy z inicjatywy prywatnej kusono się grać teatr w języku polskim, z niedowierzaniem patrzył na te wysiłki, bo „pisarzy, powiadał, nie mamy, artystów by brakło,“ a zresztą powstaje teatr przy błogim spokoju razem z innemi sztukami, z potrzeby i cywilizacyi; a nie na rozkaz lub prośbę (*Mucocha*).

W stosunkach towarzyskich był Stanisław August najdoskonalszym gentlemanem swojego wieku. W wykwiśniętym wystrojony fryzurę, białe swe ręce w koronkowych mankietach z pewną pretensją wyciągał; przy twarzy uśmiechniętej, na czole czuło tylko było ledwo rozwianą chmurę (*Boża opieka*). Publicznie zawsze się w tym miłym okazywał humorze, który stanowił jedną z cech jego charakteru; w najkrytyczniejszej nawet chwili potrafił się złożyć na uśmiech (*Mucocha*). Systematycznie jednakowo dla wszystkich uprzejmy i grzeczny, nie znał uczucia zemsty; nie umiał nikomu dokuczyć, nie lubiał nawet, gdy się inni kosztem cudzym bawili. Gdy z kogo strojono żarty, robił twarz smutną; „nie męczcie go więcej, dajcie mu pokój,“ błagał towarzysztwo, do rozpuku się bawiące naiwnością pseudo-poety, którego książkę ex-podkomorzy prezentował na dworze (*Kawał literata*). Najzawziętszemu nieprzyjacielowi nie potrafił uchybić,—w ostateczności delikatnego tylko używał sarkazmu. Gdy mu się przypominał hołdysz, piękne noszący nazwisko, — „imię i twarz Wpana, mówił, są mi dobrze pamiętne, szczególnie dla zasług w ojczyźnie czci godnego rodzica“ (*Boża opieka*). Dla cudzego cierpienia politowanie uczuwał; do zakłopotania łatwy, wśród kwestyi drażliwej udawał zdziwienie; niezdecydowany mediator, rad był pogodzić, a nie rozstrzygać; nalegany, przyrzekał wszystko; a zniecierpliwiony prośbami dawał nawet słowo królewskie, o którym rychło umiał zapomnieć (*Dola i niedola*). Dla rozrywki z gra-

ęją podstarzalego adonisa do urodziwych kobiet zbliżał się chętnie; jak „sultan w seraju, wdzieczył się do podbitych piękności;“ w każdej z usmiechniętych do niego twarzy znajdował wspomnienie. W swe ręce miękkie a blade brał rączką pań pięknych i całował je czule: „pani jesteś jak Minerva, jak Juno... w serduszkę swoją zachowaj dla mnie kącik przytulku.“ „W. K. Mość, odpowiedziała mu na to kasztelanowa, tyle masz podobnych schronień w sercach poddane, że ten kącik stałby pustkami.“ W tych razach grał rolę; skoro się ujrzał samotnym,—zamyślenie i znużenie wracało.

Chociaż to ten sam słaby Stanisław August, jakiego przedstawił autor w drugim z kolei utworze,—jednakże obecny przedstawia się korzystniej. Tamten zużyty i bezwładny obudza jedynie litość; ten zaś posiada pewne cechy zawodami rączej, niż zużyciem starganej duszy spowodzone i jedyną pomocą współczucie. Na zmianę wrażenia wpływa najprzód ta okoliczność, że autor przedstawia w charakterze królewskim pewne strony poprzednio nieknięte; powtórę, że pozostawia mu jeszcze pewną wrażliwość, świadomość i odczuwanie warunków, w jakich zostawał. Że Kraszewski oświecił zaćmioną pierwotnie fizyognomią Stanisława Augusta, dowodzi rys jeden, który w drugim wizerunku z całością dziwną stanowiłby sprzeczność, w obecnym zaś razie nie może.—Poniatowski umie się jeszcze zdobyć czasem na pewną stanowczość. Chociaż rzeczono wyżej, że zniecierpliwiony prośbami, nęgał i dawał nawet królewskie słowo,—jednakże potrafi niekiedy zażyć energii. „lune mam obowiązki, jako człowiek, większe, jako panujący. Tam, gdzie pierwsze z drugimi się godzą,—przyrzeczeniem wiąże się chętnie, gdym niepewien—mam za правило postępowanie moje zostawić przyszłości“ (*Dola i niedola*). Automatyczny, szukający jedynie rozrywek poprzednio, ożywiający się tylko w stosunkach z Ryksem,—obecnie dużą posiada wrażliwość i nie małą rozwija czynność. Na Powązkach podczas polskiego przedstawienia Polyeukta, potrafił się unieść,—choć i tu się miarkuje, gdy z szacunku dla sztuki, żeby jednego nie stracić wyrazu, nie klaskał, pomimo tego, że pragnął (*Macocha*). W dobie czteroletniego sejmku, gdy powódz piasek zalewała kraj cały, król niemal wszystko przerzucał, lub kazał sobie zdawać z nich sprawę (*Kawał literatu*). Zresztą, nie odmawia autor Poniatowskiemu osobistych przymiotów wielu: przyznaje mu ta-

lenta, naukę i rozum; usilowaniom jego przypisuje dzwignięcie i ożywienie Warszawy, za Augusta III zaniedbaniej i głuchej (*Baśka opieka*).

Wielce niepoehlebay pierwotnie wizerunek Stanisława Augusta, pomiędzy rokiem 1864 i 1876 szlachetniejszego nabrał wyrazu, a w ostatniej powieści z r. 1878 (*Syn marnotrawny*) w rysunku i kolorycie radykalnemu niegł przekształceniu.

Podobnie jak w r. 1855 i w latach następnych, oglądamy znów króla z epoki wielkiego sejmku i widzimy człowieka prawie innego, ze słabo tylko zaakcentowaniem starém zwątpieniem i smutkiem. Z pod zwykłej uprzejmości i stereotypowej słodyczy, którą przybierał dla świata, jak maskę,—przegląda troska; cera wielkie zdradza znużenie. Chociaż zawsze dawniej gałanterji holdujący, przy rozstrzyganiu kwestji drażliwych stawał zwykle po stronie kobiet,—zdaje się jednak, że w moralności postęp pewien uczynił, powiernikiem bowiem był niebezpiecznym,—w razie grożącego honorowi rodziny niebezpieczeństwa, w stronę interesowanej umiał obadzić czujność. Gdy się młody Kościuszko z zamiarem porwania panny Sosnowskiej królowi zwiadzi, Stanisław August pospieszył o tém oświadczyć ojcu. Unosi się czasem i mityzuje natychmiast, porywczość zyczliwością tłumacząc. „Z urzędu mego po ojcowsku mówię i karzę, ale z miłością w sercu.“

Podczas sejmku niezmiernie był czynny, ciągle obradował z Ignacym Potockim, księdzem Piatolim, Kollatajem, Lucchesinim i Buchholz'em,—„tehać nie miał czasu.“ Jednego dnia musiał całą swą poliglotyczną umiętność okazać: z angikiem, francuzem, wlochem, rossyaninem, niemcem w ich rodowitym przemawiał języku. Chociaż okazywana wszystkim uprzejmość przychodziła mu łatwo, jednakże dotykając się tysięcy najróżnorodniejszych przedmiotów, a usilując oswojenie się z każdym okazać,—umysł się ważył i męczył. Podobnie jak języki,—nauki i najróżnorodniejsze przedmioty z encyklopedyczną łatwością przyswajał sobie o tyle, że mógł nie narazając się na śmieszność rozprawić o wszystkim. Z Poczobutem i Śniadeckim przypatrywał się zaćmieniu słońca z równem zajęciem, jak w fabryce tkanin, w kuźni żelaztu, w Kozienicach broni, w szkole doświadczenia fizycznego, wreszcie — jak i hałtom uczennic księżnej Jabłonowskiej. „Wszystko go interesowało: gramatyka Kopezyńskiego, kanał Ogińskiego, Bogusławskiego teatr, muzyka włoska i filozofia;—dytentyzm na-

ukowy i artystyczny posunięty dalej być nie mógł. Nieszczęście, że w polityce i sztuce militarniej Stanisław August dyktantem był również.

Na dworze Poniatowskiego nie było widać ani jednej twarzy, którąby powagę, wielkością, heroizmem, jaśniała na wyżynie okoliczności i czasów. Król, że w niczyje rady nie wierzył,—pochlebcomi się musiał otaczać; jak dla strawności codziennie po obiedzie używał śliwek, tak również potrzebował do życia i ludzi potulnych a łatwych. Nad nazwę pieczeniaryz, nie można lepszego miana dobrać dla dworu Stanisława Augusta (*Dyabel*). Ci, co tam świecieli, byli straszliwego i osobliwszego na dworaków tak światłego pana nieuctwa, ale za jednym mówila młodość i świeżość, za innym potulność i giętkość, za wieloma stunkami, inie i urodzenie. Takich postaci, jak: Jan i Igurey Potoccy, jak Kollataj i Czaci spotykało się mało (*Dola i niedola*).

Za typ przeciwnego dworaka służyć może generał Baucher (*Dyabel*). Używany przez możnych do spraw sejmikowych i trybunałskich, nie przypatrywał się temu z bliska, co robił; na słusność i następstwa nie patrzył; co kazano,—czynił na ślepo. Intrygować i hulasować potrafił dzielnie; szabli dobywał nieraz—po pijanemu, lub gdy przeciwnika nie było na placu. U możnych, a osobliwie u króla łaski miał wielkie, a zawdzięczał to swej łagodności, dowcipowi i tej gotowości, z jaką nie wdrygał się nigdy spełnić najdroższych poleceń.

W granice czelkiem był niezłym, jeżeli zdradzał przyjaciela, to z boleścią serca najwyższą; z własnej inicjatywy szkodzić nie lubiał nikomu, owszem wołał usłużyć,—choć przedewszystkiem ukochał siebie. Celem jego życia było życie, ale nie byle się włókło, bo wygodne, błyskotliwe, przepelnione hulanką i zbytkiem; dla tego też, że już nieco się zużył,—zazdrościł młodzieży dobrego żołądka i innych pożytecznych organów. Gorliwy w spełnianiu rozkazów, poświęcenia nigdy nie posuwał do głodu, pragnienia i anachoretyzmu; chociaż się sercem odznaczał najlepszym, na charakterze szwankował średnio. „Ani wiary, ani wyższego pojęcia godności i obowiązków“ w tym człowieku nie było; brzuch całemu żywotowi panował, za odrobinę rozkoszy szedłby do piekła, dla smacznie przyrządzonej potrawy gotów się był dopuścić maleńkiej podłości. W towarzystwie przyjemnym był wielec; do kart naumiejętność miał straszną, lecz ją miarkował bojaźnią. Acz podstarzały, czcicielem był czei pięknej, ożenienie

jednak sprzeciwiało się jego zasa—, nakładało bowiem obowiązki i pęta. Miłość uważał, jak obiad: za doskonałą, gdy gorąca i świeża, za niestrawną, skoro ostygła: ciegłe więc robił poszukiwania—dla drugich nawet, bo i pod tym względem był usłusnym na podziw. Dokładny życiorys jego dałby się ująć w cztero-wiersz: „prochu nie wachał, kąty wycierał; brzuch pełen, a głowa pusta; wszystkich dworaków generał, a ulubieniec Augusta.“

Wśród ścisłu awanturników cudzoziemskich i swojskich były umysły obdarzone bogato, ludzie z wielkim dowcipem i nauką,—ale całej tej cizbie zabrakło tego, co naukę, talent i dowcip uzacnia,—charakteru i powagi im brakło. Naruszewicz (*Dyabel*) „niewyczerpany pochlebca“, z lirą zawsze strojną do ody na cześć królewską, z ustami gotowymi do dowcipnego żarciku... niepospolitych darów umysłu i serca, szedł z duchem wieku, rad się natrzasał z sukni duchownej, nie unikał ani hulaszczego towarzystwa, ani tłustego dwójznacznika w rozmowie, częściej obcował z Horacyuszem, niż z brewiarzem; mniej z ewangelią, niż z dziełami Tacyta. W obejściu obok powagi nosił pokorę, której się w życiu dworskim miał sposobność wyuczyć. Generał Komarzewski (*Dyabel*), oprócz wielkiej rezolucyjności, śmiałości i dobrego tonu, nie odznaczał się niczem. Zimna krew człowieka, który nieraz na wozie i pod wozem „a raczej na stole i pod stołem po niejednej hulance“ przebywał; wielkie panowanie nad sobą i pewien wytworny cynizm; będący cechą stanisławowskiej tężyzny, — wszystko to fizyognomii jego nadawało ów wyraz, po którym łatwo poznać było ulubieńca Stanisława Augusta.

Życie, kraj, enotę i wiarę dworacy owi w krótką chwilę przywykli obracać;—nie było rzeczy, którejby nie zaczęto dla popisu z dowcipem. Jeżeli zmuszeni byli na chwilę wziąć coś na seryo,—pogniewali się łatwiej, niż oburzyli; zniecierpliwili raczej, niż zabołeli. Miło było z ludźmi takimi przepędzić wieczór, bo ich towarzystwo najwykwintniejszym odznaczało się tonem i polem europejskim, aż do przesady wytwornym; ale nazajutrz po pijanych uściskach, wysmiano by tego, kto by zażądał dowodów zaprzysiężonej wczoraj przy kieliszku przyjaźni. Miłostne zdrady, złośliwie ubrane plotki, były dla tych ludzi strawą tak pospolitą, że nie liczyły się nawet; posmiawszy się z nich i ubawiwszy się niemi na chwilę, rychło zapomniano o wszystkiem dla nowych (*Dyabel*).

Takim był dwór Stanisława Augusta, który przykładem swoim naśladownictwo w otoczeniu zaszczipiał. Panowie szli torem jego gorliwie; kobiety, które nie mogły za kochanka mieć króla, w ciężkim żalu, że nie potrafiły dostąpić korony, dla utulenia bóleści z kim innym szukały rozrywek (*Malaparta*). Od króla, przez dwór, panów i szlachtę szło zgorzenie do mieszczań; szerzyła się zgnilizna coraz dalej a dalej; nikt nie myślał, jak się hulanka zakończy, gdy kapeli porwą się stróny i ręce zmartwieją. Aby dzień do wieczora! — było to hasło wszystkich, którzy otaczali Stanisława Augusta (*Dyabel*).

W powieściach Kraszewskiego mamy dwie kategorie ludzi zepsutych; z nich każda na własny sposób tonie w rozkoszach. Delikatniejsze organizacje rozpustowały z wykwintem, tracąc czas, majątek i zdrowie na pseudo-artystycznych rozrywkach; namiętniejsi nie wstrzymywali cugli żadnej fantazy i dla zmysłowości głównie szukali upustu. Zdawało się jednym i drugiem, że ich szaleństwa znamionują naturę wyższą; tłumaczyli je niepohamowaną organizacją, krwią, pochodzeniem (*Boża opieka*).

Stare i młode, młodzi i starzy udawali, jeżeli z natury nie byli takimi, zalotnych; należało do dobrego tonu być czułym niezmiernie, kobietom okazywać miłość i żądze płomienne. Udawano namiętność, nie mając ję; palili się głowy, nie serca. Wywiedle panie ze zmarszczkami, zatartymi bielidłem i różem, uśmiechały się do adonisów wysznurowanych i wyperfumowanych, lecz skrzepłych; dziesięcioletnie chłopaki w stroju amorków umizgały się do dwunastoletnich dziewczynek; siwi senatorowie rzeczypośpolitej kochali się na zabój w piętnastoletnich aktorkach. Miłość stała się godłem tych ludzi, którzy o miłości nie mieli pojęcia (*Dola i niedola*).

Do bezwstydu posunięta rozwiązłość, zimna obojętność na wszelkie decorum, obojętne i cnotę, nigdy do takiego wyzwania nie doszły, jak wówczas. Suknie francuskie i zepsucie czasów regencji wdziano razem na barki i serca. Mężowie mieli sobie za punkt honoru najnieograniczeńszą swobody dozwalać żonom; wstydząc się zażdrości i przywiązania, liczyli kochanków pań swoich, jak się obrachowywa ziewając, belki pulapu. Żony zmieniały mężów, jak suknie; rzucały, jak rękawiczki; brały ich, jak się bierze koronki lub wstążki. Pojedyncy nawet ze stosunków małżeńskich wykwitał rzadko; bito się za aktorkę raczej,

lub nieznaną jaką dziewczynę, — za żonę nigdy. Rozwód nieczyjś nie zwracał uwagi; kobietę, która go brała, uważano za skrupulatną i bez tego bowiem żyć sobie mogła, z kim chciała. Szal — jak za czasów, kiedy koniom oddawano cześć boską, a z kazirodztwa i ulicznego nierządu szukano chluby, — do najwyższego dochodził stopnia (*Dyabel*).

Obląkane uganianie się za weselem rozpuścić ówczesnej szczególny nadaje charakter. Bale, maskarady, fajerwerki, turnieje, pijatyki szalone, zbytek niepomny jutrzejszej nędzy, — wszystko to następowało po sobie i napełnić niemogło tego naczynia Danaid, pod którym przepaść kopano sumienie. Ani wiek, ani pleć nie wyłączały od orgii (*Dola i niedola*). Młodzień — teżyżna dokazywała szalenie. W modzie były karykły i dzikie konie; powożono się stojąc, po rzymsku, czwórka w poręcz, co mogła wyskoczyć. Książę Józef, generał Wielhorski, młodzi Tepperowie w ich ślady i różni panieze biegali po mieście a śmielsze damy towarzyszyły wyścigom. Reduty, assamble, maskarady w palacu radziwiłowskim, bale u Mervanego gromadziły z najpierwszego towarzystwa osób moc wielką. Grano stosami złota, pito beczkami; do księcia wojewody w czasie śniadania faskami przychodziły ostrzygi, które szlachta na przemian jadła z bigosem, — mniej dla smaku, więcej dla tonu (*Kawał literata*).

Za okaz tych natur namiętnych, które wodze wszystkim fantazyom puszczały i w najsprośniejszych tonowały orgiach, — służyć może hetman Branicki, podkomorzy Brański, komandor i książę podskarbi Poński.

Pierwszy (*Syn marnotrawny*), postaci zamasztyj. o twarzy pełnej ognia i zuchwałości kozaczęj, budową wydawał się olbrzymem, a życie szalone nie potrafiło mu odebrać i siły i blasku przedłużonej młodości. Gra hazardowna i straszna pijatyka, były w jego domu rzeczą zwyczajną. Widząc wchodzących do siebie podchmielonych młodzieńców „klin klinem, zawołał hetman, dawajcie kielich i wino!“ Za punkt honoru sobie nważał: pić dużo i trzymać się trzeźwo. Skoro jeden z gości wyrzekał, że, gdy przodkowie siadali po bankiecie na konie i pędzili do lasu lub w pole, współcześni przeciwnie, upiwszy się, idą do łóżka, — Branicki osiodłać kazał rumaki i jechać wśród nocy ciemnej na Wolę. „Dolejmy, bośmy tu jeszcze nie wychylili kielichów do dna!... nikt się nie zwałił, a po naszymu trup legnąć powinien.“ I poczwa-

łowane szalenie,—do dnia białego rozlewano na Woli szampa. —

Podkomorzy Brański (*Dyabel*) „najwierniejszy reprezentant ośmnastego stulecia,“ hulaka, karciarz i niepohamowany rozpustnik, zgnily był wewnątrz, a zepsuty do szpiku, — jedno tylko uczucie honoru tlało w ruinach cnót wszystkich, spalonych na ołtarzu rozkoszy. Młody, a zużyty zupełnie, w namietnój grze, której szalu nigdy powściągnąć nie umiał, szukał jeszcze gorączkowego zajęcia. Trafiło mu się do szeląga i do ostatniego zgrać się pierścionka; postawić na kartę powóz, konie i ludzi.

Komandor (*Dola i niedola*) odgrywał rolę człowieka postępowego, lecz działał językiem raczej, niż czynem; apostołował czczeni słowami, uciechą i winem. Pił, ile kto życzył a po uciecie nad ranem wychodził świeży, zdrów i przytomny, jakby był na czas. W salonach swoich wyprawiał orgie; od wina i kart poczynawszy, aż do aktorek, nie ku ucieście gości nie brakło.

Księża Poniuskiego (*Dyabel*) widzimy niesionego na rękach w orszaku pijanej bandy, w trzewikach i jedwabnych pończochach brodzącej w ulicznem błocie.

Organizacye delikatniejsze, a do takich można zaliczyć i króla, do kart, picia i ulicznych awantur wstąpił mając, szukając rozróżnienia w najfantastyczniejszych rozrywkach; poznają na wielkich artystów, mecenasów i pionierów postępu. Jeżeli Stanisław August w chwili ważenia się losów Rzeczypospolitej malował akwarellą wzory dworskich kostiumów,—to jeden z największych dostojników, przy retorcji zasiadłszy, kamienia filozoficznego szukał z mozołem; drugi z pasją zakładał ogrody i budował pałace, inny próbował balonów; a Radościł w obawie wezbrania morza na błotnistych obszarach Alby sztyftował flotę. Co chwila jakąś nową wynaleziono zabawę. Nie wzięta seryo, lecz interesująca samemi formami masonerya wyśmienita stanowiła rozrywkę i najgrubsze znakomitości pociągała na braci; chwilowym kochankiem towarzyszt, pragnących emocyi, był Cagliostro, Biachard i lada kuglarz. Awanturników krążyło, jak mrowia, poczynawszy od handlarza endownych pigulek, aż do fabrykantów elixyru życia i złota (*Macocha*). Widowisk było bez miary. Niemiec pokazywał za pieniądze woskowego Fryderyka W., wiele brudnego, w polatanym mundurze; na teatryku niemieckim grano „Arlekina wychodzącego z jajka,“ sztukę bardzo zabawną; wiele osób uczęszczało na hece, od-

powiadającą dzisiejszym cyrkom; dla okazania meztwa i wzgardy życia, przepłacano miejsca w balonach. Cieszone się humorem tak dobrym, że księżna de Nassau, skoro jej pałac stanął w płomieniach,—siadłszy naprzeciw w oknie, unosząc się nad pięknocią widoku, radośnie klaskała w ręce i z *Didone, abandonnata* śpiewała arya (*Kawał literata*). Dla teatru była to chwila bardzo szczęśliwa,—on jeden rozrywkę stanowił szlachetną, a przy tém służył za tłumacza idei i uczuć, którym jak najszerzą popularność chciano zapewnić. Że gorączka życia i używania trawiła wszystkich, więc się do każdej nowości roznamiętniano potężnie i, prędko rzuciwszy, co zajmowało przed chwilą,—rychło goniono za nowem (*Macocha*).

Niespodziankę znalazłeś na każdym kroku: w salonie rozlamywała się ściana; z pod podłogi występował stół z całym nakryciem; niewidzialna orkiestra dawała się słyszeć gdzieś z góry; małe światło w alabastrowych lampach łagodnie upromieniało ołtarz przyjaźni lub świątyni wdzięczności, panie w greckich kostiumach deklamowały lub śpiewały kantatę; skrzydlate dzieci rzucały kwiaty. „Każdy, nie wyjmuję i tych, co po projekta posyłali do Mablyego i Russa,—miał bzika, którym się rozrywał i bawił“ (*Macocha*). „Ten alchemia się trudni,—lada dzień kamień filozoficzny wynajdzie; drugi maluje lepiej, niż Bacciarelli, — w pięknych kolorach obdarzy nas dziełem swęj ręki; trzeci po całych nocach szczęśliwie grywa,—więc wygrać gdzieś musi i do zwycięstwa potrafi nas wywieść; tamten jest budowniczym,—Rzeczypospolitą odrestauruje i dźwignie, ów koniarz,—pewnie dla tego, aby dla kawalerii przysporzyć rumaków. Nie wyjmując tego, który pierwsze lazienki wystawił,—wszystko to ludzie, senatorskie krzesła zajmujący niedarmo... Jak tu zwątpić o przyszłości i kraju, patrząc na zastęp mężów, którzy losy nasze dzierżą w swych dłoniach!“

Powyższy monolog pani kasztelanowej kamieński uważył Kraszewski za charakterystykę epoki, która się kierowała ekonomią wręcz przeciwną najpierwszym potrzebom. „Wiersze piszą, powiada pani Kosakowska, gdy rachunkiby robić powinni; peruki muszczą, gdy szable rdzewieją;—artystów nam nie brak, choć niema komu piec chleba“ (*Macocha*).

Bzika ośmnastego wieku ukazuje Kraszewski w kilku postaciach historycznych, z pomiędzy których wydatnością rysów celują

bracia królewscy: książę ex-podkomorzy i książę Andrzej.

Ostatni, człowiek o geniuszu niewielkim, widząc się przez innych członków rodziny wysejgniętym talentami i szczęściem; nabrawszy przekonania, że w żaden sposób gorszym być od nich nie może,—przez całe życie piał się do sławy, a przynajmniej do ściągnięcia oczu na siebie. Tém mocniej starał się książę na pierwszy plan wysunąć i czemś się odznaczyć, im spostrzegał dokładniej, że przez swoich szacowanym jest mało. Wprawdzie przez całe życie nie mu się jakoś udać nie mogło, nie zrażając się jednak, nie rezygnował z zamiarów i, nie umiając inaczej, szedł przynajmniej w ślady braci i krewnych,—to robił, co oni, z większą tylko przesadą. Zaslyszawszy o słabości księcia Andrzeja, otoczyła go zgraja zauszników i, pomagając mu dzielnie do utraty majątku, glosiła światu nieśmiertelne jego śmieszności. Stary—udawał młodego; grał rolę eleganta, marzył jeszcze o sercowych podbojach i dom swój różnego rodzaju osobliwościami rozślawiał.

Przywabiał głośne imiona, słynne piękności i najciekawsze wynalazki i dzieła sztuki nabywał cętnie. Przy miałości rozumu ten takt posiadał książę, że mówił niewiele; śmiał się, mruczał, poruszał, nucił; gdy coś dłuższego potrzebował wyłożyć,—miał zawsze ku wyłączeniu dworaka. Pałac jego najdziwniejszą przedstawiał kracaję: było w nim wszystko, czego dać nie mogła natura, poczynawszy od sztucznych skał, sztucznej wody, aż do karłowatych drzewek i fabrykowanych pieczar. Za naciśnięciem sprężyny ku wielkiej dumie księcia Andrzeja w posadzce otwierała się tafla i stolicek z przyborem do śniadania z pod stóp się zjawiał. Strój ramny nosił złotem szyty, tak grubo, że kosztował kilkakaset dukatów; ciężki i twardy, jak skóra, ten wielki posiadał przymiot, iż go nikt w świecie nie mógł nosić dłużej nad kilka godzin. Regestr znajomości niewieści utrzymywał książę starannie i chował pod kluczem: była to jedyna pozostałość, która na rodzinę spadła dziedzictwem (*Macocha*).

Książę ex-podkomorzy, cały w żółte ubrany płócienko, głowę ozdobiał peruką, z obu stron której dwa rzędy loczków, a z tyłu ogonek z wstążeczką. W towarzystwie wesółych niewiast pracował po swoich ogrodach czarownych, admirował je i rad był, gdy inni nie szczydzili podziwu. „A co? a co? a prawda, że cudowny, a prawda? Cudowny! rzeczywiście cudowny! spytaj, co te cuda kosztują. Toć to tu śmietnisko było

i dziura,—świat wyprowadzony z niezgo. Co się tam księżna chwali ze swoim gustem w Powązkach, o których Naruszewicz układa ody; tu, kto przyjdzie,—otworzy gębę, Coxe, anglik, zapomniiał języka.“ Dla nieśmiertelnienia swych cudów pragnął poety i uszczęśliwiony był mocno, gdy zastał w ogrodzie młodzieńca ujmującego w rymy rozłaczające się przed nim widoki. Odczytawszy niezdarne wierszydło,—„przedziwne, zawołał książę, słowo daję. Naruszewicza z Powązkami w kąt zapędziłeś...“ Dawszy rymoklecie posadę nadwornego poety, przekonany o jego talencie, pragnął się z nim pochwalić przed królem; „to, mówił, improwizator, jak Włochy; jeszcześmy tego w kraju niemieli. Zobaczycie, co ja z niego zrobię kulturą.“

Kazimierz podobnie, jak Andrzej, tak bardzo pragnął jakąś rolę odegrać, zająć sobą opinią, dać mówić o sobie, iż wszelką po temu, najniezręczniejszą nawet chwylał sposobność. Jeżeli król przyjmował na dworze jakiego dystygowanego cudzoziemca,—choćby grosza nie miał przy duszy, nie wytrzymał ex-podkomorzy, żeby go także nie zaprosił i nie wystąpił. Brakło mu środków, bo wszystko straciwszy, żył z łaski brata; lecz jako starszy umiał się królowi narzucić i wymódz, jeżeli nie gotówkę, to wexel. Gdy mu zaproponował poeta odczytanie utworu w jego salonie,—„doskonała myśl! zawołał, puszczyć wody, oświecić salę podziemną, na galerii stanąć muzyka! Feta literacka—doskonała myśl! Zasiadać kobiety, jak wieniec kwiatów... każę ci zrobić estradę, czerwonym suknem obita... sproszę całą dyplomacją: Engöstrema, Lucchesini'ego... może stary Essen, a może i Ibiles.“ Na zrobioną uwagę, że ci panowie nie umieją po polsku,—„cóż to ma do tego? deklamacją oczarujesz ich; domyślą się, o co chodzi, a na wieczór wystawię ostrzygi“ (*Kawał literata*).

Do kategorii idiotów, którzy nie więcej nie mieli w sobie nad chorobliwą fantazją, zaliczyć należy pokrewny z poprzedniemi wizerunek hrabiego kasztelana (*Dola i niedola*).

Mąż ten wołowe oczy zwracał na drzewa i chmury, obserwował czubiące się na śmietniku koguty lub milczał, w zamkniętych ustach mieląc językiem. Do dna wyżyty i niemogący się odżywić już niczem, chodził, jakby nie wiedział, czy się porusza; mówił niezawsze bardzo przytomnie, a roztargnienie nie odstępowało go nigdy. Nie gniewał się, nie śmiał, nie cieszył, niecierpliwie się nawet nie umiał; z

funkeji cielesnych poziewanie tylko robiło mu jakąś przyjemność. Miał on zwyczaj nawet w drodze na popasach i noclegach zasiadać zaraz nad talią kart francuzkich i godzinami pasyansa układał. Do téj pracy takie przywiązywał znaczenie, jakby od niéj losy państwa zawisły. Czyniło go to niezmiernie śmiesznym: weseli ludzie albo mu parskali w oczy lub téż nie zważali na to, co robił. Skoro się trafiło służbie karty pomieszać lub do innego użytku założyć stołu, na którym się nieśmiertelny układał pasyans,—przeciwno zwyczajowi hrabia w gniew wpadał i, młęczący z widoczną wzdargą odechodził od istot, które wielkości posłannictwa jego pojąć nie mogły. Ze wszystkich przykrości życia, lekceważenie pasyansa było dla niego najboleśniejsem. Ilekroć żona potrzebowała go zjednać,—nad kabałą stawała poważnie, udawała zainteresowanie rzetelne, odzywała się z półsłówkiem współczucia dla wielkiej pracy. Kasztelan w humor naówczas wpadał tak dobry, że wszystko można było z nim zrobić.

Szlachetniejszy typ bzik przedstawia hetman Ogiński (*Macocha*).

Dwór jego słynął z najwykwintniejszego urzędnictwa, był wyrocznią delficką, gustu równego mu nie było nawet w stolicy. Otrzymywał najpierw nowomodne materye z Paryża, najświeższe sztuczki na francuzkich grywane teatrach;—u hetmana najnowsza rozlegała się muzyka, do niego wędrowcy całego świata przybywali, by wśród barbarzyńskiego narodu krzewić smak w kunsztach, zamiłowanie dowcipu i zbytku. Sam hetman nigdy podobno na koniu nie siedział; nosił mundur generalski przy trzewikach i jedwabnych pończochach; grał prześlicznie na flecie, pisywał po francuzku komedye, kochał się w kwiatkach i najlepszym był w świecie człowiekiem,—tylko rycerstwa nie było w nim wcale. Siedział po większej części na wsi, w pięknej rezydencji, w której sobie mały raik urządził; czasem, gdy wymagała konieczność, odwiedzał stolicę; często za granicę wyjeżdżał dla pokrzepienia sił wiatrych, zdrowie bowiem delikatne miał bardzo. Chociaż pięćdziesiątki dochodził, nie żenił się i o kobiercu nie myślał, bo było mu na świecie tak swobodnie, wesoło i dobrze, iż nie chciał sobie „komplikować egzystencji.“ Nosił się z niezmierną zawsze elegancją i smakiem. Peruki sprowadzał z Paryża, batystową bieleżną tamże szyto i prano, reszta garderoby nie pospolitego dowodziła w hetmanie gustu. Nikt od niego nie pilnował troskliwiej, aby guziki, sprzączki i szpada jeden

harmonijny stanowiły garnitur; z taką loiką i nieublaganą ścisłością nikt nie ubierał się u nas. Był téż dla innych sędzią surowym: człowiek noszący porcelanowe guziki przy sprzączkach stalowych, w oczach tego pana równał się zeru.

Natura obdarzyła hetmana fizyognomią tak przyjemną, przez sztukę i wychowanie wykształconą na tak miłą maseczkę, że przepędzić z nim wieczor, a nie pokochać go,—mógł chyba człowiek bez uczucia i smaku. Niebieskie oczy jego, jakby we łzach pływały; wargi dobrotliwy okalał uśmiech; na czole żadna nie zarysowała się zmarszczka; twarz pełna łagodnej harmonii, wdzięczną była a słodką. Ludzie mówili, że trochę niewieście i nie po hetmańsku wyglądał, lecz on na to nie zważał i tém szczególniej się szczycił, że go brano w Paryżu za francuza krwi czystej i za dworaka. Rączki jego nie zwykłą posiadały pulchność i białosć, a gdy grał na flecie, wdziek, z jakim zaokrąglony piąty palec odstawał, wszystkie serca mu jednał. Skrupulatnie doskonala miał nogę: zakończenie jej i stopa przez małosć, a wypukłosć na podbiciu zdradzała szlachetną krew starą, z której hetman pochodził. Trzeba go było widzieć, gdy się przechadzał, a ze złotéj tabakiereczki odrobinę tabaczki czerpał końcem paluszków: gdy siedział w krzesle z ręką na żabot i kamizelkę założoną z układością i wdziękiem; na ostatek, gdy menueta, którego się u najlepszych mistrzów uczył w Paryżu, tańcował.

W rzeczach sztuki do znawców pierwszorzędnych się liczył. Jako muzyk a nawet kompozytor, o utworach muzycznych sądził bez apelacyi; że był we Włoszech, zwiedzał muzea i kochał się w rzeźbach, kameach i obrazach, których piękne posiadał zbiory,—więc lepić od innych wyrokował o świeżo sprowadzonym posagu i o nowo-występującym artyście. W teatrze był królem, bo teatr lubiał namiętnie, miał go nawet u siebie, równie jak małą wprawdzie, lecz doskonala kapele.

Dowcipny,—smakował przedewszystkiem w towarzystwie ludzi słynnych z dowcipu, a do charakteru jego najlepiej przypadali francuzi, chociaż włosami, uczonymi niemcami i niektórymi z anglików nie gardził. Był eklektykiem: według jego systemu ku zbogaceniu kraju wszystko, co obce wytwarzały narody, należało sprowadzać; Polskę uważał hetman za najbardziej zacofane państwo pod słońcem. Ilekroć bywał w podróży, lub po swoich przejeżdżał dobrach,—widok chat zakłęsłych w ziemię, grubych

siermiąg, nickutych wozów i drobnych wozów wywoływał w piersi jego westchnienie. Czuł, że sam jeden nie potrafi złemu zaradzić, więc nie nie robił, — naprawę zostawiał przyszłości.

Dwór — wszakże i rezydencya hetmańska służyć mogły za wzór dla innych. Na wzgórzu nad brzegiem rzeki podziwiałeś park dziki i chińskie ogrody; zwrócony ku rzecce pałac miał kolumnadę, wspaniałe portyki i oszkloną kopułę; przed nim bić miała fontanna, do której jednak nie można było dotychczas sprowadzić wody. W prawo i w lewo wysadzone ulice prowadziły do licznych domków przeznaczonych dla dworu; dalej szeroki gościniec wiódł do miasteczka, w którym kościół w stylu greckiej świątyni, synagoga, przypominająca Alhambę i cerkiew do gotyckiego tumu podobna, z wielkim architektury wysiłkiem wzniesione były według pomysłu i kosztem hetmana. W parku pełno znalazłeś dziwów: zmniejszony rzymski amfiteatr, chińską wieżę porcelanową, rodzaj meczetu, pagodę; w parowie o nader szczęśliwych liniach świątynię przyjaźni, a przed nią kamień z wrytym czterowierszem francuzkim, o którego autorstwo posądzano samego hetmana. Jakiś dowcipniś niewłaściwie bardzo szukał zbrojowni; nie znalazłszy dziwił się, że u hetmana nie było oręża; — koncept barbarzyństwem czuć było i średniowiecznością. Z wyjątkiem zbrojowni wszystko zresztą miałeś w pałacu: przepyszną francuzką bibliotekę, gabinet rzeźb i grecko-rzymskich starożytności, ładniutki teatrzyk, salę koncertową i audyencyonalną, i mnóstwo rozkosznych gabinetów z alabastrowymi lampami, zwierciadłami i kwieciami.

Dwór cały z cudzoziemców się składał: orkiestra i aktorzy z Francyi, hortykultor z Wiednia, w stajni był duńczyk, autor dzieła o hippice, lekarz — holender, kuchmistrz paryżanin, pasztetnik ze Strassburga. Kapelanem był francuz i tego hetman cenil szczególnie za to, że nie hołdował przesądom, że się w spory teologiczne nie wdawał, a kuplety do Doryd z nieznajomością składał łatwością. O gospodarstwie nie hetman nie wiedział; plenipotent jego, człek lubiany powszechnie i zacny, do pana przywiązany najszczerzej, administrował dobrami, pilnował interesów pieniężnych i prawnych. Choć zacny pan plenipotent miał znaczną i wzorowo zagospodarowaną posiadłość własną, którą zakupił niedawno, — jednakże ukochanemu panu ku wielkiemu jego zadowoleniu służył i nadał. Dla takiego człowieka, jak hetman, rozmiłowanego w sztukach, de-

likatnego w smaku i wyższych zdolności umysłu, nie było nic przyszlejszego nad interesa pieniężne, rachunki, papiery urzędowe i wszystko, co realizmem grubym trąciło.

Znakomite wykształcenie, talenta, dobroć serca i słodycz charakteru, — zjednały hetmanowi sławę nie tylko w kraju, ale daleko po za nim. W najlepszych towarzystwach europejskich przyjmowano go z oznakami szacunku i sympatii; muzycy przypisywali mu swoje utwory, literaci przysyłali w saffian czerwony oprawne dzieła, pod światły je sąd jego poddając.

Łudzie czasów Stanisława Augusta pozostawali na mądrych i wielkich, lecz wykształcenie posiadali nie duże. Komukolwiek trafiło się czytać listy i rękopisma członków najpierwszych rodzin i najstaranniejszego wychowania, westchnie ze smutkiem, że w nich na każdej karcie spotykał dowód, jako piękniejsze w kraju imiona żadnego języka i gramatyki nie znały gruntownie. Pojęcia mają jakiś pozór loiczny, lecz brak im głębi; są to malowane nieźle dekoracje, po za któremi sterczą nieociosane drewna i kije. Wiek dzisiejszy, pisał książkę Adam Czartoryski do Niemcewicza, chce liźnąć wszystkiego, a nie zgłębić nie umie; w salonach wyżyna pojęć nie była tak wielką, by jej lada trochę otarcia i sprytu nie dozwalało osiągać.

W ośmnastym wieku dużo na naturę liczone, na tę naturę, której Rousseau w wychowaniu naznaczył rolę przeważną, a która dla innych wydawała się źródłem odradzającym i przeciwniczką złe pojętej cywilizacji. Czując, że trochę zbłądzili z drogi, zdawało im się, że przez ten wymarzony stan natury — wynalazek wyobraźni, rozkołysanej wspomnieniami złotego wieku — powrócą na prawy gościniec. Guzewano się na cywilizacją, na formy i rządzone przez nie zepsucie; szukano gwałtem poprawy w wymarzonem przez filozofów stanie natury, nie wiedząc, że była ona podobna do krajobrazów Bouchera z fioletowymi drzewami, karmazynową ziemią i niebem fioletowem; że istniała tylko na palecie artystów (*Dola i niedola*). „Przesądem naówczas zwało się wszystko, czego nierozumiano, a wszystko niemal zwano przesądem“ (*Dyabel*).

Wypadki paryżkie wrazenie czyniły wielkie. Z uniesieniem rozprawiano o szczegółach wzięcia Bastylli, o upadku feudalizmu i prawach człowieka, lecz nikt nie umiał dokładniej przewidzieć następstw, jakie szereg tych wypadków za sobą ciągnął.

„Palano chęcią naśladowania, gdy obok w przeszłości własnej praktyczniejsze rady leżały niepojęte, lub powierzchownym pojętione sądem.“ Na wyścigi każdy najsurowiej krytykował krój stary i dawny rzeczy porządek; „najrozsądniejsi nawet, goniąc za utopią, pragnęli burzyć“ (*Dyabel*).

Taranem wywrotu był dowcip, który poślacał nad wszystko, bo też całym, najbardziej uderzającym dzisiaj wyrazem literatury ówczesnej stały się: satyra, epigrammata i paszkwil (*Dyabel*). Ludzi, coby pisany stworzyli dramat, nie było, albowiem w ich oczach i na ich skórze odgrywał się żywy (*Macocha*). Wiek był nadto sceptyczny, by bardzo ukochał Corneille'a i Racine'a; zbyt deklamatorski i do patosu nawykły, by mu Szekspir smakował; Béaumarchais i Diderot najlepiej odpowiadali ówczesnemu gustowi (*Macocha*). Z literatów otaczających Stanisława Augusta, jedni nosili suknie duchowne, drudzy francuskie fraki; żaden podobno w stroju staro-polskim nie chodził, — „to jedno bardzo wiele mówiło“ (*Dyabel*).

Domowa literatura czteroletniego sejmu była zlagodzoną odbiciem, echem wibracji zachodu. Rozpoczął ją potężny głos Staszyca, który się „z wielką gwałtownością i radykalizmem domagał nowej podstawy społecznej—dobrobytu ludu“, a od téj pory mniej lub więcej powołani, wykształceni i nieprzygotowani, co chwila się odzywali, o reformy wołając (*Kawał literata*). Nigdy może umysły do większej czynności pobudzone nie były; nigdy wszyscy aż do najmniejszych, nie zajmowali się wypadkami bieżącymi tak mocno, jak podczas czteroletniego sejmu (*Dyabel*). Komu brakło trybuny,—na bibule u Grölla drukował kilkanaście stroniczek i miotał je pomiędzy tłumy, jak żagiew. Nigdy tyle świstków, pamfletów, rozprawek, projektów, nie wydały prasy drukarskie i nigdy tyle dowcipnych wierszyków, satyr i bajek nie krążyło w odpisach; nigdy tyle nieznanych talentów nie objawiło się naraz. Stara falanga literatów, jak Naruszewicz, Trembecki, Krasiecki,—milczała teraz; przekrzyczano ją i zagłuszono, kiedy niekiedy tylko Trembecki potężnym głosem zwał się w obronę króla i jego sprawy (*Kawał literata*).

Rzucane nasiona myśli z nieublaganą siłą w groźne rozwijały się skutki; owładając całym społeczeństwem, groziły obaleniem istniejącego porządku. Ci, co najzarliwsi byli wielbicielami Voltaire'a, Rousseau, Diderota, d'Alamberta,—widząc, do czego prowadziły wygłaszane przez nich zasady, z przerażeniem poczęli teraz się cofać. Na zam-

ku też dawne uwielbienie dla koryfeuszów w końcu oстыgło bardzo; książki francuskie w kołach zachowawczych co raz mniej znajdowały admiratorów (*Kawał literata*).

Podczas czteroletniego sejmu chęci postępców były najlepsze, lecz na idealnych oparte podstawach. Jak w całym świecie zawróciły się głowy utopią, „w złe pojętym stanie natury, lub w złe zrozumianej historii starożytniej szukali ludzie dla chorego społeczeństwa form nowych.“ Żądza przewrotu aż do przesady dochodziła z początku; chciano zburzyć, co tylko było. Od filozoficznych pomysłów spodziewano się dużo i przez przywiązywanie do kraju zapomniano o wszystkim, co jego narodowość stanowiło odwieczną. Jedni zwracali się z reformą do obyczajów, drudzy do sukni, inni do praw, wojskowości, duchowieństwa, mieszczan i ludu. Było to rozpaczliwe wynajdywanie środków; lecz, że się rzucali na wszystko,—za winę im pociągać nie można: mniej zimna rozważa, bardziej kierowało nimi uczucie. Na tle tego uczucia rozumowano potem, ale niesamoistnie, niestety! Naszym zwyczajem po wzory, omijając „dawne własne“, zwracano się wszędzie; nie chciano reformy umiarkowanej, w radykalnej jedynie upatrując lekarstwo (*Dyabel*).

Kraszewski nie przedstawia stronnictw ówczesnych, nie określa panującej w ich poglądach różnicy; zaznacza tylko, że istnieły: 1) postępowi utopiści, 2) „stronnictwo zachowawcze, złożone z ludzi, którzy nie daleko widzieli, dbali o swój interes przedewszystkiem, a argumentem ich stanowczym: po staremu wygodniej i spokojniej“ (*Dola i niedola*); 3) obok partyi powyższych była i garstka samolubów, „przerzucająca się na stronę siły i zysku“ (*Dyabel*).

W salonach Alficra (*Dyabel*) i Adama (*Dola i niedola*) spotykamy ludzi wszystkich obozów; prawdopodobnie przez delikatność, żeby przeciwników nie jętrzyć,—o sprawach publicznych milczą i poglądy tają starannie. Kółko przyjaciół Branickiego (*Syn marnotrawny*) więcej jest pochopne do błazeństw, niż do poważnej dysputy; wyraźniej prezentuje śmiechowskie, niż oblicze przekonania. Ile razy Suchorzewski ku krzykliwemu dowodzeniu otworzył usta, śmiechy się słyszeć dawały do kół i krzyki. Brał to za dobrą monetę, i rękami wywijając, podrzucając ramionami, a bijąc się w piersi, co raz podniosłej ciagnął perorę, aż głos dochodził do wrzasku. Że mówić trudno było powstrzymać, gdy się rozpalil,—więc go hamowano daremnie, na wnętrzości matki republiki zaklinano napróżno, żeby animuszu

oszczędzał, zapal okielznał i głos znakomity oszczędzał. „Ty jesteś, wołano, tubą, przez którą mamy przemawiać; tyś usty naszemił”. „Niezbraknie mi, odpowiadał, aumusu i głosu w obronie żrenicy wolności; jak mur przeciwko nowatorom stanę i nieustąpię; czego nikt nie będzie się ważył—wypowiem.” Dowcipny Benedykt Hulewicz uważał, że Suchorzewski wypowiadał istotnie to wszystko, „czego nikt inny nie miał odwagi, bo—glupstwa”; on jednak nie zrażając się niczém, wśród śmiechu prawi dalej o owęj żrenicy, o despotach, niekzemnych konspiratorach, którzy szlachtę zrównać chcieli z chłopami.

Jedyny to w powieściach Kraszewskiego wypadek, że spotykamy kółko ludzi jednego stronnictwa, a więc mówiących o obozie przeciwnym i sobie. Autor lubi salony neutralne, gospodarzy bezbarwnych, gości grzecznych wykwiłtnie; nigdy nie słyszyny starcia przekonań,—do uszu naszych dochodzi tylko dźwięk złota, szcęk kieliszków, lub pokrzyk pijacki. Ludzie wszystkich stronnictw, powiada Kraszewski (*Dola i niedola*), łączyli się przy kielchu i ta tylko była między nimi różnica, że jednym iza w wino spadała, drugim staczał się w nie uśmiech szatański; jedni nasycenia, zapomnienia szukali w niem drudzy. Czasem wśród uczt uderzał piorun: zabijał jednych, rozpraszał drugich, otwierał przepaść; ciżba jednak narzucała na nią kobierce i—na przepaści tańczono.

Tłu ogólnemu w części tylko odpowiadają przedstawieni w powieściach ludzie, nie znajdujemy bowiem głów gorączkowych, które rozsadzała utopia. Mamy istoty bezmyślne, egoistów, zbrodniarzy i zgnilków; szukamy napróżno szlachetnych, którzy, obłędnie—według autora —, lecz w dobrą wierze myśleli o interesach ogólnych i wrzeli żądzą rdzennego przeistoczenia starego gmaczu. Zastęp, z jakim nas Kraszewski zapoznał, rozklasyfikować możemy na ambitnych karyerowiczów, którzy, wypłynąwszy z padolu, puł się wysoko; na różnych odcieni zbrodniarzy lub zgnilych, i młodzież w gruncie szlachetną, lecz bez zasad i po najbłędniejszych chodzącą drogach.

Pierwszą kategorią reprezentuje Chelmowski i Adam, bohaterowie odnośnie do trawiającej ich żądzy zrobienia kariery—pokrewni; odnośnie do wartości wewnętrznej—dość różni.

Adama (*Dola i niedola*) od lat chłopięcych gorączkowość jakaś trawila; niecierpliwy, rozmarzony, dumny, z instynktami pańskimi, wyglądał raczej na dziecko ma-

guata, niż na syna ubogiego szlachetki. Przy zabawach o tém tylko rozprawiał, jak będzie panem senatorem, a nawet królem: wracając ze szkół pod ubogą strzechę rodziców, z niecierpliwością układał, jak się z pod niej wyrwać co prędzej. Żądza zrobienia kariery do podłości potrafiła go popchać. Uderzona pięknością chłopaka bogata pani, na wychowanie pragnąc go zabrać,—„rodzice, zagadnęła, bardzo zapewne Wpana kochają”,—a Adaś niepocześnie odrzeknął, że nie wie. Na zapytanie, czy mocno kocha rodziców,—odpowiada zdradziecko a chytrze, że ich — kochać powinien, do miłości przyznać się nie chciał, lękał się bowiem, żeby to nie odwidło kasztelanów i o zamiaru zajęcia się jego przyszłością. W postępowaniu młokosa cały przyszły odmalował się człowiek, gotowy uczucia i obowiązki dla samolubnych poświęcić widoków.

Opuścił sromotnie rodziców i na wielkim znalazł się świecie. Z łaski bogatęj chlebobdawczyni wychowanie otrzymał staranne; lecz główną w nim rolę odgrywały pozory, formy, powierzchowna poślota. Nabył z łatwością mnóstwa błyskotliwych talentów: jeździł konno, jak berejter; bił się na pałasze i szpady, jak fehmistrz; tańczył, jak sam bóg tańca; śpiewał słodkim tenorem, grał trochę na klawicymbale i flecie; dzięki szczęśliwej pamięci, dostarczającej mu na zawołanie gotowych frazesów,—mówił, sądził, rozprawiał o wszystkiém, chociaż nie dobrze nie umiał. Sąd miał pospolity, ostrożny, czasem lekkim zastrzony dowcipem, — zaniepokoić nim nie potrafił nikogo, bez pracy chwycił po troszę z rozmów, z widoków, z przerzuconych na prędce książek; z odrobinek takich składał zapasy i szafował nimi ostrożnie. Nie umiając wnikać głęboko, dużo odgrywał i z nadzwyczajnym taktem występował na popis. I zdawało się, że w nim daleko więcej być musi, niż było w istocie: tam, gdzie z powodu nieświadomości musiał się cofnąć, dać do zrozumienia zaraz potrafił, że wiele niedopowiedzianego zamiechał umyślnie. Nie-samodzielny, niezdolny do wysnuęcia z siebie niczego,—naśladowniczość w wysokim posiadał stopniu. Wpajał się w każdą myśl cudzą, przyswajał ją sobie na własność; w zapasach, choć niezbyt wielką posiadał siłę, umiał się bronić, bo był przytomny i zwinny. Pozostawiony sam sobie tracił wszelką energią i—ginał.

Chłodny był; wszystkie zarody namiętności pożarta w nim niezmierna ambicja, prognienie wzniesienia się nad poziom, żądza

znaczenia. „Ha, mawiał, gdzie ja osiągnąć mogę!... dla szlachcica polskiego pole otwarte,—Wiśniowiecki nie miał własnego powozu, gdy go królem obrano... Śni mi się wszystko, do czego tylko dojść można, rozpychając jednych i gniotąc niechcących ustąpić... Nie czas się cofać;—dałem życie za to i pójdę!... Jak za czasów pogańskich zaprzędawano się w niewolę, aby dług okupić złotem, i ja się zaprzędam, abym się wyniósł, ale nikt mnie nie kupi całego; znam ich i nikomu się nie dam. Często na drodze, którą podążam, depece się ludzi,—ale i ludzie zdeptać potrafią..... Któż wie? może padnę, może okryją mnie błotem, może strącą nogami i wypchną przez z tego koła, w które się weiskam przebojem?...“

Pokochoł naprzód opiekunkę swoją; lecz gdy mu na drodze stanęła kobieta inna,—powątpiewać począł, czy przyszłość dobrym powierzył rękoi i poślubił Krystynę, która z siebie i z pierwszego małżonka była silniejszą i ku wyniesieniu środków dawała więcej. Niewiastą była wielkiej energii i opanowała męża zupełnie. Wiedząc, że jedynym sposobem utrzymania Adama przy sobie było rzucenie go w grę namiętności ambitnych, na polowanie o znaczenie i wziętość, które miały mu odjąć ochotę do innych intryg i zabaw.—wtajemniczyła go w stosunki swojej rodziny i nakreśliła programat ku zbudowaniu przyszłości. Według planu Krystyny Adam ze wszystkimi był dobrze: chętnie posługując jednym i drugim, dla każdego argumentu i postępowania miał poklask; lecz rysy wybitne łagodził lub zcierał,—w ustach jego najradykałniejsze teorie stawały się rozcedzonemi w wodzie różanej oklepankami. Właściwie żadnych nie miał przekonań, wychowanie paryżkie nie wyrobiło w nim zasad; nie mu nie dało, prócz mglistych pojęć o jakimś idealnym bycie ludzkości, o stanie natury, zepsutym przez przesąd. W salonach pani Adamowej zjawiali się na przemian Kollataj z Ignacym Potockim, to znowu Braniccy, aż w końcu podzielono się rolami w ten sposób, że pani trzymała się starych, a Adam, nie zapędzając się zbyt daleko, w szeregach nowatorów się znalazł. Jednakże zaledwo do szarego końca stronnictwa postępowego mógł się zaliczyć. Wolalby sprawę jaśniejszą i czystsza, ale nie był pewien, gdzie jest światło i gdzie są ciemności. Młodość go wabiła, gdzie cieplej było i żywiej, ale nieraz sam na zwątpieniu się chwycił, gdy pobyl w towarzystwie partii przeciwniej. W głowie i sercu tego człowieka nie było jasno: roli czynnej nie miał i posiadać jej

nie chciał; na takiej się zawsze trzymał pozycji, iżby w ostateczności mógł się jeszcze wycofać.

Zawojowany przez żonę, tyle jeszcze mężczyźni zachował godności, że pogwałcenie potrafił odczuć i na tyle się zdobył energii, że o własnych siłach kroczyć zapragnął. Ztąd burza i rozstanie się z żoną, która zamyka przed nim towarzystwa i mści się. Pobity, wykluczony z wielkiego świata i na siłach stargany,—zostaje mnichem.

Trawionego ambicją karyerowicza przedstawia również Tomasz Chelmowski (*Kawał literata*).

Przytulony przez księdza rektora ośmioletni synek zmarłego w nędzy kalefaktora,—okazywał złośliwy spryt jakiś, zarozumiałość i dumę. Choć odarty,—miał pyszną; łajany—mleczal uparcie i dawał się łajać; z daleka pokazał język. Uczyć się nie chciał, lecz myślał dużo; usiadłszy w kuczki, na kulakach podparłszy brodę, godzinami coś dumał i sam do siebie przemawiał. Czyścił kolegom buty i jednocześnie imponował im swoim rozumem; duma w chłopaku nie miała granic, wszyscy mu się wydawali głupimi. Dorwawszy się do Argenidy, Jerolimy i Kochowskiego,—głowę sobie przewrócił. Wyrósł na łokieć; usta wydymając, chodził mileczący, bo—składał wiersze. Szkół nie skończywszy, پروwentowym na wsi został pisarzem. Że sypiał pod stogiem i zalecał się do córki ekonomskiej, panny Barbary, której własne deklamował wierszydła,—obożony przez ojca, musiał uciekać i trafił do księdza takiego same noszącego nazwisko. Bzdurstwo kochanku, mówił mu stary po odczytaniu ód i elegii—ortografii w tym nie ma; na co Tomko nie wprowadzić nie rzeknął, lecz myślał: „atł plecie stary mól; u nich wszystko w Alwarze i łacie, a to już czasy te przeszły.“

Wśród różnych przygód zawsze sobie Chelmowski dał radę. Okłamywał potężnie: opowiadał o pańskich kolligacjach swoich, o ojcu rotmistrzu kawalerji, o uczoności jego i professurze w akademii. Instynkt zachowawczy miał dzielny: niezrozumiejąc wiedział, iż, nie chcąc być startym na miazgę i przez pierwszą lepszą bestyą pożartym,—nastawic i nadstawić się trzeba. Przybywszy do Warszawy, zaproponował drukarzowi kupno swych wierszy; gdy się śmiać z niego poczęto,—złość go porwała, trzasnął drzwiami i wyszedł. Szczęśliwym trafem został nadwornym poetą u księcia ekspodkomorzegego i przedstawiony był na dworze, gdzie czytał poemat w ogrodach

na Szulcu. Śmiano się z niego serdecznie, — on jednak wszystko za dobrą przyjmował monetę. „Słuchali, mówił z wielką uwagą; król miał oczy spuszczone ku ziemi... pod koniec poczęli psykać i śmiać się—nie ze mnie, uchowaj Boże, ale z Trembeckiego, w którym widocznie kipiała zazdrość.“ Z powodu zfabrykowanej na rachunek Chelmskiego satyry, — posadę nadwornego poety musiał zamienić na sekretaryat u stariej magnatki, z którą się w końcu ożenił i tytułował się hrabią. Poszedł dalej, niż marzył; od tego czasu myślał jedynie o sławie i w tym celu u starego kolegi za dobre pieniądze obstałował poemat. Niebawem zdybany przez żonę na romansie z dziewczyną, musiał się wynieść i został na bruku. Wszakże i teraz radę sobie dać umiał: spotyka znajomych szlachciców, imponuje im hrabiowskim tytułem i tajemniczą, kosztownościami niby zapewnioną szkatułką; na wieś z nimi wyjeżdża, córkę jednego z nich pojmuje za żonę. Siadł na folwarku i potomstwu znaczną zostawił fortunę.

Z kategorii starych cyników, którzy, zepsuci do szpiku, drwią ze wszystkiego i idą w życiu przez podłość a zbrodnie, zaleca się nam Podskarbie (*Boża opieka*).

Młodość po zagranicznych dworach i obozach przebujał, majątek stracił, pozostały mu tylko powozy, konie, dwór wystawny i pałac w Warszawie. Ożeniwszy się z bogatą wdówką, — jej synka, że mu nie miała w widokach majątkowych stanowił przeszkodę, — porwać i za zmarłego kazał ogłosić. Z cudzej kieszeni żył podskarbie arcywygodnie. Skoro tylko zadobyl grosza, jechał do Warszawy stare odnawiać stosunki. Polityka nie bawiła go wcale; z zasady skłaniał czoło przed siłą i najserdeczniej był z tymi, którzy najlepsze dawali obiady. Księcia Repnina, rezydenta francuzkiego, angielskiego czy tureckiego, — wszystkich admirał zarówno, byleby podejmowali często a suto. Do konfederacyi mieszać się nie chciał; tam, gdzie szabla z prochem wysunąć się mogła, bywać nie lubiał. Gdy było wszelkie prawdopodobieństwo, że pasierb matkę odnajdzie i oszustwo się wyda, żałuje, czemu chłopak nie umarł — „miałbym zapewne zgryzoty sumienia, ale bez niepokoju i kłopotów.“ Przy tej okoliczności dowiadujemy się, że z uczuć szlachejnych pozostał w podskarbicu szacunek dla rodu. „Co za sromota dla imienia... wszystko się może wyjawiać... wyciągnąć wszy do grobu...“ Przy grze w faraona mąż taki ducha wyzionął.

Bezbrzeżną nikiemnością, nicoswieconą żadnym promykiem szlachejnych uczuć, przedstawiają prawnicy. Na odmalowanie wymiaru sprawiedliwości i do charakterystyka sług Temidy farb najciemniejszych dobięra Kraszewski. Trybunał lubelski jest kuźnią krzywd ludzkich, palestra jest stekiem najohydniejszych zbrodniarzy. Gdzie wzrokiem rzucisz, — snują się płatni świadkowie, na skinienie — herszty, pochopne do mordu; pod boki trybunału masz fabrykę fałszywych dokumentów; pijatka i najbezpieczniejsza przedajność nie tają nawet swojej ohydy (*Maleparta*). Na tle takim lokuje autor Malepartę i Dolibowskiego, dwa potwory, różniące się tylko błyskotliwością poloru.

Maleparta w dzieciństwie żebrak, włóczył się od chaty do chaty, a gdzie jałmużny nie dostał, — kradł i podpalał. Opiekunowi, któremu zawdzięczał wszystko, nikiemnym odplacił sercem i został „patronem spraw dyabła.“ Najohydniejsze przeprowadzał processy: nabijał trzosa szybko, bo się zaparł sumienia, a niepospolitą w prawie miał biegłość. Z wyuzdanym cynizmem potworności postępowania swego nie tail; nigdy nie dowodził, że słusność jest za nim, lecz wprost demonstrował, że ma prawo za sobą. Skryty, nie zwierzył się nikomu i nigdy; nikogo nie poprosił o radę, nikomu jęj też nie udzielił za darmo. Z ludźmi zuchwałym był szydercą, a miał tę passyą, że im najczarniejszój nie szczędził prawdy; zdaje się, że chciał okazać, jako nie sam jeden był do głębi nikiemnym. W całym życiu nie miał jednę chwilę, zapewnioną inną uczuciem, prócz uczucia miłości własnej, żądzy zapewnienia sobie niezależności przez nagromadzenie fortuny i ku urzeczywistnieniu tego mnóstwo popełnił zbrodni: zamorzył teścię, zadreńczył żonę, zamordował najzaciejniejszego człowieka, fałszował dokumenta i najróżnorodniejszych dopuszczał się oszustw. Choć pan wielkiego majątku, — chodził ubogo i żył, jak nędzarz; gorączka pomnożenia bogactwa nie opuszczała go nigdy. Gniewał się, nienawidził i szydził; nie wierzył w nic i w nikogo; litości nie rozumiał, nie pojmował miłości, zle wyrządzał na zimno, jak dziecko, gdy się pastwi nad jakimś żyjątkiem i bawi się konwulsyjnymi drganiem konania. Zgryzota nie zająrzała do jego serca; przejmował go tylko niekiedy strach sprawiedliwości ludzkiej, jęj jednę się lękał, bo w inną nie wierzył. Niebawem, osiadłszy na wsi, zapragnął zaszczytów. Dom urządził z przepychem, zenił się z panną starego rodu i widzi, że zaszedł dalej, niż ma-

rzył „Krew senatorska, mówił po ślubie, do łoża się kładąc,—ostatnia kropelka krwi pańskiej w mych rękach. Doczego-m doszedł... krew taka w mych rękach!“ I rzecz dziwna: ten zimny zbrodniarz w objęciach kobiety, imponującej mu starodawnością rodu, potulnym stał się barankiem; co rozkazyła—czynił i, niemy, szklannymi oczami spoglądał na gachów.

Mecenas Dolibowski (*Syn marnotrawny*) jest Malepartą, ale wykintym, rozporządzającym całym aparatem błyskotliwości i wielko-światowego poloru. Dobrze widziany i znany na dworze, przyjaciel królewskich sekretarzy i szambelanów, żył na stopie poufałości z najpierwszymi domami. Bywał na pokojach pani krakowskiej, księżnej marszałkowej, u wojewodziny mściśławskiej, kasztelanowej kamieńskiej, Czartoryskich, Tomatysów, Teppera, — stosunki miał liczne i świetne. W elegancji najpierwszym dorównywał młodzieńcom; jeździł karétą, dawał obiady, pił z hetmanem, — niktby się w nim człowieka do interesów domyślić nie mógł, rozprawiał tylko o kobietach, grze, zabawach i ucztach. Tymczasem na trybunale bez Dolibowskiego nikt kroku nie potrafił uczynić. Czy szło o pozyskanie marszałka, o tajemne podstępstwo rejestru, czy o inną jaką nieczystą natury robotę,—udawało się to tylko przez niego. Robił zaś darmo, dla przyjaźni, albo za grubą peniadzę, których nigdy nie brał dla siebie. Przed krakami stawał w extraordinaryjnych tylko wypadkach; właściwóm dla niego polem były kulisy. Sprzedawał i kupował majątki, frymarczył dobrami, traktował o odstąpieniu urzędów, o zrzeczeniu się starostw, o kupno stopni wojskowych, a nawet order. Rozwodził i kleił małżeństwa, rodziny godził i waśnił. Ze wszystkimi był dobrze, miał też wstęp wszędzie, a gdzie go jeszcze nie zyskał, — napewno, choćby ciemnymi schodami wcisnął się jutro, bo go ktoś wprowadził i podparł. Przyznawali wszyscy, że był człowiekiem najmiłszym, o zasadach i cnotach jego milczano. Podejmował się spraw brudnych i w każdej z nich upatrzył jakąś stronę dodatnią. Pracował tylko dla możliwych; z ubogimi i małuczkami wdawać się nie chciał. W potrzebie na upatrzoną ofiarę nasyłał zbójców; po dokonanych fackie ubolewał serdecznie i przyjaźń gorącą udawał.

W szeregu młodzieży uposażonej bogato i w gruncie niezłej, lecz wychowanej fałszywie i marnującej wszystko w szalonych zabawach,—staje uczeń Poinso't'a, ono chłopię,

z rak bogobojującej babki wydarte przez matkę i oddane na łup francuza.

Z dobrze zachowaną wiarą stawał młodziutki Alfier w Warszawie i życie wielko-światowe rozpoczął od przypadkowego udziału w orgii, do której wciągnięto go gwałtem. Znalazłszy się przy dziewczętach z baletu, aktorkach i innych panienkach bez ceremonii, w dziwny się jakoś uczuł pozycyi. Usiadł przy jednej, lecz dotknięcie jej sukni twarz mu oblało ukropem; spuścił oczy, nie śmiał poglądać; spostrzegłszy jednak swoją wstydlivość, z obawy, żeby się z niego starsi nie śmiali, — podniósł wzrok na sąsiadkę i nagle bardzo wielkiego śmiałka poczył udawać. I istotnie śmiałości nabrał, gdy dla jakiegoś dziwnego pragnienia liczne wychylał kielichy, aż mu się dowcip rozwinął, rozwiązały się usta i nauki Labe Poinso't'a o wyzyskiwaniu życia przyszły na pamięć. Gdy starzy biesiadnicy sztydziłi, że do kobiet i kart igrał mało, że gotów się nawet turbować, iż na noc nie odmówił pacierza,— „proszę sobie, zawołał, chcąc się pokazać daleko gorszym, niżli był w istocie,— proszę sobie nie wystawiać mnie tak młodym i tak niewinnym“. I oświadczał, jako nie wierzy w nic, czego nie pojmuje rozumem; śmiechem odpowiadał, gdy wspomniano o dyable; a na zapytanie, czy Bóg istnieje, odpowiedział: to wielkie pytanie!

Wszedł niewinny Alfier w życie hulaszczę i upodobał sobie w niem bardzo. To, co mu się z początku wydawało dziwnem, przykrém i straszném,— powoli poczęło mu się przedstawiać wesołym i miłym. Twarze biesiadników przybierały wyraz szlachetniejszy, słowa miały znaczenie przyzwoitsze, przez mgłę jakąś widział tam tou jakiś dobry, dowcip i filozoficzną w pojęciach głębokość. Po co, pytał, jestem w stolicy?— żeby używać, rozpocząć życie. „Spróbuję, użyję świata, napiję się ze wszystkich naczyń rozkoszy.... Życie bez wrażeń byłoby ciągłym pogrzebowym pochodem.“

Rzucił się w wir życia, wśród szaleństw odmienił się mocno. Po roku pobytu w Warszawie nie przestał jeszcze używać i pragnąć, lecz stracił już wszystkie iluzyc; patrzył na życie czarno i zimno. Chłód nosił w sercu i głowie; widział wokoło pospolitą tylko, czczość, brud i jalowość, a to go pomimo namiętnego temperamentu ani porwać mogło, ni unieść. Nie mając samodzielną roli polityczną, od niechęcienia trzymał się dworu i stosownie do okoliczności przechylał się z nim w jedną stronę lub drugą. Nad nieszczęściami kraju wzdychał,

utrzymywał, że nikt go nie potrafi ocalić, no-
we nawet przepowiadał nieszczęścia, i — ba-
wił się, marzycielami i zapaleńcami nazy-
wając poczynających inaczej. Ze wszystkiemi
stronnictwami żył dobrze; przyjmował u sie-
bie każdego i bywał wszędzie. Sam był
neutralny i miejsce neutralne, w którego sie-
ni razem z plaszcem zostawiało się swoje
opinie, — stanowiły jego salony.

W życiu hulaszczem cały utracił mają-
tek i ogarnęła go do samobójstwa wiodąca
rozpacz. Ocalił go grunt dobry, zasady,
wszczepione w dzieciństwie przez babkę.
Straszyla go staruszka wizerunkiem brzyd-

kiego dyabła i w wyobraźni Alfiera potwór
ten pozostał raz na zawsze, we wszystkich
okolicznościach życia, jako Cavaliere Foto-
fero się zjawiał i kusił. Lecz czuwał nad
nim: aniół, — towarzysza jego dzieciństwa,
wychowana w szkole pobożnej babki i re-
prezentantka jej zasad — Anusia. Po osta-
tniem zgraniu się karty, przez ubóstwo
z wielkiego świata wyparty, wstąpił Alfier
do wojska i, przeobrażony do gruntu, poślubił
Anusię. „Pierwsze wrażenie młodości“ od-
niosło zwycięstwo nad wychowaniem fran-
cuzkiem; robota Labe Poinso'ta czasową
tylko była narzutką.

W orgii czasów Stanisława Augusta na-
czelne miejsce zajmują kobiety.

Kokietowały Poniatowskiego podczas ko-
ronacyi, a straciwszy cierpliwość i skrom-
ność, same później biegły ku niemu, wo-
lając: choć dzień jeden niech będę królową!
Które wstydu nie sprzedaly i nie mogły się
splamić, płakały gorzko, — takich jednakże
było niewiele. Prawie wszystkie spragnio-
ne miały szczęście być kochanemi przez
króla dobę jedną, tydzień lub miesiąc; ode-
pchnięte czy opuszczone, dla utulenia się
w ciężkiej żałości, chwytaly pierwszego le-
pszego (*Afaleparta*). Józka podkomorzego
i wielu innych, markiza Lhuillier, hr. To-
matis, niegdyś sławiona artystka; słynna
z wdzięków i głosu szambelanowa Camelli,
drogo niegdyś kosztująca króla Schmittowa
i drogo również księcia ex-podkomorzego
Trnskołaska; trędowata, brzydka, a wdzie-
czająca się księżna wojewodzicowa męcisław-
ska, margrabina Lucchesini, ku której dla
miłości ojczyzny i traktatu z Prussami go-
rzał Niemcewicz, — oto naczelny szereg
owoczesnych rozpustnic (*Kawał literata*).
Przez nie zgorszenie coraz szerzej zataczało
się kołem, aż dosięgła zaraza pokoleń na-
stępnych (*Boża opieka*).

Przypatrzymy się pięknym paniom w sa-
lonie.

U starościny małogoskiej spotykamy sa-
me bezwstydné kobiety, czyhające na nie-
winnego, świeżo z prowincyi przybyłego
młodzieńca, o którym mówiła plotka, że
się zakochał w tancerce.

Szturm przypuściła pani Lucchesini i już
chłopaka ognistym przebieja wzrokiem, gdy

świeża, bieluchna, rumiana, piękna blondyn-
ka, jedna z tych rozkosznych starościan, któ-
re kochali wszyscy, — najbezczelniej na
młodzieńca napada. „Wstydby nam było,
wyrzekła, żebyś z tylu piękności wyższego
towarzystwa wybrać sobie nie umiał... Nie
jedna z nas gotowaby się poświęcić, by cię
wydrżać z niebezpiecznych szponów tan-
cerki...“ Przystępuje i trzecia z obliczem
rafaelowskiej Madonny, z oczami, w któ-
rych ulgnawszy, można było lata przema-
rzyć i prześnić wieki. Najpospolitsza z ko-
biet, ledwo miała trochę poloru, niewiele
dowcipu, nie serca, — ale za to celowała
odwagą, jaką ją obdarzyła piękność cud-
owna i tę pewność siebie, której nabyła, wi-
dząc wszystkich przed sobą na kłęczkach.
Na młodym człowieku bez ceremonii wy-
mogła, że ją odwiózł do domu: ciekawością
zaś trawiona piękna blondyna pojechała za
nimi: czekała w powozie na młodzieńca
dopóty, aż wyszedł, i zabrała go z sobą!
Nie bez zasady matka, dając przestrogi sy-
nowi, pomiędzy innemi zaleca: „z kobieta-
mi ostrożnie; Warszawa jest stekiem za-
lotnic, a najgorsze nie są podobno na do-
le“ (*Dyabel*).

Kraszewski przedstawia długą galeryę
bezwstydnic, poczynawszy od arystokratycznej
balamutki, zmieniającej męża trzykrotnie,
aż do sprosnej meklerki Szwedzkiej i ohy-
dnej nierządnicy Julii (*Dyabel*). Nie bę-
dziemy malować ostatnich, jako zbyt po-
spolitych i wszystkim właściwych czasom;
zaznaczamy tylko typ w stylu bardziej
szlachetnym, — Dosię (*Syn marnotrawny*).

Osóbka woniejąca, od oczów i ust aż do
drobniutkich nóżek śmiejąca się cała, jak
cukierek różowa, śliczniuchna, wdzieczna,

miała w sobie coś kwiątka, ptaszka, dziecika, motyla, a trzpiota najwięcej. Kobięcinka caczusko... Zręczna, jak lalka, z pyszczkiem różowym, czarnymi oczami, kruczemi włosami, płcią śnieżną, — żadna potęga w świecie ust jej zamknąć nie mogła, śmiertelny grzech własny umiała wypłacać. Przy sercu najlepszym była istotą w świecie najslabszą, grzeszącą bez świadomości grzechu, tyle winna za swoje postęпки, co wróble i sroczki. „W ciągu lat kilku trzech miałam mężów, a oto abszyt dałam trzeciemu, bo mnie znudził śmiertelnie. Pierwszego mi opiekun narzucił i, choć z góry wiedziałam, że nie potrafię z nim żyć, — wyszłam, bom potrzebowała raz się uwolnić i na świat wyjrzeć. We dwa tygodnie tak ułożyłam, że sam zażądał rozstania i odetchnęłam... Nad drugim uczułam litość, bo kochał serdecznie i był niezłego, ale miał nalóg, — co raz to jedną stronę twarzy pociągał i marszczył. Tak mi to na nerwy działało, że mu musiałam w końcu powiedzieć, iż umrę... Był czulem poczywym, — zapis mi zrobił, śliczne brylanty darował i poszedł. Trzeci statysta, pedant, nudziarz, a co najwięcej — taki zazdrośny, że mnie przyprowadził o rozpacz. Do nikogo się uśmiechnąć, z nikim pogadać, — zaraz fochy, dasy, wyrzuty, gniewy. W sąsiedztwie bardzo mi się podobał francuz, czulek wysmienity; aż, złapawszy dwa listy i dowiedziawszy się, że parę razy w lasku dała rendez-vous, robi mi stary nudziarz historyę! Musiałam mu słowa prawdy powiedzieć... kiedy tak, to tak!... bywaj zdrow, adieu!“

Dosienka bałamucila mężczyzn straszliwie ze śmiałością i cynizmem, niesłychanym nawet pod owe czasy. Chcąc na przekór wszystkim wydać się za mąż, — natrętnie oświadczała się, do ożenienia zmuszała, aż, dotknięta zawodem, z jakimś kasztelanem pojechała do Eger. Kobięcinka szukała wrażeń: „passjami lubię hecę, mówiła, bo porusza ogromnie, a ja lubię, gdy mnie co mocno porusza!“

Szukanie rozrywek było właściwością wszystkich ówczesnych niewiast; dla rozrywki szły za mąż, politykowały, rozsiewały ploteczki, tworzyły skandale, — czyniły wszystko, aby nie ziewać. Księżna Karolina de Nassau (*Kawał literata*) wzdychając: „wszystko na tym niepokojnym świecie, mówiła, rozezarowaniem i zawodem się kończy. Zbliżasz się, — blaski przepadły; chwytasz, — bańka mydlana staje się brudną wodą kropelką; mnie zbliżaj się i nie chwytaj; admiruj zdala i śmieć się, — wszystko jak na teatrze dobre, póki zdaleka“.

Nudzila się, więc szukała rozrywek i w innych najgorsze tolerowała excessy. Zżyła się, gdy bracia wypędzali sekretarzy siostr swoich, „coż to szkodzi, mówiła, że odmlodnieje biedna kobieta, że na chwilę odżyje... wam wolno, co chcecie, nam nie... Wyście bohaterami, gdy głupstwa robicie, a my występne...“ Najmilszym było dla niej w coś bezprzykładnie zagmatwanego się wplątać; bawiło ją, że płała figla i że historią wypadku będzie mogła opowiadać ubarwioną co raz inaczej. Siejąc plotkę, dodawała do niej wariacje własnej kompozycji i ci, co się powoływali na jej świadectwo, sami pod zarzutem bałamuctwa stawali. Wezwana o wyjaśnienia, znów rzecz całą komponowała i niewiedzianno, czego się trzymać. W opowiadaniu niebywałych rzeczy mogła rywalizować z księciem „panie kochanku“.

Niemoralne, nie są surowe dla mężczyzny i jedynie powierzchownego żądają decorum. Niewymagam od ciebie, mówi matka synowi, zbytnej surowości obyczajów, któraby niewłaściwą była w tym wieku; ale cię proszę, żebyś swoje passye hamował i zawsze w nich przyzwoitość powierzchowną zachował. „Świat sądzi surowo nie z czynności i myśli, ale z pozoru, o który chodzi najwięcej“.

W wychowaniu o ogładę przedewszystkiem im idzie, a francuzczyźnie hołdują bezwzględnie. Matka rekomenduje syna królowi w ten sposób: „nie wychowałam go wcale po polsku, ledwo umie ten język; a co do sposobu myślenia, obojęcia się i wyobrażeń, mogę zaręczyć, że nie powstydzilibym się Michasia w Paryżu“.

Egoistki, zasad nie mają żadnych; wszystko dla własnego interesu gotowe poświęcić. Bądź ostrożnym, prawi matka synowi, w obiorze przyjaciół i partyi. Miejsce twoje naturalne na zamku, lecz, że wkrótce zapewne górę weźmie stronnictwo przeciwne, — nie zrywaj z nim przeto i nie występni przeciwko niemu stanowczo, zapatruj się na ludzi, którzy jednej stronie sprzyjają serdecznie, lecz ze wszystkimi są dobrze lub nieźle. Zując na dworze, z konieczności być trzeba ostrożnym i dwóznacznym, dla wszystkich grzecznym; nikt niezna jutra i tych, którzy jutro panami być mogą. Będąc przeto z familią, a nadewszystko z zamkiem serdecznie, nie zaniedbuj wszakże stronnictw przeciwnych; bywaj wszędzie; tylko się do klubistów nie męszaj, o ile można, bądź z nimi zdaleka. Jeżeliby, ucbowaj Boże, nastąpiły jakie niespodziane wypadki, — pamiętaj, że na chwilę może jakiegolwiek przeważać stronnictwo, ale prędzej,

czy później, wezmą górę silniejsi lub liczni. Najlepiej się nie narażać i trzymać na stronie (*Dyabel*).

Podobnie nauki daje mężowi Krystyna (*Dola i niedola*). Z obrania tej lub innej drogi nie myśli ona o korzyściach dla kraju, lecz jedynie o wyzyskiwaniu położenia dla siebie. „Nie należy wyłącznie do kogośkolwiek się garnać, ale o ile możności ze wszystkimi być dobrze, czekać i patrzeć, aby nas wypadki nie zgmiotły. Każde stronnictwo wymaga ofiar; ty zaś, ani ja nie możemy być pastwą. Trzeba być zawsze gotowym stanąć przy silnych; cała twa mądrość — grać rolę obojętną, niewyraźną, dać się wszędzie pożądać, pokazać czasem, że się ma siłę, lecz jej nie poświęcać nikomu i nigdy.”

Kobiety czasów stanisławowskich przerażają się zimne, energiczne, zazdrośne i uściwe, a Krzysia (*Dola i niedola*) wyśmienicie łączy te cechy, właściwe wszystkim. Filozofująca, chłodna i rozsądna bardzo, gdy szło o drugich, najlepszą była dla siebie. Spokojna, sercowych pozbawiona porywów, tym niebezpieczniejszą była dla mężczyzn, że, jakie chciała, uczucie umiała odegrać, a komedia nie nie kosztowała jej nigdy. Dla interesu wyszedłszy za starca, który niewymowne męki znosił w podagrze, Krzysia pilnowała biedaka, jeździła z nim, a za to, że przez pięć minut dziennie słuchała cierpliwie lub niecierpliwie stękań, jęków i narzekań chorego, — miała w podróży mnóstwo sposobności do zabaw. Dogorywający wielbił cnoty swojego anioła stróża, gdy tymczasem troskliwa żona śmiała się z niego w wybranym towarzystwie młodzieży, filozofów, poetów.

Jedną z cech charakteru Krystyny była potworna zazdrość. Ze przyjaciółka podobiała się królowi, — ona nie spała, nie jadła, nie miała chwili spokoju, zabiegała na wszystkie strony, póki nie posiadała na chwilę serca monarchy. Dobroduszna przyjaciółka zwierza się jej ze swoją miłością, widokami i planami przyszłości, — a Krzysia zapragnęła zaraz napić się również z tej czary, zamierzyła stosunek przyjaciółki zniszczyć na korzyść własną.

Zimna i chłodno zepsuta, serce miała uśpione, do ocknienia z letargu nie łatwe. Gorzała głowa i zmysły chwilowo; sumienie nie dawało jej nigdy uczuć dotkliwie, jak głęboko brnęła w to błoto, które dla niej powszednim stało się chlebem. Uważała życie za rodzaj gry hazardownej lub wyścigów do jakiegoś skrytego celu: biegła do niego, bo biegli inni; nudziła się i mę-

czyła pogonią, więc co raz nowych szukała rozrywek. Przyjaciółce wydarła kochanka i wydała się za męża. Pragnęła nim rządzić bezwzględnie i traktowała, jak dziecko, a gdy się oparł i samodzielności chciał zażyć, — wypędziła go, ścigała zemstą i z zemstą w piersiach umarła.

Inne niewiasty są do Krysi podobne: jak ona energiczne i zimne, egoistki, nad męskim rodzajem panujące wszechwładnie, wzięcie za podrażnione uczucie swój dumy nie cofające się nawet przed zbrodnią.

Zuzanna (*Malparta*) z bojaźni staropanieństwa pragnąc za kogokolwiek wyjść za męża, — wstrętnego, lecz bogatego konkurenta znajduje miłym, a wieści o jego zbrodniach stara się zatrzeć. Mężowi nieograniczenie panuje, a gdy, straciwszy krew zimną, zrobił awanturę z jej gachem, — ogłosiła go za szaleńca, uwięziła i zemstą dotknęła okrutną.

Sabina (*Macocha*), byleby skarby odziedziczyć po mężu, każe go otruć; wyrzeka się ubogiej siostry, jest cyniczną, wszelkich delikatniejszych uczuć pozbawioną.

Hrabina Estella (*Boża opieka*) „osoba wyższa, bez przesądów, która wszystko potrafiła zrozumieć, nie gorsząc się niczem“, namawia kochanka do zbrodni; wojewodzina (*Syn marnotrawny*) na pasierba, że jej kochankiem być nie chciał i w interesach majątkowych stał na zawadzie, — nasyła zbójców, starego męża za waryata ogłasza. Wogóle ze czci i sumienia wyzute, potworzeni są owe niewiasty. Umierają trawione zemstą, lub toną w kale: Sabina rozpija się i tarza w rynsztokach, Zuzanna ginie w merzardzie.

Obok powyższego, przedstawia Kraszewski i typ inny — kobiety czulej, sentymentalnej, dobrodusznej niekiedy. Wartością moralną przewyższa Krysie, Zuzannę, Sabinę, — stanowi jednak tylko, rzec można, pewne od ogólnego typu zboczenie, do tej bowiem kategorii należące niewiasty w młodości były Krysiami i dopiero w jesieni, a nawet w zimie pod wpływem życiowej pustki jakąś tęsknotę poczuły serdeczną i — umierają z miłości.

Przeszłość ich wszystkich bez cienia nie jest. Podczaszyna Ordyńska (*Dyabel*) pomimo tego, że miała męża, była jedną z najgorliwiej poklaskujących przy koronacji Stanisława Augusta, który też u stóp piękności ugiął królewskie swe czoło. Zimne i nietknięte serce tej pani, zarty sobie czyniące z uczucia, uderzyło prawdziwie; miłość jej nie знаła granic, przyzwitości i przeszkód. Niestety! król ją po-

rzucił; zrozpaczona starościana znikła nagle ze świata, szukała zapomnienia w Paryżu, Rzymie, Neapolu, Florencyi, — wszędzie ją ścigało widmo kochanka. Zakopała się na wsi, paliły ją jakieś fantazyje, ktorémi się pragnęła odurzyć; stawiała się z kolei artystką, literatką, ogrodniczką, filozofką, — w niczém zapomnienia nie mogła znaleźć, aż umarła ze smutku.

W trzydziestoletniej Julii (*Dola i niedola*) zwątpienie pasowało się z wyczerpaniem, a pragnieniem się jeszcze czegoś uchwycić życia; resztki ognia tlały w jej sercu i z jakąś niemocą duszy toczyły walkę. Spotkawszy w podróży kilkunastoletniego chłopaczka, zapalała ku niemu miłością: wychowywa go, kształci i kocha pomimo tego, że jej niewdzięcznością, zapłacił, bo zdradził i ożenił się z inną. W płochę kobiecie z sercem i tłem, co zwała miłością, przywykłej igrać, prawdziwe uczucie było objawem nowego życia. Codziennie stawiała się mniej śmiałą, czystszą, szlachetniejszą, a mniej fałszywą; wstydziała się wspomnień młodości, odpychała je, jak pamięć ciężkiego grzechu.

Wojewodzina (*Kawał literata*), stara ruina, przy świecach, w półcieniu uchodząca jeszcze za piękną, niekiedy balamucia staruszków, chociaż wolałaby uwodzić młodych. Przymilająca się, sentymentalna, wzdychliwa, palcem nadawała wygięcia misterne; z dziecinną naiwnością przechylała swą główkę; sznurowała usteczka, przymrozała oczki, podpierała się smętnie na białej rączce; odsłoniiony nieco gors z wielkim artyzmem klamał, to, czego uie było. W jej gabinecie, w kątku na marmurowej kolumnie stał z wielkim wysiłkiem łuk naciągający amoret; na drugim słupku niewieścia postać pół-naga, otulająca się drapeją, która nie chciała jakby umyśleć zakrywać kształtów tak pięknych. Chociaż żadnych nie prowadziła interesów, wojewodzina ciągle trzymała sekretarzy, aż w końcu z jednym wprost z bruku nieociosanym chłopem ślub wzięła. Zdradził, więc z rozpaczy umarła.

W porównaniu z redzajem mężczyźni kobiety pomimo rozwiązłości olbrzymiej z czarnego tła wieku wychodzą korzystnie. Mają siłę i zapal, inicjatywę, energią, rzutkość i śmiałość. Dazo posiadają rozum, szczególnie nieraz pieprznego zażywają sarkazmu, mieszają się do spraw publicznych i mężów uczą polityki. W ręku istot zepsutych, lecz ruchliwych i silnych, mężczyźni są ujemni na szuerek pieskami, wyglądają jak cienie obok postaci z bogatą karnacją

i kwią obfitą. Choć siły swoje w ujemnym zużywają kierunku, niebrak przecież i działających dodatnio.

Kasztelanowa kamieńska (*Macocha*), dowcipem swoim familią królewską chloszcząca ostro, współczesnych ludzi ocenia surowo, a jej poglądy uważa Kraszewski za trafną charakterystykę owego wieku. Pani Kamieńska lubi teatr, „szlachetny, wzniosły, który do pięknych pobudza uczuć i z powszedniego błota choć na chwilę wyprowadza człowieka“. Kasztelanowa wiska deklamuje Racine'a, konferuje z Bogusławskim i Bohomolcem, rekrutuje artystki.

W sferze praktycznej wielką rozwija działalność wojewodzina mściławska, do której Kraszewski powraca często. Zwolenniczka Voltaire'a i Rousseau, takt wielki i znajomość świata posiadała olbrzymią. W towarzystwie poufale przyjaściół pozwalała sobie żarcików z księży i ceremonii kościelnych, jednakże dla decorum raz w rok do spowiedzi chodziła, filozofią swoją zatrzymywała dla siebie, — nie wdawała się w propagandę sceptycyzmu i nie wyśmiewała po staremu wierzących (*Staropolska miłość*). Niesłychanej była czynności: wiodła processy, pożyczala pieniędzy, wydzierzała i zastawiała dobra, forytowała posłów, trzęsła trybunałami, rządziła synem i artylerją, której oficerów nominowała: wodziła za nos całą komissją wojskową, a po części brata hetmana, trochę króla, a prócz tego bawiła się w Kodniu wesoło i niezapominała o sobie. Strażnik koronny, Mierzejewski w wielkich u niej był łaskach, generał Kurdwanowski podobnie (*Dyabeł*).

Na świat i ludzi, których charakterystykę podano wyżej, żegnając się krzyżem świętym, wołali starzy: Sodom! na króla, który zgorzeniu przywoził, Sardana! wołali głośno.

* * *

„Po za dworem królewskim byli wszyscy ludzie z głębokiem uczuciem, z niepokonaną nadzieją, niestrudzonym zapalem, z wiarą i myślą“ (*Dyabeł*). Mowi to autor o prowincyi, charakterystyce której, oprócz materyałów w każdej prawie rozrzuconych powieści, poświęca rodzaj pamiętnika — *Staropolską miłość*. Na podstawie tej pracy i innych utworzymy świat „lepiej przewidujących, surowych proroków“ — antylezę warszawskiej orgii.

Na wielkiej przestrzeni kraju jedna, rzekłbyś, rozrodzona mieszkala rodzina, tak z sobą wszyscy żyli zgodnie, w pokoju i przy-

jaźni serdecznej. Rzadko dworek z dworkiem nie był bliżej czy dalej spowinowacony przez kogoś; jeden rodzaj życia prowadzili wszyscy, jedno kochali, jednóm oddychali, a do ochoczej pomocy każdy dla brata był gotów. Zwali się wszyscy braćmi i nie było to czeze słowo, ale wyraz wielkiego znaczenia, bo chrystyanizm w stosunkach malował. Ani partyi, ani podziału na stronnictwa, ani różnicy w sposobie pojmowania rzeczy nie było i być nie mogło. Nikt się nad drugiego nie wynosił, ani chciał rej wodzić: prawdziwa to była republika, do której i możniejsi garnęli się nawet, bez obłudy pana brata ściskając. Wszystko się tam знаło, kochało i niedaleko szukając związków, żeniło się i jeszcze mocniej wiązało do kupy. Sami to byli kumowie, szwagrowie, powinowaci i rzadki po imieniu a pokrewieństwie nie nazywał drugiego. Pokazał się obcy, tego najprzód badano i w pół godziny zwano panem bratankiem lub, choćby po prababce, — siostrzanem.

Stosunki takie pociągały za sobą i obowiązki, które spełniano ściśle. Wszyscy ujmowali się za jednym, gotowi byli z pomocą, z radą; i na myśl nikomu nie przyszło od jakiegokolwiek się wymawiać posługi... Nie wiele czelek potrzebował, przestawał na matém, a do głowy nikomu nie przyszło gwałtownie się dobijać fortuny.... Nikt nie pragnął nazbyt wiele, ba! i użycia tego nie byłby bardzo rozumiał. Kto tradycje szlacheckie i ducha starego miał w sobie, kochał ziemię, lubił swoje bydelko, bawily go kłopotliwe dla innych zajęcia gospodarskie; skoro raz zboże schował do gumna, nie bardzo o sprzedaż się troszczył, — na żonę ją zdawał, która lepiej sobie z tём umiała poradzić... Każdy kochał swoją wioseczynę i nie zamienilby ję na najwspanialsze pałace i klucze; choćby mu nie wiem wiele dawano zysku, dla z bogacem się ojcowizny nie sprzedał.

Trafiały się waśnie, processa i kłótnie, lecz były wyjątkowe i krótkie, bo nikt nie spoczał, póki się to nie zatarło i nie zagoiło się jakoś. Ledwo się szlachcie z sąsiadem podrapał, — wielu było, jeździli, chodzili, pośredniczyli dopóty, aż do uścisku doprowadzili zwaśnionych. Była to republika *re et nemine* zarazem, taka jedność serdeczna, jakiej nigdzie może nie zobaczyć na świecie. Jeżeli się nawet kłóciło, to po cichu i po bratersku, a sprawy kończyły się w kącie, żeby nie wychodziły za granicę powiatu. Mieli też owi starzy głęboko wpo-
one uczucie obowiązków i pojęcie o nich

snrowe; zaniedbanie się niepokoiło ich i gryzło.

Bez wygórowanych sentymentów, brakło bowiem czasu na miłość, ludzie się pocziwili, jak Bóg przykazał, żenili, żyli i miłowali się z sobą, chociaż zdarzał się i affekt gorący, który długie lata przetrwać petrafil. Przykładem wyjątkowo silnego u owych ludzi uczucia jest dworzaniu wojewodziny mściławskiej (*Staropolski miłość*).

Przybywszy do Kodnia i zobaczywszy młodą księżniczkę Szujską, „kolkiem w ziemię wrośnął“, idealnie rozgorzał, chociaż o wzajemności nie marzył. Miłość swoją ukrywał, jak zbrodnią; pokazywano go sobie palcami, był to bowiem osobliwy fenomen, jakiego od czasów Abelarda i Hełoiży nie widziano na świecie. Przez to swoje dla jednej kobiety poświęcenie stał się podziwem wszystkich; za złe mu miano tę miłość i nie miał go jako waryata uważali niektórzy. „Skorom ją zobaczył, prawi zakechany o swoim uczuciu, nie widziałem i nie słyszałem nic, prócz nić. To się wyrazić nie może, jak mi zawsze słodko było na nią poglądać i, w ustach języka zapomniawszy, chciałbym tylko słuchać i patrzeć — nie wiecć“. „Ję piękność żadnych we mnie młodzieńczych nie poruszała passyi, jakąś tylko cześć i poszanowanie, które wszelka doskonałość i wyższość obudzać zwykła“. Z natury bardziej skłonny do czei i poszanowania, niż do płechych jakichś zalotów, kobietę stawiał wysoko i taką otaczał światłością, że przed nią, jak przed nieziemską istotą, bił czołem. Dla przedmiotu miłości swojej ofiar nie skąpił i niewygasłe uczucia dochował do grobu.

Ci starzy dobrze rozumieli o sobie i rzetelną posiadali świadomość wyższości własnej nad światem orgii. „Inny nasz świat i dalipan lepszy... Pono ziemia powoli stygnie, czy i z nią nie stygną i ludzie? Każdy się odosabnia, wydziela, na klucz zamyka, gdy się u nas zapraszano, garnięto, szukano stosunku, powodu kochania, pomocy lub wsparcia.... Dziś każdy dla siebie i siebie: z kładki gotów jest zepchnąć, byleby sam suchą nogą przejść mógł wygodnie...“ „Nie brakło u nas miłości, lecz u was wstydu. Myśmy to w głębi serca chowali i jak świętą tajemnicę kryli w swęj piersi, z czém się wy, bezwstydną grając komedią, popisujecie... Wasza miłość nie jest tak czystą, ani tak trwałą, ani tak majestatycznie wielką, jak nasza. Tylko my nie umiemy się chwalić, słów nam braknie i srom pocziwy zamyka usta. Trwamy, kochając, do końca, choć żaden z nas w rozpacz w łeb sobie nie strzeli, aby o nim gadano...“

Przywiązaniu swojemu do wioski przeciwstawiają obojętność nowego świata na pamiętki i brak miłości dla miejsca. „Kończy się na tém, że i dla kraju będziemy zimni“.

Owi starzy Lhzej byli chłopka i prostoty patryarchalnej; z wieśniakiem „diedzie sobie, jak z bratem, przestawał... do jednego chadzali kościoła, chrzcili sobie dzieci nawzajem, wspomagali się, a w czasie żniwa siadłszy na półkopku pan szlachcie, tak swobodnie z chłopkiem gawędził i tak mu się dawał wywnętrzać, jakby się pod jedną rodzili strzechą“ (*Staropolska miłość*). „Piękny, powiada autor (*Dola i niedola*), był widok rodziny, nie krwią, lecz zespolonej miłością... gromada, dów, sługi i państwo stanowili z dawna całość serdeczną i spójną, posłuszną, jak zawsze w takich razach, aż do zaparcia się osobistej własności. Dworski i miejski majątek był niemal jednym, — pożyczano i zasilano się wzajemnie i nigdy właścianin nie ułakił się głodu, dopóki sterty w gumnie były u pana. Trafiały się, powiada Kraszewski, groza i ucisk, lecz gdzież obok światła mema niezbędnego cienia? Takim wyjątkiem jest szlachcie (*Boża opieką*), za uderzenie panieza pokrzykujący na dziecko chłopskie: „śmiał chamską rękę na szlachecką krew podnieść.... A to wam jaż kozaczyzwa w głowie... Różeg, łozy.... baty mu dać mnszę i krwawe...“

Ci starzy ludzie śmieszni często, nie bardzo wykształceni, prości, trochę przesadni, w wielu swych dziełach byli potężni. Cóż to robili? Oto duch miłości chrześcijański, jaki w nich gorzał: duch, którego ani rozum, ani żadna siła nie potrafi zastąpić (*Staropolska miłość*). Starym poczciwcom jedno tylko zarzuca autor, — uparte obstawanie przy średniowiecznej formie społecznej, zupełnie różnej od tej, jaką życie w reszcie świata wytwarzało powoli. „Czuć było, że się na starć pozycyi utrzymać nie można; postęp konieczny, na chwilę wstrzymany uporem, bezwładnością umysłową i obstawaniem przy nieruchomej zachowawczości, — domagał się praw swoich“ (*Dola i niedola*).

Na tle powyższem stawia Kraszewski najczystsza z nakreślonych osobistości starego świata — postać stolnikowicza Krzysztofa (*Dola i niedola*).

Sanna powierchowność o wewnętrznej wartości człowieka mówiła dużo: piękną, wysoką, wygoloną miał głowę ze spuszcistymi włosami, orlim nosem, a brwią zawieszoną nad łagodnymi i zawsze pogodnymi oczami. W rysach tej twarzy, królował spokój prawdziwego chrześcijanina, który nad sobą czuł bogą, a przed sobą widział jasno drogę

przezeń wytkniętą! Krzysztof wychowany w szkole ubóstwa i pracy, niewiele się uczył mądrości, ale dużo mu jój samo życie wpoili; umysł zdrowy za naukę wystarczył. Pojęć jego nie zamąciły sprzeczne poglądy i nie zwichnęły przeróżne wpływy, — wciąż w jedną spoglądał stronę, więc widział przed sobą jasno. Czytał mało, ale rzeczy, z których czerpie się wiele: Pismo św., kroniki, księgi prawne, akta stare, trochę starożytnych pisarzów, lubiał szczególnie św. Pawła i Senekę. Wiarę miał głęboką, serdeczną, ale nie przechodzącą w mistyczne dziwactwa lub w zimny racjonalizm: szanował formy, obrzędy, drobne nawet zwyczaje, do których jednak nie przywiązywał uwagi przesadnej. Wiedział dobrze, że duch i w drobnostkach się mieści, ale pojmował, że drobnostki ducha, gdzie go niema, nie wleją. Wiatr szesnastego i ośmnastego wieku wionął tu dziwnie, liście suche z drzewa otrząsnął, a zielone zostawił. Katolik gorliwy, był oświeconym, od fanatyzmu dalekim; pojmował, że najdroższem prawem człowieka jest wierzyć według własnego natchnienia. Z nikim też dysput o wiarę nieprowadził, ani też sobie żarcików dozwalał z endzych przekonań.

Dla poddanych rzetelnym był ojcem; w daleką wyprawiając się podróż, przed przybyciem na pożegnanie gromada zdjął czapkę i rzekł: „zwierzam wszystkim na wasze ręce, pilnujcie mojego, jak swego, wszakże to tyle wasze, co moje. Nigdy się przecie podzielić z wami nie wahał bydełkiem, chlebem lub groszem...“ Podano wódkę i przepił pan Krzysztof po dawnemu do swojej gromady; pożegnali się serdecznie, a ludęk odszedł powoli i stanął u bramy, chcąc jeszcze pana przeprowadzić oczami i pokłonić mu się, gdy ruszy.

Nosił nasz bohater nazwisko arystokratyczne i niemniej był dumny. Panów nie lubiał, z Radziwiłłami, Sapiehami i z innymi potentatami żyć nie chciał, jego bowiem imieniu lepiej przystało niezależne ubóstwo, niż dworowanie, któreby kosztem cudzego upokorzenia pańskiej dogadzało próżności. Na ludzi nowomodnie chowanych patrzył surowo i smutne z nowego trybu życia wróżąc następstwa, samemu królowi miał odważyć ostrą z tej okoliczności zrobić wyśmówkę.

Krzysztof miał z pozoru postawę z granitu, miękkim jednak był w gruncie; w nie-szczęściu dla odpędzenia rozpacz ukojenia szuka w modlitwie. Padającemu na kolana, „lży nagle z oczu tryskają, jak z chmury deszcz nawałny“; odmawia ze skrucą: „kto-

ryś za nas cierpiał rany“ i bije się w piersi. Zasiadziały w ojczystej wioszczynie, wiele przecierpiał, napłakał się i namodlił, nim się na podróż do Warszawy zdobyć potrafił. Ze światem modnym łączył go syn, na wychowanie zabrany przez możnych i do tego stopnia zepsuty, że nie poznawał starego ojca. Krzysztof obłąkania dostał w rozpacz i przed wizerunkiem Chrystusa stanąwszy: „za cóżes Ty mnie, wołał, ukarał? powiedź! mów! Czy chcesz mnie zrobić świętym? męczennikiem? czy pastwą szatana? ha! mówże, odezwij się! Ukarałeś mnie za to chyba, że Ci służył, żeś przykazaniom Twoim był wierny...! I jak! Nie! nie! nie ma dla nas Boga! niema...“

Uosobiony w Krzysztofie świat stary w zetknięciu z nowym dostał zawrotu głowy: usunęła się z pod niego podstawa bytu i zapadł w przepaść, by na gruzach jego orgia zabuchwała szalona. We wszelkich antytezach zohydza się rzecz jedną nietylko przez narzucenie na nią barw odpowiednich, ale i przez zidealizowanie innej, mającej stanowić biegun przeciwny. Dla jaskrawszego odmalowania zepsucia ośmiastego wieku, Kraszewski, prócz scharakteryzowania ogniskującej orgii stolicy, na życie prowincyi rzucił światło rześiste, które padło również i na postać Krzysztofa — wcielenie cnót naszych praojców. Lecz starzy ci ludzie obok niepospolitych przymiotów posiadali i wady; byli oni, powiada autor „śmieszni często, niebardzo wykształceni, prości, trochę przesądni“. Dopiero wady powyższe, związane z cnotami, stanowią człowieka realnego, w roli którego występuje Podstoli (*Kawał literata*).

Jestto zardzewiały domator, z beczynności roztyły, zabrukany i zakwaśniały szlachciura, nawykły do rozkazywania i obracania się w swoim światku małym. Wyruszywszy z domu, czuł się jakby w nie-swoim żywiole, w obcej atmosferze i w duszy na niepotrzebny wyjazd narzekał. Twarz miał nalaną i bladą, oczy głęboko utopione w policzkach i pod brwami nos zawieszisty, obrzękły, — wąsy kształtów zaniedbanych i barwy niepewnej. Ogólny wyraz twarzy mówił o bucie szlacheckiej, o złym humorze. Pomimo wytartego, wyszlizganego na łokciach surduta i kamizelki, zabrukaniej sosami, chciało mu się wyglądać pańsko i dął się. Wszystko lubiał od początku, *ab ovo*: „ja się domyślać nie chcę; po co mam głowę pracować, kiedy gotowe mieć mogę“. Lubo niedowierzający, gdy mu kto skłamał beczelnie, dał się obalamucić; zaimponować można mu było pewnością siebie i dumą.

Na żyda nieinaczéj wołał, jak: „trutniu“ a przesądny był dziwnie. Widział na polach przebiegającego zająca, starą babę, przechodzącą przez drogę z próżnemi wędrami; trzynastego w feralny dzień wyjechał z domu, — wszystko to niemają przejmowało go trwogą. Na drodze do Warszawy, na starą, ciągle psującą się bryczkę zabrał podróżującego poetę; służący, że mu to nie było na rękę, rzekł: „co za dziw, że nam się wszystko psuje, tego nigdy nie bywało... A trzeba nam było brać tego człowieka.... ta to on jakiś malinkowaty, to z niego poszło wszystko, proszę pana... jak Boga kocham z niego.... Heretyk, albo co“. Zabobonny podstoli, „kto wie, rzekł w duchu, to może być... poeta... ta to wszystko niedowiarkowie, jak i ten Voltaire.... tom sobie biedy nim napytał“. Westchnął i młodzieńca się pozbył.

Nie podobala mu się stolica. Złodzieje spolił furmana, skradli konia, wyprzątnęli brykę, „a to jaskinia zbójców, mości do-brodzieju, a to jama lotrowska.... Sodomy i Gomory te miasta, a jabym to na cztery rogi podpałił, zniszczył i solą zasiał“.

Służbie ciągle groził batami: „dwadzieścia pięć temu gapiowi, temu niezdarze, śmierzduchowi...“ Od dwudziestu pięciu dochodził do pięćdziesięciu, do stu, byle do domu powrócić, — a służba śmiała się z tego. Rozkładał baty na porcyce. Kłął się, że nie-przepuści żadnego. Gdy mu drugiego skradziono konia, „co jejmość powie? Żem bałwan i będzie miała słuszość. Ta powolność dla ludzi mnie gubi... ale dość! teraz ja im pokażę, teraz wezmę ich w kluby.... To chamskie plemię, z tém inaczéj nie można, jak bij a siecz“.

Owego poetę, którego się z bryczki pozbył niegrzecznie, spotyka w Warszawie wystrojonego i jeżdżącego karetą: „Niech mnie jasny piorun ubije, niech nie dojadę do domu, bodajem zksiał, jeżeli posadzenie miałem najmniejsze, gdyś go jako chudo-pachołka podwoził na końcie, że to taka bestya czubata. Ale któż go mógł posadzić o to? kto? Byłbym go podle siebie posadził! Słyszysz? No! proszę, mieszka w pałacu i hrabia. A niechże go wilcy, mocidzieju....“ „Macalem mu fraka, — prawdziwy aksamit, grodeturowa czy atlasowa podszewka jedwabna... Zobaczmy konie! Jak Boga jedynego kocham, co za konie, a chomaty, — patrz! chomaty! Szelma! A liberya! Patrz! siada, — jak mi zbawienie drogie“.

Gdy pytano, czy obiecane baty służbie wyliczył, „at, co o tém mówić! gdzie tego juchę bić było, kiedy musi robić około stajni,

Byłby mi się położył, — do pierwszego razu darowałem. Teraz mi w drodze worek z owsem przepił i powiada, że mu skradziono; za powrotem, jakom żyw, dostanie. Ale niewięcej nad dwadzieścia pięć, bo to się wysypie od jednego razu i chodzić będzie. O! teraz, tom się zaprzysiągł, na co mam największego; takiego łajdactwa przebaczyć nie mogę, — na sumieniu bym miał“. Z pogroźką zirytowany spać poszedł i apoplexyą dotknięty, pocziwego wyzionął ducha.

Do charakterystyki prowincjonalnych pocziwców dorzucił i pana Obucha (*Staropolska miłość*), o którym dużo w niewiele można powiedzieć wyrazach. Barczysty, gruby, wyglądał na chłopą; gadał i śmiał się nieustannie, a więcej jeszcze śmiał się śmiechem jakimś tubalnym, niż gadał. Wszystko, najsmutniejsze rzeczy nawet, do wesołości go potrafiło pobudzić. Rękę panny, o którą się starał, smoktał, lecz kubka nie mijał. Gdy ciężko zachorował z opilstwa, powiadał wszystkim, że mu „w brzuchu żaby kumkają wyraźnie“.

Inną kategorią stanowią zasiedzieli na prowincyi panowie: starosta Poraj i książę Szujski. Jaśnie Wielmożny pan starosta (*Maleparta*) pił i polował; w potrzebie choć sześćdziesiątki dobiegał, zatarłszy wygolonej czupryny, koperczaki stroił do wdówek; pracowicie sejmikował, forytując swój partyi kandydatów kielichami i szablą, słowem żył czynnie i spoczynku nie cierpiał. Duszą i sercem należał do panów, dumny był, jak grand hiszpański, lubiał wystawę, zbytek, uctowanie, paradę, jak bogacz, choć wcale nim nie był, bo stracił fortunę i długami obciążył ją mocno. Nie martwilo go przecieź ubóstwo: gdy kredytor żądał pieniędzy, najprzód go poił, karmił, drwił z niego po cichu, a honorował wielce na pozór; gdy tém wszystkiém nie potrafił szlacheica ugłaskać, w zamian za kapitał obiecywał protekcję swoją i pomoc. Nareszcie, jeżeli i tém niezwyńczył, dozwalał processować; wygranę był pewnym, gdyż jako starosta, trząsł sejmikami, wybierał urzędników i władał sądami.

Robił więc dług, pił, jadł, spał, sejmikował, jeździł na zinę do Warszawy i w śmieszenie udawał magnata; a toby go ujrzał z podniesioną głową, z zarzuconymi w tył wylotami kontusza, szpakowatym wąsam, pokreconym do góry; z ręką jedną na karabeli, drugą za pasem bogatym, — wzięłby go niechybnie za jednego z najmajętniejszych obywateli, którzy w piwnicy złoto chowają beczkami.

Z lubością malował osoby wyższego świata,

z którymi żył w najściślejszych stosunkach; gdy zamierzał odwiedzić Warszawę, mawiał do siebie i innych: „dałem słowo wojewodzie, kasztelanowi, księciu, że się zbierzemy razem; sam król jegomość szukałby mnie oczami niespokojnie, gdybym nie stanął na termin“.

Różnych używał środków, aby wobec ludzi okazał wystąpić: kazał n. p. żydom w miasteczku postawić egzekucyę, lub wszystkich posadzić do turmy: „mogli oni, mawiał, Chrystusa pana męczyć, — niech pokutują“. Zresztą, skoro się zjawił u niego ktoś taki, co podejmował wspaniałej, „mniej-sza o to, prawil do siebie; wiedzą, że gdybym chciał, miałbym z czego pokazać się lepij“.

„My magnaci, mówił, nie stanowimy, jak to mylnie utrzymują, osobnej klasy, osobnego społeczeństwa, że tak powiem — rodu. Co jest znakomitego w szlachcie, przechodzi do nas prawem natury, prawem koniecznego porządku. Jednych wprowadza ród dawny szlachecki, któremu lustru piastowane godności wyższe dodają; drugich wielka fortuna, innych talenta. Na naszym świecie iluż to nowych przybyszów, a ile z niego familii w dawne zapomnienie odpadło“.

Córkę największemu nikczemuikowi formalnie sprzedaje: gdy go dochodzą wieści o zbrodniach przyszłego zięcia, a posłaniec wraca z językiem, najbardziej się Poraj obawia, aby aspirant do ręki jedynaczki nie był żydem, przechrztą lub nieszlachcicem. Dowiaduję się, że doszedł do fortuny przez nabywanie majątków z processami, „to nie“, rzekł odetchnawszy. Zięć do zrozumienia mu daje, że ma sumienie nieczyste; — „a więc są plamy, zawołał starosta, załamując ręce; tyś mnie oszukał, tyś nie szlacheic“. Inne plamy nie przerażają go, — „to nie“.

W Warszawie bywał u wszystkich, ho wszędzie umiał się wkręcić, lecz ludzie z niego sztydził i nie mieli go za nic. Za exkuzę miał śmierć Augusta III i zmianę dworu: „jestem, jak w lesie, nowy dwór, nowi ludzie, nikogo nie znam lub mało kogo, całkiem inny skład rzeczy“.

Książę Szujski (*Staropolska miłość*) całe życie trawił na robieniu sobie partyi i adherentów, a to mu najlepiej dogadzało, gdy jak największą szturmą i halasem na sejmikach narobił. Czego chciał — dobrze nie wiedział; szedł za tym, kto się niżej pokłonił; śmieli się ludzie, a z buty jego krzesali korzyść. Polityk był tego rodzaju, że się zawsze strachał snów własnych. Wiecznie wszystkich podejrzynał, że pracowali dla *absolutum dominium*, że kuli zdradę, że kraj

sprzedać myśleli. Szlachta mu nowiny znosiła dzikie, hałasowała, objadała i pila; dla mniemanej roli statysty coraz głębiej brnął w długi, rujnował się, aby dumie dogodzić. Najuczciwszy i zasad prawych, gdyby rozsądku miał więcej, użytecznym byłby istotnie. Na statystę chorując, czytać i pisać nie umiał, ledwie się swego podpisu rysować nauczył. Nieuctwo swoje tail, wymawiając się od czytania bólem oczu, a w pisania cudzą zawsze wyręczając się ręką. To, co pochwylił z rozmów i sejmikowych gadanin, stanowiło cały zapas jego rozumu. Wielka u niego kwitnęła swoboda; do łochów prowadził — do miodów; „drzwi na rygle“ — i pili. Po mnogich libacyach spał każdy, gdzie się zdarzyło: pod ławą lub w łóżku. Jak sam płochy i szalona palka, nietroszcząca się o jutro, ani niczego mocno nie biorąca do serca, podobnież w drugich złego humoru nie cierpiał wszyscy mu być musieli weseli, w przeciwnym razie gniewał się, kłął i przepędzał.

Nieufność szlachty ku możnowładzcom była powszechną. Samo wychowanie rzucało przepaść pomiędzy panów i ziemian; oddalały témbardziej: zaszczerpiona w jednych pogarda polskiego barbarzyństwa, w drugich — panujący stary obyczaj (*Dola i niedola*). Krzysztof, wstręt czując ku dworowaniu, a upokorzeniem własnem pańskiej próżności dogadzać nie chcąc, na potentatów pogląda krzywo; „na czystej duszy woli siemięgę“, niż pański polor na przepelnionej pychę i brudnej. Nienawiść ku możnym ukrywa w sobie i milczy, lecz bracia jego psy na nich wieszają i nie oszczędzają ich nigdy. Na głos kaznodziici o ucisku, przemocy i prześladowaniu biedniejszych przez panów „wszystkie piersi szlacheckie zawrzały i dłonie zadrgały“; z powodu ścigania szlacheica przez mściwą magnatkę, bracia się zbiega, sejmikuje, więźnia odbija i grozi.

Zresztą Kraszewski nie okazuje magnatów w bezpośrednim stosunku ze szlachtą: przedstawione w *Ostatnich chwilach księcia wojewody excessa* Radziwiłła „panie kochanku“ do czasów saskich należą, nie możemy zaś poczytać za możnowładzców: starosty Poraja i księcia Szujskiego, którzy na pawów pozują. Nie mogą być oni wyrazem określonego przez autora stosunku możnych do ziemian, gdy obaj pod względem obyczajów są konserwatystami, gdy pierwszy możliwość dostępu do swego obozu przyznaje wszystkim i wyzyskuje szlachtę tylko przez zaciąganie niewypłacalnych pożyczek; Szujski zaś daje się adherentom exploatować, żadnej z nich nie ciągnąc korzyści, z powodu czego

sformułowany przez Kraszewskiego wniosek wypadłoby raczej odwrócić.

Kobiety są pobożne, poczciwe, ciche, rodzicom i mężom uległe, w cierpieniu krzepkie. „Biała jak alabaster“ Barbara (*Staropolska miłość*) „z wyrazem pokoju i siły na twarzy“, za pięćdziesięcioletniego wychodzi opoja, bo „Bóg tak chce, a każe ojciec“. Schorzałemu, a grubiańskiemu starcowi musi przez długie lata posługiwać i z oczów nie schodzić; po jego śmierci zakonną przywdziewa suknię. Anusia (*Dyabeł*) jest uosobieniem dobra, reprezentantką zasad starego świata. Z głębokiej prowincyi miłość ją sprowadza do Warszawy i, lubo zostawiona sama sobie i na liczne wystawiona pokusy, z niebezpieczeństw wychodzi czystą, owszem ocala młodzieńca, któremu w dzieciństwie oddała serce. Inna Anusia (*Dola i niedola*), zasobna w cnoty niewiast poprzednich, marzy o karierze syna na wielkim świecie, aż z winy tego reprezentanta zepsucia stolicy z obłąkania umiera. Dyssonans stanowi Laura (*Macocha*). Dziewczę dzikie, przed złą macochą w męzkim ubraniu ucieka konno; w Warszawie występuje w roli aktorki i wytrwale się kocha w mężczyźnie żonatym. Przy całej excentryczności posiada niepospolitą moc duszy, charakter wysoce szlachetny; z *arcantur* i *pokus* wychodzi zwycięsko.

Charakterystyka przedstawionych powyżej światów stanowi jądro powieści; do akcesoryi jedynie i sprzęzyn, nadających ruch akcji, należą: księża, mieszczanie, chłopci, żydzi i służba.

Stan duchowny rozbija się na ewangelicznych prostaczków i ludzi, na których wycisnął piętno duch czasu. Ojciec Spirydyon (*Dyabeł*) „więcej jaśniał i wiedział od pogańskich filozofów ówczesnego świata“, spełniał praktyki religijne najściślej, znosił głód, chłód, dyscyplinę i włosienicę; z manowców na drogę obowiązku potrafił prowadzić młodzież. W zapadłym kącie Polesia sieje ziarno ewangeliczne ksiądz Żagiel (*Macocha*), fanatyczny intrygant, ubolewający, że heretyków prawo nie ściga, że ich majątków nie konfiskuje na korzyść Kościoła. Produktem ósmnastego wieku jest Farunkiewicz i ks. Hłodowski. Pierwszy (*Kawał librata*) nie wierzy w nic, ze wszystkiego żartuje, obrzędy religijne odbywa niezmiernie szybko, a śluby daje tak łatwo, że kilka razy nie poskąpił ich nawet żonatym. Błogosławił szczególnież osoby wyższego stanu, albowiem wiedział, że się one z kłopotów potrafią wywinąć, a jego od pokuty uwolnią. Gdy mu z tego powodu księża robili

wyrzuty. „dziękujecie Bogu, odpowiadał, że jeszcze ludzie do was przychodzą, bo bliżki czas, że ani stule, ani duchownego potrzebować nie będą“. Zesłany na pokutę, polował, po całych nocach grał w karty i gdy mu się tylko zdarzyło, błogosławił małżeństwa.

Professor fizyki ks. Hodowski (*Boża opieka*) siedział wśród foliantów, konch i mineralogicznych okazów; zamiast obrazów porozwieszał na ścianach swego mieszkania rysunki i mapy. Uchodził pomiędzy swymi za umysł niespokojny, za człowieka ortodoxyi podejrzanej; mieli go jedni za uczonego i filozofa, drudzy za dziwaka i marzyciela, inni za pedanta, mistyka i niedowiarka. Dowiedzioną było rzeczą, że ktoś u niego dykcyonarz filozoficzny Voltaire'a widział w sypialni; wiedzieli wszyscy, że z katalogu *prohibitorum* czerpał obficie. Gorszono się jego sceptycyzmem, bo często gęsto powiadał, jako „człowiek nie wie z pewnością nic więcej nad to, że nie wie“..... Trafiło mu się niekiedy bryznąć w rozmowie takim szyderstwem, jakby w nim siedział Bezebub, chociaż czasami, do łez rozrzuwniony, modlił się, a uczynkami miłości nauki Chrystusowój dowodził. O wygody nie dbał; ostatnim się groszem dzielił z ubogim, szczególnież ze studentami, gdy dostrzegł w którym umysł „świdrowaty“ i miłość prawdy.

Jedyna to w powieściach Kraszewskiego postać moralnie zdrowa, choć stojąca na wysokości czasu i wykarconiona na dykcyonarz Voltaire'a. Jakaż przepaść pomiędzy nim, a Labe Poinsonem i jego pupilem, pomimo tego, że „krytykę i koncepta“ z jednego czerpali źródła. Odstęp lat dwudziestu, jaki przedziela *Djabła* od *Bożej opieki*, nie może tej zmiany w poglądzie autora na francuzczyznę objaśnić, gdy i w późniejszych jeszcze powieściach orzeczenie o demoralizującym wpływie obczyzny pozostało niezmiennem.

W sprawach publicznych duchowieństwo solidaryzuje się ze szlachtą, a na możnowładców spogląda wrogo. Ksiądz przemawia z ambony gwałtownie przeciwko uciśkającym biedniejszych magnatom, którzy nie braćmi szlachty, lecz ich panami być chcą (*Dola i niedola*).

Mieszczanie celują wstrętem do nauki. „Po co się uczyć, powiada jeden (*Boża opieka*), — co po nauce? Dość rozumu, gdy kto w książce do nabożeństwa przeczytać i nazwisko podpisać potrafi; reszta próżność dyabelska, mesanie, zepsucie, bo do zbawienia rozum niepotrzebny, a fanaberye stroi“. Właściciel handlu stoi na wysokości

poglądów szewca: „ucz się grosz robić, a wyjdiesz na ludzi, ale nie nad ludzi...“

Chłop Hruzda (*Boża opieka*), okazuje, że stosunek panów do ludu patriarchalny był wprawdzie, ale w nim chłopci występowali w roli małoletnich, batożonych przez ojców-dziedziców. Hruzda nie lubi rozumu; mędrszy od niego wychowanek irytuje go i surowe wywołuje obejście. „A zawsze on musi świdrować tym swoim gównim rozumem; a wiecznie mu pytać trzeba: po co i na co? Co tobie, trutniu, do tego? Ty rób, jak drudzy, słuchaj starszych, na chleb zarabiaj, a nie mędrnij!“. Gdy temuż wychowanekowi za pobicie panicza dziedzic sprawić kazał chłostę, — „skóra mu, prawil Hruzda, nie zlezie, jak go różgami osmałą. Co to on lepszego od drugich? albo nas nie prażyli? i nie się nie stało“. Żona jego jak wszystkie niewiasty w powieściach Kraszewskiego, mężowi panuje, więcej od niego energii i rozumu posiada. Gdy Hruzda gotów jest oddać chłopca pod różgi, — ona „ja znam tych ludzi, mówiła; skatują, okaleczą... nie, nie! ja go nie dam na ręce katowskie“.

Żydzi, jak Aaron (*Macocha*) i Mejer (*Dola i niedola*) są wysoce rzetelni, bezinteresowni i do niepospolitych zdolni poświęceń; służba (Jermaszka, Filip, Elias), przywiązana do panów, których często, poufale traktując, strofuje, rzadkie posiada przymioty i głęboko odczuwa niknięcie cnót starych, przez obce ścieranych wpływy.

Z dziesięciu prac Kraszewskiego wzięliśmy wszystko, co ku scharakteryzowaniu epoki mogło posłużyć i w nagromadzonem materiale rozglądając się pilnie, przychodzimy do wniosku, że cykl powieści od ogarnięcia wszystkich stron życia czasów stanisławowskich dalekim jest bardzo. Teoretyczne zapasy zasad starych z nowemi, rozkwitający krytycyzm odnośnie do organizacyi państwowej i stosunków społecznych, przeszczepianie idei postępowych na grunt praktyczny, urabianie różnych stron życia według norm nowych; słowem, pomijając wstrząśnienia polityczne, cały ów ferment, który panowaniu Poniatowskiego tyle nadaje wyrazu, w powieściach Kraszewskiego uwzględniony nie został. Jedną tylko stronę życia ówczesnego pióro swoje autor poświęcił — obyczajom; inne znamiona czasu zaznaczył słabo lub pominął zupełnie.

Przyczyną podobnej jednostronności jest niewątpliwie najprzód rodzaj talentu, który autorowi w dziełach powieściowych sferę obyczajową przekraczać pozwala rzadko; powtóre — natura użytych do charakterystyki ósmnastego wieku źródeł. Główna kopalnia Kraszewskiego — pamiętniki ówczesne

od Ochockiego począwszy do Karpińskiego i Szulca, materyał obyczajowy mieszczą w sobie bogaty, gdy szersze horyzonty — przewroty w sferze zasad i stosunkach społecznych, pomijają lub wnikają w nie mało. Gdyby autor, nie poprzestając na jednostronnym materyale pamiętnikarskim, więcej czerpał z historii i literatury ówczesnej, zakres widzenia swojego rozszerzyłby znacznie; niektóre z ledwo zaznaczonych cech omawianej epoki byłby przedstawił dokładniej, a uwzględniłby pominięte zupełnie.

Poglądu swego na obyczajowość czasów Stanisława Augusta Kraszewski nie skryształizował ostatecznie odrazu; rozwijał go i modyfikował stosownie do materyałów, z jakimi miał sposobność się poznać.

Do pierwszej powieści oprócz fantazyi i pewnej z góry powziętej tendencji innych środków autor nie użył, a zdaje się, główną do pochwycenia za pióro podniętą były *Pamiętki IMPana Seweryna Soplicy*.

W r. 1843 wydane powtórnie, wrażenie robiły olbrzymie, wielkie dla stariej szlachetczyzny wywołały współzucie i nie mały wpływ na współczesną literaturę poczęły wywierać. Gdy się za przykładem Rzewuskiego rzucano do malowania uczt staropolskich, sejmików, wesel i różnych krotoczwil, na wszystko barwy idealne rzucając, — jednocześnie zjawia się przeciwko ubóstwianiu przeszłości reakcja, a z szeregu opozycjonistów wystąpił właśnie z pierwszą do omawianego przez nas cyklu należącą powieścią Kraszewski. Ukazał się *Maleparta* jednocześnie z trzecim wydaniem *Pamiętek Soplicy* (w r. 1844) i żywy z niemi stanowi kontrast.

Pisarze szkoły Rzewuskiego charakteryzowali przeszłość mniej więcej w ten sposób: „Na pięknem tle zamilowania dobra powszechnego z pobożnością łączyło się męstwo, surowość obyczajów z dumą szlachecką, gościnność i hojność z prawością, gotowość do poświęceń z dziwną prostotą, a wszystko powlekała jakaś nieoceniona, kontuszowa rubaszność. Jeżeli się z dumy wyrodziła prywata, z hojności marnotrawstwo, z męstwa kordem popierane niezgody, z rubaszności pijatyka i burdy, — to jednak nigdy samymi cieniami światłego oblicza przeszłości zasłonić nie można“.

Tymczasem Kraszewski społeczeństwo ósmnastego wieku z najczarniejszej przedstawia strony, wcale nie akcentując cnót owych, głoszonych przez usta Soplicy. Stanisław August występuje jako bezmyślny rozkosznik, zajęty jedynie wdziękami niewiast; dokonywany w jego imieniu wymiar spra-

wiedliwości cuchnie od błota najokropniejszych nadużyć; bobaterowie po większej części są wstrętni, a wszyscy ułomni.

Maleparta jest cynicznym zbrodniarzem; żona jego celuje przewrotnością, aż w wyuzdanym ginie nierządzie; Poraj dumny jest głupcem; rezydent jego, poręcznik, w pieczęniarstwie utopił wszystko; — kollekcya zbrodniarzy i głupców dopełnia fałszerz aktowy Czubak, Naścia nierządnicą, cygańscy świadkowie, oczekujący sposobności wykonania fałszywej przysięgi i zbójcy. Cała ta rzesza opryszków odznacza się niepospolitą energią i siłą, a z takim działa cynizmem, jakby panowała światu otwarcie, gdy tymczasem naszkicowane zaledwo osobistości, mające przedstawiać społeczeństwo ze strony światlejszej, są słabe, bez hartu i istnieją jedynie po to, aby skończyć w uścisłach zbrodni. O mogącem pewną sympatyą obudzić ex - mecenasie Prozorowiczu wiemy tylko, że go „na konsyderacyi i fortunce“ młoda i piękna zgubiła żona, że „co napisze, to przepije i wytrzeźwiony, píše znowu, a napisawszy — znowu pije“. Pierwsza żona Maleparty, Różia Mrozicka i jej matka, jęczą bezzilnie i giną; ojciec kapucyn ukazuje się ledwo i moralizować jedynie potrafi. Jedną tylko postać dodatnią narysował Kraszewski szerzej — deputata Górskiego.

Mężny, otwarty, gościnny i do rozrzutności wspaniały, lubiał się otaczać ludźmi, których oblicza nśmiejch przybierały na rozkaz. U drzwi pana deputata tłumnie stawali ubodzy, supplikanci z prośbami i uniżeni oszuści, a nikt nie odszedł markotny, zawiedziony lub smutny, — Górski nie potrafił odmówić nikomu. Oprócz pełnienia miłosiernych uczynków, posługiwał krajowi, lubiał zgiełk, luźne towarzystwo, a namiętnie przywiązany do psów i koni, — całe tygodniami polował. Słowem życie pana Stanisława było mieszaniną debroczyńności, swawoli i szalu. Łagodnym był, grzecznym, uniżonym po staropolsku, choć nie zniósł najbliższej wymówki; nie spostrzegł w nim próżności żadnej, bo się chętnie zniżał do drugich; krył się z majątkiem, zasługami i rodem, aby nikomu nie uczynić przykrości, ale ubliżyć sobie nie dał, — obrażony, aż nadto może stawał się dumny. Do nauki pochopu nie miał: na stole leżały księgi, pylem okryte i jedna otwarta, do codziennego nabożeństwa służąca.

Naczelne osobistości — Maleparta i Górski, nie są postaciami ósmnastego stulecia i psychologicznie nakreślone zostały fałszywie. Czemuż Maleparta, skoro szablą robi po-

teżnie, dla usunięcia osoby sojusznika szuka ze zbrojną; dla czego skąpiec w rozrzućnika się zmienia, a w niedołęgę człowiek czynny? Cyniczny zbrodniarz po ślubie z drugą żoną nagle uczuwa przestrach, pierwszy raz widzi Boga i piekło, drży w duszy o wieczność; — „jedna chwila całego człowieka zmieniła stanowczo“, aż go zaprowadziła na puszcę, by cierpieć i umarł *in odore sanctitatis*. Jak się to stało? Chociaż autor o tém wiedzieć powinien, sam jednak takie stawia pytanie i odpowiada: „wié tylko Bóg jeden“.

Deputat Górski, zamiast według intencji autora być podniosłym i obudzającym sympatya, — jest śmiesznym i niezrozumiałym dla różnych w charakterze sprzeczności. Grzeczny, uniżony, zapierający się swych zasług, by innym nie czynić przykrości, — otacza się jednak ludźmi, którym każe śmiać się i bawić; wesoly i w hulance biorący udział, — ma wstręt do wina i za napój wody tylko używa; jest naiwnym do tego stopnia, iż sądzi, że trybunałscy jego kole-dzy, podobnie, jak on, sądzą sprawy „według sumienia i prawa“. Jego łatwowierność, cnoty ewangeliczne i owa do codziennego nabożeństwa książeczka w dziwny go stawiają sprzeczności z duchem ośmnastego wieku, który się przecież na Górskim, człowieku zamożnym i ocierającym się o sfery wyższe, powinien odbić.

W ogóle takiego społeczeństwa, jakie Kraszewski w pierwszej przedstawił powieści, za panowania Stanisława Augusta nie było: ludzie owego stulecia nie byli zbrodniarzami, jak Maleparta, ani tak naiwnymi, jak Górski. O fabryce fałszywych dokumentów i najemnych zbrodniarzach, gotowych za pieniądze dokonać mordu, — historia milczy i, lubo nieróźnie sprawy trybunałskie maluje, od pesymizmu jednak, rozlanego w *Maleparcie*, stoi daleko, a optymizm Rzewuskiego w malowaniu stosunków ośmnastego wieku daleko więcej posiada prawdy, niż Kraszewskiego pesymizm; w *Maleparcie* przesada w kolorycie i brak materiału historycznego wpada w oczy krzycząco. Z wyjątkiem procedury sądowej, uważanych studyów dziejowych nie widać wcale; na téj zasadzie rzekliśmy wyżej, że oprócz fantazyi i zgóry powziętej tendencji, innych środków do charakterystyki czasów Stanisława Augusta w pierwszej powieści autor nie użył.

W chwili powstania *Maleparty* materiał historyczny do epoki Stanisławowskiej obfitym nie był: z pamiętników, jedynie Kosmowskiego, ogłoszony, jeszcze w r. 1807

(*Historja polska, czyli rys panowania Stanisława Augusta*) i Wybieckiego, wydany przez Raczńskiego w r. 1840, poważniejsze światło rzucały na czasy. Od r. 1844 materiał się mnoży. Wychodzą najprzód pamiętniki Fr. Karpińskiego (1844), w r. 1845 Popliński ogłasza *Pamiętniki J. Kitowicza do panowania Stanisława Poniatowskiego*; w trzy lata później ujrzały w Paryżu światło Niemcewicza *Pamiętniki czasów moich*; następnie ogłasza Kraszewski Jana Duklana Ochockiego, a w rok po nim (1858) staraniem tegoż i Drzewieckiego wychodzi na jaw.

Kiedy w r. 1853 pisał Kraszewski drugą z kolei powieść (ogłoszoną, najprzód w *Gazecie Warszawskiej*, przerobioną i wydaną oddzielnie w r. 1855), — miał już pod ręką zapasu historycznego niemało; niewątpliwie ogłoszone w kilka lat później pamiętniki Ochockiego i Drzewieckiego w rękopismach już poznał. Jakoż *Dyabł* jest powieścią historyczną rzetelnie. w materiał dziejowy zasobną bardzo; tu pogląd Kraszewskiego na czasy Stanisława Augusta dojrzał stanowczo i w wybitne skryształizował się formy. Chociaż po roku 1855 ośm jeszcze (dziewiątej p. t. *Sto dyabłów* z r. 1870 nie znamy) wyszło powieści, a opracowań i materiałów historycznych staraniem Żupańskiego i samego autora przybyło dużo, — pomimo tego Kraszewski na raz zajętej w *Dyable* pozycyi trzyma się krzepko: przy kolorycie pierwotnym trwa stale i, z wyjątkiem króla Poniatowskiego, osobistości historyczne w jednim zawsze oświetleniu usiłuje utrzymać. Można powiedzieć, że główne typy, w reszcie dzieł spotykane, są reminiscencją skreślonych w *Dyable*; że tło ogólne jest powtórzeniem lub uzupełnieniem odtworzonego pierwotnie.

Na studyach oparta charakterystyka czasów Stanisława Augusta jest taką, jaką przedstawiły pamiętniki, z których Kraszewski farb zapożyczał obficie. Wiadomo, jak smutne wyobrażenie daje Ochocki o sobie i o społeczeństwie, któremu pióro poświęcił; ile żółci na czasy Stanisławowskie wylał Kitowicz; jaki żal do owéj epoki mają tacy ludzie, jak Niemcewicz. Z takich pomników, fotografujących społeczeństwo ośmnastego wieku z jego strony obyczajowej, a więc rzeczywiście najslabszej; z materiałów, pomijających burzę w umysłach, łamanie się zasad i kielkowanie nowych poglądów; słowem, z materiałów czerniących, a usuwających to wszystko, co zaszczyt owym czasem przynosi, — koloryt epoki Poniatowskiego jasnym wyjść nie mógł. Jakoż czarnym jest bardzo: dla charakterystyki życia Warszawy jeden Kraszew-

skiemu wystarcza wyraz — „orgia!“ i — definięci takiej przesady zarzucić nie można.

Admirując prawdę historyczną, z jaką w szczegółach nawet przedstawił autor obyczaje ośmnastego stulecia, zarzucić jednak musiny, że naturę zaakcentowanego we wszystkich powieściach faktu demoralizacyi wykląda fałszywie. W Polsce ośmnastego stulecia kołyskę — nowy, a grób znalazł świat stary; świat stary, z surowych, zdaniem autora, złożony proroków, poszedł do grobu; świat nowy, choć sprośny, z przepaści wybrnąwszy, ideały, które i dzisiaj jeszcze nie zbladły, wykarmił. Były to więc czasy przełomu, epoka rdzennego przetwarzania się; a ów szal, ta orgia ludzi, w których musimy uznać robotników około nowych podwalin życia, niczém więcej nie były, jak: wyskokiem krewkię młodości, chwilowém zбочeniem z toru moralnych zasad, które wśród ogólnego wstrząśnienia ataku sceptycyzmu unikać nie mogły.

Różniąc się z autorem w pojmovaniu natury demoralizacyi omawianęj epoki, inaczej się téż pogląda i na wewnętrzną wartość jęj ludzi.

Nie słuszniejszego nad to, że społeczeństwo ośmnastego wieku składało się z takich Alfierów i Adamów — osobistości bez charakteru, słabych, jak wosk, miękkich; ale trudno się zgodzić, żeby pod względem siły moralnęj, i intelektualnie ci ludzie byli zerami. Kraszewski, wstręt mając do orgii i w nięj śmierć widząc, — w ludziach owego wieku niespostrzega żadnych objawów dodatnich; — wszędzie przed jego oczami blade cienie tylko się snują. Maluje szaleństwa Radziwiłła, rozłamujące się ściany, występujące z pod podłogi nakrycia, niewidzialne orkiestry, nankiny ex-podkomorzego, szlafrok księcia Andrzeja, chińskie altany i różnych błazeństw moc wielką; lecz niespostrzega nowo-wzniesionych miasteczek i wiosek, z mozołem kopanych kanałów, dymiących fabryk i banków. Zaprzeczyć nie może, że myśląc o reformie, wyteżano umysły, zasięmano rady u obcych i powodzą projektów zarzucano kraj cały; wię o tém, lecz nie uznaje w podobnych wysiłkach pracy na seryo i w nich upatrjuje błazeństwa. Według Kraszewskiego, począwszy od księcia Andrzeja, strojącego się w poranny szlafrok, aż do tych mężów którzy zasięgali rady Mably'ego i Rousseau, — każdy miał bzika, którym się rozrywał i bawił. Słowem, Kraszewski, zrozpaczywszy o rozpasaném społeczeństwie ośmnastego wieku, nie przypuszcza w niem myśli poważnęj i pochopu do czynu; uprze-

dzenie zaś swoje nietylko na fikcyjne, lecz i na osobistości historyczne, wręcz przeciwny dające dowód, przynosi. Pessimizmowi autora ulegli: Stanisław August, Komarzewski, Kazimierz Nestor Sapieha, Naruszewicz, Jacek Jezierski i inni.

Wiemy, że pod piórem Kraszewskiego, rysy fizyononii Stanisława Augusta kilkakrotnie korzystnęj dla monarchy uległy zmianie; jehnakże i na ostatni, w porównaniu z poprzedniami wizerunek pochlebny, pessimizm sporo narzucił cienia. Chociaż Poniatowski tak dalece był czynny, że „tehnąć nie miał czasu“, — jednakże pracę swoją odbywał jakoś na zimno, bardziej z przymusu, niż z rzetelnego zapalu; jakby się chciał tylko ze wszechstronnym dyletantyzmem popisać i, że mu nie obcém nie byso, — okazać. Tymczasem fakta dowodzą, że najpracowitszy z polskich monarchów mozolił się z poczucia obowiązku i z zamiłowania raczję, niż z innych pobudek. Któż mu kazał ważniejsze narady i rozmowy spisywać lub w treści notować; odczytywać wszystko, co do niego pisano; odbierać codziennie kilkanaście depesz i mnóstwo rapportów; własnoręcznie na nie odpisywać, do cyfrowania lub kopiowania odpowiedzi gotować, albo wreszcie przygotowane odpisy poprawiać? A któż obliczy jego korespondencyą wewnętrzną? Każdym wakanssem królewskiej lub urzędu wywołane żądania wymagały licznych odpowiedzi, które król osobiście załatwiał. Godził zwaśnionych, ratował podupadłe majątki, wstawiał się do sądów, przyspieszał wykonanie wyroków, pośredniczył w układach; w sprzędzy dóbr lub zamianie urzędów pomagał, ułatwiał nawet związki małżeńskie. Nie stworzył bióra, któreby go w większości spraw takich mogło wyreczyć, lecz robił sam wszystko. W Archiwum Czartoryskich korespondencya polska Stanisława Augusta zawiera się w dziewięćdziesięciu czterech voluminach in folio, co przecię nie dowodzi zabawki lub chęci popisu. Zaakcentowany przez Kraszewskiego dyletantyzm, pomiędzy innemi i polityczny, również zastrzeżeniu nieguie, skoro się zważy, że to był człowiek wykształcony gruntośnie, a wśród tak wielkich panował trudności, że nie łatwo by im i najdzielniejszy poradził organizm. Założenie i utrzymanie mennicy, szkół rycerskich w Warszawie i Wilnie, reperacya Kamieńca, ludwisarnia i fabryka broni w Koźienicach, otworzenie szyby miedzianęj, przebudowanie zamku, koszary i cmentarz warszawski, — są to roboty, które mi dowiódł, że nie dla rozrywki

lecz z affektu dla kraju własnej szkatuły i mozołów nie skąpił.

Bardziej, niż Stanisław August, pokrzywdzonym został znany kasztelan łukowski, Jacek Jezierski.

„To dobre człeczysko, prawi ironicznie bohater z *Dyabła*; ludzie go pomawiają, że sobie z rewerendy nieboszczyka Podoskiego nieszpętną wykroił fortunę, że wyfrymarczył jakimś processem drugie tyle od pewnej jójmości, że spekulował na założeniu łaźni w Warszawie; ale czego to ludzie nie splotą...“ Skandalicznych łaźni Kraszewski Jezierskiemu przebaczyć nie może i przypomina to znowu przez usta kasztelanowej Kamińskiej (*Macocha*), a w inném miejscu (*Syn marnotrawny*) z Suchorzewskim kasztelanem porównał. Ta tylko pomiędzy nimi ma zachodzić różnica, że ostatni „nawet brednie śmiało prawi, lecz zimno“, gdy klient Branickiego „w gębie ma ukrop“.

Sądzę, że porównanie Suchorzewskiemu niezasłużony przynosi zaszczyt, a Jezierskiemu niezasłużoną wyrządza ujmę. Wiemy, że Jezierski dla niezaprzeczonych zdolności już w r. 1764 zwrócił na siebie uwagę powszechną, a w niedługim przeciągu czasu taką sobie wyrobił wziętość, iż na usilne żądanie delegatów i ziemian łukowskich odnowiono dla niego w r. 1775 dawno zapomnianą kasztelaniją łukowską. Czy istotnie z rewerendy Podoskiego, z nieuczciwych processów i spekulacji na łaźniach zrobił majątek? Zarzuca mu to Kitowicz, świadczą wzmianki w *Archiwum wróblwieckim*, a wbrew tym źródłom i my moralności Jezierskiego bronić nie chcemy; zaznaczyć jednak musimy, że grosza, zebranego w jaki bądź sposób, na dobro kraju używał. Budował wioski, dźwignął miasteczko, które rzemieślnikami osadził; założył w Małcu pierwszą fabrykę kos i stali, w Szolcy otworzył warzelnię soli, w Grebenicach fabrykę fajansu; eksploatował rudę w Miedzierzu, wielkim nakładem wystawił kuźnię, z których 5000 palasów rzeczywopolitęj darował; słowem wbrew powszechnemu przesądowi zajmował się przemysłem i handlem, nad podniesieniem dobrobytu pracował gorliwie. Jezierski nie brednie, lecz w mowach i pismach dużo zdrowych wygłosił pojęć, bo choć do przeciwników ustawy 3-go Maja i równoprawnienia mieszczan należał, to jednak nie był mu wstrętny i postępowy, skoro sukcesy zalecał, stawał w obronie ludu i wiele radykalnych reform wewnętrznych popierał. Odnosząc do działalności praktycznej jest on przedstawicielem tej garstki ludzi, która obowiązki obywatela pojmowała rzetelnie;

pod względem niejedności poglądów wybornie reprezentuje człowieka przełomu, w którym część starych przesądów tkwi jeszcze i z pojęciami postępowymi mieszaninę tworzy dziwaczną. Gdyby Kraszewski z prawdą historyczną narysował postać kasztelana lub inną, do niej podobną, byłby dzieła swoje zbogacił typem, jakiego w nich nie ma, choć istniał w rzeczywistości i znakomicie fizyognomią czasu przedstawia.

Kazimierz Sapieha (*Syn marnotrawny*) jednostronnie narysowany jest również. Pije, awanturuje się, traci pieniądze; krotocwilność swoją do tego posuwa stopnią, że nawet ludzką boleścią się bawi i prawi, jako rozum polega na tém, iżby z ogólnego zepsucia korzystać i śmiać się. W podróży na sejm wielki rozwódzi się przy butelce o słuszności niesplacania długów lichwiarzom i wyzyskiwaniu słabości kobiet; do wuja Branickiego w szacie rozpiętej wchodzi pijany i po dwudniowej libacy chrapie przy gościach. W postępach pospolitego widzimy birbanta i gotowiśmy go traktować na równi z podkomorzym brańskim lub z hetmanem Branickim, gdyby nie ostrzeżenie autora, że książę Kazimierz „pocziwie miał serce i charakter szlachetny“, że, choć rozrywek wyrzec się nie mógł, to jednak jako marszałek sejmowy „całe dnie prawil mowy i stukał laską“.

Krzywdą wyrządzona Sapieżę, polega na tém, że wady jego uwydatnia Kraszewski w szeregu czynów, gdy przymioty—pocziwość i szlachetność charakteru—lekko tylko omawia. Takim, jakim go autor przedstawił, mógł być Sapieha pomiędzy r. 1773—1776 t. j. w epoce (wydanych właśnie przez Kraszewskiego w r. 1852) listów z zagranicy pisanych do matki; lecz lata następne do charakterystyki obywatela w poważniejszy obfitują materiał.

Wadami wieku całkowicie również pokrył Kraszewski takie osobistości, jak Komarzewski, Naruszewicz i inne.

Pierwszy—to rozpustnik i cynik, który nieraz „na stole i pod stołem po niejednej hulance“ przebywał; Naruszewicz, lubo mu autor nie odmawia niepospolitych darów umysłu i serca,—prezentuje się, jako „niewyczerpany pochlebca“ i zasłużył na wyrzut, że nie mikał ani hulanki, ani tłustego dwójznacznika w rozmowie.

Komarzewski, któremu nawet żółciowy Bartoszewicz żadnej plamy wytknąć nie umiał, człowiek zdolny, pracowity i skromny, charakterem i politycznemi przekonaniami stał wyżej od wieku; jako dyrektor kancelaryi do spraw wojskowych poważne poło-

żył zasługi; — a biskup łucki — historyk, poeta i człowiek zasad, który umiał niebezpiecznie odrzucać pokusy, na słowo gorętsze i na więcej zasłużył światła. Podany przez Kraszewskiego wizerunek za zbyt czarny uważam témbardziej, że okazuje Naruszewicza podczas podróży kaniowskićj, a wiadomo, że wkrótce podobno w nim jednym godność narodowa przez skromną a rozumną postawę męża wyszła bez szwanku.

Broniąc Stanisława Augusta, Sapiehy, Komarzewskiego, Jezierskiego i Naruszewicza, nie mamy bynajmniej zamiaru zaprzeczać temu, co autor o ich obyczajowości powiedział. Poniatowski istotnie rozpustę w Warszawie zaszczeplił: „zepsuł, jak powiada Karpiński, stolicę i osłabił śluby małżeńskie“, a przez życie rozwiąże stracił pod koniec i tą nawet energią, którą w początkach panowania okazywał niekiedy. Wiemy, że Kazimierz Sapieha był pierwszym swojego czasu birbantem; że w salonie swój matki zebrane panie w obnażone ramiona całował publicznie; nie ulega wątpliwości, że generał Komarzewski pił dobrze, jak jeden z pamiętnikarzy zaświadcza, proszony o spróbowanie szampana, cały koszt runku tego wychylił sam jeden. Wierzymy, że Jezierski „jadł paradnie i lubił się bawić“, a może i ową fortunę nie zbyt godziwymi zgromadził środkami; nie przeczymy, że Naruszewicz dworskićj pokory miał dużo, jak zaświadcza choćby przedmowa, zanieszczona na czele historii, godności swojej nie zawsze strzegł pilnie. Wszystko to prawda — zdrożnościom przeczyć nie można. Lecz jeżeli Kraszewski uczynił słusznie, odnosząc cienie, plamiące oblicza tych mężów, to z drugićj strony wbrew historii ostąpił, gdy nie uwydatnił światła, przez co nie całych ludzi, lecz tylko pewne ujemne w ich fizyognomiach przedstawił rysy. Jednotronność podobna dotknęła wszystkich bohaterów powieści w potęgę mniejszćj lub większćj. Skoro autor usuwać z postaci historycznych rysów dodatnich skrupułu nie miał, to tém bardzićj nie miał powodu pesymizmowi swemu tamować upustu w kreśleniu osób fikcyjnych.

Sądzę, że błąd taki popełnił autor z powodu przeceniania doniosłości obyczajów, skutkiem hołdowania zasadzie, jakoby w moralność społeczeństwo wcielało całą wewnętrzną swą wartość. Lecz temu historyk zaprzecza. Rzym w czasach zepsucia głębiej i głębiej myślał, niż za Cyneynata i Grachów; hulaszcza Francja ósmnastego wieku we wszystkich kierunkach życia

i myśli zbawiennego dokonała przewrotu. Społeczeństwo polskie z końca ubiegłego stulecia jeden więcćj przynosi dowód, że wśród moralnego rozstroju kwitnąć może głęboki krytycyzm, rozumienie warunków bytu, troska o dobro ogólne, — wiele uczuć szlachetnych obok lekkomyślności w życiu i bezczelnego zepsucia. Ludzie epoki przełomu są zawsze pełni najjaskrawszych sprzeczności: ani ich chwalić, ani ganić nie można bez ciągłych zastrzeżeń. Sprzeczności takich Kraszewski nie widzi. Bohaterowie jego są jednolici, bo zepsuciem tylko celują; po nad używaniem nie wiedzieć nie chcą, nie nie robią, nie nie myślą, nie czują; jeżeli coś czynią, to dla rozrywki i bziaka.

Przyczyną złego był, według autora „wpływ obcy“, francuzczyzna, która „gdyby wrzód na karku siedziała krajowi, nie mu, prócz pogardy, nie dając“. Kraszewski ideom francuzkim z ósmnastego wieku, przeważnie ze stanowiska klerykalnego patrząc na nie, uznania swego odmawia stanowczo. W dykeyonarzy Voltaira widzi „koncepta“, czytanie dzieł filozoficznych maciło, według niego, „zdrowsze wyobrażenia“ zacerpnięte w wychowaniu religijnem; wstręt ma „do sceptyzmu bez granic, zinnego rozbioru, rozumowania i materyalizmu“, bo to wszystko groźnem było dla wiary. Niechęć swoją dalej jeszcze posuwa: reprezentantowi tych idei pracę, obowiązek i poświęcenie każe nazywać przesadę; na Poinson'a, adępta encyklopedystów, rzuca poszlakę zbrodni.

Czy który z pisarzy ósmnastego wieku pracę, obowiązek i poświęcenie uważał za przesadę? dla czego francuz-libertyn ma być koniecznie zbrodniarzem? Podsyżte barwą filozoficzną niedorzeczności powinien był autor przypisać spaceniu nowych pojęć przez głowy płytkie i serca robaczne, nie zaś identyfikować z poglądami ósmnastego stulecia, które, pomimo tego, że wierze były przeciwne, tchnęły szlachetnością rzetelną i szczerą miłością prawdy gorzały.

Zresztą odnośnie do obyczajów Kraszewski, potępiając francuzczyznę, dużo posiada słuszności, lecz racya zniknie, skoro się wpływ obcy na kierunek myśli rozważy. Literatura czasów Voltaire'a, Rousseau, d'Argens'a, d'Alamberta i Diderota istotnie podkopywała zasady, na których się dawna wspierała moralność i na bezdroża powiodła płytkich; lecz jednocześnie i dobroczynne przyniosła owoce, wpływając na znękanie obskurantyzmu, rozpraszając ciemności epoki Sasów. Że zakwestyonowała stary porządek, nowe ideały wywiodła przed oczy i dyskusyi szerokie otwarła wro-

ta, — wybaczymy jej wywrót obyczajów, które zresztą przy każdym, głębszym wstrząśnieniu zachwiać się i chwiać się muszą dopóty, aż ferment ostygnie i nowe zasady nabiorą trwałości. Pod wpływem obcym libertyn, jak po woskowej posadzce, na przepaściach drogach życia się ślizgał, lecz myśl jego szerszego nabrała lotu; wprawdzie porzucił różaniec i mozołów okół zbawienia zaniechał, — lecz posiadał wiarę w ludzkość, w uszczęśliwienie jej przez naprawę społeczne, na filozoficznych oparte teoryach. Nie można posądzać tych ludzi, żeby z dzieci własnych sztydzić mieli tym śmiechem szatańskim, jaki później na ponurych twarzach bajronistów wystąpił; przeciwnie, — działali z głębokim przeświadczeniem o świętości swych zasad, a to ich do wstrząsających światem pędziło czynów.

Według autora najbardziej uderzającym „dzisiaj“ wyrazem literatury ówczesnej jest: 1) satyra, epigrammata i paszkwil, 2) ściganie utopii na gruzach, 3) zaniechanie wzorów własnej przeszłości, które, choć praktyczniejsze, — niepojęte i powierzchownym potępienie zostały sądem.

O owych praktycznych, a własnych wzorach nie wiemy i nie przypuszczamy, żeby autor ósmnastemu wiekowi, zalecał pomysły dziada: „dzisiaj“ nie satyra, epigrammat i paszkwil, są najbardziej uderzającym wyrazem literatury ubiegłego stulecia, lecz zwrot polityczno-społeczny, nwydatniający się nawet w piśmiennictwie nadobnym; zarzut utopii krytyki wytrzymać nie może.

Uderzającym jest w pisarzach ósmnastego stulecia dualizm: filozoficzne teorie mają oni dla siebie, a dla układu stosunków społecznych odrębny posiadają programmat. Tacy radykałsi, jak Kollataj i Staszyc, wyznawali otwarcie, że jeszcze nie przyszła pora, aby w całej zupełności odkryć można prawdę narodowi polskiemu; choć republikanie — popierałi militarystę i wzmocnienie władzy rządowej; trzymając się polityki „roztropności“ nie usilowali bynajmniej czystych poglądów przenosić na grunt realny. Kollataj powiada, że dla panujących przesądów nie mógł śmiało obstawać przy prawdzie; projekta swoje uważał za „nicodpowiadające zupełnie chęci, dobrem ludzkości zajętej“ i bał się jeszcze, aby i tych skromnych pomysłów, jako za śmiałych, nie było szerzego dla radykalizmu upustu, jak w sprawie mieszczań, a jednak i tu wielkie umiarkowanie widzimy w żądaniach i tu nie dano się ponieść teoryom francuzkim. Pu-

blicyści wyznają, że „niechcą iść torem Francyi;“ ulubionej dążności Kollataja — utworzeniu osobnej izby mieszczańskiej, odnawiają poparcia; myśl zrównania stanów potępiają jednogłośnie, jako utopią. Dojrzałej i umiarkowanej publicystyce reformatorskiej mrzonek i radykalizmu zarzucić nie można.

Kraszewski uważa, jako radykalizm francuzki „całem społeczeństwem“ potrafił o władnąć: że zaś „nasiona myśli w groźne rozwinęły się skutki i groziły obaleniem istniejącego porządku,“ — najzarliwsi przeto wielbicieli Voltaire’a, Rousseau, Diderota i d’Alamberta, „widząc, do czego prowadziły wygłaszane przez nich zasady, z przerażeniem poczęli się cofać,“ a na zamku również uwielbienie dla koryfeuszów ostygło.

W ostatnim punkcie widzimy sprzeczność: zaznacza autor ostygnięcie na zamku zapalu dla francuzczyzny, a jednocześnie przedstawia Stanisława Augusta, jako najgorętszego wielbiciela tego kierunku. W podroży kaniowskiej admirał kssztelanową Ordyńską, że nie u niej nie widzi swojskiego; chwali, że syn jej ledwo umiał po polsku; a frazesy w podobnym duchu, oprócz zauważanej sprzeczności, brzmią niehistorycznie w ustach monarchy — mecenasa literatury narodowej, dbającego o czystość języka.

Zgodzić się też trudno, żeby francuzczyzna „całem społeczeństwem“ potrafiła o władnąć. Gdyby tak było, pisarze nie mieliby powodu modyfikować swoich poglądów. Że francuzczyzna pod koniec czteroletniego sejmiku mniej gorąca, niż poprzednio, znajdowała przyjęcie, — nie można tego objaśniać trwogą przed groźnemi skutkami, których właściwie nie było; ani tłumaczyć cofaniem się z raz zajętej pozycji. Znaczna liczba przekładów pomiędzy r. 1771 — 1789 pod koniec sejmiku istotnie się zmniejsza, ale nie z trwogi, lecz, że już wytłumaczono i poznano rzeczy głównejsze, i że ze sfery poglądów przyszły umysły na grunt stosunków praktycznych, dla uregulowania których wypadało jedynie myśleć o stosowaniu idei nabytych i o niezbędnych ku temu środkach.

Szkoda zresztą, że autor spostrzeganego przez się radykalizmu w żadną nie wcielił postać, lecz go, — podobnie, jak wszystko, co nie dotyczy zepsucia, — luźnie tylko omówił. Niewiarę swoją w ludzi zasad i czynów, czy też nieumietność kreślenia takich postaci, akcentuje Kraszewski przesadnie: słabszym chwiać się każe i iść za

siłą, a natury energiczne i krzepkie od życia publicznego usuwa; czyni je bohaterami karczemnych awantur lub crudytów z nich robi. Mamy naszkicowane postacie, przeznaczone, zdaje się, do życia szerszego, bo wszelkie mające po temu warunki, lecz im autor wstęp na to pole zagradza.

Jakże ciekawą osobistość zapowiada Janek Leliwa (*Boża opieka*). Syn magnata, przez złego ojczyma w dzieciństwo oddany na wychowanie wieśniacze, we krwi szlachecką ma butę, a w głowie—pod strzechą chlopską nabyte pojęcia. Panicz chce wieść na grzbiet jego, poganiać i jechać, —a on mu na to: „albow to ja zwierzę, aby na mnie ludzie jeździli? takim ja człek, jak i panicz.“ Na argumentacy, że on jest truteń, chamska krew,—„a toć Chrystus pan, odpiéra Janek, za nas wszystkich zarówno umierał, to nas przecie porówniał.“ Panicza oburzyło zachwalstwo chłopaka i palnął go,—lecz tu natura szlachecka odezwala się w Janku: „co chcecie, powiadał później, krew do głowy się rzuciła; jak chwyć za czub... natarłem dobrze.“ Osobliwsze to dziecko nie umiało się zastosować ślepo do wszystkich, lecz o każdej rzeczy po swojemu rozumować musiało. Zbiegiem okoliczności dostał się Janek pod opiekę uczonego professora-libertyna, następnie na dwór Stanisława Augusta; w końcu znajduje swą matkę, żeni się i znika, bo powieść się kończy. Pomysł tak piękny nie został przez autora należycie zużyty; kończąc czytanie *Bożej opieki*, żal mamy do Kraszewskiego, że tak szczegółliwie pomysłą figurę z przed oczu usunął.

To samo powiemy i o wojewodzin Wincentym (*Syn marnotrawny*). Wypędzony z domu przez ojca dla tego, że nie chciał być łotrem, że ku hańbie rodzica nie chciał fałszywego utrzymywać stosunku z piękną macochą,—z rozpacy pije, lobazuje się, a na świat czarno spogląda. Zapiera się nazwiska i rodu: „nie jestem szlachcic, mawiał, jako żywo; wypieram się tej ekstrakcyi, nienawidzę szlachty, panów; chłop jestem, cham, prosty człek, od siekiery wyciosany, z gliny najpowszedniejszej ulepiony,—*plebejus, plebeissimus*.“ Tęga jest dusza w tym chłopcu; dużo lekkomyślności, niesłychaną brawurę, ale też energią, niepospolitą szlachetność posiada. Niestety! żeni się i, podobnie jak Janek Leliwa, znika, bo powieść się kończy.

Floryan Dobek (*Kawał literata*), zmuszony uciekać z klasztoru z powodu, że go ściera prześladowali za zbytnią pochopność do nauki,—studynje w Krakowie filozofią,

magistruje się, aż w końcu osiada w Warszawie i belferką się bawi. Na garniturze pociejowskim i butach poprzestaje podartych, gromadzi księgi, ich mądrość przenosi do głowy,—nie jest jednak zimnym pedantem, owszem, pomimo nauki, życie obchodzi go mocno. Zna się ze wszystkimi uczonymi, utrzymuje stosunki ze straszny dla konserwatystów księdzem Jezierskim; z Dekertem w sprawie mieszczań pracuje; —z niecierpliwością oczekujemy, czy nie wystąpi publicznie, czy nam nie powie, co myśli. Niestety! ten Floryan Dobek, choć nie elegant, zakochał się w płochęj dziewczynie; zdradzony z rozpacy umarł.

I nie sam Dobek ginie w sidłach szajcark; w powieściach Kraszewskiego każdy bowiem bohater jeżeli nie nazawsze, to na chwilę przynajmniej staje się igraszką kobiety. Ma ona dużo rozumu, inicjatywy, energii, a jest tak obłudną, zimną i moralnie potworną, że zdaje się być stworzoną ku zatracie mężczyzn niezaradnych i biernych.

Dużo w tym Kraszewski zamieścił prawdy, ale i przesady nie mało. Niewątpliwie, że w czasach zepsucia kobieta panuje, ale też i sama pada ofiarą, choćby tylko dla tego, że się przedź od mężczyzny zużywa, a pomimo tego złudzeń nie traci. Zresztą sądząc, że w epoce upadku słabość jest właściwą zarówno kobietom, jak i mężczyznom, że lekkomyślność i chwiejność są w charakterze obu połów naszego rodu rysami wspólnymi. Kraszewski parę tylko przedstawił ofiar (Julia, Ordyńska i wojewodzina); większości zapewnił tryumfy. Mężczyźni porywają się czasem, by jawnie zrzucić, lecz, znając ich, dziwno nam, że o to się kuszą. Odrętwiały Maleparta czyż potrafi pokonać Zuzannę? podobnaż się niedołądze Dobkowi (*Macocha*) borykać z Sabiną, staremu wojewodzie (*Syn marnotrawny*) z energiczną zbrodniarką, Adamowi z Krystyną? Niekonsekwencją jest tego rodzaju mężczyzn buntować przeciwko energicznemu i obłudnemu niewiastom.

Dokładniej, niż ludzie, charakteryzuje stolicę zawarty w powieściach historyczny materiał; odnośnie zaś do prowincyi—stosunek kolorytu wspólnego do typów zmienia się; ostatnie rzecz przedstawiają rzetelniej, niż pierwszy.

Kraszewski idealizuje szlachtę w zaściankach: widzi w niej głębokie uczucie, nadzieję, myśl, zapal i wiarę, w usta jej wkłada proroctwa;—skoro jednak do kreślenia typów przystąpił, wytrysł z pod pióra postacie bez barw przesadnych: ucziwe,

lecz ciemne, przesądne, krótkowidzące, awanturnicze i śmieszne, jak Podstoli, Poraj lub Szujski, z przeszłości wydarci żywem. Wizerunkami tych osób Kraszewski sam zaćmił rzucone przez siebie na świat stary barwy różowe, a wobec tego analiza nasza jest tutaj zbyt czuła.

Do kolorytu ogólnego chciał autor dopasować bezimiennego reprezentanta stałej miłości (*Staropolska miłość*), a także Wojzbun (*Ostatnie chwile księcia wojewody*) i stolnikowicza Krzysztofa. Pierwszy, zatopiony w uczuciu, które, jak sam autor uważa, było u owych ludzi „wyjątkiem,” jest kreacją chybną; Wojzbun—to posąg z przed oczu naszych usunięty głęboko, więc się w rysach jego rozpatrzyć niełatwo; Krzysztof zaś, choć autor pragnął z niego uczynić olbrzyma, jednoczącego moralnie zasoby starego świata, dziwnie jest słabym. Zamknął się w swojej boleści, w dumie i wzgardzie; chwilami potok liryzmu wylęwa; ciągle ma łzy w oczach, na ustach modlitwę, aż się strawić daje rozpacz. Krzysztof, pozbawiony właściwej ojcom naszym równowagi duchowej i takich znamion, jakie ujawnia Podstoli, Poraj lub Szujski,—nie może być wyrazem konserwatystów osiemnastego stulecia, którzy dużo mieli brawury i różnych dla niej szukać upustów. I wśród starych panowało zepsucie,—inne tylko, niż w Warszawie, przybrało formy. Mniej wyszukane,—ograniczało się na kielichu i burdzie, gdy uczylizowane do szulerki lgnęło i kobiet.

Na sformułowany przez autora stosunek szlachty do panów zgodzić się trudno, gdyż podczas czteroletniego sejmiku łączyły te grupy wspólny interes.

Mniej słusznie rzucił autor szlachtę na panów, a pominął zupełnie ruchy społeczne wśród mieszczaństwa i chłopów, sprawę kleru i żydów. Materiału, wyjaśniającego pozycję tych grup społecznych, jest dużo; sam Kraszewski sporo go zebrał w trzytomowym dziele, ogłoszonym przed kilku laty (1873—5) w Poznaniu; czemuż dla charakterystyki czasu rzeczy tak ważnych nie użył.

Pod względem artystycznym powieści Kraszewskiego wartości są różne. W *Maleparcie* około naczelnego bohatera bez związku organicznego z całością coraz nowe postacie stają i nikną, z powodu czego charakterystyki zarysowują się słabo; *Staropolska miłość*, jedyną tylko wezbraną uczuciem, jest rozwlekłą i ekliwą gawędą, którą ratują: Szujski i Obuch—dwie postacie, narysowane z talentem i prawdą; *Boża opieka*

i *Syn marnotrawny* w początkach zapowiadają traktowanie rzeczy na skalę szeroką, lecz niespodziewanie się kończą, przez co główni bohaterowie (Janek Leliwa i wojewódzic Wincenty) stanowią zagadkę. Organicznie zbudowany i znakomicie pomyślany jest *Dyabeł*, w którym każda osoba jasno określoną rolę odgrywa do końca,—szkoda tylko, że z powodu zbyt zawilej intrygi, musiał autor rozbić dzieło na drobne rozdziały, z których każdy wątek snuje odrębny, przez co na prostocie i jednolitości powieści szwankuje. *Dola i niedola*, a szczególnie *Kawał literata*, lubo w materiał historyczny zasobne nie są,—wady powyższej nie mają i dla tego prostotą budowy i wyrazistością charakterów celują bardziej, niż *Dyabeł*.

Kraszewski lubi zagadki i efekta, wprowadza więc do powieści pierwiastek cudowny lub sytuacje z prawdą mniej zgodne. Fotofero nwią się w *Dyable*; w pięknej pod względem artystycznym *Macosze* mamy ukryty arianizm, w podziemiach zamku widzimy groby i żywem pogrzebionego w nich starca. W *Doli i niedoli* Dyogenes Kapustyński, człowiek lepszego wychowania, lecz w chłopską przebrany siermięgę i ze skrzypkami włóczący się z miejsca na miejsce, z całą filozofią swoją tajemniczym jest mocno. Przez częste w powieściach Kraszewskiego przechodzenie z jednej sfery towarzyskiej do drugiej rozszerza się wprawdzie społeczny widnokrąg, lecz na głębokości i wyrazistości traci niemal.

Na chronologię autor zważa niezawsze: wprowadza osoby zmarłe lub fakta przebrzmiałe. Tak np. w *Dyable* podczas czteroletniego sejmiku widzimy Łojkę i Węgierskiego, chociaż pierwszy zmarł w r. 1779, a drugi w tymże czasie Warszawę opuścił i w r. 1787 już nie żył; w *Macosze* agituje się po r. 1773 (Bohomolec jest ex-jezuitą) sprawa zawiązania polskiego teatru, który już w r. 1765 został otwarty.

Motywa powtarzają się. Zuzanna ogłasza Malepartę za obłąkanego,—toż samo czyni z mężem Macocha; ostatnia, podskarbie i Maleparta na usługi mają zbrodniarzy; wojewódzic Wincenty trzy razy zostaje ranny. Pomysł *Syna marnotrawnego* jest powtórzeniem *Macochy*. Dwie niegodziwe macochy, dwóch starych mężów i dwaj słuszający się do siebie podobni. Lorka w *Macosze* jest przebrany w szaty kobiece awanturniczym Wickiem; Wicek—to w suknie męskiej ubrana Lorka.

Za błąd też musimy poczytać, że poglądów swoich na czasy Kraszewski nie wie-

ła w akcyę powieściową i typy, lecz je najczęściej wypowiada od siebie w formie uwag lub lirycznych uniesień. Z tego powodu, choć pisnia jego materiału dziejowego zawierają niemało, nie zawsze jednak historyczne przedstawiają osoby.

W kreśleniu postaci, bez względu na ich stosunek do czasu, który mają przedstawiać — Kraszewski niezrównanym jest mistrzem. Kilku rysami odtwarza typy tak charakterystyczne i pełne prawdy, jak frant retmistrz Poręba (*Macocha*), który aryana od ormianina odróżnić nie umie i subtelności podobne za bałamuctwo uważa; jak wietrznicę Lassę (*Macocha*), matką której była zapewne historyczna pani Dugrumow; jak ów porucznik z *Maleparty* i tyle innych w każdej powieści napotykanym postaci. Tym świetniej wychodzą osoby, którym autor dłuższą chwilę i baczniejszą poświęcił uwagę; niezrównany hetman Ogiński, książę ekspedkomorzy, Alfier, Stanisław August w *Dyable* i Baucher; z młodzieńczę wewrą nakreślony wojewódzic Wincenty i wszystkie niemal kobiety, wysokiego w Kraszewskim dowodzą artyzmu.

Najszcześliwszą jednak kreacyą jest Karol Radziwiłł „panie kochanku,” osobistość, o którą Kraszewski podczas pisarskiej działalności swojej niejednokrotnie zaczął w anegdotach dramatycznych: (*Panie kochanku* 1867 r. i *Radziwiłł w gościnie* 1872 r.), aż w końcu w niezrównane arcydzieło ją wcielił.

Niejako za wstęp do *Ostatnich chwil księcia wojewody* uważać można *Papięry po Glince*, w których Radziwiłł „fantazyą na zmienną, rzadziej wesołą, a więcej chmurną.” Pan dobroduszny, łatwo się daje naciągnąć, często ze skargą występuje na ustach; — w gruncie człek dobry, nie bardzo tylko rozumny.

W *Ostatnich chwilach* Radziwiłł jest śle-

pym; „okrutnie się zmienił, sposepniał, znudniał, stał się milczącym, ponurym, obojętnym na wszystko.” Opanowywa go taki niepokój, że na miejscu usiedzieć nie może; chwyta gazetę, to znowu różaniec; w Nieświeżu mu tęskno, więc częste odbywa podróże. W drodze do Białej przedśmiertne nawiedzają go wizyc. Przychodzą mu we śnie przypomnienia młodości, stają szeregi przodków i blade twarze nieżyjących przyjaciół; napastowany przez widma wywołuje różne imiona kobiece i krzyczy: „wiara do mnie! a wal go! a bij! a tłucz!” Wysoce jest dramatyczną przedśmiertną reflexyą tego człowieka, który dużo nagrzeszył i tyle posiadał sumienia, że błędy uznawał, lecz i tyle jeszcze miał dumy, że się z nich usiłował oczyścić, że usprawiedliwić je pragnął. I grobowy smutek ubiera Radziwiłł w szaty humoru. Na przywitanie jego Biała uderza we dzwony, — „to exportacyą pachnie, panie kochanku;” na starym zamku wśród rozinowy o trumnach i grzechach prawi żartobliwie do spowiednika: „a tak, mości księżu, grzeszyło się, ale, żeby znowu z łada chami w czysen siedzieć, — to Radziwiłłowi nie przystało, chyba w osobnej komórce.” „Aby tam, mówi do służby, trumna wojewodzińska ciasną nie była; ja lubię leżeć przestronnie, panie kochanku.”

Kraszewski postać księcia Karola pojął nierównie głębiej i z prawdą zgodniej, niż Henryk Rzewuski. Pospęne tło opowieści, zaludnione widmami śmierci, dobrze odpowiada ostatniej chwili magnata, który dla emocyi żył ludziom wyciskał, a w sprawach publicznych szedł za ambitem i za przyrodzoną sobie brawurą. Pod względem pomysłu i wykonania *Ostatnie chwile księcia wojewody* pomiędzy utworami Kraszewskiego najprzedniejszą stanowią perłę.

Władysław Smoleński.

D R A M A T.

Obraz zdumiewająco wszechstronnéj twórczości Kraszewskiego nie byłby zupełnym, gdybyśmy w nim pominęli sceniczną jęj formę,—gdybyśmy kilku słów nie poświęcili dramatom i komedynom, których kilkanaście miał czas Kraszewski napisać w ciągu swéj półwiekowej, niezmordowanéj działalności w najróżniejszych gałęziach literatury ojczystéj.

Że wycieczki Kraszewskiego w sfery teatralne mają cechę czysto przygodną, że powieściopisarz przywiązywał do nich najczęściej znaczenie wypoczynku, który takie wyjątkowe organizacje znajdują w przejściu od jednéj pracy do drugiéj,—o tém nie pozwala wątpić sam autor, wyjaśniając czytelnikowi w stosownych przemówieniach warunki, towarzyszące narodzinom każdéj prawie komedyi, czy obrazka, lub udramatyzowanéj anegdoty albo dyalogowanéj przypowieści. Rozmowa o zadaniu i zakresie komedyi; krytyczny a doraźnie, gorąco odczuty w stosunkach społecznych przełom, chęć zasilenia repertuaru dzwigającej się sceny; wrażenie dobréj gry utalentowanego aktora; literacka z „warszawskim kusicielem“ gawęda, bogdaj nawet dobrośliwe przychylenie się do próśby jakiegoś amatorskiego teatru: oto bodźce, pod działaniem których Kraszewski ubierał swoje pomysły w dramatyczną sukienkę.

Jeżeli wobec ogromu pracy Kraszewskiego, trudno powiedzieć, że utwory jego dramatyczne pisane były w „wolnych chwilach“—bo takich czasów Kraszewski rzadko, bardzo rzadko zażywać musiał,—to niemniej przecież nie ulega wątpliwości, że je odnieść można do pewnych „chwil,”

nacechowanych przeważnie okolicznościowym znamieniem.

Charakterystyka powyższa nie jest bynajmniej zarzutem—bo pojęcie o przygodnéj doniosłości jakiegoś dzieła, może być nader względném. Chwila, wywołująca twórczość pisarza w pewnym kierunku, trwa króćć lub dłużej; może być wynikiem wrzenia, nurtującego głęboko w społeczeństwie czy w literaturze, albo podmuchu powierzchownie tylko muskającego fale życia; a pisarz, który pod piórem odczuwa zarówno silne wstrząśnienia całego organizmu społecznego, jak lekkie dreszcze literackiéj gorączki; pisarz wrażliwy na prądy wielkich idei i na drobne natręctwa przemijających tendencyi, słowem pisarz tworzący pod hasłem Terencyusza: *homo sum...* i przedstawiający odbicie swego społeczeństwa i swego czasu—jest zawsze w pewnym stopniu i w pewném rozumieniu pisarzem okolicznościowym.

W dziejach każdéj literatury znaleźć można wielkie nazwiska, związane z całemi jęj okresami; na téj łączności odbijają się jednak charakterystyczne różnice rasowe. Pewne genjusze narzucają swemu wiekowi własne piętna; inne w swoim rozwoju powtarzają wiernie rozwój współczesnéj epoki. Nie tu miejsce rozstrzygać, które ludzkości większe oddają usługi; dość co do nas zaznaczyć, że potężnych inicjatorów mieliśmy nie wielu; że wielkie prądy dziejowe ze źródeł naszéj literatury nie wypływały; że gdy społeczeństwo nasze tworzyło literaturę—literatura nie wytwarzała nawzajem, jak gdzieindziej, społeczeństwa, aż do chwili, kiedy się stała jedyną

jego matką. Ale może dlatego właśnie żadna zapewne literatura nie odwzorowywała z taką rasową zdolnością assymilacji: ducha czasu i społeczeństwa. Nie jest że takiem wiernem zwierciadłem (że tylko nowszych sięgniemy czasów) epos Mickiewicza? nie sąż niemi wszystkie cenniejsze powieści Kraszewskiego?

Sąd o tych powieściach nie do nas należy; oceniono je z różnych punktów zapatrywania w niniejszej książce, oceniła dawniej historia literatury, przyznając Kraszewskiemu: „że, jak wszystkie inne wielkie umysły, wciął w siebie ogólne prądy, potrzeby, idee i dążności wieku, ... że dość otworzyć którą z jego książek, by zrozumieć nie tylko to, czém byli ludzie daniej epoki, jakie rządziły nimi przekonania, jakie mieli przesady, jaki duch owiewał społeczeństwo; ale nawet z jakiego punktu zapatrywać się wówczas musieli na różnorodne przejawy cywilizacji, ... że wreszcie szereg powieści Kraszewskiego stanowi pod tym względem doskonały obraz lat, w których były pisane.“

Jeżeli do scenicznych utworów Kraszewskiego, nie da się z całą ścisłością zastosować powyższa ocena, to staje się ona pewną pomocniczą wskazówką w badaniu n-sposobienia, w którym je autor tworzył. Zasadniczy tego usposobienia pierwiastek: wewnętrzna i nieodłączna od organizacji Kraszewskiego potrzeba tworzenia, pod działaniem trwałych, głębiej sięgających pobudek, znajduje sobie ujście w formie epickiej, podrażniona zaś słabszymi niewątpliwie, choć może niecierpliwymi impulsami, przez świat kulis drogę sobie toruje.

Niecierpliwość właśnie zdaje się być matką dramatycznej działalności Kraszewskiego. Powieściopisarz, znający wszystkie mozoły i trudności artystycznego opowiadania, posługujący się z całą świadomością dzisiejszych wymagań, pędzłem narracyjnym do tła powieściowego i skalpelem analitycznym przy badaniu charakterów, które na tém tle działają,—uczuwa widocznie od czasu do czasu potrzebę szybszego rozprawienia się z postaciami, urodzonymi pod wpływem okoliczności, mniej więcé pilnych i doniosłych. Wtedy od ogniska jakiejś palącej kwestyi, odpada drobna iskierka, ażeby rozniecić naprędce akcją sceniczną tendencyjnego utworu, zanim zsilniejszego płomienia wyjdzie dzieło z jednego odlewu; lub zabłąkany rys szlacheckich obyczajów daje początek obrazkowi kontuszowemu; albo wreszcie okruszyna z epoki dziejowej tra-

dycyi, wypryskująca z pod dłuta bądź dziejopisarza, bądź artysty, przybiera kształty anegdoty historycznej.

Miałoby to znaczyć, że Kraszewski uważa formę dramatyczną za łatwiejszą od powieściowej?

Zdaje nam się, iż nie zgrzeszymy zbyt śmiałością, przypuszczając, że ją uznaje za mniej dla siebie obowiązującą.

Zbyteczném byłoby tu rozводить się nad zasadniczemi różnicami między organizacją powieściopisarza i dramaturga, między technicznymi warunkami tworzenia powieści i dramatu; historia literatury powszechnej świadczy aż nadto dowodnie, że pisarze, łączący w sobie tę dwoistą naturę w równomiernym stosunku, należą do osobliwości, a codzienne doświadczenie wykazuje nieuleczalną słabość wszystkich twórców, przeniesionych choćby najwprawniejszą ręką z atmosfery powieściowej na deski teatralne.

To też dość rozejrzeć się w produkeyi scenicznej Kraszewskiego, ażeby dojść do wniosku, że autor, będąc zupełnie świadomym trudności pisania dla teatru, bynajmniej nie myślał w kompozycyi, ani w techniczném obrobieniu swoich kilkunastu utworów dramatycznych, o przewyciężeniu lub nawet wyminięciu napotykanych szkopułów. Kraszewski pisze widocznie nie z przeświadczeniem, iż z pod jego pióra wyjdzie coś pod względem scenicznym silnie żywotnego, ale dlatego, aby jaknajrychlej usłyszeć wypowiedziane przez usta bohaterów to, co mu albo dolegliwym ciężarem na sercu leży, albo po prostu zaprzęta niedogodnie myśl, której swoboda potrzebną mu jest do szybowania po szerszych lub po wyższych przestworach.

Więc tło pozostawia wtedy Kraszewski dekoratorowi, o budowę sztuki zbytecznie się nie troszczy, w dobieraniu sytuacji nie jest wymyślnym, akcją popycha często powieściowym szlakiem, a postacie swoje charakteryzuje mową, więcéj aniżeli czynem; i wynikają ztąd utwory, według wskazań techniki dramatycznej niezupełnie może zdolne do życia, w których jednak żyją wszystkie postacie jedynie siłą dialogu, prowadzonego z dziwnym darem indywidualizowania każdej, najmniej nawet znaczącej figurki.

W dialogu powieściopisarz staje się dramaturgiem: w sztukach Kraszewskiego każdy mówi językiem związłym, treściwym, odpowiednim swemu charakterowi, swojej sferze, stanowisku społecznemu, które zajmuje, sytuacji, w której się znajduje; mó-

wi tyle, ile potrzeba, ani mniej, ani więcej, bez frazeologii, bez deklamacyi, bez retorycznych zwrotów. Przyglądając się tej przedmiotowości charakterystyki konwersacyjnej, którą autor prostymi a skutecznymi osiąga środkami, możnaby przypuszczać, że Kraszewski całe życie dla sceny tylko pisywał, gdyby nie okoliczność, że cenny ten przymiot, nadaje i powieściowemu jego bohaterowi ostateczną, prawdziwie plastyczną wypukłość.

Być może nawet, że powieściopisarz, który zwykle przeszkadza dramaturgowi, w tym razie przysługę mu oddaje: bo dzieci wyobraźni, wyrosłe z powijaków powieściowych, wytrzymała mówią kompleksy i lepiej niekiedy bywają do starć dramatycznych przygotowane, aniżeli bohaterowie sceniczni, z góry do pewnych przewidzianych sytuacji przeznaczeni i przy narodzinach przypominający poniekąd owe anormalne istoty, które z włosami i z zębami na świat przychodzą.

Powieściopisarz, tworzący postać sceniczną, przed uwikłaniem jej w akcję bądź dramatu, bądź komedyi, przeprowadził ją w myśli przez główne fazy rozwoju życiowego a choć proces analityczny, spostrzegawczy, pozostał się w laboratorium mózgowém twórcy, widz teatralny nie mógł go śledzić, jak śledził czytelnik powieści, — to przecież wynik processu: typ, charakter czy figura tylko lub sylwetka nosi na sobie cechę jakiegoś dojrzałości, jest to widocznie istota, która żyje w danej chwili dla tego, że żyła przed tém choćby najkrócej w wyobraźni twórcy pełnią tego życia, na jakie stać ją było z jej natury.

Żadną z postaci scenicznych Kraszewskiego nie stać na wielkie rzeczy, bo każda wyszła ze sfery realnej, codzienniej, potocznej, z pośród ludzi, którzy, nie będąc koniecznie pospolitymi, nie są przecież nadzwyczajnymi; którzy nie wspinając się do bohaterstwa, mają prawo i obowiązek mówić swoim, nie autora, językiem i od których nie więcej się nie wymaga, prócz świadectwa w rozmowie, że żyją życiem własnem, nie pożyczanem.

I nie też więcej nie dają osoby, wprowadzone na scenę przez Kraszewskiego. Prawdziwe są i wzięte z życia, gdzie zapewne nie zdobywały się na czyny bardziej, niż na teatrze zajmujące, więc usprawiedliwiają poniekąd słabość akcji, której są dość zwyczajnemi sprężynami. Charakterów między niemi nie wiele, typów niema wcale — postaci za to i figur obfitość, przedstawiających wiernie odbicie bądź prze-

złości karmazynowej lub kapotowej, bądź terazniejszości surdutowej albo siermiężnej. Otacza je atmosfera jakiegoś spokoju, który znów spływa na dramaturga z powieściopisarza, zbyt różnostronnie rozglądającego się w życiu, aby mu się jego kontrasty dramatyczne czy komiczne w jaskrawych uprzytomniały zestawieniach. Pod tym względem Kraszewski jest zupełnem przeciwieństwem Wiktora Hugo, którego powieści są obrazowaniami dramata, gdy dramata Kraszewskiego nazwać by można dyalogowaniami powieściami.

Kraszewski niema temperamentu teatralnego, i dla tego zapewne spokój, który go w najdramatyczniejszych nie opuszcza sytuacji, nie podobny jest do owego greckiego spokoju, towarzyszącego wielkim tragicznym katastrofom — ale przypomina raczej niezamąconą pogodę doświadczenia, które wiele widziało, wiele jeszcze spodziewa się zobaczyć, a zatem niczemu się nie dziwi, niczém zbytecznie się nie przeraża. Taki nastrój, nieoceniony w powieściopisarzu, jest pewną zawadą dla dramaturga. Pierwszy ma tysiące sposobów wywołania grozy, choćby sam krył pod bezpieczną osłoną obiektywizmu własne wrażenia lub nawet wcale ich nie odczuwał, jak np. dzisiejsi powieściopisarze naturalisci; drugi musi sam doznać tego, co chce udzielić, — w przeciwnym razie może w dziele swojem nagromadzić wiele materiału dramatycznego, a nie stworzy dramatu.

Przykład takiego dzieła przedstawia nam obraz dramatyczny w 5-ciu aktach „Równy wojewódzie“ (1868 Poznań). Nie brak tam żywiołów do dramatu; jest tragiczne tło XVIII wieku: szamotanie się całego narodu między sceptyczną filozofią a szlachetnymi wysiłkami uratowania choćby honoru, gdy już nic więcej wyratować się nie da; występują na tém tle przedstawiciele dwu prądów życia publicznego: książe Bronisław i hrabina Eliza, bohaterowie z pod Blachy — Jan Kordysz, Oboźny i córka jego Anna, w których upostaciował autor zdrowe instynkta narodu. Do starcia się tych żywiołów popycha zgraja pasożytów: Stopka i Polaniec, rezydenci, i Skrobek, jenerałny plenipotent księcia, drapieżne ptaki zaprawiające się na ochłapach prywatnej fortuny do żerowania po szerszym politycznym polowisku. — Ale gdy chwila starcia nadeszła, kiedy sfrancuziali letkiewicz, sięgnąwszy bezsilną dłoń po skarb szlacheckiego ogniska, po cześć Kordyszanki, spotyka się z Oboźnym, który mu przypomina,

że „szlachcic na zagrodzie równy wojewo-
dzie”—widz nie jest tą kolizją tak silnie
zainteresowanym, jakby tego natura sytu-
acji wymagała. W rzeczywistości wszy-
stko stać się mogło tak a nie inaczej, każ-
dy mógł w te a nie inne odzywać się sło-
wa, scena między księciem a Kordyszem
może mieć cechę prawdy—ale z tej praw-
dy, bardzo przedmiotowej, nie wydobył au-
tor całej poezji, któraby sytuacji, dość w
gruncie rzeczy powszedniej, nadała drama-
tyczne nateżenie. A przecież jestto punkt
kulminacyjny akcyi; to, co później nastę-
puje—rehabilitacja księcia przez miłość
—jakkolwiek jest odbiciem w dziejach jed-
nostki rehabilitacji ogólniejszej, którą
autor przygotował udziałem w akcyi to-
warzysza księcia Adama Sierocińskiego,
przedstawiającego sumienie narodowe,—
słabsze jeszcze pozostawia wrażenie, a jeśli
chwilami działa doraźniej, to dzięki szcze-
gółom, epizodom obrazu, które temu odku-
pieniu podnioslejsze nadają znaczenie. Ca-
łość przedstawia się, jako obraz o bar-
wach posępnych, których Kraszewski nie
szczędzi, ilekroć w XVIII wieku szuka do
twórczości natchnienia.

W dramacie „Dzień 3-ci maja,” spokój
przedmiotowy Kraszewskiego staje się su-
rową bezstronnością dziejową, pod wpły-
wem której powstało przykre, przytłacza-
jącą małowidło obyczajów politycznych z
1791 r. Tu znówu bezstronnością, stanowią-
cą siłę historyka, osłabia się niezbędny czyn-
nik wszelkiego a szczególnie historycznego
dramatu,—namiętność.

Nadmienić tu wszakże wypada, że taki
sposób użytkowania na scenie materiału
historycznego, zdaje się odpowiadać idea-
łowi dramatu dziejowego, postawionemu
przez Kraszewskiego w „Studiach literac-
kich.” Ideał sięga dość odległych czasów,
bo 1842 r.; porównując go jednak z dwoma
powyższymi utworami scenicznymi, z
których drugi, chronologicznie ostatni, zja-
wił się przed trzema laty—przekonywamy
się, że skryształowane snąc oddawna poję-
cia Kraszewskiego o dramacie historycz-
nym, w istocie nie ulegają już dalszym prze-
kształceniom: „Dramat historyczny, pisze
Kraszewski (Studia Literackie str. 213),
odtworzałby epokę w głównych jej wybi-
tych rysach najdoskonalej; rozszerzałby
wyobrażenia czyste i zdrowe o przeszłości
daleko skuteczniej, daleko prędzej i jedno-
stajniej, niż jakikolwiek utwór innego ro-
dzaju. Przeszłość utkwiałaby calsza, poję-
niejsza w umysłach wszystkich; interes, ja-

kiby sztuka miała, nie potrzebuje dowo-
dzenia.”

„Ale autor historycznego dramatu mu-
siałby wcale inaczej przedmiot wzięty obra-
biać, niżeli dotychczas pisarze dramatyczni
czynili, którym historia pretextem, duch
czasu i obyczaju ozdobą, — rzeczą główną:
czynność, akcja,—wypadek, intryga. Tutaj
wszystko za podrzędne uważałyby należało,—
a za główne: obraz epoki, czasu danego.
Postacie działające, historyczne musiałyby
nosabiać stawy, stronietwa—więcej klasy,
niż indywidua by były“.... „Dodajmy, że
sztuka zawsze sztuką i dramat historyczny
musiałby być przedewszystkiem dramatem,
—to jest czynnością pełną życia, zajęcia,
odpowiadającą dzisiejszym wymaganiom
smaku i prawidłom przyjętym sztuki“.

Ze słowa powyższe wypowiedziane były
przez autora „Halszki z Ostroga“ we cze-
tery lata po ukazaniu się tego dramatu,—
nie nadto naturalniejszego: widzieliśmy w nich
nawet można świadectwo dojrzewania w pi-
sarzu zmysłu krytycznego, zastosowanego do
własnych utworów, gdyby nie inni już zro-
zumiała okoliczność, że przypuszczalna *Selbst-
kritik* poprzedziła o dwa lata pięcioaktowy
dramat p. t. „Tęczyński“ (Wilno 1841),
który w spotęgowanej sile zawiera wszystko,
cokolwiek Kraszewski zarzuca „dotyacza-
sowemu pisarzom dramatycznym,” uważają-
cym „historią za pretext, duch czasu i o-
byczaje za ozdobę, a za rzecz główną czyn-
ność, akcją—wypadek, intrygę“.

Tylko działanie przemożnego podówczas
w literaturze europejskiej prądu romantyz-
mu, może rozjaśnić genezę tych dwu utwo-
rów, między którymi przytoczona wyżej teo-
rya dramatu historycznego, brzmi jak głos
zdrowego rozsądku, powściągający wybujałość
fantazyi *okolicznościowego* romantyka. Pod-
kreślamy wyrażenie, *okolicznościowego*, bo
w istocie był nim Kraszewski tylko przy-
godnie, krócej niż którychbądź ze współ-
czesnych mu pisarzy, ale za to gwałtowniej
— jak gdyby wyobraźnia poety w jednym
młodzieńczym wybuchu rzucić chciała re-
kawicę werwie spostrzegawczej i przedmio-
towej trzeźwości Kleofasa Fakunda Pas-
ternaka.

Nie widzimy też powodu wyłączać „Hal-
szki“ i „Tęczyńskiego“ z pod ogólnej, na
początku zaznaczonej charakterystyki utwo-
rów *okolicznościowych*. Jeżeli bowiem ro-
mantyzm był w ogólnych dziejach poezji
potężniejszą tylko od innych „okolicznością,”
chwilą, która w błyskawicznym mgnieniu
wskazała poetom nowe ideały, to tym bar-
dziej przemijającą musiało być odbicie tej

chwili w twórczości Kraszewskiego, którego organizacya umysłowa na inne popchnęła drogi. W autorze: „Czterech wesel“ „Pana Karola“ „Wielkiego świata małego miasteczka“, trudno było niewątpliwie przewidzieć twórcę „Halszki“ i „Tęczyńskich“: ale po przeczytaniu „Halszki“ i „Tęczyńskich“ łatwo przychodziło się do wniosku, że Kraszewski nie będzie do późnej starości walczyć na wyłomie romantyzmu, jak Wiktor Hugo, którego „Hłan Islandzki“ był tylko pierwotnym dziećciem w licznym rodzeństwie, uderzając do siebie zbliżonem wspólnością familijnych rysów.

Z pośród kilku zasadniczych żywiołów romantyzmu, niewiele miał Kraszewski do wyboru. Średniowieczny, rycersko-klasztorno-mistyczny pierwiastek, obcy był naszym dziejom, a tam gdzie go użyto, (np. u Pola w „Mohorcie“) razil endzozemskim kolorytem. Wycieczki w sferę nadzmysłową, nieprzypadają do smaku Kraszewskiemu, który w tych samych „Studiach literackich“ wyraźnie oświadcza (str. 28), że bardzo się mylą ci, którzy myślą, że romantyzm na pewnych zawisł martwych formach. Na baladzie, sonecie, na różnomiarowym wierszu, *upiorach, widmach* i t. p.“ Pozostała więc tylko specyficzna psychologia romantyzmu: nadzwyczajne uczucia, nadzwyczajne namiętności, wyjątkowe stany duszy w wyjątkowych naturach, z całym przyborem gwałtownych sprzeczności, niebываłych zestawień, uwydatnionych przy pomocy posępnego a sztucznego światłocienia.

Wszystko to i więcej to, niż co innego, znajduje się w „Halszce“ i w „Tęczyńskich“. Jeżeli gdzie, to w tych dramatach, historia jest wyraźnie pozorem, ramą do akcji odgrywającej się z charakterystyczną exaltacją, podniesioną jeszcze szczegółami sceneryi romantycznej do nastroju gorączkowego, który tak często, z najlepszą wiarą podawano w owym czasie za polot poetyczny, — za siłę dramatyczną.

Książę Dymitr Sienguszko porywa Halszkę, księżniczkę Ostrogską, od matki jej Elżbiety, przy pomocy stryja bohatera, księcia Wasila Ostrońskiego. Przygotowania do porwania w akcie pierwszym, napad na zamek w akcie drugim, śmierć Dymitra, jako banity, ściganego zemstą pokrzywdzonych kobiet, w ostatnim akcie — oto treść „Halszki“ przydatna niewątpliwie na dramat historyczny, ale spożytkowana przez autora w sposób, niepozostawiający żadnej wątpliwości co do wpływów, pod któremi, urodził się ów pierwszy utwór sceniczny Kraszewskiego. Tytułowa bohaterka bier-

nie przesuwają się przez kilka scen drugiego aktu: konszachty zaś książąt i sceny gwałtu, wypełniające dwa akty, tracą poniekąd pierwszorzędne znaczenie w obec postaci Molni, uosabiającej w sobie czynnik romantyczny, zabarwiony kolorytem szkoły ukraińskiej. Uczucie Molni dla Dymitra, nieznające granic ani we względach społecznych, ani w zasadach moralnych, ani we właściwościach natury niewieściej, ani wreszcie w prawach psychologii, odwołujące się do instynktów natury i dla tego najchętniej przez romantyków w piersi ludu umieszczane — unosi się, niby fatum jakie, nad całym dramatem, wypełnia go i przenika nierównie silniej, niż jakiegobądź inne motywa i przenosi punkt ciężkości utworu do aktu trzeciego, gdzie już wystąpić może wśród najodpowiedniejszej atmosfery, wśród wszystkich akcesoryjów prawdziwego romantyzmu.

Scena dzieje się na ementarzu, w domku grabarza. W małej izdebce, oświetlonej lampką szklaną, palącą się u ściany, krzyż wielki stoi koło drzwi; grabarz siedzi przy stole; żona jego po drugiej stronie trzyma na kolanach całun czarny trupiemi głowy naszyty, który łąta; dziecko śpi w trumnie po prawej ręce teatru; kot leży na ławie.

Takie jest tło ostatecznej katastrofy dramatu.

Któż tu nie pozna ulubionego przyboru romantycznego? kto niezrozumie, że służył on wedle obowiązującej techniki romantyzmu do nastrojenia wyobraźni widza na pomur ton występujących do walki namiętności? Na takim tle miłość Molni gotowa na wszystko, nie cofająca się nawet przed morderstwem, popełnionem na bezbronnym mieszczańinie, który podpatrzył schronienie banity: walka jej ze Zborowskim, obrońcą praw korony, wreszcie i rozpaczliwe samobójstwo, wszystko zlewa się w jeden jaskrawy obraz, którego postacią główną jest nie historyczna bohaterka, ale prosta ukraińska dziewczyna, obdarzona uczuciami zacerpniętymi z romantycznej psychologii.

Rzecz zaiste wielce charakterystyczna: że w tém efektownem oświetleniu bohaterstwa, występuje po raz pierwszy — kobieta; że podstawą tego bohaterstwa jest demoniczny żywioł natury niewieściej, który tak często i tak uparcie występować ma później w tylu kobietach Kraszewskiego. Można by powiedzieć, że jako twórca postaci kobiecych, Kraszewski, stoi dziś na tém samem co przed trzydziestu kilku laty stanowisku, utrwalonem tylko głębokimi studjami, które, nie rozwikławszy mu sinxowej zagadki

serca kobiecego, dodają wytrawnemu badaczowi odwagi do streszczenia długich poszukiwań w słowach „ja tylko wiem, że nie nie wiem,” i do zapuszczania się po odpowiedź w otechanie, pełne przerażających sprzeczności:

„Kobieto, królowo, szatanie, aniele,
„Motyln, glazie, kwiecie,
„Duchu z niebios w ludzkim ciecie,
„Nie ze świata a na świecie,
„Niepoznana, niepojęta
„Odmienna i jednakowa
„I słaba i nieugięta,
„Niewolnica i królowa;
„Witam cię gwiazdo w młodocianem niebie,
„Witam cię słońcem starości wieczornem,
„Księżycem smutku bladym i pokornym,
„Nic i wszystko, witam ciebie!

Tak rozpoczyna Kraszewski fantazją swoją o „Kobiecie”. (Studia literackie str. 217) — a oto, jak ją kończy:

„Po raz ostatni jeszcze wszystkie witam spolem,
„Wszystkich krajów, wieków, lat,
„Witam i kolano zgiałem
„Ja poeta—ja i świat!
„Anioły czy szatany, nikt was nie rozumie,
„Lukrecjo, Cenci, Julie, Eponiny—
„Czasem cnotą błysniecie w zadziwionym tłumie,
„Czasem zbrodnią szatańską i jadem gadziny,
„A serce wasze przepaść!!

Konkluzja, jak widzimy, nie odbiega od punktu wyjścia, choć ją oddzielają całe poetyczne przestwory, po nad którymi bujając, fantazja ogarnęła kobietę we wszystkich jej postaciach. Coś podobnego stało się z twórczością Kraszewskiego. Od chwili, kiedy poeta ukląkł przed kobietą, jak przed „gwiazdą w młodocianem niebie,” — aż do dziś, gdy ją wita psycholog „słońcem starości wieczornem,” upłynęło życie całe, którego filozofia w stosunku do kobiet zdaje się teraz, jak ongi, zamykać w wykrzykniku: „a serce wasze—przepaść”.

„Serce—przepaść,” oto epigraf „Tęczyńskich,” na którym wsparł się widz lub czytelnik, powinienby czuć się wolnym od zawrotów głowy, doznawanych niechybnie nad głębinami psychologii romantycznej. Tak jednakże jest; dewiza nie wystarcza—i dramat pozostawia chorobliwe wrażenie, dzięki bohaterce, której stan duszy usprawiedliwić może przedzję patologia, aniżeli zagadkowość natury ludzkiej.

Historja a raczej podanie wspomina głucho o rozpustnem życiu Doroty z Tęczyna. Kraszewski, korzystając z praw poety, dopełnił je romantycznym motywem. Bohalterka zmuszona przez stryjów: Żegotę i Woj-

śława z Tęczyna do oddania ręki Ottonowi z Rabsztyna, ulega przemocy, ale nie wyrzeka się miłości oddawna żywionej dla Nawoja, ubogiego szlachcica, któremu powierzona była na zamku w Przegini straż nad osieroconem dziewczęciem. Gwałtowność tej namiętności popycha do wiarołomstwa, którego hańbę pokrzywdzony małżonek obmywa we krwi Nawoja. Do szalu doprowadzona Dorota, żyje już tylko dla zemsty i używa do niej broni okrywającej ohydą nazwisko Tęczyńskich: — rozpusty. W splotach tego psychologicznego zawikłania postać Doroty przybiera potworne kształty. Nierządnicą, tarzającą się w bezwstydzie z zupełną świadomością swego głębokiego upadku i świadcząca własną hańbą o niewygasłym dla zabitego uczuciu; obrońcy nazwiska Tęczyńskich, mordujący jej kochanków *pro honore domus*; orgia na zimno, która ma być zarazem hołdem dla miłości i ofiarą, złożoną na jej ołtarzu: usprawiedliwienie sromoty przez zemstę; wszystko to zamiast układać się w konsekwentną akcję dramatu, wije się raczej jakimiś kłębem monstrualnym na dnie „przepaści,” którą nam odsłania Kraszewski z pochodnią romantyzmu w rękę.

Płomień tej pochodni, dziwaczniej tu jeszcze, niż w „Halszce” wystrzela,—dla tego może, iż wkrótce ma zupełnie zagasnąć pod technieniem które już przenika „Studia literackie”, a szczególnie wiecej z teorii o dramacie historycznym; przed skonaniem jednak rozświeca jeszcze jeden rys, powracający niejednokrotnie w bohaterach Kraszewskiego: słabość, chwiejność mężczyzny, wobec energii, inicyatywy kobiety. Dymitr w „Halszce” stanowiący, gdy ma za sobą siłę fizyczną, a trwożliwy przed zbliżającą się katastrofą; Nawój w „Tęczyńskich,” odpowiadający lekliwymi skrupułami, pokorą niższości na miłosne uniesienia Doroty, której ani sprostać namiętnością ani oprzeć się charakterem nie potrafi: są to przodkowie późniejszych bohaterów, usprawiedliwiających w stosunkach sercowych znany aforyzm: „my rządźmy światem, a nami kobiety”. W pierwszych dramatach Kraszewskiego zdaje się już wyraźnie rysować ten stosunek dwu jego zasadniczych typów niewieści: „Pięknej pani” lub „Heroda-baby,” do kilku kategorii kochanków, którzy bądź z braku hamulców moralnych zaprzędają cyrografem podpisanym szatanowi-kobiecie, wszystko aż do ostatniej iskielki godności człowieka, bądź mięką tkliwością zwątleni padają tragicznie w rozpaczliwój walce z niewieścim demonem, bądź wreszcie w niefra-

sobliwém poznaniu swęj słabości świadeżą o nięj, powtarzając zakończenie „Fausta“:

„Das Ewig-Weibliche
„Zieht uns hienan“.

W spożytkowaniu materyału dziejowego dla sceny, talent Kraszewskiego témi samými, co w powieściach historycznych, szedł drogami. Zyskując w miarę dojrzewania na przedmiotowości, coraz ogólnieji obchodził się z żywiołem ściśle bohaterskim, który zwykle z natury rzeczy najsilnieji zabarwionym być musi subiektywizmem poety. Pod tym względem „Tęczyńskich“ i „Dzień 3-go Maja“ nie mniejsza rozdziela przepaść, aniżeli naprzykład „Ostatnią z Książąt Słuckich“ i „Hrabinę Kosel“, a bohaterowie dzisiejszego okresu twórczości Kraszewskiego, w niczém nie przypominają bohaterów z czasów romantyzmu. Odosobniona drugich od pierwszych nie tylko zadziwiająca wiedza Kraszewskiego, ale i doświadczeniem nabyty, nieoceniony dar wydobywania z dziejów takich tylko pierwiastków, które, żywotnemi sokami krążyć mogą w dziele sztuki. Historyczni działacze Kraszewskiego tak w książce, jak i na teatrze, żyją dziś życiem swego czasu, czerpaniem przez artystę nie z systematów historyzoficznych, które są zmienne i na których odbijają się zawsze kierunki, pragnienia lub interesa chwili obecnej, ale z anegdotycznej strony dziejów, stanowiącej w historii każdego narodu najdosadniejszą może daną epoki charakterystykę.

Jak wyśmienicie pojął Kraszewski znaczenie anegdoty historycznej w charakterystyce bohaterów dziejowych, z jakim przedziwnym taktem spożytkować ją potrafił, świadczy o tém cały cykl opowiadań z czasów saskich—dowodzą równie przekonująco „anegdoty dramatyczne“ z życia rozgłośnego wojewody wileńskiego: „Panie Kochanku“ (3 akty—Poznań 1867) i „Radziwiłł w goście“ (3 akty—Lwów 1872). Powieści i utwory sceniczne, o których mowa, mają jedną wspólną cechę: pogodę spokojnego z pewnych odległości i z pewnych wyżyn wejrzenia na ludzi, rzeczy i wypadki. Takie usposobienie, jak już wyżej zauważyliśmy, nie łatwo przechodzi w nastrój dramatyczny;—i to jest może przyczyna powściągliwości Kraszewskiego w wynajdywaniu motywów dramatycznych i skłonności do dobierania postaciom dziejowym tła obyczajowego, które, oddalając się od dramatu, zbliża się do komedyi. Przygotowawszy sobie tło odpowiednie w „komedyi kontuszwowej“ (Miod kasztelański, 5 aktów, Kijów 1860, Ciepła wdówka, 3 akty, Poznań 1866),

Kraszewski rzucił na nie anegdotę historyczną—i przysporzył naszej literaturze dramatycznej nowy rodzaj utworów, który na każdej scenie polskiej winien zyskać sobie tytuł obywatelstwa.

Bohaterów na tém tle napróbnobyśmy szukali, albo nawet charakterów psychologicznie skomplikowanych,—lecz nie znajdziemy téż zdrożności ani występów, których wyszukując gdzieś w najgłębszych tajnikach natury ludzkiej, dzisiejsi komedypisarze potracić muszą o dramat, zamiast przedstawiać wady, śmieszności, zamiast dążyć do wywołania „starego a pocziwego i czerstwego śmiechu“.

Powtarzamy tu w krótkich słowach treść rozmowy z „poważnym staruszkim“, służącą za przedmowę do „Miodu kasztelańskiego“ i zawierającej protest przeciw uroszczeniom nowożytniej komedyi, która, jak zauważył późnieji Kraszewski we wstępie do „Panie Kochanku“—chce być „dramatem, tragedją, poematem, rozprawą, liryką i epopeją—słowem wszystkim, prócz tego, czém była pierwotnie.“ Z tego protestu według zapewnienia autora powstała „komedya kontuszwowa“, szukająca w przeszłości żywiołów do „starego pocziwego śmiechu, którego dziś niema w zyciu.“

Jestto niewątpliwie jeden z dowodów legitymacyjnych „komedyi kontuszwowej“—ale zdaje nam się nie jedyny. Drugiego szukaćby może wypadało w stopniowém układaniu się w umyśle pisarza wszystkich konturów, wszystkich barw życia, wszystkich jego planów bliskich lub perspektywę historyczną w przeszłość oddalonych, do łagodnej harmonii, w której wyglądają się chropowatości charakterów, słabnie naprężenie sytuacji, a żadne sprzeciwieństwa nie rążą wzroku spostrzegacza.

Spokojne téj harmonii uczucie ndziela się i widzowi, patrzącemu na komedye Kraszewskiego, budzi w nim zdrową, pocziwą, umiarkowaną wesołość, która nie wybucha niepowściągnięciem, „szerokim“ śmiechem, towarzyszącym tradycyjnemu polskiemu humorowi. Bo z komizmem Kraszewskiego dzieje się to, co z jego siłą dramatyczną: odbija się w nim trzeczwe jakieś pojęcie o względnem w życiu znaczeniu żałości i wesela, lzy i śmiechu; wśród takiego nastroju słabnie zwykłe dramatyczność, a *vis comica* traci swoją samorzutność, bez której wady, śmieszności natury ludzkiej nie dosięgają potęgi typów, kolizye zaś nie tworzą sytuacji na wskroś komicznych.

Co przedewszystkiem pociąga widza i sympatycznie do komedyi Kraszewskiego uspo-

sabia, to atmosfera pełna dodatnich pierwiastków, w której śmieszności ludzkie nie niweczą dla ludzi sympatyi, a wady nawet nie zanykają drogi do pobłażania. Czy może być coś serdeczniejszego, jak to wiejskie zacisze, w którym pędzi żywot wdowi w towarzystwie swój krewnej, panny Marty, Barbara Sulimierska? (Miód Kasztelański)? Młoda wdowa jest ulubioną postacią Kraszewskiego: jako „Ciepła wdówka“ odgrywa główną rolę w innej komedyi kontuszowej, pod różnemi postaciami po wielu snuje się powieściach; a gdziekolwiek się zjawia, roztacza około siebie urok jakiś silny, choć cichy, który nie kruszy wprawdzie egzystencji męzkich, ale je ku sobie nagina spokojną potęgą „des Ewig-Weiblichen.“

Otoczenie młodej wdowy różni się w obu komedjach kontuszowych dosadnością charakterystyki, która w „Miodzie kasztelańskim“ skupiła się w jednej postaci Jacka Sołoduchy z krzywdą Rotmistrza Kaniowy i sąsiada Petryły, a w „Ciepłej wdówie“ jednakowem życiem obdziela aż trzy figury: Żegotę, Bodzantę i Strukezaszega. Nazwał ktoś Jacka Sołoduchę Tartuffem polskim, budując naturalnie analogią na tożsamości motywu charakterowego—obludy. Zbytecznem byłoby dowodzić powierzchowności takiego zestawienia; ograniczymy się tylko na uwagę, że Tartuffe ze swoją głębią rysów psychologicznych, ze swoją zbiorową naturą, streszczającą wszechludzkie cechy typu, byłby potwornem zjawiskiem na łagodnem, choć nikłym tle polskiego szlacheckiego tworku. Ażebym wyrzucił to wrażenie, które mu zdobyło nieśmiertelność w dramatycznej literaturze świata, Tartuffe potrzebuje znaleźć się między takimi postaciami, jak: Orgon, Elmira, Damis, Maryanna, Kleant, Doryna, t.j. między charakterami odgrywającymi w obrazie względem głównego typu rolę barw dopełniających. W domu Barbary Sulimierskiej, do narzucenia się swoją osobą dwóm spokojnym kobietom, do zamącenia wody zamaszystemu żołnierzowi i miękkiemu jak wosk wieśniakowi, wystarcza Jacek Sołoducha, pośledniego gatunku obludnik, bez silniejszych namiętności, bez gwałtownych żądź, pod maską cnoty tłumionych, —hypokryta, którego wszystkie apetyty streszczają się w prostem pieczeniarsztwie. To pieczeniarsztwo jest tak wydatnym rysem charakterem Sołoduchy, że gdyby nawet, prowadząc dalej paralellę ze „Świętoszkiem“, przypomnieć podobieństwo scen, w których Elmira mistyfikuje Tartuffa a pani Ilurska Sołoduchę — to w rezultacie natrafi się na ów „miód kasztelański“, podniecający wra-

liwość rezydenta nie na wdzięki kobiety, ale na perspektywę wygodnej egzystencji.

„Ciepła wdówka“ Marya Montrymowa jest rodzoną siostrą Barbary Sulimierskiej; tylko po jej czole przebijają niekiedy chmurka melancholii, którą napróżno w pocieszeniach o pierwszeństwo zabiegach usiłują rozproszyć: wojak historyjami o Szwedach i Tatarach, myśliwy anegdotami o łowach, palestrant opowiadaniem processów. To, co niepowiodło się żadnemu z trzech konkurentów, naszkicowanych z werwą i humorem —udaje się opiekunowi wdówki, Cześnikowi, znającemu przyczynę tajonego smutku Montrymowej. Sprowadza on cichaczem pod dach ciepłej wdówki, dawnego jej z czasów panieństwa wielbiciela, chorążego Holubę, któremu, naciskana wolą matki, przemieszczyć się musiała, aby z innym stanąć na ślubnym kobiercu. Sceny między chorążym a wdową, nie zupełnie wprawdzie z kontuszem licują; on jest trochę bajroniczajem, ona nieco sentymentalną; w końcu jednak sentyment pokonywa bajronizm, który wkraść się tu niewiadomo jakim sposobem, jedyny może raz splatawszy figlę obiektywizmowi Kraszewskiego. „Cóż to za gość nowy, kto to jest... z kąd się wziął u licha?“ pyta Bodzanta, spostrzegłszy Holubę —a za nim gotów to samo pytanie czytelnik i widz powtórzyć. W odpowiedzi Kraszewski wskazuje na zwycięstwo „pierwiastku niewieściego“, jak gdyby chciał święcić tryumf zdrowego uczucia nad obcą duchowi naszemu niemocą i przypadkowe te rozdźwięki znów się w pierwotnej rozplywają harmonii.

W ramy komedyi kontuszowej wmurowuje Kraszewski anegdotę historyczną, która w takiej całości tworzyć ma „komedję historyczną“, formę zdaniem autora możliwą u nas i godną uprawiania na naszym teatrze. Ze tam, gdzie przeważa anegdota, nie może być mowy o komedyi właściwej ze stopniowaną akcją, z rozwijającymi się charakterami —nad tém oczywiście rozwódzić się nie potrzebujemy. Ale anegdota ma w takim razie pewną nieocenioną właściwość: wydobywa z pośród światła i cieni historii od razu takie rysy postaci dziejowej, które jej prawie dotykała nadają wypukłość.

Spojrzymy na księcia Karola Radziwiłła: niema może w dziejach naszych postaci, któraby sprzeczniejszemu podpadała sądowi potępności. Do malowania jej każde stroniectwo innych barw dobierało: w otyłej figurze „Panie Kochanku“ wcielano wszelkie poglądy na Polskę szlachecką i magnacką, tworząc uosobienie to wszystkich przymiotów, to wszystkich wad całej warstwy na-

rodu. Coż dziwnego, że wojewoda wileński był częściej argumentem pewnej historycznej tezy, aniżeli żywym z krwi i kości człowiekiem?

Takie życie przywraca mu anegdota, odśladując kolejno niespodziane zawikłania bogatej i oryginalnej natury, która w Kraszewskim zaciekała, zaniepokoiła zarazem powieściopisarza i dramaturga. Z tej niecierpliwości powstały dwie wymienione wyżej anegdoty dramatyczne i przed niedawnym czasem szkic powieściowy: „Ostatnie chwile panie Kochanku“, podający niejako ostatnie słowo charakteru najpopularniejszej u nas w końcu XVIII-go wieku postaci.

„Panie Kochanku“ i „Radziwiłł w goście“, stanowią dwie części trylogii scenicznej, której trzeci epizod pozostaje dotychczas w ręce autora. Nie wiemy, jaką stronę dziwaczego charakteru księcia Karola miał nam przedstawić nieznany jeszcze obraz sceniczny; to pewna, że w dwóch pierwszych spotykamy najglówniejsze rysy tego charakteru: fantazją rozbujaną do dziecinnych niemal majaczeń i butą magnacką, nie znającą nigdzie i w niczem żadnych ograniczeń.

Fantazja przejawiająca się w słynnych kłamstwach Panie Kochanku, w mistyfikacjach i teatralnych przyborach życia na Nieświeżkim zamku—traktowaną była rozmaicie—jak zresztą cała jego osoba. Widziano w niej świadectwo ostatecznego ograniczenia umysłu lub nawet obłudności, jeżeli nie przewrotności natury. U Kraszewskiego Radziwiłł wierzy w polowie własnym zmyśleniom, dykteryjkom, facecjom, koncepcjom—i kto wie, czy ta wiara nie wyjaśnia nam lepiej mnożstwa sprzeczności, niż wiele innych wywodów? Widzimy przed sobą indywidualność, której wola jednostkowa, upojona swobodą bez hamulca, potrzebuje tworzyć sobie w życiu nadzwyczajne okoliczności, sztuczne przeszkody, zmyślone niebezpieczeństwa, aby wyjść ze stanu bierności, na który skazana jest zawsze, ilekroć jej upór do czynu nie budzi. Za wiarą w bredzenia własnej wyobraźni idzie łatwowierność wobec cudzych mistyfikacji—i na tym właśnie rysie psychologicznym opiera się trzyaktowa akcja anegdoty dramatycznej, p. t. „Panie Kochanku.“ *Ad menteur, menteur et demi*, powiedziałby Francuz. Radziwiłł znajduje mistrza w młodym Syrciu, którego miłość do Leosi Puciatówny, panny respektowej, natężoną dyplomacją i pomysłowością. Szlachcica z pod Lidy wkradłszy się pod cudzem nazwiskiem do Nieświeża, zrobiwszy warya-

tem zausznika wojewody, który mógł go zdradzić, zdmuchnął z przed nosa dziewczynę wojewodzie fortelem tak grubym, że się na nim mógł nie poznać ten tylko, kto jak Panie Kochanku stracił już prawie poczucie różnicy między rzeczywistością a dziwolągami rozkapryszonój wyobraźni.

„Radziwiłł w goście“ trafia znów, niby kosa na kamień, na szlachcica równego wojewodzie. Kurcewicz nie chciał ustąpić Radziwiłłowi z popasu pierwój w karczmie zajętego. Ze starcia tych dwóch ambicji wysnuwa się szereg scen tryskających werwą komiczną, która w niczem nie ustępuje humorowi poprzedniej anegdoty. W pierwszym akcie Panie Kochanku ścięty ostrym językiem Kurcewicza z despektem karczmę opuszcza, w drugim zgryść musiał afront od zawziętego sąsiada z Siennój Wulki, który nie tylko nie przyjmuje zaprosin Radziwiłła na barszczyk z rurą, ale sam do siebie na odwrót śmie inwitować wojewodę. W trzecim akcie Książ Hrehor Koryatowicz Kurcewicz fantuje się do koszu, aby tylko godnie przyjąć księcia Karola Radziwiłła i jego dwór, zajeżdżający w czterysta koni. Kto zwycięży? „Widzisz Panie Kochanku, mówi Radziwiłł, wyściskawszy przemocą Koryatowicza,—jak niemogę siłą, to wezmę sercem.“ Zwycięża więc serce, *ultima ratio* grunt polskiej szlacheckiej natury—i nie wątpliwie główne tło charakteru wojewody wileńskiego. Trudno czasem tego tła dopatrzyć pod mnożstwem poplątanych, krzyżujących się rysów, pod grubo rozpostartymi cieniami, ale w tém właśnie artyzm Kraszewskiego, że w jego rysunku tło przebija tam, gdzie potrzeba, i nie więcej, jak potrzeba. Kraszewski nie oszczędza samego bohatera, ale go też nie pogębia; jego Radziwiłł ma wszystkie cechy prawdy przedmiotowej, która się bynajmniej nie troszczy o czasowe teorie historyczne. A otoczenie wojewody! Pani Generalowa Morawska, Kopuski, de Larzac, Wirszyll, Wołodkowicz—jakie figury z parawanu! Jaka w nich siła charakterystyki, zwieźłością swoją wymowna? —Ta właśnie charakterystyka, doprowadzona do możliwego sknupienia, oszczędna w słowach, powściągliwa w efektach, stawia anegdoty dramatyczne Kraszewskiego na najwyższym szczeblu artystycznym między utworami, które pisał dla sceny. Jestto potomstwo pesymistycznego nieco dramatu historycznego i lagodnej komedii kontuszowej; wyrazistość rysów wzięło od ojca, spokój temperamentu od matki — a dziś żyje już w literaturze życiem własnym, samostannym.

W ośmiu sztukach Kraszewskiego — jak to widzieliśmy w powyższych uwagach, występuje na scenie przeszłość; teraźniejszości poświęcił dramaturg cztery tylko utwory (mówimy o drukowanych) — a z tych właściwie jedna: „Kosa i kamień“, przyjemna wiązanka scen czysto konwersacyjnych — należy do dzisiejszej doby, inne, jak n. p. „Stare dzieje“ (4 akty, Poznań 1859), „Portrait“, komedyjka we trzech aktach i: „Łatwiej popsuć, niż naprawić“, trzyaktowa przypowieśćka dramatyczna (Wilno 1856) — sięgają dalszej teraźniejszości, a raczej bliższej przeszłości. Czyż nie w taką chwilę odgrywa się akcja sztuki „Stare dzieje“? — czyż istnie, nie stare-to dzieje, ta historia ruiny hrabiego Zawalskiego, którego niedołężne, fantastyczne, sennie marzycielstwo wyzyskał rządca zaszarganych dóbr, aby skupiwszy pańskie długi, postawić dzieźcia między dwiema równie strasznymi ostatecznościami: między oddaniem jedynej córki ekonomczykowi — a kijem żebraczym? O ileż zakończenie tej historii — wykup dóbr hrabiego przez gromadę przywiązanych włościan, — starszemu wydać się musi nuda, której je czytamy po 1859 r., t. j. po daniu pierwszego przedstawienia „Starych dziejów“ na teatrze Żytomirskim?

Przypowieśćka: „Łatwiej popsuć, niż naprawić“, z tych samych względów nastęrcza sposobność do mniej więcej podobnych uwag. Można w tym utworze znaleźć zarodek pomysłu, na którym Kraszewski oparł później treść dramatu: „Równy wojewo-

dzie“, można by dopatrzeć pokrewieństwo między księciem Bronisławem a Bogusławem, między hrabiną Elizą a Julią; między pieczeniarczami z XVIII-go a pasożytem XIX wieku, między Kordyszem i jego córką a Hrehorem i Anną Hrehorówną; tylko że arena akcji uszczuplona, że motyw jej: lekomyślność i sceptyzm upadającego bohatera, mizerniejszym się wydaje bez tragicznego tła, a odkupienie eicho i mozolnie odbywać się musi nie w jednodniowym, lecz w codziennym bohaterstwie pracy bez rozgłosu, obowiązku bez poezyi wielkich czynów.

Kraszewski przez 50 lat uczył nas, jak się wiele rzeczy żelazną pracą naprawia. Znamy wszyscy rozgłosne tej pracy wyniki; dramatyczne jego utwory są skromniejszymi odgłosami tego poczucia obowiązku, które pisarza pannyjącego siłą talentu nad umysłami i sercami własnego społeczeństwa, popycha do puszczenia w świat każdej myśli pięknej, szlachetnej, pożytecznej lub potrzebnej bez względu na formę, na wytworność i wykończenie zewnętrznego jej przybrania.

Z tego punktu zapatrywania należy zdaniem naszym oceniać dramatyczną twórczość Kraszewskiego, z tego punktu zapatrywania scenicznym jego utworom przyznać należy nieposlednie miejsce, jeżeli nie wprost w dziejach naszej literatury, to w historii działalności Kraszewskiego, który w tej literaturze zajął, śmiało rzec można, wyjątkowe, prawie bezprzykładne stanowisko.

Władysław Bogusławski.

P O E Z Y A.

„Poezye. — Anafielas. — Szatan i Kobieta. — Hymny Boleści. — Wioska. — Ustępny Starój Baśni.“

Należałoby może temu ustępowi inny dać tytuł; wyraz bowiem „poezya;“ jeżeli się przywiązujemy nie do formy, ale do rzeczy, jest tutaj za rozległy. Można być poetą i w prozie, niekiedy większym, niżeli wszystkie pisorymy; dowodem tego: *Niebozka Komedya*, *Irydion*, zgola wszystkie poemata Krasińskiego pisane prozą, wyższe od jego własnych dzieł rymowanych. Poetą, pojmowanym jako malarz, ubierający swe myśli w obrazy, rozumujący grą figur na szachownicy stosunków odświętnych czy powszednich, przemawiający raczej do uczucia, niż do rozważki, „przez oczy wchodzący do duszy,“ jak powiada stara piosenka, — takim poetą Kraszewski jest wszędzie, nawet w dziełach z pozoru niedostępnych dla twórczości poetyckiej. W jego *Słuch u Słowian* spotykamy karty żywem przenoszące nas w świat umarły przed laty tysiącami, zniewalające do serdecznego udziału we wrzawie bitew, w uroczystym pogrzebie bohaterów, w tajemniczych wiecach bogów kamiennych. W jego *Litwie*, z kilku zwrotek piosenki, z kilku słów przypowieści, z pojedynczych wyrazów starój mowy Żmudzina, wyrasta przed oczyma naszój wyobraźni cała przedhistoryczna chata ze swoimi mieszkańcami, z ich zatrudnieniem i sposobem myślenia. W jego *Wspomnieniach* po raz pierwszy z pod pióra pisarza wyszło, jak malowane, całe Polesie, z zakonieniami i typami, przedtém znanemi tylko z posłuchu i niepewnemi, jak ów olbrzymi piskorz na łańcuchu trzymany w Prypeci. W jego książeczce *O pracy*, napisanej dla ubogich duchem, więcej obrazów niż w me-
jednym poemacie pospłatanym potrójnemi

rymami w oktawy lub tercety. Cóż dopiero mówić o powieściach, które pod względem pomysłu, układu części, krajobrazów i wizerunków osób działających, wszystkie należą niepodzielnie do poezyi, nie dla tego, że tak podobało się retoryce, ale dla tego, że są dziełmi umysłu wskroś poetycznego, dziełmi jego z duszy i ciała, z krwi i kości! Od *Dziennika Starego Dziada*, karmiącego chlebem i sercem wróbla, myszkę i ulicznika, do tragicznój powagi *Ostatnich Chwil Księcia Wojewody*, od rozpacznych stosunków codziennych *Chwały za Wsią* do najgórniejszych wzlotów wyobraźni i uczucia w *Życiu z Nieba*, nie ma prawie dziedzi-
życia, którójby Kraszewski nie ożywił techniem poezyi, nierzadko dosięgającym najwyższych turni wzniosłości. Posłuszeństwo dla wymagań sztuki jest w jego powieściach tak wielkie, że nader wstrzemięźliwie roz-
mując, a nigdy prawie nie sadi się na senten-
cye, tylko opowiada; jeżeli zaś koniecznie roz-
mawiać lub z morałem wystąpić przyjdzie, to wkłada jedno i drugie w usta osób dzia-
lających, ażeby jego samego o taki grzech przeciw poezyi nie pomawiano. To jedno już przekonywa, że na ogromnym obszarze swojej twórczości pisarskiej, działa Kraszewski, jako poeta, nie tylko z wewnętrznego po-
pędu, ale i z dojrzałym namysłem, że za-
tém ramy uwag nad tą stroną jego talentu należałoby wielce rozszerzyć. Byłoby to w istocie zadanie nader wdzięczne i na-
uczające; dla mnie jest wszakże za wielkie. Nie chcąc kłaść na tytule sponiewieranych wyrazów: „rymotwórstwo,“ „wierszopistwo“ lub coś podobnego, położyłem „poezya;“ ale

mam mówić tylko o autorze dzieł wierszowanych.

W zawodzie rymotwórczym Kraszewskiego upatrzę cztery dość odosobnione zwroty. Pierwszy od lat młodzieńczych ciągnie się prawie do roku 1840; cechuje go zwykła młodości gorączka, rozpraszenie się na drobności, walka z doboorem wyrazów, ze średniościami i rymem, to jednak nie przeszkadza częstemu składaniu dowodów szerego pocucia piękna i plastyki, bez czego najpiękniejsze nawet wiersze nie będą począ. Drugi zwrot znacznie krótszy, sięgający do r. 1844, odznacza się swobodą wyrobioną już formy, tudzież nierównie większym, niż pierwszy, skupieniem i dojrzałym spokojem artysty; zawarł Kraszewski w tym okresie trzy wielkie poematy z dziejów Litwy i jedną obszerną fantazją obyczajową. Trzeci zwrot po czterdziestoletnim milczeniu, płynie przez chwilę bystrym potokiem liryzmu; należy do niego jeden poemat opisowy i kilka pieśni, poświęconych uczczeniu boleści. Czwarty zwrot, po siedmasto-letnim milczeniu, rozpoczyna się pieśniami ślepego Słowana w *Starć Basni*, niby kartkami wyciętymi z Króloworowskiego Rękopisu lub Słowa o Pułku Igora; chowa je autor w prozę, ale ukryć nie może, bo z białych kart „dziesięć sokołów puszcza na stado łabędzi.“ Ktoś gotów powie: dzieć, że w r. 1876 za późno już było dla Kraszewskiego rozpoczynać nową epokę twórczości poetyckiej? Ale odpowiedzią na to może być żywot Goethe'go, który w 59-m roku życia ukończył pierwszą część *Fausta*, a drugiej ostatnią kartę napisał, mając lat 80. Wolno więc i Kraszewskiemu, który w różnorodności i płodności niejedno ma z Goethe'm wspólnego, rozpocząć nową erę w 64-m roku niestrudzonego żywota.

I.

Forma poetycka rymu i miary, prawidłowości i współdziału, bez względu nawet na to, co pod nią się ukrywa, mile przemawia do ucha obdarzonego pocuciem muzyczności. Ztąd nieraz w najlepszej mierze, zwłaszcza pomiędzy kobietami, bywają piszący wiersze, w których prócz rymów, średniówek i pięściwój kombinacji głosek, nie prawie nie ma więcej. U młodzieży zaś, kiedy rymopisarstwo wyprzedza ogólny rozwój władz umysłowych, taki wypadek musi być nieunikniony, i oczywiście nie wybiegał się od niego J. I. Kraszewski w pierwszych latach, składanych na ofiarę Apollinowi. To ciekawsza, że wbrew twierdzeniom teorii, iż pierwszym wytworem poezji

jest liryka, drugim epos a trzecim dramat, w zgodzie jednak z licznymi postrzeżeniami, a pono i z naturą umysłu ludzkiego, wcześniej przychodzącego do postrzegania świata zewnętrznego, niżeli do zastanowienia nad życiem wewnętrznym, pierwszym znanym plodem rymowanym Kraszewskiego była ballada, dzieło opisowe, epickie. Treść owiej ballady znajduje czytelnicy na innem miejscu obecnej książki, w artykule p. Glogera, opowiadającym chwilę wspólnego pobytu w szkołach białskich. Była ona widocznie echem, jeszcze nieświadomym, ballad pojawiających się w czasopiśmie polskich z pierwszym błyskiem jutrzeńki romantyzmu, ballad jeszcze klasycznie chłodnych i z wielką bojaźnią zawadzających o cudowność. Gdyby Kraszewski znał już wtedy ballady Mickiewicza, musiałby przedewszystkiem naśladować ich formę kunsztowną i zabrać w lasy fantastyczności, w której, równie jak Mickiewicz, był kołysany przez piastunki. Wążka pierś młodociana nie weszła jeszcze uczniem potrzebującym wylania się w pieśni; gra więc tylko wyobraźnia, ale uczucie milczy w balladzie chłopięcej. Wprędce i na nie przyjdzie kolej; ale tymczasem młodociany autor składa zapowiedź przyszłości, iż przedewszystkiem będzie w poezji naturalnym. Jakoż w istocie, pomimo wielkich pokus, które w latach rozwoju miał przed oczyma, nie zbrał się z przesadą i naturalnym po dziś dzień pozostał.

Nóta rozczerowania i rozpacz, która odrazu rozległa się w najpierwszych drukowanych poezjach lirycznych Kraszewskiego, bynajmniej temu twierdzeniu nie zaprzecza. To, co się przyzwyczajono nazywać „bajronizmem“, co przeto w Kraszewskim za przejęte od Byron'a poniekąd poczytywać można, jest raczej starym, jak świat, głosem piersi człowieka, który jedynie w pieśni wieszczą Albionu zabrzmiął przenikliwiej i boleśniej, bo też rozpacz zawodn i boleść powszechna była naówczas większa, niż kiedykolwiek. Dwudziesto-letni Kraszewski, w takiej porze wieku, kiedy chęć czynu przewyższa siłę ramion olbrzyma, kiedy żąda sprowadzenia raju na ziemię przenika całą naszą istotę, kiedy niska temperatura otoczenia największą wykazuje różnicę z naszą gorączką, kiedy więc w sanych sobie nosimy wszelkie warunki codziennego rozczerowania, — skazany był na bezczynne rozmyślanie. Cóż tedy dziwnego, że pieśń młodzieńca zabrzmiiała niewiary w siebie i w ludzi, zionęła rozpaczą i sarkazmem, zwłaszcza, że tymże tonem śpie-

wano dokola, a Byrona właśnie wtedy tłumaczyły najdzielniejsze u nas pióra? Zresztą nawet w pogrzebie rozpacz Kraszewski ma rysy odrębne, obce czystemu bajronizmowi: gardzi rozkoszą zmysłową, a nawet uniesiony chwilowym szaleń, wstydił się być „szczęśliwym jak zwierzę”; „dlugo wierzy w miłość szlachetną, widzi ją nawet w „Maryi Magdalenie”, którą usprawiedliwia słowami Ewangelii, iż wiele kochała, że pragnęła „kwitnąć nie sobie, pachnąć nie dla siebie”; nad ludzkością częściej boleje, niż uraga, zresztą uraga tylko złemu; ciągle ma przed oczyma żywot zagrobowy, i słowa „Bóg” nie wzdyga się wymawiać; na awantury, jak bohaterowie Byrona, prócz Paola, bynajmniej się nie kasa. „Lepiej umrzeć, niżeli żyć”, kilkakrotnie sływa u niego na papier; ale nigdy nie powiada: „Czémkolwiek byłeś, lepiej być *nieczem*.” Liczne tego dowody złożył Kraszewski na kartach swoich *Poezyi*, które w dwóch tomach ogłosił po raz pierwszy w r. 1838 drukiem Blumowicza w Wilnie, a powtórnie w r. 1843 nakładem Orzelbranda w Warszawie.

Nieszczęśliwe te *Poezye*, przybite barbarzyńskimi gwoździemi omyłek do bibuly, którą wówczas nazywano „dobrym” papierem w ogłoszeniach księgarskich, właśnie otwierają przed nami swe tajemnice, z którymi dziś autor możeby się nie zawsze zwierzał. Oto dla przykładu, jak w r. 1833, zafici w dwudziestym pierwszym życia, czuje się obarczonym przedwczesną starością, wyczerpanym z sił, umierającym, i jak w „łabędzim śpiewie” rozstaje się z ukochaną, która w druku ma imię Maryi:

Wyrzucony na świat ten silną Stwórcy dłonią,
Obiegłem w koło życia i u celu stoję;
Oczy, wprzód lez pełne, dzisiaj lez nie ronią,
Wprzód umrzeć się bałem, dziś już się nie boję.
I czuję w głowie mojej przedśmiertelne dreszcze,
I w piersiach moich przyszły zaród śmierci czuję,
W sercu życia mała iskra tleje jeszcze,
Lecz już dusza znękana ku niebu wlatuje.
Bądź zdrow światcie na zawsze, na wieki, na wieki!
Bądźcie zdrowi wy, coście zmierzili mi życie;
Przebaczam wam — nas wszystkich koniec niedaleki;
Przebaczam wam — nie wiecie nigdy, co czynicie....
I ciebie żegnam luba... nie! nie żegnam ciebie:
Nie żegnając się nawet znajdziemy się w niebie....
Jedno może wspomnienie chwil naszej miłości
Miłe mi jest i dzisiaj, tak jak przedtem było, —
I nie jeden mi skarbu wspomnień pozazdrości,
Bo z niemi umrzeć nawet, — o luba! tak miło!
Ja i dzisiaj pamiętam tój miłości dzieje:
Kiedym był nieszczęśliwy, tyś mnie pokochała,
Kiedym utracił życia i szczęścia nadzieję,
Przyszłaś, żebyś lzy swoje z moimi zmieszała.
Dzięki ci, dzięki! — Może czas odmieni ciebie,
Pomarszczy twoje lica, serce twe odmieni;
Zimna, mądra ostygniesz z namiotnych płomieni,
Zestarzejesz — lecz młodzi spotkamy się w niebie.

Wszak dusza nie starzeje! — Tak, tam, luba, w niebie,
Zakończymy rozmowę na ziemi poczętą;
Tam będziesz moją, tam mi nikt nie wydrze ciebie,
Tam brudna miłość ziemską przemieni się w świętą.
Brudna?... nie — i tu miłość nasza czystą była,
Wyrosla z lez i nieszczęść, na nich się skończyła.
O! te chwile w najslodszych życia mego mieszczę.
Czegożbym nie dał, gdybym dziś mógł kochać jeszcze!
Lecz dziś kochać nie mogę — widziałem świat cały,
Odałem czeka z ciała, w krew jego patrzałem,
Serce wyrwane z piersi te ręce trzymały,
Z czaszką, myśli stolicą, o ludziach gadalem....
Ach! gdyby tylko chwile, Maryo ukochana,
Tylko dwie przeżyć chwile, jak my dawniej żyli.
Wieczorem zejść się w domu, a w kościele z rana,
Płakać godzinę cały, a śmiać się pół chwili!...
Maryo! dziś ty nie taka, jaką byłaś wprzód.
Kiedys ty młodsza była i ja byłem młody,
Dziś my starsi oboje, śmiejem się z młodości,
Śmiejem się głośno — serce po cichu zazdrości....
Wówczas lepsze lzy były, niż dzisiejsze śmiechy,
Na wagę życia grobu kupione uciechy.
Dzisiaj kiedy do grobu nachyla się ciało,
Z dawnych rozkoszy tylko żartować przystało...
Maryo! przed tobą jeszcze dłuższa droga życia!...
Nie spiesz się — i wśród życia między ludźmi zlemini
Bądź taką, jaką byłaś w młode twoje lata,
Jaką masz być tam w niebie, bądź tutaj na ziemi,
Żyj, i jak ja przy śmierci — nie płacz tego świata.

Pomimo wyrażenia: „Bądź taką, jaką byłaś w młode twoje lata,” bardzo przypominającego: „Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata,” w nawskroś rozpaczymy *Nowym Roku* Mickiewicza, — pomimo jednakże formy zewnętrznej obu utworów, świadczącej, że późniejszy był pisany pod świeżym wpływem pierwszego; — Kraszewski nie przestaje tu być sobą w zapatrywaniu się na życie i przyszłość. Jego rozpacz, znużenie, żądza spoczynku na „dębowej pościeli” jest zupełnie nasza rodzinna, jest, jeżeli się tak wolno wyrazić, „polskim bajronizmem.” Rozpacz bez granic, niewiara bez zastrzeżenia, odzywa się u niego wtedy jedynie, gdy zamyka się w stosunkach wyłączenie ziemskich, jak np. w improwizacji: *Do moich przyjaciół*, kończącej się głębokim szyderstwem: „Kto z was przyjacieli, moi przyjacieli?” Skoro jednakże wyżej nad chwilę obecną wleci, zaraz do nóty polskiej powraca, jak n. p. w tym młodzieńczym, a najpiękniejszym pono w całej pierwszej wiązance wierszu *Do Nowonarodzonego*:

Otoż nowy męczennik do świata przybywał
Nieszczęśliwy! O gdybym miał na to dość siły,
Stargałbym słabe życia twojego ogniwa,
Żebyś nie zapłakawszy wrócił do mogiły...
Powróć nazad, ażebyś za rozkoszy chwile,
Dla imienia człowieka nie dręczył się tyle,
He my z każdą tutaj dręczym się godziną;
Póki czas, wróć do nieba, żądną idziesz, dziecko!...
Tu nie ma szczęścia, nie mał — tu tylko szczęśliwy,
Kto zimno na świat cały i siebie spogląda;
A w jego oku nikną cnot i zbrodni diwy,
Nie lęka się niczego, niczego nie żąda,

Śmieje się z siebie, z Boga, z świata, jak z omamień,
Nie płacze i nie kocha... szczęśliwy — jak kamień!...
Poznasz, co to jest człowiek. Któż poznał człowieka?
Zlepiony z tchnienia Boga i kału tej ziemi,
Zbliżka szatan lub zwierzę, aniołek z daleka,
Nieśmiertelność śmie wzywać usta nieczystemi!
Sam niewolnik, a jednak porwał berło świata;
Słaby — njarzmił wszystkich, — i do chwili zgonu
Nie ustąpi uparty z swęj wielkości tronu;
Wpół zgnily jeszcze Bogiem i duszą pomiata...
Ujrysz jak potem, ziemię skrapiając obficie,
Ciężko knieć w jej wnętrznościach zarabia na życie;
Jak uędzny, do zwierzęcia podobniejszy człowiek,
Będzie żebrząc litości, pilłszy swoich powiek;
Nikt mu ręki nie poda, żalem się nie wzruszy,
Odepchną go, na skargi zatykając uszy....
Znajdziesz i rozkosz! — dla niej nie warto się rodzić...
W zawiedzionych nadziejach młodość twa uplynie,
Nadejdzie starość, niosąc rozumu pochodnię,
Będiesz płakał przeszłości, gdy na wieki minie,
Będziesz płakał lat młodych steranych niegodnie!
Lecz cóż z żalu po czasie? O umarzej dziecino,
Bo lepiej ciała w grobie, lepiej duszy w niebie...
Żyć jednak, gdy cię matka wypieszcza troskliwa
I niepomna swych cierpień do nich ciebie wzywa:
Żyć i cierp — ale szczęścia nie szukaj na ziemi,
Bądź tylko zimnym sędzią ludzkich gwałtów i złości,
Śmieć się, płacz, patrząc na nich, ale nie bądź z nimi,
Przysięgami pogardzaj, nie wierz ich miłości....

Ta zachęta do „płaczu“ nad ludźmi, naj-
lepiej przekonywa, jak dalece Kraszewski
nigdy się nie mógł przejąć rozpaczą wyro-
stą na gruncie wzgardy dla ludzkości, jak
dalece niedługo mógł pozostawać w ucieczce
od świata, w zamknięciu się z samym sobą
na pustyni, „w otoczeniu duchów.“ Dla
niego, jak powiada, przespać całe życie na
„łożu dumań“ jest to samo, co „być dla
świata, jak kawał kamienia urodzony na
Alp szczycie.“ Umie też w formie jeszcze
nie bardzo może wyrobionój, lecz z wielką
siłą uczucia, malować na tle Burzy i świe-
tnego balu, cierpienia matki. Z drugieji
strony rzewna skarga cichéj boleści nie jest
też bynajmniej obca Kraszewskiemu, jak to
widzimy n. p. w wierszu zatytułowanym *Po-
grzeb Rybaka*, a jeszcze udatniej w innym,
noszącym miano: *Biedny Chłopiec*. Nie mogę
się powstrzymać od przytoczenia tutaj w ca-
łości tego wierszyka, którego ostatnia strofa
przed wykrzykiem i po wykrzyku Mickie-
wicza: „Nie miałeś litości panie!“ rzadko się
wtedy odzywała w poezji, chociaż zgrzytliwie
brzmiała gdzieindziej. Biedny Wieśniak śpiewa:

Na mojej grzędce powiedły kwiatki,
Na polu wybił grad zboże,
I piorun wleciał do mojej chatki.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Miałem dziewczynę jedną na świecie,
Czyż taka druga być może?
Ach! i ta jedna zwiodła mię przecie.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Był u mnie ptaszek, co jak my gada,
Piórka miał lśniące i hoże,
I mego ptaszka zjadł kot sąsiada.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Miałem konika, który od młodu
Nosił mię nieraz w bezdroże,
I konik nawet zdechl u mnie z głodu.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Los mi grób matki jeszcze zostawił,
Tam choć popłakać syn może;
Ale pan na nim karczmę postawił.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Takie to są „młodzieńcze próby, młodzień-
czych uczuć wyraz,“ jak sam o swych poc-
zyach pisanych do roku 1838 powiada Kra-
szewski. W miarę postępu czasu, wypoga-
dzało się coraz bardziej na niebie duszy
poety, aż wreszcie w usposobieniu jego na-
stała zupełna zmiana. Wprawdzie na zawsze
pozostać miało gorczyzno ziarno niesmaku
w jego patrzeniu na rzeczy tego świata,
pozostała odrobina lekkiego przekąsu pod
dobrodusznym uśmiechem, ale z rozpaczą
i żądzą śmierci poeta wkrótce dożgonny
uczynił rozbrat.

* * *

Więcej może czystego bajronizmu znaleźć
można w młodzieńczych utworach epickich
Kraszewskiego, aniżeli w jego pieśniach liry-
cznych. Widocznie lubił ponurych bohater-
ów, noszących się z wielką zgryzotą,
ale sam takim być nie chciał. Przynaj-
mniej „powieść wenecka“ *Paolo* — niema-
jąca przy sobie daty, ale z pewnością jedna
z uajdawniejszych, — z potwornéj namiętno-
ści i formy ciągle w liryzm przechodzącej,
należy do wnucząt autora *Don Juana* i
Giaura. Młoda niewiasta, wydana za starca,
ma wielbiciela w pięknym młodzianie. Tym-
czasem rozszalała miłością ku niéj a wzgar-
dzone pacholę, czatuje na szczęśliwego
współzawodnika. Prawdziwie bajronowski
jest następujący obrazek:

Tuż z za drzwi uchylonych, ktoś okiem ciekawém
Pożera ją przy świetle wieczora bladawém,
Wzrok jego cheiwy białe przelata ramiona,
Pierś jej, kibić, — i przy stopach kona.
Któż to? — To chłopiec mały — jeszcze w jego łonie,
Dziecinne serce spokojnie bić musi.
O nie! Patrz: oko jak w tych piersiach tonie!
Jakie westchnienia w własnej piersi dusi!
O nie! słońce ten kwiatek rozwinięto wcześniej,
Choć młody, dumać musiał i kochać choć we śnie.
Gdy świat go ślepy dziecięciem nazywa,
On w łonie mężkie serce i duszę ukrywa.
Kiedy kobiety szepczą między sobą,
Że będzie kiedyś Wenecci ozdoba,
On z nich niejedną na wskroś wzrokiem przeszył,
Niejedną myślą rozkoszy się cieszył,

Któręj sądzono, że nie zna dziecina.
Lecz on próżno do świata wyciąga ramiona:
Serca niedojrzałego nie przyjmie dziewczyna,
I miłość próżno tłéć będzie wzgardzona.
Biedny! jakież pamiątki dla niego zostaną?
Zawczesne, zawiedzione, przekwitłe nadzieje...

Uniesiony wściekłością na widok szczęścia
rywala, Paolo wprowadza go w ciasne uliczki
Wenecyi, niby na schadzkę miłośną, i prze-
bija sztyletem. Potem i odpychająca mężo-
bójcę, i odepchnięty, głąną w głębi Wielkiego
Kanału. Pełne siły są tutaj wyrazy młodo-
cianego mordercy, wpatrującego się w po-
waloną swoją ofiarę:

Dziękuj kochance za rozkosz, za wdzięki;
One to były panem mojej ręki.
Im śmierć winienes! — ach! i szczęścia tyle!...
I jaby umarł, gdybym jak ty długo
Połł się szczęściem!... Skonał? nie — już kona!
Krew jeszcze z piersi płynie czarną strugą,
A w piersi dusza siedzi uwięziona.
Sztylet głęboko, — ale nie tknął duszy:
Dalej zleknioma przed śmiercią uciekla...
Czy żyje? — Skonał — serce się nie ruszy —
Poszedł do piekła!

Prawdziwym upalem poetyckim już nie
weneckiego nieba, ale afrykańskiej pustyni,
wiecej od małego poemaciku *Azoad*, stano-
wiącego piękną przypowieść, nawskroś prze-
jętą wybuchami lirycznymi. Na tém jednak-
że kończy się u Kraszewskiego szukanie
wątku do pieśni po za granicami własnego
kraju. Oddanie się studiom nad dziejami
Wilna i Litwy, zwróciło też w tamtą stronę
jego natchnienia poetyckie, lubo jeszcze nie
uwolniło ich od lubowania się w gwałtownych
dramatach i bohaterach napiętnowa-
nych zbrodnią. Taka jest osnowa poemaciku:
Gerhard Ruda, w którym jeniec krzyżacki,
zakochany w Litwinie, następnie uwolniony,
powracający jako nieprzyjaciel i pożogę roz-
noszący po Litwie, wydany zostaje przez
kochankę i spalony na stosie w roku 1320.
Podobna osnowa *Biruty*, kapłanki porwanej
od ołtarza przez Kiejstutę w r. 1331 i po-
jętej przezeń za żonę z pogwałceniem praw
religijnych. Podobna osnowa *Kiejstuta* za-
mordowanego z rozkazu synowca w r. 1382.
Podobne wreszcie ma cechy poemacik *Lyn-
gala*, w którym książę Henryk mazowiecki,
pomimo przyjęcia sukni duchownej, żeni się
z córką Witołda, i znajduje za to śmierć
w ślubnej łóżnicy z ręki nasadzonego mordercy.
Wyjątek od tego bajronicznego na-
stroju znajdujemy tylko w niewielkim utwo-
rze: *Dziewięć Pokoleń Litry*, opowiadającym
według mitologii litewskiej dzieje potopu i
nowe rozrodzenie się ludzi. Przeczujemy
już tutaj przyszłego autora *Witoloraudy*;

w ogóle jednak we wszystkich tych utwo-
rach brak jeszcze wybitnego kolorytu epoki,
oddzielenój od młodocianego autora pięciu
wiekami wielkiej pracy cywilizacyjnej na
Litwie. Że jednak i w tych najdawniejszych
próbkach są śliczne ustępy, nacechowane
charakterem miejscowym, za dowód posłu-
żyć mogą następne wyrazy o Kiejstucie,
z ufnością udającym się do Jagielly, który
przedzie nań zdradę:

Lecz patrzajcie — o cud! oto Kiejstut jedzie!

To jego konik, Żmujdzin jak Biruta,
To szabla jego, to sługi Kiejstuta,
A to Skirgajło na przedzie.
Jedzie, stanął na błoni,
Kon się zarył nogami.
— Czego stajesz mój koniu?
— „Panie! zdrada przed nami!“
I pies drogę zaskoczy,
I wyje przed nim pada:
— „Kniaziu, wyje, tam zdrada!
Kniaziu, wróg tam otoczy!“
I sokół mu na rękę
Siadł, zabrzęczał dzwonkami,
I w smutnym mówił jęku:
— „Kniaziu, zdrada przed nami!“

Kiejstut nie słuchał ni psa, ni sokoła,
Ni konia swego, ni swojej drużyny.
— Kiejstut się zdrady nie boi! — zawoła —
Kiejstut na pokój spieszy do rodziny.
A kiedy życia wrogi mu nie wzięły,
Nie wezmą swoi...

Kilka ballad i bajek mocno zaprawnych
satyrą i wyborym dowcipem, uzupełnia
pierwszy sноп epicki Kraszewskiego. Komuż
nie jest znana bajeczka *Dziad i Baba*, cu-
dnie ilustrowana muzyką przez Moniuszkę?
Komuż nieznany *Pan i Człowiek*? albo *Mo-
nomachia Wiatru z Chmurą*? albo też owa
Branka, którą, młodzieniaszkami będąc, przez
mściwość przepisywaliśmy na wsi w upo-
minku dla panien? Mniej była za naszych
młodych czasów upowszechniona, a równa
powyższym jest *Panna Barbara*, o której
parę słówek nie będzie za wiele. Kocha ją
młodzian spokojnego animuszu, któryby, wy-
bierając z dwojga złego, wołał zaszyć się
w habit niżeli iść na wojnę. Lecz ojciec
Basi zapowiedział, że odda jej rękę tylko
temu, „kto rabie, pali, niszczy, kto nie ucie-
cze z pola i dostoi do kielicha;“ więc nie
ma rady, panicz wybiera się na wojnę.

Poszedł — dobrze się udało,
Z nieśmiertelną wrócił chwala,
Tylko jedną stracił nogę
I o kuli rusza w drogę.
Do domu! serce mu bije —
Widać dom Basi z daleka —
Modli się biedny kaleka,
I słodkie wspomnienia pije.
Ach! czy szczęśliwi? czy żyją?

Pociesz go Panno Maryo!...
 Idzie — tak ludno we dworze,
 W dziedzińcu konie, landary,
 Muzyka... cóż to być może?...
 — Wesele panny Barbary.....

* * *

Do formy dramatycznej w poezji bardzo wczesnie uciekać się począł Kraszewski; lecz napisawszy jeden zaledwo utwór odpowiadający mniej więcej zwyklemu pojmowaniu sztuki scenicznej, wczesnie dramat wierszowany porzucił, zstępując z wyżyn tragedii do lżejszej komedii historycznej i obyczajowej w prozie. Jego *Halszka*, osnuta na kronice książęcego domu Ostrogskich z połowy XVI stulecia, formą przypominająca trochę klasyków francuzkich i naszych opiewających Barbarę Radziwiłłównę, trochę zarywająca z *Dziennicy Orleańskiej* Szyllera, do której się zbliża długimi tyradami, trochę zawadzająca o Szekspira przez wprowadzanie mass ludowych, napisana została w r. 1835, gdy autor miał ledwo 23 lata, zatem był w wieku, w którym obiektywność i znajomość charakterów, niezbędną dramaturgowi, nie bywa dostatecznie wyrobioną. Rozbiór zresztą tego utworu należy do innego współpracownika obecnej książki: ja notuję tu jedynie, że na tragiczny żywot Halszki z Ostroga, brany później za przedmiot dzieł dramatycznych przez Przeździeckiego i Szujskiego, Kraszewski pierwszy zwrócił uwagę, a prześcignięty przez Szujskiego bardziej wytoczonym wierszem, w prostocie słowa nie dal mu się prześcignąć.

Oprócz *Halszki*, inne niby dramatyczne utwory wierszowane Kraszewskiego są po prostu pieśniami lirycznymi, satyrami lub scenami opisowymi pociętymi na dyalogi. W szeregu tych utworów dyalogowanych, pierwsze miejsce w *Poezyach*, a zapewne też pierwsze i w czasie, zajmuje urywek noszący tytuł: *W świat!* Osnowa obrazka przeniesionego w drugą połowę XVIII wieku, bardzo prosta. Pan cześnik wyprawia w świat dwóch synów, widocznie na wojaczkę, bo opatruje ich przedewszystkiem w konia, a dopiero potem w błogosławieństwo: „Daję wam, powiada, na drogę konia, błogosławieństwo — tyle, ile mogę.... I mnie tak ojciec za młodu wyprawiał...“ Na pożegnanie zjeżdżają się sąsiedzi: — figury z wyjątkiem księdza pocieszne, myśliwi zapaleni, politycy więcej, zasięgający opinii o wypadkach europejskich u Dawida Szmujłowicza (wówczas jeszcze starozakonni nie nosili stałych nazwisk, lecz po wschodniemu posługiwali

się ojcowskiem imieniem), plotkarze biorący na zęby sprawy serdeczne nieobecnych, — sprzecząją się, piją, żegnają odjeżdżających, i na tém koniec. Robota pisarska bardzo słaba, ale w zarysach działających postaci widać już bystre oko obserwatora, który wizerunki całego świata polskiego miał później pochwycić na ostry grocik pióra i umieścić w zbiorze entomologicznym swoich powieści. Ostra satyra wiejskich stosunków współczesnych maskuje się tu jedynie wzmianką o zeszlowiecznym harcapie i luźną formą dramatyczną. Jeszcze zaś mniej się ukrywa i mniej o prawdziwy dramat się kusi inny utworek zatytułowany: *Slepa babka*. Chodziło tu po prostu autorowi o wypowiedzenie przez usta „ślepej babki“ repymany głupcom, wietrznikom, rozczarowanym małżonkom, stęsknionym do zamażpójścia pannom; a nareszcie — bo jakże inaczej, dopókiśmy młodzi? — chodziło o to, by dać tryumf nad wszystkimi poecie. Na zarzut gonienia za sławą, chociażby pogrobową, poeta odpowiada następem pięknym określeniem wickuistego gonienia za ideałem:

Spytaj Tego, kto stworzył i niebo i światy,
 Dla czego stworzył światy i niebo i ziemię?
 Dla czego ubrał kwiatki w różnobarwne szaty?
 Dla czego w niebo patrzy skał śnieżyste ciemię?
 Spytaj morza, dla czego pod brzegi przyływa?
 Spytaj rzek, dokąd idą, chmur, dokąd biegają?
 Spytaj gwiazd, dla czego się po niebach tułają?
 Dla czego niewidzialne spoity ognia
 Światy i nieba — nieba i człowieka?
 Czemu się człowiek wieczności spodziewa,
 Kiedy go blizka śmierć czeka?
 Zapytaj Boga, na co w duszy mojej
 Nieśmiertelności zaszczerpił nadzieję?
 Czemu ta żądza niezgaszona tleje,
 Z śmierci uraga, czasu się nie boi?
 Zapytaj, czemu leć tak wysoko,
 Gdy się tak nisko na ziemi urodził?
 Czemu się tęskne wzbija duszy oko
 Tam, gdzie prócz duszy nigdy nikt nie chodził?
 Spytaj — a jeśli z tej strony mogiły
 Pojmiesz odpowiedź, nie mów jej przed ludem!
 Gdyby te tajnie świata się odkryły,
 Bógby się Bogiem, cud przestał zwać cudem.

Szerokie miejsce w tych kartkach dyalogowanych zabiera fantastyczność. Wzmiankowaliśmy już o *Burzy*, utworze w pół-opisowym, w pół-dyalogowanym, w którym Szubienica i Piorun rozmawiają z matką wiśielca, jak dziwadła w *Zamku Kaniowskim* Goszczyńskiego. Podobnie się dzieje w takim samym obrazku, noszącym tytuł: *Barbara*, skreślonym na tle historycznym, ale nie zawsze wiernym surowemu dekalogowi estetyki i prawdy. W przesuwałających się tutaj obrazach widzimy pierwsze chwile poznania się Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwił-

łówną, krótki jej żywot na tronie, a nareszcie w ostatniej, najudatniejszej scenie, rozmowę króla z jej duchem, przybyłym z grobu na ucztę. Król zapomniawszy o żalobie, goni płocze nciechy na balu maskowym w zamku wileńskim. Duch Barbary w masce i w zasłonie, wyprowadza go, gnanego ciekawością, ku świątyni katedralnej w obrębie zamku, dokąd zwłoki ukochanej król przywiózł był z Krakowa. Tam Barbara daje mu się nareszcie poznać, oświadcza, że ma dom w ziemi i dom w niebie, że w obu czeka na niego — i znika. Rzecz to słaba, podobnie jak *Rapsod 1252*, który w formie przypominającej kantyczkowy „spór anioła z szatanem o duszę grzesznika,” wystawia walkę na słowa między Czarным Duchem a Archaniołem o posiadanie Litwy. Rok na tytule wskazuje datę koronacji nawróconego przez Krzyżaków Mendoę, któremu następnie szatan przy pomocy mnichów niemieckich ohydza chrześcijaństwo, i wychodzi zwycięsko z walki z archaniołem, bo Mendoę odpada od wiary i Litwa na lat 125 pozostaje w pogaństwie. Pycha i mściwość szatana mocno brzmi w tym utworze Kraszewskiego, ale w ogóle przy znacznej rozwodistości słowa, czuć w nim brak Miltonowskiego lub Dantejskiego połotu wyobraźni, bez którego podobne dzieła szwankować muszą. Ten brak jest grzechem pierwotnym wszystkich młodzieńczych próbek fantastycznych Kraszewskiego.

II.

Trzy wielkie poematy z przeszłości Litwy, najznakomitsze dzieła Kraszewskiego, który też najwięcej włożył w nie pracy, związane są jedną myślą przewodnią i jednym wspólnym tytułem: *Anafielas*. Siegają one początkiem swoim roku 1838, w którym pojawił się w druku cytowany już powyżej ułamek: *Dziwięć Pokoleń Litwy*. Ustęp ten w pierwszej swojej postaci rymowany, następnie wierszem białym powtórzony i zamieszczony na str. 100—102 pierwszego tomu *Anafielas*, można uważać jako załączek całego utworu. Tym sposobem między powzięciem myśli a napisaniem *Witolorandy*, zapowiedzianej w r. 1839, a ogłoszonej po raz pierwszy w r. 1840 w Wilnie u Zawadzkiego, upłynęły dwa lata. Tyleż czasu ubiegło między pojawieniem się pierwszego a drugiego utworu: *Mindowa*, który wydrukowany z datą 1843, ma podpis cenzury w Czerwcu 1842 roku. Tyleż nareszcie czasu leży pomiędzy drugim a trzecim i ostatnim poematem: *Witolorandem Bojami*,

które lubo na tytule mają datę 1845, pozwolenie cenzury otrzymały w Czerwcu 1844. Sześćdziesięcioletni więc przeciąg czasu zabraly tu studia nad językiem, podaniami, pieśniami i dziejami Litwy, które posłużyły za wątek dla *Anafielas*, dzieła zaiste pamiętnego też autorowi ze swojej materialnej strony! Na *Witolorandę* ogłoszona była przedpłata; zebrało się aż 144 prenumeratorów, ale i z tych jeszcze niektórzy, uważając cenę książki za zbyt wysoką, część tylko wnieśli opłaty lub całkiem wnieść zapomnieli. Tym sposobem autor ujrzał się zmuszonym „sam łożyć na druk *Witolorandy*,” i zarzecz się raz na zawsze ogłaszania przedpłaty na poczyte. Skarżyć się zresztą nie miał tak dalece powodu. Kiedy Ludwik Kondratowicz na kilka lat później ogłosił prenumeratę na swój przekład *Poematów Klemensa Janickiego*, to zebrał tylko 17 prenumeratorów, licząc już w to kilka sąsiadek, kilku przyjaciół i własną matkę tłumacza. Kraszewski tedy był w każdym razie nierównie szczęśliwszy.

Tytuł: *Anafielas* — co jest wyrazem z innego jakiegoś wyraźnie przekreconym, może ze słowa *Kalnus* góra i *szalis* stromy, — wziął Kraszewski od Teodora Narbutta, który w swych *Dziejach Litwy* (I, 384) tak pisze, powołując się na powieść gminną, zasłyszana w okolicach Kretyni: „Jest góra widlec wysoka, stroma, niedostępna skała, nazywająca się Anafielas, na którą cienie zmarłych wdzierać się muszą. Dla tego paznogie długie, pazury zwierząt, oręż, konie, sługi i t. d., potrzebne są dla przedszego na nią dostania się. Im zaś człowiek był bogatszym, tém trudniejszy ma przystęp, gdyż mienia ziemskie ciąży na duszy; ubogi, lekki jak piórko, może się wędzić na górę, kiedy bogów nie obrażał w życiu. Istota bozka, mieszkająca na szczycie tej góry, sądzi umarłych z ich postępów za życia; każdy według jej sądu odbiera nagrodę lub karę wieczną. Cienie umarłych przebywały w mieszkaniu bogów, które jest na niebie w końcu północnym Drogi Mlecznej; biesiadowały w ich gronie, piły z nimi alus (piwo), i panowały nad Niemcami, wolne od ucisku Polaków i Rusinów.“ Tak więc wyraz „Anafielas,” wzięty na wiarę od Narbutta, znaczyl dla Kraszewskiego: raj Litwy, żywot wieczny jej bohaterów. W tym wyrazie (nieistniejącym w języku litewskim, jak zapewniają znawcy tej mowy) autor poematu wypowiedział myśl zasadniczą swego dzieła: uwiecznienie chwil wielkiej przeszłości starć Litwy, wniebowzięcie jej ducha ucieleśnionego w wielkich mężach i bojącego tam na wysokościach.

Osnową pierwszej części trójlistnego poematu jest „pieśń o Witolu,” z litewska „Witolorauda”, właściwie zaś pieśń o Litwie przedchrześcijańskiej, o ile pozostały o niej wzmianki w księgach i pamięci ludu. Bohaterem opowiadania, płynnie toczącego się wierszem białym, znakomicie wyrobionym, szczególnie w drugim wydaniu, mocno przeoraniem przez autora i wyszlęm w r. 1846,— jest syn bogini miłości Mildy i wygnańca ziemskiego Romoisa, doświadczonego za podniesienie oczu na bóstwo zabójczym gniewem Perkuna. Takż koniec był postanowiony w dziedzinie bogów dla dziecięcia bogini, ale matka ukryła je przed zemstą aż do spełnienia się wyroków. Żywot Witola, niby Herkulesa litewskiego, upływa na unikaniu ścieżek bogów, a zarazem na rwaniu się do wielkich czynów i spełnianiu ich według pojęć ludowych. Różne okoliczności tego życia nastroją autorowi sposobność to opisanie jakiegoś mitu, to przytoczenia klechdy, to zaśpiewania starożytniej piosenki, nie wyjmując nawet luźnych epitetów, towarzyszących przedmiotom w ustach ludu, skutkiem czego dzieło niejednokrotnie robi wrażenie Przemian Owidyusza. — Część druga, mająca za bohatera „Mindowsa” czyli Mendoga, wielkiego księcia Litwy, siedzącego na Nowogródku nadniemeńskim, wkracza już w czasy historyczne, lubo jeszcze nadzwyczaj ciemne pomimo zbadań kronik ruskich przez Daniłowicza, archiwów krzyżackich przez Voigta i archiwum watykańskiego przez Theinera. Jest to doba pierwszego bezpośredniego zetknięcia się na pół dzikiego ludu z chrześcijańską cywilizacją Zachodu, pierwszego wyrabiania duktu na zachód przez nieprzebyte puszcze nadniemeńskie. Chwila więc do poematu bohaterskiego bardzo szczęśliwie wybrana; Kraszewski jednak za mało nieco korzystał z napraszających się pod pióro kontrastów obyczajowych, więcej się zamykając w obrębie wielkich przewag orężnych swojego bohatera. Prawda, że te przewagi w starciach na ostre i rokowania z Rusią i Krzyżakami starczyłby mogły na kilka wielkich poematów. — Nakoniec część trzecia poświęcona jest ostatniemu wielkiemu księciu Litwy, który uparcie przez całe życie zmierzał najprzód do wydarcia jej bratu, a następnie do oderwania od Polski. Wojownik pierwszej sily, administrator ogromnego talentu, żelazny władca niezmiernych obszarów od Krymu do Nowogrodu, wielki umysł, bystrym okiem ogarniający pożytki cywilizacyi, był i jest Witold, pomimo swęj prze-

wrotności, ulubieńcem dziejopisów. W chwili zaś, kiedy Kraszewski miał pieśń o „Witoldowych bojach” układać, podnoszono jeszcze bardziej Witolda w stronnictwie zagorzałego litewskiem. Ten zapal dla Witolda na Litwie około roku 1845, nie mógł się nie odbić na niezwykle wrażliwym nmyśle Kraszewskiego, a z kolei musiał też silnie ozwać się w pieśni. Jakoż w istocie najgorętsze następstwa *Amfiteas* przypadają na część jego ostatnią. W ogóle jednak powiedzieć można, iż we wszystkich trzech częściach widać górę nad wyobraźnią, rozważa nad zapalem. Bogactwo erudycyi jest tak wielkie, że więzi tu i owdzie polot poetyczny i staje się niekiedy powodem oschłości opowiadania. Nicraz atoli i nie sto razy fantazyja poety, krepowana przez badacza, odzyskuje swe prawę, wzbija się bardzo wysoko i włada potężnymi skrzydłami, jak naprz. w części pierwszej, w opisie śmierci kochanka Mildy Romoisa, pokonanego przez olbrzyma Grajtas (prędkiego), będącego uosobieniem wichru. Opis ten, lubo nieco przydługi, godzien jest przytoczenia dla charakterystyki poematu:

Grajtas od Mildy gaja się zawrócił,
Puszcza się lamiąc, jak ogar za zwierzem,
A w drodze drzewa walił po za sobą,
Wysuszał błota, wodą zlewał pola,
Piaskami kręcił, mącił rzeki do dna.
Po nad nim chmury, jak nad ścierwem kracy,
Pod nim zniszczenie i postrach leciały.
Biegi, potem stanął, jakby śladu szukał,
I niecierpliw ryl ziemię do głębi,
Kręcąc się w miejscu; potem znów ruszył,
I stanął znów. Romois szedł przez puszcze,
Z oszczepem w rękę i łukiem napiętym.
Flezał go Grajtas po woni uścisków,
Po tchu zaprawnym bogini oddechem.
I warknął w górę, a potem się groźny
Zwalił na niego, jak dąb na krzewinę.
Lecz Romois jakby przykut do ziemi,
Nie zadrżał nawet. Duch podniósł się znów,
Dokola obiegi, cisnął wodą w oczy,
Piaskiem, i błotem, i drzewy całemi
Miotał na niego, lecz wszystko napróżno.
On jedną ręką pościki odpychał,
Drugą jak gdyby widział zemsty posła,
Groził, podnosząc twardą ragotinę.
Ale już Grajtas postać swą odmienił,
Leciał na niego okropnym niedźwiedziem.
Podobnego mu nadniemeńskie puszcze
Od potopowych czasów nie widziały.
Na grzbiecie czarna sierść mu się jeżyła,
Oczy, jak główne nocnego ogniska,
Łapy, jak dębu świętego gałęzie.
Stanął, zaryczał, lecz nim padł na niego,
Już Romois oszczep podniósłszy do góry,
Zwalił go w głowę i czaszkę roztrzaskał.
Wnet Grajtas zrzucił z siebie meszki postać,
I znów dzikim wilkiem się ukazał.
Zawył, padając pod Romoisa nogi.
On krok odstąpił, ragotinę rzucił,
Olbrząz zwierza za gardło pochwycił,

Wstrząsnął i o pień odwiecznego dębu
Nieprzyjacielem z całych sił uderzył.
A w oczach jego nie przestrasz milczący,
Lecz gniew wrzał zjadły, z jakim straszne bogi
W chwili nieszcześcia na ziemię patrząją.
A Grajtas jeszcze przywdział smoka postać,
I jak didalis w powietrzu się wznosił.
Żółtą miał głowę, koronę na głowie,
Luskowy pancerz polyskał na grzbiecie,
I ogon w spłoty zwiniony okrywał.
Na barkach skrzydła skórzane rozpięte,
Pod brzuchem dwoje orlich szpon wisiąło.
Świsnął—a ptacy padali nieżywi,
I zwierz przelekły gnał się w knieje ciemne.
Ijrzał go Romois, lecz się już nie bronił,
Deczał, że ludzką nie zmoże go siłą;
Porwał swój oręż, ostrzem w pierś skierował,
I nim smok z góry spuścił się na niego,
Trną tylko krwawy drgał leżąc pod drzewem.—
Grajtas zobaczył, gdy duch ulatywał,
I znowu wicherem w niebo się zawrócił...
„Leży zabity w nadniemeńskiej puszczy!”
Rzekł, i pod stopy pana się położył...

Podobnież w *Mindowsie*—poemacie, którego tragiczne sploty węzowe wyrastają ze ścierania się bohatera wielkiego umysłu i serca z następstwami jego urodzenia się z niewolnicy, czego rozsiadłe podówczas na Litwie wyobrażenia normandzkie pomiędzy książętami darować nie mogły. Wojny domowe z braćmi rodzonymi, mordy w rodzinie, spiskowanie krewnych z Krzyżakami, nareszcie zamordowanie samego Mendoga i jego synów, w obec największego wyniesienia przezeń Litwy pogańskiej, równego wyniesieniu już chrześcijańskiej przez Witolda,—to cały świat wielkiej poezji, którą Kraszewski nie tylko odczuć, ale i wypowiedzieć z potężną siłą i prostotą umiał. Można się o tym przekonać na wielu miejscach. Ja tutaj dla kontrastu z opisem walki Romcisa, przytoczę z *Mindowsa* piosenkę na sposób ludowy skreśloną, rzewnie odbijającą się od toku całego dzieła:

Nad lasu wierzełki wyniosłe
Dwie sosny głowami sięgają,
Na sosnach dwie pary gołębi
Wzlatują, szezebioczą, gruchają.
A sosny od ziemi spróchniałe,
Podcięte siekierą bartnika,
Zieloną gałęzią wiewają,
Choć z dołu pośółkłe zychają.
I dymią—bo ogień dziupłami
Ku górze się wije milczący,
Rdzeń zjada i życie wypija....
I chwila—a wiatr, co teraz
Gałęzi wesoło kołysze,
Zawiruje i sosny obali,
A łoskot po puszczy połeci,—
I gdzie się gołębie podzieją?
Nad lasu wierzełki wyniosłe
Dwie sosny głowami sięgają;
Na sosnach dwie pary gołębi
Wzlatują, szezebioczą, gruchają...

Nareszcie oto, jak w sposób domyślny, ale z wymaganiami prawdopodobieństwa poetyckiego zgodny, opowiada Kraszewski nawrócenie Jagielly w *Witoldowych Bojach*. Do najdawniejszego w Wilnie klasztoru xx. Franciszkanów, którzy najmniej od początku wieku XIII odbywali wyprawy apostołskie na Litwę z Polski i Moraw, do klasztoru już dzisiaj nieistniejącego, przychodzi mnich ubogi, w obdartej odzieży, i puka o wpuszczenie po za furtę. Wbiegłszy, pada na kolana u krzyża, modli się gorąco, a czując zgon blizki, prosi gwardyana o wysłuchanie spowiedzi. Bracia ze strachu usunęli się na stronę.

—„Śmierć moja blizka—rzekł im, gdy wrócili—
Czuje ją, idzie.... A ojciec nasz miły,
Franciszek Święty, co mi dodał siły
Donieść to nędzne, grzeszne moje życie
Aż do tej chwili, do chwili szczęśliwej,
Przez usta moje objawia wam dziwy,
O jakich bracia jeszcze nie marzyście.
Słuchajcie, bracia! Jam w Polskę zabrany;
Pogańska fluszcza do granic mię wiekła;—
Lecz błogosławie meczwiskie kajdany,
Bom wielką duszę wyrwał z bramy piekła.
Bracia! jam księcia Jagiełłę nawrócił!
Wkrótce nad Litwą błysnie święte знамя,
Miliony ludów balwany pokruszą,
A Polska, kropiąc chrztem świętym na Litwę,
Powiaże losy swoje z nią na wieki.
O! chwalmy Pana! Wielki, niepojęty!
Wołajmy: Święty! śpiewajmy Mu: Święty!
Niegodne usta wybrał na czyn wielki.
Tak jak dla niego dość deszczu kropelki,
By wywiódł z łona ziemi kwiatów cuda.
Przez moje usta wiarę w nim zaszezepił!
Niegodnym, Panie, niegodne naczynie!
Tyś jeden wielki, jam twą mocą silny!
Tyś jeden wielki, Ty jeden niemyślny!
Z Tobą i robak obrzemy pokona;
Bez Ciebie jeden wlos nie spadnie z głowy.
Chwała Ci Panie! Mnie już czas umierać.
Jam spełnił życie. Patrzcie—niebo jasne,
Święty Franciszek rękę mi wyciąga,
Anioły skrzydły szeleszczą złotemi,
Cheruby sypią kwiaty różanemi.
A Święta Boża Matka swoją szatę
Nad moją głową od blasków niebieskich
Wyciąga, ziemskie me oczy zastania.
O! widzę, bracia—przyszłi czas skonaniam....
Wy chwalcie Pana, jako ja przy zgonie,
Robak niegodny, Pana na Syonie....“
...Kiedy modlitwy i śpiewy ustały,
Pytają bracia:—Kto był mnich nieznaný?
Kto był szczęśliwy? kto był ten wybrany?—
On nie zostawił im imienia swego,
I nikt go nie wie...

Krytycy, których *Anafielas* miał sporo, nie tylko w druku, ale zwłaszcza w korespondencyi między pisarzami i na posiedzeniach licznych ówczesnych salonów literackich, za mało zwracali uwagi na takie ustepy, tchnące wielką poezią i świetniejącą już to prawdziwie wysokim polotem, już

ludowym kolorytem, już wreszcie myślą głęboką, a natomiast zbyt może drobiazgowo puszczali się w wywody mitologiczne i językowe. Niepodobna zaprzeczyć, że Kraszewski trochę za wiele zaufał Strykowskiemu, Łasickiemu i Narbutowskiemu w rzeczach mitologii litewskiej, którą ci pisarze odtwarzali nieumiejętnie i z niepewnych źródeł, zanadto ją naginając do modły klasycznej. Ich powieści o bogach, w sposób widoczny płyną inną strugą aniżeli pieśni, podania i dzisiejsze wierzenia ludu litewskiego, z których pełnemi dłońmi czerpie poeta. Z tego jednak nie wynika, żeby argumentami przyniesionemi przez późniejsze badania historyczne i etnograficzne, można było obalać zalety utworu poetyckiego. Te zalety *Anafielas* ma wyższe niżeli którebydz inne dzieło wierszowane Kraszewskiego; a jeśli pod względem temperatury uczuć i żywości malowidła nie może się równać z pismami autora *Grażyny*, snutemi z dziejów Litwy, przewyższa je niewątpliwie lepszą znajomością charakteru epoki. Nie ma u niego takich wspaniałości poumnych komnat, jak u Litawera w zamku nowogrodzkim, ani takich uczt, jak u Wallenroda w Marienburgu; ale nie spotykamy też Rymwidów, mających mowy piękne, lecz jakby przepisane z Liwiusza, ani Aldon, wzdychających jak czytelniczki *Malwiny*. Zmartwywstaje tu przed oczyma świat dawno umarły, odsłania się niby portret pradziada drogi dla wnuka, bo podobny, choć nieco przyćmiony. Czyż nie dosyć...

Oceniono wartość *Anafielas* u swoich i u obcych. *Witoloraudę*, jakem już wspomniał, drukowano po polsku dwa razy w latach 1840 i 1846. Zrozumiały ją duchy bratnie: Moniuszko napisał muzykę do wplecionych w nią pieśni i utworzył z niej swoją *Mildę*; jedyny wówczas drzeworytnik polski Smokowski przystroił ją 50-ciu drzeworytami. Przełożono ją wreszcie na język rosyjski zaraz po ukazaniu się i ogłoszono tłómaczenie w r. 1841. *Mindowsa* August Woycke tłómaczył na język niemiecki i ułamki przekładu wydał w r. 1861. Zaiste, wyróżnienie to z pomiędzy wielu innych ówczesnych plodów poetyckich, jest całkiem zasłużone.

* * *

Praca nad wielkim poematem *Anafielas* tak dalece wyczerpywała całą twórczość poetycką Kraszewskiego, że w ciągu tego czasu, kiedy poemata litewskie ogłaszał, le-

dwo się zdobył na jeden nieco obszerniejszy utwór fantastyczny, a i ten nawet jeżeli nie na papierze, to w duchu musiał być wcześniej poczęty, później zaś wylewał się już dla kontrastu z mozolnemi badaniami historycznemi i poważnym nastrojem śpiewaka przeszłości Litwy. Tym utworem, o wiele wyższym od wszystkiego, co w rodzaju fantastycznym napisał Kraszewski do roku 1838, jest jego „fantazyja dramatyczna“ *Szatan i Kobieta*, zrodzona w roku 1840, a w następny puszczonej między ludzi w Wilnie, nakładem Teofila Glücksberga, właściciela drukarni pamiętnej bibliografom ze zbitych czcionek i niedających się wypełnić omyłek. Fantastyczność i tutaj nie jest zbyt silną sprężyną utworu, rozwija się w dziele jedynie dla przykrasy, pozostawiając pole codziennym kolejom nędzy ziemskiej i nastęrcząc niemało sposobności do uszczypliwego nieco traktowania przedmiotu. Ale właśnie dla tego autor jest tutaj w swoim żywiole, muska po nim, jak rozochocona jaskółka, uganiająca się za owadami nad gładką szybą jeziora, szczebiocze swobodnym i potoczystym, choć często zaniechanym wierszem, ujmuje szlachetną dążnością,—jednem słowem, jest u siebie w domu i jest prawdziwie gościnnym dla czytelnika gospodarzem. Jeżeli przy czytaniu dawniejszych robotek fantastycznych mogły pomiędzy poetą a słuchaczem zachodzić niejaki kwasy, tu serdecznie podają sobie ręce na zgodę.

Rzecz zaczyna się prologiem w piekle, coś niby u Hijoab, niby u Goethe'go, ale na wywrot. Lucyper kazał ogłosić po piekle, iż raczy być w dobrym humorze. Mefistofel robi na to uwagę, której słuszność stwierdzają codzienne walki stronnictw politycznych:

Dobry humor jest skutkiem dobrego trawienia,
A dobra strawność idzie za dobrym humorem.

Ta filozoficzna uwaga skierowuje myśl Lucypera ku filozofom; a chociaż książkę piekielną z zasady jest burzycielem, okazuje się, że względem filozofów znajduje się w roku 1840 niemal na tém samém stanowisku, na jakiem był w r. 1792, kiedy Karolowi Surowieckiemu podsuwał wążkę do *Pythona*.

Dla zabawy niechaj mi sprowadzą Woltera,
Machiawela, Bokkacya, Skarona waryata,
Rabelego i wszystkich, co drwili ze świata,
A których dobry humor i tu nie umiera.
Będą mi wprowadzić prawić oklepiane dzieje,
Lecz kiedy się świat stary tyle lat z nich śmieje,
Kiedy tak długo wielbią ich na ziemi,
Mogę i ja ich słuchać i bawić się niemi.

Tymczasem kiedy całe piekło zbiega się bawić rozdobruchanego księcia, odbywają się posłuchania, dawane przychodzącym z supplikami. Jeden szatan, którego talenta razem z nim na dnie piekła w zapomnieniu gnily, czując się stworzonym do wielkich rzeczy, a widząc jak świat rozczarowany niedołężstwem innych czartów, braci jego, „teraz śmieje się z dyabła i w piekło nie wierzy,“ — prosi Lucypera, żeby go posłał na ziemię, i przyrzeka mu obfite żniwo potępienia. Na zapytanie Lucypera: do czego jest zdolny? odpowiada, iż do wszystkiego.

Gdzie chcesz mnie użyć, bylebyś chciał użyć.
Lepiej na karę, niż wzgardę zasłużyć.
Czy rozruch jaki chcesz zrobić na świecie;
Czy kogo natchnąć, by pisał twym duchem,
A lud go słuchał jak dziecię,
Z otwartym sercem i uchem;
Czy w kimeś cnoty pozorem utudzić
I pod suknią pokory dumę kazać ludom;
Czy rozgrzać do występku, do cnoty ostudzić,
Przypisując ją śmiesznym ciennoty obłudom;
Czy kogo chęcią sławy najać i opętać,
By sfalszował im dzieje, oplamił im dziady,
I żeby fałszywymi stropieni przykłady,
W przeszłości swój nie mogli starych cnot pamiętać;
Czy duszę księdza, mocarza, poety,
Czy polityka, kobiety,
Czy kogo tylko chcesz panie,—
Na twoją przysięgam brodę,
Związanego ci przywiodę.
Rozkazuj — i wnet się stanie.

Lucyfer jednak, jako hetman doświadczony, zna to po ludziach czy po dyabłach, iż kto za nadto się przechwala, tego delia bywa zwykle tchórzem lub baranem podszyta. Zamiast więc zadać suplikantowi ciężką robotę, stanowi:

Nie! niech od łatwych zaczyna:
Znajdzie się jaka dziewczyna,
I tego głupia, i bardzo cnotliwa...

Szatanowi nie przypadło do smaku rozkazanie, czuł się powołanym do większych rzeczy, twierdził, że „do kobiet wstyd się już i wdawać szatanom.“ — ale musiał być posłusznym. Polecił tedy na ziemię, „w dziką stronę, gdzie nowości nie doszły,“ — i lórta piekielna zamknęła się przed czelnikiem. Odtąd rozpoczynają się szatańskie knowania wymierzone na zgubę pocziwego dziewczęcia w ubogiej chatce; a ponieważ według starych, święcie dochowywanych przepisów, dyabeł roboty swoje odbywa po nocy i z kurem zawsze jest w niezgodzie, więc i dzieło Kraszewskiego dzieł się nie na „akta“ nie na „doby,“ ale na „noce.“ Takich nocy spędzonych na bieganinie przez dyabła, było aż jedenaście.

Pierwsza noc w ubogiej chatce, zaczyna się od bardzo pięknego z formy i myśli śpiewu przelatującego Anioła Snów, kołyszącego ludzkość do wytechnienia po cierpieniach i trudach na nowe cierpienia i znoje. Szatan przekomarza się aniolowi, i podszeptuje narzeczonemu dziewczęcia, ażeby wszedł do chatki. Narzeczony ów, według opinii szatańskiej, „gotów wyjść na człowieka, bo zapomniał pacierza.“ Dziewczyna ze smutkiem opowiada mu przerwany sen anielski, i zmusza ukochanego ukłekać do wspólnej modlitwy. Nic nie wskórawszy namiętnością, szatan gotuje biednej sieroctwo, i namawia śmierć do odebrania życia obojgu rodzicom dziewczyny. Upatrjuje starego bogatego sąsiada, i tam, gdzie sam nie może, posyła do sieroty babę, z którą się poznał na Łysiej górze, obiecując jej za pośrednictwem przedłużyć życie o cztery lata. Targ idzie ostro przez całą noc drugą, bo baba utrzymuje, że za tyle trudu z taką nabożną dziewczyną nie można robić tak tanio. Trzeciej nocy baba już przy dziewczynie; znalazło się jakieś powinowactwo, jakieś wspólne z matką życie, potwarz na jej czystą pamięć, i nauka dla sieroty, iż nie powinna marnować młodych latek.

Dziewczyna odpowiada:

Toż to jest mądrość, aby cnotę przeżyć?
Kazać w nią ludziom nie wierzyć?
Jeśli to mądrość, nie chcę jej nabywać,
By siebie dręczyć, a świat oszukiwać.
Tyś mnie matko uczyła mądrości dziecięcej:
Cały świat kochać, kochać i nie wiecieć,
Pracować ciągle, rzadko się weselić,
Z biednym się chlebem i smutkiem podzielić,
Dziękować Bogu, a o nic nie prosić,
Rozkoszować gardzić, a cierpienia znosić.

Koniec końców, baba jak niepyszna wyprawiona z chatki, straciła kilka godzin i przyjaciół dziewczyny, a obiecanych czterech lat szatan dać ani myślał, owszem gotów był urwać łeb za niezręczną robotę. Rzuca się więc biedak w inną stronę, i wyciąga na widownię filozofa, którego podstępem nasadza na dziewczynę, powiadając, że chce się z nią zenić, ale wprzód pragnie doświadczyć stałości jej serca. Filozof „był pyrronistą, w nic nie wierzył, nawet gdy dostał kijem.“ Mówi górną przez porównania człowieka ze zwierzęciem; gniewa się, że człowiek „nie chce braterstwa dzielić z zwierzęt tłumem i im odmawia rozumu i duszy;“ dowodzi, że „cnota nasza jest tylko uporem, lecz te przesady rozbija rozumny.“ Kiedy w końcu jednak zapytuje dziewczyny, czy go słyszy? ta odpowiada, że mówi pacierze, że z jego mowy nie zrozumiała ani słowa.

że wszyscy, wierzą jak mogą, i że należy dać pokój dalszej rozmowie. Filozof odchodzi dość obojętnie, odbywszy pańszczyznę, a dyabeł ucieka się po radę do jejmości panny Kralki Zołednej, wyśpiewującej przy gitarze teksta światowe i nudzącej się na zabój. Nabożna panna Kralka, kiedy szatan się zjawił przebrany po niemiecku, z razu udaje przerażenie, skrupuły, ale przybyły niegrzecznie zmiata wszystkie te plewy i wręcz zapytuje: czy może mu służyć za złoto? Kralka nie dając dyabłu przyjść więcej do słowa, żywo odpowiada:

O z największą ochotą!
Ale dziś piątek — wigilia...

Atoli i „siła przykładu“ rozbija się o puklerz niewinności. Następuje więc z kolei wprowadzenie biednej dziewczyny w świat wielki, otoczenie jej panami Filami, hrabia-
mi, poetami, poróżnieniem z narzeczonym przez zdradę Kralki, rzucenie się Alexego w objęcia tej ostatniej, rozpacz opuszczonej i zbrzydzenie tego świata, na którym na-
była doświadczenia:

Inszym ja z chatki widziałam człowieka,
Insi bogacze byli mi z daleka.
Nie wiedziałam, że Pan Bóg dzieląc darem drogim,
Złoto dał bożkom ziemi, a serca nbogim.
Teraz, kiedy znam ludzi, a nie mam nadziei,
Świat pusty, w sercu smutno!...

Kończy się dzieło, jak zwyczajnie na świecie, kiedy kto prawom jego się nie podda. Noc jedenasta wystawia już nie pałace, nie gwar wielkiego miasta, ale znów dzikie ustronie wiejskie. Aniela w izdebce chatki matczynej, samotna, obłąkana i chora, gasnie na śmiertelnej pościeli. Konająca przez sen mówi:

Widzę, ach! widzę, mamu, motyl śliczny leci,
Skrzydłami świeci;
Drugi różowy,
A złoty trzeci

Igra po nad nasze głowy.

Ach! gdybym miała takie, jak on skrzydła!

Poleciałabym wysoko,

Wyżej niż myśl, niż oko,

Bo mi ziemia obrzydła.

Ach mamu! słowik śpiewa.

O! tak słodko, tak miło,

Aż się serce wyrывa —

Śpiewem się orzeźwiło,

Nigdy mi tak nie było!

Ach! tak chyba śpiewają w niebie aniołowie,

I tak im chyba święty z tej ziemi odpowie.

Mamo usiądź tu na lawie,

A ja poskakę na trawie.

Braciszki moje, i siostrzyczki moje,

Mają włoski tak złote! jest ich przy mnie dwoje —

Skrzydła na ramionach mają

I niemi mnie osłaniają.

I skaczem, skaczem po trawie...
O mamu! jak ja się bawie!
Gwiazdy iskrzą się w niebiosach,
Świat w perlistych świeci rosach,
Płyną wonie, śpiewy płyną,
Rzeki stanęły i patrzają nam w oczy!
I chmury na niebie giną
I księżyc z słońcem się toczy,
I nocy niema, dnia niema,
Ciemność i światło razem.
A świat przed oczyma
Jest tak różowym obrazem!
Mamu! jak mi słodko, miło!
O! tak mi nigdy nie było!...

Po całym szeregu scen poziomych i komicznych, kreślonych z werwą i prawdą, wzniosłe i tragiczne zakończenie poematu śmiercią i wniebowzięciem, sprawia głębokie wrażenie. Kontrast zresztą między wzniosłym a poziomym umiętnie trzymany jest aż do końca. Poeta w epilogu, włożonym w usta chóru, wynosi już nie pod niebiosa, ale niemal nad niebiosa niewiastę:

Widziałem duszę poety wielką,
Leżała u niebios proga,
I była tylko rosy kropelką
Przed oczyma Boga.
Widziałem duszę mędrca niepojętą,
Leżącą u niebios proga,
I była perłą na pół rozciąta
W oczach Boga.
Królów i panów dusze widziałem,
Gdy dumne w niebo leciały;
Lecz były tylko proszkiem tak małym,
Jak ich świat z nieba był mały.
Lecz była dusza — dusza kobiety,
Ta wieniec cierpień nosiła u czoła;
Była większa od duszy mędrca i poety,
Była tak wielka, jak dusza anioła!...

Lecz obok tego hymnu na cześć ostatniego i najpiękniejszego dzieła rąk bożych, poeta przez usta zawiedzionego szatana urągającego aniołowi, kładzie trzy grosze innego stempla:

Już poleciała?... Poczekacie długo
Nim złapiecie taką drugą!...

Wybór jednego z tych dwóch sensów moralnych poeta pozostawia chwilowemu usposobieniu czytelnika, zostającego pod wrażeniem słodkiej rozmowy z ukochaną lub narady z adwokatem w sprawie rozwodowej. Ponieważ zaś sam autor wybór oddał czytelnikowi, więc i nam także kłaść jednego nad drugie nie wolno.

* * *

Wspomnieliśmy już powyżej, że Kraszewski z wolna usuwając się z pod wpływu bajrońskiego rozczerowania i rozpacz,

w końcu zupełnie uczynił z tym nastrojem rozbrat. Stwierdził to sam w roku 1842, kiedy wzmiankując o dawniejszych płodach swój Muzy, powiedział: „Pisma są, jak owoce, na każdą porę inne dojrzewają.“ Lecz ostateczne i publiczne, że tak powiem, wyprzysiężenie się bezwładnej rozpacz, znajdujemy pomiędzy poezjami Kraszewskiego, drukowanemi w r. 1846 w *Undynie Druksienickich Źródeł*, do której autor *Kordeczkiego* czynnie przykładął ręki i przez cały krótki jej żywot wspierał ją radą i pracą. W szeregu zamieszczonych tam poezji pod tytułem: *Pieśni, Piosenki i Piosieczki*, autor położył taki ustęp, z oryginalnym początkiem, wyłamanym według starego klasztornego pomysłu w kształt kielicha:

„Precz mi ze światem!“ — O! to piosenka stara! —

Powiada: „Precz mi ze światem!“

Komu zgorzknia życia czara

Jednym spełniona wiwatem,

I w szale potem powtarza:

„Precz mi ze światem!“

I rzucić go się odgrąża:

Śmierć kładnie

Na dnie

Swego kielicha, —

Patrzy wien i do niej wzdycha.

Ala to fałsz do fałszu — to stara
Piosenka rozpustnych, gdy przebrana miara;
Gdy z licem zżółkłym, ze twarzą wybladłą
W duszy sumienie z zgryzotą zasiało;
Gdy mętne oko, jak spojrzę po świecie,
Wszystko mi żółte, blade, wszystko śmiecie.
Ale nie wiercie. Świat nasz wiecznie młody.
Zużytym żale, a nam jeszcze gody.
Na ich to oku tylko światło zgasło,
W ich tylko piersi serce się roztrząsało.
Nie świat tak zły jest, zużyty, bez kwiatu,
Oni bezzeszczą, nadużywzy światu.
Kto wszystko polknął, niczego nie użył,
I głupio nawet namiętności służył,
Teraz powtarza: „O precz mi ze światem!“
A świat — świat zawsze złotem i szkarłatem,
Sroci się wieczną zakwitając wiosną,
Lice ma krasne, twarzyczkę radosną,
I małą piersią wtrzy piersi młodej.
Bo nie ma zmarszczki na licu przyrody.
Kto umarł? człowiek, — ale ludzkość żyje!
Kto umarł? cząstka, — kwitnie wielka całość!
Milion milionów z tych kielichów pije,
Które potulko zużenie i żalność.
Nie „Precz ze światem!“ — do piersi go mojej!
Tu na me łono młodzieńcze!
Niech pocałunkiem z przyszłością zaręcę.
Ja świat tak kocham! O! wszystko dla świata,
Dla braci ludzi, dla ludu
Nie żal poświęceń i trudu —
A w sercu moja zapłata.
Jani nie zużyty, i w sercu mém bije
Miłość wszystkiego, co żywe, co żyje.
Do trupów tylko piersi nie przyłożę.
Tobie: „Precz z światem!“ mnie: „Świecie,
szczęść Boże!“

Data dnia 11 Listopada 1844 roku, po-
łożona w *Undynie* pod sześciu utworami,

z których wzięłemi powyższe wyznanie, stanowi słup graniczny w nastroju lirycznym Kraszewskiego. Na chwilę przedtem w jednym z ustępów wołał jeszcze do ludzi, że „spojrzemie na nich pieśń u źródła suszy,“ że „nie są warci, by poeta wyśpiewał im myśli;“ jednem słowem, co Mickiewicz rzucił w oczy tylko jednej wyobraźcielec nadobnej połowy rodzaju ludzkiego, to Kraszewski ciskał w oczy całemu człowieczeństwu: „I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imię.“ Odtąd widzimy autora *Lzy w Niebie* już takim, jakim po dziś dzień miał pozostać: niewzruszonym w miłości, nieustającym w pracy, nięgiętym w wierze, iż praca nie pozostanie nadaremna. Odtąd zamiast samolubnego wykrzyku: „Surowa pieśni, pójdz nazad do duszy,“ brzmi już na całe życie inny: „Chociaż nie skończysz, ciągle rób... Czas wszystko skończy, bo ma czas...“ I rzecz godna uwagi: w miarę wzrastania wiary w skuteczność pracy, coraz bardziej wstępuje do pieśni poety nieznane przedtem ożywienie, ciepło wiosenne zaczyna wiać z jego nawet smutnych poezji, a forma nabiera ogłady i śpiewności, której przedtem nie miała. Poeta czuje, że częściej od dawana dobremu pod postacią bluźnienia złemu, nie jest wciąż całkowitą; że zadanie pieśni, które w egotycznych jękach i narzekaniach na świat zamykał, rozszerza się w bezmiar cierpień, pragnień i potrzeb ludzkości; że stróny najbogatszego bardonu nie mogą powtórzyć wszystkich tonów grających w sercu. Ale jednocześnie postrzega, że jeżeli opiewanie cierpień osobistych nie należy do najwyższych zadań poety, to opiewanie walk i cierpień milionów wymaga uroczystego nastroju duszy, o który zbyt trudno w życiu rozrywaniem na strzępy w krzątanie chwili znikomiej. Śmiałość młodzieńcza w wywoływaniu dźwięków z łubego narzędzia pieśni, poskramia obawa o niewykroczenie przeciwko wysoko pojętym obowiązkom wieszcza. Pieśń staje się rzadszą, ustępuje coraz bardziej miejsca swęj młodziej siostrze, powieści i dziennikarstwu. Cicha skarga na te codzienne przeszkody, znacząco się usadowiła na ostatniej karcie jednego z tomów *Athenaeum*, redagowanego i przez pół niemal pisanego w Gródku i Ilubinie. Skarga ta, nosząca datę 1843 r., u innych byłaby przesadzona i cikliwa, bo bezsilną pychą zaprawna; u Kraszewskiego prosta i szczera, wybucha z wezbranego serca:

O gdyby się kiedy cała
Z mojej piersi pieśń wyłata,

Jak Bóg wiał ją w moją duszę!...
 Ale cóż są te wyrazy,
 Którymi wam śpiewać muszę,
 Żółte, starte tysiąc razy,
 Błede, bez życia i chłodne,
 Mnie niegodne, was niegodne!
 Lepsza piersi mój połowa
 Zawsze w pieśni mój się chowa,
 I zostanie wam tajemną,
 I na wicki umrze ze mną...

III.

Od owój daty 1843 zapisanej w *Athenaeum*, tudzież od napisania *Witoldowych Bojów*, upłynęło lat niemal czternaście, w których nie spotykamy się z żadnym donioślejszym utworem poetyckim Kraszewskiego. Dopiero w r. 1857 zjawiają się w Paryżu nakładem autora *Hymny Bolesci*, a przed nim, na osobnej karcie, jakby dla okazania próżni pomiędzy dwiema datami, powtórzone ów wierszyk z r. 1843. Wzniosłą zasadniczą myślą *Hymnów* jest: że boleść powinna nie przytłaczać ku ziemi, ale podnosić, oczyszczać:

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona,
 Święta boleści, co mi serce krwawisz!
 Z krzyżem Chrystusa cisnę cię do łona,
 Ty mnie podźwigniesz, ty ubłogosławisz!

Pod względem zewnętrznej szaty poetyckiej, jest to bez żadnej wątpliwości najpiękniejsze dzieło Kraszewskiego. Zwykły szarawy koloryt jego mowy wierszowanej, ustępujący brązowemu w pieśniach *Anafielas*, tu, jak w inicjałach i miniaturach pobożnych rękopismów średniowiecznych, jaśnieje najczystszy kolorami cynobru, ultramaryny i złota. Oto np. ustęp, który pod względem siły i piękności obrazowego słowa, najwspanialszym pomnikiem piśmiennictwa dotrzyma kroku:

Bolesci, witam ciebie, zstępująca z nieba,
 Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
 Posłanko boża—dłoń twa z powszedniego chleba
 Pokarm duszny wyciska, chleb niebieski czyni.
 Sercom wielkim tyś matką: mleka twego trzeba,
 By wyrósł niem pojony wielki mąż wśród gminu.
 Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu.
 Idziesz królową—siedem koron na twój skroni.
 W jednej różgę, a palmę w drugiej niesiesz dłoni.
 Na tobie szaty z ognia, czerni i purpury,
 Za tobą idzie orszak służebnic ponury;
 Z pod nóg, kędy się stopy dotkniesz kamiennemi,
 Strumień krwi i lez strumień wytryska na ziemi.
 Wichry cię poprzedzają, śmierć dogania błada,
 Nad głową chmury sępów, kruków czarnych stada,
 A gdzie płaszcz twój przesunie po kwiecistym łanie,
 Cmentarz, pustkowie tylko, jęk i narzekanie.
 Z tobą wojsko sług twoich, tłumy nieprzebrane:
 Obelgi i potwarze z sakwy kłamstw pełnemi;
 Smutek czarny, trud czoło potem niesie złane,
 Rozpacz się i zwątpienie tarzają po ziemi,

Książka Jubileuszowa.

Uciśk, co sznury dźwiga na ramionach twarde,
 Pośmiewisko za rękę wiodące pogardę...
 Tłumy pierzchają trwożne, lecz zapasnik stoi,
 Piers nadstawił bezbroną, choć ją płomień pali;
 Co męczeństwo rozédrze, to wytrwanie goi,
 Bo ciało ma żelazne i daszę ze stali;
 Wzniósł czoło, które potem krwawym się oblało,
 Upadł—męztwa starczyło, lecz już mąk nie stało...

Skupienie uczucia i myśli—skupienie promieni słonecznych, które przechodząc nawet przez lodową soczewkę duszy obojętnego, płomień wzniecają. — zupełnie dorównywa w *Hymnach Bolesci* zewnętrznemu poetyckiemu w nich malowidłu. Przeszedłszy wszelkie szczeble cierpienia i pociechy w cierpieniu, płynącej z nadmiaru boleści, w hymnie siódmym, Dusza upersonifikowana zwraca się do najwyższego źródła pociechy. Zwolna skarga w coraz łagodniejsze przechodzi błaganie, i jak w znanej Modlitwie Bohdana, Dusza coraz ku innemu źródłem pociechy kolejno zwraca oczy. Na słowa Anioła, że przynosi jej wianek z ciernia i lilii, odpowiada.

Czuję boleści rozkosz i żółci słodycze,
 Dreszcze po ranach moich przeszły tajemnicze
 I widma mi niebieskie przed oczyma wstały,
 I pieśń uragowiska zmienia się w hymn chwały...

Ostatni zaś hymn siódmy technie najwyższym wyrazem rezygnacji i spokoju, którego znamiona znajdujemy na kartach martyrologium pierwszych wieków chrześcijaństwa.

* * *

W rok po *Hymnach* napisana *Wiosna*, wyszła nakładem i drukiem Józefa Ungra w Warszawie z datą 1859 roku, opatrzona licznymi lubo nienajpiękniejszymi drzeworytami, robionemi w Warszawie i w Lipsku podług charakterystycznych rysunków Kostrzewskiego. Na taką lub tę podobną „sielankę“ zanosilo się już w roku 1844, ale świeże wspomnienie przygody serdecznej urwało ją w samym początku. Początek ów drukowany w *Cudynie*, kończy się wzniętą o małym domku białym, przytulonym do wzgórza, jak gniazdo jaskółcze do strzechy:

W takim domku... Al! nie powiem—
 Proste dzieje, dawne dzieje!
 Mnie nie śpiewać sercem wdowićm,
 A wam uchem się przeleje!...

Po piętnastu latach, smutek w inne układa się fałdy na czoło. Wieg róż kiedy wypadło pożegnać ustronną wioskę woliń-

ską, kiedy po dwudziestu latach dobroczynnej ciszy sielskiej stało się koniecznością „przynosić z miasta uszy pełne stuku, przekłębów i kłamstwa, potępięcych swarów,” — wyobraźnia poety mimo woli pobiegła po łąkach różnych okolic kraju, papier, nie widziąc, z kąd wziął się pod ręką, i słowa poczęły się na nim ustawiać, jak w rozmowie z samymi sobą, w której ani wiemy, jak myśl nabrała dźwięku, ani spostrzegamy, że narzędzia głosu pracują. W takim usposobieniu, co nas najbardziej zajmnie, co najgłębiej kiedykolwiek uderzyło wyobraźnię, to najłatwiej zyskuje późniejszą posłuchanie. Węć też kto od razu nie pozna w *Wiosce*, że to członek rozmaitych towarzystw archeologicznych, rozkopywacz kurhanów i dobywca popielnic, zbieracz młotków kamiennych i zbroic stalowych, autor *Sztuki u Słowian*, w której na mistrzowski opis chaty w potoku dziejowym składali się po wierszyku i Priscus, i Jornandes, i Helmold, i Thietmar, i Ziegler, i tylni nasi współczesni! Starożytna osada leśna, przekształcająca się w gródek tynem opasany, gródek zamieniający się w dworzec szlachecki, dworzec upadający pod powszechną nawalą, a dalej niewzruszony kurhan mogilny i również, jak ów kurhan zasklepiony w przeszłości, lud wiejski, — oto jest górujący motyw w *Wiosce*, do którego poeta raz po raz przy każdej sposobności powraca. Prawda, że wioski naszej, a zwłaszcza wioski podlaskiej i poleskiej, która najżywiej stoi w pamięci Kraszewskiego, niepodobna inaczej zrozumieć, tylko na tle głębokiej, przedchrześcijańskiej przeszłości.

Wszak u każdej mogiły duch pieśń na straży,
U każdego zwaliska coś o dziejach gwarzy.
Na wkleśle horodyszcza starce siwobrode
Wiodą w noc kąpielową pokolenia młode:
Ale kto ich podsłuchał, czym w tajemnie ciszy
Echo dziecka ciekawe i pierś starca dyszy?
O! lubię się obłąkać w wieków cmentarzysku,
Od mogiły do wałów iść, śledzić i pytać.
Czasem całe są dzieje w jednem ich nazwisku,
Czasem z pół słowa można cały wiek wyczytać.
Turzy gaj — a gdzie tury? Bohorod — gdzie bogi?
Horodyszcze, gdzie wasi radcy i obrońcy?
Przeszły na wieki tajnie i dni przeszły trwogi,
Nowemu światu stare tylko świeci słońce...

Na tém tle starożytném i współczesném zarazem, skropioném rosą rzewnego uczucia, oświeconém łagodnemi promieniami wschodzącego słońca lepszej przeszłości, przesuwają się w poemacie przed wyobraźnią czytelnika cały nierozmaity żywot wiejski, czasami tylko wstrząsany klęską pożogi, a dawniej najazdem pohanów. Węć oto ro-

boty w polu i wieczornice przy łuczywie ze smutną, bardzo smutną pieśnią, bo ład nawet na weselu jakąś żalobną śpiewa nótą. Oto ubogi wrotny, staruszek zdzieciniały, niegdyś wojak z pewnością nieostatni do szabli, tak pięknie i marsowato patrzy mu z oczu i z ruchów. Oto dziewczeczka, sierota, Pan Bóg wie z kąd zabłąkana do wioski, wiernie wysługująca się gospodarzom, dopinająca staruszkowi wrotnemu, który przyrząca jej swą rękę: „Niech-no tylko wyrosnę — z tobą się ożenię!” Oto staruszka Marta, której uboga chateczka, jednym bokiem oparta o parów, w żółtej glinie czernieje, jak plama, której jedyném bogactwem chuda knra z kogutem i kot wyschły od postu, jak pustelnik Tebaidy, bo nawet myszy od ubóstwa pouciekały. Oto bocian na strzesze, i ciasny cmentarz za wioską, i mogiła samobójcy od niepamiętnych czasów przykrywana gałęziami, i cudnie opisany las na skraju szczupłego widnokręgu, — jedném słowem cała wioska, której „postać kochana stoi mi przed oczyma, jakby malowana.” Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia kilkunastu wierszy z opisu stosunków wioski i dworu dawniej i potem; bo chociaż te stosunki głębokiej doznały zmiany po wyjściu *Wioski*, zdrowa nauka nieprzestała być nauką, a błogosławiony, kto jej w las nie puszcza.

— Tu i owdzie posłuchaj, brząka pieśń nadobna:
Jan z Czarnolasu sławi sielskie swe wesele,
A jego myśl stu innym myślom jest podobna,
I wtórują jej wszyscy przez długich lat wiele...
Wielką rodziną siolo, bratem młodszym kniołek,
Dwór izbą jego radną, śpichrzem na złe lata;
Jeden we wsi i dworze warczy kołowrotek,
Jedna ich dola wiąże, jedna ziemia brata,
Jeden obyczaj, odzież, i język, i chata...
— Oj dworze! stary dworze, co stoisz na wzgórkach,
Smutno tobie być musiał jakiś ty zgrzybiały!...
Oj! nie tak to bywało w twoje lata młode!
Wesoła chorągiewka świstała na dachu,
W szyby słońce patrzyło, jak w błyszczącą wodę,
Wyżej się podnosiły jasne ściany gmachu,
Krzyż, co gnije przed bramą, stał świeży i biały,
A poki krzyż był cały, to i dwór był cały!...
Teraz pustka i starość! dziedzińce zarosły,
Ściany gniją, a drzewa dzikie się podniosły...
Obcy depece próg zimną stopą wędrownika,
I przyszedłszy za groszem, weźmie grosz i znika.
Co jemu? byle zyskał, przeżył i przebawił,
Choćby pamiętki zatarł, a chłopca zadławił!...
Dwór wiosce teraz obcy, obca wieś dworowi,
Nikt im rąk nie wyciągnie, ni słowa nie powie;
Nie ma już owych związków serdecznych a świętych
Przed wieki w jednej jeszcze kolebce poczętych,
Długie wieki trwających, które dłoń zdrętwiała
Zerwała, gdy na wieki powiązać je miała...

Ostatnie karty *Wioski* poświęcił Kraszewski wspomnieniom osobistym: o „wiosce ur-

dziwów“ Romanowie Podlaskim,— o „białym domku w kwiecistej wiązance“ Dolhém,— o Omelnie, w którym „coś wiało od Wołynia, lecz nie Wołyn był jeszcze,“ o „szarym domku skrytym wśród gąszczy gaiku“ w Gródku pod Łuckiem,— wreszcie o „starém strzeszysku słomianém“ Ihubinie, w której ścianach, na pożegnanie, powstała sielanka.

Zegnajcie starzy moi bracia gospodarze,
Cześć waszym sercom czystym i siwój cześć skroni!.

Wioska jest obrazkiem niepospolitej piękności: potrzeba jednak znać się na malowanych w niej przedmiotach, potrzeba je szczerze miłować, ażeby jej urok ocenić. Nie jest dla baczniejszego postrzegacza tajemnicą, że najpiękniejsze sceny sielankowe *Hermana i Doroty* przesuwają się przed okiem czytelnika miejskiego, nie zatrzymując na sobie jego uwagi. Co większa, sam widziałem, jak podczas czytania *Pana Tadeusza*, gdy przyszło do spraw gospodarskich, nad którymi rozpiływają się z radości słuchacze więcej, piękne usteżka miejskie otwierały się do wykrzyku uniesienia, ażeby z nim razem leciuchne poziewanie wysłać nieznaćnie ku pułapowi. Bo też słowo poczyi, tak samo jak słowo nauki, tyle waży dla każdego z nas, ile pod niem kło złożył wyobrażeń ze żniwa doświadczenia.

IV.

I znów upłynęło lat siedmnaście, a w ciągu tego czasu, z wyjątkiem dorywczego jednego, lub drugiego wierszyka wpisanego do albumu, nie zdarzyło nam się spotkać nowych utworów poetyckich Kraszewskiego. Nagle w r. 1876 pojawiła się *Stara Baśń*, a w niej pienia ślepego gęślarza Słowana, śmigające, jak wiewiórki po drzewach nieprzebytych puszcach IX wieku w okolicach nadgoplańskich. Cała ta powieść, idąca na czele wielkiego cyklu skupienia historycznego, jak porożysty prowodyr stada, jest z końca w koniec jednym wielkim poematem, dziełem natchnienia rzadkiej piękności i siły. Do mnie jednak należą tylko nieliczne wierszowane jej ustępy, drukowane jak pospolita proza, łatwe jednakże do odkrycia każdemu, kto się wierszoklectwem nieco pora, a szukał porady w Elsnerze, Królikowskim lub Cegielskim. Są w tej powieści piosenki obrzędowe, żywcem prawie przeniesione z ust ludu wiejskiego, który przechował je w pamięci od czasów pogańskich, i po dziś dzień jeszcze śpiewa na weselach,

koladach i kupałach. Są dalej urywki, zgrabnie na motowidło ludowe nawijane z własnej przędzy autora, jak np. piosenki nadobnej kapłanki Dziwy i stariej wiedzmy Jaruchy. Najważniejsze jednak są pienia siwego Słowana, gęślarza wędrownego, snującego się między plemionami polańskimi w lasach, jak kometa, zwiastunka wojen i urodzajów, snuje się między gwiazdami. Słowan był oślepiiony, ażeby nie widząc świata, wciąż czytał w duchu własnym; pieśń zaś nauczył się tak cenić, że natychmiast ją urywa, skoro poczuł przytomność obcego, którego tchnienie ją skala. Głęboko też sięga pamięcią, a wysoko wzlata ku bogom, gdy opowiada gromadzie przedwieczne wędrowki swojego ludu z nad brzegów Gangesu nad Dunaj, nim poszedł dalej za Karpaty ku Wiśle i Warcie:

Z za rzek siedmiu, z za gór siedmiu,
Z nad Dunaju pieśń ta leci.
Król dunajski w wielkiej trwodze:
Z wielkim ludem Czytaj idzie.
Zabrakło mu ziemi doma,
Siołom roli, bydłu paszy,—
I do Boga Wiszny woła:
—„Lud umiera, daj mi ziemi!“
Bóg się nłitował, rzecze:
—„Tam za Dunaj idź z gromadą,
Na pustynie, na szerokie.
A ty królu na Dunaju,
Nie waz mu się stać oporem.“
Ręce łamie król w rozpacz:
—„Czytaj zawojuje ziemię,
Czytaj państwo mi podbije!
Czy pokojem isć, czy wojną?
Czy mu opór stawieć zbrojną?“
Dziewki woła: — „Radź dziewczyno...“
Kamiana mu radzi: — „Królu,
Wojsko postaw nad Dunajem;
Nie zwojuje ludu twego.“
Czytaj idzie, tłumy za nim;
Kędy przyjdzie, lud zabiera,
Isć mu każe. Dziewki płaczą,
On im rzecze: — „Lzy otrzyjcie,
Wiodę was w zielone kraje,
Kędy dzieć ludzie żyją,
Roli orać nie umięją—
Uczyć będziemy i panować...“
Dziewkom oschły tzy, i idą.
Idą, idą... Dunaj biały
Stał na drodze z wzdętą wodą...
Lody na nim roztajały...
Król Dunaju strzeże brzegu.
Wojsko wielkie. Jak przejść wody?
Jak pokonać wojska siłę?
Myśli Czytaj, myśli, woła:
—„Na kolana, do modłtwy,
Bogu modlić się Koładzie,
Samowile, co wiatr trzyma.
Niech rozpuści wiatrom wodę,
Niechaj Dunaj lodem stanie.
Przejdziemy go suchą nogą.“
Padli na twarz przed Koładą,
Modlą się do Samowily.
Wiatry przyszły, Dunaj ścięty,
Wojska idą suchą nogą...
Król dunajski słuchał rady.

Wojsko zebrał, stoi w polu,
 U Dunaju leży obozem.
 Samowila wiatrem smaga,
 I na Dunaj wieje mrozem,
 A gorącym wojsko pali...
 Przeszli Dunaj—a gdzie stało
 Wojsko, kośćmi pobielato.
 Kamiana patrzy i płacze.
 Czytaj, wnet zajmuje ziemie,
 Pługi idą w żyzne pole,
 Bydło ryczy, domy stają.
 Ludzie uczą się siał ziarna....
 O Kamiano! rada mara.
 Przeciw bogom nic nie nada.
 I Kamiana leci blada,
 W biały Dunaj głową pada.
 Pieśń się o tym ludziom pieje.
 Bóg wam zdrowia niechaj daje,
 A pieśń przy muie niech zostaje....

Obok daru poetyckiego, dwa bardzo różne od siebie żywioły złożyły się na tę pieśń Słowana, który parę jeszcze innych podobnych wygłosił Kraszewskiemu do *Stariej Basni*. Jednym żywiołem jest gruntowna znajomość wyników badań naukowych, po które rzadki poeta pojdzie z Kraszewskim w gęsty i ciemny las *Narodów na ziemiach słowiańskich* Lelewela. Drugim żywiołem jest również gruntowna znajomość literatury ludowej, której skarby dotychczas nagromadzone są bardzo już wielkie, ale na wydobycie z nich treści czekamy jeszcze myśliciela i poety. Kiedy Chodakowski przykładem swoim popełnił był cały zastęp ludzi do zbierania pieśni, klechd, podań i przysłów ludu na ziemiach dawniej Polski, wiele sobie podówczas obiecywano z tego dla sztuki krajowej, ba! dla wielkiej epopei narodowej. Obiecanka okazała się cacanką: bo jedni, którzy się rwali do czerpania z tego źródła, nie byli poetami i nie mieli stosownej wiedzy historycznej, drudzy byli poetami i znali historią, ale nie znali ludu, trzecim znów czegoś brakło, — i pokuszenia kończyły się nieszcześliwie. Czeczot, Izopolski, nawet Biełowski i Siemiński, żywym są tego przykładem. Ale Kraszewski, w dziwnej wszechstronności swojego umysłu, ma siłę tworzącą po temu, żeby rozkazać żywiołom literatury ludu i wiedzy historycznej ułożyć się w nadobne kształty takich rapsodów pol-

skich, jak są nadweltańskie lub nadsawańskie. Pieśni Słowana w *Stariej Basni* są tego niezaprzeczonym dowodem.

A więc te pieśni kładziemy jako początek trzeciego, da Bóg długiego okresu w zawodzie poetyckim Kraszewskiego.

Taceo, atque abeo. Mniemałem, że im mniej będę się sadził na wyrokowanie o Kraszewskim jako poecie, a hojniej dam czytelnikowi wątku do wyrobienia własnego sądu, tym więcej oba wygramy. Dla tego i przy dłuższe nawet wyjątki z jego poezji pocytywałem za właściwe, témbardziej, że streszczanie utworów poetyckich, choćby najsumienniejsze, mało o nich daje wyobrażenia. Jeżeli zaś koniecznie chodzi o wypowiedzenie w kilku wierszach summy wrażeń, otrzymywanych z czytania dzieł wierszowanych Kraszewskiego, to powiem, co następuje: Wszystkie pomysły autora *Hymnów Bolesci* są głęboko poetyczne, szata dla tych pomysłów zawsze właściwa i piękna w wyobraźni, ale skrojona i uszyta bywa niekiedy mniej troskliwie. Język bywa mniej wyszukany, niżeli w poezji dozwolono; o uderzające w nim zwroty stosunkowo dość rzadko się potracamy. Forma wiersza jak najprostsza, jak najmniej krępowana liczbą zgłosek i miarą, po mistrstwie Bohdana Zaleskiego nie może uderzać nowością. Rymy jak najłatwiejsze, gdyby zabrzęczały nad uchem arcymistrza w dobieraniu końcówek, nieboszczyka Wacława Potockiego, tłumacza *Argenidy* i autora *Wojny Chocimskiej*, w grobieby się przewrócił. Jednym słowem głębia ducha poetyckiego wielka, wykonanie tu i owdzie za pośpieszne. Tak wiele, tak wiele Kraszewski ma do roboty!

W sturamiennym zawodzie Kraszewskiego poezja nie zajmuje pierwszego miejsca, może nawet nie zajmuje drugiego. To jednak co napisał, wystarczyłoby na obdzielenie wziętością i sławą przynajmniej czterech poetów zwykłej miary.

W. Korotyński.

F I L O Z O F I A.

J. I. KRASZEWSKI

w stosunku do filozoficznych dążeń swego czasu.

W s t ę p.

Ogólna charakterystyka udziału Kraszewskiego w filozoficznych dążnościach czasu. — Trudność szczegółowego rozwinięcia tej charakterystyki. — Cel niniejszej rozprawy.

Jednym z najdobitniejszych dowodów życiowej doniosłości filozofii, jej wpływu na rozwój umysłowy, jest fakt, że znakomitsi przedstawiciele i rzecznicy każdego narodu zawsze się z nią rachować musieli, zawsze względem niej zająć musieli pewne określone stanowisko, wpływające bezpośrednio na charakter i kierunek ich dążeń w innych dziedzinach życia umysłowego. Obojętność dla pracy filozoficznej danego czasu, dla wyrobów samodzielnej myśli, zdającej sobie sprawę z przyczyn i celów świata, z zadania i przeznaczenia człowieka, jest zawsze objawem pewnej ograniczoności i lenistwa duchowego, wyłączającego z góry wszelkie podniosłejsze uzdolnienie umysłu. Im umysł jest żywszy i czynniejszy, im rozleglejszy jest zakres jego duchowej wrażliwości, tém częściej uczuwa potrzebę zastanowienia się nad bogatemi zasobami myśli, uczuć i dążeń, tém bardziej pragnie się zaznajomić z ogólnymi światopoglądami swego czasu, — tém silniejsze filozofii na niego i jego oddziaływanie na panujący sposób myślenia jest donioslejsze i żywsze.

Jasną jest tedy rzeczą, że umysł tak wszechstronny, czynny i wrażliwy, jak Kraszewskiego, niemógł pozostać obojętnym względem filozoficznych dążeń swego czasu. Jego umysł obserwacyjny, jego czujność na wszelkie donioslejsze objawy życia umysłowego,

zaznajomiły go od początku jego działalności piśmienniczej aż po dzień dzisiejszy ze wszystkimi wydatniejszymi poglądami filozoficznymi ostatnich lat dziesięciu. Żaden systemat znakomitszy, żaden objaw głębszej myśli w tym pół-wiekowym przebiegu czasu nie uszedł jego uwagi. A żywotność i wrażliwość jego umysłu, zmuszały go do zaznaczenia względem każdego z nich swego osobistego stanowiska, do wypowiedzenia swych sympatii lub antypatii, swego współczucia lub potępienia.

Sposób, w jaki Kraszewski ten swój stosunek do filozoficznych dążeń czasu zaznacza, wypływa bezpośrednio z całego ustroju umysłowego znakomitego pisarza, z całego charakteru i kierunku jego działalności piśmienniczej.

Umysł Kraszewskiego zbyt jest ruchliwy, zbyt prędko postępuje z czasem, a nadto zbyt gorączkowo dąży do rzeczywistnienia głównych celów swej działalności, aby drobne obrobienie przedmiotu, zatopienie się jego w szczegóły, mogło mieć dla niego jakis-kolwiek powab. Ujęcie zasadniczych, a tym samym ogólnych tylko zarysów rzeczy; określenie jej bezpośredniego znaczenia dla chwili obecnej, dla naglących potrzeb i dążeń czasu, jest w oczach Kraszewskiego zadaniem daleko ważniejszym, niż rozbiór kwestyi ubocznych i staranność o należyte wyświetlenie odleglejszych stron

przedmiotu. Kraszewski ma na oku zawsze życie w całej swój pełni, w owych objawach górujących, które charakteryzują bądź ducha ludzkiego w ogóle, bądź wydatne momenta jego dążności i rozwoju. Wszystko, co nie pozostaje w związku z temi głównymi prądami życia, postępu, co leży na uboju,—nie budzi jego zajęcia, choćby i samo w sobie miało znaczenie jak największe. Ztąd Kraszewski nigdy się nie zajmuje subtelnym rozbiorem argumentów za lub przeciw różnym teoryom naukowym i filozoficznym; nie myśli o wydaniu lub przyśwojeniu sobie jakiegos systematu ze wszystkiemi jego konsekwencyami, z owemi teoryami i teoryjkami pomocniczymi i pochodniami, które służą bądź do ugruntowania, bądź do rozszerzenia zasadniczych poglądów. Kwestya samych zasad i ich ocena tak ze stanowiska ogólnie ludzkiego, jak ze stanowiska potrzeb umysłowych kraju i jego chwilowego położenia,—oto główna dziedzina jego filozoficznych rozumowań. Tę dziedzinę nie przekracza nigdy; nie staje się nigdy doktrynerem, przywiązującym większą wagę do swych specjalnych zapatrywań, niż do rozjaśnienia pryncypiów; ani też dla jakichś zachcianek dyktanckich, nie wdaje się nigdy w rozbiór pytań, przekraczających zakres dobrze mu znanych interesów życiowych.

Oto granice udziału Kraszewskiego w filozoficznych dążnościach czasu. W tych jasno określonych granicach rozwija się główny charakter, że tak powiem *jakość* jego filozoficznych przekonań.

Kraszewski z natury i usposobienia swojego jest przede wszystkim poetą, artystą. A z tego usposobienia wypływa bezpośrednio podmiotowy, subiektywny charakter jego rozumowań i sądów, jego poglądów na świat i życie. Jako poeta, artysta, Kraszewski nie chce i nie może oderwać się od swoich bezpośrednich, osobistych wrażeń i przekonań, pragnień i dążeń, aby ze stanowiska obiektywnego, przy pomocy filozoficznej abstrakcyi, ocenić rzeczy same w sobie, bez względu na swój podmiotowy stosunek do nich. Przedmiotowy rozbiór rzeczy, zimna argumentacya, nie zgadzają się z jego żywą fantazyą i serdeczną uczuciowością. Zasadniczymi czynnikami jego rozumowań filozoficznych mogły tylko być i są: bezpośrednie poczucie prawdy, głęboka miłość dobra powszechnego, zmysł obserwacyi i zdrowy rozsądek, poparty wiedzą i doświadczeniem życiowem. A chociaż czynniki te nie są wystarczającemi dla rozwoju filozofii w ścisłym, naukowem znaczeniu tego słowa,—

z tém wszystkiém jednak doprowadzają nie-raz do jaśniejszych i trafniejszych poglądów na rzeczy, niż najskrupulatniejsze wywody rozumowe, oparte na naukowych lub filozoficznych uprzedzeniach. Tymczasem właśnie jak największa wolność od wszelkich doktrynerskich nprzedeń, swoboda i niezależność sądu, nie oglądająca się na nikogo, niepytająca się nawet o ścisły związek i wewnętrzzną konsekwencyą w sądach,—byłoby wyższe interesa prawdy, dobra powszechnego i potrzeb kraju zaspokojone były,—znamienną najdobitniej stosunek Kraszewskiego do dążności filozoficznych jego czasu.

Kraszewski nie jest i nie był rzecznikiem żadnego z nowszych systematów filozoficznych, nie przyłączył się stale do tej lub owej szkoły, nie działał wyłącznie w interesie tego lub owego kierunku. W każdej szkole, w każdym systemacie, podnosił z całą szczerością wszystko, co według jego przekonania godne jest uwagi, co zaznacza postęp w ogólnym rozwoju ludzkości lub narodu, co się w czémkolwiek przyczynia do udoskonalenia umysłu i serca. A jeżeli pomimo to we wszystkich dążnościach Kraszewskiego, w całym olbrzymim obszarze jego działalności na polu nauki, krytyki, publicystyki i literatury nadobnej, przebija się jedno tło zasadnicze, jeden ogólny na świat pogląd, a zatem jedna filozofia, to ten objaw nie jest wynikiem jakichś ustalonych teoretycznych przekonań, jakiejs zależności od tej lub owej szkoły filozoficznej, lecz wypływa bezpośrednio z pewnej jednolitości umysłowego usposobienia naszego pisarza i jeduostajności w ogólnych warunkach jego rozwoju.

Bo w samęj rzeczy, pomimo całego nie-spoкою i tak wyjątkowej wrażliwości ustrój umysłowy Kraszewskiego odznacza się jedną stałą cechą, określającą niezmiennie kierunek jego myśli, uczuć i dążeń;—a tą cechą jest, — trudno znaleźć dla niej stosowniejszego wyrażenia,—*przyrodzony idealizm*, wyższy duchowy nastrój wszystkich funkcyi umysłowych, wynoszący wszędzie i zawsze cały sposób myślenia naszego pisarza po nad ciasną sferę zmysłowej rzeczywistości. Żywą wrażliwość, zmysł praktyczny, wzgląd na potrzeby życiowe, łączą wprawdzie Kraszewskiego jak najściślej z światem rzeczywistym, zaszczerpiają w niego różne dążności realistyczne, ale nie trudno spostrzedz, że cały ten realizm Kraszewskiego był i jest zawsze tylko środkiem dla osiągnięcia celów *idealnych*, że duch, który nim kieruje, jest na wskroś *idealistyczny*, pochodzi ze świata wyższego, nadzmysłowego, i dąży do

ureczywistnienia jego wymagań. Można wprawdzie powiedzieć, że tego rodzaju idealizm jest właściwością każdego myśliciela i poety, każdego w ogóle pracownika na niwie umysłowej. Jestto prawdą niewątpliwą, bo i najjaskrawsi realisci zawsze są idealistami ze względu na swe niezadowolenie z danej rzeczywistości i swą dążność do jęj udoskonalenia według swoich mniej lub więcej trafnych ideałów. Ale główna różnica między temi kierunkami polega na świadomem, że tak powiem, teoretycznem pojęciu swych dążeń, a pod tym względem idealizm przyznaje bez ogródek nadmysłowe źródło i duchową celowość swych dążeń, podczas gdy realizm i najidealniejsze objawy własnych dążeń i ze zmysłowych czynników wyprowadza. Kraszewski jest tedy idealistą w powyższem znaczeniu tego słowa, bo pojmuje i czuje bezpośrednio, że tak powiem, instynktowo, niezależnie od wszelkich teorii, — wyższość duchowego pierwiastku nad pierwiastkami fizycznymi i tę wyższość wszędzie i zawsze wedle możliwości uwypatnia i rozwija. Ztąd też pochodzi, że i w dziedzinie filozoficznych poglądów zawsze skłania się bardziej do teorii idealistycznych, zawsze z niemi sympatyzował, a wszelkie poniżenie ducha, wszelkie zaprzeczenie rozumowego pierwiastku świata i wyższego przeznaczenia człowieka potępiał i jako szkodliwe z całą energią zbijał. Oto jedna z najwydatniejszych cech filozoficznych zapatrywań Kraszewskiego na ich treść.

Dруга cecha w tym względzie wypływa z zewnętrznych warunków rozwoju i działalności naszego pisarza. Te zewnętrzne warunki skupiają się przedewszystkiem w ogólnem położeniu kraju, w jego stosunkach społecznych, w jego potrzebach i dążnościach. Kraszewski był zawsze wiernym synem swęj ziemi, przejmował się jak najgłębiej jęj stanem umysłowym i społecznym, żył życiem ogółu, powszechności. Indywidualność łączyła się z natury swojęj tak ściśle z całością, do której należy, odczuwała tak bezpośrednio jęj tętna życiowe, wszystkie jęj pragnienia i potrzeby, — że śmiało powiedzieć można, iż w Kraszewskim odzwierciedla się wierniej, niż w jakimkolwiek innym pisarzu, umysłowość polska ostatnich lat pięćdziesięciu. A że wśród danych okoliczności jednym z najwydatniejszych rysów umysłowego życia naszego ogółu, jest przywiązanie do swojskości, posunięte nieraz do przesady, a w każdym razie żywsze i drażliwsze, niż u innych narodów, przeto jest rzeczą naturalną, że to przywiązanie wywierało

i wywiera wpływ stanowczy na całą osobistość Kraszewskiego. Wszystko, co ogół miał za nieodzowną część swego historycznego bytu; co mu się przedstawiało, jako konieczny czynnik jego życia dziejowego, — wszystko to jest zarazem podstawą dla poglądów i dążeń osobistych Kraszewskiego. Rozbrat pomiędzy panującym w społeczności duchem a indywidualnem przekonaniem, będący zazwyczaj jednym z czynników w życiu owych mężów, którzy przodują narodowi, prowadząc je na nowe drogi, — nieprzyjmował w Kraszewskim nigdy charakteru radykalnego, gdyż sprowadzał się zazwyczaj tylko do kwestyj podrzędnych, na dyskutowanie których istniał pewien ogólnie przyjęty *consensus*. Nawet i wtedy, gdy w żywych barwach malował wady i zboczenia różnych klas społecznych, gdy zbijał przesady, zachęcając gorąco do pracy i postępu na wszystkich polach życiowej działalności, — Kraszewski miał na oku zawsze duchowy związek swych osobistych dążeń z poglądami ogółu.

To przywiązanie synowskie do ogółu, ten duch zachowawczy, miarkujący najwyższe dążności postępowe naszego pisarza, wpływa tedy bezpośrednio i na ukształtowanie jego stosunku do filozoficznych poglądów czasu. Tradycyjne przekonanie ogółu, jego moralne, społeczne i religijne zapatrywania tak bezpośrednio łączy się z całą indywidualnością naszego pisarza, że wszelkie stanowcze oderwanie się od nich, sprzeciwiałoby się jego własnej naturze, jego najsamoistniejszym nawet dążnościom. Kraszewski z całego swego usposobienia, z wewnętrznych i zewnętrznych warunków swego rodzaju i w dziedzinie ogólnych na świat i człowieka poglądów, szukać musiał głównej swęj misyi w zachowaniu ciągłości między nowemi ideami filozoficznymi a dawnymi wierzeniami ogółu. On pragnął zawsze podnieść ogół w całości swojęj, we wszystkich warstwach, kierunkach i stronnictwach, i dla tego nie chciał i nie mógł lekceważyć żadnej ze składowych jego części. W równomiernym postępie wszystkich czynników życia umysłowego widział jedyne zbawienie od zupełnego rozstroju, jedyne warunki owego skupienia sił fizycznych i moralnych, niezbędnego dla rozwoju życiowego każdego narodu. Względem zatem na tradycyjne poglądy ogółu, a szczególnie na jego przekonania religijne, łączył się bezpośrednio z całą działalnością piśmienniczą Kraszewskiego i uzupełniał na polu filozoficznem ów przyrodzony idealizm jego, ową wrażliwość umy-

ślu, która obudzała jego współczucie dla wszelkich idei postępowych.

Szczegółowe rozwinięcie powyższej ogólnej charakterystyki, stosunku Kraszewskiego do filozoficznych dążeń jego czasu, mające być przedmiotem niniejszej rozprawy, natrafia dotąd jeszcze na tak wielkie, nieprzebyte trudności, że marzyć nie można o wyczerpującem rozwiązaniu tego, z kąd inną nader zajmującego tematu. Któż byłby w stanie przestudyować całą bibliotekę pism Kraszewskiego, zaznajomić się należycie z jego działalnością na polu powieściopisarstwa i poezji, historii i archeologii, publicystyki i krytyki literackiej, artystycznej i filozoficznej, aby przy pomocy tego olbrzymiego materiału przedstawić dokładny obraz filozoficznych zapatrywań naszego pisarza, objaśnić stopniowy rozwój tych zapatrywań, wykazać wszystkie wewnę-

trne i zewnętrzne czynniki, które wpływały na ich wszechstronne ukształtowanie? Ktoby chciał lub mógł podjąć się podobnej pracy, znalazłby w pismach Kraszewskiego niejedną wskazówkę dla wykładu jego psychologii i estetyki, etyki i socjologii, a nawet dla szerszego poglądu na jego zapatrywania metafizyczne. Nie mogąc jednak myśleć o rozwiązaniu tak rozległego zadania, mam na celu przedstawić tutaj tylko główne zarysy poglądów filozoficznych Kraszewskiego na tle historycznego rozwoju filozofii u obcych i u nas w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Paralella ta między dziejami filozofii naszego wieku a zasadniczemi zapatrywaniami Kraszewskiego rozjaśni dostatecznie powyższą ogólną charakterystykę jego udziału w filozoficznych dążnościach czasu i przyczyni się, choć w części do uzupełnienia owego obrazu, w którym rzeźba literacka pragnie odzwierciedlić zarówno osobistość, jak i półwiekową działalność znakomitego pisarza.

I.

Dążności filozoficzne po ukolysaniu rewolucji francuskiej: — Główni przedstawiciele nowszej filozofii katolickiej we Francji, Włoszech, Niemczech i u nas. — Stosunek Kraszewskiego do tego kierunku myśli. — Nastroj umysłowy w jego pierwszych utworach. — Jego pesymizm uczuciowy i sceptycyzm filozoficzny, jako przejście do wiary. — Wielki świat małego miasteczka. — Poezje. — Wędrówki literackie. — Ocena Bochwica. — X. St. Chołoniewski. — Zdanie o El. Ziemięckiej. — Współpracownictwo w Pielgrzymie. — Kierunek filozoficzny Ateneum. — Artykuły Rzewuskiego. — List Chołoniewskiego i korespondencya De Maistra z Janem Potockim. — Ziemięcka o Schellingu. — Religijność Kraszewskiego.

W pierwszych dziesiątkach lat bieżącego wieku, a szczególniej po roku 1815 t. j. po ostatecznem uśmierzeniu zaburzeń, wywołanych przez wielką rewolucyą francuską, natykamy u wszystkich narodów oświeconych dwa główne kierunki w dążnościach filozoficznych, pozostające w ścisłym związku z potrzebami i duchem czasu. Jeden z nich ma na oku obronę religii i wierzeń dogmatycznych, i znajduje swój najdobitniejszy wyraz w tak zwaną filozofii katolickiej. Drugi, rozumowy, spekulacyjny, rozwija się na tle niemieckiego idealizmu, doprowadzonego przez Hegla do ostatecznych wyników. Oba te kierunki wywarły silny wpływ, jak na całą naszą społeczność, tak i szczególniej na Kraszewskiego i dla tego nad nimi bliżej zastanowić się musimy.

Dążności religijne w zakresie filozofii, biorąc za podstawę bądź ślepą wiarę w naukę kościoła, bądź też bardziej rozumo-

we pojęcie pocucia religijnego, wymierzone były przedewszystkiem przeciwko *materjalizmowi*, jako jednemu z najgłówniejszych wrogów wiary, rozwiniętemu szczegółowo przez francuzkich encyklopedystów XVIII-go wieku.

Teorye materyalistyczne były niewątpliwie najważniejszym umysłowym czynnikiem rewolucji francuskiej. Podkopując poczucie moralnych zadań człowieka, znosząc nawet w swych wynikach wszelką jasną różnicę między prawdą i fałszem, które jako objawy jednej i tej samej fizycznej konieczności w istocie swojej niczemby się nie różniły, — materyalizm wywołał owe zamieszanie w myślach, uczuciach i dążnościach ludzkich, ów chaos umysłowy, który w życiu społecznem i państwowem zawsze doprowadzić musi do zupełnej *anarchii*. Społeczność, państwo, zawdzięczają swe istnienie, życie i normalny rozwój, nie tyle swęj potęgze fizycz-

nój, ile pewnym moralnym czynnikiem, zdolnym skupić masy, poprowadzić po jednej drodze, ku jednemu celowi. Gdzie nie ma idei, myśli jednoczącej, gdzie życie umysłowe w najgłówniejszych swych podstawach podlega rozstrojowi, tam największe potęgi fizyczne w pył się rozpadają, tam nie ma ogółu, społeczności, lecz istnieje tylko konglomerat jednostek, który, na wzór ciała pozbawionego duszy, na atomy rozłożyć się musi. Nie dziw zatem, że społeczność europejska, przebywszy szczęśliwie kryzys, w której doświadczyła bolesnych skutków swego wewnętrznego rozstroju, rzuciła się chętnie na to wszystko, co mogło znowu skupić rozstrzelone jednostki, połączyć je w jedną organiczną całość.

Wszystkim szło o to, aby jednostka, która w epoce rewolucyjnej zakłócała spokój ogółu swymi doktrynami i namietnościami, swą despotyczną samowolą znowu się dobrowolnie poddała wymaganiom ogółu, stosując do niej cały ustroj swego życia, całą swoją działalność praktyczną. Religia jest w takim położeniu zawsze jednym z najpożądanych i najskuteczniejszych czynników.

Głównymi przedstawicielami tego religijnego kierunku w zakresie filozofii w piśmiennictwie francuskim za czasów restauracji byli *De Maistre*, *Bonald* i *Lamennais*. Pierwszy z nich hrabia, dyktarz królestwa sardyńskiego, długoletni poseł przy dworze rosyjskim (od r. 1813 do 1817), w pismach swoich *O początku instytucji ludzkiej* (1810), *O papieżu* (1819), a szczególnie w swych głośnych *Wieczorach St. Petersburgskich* (1821) bronił z całą otwartością teokracji despotycznej. Dowodził on, że życie człowieka jest pokutą za grzech pierworodny i że zadaniem rządów powinno być zmuszanie narodów do niewolniczej uległości względem wymagań kościoła, gdyż tylko w ten sposób można ulagodzić gniew boży i dokonać dzieła pojednania Boga z ludzkością. Styl żywy, pełen obrazowości, wielka stanowczość i pewność siebie, rozległe stosunki a nade wszystko wszechwładna protekcja zakonu Jezuitów, zjednały w krótkim czasie pismom *De Maistra* jak najszerszy rozgłos. Cały świat arystokratyczny, jak u obcych, tak i u nas, wszyscy wierzący wśród oświeconych, czytali dzieło *De Maistra* i przyjmowali się coraz bardziej jego poglądom.

W tym samym duchu teokracji, lecz z większą głębokością myśli i z pozorami naukowoci występował w tymże czasie wice-hrabia *Bonald*, członek Akademii francuskiej i par za Ludwika XVIII. Jego

Poszukiwania filozoficzne (1818) i *Prawodawstwo pierwotne* (1820), pełne są pomysłów godnych uwagi. W filozofii mowy ludzkiej, która stanowi główny punkt wyjścia dla jego poglądów, *Bonald* zajmuje nawet pewne stanowisko oryginalne. Ale zasadnicza tendencja wszystkich jego rozmowań: obrona bezwzględnej nieomyślności kościoła, krępuje na każdym kroku polot jego ducha i sprowadza go ciągle zaowoc do poziomu średniowiecznej scholastyki.

Dopiero równie żywy, jak samodzielny umysł księdza *Lamennais* go, wychowawca seminarium St. Sulpice w Paryżu, powziął myśl przyswojenia sobie głównych zasad katolicyzmu ze stanowiska filozoficznego. W licznych pismach a szczególnie w swoich: *Studiach nad obojętnością w rzeczach religijnych* (1817), a następnie po rewolucji lipcowej w czasopiśmie: *L'Avenir*, *Lamennais* gorącą wiarą starał się wykazać zgodność katolicyzmu ze wszystkiem, co jest szlachetne i wzniosłe w ludzkości, rozwijając w szerokich poglądach swą dewizę: *Pour Dieu et la liberté, pour le pape et le peuple*. Już wierzący uwielbiali w nim nowego obrońcę religii, który z daleko większym zasobem myśli i nauką zbijał niedowiarstwo, niż *De Maistre* i *Bonald*: już powoływano się i u nas na jego powagę dla ocalenia dogmatów przeciwko napaściom materializmu i panteizmu, — gdy nagle encyklika papieża z roku 1832, potępiająca tego rodzaju dążności, rozwała wszelkie nadzieje. *Lamennais* przestał nadal bronić państwa, a w swych pismach filozoficznych następnej epoki życia nie marzył już o filozofii katolickiej, lecz mówił tylko o filozofii chrześcijańskiej.

Ten sam los spotkał ucznia *Lamennais* go ks. *Bautin*, profesora uniwersytetu Strasburskiego, który swoją *Psychologią eksperymentalną* (1839) i *Filozofią moralności* (1842), cytowaną często przez naszych filozofów chrześcijańskich, zasłużył sobie na dobre imię w nauce.

Podobnym, jak *Lamennais*, duchem napełnieni byli włoscy myśliciele i teologowie: *Antonio Rosmini* i *Vincente Gioberti*. I oni, pomimo wielu głębokich pomysłów i szczególnej chęci pogodzenia swych filozoficznych zapatrywań z nauką kościoła, ulegli wreszcie prześladowaniom i cenzurze.

W katolickich krajach Niemiec przejawiała się też sama dążność w osobie głębokomyślnych teologów *Jerzego Hermesa* i *Antonia Günthera*. W swoim *Filozoficznym wstępie do katolickiej teologii* (1819) i w innych

pismach, Hermes, biorąc za podstawę filozofią Kanta i Fichtego, stara się rozumowo usprawiedliwić treść dogmatyczną wiary, i miał to nkontentowanie, że za życia władze kościelne dzieła jego approbowaly. W skutek tego znalazł licznych uczni wśród duchowieństwa i wierzących. Lecz w kilka lat po jego śmierci, bo w r. 1835, udało się jego przeciwnikom wyrobić breve papieżkie, potępiające jego poglądy i wszystkich, którzy w ich obrenie występują.

W obec takiego rygoru wszelkie dalsze dążności pogodzenia filozofii z teologią miały się okazać niudniami. *Günther* napróżno zbijał filozofów: Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, ze stanowiska teologicznego, napróżno przyjmował za podstawę swych poglądów naukę kościoła i skoro tylko wystąpił z dziełem o *Spekulatywnęj teologii* (1828) i w duchu niby filozoficznym starał się pojąć niewzruszoną treść dogmatów, natychmiast wywołał przeciwko sobie reakcyę, która w końcu po długim processie spowodowała w roku 1857 to samo potępienie pism *Günthra*, jakie spotkało jego poprzedników. Siedmdziesięcioczteroletni starzec *ludabiliter se subiecit* temu wyrokowi, i od tego czasu znikły już wszędzie dążności filozoficzne w zakresie teologii katolickiej.

U nas, stojących na uboczu od głównych prądów życia umysłowego, tak zwana filozofia katolicka rozwijała się niepostrzeżenie, bez wywołania silniejszej reakcyi ze strony kościoła. Pomimo, że i u nas zwolennicy tego kierunku przejęli się nieraz duchem bądź *Lamenais*'go, *Bautina*, bądź *Hermesa* i *Günthra*, i na ich powagę się powoływali, jednak czynili to w naiwnem przekonaniu o zupełnej zgodności swych poglądów z naukami kościoła. Nie było też powagi, która-by skutecznie rozwiała tego rodzaju złudzenia.

Pierwszym pisarzem, który z całą świadomością dążył do pogodzenia filozofii z wiarą dogmatyczną, był u nas *Floryan Bochwie*. W trzech *Obrazach myśli swojej* (1838, 1839, 1841), *Bochwie* rozwija tę dążność szczegółowo. W zasadzie, w teorii ulega on bezwzględnie nauce kościoła, dowodząc, że *wiara jest wyższą nad wszelkie rozumowanie*. Odkąd, mówi, rozum swój pogodził z *artykułami wiary*, odtąd stanął na *opoce, pewny, że jej żadne siły piekielne, żadne namietności i burze tego świata obalić i zachwiać nie zdołają*. Pomimo to jednak żywy myśł *Bochwica* na wzór wzmiankowanych teologów francuzkich i niemieckich, w dalszym rozwoju swych poglądów rozszerzał mimo woli ciasne granice tej zasady.

Przedewszystkiem godne uwagi, że *Bochwie* w duchu mistycznym wiarę objawioną pojmował nietylko w znaczeniu zewnętrznem, historycznem, lecz mówił o objawieniu wewnętrznem w duchu ludzkim, które *przezuciem* nazywał. Za pomocą tego objawienia wewnętrznego, mówił, człowiek „gdy przeniknie się myślą aż do przybytku obrazu boskiego, do głębi swojego ducha i serca“, znajduje w sobie pewne prawdy boskie, które służą mu za podstawę dla oceny i zrozumienia wszelkich prawd objawienia zewnętrznego. *Bochwie* nie jest tedy zwolennikiem owęj ślepej, dogmatycznej wiary, która, potępiając wszelką samodzielnosć ze strony rozumu ludzkiego, domaga się bezwzględnej uległości dla swęj treści, lecz przyznaje w samym duchu ludzkim działalność pewnych czynników, doprowadzających do poznania prawdy niewątpliwęj. Z tego też stanowiska dowodzi koniecznej potrzeby filozofii, jako *wypełnienia woli Bożęj* i dochodzi do swego dziwaczego określenia filozofii, mającęj być *objawieniem się objawienia Bożęgo*. Określenie to uzupełnia temi słowy: „Duch człowieka z własnościami rozumu, przecznia i myśli jest objawieniem Bożem, a filozofia jest objawieniem się ducha w słowach i wyobrażeniach ludzkich.“ Konsekwencją tego poglądu jest szacunek *Bochwica* dla historii filozofii i przyznanie, że we wszystkich systematach filozoficznych przejawia się pewien pierwiastek prawdy.

W duchu daleko większej zależności od treści dogmatycznej propagowali filozofią katolicką: *Eleonora Ziemięcki*, *Feliks Kozłowski*, *X. Stanisław Chłotowiecki* i inni, do których zaliczyć należy hrabiego *Henryka Rzewuskiego*, idącego pod niejednym względem w ślady de Maistra, x. *Ignacego Holownińskiego*, autora rozprawy: *O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji* (1846), *Jozefa Przecławskiego*, autora dzieła: *Śmierć i Odrodzenie*, i innych. Głównym organem tej dążności, jak wiadomo, był *Pielgrzym Ziemięcki*, wydawany od roku 1842. W tymże duchu działał *Tygodnik Petersburski Przecławskiego*, a później *Dziennik Warszawski* (od r. 1851) pod redakcyą *Rzewuskiego*. Stanowisko zaś filozoficzne wszystkich tych autorów określają najdobitniej słowa *Ziemięcki*, wypowiedziane w *Pielgrzymie*, w artykule o filozofii *Cieszkowskiego*. „Droga nasza, mówi redaktorka, jest pewna, przyświeca jej prawda niezmienna, prawda przez samego Boga objawiona; a chociaż zachowaliśmy naszą filozofii dla oznaczenia ogólnych rozumowań, na podstawie wiary opartych, *filozofia nasza*

w istocie niczém inném nie jest, jak ludz-
kim, do zrozumienia wieku zastosowanym
wykładem teologii katolickiej.⁴ Pomimo to
jednak samodzielne poloty myśli objawiały
się u tych pisarzy w skutek wyraźnego wpły-
wu, jaki na nich wywierały dzieła wzman-
kowanych przedstawicieli tego kierunku we
Francji i Niemczech.

Scharakteryzowaliśmy umyślnie nieco ob-
szerniej powyższe dążności religijno-filozo-
ficzne u obcych i u nas, gdyż były one
głównymi czynnikami w ukształtowaniu po-
glądów Kraszewskiego w przeciągu pier-
wszych czternastu lat jego działalności pi-
śmienniczej (od r. 1830 do 1844). Krasze-
wski był z jednej strony umysłem zbyt ży-
wym, ruchliwym, aby w swoich ogólnych
pojęciach o Bogu, świecie i człowieku mógł
się zamknąć w ciasnych granicach ślepej
dogmatycznej wiary; z drugiej zaś strony
zbyt głębokie posiadał poczucie moralne,
podniecane nadto przez wychowanie i inne
warunki rozwoju umysłowego, aby mógł
kiedykolwiek zupełnie zobojetnić dla spraw
religii lub przyswoić sobie poglądy, prze-
ciwne jęj wymaganiom. Ztąd pochodził natu-
ralny pociąg Kraszewskiego do dążności
religijnych w zakresie filozofii i w ogóle do
pogodzenia obydwóch tych pierwiastków.
Zapoznanie się z pracami tego kierunku,
o ile na to czas, poświęcony głównie po-
wieściopisarstwu oraz studjom historycznym
i literackim, pozwalał; zawarcie bliższych
stosunków z przedstawicielami tego kie-
runku u nas, wreszcie główna tendencya
pism Kraszewskiego we wspomnianym okre-
sie czasu do roku 1844, wykazują najdobit-
niej te jego sympatye dla religijności i jęj
filozoficznego pojęcia. Ale i ten kierunek
umysłu naszego pisarza nie był prostym
zabytkiem wychowania i tradycji, lecz wypły-
wem stopniowego rozwoju, domagającego
się bliższego rozjaśnienia na tle powyższych
ogólnych zarysów.

W pierwszych utworach, wydanych w bar-
dzo młodym wieku, sympatye religijne Kra-
szewskiego nie występują jeszcze z należytą
wyrazistością. Pociąg do dziejów ojczystych,
do zapoznania się z literaturą i życiem umy-
ślowem przodków, oraz Byroniczny nastrój
uczuciowy, lubujący się w niedostatkach,
w ciemnych i smutnych stronach życia ludz-
kiego, przysłuszał w młodziemcu żywą wia-
rę w prawdy religijne, w idealne przezna-
czenie człowieka.

Wstępując w życie, Kraszewski pragnął
przedewszystkiem przejąć się spuścizną umy-

słową swego narodu, wniknąć w jego du-
cha, aby w tym duchu pracować przez ży-
cie całe. Tę swoją dążność wyraźnie wypoi-
wiada młodziemiec ośmnastoletni w powieści:
Wielki świat małego miasteczka, mówiąc:
„Żał mnie opanowywa, gdy przypominę so-
bie, że rodacy nasi o dawne umysłu swoich
przodków zabytki tak mało dbają, że to,
nad czém nie jeden uczony Polak mozol-
nie życie trawił, leży gdzieś nietknięte i za-
pyłone w kącie, i że słowem, rzadko kto
dziś wspomina o dawnych książkach i cza-
sach...¹⁾ Zapytaj teraz kogo, czy zna Gór-
nickiego, Kochanowskiego, Reja, czy zna
Opalińskiego, Zimorowicza, Jagodyńskiego,
Grochowskiego? Na co mi to, odpowie, nie
mamże ja nowych?”²⁾

Te studia literackie i historyczne, pro-
wadzone z podziwienią godną wytrwałością,
zbogaciły bez wątpienia młodziemca szer-
szym na świat poglądem, dały mu poznać
życie i ludzi lepiej może, niż bezpośrednio
zetknięcie się ze światem. Charakterystyka
w ogóle dość trafna typów społecznych
i stanów psychicznych, rady, jak na mło-
dzieńca w tym wieku, nieraz bardzo dojrzale
o zadaniu i wzajemnym do siebie sto-
unku stanów, o duchowieństwie, panach,
chłopach, mieszczanach i t. p., są tego naj-
lepszym dowodem.

Z drugiej jednak strony porównanie prze-
szłości z terażniejszością, naoczne, że tak
powiem, doświadczenie znikomości spraw
ludzkich, zaszczerpiło we wrażliwe serce
młodego autora niezadowolenie z siebie
i z świata, podniecało ów pesymizm sen-
tymentalny, płaczliwy, który był odgłosem
z czasów Wertherów i Byronów. Pierwsze
lata piśmienniczej działalności Kraszewskie-
go stoją, jak się zdaje, pod bezpośrednim
wpływem tego nastroju umysłowego. Filo-
zoficzne rozumowania sprowadzają się w ta-
kich razach zazwyczaj do Hamletowej kwe-
sty: *być albo niebyć!* „Jakże człowiek jest
biedny! woła młody autor. Nie dla świata
on tu na świat przychodzi; cierpieniem mu
przeznaczonóm cieszyć się musi, osłoda dla
niego: lzy wylewać”. Nowonarodzonego ma
za najnieszczęśliwszą z istot, którą uważa
za święty obowiązek ostrzedz przed ży-
ciem.³⁾

¹⁾ Powieść ta wyszła w Wilnie pod pseudonimem
Pasternaka r. 1833 po *Pana Walerego*, wydanym
w r. 1831, lecz do cenzury rządowej oddano
najprzód *Wielki świat małego miasteczka*, bo
w czerwcu 1830, a potem w Październiku tego
roku Pana Walerego.

²⁾ Do *nowonarodzonego*. Wiersz z roku 1833.

Otóż nowy męczennik do świata przybywa!
Nieszczęśliwy! O! gdybym miał na to dość siły,
Stargałbym słabe życia twój ogień.
Żebyś, niezapłakawszy, wrócił do mogiły!
Jeden więcej męczennik! Wróć, z kąd idziesz dziecko!
Jest i bez ciebie dosyć nieszczęsnych na świecie!
Wróć! Zamknij oczy, na świat nie spoglądaj.
Odepchnij piersi matki i życia nie żądaj.

Tu niema szczęścia, niema! Ten tylko szczęśliwy.
Kto znano na świat cały i siebie pogląda!
A w jego oku niknąć cnot i zbrodni dziwy.
Nie leża się niczego, niczego nie żąda,
Śmieje się z siebie, z Boga, z świata, jak z omamień.
Nie płacze i nie kocha.— szczęśliwy jak kamień!

Ja, co w doświadczeń chodzę żalobie,
Jedno życzenie przyniosę tobie!
Unikaj życia, szczęścia i nędzy.
Umrzyj, o, umrzyj co prędzej!

Ten sam nastrój pesymistyczny, niby nieco filozoficzniej pojęty, napotykamy jeszcze w I-szym tomie *Wędrowek literackich*, pisanych w roku 1836, gdzie autor, już nie w uniesieniu poetycznym, lecz na seryo, prozaicznie mówi: ¹⁾ „Nadzieje z niczego się rodzą, idą wysoko, a rzeczywistość rzuca je nisko, — i ludzie tak samo rodzą się zwierzętami, wyrastają na półbogów, umierają zwierzętami znowu! Wszystko wyrasta z niczego, — i z wszystkiego nie będzie na końcu! Największa, najważniejsza, filozoficzna prawda, najpopularniejsza, najrozumialsza! A ktoby na jej poparcie szukał jeszcze czego, niech patrzy na świat, niech czyta Agrippy *de Vanitate scientiarum* (z kąd Rousseau ukradł swoją konkursową rozprawę, osobliwie część przykładową), niech czyta Salomona, niech czyta wszystko, co chce, i niech myśli“.

Wśród tego pesymistycznego nastroju odzywają się jednak w naszym autorze już wcześniej głosy, wskazujące na *wiarę*, jako na jedyne ocalenie życia umysłowego wśród doczesnego bytu. Za przejście do niej służy, jak zwykle w takich razach, sceptycyzm, niedowierzanie rozumowi ludzkiemu, powątpiewanie o skuteczności jego zabiegów na polu filozoficznym i naukowym. Ciekawym przyczynkiem do takiego przejścia od sceptycyzmu filozoficznego do wiary dogmatycznej są reflexy młodego autora nad obl. kaniem, zamieszczone także w I-szym tomie *Wędrowek literackich*, w rozdziale p. t. *Bedlam. Rzecz lekarsko-filozoficzna*. Autor dowodzi tutaj, że jedną z najczęstszych przyczyn obłąkania jest myślenie o rzeczach, o których myśleć nie wolno pod karą szaleństwa lub rozpacz. „Nie bez

przyczyny, mówi, każdy, kto się puszcza w ciemny labirynt rozważania rzeczy, których nigdy pojąć nie potrafi, kontentując się swemi i cudzemi paradoxami, męcząc się, żeby ująć dalej niż drudzy, lękać się powinien. W Bedlam wielu jest waryatów, którzy od myślenia oszaleli. Są rzeczy, których ludzie nigdy pojąć nie potrafią, i o którychby powinni zakazać sobie myśleć, w takich razach lepiej dozwolilić działać sercu, niż głowie, i spuścić się na przeczcucia“.

Ten sceptycyzm zaś autor uzasadnia w następujący, dość oryginalny sposób, godny bliższego zaznaczenia. „Weźcie dwie szklanki, mówi, równej wielkości, równo szerokie od spodu i z góry. Czy nie śmiesznością byłoby chcieć, aby jedna szklanka objęła drugą, aby się jedna wnieśliła w drugą? Nieprawdaż?... Toż samo się dzieje z rozumem i duszą tych ludzi, którzy chcą pojąć siebie i swoją duszę i jej naturę. Jest to rzecz niepodobna. Rzeczy albowiem jednej natury zlewają się w jedno; mając gorzycz w ustach, nowój tego samego stopnia gorzkości nieuczuję; światło potrzebuje ciemności, żeby się światłem wydalo. Dusza więc to tylko pojąć może, czemu jest tak przeciwną, jak słodycz gorzkości, ciemność światłu, t. j. pojąć może wszystko, co jest materjalnym, siebie zaś i prawd niematerjalnych nie pojmie, bo sama jest jednej z niemi natury. Bóg tylko, jako istota jednej natury, będąca wyjątkiem i koroną jestestw duchowych, pojmuje sam siebie“. Ztąd autor wyprowadza wniosek, że droga zaciekań metafizycznych jest prostą drogą powątpiewania o wszystkiem; a z niego rodzi się szaleństwo umysłowe. A całe te sceptyczne wywody kończą się wykrzyknikiem: „Wiara, ślepa wiara! oto droga do spokojności: szczęścia; ona, jak tarcza, zasłania nas od wszystkich plag umysłowych“.

Ta wiara zbliżyła też naszego autora co raz bardziej do owych dążeń filozoficzno-religijnych, o których mówiliśmy powyżej.

Podezas, gdy Kraszewski w pierwszych swych powieściach zapatrywał się np. na duchowieństwo, jako na głównego przedstawiciela wiary, bardzo krytycznie, gdy w *Pani Walerji* przedstawia stan duchowuy, jako oddany *życiu nieczynnemu i gnuśności*, jako myślący tylko o sobie i o swoim żołądku, nie gardząc przy tym *czułem i listami i czytaniem romansów*; gdy w *Ostatnim roku Zygmunta III* z młodzieńczą energią kareli zepsucie i fanatyzm Jezuitów; w kilka lat później występuje już dość oryginalnie w duchu nieetykalności dogmatów kościelnych przeciwko wszelkiemu od nich odstępstwu. Widzimy

¹⁾ *Wędrowki literackie* I. 1. 1838. Reflexy nad bezsensowną historyjką *Wylewiała Baba z kwasu*.

to wyraźnie z oceny znanego mistyka 17-go wieku *Jana Labadie*, zamieszczonęj w życiorysie *Maryi Schurmann* w II gim tomie *Wędrowek literackich*, który do druku przygotowanym został w roku 1837, a wydanym dopiero w roku 1839.

Labadie, wychowawszy się początkowo u Jezuitów, a poznawszy następnie ich zdrożności, domagał się reformy duchowieństwa i wznowienia pierwotnych urządzeń apostołskich. Był on bez wątpienia marzycielem, doktrynerem, nieuwzględniającym należycie historyi; lecz czy ze stanowiska bezstronnej krytyki w istocie zasługiwał na to, aby o nim mówiono, jako o „herezjarchu, którego imię zginęło dawno w śmiechku plugawym podobnych jemu nazwisk;“ czy jego nauki i dążności, wywołane nadzyciami jezuickimi, nie są w istocie niczém inném, tylko „bezsensownymi prawidłami pokaleczonęj wiary, które, powierzchownie zgodne z katolicyzmem, niszczyły najpiękniejsze i najzasadniejsze przepisy chrześcijańskie?“ Tylko poczucie nader ścisłej solidarności z tém wszystkiém, przeciwko czemu Labadie wystąpił, może wytłumaczyć taki wyrok potępienia bez bliższego rozbioru rzeczy.

W duchu bardziej filozoficznym rozwija ją się powyższe poglądy młodego autora w powieści: *Poeta i świat* z roku 1839. I tutaj wprawdzie byronizm odgrywa jeszcze dość ważną rolę. Do niego przyłącza się nadto jak najwidoczniej wpływ naturalizmu Roussa, przejawiający się w namiętném zamiłowaniu autora do sielankowego życia w przyrodzie, a przedewszystkiem w często powtarzanych zdaniach, że *ludzie wszystko popsuli na świecie*, że rozum człowieka, rozkładając wszystko na pierwiastki, stał ze świata piętno poezyi i swojemi suchymi prawdami zastąpił żywotne siły przyrody i błyszczące urojenia. „Życie, woła poeta, z rozkosznego i przemijającego snu stało się poważną, smutną wędrowką. Szakali prawdy, a przy prawdzie znaleźli nagi smutek i czarną przyszłość, której wprzód nie było. Odkrył wszystko,—i ziewają, niczemu się nie dziwiąc! O mój Boże! Jakże ci ludzie twój świat popsuli, ten świat wprzód tak piękny, niewinny i świeży!“ W tym to też, że tak powie n, negacyjnym duchu, przedstawia się rozwiązanie całej powieści, streszczone w tych słowach: „Niech was Bóg broni od wszystkiego złego i od duszy poetycznej! Zyskalibyście wiele sławy po śmierci, wiele łez za życia!“

Z tém wszystkiém jednak w Gustawie autor w żywych obrazach rysuje walkę

podniosłej duszy z rzeczywistością i wykazuje jak najwyraźniej, że tylko życie duchowe, oparte na moralno-religijnym idealizmie, godne jest człowieka i nadaje mu wartość prawdziwą. W imię tego to idealizmu Gustaw, porównyując się z innymi prozaicznymi ludźmi, woła: „Mnie ziemia jest tylko przedsiemieniem nieba, gdy im jest drugiem niebem.“ „Ja wierzę w Chrystusa, żeby spełniać jego naukę, oni tylko, żeby z nięj korzystać.“ W imię tego idealizmu nazywa mądrość ziemską *nihilizmem*, *suchą*, gdyż podkopuje *smak do życia, wiary i nauki*.

Gustaw nieposiadał wprawdzie dość energii i charakteru, aby w życiu praktycznem urzeczywistnić ideały ducha,—i dla tego poddaje się prawie fatalistycznie zrządzeniom losu. Ale same te ideały istnieją w nim i dochodzą do jego wiadomości. On nie chce być medykiem, bo się obawia, że przez nawiązanie do widoku cierpień ludzkich utraci na równi z większością lekarzy ową delikatność uczucia, która jest najpiękniejszą ozdobą człowieka,—a nadto brzydzi się widokiem zależności duszy od ciała. „Gdybym nawet widział, mówi, tę niewolę duszy, która ciału ulega, mieszkając w niem, nie pogardziłbym nieśmiertelną, dla której ta chwila próby jest nowicjatem nieba!“ Podobnie nie zostaje duchownym lekarzem duszy, dla tego tylko, że w klasztorach nie znalazł nigdzie *wolności i dyscyplin*, nigdzie *smutku na czole*, a wszędzie widział *ramienie życia, otulość prawie obrzydliwą i śmiech ziemski, przepływający czułością i kichaniem*. Tym razem, jednak,—i to zasługuje na uwagę,—sam autor występuje otwarcie w obronie życia klasztornego przeciw Gustawowi, mówiąc: „Biedny Gustaw w tęg pierwszej próbie zaledwie jedną stronę życia mniszego widział, i to nie całą. Gdyby on był udał się na pustynie Kartuzów i Kamedułów, ostre życie tych zakonów byłoby niechybnie na poetyczną jego duszę wywarło magnetyczny pociąg; byłby uczuł, że niema piękniejszego, poetyczniejszego żywota nadto dobrowolne poświęcenie się kontemplacyi i umartwieniom, byłby uczuł, że wiele ten czyni, kto się zrzeka ciała, aby duszy działalność extazą, exaltacją pobożną podnieść.“ Tę predylekcyę dla życia klasztornego i kontemplacyi religijnej wypowiada nasz autor, jak wiadomo, dość często i w innych utworach swoich. Ona zastępuje u niego coraz bardziej owe nieokreślone marzycielstwo poetyczne, które

Gustaw upadkiem moralnym i śmiercią przyplacił. Rozbitek, ogolony z wiary w życie, zzymający się z Byronem nad jego przewrotnością, chętnie póka do drzwi klasztornych; podobnie jak sceptyk, lekceważący potęgę rozumu ludzkiego, zbyt łatwo się tuli pod skrzydła ślepej wiary. Przejście wcale nie rażące, nie potrzebujące głębokich wywołów psychologicznych.

W powieści tej napotyamy zresztą ciekawy ustęp pod napisem: *Monomachia duszy z ciałem*, w którym autor rozwija szczegółowo swój pogląd na ową kontemplacyjną umysłową ze stanowiska wzajemnego do siebie stosunku duszy i ciała. „Dusza i ciało, mówi, dwa te pierwiastki są sobie przeciwne, jak ogień wodzie... Fenomena duszy, wlanej w ciało, jej walka z tym ciasnym naczyniem, w którym się kurczy, z którego się wyrwa, stanowią jeden z najpiękniejszych przedmiotów postrzeżenia i rozważa ludzi godnych.“ Malując zaś dalej w żywych kolorach walkę duszy z ciałem, w której dusza ma za sobą swoją niebieską wyższość, niebieskie rozkosze i zapaly, a ciało swe zmysłowe pieśczoć, — autor w duchu skrajnego spiritualizmu stara się wykazać, że wszelkie wyższe życie umysłowe, wszelki polot myśli i uczucia, wymaga koniecznie *zaparcia się ciała i jego rozkoszy*. Ze ciało samo przez się bynajmniej nie jest upostaciowaniem pierwiastku zła, grzechu, — jak dowodzi platonizm a za nim teologia dogmatyczna; że moralność rozumna domaga się wprowadzić *panowania* ducha nad ciałem, ale nie *zaparcia* się i umorzenia tego koniecznego środka dla wszelkiej działalności umysłowej, — o tym wszystkiemu młody autor nie miał jeszcze żadnego jasnego pojęcia. Bezwzględny rozbrat ducha i materji, idei i rzeczywistości, życia umysłowego i działalności praktycznej w świecie, przenikał jeszcze cały jego sposób myślenia, wszystkie jego poglądy na przeznaczenie człowieka.

Wewnętrzny związek tego spiritualizmu z wiarą dogmatyczną występuje jak najwyraźniej na jaw w *Studiach literackich* Kraszewskiego, pisanych w roku 1841 (wydanych 1842 r.). Tutaj, w rozdziale: *Życie umysłowe*, napotyamy między innymi następujące ustępy, uzupełniające we wskazanym kierunku powyższe poglądy autora: „Wysokie uduchowanie człowieka, mówi, przeniesienie jądra i ogniska żywota w dusze, czyni ludzi, — jak tego mamy przykłady na tył świętych i męczenników, — prawie obcymi żywotowi cielesnemu. Mijam

to, że w męczennikach, o których wspominałem, do pogardy mąk i życia, wyższa pomoc i wzniosłe uczucie przykładały się; wszakże innemi jeszcze przykłady dowieść by można, że ludzie silnie myślą jaką o władnieni, przeniesieni w świat ducha, znosili łatwo męki i cierpienia, nad które byli wyżsi dla tego, że nie żyli ciałem prawie.... W istocie, ciągnie autor dalej, człowiek, im tu jest duchowniejszy, im doskonalszy, im mniej cielesny, tym więcej się usposabia do życia przyszłego, które, jak wiemy z objawienia wiary naszej, stopniowaniem będzie wedle zasługi i wedle sił duchowych człowieka!“

Rzecz naturalna, że takie zapatrywania łączyły Kraszewskiego coraz ściślej z głównymi przedstawicielami filozofii katolickiej n nas.

Już w roku 1838 napotyamy w *Tygodniku Petersburskim* nader pochlebną wzmiankę Kraszewskiego o pierwszej części *Obrazu myśli* Bochwica; Kraszewski chwali tutaj *wielki talent* autora tego pisma, pełnego, jak mówi, *śmiały i uderzających pomysłów*. Jest ono, wedle zdania recenzenta przeznaczone na pokazanie półmędrkom, jak się religia godzi z nauką, i dowodzi jasno potrzeby i prawdy religii. Z jakim zaś ciepłem Kraszewski przejął się filozoficznymi dążnościami Bochwica, temu za dowód służyć mogą następujące słowa, które napisał do Placyda Jankowskiego w liście z dnia 9 września 1841 r. z powodu wiadomości, że Bochwie, zniechęcony krytyką swych pism, a szczególnie zarzutami odstępstwa od nauki kościoła, czynionemi przez Rzewuskiego, zamyśla porzucić zawód piśmienniczy¹⁾. „Na miły Bóg, pisz pan do Bochwica, prosi Kraszewski, aby się nie zrażał, aby swoje robił, aby pracował, aby pisał, aby w pokorze ducha przyjął słusne zarzuty, niesłuszne odparł i nie łamał pióra, które z pożytkiem ogółu trzymać może.“

W owym też czasie połączył się Kraszewski więzami szczerzej przyjaźni z x. Stanisławem Choloniewskim, tłumaczem Lamenais'go na język polski, z x. Ignacym Holownińskim, późniejszym arcybiskupem współpracownikiem Tygodnika Petersburskiego, w którym krytykował Trentowskiego, z Henrykiem Rzewuskim, skrajnym przed-

¹⁾ Listy Kraszewskiego do Placyda Jankowskiego (John of Dycalp) w liźbie 32, pisane od roku 1841 do 1849, udzielone zostały Redakcyi mniejszej książki Jubileuszowej i przejrane przezennie w rękopiśmie. Korzystam z nich kilkakrotnie.

stawicielem wsteczności i innymi. A gdy *Elemora Ziemięcka* dla przeciwdziałania heglizmowi, rozszerzającemu się wśród młodych pisarzy warszawskich, rozpoczęła wydawnictwo *Pielgrzym*, wtedy Kraszewski na jej prośby chętnie rozciągnął swą protekę nad tym przedsięwzięciem. W listach pisanych naówczas do Chołonewskiego Kraszewski wychwala *zdumiewające zdolności i namiętność* Ziemięckiej i prosi duchownego dostojnika, aby pracami swemi zechciał się przyczynić do urzeczywistnienia pięknego celu, jaki sobie założyła redaktorka *Pielgrzym*¹⁾. Chołonewski początkowo nie wyraża zbyt wielkiego współczucia dla podobnego wystąpienia nieślasy *blue stocking* w obronie filozofii chrześcijańskiej. Lecz na skutek ponownych, serdecznych przedstawień Kraszewskiego, który dowodzi, że „ta kobieta lepszą ma głowę i więcej energii, niż wszyscy mężowie, pisarze warszawscy, którzy przy niej wyglądają na młodzinne panienki,“—Chołonewski daje się w końcu przekonać i zasiała *Pielgrzym* rozprawą swoją: *O wpływie racjonalizmu na tegoczesną literaturę i sztukę*, w której występuje zarówno przeciwko realizmowi w nowszej literaturze, jak i przeciwko zwrotowi ku pogańskiej sztuce starożytności. Sam zaś Kraszewski przyjął czynny udział w piśmie Ziemięckiej, zamieszczając w nim kilka charakterystycznych obrazów z ówczesnego życia umysłowego p. t. *Symbole wieku* (*Pielgrzym* 1842 T. I i IV., 1843 T. I., 1844 T. I). Praca ta w owym czasie zniechęciła mocno młodą prasę warszawską przeciwko Kraszewskiemu i po dzień dzisiejszy stanowi ciekawy przyczynek do jego zapatrywań na filozoficzne i społeczne dążności bieżącego wieku.

Na wstępie do tej pracy autor zapytuje, czémże właściwie jest ten nasz wychwalony wiek XIX-ty? „Z kolci pobożny, niedowiarek, panteista, racjonalista, demagog, arystokrata, humanitarynsz, utylitarynsz, obrońca Lojoli, chwalec reformy, czémże i kim jest w istocie, co w jego sercu przemoże?“ Dla dania odpowiedzi na to zapytanie przedstawia nam autor galerję najwybitniejszych typów nowych czasów. Pierwsze miejsce w tej galerji zajmuje *filozof mieszaniec*, jako najstarszy syn wieku.

W jego głowie filozofia niemiecka i filozofia XVIII wieku utworzyły systemat, pokrewny obydwom. Strauss i Walter podają sobie tutaj rękę. Powodzenie, szczęśliwa oryginalność, zdolna swemi wytworami zająć jak najszerszą publiczność,—oto jedyna dążność ludzi tego rodzaju. Wszelką religią zastąpiła u nich religia sukcesu. Drugim synem wieku jest zwolennik bezwzględnej spekulacji niemieckiej. Dla niego nic nie istnieje, prócz tak zwaney *dzisiejszej* filozofii. Przeszłości nie zna, wierzy tylko w ducha czasu i w postęp przyszłości. Szczerłość, otwartość są wprawdzie jego cnotami,—ale cóż te cnoty znaczą, gdy religia idzie w poniewierkę, gdy świat ziemski staje się jego hasłem, a niebo, Bóg, słowami bez znaczenia. Dalszym, typem jest *neokatolik, neochrześcianin*. Dobroduszna to istota! Z dobrego serca uznaje doskonałość chrześcijaństwa, ale zarazem hołduje *dzikiemu* myśli ulepszenia chrześcijaństwa przez reformy. Co za sprzeczność w tej słabej organizacji umysłowej! Chrześcijańską katolicką naukę pragnie połączyć z ideą reformy, więc *prawdę bezwzględną* chce jeszcze polepszyć, udoskonalić! Idąc dalej od portretu do portretu autor przedstawia nam jeszcze kobietę emancypowaną i stoika XIX-go wieku; lecz sensu moralnego z całego tego szeregu portretów nie wyprowadza, gdyż praca ta w *Pielgrzymie* urywa się, bez właściwego zakończenia.

Już nieco wcześnięj, bo w r. 1841 Kraszewski rozpoczął wydawnictwo własnego pisma *Ateneum*. Pierwiastkowo pismo to poświęcone było wyłącznie interesom literatury pięknej i historii ojczystej. Wkrótce jednak, bo jeszcze w pierwszym roku wydawnictwa, wskutek zbiegu okoliczności a szczególnie z powodu, jak oświadcza redaktor, napływu oryginalnych prac filozoficznych, na które początkowo nie liczył, włącza w swój zakres i dążności filozoficzne. Kierunek takowych zaznacza sam Kraszewski już w III-cim tomie *Ateneum*, w ocenie drugiej części *Obrazu myśli* Bochwica, w której między innemi mówi, że wszyscy u nas piszący o filozofii „odznaczają się jednym wspólnem usiłowaniem: zwrócenia się ku ideom zdrowym, religijnym, usiłując, co nie trudno, pogodzić filozofią z objawioną wiarą,“ w następnym tomie otwiera osobny dział dla filozofii, a do V-go tomu dodaje obszerny wstęp, w którym z całą stanowczością wypowiada kierunek i tendencję swego pisma pod względem filozoficznym. Przytoczę tutaj najwybitniejsze

¹⁾ Zob. pod tym względem zajmującą rozprawę *D-ra Antoniego J.* p. t. *J. I. Kraszewski i s. Stan. Chołonewski*, gdzie podane są wyjątki z korespondencji obydwóch pisarzy. *Przewodnik naukowy i literacki*, dodany do *Gazety Lwowskiej*, za Czerwiec, lipiec i Sierpień 1878 r.

miejsce tego wstępu, będące niejako wyznaniem wiary naszego pisarza, dające zarazem najlepsze pojęcie o stosunku jego do ówczesnych dążeń religijno-filozoficznych.

„Spytani zostaliśmy, mówi redaktor Ateneum, o dążność naszego pisma, o nasze opinie; więc zmuszeni jesteśmy do tłumaczenia się w tym przedmiocie, do obrania sobie drogi wyłącznej, barwy właściwej. Nie wahamy się z odpowiedzią na chwilę. Ateneum co do ducha wewnętrznego, będzie odbiciem opinii składających się na nie pisarzy; Ateneum na pierwszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych, zdrowych, starać się jeszcze będzie ostatecznie wytepić błakające się niedobitki wyobrażeń, przekonań XVIII wieku; stanie, o ile mu siły pozwolą, do walki z niewiarą, materyalizmem, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodej Europy. Ateneum, nie zapełniając się wyłącznie przedmiotami religijnymi, zwracać będzie uwagę, aby wszystko co w nim umieszczonem zostanie, widziane było z punktu religijnego, pisane w duchu religijnym. Nie przyjmie ono nic, coby traciło albo zbutwiało filozofią szkoły francuskiej XVIII wieku, albo opiniami nowymi a szkodliwymi, które, uchodząc tylko za nowe, są pobielanym grobem XVIII wieku. W oddziale świeżo utworzonym przez posłuszeństwo duchowi i potrzebom wieku, w oddziale filozoficzno-religijno-moralnym, starać się będziemy umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na ważną sprawę pobratania filozofii z katolicyzmem, sprawę dopełnioną w naturze rzeczy, ale nie wyjaśnioną może dla wielu, mianowicie u nas.“

Pomimo téj gorącej zapowiedzi nie napotykały jednak w Ateneum zbyt wiele artykułów, któreby konsekwentnie przeprowadziły te dążności filozofii katolickiej. W sześćdziesięciu sześciu tomach tego pisma od roku 1841 do 1851 mieści się zaledwo kilka prac, które z równą stanowczością, jak powyższy prospekt, mają na oku *pobratanie filozofii z katolicyzmem*. Pod tym względem zasługują na uwagę właściwie tylko rozprawa *Henryka Rzewuskiego: O prawidłach cywilizacji narodów*, zamieszczona w IV tomie roku 1841, list *J. Choloniewskiego* do redaktora wraz z korespondencją *Józefa de Maistre* z Janem Potockim w T. II roku 1843, oraz *Kilka słów o Schellingu* przez *El. Ziemięckiego* w T. I z roku 1841.

Praca Rzewuskiego, którą sam redaktor w przypisku nazywa godną *uwzględnienia*, jest

tylko wyjątkiem z większej całości. Rozwija ona szczegółowo założenie, że głównym żywiołem cywilizacji jest *religia*, że naród bez wielkiej myśli religijnej nie posiada żadnej rękojmi trwałości. Zresztą praca ta ma bardziej charakter ogólnie historyczny, niż dogmatyczny, i wcale nie dotyka specjalnych kwestyi katolicyzmu, i dla tego właściwie nie może uchodzić za rozwinięcie owego programmatu redaktorskiego. Pozostają tedy tylko list *J. Choloniewskiego* i artykuł *El. Ziemięckiego*, iako napisane w duchu powyższej zapowiedzi.

Choloniewski, który w roku 1821 przełożył *Lamenais'go*, cofa się w swym liście do Kraszewskiego w dwadzieścia lat później na przestarzałe stanowisko hrabiego De Maistre. Pisarza tego Choloniewski tutaj nazywa *duchem uczynliwym*, postawionym na to od Opatrzności na pograniczu XVIII-go i XIX-go wieku, aby „jako *Farus* potężny daleko rzucił łunę wysokiego światła tak na straszliwy zalew pierwszej rewolucyi francuskiej, jako też na nowe z powodzi dobywające się lądy i kształty następującej epoki.“ Jakiego zaś jest rodzaju ten duch wzniosły, ten *Farus* XIX-go wieku, nie niestety tak jasno i dobitnie nie wykazuje, jak owa poufna korespondencja jego z Janem Potockim, podana do Ateneum przez Choloniewskiego.

Potocki, rozbierając kwestyą o pierwotnych dziejach ludzkości, przedstawił przyjacielowi swój systemat chronologiczny tych dziejów. De Maistre bardzo był zgorzchniony z tego systematu, gdyż Potocki nie trzymał się, według jego zdania, dość ściśle podań Mojżesza. Przyjmuje on *kilka* potopów, liczy do potopu kilka wieków więcej, niż na to pozwala chronologia przez Jezuitów obliczona i przez Papieża zatwierdzona, i dopuszcza się w ogóle różnych tego rodzaju herezyi. Nic w tém naturalnie zdrożnego niema, że De Maistre, widząc te zboczenia przyjaciela, stara się naprowadzić go na drogę prawdy, t. j. zjednać go dla swego przekonania, byleby to czynił na podstawie argumentów godnych chrześcijanina, za którego chciał uchodzić, w ogóle człowieka miłującego prawdę dla prawdy. Ale cóż na to powiedzieć, gdy najsilniejsze argumenta De Maistra przeciw Potockiemu mają za tło przesady kastowe, interessa arystokracji! Dowodzenie De Maistra pod tym względem zbyt jest charakterystyczne, zbyt jasno maluje właściwe tendencje téj wrzekomój filozofii, w którą Kraszewski dał się usidlać, abym

tutaj nie miał przytoczyć kilku pouczających wyjątków.

„Bezbożność, mówi De Maistre, to młoch (l'irreligion est canaille). Albowiem, pominąwszy nawet wszelkie badania *czy tak jest lub nie jest*, znakomity człowiek (ma znaczyć człowiek wysoko urodzony) wystrzega się nie tylko szyby w oknach wybijać, lecz nawet powiedzieć lub napisać najniższe słowo, mogące wprost lub ubocznie *drasnąć* dogmata narodowe. We wszystkich krajach pewna jest liczba *rodzin zachowawczych*, na których spoczywa stan społeczny. Zowią to *Arystokracją* albo też *Szlachtą*. Póki one pozostają czyste i przejęte duchem zdrowym, póty stan społeczny jest niezachwiany, na przekór występkom pamiętych. Skoro tylko są skażone, zwłaszcza pod względem religijnym, wtedy rzeczpospolita runąć musi, choćby Karol W. po Karolu W. nią rządili. Patrycyusz jest kapłanem świeckim, religia narodowa jest pierwszą jego własnością, *bo ona strzeże przywilejów szlachty*, która zawsze razem z nią upada. Nie ma większej zbrodni dla szlachcica, jak powstać przeciwko dogmatom. Przyznaj, panie hrabio, iż szlachta francuzka, wchodząc w przymierze z filozofią XVIII wieku, bardzo źle na tym wyszła, toć to jest jej zbrodnią i początkiem jej klęsk...“ Argumentacją tę De Maistre wspiera obietnicą, że gdy się Potocki trzymać będzie Mojżesza, będzie miał za sobą Jezuitów, i kończy prośbą, aby przyjaciel „choćby inaczej o tym trzymał, nie dał się jednak zaciągnąć między szeregi rokosz *plébejuszowskich*.“ Nie przystałoby to na *hrabiego Jana Potockiego*.

Nie wiem, czy ta argumentacja hrabiego De Maistra, wychwalana przez hrabiego Choloniewskiego, przekonała hrabiego Potockiego. Wiem tylko, że zamieszczoną jest w piśmie Kraszewskiego i że Kraszewski w owym czasie w powieściach swoich, a szczególnie w *Latarni Czarnoksięskiej* tu i owdzie wspomina o De Maistrze, jako o przedstawicielu religii i wiary. A to wystarcza dla usprawiedliwienia, dla czegośmy się na tym punkcie nieco dłużej zatrzymali.

Artykuł El. Ziemięckiej w Ateneum, o którym wspomnieliśmy powyżej, napisany został z powodu zwrotu Schellinga do filozofii objawienia. Zwrot ten rozpoczyna się wykładami jego w Berlinie, mianem od roku 1841. Myślą zasadniczą Schellinga w tych wykładach było zastąpić, jak mówił, negacyjną abstrakcyjność Hegla fi-

lozofią pozytywną, zaczerpaną z dziejów religii. Same wykłady berlińskie Schellinga wydano w całości dopiero po śmierci jego w roku 1856. Przedtem nowe stanowisko tego filozofa znane było tylko z ogłoszonej drukiem *lekcji wstępnej* z roku 1841, przełożonej w swoim czasie w *Bibliotece Warszawskiej* na język polski, oraz z dzieła *Frauenstädt*, zawierającego treść i krytykę tych lekcji. Otóż to dzieło Frauenstädt służy Ziemięckiej za punkt wyjścia dla szeregu uwag nad filozofią objawienia Schellinga. Autorka wynosi wysoko ten zwrot znakomitego filozofa do wiary i religii, lecz zarzuca mu naturalnie, że nie stanął na stanowisku jedynie prawdziwym *katolicyzmu*. „Kto chce, jak Schilling, mówi Ziemięcka, dowieść istoty religii, ten musi się oprzeć na jej najwyższym uosobieniu, t. j. na Kościele. Wtedy dopiero wyznanie chrześcijańskiego mędrca przemieni się w religię, stanie się powszechną siłą...“ „Dopóki nie oprze się na nieruchomej podstawie kościoła, pozostanie zawsze w indywidualizmie, a co najwięcej w *pewnej kategorii* rozbioru, jak dawni reformatorowie, ale żadnych żywotnych socyalnych posad wiary nie położy.“ Kończy zaś autorka swą inkwizycją surowym wyrokiem, że filozofia objawienia Schellinga, chociaż „zblżyła się o włos prawie do prawowiernej nauki Kościoła...“ „w stosunku jednak z mądrością katolicką jest zaledwie wątłą próbą, jakby cieniem prawdy.“

W *Synach wieku*, w prospekcie filozoficznym do Ateneum, oraz w ogłoszeniu korespondencyi De Maistra i artykułu Ziemięckiej dążności religijno-filozoficzne Kraszewskiego dosięgły, jak się zdaje, swego punktu kulminacyjnego. Po pierwotnej zapowiedzi spodziewać się należało, że Ateneum przepelnionem będzie samymi utworami tendencyjnymi w duchu skrajnego dogmatyzmu, tymczasem, prócz zaznaczonego wystąpienia x. Choloniewskiego i El. Ziemięckiej, dążności religijne tego pisma nie przekraczają granic umiarkowania i rozumnie pojętej obrony idealnych interesów społeczeństwa przeciw napaściom na zasadnicze podstawy religii i moralności. Takie zwolnienie w praktyce dość silnie w prospekcie naciągniętych strón dogmatyzmu wpływało zresztą z dotkniętej już na początku natury i ustroju umysłowego naszego pisarza. Kraszewski mógł w rozwoju swego poczucia religijnego przejąć się na chwilę zasadami dogmatyzmu, zapisać się pod sztandar De Maistra w walce przeciwko niedowiarstwu i materializmowi

XVIII-go wieku. Poglądy tego ostatniego sprzeciwiały się tak zasadniczo temu wszystkiemu, cośmy przyrodnym idealizmem Kraszewskiego nazwali, iż dziwić się nie można, że już sam wstręt do tego sposobu myślenia popchnął go do obozu przeciwnego. Ale z drugiej strony, tenże ustrój umysłowy, a szczególnie żywość, wrażliwość i wszechstronność Kraszewskiego, nie mogły zezwolić na wyjątki, niewolnicze poddanie się powyższym tendencjom, na energiczne ich przeprowadzenie do ostatecznych wyników, do skrajnej jednostronności. Kraszewski z czasem musiał się zapoznać i z innemi dążnościami filozoficznemi swego czasu, a szczególnie z filozofią spekulacyjną Hegla i jego uczni u nas. A ta znajomość szerszych na świat poglądów, to wnikiwie w ducha filozofii, która wychodzi z przekonania, że pomiędzy rozumem ludzkim a prawdą bezwzględną nie może istnieć żadna zasadnicza sprzeczność, musiało coraz bardziej rozszerzyć umysłowy widnokrąg Kraszewskiego, zachęcić do głębszego zastanowienia się nad filozoficznemi dążnościami czasu. To wszystko nie nadwyrężyło wprawdzie ogólnego ducha religijności naszego pisarza, nie zmieniło w zasadzie jego dotychczasowych przekonań—Kraszewski i nadal i po dzień dzisiejszy pozostał dobrym katolikiem. Ale szczegółowa treść jego wiary, dogmata religijne zestąpiły w jego świadomości na plan drugi, stały się, że tak powiem, sprawą prywatną jego serca, z którą już nie występował publicznie tak stanowczo i ostentacyjnie, jak w prospekcie filozoficznym do Ateneum. Broni on i nadal przy każdej sposobności wiary, religii, przeciw najzłom niedowiarstwu i materyalizmu, boi się wszelkiego panteizmu i t. d., lecz tego wszystkiego nie czyni już w imię *ślepej*

wiary, w imię niewolniczej uległości dla dogmatów. Nie prowadzi już walki ze sztandarem filozofii katolickiej w ręku, lecz, przyznając w zasadzie prawo ludzkiego rozumu do samodzielnego dociekania filozoficznych, wznosząc się coraz bardziej na stanowisko rozumnej tolerancji, powołuje się już teraz przeważnie na argumenta, płynące bądź z ogólnej natury ducha ludzkiego, bądź z doświadczenia i nauki dziejów. Jestto postępek nader ważny, znaczący coraz wyższe dojrzewanie umysłu naszego pisarza.

W samą rzecz zauważmy, że Kraszewski, poświęcając się głównie powieściopisarstwu, krytyce i studjom historycznym, nie czuł w sobie powołania do samodzielnego obrobienia zasadniczych problemów filozoficznych, tak ściśle powiązanych z treścią wierzeń religijnych. Wiary tedy po ojcach odziedziczonej nie przenikał duchem filozoficznym w celu samodzielnego przyswojenia sobie jej treści, ani też nie rozwijał w sobie nowych idei, zdolnych w czémkolwiek zastąpić tę treść tradycyjną. A że z drugiej strony w skutek głębszych studiów filozoficznych, o których później, dobrze pojmował, że ślepy dogmatyzm nie odpowiadał ani duchowi czasu, ani wymogom dojrzałego umysłu,—więc szczegółową treść swojej wiary zamknął w tajemnicach swego serca, jako rzecz czysto osobistą, a publicznie bronił tylko jeszcze ogólnej zasady wiary i religii. Wreszcie losy, jakie spotkały wydatniejsze dążności filozofii katolickiej we Francji, Włoszech i Niemczech, dobrze były znane Kraszewskiemu i bynajmniej nie zachęcały go do samodzielnego próbowania swych sił na tém polu.

Dalszy ciąg naszego opowiadania uwydatni bliżej główne momenta powyższego zwrotu w pojęciach filozoficznych naszego pisarza.

II.

Filozofia spekulacyjna Hegla i jej znaczenie dziejowe. — Ruch piśmienniczy polski, wywołany przez filozofię Hegla. — Stosunek Kraszewskiego do Heglizmu. — Trentowski i Cieszkowski. — Parafrazy Hegla przez Szczeniowskiego w Ateneum. — Zarzuty El. Ziemiękiej. — Sady Kraszewskiego o heglistach warszawskich. — Latarnia Czarnoksięska. — Samodzielne studia filozoficzne od roku 1841. — Listy do Placyda Jankowskiego. — Owoce studiów filozoficznych. — Prace w Ateneum nad Heglem i ostatnie słowo o jego filozofii. — Wpływ heglizmu na pojęcia i tendencje Kraszewskiego. — Artykuły literackie wykazujące ten wpływ. — Rozbiór systemu Trentowskiego. — Powieści filozoficzne: Pod włoskim niebem, Pamiętniki nieznajomego, Stix i Tomko Prawdzic. — Główne okresy działalności piśmienniczej Kraszewskiego: romantyczno-religijny, filozoficzny i historyczno-społeczny.

Drugim wydatnym czynnikiem filozoficznym w pierwszych dziesiętkach bieżącego

wieku była spekulacja niemiecka, a szczególnie filozofia Hegla. System idealizmu,

rozwinęty po Kancie przez Fichtego i Schellinga, dosięga w Heglu najwyższego stopnia rozwoju.

Wpływ zaś Hegla na współczesnych rozpoczyna się właściwie dopiero rokiem 1818, gdy jako professor filozofii w uniwersytecie berlińskim rozwija swój systemat przed licznie zgromadzonymi uczniami. Wprawdzie już dawniej, bo w roku 1807 ogłosił Hegel *Fenomenologią ducha*, w której położył podwaliny swego ogólnego na świat poglądu. Już wówczas wypowiedział swą myśl zasadniczą, że świat cały od najelementarniejszego processu fizycznego aż do dziejów ludzkości jest stopniowym rozwojem idei, że zrozumienie tego rozwoju i ujęcie jego logicznych momentów jest najwyższem zadaniem filozofii, jest objawem rozumu bezwzględego, dochodzącego w ludzkości, a szczególnie w dziejach filozofii, do świadomości siebie. Ale wystąpienie to mało jeszcze naówczas znanego zwolennika filozofii przyrody Schellinga nie zwróciło na siebie powszechniejszej uwagi. Zresztą czas, pełen niespokoju i krwawych dramatów, nie sprzyjał głębszym poszukiwaniom filozoficznym. Dopiero, gdy ucichł szereg broni i huk działań, gdy minęła obawa ponownych zawiązań wojennych, gdy stosunki społeczne i państwowe coraz bardziej się ustalały, — dopiero wtedy narody na zgłiszczach swego dobrobytu zaczęły myśleć nad srogiemi zrzędzeniami losu, zdawać sobie sprawę ze wszystkiego, co się stało, szukać pociechy i zabiegły do nowej pracy nie tylko w dogmatach wiary, lecz i w ogólnych na świat oglądach, w rozumowem pojęciu przeznaczenia i dziejów ludzkości. To uczyniło je kłótniemi do brania coraz żywszego udziału w dążnościach filozoficznych, ale tylko w takich dążnościach, które dawały pewną rękojmią polepszenia sobie bytu społecznego, sunięcia zła, z którego powstały przebyte dopiero co katastrofy dziejowe.

Widzimy już z tego, że filozofia Hegla, mimo swego odrębnego charakteru, wyrosła jednak z tego samego gruntu społecznego, co wzmiankowane powyżej dążności religijne. I heglizm przedstawiał w istocie woję reakcyą przeciwko zasadom rewolucyjnym, przeciwko samowoli jednostki, która żądała, aby ogół się stosował do jej wlechniek i pragnień. Wykazując bezwzględnie wyższość ogółu nad szczegółami, domagała się, aby jednostka szukała swego szczęścia, wyłącznie w pracy dla ogółu i nim zatapiała całe swe jestestwo, aby akta spełnione przyznane były bezwzględnie za objawy rozumu najwyższego, Hegl

przyczyniał się do jak najwyższego rozbudzenia w jednostkach poczucia zależności od ogólnego porządku rzeczy, od wszelkich form moralnych, społecznych i państwowych, reprezentujących ogół. Dla kogo, jak dla Hegla, człowiek pojedynczy był tylko przemijającym objawem, fenomenem ogólnego ducha; kto, jak on, z zasady uwielbiał wszystko, co miało cechę powszechności, widząc w niej główny czynnik rozumu, prawdy bezwzględnej, a jako najwyższy wynik filozofii wygłaszał zdanie, że wszystko, co jest, jest rozumne, że najprzewrotniejsze nawet objawy mają nie tylko swą przyczynę, lecz i swą logiczną racją bytu; ten z natury rzeczy należał do obozu zachowawczego i wcale dalekim nie był od najdespotyczniejszej reakcyi przeciwko wygórowanemu indywidualizmowi na polu socjalnym, politycznym i nawet religijnym. To też zarówno sam Hegel, jak i szkoła jego, szczególnie tak zwana prawica Hegla z *Göschlem* na czele, często w jak najlepszej wierze łączyli się z dążnościami reakcyjnymi, które, jak wiadomo, po kongresie wiedeńskim zawładnęły rządami. Zgodność ta tém łatwiejszą była w państwach protestanckich, że tutaj dogmatyzm kościelny już oddawna rzec się musiał swego arystokratycznego panowania nad życiem umysłowem i sumieniem narodów. W skutek tego wiara, religia, nie były tutaj z zasady przeciwne samodzielnym poszukiwaniom filozoficznym, lecz kontentowały się, gdy panująca filozofia uwzględniała ich wymagania i je usprawiedliwiała ze stanowiska rozumowej spekulacji. Dopiero gdy tak zwana lewica Hegla w osobie *Straussa*, *Feuerbacha*, *Bauera* i innych sama wystąpiła z opozycją przeciwko zasadniczemu dogmatom chrześcijaństwa, skłaniając się coraz bardziej do teorii materialistycznych, dopiero wtedy protestancka teologia podjęła rękawicę niezgody i zaczęła walczyć przeciw heglizmowi.

Inaczej rzecz się miała w krajach katolickich. Tutaj heglizm ze swoją tendencją panteistyczną, już jako objaw samodzielnego dążności rozumowych, sprzeciwiał się zasadniczemu dogmatom kościoła, jego nauce wszechstronnie rozwiniętej i wykończonęj w najdrobniejszych szczegółach; tutaj heglizm nie mógł być spożytkowanym, jako czynnik reakcyjny, lecz przeciwnie już w pierwszych swoich zawiązkach przedstawiał się jako kierunek szkodliwy, który zbijać należało wszelkimi środkami, gdyż myśleć nie można było o jakimkolwiek kompromisie z jego treścią i dążnościami.

Pierwsze zawiązki heglizmu w naszej literaturze napotyamy dopiero po r. 1830. Podczas gdy przedtém odzywały się u nas tylko słabe echa ogólnego ruchu filozoficznego, wywołanego przez Kanta, idealizm Hegla natomiast od roku 1830 przebojem wciska się do świadomości ogółu, przyjmuje barwę swojską i domaga się energicznie, aby w nim uznano jeden z koniecznych czynników życia narodowego. Widocznie, że jak gdzieindziej, tak i u nas, doświadczenia dziejowe były głównym bodźcem do pracy nad filozofią, do wytworzenia całego szeregu poglądów filozoficznych, dążących do zaspokojenia głębszych potrzeb umysłowości. Bo też w samej rzeczy idealizm Hegla, odkrywając ślady ducha bezwzględного zarówno w processach przyrody, jak i w dziejach ludzkości, podniecając zaufanie człowieka do samego siebie, do porządku rozumowego świata, odpowiadała jak najbardziej potrzebom umysłowym naszego ogółu po r. 1830. W obec ciągłych zawićkań, w obec zresztą ducha czasu, stojącego jeszcze zbyt silnie pod wpływem teorii XVIII wieku, nawoływanie do ślepej wiary nie mogło zjednać sobie większości żywyszych umysłów. Żeby podnieść ogół z apatycznego odrętwienia, żeby go na nowo zachęcić do pracy na polu nauki, sztuki i życia praktycznego, na to nie wystarczał już supranaturalizm ani ze swoim lekceważeniem bytu ziemskiego, ani ze swoją wiarą w lepszą przyszłość po za światem. Na to potrzeba było ożywych czynników, zaczerpniętych z tutecznego świata, potrzeba było wiary w rozum ludzki i rozum dziejów. Tym to wymaganiom i potrzebom życia społecznego czyniła właśnie zadość filozofia Hegla, i ztąd tłumaczy się jej wpływ potężny, jak na współczesnych wogóle, tak i w szczególności na tyle wysoko uzdolnionych umysłów naszego społeczeństwa.

Ruch piśmienniczy, wywołany u nas przez filozofią Hegla, przedstawia się wyraźnie w następującym zarysie.

Pierwsze miejsce zajmują tutaj różne czasopisma, wydawane w roku 1830 we Lwowie, Krakowie, Warszawie i Poznaniu. We Lwowie *Haliczanka* W. Chłędowskiego ogłaszał filologiczno-filozoficzne dziwolągi Jana Nepomucena Kamińskiego, które były pierwszym, ale zarazem i najniedojrzalszym objawem zetknięcia się naszej umysłowości z filozofią Hegla. Daleko poważniej traktował filozofią i heglizm Kremer w „Kwartalniku naukowym“ w latach 1835 i 1836, w szeregu rozpraw, które sam słusznie nazwał „dzwonkiem porannym“, wzywającym do badań filozoficznych. U nas, w Warszawie

od roku 1842 „Przegląd Naukowy“ H. Skimborowicza zamieszczał artykuły współredaktora Edwarda Dębowskiego, które z młodzieńczą pretensjonalnością broniły spekulacji niemieckiej, jako jedynie rozumnego i naukowego stanowiska filozofii. W témże piśmie występowali ze swymi pomysłami filozoficznymi, Jan Majorkiewicz, Feliks Jezierski i inni. W Poznaniu zaś „Tygodnik literacki“, „Rok“ i „Ogólnik naukowy“ zjednały sobie wkrótce współpracownictwo takich koryfuszów filozofii spekulacyjnej, jak Trentowski, Cieszkowski i Libelt.

Wspólnie z tym ruchem piśmiennictwa czasowego, pojawia się szereg większych prac naukowych, napisanych pod wpływem filozofii Hegla, a wydanych, jako dzieła osobne. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmują: Kremera „Fenomenologia ducha“ z roku 1837 (przejrzane odbicie z „Kwartalnika naukowego“), oraz niemieckie prace Trentowskiego: „Zasada uniwersalnej filozofii“ (1837) i Cieszkowskiego „Prolegomena do historyzofii“ (1838). Wkrótce potem Trentowski ogłasza po niemiecku swe „Studia nad filozofią natury“ (1840), oraz najgłośniejsze swe dzieła polskie: „Chowaniec“ (1842) i „Myśli“ (1844); Cieszkowski wydaje pismo polemiczne przeciwko swemu profesorowi Micheletowi: „Bóg i Palingeneza“, (po niemiecku, 1842), będące zwiastunem jego dzieła: „Ojciec nasz“ (1848); Kremer rozwija w swych „Listach z Krakowa (Tom I. 1843) ogólne zasady estetyki i wydaje następnie swój „Wykład systematyczny filozofii“ (1849), a Libelt od roku 1845 rozpoczyna wykład swego „Systemu umniactwa.“

Samo przypomnienie wszystkich tych imion, dziś już dobrze znanych powszechności, powinno wystarczyć dla uzupełnienia ogólnego obrazu filozofii Hegla, i uprzytomnienia odrębnych barw i zarysów, jakie ten kierunek myśli przyjął w piśmiennictwie naszym. To też na tym punkcie obecnie dłużej zatrzymywać się nie będziemy.

Stojąc na stanowisku filozofii katolickiej, Kraszewski początkowo, bez rozbioru i głębszej krytyki, niewidział w filozofii Hegla nic innego, oprócz częstej spekulacji, doprowadzającej do panteizmu, do negacji Boga i ubóstwienia człowieka. Wolny jednak od wszelkiego fanatyzmu, nie potępiał nowego kierunku bezwarunkowo, lecz zachował się względem niego wyczekująco, ganiąc głównie tylko niedojrzałe wysoki spekulacji w ówczesnej młodej prassie warszawskiej. Od chwili zaś, gdy filozofia spekulacyjna w Trentowskim przyjęła formę swojską, gdy dobijała się powszechnego uznania pod na-

zwą filozofii narodowej, Kraszewski, baczny na wszystkie wybitniejsze objawy czasu, zmuszony był zapoznać się bliżej z heglizmem, jako z myślą, która zawładnęła prawie całą młodszą generacją. Okoliczność ta zachęciła go do coraz rozleglejszych studiów filozoficznych, które wreszcie wpłynęły na ukształtowanie jego własnych pojęć i poglądów. Rok 1844 stanowi pod tym względem epokę w rozwoju umysłowym naszego pisarza.

Jako dowód, z jaką w samą rzecz tolerancją Kraszewski z samego początku, pomimo swych sympatii dogmatycznych, odnosił się do heglizmu, może służyć ta okoliczność, że otwierając w roku 1841 w *Ateneum* dział filozoficzny, poświęcony, jak widzieliśmy, zasadzie pogodzenia filozofii z katolicyzmem, zapraszał jednak usilnie Trentowskiego i Cieszkowskiego, piszących po niemiecku, aby udzielili mu do *Ateneum*, jak mówi, bogdajby odłamków swych myśli, tak mało upowszechnionych jeszcze u nas.

Obaj filozofowie należeli wprawdzie do tak zwanego prawicy Hegla, bronili w pracach, wydanych do owego czasu, osobistości Boga przeciw panteizmowi, — i to zapewne przyciągało wówczas Kraszewskiego do nich. Ale pomimo to, ich ogólne stanowisko filozoficzne nie schodziło się bynajmniej z zapowiedzianą tendencją *Ateneum*. Wrażliwość tedy na żywotne idee czasu, sympatia dla samodzielnych objawów badawczego ducha, zmuszały Kraszewskiego do rozszerzenia coraz bardziej tych ciasnych ram, w których pierwotnie pragnął zamknąć swe zapatrywania filozoficzne. Te też strony umysłu naszego pisarza tłumaczą nam zarazem fakt już zaznaczony, dla czego *Ateneum* nie postępowało zbyt energicznie w kierunku, zapowiedzianym w prospekcie filozoficznym.

Krokiem, jeszcze bardziej uderzającym, jest ogłoszenie w *Ateneum* szeregu prac filozoficznych Tytusa Szczeniowskiego, rozchodzących się pod niejednym względem z filozofią katolicką. W rozprawie: „O filozofii“, zamieszczonej jeszcze w pierwszym roku istnienia *Ateneum* (T. IV), Szczeniowski broni filozofii w ogólności a w szczególności spekulacji niemieckiej, zarówno przeciwko jezuickiej scholastyce, która, jak mówi, swymi czczemi formułami przygłusza ducha czynnego człowieka i samodzielny pogląd na rzeczy, jak i przeciwko zarzutom Jana Śniadeckiego, którego sprzeczności w sądach o metafizyce, z całym szacunkiem dla wielkiego uczonego, jasno wykazuje.

W dalszych zaś pracach, a szczególnie w: „Parafrazach Hegla“, opartych głównie na wstępie do historii filozofii tego myśliciela a zamieszczonych w kilku tomach *Ateneum* z roku 1842, Szczeniowski staje jak najwyraźniej na stanowisku niemieckiego filozofa. „Hegel, mówi, odgadł cały tajemniczy porządek, który rozwinięciu się myśli ludzkiej przewodniczy,“ i dla tego na nim oprzeć się musi wszelkie głębsze badanie tego rozwinięcia.

Mając na uwadze to heglowskie stanowisko Szczeniowskiego, El. Ziemięcka słusznie ze swego punktu widzenia zarzucała mu w tymże *Ateneum* Kraszewskiego (we wspomnianym powyżej artykule o Schellingu), że wraz z innymi heglistami polskimi „rzuci ziarna niewiary i rozbioru na ziemię, dotąd w osłonie religii i pobożności żyjącą.“ Zarzut ten redaktora *Pielgrzyma*, stojącego na straży prawowierności, godził właściwie w samego Kraszewskiego, który owe prace Szczeniowskiego nie tylko w swym piśmie ogłaszał, lecz je nadto w przypiskach pochwalnych serdecznie czytelnikom zalecał.

Pomimo jednak sympatii dla rozpraw Szczeniowskiego, napisanych w duchu Hegla, lubo z wyraźnym nawróceniem ku prawicy jego, Kraszewski występuje w owym czasie dość energicznie przeciwko młodemu heglizmowi warszawskiemu. W liście z dnia 25 maja 1842 roku pisze między innemi do Placyda Jankowskiego: „Trzeba wiedzieć, że Warszawa świeżo przez uczniów uniwersytetu berlińskiego zarażona została heglizmem, socyalizmem i demagogią w wysokim stopniu.My wszyscy nie mamy łaski w oczach tych panów z przyczyny, żeśmy nie chodzili na uniwersytet berliński. Wielka szkoda! Malć rzeczy nam brakuje, ale bez niej nigdy z nas, jak to mówią, ludzie nie będą. Gdybyś też wiedział, co za dziwoląg tworzy ta młodzież, w której są indywidua nie bez wartości, nie bez talentu, ale zarozumiale we dwoje swego talentu“.

W tymże czasie (4 maja 1842 r.) tak się o heglizm w liście do Choloniewskiego wyraża: „Doskonałeś, hrabio, z naszymi z XVI wieku pisarzami nazwał nowinkami i te napływające do nas pod różnemi kształtami: niewiarę i racjonalizm. Przyjmują to, jak ciekawą nowinkę, jak rzecz modną, wziętą bez zastanowienia, co to jest i do czego doprowadzi? Z temi nowinkami ciężko tylko z początku; zawsze tak było u nas: gdy przychodziła reforma, walka zdawała się w pierwszych chwilach niepodobną, tak zażliwie choroba nowinek napadała wszystkich, począwszy od magnatów i t. d.“

A jednak, gdy przeszła tylko pierwsza chwila, porzucono te nowinki. „Toż zdaje mi się będzie i z tą nową formą, pod jaką właściwie wieków objawia się negacya, racjonalizm. W początkach lubują sobie wszyscy w panteizmie, ale gdy tylko pierwsza gorączka minie, nawrócą się i opatrzą w błędzie“.

W „Latarni Czarnoksiężkić“ z owego czasu przedstawia Kraszewski Stasia, wracającego z Niemiec z głową dość zawróconą. „Nauczyłem się, mówi Staś do wuja, strasznie mądrych rzeczy, o jakich wy tu na parafii wyobrażenia nie macie; nauczyłem się wszystkich systematów filozoficznych, których koroną Hegel i panteizm.“ Postępowanie zaś Stasia, jego zależność od opatrnościowego wuja, nie świadczą zbyt korzystnie o wpływie filozoficznych spekulacji na jego umysł i życie. W téjże „Latarni Czarnoksiężkić“ napotykamy następującą charakterystykę Wielkopolanina: „Wielkopolanin, mówi Kraszewski, radby zaszczerpieć wszędzie filozofią Hegla i wykorzeniać pacierz i mszę, uważając cześć obrzędową (oddawaną Bóstwu) za dzieciństwo, dowodzące w nas arierowania umysłowego.“ Ciekawy jest jednak przypisek do téj charakterystyki, dodany do „Latarni Czarnoksiężkić“ z r. 1872, a zatém w lat prawie trzydzieści później. „W. Księstwo Poznańskie, mówi Kraszewski, jest dziś gniazdem ortodoxyi, przyjaciół porządku i zachowawczem quand même. Jest li to postęp, zachowanie, czy chodzenie w kółko? niewiem; przywodzę fakt, zostawiając sąd przyszłości.“ Kraszewski w tym przypisku jak najwyraźniej nie sympatyzuje zbyt z tym „gniazdem ortodoxyi“, z tą zachowawczością quand même. Ale skrepowany zarzutem zbyt niżej postępowości, wypowiedzianym w pierwszym wydaniu, wstrzymuje się od ostatecznego sądu w tym przedmiocie.

Zresztą zauważmy, że wszystkie ówczesne sądy Kraszewskiego o heglizmie i jego dążnościach zaczerpane były ze źródeł drugorzędnych, a po większej części zapewne z pism peryodycznych. Dopiero od roku 1844 autor nasz zajmuje się głębszemi studjami filozoficznemi i wyrabia sobie samodzielny sąd o treści i znaczeniu różnych kierunków filozoficznych swego czasu. Przekonywają nas o tém w sposób nader zajmujący zarówno listy Kraszewskiego z owego czasu do Konstantego Podwysockiego ¹⁾,

jak i już wspomniana korespondencya jego z Placydem Jankowskim. Do pierwszego z nich Kraszewski pisze dnia 24 Sierpnia 1844 roku między innemi: „Teraz nie nie piszę nowego. Czytam za to Hegla i Trentowskiego. Zachciało mi się poznać bliżej i lepiej tę zawołaną filozofią, z którą dawno, dawno w osobie Locka i Descarta jeszcze na ławce uniwersyteckiej zabierałem znajomość. Ta nowa nauka idzie mi dość lekko i wielec zajmuje. Człowiek, aby był szczęśliwy, musi się czegoś uczyć; to mu daje zapomnienie życia rzeczywistego i kłopotów, od niego nie oddzielonych. Jestem więc *en plein* Hegel, a dla lepszego wbicia w pamięć, tłumaczę czytając. Tłumaczę oczywiście dla siebie tylko.“ Wypowiadając następnie swoje zdanie o Heglu i Trentowskim—o czém później mówić będziemy,—kończy ten ustęp w ten sposób: „Ale dla czego ja cię tem zajmuję? Dziwna rzecz, człek czémś silnie oczarowany mimowolnie o tém tylko prawi.“

W sześć tygodni później, bo w liście z dnia 9 Października tegoż roku spowiada się Kraszewski obszerniej przed Jankowskim ze swych prac na polu filozofii. „Wdałem się, pisze do niego, w uczenie nowój filozofii niemieckiej i tak zajęty jestem absolutem, że o niczém więcej myśleć i pisać nie mogę. Głupia to rzecz ta żądza nanki i pragnienie wiedzy! Pędzi człowieka, jak batogiem, pod formuły matematyczne Hoëne Wronskiego, pod skomplikowane tezy, antytezy i syntezy Trentowskiego, pod subtelny, jak deszcz jesienny, spekulacyą Hegla. Wyobraź sobie, że pływam w morzu tych barbaryzmu pełnych wyrażeń, których najpiękniejszą ozdobą jest *dwojganie* (dilemma) Trentowskiego, *podścieliska* i *rozłogi*! Na cóżem się w to wdał, zapytasz? Fatalność, panie! fatalność! uchwyciła mnie filozofia za pojęcie ciekawości, jak machina parowa, i dusi między dwoma cylindrami. Jeśli mi tu nie będzie amen, to nigdy! Widzisz tedy, że mam wielką racyą nie pisać, bo skoro piszę, piszę teraz same głupstwa. Gotuję dzieło filozoficzne! śmięć się do rozpuku—jest z czego! Kwestya, czy ci, co drukowali powieści, zechcą drukować moje filozoficzne elukubracye!... Żart na bok, czuję to, że się w korespondencyi strasznie wszystkim zadłużył, ale istotnie pracuję i uczę się, czego dotąd nie umiałem i niezmiernie razem polemniał do pisania!... Kończę, bo noc, bo jutro rano poczta odchodzi, bo jeszcze dziś pływać muszę godzinę lub dwie we „względnych różnicach“ i „bezwzględnej jedni“

¹⁾ Kilka listów Kraszewskiego do Konstantego Podwysockiego z roku 1844, pochodzących z Archiwum rodzinnego p. Gorskiego, udzielił mi łaskawie p. Antoni Pietkiewicz.

Trentowskiego. Pomyślisz, żem zwaryował. Miěj litość nad młodością moją i nie sądź dorywczo.“

I znowu w trzy tygodnie później (29 Października 1844) odpisuje Kraszewski na zarzuty Jankowskiego, rozwodząc się przy tém obszernie nad dalszym ciągiem owych studyów filozoficznych. „Ażebyś mnie, pi-sze, na drugi raz nie posądził już o takie filozoficzne zaciętrzewienie, że o wszystkim zewnątrz niej i o wszystkim zewnątrz mnie zapominam, pospieszam z odpowiedzią. Przyjąłem z wdzięcznością rady twoje, ale tylko te pierwsze, któremi odradza-łeś mi wdawania się w filozofowanie i cer-towanie o lepszą z zacnym Trentowskim. Drugich nie posłucham. Wedle wszelkiego podobieństwa, chociaż ci zapowiedziałem w przeszłym liście rozprawę filozoficzną, skończy się ona na notatkach dla mnie sa-mego. Dla siebie też tłumaczę Logikę He-gla. Gdybym nawet wziął kiedy pióro w tym przedmiocie, nie sięgnąłbym wy-jęz nad historykę przedmiotu, nad rozbiór momentów filozofii tegoczesnej, a zwłaszcza polsko-niemieckiej, tyle dla nas interesu ma-jącej, bo się *narodową* nazywa. O umię-jętym całokształcie własnym, ani myśleć mogę, ani nie chcę. Czyż ich i tak mało? Kwestya, czy bym potrafił wybłąkać się z téj metody jedynéj, która począwszy od czasów Fichtego, a właściwie od Kanta, uważana jest za metodę per excellentiam; metodę, której używają z tak różnemi wy-padkami, Fichte, Schelling, Hegel, Trento-wski e tutti quanti; metodę, która, uważa-na za nieomylną, wyrodziła jednak w łonie samego heglizmu z jednéj strony Micheleta i Bauera, z drugieję Goeschla i Schellin-ga. Nasz Trentowski, mniej umięjętnie, mniej spekulacyjnie używa téjże metody i przychodzi do wyłącznych swoich wniosków. Tu więc i dla mnie filozofia i cały dzisiej-szy ruch umysłowy największy ma interes stosunkiem swym do siebie saméj i do przy-szłości, którą zdaje się chcieć ze swoich danych kształtować. Zwłaszcza ciekawém jest, co za nauka moralna, jakie *prawo*, da się zbudować na danych, jakie wynikają z filozofii dzisiejszég, nie oglądając się na to, że Hegel swoją wieczną Logikę, przy-mierzając do wszystkiego, przymierzył już i do prawa, dziejów i moralności. Tu o to chodzi, żeby istotne, naturalne, konieczne wnioski wykazać; wnioski, którym się filo-zofowie bronią, a które niemniej są konse-kwencyą niezbędną. Moją więc pracą by-łoby (gdybym pracował) okazać tylko *histo-rycznie* moment teraźniejszy filozofii polsko-

niemieckiej, stosunek Trentowskiego do He-gelianizmu, Cieszkowskiego, Libelta i Kre-mera do niego i do siebie. Gdybym się czuł na siłach i w uosposobieniu pisania, — oto co bym napisał. Trentowskiego za bar-dzo potężną głowę uważam, ale podzielać jego wypadków filozoficznych *nie mogę*. Ani się spostrzegł, jak uciekając od idealizmu i biegnąc za realnością realną, wpadł w ma-teryalizm prawie. Rozum zrobił somaty-cznym a Pana Boga jaźnią jaźni, to jest prawie cielesnym. Szczęście, że i tak wy-padło, a nie jak Micheletowi, Bauerowi, Feuerbachowi: bezosobistość Boga, a ra-czej pełna bezprzytomność jego, a ubóstwienie człowieka. Ale na bok odkłada-jąc rezultata, — bo to są nie stanoweze wypadki, tylko przejścia do nich, momen-ta,—cóż to za piękne gmachy! Co to za zdumiewającéj subtelności, głębokości spo-strzeżenia nad naturą; jak nowy pogląd na świat! Nie wierząc w filozofią, jeszcze ją potrzeba admiirować, jako śliczny wyrób u-mysłu ludzkiego!..“

Ze to zajęcie się filozofią ze strony Kra-szewskiego nie było chwilowém, ulotném, temu służy za dowód list pisany znowu w kilka tygodni później, bo 22 Listopada te-goż roku. Donosi tu Kraszewski Janko-wskiemu między innémi. „Zbieram mate-ryały do *Rzutu oka na stan filozofii niemieckiej*; —ale mi multum jeszcze nie dostaje. Nie mam Logiki Trentowskiego ¹⁾, a tymczasem pasuję się z logiką Hegla. Niech go tam wszyscy dyabli wezmą, co on wyrabia z tym Bytem, i jak mu się ten Byt raz wraz aż do końca *odbija*! Nie, to niebyt,—na seryo jest to niezmiernie trudna rzecz! Dostałem wydany rys nowych Lekcyi Schellinga. I to także orzech niepospolity do zgryzienia! Dziwo dziwów! Schelling, pisząc w katoli-ckiej Bawaryi skatoliczał i co jeszcze dzi-wniej, jeśli nie też wziął zasadę, to przy-najmniej na jednym wyrazie spotkał się w nowym systemacie ze sławnym Abbate Ros-mini, o którym pewnie słyszałeś, co fundu-je filozofią katolicką. Schelling starszy, aj, aj! —jaki stary! jak mu się w głowie trzęsie! Nau-czyciel Hegla, ale terazby go Hegel, gdy-by żył, mógł na rękę nosić. Strasznie te mądre rzeczy zajmują,—ale jakoś,—przy-znam ci się? —człowiek, zamiast uczyć się czegoś, to o *wszystkiem wątpi*!“

¹⁾ Myślini Trentowskiego wyszła w r. 1844 i Kra-szewski w Listopadzie tego roku jej jeszcze nie-miał. Wszystko, co w poprzednich listach o Tren-towskim mówi oparte jest głównie na jego *Chowan-nie*.

Dodajmy zaraz tutaj, że Kraszewski, jak w owym, tak i w późniejszym czasie prócz Schellinga i Hegla studyował i innych znakomitych filozofów. W „Pamiętnikach nieznanego“ z roku 1846 napotykamy naprzykład bardzo liczne i trafne wzmianki o Platonie, wykazujące, że autor w tym względzie czerpał z pierwszego źródła. A list do Choloniewskiego z dnia 15 Stycznia 1846 roku świadczy, że te zajęcia filozoficzne podziały głębiej na całe usposobienie Kraszewskiego: „Całe życie pracuję nad sobą, pisze tu, i wyznaję, że niczem nie jestem, że nie mam zasługi, że nie lub jak nie nie umiem. Całe życie chcę i będę pracował nad sobą, nie mam tej dumy, tej pewności siebie, jaką uszczęśliwiają się drudzy... Czytam teraz „Platona“ i uderzyła mnie w Apologię Sokratesa ta myśl, którą on przeciw Sofistom rzuca, wyższy jestem od nich, bo nie umiem nic i nie wierzę, żebym umiał, a, nie nie umiejąc, wszystko posiadać sądzę.“

Nie spodziewam się zarzutu ze strony czytelnika z powodu tak obszernych wyjątków z listów Kraszewskiego, gdyż najprzód listy do Jankowskiego dotąd drukiem ogłoszone nie były, a prócz tego tak żywo i charakterystycznie malują ówczesne zacięcie się naszego pisarza w studia filozoficzne, że tych bezpośrednich zwierzeń żadnemi omówieniami należycie zastąpić nie można i nawet w piśmie obecnem zastąpićby się nie godziło. Zdajemy sobie jednak bliższą sprawę z różnobarwną treścią powyższych wyjątków odnośnie do naszego głównego przedmiotu.

Przedewszystkiem widzimy, że Kraszewski w roku 1844 przez kilka miesięcy (od Sierpnia do Listopada) na dobre zajęty był gruntownemi studjami nad filozofią niemiecką i jej wpływem na ówczesnych myślicieli polskich; studia te złagodziły zbyt szorstki sąd jego o filozofii rozumowej, wypowiedziany poprzednio ze stanowiska dogmatycznego. Zapoznawszy się bliżej z dążnościami filozoficznemi Schellinga i Hegla, wnukawszy głębiej w ducha naszych myślicieli, Kraszewski przejął się szacunkiem dla filozofii i jej pracy nad wytworzeniem ogólnego na świat poglądu. Prawda, nie podziela on bynajmniej ostatecznych wyników spekulacji filozoficznej, o ile takowe się nie schodzą z jego zasadniczemi przekonaniami religijnemi, a mianowicie z jego wiarą w Boga osobistego. Nadto obawia się z góry wszelkiego panteizmu i materjalizmu bez szczegółowego rozbioru ich zasad i argumentów. Wreszcie zdrowy rozsądek

jego zżyma się niejednokrotnie zarówno przeciwko dziwacznościom Trentowskiego, jak i przeciwko owej dyalektyce heglowskiej, która wyłączając się nawzajem sprzeczności, jak np. pojęcia bytu i niebytu, dla doktrynerskiej konsekwencji ze sobą zlewają, wytwarzając syntezę pozorną, pozabawioną prawdy rzeczywistej. Ale pomimo tego wszystkiego z listów powyższych widzimy, że Kraszewski interesuje się jak najżywiej dążnościami ducha ludzkiego na polu filozofii i pojmując jaknajwyraźniej ich wysoką doniosłość, tak ze stanowiska postępu społecznego i historii, jak ze stanowiska twórczości umysłowej. Jaka nauka moralna, jakie prawo da się wyprowadzić z tej nowej filozofii? jaką przyszłość zgotuje ona społeczeństwu?—Oto pytania, które go przedewszystkiem zajmują, i do samodzielnej krytycznej pracy nad tym przedmiotem zachęcają. Do tego przyczynia się też nie mało urok artystyczny, jaki na wrażliwej, poetyckiej duszy naszego pisarza wywołać musiał jednolity pogląd na świat, przeprowadzony w subtelnych zarysach według zasad symetrii i proporcji logicznej. Dyalektyka Hegla jest bez wątpienia nużąca w swych szczegółach. Te szczegóły nadto drobniawo pod niejednym względem podobne są do owych monotonnań okienek gotyckich, co z wązkiej postawy przeciwległymi lukami, niby tezą i antytezą wyrastają, tworząc u szczyw kątów równie ostre, jak wymuszone. Ale pomimo to, system Hegla, widziany w pewnem oddaleniu, uderza każdego harmonijnym zestrojeniem tych niezliczonych szczegółów, żywością myśli, co znowu na wzór przeźroczystej wieży gotyckiej, strzałą wlatuje w świat idei bezwzględnej. W obec tego ogólnego poglądu nie razi nas już nielogiczność szczegółów, ich nstrój wymuszony, a widzimy przed sobą tylko wspaniałą calokształt architektoniczny, domagający się uznania, bez względu na krytykę jego części składowych. To też nie dziw, że z tego stanowiska zapatrując się na filozofię Hegla, Kraszewski bez zgody na jej szczegółowe wypadki, mógł jednak zawołać: „cóż to za piękny gmach, co za śliczny wyrób umysłu ludzkiego! jaki nowy pogląd na świat!“ Ten podziw naszego autora dla artyzmu w zakresie nowej filozofii, dla twórczości spekulacyjnej, tak naturalny przy jego usposobieniu umysłowym, tém godniejszy zaznaczenia, że w czasach najnowszych wypowiedziano niejednokrotnie zdanie, że cała filozofia w istocie swojej nie jest nauką, ścisłym poznawaniem rzeczy, lecz wyrobem twórczej fantazyi, uzupełniającym braki na-

szęj wiedzy. Wiadomo, że zdanie to szerzej rozwiązał znany autor „Historii materializmu“ F. A. Lange, a u nas powtórzył je niedawno jeden z młodszych zwolenników filozofii ¹⁾).

Wreszcie nie możemy pominąć milczeniem, że w ostatnim z listów do Jankowskiego Kraszewski wziął już jaknajwyraźniej rozbrat z filozofią katolicką, z owym stanowiskiem dogmatycznej wiary, które tak stanowczo uwydatnił w owym prospekcie filozoficznym do *Ateneum*. To, co El. Ziemięcka w artykule o Schellingu wychwala, jako wielką zasługę tego myśliciela, t. j. zwrot do mistycyzmu i filozofii objawionej, — to Kraszewski, jak widzimy, dość pogardliwie nazywa „skatoliczeniem“ Schellinga, rodzajem osłabienia umysłowego, w porównaniu z którym filozofia Hegla przedstawia się, jako wyrób myśli dojrzałej, mężkiej. Z tego też tylko stanowiska pojąć należy słowa Kraszewskiego, w których otwarcie wyznaje, że zajęcie się filozofią doprowadza go do „wątpienia o wszystkim.“

Przypatrzmy się teraz owocom piśmienniczym powyższych studyów filozoficznych Kraszewskiego. Przedstawiają się one nam najprzód w szeregu artykułów o filozofii Hegla, zamieszczonych w *Ateneum* na rok 1845, następnie w piśmie osobnym o systemie Trentowskiego, wreszcie w tendencyach kilku ówczesnych powieści. Z tego wszystkiego musimy sobie zdać nieco obszerniejszą sprawę dla uzupełnienia ogólnych uwag o stosunku naszego pisarza do heglizmu.

Pierwszą pracą Kraszewskiego o Heglu, było tłumaczenie obszernego wyjątku z dzieła A. Otta p. t. „Hegel et la philosophie allemande“, wydanego w Paryżu w r. 1844. Przekład ten napotykaemy w I-ym tomie *Ateneum* z r. 1845 p. t. „Idea systemu Hegla.“ Osobne odbitki tej pracy wydane zostały w tymże roku w Wilnie.

Dzieło Otta zawiera w sobie nader rozwlekłą krytykę nowszej filozofii niemieckiej od czasów Kanta aż do Hegla włącznie. Kraszewski z dzieła tego wyjął ustęp, dotyczący samego Hegla. Ustęp ten obok streszczenia nauki Hegla, zawiera w sobie wybór głównych zasad jego filozofii. Za punkt wyjścia dla oceny heglizmu służy Ottowi stanowisko zdrowego rozsądku i zwykłych pojęć religijnych. Z tego stanowiska potępia Ott przedewszystkiem metodę dyalektyczną Hegla, która bierze sprzeczność za

podstawę rozwoju i postępu myśli. To, czego wszyscy logicznie myślący unikają, mówi Ott, Hegel podnosi do wysokości zasady. Takim sposobem proste *absurdum* stało się istotą jego metody. To też wypadki systemu jego nie mogą być zadawalniającemi. Konsekwencją heglizmu jest panteizm. Bóg, mówi Ott, w systemie Hegla nie jest Bogiem, bo staje się dopiero wskutek rozwoju idei bezwzględnej; a Bóg, który się rodzi, nie jest Bogiem. Hegel zachowuje nazwanie Boga tylko z „przyczyn dyplomatycznych“, lecz gdyby Bóg nie był wprzód znany, Hegel by go nie wymyślił. Szanuje on tylko dawne wyrazy, ale nie rzeczy. Tożsamo ma się z nieśmiertelnością duszy i wolnością moralną człowieka. Hegel według Otta, *wypurca* całą moralność. Dobre i złe stają się u niego koniecznikami czynnikami postępu, rozwoju moralnego, a zatopienie bezwzględne jednostki w ogóle podkopuje główną podstawę moralności i religii, t. j. osobistość indywidualną, nieśmiertelną. Z tego też stanowiska potępia Ott całą filozofią natury Hegla, jako wyrób spekulacyi abstrakcyjnej.

Do przykładu tego wyjątku z dzieła Otta dołącza Kraszewski przypisek, w którym objaśniał, dla czego pomimo wstępu do tego rodzaju pracy, jakim jest przekład obcych myśli, podjął się takowej i na przyszłość ją dalej rozwinąć zamierza. „Z Heglem, mówi, u nas, jak z wielu zresztą innemi wielkimi rzeczami i imionami, jak poniekąd z filozofią, — wiele o nim mówią, a mało go zna. Grzeczni jesteśmy, dodaje, że mówimy tylko „mało.“ Chcieliśmy więc dać poznać systemat jego.“

W uzupełnieniu powyższego bardziej polemicznego artykułu, Kraszewski w II-gim i III-cim tomie *Ateneum* z tegoż 1845 roku zamieszcza streszczenie najważniejszych objektywne zarówno „Historii filozofii Hegla“ jak i jego „filozofii natury. Pierwsza z tych prac jest znowu przekładem z Otta, druga zaś, jak się zdaje, jest streszczeniem samego Kraszewskiego według „Encyklopedyi filozofii“ Hegla, wydanej przez Micheleta. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju wykład streszczony dzieł Hegla zapoznawał publiczność daleko gruntowniej i wierniej z istotnemi zasadami tego myśliciela, niż wszystko, co w owym czasie u nas o Heglu pisano. To też wyznaczyć należy, że redaktor *Ateneum* pod tym względem dobrze zrozumiał swoje zadanie i prawdziwą usługę oddał literaturze czasowej.

Stanowisko zaś swoje względem filozofii Hegla określa Kraszewski już jak najwyra-

¹⁾ Zob. *Ateneum* Spasowicza z r. 1877. Marzec.

znięć w przypisku do powyższego „rys historyi filozofii“ według Hegla. „Hegel, mówi tutaj Kraszewski, uważa się za koronawieniec, za spełnienie ostateczne, za prawdę absolutną, za metodę niechybną. Lecz na jego własnych danych opierając się, łatwo go bardzo zrefutować w tym względzie. Filozofia, powiada on, jest jedyną filozofią zawsze; odrębne systemata i szkoły momentami całości.“

„Tak też a nie inaczej wolno nam uważać systemat Hegla. Od śmierci mistrza własni jego uczniowie, rozwijając jego dane ostateczne, już dalej poszli i pozostawili go w tyle“... „Tymczasem postęp ludzkości pozostaje pewnikiem, z mocy którego nie możemy przypuścić ostatniego wyrazu tam, gdzie wyraz ostatni byłby nie życiem, ale śmiercią. Prawem ducha jest postęp ciągle, i prawa tego nikt nie złamie, bo postęp jest życiem. bytem samym, a odkrycie ostatniego wyrazu, absolutu, nie zostawiłoby już ludzkości powodu życia, celu, pokarmu żywotnego.“ Dalej krytykuje Kraszewski historyą filozofii Hegla, jako zadającą gwałt dziejom, naciągającą fakta pod formuły abstrakcyjne. i kończy swe uwagi słowami: „Wierzymy, że nie w świecie nie jest dziełem przypadku. Nauka Hegla nie jest także przypadkiem w dziejach umysłu ludzkiego. Ona ma swoją konieczność w warunkach czasowych, ma swe zapewne na przyszłość korzyści. Wpływ, jaki wywiera w Niemczech, a po części i u nas, usprawiedliwia powszechne nią zajęcie.“

W powyższym przypisku Kraszewski wypowiedział ostatnie swe słowo o filozofii Hegla. Sąd jego, jak widzimy, jest jasny i trafny, oparty na szerszym, historycznym pojęciu filozofii i jej dziejów. Pomimo krytyki heglizmu, Kraszewski szanuje ten kierunek myśli, jako jeden z wydatnych momentów umysłowego rozwoju czasu, jako szczybel na drodze postępu do coraz wyższej doskonałości. To też nie dziw, że, studiując filozofią Hegla, przejął się pewnemi ideami tego myśliciela i uległ może mimo woli i wiedzy ich wpływowi przy ukształtowaniu własnych na świat i życie poglądów. Wpływ ten daje się bez trudności wykazać w dalszym rozwoju działalności piśmienniczej Kraszewskiego.

Od roku 1844 Kraszewski w swych krytykach literackich i historycznych domaga się niejednokrotnie głębszego, jak mówi, *filozoficznego* pojęcia rzeczy, rozumiejąc przez to wykazanie *idei* działającej i rozwijającej się w danym przedmiocie. I tak n. p. w artykule o Pamiątnikach historycznych Lowi-

cza w t. II *Ateneum* z roku 1845 zarzuca dziełom historycznym u nas, że po większej części zwracają uwagę tylko na zbiór faktów a przytem „wcale nam do pojęcia *filozoficznego* historyi nie pomagają.“ Gdy tymczasem filozofia stanowi konieczny czynnik należytego zrozumienia dziejów, podobnie jak twórczość poetyczna konieczną jest dla należytego ich odtworzenia. „Zbieramy, mówi dalej, same tylko materyały, a głębię, gdzie spoczywa *idea* żywotna, nikt nie śmie wzroku zapuścić.“

Podobnież w innym artykule w tymże tomie *Ateneum*, zdając sprawę z książki pisarza czeskiego Zapa o naszych stosunkach społecznych, zarzuca mu Kraszewski, że nieśłusznie gani naszą przeszłość, zamiast w „*filozoficznym* rzucie oka na nią dopatrzeć konieczności, a umniejszyć winy.“ W tym też duchu w prospekcje do *Ateneum* na rok 1846, wspominając, że jego piśmu zarzucają to *pietyzm*, to znowu brak *ortodoksji*, objaśnia, że celem jego jest budzić życie i czyni to w przekonaniu, że „losy ludzkości nie są igraszką fatalną, ale ciągiem rozumnym.“

W imię takiego to głębszego, filozoficznego pojęcia rzeczy, Kraszewski krótko potem w „Listach literackich“, zamieszczonych w *Ateneum* (1846 t. IV.) mówi o naszych *mizologach*, „co brzydząc się filozofią i niestannie przypinając jej latki, gdy im pisać przyjdzie o czem, piszą, jeśli nie myślą filozoficzną, to językiem przynajmniej od niej wyuczonym. Sami nie wiedzą, zkąd im przyszły pewne prawdy, którym nie przynajając się do tego, mimowolnie holdują. A do tego dodaje nader charakterystyczną uwagę, z której wywnioskować możemy, że Kraszewski sam świadom był wpływu, jaki na niego wywarła ówczesna filozofia. „Zdumiewająca, mówi, jest czasem myśli potęga. Oburzamy się przeciwko temu, co nam się zdaje przekonaniem naszymu przeciwnem, wojujemy; aż nieznacznie większa i bliższa prawdy idea zwycięstwo odnosi. Zwyciężonym to pozostaje, że upadają po cichu, a zwycięzca się ze swęj wiktoryi nie przechwala.“ —

Najdobitniej jednak wykazuje się wpływ filozofii Hegla na Kraszewskiego w jego obszernym rozbiórce *Systemu Trentowskiego*, wydanym w osobnej książce w Lipsku 1847 roku ¹⁾. Praca ta ma wprowadzić za przedmiot tylko *Analitykę Trentowskiego*, stanowiącą

¹⁾ *System Trentowskiego treścią i rozbiorem analityki logicznej* okazany przez J. I. Kraszewskiego. Lipsk, Nakładem księgarni zagranicznej, 1847, stron. 252.

pierwszą część jego Myślini; ale ponieważ w tej części zawartą jest cała osnowa poglądów filozoficznych Trentowskiego, więc rozbiór jej daje autorowi sposobność wypowiedzenia swego zdania o całym systemie tego myśliciela. Stosownie zaś do składowych części pierwszego tomu Myślini i praca Kraszewskiego rozpada się na wstęp i trzy główne rozdziały. *Wstęp* daje ogólny pogląd na filozofia Trentowskiego i rozbiera jego wstęp do *Analityki* (str. 1 do 41); trzy zaś rozdziały pracy mają za przedmiot trzy główne części *Analityki* t. j. *Prawdę* (str. 42 do 102), *Wiedzę* (str. 103 do 166) i *Poznanie* (str. 167 do 243). Dokończenie (str. 243 do 252) dotyka pobieżnie *Dyalektyki* i *Systematyki* Trentowskiego i streszcza sąd o całej jego filozofii.

Głównym celem tej pracy Kraszewskiego jest widocznie treściwy wykład poglądów Trentowskiego, sprawozdanie z jego pojęć filozoficznych. Krytyka tych poglądów i pojęć stoi na drugim planie i wplatana jest tylko w sam wykład w formie uwag nad tym lub owym z traktowanych przedmiotów. Autor wychodzi rzeczywiście z przekonania, że prawda sama za siebie przemawia, że potrzeba tylko w sposób należyty wyłożyć treść filozofii Trentowskiego, aby przez to samo wykazać jaknajwyraźniej jej dobre i złe strony, jej prawdę i fałsz, aby bezpośrednio naprowadzić czytelnika na sąd o jej istotnej wartości. To też krytyka systematyczna, rozbiór wszechstronny, jak zasad, tak i wyników tej filozofii, nie leży bynajmniej w zamiarze autora; a jeżeli przerywa swój wykład uwagami krytycznemi, to one nie występują z pretensją ścisłej oceny systemu, lecz mają tylko charakter luźnych drogowskazów dla zorientowania czytelnika wśród labiryntu wyłożonej treści, dla pobudzenia go do własnego zastanowienia się nad istotną wartością tej treści. Rzecz naturalna, że nie mówiąc tutaj o Trentowskim, nie mamy też powodu iść szczegółowo za wierzchnią zresztą i dokładnem streszczeniem jego poglądów, lecz dotknijmy tylko owych uwag krytycznych Kraszewskiego, aby przy ich pomocy wnikać w jego ówczesny sposób myślenia.

Na czele swój pracy kładzie autor, jako dewizę, słowa, wzięte z biografii Hegla przez Rosenkranza: „Niemals kann es ein letztes System der Philosophie geben“, — i przez to z góry pragnie zaznaczyć, że i filozofia Trentowskiego nie może być ostatnim wyrazem rozwoju umysłowego. Przekonanie to, oparte, jak widzimy na idei postępu dziejowego, stanowi ogólną podstawę wy-

wodów Kraszewskiego. Co się zaś tyczy owych uwag krytycznych, rozrzuconych po całej pracy, a wypowiadających poglądy filozoficzne naszego pisarza, to sprowadzić je można do następujących głównych momentów.

Przedewszystkiem godne zaznaczenia, jak się Kraszewski zapatruje na stosunek Trentowskiego do jego poprzedników, a szczególnie do Hegla. Uwagi, wypowiedziane z tego powodu, wykazują jasno kierunek myśli samego krytyka. Kraszewski oddaje prawie wszędzie pierwszeństwo Heglowi przed Trentowskim, tak co do metody filozoficznego rozwoju myśli, jak i co do samej treści poglądów. Co do metody, Trentowski, według zdania Kraszewskiego trzyma się w zasadzie dyalektyki Hegla, ale mu brak tej ścisłości logicznej i wewnętrznej konsekwencji, jaka charakteryzuje filozofa berlińskiego. Trentowski, mówi nasz autor, pomimo wszelkiej pretensyi do oryginalności, wyznaje zasadę *sprzeczności*, postępu myśli przez tezę i antytezę do syntezy; zasadę, którą Hegel zaczerpnął od Platona, zrozumiawszy go głębiej od innych. Ale Trentowski łączy tę „świeżo odkrytą prawdę“ z wymaganiem wszechstronności, uniwersalizmu, — i to jest powodem ciągłej dowolności i bezmyślnej nawet igraszki w rozumowaniach tego filozofa. Podczas gdy synteza heglowska przedstawia rzeczywisty postęp myśli, to synteza Trentowskiego przez samą swą wszechstronność staje się bezsilną. „To, co chce być wszystkiem, mówi krytyk, wedle zasady logicznej Hegla, przyjętej przez Trentowskiego także, najprędzej też stać się może niczem. Usiłując objąć w sobie wszystko, może nie pochwycić *nic*“. I w samą rzecz, w skutek takiego gonienia za nieokreśloną mnogością, za rozdrobieniem myśli na coraz to nowe kategorie, Trentowski powtarza sto razy jedno i toż samo, wyrażając też same myśli coraz innemi słowami; przez co niema ani jasności w jego myślach, ani ścisłości w wyrażeniach. Jeżeli zaś Trentowski nie może się dość nachwalić ze swego systemu dla tego głównie, że posiada nie mniej, nie więcej, jak 219—424 kategorie i że te bez trudności do miliona powiększyć może, to krytyk bardzo trafnie zauważył, że te krocie są tyluż dowodami nielogiczności i słabości systemu, że autor jego podobny jest do nowicyusza w matematyce, któryby zamiast wnikać w prawa matematyczne kół, przedsięwziął zliczyć wszystkie jego promienie, chociaż ich liczba nieskończona. Otóż takiż to bezmyślny

igraszki nienapotyamy według krytyka u Hegla, który wszystko spaja w jedną myśl zasadniczą, w jeden duch. Trentowski wprowadzie pluje ciągle w źródło, z którego pije, lecz to bynajmniej nie podnosi wartości jego filozofii.

Ale i co do treści Kraszewski sympatyzuje bardziej z absolutnym idealizmem Hegla, niż z ową teorią rzeczywistości Trentowskiego, która, według zdania krytyka, doprowadza do *materyalizmu*. W systemie Trentowskiego, mówi autor, duch odgrywa wszędzie rolę podrzędną w porównaniu z materią. Duch jest przeczeniem, nicestwem, drugością, dusza istotą nawpół cielesną; materia natomiast twierdzeniem, rzeczywistością, pierwszością. Materia jest substancją Trentowskiego, wieczną nieskończoną, *primum existens* w porównaniu z całym pozostałym istnieniem, — i dlatego niepodobna mu zaprzeczyć się materjalizmu. Wieczny byt materii w Bogu jest ograniczeniem a przez to i negacją samego Boga. Trentowski wprowadzie przyznaje w zasadzie Boga, ducha, ale zasadę tę znosi, oddając wszędzie pierwszeństwo materii i czyniąc od niej zależnym ducha i samego Boga. Wyżej znowu bez porównania stoi pod tym względem filozofia Hegla w oczach krytyka. „Hegel, mówi Kraszewski, nie jest materjalistą, nie bierze materii za twierdzenie; ma ją za ułomny objaw ducha; nie poniża duszy do uznania jej za jakieś tam *soma pneumatikon*“. On rozumie, że wszelka przyczynowość jest w duchu, że zatem duch musi być pierwszością, że wyprowadzenie ducha z materii, z natury bezwiednej, jest niedorzecznością, jest wyprowadzeniem przyczyny ze skutku. Ztąd „Hegel, według słów krytyka, z całym swym idealizmem daleko był bliżej prawdy, daleko logiczniej postąpił, wywodząc materię z ducha. U niego przejście od ducha w materię, acz może się wydać nie ściśle koniecznym, jest wszakże podobnym; bo codziennie widzimy twórczość ducha, a nie pojmujemy twórczości materii bez niego. Gdzie materia tworzy ducha? W rzeczywistości tylko, ubóztwionej przez p. Trentowskiego coś podobnego znajdujemy...“ „Hegel, konkluduje krytyk, spirytualizuje materię, Trentowski wszędzie go nieucyj, somatyzuje, materjalizuje ducha i niszczy go całkiem.“

Do takiego samego ujemnego wyniku dochodzi Kraszewski w uwagach, określających stosunek filozofii Trentowskiego do religii i chrześcijaństwa. Trentowski, mówi krytyk, w zasadzie chce być chrześcijańskim; podnosi nawet nieraz swój system z tego stanowiska, mianując go bardziej chrze-

ściańskim, niż filozofie Leibnica lub Jakobięgo. Ale szczegółowy wykład nie stwierdza tych pretensyi. Przeciwnie, według krytyki okazuje się, „że Trentowski w gruncie rzeczy nie jest ani katolik, ani protestant, ani chrześcijanin nawet;“ że dla niego „chrześcijaństwo jest zupełnie uboczną, w niczem go nie wiążącą, do niczego nieobowiązującą nauką, której wszelkiej powagi odmawia, którą z zabobonami wiary innemi na równi stawia, a jeżeli ceni, to tylko z praktycznych skutków.“ Nie odmawia wprowadzić krytyk filozofowi prawa do wytworzenia sobie pod tym względem pojęć wedle swego uznania, ale słusznie wyznaje, że „nierozumie potrzeby nieustannego targania się na to, co drudzy szanują, gdyby nawet byli w błędzie; błąd ich godzien poszanowania przynajmniej.“ „Kant, Hegel, dodaje Kraszewski, i inni Niemcy filozofując, nie wyrzekli się przecież winnego religii szacunku; nie godząc się nawet z zasadami wiary, obchodzili je z uczuciem przyzwoitości, umiarkowaniem, cześć wzbudzającą; postępowali sobie wytrawnie, uczciwie, rozumnie i przyzwoicie. Trentowski co chwila napada na wiarę, rzuca się, laje, piorunuje, a to wcale filozofii praktycznej w nim nie dowodzi; tłumaczy po swojemu, a nie nowym sposobem, Chrystusa i chrześcijaństwo, co tutaj przynajmniej niewczesne, a w istocie na nic się nie zdało“. Na innym miejscu Kraszewski zarzuca Trentowskiemu brak wszelkiej *filozoficznej wyrozumiałości* i krytykuje jego pojęcie wiary. „Nie pojął on, mówi krytyk, wiary jak należało, stężałem przekonaniem, apoteozą pewności w człowieku, ale mizernem, bezrozumnem potakiwaniem czegoś... Wyrzekając się wszelkiej wiary, Trentowski, jak to zawsze w podobnych ostatecznościach bywa, wpadł w sprzeczność z samym sobą. Zamiast wiary w cokolwiek uznanego a z rozumem zgodnego, uznaje ślepią *wiarę w siebie*... Wiara jedna za drugą, a zawsze *wiara*.“ Przy tej sposobności przypomina też Kraszewski, że wiara św. Augustyna, Tomasza z Akwinu i innych nigdy nie była ani ślepią ani przeciwną rozumowi, i na poparcie tego zdania przytacza odpowiednie wyjątki z ich pism.

Dla charakterystyki ówczesnych przekonań Kraszewskiego, prócz powyższych uwag krytycznych, zasługują jeszcze na szczególną wzmiankę dwa ustępy tej pracy, które traktują o *ideach wrodzonych* i *Consensus gentium*. Kwestye te łączą się ściśle z poglądem naszego autora na *wiarę* i wykazują filozoficzne jej pojęcie.

Mówiąc o *kryterium poznania* w systemie Trentowskiego, Kraszewski wypowiada przekonanie, że kryterium poznania możliwe jest tylko przy wyraźnem uznaniu w nas idei wrodzonej. Bez tego uznania, kryterium będzie zawsze tautologicznem, zawsze opiewać będzie, że poznanie rzeczy równa się poznaniu rzeczy. Idea zaś wrodzona daje poznanie rzeczy równe idei rzeczy wrodzonej w nas, i przez to umożliwia ocenę, krytykę naszego poznania. Stosownie do tego, jakbyśmy w sobie potrafili rozwinąć ideę wrodzoną, mamy wyższe lub niższe kryterium poznania naszego; tém pewniejsze, im doskonalej rozwinięta została idea wrodzona, w nas żyjąca. Przez to poznanie staje się aktem przyswojenia sobie przedmiotu przy pomocy odpowiednio rozwiniętej idei wrodzonej. Że pogląd taki jest wypływem teorii Platona i Hegla, — o tem nie może być wątpliwości, ciekawą jest tylko rzeczą, że Kraszewski ten wynik idealizmu stara się pogodzić z owym *consensus gentium*, na który się tak często teologia dogmatyczna powołuje. Ludzkość cała, mówi Kraszewski, zgadza się na zasadnicze pewniki. Może być trudno je odkryć, można nie oczekiwać rezultatu praktycznego z tego *consensus gentium*, ale dla tego nie ma powodu jeszcze zaprzeczyć go bezwzględnie, jak to czyni Trentowski. Przeciwnie według naszego autora; owe pewniki, uznane przez *Consensus gentium*, dałyby się wywnioskować nawet z uznanej przez Trentowskiego idei wrodzonej. „Ta idea, mówi Kraszewski, jest jedną w całej ludzkości, a różnie tylko rozbudzoną i z siebie dobytą... Różnica form, pod którymi się objawia idea uznana, nie powinna zrażać od poszukiwania jęj. Tu praca, ale nie bez korzyści. Czyż co istotnie jest prawdą, gdy prawda jedyna, prawdą wszystkich być nie powinna i nie jest? Różnice tu tylko w sposobie pojęcia i objawienia prawdy. Osobiste, pojedyncze przekonania mogą się różnić w szczegółach, ale w zasadzie i głębi, jeśli prawdziwe, ku jednemu zmierzać muszą. Ztąd *Consensus gentium*. Gdybyśmy się o-przeć nie mogli na tożsamości ciągłej natury ludzkiej, uznając postęp, pytam coby było pewnego? Z téj tożsamości, z tego trwania idei wrodzonej, wynika i *Consensus gentium*“. Widzimy, że taki wywód uznania powszechnego bardzo jest racjonalny, bo w gruncie rzeczy oparty na naturze rozumu ludzkiego. Nadto tak pojęty *consensus gentium* wyjaśnia bliżej, jak Kraszewski teraz zapatruje się na wiarę, jak on ją godzi ze swymi nowymi przekonaniem filozoficznymi.

Nad innemi kwestyami, dotkniętymi w roz-biorze systemu Trentowskiego, nie mamy powodu zastanawiać się bliżej. Dodamy tu tylko jeszcze, iż liczne trafne uwagi z historii filozofii, oraz cytaty z dzieł znakomitych myślicieli, świadczą o sumiennych studiach, i służą za potwierdzenie przytoczonych powyżej wyjątków z listów do Jankowskiego pisanych. Wkażdym razie praca ta o Trentowskim wykazuje jasno, że się Kraszewski gruntownie zapoznał ze współczesną filozofią, że ją pojął i przetrawił umysłem jasnym, rozległym. Nie będąc specjalistą na polu poszukiwań filozoficznych, nie czuł wprawdzie powołania do rozbioru i opracowania kwestyi szczegółowych, ale kwestya zasad ogólnych, głównych podstaw filozoficznego na świat poglądu, zajmowała go jak najżywiej. Nad tą kwestyą pracował pilnie i sumiennie, i wyrobił w sobie wskutek tego pewne idee zasadnicze, które rozszerzały coraz bardziej jego widnokrąg umysłowy i posłużyły mu za podstawę dla oceny świata, życia i ludzi. Przyrodzony idealizm Kraszewskiego wzmocnionym, uszlachetnionym i rozwiniętym został pod wpływem idealizmu filozoficznego Platona i Hegla, a, dochodząc w ten sposób do świadomości swęj treści, stał się przewodnikiem jego dalszej działalności piśmienniczej.

O tym dodatnim wpływie filozofii i idealizmu przekonywają nas jak najwymowniej powieści Kraszewskiego z owego czasu. Powieść, stosownie do poetycznego uzdolnienia naszego pisarza, podawała mu odpowiedniejszą sposobność do rozwinięcia poglądów filozoficznych, niż traktaty czysto abstrakcyjne. Dla tego téż na tém polu przejawia się duch filozoficzny Kraszewskiego swobodniej i rozleglejš, niż w specjalnych pismach naukowych. Z tego téż powodu, chcąc się należycie wywiązać z naszego zadania, pominąć nie możemy działalności powieściopisarskiej Kraszewskiego, tak obfitej w owym szczególniejš czasie w tendencye filozoficzne.

W skutek studiów filozoficznych owe tendencye w powieściach Kraszewskiego występują na jaw z należytą wyrazistością dopiero po roku 1844 i wykazują jak najwyraźniej wpływ idealizmu Platona i Hegla. Od tego czasu, idea natury, wszechświata, ogólnego bytu, panteistycznęj substancyi, ciśnie się coraz bardziej do myśli Kraszewskiego i znajduje swój wyraz w rozległych nieraz medytacyach nad losami człowieka i jego stosunkiem do pozostałego

bytu. Jako istotę zaś tego powszechnego bytu, jego życia, ruchu, postępu, przedstawiają nam zazwyczaj ówczesne powieści *sprzeczność*, walkę przeciwieństw, z której się, zupełnie w duchu filozofii Hegla, rodzi życie i postęp. Co zaś do stosunku jednostki do ogólnego bytu, to wyrzeczenie się swego *ja* dla ogółu, dla dobra powszechnego, przejęcie się jego dążnościami, staje się coraz bardziej dogmatem moralnych tendencji Kraszewskiego. Jednostka ustępuje na plan drugi, w obec bytu ogólnego, którego prawa i porządek muszą być przedewszystkiem uznawane i szanowane. Tylko wymaganie nieśmiertelności duszy i wiara w jej postęp wieczny zaznaczają różnicę ówczesnych przekonań Kraszewskiego od bezwzględego panteizmu.

Ten kierunek myśli napotykamy szczególnie w czterech powieściach Kraszewskiego, które powieściami filozoficznymi nazwać by można: *Pod Włoskim Niebem* z roku 1845, *Pamiętniki Nieznajomego* z r. 1846, *Sfiox* z r. 1847 i *Tomko Fraszczko*, napisany w roku 1849 a wydany 1852. Z nich dwie pierwsze wykazują cały urok, jaki wywarł idealizm Platona i Hegla na wrażliwy umysł naszego pisarza, podczas gdy *Sfiox* i *Tomko* Prawdziej napisane już są pod wpływem spokojniejszej, dojrzałszej rozważy, zdającej sobie sprawę ze swych poglądów i dążeń.

Fantazja: *Pod Włoskim Niebem* przepelnięta jest zdaniem o sprzeczności, stanowiącej prawo zasadnicze, istotę wszechświata. Autor widocznie po raz pierwszy całą siłą uderzonym został tą myślą i dla tego wypowiada ją ciągle na nowo, i ciągle w innej formie wśród innego nastroju duchowego. „Świat, wola, to wieczna gra sprzeczności i ułgowisko wzajemne rzeczy, uczuć, czynów. Poezya nra się prozie, proza poezyi, bogactwo nędzy, geniusz głupstwu, władza niemocy, zdrowie chorobie, niesienie rachubie, przypadek projektom, ludzie ludziom, natura synom swoim“.... „Wszystko w świecie jest dziwną sprzecznością, jest walką dwóch żywiołów, dwóch pierwiastków chłodu i gorąca, sztyderstwa i uczucia“. — Na zapytanie zaś, czem jest człowiek w obec tego ruchu, wywołanego przez prawo sprzeczności, otrzymujemy odpowiedź: *Robaczkiem nieczemnym*. Jedyne jego przeznaczenie i szczęście, to życie dla ogółu. Dla niego wyrzec się powinien samego siebie, swego *ja*. „Namiętność, mówi autor, to *ja*, a wielka myśl, której człowiek sprężyną, narzędziem, to dobro ludzkości, to dzieło zbiorowej potęgi. Namiętność jakże drobna w obec myśli, dla dobra ogółu poświęcającej wszystko

wcieleniu siebie w żywot, w czyn“. Więc wyrzeczenie się namiętności dla myśli ogólnej oto nauka tej powiastki, wypowiedziana w obec bohatera, złamanego na duchu i cielesie.—

Bardziej szczegółowo zaznacza Kraszewski swe ówczesne poglądy na świat i życie w *Pamiętnikach nieznajomego*. Na samym wstępie powieści pyta autor: „Co to życie? co to życie?“ „Wszystko żyje a nikt nie wie, co życie. Każdy je tłumaczy ze swego stanowiska, a zgodzić się dwóch nie może na jedno“. Powieść ma dać odpowiedź na tę tajemniczą zagadkę.

Przeżywszy gorzkie koleje życia, Juliusz dorabia się odpowiedzi na owo zasadnicze zapytanie. Polega ona na zrozumieniu prawa życiowego postępu, które zdolnem jest pogodzić każdego z sobą i z losem. Życie, mówi, to nieustanna walka sprzecznych żywiołów i sił, w której przejawia się myśl rozumna, boża, w której rozwija się i doskonali sam duch. Plakać nad rozchwianiem się ideałów młodzieńczych, nad niemożnością osiągnięcia wymarzonego szczęścia, nad śmiercią i złem nawet — jest niedorzecznością, — bo to wszystko jest koniecznym pierwiastkiem samego życia, wchodzi w skład jego, jako czynnik rozwoju, postępu duchowego. „Przeszłość, mówi, jest szczeblem dla przyszłości, posłaniem jutra. Na zwaliskach wykwitają nowe budowy rąk ludzkich, lub różnobarwne twory Boże... Co było, to jest i będzie zawsze, — nie smućmy się... Wszystko, co wielkie, co wieczne, pogodne jest i wesołego oblicza... Co z ducha było, nie umrze; co suknią ducha, opada, jako szata. Ziemia nie płacze ludzkiemu pogrzebom, bo w tejże chwili obchodzi czyjeś narodziny. Śmierć i życie mienią się, jako pogoda i chmury. Co się stało, było potrzebnem i koniecznem, co koniecznem, jest dobrém... Co dziś znikło, jutro się odradza; wszystko więc jest wiecznem; zjawisko tylko trwa chwilę, istota trwa wieki“. „Wszystko, co jest, jest, jak być powinno: ściśle, najściślej sprawiedliwem“. „Smutek jak złe, jest fałszem, jest przemijającym czemś, co biernie dopomaga, jak ciemność do pojęcia jasności“.

W tym zaś ruchu życiowym, w tém doskonaleniu się ducha, człowiek wypelniać winien swe wyższe posłannictwo, w tym celu przedewszystkiem rzec się musi swego *ja* jednostkowego, swego szczęścia osobistego a żyć swym obowiązkiem, enocie, ogółowi. Kto widzi świat w stosunku ciągłym do swego *ja*, mówi autor, ten „nigdy nań nie spojrzal z wyższego, całość ogarniającego pu-

ktu, z którego indywidua nikną, ogół powstaje“.. „Aby świat pojąć i pokochać, trzeba nań spojrzeć z wysokości, z kąda wzrok płonących chat, ani wyróconych miast, ani kośćmi zasłanym pobjowisk krwawych nie dojrzy; tylko piętrzące się góry, zielone doliny i niebieskie wód przestrzenie i wielkie linie rosnących grodów i zasiane pola złociste“. „Nigdy ze stanowiska *osobistego* nie dojrzy się nic wielkiego, nie prawdziwego, tylko szczegóły, które przez się wzięte są fałszami, bo mają znaczenie tylko w całości potężnej, której są nierozdzieloną częścią.“ „Jakże majestatyczna natura! woła autor na inném miejscu. Jak wspaniała ze swą objętnością dla jednostek, piastując na łonie nie pojedynczości znikome, ale wiekuiste rodzajów i pokoleń idee.“ Werther Göthego jest egoistą, bo w sobie tylko, w swych marzeniach i pamiętnościach szukał celu życia; gdy tymczasem ten tylko żyje prawdziwie, kto się siebie zapiera dla wszystkich. Bo przeznaczeniem człowieka nie jest szczęście, ale spełnienie powinności, ale wzniesienie moralne bojem, walką, cierpieniem, bogdaj męką całego życia. Cel człowieka zewnątrz niego; osobistość jego tonąć winna w ogromie, którego jest częścią. Zostaje mu zawsze pociecha, że się doskonalili, że postępuje naprzód; a właśnie iść wyżej i wyżej, to przeznaczenie człowieka i ludzkości. „Postęp! woła autor, czarodziejskie słowo, jest ruchem ku doskonałości“. Każdy wiek, każdy człowiek postępuje.

Oto myśli zasadnicze całej powieści. Ich geneza historyczna w filozofii Platona i Hegla nie może być wątpliwą. Do nich przyłącza się jeszcze wiara autora w dalszy postęp ducha po za śmiercią. Wiara ta uzupełnia powyższe monistyczne poglądy autora, chociaż ją trudno pogodzić z zaprzeczeniem jednostki osobistego ja, wypowiedzianem tak stanowczo powyżej. Jedynym łącznikiem między temi dwoma kierunkami myśli, monizmem i indywidualizmem, jest uwaga autora, że „życie postępu nie może się skończyć nicością, zgonem“, więc i duch po za śmiercią dalej żyć i rozwijać się musi. A ponieważ natura i prawo rozwoju niedopuszczają żadnych skoków gwałtownych, więc owe przyszłe życie ducha musi być dalszym ciągiem tutecznego rozwoju. Te rozumowania naprowadzają autora w kwestyi nieśmiertelności na owe stanowisko racjonalne, z którego już starożytność na życie przyszłe się zapatrywała, według którego nieśmiertelność nie jest własnością metafizyczną duszy, lecz wynikiem jej rozwoju moralnego. „U wrót śmierci, mówi,

autor, każdy jest tém, czém się uczynił przez życie: a kto nie powie w sercu swém, że zdobył stanowisko wyższe, kto nie może ani myślać, ani czynem usprawiedliwić swych praw do innego żywota, ten zapewne nie posiedzie go“. Bohater powieści, Juliusz, życie swoje poświęcił obowiązkom, cnotie, zrzekł się swych marzeń, najgłębszych pragnień serca dla dobra innych, on kroczył sumiennie po drodze swego udoskonalenia, więc też śmierć jego była według słowa autora „wesołem rozstaniem z utraconą pielgrzymką, prawdziwem do ładu przybićciem, zrzuceniem zapyłonych szat na progu gospody.“

Jeżeli główne myśli, wypowiedziane w fantazyi: *Pod Włoskiem Niebem* i w *Pamiętnikach nieznanego* wykazują bezpośredni wpływ Platonizmu i filozofii Hegla, to w następujących powieściach Kraszewski nie wyłamuje się bynajmniej z pod tego wpływu, zaznacza jednak z większym naciskiem swe tendencje życiowe i dąży do pogodzenia takowych ze swym nowym *filozoficznym* na świat poglądem. Po pierwszém, silnym wrażeniu, spowodowaném widocznie przez wzniosły polot myśli idealistycznej, następuje chwila refleksyi, zastanowienia. Uczucia wygórowane, przechodzące nieraz w sentymentalizm, medytacje niebolotne nad losami człowieka i świata, powracają do większego spokoju, i zdają sobie sprawę z własnej swojej treści. To wszystko razem ma za skutek większą dojrzałość sądu, krytyczniejsze zrównoważenie nowonabytej treści z dawnymi zasobami ducha. Autor już teraz nie oddaje się bezwarunkowo owym tendencjom panteistycznym, które go w pierwszej chwili, tak żywo i głęboko zajęły; on nie jest już bezwzględny platonikiem, szubującym po niebie ogólnych idei. Przypominając sobie znowu ziemię, wraca do niej, bierze na uwagę to wszystko, co go z nią łączy, a do tego należą przedewszystkiem jego własne, dawniejsze kierunki myśli, jego przekonania religijne, odziedziczone po ojcach, jego dążności piśmiennicze wśród realnych stosunków życia. Z niemi znowu pogodzić się musiał, aby stać się znowu sobą, aby nowe myśli, poglądy filozoficzne przeistoczyć na własną krew duchową, bo tylko wtedy mógł powrócić do wewnętrznej harmonii i kroczyć niezachwianie naprzód w kierunku raz wytkniętym. Ten proces wewnętrznej amalgamacji idealizmu Platona i Hegla z życiowemi dążnościami Kraszewskiego, z jego dawnymi zasobami w zakresie wierzeń religijnych, tendencji literacko-estetycznych, — przedstawia nam jak naj-

wyrażnięj powieść jego: *Sfinx*; to też zasługuje ona, abyśmy się z tego stanowiska nieco bliżej nad nią zastanowili.

Już zaraz na wstępie w przedmowie do pierwszego tomu *Sfinxa* napotykamy formalne wyznanie wiary Kraszewskiego, w którym on zaznacza swoje ówczesne stanowisko wśród dwóch przeciwległych kierunków czasu: postępowego, ożywionego głównie przez filozofią idealną, i zachowawczego, opartego, jak zawsze, na religii i tradycji dziejowej.

„Jedni, mówi Kraszewski w tej przedmowie, wrzeszczą o wywrót wiary i starych, jak zowią, przesądów dla nowego światła, które niosą, dla filozofii w ich mniemaniu nowój; drudzy trzymają się rękami i nogami wszystkiego, co stare, gotowi się cofnąć, byleby nie iść naprzód tylko, bo im ciemno na drodze i straszno..... Radbyn szczerze przekonać się o doskonałości jakiej literacko-socyalnej teorii, aby ją całemi popierać siłami; cóż, kiedy mnie żadna z nich nie zaspakaja... Czytelnicy a nawet estetycy nasi, nie mogąc się dopytać, co myślę, łatwiejszém i krótszém znaleźli, na stronę mnie odrzucić; wyrzekają, że nie mam myśli i systemu.... Cóżem winien, że wyłączni, a zatem niesprawiedliwi, pojąć nie możecie wszelkiego utworu, co do waszój nie przypada miary? Cóżem winien, że ultrakatolicy nazywacie mnie niereligijnym może, a neofilozofowie obskurantem? Winienem chyba, że, do żadnego z obu tak oznaczonych silnie nie należąc obozów, sam jeden idę z boku.... Nie chcę postępu całój przeszłości, lecz nie chcę też cofania się pod pozorem konserwacyi. Jedno równie szkodliwe, jak drugie. Filozofia, począwszy od Platona, powinna była nauczyć was, panowie, że prawda nie leży nigdy w ostatecznościach. Życie nie rozwija się ani na chłodu, ani na skwaru biegunie, ale w pośrednich umiarkowanych strefach.... Obu dziś walczącym stronnictwom, powiedzieliby można: Nie macie słuszności, a nie macie i mić nie będziecie, dopóki nienawisć dzielić was będzie, dopóki wzajemnie nie poznacie się lepiej. Bez miłości braterskiej, tej spójni powszechnej, nie się nie rodzi i nie trwa. Dla czegoż nie chcecie okiem prawdziwój filozofii z jednój strony, z drugiej okiem chrześcian prawdziwych spojrzeć na siebie? Dla czego nie przyznacie sobie wzajemnie prawdy, gdzie jest prawda, aby razem wytepić fałsz zastarzały, kędy on jest? Dla czego, miasto kłócić się o słowa, nie dobijacie się myśli? Wypadki filozofii, które wyraża socjalizm, nie sąż wypadkami

ewangelii? Chcecie braterstwa, miłości, dobra dla wszystkich a zwłaszcza dla tych, co cierpią wieki przez odwieczne niedbalstwo lub samolubstwo? Czegóż innego żąda i co innego nakazuje ewangelia? Coż przyszedł opowiadać Chrystus? Wielkie i za nowe dziś uważane słowa: ludzkości, postępu, braterstwa, miłości, pierwszy raz przysnęły ze krwią krzyża Golgoty. Wyście je przyswoili i uczynili wypadkiem własnej myśli, gdy w istocie one są tylko zapomnianem prawem Chrystusa. O cóż więc chodzi? O słowa! A potrzebaby było czynu. Tak jest, nie rozprawiać tyle o filozofii niemieckiej i katolicyzmie, a filozoficzniój i bardziej po katolicku żyć i działać!...

Słowa powyższe, pomimo swój tendencyi apologetycznej, świadczą jednak wymownie o tém, że studia filozoficzne naprowadziły Kraszewskiego na głębsze pojęcie Chrześcijaństwa i jego treści idealnej. Nie ma tu już mowy o jednostronnym dogmatyzmie, o wtłoczeniu wzniosłych dążeń Chrześcijaństwa w ciasne ramy tego lub owego stronnictwa religijnego, o lekceważeniu rozumu ludzkiego i zaniedbaniu szacunku i tolerancji dla obcych przekonań. To wszystko ustąpiło już przed pojęciem Chrześcijaństwa, jako potęgi etyczno-socyalnej, która w imię ludzkości, postępu, braterstwa i miłości pojednać winna walczące ze sobą stronnictwa, oderwać je od próżnego szernierstwa na słowa i wskazać im wspólną drogę do prawdy życiowej, do działania w imię owych wzniosłych idei.

W tym też duchu przedstawia nam autor dzieje wewnętrzne swego bohatera, rozwój jego pięknej duszy. Jan przejął od matki, wysłał z mlekiem głębokie uczucie religijne i z całym ciepłem młodzieńcem przyłączył do prawd swój wiary. Pod wpływem jednak doświadczeń życiowych i filozofii XVIII-go wieku, z którą się w Rzymie zapoznał, wiara jego zaczęła szwankować, na uczuciu religijnem zaszczerpił się sceptycyzm, niedowiarstwo. Ale ta negacya ustąpiła z czasem znowu; uczucie religijne odzyskało znowu prawa. Po przebytej jednak próbie, nie działało już ani instynktowo, ani w duchu owój prostoduszności, która ślepo się poddaje powagom zewnętrznym, lecz dążyło do samodzielnego przyswojenia sobie treści idealnej swych wierzeń, do ich filozoficznego pojęcia. Jan, wraz z autorem powieści, powiedział sobie: „Kto dał to światło, za pomocą którego walczą przeciwko wierze? kto zniszczył niewolę poganizmu? kto uznał braćmi świat cały? kto wyrzekł jedno prawo do nieśmier-

telności dla całego świata, jedną nagrodę za cnoty, jedne za występki kary? kto zaszczerpił pierwszy te myśli? Teraz odrodzone dzieci obracają się przeciwko matce. Nie pytają się i nie odpowiadają sobie: chrześcijaństwo, wiara nowa... Ta refleksja łączy poczucie religijne Jana i samego autora z filozoficznymi dążnościami czasu, i doprowadza go do przekonania o ich wewnętrznej zgodności, o duchu chrześcijańskim, przenikającym całą filozofią nowoczesną. Myśl zaś przyszłego życia, idea nieśmiertelności, jest i tutaj dla autora główną podstawą dla rozwiązania zagadki życia ludzkiego. „Chrześcijaństwo, mówi Jan w klasztorze, rozwiązało wszystko — drugim życiem... Pojąć człowieka bez drugiego życia niepodobna. Jest to frazes bez *słowa*; jest to coś niedokończonego, tajemniczego. Poeta, artysta, duchem wyższy nad innych, tém większą jest zagadką, bez téj myśli ostatecznej, co ją rozwiązuje... Człowiek *tworzy*, bo stworzony jest na podobieństwo Boże.”

Z jaką zaś tolerancją Kraszewski już teraz zapatruje się na inne kierunki filozoficzne, a szczególnie i na potępioną poprzednio tak bezwzględnie filozofią XVIII wieku; jaka w ogóle bestronność i rozległość charakteryzuje obecnie jego pogląd na dzieje filozofii XVIII wieku, o tém przekonywają nas te ustępy powieści, w których objaśnia wpływ filozofii XVIII wieku na ukształtowanie i przekonania Jana. Przyznaje tu Kraszewski, że w doktrynie XVIII wieku, którą wiek XIX przedłuża, jest niezaprzeczenie strona wielka i piękna, strona szlachetna i prawdziwa. Każdy w ogóle system ludzki, dodaje, najfałszywszy nawet, na jakiejś myśli wielkiej się opiera, inaczej nikogoby sobie nie zjednał. Nowość nie byłaby jeszcze dostateczną peną. Każda nauka nowa występuje w imię prawdy, co jej życie daje, co ją złości i podnosi. Fałsz rzadko jest w pierwszych zasadach, w duszach prawych i szlachetnych pierwszych obrońców nowej idei. Błędy rodzą się zazwyczaj dopiero z jednostronnego rozwinięcia i zastosowania owych zasad, z wniosków przewrotnych i niepraktycznych teorii epigonów. Podobnie i filozofia dawniejsza i nowa szły naprzód w imię ludzkości, walczyły o oświatę i wywrócenie zgubnych przesądów; lecz z czasem od tych pobudek szlachetnych zaszyły do pomysłów, których skutków nie wyrachowały, do doktryn sprzecznych z warunkami ludzkiego dobrobytu, z samą naturą człowieka. Te zboczenia nie naruszają jednak prawd zasadniczych, zgodnych z treścią idealną i dążnościami chrześcijaństwa.

I wstąpienie Jana do klasztoru wyprowadza Kraszewski bardziej z motywów etyczno-socjalnych, mających znaczenie ogólne, filozoficzne, niż z jakiegos dogmatyczno-kościelnego mistycyzmu, pozbawionego życiowej doniosłości. Argumenta, na korzyść klasztorów, jakie w przedmowie do III tomu *Sfinxa* przytacza, mają wysokie znaczenie, aż do chwili teraźniejszej, a może większe jeszcze w naszym czasie pesymizmu i samobójstwa, niż przed laty trzydziestu. „Wiem, mówi Kraszewski, że wielu może przeciwko zakończeniu powieści oburzać się będzie dziś, gdy klasztor wydaje im się siedliskiem gnuśnego próżnowania i szkodliwych przesądów. Mój bohater kończy w klasztorze! Okrzykają mnie za cofniętego i ślepea. Pozwalam. Lecz ci, co to wyrzekną, nie zastanowili się nigdy nad znaczeniem i potrzebą przytułku tego dla społeczeństwa, choćby je tylko ze stanowiska socjalnego uważać przyszło. Są egzystencje, są charaktery, są zagadki, które tylko eremy stare i monastery rozwiązać umiały”. Mnożą się, dodaje, samobójstwa cielesne i umysłowe, bo niema schronienia zboleiałym, rozczarowanym, zrozpaczonym. Nie ma gdzie odrodzić się, zerwać ze światem, przyoblec nowego człowieka, nowe imię i nowe życie. Człowiek nieszczęśliwy, zrozpaczony, w obliczu industrializmu i teorii dobrego bytu jest anomalia, czémś niewytłumaczonym, niepotrzebnym; więc zamiast w samotném ustroniu oderwać się od ziemi i zbliżyć się do Boga, widzi w samobójstwie jedyne swoje zbawienie.—I w samej rzeczy przyznać należy, że w naszych czasach niewątpliwie mniej byłoby czynów rozpacz i szaleństwa, ludzie złamani na duchu mniej by się targali na własne a może i obce życie, gdyby wśród społeczeństwa znaleźli schronienie samotne, odosobnione, dające im możność opuścić świat, nie tracąc życia. Nie powinien to być naturalnie przytułek dla próżniactwa, lub tchórzostwa, dla tych, którzy pracować nie chcą lub walki życiowej się boją, nie doznawszy jej wcale—lecz dla owych nieszczęśliwych, którzy padają pod ciosami losu, a zranieni na duchu mają takie samo prawo do opieki społecznej, jak wszyscy dotknięci cierpieniami ciała. Myśl przewodnia zatem *Sfinxa* i pod tym względem może służyć za dowód, że Kraszewski pod wpływem swych studyów filozoficznych dochodził do coraz głębszego poglądu na treść wiary religijnej i na jej urządzenia tradycyjne.

Pojęcie estetycznych Kraszewskiego, tak szeroko rozwiniętych w *Sfinxie*, pomimo ich związku z jego filozoficznymi zapatrywaniem

tutaj szczegółowo rozbiegać nie będziemy, gdyż są one przedmiotem osobnej rozprawy w niniejszej książce jubileuszowej. Dość tu tylko zaznaczyć, że Kraszewski i pod tym względem znajduje się jak najwyraźniej pod wpływem idealnych teorii Platona i Hegla, lubo wykazuje konieczną potrzebę uzupełnienia idealizmu prawdą życiową i głębszymi studjami nad dziejami sztuki.

Ostatnia z przytoczonych powyżej powieści, *Tomko Prawdzie*, zamyka jak najwyraźniej epokę studyów filozoficznych Kraszewskiego. Autor przedstawia nam tutaj młodzieńca, przejętego niepohamowaną miłością prawdy, badającego ją wszędzie, gdzie tylko się spodziewa, że ją znajdzie, że się zapozna z jej treścią jedyną, odwieczną, niezmienną. Dla tej prawdy upragnionej opuszcza Tomko i ojca i matkę, i dostatek domu rodzicielskiego, i ukochaną Małgosię. Idzie w świat cielecki i wszytko i wszytkich pyta o prawdę. Na drogę dodaje mu autor dwóch towarzyszy, będących upostaciowaniem zasad złego i dobrego, fałszu i prawdy rzeczywistej. Pierwszy z nich, baron Germann von Tuffell, rodzaj Mefistofelesa, sarkazmem iście szatańskim i wykazaniem sprzeczności w zdaniach ludzkich usiłuje podkopać zamiłowanie Tomka do prawdy i zaszczyć w niego niewiarę do wszystkiego, sceptycyzm. Drugi zaś, stary Dołęga, domorosły Dyogenes, dawny nauczyciel Tomka, idzie za nim niewidzialnie, ale w chwilach zwątpienia zjawia się, aby podtrzymać jego wiarę i pojednać go z myślą, że człowiek całkowicie, absolutnie prawdy poznać nie może, że prawda ludzka jest zawsze tylko odłamkiem prawdy najwyższej i że idea tej prawdy najwyższej i dążność do niej starczyć powinny człowiekowi za nią same. Process umysłowego rozwoju, doprowadzający Tomka do tego przekonania, przedstawiony jest w tej powieści allegorycznie, którą autor sam *bajką wierutną* nazywa, dość wyprawdnie pobieżnie, bez głębszych przejść i wstrząśnięć duchowych, ale zawsze bardzo dowcipnie i pod wpływem jasnej myśli przewodniej, pozostającej w ścisłym związku z ową zasadą, że żaden system filozoficzny nie może być ostatnim i najwyższym wyrazem prawdy.

Tomko, występując w świat, szuka najprzód prawdy w twórcach bożych. „Czyliż usta ludzkie, pyta, powiedzą kiedy więcęć nad nie o tajemnicach stworzenia i myśli przedwiecznej?” I w zachwycie woła: „Prawdą jest światło, prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko, co widzę!” Ale wnet zjawia się Mefistofeles i pyta: „A czemże będzie ciemność, śmierć, chłód i to czego

w tej chwili nie widzisz?” Pomimo tego Tomko bada przyrodę i zadaje pytanie po kolei wszystkim objawom stworzenia od kwiatka aż do zwierząt: co to prawda? Każdy w sposób samochwalezy odpowiada, że w nim samym jest prawda jedyna, najwyższa i przez to zadaje bezpośrednio kłam sam sobie. Dostaje się Tomko i pomiędzy ludzi, a przede wszystkim między teologów. Jest on świadkiem dysputy między księdzem, pastorem i protojerem. Widzi, jak protestant wynosi rozum ludzki, w który wierzy jedynie, jak w Boga, ocierając się o panteizm, podczas gdy katolik znowu odrzucał rozum całkowicie, mieniąc go narzędziem rozumienia, nie zaś rozumowania. Wszczynają się namiętne sprzeczki o łasce, o predestynacji, o pochodzeniu osób w Bogu, wreszcie o samych nawet obrzędach. Gdzie tu prawda? Tomko westchnął, spuścił głowę i umilkł. Jak w teologii, tak i w życiu społecznem prawdy nie znajduje. Demokracja i arystokracja, wieś i miasto, młodość zarozumiała i uparta starość, wszystko walczy ze sobą. Pozostaje tylko jeszcze nauka, ale i tutaj Tomko natrafia tylko albo na otwarte wyznanie niepewności, niedostateczności poznania ludzkiego, albo też zarozumiałość i samochwalstwo. Astronom wychwala, jako jedyną probierz prawdy, rachunek, chociaż wyznać musi, że przy jego pomocy niemożna rozwiązać wszystkich zagadnień. Fizyk i chemik sprowadzają wszystko do materji; zoolog widzi prawdę najwyższą w nerwach i mózgu, ale jeden i drugi nie mogą objaśnić, co to jest duch? Logik wychwala analizę i syntezę, chociaż obie nie chronią od błędów i fałszu. Filozof stariej daty jest w teorii scholastykiem a w życiu lichwiarzem. Przedstawiciel filozofii niemieckiej weseli się z przyjaciółmi, gra w karty i pali lulkę, a zresztą kontentuje się, że idzie ślepo za Kantem i Niemcami. Zwolennik zaś najnowszej mądrości jest sobie bezwzględny materja-listą, nie może wprawdzie powiedzieć, co to są siły materji i z kąd pochodzi porządek świata, ale to bynajmniej nie zawadza, że ma twarz rumianą i prowadzi życie bez trosk i skrupułów. Wreszcie i historia filozofii, upostaciowana w badaczni obłąkanym, który prawdę, jako rybę, na wędkę złowić usiłuje, nie doprowadza Tomka do rozwiązania wielkiej zagadki, i tutaj każdy wychwala swoje teorie lub też wyznaje, że prawda nie jest dostępną dla człowieka. To wszystko wreszcie zrazić musiało Tomka, ostudzić do ostatka jego zapal do prawdy. Zobojętniał na wszystko, i szedł dalej bezmyślnie, nie pytając już o prawdę ani świata,

ani ludzi, ani siebie, ani Boga. Po głowie mu tylko chodzą słowa: „Prawda! Jest prawda! Niema prawdy! Wszystko jest prawdą! Wszystko jest fałszem, wszystko ułudą”. W tém na szczęście nadszedł znowu stary Dolega i, prowadząc zniechęconego do domu, objaśnia rzecz całą i dodaje otuchy do życia i pracy. „Szukałeś prawdy absolutnej, jedynę, mówi Dolega, w zdaniu jedném, w miejscu i kątku pewném, w kilku słowach ludzkich zamkniętej, w wyłącznej jakiejś istocie, w jednym rodzaju żywota, a prawda nie jest ani w słowie jedném, ani w chwili jedynę, ani w jednej istocie, ani w myśli ludzkiej tylko. Prawdą jest wszystko, co istnieje, prawda jest życie, byt a najwyższą prawdą jest źródło żywota — Bóg.... Prawda jest złotą nicią wśród szarej tkanki, przesuwającą się po wszystkich tworach, we wszystkich żywota godzinach. Różne jej strony widzisz w różnych Boga dzielach; nigdzie jej całej niema... Wszystko co jest, jest i nie jest. Byt łączący się z nicością i zlewa. Prawda — to nieskończona zmiana, niepochwyciona rozmaitość, zawsze w sobie jedna. Nie szukaj jej ani na dnie studni, ani na górze w gwiazdach; wisi między niebem a ziemią, jedną nogą tu, a drugą tam. Prawda—to może środek ciężkości między materią a duchem... Prawda—to nie twoje coś urojonego, co byś chciał palcem rozmazać: jest w tobie, za tobą, wszędzie, ale wszędzie po troszę.... W pierś ludzką tylko jest to pojęcie potężne jedności i całości prawdy, które starczy za nią samą... Jest to przeczucie świata, w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiem się w Bogu w całość połączym.... W nauce prawdą jest, że nie zpełna nie umiemy, że na najwyższym szczeblu umiejętności ludzie upokorzeni wołają: wiemy, że więcéj jest daleko nad to, co umiemy i rozumem naszym dojść możemy... W świecie moralnym zaś prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spójenie z jej losami.... Czyn jest wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki. Człowiek, co nie wie, prócz pierwszych prawd, z którymi się urodził, a które rozwinęły w nim życie pocziwe i

pracowite, często wyższy jest od mędrca, co wszystko wie, w nic nie wierzy i nic nie czyni.”

Oto ostateczne wyniki studyów filozoficznych Kraszewskiego. Ich treść sama za siebie przemawia i łączy się ściśle ze wszystkiém, cośmy dotąd o poglądach filozoficznych Kraszewskiego powiedzieli. Zauważmy tu tylko, że nacisk, jaki w ostatnich ustępach kładzie na pierwszeństwo życia i czynu nad wiedzą i poznaniem, praktyki moralnej nad teorią filozoficzną, zaznacza zarazem i pewien zwrot w jego własnych dążnościach umysłowych i piśmienniczych. Życie praktyczne z całym realizmem swych potrzeb i zadań, z całą tragicznością swych walk i zawikłań, przystępowało coraz bardziej do naszego pisarza i domagało się coraz rozleglejszego uwzględnienia. To też widzimy, że zakres jego działalności coraz bardziej się rozszerza. Udział jego w życiu społeczném staje się coraz czynniejszym, wpływ na opinią publiczną coraz większym, a wspólnie z tem wyradza się i coraz bardziej potrzeba głębszego dotknięcia kwestyi społecznych, rozjaśnienie pytań o ustroju i dążnościach społeczeństwa, o zadaniach jego kierowników, o jego przeszłości. To wszystko w naturalnym przebiegu rzeczy odprowadza Kraszewskiego nie tylko od studyów teoretycznych nad filozofią, lecz i od traktowania problemów filozoficznych w powieściach. Tendencje filozoficzne ustępują przed socyalnemi; powieść społeczna i historyczna występuje na plan pierwszy, staje się czynnikiem górującym w pracy około dobra powszechnego. Mając na uwadze ten nowy zwrot w działalności piśmienniczej Kraszewskiego, możnaby powiedzieć, że po dwóch poprzednich okresach tej działalności: romantyczno - religijnym i filozoficznym, nadszedł trzeci: historyczno-społeczny, w którym kwestye praktyczne i doświadczenie dziejowe stały się dla naszego pisarza głównemi bodźcami pracy i twórczości. Rzecz naturalna, że podział taki nie może być nigdy wyłącznym i tylko z lekka zaznacza panujące tendencje i kierunki myśli. W jakim stosunku znajduje się ten nowy okres działalności Kraszewskiego do dalszych postępów myśli filozoficznej jego czasu?

III.

Wpływ roku 1848 na stan społeczeństw europejskich i na kierunek myśli filozoficznej. — Panowanie poglądów realistycznych. — Ich ogólna charakterystyka. — Dążności idealistyczne wśród panującego ducha czasu. — Zwrot chwili obecnej ku idealistycznym tendencyjom w zakresie przyrodoznawstwa i życia społecznego. — Stosunek Kraszewskiego do powyższych dążeń czasu. — Charakter jego zajęć filozoficznych w tym okresie. — Główne momenta jego zwrotu od idealizmu do rzeczywistości: nastrój pesymistyczny, wiara w lepszą przyszłość i wymaganie pracy organicznej. — Charakterystyka każdego z tych momentów. — Pesymizm Kraszewskiego. Powieść bez tytułu. Abracadabra. Hymn boleści i Wioska. Choroby wieku. Wieczory wolskie. Poglądy Kraszewskiego na życie przyszłe. Trapezologion. Mogiły. Zasady etyczne Kraszewskiego. Podróż do miasteczka. Metamorfozy. Odczyty o cywilizacji w Polsce. Studium obyczajowe nad Rejem. — Wzmianka o powieściach, w których Kraszewski rozwija szczegółowo swe poglądy społeczne. — Treść jego mądrości życiowej: „Życie chorobą — lekarstwem praca.“

Rok 1848 zaznacza zwrot stanowczy w rozwoju i dążnościach społeczeństw europejskich. Zamyka on z jednej strony epokę romantyczną na wszystkich polach działalności życiowej i umysłowej, a z drugiej strony rozpoczyna epokę realizmu, będącego najwydatniejszym znamiem drugiej połowy bieżącego wieku.

Jeżeli życie polityczne do roku 1848 toczy się przeważnie pod wpływem pewnych ideałów państwowych, których urzeczywistnienie, pomimo panującej u sfer rządowych reakcyi, było głównym celem wszelkich ruchów narodowych, — to po roku 1848 w skutek prawnego zrównoważenia dwóch składowych czynników życia państwowego: rządu i narodu, większość społeczeństw europejskich uspokoiła się pod względem politycznym, przyjęła dane prawne stosunki za punkt wyjścia dla swych dalszych dążeń i na tym realnym gruncie pracowała nad rozwojem urządzeń i form państwowych. Ideały i utopie, w ogóle romantyzm polityczny, ustępował coraz bardziej przed realną polityką interesów. Zarówno państwo w ogóle, jak i każde stronnictwo w życiu państwowem, każda cząstka składowa społeczności, oglądały się przedewszystkiem na realne stosunki życia i dbały o to, aby wśród nich zabezpieczyć swoje najbliższe interesa. Względ na wzrost przemysłu i rozwój handlu, w ogóle na dobrobyt materialny stał się w skutek tego panującym we wszystkich warstwach społecznych. Ekonomia polityczna z całą potęgą swych realnych wymagań i potrzeb przezwyciężyła romantyzm polityczny, jego ideały i walki o najdoskonalsze formy życia państwowego.

Z usatkwianiem się zaś stosunków politycznych, tak silnie naprężonych od czasów wielkiej rewolucyi francuskiej, ze zwrotem społeczeństw do pracy około utrwalenia dobrobytu materialnego, zmienił się i cały kierunek myśli nowszych czasów, wszystkie

nieomal dążności w zakresie nauki i filozofii, sztuki i poezyi, moralności i religii. Wszędzie idealizm, romantyzm, wiara, przestały być głównymi czynnikami życia i rozwoju, zstąpiły na plan drugi, zmuszone mimo wielkich wysiłków, poruczyć kierownictwo duchem czasu, prądom realistycznym różnych odcieni. Nauka zaczynała dowierzać wyłącznie tylko wynikom doświadczenia zmysłowego, zachowując się skeptycznie względem wszystkich idealistycznych polotów myśli. W filozofii cieszyły się największą popularnością teorie materialistyczne, lub też kierunek pozytywistyczny Comte'a. Sztuką zawładnęło zamięłowanie do techniki, schlebienie zmysłom, i naśladownictwo przyrody. Twórczość poetyczna osłabła, ześrodkowała się prawie wyłącznie na powieści i dramacie o efektach drażniących nerwy i charakterystyce przesadnej, biorącej za tło najniższe namiętności. Szlachetne porywy duszy i całą moralność indywidualną i społeczną wyprowadzano znowu z pobudek egoizmu i z prawa niezłomnej konieczności, a praktyka życiowa stosowała się coraz bardziej do tych teorii samolubstwa i niezależności od wyższych praw moralnych. Religia utraciła swój urok idealny w świadomości czasu i nawet obrońcy jej posilkują się nią teraz głównie, jako środkiem dla rozszerzenia swęj władzy i osiągnięcia celów stronnictw. Jednym słowem, na wszystkich polach działalności ludzkiej wiara w ideał transcendentálny, pozaświatowy, w prawdę dla prawdy, w piękno dla piękna, w dobro dla dobra, słabnie widocznie, a na jej miejscu występuje walka o najbliższe interesa życiowe, o dobro realne doczesnego bytu, widzialne i dotykalne. Zasada idealizmu: jednostka dla ogółu, wymaganie jego, aby indywidualność poddała się bezwzględnie ogółowi, i przynosiła jemu w ofierze nie tylko swe dążności i swój dobrobyt, lecz i samę siebie, wymaganie to, jak widzieliśmy, tak ściśle połączone z filo-

zofią panteistyczną okresu heglowskiego, — przedstawia się teraz prawie wszystkim, jako wyrób filozoficznego romantyzmu, doprowadzający do przesady i sprzeczności z nieugiętymi prawami bytu. W miejsce tego wymagania występuje znowu wszędzie zasada odwrotna: ogół dla jednostki, zasada indywidualizmu i osobistości. Ogół w przekonaniu czasu ma o tyle tylko pewną wartość, o ile przysparza dobrobyt jednostki, o ile jest środkiem dla urzeczywistnienia jej potrzeb i dążeń. Ztąd słabnie coraz bardziej szacunek dla wszelkiego ogółu, nie przynoszącego jednostkom bezpośredniej dotykanej korzyści, nie mającego utylitarniej racji bytu. Państwo, społeczność i kościół, nauka, sztuka i religia, prawda, piękno i dobro, nie są cenione same przez się, w imię swjej treści idealnej, lecz poddać się muszą rozbirowi krytycznemu ze stanowiska indywidualnego, każda jednostka z osobna poczuwa się do prawa wypowiedzenia ostatecznego słowa o ich wartości w miarę swych osobistych zapatrywań, pojęć i interesów.

Nie mamy obecnie powodu zapuszczenia się głębiej w charakterystykę i ocenę powyższych dążeń naszego czasu. Chcąc jednak określić stosunek Kraszewskiego do myśli filozoficznej ostatnich lat trzydziestu, musimy zastanowić się nieco bliżej nad losami filozofii po upadku systematu Hegla.

Zwrot do realizmu we wszystkich dziedzinach życia i myśli był wynikiem zupełnie naturalnej reakcji przeciwko długoletnim wpływom idealizmu. Po zaburzeniach rewolucyjnych i spowodowanem przez nie rozprężeniu moralnem, narody, jak widzieliśmy, z chęciwością oddały się wszelkim czynnikom, które zdolne były rozpaść masy znowu skupić, połączyć, zachęcić do nległości dla ogółu, do pracy fizycznej i umysłowej, a do tego religia i filozofia panteistyczna były najsukuteczniejszymi bodźcami. Z czasem jednak, gdy cel tego idealistycznego polotu ducha osiągnięty został, gdy dzięki jego wpływom zapanował znowu spokój nad umysłami, a porządek jaki taki w ustroju społecznym, jednostka, indywidualność, znowu wystąpiła na plan pierwszy, a z nią i kierunek realistyczny w życiu i myśli.

Człowiek przeciętny jest idealistą zwykle tylko w potrzebie; w dostatku zaś realistą. Idealizm jest filozofią pociechy i zachęty dla znękanego, realizm zaś filozofią użycia dla zadowolonego z siebie i z życia. Póki człowiek wędruje materialnej czy duchowej, dopóty wierzy i w Boga i w wyższy porządek świata, jako w jedyną rękojmnię przy-

szłości dla siebie; z chwilą zaś, gdy mu się dobrze dziać zaczyna, sprowadza zwykle wszystko do samego siebie, wierzy tylko w to, co widzi, zatapia się w teraźniejszość i w jej zabezpieczeniu i przedłużeniu szuka szczęścia swego. Teraz już wstydy się swj dawnj dziecięcej wiary w Boga, swj nległości dla wyższego porządku świata, siła i materya stają się dla niego jedynymi czynnikami bytu, jedynymi warunkami postępu i rozwoju. Nie dziw tedy, że po roku 1848 z chwilą coraz większego utrwalenia dobrobytu materialnego i filozofia materialistyczna stała się znowu, podobnie jak w końcu XVIII wieku, filozofią popularną, w którą wierzył każdy, kto miał z czego żyć a przytém pragnął uchodzić za człowieka wykształconego.

Ale, jak człowiek przeciętny nie staje nigdy na czele ruchu życiowego, nie kieruje nim, nie przewiduje przyszłości, lecz przedstawia tylko ogólny wypadek przeszłości, wyraża tylko sposób myślenia mass, ulegających mimo wiedzy i woli pewnym ideom przewodnim, — tak też i filozofia popularna, chociaż charakteryzuje jak najwierniej ducha powszechności, nie reprezentuje jednak ani wyłącznego, ani najgłówniejszego nawet czynnika pracy myślowej danego czasu. Wśród poglądów popularnych, będących dotykającym wyrazem przeszłości, kiełkują i rozwijają się niepostrzeżenie nasiona przyszłości, które zwolna tylko działają na nspobienie ogółu, a na szerszą widownię występują tylko wtedy, gdy zmiana stosunków życiowych sprzyja ich rozpowszechnieniu. Tak wśród ciemności średniowiecznej samotny, prześladowany mnich Roger Bakon wygłaszał nowe a pełne doniosłości idee, które dopiero w trzyista lat później zjednały powszechne uznanie jego znakomitemu imiennikowi Bakonowi Werulamskiemu. Tak Kant na grunt oschłego racjonalizmu i sceptycznego sensualizmu rzuca w XVIII wieku ziarna myśli, które dopiero w XIX nalezyicie rozwinąć się miały. Tak wśród najsilniejszego rozrostu idealizmu Hegla kiełkuje pesymizm Schopenhauera i pozytywizm Comte'a, chociaż na szerszą widownię występują dopiero w naszych czasach. Podobnie i wśród panujących w drugiej połowie naszego wieku poglądów materialistycznych działają dążności filozoficzne, które prawdopodobnie zmienią obecny kierunek myśli powszechnej, nadadzą mu inny charakter, gdy tylko zewnętrzne okoliczności przygotują ducha narodów do takiej zmiany.

Idealizm zbyt głęboko tkwi w naturze ludzkiej, zbyt ściśle się łączy z istotą ru-

chu umysłowego człowieka, z jego dążnościami na polu nauki, sztuki i życia, aby świat zmysłowy i doczesność, w ogóle realizm, mogły trwale zawładnąć myślą ludzką, stać się wyłączną cechą jej działania i rozwoju. I największe rozpowszechnienie poglądów realistycznych, najsilniejsze przekonanie większości myślicieli i oświeconych danego czasu, że źródłem prawdy i nauki nie jest duch, idea, lecz świat zmysłowy i jego metodyczne badanie, nie zdoła przegłuszyć idealnych potrzeb człowieka, nie zdoła zrobić z niego istoty, kontentującej się swym istnieniem zmysłowym, jako jedynym celem i przeznaczeniem swoim. Ztąd też i wśród realistycznych kierunków nowszych czasów, reprezentowanych przez gruby materializm Vogta, Büchnera, Moleschotta i ich zwolenników, jak i przez subtelniejsze teorie pozytywizmu, które pomimo zaprzeczenia metafizycznym wynikiem materializmu, opierają się jednak na wspólnych z nim zasadach, — i wśród tych kierunków napotykaemy cały szereg dążeń idealistycznych, które z większą lub mniejszą siłą, oddziałując na umysły, ograniczają jednostronny rozwój realizmu, i przygotowują nowy zwrot w życiu umysłowym naszego czasu. Te dążności idealistyczne podlegają wprawdzie dotąd jeszcze chaotycznemu nieomal rozprężeniu. Nie są one jeszcze należycie zastosowane do zmienionych potrzeb ducha. Nie spożytkowały jeszcze należycie prawd, zawartych w realistycznych dążnościach czasu dla wyświecenia własnej doniosłości i prawdy. Przeciwnie, pierwiastki realistyczne rozstrajają jeszcze dotąd zbyt znacznie idealizm, nie dają mu dojść do owiej jednolitości zasad i poglądów, która jest niezbędną, aby zawładnąć myślą powszechną. Pod sztandarem idealizmu rozwijają się obecnie zbyt różnorodne, często nawet wyłączające się nawzajem kierunki myśli. Pomimo swój ogólniej tendencji idealistycznej doprowadzają one jednak jeszcze do zbyt różnorodnych wyników, aby realistyczny duch czasu mógł się przekonać o ich znaczeniu dla umysłu i życia. Obok myślicieli, podejmujących poszukiwania krytyczne Kanta, dowodzących, że należyte rozjaśnienie stosunku zmysłu ludzkiego do rzeczywistości, subjektu do obiektu, powinno być pierwszą podstawą wszelkiej nauki i filozofii, napotykaemy w zakresie idealizmu najnowszego przedstawicieli wyrobionych już wszechstronnie systematów filozoficznych, jako to monadologii Herbart'a, filozofii natury Schellinga lub Hegla. Są tu wskrzesiciele pesymizmu Schopenhauera, który w gruncie rzeczy, mimo woli i wiedzy,

jest objawem najsilniejszej reakcji idealistycznej przeciwko materializmowi, bo wykazuje, że świat pozbawiony zasady rozumowej i człowiek poddany bezwzględnie prawom przyrody fizycznej, nie godzien jest nawet bytu i tylko przez swoje unicestwienie dojść może do upragnionego spokoju. Obok tego pesymizmu liczne znówu grono pracowników, nie ulegających tym tendencyom negacyjnym, dąży do syntetycznego na świat poglądu, do poglądu, mającego na celu zrównoważenie dwóch pierwiastków składowych bytu i natury ludzkiej, materii i duszy, wrażeń zmysłowych i rozumu. Ale każdy z powyższych kierunków idealistycznych rozwija się dotąd samoistnie, nie troszczy się o solidarne połączenie z innemi, w nadziei, że o własnych siłach dobije się z czasem prawdy a w skutek tego i powszechnego uznania. I to właśnie osłabia w chwili obecnej wpływ idealizmu na usposobienie ogółu, który niedopatrując się wewnętrznej spójni we wszystkich kierunkach idealistycznych, skłania się chętniej do realizmu, odznaczającego się większą prostotą zasad i solidarnością wszystkich swych odcienn. Pomimo to jednak wpływ idealizmu na dążności umysłowe naszego czasu istnieje i występuje co raz bardziej na jaw w dziedzinach, które do ostatniej chwili uchodziły za główną podstawę realizmu, w dziedzinach przyrodoznawstwa i życia społecznego. Wpływ ten idealizmu na samę siedzibę przeciwników jest najwymowniejszym dowodem jego wewnętrznej żywotności, i rokuje mu lepszą przyszłość pomimo hałaśliwej opozycji realizmu.

Zwrot najnowszego przyrodoznawstwa w kierunku idealistycznym jest równie widoczny, jak doniosły. Z końcem piętego i na początku szóstego dziesięcia bieżącego wieku, teorie materialistyczne występowały z niesłychaną śmiałością i w oczach większości przyrodników uchodziły za jedyną podstawę badań naukowych, za konieczną ich konsekwencją. Nadto charakterystycznym znamięm ówczesnego materializmu była z jednej strony dogmatyczna wiara w materię i jej wszechwładne panowanie, a z drugiej lekceważenie głębszych poszukiwań filozoficznych, domagających się krytycznego rozbioru samych zasad wszelkiego na świat poglądu. Dzisiaj nastąpiła już pod temi względami znaczna zmiana. Materializm, jako ogólny na świat pogląd, dziś już nie cieszy się tą wziętością, jak przed laty dwudziestu. Dziś już zdarza się, że zwolennicy materializmu, pracujący skrycie w jego duchu, wyrzekają się jednak otwarcie jego

zasad, które uznane zostały za nader wątpliwe, a w każdym razie nie za pewniejsze od zasad bezwzględного idealizmu Hegla, od którego się z lekceważeniem odwrócono. Dziś już czynniki filozoficzne wkradają się w najpozytywniejsze z pozoru teorie przyrodnicze, a przez to materializm schodzi coraz bardziej na plan dalszy. Jedność sił przyrody i ewolucjonizm Darwina zmuszają samych przyrodników do zburzenia owych murów chińskich, które dawniej odgraniczały specjalistów od siebie. Każdy prawdziwy przyrodnik dziś znowu stać się musi filozofem natury, obejmującym całość przyrody jednym rzutem oka, zdającym sobie sprawę z wewnętrznej spójni, która najróżnorodniejsze z pozoru objawy łączy w jeden dziwnie uporządkowany wszechświat. Tendencja zatem do uogólniania, jednoczenia, tendencja syntetyczna znowu wstępuje w swoje prawa, nawet wśród samych przyrodników, którzy dotąd byli głównymi propagatorami specjalizacji. A tendencja ta jest zawsze oznaką panowania jednolitego ducha nad mnogością wrażeń zmysłowych, idei nad rzeczywistością. Zwrot tedy w tym kierunku dość jest wyraźny, ograniczając z każdym dniem bardziej jednostronny rozwój realizmu.

Drugim nie mniej ważnym motorem, zwracającym umysł w kierunku idealistycznym, są stosunki socjalne najnowszych czasów. Teorie moralne materializmu, które oddziaływały prawie na całą dojrzwającą w chwili obecnej generację, obdarzając społeczność swemi owocami praktycznymi. Ciągłe powtarzanie zdania, że człowiek jest wyrobem potęg bezmyślnych, że własną samodzielną wolą i moralną energią niczego dokonać nie może, bo jej wcale nie posiada, że cnota i występki są takimi samymi objawami przyrody, jak pogoda lub burza, że zasady moralne są względne, a zatem nikogo bezwzględnie nie obowiązują — tego rodzaju zdania wraz z lekceważeniem religii, wiary w lepszą przyszłość ducha i w wyższe jego przeznaczenie, — muszą z czasem usamowolnić, jak niedojrzałą młodzież, tak i nieoświecone masy społeczeństwa. Po ich stronie jest niewątpliwie siła fizyczna. Gdyby tedy doszło do ich przekonania, że ta siła fizyczna jest wszystkim na świecie, że względy religijne i moralne, krepujące jej działanie, są tylko idealistycznymi przesadami, z których oświecony człowiek otrząść się może i powinien; — natenczas wyrwót obecnego porządku społecznego byłby rzeczą konieczną. Nie prawo, moralność i intelligencja, lecz potęga fizyczna zawładnęłaby społe-

czeństwem. A chociaż nikt nie przypuszcza, aby stan taki mógł być trwałym, — gdyż w człowieku zawsze znowu pierwiastek duchowy, idealny, zawładnie nad brutalną siłą fizyczną, — dowodzi tego przynajmniej historia, — to jednak każdy wyzna, że sam eksperyment tego rodzaju, choćby chwilowy, nie mógłby wyjść na korzyść społeczeństwu. Więc zwrot do przekonań idealistycznych na polu moralności praktycznej, religii, prawa i ustroju społecznego; uznanie wysokiej doniosłości tych czynników dla prawidłowego rozwoju narodów; pragnienie podniesienia etycznej skali powszechności — to wszystko tém się przedstawi ogółowi konieczniejszym, im groźniejsze będzie położenie społeczne. A kto wie, czy w niedalekiej przyszłości przewroty społeczne nie spowodują bujnego rozrostu idealizmu, podobnego do tego, który na początku bieżącego wieku wywołały przewroty polityczne.

Bądź co bądź, około całego szeregu powyższych dążeń idealistycznych skupiają się w chwili obecnej wszyscy ci, którzy dla jakichkolwiek powodów, teoretycznych lub praktycznych, naukowych czy społecznych, pogodzić się nie mogą z panującym kierunkiem myśli; wszyscy, którzy w podtrzymywaniu tradycji idealistycznych i w ich należytych rozwoju, stosownie do potrzeb czasu upatrują konieczny warunek dalszego postępu ludzkości.

Rzecz naturalna, że do tych idealistów należy i Kraszewski. I on, pomimo całej swjej wrażliwości na ducha czasu i jego tendencje, pomimo szczerzego udziału we wszystkich dążnościach postępowych, jednak jest i pozostanie idealistą; zawsze walczyć będzie pod sztandarem ducha przeciwko teoryom, nadającym mu tylko podrzędne stanowisko w dziejach świata i ludzkości. Nie tylko usposobienie przyrodzone, poparte przez wychowanie i tradycję, lecz i własne, samodzielne przekonanie, wyrobione wśród doświadczeń życiowych i studyów filozoficznych, utwierdziło naszego pisarza w tych poglądach idealizmu. A chociaż różne kierunki realistyczne czasu wpłynęły pod niejednym względem na sposób myślenia i pisanja Kraszewskiego, to jednak te nowe czynniki odgrywają u niego zawsze tylko rolę środków pomocniczych, przyczyniających się raczej do podniesienia i ożywienia prawd idealnych, niż do ich osłabienia. Pomimo to jednak ten idealizm Kraszewskiego z biegiem czasu i ze zmianą jego ducha podlegał pewnym modyfikacyom, przyjmował różne formy, które domagają się bliższego wyjaśnienia.

Już w końcu ostatniego rozdziału wspomnieliśmy, że z zamknięciem samodzielnych studyów filozoficznych Kraszewski zwrócił myśl swą przeważnie do kwestyi historyczno-społecznych i w ich powieściowem przedstawieniu szukał głównego zadania swęj dalszėj pracy piśmienniczej. Zadanie to znajduje się też w jak najściślejszym związku z postępem czasu, z realnemi interesami, które po roku 1848, jak widzieliśmy, zawaładnęły myślą powszechną. Wszystkie prawie powieści Kraszewskiego, poczynsz od roku 1850 aż po najnowsze czasy, nacechowane są zwrotem do rzeczywistości, ku przedstawieniu i rozbirowi tego, co *jest*. Prawda życiowa i historyczna, obserwacya stosunków społecznych i stanów psychicznych, chęć odtworzenia rzeczywistości z całą mnogością jęj szczegółowych objawów, — oto główne czynniki tego działalności piśmienniczej w tym ostatnim okresie. Kraszewski pojmnie teraz coraz głębiej tę niezaprzeczoną prawdę zdrowego realizmu, że rzeczy o ile można same za siebie przemawiać winny, że zatem i dzieło sztuki działać winno bardziej swą treścią przedmiotową, obiektywną, niż swemi tendencyami podmiotowemi. Te stanowią wprawdzie o wartości idealnej utworu, zaznaczają myśl przewodnią, ożywiająca całość, — ale pomimo to niepowinny się nigdy natrętnie narzucać widzowi, nie powinny się wylaamywać z pod wymagań prawdy realnej i przedmiotowości. Inaczej sztuka zamiast przedstawienia życia przyrody i ducha, w całej pełni ich rzeczywistych objawów, podobną się staje do owych wymarzonych duchów średniowiecznych, któremi straszono lud nieoświecony, w zamiarze zapewne zwrócenia myśli jego ku światu nadzmysłowemu, ale bez osiągnięcia tego celu, gdyż prawda tylko a nie ułuda, zdolną jest rzeczywiście podnieść człowieka na wyższy szczebel życia wewnętrznego i moralnienia. Kraszewski naturalnie nie mógł i nie potrzebował rzec się wszelkiej tendencyjności; — przeciwnie ona była warunkiem idealnego polotu jego myśli, i występowała na jaw jeszcze nieraz zbyt nawet silnie; — ale zwrot ku realizmowi nadał tym tendencyom charakter odmienny, i nadto miał za skutek wyższe artystyczne wykończenie utworów, doskonalszą harmonią między ich treścią i formą, między ich myślą przewodnią i sposobem jęj urzeczywistnienia.

Z powyższej ogólnej charakterystyki ostatniego okresu działalności piśmienniczej Kraszewskiego wynika bezpośrednio, że filozofia, w naukowem znaczeniu tego słowa, zstępuje

coraz bardziej na plan dalszy. Nie było w tym okresie żadnego systematu górnjącego, godnego bliższėj uwagi ze stanowiska ogólnie ludzkich i narodowych potrzeb, zajętego przez naszego pisarza. Nie znajdował on tedy w tym czasie żadnej zachęty do specjalnego studyowania nowych objawów myśli filozoficznej po Heglu. Liczne korespondencye z tego okresu do wszystkich prawie pism peryodycznych dowodzą wprawdzie, że się Kraszewski oзнакомиł ze wszystkiemi nowemi objawami na polu filozofii, że jego uwadze nie uszedł żaden charakterystyczny zwrot życia umysłowego u nas i u obcych. W ten sposób dotyka on niejednokrotnie, nietylko teoryi materializmu, lecz wspomina i o pozytywizmie Comte'a, o Darwinizmie i jego zwolennikach z Haecklem na czele, o nowszych formach pesymizmu, szczególniej Hartmanna, o dążnościach syntetycznych w zakresie filozofii, z któremi najbardziej sympatyzuje i t. d. Ale wszystkie tego rodzaju wzmianki sprawozdawcze nie mają z natury rzeczy za zadanie szczegółowego rozbiaru odnośnych zasad filozoficznych i dla tego też nie wydają bliżej poglądów Kraszewskiego na świat i życie. Zresztą zwrot myśli jego do historyi i spraw społecznych ograniczył zarazem i zakres przedmiotów dla głębszego zajęcia filozoficznego. Tylko pytania *etyczne*, pozostające w ścisłym związku ze sprawami społecznymi, oraz kwestya o życiu przyszłym, powiązana znowu z etyką, zajmują go żywiej w tym okresie i podają nam bogatszy materiał do wykładu jego poglądów. A w skutek tego główną treść wszystkich tendencyi filozoficznych Kraszewskiego w tym okresie stanowi moralna ocena rzeczywistości, doprowadzająca zazwyczaj do rezultatów pesymistycznych, oraz wiara w wyższe przeznaczenie ducha.

W obec tego stanu rzeczy, zadanie nasze określenia stosunku Kraszewskiego do filozoficznych dążeń ostatnich lat trzydziestu nie jest zbyt rozległym. Chcąc jednak w tych samych, co dotąd, ramach przedstawić główne momenta w rozwoju filozoficznych tendencyi naszego pisarza, wypada nam przedewszystkiem wyjaśnić bliżej właśnie ów zwrot jego idealizmu Hegla, który w okresie poprzedzającym tak silny wywierał wpływ na niego, do coraz szerszego uwzględnienia realnych stosunków społeczeństwa; — zwrot dokonywający się powoli, nieznacznie, a charakteryzujący zarazem stronę filozoficzną wszystkich nowych utworów Kraszewskiego.

Heglizm wygłaszał dwie główne zasady: jedną teoretyczną (metafizyczną), że wszy-

stko, co jest, jest rozumném; drugą praktyczną (moralną), że jednostka wyrzuci się winna samą siebie dla ogółu. Kraszewski, jak widzieliśmy, w pierwszej chwili skłaniał się widocznie, jak do jednej, tak i do drugiej z tych zasad. Jemu zaimponowała początkowo wewnętrzna konsekwencja, idealna wzniosłość obydwóch tych zasad. Ale wkrótce, gdy pierwsze wrażenie osłabło, gdy rzeczywistość i życie przytłumiły idealistyczny polot myśli, wystąpiła znowu na jaw krytyka, a z niej w świadomości naszego pisarza zwyciężko wyjść mogło tylko to, co się zgadzało z jego własnym usposobieniem, z jego organizacją umysłową i jej stopniowym rozwojem. Przyrodzone zaś usposobienie idealistyczne Kraszewskiego i głęboko w duszy jego zaszczerpione prawdy chrześcijańskie trwale go zjednać mogły tylko dla owęj zasady etycznej idealizmu, która łączy się jak najściślej z wymaganiem rzeczywiście chrześcijańskim poświęcenia i ofiary jednostki dla ogółu. To też przy tej zasadzie etycznej obstawał Kraszewski niezmiennie przez całe swe życie; a filozofia idealistyczna upewniła go tylko w prawdzie tej zasady i rozjaśniła mu jej głębokomyślnie znaczenie. Ale za to czysto racjonalne treści metafizycznej zasady Heglizmu, zasady o bezwzględnej logiczności wszystkiego, co jest, długo ostać się nie mogły w obec zmysłu obserwacyjnego naszego pisarza. Ten zmysł, pomimo idealistycznych skłonności Kraszewskiego, łączył go zbyt silnie z rzeczywistością, z dążnościami realistycznymi czasu, aby się mógł trwale pogodzić z owymi zdaniami, które jeszcze sam w *Pamiętnikach nieznanym* wygłaszał, że „wszystko, co się stało, jest koniecznym i dobrem,” że „wszystko, co jest, jest, jak być powinno, ściśle, najściślej sprawiedliwem.” Dla wypowiedzenia i konsekwentnego przeprowadzenia podobnych poglądów zająć należałoby stanowisko bezwzględne, wysoko unoszące się po nad rzeczywistość, jej cierpienia i rozkosze, jej potrzeby i dążności; należałoby z pewnym stoicyzmem lekceważyć jednostkę i wszystko, co ją bliżej obchodzi, a poprzestawać na jednej tylko abstrakcyjnej myśli ogółu. Ta zimna zaś sfera logicznego ogółu, rozwijająca się kosztem serca i uczucia, kosztem wszystkiego, co dotyczy człowieka, jako żywej indywidualności, nie mogła długo zadowalniać Kraszewskiego. Potrzeby chwili, cierpienia jednostki, jej stan rzeczywisty i warunki jego udoskonalenia, zajmowały zawsze myśl naszego pisarza i nadały jego własnym dążnościom kierunek tak stanowczy, że z niego

trwale sprowadzić go nie mogły żadne abstrakcyjne filozoficzne. Wobec też względ na te stosunki realne i współczucie dla doli i niedoli społeczeństwa, dla jego rozwoju i postępu, wkrótce zawiadnąć musiał całą myślą Kraszewskiego i sprowadzić go znowu z owych wysokości, „z kądem, jak kiedyś mówił, wzrok płonących chat, ani wywróconych miast, ani kośćmi zasłanych pobojowisk krwawych nie dojrz,” na ziemię, do tego padole płaczu i walki.

Ten zwrot od metafizycznych tendencji heglizmu, od jego idealizmu abstrakcyjnego, do uwzględnienia realnych potrzeb i stosunków społeczeństwa, dokonywa się w Kraszewskim z natury rzeczy nie nagle, lecz jest wynikiem pewnego wewnętrznego rozwoju i zaznacza się w kilku wydatnych momentach.

Pierwszym charakterystycznym objawem tego zwrotu do rzeczywistości jest pesymistyczne zapatrywanie się na wszystkie prawie stosunki doczesnego życia, głęboki smutek z powodu fizycznej i moralnej niedzi człowieka. Pesymizm tego rodzaju jest zawsze wynikiem bliższego zetknięcia się idealizmu z rzeczywistością. Nie mogąc pozostać w sferze transcendentnej, której swe pochodzenie zawdzięcza, zmuszony siłą realnej ciężkości zająć pewne stanowisko wśród świata rzeczywistego, idealizm jednostronny staje się zwykle surowym sędzią realnych stosunków życia; a ponieważ one naturalnie nigdy nie odpowiadają jego wymaganiom, przeto sąd jego nie może wypaść zadawalniającym. Ztąd rodzą się narzekania na to, co *jest*; niechęć do rzeczywistości, potępienie wszystkiego, co nie jest ideałem lub do niego nie dąży; jednem słowem, nastrój pesymistyczny umysłu. To też nie dziw, że i Kraszewski, zstępując z wysokości idealizmu do życia rzeczywistego, w pierwszej chwili uległ temu pesymizmowi i uwydatnił go w różnych utworach, szczególnie z pierwszego dziesiętka lat w mowie będącej epoki.

Ow pesymistyczny nastrój idealizmu w zetknięciu z rzeczywistością jest jednak zawsze z natury swojej tylko stanem przejściowym, na którym się nikt, kto konsekwentnie myśli i działa, zatrzymać nie może. Z tego czyśca pesymistycznego wyrodić się musi koniecznie albo bezwzględne niedowiarstwo, absolutny nihilizm, widzący w nicości jedyną cel i kres istnienia; albo też etyczny pogląd na niedoskonałość życiową i wiara w lepszą przyszłość. W istocie, byłoby niegodną człowieka bezmyślnością narzekać na to, co jest, bez zdania sobie sprawy z celu,

do którego ruch chwili dąży. A tym celem może być tylko albo postęp, udoskonalenie, zatem lepsza przyszłość, albo coraz większy rozrost pierwiastków złego, a w skutek tego ostateczny upadek. Trzecia zaś możliwość: uwiecznienie niedoskonałej teraźniejszości, dowodzenie, że *status quo* trwać będzie *in perpetuum*, nie daloby się tak łatwo pogodzić z niezaprzeczonym faktem *rozwoju* stosunków ludzkich, a w każdym razie równałoby się w gruncie rzeczy nihilizmowi, bo by przyznało, że nie rozum jest istotą bytu i że nicość, brak wszelkiego życia i ruchu, byłoby lepsze rozumniejsze od życia i ruchu, poddane prawu wiecznie powtarzającej się, bezcelowej walki i niedoskonałości. Bo w istocie w obec danego położenia rzeczy stajemy z konieczności tylko przed dwiema ostatecznościami: albo wymagania i prawa naszego rozumu, jego idealizm, który jest podstawą wszelkich naszych poglądów na świat i życie, zasługuje na nasze zaufanie, jako prawo powszechne istnienia,—a wtedy niemożemy się wyrzec optymizmu wiary w ostateczne zwycięstwo rozumu nad nierozumem; wtedy najcięższe nawet przejścia życiowe muszą mieć jakiś cel, odpowiadający wyższemu przeznaczeniu człowieka;—*albo* też ten nasz rozum ze wszystkimi swymi wymaganiami, z całym zasobem idealnych dążeń i celów, nie posiada istotnej wartości, nie może służyć za miarę dla oceny istoty i celów świata, nie ma nic wspólnego z prawami ślepej konieczności bytu;— a w takim razie porzucimy go zupełnie, jako narzędzie tępe, do niczego nie przydatne, ograniczymy jego działalność do minimum, nie rozumiemy, jeżeli można, wcale o niczym a oddajmy się ową buddystyczną bezmyślności, która nie dręczy się próżnemi wysiłkami, nie pracuje nad polepszeniem tego, co z natury rzeczy zmienionem być nie może. Ta bezmyślność, ta apatya umysłowa doprowadzi nas najprędzej do spokoju, pojedna z całą niegodziwością i bezcelowością istnienia, da nam zapomnieć o naszych iluzjach i zatopi bezpowrotnie w Nirwanę, owo wychwalane źródło wiecznego odpoczynku i szczęścia. Jeżeli zaś sami pesymiści wzdrygają się przed tą konsekwencją samobójczą, jeżeli oni sami posilkują się rozumem nie tylko w praktyce życiowej, lecz i dla celów filozoficznych, dla oceny świata, dla ferowania najwyższych wyroków o jego doskonałości lub niedoskonałości,— przez te samo zadają klam swój teorii o nierozumie świata, który ich ową władzą krytyczną obdarzył, i ludzkości, do której sami należą, nie

mając się bynajmniej za upośledzonych na umyśle.

Wśród tych to ostateczności, które się siłą wewnętrznej konsekwencji z pesymistycznego nastroju ducha wyradzają, Kraszewski naturalnie skłaniać się musiał na stronę prawą, dodatnią, na stronę, mającą niedoskonałość realną tylko za moment przejściowy ogólnego rozwoju ku lepszemu, za moment prawdziwego postępu, który, przebywając różne fazy, doprowadza wreszcie do celu zadawalającego i czyniącego zadość wyższym wymaganiom rozumu i serca. Idealizm pozytywny, posiadający z samego początku pewną siłę żywotną, nie może dojść do nihilistycznej rozpacz Schopenhauera i Hartmanna. On zachowa zawsze swoją treść zasadniczą, pomimo najśroźszych doświadczeń życiowych. Może on zmodyfikować swój pogląd na rzeczywistość, przyznać fakt niedoskonałości, przyznać, że nie wszystko, co jest, jest rozumne, lecz nie może wyrzucić się samego siebie, dać się bezwzględnie przysięgnąć ciężarem rzeczywistości. Pesymizm ma wprowadzić niezaprzeczoną podstawę empiryczną w niedoskonałości i przewrotności stosunków życiowych, ale pomimo to, póki w człowieku czynną jest jeszcze idealna potęga ducha, samodzielna energia, świadomy swego znaczenia rozum, będący krytyczną podstawą pesymizmu, dopóty wznosić się będzie po nad to, co jest, do tego, co być *powinno*, dopóty wierzyć będzie w swoją przyszłość, ściśle połączoną z ostatecznem zwycięstwem idealnych wymagań rozumu nad chwilową rzeczywistością. I też tylko tego rodzaju wiara we własny nasz rozum i w rozum wszelkiego bytu przewyciężyć może ową niechęć pesymizmu do rzeczywistości, pogodzić idealizm ze światem, doprowadzić do prawdziwego spokoju ducha, zachęcić do owej pracy organicznej, która nie znajduje swego zadowolenia w niszczeniu, lecz buduje sumienne i oehocz, w niezachwianem zaufaniu, że owoców swego trudu nie oddaje w ręce bezcelowej konieczności lub ślepego przypadku, lecz porucza je rozumnej, celowo działającej Opatrzności. I to też jest w samej rzeczy pogląd, do którego Kraszewski, przebywszy zaznaczone fazy pesymizmu, ostatecznie dochodzi i który jaknajdobitniej charakteryzuje główne tendencje jego pism z ostatnich lat kilkunastu.

Według tego, co się powyżej rzekło, w ostatnim okresie działalności piśmienniczej Kraszewskiego wypada nam rozróżnić trzy wydatne momenta, odnośnie do naszego przedmiotu, jakimi są: pesymistyczne

niezadowolenie z rzeczywistości, wiara w wyższe przeznaczenie i lepszą przyszłość ducha, wreszcie wymaganie sumienia i wytrwałej pracy, jako niezbędnego środka zarówno dla moralnego udoskonalenia człowieka, jak i dla polepszenia stosunków społecznych. Nie mogąc z natury rzeczy wykazać tych trzech momentów w całym obszarze działalności piśmienniczej Kraszewskiego z ostatnich lat 30, pragniemy tutaj zaznaczyć tylko ich rysy charakterystyczne, o ile takowe budzą żywszy interes ze stanowiska filozoficznego. Z góry jednak zawnaczyć musimy, że te momenta nie mają u Kraszewskiego znaczenia jakichś bezwzględnie samodzielných epok lub zwrotów jego życia umysłowego, następujących po sobie w porządku ściśle chronologicznym. Bynajmniej; momenta te działają w Kraszewskim, że tak powiem równolegle, składają się razem na myśl zasadniczą główniejszych jego utworów od roku 1850 do chwili obecnej. Ale w różnych chwilach tego czasu ta lub owa z powyższych tendencji góruje nad pozostałymi, a w każdym razie punkt wyjścia i ostateczny wyńik umysłowego postępu naszego pisarza w całej tej epoce, odpowiada owym zasadniczym momentom rozwoju i idealizmu w zetknięciu z rzeczywistością. Wykaże się to zaraz nieco bliżej.

Przebiegając myślą losy większości bohaterów Kraszewskiego przekonujemy się, że one zazwyczaj bardzo są smutne. Najsłabsze charaktery, poświęcające się swym obowiązkom i idei, prowadzą zazwyczaj życie męczeńskie, upadają, jeśli nie moralnie, to fizycznie, w walce z przeciwnościami, podczas gdy złe i niecnota zwyciężają i dochodzą do pewnego, choćby bezmyślnego dobrobytu. Nadto w każdej prawie powieści żelazna ręka choroby i śmierci lub innych sił przyrody, odgrywa nader ważną rolę, przysparza bohaterom niepokoju i cierpienia, i zaznacza nieraz w sposób bardzo nawet rzewny, owe smutne przeznaczenie, ciężące nad najwznioślejszymi dążnościami ziemskimi, przeznaczenie powolnego wędnięcia i zagłady. Pomimo to jednak pesymizm Kraszewskiego ma swoje cechy osobne i odróżnia się wybitnie od podobnego kierunku myśli nowszych powieściopisarzy. Kraszewski, pomimo wszelkiego pesymizmu, nie lubuje się we wstrętnych stronach bytu ludzkiego i nie odtwarza z szatańskim zadowoleniem tego tylko, co pożyza człowieka, co obudza obrzydzenie i niechęć do życia. Pesymizm jego nie szuka pokarmu w jakich nadzwyczajnych objawach

nędzy lub podłości; nie zstępnuje do owych najniższych sfer społecznych, które są najwidoczniejszym nosobieniem upadku ludzkości pod każdym względem. Kraszewski pozostaje prawie zawsze w granicach życia codziennego; jego pesymizm rozwija się na tle zwykłych naturalnych stosunków społecznych, ma charakter spokojny, nieomal sielankowy, wypływający z przedmiotowego przedstawienia prawdy życiowej, jej objawów normalnych, powszechnie znanych, bez wszelkiej chęci jątrzenia siebie i innych gwałtownym rozrywaniem ran społecznych, bez owiej wyszukaniej przesady i owego dramatyzmu rozpacz, który rozstraja i denerwuje. Podobnież z drugiej strony, Kraszewski w swym pesymizmie nie cofa się bynajmniej do owego subiektywnego byronizmu, który go tak żywo zajął na wstępie do zawodu pisarskiego. Wzgląd na świat rzeczywisty, zresztą dojrzałość umysłu i poważny pogląd na życie, nie pozwoliły mu już odgrywać romantycznej roli pelikana, szarpiącego własne wnętrze. Byłby to anachronizm, niemożliwy u Kraszewskiego, który zawsze idzie naprzód z postępem czasu. Z tem wszystkiem jednak, nie można powiedzieć, aby nastrój pesymistyczny był mniej głębokim u naszego pisarza, niż u większości pesymistów z profesyi. Przeciwnie, im tło jego powieści jest naturalniejsze i prostsze, im bardziej w bohaterach jego widzimy ludzi prawdziwych, wziętych z rzeczywistości codzienniej, tem nędza życia silniej działa na nas, głębiej porywa, bo nieprzedstawia się jako objaw wyjątkowy, lecz jako prawo powszechne, któremu każdy bezwzględnie poddać się musi.

Ten spokój w pesymizmie Kraszewskiego, ta uległość, nieraz zbyt może bierna, dla cierpienia tego życia, wypływa bezpośrednio z owiej wiary w ideały ducha ludzkiego i w ich ostateczne zwycięztwo, o której mówiliśmy powyżej. Stosując te ideały do rzeczywistości, widząc, że one wśród danych stosunków życiowych, w obec wad i przewrotności natury ludzkiej ziścić się nie mogą, Kraszewski staje się wprawdzie pesymistą na równi z Schoppenhauerm, ale wiara w przyszłość ducha i w jego dalszy rozwój, pogląd na tutejsze życie, jako na szkołę przygotowawczą do coraz wyższej doskonałości, łagodzi jego pesymizm, ocala go od rozpacz, nihilizmu, złorzeczenia Bogu, światu i ludzkości.

Za wyraz typowy wszystkich powyższych czynników, charakteryzujących tendencje Kraszewskiego w tym nowym okresie, slu-

żyć może jedna z najpiękniejszych i najgłębiej pomyślanych powieści jego t. j. *Powieść bez tytułu*, pierwszy większy utwór w okresie, o którym mówimy, napisany w roku 1854, a wydany w rok później.

Jakież głębokie współczucie obudza w samej rzeczy dola Stanisława, który wędnie, marnieje w kwiecie życia niezrozumianego przez tych, których kocha, znienawidzony przez braci po piórze, wyzyskiwany przez wszystkich! Prawda, że w znacznej części sam był powodem swój niedoli; jego nieradność, brak wszelkiej praktyczności, jego upór i duma, wreszcie miłość nieszczęsna, przeciwna zakorzenionym przesądom społecznym, — czyniły go niezdarnym do życia wśród srogięj rzeczywistości. Ale cóż, kiedy pomimo to, potępiamy bardziej tę srogą rzeczywistość, niż wady bohatera, płynące ze szlachetnego źródła! Cóż, kiedy wolelibyśmy przeistoczyć rzeczywistość, niż zmienić charakter i usposobienie bohatera! Dla niego czujemy sympatyę; rzeczywistość zaś, wśród której żyje, osądzamy jako przewrotną, nierozumną, a chociaż jej zmienić nie możemy, to przynajmniej w duchu przeciw niej walczymy, odmawiamy jej naszego uznania, potępiamy ją, jako sprzeczną z tém, co wedle naszego widzenia być powinno. Oto istota pesymistycznego nastroju ducha.

Ile to razy wspólnie z nieszczęsnym Szarskim zmuszeni jesteście zawołać: „Al Świat! Świat! Co to za stekowisko brudów! Jaka kałuża błota! I w pośród niej, wśród tego rozlanego powodzią zepsucia, hańby, podłości, wszyscy, wszyscy tak upadliśmy duchem, że nikt nie śmie wstać, podnieść się i zarzycieć głośno na całą ziemię prorocstwem zniszczenia, potężnym wołaniem o pokutę i modlitwę!... Wleczem się, żyjem, odcieramy o zbrodnię, a od dzieciństwa takeśmy przywykli do zgulizny, takeśmy przesyleni temi wyziewami zatrutemi, tak nas spętała miłość gnuśnego spokoju, że w nieczyjjej piersi nie ozwie się braterstwem, poświęceniem, głos, co by może obudził śpiące w zdrtwieniu tłumy... Za młodu wzdryga się człowiek, staje, patrzy, a gdy odezwie się z podziwem czystej duszy, śmiech wywołuje tylko, — śmiech ten, jak wiatr pustyni, wysusza jego serce, i codzień uniej poczyną się dziwić zepsuciu, codzień słabiej odzywa się przeciwko niemu, obojętnieje, kamienieje, zamiera. I on nareszcie wrasta w tę potworną społeczność, z wierzechno świecąca od ogłady, wewnątrz spróchniała i zginiła!...“ Z tego stanowiska, całe życie przedstawia się znękanemu poecie, jako „pień porzuta westchnieniem i łza-

mi a zakończona śmiechem i ziewaniem!“ „Szkaradnym, woła, jest człowiek, okropna natura ludzka, litości godne nadzieje naszel!“ Najświętsze i najczulsze węzły rozrywa, najlepší się psują, a najtwardsi miękają.

Ta gorycz pesymistyczna nie ogranicza się jednak poglądem na samo życie człowieka. Stanisław dobrze pojmuje, że człowiek jest częstką większej całości i że tylko dla tego tak cierpi i marnieje, że znikomość i smutek są odwiecznym, prastarym prawem całej przyrody. „Fenomen serca ludzkiego, mówi, coraz zmieniającego barwy i starzejącego co chwila, powtarza się na żdźbale trawy, na kwiecie, na całym stworzeniu. Nic nie trwa, prócz tego, co nie ma życia. W miarę, jak na coraz doskonalsze zwracamy oko istoty, żywot ich widzimy uległym szybszemu wykształceniu i przedszej śmierci. Głazy leżą wieki na swych łożyskach, a ludzie mrą pokoleniami, nim jeden kamień mchem porośnie!“ W obec tego powszechnego prawa zniszczenia, wszystko, co ludzie wysoko cenią, przedstawia się autorowi lichem, poziomem, małuczkim. Niczem dla niego i „świat ze swemi drobnotkowami wielkościami, które pożerają uchodzące godziny, i ludzie ze swemi kłopotami dnioiwymi, i dzieje ze swym jednostajnym rozwojem jednej idei znikomości!“

Na tém czarném tle maluje autor z ciepłym serdecznym nieszczęsną dolę swego bohatera. Miłość go trzykrotnie zawodzi, a praca piśmiennicza, w imię idei i dobra powszechnego, staje się dla niego źródłem ciągłego niepokoju, bezustannych cierpień moralnych i fizycznych. Intrzygi zawistnych współzawodników, przewrotność i złośliwość krytyków, niesumienność wydawców, zatrują do szczytu jego życie. Spracowany, znękany, opuszczony przez wszystkich, z wyjątkiem jednego litościwego serca Marylki, którego szlachetność za późno poznał, umiera przedwcześnie, stając się jeszcze po śmierci przedmiotem ohydnej eksploatacji. Oto los poety, ideału wśród srogięj rzeczywistości!

Ten sam duch pesymistyczny przenika charakterystykę wszystkich innych postaci, w ogóle całą atmosferę powieści. Ileż smutnej prawdy w losach Anieli, Sary i Marylki, tych trzech sere, które Stanisław w życiu sobie zjednał, a z których żadnego nie miał nazwać swoim. Miłość wietrzna, zrozpaczona i niewczesna, oto cała treść tych sere niewieści! Ileż dalej współczucia obudza matka bolejąca pani Dormundowa i śmierć jej syna Karolka! Ile litości i żalu wywołuje całe pozostałe otoczenie

Stanisława z Bazylewiczem na czele. Są tam wprawdzie i postacie dodatnie, jak doktor Brandt, Szczerba, Płacha, ale i z nich przemawia na każdym kroku niezadowolenie ze świata i życia, a w najlepszym razie rezygnacya, przyjmująca istniejący porządek rzeczy z większym lub mniejszym spokojem duszy, z większym lub mniejszym udziałem we własnej i obcej doli lub niedoli. Wszystkim zaś rzeczywistość wydaje się złą i przewrotną!

Jedynemi oazami wśród tej pustyni życia są w powieści dla Szarskiego a z nim i dla naszego pisarza: poczucie spełnienia pewnych obowiązków w życiu i wiara w lepszą przyszłość. Na wszystkie starania ludzi, żeby zniechęcić poetę do życia i pracy, Stanisław odpowiada: „I najskromniejsze powołanie jest powołaniem, i najmniejsze słówko jest słowem, i jedna iskierka ducha jest duchem, a kto ją zje w chlebie lub zagasi ze strachu, — przeklęty!“ A pod koniec swego żywota mówi do Hipolita: „Dawno szukałem słowa zagadki tego świata i znaleźć go nie mogłem długo; teraz schwyciłem je nareszcie!... Świat nie jest celem i końcem, ale przejścia drogą; trzeba więc przezeń ruszać szybko, nieczwie, prosto, na wrota zwrócone mając oczy, nie bardzo dbając, jak się tu nam powiedzie!“ Na zarzut zaś, że to jest oklepanka odwieczna, Stanisław, jako prawdziwy filozof życia, słusznie odpowiada: „Wszakże wielkie prawdy kryją się w oklepankach, któremi ludzie rzucają, jak nierozgryzionemi orzechami, nie przechodząc za ich łupinę; prawdy te przechodzą mimo nas co chwila, jak przebrani za żebraków książęta, mijani wejrzeniem obojętnym.... Dla tego ja się szczególniejsz bacznie przypatruję nie excentrycznym pomysłom, w których często strój i forma stanowią całą nowość, ale oklepankom w podartym chodzącym lachmaniem!“

To podniesienie prawd codziennych, życiowych, i oddanie im pierwszeństwa przed wszelkimi „pomysłami excentrycznymi,“ pozostaje w ścisłym związku z ogólnym zwrotem Kraszewskiego do tendencji realistycznych i występuje na jaw i w tej powieści jeszcze kilkakrotnie w różnych obrazach społecznych. Najcharakterystyczniejszemi pod tym względem były wieczorki literackie u filozofki pani Lidzkiej. Na tych wieczorkach jaśniały owe pomysły excentryczne, które autor przeciwstawia oklepanym prawdom życiowym. Tam sama gospodyni puszczała się w wykłady panteizmu i heglizmu, zagrożonego, jak mówiła, przez obskurantów. Tam radzono nad o-

broną idei, zasad, ducha, postępu i tym podobnych wielkich słów, „które, jak chorągwie, powiewały nad paplaniną téj czerechy.“ Tam pan Płucha, zgrany i pijany, wołał nieustannie o zwrot do pierwotnego chrześcijaństwa, do czystej nauki Chrystusowej, a pan Brukiewka, dobroduszny historyzof, poświęcał się misyji stworzenia filozofii historii krajowej. Był on naturalnie heglistą i filozofem z niemiecka, choć pisał nieustannie o myśli rodowej, duchu rodowym i charakterze rodowym. Wszystkie tego rodzaju dążności pseudofilozoficzne godne są tylko pogardy i śmiechu w oczach autora, który teraz już tylko w najprostszych prawdach życiowych, w sumiennej i wytrwałej pracy dla dobra innych i w wierze w lepszą przyszłość widzi prawdziwe zadanie człowieka.

Jak głęboko Kraszewski w samą rzecz odczuwał całą nędzę tegoczesnego bytu, — o tém świadczy wymownie jego fragment o Doktorze *Abracadabrze*, napisany w r. 1857, a wydany w dwa lata później wraz z *Megilami*. Opisując życie i charakter tego kolegi uniwersyteckiego Iwona Draga, przezwanego *Abracadabram*, autor w żywych barwach maluje serce zniechęcone do świata, zbolale zupełnie widokiem jego przewrotności i nędzy. Jestto rodzaj Fausta, który nie mogąc zaspokoić swego pragnienia wiedzy, nie mogąc, jak mówi, zajrzeć na dno wielkiej tajemnicy świata i życia, wpada w pesymizm, widzi we wszystkiem złe tylko strony i szuka w końcu zapomnienia swych bólów serdecznych w beznadziejnym życiu wielkiego dygnitarza sybaryty. Nienlega wątpliwości, że w *Abracadabrze* odzwierciedla autor w znacznej części własny swój stan umysłu i serca, własne zniechęcenie do świata i życia w owym czasie. Dla tego też poglądy *Abracadabry* przedstawiają ciekawy materiał do zapoznania się z czynnikami, które w owej chwili nurtowały w duchu naszego pisarza.

„Dziwne przeznaczenie, woła *Abracadabra*, moźolić się, pracować, boleć, tulać, walczyć, podnosić duchem, i potem znowu na upokorzenie, starzejąc, tracić wszystkie możolnie nabyte władze, słabnąć, niszczyć, zapominać, ziębnąć, by umrzeć prawie tak głupim, jak się urodził!“.. Nie mniej pocieszającym jest pogląd jego na całą ludzkość i jej dzieje: „Ród ludzki, mówi, składa się po większej części z cieląt ze skrzydłami, udających anioły i cieląt z rogami, któreby rade za dyabły uchodzić, — przecież cielę cielęciem!“ W życiu, w nauce, wszę-

dzie, występuje na jaw ta njemna strona człowieka i całej ludzkości. „Wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawy, a *on*, wielkie X nieznane, tylko dla tego, aby trójkę Platonowską dopełnić.“ W obec takiego stanu rzeczy byłoby niedorzecznością spodziewać się czegokolwiek zbawionego po literaturze, nauce lub sztuce. To wszystko nie prócz szwargotania, zabawka, popisy dziecinne, niepotrzebne powtarzanie komunalów, które jutro znów zostaną zapomniane. Dawne czasy, to jeszcze miały, według zdania Abracadabra, jakieś samodzielne życie, w nich jeszcze tu i owdzie zabłąsnał duch wyższy. To też i dziś jeszcze, kto pragnie ochłody i pokrzepienia duchowego, powrócić musi do Biblii, Homera, do Liwiusza i Tacyty, do Augustyna i Tomaszka, do poezji hymnów kościelnych, do marzeń scholastycznych, w których przynajmniej działa jeszcze młodzieńcza siła; gdy tymczasem wysiłki umysłowe naszego wieku przypominają umizgi ośmdziesięcioletniego starca, któremu zbiera się na miłość i imaginacją i zebrać się nie może. Ale i ta dawna wychwalana przeszłość, choć o wiele wyższa od teraźniejszości, ostać się nie może przed sądem krytycznym pesymisty; i ona nie jest niczem innem, tylko ulownym objawem dziejów kulawego plebienia. Ludzkość, jak w dawnych, tak i w nowych czasach, nigdy niezakreśliła jakiegos nowego wielkiego koła, w jej dziejach powtarza się wiekiście jeden temat z wariacjami mniej lub więcej udatnionymi, z tą tylko różnicą, że te wariacje pisze czasem Beethoven genialny a najczęściej niedołężny partacz! Wprawdzie w nowszych czasach, ciągnie dalej Abracadabra, nawołują na nowo do wiary i z niej spodziewają się odrodzenia ludzkości. Ale jakże ufać tym reformatom, kiedy sami wracają do wiary nie sercem, lecz głową tylko. „Wyrozumowaliśmy sobie potrzebę wiary tak, jak pożyteczność pewnych pokarmów.“ — „Zaczęła się propaganda na zimno, arystokracja uczuła się powołaną do protegowania wiary, i tak to sobie idzie, jak gdzieś indziej handel towarów, lub entrepriza komercyjna“... „Pięknie poubierane panie chodzą na strych nawracać i uczyć dzieci katechizmu, ale wieczorem tak samo jadą na teatr, gdy moda zawoła, i, mówiąc o braterstwie w Chrystusie, pieczętują się herbami swemi i noszą ze szlachectwem, jak paw z ogonem“. Wiara stała się po prostu rzeczą mody; „drukują się więc książeczki dla ludu, i hrabiowie piszą nowe ewangelie dla braci w Chrystusie, ale

zajrzą w serca tych panów, poszukaj i skierki w ich piersiach skostniałych!“ Jednym słowem wszystko źle na świecie, a polepszenia nie ma się czego spodziewać! Przecież to sam Abracadabra, ten surowy sędzia świata i ludzi, daje w końcu za wygraną wszelką idealniejszą dążność, ulega istnjącemu porządkowi rzeczy, nie walczy z nim czynnie, lecz kontentuje się ironizowaniem lekceważeniem świata i wytykaniem jego niedoleżtwa i śmieszności.

W tym fragmencie poczucie pesymistyczne Kraszewskiego znalazło najgłębszy, najbardziej filozoficzny wyraz, chociaż zawsze się ogranicza kwestyami praktycznego życia i nigdzie prawie nie wkracza w dziedzinę ogólnych zasad metafizycznych.

W formie poetycznej wyraża Kraszewski ten swój pesymistyczny nastrój ducha w *Hymnach boleści* z owego czasu (1857) i w *sielance* p. t. *Wioska* (1859). I tutaj wszędzie napotykamy to samo szukanie tęsknej odpowiedzi na pytanie—jaki cel tego życia, do czego prowadzą wszystkie losy nierozwikłane?

Gdzie idziecie, śpieszycie,
Ty śmierci i ty życie?
Gdzie wczoraj? gdzie są lata?
Gdzie przeszłe wieki świata?
Gdzie ojcowie, dziadowie?
Kto to wie, kto to powie!

I tutaj wszędzie to samo poczucie nędzy tego bytu, jego cierpienia, walk i przewrotności!

Życie—uragowisko! serce—przepaść czarna!
Szczęście—czyży sen młodości i ułuda marna!

Idziemy, jak pielgrzymi, aż do wrót zapartych,
Drogą bojów braterskich, drogą walka żartych,
Drogą lez krwawych i krwi, co wleży się zmienia,
Śpiewając wszyscy wielki hymn cierpienia!

Ale już i tutaj pesymizm poety przybiera coraz łagodniejszą formę, łącząc się z przekonaniem, że życie tuteczne jest tylko przejściem do lepszej przyszłości, że cierpienia, boleści, nie są zrządzeniami zawistnego losu, lecz niezbędnymi środkami etycznego rozwoju ducha ludzkiego, jego umoralnienia i postępu, bo w imię tego przekonania woła poeta:

Boleści, witam ciebie zstępującą z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
Postanko Boża! Dłoń twą z powszechnego chleba
Pokarm duszy wyciska, chleb niebieski czyni,
Sercem wielkim—tyś matką; mleka twego trzeba,
By wyrósł nim pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu

Najwyższym jednak, choć bynajmniej nie najgłębszym objawem niechęci Kraszewskiego do surowej rzeczywistości i do wszy-

stkich, którzy swe idealne potrzeby i dążności poddają realistycznym prądom czasu, są jego *Choroby wieku* z roku 1857. Tutaj reakcja idealistyczna przeciwko temu, co jest, co nawet wedle autora ma niezaprzeczoną rację bytu, staje się sama chorobą, przechodzi w stan gorączkowy, wywołany połączonemi siłami przesadnej sentymentalności i sztucznie naciąganego pesymizmu. Kraszewski w powieści tej potępia wszystko, co się nazywa postępiem na polu gospodarstwa wiejskiego, przemysłu i handlu. W imię starych nawyków do *nieładu naszego, do nieopatrności postępniej, do naszego ukochanego śmieciaka*, w imię poezji i malowniczości naszego kraju, w imię nakoniec uczucia i ducha, religii i moralności, protestuje jak najusilniej przeciwko wszelkim ulepszeniom ekonomicznym i przemysłowym, przeciwko wszelkim staraniom zamienienia, jak mówi, kraju bądź w pocyrkłowany ogród warzywny, bądź w warsztat lub kantor. To wszystko prowadzi tylko do zmateryalizowania narodu, do egoizmu, do zagłady serca i ducha. Wzorowo urządzony majątek ziemski Dembora razi go swą niewolniczą regularnością, swą fizyognomią *obcą, suchą i zimną*. Na widok podziału lasu na poręby woła: „Okropna rzecz z Bożej ziemi robić szachownicę!“. Porządek gospodarki Dembora, określający z góry zajęcia licznej służby, domagający się akuracności w spełnieniu obowiązków pod zagrożeniem kar pieniężnych, budzi w autorze wstręt,—bo podkopuje serdeczny stosunek domowników do pana, robi z człowieka maszynę. Ideałem autora natomiast są Solscy, którzy, wedle słów jego, więcej się rządzą ogólnemi zasadami religijnymi i sercem, aniżeli jakąś teorią z góry zabicloną, jakimś obrachunkiem i rozumowaniem. Oni, według autora, dobrze pojmowali, że „odrodzenie wszelkie poczynąć się powinno w duchu, nie w kieszeni“, że „pierwój nam potrzeba silnej wiary i namaszczenia chrześcijańskiego, niż przemysłu i pieniędzy, że bez tych dwojga martwe dzieło wszelkie, a staranie o dobry byt nie odrodzi nas moralnie.“ „Niech inne narody, dodaje autor, będą bogate i przemysłne, my bądźmy sobie poeciwi, starajmy się być wprzód synami Bożymi, niżeli dziećmi wieku.“ Chwali on sobie, że w Porzeczcu u Solskich nie było ani ochrony, ani szpitala, gdyć Anna miłością i własnemi dobrnemi uczynkami upakajala i uzdrawiała wszystkich, którzy ię do nięj z prośbą o pomoc udawali. Michał zaś, brat jęj w swym stosunku do

domowników nie odwoływał się do żadnych przepisów, lecz do serca własnego,—a przeciwy ieh stryj, poczytywał sobie za jakąś szczególną zasługę, że przez dobroduszną nieradność stracił wszystko, co miał, a pomimo to, obudziwszy się pewnego pięknego poranku gołym, jak święty turecki, czuł się tak swobodnym, jak ptaszek na gałązce, bez boleści w sercu ani smutku! On nie głupi wbiąć się w mienie, bo to tylko kłopot i frasunek! Byłe serce ludzkie, byle kasek chleba, to i dosyć dla człowieka, wedle jego przekonania.

Nie ulega wątpliwości, że prawie wszystkie obrazy i postacie tej powieści grzeszą chorobliwą przesadą; przesadą zarówno pod względem pesymistycznego poglądu na nowszy ruch w dziedzinie dobrobytu materialnego, jak i pod względem sentymentalnego wywyższenia niedołęztwa, nieradności i nieporządku. Czuje to dobrze sam autor w niektórych miejscach swęj powieści, przyznając, że „dobry byt materialny, wywiera wpływ przeważny na ukształcenie moralne i wyrobienie się duchowe,“— że „od nierządności staręj do chorobliwęj przemysłności i handlarstwa szeroka przestrzeń,“— że trzeba „uczyć się oszczędzać i patrzeć jutra, ulepszać i ład szczepić,“ że wreszcie należy rozpoznać granicę, „gdzie się kończy rozumna zapobiegliwość i postęp rozsądny, a poczynaszal handlarski, spekulacyjny i zupełne zmateryalizowanie ludzkości.“ Ale tych myśli, rzuconych tu i owdzie, autor nie rozwija szczegółowo, nie przeprowadza w powieści, zajmując stanowisko jednostronne przesadne.

Z tēm wszystkiēj jednak główna intencja tēj powieści wyjaśnia się czasem jęj wyjścia na świat i znajduje swe usprawiedliwienie w jednostronności ówczesnego materializmu. Kto przypomina sobie z owego czasu, jakie powszechne zajęcie budziły teorye materialistyczne, sprowadzające całą działalność człowieka do egoizmu, kto widział, jak rozechwytywano książki Vogta, Büchnera, Mołochotta, powtarzając ieh zdania, jako najwyższy wynik wiedzy ludzkięj, kto wreszcie patrzył na ruch gorączkowy w dziedzinie przemysłu i handlu, który praktyczność i rachubę stawiał ponad wszystkie inne względy,—ten się nie dziwi, że to wszystko wywołało w Kraszewskim pesymistyczne niedowierzanie, że znagliło go do wypowiedzenia przestrogi: „Ducha nie gaście!“ Była to reakcja równie naturalna, jak konieczna, idealizmu przeciwko materializmowi w chwili, gdy o za-

sadach filozoficznych należytego rozgraniczenia i zrównoważenia obu tych kierunków rozprawiało jeszcze nie wielu głębszych myślicieli.

Zresztą swój ówczesny pogląd na reformy ekonomiczne i przemysłowe wypowiada Kraszewski w formie jasnej, bez ogródek, w swych *Wieczorach Wołyńskich* w roku 1859. Potępia on tutaj wszelkie nierządy, które były główną przyczyną upadku najznakomitszych nawet rodziń Wołyńskich. Ale z drugiej strony nie chce, aby majątek ziemski stał się dojną krówką, materialem do spekulacji, źródłem dochodów i nic więcej. W bycie wiejskim widzi główną podstawę życia i charakteru narodowego, ztąd potępia frymarzenie własnością ziemską, bo to prowadzi, jak mówi, do ruiny i wydziedziczenia. Programmat zaś swój w tym względzie streszcza w następujących zdaniach. „Nie uważam za najpierwszy obowiązek bogacić się, ale nie sądzę, by nieciwicie zdobyta zamożność grzechem być miała, byle do niej serce nie przyłgnęło, byle jej godności i charakteru nie poświęcić. Zresztą nie o postęp gospodarki domagam się, nie o fabryki, nie o drogi, ale o oświatę dla ludu, ale o chleb dla kapłanów, ale o wsparcie dla języka, o poszanowanie dla przeszłości.“

Nieco później, będąc mieszkańcem stolicy i redaktorem Gazety Polskiej, Kraszewski miał sposobność zapoznania się bliżej z ruchem przemysłowo-handlowym kraju i uzupełniał w skutek tego coraz bardziej swe poglądy na postęp i potrzeby społeczne. Wtedy domagał się nie tylko owych idealnych dóbr, lecz i reform gospodarskich i zakładania fabryk, dróg i t. d., jako niezbędnych warunków dobrobytu krajowego. Ale bliższe objaśnienie tego zwrotu przekracza ramy naszego obecnego zadania.

W powyżej przytoczonych pracach Kraszewski wypowiada swe poglądy na życie i społeczność przeważnie ze stanowiska negatywnego. Wykazuje on głównie złe, ujemne, niedoskonałe strony rzeczywistego stanu rzeczy, przekonywa nas, że świat i ludzie nie są takimi, jakimi być powinni,—i ztąd pochodzi jego pesymistyczny nastrój ducha, jego niechęć do wszystkiego, co nazywa praktycznym, rachubą, materialnym, i t. d. O pozytywnych zaś podstawach tego sądu negatywnego, o ideach, których zastosowanie do życia pociągałoby za sobą, wedle zdania autora, poprawę, udoskonalenie stosunków ludzkich, urzeczywistnienie tego, co być powinno,—o tém wszystkiém Kraszewski w powyższych pra-

cach nie wiele mówi. W skutek tego głębsze tendencje etyczne, choć duchem swoim przenikają i te utwory, występują jednak tylko w formie zdań ulotnych, uwaga pobieżnych, nierozwiniętych szczegółowo. Nie będąc z natury swojej umysłem negatywnym Kraszewski nie mógł się zadowolnić wypowiedzeniem samego tylko niezadowolnienia z tego, co jest, lecz musiał zarazem zaznaczyć pozytywnie, co stanowi według jego przekonania podstawę prawdziwego szczęścia człowieka, jakie są jego głębsze potrzeby i co je należyte zaspokoić potrafi. Otóż ta strona dodatnia tendencji Kraszewskiego, ten grunt moralny, z którego wypływa zarówno jego pesymistyczna ocena rzeczywistości, jak i pogląd na prawdziwe zadania człowieka w życiu, występuje na jaw w szeregu innych utworów Kraszewskiego, o których tutaj choć w krótkości wspomnieć wypada.

Głównym czynnikiem, łagodzącym pesymizm Kraszewskiego w zapatrywaniu na doczesność, jest wiara w życie przyszłe. Wiare tę przedstawia Kraszewski dość szczegółowo w dwóch niewielkich utworach, w *Trapezologionie* z r. 1855 i w *Mojilach* z r. 1859. Oba te utwory mają wprawdzie charakter alegoryczny,—ostatni z nich nawet pelen jest dantejskiej fantazyi,—pomimo to jednak ich treść filozoficzna występuje na jaw jak najwyraźniej. Treść ta daje się sprowadzić do dwóch głównych zdań: po 1sze, że stan duszy po śmierci odpowiada w zupełności jej charakterowi moralnemu, wyrobionemu w życiu doczesnym — i po 2gie, że życie przyszłe jest dalszym ciągiem moralnego rozwoju duszy na ziemi. Mamy tedy w tych dwóch pracach szczegółowe rozwinięcie owych myśli, które Kraszewski, jak widzieliśmy, już w *Pamiętnikach nieznanego* ulotnie wypowiedział, a które tak ściśle się łączą z całym jego etycznym poglądem na świat i życie.

Nigdy ludzkość bardziej upokorzoną nie została, mówi Kraszewski we wstępie do *Trapezologionu*, nigdy srożej ukaraną za wiek niedowiarstwa i swawoli; nigdy z piersi zbolalęj nie wyrwał się też mimowolnie silniejszy dowód potrzeby wiary i nadzieińskiego świata, jak właśnie w owę chwilę dziwnęj, gdy ludzie, co nie wierzyli w nie na świecie i po za światem, co się śmieli ze wszystkich świętości,—kłaniali się stołom i rozumowi nóg stołowych. „Nie wiem, dodaje, co tu było dziwniejszego, czy rozum kawałka drzewa, czy głupstwo człowieka.“ Otóż jako filozof praktyczny, Kraszewski skorzystał z tej głupoty ludzkiej, aby przy

jój scharakteryzowaniu wypowiedzieć kilka myśli poważnych. Opowiada tedy, jak w pewnym towarzystwie, do którego się przypadkowo, jako niezajomy, dostał, badał duchy w stole, i zapoznaje nas aż z siedmioma duchami stołowymi, donoszącemi zarówno o swém życiu na ziemi, jak i o swym stanie po śmierci. Każdy z tych duchów z chwilą opuszczenia zmysłowego świata, dostaje się do rodzaju czyśca, w którym, będąc sam na sam z sobą, ma czas do kontemplacji, do zastanowienia się nad sobą, potępienia w sobie wszelkiej myśli nieczystej i wzniesienia się moralnego. O czasie przebywania w tym stanie pośrednim decyduje rachmistrz na zasadzie psychostazy t. j. ważenia moralnej wartości duszy. Na jednej stronie kładzie on dary Boże, na drugiej uczynki ludzkie, i w miarę, jak te ostatnie nie doważają, skazuje duszę na tysiąc, dwa, trzy tysiące lat rekolekcyi w różnych miejscach. Pobyt w stolikach należy naturalnie do najniewygodniejszych i najbardziej upokarzających.

Dostaje się tutaj najprzód duch Jana, umysłu niespokojnego, syna ośmiastego wieku, który pomimo szlachetnej żądzy wiedzy, pomimo szukania odpowiedzi na pytanie: co to jest życie? w końcu najwyższe swoje zadanie widział tylko w dobijaniu się oryginalności i sławy. Była to dusza w gruncie wielka, silna i gorąca, ale bez wiary w byt, w Boga i nieśmiertelność, w samę siebie, — i ztąd właśnie z czasem nie znalazła celu, nad zbudowanie sobie nieśmiertelności sławy. Ale ta sława wrzekoma, ziemską, pragnienia duszy zaspokoić nie mogła. Prózne były wszystkie jój wysiłki, próżne jój błaganie się po całym świecie, jój badania odległej przeszłości dla zapomnienia siebie. Owocem tego wszystkiego było tylko znużenie, nczucie głębokiego smutku, martwota wewnętrzna i rozpacz hamletowa. W jój przystępie Jan sobie życie odbiera, — i oto przyczyna jego rekolekcyi na tamtym świecie. Ze szczegółowej charakterystyki tego ducha widać, że Kraszewski miał w nim na myśli Jana Potockiego, o którym wspomnieliśmy powyżej, mówiąc o De Maistrze.

Drugim duchem był Kajetan Węgierski, który większą część życia zamiast działać, rzepędził u kielicha, przy grze w faraona, a uwięzi pięknych oczów, a gdy w końcu rzejrzał, gdy się przekonał, że człowiek właściwie do tego nie stworzony, gdy chciał łon przyłożyć do pluga, by skibę swoje zrywać, — zabrakło mu życia. Wielbił on zawsze, co piękne, kochał co szlachetne, więc

na piekło, tę drugą śmierć, to zupełne zniszczenie nieśmiertelności, jak je autor w *Mogilach* nazywa, nie zasłużył, ale słabość woli nie czyniła go dojrzałym dla nieba, więc i dla niego potrzebne były rekolekcyje moralne.

Reszta duchów przedstawiają to żebraka, który głęboko odczuł niedolę swoją odcisną na ludzkości, to kobietę zalotną, złą żonę i matkę, to księcia artystę, który w miejsce spełnienia swych obowiązków, bawił się muzyką, to lokaja, który przebiegłością dobił się stanowiska marszałka szlachty, to wreszcie sknerę, który, zakochawszy się w złocie, nie przebierał w środkach dla przysporzenia go sobie, aż wreszcie ryzykowne spekulacye do nędzy go doprowadziły. Ale na tym ostatnim duchu już cała historyjka dowcipnie się rozwija, bo się przekonywamy, że to nieszczęśliwy rezydent Nieklaszewicz, wyzyskiwany przez swego pana, wszystkie te historye w imieniu duchów stołowych opowiedział dla nauki moralnej słuchaczy.

Głębię i szerzęj rozwija Kraszewski myśli powyższe w fragmencie p. t. *Mogily*. Punktem wyjścia tej dumy nad śmiercią i życiem przyszlóm jest ów pesymizm, o którym mówiliśmy powyżej. Zkąd tyle złego na ziemi? zkąd tyle smutku? dla czego wszystko tak czarne i grobowe? to są pytania, które autora niepokoją do głębi. Zdając sobie sprawę z najwznioślejszych objawów i dążeń rodu ludzkiego, przekonany o ich marność bolesną. Przed nim występują ze swych mogił zapomnianych różne duchy przeszłości i budzą pytania o cel ich ziemskich zabiegów. Duch ludu, co gościł kiedyś na tej ziemi, co walczył ze światem, dobijał się żywota swego, — dla czegoż gnije ciałem i duszą bez śladu, bez grobu, bez glazu?.... Otwierają się mogiły myśli, namiętności, nadziei zawiedzionych; duchy, które w nich spoczęły, prowadziły z sobą walkę bolesną, choć dla nikogo nie widomą, bez żadnej na pozór korzyści dla świata i siebie. Obok nich spoczęły duchy cnót zapomnianych i oplwanych zasług; duchy młodości zmarnowanej i powiedlonych w pierwszej wiosnie kwiatów, czyż i one nie miały żadnego celu na świecie? Czyż te dyamenty życia na to tylko z nicości powstały, aby je siła żywota starła na piasek i brudne pyły? A męzka siła i czyn szlachetny — czy na to tylko przeżywają siebie, aby w starości być świadkiem swego zniechęcenia? Okiem ducha autor widzi, jak na świecie jedno pokolenie następuje po drugim szybko, jak błyskawica, nie pozosta-

wiając po sobie, nie prócz garści ziemi; — widzi, jak dzieci depeczą kości ojców, jak na tym świecie nie ma świętego, wielkiego, nie trwałego. „Serce, mówi, zaszło mi gorczyzą wszystkich ludzi razem, widokiem męczarni otaczających i, słysząc jęki, zawróciła mi się głowa, zwątpiłem o świecie, pojąć świata naszego nie mogąc, tyle w nim złego, tyle brudu, tyle cierni, lecz tyle, a tak krótko trwa wszystko!“

Wtém daném było zbolełemu pocieić okiem w świat duchów, pośredniczących między niebem a ziemią. Anioł oprowadza go po tym nowym świecie i objaśnia cel i przeznaczenie życia ziemskiego. Wykazuje on ściśłą łączność przyszłości z przeszłością, przekonywa, że wszystko na tym świecie znajduje swe uzupełnienie i dalszy rozwój w życiu przyszlém. „Żadna łza, mówi, nie ginie, żaden jęk nie rozprasza się, żadna kropla krwi męczeńskiej darmo w ziemię nie wsiąka“... „Sam ból jest nieba pragnieniem, i stopniem do niego“. Nic na świecie nie jest dziełem przypadku; wszystko ma na celu wyższy rozwój i udoskonalenie; wszystko tak obrachowane, aby każde z milionów jestestw przyszło w porę drugiemu, karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną; aby wzajemnie wspierały się, osładzały sobie żywot, budziły do czujności. Handel i frymarki przeradzają się w apostołstwo mimowolne; nawet narzędzie zniszczenia, wojna krwawa, sieje żądze pokoju i braterstwa, pożar buduje, burza żywi. Gwar własnego żywota nie daje nam wprawdzie zazwyczaj zrozumieć téj harmonii świata, pojąc jęj myśli ukrytę; z ziemi na ziemię patrząc przedstawia się wszystko we mgle. Ale z wyżyn ducha świat się rozjaśnia a harmonia jego staje się coraz widoczniejszą.

Kilka żywotów ludzkich, opowiedzianych przez anioła, godzą też w samą rzecz potęgę z życiem. Pokazują one, że cierpienie jest lekarstwem i zbroją, zachętą i bodźcem a szczęście zwykle tylko powodem słabości i upadku. Jedno zaś i drugie ma swój cel rozumny, wychowawczy, jest środkiem niezbędnym w szkole życia, przygotowuje człowieka do spełnienia coraz wyższych i szerszych obowiązków w układzie świata, gdyż śmierć doczesna, to dopiero początek życia właściwego.

Taką formę etyczną, uzupełniającą pod niejednym względem zwykły dogmatyczny pogląd na ten przedmiot, przyjęła ostatecznie w Kraszewskim owa zasada idealizmu Hegla o bezwzględny rozumie świata. Już teraz ból, cierpienie i nawet zło w świecie nie jest prostą tylko negacją abstrakcyjną,

odgrywającą bez wiednie rolę swoją w ogólnym procesie wszechświata, lecz jest momentem celowo działającym w rozwoju indywidualnym jednostki do coraz wyższej doskonałości. Prawda, że autor tego poglądu szczegółowo nie rozwija, ani go też nie uzasadnia, ale też celem jego pisma nie jest rozprawa filozoficzna nad życiem przyszlém i jego łącznością z ziemią, lecz wypowiedzenie kilku rzutów intuicyjnych, dążących do bezpośredniego zaspokojenia pewnych potrzeb ducha, niezawisłych od ściśle teoretycznych poszukiwań nad tym przedmiotem. A ten cel fantazyja na *Mogilach* osiąga w zupełności, bo podnosi znacznie zwykły popularny pogląd czytelników i rozszerza pod niejednym względem ich widnokrąg umysłowy w kierunku filozoficznym.

Pod wpływem powyższych pojęć o przyszlém przeznaczeniu i rozwoju duszy ludzkiej wyrabiają się też ostatecznie ideały Kraszewskiego co do zadań życia doczesnego. Dawniejsze poglądy jego w tym względzie krystalizują się coraz bardziej, przyjmując coraz bardziej formę świadomej pojętych zasad i przekonań. Sumienne spełnienie najbliższych obowiązków, postęp po najkrótszej drodze do moralnego udoskonalenia, wiara w wyższe przeznaczenie ducha i praca wytrwała około samego siebie i dobra powszechnego, jako niezbędny środek wszelkiego prawdziwego postępu moralnego — oto cała etyka ziemską Kraszewskiego. W *Podróży do miasteczka* (1857) i w *Metamorfozach* (1859) wypowiada Kraszewski główne zasady téj etyki; w *Odczytach o cywilizacji w Polsce* (1861) i w studyum obyczajowém nad *Rejem* (1863) objaśnia te zasady ze stanowiska historycznego, a w reszcie utworów ostatnich lat kilkunastu rozwija on tę zasadę szczegółowo, stosuje do najrozlicznějších dziedzin działalności ludzkiej i życia społecznego.

Podróż Janka do miasteczka i przygody, niepokój i cierpienia, na które się narażał, odstępając od wskazówek pocziwego ojca i od prostej drogi do celu, stanowią treść téj małej, ale pełnej mądrości praktycznej powieści. Jęj sens moralny sprowadza się do zdania, że żądza wygód i przyjemności życia, łatwowierność i pokusy wszelkiego rodzaju zagłuszają w człowieku głos rozumu i sumienia, sprowadzają go z prawej drogi cnoty, nadają jego życiu kierunek fałszywy, a dopiero rozczarowanie, doświadczenia bolesne, mające za skutek poznanie tych zboczeń, skruchę, wzmacniają na nowo osłabłą energią moralną, dodają ję,

nowych sił i naprowadzają znowu na drogę prawdziwą do pierwotnego celu.

Na szerszą skalę rozwijają tę samą myśl *Metamorfozy*. Przedstawia nam tutaj cały szereg ideałów życiowych, wypowiedzianych przez liczne grono przyjaciół uniwersyteckich; los zaś, który spotyka każdego z nich w samym życiu, daje poznać istotną wartość tych ideałów. Albin marzy o życiu spokojnym w ustroniu wiejskiem w rodzaju sielanki Gessnera. Cyryll myśli tylko o pracy dla pracy. Baltazar doświadczeńszy od innych, widzi szczęście wyłącznie w braku cierpienia i też niczego więcej po życiu się nie spodziewa. Longiu natomiast ze śmiałością Aleksandra W. myśli siłą pokonać świat i ludzi; nakarmić do syta swą dumę. Wić on dobrze, że życie—to walka, w której samemu dusić potrzeba, aby nie zostać zgniecionym przez innych. Jordan znowu, żebrak z urodzenia, z zazdrością patrzy na wszechwładną potęgę grosza i postanawia zostać bogatym bez względu na środki, prowadzące do tego celu. Inny marzy o równości ludzi; jeszcze inny o oświeceniu ludzi i t. d., aż wreszcie Serapion wypowiada właściwy pogląd autora na ideały życia, przyznając, że nie myśli się wylamywać z pod powszechnego prawa cierpienia: pracy, a zadanie swe upatruje przede wszystkim w moralnym udoskonaleniu samego siebie dla dobra innych.

„Prawdziwe szczęście na ziemi, mówi, mieć nie żądać, nieprzywiązywać się do niczego ziemskiego, kochać ludzi nad siebie, a siebie ze zwierzęcia podźwignąć do ideału.“ Doświadczenia życia usprawiedliwiają w zupełności ten pogląd na jego zadanie, bo podeszł gdy wszyscy inni albo sami poznawali uludność swych ideałów i dla tego biernie poddawali się zrządzeniom przypadku,—albo też z namiętną chęcią urzeczywistnienia swych mrzonek upadali i zrozpaczalni,—jeden Serapion, stawszy się lekarzem i kapłanem zarazem, przynosił istotną ulgę cierpieniom ludzkim, wzmacniał ciało, uszlachetniał duszę, kształcąc wszędzie w człowieku człowieka.

Uzupełnieniem powyższych ogólnych zasad etycznych ze stanowiska dziejowego, są odczyty Kraszewskiego o *Cywilizacji w Polsce* i jego *Studjum nad Rejem*. W odczytach ma na celu wykazać wysoką doniosłość czynników moralno-religijnych w pierwszych zawiązkach cywilizacji krajowej; w rozbiórce zaś Reja zajmuje stanowisko psychostaty i Trapezologionu, ważąc wartość moralną dzisiejszej społeczności w porównaniu ze wszystkimi ważniejszymi mo-

mentami życia społecznego. XVI-go wieku, odźwierciedlającego się w *Żywocie człowieka poczwirego*.

Dzieje, mówi Kraszewski, są modlitwą do Boga, historia cywilizacji danego kraju jest historią jego wiary i obyczajów, myśli i czynów, wszystkiego, co świadczy o jego życiu duchowym, co mu nadaje charakter odrębny, fizyognomią indywidualną, w różnicy od innych krajów. Otóż Słowianie, według autora odczytów, odznaczali się od prastarych czasów, dziwną *łagodnością, prostotą* i ową *wiekuistą tęsknicą*, rozlaną w pieśniach, widoczną w obyczajach, która ducha ich nieustannie podnosiła ku niebiosom. Ciśnieni i parci przez różne ludy wędrownie w epoce migracji narodów, nie nabrali jednak dzikości charakteru innych ludów. W podziale darów wiekuistych otrzymali od Boga przecucie gorące prawdy, poryw ku idealom, miłość ludzkości i serce szlachetnym uczuciom dostępne. Mieli oni pojęcie o jedynym Bogu, wiarę w życie przyszłe i nieśmiertelność ducha. W ich gościnności widocznym jest wielkie pojęcie braterstwa ludzi, a co do wewnętrznych urządzeń kraju, stali wyżej, niż inne nie ochrzczone narody. To też chrześcijaństwo, mówi autor dalej, znajdowało tutaj pole świeższe i lepiej przygotowane do przyjęcia wiary, niż gdzieindziej. Stosuje się to szczególnie do ludów lechickich.

Na tém tle ogólnem przedstawia Kraszewski w dalszym ciągu odczytów pierwsze początki cywilizacji polskiej od Miecysława aż do Kazimierza W., charakteryzując w głównych zarysach rozwój wszystkich objawów życia narodowego, począwszy od ustroju społecznego, formy państwowej, prawodawstwa, religii i sztuki, a kończąc na obyczajach, gospodarstwie i handlu. Ocena historyczna tego ciekawego i pomimo swych szczupłych ram bardzo jednak bogatego w szczegóły obrazu przekracza nasze zadanie i siłę. Pomimo to jednak, chęć autora przedstawienia tych pierwotnych dziejów Polski w możliwie świetnym blasku, uwydatnia bezpośrednio jego własne ideały moralno-społeczne, i z tego powodu odczyty te stanowią niejako dalszy ciąg poglądów etycznych Kraszewskiego. Główna ich myśl pozostaje tedy w ścisłym związku z naszym przedmiotem.

Jako najwyższą i zarazem wyjątkową cnotą narodową wychwala Kraszewski kilkakrotnie głęboką *religijność*. Pobożność, mówi, odznaczała od wieków naród polski tak dalece, że ona należy do cech odróżniających go wybitnie od innych. Nie chce on

przez to powiedzieć, by w innych krajach religia Chrystusowa mniej gorąco przyjęta była, ale według jego zdania, u nas ducha jęj lepiej pojęto i sumiennie wprowadzono w życie. „Pobożność nasza stara, mówi, jest tak wielka, szereg świętobliwych ludzi tak gromadny, podniesienie ducha tak potrzebne, że często, czytając dzieje świętych, przenosim się w pierwsze chrześcijańskie wieki i t. p.“ Szczegółowy rozbiór prastarj pieśni Boga Rodzicy służy autorowi za główny powód powyższego poglądu na pobożność narodową. Dawne rycerstwo polskie, mówi, modliło się nie o ziemskie dary, nie o ludzką chwałę, lecz o pobożny żywot na ziemi, o zbawienie i raj po śmierci, a w kmieciu Bożym Adamie, wspomnianym w tęg pieśni, widzi wyraz równości wszystkich i chrześcijańskiego braterstwa. W dalszym zaś przebiegu owęj rozprawy, dotykając kwestyi o stosunku nauk do wiary, wyznaje: „Uczeni u nas rzadcy być musieli, i talent tylko z pęt wybić się mógł swą siłą,—ale co lepiej dla świętych, na poświęcających się nie zbywało. Gdy Europa rozprawiała subtylizując nad prawdy religijne, które za prostotą ewangeliczną pojmować potrzeba, myśmy mieli pobożnych i pokornych.“ „W historii wiary, mówi na inném miejscu, więcej zawsze ważą ludzie zapалу i ducha, niżeli teologowie subteini i nauczyciele układni, i więcej nawróciły Stygmata Śgo Franciszka, niż Summa Śgo Tomasza. To też i Polska krwiał a potem i przykładem raczej, niż słowem z kazalnicy i rozprawami nawróconą została. Bóg ją obdarzył ludźmi świętobliwymi i przez nich uświęcił....“ „.....I nie myślimy, że ta pobożność, dodaje, zależała na modlitwie usty powtarzanęj, na ostrych praktykach do tyraństwa posuniętych, na zdzieciniałym duchu upadku; owszem to były środki tylko dźwignięcia się tak wysoko, by cnotą żywą przejęło się serce, by się namięciły dlonie.“

Mając wyłącznie na uwadze powyższe następę, możnaby prawie sądzić, że Kraszewski w poglądach swoich cofnął się znowu nagle na stanowisko owęj filozofii religijnej, do któręj się przyznawał w programmacie do Athenaeum. Ale ogólny duch jego prac w rozbieranej epoce, jako też i niektóre wyraźne zastrzeżenia w Odczytach, pokazują, że ceniąc pobożność jak najwyżęj ze stanowiska etycznego, Kraszewski dalekim jednak jest od wszelkiego jednostronnego ultramontanizmu. Mówiąc up. o Bolesławie wstydlwym, wychwala wprawdzie jego świętobliwość, dochodzącą, jak mówi, prawie do

zaparcia się ascetów pierwszych wieków,—ale zarazem wyznaje, że to, co cnotą mogło być w mniżu zamkniętym w celi klasztornej, w królu stało się klęską dla kraju, cierpiącego i osłabionego przez kilkadziesiąt lat panowania Wstydlwego. Mówiąc zaś nieco późnięj o różnych sektach religijnych, które się na ziemi polskięj zrodziły, z pewną dumą wspomina, że i tu wśród gorących a posłusznych katolików, zjawiali się równie żarliwi tłumacze słowa Bożego wedle własnego rozumu, i że Bracia polscy w XVI wieku doszli do śmiałości w wierze, jakieg na owe wieki nie było przykładu. Pokazuje się z tego, że Kraszewski, ceniąc tak wysoko pobożność, nie miał tyle na myśli ślepęj uległości dla pewnych form dogmatycznych, ile religią w ogóle, podniesienie ducha od ziemi do Istoty Najwyższęj. W nięm upatrywał zgodnie ze swemi, etycznemi poglądami, koniecznego warunku nie tylko moralnego udoskonalenia jednostki, lecz i dobrobytu społecznego.

Dalszym objawem moralnego rozwoju narodu jest wedle Kraszewskiego *rodzina polska*. W prastarych stosunkach rodzinnych, mówi, żywioł chrześcijański tak przygotowaną znalazł rolę, że w nią tylko rzucił nasiona, które bez trudu wyrosły. To też rodzina polska wyrobiła się bardzięj pod wpływem miłości, niż grozy. Uległość ojcu i matce i prawo starszeństwa było jęj istotą. „Nigdzie może, dodaje Kraszewski, węzły rodzinne, powaga sędziwości i zasługi szczeręj i serdeczniejsz szanowaniami nie były.“ W związku z temi cnotami pozostało też i godne stanowisko kobiety polskięj od najdawniejszych czasów.

Trzecim składowym czynnikiem dawnęj społeczności polskięj, któremu ona zawdzięcza swój charakter odrębny, i z którego autor *Odczytów* wyprowadza całą organizację państwową, jest poczucie powszechnego braterstwa. Gdy gdzieindzięj, mówi, społeczność tworzy się w skutek najazdu i zdobyczy, w Polsce zawsze nawet z kmieciem przykowanym do zagonn, wiąże się pamięć i prastare braterstwo. „Wydziela się wprawdzie stan pański od szlachty, ale choć zazdrośny swych przywilejów, jednak zawsze ubożnych braćmi nazywa.“ To poczucie braterstwa i wiara do życia zastosowana, nadają też według autora rycerstwu polskiemu odrębny zupełnie charakter. Obok meztwa niezłomnego w boju, rozwija się w nim łagodność dla słabszych, litość dla upadłych. To też w Polsce, mówi, ani takich przykładów zepsucia, ani tak jawnych bezprawi nie znajdujemy, jak

gdzieindziej. Troskliwość o los kmiecia była tutaj wielka od dawna, szczególnież zaś od czasów Kazimierza Sprawiedliwego. Ze właśnie ta troskliwa obrona kmiecia przez królów od nadużyć rycerstwa, nie świadczy zbyt korzystnie o jego sielankowej łagodności i poczuciu chrześcijańskiego braterstwa, o tém autor nie pamięta wcale, ale to też nie dotyczy naszego obecnego punktu widzenia, bo w powyższych trzech czynnikach życia narodowego, jakimi są: *pobożność, rodzina i poczucie braterstwa*, widzimy tylko *idealy* etyczne naszego pisarza, niezależne zupełnie od stopnia ich urzeczywistnienia w różnych epokach dziejów.

Większą bez porównania historyczną dokładnością odznacza się studjum obyczajowe Kraszewskiego nad *Rejem*. I tutaj występują na jaw te same ogólne zasady moralnego poglądu na życie jednostki i społeczeństwa. Wychwała Kraszewski tutaj, jak i przy każdej innej sposobności, prastarą prostotę, wiarę i serdeczność w porównaniu z rachubą i sztucznie wyrobioną moralnością nowszych czasów. Dawniej, mówi, zarówno jednostki, jak i stany i całe społeczeństwo, poczuwały się do solidarności w swych dążnościach i zadaniach; dziś natomiast, wszyscy idziemy po jednemu, samopas, i dla tego właśnie tak nam ciężko i tęskno. Dawniej ceniono cnotę dla cnoty, przestawano na malém, miano bardziej na oku spokój umysłu, uczciwość, szczęście wewnętrzne, a na dobra materialne patrzono tylko, jako na środki dla osiągnięcia tych wyższych celów. Dziś natomiast cnota stała się po prostu służebnicą fortuny, to też nawet ludzie uczciwi dzisiaj nie są kochankami cnoty, lecz jej dworakami, oczekującymi, żeby im jurgielt należy brzęczącą wypłacała monetą. Wychowanie dawne było proste, ale szło z życia, kształciło obywateli i charaktery; dziś młodzież słabnie na duchu i ciele, a uczoność papierowa i doktrynerstwo czyni ją niezdolną do walki moralnej z przeciwnościami życia. Dawniej panowała w stosunkach między ludźmi prawda i otwartość; wypowiedziano ją wprawdzie nieraz z całą rubaszością, nie wstrzymywano nawet zbyt łagodnie wybuchów pogardy i nienawiści, ale za to każdy znał dobrze swych przyjaciół i nieprzyjaciół. Dziś obłuda stała się cnotą powszednią, dziś na twarzach nie widać ani giewu, ani radości, ani smutku, ani zapalczywości, bo dziś wszystkie pokryte są jedną maską pozorniej przyzwoitości, niby groby pobielane. Dawniej jednostka żyła

dla ogółu, poczuwała się do obowiązków społecznych i szukała swego zadowolenia i zaszczytu w ich spełnieniu; dziś natomiast każdy swoją prywatę przybiera w sprawę publiczną, — interes osobisty jest wszystkim. Rej wymagał od swego pocziwego człowieka stałości, mężstwa, ofiary i wytrwania na duchu, a zatem wielkiego serca i wielkiego charakteru. Dziś wymagania tego rodzaju miane są za przesadę; wielkości prawdziwej nie ma; niema serc wielkich, przyjaźni ciągnącej się przez całe życie do mogiły. Przeciwnie, zdradzamy się wzajemnie z najzimniejszą krwią i zdrady oczekujemy, jako rzeczy naturalnej i koniecznej. Dawniej każdy człowiek ucziwy mozolił się sumiennie nad swem udoskonaleniem moralnym; walczył z ciałem, pokonywał namiętności, dążył do panowania ducha nad sobą. Dziś walki z ciałem nie przypuszczamy nawet, a granice namiętności zakreśla druga, cudza, obok rozpościerająca się. Nie przemódz ciała myślimy, lecz upaść i uciżyć je w śnie gnuśnym. Jednym słowem, czasy dzisiejsze na porównaniu z przeszłością pod względem moralnym bardzo źle wychodzą, a zwrot do dawnych cnót, do dawnej pobożności, prostoty i patryarchalności staje się w skutek tego w oczach Kraszewskiego koniecznym warunkiem wszelkiego prawdziwego postępu moralnego na przyszłość.

Nie możemy się tutaj wdawać w szczegółową ocenę powyższych poglądów etycznych Kraszewskiego; nie możemy rozbiierać pytania, czy te poglądy, pomimo swiej niezaprzeczonej doniosłości, mogą być wystarczającymi dla należytego kierowania wolą i działaniem ku rozwiązaniu wszechstronnych zadań życia wśród skomplikowanych stosunków osobistych i społecznych nowszych czasów. Cel niniejszej pracy w ogóle bardziej jest sprawozdawczy, niż krytyczny, więc też ograniczamy się zaznaczeniem ogólnej treści moralnych zapatrywań Kraszewskiego, dodając tu tylko, że ich doniosłość ocenioną być powinna głównie w porównaniu z tendencjami innych współczesnych powieściopisarzy. A wtedy każdy wyzna, że Kraszewski duchem prawdziwie etycznym, szczerą miłością prawdy i dobra powszechnego przewyższa większość najgłośniejszych nawet pracowników na tém polu piśmiennictwa. A to odsłania nam w Kraszewskim nie tylko człowieka serca i znawcę duszy ludzkiej, lecz i dobrego obywatela i pisarza rzadkiej sumienności, który szczepienie zasad moralnych i pracę dla dobra powszechnego stawia wy-

żół po nad schlebianie ogółowi i chwilowym zachciankom czasu.

Zresztą liczny szereg powieści nowszych czasów wykazuje dobitnie, że Kraszewski nie ograniczał się bynajmniej ową sentymentalną etyką, która, rezygując z życia doczesnego, ograniczając potrzeby człowieka do minimum, biorąc za ideał prostotę i patryarchalność, myśli tylko o wieczności i o przygotowaniu się do niej. I sprawy tuteczne zajmują go żywo; myśl o przyszłym życiu i wymagania moralne, łączące się z tą myślą, stanowią tylko idealne tło, na którym Kraszewski zarysowywa swoje poglądy na kwestie realnego życia, na wzajemny do siebie stosunek różnych warstw społeczeństwa, na obowiązki jak arystokracji rodowej i pieniężnej, tak inteligencji krajowej, mieszczan, ludu i w ogóle każdego dobrego obywatela. Całe grupy utworów powieściowych mają za przedmiot wszystkie te kwestie społeczne i starają się je rozwiązać nie tylko ze stanowiska oderwanych ideałów etycznych, lecz i w imię realnego położenia i realnych potrzeb kraju. Liczny szereg powieści ludowych przedstawia nam Kraszewskiego nie tylko jako wszechstronnego znawcę ludu, lecz i jako serdecznego obrońcę jego praw społecznych. Powieści *Morituri* (1874), *Resurrecturi* (1875), *Niebieskie międwały* (1875) i inne odsłaniają nam dobitnie poglądy jego na stanowisko i obowiązki arystokracji rodowej w społeczeństwie. Powieść *Roboty i prace* (1875) uzupełnia te poglądy wskazaniem zadań obywatelskich arystokracji pieniężnej. W takich powieściach, jak *Dzieci Wieku* (1871), *Kawał literata* (1875), *Ada* (1878) i inne, odzwierciedlają się najnowsze zapatrywania Kraszewskiego na stosunek inteligencji do społeczeństwa, i na jej obowiązki względem siebie i ogółu, nad którym pragnie rozciągnąć swą opiekę moralną. Cały znowu szereg powieści historycznych, z nowszych i dawnych czasów, daje nam poznać Kraszewskiego, jako historyzofa, oceniającego wartość moralną przeszłości w celu naprowadzenia teraźniejszości na lepszą drogę. Wreszcie działalność jego na polu publicystyki, jak w *Gazecie Polskiej*, tak i później w *Tygodniku*, *Omnibusie*, oraz korespondencye do wielu innych pism, dotyczą bezpośrednio najważniejszych kwestyj chwili i rozjaśniają poglądy jego na ruch bieżący w zakresie ekonomiki, polityki i życia społecznego.

Gdybyśmy tutaj chcieli szczegółowo wyłożyć zapatrywania Kraszewskiego na wszy-

stkie te kwestye, natenczas byłibyśmy zniewoleni powtórzyć w znacznej części to, co już w innych pracach książki jubileuszowej obszernie i wyczerpująco wypowiedziano, a szczególnie w rozbiórce powieści ludowych, obyczajowych i historycznych, oraz w poglądach na jego działalność publicystyczną. Nadto zanotujemy, że szczegółowy pogląd na te sprawy leży już za obrębem naszego obecnego zadania, odnosząc się do przedmiotów różnych nauk specjalnych. W miejsce tedy takiej specjalizacji zaznaczymy tu w końcu tylko najważniejszą treść, niejako filozoficzną kwintessencją wszystkich tych poglądów społecznych naszego pisarza. Jest nią wymaganie *pracy*. W niej Kraszewski widzi niezbędną warunek postępu i dobrobytu zarówno każdej jednostki z osobna, jak i całego społeczeństwa. Tylko w pracy sumiennej dla dobra powszechnego spoczywa według niego, przyszłość arystokracji rodowej; przez nią tylko uszlachetniona być może arystokracja pieniężna. Bez pracy najwyższa inteligencja, genialne nawet uzdolnienie, nie przynosi żadnej korzyści nikomu; przeciwnie staje się tylko źródłem wewnętrznego niezadowolenia i rozpacz, zamiast popełnić społeczność naprzód na drodze prawdy, piękna i dobra. Praca też tylko i sumienne spełnienie najskromniejszych obowiązków ocalić może społeczność od groźnych zawikłań socyalnych i doprowadzić jej składowe czynniki do należytej równowagi. W tém też wymaganiu pracy wytrwałej, sumiennej, budującej, znajduje Kraszewski najwyższy wyraz pojednania idealizmu z rzeczywistością. Praca przeistacza rzeczywistość według wymagań idealnych, przewycięża złe, przewrotność, usuwa przeszkody do prawdziwego postępu, toruje drogę do doskonałości. Zachowując czerstwość ducha i ciała, podnosi i uszlachetnia człowieka, uwalnia go od samolubstwa, przyczynia do poświęceń, ale i uszczęśliwia zarazem błogiem poczuciem godności osobistej i spełnionych obowiązków obywatelskich. To też nie dziw, że Kraszewski, który to wymaganie pracy, urzeczywistnione w życiu swoim w sposób jedyny, wyjątkowy, budzący podziw wszystkich, stworzył całą swoją filozofią życiową, nabytą przez półwiekowe doświadczenie i wszechstronną znajomość świata i ludzi, w tych słowach, pełnych mądrości i prawdy:

„Życie chorobą—lekarstwem *praca*.“

Henryk Struve.

DZIEJOPISARSTWO.

I.

WILNO

od początków jego do roku 1750 przez J. I. Kraszewskiego.

Wydanie Adama Zawadzkiego, w 4-ch tomach, 1840 — 1842.

Gdyby Kraszewski nie w życiu swoim nienapisał, tylko czterotomową *Historję Wilna*, trzy tomy *Historji Litwy* i spory tom *Sztuki u Słowian*, już tegoby wystarczyło, aby go policzono w rzędzie najznakomitszych i wielce zasłużonych dziejopisów i archeologów.

Historja Wilna Kraszewskiego nastrocza mimowoli wiele uwag, znamionujących autora i zaznajamiających nas z jego młodzińczym usposobieniem, z przyszłemi dążnościami i celem prac życia całego. Bo też dość jest spojrzeć na datę pierwszych powiastek Kleofasa Fakunda Pasternaka (1829 — 1833) i przypomnieć, że we wrześniu 1839 roku pierwszy tom Wilna już wyszedł z cenzury (gdzie musiał przeleżeć kilka miesięcy), aby się przekonać, że w tym samym czasie, kiedy 18 letni młodzieniec ogłaszać zaczął swe powiastki, w których, gdy jedni widzieli już błyski niepospolitego talentu, inni z lekceważeniem, a nawet najgrawaniem się spotykali wschodzącą gwiazdę, w tym samym mówimy czasie, ten sam młodzieniec już się sposobił na głębokiego, wytrwałego i niezmordowanego badacza, już wtedy obudziła się w nim ta chęć i miłość do pracy, ta wola żelazna, których całe życie jego złożyło dowody, a którym podobnych nieznajdujemy prawie w dziejach piśmiennictw wszystkich narodów.

Tomy I i II Wilna wyszły w roku 1840; tom III w r. 1841; tom IV w r. 1842. Te cztery tomy zawierają 1790 stronnic druku i, jak sam autor wspomina w przedmowie do IV tomu (24 września 1841), kosztowały go *dziesięć* lat życia, a więc praca rozpoczęta została w r. 1831. Dodać tu jeszcze

winniśmy, że tom I przedtem już był wydany, a dopiero w r. 1840 po czterokrotném przerobieniu i poprawieniu poraz drugi opuścił prasę. Rękopism, jak sam mówi autor, od lat już kilku leżał skończony.

Praca to olbrzymia i zadziwiająca w młodzińcu, szczególnie, jeśli przypomnimy, że materiały, czerpane z aktów miejskich i innych źródeł piśmiennych i archiwalnych, musiały być wypisane przed rokiem 1835, kiedy Kraszewski osiedlił się na Wołyniu (i nigdy potem nie mieszkał w Wilnie). A jakież to ogrom tych wypisów! Ileż to trzeba było pracy, aby przejrzeć, wczytać się i wypisać ze źródeł przed nim przez nikogo pewno nietkniętych, jak na przykład z ksiąg grodzkich województwa wileńskiego, z akt burmistrzowskich, radzieckich, z akt wójtowskich, z ksiąg kongregacji miejskich, z rękopismów, pamiętników i dokumentów, jakie się przechowywały w Bibliotekach uniwersytetu wileńskiego, klasztornych i niektórych prywatnych. Dwóch tylko ludzi wymienienia autor, którzy mu udzielili bezinteresownie niektórych materiałów, praca M. Herburta i prof. Łobojkę. Dość jest w końcu przejrzeć *przypisy* do każdego z rozdziałów, aby się przekonać, jak mozolną pracę podjął autor, ile to dzieł rzadkich, kazań, mów, broszur okolicznościowych, kronik, pamiętników, wszystkiego, co mogło być mu przystępnem z metryki Litewskiej, musiał przejrzeć, porobić wypisy, sprawdzić, niejedną zawiałą kwestyą rozwiązać, błędy sprostować i z tego wszystkiego utworzyć tak wyczerpującą, tak piękną całość, utworzyć historję Wilna, jakiej nie posiada żadne nasze miasto, niewyłączając nawet Krakowa.

Balińskiego dwutomowa „Historia Wilna“ poprzedziła pracę Kraszewskiego, wyszła bowiem w r. 1836 — 1840. Ma ona niezaprzeczane zalety, ale doprowadzona tylko do zgonu Stefana Batorego, niestanowiąca całości, lub zawierająca tylko niektóre, dotychczas szczegóły, niewiele mogła dostarczyć materiału Kraszewskiemu, którego zakres był taki śmiały, rozległy, wyczerpujący.

Alc podajmy tu krótką treść całego dzieła Kraszewskiego.

Tom I zawiera położenie geograficzne i fizyczne, naturę ziemi, temperaturę, mówi o pochodzeniu Litwinów, o języku Litewskim, o runach i piśmie Litewskim. Są to wiadomości wstępne. Dalej następują dzieje ogólne miasta, doprowadzone w tym tomie do zgonu Zygmunta III. W notach i przypisach jest kilka cennych, nieznanych przedtem dokumentów, oraz dokładny wykaz źródeł, jak drukowanych, tak rękopiśmiennych. W końcu w tymże tomie w dodatku zamieszczona obszerna wiadomość o Strykowskiem i jego kronice.

Tom II zawiera dalszy ciąg dziejów ogólnych miasta, doprowadzony do roku 1750. Ciekawy ten nadzwyczaj rozdział, kończy autor następującemi słowy: „Zamknijemy opowiadanie nasze uwagą, iż Wilno urodzone w XIV wieku, w XV walczyło o swój przyszły los, w XVI wzrosło do najwyższego stopnia pomyślności, w XVII zaczęło się nachylać do upadku, który nastąpił w XVIII wieku i w pierwszej jego połowie dokonał się.“ Następnie, w tymże tomie zaczynają się dzieje miasta szczegółowe, stan jego wewnątrz. W tej części mamy kronikę kościoła św. Stanisława, kronikę Franciszkanów, Bernardynów, Dominikanów, kronikę kościoła św. Piotra, Augustynów eremitów, Karmelitów, Jezuitów, Pijarów, i kronikę kościołów, nadto osobno rozdział poświęcony wiadomościom o Trynitarzach, Wizytkach, Benedyktynkach, Misjonarzach, Bonifratrach, Paulinach i Rochitach. Kończy ten tom osobny rozdział poświęcony biskupom wileńskim.

Tom III zawiera dalszy ciąg stanu wewnętrznego miasta. Mamy więc tu bardzo ciekawe wiadomości o kapitule, o jej członkach, zwyczajach i t. d.; ogólne uwagi o duchowieństwie w Wilnie, dalej bezstronną i sumienną kronikę cerkwi greckich w Wilnie, *po raz pierwszy* w języku polskim przedstawioną w prawdziwem świetle, która, chociaż ją z wielu względów uzupełnił i wzbogacił prof. Homolicki w Wizerunkach, jeszcze i dziś ma niezaprzecz-

ne historyczne znaczenie i niejednokrotnie bywa cytowaną przez rosyjskich badaczów; potem następują: kronika cerkwi unickich, wyczerpująca rozprawa o reformie w Wilnie, o Witoldowskich Tatarach, osiedlonych w Wilnie i jego okolicach, o żydach i karaitach (albo karaimach), z dołączeniem *historji sprawiedliwie nawróconego*, powziętą z nikomu przedtem nieznanej kroniki żydowskiej, opowiadającej o przejściu na wiarę żydowską, na początku XVIII wieku, Pot.... i Zareby, i o spaleniu pierwszego z nich w Wilnie. Następują dalej ułamki statystyczne, o rozległości, liczbie domów, podział na Jurydyki, część najslabsza w dziele. Gruntowniej opracowany następujący rozdział o prawach, przywilejach i urzędach miejskich, o budzie, ciężarach, gospodach i polci, o więzieniach, łaźniach, szpitalach i t. d. Bardzo ciekawy rozdział o rzemiosłach i cechach, o fabrykach, jak również o handlu, o kupcach, przekupniach, o kramach, miarach, wagach, cenach. Kończy ten tom opisanie miasta pod względem topograficznym i etnograficznym: bramy, ulice, zamki, gmachy, rzeki, mosty, młyny, góry i w końcu obyczaje, stroje, uroczystości, obrzędy i t. d.

Tom IV po raz pierwszy podaje nam bogate materiały do kroniki zakładów naukowych, o szkołach przed Jezuitami, o Akademii wileńskiej i jej sławniejszych profesorach, o ruchu umysłowym, o drukarniach, bibliotekach i archiwach. Następuje na swój czas bardzo pełny rys bibliografii wileńskiej, zaczynając od roku 1519, doprowadzając do roku 1799. W końcu mamy tu dodatki, uzupełniające poprzednie wiadomości, oraz niektóre przywileje z metryki Litewskiej.

Taką jest treść „Wilna“ Kraszewskiego. Widzimy z niej, jak wielki zakres tej pracy. Niema prawie kwestyi w życiu społecznem miasta, którójby nie dotknął autor. W części historycznej, są to raczej dzieje całego kraju, a nie samego tylko Wilna. We wszystkich działach autor celuje przed wielu innymi, nie tylko sumiennością, ale i swoją bezstronnością, w kwestjach najdrażliwszych. Nie naciąga on faktów, nie tłumaczy ich w sposób nieokreślony, nie domawiając lub naginając, jak to czynią niektórzy, aby dogodzić i waszym i naszym. Zawsze i wszędzie jest szczerem, śmiało wypowiadając swoje przekonania, oparte na źródłach wiarygodnych. Niezawahał się autor oddać cześć należną, ozdobić aureolą zasłużonej wielkości tych bohaterów Litwy i Wilna, których inni, przez

całe wieki idąc za przykładem Długosza. Starali się przyćmić, zmniejszyć zasługi i dla tego niejeden takt w fałszywem świetle przedstawili. Wielką, bohaterską postać występuje u niego sławny Witold, który właśnie u Długosza tak niekorzystnie wygląda (dla tego, że Witold był wrogiem Zbigniewa).

Nie możemy tu niepowtórzyć krótkiego ustępu z dzieła Kraszewskiego, tak wiernie malującego zapatrywanie się jego na Witolda.

„Grób jego cztery wieki skruszyły, rozsypały się popioły, obraz służący mu początkowo za nagrobek, wyobrażający go po grecku na koniu, widziany jeszcze w XIV wieku, dawno się rozsypał; drugi, późniejszy, na którym próżność Bony chciała w jednym marmurze z tym wielkiem imieniem swoje drobną kobiecą sławę połączyć, upadł także. Starły się napisy, zamki poszły w gruzy, oschła krew wylana, lzy zapomniane zoszały, najdalsze potomstwo zgasało — pamięć tylko wielkiego człowieka żyje! Tak, pamięć i mogiły na litewskiej ziemi, pamięć tylko z tego pięknego życia Witolda, którego miecz zwałił tyle przeszkód, przeszył tyle krajów, z tego życia bajecznych prawie przygód, wypraw, kłótni, drad, wojen, więzień, mordów, pożogi, uporzeń i wielkości, z tego życia, które zabawało do zgonu niezatarte piętno bohaterskie, ulatując w boleści po ostatnim niedosięgniętym szczyśle — koronie!“

Kilkadziesiąt lat ubiegło, od czasu, kiedy młody jeszcze Kraszewski podniósł wysokie naczenie Witolda w dziejach Litwy, a oprócz Jarbutta i Jaroszewicza, oraz samego Kraszewskiego w osobnej pracy o Witoldzie (stanowiącej niejako 3-ci tom do jego dzieła o Litwy), nikt, w piśmiennictwie polskim nie mówił o bohaterze Litwy, tak obojętnie, jak Kraszewski; owszem, niejeden awanturnik siedł torem i tylko czarne plamy patrywał w życiu Witolda.

Wiadomo, jak miłym było dla Zygmunta Augusta jego ukochane Wilno, jak często nim przebywał i jak wielkimi dobrociąmi stolicę swoją litewską obdarzył. Jaka ta wierność i sumienne oddanie przez Kraszewskiego. Niezważał on na zarzuty i nagany, czynione z tego powodu przez Czechowskich, Warszewickich i innych; wszem surową krytyką umiał odcienić i szlachę lub widoczną zazdrość i niechęć od dawid historycznych.

Zniewieściwały, zabobonne, rozpustny, za którego miano u nas przez całe wieki Zygmunta Augusta, niechęć widzieć w nim nic,

oprócz niemnych stron, — inaczej wygląda on w Litwie Kraszewskiego. Inaczej on rozumiał i przedstawił m. narek, o którym słusznie powiedział Bartoszewicz, że „był to najdojrzały mąż w swoim narodzie, że żaden król nie dbał tyle o przyszłość Rzeczypospolitej.“

Gdy z kolei przyszło malować epokę Zygmunta III. Kraszewski nienaśladował chwalców ówczesnych, niezwahał się wyznać, że nic nie zrobił dla Wilna, oprócz kilku błahych pamiątek (dzwona, ornatów, obrazków), „lecz ileż za tych kilka dowodów łaski i pamięci, zostało po nim złego, z podżeganej wojny religijnej, ile ziarna niezgód na przyszłość!“

Poglądy Kraszewskiego, ocena wypadków, odmalowanie historycznych postaci, zawsze śmiałe, wierne, oparte na sumieniu, krytycznem a zawsze bezstronnem badaniu.

Niechcielibyśmy jednak, aby nas posądzano o chęć widzenia tylko dobrych stron w olbrzymiej pracy Kraszewskiego. Tak nie jest. Za nieomylną nie uważamy wcale Historii Wilna Kraszewskiego. Obok wielkich zalet, ma ona i usterki, które nam, cośmy sami wiele pracowali nad dziejami i zabytkami Wilna, lepiej są znane, niż innym. Są usterki nawet grube. Lecz kto temu winien?

Kraszewski najtroskliwiej zużytkował wszelkie źródła, jakie mu były przystępne. Zrobił więcej nawet, niż tego wymagać było można od historyka, który *pierwszy* torować musiał drogę do zebrania i skorzystania z materiałów, przed nim nietkniętych, a które wydobywać musiał z archiwów i bibliotek. Skorzystał ze wszystkiego, co było kiedykolwiek i gdziekolwiek ogłoszone drukiem o Wilnie. Dał nam pełny, żywy obraz stolicy litewskiej od jej początków, wyczerpująco odmalował wszystkie jej przejścia, dotknął wszystkich społecznych i wewnętrznych stron jej życia, a jeśli i potem wszystkiem nie uniknął usterek, winni ci, którzy, jak on sam powiada w przedmowie do IV tomu, uśmiechali się, patrząc na pracę, i zamiast dopomódz jej, cieszyli się myślą: — a! z naszymi materiałami, jakąż to napiszemy recenzją!

Nam to najlepiej wiadomo, że *byli tacy*, że pisali recenzje, ale mylili się w rachubie, bo jeśli te ich recenzje wzbogaciły dzieje Wilna wielkimi nieznanymi faktami, nikt bezstronny nie obwiniał oto Kraszewskiego, wiadomo bowiem dobrze, że źródła, z których recenzent czerpał materiały, nie tylko dla Kraszewskiego, ale i dla nikogo

prawie w onym czasie, oprócz recenzenta, niebyły przystępne.

Musimy tu dotknąć jednej tylko kwestyi, drażliwej wprawdzie, a jednak koniecznej dla wyświeetlenia prawdy.

Akta kapituły wileńskiej, zbutwiałe i prawie zniszczone do r. 1500. od tego czasu ocalałe, przedstawiały nader cenne materiały nie tylko dla dziejów miasta, ale i dla całego kraju. Oprócz tych aktów archiwum kapitulne posiada i wiele innych ważnych materiałów, jak przywileje, nadania, rozmaite zapisy, wreszcie bardzo ciekawe wizyty kościoła z rozmaitych epok. Wszystko to w owym czasie było przechowywane w takiej tajemnicy, że nikt do niej przystępu nie miał. Później dopiero prałat katedry wileńskiej ks. Mamert Herbut, przedsięwziął olbrzymią pracę przekładu tych ciekawych aktów na język polski. Lecz nawet i jemu, członkowi kapituły, w latach 1858, czy też 1859, wejście do archiwum było wzbronione. List głównego zarządcy katedry, a więc i archiwum, świetnego prałata-prepozyta, człowieka i kapłana pod każdym względem najzaczniejszego, ale zarazem trochę dziwaka, zawiadamiający prałata Herbura o tym zabronieniu, złożony był otwartym w muzeum archeologicznym, w witrynie, za szkłem, w liczbie rozmaitych osobliwości, tak że nader licznie zgromadzająca się publiczność, mogła go czytać. To bogdaj skutkowało, dość, że prałat wkrótce odzyskał utracone prawa i monumentalną swą pracę dokończył.

Kraszewski niekorzystał z archiwum kapitulnego. Korzystał właściwie jeden tylko człowiek Michał Homolicki, professor emeryt w uniwersytecie wileńskim, robił z tych bogatych materiałów ciągle wypisy, noty, a gdy zaczęła wychodzić historia Wilna Kraszewskiego, ogłaszał swe recenzje w „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych“. Artykuły jego, zaczerpnięte ze źródeł nikomu nieznanych, rzucają wiele światła na dzieje Wilna i całej Litwy, nie tyle prostując usterki mimowolne, ile uzupełniając pracę Kraszewskiego.

Dziwny to był człowiek, ten Homolicki. Prawości i zacności niesłychanej, uczony, żyjący jedynie dla nauki, kochający nad wyraz Wilno, ale zarazem egoistyczny pod pewnym względem, jak skąpiec, pilnował swoich materiałów, niewiedząc, co z nimi począć i niemniej utworzyć z nich samoistnej całości. A dopiero, gdy Wilno Kraszewskiego wyszło na świat, skorzystał z nieświadomości autora, któremu ani rad,

ani uwag, a tém mniej materiałów udzielić nie chciał, i zaczął ogłaszać swe spostrzeżenia i uwagi w nader obszernych artykułach, a te, jak już słusznie zauważał szanowny i zasłużony wydawca Wilna ś. p. Adam Zawadzki, stanowić muszą appendix do dzieła Kraszewskiego.

Rzecz szczególna. Homolicki, człowiek niezaprzeczony, głębokiej nauki, nie wstanie był nigdy stworzyć nic samoistnego, twórczego. Był to umysł zawisły zawsze od jakiegoś dzieła, które służyć mu musiało za nieprzewodnią, musiał się z kimś spierać i tym tylko sposobem mógł wypowiedzieć własne opinie i podać mnóstwo ciekawych, nowych szczegółów. To, co napisał w „Wizerunkach“ o Wilnie stanowić może spore dzieło. A gdy już przebiegł wszystkie 4 tomy Wilna i dopełnił je notami i uwagami z akt kapitulnych, gdy tymczasem materiałów nagromadzonych przez lat wiele usilną pracą zostawało jeszcze bardzo dużo, a i nowe przybyły z archiwum monasteru św. Trójcy i innych, znowu niewiedział, co z tém począć. Zdarzyło się jednak, że niektóre nowe źródła obalały lub prostowały dawne jego twierdzenia; to mu było dostateczne, rozpoczął więc walkę *ze sobą*. Nic pociesniejszego, jak gdy sam siebie poprawia, kłóci się ze sobą i samego siebie usiłuje przekonać, że się omylił.

Tym sposobem, korzystając z téj walki ze sobą samym, dał nam mnóstwo cennych i bogatych materiałów do dziejów Wilna, które zajęły prawie cały ostatni (62) tom Wizerunków.

Homolicki przyczynił się do wzbogacenia dziejów Wilna wielu nieznanymi szczegółami. Ale fundament założył Kraszewski. Praca jego, pierwsza u nas pod względem dziejów miasta na tak szeroką skalę podjęta, obejmująca wszelkie objawy życia, jał politycznego, tak niemniej obyczajowego, wszelkie objawy wewnętrznych stosunków i wszystkich stanów. Homolicki i inni mogą uzupełniać dzieło Kraszewskiego, ale najważniejsza zasługa i wdzięczność rodaków należy się Kraszewskiemu. Dając do wody bezstronną, szczerą miłość dla Wilna, w którym najpiękniejsze młodość lata spędził, Kraszewski dziesięcioletnią swoją pracą sam dla siebie wznosił w Wilnie niespożyty pomnik, bo imię jego nie zawsze pozostanie związane z dziejami tego grodu.

A. H. Kirkor.

II.

LITWA, Tom I.

Zdawaćby się mogło, iż nam, przedzielnym epoką całego pokolenia od chwili ukazania się „Litwy“ Kraszewskiego, nam, cośmy naówczas byli młodemi dziećmi, przeniesienie się myślą w warunki i okoliczności, otaczające wtedy autora, książkę i czytelników, dosyć powinniśmy być rzeczą trudną. W istocie takby było, gdyby nauka rzeczy litewskich szybko była naprzód postąpiła przez ostatnich lat trzydzieści. Potrzebowalibyśmy wówczas pewnego wysiłku umysłowego, aby odtworzyć sobie przedtrzydziestoletni stan tej nauki, oraz potrzeby czytelników i wydać słuszny sąd o odpowiedności dzieła wymaganiom tamtoczesnej wiedzy i potrzebie ogółu. Tak się dzieje w sferach nauk, szybko postępujących, jak n. p. przyrodniczych, technicznych, lekarskich i t. p., to nie u nas.

Próżneby jednak były obawy tego, kto by umiał, że w zakresie badań nad dziejami, mitologią i językiem litewskim taki zaszedł u nas postęp, iż dzisiaj nie zdołamy zrozumieć należycie poglądów na te rzeczy z doby przedtrzydziestoletniej. Niestety, poszukiwania te idą u nas, jak na raku: Narbut do chwili obecnej jest najobszerniejszym i najbardziej źródłowym dziejopisem, a na polu wiaroznawstwa i językoznawstwa zaedwie parę rozprawek u nas w ciągu ostatnich ćwierci wieku się ukazało. Węć wanki ukazania się „Litwy“ Kraszewskiego a mniej więcć takie, jakimi były w roku 1847 i jakimi prawdopodobnie długo jeszcze gędą, sądząc z zupełnej obojętności pracowników i czytelników naszych ku własnej rzeszłości.

„Wilno“ i „Litwa“ Kraszewskiego są ożywiście owocem jednego okresu badań tego. Chcąc przedstawić dzieje stolicy, serca arodu, autor musiał starać się poznać jego historyę, dawne wierzenia i język. Gdy więc młody naówczas powieściopisarz ogłosił od roku 1840 do 1842 czterotomową kronikę Wilna, można było być pewnym, iż w głowie i tece jego pozostało całe, że tak poiem, rusztowanie krajowodziejowe, którego mu było zaniedbać; więc wzięwszy luno w powieściopisarskie ręce, wysnuł z gnych zasobów pieśni „Anafielasn“, a później zużytkował je prozą, i tak powstała Litwa“.

Taka geneza dzieła tego wydaje mi się jedynie słuszną, gdyż o ile „Wilno“ dość samodzielnie i starannie, jak na powieściopisarza z urodzenia i powołania, wydaje się być opracowanem, o tyle „Litwa“ nosi na sobie ślady lekkiego przemykania się po trudnościach i w ogóle jest kompilacyą.

Voigt i Narbut dopiero co byli ukończyli swe obszerne dzieła o dziejach Litwy. Dla naszej publiczności tylko praca Narbuta być mogła dostępną; ale przy swoich rozmiarach i przy ówczesnym sennym stanie czytelnictwa, ręczyć było można, że czytana będzie chyba przez specjalistów. Spopularyzowanie przeto prac tych dwóch pisarzy było rzeczą pożądaną. Kraszewski, obeznany już z dziejami Litwy, ile mu one za tło do kroniki Wilna służyły, postanowił podjąć się tego zadania. W kilka więc lat po „Wilnie“, ogłosił „Litwę“ i w znacznym stopniu dopiął celu: zainteresował publiczność, zmusił ją niejako do czytania dzieła, napisanego przez lubionego już naówczas powieściopisarza i kazał dowiedzieć się o wynikach pracy Voigta, a głównie Narbuta takim nawet, którzyby nigdy do wielotomowych dzieł ich nie zajrzeli. W kilkanaście lat później (1864), gdy Rogalskiemu pod wyrazem „Litwa“ trzeba było wypełnić kilkadziesiąt stronnic wielkiej Encyklopedyi, wziął on za podstawę dzieło Kraszewskiego; tym więc sposobem popularność pracy jego sięgnęła jeszcze dalszych kół i w tysiącach egzemplarzy rozniosła w drugim stopniu spopularyzowane podania Narbuta. Tą drogą utworzył się pewien cykl mityczny o rzeczach litewskich, który długo jeszcze zapewne krążyć będzie u nas, zanim na miejsce jego przyszyły cierpliwy, zdolny i uzbrojony najnowszymi narzędziami krytyki badacz nie postawi coś pewnego, niezbitego i na podstawach opartego. Nazywam te wieści Encyklopedyi o Litwie mitem, bo w przekonaniu mojem prawie wszystko, co tam powiedziano o wierze i mowie Litwinów, jest urojeniem niekrytycznego Narbuta.

Ma się rozumieć, Kraszewski tyle jest winnym w rozpowszechnieniu tych legend o Litwie, ile przyłożył ręki do spopularyzowania wywodów Narbuta. Jednakże, aby było inaczej, trzebaaby, aby sam go sprawdził krytycznie, to jest, ni mniej ni więcć,

aby został znakomitym językoznawcą, znakomitym ludoznawcą i znakomitym mitologiem. Rzecz wszakże jasna, iż pojedynczy człowiek takim polihistorem nie był i być nie może. Zresztą, jeżeliby Kraszewski chociażby tylko mitologii porównawczej się poświęcił, to i taby mu całe życie zajęła; a któżby napisał owe paręset tomów ślicznych powieści, ktoby obudził śpiącą powszechność naszą? ktoby ją nauczył czytać po polsku i wytrącił z rąk jej cudzoziemskie powieści i czasopisma; ktoby odrodził popularność piśmiennictwa polskiego? Nie mamy więc prawa czynić zarzutu Kraszewskiemu, iż nie dość samodzielnie badaniem rzeczy litewskich nie posunął uaprzód ich nauki, tak, jak nie mamy prawa gniewać się na słowo, że nie „tudzi, a na księżyc, że nie przeje”. Kraszewski dograł i odgrywa tak ogromną rolę w dziejach naszego piśmiennictwa, że może właśnie największą dla kraju byłoby szkoda, gdyby się był wyłącznie i na całe życie jakiejś specjalności poświęcił. Umysł jego jest przedewszystkiem ekstensywny, a działalność głównie podniecającej natury; a takie składniki duchowe nie wydają i nie mogą wydać cierpliwych mólów naukowych, lecz nieraz wydają ludzi ogromnego wpływu, zasługi i popularności, jak Krasieki, Wiktor Hugo za nowszych czasów, a Ciceron w starożytności.

Nie będziemy się więc prawowali tutaj z Kraszewskim o wiele i wiele niedokładności, które zawiera pierwszy tom „Litwy”. O wstępach jego, dotyczących języka i językoznawstwa litewskiego, rozpisaliśmy się w drugim tomie Rozpraw i Sprawozdań Wydziału filologicznego Krakowskiej Akademii Umiejętności (str. 174 do 192). Zresztą dzisiaj nie tyle o polemikę z dawnymi pisarzami, ile o nasze własne prace chodzi, abyśmy niemi sprostowali to, co starszym wyrozumieć było albo zbyt trudno, albo nawet niemożliwą rzeczą.

Rzucmy więc okiem na ten tom „Litwy” i poszukajmy, co w nim się da znaleźć lepszego, dziś jeszcze użytecznego. Pomijamy rozdziały o „Dziejach pierwiastkowych” „Urywki dziejów do XIII w.” jako właściwie należące do referatu o drugim tomie, wyłącznie poświęconym historii Litwy; podniesiemy tylko ze wstępu słów kilka, które dokładnie wskazują stanowisko autora. „Chętnie ustępujemy drugim, powiada autor na str. 10, zasługi wyszukiwania nowych imion genealogii i drobiazgowego gmerania się w faktach, które żadnego wniosku stanowczego dać z siebie nie

mogą... Rysy charakteru narodowego, idee ludu, przeznaczenie... oto cośmy głównie mieli na celu.” Zapewne, cel taki byłby bardzo pięknym i dającym się doścignąć, gdyby prace przygotowawcze na polu badań litewskich były całkowicie dokonane; ale omijać „drobiazgowo gmeranie się w faktach” i na chybił trafił gonić za „słowem dziejów.” temu właśnie mógł się poświęcić tylko umysł niecierpliwy, umysł syntetyczny, z natury nieprzyjazny analizie. Lecz niestety, co innego jest „tworzyć” poemat lub powieść, a co innego „odtworzać” przeszłość rzeczywistą. Pogarda „drobiazgowego gmerania się w faktach” nie uchodzi bezkarnie w badaniach naukowych, również jak i bezkrytyczność. Jakóż, po wielotomowych pracach Narbuta i jego następców, musimy dziś znów wracać tam, skąd zwykle zaczynać należy: do źródeł, do krytycznego a umiejętnego ich zbadania.

Rozdział p. n. „Ziemia Litewska i jej płody” bardzo wiele pozostawia do życzenia pod względem dokładności i porządku; zresztą główna wina w tém nie Kraszewskiego, bo tak mało w tym zakresie przednim i podziśdziem nawet zrobiono, że najzdutniejszy pisarz nie wyczerpującego tu nie zdołałby ułożyć. Tu jak i wszędzie Kraszewski przedewszystkiem jest powieściopisarzem; niech czytelnik spojrzy raz jeszcze na str. 26 i dalsze, co to za kwiecistość obrazów, co za styl namaszczoney: „O brzegi piaszczyste morza biją fale jego chłodne... wzgórki zarosły lasy zielone... starych puszczy szumiące konary... cisza dokoła uroczysta... gdzieś żółty piasek wysypał się z rzek na pola... w cichem jeziorze kąpią się skrzydłami rybitwy białe... Co za uroczysta cisza, jaki spokój wielki dokoła! Boga widać wszędzie... i tak dalej, i tak dalej. Niejeden oddałby wszystkie te uroczyste cisze i widzenia Boga za garstkę dokładnych szczegółów geograficznych, statystycznych i etnograficznych, chociażby tak po amatorsku, ale za to z koniecznego przypatrzenia się skróslonych, jak „Obrazy” Wincentego Pola. Ale drobiazgowo a fachowe badania nie leżały w naturze naszego autora; a prac przygotowawczych, któreby mógł spożytkować, prawie nie było.

Nie będziemy też wyrzucać Kraszewskiemu, że w rozdziałach o „Wierze, kapłanach i religii litewskiej,” oraz o „Ustawach, obyczajach i t. d.” poszedł co do materiału za Narbutem, a co do pojęć ogólnych za poglądami swojego czasu. Korzystał z

zasobów, jakich mógł dostać z drugiej ręki i sam ani chciał, ani zdołał zbierać od ludu podań i wierzeń; na to potrzebaby dużo czasu i niewyczerpanej cierpliwości, a potem długoletnich badań, aby rzeczy nagromadzone porównać i pogodzić za pomocą nauki mitologiczno-porównawczej z wierzeniami innych czasów i plemion, oraz z tém, co dawni pisarze nam o wierze dawniej Litwy podali. Nie dziwny się przeto, czytając takie np. zdanie (str. 99), że „fałszywe i zabobonne wiary... są przeczuć, przygotowaniem ku doskonalszemu, prawdziwemu” i że niema na świecie systemu religijnego, niema pojęcia, któreby się do wiary litewskiej nie domięszało (str. 101—103). Dziś już rzadko kto dzieli wiary na fałszywe i prawdziwe, i rzadko kto przypuszcza w mowach i religiach miksury międzynarodowe, lecz przed trzydziestu laty filozofowie niemieccy szerzyli tego rodzaju teorye, nie tyle oglądając się na fakta, ile słuchając pajęczynę własnych systemów świata i dziejów. Co się zaś tyczy szczegółowego przedstawienia Parnasu litewskiego, to ponieważ Kraszewski prawie bez żadnego protestu poszedł za Narbutem, to i w „Litwie” jego znajdujemy cały ów szereg podejrzanego autoramentu bogów i bogiń, z którego przed prawdziwą krytyką może dziesięć postaci zaledwo się ostoć, a reszta zniknie, jak owe Zuicze i Anafielasy, o których Litwa nigdy nie słyszała przed Narbutem. Nie wiele, ale coś już przecie uczyniono do wygnania owych bóstw samozwańczych, które mi Łasicki, podobno na złość katolikom, niebiosu Litwina zału dnił. Gruntowna praca prof. Mierzyńskiego o Łasickim (w LXI tomie Rocznika Towarz. Nauk. Krak. 1870), przypisy Akieliewicza do Lelewela „Polska, dzieje i rzeczy jej” tomu V, Schleichera „Lithuanica,” oto trochę zasobu, w który się uzbroiwszy, badacz dzisiejszy może, jak Orfeusz po zgubionej małżonkę, spuścić się w odczłanianie piekieł litewskich, po zatraceniu wątek ich wiary. I tu jednak, powtarzamy, nie rzucajmy lekkomyślnie słowem na Kraszewskiego; i tu brał on, co znalazł gotowego; my młodszy nie daleko poszliśmy naprzód i nie wiele mamy do pochwalenia się w tym

kierunku, chyba może szczyptę wyrobienia krytycznego i metodologicznego, które nam ogólny postęp nauki mitologicznej ułatwił.

Najlepszymi dziś jeszcze rozdziałami pierwszego tomu „Litwy” są VIII, IX i X.

Zawierają one pieśni, przysłówia i podania litewskie, komentowane przez autora. Przysłówia wypisał Kraszewski ze słownika Ruhiga i Mielckiego, oraz ze zbiorku Jucewicza; podał ich przeszło czterysta w oryginalne i przekładzie, objaśniając ich znaczenie z warunków żywota ludu litewskiego. Pieśni dostarczył Kraszewskiemu zbiorzek Rhesy, opatrzony przekładem niemieckim i przypisami Kurschata. O zbiorze pieśni Staniewicza autor wie tylko; jak się zdaje, ze słyszenia.

Prawie wszystkie pieśni Rhesy autor nasz wiernie przełożył i przypisami objaśnił. Ten przekład pieśni i przysłów największą jest zaletą pierwszego tomu „Litwy.” i dzisiaj dla nieznających języka litewskiego, bardzo użytecznym jest materiałem. Rozdział o „Podaniach” dostarcza pewnej ilości legend ludowych i kronikarskich; tu już trzeba ostrożnie i krytycznie słuchać naszego autora, bo przyjmuje on zbyt często z dobrą wiarą to, co Strykowski i Narbut, nie oglądając się na pewność lub niepewność źródła, za podania ludowe mieli.

Streszczam tu jeszcze w kilku słowach, com dotąd powiedział. Praca ta Kraszewskiego, jak i wszystkie jego dzieła naukowe, nie tyle jest zgłębiającej, ile uogólniającej, popularyzującej natury: skutek tedy musiała wyrzucić i wywarła nie tyle posuwający naukę naprzód, ile podniecający innych badaczy, a szerególnie ogół, do bliższego rzeczy poznania. Co zaś do twórczości autora, złożyła ta książka jeszcze jeden dowód niesłychanej pracowitości i rozległości jego umysłu, oraz pożytecznej a szerokiej zakres ogarniającej działalności pisarza, który, jak Nil swoim niezbyt głębokim, lecz za to nader rozległym wylowem użyźniający ogromną przestrzeń, roznosi debrodziejstwo światła i zapładnia niwę umysłowości krajowej, szląc uprzystępnione ziarna wiedzy w najdalsze jej zakątki i w najgłębsze pokłady społeczne.

Jan Karłowicz.

III.

LITWA, Tom II. — Litwa za Witolda.

Stajemy przed właściwą historią Litwy na kartach dzieła Kraszewskiego. Porzuciłmy przedśionek pełen starożytnych ciekawości, owiany technieniem uczuć minionych, pogrążony w półmroku. Tu badacz otworzy podwoje, roztoczy się przed nami historyczna widownia z pełnem na niej życiem tłumów i wybitnych postaci... Bojowy to obraz pomsty lub obrony, pod wrzawą którego ukrywa się do niedostrzeżenia prawie wewnętrzna organizacyjna praca społeczna.—Wzrok nasz używa do sytości widoku walk odpornych lub zdobywczych, w których nieodłączny od czasów i pojęć, krwawy, pogański fanatyzm, równoważy się miłością kraju aż do spowieszczenia bohaterstwa.

W dziele tém pragnął autor zbadać poważnie dzieje Litwy, które fantastycznie malował, jako poeta, i dopiął celu według pojęcia swego. Jeżeli nie trafia do przekonania wstępna krytyczna myśl o dziejach Litwy w I tomie (str. 14—21) wypowiedziana, gdzie wraz z pogaństwem pogrzebał Litwy narodowość, jeżeli odpowiada tu wewnętrzne, faktami stwierdzone przekonanie, że krzyż narodowości nie tępi, lecz odradza — z uznaniem słucha czytelnik wielu innych poglądów autora. Ze zdarzeń, z objawów narodowego życia, pragnie on wydobyć zawsze ich myśl wewnętrzną, sprężynę ukrytą.—Kraszewski jest tu jednym z pierwszych na tém polu. Niewiemy, czy wiele uczynił wcześniejszy od niego Onacewicz. Ogromem pracy w przeszłości litewskiej, umiłowaniem przedmiotu, jeżeli nie dorównywa Teodorowi Narbutowski, przewyższa go wielokroć *krytyką faktów*, bystrością poglądów. Dzieje litewskie badane przez obcych, sądzone rozmaicie i najsprzeczniej, w dziele Narbutta na ogromnej przestrzeni nieumiejętnie zarysowane, na szczegóły rozsypane, Kraszewski stara się doprowadzić do syntezy i szuka wewnętrznego ich słowa.

Wstęp do historyi rozpoczyna się ukazaniem na scenie dziejowej Wejdawuta, mitycznej postaci, w której narodowe podanie skupiło dzieje połączenia plemion litewskich, tudzież idealne cnoty kunigasa. Jest to Piast litewski, wojownik i mędrzec, bez łagodnej słodczy rolnika kołodzieja. Mityczny ten władca skupia rozdzielone plemiona, podnosi oręż przeciw najeźdźcom,

kraj porządkuje, prawa stanowi — z wiarą religijną, właściwą plemieniu, z którego powstał, korzy władzę świecką przed władzą duchowną—nareszcie dzieli kraj między synów i syt wieku a sławy, płonie na ofiar-nym stosie. Tak go przedstawia podanie.—Imię Wejdawuta zdaje się wskazywać dostatecznie czysto litewskie źródło, przecież Kraszewski chce go mieć nosobieniem władców skandynawskich, zlewających się z podobitym ludem. Na mniemanie autora wpływa tu zapewne uczony Voigt, wiadomy zwolennik historycznej germanizacji, o którym jednak autor nasz sam świadczy (str. 428), że wbrew lingwistycznym i dziejowym dowodom, radby starożytnych Prussów uczynić gotycką odroślą.

Twierdzenia autora o Wejdawucie nie wyczerpują kwestyi, lecz zbliżają wielce ku jej wyjaśnieniu. Z badania jego w tym przedmiocie, jeżeli niewiemy napewno, czyli Wejdawud był skandynawcem, czy Herulem może, czyli kość z kości starożytnych Prusów, widzimy w nim nosobienie wielkiej dziejowej przemiany w plemionach litewskich, dojście ich do świadomości, norganizowanie, przeście z epoki biernej w czynną i zaznaczenie całej przyszłej dziejowej działalności.—Ogromne to rysy, praca wieków i wielu ludzi, w jedno trwanie życia ludzkiego, w jedną postać skupione.

Z przekonującą śmiałością sądu, stanowczo odrzuca autor wiek VI po Chrystusie, Wejdawutowi przez Voigta i Narbutta naznaczany. Podnosi tę postać nad zwykłe ludzkie rozmiary, mgłą podań przesłania, w starożytność odsuwa, i w tém zdaje się najlepiej tłumaczyć uczucie ludu, własne swe dzieje malującego w starożytniej przez przez się postaci.—Wejdawut u Kraszewskiego wraz z całym kręgiem działalności swojej, nie jest nawet historyczną osobą, co najwięcej imię niegdyś rzeczywiste może wstawione nosi— jest uosobieniem całej epoki, odbiciem działań massy ludowej, i tak go pojmujemy najlepiej.

W pobieżnych rysach odmalowywa nam dwie inne postaci mityczne: Gellona i Nemona, którego ma za jedno z Palemonem, a mając wejść w obręb rzeczywistej historyi, rzuca okiem na przestrzeń przebyta i uniesiony pięknoscią podań, które cytował,

kończy rzecz o nich wstępem siły i natężenia pełnym: „Na tle dziejów, co runęły przysute niepamięcią, wznoszą się te gmachy podań z różnokolorowych promieni tkane, prawdziwe zjawiska powietrzne na kształt tych, co je na morzu widują żeglarze. W nich budowa starych gmachów upadłych odżywa, ale jaśniejąca tysiącem barw, blasków ludzących a cudnych. Głęboki rozum, stary, siwy swój włos ukazuje wszędzie z pod różowej szaty podania. Wielka powaga, wielkie umiarkowanie, dziwnie się tu łączy z bujną poetyczną wyobraźnią. Czego się dotknęło podanie, wyidealizowało, wypadki wzięły na się ciało, epoki stały ludźmi, wieki ściśnęły się na lata, narody wstały z grobów i uosobiły się w postaciach widome.”

Rozdział następny p. t.: Urywki dziejów do XIII wieku, przedstawia epokę w dziejach Litwy najbardziej zakrytą, urywkowo znaną, całe wieki głucho milczącą, nieludowo pustynną. Kształtujący się naród poznać się jeszcze nie dał, podania ucichły, postronni milczą o Litwie, ledwie słyhać wzmiankę jaką krótką w sagach skandynawskich, w relacji podróżnego Duńczyka. Bliżej nowszych czasów już liczniejsze odzywają się głosy. Ruś w kronice Nestora poczyna mówić o Litwie—apostołowie, krew przelewający, udzielają zachodnim narodom wieści o tej dziedzinie pogaństwa. Lecz wieści te głuche, niejasne. Żadna postać wyraziście nie przebija się przez tę ciemność dziejową. Historyk tu z mozołem szczyplony płon zbiera, a po bujnej epoce podań nie ma dla artysty. Na krótkiej więc przestrzeni dwudziestu kilku kart autor zamyka puściznę ośmiu wieków, od V do XIII. Posiłkuje się tu sagami normandzkiemi, sprawozdaniem Wulfstana, nareszcie podaniami kronikarskiemi Strykowskiemi, przypuszczalnemi datami Narbutta. Nie mógł opuścić autor tradycyjnych wieści o Knasie, Borku, Sperze i ich następach—przeto pisze o nich w naznaczonej zdawna epoce, żadnych własnych nie czyniąc dociekań. W słuszną, wszakże wątpliwość podaje genealogią ówczesnych kunigasów—sztucznie ułożoną przez kronikarzy, łatwowiernie przyjętą przez Narbutta. W wiekach tych zaznacza jedynie, jako pewność, wyrobienie władzy monarchicznej w Litwie, wyraźne wzrastanie téjże z umą starego teokratycznego rządu—mianowicie od połowy XI wieku.—Władza ta rozbita jeszcze na liczne niezależne dzielnice, nie doszła do stworzenia ogniska.—Ale rychło to nastąpi.—W rozwoju badań widać ja-

sno, jak szczególnie położenie Litwy, wczesne zagrożenie granic, z ludu wolnego, miłującego rolę, czyni ją stopniowo ludem wojowników, zmusza do porzucenia swobód starożytnych i wiedzie do niezbędnego w obronie bytu przyjęcia jedynowładztwa.

Początkowe karty tomu II przedstawiają nam owo młodzieńcze budzenie się narodu do politycznego życia. Z północą, wschodem i południem już się Litwa starła, szereg walk się rozpoczął. Nie ma w nich jeszcze spójni i jasnej przewodniej idei—lecz niebawem ujrzy zagrożone plemię, zład mu największe bije niebezpieczeństwo. Z początku XIII wieku autor ukazuje dwa widma groźne, powstające na granicach Litwy: Zakon Mieczowy i Zakon Krzyżacki. Jest to chwila stanowcza, rozstrzygająca o dwuwiekowej przyszłości całego kraju. Jakże ją autor osądzi?—Z podziwem widzimy go uznającego potrzebę istnienia w Prusyi Krzyżaków i chrztu ich krwawego, niespodzianie dobiega nas z kart dzieła echo wieków średnich. Że młodzieńcze te wieki w fantastycznym zapale stapiały w jedno: pojęcie miecza i krzyża, dziwić się niemożemy.—Dzieciństwo umysłu dozwalało epoce ówczesnej bratać z sobą niezbratane, zlewać w jedno bijące sprzeczności i pojęciem Fanstrechtu wdrażać pojęcie ofiary. Palono, mordowano, grabiono i chrzczono. Wiadomo, jak daleko wiodły sposoby takie, sprzeczne z naturą człowieka. Plemiona słabsze ginęły, rozgniecione stopą nieprawego apostoła, plemiona większego charakteru podnosiły się do walki olbrzymiej na śmierć lub życie. Obraz pierwszych daje słowiańszczyzna nadmorska, pogrzebana w Meklemburgii i Braniborzu, dopełnia go wynaturzona i skarłała Żotwa. Obraz drugich mamy w rozpaczliwym boju Litwy i Żmudzi, których przymus nie zdołał nawrócić. Gdy więc czytamy autora, pochwalającego te sposoby na str. 480, 490, 516 i innych I tomu—cieszymy się, że w dalszym ciągu dziejów sam je najlepiej zbija na str. 264 tomu II-go.

Zbliżamy się do niedość rozjaśnionego punktu dziejów, do epoki Ryngolda.—Z upłynieniem pierwszej ćwierci XIII w. nastaje dla Litwy stanowcza chwila zjednoczenia.—Tu Kraszewski łącznie ze Strykowskiem i Narbuttem idzie za podaniami narodowemi, odrzuca sceptyczne uwagi Daniłowicza, nie waha się przyjąć Ryngolda za osobę historyczną, i uznać go twórcą jedności litewskiej, pierwszym kunigaszem Wielkim, jakim go czynią pogania.—Niedowiarstwo Daniłowicza z wielkiego lekce-

ważenia podań narodowych wynikło. Nie mógł go mieć wielbiciel poezji, uważała pieśni gminnej, artysta wszędzie towarzyszący badaczowi; nie postawił przeto Kraszewski tych podań na równi z kronikarskimi fikcjami. Wystarczyły mu świadectwa latopisu, przywiezione przez Strykowski, Kojalowicz, kronika Narbutta, by przedstawił Ryngolda przeobrażicielem Litwy i wodzem wielkich, rozstrzygających bitew pod Mohilną i Kamieniem.

Dla czego następującą po Ryngoldzie chwilę, gdy nawałę Mongolską Batego wstrzymała Litwa i pokonała, Kraszewski chce mieć kulminacyjny punkt jej dziejów, po którym miało nastąpić powolne konanie?—Nie rozstrząsamy. —Zwracamy jedynie uwagę, że w tej epoce młode państwo ledwo się organizuje, że Mendogowa bitwa nad Durbą równieby ważną mogła być chwilą dziejów, ponieważ złamała stanowczo rozszczęnia Germańszczyzny na Wschodzie, że rozkwit jeszcze późniejszego Gedyminowego państwa miał także osobną misję swoje i nie był żadną miarą konaniem.

Występuje przed nami postać, nazwana przez autora największą w dziejach litewskich, uczczona przezeń osobnym poematem. Wiemy już, że jest nią Mindows. —Mindows, oskarżany zjadale i z niesieniem broniony, krwawy poganin u jednych, neofita nieszczęśliwy u drugich, w każdym razie wielki przedstawiciel narodu, dotąd najsprzeczniej sądzony. Po której stronie szali ujrzymy zdanie autora? Kraszewski, zdumiewając się charakterowi Mendoga i szczególnie burzliwym jego dziejom, zachowuje mu charakter przebiegłego poganina. Jest li to ostatni wyraz krytyki historycznej w charakterystyce Mendoga? Nie sądzimy.

W ogóle sprzeczne o Mendoga świadectwa nie zostały jeszcze bezstronnie zestawione i porównane. Pomnijmy też, jak trudno wydać zdanie o wielkim wojowniku, mamigłunie u sąsiadów sądzonym, o którym źródła krajowe prawie milczą. —W tak dramatycznym żywocie, jakim był żywot Mendoga, co za bogate pole dla fantazji poetycznej! — Nie możemy więc poprzestać na sądach dotąd wyrzeczonych. — Wyznać jest słuszniej i lepiej, że dotychczas postać to niezbadana, że czeka, jak już czekało wielu bohaterów przeszłości, swego badacza i odtwórcy, któryby go z dziedziny poezji i niepewności wywiódł na stały grunt historyczny. — Miejmy nadzieję, iż z biegiem czasu wytrysną nowe źródła dziejowe, lub obszerniej opracowane ukażą się materiały, które dozwolą rozstrzygnąć pomiędzy bie-

gunowo przeciwnymi twierdzeniami: Kojalowicza a Łukasza Dawida, niepewnym sądem a Daniłowicza dowodzeniem Narbutta. Kraszewski przechyla się ku Daniłowiczowi, aczkolwiek więcej od niego przyznaje Mendogowi myśli wielkiej i celu narodowego. — Co do szczegółów jego panowania, zaprzecza dziwacznej wieści o wędrówce Mendoga do Rzymu—lecz odejmując jej prawdopodobieństwo, z drugiej strony winienby zacytować w całości ważną bullę Klemensa IV, wydaną już po śmierci Mendoga, a rzucającą ogromne światło w kwestyi, jak się Rzym na sprawę chrześcijaństwa zapatrywał. Nie znajdujemy tej bulli w dodatkach na końcu dzieła przywiezionych. — Dokument ten znany Narbuttowi z Rajnolda, cytowany jest u Theinera w „Monumentach“ T. I str. 79.

W przerwie lat dwudziestu między zejściem z widowni Mendoga a ukazaniem się Witenesa, panuje taka niepewność w genealogii rozdrobnionych ksiąg, taki zamęt w obrazie, wynikały z przypisywania jednych i tych samych faktów coraz innym sprawcom, ciemność źródeł lub stronność w ich tłumaczeniu, że następ Kraszewskiego, dotyczący tej epoki, równie jest niejasny i niewystarczający, jak rozbiory poprzedników. Nie winą to autora. — Dotkliwie daje się tu niezuwać ubóstwo źródeł, brak materiałów. Dotychczasowe niezbadanie kwestyi sprawia, że historykowi, pragnącemu dać jasny i przystępny tej epoki dziejów obraz, wątku zdrowego braknie, zadawałniam się musi prawdopodobieństwem, pograżać razem z czytelnikiem w niepewnościach— w dziele zaś streszczonem, jakim jest „Litwa“ Kraszewskiego, stawiając wnioski nowe, poprzec ich nie ma pola. — Takim wnioskiem u autora dostatecznie nie popartym, jest przypisanie Lutaworowi i Witenesowi morderstwa W. księcia Trojdena. Występuje tu autor wbrew opowieści Strykowskiego i odnalezionemu niedawno jednemu ze źródeł jego: kronice ksiąg Zaslawskich, Berestowieckiej czyli kronice Bychowca. Wspiera się sam na „Gońcu Cnoty“ Strykowskiego, który na lat osiem przed tegoż kroniką był wydanym, i na samodzielnym Gwagninie. Źródła te nie wystarczają na stwierdzenie wniosku; gdy zaś i surowy krytyk Daniłowicz nie dzieli w tém miejscu zdania z autorem, mniemamy że fakt opanowania tronu przez Witenesa, w sposób, jak o nim w dziele czytamy, nie wychodzi ze sfery przypuszczeń historycznych.

Następne karty poświęcone są wojniczemu panowaniu Witenesa. Panowanie to

przedstawia jeden szereg epizodów wojennych większej lub mniejszej doniosłości; ubogiem będąc w fakta ważne, w walki rozstrzygające, nuży nieustannym broni szczękiem i obrazkami urywkowych wypraw. Wyliczanie ich mozołną pracę zadało autorowi. — Analistyczne rok po roku traktowanie rzeczy, które jako systemat przyjął w całym dziele swoim, jeszcze bardziej utrudniło artystyczną stronę opowiadania. — Znana siła i barwność stylu Kraszewskiego w ciasnych ramach rocznikarskich rozwijać się nie mogła; tę niewolę systematu spostrzegamy ciężącą nad całym dziełem, najmocniej zaś w rozdziale, tyczącym się dziejów Witenesa.

Jaśniejsze samo przez się jest panowanie Gedymina, bo tu się fakta same dzielą na pełne charakteru grupy, a pióro historyka dość czyni, gdy idzie z prostotą za wielkością spraw i zdarzeń, które opowiada. Przy końcu rozdziału, poświęconego Gedyminowi, pióro Kraszewskiego oddaje hold tej potężnej historycznej postaci, lecz gdy opowiadanie swe rozpoczyna, władcy, którego rządy były pełne spokoju i miary, zarzuca zbrodnię morderstwa. Takim sposobem miał wstąpić Gedymin po Witenesia i nie być synem jego, lecz sługą.

Najpierwsze mówią to źródła Krzyżackie, za nimi inni w obiegu wieków i autor. Istnieją też źródła całkowicie z powyższemi sprzeczne i te swoich mają zwolenników. Nie będziemy tu rozstrząsać faktu, dotąd nie zbadanego.

W historyi Litwy są zakąty tajemnicze, w które się światło jeszcze nie przedarło, „wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.“ — Póki nie będą odkryte źródła Strykowskiego, kronika Rotunda i inne światła historyczne, nareszcie póki dnia nie ujrzy historya Litwy Zegoty Onacewicza w XIX w. napisana i zatracona — sprawa tak zagmatwana sprzecznymi świadectwami, nie dojdzie do rozwiązania. Ani Kraszewski wreszcie, morderstwa i przywłaszczenia tronu, ostatecznie przodkowi Jagielly nie zarzuca. — Powiada: „nie będziemy wyrokować stanowczo“, — wiedząc, iż twierdzić tu już nie można; lecz w całym sposobie opowiadania ku obwinieniu Gedymina zmiecha. To przychylenie się ku niekorzystnym dla przeszłości Litwy świadectwom, kilkakrotnie uderza czytelnika, przy badaniu obecnego dzieła. Widzieliśmy je w charakterystyce Mendoga, w opisywaniu spraw Witenesa, Gedymina. — Czytelnik szuka rzeczy, które powoływały autora do wyrażania tego, a nie innego punktu widzenia.

Pozwólmy sobie zwrócić uwagę na objaw psychiczny, który się przy wszelkich rozrządaniach powtarza; występuje on nieodmiennie w rozbiórach polemicznych — a dzieje Litwy, dla różności obozów badaczy, nad niemi pracujących, weszły już na tor polemiki. — Przesada wywołuje zawsze odpowiednią reakcją, zbytne uwielbienia wiodą deprecyacją za sobą, a pojęcia, od sprzecznych uczuć biorąc sprzeczny kierunek swego wyroku, — długo, jak wagi wstrząśnione, w przeciwne uderzają strony, zanim dojdą do niezłomnego spokoju, do pewności, do światła, do prawdy. Przedmiot badany wszelkie fazy polemiczne przejść musi, zanim się skryształizuje w pewnik naukowy. W takiej dobie polemicznego fermentu są jeszcze liczne kwestye dziejów Litwy. W faktach, o których mówimy, optymizm ostatniego historyka Litwy istotnie posunięty do wysokiego stopnia, wywołał pesymizm jego następcy. Od przyszłości czekać musimy ponownego zbadania kwestyi i rozstrzygnięcia.

Mimo cienia rzuconego z początku i podanego w wątpliwość przez samego autora (w zestawieniu stronnie 160, 233) — wspinała jest, jak mówiliśmy, charakterystyka Gedymina przy zamknięciu rzeczy o nim. Uroczczenia Voigta w sprawie antentycznych listów — Kraszewski stanowczo zbija, nie zwracając nawet bliższej uwagi na daremny wysiłek historyka niemieckiego w obronie tej sprawy straconej.

Panowanie Olgerda zajmuje u autora naszego rozdział długi, barwnie i obszernie napisany. Ilekroć jeszcze zyskało przedstawienie całości, gdyby go nie wiazał ów rocznikarski tok opowiadania. Najłatwiejszy to może sposób pisania dziejów, lecz powiedzmy, najmniej godny pióra, które umie malować potężnie, zdolne jest wyrzeć w imaginacyi czytelnika obrazy wspaniałe. W ciasnych zakresach każdego roku więznie artystyczna swoboda, wzrok, zatrzymany przy epizodach, nie może objąć linii ogólnych i opowieść o całym panowaniu z konieczności tracić musi jasność swych głównych zarysów.

Pozostają następny, i te uderzają nieraz pięknnością oddania. Jeden z najwybitniejszych przypada na rok 1362-gi. Gdyby cały okres dziejowy Olgerdowych rządów opracował autor z takim zamiłowaniem, jak odmalował ten jeden w nim epizod — bohaterską chwilę oblężenia Kowna — tyle w opowieść wlewając ciepła, z taką oddając jej prostotą i artyzmem — panowanie Olgerda w potężnych zarysach zostałoby w pamięci czytelnika. Mielibyśmy tu obraz zdu-

miewającej walki i dramatu pełen, tła krwawe i odbijające od nich sceny miłości rodzinnej—widzielibyśmy dążenie narodu ku oświacie i wierze, w boju z potężną fakcją, zapierającą mu drogę—przemoc niedolną zabić ducha i tegoż nareszcie ducha narodowego, znękanego bojem odpornym i pracą organizującą, czekającego chrztu odrodzenia z ręki braterskiej.—Pole to obfite i pełne świeżości dla autora, co porzuciwszy suche dla ogółu i kamieniste krenik obszary, wszedł na niwę powieści historycznych. Pole to mało znane. Co niedostaje w tych dwóch tomach „Litwy“, co suchością razi—miejmy nadzieję—na nowo rozwinie się i wykwitnie pełne krasy z pod pióra Kraszewskiego, od którego, jako powieściopisarza, społeczność nadniemnowa i swojej dawniej przeszłości obrazu czekać ma prawo. Są źródła ożywcze, wlewające otuchę tak w indywidua, jak w zbiorowego człowieka—temi są niekiedy wspomnienia.

Wracając do szczegółów Olgerdowego panowania, znajdujemy w nich fakt zdobycia heraklejskiego Chersonu. Zdobycie tego bogatego emporium greckiego, przegladającego się w morzu Czarném na wybrzeżach Krymskich—wymienia Kraszewski wedle wzmianek obcych i przywiedzionego u Narbutta rękopismu Łodziaty.

Rzućmy okiem na jeden jeszcze rys uderzający tego panowania. Czytelnika nie obeznanego z historią Litwy, zdumiewa za Olgerda napływ najświetniejszych imion rycerskich z Zachodu ku Litwie.—Wiadomy jest tych wędrowek cel krwawy.—Kraszewski zbiera przedniejsze nazwiska, pokazuje, jak książęta Niemcy w XIV wieku zabawiali się w puszczech litewskich, co tam robili wówczas cywilizatorowie Francji, Anglii, Włoch, nawet Szkocy i Hollandyi. Zda się całe rycerstwo europejskie z głowami koronowanymi na czele, wysyłało przedstawicieli swoich nad Niemem i Wilią, a bardziej jeszcze nad Niewią i Dubisę, do twardych Żmudzinów.—Przedstawiciele cywilizacyi rznęli w pień pogan ostatuich, popiołem i solą zasiewali wioski.—Kogo brakuje w tej chwalebnej pracy przez wszystkie stopnie, od króla do knechta?—Płyną na Litwę książęta, brabiowie, burmistrzowie, opaci, wiodą ich królowie czeski i węgierski; wędrują licznie niemieckie znakomitości, od książąt Austrii i Bawaryi począwszy, do przyszych władców małego Liechtensteinu. Norymberga próbuje też swego miecza na nieugiętych karkach Żmudzinów, Branden-

burgczycy zaglądają cheiwie ku Litwie;—wiekowy germański „nacisk ku Wschodowi“ już wówczas trzebi sobie drogi.—Ale nie zawsze wiodą się te krwawe najścia, oblawy ludzi na ludzi.—Przypatrujemy się nieraz wstydowi Krzyżowców, w odartych zbrojach, w rzadkich szeregach wracających do domu. Młody lud silnie odręca tych ojców chrzestnych i nauczycieli—daje się im krwawo we znaki.

Rycerze, wróciwszy do feodalnych swych zamków, mnisi, co z nimi razem litewską wyprawę odbyli, ażali nie ujeli nigdy pióra, dla oddania swych czynów, zapisania wspomnień i wrażeń? Czyli nie drzemiały po niemieckich bibliotekach jeszcze nieznanie jakie światła do historii Litwy?

Przy zakończeniu rozdziału o Olgerdzie, Kraszewski przechyla się do twierdzenia źródeł ruskich, które umierającego wielkiego kunigasa czynią chrześcijaninem. Fakt ten za wpływem żon Rusinek zupełnie możliwy, przyjmuje autor samém wieści ruskich przypomnieniem.

Zbliżamy się do ostatniej odsłony dziejów—do rozdziału, noszącego tytuł: Jagiello. Do charakterystyki tej postaci źródła są obfite i daleko wyrażniej uwidamia się nam postać Jagielly od postaci poprzedników. Farby, które autor nam ją oddaje, są ciemne—i nie mogły być innemi; rok bowiem 1386 zamyka jego dzieło, a rok ten, to próg nowego życia Jagielly, gdy go pojmujemy nie tylko już, jako naczelnika państwa, lecz jako osobistość moralną. Nowy król, noszący cały majestat chrześcijańskiego monarchy, w niczem nie podobny do zimnego poganina, któremu wiara, prawda, sprawiedliwość, kraj własny, rodzina, dziwnie były obojętne. W takiej tu go tylko epoce widzimy; od ciemnych zrad jego jasno odbija szlachetna postać Kiejstuta i młodzieńcze oblicze Witolda, którego dzielnych spraw początek tu tylko oglądamy.

Doszliśmy do końca tej pracy Kraszewskiego.—Poglądając na spuściznę historyczną, jaką nam zostawiły wieki, widzimy, że autor w obecnem dziele skończył opowieść zawczasem—nie dokończył raczej. Impo-nujące potęgą i trwaniem panowanie Witolda, będzie przedmiotem osobnego jego dzieła, lecz nie ujrzymy tam wojen wschodnich za Jagiellonów, gdzie interes Litwy tak odrębnie jeszcze występuje, ani wewnętrzną pracę prawodawczą, której owocem był statut wieków późniejszych. Rodzime i samoistne trwają dzieje Litwy do Jagielly—odrębne mimo połączenia ciągną się jeszcze do Zygmunta Augusta; do Unii za-

tem Lubelskiej winny być badane osobno i wcześniejsze ich zamknięcie ujmę przedmiotowi czyni.

Mimo tego niedokończenia, dzieło Kraszewskiego pełne jest pożytku. Między dawnymi kronikarzami, tudzież obszerną i drobiazgową pracą Teodora Narbutta, a studjami, których od przyszłości winniśmy oczekiwać, jest ono koniecznym łącznikiem, zgromadzeniem plonu, skupieniem promieni. Do popularyzacji dziejów Litwy bez poznania tych dwóch tomów zabierać się nie można. Czerpać należy w tém bogactwie faktów, badać plastyczność opisów, zastanawiać się nad umiejętnością charakteryzowania indywidualnów. Inną rzeczą są ogólne poglądy i sądy w historii. Przy dzisiejszém nierozwinięciu przedmiotu, ostatecznemi, one tu być nie mogą i nie są. Historią swą, która ma być odbiciem całego społecznego życia, w której ma jaśnić poznanie posłannictwa swego, w której wreszcie, jako w skarbcu, ma być złożoną mądrość danych społeczeństw—narody piszą przez wieki, i przez stulecia do świadomości swój dążą. Nie dziwny się, że w dziejach litewskich, badanych mało, najmniej zaś przez starą Litwę potomków, tyle jest jeszcze miejsc ciemnych, wniosków sprzecznych, pytań nierozstrzygniętych, że dzieło Kraszewskiego nie gasi jeszcze pragnienia. Dziękujemy mu za dalszy krok na tej drodze. Summując usiłowanie poprzedników, dał nam dziejów obraz w nieporównanie przystępniejszej formie — w natoku faktów śledząc ożywiającego je ducha, dalszą drogę badaczom ukazał.

Uzupełnieniem poprzedniego dzieła jest obszerne opracowanie J. I. Kraszewskiego p. t. *Litwa za Witolda*, umieszczone w Athenaeum wileńskim z r. 1849, pod jego redakcją, wydawaném. Wyszło w książkę oddzielną w Wilnie 1850 r. Pracą tą wynagrodził autor w najznacniejszej części brak, jaki się w poprzedzającym dziele uczuwa. Doszło ono, jakieśmy wspomnieli, do r. 1386. Tu, w sześciu zeszytach wileńskiego pisma Kraszewski nawiązuje nie przerwana, a jeżeli nie prowadzi opowiadania po rok śmierci Witolda, 1430, w szczegółowym za to obrazie wiedzy czytelnika na ów wybitny punkt dziejów Litwy, z którego na przeszłość zapatrywać się łatwiej. Spójrzmy na źródła, służące autorowi do obrazu Witoldowego panowania.

Ze względu zapewne na cel swój pracy, zawsze bardziej upowszechniający, niżeli ściśle naukowy, Kraszewski podobnie, jak w dziele poprzedniém, mało tu źródeł

przywodzi. Powoływanie się niekiedy na Długosza, Wapowskiego, Bielskiego i wielu innych, częstsze przywodenie Indexu Napierskiego — wzmianka o Latopisie Daniłowicza, Dziejach Narbutta, wskazują, gdzie przeważnie autor czerpał. Badania Teodora Narbutta na dokumentach królewskich wsparte, w tej epoce wiece są obfite i szczegółowe; dają one dziś jeszcze każdemu badaczowi dziejów Witolda pożyteczny i bogaty materiał—dawały go tém bardziej wówczas, gdy nie istniał zbiór dyplomatów Daniłowicza w 1862 r. wydany, zbiór, jak mówi Jul. Bartoszewicz, do odтворzenia żywota Witolda najlepszy.

Autor prowadzi opowieść, przyjętą przez się metodą rocznikarską. Ale nie same Witoldowe sprawy roztaczają się przed oczyma czytelnika. Wszelkie działania Jagiełły w Litwie, krzyżackie owoczesne dzieje, wielki sobór konstancyeński, o ile się odnosił do spraw Litwy i Polski, miejsce w opowiadaniu znajdują. Treść więc historyczna tej pracy jest bardzo obfita. Dotknijmy jęj głównie w tej części, gdzie autor traktuje o bohaterze epoki — Witoldzie.

Królewskie wesele w Krakowie w 1386 roku rozpoczyna opowiadanie. Wiemy, jak wówczas Witold w obliczu młodzieńczej królowej bronił czci Jagiełły w przedmocie Kiejstutowej śmierci. Sprzyja on gorąco przyszłemu królowi, darowya mu zniewagę i zdradę ojca, jeżeli nie wierzył w winę jego śmierci, niepamięta dawniejszego zabrania ojcowizny; szczerze i z wyłaniem należy do tryumfalnego orszaku stryjecznego brata. Widzimy go tu po raz pierwszy, jak wysłany razem ze Skirgiellą w zagrożone strony Polocka, powściąga bunt Wingolta, składa hołd królowi i wraca na łuckie i grodzieńskie księstwo, jako uległy acz ambitny lennik.

Pierwsze też lata opowiadania tyczą się więcej działalności Jagiełły w Litwie, niżli lennika. Jagiełło, z jednej strony odpychając zawistne połączenie dwóch narodów napaści krzyżackie, z drugiej pociąga tłumy do chrztu zdrojów, nadaje wyższej warstwie swego narodu większe swobody i szereg hołdów lennicznych odbiera. Tu spotykamy zbyt ogólnikowe zdanie autora. Bojarów (raczej bojarasów) litewskich, powiada, dopiero od połączenia z Polską powoli do Rady przypuszczać zaczęto (osobnego wydania str. 7). Nienależy brać ściśle tego wyrażenia, gdyż współudział możniejszych w radzie kunigasów zdarzał się dawniej, choć ta niewątpliwie praw określonych jeszcze nie miała, ani ciałem pra-

wanie do rządów wpływającym nie była. Za Jagiełły, przed obiorem go na tron polski rada panów wstrzymuje W-go Księcia, by nie jechał do Mistrza, czekającego na zjazd w pobliżu (Zjazd w Christmemlu 1383, dokument Krzyżacki u Danił.). Sam Jagiełło na zdanie panów swoich się powołuje. Zaż jako świadkowie umów i traktatów występują możni litewscy na dokumentach o sto górą lat wcześniejszych—Mendoga, później Kiejstuta i innych. Wróćmy do głównej postaci.

Na szczupłych posiadłościach swoich Witold jest organizatorem. W 1388 roku w Łucku nadaje przywilej Żydom, biorąc ich pod opiekę prawa, artykuły dokumentu szczegółowo Kraszewski przywodzi. Następnie obdarza katedrę wileńską. Ale niedługo ujrzymy go na polu bitwy, gdzie się bracia z braćmi zetną. Fakt rokoshu Witolda z wielu względów usprawiedliwia Kraszewski, jak to czynią inne poważne pióra historyczne. Usprawiedliwienie to zaś leży w wyświeceniu warunków i okoliczności, które go otaczały. W niemożności, a co gorzej nikczemne ręce powierzył Jagiełło rządy ojczystego kraju. Był nim „dumny a słaby, gnuśny a srogi“ Skirgiełło, osobisty Witolda nieprzyjaciół i po nim z woli Jagiełły nieprawdy dziedzic jego Trok ojczystych. Takiemu zwierzchnikowi musiał Witold z woli króla zaprzysiąc przyjaźń dokumentem w Lublinie, lecz i tym prześladowcy nie zadowolnić. Lękał się Skirgiełło mocnej duszy przeciwnika, którym go własne straszycie sumienie, nieawistnie przed królem go czernił, a król dawał ucha rodzonemu bratu i coraz cieżniej obręcz niewoli w koło stryjecznego zaciskał.—Położenie Witolda w tych słowach maluje Kraszewski: „Otoczony szpiegami rozpaczal: a rozpacz takiego, jak Witold, człowieka, musiała rychło zrodzić przedsięwzięcie stanowcze, odważne, groźne dla Skirgiełły.“—Powstał i ruszył na Wilno, chcąc ubiedz miasto i opanować namiestniczy tron wielkoksiążęcy bez krwi rozlewu. Lecz nie udał się zamach na stolicę. Witold cofnął się do Grodna, dwie ostateczności mając do wyboru: wojnę,—tęż zaś sam prowadzić nie był w stanie,—lub sroższe jeszcze poniżenie. Niedługo się wahał. W 1390 r. widzimy go pożądanym gościem na krzyżackiej ziemi, groźnym nieprzyjacielem Skirgiełły i trzymającego z nim króla.

Tu jest miejsce zastanowienia się nad okolicznościami powtórnego udania się Witolda do Zakonu. Idąc widocznie za Stryj-

kowskim, Kraszewski wie dzie Witolda ponownie przez ziemie książąt mazowieckich, na ich dwórze każe mu szukać pomocy, co miało miejsce za poprzedniej ucieczki o osiem lat wcześniej t. j. w r. 1382. Współczesny zaś Witoldowi Latopis Podlaski (wyd. Danił. str. 44) z Litwy prowadzi go prosto do Pruss i za tą wskazówką bardziej przekonującą poszedł autor Skarbca dyplomatów (T. I str. 278 — 280).

Rozpoczęła się dwuletnia wojna bratnia 1390—1392. Konrad Wallenrod, W. Mistrz, wspiera Witolda, szeroko płoną okolice Wilna i samo miasto obleżone. Ambicja Witolda jest wielka, ale jej nie ustępuje też gniew i niechęć Jagiełły. Nareszcie ostatni ulega. Jagiełło ofiarowywa Witoldowi, czego też pragnął i czego był godzien—tron wielkoksiążęcy—z którego mógł rozkazywać dalekiemu wschodowi. Zasiadł Witold na stolicy Gedyminowej, zaprzysięgłszy wierność Jagielle, i odtąd „zaczyna się świetny zaborezy zawód jego“ choć srogo nad wyraz opłacił związek z Krzyżakami, trucizna krzyżacka obu młodzieńców synom jego życie zabrała.

Zaznaczamy tu, że Kraszewski różni się z Danilowiczem, Narbuttem i Onacewiczem w przywiedzeniu daty otrucia synów Witoldowych. Odrzucając rok 1384, 1385 i 1392, którą za Narbuttem przyjął Szujski—przypuszcza autor jako trafniejszą rok 1390 lub 1391.—Rozdzielona po księstwach lenniczych władza, jednocy się teraz w silnej dłoni Witolda, miasta nieposłuszne się poddają, prowincje zbuntowane korzą. Jagiełłowi bracia jeden po drugim uchylają przed nim głowy i zrzekają się resztek udzielnosci, a gdy z dalekich brzegów Wołgi han kapezacki Tochtamysz zbiegł do Litwy chroniąc się pod Witolda opiekę, on sam w stepy podążył, odniósł osobiście zwycięstwo za Donem, w dzikich hordach takie wzbudzając poszanowanie, że go nawet późniejsza własna jego porażka nad Worskłą w pamięci Tatarów nie zatarała.

Okres opowiadania zamknięty w trzecim zeszyte Athenaeum od r. 1399 do 1410 oprócz opisu owęj bitwy nad Worskłą, zawiera bolesne dzieje Żmujdzi, w znacznej części odstąpionęj Krzyżakom, unię Wileńską z r. 1401, trzykrotne zwarecia się z Moskwą i prolog bitwy Grunwaldzkiej.—Autor szczegółowo opisuje wypadki, choć mnogość ich, rozmaitość, ważność każdego nie daje mu wyczerpać przedmiotu. Bo i potężna działalność Witolda różne ludy i ziemie obejmująca, pole do pracy historycznej daje rozległe a trudne.—

Traktatem Salińskim odstąpiona Żmujdz, którą autor nazywa: „najżywniejszą częścią Litwy,“ spłaciła grzech klótni braterskiej. Obwinia autor Witolda, że tę krainę swoją „zaprzedał,“ gorszy się, widząc go na czele bratnich hufców, „zmuszającego Żmujdzinów do jarzma niemieckiego, przypuszcza wszakże w tym kroku Witolda cel polityczny na przyszłość. Żmujdz nie dozwalała się w karby ująć, niedawała się nawrócić, była bijącym w oczy powodem dla Krzyżaków do głoszenia całej Litwy za pogańską. — Witold oddał ją do szkoły twardej, z której rzeczywiście wróciła z czasem posłuszniejsza i cicha. — Lecz krwawy i bolesny widok przedstawia dziesięcioletnie szamotanie się opuszczonej krainy, widok ten samego Witolda porusza. — W r. 1401 próbuje wyrwać z rąk Zakonu niechęcą mu się poddać ziemię — wojnę w tym celu podnosi, ale zbyt wielką jest przemoc okoliczności. Sam król odstępuje zakonowi pałący grunt Żmujdzki, Witold siłą, groźbą i radą zmusza Żmujdzinów, by się konieczności poddali. Ujrzymy później, że dopiero bitwa Grunwaldzka 1410, a ostatecznie pokój Melneński jeszcze we dwanaście lat później, uwolni Żmujdz zupełnie, i niezawodnym jest, że pomoc polska w tém oswobodzeniu Żmujdzi wielki udział wzięła.

Nad unią Wileńską 1401 r. zastanawia się autor, jako nad politycznym krokiem Polski, która rosnącej potęgze Witolda szlachtę litewską, nowemi prawami obdarzoną, przeciwstawić chciała. Wiele słuszności może być w tym poglądzie. Atoli z niedość jasnego języka dokumentu wypłynęło mylne mniemanie autora, że szlachta litewska wówczas i prawo obieralności królów otrzymała. Byłoby to niesłychanie przedwczesne; od samowładztwa do wolnej elekcji przeskok zbyt raptowny. Niebezpieczną tę swobodę dała dopiero unia lubelska, niema o tém wzmianki dokument wileński, przywiedziony w Vol. leg. (T. I str. 27) w zbiorze dyplomatów Daniłowicza (T. I. str. 323) i w innych.

Cały następ w czwartym zeszycie poświęcony jest wielkiej potrzebie Grunwaldzkiej. Rada koronna nie sprzyjała wojnie, mówi Kraszewski; na zjeździe w Łęczycy (widoczna pomyłka zecerska kładzie w texcie: Stężyce) silnie panowie radni nalegali na króla, aby wojny z Krzyżakami zaniechał. Nie poszedł król za tą radą; témbardziej jemu i Witoldowi przypada chwała doprowadzenia Grunwaldu do skutku. Wspaniała bitwa w drobnych szczegółach odmalowana, czerpaną jest przeważnie z opisów Długosza. Obu braciom bohaterom dnia tego nadaje

autor należne im pierwsze miejsce w opisie i charakterystyce chwili. Walczyli obaj, Jagiełło modlitwą i podniesieniem ducha, Witold zapalem i mieczem, obu widzimy tu w tych wielkich posagowych rysach, jakimi ich dzień 15 Lipca 1410 roku w dziejach obu narodów zapisał.

Niepolityczny pokój nastąpił, jak wiadomo po walnym zwycięstwie. Mało razi następne orzeczenie autora: „przymierze Toruńskie dla Polski i Litwy było tak wielką przegraną, jak Grunwaldzka potrzeba dla Zakonu.“ Szczęściem, że następne czasy wiele z tych omyłek naprawić dały.

Akt unii horodelskiej i nawrócenie Żmujdzi, fundacya metropolii w Kijowie, potężny wpływ Witolda na Tatarów hordy Złotej, którzy mu biją czołem, wśród przeplatania intryg Krzyżackich, stanowią dalszy ciąg i następne odsłony obrazu. — Któregoż dziejopisarza owych czasów nie zatrzyma fakt unii w Horodle, chociażby sposób zapatrywania się na nią różnicom ulegał? Nie dziw, że dłuższy ustęp Kraszewski mu poświęca. Wielkie wypadki, jak wielkie dzieła sztuki, z różnych punktów oglądane być winny, z wielu stron i oddaleń różnych badane i sądzone, wielkość ich nie na tém nie straci, a sąd się uzupełnia. Nie umniemy téż majestatu wielkiemu aktowi 1413 r., choć mu nieprzyznamy celu, jaki w nim autor chciał widzieć. — „Wynarodowieć Litwę zamierzali Polacy — powiada Kraszewski, — przypuszczając ją do praw swych i swobód“... „Takie wynarodowienie musiało być pożądanem“... (Wyd. osobn. str. 250). Zapał uniósł tu pióro badacza daleko. —

Nawrócenie Żmujdzi, niemożliwe równie pod mieczem niemieckim, jak i za prośbą niemiecką, dokonało się teraz za apostolskim przewodem obu braci w r. 1413 r. — Utrwalił je sam Witold, w lat kilka później obecny podniesieniu pierwszego biskupa Macieja na Żmujdzką katedralną stolicę. — Tu spotykamy u autora zmieszanie dwóch wypraw pokojowych missyjnych do Żmujdzi w 1413 i 1417 roku. Obu wyprawom wedle Kraszewskiego król przewodniczył; dyplomata tymczasem cytowane u Daniłowicza (T. II str. 51—52), również Narbutt (T. VI str. 365—366) wykazują w r. 1417 Witolda samego; król nie jest obecny. — Duchowne hierarchiczne urządzenie Żmujdzi, pierwsze zaopatrzenie katedry, dziełem jest Witolda razem ze współdziałaniem delegatów soboru konstancyńskiego.

Od czasu do czasu wedle tego, jak przypadają pod właściwemi laty, występują w opowieści Kraszewskiego sprawy rusińskie

i tatarskie. W 1415 Witold ustanawia odrębną od ogółu Rusi metropolią kijowską; zaczęta przez niego sprawa, rozwinie się później i ukończy za Zygmunta III w 1595; inne dzieła jego na ziemiach wschodnich — znikną i tylko wielka pamięć po nich zostanie. — Od r. 1418 patrzymy znowu na potężny, magiczny powiedzieć by można, wpływ Witolda na Tatarów. — Niegdyś przez nich samych porażony, ale dla znakomitych zbiegów z hordy Złotej hojny, sprawiedliwy i gościnny, dziwną ufnosć dzikiego tego ludu pozyskał; garnęli się pod moralną jego przewagę, słuchali skinień jego woli aż ku azowskim i kaspijskim wybrzeżom. — Czterech hanów z ramienia swego dał im Witold, inwestyturą na władztwie umacniając — i dawny wróg jego, sławny Edyga z Tauryki, wysłał doń posłów z darami, dłoń przyjazną wyciągając. — Ustęp z listu Edygi „pełen wschodniej barwy“ cytuje Kraszewski. — Témi to sprawami Strykowski uniesiony, patrząc na zerwane za jego czasów związki z Tatarami, na spaloną przez nich Ukrainę, woła: „O Witoldzie, byś ty wstał dziś z swoimi laty.“

Od r. 1420 do 1430 ciągnie się ostatnie dziesięciolecie panowania i ostatni ustęp „Litwy za Witolda.“ Wypadki w niczém tu wielkości poprzednich nie ustępują. Wojna z Zakonem zakończona pokojem, stanowczo wracającym Zmądrz Litwie i Polsce, poskromienie Pskowa, wspaniała wyprawa na Nowogród W., w której dziesięć tysięcy ludzi szło przed wojskiem Witolda, trzebiąc wodzowi drogi w nieprzebytych puszczech — kończą sprawy i lata potężnego władcy, schmurzone tylko pod koniec staraniem o udzielną koronę. Długi końcowy rozdział autor tym zabiegom o koronę poświęca; chwila to ważna i szczerłowo opisana w źródłach tamtych czasów. Autor nie winiąc Witolda za jego pragnienia, geniuszom właściwe, stoi na wyżynie krytycznej, na jakiej go widzieć pragniemy. W istocie, dziwném być nie może, że podobny zamysł tkwił w duchu genialnym. Od morza do morza i aż po azyatyckie krańce władat Witold teżej i silnieć od Jagielly; kiedy go dzisiaj znakomity nowoczesny historyk zowie „Napoleonem Litwinów“ (Szujski, Dzieje T. 2), współczesny Witoldowi kronikarz słów dobrać nie mnié dla wyrażenia zapалу swego. Używa wreszcie następnego porównania: „Jako wyżyn niebieskich, ani głębin morskich opisać niepodobna, tak niepodo-

bną wystawić potęgi Witoldowej“ (Latopis Podlaski str. 61). I cóż dziwnego, że władca téj miary zapragnął być niezawisłym? Nie to pragnienie, lecz wiary złamanie, mogłoby imię jego skazić przed potomnością. —

Całą siłą sprzeciwiła się monarchicznemu zamiarom Witolda, wieloma już węzłami z Litwą zbratana Polska. Autorowi spieszo do téj wielkiej chwili, która ma nie nie jeden rys szczytnego dramatu. Krótko przebiega lata poprzedzające, zaledwie dotyka spraw Korybuta w Czechach, rok 1427 i 1428 do najgłówniejszych rysów sprowadza. Dopiero zjazd Łucki, walka z polskim senatem 1429 — 1430 r. opisane szeroco.

Witold, acz pełen sił i rzeźwości, był już wówczas starcem osiemdziesięcioletnim. Z dwóch źródeł płynęły ambitne jego chęci: z pragnienia chwały własnej, chwały kraju, tudzież z nieprzyjacielskiego podmuchu. Czyhały Niemcy na rozerwanie unii horodelskiej; lecz Witold pomniał na przysięgi, złożone Jagielle i Polsce, i łamać ich nie chciał. Długo przeto i wszelkiemi siłami domagał się zgodzenia królewskiego, tudzież Rady Jagiellowej. Król miękł, lecz za przewodem Oleśnickiego senat oparł się niezłomnie. Walka moralna z chorobą połączona złamała wreszcie siły bohatera. Jeszcze na łożu śmiertelném pieścił myśl nadzieją, że „włoży koronę na osiwiłą głowę“, jeszcze mniemał, że króla i senat nakłoni, lecz, gdy przyszła doń wieść, że Cesarz niemiecki, „szafarz koron“, zbrojnie przez Polskę przestać mu ją zamierza, sam posłów cesarskich powstrzymał, nie chcąc niewinnej krwi przelewu. I to była ostatnia czynność w życiu Witolda, mówi Daniłowicz, 7-go Listopada 1430 r. katedra Ś-go Stanisława w Wilnie przyjęła bohatera zwłoki.

Zbierzmy główne zarysy bogatej w treść historyczną opowieści Kraszewskiego. Zważając na prawdziwe zalety przytoczonej pracy, czytelnik pomija z łatwością drobne tu i owdzie dające się spotykać usterki, które w pracy mającej przeważnie cel upowszechniający, niewiele lub nic prawie nie znaczą. Opowiadanie mimo wzywów rocznikarskiej metody pisania, wyzwała się miejscami do siły i swobody, znakomitemu pióru autora właściwej.

Wielka postać Witolda mrokiem zachodzić poczyniała. Odnowił autor wizerunek bohatera i zwrócił nań oczy potomności. — Oby ten przykład innych zachęcił do pracy.

Konsiancy Skirmuntt.

KRYTYKA LITERACKA.

Jeżeli krytyczne rozpatrzenie się w utworach belletrystycznych Kraszewskiego i ocena jego prac naukowych w całym pięćdziesięcioletnim okresie twórczości literackiej, budzić może nader żywe w ogóle myślących czytelników zajęcie; to nie mniejszy interes przedstawia jego działalność na polu krytyki literackiej ze względu na zasady estetyczne, jakim holdował i według których oceniał innych pisarzy.

Nasuwa się tu najprzód pytanie, czy pomiędzy temi wyrozmowanemi zasadami, a tém nieprzebraném bogactwem najróżnorodniejszych utworów, jakimi przez pół wieku swych czytelników czaruje, nie zachodzi ścisły, organiczny związek, którego wykrycie pozwoliłoby nam wnikać w tajemnicę jego twórczości, dało podpatrzeć te środki, któremi tak potężne wywołuje nieraz efekta, umożliwiło sobie zdanie sprawy z téj magii, którą do wypowiedzianej przez siebie myśli, do skreślonego obrazu, przykuwa tysiące najrozmaitsiej norganizowanych i wykształconych umysłów i tyle serc do żywszego bicia przymusza? Jakóż zdawałoby się, iż nie łatwiejszego, jak wnikać w istotę talentu, który, jak Kraszewski, przez pół wieku spowiadał się swéj społeczności z każdéj niemal myśli, z każdego wrażenia i pełną garścią rzucał swe poglądy na literaturę i sztukę, zapisując je na kartach pism periodycznych i w dziełach specjalnie wydawanych przez siebie. A jednak nie jest to łatwém, ani nawet możliwém do skutecznego zadaniem. Krytyczne prace Kraszewskiego, co najwięcej mogą nam wykazać, jak w danéj chwili zapatrywał się na umysłowe potrzeby społeczności, jak jéj ducha pojmował, jaki pragnął nadawać jéj kierunek, jak swe obowiązki względem niéj, jako pisarz, pojmował i czego sam od innych braci po piórze wymagał. Z prac tych zresztą możemy się dowiedzieć, według jakiej

miary oceniał dawnych, lub współczesnych sobie pisarzy, do jakiego punktu posunął poczynione studia nad nimi i, o ile trafne były jego sądy o nich, lub przeciwnie. Nadto zasady estetyczne, sformułowane przez niego, mogą nas przekonać, o ile zgodne są z niemi jego własne utwory; ale samo ich czarnoksiężtwo, jakim na czytelnika działają, — nazawsze dla nas tajemnicą zostanie. Pomimo tego, krytyczne Kraszewskiego prace, lubo odnoszące się do czasów jego działalności dawno minionych, mogą i dziś, jako wierny obraz stanu literatury i umysłowości, budzić żywe zajęcie.

Nim wszakże przystąpimy do streszczenia na tém polu działalności Kraszewskiego, jedno zrobimy zastrzeżenie na wstępie.

Utwory piękna, wychodzące z pod ręki mistrza, nazawsze artystycznie pozostają pięknymi. Nic do nich dodać, nic z nich ująć nie można. Ze zmieniającym się smakiem, ogół może o nich na czas jakiś zapomnieć, holdując bożyszczeniom chwili; ale zawsze do nich powraca, w miarę tego, im lepiej rozumie potrzebę przyswojenia sobie zasad krytyki historycznej, im sam wykształcenijszym się staje. Rozbiory téż takich utworów o wiele dla sprawozdawcy wdzięczniejsze przedstawiają pole: dzieła późniéj występujących, równéj artystycznej wartości, pisarzy, pod żadnym względem nie zmieniają zalet, ani znaczenia dzieł poprzedników. — Inna rzecz z dziełami, odnoszącemi się do prac historyczno - krytycznych. Im te do wcześniejszój epoki należą, tém ważność ich się zmniejsza odnośnie do chwili obecnej. Co dawniej było ostatecznym rezultatem podjętych badań, to dziś z postępem czasu i nowo poczynionych nankowych zdobyczy już tylko do historii należy. A jednak o tém, co do nauki późniejsze wniosły badania, choćby ze względu na ogół czytelników przemilcząć nie można. Tymczasem wyniki

te, do których autor w swoim czasie dochodził, poglądy, jakie sobie po dokonanych studyach nad przedmiotami zrobił: były kiedyś nowym dla literatury nabytkiem, budziły ruch, życie, zachęcały innych do pracy w tymże samym kierunku i stanowią istotną jego zasługę. Otóż właśnie, w czem tkwi ujemność naszego zadania. Szczególniej bowiem do studyów historyczno-krytycznych Kraszewskiego nie podobna już dzisiejszej miary przykładać, i z tego względu prosimy czytelników, by zawsze chcieli brać na uwagę różnicę, zachodzącą między chwilą obecną a latami, do których się jego prace odnoszą.

Trzymając się chronologicznego porządku, najwłaściwiej ocenę tego działu wypadłoby rozpocząć od przeglądu *Tygodnika Petersburskiego*, jako organu, który od roku 1835 Kraszewski swemi recenzjami zasilał¹⁾. Niektóre wszakże względy nakazują nam inną trzymać się drogi. Najprzód artykuły krytyczne, zamieszczane w pismach czasowych, noszą zawsze na sobie dorywczy, luźny charakter, nie przedstawiając jednego, organicznego ciągu, a co główniejsza, iż właśnie najwięcej dla nas mające znaczenia artykuły literackiej lub krytycznej treści, z *Tygodnika*, w ogólnym zbiorze pod mianem *Studyów* wydany, przedrukowane zostały. Od nich więc, jako dzieła ułożonego według pewnego już planu i w którym też Kraszewski najważniejsze jak naówczas kwestye poruszył, przedewszystkiem nasze sprawozdanie zaczniemy, posilkując się tylko innemi pismami w ciągu téj pracy, o ile się okaże potrzeba. Wydanie *Studyów* przypada właśnie na chwilę, w której Kraszewski, wypuściwszy w świat szereg powieści, objętych ogólną nazwą: *Szkiecy obyczajowe i historyczne*, i wywoławszy o nich rozmaite sądy, a przedewszystkiem krytykę Michała Grabowskiego, widocznie chciał sobie zdać sprawę z przebytyj przez się drogi i ówczesnego stanu i potrzeb piśmiennictwa.

Studyja owe składają dwie serye. Najprzód *Studyja literackie*, Wilno 1842 r. str. 285, oraz *Studyja Literackie Nowe*. Warszawa 1843. T. I. str. 191, T. II. str. 187. Całość pierwszych rozpada się na 15 rozdziałów, obejmujących mniej więcej w ścisłym związku zostające z sobą przedmioty: I. Życie umysłowe. II. Nowa literatura. III. Formy. Ję-

zyk. IV. Pierwiastek narodowy w literaturze dawniej. V. Archaizmy. VI. Pisarze i czytelnicy. VII. O sławie pisarskiej. VIII. Podania gminne. IX. IIistorya. X. Poezya. XI. Przeszłość i przyszłość romansu. XII. Dramat. XIII. Literatura peryodyczna. XIV. Krytyka — i na koniec XV. Życie domowe dawnych pisarzy.

Osnowa drugiej seryi nie mniejszą przedstawia rozmaitość. Tom pierwszy składają następujące rozdziały: I. Sąd krytyki i czytelników. II. Literatura, jako sztuka. III. Rys dziejów języka polskiego. IV. Klonowicz. Tom drugi: I. Jan Kochanowski. II. Mikołaj Sep Szarzyński. III. Naruszewicz, jako poeta. IV. Trzy doby w historii postępów umysłu ludzkiego, i wreszcie V. Słowo o prawdzie w romansie historycznym.

Niepodobna nam szczegółowo i po kolei rozbiierać osnowy przytoczonych rozdziałów. Podniemiemy z nich tylko to, co dziś dla nas jeszcze jakkolwiek ważność przedstawia lub dostarcza charakterystycznych rysów do obrazu ówczesnego stanu społeczeństwa, literatury i dążeń pojedynczych pisarzy. Artykuły nawet czysto literackiej treści w jedną całość połączym, pozostawiając na ostatek sprawozdanie ze studyów historyczno-krytycznych, oraz recenzji rozrzuconych po pismach czasowych. Tymczasem za punkt wyjścia w naszej pracy *Życie umysłowe* bierzemy.

Rozdział ten jest ciekawym komentarzem do czasów, w których został skreślony. Autor mówi najprzód o potrzebie nduchowienia żywota, wytknięcia sobie wyższego celu nad przyjemności stołu i upadające rozkosze. „Spytajcie tych tłumów — mówi we wstępie — które mimo was idą, dokąd i do czego dążą? Większa część odpowiedzieć nie potrafi. Ten sobie życie wytłumaczył nieustannem trawieniem i smakowaniem pokarmów, inny je sądzi przeznaczeniem wyrażnie na miłośćki i nie pojmując życia bez najgrubszej z jego rozkoszy, najbardziej upadłajacj; inny jeszcze bez wyrozumowania, bez celu widomego, poświęcił się zbieraniu grosza i zamykaniu go; drugi szuka ludzi i nie umie żyć inaczej tylko w tłumie i wrzawie. Większość najfałszywiej pojmując życie“. (R. I). A jednak, mówi dalej, człowiek nie może być swobodnym i szczęśliwym, dopóki nie podniesie się duszą w świat drugi, dopóki żyć umysłowo nie zacznie. Otóż za główny warunek takiego życia Kraszewski stawia czystość obyczajów i pracę; za główne jego ognisko uważa literaturę. Na nią z jednej strony

¹⁾ Pierwszy ślad współpracownictwa Kraszewskiego do *Tygodnika Petersburskiego* znajdujemy w N. 57 tego pisma pod rubryką: *Rozmaitości*, gdzie mówi o Londyńskich gazetach, z którychby nasze peryodyczne piśmiennictwo mogło korzystać.

(Przyp. aut.).

oddziaływują piszący, z drugiej czytelnicy. Pierwsi produkując, pomnażają jej skarby, drudzy spełniają także właściwą misję, polegającą na szerzeniu zdobytych wiadomości wśród niższych od siebie duchem.

Nie każdy wszakże pisarz, nawet wyższymi obdarzony zdolnościami, dodatni wpływ przez literaturę na społeczeństwo wywiera. Tylko bezwarunkowa zgodność pomiędzy słowem i czynem, pomiędzy wygłaszaną zasadą i praktyką życia, zapewnia jego pracom całą moralną doniosłość. Słowem, Kraszewski wymaga, by ci, którzy innych chcą uczyć, sami przedewszystkiem stali się lepszymi i przyswiecali ogółowi nie tylko talentem, lecz i moralną, osobistą wartością. „Nie wierzy w ludzi — powiada — którzy udając się za poetów, filozofów, moralistów, głęboko uczonych, postępują w życiu, jak najostatniejsi głupcy... Ci poeci, którzy sobie dali przywilej nierządu, na mocy gwałtowności swych uczuć — nie są poetami... Ci filozofowie i spekulatorowie, którzy, prawiąc o życiu duchowym, o monadach, o władzach duszy i t. d., wszystkie władze, jakie mają, zużywają na pojęcie smaku trufli i myszki starego wina — nie są filozofami.“ (O życiu umysłowym). I na inném miejscu dodaje: „Chcieć świat poprawić, samemu siedząc w błocie po uszy, czyż nie śmieszna?“ (Pisarze i czytelnicy).

Dopóki literatura była tylko klasz wyzszych zabawką, dopóki wpływ jej ograniczał się do szczupłego kółka, wzajemnie pojmujących się i adorujących literatów; dopóki zresztą całe jej piękno polegało na kopowaniu starożytnych wzorów i odtwarzaniu mytologicznych obrazów: dopóty piszący mogli się nie posuwać do odpowiedzialności za swe zasady i przyjęty kierunek w obec własnego społeczeństwa. Od chwili jednak, gdy literatura stała się najwierniejszym zwierciadłem uczuć, myśli i dążeń narodu; gdy, zstąpiwszy z wyżyn Olympu, zaczęła przemawiać zwykłym śmiertelników językiem i, zrozumiała i dostępna dla całej czytającej powszechności, oddziaływać na masy: odtąd pisarz zajął podniosłejsze stanowisko, nadające mu charakter kapłaństwa i stał się, jakby uosobieniem sumienia swego narodu. Tylko życie czyste, prawe, ofiarne, może go na tę godność wyświęcić, tylko ciągła baczność na siebie i na potrzeby umysłowe współbraci, mogą go pożytecznym uczynić. Tę zasadę użyteczności Kraszewski po wiele razy wypowiada w swych studyach. Nie pojmuje nawet utworu, któryby dodatkowo nie oddziaływał na masy: nie w tém jednak, by im nadawał tendencyjny chara-

cter i literaturę chciał robić służebnicą panujących w pewnym czasie dążności, gdyż podobne nadużycie i poniżanie sztuki niejednokrotnie potępiał (*Przeszłość i przyszłość romansu*, *St. Lit. R. XI*, oraz: *Dwa listy literackie. O celu powieści i Marcinie Podrzutku. Zbiór powieści, T. 98. Okruszyny, T. II, str. 138—157*). Kraszewski pragnął tylko, by każdy, choćby najmniejszych rozmiarów utwór podnosił myśl, budził szlachetniejsze uczucia — słowem udoskonalał czytelnika.

Wszakże by wpływ podobny wywierać, należy mieć sumienie, (*R. VI. Pisarze i czytelnicy*). Ma ono czuć, by pisarz nie szerzył moralnej wśród czytelników zgnilizny, by poznał gruntownie przedmiot, o którym pisać zamierza i nie wypuszczał w świat niedonoszonych utworów, o których doskonałości nie jest przekonany zupełnie. Sumienność zarówno potrzebną jest w dziełach sztuki, gdyż utwory, niedopełniające wszystkich jej warunków, zaszczipiają błędne wyobrażenie o piękności, jak i w dziełach historycznych, których rozmyślnie fałszowanie czyni pisarza odpowiedzialnym w obec całego narodu. Przedewszystkiem zaś potrzebną jest piszącemu sumienność w wypowiedzaniu, choćby gorzkiej prawdy, skoro to uzna koniecznym. Ale w tém winna mu przewodniczyć miłość własnego społeczeństwa, gorąca chęć służenia mu, a nie żądza rozgłosu. Po moralności, za drugi warunek życia umysłowego Kraszewski wskazuje pracę. — „Nie wszyscy — powiada — mogą pisać i tworzyć, ale prawie wszyscy mogą czytać, czuć, pojmować.... stopniowo od książek lekkich... postępuje się do uczących myśleć, zastanawiać się, rozważać, udoskonalających“. Ciekawa też, jak się zapatrywał na misję czytelników. — „Czytelnicy — powiada on — pośredniczą między twórcami, a ludźmi całkiem obojętnymi dla literatury. Oni kształcąc się i nasycając sami, mają misję nawracania, wzbudzania ochoty, oświecania niżej siebie stojących. Pojęciem dzieł, tworzonych przez pisarzy, czytelnicy stają z nimi na równi prawie; a wsiąkając w siebie myśli i oddając je nie czytającym, czynią ważną przysługę, rozszerzając krąg sposobujących się do umysłowego życia“. — By wszakże wpływ podobny wywierać, trzeba samemu usposobić się na dobrego czytelnika. Samo zresztą kształcenie się przez czytanie, Kraszewski za niedostateczne uważał. On pragnął, by każda myśl życiorodna przechodziła z książki w praktykę, udoskonalała moralnie. Bez tej bowiem wewnętrznej pracy nad sobą litera-

tura staje się tylko zabawką, wpływ jej sprowadza się do zera. Tak literaturę jednak pojmowała większość ówczesnie, o czym nie tylko w *Studyach*, lecz i na inném miejscu daje świadectwo. Jakóż do *Chorób moralnych XIX stulecia*, których się zbadaaniem w *Tygodniku Petersburskim* zajmował, zalicza: *Leucophobia*, (r. 1838. N. 40) i *Próżniactwo* (r. 1839. N. 54). Ogół czytywał mało. Książka, jak powiada, dopiero w cztery lata po wyjściu, poczyniała być znaną, a w dzie sięć popularną, jeżeli się odznaczała wartością. Klasy wyższe czytywały wprawdzie, ale w obcych językach, mówiąc, że w naszych niema nic dobrego. Do czytających po polsku, należeli albo literaci, albo nie wiedzący, co z czasem zrobić, lub nieznający obcych języków. Ostatnia ta klasa najliczniejsza, składała się z drobnej szlachty, próżnującej przy kartach, kieliszkowaniu, frymarkach końskich, gawędach pełnych cyhizmu.

I zaprawdę smutny to obraz!

Widocznie jednak fakta mówiły za siebie, skoro Kraszewski, pisząc o *Życiu umysłowem*, mógł stawić sobie tak bolesne pytanie: — „Gdzież ludzie pracujący nad sobą, aby się ludźmi stali i, o tyle, o ile mogą, ze zwierzęcia wyzuli?... Mała garstka tylko wybranych, pojąwszy przeznaczenie duszy, doskonałość jej natury, wyższość nieskończoną rozkoszy dusznych, świeciła jej ciało“. (*Studia Literackie* str. 10). Ogół jednak rzeczywistość był takim, i innym, zważywszy na ówczesne okoliczności, w żaden sposób być nie mógł; w skutek burzy, przez jaką przeszedł niedawno, brakło mu wzorów dodatnich, musiał więc upadać umysłowo i moralnie.

Od skreślenia powyższych słów 36 lat z górą ubiegło. Społeczność nasza przez ten czas nie małym uległa przewrotom, przeszła przez niejedno bolesne doświadczenie, zdobyła nie jedną z prawd pierwszo-rzędnej wagi, za przewodniczkę swego życia je obrała i otrząsnęła się z wielu przesądów, które jej ślepiem pokrywały źrenice. Słowem, zmieniło się trochę na lepsze. W tém wszystkim, bezwątpienia najważniejszą rolę odgrywa prawo naturalnego postępu, owa *sila nabytej chyżości Taine'a*, zwiększająca się z każdą chwilą, w miarę przyswajania sobie nowych nabytków, pomnożonych doświadczeniem i wiedzą przez poprzednie pokolenia zdobytą¹⁾. Ale obok różnych czynników, jakie się na tę nabytą chyżość składały,

trudno nie uznać jednej jeszcze, wciąż działającej siły, która tej szybkości nie pozwalała się zatrzymać lub opóźnić w swym biegu. Tą siłą — bez żadnej kwestyi, jest nieustający ani na chwilę wpływ Kraszewskiego na ogół czytelników. Cokolwiek krytyka współczesna może mówić o jego pośpiechu w tworzeniu, jakkolwiek sąd historya literatury o jego działalności wyrzeczy; faktem jest, że właśnie ten sam pośpiech, z jakim tworzył, by wypowiedzieć swe przekonania o każdej kwestyi bieżącej, stanowi jego największą, jako pisarza, zasługę: nie dał się zdręmnąć społeczeństwu, budził w niem życie wtedy, gdy nie było innych pobudzających czynników. Gdy inni, wypowiedziawszy swą ideę, schodzili z pola, przeżyli lub do społeczeństwa zrażeni; on pozostał na stanowisku z wytrwałością godną uznania, przodując światłem swjej myśli i ciepłem swego uczucia.

Właśnie to szlachetne, gorące, prawe uczucie, jakie każdy jego utwór ożywia, jest owem złotem ogniwnem, którego rdza czasu nie zjadła i które przez lat tyle łączy Kraszewskiego z jego czytelnikami. Nigdy też nie przენiewierzył się zasadzie, jaką dla każdego z piszących za obowiązującą uważał. Zgodność myśli i przekonań z czynami przez cały czas jego literackiej działalności, aż dotąd pozostały jego dewizą.

Dziś spoglądając na przebyty w zawodzie pisarskim drogę i widząc dokonaną tak wielką w życiu umysłowem społeczeństwa odmianę, może z szlachetną dumą powiedzieć: „Ja to sprawilem!“

Jakoż, pominąwszy inne a tak liczne przez niego na polu literatury położone zasługi, to jeden z najbujniejszych liści do jego wieńca przydaje, iż stał się wielkim nauczycielem czytania swego społeczeństwa i że w nim życie umysłowe rozbudził.

Poznawszy zasady Kraszewskiego, jako pisarza, przejdźmy teraz do jego poglądów na *Nową literaturę*. Za punkt wyjścia bierze on okres Stanisławowski, na który zapatruje się, jako na fakt już dokonany, ze stanowiska historycznego, i, skreślając jego charakterystykę, sprowadza znaczenie całej literatury XVIII wieku do prostego naśladownictwa. Sąd to był jednak za dorywczy i sam Kraszewski, mówiąc o *Pierwsiastku narodowym w literaturze*, zmodyfikował go nieco. Właściwie chciał powiedzieć, że literatura ta całą doskonałość zasadzała na formie. Było to przeciwstawienie do po-

¹⁾ Histoire de la litterature Anglaise. T. I. Introduction p. XXIII. Ch. V.

ezyi współczesnej, która, wpadając w drugą ostateczność, chciała się wyemancypować z pod wszelkich przepisów estetyki i zdrowego rozsądku. Ogół bowiem ówczesnych młodych pisarzy, uważając talent za rodzaj przywileju, wyłączającego obdarzonych nim z pod praw, obowiązujących ludzi zwyczajnego pokroju, poczytywał pracę i naukę za największą przeszkodę swobodnego tworzenia — słowem, za nieznośne jarzmo, zmuszające schylać czoła wybrańców, stworzonych na to jedynie, by śmiałym lotem niczem nieskrępowanych skrzydeł, przebijać całe życie w błękitach, z kądy można z pogardą na brudną ziemię i pełzający po niej ród śmiertelników poglądać.

Czy spojrzę za się, czyli przed siebie,
I pusto i chłodno wszędzie,
Zawsze też ziemia!...

Śpiewał jeden natchniony poeta w Tygodniku Petersburskim, przekonany, że nie był stworzony dla ziemi! To przekonanie było tém szkodliwsze, że właśnie też same talenty, które podłoneczne regiony uważały za swą ojczyznę, życiem codziennym zadawały kłamstwo tym idealnym teoryom. Pokolenie to poetów, chorując na genialność, wyrobiło sobie zresztą o niej nader wygodną teorią: genialność polegała według nich na wzbudzeniu w sobie gwałtownych uczuć, a przez nie natchnienia; dość więc było ustawicznie je w sobie podsycać, by bez pracy, znajomości życia, dziejów i literatury, stwarzać dzieła pierwszorzędnej wartości. Intuicyja miała wszystko zastąpić. Na swoje usprawiedliwienie stawiano za przykład Homera i Szekspira, którzy według ówczesnych wyobrażeń, bez nauki, jedynie siłą geniuszu, stali się pierwszorzędnej wielkości na niebie poezyi gwiazdami. Dla tego, że ten ostatni kruszył formy dramatu, uświęcone wiekami, że się grubych anachronizmów dopuszczał, mniemano, iż poezya może się obejść bez wszelkiego rodzaju przepisów, że wystarczy jęj samo natchnienie. Układ wiersza, rytm, średniówkę, słowem wszystkie środki, podnoszące jęj muzykalność zewnętrzną, uważano za rzecz podrzędną. Głównie szło o to, by wypowiedzieć myśl, jak przychodziła do głowy; czy się zaś miała objawić w świątecznej, czy powszedniej szacie, czy nie dawała się wyrazić lepiej, zrozumiałej i dla czytelnika pojętniej, o to nie troszczono się wcale. Ztąd prozę zaczęto na równi stawiać z poezją, wychodząc z tej zasady, iż niejeden utwór prozaiczny może w daleko

wyższym stopniu posiadać poetyckie zalety, niż wiele poematów, w formie najprawdliwszego wiersza skreślonych. Ze tak być może w wielu szczególnych przypadkach, nie ulega najmniejszej wątpliwości; przypuszczać wszakże, iż każda osnowa da się w formie prozaicznej wyrazić i nie przez to na uwydatnieniu złożonych w niej piękności nie straci — na to chyba trudno się zgodzić. W końcu to lekceważenie formy posunięto do zaprzeczenia samej nawet poezyi. Jakoż w jednym z czasopism pojawił się artykuł w formie aforystycznej, w tonie proroczego wieszczenia, w którym autor wygłasza, jakby z trójnoga, iż nadejdą czasy, w których wszelka poezya, jako sztuka, nie potrzebną się stanie. Ród ludzki bowiem, doszedłszy drogą postępu do najwyższej doskonałości, rozwinie w duchu każdej jednostki taki zasób poezyi, iż ten w zupełności ludziom, nie objawiając się w uświęconych formach, na swą potrzebę wystarczy. Wtedy wszyscy, jak dziś wyrażają się prozą, mówić będą najczystsza poezją i życie każdego popłynie pieśnią, poematem. Przeciw tak spaczonym pojęciom Kraszewski czuł się w obowiązku wystąpić. Dowodził, że talent, a nawet geniusz, nie wystarczy jeszcze, by stać się pierwszorzędnym poetą; że do tego potrzeba odpowiedniego przygotowania, wszechstronnej wiedzy, znajomości życia, ludzi, i jeżeli zdolność otrzymuje się od natury, to ją tylko pracą można należycie rozwinąć. Dalej, że zarówno Homer, jak Szekspir, bynajmniej nie okazują się takimi nieukami, za jakich uważała ich ówczesna generacya poetów. Pierwszy bowiem, jeżeli kiedy istniał, jak na swój czas, posiadał bardzo rozległą wiedzę. „Znał doskonale swój kraj, wszystkie jego zakątki, każde wzgórze, każdą rzeczulkę, podania ludu, dzieje, myty i t. d.“ (*Poezja*); toż samo da się o Schakespearze powiedzieć. To też Kraszewski bynajmniej nie szczędził gorzkiej prawdy młodziej braćci po piórze i powtarzał z Krasiekiem: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty — „trzeba się uczyć, aby być poetą.“ „W oszalałej chyba głowie — dodaje — urodziła się dzika myśl, dziś krążąca i przyjęta u młodych, sonetyzujących i poematyzujących paniczów, że na poetę potrzeba tylko dwudziestu kilku lat, zbrzydzenia świata, arkusza papieru i butelki atramentu“ (*I. Poezja*). Bijąc na brak nauki, wykazuje, iż samém uczuciem niepodobna ani pojąć przeszłości, ani prawd życiowych odgadnąć; że natchnienie nie wyłącza pracy, ale owszem nią potęguje się i wzmaga, gdy

przeciwnie niepodsyćcane umysłowemi nabytkami, samo w sobie się trawi i co najwyżej płodzi egotyczną poezją. Przyznając wreszcie, iż nowa literatura ma tę wyższość nad okresem Stanisławowskim, iż przed formą daje pierwiastkowi duchowemu przewagę, usiłował zarazem przekonać współczesnych, iż jeszcze ztąd nie wynika, by mieli formę pogardzać. Pomysł bowiem, jakkolwiek idealny, tylko o tyle rozumiałym być może, o ile się przez formę objawi. Od niej też wyłącznie zależy piękno i cała żywotność utworu, tak że niejedno dzieło, uderzające wielkimi myślami, poszło w zapomnienie dla tego jedynie, że brakiem form pięknych grzeszyło (*III Formy. Język*). Czując wszakże niedostateczność tych uwag, jeszcze raz Kraszewski powrócił do tego samego przedmiotu i w drugiej seryi swych studyów, w rozdziale, noszącym tytuł: *Literatura, jako sztuka*, w sposób bardziej wyczerpujący go rozwinął. Jest to może najstaranniej ze wszystkich, czysto literackiej treści, opracowane studjum, a zasługujące na tém większą uwagę, iż wyszło z pod pióra Kraszewskiego wcześniej, nim się pojawił pierwszy tom *Listów z Krakowa*, w których Kremer, tenże sam przedmiot, tylko na szerszą skalę, rozwinął. Przypomina tu Kraszewski, iż literatura zarówno jest sztuką, jak architektura, rzeźba, malarstwo i muzyka, z których każda, mając właściwy sobie materiał, przez który do ludzkiego ducha przemawia, prócz uzdolnienia od natury, wymaga jeszcze odpowiedniego przygotowania, wprawy, techniki, którą się jedynie długą pracą zdobywa. Jak inne sztuki piękne wcielają ideal w linie, marmur, barwy i tony, tak literatura objawia się w słowie, nad którym, by zapanować, jako nad właściwym jej materiałem, jeszcze nie wystarcza natchnienie.— „Cobyśmy powiedzieli—dodaje—o malarzu, któryby, nieznając rysunku, światło-cienia, prawideł kolorytu, chciał tworzyć obrazy historyczne i mozolił się, szukając, macając sposobów wyrażenia myśli, gdy nauka podaje mu je gotowe?“ Takiej samej techniki, znajomości wszystkich resursów sztuki, każdy literacki utwór wymaga. Samo natchnienie nie wystarcza jeszcze, by pomysł, zrodzony w duszy, objawił się w całym blasku piękności. Im głębsze, wyższe ma znaczenie myśl, którą chcemy przez sztukę objawić, tém jej wcielenie przedstawia większe do pokonania trudności. „To, co artysta widział przed sobą w myśli dzielne, doskonale, niedorównanie piękne, niepokonanie silne, rodzi się i wciela

ślabe, bezbarwne, zimne i ma się do ideału pierwszego, jak cień do przedmiotu” (*Literatura, jako sztuka*). Ale jeżeli artysta nie zawsze zdolny jest arcydzieło utworzyć i idealowi dorównać, to jednak może się zbliżyć do jego doskonałości. Osiągnie to wtedy, gdy do wykonania przystępuje ze znajomością środków pokonywania trudności, jakie mu sam materiał nasuwa. „Tymczasem w literaturze — powiada Kraszewski — widzimy codziennie, zasiadających do tworzenia ludzi, co nie znają sposobów wyrażania myśli, wcielenia jej, co gardzą stylem, językiem i wszelkiem do tak ważnego dzieła przygotowaniem. Bez pojęcia stylu, bez znajomości pierwszych rudymetów, bez zastanowienia się nad językiem, którym władają, jak niewprawy uczeń pędzlem, bez obznajomienia się z historią sztuki, siadają tworzyć, częstokroć nie wiedząc, że to, co wedle siebie tworzą, oddawna daleko lepiej, piękniej, całkowicie utworzonem już, wcielonym zostało.“ Następstwem tego lekceważenia formy, było każenie języka. Zarzucano pisarzom XVII wieku używanie makaronizmów, zapominając, że się ich dopuszczało wielu także współczesnych pisarzy, z tą jedynie różnicą, iż zamiast łaciny brano je z niemieckiego lub francuzkiego języka. Gorzej jeszcze, gdyż zapobiegając złemu, jakie wynikało z upowszechnienia się barbarizmów, zagrażano językowi zupełnem przetrnieniem, w skutek wprowadzania nowych wyrazów. Wprawdzie w chwili Studyów, *Trentowski* nie wystąpił z *Chowanną*, do której wprowadził swoje *stności, blamy, obłogi, kajacności, podwiedźblamy, przysobistości i dla sobistości*; ale popęd do neologizmów był jakby w powietrzu. W utworach ówczesnych poetów spotykamy takie np. wyrażenia, jak: *rozpacznik, kroplejące drzewa, rośliniść*; wyraz *sonet*, *Olizarowski* zastępuje przez *śnielki*. Wreszcie w r. 1835 w „Pamiętniku Powszechnym nauk i umiejętności“ zamieszczone zostały: „*Uragi nad niektórymi wyrazami lekarskiem*“ p. prof. Skobla, które w ówczesnym medyczno-literackim świecie wielkiego narobiły hałasu, oraz w r. 1838 *Słownik anatomiofizjologiczny*, ułożony przez tegoż autora z współudziałem prof. Majera, dzisiejszego Prezesa Akademii umiejętności w Krakowie. O ile przez tych dwóch mężów nowo potworzone, lub z dawniej polszczyzny wskrzeszone techniczne wyrazy uzyskały prawo obywatelstwa w literaturze medycznej, o tém świadczą dzieła za naszych czasów wydane. Jeżeli jednak dla specjalistów, naukowo obrabiane przedmioty nie

tracą na swą wartość przez wprowadzanie nową terminologii; to przeciwnie utwory belletrystyczne, neologizmami skażone, zupełnie chybiają celu: zaciemniają bowiem myśl, którą powinni jak najplastyczniej, zatem dostępne dla ogółu przedstawiać i, zamiast pociągać formą, odstręczają czytelników napotykaną przez nich w wyrozumieniu trudnością (*III Formy. Język*). Jak o szkodliwości tego kierunku dla literatury i języka Kraszewski gorliwych nowatorów ostrzegał, tak równie i przeciw *archaizmom* powstawał (Roz. V). Pisarze, zajmujący się odtwarzaniem przeszłości, nie mogąc tego zrozumieć, iż wierne jej malowidło nie tyle na użyciu wyrazów i wyrażań dawnych polega, ile na zakłęciu w samym utworze ich ducha, nadającego dopiero właściwy każdemu dziełu charakter, sądzą, iż aby zostać historycznym pisarzem i dokładny obraz danej epoki nakreślić, dość przyswoić sobie język jej i w dyalogach zachowywać zwroty pomnikom, do niej należącym, właściwe. Tak, z wcześniejszych, Józef hr. Ossoliński w swych *Wiadomościach historyczno-krytycznych* sadi się na zwroty, pisarzem zygmontowskim właściwe, i pomimo całej dosadności staje się twardym i niesmacznym. Styl Dominika Magnuszewskiego mógł także za oryginalny uchodzić, a jednak w *Kraciwnym Chrzcie*, w *Barbarze*, ze względu na nadmierne użycie archaizmów, nie tylko już odnośnie do pojedynczych wyrazów, ale toku mowy, jest nienaturalny i nużący. Podobnej modzie podlegał i autor znany pod pseudonimem *Jadama*. Otóż Kraszewski stawia pytanie, czy archaizmy konieczne są potrzebne do odmalowania przeszłości, i twierdzi z całą słusznością, że bez nich można ducha każdej epoki odtworzyć. Przyznaje wprawdzie, że zwłaszcza w dyalogowaniu, użycie ich w części usprawiedliwić się daje, lecz żeby się bez nich nie można było obejść, o tym wątpli stanowczo. Barwę wieku bowiem odtwarza się nie w sposób mechaniczny, zewnętrzny, ale przez wniknięcie w życie wewnętrzne, w pojęcia obiegające w pewnym czasie — słowem, gdy pisarz stanie na tym poziomie, na jakim stał ogół epoki, którą przedstawia w obrazie. Kto w nią pojęcia, sposób życia obecnej chwili przenosi, ten pomimo przyswojenia sobie całego zapasu wyrazów i wyrażań jej właściwych da malowidło fałszywe i z rzeczywistością historyczną niezgodne.

Cały ten ustęp o archaizmach przez Kraszewskiego skreślony, stanowi najwymo-

wniejszy dowód braku głębszych studyów nad literaturą XVI stulecia ze strony młodych pisarzy. Już bowiem Łukasz Górnicki w swym *Dworzaniu Polskim* kwestyą tę poruszył i z właściwym sobie rozsądkiem w kilku dosadnych ustępach używanie wyrazów przestarzałych potępił (*Dworzanie Polski*, F. 5. Wyd. z r. 1566).

Tém słuszniej przeto Kraszewski wskrzeszanie ich w XIX w. za niepożyteczne a nawet za szkodliwe dla języka uważał. Znać to bowiem, jak sam powiada, *przetwarzać go „w jakiegoś sztucznie utworzonego, pół dawnego, pół nowego mięszanica“ (V. Formy. Język)*.

Wszakże każenie języka przez wprowadzanie doń neologizmów i archaizmów, dawało się jeszcze poniekąd usprawiedliwić. Dążność do tworzenia nowych wyrazów powstaje zawsze w miłośnikach mowy ojczystej, gdy ogół piszących, w skutek niedokładnej jej znajomości, dopuszcza się barbaryzmów, dających się łatwo usunąć. Podobnie wskrzeszanie form archaistycznych miało ówczesnie uzasadnioną przyczynę: szukano dróg właściwych do odtworzenia przeszłości, nie wiedząc, iż tylko żywa tradycja mogła rzeczywiste jej oblicze w słońcu prawdy historycznej ukazać. Wszakże obok nadużyć językowych, zaczęto się dopuszczać innych grzechów przeciw poezji i wobec nieuzasadnionej reakcji przeciw pisarzom XVIII stulecia, hołdującym niby do przesady formie, zaczęto popadać w najkompletniejszą anarchią, wyłamując się z pod wszelkich przepisów estetycznego kodeksu. Anarchia owa znalazła swoje wyrażenie w nowo wytworzonym rodzaju poezji, któremu nadano nazwę *Fantazji (Literatura jako sztuka)*. Zapożyczona od form muzycznych, w rzeczy, nie była żadną nowością. Już bowiem użył jej Bürger; w Schillerze spotykamy także coś podobnego, zwłaszcza między utworami okresu pierwszego. Ale ta Schillerowska fantazja bardzo jeszcze prawdziwie wygląda. Tymczasem fantazja naszych poetów była zlepkiem różnego rodzaju okrucich, powstałych z rozbicia dotychczas znanych form poetycznych, tém dogodniejszym dla piszących, iż się w nim nie potrzebowali niczém krepować.

Kraszewski sam używszy tej formy w utworze dramatyzowanym p. t. *Szatani i Kobieta*, w r. 1841 wydanym, czuł może, iż własnym przykładem dał pochoć innym do jej nadużycia i, widząc, że podobny kierunek doprowadzi w końcu do skażenia smaku w czytającej publiczności, która w poe-

ży szukać może nietylko istotnego piękna, godzącego się zawsze z prostotą, ile raczej sztucznych efektów, stanowczo potępił ten kierunek, wykazując całą jego szkodliwość dla literatury i sztuki. Uzasadniwszy też, iż fantazja, pomimo pretensyi do nowości, jest właściwie sztucznym zamaskowaniem form dawnych, gdyż pod nią zarówno podszysza się dramat, pieśń, poemat, i t. p.; a nadto, że usiłowanie natrafienia na nowe formy, jest tylko przemianą nazwy i wypaczeniem dotychczasowych form, każdemu rodzajowi poezyi właściwych, zwraca uwagę poczynających pisarzy, iż jeśli nowa literatura ukazała im nowe drogi, to nie wynika ztąd, by ich usamowolniła z pod wszelkich prawideł, które są niczem innem, „jak tylko prawami egzystencji pewnych istot utworów, wyciągnięte z zastanowienia się nad niemi;“ że nakoniec „aby pisać, tworzyć, niedość puścić wodze nieporządnę, rozrzuconę myśl“ ale przeciwnie, „trzeba ją okryć w najstósowniejsze szaty, jakich godna, jakie jęj przystoją, w jakich jęj jedynie dobrze (*Lit. jako sztuka*)“.

Również zwracał uwagę na konieczność zastosowania formy do obranej przez się osnowy. Forma bowiem musi wynikać z natury rzeczy, z ducha utworu, i, jako ciało należące do niego, tworzyć z nim nierozrwaną całość. Gdzie niema tak zupełnego połączenia, tam utwor musi być wadliwy. Tymczasem — powiada Kraszewski, „niejeden liryk swoje uczucia, które powinny były wylać się w piękną pieśń, rozbił na niesmaczny, długi, nudny dramat; niejeden satyra ubrała się za epopeję, niejeden epopeja przeleciała piosenkami.“ Zkądże to pochodziło? Oto właśnie z mylnego przekonania, iż dla piszącego obojętną jest rzeczą, w jakiej się formie, myśl zrodzona w natchnieniu, objawi. W skutek też niezważania na odpowiedniość formy ówczesni pisarze, psuli najlepsze materiały. I tak obrabiali up. podania gminne, gdyż od nich zaczynał romantyzm; ale nadając im formę powieści, poematu, dramatu, płodzili dziwolągi, nie mające nic wspólnego z duchem poezyi ludowej. Inni znowu, nie pojmując istoty romantyzmu, zasadzali żywotność swych utworów na zachowaniu form, właściwych sonetowi, balladzie, na wierszu różnomiarowym, bezładnym, wreszcie na wprowadzeniu widm, upiorów i t. p. Ciekawem też jest, jak Kraszewski pojmował ówczesnie romantyzm, i jak, prostując fałszywe o nim wyobrażenia, określał jego istotę. Według niego romantyzm początkowo był tylko „beładnym naśladowaniem

literatury Anglików i Niemców. Zaczęto z niej same formy przejmować. Ale wprędce z odmiany wzoru przyszli niektórzy do zdrowego wyobrażenia: iż pierwiastkiem każdej literatury powinny być własne obyczaje, życie, własne uczucia.“ — „Romantyzm więc — powiada — nie są to wieki średnie, nie jest to dziwaczność, nie jest to cudotworność, nie są to poetyczne przesady ludu wyłącznie; romantyzm jest narodowość emancypowana i z prawem obywatelstwa wchodząca do literatury“ (*II. Nowa literatura*). — Jakoż tych kilka myśli, wypowiedzianych dorywczo, należało tylko szerzej rozwiniąć, by kwestyą, której podniesienie przed niedawnymi czasy narobiło tyle hałasu, już wtedy bliżej wyjaśnić. Rzeczywiście romantyzm nie polegał na wierzach w czary i upiory, ale wypływał z umysłowych potrzeb ówczesnego społeczeństwa, był naturalnym przejściem od literatury służącej jednemu tylko, ulegającej cudzoziemskiemu wpływom warstwie narodu, do literatury, mającej stać się pokarmem umysłowym wszystkich klas społeczeństwa, nie wyłączając i ludu. — Rozwianie długo żywionych ideałów przejęło ognistsze dusze zniechęceniem do rzeczywistości, która była ich zaprzeczeniem, i skierowała umysły ku temu, co właśnie z tej rzeczywistości bezpowrotnie zniknęło, co mogło jedynie w pieśni bytować. Ztąd tęsknota za ideałami przeszłości, które tém poetyczniej przedstawiały się wyobraźni, im ta przeszłość była odleglejszą i mnię do obecnej chwili podobną. Słowem — duch całkiem nowy społeczeństwo ogarnął, — duch, który się już nie mógł wypowiadać dawnymi formami, bo je swą potęgą rozsadał. Szukając też na razie tych nowych form, literatura polska poszła tylko za wskazówkami Anglików i Niemców, którzy już rozwiązyli pytanie, gdzie należy szukać źródeł poezyi narodowej. Tém źródłem właśnie była poezya ludowa. Dopóki też poezya XIX stulecia, zaczerpująca nowych sił w ożywczej krynicy pieśni, podań i wierszy ludowych, obciami posiłkowała się formami, dopóty i endzjoziemską nazwę romantyzmu nosiła; gdy jednak wzmożona w siły swojskim pierwiastkiem, zaczęła rozpatrywać się w pięknościach własnej ziemi, w życiu społecznym i dziejach, nie przez szkiełko zapożyczone u obcych, ale okiem obejmującym wszystko rodziną miłością; wtedy wyemancypowana z pod przewagi obcych wzorów, zaczęła kroczyć o własnych siłach i przybierać czysto swojski charakter. Ten pierwotny wszakże romantyzm nietylko li-

teraturze, lecz i społeczeństwu oddał ważne usługi. Uplastyczniając pojęcia ludowe, odtwarzając jego obyczaje, zwyczaje, przesady, zbliżył także umysłowo do ludu wyższe warstwy społeczne; dał im go poznać w całym życiu wewnętrznym, zwrócił uwagę na jego moralne zasoby i umysłowe potrzeby; słowem zapełnił i wyrównał tę przepaść, jaką pomiędzy nim, a wyższymi klasami wychowanie cudzoziemskie i dawne stosunki rozwarły. Tak się przynajmniej dziś rola romantyzmu przedstawia. Trudno tylko zgodzić się ze zdaniem Kraszewskiego, jakoby romantyzm „wymancytował narodowość i żeby ta dopiero pod jego osłoną z prawem obywatelstwa weszła do literatury.“ Twierdzenie to zostaje nawet w sprzeczności z tłem, co autor wypowiedział w studium noszącem napis: *Pierwiastek narodowy w literaturze dawnej* (Serya I R. IV). Poszukując bowiem cech rodzinnych w pisarzach XVI, XVII i XVIII stulecia, znajduje je w każdym, najbardziej nawet holdującym formom klasycznym. Najmniej może dopatruje ich w Janie Kochanowskim; ale zato Reja, Kłonowicza, Opalińskiego, Twardowskiego, Hieronima Morsztyna, przez omyłkę zapewne nazwanego Moskorzowskim, z małemi zastrzeżeniami, poczytuje za przedstawicieli czysto narodowego pierwiastku. Nadmienię tu wypad, że „Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego naówczas jeszcze znaną nie była. Nawet w literaturze XVIII stulecia, którą Kraszewski uważa za kosmopolityczną, dworską i wolteryanizmem przesiąkniętą, pierwiastek ten, lubo słabiej, niż w poprzedzających epokach użyty, znajduje. Krasicki w Podstolicu, w Doświadczyńskim, a przedewszystkiem w satyrach, świeci obrazami przeszłości; w Naruszewiezu obok przesady, przebija kontuszowość szlachecka. Mybysmy cech swojskości dopatrywali nawet w niektórych Trembeckiego utworach, np. w bajkach, niezrównanych pod względem plastyki i dosadności wyrażań. Słowem, tkwi ona w każdym z wybitniejszych pisarzy. Tylko w zapatrywaniu się na nich podlegamy optycznemu złudzeniu. Szukamy cech narodowości w pisarzach dawnych nie według tego, jaką ona była każdej epoce właściwą, ale jak ją z naszego stanowiska pojmujemy obecnie, patrząc na przeszłość, jak na przedmioty w oddaleniu, przez zabarwienie powietrzne. Te pojęcia starożytnego świata i myologiczne obrazy, które Kraszewskiego rażą w pisarzach XVI i XVII stulecia, były treścią umysłowego życia całej warstwy społecznej, przodującej

w życiu i dziejach, nadawały jej pewien nastrój, charakter. Również dążności reformatorskie literatury XVIII wieku, choć natchnione duchem Encyklopedystów, wyrażały dążenia postępowej partii. W całym przeto trzechwiekowym przeciągu czasu literatura maluje społeczeństwo takim, jakie było, ze wszystkimi właściwymi mu cechami, wyrobionymi pod wpływem obyczaj, jak i swojskich, zarówno dodatków, jak i ujemnych pierwiastków. O brak przeto swojskości obwiniać jej nie można; a że się ogranicza do jednej tylko uprzywilejowanej sfery, to łatwo zrozumieć; do niej bowiem zacieśniono pojęcie narodu — jej więc potrzebom umysłowym służyła i inną być nie mogła. Wszakże w pisa-rzach dawnych, nie tylko przebija się tak pojęty narodowy pierwiastek, ale co ważniejsza: *ludowy*. Ludowym jest Kochanowski w *Sobótce*; Szymonowicz w *Czarach*, *Zemcach*, *Kołaczu*, a przedewszystkiem już Kłonowicz, który w *Worku Judasza*, zstępnie nieraz do samych mętów społecznych. Również ludowy pierwiastek przejawia się w pisarzach XVIII stulecia. Nie mówiąc już o Krasickim, który do Myszejdy wprowadza czarownicę z Łysiej góry jedynie dla rozśmieszenia czytelnika, zwróćmy tylko uwagę na niesłusznie dziś zapomnianego Książuina. Nie mająż charakteru ludowego jego *Cyganie*, *Trzy Gody* i inne komedijki z natchnienia księżny Czartoryskiej pisane?... Prawda, że w nich nie stworzył typów skończonych, że nie umiał wprowadzonych do sztuki postaci od początku do końca w jednym charakterze utrzymać; w każdym razie są tu pojedyncze rysy, widocznie żywcem uchwycone z natury. A Wojciech Bogusławski? Czyż jego *Krakowiacy* i *Górale*, nie dają mu prawa do nazwy ludowego poety? Tylko Bogusławski nie posiadał artystycznego poczucia. Skopiował tylko żywcem naturę, z całym jej wstrętnym, odrażającym naturalizmem, dodając pouczający przykład, jak wszelki realizm, odrzucający ideał w sztuce, szkodliwym jest dla poetów i sztuki.

Obok więc narodowo-szlacheckiego rozwijał się w literaturze minionych trzech stuleci i ludowy pierwiastek, i to pod koniec, w skutek zmiany w pojęciach społecznych, objawiający się dość nawet wydatnie. Wszakże więcej jeszcze powiemy. Nawet te formy, które późniejszy npowszechnił romantyzm, daleko wcześniej znane były w naszej literaturze, niż to zwykle każda historia literatury przyznaje. Już pieśni Ossyana, przełożone przez Krasickiego i Książuina, dawały pewne, lubo słabe po-

jęcie o dachu całkiem różnym od tego, jaki dotąd w starożytniej i francuskiej literaturze panował. W jednej zaś z ód Książnina pod tytułem: *Babia Góra*, napisanej do *Pawła Czempńskiego, gdy objeżdżał góry krakowskie* (ks. III od. XIV. Warszawa 1828), niektóre ustępy są skreślone z tak romantycznym zacięciem, iż oda ta przeczytana, bez wymienienia autora, mogłaby przez układ wiersza i całą osnowę, mniej świadomego czytelnika w błąd wprowadzić co do czasu, do którego ją odnieść należy. Jak więc widzimy, pomiędzy Stanisławowską a literaturą nową, nie istniał tak znowu wielki przedział, jak to wielu mniema, i jak ówczesnie sądził Kraszewski; ani też romantyzm nie jest dotyla wysoobnionym zjawiskiem, by pomiędzy nim a literaturą dawną nie można było jakichś stycznych punktów odszukać. Jeżeli jednak tkwił w niej pierwiastek narodowy, jeżeli dość często przejawiał się i pierwiastek ludowy, cóż więc właściwie wnosił do niej romantyzm? Oto przedewszystkiem rozszerzał zakres literatury, obejmując nią nie już klasy uprzywilejowane, ale i lud, tylko nie w samych zewnętrznych formach jego bytu, jak to jeszcze w „Wiesławie“ Brodzińskiego widzimy, ale zstępując do wnętrza jego ducha, do głębi uczuć, wyobrażeń i pojęć, które on przez całe stulecie składał do skarbnicy podań i pieśni. Nadto literatura artystyczna, bratając się z literaturą ludową, nie mogła pominąć jednego z najważniejszych jej żywiołów, to jest wiary, którą wiek XVIII pomiałał: ztąd też uznawała wszechobecność Boga, wiargę w duszę i jej zagrobowe istnienie, pośmiertną karę za grzechy, słowem—świat doczesny związała z wiekuistością i duchowi stanowczą dała nad formą przewagę. — Następstwem tego była właśnie reakcyja przeciw uświęconym formom, o czém wspomnieliśmy na wstępie. Kraszewski, uznając tę przewagę, z właściwym sobie taktem, pragnął kwestyą tę sprowadzić na grunt czysto realny, pomieważ duch ludzki może się jedynie objawiać w życiu społecznym i dziejach; ztąd piszących nawoływał do rzeczywistości, do studyów nad przeszłością, którą bądź to, ulegając powziętym z góry teoriom, bądź naśladowując niewolniczo obcych poetów, odtwarzano w sposób, całkiem z prawdą niezgodny. Zarzut ten spotykał nie tylko współczesne, ale pierwszorzędne utwory z epoki romantyzmu. „Zamiast swój kraj, swoich ludzi, siebie malować, malowano Byronowskich wojewodów, niemieckich jakichś starościców i kobiety włoski

i hiszpanki“. Szczególniej przeciw fałszowaniu historycznych typów niewiesticich protestował silnie Kraszewski. „Unas—powiada—kobięty wcale inną i właściwą rolę grały... Na pozór nieznacząca, pobożna, zamknięta ze swą czeladką nad kądzielą, Polka, jest jednak pięknym oryginalnym obrazem, jej cnoty są jej właściwe, jej wpływ mniej widoczny, a jednak niezaprzeczon, nie jest to wpływ intrygantki francuskiej, myśmy jeszcze niedość, a może zupełnie, nie poznali Polki.. Już w XVII w. obyczajów zmiana i kobiety dotknęła, a w XVIII pewne klasy, przenanturzyły się zupełnie wszystko to mieć trzeba na względzie, a mieszcanka zepsuta XVII w. nie powinna też wyglądać, jak żona zagrodowego szlachcica.“ Poczém dodaje: „Ileż tu zastanowienia, nauki, przejęcia się potrzeba, ile trąfności! I powiadają potem ci, co nic nie umieją, że poecie nauka nie potrzebna! (X. Poezya).“ Wszakże Byron nie tylko pod względem fałszywego pojmowania przeszłości wpływał ujemnie na ówczesnych pisarzy. Wielkie talenta z epoki mickiewicowskiej, jak Malczewski, Goszczyński, Słowacki, nie mogąc się wyswobodzić z pod czaru jego poezyi, przejmowali w swych utworach jego manierę, układ aforystyczny, oraz charakter bohaterów, dla których nie było innego punktu wyjścia, nad śmierć lub rozpacz bez granic. Wszakże to mimowolne naśladownictwo, mające źródło w istotnym pokrewieństwie ich ducha z Byronem, okupywali pierwszorzędnymi pięknościami, które były ich wyłączną własnością. Ale występujące po nich niższej skali talenta, nieumiejące dla braku krytycznego przygotowania, dopatrzeć, co istotnie wielkiego było w Byronic, widziały w nim jedynie to, co najmniej było godne naśladowania i, w excentrycznym życiu i rozpasaniu moralnym szukając znamienia geniuszu, byronizowali na swój sposób, według środków, jakie dla kogo były możliwe. Zawody też serca, rozezarowanie do życia, pogarda dla świata, rozpacz, stanowią przeważnie treść ówczesnej muzy. Że jednak nie wszyscy poeci mieli powody tak bardzo znowu rozpaczać, ztąd też ich utwory, pomimo pozorniej gwałtowności uczuć, noszą na sobie bezbarwny, mglisty charakter. Poezya przybrana w mistyczno-allegoryczną szatę, stawiała się często niezrozumiałą dla ogółu. Kraszewski ostudzał więc te sztuczne uniesienia i, zachęcając do studyów nad ubóstwianem, ale nie przetrzawionem krytycznie pierwowzorami, które nieudolne tylko naśladownictwo płodziły,

przypominał, że ta mglistość i allegoryczność jest całkiem naturze poezji przeciwną, gdyż ta przedewszystkiem maluje i tworzy idealne obrazy. „Gdzie więcej frazesów, niż obrazów — może być wymowna, patetyczna gadanina — ale nie będzie poezji (*Stud. Lit. X*). W ogóle ówczesnym poetom Kraszewski wszelkiej samoistości odmawia i po zarzucie byronizowania, stawia drugi, innego rodzaju naśladownictwo. Wiadomo, iż Bohdan Zalewski, Malczewski i Gósczyński stworzyli tak zwaną *szkołę ukraińską*. Po bliższem jednak rozpatrzeniu się w naturze i przeszłości dawniej Ukrainy, przekonano się, że owi poeci, w swych utworach, zapatrując się na nią przez pryzmat oddalonych wspomnień młodości, przedstawiali ją za idealnie i z prawdą historyczną mniej zgodnie. Szczególniej zarzut ten do utworów Zaleskiego się odnosił, którego kozacy, zbyt wymuskani i jednostronnie pojęci przedstawiali typy, pod względem artystycznym, prześliczne, ale bynajmniej z rzeczywistością nie zgodne.

Pierwszy Henryk Rzewuski w *Opowiadaniu starego szlachcica* stawiał nam przed oczy Zaporozca, we właściwej mu, napół dziki, szorstkiej postaci, w butach wysmarowanych dziegiem, zatłuszczonej, brudnej koszuli, przy ognisku życia koszarowego. Po nim Michał Grabowski w swych historycznych postaciach dał poznać prawdziwe oblicze Ukraińskiej przyrody, oraz jej typy ludowe. Bez względu na wielbiciel Walter-Scotta przejął, nie tylko jego formę, którą za jedynie właściwą dla romansu historycznego uznawał, ale co więcej własną ośnowę do jego pomysłów nagiął. Któż bowiem w *Stannicy Ihulajpolskiej* nie dopatrzy naśladownictwa *Wawerleja*? Że jednak brał się do rzeczy ze świadomością celu, który w swych utworach osiągnąć zamierzył, że zbadał drogi, wiodące do niego; ztąd zarówno przez swe powieści, jak i artykuły krytyczne, traktujące o poezji ukraińskiej, wielki ku niej entuzjazm obudził. Ale jeżeli M. Grabowski siedł w dającym się usprawiedliwić kierunku, to słabsze talenta, zrywając się do lotu szlakiem Bohdana, popadły w istną ukrainomanię. Jak dawniej jedyne źródło poezji widziano w podaniach, nadających się swą ośnową do ballad, a następnie w dziejach Litwy XV stulecia; tak z kolei step i kozacyzna, stały się dla poetów ulubionym tematem. Aleks. Groza, Tomasz Olizarowski, Michał Jezierski, byli przedstawicielami tego naśladowczego kierunku. Byli wreszcie tacy, co szukali natchnienia w Ukrainie, znając

ją z książek jedynie. To szukanie źródła poezji w jednej miejscowości wyłącznie i zacieśnienie jej do jednego tylko żywiołu, tém więcej może zadziwiać, że już w 1837 r. Michał Grabowski w swój *Literaturze i Krytyce*, wyrzekł na wstępie te pełne znaczenia słowa: „Gdziekolwiek rzucę okiem, wszędzie spotykam przedmioty, które nie wiem, jak mam nazywać, jeżeli nie poezją.“ Kraszewski rozwijając powyższą myśl Grabowskiego, wykazywał całą niedorzeczność tak jednostronnego kierunku; dowodził, że poezja jest wszędzie, „choćby na błotach Pińskich lub piaskach i choinach Polesia. Pełno jej, mówił — w dziejach, na każdej karcie, w każdym kroku królów, rycerzy, w każdym najsuchszym nawet dyplomacie. Jeżeli nie chcecie historii, albo — dodaje — niema podań, podań poetycznych w Wielkopolsce u Gopla, na Rusi, w Krakowie i na Żmudzi, na Mazowszu, na Podlasiu, w Halickiem, na ruinach Krewa, pod murami Smoleńska, na wałach Połocka, w bramach Nowogrodu, w Białowiejskiej puszczy — wszędzie znajdziesz podania, wszędzie jest poezja. Każdy ją ma pod bokiem u siebie, w sobie, pocóż ją z Ukrainy sprowadzać koniecznie?“ (*X Łożyska*). To specjalizowanie poezji było, dodajmy, i z innego względu dla literatury szkodliwe: wprowadzało do niej bowiem pewien rodzaj *powiatowszczyzny*, zacieśniającą myśl do bardzo szczupłej sfery, oraz usuwało z przed oczu piszących ideały wyższego znaczenia. Dla tego też Kraszewski, w porównaniu z innemi kwestyami, które w swych studyach poruszał, może najobszerniejszy ustęp ukrainomanii poświęcił i zachęcając do badań przeszłości i poznania własnego kraju, ukazywał na źródła dotąd jeszcze nie tknięte lub z których nieumiejętnie czerpano.

Zobaczmy, jak Kraszewski zapatrywał się na tę gałąź literatury, w której się przeważnie już wówczas jego talent objawił, a następnie dosięgnął najwyższego mistrzostwa. Mówimy tu o romansie i powieści. Cztery główne źródła znajdujemy w jego pracach krytycznych, które nam w sposób wyczerpujący mogą tę kwestyę wyjaśnić: najprzód artykuł zatytułowany: *Przeszłość i przyszłość romansu*, zamieszczony w I seryi *Studyów literackich*; 2) *Słowo o prawdzie w romansie historycznym*, wydrukowany w T. II *Nowych studyach literackich*; 3) *Dwa listy literackie*: a) o celu powieści i b) o Marcinie Podrzutku, zawarto

w tomie II. Okruszyn, wchodzących w skład wydania lwowskiego, i po 4-cie na koniec: *Gawędy o literaturze i sztuce*. Jakkolwiek zwłaszcza w dwóch pierwszych artykułach można się dopatrzyć pewnych sprzeczności w pojmowaniu zadania historycznego romansu, to za to w pojmowaniu jego istoty we wszystkich artykułach Kraszewski jest z sobą w jedności. Utwory tego rodzaju uważa przede wszystkim za dzieło sztuki, któremu, prócz głównego jej zadania, jakim jest stwarzanie pięknych obrazów, wszelkie inne uboczne cele powinny być obce. Scharakteryzowawszy w *Przeszłości i przyszłości romansu*, najprzód romanse starożytne, mające po większej części za przedmiot miłości, dość zmysłowo pojęte; opowiedziawszy pokrótce dzieje średniowiecznego rycerskiego romansu, w którym kobieta część niemal bałwochwalczą odbiera, a miejsce dawnych bogów Olimpu cudowność i fantastyczność zajmuje; zaznaczywszy wreszcie przemiany, jakim od XVI-go w. romans podlegał, stając się satyrycznym w Don Kiszocie Czerwantesa, filozoficznym pod piórem Voltaira, —moralno-sentymentalnym w utworach Richardsona, Fieldinga, —wreszcie mieszczańskim w Diderocie; przechodzi do XIX stulecia, w którym romans zdobywa w literaturze poważne stanowisko i, przyswoiwszy sobie wszystkie niemal rodzaje, właściwe prozie i poezji, oraz objawszy wszystkie warstwy społeczne i kierunki życia umysłowego, zajął miejsce starożytniej epopei. Ale jakkolwiek za twórcę nowożytnego romansu Kraszewski uważa Waltera Scotta, to jednak w pierwszym ze swych artykułów o romansie, bynajmniej nie podziela ówczesnego bałwochwalstwa w tym na przykład stopniu, w jakim dla niego okazywał je M. Grabowski, lub mniej od niego uzdolnieni naśladowcy. Kraszewski, niezaprzeczając wysokiego artystycznego znaczenia romansom Waltera Scotta, podziwiając jego umiętność w zawiązywaniu intrygi, budząc palący w czytelniku interes, a przede wszystkim poetyczne przedstawienie przedmiotu, odmawia mu jednak historyczności w ścisłym tego słowa znaczeniu, która według niego, wraz z opisami miejscowości, jedynie, jako ozdoba zużytkowana została. Ten pogląd tym więcej zastanawia w młodym naówczas Kraszewskim, że właśnie w tym samym czasie podobne zadanie o Waltera Scotta wypowiedział i A. W. Maciejowski we wstępie do dzieła: *Polska aż do połowy XVIII-go wieku*, wydaném w r. 1842 w Warszawie. Zamiłowanie w romansach Waltera Scotta Maciejowski po

swojemu tłumaczy tém, że *bajał przyjemnie*, ale właśnie to zamiłowanie stawia, jako dowód, iż ogół ówczesnego europejskiego społeczeństwa nie miał właściwego o przeszłości pojęcia, skoro mógł widzieć dokładne jej odzwierciedlenie w utworach tego rodzaju. Wszystkie też wysiłki jego naśladowców, podejmowane w celu przyswojenia sobie jego manieri, poczytuje za rodzaj manii, którą *walterskotyzacją* nazywa. Ta zgodność zapatrywania się Kraszewskiego z czystej wody historykiem, odznaczającym się wszechstronną znajomością źródeł, szerokim na dzieje ludzkie poglądem i światłym wszechświatem, co się na tym polu dokonywało współcześnie, może służyć za jeden więcej dowód tej bystrości umysłu, zdolnego jednym rzutem obejmować najrozmaitsze przedmioty i w swych sądach intuicyjnie dochodzić do tych samych wyników, do których inni jedynie drogą naukowych badań dochodzą. Ale już w artykule, noszącym tytuł: *Słówek o prawdzie w romansie historycznym* (Nowe stud. Lit. T. II) Kraszewski sąd ten sumiennie zmodyfikował i co do wartości historycznej baroneta szkockiego całkiem zgodne z teorią M. Grabowskiego zaczął przekonania objawiać. W czymże więc różniły się obecne jego poglądy od wygłaszanych poprzednio? Oto wiadomo, że Walter Scott rzadko stawiał na pierwszym planie dziejowe postacie lub powszechnie znane wypadki; że jeżeli wprowadzał je kiedy, to jedynie w chwilach stanowczych lub skutkach, oddziaływających na losy bohaterów, przede wszystkim zaś zajmował czytelnika osobistościami, których imion napróżnobyśmy na kartach dziejów szukali. Te osobistości jednak — wytwór czysto jego wyobraźni — należało nie mniej za historyczne przyjmować, gdyż otoczone atmosferą swojego czasu, tak niby czuły i działały, jakby czuć i działać powinny, gdyby w epoce, do której się odnoszą, rzeczywiście istniały. Otóż takie pojęcie i traktowanie historii w romansie, które Kraszewski, w pierwszej seryi studyów za niedostateczne uważał, teraz przeciwnie uznaje za jedynie właściwe. Wykazuje nadto trudności tworzenia romansów z faktów powszechnie znanych, ze względu na niemożność pogodzenia prawdy dziejowej z warunkami sztuki, którą, bądź co bądź, w artystycznym utworze, za jaki romans uważa, na pierwszym należy mieć względzie. O ten skłopot potknęło się wielu; potknął się i Niemcewicz w swoim „Janie z Teneczyna,” gdyż jaki ma być przebieg, jakie zakończenie, każdemu, choć cokolwiek obe-

znanemu z dziejami, musi być naprzód wiadomo. Romans też niepowinien wkraczać w granice historii. *Właściwie ma on dopełniać to, czego niedopowiada historia.* A więc—podług Kraszewskiego—zadaniem romansopisarza jest „pole w większej części białe zapęłnić; umarłych wskrzesić do życia, czynności ich wytłumaczyć, oblicze ich pokazać.“ Ale w tém przedstawieniu powinna tkwić prawda dziejowa i w takim znaczeniu pojęta przeszłość może się godzić z warunkami sztuki, gdyż, jak słusznie powiada autor— „nie ma nic, nawet w świecie sztuki prawdziwszego nad prawdę, oddalenie się od niej, odstąpienie jej, czuć fałszem.“ Otóż właśnie nasuwa się pytanie, czy tego fałszu nie czuć w romansach Walter Scotta?

Posłuchajmy, co o jego utworach mówi jeden z dzisiejszych pozytywnych krytyków francuzkich, którego o przesadę nie podobna pomówić,— „Wszystkie jego malowidła ubiegłej przeszłości, nie mają w sobie prawdy. Jedyne ubiory, krajobrazy, słowni strona zewnętrzna, skreślone są dokładnie. Wszystko inne: czyny, słowa, uczucia, wychodzą z pod jego pióra upiększone, wygładzone wpływem nowożytności cywilizacji. Z historią obchodzi się tu, jak z urządzeniem sal gotyckich w swoim Abbotsfordzie: dba o wyszukanie takich tylko punktów widzenia, z którychby się nagromadzone w nich przedmioty najlepiej przedstawić mogły“..... I nieco dalej: „Walter Scott zatrzymał się na progu duszy ludzkiej, w przedsionku historii; z epoki renesansu i wieków średnich wybrał tylko to, co było pociągającym, przyzwoitém; usunął z mowy naiwność, zlagodził zmysłowość nieposkromioną, i dzikość zwierzęcą. Do jakiegokolwiek zresztą epoki należą wprowadzone do jego romansów osoby, zawsze maluje w nich tylko swoich sąsiadów: przebiegłych dzierzawców, pełnych próżności posiadaczy ziemskich, gentlemenów w rękawiczkach, dziewice na wydaniu i mieszczan, których, jak pan feudalny, na swym zamku ugasał.“ Tak się o Walter Scocie wyraża *Henryk Taine* w swój *Historji Literatury Angielskiej* (T. IV. str. 299—301)— i sąd ten, powszechnie dziś przyjęty, zupełnie jest zgodny z pierwotnem zapatrywaniem się Kraszewskiego na wartość historyczną romansów Walter Scotta. Cóż więc na tę zmianę w jego pojęciach zasadniczych wpłynęło? Kraszewski sam tę sprzeczność w jednym z ustępów o *Przeszłości i Przyszłości romansu* wyjaśnia, mówiąc iż owa historyczna ozdoba romansów Walter Scotta „dopiero

w ręku jego naśladowców stała się celem.“ Innemi słowy: że dopiero ci, przejąwszy jego formę i metodę traktowania dziejowych postaci, oraz poznawszy własną przeszłość z dokładnością historyka specjalisty, rozwiązali kwestyą historycznego romansu.

Że tak naukowo przygotowanego naśladowcę Kraszewski słusznie uważa autora *Koliszczyzny i stepów*, oraz *Stannicy Hulaipolskiej*, ale uwielbienie dla niego do tego stopnia posuwa, iż nie waha się powiedzieć, „że *Walter Scott w większej części swoich utworów trzymał się właśnie sposobu E. Tarszy*“ (Nowe Stud. Lit. T. II. str. 182) (sic), pod tym bowiem pseudonimem Grabowski wydawał swoje historyczne powieści. Jakkolwiek wszakże ten ostatni położył niemałe zasługi na polu historycznego romansu, w każdym razie podobne odwrócenie ról, pomiędzy mistrzem i uczniem, trochę na przesadę zakrawa. Widocznie Kraszewski, pisząc ów artykuł zatytułowany: *słówek o prawdzie w romansie historycznym*, zostawał pod świeczem wrażeniem tylko co wyszłego z druku *Stannicy*. A może też.... może i wpływ bliżej zawiązanych z Grabowskim literackich stosunków, mimowoli wywołał w zapatrywaniu się na tę samą kwestyą tak uderzającą różnicę.— W swym wcześniejszym jednak poglądzie na *Przeszłość i Przyszłość romansu* Kraszewski idzie dalej i znaczenie historyczności przenosi na powieść obyczajową. Co bowiem dziś jest artystycznym obrazem, odzwierciedlającym życie różnych warstw społecznych, to dla przyszłości stanie się najwierniejszém malowidłem historycznóm, z którego każdy, bez poszukiwań w źródłach i mozolnego zbierania rozrzuconych po najrozmaitszych dziełach pojedynczych rysów, będzie mógł odgadnąć wszystkie tajemnice naszego życia z łatwością. W taki też sposób zapatrywać się na powieści Kraszewskiego należy, które obok artystycznych piękności, dają bardzo rozległe pole do studyów nad charakterami ludzi i okolic Litwy, Wołynia, Polesia,—gdzie autor większą część życia przepędził. On sam zresztą przyznaje to w przedmowie do nowego wydania *Chadcy za wsią*, mówiąc: „Co było obrazkiem, stało się niemal historią.“ (Zbiór powieści Tom XXII Lwów 1872).

Że w ten sposób pojęta powieść obyczajowa wszystko, co do formy i sposobu przedstawienia rzeczy romansom Walter Scotta zawdzięcza, nie może najmniejszej wątpliwości podlegać. W jakiż jednak sposób na jej cel zapatruje się Kraszewski? Otóż przede wszystkim wszelką z niej tendencyjność

wylacza. To też tak zwane ówczesnie romanse morskie, socyalne, polityczne, ekonomiczne, uważa wprawdzie za objaw nader charakteryzujący społeczeństwo pierwszej połowy XIX-go stulecia, ale stanowczo wątpi, by przez nie autorowie osiągnęli cel zamierzony. Kto bowiem chce poznać jakąś naukę, winien ją badać w dziełach specjalnie jęj poświęconych; nikt jednak nie nanczy się marynarki z romansów kapitana Maryatta lub p. Eugeniusza Sue, oraz gramatyki i literatury z *Amerykanki w Polsce*, albo gospodarki z Pana Podstolica Massalskiego. Wszystko to Kraszewski poczytuje za nadużycie formy romansu, gdyż jak powiada: „żaden prawdziwy artysta sługą i wyrobnikiem, choćby najszczytniejszej myśli, być nie może.“

Szczególniej też wystąpił z silnym protestem przeciw późniejszemu socyalnemu E. Sue dążnościom. Już przed nim w r. 1838 Michał Grabowski, w swojej *Literaturze i Krytyce* potępił całą ówczesną literaturę francuską, nadając jęj nazwę *szalonej*. Kraszewski jednak wówczas nie podzielał jego przekonania. Owszem zarzucał mu w *Tygodniku Petersburskim* (1838. N. 64.) jednostronność poglądów. Dotyczyło to przede-wszystkiem W. Hugo, Balzaka, których Grabowski wylącznie ze stanowiska moralno-historycznego, a nie ze stanowiska sztuki oceniał. Co zaś do E. Sue, to Kraszewski rozgrzeszał go zupełnie z wszelkich szkodliwych dążności. „Jakkolwiek bowiem — powiada wielki szal pannie w jego roman-sach; chociaż wszystkie jego charaktery są zbyt czuńej, przesadnej energii; nie sądzę jednak, aby to był pisarz niebezpieczny, gdyż pod powłoką okropności modnych kryje się w nim wiara i uczucie poetyczne.“ (Ibid. N. 82). Dopiero pojawienie się Żyda Tulacza, zmieniło jego sądy o tym pisarzu. Obecnie zaś wystąpienie Kraszewskiego wywołane zostało aż dwoma naraz wydaniami w Warszawie przekładami *Marcina Podrzutka*, oraz artykułem jednego z młodych krytyków Alberta Gryffa, który, ów płuł poroniony nie wahał się za arcydzieło literatury europejskiej poczytać. Ciekawe też są z tego powodu uwagi Kraszewskiego nad znaczeniem tendencyjności w romansie. „Jeżeli myśl — powiada — tak pisarzem owładła, że się sączy przez wszystkie pory jego utworów; jeżeli sam nie wie, jak żyje w tęg atmosferze, dobrze! potrafi tworzyć i zostanie artystą; ale jak skoro myśl sobie narzuca i myśl przybiera na zimno i lepi nią, jak klejem, to, co nią nie przesiąkło; utwory jego będą słabe, li-

che — amfibia prawdziwe, w których ani sztuka, ani idea moralna światu objawić się w pełni nie potrafi“ (Okruszyny. Dwa listy). Rozebrawszy następnie po szczególe każdą z osobistości, wchodzących do *Marcina Podrzutka*, wykazuje w nich brak wszelkiej prawdy artystycznej i życiowej, i utwór ten za zupełnie zwichnięty, właśnie w skutek narzuconej sobie z góry idei, uważa. Wszakże większe oburzenie, niż sponiewieranie w tym utworze idei piękna, wywołała w Kraszewskim sama idea przewodnia, która wtedy obalamowała wszystkie niedojrzałe umysły, zawsze pochopne chwycić się w imię postępu najsakrajniejszych, byle nowych teorii. Przeciw tym zgubnym, płynącym z zachodu socyalistycznym prądom wystąpił on z całą mocą przekonania i wypowiedział kilka myśli przepromienionych rozzumnie pojętą chrześciańską miłością, a których tu jedynie dla braku miejsca nie możemy przytoczyć. (Zobacz zbiór powieści T. 98. Okruszyny T. II. str. 154 — 157).

Nasuwa się teraz pytanie, czy Kraszewski który w artystycznych utworach tak bezwzrunkowo tendencyjność potępił, sam nie był tendencyjnym pisarzem? Jakoż jeżeli myśl przewodnią w *Budniku*, *Ostapie*, *Jarynie* i *Dwoch światach* nazwiemy tendencyjnością, to i Kraszewskiego musielibyśmy do pisarzy dążnościowych zaliczyć. Inna rzecz wszakże pewną myśl uplastyczyć w utworze, a inna z góry obmyślić systemat, dorobić do niego osnowę i chcieć go społeczeństwu narzucić. Kraszewski badał pilnie, śledził każdy ruch myśli, każde drgnięcie uczucia, a co spostrzegł dodatniego lub ujemnego, to i artystycznie odtwarzał w powieściach. Wszakże nigdy *a priori* nie rozstrzygał żadnej kwestyi bieżącej, bo wiedział, że drogi, któremi kroczy społeczeństwo, nie dadzą się naprzód ani wytknąć dyoptrą, ani sznurem wymierzyć. W najbardziej tendencyjnym na pozór utworze, jak *Historja kolka w płocie*, wy-powiada tylko, co było i, z prawdziwie po mistrzowsku przeprowadzonej paraleli, każe się domyślać, że nadal tak pozostać nie może; lecz w jaki sposób kwestyą emancypacji włościacian przeprowadzić należało, na to nie podaje projektu, bo wie, że jego zadaniem, jako poety, stwarzać jedynie artystyczne, pełne myśli obrazy. Jedynie *Choroby wieku* stanowią pod tym względem wyjątek; ale wiadomo, że jest to jeden z naj-słabszych naszego mistrza utworów.

Niekiedy jednak Kraszewski swem zapatrywaniem się na zadanie powieści pra-

wdziwe niespodzianki czytelnikom gotował. Właśnie tylko co w r. 1854 ukończył w *Gazecie Warszawskiej* druk, jednego z najsympatyczniejszych utworów, bo *Powieść bez Tytułu*, która nie tylko entuzjazmowała ludzi najstarszych wiekiem, ale i u wszystkich ówczesnych krytyków słusznie zjednała sobie uznanie, gdy w téż samém *Gazecie* i w tymże roku (N. 268), Kraszewski w jednym z swych listów, któremi ją od r. 1851 zasilął, wystąpił ostro przeciw nadużyciom formy powieści. Powodem do tak niespodziewanie wydanego okrzyku *velo* był *Laokoon*, powieść A. Niewiarowskiego, któremu nieodmawiając zalet, ani téż autorowi talentu, uznał Kraszewski, że tak co do treści, jak formy, jest utworem całkiem spóźnionym. „Napisany — powiada — pomiędzy rokiem 1825 — 1835, zrobiłby *furor*. Dziś — dodaje — nie różni się od tysiąca pięciuset innych powiastek. Dostyć téż tego rodzaju utworów — czas, by literatura nową szatę przybrała.” — Wprawdzie wyznaje Kraszewski, iż nie wie, co czynić, żeby powieść odnowić, gdyż dodaje, że gdyby wiedział, samby to pewnie uczynił; ale bądź co bądź czuje, że reforma jest nieunikniona. Sam téż przyjmuje znaczną część winy na siebie, że swemi powieściami pociągnął za sobą młodsze talenta. „Kto się nieprzesycił — powiada — hrabiami i książętami karykaturalnymi, którychśmy tytuł naśladowali? — i dodaje: *mea culpa!* Artystami długo-włosymi, niepojętymi — znowu *mea culpa!* Trzydziesto-letniemi pannami na wzór Balzaka, dowcipnemi panienkami, excentrycznemi aktorkami itd. itd. (Czyżby i Sarę autor sobie wyrzucał? Wątpimy).“ List ten powszechne wśród warszawskich literatów oburzenie wywołał. Czuł się nim i autor *Kollokacyi* dotkniętym. A i ogół czytelników również zadawał sobie pytanie, co wywołało to potępienie powieści, która przecież imię Kraszewskiego po całym obszarze kraju rozniosła i co zresztą znaczyła ta z jego strony spowiedź powszechna? Posypały się protestacye. Kraszewski jednak milczał; nareszcie w liście zamieszczonym w *Gazecie Warszawskiej* r. 1855 (N. 62 — 64), a wystosowanym do Józefa Korzeniowskiego, odpowiedział na robione sobie zarzuty. W liście tym jeszcze dobitniej wykazuje ujemne strony ówczesnej powieści i jaśniej formułuje, czego od niej wymaga. Najgłówniejszym z jego zarzutów jest ten, iż wszystkie niemal na jedno kopyto są odlane — jakby wariacje z jednego tematu, bez ożywczego ducha, bez fizyognomii właściwej. Domaga się więc nowej myśli, nowej formy, a raczej

by każdy pisarz, mając myśl własną, starał się jęj nadać i formę również właściwą. Szczególniej pod tym względem bił na tak zwane powieści i gawędy szlacheckie, które, jak niegdyś ballady i sonety, do uprzykrzenia powtarzając jedne i te same temata, zalewały powodzią literaturę.

„Maluje kto wiek XVII lub XVIII — powiada — pewnie wprowadzi ojca, co syna obatoży, szlachcica, który musi bić i kaleczyć. Co guzów, co sińców, co kres od szabli — dodaje — pewnie więcej, niż je rzeczywistość widziała“ (*Gazeta Warszawska* r. 1854. N. 268). — Do kogoż jednak te zarzuty zmierzały?.... Rzecz naturalna, że nie do tuzinkowych pisarzy, gdyż ci nie wywierają wpływu na społeczeństwo, ale do samych koryfeuszów literatury, powszechnie cieszących się uznaniem. Owe baty występują w *Pamiętnikach starego szlachcica* hr. Rzewuskiego; w *Benedykcie Winićkim* — Pola; w *Deborogu* Wł. Syrokomli, (opowiadanie anegdoty o Trockim Wojewodzie); wreszcie w *Stolnikowiczu Wołyńskim* J. Korzeniowskiego. Doprawdy było tego trochę zawiele. Burdami pijackimi zaś przepelnione były niemal wszystkie utwory Z. Kądzkowskiego, i ekliwość wzbudzać zaczęły. To téż do téj literatury szlacheckiej, Kraszewski jeszcze w lat parę powrócił i w *Gawędach o literaturze i sztuce* (*Obrazy przeszłości* str. 45 — 75), sformował jaśniej, czego od powieści wymagał. Przyznając Pamiętkom Starego Szlachcica wysokie znaczenie, jako utworowi, na którym zyskała nie tylko literatura i sztuka, ale nawet historia przez sumienniejsze rozpatrzenie się w przeszłości; widzi jednakże, iż Rzewuski, bezwiednie stworzywszy szkołę, wywołał cały tłum naśladowców, którzy, przerabiając na karykatury żywot szlachecki, całkiem spaczyli o przeszłości pojęcie. Przyczyny tego dopatruje przede wszystkim w fałszywie obranym punkcie, z którego ciż naśladowcy zapatrywali się na czasy ubiegłe. Rzewuski — powiada — zjawił się w chwili, gdy romanse historyczne w duchu Waltera Scotta pojęte, obudziły ku przeszłości tęsknotę, nie mogącą jęj ukoić wywołaniem z grobu żywego téj przeszłości oblicza. Rzewuski pierwszy postawił ją przed oczyma współczesnych, nadając jęj wyraz i oświetlenie właściwe, wskrzeszając typy, w których jęj rysy tém potężniej się odbiły, im bardziej wszystko do koła nich, bezpowrotnie z życia zniknęło. W tém jednak genialném odtworzeniu przeszłości, zasługa Rzewuskiego, podług autora studyów, polegała jedynie na wierném i dosadnem opi-

saniu tego, co od ojca zasłyszał. Sam bowiem obrazów tych nie wysnuł z własnej fantazyi, ale przy nadzwyczaj chwytnej pamięci, łatwości przejmowania się otaczającym duchem, oraz wrażliwości artystycznej, był, jakby rodzajem *medium* pomiędzy dzisiejszym pokoleniem, a przeszłością. (str. 48). — „Autor — powiada Kraszewski — przebiegał się, mając mówić, za kontuszonego szlachcica i gawędził nam, jakby zmartwych wstały nieboszczyk.“ (str. 51). Jakkolwiek można się niezgodzić z Kraszewskim na powyższą charakterystykę talentu Rzewuskiego, gdyż w każdym razie w *Listopadzie* dowiódł wielkiej siły twórczości — faktem jest przecież, że pojęcia starszylacheckie były jego osobistymi przekonaniem, z którymi się nosił w XIX stuleciu, plwając na wszystko, co było nowych czasów wytworem. W swych zatem na przeszłość poglądach był zupełnie szczerzy i zupełnie zgodny sam z sobą. Tymczasem jego naśladowcy, przyjmując soplicowski punkt zapatrywania się na nią, stanęli na gruncie najzupełniej fałszywym. Przejęci bowiem pojęciami XIX wieku, kłaniali sobie i drugim, idealizując pijatykę, zawadyactwo, batogi, burdy wszelkiego rodzaju, słowem postępkę, któreby we współczesnych musieli bezwarunkowo potępić. Właśnie ten zarzut głównie Zygmunt Kaczkowski spotykał. Sąd o nim, wypowiedział Kraszewski najprzód w *Gazecie Warszawskiej* w r. 1855 (List. V. 62 — 64); następnie w *Gawędach o literaturze i sztuce*. Przyznając mu olbrzymi talent i wielką sztukę w utrzymywaniu się na stanowisku swojego wzoru, uważa go jednak za naśladowcę tylko fragmentaryjnej soplicowskiej formy, którą w ciągłym opowiadaniu *Nieczui*, ze szkodą prawdy historycznej niepomniernie rozszerzył. Trafną bowiem robi uwagę, że jeśli podobne typy gawędziarzy były nader liczne w przeszłości, to jednak ich opowiadania nosiły zawsze epizodyczny charakter, nie mając pretensyi przybierać zamiarów epopei, jak to uczynił Kaczkowski. Autor jednak Murdeliona okupywał te wszystkie niekonsekwencje, wynikające z niewłaściwie obranego stanowiska, wysokim artyzmem i głębokim przejściem się swoim przedmiotem: ale mniej utalentowani przesadzając, jak zwykle, pierwowzór i chwytając z niego same njeune strony, dawali raczej karykatury, niż obrazy przeszłości. „Ludzie — powiada Kraszewski — powtarzali się w nich kubek w kubek do siebie podobni, jak gdyby jedna postać przebiegała się tylko coraz inaczej.“ — Zupytowano się, czy nad

zużyty w opisach typ *Panie Kochanku, Starosty Kaniowskiego* i wielu do nich podobnych, przeszłość nasza nie miała już innych, rozumniejszych, szlachetniejszych postaci? To pytanie i Kraszewski sobie postawił i pod wpływem przesycenia, jakiego doznawał każdy więcej myślący czytelnik, wystąpił przeciw temu kierunkowi z protestem, pragnąc literaturę powieściową na inne drogi wprowadzić. Drogi te zaś starał się wytknąć w skreślonych przez się *Obrazach przeszłości*. Przedewszystkiem robi uwagę, że jakkolwiek przeszłość nasza wytworzyła wiele typów excytrycznych, szalonych; to jednak te nie przedstawiają ogółu i do wyjątków należą. Obok różnego rodzaju paliwów, rębaczy, bohaterów kielicha i krzykaczów sejimowych, rozwijało się życie prawidłowe, spokojne. — „Wszystka szlachta — mówi Kraszewski — nie mogła być podobną do genialnego zawadyaki — Paska, ani do jemu pokrewnych. Odwzorowując część jej sejimującą, kiereszującą, rąbiącą i processującą, zapomnieliśmy o ciekawszej polowie, która przy szabli zardzewiałej, uprawiała ziemię i w cieniu lip starych modliła się na ustroju“ (str. 57). Nadto, jak w studjach protestował przeciw fałszowaniu typów polskiej niewiasty, pod wpływem naśladowstwa francuzkich i angielskich wzorów, tak znów obecnie stanął w jej obronie przeciw uroszczeniom Soplicowskiej szkoły, która odmawiała jej niemal prawa exystencji w powieści. Jakoż we wszystkich utworach Rzewuskiego kobiety narysowane są blade, bez życia, niby maryonетки, ukrytą poruszone sprężyną. By ten brak artystycznej intuicji w odgadywaniu charakterów niewieściech usprawiedliwić w Rzewuskim, jeden z panegirystów tej szkoły — Michał Grabowski — nie wahał się twierdzić, że w dawniej Polsce kobiety nie miały najmniejszego znaczenia, że nawet miłość małżeńska wcale tu znaną nie była. Przez poszanowanie Soplicowskich tradycji zapomniał snadź o Zygmuntowskich pisarzach — choćby o J. Kochanowskim, Górnickim, którzy pod tym względem całkiem inne o tamtoczesnej społeczności dają świadectwo.

To moralne unicestwienie kobiety, tę dążność ograniczenia jej roli do samych zajęć domowych i rodzenia dzieci, Kraszewski tej szkole za fałsz historyczny poczytał. Nie podzielał on już teorii autora *Literatury i Krytyki*, ani jego uwielbienia dla Walter Scotta. Obecnie cała przepaść pojęć dzieliła ich od siebie. Szkoła Soplicowska, którą Grabowski swęmi teoryami

popierał, nie uznawała nic, co się sprzeciwiało dawnym, staro-szlacheckim pojęciom; odrzucała wszelkie, przejęte spadkiem po XVIII wieku zasady — wszelkie zdobycze postępu XIX stulecia. W tak zacieśnionym zaś kręgu, umysł Kraszewskiego, pomimo chwilowego zbliżenia się do koryfeuszów tej szkoły nie mógł pozostawać nadługo. Jego pojęcia o życiu historycznym o wiele dalej sięgały. On nie chciał, by szlachę pochłaniał mieszczaństwo, żyda, wieśniaka, bo i ci, choć pozbawieni praw politycznych, żyli jednek obok szlachty, doznawali skutków dziejowych wypadków i, cierpiąc w milczeniu, zdobyli sobie prawo, by ich łączyli polityczny. W tych odrzuconych przez szkołę Soplicowską klassach, dopatruje on nie mniej idealnych rysów, nadających się również do artystycznego utworu, jak i w klassie, uprzywilejowanej szlacheckiej. Przedewszystkiem zaś uderza na zasklepienie się piszących wyłącznie w jednej Sasko-Stanisławowskiej epoce, nacechowanej moralnym i politycznym upadkiem podczas gdy po za nią, poczynając od Mieczysławowych i Bolesławowych czasów, rozwija się nieprzebrane bogactwo charakterów, typów, wypadków, pojęć, dążeń, które wymagały tylko ręki mistrza, by je powołał do życia. Ze szkoła Soplicowska, nawet pod względem historycznym miała wielkie znaczenie, że była ogniwem, łączącym teraźniejszość z ubiegłą niedawno, a jednak wyróżniającą się pod wielu względami przeszłością, tego, jak widzieliśmy, nie zaprzecza Kraszewski: ale powtarzanie jednych i tych samych typów, ale apoteozowanie burd, pijatyk i kańczuga, uważał za szkodliwe, zarówno dla literatury, jak i ze względu na zdrowe o przeszłości pojęcie. I rzeczywiście — smutnąby ona była, gdybyśmy musieli na tym ideale poprzestać, jaki z niej utworzyła tamtoczesna powieść i gawęda szlachecka.

Przeglądając kolejną wszystkie formy literatury, Kraszewski nie mógł pominąć dramatu (*Stud. Lit. VII Dramat*). Wyróżniwszy istotę tragedii i komedii dawniej szkoły, od dramatu, jaki się pod wpływem Schakespeare'a rozwinął, przeciwstawiającego pełnym patosu, bohaterским, ale konwencjonalnym postaciom i działaniu skoncentrowanemu na jedną chwilę, całą różnorodność rzeczywistego życia, uchwyconego w nagię, surowej prawdzie i zarówno w najpospolitszych, jak i pełnych psychicznej głębi obłajach; zastanawia się, dla czego w kraju,

gdzie życie publiczne dawało tak obszerne pole do ścierania się sprzecznych ze sobą dążeń; gdzie indywiduizm państwową jedność pochłoniął; wreszcie, gdzie się wyrabiała tak potężnie wybitne charaktery i tak pełne komizmu typowe postacie, jak Albertus, Pątnik, Rybalt, i wiele innych, dla czego, mówię, nie powstał narodowy dramat, komedia, skoro w dyalogach były już ich zaczątki?

Na te przecie pytania Kraszewski w pierwszej seryi swych studyów stanowczo odpowiedzieć nie umiał. Rozwiązał je znacznie później, bo dopiero w r. 1856, w artykule zatytułowanym: „Sztuka dramatyczna w Polsce“, a wydrukowanym w „Gawędach o literaturze i sztuce“. Jestto właściwie rozbiór dzieła K. W. Wójcickiego p. t. *Teatr starożytny w Polsce*, wydane jeszcze w roku 1841, ale którego braku, pod względem wyjaśnienia zawartej w nim treści, Kraszewski chciał uzupełnić własnym na ten przedmiot poglądem. Rozpatrzywszy pierwsze zawiązki teatru, Kraszewski zbija najprzód twierdzenie Wójcickiego, jakoby dyalog, znajdujący się w kronice Mistrza Wincentego, a w którym występują allegoryczne osoby, jak: Smutek, Wesołość, Swoboda, Roztropność i Sprawiedliwość, miał być odegrany dla pocieszenia panów, zasmuconych śmiercią Kazimierza Sprawiedliwego, gdyż właściwie w kronice Wincentego niema o tém najmniejszej wzmianki. Również wątpi, by śmierć Ludgardy przedstawiano na scenie wcześniej, jak w XV stuleciu, a tém więcej w obecności samego Przemysława: ze słów bowiem Długosza widać, że o nieszczęśliwej księżnie tylko pieśń współczesnie śpiewano. Pominąwszy wreszcie inne XV stulecia dyalogi i przechodząc do XVI wieku, Kraszewski, przy rozbiórce Żywota Józefowego daje wyborną charakterystykę talentu Mikołaja Reja (str. 148), oraz robi przypuszczenie co do „Odprawy posłów greckich“ Jana Kochanowskiego, iż tragedia ta jest tylko początkiem na większą skalę zamierzonego dzieła. Jakoż z braku tragicznego w niej rozwiązania, domyśla się, że Kochanowski, nagłony przez Jana Zamojskiego o nadesłanie utworu na obchód wesela z Krystyną Radziwiłłówną, nie miał czasu dostatecznie go rozwinąć. Co do nas, sądzimy, iż Kochanowski „Odprawę posłów greckich“, w tej formie, w jakiej ją przestał kanclerzowi, za całość skończoną uważał i że wystąpienie Kassandry — kulminacyjny punkt dramatu — jest rzeczywiście istotnym jego rozwiązaniem. Niema też śladu w liście pisanym do Zamojskiego, a zamie-

szezonem na wstępie dzieła, coby mógł podobne przypuszczenie nasuwać. Poeta tłumaczy się tylko, iż dla braku czasu, nie dość starannie opracował tragedję, ale nadto nie więcej. Sam też Kraszewski w końcu swoje przypuszczenie osłabia, mówiąc, iż „rzeczywiście przepowiednia Kassandry, malującej upadek Troi, zostawia widza pod smutnem wrażeniem, wyrównyującym zupełnemu rozwiązaniu“ (str. 158). Wreszcie co do innych zarzutów, stawionych Wójcickiemu, dwa jeszcze zasługują na uwagę. Pierwszy z nich odnosi się do niewłaściwego zapatrywania się na znaczenie przekładów tragików francuzkich, dokonanych przez Morsztynów: Andrzeja i Stanisława; drugi zaś, co do zrzucenia całej winy na Jezuitów, iż swiemi teatralnemi przedstawieniami zepsuli smak narodu i świecki dramat zabili. Najprzód Kraszewski w przekładach „Cyda“ „Kornela“ i „Audromachy“ Rasy, nie dopatruje „ślepej cześci i głupiego szalu do sztuk francuzkich“, jak się to wyraził Wójcicki, ani też nieszczęścia, iż po wzorach włoskich „schwymano francuzkie“. (Teatr staroż. T. II. str. 169). Owszem, trzymając się powszechno-dziejowego stanowiska, uważa owe przekłady za bardzo szczęśliwy dla literatury polskiej nabytek i dziwi się, że dzieła te, nawet w dzisiejszym pojęciu sztuki — pierwszorzędne, Wójcicki mógł stawić na równi z takimi sztukami teatru włoskiego, jak: „Wybawienie Rugiera“ i „Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe“, w których dekoracye i maszynerye większy podziw wzbudzały, niżeli sama osnowa. Arcydzieła bowiem tragików francuzkich mogły służyć za wzór dla rodzimych talentów; szło tylko o to, by ich nie naśladowano bezmyślnie, jak to nastąpiło w późniejszej epoce, słowem, by umiano w domu stosować to, „co geniusz gdzieindziej tworzył“ (str. 192). Zbija również oskarżenie, wymierzone przeciw Jezuitom, i brak zamilowania do świeckiego teatru przypisuje głębszym, bo w ustroju społeczeństwa tkwiącym przyczynom. I właśnie owo pytanie, które we wcześniejszych jego studyach pozostało bez odpowiedzi, tu rozwiązanie znajduje. Wiadomo, że dramat może się rozwinąć jedynie wśród dojrzałej, żyjącej pełnem życiem w całym swym organizmie, społeczności. Takiej zaś pełni życia u nas właściwie nie było. Używał jęj tylko stan szlachecki. Ale życie jego, zamiast się skupić, jak gdzieindziej w stolicy, rozsypało się iskrami po całej przestrzeni kraju. Po miastach — tych głównych ogniskach umysłowości, handlu i prze-

mysłu, osiadła ludność napływowa, nie mająca praw politycznych, a zatem niezdolna wytworzyć staau trzeciego, podnieść się w zamożność, w naukę — czuć jakiegokolwiek umysłowe potrzeby. Nie było więc komu podtrzymywać teatru, który, by się rozwinął, koniecznie stałej sceny wymaga. I to bywa właśnie główna, w społecznym organizmie tkwiąca przyczyna, dla której się u nas nie mogła sztuka dramatyczna rozwinąć. W obec niej wszystkie inne mają zaledwie drugorzędne znaczenie. Tymczasem Kraszewski tę za mniej ważną uznaje, a natomiast przyczynom, podług nas niższego rzędu, przypisuje w tym procesie życia społecznego skutki daleko ważniejsze. I tak np. powiada, „że dla nas dramat żywy odgrywał się gdzieindziej: w sicy, na stepie, na granicach, na sejmikach i sejmach, na zagrożonych krańcach państwa“ (str. 139); zatem, że przy gorącym zajęciu, jakie budziło życie publiczne, zanadto blado wychodziłyby przedstawienia na scenie. Otóż zdaje nam się, że to zarzut bardzo pozorny. Boć przecie i Anglia i Hiszpania i Francya nie leżały za piecem, ale jako państwa, przodujące w europejskiej cywilizacyi, dokonywały wielkich rzeczy na świecie i w życiu niemniej krwawe, a może i krwawsze odgrywały dramata, a przecież stworzyły teatr, który ma powszechno-dziejowe znaczenie. Tylko posiadały to, na czém nam właśnie zbywało — wielkie ogniska życia — miasta kwitnące. — Również przesadnem nam się wydaje twierdzenie, jakoby „przedstawiać na scenie w dawniej Polsce miłość, byłoby to tykać świętości arki domowej“, lub żeby szlachcie nie był pozwolił na wywodzenie na jaw krwawych i łzawych dramatów familijnych, a tém więcej w komedyi ze siebie aktorom dał szydzić. Zapewne, że gdyby ci, wśród Polski, jaka była w XVII wieku, ni ztąd ni zowąd wystąpili z podobnego rodzaju sztukami, można być pewnym, iżby takiego losu doznał, co i owi z pamiętników Paska Francuzi, reprezentujący na teatrze warszawskim wzięcie Leopolda I w niewolę. Ale gdyby społeczeństwo nasze w innych rozwijało się warunkach, gdyby w miastach, a przynajmniej w stolicy utworzyło się było główne ognisko życia: wtedy i szlachta nabrałaby innych nawyków i mniej na punkcie miłości własnej drażliwa, znalazłaby w końcu upodobanie w przedstawieniach scenicznych. Nie należy sądzić bowiem, byśmy do jakichś należeli wyjątków. Prawa umysłowego i moralnego rozwoju zawsze są jedne dla wszystkich i teatr mógł tak samo oddzia-

ływać zbawiennie u nas, jak oddziaływał gdzieindziej. Trzeba było tylko do tego odpowiednich warunków, bo nawet nie można absolutnie twierdzić, by u nas rzeczywiście do teatru nie było zamiłowania. Właśnie ta okoliczność, że owe opery włoskie za Władysława IV taki podziw wzbudzały, że wreszcie jezuickie dyalogi, pozbawione wszelkiego sensu, mogły się utrzymywać tak długo, stanowi dla nas dowód przeciwny. Brak było tylko wykształconego smaku, lecz nie ochoty. Zajście z Francuzami w teatrze, o którym Pasek wspomina, pokazuje tylko, jak patrzano na szerzący się wpływ głów upudrowanych, od których, jak mówi genialny pamiętnikarz, aż było ciemno w oknach zamku warszawskiego. „Szyto więc strzałami w kupę francuzów“, bo chciano po swojemu zamanifestować ressentiment przeciw praktykom Maryi Ludwiki i oto powód całego zajścia. Jeżeli zaś cofniemy się do XVI stulecia, to przekonamy się, że nawet na posiedzeniach prywatnych zdrażano pewne upodobanie do teatru i umiano sobie zastępować brak reprezentacji scenicznych. Łukasz Górnicki np. rozbierając w swym „Dworzaninie“ istotę trefności, czyli dowcipu, i dając liczne jej przykłady, zarówno w krótkich a zwięzłych wyrzeczeniach, jak i w ciągłym opowiadaniu jakiegoś zdarzenia, twierdzi, iż „jądro they trefności a wdzięczność wszystka w tym jest, aby człowiek powiedaiąc, iako się rzecz w sobie miała, umiał wyrazić twarz, słowa, obyczaje y sprawę wszystkich tego, o kim mówi: iżby ci, którzy słuchać będą, zapomniawszy się, mniemili, że to przed oczyma ich teraz się dzieje. Y kto w to może dobrze potrefić, z niebardzo trefney rzeczy, bardzo trefną uczyni“ (Dworzanin. Ks. II. O. 5. wyd. 1566 r.).

Jestto więc jak najdokładniejsze określenie istoty kunsztu aktorskiego. A takimi aktorami bywali nawet ludzie wcale nie powszedniej miary, bo Jan Ocieski, podkomorzy krakowski, ochmistrz królowej Bony, bo Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, który, jak mówi Górnicki: „to na zchwał dobrze umi“, wreszcie Gabryel Grabowiecki, który „kiedy Niemca Polakiem czyni, trudno ma być co threfniejszego“ — i wielu innych zapewne. W braku więc rzeczywistego teatru improwizowano sobie spektakle, co wskazuje, iżby się byli gust do sceny z czasem wyrobił, gdyby ta w ustroju społecznym znalazła stałego bytu podstawy. Rozebrawszy starannie dzieje sceny polskiej na podstawie „Teatru Starożytnego“, sam Kraszewski dochodzi do wniosku, że do

czasów Stanisława Augusta, właśnie ze względu na wyjątkowego ustroju społeczeństwa, nie mogliśmy się zdobyć na teatr właściwy. Poza tę wszakże epokę ani w „Gawędach o sztuce“, ani we wcześniejszych „Studyach Literackich“ Kraszewski dalej nie idzie i nie wiemy nawet, czy kiedy swoje pióro scenie teatru z epoki stanisławowskiej poświęcił. Ta obojętność nawet dla prac Zablockiego i Bogusławskiego, to przemilczenie tak ważnej chwili w organizowaniu sceny krajowej dziwnie w jego studiach uderza. W artykule noszącym w nich tytuł: „Dramat“, zatrzymawszy się nad typami czysto narodowymi takiego Albertusa, Magistra, Chłopa, i dziwiąc się, że ich nie umiano zużytkować w swym czasie w komedyi, wspomniawszy zresztą z lekceważeniem o tragediach czysto francuzko-klasycznego pokroju (Barbara, Ludgarda, Bolesław Śmiały), przechodzi wprost do Fredry i odtąd wyłącznie się jego sztukami zajmuje. W każdym razie należy przyznać Kraszewskiemu zasługę, iż w czasie, gdy krytyka zbyt dorywcza i stronna, odmawiała genialnemu komedyopisarzowi słusznego uznania, a teatr warszawski po macoszemu jeszcze jego utwory traktował; on go zawsze należycie oceniał, wróżąc nie płonnie, iż wszystkich współczesnych sobie dramaturgów przeżyje.

Szybki rozrost piśmiennictwa peryodycznego na zachodzie nie uszedł uwagi tak bystrego umysłu, jakim jest obdarzony Kraszewski. Studya też swoje nad „Dziennikarstwem“ rozpoczął dosyć wcześniej, bo jeszcze w r. 1838 w *Tygodniku Petersburskim*, gdzie znajdujemy artykuł, odnoszący się do tego przedmiotu, który następnie w *Studiach Literackich*, pod tytułem *Literatura peryodyczna* pomieścił. Kraszewski, chcąc wskazać, jak się do podobnych rzeczy zabierano gdzieindziej, bierze pod rozwagę dziennikarstwo francuzkie i angielskie, i daje wskazówki, co by należało zrobić, by i naszym pismom peryodycznym trwałość i ponysłność zapewnić. Przyznawszy dziennikarstwu francuzkiemu pod względem ilościowym nad angielskiem pierwszeństwo — Francya bowiem liczyła wówczas do 500 pism peryodycznych, gdy Anglia miała ich tylko 180; uważa, iż w pierwszej przedewszystkiem przemaga dążność do specjalizacji przedmiotów zarówno naukowych, jak i mających praktyczne zastosowanie w życiu. Dłuższy wszakże ustęp poświęca angielskim Przeglądom i Magazynom, i przyznając im więcej

naukowe i literackie, niż użyteczne dążności, mówi o liczbie ich prenumeratorów, współpracownikach, oraz o wysokości otrzymywanych przez nich honoraryów. Wreszcie oznacza stosunek czytelników do liczby pism, wydawanych w różnych krajach Europy i wyraża przekonanie, iż dla nas daleko odpowiedniejsze są pisma „nieperyodyczne rzeczy, a jednak zupełnie peryodycznym podobne”—słowem tak zwane zbiorowe. Takiemi były „Wizerunki Wileńskie”, „Panorama”, „Athenaeum”, wreszcie „Kwartalnik krakowski”, któremu wysoką naukową wartość przyznaje. Podobne zapatrywanie się pochodziło ztąd, iż ówczesnie Kraszewski dziennikarstwo szkodliwy wpływ na literaturę przyznawał. Nie zaprzeczał on wprawdzie, iż z niego ogół czytelników nie jedną korzyść może osiągnąć: do takich zaliczał: „szybkie rozpowszechnienie każdej myśli, polemikę potrzebną dla ożywienia literatury, popularyzowanie dzieł ogłaszanych lub rozbieganych, wreszcie zachęcenie do czytania samą rozmaitością przedmiotów” (str. 220). Ale widzi także i złe skutki ztąd płynące, mianowicie: odrywanie piszących od prac, wymagających głębszych studiów, czasu i rozmysłu, a natomiast zaprzęganie ich do prac drobnych, terminowych, a zatem dokonywanych pośpiesznie, słowem zmuszających do wyrobów rzemieślniczych, rozpraszać siły, które należałoby potęgować skupieniem.

Bądźco bądź ówczesny stan naszego dziennikarstwa, nie zagrażał jeszcze opanowaniem wszystkich działów piśmiennictwa i zastąpieniem literatury książkowej. Z niewielkiej też liczby tamtoczesnych pism peryodycznych zajmuje się głównie oceną wychodzących miesięcznie, jak „Biblioteki Warszawskiej”, „Przeglądu Naukowego”, „Nadwiślanina”, oraz „Pamiętnika Religijno-moralnego”. Przechodzi następnie do pism literackich tygodniowych i z nich podnosi przedewszystkiem zasługi „Tygodnika Petersburskiego” w rozbudzeniu umysłowego życia, oraz inicjatywę „Tygodnika Literackiego Poznańskiego”, który pierwszy zaczął wyznaczać honorarya swoim współpracownikom i dla tego, jak mówi: „nie żebrał nigdy artykułów, w których wybór mógł uczynić” (225). Pismo to, jak równie „Ogólnik”, który poszedł jego śladem, stawia za przykład wszystkim redaktorom i wydawcom, którym prócz tego zaleca nadanie pismom swym wybitnej jakiejś dążności, bez czego niepodobna w czytelnikach żywszego zainteresowania obudzić.

Takie było zapatrywanie się Kraszewskiego na prasę peryodyczną w pierwszej epoce

jego literackiej działalności. W osiemnaście lat później, bo w r. 1856 całkiem sobie inny pogląd na jej zadanie urobił i w artykule o „Dziennikarstwie”, zamieszczonym w „Gawędach o literaturze i sztuce” w sposób obszerny rozwinął (od str. 79—119). W nim staje na stanowisku wprost przeciwnem temu, jakie w Studiach literackich zajmował. Jakoż zaznaczywszy na wstępie, iż ze zjawisk umysłowych, cechujących naszego wieku dążenia, najgodniejszemu uwagi jest dziennikarstwo, nazywa zastarzałymi nieprzyjaciółmi postępu tych wszystkich, którzy w jego wzroście widzą poniżenie i zepsucie literatury, zapominając o tem, jak wielką ono jest w dzisiejszych czasach potęgą i jakie usługi samej literaturze oddaje. Określając następnie zadanie pisma peryodycznego, daje tem samemu odpowiedź, czego po nim wymagać należy. Otóż celem jego jest przedstawiać życie pewnego społeczeństwa w danej chwili, nadawać mu rozumny kierunek, zapobiegać krokom nieopatrzny, wreszcie zapisywać historią dnia każdego, przygotowywać materiał dziejowy. Samo przecież zestawienie faktów codziennego życia nie stwarza jeszcze dziennika. Będzie on — według słów autora: „workiem łachmanów, zszywaną bładą, zszarzaną”, jeśli tych różnorodnych objawów nie spoi i nie przeniknie myśl jedna, nie ożywi duch, świadomy celu, zdolny dopatrzeć przeblaskującej idei wiekowej w każdym pojedynczym, choćby na pozór drobnym nawet zjawisku. Gdy zaś te odnoszą się do najrozmaitszych przedmiotów, gdy zresztą obowiązkiem prassy, każdą z kwestyi, jaką dzień nasuwa, umiejętnie rozstrzygnąć: przeto i dziennikarstwo nie może być zadaniem pojedynczego człowieka, ale wynikiem zespolenia najróżnorodniejszych sił, które, ożywione jedną myślą, jedną dążnością, działać powinny zgodnie, holdując raz uznanej zasadzie. Słowem Kraszewski pragnąłby zaprowadzić w dziennikarstwie karność czysto wojskową, i bezwarunkowe zaparcie się własnej indywidualności piszących. Pismo według niego to pułk, armia, na której czele stoi wódz-redaktor, kierujący umiejętnie obrotami kolumny, świadomy celu każdego poruszenia, dalej pod jego bezpośrednimi inspiracyami znajdując się mają niższych stopni dowodzący, wreszcie prosty żołnierz, ślepo wodzowi posłuszny (89—90).

Tak ścisłe zjednoczenie sił, kierowanych naczelną myślą, widzi Kraszewski w ówczesnym dziennikarstwie francuskiem i angielskiem. Tam wszelkie artykuły zamieszczano bywały bez podpisów,—imię autora ginęło.

jak imiona twórców pierwotnych epopei, „które — jak powiada — są czynem i wyrazem całej epoki i narodu“ (str. 84). I z tego też względu według niego, dziennikarstwo nosi wybitne piętno wieku, który „inaugurował wszelkiego rodzaju spółki i stowarzyszenia (83), który wszędzie i we wszystkich sferach powołuje ludzi do związania się w braterski snopek kłosów do bożego żniwa“ (85). Wyznaje wszakże, iż te zasady u nas, tylko jako *piu desideria* uważać dotąd należy: wszędzie bowiem chęć postawienia swego na wierzchu, widoki zysku, nie pozwalają takiej umysłowej spółki przeprowadzić. Wszakże tylko w ten sposób uorganizowane dziennikarstwo daje rękojmię trwałości pisma i wpływu jego na społeczeństwo. „Na pracy jednego człowieka — powiada — łatwiej się omyli sąd ogółu; dziennik — dzieło spółki, rychlej przemówi jakąś stroną swoją do czytających“ (str. 91). Pismo też, które odpowiada umysłowym potrzebom czasu, zawsze znajdzie u ogółu poparcie. Upadek jego świadczy, że nie umiało dopatrzyć przedmiotu, któryby łącznik pomiędzy nim a czytelnikami utworzył.

Natomiast, gdy utrafi w potrzeby umysłowe ogółu, staje się wielką potęgą. Tę siłę jego widzi Kraszewski w nieustanności działania. „Książka przechodzi i zapomina my o niej; dziennik w jednym redagowanym duchu, rozstrzygający wszystkie zadania bieżące, niejako oszczędzający nam pracy myślenia i poszukiwania: staje się powoli sędzią i wyrocznią, w którą gnuśnie wierzyć przywykamy“ (str. 93).

Tak się w streszczeniu przedstawiają późniejsze poglądy Kraszewskiego na dziennikarstwo. Zkądże pochodzi tak rażąca między nimi niezgodność? Oto ztąd, że w *Studiach* zapatrywał się na prasę ze stanowiska czysto literackiego; w *Gawędach* zaś jako publicysta, polityk. Oba zaś te stanowiska muszą się wzajemnie wyłączać. Co w jednym kierunku idzie na korzyść społeczeństwa, ze względu na wpływ doraźny, jakie się na nie przez dziennikarstwo wywiera, to w drugim dzieje się ze szkodą literatury i sztuki. O ile w dziennikach politycznej natury zniwelowanie wchodzących w skład redakcyjny zdolności, nadaje spójność i siłę; o tyle w pismach poświęconych literaturze, podobny systemat sprowadziłyby musiał zatarcie wszelkiej oryginalności w pisarzach i samą literaturę strąciłby na stanowisko służebnicy panującej idei, przeciw czemu, jak widzieliśmy, Kraszewski zawsze powstawał. Stanowisko więc, jakie początkowo w *Studiach* zajmował, było właściwsze

i więcej odpowiadające potrzebom literatury pojętej, jako sztuka. Te wszystkie też ujemne strony, jakich dopatrywał w rozroście dziennikarstwa, odnośnie do piszących i dziś się dają uczuwać, a jeszcze pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, czy i na ogół czytelników nie oddziaływa ono ujemnie? Z natury bowiem swojej ograniczając się do artykułów traktowanych pobieżnie, mimowolnie w umysłach zaszczeplia płytkość, wszechwiedztwo, obok wstępu do dzieł poważniejszych, wymagających większego natężenia myśli i pracy. Sam Kraszewski przyznaje, iż czytając jeden i ten sam dziennik, przywykamy *gnuśnie mu wierzyć na słowo*. Miałoby to stanowić dodatni wpływ dziennikarstwa?... Wątpimy.—Dalszy ciąg artykułu o prassie, pomieszczonego w *Gawędach* zajmuje się oceną ówczesnych pism peryodycznych. Wszystkie jednak uwagi o ich kierunku zbyt czasowy noszą charakter, byśmy się mogli dłużej niemi zajmować.

Jak się Kraszewski w ogóle zapatrywał na krytykę i jak jej zadanie pojmował, odpowiedzą nam jego artykuły, zamieszczone w obu seryach *Studiów*, *Tygodniku Petersburskim*, oraz w innych pismach czasowych.

Powszechnie jest rzeczą wiadomą, iż krytyka była najsłabszą stroną naszego piśmiennictwa. Historyczna — dopiero się w XVIII wieku z Naruszewiczem poczyną; literacka pominąwszy Fr. Xawerego Dmochowskiego, Ludwika Osińskiego, dopiero w K. Brodzińskim swego przedstawiciela znajduje. Przynajmniej on wskazał, co gdzie indziej na tém polu zrobiono, jakich się zasad postępowania trzymano. Nie uganiam się za oryginalnością, był, ściśle biorąc, eklektykiem. Nie zrywał z klasycyzmem, ale też nie zamykał oczu na to, co do literatury wniosły nowe estetyczne poglądy. Z niemieckich pisarzy *Lessyng*, *Herder*, *Winkelman*, *Sulzer*, *Goethe*, *Schiller*, *Rychter*, oraz obaj *Schlegelowie*; z francuzów zaś: *Quatremère de Quincy*, wreszcie *Villemain* — byli najczęściej w rozprawach estetyczno-krytycznych przytaczani przez niego.

Po nim wystąpił Maurycy Mochnacki. I on swą estetyczną wiedzę czerpał z tych samych źródeł, ale przyjmawszy za podstawę filozofią natury *Schellinga*, dążył do utworzenia systematu w krytyce, który też w dziełku: *O literaturze XIX wieku* rozwinął. Dopatrując w całym szeregu istot niecor-

ganicznych i organicznych stopniowego rozwoju zawartęj w nich myśli, tak że każda na wyższym stopniu udoskonalenia stojąca istota ogarnia w sobie inne, niższego rzędu twory natury;—uznając nadto w kształtach jęj stalych—*realizm*, a natomiast w jęj zmiennych, rozplynnych przejawach, jak w magii światła, w grze fantastycznój obloków—idealny pierwiastek: zatrzymuje się na człowieku, w którego duchu te wszystkie zjawiska do świadomój o sobie myśli dochodzą. Tym sposobem duch ludzki staje się zewnętrznym świata refleksiem i dwojako świat ten w dziełach sztuki odtwarza. Albo wyrzeka się swego ja i nadaje swym pomysłom byt rzeczywisty, realny, jaki mają twory w przyrodzeniu; albo je z istoty swojój wysnuwa i to stanowisko Mochnacki za idealne uznaje. Przyjawszy zaś w swym systemacie za punkt wyjścia naturę, wszystko do nięj odnosi i na jęj obrazowanie, uchwycenie jęj charakteru i barwy, głównie w swych rozbiorach zwraca uwagę. Jest on tóż w całém znaczeniu tego wyrazu przedstawicielem romantycznój szkoły. Pojęcia narodowości w poezyi nie formuluje jeszcze stanowczo. Utwór jest dobry lub zły, o ile duchem zgodny jest z naturą i prawdą psychiczną. Zasadę narodowości wypowiedział dopiero Michał Grabowski w swojój *Literaturze i Krytyce*, i, jako zwolennik szkoły ukraińskięj i naśladowca Waltera Skotta w powieściach, urzeczywistnić ją pragnął.

Kraszewski w swych krytycznych poglądach nie trzymał się żadnój szkoły, nie stworzył żadnego systemu; uznawał tylko zasadę narodowości, a zresztą od krytyków wymagał wszechstronnego przygotowania i sumienia. Chciał, by krytyk był, czém być powinien: bezstronnym, umiejętnym sędzią dzieł rozpatrywanych, kierownikom dobrego smaku. Głównie tóż godził na krytyków sprzedajnych, na recenzje „różnych szajek literackich, którym nie dobro literatury ani korzyść czytelników leżały na sercu, ale własny interes, chęć zdobycia dyktatury, bezkarnie terroryzujących zarówno pisarzy, jak i wydawców, w celu wymuszenia okupu, lub zabicia dzieła przeciwnych sobie dążności.” Tęgo rodzaju krytyków, za tēm niebezpieczniejszych uważał, że obalamucali czytelników, rzadko kierujących się wyrozumowanym sądem, ale zawsze skłonnych wierzyć innym na słowo, zwłaszcza, gdy to pojawia się w druku. Za główny tóż warunek uszlachetnienia krytyki uważał jawność i tēj się do-

magał usilnie.—„Czas jest—mówił—wzbronić przystępu do pism peryodycznych tym rozbiorom, co wstydząc się własnego zdania, nie śmieją się do niego przyznać i rzucają je, jak te odrodne matki dzieci swoje na ulicę” (Stud. Lit. str. 239). „Trzeba w tēj walce o prawdę odkryć swoje piersi, mierząc w cudze; dać się poznać nawzajem, przeciw komu się staje. Inaczęj walka nierówna, a ze strony recenzenta nieszlachetna, bo jego sztylet zostaje w ranie, a ręka, wstydząc się ciosu, unyka (ibid. 241).“

Wszakże od krytyki nie tylko jawności, lecz i bezstronności się domagał. Od wypowiedzenia prawdy nie powinny powstrzymywać ani względy osobiste, ani światowe. „Co ma przyjaźń—powiada—wspólnego z krytyką? Co uraza wspólnego z dziełem?” (str. 243). Słowem twierdzi, że nadeszła już pora na krytykę śmiałą, niezależną, ostrą, byle sprawiedliwą; surową, lecz sumienną (str. 239). A jednak w późniejszych latach, skarży się na niemożność wypowiedzania swego zdania o piszących otwarcie. „Nie umiść się kłaniać *górom* i *dolinom*, a powtarzając w druku to, co wszyscy mówią jawnie, można ściągnąć na siebie całego świata nienawiść” (*Gazeta warszawska* r. 1854, List. VI N. 174). Dodajemy jednak, iż to bynajmniej nie powstrzymało go późnięj od wygłoszenia swych przekonań i sądów o talencie improwizacyjnym Deotymy, powieściach Kaczkowskiego lub Margierze Syrokomli, który uznał za utwór całkiem ehybiony (*Gaz. warsz.* r. 1854 N. 265, 1855 N. 62—64, N. 168).

W każdym razie krytyka według Kraszewskiego nie powinna przeradzać się w walkę osobistą. Jeżeli zaś wywołuje tęgo rodzaju polemikę, widać, że nie jest oparta na wyrozumowanych zasadach, że wynika z czysto koteryjnych niechęci. Sam przecież w pierwszych latach swego autorskiego zawodu, nieraz występował z podniesioną przyłbicą, bynajmniej nie oszczędzając przeciwników. Takie odporne stanowisko zajął w *Tygodniku Petersburskim* od r. 1837, najprzód w skutek protestacyi wywołanych jego artykułem: *Jak się robią nowe książki ze starych książek? (Rzecz o kradzieży literackięj)*; następnie z powodu *Asmodensa*—szeregu fantastycznych artykułów, rozpoczętych także w r. 1837, a traktujących o literaturze naszęj i o życiu umysłowem i artystycznem we Francyi. Polemizował także z Podwysockim, broniąc swych sądów o Karpińskim, o którym się wyraził, że natchnienie jego płynęło z ego-

izmu i że gdyby mu król dał był dużo pieniędzy, byłby porzucił wieś i *dom ubogi* (Tyg. Pet. r. 1838 N. 36). Wreszcie dość ostro występował przeciw B. T.—zdaje się Bronisławowi Trentowskiemu czy też Bukarowi Tadeuszowi—o *Istotę poezji*, o której ten wyraził się: „że jest w niebie razem głową i pępem (sic!) a nogami na ziemi”—Kraszewski odpowiada, że „nie wiem, jak żyć może w tak niewygodnym położeniu (Ib. r. 1838 N. 25).“ „Najostrzejszym wszakże pociskiem z tej epoki, była poezja zatytułowana:” Do *A, B, C, D, E, F*, itd. *Pierwsza i ostatnia odpowiedź*.“ Jestto bajka o *psie i księżycu*, w której Kraszewski dał odprawę wszystkim krytykom, napadającym nań ówczesnie. Kto był psem, a kto księżycem—można się łatwo domyślić (Tyg. Pet. r. 1838 N. 22). Jakże jednak pogodzić tę walkę z powyższą przytoczoną zasadą? Jak pogodzić znowu ową zasadę z tém, co później o dziennikarstwie powiedział, iż ono przez polemikę korzystnie oddziaływa na literaturę? Jestże Kraszewski z samym sobą w sprzeczności? Zapewne, o tyle, o ile w początkach pisarskiego zawodu, młodzieńczej ulegając krewkości, sam się w polemikę osobistą zadawał. Wszakże co innego jest walka o zasady, podtrzymująca życie umysłowe i dopomagająca do wykrycia prawdy, a co innego owa krytyka podjazdowa, chwytająca za słowa, którą zawsze potępiał. Dla tego też od krytyków, obok sumienności wymagał gruntownego przygotowania: gruntownych studyów nad arcydziełem literatury powszechniej i znajomości rozbieranego przedmiotu. W ogóle w pierwszej seryi Studyów, Kraszewski dość obiektywnie zapatrywał się na obowiązki i stanowisko krytyka. Ale nie możemy tego o drugiej ich seryi powiedzieć. Przynajmniej w artykule pod tytułem: *Sąd krytyki i czytelników*, zamieszczonym w tomie I *Nowych Studyów literackich* o tyle tylko krytyce kompetencyą w sądzeniu o utworach sztuki przyjmuje, o ile ta *zgadza się z głosem ogółu*. Jest więc rzeczywiście w sprzeczności ze zdaniem wygłoszonym poprzednio: „iż krytyk nie ma zważać na wrażenie, jakie książka zrobiła na tłumie, na tém lub owém indywiduum, ale powinien pytać się siebie, wyrozumować swe zdania, a odebrawszy od dzieła wrażenie, z niego dać sobie sprawę“ (Stud. Liter. str. 245). Ale przyczyną tej radykalnej zmiany w poglądach, było wyrobienie się całkiem różnego stosunku Kraszewskiego z jedną stroną do krytyków, a z drugiej do czy-

telników. Krytyka napadła na pierwsze jego utwory zjadale, odmawiając im wszelkiej literackiej wartości. Na mały nawet czas przed wydaniem Studyów, arystarchowie warszawcy osądzili jego powieść: *Pocztą i Świat*, przesłaną w rękopiśmie, jako niegodną druku. Tymczasem powieść ta wydana w Poznaniu, rozentuzyazmowała ogół. Nic zatem dziwnego, że w obocypowszechnego uznania, Kraszewski zaczął lekceważyć sądy krytyki i że wypowiedział zasadę, „iż sąd ogółu jest jedynym, sprawiedliwym sądem“ (*Nowe Stud.* T. I. str. 5). Do wygłoszenia podobnego zdania upoważniały nadto Kraszewskiego świeże reminiscencye walki, jaką przed kilkunastą laty stoczyła nowa poezja z obozem klasyków, który właśnie potępił to, co u ogółu znalazło uznanie. Dziwniejsza, iż tego przekonania o wartości krytyki nie zmienił i później, gdy już w pełni talentu stanął na reju literatury. Tym razem nie był on własnej już sprawy rzecznikiem; wystąpił, święcąc pamięć świeżo zgasłego poety, którego stronicza krytyka nieraz swym pociskiem w samo serce zraniła. Ale w sądzie tym przebija się tyle goryczy i wzgardy, iż trudno nie widzieć, że z tą krytyką sam wiele jeszcze miał do załatwienia osobistych rachunków. Oto jak się we wstępie, w wspomnieniu, skreślonym o *Władysławie Syrokomli* wyraża: „Ma to do siebie ta niedowarzona krytyka nasza, dotąd nazwiska, o jakie się ubiega, nie warta, że prawie zawsze wbrew idzie poczuciu ogólnemu, czepia się chciwie i poniżyć usiłuje to, co wszyscy przyjmują serdecznie i oceniają wysoko: wywyższa i stara się podnieść to, co ma nmrzeć i żyć nie jest godnem. Całą jej sztuką ta walka kunsztowna z czytelnikami, których zdanie jest prawie zawsze trafne, a zajęcie dziełem dowodzi w niém jakiejś zalety, gdy arystarchowie nasi, na dobre zamknięta mając oczy, tylko wady dostrzedz umiejają... Tego łatwego sposobu dokonywania krytyki, trzymając się pierwszy lepszy, który sam nie skleić nie potrafi, lub lepi nedorzecznosci i to jeszcze cudzém je łatając, bierze się u nas do sądzenia o tych, którym Bóg dał siłę tworzenia, i chlubi się, gdy arcydzieło podziurawił chwilowo. Koniec końcem, cóż z tego? Oto te krytyki sztuczne i wysilone, często najeżone pozorą umiętnością przechodzą cicho i zapadają w zapomnienie, gdy najsrożej napastowani pisarze żyją, więcej na nich zyskując niż tracąc“; *Władys. Syrokomla* str. 2—3 warsz. r. 1863).

Przyznajemy, iż w powyższych słowach jest wiele słuszności, o tyle wszakże, o ile odnoszą się do krytyki, noszącej na sobie charakter osobisty, stronniczy. Odwoływanie się wszakże od wyroków krytyki do ogółu, jakoniemylnego sędziego, zdaniem naszym, nie może być przyjętym, *jako zasada*. Krytyka, choćby nawet myliła się w swych sądach, zawsze ma tę zasługę, iż przedmiot z pewnej strony wyświeśla, że innych do zastanowienia się nad wartością dzieła pobudza i, nawet przemilczając dodatnie jego strony, przyczynia się swoim sądem nijemnym do wykazania istotnej wartości— utworu. Tém więc krytyka trzymająca się wyrozumowanej zasady, nie może być uważana na równi z sympatjami lub potępieniem ogółu, zależnym od kaprysu, mody, lub ślepego instynktu. Heż to dzieł zapomniano, które ogół w danej chwili za arcydzieła uważał. Za przykład może Henryada posłużyć. A jeszcze zachodzi pytanie, czyby sam jej twórca wpływ tak wszechpotężny nad umysłami pozyskał, gdyby nie był schlebiał instynktom i namiętnościom mass, które swém uwielbieniem dla niego wszelką opozycją współczesnej krytyki stłumiały. Wprawdzie Kraszewski twierdzi, iż pisarz nie potrzebuje poniżać się pochlebstwem, by został należycie uznanym; że ogół gotów nawet gorzką prawdę przyjąć od niego, byle w nim czuł dążność prawą, szlachetną. Lecz jeżeli zechce pochlebiać?... Czyż w takim razie wygłoszona powyżej zasada nie stanie się w rękach nieuczciwych obosiecznym narzędziem?..

Artykuł o *podaniach gminu* zasługuje na uwagę zarówno ze względu na wypowiedziane w nim poglądy Kraszewskiego na literaturę ludową, jak i na stawione przez niego postulata co do sposobu opracowania, składającego jej całość materiału, a który mówiąc nawiasem, dotąd jeszcze w stanie pierwotnym spoczywa. Za główny wątek posłużyły mu *Klechdy Starożytnie* K. W. Wójcickiego w r. 1837 wydane w Warszawie, których ocenę już pierwój w Tygodniku Petersburskim zamieścił (1836 N. 44). Obecnie sąd o nich, tylko bardziej umotywowany, w *Studiach literackich* powtórzył. We wstępie Kraszewski określa znaczenie podań gminnych, uważając je za jeden z najgłówniejszych żywiołów nowoczesnej literatury. Myśl wszakże zbierania ich Kraszewski niewłaściwie Wójcickiemu przyznaje; pierwszeństwo bowiem pomysłu należy się Hugonowi Kollatajowi (*Pamiętnik Warszawski* z r. 1809). Za jego natchnie-

nem poszedł dopiero Adam Czarnocki, znany pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego i swą rozprawę, zamieszczoną w *Ćwiczeniach Naukowych*, wychodzących w Krzemieńcu pod redakcją Tymona Zaborowskiego i Franciszka Skomorowskiego dał w r. 1818 nowy popęd do gromadzenia zbiorów tego rodzaju. Samój też nazwy „klechda“, nadanej przez Wójcickiego za wskazówką T. Czackiego podaniom gminnym, nie uważa Kraszewski za właściwą i wątpli, czy nawet jest zrozumiałą dla ludu. W dalszym ciągu wykazuje, w jaki sposób owe podania obrobione zostały i całość zbiorn pod dwójakim względem uważa: naukowo-historycznym i poetyczno-artystycznym. Pierwszy podług Kraszewskiego wymagał wyjaśnienia ich pochodzenia, porównania z podaniami téjże samój osnowy, znajdującymi się w innych literaturach ludowych, wreszcie wykrycia w nich czysto swojskiego pierwiastku i zawartego filozoficznego znaczenia,—drugi artystycznego obrobienia, z zachowaniem formy i ducha podaniom ludowym właściwych. Z tych dwóch działów, pierwszy, jako więcej zadawalający uważa, lubo zarazem robi zarzut: nieuwzględnienia w nim źródeł obcych, oraz brak filozoficznego wykładu; co zaś do opracowania, widzi w niem wielkie niedokładności, mianowicie: pośpiech, niewykończenie, brak przejęcia się przedmiotem, wreszcie niewłaściwość użycia w nich formy rytmicznej.

Słowem—Zbiór Klechd Wójcickiego Kraszewski uważa, jako próbę, początek, wreszcie zachętę dla innych i udziela rad, w jaki sposób należałoby się do podań gminnych zabierać. Przedewszystkiem jednocześnie zbieranie, obrabianie i objaśnianie ich Kraszewski za przedwczesne uważał i wymagał, by zbieracze ograniczyli się wyłącznie na wierném i dokładném ich opisaniu, zachowując tylko cechy pochodzenia właściwe, całą szczerotę myśli i barwę pierwotną, by starali się nchwycić charakter okolicy, w której się zrodziły lub przynajmniej najdłużej żyły; wreszcie, by poznali charakter ludu, który je przechował, jego obyczaje, zabobony, pojęcia o otaczającym świecie, a wreszcie postarali się o zebranie wszystkich wariantów jednego i tegoż samego podania, gdyż te, wykazując różnice w zapatrywaniu się ludu na samą osnowę, ułatwiają jej wyrozumienie i uzupełniają to, co gdzieindziej opuszczonóm być mogło. O ile nam wiadomo, jeden Oskar Kolberg, znany zbieracz pieśni ludowych, najbogatszy zasób wariantów zgromadził. Co zaś do

podan i baśni nikt jeszcze nie poszedł we wskazanym przez Kraszewskiego kierunku. A jednak dopiero w ten sposób mając ze wszystkich ziem i okolic zebrane w jedną całość podania, dołączając do nich wszystkie pieśni, przysłowia, zwyczaje, przesady gminne, można się zająć ich obrobieniem i zbadaniem. Każde bowiem pojedyncze podanie jest tylko okrucem wyrażającym część tego ducha, jaki zaklęty żyje w całej literaturze ludowej. Kto je bada osobno, ten nigdy nie wyrozumié jego znaczenia, nie wykryje źródła, z którego wypłynęło pierwotnie. — „Podania ludu — mówi Kraszewski — są to myty, często symbola głębokich jego pomysłów, które ubrane w szaty skromnej powieści, chodziły hieroglifami, rzadko pojętami, podawanemi z ust do ust, jak zabawne bajki.“ Rozpoczynanie też studyów nad podaniami od poszukiwań historycznych zaleca: idzie mu bowiem o to, by wykazać, co w nich jest własne, miejscowe, a co przychodnie i przyswojone.

Nadto, ponieważ w te podania lud wiekami składał *przedzę swych myśli i uczę swych kwiaty*, ponieważ w nich objawił sposób zapatrywania się na swój stosunek do siebie i świata, wyrażał swoje pojęcia o duszy, życiu zagrobówem i Bogu; ztąd wykrycie filozoficznego ich znaczenia, poczytywał za nie mniej ważne dla przyszłego badacza zadanie. Choć jednak od tego czasu wiele nowych zbiorów przybyło, literatura ludowa aż dotąd pozostaje w pierwotnym kopalnym stanie. A. W. Maciejowski, lubo się już w studyach nad literaturą ludową (*Pamiętnictwo*) na Jakubie Grimmie opierał, nie o wiele pochodzenie klechd i podań pod względem źródłowym wyjaśnił. Przyznając jednym czysto swojski charakter, odnosi ich powstanie do czasów pogańskich, lecz dalej poza tę epokę nie idzie; zauważywszy w drugich obce żywioły, wydzielił je, jako rzecz napływową z zewnątrz, nie mającą nic wspólnego z rodzimym pierwiastkiem. Zresztą tożsamość wielu podań naszych z podaniami należącymi do obcych literatur ludowych, objaśnia wpływem sąsiedzkim, lub nawet wspólnością życia, wynikłego z pomieszczenia się plemion słowiańskich z germańskimi w czasach, gdy te nie obrały stałego jeszcze siedliska. Taką metodę jednak za najwłaściwszą uważał i przyznać należy, że w porównaniu z wcześniejszymi pracami, polegającymi na badaniu podań samych u siebie, bez związku z podaniami innych ludów, stanowiła ona niezaprzeczony po-

stęp. Nie można tego o późniejszej pracy Ryszarda Berwińskiego powiedzieć. Wiadomo bowiem, iż ten w swych *Studyach o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki* (Poznań 1854), całkiem jej oryginalności zaprzeczył, twierdząc, iż cała jej osnowa przeszła do ludu z zachodu, za pośrednictwem dworów szlacheckich, patników, klechów, organistów, słowem ludzi, zostających w jakimkolwiek z klasami oświecenszemi stosunku. Podobne też poglądy, jako nie mające naukowej podstawy, nie przyniosły literaturze pożytku.

Kraszewski daleko trafniej, choć może tylko intuicyjnie, naturę podobnych studyów pojmował. Według niego, jak widzieliśmy od bajek należało dotrzeć do mytów, choć na to pytanie, gdzie tkwiło ich źródło, dziś dopiero można odpowiedzieć stanowczo. Jakoż odłkąd na drodze lingwistyki porównawczej wspólne pochodzenie ludów indo-europejskich od plemienia Aryów naukowo udowodnionem zostało; odłkąd wszelkie badania, odnoszące się do pierwotnych ich wierzeń i podań tylko na tej drodze podejmowane być winny. Jeżeli bowiem ludy te, ze swęj prastaręj kolebki wyniosły wspólne pierwiastki mowy, które je w sposób zdumiewający do Hindusów i Aryo-Persów zbliżają; jeżeli pomimo lat tysięcy, doznanych w ciągu wędrówek przygód, i wewnętrznych przewrotów, zachowały tożsamość flexyi, w wyrazach, dającą się uzasadnić drogą porównawczą obecnie; to bezwątpienia musiały z nięj wynieść i téż same, zawarte w mytach, wierzenia, które, po spadnięciu fal dziejowego potopu, zwanego wędrówką ludów, pod wpływem otaczającej przyrody i klimatu w ich nowozdobitych i wywalczonych siedliskach, wreszcie sposobu życia i tysiącznych innych działaczy, tak fizycznej, jak i moralnej natury, ukształciły się w ich wyobraźni rozmaicie, zawsze jednak zachowując niezatarte ślady wspólnego pochodzenia, w swęj na pozór nowęj osnowie. Nie dla tego więc należy porównywać podania nasze z obcemi, by z nich wydziełać czysto swojski pierwiastek, gdyż ten z ostatnimi nie mający nic wspólnego, należy do późniejszych, nowo wytworzonych pokładów; ale właśnie przedewszystkiem należałoby zwrócić uwagę na to, co jest zgodnem we wszystkich podaniach indo-europejskich ludów, gdyż właśnie w téj wspólnej osnowie tkwią najstarożytniejsze myty, które były podstawą zarówno pierwotnych wierzeń, jak i moralności społeczeń. Wykazanie dopiero różnic w uplastycznie-

nia tej osnowy przez każdy naród z osobna, zestawienie wariantów, powstałych w skutek modyfikacji zaszych w zasadniczych pojęciach, a wywołanych już miejscowemi, zewnętrzniemi wpływami, stanowi pierwszy warunek zbadania tego najstarszego geologicznego pokładu mytów, do którego głębi nie inaczej, jak przy świetle Vedy i Zendavesty zapuszczać się należy. Tu właśnie złożone są owe myty, o które Kraszewskiemu chodziło, i takie też a nie inne wypowiedział na tę kwestyę w czasie późniejszym poglądy (*Gazeta Warszawska* 1854 A. 4—8). Wszystko zaś inne, co w podaniach nosi wyłącznie narodowy charakter, co je od podań innych ludów wyróżnia, ma zapewne swą ważność pod względem historycznym, chrześcijańskim, wyjaśniając, w jaki sposób pojęcia nowe godziły się ze staroimi, ale bynajmniej nie tłumaczy mitologii a z nią pierwotnych pojęć narodu, słowem tajemnicę jego ducha. Wicęj nawet powiemy. Bez zbadania tego najstarszego pokładu nie podobna zrozumieć podań później powstałych, gdyż, jak Max Müller powiada, „każdy myt pierwotny, nie odrazu został skażony, ale z biegiem czasu najprzód przetwarzał się w legendę a dopiero z niej przekształcał się w baśń, której osnowa znów dalej przestacza się pod wpływem wyobraźni ludowej, zachowując zawsze coś z pierwotnego mitycznego zaczątku (*Essays* T. II str. 176).“ „Takie więc dopiero zbadanie drogi porównawczą przechodzenia i stopniowego wyradzania się mytów i przeprowadzenie ich przez wszystkie stopnie skażenia, może nam dopiero naukowo wyjaśnić istotne znaczenie literatury ludowej. Ale by tym sposobem nasze pieśni i klechdy obrobić, należy się oprzeć na pracach: J. Grimma, E. Burnoufa, Benfeya, Müllera, i innych, jak to zrobił Afanasiew w swych *Poetycznych poglądach słowian na przyrodę*—dziele, stanowiącém ważny dla mitologii nabytek. Tém trafniejszymi przeto wydają nam się rady Kraszewskiego, dawane ówczesnym zbieraczem, by artystycznem obrabianiem nie psuli podań ludowych, gdyż każde z nich, oderwane od ogólnej całości, samo w sobie zrozumianem być nie może.

Od podań gminnych Kraszewski naturalnym porządkiem przechodzi do historii (Roz. IX). Mówi najprzód o historykach mu współczesnych, o materyałach historycznych i pamiętnikach. Co do pierwszych rozpatruje prace: Teodora Narbutta, A. W. Maciejewskiego, Ignacego Danilłowicza i Michała Wiszniewskiego. Nie wdając się w

szczególony ich rozbiór, wypowiada o nich sądy, które pomimo swój doraźnej formy, zdradzają zawsze bystry pogląd na przedmiot i szerokie jego objęcie. Najmnieij naukowej wartości przyznaje *Historji Litwy Narbutta*. Pierwszy tom tego dzieła, obejmujący mitologję litewską, rozbił Kraszewski zaraz po jego ukazaniu się w druku (1835), o drugim napisał szczegółową recenzyę, ale ta jak sam mówi, okazała się tak obszerną, że w żadnym piśmie peryodycznem pomieszczenia znaleźć nie mogła. W końcu Kraszewski znał niemożliwem podejmowanie dalszej pracy krytycznej, gdyż wykazanie wszystkich fałszów, przyjętych przez Narbutta za prawdę, wymagało po sprawozdawcy napisania niemal osobnego dzieła. Ograniczył się przeto na krótkiej ocenie całości, obejmującej tomów IX (1835—1841). Podnosząc też znaczne chęci autora Litwy i ogrom pracy w zebraniu źródeł podjętej, zarzuca mu nieznajomość dziejów powszechnych, i ztąd zbyt czczone przecenianie znaczenia Litwy, a obok tego rozwlekłość opowiadania, odstręczającą czytelnika, którego sam ogrom dzieła, nie pociągającego artystyczną formą wykładu, przeraża.

Jakoby dla uwydatnienia tём większego kontrastu, po Narbucie zajmuje się Kraszewski A. W. Maciejowskim i, o ile pierwszemu odmawia należytego przygotowania historycznego, o tyle w drugim widzi gruntowną naukę, sposób widzenia rzeczy nową i śmiałą, oraz sąd umiętny, wytrawny. Ale jakkolwiek z pomiędzy prac jego, najwyższe znaczenie przyznaje *Historji prawodawstw Słowiańskich*, to jednak z pewną dozą ironii oświadcza z góry, iż o niej wydawać sąd nie będzie, skoro autor zapowiedział na wstępie, iż odrzuca wszelki sąd o tej pracy człowieka, któryby na doktora obojga praw nie okazał patentu, i dla tego nie wdając się, jako nie specjalista, w szczegółowy jej rozbiór, zajmuje się głównie ocenieniem źródeł, tak w *Pamiętnikach o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian*, jak i w samej *Historji prawodawstw* użytych. Tęmi źródłami były: akta urzędowe, język, pieśni, oraz źródła książkowe. Co do pierwszych, Kraszewski, całą ich ważność uznając, zarzuca Maciejowskiemu, iż nie zawsze z dyplomatów właściwy robi użytek, że jak na historyka zbyt namiętnie przecenia wpływ Słowiańszczyzny na prawodawstwo i kulturę innych ludów, słowem że dopatruje w niej zalet, wynoszących ją wysoko po nad pierwotny stan barbarzyństwa i stawia ją na reju cywilizacyi, jak

nauczycielkę Greków i Germanów pod względem handlu, rzemiosł, rolnictwa i t.d. Kraszewski nie przeczy, by w tém jakiś części prawdy nie było, ale zarazem robi uwagę, że jeśli obcy odmawiają Słowianom wszelkiej cywilizacyjnej zasługi, to jeszcze nie wypada ztąd, by historyk, należący do jednego z ich szczepów, wpadał w ostateczność przeciwną i z pogwałceniem prawdy nadawał Słowiańszczyźnie idealne oblicze, którego w rzeczywistości mieć nie mogła.

Natomiast wprowadzenie źródeł językowych do dzieł Kraszewski nader wysoko podnosi i przyznaje Maciejowskiemu, iż o wemi badaniami dowiódł, że się do nich usposobił gruntownie, słowem, że jest znakomitym znawcą języka. Tak przecież nie było. Maciejewski, przyjmując język za materiał dziejowy, dowiódł tylko, iż mu było wiadomo, jakie nowe źródła przyjęto w postępowem dziejopisarstwie na zachodzie; wszakże zasady nowożytniej lingwistyki, jako niespecjaliście, były mu obec zupełnie, skoro w II tomie swego Piśmienictwa (r. 1853), mówiąc o formach starożytnych i kształceniu się języka, daje ich objaśnienia, nie mające żadnej naukowej wartości. Dość powiedzieć, że wprowadza takie np. formy czasu tr. od słowa być, jak jazmi, jasze, jest, i objaśnia powstanie osoby 1 w ten sposób, iż Polak mówił, że jego ja jest dla mi t. j. dla niego; osoby 2, że jój ja jest dla siebie i t.d. (str. 283). — O ile wszakże wprowadzenie źródeł językowych poczytuje Kraszewski za ważny dla dziejów nabytek, o tyle za mniej pewne świadectwa uważa pieśni gminne, gdyż te, nie mając cechy wieku, w którym powstały, nie mogą stanowić także przekonujących i niezbitych dowodów.

Trafność tej uwagi szczególniej dziś uderza, gdy właśnie taki zabytek, jak pieśń o Sądzie Libuszy, na której A. W. Maciejewski opierał głównie swe wywody o postępowaniu sądowem u Słowian (*Hist. Prawod. T. III, str. 284*), uległa, co do swój autentyczności nowemu zakwestyonowaniu przez Alojzego Wojciecha Szemberego, prof. języka i literatury czeskiej w uniwersytecie wiedeńskim. Przechodząc wreszcie do źródeł książkowych zaznacza Kraszewski wielką skrupulatność w ich użyciu. Niesłuszny jednak robi mu zarzut, iż odrzucając swoich, bliższych nam, lub współczesnych pisarzy, polega głównie na Szafarzyku, Palackim i Stenzlu. Zgadzał się z nim bowiem w zasadach, stali na gruncie europejskiej nauki, wolni byli od skłonności do fantazyowania i śmiałych, ale nie wytrzy-

mujących krytyki hipotez; miał prawo przeto w wielu razach dawać im nad innymi pierwszeństwo. Pomimo tych zarzutów Kraszewski przyznaje pracom Maciejewskiego wielką naukową doniosłość. Protestuje tylko przeciw niektórym jego, powszechnie znanym, a wstrętnym ogółowi opiniom, ale stawia go na czele ówczesnych historycznych badaczy.

Po Maciejewskim, Kraszewski zajmuje się oceną prac Ignacego Danilłowicza. O dziełach wszakże jego, ogłoszonych drukiem, nader skąpe podaje wiadomości. Powiada tylko ogólnikowo, iż zebrał rozległe materiały do historii Litwy i że te krytycznie przetrawia. Sądząc też z Kraszewskiego, inniej obeznany czytelnik z literaturą historyczną, mógłby wnosić, iż cała ówczesna pisarska działalność Danilłowicza ograniczała się na ogłoszeniu jednej rozprawy w języku niemieckim w Dorpaczkich *Jahrbücher* z r. 1834, oraz na współpracownictwie w *Dzienniku Ministerjum Oświaty*. Tymczasem tak nie było. Do roku bowiem 1841 Danilłowicz wydał bardzo wiele gruntownych prac dziejowych; w r. 1820 *O zakładach dobroczynnych w Polsce*, w r. 1822 *Opisanie bibliograficzne Statutu Litewskiego*, w r. 1824 *O cyganach*, w r. 1826 *Sudebnik Kazimierza Jagiellończyka*, który wraz z tekstem polskim ogłosił; w r. 1827 *Latopisiec Litwy i kronikę ruską*, z objaśnieniami dla czytelników polskich potrzebnymi. Nie dość na tém, w r. 1841 wyszło obszerne jego dzieło, staraniem Tytusa hr. Działyńskiego, wydane p. t. *Zbiór praw litewskich od r. 1389—1529, wraz z mowami sejmowemi, dotyczącemi tych praw, a toczącemi się od r. 1544—1563*, — słowem szereg prac, wymagających nader gruntownych studyów; a których tylko szczegółowa ocena mogła usprawiedliwić postawienie Danilłowicza z autorem Historii Prawodawstw Słowiańskich. Opuszczenie to tém więcej w wydaniu książkowem zadziwia, że Kraszewski w krytycznym rozbiórce Historii m. Wilna p. Michała Balińskiego, zamieszczonem w *Tygodniku Petersburskim* (w roku 1837 N. 47) wylicza niektóre z tych prac, przyznając im nawet wielką doniosłość. Natomiast przychylniej ocenia działalność Michała Wiszniewskiego. Właśnie dwa pierwsze tomy jego Historii Literatury polskiej wyszły z druku i obudziły w Kraszewskim wielkie o tym pisarzu nadzieje. Uznawszy współczesne o niój krytyki za nieudolne, przyrzeciające się do szczegółów z pominięciem myśli przewodniej, która w istocie uderza oryginalnością i rozległym

na rzecz poglądem; podnosi w pracy Wiszniewskiego przyjęcie za punkt wyjścia literatury ludowej, która ma stanowić miarę swojskości dla literatury piśmiennej według tego, o ile ta ostatnia do niej się zbliża lub oddala, oraz wypowiedzenie tej śmiałej myśli, którą i dzisiejsza filozofia angielska pozytywnej szkoły wygłasza (Spencer), iż zbyt uczucie przecenianie wpływu starożytnych pisarzy odwodzi nas od umiejętności istotnie potrzebnych w zastosowaniu do życia.

My z naszej strony jeszczebyśmy jedno dodali, co w wysokim stopniu ważność pracy Wiszniewskiego podnosi, mianowicie: roztoczenie dziejów literatury polskiej na tle powszechniej, europejskiej cywilizacji. Inna rzecz, czy mu się to przeprowadzić udało; w każdym razie wskazał drogę, którą iść należało, by się uwolnić od zaściankowych na pisarzy poglądów, i nie przeceniać ich znaczenia. Uczyniwszy wreszcie zaszczytną wzmiankę o pracach Józefa Łukaszewicza, i *Pamiętnikach o królowej Barbarze* Michała Balińskiego, przechodzi do drugiego działu, t. j. do zbieraczy materiałów historycznych.— Ponieważ był to czas, gdy obok tak zwanych *Zbiorów dyplomatów* ogłaszano w pismach peryodycznych nieprzebrane mnóstwo historycznych pomników, Kraszewski rzucił pytanie, czyby nie było właściwem, ze względów czysto praktycznych, wydać wszystkie chronologicznie w osobnym zbiorze, dającym możność użytkowania ich odpowiednio przez badaczy, którzy, jak mówi, częstokroć nie są w stanie odszukać rozpieczętowanego materiału.

Następnie przechodzi do *Herbarzy*, jako źródła dziejowych, zaznajamiających nas z historią pojedynczych rodów, z ich życiem domowem, wewnętrznem, z odnoszącami się do niego szczegółami, które wprawdzie pomija historia na większą stopę pojęcia, ale które, jako pojedyncze rysy składają się na fizyognomię danego czasu. Pod ostatnim tym względem Kraszewski najwyższemu stawia *Bartosza Paprockiego*, który według niego po Reju, w swém *Gnieździe Cnoty* i w *Herbach Rycerstwa polskiego*, jest najdokładniejszym malarzem XVI stulecia. Po nim, pomijając Okolskiego, pierwsze miejsce Kacprowi Niesieckiemu naznacza. Jego *Korona*, choć pod względem stylu zaniedbana, zaleca się według Kraszewskiego większą od Paprockiego dokładnością, oraz bogactwem źródeł, których mu dostarczyły nie tylko prace poprzedników, kroniki, przywileje, metryki i nagrobki; ale nadto i monografie genealogiczne wielu znakomitych

rodzin, tak zwane *historiae domus*, spisywane przez jezuitów, oraz legendy, żywoty jezuitów, fundatorów i dobrodziejów zakonu. Najważniejsze w tym rozdziale są uwagi Kraszewskiego, poczynione z powodu rozpoczynającej się ówczesnie drukować nowej edycji *Herbarza Niesieckiego* w Lipsku. Zauważył jednak, że one obszerne, byśmy je tu przytoczyli w całości; ale, choć nie zostały uwzględnione przez wydawcę, mogą służyć za wskazówkę dla każdego, kto chce bliżej poznać wewnętrzne życie szlachty i zbadać dzieje wszechstronnie (*Studia Literackie* str. 134—137).

W *Studiach* wszakże Kraszewski nie dość wyczerpująco opracował rzecz o Heraldyce. Zastanawiając się bowiem na herby, jako materiał do historii, nie uwzględnił w nich jednę jeszcze stronę, mianowicie: zawarte w nich żywiołu poetycznego. Jeszcze raz przeto w późniejszych latach powrócił do tego przedmiotu i napisał prześliczne studium p. t. *Początek szlachecka, legendy herbowne*. Artykuł ten był najprzód drukowany w *Gazecie Warszawskiej* w r. 1855; następnie zamieszczony został w *Gawędach o literaturze i sztuce*. Kraszewski, wyjaśniając początek herbów polskich, przyjmuje teorię A. W. Maciejowskiego, mianowicie, iż pierwiastkowo były one godłami gmin słowiańskich, ich chorągwią, grobowymi kamieniem, i że następnie, przywłaszczane przez rotę, przewodniczącą w boju, stały się symbolem rycerskiego ich pochodzenia czyli godłem szlactwa. Na Litwie do połączenia jej z Polską herby były nieznanne.

Klasa bowiem tak zwanych bojarów, odpowiadająca znaczeniem szlachcie, powstała w skutek naturalnych przyczyn, z samego ustroju społeczeństwa, a nie przywilejów książęcych. Podobnie było i na Rusi do połączenia jej z Polską, lubo tu dopatruje Kraszewski jakichś znaków, godła, w formie liter, jakiegoś zaginionego alfabetu, które gminy kładły na swych mogiłach. Rzeczywiście znaki przywiedzione przez niego przypominają bardzo swym kształtem skandynawskie runy. Znaki te dodawano później do herbów. Ogół przywiązanych legend, Kraszewski na sześć kategorii podzielił. Jakkolwiek podział ten nazywa dowolnym, mybyśmy go jednak za bardzo trafny uznali. Jakoż do pierwszej zaliczył legendy, dowodzące samą osnową dawności pochodzenia. Ich epoka kończy się na czasach mieczysławowskich. Do takich zalicza legendy zamieszczone pod herbem: *Abdank*, *Nalecz*, *Genald*, *Korwin*, *Słepowron*, *Ogonczyk*, *Powala*, *Odraważ*, *Deszpot*, *Paprzyca*, *Rawicz*,

Topór, Starża, oraz herb Wczele inaczej *Łebno*, zwany. Przywiązane jednak do nich legendy skażone zostały późniejszymi dodatkami heraldyków z XVI, XVII i XVIII stulecia. Nie poprzestawano na znakach swojskich i tradycjach czysto rodzinnych. Duma rodowa kazała te znaki na wzór cudzoziemski przerabiać; legendy swojskie obcymi historyjami ozdabiać, pochodzenie własnego rodu z obcych narodowości wywodzić. Do tak cudzoziemskich legend zalicza powszechnie znaną o Walgierzu Toporczyku i niewiernej mu Heligundzie, dalej legendę, przywiązaną do herbu Zienowiczów, którego nazwa *Deszpot*, miała wziąć w Serbii początek. Również zdarzenie, wyjaśniające początek herbu *Paprzyca*, miało zajść w Czechach, a herb *Wczele* został aż w maurytańskiej Grenadzie, przez rycerza Hołuba przy grze w arcaby z maurytańską księżniczką (!) zdobyty. Niektóre z legend przywiązanych do tych herbów, są wielkiej naiwności—istne bajki ludowe. Inne mogąca całém bogactwem fantastycznej wyobraźni i cudowności—niby wschodnie powieści.

Gorszej było z legendami przywiązanymi do herbów, którymi obdarzeni przechodzili w szeregi szlachty prosto z kmiecego lub mieszczańskiego stanu. Kraszewski zalicza je do drugiej kategorii i słusznie twierdzi, że дума późniejszych, spanoszonych potomków, wstydząc się swego pochodzenia, „porobiła z kmieciów-praojców, z pocziwych sług i pachotków książęcych, z rzenieśników tęgiego serca i dłoni — przybyszów z dalekiej krainy—książątka i królewiczów“ (Gawędy str. 250). Tak *Skuba*, szewc, wyszedł w heraldykach na dworzanina królewskiego; herb *Chomęto* wywodzi się od rycerza bajecznego z Cygienberga, gdy widocznie ma swojski, kmiecy początek. Herbu *Kroje*, nie mogąc cudzoziemczyć, odniesiono do czasów piastowskich. Były jednak legendy tak proste i na wskroś swojskie, że pomimo usiłowań heraldyków, nie dały się przerobić, ani zatrzeć w sobie charakteru kmiecego. Do takich zalicza Kraszewski podanie o początku herbów *Cholewa* i *Napiwon*, oraz legendy przywiązane do herbów: *Rustejko* i *Sokola*.

Do trzeciej kategorii należą legendy o czynach rycerskich, dokonanych na polu walki. Początkiem swoim sięgają one czasów bolesławowskich, najliczniejsze zaś pochodzą z czasów Krzywoustego. Do nich należą: o *Belinie ze złotą ręką, Bogoryi, Godziembie, Grzymale, Helmie, Jelitach, Junoszy, Kościesz, Ładzie, Nieczui, Złotogo-*

łęczyku, i innych. Legendy, odnoszące się do tych herbów, były żywą księgą dla wielu pokoleń. Z niej czerpano przykłady poświęcenia, bohaterstwa i cnoty. „Nieraz — powiada Kraszewski—o wieczorną porze, u domowego ogniska, patrząc na ciemne oblicza obrazów praojców, sędziwy dziad karmił tą legendą stojącego w pokorze u progu drzwi wnuka; nieraz je córce opowiadała matka: tak w każdym domu dwa duchy opiekunkę, dwie legendy przeszłości, jak dwa gołębie, latały nad kolebką dziecka, na skrzydłach swych podoosząc duszę jego w świat idealów“ (Gawędy str. 314).

W czwartej kategorii pomieścił Kraszewski legendy, które dowodzą, że siłę pięści, przebiegłość, dowcip, stawiono na równi z czynami bohaterskiej odwagi, skoro przez te przymioty dokonano czegoś wielkiego, lub pożytecznego dla drugich. Do takich należą, odnoszące się do herbów: *Dolina, Janina, Jastrzębiec, Lis, Półkozie, Bajbura* i inne. Jest ich takie mnóstwo, że Kraszewski uznał za niepodobieństwo przywozić je choćby w skróceniu.

W ogóle wszystkie legendy pomieszczone w 4-ch kategoriach, noszą na sobie przeważnie epiczny charakter. Natomiast odniesione do piątej zawierają wiele dramatycznego pierwiastku. Osnową ich są czyny zbrodnicze, okupione później wielką skrucą i żalem. Szlachectwo pojęte, jako instytucja, zakon, miało wysokie znaczenie w dziejach nowożytnych narodów. Wzrosło i utrzymywało się poświęceniem i osobistą zasługą. „Szeregi rycerstwa—powiada Kraszewski—były ludem wybranym, były wzorową garścią przewodników, mających przykładem swoim wieść całą masę narodu *do postępu, do ulepszeń, do wszelkich cnót idealnych* (Str. 322).“ Tę cnotę godłem był herb. Ztąd, jak w nim symbolicznie wyrażano zasługę, tak upamiętniano i występki, którymi ktoś przynosił ujmę ojcowskiej zasłudze. W tej więc kategorii pomieszczone legendy, odnoszą się do zmian zaszłych w herbach, które przerabiali bądź panny, bądź same nawet rody, karząc czyn, przynoszący zakłąę. Co dziwniejsza, iż większość legend tego rodzaju, odnosi się do samych własni braterskich. Tak herb *Krzywdę* powstał z herbu *Lubicz*, w skutek pokrzywdzenia młodszego brata przez starszego przy podziale ojcowskiej spuścizny. Do herbu *Nowina* przywiązaną jest legenda o zabójstwie, dokonanein na bracie. Zabójca tak zatarał ślad zbrodni, iż nikt przez długie lata nie podejrzewał go o jej spełnienie, aż dręczony wyrzutami su-

mienia oddał głowę pod miecz katowski.— Podobnej osnowy legenda przywiązana jest do herbu *Pomian*, powstałego z *Wieniawy*. A któż nie zna legendy o herbie *Starykon*, który przyjął zapoznany przez swych braci *Żegota Toporeczyk*, przez lud nazwany *Zaprzancem*?. Całkiem inny charakter przedstawia legenda, przywiązana do herbu *Łżawa*. Otrzymał go rycerz *Belina*, gdy, zdrętnawszy się na straży i nagle przebudziwszy się, krzyknął instynktownie: „Do bronii!” i tym fałszywym alarmem cały obóz zatrwożył. Inna, odnosząca się do herbu *Oksza*, opiewa zdradę namiestnika *Wrzowca*, który księcia czeskiego, swego dobroczyńcę, chciał strącić z tronu i sam władzę zagarnąć. Słowem — pełno tu tragicznego żywiołu, który, jak się wyraża Kraszewski, potrzebuje tylko dłoni mistrza, by z niego dramat iście Schakespearowski utworzyć.— Do ostatniej wreszcie kategorii należą podania o herbach, którym traf, szczęście dało początek. „Szauowano w tém — powiada Kraszewski — niejako wołę Bożą, podzielającą dobra ziemskie wedle niepojętego dla nas prawa” (str. 332). Znaną jest legenda o herbie *Dębno*, gdyż ją Bernatowicz zużytkował w *Pojacie*; nie mniej o *Przybysławie Szreniawicie*, któremu koń, sprzedany do Węgier, całe stado z sobą sprowadził. Kraszewski powiada, iż literatura nasza dotąd nie będzie uzupełnioną, dopóki kto nie zużytkuje tej bogatej kopalni, jaką przedstawiają podania szlacheckie, które za dalszy ciąg poezji gminnej uważa. Tą myślą powodowany *Franciszek Kowalski* ułożył wierszem *Legendy herbowe*. Wszakże samo sparafrazowanie tego rodzaju osnowy, zdaniem naszym, do niczego nie prowadzi. Niejedna bowiem z legend, zapisanych w Herbarzach, ma więcej poetycznej wartości, gdyż jest prostszą, niż ubrana w formę rymową. Przedmioty tego rodzaju mogą być jedynie traktowane w sposób, w jaki J. Słowacki *Balladynę* obrobił: słowem, służąc za motywa do utworu, pojętego na szerszą stopę i wykonanego w duchu czysto legendowym.— Nieśluszenie jednak Kraszewski powstaje na krytykę historyczną, mówiąc, że jej wara do tego rodzaju przedmiotów. Owszem, sądzimy, iżby nie tylko poezya, lecz i historia wielkie odniosła z jej zastosowania korzyści. Najprzód porównanie naszych Herbarzy z heraldyką innych narodów wykazałoby wszystkie wtrety, które się tu zakradły. Krytyka przeto oddzieliłaby tu czyste ziarno od plewy. Powtóre nasuwa się pytanie, czyby nie wydobyła głębszego,

ukrytego w tych legendach znaczenia? Weźmy tylko na uwagę podanie o owym *Żegocie*, odepchniętym przez dwóch braci: *Sędziwoja* i *Naraja*. Czyż to nie jest zmodyfikowaniem i artystyczniejszem tylko opowiedzeniem owej gminnej historii o *Dwóch braciach mądrych* i *trzecim bracie Jasiu-Głupasiu*? I w legendzie i w powieści gminnej — koń równie ważną rolę odgrywa. I tu i tam występują z jednej strony złość i przewrotność, z drugiej upośledzeni, za którymi jednak słuszność przemawia. Któż wie? czy obie nie są odgłosem daleko rozleglejszej waśni plemiennej, której początek sięga może kolebki ludów aryjskich?... Krytyka mogłaby tu wiele rzeczy wyjaśnić i przygotować materiał zarówno dla poety jak i historyka.

A teraz wypada nam jeszcze powiedzieć, jak Kraszewski, w epoce *Studyów Literackich* filozoficznie zapatrywał się na dzieje. Pomiędzy rozprawami *Nowe Studya* znajdujemy artykuł, zatytułowany: *Trzy doby w historii postępow umysłu ludzkiego*. Zajmuje on w nim stanowisko czysto idealnej filozofii. Najprzód nie chce rozwiązywać pytania, które pojęcia człowiek z sobą na świat przynosi, a które w sobie wyrabia. To jest pewnem dla niego „iż umysł ludzki zaczyna od pojęć ogólnych, wielkich i że z nich przechodzi do składanych, szczegółowych” (str. 162). Ztąd historią filozofii, poezyi i sztuki dzieli na trzy główne epoki. Za cechę pierwszej uważa *siłę i prostotę*. Utwory do niej należące, mają wyrażać pojęcia ogółu i odznaczać się zaniedbanie formy. Za cechę drugiej poczytuje *wdzięk*. W niej szczegół służy do uzupełnienia ogółu, a forma staje się posłusznym ducha narzędziem. Cechą wreszcie trzeciej — to bogactwo szczegółów, zastępujących ogół — sztuka zasadza się na drobnostkach, całość zaniedbuje się dla części. Dalszy ciąg jest tylko roztoczeniem tych trzech zasadniczych podziałów. Jeżeli je wszakże odniesiemy do historii umysłowości i sztuki, to się przekonamy, że fakta stoją w zupełnej sprzeczności z sobą i z wyżej przytoczonym podziałem. Najprzód powiedzmy, że przypuszczenie, jakoby człowiek przynosił z sobą idee wrodzone, nie może być brane na serio. Człowiek bowiem ma wrodzoną zdolność pojmowania prawdy, ale wszystko zresztą z zewnątrz zdobywa. Odosobniony od ludzi i świata *Kacper Hauser*, nie wyniósł z swój ciemnicy ani jednego pojęcia — wszystko było nowem dla niego. Również twierdzenie, jakoby człowiek zaczynał od pojęć ogólnych i od nich przechodził do

pojęć szczegółowych, wytrzymać krytyki nie może. Człowiek bowiem, poznając przedmioty pojedyncze, mógł o nich, co najwyższej zdobywać *wyobrażenia*; musiało jednak pierwój wiele czasu upłynąć, nim ze zdobytych wyobrażeń, zdołał drogą *porównania i abstrakcji* utworzyć sobie o każdym przedmiocie *pojedyncze pojęcie*, a cóż dopiero mówić o *złożonych*, które są już dalszym, sztucznym wyrobem umysłu, ze zjednoczenia wielu pojęć w całość syntetyczną, powstałym. Nie daje się też usprawiedliwić dalsze twierdzenie, jakoby w pierwszej dobie, odpowiadającej powyższemu rozwinięciu umysłowemu, wszystko było wielkiem i odznaczało się pojęciem całości (str. 163 Now. Stud.). Jakoż, jeżeli weźmiemy na uwagę jeden z pomiędzy najstarszych pomników myśli ludzkiej — *Vedę*, to właśnie w niej znajdujemy najprostsze tylko wyobrażenia i pojęcia o bóstwie, świecie i pierwszych potrzebach człowieka. *Dyaus* — niebo, *deva* — błyszczący, to najpierwotniejsze nazwy wyższej, władającej światem istoty, która, w miarę odkrywania w niej coraz nowych atrybutów, różne potem nazwy w hymnach przybiera, jak: *agni* — ogień, *surya* — słońce, *ushas* — zorza poranna, *Maruts* — burza itd. Wreszcie jeszcze później nadane jej imiona własne: *Varuny*, *Mitry*, *Jndry* — oznaczały pierwotnie różne zjawiska: T. I, str. 24). Te wszystkie jednak nazwy nie zawierają w sobie pojęć ogólnych, ale wyobrażenia najkonkretniejszych, zmysłowo poznawanych zjawisk. Sama nadto osnowa hymnów, zawartych w Rig-Vedzie — jednej z najstarszych części Vedy, jest nader prosta, dziecięce niemal wyrażająca pojęcia. W nich człowiek, zwracając się do bóstwa, błaga je o opiekę nad sobą, o pożywienie, pomnożenie stad, rodziny, wreszcie o długie życie. — „Ty dajesz nam konie, ty dajesz nam krowy, ty dajesz nam zboże — o! Indro! wszechmocny w swym królestwie. Daj nam w weselu używać twego błogosławieństwa, niech ono wnukom naszym użycza siły, a nas mnogością krów i koni opatrzy.” Tak brzmią owe hymny pierwotne (Max. Müller. Essays T. I, str. 27). Gdzież tu więc owe wielkie pojęcia jakiejś całości? Myśl, pomimo patetycznego nastroju obraca się w sferze nader powszedniej i wyraża najprostszy stosunek, w jakim człowiek do otaczającego świata zostawał. Ten sam pierwotny charakter znajdujemy i w późniejszej chronologicznie *Genecie*, jeżeli tylko zwrócimy uwagę, nie na jej samą redakcyę, ale na tkwiące w niej

pojęcia. Jakoż najważniejszy, zasadniczy fakt, przechowany w tradycyi, a przez Mojżesza podjęty, — fakt, związany z przeznaczeniem rodu ludzkiego, to podanie o upadku pierwszego człowieka, odnosi się do przestępstwa czysto dziecięcej natury, do zerwania jabłka przez pierwszych naszych rodziców. — Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na pierwsze zawiązki sztuki, to przekonamy się, że w niej człowiek jeszcze powolniejsze robił postępy. U Greków np. w czasach, gdy jak mówi Winkelmanna, 30 bóstw już liczone, a zatem, gdy mytologia w pewien system rozwiniętą została, nie umiano jeszcze nadawać im ludzkiej postaci i zadawano się ich wyobrażeniem w kształcie nieociosanych kłoców lub czworokątnych kamieni. Tak Kastora i Poluxa przedstawiano sobie przez dwa równoległe pionowo słupy, połączone dwiema poprzecznymi belkami. Na słupach tych układano później kamienie, mające wyobrażać głowy; następnie zaś powstały *hermy*, oznaczające różnicę między męzkiemi i żeńskiemu bóstwami. (Geschichte der Kunst des Alterthums str. 10, Wiedeń 1776). Oto, jakie utwory sztuki dają się odnieść do najpierwszej epoki rozwoju umysłu, w której człowiek dla oznaczenia jakiegoś wyobrażenia, pojęcia, za ledwie zdolny był używać znaków, symbolów. Tak było w starożytności, tak i w pierwotnej epoce chrześcijaństwa — w Katakumbach. Tymczasem Kraszewski do tej pierwotnej epoki odnosi Iliadę — utwór, na którego ukształtowanie przeszło się 4 wieki składały; dalej *Eginety*, należące do tak zwaney archaistycznej, a zatem drugiej epoki, wreszcie pomiędzy innemi, zalicza tu budowy romańskie — wytwór zarówno cywilizacji starożytnej, jak i żywiołów chrześcijańskich, przedstawiający nadto skończoną, harmonijną i w sobie zawartą całość — słowem, zjawiska, nie dające się z sobą nigdy porównać (Nowe Stud. Lit. T. II, str. 163). Prawda, że każdą z trzech epok dzieli jeszcze na trzy podrzędne doby; ale jakie są ich cechy, różnice, o tém wcale nie mówi. Z przyznania jednak tak niewłaściwych cech każdej z trzech epok, z niedokładnego i nieścisłego rozróżnienia pojęć ogólnych, szczegółowych i pojedynczych wynika cała mylność założeń i z nich wyprowadzonych wniosków, oraz niewłaściwość zapatrywania się na utwory sztuki a w szczególności na literaturę XIX stulecia. Niewłaściwość ta szczególnie uderza w następującym ustępie: „Wielka nowa reforma, — powiada Kraszewski — która się ogranicza wprowadzeniem indywidualizmu

na miejsce ideałów w literaturę, wprowadzeniem elementu narodowego, nie będącego niczem innem nad indywidualizm zbiorowy, należy jeszcze do epoki trzeciej, choć ma pretensją nową zupełnie zaczynać" (Ibid. str. 171). Jeżeli jednak ów indywidualizm zbiorowy ma być njemną stroną literatury, to w jakim sposób stać się mogła narodową? pytamy. Od tych nieprzetrawionych i, jakby od niechcenia rzuconych pomysłów, jakże wyróżniają się późniejsze poglądy Kraszewskiego na dzieje, wypowiedziane z powodu monografii Karola Szajnochy o *Bolesławie Chrobrym*, wydaną we Lwowie 1849 r. Wystąpienie tego pisarza na polu historyografii polskiej było rzeczywiście zjawiskiem nie małego znaczenia. Aż do jego czasów historią traktowano u nas z pragmatycznego lub krytycznego stanowiska; gromadzono wreszcie do niej materiały i nowych źródeł szukano. Pojedyncze cegły, kamienie miał użytkować przyszły budownik artysta. Takim właśnie był autor powyżej zatytułowanej monografii.

Ze wszystkich dziejowych postaci, wielka postać Chrobrego przedstawia się może najniewyraźniej w naszych kronikarzach i historykach. Z wyjątkiem Galla, o całym jego panowaniu, tak brzemieniem w czyny rozgłośnej wojennej sławy i pełne mądrości urzędzenia polityczne i administracyjne, znajdujemy w nich same prawie nie mówiące ogólniki. Zdawałoby się, że wielkość Chrobrego, usuwająca w cień dzielnych podwładnych mu wojewodów i wypełniająca sobą trzydziesto-kilkoletnie panowanie, odbierała odwagę zajmującym się dziejami do przedsięwzięcia tak wielkiego zadania, jakim było przekazanie potomności tej iście epicznej postaci. Wprawdzie z postępem czasu te nie mówiące w pierwszych kronikach kontury zaczynają się coraz więcej szczegółowemi rysami w późniejszych historykach wypełniać; w Naruszewiczu nawet rozszerzają się i potęgają nieprzebranem bogactwem faktów, lubo pozbawionych jeszcze właściwego epoki kolorytu. Ale na tym ogólnym tle wypadków, najgłówniejsza postać, która nadawała im życie, rysuje się jeszcze blade, pozostaje nieujętą, rozplynną, bez właściwej sobie fizjognomii, charakteru — niby wszędzie obecna a jednak niewidzialna. Do jej odtworzenia przecież niezbywało już Naruszewiczowi na materiały. Brak mu było tylko ducha syntezy, by z rozproszonych rysów w Dytmarskiej kronice, ułożyć wizerunek bohatera i tętnąć weń życie właściwe. Do takiej

syntezy ukazał się dopiero uzdolnionym Szajnocha, zapowiadając rzeczoną monografią nowy w dziejopisarstwie polskim kierunek. Owęj też pracy Kraszewski obszerne sprawozdanie, bo wyrównyujące prawie połowie jej objętości, poświęcił (*Okruszynek T. II, str. 18—81*).

We wstępie, po mistrzowsku skreślonym, zastanawia się nad trudnościami dziejoparskiego zawodu. Z tych dwie przedewszystkiem za najgłówniejsze uważa: brak materiałów, oraz zawarte w nich sprzeczności. O nie rozbijają się najwytrwalsze usiłowania badaczy. Samo nagromadzenie, a następnie umiejętne zużytkowanie materiału przedstawia wielkie trudności. „Wieki mijają — powiada — nim stopniową rozdzieloną pomiędzy pokolenia pracą, człowiek historią swego kraju wyjaśni i napisze. Długimi laty zbierają pierwsi pracownicy kwiaty, najprzód na mogiłach, potem kości i trawę i ziemię i endze popioły i swoje i zwierzęce i ludzkie: przychodzi badacz, co ze stosu wybierze tylko potrzebne; drugi, co je oczyści; trzeci, co je w ład urządzi — ostatni życiem je natchnie. Ale przyjdzie inny, co zabija stworzone i nowym darząc żywiołem, zadaje fałsz pierwszemu" (str. 19). Ztąd wynika, że zapatrywanie się na przeszłość, że praca dziejowa, jest nieskończonym trudem zarówno dla pojedynczych jednostek, jak i dla całego narodu. Każde nowe pokolenie dopatruje zaledwie jednej strony dziejowego oblicza, jednego rysu, i z niego sądząc o przeszłości lub przetwarzając ją „na obraz i podobieństwo swoje" zaledwie część prawdy zdobywa, lub ją w dobrą wierze przeinacza. To wyrozumienie przeszłości jeszcze większą trudność przedstawia, gdy epoka, której badacz trud swój poświęca, obejmuje ten przestwór dziejów „któremu wiekiście materiału braknąć będzie." Taką epoką są właśnie pierwotne dzieje każdego narodu. By je odgadnąć, „historyk winien być wieszczem, jak Cuvier, co, odkrywszy prawa życia, z jednej części mógł śmiało wyrokować o całości." Prawa jednak, według których ludzkość rozwija się, dotąd nie zostały wykryte, wszelkie zatem pokuszenia się na wyjaśnienie epok zbyt oddalonych, po których zostały zaledwie jakieś ulamki podań, należałoby podług Kraszewskiego po prostu nazwać szaleństwem.

A jednak rzeczy tak trudnej Szajnocha w zupełności podołał i swoje zadanie spełnił „jak można najlepiej." Kraszewski też zabiera się do oceny z wielkim poszanowaniem dla podjętej przez niego pracy.

Streszczając ją z godną uznania sumiennością, daje jak najdokładniejsze pojęcie, zarówno o stanowisku, z którego autor zapatrywał się na przedmiot, jak i o źródłach, na których się opierał. Pomijając fakty mniej ważne, odtwarza same główne kontury, nakreślonego przez Szajnochę obrazu, ręką pewną, każdego pociągnięcia świadomą. Z epoki Mieszka, poprzedzającej opowiadania czynów Chrobrego, kreśli ówczesny stan słowiańszczyzny; charakteryzuje exterminacyjną politykę cesarstwa, gniotącego żelazną pięścią całe plemiona, protestujące przeciw uciskowi margrabiów wschodnich walką na śmierć lub życie; dalej oznacza stosunek wychrzczonego księcia Polan do zostających w pogaństwie współbraci, przeciwko którym w widokach własnej polityki wiąże się z cesarstwem i do ich wytepienia pomaga, w końcu, posilkując się słowami autora, określa ówczesne stanowisko Polski do Niemiec, Czechów, Węgrów, i Rusi, oraz stosunek Mieczysława do cesarza, na chytrą politykę oparty, i niesprawiedliwia nieprzyjazną jego politykę względem Słowian zachodnich, których dążeń do odzyskania swobody, jako nowo nawrócony, nie mógł popierać. — Przechodząc następnie do panowania Chrobrego zaznacza umiejętne przez Szajnochę zużytkowanie pojedynczych rysów, rozprószonych w kronice Dytmara, który pragnąc Bolesława w oczach potomności zohydzić, dał właśnie najwymowniejsze o jego potęgze i geniuszu świadectwo; podejmuje charakterystykę położenia politycznego Polski w chwili objęcia przez niego rządów, kreśli wyprawy przeciw pogańskim Lutykom i Pomorzanom, łącznie z cesarzem, w czym, jak widzimy, trzyma się wiernie polityki, przekazanej mu przez ojca; dalej błyskawiczną jego działalność w celu odzyskania Chrobacy; zastanawia się nad dokonaną przezeń organizacją wojenną kraju, oraz pracami, podjętymi dla ugruntowania chrześcijaństwa w Polsce i zaszczerpienia go wśród bałwochwalczych Prusów na północy, Pieczyngów na wschodzie; określa następnie stosunek Bolesława do Ottona III., opisuje jazdę w Gnieźnie i skutki jego w urzędzeniu niezawisłej polskiej hierarchii, z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele; nadto, podejmuje wyprawę do Czech, gdzie Chrobry, korzystając z zatargów, wynikłych między Bolesławem *Rudym* i bracią jego *Oldrychem* i *Jaromirem*, zamierza utrwalić swe panowanie i w Pradze założyć drugą stolicę. Roszczenia Henryka II., następcy Ottona, do zwierzchnictwa nad Bolesławem Chrobrym, od którego, z przy-

czyny posiadania Czech, domagał się złożenia holdu, stają się zarzewiem długoletniej, uporczywej wojny, która, jak z jednej strony wykazała żywotność młodzieńczego narodu i geniusz wojenny Chrobrego, tak z drugiej zapowiada Polsce samoistne, polityczne stanowisko w systemie państw zachodnich. Tej wojnie, tak brzemiennej w skutki, Kraszewski znaczny udział poświęca. Następnie przechodzi do nie mniej sławnej wyprawy na Ruś — i charakterystyką kraju, oraz samego Bolesława zakończa streszczenie pracy Szajnochę. Wreszcie przyznając jej wielkie zalety, trzy stawia autorowi zarzuty. Pierwszy z nich odnosi się do wyłącznego ograniczenia się na źródłach tylko współczesnych, z pominięciem późniejszych kronikarzy i ich podaniowego na rzecz poglądu; 2-gi do użycia w wielu miejscach „stylu ostrego, najeżonego dzikimi wyrazami,“ i na koniec 3-ci do omyłki popełnionej w rysie obyczajowym przez Szajnochę, gdy wprowadza królową i jej panie na ucztę, któremi Bolesław swych rycerzy ugasał. Z tych pierwszy, lubo zdaniem naszym najmniej uzasadniony, zasługuje na bliższy rozbiór. Jakoż, jeżeli zadanie historyka polega na odtworzeniu epoki w duchu i prawdzie, na skreśleniu jej obrazu, o ile być może zbliżonego do rzeczywistości, słowem na powołaniu tego do życia, co już dawno umarło; to samo z siebie wynika, iż w tym obrazie mogą znaleźć miejsce jedynie rysy otrzymane z pierwszej ręki, a nie zmienione wyobrażeniami późniejszych czasów i przetworzone fantazją dalszych pokoleń. Takich zaś rysów przedewszystkiem dostarczają kronikarze jak najbliżsi, lub współcześni opisywanej epoce, gdyż tylko oni, jak sam Kraszewski powiada — są żywym odgłosem czasu i malują go najlepiej. — Gdy więc idzie o prawdę, na nich tylko można polegać. Tymczasem Kraszewski z samym sobą pozostaje w sprzeczności, gdy mówi, iż gruntować się na źródłach tylko współczesnych, odrzucając ze wzgardą późniejszy sposób widzenia i malowania rzeczy, jest to wyrzec się dobrowolnie, może najstosowniejszego na rzecz poglądu, może najzdrowszej wskazówki, gdyż późniejsi „dają nam drogie pamiątki pojęć narodu o samym sobie“ (Okruszyny T. II. str. 21). Tym sposobem, ponieważ każde pokolenie w miarę nowych umysłowych nabytków na każdym szczeblu swego rozwoju inaczej siebie pojmuje: ztąd i cała przeszłość, nakształt obłoków, przesuwał się po niebie, musiałaby się zmieniać i stosownie do oświecenia, co chwila inną barwę przybie-

rać. Tak przecież nikt nie pojmuje historii i sam Kraszewski za największą zasługę poczytuje Szajnosze, iż w swém opowiadaniu zachował barwę historyczną, iż umiał odtworzyć czas z jego mieszaniną: wielkości i barbarzyństwa, heroicznego i rubasznego; że dał oblicze wieku z jego zmarszczkami i runieńcem, wdziękami i plamami (str. 80). Nie może tu być mowy przeto o tém, jak na daną epokę zapatrywali się późniejsi historycy, gdyż sąd ich może być mylący i nowymi pojęciami spaczony, ale jaką była w istocie. Że zaś prawdopodobnie współcześni, mimo wiedzy, malowali ją najwierniej, ztąd najstarsze źródła muszą mieć przed późniejszymi pierwszeństwo. Że o tém wiedział Kraszewski, dowodzi tego jego sprawozdanie, skreślone w r. 1843, o dziele: *Dr. Ig. J. Hanusch'a p. t. Die Wissenschaft des Slavischen Mythos*, którem w swych prelekcjach mianych w *Collège de France* posilkował się Mickiewicz. W niem Kraszewski robi zarzut autorowi, że źródeł różnej wartości, różnego czasu i pochodzenia, bez gruntownego ich ocenienia za podporę używa, i że nie wchodząc w pochodzenie mniemań późniejszych pisarzy, z drugieję i trzecieję ręki, narówni je stawia ze źródłowemi świadectwy (Okrusz. T. II. str. III). Podobne więc sprzeczności jedynie pośpiechem w pracy usprawiedliwić się dają.

Przechodzimy teraz do studyów, które, jak mówiliśmy na wstępie, przedstawiają tę ujemną stronę, że właśnie to, co ówczesnie mogło być nowym dla historii literatury nabytkiem, dziś, w obec nowo wykrytych faktów, ma dla nas jedynie pamiętkowe znaczenie. Do takich zaś przedewszystkiem zaliczamy *Rys dziejów języka polskiego* (Nowe Stud. Liter. T. I. str. 63—112). — Jeszcze w roku 1835 uniwersytet Kijowski ogłosił konkurs na posadę lektora języka polskiego, z żądaniem, by rozprawa skreślona *pro rena legendi* obejmowała: a) Charakterystyczne cechy języka polskiego, które go od innych słowiańskich wyróżniają; b) postęp jego kształcenia się i wpływ, jaki na niego miał język łaciński i inne; c) krótką historią jego grammatyki i leksykografii, ze zdaniem o wartości i zasłudze każdego w tój gałęzi pisarza; nakoniec d) plan wykładu tego języka. Rozprawa miała być ukończoną w ciągu roku i złożona Radzie uniwersyteckiej na d. 1 Sierpnia 1836 roku (Tygod. Petersb.). — Nie wiemy, w jakim zakresie ta konkursowa praca przez Kraszewskiego obrobioną została, to pewna,

że oceniona nader pochlebnie, zjednała mu w uniwersytecie katedrę, której tylko nie mógł objąć w skutek czasowego zamknięcia uniwersytetu.

Ów Rys dziejów języka — jest też streszczeniem owęj konkursowęj rozprawy.

Kraszewski od bardzo wczesnych lat zajmował się badaniem ojczystego języka. W r. 1837 ogłosił nawet w *Tygodniku Petersburskim* artykuł p. t. *Myśli o grammatyce historyczno-porównawczęj języków słowiańskich*, do której, jak sam powiada, od lat ośmiu zbierał materiały. Było to więc znacznie wcześnię, nim Franciszek Miklosicz wystąpił z dziełem: *Vergleichende Lautlehre der Slavischen Sprachen, Wien, 1852*. Pomimo jednak tego, iż Kraszewski swemi poglądami o wiele przewyższał naszych badaczów z professyi, którzy, z wyjątkiem Walentego Skorochoda Majewskiego, ograniczali swe badania wyłącznie do ojczystego języka, sądząc, iż z niego dadzą się wysnuć wszystkie prawidła, a przez nie wszystkie wątpliwości wyjaśnić; to jednak z samego programu, nakreślonego w tym artykule, pokazuje się, że odpowiednio do ówczesnej lingwistycznęj wiedzy, Kraszewski nie miał należytego przygotowania do podjęcia tak rozległego zadania. Najprzód wiele błędnych mniemań ówczesnych językoznawców podzielał, i, na nich opierając swoje wywody, również do fałszywych wniosków dochodził. Do takich należy uznawanie za Dobrowskim języka staro-bulgarskiego, czyli cerkiewnego za pra-macierz języków; dalej postawienie pytania, nie dającego się nigdy dla braku odpowiednich danych rozstrzygnąć: „z jakich powodów potworzyły się dyalekta oddzielne, oraz pod jakim wpływem i jakimi najprzód odróżniły się od macierzystego odmianami?“ — rozstrzygnięcie bowiem tęj kwestyi Bopp stanowczo, we wstępie do swęj Grammatyki porównawczęj z zakresu badań lingwistycznych wyrzucił.

Podobny brak naukowych podstaw, a nadto nieodpowiedniość użytych źródeł daje się dostrzegać i w *Rysie historii języka polskiego*. I tak do uzasadnienia języków słowiańskich posługiwał się Kraszewski źródłami podrzędniejszego znaczenia, z pominięciem zasadniczych, które już wtedy mogły się być do wyjaśnienia stawionęj przez niego kwestyi przyczynić. Z ostatnich użył jedynie J. Dobrowskiego: *Institutiones linguae Slavicae*; Adelunga: *Rapports entre la langue Sanscrit et la langue russe*, oraz Fr. Boppa: *Vergleichende Zergliederung des Sanscrit und der mit ihm*

verwandten Sprachen. Pominął zaś jego: *Conjugations System*, Frankfurt 1816 i najważniejszą z jego prac: *Vergleichende Grammatik des Sanscrit, Zend, Griechischen, Lateinischen, Lituanischen, Alt-Slavischen, Gothischen und Deutschen Sprachen*, której tom pierwszy już się w roku 1833 pojawił. Nie zużytkował nadto badań Eugenisza Burnoufa: *Essays sur le Pali* 1826 i *Observations Grammaticales* 1827, oraz Fryderyka Schlegla: *Ueber die Sprache und Weisheit der Indier* 1808, któremu właściwie należy się zasługa dopatrzenia pokrewnego związku pomiędzy językami: Hindusów, Staro-Persów, Greków, Rzymian, i Niemców, i objęcia ich ogólną nazwą: Indo-Europejskich języków. Nakoniec nie skorzystał z prac Jakóba Grimma, którego historyczna grammatyka języka niemieckiego, mogła być rzucić niemałe światło w badaniach nad własnym językiem, a przynajmniej wskazać metodę, jak się do tego zabierać.

W skutek też pominięcia tych źródeł zasadniczych uderza nas w *Rysie historii języka polskiego* dziwny zamęt pojęć, co do pierwszego źródła słowiańskich języków. Dodajmy nadto, że w czasie, gdy Kraszewski pisał konkursową rozprawę, bynajmniej nie uznawał korzyści, mogących dla nauki wynikać z porównania litewskiego języka z Sanskrytem. Jakoż rozbierając *Dzieje starożytne Litwy* Narbutta, powiada: „iż nie-
zna języka, któryby się z sanskrytem nie dał porównać” — zresztą dodaje, że „podobieństwo języka, nie z podobieństwa słów, ale z ich ducha wychodzić powinno” (Tyg. Peters. r. 1836. N. 70—71). Otóż ten duch języka był właśnie kamieniem obrażenia dla wszystkich naszych grammatykarzy, którzy od czasów Kopczyńskiego o nim tylko mówili, nie bacząc na to, że duch języka głównie się w jego składni objawia, i to właśnie przekonanie nie pozwalało im u-
znać potrzeby porównawczego języko-
znawstwa, z którego pomocą jedynie można było wyjaśnić formalną jego stronę, czyli właściwości, któreimi się *morfologia* zajmuje. Że jednak Kraszewski przy znajomości niektórych przynajmniej prac grammatyki porównawczej, nie umiał sobie wówczas wyjaśnić stosunku sanskrytu do innych uropejskich, zatem słowiańskich języków, o więcej może zadziwiać. Wprawdzie w *Rysie dziejów języka polskiego* przejawia się już zmiana w niektórych jego pojęciach. Przynajmniej języka staro-bułgarskiego nie waży na język-matkę; przypuszcza tylko istnienie jakiegoś pośredniego, dziś zatraconego ognia, które dyalekta słowiańskie

miało łączyć, jak ówczesnie mniemano, bezpośrednio z głównym ich źródłem — sanskrytem (str. 66); ale obok tego zaraz nasuwa mu się pod tym względem wątpliwość, gdyż, jak powiada, „podobieństwo sanskrytu znajduje się równie z *innoplemiennymi* w Europie językami — z keltyckim starożytnym nawet (sic).“

Jedyny, stanowczy wniosek, do jakiego dochodzi, jest ten, że Słowianie ze swym pierwotnym językiem wyszli z Azyi; ale że porównania pojedynczych dyalektów z sanskrytem, wykrywając z nim także związek i podobieństwa, do niczego nie doprowadzą (64).

Daleko zresztą większą przywiązuje wagę do tego, co o Słowianach trzymali nasi pisarze, jak Górnicki, Strykowski, niż do wszystkich naukowych o nich wywodów, choć wiadomości owych pisarzy, na samych przypuszczeniach oparte, nie mogą stanowić poważnego świadectwa.

Tegoż samego trybu trzyma się Kraszewski w ciągu całej swjej pracy. Właściwie nie znajdujemy w niej historii języka, ale tylko świadectwa, jakie o jego rozwoju w różnych epokach podawali różni pisarze. Autor powołuje się to na Prokopa, to na Długosza, Górnickiego, Trzecieckiego, Starowolskiego, Czackiego, Siarczyńskiego i wielu innych, nie dając nam nigdzie samego materiału języka, z którego moglibyśmy wnosić o jego rozwijaniu się pod względem wyrazowym, oraz stopniowem każenin się, czyli tak zwanem psuciu pod względem morfologicznym. Toż samo należy powiedzieć o zabytkach piśmiennych. Kraszewski przytacza: *Pieśń Boga-Rodzica, Pieśń o św. Wojciechu, Statut Wiślicki, Psalterz Jadwigi, Psalterz Królów, Matgorzuty* (właściwie: *Rękopism Floryjański*), i wiele innych znanych ówczesnie, ale z samych ich tytułów nie podobna, by czytelnik powziął wyobrażenie, jakim pisane były językiem. A przecież o niego tu głównie chodzi. Zestawienie form i wyrazów, objaśnienie jednych i drugich drogą porównawczą, wykazanie przemian, jakim z biegiem czasu uległy, dałoby nam dopiero poznać język, jako żywe, wciąż rozwijające się drzewo, które, stosownie do pory, miało wzrost różny i w różną stroiło się szatę.

Zamale także znaczenie przyznaje niemieczyźnie w XVII stuleciu. Powiada, „że stosunki z Niemcy przerywane, nieprzyjemne, nigdy wielkiego nie dopuściły się wpływu na język polski (str. 78).“ Tymczasem rzecz się miała przeciwnie. Prawodawstwo miejskie, nazwy techniczne w rzemiosłach

i górnictwie używane, sama nawet żegluga, jak widać z *Flisa* S. Klonowicza, czego innego dowodzą. Nie było zawodu, któremu by niemieczyzna nie narzuciła swęj terminologii, nie skaziła sobą języka. Kraszewski twierdzi, że się to jedynie do materiału językowego odnosi. Prawda, pod względem składni nie zarażała wówczas polszczyzny; ale zapomnia, że wprowadzając do niej nie tylko nazwy rzeczy, lecz i nazwy czynności, tęp samém groziła przekształceniem i wynaturzeniem języka, daleko niebezpieczniejszém od tego, jakiego się Kraszewski z powodu wprowadzenia do niej neologizmów, obawiał.

Również nieuzasadnioném jest mniemanie autora, „iż uczeni biorą język od ludu i oddają go znowu ludowi, zazwyczaj połamany, popsuty, przeistoczony i że lud go przeżuwszy, oddaje nazad uczonym i tak ciągle (str. 89).“ Jakąż bowiem drogą mógł do niego u nas powracać? Podobna wymiana może mieć miejsce jedynie tam, gdzie lud rzerzywiście z książkowój literatury korzysta; czyż jednak u nas, przy ciężającj na nim przez całe wieki ciemności, można coś podobnego nawet przypuścić? Wątpimy. Dotąd zapożyczano się tylko co do języka u ludu; ale Bogiem a prawdą, literatura książkowa pozostała względem niego dłużnikiem i to złym nawet dłużnikiem. Ze podobną wymianę języka między ludem i uczonymi, i odwrotnie, zauważano, jak mówi Kraszewski, na wschodzie, to jeszcze nie dowodzi niczego; tam bowiem obowiązek uczenia się Koranu w wysokim stopniu sprzyjał upowszechnieniu się między ludem znajomości czytania; toż samo było odnośnie do Biblii w protestanckich Niemczech; u nas przeciwnie, wszystkie okoliczności składały się na to, by ludowi z rąk książkę wytrącić. — Przechodząc do dalszych epok kształcenia się języka, Kraszewski nie uwzględnił także należycie wpływu, jaki nań wywarła religijna reforma. Tak wielkiój doniosłości sprawę zaledwie zbywa kilkoma słowami (str. 86).

Również nie widzimy, pod jakim względem wyróżnia się proza Reja i obu Bielskich, tak pełna jeszcze szczerzo-polskiego ducha, od klasycznej wykwiśności języka Górnickiego oraz języka Skargi, noszącego na sobie wszystkie cechy składni dzisiej-szej.

Wykazawszy jednak ujemne strony tój pracy, nie chcemy przez to powiedzieć, by w swoim czasie nie miała dla literatury znaczenia. Owszem większa część pisarzy

zajmujących się jēj historją, żywiło się nią, rabując z niej całe ustępy. To jedno już przekonywa o jēj znaczeniu i ważności. Ale myliby się, ktoby dziś chciał z niej poznać rozwój języka i koleje, jakie ten w czasie przechodził. W obec postępu, jaki grammatyka porównawcza zrobiła, i prac, jakie i u nas, poczynając od Hip. Cegielskiego, dokonane na tęp polu zostały; wreszcie wobec bogatego materiału, nagromadzonego w późniój odkrytych, rozpowszechnionych drukiem i krytycznie obrobionych zabytkach, dziś czegoś więcéj wymagamy od tego rodzaju historji nad proste przytaczanie gołosłownych świadcetw, lub mniemań pisarzy, dotyczących tylko mimochodem kwestji rozwoju języka w dziełach, w innym celu podjętych.

Rys historji języka polskiego rozpoczyna szereg prac, zostających w ścisłym związku z dziejami literatury. Nieznajomość pisarzy z epoki Zygmuntowskiej Kraszewski niejednokrotnie młodsiój generacji zarzucał. Pragnąc tęp uczynić zadość umysłowym potrzebom chwili, zamierzył w monografiach przedstawić obraz życia poetów XVI stulecia, rozebrać krytycznie ich dzieła a tęp samém oznaczyć zajmowane przez nich stanowisko w literaturze. Była to myśl nader żywotna, zwłaszcza, jeżeli zwróćmy uwagę, że naówczas mieliśmy bardzo mało studyów nad dziełami pojedynczych pisarzy, że wreszcie same dzieje literatury były dopiero w zawiązku. Z dzieł, mających obejmować jēj całość, posiadaliśmy jedynie wtedy *Historję literatury Feliksa Bentkowskiego* — dzieło, które wpływ ogromny na umysł w swoim czasie wywarło, ale pełne niedokładności, opuszczeń, zasługujące dziś raczej na nazwę spisu bibliograficznego, niżli właściwój, krytycznie opracowanój historji. Tu należy także wspomnieć o *Rysie piśmiennictwa* przez *Lesława Łukaszewicza*, ale który stanowił zaledwie konspekt literatury czysto-polskiej, zwłaszcza w pierwotnych z 1836 i 38 r. wydaniach. Brak tęp przygotawczych studyów dawał się uczuwać od piérwszój chwili zjawienia się pracy Bentkowskiego, co pobudziło wielu pisarzy do uzupełnienia zarówno bibliografii, jak i przygotowania krytycznych monografi. Do piérwszych należał Jerzy S. Bandkie, Adam Chłędowski, Joachim Lelewel, oraz Ludwil Sobolewski, którego notaty, wraz z innem źródłami posłużyły późniój Ad. Jocherow do przedsięwzięcia tak olbrzymiěj, lubo nie dokonanej w całości pracy, jaką był *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauki w Polsce*. Do krytycznego zaś opracowania

pojedynczych pisarzy daleko mniej było po-
chopnych. Oprócz *Urag nad Mateuszem her-
bu Cholewa* przez Lelewela skreślonych,
Dyktęgonarza poetów polskich przez Hiero-
nima Juszyńskiego, najwybitniejsze miejsce
pod tym względem zajmuje dzieło Józefa
Maks. hr. Ossolińskiego p. t. *Wiadomości
Historyczno-krytyczne do dziejów literatury
polskiej* (Kraków 1819—22). W niém pomie-
ścił 27 monografii, odnoszących się zarówno
do kronikarzy, jak i dziejów reformacyi
w Polsce. Z tych *Żywot Stanisława Orze-
chowskiego*, obejmujący tom III i IV, oso-
bne dzieło stanowi. Nad poetami wszakże,
zwłaszcza XVI stulecia, prócz Kazimierza Bro-
dzkiego, który się nimi ogólnie w swych
rozprawach ogłoszonych naówczas drukiem
zajmował, oraz A. W. Maciejewskiego, któ-
ry swe prace krytyczne w *Panoramie* za-
mieszczał, nikt, studyów rozleglejszych nie
robił. Pierwszy przeto po nich Kraszewski
podjął to tak ważne dla literatury zadanie
i w *Nowych studyach literackich* pomieścił
cztery monografie, z których trzy odnoszą
się do poetów z epoki złotego wieku, jedna
zaś do czasów Stanisława Augusta. W pier-
wszych z nich zajmuje się *Sebastyanem Klo-
nowiczem, Janem Kochanowskim i Mikołajem
Sępem Szarzyńskim*.

W Klonowicz—powiada na wstępie Kra-
szewski, iż poeta ten „całe życie pozosta-
wał w walce z losami i światem, a umarł
w szpitalu, jęk Camoens, jak wielu ludzi
z jego rodziny zapomnianych lub poznanych
za późno i ocenionych po czasie“ (St. L.
T. I. st. 115). I rzeczywiście tradycja i świa-
dectwo jezuitę *Wielewickiego* otoczyło postać
Klonowicza pewną aureolą męczeństwa. Tak-
im go przedstawił Syrokoma w swym poe-
macie: *Zgon Acerna*, takim *Leopolski* w obra-
zie, mającym za przedmiot także ostatnie
chwile życia poety. Przed niedawnym jednak
czasem wykryte dokumenta przez pana De-
merskiego, archiwistę akt dawnych w Lu-
blinie, całkiem nowe światło na życie Klo-
nowicza rzuciły. Z nich pokazuje się: 1) Że
on nie zbywało na uznaniu u współczesnych,
koro mu Jan Zamojski Kanclerz W. K.
powierzył urząd superintendenta w Akade-
mii w Zamościu, wraz z obowiązkiem wy-
kładania w niej autorów klassycznych; i po
2) Że umierając w roku 1602, pozostawił
w Lublinie dom, który spadkiem tyle osła-
wionej żonie i dzieciom małoletnim prze-
zazął. Wynika ztąd, że ani umarł ubogim,
ni że tego, co pisał przeciw kobietom, nie
można do jego żony stosować. Trudno bo-
wiem przypuścić, by umierając, powierzał
cierunek i opiekę nad dziećmi kobiecie

złych obyczajów, za jaką ją miano powsze-
chnie ¹⁾. Ponieważ jednak Kraszewski mógł
się jedynie na tradycyi, przekazanej przez
wcześniejszych pisarzy, jak Starowolskiego,
Wielewickiego i Krasickiego opierać, ztąd
tóż i pogląd jego na życie Klonowicza, dziś
pod wielu względami wystarczać dla nas
nie może ²⁾. Zobaczymy teraz, jak się za-
patrywał na każdy z jego utworów. Do
najpoetyczniejszych Kraszewski zalicza *Flisa*
i, w krótkich zarysach dając jego streszcze-
nie, zwraca uwagę na zawarte w nim ustępy,
oraz termina używane przez Flisów. Kra-
szewski nie wyczerpał jednak w zupełności
przedmiotu. Już samo porównanie opisów
miejscowości z obecnym stanem brzegów
Wisły, jęk kęp, ostrowów, miast i rzek do
niej wpadających, wymagało po piszącym
odbycia tejsze samęj podróży, jaką odbył
Klonowicz, co dla Kraszewskiego, mieszka-
jącego na Wołyniu, było niepodobieństwem;
a jednak bez takiego porównania studyum
nad Flisem dokładnem być nie może. Co
ważniejsza, iż Kraszewski w rozbiórze swym
nie zwrócił uwagi na przewodnią myśl poe-
matu—myśl, mającą wprawdzie ujemne zna-
czenie, ale która przecież niemalże rzuca
światła na ówczesne uprzedzenia społeczno-
ści polskiej do handlu, na wstręt do bliź-
szego zaznajomienia się z morzem. Myśl tę
przecież wypowiada jasno Klonowicz zaraz
po wstępie, w którym na wzór *Przemiana
Owidyusza*, opiewa historią rozdzielenia
chaosu na cztery żywioły, i które odpowie-
dnie istotami ich naturze zaludnia. Z han-
dlu, z żeglugi wszystko zle spływa na Pol-
skę. Gdańsk pochłania wsie, folwarki i zu-
boża wieśniaka, którego trud nie wystarcza
na opłacenie zbytkowych przedmiotów, jakie
pan ztamtąd sprowadza. Nie zachęca więc
do żeglugi, ale owszem używa wszelkiego

¹⁾ Po rozjaśnienie tych kwestyi odsyłamy czytelnika do artykułu prof. Józefa Przyborowskiego p. t. Rok śmierci Fab. Seb. Klonowicza, zamieszczonego w *Ateneum* za miesiąc Luty 1878 r. (str. 311—323).

²⁾ Że nasz poeta nie zawsze walczył z losami i że jego laur nie tak gęsto, jak chce Kraszewski, *przeplatany był cierniem*, przekonywa nas świadectwo przy-
wiedzione w broszurze K. Beyera p. t. *Nowe mate-
ryały do historii mennic polskich*, a na którą prof. Przyborowski zwrócił moją uwagę. Oto, jaki w niej
znajdujemy ustęp, wyjęty z aktu miejskich lubelskich pod r. 1598, po ss. Szymonie i Judzie: „Chmielowski
bawił się do 3 godziny w noc u p. Lassoty, gdzie
był także p. Acernus, a potem wracając z gołym
kordem w rękę porąbał mycarza, broniąc się wspo-
mina, iż niedawno miał p. Acernus taką samą sprawę
z Wylagowiczem, a pp. rajcy nakazali *evasia*.“
Dodaje tu Beyer, iż w swęj sprawie Wylagowicz
występował ze skargą, zatem był pobity.

(P. A.)

rodzaju argumentacji, by od niej odwieść chciwego zysku flisa. Historia *Nurka*, *Nitoperza* i *Krzsa Jeżynowego* jest tylko do niej poetyczną ilustracją i, jeżeli w dalszym ciągu daje przepisy żeglugi, to jedynie w tym celu, by nieoględnych ostrzedz przed szkoda.

Rozbiór *Worka Judaszowego* ze względu na obszerność poematu więcej miejsca w studium zajmuje; wszakże i w nim Kraszewski ograniczył się jedynie na streszczeniu ważniejszych rozdziałów lub przytoczeniu ich tytułów. Niekiedy tylko przytacza z niego charakterystyczniejsze ustępy lub same osnowe własnymi uwagami przeplata. Jeżeli jednak *Flis*, jak się ktoś dowieć wypisał, jest tylko wierszowanym traktatem o nawigacji; to z daleko większą słuszością *Worek Judaszów* można by nazwać traktatem prawniczym, a przynajmniej poetyczną ilustracją prawa miejskiego. Bez jego pomocy, a nawet w ogóle powiedzmy, bez znajomości prawa, poemat ten gruntownie rozebrany być nie może. Co krok bowiem, czytelnik spotyka się tu, albo z kazuistyką i jakąś teorią prawną, lub też z obrazem, skreślonym według postępowania sądowego. Na tę stronę poematu nie powiemy pod względem poetycznym dodatnią, ale nader ważną ze względu na historią życia obywatelstwa w XVI wieku, Kraszewski nie dość zwrócił uwagi. Jakże to ciekawy ustęp o *przechołupstwie*, czyli wykradaniu miodowych dzieni, i ta straszna kara, jaka spotykała według prawa bartnego schwytanych na gorącym uczynku! Albo o przepkupywaniu elektorów przez kandydatów na urzędy miejskie, lub wreszcie wyjątek o *ludokupstwie*, które bliżej należało wyjaśnić. Nadto Kraszewski pominął rozdział: „*O przyczynach wszęgo złego*,” — jeden z najciekawszych ze względu na dosadny obraz badania sądowego za pomocą tortur i tracenia złoczyńcy. Wyznajemy, iż ustęp ten bynajmniej nie budzi estetycznego wrażenia; owszem, wstrętem przejmie. Ale też nikt na *Worek Judaszowy* ze stanowiska piękna zawatrwać się nie będzie. Jest on z innego względu ważny: jako obraz z życia niższej warstwy społeczeństwa polskiego. A właśnie ów opis egzekucji z udziałem cechów zbrojnych, stawia nam przed oczyma jedną z tych scen pełnych grozy, która była częścią życia miast naszych. Również pominięto bardzo wiele ustępów dotyczących rozmaitych kruczków prawnych, podstępów praktykowanych w ówczesnych sprawach cywilnych, — a ileż obok tego jest tu zwrotów, wyrazów, terminów, domagających się

wyjaśnień! Na jedno wszakże z Kraszewskim bezwarunkowo zgodzić się można, mianowicie: co do braku estetycznej strony poematu zarówno w treści, jak i w nkladzie. „Jestto raczej — powiada — analiza metodyczna moralisty, niż zbiorowe spojrzenie poety, którego porządek w piękności, nie w regularnym rozcięciu myśli na kawalki” (str. 122). Jakoż jest to szereg obrazów, tak nieorganicznie z sobą spojonych, że właściwie myśl przewodnia utworu dopiero w epilogu, przyczepionym luźnie do całości, wypowiedzianą została. Epilog ten, noszący tytuł: *Akeldema* (Krwawa rola), właściwie dopiero daje nam pojęcie o tém, co tkwiło w duszy poety, a czego w poemacie wypowiedzieć nie umiał. Myśl ta widocznie towarzyszyła poecie w ciągu pisania całego utworu, skoro w przedmowie do *Lichanskiiego* powiada: „że w tym Worku są niektóre rzeczy śmiechem, ale nie do śmiechu pisane.” Taki jednak, jak go skreślił poeta, jest tylko, jak powiedział Kraszewski „osobliwszą satyrą, w której rozmowienia i cytacye, osobiste uczucia, moralne sentencye, obrazki, modlitwy, pomieszane razem leżą i na pierwszy rzut oka, trudno pojmującą się całość porządną składają” (str. 132). Jeżeli jednak zbiorom polskich utworów Klonowicza można wiele braków i to jedynie z dzisiejszego stanowiska zarzucić, to opracowaniem i streszczeniem poematu *Victoria Deorum* (1587), Kraszewski znakomitą oddał literaturze usługę. Poemat ten w swoim czasie za heretycki uznany, po wyjściu z druku w wielu miejscach ręką kata palony, nietylko dziś, ale i wcześniej, do dzieł rzadko spotykanych należał i mało był znany szerszemu kołu czytelników. Krasicki w dziele *O rymotwórstwie i rymotwórcach*, Brodziński w uniwersyteckich literatury polskiej wykładach, zaledwie ogólnikową podają o nim wiadomość. Tłumaczenie polskie, o którym nadmienili Czaicki i Juszyński, jeżeli dotąd istnieje, jest nie ukończone, i w rękopiśmie ukryte — słowem studium Kraszewskiego jest jedynym źródłem, z którego ogół o tym poemacie może zaczerpnąć więcej szczegółową wiadomość. Rozbiór ten jest jednym więcej dowodem cierpliwości, niezmordowanej pracy naszego autora. Streścić 44 pieśni dydaktycznego utworu, nie przedstawiającego w swój osnowie jednego ciągu, ale dotykającego najrozmaitszych przedmiotów; wydobyć z powodzi suchego rozumowania, zawarte w tej sturamienną satyrze prawdziwie poetyczne ustępy i z nieprzebranych, często powszednich szczegółów uchwycić

cić myśli, istotnie zdradzające w Klonowiczu głębszego nad swój czas myśliciela—było zadaniem, które może nie zadziwiać w badaczu wyłącznie poświęconym krytycznym studyum tego rodzaju, ale nie w piarszu, przywykłym przebywać częściej umysłem w krainach ideału i sztuki. Pracą tą Kraszewski dał przykład, że studia tego rodzaju, nietylko nie zabijają natchnienia, ale owszem są dla umysłu najposilniejszym pokarmem. Pomijając zarzut rozwlekłości, Kraszewski wiele zalet temu utworowi przynajduje. Przedewszystkiem łatwą i piękną budowę wiersza, oraz język, nieskażony barbarizmami i w wielu ustępach, przypominający tok klasycznych pisarzy. Co do wewnętrznej zaś wartości: wielką żywotność przewodniej idei, uderzającej na instytucję szlacheństwa rodowego w chwili, gdy to, zwątlivszy władzę królewską, zapanowało nad biegiem spraw państwowych i nieprzebytym murem przywileju oddzieliło się od niższych warstw narodu, ujarzmiając je dla własnej korzyści. Idea ta ma t6m głębsze znaczenie, że Klonowicz w zasadzie bynajmniej nie uznaje absolutnej stan6w równości, że nie odrzuca arystokracji, ani szlacheństwa, gdyż wie, że wyższość z rozmaitych usposobień i zdolności, z którymi ludzie na świat przychodzą, wynika; ale wymaga, by wszelki przywilej a zat6m szlacheństwo, opierało się na *enocie i pracy*. Powstaje więc tylko na przesady rodowe, nie opierające się na osobistej wartości, ale na przodków zasłudze. Dowodząc, że szlacheństwo jestto rzecz nabyta, że przymioty ojc6w nie zawsze na syn6w przechodzą, słowem, że rody nikczemnieją i przeradzają się z czasem, wykazuje zarazem t6j degeneracji przyczyny i pomi6dzy inn6mi stawia powierzanie dzieci mamkom, których wpływ na charakter wychowanc6w bezwarunkowo uznaje. Kraszewski powiada, iż „przeczuł on i uprzedził dobrze późniejsze nauki Rus-sa w *Emilu*, które za taką nowość okrzy-czane były“ (str. 159). Właściwie zaś Klonowicz był trzecim z rz6du u nas pisarzem, który t6j kwestyi dotykał. Pierwszym bowiem, który przeciw temu energicznie protestował, był *Erazm Glicner* (*Ksi6żki o wychowaniu dzieci*, 1558); drugim: *Mikołaj Rej* (*Zwierzciadło Żyw. Pocz. Czł.* 1567). Wreszcie nast6py, w których Klonowicz powstaje na zbytki możnych, na duchowieństwo „kt6remu r6d wysoki daje prawo do bogatych prebend, niedościgłych ubogim,“ na zepsucie kobiet miejskiego stanu, na ucisk wieśniaków, oraz na żyd6w, wyzyskujących bez pracy wszystkie źródła bogactw krajo-

wych—autor do wydatniejszych i charakteryzujących 6wczesne społeczeństwo, zalicza. Myli się wszakże Kraszewski, jak się i wielu, w skutek fałszywie podanej daty jego śmierci, myliło, co do znaczenia allegoryi, zawart6j w samym tytule i w ustępie o Gigantach. Nie mógł bowiem Klonowicz stosować mytu o walce Syn6w ziemi z Łowiszem do walki rokosz z Zygmuntem III, która dopiero w lat cztery po jego śmierci a w dziewiętnaście po wydaniu poematu wybuchła. Mógł mieć tylko na myśli w og6le walkę stanu szlacheckiego z władzą królewską, która się od bardzo dawna ciągnęła. A jeśli przeczuł, że się kiedyś w otwartą, domową wojnę zamieni, to tylko dowi6dl, jak wzrokiem siegał w przeszłość daleko.

Rozbi6r drugiego poematu lacińskiego Klonowicza: *Bozolanina*, Kraszewski ze swego studyum wył6czył.

Studjum o *Janie Kochanowskim*, najobszerniejsze ze wszystkich (Nowe Stud. Lit. T. II, od 1—3 str.) przedstawia pod wzgł6dem biograficznym te same niedokładności, jakie musieliśmy w Klonowiczu wykazać. Nie należą jednak zapominać, że Kraszewski był pierwszym, który na rozleglejszą skalę nad tym poetą pracę rozpoczął; że nie miał pod ręką źródeł archiwalnych, z których professor Przyborowski mógł korzystać i innym do nich drogę ukazać (*Wiadomość o życiu J. Kochanowskiego*) Poznań roku 1857); że dziś nawet jeszcze pomimo nader ważnych dokument6w ogłoszonych przez ks. Gackiego (*O rodzinie J. Kochanowskiego, Warszawa 1869 r.*) i niedawno w języku niemieckim wydanej pracy p. Rafała Loewenfelda (*Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen, Posen 1875*), wiele jeszcze kwestyi, odnoszących się do różnych chwil życia naszego poety, nierozstrzygniętych zostaje: wszelkie zatem prostowanie fakt6w, przez Kraszewskiego mylnie podanych, byłoby to zbyt6czn6m. Jeden wszakże zarzut zmuszeni tu jesteśmy zrobić, mianowicie: że Kraszewski niepotrzebnie trzymał się daty urodzenia, na rok 1532, oraz śmierci poety, na r. 1585 przez Starowolskiego i Bohomolca podanej, gdyż już Krasicki z nagrobku spisanego w Żwoleniu, obie te daty, w dziele sw6m: *O rymotw6rstwie i rymotw6rcach*, sprostował. Zresztą, rozbierając utwory Kochanowskiego, autor trzyma się t6j samej metody, co i w studjum nad pismami Klonowicza. Streszcza każdy utwór ważniejszy, przytacza piękniejsze z niego wyjątki, zwraca uwagę na poetyczniejsze wyrażenia, a wreszcie tu i owdzie rzu-

ca własne poglądy, które mu sama osnowa nastrecza. Przedewszystkiem podnosi uczucie religijne poety, które mu zjednało popularność w narodzie; zwraca uwagę na język i słuszenie, gdyż jeżeli Kochanowskiemu genialność przysnać należy, to głównie z tego względu, iż na swój czas był w nim mistrzem nad mistrze. Myli się jednak, gdy mówi, iż do jego wystąpienia, w kształceniu się języka nie było żadnej gradacyi; że od razu z pod jego ręki wyszedł uzdolniony do malowania najdelikatniejszych odcieni myśli (str. 21). Nie można bowiem tracić z uwagi prozy Marcina Bielskiego, Jana Seklucyana, którzy jeszcze przed wyjazdem za granicę Kochanowskiego wydali, pierwszy: *Żywoty filozofów* (1545 r.) i *Kronikę Świata* (1550); drugi: Przekład pisma Ś. (1551—2). Prace te, równie jak Psalm (1533) i *Żywot Józefa Mikołaja Reja* (1545 r.), musiały choć z grubsza wpłynąć na wyrobienie języka, z którego mógł Kochanowski korzystać. To jego wszakże udoskonalenie Kraszewski wyłącznie pod względem stylistycznym rozważa, pomijając jego morfologiczne własności. Było to zresztą niepodobnem, skoro nie miał pod ręką, czy też nie chciał do swego studium użyć wydań pierwotnych; że zaś tak było, pokazuje się ztąd, iż liryki dzieli na 4 księgi, podczas gdy we wszystkich wydaniach do czasów Franciszka Bohomolca, powszechnie je na dwie dzielono. Widoczna więc, że się głównie na jego edycyi lub wydaniu Mostowskiego opierał. Dla tego też pominął w swęj pracy wszystkie prace bibliograficzne, odnoszące się do nader licznych wydań, tak pojedynczych, jak i zbiorowych dzieł poety; a przecież tylko tym sposobem można było jego wpływ na współczesnych i potomnych wykazać. W swém uwielbieniu zresztą dla Kochanowskiego nie chce wiedzieć o tém, co zapożyczył od starożytnych pisarzy; dość mu, „że co cudzego przybrał, po swojemu przerobił (T. II, str. 24).“ Podobna wszakże krytyka nie może zaspokoić naukowych wymagań. Owszem, tylko wykazując z całą skrupulatnością, co Kochanowski wziął od innych, a co wysnuł sam z siebie, możemy według właściwej miary jego zasługi ocenić. I tak Kraszewski powiada: „że nasz poeta lubi sentencje i aforyzmy, lubi filozofować w swych pieśniach (str. 24)“; zdawałoby się przeto, iż te maxymy czerpał albo sam bezpośrednio z życia, albo je przytaczał, jako wytwór zbiorowy praktycznej narodowej mądrości. Tymczasem są one po największej części zapożyczone z Horacego. Gdyby Kraszewski *Pochwałę dobrą żony*

porównał był z 24 odą III-jej księgi tego poety, natenczas nie byłby się o nięj wyraził, że Kochanowski „myśl w nięj wziął za uczucie i ułożył w rymy to, co ledwie na pogadankę z przyjaciелеm wystarczyć mogło“ (str. 24). Co do nas—pieśń ta, ani mniej, ani więcej poetyczna od innych, jest tylko wyrazem praktycznego zapatrywania się na życie, które Kochanowski przyjął od swego mistrza dla tego właśnie, że ono odpowiadało jego usposobieniu. To samo wypada powiedzieć o rozbiórce pieśni VI ks. I. (podług wydania Bohomolca—właściwie IV ks. II.). Kraszewski powiada, że pieśń ta „mogłaby stać za odpowiedź, gdy mu ofiarowano Opactwo Sieciechowskie, i że z nięj się przekonywamy, że nie rymował naśladowanych uczuć, przejętych, ale własne swoje“ (str. 27). Tymczasem jest ona dosłownem tłumaczeniem XVI odst. III ks. Horacego: *Inclusam Danaen turris ahenca*. Kochanowski w nięm zaledwie kilka wyrazów zastosował do miejscowych okoliczności. Wyraz np. *Satellites* wyłożył przez *janczarów*; *zbiory Apulii* przez *Zoławskie i Gdańskie pożytki*; *mella Calabriae* przez *posieki podolskie*; *campi Mygdonais* przez *bagate pola węgierskie*. Podobnie dałoby się o innych pieśniach Jana powiedzieć, które Kraszewski za jego własne, oryginalne wtedy uważał. Taką jest pieśń XXIV. ks. I, w której sobie poeta nieśmiertelność rokuje (Hor. Lib. II. Oda XX. Ad Maccenatē); taką IV. ks. II. (Hor. oda XXIX. ks. III.); taką wreszcie *Pochwałę Dzbana*, odpowiadającą XXII odst. Horacyusza, *ad amphoram*. To niedopatrznie się ze strony Kraszewskiego tém więcej zadziwia, iż sam powiada, że „słyszy głosy, wymawiające imię Kochanowskiego z niejaką pogardą, powtarzające trywialny zarzut, że nie jest narodowym, że czysto naśladowca tylko, tłumacz, nie że stworzył własnego, cudze myśli przelewał, cudzego kroju wierszami.“ (str. 47). Słowa te wymierzone były podobno do A. W. Maciejowskiego. Widocznie więc Kraszewski obawiał się, by krytyczna dyssekcyja dokonana na utworach ulubionego mu poety nie zmniejszała w oczach zwykłych czytelników jego wartości. Czyż jednak tak rozmyślnie zacieranie zką inną zapożyczonych w nim myśli, rozstrzygało kwestyę stanowczo? Właśnie dla tego, że powstały tak niesłuszne, pełne nprzedzenia dowodzące głosy, należało odważnie wszystkie zapożyczone miejsca wykazać. Wtedy ujawniłoby się, że *actica* o wiele przewyższają *passiva*—słowem, że nie ma się czego lękać o jego sławy bankructwo. Zresztą, czyż

przekład *Psalterza* muić nam się pięknym wydaje dla tego, że Kochanowski nie swoje myśli i uczucia, lecz uczucia i myśli króla-proroka odtwarzał? Wiek XVI nie był właściwie u nas wiekiem oryginalnych utworów. Nimeśmy mogli wystąpić z czem samoistnem, należało pierwć przyswoić sobie cały umysłowy ludzkości dorobek—bogata po starożytnych spuściznę i tego właśnie Kochanowski po mistrzowsku w poezyi dokonał. A czyż małą było z jego strony zasługą, że do treści klassycznej umiał zastosować formę, że język młody, niewyroblony, podniósł do doskonałości wzorów, na których sam ducha swego wykształcił? Nie będziemy też zastanawiali się dłużej nad każdym rozbiorem utworów Jana, dokonany przez Kraszewskiego. Brak ściślej krytyki wykazaliśmy powyżej. Również przytoczyliśmy jego sąd *O odprawie posłów Greckich*, mówiąc o dramacie w ogóle. Tu nadmienimy, iż to, co wypowiedział w *Gawędach o literaturze i sztuce* o Kochanowskim, jest w części powtórzeniem tego, co o nim w *Nowych Studiach* napisał. Musimy tu jednak stanąć w obronie Krasickiego. Kraszewski powiada, że Polska chlubi się Kochanowskim od trzech stuleci, że nawet „w czasach upadku literatury, cześć dla wielkiego poety nie zmniejszyła się, że w stanisławowskiej epoce Naruszewicz go chętnie przytacza i że jeden tylko Krasicki, stawiając na równi z Piotrem, czem dowiódł, że go wcale nie pojął“ (str. 105. T. II.). Otóż tego zarzutu nie pojmujemy, doprawdy. Z wyjątkiem bowiem Sarbiewskiego, Krasicki ani jednemu z polskich poetów, nie poświęcił tak obszernego życiorysu w swęj pracy, jak Kochanowskiemu; powtórę, zajmując się każdym niemal obszerniejszym utworem, poświęca mu krótką, ale charakterystyczną ocenę. Gdzież tu więc ślad lekkiego traktowania? Co zaś do postawienia z nim Piotra na równi — tego nigdy nie mogliśmy się doczytać. Wprawdzie z kolei—Piotra zaraz po Janie umieścił, ale czyżby to miało znaczyć, że obydwoim jednakie miejsce w literaturze przyznaje?

Następuje krótkie studjum o *Mikołaju Sępie Szarzyńskim*. Autor niewiele szczegółów z jego życia przytacza. Właściwie też i dotąd nie przybyło nowych faktów, któreby na tę młodzieńczą, sympatyczną postać, jakie światło rzuciły. P. Faleński w prelekyi, dotąd nieogłoszonej drukiem, a mianć w r. 1876, opierając się na osnowie utworów poety, zrobił kilka trafnych przy-

puszczeń co do jego osobistosci. Jakoż zdaje się, że dotknięty chorobą piersiową, szukał ratunku w łagodnym włoskim klimacie; że choć wątły ciałem, nosił w piersiach bohaterskiego ducha, jak świadczą jego pieśni, pełne uwielbienia dla czynów rycerskich: Herburta, Strusia i sławy wojennć króla Stefana; dalej, że nie był obojętny na wdzięki niewieście, jak to można odgadnąć z zakończenia utworu napisanego: *Pannie Jadwidze Tarłównie g'woli*, i że wreszcie natchnienie czerpał głównie w myśli o śmierci, którćj zbliżenie się przeczuwał. Współcześni narówni Sępa z Kochanowskim stawiali; A. W. Maciejowski nie wahał się zaopiniować, że gdyby dłużej żył, byłby samego Kochanowskiego przewyższył (Piśmiennictwo); Kraszewski—tylko co do ducha, co do siły natchnienia, jedno mu stanowisko z Janem przyznaje, ale co do form języka, władania nim i smaku, o wiele niżej go stawia. Wiersz jego — powiada zawsze jest twardy, chropawy, więcć w nim zresztą filozoficznych myśli i zdań, niż obrazowości, więcćj moralu, niż poezyi (T. II. str. 119). Że pod względem malowniczości języka nie może Kochanowskiemu wyrównać, na to każdy się zgodzi; ale sądzimy, iż nawet niepodobna zestawiać ich z sobą co do duchowego nastroju, a który podług nas, w Szarzyńskim, przedewszystkiem objawia się w *sonetach*. Kochanowski pierwszy wprowadził tę formę do literatury polskiej (sonety: do Franciszka i Stanisława Wapowskiego); ale Sęp nadał im odrębny i właściwy sobie charakter, nawet gdy treści zapożycza od Petrarki. Jeżeli język w nich nie jest malowniczy, harmonijny, to natomiast jakaż w nich więźność i głębokość myśli! Kraszewski zwrócił uwagę tylko na dwa jego sonety, mianowicie: *III. do N. Panny* i *V. O nieśmiałćj miłości świata tego*. Tymczasem wszystkie, prócz sonetu do *Tomickieg* (VI.) warte są szczegółowego rozbioru, z każdego z nich technie dusza rwąc się z utęsknieniem do swego źródła—do Boga, bo w nim widzi jedyny cel życia, jedyne szczęście i piękność prawdziwą. Poetyczne wrażenie nietylę tu płynie z pojedynczych obrazów, ile z samego pomysłu. Kochanowski, zwrócony do rzeczywistości, wdrożony klassycznymi studjami do przedmiotowego zapatrywania się na świat otaczający, który mu się tćm pięknić przedstawiał, im mu jaśniej świeciło słońce, nie wzbraniał do serca przystępu żadnym uciechom, jakich mu życie ziemskie mogło dostarczyć; Szarzyński zatopiony duchem w wieczności, widział w świecie

samę tylko znikomość. Ztąd taki eteryczny, tęskny w tém oczekiwaniu zagrobowej przyszłości. To też sądzimy, iż go zbyt surowo osądził Kraszewski, mówiąc: „że postawiony obok mistrza, zda się bełkotać niewprawnie“ (T. II. str. 126). Głębsza w nim bowiem myśl panuje, w wyższym stopniu ożywia go religijne uczucie. Gdy Kochanowskiemu złota mierność, ucziwa żona, dzieci, kółko wiernych przyjaciół, w zupełności wystarcza dla szczęścia; Sęp przeciwnie śpiewa: „Że dla duszy zawiedzionej wszystko mało—

Gdy Ciebie (tj. Boga), wiecznój i prawej piękności
Samój nie widzi, celu swój miłości (Sonet V.).

Nim z kolei zajmujemy się poglądami Kraszewskiego na epokę Stanisławowską i działalność Naruszewicza, jako poety; nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o jednej z jego prac znacznie późniejszych, ale w ścisłym zostającej związku z epoką złotego wieku i artykułami, zamieszczonemi bądź w *Studjach Literackich*, bądź w *Gawędach o Literaturze i sztuce*. Chcemy tu mówić o studyum, odnoszącem się do *Mikołaja Reja* pod tytułem: *Dzis i lat temu trzysta*. Rej, ze wszystkich pisarzy XVI stulecia, jest bez zaprzeczenia najsympatyczniejszą dla Kraszewskiego postacią. Zarówno w *Życiu domowém dawnych pisarzy*, gdzie się głównie jego biografią zajmuje, jak i w artykule: *Sztuka dramatyczna w Polsce*, gdzie kreśli wyczerpującą charakterystykę jego talentu — jemu stosunkowo najdłuższe poświęca ustępy i pomimo całego uwielbienia dla Jana, uważa go za jedyną typową postać. Autodydaktyk, zawdzięczający jedynie własnej pracy szczerupły zakres dorywczo pochwytanych wiadomości, miał jednak tę wielką cnotę, iż nie chciał uchodzić za uczeńszego, niż był w istocie, i otwarcie się do nieuctwa przyznawał. Co więcej! nawet szyderstwa i szkalowania współczesnych, nie zdołały go zwrócić z raz obranego toru. W téj obojętności, z jaką przyjmował pociski, zwłaszcza katolickich pisarzy, tém nieprzyjaźniejszych dla niego, że w nim widzieli wpływowego przedstawiciela reformy; w téj wytrwałości, z jaką do późnego wieku na swoim stanowisku pozostał, Kraszewski wyznaje najwymowniejszy dowód wielkiego jego talentu, który, nie dbając o rozgłos i sławę, wypowiada się, jak Bóg dał, koniecznością do tego swęj natury zmuszony. I właśnie to, iż Rej swój zawód literacki, jako obowiązek pojmował, daje miarę wysokości jego wartości (Gawędy o lit. i szt. str. 148). Jaki plon doświad-

czenia zebrał w życiu, takim z innymi po bratersku się dzielił, nie ukrywając zdobytego światła pod koszem. Tym najwspanialszym plonem Reja było ostatnie jego dzieło: *Żywot poczciwego człowieka*, i niemię się też głównie Kraszewski w swém studyum: *Dzis i lat temu trzysta*, zajmuje. Właściwie jest to raczej studyum obyczajowe, niż literackie, ale nader ciekawe, ze względu na paralelę, jaką w niemię Kraszewski przeprowadził pomiędzy XVI a drugim dziesiątkiem drugiej połowy XIX stulecia. Znajdzie tu czytelnik nie jedną uwagę, nie jedno trafne porównanie, z których może wyciągnąć zbawienny obrok dla siebie. Do takich należy zestawienie różnicy pomiędzy ówczesnem a dzisiejszém wychowaniem, pomiędzy dawném a obecném pojmowaniem szlachectwa; dalej ustęp o braterstwie i potrzebie jednoczenia wszystkich klas społeczeństwa; o korzyściach podróżowania i zagęszczonej dziś, bezcelowej po obcych krajach włóczędze; wreszcie o starości, nieumiejącej się dziś szanować, zachowującej wszystkie pretensye młodzieńczemu wiekowi właściwe, a ztąd nieodbierającej od młodszych należnej czci i poważania. — Są to, powiadamy, bardzo cenne ustępy, zasługujące na uwagę każdego myślącego czytelnika. Sądzimy jednak, iż Kraszewski w wielu razach zbyt znacznie poniża obecne czasy, przyznając im odnośnie do przeszłości takie strony ujemne, których one rzeczywiście nie mają. Przyznaje sam, że ludzie zawsze są ludźmi, że tylko warunki, w jakich zostają i dążenia wieku, w którym żyją, nadają im cechy odmienne. A jednak téj zasadniczej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy społeczeństwem XVI stulecia a naszym Kraszewski nie uwzględnił w swém studyum. Choćby z tego względu, że społeczeństwo dzisiejsze jest bogatsze o całą sumę moralnych i umysłowych nabytków, jakie w ciągu ubiegłego trzechsetlecia zdobyło, już tém samém przewaga po jego stronie wypada. Tym czasem Kraszewski nie zdaje się pod tym względem uznawać jakiegokolwiek postępu. Ztąd kosztem teraźniejszości często przeszłość przecenia. Dla poparcia naszego twierdzenia, wężmy tylko parę przykładów. I tak, o zbytkach stołowych Kraszewski twierdzi, iż te w połowie XVI w. więcej były dla oczu, gdyż według Reja, na jedną misie podawano barana pozłocistego, na drugiej lwa, na innej kura, a jeszcze na inną panią ubraną — słowem, sadzono się na pokaz, gdy dziś sadzą się na to jedynie, by dogodzić bruchowi. Otóż sądzimy, że i dziś i wówczas

cel był jeden i ten sam. Dogadzano bruchowi i to w sposób niepomierne, skoro po opisie zastawy Rej w końcu dodaje: „Patrzże, jakiego żołądka trzeba na takie zaklione a zazięble potrawy; albo téż na ony zapalone, co je winy, albo muszkatelami zalewają. Wieg zasz znowu lać w gardło oni soki, ony witpachery (gatunek wina drogiego), ony rozekery, małmazye, muszkatety. A jakoż tu chłop zgorzćć nie ma? A jakoż tu może być długi żywot jego? A on, jako pies obżarły, ledwo doleżie do barłogu swego, a dobrze jeszcze, iż chłop tamże razem za stołem nie zdechnie“ (Żyw. Pocz. Czł. str. 123. Wyd. Tur.). Zdaje się, iż ten ustęp dosadnie charakteryzuje ówczesne biesiady; a jeszcze pytanie, czy owe wymienione przez Reja napoje, przy ówczesnych środkach komunikacyi i wartości pieniężnej, nie z większym były sprowadzane kosztem, niż dzisiejsze francuzkie, włoskie, hiszpańskie wina, niż pasztety, marynaty, soje indyjskie, ostrygi, które Kraszewski wyrzuca dzisiejszym smakoszom? Zapewne, ludzie i dzisiaj zbytują, ale nie powiemy, żeby dzisiejsze biesiady „były poczwarniejszych rozmiarów“, niż za Rejowskich czasów. Przynajmniej mają przyzwoitszy charakter, pewien smak estetyczny je cechuje.— W inném znowu miejscu Kraszewski robi zarzut, iż pieniądź stał się jedyném naszych czasów bożyszczem. „Dawniej wiodło się walkę ze światem materialnym o oswobodzenie się od niego; dziś zaś o podbicie go i opanowanie.“ Co więcćł dodaje — „znaleźli się panegirzyści, co dowodzili i dowiedli wedle siebie, że nawet pocziwym, rozumnym, ani silnym duchem być nie można bez grosza, że kraj szczęśliwym być nie może, ani wielkim, jeśli nie zapisze się w tę niewolę spekulacyi i handlarstwa.“ Że tak jest w istocie, to niestety! dowodzi tego i ekonomia polityczna i statystyka i historia i życie jednostek. Któż np. w dzisiejszych czasach może dać dzieciom gruntowne wykształcenie, zabezpieczyć im przyszłość, zasłonić przed nędzą materialną i moralną, jeżeli nie posiada, lub nie zdobędzie zabiegliwości i pracy, odpowiednich zasobów? Bez pieniędzy dziś i za czasów Reja nic nie można było zbudować. I Jan Kochanowski powiada, że człowiek musi posiadać dwie dusze: jedną w ciebie, a drugą w kalecie, że bez jednej żyć nie można, a bez drugiej źle mu się dzieje. Ale Kraszewski, pisząc swoje studjum, był w takiém samém usposobieniu, w jakiém tworzył *Choroby wieku*, w jakiém wypowiedział to zdanie, iż woli na

pół rozwaloną, poetyczną naszą chatkę wieśniaczą, niż zamożną fermę czy kolonią za granicą, dowodzącą zmaterializowania epoki. Ztąd dla poparcia swych idealistycznych poglądów i przeszłość doniechnął. Jakoż powiada: „że rycerz, żołnierz, duchowny, ludzie, co ze swego stanu mogli się ubiegać za zyskiem, stali w hierarchii społecznej na czele i u szczytu.“ Tymczasem wiemy z kąd innąd, że właśnie rycerstwo najwięcej wzbogacało się wojennemi łupami; co zaś do duchowieństwa, stojącego u szczytu, to przecież opływało ono w jak największe dostatki i bynajmniej nie miało dla nich pogardy. Podobnie niensprawiedliwionych zarzutów można by wypisać całe szeregi. Z większą już słusnością autor zarzuca dzisiejszym czasem upadek charakterów i, co za tćm idzie, brak wszelkiej opinii. Dawniej przed człowiekiem nieuczciwym, gdy siadł za stołem, obrus rzezano; dziś powiada: „przyzwoitość nie dozwala nawet ostatniemu łajdakowi drzwi zamknąć lub ręki nie podać.“ Wszystko to prawda. W wielu razach nie mamy odwagi wypowiedzieć czynem, jawnie, naszych przekonań. Ale wiadomo, że opinia wyrabia się w pewnych tylko, nie od nas zależnych warunkach.

Pomimo wielu niezasadnionych zarzutów, jakie stawia społeczeństwu Kraszewski, całość studjum, jest nader pocezająca i ze względu na różnicę czasów i obyczajów wielce ciekawą. Jedynie tylko przebijający się w nich tendencyjny charakter, stanowi jego stronę ujemną.

Od pisarzy XVI stulecia — przechodzimy do Naruszewicza. Nadmienię tu wypada, iż w ogóle Kraszewski, dotykając epoki stanisławowskiej, ma zawsze dla niej wyraz potępienia na ustach. Z tćm większćm przeto lekceważeniem i niechęcią w Nowych Studiach traktuje całą jćj niemal literaturę, im bliższym był czasów romantyzmu, który dodatnie, narodowe ideały wytworzył, i nie tylko odmawia jćj wszelkiej wartości, ale nawet nie chce uznać pomiędzy nią a nowszą poezją żadnego pobratymstwa, żadnego związku. Więćł powiemy! uważa ją nawet „za umarłą dla nas zupełnie“ (str. 129). „Przeznaczeniem tćj literatury — powiada — było słodzić królewskie troski, rozweselać czwartkowe obiady — jćj missyą bawić i bawić tylko“. Była to „poezya w szacie dworaka na pół, na pół arlekina“ (str. 133). Prace tylko historyczne owego czasu i satyra — stanowią według niego wyjątek. Przyszając wszakże satyrze niespożytyą wartość, potępia stulecie, którego ona była wyrazem. Wiek XVIII — powiada — „był

wiekem sceptycyzmu, reakcyi, entuzjazmu dla pięknych marzeń, a szyderstwa dla wiary. Wszystkich oczy zwracały się na Francją, wszyscy z nią sympatyzowali, poklaskiwali jęj szalom, naśladowali wybladłą jęj literaturę klasyczną, wielbili teorye polityczne. Polska przed chwilą jeszcze religijna, jakby w nięj nie powstała reforma, nagle zachwiała się w wierze swojęj i pobiadła, tuląc ostatki religii do wyłękłego łona“ (str. 134). Dodajmy, iż podobne poglądy wypowiadali i inni w owych czasach pisarze. Magnuszewski, Wójcicki, Pol, Ig. Chodźko, H. Rzewuski, M. Grabowski, Z. Kaczkowski — zawsze o epoce stanisławowskiejęj wyrażają się z przekąsem. To w nięj sławią jedynie, co się starych pojęć, dawnego obyczaju trzymało. Było w tém może trochę słuszności, ale więcęj jeszcze uprzedzenia, że nie powiemy — historycznego fałszu. Najzagorzalsi bowiem wielbiciele tego dawnego obyczaju nie mogliby chyba zaprzeczyć, iż Polska, która od XV i XVI wieku szła ręką w rękę z zachodem, w ciągu XVII i pierwszjęj połowy XVIII popadła w zupełne umysłowe bankructwo, z którego należało się jęj podźwignąć, by dogonić zachód na drodze naukowego postępu i nie pozostać nazawsze pogrążoną w ciemnocie. W XVI stuleciu — cywilizacya głównie z Włoch do nas płynęła i dziś nikogo to nie gorszy, iż z tamtąd przejmowano obyczaj, stroje, że wielu z naszych pisarzy obok klasycznych, tłumaczyło i naśladowało włoskie twory. Jak zaś w XVI wieku Włochy, tak w XVII i XVIII Francya przodowała Europie w oświacie. Gdzież więc miano się udać po naukę, jeżeli nie do jęj szkół i literatury, którejęj ealy świat ówczesnie przyznawał pierwszeństwo? Właściwie nie było tu wyboru. Tylko na nieszczęście blisko przez dwa wieki prowadzona w Polsce jezuitcka gospodarka, bynajmniej nie przygotowała ogółu do przyjęcia i przyswojenia sobie nowych cywilizacyjnych żywiołów. By ocenić, co w nowych ideach było rzeczywiście postępowego, nie posiadał on żadnego kryterium. A im gdzie była większa próżnia umysłu, im odebrane poprzednio wychowanie mniej było zdolne złe skłonności przytłumić; tém skwapliwięj chwytało się samych pozorów tęg nowęj cywilizacyi, przejmując z nięj tylko to, co rozbudzonym żądżom i namięgnościom schlebowało. Było to nieuniknione następstwo ciemnoty, w jaką Polska w poprzednięj epoce pogrążona została. W XVI wieku daleko więcęj było zepsucia ¹⁾, jawniejszą była bez-

bożność ¹⁾, zuchwalsze aryauizmu, odrzucającego nawet bóstwo Chrystusa, na religię napady; a jednak organizm narodu, przy panującęj oświacie przebył ten kryzys szczęśliwie. Wiek XVIII grzeszył płochością, rozluźnieniem obyczajów, był powierzchowny, przedajny; ale żaden z pisarzy nie wystąpił jawnie przeciw panującęj religii. Jakże więc można ludziom ówczesnym, przodującym w literaturze, w oświacie, pojmującym dążenia swojego wieku, poczytywać za występki, iż dla upadającego społeczeństwa szukali ratunku we Francyi, że się zapatrywali na jęj literaturę i politykę?... Działali oni w duchu czysto obywatelskim, spełnili swoję powinność. W obec jednak przesądów, stojących na zawadzie oświecenia narodu, wobec zepsucia, na które powstawali już XVI wieku pisarze, rola literatury musiała się wyłącznie ograniczyć do satyry, której Kraszewski, ze wszystkich ówczesnie uprawianych rodzajów poezyi, jedyną wartość przyznaje. Obydwóch jednak naszych satyryków z tęg epoki: Krasickiego i Naruszewicza — Kraszewski w Nowych Studiach sądzi nader surowo. Pierwszemu poczytuje za grzech nigdy nieodpuszczony napisanie *Wojny Muichów*; drugiego nie może usprawiedliwić nawet w życiu prywatnem. Przechodząc następnie do jego poetyckich utworów zajmuje się 4-ma księgami pieśni, sielankami i satyrami. Co do pieśni — nazywa je „ogromną kadzielnicą, niestanny dym wydającą u stóp tronu“ (str. 139), i wszelkięj im wartości poetycznej odmawia. Jakoż w istocie, większa część tych utworów nosi czysto okolicznościowy charakter i ma za ośnowę przedmioty tak blade, że w nich trudno nawet dopatrzeć jakiegokolwiek poetycznego żywiołu. Probostwo niemeczyńskie, medal, order, butelka wina w czasie rekolekcyi otrzymana od króla, zdolne są w Naruszewicza obudzić natchnienie, zrodzić odę, dytyramb. Toż samo odnosi się do jego stosunków z możnymi. Nawet sanie ks. Izabelli Czartoryskiejęj, odjazd hetmanowej Branickiēj, urodziny wojewodzica polockiego, zapędzaly jego „pegaza na najwyż-

żon mają; są i ci, którzy z cudziemi żonami ślub biorą i mieszkają“ (*Dzieje w Koronie E. Górnickiego. Wyd. K. Turon. Sanki r. 1855*).

¹⁾ Na weselu Stan. Orzechowskiego kanon. przemyskiego, któremu ślub z Magdaleną dawał pleban Felix z Niedźwiedzia, przy uczcie weselnęj Marcin z Opoczna, także duchowny publicznie bluźnił Sakrament (*Wiałości Hist. Krytyczne J. M. Ossolińskiego. Żywot Orzechowskiego. T. IV. przyp.*). W r. 1552 na sejmie Piotrkowskim, wielu z postów, w obec króla, w czasie podniesienia na mszy o Duchu ś. nie chciało zdjąć czapek ani uklęknąć.

Bielski. Kronika. Str. 595, wyd. z r. 1597.

¹⁾ „Teraz bracia i siostry, synowcy i stryże, i inne powinne powinni pojmując, są i ci, co po dwóch

sze głązy Parnasu. " Jesteśmy wszakże zdania, iż chcąc należycie Naruszewicza ocenić, należy przedewszystkiē wzięć na uwagę czas, w którym powstały owe panegiryczne utwory. Wiadomo, że Naruszewicz bardzo młodo, bo w 15-tym roku życia wstąpił do Jezuitów; że ci, poznawszy w nim górujące zdolności, nie szczędzili kosztów i starań, by go z czasem na przyszłą chlubę zgromadzenia wykształcić. Nie poprzestając też na nauce, jakiej mu udzielić mogli w akademii wileńskiej, wyprawili go do Lugdunu. Po ukończeniu studyów, zalecony przez starszyzną Michałowi ks. Czartoryskiemu, kanclerzowi litewskiemu, jeszcze raz jego kosztem wyjechał za granicę, z kąd wróciwszy, zasilony bogatą wiedzą, miał się teraz zgromadzeniu za odebrane wykształcenie odplacić. Wszakże nie dość było wykładać w kolegium lub akademii poetykę. Kto był Jezuitą, ten z duszą i z ciałem do zgromadzenia należał i wszystkie swe sily i zdolności musiał dla jego interesów poświęcać. Naruszewicz prócz nauki, posiadał jeszcze talent poetycki; zgromadzenie zaś potrzebowało skarbić sobie łaskę JW. i JO., — cōż dziwnego, że poeta jezuicki smażył głowę nad układem panegiryków, które, bogdaj, czy nie pod obedyencyą pisać był zmuszony? O ile wiadomo, pierwszy utwór tego rodzaju ogłosił drukiem w r. 1763, na śmierć Augusta III, od tēj chwili zgromadzenie jeszcze przez lat 10 istniało. Czyż większa część owych pieśni pochwalnych, które mu Kraszewski za grzech poczytał, nie mogło powstać w ciągu tego okresu? Naruszewicz widocznie pisał je z musu; później weszło to u niego w nałóg. Ale gdy zgromadzenie rozwiązane zostało, gdy nie miał już obowiązków zaskarbiać dla niego względów możliwych tego świata, jakże różny od poprzedniego nastrój ducha przebija się w jego satyrach! Wtedy, jakby stał się innym człowiekiem, wylęwa cały zasób długo tłumionej w piersiach goryczy, i z oburzeniem i wzgardą zwraca się właśnie przeciw tym, których wbrew przekonaniu musiał dotąd uwielbiać. Dość przeczytać jego satyrę: „Szlachetność“, zwłaszcza zawartą w niej apostrofę do panów, poczynając się od słów:

„Droga krwi bogów kroplol dusz najwyższych kresie!“ — a kończącą się ową krwawą, rzuconą im w twarz, ironią:

Chciałbym nieco mieć dowodów przecie.
Czy w owym lat ubiegłych i wieków obrocie
Mam ufać tych babulek nieskażonej cnotcie? —

by się przekonać, że nie był to człowiek do pochlebstw stworzony, że w du-

szy jego tkwił hart obywatelskiej cnoty która w tłumaczeniu Tacyty szukała zapomnienia wstrętności, opartej na kłamstwie rzeczywistości. Julian Bartoszewicz usprawiedliwia nawet jego pochlebstwa dla króla (*Wiadomość o ks. Ad. Narusz. i pismach tegoż przy Hist. Nar. Pol. przez Ad. Nar. T. VI wyd. Turowskiego*). Jakoż od chwili rozwiązania zgromadzenia, wszystko, co tylko przyjemnego w życiu doświadczył, zawdzięczał Poniatowskiemu. Codzienny z nim stosunek pozwolił mu bliżej poznać i ocenić osobiste jego przymioty: wrodzoną dobroć serca i najlepsze chęci dla kraju; wdzięczność zaś za odebrane dobrodziejstwa i przywiązanie, czyniły go ślepym na wady kardynałne: brak charakteru i poziomość instynktów. Naruszewicz wierzył nadto w szczerą gwiazdę króla i wszystkie porażki jego polityki przypisywał działaniu ludzi przewrotnych. Że był zdolny do takiej prostoduszności, za dowód może posłużyć wiersz jego: „Na ruinę Jezuitów“, w którym, chcąc wykazać położone przez nich w dziejach zasługi, z całą naiwnością *d'un enfant terrible*, wykrywa wszystkie sprężyny, za pomocą których wywierali swój wpływ na społeczność. To też żałować przychodzi, że Kraszewski zamiast studyować Naruszewicza, jako poetę, nie ogarnął całej jego działalności literackiej i nie zajął się, jak to nawet miał zamiar, ocenieniem jego prac historycznych. Wtedy bezwątpienia byłby zmodyfikował o nim swój sąd dorywczy, „że w życiu dworskim swój talent energii czyni zniarnował“ (str. 156), i w działalności jego stron poważniejszych dopatrywał. Tymczasem, nawet przyznanie satyrom wielkiej wartości, nie zacięra już w czytelniku niekorzystnego wrażenia, wywołanego potępiającym sądem o jego pieśniach, które spycha na stanowisko powinszowań, epithalamiów i hejnałów weselnych. Prawda, że wiele z nich, a choćby ów wykrzyk:

Użał się królu z wysokiego tronu
A nie daj z głodu na starość umierać —

który Kraszewski, w szlachetnym oburzeniu nazywa: „ostatnim stopniem spodlenia“ (str. 140), i na nas przykre robi wrażenie. Ale tēj chwili zapomnienia się, czyż nie okupił później „Głosem umarłych“, tym najpoważniejszym, poetycznym utworem, jaki wydał wiek XVIII? W głosie tym, jak się Bartoszewicz wyraził, poeta streścił całą filozofią reformy politycznej, a w każdym razie wydał nad przeszłością sąd słuszny, snrowy, co wśród zapustnego szalu rozległ się, jak requiem grobowe nad głowami ówczesnego

pokolenia. Ten jeden utwór, może go z wielu błędów, jako człowieka rozgrzeszyć, a dzieje napisane krytycznie i satyry—rzetelny obraz wieku — przeważać swą wewnętrzną wartością blahość sielanek i pieśni. Ten wyrok potępiający całą literaturę epoki stanisławowskiej, zaledwie dopiero w naszych czasach został w części odwołany przez Kraszewskiego w artykule ogłoszonym w *Athenum* z r. 1878, za miesiąc: Luty, Marzec, Maj i Lipiec, a noszącym tytuł: „Krasicki, życie i dzieła.”—Jest to jedno z najobszerniejszych studyów, jakie dotąd posiadamy o autorze Myszeidy. Oprócz pisarzy historii literatury poczynając od Bentkowskiego aż do dni naszych, Kraszewski miał dwóch poprzedników, którzy w osobnych monografiach zajmowali się Krasickim: Franciszka Xawerego Dmóchowskiego i Juliana Bartoszewicza. Pierwszy z nich w mowie, wygłoszonej ku uczczeniu pamięci Krasickiego na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w d. 12 grudnia 1801 r. i noszącej panegiryczny raczej, niż krytyczny charakter, stosunkowo podał bardzo szczupłe wiadomości o jego życiu i pracach, choć zostając z nim w bliskich stosunkach, mógł być coś więcej przytoczyć. Widocznie jednak trudno mu je było domieścić w szczupłych ramach mowy akademickiej, w której, więcej niż o rzecz samą, szło mu o popis i ozdoby stylowe. Jakoż przybrał ją szczerze we wszystkie postacie retoryczne i przyznać trzeba, iż wstęp i antyteza pomiędzy Krasickim i Naruszewiczem udały mu się wybornie. To też prócz anegdotki o podcięciu płaszcza biskupim przez Fryderyka II, i pobudkach do napisania *Monachomachii*, jaką znalazł w zajmowanych przez się apartamentach *Voltaire'a*, podobno nie z niej więcej nie zaczerpnął Kraszewski. Natomiast monografia przez Juliana Bartoszewicza skreślona (*Życiorysy znakomitych ludzi T. I. r. 1850*, oraz *Encykl. Powszech.*), stanowi w jego pracy jakby kanwę, której krzyżujące się nici przeglądają tu i ówdzie z pod pełnego bogatych barw naszycia. Bartoszewicz opracował swą monografią według źródeł, zawartych w *Wiadomościach Warszawskich*, *Nieśickim*, *Bentkowskim*, wreszcie w pismach poety; podał też w niej wiele szczegółów nowych, nieznanych. Źródła te jednak nie były wystarczające do odtworzenia całego ciągu życia biskupa warmińskiego. Ztąd w wielu razach własnymi się domysłami szturkował. Kraszewskiemu traf szczęśliwiej posłużył: mógł korzystać z nader cennej pozostałości po Ignacym Krasickim, mianowicie z jego korespondencji z rodziną,

której udzielenie Alex. hr. Krasickiemu zawdzięcza. Te nieznane dotąd źródła pozwoliły mu w sposób nader dokładny wizerunek wielkiego męża nakreślić.

Krasicki wszakże nie był wyosobnioną jakąś na tle XVIII wieku postacią, ale najzupełniejszą jego syntezą, przedstawicielem krytycznych jego dążeń. Ztąd też nie dość było, jak to zrobił Bartoszewicz, zająć się wyłącznie jego życiem i działalnością literacką. Takie typowe postacie mogą być jedynie pojęte w związku z tém, co poprzedziło ich epokę, i dla tego też Kraszewski swoje studium rozpoczyna ogólnym na dzieje i literaturę poglądem. Biorąc za punkt wyjścia położenie Polski na granicy wschodu i zachodu, rozbiera żywioły składające jej cywilizację i w nich dwa główne dopatruje pierwiastki: ogólnoenropejski, łaciński, zaszczerpiiony wraz z chrześcijaństwem, i swojski, prastary, który zamalgamowany z poprzednim, nadał narodowi właściwe mu oblicze. Polska, przez język łaciński wszedłszy w ścisły związek z zachodem, „odczuwała każde drgnięcie, jakie do XVII stulecia wstrząsało Europą zachodnią”. Ztąd i reforma religijna wcześniej do niej przystęp znalazła i jeśli nie obaliła kościoła, wywarła jednak wpływ przeważny na język narodowy i literaturę, dając jej chwilowo przewagę nad panującą dotąd literaturą łacińską. Skreśliwszy w ogólnych rysach charakter oświaty w XVI w., z której dobrodziejstw przeważnie korzysta duchowieństwo i szlachta, zastanawia się następnie nad przyczynami, które spowodowały szybki upadek języka i literatury narodowej w XVII stuleciu. Do tych zalicza gwałtowną reakcję jezuitę przeciw reformie, a tém samym językowi i oświacie na jej gruncie wyrosłój, oraz cudzoziemszczyznę, panującą na dworach królów obieralnych, na których wzorują się dwory magnackie. Powszechną zresztą demoralizację zaszczerpiają wojny, w których ze swego politycznego stanowiska szlachta, przyjmując udział, odwyka od domu i nabiera właściwych obozowemu życiu nałogów: próżniactwa i skłonności do zwady. Reszty dokonywa życie sejmikowe, konfederacje i zjazdy. Za powrotem do domu, zmuszona bronić zagona przed wdzierstwem przemożnego sąsiada, rozwija w sobie żylkę pieniactwa, które z czasem staje się jego drugą naturą. Gdy wszyscy rwali, „instynkt zachowawczy zrodził prywatę, która doszła do poczwarnych rozmiarów”. Przykład jej od czasów Sobieskiego szedł z góry. Tracono z oczu interes ogółu—każdy myślał jedynie o własnej korzyści. Kraszew-

ski sądzi, iż historycy niesłusznie dopatrują upadku kraju w prawach, instytucjach i organizacji społecznej, że z ludźmi innymi całe inaczejby się działo. Ale już dawno zauważono, że chyba w takim razie, gdyby wszyscy w równym stopniu byli rozumni i ofiarni. Właśnie w tym tkwiła tych instytucji wadliwość, że do ich prawidłowego funkcjonowania idealnie cnotliwych ludzi było potrzeba. To też idea politycznej swobody przerodziła się w samowolę. W takim stanie rzeczypospolitą objęli rządy Sasi: „Byli to królowie dla siebie, nie dla narodu”. Panujące usposobienie do pomnażania prywatnych zbiorów kosztem kraju, umieję wyzyskiwać dla własnej korzyści. „Znalazłszy gotowych do sprzedania się, kupują ich, a kupując, upadają do reszty. Frymark sumieniem politycznym przechodzi w obyczaj. Główna rzecz, kto da więcej — Brühl, czy familia? Nadto przez kobiety najpierwszych rodów — faworyty Augusta Mocnego — demoralizacja zakrada się w domowe ogniska, za przykładem zaś króla, wśród wszystkich stanów szerzy się na pożogę pijanstwo. Tak powszechny moralny upadek pociąga za sobą upadek piśmiennictwa. Łacina bierze w nię górę i staje się coraz straszniejszą, już nie kuchenna, le ze śmieciak zbierana”. Język narodowy, każony makaronizmami, wychodzi na powornego mięszanica. Niemniej oświata rozziela się bardzo nieprawidłowo w narodzie. Od czasów Jana Kazimierza, magnaci przejmują język i obyczaje francuskie. Przewyżając rozumem całą masę szlachty, której umiejętność wyłącznie polega na znajomości jezuickiej łaciny, wyzyskują jej stanowisko polityczne dla własnych celów a nie ożytku kraju. Wyższe duchowieństwo kształci się w Rzymie; niższe posiada tyle nauki, aby skromnym wymaganiom mnię jeszcze świeconych parafian zadość uczynić”. Wrećcie na dole panuje ucisk, nędza i ciemność. Do tych rysów jeszcze jeden dodać należy: spaczenie religijnego uczucia. W istocie tyle sławiona tamtych czasów pobożność, graniczona do najbardziej drobiazgowych aktyk, w rzeczy była próchnym świećcem. Szlachcie fundował i obdarzał klasztorami, zachowywał posty najściślej, padał krzyżem w kościele, biczował się, jak asceta, ale nie był zdolny zrobić ofiarę z pychy i chłopców, mieszczańskie, innowiercy uznawali w Chrystusie.

Tę przepaść ośmielił się ukazać narodził Stanisław Konarski, reformując szkoły pańskie według wymagań europejskiej nauki i uderzając na liberum veto — tę źre-

nicę wolności szlacheckiej. Kraszewski dość znaczny ustęp w swém studjum poświęcił charakterystyce tej znakomitej postaci, oraz zgromadzeniu. Dalszy kierunek tego reformacyjnego ruchu, jaki rozpoczął S. Konarski, dostaje się w ręce Stanisławowi Augustowi. Jak tamten na wzór francuski przekształcił szkoły, tak Poniatowski w obyczaju zapragnął dokonać reformy.

Jakiekolwiek winy ciężą na jego pamięci, faktem jest, iż gdy wstępował na tron, Polska była w stanie politycznego upadku i powszechnego moralnego zepsucia. W końcu nieszczęśliwego panowania Sasów — wszystko — powiada Kraszewski — było strupieszalęm, przegniłęm, zwątlonęm, popsutęm, budowa groziła ruiną (Ateneum str. 408). Przyznanie tego faktu jest dla nas niemałej wagi, ze względu na różnicę, jaka zachodzi pomiędzy wypowiedzianym przez niego dawniej, a obecnym na epokę Stanisławowską poglądem. To zepsucie bowiem, które w poprzednich studiach wyłączenie tej epoki, jako główne jej znamię, przyznawał; dziś po wszechstronnem jej zbadaniu, uważa jako *spadek*, przekazany jej z przeszłości. Wiek Stanisława Augusta przyszedł właśnie do poznania rozpaczliwego stanu, w jakim się kraj moralnie i politycznie znajdował; ale nie zdolny do wyrobienia w sobie jakiegoś dodatniego ideału, podejmował zadanie nad siły, chcąc wyleczyć społeczeństwo z chronicznej, w jaką popadła, choroby. „Co miało i mogło pozostać z starego obyczaju, co wejść nowego — nikt nie skreślał. Pragniono i instynktowo światła, wiedzy, ogłady, sztuki, jako środka łagodzącego obyczaje; pozbycia się tego, co zwano ogólnęm mianem przesądów; reform politycznych, społecznych, zatem i piśmiennictwa, jako dźwigni, co pobudzać miała” (Ateneum, str. 215). „Poniatowski — mówi dalej Kraszewski — rozumiał dobrze, jaką siłą było piśmiennictwo”; ztąd pierwszemu jego zadaniem było zgromadzenie zastępu literatów, którzyby na masy w kierunku postępowym działali. Do takiej zaś roli, ze wszystkich pisarzy, uświetniających panowanie Stanisława Augusta, bez zaprzeczenia, najwięcej był uzdolniony Krasiecki.

Nie możemy zajmować się wszystkimi szczegółami jego życia, tak jak je skreślił Kraszewski. Zwrócimy tylko uwagę na fakta dotąd nieznane, lub mylnie przez Bartoszewicza podane. Odnosi się to najprzód do czasów, które poprzedziły pobyt Krasieckiego we Włoszech, i okoliczności, w jakich zostawał po powrocie do kraju. I tak Bar-

toszewicz wyprawia go do Rzymu, około r. 1751, zaraz po ukończeniu nauk u Jezuitów we Lwowie, dla dalszego kształcenia się w teologii, i dopiero po dwuletnim w nim pobycie robi go kanonikiem Przemyskim, proboszczem katedralnym i koadjutorem opactwa Wąchockiego. Tymczasem z listów, jakie zużytkował Kraszewski, pokazuje się, że podróż ta nastąpiła daleko później, bo aż około roku 1759; wszystkie zaś godności, przytoczone powyżej, spadły na niego, poczynając od 15 roku życia, gdyż już w tym czasie Józef Żalusi obdarzył go kanonią kijowską. Również w całej korespondencji, jaką z rodziną w czasie pobytu w Rzymie prowadzi, niema wzmianki, by się studyum teologicznym poświęcał. To pewna, że jeszcze przed tą podróżą utrzymywał w kraju bardzo liczne stosunki, że był wtajemniczony w ówczesne sprawy publiczne, że zarówno sływał z wymowy na kazalnicy, jak i z dowcipu w salonach. Zdaje się więc, że chyba w innym celu wyjechał do Rzymu. Prawdopodobnie, zwyczajem synów magnackich, zmierzających do osiągnięcia najpierwszych w hierarchii duchownej godności, pragnął zawiązać stosunki w stolicy chrześcijaństwa z dostojnikami kościoła, by przez nią sobie drogę do przyszłej kariery ułatwić. „Szło także matce o to, aby przyszły dygnitarz nabrał w Rzymie duchownego, w Paryżu świeckiego poloru.“ Bądź co bądź, dwuletni pobyt w stolicy papieżstwa nie wyrzył głębszych wrażeń w umyśle Krasickiego. Z jednego tylko listu, pochodzącego z tej epoki, pokazuje się, że go zajmowały wspomnienia zamarłej Romy: zabytki na forum, wspaniałe kapitołińskie, skała Tarpejska; ale nie widzimy, by go olśniła wspaniałość obrzędów lub żeby w nim sztuka starożytna i chrześcijańska budziła jakikolwiek interes.

W dalszym ciągu twierdzi Bartoszewicz, że Krasicki dopiero swą mową koronacyjną zwrócił na siebie uwagę Poniatowskiego; podczas gdy Kraszewski, opierając się na nieznanym Bartoszewiczowi Pamiętnikach Matuszewicza, który Krasickiego już w roku 1763 faworytem przyszłego króla nazywa, zbliżenie się ich do epoki daleko wcześniejszej odnosi. „W r. 1764 Krasicki był już jawnym i znanym wybrańcem króla i jemu to on w dniu koronacji zalecił przemówienie do siebie.“ Jak się to stało, że zostając w ścisłych stosunkach z Fr. Sz. Potockim, wojewodą Kijowskim, stronnikiem saskiego dworu i Brühla, przerzucił się na stronę Familii, tego nie wyjaśnia Kraszew-

ski. Czy jednak Poniatowski już w r. 1762 odgadywał w nim przyszłego polskiego *Voltaire'a*, rzeczą jest dla nas wątpliwą. Krasicki w czasie najwyższej twórczości poetyckiej, nie miał zwyczaju przed najbliższymi sobie zwierzać się z prac rozpoczętych i zawiadamiał o nich dopiero, gdy już ukazały się w druku. Tém mniej przeto można przypuszczać, by Poniatowskiego wtajemniczał w plany przyszłej działalności literackiej, zwłaszcza, że dopiero z pojawieniem się „Monitora“ w roku 1765 zaczął pierwsze swe próby ogłaszać. Sądzymy, że i bez zapowiedzi przyszłego talentu, wysoce polor towarzyski, piękna powierzchowność, dowcip niezrównany, poglądy postępowe na społeczeństwo i życie, głębokie przekonanie o potrzebie reformy i rozległe rodzinne stosunki, czyniły go nader pożądanym dla dworu przyszłego króla nabytkiem. Ten stosunek wszakże Krasickiego do króla, całkiem inaczej przedstawia się w życiorysie Bartoszewicza, niż go Kraszewski określił. Pochodzi to ztąd, że ostatni korzystał ze źródeł później wydanych, które nie były znane pierwszemu. Mówimy tu o korespondencji prowadzonej pomiędzy królem a sławną panią *Geoffrin*, powiernicą najskrytszych jego zamysłów. Jakoż podług Bartoszewicza należałoby sądzić, że pomiędzy Stanisławem Augustem a Krasickim panowała od początku do końca najzupełniejsza harmonia, oparta na zgodności celów, przekonaniach i wzajemnym szacunku. Tymczasem pokazuje się z owęj korespondencji, że już w r. 1767, jakieś się nieporozumienia w ich stosunki zakradły. Być może, iż król wyrabiając intratne biskupstwo warmińskie, spodziewał się, iż tym sposobem nazawsze sobie Krasickiego pozyskał, i że ten przez wdzięczność zarówno piórem, jak i wpływem będzie jego politykę popierał. Lecz właśnie omylił się w rachubie. Krasicki bowiem pomimo całej układości wielko-światowej, zmuszającej w wielu razach do ustępstw, bynajmniej nie należał do ludzi, którzy z poniżeniem własnej godności zaprzędają się innym, służąc za ślepe narzędzie. Czując zresztą w sobie innego rodzaju posłannictwo, świadomie czy instynktownie rozumiał, że do jego spełnienia potrzeba mu raczej skupienia sił, niż rozpraszania ich w zabiegach dworskich i życiu publicznem, które często kroć najsilniejsze organizmy zużywa. Ztąd uchylenie się od wszystkiego, co politykę trąciło. Poniatowski jednak, który we własnych widokach Krasickiego do krzesła senatorskiego promował, tego nie chciał ro-

zumić i, przekonany, że go dobrze zapłacił, zaczął przed panią Goeffriu obwiniać o najczarniejszą niewdzięczność, gdy ten wierny tylko swemu powołaniu pozostał. Dla tego też Kraszewski wątpi, by w konfederacji radomskiej odegrał rolę, jaką mu przypisuje Bartoszewicz. Według niego miał on radzić opór i zawieszenie sejnu, oraz namawiać senatorów, by się nie schodzili na posiedzenia, w skutek czego miał nawet otrzymać rozkaz opuszczenia Warszawy. Kraszewski mniema, „iż zgodzić z charakterem swym zachował się biernie i umiarkowanie.“ Charakterystycznem jest także zachowanie się Krasickiego czasu konfederacji barskiej. „Nie mamy dowodów — powiada Kraszewski, — że dla niej okazywał sympaty, lecz jawne jest, że przeciw całemu ruchowi czynnie występować nie chciał.“ Te królewskie wszakże urazy, o jakich mówiliśmy powyżej, wzięły koniec od chwili, gdy Krasicki zaczął swoje dzieła drukiem ogłaszać. Ustępę pełne uwielbienia, jakie znalazł Poniatowski dla siebie w Myszejdzie i Monachomachii, pogodziły go z poetą. Zrozumiał on teraz, że genialny biskup warmiński, podnosząc w swych poematach jego starania o podniesienie oświaty w narodzie, oddaje mu daleko większe usługi, niż gdyby, jak tego pragnął, jego politykę popierał i „pod wrażeniem popularności i sławy, jaką sobie zdobył pisarz, nie tylko mu winy przebaczył, ale chlubił się nim, jako ozdobą swego panowania, jako poniekąd dziełem rąk własnych“ (Aten. Maj. str. 234).

Bartoszewicz, rozwodząc się o uwielbienie króla dla poety, mówi, iż ten „kazał bić dla Krasickiego, wtedy właśnie, kiedy go tracił, medal złoty z napisem: *Musa vetat mori*“, a zaten, jakby się zdawało, około czasu, gdy Warmia dostała się Prussom w skutek pierwszego podziału. Tymczasem nastąpiło to daleko później, po wydrukowaniu nieudolnej *Wojny Chocińskiej*, którą Krasicki w czasie swego pobytu w Warszawie na żądanie króla napisał. Kraszewski, prostując tę wersję, przytacza list biskupa, pisany w r. 1780 do brata, w którym mu o tym zaszczycie, jaki go potkał, donosi. Również obraz gospodarstwa heilsberskiego i całego trybu życia biskupa, daleko jest pełniejszy w Kraszewskim. Wprowadza on nas w obszerne, ale osepne komnaty starego biskupiego zamku, tak jak go opisał Krasicki; mówi o urządzeniach nowego zamku, zbudowanego iż przez poetę, a który łączył się z pierwszym, długą na 80 kroków galerią; wta-

jennicza w urządzenia apartamentów, gdzie mieściły się sale portretowe, galerie obrazów, gabinety, biblioteka, jadalnie, teatr, kaplica, oraz inne pokoje. Wiemy nawet, jakie malowidła zdobiły ich ściany. „Pokój przed kaplicą był w etruskach, przed budarem w arabeskach, w sypialnym odnawiana była *Clitie*, w stołowym *L'Education de Bacchus d'après le cachet de Michel Ange*, oraz dzieci Mirys'a.“

Wszystkie te szczegóły jakże malują człowieka! Pomimo wszakże znaczącej liczby tych malowideł, posągów i odlewów gipsowych, zamiłowanie biskupa w sztuce było nader powierzchowne. Nie pojmował on artystzmu na wielką stopę, i wydając krocie na delicye stołu, ogrody i cieplarnie, które mu w styczniu dostarczały śliwek i wisien; zadawał się odlewami i popiersiami malowanymi na czarno, zbiorami rycin, portretami Marteau, aquafortami siostrzenicy Anny Charczewskiej, oraz wizerunkami Śliwickiego i Skuraszewskiego — malarzy nader miernych zdolności. Natomiast na wielką stopę pojmował życie, które prowadził, jako pan z panów i jeden z trzech pierwszych dostojników kościoła. Tłumy gości, bliżsi i dalsi krewni, kanonicy, zasiadali codziennie w kilkadziesiąt osób do jego stołu. Dodajmy do tego teatr, koncerta, stałą kapelę, grającą po obiedzie, liczny poczet sług, składających dwór biskupa, oraz służbę gości, która nie mniej liczny zastęp tworzyła, a będziemy mieli obraz życia. Największych jednak starań przedmiotem i chlubą biskupa, były ogrody: w Heilsbergu i Smolanach, urządzone z niesłychanym przepychem. Londyn, Berlin, Dessau, Hamburg, Oliwa pod Gdańskiem, wreszcie Amsterdam, Sardaam i Harleem, dostarczały rok rocznie tysiącami najrzadszych cebulek kwiatowych i krzewów. Do jakiego stopnia Krasicki posuwał pod tym względem namietność, można wnieść z listu pisanego z Berlina (1781 r.) do żony brata, pani Różowej. „Ja za niedziel kilka, a może jeszcze i w tym miesiącu do Potsdamu wybieram się. Oj! coby to tam można — dodaje — pokraść drzewek rzadkich i kwiatów!“ Rozumić się, że to był żart; ale czyż ta pokusa nie zdradza *amatorskiej* zamiłki ogrodnika z *professyj*?

Z podobnie charakterystycznych i umiejętnie zestawionych rysów w studium Kraszewskiego, czytelnik może sobie urobić najdokładniejsze o Krasickim, jako człowieku, pojęcie. Postać ta w jego pracy występuje od początku do końca, jakby z jednego kruszczu odlana. Zawsze jednaka,

zawsze z tą, niczém nie zamąconą pogodą myśli na czole, z wiecznym uśmiechem zadowolenia na ustach — niby twarz Boga Olimpu, niedostępna troskom i nędzom powszedniego żywota. Co pod tą maską w duszy się działo — nikt zapewne nie wiedział, bo też Krasicki w stosunkach z ludźmi w wysokim stopniu posiadał sztukę ukrywania swych myśli. Rozumiał on, iż człowiek nie powinien całego siebie drugim oddawać i zwierzać się ze swych tajemnic, jeżeli nie chce popaść w najstraszniejszą zależność, jaką jest ducha niewola. I nie sądźmy, iż tej sztuki nabył w życiu dworskiem i poufałym do dwóch monarchów stosunku. Już bowiem w czasie swego pobytu w Rzymie, nie był skory do wywnętrzania się z osobistych wrażeń. Nikt też może od niego nie był więcej dla rodziny wylanym, a jednak nawet w listach, pisywanych do brata Antoniego, nigdy całego nie widzimy człowieka. Wypadków współczesnych rzadko kiedy dotyka; jeśli zaś o nich nadmieniam, to bardzo ostrożnie, wiedząc, że list, to dokument, który w danym razie przeciwko nam samym, jak oskarżyciel wystąpi. Głównym też przedmiotem jego korespondencji, to pełne humoru i dowcipu, opisy codziennych, potocznych zajęć, polowania, festyny, wiadomości, wreszcie sprawy rodzinne, które zawsze obchodziły go żywo. Zresztą stanowisko jego do świata, najlepiej jego własne słowa malują: „Ja tu (w Berlinie) siedzę spokojnie i z daleka się po mojemu (właściwie po swojemu) na rzeczy patrzę, coraz powtarzając z Kochanowskim:

„Niech drudzy za lby się wodzą,
[a ja się dziwuję.”

Oto, jaka była jego dewiza. Stał na uboczu, jako spokojny obserwator, nie mieszając się do niczego, co nie zostawało w związku z jego powołaniem pisarskiem. Był to może wyrafinowany egoizm, a może i umiejętność życia, polegająca na wytknięciu dla swjej działalności właściwych granic, odpowiednio do posiadanych zdolności. Tym sposobem nie dając się porwać żadnym prądom i namiętnościom współczesnym, zachował niezależność sądu i zdrowy pogląd na rzeczy, który pisma jego cechuje. Utrzymanie w równowadze wszystkich władz ducha, usunięcie się od wszelkich spraw kłopotliwych i rzucenie w niepamięć codziennych życia przykrości, było jedynym jego zadaniem. Siejąc na wszystkie strony pieniądźmi, nie zawsze mógł podolać

książeczego dworu wydatkom i potrzebom pańskiej fantazyi; ztąd brnął w coraz większe długi, które w chwili przejścia na arcybiskupstwo gnieźnieńskie wynosiły przeszło 169,000 talarów!! Wspominając jednak o swych kłopotach finansowych w listach do brata, traktuje tę kwestyą z takim humorem, jakby o bagatelę chodziło. Równie z rezygnacją znosi wszelkie życia zawody. Odcięty od rodziny i kraju, gotów był ustąpić z biskupstwa warmińskiego, byle w Polsce inne otrzymał. Wakansów po wziętym w kuratelę Kaj. Soltyku odkrywało się „wiele. Krasicki mógł być dostać koadjutorją krakowską, wileńską lub biskupstwo wileńskie. Tymczasem król, osadzając na miejscu Soltyka, swego brata, całkiem mu drogę zagroził do spodziewanych godności. Krasicki jednak przyjął to z takim spokojem, jakby o kogoś innego chodziło. „Byle na dobro była rzecz obróconą — pisze do brata — umniejszaj to żal duchowieństwa.“ Kraszewski po mistrzowsku umiał zużytkować te rysy. Protestuje wszakże przeciw twierdzeniu Bartoszewicza, jakoby Krasicki po przeniesieniu się do Skiernewic, utracił dawną wesołość i pogodę umysłu, wypadkami w r. 1795 złamany. Zapewne, że wiek podeszły oddziałał na żywioł jego dowcipu, ale dawny spokój nie opuszcza go ani na chwilę. Bardzo też charakterystycznym jest ustęp z listu w tej epoce pisanego do brata: „Słodką się nadzieją cieszę i *uprzedzam przyszłe życie, które przeciw kiedykolwiek nastąpić musi*. Wszyscy powtarzać powinniśmy kościelną modlitwę: Da pacem, domine, in diebus nostris. Większa część tych dui w ustawicznych odgłosach zamieszania przeszła; niechże przynajmniej reszta spokojność przyniesie.“ Nie są to jednak słowa cechujące moralny upadek, ale raczej natchnione stoicyzmem i religijnem poddaniem się. To też nie opuszcza on rąk, jak inni, ale w różnych kierunkach rozwija gorączkową niemal działalność. Jak dawniej bawił, tak obecnie oświeca, uczy, kształci charakter czytelników, stawiając im przed oczy *Zacnych męzów* przykłady. Wreszcie w Łowiczu zakłada drukarnię, wydaje pismo *Co tydzień*, urządza ogród i rezydencyą w Skiernewicach, budzi wszędzie ruch, życie i wpływem swym dopomaga do zawiązania Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Słusznie też powiedział o nim F. K. Dmóchowski, iż życie z piórem w ręku zakończył. Do tej charakterystyki, jaką przywieśliśmy w streszczeniu, jeszcze jeden rys dodać musimy. Krasicki przez całe życie, mając

wstręt od polityki, trzymał się na gruncie neutralnym, nie mieszając się do współczesnych wydarzeń. Nadto brzydził się wszelkim radykalizmem. Ztąd i obrady sejmiku czteroletniego, które on *górnosciami warszawskimi* nazywa, budziły w nim niepokój. Pragnął on gorąco reform, ale chciał, by te dokonywano drogą powolnego, acz ciągłego postępu. Tymczasem tu odrazu zmierzano do przetworzenia dotychczasowego porządku. Wyjechał też zniechęcony z Warszawy, po chwilowym w niej w r. 1789 pobycie. Co więcej, nawet ostateczną katastrofę zdaje się przyjmować, jako przewidziany wypadek, z którym w myśli oswoił się oddawna. Można go o zupełną obojętność pośądzić, gdyby... gdyby i on, wprowadzie jedyny raz w życiu, nie dał się porwać ogólnym entuzjazmem. Ale zaraz potem, jakby się przeląkł własnego zuchwałstwa, zwiija się w siebie, przybiera maskę obojętności, i spokojnie zdaleka, po swojemu na rzeczy się patrzy ¹⁾.

Przechodzimy teraz do części krytycznej Studium Kraszewskiego.

Pierwszy utwór — jakim się zajmuje — „Myszeis“ z r. 1775, rozpoczynająca szereg prac ogłaszanych drukiem przez poetę, budziła we współczesnych podziw, który dziś zrozumieć można jedynie, stawiając się na tym poziomie umysłowym, jaki był właściwy u nas w XVIII stuleciu. Dość powiedzieć, że wносиła do literatury nieznaną prawie przed tym żywioły. Najprzód, co do formy — *ottavarimę* czyli strofę ośmiowerszową, nader kunsztownego układu, zapożyczoną z poematów włoskich, w której następstwo dwóch jednobrzmiących rymów, powtarzających się trzy razy w sześciu wierszach kolejno, znajduje uzupełnienie w dwuwierszu zakończonym odmiennymi od poprzednich rymami. „Wiersz ów, — mówi Kraszewski — płynie pod piórem Krasickiego, niby muzyce gwoli, mierzonej pięknie, strojny, zręcznie się uginający, jak tanecznica, na której twarzy migają myśli wesołe, to szydercze, niekiedy poważne i prawie smutne.“ Wyróżniała się nadto Myszejda duchem od tego wszystkiego, co ją poprzedziło w literaturze. Wprawdzie dowcip satyryczny nie był obcy XVI i XVII wieku pisarzom, ale w nich „raczej siły i śmiałości, niż wyszukanych słów, szukać należy,“

dowcip ich tłusty, rubaszny, w prostocie swojej cyniczny, każdą rzecz właściwym mianuje wyrazem. Forma przyzwolita, omawiająca, była im prawie nieznaną. Pierwszy Krasicki dopiero wprowadza ów dowcip „delikatny, salonowy, dworski; pierwszy umie zręcznie posługiwać się słówkiem, nadawać wyrażeniom perłowe wykończenie, haftować i dzierzgać w koronkę,“ a wszystko to przejął z literatury francuskiej, stosując się tylko do ducha własnego narodu. „Zostało mu wprowadzić coś — dodaje Kraszewski — z łacińskiej edukacji; ale czuć, że się otrząsnął z pedantyzmu szkodliwego, ufryzował i uperfumował.“

Do téj charakterystyki, co do stylu, nie dodać ani ująć nie można. Streszcza ona wszystkie właściwości pisarza, który cackami najmistrzowszego wykończenia swą epokę czarował. Inna rzecz, co do osnowy i architektoniki poematu, o których mówi Kraszewski, że wytrzymać krytyki nie mogą. Treść Myszejdy, mającej za przedmiot wojnę myszy i szczurów z kotami, rzeczywiście wydaje się bląhą, ale tylko dla nas, co jesteśmy spadkobiercami nowożytnéj poezji, olśniewającej genialnemi, głębokiego znaczenia pomysły, lecz nie dla społeczeństwa XVIII stulecia, które po długim umysłowym zastoju, po dziecinnym podobno sobie w bajce, nie zdolne strawić pożywniejszego pokarmu. Bajka ta zresztą nie zupełnie jest bajką i już współcześni dopatrywali w niej allegorycznego znaczenia. Dmóchowski nawet twierdzi, iż Krasicki w tym duchu napisawszy pierwsze dwie pieśni, odstąpił później od powziętego zamiaru, powodowany jakimś ubocznymi względami. Tymczasem Kraszewski wątpiewa o téj allegoryczności poematu, i sądzi, iż „autor myśli jednéj w planie swym nie miał, ale zużytkował każdą zręczność, aby bryzgnąć prawdą w oczy“ — współczesnym. Otóż zdaje się nam, że myśl ta wyraźnie występuje w utworze. Jest to myśl reformy obyczajowej, mająca na celu zburzenie tego, co poprzedziło, zohydzenie wad, jakie panowanie Sasów zaszczerpiło w narodzie. Popieł uosabia w sobie zarówno Augusta II, jak i Augusta III. Pierwszy utożsamia się z nim przez pijaństwo i miłośnice; — drugi przez owe gnuśne, nikczemne rządy z pomocą wszechwładnego ministra i jego faworytów:

Co dzieląc z panem władzę tronu śliską
Sobie rząd dali, a jemu nazwisko.

Właśnie potrzeba było wszystko z téj epoki okryć śmiesznością, by jéj zwolennikom

¹⁾ Ustęp ten w pierwasém, zbiorowém Dmóchowskiego wydaniu został usunięty, czyli istotnie wydarty, także owo zakończenie: „I gdy... resztę wydarto“, w dwojakim teraz znaczeniu: allegoryczném i rzeczywistém rozumiane być winno.

(P. A.).

otworzyć oczy na to poniżenie moralne, w jakie naród wtrącili Sasi, a zarazem przekonać o błogich skutkach rządów tak światłego monarchy, za jakiego Krasicki przedstawia Stanisława Augusta. Ztąd też zużytkowanie podania Kadłubkowego o Popielu uważamy za najkrwawszą ironią w Myszejdzie—za oś całego poematu. Jakoż jeżeli według ówczesnego widzenia rzeczy Popiel ów jest potwornym wymysłem wieków ciemnoty, to jakże musiała być w wszelkiego światła obroną epoka, w której panowali taki August II. i III., a którzy do jęj odmalowania najglówniejszych rysów dostarczyli pocie! Myszejda więc jest allegorią w całym tego słowa znaczeniu. Tak samo dziecinna na pozór wojna myszy i szczurów z kotami jest alluzją do ówczesnego położenia kraju i jeśli nie zatargi Polaków z Sasami, to maluje ówczesne polityczne stronnictwa. Tylko Krasicki, obrawszy pozornie za przedmiot bajecznych dziejów opowieść, mającą służyć jedynie za lekką, przejrzystą gazetę, pozwalającą dokładnie widzieć ukryte pod nią rzeczywiste i bliskie co do czasu zdarzenia, zmuszony był konsekwentnie jęj osnowę doprowadzić do końca, bez względu na to, czy wątek nadawał się do celów satyrycznych lub przeciwnie. Ztąd tyle dla nas nużących blachą treścią ustępów, ztąd zwłaszcza w dalszych pieśniach słabnący dla czytelnika interes. Trudno bowiem dziś po kim wymagać, by go los Gryzomira lub Mruczysława mógł na seryo obchodzić! Jesteśmy wszakże przekonani, że współcześni w tych nawet obojętnych dla nas ustępach umieli dopatrzyć ukrytego znaczenia. Bo czyż sam koniec Popiela, nie nadawał się do ówczesnych okoliczności? Wszak po jęgo tragicznej śmierci—Piast zajął miejsce na tronie. A nie był że Piastem—Poniatowski, według pojęć ówczesnych, gdy tron po Sasach zajmował?

W tém zużytkowywaniu mytów historycznych w znaczeniu środka do osiągnięcia po za nimi wytkniętego celu, tkwi rdzenna różnica pomiędzy negacyjnym duchem XVIII wieku a syntetycznym naszych czasów poglądem. Gdy podanie o Popielu Krasicki traktuje niemal z pogardą, gdy czarownicę z Kysiej Góry dla tego jedynie do poematu z całym apparatusem gusiel wprowadza, by w nie upowszechnioną wiarę ośmieszyć i na tór zdrowego rozumu czytelnika sprowadzić, tymczasem historycy XIX wieku, w ośmieszonym Popielu, i całym cyklu podań, jaki go poprzedza, widzą poważny przedmiot do badań, mających doprowadzić do

wyświetlenia przedhistorycznego bytu narodu¹⁾;—poezya zaś romantyczna, owe gusła i czary, uznając za pra-starych wierzeń zabytki, bierze za motywa do swych utworów i wieła w nie ideały, w duchu narodowym pojęte. Nie dość na tém, Krasickiego do tego stopnia cel reformatorski zajmuje, iż nie waha się dla jęgo osiągnięcia przenie-wierzyć się ideałom historycznym i sponiewierać najszacowniejsze z przeszłości postaci. W jęgo Myszejdzie Kazimierz W. „łyka miód smaczny w Łobzowie z Esterką;“ Stefan Batory „połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku,“ — wreszcie Władysław IV „choć słusznie wielbiony, przecie podagry dostał w upominku.“ A wszystko to miało do tego prowadzić, by zożydził pijaństwo. Wycieczki tego rodzaju podobaly się współczesnym. Brak w równym stopniu interesującego ciągu wywołał ze strony Kraszewskiego zarzut i co do architektoniki poematu, którego budowę znajduje kruchą i watłą. Zarzut to jednak nie słuszny. Myszejda bowiem ułożoną została według najściślejszych prawideł ówczesnej retoryki i nawet wątpimy, czy do jęj pojawienia się możnaby znaleźć w naszej literaturze poemat, któryby w sobie więcej zaokrągloną i skończoną całość przedstawiał. Pomimo tych zarzutów, Kraszewski przyznaje Myszejdzie wysokie na swój czas znaczenie. Przedewszystkiem powiada: „uniąla urodzić się w porę, a język jęj i styl był czémś tak niesłychanem, a wdzięcznym, że musiał zachwycić.“

Wyższą natomiast artystyczną wartość Kraszewski przyznaje *Monachomachii* (roku 1775),—nie ze względu jednak na osnowę, gdyż ta „jest—tak, jak żadna,“ ale na świetny, niezrównany, rakietami strzelający dowcip i obrobienie wytworne.—*Monachomachia*, jako ostra satyra, wymierzona przeciw zakonóm, miała w swym czasie, nietylko literackie, ale i społeczno-religijne znaczenie i zarówno wyborem przedmiotu, jak i swym nastrojem i dążnością ściągnęła na autora zarzut wolteryanizmu, powtarzany do uprzykolenia przez wszystkich niemal pisarzy, zajmujących się tym utworem,—zarzut, z którego nie oczyścił go nawet w zupełności Kraszewski. Sąd bowiem jęgo dzisiejszy, choć o wiele zmodyfikowany przytoczeniem łagodzących okoliczności, które na ducha poematu wpływały, tyle jednak zawiera w sobie nie dających się pogodzić z sobą sprzeczności, iż w końcu

¹⁾ Wiadomo, iż Marzycarz również odrzucił wszystkie przedhistoryczne podania.

czytelnik nie wie, czy ma autora Monachomachii w swém przekonaniu, wraz z Kraszewskim, rozgrzeszyć, czy też go z innymi potępić. I tak Kraszewski przyznaje, że Krasicki miał w duszy głębokie uczucie religijne, że w obec mnogich ustępów w *Panu Podstolim*, nie podobna go posądzać o niedowiarstwo, sceptycyzm i obojętność dla wiary (Aten. Marzec r. 1878 str. 401), —a jednak pomimo tego robi mu zarzut: „iż okrył śmieszością suknię zgromadzenia ludzi niewinnych, że odjął stanowi poszanowanie i postawił nieszczęśliwych pod pręgierzem.“ Wreszcie dodaje: „Może być co charakterystyczniejszego nad ten poemat, przez biskupa napisany, wystawiający mnichów, jako bezmyślną trzodę głupców, wylanych tylko na dogadzanie ciała, a przestarzałą nauką oświałych? (Tamże str. 398). Innémi słowy, iż zarzut pozostaje w swej mocy i téj formie, w jakiej stawiony był przed laty, mianowicie: „Czy biskupowi, który ze swego stanowiska mógł wpływać na dokonanie reformy zakonów, godziło się obierać je za cel sztyderstwa“?

Otóż sądzimy, iż kwestyą tę należałoby bliżej rozpatrzyć. A najprzód co do pierwszój części zarzutu. Jest ona jednym więcej dowodem, jak wiele wyobrażeń i pojęć, choć w gruncie pozbawionych zasady, utrzymuje się samą siłą nałogu. Powiedział ktoś pierwszy, że Kraszewski ze swego stanowiska mógł reformować zakony i odtąd stało się to pewnikiem. Tymczasem bliższe poznanie zakresu władzy biskupiej, przekonałoby, iż ta rozciągała się jedynie na świeckie, dycezyjne duchowieństwo, lecz nie na zakony, które całkiem innéj podlegały jurysdykcji. Tę — bezpośrednio wykonywał przeor, gwardyan, zarządzający pojedynczém zgromadzeniem; — w wyższej instytucji prowincyał, mający zwierzchność nad wszystkimi klasztorami w kraju, téj reguły, do którój sam należał, — każda zaś reguła miała swego generała w Rzymie, który dla niéj najwyższą władzę stanowił. Biskup więc nie miał prawa mieszać się w sprawy zakonów. Że podczas tak zwanych wizyt duchowieństwo zakonne należne mu oddawało honory, nie wynika ztąd jeszcze, by w nim uznawało swą władzę. Submissya, okazywana mu, znaczyła tyle, co pełna attencyi uniżoność szlachcica, przyjmującego możnego pana w swym domu. Przypuściwszy jednak, że biskup mógł wpływ na zakony wywierać; to wpływ ten mógłby się rozciągać jedynie do zgromadzeń, istniejących w podległej mu dye-

cezyi, nie zaś w innych. do których nie sięgała jego jurysdykcya. O powszechnéj zatem ich reformie żaden z biskupów nie marzył; —tém mniej zaś biskup warmiński, który od r. 1773 jedynie przez swoje dzieła mógł wpływ na niego wywierać.

Zastanówmy się teraz nad drugą częścią zarzutu. O ile wiemy, nikt nie zwrócił dotąd na tę okoliczność uwagi, że napisanie Monachomachii poprzedził fakt wielkiej doniosłości, bo zniesienie jezuitów; fakt, który z daleka większém prawdopodobieństwem mógł Krasickiemu nasunąć myśl do tego utworu, niż zajmowane w pałacu Sans-Souci appartamenta Voltaire'a. Wiadomo, że choć zakony były wypiętywem idei pierwotnego chrześcijaństwa, to wszakże istnienie ich nie stanowiło i nie stanowi dogmatu. Są one tylko środkiem, uznanym przez kościół, do osiągnięcia wyższej doskonałości wiodącym. Powstawały zaś w miarę potrzeb społecznych i o tyle miały racyą bytu, o ile owe zadanie spełniały. Krasicki téż, jak to zauważył Kraszewski, nie dotknął w Monachomachii Pijarów, gdyż ci w duchu potrzeb nowożytnych działali; nie ośmieszył również zakonów żebrzących, gdyż choć ubogie duchem, spełniały prawdziwie cywilizacyjną misyję, wpływając bezpośrednio na lud, z którego wyszły, dając mu z siebie przykład ubóstwa, pokory i miłości bliźniego. Ale za to z całą potęgą swego dowcipu uderzył na zgromadzenia, które zapomniawszy o swoim celu, tuczyły się niezapracowanym chlebem, tworząc gniazda ciemnoty, tém szkodliwszój dla społeczeństwa, że obok charakteru religijnego, chodziły w szacie głębokój uczoności, jaką wieki scholastycyzmu stworzyły. Były to klasztory: karmelitów, dominikanów, augustyanów, które, jak sam Kraszewski przyznaje, „ani się wychowaniem, ani szpitalami nie zajmowały i miały niby wieść żywot ascetyczny, a wiodły próżniaczy“ (str. 398). Do tego téż miejsca on jest zgodny sam z sobą. Ale dla czegoż, wykazawszy całą ich bezużyteczność, ubolewa nad ciosem, jaki je dotknął z ręki biskupa? Dla czego powołuje się na ich cywilizacyjne zasługi, posłannictwo, ideę, którą żyły, a którój zabutwiały szczątki, jak powiada, „należało poszanować, jak zwłoki umarłych“ (str. 401).

Słowa te, bezwątpienia, podyktowała autorowi litość nad upadłymi; —nie zapominajmy jednak, że te zwłoki umarłych potrzebowały wiele... bardzo wiele, miodu, wina i tego wszystkiego, co ciało tuczy, że były to nieprodukcyjne, pasożytne jedno-

stki, które posiadając dobra, nadania, wysysały soki z drzewa, na którym wyrosły, nie ze siebie wzamian nie dając. Gdy wszystkie instytucje należało naprawiać, nie podobna było pominąć klasztorów, które, przeniewierczywszy się swęj idei, stały się chorobliwą na ciele rzeczypospolitej naroślą. Poprawa ich była czynem obywatelskim—i tak zapewne Krasicki swoje posłannictwo pojmował, a występował tém śmieliej, że przykład dany miał z góry; gdy Klemens XIV zgromadzenie jezuitów rozwiązał, on chwycił za pióro, by innym zakonom w Polsce przypomnieć, jak daleko od pierwotnego celu odbiegły;—uderzył na pijaństwo, próżniactwo, ciemnotę, a te nie wspólnego nie miały z religią; użył zaś broni śmieszności, bo to był środek jedyny, za pomocą którego mógł na nie skutecznie z oddalenia oddziaływać, że zaś był trafnie wybrany, dowodzi ta okoliczność, że to samo zgromadzenie dominikanów, które w XVIII wieku w kufli rozum topiło, w wielu miejscowościach na początku XIX utrzymywało szkoły, które się stały rozsądnikami nauki. Kwestyą więc tę, czy biskupowi godziło się występować przeciw klasztorom, należałoby chyba raz na zawsze usunąć. Nie występował on przeciw instytucji, lecz tym, którzy ją spaczyli; szedł w duchu reformy, bo duch ten był panujący nietylko w sferach świeckich, ale i w najwyższych duchownych. Tém mniej przeto godzi się robić mu zarzut niereligijności, wolteryanizmu, gdyż, jeśli gdzie, to w Monachomachii najmniej go o nie można pomawiać. Kraszewski chciał widocznie pamiętać Krasickiego z tego zarzutu oczyścić; ale przytoczył tyle za i przeciw niemu mówiących okoliczności, iż te na żadną stronę stanowczo nie mogą zdania czytelnika przechylić.

Powszechnem jest także mniemanie, jakoby *Antimonachomachią* napisał Krasicki w celu ułagodzenia umysłów, wydaniem Monachomachii wzburzonych. W istocie—wrażenie, sprawione tą satyrą musiało być piorunujące. Dziś trudno nawet wyobrazić sobie, do jakiego stopnia mogło dochodzić oburzenie tych, którzy się nią czuli bezpośrednio dotknięci: w nowszej bowiem literaturze nie znajdujemy ani jednego utworu, w którymby autor z takim zachwalstwem wystąpił przeciw całej korporacji i tak ją do naga rozebrał i wszystkie jej wady, słabości na światło dzienne wystawił. Dodajmy, że te krzywizny moralne ukazywały się pod osłoną szaty duchownej, otoczonej tradycyjnym szacunkiem,

we wszystkie pozory pobożności przybranej, a pojmujemy, jaki wstyd, upokorzenie, jaki gniew bezsilny ogarnął ojców zakonnych, tych zwłaszcza reguł, które się odtworzone z taką prawdą w poemacie znalazły. Możliwy przeto mniemać, powiadam, iż Krasicki pożałował tej palącej chętki bawienia się kosztem drugich, jakiej uległ w Monachomachii i, widząc nią wywołane wrażenie, zapragnął je Antimonachomachią złagodzić. Atoli baczniejsze wczytanie się w ten utwór przekonywa, iż nie nad to bar dziej nieuzasadnionego być nie może. Najprzód, gdyby tak było istotnie, Krasicki nie czekałby lat sześciu, jakie pomiędzy ogłoszeniem jednego a drugiego poematu ubiegły, ale byto zrobił za świeża. Powtóre, z treści Antimonachomachii bynajmniej tego zamiaru nie widać. Właśnie Krasicki żartuje sobie z tego wrażenia i w najlepszym bawi się zakłopotaniem i gniewem ojców zakonnych, którzy jego Monachomachią czytają. Z dobrodusznym uśmiechem, znamienującym całą wyrozumiałość i pobłażliwość wyższego umysłowo człowieka, przyjmuje zarzuty bezbożności, jansenizmu, herezy i Bóg wie czego jeszcze, i kończy rzecz wprowadzeniem uosobionej prawdy, która jasno wypowiada to, czego chciał od nich—poprawy. Wydając przeto Antimonachomachią, co najwyżej pragnął, by myśl jego właściwie pojęto. To też nie możemy się zgodzić z Kraszewskim, na to, co mówi: „iż poeta z pewnością ani obrażował, ani się spodziewał tego skutku, jaki wywarł na instytucyą zakonów i że mógł pożałować go nawet, gdy później młodzieńcza krowkość przeszła.“ Przeciąg bowiem sześćioletni, aż nadto do uspokojenia tej krowkości wystarczał; tymczasem w Antimonachomachii nie widzimy nic takiego, coby o zaszłej zmianie w jego pojęciach mówiło. Owszem jesteśmy przekonani, iż ta zmiana nigdy nie zaszła. Co bowiem napisał, wywołane było poczuciem konieczności ratunku: nikt zaś nie żałuje, iż wcześniej użył ognia lub żelaza, by wypalić ranę, która całemu ciału zagrażała gangreną. Przysznażaké wszakże całą doniosłość społeczną Monachomachii i Antimonachomachii, nie możemy powiedzieć, by utwory te zadawały *nasze* estetyczne uczucia. Pomimo bowiem mistrzowskiego wykończenia szczegółów i brylantowego dowcipu, iskrzącego się co chwila inną barwą ogniami, całość, choć nas śmieszy i bawi, pozostawia smutne, przygnębiające niemal wrażenie. Sprawia to brak w nich wszelkiego dodatniego ideału—tego, coby

reprezentowało szlachetną ludzką naturę. Te spase, zmateryalizowane istoty, gdy właśnie ze swego stanowiska powinny były innym przyświecać ducha jasnością, poniżone pijaństwem, ciemne, a jednak zarozumiałe w nieuctwie, objawiające najpoziomsze instynkty i nie mające nawet poczucia moralnego upadku, wszystko to przejawia wstrętem, jak widok plugawej kałuży, w której się wiję robactwo. Jeżeli Krasicki taki stan poniżenia założył sobie zohydzić, to przyznać trzeba, iż cel swój w zupełności osiągnął.

Z kolei, w jakiejś dzieła Krasickiego ukazywały się w druku, Kraszewski zajmuje się *Przypadkami Mikołaja Doświadczyńskiego* (r. 1778). Jest to pierwsza oryginalna powieść w naszej literaturze, która, w porównaniu z tém, co ją poprzedziło, olbrzymi krok naprzód stanowi. Krasicki w niej sobie zamierzył: 1-e) skreślić skutki ówczesnego wychowania w duchu jezuickim i modnej edukacji w duchu francuzkim prowadzonej; 2-e) dać obraz ówczesnej sprawiedliwości, reprezentowanej przez najwyższą magistraturę w kraju, bo Trybunał koronny, i po 3-e) przeciwstawić ówczesnej, płodzącej zepsucie cywilizacji—społeczeństwo zostające w pierwotnym stanie natury i dla tego niezspane i szczęśliwe.—Początek *Doświadczyńskiego*, jako obraz epoki Augusta III, wzięty żywcem z natury, Kraszewski słusznie za arcydzieło w swoim rodzaju uznaje. Wprawdzie wszystkie postacie, otaczające bohatera, w ogólnych nakreślonych zarysach są raczej sylwetkami, niż wykończonymi portretami; ale zarysy te, choć nieraz skąpo i jakby od niechcienia rzucone, wypowiadają w kilku słowach cały charakter człowieka. Również niema tu tła natury, perspektywy, która sprawiałaby, że postacie i wydarzenia mniej ważne, usuwają się na drugi plan, by tém plastyczniej uwydatniały się ważniejsze;—pełno tu zresztą naciągów, nieprawdopodobnych sytuacji, że tylko zwrócimy uwagę na ową scenę, gdy Jegomość P. Damon, niedawno z Francji przybyły, w najlepsze opowiada swe przygody matce *Doświadczyńskiego*, podczas gdy z poprzednio skreślonej jęj charakterystyki wiemy, że, nie otrzymawszy modnego wychowania, rozumieć po francuzku nie mogła. Ale obok tych braków i niedokładności—obraz dziecięcego wieku Mikołaja, wyprawa jego do szkół jezuickich, późniejsza edukacja pod kierunkiem Damona, awantura miłośna w niasteczku, jako owoc głoszonych przez niego zasad pedagogicznych o kształceniu

sentymentów kawalerskich i wspaniałości umysłu; wreszcie pobyt w Warszawie, opis sprawy prowadzonej w Litwie, podróż do Paryża i sukcesy w stolicy świata,—mają dla nas znaczenie historycznego malowidła i są najcenniejszym zabytkiem literatury XVIII wieku. Natomiast obraz życia mieszczańców na wyspie *Nipu*, nie istniejącej w rzeczywistości na ziemi, do której jednak burza, po rozbiciu się okrętu, Doświadczyńskiego zaniósł, odbija nadzwyczaj blade od tego wszystkiego co Krasicki na gruncie swojskim nakreślił. W tym obrazie bez żadnej wnikliwości przebiega wpływ doktryny J. J. Rousseau, który w powrocie do natury i pierwotnego stanu widział najwyższą doskonałość i uszczęśliwienie człowieka. Nipuanówczy, jako ideał społeczeństwa urządzonego podług powyższej zasady, nie znali użycia żelaza, złota, pluga, pieniędzy, nie prowadzili wojen, bledli na widok ostrego narzędzia, wreszcie żyli komunistycznie, obywatelując się bez wszelkiej formy rządu, a jednak zgodnie i cnotliwie dla tego właśnie, że kierowali się prawem natury i rozumu. Dotąd więc wszystko dobrze i każdy z piszących o *Doświadczyńskim* uważał tę część powieści za prostą fikcją autora, nie wzbudzającą wprawdzie żywszego interesu w czytelniku, ale też w swojej treści niewinną. Pierwszy dopiero Kraszewski dopatrzył w niej głębszych śladów doktryny filozofii XVIII stulecia. W téj, jak powiada, absolutnie niedorzecznej utopii—„choć o najwyższej Istocie piękne rzeczy się znajdowały—religia chrześcijańska była wyminięta, przemilczana. Jakoś się bez niej na wyspie *Nipu* obchodziło. A więc, dodaje, mógł istnieć stan natury z jakąś religią i moralnością naturalną, a chrześcijaństwo nie przedstawiało się już, jako jedyna prawda i jedyna droga do światła i cnoty“ (str. 404). Teraz pytamy, gdzie Krasicki złożył większy dowód niereligijności—w *Monachomachii*, gdy ciemnych mnichów ośmiesza, czy też w owéj historii *Nipnanów*, gdzie ignoruje zasadnicze prawdy religii, której był kapłanem? A jednak gdy z powodu—bawiących się kuflem i *de lana caprina* spierających się mnichów, występowano przeciw niemu z krucyatą, kwestya tak ważna nie zwraca nieczyjéj dotąd uwagi. „Jakże to jednak pogodzić—pyta Kraszewski—z tém, cośmy mówili wyżej o religijném uczuciu autora?“—Oto odpowiada: „Tak, jak mnóstwo innych utopii XVIII w., którym się zdawało, że w chrześcijaństwie odnowioném i przefiltrowaném filozoficznie, potrafią się po-

mieścić.“ Mybyśmy dodali: tak jak dziś wielu, nieraz głęboko religijnych, ludzi przyjmuje obecnie panujące poglądy i wypadki naukowych badań, które niekonięcznie dają się z ich przekonaniami pogodzić; jak znowu wielu materialistów mimo woli ulega wpływowi takich uczuć i pojęć, które w społeczeństwie jedynie chrystyanizm wyrobił, choć nie uznają źródła, z którego one płyną. Przechodząc do literackiej strony Doświadczyńskiego, Kraszewski, odnośnie do czasu, przyznaje mu wielkie znaczenie: „Tendencya jego odpowiadała wszystkim aspiracyom czasu; była w nim surowa krytyka przeszłości, ideał niedościgniony, ku któremu dążyć należało, wiele ironii i satyry, mnóstwo z życia pochwyconych rysów, a wszystko to opowiedziane z wdziękiem, smakiem, delikatnością arystokratyczną, z umiarkowaniem, stylem płynnym, harmonijnym; językiem czystym i choć starzej pozbawionym powagi, ale w nową przybraną elegancją, z którą mu było do twarzy.“—Nadto Kraszewski robi nader trafną uwagę, iż jeżeli dziś utopii o Nipuanach nikt brać na serio nie może, „to w XVIII w. właśnie obudziła ona największe uwielbienie i zapęły. Najprzód trąciła jakąś nowinką, którąby można było o herezję posądzić, gdyby nie to, że wyszła z pod pióra biskupa; prócz tego mówiła o społeczeństwie całkiem różnym od wszystkich znanych społeczeństw w Europie i budziła chęć urzeczywistnienia tego, co tak pięknie przedstawiało się, patrząc z oddali; w końcu poruszała tysiące kwestyi, na które stanowczój nie dając odpowiedzi, niepokoiła, zmuszała szukać odpowiedzi w sobie—zatem zastanawiać się, myśleć. Przyznać należy, iż na Doświadczyńskiego nikt z piszących nie zapatrywał się z tej strony.—

Kraszewski nie pomija także drobniejszych, różnemi czasy nakreślonych powieści. Większość ich osnuta na tle wschodu, choć ducha jego, jak we wszystkich powiastkach XVIII wieku podobnój treści, darenniebyśmy w nich szukali. Owcześni myśliciele uważali wschód za grunt neutralny, na którym można było zasiewać wszelkiego rodzaju teorye, używać ludzi, jak zwierząt w bajce, do wypowiedzenia prawd, których, jak się wyraża Kraszewski „nie wypadało w oczy powiedzieć Europie.“ W powieściach Krasickiego myśl jest zawsze moralna. „Dowodziły one zmysłowo, plastycznie, jak źle jest czynić nieprawość; jak każdy dobry uczynek się płaci, a mści każdy występki.“ Do takich

należy: *Kadur, Sejd, Hamid, Juzup* i inne. Niektóre z nich są tłumaczone, lub przerabiane z innych języków—inne pomyślane oryginalnie. Za najdowcipniejszą Kraszewski uważa powieść: „*Dziekan z Badajoz*.“ Treść jej ta sama, co w powiastce Meisnera. Pytania jednak, kto od kogo zapożyczył — nierozstrzyga stanowczo. Tu należy także historia: *O kamienicy narożnej*. W ogóle, powiada Kraszewski „styl, język, ton, są w nich wyborne; jest miła prostota, wdzięk naiwności dziecięcej, ale wszystkie są do siebie podobne. I derwisze, sultanowie, kupcy, są jakby wedle jednego wzorku poprzykrawani.“

W roku 1778 Krasicki wydał satyry, które wraz z bajkami uważane być mogą za arcydzieło powszechno-dziejowej literatury. Kraszewski rozbiór ich poprzedza krótkim, historycznym poglądem na utwory satyryczne w naszej literaturze. Poczynając od Reja i Kochanowskiego, aż do Wacława Potockiego, wszyscy niemal wybitniejszego talentu pisarze, zmierzający ku poprawie obyczajów, lubo w rozmaitej formie, byli satyrykami. Tém więc przeto, gdy z wstąpieniem na tron St. Augusta myśl reformy dojrzała, duch satyry ogarnął prawie wszystkie rodzaje literatury. Oprócz Naruszewicza, który w satyrze smaga „biczem ze sznurów plecionym, — Trembeckiego, „siekącą do krwi różgą,“ — Węgierskiego „pejczem jeźdźca,“ — występuje mnóstwo jeszcze bezimiennych poetów-paszkwilistów, „których pełne są fiakry warszawskie i ławki Saskiego ogrodu.“ „Nadto satyra—ciągnie dalej Kraszewski—maskuje się za powieść, za bajkę, za komedię, za poemat, piosnkę, zagadkę.“ Nikt wszakże w tym rodzaju nie stanął tak wysoko, jak Krasicki. Jest on mistrzem, nie mającym równego sobie, ani wśród współczesnych, ani pomiędzy poprzednich czasów pisarzami. W jego satyrach „forma z treścią się zrosła, każdy szczegół wypieszczony, słowo każde pomyślane, uczute szczęśliwie; całość wyborna. Gdzieindziej Krasicki nie zadaje sobie pracy, by osnowę obmyśleć surowiej — tu ona wszędzie doskonała: na przemiany opowiadanie, dramat, obraz... Ton jego satyr — mówi dalej Kraszewski — nie zabarwia się namiętnością, poeta panem jest siebie; dowcip jego, zawsze dobrego tonu, może się zaprezentować w salonie, a nie traci przez to na dobitności i sile.“ Właśnie ta umiejętność wypowiedzenia wszystkiego z zachowaniem przyzwoitości i miary jest jednym z przymiotów, najwięcej godnym podziwiania w Krasickim. Nie jest to bo-

nego systemu i planu.“ Kraszewski robi nadto uwagę, „że mogło to być obrachowaniem dla płochych czytelników;“ ale dodaje, „że mogło także wypływać i z usposobienia autora, który nie lubił się niczym kępować.“

Do tej strony dydaktycznej Krasicki dodał „obramowanie, składające się z obrazków, wizerunków społeczeństwa, figurek z natury pochwyconych,“ nieocenionej pod względem obyczajowym wartości. Jakoż dziś nie tyle dla nas ma interesu sam P. Podstoli, lubo ciągle pozostaje na scenie i peroruje bez końca. Jako ideał obywatela jest on nawet w swój doskonałości nie dającą się uchwycić postacią. Natomiast ujemne, pełne śmieszności typy sąsiadów, jak pan Sędzia z rodziną, Kasztelan z żyznawcami trzewikami i inne, stoją przed naszymi oczyma, jako galeria tamtoczesnych żywych obrazów. W nich, „niema najmniejszej pędzla niepewności, rysu zamglonego, wszystko jasne, dobitne, prawdziwe, gdy w naukach moralnych często zbywa na śmiesznych liniach, które gubią się w zamierzalnej dali.“

Nie podobna nam, choćby w streszczeniu przytaczać wszystkie uwagi, jakie co chwila Kraszewskiemu osnowa P. Podstolego nastrocza. Zaznaczymy tylko z autorem, iż Krasicki, podnosząc w roku 1778 kwestyą emancypacji włościan, dowiódł wielkiej cywilnej odwagi, jeśli przypominamy sobie, iż właśnie w tym czasie podany na sejm projekt do praw przez A. Zamojskiego, w skutek dotknięcia tej kwestyi, ogólne potępienie wywołał. Ale mówiliśmy już, iż było to właściwością talentu Krasickiego, umieć wypowiadać prawdę nie miłą w sposób nie obrażający nikogo. Zresztą autor „argumenta swe czerpie z takich źródeł, że ich odrzucić nie sposób; mówi do uczuć, których się zaprzecić nie godzi.“—Kraszewski też najobszerniejszy ustęp P. Podstolemu w swoim studym poświęca; bo też dzieło to jest prawdziwą historią pojęć społecznych, jakie rozwijały się u nas w końcu XVIII stulecia. „Po dworach—mówi—każdy ustęp wywoływał żywe dyskusye, a sąd zdrowy autora trafiał do przekonania i reformom torował drogę.“

W „*Historii na dwie księgi podzielonej*“ (r. 1779)—autor, mówi Kraszewski—chciał krytyki zdrowego rozsądku spróbować na starych dziejach bajkami zarosłych, poczyta ukwieconych, wypowiadających często raczej to, o czém naród marzył, niż co przeżył. W tym celu wprowadza człowieka, posiadającego tajemnicę ciągłego odmładza-

nia się, który, jako naoczny świadek wypadków, objętych znacznym przeciągiem czasu, bo od Aleksandra W. do Mieszka II i Ryxy, opowiada je w formie pamiętnika, tylko nie, jak je opisywali kronikarze i historycy, lecz jak niby w rzeczywistości się działy. Pomysł ten trochę fantastyczny, lubo nie oryginalny, gdyż zapożyczony z Gulliwera, nie odpowiadał jednak wykonaniu. Najprzód bowiem ów zdrowy rozsądek nie wystarczał w zastosowaniu do krytyki historycznej; powtóre, przykładając do ubiegłych zdarzeń miarę pojęć właściwą XVIII stuleciu, Krasicki wprost przeciwny skutek założeniu osiągnął. Chcąc bowiem z fałszów oczyścić dzieje, sam skrzywił o nich pojęcie, skoro wszystkim wiekom i ludziom bez różnicy nadał swój epoki charakter. Z całego dzieła, które i na współczesnych nie zrobiło wrażenia, Kraszewski podnosi tylko ustęp, w którym autor opowiada, w jaki sposób przyszedł do posiadania rękopisu wydanej przez się Historii.

Po Satyrach, Kraszewski pierwsze miejsce przyznaje bajkom, a bogdaj czy nawet nie stawia ich wyżej, ze względu na treść pełną alluzji. Robi też trafne spostrzeżenie na wstępie, iż upowszechnienie się tej formy w czasach stanisławowskich, jest wielce charakterystycznym zjawiskiem. Dawniej—prawie bajki nie znano. Przy panującej bowiem swobodzie słowa, nikt nie potrzebował się z myślą ukrywać. Rodzi się ona dopiero w czasie, gdy położenie kraju zmuszało prawdę pod osłoną przedstawiać. Krasicki pochwycawszy tę formę, nadaje bajkom charakter satyry społecznej, a zarazem wykończenie mistrzowskie. „Są to poemaciki, tak wydłutowane, wygładzone, jak pieścidelka, iż się równają częstokroć wzorom swym z antologii greckiej.“ Najwyższą wartość przyznaje Kraszewski cztero-, sześć-, i ośmiowierszowym bajkom, w których „z nadzwyczajną zwięzłością, mieści się założenie, dramat, rozwiązanie dowcipne, a czasem słówko morału.“ Zbiór ich Krasicki poświęcił dzieciom; zdaje się jednak, iż ta dedykacja była tylko zamaskowaniem ukrytych w nich dążeń: mała bowiem tylko ich liczba odpowiadać może potrzebom dziecięcego umysłu. Jakoż mają one głębsze znaczenie. „Zrodziły się—pisze Kraszewski—ze krwi i łez swojego czasu.“ „Król, dwór, obyczaj wieku, wybitne jego postacie,“ dążeń i zawody, odzwzorowane są w nich wydatnie; „a choć czasem skóra zwierzęca okrywa maskę—z pod niej twarz ludzka widnieje.“ Do takich bajek, w których,

po głębszém w ich treść uniknięciu, można się związku z ówczesnemi wypadkami dopatrzeć, zalicza: *Słońce, Obłoki i Ziemia, Trzcina i chmiel, Chleb i szabla, Konie i jurek, Wilk i owce, Nocni stróże, Kulawy i ślepy, Wół minister, Cesarz Chiński i jego syn* i inne. Niektóre z nich, najwidoczniej noszą charakter epoki sejmku czteroletniego, jak bajka p. t. *Alyszy*, kwestyą aliansów natchniona, jak *Rumak i Zrebiec*—Niemcewiczowi przez autora przesłana. Część ich druga, wydana później pod tytułem: *Bajki Nowe*, nie ma już téj zwięzłości i świetnego dowcipu. Przechodzą one raczej w opowiadanie, „słowo w nich nie tak dosadne, forma nie tak wyrzeźbiona starannie.“ W każdym razie, po satyrach, Kraszewski uważa bajki za najkunsztowniejszą po Krasickim spuściznę, „najlepiej ducha wieku malującą.“ Porównując go z współczesnymi bajkopisami, nie znajduje ani jednego, któregooby mógł obok niego postawić. To pewna, że ani Naruszewicz, ani Węgielski, ani Książnin, nie posiadają tych zalet, jakimi bajki Krasickiego celują. Sądzimy jednak, iż należałoby zrobić pewne ustępstwo w tym względzie na korzyść Trembeckiego. Wprawdzie stosunkowo nie wiele po sobie bajek zostawił, w każdym razie w niektórych z nich dowiódł wielkiego mistrzostwa. Nie dorównywa on Krasickiemu w zwięzłości, ale go w plastyce przewyższa. Gdy Krasicki, wprowadzając do bajek zwierzęta, mianuje tylko każde, nie troszcząc się wcale o jego wewnętrzną lub zewnętrzną charakterystykę, dla tego może, iż wie, że ta powszechnie jest znana; Trembecki tymczasem, stosownie do idei panującej w bajce, nie tylko indywidualizuje zwierzęta, nadając im, odpowiednio do roli, czysto ludzki charakter, przez co jeszcze więcej komiczność ich sytuacji podnosi; ale nadto kreśli tak dosadne i prawdziwie po mistrzowsku wykonane, zewnętrznej ich strony opisy, że nawet nie mianując zwierzęcia, pozwala je z trafnego malowidła odgadnąć. Do tych uwag jeszcze jedną dolaamy. Kraszewski, podnosząc społeczne znaczenie bajek i liczne w nich aluzye do wypadków i ludzi współczesnych—dodaje, że choć dziś pamięć tych osób, stosunek do wypadków, znacznie się zatarł, w wielu jednak czuć natchnienie bezpośrednie epoki, jak że można niemal wykazać ich genezę prototypy.“ To samo daje się zastosować do Myszajdy, Satyr i innych Krasickiego utworów. Otóż nasuwa się pytanie, czy nie czas byłoby, dopóki się do reszty pamięci tych stosunków nie zatrze, zając

się zaopatrzeniem dzieł poety w odpowiednie komentarze, któreby je dla ogółu w zupełności zrozumiałemi czyniły?— Nie będziemy szczegółowo zajmować się wszystkimi dziełami biskupa warmińskiego, które Kraszewski w swoim studyum rozbiiera. *Wojna Chocińska* bowiem, już przez Dmochowskiego uznana za utwór słaby i nie odpowiadający warunkom bohaterskiej epopei, tém niekorzystniej mogła wyjść w rozbiorze Kraszewskiego, któremu ciągle nasuwało się porównanie jej z *Wojną Chocińską* Wacława Potockiego. Komedye znowu: *Mędrzec, Pieniacz, Łazarz, Solenizant, Front, Statysta i Krosienka*, przedstawiane na teatrze heilsberskim, jakkolwiek im Kraszewski znaczny ustęp, właśnie dla tego, że mało znane, poświęcił, są jednak tak wątpliwéj wartości, że, czując to autor, pod obecną je wydrukował nazwiskiem. Wreszcie *Zbiór wiadomości*—rodzaj encyklopedycznego słownika, choć ułożony starannie, już w swoim czasie nie miał wielkiego uznania, tém mniej przeto dziś może mieć jakiś interes, gdy nas lat sto od jego wydania oddziela. Ograniczając się przeto na saméj o dziełach tych wzmiance, zwrócimy tylko uwagę na sąd Kraszewskiego o *Listach* Krasickiego i jego dziele o *Rymotworstwie i Rymotwórcach*. Przedewszystkiem powiedzmy, że sąd ten jest nazbyt surowy. Mówiąc o *Listach*, zwłaszcza przeplatanych wierszem, Kraszewski wyraża się, iż „jako dzieło kunsztu jest hybrydem i rzeczą ułomną; że nie mogą mieć nigdy poważnej, jednolitej, wysokiej piękności skończonych dzieł artystycznych; wreszcie, że forma ich, niczem nie usprawiedliwiona, oprócz fantazyi autora, razi i niedzierpliwi.“ Wszystko to jest prawdą poniekąd. Pytanie jednak, czy sam Krasicki przywiązywał do nich wyższe artystyczne znaczenie, czy też po prostu uważał za igraszkę wesołego humoru? Przy łatwości szalonych, wiersz, sam mu się pod pióro nasuwał. Co myśl przyniosła, to wylewało się z głowy na papier, jak pieniący się szampan z przepelnionego kieliszka; ztąd obok różnej wartości ustępów, mogły się znaleźć i takie, jak: *O Rymotwórcach zaniknąć wolę*, które jednak zastosowane właściwie, mogły śmieszyć i bawić. Formy tej zresztą nie wymyślił Krasicki, zapożyczył je u *Voltaire'a*; że zaś w niej mógł coś w swoim rodzaju znakomitego napisać, to przekonują właśnie w tej formie skreślone dwa listy do wojewody ruskiego. Dwa te listy są istniami arcydziełami w swoim rodzaju.

Podobnie niezastężony sąd spotkał i dzieło

O Rymotworstwie i Rymotwórcach. Nie prze-
czymy, iż rozpatrywane z dzisiejszego sta-
nowiska estetyki, pod żadnym względem
wytrzymać krytyki nie może; zgadzamy
się nadto, że „prawdła i określenia rodza-
jów poezji są w niem nader ogólnikowe
i nie sięgają głęboko w naturę twórczości
poetycznej; że tłumaczenia własne biskupa—
tych poetów, którymi się w swoim dziele
zajmuje — noszą na sobie cechę ra-
czej tłumacza, niż oryginału...” Wszystko
to prawda! Ale nie zapominajmy, że
w dziele tém tkwi zaród nieznanój u nas
jeszcze historii literatury powszechniej; że
ogół z tego dzieła po raz pierwszy dowi-
adywał się o wielu obcych mu nawet z imie-
nia poetach; że wreszcie Krasicki był
pierwszym u nas, który potrzebę takiego
dzieła zrozumiał. To téż przyznać trzeba,
iż Bartoszewicz daleko sprawiedliwiej tę
pracę ze stanowiska historycznego ocenił.
W każdym razie, ma ona głębsze znacze-
nie. Człowiek, który w wieku dojrzałej
młodości pisze *Monachomachią*, a ku schył-
kowi życia *Pieśni Ossyana* tłumaczy, wi-
docznie instynktownie odczuwał zbliżającą
się nową epokę w literaturze, a przynaj-
mniej pojmował, iż dla społeczeństwa nie
wystarcza już dawny jednostronny kierunek.

Jeżeli jednak nie zawsze można się zgo-
dzić z Kraszewskim na ocenę pojedynczych
utworów; to natomiast sąd jego ogólny
o dziełach, stanowisku Krasickiego w lite-
raturze, oraz charakterystyka jego talentu,
odznaczają się wielką trafnością. Autor
P. Podstolego całą epokę sobą wypełnia.
Gdy inni współcześni mu poeci zaledwie
jedną jakąś jej stronę odbijają w swych
pismach; on — ze swém encyklopedyčnym
wykształceniem reprezentuje, wszystkie
niemal kierunki. „Nie mu — pisze Kraszew-
ski, nie jest obcém: radby rolne gospodar-
stwo równie zreformować, jak klasztory,
wychowanie, jak ogrody, szlacheckie dwory
i szlacheckie zarybione sadzawki.” „Niezmordowany — nieznudzony, chwili nie
jest bezczynnym, ustać nie może, znużyć
go niepodobna.” „Wszystko, co pisze —
a znak to jest wielki, dodaje Kraszewski —
echem szerokiém odbija się w sereach i umy-
slach. Cała społeczność czuje w nim sie-
bie i on się czuje w całym społeczeństwie
swojem; żaden typ jego epoki obcym mu nie
jest, jakiejbykolwiek płci był i wieku.” —
Słowem jest tém dla swój epoki, czém był
Jan Kochanowski dla XVI stulecia, czém
A. Mickiewicz w nowoczesnej literaturze.

Załatwiwszy się z epoką stanisławowską,
przechodzimy do czasów bliższych, miano-
wicie do rozbioru studyum nad życiem
i utworami Władysława Syrokomli (Ludwika
Kondratowicza). Nikt może ze współ-
czesnych nie był więcej nad Kraszewskie-
go powołanym do tego zadania. On bowiem
w Athenaeum, w r. 1844, pierwszy dał po-
znać światu poetę, drukując *Pocztyliona*; on
później, nie szczędził mu zachęty do wytrwa-
nia w zamierzonym przekładzie łacińsko-
polskich poetów; on wreszcie, zostając z nim
w korespondencyi i dając ciągle dowody
serdecznej życzliwości i przyjaźni, wspiera-
jąc go radą, jako doświadczony w zawo-
dzie pisarskim, najlepiej był świadomy ca-
łego życia wewnętrznego poety, jego trosk
o chleb powszedni, rozczarowań, zwątpień,
zawodów i upadków, do których go serce
w nieopatrznej chwili popchnęło, — on wre-
szcie był ostatnim powiernikiem jego my-
śli gasnącej, a przesłanej mu w liście, dy-
ktowanym na godzinę przed śmiercią.

Całe pasmo życia poety, jak dzień jeden,
rozwinęło się przed jego oczyma.

To téż Kraszewski od razu pojął ciężący
na nim obowiązek. Sam niejednokrotnie
uczynał brak wiadomości o życiu najzna-
komitszych naszych pisarzy, o których zwy-
kle mnóstwo szczegółów przechowywało się
czas jakiś w pamięci współczesnych i bli-
żej z nimi związanych; ale które ginęły dla
szerszego koła i dalszych pokoleń, właśnie
dla tego, iż nikt sobie pracy nie żadał, by
je we właściwej porze zapisać. Nie każdy
miał za przyjaciela Andrzeja Trzecieckiego.
Tém skwapliwiej przeto po zgonie poety
wziął się do skreślenia biografii i ocenie-
nia jego utworów, i pracę tę w ostatnich
poszytach redagowanego przez siebie w
Warszawie Przeglądu Europejskiego za r.
1862 pomieścił. Nie jest też to zwykły,
skreślony obojętną ręką życiorys. Owszem
każdą kartę cechuje tu głęboka boleść i żal
po człowieku, złamanym i zgasłym przed-
wcześnie, a który jednak w innych okoli-
cznościach przez długie... długie lata mógł
być z pożytkiem dla literatury pracować. —
Nie będziemy przytaczać tu szczegółów z
życia Kondratowicza, skreślonych przez
Kraszewskiego, bądź z własnych wspomnień
i listów do niego pisanych, bądź z kor-
respondencyi, dostarczonej mu przez Jana
Chęcińskiego, równie serdecznego przyja-
ciela poety. Ciekawych odsyłamy do tych
jego studyów, które zresztą później uka-
zały się w oddzielném lubo skróconém nie-
co wydaniu (*Władysław Syrokomla, Warsz.
1863 r.*), i zajmijmy się wyłącznie kryty-

cznóm ocenieniem przez niego utworów poety, jako przedmiotem wyłącznie z naszą pracą związanym. — Kraszewski, charakteryzując na wstępie naturę talentu Syrokomli, powiada, iż „należał do tych właśnie wybranych istot, z których wedle narodowości rodzą się: we Francyi Musset, w Niemczech Heine, w Anglii Stern — co z płomieniem złotym na czole, krzyż dobrowolnie dźwigają na ramionach.” Ludzie przynoszą z sobą na świat: „serce najpoczeiwsze, anielskie, i rozbujaną fantazją, która im się nigdy nie pozwala z warunkami otaczającego świata pogodzić. Ztąd wszelkie życia omyłki, zawody i niezatamowanych łez zdroje.” Fantazya stwarza im świat, jakim go serce mieć pragnie; serce zaś, rozdzierając się o twardą, nieubłaganą, rzeczywistość, o ludzi pospolitych, co ani serca, ani skrzydeł nie mają, wydaje z siebie tylko jęk pełen boleści, aż w końcu pęka pod jej nadmiarem. — Takie usposobienie jedynie w pieśni znaleźć może najwłaściwszy wyraz dla siebie. Takie też usposobienie było i litewskiego śpiewaka. Czuł się sobą jedynie w samotności, w obec natury i ludzi prostych, serdecznych. Ich uczucia też i pojęcia umiał najlepiej malować. „Tymczasem krytyka dziwaczna, chcąca zawsze, jak powiada Kraszewski, gruszek na jabłoni, lub jabłek na gruszy, zbijała go z tego toru, który Syrokomli wyznaczyła natura” (Str. 19). „Chciano od niego epopei, wielkich i obmyślanych utworów, gdy on potrzebował tylko myśleć, czuć, dumać, kształcić się, a potem śpiewać, co mu serce przyniosło” (4—19). Syrokomla jednak mało sobie ważył te łzami płynące pieśni; czuł on potrzebę poważniejszej pracy i oto w samym początku literackiego zawodu, bo jeszcze w r. 1846 powziął zamiar dokonania przekładów łacińsko-polskich poetów. Z korespondencji, związanej z tego powodu z Kraszewskim, widać, jak żywy w nim ta praca obudziła interes. Popierał też owo wydawnictwo w Athenaeum, pośredniczył pomiędzy Kondratowiczem a innymi literatami, których ten chciał do swego przedsięwzięcia na współpracowników pozyskać, lubo, jak powiada, urzeczywistnienie zadania *junctis viribus*, zdawało mu się wtedy prawie niemożliwem (Str. 22). Że się mylił, skutek najlepiej pokazał. Pomimo przyrzeczeń współpracownictwa, cały ciężar pracy spadł na barki Kondratowicza. Sam bowiem przełożył 19 poetów, nie licząc pieśni, zawartych w kronice Galla, nagrobków i innych zabytków. Pod względem wiernego przelania

myśli z oryginałów, dałoby się wiele Kondratowiczowi zarzucić; co do nadania jednak tym przekładom poetycznej formy, można się zgodzić z Kraszewskim, iż „człowiek, co się brał do tego, był usposobiony szczęśliwie.” Wszakże ani przekładów, ani rozpoczętej historii literatury polskiej, Kraszewski nie uważał za odpowiednie pole, na którémby się talent Kondratowicza w całej pełni rozwinął. Pierwsze zapełniały wprowadzić wielką próżnię w literaturze i przyswajały ogółowi myśl narodową, uwięzioną w obcej łupinie, w tych utworach jednak poeta nie był jeszcze sobą, choć wiele dawał ze siebie; druga zaś praca, przedsięwzięta jedynie na obstalunek księgarski, przy braku odpowiednich materiałów, była skróceniem tylko pracy Wiszniewskiego i oprócz ustępów przełożonych z łacińsko-polskich poetów nie wносиła do literatury żadnych ważniejszych poglądów. Ale obok tych zajęć, w chwilach więcej swobodnych, poeta z pod swojej strzechy wysyłał w świat i oryginalne utwory. Oprócz wyżej przywiedzionych w Athenaeum i innych później w nim zamieszczonych, jak *Chodyba*, *Zalotnicy*, *Grabarz*, ukazały się jeszcze od r. 1846 — 9: *Błogosławiony Sadoch*, w *Gwieździe Kijowskiej*; *o Chwale bożej i królewskiej*, *Dyfferencya*, *Kradzione*, w *Pamiętniku Naukowo-literackim*, które treścią i obrobieniem zapowiadały w swoim twórcy talent niezwykle. Do produkowania więc takich utworów zachęcił Kondratowicza Kraszewski i wezwanie musiało być gorące, skoro aż na nie wierszem odpowiedział poeta:

Mistrzu! każesz mi śpiewać, chcesz na moje głowę
Gwałtem wcisnąć promienie i wianki laurów,
Mówiąc o mych *Gawędach*, że te w swoim czasie
Dadzą mi znakomite miejsce na Parnasie;
Że trzeba tylko śpiewać...

Ale cóż to była *gawęda*? Kraszewski w kilku słowach jej znaczenie określa i całą genezę wyjaśnia. Było to „poetyzowanie codziennego życia bez odjęcia mu barw właściwych.” Pierwowzór jej, nakreślony tylko na rozmiar olbrzymi, widzi w *Panu Tadeuszu*, który, jak mówi, „otwiera wrota poematom współczesnej treści, w których rzeczywistość otrzymuje prawo obywatelstwa”. Pol i Syrokomla ujęli ją tylko w szczuplejsze, miniaturowe ramy. „Ale choć obaj odechnęli atmosferą archetypu nowej poezji”, każdy z nich jednak własne piętno na niej wycisnął. *Gawęda* Pola jest przede wszystkim katolicką, szlachecką; Syrokomli ludową, ludzką. I on kocha szlachcica, ale ubo-

giego i bardziej zbliżonego do ludu, „woli jednak wieśniaka, bo wierzy w przetworzenie się społeczności i zespolenie się wszystkich jej pierwiastków“. Tymczasem Pol „na chłopą pogląda z wysoka i przyjmuje go jako wiernego służkę“. Pol nadto nie umie być ironicznym bez gniewu; oburzenie przechodzi w nim w szyderstwo; Syrokomla zaś przy całej ironii, tyle ma w sobie uczucia, że, jak powiada Kraszewski, łąda słówko, rzuciłby się na piersi. Nie mniej trafnie charakteryzuje różnice w formie, w utworach obu poetów. „W gawędzie Pola — powiada — jest ona niekiedy piękną i artystyczną, a zawsze opracowaną wykwintnie; u Syrokomli pracy mniej, ale forma wdzięczniejsza, rzutniejsza, a serce przez nią mówi szczerzej: czujesz, jak kołace“. Pol pamięta o tém, co czyni, pozuje; myśli, co o nim powiedzą; Syrokomla jest sobie, jak go Bóg stworzył, gotów popelnąć wiersz nieszczerogólny, a fałszu ci nie powie dla efektu (str. 121—122—212). Czas, pomiedzy rokiem 1844—1853, można uważać za Kraszewskim za pierwszy okres twórczości Syrokomli. „Aż dotąd, jak mówi autor, życie szło dla Władysława po bożemu: wieś, cisza, książki, sztuka, ludzie życzliwi, świat pełen współczucia, nawet krytyka sympatyczna wielce. Rzadko komu — dodaje — poszło tak snadnie, jak z płotka“ (str. 58). W ciągu tego czasu, oprócz przekładów poetów łacińsko-polskich, dwóch tomów *Historii literatury i tłumaczeń: Poujoulat'a, Coyer'a, Jakóba Sobieskiego, Jana Solikowskiego, Andrzeja Maxym. Fredry i Kromera*, który ściągnął na głowę poety gromy ze strony J. Bartoszewicza, wydał on jeszcze *Dęboroga i Gawędy i Rymy ulotne*. Gawędy objęły zbiór utworów drukowanych w piśmie czasowych poprzednio. Dęboróg był świeżem zjawiskiem i o nim Kraszewski wydał sąd bardzo pochlebny w *Gazecie Warszawskiej* z r. 1854 (List VI, N. 174). W ogóle, charakteryzując wrażenie, wywołane temi utworami, Kraszewski tak się o Syrokomli wyraża: „Ukazanie się tego pisarza w literaturze naszej prawie jednogłośnie i zgodnie powitane zostało oklaskiem. Dla ludzi lepszych miał śliczną formę, w którą przyoblekał starych poetów; od poważnych zaśłaniał się, jak tarczą, łaciną, z której tłumaczył... Dziesięć jednak krytyk na tłumaczenie Kromera, nie zatrze wrażenia, jakie zrobił Dęboróg“. W tym okresie powstała także *Spowiedź pana Korsaka*, drukowana po raz pierwszy w r. 1853 w *Gazecie Warszawskiej*.

Jednostajne wszakże życie Żalucza, nie

wystarczało dla poety. Dusza, nieznająca świata, rwała się do szerszych przestrzeni, do wrażeń silniejszych a nieznanych. Czuł zresztą potrzebę odświeżenia, spotęgowania myśli, zwłaszcza, że potrzeby rodziny i troska o jutro zmuszały coraz więcej pracować. Pobyt w mieście obiecywał mu wiele. Przeniósł się więc w r. 1853 do Wilna. „Ale krok ten, jak najuięszczęśliwiej wpłynął na losy poety“. — „Miasto — powiada Kraszewski — jak abysus woła, ale jak przepaść pochłania“. „Poeta rozpragniony świata, z głową ideałami w ciszy wykarmioną, wchodził w ten gęsty tłum, wśród którego naturalnie więcej się spotyka fałszu, obłudy, komedyi i pozorów, omamiających chwilę, a gorzko później oplakiwanych. Narażał się na tém większe zawody, że do końca życia musiał być, czém go Bóg stworzył: dzieckiem, śpiewającym, marzącem i niedomyślającym się téj słabości, która fałsz rodzi“ (str. 61). To też wkrótce rozczarowany, zniechęcony do ludzi, porzucił Wilno i przeniósł się do Borejkowszczyzny. „Ale niewiara poszła za nim i ściagała go, jak widmo, co go już nigdy opuścić nie miało“ (str. 75).

Dotąd utwory Kondratowicza nacechowane były uczuciem rzewnem, lekką ironią, ale w ogóle nastrój ich był pogodny. Ale już w drugim poczie *Gawęd i Rymów* zamieszczony *Lirnik wioskowy* odbija w sobie to nowe usposobienie Kondratowicza, graniczące z rozpaczą. Jest to kwiat, z którego opadłe kiedyś nasiona zrodzą: *Śmierć słowika, Melodyę z domu obłąkanych i najsmutniejsze z nich owo: Cupio dissolvi*, które uważać można za ostatnie słowo poety. Po niem właściwie nie miał on już nic do wypowiedzenia z swéj duszy. To przeczenie przedwczesnej śmierci już w *Lirniku* owionęło mu duszę. Tylko tu nadzieja szerokiéj sławy rzuca jeszcze jasny odbłysek na owo marzone przez poetę zacisze cmentarne, gdzie sobie grób przystroił trzema krzyżami przy sosnie, ten sam jednak motyw, tylko silniej, tylko artystycznie rozwinięty, występuje w późniejszych owych utworach. Obok pomniejszych *Gawęd* zamieszczonych w téj drugiej seryi, jak *Żywot pocziwego człowieka, Hetman polny, Zabłocki*, znajduje się i *Kanonik Przemyński*. Syrokomla od r. 1851 nosił się z myślą utworzenia na większą skalę jakiego poematu historycznego. Donosił nawet Kraszewskiemu o zamiarze dokończenia *Fragmentu bitwy z Amuratem* przez Jana Kochanowskiego, zapytywał o radę. Trudność wszakże leżała w samém pojęciu przedmiotu. „Pisarze ściśle kato-

liccy — powiada Kraszewski uniewinniają Warneńczyka, pójść było za nimi, czy za wiekowym sumieniem, które karę złamanych przysiąg widziało w przegranej pod Warną? Naprawdę ortodoxya siła się na uniewinnienie: sumienie narodu osądziło ten fakt surowo i przeszedł w dziejach, jako przykład świętości, z jaką słowa dotrzymywać należy, nawet poganom. Ale, z tej strony biorąc historią, potrzeba było zrzucić winę całą na otaczające króla duchowieństwo, na ten sofizmat, który dopuszczał mu namawiać Władysława przeciwko sprzymierzeńcowi. Ani czas, ani okoliczności — dodaje Kraszewski — poematu na tych danych osnuć nie pozwalały“ (str. 49). To też Syrokomla całkiem ten pomysł porzucił. To samo jednak powtórzyło się z *Kanonikiem Przemyskim*. Poeta, wzięwszy za ośnowę wypadki z życia *Stanisława Orzechowskiego*, tak, jak je skreślił Józef M. Ossoliński, po ukończeniu poematu, uległ wpływom wileńskiego otoczenia, które utwór ten ze względu na zatargi z władzą duchowną tego słynnego w XVI wieku warchoła i jego ożenienie się wbrew kanonom z Magdaleną Chelmską za skandaliczny uznało. Poemat wyszedł w całości dopiero w r. 1872 w zbiorowej edycji utworów poety; w drugim tomiku Gawęd znalazły pomieszczenie niektóre tylko z niego ustępy. Kraszewski też oceniając tę pracę, przyznaje jej niezaprzeczone piękności, dodaje wszakże „iż znać w niej brak siły, wytrwania, temu do wykończenia większych obrazów“. Inaczej być jednak nie mogło. Skrupuły, jakich poeta doznawał w traktowaniu obranego przedmiotu, obawa, by zbyt śmiało malowidłem nie obrazić religijnych przekonau czytelnika, musiały na każdym kroku ostudzać zapal i tamować swobodny polot wyobraźni. Skrupuły te są zresztą podług nas bardzo charakterystycznym rysem, malującym zarówno tamtoczesne społeczeństwo, jak i samego poetę. Dziś nikt z młodszej generacji pisarzy nie kępowałby się podobnemi względami. Ze jednak należało się z publicznością rachować, przekonało poetę później w sposób nader bolesny przyjęcie „Stelli Fornariny.“ — Pomimo chybionych pierwszych prób poematu historycznego, nie przestawał Syrokomla poszukiwać nowego, więcj odpowiedniego przedmiotu. Jakoż już w roku 1854 donosi Kraszewskiemu o Margierze, po którym, jako po utworze wyższego, jak się wyrażał, polotu — obiecywał sobie bardzo wiele, i na nim trwałość przyszłej sławy budował. Tymczasem zawiódł się w swych oczekiwaniach boleśnie. Krytyka sympa-

tycznie dotąd odzywająca się o jego utworach, przyjęła chłodno Margiera. Poemat ten jednak był kamieniem probierczym dotychczasowych stosunków poety z Kraszewskim. W marcu 1855 r. przysyłając do Żytomierza egzemplarz, uskarżał się gorzko na ówczesnych recenzentów. Szczególniej dotknął go zarzut zarozumiałości, jaką tchnęła niby jego przedmowa. Prosił więc Kraszewskiego o sąd szczerzy, publiczny, przekonany, iż z pod jego pióra na korzyść Margiera wypadnie. Tymczasem przed otrzymaniem egzemplarza, Kraszewski wyprawił do *Gazety Warszawskiej* list, w którym, z właściwą sobie niepodległością zdania, zamieścił sprawozdanie z Margiera, stwierdzające niestety, wrażenie, z jakim ogół przyjął poemat. Przytoczywszy w streszczeniu jego ośnowę, Kraszewski stawia dwa kardynalne zarzuty: przyjęcie formy Wergiliuszowskiej i wybranie z dziejów Litwy epoki, przypominającej „Grażynę“. Ztąd dalsze niekonsekwencje wynikły. Temat tak zużyty można było ożywić jedynie przez uchwycenie w nim „strony nietkniętej, świeżej i nowiej“; tymczasem „forma na to nie pozwalała i zmusiła autora trzymać się nieokreślonej, mglistej sfery, sztukować ogólnikami.“ Samę zresztą ośnowę, pomimo jej prostoty, Kraszewski za zbyt jednostajną i ubogą uważa. Podobną jednostajność i charakterom działających osób zarzuca. „Margier jest zbyt heroiczny i litościwy na barbarzyńca, Egie przypomina Aldonę; wreszcie Lutas, ze względu na swój nieokreślony charakter, jest niemożliwą prawie postacią. Ludzie ci — powiada — są to jacyś idealni ludzie epiczni, coś nakształt bohaterów malarza Davida, Piastów i Kazimierzów Baccarellego“ (str. 91). Słowem cały utwór za chybiony uznawał. Wprawdzie sąd ten łagodzi później wykazaniem licznych piękności, w jakie obfituje poemat; mianowicie podnosi wiersz harmonijny, łatwy, wdzięczny, wykończony, z głębokiem artystycznym poczuciem, oraz mnóstwo prawdziwie natchnionych epizodów, którym znaczny ustęp poświęcił; ale koniec końcem sąd był potępiający. Co do Kraszewskiego, mówiliśmy powyżej o surowem pojmowaniu przez niego obowiązków krytyka, któremu nawet osobista dla autora życzliwość nie pozwalała ukrywać prawdy, „tylko bowiem waryatom i szaleńcom, jak sam powiada — mówi się dla ich uspokojenia, pochlebstwo“ (Wł. Syr. str. 97). Z jego więc strony było to jedynie nowem stwierdzeniem zasady, której zawsze hołdował. Ale inna rzecz była z Kondratowiczem. On na Margierze budo-

wał wielkie nadzieje; utwór ten był najukochańszem jego duszy dziecięciem. Krytyka więc Kraszewskiego dotykała go w najboleśniejszy sposób: pocisk wychodził właśnie z tej ręki, która, jak mniemał, miała podnieść jego utwór na to stanowisko, z jakiego go spychała krytyka powierzchowna i stronna. A jednak choć gorzkiego doznał zawodu, umiał uszanować niepodległość sądu Kraszewskiego i słowa prawdy przyjął z wdzięcznością. To daje też rzeczywiście miarę wysokości jego moralnej wartości. „Iluż to przyjaciół — powiada z tego powodu Kraszewski — straciłszy za jedno słówko, daleko może delikatniejsze, niż o Margierze! Jeden Syrokomla zrozumiał, że można kochać człowieka i mówić prawdę pisarzowi“ (str. 96). W tymże samym liście wysłanym do *Gazety Warszawskiej* (r. 1855 N. 168), Kraszewski zajmuje się rozbiorem *Kęsa Chleba* — utworu całkiem inném, niż Margier, miary i ducha (wyd. 1854 roku). Przedmiot bowiem pochwycony był wprost z życia, ze stosunków dotyczących nawet osobiście poetę. Gdy Kondratowicz w Wilnie złożony był ciężką chorobą, tymczasem jego rodziców z resztą rodzeństwa, wygnano z folwarku *Tulonki*, który o milę od Żałucha dzierżawili przez lat 10. Choroba więc i niedola rodziców, jak mówi W. Korotyński w przypisku do zbiorowego wydania dzieł poety, złożyły się na ten utwór pełen boleści (Poezye Kondratowicza T. II, str. 347). Nie zatem dziwnego, że na każdej karcie czuć w nim drgające serce poety. Kraszewski też nie waha się nazwać tego poematu małym dziełem arcydziełem. Wprawdzie nie analizuje go szczegółowo, ale dla całości ma słowa najwyższego uznania. „Forma — powiada — przyszła tu sama, nie szukana, nie wergiliuszowska, a prześliczna, swobodna, wdzięczna, zrosła z treścią i z nią wynika. Margier — dodaje — to przepyszny kwiat, zrobiony ręką doskonałego artysty z jedwabów, aksamitów, papierów i drutów, kunszt w nim wielki, rzekłbyś, że świeżo wykwił w szklarni; ale przy żywym, polnym kwiatku maluczkim, jakim jest *Kęs Chleba* — wydaje się zimnym i suchym“ (str. 95). Zkądże jednak te różnice wynikły? Oto, że w Margierze narzucił sobie przedmiot, nieodpowiadający naturze jego talentu. W *Kęsie Chleba* zaś, wyśpiewał prosto z duszy to, co go bolało, malował świat sobie znany; stosunki, w które wrósł sercem od dziecka. Ile razy pozostawał w tej sferze, zawsze tworzył obrazy wysokości poetyckiej wartości; gdy, jak w Margierze, wbrew usposobieniu szedł drogą

obmyślaną, sztuczną, określoną, przestawał — powiada Kraszewski — być sobą, zniżał się niemal do pospolitości“ (str. 124). Dla tego też najlepsze jego utwory są właśnie te, w których niema żadnych obmyśleń, gdzie samo prowadzi go uczucie, które jest duszą jego utworów. Do takich Kraszewski prócz *Dęboroga* i *Kęsa Chleba* zalicza: *Janka Cmentarnika* (1856 r.), *Wielki Czwartek* (1856) i sielankę *Ulas* (1857). W nich Syrokomla wyrobił już sobie — powiada — formę właściwą. Jest on w niej aż do zbytku swobodnym, nie umie się krępować niczem, a przedewszystkiem nie szuka w prawidłach sztucznych recept na estetyczne utwory. Pomimo jednak wysokich poetyckich zalet, dwa pierwsze poematy, ze względu na samego autora smutne robią wrażenie. I w jednym bowiem i w drugim bohaterowie zapijają się — dla ulżenia bólowi sercowym. „Obraz tego pijaństwa — mówi Kraszewski — jest okropny, straszliwy w ustach nieszczęsnego Syrokomli w r. 1856.“ — Co do sielanki *Ulas* — Kraszewski nie waha się porównać ją z *Panem Tadeuszem*. „Mniej tu liryzm — powiada, niż w innych przedmiotach Syrokomli, ale opisowość za to, malowniczy żywioł panna, a każdy obrazek dotknięty mistrzowsko“ (str. 156). Nigdzie zresztą Syrokomla nie umiał tak „ustosunkować wszystkich części utworu, jak w *Ulasie*; niema w nim przeciągłych epizodów, nie zbytecznego, liryzm go nie unosi za daleko, maluje scenę, w której jest cała dusza...! Malo też — poematów jego — dodaje — prócz *Kęsa Chleba* tak spójną całość stanowi“ (str. 156). Do mniej udanych prób historycznej gawędy zalicza: *Córę Fiastów* (1855), *Zgon Acerna* (1855) i *Stare Wrota*. O pierwszej z nich, powiada, „że jest to jedna z tych robót, które *panem careo* wywołało, które księgarz wyprosił, na którego tytuł rachował wydawca“ (103). W *Zgonie Acerna* znowu poeta obrał niewłaściwy punkt zapatrywania się na przedmiot. Zdawało mu się „że idea wielkości na barlogu nędzarza, geniusz w szpitalu, starczy na utkanie wielkiej pieśni: rzucił ją na pierwszej karcie cało i musiał poczuć później, że z niej wysnuć coś było niepodobieństwem.“ Również poczytuje on za bardzo niewłaściwy pomysł: „sztukowanie poematu wyjątkami z pieśni Klonowicza.“ Mybyśmy dodali, iż w obec nowo wykrytych faktów, podających w wątpliwość podanie o śmierci Klonowicza w szpitalu, poemat ten stracił dziś wiele dla nas i na prawdziwie historycznej. *Stare wrota* nakoniec, obok rozrzucanych tu i owdzie piękności

wykazują wpływ Pola; zresztą budowa poematu słaba, ogólników więcej, niż obrazów. W ogóle Kraszewski wykazuje w tej epoce stopniowy upadek twórczej siły poety. Ów brak chleba zmuszał je coraz częściej do podejmowania prac drobnych, rzemieślniczych, do tłumaczeń i powtarzań jednych i tych samych tematów, tylko w sposób nieco odmienny. Widać to w *Noclegu Hetmańskim*, przypominającym Stare wrota, widać i w innych Gawędach, w których nie daje nic nad to, czegoby już nie wypowiedział poprzednio. Do udatniejszych, jakby wyzebranych u losu, późniejszych epicznych utworów, należą: *Starosta Kopanicki* 1857 i *Marcin Studziński* 1859 r. W nich poeta czuł się jeszcze rzeczywiście natchnionym.

Szereg utworów Gawęd i Poematów zakończamy *Stellą Fornariną*, lubo jej zjawienie się w r. 1858, przypada wcześniej od Marcina Studzińskiego. „Poemat ten, jak powiada Kraszewski, był w naszej literaturze niemal pierwszym zjawiskiem w swoim rodzaju i na chwilę skandalem.“ Cóż mu jednak nadało ten skandaliczny charakter? Czy osnowa, obrażająca moralność? Właściwie nie, gdyż przed Stellą czytaliśmy *Tadeusza Bezimiennego*, *Pana Zygmunta w Hiszpanii*, a jednak utwory te nie wywoływały ani oburzenia w publiczności, ani też w krytyce tak głośnego protestu. Dla czego więc *Stelli* nie sądzono, jako dzieła sztuki, i potępiono ją dla samego przedmiotu? Oto złąd, że widziano w niej aluzję do ówczesnych stosunków poety, że wiadano, kogo należy przez Fornarinę rozumieć, że wreszcie samo zakończenie: *Ona natchnieniem była Rafaela*, mające usprawiedliwić podeptanie rodzinnych związków i obowiązków człowieka, oburzało uczucie ogółu, który właśnie te związki poczytywał za świętość, na którą się bezkarnie targnąć nie wolno, i tej to okoliczności należy nawet przypisać, iż poemat ten nad wartość rzeczywistą większy rozgłos pozyskał.

Przechodzimy wreszcie do utworów dramatycznych poety. Cały ten dział Kraszewski uważa za pokuszenia najmniej odpowiednio naturze talentu Kondratowicza. Człowiek tego szczeru, co on, z usposobieniem na wskroś lirycznym, który świat i ludzi jedynie ze stanowiska własnej podmiotowości pojmował, powinien był nazawsze pozostać śpiewakiem wioskowym i malować tę szczupłą sferę życia, w której wzrósł, urobił się i której cierpienia i radości jak najgłębiej odczuwał. Tymczasem ta sama fatalność, jaka go popchnęła do napisania *Margiera*, skłoniła go później do użycia

formy dramatycznej, najprzód w *Chacie w lesie* (1855), której pierwiastkowo bynajmniej nie przeznaczał na scenę, ale która, raz przedstawiona, miała poetę poprowadzić dalej, niż na tej drodze zamierzał, i zespolić z życiem zakulisowem teatru. W ogóle Kondratowicz napisał sześć sztuk dramatycznych, różnej artystycznej wartości, mianowicie: *Chatkę w lesie*, części I i II, dwiactwo dramatyczne, jak zatytułował sam poeta; komedye: *Hrabia na Wątorach* i *Politycy wiejscy*; oraz dramata: *Kacper Karliński* i *Zofia Księżniczkę Słucką*. Bez względu na użytą w nich osnowę i szczegółowe piękności Kraszewski za kardynalną wadę w tych utworach uważa: brak techniki i umiejętności wydobywania efektów w miarę, bez popadania w przesadę, i jaskrawość barw i charakterów. Nadto Syrokomla nigdy nie mógł zrozumieć, „że granamietności, ich starcie, słowem życie i ruch, stanowią główne zadanie sceniczne.“ „Czynność, bynajmniej go nie zaprzęta; człowieka stawia, jakim jest, nie dopuszczając, by się powolnie objawiał, nietylko słowy, co sprawami“ (str. 110). Umiejętność nadto dyalogowania była mu całkiem obcą. Ztąd rozmowy osób nieraz zanadto ociężały się wloką. Sam też czuł w sobie ten brak najlepiej i powziął nawet nie zbyt szczęśliwy pomysł kollaboracyi w dramacie, do czego listownie Jana Chęcińskiego zapraszał. „Pan znasz scenę—pisał do niego—wyborną masz dykcją dyalogowania, przysłużymy się ogółowi.“ Podobna jednak wspólność pracy okazała się niemożliwą i Syrokomla poszedł dalej swą drogą. Pojedyncze sceny w jego dramatycznych utworach nieraz są piękne; całość niezręcznie sklejoną.

Obok wytknięcia tych wad organicznych, ogólnych, Kraszewski zastanawia się jeszcze nad każdą sztuką z osobna. I tak druga część *Chatki w lesie* jest, według niego, daleko mniej szczęśliwie od pierwszej pojęta. Postacie, otaczające poetę, są skarykaturowane zanadto i nawet na scenie nie zupełnie usprawiedliwić się dają. *Hrabiego na Wątorach* uważa również za postać najzupełniej pod względem historycznym fałszywą. Taki hrabia, jak go pojął Syrokomla, był według niego niemożliwym w przeszłości. Poeta dzisiejszych hrabiów uosobił w Wątorach, i wytworzył z nich typ „papierowy, bez życia, nie mający żadnego wzoru w historii.“ Natomiast do najlepszych utworów dramatycznych Syrokomla zalicza *Kacpra Karlińskiego*. „W nim on — powiada — stanął na wyżynie dziejowej i godnie odpowiedział zadaniu.“ W Karlińskim

poeta istotnie doszedł do tego punktu rozwoju, na którym jak niegdyś Schiller, po napisaniu Wallensteina, mógł się być otrząść z przeważnie panującego w nim liryzmu, i zajmując czysto przedmiotowe stanowisko w poezji. Ale taki zwrot wymagał wewnętrzne go spokoju, skupienia się w sobie, rozszerzenia na życie i dzieje zacieśnionych dotąd szczupłym kręgiem swojskości poglądów, a na to, niestety! nie pozwalały warunki, w jakich zostawał. Potrzeby bowiem licznej rodziny zmuszały go do robót gorączkowych, pośpiesznych; wewnętrzne rozdzielenie między obowiązkiem a uczuciem odbierało spokój i całą swobodę ducha, a to rwanie się na wszystkie strony musiało w końcu spowodować rozstrój sił fizycznych i moralnych. — Po Karlińskim Syrokomla próbował jeszcze dwa razy swoich sił w dramacie; ale zarówno: *Wieżęcy politycy*, jak i *Zofia Księżniczka Słucka*, wykazują raczej upadek talentu, niż dalsze jego rozwijanie się w tym kierunku.

W końcu, streszczając swe poglądy na działalność Kondratowicza, Kraszewski taką daje charakterystykę jego talentu: „Jako poeta—miał dar niepospolity, miał swój język, swą formę, miał nadewszystko swój głos olzawiony, rzewny, dziecinnie prosty i szczerzy, którego urok działał na najzimniejszych.... Krytyka może dotknąć wszystkich niemal jego utworów, wykazując w nich strony ulonne, dowodząc uczenie, czego im braknie, przekonywając, że mogłyby stokroć być udatniejsze; ale wielkiej tajemnicy ich uroku, którą serce tylko pochwycić może, nie wytłumaczy, ani jęć nie odejnie pieśniom lirnika. Odrzuciwszy wiele, zostanie zawsze po Syrokomli tyle, ile potrzeba, aby poszedł z wybranymi w pamięć przyszłości, z tą sympatją, którą ogół daje cierpienin i łzie wylanęj“ (str. 211—212). — W istocie: to głębokie, jakim był obdarzony, uczucie, sprawiło, że nie posiadając ani orle go polotu wyobraźni, która rodzi świetne, zdumiewające pomysły, ani wyższej idei przewodniej, która każdy utwór znamięniem geniuszu piętnuje, umiał jednak czarem pieśni prostaczęj zawaładnąć sercem współbraci.

Co do obcych pierwszorzędnych geniuszów—Kraszewski, tylko nad dwoma poetami swoje studia ujawnił. Do nich należy: Odczyt o *Schillerze*, miany w r. 1859 w Warszawie z powodu stułecnej rocznicy urodzin poety, oraz trzy prelekcje o *Dancie*, wygłoszone w r. 1867 w Krakowie i we Lwowie.

Rzecz naturalna, że każdy odczyt publiczny całkiem innym, niż studjum krytyczne, wymaganiom podlega. Prelegent z konieczności potrzebuje stosować się do usposobienia słuchaczy, przedstawiających najrozmaitszy stopień umysłowego rozwinięcia. Ale też za to, dosyć mu rzecz rozwinąć w najglówniejszych zarysach, i wypowiedzieć w sposób dostępny i zajmujący. Przeciwnie krytyk, mając na celu zgłębienie i ocenienie przedmiotu w sposób wyczerpujący i wszechstronny, musi przedewszystkiem być gruntownym. Na takie zaś traktowanie przedmiotu nie pozwala samo ograniczenie prelegenta jedno-godzinny przeciągiem czasu. Z tego przeto względu zajmiemy się rozbiorem jednego tylko z dwóch wymienionych odczytów, mianowicie o *Dancie*, który wypowiedziany w trzech występach, pozwalał Kraszewskiemu rzecz w sposób bardziej wyczerpujący przedstawić.

Kraszewski rozpoczyna swój odczyt wspólną charakterystyką alpejskiej przyrody, dochodzącej najwyższego majestatu—w Mont-Blanc, tym gór europejskich olbrzymie. Znim porównywa Dantego, który w literaturze wieków jest takim szczytem, mało dla kogo dostępnym. Mimochodem zaznacza na pozór dziwne zjawisko, iż geniusz tak na wskroś chrześcijański, pomimo licznych z Włochami stosunków, aż do XIX-go wieku najmniej znany był u nas, gdzie właśnie najlepiej mógł być rozumianym i cenionym.—Jako geniusz pierwszorzędnej wielkości—Dante jest ogniwem łączącym świat starożytny z cywilizacją chrześcijańską. By go należycie zrozumieć, nie dość zbadać epokę, w której żył i działał; należy poznać i czasy, które ją poprzedziły i w nich dopatrzyć tych nici tajemniczych, które w wiekach za barbarzyńskie uznanych, wiążą dwa wręcz sobie przeciwne światy. „Cała praca duchowa, po większej części niewidzialna, odbywająca się wśród ciemności od X do XIII wieku, ma właśnie za główne zadanie z resztek tradycji starożytnych zdobyć spuściznę dla chrześcijańskiego świata.“—W X wieku prace arabskie, Konstantego Porfirogeneta, Luitpranda—są pierwszymi śladami obudzającego się życia. Wiek XI daje hasło do wojen krzyżowych, które w dalszym ciągu, budząc poczucie narodowości, powołują do życia języki nowe, obok wszechwładnie panującej łaciny. W XII wieku życie umysłowe, które, jak powiada Kraszewski, jest celem i końcem ludzkości na ziemi—rozwijają się coraz potężniej. Imiona *Abellarda*, *Piotra Lombarda*, *Arnolda z Brescyi*, sekty Albigenów i Waldensów—zwiastunów wcze-

snych protestantyzmu, potwierdzają o tém. W wieku XII nareszcie, miłość nauki staje się niemal gorączką. „Zjawia się: *S. Tomasz z Akwinu*, *Albert W.*, *Duns Skot*, jako przedstawiciele mądrości scholastycznej, która pomimo licznych braków była najdzielniejszą na owe czasy gimnastyką dla umysłu ludzkiego. Obok nich stoi samotnie *Roger Bacon* — jako przedstawiciel realistycznego kierunku.

W takiej to epoce przychodzi na świat Dante i staje się spadkobiercą tej wiedzy, nagromadzonej przez ciąg poprzednich stuleci.

Od tego obrazu średniowiecznej cywilizacji przechodzi Kraszewski do skreślenia obrazu walki Gwelfów i Gibellinów, rozdzierających Florencję — rodzinne miasto poety. Następnie opowiada znane szczegóły z jego młodości — miłość do Beatryxy, i daje charakterystykę tego uczucia, jak je świat starożytny pojmował; wyjaśnia, jakim ono było w wiekach, które duch chrystyanizmu ożywiało. Opierając się na *Vita nuova*, określa stosunek Dantego do Beatryxy. Dziwny on był — powiada — równie, jak uczucie, które te dwie istoty łączyło. „Dante prawie jej nie zna, nie śmie przybliżyć się do niej, czci obraz jej w samotności, zapisuje, ilekroć ją spotyka, przeczuwa myśli, na ostatek przepowiada zgon jej“; tklivość w jego pojęciu była symbolem cnoty i dla tego też Beatryxa wprowadza go potem w Komedię do raju. Kraszewski wątpi, czy nawet wyszła za mąż; — przynajmniej — mówi — nie ma na to historycznego dowodu. Ów zakochany w niej jednak Dante, nie jest to marzyciel, którego młodość upływała bezczynnie. Owszem, żyje on cały dla kraju. Pod Campaldino, Caproną, walczy w pierwszych szeregach, a nieco później staje na czele rządów rzeczypospolitej, jako jeden z sześciu *Priorów*. Kraszewski jednak stanowczo zaprzecza, by Dante należał do jakiegokolwiek stronnictwa. „Nie był on — powiada — ani *Gwelfem* ani *Gibellinem*, czarnym, ani białym; — był tylko wiernym dziecięciem Florencji, kochającym kraj, pragnącym dla niego zgody, pokoju.“ Twierdzenie swe popiera tém, „iż żaden ze współczesnych i najbliższych jego komentatorów i biografów, nie śmie go przedstawić, jako zaślepionego i oddanego jednemu stronnictwu. W obu obozach szanował on ludzi przekonanych, chęci pocziwych; w obu nienawidził tych, co dla swój ambicji poświęcali ojczyznę i macili wodę dla własnej korzyści. Późniejsi biografowie nie

byli w stanie tego zrozumieć, jak mógł na przemian żyć w przyjaźni z Gwelfami i Gibellinami, a jeden z nich — Balbo — dopatruje w nim nawet chwiejności jego charakteru. Panującą w nim ideą, wypowiedzianą w dziele *De monarchia*, było wskrzeszenie cesarstwa rzymskiego, gdyż to stawało kres dotychczasowemu podziałowi władzy pomiędzy cesarzem i papieżem, i dawało nadzieję zjednoczenia Włoch rozdartych przez burzliwe, krwawe stronnictwa; ale właśnie ta idea czyniła go wyższym nad wszelkie polityczne zawiści. Cały zresztą jego zawód polityczny dowodzi, iż zawsze stał po stronie umiarkowanych i dobra powszechnego pragnących. Ta bezstronność też stała się jego zguby przyczyną. Jako Prior bowiem, pragnąc zapewnić spokój rzeczypospolitej, sądził, iż tego dopnie, wydalaając z Florencji obu naczelników wrogich sobie stronnictw, Cerchi'ch i Donatic. Tymczasem ściągnał na siebie ich nieublaganą nienawiść. Gdy sprawował poselstwo w Rzymie, domagając się u Bonifacego VIII, by ten najazd Karola d'Anjou na Florencję powstrzymał; tymczasem stronnictwo Donatic, protegowane przez papieża, otwarło bramy miasta najęźdźcy i, dostawszy się do władzy, wywarło zemstę na nicobecnym poccie, odejmując mu cześć i skazując na wieczyste wygnanie. Wypadek ten jest początkiem jego niedoli i sławy. Na tułactwie bowiem dopiero rodzi się Bozka Komedy, w której Dante całą treść wieków średnich ogarnął. W swój podróż do piekła, czyśćca i raju — życie doczesne z wiekiustem zjednoczył. Wprowadzając do poematu Wirgiliusza, jako swego przewodnika i mistrza, tém samém przypomina Włochom, że ich pramacierzą była Roma, że literatura rzymska jest spadkiem duchowym i niezaprzeczoną ich własnością; pisząc zaś swój utwór w języku ludu, w dźwięcznym narzeczu tokańskim, tém samém podnosi go do znaczenia języka literackiego i nową erę dla piśmiennictwa narodowego otwiera. A tak niby Janus — jedną twarzą w świat starożytny, drugą ku przyszłości poiera... Nie możemy dla braku miejsca z osnowy Bozkiej komedyi śledzić za Kraszewskim uczuć ożywiających na tułactwie poeetę, ani też opowiadać kolei, jakie w dalszym życiu przechodził; zwróćmy tylko na jeden szczegół w jego biografii uwagę; szczegół, który Kraszewskiemu, co do źródła wiedzy w osnowie poematu ukrytą, dosyć śmiało, lubo nie ze wszystkiem uzasadnieniem przypuszczenie nasunął. Wiadomo, iż Dante w ciąg-

gu tułactwa odbywał podróże do Bononii, Padwy, Paryża i Oxfordu, w celu wykształcenia się w teologii i otrzymania stopnia doktora. Otóż „dotychczasowi komentatorowie i życie-pisarze poety, nie zwrócili uwagi — powiada Kraszewski — na wpływ, który na jego naukowe wykształcenie mógł mieć pobyt w Oxfordzie, pod koniec życia (?) lub zaraz po śmierci Bakona“ i wyjawia mniemanie, „iż cała ta niezmierna nauka, która wzbudza podziwienie i zdaje się w Dancie nad wiek potężna“ zacerpnęta została „z najgłębszego dzieła naukowego, jakie wiek ten wydał: „*Opus majus*“ Bakona.“ Wprawdzie sam Kraszewski obu tych mężów uważa za dwa krańcowe i przeciwne bieguny epoki. Dante bowiem, jak wiadomo, był na wskrós scholastykiem i teologiem ze szkoły św. Tomasza z Akwinu; Bakon zaś „nowatorem, człowiekiem realizmu, dążącym w nauce do użytecznego jęj i praktycznego zastosowania.“ Żadne więc pokrewieństwo ducha nie mogło między nimi zachodzić, żadna analogia ani w zapatrywaniu się na świat i naukę, ani w metodzie i systemie filozofii; a jednak, pomimo tego, dodaje — że „nauki faktów, fenomenów przyrodzonych, wiadomości takich, jak o igle magnesowej, o ciążeniu ciał, o świetle, astronomii — nigdzie obficie, nigdzie łatwiej nie mógł zacerpnąć Dante, jak z rękopismów Bakona.“

Czy tak było w istocie? To jedynie przez ścisłe, naukowe porównanie Bożkiej komedyi z „*Opus majus*“ Bakona, uzasadniłby można. Tego zaś Kraszewski nie daje nam w swoim odczycie. Myśl zatem rzuciona przez niego, lubo oryginalna i śmiała, aż dotąd hipotezą zostaje.

Na tém krótkim sprawozdaniu z odczytu o Dancie kończymy rozbiór krytycznych prac Kraszewskiego. Inna rzecz, czyśmy przedmiot wyczerpali do gruntu. Działalność Kraszewskiego na polu krytyki była równie niezmordowaną, wszechstronną i rozległą, jak w innych piśmiennictwa gałęziach, tak iż wszystkich prac w tym przedmiocie nie podobna objąć artykułem, którego rozmiary już i tak daleko nad zakres sprawozdań, przeznaczonych do *Książki Jubileuszowej*, urosły. Weźmy tylko na uwagę *Tygodnik Petersburski*, w którym na wstępie do pisarskiego zawodu rozwijał prawie gorączkową działalność. Jakiegoż on tam nie dotykał przedmiotu! Nie mówiąc już o pracach krytycznych, wymienionych powyżej, znajdujem tam cały szereg sprawozdań, recenzji, których tu nie podobna nam było szczegółowo rozbierać. I tak

występuje przeciw literaturze francuskiej w jednym z artykułów, noszących tytuł: *Asmodeusz*, krytykuje *La chute d'un ange* Lamartina, daje sprawozdanie o nowym wydaniu *Historji Literatury Polskiej* Bentkowskiego; pisze recenzje o *Birucie*, noworoźniku, wydawanym przez J. Krzeczakowskiego (r. 1838); krytykuje *Historję m. Wilna* Michała Balińskiego, mówi „*O częściach nowym odmiennających się przez przypadki*“, *Fel. Żółchowskiego*; kreśli sprawozdanie *O stanie Literatury w W. X. Poznaniu*; rozbiera *Faustyna na Dodoszach* Dodoszńskiego Fr. Hr. Skarbka i *Powieści Jadama*; — nawet *Koleśda dla dzieci* p. x. Moszyńskiego nie uchodzi jego uwagi. Któż znówu nie wie, jak bacznie, w epoce męskiej dojrzałości, śledził rozwój umysłowości w kraju, w owych *Listach*, które w *Gazecie Warszawskiej* od r. 1852 do 1855 peryodycznie zamieszczał? W nich, obok archeologii i sztuki, najwięcej miejsca literaturze bieżącej i nowym wydawnictwom poświęcał. Nie było książki, mającej jakąkolwiek literacką wartość, o którejby nie wspominał, którejby się nie zajął oceną. Poczynając od zebranych pieśni poleskiego ludu przez ociemniałego Romualda Zieukiewicza, spotykamy się tu z całym szeregiem prac, bądź naukowych, bądź literackich, które zajmowały ówczesną społeczność. *Wieczornice* L. Siemieńskiego, *Narody na Ziemiach Słowiańskich* J. Lelewela, *Rozbiory i Krytyki* Al. Tyszyńskiego, *Przekłady łacińsko-polskich poetów* Syrokomli, *Komedye* Al. Hr. Fredry, *Komedye i Dramata* J. Korzeniowskiego, *Lirenka* Lenartowicza, *Improwizacye* Deotymy, *Zagon rodzinny* A. Pluga, wydania M. B. Wolfa *Poetów polskich z drzeworytami* Fredry, *Przekłady łacińsko-polskich Historyków*, z powodu których w roli pojedynawcy w sporze literackim pomiędzy Syrokomlą a Bartoszewiczem wystąpił — i wiele innych prac pojawiających się ówczesnie — znajdowały w tych listach zachętę, życzliwą radę, wskazówkę lub choćby sympatyczne wspomnienie. — Listy te stały się umysłową potrzebą czytelników *Gazety* i przerwanie ich wzbudziło żal, jak rozstanie się z bliskim znajomym, do któregośmy towarzystwa od lat wielu przywykli. Któż nakoniec dziś nie czyta owych, od lat kilkunastu pisywanych korespondencyi z zagranicy, które w rozmaitych następach czasu drukują: *Tygodnik Ilustrowany*, *Kłosy*, *Biesiada*, *Tygodnik Powszechny* i inne pisma peryodyczne? Wprawdzie nie obudzają one tak żywego interesu, jak owe listy z *Gazety Warszawskiej*, gdyż przeważnie traktują o utworach niemiec-

kich i francuzkich pisarzy, pomiędzy którymi niestety! trudno się dziś dopatrzeć gwiazd pierwszorzędnej wielkości; w każdym jednak razie mają tę zasługę, iż ogół zaznajamiają z ruchem umysłowym na zachodzie i ostrzegają o fałszywych, jakie ztamtąd płyną, kierunkach.

Tak ciągle wszakże i różnorodna na polu krytyki literackiej działalność, już z góry stanowisko Kraszewskiego określa. Taka mnogość przedmiotów, jakimi się zajmował w ciągu pisarskiego zawodu, nie pozwalala mu nigdy zadawać się w szczególności i dłużej jakim dziełem zajmować. Sąd też, jaki wypowiadał, był zazwyczaj doraźny, sprawozdanie raczej dziennikarskiej, niż krytyczno-naukowej natury. Analiza była mu obcą, powiedzielibyśmy nawet wstrętną, której z zasady unikał. Krytyczna dyssekcja, podług niego, zwłaszcza w zastosowaniu do poetycznych utworów, znaczy tyle, co kwiat żywy dzielić na części składowe; zamiast wykazać ich piękność, raczej zabija w nich życie. Ale gdy idzie o skreślenie syntezy wrażeń, jakie dzieło na czytelniku wywiera; o wypowiedzenie ogólnego sądu o pisarzu, jego zaletach lub wadach; wtedy sąd ten, wsparty głębokim uczuciem piękna, zawsze jest trafny, niezależny, a choć czasem podległy chwilowej drażliwości, zawsze z wewnętrznego przekonania płynący. Gdy Warszawa, kraj cały, unosił się nad świetnym, improwizatorskim talentem Deotymy, on jeden nie podzielał ogólnego zachwyty. Przyznawał jej fenomenalne, niezaprzeczone zdolności, ale w jej utworach nie odczuwał poezyi poruszającej do głębi. Improwizacye nazywał sztucznym wytworem i przepowiadał że improwizator-ka może zabić poetkę (Gaz. War. R. 1854. N. 265. R. 1855. N. 62—64). Widzieliśmy

także ze sprawozdania o Margierze, że stosunek przyjaźni nie przeszkadzał mu wypowiedzieć prawdę, gdy go do tego przekonanie skłaniało. Toż samo było w stosunku i do innych pisarzy. Nieprzyjaciel zresztą jednostronnych kierunków, tém bardziej je potępiał w pracach mających naukowe znaczenie. Tak było z *Przeglądem dziejów literatury powszechnej* Lucyana Siemieńskiego, który, oświadczywszy się przeciw racjonalizmowi, nie chciał korzystać z dzieł, nacechowanych tą dążnością. Kraszewski poczytał to za ujemną stronę tej pracy, „gdyż jakikolwiek jest nabytek naukowy, niegodzi się go ze skarbca wiedzy wyrzucać“ (Gaz. War. R. 1855. N. 268—269). Dziś protestując przeciw materyalizmowi panującemu w sztuce, wypadki naukowych badań, choć z jego religijnymi przekonaniami niezgodne, przyjmuje, jako smutną, lecz niennikioną w rozwoju umysłowym ludzkości konieczność.

Tak się nam Kraszewski, jako krytyk przedstawia.

Jeżeli teraz od tej mnogości i różnorodności artykułów, zwrócimy uwagę na ogrom pracy, jaki w ciągu swego zawodu na czytanie dzieł, o których dawał sprawozdanie, obok prac innych, poświęcał; gdy pomyślimy, że z wielu z nich, z piórem w rękę robił notaty; że żaden utwór, żadne zjawisko w literaturze, w ciągu pół wieku nie uszło jego uwagi; wtedy mimo woli zmuszeni jesteśmy uchylić czoło zarówno przed pisarzem, jak i człowiekiem, który obok niepożytych zasług w literaturze ma jeszcze nad innymi tę wyższość, iż nazawsze pozostanie dla swęj społeczności — etycznym ideałem wytrwałości i pracy.

Roman Plenkiewicz.

PODRÓŻOPISARSTWO KRAJOWE.

Ze wszystkich działów literatury w wieku naszym, po powieściach, najwięcej się rozpowszechniły podróże. I nic dziwnego: w wieku popularyzowania nauk i umiejętności wszelkich, w wieku telefonów, parowozów i telegrafów, zbliżających do siebie najodleglejsze przestrzenie i niezmiernie ułatwiających komunikacye, a obok tego, w wieku kosmopolityzowania się ludzi i zacierania się odrębności narodowych, — musiało na pierwszy plan wystąpić podróžopisarstwo, może głównie z tego powodu, że, choć sztucznie, zatrzymywało i ujawniało niknące odrębności krajów i narodów.

Nie zawsze tak było: dzieje literatury powszechniej złożyć mogą przekonywające świadectwa, że w ciągu wielu wieków przedsiębrane były podróże przy warunkach bez porównania trudniejszych, niż dzisiaj, i w celach nieskończenie rozmaitych. Przy całej wszakże różnorodności celów i warunków podróży, zależących tyleż od wieku, co od osób, do następujących wszystkie sprowadziłyby się dale kształtów.

Najpierwsze i najdawniejsze bez wątpienia były podróże handlowe; były one pierwotnym łącznikiem cywilizacyjnym, pierwszym środkiem porozumienia się odległych nieco krajów i wspólnie z wymianą przedmiotów handlu, były najdawniejszym, a ztąd najżywotniejszym środkiem wymiany myśli. Pomimo jednak całą doniosłość tych podróży, mniej one widoczne pozostawiają ślady w literaturze, a przynajmniej zapisane w księgach, w odmiennych już i rozmaitych przedstawiają się kształtach. A jeżeli przypomnieć sobie zechcemy imię i działalność Herodota, to może do również dawnych kształtów zaliczymy podróże historyczne; a następnie z pierwszych i drugich wywiązują się z kolei czasu podróże naukowe, do których zaliczyć należy

i owe wielkie wyprawy, przedsiębrane w celu odkrycia nowych ziem lub w ogólności mało znanych krajów. Bliższe znowu stosunki międzynarodowe wywołują potrzebę podróży w charakterze wyłącznie politycznym; z chwilą zaś ustalenia się wyższych pojęć estetycznych i ułatwionych komunikacji spotykamy w literaturach europejskich podróžopisarstwo w nadobnej już formie wyrażone, t.j. podróże, jakby je nazywać można, artystyczne. Nadto w literaturach świata chrześcijańskiego innym ważnym żywiołem podróžopisarstwa były podróże religijne, t.j. misye apostolskie, pątnictwo, pielgrzymki do ziemi świętej i do miejsc w danym kraju cudami słynących.

Kontynentalne położenie Polski było powodem, że ze wszystkich wspomnianych działów podróży, najmniej zareprezentowany u nas był dział podróży naukowych, albo raczej podróży, przedsiębranych w celach naukowych. Prawie nie mamy wyobraźni na tém polu. Wspominamy wprawdzie imię Jana z Kolna (Scolnus) i chcielibyśmy uwierzyć temu, że on przed Kolumbem odkrył Amerykę, właściwie Labrador, wspominamy podróże Jana Potockiego, gotowiśmy nawet awanturnicze przygody Beniowskiego zaliczyć do tego rodzaju zdobyczy, światu ofiarowanych... ale tę naszą przyjacielską przysługę z poblazliwym uśmiechem niedowierzania przyjmuje nauka poważniejsza. Natomiast inne działy podróžniczego pisarstwa licznych u nas miały przedstawicieli; pomijając je wszakże, jako mniej do naszego celu się stosujące, nadmienimy tylko w ogólnym zarysie o podróżach i podróžopisarstwie po własnym kraju. Począwszy od Długosza, znamy wprawdzie ogólne opisy ziem naszych według systematu hydrograficznego, albo według systematu Ptolomeusza; ale to, co się

dziś nazywa nauką jeografią, a co w wiekach średnich, a nawet i w epoce odrodzenia nauk, kosmografią nazywano, zjawia się u nas bardzo późno, bo można powiedzieć, że dopiero w XVIII wieku. Wład. Al. Łubieński właściwie jest jej twórcą (w dziele: „Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych“ 1740 r.). To zaś, co znajdujemy w w. XVI, jak: u Kromera, Jęd. Glabera, Bielskiego, Gwagnina i t. d., co jakieś szczegółowsze miejscowości opisywali, były to, że tak powiem, preliminaryjne prace, zarówno do przyszłego ziemioznawstwa właściwego, jak i do podróży stosować się mogące: jest tam nieco tego, co dzisiejszą jeografią stanowi, oraz nieco malowniczych opisów. Dopiero tedy po Kluwerze Gdańszczaninie i po Łubieńskim, skoro się ustaliły ściśle naukowe granice badań jeograficznych, mogło się rozwinąć swobodnie podróżopisarstwo i opisy artystyczne całych ziem i okolic kraju.

Epoka Stanisławowska, przeważnie zaprzątnięta satyrą, krytyką staroświeckiego ustroju społeczeństwa i tego wszystkiego, co tylko tradycją jezuicką trąciło, nie mogła się jeszcze zdobyć na spokojne i artystyczne odtwarzanie swoich i cudzych ziem. Podróżników konwenansowych wówczas widzimy wprawdzie dużo nawet niestety!, ale podróżopisarstwa właściwego jeszcze nie spotykamy. Trzeba było świadkiem być znanych wielkich przewrotów u schyłku zeszłego wieku, żeby Polacy przy nowych warunkach rozpocząć mogli podróżnictwo innego rodzaju, jakiego wzorów napróżnobyśmy szukali w dotychczasowej literaturze polskiej. Pierwszy rok obecnego stulecia był dla nas zarazem rokiem nowego zwrotu w myślach i wyobrażeniach naszych. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, powstające dzięki ludziom dobrej woli i wzrastające w zasoby z nieopisaną szybkością, jest właśnie tą zwróconą ku sobie, ku wszechstronniejszej, głębszej znajomości swojego świata i swoich ludzi. Wprawdzie głównym zadaniem T-wa P. N. było dziejoznawstwo, wykończenie i rozwinięcie tego, co dopiero naszkicował Jaruszewicz w „Dziejach Narodu polskiego“, ale oczywiście, z dziejami na obszerną skalę zakresłonymi, łączyć się koniecznie musiała i znajomość ziemi własnej, podróżopisarstwo krajowe. To też lubo pierwszy rezes T-wa Albertrandi głównym jest wyrazem dziejopisarstwa ówczesnego; to jednak może nie omylimy się, twierdząc, że

większą od poprzedniego pisarza miał zasługę trzeci prezes T-wa P. N., ów niegdy poseł inflancki na sejmie czteroletnim, Jnl. Ursyn Niemcewicz. Nie tyle podniosłością talentu, co miłością kraju, świadomością jego potrzeb, jaśnieje ta postać na widowni literatury naszej. Z kolei po sobie poseł, tułacz, żołnierz, dygnitarz państwa, nigdy nie przepomniął o obowiązkach moralnych i całém życiem swoim stwierdził, że był *pierwszym* obywatelem kraju. Węczyto w dramatach, czy w powieściach, w pamiętnikach, czy śpiewach historycznych, obywatelskość ta jego zawsze występuje na jasni. Otóż w podróżopisarstwie jemu przedewszystkiem pierwszorzędnę należy się stanowisko i od niego rozpoczynamy epokę historycznych kraju opisów. Wprawdzie „Podróże historyczne po ziemiach polskich“ wyszły dopiero w r. 1857, ale wszystkim dobrze było wiadomo, kto wiedzieć pragnął, że od r. 1811 J. Niemcewicz siedemnaście lat poświęcił na zbadanie i na podróże po kraju, i, jak w śpiewach historycznych chciał być wyrazem w całej obszerności dziejowego uczucia polskiego, tak w podróżach *myśl* dziejowa wszędzie mu przewodniczyła, wszędzie starał się być owem ogniwem, wiążącym dwa światy XVIII i XIX w. niby już do siebie mało podobne, a jednak dwie tylko strony jednego oblicza przedstawiające. W tymto charakterze krajowego obserwatora zmierzyszy cały obszar ziem, składających Polskę starożytną (z wyjątkiem chyba skrajnych punktów, jak: Pokucie, Białoruś, Inflanty), skrzętnie notował wszystko, co przemięło i co przemijało, by wyraźniej przemówić do umysłu ogółu i świadomość przeszłości obudzić i utrwalić.

Kiedy kończył Niemcewicz, Hoffmanowa rozpoczyna swą pracę na tém polu. A jakkolwiek pod tyłu względami odniemni, przecież Niemcewicz i Hoffmanowa to mają wspólnego, że oboje chcą obudzić w czytelniku zamiłowanie i znajomość swojej ziemi, chcą do świadomości i do sumienia ogółu przemówić, by raz przecież poznali bliżej to, na co od lat tylu patrzyli, a jednak nie widzieli: by poznali powaby i niewyczerpane zasoby kraju.

Nie podlega jednak kwestyi, że pod względem wewnętrznej myśli przewodniżej twórczość Hoffmanowej w porównaniu z zadaniem Niemcewicza, jest o wiele niższa, skromniejsza: pisze ona przeważnie dla kobiet tylko, a więc cel wychowawczy ma na względzie, — a co do owęj myśli dziejowej, jest więcej pobieżna, powierzchowna, gdy

nielekwa całą erudycją historyczną na Stawolskim i Świeckim oparła. Ma ona mniejszy nawet zakres podróży, bo tylko częściowo opisuje Mazowsze, Podlasie, Lubelskie, Krakowskie, Sandomierskie i Prusy. Nie mniej jednak żywa świadomość przeszłości, u najpiękniejszego źródła, w ognisku puławskim, poczerpnięta, w znacznej części wynagrodzić zdołała braki gruntowniejszych podstaw historycznych. To tedy żywotne tętno myśli swojskiej, przy wszelkich ujemnych stronach jęj nauki i talentu pisarskiego, zjednało jęj ową wielką popularność i wpływowość w literaturze naszej.

Kilka tych wspomnień z dziejów oświaty naszej uważaliśmy za konieczne nadmienić z góry, chcąc wyraźniej oznaczyć stanowisko Kraszewskiego; bo jakkolwiek są to wiadomości elementarnie każdemu znane, niemniej przeto mieć je należy na względzie przy określeniu działalności literackiej człowieka, którego może największą zasługą jest dziwnie subtelne poczucie, a raczej—świadomość tradycji,—tak dalece, że cała tajemnica olbrzymiego wpływu jego na współczesnych, i nieznanęj dotąd w literaturach świata płodności, leży w wielkiem tój tradycji ukochaniu. Umysł jego wielostronny, a nawet wszechstronny, talent postrzegawczy, lotny a subtelny, świadomość sił swoich, krajn, jego wad i cnót niepomnierna, dały mu możność z tój skarbnicy miłości wszystkiego, co swojskie, w kilkunastu rozmaitych kierunkach twórczości pisarskiej—w historii właściwej, w pamiętnikach historycznych, w powieściach, pieśniach, dramatach, w studyach artystycznych i archeologicznych, a także w podrózpisarstwie, wysnuć tysiące obrazów świetnych, myśli wzniosłych, nauk budujących i uwag żywotnych, w których niewiadomo, co więcej podziwiać mamy: czy bogactwo i różnorodność jego wiedzy, czy miłość przeszłości i ludzi czasów obecnych, czy artyzm pisarski?

Wsparty na tój granitowej epoce tradycyi, J. I. Kraszewski przy wielkich zasobach talentu swego, musiał się stać i stał się *wielkim* pisarzem już z tego względu, że w pismach swoich umiał powiązać tę tradycją z warunkami czasów obecnych. A jako mąż wszechstronny a baczny na to, co się w świecie dzieje, był istotnie *postępowym* i umiał po drodze postępu europejskiego prowadzić za sobą czytelników, nie tylko nie negując tój przeszłości, ale owszem, starając się spajać i wiązać w jedną całość

nawet te ognia wielkiego łańcucha krajowego, które w biegu okoliczności mniej przyjaznych, zdawały się rdzewieć lub pękać nawet.

Nieumiemy sobie jasno zdać sprawy z tego, czy był kiedy J. I. Kraszewski zwolennikiem estetycznej teorii „sztuka dla sztuki,” ale to pewna, że w praktyce był żywem nosobionem tój teorii zaprzeczeniem, nie pieścił się nigdy z myślami i utworami swými, nie wygładzał ich po lat trzydzieści, jak Kozmiału, jakiś święty ogień natchnienia i miłości wielkiej gnał go nieustannie naprzód, dalej, do coraz nowych pomysłów, coraz nowych obrazów, rozpraw, uwag, nowych nauk i przestróg, któremi ten nowy mistrz XIX wieku w coraz inny sposób pouczał, karmił, przestrzegał w szczególu, kołł w boleści, utwierdzał w wierze, napominał w szale uniesienia swój naród ukochany,—płakał z nim spolem i cierpiał, śmiał się i żartował, a zawsze wiódł go do coraz wyższych, chrześcijańskich celów żywota, powtarzając nieustannie owe ewangeliczne:

„Nolite spiritum exstinguere!“

Nie było klasy społecznej, nie było żadnego świeższego prądu w umysłach Polaków, żeby ich nie odczuł i nie rozwinął w pismach, nie było wady i cnoty społecznej, żeby o nią w ten lub ów sposób nie przemówił. Siedział w Wilnie, Omelnie, Gródku czy w Hubinie, w Warszawie czy w Dreźnie, a zda się, że *zawsze* był *wszędzie*, po wszech obszarach ziemi swojej, tak wszystko widział, wszystkiemu się przypatrywał, o wszystkiém, co najżywniejsze, przemawiał i zdawać „Rachunki“ ze wszystkiego zdołał. Gdyby miał chęć po temu i lat kilka wyłącznie jednęj oddał się pracy, byłby w znaczeniu literackim, czy naukowém jakieś wysoce pomnikowe stworzył dzieło w tym czy w innym kierunku: w eposie, dramacie, historii, powieści, czy filozofii, — do wszystkiego był zdolny, we wszystkiém celować byłby potrafił. Wszakże od pierwszych młodzieńczych próbek aż do ostatnich utworów, zawsze był i jest wierny swojemu przeznaczeniu, swojej gwiazdzie przewodniej: wszechstronności, postępowości, rozręczaniu sród mas myśli wzniosłych, ogrzewaniu, oświecaniu tych klas mniej świadomych. Ten tytan literacki, gnany nieprzepartą siłą wyższą, w ciągu lat pięćdziesięciu ani na chwilę spocząć nie umiał, ani na chwilę zwątpić w siebie i w potrzebę działalności swojej!.... Powtarzamy: w tęp leży taje-

mnica wielkiej potęgi jego i wielkość dzieł przezeń stworzonych.

A jakkolwiek ta fenomenalna twórczość zdaje się wyróżniać go z pośród ogółu, nie tylko w polskiej, ale we wszystkich literaturach świata;—to jednak, podług naszego zdania, J. I. Kraszewski nigdy *izolowanym* być nie może, nigdy zrozumianym nie będzie, skoro go oderwiemy od pnia życia narodowego i żywotnych drgań i potrzeb współczesnych kraju. I dla tegośmy na początku parę uwag o naszym podróżopisarstwie położyli, żebyśmy jaśniej tę prawdę dostrzecz mogli, że i na tym polu był on wiernym stróżem przeszłości i prowadził dalej to, na czém się zatrzymali jego poprzednicy.

Po kongresie wiedeńskim społeczność polska wyraźnie demokratyzować się poczyną. Dotąd piastunem literatury i myśli społecznej przeważnie, a może jedynie, były wyższe klasy, szlachecczyzna; a co nie było szlachtą, skoro chciało należeć do przewodnictwa, w ten lub ów sposób czepiało się kłanki pańskiej. Tak zawsze być nie mogło: warunki wewnętrzne, a także stan Europy owoczesnej musiał i na nas oddziaływać. Oświata sama, lubo nie zbyt hojnie udzielana, wszakże za pośrednictwem Uniwersytetu Wileńskiego, a w części i innemi mniejszemi kanałami szerzona, rozlewa się na szersze koło warstw społecznych. Na widownią dziejową i literacką występują ludzie nie zasobni w klejnoty herbowe i rozległe parantele, i zwolna, stopniowo, ale stanowczo zajmują pierwsze miejsce w dziedzinie społecznej i na arenie literackiej, pomimo bezsilnych protestów starszlachecczyzny przeciwko owym „homines novos.“ Nadto literatury europejskie—angielska, francuska, niemiecka, oddziaływają na nas o tyle, że najprzód w poezyi, a potem i na innem polu literackim odsłaniamy cudnie piękne objawy twórczości dotąd zapomnianego ludu; a w dalszym ciągu, zaczynamy należycie oceniać z jednej strony *popularyzowanie* wszelkiej wiedzy, rozlewanie jej na masy, dotąd ciemne i bezwiedne,—z drugiej zaś zaczynamy odczuwać *artyzm* literacki, głębiej pojęty, niż to miało miejsce u klasyków ówczesnych, a co najważniejsza dla nas: mamy poczucie potrzeby dziejopisarstwa, jako *wyłącznego*, odrębnego, a dotąd nieznanego *kształtu* utworów literackich. Nie mówię już o tym, com wyżej wspomniał, że warunki życiowe miały dla nas wyłączny powód do zalubowania podróżnictwa i podróżopisarstwa, jako odsłaniających przeszłość zamgloną lub rozsypującą się w gruzy.

W takiej oto chwili zjawia się J. I. Kraszewski. Już Tańska próbowała stworzyć artystyczną podróż, ale i ona i Niemcewicz zbyt byli zrośnięci z przedzobiorowemi czasami, a zresztą i zbyt małą mieli skalę talentu, żeby ich działalność współczesnym potrzebom i ideałom odpowiadać mogła i by ich twórcami istotnymi artystycznego podróżopisarstwa ostatecznie nazwać się godziło. Jakoż, nie tylko Niemcewicz, którego podróże długi czas znane nie były, ale i Tańskiej utwory nie wsiąkły w serca i w sumienie ogółu,—czyniły zadość pewnym kółkom społecznym i to na pewien czas tylko, trwalszej zaś wartości literackiej przyznać im nie podobna. Kraszewski, wiedziony przeczuć posłannictwa swego, od najrańszej daty twórczości, zajmuje na tym polu stanowisko opróżnione, a tak bardzo ożywienia i uwydatnienia wymagające. Działalność ta jego tym więcej baczniejszego rozpatrzenia się wymaga, że na razie jest ona arcyskromna, lekka, i tylko stopniowo, ale nieznanie wzrasta i potęguje się tak, że dopiero obecnie, po półwiekowym odstępie od owych skromnych początków, możemy ocenić całą wielką doniosłość tej pracy.

Spojrzymy przeto, jak Kraszewski pojmował zadanie podróżopisarza krajowego i jak sam oceniał stanowisko swoje na tym polu¹⁾.

Przy całej skromności w ocenianiu swoich zasług literackich, Kraszewski w drugim (paryżkim) wydaniu „Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy,“ przyznaje przecież wyraźnie to, o czém dziś wszyscy wiedzieć możemy: że *mu należy pierwszeństwo w artystycznym odtwarzaniu obrazów kraju*, w przedmowie bowiem do tego wydania mówi: „musimy wspomnieć z wdzięcznością, że była to jedna z naszych ramot najpowszechniej czytana i najsympatyczniej przyjęta.“ „Ogół nie tylko czytał chętnie, ale i zdawał się żądać dalszego ciągu. Wślad za Wspomocinami naszymi ukazały się mniej więcej

¹⁾ Nadmieniamy, że następujące tylko pisma J. I. K. mieliśmy na uwadze w obecnym artykule: a) Wędrowki literackie, fantastyczne i historyczne T. II. Wilno 1839; b) Wspomnienie Polesia, Wołynia i Litwy, 2 wyd. Paryż 1861; c) Obrazy z życia i podróży. Wilno 1842. Tomów dwa. d) Wspomnienie Odessy, Jedyssanu i Budżaku. Wilno 1845, tomów trzy; e) Druskiéniki, szkic literacko-lekarski przez J. I. K. i Xaw. Wolfganga, tom jeden. Wilno 1848; f) Kordecki, Wilno 1852 tomów 2, (opis Częstochowy); g) Wieczory Wołyńskie, Lwów 1859; h) Okruszyny. Warszawa 1856, tom trzeci (Oblężenie Częstochowy). Nadto niektóre artykuły opisowej treści, zamieszczone w Tygodniku Petersburskim, Bibliotece Warsz. i innych, a zwłaszcza w Tygodn. III. (jak Wilno i Ostra-Brama, Żytomierz, Krzemieniec).

w ten sam sposób pojęte i ułożone: „Wspomnienia Wołynia i Podola“ Alexandra Hr. Przeczdzickiego, „Wspomnienia Wielkopolskie“ Edwarda Hr. Raczyńskiego,—Zmujdzi xiedza L. Jucewicza;—to dowodziłoby żeśmy *w porę o kraju własnym pisać zaczęli*, gdy tylu innych jedną z nami myśl powzięło. „Ze w tych słowach niema zapomnienia prac poprzedników, że Kraszewski ma tu na myśli tylko „artystyczne“ obrazowanie kraju, jakiego w literaturze naszej nie było, o tém się przekonywamy z innych, różnocoasowo wypowiedzanych poglądów jego na zadanie podróżopisarstwa. Jeszcze w roku 1841 (w Ateneum) w opisie „*Białej na Podlasiu*“ mówi: „Gdyby każdy znanych sobie okolic starał się poznać szczegółowo choćby nie bardzo odległą przeszłość, a zwłaszcza tę, której szczegłki tkwią w niej jeszcze; gdyby każdy spisywał dzieje takie, złożyłaby się w prędcie zajmująca bardzo historia wewnętrznego kraju życia. Nie potrzeba by nic omijać, nic z niej usuwać,—wszystko bez wyboru, co tylko pod najrozmaitszymi względami zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego później surowszy nawet dziejopisarz czerpaćby musiał“ (Ath. T. I, 1841 str. 70).—W opisie Druskienik nadmienia o przeszkodach do dopięcia celu tego: „my tylko kochamy wszystko obce, tak w nic swojego wierzyć nie chcemy. O! zły to znak! kto w siebie nie wierzy, kto o sobie wątpi—biada mu! a myśmy wielbieli obczyzny wieczni,—podobnego nam ludu na całej kuli ziemskiej nie znaleźć.“—W innym znouwu czasie (1845), we „Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budżaku“, kreśli nawet wszystkie sposoby opisywania miejscowości i przemawia za tym, jakiego się sam trzymał, t. j. swobody artystycznej, poufalego zwierzenia się czytelnikom ze wszelkich wrażeń i myśli, znajduje bowiem że „dawne opisy wędrowek były to tylko *sprawozdania z kraju, miejsc, dziejów, ale wyjątkowo malowały człowieka, co je pisał*.“ Obecnie zaś, podług Kraszewskiego, musi występować głównie indywidualność pisarza. „Lepiej to, czy gorzej? badać nie myślimy, nie chcemy jednak ze swego wieku, czasu i obyczajów jego wystąpić“ (T. I, str. 3). Wreszcie w „Kartkach z podróży“ nadmienia sam nawet o tém, co bez wątpienia szczególny wdzięk nadawało jego podróżom, co opromieniało je powolnym kolorytem subiektywności, t. j. że był niejako stworzony na niestaunego wędrowca: „Jeszcze w r. 1812 w pieluchach z matką uczyłem się tułactwa; urodziłem się w ucieczce, wędrowałem z kolebką, przenosić się musiałem

w życiu nie przeliczoną liczbę razy“ (T. I, str. 4).

Sądzę, że cytaty powyższe dostatecznie charakteryzują, jak pogląd autora na zadanie podróżopisarstwa i opisów kraju, tak też i stanowisko autora w tego rodzaju twórczości literackiej. Widzimy tu mianowicie: a) że pierwszy *„w porę o własnym kraju pisać zaczął“*; b) że miał wielu naśladowców, albo raczej, jak sam się wyraża, że „tylu innych też samę myśl powzięło“; c) że wobec wielowiekowego ubóstwiania przez nas obczyzny, raz przecie otrząsnąć się należy z nałogu zastarzałego, lepiej poznać powaby i zasady ziemi swojej i uwierzyć w siebie, bo „biada temu, kto w siebie wątpi“; d) że dotychczasowe suche opisy były to tylko „sprawozdania z kraju, miejsc, dziejów, a wyjątkowo malowały człowieka, co je pisał“,— że zatem koniecznym jest w tym razie umiejętny, żywy sposób traktowania przedmiotu t. j. taki, któryby odsłaniał indywidualność pisarza o tyle przynajmniej, by on mógł „ze swego wieku, czasu i obyczajów“ korzystać; e) że wreszcie ze skupienia w ten sposób zarysowanych różnych okolic kraju „złożyłaby się na prędcie zajmująca bardzo historia wewnętrznego życia kraju“, byleby „nic nie omijać, nic nie usuwać,—wszystko *bez wyboru*, co tylko pod najrozmaitszymi względami zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego później surowszy nawet dziejopisarz czerpać by musiał.“

Jest to, jak widzimy, rozległy program do odtworzenia wielkiego obrazu, oświeczonego kolorytem indywidualności, a za podstawę, a raczej za tło mającego wyraz swego „wieku, czasu i obyczajów,—weszlaby doń tak dobrze sztuka, jak i nauka, przeszłość i terażniejszość, rzeczy poważne jak i drobne objawy życia codziennego, byleby one cżémkolwiek interesować mogły, byleby uchylały zasłonę, kryjącą tajniki swego „czasu i obyczajów.“ A jakkolwiek więcej tu mówię autor o tém, *co pisać*, aniżeli *jak pisać*by należało; to jednak i ten drugi warunek pominięty całkiem nie jest: autor chce, by pisano z talentem, t. j. żeby zainteresowanie się ogółu obudziło. Ostatnia więc ze wspomnianych cech współczesnego podróżopisarstwa—nie pomijanie niczego, zamieszczanie *bez wyboru* wszystkiego, będąca w zasadzie swojej trochę niebezpieczną, jako zostawiającą obszerne pole wszelkiej bezdarności, wszelkim nawet uprzedzonom, tak, że „dziejopisarz surowszy“ więcejby mozołu, niż korzyści istotnej odniósł z nagromadzenia tego „składu“,—myśl, po-

wiadam, znacznie sprostowana jest uwaga, że pisarceby potrzeba tak i o tém, co „*zając może*.” Talent przeto pisarski, t. j. artystyczne, piękne odtworzenie nie tylko wydatniejszych obrazów, ale i drobnostek współczesnego życia, chociaż niby ubocznie tu wspomniany, ale w istocie stoi on na pierwszym planie.

Pomimo to zastrzeżenie przyznać jednak musimy, że ta zbytnia swoboda pisania „bez wyboru,” nie tylko dla innych mniej-szego talentu ludzi, ale i dla samego Kraszewskiego sprawiła, że w dziełach jego podróżeń i opisowych nie wszystko jednolitym nacechowane talentem, nie jedną jest wartości literackiej, a są nawet ustępy, dzisiaj przynajmniej, pozbawione już może całkiem téj wartości: pisane bowiem były dla danej chwili i z téj chwili wpływem wewnętrzne swe zalety utraciły.

Po takim zakreśleniu poglądów autora na zadanie podróżopisarza krajowego, przypatrzmy się teraz bliżej, jakie było wykonanie.

Dla braku miejsca nie podobna nam tutaj rozbierać każdego dzieła poszczególnie; natomiast jaśniej może nam się przedstawi zakres i doniosłość twórczości J. I. Kraszewskiego, jeżeli rozpatrzmy przynajmniej w ważniejszych jego pismach rozmaite kierunki i żywioły jego podróżopisarstwa, jako to: podróże, w których przeważają rysy autobiograficzne, podróże fantastyczne, szkice ogólne i charakterystyki ludzi i miejscowości, podróże z przeważną cechą historyczną i wreszcie szersze opisy kraju.

Zacznijmy od najsłabszych i zapewne najdawniejszych, o których nie wiele mamy do powiedzenia—od podróży *fantastycznych*.

Tu należy cały tom „Wędrowek literackich, fantastycznych i historycznych,” oraz niektóre ustępy innych pism z pierwszego okresu jego twórczości, jak np. „Drohiczyn,” zamieszczony w „Obrazach z życia i podróży.” Na ćwierć wieku przeszło przed swą stotną podróżą po Europie odbywał J. I. Kraszewski, gwoli modzie ówczesnej, siedząc przy biurku, fantazyjną podróż po Europie. W „Wędrowkach” jest cały rozdział, zatytułowany „Pielgrzymka po stolicach,” gdzie czytamy: Paryż, Konstantynopol, Madryt, Berlin, Rzym i niby Sztokholm. Dziwnie jakoś cikliwie sprawia wrażenie, ta jego fantazyja rozbijała, a nieokreślona ani w celu, ani w formie samą. Styl tylko jego zanaszysy, a gdzieiegdzie i poetyczny, jak gdyby to miało być w istocie tylko *exercycyą stylową*. Po Paryżu najudatniej może Berlin przedstawiony. W celu też

określenia manieri autora i tego sposobu, jakiego się trzymał przy charakterystyce stolic europejskich, wypisuję tu słówko z obrazu Berlina: „Wszystko tu zupełnie inne, jak gdzieindziej, ciche, prozaiczne, niemieckie: w każdym kroku słychać było pieniądze, wszędzie trzeba było płacić. Otaczający Niemcy zimni, otyli, ucywilizowani, rozumni, czytali gazetę, kiwali głową i palili fajki. Nigdzie śladu namiętności, wszędzie flegma, rozsądek, rachuba, zapowiadała świat regularny, nakreślony jak zegarek, metodyczny i zimny” (str. 136).

Przyznając podróżom fantastycznym mniej-szą wartość literacką, mamy obowiązek o-mówić tu owe warunki, wśród których zjawiają się one: nie zapominajmy więc, że je pisze dwudziestokilkuletni młodzieniec, który z natury wieku swego wrażliwszy jest na wszelkie zewnętrzne wpływy, który łatwo przejmując wszelkie objawy w jego czasie panujące, wszelkie idee i wyobrażenia estetyczne, — mimowolnym więc musi być naśladowcą, bo samoistnego kierunku twórczości wyrobić jeszcze nie miał czasu. A było to właśnie w chwili modnego w naszym piśmiennictwie „humoru” angielskiego i fantastycznych szkiców potocznych myśli. Dość wspomnieć, że oprócz dawniejszych pisarzy znany był dobrze i w możliwy sposób nanaśladowany Wawrzyniec Sterne, a zwłaszcza owe jego mistrzowskie „*Sentimental Journey*,” w których swawolna wesołość i czułość prawdziwa, szyderskość i tkliwość, rzewna zaduma i dziwna swoboda i prostota słowa i myśli, składają się w jeden nienaśladowany wieniec artystyczny, który się „*humour'em*” angielskim nazywa. A nawet znany był dobrze Hoffman, głośny pisarz fantazyi literackich, który jako chwilowo zamieszkujący w Polsce, bliższy mógł wywierać wpływ na naszych pisarzy, lubo talent jego zbyt jest swawolny, zbyt rozpasany. Zresztą młody nasz Kraszewski miał bliższe źródło do odwzorowywania owęj spaczonęj fantazyi i niezawsze swojego humoru. Wszak towarzystwo szubrawców i owe ich „Wiadomości brukowe” stały jeszcze na *wyżynie pojęć społecznych i estetycznych*; a tam oprócz niezaprzeczonych wielu stron dodatnich, czyż mało było przesadnej karykatury, wątpliwego dowcipu, satyry graniczącej z paszkwilem i rubasznosci literackiej? Cóż więc dziwnego, że poczynający pisarz od owęj samowoli słowa i bujania fantastycznego twórczość swą rozpoczyna? Są to pierwsze rozmachy skrzydeł zrywającego się do lotu orłęcia: pozwolony n. p., niech się wzniesie na wyż-

ny ponad drobiazgi powszednie, ponad maluczkie teorye i mody estetyczne, a obejmawszy lepiej z tych wyżyn ziemię swoją i ludzi swoich, inny, samoistniejszy polot swych skrzydeł rozwinie.

Drugim żywiołem podrózpisarstwa J. I. Kraszewskiego są ustępy, zamieszczone w „Obrazach zżycia i podróży,” a poprzednio drukowane bądź w Tygodniku Petersburskim 1838 r., bądź też w Athenaeum (1841). Są to obrazki miejscowości z przeważnym odcieniem *autobiograficznym*, w których stopniowo zarysowywać się poczyna indywidualność pisarza i samoistość kierunku jego twórczości.

Wrażenie, jakie dziś otrzymuje czytelnik, przerzucający te szkice, jest całkiem odmienne od tego, któreśmy w jego fantazyi pierwotnej spostrzegali: przejście tu prawie niespodziewanie wielkie, sympatya czytelnika tak widocznie lgnie ku tym szkicom lekkim, jak gdyby doprawdy pomiędzy nimi był wielki odstęp czasu i wielka dojrzałość talentu się rozwinęła. Wrażenie to pozorne: wyobrażnia czytelnika całkiem owładnięta osobistością pisarza, sympatycznem współczuciem opromienia te obrazki, a w nich te szczegóły zżycia człowieka, tak dla nas miłego, i już sama przez się dopełnia owe braki artyzmu literackiego, które tu nierzadko się spotykają; nie widzi ich prawie, bo z wielką prawdą i prostotą odsłonięta w nich osobistość, nam sympatyczna, jaskrawem światłem swoim opromienia wszystko.

Wszakże baczniejszém i zimniejszém okiem na nie spoglądając, i tu widzimy jeszcze objawy pierwotnej, rozpoczynającej się dopiero twórczości literackiej, a w niej jako cechę może najwydatniejszą: szkicowanie pobieżne, czasem zbyt powierzchowne, brak głębszej analizy tego, na co się patrzy i co przedstawia, przerwy w ciągu myśli lub powtarzanie jednej myśli po dwakroć, sam nawet styl nie zawsze jednolity i niezawsze posłuszny biegowi tej myśli.

W porządku chronologicznym te obrazki tak się układają: Romanów, Biała na Podlasiu, Lublin, Świsłocz. W ustępie „*Romanów*,” miejscu wychowania i pierwotnego wykształcenia Kraszewskiego, z rozrzuconiem czytamy obraz owego „poważnego i milczącego” domu, ocienionego starymi drzewami i umajonego najdroższymi, bo najpierwszemi wspomnieniami zżycia, a raczej przygotowania do zżycia. Więc owa babka i „biała babunia,” owe proste a serdeczne wspomnienia pierwszych lekcji czytania na kalendarzu, pierwsze nauki mo-

ralności chrześcijańskiej, więc w obec tej babki pierwsze zwierzenia się dziecięce, bezświadomie przyszłe powołanie autorskie znamienujące; więc owe napomknienia, że kiedy inni członkowie rodzeństwa dziad, wuj, ciotki, nie pojowali, a nawet po troszę żartowali z tych zwierzeń, to babka sama jedna je odczuwała:—wszystko to takie proste, szczere, tak nasze polskie, że lubo bez wyższego mistrzostwa pisarskiego przedstawione, dla samej prawdy swojej pozostanie równie długotrwałą pamiątką w literaturze, jak jakiś obraz Urszuli w pismach Kochanowskiego. W drugim obrazku „*Biała na Podlasiu*,” widzimy już 13—15-letniego (1825—27) chłopczyka wśród starego Radziwiłłów grodu, który lubo autor maluje w ogólnych szkicach, t. j. jak sam zamek, tak też miasto, jego kościoły: Farny, Reformator, Bazylianów, a nawet pomniejsze świątynie, jak kaplicę Panien Miłosierdzia,—lubo nieco wspomina o stronie historycznej miasta, to jednak uwaga czytelnika skupia się na szczegółach autobiograficznych: na owém mieszkaniu u rektora w tak zwanój „kolonii akademickiej,” na owych wycieczkach, biesiadach i swawolach koleżeńskich, na owym „Wezuwiuszu w garnnszku,” — a przedewszystkiém na owém wyznaniu, gdy mówi: „tu poraz pierwszy dusza moja otworzyła się na świat, tu poczułem pierwszy raz chętkę do pisania i pierwszy raz wzięłem pióro w rękę,” a wreszcie dodaje w końcu artykułu, że plebania Bialska służyła mu za wzór w „Panu Walerym,” i że cały „Wielki świat małego miasteczka,” osnuty na tle wspomnień z Białej.—*Lublin* zawiera przegląd historyczny miasta, ale bardzo ogólnikowy, pośpiesznie skreślony; zaledwie jakieś słówko o założycielu i dacie założenia miasta, albo jakaś lekka wzmianka o architekturze lub obrazie jakim; nieco więcej wspomnień o kościele Jezuitów i o freskach w tym kościele naówczas jeszcze znajdujących się, o których mówi, że je pierwszy raz w zżyciu widział, i że wywarły nań wrażenie. Ale i tu, jak w dwu poprzednich ustępach, zaciekawiają czytelnika szczegóły autobiograficzne, na początku i na końcu artykułu umieszczone. Na końcu mamy wyjaśnione powody opuszczenia szkoły lubelskiej, obraz ujemnych stron nauczania owoczesnego, zasadzającego się na recytowaniu, na ćwiczeniu jednej pamięci; a głównie ów szczegół na początku ustępu wspomniany, że przy wjeździe do Lubliwa, babka go zapytała, co zna godnego o tém mieście? a gdy wnuczek nie przypominał sobie Unii, babka upo-

niała, by więcej staranności do historii przykładał. „Kto wie, mówi J. I. Kraszewski, czy to drobne zdarzenie nie wpłynęło na zamilowanie jej późniejsze, bo pamiętam, że już w Lublinie spisywałem nagrobki stare i chwytałem, jak mogłem, książki historyczne.“ W ostatnim wreszcie tej kategorii ustępie p. t. „Świsłocz“ czytamy na początku bardzo sympatyczny obrazek tej osady uczniowskiej, następnie przelotne słówko o referendarzu Tyszkiewicz, który jarmarki dla miasteczka wyrobił, lekki rys opisowy rynku z małemi domkami mieszczan i z dużym mурowanym domem szkolnym, — wreszcie zamek, ogród i zwierzyńce. Wszystko to w ogólnych, ale dość udanych zarysach i opromienione kolorytem jakiejś bolesnej zadumy, którą mu nasunęła malejąca, martwa teraźniejszość, w porównaniu ze świetną, butną niegdy przeszłością. „Wszystko dziś ruiny bez duszy i życia — mówi Kraszewski — ruiny, jakich w naszych prowincjach w jednomyślowej podróży naliczysz kilka — drzewa dziczej, zarastają ścieżki, wałęsają się budowle, zapływają muliem i zielskiem, porastają trawy. W pałacu rządcy, w salach wisi białizna na sznurach, do złożonych dawniej gzymsów przybitych. Smutno patrzeć i człowiek mimowolnie pyta się sam siebie: wszędzież to tak pełno ruin, czy u nas tylko?“ Mimo te, tak plastyczne cechy przeszłości zamarłej, i tu, w jak innych obrazach, główną sympatią naszą wzbudza ją szczegóły biograficzne, a między innemi omówienie strony wychowawczej, że kiedy Kraszewski w Białej *bucił się* w fizykę i chemię, w Lublinie uczył się matematyki i dziejów, to tutaj lingwistyka zajmowała go przedewszystkiem, uczył się języków polskiego, słowiańskiego i rosyjskiego, a także dzięki profesorowi Waliickiemu, któremu dziwnie sympatyczny wspominek poświęca, począł więcej seryo pracować nad literaturą i układać „*Glossarium*“ archaizmów polszczyzny. — W ogólności cały ten niewielki cykl obrazków autobiograficznych, pomimo ujemnych stron, o których nadmieniliśmy wyżej, stanowi tak piękną, pełną prostoty i wdzięku, i zamkniętą w sobie całość, tyle ma powabu w swojej bezpretensjonalności, tyle żywiołów swojskich i wysoce kształcących, że powinien każdemu Polakowi być znanym, a zwłaszcza mieć jak największe rozpowszechnienie wśród młodzieży naszej.

Co się tyczy trzeciego kształtu, tj. szkiców ogólnych i charakterystyki osób i miejsc, to krytyk, podług naszego zdania, zwrócić powinien na nie baczniejszą uwagę, bo w nich

właśnie widzimy najrozmaitszą wartość literacką: od ogólnych, niedość opracowanych szkiców do szczytnych, wysoce artystycznych obrazów i typów, prawdziwie po mistrzowski ujętych, tak dalece, że tu mianowicie odszukać można stopniowy rozrost i całą genezę talentu pisarskiego J. I. Kraszewskiego.

Nie łatwa to jednak robota na słabe siły nasze, a zresztą w przedsięwziętej tu zbiorowej pracy różnorodnej oceny twórczości Kraszewskiego, rzecz ta do innego należy działu; więc dla zrozumienia jedynie podrózpisarskiego i opisowego talentu Kraszewskiego spróbujmy niejakić wskazówek odszukać u współczesnych powag literackich.

Blizszy świadek pierwotnej twórczości Kraszewskiego, a niebezasaśnie używający głosnej sławy pierwszorzędnego krytyka, Michał Grabowski, może w tym razie służyć dla nas za poważne świadectwo; a on właśnie przyznaje (stosując to wprawdzie do innych utworów jego, do powieści), że niepowodzenie literackie, jakiego na razie doświadczał Kraszewski, głównie ztąd wypływało, że wybrał sobie manierę pisania taką, której nikt wówczas niepodzielał, która dziwną i obcą była dla ówczesnego smaku estetycznego. Humorystyka Sterne'a, tak trudna do ujęcia i do naśladowania, spekulacyjna fantazyjność Jean-Paul'a, wręście literackie rozpasanie Hoffmana, nie mogły nie tylko podobać się, ale nawet nie mogły być zrozumiane przez ówczesnych czytelników polskich. A tym czasem pod wpływem tych pisarzy urabiała się pierwotna twórczość Kraszewskiego. Zanim więc przeminęła ta barwa obcego pierwiastku, tej, że tak powiem, martwej narości naśladownictwa na żywym organizmie twórczym przyszłego tytana literackiego, musiały te pierwotne próby dźwięcząć dyssonansem nieco przykrym dla wykształconej publiczności, która chciała bardziej swojskie, bardziej rzeczywiste widzieć obrazy, niż owa jakaś podróć po szybach karczemnych Drohiczyna.

Że jednak ten okres naśladowczy, a zarazem okres pierwotnego zdobywania właściwej sobie formy i samodzielnego kształtu tworzenia, nie musiał trwać zbyt długo, oprócz innych pism J. I. Kraszewskiego, świadczą jego „*Studia literackie*“ (str. 34), w których teoretycznie przeprowadza zasady swoje, już dojrzałe i należycie rozwinięte, oczywiście zasady takie, których sam trzymać się uważał za stosowne. Widzimy

tam między innemi, że przedewszystkiem od piszącego wymaga talentu, zdolności twórczej, wierzy w nią, jako w dar przyrodzony i dość ironicznie mówi o takich autorach, „którzy podkradają się“ pod tę wrodzoną twórczość, którzy robią wszystko z wysileniem, z „pracą i wyrachowaniem.“ Widzimy, że doskonale już pojmuje potrzebę zgodności wewnętrznej treści z językiem, z formą w ogólności, i poczucie tej formy stawia jako konieczny warunek dla autora, tak, że kto go nie ma — pisarzem być nie może; naucza nawet innych tej prawdy, że „przy niestosowności formy myśl zwichnięta nie objawi się całkowicie, nie ukaże się w całym blasku swoim.“ A są to wszystkie warunki, które jemu samemu były potrzebne w pierwotnej dobie twórczości.

Obok tego Kraszewski nie wyrzeka się wcale indywidualności autorskiej, nie chce kępować się formami niewolniczymi, a owszem: w sposobie wypowiedzania myśli, w stylu, jako też w sposobie zapatrywania się na życie i ludzi, na wypadki potoczne i czyny głośniejsze zostawia sobie swobodę o tyle, by z niej przeglądała osobistość człowieka, obywatela i pisarza. „Są przedmioty, którym przystoi styl od niechcenia, forma na oko bezprawidłowa. Tą swobodą zupełną formy wyraża się naturalność, natężenie najlepiej. Ale ta swoboda nią się tylko wydaje, a kryje pod sobą największą sztukę. Są ludzie, którym ona istotnie przychodzi łatwo; są drudzy, którzy podkradają się pod tę łatwość, tworzą na wzór jej z pracą i wyrachowaniem.“

Powyższe uwagi niech dla nas choć w części będą podstawą do wyjaśnienia tych (jeżeli mam prawo tak się wyrazić) ostateczności, jakie napotykamy w jego pierwotnych utworach, w których olśniewający talent, doskonałość formy, bystrość i niekiedy głębokość spostrzeżeń, idą tuż obok popospolitości myśli i słowa, obok obrazków mniej udatnych. Stosujemy myśl tę przeważnie do „Obrazów z życia i podróży“, w których te popospolitości i ogólnikowe szkice napotykamy obok ustępów wysokiego talentu. I dlategośmy właśnie powiedzieli wyżej, że szkice te, obrazki i charakterystyki zawierają istotę przeobrażania i dojrzewania jego talentu: to, co w nich było lepszego, wyższego pod względem estetycznym, Kraszewski zatrzymuje, a następnie rozwija i doskonali w późniejszej dobie twórczości swojej, tak, że ostatecznie w sztuce obrazowania miejscowości i charakteryzowania ludzi dochodzi do artyzmu nieznanego dotąd w literaturze naszej; usuwa zaś to, co

się przeżyło, usuwa „pełną swobodę formy“ i pisanie rzeczy „bez wyboru.“

Do tych szkiców ogólnych należą w tomie drugim „Obrazów z życia“ takie ustępy jak: *Drążkarze*, najsłabszy może ze wszystkich, błdy ognik; *Faktor*, nie wiele lepszy; *Teatr na strychu*, szkice wielce karykaturalny; następnie szkic humorystyczny, ale także przesadny p. t. *Maskarada*, gdzie obraz studentów uniwersytetu, czyli jak w Wilnie nazywano, akademików, przedstawiony zanadto ujemnie, bo przyzwoita maskarada, rozpoczęta w mieście, w domu Müllera, kończy się gdzieś na przedmieściu, na Pohulance, w pół-szyneczku, w którym akademicy dziwną grają rolę, kłócą się i wżajem sobie pięściami wygrażają z szewcami i kupezykami. Przeciwnie inny ustęp, p. t. *Akademik*, lubo także w zbył ogólnych szkicach zarysowany, jest obrazkiem bardzo miłym, daje nawet wcale dobre wyobrażenie o współczesnych studentach, o ich pracy i uciechach, bo czuć tu prawdę rzeczywistości, umiejętnie odtworzoną.

Takież sam sposób ogólnego szkicowania, chociaż z większym daleko talentem pisarskim, spotykamy i we „Wspomnieniach Poleśia, Wołynia i Litwy“. Tu zaliczyłbym takie ustępy: *Osada sernicka*, obrazek ulotny, ale wyborny, oryginalny, przedstawiający szlachtę zaściankową pińszczyzny; toż obrazek p. t. *Żydzi, karczmy, drogi*, gdzie w kilku wyrazistych zarysach plastycznie przedstawił autor panoramę dróg polskich, przedpotopowych siedzib ludu i ówch sławnych karczem, które później w tyłu powieściach z większym tylko wykończeniem malować umiał. Obrazek ten, zabarwiony serdeczną i poetyczną apostrofą do żydów, z wielką sympatyą się odczytuje. *Włoszanie*, cały ustęp składa się ze szkicu bardzo pobieżnego, zwyczajów, mieszkań, obrzędów, śpiewów, stosunku do panów i ekonomów. Jest nieco w tym obrazku i żywiołu historycznego, t. j. wspomnień z przeszłości i obszerna cytata z „Reformacji obyczajów“ Sz. Starowolskiego, opowiadająca o losach wieśniaka polskiego w w. XVII.

Do właściwych zaś typów i charakterystyk w tém dziele zaliczyłbyśmy ustępy: *Gospodarstwo*, obraz zanadto już dziś odległy od nas. Jawią się tu trzy typy gospodarzy rolnych: *starozakonny, siedzący na dieu stołkach i wo-gospodarz*. W pierwszym może za wielki konserwatyzm, w drugim dość nieczłowiecznie przedstawione chwianie się człowieka na tę i ową stronę, bez woli i charakteru, w trzecim wyszydzone postępowość, albo raczej ubieganie się za pozorami po-

stępu. Gdyby obok tych mocnych cieniów choć blade światelko dodatniej strony rólników ówczesnych rzucono, obrazek byłby może prawdziwy, taki, jak jest, razi jednostronnością i przesadą. Na usprawiedliwienie swoje Kraszewski szczególną uwagę podaje: „śmieszność, powiada, trzeba prostować, jeśli można; a tego, co dobre, chwalić niekoniecznie, obejdzie się ono bez pochwał.“ Ale do najwydatniejszych może szkiców we „Wspomnieniach Polesia“ należy pierwszy p. t.: *Jarmark w Janówce*. Kraszewski znał sam był z tego ustępu zadowolony, bo parękroć wspomina o nim w innych miejscach, powołując się na ten obrazek. I w istocie, jest to wyborna charakterystyka ludu, a zwłaszcza ogniska handlu — karczmy, w której się wieńczy cała zapobiegliwość kramarska owym sławnym „mohoryczem“. Widzimy tu następnie po mistrzowsku skreślony obraz dwu czynników jarmarku: kupujących i sprzedających, przedstawionych w samej akcji, która wzięta społem z całym otoczeniem tego ludowego targowiska, wespół z owymi wysoce patryarchalnej natury reklamami kupieckimi — wespół z owymi łyżkami, na których porozwieszano przedmioty handlu, buty, tytoń i t. d., wreszcie cały ten zgiełk, nieustanna bieżączka tego mrowiska ludu, w ogólnym wprawdzie, ale wybornym zarysie, prawdziwie Hogartowskie tworzy malowidło, w którym humor tak szczęśliwie skojarzony z prawdą artystyczną, jak to się udawać zwykło niewielu wyjątkowym talentom.

Charakterystyki i typy w niektórych ustępach „Obrazów z życia“ wcale nie są słabsze od poprzednich. Do nich należą ustępy: *Panowie*, *Chory na pana*, *Dorobkiewicz*, są to wszystko charakterystyki bardzo wydane, chociaż grzeszą zbytniem ubieganiem się za jaskrawością kolorytu i hyperbolizowaniem wszystkiego, na co patrzy. Do wyższych pod względem artyzmu literackiego zaliczyłbym szkic p. t. *Dubno w czasie kontraktów*, który sposobem obrazowania, kolorytem niekiedy satyrycznym, niekiedy humorystycznym, stylem lekkim, żywym, łączącym szczęśliwie prawdę obok sztuki jej wypowiedzenia, odsłania już ten wielki talent, z jakiego zasłynąć miał niedługo Kraszewski. Mamy tu dość udatny obraz miasta przed kontraktami, główny zaś pejzaż widzimy w czasie samych kontraktów. Cały tu kalejdoskop życia! Przesuwają się przed czytelnikiem: graf w wytartej antenatów szubie, w sześciowiekowej karecie, który przyjechał nie po to, żeby miał długi

placić, ale po to tylko, by po pięćset „peców“ przegrywać w karty. Dalej otwiera się języczek na prostym wózkach, wiozący na lokatę 500 „karbowanych“; młody paucik w koczyku, zaprzężonym w cztery konie pocztowe, gracz z professyi; w modnej karecie warszawskiej młode małżeństwo, arystokracya pieniężna, przyjmowana w świecie dla sutego przyjęcia i grubego grosza, a naszmiewana za progiem; wózek ubogiej wdowy, co niemoże wydostać należności od grafa, niefortunny epuzer, przebiegły procentowicz, wreszcie sama kontraktowa sala naszkicowana żywo, barwnie — oto cały obrazek, niewielki co do skali, bo na dwunastu kartkach opowiedziany, ale znamionujący przyszłego olbrzyma powieścio-pisarskiego.

Ale niezaprzeczenie najwyższy talent i sztukę pisarską widzieć należy w ustępie p. t. *Domy i ludzie*, który w chwili wyzszego natchnienia jednym tchem napisany, jak Minerwa z głowy Jowisza, wyskoczył cały, jednolity, piękny. Niema tu ani zwykłego opisu, ani tła rzeczywistego, plastycznego, ale niema i fantazyi jakiejś mglistej, pozaświatowej; natomiast jest tu coś w pół odsłoniętego, w pół zakrytego, ale tak wiele mającego prawdy, swojskości i sztuki, że jest mistrzostwem nienaśladowanym o tyle, że indywidualność pisarza tak się tu zrasta z jego piśmem, słowo tak posłuszne myśli, iż jednego od drugiego oddzielić nie zdołasz. Jest to kilkanaście szkiców wiejskich „domów“ i wiejskich ludzi: dwory i dworki, palace pańskie i mieszkania dzierżawców, siedziby poleskich geldhabów i marnotrawników, dorobkowiczów i utracyszów, hulaszczycy myśliwców i młodej pary nowożeńców itd., migają przed czytelnikiem którego olśniewają te kontury niby ogólne, lekkie, ale tak wyraziste, tak zgodne z prawdą, że w tych szkicach artystycznych odczuć już można przyszłego wielkiego pejzażystę kraju. Rzuty fantazyi i jej kalejdoskopiczna różnorodność i ruchliwość, nienaśladowany humor, a niekiedy sarkazm, niby przelotnie rzucony, a jednak prawdziwy i stosowny, styl może nawet do zbytku już lekki, powiedziałbym skoczny, znamionujący i malarza obrazków rodzajowych, i artystę z wysoce rozwiniętą wyobraźnią, i człowieka, co niby żartuje i śmieje się i szydzi, i biegnie niby swawolnie od kąta do kąta, a jednak kocha to wszystko, boje nad nędzą, współczuje cierpieniu; nawskróś żart jego serdeczny, a tak łatwo dostrzegamy istotne uczucie, co te obrazki barwi, oświecla i ożywia!

Do ustępów opisowych z przeważnym żywiołem historycznym należą między inne-

mi: Kodeń nad Bugiem, Prużana, Zamek i Starostwo kobryńskie, Przywileje miasta Brzeście w tomie pierwszym: „Obrazów z życia“; Osowa Felińskiego, Stepań, Czartorysk, Pińsk, Zamki we „Wspomnieniach Polesia“; oraz Krzemieniec (w Tyg. Ill.), wreszcie Żytomierz, obszernie w „Wieczorach wołyńskich“ i w streszczeniu w Tyg. Ill.: — ale mamy najobszerniejsze studium historyczne Odessy we „Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budżaku“. Nie wspomniany tu Ilustoryi Wilna, która, jako nie w szkicach podróżniczych, ale osobno wydana, leży poza obrębem naszego artykułu, oraz pomijamy lekkie wspominki dziejowe w wielu ustępach przelotnie tylko, dodatkowo do innego jakiegoś żywiołu, przez autora dorzucone.

Notatki te historyczne nie jednej barwy i bardzo rozmaitej, nawet na swój czas, wartości naukowej; są tam i cytaty dzieł popularnych i poważnych studyów dziejowych, i ustępy z kronik, nie oświetlone wcale kolorytem krytycznym, i hipotezy wcale niekiedy wątpliwe o zamierzełości, przeddziejowej przeszłości. Ta mozaika źródeł poważnych i areylekkich wspominków, nie zdaje się, by była ozdobą podróżniczego piarstwa Kraszewskiego, bo gdy zwykły czytelnik, popularnych tylko szukający wiadomości, zadowolni się owemi lekkimi szkicami, to źródła archiwalne będą dla niego trochę za ciężkim ballastem literackim, który z uszanowaniem, zdaleka odchodząc, pominie... Poważny znowu czytelnik, badacz dziejowy, zawięle sobie pracy zadawać musi do tego, żeby odnotować jakiś nowy, drobny szczegół; a przy owoczesnym stanie naszej bibliografii, nie jeden dziejopisarz nie dowiedział się może nawet, że w podróżach Kraszewski coś potrzebnego dla siebie znaleźćby zdołał, bo mu do głowy nie przyszło szukać tam archiwalnych źródeł. Chcemy przez to powiedzieć, że Kraszewski zanadto może w tym razie nadużywał stworzonego przez siebie przywileju podróżnika, pisania „bez wyboru“, ta bowiem różnorodność i swoboda zbyt znaczna w cytowaniu źródeł dziejowych, nie wyszła na korzyść jego artysty podroźniczego. W każdym jednak razie, przypuszczając szerszy obieg wśród czytelników pism jego, przyznać należy, że w tych szkicach swoich rzucił masę szczegółów dziejowych i bądź co bądź, widownie dziejownawstwa wśród współczesnych rozszerzył. Rzeczą zaś jest specjalniejszej krytyki historycznej wszystkiemu, co tu się znaleźć może, dać stosowne miejsce i wedle wartości ocenić. A lubo nie mamy w daną chwilę

możności sprawdzenia dokładnego, ile korzystała i skorzystała nanka poważniejsza z tych źródeł, to jednak przyznać należy, że i specjaliści historycy z konieczności zaglądać musieli do tych szkiców podróżnych, skoro widzimy n. p., że Michał Baliński, w kilka lat po „Obrazach z życia“ piszący znane swe dzieło „Polska starożytna“, powoływać się w wielu miejscach musi na „Obrazy z życia“ (Patrz: Polska Staroż. T. III. str. 731, 739, 747 i inne). Więc może nie nadużyję cierpliwości czytelnika mojego, gdy choć w leciuchnym rysie wspomnę tu o tej różnorodności szczegółów dziejowych i literackich, jakie są zawarte w niektórych z wyżej wspomnianych ustępów.

„Kodeń nad Bugiem“ oparty jest głównie na dziele Fryd. Sapięhy, kasztelana trockiego, p. t. „Monumenta, albo zebranie starożytnych ozdób Przenajświętszej Boga Rodzicy P. Maryi w dawnym wielce obrazie Kodeńskim de Guadalupe rzezonym 1723“, Warsz., w przekładzie Stawskiego. W opisie *Prużany* część historyczna nieco upopularyzowana, a nawet humorem autora zabarwiona, ale poważniejszych źródeł tu nie znajdujemy. Natomiast w tymże, jest przelotne słówko o Białowieży, a głównie o Fr. Karpińskim, którego Kraszewski zwolennikiem tu nie jest, z przyciskiem bowiem mówi, że nie był katolikiem, a nawet chrześcianinem, ale tylko „*deistą*“. Artykuł pisany pośpiesznie, dorywczo, nie wyjaśnia wcale powodów do takiego wniosku. *Zamek i Starostwo kobryńskie* — jest to bardzo szczegółowy i wyczerpujący opis zamku z r. 1597, który przydatny być może zarówno dla historyka, jak i dla powieściopisarza. *Przywileje miasta Brzeście* oprócz kilkudziesięciu wierszy samego opisu miasta, zawierają dziewięć przywilejów rozmaitych wyższych dygnitarzy i panujących, począwszy od Jagielly, a skończywszy na r. 1631; źródła to więc czysto archiwalne i z nichto korzystał Baliński. — Tom drugi „Obrazów“ tak mało ma szczegółów historycznych, że go pomijamy. — We „Wspomnieniach Polesia Wołynia i Litwy“ w ustępie *Osowa Felińskiego* znajdujemy bardzo wiele szczegółów o *autorze* „Barbary“, przytacza Kraszewski kilka nieznanych do tego czasu listów, mówi bardzo sympatycznie o wielu drobnostkach jego życia, co wszystko w skupieniu razem wzięte, stanowi szacowny materiał dla historyka literatury, którego i dziś piszący o Felińskim pomijać niema prawa. *Stepań* zawiera niedość systematycznie opowiedziane

i mniej przydatne do nauki dzieje miasteczka tego, które było niegdy własnością Ks. Konstantego Ostrońskiego. W ustępie „*Czartorysk*“ czytamy historyczne notatki, poczynając od r. 1100, kiedy tu zapanował Dawid Jgorewicz; przebiegając pokrótce dalsze dzieje, wspomina autor o jednym z książąt, który się od tej siedziby „Czartoryskim“ przezywać począł; a potem w krótkim rysie nadmienienia o Sieniawskich, Wiszniowieckich, Radziwiłłach, którzy z kolei po sobie byli posiadaczami tego miasteczka, wreszcie mówi tu jeszcze o zamku, o kościele,—a wszystko to są źródła bardzo rozmaite i dość wątpliwego znaczenia, jako materyał historyczny. Ustęp *Pińsk* i *Polesie pińskie* należy do najbardziej sympatycznie przyjętych i najwięcej znanych, bo cztery razy był ogłoszony drukiem: dwa razy we „Wspomnieniach Polesia“, a przed tém po raz pierwszy w Tygodniku Petersbur. i wreszcie z małym przerobieniem w kalendarzu Jaworskiego. Artykuł ten odznacza się wysokiem, lubo nieco przesadnemi rysami literackimi Pińszczyzny i pińczuków, i popularny do tego stopnia, że ten, kto żadnego wyobrażenia niema o Polesiu i Pińszczyźnie, doskonale jednak sobie przypomina owego mytycznego *wijuna* pińskiego, na łańcuchu przykuto tego, i owo orzeczenie, że pińczuk do człowieczeństwa się nie przyznaje („Ja nie człowiek, ja pińczuk“). Co się tyczy dziejów miasta Pińska, to te dość szczegółowo wprawdzie opowiedziane, poczynając od r. 1097 do końca XVI w., ale epoka dawniejsza zwłaszcza niedość krytyczna; Kraszewski pragnął ująć całość dziejów tego miasta, a materyałów odpowiednich nie mając pod ręką, trochę za pośpieszne je zesztukował. Toż samo w części i o późniejszych czasach powiedziećby można. Kraszewski znać sam czuł te luki i w r. 1841 skwapliwie ogłosił w Athenaeum bardzo ciekawe nowe źródło, p. t.: „Rebellia miasta Pińska.“ W ogólności, porównując dziś to, co podał Kraszewski i Niemcewicz (w „Podr. historycznych“ str. 341—355, wyd. z r. 1859), nauka dziejowa więcej chyba od ostatniego skorzysta. Artykuł *Zamki*—jesto bardzo pobieżny rys kilku zamków i kilku rodzin, wśród których najwięcej mowy o wojowniczym Lubarcie i o rodzie Sanguszków. *Krzemieniec* i *Żytomierz*, jako przeznaczone dla pisma popularnego (Tyg. Ill.), nie mogły zawierać dokładniejszych szczegółów i materyałów historycznych, a są tém, czém być powinny: ogólnym, lekkim szkicem, tak że o doniosłości naukowej tych ustępów

sądzić nawet trudno, zwłaszcza gdy zwążywszy, żeśmy już mieli „Polskę starożytną“, w której dokładniejsze znajdujemy o obu tych miastach wiadomości. Natomiast więcej szczegółów zawiera opis Żytomierza w „Wieczorach Wołyńskich“ (str. 48—99), który należy do najobszerniejszych szkiców historycznych, z wyjątkiem jednej Odessy.—Strony historyczne Wilna nie dotykał Kraszewski, gdyż wielki obraz dziejowy tego miasta przedstawił w osobnym dziele.

Najobszerniejszy zaś, o ile mi wiadomo, dotychczas w literaturze naszej, mamy obraz historyczny *Odessy*, zamieszczony we „Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budżaku.“ Niemało wprawdzie piór, i przed nim i po nim, dotykało dziejów tego miasta; pisali u nas o Odessie: Niemcewicz, Edm. Chojecki, Tadeusz Padalica, Jul. Kotkowski, M. Grabowski i inni, ale nikt w równie wyczerpujący sposób, jak J. I. Kraszewski, dziejów tego miasta nie odsłonił. Oprócz źródeł polskich, takich jak: Strykowski, Starowolski, Piasecki, Sarnicki, Kobierzycki, Dogiela, Naruszewicz, Święcki, Czacki, opiera swą pracę jeszcze na dziełach J. B. Chevalier'a (*Voyage de Propontide*), Castelnau (*Essai sur l'histoire ancienne et moderne de la Nouvelle Russie*, Paris 1820), J. Reyilly (*Voyage en Crimée* 1806), Sicard'a (*Lettres sur Odessa*, Peters. 1826), J. G. Köhl'a (*Reisen in Südrussland* 1841), Gamba (*Voyage dans la Russie meridionale* 1826), a głównie podług prac Skalkowskiego; wreszcie podług źródeł z archiwów rządowych i ze zbiorów miejscowego Towarzystwa Naukowego, którego członkiem został wówczas Kraszewski. Są tu opowiedziane całe dzieje Rosyi południowej, o ile one miały nieco zetknięcia się z Polską starożytną i wypowiedziane tak wyczerpująco, jak Kraszewski nigdzie w żadnej podróży, nawet w „Kartkach z podróży“ tego nie zrobił; cała to, rzec można, monografia historyczna Odessy, tej niegdy siedziby Jazłowieckich i, jak nadmienili, dotychczas stanowi najlepsze o tém mieście studjum w literaturze naszej.—Po tém przejrzeniu niektórych ważniejszych ustępów jego, na tle historycznym opartych, sądzę, iż czytelnik usprawiedliwi nasze zdanie o zbyt wielkiej rozmaitości i rozmaitej wartości naukowej tych podróży, tak, że one w istocie pisane były „bez wyboru“ i z tego względu ozdoby piśmiennictwa podróźniczego stanowią nie mogą.

„Wspomnienie Odessy, Jedyssanu i Budżaku“, a także „Druskieniki“ tém się róż-

żnią od dwu dzieł poprzednio wydanych, od „Obrazów z życia“ i „Wspomnień Polesia“, że kiedy te ostatnie w pojedynczych ustępach i szkicach główniejszych miejscowości wątek myśli wypowiadają, to dwa wyżej wspomniane utwory są tylko zwykłym dziennikiem podróży, w literackim, a niekiedy w potocznym tego słowa znaczeniu. To też „Podróż do Odessy“, w ogólności mówiąc, nie jest wyższą pod względem wartości literackiej od „Wspomnień Polesia“, ale za to ma charakter właściwy tego rodzaju utworom: naturalną swobodę, łatwość przenoszenia się od przedmiotu do przedmiotu, od jednej miejscowości do drugiej, nawet niekiedy bez staranniejszego opracowania stylowego, na podobieństwo tego, jak się robi zwykła notatka podróżna.

Zauważmy to jednak nawiasowo, że niekorzystne wrażenie przy czytaniu i brak staranniejszego wykończenia w znacznej części przypisać należy niegodziwemu wydaniu Teofila Glücksberga, niedbałemu zarówno pod względem papieru, druku, jak i korekty znośniejszej, a zwłaszcza używania znaków przystankowych, które wprost, niekiedy najpiękniej wyrażoną myśl zaciemniają i wynaturzają. W podróży tej zwraca na siebie uwagę, czytelnika ściśle *lokalny* charakter wszystkiego, o czém mówi Kraszewski, tak, że z każdego zdania, z każdego obrazka czuć, że nie ze wspomnień dalekich rzecz przedstawiona, ale to, co oko widziało i co serce czuło, wprost przeniesiono na papier. Ztąd też zaletą niemałą tego dzieła jest tych napędce malowanych przez autora obrazków prawda plastyczna, która począwszy od owego trzydniowego wybierania się do drogi, od owego pełnego prostoty i wdzięku opisu Gródka, ciągnie się przez całe dzieło. Wyjątek tu chyba stanowi sam opis Odessy, będący, jak wspomniałem, całkowitą monografią historyczną.

Z Gródka tedy przez Jarosław, Murawicę, Młynów, zarysowanych w leczelnym konturach, Kraszewski zatrzymuje na chwilę uwagę czytelnika w Tajkarach, gdzie prześliczny czytamy obraz poranku, jako też dobry opis zamku. Następnie przez Annopol zdąża do Prawutyna, będącego naówczas własnością Wojciecha Woronicza; to mu nasuwa sposobność do pięknego epizodu o znakomitym Janie Pawle Woroniczu, którego „całe życie, jak mówi, było pieśnią wpółwesołą, wpółsmutną, jedną stroną do przeszłości, drugą do teraźniejszości skarbłą i smutnej zwróconą.“

Jest tu dalej cały zyciorys tego arcymistrza pamiątek narodowych, a w całym charakteryzowaniu tej postaci wcale nie słabszy od zyciorysu, jaki Kraszewski osobno w Tyg. III. o Woroniczu podał. Z kolei przez Korezyk, Horodyszcze, wstępuje na jakiś czas do Kisielów i dopiero od Babińskich karczem prowadzi dalej notatki podróżne. Opis ten w ogóle suchy, bez wyraźniejszego ożywienia przedstawiony, tak, że na tle tódm dość bezbarwnym jeden tylko wdzięczniejszy obrazek stepowego życia dostrzegamy: jestto piękne odmalowanie życia tak zwanych, „czumaków“ (t. j. ludzi trudniących się przewożeniem rozmaitych przedmiotów, głównie zboża po stepach ku południowym ogniskom handlu); typy ich i tryb życia turalczy bardzo dobrze zarysowany. Następnie w lekkim szkicu przesuwają się przed oczami czytelnika—Sieniawa, Lityn, Woroszyłówka, równie jak i w poprzednich opisach, nie zostawiając po sobie silniejszego wrażenia. Najobszerniej i stosunkowo najlepiej opowiedziany Tuleczyn, do którego z kolei wstępuje Kraszewski. Tutaj dość starannie i udanie zarysowany widzimy sam Tuleczyn, przepyszny jego ogród, pałacyk „Baksza“, ów *maison de plaisance* hrabiego, jako też inne szczegóły, a zwłaszcza wielce ciekawe zabytki przeszłości tutaj się znajdujące. Jeżeli co psuje to nasze wrażenie, to te zbyt jaskrawe alluzje do posiadaczy tych dóbr, a nawet i bezogródkowe potępienia całej naszej arystokracji, jak n. p. taka apostrofa: „U nas możni *zawsze* byli kapłanami gallomanii, anglomanii, turkomanii, *niędy* stróżami podać narodowych“ (T. I str. 78). Ze nasi „możni“ *niezawsze* przeciw takim byli, o tém nie tylko z innych źródeł, ale i z wielu pism Kraszewskiego dowiedzieć by się można; jestto jeden z tych przywilejów podróżopisarskich, które stworzył sobie autor: poufalego zwierzenia się przed swym czytelnikiem ze wszelkich przelotnych wrażeń i doraźnego u-sposobienia.

Po tym drastycznym środku na nudy podróżne, znowu zapadamy w stan bezwładności i obojętności na wszystko, cokolwiek dalej widzimy; ożywia nas nieco wprowadzie Wierchówka, do której wjeżdżamy, a w niej obrazek jarmarku, przypominający mistrzowski pędzel „Janówki“, następnie widok dawniejszego miasteczka powiatowego, Czezelnika, niegdy własność książąt Lubomirskich,—ale dopiero po za Czezelnikiem, odlatniająca się przed nami całkiem odmienna przyroda—właściwie stepowa, zmu-

sza do zaniechania drzemki podróżnej i do żywszego rozpatrywania się w otaczającym świecie, w którym „bują już kukurudza, ziemia spiekła i popadana, łany z jednej strony, z drugiej bodiaki, gdzie nigdzie tylko i rzadko czernieją dębiny.“ Przez Bałtę, nad rzeczką Kodymą położoną, a stanowiącą niegdyś pogranicze Polski, wjeżdżamy w obcą już nam, coraz dzikszą pustkę stepową, której wcale udatny obrazek spotykamy, równie jak ciekawe dzieje wypraw hajdamackich. Z kolei przez miasto Ananijew, z „kletek“ i „ziemlanek“ składające się, przez osady Szarajewo, Słobody i Słobodki, aż do Baranowej, mamy jakiś tylko mglisty rys stepowego krajobrazu i różnolitej ludności mieszkańców. Wreszcie przez Wielkie i Małe Potockie, wille Lewszyna i inne przedmiejskie, wjeżdżamy do Odessy.

Tutaj, oprócz wyczerpującej strony historycznej, o której wyżej była mowa, mamy całkowity opis miasta i malowniczej a różnokształtnej jego ludności: Rosyan, Polaków, Greków, Francuzów, Niemców, Włochów, Serbów, Ormian, Bułgarów; charakterystyka ich ze znanym talentem przedstawiona. Autor mówi obszernie o handlu i przedmiotach przywozu i wywozu, o starożytnościach i o miejscowym Towarzystwie archeologicznym; wreszcie pięknie skreślone obrazy okolic Odessy zamykają tom drugi. W tonie trzecim opowiada Kraszewski o wycieczce, wspólnie z jednym z miejscowych uczonych starożytników, do Owidyopola, Białogrodu, Akiermanu, Kisznicewa, — starannie się rozwodzi nad starożytnościami Akiermanu i w ogólności o całym tym kraju, poczynając od wspomnień Besów Herodotowych, którzy jakoby mieli być protoplastami ludu miejscowego i dali początek nazwie Bessarabii, wreszcie pobieżnie Waf Trajana tu potrącony. Epizod o Karolu XII i o Leszczyńskim ubarwia nieco suchy ten i monotony w ogóle opis. Czytamy w końcu powrót do domu z Odessy, najprzód dawniejszą drogą, a potem przez Braclaw, Niemirów — siedzibę Stanisława Potockiego, Woronowie — Grocholskich, wreszcie Winnicę, Lityn do domu. Taki jest układ i bieg myśli największej co objętości, bo trzytomowej podróży po kraju J. I. Kraszewskiego. Wartość jej z wielu względów niższa od poprzednio wydanych szkiców podróżnych; rzeczy krajowe bardzo tu lekko uwzględnione, a opisy przyrody w niewielu tylko ustępach mają wyższe, artystyczniejsze wykończenie.

Toż samo prawie powiedzieć potrzeba

o małej książeczce, noszącej tytuł: „Druskieniki.“ Jestto także dziennik kilkomiśiecznej podróży do wód, poczynawszy od 19 lipca 1847 r. Wycieczkę tę robi J. I. Kraszewski przez Żuck, Kowel, Ratno, Kobryn, Pruzanę, Świsłocz, Brzostowiec i Grodno. Opisy i charakterystyki ludzi, oprócz wspomnianych wyżej, a jak zwykle znakomitych obrazów i obrazków poleskich, są w ogólności dość pośpiesznie rzucone na papier i w zbyt ogólnych zarysach przedstawione. A wspomnień historycznych, gdzieindziej tak wyczerpujących, tu wcale nie spotykamy, z wyjątkiem jednego Grodna: opisy podróże urozmaicone są tylko uwagami etnograficznymi o granicznej między wołyńskiego i litewskiego Polesia, a także Polesia i Litwy właściwej. Istotną zaś zaletę dziełka stanowi różnostronny i wyczerpujący obraz tego ogniska leczniczego, to jest samego miasteczka, zakładu wód mineralnych, znakomitej charakterystyki gości, ich zabaw, balów, strojów i t. d. Mamy tu cały kalejdoskop, różnobarwny i różnokształtny tych postaci, z rozmaitych stron kraju zgromadzonych i odwzorowanych z mistyzmstwem, prawie prześcigającym znany nam obrazek, p. t. „Domy i ludzie.“ Z całego tego tłumy chorych i zdrowych, prostaków i niesmacznych strojuśnisiów, kapryśnych pacjentów i utrapionych przez nich lekarzy, najwydatniej może góruje typ karyerowiczów i epuzerów, typ naówczas jeszcze tak świeży, zwłaszcza w Druskienikach, że takim badawczemu spostrzegaczowi, jak J. I. Kraszewski, dał wyborną sposobność do ujęcia go w sposób niby pobieżny. A cały ten płonący życiem pejzaż, ożywiony stosownie do okoliczności epizodami bądź humorystycznymi, bądź satyrycznymi, bądź uwagami poważnemi, które wypowiedziane są w ten sposób, jak to robił w najszcześliwszym usposobieniu twórczości w „Obrazach z życia“ lub we „Wspomnieniach Polesia.“ Raz mu np. patrząc na brudy żydowski miasteczka, nasuwa się fantastyczna myśl o poznawaniu życia i ludzi ze śmiecia wymiecionego z domu; to znów z powodu cichego zgonu znanego zbieracza pieśni ludowych, J. Czeczota, wyskoczy z pod pióra obrazek pełen rzewności, w mimowolną zadumę wprowadzający czytelnika; albo znów mówiąc o karciarzach, nasuwa głębszą i poważniejszą myśl: „my jesteśmy w położeniu wcale odmiennym od reszty ludów i krajów, mamy surowsze i świętsze obowiązki; na niezakrzepłej krwi, na cmentarzach tylu nadziei i kościach tylu pamiątek, godzi się

czas drogi i drogie zdolności marnować bezmyślnie w ohydny, barbarzyński próżnowaniu nad kartami? Kto, siadając do gry, pewny, że wstanie uczciwym człowiekiem?...” Albo wreszcie, z powodu upadku pisma „Ondyny“, z boleścią—przymówkę robi Litwinom, za ich zacofanie i nieuctwo klasy szlacheckiej, za nieznamość współczesnego ruchu literackiego: „Słyszało się o kimś, o czémś, że mamy „kawałek literatury“, że piszą, że coś robią; ale kto, co, na co, po co, dla czego, o tém się nie wie zupełnie. Miałaby serdeczna, pocziwa Litwa, na której serce nadewszystko rachować można, nigdy już nie żyć głową i nie podnieść się duchem?“

W „Wieczorach wołyńskich“ już nie widzimy kształtu *dziemika* podróży, wraca autor do formy poprzednio używanej w „Obrazach życia“ i „Wspomnieniach Polesia“, to jest do wypowiedzania myśli w pojedynczych, ściśle z sobą nie spojenych ustępach. Kształt tylko ten, podług naszego zdania, doprowadzony tu jest do możliwej doskonałości. I nie w tém dziwnego, treścią bowiem tego utworu jest okolica kraju wszechstronnie przezeń poznana; nie tylko główne czyny i uczucia, ale najcichszy nawet szepł myśli, ich pobudek i objawów, podsłuchany i rozważony; talent wreszcie pisarski po trzydziesto-letniej wielkiej i różnorodnej twórczości, w zupełności dojrzały i rozwinięty.

To, co tu do nas, jako do sprawozdawcy podróży, właściwie należy, nosi tytuł „Żytomiérz“, o którym jużśmy słówko we właściwym miejscu powiedzieli — ale głównie tu się stosuje rozdział drugi, p. t.: „Rysy Wołynia“ (str. 7—47). Jest to może najdokładniejszy, a przynajmniej, najudatniejszy opis tej prowincji. Spotykamy tu: Uściług, Włodzimierz, Sielce, Poryek, Łuck, Jarosławice, Młynów, Dubno, Zaslów, Stary Konstantynów, Ołykę, Klewań, Korzec, Zwiąhel, a dodatkowo wspomniano o Krzemieńcu, Owrczu i Kowlu. Wszystko to wprawdzie naszkicowano w leciuchnych zarysach, *à vol d'oiseau*, ale wypowiedziano z mistrzostwem prawdziwem, tak, że z tych niby subtelnych konturów w wyobraźni czytelnika odsłania się prześliczna i wyrazista panorama tego wielce urozmaiconego zakątka kraju, w którym, jak powiada J. I. Kraszewski, „jest i step w miniatuże i góry, kto je lubi, i puszcze, i błota, i polesie straszliwe, i piaski z wydmami, i czarnoziem podolski.“

Wśród właściwych opisów, jak zwykle wplecione tu są rozmaite spostrzeżenia i uwagi

społeczne, jak n. p. o stosunkach rolnika do posiadacza ziemi, do pana, i zabarwione to wszystko kolorytem niekiedy zanadto już jaskrawym, jak to ma miejsce, gdy mówi o zanikaniu obywatelskiego powołania ziemian i handlowaniu majątkami. „Jeżeli kto dobrze zapłaci, sprzedamy majątek, choćby z nim przefrymarczyć przyszło kościółek, postawiony przez dziada z jego kośmi, pamiętki i najpiękniejsze podania przeszłości. Jak skoro pękł święty węzeł, co nas łączył z dziedzictwem po przodkach i ludźmi na niem osiedlonymi, poczęliśmy kupować, sprzedawać i zmieniać ziemię naszą.“ Ale wyżej jeszcze się podnosi ta satyryczna hyperbola w tym oto ustępie: „Kolebką bohaterów możnaby nazwać Wołyn, który wielkiem żniwem wysiłony, dziś niestety, rodzić przestał. Szczęśliwy, biedny kraj, zaprawdę bogaty we wszystko, co Bóg dać mógł, jeno mu ochoty do życia brakuje“...

We wszystkich utworach podróżniczych Kraszewskiego, począwszy od najpierwszych młodocianych jego pism, spotykamy to zabarwienie satyryczne, te bolesne uwagi o upadku klasy szlacheckiej, ale dopiero w „Wieczorach wołyńskich“ podnosi się ta satyra do szczytu potęgi, jakiej ani przedtem, ani potem nie spotykamy w pismach Kraszewskiego. Powiedziałbym, że jest to głos Perseusza polskiego, gdyby na dnie tych strasznych obrazów nie widział ukrytego wprawdzie gdzieś tam w głębi, ale jednak dostrzegalnego — obywatela kraju; gdyby w pośród tych rozprysków gwałtownych i gromów, ciskanych z wyżyn kapłaństwa i obywatelstwa, — gdyby wśród tego groźnego potępienia, nie czuł serca, miłującego przecie jeszcze tych ludzi i wierzącego w ich poprawę.

Satyryczne epizody „Wieczorów wołyńskich“ tém się różnią od wszystkich innych tej barwy ustępów, w tylu jego pismach wypowiedzanych, że tutaj ten swój najsilniejszy jęk zranionego uczucia obywatelskiego rzuca on śmiało współziemiańcom, niby rękawicę rycerz średniowieczny: Niestety! sam jeden pozostał na placu, bo rękawica na ów prastary, rycerski sposób podjęta nie była! A ta pokatna szarpanina, ta podjazdowa intryga i krzyki, i ciskanie z za płotu, jakie towarzyszyły wydaniu „Wieczorów wołyńskich“, najlepszym są dowodem nicości przeciwników i wartości, nie tyle może literackiej, jak jak raczej społecznej tego satyrycznego pogromu. Jest to tedy najwyższy, kulminacyjny punkt cierpienia jego, jako miłującego swój zakątek współziemiańszczyzny; uczucie to tak

druga pulsującym życiem i z takim siłą wyczerpaniem się objawia, że drugi raz w ten sam sposób objawić się, drugi raz narodzić się już nie może, chyba u innego człowieka. Może wprawdzie następnie jakiś przypuszczenia Bolesława na tysiączne sposoby przekształcać i w rozmaitych odsłonach literackich też samą myśl przedstawiać; ale będzie to już artysta, będzie to może wielka tego artysty twórczość, wszakże tyle ona będzie podobna do pierwszego, co malowidło, chociażby najdoskonalsze, do rzeczywistego człowieka: tam było życie, był człowiek; tu sztuka, co oblicze i duszę tego człowieka kunsztownie odtworzyła. I jeżeli w tej ostatniej podziwiać możemy wysoki artyzm literacki, to jednak zawsze droższym i bliższym nam będzie człowiek, w samym życiu się odbijający.

W ten tylko sposób patrząc, możemy sobie wyjaśnić te pozorne sprzeczności, jakie spotykamy na kartach „Wieczorów wołyńskich“ w odmalowaniu n. p. Zbytku. W rozdziale pod tym tytułem taki poetyczno-satyryczny obraz znajdujemy: „Panowie pierwsi zbytkiem się niszczą, możliwe domy zmuszone są do utrzymania resztek świetności sprzedawać się i kłaść. I inni nie wahają się frymarzyć i żyć cudzą pracą, drudzy sumienie sprzedają.... Podłością nieraz kupiona nęcza wspaniała, ostatkiem wiary klejnot, który jutro wydrze rozpusta.... W latach, kończących wiek poprzedzający, patrzymy na te Sardanapalskie bankiety ludzi, co jutro i przyszłość zjedli i przepili przez jedną noc szalu. Lepszy my jesteśmy i czy nas smutny przykład poprawił? Obejrźmy się, porachujmy. Mamy dziś dwa wielkie obozy: w jednym samo zaprzatnienie zysku i grosza, w drugim komedia dostatku i zbytek, choroba pieniędzy i zaraza rozpusty. Niekiedy dwie te słabości łączą się w jedną i pierwsza jest tylko przygotowaniem do drugiej.“ Tak mówi na str. 138. Przerzucamy kilkadziesiąt kart wstecz i czytamy: str. 75. „Zbytek tak mało jest potrzebą mieszkańców, że gdyby się kto nań chciał siłi, trudno by żądania wykwiłtniejsze miejscowemi środkami zaspokoić. Magazyny nie sprowadzają rzeczy zbyt kosztownych, na odbycie ich nie mogą rachować.“ Str. 98: „Każdy, kto tu (w Żytomierzu, w ognisku Wołynia) pobyt dłużej, ocenić musiał ludzi: więcej tu cnót i dobrych popędów, niż śmieszności i złego, wielkie zamięrowanie spokoju, religijność gorąca, pobożność prawdziwa, skromność obyczajów przykładna, pogarda zbytku wiele obiecująca.“ Jakże więc te sprzeczności tłumaczyć należy? Czyż doprawdy taki olbrzym

literacki, jak Kraszewski, w jednej niewielkiej książeczce krańcowych ostateczności uniknąć nie zdołał? A w istocie sprzeczności zasadniczych tu niema: ostatnie nasze cytaty, są to słowa mieszkańca kraju, a owa gorzka satyra — to polot fantazyi poety, to rozbijanie artysty, co z okraszyni drobnej stworzył całe monolity.

Podziwiając przedewszystkiem w Kraszewskim jego obywatelskość, niekoniecznie oddając temu pierwszeństwo, co artystycznie pięknego, doskonałego pod względem literackim stworzyć on zdołał; dla mnie, jak to w części widział czytelnik, częstokroć jest droższym szkic jego jeszcze nie dość wprawny Romanowa, Lublina lub Świsłoczy, obrazek studencki z życia wileńskiego, — żywa, żywotna krytyka w listach do „Gazety Warszawskiej“, jakiś wstępny artykuł w „Gazecie Polskiej“ itd. itd., t. j. w ogólności to, gdzie dostrzegłem więcej rzeczywistego człowieka, z kośćmi i krwią, cierpiącego lub radującego się na prawdę, a nie artystycznie już te bóle i niechęć powtarzającego. Jestem wielkim wielbicielem wszelkiego arcyzmu, ale nadewszystko przekładam życie, zwłaszcza dobrze przeżyte, i tego życia najszczytniejsze, z wyższego natchnienia bożego płynące objawy. Cenię n. p. i pracę, i to, co o pracy różnocozasowo napisał Kraszewski, w kształcie broszurek ludowych, artykułów gazetarskich, w powieściach, w dramatach i t. d.; ale dopiero kornie schylam czoło w obec pracy i pracowitości cudownej samego Kraszewskiego....

Na usprawiedliwienie i wyjaśnienie tego, może trochę dziwaczego poglądu, pozwolę sobie użyć porównania. U muzyka np. w pewnej szczęśliwej chwili rodzi się niewiedzieć z kąd, z wyżyn tajemniczych ducha, pewna grupa tonów, która *melodyjną* jakąś stanowi i która w miarę podniosłości tego nastroju duchowego, więcej lub mniej długotrwały oddźwięk znajdzie w sercach słuchaczy. Ludzie, znający tajemnice muzyki, jako kunsztu i nauki, ludzie znający *arcana* harmonii, mogą myśl tę melodyjną w nieskończenie rozmaitych przedstawiać przekształtach i kombinacjach muzycznych, mogą oparć na tej podstawie stworzyć względnie wielkie dzieło muzyczne; ale któż zaprzeczy, że główne źródło twórczości w owym pierwszym rodzącym się całokształcie melodyjnym spoczywa? Toż samo powiedzieć można i o twórczości w słowie ludzkim, a zwłaszcza, jeżeli ta twórczość jest tak przeważnie poetyczna, jak u Kraszewskiego. Otóż ja, ten pierwszy ro-

dzący się *ten* w uczuciu, czy w duchu Kraszewskiego, w obec żywej przyrody rodzinnej i żywych ludzi, cenę właśnie najwyższą, bez względu na więcej lub mniej kunsztowny kształt, w jaki się on następnie przyobleka. I dla tego właśnie, podług naszego zdania, przywiązywać należy szczególną wartość do „Wieczorów Wołyńskich,” że były one rzeczywistego życia najprawdziwszym odbiciem, były łabędzim śpiewem, kończącym jego zawód wołyńskiego obywatela rolnika, kuratora gimnazjum żytomierskiego i kierownika teatru miejscowego,—a zarazem są i dla nas epoką, zamykającą okres podrózpisarstwa krajowego.

Z tego ogólnego przebiegu pism Kraszewskiego widzimy, jak rozmaite wytknął *szlaki podróżnicze* w literaturze naszej, jak rozmaitych dotknął w nich stron życia współczesnego i wspomnień przeszłości. Do nich dodać jeszcze należy ostatnią jego podróż przez kraj w przedsięwziętej podróży za granicę, o której w „Kartkach z podróży” jest mowa t. j. z Żytomierza przez Zwiąhel, Dubno, Łuck, Włodzimierz, Chetm, Lublin do Warszawy, a następnie do Krakowa, opisowi którego cały jeden rozdział poświęca. We wszystkich większych czy mniejszych szkicach podróży, przy każdej nadarzającej się sposobności, stara się Kraszewski notować i oceniać zabytki *sztuki*, których był niepospolitym znawcą. Nie mając odpowiedniej kompetencji, o wartości tych jego zarysów sztuki naszej mówić tu nie będziemy,—dla uzupełnienia jedynie naszego obrazu sprawozdawczego nadmieniamy, że ze wszystkich sztuk pięknych najmniej spotykamy wzmianek o muzyce, co zresztą, jako u podróżnika, łatwo się tłumaczy. Częściej bywa mowa o architekturze, a zwłaszcza o malarstwie. Przyszły autor „Ikonotheiki” od najpierwszych lat pisarskiego zawodu, znać skrzętnie gromadził materyały do przyszłego wielkiego obrazu malarstwa w kraju,—tak tu wszystko starannie postrzegał, notował i, jak się zdaje, umiał krytycznie oceniać wszystko, na cokolwiek patrzył. Wreszcie co do budownictwa, to w pismach jego podróżniczych spotykamy szkice niekiedy dość pobieżne i, jakbym sądził, nie zawsze usprawiedliwione. Stosuje się myśl ta do pierwotnych jego podróży, jak np. wymieniałbym opis katedry wileńskiej w II tomie „Obrazów z życia.” Nie podoba mi się ona, że w dzisiejszym swoim stanie niema charakteru zwykłych świątyń katolickich, poospolicie u nas spotykanych, nazywa ją trochę ironicznie „panteonem greckim,”—a jednak nie

dodaje tego, że ten panteon jest prześlizgnięty i że niewiele zapewne ma sobie podobnych świątyń na ziemi naszej.

Z pośród tych wszystkich żywiołów, napotykaných w jego podróżach, sztuka *malowania krajobrazów* rodzinnych, bez wątpienia, najwyższą jest wartości, dosięga bowiem—w tym razie szczytu artysty pisańskiego. Sztuka ta, równie jak i inne strony talentu Kraszewskiego, stopniowo wzrasta i doskonali się. W obrazkach pierwotnych, autobiograficznych, widzimy ogólne grube zarysy przyrody: taki np. jest Romanów, miasteczko i zamek Bialski, opis starożytniej części Lublina, może tylko nieco żywszy obrazek Świsłoczy. W tomie drugim „Obrazów z życia” widzimy tenże zbyt ogólnikowy jeszcze sposób szkicowania przyrody w ustępach „Spojrzenie na miasto” i w „Przechadzkiach,” gdzie bez wyraźniejszego talentu maluje cudne okolice Wilna: Popławy, Jeruzalem, Betleem, Zakret, Pohulanek, Antokol i inne, a wreszcie dalsze okolice, jak: Werki, Kalwaryą. We „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy” żywioł ten opisowy nabiera już wyrazistości, barwy i wdzięku, niema tylko jeszcze tej siły i potęgi słowa, jakie później się znajdują. Takie np. są ustępy: „Osowa Felińskiego,” gdzie jest udatniejszy obrazek nudnej fizyogomii wołyńskiego Polesia; „Lasy poleskie,” a zwłaszcza obraz Pińszczyzny, gdzie mamy piękną charakterystykę „tego lasu łoży, sitowia i oczeretu, spletanego, jak kołtun piński,” obraz owych karczemek przydrożnych przedpotopowej konstrukcyi i wyrazu dzicyzny i opustoszenia, jaki zewsząd okala widza. Co jednak głównie wartość krajobrazów podnosi, to ów żywioł subiektywny, owo odmalowanie swego usposobienia w tych obrazach. J. I. Kraszewski nie krępuje się tu niczem, nie pogardza nawet zanadto widoczną przesadą, jak to ma miejsce w opisie tej samej Pińszczyzny, owę jak nazywa „dziury niezmiernie interesującą.” Tu wszystko jest kulawe, garbate, zle, podarte, rachityczne, brzydkie. „Chaty do polowy w ziemi, lud chudy i nawpół nagi, dzieci z rozczochranemi włosami, psy nawet chude i najeżone“....

Stopniowo zaś coraz baczniej zaczyna się przyglądać rysom przyrody go otaczającej, coraz subtelniejsze widzi odcienie gry światła i ruchu żywiołów natury; a obdarzony wielkiem czuciem artysty i uczuciem obywatela kraju, z dwojga tych pierwiastków nimie wydobywać coraz wyższe pomysły, coraz głębsze uczucia, widokiem przyrody wywołane, coraz pełniejsze, bardziej wykoń-

czone w szczegółach i plastyczniej przedstawione pejzaże. To wypełnienie w szczegółach, to zbadanie umiętne natury widzimy następnie nawet w tych utworach, które z natury swojej musiały być więcej pobeżne, więcej szkicowane tylko. Za dowód przytoczyłbym dziennik podróży do Druskienik, mianowicie wyjazd z Kowla, Ratno i następny obraz Polesia, „z piaskami żółtymi, poplamionymi sosninką ciemną, poprzecinany brodkami i błotkami.“ Posępne to oblicze, pełne nieopisanego surowości i ponurych obrazów z wielką prawdą i sztuką jest ujęte. „Zdaje się, że tu wszystko wymarło, nawet ptactwo... szorstkie tylko wiszary szeleszczą w błotach, woda leniwie się sączy po rowach, szumią drżące sosny, ziewają żółte piaski.“

W ogólności opisy miast mniej umiętne malował J. I. Kraszewski, niżeli przyrodę wiejską, ale i miasto nawet, w dojrzałszej epoce pisarstwa swego, odtwarzać umiał niekiedy znakomicie. Dość wspomnieć opis Żytomięcia w „Wieczorach wołyńskich“, opis Odessy i jej okolic. Wszakże zupełny rozkwit talentu jego i cała olbrzymia skala sztuki pejzażowania przyrody, rozwinęła się dopiero w licznych powieściach jego. Pomijamy je tedy, jako leżące poza obrebnem artykułu naszego, — to tylko nadmienimy, że we wszystkich utworach podróżniczych największemu mistrzostwem malowania krajobrazów nacechowane są te głównie ustępy, w których szczęśliwie się kojarzy żywioł właściwie opisowy z uczuciem, z wrażeniem, jakie on w danej chwili na autora wywiera. Oprócz licznych takich obrazów swojego kraju wskazałbym pod tym względem na opis, po raz pierwszy w życiu widzianego przezeń widoku morza we „Wspomnieniach Odessy“, zaczynający się od słów: „Stałem osłupiały, a serce biło mi i t. d.“ (str. 175 i dal., tom I). Ustęp ten pod względem żywości kolorytu i szczytności obrazów zaliczyćby można do najpiękniejszych opisów, jakie wyszły z pod pióra J. I. Kraszewskiego, i przewyższa go chyba jeden tylko opis podróży z Wiednia przez Semmering do Tryestu w „Kartkach z podróży.“ (T. I, str. 48 i dal.).

Z tego wszystkiego, co się powiedziało wyżej, czytelnik łatwo może wynioskować, że J. I. Kraszewski w zupełności odpowiedział temu obszernemu zakresowi podróżopisarstwa, jaki sam sobie wytknął: stworzył podróżopisarstwo artystyczne, w którym z talentem dotąd u nas nieznanym, odsłania najrozmaitsze obrazy ziemi naszej

i wydobywa skryte w niej skarby sztuki, uchyla zasłonę przeszłości i z niej naukę dla współczesnych czerpie. A ponieważ była to epoka demokratyzowania się społeczności i siłą samych wypadków znikania wielkich niegdy postaci magnatów naszych, ztąd J. I. Kraszewski robi częste apostrofy ku panom, niekiedy groźnie ich karci, przypomina zatracony przez nich ideał obowiązków społecznych i nieustannie robi wycieczki ku przeszłości, żeby nawiązać rwące się ogniwo przed i porzobiorowych czasów, bierze w opiekę lud wiejski, wytyska wady mieszczaństwa, o ile było ono nieswojskiem i wyzyskującym siły krajowe, niełitościwym biczem satyry chłosta dorobkiewiczów, ale tych tylko, co byli ujemnym wytworem nowoczesnym; a ideały przedstawia w wyższych pojęciach wyzwolonej pracy krajowej, chrześcijańskiej miłości i europejskiego postępu, bez różnicy wszelkich klass społecznych.

W końcu nadmienić musimy, że, mówiąc o rozmaitych żywiołach piśmiennictwa podróżniczego Kraszewskiego, nie wypadało nam jakoś uwzględnić jego strony religijnej. A wszak Kraszewski nie tylko był artystą, malarzem rodzimego kraju, badaczem jego przeszłości, ale zarazem był tej przeszłości nieodrodnym synem, umiał być i *patnikiem w dziewiętnastym wieku*. Dziesięcio-wiekowej cywilizacji chrześcijańskiej owoc, duch nasz religijny, jaśniejący promiennym światłem poświęcenia i miłości, w najpodnioslejszych dobach historii naszej, wiekowy ten nastrój religijny *nie mógł się wyosobnić* i w takim wielkim tego narodu synu, jakim jest Kraszewski. To też widzimy, że świadomy tajoików mądrości ludzkiej od Arystotelesa i Platona do Hegla i Trentowskiego, umiał jednak Kraszewski wznieść się wyżej po nad te prawdy ludzkie i prawdy wyższej, niezmienniej szukać w religii, a może nawet w tém wszystkiem, co tę prawdę symbolizuje i uprzytomnia. Inni na tém miejscu wyświeślały różne strony jego religijności i filozoficznych poglądów; jako sprawozdawca podróży mam tylko obowiązek przypomnieć, że w wielu miejscach swoich podróży J. I. Kraszewski uwidatnia nie tylko istotę religii, ale i naszą symbolikę religijną. Tak np. jeszcze w „Obrazach z życia i podróży“ mówi nie tylko z uznaniem o czci Matki Bożej, ale i o jej obrazach i obrządkach, rozproszonych po świątyniach i po domach naszych, kreśli nawet całą genezę tej czci, o ile ona dla nas odwieczne dziejowe i narodowe miała znaczenie. „Zwano ją królową i była

serc pobożnych panią. Mnóstwo cudownych Bogarodziey obrazów, rozsypanych było po kraju; w każdym miasteczku, w każdym kościele widziałeś czarny obraz w ołtarzu, osłoniiony potrójnemi bogatemi firankami, obwieszony mnóstwem błyskotek, korali, pereł, ubrany w złocistą sukienkę z koroną na głowie, dokoła wyobrażenia serca, rąk, nóg, głowy, albo czworogrannę złotą i srebrną blachę; strojony w kwiaty robione i żywe, u którego stóp i ofiara ubogiego chłopka z trochy lnu i kawałka płótna i pierścienie dyamentowe, które bogaci składali.

Pierwsza stara pieśń duchowna do dzisiaj była o Bogarodziey. Ta Matka Bożka wybierała sobie ulubionych z najbiedniejszych, z ubogich, z tych, którym świat ciężkie jarzmo pracy i niedoli nałożył, a oni je dla miłości bożej nieśli, dziękując za krzyż swój“ („Obrazy z życia i podróży,“ t. I, str. 47, 48 i 49).

J. I. Kraszewski po dwakroć odbywa podróż do Częstochowy a owocem téj jego pielgrzymki jest nie tylko „*Oblężenie Częstochowy*,“ owa dokładna relacya Gigantomachii, przypisywanéj Kordeckiemu, ale głównie znakomity twór p. t. „*Kordecki*.“ Jestto przepyszna apoteoza człowieka silnéj wiary i potężnéj woli, mnicha-bohatera tworzącego cuda z drobnych okrucichów, wlewającego życie i energią nawet w istoty słabe i na duchu upadłe. „Wielki, wielki jest wpływ człowieka, powiada o nim J. I. Kraszewski, co słowem jak dłonią olbrzyma, dźwiga serce i podnosi wysoko; czują ludzie wyższość, podbici nią milczą i wstyd im zeznać się słabymi w obliczu siły,—pną się do niego i choć pozornie, chcą mu dorównać“ (Kord. T. II, str. 119).

Przerzucając karty téj literackiej apoteozy i téj promiennej aureoli, jaką Kraszewski okolił pamięć Kordeckiego, czytelnik od pisma samego mimowolnie zwraca myśl ku autorowi. Bo wszak i Kraszewski miał wielki przymiot, co jedynie tworzy cuda, miał wielką miłość i pokorę chrześciańską: czując w piersi swojej całe ogromy wibrujących sił, mogąc przewodzić tłumom tytaniczną twórczością swoją, która rzuciła w świat nieznana dotychczas na świecie ilość myśli wzniosłych, nieznana ilość dzieł różnego rodzaju; mimo to jednak umiał upokorzyć się po chrześciańsku przed potęgą nieco wyższą od najwyższych potęg ziemskich, umiał zginać kolano przed Bogiem-człowiekiem, przed Matką Bożką i u Jéj stóp szukać pociechy, nkojenia, miłości i sił nowych do coraz nowéj pracy dla społeczeństwa swego.

— Na Jasnej Górze, przed obrazem Matki Bożkiéj, obok ofiar ludu naszego, od wielu wieków składanych, są *dwie srebrne pióra*, jako wotum złożone po obu stronach wizerunku. Pytałem się u miejscowych ludzi, czyje to są ofiary? Odpowiedziano mi, że podobno to są dary Hoffmanowéj i Kraszewskiego. Chciałbym wierzyć, że jedno z nich jest ofiarą Kraszewskiego, bo chyba tym tylko sposobem, wyjaśnię sobie dotąd tę cudowną siłę jego twórczości: że wiecznie żywa, wiecznie płonąca ogniem miłości, nieustanna modlitwa ludu naszego wymodliła ten cud, iż to pióro, po upływie półwiekowego olbrzymiego trudu, dotąd ani się zламало, ani nawet zużyło i promienieje zawsze cudowném życiem i siłą na chwałę kraju.

Antoni Bądzkiwicz.

ARCHEOLOGIA.

I.

Sztuki piękne w dziełach J. I. Kraszewskiego.

Cztery dzieła Kraszewskiego: *Sztuka u Słowian*, *Ikonotheka*, *Kartki z podróży i Spinx*, uważać należy za wykład pojęć o sztukach plastycznych, ułożony w szereg rozwijający je coraz szerzej.

Zapatrywać się na nie tedy należy, jak gdyby jednocześnie i w jednej chwili z pod pióra autora a raczej z pod jego serca wytrysły; chociaż bowiem powstały w różnych epokach i nie w tym porządku ukazały się z pod prasy, w jakim je tu ułożyłem, stanowią całość jednolitą pod względem założeń duchowych.

Najpierwszym z tych dzieł był *Spinx*, ostatniem zaś *Kartki z podróży*, a jednak rozbiór szczegółowy wskazuje w obudwu téż same pojęcia co do celów, dążności i dróg pracy estetycznej.

Dla czego odmienilem porządek chronologiczny, a przyjąłem systematyczny i dla czego za systematyczny uważam tu wskazany? odpowiedzieć muszę.

Najprzód sam autor w przedmowie do *Ikonotheki* uważa *Sztukę u Słowian* za wstęp do słownikowego zbioru *Notat o sztuce i artystach w Polsce*, to jest do *Ikonotheki* z tym zamiarem ją pisał, stawiając jako założenie, zdanie, iż „pierwsze uderzenie dłuta lub siekiery, które kłoc nieociosany rzeźbi w kształty foremne, jest już ziarnem przyszłości sztuki.“

Następnie, gdyby tego był autor nawet osobna nie zaznaczył, sama treść dzieł, gdy na nie spojrzymy, uogólniając sobie pojęcie o nich, na ten układ systematyczny wprowadza, pierwsze bowiem do drugiego, na się, jak zaród do dojrzalego owocu.

W podobnym stosunku znajdują się do siebie *Kartki z podróży* i *Spinx*. Pierwsze opowiadają wrażenia estetyczne podróżnika-poety, w drugim jest jakoby tych wrażeń

i pojęć streszczenie, jakoby sens moralny, zwarty w obraz obyczajowy na tle tych pojęć osnuty.

Jakże się to jednak stało, gdy *Spinx* poprzedził *Kartki z podróży* i podróż samą o jaki dziesiątek lat? Oto najwyraźniej autor tych dzieł obudwu, wprzód nim pierwsze z nich na świat wydał, był estetycznie już tak wyrobiony i z historią sztuki tak głęboko obeznany, że podróż stała się tylko sprawdzeniem na miejscu tego, co już dawno znał teoretycznie, utwierdzeniem pojęć mocą talentu przeczutych, lub zasad, których zręby religia, nauka, historia i poezya, dawno już w duszy i sercu autora były położyły, a które ogrzane gorącą miłością piękna, w słowo się zamieniły.

Na potwierdzenie tego zdania nie mogę lepszego przytoczyć świadectwa nad słowa Kraszewskiego zamieszczone w przedmowie do całkowitego wydania *Sztuki u Słowian*¹⁾:

„Nie miałem w życiu mojem godzin miłej i silniej zajętych, nad te, które poświęciłem ulubionemu przedmiotowi: sztuce i starożytnościom.“

Takie zamilowanie do sztuk, w czasach, w których się do niego Kraszewski tak otwarcie przyznawał, było istic fenomenalnym, było przeczuciem istic wieszczem tego ich rozwoju, który się przed naszymi oczyma obecnie przesuwają.

Wszakże w téjże samój *Tecce Wileńskiej* w tomie III, do którego dodana była *Ikonotheka*, pisze Buszczyński (str. 311): „każ-

¹⁾ Początek téj rozprawy pod tytułem *Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej* ukazał się przy *Tecce Wileńskiej* na 76 stronicach. Całkowite wydanie ma stron 363 i stanowi oddzielny tom, wydany w Wilnie w r. 1860.

dy dziś u nas z ochotą kupi okazały powóz, dobre konie, wygodne meble, przegra znaczną sumę w karty lub strwoni przy wesolej wiececzy ze współobywatelami, ale na kupno posągu, rzeźby, obrazu nigdy równej kwoty nie wyda.“ W tymże samym czasie Kraszewski śleczął nad szpargałami, nad rozbitými urnami, napełnionými kośćmi i popiołem, aby z nich wykręsać ten ogień, to życie duchowe, to światło, do którego dążył zawsze i wytrwale, w tym samym czasie należał do téj małej liczby pisujących sprawozdania z budzącej się podówczas w bardzo skromnych objawach nowój epoki sztuki krajowej, w czasie owym i sam w godzinach rozrywki rękę przykładał do ołówka i pędzla, praktycznie uprawiając to, co pragnął teoretycznie objaśnić i rozwinąć.

Prawdziwą też miłością sztuk natchnione długoletnie badania, poszukiwania i estetyczne dążności, złożyły się na dzieło:

„*Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej*.“

Co i w jakiej mierze przybyło do skarbnicy wiedzy narodowej za pośrednictwem tych badań i wywodów? oto pytanie, które sobie tu stawiamy, oto teza, którą rozebrać mamy.

Z obsłonek retorycznych, z pośród szeroko rozwiniętych dowodzeń i przytoczeń materiałów starożytnych, wyluskać musimy ziarno zasad, wniosków i ostatecznych wyników badań.

Puśmy myśli nasze drogą, jaką prawdopodobnie przejść musiał umysł autora.

Miłujący matkę syn znalazł się w obec faktów dowodzących, iż poczucie piękna, pojęcie tego, co szlachetne, wzniosłe, doskonałe, jest bardzo głęboko w duszy jój wkorzenione, coż więc prostszego jak, że zapragnął w obyczaju i obliczu praojców poszukać zadatków tego, co się urzeczywistnia lub co o istnieniu swém przedwiekowem wyraźnie świadczy. Idzie tu o uprawnienie owocu prac wiekowych, na które zawisłi bez ustanku czyhają, o prawo własności i spadku moralnego i materialnego po odwiecznych naddziadach, o wszechstronne i w najodleglejszą przeszłość sięgające zastrzeżenie tych praw.

Szeroka podstawa do odszukania faktów znalazła się w badaniach wielu historyków. Podstawę tę geograficzną przypomina autor dochodzeniami i zestawieniami wiadomości o mogiłach i żalnikach, o znajdujących urnach i kościotrupach, wyprowadzając z nich wniosek, że pomniki tego rodzaju trafiają się w Słowiańszczyźnie „na dość zna-

cznój przestrzeni“ (str. 27), a do czego mybyśmy dodali ściślej już określone dalszemi przytoczeniami granice: Łabę, Odrę, Dniestr, i Dźwinę, Bałtyk i Adryatyk.

Duchowy i uczuciowy punkt wyjścia zawarowany tu mamy następującemi słowy: „Historia sztuki jest tylko jedną stronicą powszechnych dziejów myśli ludzkiej.“ Estetyczny zaś pierwiastek sztuki tych epok przedhistorycznych podniesiony i powołany do świadczenia o sobie twierdzeniem, że „gdzie tylko jest myśl odtworzenia piękna pojętego w duszy, już jest zaród sztuki“ (str. 10).

Około téj podstawy jedności geograficznej szerokich ziem słowiańskich, około téj drугiej, że ludy, które miały pewien stopień cywilizacyi, godne są, abyśmy o owocach ich cywilizacyi mówili, i około tej trzeciej, iż objawy najskromniejsze nawet należy brać na uwagę, obraca się cały szereg spostrzeżeń nieraz głębokich, nowych (jak twierdzenie starowiące zasadę książki) a zawsze nacechowanych miłością przedmiotu i bezstronnością prawdziwego historyka.

Co zaś jest téj książki filozoficzną ozdobą i punktem wyjścia najważniejszym, to zasada wygłoszona na str. 10, a zawierająca ni mniej ni więcej, tylko całe wyznanie wiary zupełnie prawie identyczne z główną zasadą filozofa sztuki, wsławionego francuza Taine'a, który pierwszą swą książkę *Philosophie de l'art*, za którą poszły *Philosophie de l'art en Grèce i en Italie* napisał w pięć lat po całkowitem wydrukowaniu *Sztuki u Słowian*.

Zestawmy tu dwa zdania. Kraszewski pisze: *cała sztuka rodzi się z myśli, ducha i na nich spoczywa. Duch ten, gdy ma się cielsko objawić, zależy i od wykształcenia i usposobienia indywidualnego artysty, przez którego dłoń na świat wychodzi, i od charakteru narodowości, której on jest czystką, i od ducha czasu, wśród którego żyć mu dano.*

Po przejściu przez podobne fazy rozumowania Taine dochodzi do wniosku (na str. 13), który tak brzmi: *Nous arrivons donc à poser cette règle, que pour comprendre une oeuvre d'art, un artiste, une groupe d'artistes, il faut se représenter avec exactitude l'état général de l'esprit et des moeurs du temps, auquel ils appartiennent.* Taine słynie jako filozof sztuki, czyż nie większa chluba należy się autorowi *Sztuki u Słowian*, który to zdanie wprzód wygłosił?

Wyżej przytoczone słowa Buszczyńskiego objaśniły nas już, jaką była chwila, w której Kraszewski tak gorliwie i z taką miłością badaniom sztuk pięknych poświęcał

się. Pamiętamy to nareszcie wszyscy, którzyśmy do szczęśliwie dzisiaj krzewiącej się sztuki rękę przykładali, z jak opornym żywiołem społecznym miało się do czynienia, jak tylko miłością sztuki natchniona, przez zapory różnostronne, siłą ramion a raczej serc gorących, dała się falanga przewodników w górę i naprzód. Wszakże ostatnią smutnej pamięci kopią w walce z rzekomą czarną marą arcyzmu złamał w niby ultratradycyjnym i ultra-historycznym artykule Klaczko w r. 1857. Było to wprawdzie ostatnie drukowane wystąpienie odmawiające narodowi polskiemu wszelkich estetycznych uzdolnień plastycznych, ale było, i nie przeszło bez oddźwięku pomiędzy sceptykami.

Był to właśnie rok, w którym po raz pierwszy w Tece Wileńskiej ukazała się część: „Sztuki u Słowian”, jako wstęp: „Ikonotheiki”, dzieła, które miało przedstawiać cały obraz życia sztuki i artystów w Polsce.

Estetyczne usposobienia gwałtem przedzierały się przez tumany, jakimi politykujący teoretycy olśniewali zdumione tłumy, bo oto w tymże samym roku 1857 Towarzystwo Naukowe krakowskie ogłasza konkurs na zadanie: „Jakie są cechy charakterystyczne sztuki w Polsce”. Mowa tu naturalnie była w zadaniu przedewszystkiem o sztuce dawniej, do określenia cech której za mało jeszcze i dzisiaj po 20 latach mamy nagromadzonych materiałów; wspominam tylko o tém dla tego, że to było znamię epoki i że pobudzało w każdym razie umysły poważne i głębokie, w badaniu zamierzane, do zajęcia się przedmiotem, dla wielu zupełnie nowym i jakoby nie znanym.

Pierwszy raz w języku polskim głosiła *Sztuka Słowian* takie zdania np. jak to: że mogiła usypana, jako pomnik, jest dziełem sztuki na równi z piramidą, ponieważ nie została uczyniona z jakowejś potrzeby, ale w celu zaspokojenia potrzeby duchowej. Pierwszy raz też o liniach ornamentacyjnych na starożytnych wyrobach kamiennych, brązowych i żelaznych tak szerokie i wyczerpujące wypowiedziano wywody, jak te, że:

Spiralna linia, jako symbol nieskończoności, wydała *spiralną podwójną*, kolistą, i ozdoby *falowane*, które stanowią cechę charakterystyczną *Epoki brązowej* czyli rozpowszechniających się wyrobów z brązu; że *Epoka żelazna*, odznaczająca się formamijszemi zwojami, splotami i węzłami smokami, jest już najbliższą naszej epoki nowożytnej chrześcijańskiej w Polsce.

Bystry a głęboki umysł, wzbogacony wiadomościami bardzo wszechstronnemi, sięga-

jący po materiał do badań, gdzie się tylko dało, wzmianek dziennikarskich nawet nie pomijał, aby dla wykarmienia teorii swę znaleźć materiał różnorodny.

Poczynając wyszukiwać śladów budownictwa w izbach grobowych z głazów i belek, nie pomija i trwałszych pomników, jak kamienne groty „Urycza” i „Polanickich Bóldów”, aby wrócić znów do gontyn i opisanych obszernie przez kronikarzy ościennych świątyń Słowian nadbałtyckich: Pomorzan, Lutyków i Polan.

Adam Bremeński, Thietmar i Helmold, nienawidzący Słowian a w szczególności Polaków, niemieccy kronikarze, właśnie dla tego godni są wiary, iż raczej ująłby coś z świetności i zalet dzieł sztuki Słowian gotowi byli, niż dodać; na ich też podaniach opiera się Kraszewski, zestawiając bożyszczami pokryte świątynie tych praojców pogańskich z budowlami prawnych, którzy domy rzeźbami figurowemi pokryte w mieście Kazimierzu dolnym nad Wisłą pobudowali.

Dowiodłszy, iż niebrakowało kamiennych i murowanych świątyń na tej starej cywilizacji kwitnącej ziemi, przechodzi do zbadania, jakimi mogły być zamczyska, dwory i chaty w owych wiekach odległych.

I tu bogaty materiał nagromadzony; że nie zupełny, że zatem i wnioski z niego nie wszystkie utrzymać się mogą, to zaprawdę nie może iść na karb winy autora, który nie mógł do uwag swych wciągnąć innego materiału, jak istniejący, którego jest nie wiele, a i tego istniejącego największą ilość sam niewątpliwie zgromadził.

Rzeźba ma swój dział osobny, o którym zwłaszcza Swantewitowi Arkońskiemu, opisanemu przez Saxo-Grammatykę, i drugiemu znalezionemu w Zbruczu obszerne poświęca wywody. O ile wysoko ceni pierwszego, znanego li z kronikarskich opisów, o tyle ostatniego za mierny poczytuje wyrób, a nawet nie bożyszczem, ale przydrożnym tylko zwie go słupem.

Ustępy to wielce ciekawe, w których i malarstwo nie zostało zapomnianem, a to nie tylko, jako idące w pomoc rzeźbie pierwotnej, przez malowanie i zlocenie bożyszczy, ale też jako samodzielnie wyrażające się w malowidłach bożków i bogiń na chorągwiach. Ustęp ten zamknięty jest zdaniem, wyborze określającym tę prastarą epokę sztuki:

„Mylilby się wielce, ktoby tu sztuką w sztuce rozwiniętej całkowicie długą uprawą, właściwą piękności, ale ślepymby był, ktoby nie postrzegł energicznego wydania myśli, środkami w epoce tej stosownemi.”

Jeden z szerokich ustępów zajmuje rozprawa o Babach, których niepewne i nie objaśnione pochodzenie uznaje autor, uważając słusznie ich znaczenie w sztuce za żadne i bez wpływu.

Popielnice i wykopaliska, szczególnie bożyszcza Prylnickie, nie mogły nie zwrócić uwagi piszącego o sztuce u Słowian, chociaż, nie wchodząc w dowodzenie autentyczności tych ostatnich, ze stanowiska czysto tylko artystycznego nad niemi się zastanawia, mniej nad urnami się zatrzymując.

Sprzęty, oręż i ozdoby strojów stanowią ostatnią grupę przedmiotów rozbieranych.

Naczynia znalezione na ziemi Dulebian w kształt głów zwierzęcych wyrobione, są jednym z ciekawych tej części ustępów a przypominają starożytne greckie a nawet egipskie, świadczą więc o znacznym stopniu uobyczajania ludów słowiańskich w czasach bardzo odległych.

Na podstawach też wszystkich wzmiankowanych odkryć oparte jest twierdzenie (na str. 380), iż co do utworów sztuki Słowianin stał na równi z otaczającymi go ludami współczesnymi.

Zakończenie nareszcie w gorących słowach streszcza całe znaczenie naukowe, społeczne i estetyczne pozostałości po zapomnianych stuleciach.

„Z drobnych okrucich i szczątków niedognitych i niedopalonych odbudowywać potrzeba i zgadnąć całą zaginioną epokę. Ale z nich nawet widoczna, że idea piękna budziła się już zawczasu u Słowian, że się wyrazić usiłowała, że ideał jakiś marą i widziadłem snuł się już pod czaszką wieśniaka i wojownika....

„Nad grodami jego powiewają malowane *slanice*, w świątyniach stoją strojne i błyszczące *Slawany* a maleńki bożek z bronzu ulany, wymieniany u kupców zamorskich lub wylepiony w kraju, strzeże kąta tej domowej *Kontyny*, świątyni rodzinnego kraju.

„Ogólnem piętnem tej epoki sztuki słowiańskiej, zwłaszcza w przedstawieniach bóstw, jest obok wyobraźni, pełnej bogactwa a skromnej i trzeźwej, wyraz potęgi i siły raczej, niż wdzięku.“—

Ikonotheka, zbiór notat o sztuce i artystach w Polsce.

Autor w przedmowie oznajmia, iż rozpoczął pracę swą na długo przed *Słownikiem malarzów Rastawieckiego* i przed wyjściem *Wiadomości o sztukach pięknych w Polsce Sobieszczańskiego*, podjąwszy olbrzymią pracę skatalogowania wszystkich, o ile można dzieł i prac artystów, rytowników, rzeźbiar-

zów i budowniczych, bądź Polaków, bądź dla Polski pracujących cudzoziemców. Ztąd poszło, iż stać się miała ta książka monografią zupełną, mieszczącą w sobie wszystko, co nie tylko zewnętrznego pozoru Polski dotyczy, ale co i w jej wewnętrzne sięga życie. W tej już próbie, którą stanowią dwie pierwsze litery niedokończone, mieszczą się grobowce, ambony, ubiory, sposoby wyobrażania śś. Pańskich, uzbrojenia i t. p.

Że zaś tylko początek mamy wydany, to niewątpliwie stało się z powodu niedostatecznego zajęcia, jakie ta praca obudziła, a może i z powodu wydanych w tych czasach dzieł podobnej treści, o których na początku wspomnieliśmy.

Żalować należy, że zamiar tak wyborny nie został przez autora do skutku doprowadzony, plan wprawdzie rozległy pociągający by sobą olbrzymią pracę, byłby to wszakże pomnik godny założenia i autora, przenikniętego we wszystko, co czyni, wyższymi zasadami piękna i prawdy duchowej. Pomiędzy tém *A* poczynającém notaty a *Bellottim* na 96 stronniicy zamieszczonym i kończącym ją, znajdujemy dowody wybornego opracowania przedmiotu. Życiorys Bacciarellego, o którym z Rastawieckiego jednostronne tylko mieć możemy pojęcie, tu krytycznie obrobiony i rozświecony poglądem pełnym trafności. Oto jest zdanie Kraszewskiego o Bacciarellim, na które niezbyt głęboki umysł Rastawieckiego nie mógłby się być zdobyć.

„Bacciarelli jest rysownikiem zręcznym tylko, kolorystą słabym, kompozytorem bez wzniosłości i ognia a malarzem w ogóle więcej odznaczającym się wdziękiem, niż prawdziwą pięknoscią i siłą. Wszystko u niego zamglone, za słabe, wydelfikowane się przedstawia; barwy harmonijne, ale harmonia ta utrzymana kosztem potęgi, kompozycja więcej wyuczona, niż natchniona. Jest to słowem jeduëm artysta z rzędu tych, u których ogromna łatwość w pracy, wprawa i wdzięk, płacą za wszystko.“

Stanowisko swe zastrzega autor wybornie w ocenie działalności budowniczego *Aignera* (str. 8 i 9); miłośnik starożytności i sztuki polskiej, gorący orędownik swojskości, wybucha w obronie jej słowami, w których z pod chłodnego popiołu grzeczności świecą skry oburzenia.

Aigner zrobił był plan takiego przebudowania Sukiennic krakowskich, iż portyki otaczające budowlę zupełnieby jej charakter były zatarty; z tego powodu czytamy w *Ikonothecie* tak sformułowane zdanie o tym budowniczym:

„Nie myślimy bynajmniej uwłaczać zasługom Aiguera, jako architekta, ani wymagać od niego, by inaczej sztukę pojmował, niż ją za jego czasów rozumiano, lecz dodać tu należy, że jego zamilowanie starożytnych, nie mu nad ich dzieł doskonałość widzieć nie dozwalało. Ztąd wszystko, co stawiał, piękne, ale naśladowane i zimne; a budowy te regularne, nie poszlakowanych linii i proporcji, ani uderzają, ani mówią do patrzącego, chyba wspomnieniem nie naszego kraju i czasów.“

Idea, duch, uczucie szczere, nieklamane, prawda w życiu i sztuce, oto zasady na których niewzruszenie stoi Kraszewski. Prosta szczerota bogdajdzikich lub na wpół neywilizowanych ukochać jest w stanie, do serca przycisnąć gotów; wypieszczoną zaś obłudą światową brzydzi się, rzemieślnicze naśladownictwo, pokrywające się płaszczem artyzmu, piętnuje cechą, na jaką zasługuje. Te czyste pojęcia estetyczne przenikają każdy ustęp, każdy zwrot, i sprawiają, że czytając czy to Sztukę u Słowian, czy przeglądając notaty o sztuce i artystach, doznaje się wrażenia, jakie nas napawa, gdy oddychamy czystym a wonnym powietrzem pól i łąk, gdy się rzeźwimy kryniczną wodą górskich źródeł naszych. Szkoda, że *Ikonotheka* zaledwie zaczęta, wszakże tak zaczęta służy jako wzór, jakby ją dalej poprowadzić i dokończyć należało. Tém łatwiej zrobiłby się to dało, że, jak nam wiadomo, dalszy rękopism znajduje się w rękach pp. Kirkora i Bartynowskiego w Krakowie, a katalog dzieł sztuki, znajdujących się w zbiorach Kraszewskiego, ogłoszony w Dreźnie, dalszą pracę wielceby ułatwił.—

Sfinx mieści w sobie założenie, którego dowodzenie stanowi przedmiot dzieła. Cóż to jest ten *Sfinx*? „*Sfinx* to artysta”, czytamy na 148 stronie IV tomu. „Głowa ludzka, to duch wielki, to cząstka bóstwa w piersi jego; ciało bydlęca, to zwierzęcej natury więzy, co nas pętają. Rozwite skrzydła, to zapal, który przecież nie uniesie kamiennego potwora od ziemi obrzydłej. Kamienny, żelazny, nigdy żywy: to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby cywilizacji, ale ręka i umysł ludzki! dla tego zawsze w świetle nie dla świata, pogodź się z nim nie umie i do brze mu być nie może. Artysta potrzebuje podniesionej cywilizacji, szczęśliwego czasu i kraju, a u nas! u nas!...”

W tych kilkunastu wierszach zawiera się wszystko, co Kraszewski o stosunku artysty do świata wypowiedzieć pragnął, i moglibyśmy na przytoczeniu twierdzenia sa-

mego poprzestać, gdyby dowodzenie nie było pełnem myśli i uczuć, rozwijających założenie szeroko i wedle zdania autora wyczerpująco.

Końcowym przytoczonego zdania wykrzyknikiem: *u nas! u nas!*, wskazane jest tło na jakim autor myśli swe i pojęcia umieścić; poznajmyż to tło w przedmiocie sztuki.

„Oczy czytelników naszych otwierać się dopiero poczynają i przecierać zaspane po długim śnie, w ciągu którego czuli zapewne, co piękno, ale dla czego? przez co? nie bardzo widzieli” ¹⁾, mówi autor, a dalej ostrza jeszcze tę definicyą, opowiadając po wystawieniu obrazów: „serce mało nie pękło malarzowi, co przywykł do rzymskiego i florenckiego ludu, bez pojęcia sztuki prawie, bez kultury tak trafnie umiejącego sądzić dzieła artystów, takie nie odwołalne wydającego wyroki, gdy usłyszał sądy i zdania swej rodzinnej publiki.

„Wybrane towarzystwo nasze, niżej daleko stało w uczuciu i pojęciu piękna, w rozumieniu celu malarza, w ocenieniu jego wartości, aniżeli włoscy lazzaroni,“—a dalej mówi bohater powieści „u nas nie godzi się być artystą, jest to samobójstwo“ ²⁾.

Z prawdą żywo pochwyconą z rzeczywistości opowiada, jak „dotykano obrazów palcami, śmiano się, szydzono, prawiono głupstwa i brudy“ ³⁾, jak, malując portret, znosić musiał artysta dziwne sądy, jak „ciemność utrzymywała, że cień pod nosem wyglądał, jak zatabaczenie“ a „jegomość chciał gwałtem jaskrawej sukni i poważnej miny, której wcale nie miał,“ jak nareszcie cały dwór i czeladź zwolowano na sądy, i parobcy, dziewczki z praczkami przypuszczeni byli do wyrokowania o podobieństwie i piękności obrazów ⁴⁾. A nie ma w tém przesady ani na jeden włos, sam w życiu swém miałem zdarzenie, zaszło prawie w 20 lat po napisaniu *Sfinxa* w Warszawie, zupełnie podobnego rodzaju ⁵⁾.

¹⁾ Przedmowa do tomu III, str. IV.

²⁾ Tom III str. 21 i 22.

³⁾ Tom III str. 26.

⁴⁾ Tom II str. 53.

⁵⁾ Bardzo możny obywatel z kutnowskiego, gdy malarz portret jego matki, wezwał na sąd kucharkę niemkę, uważaną dla tego zapewne za rozumną, że była niemką, a ponieważ malowidło było śmiało nakładane, poszedł za jej zdaniem, iż jest *geschnürt*, bo, dotykając palcami, czuć było chropowatość prążek od pędzla i ani odpowiedź moja, że malowanie nie jest dla zmysłu dotykania, tylko patrzenia, nie mogła zacnego zkądinną i niby wykształconego, światową ogładą zalecającego się a poważnego obywatela przekonać, skoro kucharka niemka swój sąd wyrzekła.

Nie dość na tém, trzeba jeszcze „zapomnieć, że się jest wielkim artystą, szukać, jaką Bóg da, robotę i poddać wymaganiom choć głupszych od nas amatorów. Trzeba się poznać i porobić stosunki w mieście, odwiedzić kolegów malarzy, chociażby to byli bazgracze i niepocziwi szczekacze, co drą twą sławę za oczyma, trzeba im podkadzić, pójść z uszanowaniem do wyższych, mogących ci dopomódz, pokłonić się duchownym, urzędnikom itd. itd.“ Słowem, brzmi dalej rada praktycznego przyjaciela, „sztuka, jak skoro się chce zmieszać z praktycznym życiem i ma mu służyć za podstawę, musi się unizyć i sprofanować, musi się przedzierzgnąć w służebnicę¹⁾, artysta napróżno usiłuje walczyć z niedostatkami, tym trądem, który pożera prawie każdego artystę, prawie każdego poetę, nie mającego wprzód losem obmyślanego kawałka chleba powszedniego“²⁾.

„Sztuka bowiem zawsze zawodzi, ilekroć chcemy jej użyć jako środka do polepszenia bytu materialnego. Nie jej to przeznaczeniem. W szczęśliwych okolicznościach, po długich bojach w krajach, gdzie częściej arcydzieł stała się powszechną, łatwiej mieć chleb przy sławie; u nas to prawie niewidziany fenomen..... Najdroższą ofiarą, myśli amputacją, zaparciem natchnienia, kupuje się pieniądź, chleb“³⁾.

Ostatecznie poniżającem zawód artysty jest wyrażenie, jakie autor kładzie w usta wojewodzica: „o ja lubię artystów! to: lubię wyrzeczone było, jakby:” „lubię pieszka!“⁴⁾.

Aby obraz stosunków społecznych, w jakich artysta i sztuka w kraju naszym znajdowały się w czasach, w które autor powieść swą przenosi, a w jakich i do chwili obecnej pod niejednym względem znajduje się, należałoby tu wspomnieć jeszcze o teoryach, wyznawanych przez partacza Szyrkę i o klasztorach, w których jeszcze przechowywały się szczątki pojęć czystych o błogosławieństwie pokoju duchowego i zdobytym panowaniem nad myślami i uczuciami, wyrzyskującymi się do żywota w zamięszeniu napelniającym codzienne życie światowe.

Takich Szyrków mamy jeszcze i dzisiaj pomiędzy sobą, używających niepośledniej nawet sławy, którzy nie przez bezwiedne partactwo, niemające innych dróg tworzenia, ale z całą samowiedzą, ale przez udaną pokorę, a w rzeczy celem wygodzenia słodkiemu

lenistwu, mają czoło za grube pieniądze produkować wrzekomo oryginalne obrazy z rycin, powiększając je tylko. Walka, jaką toczył w Sfinxie Jan z Szyrkami, toczy się i toczyć pewno będzie zawsze z hipokryzą, z partactwem, pokrywającym się płaszczem faryzeuszowskiej pokory lub szarlatańskiego zuchwalstwa.

Ze zresztą czasy bardzo niedawne jeszcze były dla sztuki takimi, jakimi je w Sfinxie znajdujemy, na to dowodów nie brak: uważano jeszcze wówczas za najwyższy prawie szczyt doskonałości w sztuce „szytych“, a wszakże i dzisiaj nieraz artysta może się spotkać z zapytaniem, czy to, co maluje, wykonywa podług szytych jakiego? Są dzisiaj jeszcze ludzie, którym się to w głowie pomieścić nie może, aby pomysł obrazowy można z myśli własnej wysnuć, mniemają, iż owe straganowe ryciny są skarbnicą artysty, nie pytając, z kąd się te ryciny wzięły, nie wpadając na źródło ich właśnie w myśli człowieka, w jego pojęciu, w idei.

Tłem więc tego obrazu historii współczesnej sztuki, jest wybornie skreślony stan społeczny i obyczajowy kraju.

Nie przebaczył Kraszewski i cudzoziemcowi, który złe nasiona sztuki po kraju rozsiewał; oto, co uczniowie Bacciarellego mówią o kierunku, jaki w pracowni tego mistrza panował: „Może, napatrzawszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którym celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinię, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłumaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zrzędną machiną“¹⁾, reszta zdania zupełnie jest zgodna z wyrażonym w Ikonothece o Bacciarellim sądem.

Za to dobrym geniuszem powieści jest inny ubogi Włoch Batrani, w rzeczach sztuki dotyczących doświadczony, siejący dobry posiew na tę obcą mu ziemię; duch poświęcenia wieje z słów jego. „Jest to jednym z warunków życia artysty, mówi, być zapoznanym i umęczonym głupstwem ludzi. Trzeba umieć być wyższym nad to. Niedosłusznie ci, że czujesz piękno i czujesz je w duszy?“ a godzi idąc z chlebem powszednim w słowach: „wszak Bóg stworzył żaby i węże, aby niemi zapełnić wody i kaluże, mocesz i ty, zlepku Jego, tworzyć, co ci każą, na zapełnienie żądań, które są, jak kaluże i bagniska“²⁾. „Była to jedna

¹⁾ Tom IV str. 11 i 12.

²⁾ Tom IV str. 81.

³⁾ Tom IV str. 82.

⁴⁾ Tom II str. 72.

¹⁾ Tom II str. 109.

²⁾ Tom I 216 str.

z rzadkich dusz wzniosłych, co pojmują uwielbienie i cześć, jako skrzydła zbliżające nas ku wielkiemu, co widzą wszędzie ślady rozłuczonego piękna, nie rozumiejąc krytyki, nauki braków i niedostatków, lub zostawiając ją tylko na użytek dla dzieł własnych; jedna z tych dusz które męczennicami przechodzą przez świat wzgardzone, pocieszając się słodkimi wrażeniami, jakie daje kontemplacja *wielkości i piękna*¹⁾. W ustach tegoż Batraniego znajdujemy cały szereg dalszych pojęć autora o stanowisku sztuki. „Ona jest kapłaństwem... jest jak wiara (na mniejszy rozmiar), sama płaci sobą... Sztuka jedna nieskończona i bezdenna, sytości nie ma na dnie czary, bo dna nie ujrzysz nigdy“²⁾.

Jeżeli tedy u Szyrki Jan znalazł początki nauki, przypadkiem na skrzynię z zaniedbanymi księgami natrafiwszy, u Batraniego nabył przekonania o potrzebie wyższej nauki, nabył wiary w posłannictwo artysty.

Z ust tegoż samego dzielnego Batraniego dowiadujemy się całej teorii wszystkich zasad autora, odnoszących się do malarstwa, w odpowiedzi na pytanie: „cóż bowiem jest sztuka? co artysta?“ „Sztuka nie jest głupim malpowaniem natury i prozaicznym tłumaczeniem myśli, ale tworzeniem ideałów, ale spotęgowaniem życia ziemi i wszystkiego, co ono wyraża. Natura widoma jest tylko objawem myśli niewidomej, a malarz winien wiedzieć znaczenie wszystkiego, co widzi, aby użył go jako znaków, jako środków ku wydaniu swojej myśli. Co natura myśli i objawia wyrwykowo, nie kompletnie, to składa artysta na rysy obrazu swój myśli: myśli znającej siebie, pełnej i wielkiej. Nie ma malarstwa, nie ma sztuki bez prawdy idealnej, jak nie ma ich też bez prawdy realnej, będącej wyrazem pierwszej. Artysta nie jest, nie powinien być rzemieślnikiem, malującym twarze, drzewa i przedmioty pewne, mniej więcej prawdziwie i dokładnie, ale poetą, co myśli wielką uczutą, pojętą i wyrwykującą się, na świat puszcza nastrojoną we wszystko, co jej dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykającą uczynił. Bez tego twórczego ognia, co unosi mistrzów, co uświęca i oczyszcza sztukę, co ją dzieli od rzemiosła, nie ma obojga, bez niego zostaje robota bezduszna i bezduszny robotnik“³⁾. Gdzieindziej mówi autor: „Mechanizmu głupcy za-

wsze najlepiej nabyć mogą“⁴⁾, indziej z ust zakonnika słyszymy: „nie jest to rzecz trudna schwycić podobieństwo (w portrecie), większa daleko myśl swoją wyrazić“⁵⁾. Myśli tego kroju, jak następująca: „sztuka jest jednym z języków duszy, naśladowanie natury narzędziem tylko“⁶⁾, rozrzucone są wszędzie. „W niebie są wzory pierwotne, w duchu i myśli ideały nasze być powinny, a bez ekstazy i zapалу nie ma twórczenia. Ideały linii, ideały kolorytu, ideał wyrazu, ideał całości, wszystko powinno wystrzelić za rzutem jednym,—z głębi myśli, z łona artysty ogrzanego zapalem“⁴⁾. Zdanie idealnego Batraniego toż o Platonie: „Plato, stary, boski Plato *nazwał piękno blaskiem prawdy* i kazał tworzącemu dzieło zapatrywać się na wzór idealny.

„Po Platonie wieki czekać potrzeba było, aby tożsamo powtórzono“⁵⁾. Nareszcie znajdujemy i myśli Jana. Rzecz można, że cały świat podbić wprzódzie sobie musi, kto świat ten ma odtwarzać.

„Nic mu tajnego, nic mu obcego być nie powinno. I rzeczy łupina — forma, i ten duch wewnętrzny, co formie *wyraz* nadaje, i blaski powierzchowne i jasności wewnętrzne, życie we wszystkich swych objawach, począwszy od znikomych światel, do ogromnych potworów, człowiek fizyczny i duchowy, dzieje jego, twarz, jaką mu nadaje klimat, ród, obyczaje, cywilizacja, indywidualność, charakter, wszystko zbadać i poznać musi malarz. Dla niego wielką całego żywota zagadką: związek ciała i ducha, przyczyny i objawu i formy i myśli; czy się czytać hieroglify odwieczne i pisać niemi tak, aby zrozumiany został. Musi myśleć, jak filozof, a tworzyć, jak natura; każdy twór jego długo dumany, a szybko wcielony być powinien. Dwie prawdy: prawda prozy do oczów gminu stworzona, i prawda idealna, muszą w nim walczyć i równoważyć się z sobą.

„Dlatego pewnie wielcy mistrze dawni, nie tylko malarzami byli, ale, jak nieśmiertelny Leonardo, twórca *wieczery*, uczonymi“⁶⁾.

Autor, wyraziwszy się w przedmowie do tomu trzeciego, iż tak mało jest „na całym bożym świecie dział w przedmiocie sztuki“, pragnął w tej powieści zawrzeć wszystkie najważniejsze podstawy teoretyczne, rozja-

¹⁾ Tom II str. 24.

²⁾ Tom II str. 21.

³⁾ Tom I str. 234, 245.

⁴⁾ Tom I str. 175.

⁵⁾ Tom II „ 50.

⁶⁾ Tom III „ IV wstępu.

⁴⁾ Tom I „ 230.

⁵⁾ Tom I „ 237.

⁶⁾ Tom I „ 241, 242.

śniącające wzajemny do siebie stosunek kraju danego artysty i sztuki, jako idei wcielającej się za pośrednictwem wybranych a obdarzonych zdolnościami szczególnymi osobników. Jakoż istotnie w tém, co dotąd przytoczyliśmy, stan społeczeństwa krajowego, jako tło, i ideał artysty, jako działacza na tém tle, mamy teoretycznie objaśnione. Widzieliśmy także, jak pośrednio przez cudzoziemców posiew sztuki rzucony był na niwę krajową, teraz posłuchajmy jeszcze, jakie jest zdanie Kraszewskiego co do ostatniego odrodzenia malarstwa w XVIII wieku, i jak streszcza tę chwilę stanu sztuki we Włoszech a zwłaszcza w Rzymie pod koniec zeszłego a na początku bieżącego stulecia, w której bohatera powieści w wiecznym mieście napotykamy. „Już gladiator umierający (rzeźba rzymska z czasów Cezarów) jest jakoby przeczcuciem sztuki chrześcijańskiej, sztuki myśli i wyrazu, sztuki ducha ¹⁾, *wyraz* jest celem nowym odrodzonej sztuki. Grecka sztuka szukała linii tylko pięknej do wydania swój myśli, idealizowała ciało i jego kształty—nic więcej. Nowa, nie wyrzekając się formy, posługując się linią, przebija kształt powierzchowny i wyprowadza na wierzch duszę, myśl, jedném słowem *wyraz*. *Wyraz* oznacza, że nowa sztuka przemówiła, że otworzyła usta, stara była piękną, ale niemą.“ ²⁾.

Te czyste pojęcia, głoszone dzisiaj przez estetyków pod wszelką postacią, w chwili, kiedy je Kraszewski wyznał, były zupełną nowością, współczesnymi z nim były inne, a te opowiada, wprowadzając swego Jana do Rzymu.

„Była to chwila, mówi, najfajszych pojęć o sztuce, młodzież biegła malować, nie myśleć i uczyć się do Rzymu, łapała piękne lub tylko uderzające wzory po ulicach, myśli do obrazów, widoki ruin tysiąckroć rysowane, ścisłała piękne rzymianki, wesośliła się chwilą swobody, chwilą młodości, ale nie głęboko wtajemniczała się w zamknięte dla niej tajniki sztuki“ ³⁾.

Sztuka była piękną linią, pojmowaną najdziwniej poziomo i bez zapachu.

Myśl uciekła z tego nągiego szkieletu, który napróżno silono się ożywić sztucznie, ubarwić, upstrzyć i uczynić wdzięcznym dla oka.

Nie takim był Jan, on „godziny całemi siedział u *posągów i obrazów*“ aby myśl twórcy przeczytać ¹⁾. „Po długich godzinach wpatrywania się w dzieła, świtała z niego zakryta wprzód myśl powolnie, aż otoczyła pierwaj mglisty twór blaski swemi. Jaśniał mu on, czytał jego znaczenie, jego dzielność pojmował; pochyłał głowę, czuł w duszy, iż mu nowy zmysł przybył, nowe uczucie w sercu. Słowo jednej zagadki rozwiązywało krocie drugich“ ²⁾.

Więc do wszystkich wybornych pojęć o sztuce i zasad wyrażonych w *Sfinxie*, dodaje Kraszewski jeszcze postrzeżenia, dotyczące badania arcydzieł sztuki metodą powolnego a głębokiego wnikania w to, co jest istotnie głębokie a płytkim poglądem ująć się nie da. Jakimże osobiście był ten Jan artysta? czy przymioty jego były tego rodzaju, że mogły i powinny mu być zapewnić szczęście? zaraz się dowiemy. Przedewszystkiem, było to „piękne chłopię“, „wrażliwe“, pełne zapału do pracy, a miłości dla matki a później i żony, o których bezustanną radby mieć pieczę.

W chwili śmierci matki ukochanej wykrzykuje: „Nie lepijże było zostać i uprawiać zagon (zamiast bawić za granicą). O! dla sztuki, jak dla wiary, czyż wszystkiego się zaprzęć, wszystko spalić na ofiarę?“ ³⁾, a w innej chwili gdy mu Igusia, której miłość wyznaje, odradza, aby się nie żenił, utrzymując, iż „żona zabija artystę, że on cały winien sobie sztuce“ odpowiada Jan: „O! stokroć lepiej sztuki się zaprzęć, niż szczęścia.“ A następnie niesłychanie boleje nad tém, że obowiązkom rodzinnym zadość uczynić nie jest w stanie.

Zdaje się, iż autor umyślnie oblókł bohatera w charakter miękki, dumny a nie-radny, aby wydobyć z powieści tę ostateczną konkluzję, iż kapłaństwo w sztuce, aby było zupełnem, powinno się usadowić w skromnych murach klasztoru, w odosobnieniu od wiru światowego, zwłaszcza w kraju, który niedoszedł jeszcze do tego, aby umiał i mógł cenić sztukę i artystów tak, jakby należało, jak to gdzieindziej się zdarza.

Uwolnićby autora od zarzutu, z góry powyższego zamiaru doprowadzenia Jana do celi klasztornej, mogło to, iż zamieścił obok niego rzeźbiarza Mamonicza o bardzo silnym męzkim charakterze, — który jednak niepoznany, pracą ciężką na kawałek chleba powszedniego przybity do ziemi, nie mógł

¹⁾ Tom III str. 152.

²⁾ Tom III „ 153.

³⁾ Tom III „ 137. 138.

¹⁾ Tom III str. 136.

²⁾ Tom III „ 137.

³⁾ Tom III „ 9.

mimo zdolności i żelaznej pracy wydobyć się na szersze pole działania i uznania się dobić. Wszakże o natężeniu zdolności Mamonicza i o jego stopniu wyrobienia artystycznego bardzo mało wiemy, zatem nie możemy wniosków stawiać ani za, ani przeciw zbyt niedostatecznemu uznaniu jego.

Jakże nakoniec uważać mamy ową klauzurę w sztuce, czy za konieczną, czy jak w Sfinxie, za losowo szczęśliwie rozwiązującą wszystkie trudności położenia?

Jan sam, czyli inaczej, autor powieści, nie jest najwyraźniej za bezwarunkowem zamknięciem sztuki do klasztoru, mówi bowiem, że „artyście potrzeba współczucia, poklasku, zachęty.“¹⁾

Z tych trojga na pierwsze mógłby w klasztorze liczyć, na ostatnie poniekąd, na drugie ani jego ani braci zakonnych pokora nie pozwalałaby.

Dalej autor określa dosadnie te drogi zachęty i zniechęcenia przykładami z historii sztuki zaczerpniętymi, lub też prosto z życia, powiedzmy to otwarcie, z życia tego społeczeństwa naszego, do którego też rozpaczliwy podwójny zastosował wykrzyknik „u nas, u nas!...“ i z życia sztuki. Pierwszy brzmi: czyżby Rafael stworzył kiedy swe loggie i freski, gdyby go następca ś. Piotra nie pokrył płaszczem swoim? Byłżeby Michał Anioł rzucił swą śmiałą kopułę na najwspanialszy chrześcijaństwa kościół, *gdyby* nędza i zapomnienie marzyć nawet o tém dziele nie pozwalały?..... Drugi smutno dźwięczy: „wyobraź sobie, że pierwsze dzieło artysty przypada w chwili jakiego silnego zajęcia, jakiej nienwagi spowodowanej wypadkami i odepchniętym zostaje zimno. On się zrażony zaprzęga do roboty mechanicznej, traci siłę, zapala i gaśnie. Wieluż takich nieznanym upadło geniuszów!“²⁾

Jeżeli więc artysta, bohater Sfinxa, z jednej strony nie satym chlebem żyjąc, ale i dobrém słowem ludzkim, bez uznania światowego obejść się nie mógł, z drugiej zaś strony, chociażby miał uznanie czyli pokarm duchowy a nie miał bytu materialnego zapewnionego, także ostać się nie mógł i schronić się musiał do celi klasztornej, aby tam i spokój duchowy i bezpieczeństwo bytu znaleźć, czyż za tém idzie, że w ogóle tylko w klasztorze sztuka kwitnąć może? czy tego pragnął dowieść autor?

Religijna sztuka, jaką Kraszewski wyłacznie miał na myśli, istotnie najwłaściwiejby tam siedzibę obrać mogła, chociaż nie powiem, powinna. Wszakże ani Rafael ani Buonarrotti ani Leonardo da Vinci do klasztornego życia nie byli się zamknęli, chociaż rodzinnego nieprawdą. Za to znajdujemy przykład rodzinnego u innych wielce religijnych mistrzów, jak u Perugina, Andrea del Sarto, Titiana Vecellego, Cimabue i Giotto.

O historycznym malarstwie mówić tu nie chcemy, nie było bowiem przez autora poruszone.

Gdy więc o społeczną stronę Sfinxa moglibyśmy z autorem się posprzeczać, to bezsporną a wielką tój książki wartość stanowią teoretyczne o sztuce w ogólności, a o malarstwie w szczególności, pojęcia, o flicie rozrzucone po całym dziele. Wypisaliśmy tu z nich najważniejsze i ułożyli w całość, o ile się dało, systematyczną, wiele jednak więcej zostaje ich w samej książce i lepiej pomieszczonych, bo w ramach stosownej opowieści.

Pragnęliśmy tą drogą dojść do uczyńnienia z rozbioru Sztuki u Słowian, Ikonotheiki i Sfinxa, że ją tak nazwę, treściwój *artium prudentiam* Kraszewskiego, czyli zgromadziwszy perły myśli i uczuć jego z tego zakresu, nanizaliśmy na nią dobrą woli, która niechaj nam będzie tarczą i osłoną od zarzutów, jakieby tę skromną pracę spotkać mogły.

Sfinx był wielkim dzwonem, nawołującym do czci piękna plastycznego, bo w powieści, której głos rozchodzi się najłatwiej i najdalej, autor wypowiedział to, czego za pośrednictwem „Sztuki u Słowian“ i „Ikonotheiki“, chociaż były same przez się wybornymi dziełami naukowymi, roznieść po świecie nie tak łatwo było.

Czyż na tém tylko zadzwonieniu w wielki dzwon ograniczyło się usiłowanie Kraszewskiego rozbudzenia w innych tego umiłowania piękna, jakim sam oddychał? Zobaczmy, że więcej nad to uczynił, że był wszechstronnie w sprawę sztuki wrobiony i wtajemniczony.

Jednocześnie z pracą nad powyższymi wzmiankowanymi dziełami pisywał rozbiory dzieł sztuki, z jakimi po świecie spotykał się a z szczególnym zamiłowaniem rozwodził się nad objawami budzącej się sztuki krajowej. Gierdziejowski, Szermentowski, Piłatti Henryk, jego uznaniem i moralnym poparciem cieszyli się.—

Kartki z podróży. Na żyzną a dobrze uprawioną glebę rzucone ziarno wydaje plon

¹⁾ Tom III str. 36.

²⁾ Tom III „ 36—37.

stokrotny. Taki plon odniosła literatura polska z podróży Kraszewskiego poza granicami kraju, które się stały owem plenieniem ziarnem. Umysł wytrawny, pojęcia estetyczne wyrobione, nastrój poetyczny i dramatyczny, skrytalizowały wrażenie podróżnika w dzieła treści historycznej, obyczajowej i estetycznej. *Caprea i Roma, Rzym za Nerona i Kartki z podróży*, oto owoce trzechletniej wędrówki, z której ostatnia z tych dzieł stanowi jakoby dziennik podróży dla siebie i swoich tylko opisywany i notowany, a jednak zajmujący i pouczający dla wszystkich.

Charakter poufalitych pamiętnikowych zwierzeń pozostał przeważnie w humorystycznie skreślonym stosunku Kraszewskiego do towarzyszy przezwanych *Julmem i Klemrodem*. Pseudonimy te są przeróbką początku imion i nazwisk.

Bystrość postrzegawcza autora tylu powieści, przedstawia w bardzo ożywionych barwach osobistości ukryte pod pseudonimami, wybornie nam znane a po mistrzowsku z fotograficzną dokładnością słowem oddane.

Poważną stronę *Kartek* stanowią dzieje sztuki, poprzedzone opisem historycznym każdej miejscowości ważniejszej, każdego ogniska, które w wiekach odrodzenia ważniejszy jakiś wpływ na rozwój plastyki wywarło. Sąd tu znajdujemy wytrawny, na dobrych estetycznych zasadach oparty, tak iż książkę tę radziłyśmy widzieć nie tylko w rękach, ale w bibliotekach wszystkich, którzy sztukom plastycznym czas poświęcać lubią. Znajdujemy w tym sądzie o wiekach odrodzenia malarstwa to, co w Sfinxie stanowi założenie powieściowo rozwinięte: że sztuka religijna tylko pod osłoną ciszy klasztornej i przez ręce takich bogobojnych mnichów, jakim był Beato Angelico, może być godnie uprawiana. Jest to pogląd, z którym w zupełności nie godzimy się

zwłaszcza, iż, posunięty do czynnego zastosowania, doprowadził był w swoim czasie, w pierwszej połowie tego stulecia, do utworzenia naśladowniczego kierunku, zwanego prae-rafaelistowskim—kierunku szkodliwego przez samą już dążność naśladowniczą. Wszakże pośród tylu innych wybornych a wysokich poglądów ten małą gra rolę, a *Kartki* stanowią całość zajmującą i nauczającą.

Chwile odpoczynku od badań, które wydały Caprę i Nerona, chwile umiłowanego zajęcia się sztukami pięknymi, wzbogaciły literaturę temi nauczającemi kartkami, których ilustracye dobrze dobrane dają malowniczy pogląd na drogę od Krakowa przez Wiedeń, Wenecją, Florencję, Rzym, Neapol aż do Paryża.

Sam też Kraszewski rysował, malował olejno, aquarelle, a nawet rytował na blasze miedzianej.

Olejne krajobrazy, które lat temu z dzieł sięgających były pomieszczone na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, obecnie znajdują się w zbiorach Świdzińskiego,—aquarella, przedstawiająca las sosnowy na piaszczystym wzgórku, zdobi jeden z prywatnych zbiorów Warszawskich, a do albumu widoków Romanowskich litografowanego przez Juliana Ceglińskiego, rysunki wszystkie były ręki Kraszewskiego.

Zamykam ten rzut oka kilku słowami wyjętymi z przedmowy do albumu. „Przyznać się muszę do tego grzechu, że od młodości lubiłem zawsze sztukę.“

Od młodości więc, aż do wieku sędziwego wytrwał ten rycerz ducha na stanowisku, na straży piękna i dobra, zawsze okiem jego zapatrzonej w idee i ideały, trzyma on na wodzy umysły i serca narodu swego, trzyma ukochaniem samem wszystkim, co podniosło, co oczyszcza, co oświeca i ogrzewa.

Wojciech Gerson.

II.

Projekt Encyklopedyi Starożytności Polskich J. I. Kraszewskiego.

W obrazie działalności literackiej J. I. Kraszewskiego w tylu różnorodnych kierunkach, nie może być pominiętą praca, dająca miarę troskliwości jego, około Starożytności narodowych, których celem

wierne malowidło ludzi i kraju z odległych wieków.

Akademia Umiejętności w Krakowie, biorąc się do badań przeszłości dziejowej, nie mogła ich pominąć, gdyż są dopełnieniem

życia społeczności polskiej w ubiegłych stuleciach.

Wydział archeologii zgromadził już bogaty materiał do najstarożytniejszej epoki, bo czasów pogańskich i pierwszego okiesu chrześcijaństwa, nie tylko w zebranych wiadomościach piśmiennych, ale i w samych zabytkach, które czas oszczędził i przechował.

Muzeum Archeologiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, zebrane i wzbogacone staraniem i zabiegliwością profesora Dr. Józefa Łepkowskiego, oraz Muzeum samej Akademii, przechowują te cenne pamiątki. W ostatniem, kamienny czterogłowy *Sar-towid*, wydobyty z wodnych toni *Zbruczu*, stoi, jak niegdyś stał, na ołtarzu, będąc przed X-ciu wiekami celem czci, wonnych kadzideł i pokłonów, a dziś podziwu, dla tysiącletniego przetrzymania czasu!

W badaniach dziejów i kolei, jakie kraj przechodził w tych dziesięciu stuleciach pod względem politycznym i duchowym, postąpiliśmy daleko; ale pod względem życia domowego i właściwych starożytności, zaledwie pierwsze postawiliśmy kroki, chociaż każdy głębiej patrzący, przyznać musi, że bez dokładnych badań nad życiem wewnętrznem narodów, same dzieje dają szkielet, nie stan zdrowy, czerstwy i zupełny wizerunek.

Komisya Archeologiczna, a głównie jej przewodniczący Dr. J. Łepkowski, powziął myśl wydania słownika Starożytności Polskich; J. I. Kraszewski przyjął mozołną na siebie pracę, skreślenia projektu Encyklopedyi Starożytności w roku 1874. W krótkim przeciągu czasu ułożył swój program, który wydział jednomyślnie przyjął, wydrukował w *Sprawozdaniach Akademii* i w oddzielnych nawet odbiciach miłośnikom przeszłości narodowej rozesał.

Praca ta, aczkolwiek szczupłych rozmiarów, wykazuje z nowej strony J. I. Kraszewskiego, jako poważnego znawcę na polu badań starożytności polskich.

Zabierając się bowiem do streszczenia programu Słownika Archeologicznego, w tych rozmiarach, jaki nam J. I. Kraszewski wskazuje, potrzeba znać gruntownie cały przedmiot, ażeby go obiać i zastosować do zamierzonego celu. Tę gruntowność, tę wiedzę obszerną znajdujemy właśnie w pomienionym *programie*, i z tego powodu zatrzymać musimy nad nim uwagę naszych czytelników.

„Czujemy to wszyscy (pisze we wstępie autor), że żyjemy w epoce przejścia i przełomu, gdy prąd nowych idei rozrywa nici,

wiążące nas z przeszłością, zagrzebuje tradycją, ściera pamiątki. Jesteśmy téż, sądzę, wszyscy tego przekonania, iż prawdziwy a zdrowy postęp i pochód ku nowemu życiu, tylko na podstawach starego może się rozwijać zgodnie z naturą ducha narodowego. Łupina przeszłości, praca wieków dziesięciu, nie może i nie powinna spełznąć marnie. Do nas, cośmy jeszcze żywej przeszłości z ust ojców zaczerpnęli, należy szczątki jej przekazać następcom.“

Któż zaprzeczy prawdy i uznania tym pięknym słowom, téj klasycznej myśli, która powinna być dla nas hasłem i wskazówką dążącym na drodze życia do postępu?

Co do czasu, jakiby objać należało pod badanie, J. I. Kraszewski oznacza ostateczny kres: początek naszego stulecia.

Prawdę tę potwierdzają wszyscy, co zapamiętali pierwsze lata naszego stulecia. Jak chłopiec nasz upornie zatrzymał swój zwyczaj i obyczaj, tak i ziemiańska szlachta, zamieszkała po dworach wiejskich i *zaściankach* swoich, z troskliwością zachowywała je, wraz ze starą tradycją. Ziemia nin polski, rolę po ojcach uprawiający, był wiernym wizerunkiem szlachcica téż sfery z okresu panowania Wazów i Jana Sobieskiego; bo wpływu nań żadnego nie miały miasta, od których stron i tylko na odpusty, jarmarki i sejmiki do nich zagładał.

Starożytna Polska stała jako węzeł pomiędzy wschodem a Zachodem, tu zlewały się wpływy obojga, tu się jednoczyły dwa prądy, tu się przetrwał i urabiał materiał orientalny z zachodnim.

Starożytności nasze, ażeby jasno i w świetle prawdziwem przedstawione być mogły, potrzebują z jednej strony dokładnej znajomości wschodnich i grecko-ruskich, z drugiej zachodnio-germańskich; mamy z obu temi światami wiele wspólnego, lecz i wiele od nich różnego, bo jesteśmy niby bronzem, zlanym z dwu kruszców, mającym barwę i własności sobie właściwe.

Wpływ Wschodu coraz silniejszy rozpoczyna się w XIV wieku, wraz z upadkiem Konstantynopola; germańsko-zachodni, sięga daleko wyżej, bo za pierwsze wieki chrześcijaństwa.

Ztąd nasz autor, spoglądając z wyższego stanowiska, zgodnie z prawdą pisze:

„Starożytności nasze, nie obejdują się bez potrącenia o słowiańskie i germańskie, dla wykazania zarówno pokrewieństwa i różnicy. Prace poprzednich badaczy na tém polu, grzeszyły po większej części tém, iż objawy polskiego życia, brały odrębnie, jako feno-

mena odosobnione i bez związku z historią cywilizacji europejskiej. Ztąd fałszywie ich rosły pojęcia i wykłady naciągane.“

Jako formę do objaśnienia starożytności polskich, wydział archeologiczny Akademii Umiejętności w Krakowie przyjął *Słownik*, J. I. Kraszewski formę zaś *Encyklopedyi*.

Na pozór rzecz mała, ale w gruncie wielką różnicę stanowi. Słownik objaśniający krótko wyrazy, dostatecznie nie odpowiadając swemu zadaniu, gdy w encyklopedyi szersze ramy pozwalają rzecz każdą więcej monograficznie traktować, i nie tylko pozornie określić, ale do dna zgłębić i wyczerpać. A takich przedmiotów w starożytnościach setkami liczyć można.

Lubo i to przyznać należy, że żadna Encyklopedia, chociażby najobszerniejsza, jak *Erscha* i *Grubera*, nie zastąpi źródeł pierwotnych, tych zaś wskazówka korzystniejszą jest dla czytelników, niż najtroskliwsze obrobienie wedle pomysłu własnego.

Stawić sobie pytanie należy, co pod mianem *Starożytności* rozumieć wypada? *Starożytności* głównie obejmować powinny to, co się zowie historią *kultury* narodu, więc jego życie powszednie i publiczne, obyczaj religijny i świecki, — wszystko, co właściwość narodu stanowi, poczynając od jadła i stroju, aż do uroczystości i obrzędów nacechowanych odrębnie; plastyczną stronę życia, świadectwo, jakie daje praca ludzka o przeszłości: skromne na pozór, lecz najpewniejsze kryterium.

Wyłączysz więc właściwą historią kraju — wszystko, co z życiem jest w związku, co je wyjaśnia i tłumaczy, do *Starożytności* należy.

Jaki kres naznaczyć początku pod względem chronologicznym, dotychczas niepewność między badaczami. Czy rozpoczynać od epoki Chrześcijańskiej, czy sięgnąć aż do czasów przedhistorycznych? Kraszewski przechyla się do wniosku ostatniego.

„Byłoby, pisze zda mi się, często trudnym rozgraniczenie, a niełatwem pojęcie *Starożytności* późniejszych, gdybyśmy pierwszą epokę wyłączyli. Zająć więc należy najprzód ten okres nierozjaśniony pomników pierwotnego bytu, który dziś jeszcze przedmiotowo tylko jest opisywanym i jako materiał dla badań przyszłych pojętym być może.“

W tym celu doradza ułożenie mapy archeologicznej, która wskazuje ważniejsze wykopaliska: ta wykazywałaby osiedliny w wiekach przedchrześcijańskich rozmaitych pokoleń na ziemi naszej przemieszkujących.

My dodajemy: przesuując nasze badania w późniejsze wieki, pragnęlibyśmy podobnych map, ze wskazówkami chronologicznymi fundacji kościołów, wznoszenia zamków, zakładania miast, warowni, jako też istnienia wiosek na obszarach polskiej ziemi. Wtedy dopiero wiek za wiekiem postępując, mielibyśmy obraz dokładny stanu Polski pod względem zamożności i gospodarstwa, siły odpornej w powznoszonych warowniach i zamkach, oraz pomyślności krajowej w liczbie kościołów, wiosek, a tém samém dworów, ziemian i ludności większej lub mniejszej.

Rzucając tę myśl, mamy na baczeniu treściwy obraz każdego stulecia z upłynionej przeszłości, którego ani *Słownik* ani *encyklopedia* starożytności nie dadzą, gdy całość, jak w pierwszym, tak w drugim, na drobne pokruszy się ułamki.

Nie możemy dzielić przekonania autora, że „rozpierzchłego materiału, mniej więcej opracowanego do takiego *Słownika starożytności* naszych, mamy pod dostatkiem“, gdyż ani prace Ł. Gołębiowskiego (*Lud polski — Ubiory w Folsce — Domy i dwory — Gry i zabawy* IV tomy), ani *Starożytności polskie* J. Moraczewskiego (2 tomy), w małej nawet części nie wyczerpały tego przedmiotu. Biorąc na uwagę żywot tysiącletni naszej społeczności, każdy dział biorąc pod pióro, rzecz wzrasta olbrzymio i rozmiarów wielkiej księgi dochodzi. Weźmy za przykład samą siłę zbrojną, chorągwie nadworne i pospolite ruszenie — przemiany jakim uległy, szys krajowy, rozmaite gatunki broni, zataczanie obozów, urządzanie w nich *bazarów*, pochody, *tabory*, prawa i Statuta hetmańskie, ubiór i uzbrojenie — administracyą wojenną, jazdę, jej gatunki rozliczne, piechotę, artylerią: główne zarysy strategii polskiej, zastosowanej do narodowości strony napastniczkiej, gonitwy i turnieje rycerskie; duch rycerski i wychowanie, gotowość na każde zawołanie, *wieci*, i wiele — wiele jeszcze szczegółów, a przekonamy się, w tym jednym z wielu działów, jakie panuje u nas ubóstwo.

Toż powiedzieć możemy i o innych działach, zaczynając od kościoła, i przywiązanej do niego służby: poczynając od plebana, dalej organisty, klechy, chybadła, żebraczych dziadów i innych postaci. Toż mówić o dworach ziemiańskich, pańskich zamkach i pałacach, jako też służbie dworskiej — znaczeniu *Dworzanina*, zaczynając od marszałka, do ostatniego pacholka.

Łowy i myśliwstwo ze swym bogatym językiem *łowickim*, same dają materiał na

ogromną monografią, której cząstka tylko dotknięta została. A przecież myślistwo stanowiło w dawniej Polsce prawie większą połowę życia każdego szlachcica, który uważał je za wyłączny przywilej szlachcica-rycerza i ziemianina polskiego. Oni to wytworzyli pracą wieków ów język *łowiecki*, tak bogaty w wyrażenia i wyrazy odrębne od potocznych tak, jak język *flisów* i *oryłów*, owych śmiałych żeglarzy po Wiśle i wszystkich rzekach polskich; jak *język* bartniczy puszczy Mazowieckich, chodowaczy pszczoł dzikich po *leśnych barciach*.

Autor programu *Starożytności polskich* nie spuszcza z uwagi pomienionych przedmiotów, ale stawia je prawie na równi z drobniejszymi w swych rozmiarach; pojmuje bardzo dobrze sam, pracując poprzednio nad *dziejami Litwy*, pisząc o *sztuce u Słowian*, badając stronę duchową narodu, że w projektowanej *Encyklopedyi starożytności polskich* będą musiały zająć miejsce obszerniejsze monografie. Z napomknienia, jakie daje Kraszewski pod wyrazem *Rodzina* (a stawia na czele kobietę, jako dziewczę, żonę, matkę i wdowę), gdyby najtreściwiej przedmiot ten traktować, wysnułaby się obszerna monografia, taka bowiem jest obfitość materiału, któryby wyczerpać należało. Zbyt wielki udział nasze Polki brały w losach narodu i dziejach społeczności naszej, w doli i niedoli ogółu, a w końcu — wytrwania po zupełnym upadku kraju. Dank, jaki im należy i hołd zasłużony, winny być polskiej niewieście złożone.

W tej też myśli autor, rozszerza jeszcze ramy swego poglądu w przeszłość. Czytamy bowiem: „Gdybyśmy się ograniczyć chcieli w ciasnej ziem starożytności, na przykład *Litwy*, *Rusi*, *Liwoń* i *Kurońów* tylko z tych czasów, w których się ono z Polską zespoliły, ścisła ta logika byłaby okaleczeniem przedmiotu badania. Nie nleża więc wątpliwości, że starożytności litewskie, pruskie, żmudzkie, liwskie i kurońskie, w części łątywskie nawet, a ruskie przedewszystkiem, do słownika, chociażby treściwie zebrane, wejść muszą: tak samo niewiem, czy Szląsk polski, godzi się wyłączyć i wyrzucić się go dla nauki dla tego, że się go wcześniej wyrzeczono politycznie?”

Trafna to wielce uwaga, ale zarówno wskazówka, do jakich to ogromnych rozmiarów, dojdą badania *Starożytności polskich*, chociażby w najtrafniejszej formie, tém bardziej, gdy autor wymaga i to słusznie, ażeby literatura każdego przedmiotu ściśle, bibliograficznie podana została, co uważa za rzecz konieczną. We wszystkich dotych-

czas dokonanych pracach około *Starożytności polskich* niedotykano strony duchowej i charakterystyki szlachty polskiej, która, przewodząc wszystkim warstwom społeczności, właściwy naród stanowiła.

Lud, stał jak wiadomo na uboczu, mieszczanin w oddali, oba stany bez wpływu na losy narodu. Szlachta je trzymała w swym ręku i wiodła go w przeciagu wieków.

Owóż badanie pilne tej warstwy głównie działającej, jej duchowego ustroju i charakterystyki, sądzimy, że powinno być głównem zadaniem badacza, gdy przyjdzie pod n wagę szlachcie-ziemianin polski i szlachcie-rycerz. Przeważną oni rolę grali w losach stariej Rzeczypospolitej, gdyż pod temi nazwami obejmują i *magnatów Polskich* czyli tak dobrze zwanych przez Bartosza Paprockiego: *Panoszów*; przecież o nich w dokładnem zebraniu wyrazów, które Kraszewski podaje dla *Encyklopedyi*, najmniejszej nie znajduję wzmianki.

Autor dobrze czujący trudności tak ogromnej pracy, jako głęboki znawca przedmiotu, sam powątpiewa, czy w *Słowniku* tym da się objąć wszystko, co się starożytnościami zwać może. Za prawdę, trudności takie nie można: ale zjednoczenie sił wielu pracowników, pod umiejętnym kierunkiem, daleko rzecz całą posunąć może i udokładnić lepiej nad nasze obecne mniemania.

Dzielo dokonane wedle programu J. I. Kraszewskiego, który z taką znajomością rzeczy, plan jego nakreślił: byłoby ważnym początkiem olbrzymiego zadania, które jeżeliby nie zostało w zupełności wykonane, jużby stanowczy krok na tej drodze naznaczyć mogło.

W ciągu pracy przyjdzie jeszcze niezawodnie wiele przedmiotów i szczegółów, które z pod bystrego oka J. I. Kraszewskiego usunęły się na stronę, a wejść będą musiały dla całości.

Piszemy o tym programie naszego *Jubilate* nie w chęci bynajmniej krytyki, ale raz dla uznania jego głębokiej znajomości *starożytności polskich* i dziejów własnej ojczyzny: powtóre, dla zwrócenia uwagi ogółu na ważność przedmiotu, który z dziejami narodu ściśle jest spleciony. Starożytności bowiem wedle naszego przekonania stanowią *duśzę* narodu, a jej dzieje, przejęcia i przebijanie się przez warstwy wiekowe, dopiero dla pokoleń obecnych i późniejszych naukę pożyteczną dać mogą.

Ziemia, klimat, przyroda, na której i w którym rzeczzone pokolenie żyje i wzrasta, wszystko wpływa przeważnie, na wyrobie-

nie jego charakteru i wytwór jego *duszy*. Ztąd śledzenie jej objawów i kierunków duchowych, powinno być głównem zadaniem przy badaniu rozwoju każdej społeczności; nie wiele przyniesie korzyści zewnętrzny, chociażby najdokładniejszy opis ubioru, sposobu życia i pokarmów, jakich używano w przeszłości naszej, jeżeli obok tego nie potrafimy dostrzedz i wykazać objawów, wpływających przeważnie na charakter społeczny, dodatkowo lub ujemnie wszystkich czynników nań działających.

Im dalej w las, tem więcej drzew, mówi dobrze chłopskie przysłowie, na odwrót je postawić należy. Albowiem im dalej będziemy sięgali chęcią zbadania przeszłości, tem mniej nam szczątka starczy. Jeżeli w części samych *dziejów* prawa i fundacyi, znajdujemy bogate zasoby w *annalach*, *dyplomatarjuszach* i kronikarzach, już niemal od X wieku poczynając, to dla starożytności polskich, tylko same okrucy.

Widzimy to i w późniejszych wiekach.

Sądzimy, że należałoby w pewne okresy ująć *Starożytności polskie* pod względem wielkich zmian w życiu społecznem i obyczajach i przełomach widocznych.

Taki przełom widzimy z końcem XV i z początkiem XVI stulecia. W piśmach Marcina Bielskiego, pierwszego prozaika i kronikarza polskiego, z jego skarg, mamy przekonanie, że wraz z urokiem literatury i oświaty, prostota i skromność w życiu rodzinnem i domowem, nleży wielkim zmianom. Miejsce ich zajęły wystawność, zbytek i marnotrawstwo, które z ciągiem lat następnych zgubnie wpłynęły na pomyślność ekonomiczną, na charakter narodowy, i były jedną także, z przyczyn niemałych do upadku.

Poczcziwy Bielski w prostocie swojej, stęka na zmianę obyczajów i zakradających

się nieznany w latach jego młodości zbytek. Krasiecki w satyrze *marnotrawstwo*, maluje ostateczne jego wyniki. Tak głos XVI-go z głosem XVIII wieku, na jeden ton smutne *Requiem* śpiewały.

J. I. Kraszewski po wstępie pełnym treści, podaje następnie w XXI rozdziałach przedmioty do badania, jakby szkielet *Słownika* czy *Encyklopedyi*; a zamyka pracę swoją zebraniem abecadłowem wszystkich wyrazów, mających być opracowaniami—podaje ich w tym celu liczbę 1864, obejmując i nazwy wszystkich miast i miejscowości wydatniejszych w dziejach. Wykaz ten, niewątpliwie znakomicie się powiększy, po bliższem rozpatrzeniu. Podajemy tu streszczenie pracy Kraszewskiego, która przeszła niepostrzeżenie, a kosztowała nie tylko wiele trudów, poszukiwań, ale i głębszego rozmysłu nad samym przedmiotem.

Myśl podniesioną przez Komissyą Archeologiczną Akademii Umiejętności w Krakowie, Kraszewski umiał rozwinać i ująć w pewne ramy: teraz za tą wskazówką należałoby się wziąć do dzieła.

Wszelako Komissya Archeologiczna po rozesłaniu nieco odbitek programu, o którym mówimy, dalej na drodze działalności nie posunęła się wcale. Maż więc szanowna praca i obrobienie programu Encyklopedyi Starożytności zostać bezowocne?

Nie wątpimy, że Wydział Archeologiczny po pięcioletniem wychnieniu, zabierze się na nowo do pracy energicznie, i wiaższy przewodnictwo w swe ręce, doprowadzi do celu zamierzonego tak niezbędnę, upragnione i długo daremnie wyczekiwane dzieło, do którego mamy nadzieję, że przyłoży swą rękę nasz jubilat, i zdrową radą, oraz czynną pomocą popierać nie zaniedba.

K. Wł. Wójcicki.

PUBLICYSTYKA.

I.

Wydawnictwo Wileńskiego Athenaeum.

Ustęp z życia J. I. Kraszewskiego (1841 — 1852).

W jednym czasie powstałe z istniejącą dotąd *Biblioteką Warszawską*, zawdzięcza Athenaeum Wileńskie swój początek tymże przyczynom i pobudkom: potrzebie kupienia się i organizowania sił i środków literatury krajowej bojującej, to jest téj, która kwestyami bieżącej chwili głównie zajęta, jeżeli sama przez się nie stanowi opinii, to przykłada się najczynniej do jęj wytworzenia, a dzierżąc berło krytyki w rękę, wprowadza pewien ład w sądach, pewną karność umysłową w postępowym ruchu piśmiennictwa. Potrzeba takiej organizacji była naglącą, mianowicie ze względu na szczególniejsze, temu tylko czasowi właściwe zjawisko: zdwojenie się literatury. Była jedna literatura — pozakrajowa, błyszcząca, mieniająca wszystkimi kolorami tęczy, pełna, jak owoc Ewy, przez wielu za jedyną uważana, — i była literatura druga — niepokazna, domowa, szara, bez wybitnych pierwszorzędných talentów. Snuło się w téj ostatniej, jako zazwyczaj w godzinach nocnych, mnóstwo puszczyków i nietopérzy, niebrakło jednak ludzi poceziwych chęci i dobrej woli; ale nad całym towarzystwem ciążyła niby ołowiana kopuła, ciężka ospałość i nałogowe poddanie się cudzoziemszczyźnie. W I tomiku Athenaeum wydawca maluje w następny sposób stan rzeczy ówczesny, wcale niepokojący (Gródek 1840 Spojrzenie na dzisiej. lit. polską, 188—206): „Niektóre domy pozwoliły sobie na dziesięć francuzkich tomów, kupić dwa polskie i położyć je otwarcie na stół salonu; po głównych miastach ożyły księgarnie. Galicya

zacošana. Największy ruch umysłowy w W. X. Poznańskim. Poznań dziś za najważniejsze ognisko dla literatury uważamy. W Rosyi dużo bardzo uczynił Tygodnik Petersburski. W Wilnie drukuje się dzieł nieco poważnych (Wizerunki i rozstrząsania naukowe, dzieła Jochera, Narbutta).“ W sądach o Warszawie zdradzają się może pewne uprzedzenia Litwina do koroniarzy: „tu na pierwszym miejscu spekulacya, książki uważają za towar dogadzający smakowi publiczności albo zwietrzały, publikacye mdłe, najwięcej życia w literaturze peryodycznej. Wychodzi mnóstwo dzieł w dwóch rodzajach: dla gospodarzy i dla dzieci. „Utile“ jest godłem wszystkich, życie istnieje umysłowe stoi niżej od agronomicznego, spekulacyjnego, gastronomicznego. Kobiety mają wpływ na literaturę, ale grzeczność nie pozwala powiedzieć, jaki to wpływ. Zresztą w Warszawie lepiej one pojmują literaturę, niż mężczyźni, i więcej jęj poświęcają. Na umysłach ciąży tradycya XVIII wieku, mdła wytworność, gładkość wiersza, niepokalany rym i średniówka.“ W tomiku IV z r. 1846 spotykamy następną ostrą charakterystykę krytyki współczesnej (Listy liter. Krasz.): „Stan krytyki u nas śmiechu i łez godzien. Miasto wyrozumowanych zasad wszędy duch partyi, lub widzimisię luźne, z którego niepostarano się sobie zdać sprawy, dla czego co ładne? dla czego brzydkie? O historyi będą sądzić ze stanowiska dramatu, o dramacie — ze stanowiska historyi, o poezyi — z chłodnej ironii punktu, o biednej filozofii, na której imię się wzdrygają, z katedry

grammatycznój. Srom i śmiech i to się nazywa krytyką.“

Przedsięwzięte wydawnictwo prowadzone było sposobem oryginalnym, niezmiernie prostym i pierwotnym. „Redagowaliśmy zbiór ten, powiada Kraszewski w zamknięciu (Hubin 14 lutego 1852), o 70 mil od miejsca druku (w Gródku pod Łuckiem, potem w Hubinie) sami, zastępując redakcją, sekretarza, przepisującego, kłobatorów a często na ostatku i nakładcę.“ Od IV tomu (r. 1841) pismo ma napis: nakładem i drukiem T. Glücksberga (na poprzednich czytano tylko: w drukarni Glücksberga). Pierwszych lat ośm, powiada Kraszewski (tamże), winniśmy przedsiębiorstwu p. T. Glücksberga. „Nakład musiał być odnośnie do naszych czasów wcale nie wielki, zwłaszcza, że o honoraryach nie było i mowy. Druk szedł o lepsze z kalendarzami Zymela Manesa, bibuła szara, nad wszelki wyraz licha, obrażała oczy i skórę na rękach czytelnika. Cena wydania była po 6 rubli za oddział z 6 tomików, wychodzących do roku. Po kilka razy redakcja uważała za potrzebne tłumaczyć, że *Athenaeum* żadną miarą nie jest pismem peryodycznym i że się ukazuje w nieoznaczonych terminach (IV r. 1841, I r. 1844).“ Z powodu urzędów, odróżniających pisma peryodyczne od zbiorowych, musinny, z żalem przestrzegał wydawca, zostawiać na stronie wszystkie artykuły w przedmiocie krytyki szczegółów, częstków.“ Z tychże przyczyn temuż losowi uległy pomniejsze o bieżącym umysłowym ruchu doniesienia i wzmianki (III r. 1843). Pismo miało być poświęcone historii, literaturze, sztukom, krytyce, i miało początkowo 4 działy: I) Historia, II) Literatura, III) Sztuki i IV) Rozmaitości. Od czwartego tomu przybył dział nowy, którego nie było w planie: filozoficzny; nadesłano „znakomite filozoficzne rozprawy“. „Cieszymy się, powiadał wydawca, że idąc ślad w ślad za duchem wieku, *Athenaeum* da dowód posłuszeństwa potrzebom umysłowym czuć się dającym (IV r. 1841).“ Materiałów płynęło mnóstwo, głównie filozoficznych i beletrystycznych, były też artykuły dotyczące się gospodarstwa krajowego i miejskiego, które nie wchodziły początkowo w zakres pisma. Robiąc pomiędzy niemi wybór wydawca oświadczał (I r. 1844), że ściśle zważa na porządek, to jest na datę nadesłania. Wśród pogadanek filozoficznych, materiałów historycznych *in erudo* i beletrystyki, była wielka, zięjąca luka: brakło prawie zupełnie artykułów treści naukowej. Dla uzupełnienia tej luki wydawca, uosabiający w sobie całą

redakcją, powziął prawdziwie bohaterski pomysł, który po części tylko został wykonany, a mianowicie postanowił wzięść cały oddział naukowy w *Athenaeum* na swoje barki i pisać o rzeczach technicznych, fachowych, najbardziej od jego specjalności dalekich.

„Brak artykułów seryo naukowych, głosi odezwa w III t. r. 1845 str. 184, lub treści w jakikolwiek sposób nauczającej, zmusza redaktora do przygotowywania ich samemu a powszechne i dość słuszne wymówki całej literaturze naszych prowincji, że się powieścią i poczyą — lekkimi wyroby ogranicza zbyt, nagle *Athenaeum*, aby dobry przykład dało. Z tego powodu redaktor sam musiał się zająć przygotowaniem artykułów treści filozoficznej i naukowej. Ma on zamiar dać rys fizyki Żochowskiego, Wiadomości o kolejach żelaznych z dzieła Górskiego, dalsze przekłady z Hegla i t. d.“ Skończyło się tymczasem na streszczeniu Filozofii Natury Hegla, zamiast Żochowskiego zabłysła w t. III i IV roku 1845 jasna gwiazda przyrodnicza. Pomysł do nowej teorii Ludwiga *Wolynskiego* z przypiskiem od redakcyi, że to praca genialna, że pomysły nowe są tak wielkie, iż uderzyć muszą nawet mało obznajmionych z umiejętnością, że obok imion Ciołka, Kopernika, Śniadeckich, Żochowskiego, stanie odtąd jedno więcej. Wydawca, w całym znaczeniu słowa Encyklopedysta, bacząc poglądał okiem po całym obszarze wiedzy ludzkiej, dał się pociągać każdemu objawowi oryginalnej myśli, unosił się przez współczucie nad każdym nowym pomysłem i doкладаł wszelkich starań, aby wszystkie możliwe działy były w piśmie reprezentowane.

Od pisma peryodycznego, jakim w istocie było *Athenaeum*, wymagano już w owym czasie nie tylko doboru interesujących artykułów, ale i programu, literackiego credo, wyraźnego zaznaczenia dążności. Czyniąc zadość tym wymaganiom zewsząd słyseć się dającym, wywiesił redaktor swoje godła i hasła w przedmowie, pisanéj 21 Lutego 1841 r., która się ukazała dopiero w V tomie tego roku. Ma znaczenie i wagę ta przedmowa, nie tylko jako treściwy obraz przekonań wydawcy w pewnej chwili jego młodego jeszcze wieku (29 lat), lecz także jako obraz tego, co myślało i czuło społeczeństwo, a przynajmniej najpostępowsi ludzie w tém społeczeństwie, bo do najwybitniejszych cech umysłowej organizacji Kraszewskiego należało zawsze to, że był on bardziej, niż ktokolwiek, czuły na technienia ducha wieku, na wszystkie w niewidzialnych prawie drganiach objawiające się potrzeby

i wymagania umysłowe społeczeństwa. Podajemy ten program w skróceniu: „Zmuszeni obrać barwę właściwą, powiada, Athenaeum co do ducha będzie odbiciem opinii, składających się nań pisarzy. Ma ono na pierwszym względzie zwrócenie umysłów na drogę *idei religijnych zdrowych*. Tępić będzie niedobitki wyobrażeń i przekonań XVIII wieku. Stanie do walki z materjalizmem, niewiarą, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodej Europy. Niezapełniając się wyłącznie artykułami religijnymi, Athenaeum starać się będzie, aby wszystko widziane w nim było z punktu widzenia religijnego, pisane w duchu religijnym. Nie przyjmie nic tracącego filozofią zbutwiałej szkoły francuskiej XVIII wieku, albo nowymi opiniami, będącymi tylko pobielanym grobem XVIII wieku. W oddziale filozofii moralnej postaramy się zwrócić uwagę na walną sprawę *pobratania* filozofii z katolicyzmem, sprawę *dopełnioną* w naturze rzeczy, ale niewyjaśnioną dla wielu, szczególnie u nas. Zamierzamy też bić na zamięłowanie obczyzny, mianowicie na *gallomanię*, zarazę, której jad pożera tyle umysłów. Chcielibyśmy wywieść z błędu tych, co uwierzyli w nieomylność Francuzów, gdy cała Europa *przekonała się* o niewielkiej wartości narodu, który sam się jeszcze nazywa głową ucywilizowanego świata. Chcielibyśmy przekonać, że nasza literatura dziś bez tych kuli się obejdzie, które kalectwa dowodziły, że mamy swój sąd o rzeczach, swój sposób sposób widzenia rzeczy.“ W prospekcie na r. 1842 powiedziano znowu: „Athenaeum takie tylko umieszcza artykuły, które odznacza wzniosłą dążność religijną, artykuły noszące barwę chrześcijańską.“

Jakże ciasniami mogą się wydawać dzisiaj takie pojęcia, jakże skromnymi i nieśmiałymi dążeniami! Stauowisko organu arcyoprawne, prawie kościelne; jedyne śmielsze bujanie myśli wyraża się w dokonaniem, niby walnym pobrataniu filozofii z katolicyzmem, w dopiętej inuemi słowami kwadraturze koła, w złudzeniu, które w swoim czasie było zasługą. Rzucenie rękawicy wiko- wu XVIII po romantyzmie i Mickiewiczu dowodzi, jak powoli karczują się stare nałogi, nawet po walnych i stanowczych zwycięztwach. Do wstępu, jaki wzbudzał od powstania romantyzmu wiek XVIII, przybywała cecha nowa, właściwa już wyłącznie literaturze dawniej, zaściankowej w przeciwstawieniu jej z pozakrajową: gallofobia, unikanie, jak zarazy, obcowania z narodem niewielkiej wartości. Łączyła się wprawdzie ta cecha z wyrozumowaniem

unikaniem wszelkiej obczyzny i z odpowiedniem tej dążności spotęgowaniem, wye- xaltowaniem uczucia własnej odrębności narodowej, z wiarą w niewyczerpane zasoby, ukryte wyłącznie w tém jedynem źródle. Takie były założenia przewodniczące przedsięwzięciu, które szło dość raźnie i rozwijało się aż do fatalnego dla literatury w ogóle, rewolucyjnego a potem reakcyjnego 1848 roku i następnych. Ażebym ocenić zasługi zbiorowego czasopisma Athenaeum, należy zestawić program z wykonaniem i przejrzeć główne działy w jedynym organie prassy, Litwę w on czas przedstawiającym.

Najprzód uderza niepomalu, że *Słowian-szczyzna* w Athenaeum zawiera daleko więcej miejsca (przynajmniej teoretycznie), aniżeli w późniejszych polskich pismach, to jest, że odrodzenie się nasze narodowe, maluje się w pojęciach wydawnictwa, jako dokonujący się na tle odrodzenia się słowiańskiego, a przynajmniej jako będące w nierozzerwalnym związku z ruchem wszech-słowiańskim. Zaznaczono (w Spojrzeniu na literaturę polską I r. 1841), że najsukuteczniej pracujący w Warszawie pisarze są sławiści: Kucharski, Maciejowski, Wójcicki, w głębi Rossyi Daniłowicz i Onaciewicz, że w Warszawie bawił Ludewit Gaj, kroat, redaktor Dennicy. Wydawca wzywa (r. 1841) do współpracownictwa literatów rosyjskich, czeskich i innych, o artykuły, które będą pomieszczone w starannem tłumaczeniu, dodając, że pierwiastek słowiański aż nadto był zagluszany w literaturach skrzywionych naśladownictwem! Wyrozumowanie potrzeby nie odpowiada wykonanie. Zamiast czerpać ze wszystkich literatur, pismo zapożycza się, jeżeli pominiemy dzieło Zapa o Galicyi, o którym potem będzie mowa, li tylko u rosyjskiej, i bierze rzeczy czasami bardzo dobre, nieraz wcale nie-najlepsze i nienajprzydatniejsze przekłady z *Martinskiego* (Bestużew), pisarza całkiem dziś zapomnianego w Cesarstwie (I r. 1842, V r. 1843), z opowiadań Pantelejmona Kuleszy (Kulisza), z pism Skalkowskiego (II r. 1843. Przełożone: „Płaszcz“ i „Dziennik Waryata“ Gogoła (1844), nawet kawałki ze „Zmarłych Dusz“, pyszny rapsod Lermontowa „O Carze Iwanie Groźnym“, o „Opryczniku“ i o „Kupcu“ (III r. 1845). Najczynniej koło przekładów krząta się Szeplewicz. Romuald Podbereski dostarcza całe gromady klechd wielkorosyjskich (o siedmin Semenach junakach, o Wasilisie złotowłosej kozie, i t. d.) nie w krytycznych, jakby przystało opracowaniach, ale w wąt-

pliwiej wartości przeróbkach, ostatnich autorów rosyjskich. Wybór rzeczy nie był staranny; widać, że te artykuły pomieszczano dla liku, zapewne mało były czytane. Znać, że jak dzisiaj tak i wówczas, mało się rozumiały obie literatury, w skutek wzajemnego zatracenia kluczy, o których krążyło podanie, że kiedyś istniały (Mickiewicz i Puszkina, pobyt Mickiewicza w Petersburgu i Moskwie).

Nie sprzyjały owe czasy podjęciu jakiegokolwiek ogólniejszych kwestyi praktycznych, była wszakże taka kwestya w swoim rodzaju jedyna, która zaprzętała całe pokolenie, i wylaziła, jak sztybel z worka, jak oliwa na powierzchnię wody: kwestya usamowolnienia włościan, o której jednak bardzo mało wolno było pisać. Kwintessencje postępowych dążeń społecznych, mieści w sobie tom III r. 1843, zawierający rozprawę o *kmiotku* polskim przez A. E. z Królestwa. Autor dziwi się, dla czego poeci nie czerpią natchnienia w życiu ludu tak poetycznego? dla czego publicyści nie wzywają do polepszenia i zupełnego poprawienia ich doli? gniewa się, gdy słyszy Mazurę, albo człeka zrozozonego na Podlasin, marzącego o Ukrainie albo Zaporozu. Przy rosnącej oświacie i przemyśle, żaden zagon wkrótce nie będzie mógł być uprawianym przez pańszczyznę. Niedawno w całej ordynacji Zamojskiej zmieniono pańszczyznę na czynsze. Każdy właściciel mógłby się odważyć na próbę tego rodzaju. Mamy wzory, czemuż nie mamy naśladowców? Przejmijmy się względem ludzi miłością chrześcijańską i sprawiedliwością. Pomnijmy za służę, pracę jego i nędzę. Ofiara nasza powinna być nieprzymuszona i dobrowolna, a w ten czas czyn nasz wyjedna przebaczenie win naszych i rosę błogosławieństw. Odezwa ta gorąca, dochodziła w owę chwilę do herkulesowych słupów śmiałości; podając ją, przyszło się tłumaczyć, „że myśli autora zgadzają się z zamiarami troskliwego rządu, który stra się o ulepszenie bytu kmiotków w prowincjach naszych.”

W braku kwestyi praktycznych, główne wytyczenia umysłowe zbiegały się u drugiego bieguna myśli: w filozofii. Była to filozofia Hegla, mistrz panował po śmierci nad podbite umysłami. Stapając w jego ślady uczniowie, odziedziczywszy system i metodę, próbowali z tych faktów, dodawszy nieco swojego, wykroić czamary narodowo-słowiańską albo polską. — „Jakże pięknie filozofii Libelta, powiada X. Y. Z. (III r. 1850), zrodzonej z ojca polaka a matki niemki, w tych kwiatkach, w które się ubiera.“ —

„Słynie teraz w Niemczech, powiada t. III r. 1841 Athenaeum, głęboki pomysłami Bron. Ferd. Trentowski.“ — Redakcyja prosi (IV r. 1841) Trentowskiego i Aug. Cieszkowskiego o nadsyłanie odłamków myśli swoich. Wielcy filozofowie nie stawili się na wezwanie, pracują w Athenaeum tylko *dla minorum gentium*: pani Ziemięcka z artykułem o Szellingu (I r. 1844), Tytus Szczeniowski, który wierzy, że Hegel pojął tajemniczy porządek, przewodniczący rozwinięciu się myśli ludzkiej, i który streszcza i parafrazuje Hegla (IV r. 1841, r. 1842). Wystąpił nawet Henryk hr. Rzewuski z wyjątkami z dzieła o *prawidłach* cywilizacji narodów, dzieła, które wedle zapowiedzi redakcyi (IV r. 1941), zapowiedzi, jak się po tém ukazało, zawodnej, miało stanowić epokę w historii pojęć ludzkich o dziejach i któreby wszędzie, nie tylko u nas, przyjęte było z podziwieniem i uwielbieniem. Niedługo trwała wiara w nieomyślność sądów moralnych o ludziach i rzeczach. Mięszaniny obyczajowe Jarosza Bejły (1841) wywołały całą krucyatę przeciwko autorowi Listopada, paradowanemu obkurantyzmem, składającemu się, jako włócznią, pierwszym lepszym paradoxem, i zadającym *mała fide* bolesne nieraz ciągi ludziom, którzy szczerze troszczyli się o postęp i brali go na seryo. Najlepsi współpracownicy Athenaeum biorą udział w tej krucyacie: Karol Kaczkowski, Waleryan Wróblewski (Koronowicz), Tytus Szczeniowski (Iz. Biepoński). „Jakkolwiek, pisze X. Y. Z. (V r. 1850), na pana hrabiego wielu *clamantes*, ale czytają go chętnie, ale łapią ciekawie. Pisma jego mogą się poszczycić popularnością, której wcale nie szukały. To pewna, że w nich jest życie. W rozbiór tego życia nie pora się wdawać, oceną je synowie nasi.“ — Nie odkładając na tak długo J. Biepoński przejrzał na wskroś zręcznego sofistę, ucznia J. de Maistre'a, któremu więcej, niż o rezultaty, chodziło o sam process szermowania, i sportretował go dość trafnie (III r. 1843 Bigos hultajski): „Jestto pałac pelen antyków, sprzętów feudalnych, zabytków klasztornych, dzieł ascetów i teologów. Ale pod krzyżem i nabożeństwem, będącemi wszędzie a często bez potrzeby, widać, iż gmach ten używał schronienia wszelkim sprzętom i obyczajom w swoim czasie przemagającym, że właściciel wygląda oknem niespokojnie, z kądem wiatr wieje. Nadto gmach ten bez fundamentów a podparty skarpami, które autor nazywa Bogiem, wiarą, Chrystusem. Właściciel wmawia w siebie i drugich, że to są nie skarpy a fun-

damenta, a, nie mogąc przekonać, gniewa się. Po tym gmachu i czeku zostaną szczawne, ale martwe urywki, bo pozbawione dobrego ducha, który unieść kształtne nic raz plody w ucziwój całości utrzymuje.

Lepiej i bujniej, niż systematyczna filozofia, albo moraliz, kwitły utwory mieszczanego rodzaju, w których albo pomysł rozumowy scholastyczny opracowany był w szeregu humorystycznych ilustracji, albo stawioną było przed oczyma dramatyczna walka upostaciowanych idei filozoficznych w alegorycznych obrazach. Przedstawicielem pierwszego rodzaju był Sztjerner (Trenofagiusz i Trenolesty IV r. 1842, Dusza w suchotach IV r. 1843). Drugiemu zawdzięczamy świetny, brylantowy „Sen w Podhorcech” xiedza Stan. Choloniewskiego, utwór, który zajął cały jeden tomik w Athenaeum (III r. 1842). Troski i ciernie wydawnictwa wynagradzały się czasem przyjemnemi niespodziankami, serdecznemi znajomościami, zawiązywaniem li tylko z racyi wydawnictwa. Do takich niespodzianek należały odwiedziny wydawcy w 1850 przez Kondratowicza, którego zawiózł do Hlubina księgarz B. M. Wolff (Wład. Syrokoma przez Krasz. 1863, Warszawa), i zapoznanie się wydawcy z Choloniewskim, do którego dało pochop nadesłanie w Lutym 1842 r. rękopisu, nieznanego przedtem literata, zawierającego „Sen w Podhorcech”, nadesłanie spowodowane treścią programu Athenaeum, zapowiedzią popierania idei religijnych (Przewodnik naukowy i literacki lwowski za Czerwiec, Lipiec i Sierpień 1878 r. Artykuł Antoniego I...: Kraszewski i Choloniewski). Z poznania wywiązało się ciekawe obcowanie i szczerza przyjaźń dwóch tak wysoce uzdolnionych umysłów. Xiążd Choloniewski miał duszę piękną, podniosłą, spragnioną ideału, odczuwającą zwątpienie, jak chorobę, lecz już naówczas uspokojoną pod krzyżem w przystani dogmatu, w objęciach stopionych w jedno narodowych i kościelnych tradycji. Ten arystokrata, który do lat 35 zle umiał po polsku, zanurzył się wykształcił w Rzymie na kaznodzieję tak złotoustego, jak Skarga, ten salonowiec, który przyszedł do przekonania (list do Krasz. II r. 1843), że salon to martwość, że życie na serwo zaczyna się dopiero po za panowaniem kobiety, cały prawie swój krótki zawód literacki odbył w Athenaeum. Po nekrologu jego w VII 1846 r. drukowały się tu jeszcze pośmiertne: Wieczory i przechadzki rzymskie (III r. 1850).

W naszych czasopiśmie polskich ogromne zawsze miejsce zajmuje własna krajowa

historia. Drukowało Athenaeum surowe materiały niepośledniej wartości, cenne przyczynki do dziejoznawstwa: pamiętniki Albrechta Stan. Radziwiłła w przekładzie Kotlubaja (1848), stare dialogi, obraz brzydkich targów o koronę po śmierci Sobieskiego z pamiętników Chavagnac'a (I r. 1841), listy Ad. Czackiego (1845, 1846), poźółkle, pełne subtelnej woni XVIII wieku listy z podróży młodego Kazimierza Nestora Sapiechy (III r. 1851), tragedję Krzysz. Zenowicza, opis znaniej wojny domowej Chodkiewiczów z Radziwiłłami o księżnę Słucką (III 1845), bardzo ciekawe pamiętniki z czasów Kościuszki, szefa Józefa Drzewieckiego (1849, 1850). Krytycznych opracowań dostarczali: Daniłowicz (o literackich latopiscach VI 1841), A. W. Maciejowski (względ na zabytki pogaństwa w Polsce I r. 1843), Eustachy Tyszkiewicz (o monetach litewskich). Obok studyów historycznych wielkie miejsce zajmują studia etnograficzne, geograficzno-historyczne i statystyczne (A. Przeździeckiego: Wyjątki z obrazów Podola, Wołynia i Ukrainy 1844, Ogrody ukraińskie M. Grabowskiego 1842, Jaroszewicza Drohiczyn IV r. 1845), statystyka i etnografia bielskiego powiatu VI 1845; kurhany i grodziska oszańskie V 1848; Sylwestra Grozy: mogiły i starożytności Maciejowieckiego powiatu 1845).

Na niekorzyść naszego czasu dodajmy, że wtedy daleko więcej budziła żywego zajęcia i pociągała pracowników flora historyi kopalna, źródło prawie niewyczerpane, tak niezmiernie bogate, ludowych dum, podań, pieśni i zwyczajów. Pierwsze zeszyty Athenaeum układały się, kiedy zabłysły (1840): „Stare gawędy i obrazy” Wł. K. Wójcieckiego, a odbiciem się wrażenia, które sprawiło to zjawisko powszechnego uznania, służy recenzja wydawcy w t. IV r. 1841: „dzieło narodowe uatelnione, — percutias petram et exhibit ex ea aqua, ut bibat populus: otóż tą wodą, którą pił lud szlachecki, była gawęda.” Najwięcej tych kwiatów samorodnych dostarczała Ukraina, z którą wydawca przez miejsce pobytu był najbardziej zbliżony, a najczynniejszym pracownikiem był E. Izopolski (1842, 1844, drama wertepowe, wały żmijowe, śpiewy i dumy, szczątki pogaństwa, dumy i zabobony).

Znawstwo sztuki wydawcy i jego w niej zanulowanie zdradza wielkość dłału, otwartego dla niej w Athenaeum. Na sztuce ciąży równie, jak na filozofii i historii, pewne obawy i względy, kępujące są o nią i przeciwne słusznemu założeniu, wypowiedzianemu w samémże Athenaeum, że każdą rzecz

sądzić należy z jęje własnego stanowiska. Z racji pólhistorycznej powieści o Warneńczyku (V r. 1843) uznano za konieczne w przypisku tłumaczyć go z zarzutu o krzywoprzysięstwo, a nawet twierdzić, że kardynał Cezarini nie tyle zawinił, ile go oskarżają protestancey pisarze. Przełożona z angielskiego „Złota legenda artystów” podaje się głównie dla tego, że okazuje symptomata sympaty dla katolicyzmu, a sztukę najpotężniej natchnąć może tylko uczucie religijne (III r. 1846). Główny historyk i krytyk malarstwa w Athenaeum Jaxa Komorowski najwyżej w sztuce stawia Owerbecka, Corneliusa i zwrot sztuki ku Prerafaelistom (Przezn. i fazy sztuki III r. 1845). Ale okruszyny swojej własnej, nie tyle nawet narodowej, ile prowincjonalnej sztuki zbierane były skrzętnie, Smokowski odwzorował szczątki malowideł w zrujnowanym zamku Trockim (V r. 1841), A. Szemesz pokonywał bezpłodną, opartą na ciasnej rutynie, pozbawioną idei sztukę szkoły francuskiej XVIII wieku, w osobie spóźnionego naśladowcy Bouchera i Fragonnard'a — wileńskiego Rustama (VI r. 1844). Z wspomnień Smokowskiego o Walentym Wańkowiczu (VI r. 1845), Szemesza o Danielu (II r. 1842) i innych, z artykułów samegoż wydawcy (wyjątki z Ikonotheiki i Słownika polskich artystów), dałaby się prawie złożyć historia szkoły malarstwa, która zdawała się zawiązywać w dwóch ogniskach: Wilnie i Petersburgu, lecz niedoszła i rozwiała się, małe pozostawiwszy ślady.

Na gruncie bardzo wycieńczonym i wyjałowionym krajowego piśmiennictwa, porastało jednak co niemiara kwiatków polnych nicosobliwych i krótkotrwałych: romansów i powieści obyczajowych, a nad temi kwiatkami szeroko rozrastał swoje konary sękaty, uwieńczone gestym liściem, dąb rozłożysty — epos staroszlachecki — przedstawienie w jaskrawém oświeceniu i w apoteozie wielkiej, niedawno pochowanej przeszłości, w żywych, za serce porywających obrazach. Prąd twórczości narodowej płynął w owe czasy tém właśnie korytem. Największym mistrzem, panującym prawie bez podziału władzy, był autor Listopada, sypiący romanse historyczne, jak z rękawa, dający do Athenaeum okruszyny swoich już za granicą znanych Pamiętek Soplicy (III r. 1840; VI r. 1841). Obok tych, z potężną werwą i Rubensowskim kolorytem z natury malowanych obrazów, grubych ale przerażająco prawdziwych, jakże bladły i drobniały Walterskotyczne opowiadania M. Grabowskiego (z Staniey Hulajpolskiej I r. 1840) i Opra-

zy Litewskie Chodźki, albo Jankowskiego (Dycalpa 1841). W romansach Rzewuskiego piękno tuż obok brzydoty, ale tak wielki był talent mistrza i takie w nim było pokrewieństwo z popędami i potrzebami wieku, że brzydota upajały się umysły równie jak pięknoscia, że legenda cieszyła się większą powagą, niż historia. Żadną miarą nie możemy przystać na charakterystykę literatury z 1850 r. podawaną przez X. Y. Z.: „chór głuchych, każdy z innego tonu, innym taktem, a w dodatku pieśń inną.“ Owszem przemagała jednostajność, lecz w braku krytyki i tolerancji każdy nowy motyw raził nieprzyzwyczajone do słuchania ucho, niby dźwięki słyszane przez mikrofon, każde starcie się z legendą uchodziło za wykroczenie przeciwko obowiązkowi wkładanym przez narodowość. Tenże korespondent X. Y. Z. (1850) twierdzi: „wszystkich autorów podejrzewają o zdradę, o przekupstwo; byleby piszący nie po myśli czytelnikom eo powiedział, — rzucają kamieniami; dzisiaj sypią laury, jutro cisną potwarzą.“ Wielkich trzeba było przeprosin, chcąc przeprowadzić w czasopiśmie rzezy takie na przykład, jak osobiste wspomnienia naoczego świadka Ambrożego Weylly, ułożone z jego pośmiertnych papierów przez Wadę (VI r. 1845) o Nieświeżu, Wołodkiewicz i Karolu Radziwille, wspomnienia mniej pojętne a szerególniej mniej pochlebne, niż Soplicowskie. „Znajdą się, powiada Redakcyja, co za złe wezmą, że postacie w zbyt czarnych przedstawione są kolorach, powtórzą, co tyle razy pisano: dziś nie czas to pisać. Nam się zdaje, że czas zawsze, i dziś prawda potrzebniejsza, niż kiedy. Zbyt pochlebne są obrazy Soplicy a pełne mylek, wyrzeczonych z największą pewnością.“ Autor Listopada dostarczał najwięcej materyału dla estetycznych krytyk, poważnych, grzeźnych (W. Wróblewski, Tyszyński), na niektóre raczył odpowiadać (Wróblewskiemu VI, 1846). Największym wrogiem H. Rzewuskiego romanso-pisarza był H. Rzewuski moralista, ze swemi przypiskami, te kłóły, ranily. Bardziej w skutek instynktowego wstrętu, niż jasnego rozumowania, odwracaly się umysły od Rzewuskiego. Już w 1845 r. redakcyja przepowiada (VI), że „przyszłość nie potwierdzi o pamiętkach Soplicy sądu zbyt pochlebnego, jakiśmy w pierwszej chwili wszyscy wydali.“ Jednocześnie oziębialy się stosunki redakcyi Athenaeum z gronem zarozumiałców, którzy wyrokowali o literaturze i filozofii, jak z trójnoga, z wielką pychą, zasiadłszy w Tygodniku Petersburskim. Stosunki początkowo były ściśle, bardzo

serdeczne. W pierwszym tomie Athenaeum znajdujemy następną odezwę (Spojrz. na liter. pol. przez Krasz.) niezmiernie wysoko stawiając J. Przecławskiego. „Wydawca Tygodnika chowa się za drugich, lecz znać jego duch w piśmie, często przypisek, dodatek, uwaga, zastanawiają bardziej od artykułu; znać erudyte, własny swój sąd mającego o wszystkiem; oddawna posiada wziętość i popularność; wszyscy go czytają.“ W korespondencji X. Y. Z. z 1850 r. V, czytamy: „Tygodnik trupem trąci, aby dał się dalej! podtrzymuje się, jak piżmem, powieściami.“ Z Hołowińskim podtrzymywały się zaledwo bardzo rzadkie stosunki (art. Antoniego J... w Przegl. nauk i liter.), z Grabowskim całkiem zerwane, szczególnie po smutnym wypadku, który rzucił na tego ostatniego w 1843 ciężki panslawizmu. W Niemcezech, pisze wydawca Athenaeum (listy liter. IV r. 1846) o Szyllerze i Goethem krytyki i sądy, coraz przerabiane i odnawiane, złożyłyby bibliotekę, u nas o Kochanowskim jednego tomu nie zbierzesz. O największym współczesnym naszym pocie nie ma dotąd wyrobionego sądu. Krytyka Mochackiego na prawdziwie godną tego nazwiska zanosząca się, desinit in piscem w Michał Grabowskim, który o Listopadzie powiada, że czyni *najogromniejsze* (I) wrażenie. List, którego te słowa są kwintessencją, drukuje się w Tygodniku, jako sąd znakomitego naszego estetyka (I). Korespondencye Kraszewskiego do Tygodnika stają się coraz radsze i prawie się urywają od 1845 r. ¹⁾, a odnawiają się dopiero w 1849 w Listach ze wsi (I—XIV) i „Dziwadłach“. Bez wyraźnego wyzywania na rękę, oba kółka piszących rozeszły się bardzo daleko jedno od drugiego spokojnie, grzecznie, obojętnie, i poszły każde w inną stronę. „Nasz Petersburski świecznik, pisze Kraszewski do Chołonińskiego, gorejąc zbyt mocno, zaczął płynąć, puścił płomień wysoko, cieszył się nim i duma go gubi. Mnie z nim nie wojować w niczem, bo gdzie takie jest uczucie wyższości potężnej, jak tam przystąpić? Całe życie pracując nad sobą, wyznaję, że niczem nie jestem, że nic albo jak nic nie umiem. Ale właśnie może z tych powodów widok ludzi, co się mają za skończonych, za wielkich, niekiedy litość, niekiedy we mnie oburzenie sprawia“ (Artykuł Antoniego J... w Prz. n. i lit.). Współpracownik Tygodnika wypadło porachować się z mniej dobrze wychowanymi adwer-

sarzami i doświadczyć bardzo dotkliwych razów od szermierzy na pięście, od wydawców Gwiazdy (I—IV, 1846—1848). „Nowej szkole kijowski, pisze X. Y. Z. (1850), niebrak ludzi z energią, ale zarozumiałość dziecinna, nauki mało, wiele pretensyi, gburstwo w wyrażeniach i zjadłość odejmują jej wszelką wartość literacką. Obok Antoniego Sawy, obok Gryfła, ileż zer i zerrek. Jedni z przeciwników stoją na górze na szanę niedostępnym, drudzy z dołu rzucają kamieniami i błotem. Kijowanie czytani dla skandalu, który robią, książka ich, w którejby nie było zaczepki, satyry, pozostałaby w księgarni. Przeciwnicy ich choć ze wstrętem w rękę brani czytają się chętnie.“

Spółczeństwo, które w braku innej roboty tak gorliwie zajęte było balsamowaniem świętej przeszłości, miało jednakże codzienne troski, dotkliwe bóle i cierpiało na raka. Rakiem tym było poddaństwo, jarzmo niewoli, które na dobre już w wielu miejscach skruszył okrzyczany wiek XVIII. Zgrzyt zębów i jęk bólu nadawały się szczególnie do powieści. Podnoszenie tego tematu, chociażby tylko w artystycznej formie, było probierzem postępowości; tu się schodzili ludzie pobratani w idei, chociaż częstokroć będący różnych usposobień co do wyboru środków, jedni odkładający praktyczne rozwiązanie na czas nieokreślony, drudzy wyczekujący katastrofy i wietrzący nadchodzącą europejską zawieruchę z 1848 r. Rodzaj ten kwitnie w Athenaeum: w t. VI r. 1842 miesięc wydawca śliczną swoją „historią Sawki“, zużytkowaną później gdzieindziej, J. Korzeniowski dostarczył początku jednego z najcelniejszych swoich dramatów: „Górali Karpackich“ (I r. 1842). Pietkiewicz (Pług) dał współczesną powiastkę: *Dzieciobójca* (V 1850), w której panicz uwodzi wiejską dziewczynę, jej narzeczony zabija się z rozpacz i ojciec samobójcy zostaje potem skazany, niby za morderstwo własnego syna. Taż sama ogłędność na to, co powiedzą ludzie, kazała dodać i do tej powiastki omówienie: „niechcielibyśmy, aby autora i wydawcę wzięto za systematycznie czerniących przeszłość(?). A Pług napisał powiastkę bez tej zapewne myśli, my ją nieścimy, protestując się wyraźnie przeciwko celowi, jakiby jej przypisać chciano.“ Z takimiż samymi omówieniami przechodzi ostra satyra obyczajowa, ustępy z Parafianstczyzny L. D. Borkowskiego (1843), ulamki z Bigosu Hulajskiego, rzeczy, w których artysta X. Chołoniowski upatrywał wstrętny mu gry-

¹⁾ W 1846 tylko odpowiedź na recenzję „Witoldowych Bojów“, a w 1847 Nekrolog Justyna Majewskiego.

mas tatki Woltera (Prz. n. i lit. Sierpień 1878), i bez porównania jeszcze złośliwsze i dosadniejsze dzieło czecha Zapa: Zwierciadło żywota, podróże i przechadzki po Ilaliczu czyli Galicyi (II 1843), szkice z czasów bizuna i pańszczyzny, grubej ciemnoty i przerażającego zbestwienia się pa-nującą klasy. Tłumacząc te godne Hogartowskiego pędzla obrazy, wydawca przestrzega, że to tylko poklejone kawałki potłuczonego zwierciadła, że wszystkie rysy prawdziwe, ale excentryczne.

Dla zakończenia charakterystyki działu nowel i romansów w Athenaeum dodajmy, że tu stawili pierwsze kroki Zenon Fiss (1841 Noc Tarasowa, 1844 Para obrazów, para myśli) który się potem zaczął pisać Fiszem, a najszerzej zasłynął pod przybranym nazwiskiem Padalicy i utalentowana autorka wielu powieści i pamiętników z pobytu w Tobolsku i Berezowie, pani Ewa Felińska.

Dział poezyi w Athenaeum sprawia takie wrażenie, że wody Kastalskie płynęły w owe czasy obficie. Spotykamy wierszopisów najrozmaitszych dat i pochodzeń, starych klasyków, takich jak Wojciech Potocki, autor satyr (1843), romantyków najczystszej wody, jak Alexander Groza (Starosta Kaniowski VI 1841), romantyków podsztych metafizyką i całkiem niezrozumiałych¹⁾, podlotków obiecujących coś, którzy albo pomarli, albo wyjałowili (Łada Zablocki, des Perthees, Kowalski). Tu się mieszcza: prześlizgne, z Bajronowska pomyslane „Pożegnanie“ Norwida (Zegnam was o lube ściany... V 1842), wyjatek z niedrutowanego dotąd poematu Edwarda Zeligowskiego (A. Sowy): „On, Ona i Oni“ i co najbardziej cenne: wszystkie prawie utwory Kondratowicza, tak oryginalne jako i tłumaczone, należące do pierwszego przedwieńskiego jego okresu. Wiadomo, że pomieszczanie w tomie VI r. 1844 str. 205 gawędy: *Pocztynion* przez N. N. („Tu piją i gwarzą, ty jeden w tój wrzawie wyglądasz, jak jeniec w niewoli“) a głównie reklama o tój gawędzie Glücksbergowska stanowczo zdecydowały o przyszłym poetyckim powołaniu słowika nadniemeńskiego (L. Kondratowicz przez Tyszyńskiego w Bibli. Warsz. Sierpień 1872 str. 170), upoiwszy go na całe życie pragnieniem sławy i laurowego wieńca. Odtąd drukują się tu

przekłady z Sarbiewskiego, — Żebrak, Fundator i Grabarz, Skarb zaklęty i Łalka. N. Y. Z., który wątpi o poetyckim uzdolnieniu Sawy („daj Boże, aby to był poeta!“), niema dość słów uwielbienia dla Kondratowicza: „jednego tylko widzę z świętym ogniem poezyi rodzimego poetę: Wł. Syrokomlę, w którego przekładach więcej życia i twórczości, niż w innych oryginalnych utworach (1850).“ Wśród okoliczności otaczających Kondratowicza, życie jego mogłoby się było ułożyć całkiem inaczej; gdyby muza jego nieznalazła przytułku w Athenaeum, talent jego mógłby się całkiem nie rozwijać i nie dojrzeć.

Takiem było kółko, takie były siły i zasoby ugrupowane w czasopiśmie litewskim. Największe jego powodzenie przypada na r. 1844, gdy miało 222 prenumeratorów (art. Antoniego J... w Prz. lit. i nauk. str. 513), ilość ta nie pokrywała kosztów papieru i druku, a wiadomo, że nikomu nie płacono honorarium. W końcu 1844 przebijają się niejako zniechęcenie w liście wydawcy do Chołoniewskiego: „Athenaeum znów żyje.... ciężko jednakże być jego redaktorem w kraju, gdzie zwykle rzecz każda zyskuje z początku niechybne współczucie, którego nadal potem nie w świecie utrzymać nie potrafi... Gorąco w pierwszej chwili, mroźno w końcu (Prz. lit. i nauk. 1878 Sierpień str. 706).“ Ciężkie czasy wielkiej próby nastąpiły dopiero później, gdy i na wschód Europy przeszły podmuchy wielkiej zawieruchy z 1848 roku, za którą podążyła w ślad długa, bezwzględna reakcja. Niedosć, że w publiczności zmalało zajęcie literaturą a tém samem upadła liczba prenumeratorów, niedosć, że zachwiał się wszystkie prawie czasopisma, na przykład „Biblioteka Warszawska“, a T. Glücksberg odmówił Athenaeum swojego nakładu, niedosć że pismo, które nigdy nie było jaskrawém i szarém, lecz jeszcze oprócz tego opadały ręce u ludzi postępowych, bo poszły na marne i upadały, niby zmrożone, ich oczekiwania i nadzieje, zachwiana została wiara w umysłowość europejską, która służyła w wodnistym rozczyńnię i dla naszej umysłowości za pokarm. „Czego sobie i czytelnikom Athenaeum na Nowy Rok (1851) życzymy?“ pyta W. Wróblewski (VI 1850), i odpowiada: „Winszujemy sobie, że nie mamy socjalizmu, a życzymy, aby go nigdy nie było, zwycięstwo nad socjalizmem dla Francyi daleko ważniejsze,

¹⁾ *Ruiny* przez autora Lutni Chrystusowej III 1841. Kraszewski skarży się, że młodzi poeci dają zarysy otoczone mgłą i dymem, jakieś mieszanniny aniołów i poczwiar, kawałki myśli, rzeczy, obrazów bez wątku i nazwiska.

niż Marengo lub Wagram.“ Smutna pociecha, można by powiedzieć, jak odpowiadał Kraszewski Chołoniewskiemu, który się cieszył, że się kościół pozbył księdza Jucewicza; wygrana gorsza od kanueńskiej, boć pociągnęła za sobą ustalenie się nowego cesarstwa; opłaciła się w końcu Sedanem. Oprócz socjalizmu należało się requiem jeszcze jednemu nieboszczykowi. Burza zmioła wszystkie kombinacye pośrednie, pozostały zaś tylko zasady skrajne: stary nierozumujący katechizm i systematyczna niewiara, ulotniła się zaś cała filozofia idealistyczna ze wszelkiemi próbami szczepienia nowych zielonych gałązek postępu na zmurszałych starego drzewa konarach. Ostatni mohikanie metafizyki mogli odtąd zajmować się chyba tylko frazeologią, bo ich systemata były, jak pęcherze przekłóte, i wiara w skuteczność ich roboty przepadła. To też i W. Wróblewski śpiewa im *de profundis*: „odrzućmy naukę filozofów niemieckich, bo nudna, ciemna, a w ostatecznym wypadku niepoczeiwa. Niewierzmy nadewszystko ich nieszczeremu słownu: pogodzić ateizm z wiarą, entuzjazm z rachunkiem.“ Cóż pozostaje po tém rozbiciu się? W. Wróblewski chwytą się za ostatnią gałązkę: „życzymy ziomkom szczerze się imać sprawy słowiańskiej, bo ona jedna, jako pragnie, tak i potrzebuje naszej narodowości.“ Ten wysiłek ostatni sprawdził tylko przysłowie o tonącym i brzytwie. W danym razie wydawca omówił, że artykuł W. Wróblewskiego nie zupełnie trafia do jego przekonania.

Po usunięciu Glücksberga, upadające pismo legło całym ciężarem nie tylko pracy umysłowej, ale i nakładu na wydawcę. Kraszewski zapożyczał się, zbierał ofiary i starczył w końcu z własnej wcale nie bogatej kieszeni ¹⁾. „Tą ofiarą, powiada w zamknięciu, możemy się pochlubić, bo jest jedyną, która z mojej strony coś znaczy. Gdyś ważył pracę moją, czynilem tylko powinność, kiedyś tracił pieniądze — robiłem więcęć, niż byłem obowiązany, i tém pozwólcie mi się trochę pochlubić.“

Przy tém męczącym wyteżeniu wydawnictwo poszło znów jako tako, doborem artykułów ostatnie dwa lata nie ustępują poprzednim, a zewnętrzna forma, druk, papier, wiele zyskały, lecz naokoło wydawnictwa była wielka próżnia, lista prenumeratorów w 1851 spadła do 101 nazwisk

(1 r. 1851), widoczna, że ogół czytających nie o wiele przechodził po za liczbę piszących. W odezwie rozpoczynającej rok 1850 (31 stycznia z Hubina) znać zniecierpliwienie wydawcy: „przedewszystkiem nam idzie o zachętę życia umysłowego. Rzucić się, krzyknąć, zaszumić łatwo przychodzi; popracować wytrwale, równo, spokojnie prawie niepodobna. A myśmy tak leniwi, a tyle mamy do zrobienia.“ Tu następuje poetyczny ustęp, który Kondratowicz z parafrazował aż dwa razy w najpiękniejszych swoich utworach (we wstępie do *Dęboroga*: Każdy kupiec na drodze..., i w *Gawędzie* „Kęs chleba“: Jestto już dla nas nie nowa nauka): „Każdy z nas mieszka w kątku, którego ziemię gdyby w dłoń wziął i ścisnął przysnęłaby z nią myśl, krew, wspomnienie: tyle mógł po polach, tyle gruzów po górach, tyle podań u ludu. Czemuż to wszystko prawie nieuknięte leży? Bośmy leniwi, leniwi, jakbyśmy dowieść chcieli, że pochodzimy ze Wschodu. Obey nie mająż prawa nam powiedzieć: oto zmęczyli się kilkowiekowem życiem. To, co mówimy, zastosujcie do siebie wielce szanowni współpracownicy i czytelnicy *Athenaeum*; darujcie nam prawdę ostrą, lecz pożyteczną. Nie chodzi nam wcale o *Athenaeum*, ale o was“.

Przewidywany koniec nastąpił. Ostatni z dwóch spóźnionych toników *Athenaeum* z 1851 r., drukowanych w 1852, mieści zamknięcie (Hubin 14 lutego 1852), przesyłające cichy, smutny, serdeczny uścisk dłoni a pożegnanie z duszy i ubolewanie: „są koleje nieprzeblagane, losy nie przemodłone — wole Bożą, wola Boża i koniec. Pismo, które żyć nie może o swych siłach, już żyć nie potrzebuje. Smutny to wyrok, ale cóż robić — tak jest“. Na pismo, jak na mogiłę przyjaciela, rzuca wianek z nieśmiertelników wydawca złołaty, złamany, podupadły na zdrowiu, sercem chory, bo nadzieje, co trzymały, rozwiały się marnie; bo stracił wiarę, w co wierzył przed laty dwunastu, bo widzi wielką zmianę ludzi, rzeczy i gorliwości. „Przykro mi powiedzieć, dodaje, że pod koniec zrażony, zubożnięty nie nadał zbiorowi życia więcęć, więcęć siły. Przyznaję się do tej winy, ale 11 lat pracy bez owoców, mozół daremnych, trudów niewiele widocznych i nie wiele skutecznych, odbierają i wątpliwość największą sił zapas“.

Jakkolwiek te wylania się pełne goryczy, były niewątpliwie szczeremi, nie należy unniemać, iżby przedstawiały stały stan duszy wydawcy w całej pewnej epoce, w której były pisane. Organizm to był wyjątkowo giętki, bezprzykładnie spręży-

¹⁾ Ofiary były od pani Sobonińskiej i Wina. Czarnowskiego, pożyczki od Karola Drzewieckiego, Adolfa Dobrowolskiego i pani Daryuszowej Pomatowskiej.

sty. Zadne niepowodzenia, ani osobiste, nie mogły go rozstroić, lub zachwiać na czas dłuższy, owszem po chwili rozprężenia podwajały w nim energią. Niebawem oto olbrzym potoczył znów ciężki kamień pod górę. Po chwili rozbitek klecił znów tratwę i puszczał się na wielkie wody. Zdaje się, że przez dziwny wypadek w jednej osobie złożone były takie nieprzebrane skarby tej wytrwałości, którą on proponował (I r. 1850) wykreślić z naszego języka, bo jej brak w charakterze, że wystarczyłyby na setki tysięcy stosunkowo upośledzonych pod tym względem współziomków. Twórca „Anafielasu” zaledwo wstępował jeszcze w wiek męzki (lat 40), pora tendencyjnych Indowych powieści (Ulana 1843, Ostap Bondarczuk 1848, Budnik 1848) przeszła, ale gotowała się najcenniejsza może: „Powieść bez tytułu” (1855), przerobiona całkiem na nowo z ulubionego tematu, rozwiniętego już w „Poeta i Świat”.

Z niejakiego oddalenia rozważane stanowiło Athenaeum w życiu Kraszewskiego jeden z mniej wydatnych ustępów, prześcigniętych w późniejszych literackiej i dziennikarskiej jego działalności. Zewnętrzne warunki pisarstwa zmieniły się też wkrótce na lepsze; po wojnie wschodniej wśród rozpętych w Rosyi reform, prasa doznała nieco więcej folgi i swobody, dziennikarstwo nabyło trochę wagi i znaczenia. Znaczna część dawniejszych współpracowników Athenaeum skupił Kirkor (Jan ze Śliwina) około Kuryera Wileńskiego. Ożywiło się dziennikarstwo warszawskie. Późniejszy rozwój literatury peryodycznej, wstrzymany tylko na czas krótki przez katastrofę 1863 roku i jej następstwa, kazał zapomnieć o skromniejszych początkach. Dziś rzadki czytelnik wertuje 66 tomików Athenaeum, dzisiejszemu jednak historykowi literatury, chcącemu sąd wydać o tym czasopiśmie, przyszyłoby tylko przepisać prawie dosłownie zwężły, a ściśle, aż do surowości sprawiedliwy wyrok podpisany przez samegoż wydawcę w Zamknięciu: „Athenaeum wywiodło na pole pisarskie wielu a wielu ludzi. Wieluśmy zaprosili i niepotrzebnych tu gości, ale zasługa przechodzi winę. Każda niemal myśl bieżąca, każde zaprzątnienie, każdy kierunek, odbiły się w tym zbioru słabiej albo mocniej, nie namiętnie i fałszywie, ale poważnie i naukowo, wstrzeżnięzłwie. Zwrot szczególny ku literaturze właściwej i sztuce winniśmy potrzebie przeciwważenia wpływu literatury francuskiej i niemieckiej, ważnej drugiej potrzebie rozwinięcia smaku artystycznego. Naukę musieliśmy stroić, ubierać i maskować niemal,

by ją przypuszczano, bo nauki, jak pracy, nie milujemy wcale.” — W zbioru maluje się, jak w zwierciadle, obraz naszego piśmiennictwa krajowego, pochwycony w pewnej chwili, która minęła już bez powrotu. Z całego Athenaeum wyziera jeszcze wyraziście wielka, wszystkiemu współczująca, a przez to niesłychanie sympatyczna, ujmująca prostotą i skromnością postać samegoż wydawcy. Nie licząc korespondencji z współpracownikami i Wilnem, trzeba przyznać, że masa drukowanego w piśmie z rękopisów Kraszewskiego zadziwia ogromem, są działy, są tomy głównie przezeń wypełnione. Wydawca streszcza dzieło Hanusza o mytologii słowiańskiej i literaturze (II, r. 1843), „Dajnos” zbiór pieśni litewskich przez Rھے (1844), Roczniki gospodarstwa krajowego, przez lat dziesiętek (IV 1851), Polskę pod względem obyczajów i zwyczajów A. W. Maciejowskiego (III r. 1843), Filozofią natury Hegla (II, 1845), podaje ułamki romansów i powieści, dramatu (Jan z Nepomuk IV 1841), prześliczne studjum o Brodzińskim (VI r. 1844), wielkie oryginalne dzieło historyczne: „Litwa za Witolda” (1849), nieprzebraną ilość korespondencji literackich i artystycznych, masę krytycznie opracowanych materiałów historycznych. Człowiek spokojnej pracy, — człowiek bez złości i żądli, stroniący od wszelkiej polemiki, nie wywijał on nigdy krytyką, jak biczem, nie zaznaczał czerwonymi pręgami plecy ludzi w ten sposób wyeksekwowanych. Ta beznamietność, ten brak bojowniczego ducha, sprawiały, że Athenaeum nie miało wybitnego piętna, ostro zarysowanego charakteru, że się mniej podobało licznym gawiedzi, lubiącej razy, plazowanie i ciągi, niż dobrańszą publiczności o delikatniejszych gustach.

Wpływ Kraszewskiego, tak tu, jako i w całej literaturze, podobniejszy był zawsze do łagodnego światła księżyca w pełni, oświecającego z góry i z daleka, niż do ognia, który ogrzewa, ale i pali. Daleko większy artysta, niż krytyk, Kraszewski rzadko wyczerpał ocenianą rzecz do dna, ale z pierwszego rzutu oka zawsze wyróżniał, co miało wartość i przyszłość, dziwnie trafnym i cudownym prawie instynktem. Zdarzało się, że się uniósł i zbyt wysoko postawił albo nad miarę pochwalił nowostkę, nie zdarzało się, by się w gruncie rzeczy pomylił. Ponieważ Kraszewski jest człowiekiem oświaty w ogóle, ale nie człowiekiem jakiegokolwiek bądź stronnicztwa, więc ani w tym wczesnym okresie jego działalności, ani później sądzić go nie

podobna z kolorów i godeł na wywieszonym przezeń sztandarze. W ogóle o tych sztandarach rzecz można też samo, co o każdej religii: poznasz ją z owoców, ocenisz w zastosowaniu. Sztandar był wypróbowany, stary, pod nim kupiła się wiara od wieków, a stały na nim wypisane dwie rzeczy: *religia* (i to pewna określona religia a nie podmiotowa religijność), i to, co nazywamy *swojskością*, ale pod tym sztandarem, pod którymby stanąć nie zawahali się i obskuranci, znajdowała miejsce i użytek wszelka myśl nawet bardzo daleko

w nowatorstwie sięgająca, byle wypowiedziana z godnością, byle oddana nie jak skrawo a w formie poważnej dyskusji. Same kolory sztandaru i godła pasowały do chwili, odpowiadały usposobieniu społeczeństwa, wyrażały ówczesny stan sumienia narodowego. Kraszewski tak wtedy, jako i potem, był w tym względzie wysoce narodowym człowiekiem i zasługiwał na to, by o nim powiedziano: „*oni sumienie publiczne — to jedno.*“

W. Spasowicz.

II.

Działalność J. I. Kraszewskiego, jako redaktora Gazety Polskiej.

Rozwój dziennikarstwa warszawskiego w ostatnich czasach i nade wszystko owo pocieszające zjawisko, że klasy oświecone naszego społeczeństwa uważają nareszcie gazetę nie za przedmiot zbytkowy, lecz za rzecz nieodzownie potrzebną, na którą warto kilka złotych miesięcznie wydawać, — w znacznej mierze jest dziełem prac redaktorskich J. I. Kraszewskiego w owym czasie, gdy ten pisarz, najpłodniejszy ze wszystkich współczesnych, całą zdumiewającą działalność swego niewyczerpanego umysłu przez lat kilka skupiał prawie wyłącznie w zajęciach dziennikarskich, jako redaktor „Gazety Codzienniej,” później „Polskiej.”

Żywszy ruch w naszym piśmiennictwie peryodycznym niewątpliwie rozbudził się był wcześniej. Przed rokiem 1840 pisma poznańskie zachwycaly miłośników literatury ojczystej, a od r. 1840 „Biblioteka Warszawska” pod redakcją A. Szabrańskiego, lubo w mniej korzystnych wydawanych warunkach, z niemałym przecież powodzeniem przez lat kilka współzawodniczyła z tygodnikami poznańskimi. W r. 1842 E. Dembowski i H. Skimborowicz zaczęli wydawać w Warszawie: „Przegląd Naukowy,” który w krótkim czasie nabył wielkiego rozgłosu, zwłaszcza między młodzieżą. Czasopismo to, rzecz można, stanowiło epokę w dziejach prasy peryodycznej warszawskiej. Pierwszy Przegląd Naukowy śmiało rozwinał chorągiew postępu, którego to

hasła później prasa nasza tyle używać i nadużywać miała. Pod względem postępu z niektórymi innymi względami Przegląd Naukowy był niejako poprzednikiem Gazety Polskiej i z tego tytułu niech mi wolno będzie chwilę się przy nim zatrzymać.

Osobistość głównego redaktora Przeglądu Naukowego, Edwarda Dembowskiego, była jedną z najpiękniejszych, jakieśmy w życiu naszym spotkali. Młody, męzny jak lew — jak zwykle o nim mawiała nieodżałowana Narcyza Żmichowska — z urodzenia i majątku wielki pan, wysoce ukształcony, głęboki znawca filozofii heglowskiej, która wówczas królowała w świecie naukowym i z której wyciągał wyniki praktyczne dla reform w naszym społeczeństwie, pragnąc, jako gorący jego miłośnik, królestwo Boże w nim urzeczywistnić — pełen zapału niecierpliwego, jakby przeczuwał, że krótkim będzie piękny jego żywot, zapału najsłachetniejszego, ale popędliwego, który nie raz zapewne musiało powściągać doświadczenie wytrawnego współredaktora H. Skimborowicza, — E. Dembowski, jako redaktor Przeglądu Naukowego, na którego wydawnictwo nie szczędził swego majątku, wywierał wpływ silny na współczesnych, a szczególnie na młode pokolenie. Serdeczny przyjaciel ludu pracowitego a nieco stronny przeciwnik przemownej wówczas klasy obywateli ziemskich, do której sam należał, Dembowski zawzięcie zwalczał dążenia ultrazachowawcze, wsteczne i na-

wet sprzeczne z duchem narodowym, których przedstawicielami w owym czasie byli: H. Rzewuski (Jarosz Bejła), M. Grabowski, I. Hołowiński, i inni pisarze litewsko-ukraińskiej szkoły. Rzecz godna uwagi, że Kraszewski, który z miejsca ówczesnej działalności swojej pisarskiej należał do tych pisarzy, był właśnie współpracownikiem Przeglądu Naukowego. Pośród wybornych, ostrém piórem Dembowskiego i Skimborowicza pod pseudonimem Wróblewskiego pisanych krytyk na dzieła wspomnianych pisarzy, Przegląd Naukowy drukował bardzo ładny obrazek dramatyczny J. I. Kraszewskiego „Poeta, jakich wielu.“ Tu także K. Libelt ogłaszał cenne prace historyczno-filozoficzne; tu genialna Gabriella zamieszczała swoje słeczne powieści; tu występowali młodzi poeci warszawscy i pisarze postępowi: R. Zmorski, W. Wolski i C. Norwid, którzy wzięci wtedy obiecywali, niż później dotrzymać mieli Jan Major-kiewicz, młody utalentowany filozof, którego rychło praca olbrzymia zabić miała, i A. Niewiarowski, który miał później stać się nieczłowiekiem dotychczas felietonistą, mistrzem kwiecistego frazesu i rzeźbiarzem misterynych arabesków stylowych.

Po śmierci E. Dembowskiego Przegląd Naukowy wychodził jeszcze lat cztery a potem umiarkowanie jak się zdaje, dla braku funduszy,—bo niestety, ów *verrus rerum*, pieniądź, bardziej jeszcze, niż w innych przedsiębiorstwach, potrzebnym jest u nas w wydawnictwie pisma peryodycznego, jeśli jego celem ma być przedewszystkiem dobro społeczeństwa. Już E. Dembowski wprowadzić utrzymywał, że literatura u nas obejdzie się bez mecenasów; było to jednak złudzeniem szlachetnego człowieka, który zresztą sam był prawdziwym mecenasem literatury krajowej. A co było złudzeniem za czasów Dembowskiego, było niemi jeszcze w najświetniejszym peryodzie działalności redakcyjnej J. I. Kraszewskiego, gdy Gazeta Polska miała ogromną liczbę prenumeratorów, a jednak właściciel jej ówczesny musiał znaczne summy dla przywrócenia równowagi w jej budżecie dokładać. I sądzę, że jak wówczas, tak i dziś jeszcze, mecenasi literatury bardzo byłiby pożądanymi.

Bądź jak bądź, z ustaniem wydawnictwa Przeglądu Naukowego, przedsięwziętego bezinteresownie i jedynie dla dobra ogółu, świetne ognisko postępu w prasie warszawskiej zgasło, i dopiero odżyć zuw miało w innem wydawnictwie, także bezinteresownie i wyłącznie dla dobra ogółu w imię

zaczęto i pożytecznego postępu przedsięwziętym w r. 1859, gdy J. I. Kraszewski objął redakcją ówczesnej Gazety Codziennej¹⁾.

I widzieliśmy wówczas zjawisko rzadkie, może na długo nie mające się powtórzyć, a w każdym razie do owego czasu bezprzykładne: dwie największe w kraju naszym potęgi ówczesne, umysłowa i finansowa, połączyły swe siły, żeby z gazety utworzyć organ prawdziwego, zdrowego i zacnego postępu. Już samym urokiem swego sławnego imienia Kraszewski mógł do współpracowników zachęcić wszystkich najznakomitszych pisarzy polskich ówczesnych, z którymi wszystkimi przyjacielskie wiązały go stosunki; ze swej zaś strony ówczesny właściciel Gazety Polskiej, śp. Kronenberg, którego zacnym względem kraju uczuciom i zasługom obywatelskim wszyscy dziś należną sprawiedliwość oddają, szczerą dłoń dostarczał funduszy na opłacenie tego współpracownictwa. Jakoż najgłośniejsi pisarze polscy w kraju i zagranicą byli za redakcją J. I. Kraszewskiego współpracownikami Gazety Polskiej. Europejskiej sławy ekonomista L. Wolowski, członek Instytutu i Główna prawodawczego w Paryżu, pisywał wtedy do felietonu Gazety Polskiej przeglądy nauk społecznych i artykuły o instytucjach kredytowych. Świetny pisarz polski i francuzki, najznakomitszy dziś współpracownik paryskiego czasopisma: „Revue des deux Mondes“, Julian Klaczko, drukował w G. Polskiej Listy włoskie, w owym czasie bowiem podróżo-

¹⁾ Piszę to, nie nie myślę uwłaczać zasługom Gaz. Warszawskiej, do której po upadku Prz. Naukowego przeszli prawie wszyscy jego współpracownicy warszawscy: Gabriella, W. Wolski, A. Niewiarowski i inni, i do której Kraszewski także często pisywał. Owszem, Gazeta Warszawska pod redakcją dziennikarza tak wysoce uzdolnionego, jak A. Lesznowski i J. Kenig miała wówczas świetne powodzenie i, jak Kurjer Warszawski, była przedsiębiorstwem dziennikarskiem, które właścicielom swoim przynosiło sporo zysku pieniężnego; ale jako wchodząca w skład majątku familijnego, którego uszczuplać i rezykować się nie godziło, z położenia swego G. Warszawska nie mogła występować z początkowaniem nowych torów i kierunków i narazić się na wydatki przewyższające dochody, co u nas jest nieuniknione, jeśli pismo wydaje się bez względu na korzyści lub straty materialne. G. Warszawska zawsze szła ostrożnie za opinią publiczności prenumerującej, opinią zaś tej kierować ani prostować nie śmiała, i nawet choćby chciała, z położenia swego nie mogła. Dla tego myślę, że nie będę posądzony o stronność, gdy powiem, że po upadku Prz. Naukowego dopiero G. Polska pod redakcją Kraszewskiego stała się organem publicznym zgoła bezinteresownym i mającym jedynie zdrowy postęp społeczny na celu.

(Przep. Autora).

wał był po Włoszach. Z prac sławnych historyków naszych drukowała wtedy G. Polska K. Szajnochy: „Miecznik koronny Jabłonowski, wspomnienie historyczne,“ „Powieść o niewoli pogańskiej,“ „Krzysztof Opaliński,“ i „Urazy królewiat polskich;“ Augusta Bielowskiego: „Niektóre rysy z życia Stanisława Żółkiewskiego,“ oraz liczne prace J. Bartoszewicza. Z poetów, K. Brzozowski konsuł hiszpański w Syrii drukował w G. Polskiej poemacik: „Dzieci;“ Władysław Syrokomla: „Biografią Kosacza,“ J. Chęciński komedią: „Porządni ludzie,“ W. Szymanowski komedią: „Dzieje serca“ i wreszcie J. Bliziński, dziś tak wysoko ceniony komedyopisarz, pierwszy swój, ile wiem, twór, obrazek dramatyczny wierszem pod t.: „Imieniny.“ Z powieściopisarzy wreszcie drukowały się wtedy w Gazecie Polskiej utwory J. Miniszewskiego, którego talent pisarski Kraszewski wysoko cenil i niektóre powieści prawdziwemi arcydziełami nazywał: „Pamiętniki lokatora“, „Hipoteka szczęścia małżeńskiego,“ „O melancholii osobliwej“ i t. d. Poniekąd zaliczyćby tu można jeszcze i Wiktora Hugo, z którym Kraszewski zawarł był układ nadający Gazecie Polskiej taki, wyłącznie jój jednej tylko w całym dziennikarstwie europejskiem służący przywilej, że pierwsza połowa każdego tomu sławniej powieści: „Nędznicy“ drukowała się w niej w przekładzie wprzód, nim oryginał całego tomu ukazał się w handlu księgarskim. Z licznych korespondentów, którzy wówczas pisywali do G. Polskiej wymienię tylko: E. Chojeckiego, zajmującego i we francuskiej literaturze poczesne miejsce pod pseudonimem Charles Edmond, który stale raz na tydzień pisywał listy polityczne z Paryża; Z. Węgierską, której dowcipne Kroniki paryżkie były w swoim czasie bardzo cenione; W. Bętkowskiego, posła sejmowego w Berlinie, syna autora pierwszej: „Historii literatury polskiej,“ który przysyłał korespondencje z Poznania; A. Bialeckiego, dzisiejszego profesora uniwersytetu warszawskiego, z Petersburga i z Niemiec południowych, Lenartowicza z Florencji, Blizińskiego z Kujaw, Fudakowskiego z Ukrainy, Bądzkiewicza z Wilna, Szumka ze Lwowa, Wierzchlejskiego z Suwałk i t. d. i t. d.

Z warszawskich literatów stałymi wówczas współpracownikami G. Polskiej byli: K. W. Wójciecki, J. Bartoszewicz, H. Skimborowicz, W. Anczyce, F. H. Lewestam, W. Zieliński, E. Leo, W. Szymanowski, L. Rogalski, J. K. Gregorowicz i wielu innych.

Tak liczne grono znakomitych lub wy-

soco uzdolnionych współpracowników, przy olbrzymiej działalności samego redaktora, J. I. Kraszewskiego, musiało rozbudzić życie zajęcie publiczne. Liczba prenumeratorów G. Polskiej wzrosła do niesłychanej do owego czasu w piśmiennictwie peryodycznem wysokości 8,000, a bez przesady przypuszczać się godzi, że Gazeta miała wówczas z dziesięć razy tylu czytelników. Silny popęd został nareszcie dany, publiczność zasnakowała w gazetach, które odtąd stały się jój chlebem powszednim, i zajęły miejsce w budżecie wydatków zwyczajnych.

Chcieć dokładnie dać wyobrażenie o olbrzymiej działalności J. I. Kraszewskiego przy G. Polskiej, byłoby rzeczą niemożliwą. W ciągu niecałych lat czterech czynności redaktorskich—Kraszewski objął redakcją G. Codzienną w lipcu 1859 roku—gdyby się zebrało wszystko, co w tym krótkim peryodzie napisał w gazecie i wydrukował, utworzyłoby to ze trzydzieści tomów, a jak gdyby mu jeszcze i tej działalności dla oświaty kraju było za mało, w celu krzewienia jój między najniższemi klassami, w początkach r. 1862 zaczął wydawać: „Bibliotekę ludową“ i kilka książeczek w tym celu napisał; dla rozszerzania zaś wiadomości o literaturze zagranicznej, których łamy gazety pomieścić nie mogły, od lipca tegoż roku wydawał „Przegląd europejski.“

Z obszerniejszych prac Kraszewskiego, w owym peryodzie drukowanych w G. Polskiej, wymienię powieści: „Syrena,“ (wyciąg z pamiętników Ktosia) i „Kopciuszka,“ studjum obyczajowe: „Dziś i lat temu trzysta,“ „Listy z tamtego świata,“ „Kartki z przejażdżki po Europie w r. 1858,“ „Silva rerum“ (różne studia obyczajowe i historyczne), „Listy z podróży do Belgii, Francji i Włoch,“ podczas której ze sto takich listów w r. 1860 w gazecie wydrukował; „Odczyty o cywilizacji w Polsce,“ „Listy z Mokotowskiej ulicy“ (sprawozdania o ważniejszych ówczesnych broszurach politycznych) i t. d.

A ile to jeszcze innych rzeczy pisał do gazety, ile artykułów wstępnych i tak zwanych znaków (X), których nieraz po kilka i kilkanaście drukowało się w jednym numerze! Nadewszystko podziwiałem płodność Kraszewskiego w pisaniu artykułów wstępnych. Bywały dnie, w których po trzy i cztery na raz jego artykuły o polityce zagranicznej i sprawach wewnętrznych G. Polska drukowała. Kto wie z doświadczenia, jak jest rzeczą mozolną, żmudną i niewdzięczną pisanie artykułów wstępnych, ten podziwienie moje podzieli. Za granicą, gdzie

dzienniki, jako organa stronnictw politycznych, stanowią potęgę moralną, i gdzie pisanie artykułów politycznych rozumowanych dla kierowania opinią publiczną, stało się koniecznością, zwykle jest po kilku redaktorów, kolejno te artykuły piszących, tak iż na jednego wypadła po dwa lub najwięcej po trzy takie artykuły na tydzień, zwłaszcza w dziennikarstwie francuzkiem i angielskiem. Kraszewski zaś pisał sam jeden, pisał prawie codzień i nieraz nawet po kilka artykułów wstępnych dziennika. A zważmy, że to nie był dziennikarz zwyczajny, oddawna w rutynę gazetarską zaprawiony; że to był pisarz wielki, którego tylko sprawy ludzkości, a nie bieżące wypadki polityczne, żywo obchodzić mogły. Wyobraźmy sobie Wiktora Hugo, któryby w swoim dzienniku „Rappel“ codziennie pisywał artykuły wstępne o sprawach Obojga Sycylii, Irlandyi i wysp Ilońskich, o kwestyi rzymskiej, o budzecie austriackim, o intrygach dyplomatycznych w Konstantynopolu, o bójkach w Hercogowinie i o interesujących księstwach Serbii i Czarnogórze. Jestem pewny, że po dwóch tygodniach tej pracy niewdzięcznej porzuciłby go na zawsze. A Kraszewski nie porzucił, lubo i jemu ta praca musiała się zdawać nieznosnie uciążliwą. Za to, gdy się zdarzyły wypadki, które żywo go zajęły, które przemówiły do jego wyobraźni i wstrząsnęły duszę, wówczas pisał z rozkoszą, z zapalem, natchniony, i—jak mi mówił,—szczęśliwy; to też wtedy jego artykuły wstępne były arcydziełami.

Kraszewski, jako dziennikarz, był przede wszystkim moralistą głębokim, co ma zresztą wspólne ze wszystkimi prawie naszymi wielkimi pisarzami. Jak zaś Kraszewski pojmował dobro kraju i postęp prawdziwy, jak rozumiał zadanie dziennikarza i powinność obywatelskie, nie mogę tego lepiej okazać, jak przytaczając własne jego słowa w G. Polskiej drukowane.

Obejmując redakcyą G. codzienną w Lipcu r. 1859, Kraszewski pisał między innemi: „Dziennik nie może iść za słabostkami i upodobaniami chwilowemi, ani pochlebiać namiętnościom, ale spełniać poważnie i surowo swe posłannictwo stróża i przewodnika, doradcy i tłumacza. Tego dokazać niepotrafi, jeśli naprzód nie stanie na stanowisku ogółu i nie wzniesie w sobie gorącego współczucia dla rzeczy wielkich i świętych.”

„Z siłami, których czujemy niedostateczność, zagrzani miłością dla kraju, pragnieniem jego dobra, bierzemy nie bez obawy

pióro do ręki, z mocnym postanowieniem spełnienia tego, co mamy za obowiązek, sumiennie i ściśle.”

„Przywiązanie do świętej wiary naszej, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy mającej przyszłość zgotować, oto zasady zawsze stałe i jedne, któreśmy dwudziestokilkoletnią pracą wyznawali, z niemi przychodzimy do tego nowego dla nas i trudnego zadania, nie tając przed sobą, ani niebezpieczeństw, na jakie się narażamy, ani wielkości przedsięwzięcia....”

„Walczyć będziemy za prawdę przeciw fałszowi, nigdy przeciwko indywiduum:—bogdajby z nieprzyjaciółmi osobistymi dla prawdy, bogdaj przeciwko najbliższemu dla niej. Cel dziennika stoi dla nas wyżej nad wszelkie rachuby osobiste,—poświęćmy mu więc chętnie i chwilową wziętość i wszelkie materialne korzyści.”

Jako warunku nieodzownego w świadomym pracowaniu dla społecznego postępu, żądał Kraszewski gorącego przywiązania do kraju i gotowości do ofiar ze swoich osobistych korzyści. „Miłość, a jako czyn jej poświęcenie i ofiara—pisał d. 11 Września 1859 r. w artykule wstępnym o postępie prawdziwym—oto *critérium* postępu” Z takiego zapatrywania się na postęp naturalnie wynikały jednakże powinności i jednakie prawa dla wszystkich, dla jednostek i dla klas społeczności, i jednaki szacunek dla wszystkich bez różnicy stanu, urodzenia i wyznania, byle wszyscy pospołu, każdy w swojej sferze, wedle możności dla postępu społecznego pracowali. Ta wspólność znacznej pracy przy wzajemnym szacunku jest według Kraszewskiego podstawą zdrowej cywilizacji, o której w tymże 1859 r. tak pisał w artykule wstępnym: „Co tylko stoi samo, przepaść musi — *vae soli!* Dla tego ani człowiek nie będący członkiem czynnym społeczności, ani klasa w narodzie wydzielająca się z niego, ani naród, który się od ogólnego postępu ludzkości odłącza, trwać nie mogą.”

W owym czasie dźwignienie bogactwa narodowego, tej podwaliny społecznego postępu, było jedną z potrzeb najpilniejszych. Klasa właścicieli ziemskich, czyli tak zwana pospolicie szlachta, była wtedy w takim położeniu, że prawie niepotrzebowała pracować; stanowiła więc, jakby kastę uprzywilejowaną, odrębną i wyniesioną nad inne klasy społeczeństwa. Z tego to powodu E. Dembowski, jak wyżej powiedziałem, był jej przeciwnikiem, acz sam do niej należał. Kraszewski i ówczesny właściciel G. Polskiej, L. Kronenberg, nie byli prze-

ciwnikami żadnej klasy, kochali zarówno gorąco wszystkie, jak cały kraj, ale chcieli równouprawnienia wszystkich w szacunku i poważaniu publicznem; chcieli, żeby własność ziemską stała się przemysłem równie umiejętnym i pracowitym, jak inne gałęzie przemysłu krajowego; chcieli, żeby szlachcic, fabrykant, kupiec i rzemieślnik, wzajemnie a równie cenili wartość swęj pracy społecznej i świadomie przyczyniali się do rozwoju bogactwa narodowego. I krzyczano wówczas na nich, że krzewią materializm, że popychają kraj do plutokracji, do gonienia za zarobkiem, do bogacenia się i do żydowszczyzny, i że te ich dążenia są sprzeczne z duchem naszej przeszłości. Dziś niktby już takich zarzutów nie brał seryo. Dziś lepiej umiemy cenić ważność przemysłu i handlu dla pomyślności kraju; dziś nie wątpimy już, że bogactwo pominąa dobrobyt ogólny, i daje środki pracowania dla społecznego postępu. Okazał to w czynach ówczesny właściciel G. Polskiej, a nie inaczej Kraszewski zapatrywał się na znacznie społeczne zamożności indywidualnej. Dnia 23 Sierpnia 1859 r. Kraszewski w jednej ze swoich „Silva rerum“ tak pisał w tój gazecie o bogaczach: „Człowiek potrzebuje maluczko dla siebie samego; jeżeli ma więcej nad to, co potrzebuje, jeśli pozyskał, nabył, zapracował,—to, co posiada, przekazane mu jest niejako fideikomissem Opatrzności. Staje między nią a ogółem. jako pełnomocny szafarz jęj darów, niekoniecznie, by tylko jałmużnę rozdawał ubogim, ale by do większych i wyższych celów Bożych siłą nagromadzoną i skupioną w swych rękach posługiwał.... W ich ręku nie losy maluczkich rodzin leżą tylko, ale często losy idei, wszystkich przedsięwzięć, ulepszeń, reform, dźwigni, któręmi podnoszą się wieki całe, które są jak stopnie wschodów postępu.“

Zdaje się, że nie można już radykalnieję pojmować ciężkich powinności bogactwa, które Gete nazwał raz szczęściem największém, a które w gruncie rzeczy jest jedną z najsilniejszych pokus dla słabęj woli ludzkieję. Kto się opiera tym pekusom, kto majątek odziedziczony po przodkach lub własną uczciwą pracą nabyty, uważa według słów Kraszewskiego jako „przekazany mu fideikomissem Opatrzności,“ aby go na dobro kraju obracał, czyż taki człowiek, gdy postępuje zgodnie z tęp przekonaniem, nie należy do najpożyteczniejszych członków społeczności i czy w jęj samęj interesie nie jest pożądaniem, aby jak najwięcej takich bogaczy posiadała? A jednak za te ar-

tywały o znaczeniu społeczném bogactwa nowe podniesiono na Kraszewskiego krzyki: że pochlebia bogaczom, że wartość ich wywyższa kosztem skromnej pracy ubogich i tđ. Na te krzyki Kraszewski wręcz odpowiedział, że pod względem moralnym więcej ceni ubóstwo nad bogactwo, ale ubóstwo znaczne, mężnie i z godnością znoszone. W artykule wstępnym d. 5 Stycznia 1860 r. tak pisał między innemi: „Bezsilne narzekania, szyderskie budzenie do nienawiści ku możniejszemu, schlebianie ich namiętnościom i wysługiwanie się próżniacze dla okruszyn ich stołu — oto, co hańbi ubóstwo i czyni je politowania godnē. Ale ubóstwo wesole, pełne miłości i uczucia godności własnej, niezmordowane w pracy, niezrażone przeciwnościami, jest najpiękniejszym obrazem, jaki świat dać może, jest ideałem dla poety, jest wzorem dla wszystkich, jest najpiękniejszē polem popisu dla mężnej i wielkiej duszy.“

Zresztą zasady swoje Kraszewski jasno przedstawił w następującym programie, który d. 2 Kwietnia 1861 r. z okoliczności zmiany tytułu Gazety Codziennęj na Polską ogłosił:

„Sądzimy, żeśmy zrozumieli ducha narodu i jego instytucji charakter, na czele stawiając jako zadanie główne dziennika moralne równouprawnienie stanów, wyznaczenie klas społecznych i powołanie do jednakich praw obywatelstwa, wszystkiego, co z łona ziemi naszej wyszło i z piersi jęj ssalo życie.“

„Stoimy w tęp zarówno w zgodzie z prawdą wieku naszego i duchem odwiecznym ustaw polskich, które, jeśli nie spełniły się w czynie, wskazały myślą i słowem ten cel ostateczny swych dążeń.“

„Nie każdemu narodowi daném jest myśleć w łonie jego żyjącą wypiać do samostnego objawu, ale obowiązkiem dzieci, by ojcowskie spłacyli długi.“

„Tak pojmujemy na szerokich podstawach ludowych, na rozległej osnowie równo-obywatelstwa przyszłość kraju naszego i podniesienie jego moralne.“

„Myliłby się, kto by ztąd wnosił, że chcemy zrównać i zniwelować społeczność, która nieprzerwanie dzielić się na możnych i ubogich, znaczących i nieznaczących, bo siły umysłu, serca, pracy, jednych dźwigają wysoko, drugich strącają nisko.“

„Szauujemy w tęp wymiar sprawiedliwości opatrzny, płacący trud, uwieńczający zasługę, a często cierpieniem probierząc hartujący człowieka, którego wielkość moralna nagle podnosi z krzyża męczeńskiego na stolicę tryumfatora.“

„Stany i powołania są nieodłącznym od wszelkiego bytu fenomenem; ale stanów nie powinien dzielić przywilej: praca i zasługa wszędzie prowadzić powinny, nikt nie ma prawa oddzielać się i wyłączać ani dostatkami ni rodem.“

„Szczujemy pamiątki rodzinne, cenim symbole krwawe starych zasług dla kraju, ale w nich widzimy tylko przypomnienie obowiązków, godła poświęceń nowych. Obok tych klejnotów i szabli rycerza, młot rzemieślnika, lemiesz wieśniaka. kupiecki łokieć i wagę mamy za równie godne poszanowania, gdy je uczciwe, pracowite piastują ręce.“

„Oto nasza wiara społeczna..... oparta na przekonaniu, że tylko poświęceniem osobistym się uszlachca, że tylko praca daje życie.“

„Tę pracę, jako środka do osiągnięcia moralnego, więcej jeszcze niż materialnego dobrobytu, jesteśmy niegodnymi apostołami. Wszelką pracę mamy za równie godną, każdą za użyteczną dla duszy a obowiązkową dla kraju. Wierzymy w to, że pracą tylko do sił przyjść można, że wytrwaniem w niej, nabywa się nie tylko mienie, ale charakter,— a cenim dobry byt i bogactwo dla tego, że one są rękojmią niezawisłości, że dają środki wszelkie do potężnego działania, że zwiększenie ich nie dla indywidualu, lecz dla kraju jest potęgą. Nie o bogactwo pojedynczych ludzi, lecz o rozwinięcie sił wszelkich ziemi naszej nam idzie.“

„Widzimy się w konieczności powtórzyć to raz jeszcze, aby ten cel postawić przed sobą i mieć go ciągle przytomnym.“

„Szczujemy wiarę przodków naszych i święcie wierzymy, że zasady chrześcijańskiej prawdy, są podstawą wszelkiego postępu i duszą nowej epoki; ale wolność sumienia zostawujemy każdemu i przekonani jesteśmy, że moralność ewangeliczna jedna jest z moralnością wiekniastą, wrodzoną, którą jaśniej tylko przedstawia i przykładem, krwią i męczeństwem uświęca.“

„Wierzymy w to, że ludzkość postępuje, rozwija się, doskonali, i że jej celem jest prawda, dobro, piękno, do których rzeczywistość idzie stopniami, nie cofając się chyba chwilowo, aby żywioł naprzód się posunąć. W to stopniowe doskonałenie się praw, instytucji, społeczności, w to zdobywanie prawdy i wcielanie jej w życie, wierzymy najmocniej i dla tego wszystko, co wstecz nas cofa i usiłuje zatrzymać, za szkodliwe uważamy. Jak gwałtowny pochód niewczesnym być może i opóźnia, bo normalne postępu prawidła targa, tak upiera-

nie się w miejscu świętokradztwem jest przeciw Bożej myśli w dzieje ludzkości wcielonej, bo walczyć z nią usiłuje.“

„Jako środek jedyny do poparcia przekonań naszych, uważamy śmiało i otwarcie wypowiadanie prawdy zawsze i wszędzie, choćby z niebezpieczeństwem osobistym, choćby z narażeniem się opinii.“

„Nie wiążąc się żadnymi stosunkami osobistymi, żadną solidarnością stronnictwa ani względami prywaty, gotowiśmy w obronie prawdy i zasad naszych iść przeciw wszystkim; ale, bojując z fałszem, niechcemy tykać osobistości nieczyjjej, szanujemy godność osobistą i przekonanie każdego.“

„To są zasady, którymiśmy się kierowali i kierować będziemy w dalszym wydawaniu dziennika naszego.“

A w ciągu kilkoletniego zawodu redaktorskiego, Kraszewski miał nieraz chwile bardzo ciężkie, gdyż miał wysokie wyobrażenia o obowiązkach dziennikarskich i brał je bardzo seryo, a pełen ufności, jaką daje przeświadczenie, iż się szczerze i sumiennie dla dobra kraju pracuje, wcale nie zważał na chwilowe i zmienne upodobania publiczności i bynajmniej im nie schlebiał. Dnia 19 kwietnia 1860 r. tak pisał o obowiązkach dziennikarstwa:

„Prawdziwem powołaniem dziennikarza jest, o ile ludzka nómność pozwoli dobać się prawdy, dobadaną wypowiedzieć, za wypowiedzianą cierpieć. Jeżeli nie pojmy nas odrazu i o najprzeciwiejsze oskarżają dążności, czas, do którego odwołujemy się nieustannie, rozprószy i obali uprzedzenia, wymierzy sprawiedliwość.... Jeżeli prawda zawsze równie jasną się nam ukaze, wolimy zostać z nią zapoznani, niż uleść naciskowi chwilowych namiętności, bo ogół prędzej czy później widzi jasno, sądzi zdrowo i tych, co mu schlebiali uniżenie, potępi“.

W innym znowu artykule tak zalecał dziennikarzom odwagę i szczerłość w wypowiadaniu swych sądów (Art. wstęp. 2 lutego 1860 r.): „Wszędzie wybaczona ta słabość (nieszczerość), tylko nie w literaturze, nie w krytyce i w dziennikarstwie, gdzie, kłamstwa pisząc dla jakichś tam względów, na siebie wyroki glosim, nie na tych, o których sądzimy. Tu można oddzielić szacunek, jaki się ma dla człowieka, a przeciwie zdaniu jego i opinii, można potępić przyjaciela, można i trzeba oddać sprawiedliwość temu, co nam jej wymierzyć nie chce. Ale pierwszym obowiązkiem prawda, drugim prawda i ostatnim prawda... O! lepsze były czasy, gdy pióro do czegoś obowiązywało; dziś ono orze — ale nie na świętą

siejbę, lecz na pańszczyźniany zagon zarobku i lichój dodniowej sławy“.

O godności naszego społeczeństwa miał Kraszewski wzniosłe a bardzo uzasadnione wyobrażenie. Jak szlachectwo w przysłowiu francuzkiem, tak nasze położenie obowiązuje; powinno przyspieszyć naszą dojrzałość moralną i wzniesić ogół nad słabostki ludzkie. Kraszewski chciał, żeby nasz ogół był wyższym nad wszelkie słabostki. Bardzo pospolicie naprzykład jest słabostką, że lubimy nagany cudze i szyderstwa z ludzi, zwłaszcza, których wyższość nad sobą czujemy. Już Gete powiedział, że własna chwała wprawdzie cuchnie, ale jaką ma woń cudza nagana i szyderstwo z drugich, na to nie mamy nosa; Kraszewski zaś tak skarcił tę wadę (art. wstęp. 29 stycznia 1860 r.): „W średnich wiekach już mawiano, że plus negare potest asinus, quam probare philosophus; prawdzi się to co chwila, a jednak lada dowiepek kulawy, lada żartowniś gminny łatwo zyskuje patent na wyższość nmysłową, byle sztydzić potrafił... Złe narzuca się samo, szukajmy dobrego“.

Inną słabostką — osłanianie egoizmu swego płaszczykiem pracy gwoi publicznej — dobru, tak wychłostał Kraszewski (art. wstęp. 9 maja 1860 r.):

„Piszą nam dziwy o amerykańskich humbugach, i rzeczywiście prospekta Barnuma łowodzą, że tam doskonale pojęto, jak do ludzi przemawiać trzeba, aby ich ze słabiej pochwycić strony. Gdybyśmy jednak z równie znaczących domorosłych faktów wnosili chcieli o moralnym stanie i rozwoju kraju naszego, ledwieby nie przyszło sądzić, żeśmy na wysokości Ameryki. Wprawdzie zdawa się to wszędzie, że ludzie ludzi eksplodują i, szumnymi frazami przemówiwszy do najżywszego ich uczucia, starają się zarobić na popularność i swoją upiec grzanekę — ale nie wiem, czy gdzie tak pocziwego przywiązania do kraju i uczuć zacnych nadżyto, jak u nas.“

„Niedawno przywiedliśmy tu przykład siążki kucharskiej, dla większego pokupu atyulowanej kuchnią i apteczką narodową; ale gdyby przyszło wyliczać tego rodzaju akta, obrachować, ile rzeczy nazwanych olskiemi, naszemi, choć nie wiele wartych, rzeszło w tym straju do potomości i popularności — za długiebyśmy spisywać mieli rejestra.“

„Patrząc na to nadużycie i mileząc długo, nutne nas ogarniało uczucie. Gdy się przychodzi do tego, że w imię najświętszych ci ludzie drobne swe osobiste potrzeby kładą, gdy się nie waha nżyć najszanowniej-

szych imion i myśli dla prywaty — źle tam zaprawdę z imionami, ideami i ze świętościami. Dowód to, że u ogółu jest poszanowanie idei, ale zarazem, że ci, niby wybrani, co doń przemawiają, już tylko korzystają zeń umieją, ale z nim wiary i uczucia nie dzielą.“

„Popatrzmyż bezstronnem okiem na to, co się u nas dzieje; wszyscy wyłącznie i jedynie pracujemy tylko dla kraju, tylko dla dobra ogólnego, nikt dla siebie; wszyscy się poświęcają dla ludzkości, poczynawszy od stróża kamienicy, który domaga się medalu za to, że lat dwadzieścia śmiecie wymiatał i był reprezentantem idei porządku, aż do literatów, którzy zarzynamy się na ołtarzu *pro publico bono*!“

„Wyjdzie dwudziestokartkowy świstek.... pisarz zasłużył się krajowi, poświęcił dla ogółu, górą nosi czoło brzemienne myślami i wieńcem; przetłumaczył kto wodewil z francuzkiego, jest zasłużonym pracownikiem na niwie ojczystej, obleka się szatą kapłańską... i tak dalej i tak dalej. I ten, co sklep korzenny założył, mówi o ofiarach dla krajowego żołądka, i ten co zjada u niego ostrygi, jest ofiarą, i ten co pożycza na dwadzieścia cztery procentu, i ten, co je biorąc, bankrutuje przez poświęcenie.... wszystko ofiary, ludzie zasłużeni, cierpiący dla idei...“

„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że są ludzie, co czynią ofiary, że są ludzie zdolni do poświęceń i w cichości je spełniający, ale nikomu podobno nie wolno zwać się bohaterem ani ofiarą. Ofiary przyszłość obiera i wieńczy, nikt się na nie sam nie zamianował. Ostatecznie z myśli wielkiej, z uczucia świętego czynimy sobie igraszkę; poniewieramy jej i szarżamy w błocie, tak iż wkrótce nie będzie czem opłacić tym, co istotnie byli ofiarą i dokonali poświęcenia; bo zużyjemy imię, które jedyną dla nich stanowić mogło nagrodę.“

„Wszyscy, co dziś na czémkolwiek robią majątki, dowiedziona rzecz, że raczą się ich dorabiać tylko dla dobra ogółu, przez poświęcenie dla kraju, i ci co spekulują... czynią to w imię wielkiej idei, i każdy łatwo dowiedzie, że, pracując na swój chleb powszedni, ogromnie się przysłużył ojczyźnie.“

„Dziś mało kto siwieje bez lauru jakiegoś, aśmy samozwańców chodzą nosząc na ramionach wielkie brzemiona sławy, o której nikt nie wie. Masz-li piękne owoce? pewnie nie dla wełny, ale dla ojczyzny — stado koni?... a! to rzecz narodowa, to nasza tradycja szlachecka; rola dobrze uprawna, to nie dla chleba, lecz dla miłego kraju naszego; zakładasz fabrykę... niechże

Bóg broni, żeby cię posądzono o spekulacyą! masz jedynie na widoku wprowadzenie współbraci na drogę przemysłu, tak zaniedbaną a tak potrzebną; kończy się na tém, że garkuchnie, w których sprzedają polskie flaki, polski barszcz, polskie zrazy — są instytucjami narodowemi!“

„Już nie chcę mówić o literaturze, która ma także nie jeden grzech na sumieniu; bo ileż to tytułów szumnych odzywa się do słabiej strony naszej, wypotrzebowywauczucie pocziwe miłości kraju i przeszłości — ile podejrzanym piękności poetycznych winniemy przyniotnikom dobrze i dobitnie przypiętym... A poniewieramy drogie, szarżamy ostatnie! Cóżbyście powiedzieli, gdyby z ołtarza relikwie co chwila zdejmowano dla każdego żebrzącego dziada, by sobie chleb i sэр, nosząc je, wypraszał?“

„A tak tu jest...“

„Co najdziwniejsza, że z mnóstwa tych poświęceń i ofiar, o których tyle mówimy i słyszymy ciągle, nie widać żadnego skutku i wszędzie omyłki, straty, dowody niedołęności lub braku zastanowienia, zawody, ostatecznie — nic.“

„Mniejby mówić, a robić więcej, a szanować przysłało, co święte i drogie; niech przyszłość potem położy na szalę czyn milczący i gwar próżny, i zawyrokuje nieodwołalnie, — nam siebie sądzić, tém mniej się chwalić nie przysłało.“

„Właśnie dla tego, że u nas w imię tych świętości tak łatwo otworzyć serca i dłonie, nie jestże świętokradztwem i potępienia godną lekkością korzystanie z pocziwych uczuć na łada fraszki i eksploataowanie wiary i miłości? Krajowi daje to świadectwo chlubne, ale tym co się tak do niego odzywają? — osądźcie sami.“

I w tym artykule, jak w całej swojej działalności redaktorskiej przy Gazecie Polskiej Kraszewski ukazuje się, jako moralista

głęboki, gorąco swój kraj milujący. Miłość dla kraju, miłość dla wszystkich jego obywateli zarówno, uważał za najpotężniejszą dźwignią postępu i pomyślności ogólnej. I często tę miłość zalecał. Ona się zowie czcią, poszanowaniem, pokorą, litością, miłosierdziem, łagodnością, sprawiedliwością wreszcie; wszystko, co dobre, w niej się mieści, wszystko, co złe, pierzcha przed nią. Aby świat pojąć trzeba go kochać; trzeba go kochać, by nim rządzić, trzeba kochać, by go zwyciężyć.“

Jako wielką zasługę dziennikarską Kraszewskiemu poczytać należy to, że we wspólnej pracy dla dobra społecznego jedno z pierwszych miejsc wyznaczał duchowieństwu, którego wzniosłe posłannictwo wysoko cenił i głęboko szanował. Ostatni jego artykuł wstępny, który był niejako jego testamentem redaktorskim w Gazecie Polskiej złożonym, poświęcony był właśnie temu posłannictwu.

Zdaniem Kraszewskiego więc, postęp moralny i materialny nie powinien być „radikalizmem kosmopolitycznym, lecz tylko rozwojem dawnych idei“ (Gazeta Polska, art. wst. 24 grudnia 1860 r.). Działalność też jego redaktorska była owocną, przyczyniła się do rozwoju zdrowych pojęć postępowych, zyskała uznanie ogólne i nie małą stanowi część w zasługach, za które wdzięczne społeczeństwo uroczyście obchodzi teraz jubileusz pięćdziesięcioletniej jego pracy pisarskiej. Spojrzawszy wstecz na tę działalność, *jubilat* nasz może ze szlachetną dumą powtórzyć horacyuszowe: „Exegi monumentum.“ Niestrudzenie walcząc słowem śmiałem a nieskażonem w obronie postępu, czy jako dziennikarz, czy jako powieściopisarz, Kraszewski zasługami dorównywa bohaterom.

Edward Sulicki.

WYDAWNICTWO PAMIĘTNIKÓW.

O pamiętnikach historycznych wydanych przez J. I. Kraszewskiego.

Jednym z najwznioślejszych celów badań historycznych jest bez zaprzeczenia dążność poznania prawideł i warunków organicznego rozwoju przeszłości dla dokładnego zrozumienia przeróżnych prądów i sił, które władną życiem społecznym i politycznym wieku teraźniejszego. Historia nie kształci jednak wieków potomnych przez to, że je zapoznaje z pojedyńczymi faktami przeszłości; ale przez to, że roztaczając przed nami wierny obraz czynów dokonanych, daje nam możliwość zrozumienia uzasadnionych dążeń i pragnień naszego wieku. Znamieniem tedy historycznego poglądu na przeszłość powinna być poważna i wszechstronna analiza idei, władających naszą epoką w ich organicznym rozwoju.

Z innego zupełnie stanowiska zapatruje się na przeszłość pogląd polityczny: o ile historyk śledzi prawideł organicznego rozwoju faktów, o tyle polityk skłonny jest do karcenia przeszłości za to, że nie postępowała podług teorii dzisiejszych fakcyi politycznych, że nie służyła politycznym interesom chwili, że nie była powołanym narzędziem dla politycznych widoków dzisiejszych namiętności i dążeń państwowych.

W pierwszym razie wznosi się badanie przeszłości na stanowisko namaszczonego kapłaństwa, które, odsłaniając zdrożności w ich groźnych zawsze skutkach, prostuje ścieżki teraźniejszości; w drugim zaś razie podnosi inkwizytor bicz politycznych doktryn chwili i karcę nim bez miłosierdzia przeszłość, przez co może wstrząsnąć umysłami, może podrażnić namiętności, może powiększyć zastęp już i tak nadto wielki krótkowidzących polityków; ale nie wyzna dokładnie przyczyn teraźniejszego politycznego położenia, o co właśnie histo-

rykowi przeważnie chodzić powinno, ponieważ na tém polega cywilizacyjne znaczenie nauk historycznych. Bez téj idei byłaby historia martwym, nieprodukcyjnym kapitałem, nie wynagradzającym wcale trudów tyłu uciążliwych i poważnych badań, które, w innym kierunku pracy naukowej podjęte, mogłyby przynieść daleko donioślejsze owoce. Wypadki przeszłości nie powtarzają się nigdy w téj samej formie w wiekach późniejszych, choćby materiał pozornie był jednaki, tak jak pełne zapału i uniesień czyny młodzieńca nie dościgną powagi zdania, nie sprostają wytrwałej pracy i nie dorównają rozległej dążności doświadczonego męża. Historia, chcąc być mistrzynią życia, powinna wnikać we wszystkie tajniki ducha minionych wieków, powinna zbadać moralną wartość idei, za pomocą których pragnie ludzkość choćby w strumieniach krwi zdobywać coraz wyższy szczebel na téj drabinie postępu, który niezbadane wyroki Opatrzności wskazały pojedyńczym narodom, jako ideę ich indywidualnego posłannictwa. Osiągnięcie jak najwyższego w tych usiłowaniach stanowiska daje nam dopiero możliwość obszernego i jasnego poglądu na historyczną wartość usiłowań i trudów chwili teraźniejszej, — daje nam dopiero klucz do skarbnicy wiedzy, prowadzi nas „drogą prostą a jasną“ do świątyni Apollina, która, strzegąc powagi groźnej wyroczni narodowej, przypominała każdemu główny warunek postępu i oświaty: Poznaj siebie samego!

Nie przeczymy, że bardzo wiele dróg prócz historii prowadzi do tak wzniosłego celu, wiemy o tém, że żadnej nie można bezkarnie lekceważyć; ale to pewna, że nauka historii roztacza w téj wędrówce lu-

dów najobszerniejsze światło, z którego i polityk z wielkim dla sprawy pożytkiem korzystać może i korzystać powinien.

Wiekopomne czyny i dzieła narodów podobne są do najwyższych, ku niebu sterczących szczytów i baszt starożytnych gmachów, podobne są do kwiatu i do owoców drzew wspaniałych, których pień na tysiącnych wspiera się korzeniach, tak jak owe majestatyczne gmachy spoczywają na niewzruszonych głębokich fundamentach. Nauka historii nie przestaje tedy na tém, jak to może uczynić polityka, aby tułaczowi dni dzisiejszych miała tylko zdala pokazać owe pojedyncze najwyższe szczyty, — aby oko jego miała napaść widokiem jaskrawych kwiatów, z wskazaniem możliwej ich aplikacji w życiu praktycznym; ale prowadzi go śmiało do wnętrza tych wspaniałych kolumn starożytności, aby odetchnąwszy ich wiekową atmosferą, zbadał je dokładnie w ich całkowitej strukturze od fundamentów poczynając. Historya nie kontentuje się zebraniem jaskrawych kwiatów i dojrzałego już owocu z wybiegłych konarów rozłożystego drzewa przeszłości, ale odsłania warunki życia tego odwiecznego drzewa, które ów szlachetny lub gorzki owoc wydało, — bada grunt, na którym wzrosło, powietrze, które jego rozwojowi sprzyjało lub go też opóźniało, — promienie słońca, które je ogrzewały, nie mniej i zimne prądy północne, które je mroziły, — i oddaje wreszcie sprawiedliwość ręce ludzkiej, która je troskliwie i umiejętnie pielęgnowała, a potępia gnuśność i nieumiejętność, która najszlachetniejszym gatunkom zmarnieć pozwoliła. Sąd historyi opiera się zawsze na świadectwie i na zasadach uniwersalnej natury, doraźny wyrok polityka jest zawsze okolicznościowy, ponieważ poprzestaje na zewnętrznych zjawiskach ujawnionych faktów, których świadectwo w myśl teoretycznej doktryny tłumaczy.

Gdyby historya potrafiła wskrzesić to życie w najskrytszych jego tajnikach, gdyby zdolną była ujawnić wszystkie tajemnice tej architektoniki wiekowej i tego życia organicznego, gdyby potrafiła przeniknąć, a, przeniknąwszy, ujawnić w wyraźnych formach z metodologiczną ścisłością dążności ducha ludzkiego we wszystkich kierunkach jego niestrudzonej pracy, zrządzeniem Opatrzności zakreślonej, ale dla oka zmysłowego tajemniejszej, — wtedy zdobyłaby sobie majestat nauki najdoskonalszej z nauk, wtedy byłaby bez zaprzeczenia najznakomitszą mistrzynią życia.

Jakże nam jeszcze daleko do tego wspaniałego celu!

Dokładne zgłębienie i systematyczne przedstawienie prawideł organicznego rozwoju ludzkości zdaje się prawie przechodzić siły pojedynczego człowieka, zwłaszcza, że nie tak dawno dopiero sformułowano jasno i wyraźnie to zadanie historyozofii. Dotychczas zapatrywano się na dzieje przeszłości przeważnie z politycznego, teoretycznego stanowiska. Pojęcia metafizyczne, teologiczne, materyalistyczne, idealistyczne, zaciemniają jeszcze często istotę prawideł historycznych. Nie godzi się wszakże wątpić o tém, że z tój obfitości faktów zbadanych, z tój szermierki przeróżnych systemów i opinii, wywiąże się jaśniejszy pogląd na prawa historycznego rozwoju ludzkości, tudzież na stosunek świata fizycznego do świata moralnego. Nauka historii ma bowiem tę wielką zasługę, że budzi w nas to niezłomne przekonanie, że jakkolwiek rozwój idei historycznych burzy i niweczy bez najmniejszego miłosierdzia zbyt niecierpliwe zapędy marzycieli, to znowu z drugiej strony podtrzymuje jak najwytrwalej ugruntowane nadzieje postępu i cywilizacji: *nec omnia apud priores meliora, sed nostra quoque aetas multa laudis et artium imitanda posteris tulit. Verrum haec nos; nobis maiores certamina ex honesto manebant.* ¹⁾

Ubolewając u nas nad tém, że gromadzą się stopy śmiecia w grnbych woluminach, przy zaniedbaniu prawd historycznych, z których szczerze złoto ukućby się dało ²⁾, piszemy rudimenta elementarnych pojęć politycznych, kierujemy całą przeszłość naszą różgą politykomanii, której światło ma nas nauczyć polityki praktycznej ³⁾, gromadzimy przeróżne opowieści przeszłości naszej; ale na próżno czekamy na dzieło, któreby w wiernym obrazie przedstawiało całkowite dzieje narodu w organicznym rozwoju jego społecznego, umysłowego i politycznego życia od kolebki aż do dni naszych.

Fakt ten, budzący zapalczywe prawie oburzenie u tych pisarzy, którzy badanie nasze historyczne gwałtownie reformować pragną, zasługuje na pewne objaśnienie, zwłaszcza, że niestrudzona działalność Kraszewskiego położyła i na polu gromadzenia materyałów historycznych niepoślednią zasługę.

Każdemu historykowi wiadomo, że i literatury innych narodów, znajdujących się w daleka korzystniejszych warunkach, nie mogą poszczyczyć się wiernym obrazem historycznym całego życia narodowego, szczęśliwe, że się zdobyły chociaż na obraz

dokładny pojedynczych epok swojego rozwoju dziejowego. W Anglii, we Francji, we Włoszech, w Niemczech znajdują badania historyczne żywe i skuteczne poparcie u władz publicznych, kierowane są przez akademie, oddawna na tém polu systematycznie pracujące, — podniecane bez przerwy przez żywe słowo uniwersytetów i przez mozolne poszukiwania licznych towarzystw uczonych — tudzież pielęgnowane przez systematycznie kształcącą i doskonalącą się szkołę.

Opieka, jaką cieszyło się dziejopisarstwo nasze w epoce Naruszewicza i Królewskiego Tow. Przyjaciół nauk zbyt krótką była, aby mogła stworzyć szkołę systematycznych badań naukowych na polu dziejopisarstwa. Wśród głuszącego wszystko łoskotu wojennego, musiała i ta Muza zaledwo zbudzona, niebawem umilknąć. Rzucone przez Uniwersytet Wileński i Warszawski ziarno badań historycznych, miało zbyt krótkie lato, aby mogło wyrósć i dojrzeć; a głośnie nigdy wszechnica Jagiellońska nie porzuciła długo swojego kaptura milczenia, jakim się była od drugiej połowy wieku XVI nakryła. Nie było tedy publicznego miejsca, z któregoby nasza literatura historyczna mogła czerpać światło jasnego poglądu, ścisłość naukowego badania, wszechstronną krytykę źródeł, — tudzież zachętę i niezbędne wskazówki dla młodzieży, pragnącej się poświęcić uprawie tej gałęzi wiedzy. Chwałebna gorliwość prywatna nie mogła sprostać zadaniu, które z zapalem i poświęceniem wzięła pod swoją opiekę. Trudy i nakłady,łożone na tém polu przez Raczyńskich, Ossolińskich, Czackich, Działyńskich, Przeździeckich, Lubomirskich i wielu innych, pozostaną na zawsze chwalebne świadectwem zamiłowania nauki i gorliwości o wzrost oświaty publicznej; ale braku szkoły zastąpić nie mogły. Prace w tym kierunku przedsiębrane, gromadziły z gorączkową prawie niespokojnością wszelki materiał historyczny, jaki się natręczał w różnej wartości w dziennikach, pamiętnikach, listach prywatnych, dokumentach urzędowych, swojskich i zagranicznych, w relacjach osób publicznych, bez należytej ścisłości i metody naukowej i krytycznej. Na tej drodze zwiększono ogrom faktów historycznych; ale, zwracając uwagę przeważnie na ich ocenę literacką, nie oceniono ich wartości źródłowej, nie zbadano ich autentyczności, słowem: nie wykazano ich wartości historycznej. Tłumaczenia dawnych drukowanych autorów ogłaszano za nowoodkryte źródła,

dla przeróżnych względów familijnych i fakcyjnych obcinano lub przeistaczano relacje i pamiętniki współczesnych świadków. Młodsze pokolenie, kształcące się na uniwersytetach zagranicznych, nie miało życzliwych i kompetentnych przewodników i nie mogło się zorientować w tém morzu bezładnego, często przestoczonego materiału. Gorliwsi, z pomiędzy kształcących się po uniwersytetach obcych młodzieży, zaczęli stosować metodę badań uniwersalno-historycznych do własnej literatury historycznej; lecz doktrynerskie poglądy historyków obcych na dzieje ludów słowiańskich, nie wnikając dokładnie w faktyczne warunki naszej organizacji państwowej, szerzyły fałszywe pojęcia o najważniejszych instytucjach publicznych przeszłości naszej. Okrutna ręka czasu kruszyła gwałtownie wszystkie te organa państwowe, któremi naród żył w przeszłości; a gdy wreszcie coraz mniej było świadków dawniejszego życia publicznego i niebawem zupełnie ich zabrakło, gdy nie stało ani świadków, ani ciepła duchowego związku z przeszłością, nie mógł bez niego wyrósć na niwie dziejopisarstwa naszego owoc dojrzwały, wymagania nauki wszechstronnie zadawalniający. Ambicja stronnictw, podżegana szermierką literatury politycznej, — wywołane potężnym głosem niestrudzonego starca, fałszywe widmo gminowładztwa szlacheckiego, budziło republikanizm szlachecki, który szarpany teoryami nowszej filozofii i żarliwością sporów kościelno-politycznych, podniecał namietność przeciwnych doktryn oligarchicznych i monarchicznych. Nie było wprowadzić u nas komu mianować oficjalnych historyografów, ale pod wpływem energicznego tchnienia tej politycznej szermierki, zaszleściwały i w naszej literaturze historycznej standardy opinii, potępianych bez skrupułu lub aprobowanych bez wyrozumowania przyczyny. Jeżeli dołączymy do tego nadmierny wpływ powieści i poezji na prace historyczne, i niezapomniemy o złych skutkach, jakie pomniejszanie polityki z historią na polu badań historycznych za sobą prowadziło, to nie będziemy się dziwić temu fatalnemu zrządzeniu, że prace historyków naszych nie tylko organicznego rozwoju dziejów nie wyjaśniły, ale opromieniły całą przeszłość fałszywem światłem i nie podały żadnej nauki pokoleniom współczesnym, a co gorsza — pomieszały najelementarniejsze pojęcia o warunkach bytu i rozwoju państwowego.

Wywołaną przez dzieło *Th. Buckla* i innych statystów kwestyą: czy można liczyć

historią przy jej dotychczasowej metodologii, do rzędu nauk, czy też tylko do szeregu poważniejszych opowieści, rozbiegano u nas tylko okolicznościowo⁴⁾. Historycy nasi, jak o tém świadczą najnowsze prace, nie zwracali na to dostatecznej uwagi, czy nauka historii potrafi odkryć, ujawnić i wyraźnie sformułować zasady, idee i prawa, według których dokonywa się zupełnie prawidłowo organiczny rozwój czynów historycznych,—prawdla, według których rosną, słabną i giną narody,—prawdla, według których tworzy się postęp lub zrzadza się upadek cywilizacji i państwa. Nie zgłębiano w naszej literaturze historycznej, jaki zachodzi stosunek między prawidłowością rozwoju organicznego w świecie fizycznym a prawidłowością organicznego postępu w świecie ducha, w sferze pracy dziejowej. Niejasne zaś pojęcia o psychologicznych warunkach i energii wolnej woli, o stosunku idei indywidualizmu do idei rządów Opatrzności w dziejach,—pomieszanie odpowiedzialności moralnej ze zjawiskami determinizmu i fatalizmu, wszystko to sprawiło, że z małemi nader wyjątkami, są nasze prace historyczne albo rozprawami politycznej treści, czerpiącemi swoje argumenta nie z pierwotnych źródeł wszechstronnie zbadanych, ale z drastycznych szczegółów, służących widokom najruchliwszego w daną chwilę stronnictwa; albo też wstępną inkwizycją ciągnącą przeszłość naszą, bez dokładnego wszechstronnego zbadania winy — przed zapalczywy trybunał namiętności chwili;—są nasze prace historyczne skarbnicą starożytnych pamiątek, otoczonych chwalebą synowską cześć i miłośnią, która wznosi się niekiedy aż do idealizowania i ubóstwiania osób i czynów historycznych, mających dla życia narodu wogo zupełnie przeciwne znaczenie.

Nie dzielimy zdania tych, którzy ten rozmaity sposób zapatrywania się na znaczenie wypadków historycznych, podnoszą do godności osobnej szkoły—i rozprawiają z powagą professorską o szkole Naruszewicza, Lelewela, nawet o szkole „Ursynowskiej“ (Bartosza), ponieważ nikt, kto tylko sam podejmował metodologiczne studia historyczne, nie zechce twierdzić, aby w dziedzinie badań historycznych zasługiwała różnica poglądu politycznego na pojedyncze szczegóły, na miano nowej metody, a tém mniej na miano nowej szkoły. Takić trywialną zapowiedzi trzebaby przypomnieć, że różnicę metody i szkoły na polu badań historycznych, stanowi przede wszystkim postępek krytyki źródeł, wprowadzenie

do nauki nowego materiału i zastosowanie metody badania dotychczas na tém polu nie próbowanej, a dla postępu nauki pożytecznej.

J. I. Kraszewski nie zbierał na polu badań historycznych swoich najpiękniejszych laurów, które niesiemy dzisiaj w hołdzie jego pożytecznej i ożywionej, że tak powiem, literacko-naukowej działalności; ale położył on względem pielegnowania i tej gależy wiedzy, mianowicie względem literatury historyczno-pamiętniczej, tak znakomite zasługi, że pożyteczną może być rzeczą przypatrzyć się bliżej przy sposobności tej uroczystej chwili zasłużonym trudom, jakie dla pomnożenia wiadomości historii polskiej szczególnie podejmował. Dla tém łatwiejszego zorientowania się w nagromadzonym przez Kraszewskiego i na tém polu bardzo liczny materiał historyczny, prace te podzielić możemy na cztery klasy, mianowicie:

I. Różnorodne dokumenta, listy, notaty dyaryuszów rodzinnych w języku polskim, łacińskim, ruskim, w rozmaitych epokach pisane, zawierające wiadomości urzędowe lub prywatne, pojedyncze wypadki historyczne objaśniające, i po czasopismach, bez żadnego związku od czasu do czasu drukowane.

II. Listy wpływowych osobistości do jednej sfery wypadków ściśle ograniczonych się odnoszące.

III. Opowiadania historyczne, przemawiające przeważnie usty i świadectwami samych uczestników przedstawianego wypadku, gdzie Kraszewski tylko dla utrzymania koniecznego związku wpłata niektóre swojej roboty ogniwa, z innego materiału źródłowego sumiennie wyrobione.

IV. Pamiętniki (Mémoires) t. j. dzienniki i relacje współczesnych wypadków, pisane w formie obszerniej opowieści współczesnej pisarzowi epoki z szerszym poglądem na wypadki powszechne, prowincjonalne, rodzinne, niemniej i na przygody osobiste.

Uważny czytelnik spostrzeże z łatwością już z tej wskazówki, że wartość historyczna pierwszych trzech klas pomników dziejowych jest bardzo względna, a krytyka dyplomatycznej autentyczności i metodologicznego obrobienia tego rodzaju źródeł, jest z natury przedmiotu prawie niemożliwa. Nadmieniamy tylko, że jedne i te same rzeczy znajdujemy po kilkakroć drukowane bez żadnej zmiany, bez bliższego usprawiedliwienia ponowionej publikacji. Czytamy pomniki dziejowe drukowane

w Dreźnie, które nie dawno ogłosiła Biblioteka Ossolińskich we Lwowie z dokładnym objaśnieniem, przez co tworzy się labirynt bibliograficzny, z którego z trudnością się wychodzi. Prócz tego żałujemy, że Kraszewski, obdarzając nas szczęśliwie tak licznym i przeróżnym materiałem źródłowym, nie starał się go uczynić podręczniejszym dla badacza dziejów. W pomnikach źródłowych pierwotnych trzech klas pragnęlibyśmy czytać obok tytułów urzędowych i powiatowych wszędzie także nazwiska rodowe, bo oderwanych kartek niekiedy nawet bez daty, nie można często odpowiednio wprowadzić do księgi dziejów naszych.

I ostatni dział publikacji historycznych Kraszewskiego drukował się w znacznej części pierwszy raz po czasopismach (*Athenaeum*, *Bibliot. Warszawska*), w felietonach gazet, z kąd dopiero w osobne wyrastał książki.

W ostatnich latach przedsięwziął Kraszewski wydawnictwo „Pamiętników“ według bardzo rozległego i systematycznie zamierzonego planu pod tytułem: „Biblioteka pamiętników i podróży po dawniej Polsce.“ Prospekt (r. 1870) zapowiedział, że „zbiór ten, o ile możność dozwoli, będzie kompletnym a zarazem poprawnym, objaśnieniami z bogactwem.“ Po wydrukowaniu 6-ciu tomów w Dreźnie, musiał Kraszewski przedsięwzięcie tak chwalebne i nader pożądane dla przyczyny od niego niezależnych wstrzymać, chociaż go zupełnie jeszcze nie zaniechał. Jeśli przyjaźniejsza pora dla urzeczywistnienia tej obywatelskiej intencji Kraszewskiego zabył się, pragnęlibyśmy przy każdym pamiętniku tak wyczerpującej relacji o autentyczności w dyplomatycznym stanie rękopismu, jaką nam podał Sz. Jubilat przy wydaniu *Pamiętnika Poczobuta*, — nie mnić i *indeksów* alfabetycznych, jeśli już nie rzeczy, to przynajmniej osób, jak to uczynił Janicki, przy wspaniałej publikacji *ordyn. hr. Krasieńskich*.

Ciasne granice, w których według przyjętego planu redakcyi *Książki Jubileuszowej*, wypada się zamknąć współpracownikowi, nie pozwalają nam rozbierać z równą dokładnością wszystkich na tém polu dokonanych prac Kraszewskiego: dla tej przyczyny wzmiankujemy tylko pobieżnie o pierwszych trzech działach wydanych przez Kraszewskiego pomników historycznych, zwracając pilniejszą i wszechstronniejszą uwagę na dział czwarty tj. na *Pamiętniki* — historyczne w właściwym tego słowa znaczeniu. Z pomiędzy „Pamiętników“ tłumaczonych

z obcych języków wspomniemy tylko o tych, które Kraszewski pierwszy literaturze naszej historycznej w tłumaczeniu przyswoił, pomijając te, które już dawniej znane były (np. Chavagnac ⁵⁾).

I.

Wiadomo powszechnie, że wśród okoliczności dosyć pomyślnych, których tu rozbierać dłużej nie możemy, zapanował około r. 1840 w literaturze naszej historycznej ruch nader ożywiony w kierunku gromadzenia autentycznych materiałów historycznych. Kraszewski, biorący od lat 50-ciu bardzo żywy udział w rozwoju życia umysłowego narodu, nie mógł nie ulec i temu wpływowi. W piśmie zbiorowym *Athenaeum* (Wilno 1841—1851, tomów 60), które Kraszewski stworzył i przeważnie swoim piórem podtrzymywał, gromadził najciekawsze plody współczesne i dawnych wieków pamiętki i pomniki, które w wielu publikacjach ogłaszano pod nazwą „spominków“, „pamiętników“, „źródeł do dziejów“, „przyczynków do dziejów“ itp. Korzyść, jaką nauka historii z tych publikacji odniosła, jest zupełnie przypadkową, bo nie może tu być mowy o żadnym ładzie, ani pod względem chronologii, ani pod względem materii, — tak że źródła te są w tych publikacjach równie dobrze ukryte i nieznane, jakimi były wtenczas, gdy pod pyłem bibliotek w rękopismach spoczywały. Kwestya sposobu uporządkowania w umiejętnym wydawnictwie źródeł historycznych jest bardzo ważną: zajmowała się nią niedawno i akademii Krakowska. Z doświadczenia wiemy, że najpraktyczniejszym sposobem korzystania z tak różnorodnych materiałów jest *zregistrowanie*, że tak powiem chronologiczne całego tego materiału, z podaniem treściwój osnowy dokumentu, wraz z potrzebnym krytycznym objaśnieniem naukowej wartości faktu, — tudzież z dokładną wskazówką bibliograficzną. Pracę taką można jednak uskutecznić tylko przy bardzo bogatych bibliotekach, aby wszystkie publikacje dokładnie zregistrowane być mogły: bo urywkowe tego rodzaju roboty nie na wieleby się przydały. Sposobem próby podaję takie Regesta z pierwszych czterech tomów *Athenaeum* Kraszewskiego z r. 1841.

Rok 1568. Dnia 20 lipca. Grodno. Zygmunt August na prośby Tatarów litewskich, którzy, korzystając z pewnych swobód i przywilejów, widzieli się w nich zagrożonymi przez nowo ogłoszony statut, mianowicie przez Rozdz. IX, art. 3, (zob.

Czacki o Lit. i Pols. pr. ed. Turowskiego. T. II. pag. 189 i nast.) i przez Rozdz. XII. art. 5, (cf. Czacki, l. c. II. pag. 224)—za-
twierdza im wszelkie przywileje i prawa,
jakimi się dotychczas cieszyli (Athenaeum
Wilno 1841. Tom I. pag. 35 — 38. Text
ruski wraz z tłumaczeniem polskiem).

Rok 1590(?). Dnia.. niewiadomo. Stanisław
Sokołowski, kaznodzieja Stefana Batorego
i Zygmunta III, pisze do biskupa kujaw-
skiego w sprawie akademii Krakowskiej
przeciw rozpóścieraniu się szkół jezuickich
w Krakowie). (Ibid. T. I. st. 39—40; Athe-
naeum odnosi to pismo mylnie do w. 17,
ponieważ Sokołowski um. 1592 r. Daty
przy dokumencie niema, dla tego położy-
liśmy najprawdopodobniejszą ze znakami
zapytania).

Rok 1594. 16 czerwca. Warszawa. Anna
królowa polska, w odezwie do kasztelana
Rozperskiego rozkazuje, aby mieszkańcom
miasta Goszczyna, gdy mu się ratusz oba-
lił i jatek do sprzedawania mięsa nie ma-
ją, drzewa ze starego ratusza nie zabierał;
ale jeszcze do odbudowania z boru bend-
kowskiego przydał i ratusz i jatki do dy-
spozycji mieszczanom oddał (Ibid. 1841.
T. IV. st. 68—69).

Rok 1606. Marzec. Warszawa. Szlachcie
nsprawiedliwia się w liście do drugiego,
dla czego na sejmik w Opatowie 16 mar-
ca 1606 r. złożony nie przybył. 1-sze Pró-
żne tam były gadaniny; 2-re powstaje prze-
ciw Zygmunтови III, dowodząc, że przyczy-
na smutnego stanu Rzeczypospolitej na
tém polega, że król jest za bogaty, a na-
ród za ubogi; 3-cie podaje na to niektóre
rady, zmierzające do osłabienia coraz więk-
szego korony; 4-te kreśli wierny obraz ów-
czesnego sejmikowania i sejmowania; 5-te
powstaje na lichwę żydowską i na zbytki
(Końca brakuje) (Ibid. 1841. T. II. 7—21).

Rok 1608. 11 styczeń. Kamieniec. Lu-
dwik Poniatowski, pułkownik, obwieszcza,
że z koła rycerskiego postanowiono posłać
towarzyszy do dóbr duchownych i królew-
skich do Łowicza i kluczków doń należących
i innych miast królewskich i duchownych
dla stacyi i wybierania żywności dla woj-
ska (Athen. 1841 T. I, p. 44).

Rok 1608. 4. Marca. Nudachów. Uni-
wersał hetmana Żółkiewskiego przeciwko
partyzantowi Poniatowskiemu, który, ze-
brawszy ludzi swywołnych, jarmarki najeż-
dza (Lublin) i kommeryą niepokoi. Wzy-
wa szlachtę, aby się w obronie spokoju
publicznego z wojskiem hetmana łączyła
i przeciwko niemu, jako przeciw nieprzy-

jacielowi ojczyzny, czyniła (Ibid. T. I. st.
42, 43).

Rok 1616. 4 czerwca. Warszawa. Ode-
zwa Rad kor. i W. K. Litewskiego do no-
minowanych przez sejm komissarzy przysię-
głych, mających starać się o to, aby się
w tym roku wojna z Moskwą skończyła,
dozierając, aby pozwolonych wydatków nie
przekraczano. Jeśli opór będzie wielki, to
ma Królewicz zamysłów swoich odstąpić,—
a jeśli szczęśliwie—kondycye in dyplocie
wyrażone poprzysiądz. Dla przestrogi nie-
przyjacielskiej nie wciągnięto téj deklara-
cyi sejmu do konstytucyi; ale oryginał téj
téj uchwały z podpisem kanclerza W. K.
i litewskiego i marszałka koła poselskiego
złożony u prynasa.

NB. Dokument ten oznacza dokładnie
znaczenie wszystkich „Skryptów ad archi-
wum,” o których w Voluminach Legum
ciągle wzmianki (Ibid. 1841. T. II. str.
58—62.).

1617. 11. Września. Warszawa. Uniwer-
sał Zygmunta III do komissarzy i podda-
nych, mianowicie Ukrainy, aby po obraniu
Władysława panem państwa moskiewskiego
przez swywołne gromady kraje moskiew-
skie nie były pustoszone (Ath. 1841. T.
IV. 56—58).

Rok 1619. 8 października. Rastawica
(w obozie pod Rastawicą). Układ między
komissarzami króla Zygmunta III, a Mołoj-
cami wojska zaporozkiego, o sposobie ży-
cia i jak się mają zachować na służbie
Rzplitej.

§ 1. Na miejscach zwykłych za proga-
mi Rzplitej stojąc, mają dawać przestrogi
i bronić przepraw nieprzyjacielowi. Pakt
i przymierza z postronnymi, mianowicie
z Turcyą, nie naruszać.

§ 2. Żold 40,000 zlp. rocznie dostaną
wypłacone w Kijowie na Ś. Ilii.

§ 3. Mołojcy obowiązują się nie chodzić
z Dniepru na Czarne morze, i nie najeżdzać
państw tureckich; dla tego obowiązują się
popsuć wszystkie czółna morskie.

§ 4. Zapobiegając gwałtom i swywołi
i uciskowi tak dóbr duchownych, jako
i świeckich, obowiązują się Mołojcy wojsko
zaporozkie podług postanowienia na *Olsza-
nie* wydalili od siebie wszystkie rzemieślni-
ki, kupce, szynkarze, wójty, burmistrze,
kapkaniki, balacezye, rzeźniki i inne luźne
ludzie, którzy od lat pięciu, do ich wojska
się przyłączyli. Wybraawszy się w ten spo-
sób, mają zawiadomić Rzplite o pozostałej
liczbie. Na tę liczbę, na którą się król
zgodzi, mają iść owe 40,000 zlp.

§ 5. Ci, co będą wypisani, mają podlegać władzy starostów, dzierżawców, ich namiestników, pod kim kto żyje, nie odwołując się do sądu wojkowego „y Pano wie Mołocy brać się za nich nie mają.”

§ 6. Mołojcy, aby zgola w dobrach świeckich i duchownych nie mieszkali, albo jeśliby tam domy mieli, aby panom dziedzicznym posłuszni byli; z poddaństwa się nie wyłamywali i do innych jurydycey się nie odnosili. „Ktoby nie chciał pod kim mieszkać y poddanym Panu być, ma się do Ś. Ilija wyprowadzić z jego majętności i mieszkać tam, gdzie czyja wola.”

§ 7. Ci, co po miastach J. Kr. Mści ukrainnych mieszkają, mają podlegać starostwom i podstarostwom i w razie potrzeby w obronie Krzyża Ś. jako ludzie rycerscy wspólnie z nami czynić.

§ 8. Starszego z pośród siebie mieć mają, który ma być przysięgły ze wszystkim towarzystwem (jako się na Olszanie postanowiło) y z ramienia J. Kr. M. y hetmana kor. ma być, jak był niegdy Oryszowski, przez którego J. Kr. M. i hetman kor. o służbie Rzplitej z nim się zrozu miał, — żeby tenże porządku między nimi doziarał — i postanowienia niniejsze żeby były wykonane.

§ 9. Piotr Konaszewicz terażniejszy chorąży wraz z starszymi assauly, pułkowniki etc. przysięgą to postanowienie stwierdzić mają. Dla powszechniej wiadomości układ ten do ksiąg grodzkich kijowskich wniesiono (Ath. 1841. T. IV. 62--68).

Uwaga. Historia uczy, że mimo kilkakrotnych tego rodzaju układów, były stosunki *Kozaków, Niżniców i Zaporozia* (takie trzy epoki w rozwoju Kozactwa odróżnia Jul. Bartoszewicz) do Rzplitej niepewne: ograniczania Kozactwa, dyktowane przez dobrze zrozumiany interes państwa, nie mając trwałej, jednostajnej egzekucji, podlegały zbrojne a niesforne tłumy do wyłamywania się z umówionego porządku, jak tego dowodzą między innemi wypadki z r. 1637, zakończone pogromem buntowników pod *Kumejkami* (między Moszną i Kumejkami) i Borowicą w roku 1637 w końcu grudnia. Akt submissy podpisany między innymi przez Bohdana Chmielnickiego. Zob. Dyaryusz tranzakcy wojennej między wojskiem koronnem a zaporozkiem 1637 i 1638 r. przez Szymona Okolskiego, w Bibliot. Turowskiego 1859 r. pag. 66. Odznaczył się tu po pierwszy raz Stefan Czarnecki (pag. 59) W akcie submissy podpisane są dwa dawniejsze układy, mianowicie: 1-e Komissya czyli porządek przez St. Koniecpolskiego, Kaszt. Krak. het. W. K. ustanowiony, pag. 162, cf. pag. 72 — 159. 2-e Ugoda czyli porządek umówiony przez Kisiela i St. Potockiego, jako Komissarzy Rzplitej. — Ugoda ta podała Kozakom starszą, którą oni za radą Pawłuka i Skidana pozabijali, „Skidan buntownik uszedł do Zaporozia,” pag. 69 cf. pag. 66.

Rok 1661, 26 stycznia. Śmi(a)ła. Jerzy Chmielnicki, hetman w Zaporozu, donosi

Janowi Kazimierzowi, że za porozumieniem się z księciem Dymitrem Wiśniowieckim, regimentarzem, i Sapieha, pisarzem poln. kor. wysłał pięć pułków konnych za Dniepr: spodziewa się pomyślnego skutku téj ekspedycyi, a jeśli potrzeba będzie, sam z większym wojskiem podaży. Prosi, aby posłowie jego na sejm delegowani prędko i pomyślnie odprawieni być mogli (Ath. 1841, T. III, 7, 8.).

Rok 1663. 9 marzec st. r. Czechryn. Paweł Tetera, hetman w Zaporozu, skarży się Jerzemu Lubomirskiemu, hetm. poln. kor., na Gralewskiego o zrabowanie Międzyrzecza, prosząc o wstawiennictwo dla uzyskania sprawiedliwości (Ath. 1841, T. III, 8. 9).

Rok 1664. 28 marzec. Bacezyseraj. Mehmet Geraj, han tatarski, do Jerzego Lubomirskiego. Han strofuje Lubomirskiego, że osobne zabawy sobie znajduje, a z królem i Rzptą na buntowników za Dniepr nie spieszy. M. Geraj posłał już tam w myśl traktatu, baszę swego, a więc i cała Rpta uczynić to powinna (Ath. 1841. T. III, 11, 12).

Rok 1664. 13 czerwiec. Białocerkiew. Tetera pisze do Jerzego Lubomirskiego, że źle się dzieje na Ukrainie, mężtwem hetm. poln. kor. i powagą jego imienia rekupe rowanej grozą bunt, wzywa go, aby jako „Ojciec Ojczyzny“, jeśli kiedy, to teraz bro nić od téj ściany Rzptą (Ath. 1841. T. III p. 9, 10).

Rok 1665. 22 czerwca. W Polach. Mehmet Geraj do Jerzego Lubomirskiego. Gani ostro buntownicze jego postępowanie względem Jana Kazimierza, grozi mu nieprzyjaźnią króla Rzptej, swoją i cesarza tureckiego, jeśli się z królem nie pogodzi, gdy ten w stosowną porę do łaski swojej przyjąć go zechce (Ath. 1841. T. III, 12, 13).

Rok 1672. 17 Października. Buczacz. Komissarze polscy do zawarcia z Turcyą pokoju, obwieszczają o podpisaniu zgody, nakazując, aby żony i dzieci Tatarów, które się pod protekcją cesarza tureckiego udały, zostawały w nienaruszonej spokojności w Połonnym i w Łabuniu do dalszego postanowionych już pakt ogłoszenia (Ath. 1841. T. III. 15, 16).

Rok 1673. 8 Grudzień. Kałusz. Jan Sobieski, hetman w. kor., uzyskawszy pozwolenie marszałkowej Lubomirskiej, dozwala werbunku w majątności Łańcuckiej i Janowieckiej (Ath. 1841. T. III, 13, 14).

Rok 1695. 10 Wrzesień. Perlikowce. Stan. Jabłonowski, kaszt. krak., hetm. w. koron., dziękuje podskarbiemu kor., że w porę przy-

był ze znacznym poczem ludzi do Kamieńca pod okopy św. Trójcy (Ath. 1841. T. III, 16—18).

Uwaga. W r. 1684 wzniesiono w obliczu Kamieńca forteczkę pod tą nazwą, następnie zaniedbaną. Zob. Listy Jana de Witte, generał-majora wojsk kor., pułkownika artylerii kor., komendanta fortecy kamienieckiej (1777—1779). Krak. 1868.

Rok 1696. 12 lipiec. Warszawa. Marya Kazimięra donosi o śmierci króla Sobieskiego, a, przypominając narodowi jego zasługi, prosi o pamięć dla siebie i dzieci.

Rok 1742. 10 marzec. Drezno. Podkanclerzy koronny Małachowski zaprasza na Senatus Consilium do Wschowy W. Marszałka W. X. L., Hetmana W. X. L., Marszałka Nadw. W. X. L. w obec zanoszącej się generalnej w Europie wojny (Bibliot. Pam. T. IV, 166).

Rok 1742. 24 kwietnia. Kolbuszowa. Sanguszko, marsz. W. X. L. do Małachowskiego, podkancl. kor., pisze, oświadczając swoje jak najpowniejszą obojętność względem króla, aby go wytłumaczył przed królem, że dla słabego zdrowia i sprawy syna w trybunale nie może dopieszyć, jak pragnął, do Wschowy na zapowiedziane Senatus-Consilium. Chociaż niema sobie komunikowanych materii obrad, to wotum swoje podług ogólnego położenia stosunków wewnętrznych i zewnętrznych Rzeczypospolitej jemu *ad deferendum* komunikuje (Bibl. pam. i podr. Drezno 1871. T. IV, p. 147—155).

Zob. téż treści listy do Sanguszki l. c. p. 158—161.

Rok 1764. 28 listopada. Warszawa. Marya z Potockich Brühlowa opisuje w nader niepoprawnym języku — matce swojej, wojewodzynie krakowskiej, uroczystość koronacji Stanisława Augusta (Ath. 1841. T. IV. p. 73—76).

Rok 1768. 28 czerwca. Archangrod. Jakób Kwiatkiewicz, schroniwszy się za granicę Rosyi, donosi Potockiemu, wojewodzie kijowskiemu, o ruinie dóbr Humańskich i rzeczy w Iluminaniu i innych wsiach (Athen. 1841. T. IV. p. 71—73.)

Zregestrowanie szczupłej nader cząstki materiału źródłowego, jaki Kraszewski zebrał w Athenaeum i w IV tomie biblioteki „Pamiętników i Podróż”, może być dostateczną wskazówką, w jaki sposób należałoby wydawać tego rodzaju pamiątki historyczne. Równocześnie spostrzegamy, że gdyby między fakta, temi regestrami objęte, wprowadzono w chronologicznym porządku treść wszystkich pamiątków dziejowych, które tułają się rozproszone po różnych publikacjach zbiorowych, tak dawniejszych (Diarium Europaeum, Theatrum Europaeum dla

wieku XVII), jako i po różnych czasopiśmiech polskich i obcych, po różnych ksiązkach zbiorowych, znanych pod niewłaściwym tytułem Pamiętników, Spominków, Przyczynków do dziejów itp., po gazetach nawet, to otrzymalibyśmy materiał źródłowy wcale poważny, bogactwem współczesnych dowodów historycznych imponujący, dla każdego badacza dziejów nawet zdala od bogatych bibliotek przystępny i przejrzysty uporządkowany. Bez takiego „Repertorium“ pozostaną te drogie skarby historyczne bez użytku. Może jubileusz Kraszewskiego i towarzysząca mu powaga nastroju duchowego zachęci do podjęcia tej mozolnej, niewdzięcznej, ale dla historii polskiej bardzo potrzebnej pracy.

II.

Przechodząc do drugiego szeregu wydanych przez Kraszewskiego pamiątków dziejowych, wypada nie tyle dla naukowych, ile dla chronologiczno-bibliograficznych względów wspomnieć o „Notatkach Waleryana Puchalskiego“ z lat 1696 i 1718 r., tudzież o „Excerptie“ z własnoręcznego rękopisu króla Jana III ⁶⁾. W pierwszym znajdujemy zapiski przeważnie prywatnego i rodzinnego interesu, przeplatane czasem suchą wzmianką o jakim fakcie dziejowym, ale częściej o kometach, cudach itp. przypominające najuboższych i najzabobonniejszych Annalistów wieków średnich. Drugi zabytek zawiera opowieść króla Jana III o legendowych i genealogicznych dziejach domu Sobieskich bez żadnego poglądu historycznego. Nie możemy dalej zgodzić się z Kraszewskim co do ważności Listów Kazimierza Nestora Sapiehy, pisanych z za granicy do matki w latach 1773—1776 ⁷⁾. Listy te są bez zaprzeczenia pięknym świadectwem chwalebnych uczuć synowskich, dowodzą nie tyle gorliwości, ile ruchliwości, z jaką Sapieha stara się u biegłych nauczycieli w Turynie, Paryżu i Strassburgu przygotować się do czekających go w kraju funkcji tak wojskowych, jak i cywilnych; ale dla badacza dziejów nie ma tu żadnych wiadomości: przed salonami obcych panów Sapieha nie widzi zwyczajów obcych krajów. Gorliwemu wstawiennictwu Nestora Sapiehy u swojej matki, siostry hetm. koron. Xawerego Branickiego, zawdzięczał Zajacek swoją karierę przy hetmanie, którego epikureizm i płaski, sybarytyzm tenacny sposób myślenia i tu nader jaskrawo widnieje. Bez pomocy innych źródeł (Fryderyk Szule, Kajetan Koźmian) nie odgadłby nikt z tych listów cha-

rakteru przyszedł marszałka czteroletniego sejm.

Ważniejszym daleko zabytkiem historycznym, chociaż tylko w fragmencie dochowanym, jest *Dyaryusz podróży z Warszawy do Petersburga hr. Kazimierza Konstantego de Brühl-Platera*, starosty inflanckiego, w r. 1792 odbytej⁸⁾.

Autor wzmiankowanego dyaryusza pochodził ze starożytnej rodziny inflanckiej, która od swojego rodzinnego gniazda w Westfalii, zwanego Broel, pisała się hrabiami Platerami de Broel. Niebawem po swoim osiedleniu się w Inflanciech sięgnęli Platerowie do Litwy, Żmudzi i do Polski po różne dobra, urzędy i godności. Autor nasz, Kazimierz Konstanty, był synem Konstantego Ludwika, kasztelana trockiego, i posłował już na sejm elekcyjny r. 1764, tudzież na sejm 1766⁹⁾. W r. 1776 mianowany członkiem Rady Nieustającej, pracował w wydziale sprawiedliwości aż do rozpoczęcia czteroletniego sejm. Stanowisko wśród wyższych sfer społeczeństwa, obszerna nauka, zdolności umysłowe niepospolite, chwalebna chęć do prac naukowych i literackich, usposobienie pojednawcze przy łagodnym temperamencie—wszystko to zbliżyło go wcześniej do Stanisława Augusta, który ceniał w Platerze nie tylko sumiennego urzędnika, ale i najżyczliwszego przyjaciela. Wśród takich okoliczności wpływał Plater do interesów zagranicznych i towarzyszył królowi podczas jego podróży do Kaniowa w r. 1787. Znany już poprzednio cesarzowej z dwóch poprzednich misji do Petersburga (1773 i 1785) zrobił z polecenia króla razem z Naruszewiczem wycieczkę z Kaniowa do Kijowa, gdzie niejaki czas zatrzymała się była cesarzowa i wrócił zadowolony do króla, ponieważ pozyskał nie tylko względy dworu petersburskiego, ale i obietnicę jego, że popierać go będzie do pierwszych ministerjalnych urzędów, z czego się w ten sposób tłumaczy: „Tyle oświadczenie (hr. Bezborodki) usłyszane ucieszyło mnie, ile w oném odebrałem pewność, że od rywalów szczęśliwszym będę, i że w mojej osobie zadosyć się stanie woli nawet samego pana mojego, który pewną utworzoną sposobnością dogodzić będzie mógł i swojemu wyborowi i skutecznie rekomendacją”. Słowa powyższe dowodzą, że w Platerze nie można szukać żadnej wybitniejszej osobistości, któraby mogła stawić czoło przeciwnościom lub pokusić: *vide meliora proboque, deteriora sequor!*

W czasie czteroletniego sejm popierał Plater myśl reformy, należąc do party umiar-

kowanej, królewskiej. Targowica, zniweczywszy dzieło reformy i przystępując do urzędzenia kraju na swój sposób, zwróciła niebawem uwagę swoją na Platera nie tylko dla jego umiarkowania, ale dla jego stanowiska w b. Radzie Nieustającej, dla względów, jakie sobie dawniej już zaskarbił u dworu petersburskiego, niemniej i dla tego, że był osiadły w granicach cesarstwa, i wybrała go za członka delegacji, którą wysyłała do Petersburga w końcu r. 1792 z podziękowaniem za uratowaną wolność szlachecką. Plater nie pisze urzędowej relacji swojej misji, ale w swobodnej formie listów donosi o wielu szczegółach swoim krewnym, przyjaciołom i znajomym. „Sposób zapatrywania się na wypadki, sąd o rzeczach jest wiernym wyrazem wieku, którego Plater był dzieckiem, wychowancem i przedstawicielem, dzielając dobre jego i złe skłonności,—błędy równie jak i porywy ku dobremu“.

Gdy dla zwołania ostatniego sejm grodzieńskiego okazała się potrzeba wskrzeszenia Rady Nieustającej, wprowadził do niej Siewers także Platera (1793 r.) jako dawnego członka tej wywraconej przez sejm czteroletni magistratury. Przy smutnych robotach tego sejm widzimy Platera między przywódcami rosyjskiego stronnictwa obok biskupa Kossakowskiego, Raezyńskiego Antoniego, Moszyńskiego, Ożarowskiego, Bielińskiego, i Ankwicza¹⁰⁾, b. posła Rptej w Danii w czasie czteroletniego sejm¹¹⁾. Siewers przeznacza w r. 1793 na urząd wice-kancelarza litewskiego naszego Platera „jako przyjaciela króla, i że jego dobra są w granicach ruskich“¹²⁾; jest to ostatni podkanclerzy litewski. Obok licznych dzieł drukiem ogłoszonych miał Plater napisać: „Dzieje Królestwa polskiego za Stanisława Augusta“ w 16 tomach, które dotychczas pozostają w rękopiśmie. Umarł Plater w r. 1807.

Instrukcja dana przez generalność konfederacji targowickiej delegowanym w r. 1792 do Petersburga posłom¹³⁾ zawiera polecenie: podziękować Najjaśniejszej cesarzowej za pomoc w odzyskaniu wolności, ujarzmionej i podeptanej przez sejm czteroletni—i każe dopraszać się o traktat przymierza i handlu; lecz Plater wątpi, aby te propozycje mogły być przyjęte, ponieważ nie wie, „czy nasz sprzymierzeniec (Rosya) będzie już mógł bezpiecznie odkryć swój system, z którym się dotąd ukrywa“. Ponieważ dziennik tej delegacji, pisany w formie listów, urywa się na opisie ceremonii pierwszej audyencji u Cesarzowej d. 14 Listopada 1792 r., przeto niewia-

domo, o ile posłowie konfederacyi targowickiej, z listami uwierzytelniającemi generalności a nie króla przed Cesarzową Katarzyną stający, zdolali w Petersburgu posunąć interes przymierza i handlu. Na uwagę zasługuje w tym dzienniku, z pewną podniosłością uczucia pisanym, to, co Plater opowiada o fałszywej sytuacji naczelników konfederacyi po odniesioném zwycięstwie, nie mniej o sposobie zapatrywania się tryumfującego Szczęsnego na sprawy publiczne, na błędy czteroletniego sejmu, wreszcie to, co słyszał w Grodnie od Moszczeńskiego, faworyta Szczęsnego, o ułożonéj, jakoby i przez Potockiego przyjętój formie rządu, posłanej do Petersburga przez kurjera. Dostyć szczegółowy szkic tego projektu ¹⁴⁾ dowodzi, że idea decentralizacyi prowincjonalnej, była w tym projekcie jeszcze dalej posuniętą, aniżeli w dawnéj praktyce, władza monarchiczna nader skrupowana, tylko kwestye ekonomiczno-skarbowe dokładniej uderminowane. O projekcie Szczęsnego nie ma ani śladu. Siewers prosił o radę i biskupa Kossakowskiego; ale ten odmówił, bo nie chciał być drugorzędnym, tylko głównie działającym w tym przedmiocie. Projekta swoje komunikował Siewers i królowi, a z żywego jego zajęcia się tym przedmiotem wnosić trzeba z Siewersem, że powtarzająca się dosyć często w téj epoce groźba abdykowania tronu nie była szczera ¹⁵⁾.

Osobistość Szczęsnego, ukazującego się przelotnie w listach Platera, występuje choć w kilku tylko rysach dosyć wyrazisto.

Listy Jana Śniadeckiego w sprawach publicznych od r. 1788 do 1830 pisane ¹⁶⁾ nie zawierają nowych szczegółów biograficznych, któreby sumienną pracę Michała Balińskiego nowém światłem zbogacić mogły; ale przedstawiają opłakany stan akademii krakowskiej, potracając o interes publiczne wielkiej doniosłości bez dokładnego ich wyświeetlenia, przez co pobudzają do badań nad zdarzeniami nie dosyć jeszcze znanymi, — i są piękném świadectwem uczciwego i rozumnego człowieka o znanych zkadinną niegodziwościach, jakie na ostatnim sejmie grodzieńskim ze względu na fundusze edukacyjne miały miejsce. Śniadecki znajduje w Grodnie nie ledwie tyleż złodziei, ile ludzi ¹⁷⁾. Dla ocenienia działalności kommissyi edukacyjnej znajdujemy tu sporo zarzutów ze stanowiska historycznego zupełnie usprawiedliwionych: z epoki zaś rektorstwa Śniadeckiego w uniwersytecie wileńskim uboższe

są wiadomości. Czytelnik pojmuje, że takiej publikacyi nie można oceniać z ogólnego punktu widzenia; ale trzebaby każdy przedmiot listu osobno oceniać, co by się nie zgadzało z naszym zadaniem. Przypiski Kraszewskiego objaśniają niektóre sprawy; ale wiele kwestyi potrzebuje jeszcze dokładniejszego zglębenia.

III.

Przewaga powieści w literaturze powszechnej była przyczyną, że liczne poważne głosy doradzały dla powstrzymania téj powodzi utworów czystej fantazyi, brać za przedmiot sztuki powieściopiskarskiej fakta i osobistości historyczne. Są wypadki dziejowe, pełne pierwiastków dramatycznych, bogate w przeróżne komplikacye jak najtragiczniejsze, obfite w epizody najczystsze liryzmu, kwitnącego na niwie rzeczywistego życia historycznego. Uchwycenie tych wszystkich momentów w gwałtownym wirze historycznego życia i przedstawienie ich w żywym obrazie pobudzałoby nierównie więcej szlachetnych uczuć, podlegałoby nierównie więcej szlachetnych ambicji i dążeń, — przedstawiałoby już przez samą uniwersalno-życiową treść więcej nauki, aniżeli szereg jaskrawych obrazów, rodzących się w krainie niezem niehamowanej fantazyi. Lecz zadanie takie nie jest łatwe, ponieważ bez gruntownego wniknięcia w prawidła analizy psychologicznej, bez dokładnego wniknięcia w ducha epoki i wypadku, nie można pochwylić ożywiającej go idei przewodniej, która dopiero opowiadaniu daje życie, jak tego mamy dowody u tylu pisarzy od Watterskotta aż do Guizota ¹⁸⁾ i w. i. Kraszewskiego prace najnowsze w tym kierunku znalazły w niniejszej książce jubileuszowej gruntowny rozbiór; nam wypada się w tém miejscu ograniczyć na tych studiach Kraszewskiego, które, opisując fakta historyczne słowami autentycznych dokumentów, wiążą tylko niekiedy słowami autora rwącą się nic ciąglej opowieści, które mogą zatem posłużyć za zbiór najautentyczniejszych wiadomości źródłowych. Należą tu dwie prace Kraszewskiego z historyi polskiej 18 wieku, i drugi tom: „Pamiętników“ Józefa Drzewieckiego z w. 19, o którym jednak dopiero w związku z pierwszym tomem pamiętników pana Szefa mówić będziemy. Obecnie uczynimy tylko wzmiankę o „Staroście helskiej“ i o „Podróży króla Stanisława do Kaniowa w r. 1787“.

Wypadek, na którym Antoni Malczewski osnuł swój poemat: „*Maryja*“, opierający się na tle strasznego epizodu naszej historii domowej zeszłego wieku,—wypadek ten w pierwszej chwili bardzo głośno zasłoniły rozruchy konfederacji barskiej i pierwszego podziału pewną mgłą zobojętnienia. Następujące niebawem ważne prace i zajęcie się umysłów ideą naprawy rządu zakryło go prawie zupełnie przed oczami ludzkiemi. Dopiero Antoniego Malczewskiego poemat, opiewający z niezrównanym wdziękiem poetycznym gwałtowne porwanie Gertrudy z hr. Komorowskich Potockiej, starościny bełskiej, z rozkazu jej teścia, Franciszka Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego, obudził tak wielkie zajęcie się tą straszną samowolą magnata, że po ogłoszeniu przez Aug. Bielowskiego w r. 1845 dwóch ważnych w tej sprawie urzędowych dokumentów, poczęto gromadzić z wielką skwapliwością materiał historyczny, któryby tę sromotną sprawkę możnowładztwa 18 wieku dokładnie mógł wyświetlić. Rozległe znajomości i stosunki z takimi opiekunami pomników przeszłości, jak Świdziński, złożyły w ręce Kraszewskiego tyle autentycznych dokumentów w tej sprawie, że można było prawie słowami samych współczesnych świadków przedstawić najdrobniejsze szczegóły strasznego wypadku i długiego upartego procesu, jaki on za sobą pociągnął. Kraszewski, przedstawiając ten straszny obraz z życia Szczęsnego Potockiego, nie dorzucił tu nic dowolnie dla dodania kolorytu; ale przedstawił całą sprawę słowami dowodów rękopiśmiennych nie tylko prywatnych, ale i urzędowych (Metryka kor.), zachowując w wielu razach nawet łaciński lub francuzki język oryginału. W ten sposób napisaniem zostało w r. 1856 opowiadanie historyczne pod tytułem: „*Starościna bełzka* (Gertruda z hr. Komorowskich hr. Potocka) 1770—1774“, drukowane w 2 tomach w r. 1857, powtórzone w edycji lwowskiej z r. 1876. Studium to zawiera, prócz szacownego materiału do historii obyczajów, wiele autentycznych wiadomości o sprawach publicznych w kraju, maluje nam dokładnie upokarzający stosunek szlachty do panów, przedstawia w wybitnych nader kolorach wszechwładztwo magnackiej pychy i ambicji, szafującej urządami, godnościami, wyrokami trybunałów sprawiedliwości, lekceważącej życie i mienie nawet nie ubogiej szlachty, mającej na swoje usługi nawet nuncyaturę papieżką z głośnym nieprzyjacielem Konarskiego, nuncy-

szem Durinim na czele. Oprócz korespondencji, która stanowi podstawę tego studium, korzystał tu Kraszewski jeszcze i z współczesnych pamiętników zwłaszcza Chrzęszczewskiego i Cieszkowskiego ¹⁹⁾. W ten sposób powstała powieść, nie ustępująca wielu innym z czystej fantazyi płynącym, powieść, która odsłania nam dokładnie prawdziwy stan rzeczy. W porównaniu z poematem Malczewskiego czyni Kraszewski spostrzeżenie, które jako rezultat tej historycznej publikacyi uważać możemy: „*Niestety! od Maryi jak daleko do Gertrudy, od owego wojewody do Franciszka Salezego, od Miecznika do kasztelana Santockiego hr. Komorowskiego, od Wacława wreszcie do marszałka konfederacyi targowickiej Szczęsnego Potockiego, starosty bełzkiego!*“, jak różną jest prawda poety od prawdy rzeczywistości. Smutny to obraz—lepszy i piękniejszy świat poety! ²⁰⁾ Dziś bezstronniejszy możemy osądzić winy wszystkich, co udział mieli w tym brudnym i ohydny dramacie: płochość Szczęsnego, barbarzyńską surowość jego ojca, dziwactwo matki, zabiegłość Komorowskich, przedajność sędziów i niepewność obrońców, łakomstwo tych, co się tknęli w jakikolwiek sposób tego drażliwego interesu, który miliony kosztował i prawdy nie odsłonił. Dziś może dopiero, po upływie lat kilkudziesięciu, process ten wyrokiem wnuków się zakończy i nad mogiłami oprawców i ofiary westchnie przechodzić, litując się tylko nad niemi.

Z pomiędzy wypadków, które bezpośrednio przed czteroletnim sejmem największy miały rozgłos w kraju i za granicą, zajmuje podróż króla Stanisława do Kaniowa dla spotkania się z cesarzową rosyjską Katarzyną, niepoślednie miejsce. Mamy kilka opisów tej podróży, nie brak obrazów tego prześcigiwania się Polaków w Kijowie w obec dworu rosyjskiego w zajadłej walce przeciwko własnemu rządowi, mamy wreszcie opowiadania o samym zjeździe Kaniowskim. Lecz tak Naruszewicza suchy dziennik, ²¹⁾ jak i listy marszałkowej Mniszchowej, siostrzenicy króla, ²²⁾ nie muić i opis Platera, zajmują się przeważnie częścią obyczajową, ceremonialną, tak że nawet z pomocą dzieł obcych ²³⁾ nie wiadano nic bliższego o stronie politycznej tego zjazdu. Dopiero ogłoszone listy króla do Piusa Kicińskiego, ²⁴⁾ naczelnika gabinetu królewskiego, późniejszego senatora, tudzież Obrona Stanisława Augusta przez Mikołaja Wolskiego, dały nam poznać pismo: „*Souhaits du Roi*“, które

Stanisław posłał cesarzowej przez Stackelberga, tudzież notę, doręczoną osobiście Imperatorowej na statku w d. 6 maja. Pokazuje się ztąd, że Stanisław August starał się tu o zawarcie z Rosyą aliansu obronnego i o usunięcie niektórych niewłaściwości konstytucyjnych, które przeszkadzały pomnożeniu dochodów skarbu i niedopuszczały podniesienia liczby wojska, czego potrzebę wykazuje, jeżeli projektowany alians ma mieć praktyczne i doniosłe znaczenie. Wiadomo, że projekta te nie znalazły u Imperatorowej należnych względów, bo sierdząca się przeciwko królowi opozycya Branickich, Potockich i w. i, w Kijowie podkopywała do tego stopnia powagę korony, że niezwracano na nią należytej uwagi. Zuany nam już Kazimierz Konstanty Plater, starosta inflancki towarzyszył królowi w tej podróży z ramienia Rady Nieustającej i pozostawił sporą wiązkę listów, pisanych z podróży do swoich krewnych, do przyjaciół i warszawskich dworaków, donosząc im o wielu szczegółach i przygodach podróży. Listy te, jakkolwiek nie przedstawiające zupełnej całości, otrzymał Kraszewski w rękopiśmie, udzielonym mu przez hr. Włodzimierza de Broel-Platera—skrócił odpowiednio, zestawiał w chronologicznym porządku,—a brakujące przerwy uzupełnił opowieścią z innych źródeł czerpaną²⁵⁾. W ten sposób powstał dziennik podróży, który suchy i zimny opis Naruszewicza korzystnie uzupełnia i ożywia. Plater pisze z zupełną swobodą i daje nam wierny obraz ludzi, obyczajów, sądu współczesnego o rzeczach i wypadkach, maluje dobrze towarzystwo, które otaczało króla, jego zajęcia, zabawy, uczucia. Nie może być naszym zadaniem opowiadanie pojedynczych wypadków i przygód podróży królewskiej, którą listy Platera opisują aż do pobytu króla w Tulczynie, gdzie z powrotem król był ostentacyjnie przyjmowany przez Szczęsnego Potockiego, ale nadmieniamy tylko, że listy te świadczą o korzystnej zmianie stosunków wewnętrznych kraju za panowania Stanisława Augusta pod względem postępu edukacyi publicznej i dźwigającego się przemysłu. Plater wyjeżdżając z Naruszewiczem z Kaniowa do Kijowa uprosił niejakiegoś p. Berciniewicza, aby ten zapisywał codziennie wszystko, co się u króla w Kaniowie działo. Na podstawie tych notat donosi nam Plater, że generał *Jerlicz*, przybyły z rana w Niedzielę d. 1 Kwietnia 1787 r. do Kaniowa, przywiózł i oddał królowi rękopism dawny przez jego dziada

spisany, zawierający wiadomości do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza²⁶⁾.

IV.

Ograniczeni szczupłością miejsca nie możemy zwracać uwagi na idee i pierwiastki, które wpływały i składały się na początek i organiczny rozwój tak zwaney literatury pamiętniczej (*Mémoires*), nie możemy rozbiierać szczegółowo stosunku, jaki zachodzi pomiędzy tą gałęzią literatury historycznej, a kroniką i biografią, tudzież epeją średniowiecznego rycerstwa. Dla łatwiejszego jednak zorientowania się na tém obszerném polu rzucimy kilka przewodnich myśli, które wskażą związek pracy Kraszewskiego na niwie dziejowej, z literaturą historyczną w ogóle.

Wiadomo powszechnie, że klasztory w wiekach średnich zapisywały w kronikach swoich wypadki dziejowe (gesta) daney chwili, które to zapiski przybierają z czasem mianowicie we Francyi pod wpływem opata *Sugeriusza* z klasztoru S-go Dyonizjusza, formę obszerniejszych relacyi. Równocześnie wyśpiewuje rycerstwo, którego naiwna imaginacya łatwo przecenia doniosłość najdrobniejszych przygód życia rycerskiego i zapala się nad miarę do wspomnień swoich bohaterskich czynów. Dla cywilizacyi opierającej się w tak przeważnej części na tradycyach znacniejszych familii, jak to miało miejsce w wiekach średnich, stał się pamiętnik konieczną potrzebą życia umysłowego, zwłaszcza, że hieroglificzne znaki herbów i godła rycerskich, wystarczające dla zabawy szlachty nieokrzesanej okazały się wnet niedostateczne, ponieważ owe formy ogólne nie ujawniały zasług pojedynczych bohaterów. Skoro się zaś rycerstwo nauczyło czytać i pisać, i wyszło na obszerniejsze pole działalności w wojnach krzyżowych, wtedy poczęło z zamięłowaniem opisywać szczegółowo swoje czyny. Opowieści te, pierwotnie bardzo naiwne, jak np. u *Villehardouin'a* (około 1213 r.), przybierają nibawem postać i wszystkie przymioty, znamionujące literaturę pamiętniczą, jak to już widzimy u *Joinvill'a* (ur. 1223—1317) i *Froissart'a* (ur. 1337—1410).—Historya S. Ludwika przez *Joinvilla* napisana, stała się, można powiedzieć, pierwowzorem przedstawiania wypadków historycznych w nowy, nieznany dotychczas sposób, który, jako osobny dział literatury, jest charakterystycznym objawem nadobnej prozy francuzkiej, której *Mémoires* mają w innych europejskich lite-

raturach niektórych godnych współzawodników pod względem treści i zewnętrznego układu, ale są niezrównane pod względem stylu i opowiadania. Nie można zaprzeczyć, że obraz, w którym mąż dojrzałego sądu, obszerne na świat poglądy, łączy własne swoje przygody, myśli i wrażenia z wielkimi wypadkami historii, że, mówię obraz taki ma dla czytelnika szczególniejszy wdzięk i urok czarujący. Obraz czynów prywatnego życia, stykającego się z wypadkami doniosłości historycznej, przynosi dla oka naszego zdarzenia historyczne do tego stopnia, że nadaje im nietylko wierniejszy koloryt, ale pod pewnym względem wyciska na nich wyrazistsze piętno prawdy, stwierdzonej doświadczeniem i przykładem codziennego życia. W przykładach zaś jest wielka siła: życie znakomitych ludzi jest niewyczerpanym źródłem przestrogi, nauki, cnoty i otuchy wśród przeciwności żywota naszego. Wierny i jasny objaw wrażeń, uczuć, wzruszeń i uniesień każdej chwili, niezamglony żadnym późniejszych wieków poniżeniem, ma silny wpływ nie tylko na nasz umysł, ale i na wyobraźnię naszą i uprzytomnia nam niejako każdą ważniejszą chwilę przeszłości. „Pamiętniki tłumaczą nam tedy jaknajwierniej wypadki, charakteryzują ludzi, uczą nas rozumieć sprawy publiczne, odsłaniając nam codzienne życie ludzi, namiętności, zabiegi i obyczaje.“ Lecz z drugiej strony nie można zapominać i o tém niebezpieczeństwie, że pamiętnik, puściwszy swobodnie wodze gawędzie o przygodach osobistych autora, nie może się często wcale wzniesić z tego ciasniejszego, osobistego poglądu na sprawy publiczne, z czego płynie ten skutek, że bardzo często zubożetnia lub przytłumia się zupełnie żywszy interes i zmysł dla wypadków powszechnego, uniwersalno-historycznego znaczenia. Pamiętnik, nie kępując się prawidłowością organicznego życia historycznego, spętanego ogniwami nierozrwalnego łańcucha przyczyn i skutków, odznacza się pewną giętkością indywidualnej energii, która, ulegając wrażeniom gwałtowniejszych wypadków chwili, idąc za technieniem każdej przygodnej myśli, słuchając pragnień i uniesień chwilowych wstrząśnień, — to się wznosi do najwyższych zagadnień ducha ludzkiego, to schodzi na dół do poziomych powszedniego życia: — raz gubi się w krainie poezji i uniesień, drugi raz mozoli się z twardymi warunkami prywatnego bytu. Pamiętnik nie poddaje się powadze żadnej szkoły historyzoficznej, nie kępuje się wyłączenie ani dedukcją ani indukcją; ale,

zbierając wypadki najbliższego otoczenia swego, nie waha się ich rozbierać, porównywać między sobą: zastanawia się nad niemi, robi różne zboczenia od przedmiotu głównego, zbiera anekdoty, powieści, nawet bajki, — często wpada w apostrofę moralów, przestrogi itp. Historia w pamiętniku nie jest wstępem jakiegś wielkiej epopei; ale zazwyczaj udatną, wdzięczną nader gawędą. O ile w historii gromadzą się *fakta* około pewnych, górujących w danej epoce *idei*, o tyle krążą one w pamiętniku tylko około pojedynczych *osób*. Pamiętniki opierają się zazwyczaj na gruncie *subiektywnym*, służą po większej części celom i widokom osobistym, z czego wynika ten skutek, że narzucają wypadkom historycznym takie cele polityczne i moralne, jakie ich osobistym widokom odpowiadają, lub jakie przez artystyczne środki stylu i wymowy osiągnąć pragną. Wiadomą jest rzeczą, że pisać dzieje narodu wedle źródeł jest rzeczą trudną i dla wielkości przedmiotu i dla ułomności ludzkiej; pisać zaś sprawy dokonane własnym przyczynieniem się jest łatwiej; lecz niebezpiecznie dla miłości własnej, która do czynu często jest nienaganną pobudką, w słowie jednak zawsze szkodliwą. Tą słabą stroną literatury pamiętniczej widzimy już w historyografii Greków i Rzymian. Xenofon np. dla zjednania przewagi ideom arystokratyczno-monarchicznymi, pragnął w bohaterze swoim, Cyrusie, przedstawić ideał doskonałego panującego, hołdującego takim zasadom. Podał nam tedy materyał historyczny w idealnych obrazach, tak że cała jego historia okazuje nam się w kolorycie poetyczno-etycznym, który z historią się niezgadza. U Thucydidesa zagłusza nieraz refleksy prawdziwy głos opinii narodu. Juliusz Cezar pisze swoje „kommentarze“ o wojnie w Galii w obronie zasad politycznych, — stara się bowiem jarzmo, w które zaprzął cały naród, zamienić na sztandar sławy, przed której blaskiem korzyć się powinni wszyscy barbarzyńcy. Nie przeczymy, że w ten sposób ożywia się obraz historyczny silnym technieniem energii indywidualnej; ale prawda dziejowa łatwo tu może ucierpieć, bo cywilizacja i postęp ludzkości, prowadzone miłosierdną, kochającą i sprawiedliwą ręką Opatrzności, nie mogą słuchać głosu ambicji i arrogancji osobistych. W błęd co tylko wskazany wpadają najczęściej pamiętniki pisane przez mężów stanu, którzy pragną usprawiedliwić postępowanie swoje w oczach potomności lub też chcą zapewnić ideom swoim zwyczajtwa w następnych wiekach.

Z tego wynika, że „pamiętnik“ jest niejako swobodną pogadanką autora z przeszłością, w której spędził dni życia swojego od młodości aż do siwizny, pogadanką, której dopominają się osoby najbliższe, a z której potomność uczy się bardzo wiele ważnych rzeczy, jeżeli piszący posiadał warunki dla tego rodzaju pracy konieczne i niezbędne. Historyk, badający prawa życia i rozwoju historycznego, widzi w „pamiętnikach“ zeznania świadków; historia dopiero, osądzwszy według tych świadectw wszechstronnie i sumiennie prawdziwy stan rzeczy, jest ostatecznym wyrokiem sędziego.

Różnica między dziełem historycznym a pamiętnikiem na tém głównie polega, że autor pamiętnika ma więcej na uwadze swoje czyny, aniżeli wypadki swojego czasu, więcej to, co się tyczy jego osoby, aniżeli to, co się dzieje koło niego; pisze to, czego się dotykał, co widział lub co słyszał, pod pierwszém wrażeniem bez dochodzenia prawdy, z pomocą innych źródeł; historyk zaś zbiera przedewszystkiem niezachwiane świadectwa prawdy z autentycznych źródeł, porównywa je z sobą, waży na szali sprawiedliwego sądu, bada wszystkie wypadki współczesne, wnika w ich ducha i stara się za pomocą intuicji odkryć idee, które przenikały minione wieki. Jeśli tedy u historyka stanowi sztuka umiejętnego korzystania ze źródeł jedną z najważniejszych zalet, to u autora pamiętnika nie potrzebuje my zwracać na to szczególniej uwagi, byle tylko posiadał bystry zmysł spostrzegawczy i zdolność żywego opowiadania współczesnych mu wypadków.

Warunki, którym podług powyższego wywodu, powinien zadość uczynić autor pamiętników, aby w historyografii poczesne zajął miejsce, są jednak daleko wyższe, jak się tym zdaje, co w nich szukają tylko dowiecipu, pięknych obrazków i jaskrawych szczegółów. Tą jaskrawą stroną pamiętników wydanych przez Kraszewskiego nie myślimy się wcale zajinować, bo uważamy to w naszej epoce za zupełnie już zbędne i nie rozumiemy interesu, jaki poważny umysł w tém znajduje, gdy się znęca nad wybrykami nie tyle nikczemnych, ile rubasznych i lekkomyślnych fantazji 18-go wieku, lub gdy występuje do poważnej walki z utworami poetycznymi, na tém tle wyrosłemi. A jeśli przy tém tylko o moralę chodzi, to ubolewać nad tém trzeba, żeśmy już tyle czasu zmarnowali na prawienie moralitów przodkom naszym, że nam go zabrakło do gruntownego poznania samej przeszłości i do korzystania z nauki, jaką mie-

ści w sobie ta przeszłość dla teraźniejszości trzeźwo pojmowanej. Wiadomo powszechnie, że praca na drodze postępu jest uciążliwa, żmudna i długa: wpływy zewnętrzne i wewnętrzne wstrząśnienia mogą ją chwilowo jeszcze bardziej utrudnić, powstrzymać—nawet zatać. Przewrotność nakazuje starać się o to, aby chwile takiej konsternacji nie trwały długo, aby po każdym takim gromie społeczeństwo prędko zabrało się do roboty, która bez wewnętrznej harmonii między pracującymi będzie szamotaniem się bezmyślną siłą, ale nie stanie się nigdy produktywną pracą.²⁷⁾ Między bezmyślną wzajemną admiracją a napaściem podjazdami chępliwych reformatorów jest przecie pośrednie stanowisko, z którego przy szacunku dla przeciwnego zdania i opinii można harmonijnie pracować i do jednego dążyć celu. Tę harmonią kłóć jednak w wysokim stopniu wszelkie nierozważne publicystyczne wybryki czy to pod chorągwią postępu czy zacofania,—czy pod chorągwią pseudo-pozytywizmu lub ultramontanizmu—demokracji lub arystokracji występujące, ponieważ miesza się z tém dużo osobistości, zaprawionej cierpką ironią i zawiścią. Pamiętnikom tedy 18-go wieku nie można czynić z tego zarzutu, że stały się skarbnicą obfitego materiału dla obrazów poetycznych i powieściowych z rubasznego trybu życia szlachty minionego stulecia, bo straszdyło to znikło już bezpowrotnie i wojować z niem nie potrzeba.

Historyczna wartość „Pamiętników“, jako źródeł, zależy od tych samych warunków, na których opiera się wartość każdego innego świadectwa historycznego. Badacz dziejów zwracać tu winien pilną uwagę na stopień nauki i wykształcenia autora pamiętnika; dalej na moralną stronę jego charakteru, na stanowisko, jakie zajmował w społeczeństwie, i na czynny udział, jaki mógł mieć w wypadkach epoki, której obraz nam kreśli. Im wyższe zajmuje autor pamiętnika stanowisko w hierarchii politycznej, z którego wszystkie wypadki dokładnie mógł poznać,—im światlejszym szczyt się umysłem, pojmującym dokładnie zdarzenia swojej epoki,—im niewątpliwszą jest moralna strona jego charakteru, im większą miłość prawdy, religijne namaszczenie i odwaga cywilna wypowiedzania swych niewzruszonych przekonań, tém cenniejszym staje się pamiętnik dla badacza dziejów, bo tylko taki świadek będzie wiernym tłumaczem dążeń swojej epoki.

„Pamiętniki“ są jeszcze nie tylko wymownymi świadkami faktów historycznych,

ale stanowią także ze względu na swoje formę szacowne nader pomniki literackie, świadczące o stopniu wydoskonalenia języka, wymowy i tp. Nie można jednak sprawiedliwie ocenić wartości literackiej żadnego pamiętnika, jeżeli go nie porównamy z resztą współczesnej mu literatury, jeżeli nie zwrócimy pilnej uwagi na stosunek, jakim pod względem naukowym i artystycznym zachodzi między stopniem oświaty danej epoki a pisarzem pamiętnika danej chwili; ważną bowiem jest rzeczą wiedzieć, czy słuchamy opowieści męża, stojącego na najwyższym szczeblu naukowego wykształcenia społeczeństwa swojego, lub też czy mamy przed sobą zacofanego gawędziarza bez szerszego poglądu na wypadki swojego czasu, bez wydoskonalonych pojęć estetycznych, bez gruntownego wykształcenia, tonącego w zabobonach i przeróżnych gusłach, nie mającego jasnego pojęcia o postępie i cywilizacji ludzkości. Z tego wynika, że niema pamiętnika, z któregoby historyk nie mógł zaczerpnąć dla siebie wiadomości; ale jest bardzo wiele takich pamiętników, dla których niema w dziejach literatury miejsca, ponieważ brak zupełny artystycznego opracowania, tak w treści jak i formie, nie pozwala uważać ich za produkcję artystyczną, ale tylko za nieokrzeseane wyrażanie myśli za pomocą pióra. Tego rodzaju pamiętników nie wypadłoby wydawać w całości, ale możnaby je tylko szczegółowo chronologicznie zregestrować w sposób powyższy przez nas wskazany.

Ważnym nader względem przy ocenianiu historycznej wartości pamiętników jest ta okoliczność, czy autor pisze dziennik swój dorywczo pod świeżemi wrażeniami, czy też w późniejszym wieku zbiera w pamięci pojedyncze wypadki swojego życia i, zgromadziwszy przeróżne szczegóły i notaty, pisze w krótkim przeciągu czasu swoją autobiografią albo raczej dziennik swoich wspomnień. Powszechny między naszą szlachtą zwyczaj prowadzenia dziennika i pamiętników domowych (dyaryusze, *Silva rerum* i tp.) płynął między innemi z przeświadczenia o ważności własnej osoby i o wpływie własnej rodziny na losy kraju. Ztąd pochodzi znaczny szereg względnie nadzwyczaj wartości pamiętników w naszej literaturze, bo rzadko który dorównywa pierwszemu wzorowi, którybyśmy w Komentarzu Jana Dymitra Solikowskiego widzieć pragneli. Każdy niemal szlachcic, zarówno wysoki dostojnik i wódz (St. Albr. Radziwiłł, Jakób Sobieski), jak i skromny dworzanin (Samuel Twardowski, Samuel Markiewicz),

jak i ruchliwy żołnierz (Poczobut, Pasek) stara się spisać swoje *gesta*; ale zazwyczaj dopiero późno pod koniec życia, jako *jucundissima recordatio* minionej sławy obok skargi na skarłowaciałe młodsze pokolenie. Każdy przywiązuje wielką wagę do czynów swojego życia, chce je upamiętnić najprzód dla własnej sławy i dla zaszczytu domu, a potem także dla nauki i przestrogi następców. Historyk, szukający w pamiętniku źródła historycznego, powinien zawsze o tém pamiętać, że sąd nasz o własnych czynach i pogląd na życie ulega z każdym dniem pewnym zmianom, które po upływie dłuższego czasu wytwarzają wielkie różnice pod względem zasad, według których wypadki przeszłości oceniamy i pod względem stanowiska, z którego się na nie zapatrujemy. Inaczej się nam przedstawia fakt w chwili, gdy się spełnia, wywierając na nas doraźne, że tak powiem, wrażenie,—inaczej zaś będziemy go oceniać z odległości kilkunastoletniej, której spokój i bezinteresowność pozbawiły go już ożywczego tchnienia współczesnej chwili. W takim położeniu rzeczy uchodzi wiele szczegółów z pamięci, wiele nakazuje się już w odmienném świetle a troskliwość o pamięć pośmiertną każe pokrywać milczeniem wiele ujemnych szczegółów i radzi przedstawiać raczej postępowanie swoje w najkorzystniejszej formie ²⁸).

Nadmieniamy wreszcie, że sposób wydania pamiętników z oryginalnych rękopisów lub wiarygodnych kopii decyduje stanowczo o historycznej wartości przechowanego pomnika. Rękopisma, z których pamiętniki się przygotowują do druku, znajdują się często w bardzo zaniedbanym stanie. Pomijając nieczytelność pisma, która przy nagannym pośpiechu może być przyczyną wielu *qui pro quo*, stanowią nie małą przeszkodę liczne uszkodzenia, brakujące karty, dodatki późniejszej ręki, poprawki i tp. Często opisywane są szeroko sprawy tak drażliwie dla osób żyjących, że bez obrażenia najdelikatniejszych uczuć rodziny nie można ich w całej nagości prezentować; często znajdujemy ich zewnętrzną formę pod względem stylu zaniedbaną, a język tak cyniczny, że trzeba go dla uratowania nieskażonej brudem treści cokolwiek ogładzić. Ostatnie remedium można ze stanowiska literackiego dozwolić i wybaczyć tak wytrawnemu wydawcy jak, Kraszewski, ale w pierwszym wypadku wypada raczej wydawnictwo wstrzymać, aniżeli je przeistaczać opuszczeniami lub przeróbkami, szorostkość pierwotnej relacji łagodzającami. Dla téj przyczyny nie ma wiele pamiętników,

wydanych przez Raczyńskiego, żadnej historycznej wartości. J. Kraszewski znajdował się często w konieczności wyglądu rękopismów pod względem stylu i języka; lecz wychodzące z pod jego ręki wydawnictwa nie budzą żadnych obaw co do nadwerżania samych faktów. W odpowiedzi, jaką na zapytanie nasze co do sposobu korzystania z rękopismów od szanownego Jubilata odebraliśmy, pisze Kraszewski ze względu na rękopism pamiętników Ochockiego, nabyty od rodziny: „Był on pisany stylem takim i tak cynicznie miejscami, że musiałem go dopiero uczynić *présentable*, rzęczę jednak za to, że nie ani dodałem ani zmieniłem, i sumienność w przepisaniu zachowałem jak największą. Nigdzie i nigdy nie robiłem swoich dodatków.“ Zapewnienie to będzie zapewne wystarczającym dla każdego, kto inaczej sądził, aby nie wątpić o autentyczności i czystości źródła, z których wypłynęły publikacje Kraszewskiego: dla domysłów i przypuszczeń przeciwnych miejsca już odtąd być nie powinno.

Przypatrzymy się wreszcie choć pobieżnie wydanym przez Kraszewskiego pamiętnikom historycznym dla przekonania się, o ile one odpowiadają powyższemu warunkom.

Skoło jednak łaskawy czytelnik zwróci uwagę na to, że wiele z tego rodzaju publikacji Kraszewskiego dotyczy nowszych dziejów, które z wielu względów zewnętrznych krępują jeszcze dzisiaj swobodę krytycznego rozbioru, to wybaczy nam, gdy nie o wszystkich z równą dokładnością rozprawiać możemy. Dla łatwiejszego zorientowania się wśród tego dość licznej materjału postępujemy tu wedle porządku chronologicznego.

Z czasów XVI wieku dał nam Kraszewski poznać w tłumaczeniu pamiętnik, przypominający smutną agonią upadającego na Szlązku rodu Piastów, w dziełku: „Pamiętnik Hansa Schweinichena do dziejów Polski i Szlązka (1552—1602)“²⁹⁾.

„Nie umiemy odgadnąć, pisze Kraszewski w przedmowie, czy ta książka, cenną powszechnie, jako ciekawy zabytek XVI wieku, u nas też znajdzie dobre przyjęcie, ale nam się zdało, że w zbiorze pamiętników rozpoczętym dać ją wypadało.“ We Francji pisał de Chasles wyborny artykuł o tym pamiętniku, w Anglii drukowano tylko treść i niektóre wyjątki, Kraszewski pisał o nim u nas w Gazecie dosyć obszernie. Zasłużony na polu historii szląskiej ś. p. Gustaw Stenzel skreślił gruntowną wiadomość o życiu i czynach Henryka XI, księcia lignickiego na podstawie pamiętni-

ka Schweinichena,³⁰⁾ z której August Mosbach przedstawił ważniejsze momenta w dziele: „Wiadomości do dziejów Polski z archiwum prowincji szląskiej“³¹⁾. Pamiętnik opowiadający przygody, jakie przechodził Schweinichen, będący ochmistrem hulaszczego nader Piasta lignickiego, napisał autor w późniejszych latach swego nader awanturniczego życia (ur. 1525 — 1616) w języku niemieckim.³²⁾ Schweinichen wyklada najprzód w obszernym wstępie, który wydanie nasze zupełnie pominęło, swoje wyznanie wiary, rozpamiętywa z pobożną skruczą swoje życie młodzieńcze, wlicza przodków po mieczu i po kądzieli, a potem dopiero zwraca się od opisu własnych przygód. Nie tylko z heraldycznych względów ciekawaby było rzeczą usłyszeć od tego szląskiego Świnki³³⁾, czy nie z tego samego gniazda pochodził głośny w XIII wieku obrońca polszczyzny w szkołach klasztornych, arcybiskup gnieźnieński Jakób Świnka,—oraz inny Adam Świnka, sekretarz króla Władysława Jagiełły, najdawniejszy poeta łacińsko-polski.³⁴⁾ Nie może być zadaniem naszym opowiadać za Schw. przygody owego zbyt awanturniczego, a pod względem historycznym, jak i moralnym bardzo smutnego życia Henryka XI, butnego, lekkomyślnego i marnotrawnego Piasta, któremu Schw. towarzyszył przez długie lata (1569 — 1588) prawie nieodstępnie. Rubasność i jaskrawość pojedynczych obrazów średniowiecznego rycerza nie wynagrodziłyby żalu i oburzenia z upadku świetnej niegdyś rodziny Piastów i nie złagodziłaby przykrego widoku zupełnego prawie rozkładu resztek społeczeństwa słowiańsko-polskiego, które dla gnuśności, marnotrawstwa i odszczepieństwa od swojego rodzinnego i plemiennego sztandaru, tonęło bez nadziei ratunku w nawale germanizmu. Schweinichen miał za mało wykształcenia umysłu i serca, aby process, jaki się w jego oczach odbywał, mógł dokładnie pojmywać. Stanowisko wreszcie Schweinichena przy tym od natury upośledzonym Piastie nie nastęczało mu też sposobności do wglądania w wielkie sprawy publicznego interesu. Pamiętnik Schw. nie daje nam dokładnego pojęcia o stosunkach historycznych na pograniczu szląsko-polskim, o stosunkach, jakie na gruncie reminiscencji epoki piastowskiej między rycerstwem i ludnością Szlązka a Wielkopolską i Małopolską się w trakcie czasu wytworzyły. Spotykamy w naszym pamiętniku zaledwo kilka takich epizodów, chociaż przy tym materyale

archiwalnym, jaki odkryli Stenzel, Wattenbach, Grünhagen, Mosbach,—Schweinichen uplastycznia lepiej niektóre wypadki. Do takich zaliczamy zabiegi Henryka XI o koronę Jagiellonów przy schyłku panowania Zygmunta Augusta i dwóch następujących elekcyi. Prócz waśni rodzinnych, buty i marnotrawnego życia naraził się Henryk XI swoim lennodawcom Habsburgom, starając się nawet po klęsce pod Bieczyną z taką żarliwością o berło polskie—naraził się im, mówię, przez to, że łudzony obietnicami niektórych panów polskich (np. Adama Konarskiego, biskupa poznańskiego, Zborowskich, Rozrażewskich) znosił się w tym celu z dostojnikami polskimi a nawet już z samym Zygmuntem Augustem, którego z wielką ostentacją odwiedził w Lublinie podczas pamiętnego sejmku 1569 r., gdzie był dłuższy czas z wielką serdecznością z całym swoim dworem podejmowany. „Podróż ta kosztowała księcia przeszło 24,000 talarów, a przecież nie sprawiła nic, tylko niełaskę u cesarza“³⁵). Stosunki te niepokoiły w wysokim stopniu Maksymiliana II³⁶) już w r. 1573, chociaż w pamiętniku naszym znajdujemy dopiero w r. 1574, 1575 i 1578 wzmianki o wycieczkach księcia do Polski³⁷), nadmienając, że „kto tylko z Polakami dobrze się obchodził, ten się u niego wybornie zasługiwał“³⁸). Szlachta szlązka, nie kontenta z rządów marnotrawnego księcia, donosiła podejrzliwemu już i tak cesarzowi niemieckiemu, który, czyhając na koronę polską, posądział Henryka o szkodliwe praktyki przeciwko sobie. Każę tedy posłom swoim badać Henryka co do celu tych częstych wycieczek do Polski, zakazuje mu takowych—każę go chwycić i więzić, wzywa do Pragi, aby się tłumaczył, a gdy ten nie słucha, powołuje przeciwko niemu pospolite ruszenie szlachty szlązkiej. Henryk, stanąwszy przed cesarzem, tłumaczy się w ten sposób z czynionego mu zarzutu: „Prawda, że bywałem w Polsce dla odwiedzenia panów i przyjaciół; lecz nie sądzę, iżby mi tego można wzbraniać; pochodzę bowiem z szlacheckiej krwi królów polskich, wre we mnie dotąd krew polska, ztąd mam szczególną przychylność ku Polakom, nikt mi jednak nie może dowieść, abym cokolwiek przeciw cesarzowi (knował w Polsce“³⁹). Odsadzony wyrokiem cesarskim od księstwa i wtrącony do więzienia, ucieka w r. 1585 z tej „kustodii“ do Polski,⁴⁰) a ztamąd do Szwecyi, zktąd wraca dopiero z nowo obranym królem Zygmuntem III do Krakowa na koronację, co na Szlązku nie

mały wzbudziło postrach⁴¹). Niebawem umarł Henryk XI prawie nagle w Krakowie („gadano, że książę wypił truciznę“⁴²). Cesarz nie chciał w żaden sposób pozwolić, aby sprowadzono zwłoki książęce z Polski do Szlązka, dla tego „że zmarły książę zbuntował się przeciw niemu i przyłączył się do nieprzyjaciół J. Ces. Moś.“⁴³).

W obec idei wprowadzenia sposobem wolnej elekcyi krwi piastowskiej na tron polski, trzeba było innych zupełnie mężów, jak słaby Zygmunt August i awanturńczyk Henryk, aby stworzyć dla Polski rząd trwały i silny. Zresztą przy osłabionej w wysokim stopniu przez Jagiellonów zasadzie dziedziczności tronu nie stanowili już w tej chwili książęta z linii Piasta takiego niebezpieczeństwa dla elekcyi, jakiego się obawiał Ludwik, gdy dla widoków dynastycznych podał (r. 1374) władzę monarszą w zupełną prawie zależność od uprzywilejowanej szlachty. W początkach panowania Jagiellonów w Polsce nie możemy tu jeszcze przypuszczać elekcyi tronu, ponieważ byłoby to anomalia, nawet dla polityki trudną do zrozumienia, żeby państwo dziedziczne, jakim była Litwa, chciało łączyć stale swoje losy z państwem elekcyjnym. Zaprzeczyć też nie można, że chociaż i pierwsi Jagiellonowie nie skąpią przywilejów dla szlachty polskiej i litewskiej w nagrodę za życzliwość, jaką obydwa te narody okazują dla rodziny Jagiellonów, to nie zaniedbują równocześnie warować sobie wyraźnie sukcesyi tronu⁴⁴). Dopiero unia za Alexandra w r. 1501 potwierdzona, mówi wyraźnie o wolnym obieraniu króla przez obydwa narody, nie nie wspominając o dziedzictwie Jagiellów do korony Polskiej i W. kr. litewskiego. Zygmunt I, używał jeszcze tytułu dziedzica i sukscessora korony polskiej i W. ks. litewskiego; lecz Zygmunt August rzekł się tego prawa i odstąpił całe prawo domu Jagiellońskiego do korony i W. ks. litewskiego uroczyste obu narodom. Historia, opierając się na autentycznych źródłach, a nie kłębując się żądnymi względami politycznej spekulacji, przychodzi do tego wniosku, że po osłabieniu w Polsce przez Ludwika prawa sukcesyi tronu, rozpoczyna się już z pierwszą chwilą jednoczenia się Litwy z Polską żywa walka idei elekcyi z ideą sukcesyi tronu, walka, jak się Kollataj wyraża, między rzetelnym prawem sukcesyi a wolną obieralnością królów,—która to walka stanowczo ukończoną już została za Alexandra I. Nawykły już do politycznych odmian naród, wsparty sąsiedzkim przykła-

dem głośnych elekei w Niemczech, nie omieszczał korzystać ze słabości tego nieopatrzego króla; lecz unikając tego, aby taka nowość nie oburzyła prawdziwych następców, powoływał ich, dopóki ich starczyło bez szemrania na tron. Zygmunt I nie był jednak już pewnym, czy takie życzliwe usposobienie zachowają obydwaj narody i dla jego potomstwa, dla tego przeprowadził już za swego życia elekeją Zygmunta Augusta. W ten sposób przywiodły wypadki dziejowe do skutku elekeją tronu w Polsce, a gdy ta za przewodnictwem Zamojskiego, podnoszącego idee, że tak powiem, legitymizmu jagiellońskiego przeciw wdzierającym się Niemcom, przybrała nareszcie kształt instytucji politycznej, która przepisywała, aby panującego wybierała wszystka szlachta konno (viritem), a nie przez żadne delegacje i pośrednie wybory, tedy nie mogły mieć aspiracye żadnego księcia z linii Piastów, choćby on był zupełnie odpowiednią osobistością—żadnego poważniejszego znaczenia, tylko takie, jakie każdemu innemu kandydatowi nadawały ścierające się w daną chwilę interesa uniwersalno-europejskie.

Z pogranicza szląskiego, żyjącego często pod trwogą wzajemnych sąsiednich najazdów, tak, że krewniak Zborowskich, szląski szlachcic Zygmunt Kurebach najeżdża Andrzeja hr. Górkę, rabuje i do Szląska wywozi ⁴⁵⁾, przechodzący na ukraińskie kresy, gdzie przy niepewnych granicach daleko jeszcze trudniej było utrzymać spokój i ład między pograniczną ludnością i zabezpieczyć ją przeciw najazdom i gwałtom barbarzyńskich hord tatarskich. Kraszewski wydał trzy relacye, które, jakkolwiek nie należą, ściśle rzecz biorąc, do pamiętników, ale raczej do opisów podróży, rzucając pewne światło na stosunki wschodniego pogranicza Rptej w XVI w. i dla tego w tym miejscu na uwagę zasługują.

Literatura nasza nie jest bogata w opisy podróży po dalekich krajach, dla tego należy się wdzięczyć Kraszewskiemu, że znalazłszy dwa takie „itineraria“ w rękopismach biblioteki hr. Henryka Ilńskiego w Romanowie na Wołyniu, wydał je w całości, nie nie skracać ani zmieniając, prócz pisowni. Do opisu tych podróży przyłączył opis poselstwa Piotra Zborowskiego z r. 1568 do Konstantynopola z tych samych źródeł i wydał w bibliotece Turowskiego ⁴⁶⁾.

Autor opisu podróży do Konstantynopola z r. 1557, Erazm Otwinowski pochodzi z rodziny, która, jak świadczą późniejsze dzieje, była często używana do tranzacyi z

Turkami i Tatarami ⁴⁷⁾. Otwinowski, zostający na dworze najprzód Kmity, wojewody Krakowskiego, a później Stausława Tenczyńskiego, towarzyszył do Turcyi Andrzejowi Bzickiemu, kasztelanowi Chełmskiemu, którego Zyg. Aug. z wyboru sejmu r. 1557 do tej misyi powołał. Jan Kochanowski nadmienia w swoich „Fraszkach“, że Jędrzej Bzicki, pochodził z niezamożnej rodziny, ale, obdarzony dowcipem, zasiadał w pańskiej radzie i, jeśli komu, to jemu były znane dawne labirynty dyplomatyczne z Turcyą. Otwinowski pisze, że Bzicki „rad z nim o każdej rzeczy bezpiecznie albo familiariter rozmawiał“ i dla tego go też łatwo do tej podróży po weselu księcia Słuckiego w Lublinie namówił. Przyjacielski ten stosunek wnet się zupełnie zmienił, bo Otwinowski pisze z wielką niechęcią o Bzickim. Naukowa wartość pracy Otwinowskiego nie jest wielka, ponieważ o celu i zadaniu poselstwa Otwinowski nie nam powiedzieć nie umie: „Co za traktaty tam były, żaden tego niewiedział, ani żadnej pana posłowej sprawy, tak to wszystko *in secreto* u siebie miał.“ Natomiast opowiada Otwinowski dosyć malowniczo całą podróż. Wspomniawszy o miejscowościach, przez które przejeżdżali (Kamieniec, Chocim, Jassy, przeprawę przez rz. Prut, Dunaj pod Obkursycami, przez góry Bałchany i t. p.) w krótkich słowach, rozwodzi się dopiero obszerniej o samym Konstantynopolu. Opisuje położenie miasta, ważniejsze historyczne budowle, mianowicie kościół S-tjej Zofii, rozprawia o zwyczajach i obyczajach u Turków, o systemie wychowania i t. p. W Otwinowskim widzimy męża stojącego pod względem wysztalcenia na stanowisku swojego wieku: widzimy, jak potrafi wiązać to, co spostrzega w Konstantynopolu i na półwyspie bałkańskim, z historią cesarstwa bizantyńskiego,—spostrzegamy, że obserwuje każdą rzecz jasno i sądzi z poważną bezstronnością nauki. Z opisu Otwinowskiego zdaje się korzystać Szymon Starowolski w dziele swoim: „Dwór cesarza tureckiego“ ⁴⁸⁾. Nie znachodząc u Otwinowskiego żadnego poglądu historycznego na stosunki Polski do Turcyi, zwracamy raczej uwagę czytelnika na poselstwo Piotra Zborowskiego, kasztelanica wojnickiego, który posłował do Turcyi w pierwszych latach panowania Selima II (od r. 1566) ⁴⁹⁾ i zdaje w r. 1568 szczegółowo sprawę ze swojej misyi.

Nie tu miejsce zastanawiać się wszechstronnie nad znaczeniem historycznym tego faktu, że Polska pod naciskiem zewnętrznych okoliczności usuwa się w w. XIV.

z swego rodzinnego, czysto lechickiego gruntu, oddając na łup niemców i żydów obszerne włości i zamożne niegdyś miasta, tak że idea państwa, zwrócona od zachodu ku wschodowi, ulega zupełnemu przekształceniu. Ponieważ jednak w nowszych czasach nie tylko Sołowiew Kostomarov, Howajski, i w. in., ale i w swojskie historyzofy nie przestają na ten temat powtarzać przeróżnych komunalów politycznych i retorycznych, przeto ośmielamy się choć pobieżnie zaznaczyć stanowisko poglądu historycznego na tę kwestyę. Jeżeli bowiem gdzie, to w tej sprawie pokazuje się jak najwidoczniej, do jakich błędnych pojęć o wypadkach historycznych dojść można, gdy się pomiesza historią z polityką: widzimy, że nawet uczeni professorowie, ufini w przewagę swojej wiedzy na polu nauk społecznych i politycznych do tego stopnia, że tą nową (jak jednostronnie sądzą) bronią myślą zniweczyć owoce dotychczasowych trudów na polu badań historycznych, że—mówię—nawet ci autorowie rozpędzeni na politycznym rumaku, nie mogą sprawiedliwie ocenić idei historycznych przed mianami swojej historycznej spekulacji. Punkt ten stanowi według naszego zdania kardynalny błąd książki p. M. Bobrzyńskiego, który właśnie dla tego względu uważa pracę swoją za początek nowej szkoły badań historycznych, jak tego dowodzi prócz samego dzieła, najnowsza tegoż autora broszura: „W imię prawdy dziejowej.” P. Bobrzyński, nie uwzględniając wcale dotychczasowej naszej literatury propedeutycznej, ogłasza zasady metodologicznego badania dziejów, niby jakie *arcana*, które jednak nawet w dziełach elementarnych dawno już są znane.

Otóż tedy polityk, widząc wskazany powyżej zwrot w dziejach Polski, mógłby dla wielu względów zrobić monarchii piastowskiej ten ciężki zarzut, że zrobiła krok najzgubniejszy dla całej przyszłości narodu, gdy, zaniedbując obrony swego rodzinnego lechickiego gruntu, wydała, przez zwrócenie głównych sił swoich na wschód i południe ku ludom ruskim, osłabioną w stronach zachodu populacją polską na łup germanizmu i żydów. Nie dość bowiem na tém, że kolonizacja krajów różno-plemiennych południowo-wschodnich wyludniała ziemie władztwa lechickiego, ale państwo traciło przez to swój rodzinny charakter *monarchii* liberalnej, pod wpływem cywilizacji zachodniej organicznie się doskonalcącej, a przetwarzano się w *federacyę* ludów, ziem i krajów, które, chociaż na niższym stopniu politycznego uspo-

łecznienia i oświaty stojące, potrafiły zawarować sobie w uroczystych aktach łączenia się z Polską tyle autonomicznej *przewagi*, że przy niej musiała coraz bardziej słabnąć *powaga* korony nawet w krajach czysto polskich. Co więcej: resztki plemion słowiańskich nad Elbą, Odrą i morzem bałtyckim straciły sztandar, na który się w epoce piastowskiej oglądały z pewną nadzieją ratunku od grożącej im zagłady—i osłupiałe tonęły w morzu germanizmu. Polska zaś wprowadzona na nową drogę życia politycznego, na pole „nowych zwycięstw, kłesk i sławy” w obronie chrześcijaństwa, ujrzała się niebawem w konieczności asymilowania tych nowych pierwiastków, co bez oporu miejscowych dążeń dokazać się nie mogło,—musiała prowadzić nader uciążliwe wojny w obronie spokoju i bezpieczeństwa tych niepewnych, zbyt odległych, wcale nieobwarowanych granic południowo-wschodnich przeciwko Turkom, Tatarom i przeróżnej swywolnej dziczy. Pod sztandarem idei walki z germanizmem organizowało się państwo polskie, konstituowała się monarchia piastowska; pod sztandarem zaś idei przedmurza chrześcijaństwa miała Rzeczpospolita nadal przewodniczyć organizowaniu się nowych społeczności w liberalnym związku państwowym. Polska, związana całą swą cywilizacją z zachodem, podlegała bezustannie skutkom zawikłań idei uniwersalno-historycznych, reprezentowanych przez Rzym i cesarstwo niemieckie⁵⁰), ulegała wpływom intryg dynastycznych potężnych mocarstw Europy zachodniej (Habsburgów z Burbonami), które jej pracę cywilizacyjną gmatwały i często obezwładniały. Zatargi z Multanami, Wołoszą i Tatarami, rozrywając siły narodu, uiwieczą owoce pracy, na północy dokonanej—i robią z Rzeczypospolitej narzędzie do walki, która rzeczywiście jest walką ościennych państw wielkich, pragnących samolubnie zawładnąć interesami Europy wschodniej.

Stoiśmy tu na gruncie czystej politykomanii, bo polityka nie troszczy się o odtworzenie wiernego obrazu dziejów przeszłości, ale uważa tylko na środki i sposoby rządzenia państwem w danej chwili. Nauki historyczne i polityczne muszą się wprawdzie wzajemnie wspierać — jak się rzeczywiście i przed p. B. dawno wspierają; mięszać ich jednak ze sobą niewolno, bo wzajemny ich stosunek jest naukowo ściśle określony; ale określony w sposób wprost przeciwny temu, jakiego trzyma się p. B., bo nie polityka historii, ale historia polityce dostarczać

powinna światła i szacunku dla wolności i dla tych zasad moralnych, bez których nie ma prawdziwego postępu ⁵¹).

Zobaczmy teraz, jaki będzie pogląd historyi na tę samą kwestyę. Historia, uwzględniając ogólne położenie stosunków europejskich w wieku XIV, jak się takowe w trakcie czasu uformowały, nie ośmieli się narzucać odległej przeszłości widoków i dążeń, które jęj zupełnie były obce, które dla niej jeszcze nie istniały. Historya nie może zapominać o tych nieprzeparowanych przeszkodach, które nie pozwoliły monarchii piastowskiej rozwijać się organicznie w jęj pierwotnych geograficznych granicach. Przeszkody te leżą w dwóch trwałych nawałnościach, jakie przez długi czas nad narodem polskim zawisły, mianowicie w wojnach Krzyżackich i w najazdach Tatarskich. Wojny Krzyżackie osłabiły koronę, złamały możnowładztwo świeckie i duchowne, a przez nadmierne powiększenie praw i przywilejów stanu rycerskiego nadwątlily znaczenie stanu mieszczańskiego i zdeptały prawa stanu kmieckiego i włościańskiego. Rycerstwo pojedynczych ziem i województw, zebrane na wojnę z Krzyżakami domaga się za swoje gotowość wojenną przyznania sobie praw i przywilejów w zakresie sądownictwa i samorządu, które dawniej tylko dostojnikom państwa i koronie służyły ⁵²). Jagiellonowie przyciśnieni gwałtowną potrzebą obrony nie tylko krajów polskich, ale i ziem litewskich, skarbiąc sobie prócz tego umysły dla zapewnienia korony swoim synom, ulegają choć ze wstrętem natarczywości tych rycerskich aspiracyj. Tranzakcyje na tym gruncie dokonywane stają się źródłem praw i przywilejów, które, niesformowane dokładnie, odwołują się zawsze do dawnych zwyczajów i następczą sposobność dla jaknajswobodniejszych komentarzy. Na tej podstawie,—z tego źródła wypłynęła, jeśli tak rzec można, wyraźnie niesformułowana konstytucya Rzeczypospolitej, opierająca się po osłabieniu korony, po nadwątleniu powagi możnowładztwa, po usunięciu miast i kmieci ze sfery życia politycznego, wyłącznie i jedynie na rycerskiej gotowości szlachty, reprezentującej swoje lokalne interesa ziem, województwa, powiatu itd. Wojny francuzkie nie miały dla rozwoju konstytucyi angielskiej takich skutków, bo miasta angielskie, nie trapione żadną zewnętrzną przemocą, były zbyt silne, aby miały pozwolić na pozbawienie siebie praw politycznych.

Historya wojen krzyżackich uczy nas, że Polska nie ustępowała bez walki praw swoich, ale miała przeciwko sobie nader prze-

ważne siły, ponieważ Krzyżaków wspierała nie tylko cała germańska Europa, ale nawet i słowiańskie Czechy; gdy tymczasem Polska, przez resztę ludów słowiańskich nie popierana, nadto przeciwną polityką kurii rzymskiej kępowana, musiała szukać związku z Litwą, aby Krzyżakom skuteczny stawić opór. Związek z Litwą otworzył dopiero Rzeczypospolitęj obszerne pola wschodniej Europy. Nie chęć zatem zaborów, ale obowiązek obrony ojczyźnych siedzib przed nawałnością germańską wprowadził Polskę w wieku XIV na nową drogę działalności historycznej. Dzisiejsi politycy stanu tego nie odmienia i złorzeczyć mu nie mają prawa.

Gdy ziemie północne i zachodnie monarchii Piastów cierpiały dużo od nieprzyjaźni Niemiec, pustoszyły najazdy tatarskie granice południowe i wschodnie obszernej już Rzeczypospolitej.

Nie naszym zadaniem przypominać tu szczegółowo, jak wnuk Dżengis-Chana, *Batu*, podbił kraje położone na północ od morza czarnego; jak nałożył daninę na Ruś, spalił Kraków i napełnił Polskę i Węgry mordami i okropnym spustoszeniem. Mongołowie przeszli już przez Odrę, Wrocław został spalony, krwią piastowską zroszone pole bitwy pod Lignicą (1241 r.) stało się cementarzem liczного rycerstwa, a pochód pogańskiej koczowniczej hordy spustoszył i wyludnił miasta i obszerne kraje. Lud ratował się ucieczką w góry, a zachód, zajęty tymczasem sporami z papieżem, truchlał przed dzikością „Złotej hordy“. Klęska pod Liguicą poniesiona zwróciła oręż na wschód; ale Ruś przeszła dwa wieki zostawała pod jarzmem „Złotej hordy“, koczującej na wschodnim brzegu Wołgi i kontentującej się daninami, do jakich się zobowiązać musieli złamani książęta ruscy. Polska nie płaciła w tej chwili daniny, ale nie mogła własną populacją zatrzeć śladów spustoszeń, i ułatwiła obcym przybyšom osiedlenie się w kraju. Materyalnie kraj się w ten sposób podniósł, ale pod względem narodowym bardzo wiele stracił.

Historya rossyjska nie lekceważy zgubnego wpływu, jaki ta burza tatarska wywarła na cały rozwój społeczeństwa i państwa rossyjskiego i dlatego wyróżnia w dziejach swoich całą jedną epokę, jako epokę najazdu tatarskiego, przypisując jęj winę nie tylko opóźnienia oświaty, ale i zlokalizowania się w społeczeństwie wielu słabości i wad. U nas przyczynily się najazdy tatarskie najwięcej do upadku i wyludnienia miast, tak, że właśnie ten sam król, co

Polskę murowaną zostawiał, musiał wchodzić w stanowcze transakcje z Krzyżakami, zrzekał się Szlązka, a zwracał uwagę swoją na wschodnie plemiona Słowiańskie, które postradawszy obronę książąt, przez hordę złamanych i opłacających się przez dwa wieki daniną, z trudnością wyciskaną, inną opieką dla siebie nie widziały. Faktyczne to położenie pogorszały jeszcze zjadliwe spory rodzinne, któremi dzieje tych księstw są przepełnione. Ze stanowiska cywilizacji i dziejów powszechnych, nie godziłoby się robić zarzutu monarchii piastowskiej za to, że po ubezwładnieniu książąt ruskich przez Tatarów, rozpostarła skrzydła europejskiej cywilizacji i europejskich instytucji państwowych nad ludnością słowiańską wschodniej Europy. Pod wpływem nieograniczonej swobody rozwija się niebawem bardzo ożywiona praca kolonizacyjna na obszernych, bogatych, chlebobajnych niwach Wołynia, Podola, Rusi i Ukrainy; lecz za zdobycami pluga polskiego wynosi się bardzo dużo drobnej szlachty polskiej z Podlasia i Mazowsza, a nawet i z Wielko-Polski na wschód, gdzie, czy to na dworach możnowładzców, czy gospodarując na rozległych starostwach lub prywatnych dzierżawach, wyrasta często na butnych panów. Strat spowodowanych w ziemiach zachodnich przez wyludnienie i przez oddanie w ręce żydów i Niemców, handlu i przemysłu — strat tych nie nagrodziły dla narodowej energii żywiołu polskiego owoce kolonizacji wschodniej; bo ona nie wnikała w masy ludu, a spanoszone tamże aż nadto możnowładztwo, zbyt oddalone od środka i ogniska życia państwowego, odgrywa niebawem rolę potężnych królików, którzy lekceważą rygor prawa, gotowi są zawsze dogadzać fantazjom swęj rokoszowej pychy i fanaberyom rozzuchwalonej lekkomyślności. Stosunki wewnętrzne obszernych krajów widzimy na łasce zuchwałych panów, zaognione wszechstronnie podmuchami religijnego fanatyzmu; — obrona granicy wschodniej i południowej zaniedbana, skutkiem czego nieustające najazdy tatarskie pustoszą kraj, uprowadzają ludzi, rabują i niszczą miasta i sioła. Rzplita zajęta tymczasem obroną swoich granic północnych nie może w danym razie rzucić w tę stronę odpowiedniej siły i czuje się prawie ubezwładnioną. Politycy dzisiejsi, tak obcy, jak i swoi, nie chcą widzieć owych przemóżnych potęg uniwersalno-historycznych, które w owej epoce krępowały, a skrzepianych interesami powszechnej cywilizacji

europejskiej potępiają za to, że nie działali samodzielnie, że nie odparli Niemców że pozwolili miasta zalać żydom.

Zapatrując się z tego stanowiska na bieg wypadków historycznych, pojmujemy i pochwalamy politykę wschodnią Zygmunta I, która polegała na tém przekonaniu, że pokój z Turcją i Krymem był dla Rzeczypospolitej, zajętej wojnami na północy, polityczną koniecznością. Na tej idei opierały się dobre stosunki Polski z Turcją za Solimana i jego następców, które, odziedziczywszy po ojcu, starał się i Zygmunt August jak najdłużej utrzymać, robiąc przez częste poselstwa do Konstantynopola wszelkie możliwe ustępstwa dla Porty, aby tylko istniejące od czasu ojca przymierze z Turcją podtrzymać⁵³). Przeczność taka tém konieczniejszą była, gdy na krańcach wschodnio-południowych Rzplitej, pod wpływem miejscowych stosunków wytworzył się z żywiołów rusko-polskich nowy pierwiastek polityczno-rycerski w Kozactwie. Kozactwo, reprezentując „siłę świeżą, wybujałą, zdobyczy chciwą,“ występuje od pierwszego swego z początku zaczepnie względem Krymu i Turcyi, chociaż polityka Rzplitej od Jagiellonów aż do Wazów, bez ustanku przeciwko temu występuje i jak najeńergiczniej protestuje.

Nie dosyć na tém: butni a niesforni panowie, jak Hieronim i Olbrycht Łaski, Dymitr ks. Wiśniowiecki, Mikołaj Mielecki⁵⁴), Jerzy Jazłowiecki i wielu innych, miesząc się do spraw mołdawsko-wołoskich i przedsięwziętą na własną rękę różne ekskursy, które pokój z Turcją w wysokim stopniu zagrażają. Są to zjawiska, które nie są także obce projektom Mniszcha za Zygmunta III, przyczyniające się jak najbardziej do rozogniania między-narodowych zawiści i nienawiści, których namiętność sięga w długie następne wieki. Zygmunt August starał się wszelkimi sposobami łagodzić spory, wynikające z niustalonych stosunków handlowych i sąsiedzkich po graniczą wschodniego i w tym celu naznaczono na sejmie poselstwo do Turcyi, z którego zdaje nam w roku 1568 szczegółowo sprawozdanie Piotr Zborowski. Prócz „za-dzierżenia pokoju i przymierza,“ polecono Zborowskiemu załatwienie niektórych interesów, które turbowwały niepokój z tej strony Rzplitej. Zborowski miał 1-o zapewnić Turcją co do tego, że Rzplita nie pozwoli, aby swywolni ludzie zapuszczali się za Tatarami aż po za granicę Rzplitej, jak to miało miejsce, gdy Olbrycht Łaski z innymi krainnymi starostami uderzył na Oczaków,

i wielką ilość bydła, owiec, koni, stada nawet i ludzi pobrał. 2-o Porta poleciła wojewodzie wołoskiemu, aby się starał żyć w zgodzie z Rzplitą, a Porta przestrzegać ściśle powinna bezpieczeństwa i nietykalności jego granic, w przeciwnym bowiem razie Turcy „przymierze zrzuciwszy, mścić się tego zaraz będzie na całej Koronie.“ 3-o Chan perekopski, odbierając upominki według dawnego zwyczaju, nie będzie niepokoił granic Polski i powinien według warunków zawartych w oryginale przymierza „z syny i wszystką familią swą“ przymierza tego przestrzegać. „Co do białogrodzkich i innych tureckich Tatar, to ci, jako *confederati* perekopskiemu chanowi jego rozkazom podlegają.“ 4-o Jeńców obowiązują się Turcy wszystkich wydać. 5-o Dzieścięcinę baranią za dozwolone na granicy Rzplitej pastwisko, mają Tatarzy starostom polskim porządnie wydawać. 6-o Dla załatwiania możliwych pogranicznych zatargów, ustanowiono komisyję pograniczną, która albo w Chocimie albo w Śniatynie, wedle woli króla zjechawszy się we 200 koui z obu stron—wynikłe spory graniczne ma załatwiać. Dołączone do relacji Zborowskiego cztery listy cesarza tureckiego do Zygmunta Augusta, nie mniej dwa listy Mahometa baszy, wyszczególniają niektóre skargi poddanych tureckich na Jazłowieckiego, Tenczyńskiego i innych, tudzież odpowiedź Zygmunta Augusta, obiecająca sprawiedliwe załatwienie tej sprawy. W końcu wymienia Zborowski kilka miejscowości, które, niby kopce na linii granicznej, miały jawnie wskazywać granicę obydwóch ościennych państw, przyłączając summaryuszszkód, jakie zrzadzili Tatarzy w Polsce w latach 1566 i 1567. Cała relacja świadczy o tem, że Zborowski był mężem bystrego i przezorczego umysłu, posiadającym odpowiednie swojej misyi wykształcenie, spełniającym sumiennie poruczone sobie obowiązki, z jasnym poglądem na sprawę i na ogół między-narodowych stosunków, tak, że relacja jego porównana z „Pactami Dewlet Gieraja hana krymskiego z Polską z roku 1551“⁵⁵), „objaśnia w znacznej mierze opowieść Bielskiego kroniki i bałamutne części wiadomości dzieła Hamera o stosunkach Polski do Turcyi w wieku XVI“⁵⁶).

Ze stosunki te wymagały ciągłej pieczy, dowodzi poselstwo Jędrzeja Taranowskiego, komornika Jego Król. Mei, a później podczaszego halickiego, którego „dla ratunku Bohdana, wojewody wołoskiego przeciwko Iwonii“ w r. 1569 do Turce posłano⁵⁷). Taranowski jest jednym z czynniejszych, że tak

powiem, agentów dyplomatycznych Rzptej: widzimy go traktującego sprawy polskie w Szwecyi, Rossyi i kilkakrotnie w Turcyi. W opisie podróży do Konstantynopola w r. 1569, o którym mówimy, nie znajdujemy atoli wiadomości, któreby mogły dokładniej rozświecić wypadki historyczne daniej epoki. Bielski opowiada tę relacyą Taranowskiego zbyt długimi słowy, ponieważ ona tylko bardzo z daleka spraw polskich dotyczy, w niczem ich nie objaśniając. Taranowski opisuje bowiem tylko podróż swoją do Konstantynopola, oraz pochod z wojskiem tureckim przez siedziby różnych tatarskich plemion do Astrachania, przyczem zwraca uwagę na sposób i porządek, którego się trzymać zwykło wojsko tureckie i tatarskie, tak podczas marszu, jako i w obozie i bitwie: daje nam obraz zwyczajów i obyczajów tych koczowniczych plemion, gromadzi różne wiadomości, które porównane z opisem Otwinowskiego, nie są bez wartości dla geografii i etnografii tych okolic. Obraz kłeski, jaką Moskwa zadała Turkom pod Astrachanem 1569 r., jest dosyć wyraźny i plastyczny.

Wiek XVII-sty, a mianowicie epoka Ludwika XIV we Francyi jest chwilą, gdzie literatura pamiętnicza najwspanialej zakwitła. Sądząc po interesujących pamiętnikach Chryzostoma Paska, zdawałoby się, że i u nas nie powinna ta gałąź literatury historycznej być ubogą. Tymczasem dosyć liczne z tej epoki pamiętniki historyczne dowodzą, że i na polu literatury historycznej nastąpił po chlubnym wieku złotym przerażający upadek. Wydzga, Jemiołowski, Łoś, Jakób Michałowski, Medeksza, Jerlicz, i wiele innych, zajmują tak pod względem literackim, jako i historycznym bardzo podrzędne stanowisko. Lichy sławy tych pamiętników nie poprawi pod żadnym względem i Pamiętnik Poczubota Odlanickiego (1658 do 1684) wydany przez Kraszewskiego⁵⁸).

Poczubot „mało co nabywszy w szkołach i mało co czytawszy się“ (p. 20) wyruszył z domu w 18 roku swojego życia (1658) „na służbę wojenną pospolitego ruszenia pod chorągiew kozacką Szemeta.“ Pamiętnik pisany jest sposobem dyaryuszowym bez żadnej staranności o styl i grammatykę, notuje drobne wypadki na Litwie bez żadnego obszerniejszego poglądu na ich związek. Na każdej stronicy znajdujemy dowody, że Poczubot mało się uczył, bo nawet łaciny nie zna, co na owe czasy, jak słusznie uważa wydawca, jest rzeczą bardzo rzadką. Pamiętnik Poczubota

nie przekracza granic W. X. Litewskiego, bo to, co pisze o bitwie pod Montwami (p. 94: „doszła nas wieść bardzo nieszczęśliwa“), jest niedokładne i na wieści tylko oparte. Jestto zatem pamiętnik, w którym osobiste przygody autora nie łączą się z życiem historycznym całego kraju, lecz tylko jedną prowincyi, bo nawet opis elekcji Wiśniewieckiego (p. 111—115) jest czysto kronikarski i nadzwyczaj skąpy, chociaż jest to miejsce może najpoczytniejsze z całego pamiętnika. Nie bralibyśmy takiego ciasnego prowincjonalizmu za złe autorowi, owszem powitalibyśmy w tém właśnie jego wielką zaletę, gdyby Poczobut miał jasny pogląd na te cenniejsze stosunki swojej prowincyi, ponieważ przy takiej decentralizacji, na jakiej opiera się Rzputy polityka, gdzie nie tylko każda ziemia, ale każde województwo prócz ogólnych miało swoje własne dążenia i swoje punkta środkowe, pamiętnik przedstawiający wiernie życie polityczne prowincyi i wpływowych w niej ludzi, byłby nieoszacowanym źródłem dla historyka, który bez takich źródeł może pisać różne traktaty historyczne, ale życia historycznego Rzptej w XVII wieku w całej pełni nie przedstawi. W dzienniku jednak szlachcica stojącego bardzo nisko pod względem naukowym, i nie zajmującego żadnego wybitniejszego stanowiska w kraju, szukalibyśmy napróżno wiadomości, któreby nam mogły objaśnić historyczne momenta tak ważnych wypadków, jakimi były za Jana Kazimierza wojny szwedzkie i moskiewskie z ich fatalnym wpływem na dezorganizację Rptej, konfederacye wojskowe, wynikające z braku dyscypliny wojskowej, tudzież z dezolacji stosunków ekonomicznych w kraju, stosunek tych konfederacyi do projektu dworskiego obrania następcy za życia króla, relacye przywódców tych związków z Lubomirskim, nieprzyjazne ich usposobienie względem duchowieństwa, a mianowicie względem Jezuitów itp. Poczobut opisuje dosyć szczegółowo oburzający fakt zamordowania hetmana Gosiewskiego przez związkowych żołnierzy (61—71, 76—77), nadmieniam, że haniebne to morderstwo wywołało wielkie rozdwojenie w wojsku związkowem (p. 65) ale o politycznym znaczeniu tego wypadku niema najmniejszego pojęcia. Dla szczegółowszego obrazu zawichrzeń między Kozakami za Wychowskiego i Tetry zawiera dziennik Poczobuta niektóre drobniejsze szczegóły. Opis gwałtownego postępowania sejmików i trybunałów przypomina podobne obrazy z pamiętników wieku XVIII; załatwienie sprawy z żydem

o zaginione pieniądze wojskowe nie różni się wcale od dzikich fantazyi starosty kaniewskiego⁵⁹). Poczobut podziela w rzeczach politycznych bez samodzielnego zastanawiania się krążące w danej chwili pojęcia szlacheckich tłumów, a zająście jego z Kazimierzem Sapiełą maluje dobitnie przedział między panem a szlachcicem w owych czasach⁶⁰). Co do poglądu na wypadki dziejowe widzimy w Poczobucie fatalistę, który we wszystkich wypadkach widzi dominujący albo palec albo błogosławieństwo: grzech ściga na kraj klęski i oddaje zwycięstwo nieprzyjacielowi. Klęski krajowe i domowe zapowiadają różne zjawiska nadpowietrzne, np. komety, gwiazdy zbyt jaskrawe itp.

Wydanie pamiętnika, jest jak wszystkie publikacye biblioteki br. Krasińskich, bardzo staranne. Kraszewski opisał dokładnie stan rękopismu i całą dyplomatyczną stronę tego pomnika dziejowego, a p. Janicki dołączył index osób, który pożytek naukowy każdej takiej publikacyi podnosi. Jako pomnik może jedyny z wieku XVII nieskażony makaronizmami, zajmie pamiętnik Poczobuta w literaturze naszej wyraźne stanowisko. Zarzutu, jaki zdaje się robić wydawcy J. Szujski⁶¹) za to, że nie zestawił szczegółów pamiętnika Poczobuta z innemi źródłami, ale poprzestał na wiadomościach geograficznych o wspomnianych w texcie miejscach i na genealogicznych objaśnieniach z Niesieckiego, nie podnosiłbym na seryo, bo pamiętnik Poczobuta jest tak ubogi i słaby, że nie nastęrcza prawie materiału do poważniejszych dyskusyj.

* * *

Z pomiędzy wypadków dokonanych w połowie XVIII-tego stulecia zajmuje wojna siedmioletnia (1756—1763) ze względu na nowe ugrupowanie się państw środkowej Europy ważne bardzo stanowisko. Historya, słysząc ten olbrzymi szezęk oręża i patrząc na upadające coraz niżej potężne niedawno organizmy państwowe, zastanawia się uważnie nad zuchwałą prawie energią Fryderyka II, króla pruskiego, — a zdumiona tém zjawiskiem, stawia sobie już oddawna ważne nader pytanie: czy rzeczywiście położenie interesów, czy przyszłość młodej monarchii pruskiej, była w r. 1756 przez już zadzierzgnięte i w dalszym ciągu przygotowujące się przymierza i związki monarchii habsburskiej, upokorzonej wojną szląską, tak zagrożona, że Fryderykowi II nie pozostawał inny ratunek, jak, uprzedzając zamysły swoich wrogów, zapalić dla

własnej obrony pochodnią wojny; — lub czy też Fryderyk II, lekceważąc szczęście i dobrobyt Europy, podniósł samowolnie bez gwałtownej potrzeby krwawą swój miecz, bez dostatecznej przyczyny najechał rozbójniczym sposobem Saxonią bez wypowiedzenia jej wojny, przez co niepotrzebnie rozdmuchał pożar krwawej wojny w Niemczech z podeptaniem praw cesarstwa, z pogwałceniem praw sąsiedztwa i międzynarodowych stosunków? — W pierwszym przypadku musiałaby historia zmniejszyć winę odpowiedzialności za krew przelaną; w drugim zaś razie zasługiwałaby zuchwałość tak zbrodniczego kroku na jak największe potępienie, a naród niemiecki musiałby złorzeczyć geniuszowi swego wielkiego wojownika, który z pobudek samolubnej ambicji wszczął wojnę z Saxonią, podeptał prawa rzeszy niemieckiej, podkopał znaczenie cesarstwa niemieckiego w Austrii, doprowadził do stanowczego, nieprzyjaznego rozerwania między Prusami a Niemcami, rozerwania, które jeszcze dziś w sferze idei politycznych fatalnie ciąży nad historycznym rozwojem narodu niemieckiego.

Wojna siedmioletnia miała i ze względu na rozwój stosunków w Polsce nader doniosłe znaczenie, którego dotychczasowe badania dziejopisów naszych nie względniały dostatecznie, i dla tego go też dostatecznie nie wyjaśniały. Przy tém, jak sądzi Kollataj, wojna siedmioletnia nastrezczała Rptej szczęśliwą sposobność wyciągnięcia z niej znakomitych nie tylko ekonomicznych, ale i politycznych korzyści. Niepojęta apatya dla spraw zagranicznych przy dławiających się wzajemnie zawichrzeniach wewnętrznych, emulacya przemożnych rodzin o praeceminencyą, w danej chwili nie pozwoliła Rptej korzystać z téj sposobności zniweczenia skutków bydgoskich i welawskich traktatów z czasów Jana Kazimierza. Zamiast spożytkować akcyą militarną i polityczną niebezpiecznych dla siebie przemożnych sąsiadów, do czego dążyła chwilowo partya dworska, otoczyła się Polska urzędowo murem neutralności, której jednak żadna obca armia nie szanowała. Zamiast nie odłączać interesu kraju od interesów swojego króla i w tym celu opatrzyć lepiej skarb i podnieść armię, wysilały się przewodzące w kraju stronnictwa na to tylko, jakby z ambarasów korony skorzystać dla widoków familijnych przywódców partyi rossyjskiej i partyi francuskiej.

Wielu pisarzów naszych dziejów nie zwraca dosyć pilnej uwagi na doniosłość

tych faktów historycznych; ale wpadłszy w wir politykomanii, każe nam bić czołem przed wielkimi zamiarami polityki „familii,” każe nam czcić wielkich mężów stanu, wielkie ministeryalne głowy w Michale, W. kanclerzu lit. i w Augustcie Czartoryskim, wojewodzie ruskim, dla ich dobrych intencji, dla ich zamiarów reformatorskich, których tylko wrogi nam siły rzeczywistnie im nie pozwoliły. Historia nie może się zgodzić na taki sposób zapatrywania się na wypadki historyczne. Źródła zaś autentyczne, urzędowe, które dotychczas znamy, dowodzą, że podstawą, na której Czartoryscy swoje roboty familijne opierali, i celem, do którego pod względem naprawy rządu dążyli, były konstytucye, podyktowane za zgodą przywódców konfederacyi tarnogrodzkiej w Lublinie na sejmie niemym r. 1717 przez pełnomocnika Piotra W., ks. Dołgorukowa.

Fakta w powyższej pobieżnej relacyi zaledwo potrącone, wymagałyby dokładnego rozbioru, równie jak i zamiary reformatorskie drugiego stronnictwa, francuzkiem zwanego; lecz do gruntownej na tém polu dyskusyi, nie mamy dosyć obszernego i swobodnego miejsca, a dążności reformatorskie partyi francuskiej, oparte na ideach St. Konarskiego, jak wnosimy z jego pisma do agenta francuzkiego Paulmy'go, pozabawione energii, wyraźnie zdeterminowanej woli, nie wyszły z granic projektów i memoryatów, zwłaszcza, że na przekór skargom Czartoryskich na zabiegliwość rządu francuzkiego, rząd ten reformy w Polsce popierać nie chciał i stanowczo posła swego instruował, aby się do niczego nie mieszał, bo stan taki monarchiczny, jaki jest w Polsce, odpowiada interesom polityki francuskiej⁽²⁾. Prawda, że obok polityki *Choiseul'a* dostrzegamy w Polsce téj epoki sekretną politykę samego króla Ludwika XV, prowadzoną czynnie a la książę Napoleon, przez hr. Broglie'go⁽³⁾; ale zakulisowe te niepowolanych polityków roboty, turbowwały tylko jasny pogląd na prawdziwe interesa narodu i wpływu na organiczny rozwój wypadków nie miały. Gdyby się znalazły pamiętniki Mokronowskiego⁽⁴⁾, to wypadki te w jaśniejszym ukazałyby nam się świetle. Tymczasem należy się wdzięczność Kraszewskiemu, że w trzecim tomie „Biblioteki Pamiętników i Podróży⁽⁵⁾” podał nam choć część „Pamiętników,” rzucających wiele światła na główne osobistości historyczne, występujące na widowni dziejowej, w epoce wojny siedmioletniej, nie tylko w Berlinie, Wiedniu, Dreźnie, Paryżu, Lon-

dynie, ale mianowicie w Polsce za Augusta III. Autor nasz, młody Poniąkowski, towarzyszący jako sekretarz posłowi angielskiemu Williamsowi do Petersburga, miał sposobność poznania dokładnie wypadków współczesnych. Mimo to prostują inne źródła niektóre jego wiadomości, z czego wnosić trzeba, że główni kierownicy robót dyplomatycznych ukrywali przed Poniątkowskim niektóre zabiegi swoje. Jakkolwiek znajdujemy w „Pamiętniku“ naszym wyraźne zaprzeczenie przeciwko tłumaczeniu się Fryderyka II samowolnie rozpoczętej wojny ⁶⁶⁾, to wiele innych wskazówek czego innego dowodzi, jak to widzimy z memoriału podanego 18 września 1757 r. dworowi petersburskiemu przez Poniątkowskiego p. t.: „Rezonowany wykaz żądanego przez króla polskiego a elektora saskiego wynagrodzenia ⁶⁷⁾“. Niejasne postępowanie dowódcy korpusu rossyjskiego, walczącego przeciw Prusom, nastroja autorowi sposobność wskazania w tej chwili różnych prądów w Petersburgu. Autor, znając, zdaje się, widoki Bestużewa, nie może mimo swojego tytułu ująć podejrzywania go o popieranie interesów angielskich, a więc pośrednio i pruskich, tak dalece, że z Petersburga musiał być odwołanym. Pod względem literackim wyróżnia się ten pamiętnik bardzo korzystnie z pomiędzy wielu tej epoki dyaryuszów i zawiera cenny materiał dla poznania charakteru bardzo wielu wpływowych osobistości swojego czasu, których portrety wprawna kreślone ręką nie wnioskują wprawdzie w najskrytsze tajniki psychologicznego obrazu, ale podają zawsze rysy wyraziste i, o ile sprawdzić dziś można, nie fałszywe. I tak z portretów obydwóch ⁶⁸⁾ Czartoryskich nie wymazano i ujemnych rysów ⁶⁹⁾: zbytniego absolutyzmu, samolubstwa, mściwości, uporu i pychy; charakterystyka Brühla, Sułkowskiego, Maryi Teresy, Kaunitza, napisana jest z niemalą bystrością umysłu; za jednostronnym wydaje nam się sąd o Janie Klemencie Branickim ⁷⁰⁾. Polityczne stanowisko rodziny Czartoryskich ⁷¹⁾ i porządek załatwiania interesów przez „familiją“ jest jasno przedstawiony ⁷²⁾, tylko pogląd na położenie stosunków w kraju, zanadto technieniem idei przez „familiją“ reprezentowanych owiany—i z tém zastrzeżeniem trzeba czytać wiadomości autora o komissji radomskiej ⁷³⁾, tudzież o zawichrzeniach po trybunałach, sejmach i sejmikach. W ogóle pokazuje się i z tego „Pamiętnika“, że nie mniej od innych możnowładców przyczyniają się i Czartoryscy za Augusta III do coraz wię-

kszej dezorganizacji Rzplitej, jakby z zamiarem zburzenia tego, co jest, a stworzenia czegoś nowego—wyraźnie niesformułowanego, niejasnego, tak, że nawet usilne starania ich synów i wnuków, w następnym wieku nie zdołały zrehabilitować tej tajemniczej roboty „familii“. Przy tém wszystkiem zaprzeczyc nie można, że zasługi późniejszych pokoleń rzuciły w pewnej mierze korzystniejszy odblask na agitacye tej rodziny w wieku XVIII. Dotychczasowe źródłowe autentyczne świadectwa każą koniecznie i stanowczo oddzielić agitacye Czartoryskich w XVIII wieku, od późniejszych usiłowań pod tą chorągwią przedsięwziętych—i nie pozwalają nam za przykładem Bobrzyńskiego widzieć w robocie „familii“ zamachu stanu na anarchiczne instytucye Rzplitej, ani jasno ułożonego planu zamierzonych reform; ale odsłaniają nam tylko agitacyą możnowładnej rodziny, podniecanej do walki przeciwko tradycyjnej powadze hetmańskich rodzin, nie tylko ideą Gedyminowiczów, ale i awanturniczą i samolubną polityką ambitnych rywalów, zasłaniających pozorami dobra ogólnego swoje możnowładcze aspiracye i prywatno dążności ⁷⁴⁾.

Z pomiędzy pism XVIII stulecia, ułaskawiających na upadek powagi rządowej i cnót obywatelskich, obok zagłuszającej wszystkie rozsądniejsze głosy zbyt krzykliwej szlacheckiej cenzury, potępiającej samolubne roboty możnowładców, zajmuje St. Jabłonowski „Szkrapuła bez szkrapuła“ (1730), niepoślednie miejsce. Jabłonowski ubolewa nad tém, że nawet owo szczupłe wojsko, ustanowione na sejmie „niemym“ ⁷⁵⁾ w roku 1717, nie było nigdy zupełnie zebrane, nie znajdowało się nigdy w komplecie na stanowiskach przepisanych. Oficerowie i towarzysze, biorąc żołd i hiberny, rozjeżdżali się od swoich znaków, nie pilnowali służby, ale bawili się bankietami lub gospodarowali w swoich dobrach. Nie tylko listy generała de Witte ⁷⁶⁾ (1777—1779), ale „Notaty“ generała Lipskiego (1775—1778) ⁷⁷⁾, o których mówić zamierzamy, przekonywają nas dowodnie, że twierdzenie Jabłonowskiego nie jest satyrą arystokraty (jak sądził Szulski), ale w każdym szczególe smutną nader prawdą.

Jan Lipski, o którego biograficznych szczegółach bardzo skąpe mamy wiadomości ⁷⁸⁾, pochodził z rodziny wielkopolskiej, która jest jeszcze dziś osiadłą w W. X. Poznaniu na części rodzinnego gniazda ⁷⁹⁾. Rok urodzenia autora naszego pamiętnika nie znamy, wiemy tylko, że był ożeniony z Te-

klą Biegańską, że pracował pierwotnie po sądach, a że był obrotny i sumienny, miał względy u wielkich panów i został pełnomocnikiem w Wielkopolsce księżny z Braniczkiej Sapieżyny, wojewodzicowej mściławskiej, siostry Xawerego Braniczkiego hetmana, a matki Kazimierza Nestora Sapiehy. Przechodząc różne urzędy ziemskie w województwie kaliskim, z wojskiego większego i sędziego surrogata grodzkiego kaliskiego, miecznika kaliskiego, mianowany po śmierci hr. Komorowskiego kasztelanem Santockim (1781) umarł r. 1786. Z samego pamiętnika trudno docieć, w którym czasie powierzono mu komendę brygady wielkopolskiej, ponieważ rękopism, z którego Kraszewski wydanie swoje uskutecznił, jest bardzo defektowy: brakuje początku, są przerwy i w środku, tak że pozostały nam tylko dosyć obszerne fragmenta. Skoro jednak wiadomo, że Lipski tylko pod naciskiem nalegań hetmana Braniczkiego przyjął to kłopotliwe stanowisko⁸⁰), to mamy niewątpliwą wskazówkę, że notaty, które mamy pod ręką, obejmują cały peryod działalności wojskowej Lipskiego, ponieważ Xaw. Braniczki otrzymał buławę po rezygnacji Wacława Rzewuskiego 8-go Lutego 1779 r. Na tym stanowisku rozwinął ruchliwy i zamaszysty temperament Lipskiego, nie małą energią, bo nie czekając na pieniądze skarbowe, doprowadził swoim groszem 25 chorągwi⁸¹) do należytego porządku, tak, że żołnierze jego nie dawali obywatelstwu powodów do skargi i utyskiwań na swywole żołnierską⁸²). Nie unikał jednak zawiści, która go przeróżnemi sposobami prześladowała i oskarża⁸³), tak że zniechęcony prosił d. 6-go Listopada 1777 roku hetmana o uwolnienie od tych obowiązków i takowe otrzymał⁸⁴). Prócz nudnych spraw i interesów pieniężnych i sądowych, które go jako pełnomocnika księżny Sapieżyny kłopotliwie zatrudniały, czytamy w notatach Lipskiego barwny dosyć opis sejmiku w Poznaniu w r. 1776⁸⁵), na który go komendant wojsk cudzoziemskich z wyższego rozkazu nie dopuścił, zapobiegając w ten sposób obiorowi jego na posła. Gwałtowny ten krok obcej władzy wojskowej wywołał w Poznaniu ogromne wzburzenie szlachty, którą stronicy przeciwnego obozu (Gurowski) ledwo zdołali powstrzymać od krwawego starcia. Wzmiankowana przy tej sposobności przez Lipskiego wiadomość, jakoby przeciwna partya z tą gróźbą się odzywała, że jak przyjdzie na sejmiku elekcyjnym do wotów, gotowi się examinować, czy wszyscy wotujący possessyonaci, czy istotnie z tych

województw, a na ostatek nawet jeśli téż potrzebne lata mają, nie jest, jak Lipski mylnie sądzi, li tylko stronniczą szykaną, ale wskrzeszeniem zasady, która dawniej obowiązywała⁸⁶),—i dopiero w epoce Sasów przez możnowładców podeptana, przez Targowicę równie gorliwie zwalczana była⁸⁷). *Furor sarmaticus* nie pozwala tu Lipskiemu odróżnić zasady prawa i porządku od nadużyć prywaty i swywoli, której się jego patronowie po sejmikach w Lubelskim w wysokim stopniu dopuszczali⁸⁸). Zachowana nam przez Lipskiego deklaracya posła zagranicznego na sejmiku Warszawskim⁸⁹), tudzież instrukcyja, udzielona posłom z tegoż sejmiku⁹⁰), malują dokładnie położenie chwili, którą Lipski, jako przeciwnik „Nieustającej“⁹¹) w krótkich ale dobitnych kreśli wyrazach. Lipski ma dosyć jasny pogląd na położenie kraju; ale zbyt ruchliwy, zamaszysty jego temperament miota czasem zanadto jego energią, rozprasza ją na zbyt wiele drobiazgów w zabieganiu smutnem interesom pieniężnym księżny Sapieżyny, i w ujmowaniu się za ubliżające epitety „matki ojczyzny“⁹²), tak, że sprawy publiczne na tém cierpieć musiały. „Zapałony myśliciel, gospodarz, jurysta, facyendarz, plenipotent możnych, zdolny sejmikowiec“ kłopotce się jeszcze o psiarnią hetmana i dostarcza psów generałowi Kurdwanowskiemu. W notatach generała mamy téż bardzo skąpe wiadomości o postępie porządku wojskowego, który Lipski stara się zaprowadzić mimo zawistnych mu osób i werbowników pruskich. Żywość, dowcip, łatwość i zwiększona wysłowienia i argumentacyi, cechujące ten pamiętnik każą nam żałować, że Lipski nie pozostawił po sobie obszerniejszego pamiętnika swojego czasu, któryby szczegółowiej odmalował nam życie obywatelstwa Wielkopolskiego. Z tego, co zostało, widzimy ogromny upadek dawnych obywatelskich fortun, a wznoszenie się świeżych rodzin np. Raczyńskich, Bnińskich, którzy za udzielane Sapiehom pożyczki biorą ich dobra w zastaw, kupują inne i w ten sposób opustoszałe gospodarstwo podtrzymują. Rozdziału majątków zakordonowych i przedkordonowych w towarzyskiem życiu jeszcze nie wiele czuć: słyszymy głosy nadziei, że ten „szłoban“ może przełamanym będzie; ale przy tém wszystkiem każe rygor nowego rządu zapominać senatorom zakordonowym, że sejmy obradują w Warszawie. Z pewną żywością opisuje Lipski, wzmiankując o weselu córki starosty nakielskiego „wojnę domową“ o ceremoniał ślubne między partyą staropolską a fran-

cuzką: „To pewna, że nie dobry to znak, kiedy ludzie na wyprzódki staremi, poważnemi zwyczajami rzucają. Ma swoje zaletę i nowość z przyjemności; ale dla niej zapierać się swojego odwiecznego,—jakoś to lekomyślnie i nie dobrego nie wróży“ ³³).

Lipski nie pisze swojego dziennika w celu zostawienia pomnika potomności, ale *pro memoria*, co się robi, zrobiło, dowiedziało, tudzież dla rozrywki wśród różnych kłopotów, na które w charakterystyczny nader sposób utyskuje. „Jakoś się pomimo wszystkiego trzymam ostro i nie daję okulbaczyć się frasunkom, choć tu inny i głowęby stracił i serce, przy tylu ustawicznych przygryzłkach, które na każdy dzień za powszedni chleb służą. — Dyable mi zresztą nudno na moim posterunku w tej miejscinie odrapanej (Kościan), i gdyby nie niedźwiedzie a dziki po lasach, daj im Boże zdrowie, a nie moi kłaneciści, i nie exercernek brygad, która mi się dostała, gdyby po najstraszniejszej wojnie; żeby nie sprawy księżnej JM.C. i nie listy pana strażnika polnego koronnego ³⁴), albo księcia generała ³⁵), co mi brzeskie czasy przypominają, gdyby nie radlińskie sprawy, a nie sejmiki, przyszłoby czleku z nudy zdychać. Tylko to szczęście, że nie ma czasu do tego przez wierzech głowy.—A i to nie mała jest rozrywka, że sobie w słotną godzinę zapisze się na papierku, co się robi, zrobiło, dowiedziało *pro memoria*. Choć mi pióro nie smakuje, bom się nigdy na atramentowego nie kierował, ale i to nie zgorza, jak lepszego nie ma.“ ³⁶).

* * *

Koniec wieku 18-go stał się początkiem przeważnej w dziejach świata epoki mającej nowy byt i kierunek, nowe teory i ich przystosowanie nadać ludzkości, epoki, która Francji i Europie same od razu błogosławieństwa, same od poetów i filozofów tylko rojone pomysły zdawała się gotować: natomiast zaś przyniosła wówczas potoki krwi. Podobną chwilą u nas jest epoka czworoletniego sejmu.

„Patrząc w różnych krajach i czasach na wypadki straszne, niezakończony jeszcze, a dla ludzkości nieszczęśliwego pasowania się sił społecznych, spostrzegamy, iż wszędzie każda strona miała swoje tryumfy i swoje po nich przegrane, tak, iż żadna z nich nie doszła do rojonych przez siebie korzyści i do bezpiecznej możliwości pracowania po swojemu nad szczęściem ludzkości, której los każda strona ogłasza-

ła za swój cel jedyny. Dwie zdają się być przyczyny tak wątpliwych i zawsze omylonych skutków: pierwsza, że ów cel, do którego ludzkość nie przestaje i zawsze ma prawo dążyć, nie może być nigdy w zupełności podług jej wymagań na tej ziemi dostąpionym, i że ta niemożność rodzi burzliwe chęci do nowych postępów, któremi dawniej nabyte bywają zniweczone; druga zaś spoczywa w tém, iż tenże wielki cel nie był jeszcze dość szczerze, stale i jedynie szukany. Każde stronnictwo mięszało doń swoje widoki utajone, krzywe, osobiste; w żadnym po zwycięstwie nie znalazło się dość woli poświęconej, dość czystych zamiarów, dość prawdziwej miłości Boga i bliźnich,... i tak żadne zwycięstwa nie były uwieńczone i uprawnione przez dostateczne cnoty i dobrodziejstwa.“—Szeroki ten pogląd na mocowanie się, że tak powiem, idei przeróżnych interesów w dziejach ludzkości nie zwraca uwagi na głębsze przyczyny, utajone do czasu podniety, i najbliższe pobudki, które wywołują gwałtowniejsze wstrząśnienia w rozwoju życia narodowego, bo nie ma dotychczas zgodnej opinii co do pierwiastków i źródeł, z których powstaje ów gwałtowny, fatalny prąd i wir szalony wypadków, wywracających narody i państwa. Jedni utrzymują, że przyczyna tego gwałtownego zjawiska leży w osłabieniu rządu i w upadku instytucji państwowych, tak, że społeczeństwo zagrożone w swoich moralnych i materialnych interesach, ogląda się za nowym sternikiem, za nowym sztandarem, ucieka się do różnych środków naprawy organów rządowych, spodziewa się ratunku od reform wysnutych z teoryi nauk politycznych lub z obcej praktyki zapożyczonych.—Drudzy znowu twierdzą, że takie ogólne zaniepokojenie i wzburzenie umysłów jest tylko dziełem propagandy literackiej, dziełem rozbudzonego zewnętrznym wpływem ruchu literackiego, którego pragnienia i dążności w inną, bo duchową obracają się przeciw sferze.

Nie zbłądzimy zapewne, twierdząc, że jedna idea przenika długą, obydwie na siebie oddziaływającą tak, że nie podobna stanowczo rozstrzygnąć, która której życie daje. Pojęcia bowiem i wyobrażenia ludu w chwili normalnego rozwoju życia narodowego podobne są do owych przeźroczystych chmur niebieskich, które na całym widnokręgu naszym w atmosferze zawisły; lecz niebawem mogą nadciągnąć zimne wichry z północy i ze wschodu, mogą przyczepić się do nich szarugi zachodnie, pod których

wpływem pojęcia i wyobrażenia rodzime żarliwy ze sobą spór rozpoczynają. Spór ten, wzrosłszy do pewnej siły, poburzy wszystkie idee życia publicznego, które na kształt balwanów gwałtownych spienione zawisną nad głowami naszymi, niby gromami brzemienne nawałnice. Wszystkie żywioły i dążenia tak w dziedzinie publicznego życia, jako i w dziedzinie myśli, sposobią się do stawienia czoła grożącemu im straszliwemu wstrząśnieniu.

Takim jest ruch umysłowy w Polsce w. 18, szukający ratunku w naprawie starożytnych swoich instytucji, w odpowiednich wymaganiom epoki reformach.

Jeżeli w wieku 17 nie widzimy na polu pracy umysłowej żadnego jednolitego poglądu na stosunek potęg moralnych do fizycznych; jeśli obok zasad Arystotelesa, o których znaczenie nawet sami zwolennicy starożytnego mędrca porozumieć się nie umieją, odzywają się przeróżne systemata starożytne: idee Platona w Anglii, Parmenidesa we Włoszech, idee Stoików w Hiszpanii i Niderlandach, skeptyków zaś we Francji; to w wieku 18 stał się *sensualizm* wyznaniem prawie większej części ludzi uczonych, a liczny nader zastęp hołduje skłonnościom grubego *materyalizmu*. Dawniejszy ustrój państwowy, złączony nader ściśle z kościołem, opierającym się na ideach *spirytualistycznych*, poczyna się chwiać wśród wzburzenia tych idei tak, że zwolna szerzą się w narodach zupełnie nowe, dawniejszym przeciwnie teorie państwowe. Literatura polityczna wieku 17 była wyrazem uniwersalnych idei, przenikających instytucje kościoła i cesarstwa. Z tego stanowiska zapatrywano się na świat i życie, na stosunek świata duchowego do świata fizycznego. Zgodnie z tym poglądem pojmowano też i przeszłość, szukając w niej analogii dla chwili obecnej, słowem, idealizowano teraźniejszość. Literatura polityczna 17 w. technie zupełną zgodą ze stosunkami współczesnymi: państwo odrzuciło od siebie stanowczo wszystko, co by mogło sprzeciwiać się uznanyemu wszechwładnym, z przeszłości abstrahowanym ideom politycznym i zadawałniam się choćby anarchią teraźniejszości. Widzimy to u nas jawnie jeszcze w chwili konfederacji tarnogrodzkiej. Wywołana pobudkami przezorności obywatelskiej chwytła się rozpaczliwie hanielnego środka dla ratowania fałszywych skarbów przeszłości.

Wiek 18 przeciwnie odwraca się z pewnym lekceważeniem od idei państwa i kościoła minionych wieków: odkrywa bez ce-

remonii, nawet z pewnym cynizmem niedostatki i ułomności państwa i hierarchii duchownej, zżyma i oburza się na wiekowe nadużycia urzędów społecznych,—i, niezadowolony z teraźniejszości, pragnie stworzyć nową przyszłość. Gdzie się obróci, słyszyżnie ukontentowanie z współczesnych stosunków, tak dalece, że teorie współczesnego, na materyalizmie opartego liberalizmu, nie są bez wpływu nawet na panujących (cesarzowa Katarzyna II, Fryderyk II). Państwo w swoich podstawach zachwiane traci dawną równowagę, energią i wiarę w siebie, tak że reprezentanci jego, budzący z wielu stron sympatya, okazują się zbyt niedołężnymi, aby zadaniu epoki sprostać mogli.

W takiej to atmosferze żyło społeczeństwo polskie, gdy bystry inflantczyk *Fryderyk Szulc* kreślił jego obraz, biorąc wzory z salonów warszawskich z epoki czteroletniego sejmu, i rozbierając krytycznie wartość polityczną jego instytucji publicznych (r. 1793) ⁹⁷).

Mimo usilnych starań nie mogliśmy spotkać się ani z oryginalnem dziełem niemieckim Szulca ani z francuzkiem tłumaczeniem, dla tego nie jesteśmy w stanie ocenić podjętej przez Kraszewskiego pracy w polskiem opracowaniu dzieła Szulcowego. Relacji, którą nam podał Szulc, nie tyle o Polskę, ile raczej o Warszawę w 1793 roku, nie wypadłoby liczyć ani do pamiętników w ścisłym tego słowa znaczeniu, ani do podróży, ponieważ opis przejazdu Szulca z Rygi przez Litwę do Warszawy i w końcu z Warszawy prostym traktem do Niemiec szczupłe zajmuje w obrobieniu polskiem miejsce. Dla tej okoliczności postawilibyśmy raczej dziełko Szulca w rzędzie traktatów politycznych, analizujących krytycznie instytucje polityczne, badających ustrój państwa i opisujących zwyczaje i fizjognomię życia towarzyskiego stolicy. Na tem polu miał Szulc dwóch poważnych poprzedników, którzy w ten sam sposób Polskę w tej epoce opisywali, mianowicie akademika berlińskiego *Jana Bernwilliego* ⁹⁸) i *William'a Coxe'a* prof. uniwersytetu w Cambridge ⁹⁹), którego Szulc w opisie swoim wspomina ¹⁰⁰). Za przykładem tych dwóch uczonych poświęca i nasz autor mało uwagi właściwościom kraju i miast, przez które przejeżdża, powtarza swoje utyskiwania na nieporządek, zaniedbane budowle, ubóstwo miast i miasteczek, skarży się na zaniedbane drogi, opuszczone rolnictwo ¹⁰¹) i tp. Dopiero stanawszy w Warszawie, opisuje tę stolicę Rptęj zbyt szczegółowo ze

wszystkiemi ulicami, placami, przedmiesciami, ogrodami, pałacami, kościołami, szpitalami i hotelami; zwraca uwagę na ruch handlowy, na policję itp.¹⁰²⁾. Nie możemy powiedzieć, ile to jest winą oryginału, że krytyczny rozbiór instytucji państwowych, opierający się na bardzo rozległej podstawie, jest rozrzucony w 2 rozdziałach (w III-cim i VI-ym) a nawet, że i po wszystkich innych rozdziałach tulają się uwagi i rozumowania na ten temat. tak że to niekorzystnie świadczy o rozkładzie i planie całego dzieła. Autor zbierał swoje obserwacje z rozmaitych źródeł i, zdaje się, w różnych czasach swojego pobytu w Polsce i dla tego brakuje całemu obrazowi pożądaney jednolitości. Opis wielkiego pańskiego domu ciągnie się przez 2½ rozdziały (IV, V i początek VI od str. 127—230), ponieważ jest przeładowany tylu drobiazgami, odnoszącemi się do osób i zwyczajów (podróże, życie towarzyskie, teatru, reduty, balet, spacer, rozpusta, kuligi, współzawodnictwo pań, fabryki powozów, zbytki, guwernerzy, ruiny majątkowe, egzotyzm itp.), że obok jaskrawej barwistości, brak mu téj powagi plastycznej, która jedna tylko może dać jasne pojęcie o całości traktowanego przedmiotu. Dla ocenienia sprawiedliwego tych wszystkich zjawisk, tego ruchu wyobrażeń i idei, które społeczeństwo polskie w daney chwili ożywiały, brak Szulcowi zmysłu i dla tego zapatruje się na to wszystko z uprzedzeniem, opowiada z przekąsem i lekceważeniem, które, na ton moralu nastrojone, traci pożądaną w każdym sądzie powagę. W każdym razie są to sprostowania bystrego umysłu, które jeszcze dziś rozważyć nie zawadzi, ponieważ świadectwo Szulca dowodzi, że tryb i cały ton życia Warszawskiego nie pozbył się dotychczas ani jednej ze swoich wad jaskrawszych. Opis naszego autora miałby jako relacja świadka wykształconego, malującego widziane przedmioty z wielką łatwością i pewną energią myśli i słowa, większe jeszcze znaczenie, gdybyśmy mogli coś bliższego powiedzieć o jego osobistych stosunkach. Wiadomo nam tylko, że Szulc pracował na polu naukowym, gdy przetłumaczył szacowne dzieło Kazimierza Konstantego Platera o Kurlandii z języka francuzkiego na niemiecki,¹⁰³⁾ że mieszkał w Inflanciech, słowem, że to musiała być osobistość do pewnego stopnia urzędowa, pilnująca interesów tych krajów w widokach gabinetu petersburskiego. Z okolicznościowych napomykań i uwag domyślamy się, że w czasie czteroletniego sejmku bywał w

Warszawie,¹⁰⁴⁾ i że go sprawy kurlandzkie obchodziły¹⁰⁵⁾, tudzież, że się obracał w towarzystwie wszystkich najważniejszych w owym czasie osobistości. Rozdziały III i V poświęcone są historycznej relacji o instytucjach publicznych i państwowych Rptej, których Szulc daje obszerny i wierny obraz według dzieła Lengnicha¹⁰⁶⁾ w granicach postanowień sejmku 1776 z Radą niestającą na czele, objaśniając w razie potrzeby niektóre szczegóły faktami dawniejszej historii polskiej. Prócz téj części dzieła zasługuje jeszcze na pilniejszą uwagę rozdział VIII, traktujący o stanie nauk sztuk i oświaty w Polsce, gdzie mówi do syć szczegółowo o wpływie czteroletniego sejmku na rozbudzenie życia literackiego¹⁰⁷⁾, o szkołach (obok czego mamy rzecz o balecie, tańcach i różnych skoczkach, o czém już w rozdz. IV była mowa), o religijném kształceniu, o zwiedzaniu grobów w czasie Wielkiego tygodnia, o eksploatacji kweśty przez zaloty itp. Kończy rozdział historia dysydentów, opowiedziana ze stanowiska luterskiej nietolerancji. Najwięcej do namysłu i do poważnej dyskusji następcza materiału rozdział ostatni (VIII), w którym nasz autor przechodzi krytycznie dotychczasowe panowanie Stanisława Poniatowskiego, maluje jego charakter z pewną sympatją bez ukrywania jednak słabych stron jego. Stanisław August był pod wielu względami podobny do Karola II, króla angielskiego. Stanisław August posiadał w epoce tak ważnej na nieszczęście tylko przymioty cechujące towarzyskiego człowieka. Dowcip, przyjemne maniere, wszechstronne, choć nie wszędzie gruntowne, wykształcenie, uczucie delikatne i słabe, talent konwersacji powabnej i żywój, zastępowały u niego wyższe i potrzebniejsze zdolności polityczne. Rozpusta i lekkomyślne zabawy osłabiły w nim do pewnego stopnia powagę moralności i poczucie prawdziwego honoru i sławy. Stanisław August nie posiadał ambicji wyższej, rwącój się gwałtem z buduarów i salonów na szersze pole energicznych czynów, tak, iż były chwile, że interesa państwa go nudziły. Nie mając niewzruszonych zasad moralnych i politycznych, pozostały mu gusta i chwilowe wrażenia, którymi się opuszczony przez wujów rządził. Szulc oddaje Stanisławowi sprawiedliwość pod względem zasług, jakie położył na polu oświaty, szkół, przemysłu i handlu, a odpowiedzialność za nieszczęścia, jakie na kraj spadły za jego panowania, kładzie na karb anarchicznych instytucji dawniej Polski, na

karb demoralizacji uprzywilejowanego stanu, tak że według Szulca nie można było myśleć o zreformowaniu Polski przy rozprzężeniu obyczajów i zastraszającym egoizmie ludzi, stojących u steru spraw publicznych. Ktokolwiek przypatrzy się dokładnie społeczności europejskiej w 18 w. i porówna choćby tylko szlachtę francuską i niemiecką z naszymi „Sarmatami“, nie zgodzi się na konkluzję naszego autora ¹⁰⁸). Zaznaczywszy jednak to stanowisko naszego autora, każdy zrozumie, że konsekwentnie nie może sąd jego o pracach czteroletniego sejmu, o samej Ustawie, tudzież o głównych osobistościach reformatorskiego obozu (Ignacy Potocki, Piatoli, Kollątaj, Michał Czartoryski, Kazimierz Nestor Sapieha, obydwaj Małachowscy i w. n.) być przychylny i korzystny: nie gniewalibyśmy się, gdyby był surowy ale sprawiedliwy, tymczasem Szulc przeniósł i lekceważenie, jakim ze swojego stanowiska i pochodzenia technie dla dzieła czteroletniego sejmu, także i na osobistości, które najwięcej się do niego przyczyniły. Najbliższy prawdy jest bez zaprzeczenia portret Nestora Sapiehy, najwięcej zjadliwie, bo podejrzliwie, kreślony jest wizerunek Kollątaja.

Najobszerniej traktuje Szulc instytucje reprezentacji narodowej w dawniej Polsce, sposób sejmowania u nas i przyznać musimy, że przedmiot ten opisał lepiej, aniżeli wielu innych przed nim i po nim. Nie mamy tu owych, historią nie usprawiedliwionych różnych epok rozwoju parlamentaryzmu (jeśli tak rzec można) w Polsce od stanowienia uchwał większością, potem mniejszością, a wreszcie jednomyślnością głosów, — teorya, którą za przykładem Konarskiego łatwowiernie politycy nasi wbrew autentycznemu źródłom historycznym przyjmują, — ponieważ Szulc wie dobrze o tém, że tak żywotna instytucja, jak reprezentacja narodowa nie powstaje podług teorii polityków, ale wyrasta na swojskim gruncie pod wpływem okoliczności i nieprzepartyh faktów, które ją do życia powołały. Szulc ocenia dokładnie szkodliwe skutki osławionego zastrzeżenie „*Liberum Veto*“, ale nie robi za nie odpowiedzialnym takiego warchola zaściankowego, jakim był Sieciński, bo wie o tém, że rwanie sejmów miało dawno przed nim miejsce i praktykowane było w jeden i ten sam sposób. Pytanie: kto pierwszy zapalił tę pochodnię, nie ma historycznej, naukowej podstawy; ale wypada raczej zastanowić się uważnie nad temi okolicznościami historycznemi, wśród których takie straszylło w tak fa-

talną potęgę wzrósć mogło. Pisaliśmy o tém obszernie w r. 1856; tutaj nadmieniamy tylko, że przyczyna historyczna unieważnienia przez pojedynczą opozycją przy konkluzji sejmu całej roboty sejmu nie leżała w swywoli uprzywilejowanego stanu, który nie był gorszy od innych mu współczesnych ¹⁰⁹), ale płynęła z następujących źródeł:

1-sze, z nader wielkiej decentralizacji państwa;

2-gie, z wygórowanej autonomii pojedynczych ziem, województw i powiatów, ubezpieczonych przywilejami niemal między-narodowej doniosłości;

3-cie, z wynikających ztąd instrukcyi i mandatów sejmików prowincjonalnych, które poza sferę swych lokalnych interesów bardzo niechętnie wychodziły.

Możność zaś unieważnienia przez jeden powiat pracy ustawodawczej reprezentantów reszty powiatów następczająco sześciotygodniowy termin dla obrad sejmowych przepisany, którego interesa lokalne i prywatne, nieuwzględniające interesów powszechnych, przy pomocy ambicji możnowładzów, z instrukcją od braci w rękę, prawie nigdy prolongować nie pozwalały. W obec takiego położenia rzeczy nie mogło tu być mowy o formalnym głosowaniu, ale chodziło tylko o możliwą tranzakcją między przeróżnemi interesami lokalnemi i prowincjonalnemi; dla tego widzimy też głoszącą szlachtę tylko przy wyborach i na sessjach sądowych, co do reszty spraw szukano „zgody“. Jeśli zaś dostrzegamy w źródłach cienia głosowania, to takowe odbywa się prowincjami („*turnus*“), które nie zawsze okazują się czułemi na głos *libertatis sentiendi et juris velandi* ¹¹⁰).

Ze źródłami historycznemi w rękę nie trudno wykazać, że reprezentacja w Polsce tworzyła się w średnich wiekach na tych samych podstawach, jak w Anglii, Hiszpanii, Węgrzech, Niemczech, gdzie wszędzie pod naciskiem wypadków zewnętrznych dopominają się prowincye udziału w rządzie za usługi rycerskie i pieniężne, które świadczą koronie; spotykamy opozycją powołującą się na dane sobie instrukcje od wyborców nawet w Anglii za panowania Elżbiety ¹¹¹); ale w krajach tych z potężnym zastępem mieszczaństwa, które u nas osłabiły najazdy tatarskie i powódz germańska, potrafiła korona zdobyć sobie tyle władzy centralizacyjnej, że przed nią musiały umilknąć interesa i aspiracje potęg lokalnych, prowincjonalnych.

Skoro z tém faktyczném położeniem rzeczy, sięgajacém pod względem idei reprezentacji narodowej w Polsce do początku prawie panowania Jagiellonów, którzy musieli godzić się na różne tranzakcje korony z rycerstwem gwoi podtrzymywania wojny z Krzyżakami i w celach zapewnienia tronu swojej rodzinie ¹¹²), połączyły się odrębności prowincjonalne (Wielkopolan pod Cerekwicą, Małopolan pod Opokami), jak je w statutach Nieszawskich r. 1454 skodyfikowanemi widzimy ¹¹³), traciło państwo swoją jednolitość. Gdy wreszcie po sfederowaniu się wielu krajów za Jagiellonów z Rzępą na podstawie międzynarodowych prawie aktów jedność ta coraz luźniejszą się stawała, a do antagonizmu złamanego przez stan rycerski w r. 1505 możnowładztwa przyłączyły się w epoce humanistów wyobrażenia republiki rzymskiej z trybunami ludu; gdy emulacja pojedynczych rodzin możnowładczych szukać poczęła podpory w podleganiu prywatnych, lokalnych interesów, stało się mocą tych wszystkich zbiorowych potęg, że prawo autonomicznego samorządu obywateli ziemskich, wyrzekłszy się opieki nad miastami, wyrosło w straszliwą pochodnię w rękę uprzywilejowanych krótkowidzących tłumów szlacheckich.

Nie możemy na tém miejscu rozprawiać o różnicy, jaka pod względem prawniczym i praktycznym zachodziła między tamowaniem obrad sejmowych (*sistere activitatem*) podczas rozbioru przedmiotów instrukcji poselskich wśród szcziotygodniowej dyskusji posłów ziemskich, a zerwaniem sejmu przy konkluzji obrad przez zaprotestowanie przeciw którejkolwiek uchwale: *liberum veto*. Protestacją taką nakazywał zwyczaj, a później urosło z tego źródła prawo „oblatować w grodzie”, przy czem nie zaniebądowano motywować tego kroku instrukcją odebraną od braci lub też przeróżnemi pozorami dobra publicznego a mianowicie troskliwością o zachowanie praw i wolności stanu szlacheckiego. Jeżeli opponent tego nie dopełnił a nie był *patronowany* przez żadnego możnowładzcę, to reszta sejmujących ziem nie zważała wcale na jego krzykliwe opozycję i uważała uchwały sejmu za obowiązujące Rzępą, z tą tylko restrykcyą, że ziemia, z której pochodził opponent, nie była temi ustawami prawnie związana. Stanowiła ona sobie w takim razie, równie jak wtedy, gdy dla zawichrzeń na sejmiku nie dokonano wyboru posłów (*nuntii vacant*), na sejmiku relacyjnym *Laudum*, które ją, z zastrzeżeniem approbaty przyszłego sejmu, prawnie obowiązywało tak co do rozkładu podatków

jako i administracyjnego porządku lokalnych interesów. Pomijamy również środek, do jakiego się uciekano w celu zachowania tajemnicy w tak zwanym *Skrypcie do archiwum*, uchwalanym przez szczuplejsze delegacje z członków sejmu, podpisywanym przez prymasa i marszałka izby poselskiej, ponieważ chodzi nam tu głównie o uwydatnienie najważniejszych momentów historycznych w rozwoju praktyki sejmowania w dawniej Rzępie, nie mniéj o wskazanie stanowiska, z którego historykowi wypada zapatrywać się na ten przedmiot, aby zrozumieć dokładnie źródło i doniosłość złego a przez to ocenić sprawiedliwie moralną odpowiedzialność tylu krzykliwych wichrycieli spokoju i porządku publicznego.

Z tego, cośmy już nadmienili, pokazuje się, że przy tak daleko posuniętej zasadzie autonomistycznej, że przy tak wielkiej decentralizacji na rzecz reprezentacji prowincjonalnej, musiało się stanowisko władzy wykonawczej zupełnie zwichnąć, egzekucja postanowień sejmowych była przy złej woli panów w ziemi prawie niepodobną. Co więc: z tego źródła płynęło zapelné pomieszczenie władzy prawodawczej i sądowniczej z wykonawczą. Zamiast jedna druga wspierać we właściwym sobie zakresie dla osiągnięcia celów rządowych i ogólnopaństwowych, narodowych, jak to czynią zdrowe organa w organizmie ludzkim, stworzyła prowincjonalna zuchwałość władzy prawodawczej w sejmie taki labirynt, takie zamieszanie i anarchią, że tylko silna dłoń potęg lokalnych pewien ład utrzymać zdołała, ale zawsze ze szkodą państwa.

Odpowiedzialność za takie zdeorganizowanie instytucji reprezentacji narodowej spada nie na zwyczajnego, zaściankowego krzykacza z Upity, ale przeważnie na ostatniego z Jagiellonów, na Zygmunta Augusta ¹¹⁴).

Gdy w reszcie państw europejskich z tych samych, co w Polsce, pierwiastków średniowiecznej reprezentacji utworzyły się przy współdziale silnych miast poważne korporacje i instytucje reprezentacyjne, w których korona, strzegąc swojego prawa zawieszenia uchwał, na które się nie zgadzała, i znajdując podporę w nieuszczerplonej swój władzy sądowniczej (w Niemczech n. p. w Reichskammergericht), podniosła niebawem swój majestat tak wysoko, że idee monarchii centralistycznej, absolutnej (Francya, Anglia, Hiszpania, Dania, Szwecya, Niemcy), zupełną wzięły przewagę, to w Polsce przedstawia nam się całkiem przeciwne stanowisko.

Politycy nasi nie stawiają sobie tego pytania, czy królowie polscy mieli prawo zawieszania uchwał przez senat i izbę poselską postanowionych, czy mieli i oni, tak jak inni mają monarchowie, także swoje Veto? Wyraźny na to przepis prawny zapewne znaleźć będzie trudno, bo taką drogą nie tworzył się system reprezentacji narodowej; ale historyk spotyka się z faktami, które tego dowodzą, że królowie nasi wraz z senatem mieli moc uchwały sejmowe do wykonania przyjmować lub do dalszego postanowienia zawieszać, jak tego widzimy jeszcze przykład za Zygmunta Starego w r. 1543 ¹¹⁵), bo jeszcze w tej chwili nie było zupełnie zatartą różnica między władząodawczą a wykonawczą, jeszcze poczucie wspólnych interesów federującej się Rzptej w obec groźnych wrogów, było silniejsze od trwogi na grożące złotej wolności szlacheckiej niebezpieczeństwa.

Dopiero Zygmunt August, straciwszy nadzieję potomstwa, przestał się troszczyć o prawa korony, ustępował jedne po drugich perorującą na sejmikach szlachcie, puścił zupełnie cugle źle zrozumianej wolności, która konstytucją rządu przez dwa wieki organicznie się tworzącego wyrzuciła i w anarchię zamieniła, zwłaszcza, gdy przez ustanowienie trybunału za Batorego i atrybucje sądowiczej władzy przeszły na reprezentację prowincjonalną.

Taka jest historyczna geneza fatalnego dla narodu polskiego Liberum Veto. Teorye polityczne o prawach mniejszości i większości w życiu parlamentarnem nie stworzyły Liberum Veto; dla tego nie można też z tego stanowiska zapatrywać się na tę anomalię w wielkiej Rzptej; ale trzeba przyczyny szkodliwych jego skutków szukać w warunkach historycznych tworzenia się Rptej naszej. Miało ono swoje podstawę w faktycznych stosunkach, wśród których utworzyła się w trakcie czasu Rzpta, a nie w niższej moralności i ciemnocie swywoływnych tłumów, i tą właśnie pozycją potężne rujnowało organizację państwową, niedopuszczało stworzenia nowej budowy, zwłaszcza, że rodziny u steru stojące czci tego bałwana wyrzucić się dla swoich prywatnych widoków nie chciały. Chwila, o której Szulca pisze, była pod tym względem szczęśliwą, ale już za późną.

Pamiętając o faktach, przez nas wskazanych, można łatwo wiele zbyt jaskrawych konkluzji Szulca sprostować — i obraz sejmowania w Polsce za pomocą jego detalicznej relacji doskonale sobie uzupełnić.

Książka Szulca porusza tyle najdonioślej-

szych kwestyi historycznych z całego obszaru dziejów, że niepodobna o każdej szczegółowięć rozprawiać. Autor grzeszy często podciąganiem gwałtownem szczegółów pod prawo powszechne, i ztąd powstaje obraz nieco jaskrawy; ale, ponieważ dyskutuje logicznie, pobudza do zastanowienia się, do upamiętania się w wielu zastarzanych nałogach, do krytycznego wielu faktów rozbioru, którego nauka nie powinna unikać, bo jak słusznie pisze Kraszewski: „nikt lepięj wad naszych nie wskazuje nad nieprzyjaciela; prawdy należy szukać u niechętnych, nie u pochlebców i zwolenników“.

Jeżeli rozważane przez nas dotychczas pamiętniki, zwracały na siebie uwagę czytelnika przeważnie, jako źródła historyczne, bez względu na interes literacki, to wartość „Pamiętników Jana Duklana Ochockiego“ opiera się raczej na ich literackich zaletach, chociaż i pod względem historycznym nie są bez wartości, ponieważ nie mamy drugiego pomnika literackiego, któryby nam przedstawiał wierniej i charakterystyczniej życie nasze z końca XVIII i początku XIX stulecia. Nic też dziwnego, że już sam rękopism dostarczał dawniejszym powieściopisarzom gotowe wzory, które późniejsi jeszcze więcej eksploatowali, gdy Kraszewski najprzód w Gazecie Warszawskiej a potem osobno, ociosany nieco rubaszny oryginał, drukiem ogłosił ¹¹⁶).

Nadmieniamy tutaj, że pod względem bibliograficznym można tylko trzy pierwsze tomy uważać za „Pamiętniki“ Ochockiego i to jeszcze z tym zastrzeżeniem, że znaczna część tomu II-go (pag. 410—450) i tomu III-go (pag. 5—34) jest pióra stryja naszego autora Józefa Ochockiego, opata ze zgromadzenia księży Bazylianów. Cały wreszcie tom 4-ty zapelniają pamiętniki, nie mające z Ochockim żadnego związku, bo nawet z różnych bibliotek pochodzą: mianowicie:

1) Wyjątki z pamiętników Seweryna Bukara (pag. 5—222), o których drezdeńskim wydaniu niżej mówić będziemy.

2) Wyjątki z Pamiętników p. Chrząszczowskiego (pag. 222 — 321) ¹¹⁷ opowiadają wyłącznie dzieje rodziny Potockich od Szezęsnego począwszy, odznaczają się prostotą opowiadania i podniosłą myślą.

3) Z pamiętników Anonima Podolanina (pag. 321 — 343) ¹¹⁸). Fragment ten jest szczegółową biografią zasłużonego w literaturze pijara Dmochowskiego.

Rodzina Jana Modesta ¹¹⁹), późnięj Duklana Ochockiego (ur. się 1766 r.) ¹²⁰) osiadłą była pierwotnie w województwie lubel-

skiem, w ziemi łukowskiej, zkał, jak wielu innych z pomiędzy drobnej szlachty, przeniosły koleje losu i Ochockich z rodzinnego zaścianka na Wołyń, gdzie się stale osiedlili. „zachowując tylko pamięć szlacheckiego swego pochodzenia“¹²¹⁾. Po ukończeniu szkół (1787), których lichą pedagogikę i nasz autor dosadnie kreśli, pracował Ochocki przy skąpym kawałku chleba w palestrze w Żytomierzu, potem w młodych jeszcze latach oddany na dwór wojewody Kijowskiego, Stempkowskiego w Łabuniu przyjmował tamże jadącego do Kaniowa króla¹²²⁾ i wchodził w stosunki z wielu możnymi panami. Gdy Ochocki po dwóch latach pobytu w Łabuniu¹²³⁾ wyjeżdżał za dopilnowaniem spraw procesowych wojewody do Lublina, poruciło mu wielu znajomych panów i swoje interesa, wyznaczając odpowiednie pensye¹²⁴⁾, przy których prowadził sobie nasz autor wesołe życie wśród gwaru trybunalskiego aż do r. 1792¹²⁵⁾. W czasie tym zrobił ekskursję 16-dniową do Krakowa z młodym Skorupskim¹²⁶⁾ odwiedził w Janowcu w ziemi rawskiej „wielkopolskiego magnata“ podkomorzego Lipskiego¹²⁷⁾, którego postać przypomina gwałtowne rysy pychy ojca Szczęsnego Potockiego, i zaglądał często bardzo na dłuższy czas do sejmującej Warszawy. Zostawszy niebawem szambelanem Stanisława Augusta, był w najłepszych stosunkach z temi wszystkiemi osobami, które stanowiły stronnictwo królewskie w czasie czteroletniego sejmu.

Ochocki podziela całą duszą idee reformy, z upodobaniem rozprawia „O pracach czteroletniego sejmu“, bierze serdeczny udział w podnioslejszym nastroju umysłów tej chwili, a gdy wypadki niespodziewaną wreszcie poszły koleją, sądzi, że nie żadne przeciwne przekonania, nie przedajność stworzyła z Rzewuskiego i Szczęsnego wrogów reformy, ale „obrażona pycha i miłość własna“¹²⁸⁾. W każdym razie stanowi jeszcze dziś postępowanie Szczęsnego bezpośrednio przed sejmem czworoletnim, porównane z dziełami jego w Targowicy, nie łatwą zagadkę psychologiczną, którą tylko gwałtowna jakaś namietność najłatwiej jeszcze objaśnić może. Za wpływem Szczęsnego zawierała instrukcja, udzielona przez województwo bractwskie posłom na sejm, między którymi wybrano i Szczęsnego, następujące żądania: „o aukcyę wojsk Rzeczypospolitej, o ścisłe przymierze z silnemi mocarstwami europejskiemi, o reformę rządu co do praw kardynalnych i przewodów sądowych, najszczególniej o podniesienie miast przez

emancypowanie, i nadanie im większych prerogatyw wolności handlu. Usilnie w nich także nalegano, ażeby prawo zawarowało osobiste i majątkowe bezpieczeństwo włościanów, wyłączać ich z pod zbytecznej władzy dziedziców. Ostatni punkt instrukcji nie mógł się podobać naówczas szlachcie, troskliwej o swe odwieczne prerogatywy; ale Potocki usilnem staraniem, a może i forsą pieniężną, wymógł go na obywatelach województwa Bractwskiego. Ochocki powtarza przeważającą wówczas opinią, jakoby to był pomysł pierwszy i natchnienie poety, filozofa i liberalisty Trembeckiego, którego rozum i serce szanował Potocki i głosu ich przywykł słuchać. Dosyć, że z taką instrukcją opatrzony wyruszył Szczęсны dworno, ludno i z asystencją ogromną do Warszawy, aby mieć czas dobijania się o marszałkostwo sejmowe¹²⁹⁾. Wiadomo, że go nie tylko ta nadzieja zawiodła, ale nierozważne docinki i paszkwile ze strony trefnisiów patriotycznego stronnictwa popchnęły Szczęsnego na drogę żarliwego obrońcy dawnych form i dawnej anarchii Rzplitej.

Dalsze przygody prywatne Ochockiego nie mają ogólniejszego interesu, mamy o nim świadectwo Bukara, „że to był człowiek bardzo miły w towarzystwie dla dowcipu swego i wesołego humoru.“

Pamiętnik J. D. Ochockiego nie jest dyaryuszem chronologicznym następujących po sobie wypadków; ale przedstawia nam raczej zbiór przeróżnych obrazów z życia publicznego, ze sfery sądownictwa, wyższych towarzystw i nawet drobniejszej szlachty od drugiej połowy XVIII wieku począwszy pod osobnemi tytułami wystawionych. Tak jak w wielu rodzinach szlacheckich, przeświadczonych każda o swojej wartości historycznej, panował zwyczaj zapisywania ważniejszych wypadków, tak samo miało to miejsce i w rodzinie Ochockiego¹³⁰⁾, od czego i nasz autor nie chce się wyłączyć. Pisząc zaś w późnym wieku wspomnienia tego „co na oczy widział“¹³¹⁾ opiera się to na własnych notatach¹³²⁾, to na relacji innych wiarogodnych osób¹³³⁾ a nawet na urzędowych świadectwach¹³⁴⁾. Ochocki dalekim jednak jest od tego, aby miał pisać historią swojego czasu, bo uważa takie zadanie nad swoje siły; nie ma do tego „geniuszu“ ani pracą zdobytych obszernych wiadomości. „Tamci (historycy) wypowiedzą prawdę całą, dobędą z martwych przeszłość ziemi krwią braci naszych oblaną — ja piszę tylko pamiętnik własnego życia z pozostałych mi notat, z żywej je-

szcze i nieostabłej, dzięki Bogu, pamięci; odmaluje tę tylko część obrazu, którą mi się widzieć, w której mi się działać dostało¹³⁵). Oceniając też z tego stanowiska pamiętnik naszego autora przyznać musimy, że obok widniejącej słabości zwracania na swoją osobę uwagi, przedstawił nam Ochocki wierny zarys swjej epoki, nie mierzając się jednak wcale przy dochodzeniu wszechstronnej prawdy pojedynczych drobnych szczegółów, których nieprzeliczone mnóstwo płące się z sobą w jego pamięci. W tém, co innemi źródłami sprawdzić mogliśmy, fałszu nie ma¹³⁶).

Ochocki widzi początek upadku kraju w nieszczęśliwem położeniu Jana Kazimierza, bo „potem już nauki gasły, ciemnota kraj ogarniała; długie panowanie *niemieckie* dwóch Sasów do reszty nas osłepiło, rozpoilo i zdemoralizowało. Możni wychowywali się zagranicą i obojętnieli dla kraju i jego zwyczajów; uboższa szlachta musiała przestać na jezuickich szkołach, które się stały propagandą ciemnoty.“¹³⁷) Ochocki jest tego zdania że *niemieckie* panowanie Sasów przyczyniło się także najwięcej do zdeorganizowania reprezentacji sejmowej, bo „w dawnym rzeczy porządku, szlachta od Zygmunta Augusta wotowała na sejmikach dla wyboru posłów; ale to rozumie się szlachta osiadła. Panowie za Augustów obu wprowadzali zwyczaj pędzenia na sejmiki szlachty czynszowej dla poparcia nią swoich celów politycznych, chociaż sejmy rwały się jedne po drugich. Nowa ustawa poleciła Komissyom cywilno-wojskowym porobić księgi ziemiańskie, w nie wpisać dziedziców, którzy mieli nie mniej ośmiu dynów; każdy obywatel musiał złożyć kwity z podymnego, które opłacał i we 2 tygodnie sformowano z tego listę wotujących.“¹³⁸) Fakt ten o posesyjonatach stwierdzony jest przez konstytucye, w których wiele ziem do obserwowania tej reguły się dawno już było obowiązało¹³⁹); ale ponieważ nie było konstytucyi, któraby w myśl autora naszego obowiązywała całą Rzeczpospolitą, przeto sejm czworoletni prawo to niektórych prowincyi do ogółu zastosował z wielkiem zgorzeniem rokoszowej pychy targowiczian i łatwowiernych tłumów złotą wolnością oszołomionej szlachty¹⁴⁰).

Pamiętnik Ochockiego zawiera, prócz niektórych drobnych szczegółów, wiele rzeczy poważnej treści, które nam pozwalają dokładniej wniknąć w ducha i w intencye dawnych instytucyi Rzeczypospolitej. Pogląd Ochockiego na wszechwładne stanowisko stanu szlacheckiego, na znaczenie nobilitacyi, indygenatu, skartabellatu, na sposób

sejmowania, na organizacyą sądownictwa (trybunał lubelski), stosunki wojskowe, na skarbowość, kaduki itp. można z pomocą innych źródeł uzupełnić; ale treść rzeczy trafnie jest pochwycona. Nawet zdanie Ochockiego o konfederacyi barskiej, sformowanej w znacznej mierze przez niechęć i zawiedzione ambicje tych, którzy elekcyą Stanisława Poniatowskiego urażonymi się widzieli i detronizować go myśleli, potwierdzają nowsze badania historyczne.

Wprowadzenie nowego rządu w prowincjach zabranych i zmiany, jakie w skutek tego wynikły w całej politycznej i ekonomicznej sytuacji ziemianstwa, nie uszły bacznej uwagi naszego autora, chociaż traktuje już te sprawy powierzchowniej, i patrzy często za pobłażliwie na słabości i ułomności ludzkie. Wiadomości te nie są jednak bez wartości dla poznania nowej administracyi kraju i dalszego jej postępu pod różnymi general-gubernatorami, których względami autor nasz się dosyć cieszy. Wstąpienie na tron cesarza Pawła I i Alexandra I panowanie, tudzież epoka księstwa warszawskiego następcza Ochockiemu sposobność do poglądów, które dzisiaj nie wystarczają, ale pozostaną świadectwem poważniejszego sądu o rzeczach publicznych.

Ochocki przedstawia nam doskonały typ swojego wieku: trochę epikurejczyk i sensualista, skeptyk i opportunistą,—pragnący zgodzić zasady wolności i postępu z ideą porządku i dobrze zrozumianego konserwatyzmu, oburza się na wybryki jakobinizmu francuzkiego i w przekonaniu pokory chrześcijańskiej poddaje się fatalistycznemu, jak sądzi, prądowi wypadków¹⁴¹). Oburza nas często pewna płochosć i cyniczne obrazki rozpusty—które jako daninę składa na niewie wieku 18-go; ale obok tego umie szanować tych, „co to cnoty nie definiują, ale ją doskonale pełnią“¹⁴²); i oddaje sprawiedliwość tym, których doznane przeciwności nie zrażają w pracy około dobra publicznego, „bo idee człowieka są często, jak sprężyny hartowane, im silniej naciśnięte, tem mocniej odskakują i rażą“¹⁴³). Ochocki pisze zawsze to, co czuje, a czuje gorąco.

W Pamiętnikach Ochockiego czytamy dosyć często wspomnienia o wpływach w województwie kijowskim i podolskim rodzinie Bukarów, z których Adam, kupiwszy dobra po Poniuskim, zajmował dla swoich blizkich nader stosunków z wojewodą kijowskim Stempkowskim wybitniejsze stanowisko wśród szlachty kijowskiej i podolskiej. Jeden z synów Adama, Seweryn (ur. 1773 r. † 1853) zostawił ciekawy pamiętnik

swoich czasów pod tyt.: „*Kilkanaście lat pamiętniczych przeszłości mojej, czyli wspomnień starego człowieka*”¹⁴⁴).

Seweryn Bukar kształcił się w szkole kadetów, założonej przez Stanisława Augusta w Warszawie. Po skończeniu chlubnie nauk służył w wojsku koronnym i odznaczył się w bitwie pod Dubienką. Wśród znanych powszechnie po roku 1794 okoliczności usunął się do życia prywatnego i zajmował się bardzo żywo literaturą. Powaga nie tylko zdania, ale i życia zjednała mu przydomek „patryarchy Podola”; a ponieważ w różnych swego losu kolejach bardzo wiele widział, przeto nalegano na niego ze wszech stron, aby pamiętniki napisał. Uległ wreszcie prośbom synów i rozpoczął w r. 1846 pisać wspomnienia swoje; ale nie daleko je doprowadził, bo tylko do roku 1815 i to zawierając się w 5-ciu rozdziałach, odpowiadających na tyleż stawionych mu przez synów pytań. Do pamiętnika dołączone są liczne przypiski autora, które wiele kwestyi, zaledwo potrąconych w właściwym pamiętniku, szczegółowiej opowiadają i współczesnemi świadectwami popierają i objaśniają.

Pamiętnik Bukara nie ustępuje w niczem pamiętnikom Ochockiego: owszem przewyższa je wszechstronniejszą rozważą, gruntowniejszą znajomością literatury, większą starannością w opracowaniu przedmiotu, nie mniej i przez powagę zdania i sądu o rzeczach i ludziach, tak że nieraz karci surowo tych, których Ochocki zanadto pobłażliwie sądzi (zob. opinią obydwóch o senatorze Ilińskim).

Autor nasz tłumaczy się najprzód z pobudek, dla których nie myślał nigdy o pisaniu swoich pamiętników, „bo ten tylko ma prawo zająć się opisem własnego życia, który sam bezpośrednio lub przez wpływ swój na czynności znakomitszych w kraju ludzi dał się poznać zaszczytnie i dokonał rzeczy pamięci godnych.” Oświadcza tedy, że ani myśli nie takiego pisać, coby formę pamiętników miało, i że tylko w sposobie objaśnień odpowie na zapytania, „jakie będzie się zdawało zrobić mi, jeżeli to się komu na co przyda. Napisałeś mi więc kilka punktów, na które odpowiadam.”

Po takim zastrzeżeniu opisuje tedy Bukar językiem czystym, widocznie na wzorach klasycznych kształconym, dom rodziców swoich, gdzie mamy piękny obraz staroświeckiej rodziny, trybu życia zamożnego szlacheckiego domu, obraz stosunków sąsiedzkich i stosunku szlacheica rządowego do swojego ludu. W następującym rozdziale (str. 11—34), za-

tytułowanym „Zakład naukowy wojskowy”—czytamy po krótkim przeglądzie historycznym dawniejszych podobnych zakładów przez *pacta conventu* przy każdej elekcyi warowanych (szkoła artyleryi, szkoła inżynierów, pionierów, pontonierów, szkoła rycerska czyli korpus kadetów etc.) obszerny dosyć opis zakładu naukowego, korpusem Kadetów zwanego. Bukar wskazuje pobudki założenia tej instytucyi, opisuje całą jej organizacyą naukową i wojskową, niemniej i ekonomiczną, rozprawia dosyć obszernie o planie wykładanych w tym zakładzie nauk, mówi o examinach, o dyscyplinie wewnętrznej, charakteryzuje professorów i ocenia zbawienne owoce, jakie zakład ten w gruntowném kształceniu się młodzieży przynosił. Nie może być naszym zadaniem rozwinąć się szeroko nad niesłusznoscą zarzutów, które u nas niektórzy robili temu zakładowi¹⁴⁵; ale nadmieniamy tylko, że poważny szereg znakomitych w kraju naszym w ostatnich latach Rzeczypospolitej i bezpośrednio po jej upadku ludzi najlepiej dowodzi, że „edukacya kadecka rozwinęła i wzmocniła zasady i czucia jaknajszlachetniejsze,”— że była w ściślejszym obrębie i celu wykonaniem zamiarów, które Komisya edukacyjna do całego kraju chciała stosować. Honor, rycerskość, żądza doskonalenia się w dokładnych naukach i staną się przez nie użytecznym krajowi, zacięta ambicya wślawienia się przez czyny chwalebne, nieskażenie się przez naganne, przedewszystkiem gorąca miłość kraju i gotowość poświęcenia się dla niego, były prawidłami szkoły kadeckiej. O jej duchu najprawdziwiej sądzić można z katechizmu kadeckiego, książki napisanej przez ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, zanego jej pierwszego naczelnika. Książkę tę każdy kadet musiał umieć na pamięć.

W dalszym rozdziale trzecim (35—43) znajdujemy wierny obraz „towarzystw ówczesnych warszawskich”, który ułatwia nam sprawiedliwe ocenienie tych szczegółów, jakie Fr. Szule i Ochocki z tego samego czasu nam przechowali. W ustępie „karyera wojskowa” (43—133) czytamy treściwy opis kampanii z roku 1792, z którego widzimy ogromne trudności w formowaniu regularnego wojska, z powodu niedostatku potrzebnych do tego warunków, mianowicie wyższych wojskowo udoskonalonych oficerów. Zdarzenia życia sąsiedzkiego na Wołyniu i Podolu, tudzież familijne wypadki urozmaicają ten już i tak dosyć różnobarwny opis, na którego poważnem tle jaskrawo niekiedy

odbijają arbitralne czyny generalności targowickiej, mianowicie Rzewuskiego. Po dokonanym akcesie króla do konfederacji, pobrali oficerowie, między nimi i nasz autor, dymissye. Dla uzyskania tedy jak najprędszego uwolnienia wpadł autor nasz do Warszawy, która się jakby wśród największej pomyślności znakomicie bawiła i „tańczyła“, i opatrzone chlubnym świadectwem z odbytej kampanii powrócił na wieś do domu. W r. 1793 otrzymał generał-gubernator Kreczetnikow rozkaz z Petersburga, aby wysłał tam do zaprezentowania cesarzowej z każdego rodzaju broni ober-lub sztabs-oficera i z niższych rang po jednemu. W skutek nalegania generała Lubowidzkiego przyjął i Bukar udział w tej delegacji, którą wraz z pobytem swoim w Petersburgu szczegółowo opisuje. Urządzenie nowej administracji kraju, niemniej charakterystyka działających naczelnie osób kończy ten rozdział, nie przerywając się jednak, ponieważ obok wielu innych drobnych wiadomości (Rozmaitości) stanowi jeszcze główny przedmiot opowiadania ostatniego rozdziału (133—161). W przypiskach, które pamiętnik nasz zamykają (163—224) znajdujemy bardzo wiele oderwanych wiadomości, objaśniających ówczesną epokę, co wszystko stanowi dla badacza dziejów bardzo pożądaną materjał.

Wypadki, które opisał Seweryn Bukar, mianowicie w rozdziale czwartym, były przedmiotem innych także opisów i memoriałów, które Kraszewski w znacznej części zgromadził w IV tomie swojej Biblioteki pamiętników i podróży po dawniej Polsce¹⁴⁶). Pomijając pismo Zajączka w tej materji, czytamy wydane z tego czasu relacye ks. Poniatowskiego¹⁴⁷) i Tadeusza Kościuszki¹⁴⁸), które jednak dla historyka mają przeważnie tylko wartość pod względem kwestji wojskowych. Nie większego znaczenia są także wszystkie owe krótsze relacye czynów wojskowych, dokonanych przez Polaków między 1792 a 1812 rokiem, umieszczonych w czwartym tomie biblioteki. Prócz pamiętnika Zenowicza z r. 1794, znachodzimy tu „Notaty jenerała Zajączka“ z r. 1811, początek kampanii r. 1812 przez Dziewanowskiego, dziennik czynności generała Dąbrowskiego w r. 1812, opis czynności Sgo korpusu od śmierci ks. Poniatowskiego pod Lipskiem aż do chwili, gdy ks. Sułkowski, dowódca tego korpusu po ks. Józefie, opuścił go za zezwoleniem Napoleona; wreszcie dziennik kampanii w r. 1812. W przedmowie do tego tomu „Pamiętników“ czytamy ważne dokumenta, dotyczące się niesprawie-

dlwie potępnego i lekceważonego generała Xawerego Kosseckiego.

Dobiegając do końca pracy naszej spotykamy się jeszcze z jednym żołnierzem z tej epoki, który jednak nie poprzestał na dziełach Marsa, ale odznaczył się także na polu pracy cywilnej, położwszy nie małe zasługi względem opieki nad edukacją publiczną przy staraniach o polepszenie ekonomicznych interesów kraju. Mówimy o Józefie Drzewieckim, o „panu Szeffie“, którego życie przedstawił Kraszewski z tém ciepłem uznania, z tym polotem myśli, których dość sięgnąć się nie kusimy a powtórzyć ich tu dla braku miejsca nie możemy. Wspominamy tylko o tych szczegółach, które dla ocenienia Pamiętnika Drzewieckiego, jako źródła historycznego, mogą mieć niejaką wartość.

Józef Drzewiecki urodził się na Wołyniu we wsi Juśkowcach, w powiecie Krzemienieckim 1772 r. Po ukończeniu chlubnie szkół w Krzemieńcu, przemową na sejmiku Krzemienieckim r. 1792 tak zawładnął umysłami wszystkich, że obrano go za ledwie 20 lat wieku liczącego, posłem na sejm. Po wypadkach r. 1792 usunął się do Galicyi, a po 1794 przybył wraz z Książewiczem do Francji, potem do Włoch, w celu połączenia się z Henrykiem Dąbrowskim. Wstąpiwszy do legionów odznaczył się Drzewiecki przy zdobywaniu Neapolu tak, że generał francuzki Championnet, przesyłając dyrektoryatowi zdobyte trofea, zaszczyt ten przyznał między innymi (Książewicz, Kossecki, młody Dąbrowski) i Drzewieckiemu. Wywiązawszy się na uroczystej sessji dyrektoryatu z tego mandatu, wręczyli delegowani bawiącemu wówczas w Paryżu Kościuszcze pałasz Jana III, złożony przez tegoż króla po wyprawie wiedeńskiej w Lorecie. Gdy Książewiczowi poruczono formować legją naddunajską, położył Drzewiecki wybitne zasługi w jej organizacji i ćwiczeniu rycerskiem. Legja wcielona niebawem do korpusu Niższego Renu odznaczyła się pod Frankfurtem, Offenbachem, a mianowicie pod Hohenlinden. Po zawarciu pokoju w Lunewillu (9 lutego 1801 r.) odprowadził Drzewiecki legion ten z pod Wiednia do Medyolanu. Gdy po utworzeniu królestwa Etrury, legja miała być zamienioną w gwardyą nowego króla, oficerowie, nie chcąc być najemnikami, brali dymissye; między nimi był także Drzewiecki.

Na tém się kończy właściwy pamiętnik Drzewieckiego, który nie wdając się wcale w rozbiór kwestji politycznych i historycznych, daje nam w formie jak najnatural-

niejszej, bez żadnej ozdoby retorycznej, prawdziwe świadectwo o tych czynach, w których brał udział, tak, że obok pamiętnika Dąbrowskiego i Amilkara Kosińskiego, niemniej w obec obfitego materiału, zebranego przez Leonarda Chodzkę, świadectwo Drzewieckiego zachowa swoje znaczenie. Nie pojmujemy pobudek, dla których Xawery Godebski, ogłaszając w r. 1864 malutki i także tylko wojskowej treści fragmencik historii legionów z papierów Cypryana Godebskiego, z takim lekceważeniem odzywa się o naszym autorze, jakby robił zarzut Kraszewskiemu, że taką lichotę do literatury wprowadził¹⁴⁹). Drzewiecki przechował nam wiadomość, że i Wierzbicki pisał pamiętnik odnoszący się do historii legionów¹⁵⁰), którego rękopism Kraszewski posiada.

Wróciwszy do kraju, osiadł w rodzinnym majątku na Wołyniu, a połączony najściślejszą przyjaźnią z Tadeuszem Czackim, dopomagał i wspierał go we wszystkich jego obywatelskich przedsięwzięciach.

Smutniejsze coraz bardziej położenie ekonomiczne krajów słynących ze swojej urodzajnej znakomicie gleby, było między innymi także skutkiem anormalnych stosunków handlowych w tej części kraju. Przy światającej z wznoszącą się Odessą spodziewanej jutrzence lepszej przyszłości handlu wywozowego, zawiązało groźno obywateli spółkę handlową w celu pośredniczenia między producentami krajowymi a kupcami zagranicznymi. Umowę w tym celu zawartą podpisano w Warszawie dnia 27 lipca 1802 roku. Michał Walicki pośredniczyć miał z Francją i Petersburgiem, Tadeusz Czacki i Józef Drzewiecki biorąc na siebie Ruś i Litwę do kontraktowania, wyprawiania zboża, drzewa i t. p. Stanisław Sołtyk, zajmować się miał komunikacją pośrednią¹⁵¹). Ustanowiwszy Warszawę, jako punkt pośredni wszelkich negocjacji i układów, zbudowano magazyny w Odessie, gdzie Drzewieckiego postawiono na czele. Pierwszy okręt kupiecki „Tadeusz Czacki“ naładowany zbożem odpłynął 9 lipca 1803 roku z Odessy do Tryestu, z wielką ostentacyjną radością nie tylko ludności, ale i władz miejscowych. Rozszerzając swoje działalność, spółka postanowiła spławiać zboże po Dnieprze; lecz zanim interes ten wszechstronnie mógł się rozwinąć, nadeiagnęły burze wojny francuskiej i najpraktyczniejsze przedsięwzięcie zniweczyły.

Równocześnie krzątał się Czacki około podniesienia edukacji publicznej w kraju

przez urządzenie szkoły Krzemienieckiej, która niebawem wyrosła na znane zaszczytnie *liceum* krzemienieckie. W r. 1803 uzyskał Czacki pozwolenie ministra oświecenia do zbierania składek na szkołę Krzemieniecką; w roku 1805 nastąpiło już otwarcie gimnazjum Wołyńskiego, które później tytuł *liceum* pozyskało. Do komisji edukacyjnej krzemienieckiej należał także Drzewiecki, jako gorliwy współpracownik — a gdy zawczasu śmierć zabrała 20 lutego 1813 roku Tadeusza Czackiego, nie przestał nasz autor być najtroskliwszym opiekunem tej znakomitej instytucji naukowej przez cały czas istnienia¹⁵²). W r. 1817 przyłożył się do założenia w Krzemieńcu „Towarzystwa dobroczynności“, — chodź koło stworzenia w tym mieście towarzystwa muzycznego, stara się o wybrukowanie miasta, reformuje szkoły elementarne według metody Lankastra — i opiekuje się osieroconą przez śmierć Czackiego młodzieżą szkolną. Resztę czasu poświęcał przyjaciółom (Kniaziewicz, Feliński), interesom domowym i rodzinie.

Z tej epoki swego życia, nie pozostał Drzewiecki gotowych pamiętników; ale z korespondencji i różnych dokumentów, jakie po zmarłym pozostały, ułożył Kraszewski pamiętnik, który przyczynić się może do zrozumienia idei i ducha niedawnego, a tak już, zdaje się odległego od naszych wyobrażeń, epoki.

Wiadomo, że Czacki, krzątając się energicznie około zbierania składek na szkołę od obywateli, których chciał ściśle zespolić z instytucją naukową, a przez to utrzymać w obywatelstwie żywy interes dla szkół i kształcących się młodzieży, naraził się przez rewindykowanie części udzielonego mu na ten cel przez cesarza Alexandra funduszu pojezuickiego na niemałe gromy samolubstwa i prywaty, która u nas bardzo łatwo umie się abrać w ułudne szaty patriotyzmu¹⁵³). Nie możemy tu zastanawiać się szczegółowo nad różnicą i nad stosunkiem, jaki zachodzi pod względem pedagogicznym między szkołami komisji edukacyjnej a szkołą przez Czackiego stworzoną; dosyć nadmienić, że Czacki widział ujemną stronę organizacji szkół komisji edukacyjnej w upośledzeniu nauk klasycznych¹⁵⁴) kosztem nauk fachowych i języków nowszych i chciał niedogodnościom ztąd wynikającym zapobiedz przez podniesienie nauk klasycznych i gimnazjalnych, — tworząc dla zaspokojenia realnych potrzeb wieku osobne wydziały i fachowe szkoły. Przy tém wszystkiém nie życzył sobie Czac-

ki owego akademickiego odosobnienia stanu nauczycielskiego w kraju; ale chciał instytucje naukowe niejako z obywatelstwem powiązać, starał się o to, aby obywatele sposobili się i współubiegali w zajęciu miejsc w dozorach edukacyjnych, w zarządzie funduszów i szkół; aby poświęcili się wychowaniu młodzieży i czuwali nad celem i kierunkiem dawanych nauk, chciał powierzyć samym ojcom kierunek wychowania ich synów, bo sądził z Drzewieckim, „że zatrzymać ten związek opinii między szkołą a obywatelami było rzeczą, dla edukacji publicznej, bardzo ważną⁽¹⁵⁵⁾”. „Szkoła, co nas wydała, pisze Drzewiecki do Skibińskiego, i coby ciągle obywateli wydawać mogła, bez takiego związku straci powagę, straci energią swoją: nauczyciele zejść na bakalarzy, w oczach obywateli pedantyzm szkolny zajmie miejsce panującego ducha obywatelskiego“ i t. d.⁽¹⁵⁶⁾. Nie pojmujemy, dla jakich przyczyn umysł tak jasny, jak Śniadeckiego, zasady tej nie uznawał, ale przeciwko niej się oburzał; gdyż nikt nie zaprzeczy, że wytworzenie i utrzymanie w stanie nauczycielskim ducha i namaszczenia obywatelskiego jest najskuteczniejszą zaporą przeciwko pedantyzmowi i najemnemu bakalarstwu, a zarazem źródłem życzliwej opieki i miłości, która arytmetycznie wykalkulowaną cenzurą młodzieży od szkoły nie odstraszy, ale prawdziwą życzliwością dla oświaty do szkoły jeszcze przyciągnie.

W chwili usilnych starań Czackiego o stworzenie wyższej instytucji edukacyjnej odzywały się te pytania, czy szkoła krzemieniecka powinna kształcić ludzi specjalnych, fachowych, czy też w pierwszym pokoleniu, gdzie massom brakło światła, musiała ta szkoła mieć cele ogólniejsze, a więc od razu widomych, realnych korzyści nie przynoszące. Rozważając wszystkie okoliczności, wśród jakich naród w daną chwilę się znajdował, i mając na celu edukacją jak najgruntowniejszą, urządzono wprawdzie szkołę krzemieniecką na podstawie nauk humanitarnych, klasycznych, ale nie lekceważono za przykładem filologów niemieckich i nauk specjalnych, owszem starano się urządzić dla celów praktycznych osobne nawet wydziały. Drzewiecki przemawia w tej sprawie w ten sposób: „Od czasu, jak się poświęcono wyłącznie odkryciu tajemnic natury nas otaczających, postąpiono w naukach, stracono w tęgości duszy i zacności obyczajów. Zdaje mi się, że nauki w ogólności

nie powinny służyć tylko za narzędzie do podniesienia wyżej nauki serca i umysłu człowieka, i jeżeli nas nie uczynią lepszymi, szkodliwym społeczności mogą zostać podarkiem⁽¹⁵⁷⁾”.

Obok tej pedagogicznej praktycznej uwagi mamy wyraźny nadto dowód, że Drzewiecki nie lekcewał pedagogicznej wartości nauk matematycznych; ale że nawet myślał o stosowaniu nauk specjalnych do potrzeb życia powszedniego, starając się o fundusze na założenie *burs* dla uboższych, „bo kraj potrzebuje pożytecznych artystów, oczekuje ludzi, którychby był osobisty był związany z ciągłą krajową usługą, którzyby się rozradzali, niosąc światło z profesją rzemieślników, przystosowując je do kunsztów i ułatwiając przedmiot najważniejszy cywilizacji narodu. Nie między innymi znajdziemy nauczyciela, co oświeci wieśniaka, chirurga, co go ocali, mechanika, co jego rolnicze załatwi prace, architekta, co kraj upiększy i wygodę jego zwiększy, malarza i snycerza, co zagrzebane u nas podnieście kunsztu⁽¹⁵⁸⁾”.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że nie tylko historyk, ale i pedagog, badający zasady, które edukacją naszą nie tak dawno przenikały, z korzyścią pamiętnik Drzewieckiego przeczyta.

* * *

Kończąc ten przegląd pomników historycznych Kraszewskiego na polu dziejów naszych, z niemalym trudem wzniesionych, z rozzerwiniętym uczuciem spozieram na czas, który na swoich skrzydłach uniósł te osobiste dzieje i te widoki dobra powszechnego. Prowadzony dość długo szlachetną ręką szanownego Jubilata po niwach historii naszej wśród poważnej dyskusji, truchleję w chwili samego rozstania się z tymi wymownymi świadkami przeszłości naszej, na tę myśl, że może zbyt pobieżną analizą umysłową spuścizny zasłużonych mężów ubliżył ich poważnym ceniom, — a może obraził jeszcze cienie tych, o których za ledwo krótką wzmiankę uczynić mogłem. Proszę tedy szanownego Jubilata o wyrozumiałość, a nawet *venia mihi opus est*, bo jak Tacyt mówi⁽¹⁵⁹⁾: *adeo virtutes iisdem temporibus optime aestimantur, quibus facillime gignuntur. At nunc narraturo mihi vitam defuncti hominis venia opus fuit, quam non petissem, (ni) incusaturus tam saeva et infesta virtutibus tempora.*

J. K. Plebański.

P R Z Y P I S K I.

- ¹⁾ Tac. An. III 55.
- ²⁾ Athenaeum, Warsz. 1871. T. III, p. 599.
- ³⁾ M. Bobrzyński, Dzieje Polski, Warsz. 1879.
- ⁴⁾ Zob. w Bibliotece Warsz. 1865 roku rozprawę naszą o historycznym znaczeniu Juliusza Cezara. — Część I-sza.
- ⁵⁾ Athenaeum 1841 T. I, pag. 7 — 34. Poprzednio już znane ze Zbioru Pamiętn. J. Urs. Niemcewicza. Tylko niedokładność pierwszego wydania mogła usprawiedliwić powtórny edycją z odpowiednim objaśnieniem.
- ⁶⁾ Obydwa te pomniki, drukowane pierwszy raz w Athenaeum, znalazły się znowu powtórzone w 4-tym tomie Biblioteki Pamiętników i Podróży (Drezno 1871, pag. 123 — 144) bez żadnej wskazówki przedruku i bez wiadomości, że Excerpt rękop. Jana III przepisany był przez Lachowicza z ces. biblioteki w Petersburgu.
- ⁷⁾ Wilno 1851. Poprzednio drukowane w Athenaeum.
- ⁸⁾ przepisany przez J. I. Kraszewskiego. Odrukowane w dodatku miesięcznym do Czasu, Mies. Grudzień 1856 r, pag. 667 — 739. Później przedrukowane w dziele Kraszewskiego pod tyt. Mogiły. Abracadabra. Warsz. 1859, pag. 229—338. — My korzystamy z wydania w Dodatku mies. do Czasu.
- ⁹⁾ Sob. w Encyklop. Powsz. Orgelbranda podaje mylnie rok urodzenia Platara w 1748, ponieważ nieprawdopodobną jest rzeczą, aby 16-to letni młodzieniec mógł wchodzić w poczet elektorów króli — i brać udział w burzach sejmowych w 18-tym roku swojego życia.
- ¹⁰⁾ Hławajski, Sejm Grodzieński, Tłum. polskie, Poznań 1872, pag. 115.
- ¹¹⁾ Depesze tego poselstwa są drukowane w Bibliotece Ossol. Lwów. 1863 T. III, pag. 365.
- ¹²⁾ Hławajski l. c.
- ¹³⁾ Należało do tej delegacji 10 osób, mianowicie obydwa hetmani Xawery Braniccki i Rzewuski, X-że Sapieha, Mir, Kossakowski hetman, Plater, Członek Rady Nienastającej, Granowski, Kossakowski wojewódzic, Potocki wojewoda Kijowski i Wielhorski.
- ¹⁴⁾ pag. 682 — 686.
- ¹⁵⁾ Hławajski, Sejm Grodzieński, tłum. polskie, pag. 100—102.
- ¹⁶⁾ Z autografów. Wstęp i przypiski J. I. Kraszewskiego. Poznań 1879, str. VII 206.
- ¹⁷⁾ pag. 120.
- ¹⁸⁾ L'amour dans le mariage, 1856.
- ¹⁹⁾ Drukowane w 4-tym tomie Pamiętników J. Duklana Ochockiego.
- ²⁰⁾ Starościna Bełzka ed. Lwowska 1876 pag. XI i XII.
- ²¹⁾ Dyaryusz podróży Stanisława Augusta Króla na Ukrainę w r. 1787.
- ²²⁾ A. E. Koźmian. Wyciągi Piotrowickie Wrocł. 1842 r. i Roczniki Tow. historyczno-literackiego w Paryżu 1867.

²³⁾ *Segur*, ambassadeur franc. w Rosyi, Pamiętniki, *Helbig*, Życie Potemkina w Czasop. niem. *Minerwa*, z r. 1792—98. *M-me de Stael*, *Lettres et pensées du marechal prince de Ligne*. Paris 1809. *Herrmann*. hist. Rosyi T. VI.

²⁴⁾ Pamiętniki z 18-go wieku. Poznań 1868, T. X.
²⁵⁾ Podróż Króla Stanisława Augusta do Kanowa w r. 1787. Podług listów Kazimierza Konstantego hr. de *Broel Platara* opisana przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1860. (Poprzednio drukowane w *Gazecie Warszawskiej*).

²⁶⁾ pag. 169. Pamiętnik ten Jerlicza wydał Wł. K. Wójcicki w Warsz. 1858.

²⁷⁾ Niwa.

²⁸⁾ Lekceważenie tych względów pozwoliło wielu miernościom wyrósć na admirowanych bohaterów. Zob. Broniś. Chlebowskiego piękną rozprawę o Paszu w Tygod. Illustr. 1879 N. 164.

²⁹⁾ Przekład skrócony Hieronima Feldmanowskiego. Drezno 1870. W Bibliotece Pamiętników i podróży po dawniej Polsce stanowił Pam. ten tom II.

³⁰⁾ *Scriptores rer. Silesiacarum* Wrocław. 1840. T. IV p. 21 — 162.

³¹⁾ Wrocław 1860 pag. 84, 85.

³²⁾ *Leben und Abentheur des schlesischen Ritters Hans von Schweinichen*, wyd. Busching. Lipsk 1823 T. 3. Prócz tego pamiętnika pisał jeszcze Schw.: „Życie Henryka kscia na Lignicy“, którego kopia miała się znajdować w bibliotece Bernardynów w Wrocławiu. Nie możemy w tej chwili sprawdzić, czy się tam jeszcze znajduje, chociaż pragnęlibyśmy dowiedzieć się, czy Schw. w tej drugiej pracy zapatruje się poważniej na swój przedmiot, i czy więcjby się przez to dzieło przyczynił do poznania historyi wewnętrznój zgermanizowanėj już wówczas dzielnicy Piastowskiej na Szlązku, aniżeli przez te opisy awantur życia dworskiego i dzikich kaprysów książęcych, które nasz Pamiętnik przedstawia.

³³⁾ Str. 69, 70.

³⁴⁾ Zbiór poetów polsko-lac. Wład Syrokomli.

³⁵⁾ pag. 8 — 13.

³⁶⁾ Zob. Mosbach. l. c. 79, 84.

³⁷⁾ pag. 27, of. p. 30, 34, 35, 36. „Chciał odwiedzić tamecznego wojewodę Piotra Zborowskiego, ażeby tenże dopomógł księcin zostać królem polskim.“ „Była tam ogromna pijatyka, Polacy, których była znaczna liczba, krzyżeli: Ten będzie naszym królem! Spełniali zdrowie księcia, a, wychyliwszy kielichy, thukli je o lby, co się memu panu bardzo podobało. Tańcował włoskie tańce i był bardzo wesół i t. d. p. 94, 96.

³⁸⁾ pg. 97 — 99.

³⁹⁾ Tłumaczenie Feldm. jest w tém miejscu (pg. 137—138) zanadto blade, cf. Mosbach l. c. pg. 85.

⁴⁰⁾ pg. 152.

⁴¹⁾ p. 152, 159, 159, cf. Mosbach l. c. 212.

⁴²⁾ p. 159.

⁴³⁾ p. 159. „Trudność była nie mała z pogrzebem w katolickim Krakowie. Białoskórnicy ze Szlązka, mieszkający w Krakowie, zanieśli go do kościoła Braci z Zakonu Jasnógórników, którzy za znaczną opłatą ciała przyjęli i w kaplicy zamurowali. Nie słyszano, aby którego z książąt szlązkich taki los był spotkał... i po śmierci ziemia go nie przyjęła i przyjąć nie chciała“.

⁴⁴⁾ Porównaj Vol. Leg. T. I. Anno 1400, 1433, 1470, 1499.

⁴⁵⁾ Schwein. pg. 155 of. Orzelski, Bezkrólewie T. III p. 121.

⁴⁶⁾ Podróż i poselstwo polskie do Turcji. Podróż E. Otwinowskiego 1557, Jędrzeja Taranowskiego 1569 i poselstwo Piotra Zborowskiego 1568. Z rękop. przygotowane do druku przez J. I. Kraszew. wyd. Kaź. Turowski, Kraków 1860 str. 82.

⁴⁷⁾ Przedmowa Kraszewskiego. Porównaj listy Stanisława Żółkiewskiego d. d. Żółkwa 23 Czerwca 1620 wyd. T. X. L. Krak. 1868 p. 147.

⁴⁸⁾ Dwór cesarza tureckiego i rezydencja jego w Konstantynopolu, opisany przez Sz. Starowolskiego. Krak. 1646. Wyd. 7-e w bibliot. Turowskiego. Krak. 1858. Tłumaczenie ruskie p. Łyszkowa. Moskwa 1687.

⁴⁹⁾ Ruggieri w relacji z r. 1568. Relacje nuncjuszów. Berl. 1864 pg. 204.

⁵⁰⁾ Między wielu innemi faktami pokazuje się to najwybitniej w sprawach krzyżackich, tudzież w stosunkach Polski do Czech w epoce husytyzmu. Zob. Polityka polska w czasie upadku Jerzego z Podjebradzu przez Fryderyka Papę. Krak. 1878. T. VIII. Rozpraw akad. Tamże: Prohaska, Polska a Czechy. T. VII i VIII. Smolka w Athenaeum Warsz. 1879. Sutowicz Bibl. Warsz. 1879 Czerwiec i Lipiec.

⁵¹⁾ Leopoldus Ranke, De historiae et politicae cognatione atque discrimine. Berolini 1836.

⁵²⁾ Prócz wielu wcześniejszych zwracamy uwagę na rozporządzenia Nieszawskie w r. 1454. Zob. R. Hube Statuta Nieszawskie. Warsz. 1875.

⁵³⁾ Mencken, Sigismundi Augusti Epistolae, Legationes et responsa. Cf. także Muchlińskiego artykuł w Tece Wileńskiej.

⁵⁴⁾ Łuk. Górnicki, Dzieje w koronie P. od roku 1538 — 1572 wyd. Turowski pg. 127 — 134 cf. Dr. Alex. Hirschberg, Jan Łaski, arcybiskup gn. etc. Lwów 1879.

⁵⁵⁾ Jakóba Michałowskiego Księga Pamiętnicza Krak. 1864 pg. 819 — 826.

⁵⁶⁾ Gesch. d. Chane d. Krim Wien. 1856. J. Bartoszewicz, Pogląd na stosunki Polski z Turcją i Tatarami. Warsz. 1860, tudzież prace prof. Muchlińskiego w Tece Wileńskiej.

⁵⁷⁾ Górnicki l. c. pg. 133. Szujski nie zwrócił uwagi na to wyraźne świadectwo Górnickiego i domyśla się bez zasady w wysłaniu Taranowskiego aktu prostej grzeczności dla osiadłego niedawno na tronie Selima II.

⁵⁸⁾ Pamiętnik Jana Władysława Poczebota Odlanickiego (1640 — 1684). Przepisał z autogr. i przypiskami opatrzył hr. Leon Potocki. Opisanie rękopismu poprzedził i objaśnieniami uzupełnił J. I. Kraszewski. Bibl. Ord. hr. Krasińskich. Muzeum Konst. Świdzińskiego. T. 3. Warsz. 1877. Dyaryusz P. rozpoczyna się właściwie z r. 1658, bo przedtem mamy tylko prócz daty urodzenia autora (r. 1640) i śmierci (1698) tylko wzmiankę o poddaniu się Wilna Szwedom, zapisaną mylnie pod r. 1658, ponieważ wiadomo, że ten naganny krok uczynił Radziwiłł w r. 1655. Wydawcy powinni byli błąd ten sprostować.

⁵⁹⁾ pg. 124 — 126.

⁶⁰⁾ pg. 105.

⁶¹⁾ Przegląd krytyczny. Krak. 1877. Zesz. 10 Październik. pg. 375.

⁶²⁾ Ludwik Nabelak, Jana Klemensa Branickiego: O poprawie Rptej, memoriał podany rządowi francuzkiemu 1762 r. wraz z pismem Stan. Konarskiego w téjże materji przedstawionem posłowi franc. Paulmyemu. Bibl. Ossol. Lwów 1865. T. VI. pg. 1 — 91. cf. Tom. V. p. 1 — 123.

⁶³⁾ Le secret du Roi. Correspondance secrète de Louis XV avec ses agents diplomatiques 1752 — 1774 par le due de Broglie. Paryż 1878. T. 2.

⁶⁴⁾ Dorow, Denkschriften. Berlin. 1840 IV. 146 powołany przez Roepella l. c. pg. 89, 90 w Uwadze.

⁶⁵⁾ Drezno 1870, str. XIX i 464.

⁶⁶⁾ pg. 248, 249, 250.

⁶⁷⁾ Biblioteka. Pamiętnik T. 3-ci pag. 251 — 261. Vitzthum, Les secrets du cabinet saxon, Stuttgart. 1866. 2 vol. —

⁶⁸⁾ Pag. 16 58 — 63. O wojewodzie ruskim czytamy, że tylko starania siostry zniewoliły go do opuszczenia służby w wojsku austriackiem i zbliżenia się do obojczyzny, w której obyczaje, rząd i całe położenie stało mu się zarówno nienawistnem, jak obcym, myślał, że nigdy w niej do znaczenia nie dojdzie!

⁶⁹⁾ Ib.

⁷⁰⁾ pag. 20.

⁷¹⁾ pag. 172.

⁷²⁾ pag. 67. 68.

⁷³⁾ 68. 69.

⁷⁴⁾ Powoływane przez Roepella 4 depesze agentów pruskich dostarczają aż nadto na to dowodów, między wielu innemi. pag 87 w uwadze.

⁷⁵⁾ Piotr W. donosząc Senatowi, że sprawa między Rptą a królem skończona przez poddanie się obydwóch stron woli medjatora, dodaje, że sami (Polacy) tak się związali wolą medjatorską, że ruszać się nie mogą. Pol. Zembr. Zakon. T. V. N. 3014, l. c. u Szczepalskiego. l. c. — Porównaj także Otwinowskiego, Dzieje za pan. Aug. II, wyd. Krak. 1849, pg. 313 — 316.

⁷⁶⁾ Listy Jana de Witte, generałmajora wojsk koronnych. Pułkownika art. kor. komendanta fortecy kamienieckiej itd. 1777 do 1779. Warsz. 1868.

⁷⁷⁾ Notaty generała brygady Wkopolskiej kawalerii narodowej z lat 1775 — 1778 z rękopismów spisane przez J. I. Kraszewskiego. Drezno 1871. Bibliot. Pamiętn. T. IV. Poprzednio był już Pamiętnik ten w Bibliotece Warsz. 1854.

⁷⁸⁾ Między papierami familijnemi, o których wiadomość udzielił mi jeden z potomków Jana, p. Józef Lipski z Lewkowa, prócz 2 listów Stan. Augusta r. 1768 (do Miecznika Kaliskiego) i 1782 d. 26 Lutego (do kasztelana Santockiego) polecających naszemu autorowi, aby 1-o kredytu swego między obywatelami użył w celu wybrania na sejmiku posłów zacnych, — 2-o aby przed wydaniem uniwersałów królewskich, to wszystko wypisać nie omieszkał, cokolwiek będzie sądził nietylko do uformowania uniwersałów y instrukcji na sejmiki przedsejmowe potrzebnego, ale też dla uszczegółwienia kraju y zacnych jego obywateli. P. Teodor Żychliński udzielił mi łaskawie 1-ój korekty drukującego się zeszycu „Księgi Złotej Szlachty“ ale i tu nie znaleźliśmy powiększonego materiału biograficznego naszego autora.

⁷⁹⁾ Żałujemy, że p. Żychl. nie zwrócił na ten punkt, ważny dziś, w W. X-twie oznańskiemi pilniejszej uwagi. Z Vol. Leg. widzimy, że nasz autor posiadał dobra dziedziczne dziś Skórczewskich (Czernejewo) Goraino i Gorainko — tudzież wsie Sepienko (dziś w ręku Biegańskiego), Lagiewniki i Kielczewo. Ann. 1775. Vol. VIII pg. 373. 374. W tymże r. ibid. p. 142 zapisano Lipskiemu, generał-ma-

porowoj wojsk koronnych w nagrodę zasług *Expectantem* na starostwo Kościańskie post fata terażniejszego possessora (Chłapowski), z której zdaje się śmierć nie pozwoliła mu korzystać. W jakim stosunku zostawał nasz autor do owego butnego magnata w Janowcu (znanego z Pam. Ochockiego. T. I. 380)?

⁸⁰⁾ Historyczne.

⁸¹⁾ pag. 50, 56.

⁸²⁾ pag. 68.

⁸³⁾ pag. 27, 93.

⁸⁴⁾ pag. 105—108.

⁸⁵⁾ pag. 83—85.

⁸⁶⁾ Zobacz odnośne Konstytucje w Vol. Leg. z lat 1611 (Vol. III. p. 16.), 1613 (Vol. III. p. 85.), 1631 (Vol. III. p. 333.), 1667 (Vol. IV. p. 449.), 1764 (Vol. VII. pag. 34.). Cf. Pamiętnik J. Duklana Ochockiego T. II. pag. 25.

⁸⁷⁾ Seweryn Rzewuski. Uwagi nad prawem, któreby szlachcie bez possessy activitatem na sejmikach odbierało. Warsz. 1790.

⁸⁸⁾ Kajetan Koźmian I.

⁸⁹⁾ pag. 75.

⁹⁰⁾ pag. 76.

⁹¹⁾ pag. 113.

⁹²⁾ pag. 31.

⁹³⁾ pag. 31, 32.

⁹⁴⁾ Mierzejewski główny plenipotent ks. Sapieżyński.

⁹⁵⁾ Ks. Czartoryskiego.

⁹⁶⁾ pg. 7.

⁹⁷⁾ Polska w r. 1793, według podróży Fryderyka Szulca, T. I Biblioteki Pamiętników podróży przez Krasz. Drezno. 1870. Tytuł niemiecki dzieła: Reise eines Lievlaenders von Riga nach Warschau. Berlin 1795-1797. Wkrótce potem tłumaczone było na język francuzki.

⁹⁸⁾ Voyage de Brandebourg, Pomeranie, Prusse-Courlande, Russie et Pologne p. Jean Bernouilli publ. en 1779 dans le journal allemand 1777-1779. Tłumaczenie franc. Vars. 1782 jest uzupełnione dodatkami autentycznych wiadomości z uszczupleniem dyskusji politycznej.

⁹⁹⁾ Voyage en Pologne, Russie, Svède, Danemarck etc. p. Mr. Will. Coxe. Traduit de l'anglais enrichi de notes etc. p. M. P. H. Mallet. Genève 1786 r.

¹⁰⁰⁾ Krasz. pag. 30.

¹⁰¹⁾ Były to skutki wewnętrznych wstrząśnień i wojen szwedzkich, które za Sasów Polskę trapiły; „a przecie dla pustych wsiów szwankowało zrazu (1717 r.) wojsko na zastęgach i hibernach, bo podczas owęj 15-letniej wojny w Polsce tysiącami takich wsiów mógł rachować, a osobliwie królewczyn, że tylko niebo i ziemia została. E. Otwinowski, Dz. P. pod pan. Ang. II. Krak. 1812 r. pa 311.

¹⁰²⁾ Krasz. rozdział II. pag. 35, 77.

¹⁰³⁾ Beiträge zur neusten Staatsgeschichte der Herzogthümer Kurland und Semigallen. Mitau. 1792.

¹⁰⁴⁾ Krasz. pag. 246, 252.

¹⁰⁵⁾ Krasz. pag. 254.

¹⁰⁶⁾ Krasz. pag. 86.

¹⁰⁷⁾ O literaturze politycznej czworoletniego sejmum mamy dobrą, jakkolwiek przedmiotu wcale nie wy. czerpującą rozprawę Pilatą. Krak. 1872.

¹⁰⁸⁾ Biedermann.

¹⁰⁹⁾ Zob. Biedermann, Deutschland im 18-ten Jahrhundert.

¹¹⁰⁾ Zob. Dunin Karwiczki, De ordinanda republica z r. 1709. Wyd. 1746, nowsze w Krakowie 1871.

¹¹¹⁾ Zob. Edward Fischel, Die Verfassung Englands. Berl. 1864 pag. 364.

¹¹²⁾ Vol. Leg. I An. 1413 p. 31 kolumna 1-sza od „Hocetiam addito“ do „litterarum“ cf. ib. An. 1433.

pag. 40 kolumna 1-sza od „Volentes ut benevolentia eorum“, i t. d. ibid. An. 1470 pag. 103. cf. ib. An. 1499 pag. 129.

¹¹³⁾ R. Hube Statuta Nieszawskie 1434 r. Warsz. 1875.

¹¹⁴⁾ Zob. Kromer, Chronicon wyd. Koloński 1598 pag. 400; tudzież Descriptio Polon. pag. 521 cf. Warszawicki i. w. i.

¹¹⁵⁾ Zob. we wstępie do Konstytucji z r. 1543. Vol. Legum. ed. Ohryzki T. I pg. 277, 278.

¹¹⁶⁾ Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane przez Kraszewskiego. Wilno. 1857. T. IV.

¹¹⁷⁾ Ze zbiorów Konstantego Świdzińskiego.

¹¹⁸⁾ Ze zbiorów Włodzimierza hr. Platera.

¹¹⁹⁾ Pamiętn. t. I. pag. 118.

¹²⁰⁾ Ibid. t. I. pag. 76.

¹²¹⁾ Ibid. pag. 12.

¹²²⁾ Ochocki pozostawił nam wierny opis zbytkowego urzędzenia rezydencji tego wojewody, który wślwił się strasznym okrucieństwem i srogością, z jaką przywracał w tych stronach spokój po humaniejszyźnie. Notatki Ochockiego, nie widzę, by miały się nie zgadzać z opisem Naruszewicza, jak nadmienia Kraszewski — owszem Naruszewicz, Ochocki i Plater nie różnią się w tym razie. Przy opisie magnackiej tej rezydencji u Platera (pag. 90, 91.) dorzuca Kraszewski tę uwagę: dziś z tych splendorów wojewody Kijowskiego podobno kamień na kamieniu nie pozostał, z pałacu ani śladu. Kościół jeden za grzesznika się dotąd modli.

¹²³⁾ Od 1786—1788. Pamiętniki I. pag. 185. cf. pag. 224.

¹²⁴⁾ Pag. 227, 228.

¹²⁵⁾ Pag. 231.

¹²⁶⁾ Pag. 234

¹²⁷⁾ Pag. 380—403.

¹²⁸⁾ Pam. t. I. pag. 316. i pag. 275, 276.

¹²⁹⁾ Pamiętn. I. pag. 271.

¹³⁰⁾ Pam. T. II. 409.

¹³¹⁾ II. 148, 205-403.

¹³²⁾ II. 105.

¹³³⁾ II. 230.

¹³⁴⁾ III. 169.

¹³⁵⁾ I. pag. 10.

¹³⁶⁾ Zarzuty Hłowajskiego co do ohrazków fizjonomii Grodna podczas ostatniego sejmku, są zbyt wyszukane i naciągane, bo Och. nie chodzi o to, czy te lub owe panie były w Grodnie, ale przeciwstawia tylko ich powagę chichoczącej lekkomyślności innych. Hłow. zaprzecza przeciw Och. wpływu kobiet na te wypadki, w czem historia prędzej pójdzie za opinią moją w danym razie trochę za jaskrawą Ochockiego.

¹³⁷⁾ T. I. pag. 40.

¹³⁸⁾ T. II. pag. 25.

¹³⁹⁾ Wskazaliśmy już te konstytucje powyżej w § 5 mówiąc o Notatach Lipskiego.

¹⁴⁰⁾ Zob. w tej materji pismo Sew. Rzewuskiego i Manifest konf. targowickiej, u Leona Węgniera. Rocznik Tow. Prz. N. Poznańsk. 1863 tom. II. pag. 547—548.

¹⁴¹⁾ II. 403.

¹⁴²⁾ III. pag. 193.

¹⁴³⁾ III. 75.

¹⁴⁴⁾ Upominek dla synów, który wydał Kraszewski jako 5-ty t. Biblioteki Pamiętników i Podróży. Drezno. 1871. — Dawniej już wydrukował *Dziennik warszawski* ustęp o szkole kadetów. Obszerniejszy daleko fragment wydał był Kraszewski w 4-ym t. Ochockiego w r. 1857.

¹⁴⁵ Łukasiewicz, Historia szkół. T. II. 93. 94. Porównaj uwagi L. Siemieńskiego o szkole kadetów w bibl. Ossol. Lwów 1865 T. VII. pag. 1—19.

¹⁴⁶ Drezno 1871.

¹⁴⁷ Biblioteka Krasz. T. 4 pag. 3—19. Memyał ten drukował już dawniej *Grzymala* w Sybilli, a w r. 1863. Biblioteka Ossolińskich w T. II. pag. 297—317. cf. ibid. 298.

¹⁴⁸ Pamiętnika tego nie ma w „Bibliotece,” ale drukował wyciąg z niego Kraszewski w Kalendarzu Tow. Dobroczynności Warsz. 1863. Zob. także tom XVI Raczyńskiego, Obraz Polaków i Polski w 18 wieku. Poznań 1842 r.

¹⁴⁹ Biblioteka Ossolińskich. Lwów 1864 Tom V. pag. 270—302.

¹⁵⁰ Pamiętn. Drzewieckiego str. 345 cf. 427. 445.

¹⁵¹ Umowę tę mamy przy życiu Tad. Czackiego p. ks. Alojzego Osińskiego. Krak. 1851. p. 136, 137.

¹⁵² Zastanawia nas, że o przeniesieniu skarbów naukowych z Krzemieńca do Kijowa, gdzie w roku 1835 wzniesiono uniwersytet, nie ma u Drzewieckiego najmniejszej wzmianki.

¹⁵³ Zob. E. Iwanowski o Rudzkim w Athenaeum 1846. T. V. pag. 65—76.

¹⁵⁴ Zob. obronę przeciw tej opinii uwagi Ignacego Potockiego d. d. Puławy 3 Stycznia 1804. u Alojzego Osińskiego. Życie Tad. Cz. Krak. 1851. pag. 145—147.

¹⁵⁵ Zob. Drzew. Pamiętn. pag. 319—325.

¹⁵⁶ Pam. Drz. str. 311 cf. 457.

¹⁵⁷ Pamiętn. Drzew, pg. 545, 346, cf. 446.

¹⁵⁸ Pamiętn. 323.

¹⁵⁹ Tacitus. Agricola op. I.

WSPOMNIENIA.

Kartka z niedawnej przeszłości.

Wstęp.

Choćbym miał się narazić na miano dziennikarskiego *interviewera*, szukającego tylko okazji do skradzenia znakomitościom literackim kilku chwil drogiego czasu, aby mógł następnie ogłosić drukiem szczegóły pochwyconej przy tej sposobności rozmowy, przyznaję, że możność osobistego powitania Kraszewskiego, jaka mi się w miesiącu Wrześniu 1878 r. w Paryżu szczęśliwie nastręczyła, przejęła mnie prawdziwą radością.

Oprócz chęci wynurzenia zacnemu pisarzowi wyrazów uszanowania, wiedł mnie do Kraszewskiego i cel jasno określony.

W powołanej do życia z okazji pięćdziesięciolecia zasług Mistrza książce Jubileuszowej, winna była, z natury rzeczy, znaleźć miejsce karta, poświęcona historyi owej ważnej w dziejach naszej społeczności epoki—jaka uprzedziła wprowadzenie w czyn prawną i społeczną emancypacji żydów polskich i ważnej roli, jaką słowo Kraszewskiego w tym dziejowym odegrało momencie.

Jako wdzięczne dziecię tej właśnie epoki postanowiłem skorzystać ze sposobności i wypełnić tę jasną kartę dziejową szczegółami, odnoszącemi się do wyjaśnienia stanowiska pierwszorzędnego naszego powieściopisarza i publicysty w kwestyi, myślący ogół tak żywo obchodzącej.

Zamiarowi temu szczęśliwie przyszło w pomoc przypadkowe zetknięcie się z Mistrzem podczas Wystawy Powszechnej w nadsekwańskiej stolicy.

Zastałem Kraszewskiego w domu D-ra Gałęzowskiego, przy ulicy Clichy, gdzie przebywał nieco cierpiącym i osłabionym. W skutek nadmiernej pracy nad cyklem historycznych powieści, wymagających poważnych studyów nad kronikami i szperania po zbutwiałych szpargałach, cera twarzy Kraszewskiego pobladła a głowa pochyliła się ku ziemi... Z tém wszystkiém, w ruchliwych oczach pozostał blask nieprzyjemny, ożywiający się chwilami niezwyczajnym ogniem.

Patrzałem z cziłą prawdziwą na oblicze owego starca, na ramionach swoich dźwigającego pół wieku niepożytej pracy i zasług dla dobra i chwały kraju...

Bez przesady mówiąc, niebyło, a może i nie będzie człowieka, któryby w sferze twórczości literackiej tyle dobrego dla swęj społeczności zgotował, ile to uczynił Kraszewski przy małym sprzyjających ku temu warunkach...

Gdzieindziej dzieło fantazyi, powieść, ma przedewszystkiem na celu rozrywkę, przyjemne zabicie czasu, drażnienie nerwów czytelnika rozkosznymi lub wstrętnymi obrazami.

Kraszewski tę sferę twórczości podniósł do godności obywatelskiego czynu. Każda jego powieść przynosi społeczeństwu zdrowe ziarno nauki, obraz żywota narodowego z jego wadami i cnotami, zwierciadło, w którym żyjące pokolenie przejrzyć, wzoru do naśladowania lub przykładu przestrogi moralnej zaczerpnąć może.

Po krótkiej, przedwstępnej rozmowie o faktach bieżących przedstawiłem Kraszewskiemu cel główny, jaki mnie do niego sprowadził, przyczem prosiłem o wyjaśnienie mi niektórych szczegółów z przeszłości, niezbędnych dla wyświetlenia okoliczności, jakie towarzyszyły przybyciu Kraszewskiego około r. 1858 do Warszawy i objęciu przezeń redakcyi Gazety Codzienniej.

Z zakłopotaniem właściwem wrodzonej Kraszewskiemu skromności przyjął mistrz moje wynurzenia.

— Czytałem, rzekł, w prospekcie książki, którą tyle dla mnie łaskawi wydać zamierzacie, o udziale, jakiś przyjął w tej drogiej dla mnie ofercie. Wyjaśnień, szczegółów innych, nad te, jakie tak tobie, jako i całemu czytającemu ogółowi polskiemu aż nazbyt są znane, udzielić nie jestem w stanie. Wyniosłem z owego czasu wspomnienie najprzykrzejszych w życiu chwil, ale zarazem i to przeświadczenie, że to, com zrobił, zrobiłem wedle sił moich, w tém przekonaniu, że spełniam dzieło dobre, płodne w brzemienne dla kraju następstwa. Zachowałem z owego czasu księgę listów bezimiennych, w których mi zarzucano najniegodziwsze, najwstrętniejsze zamiary i cele. Przyszła jednak niezadługo chwila, że wszyscy ci, którym wystąpienie moje w obronie praw ludzkości, w obronie praw wszystkich mieszkańców ziemi naszej do jednakiego korzystania z dobrodziejstw oświaty, wydało się początkowo niezrozumiałem i zgubnem, stanęli po mojej stronie.

Cele moje i działalność są jasno i szczerze wyłuszczone na kartach Gazety, której podówczas byłem kierownikiem. Odczytaj sobie te karty — one będą najlepszym komentarzem moich usiłowań i zamiarów.

— Wybaczcie mi, wtrąciłem, że poruszę jeden jeszcze szczegół z owej epoki. Wystąpienie Wasze, w charakterze redaktora Gazety poprzedziło przykre zajście między postępowym żywiołem ludności mego wyznania a jednym z pism warszawskich, zajście, które szerokiemi odbiło się echem po całej ówczesnej publicystyce krajowej i wywołało pamiętne rozdrażnienie. Pominąć ów szczegół w pracy, której zadaniem ma być odzwierciedlenie ówczesnych stosunków w duchu bezstronnym i bezstronnym — niepodobna. Czy jednak przypomnienie tych przykrych zajęć i stosunków, dziś, na szczególne, zapomnianych, nie wyda się Wam dziwnym dyssonansem w obecnej chwili pojednania i zapomnienia oraz wzajemnych?

— Zajście, o którym mowa, odrzekł po chwilowym namyśle Kraszewski, należy do historyi. Zapisano się ono niestartem i zgłoska-

mi w rocznikach naszego umysłowego żywota i było koniecznem niejako następstwem nastroju opinii i stosunków krajowych. Szerokie i bezstronne traktowanie przedmiotu nie zadrażni nieczyich uczuć i nie obudzi niewłaściwych skrupułów... Walka i ścieranie się opinii są nieodzownym warunkiem życia. Tylko takim sposobem wyłania się prawda i postęp. Zajście, o którym mówimy, nie było objawem pojedynczym i wyjątkowym. Powtarzało się ono często i powtarza wszędzie, gdzie objawy życia szukają sobie dróg możliwych dla zaimplementowania się na zewnątrz. Co do mnie osobiście, nie uznaję żadnej niewłaściwości w przedmiotem traktowaniu tego, co weszło do dziejów naszego żywota, jako obraz usposobień danej chwili. To, co się stało, stać się musiało nieodzownie siłą naturalnego biegu wypadków. Nie liczę sobie bynajmniej za zasługę tego, że bez względu na osobiście doznane przykrości, stał silnie przy tém przeświadczeniu, że przedź czy później po mojej stronie znajdą tych, którzy w nieufności odwrócili się odemnie na chwilę. Oto wszystko, cokolwiek ze swój strony o tym przedmiocie nadmienić mogę. W tym nawet duchu wypowiedziałem był niedawno w *Ateneum* swój pogląd w pośmiertnem wspomnieniu o mężu, który dla kraju niepospolite położył zasługi i który miał dość odwagi cywilnej i obywatelskiej, aby stanąć w poprzek ogólnemu prądowi i swemu dziennikowi nadać kierunek taki, jaki i mojem zdaniem odpowiadał ówczesnym krajowi potrzebom...

* Na tém rozmowa moja z Kraszewskim skończyła się. Zanotowałem wiernie ważniejsze jej momenta, a dając ją dziś sposobem przedmowy do krótkiego szkicu wspomnień z ostatnich lat dziesiątków dziejów naszej umysłowości, sądzę, że nie popełniam niedyskrecyi, jeżeli słowami pierwszorzędnego ich czynnika zasłonię się przed możliwymi zarzutami, jakie, z powodu téj pracy ządkolwiekbydz spotkaćby mnie mogły...

Spokojne i bezstronne traktowanie przedmiotu, oto główny warunek, jaki sam sobie w niniejszej pracy założyłem. Nie sądzę również, aby poruszenie w niej kilku szczegółów, drażliwych może, ale z prawdą najzupełniej zgodnych, obudzić mogło czyjebydz skrupuły.

(Fragmenta z większej całości).

1.

Działo się to przed dwudziestu, mniej więcej laty. Komuż z żyjących dziś literatów

i artystów nie utkwiły w życzliwej pamięci chwile spędzane w owej epoce, w mieszkaniu T. przy ulicy Danielewiczowskiej, w domu, gdzie przez czas długi mieściła się Redakcja dawniej Gazety Codzienniej?

Skromne te, artystycznym bezładem nacechowane pokoiki na pierwszym piętrze były, rzec można, punktem zbornym, gdzie zgniaskowywało się podówczas życie duchowe intelligencji tutejszej.

Oryginalny bo widok przedstawiało to istne *kafarnaum* literackiej i artystycznej siedziby!

Wszystkie stoły, stoliki, kąty i szafy wypełnione były bezładnie książkami i nutami... Kto chciał przysiąść na krześle, musiał sobie najprzód torować drogę między stosami papierów i gazet różnojęzycznych, porozrzucanych po podłodze... Na ścianach wisiały obrazy olejne w ramach i bez ram, rozliczne studia głów, nosów, rąk i nóg — widocznie jako okazy talentów rwących się do życia i do kieszeni gospodarza... Gdzieśgdzie świeciły grupy fotograficzne ze znaczącymi podpisaniami, zakrętami i wierszami. Główne zaś miejsce zajmowało wielkie płótno Kostrzewskiego, przedstawiające żydowskich kamieniarzy, tłukących szaber na publicznym trakcie. W pokoju pierwszym od dziedzińca przy oknie z po za szerokiego biurka wypełnionego kupieckimi książkami i listami, stosami papieru czystego i zapisanego, masą książek o okładkach różnokolorowych z porozszarpywanymi dla pośpiechu kartkami, wyglądała postać gospodarza o fizygnomii Beethovena, z włosami bezładnie w tył zarzuconymi, bardzo mało, a częstokroć zupełnie nieubranego...

O każdej godzinie dnia, a nierzadko i nocy, spotykałeś w koło tego biurka gromady ludzi rozmaitych stanów i zawodów...

Artysta spieszył w to miejsce, aby się podzielić z gospodarzem melomanem wrażeniami świeżo odegranej opery, symfonii lub sonaty... Literat dyskutował o najnowszej powieści lub dramacie. Filozof spierał się o poglądy Kanta i Hegla. Specjalista rozwodził się nad znaczeniem świeżo wynalezionej systematu dyfuzyjnego w cukrowniach...

Od czasu do czasu przybywał z kantoru subiekt z listem, na który bezzwłocznie odpowiedzieć należało, lecz wiecznie roztargniony gospodarz zajęty pokonywaniem trudności jakiejś partytury fortepianowej, odpowiadał, przyspieszając, aby mu w tej chwili nie przeszkadzano...

Na tle tej barwniej processyi ludzi wszelkich powołań, zarysowywała się od czasu do czasu postać jakiegoś biedaka przybyłego po jałmużnę, kobiet żałobnie ubranych proszących o wsparcie, uczniów gimnazjalnych, za których zaczęły T. opłacać wpisy szkolne, lub jakiegoś siwego żyda, przybyłego z dobrą nowiną o postępach syna, kształcącego się kosztem zanego mecenasa sztuk w konserwatorium zagranicznym...

Młodzież szkolna znajdowała zawsze w zacnym T. opiekę i nie rzadko poparcie materialne. T. lubił otaczać się młodzieżą, prowadzić z nią dyskusje o naukowych przedmiotach, zachęcać do pracy i zajęć poważniejszych. Biblioteka jego, będąca zbiorem najnowszych dzieł naukowych i beletrystycznych, zawsze stała dla wszystkich otworem. T. lubił książki namiętnie, czytał wszystko, cokolwiek mu popadło pod rękę. Powieść, traktat filozoficzny, dzieło specjalne technologiczne, poezję, wszystko to było przedmiotem najwywszego zajęcia owego niepospolitego umysłu...

Obdarzony poetyczną duszą i darem pióra, T. próbował sił swoich w artykułach dziennikarskich i w przekładach arcydzieł literatury obcych. Przekład „Natana” Les-singa był owocem tych usiłowań, które, jedynie z braku chwil swobodnych dla prac samodzielniejszego pokroju nie wydawnęły się jakimś trwałszym pomyślnie.

II.

W owej to epoce zawiązało się było kółko młodzieży żydowskiej, w celu peryodycznego zbierania się i odczytywania bądź nowo pojawiających się utworów literackich i naukowych, bądź też własnych wypracowań z literatury, historii, nauk przyrodniczych, i dyskusowania nad niemi.

Kółko to zbierało się raz w tygodniu wieczorem, a po parogodzinnych ożywionych rozprawach nad czytaniem utworami, resztę wieczoru poświęcano muzyce zbiorowej. Z razu kółko to składało się z kilku członków, powoli jednak zaczęli przybywać nowi członkowie z rozmaitych sfer żydowskich nie tylko młodszego ale i starszego pokolenia.

Myśl, ożywiająca to zgromadzenie ludzi nierównego nawet stopnia wykształcenia, była szlachetną i obywatelską.

Oprócz celu rozrywki, powoli wylaniać się tam poczęła tendencja ogólniejsza, chęć skicrowania zbawionego wpływu i na te warstwy ludności, które pogrążone w zabo-

bonach średniowiecznych i ciemnocie umysłowej dostępu do światła cywilizacji nie miały.

Poruszono myśl oddziaływania na biedniejsze klasy żydów sposobem zachęty do kształcenia się zapomogą naukową a częstokroć i materyałą.

Członkowie kółka zobowiązali się czuwać nad szkołkami elementarnymi żydowskimi, przyjmować uczących się chłopców w swoich mieszkaniach, udzielać im lekcji czytania i pisania po polsku, dostarczać im książek do nauki, słowem, propagować, ile można, światło i wykorzeniać zabobony.

Starsze pokolenie z nieufnością spoglądało zrazu na te usiłowania zbawienne; powoli jednak i ono wciągnięciem zostało do szeregu agitatorów.

Wśród tego grona byli ludzie rozmaitych zajęć i powołań. Student akademii, spoglądający z góry na młodzież gimnazjalną, tracił w owym zebraniu charakter wyższości. Stawał się on bratem swego młodszego kolegi w mundurku. Przed kilkunastu laty owę uczącą się w ogólnych zakładach młodzieży było bardzo mało. Zaledwie kilku kształciło się w akademii medycznej, kilkunastu w gimnazyach. Była to niejako arystokracja umysłowa w pośród „kółka“, większość którego składała się z ludzi ze sfery kupieckiej, mało bardzo lub też powierzchownie wykształconej.

Lecz i między tą kategorią znajdowali się ludzie ze zdolnościami wyższymi, ożywieni gorącą chęcią służenia ogólnemu dobru.

Nie obyło się tu też i bez exemplarzy oryginalnych, zrozumiałych którymś zdawało, że umieją coś, a którzy w gruncie rzeczy nie albo bardzo mało umieli. Pamiętam jednego z tej kategorii. Ciekawa to istotnie była figurka. Specyjalnem zajęciem owego człowieka było korespondowanie z redaktorami gazet miejscowych. Przybrawszy jakiś pseudonim angielski, młodzieniec ów uważał się za szczęśliwego i rósł w ambicji pod niebiosą, gdy znajdował w rubryce „skrzynki do listów“ odpowiedź do siebie wystosowaną, a zamkniętą w słowach: „nie kwalifikuje się do druku“. Z tajemniczą wówczas miną, ukazując po kątach ową odpowiedź, tłumaczył się, iż napisał rzecz nie cenzuralną i z tego tylko powodu redakcyja pracy jego zamieścić nie mogła...

Ta szczególna mania pocziwego chłopca zarzucania redakcyi swemi pismami była wynikiem chęci odznaczenia się, chęci, która, dobrze skierowana, prowadzi do zasług rzeczywistych, użyta zaś na podrzędne cele, na śmieszność naraża...

Kiedy już kółko, o jakim mowa, uorganizowało się na trwałych podstawach i, ułożywszy dla siebie statuta, zapragnęło działalność swoją rozszerzyć przez wciągnięcie do grona swego osób poważniejszych wiekiem i stanowiskiem, powzięto myśl uproszenia zacnego kaznodziei Dra J., aby przyjął na siebie protektorat moralny nad kółkiem i powagą swego imienia nadał zgromadzeniu temu charakter instytucyi naukowej i kształcącej.

Drugą osobistością uproszoną do współudziału w zebraniach był Henryk T.

Z całą serdecznością przyjął on zaproszenie a dla okazania młodzieży, o ile ceni okazane mu zaufanie, ofiarował jej lokal swój na miejsce peryodycznych zebrań.

Od tej chwili każdej środy wieczorem znane pokoiki przy ulicy Danielewiczowskiej wzięły życiem i ruchliwością niezwykłą.

Program wieczorków był bardzo rozmaity. Po przedwstępnej pogawędce o faktach bieżących i o nowinach dnia, zazwyczaj jeden z członków zasiadał przy stole z rękopismem obejmującym jakiś przedmiot z historii lub literatury, odczytywał go zgromadzonemu, poczem następowała dyskusya, w której prelegent uzasadniał ustnie wypowiedziane przez siebie przed chwilą poglądy.

Rozprawy bywały ożywione. Ostatnie słowo należało do przewodniczącego w zebraniu, którym zazwyczaj obierano gospodarza T., najczęściej jednak dra J.

Herbata i muzyka zbiorowa kończyły posiedzenie.

Na jednym z takich wieczornych zebrań odczytaną była rozprawa o stanowisku pisarzy polskich w kwestyi żydowskiej i o charakterach postaci żydów w powieściach najwybitniejszych przedstawicieli tej gałęzi literatury.

Treścią rozprawy było wykazanie, że postacie żydów w powieściach polskich były przeważnie ujemne, że powieściopisarze nasi z małym bardzo wyjątkiem, nie znając zupełnie społeczeństwa żydowskiego, ilekroć wprowadzali na widownię działania, postacie żydów, to niejako z zamiarem dogodzenia uprzedzeniom i niewybrednemu smakowi czytelników, przedstawiających sobie żydów pod postacią wstrętnych fanatyków lub też szwargocących żargonem lichwiarzy...

Odbiciem owego poglądu przewodzców umysłowego życia w narodzie było panu-

jące podówczas w społeczeństwie naszym uprzedzenie do jednej ze składowych jego części.

Powieść, jako najdostępniejsza katedra, z której przewodnicy narodu przemawiają do tysięcy serc i umysłów, zaszczerpiając w nich zdrowe ziarno lub chwasty, tém wybitniejsze w literaturze polskiej zajęła stanowisko i tém skuteczniej oddziaływać mogła na czytające masy, ile że to była jedyna przez czas długi forma przejawiania się ducha narodowego na zewnątrz. Otóż ta właśnie powieść — mówiono — zamiast korzystając ze swego podniosłego znaczenia niweczyć zakorzenione w narodzie przeciw żydom przesady, podwoić ich dodatnie strony, budzić takim sposobem i w żydach i w otaczającym ich społeczeństwie wzajemne ku sobie życzliwe uczucia, zajmowała zawsze nieprzyjazne względem żydów stanowisko. Ośmiewając ich, pomijając i upokarzając w najdroższych dla nich uczuciach, przedstawiała ich zawsze, jako szkodliwą dla społeczeństwa narośl, a w takt jednorzędny z takimi poglądami szła i cała peryodyczna prasa...

— Uwagi te są dość zasadnemi — odezwał się wśród dyskusji ze zwykłą powagą Dr. J. — Nie podobna jednak zaprzeczyć, że w owym tak niesympatycznym traktowaniu słowem i piórem postaci żydów i całej ich społeczności, sami żydzi część winy na siebie przyjąć muszą. Jakże chcecie, aby pisarze polscy mało znający żydów, znający ich o tyle tylko, o ile im bezpośrednie i to, przyznać trzeba, niezbyt pociągające otoczenie nasunąć mogło pola do obserwacji, mieli o żydach dobre wyobrażenie, kiedy żydzi sami, a przynajmniej oświecisz ich warstwa, tak mało zna uboższych w duchu swych współwyznawców, tak mało się przykładali do poznania własnej przeszłości, teraźniejszości i pragnień na przyszłość. Szczęśliwi, że się pod wpływem przypadkowych okoliczności, do których ręki nawet nie przyłożyliście, wydostali na brzeg i zaznali dobrodziejstw powierzchownej cywilizacji, całą swą dumę i wartość zakładacie w rzuceniu ze siebie odpowiedzialności solidarną za ciemnotę, zabobony i absenteizm młodszej swój braci po wierze... Miarą zasługi i wartości w oczach waszych, jest, ile można, największe oddalenie się od współwyznawców, rzucenie ich na pastwę losu... Nie zakładacie szkół, nie kształcicie przewodników oświaty, nieznacie waszej przeszłości, waszych obyczajów, obrządków, historii plemienia własnego. Wśród gminy waszej, najliczniejszej

w kraju, nie zakiełkowała nawet myśl założenia pisma specjalnego w celu oddziaływania na żydów i na zmniejszenie uprzedzeń przeciwko nim w otaczającym nas społeczeństwie. I cóż dziwnego, jeżeli intelligeneya krajowa, nie widząc w pośród was ludzi z odwagą własnych przekonań, sądzi o was z tych pozorów, jakie jój sami następcze, i że od czasu do czasu czytacie w pismach nblizające dla was elukubracje. Jeżeli pod tym względem ma u nas nastąpić zmiana ku lepszemu, trzeba koniecznie z odwagą, jaka cechuje umysły prawdziwie wyższe i istotnie czujące serca, zabrać się do wielkiego dzieła odrodzenia żydów polskich i uczynienia z nich obywateli kraju w istocie tego wyrazu znaczeniu. Reforma ta musi zapoczątkować w nas samych, a przyjdzie czas, gdy dzisiejsze uprzedzenia znikną, gdy zapory, tamujące nam drogę do samodzielnego rozwoju, upadną, a radykalna prawodawcza zmiana stosunków położy kres dolegliwościom, jakie nas dziś krepują. W usposobieniu obecnem, jakkolwiek wiele dla żydów nieprzyjzajem, widzę objawy pomyślne. Dawniej gardzono i pomatano nami. Dziś nas nienawidzą serdecznie. Łatwiej od uczucia nienawiści przejść do sympatyczniejszego usposobienia, aniżeli od pogardy, która w przeciwniku nie uznaje tej nawet wartości, aby się nań gniewać można było...

IV.

Epoka, w której Dr. J. temi mniej więcej do otaczającej go młodzieży przemawiał wyrazami, była w dziejach żydów polskich epoką przełomu, czémś nieokreśloném, które, dla jednych zdawało się być zapowiedzią jasności i postępu, dla innych było zwiastunem ciemnoty i zaoferania.

Podczas, gdy jeden z pierwszych ekonomistów polskich, w dziwném jakimś zбочeniu pojęć, cechującym niekiedy i niezwykle umysły, zaprzeczał żydom tytuł do korzystania z praw obywatelskich, motywując to zdaniem tém, że mu się nie zdarzyło słyszeć żydów rozmawiających ze sobą po polsku, — w eichym artystycznym zakątku Warszawy, grono młodzieży o wschodnich rysach i o germańsko nkutych nazwiskach, rozprawiało ze sobą w przytomności swego religijnego przewodnika językiem czystym i potoczystym o powieściach koryfenszów sarmackiego plemienia...

A po za temi murami, jakby w dziwném przeciwieństwie z tém, co się w obrębie

tych murów mówiło i działało, szalała burza wyuzdanych namiętności i niechęci plemiennych, przelewały się potoki atramentu w sprawie towarzyskiego równouprawnienia żydów.

Epoka ta należy już do historii, a jako taka beznamiętnie traktowana być winna.

Ludzie, którzy w niej byli działaczami w obu przeciwnych obozach, podali sobie następnie serdeczną dłoń pojednania, zapomnieli dawnych uraz i bez nienawiści wspominają o tém, co zaszkodziło, i co w koniecznym następstwie rzeczy gwoździ tryumfowi zasad słuszności wyniknąć musiało.

Pierwsze przebłyski pojęć postępowych między żydami polskimi — fakt to historycznie wytłumaczyć się dający — przeszli do nich nie z bezpośrednio otaczającego ich społeczeństwa, lecz z Niemiec. Odrącenie od stosunków z tém bezpośredniem otoczeniem, mając dla siebie wrota do szkół ogólnych zaparte, żydzi Polacy w początkach bieżącego stulecia z konieczności zmuszeni byli zwrócić się do źródła, z kąd im płynęła zapowiedź duchowego odrodzenia się i wyzwolenia z krepujących ich rozwój umysłowy pęt zabobonów.

Wpływ szkoły Mendelsohna, wytworzył między żydami polskimi popęd do poznamienia się z koryfeuszami literatury niemieckiej, z kąd do nich słowami Natana mędrca płynęła zapowiedź lepszej doli i humanitarnego na ich religijne wyznaczenie poglądu.

Mówić płynnie po niemiecku, upajać się czarem poezji Szyllera, było dla żydów polskich w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia szczytem marzeń i probierzem cywilizacyjnych dążeń.

Eisenbaum, późniejszy żarliwy krzewiciel polskości między żydowską młodzieżą, wydaje pismo peryodyczne niemieckie dla żydów. W domu i szkole przeważa język niemiecki. Bogatsze rodziny żydowskie wysyłają dźwiatwę do szkół niemieckich za granicę. W rodzinach uboższych panuje żargon zepsuty, a w braku szkół elementarnych, w braku zachęty do kształcenia się, nieliczne jedynie jednostki wybijają się o własnych siłach z otaczającej je ciemnoty, szukając pokarmu duchowego i wzoru do naśladowania w pięknym wysłowieniu aktorów scenicznych.

Teatr narodowy był, rzecz można, dla żydów polskich pierwszym bodźcem do poznania skarbów języka.

Zachwycało się tyradami Piaseckich, Węrowskich i Kudliczów, uczono się na pamięć górnolotnych frazesów prof. Osńskiego.

Za pierwszymi pobłyskami reformy języka szła w ślad reforma w ubiorach, w zewnętrzny polorze domowego życia.

Widok młodszych pokolenia z pojęciami nowszymi, obok zacofanych i zapleśniałych w obskurantyzmie starców dawnego autamentu stawał się coraz częstszym.

Starcy z niedowierzaniem potrząsali głowami, patrząc na powolne wyzwalanie się młodszych pokolenia z ich wszechwładztwa obyczajowego. Młodzi z zapalem rwali się ku nowemu życiu.

I oto po upływie paru lat dziesiątków, z owęj nielicznej garstki epigonów wytworzył się był w latach między 1830 a 1850 liczny zastęp rodzin żydowskich o europejskich obyczajach i powierzchowności, o nowych postępowych pojęciach, ludzie, którzy, nie zrywając w zupełności z tradycją ojców, kroczyli śmiało naprzód, domowe życie swoje urabiając na wzór otaczającego ich społeczeństwa.

Lecz, jak w każdej epoce przejściowej, owa zmiana nie mogła się odbyć bez naruszenia równowagi towarzyskiej i obudzenia nieokreślonych niechęci w otaczających kołach; nie więc dziwnego, że owe pierwsze przebłyski reformy obyczajów zamiast współczucia, napotkały chłodne przyjęcie a co gorzej, niechęć jawną ze strony ogółu.

V.

W początkach roku 1859 zawitała była do murów Warszawy sympatyczna para słowiańskich wirtuozek. Występy tej pary nie cieszyły się z razu wielkiem powodzeniem. Publiczność, znużona częstymi w owych czasach koncertami, nie okazała artystom, jakby należało, gorącego współudziału.

Uważając to chłodne przyjęcie, jako wynik obojętności pewnej warstwy społeczeństwa dla talentów plemiennych, jedno z najpożyteczniejszych w owych czasach pism warszawskich, ciesząc się wpływem i uznaniem w szerokich kołach obywatelstwa krajowego, wzięło ów fakt za assumpt do namiętnego wystąpienia przeciwko żydom: „owemu tajemniczemu związkowi, który nasiadł na całą Europę i trzymając się ściśle, popycha każdego ze swoich czy to on bankierem, czy tenorem, czy spekulantem, czy skrzypkiem“.

W końcu owego artykułu przytoczono anegdotę o pewnym Angliku, który, zgłoszwszy się do Amsterdamskiego bankiera Erlinghuyzena, zakupił był po wysokim

cenie akcyje kanału Szeńskiego a zdziwionemu takiem kupnem bankierowi wyjaśnił, że znalazł w biblji przepowiednię, że między morze Szeń będzie przekopane kanałem i tym kanałem żydzi wrócą do Egiptu.

Anegdotę tę gazeta, powtórzywszy z niedowierzaniem, uczyniła od siebie uwagę: „że żaden potomek tych, co wyszli z Egiptu, nie zechce wrócić do krainy, którą przed 3000 lat tak niechętnie opuszczali, za naszych miejscowych przynajmniej ręczyć można“.

Artykuł ten, jak na kwestyę poważną zbyt powierzchowny, a jako dowcip zbyt uszczypliwy, był iskrą zapalną, rzuconą w nagromadzone od dawna materyały wybuchowe.

Obudzone w partyi postępowej żydów polskich poczucie godności własnej odezwało się tym razem obcesową protestacyą podpisaną przez kilkunastu obywateli: kupców, artystów, agronomów i przemysłowców warszawskich.

Sprawa zaogniła się i przybrała rozmiary nieprzewidziane.

Z jednej strony dziennikarstwo pozamiejscowe, z drugiej sądy krajowe pojęły doniosłość owego wystąpienia w znaczeniu ogólniejszem i namiętną owę polemikę gazetarską przeniosły na grunt społeczny, jako motyw do rozwinięcia poglądów swoich na kwestyę żydowską w Polsce.

Petersburskie „Słowo“, do którego się był zwrócił obrażony wystąpieniem żydów redaktor, uznało, że całe powyższe zajście „porusza ogromnej wagi pytania, do rozstrzygnięcia których potrzeba całej powagi nauki, całej potęgi rozumu, zbrojnych w daty, cyfry i fakta. Odrzuciwszy wszelką stroniłość, wszelki fanatyzm, pozbywszy się wszelkich myśli nietolerancyjnych i uprzedzeń średniowiecznych, w imię prawdy, trzeba zmierzyć to na nowo do życia zbiorowego rozbudzone i silnie wzrastające plemię, które, poczuwszy się na siłach, rwie się do pewnych dążeń i wpływów.“

Jako środek do urzeczywistnienia tego zamiaru uznało „Słowo“ rozbiór kwestyi z poważnej jej strony, ze strony bezwarunkowo ludzkiej, odpychającej to, co jest ujemnem a szukającej równie, jak wszędzie, tak i tu, pierwiastków dodatnich, któreby przy pochodni światła naszego wieku na dobro ogółu spożytkować się dały.

Opinia taka, wypowiedziana przez jeden z najpoważniejszych w owym czasie organów prasy polskiej, była echem dobrze myślącej większości obywateli, która rozwiąza-

nia kwestyi żydowskiej szukać pragnęła na drodze oświaty jak najszerzej między niższymi warstwami tej ludności przeprowadzonej a nie na polu szermierki piórów, przemijającej i nietrwałej, jak wiadomość bieżąca, lub feljeton zdobiący szpalty pism dziennych.

Ogólnikowa odpowiedź nieżyjącego już, lecz szczerze ważnością poruszonej kwestyi przejętego B. Hertzfelda, który, poważny rozbiór téjże kwestyi pozostawił „ludziom światłym, zajmującym się bezstronnie, w imię sprawiedliwości i praw ludzkości dobrem kraju“ podniesionego pytania nie rozwiązała.

Dzienniki zamiejscowe polskie, z godnością i bezstronnością wdawszy się w tę sprawę, przeczuły cały ogrom zagadnień, jaki nią został dotknięty.

„Wzrost, spójność i działanie plemienia izraelskiego — były to słowa *Wiadomości* z 9 kwietnia 1859 r., jego wpływ na handel, przemysł i cały stan ekonomiczny kraju, użyteczność i szkodliwość tego wpływu, wszystko to są przedmioty wymagające głębokiej i wolnej od wszelkiej namiętności rozwagi. Rozstrzygać je w myśli podniesienia, ile możliwości strony dodatniej, a naprawy ujemnej, jest zawsze pięknem powołaniem i obywatelskim obowiązkiem dziennikarstwa. Z błahych powodów w męcie żółciowych wzburzeń zawiązaną zwadę osobistą przenosić na grunt wielkich interesów krajowych, stawiać ją w świetle zatruwających przestróg i upomnień, nie jest to otwierać oczy narodowi, tylko zwracać je w stronę, gdzie rozciąga się nieskończona perspektywa walki, nie obiecującej ani zwycięstwa ani pojednania.“

Inne pisma, objawiające swoje zdanie o zajętrzeniu kwestyi żydowskiej w Polsce, przypisały promotorem jej brak rozumu politycznego w stawianiu kwestyi zawilych, w takim kierunku, który nie zmierza do żadnego, ani dobrego ani złego rozwiązania, tylko do utrwalenia i pogorszenia trudności. Gdy ze wszystkich, jakie się następczają, przypuszczeń i przywidzeń, najprostszem i najodpowiedniejszem zdaniem tychże pism, rozwiązaniem winno być stopniowe wsiąknienie plemienia żydowskiego w masę narodu, nie można się zgodzić z opinią tych, którzy odpychają garnących się do materyalnego i moralnego zlania się w jedność narodową.

„Przez cały ciąg dziejów — pisały *Wiadomości* — przechodził jeden prąd wielki. A był to ten duch, co nam dał prawo szczyścić się wspomnieniami, duch ofiarny miłości chrześcijańskiej. To tylko nasze, co on spoił

i co jego mocą się utrzymuje. Włóścianie i żydzi pozostali, jako wierzycciele niespłaceni, jako kłopot odłożony na później, z którym załatwić się ciężko. Ze wszystkich zadań, jakie rozwiązać musimy, kwestya żydowska jest najtrudniejszą. Pod spłotem dosyć już zagmatwanych względów ekonomicznych i politycznych, leży w niej wielka zagadka, której słowa — rozum jeszcze wynaleźć nie potrafił. W takim stanie źle jest otwierać rejestra dawniejszych krzywd i zażaleń, niesprawiedliwie w cechach rodowych nawet, godnych szacunku i naśladowania, upatrywać tylko powody niechęci i wstrętu do całego plemienia i niezgodnie z duchem chrześcijańskim stać twardo i dumnie, rachować nieufnie kroki zbliżenia się i czekać w postawie odporniej. Są w tej mierze warunki i pewne prawa domagania się znaków i dowodów intencji przyjaznych, których rzec się nie można i nie należy, ale właśnie ta godność, o jakiej utrzymanie nam idzie, ta wyższość stauowiska, jakie zajmujemy, wkłada na nas i pewne delikatne obowiązki. Warszawa szczególnież wystawiona jest na próbę tego taktu subtelnego. Utworzyła się w niej klasa Izraelitów z kultury, majątku, sposobu życia należących do towarzystwa wykształconego, nie dziw, że pragnęliby oni mieć w niem zupełny udział, kosztować wszystkich jego korzyści. Przez to samo, że przyjęli polski język, zasmakowali w polskiej literaturze, nawykli do polskich obyczajów, są już bliżej połączeni z krajem. Tymczasem ogólne ich położenie zawsze jest nieswobodne i ztąd drażliwe, jako ludzi nowych. Tu mianowicie trzeba delikatnego taktu, wzniosłego poglądu, czystego pojęcia godności narodowej, żeby, poskramiając niesłuszne lub zbytne pretensye, nie deptać razem kielkujących uczuć życzliwych i szczerých.“

VI.

Sądy krajowe, przed forum których sprawa powyższa za skargą redaktora wytoczoną została, odmienne względem stron w nią zawikłanych, jak również względem ważności poruszonych w niej kwestyi, zajęły stanowisko.

Sprowadziwszy całą sprawę do rozmiarów prostego skandalu i burdy, a wystąpienie intelligencji żydowskiej, uważając jako objaw rozzuchwalonej swym pieniężnym wpływem *kasty*, postanowiły one surową dać naukę agitatorom.

Nie obyło się jednak i przy tej sposobności bez omówień treści ogólniejszej.

„Starają się podsadni przedstawić — były to wnioski urzędu publicznego Jej instancyi — jakoby żydzi w kraju naszym nie dosyć uwzględniani byli przez władzę i od współmieszkańców nie odbierali poszanowania, na jakie, ich zdaniem, zasługują. Rozbierać tego nie będę, czy to jest zgodnem z rzeczywistością, lecz pobieżny pogląd na nadzwyczajnie wzrastającą ludność izraelską w kraju naszym, ich codziennie powiększającą się przy lekkiej pracy za możność, dostatecznieby dowiodły, że żydom w kraju tym źle nie jest.“

Rozjemcze w tej przykrój sprawie stanowisko zajął sędziwy historyk Lelewel w liście otwartym do Ludwika Merzbacha wyśtosowanym. Proszony o określenie historii żydów w Polsce wymówił się Lelewel od tego złeczenia brakiem odpowiednich materiałów.

„Od młodych lat — pisał sędziwy historyk — dopilnowyując korekty dzieła Czackiego o Żydach w Polsce, którą mi powierzył, potem własną rozważą, własnem rozpatrywaniem losów, jakie się w kolei wieków roztaczały, uczyłem się szacować i oceniać zalety i zasługi plemienia izraelskiego, jego wady i krewkości naturze ludzkiej nieodzowne. Nie brakło mi zdarzeń, ni dzieł do rozważy, rzecz objaśniających, ni pociągów do wglądania w szczegóły, jakie dla mnie powab miały; ale to nie wiodło do wypracowania czego w przedmiocie, w którym odznaczyło się bez liku pisarzy biegłych, naukowo należycie uzdolnionych. A mnie po zbyt ubiegłych latach, na zdolniejszych, młodszą obdarzonych żywotnością oglądać się należy.“

Przechodząc do wyjaśnienia kwestyi żydowskiej, która pod owe czasy tak gorąco zajmowała poruszone sprawą Gazety umysły, zwraca Lelewel uwagę na brak źródeł do poznania bytu dziejowego i domowego żydów polskich posługujących. „Czemu — pyta — w Niemczech żydzi sami o swęj przeszłości i obecności piszą? Czemu tém nie zajmują się nasi w polskim języku? W Litwie żydzi piszą i drukują wiele, a w tém ani krzty mowy polskiej, a jednak umieją gładko, poprawnie i powabnie tą narodową pisać mowę. Czemu nie przełożą z hebrajskiego na polski mnogich powieści oryentalnych, dzieł historycznych, jakie mają? Niebrakłoby i seyntyficznych wiadomości w medycynie, matematyce, kwestyi ekonomicznej, handlu, socyalnej a mianowicie filozoficznych i moralnych. Wiele postrzeżeń i wyobrażeń dziś jakby uwych, należałoby miewatpliwie orzeczenie swe nie-

dopiero. Czemu nie przełożyć na polski poezji, śpiewów, modlitew podnoszących chwałę bożą, z których nie jedna stanęłaby obok psalmów Dawida“?

Zajście z Gazetą surowo ocenia Lelewel, nazwawszy wystąpienie intelligencji żydowskiej — sowizrralstwem, a postępek redaktora niewłaściwym.

„Kiedy sąd — pisze nasz Nestor historyków — na 800 lat bytu spogląda, na prawa i przywileje powołuje, powinienby wiedzieć, że Żydzi, z ziem, jakie posiadali, z czasem wyrzuci, do usług publicznych, jakie pełnili, przystęp stracili. Że się to stało, jak niegdy w rzymskim państwie: odsunięci od urzędów, od wojska i od wszelkich spraw publicznych poczęli być jedynie handlarzami pieniędzy lub towarów i rzemieślnikami. Zawadza to sądowi, że żydzi 800 lat płodami ziemi polskiej żyją. Żyją płodami powszechnego rodu ludzkiego karmicielki, żyli płodami, jakie nabywali zagrosz własnego zarobku”. „Sąd — czytamy dalej — dostrzega tylko indywidua i twierdzi, iż plemię żydowskie nie daje cienia przychylności dla kraju, ni żądzy zlania się z krajowcami, uparte w zastarzanych zasadach odrzuca wszelki postęp cywilizacji zachodu, a niepodobna podzielić zdania, żeby co było w ludności polskiej, coby stało na zawadzie. Przybyszami są — mówi sąd — a od lat 800 pobyt ich nie czyni krajowcami. Przybyszami są od arki Noego Mazury czy Polacy, przybysze szlachta, lachy z Saxonii, Kaukazu czy Szwecyi, przybysze mnogie ludności miejskie. A tymczasem powtarzam dzieciom Izraela: dajcie się poznać mowie polskiej, jak jesteście w sobie. Wstydem się zaplona najrozsądniejsi. Umilkną. Otworzy się księga obywatelska. Siła wieku, światło wieku przełamia zawziętość i przesady“.

VII.

Walka powyższa o zasady i przekonania pomimo rozgłosu, jakiego w szerokich nabrała kołach, była, śmiało określić można, zakulisową. Warunki ówczesne niedopuszczały na światło dzienne odgłosów, stanowiących olbrzymi odłam zagadnień, jakie się tulały po umysłach bez możności wypowiedzenia o nich opinii. Nieprzywykłe do traktowania w sposób jawny i wszechstronny kwestyi ogólnych, społeczeństwo widziało w owęj walce piórowej egoistyczną zachciankę i rwanie się do przewagi i wpływu.

Słabe odgłosy pojednawcze, jakie się tu i owdzie przedzierały na widownią, nie

mogły przeniknąć do wszystkich warstw społeczności, usposobić je życzliwszemu dla stojących na uboczu klas ludności uczuciem.

W braku organu prassy, któryby z niezależnością zdania, wsparty na głęboko odczutych potrzebach społeczeństwa, przemówił do serca i umysłów słowem sympatii i pojednania, szukano dróg ubocznych, polemizowano pokątnie odezwy i satyryczną bronią.

Odezwy te kopiowane w setkach egzemplarzy nie mogły zastąpić jawnej i otwartej wymiany zdań w kwestyi tak dla kraju ważnej. Stanowiły więc dla nielicznego jedynie koła ludzi prawdziwie oświeconych materiał do baczniejszej rozważki, bez możności atoli oddziaływania na zapleśniałe uprzedzenia ogółu.

Nic dziwnego tedy, że, gdy przyszła na stół tak długo milczeniem pokrywana a teraz wypadkowemi okolicznościami rozbudzona do życia, tak zwana kwestya żydowska, większość organów prassy krajowej trzymała się na uboczu, niechcąc mieszać się do spornu w imię tej właśnie kwestyi wywołanego.

Znalazł się jednak wśród koła intelligencji krajowej mąż, który odczuwając potrzeby ogółu i obowiązki wyższe dla kraju, postanowił śmiałą dłonią wystąpić do walki z obalamuconą opinią ogółu, założeniem pisma niezależnego, śmiałego, kierowanego zasadami powszechnego dobra.

Mężem tym był Kronenberg.

Świeża mogiła nad zwłokami tego prawego obywatela usypana, nie dozwala odstępować przed oczyma współczesnych tych zasług, jakie Kronenberg położył dla kraju, obudziwszy w nim usypione na polu ekonomicznej pracy do działania siły.

Poważne głosy dziennikarstwa, jakie się w tej mierze nad grobem Kronenberga odezwaly, nie mogły uchylić całkowitej zasłony jego cichych a niemniej brzemiennych w następstwa działań w owęj epoce.

Fundacya gazety odmienną kierunkiem i zasadami od pozostałych, była tylko jednym ogniwem w szeregu prac zasłużonego obywatela, a oddanie tej gazety w ręce niestrudzonego, wpływowego pisarza Kraszewskiego, świadczyło o bystrości i przenikliwości Kronenberga w wyborze czynników do skutecznego oddziaływania na opinią kraju. „Kronenberga myślą, pisał Kraszewski, było przejednać wszystkich i połączyć do wspólnej pracy około dobra ogólnego. Leżały pola odłogiem, ludzie, jeżeli się tak godzi wyrazić, do góry brzu-

chem, toneliśmy w marzeniach nie mogących się ziścić, gdy tymczasem żyźna rola pustoszala a przedłużone owo próżnowanie ekstazy, groziło niechybną ruiną.“

„Szanując to, co w przeszłości poszanowania było godnym, nie dopuszczając żadnego gwałtownego radykalizmu, Kronenberg chciał wytrzczenia się narodu i zaprzęgnięcia go do pracy.“

„To był jedyny cel pisma jego.“

„W wielu razach myśl tę objawił nam jasno i dobitnie, domagając się nadania gazecie kierunku praktycznego, obudzającego do trudu na wszystkich otwartych nam drogach.“

„Chciał budzić siły nspione wszędzie, gdziekolwiek były, oświecać lud, moralizować izraelitów i wyrwać ich z fanatycznej odrębności, szlachtę wprowadzić do pożytecznej zabiegliwości i pracy, zmuszając także do opuszczenia wyłącznego, odosobnionego, jej samej szkodliwego zastania.“

VIII.

Wystąpienie Kraszewskiego na widownię dziennikarskiej działalności było wypadkiem pierwszorzędnej dla kraju wagi.

W czasach stagnacji umysłów i braku wszelkiej inicjatywy na polu towarzyskiego i społecznego życia, pojawienie się męża o tak olbrzymim rozgłosie i wpływie, męża, który potęgą swego słowa i talentu umiał budzić poszanowanie nawet w kołach najobojętniejszych, przedewszystkiem wszakże zapowiedź nowego kierunku, jakiego miała się trzymać redakcja *Gazety*—wszystko to były fakta tak wychodzące z zakresu powszedniości, że przez czas długi stanowiły one przedmiot gorących dyskusji i sporów w kołach inteligencji krajowej.

Jak to zazwyczaj się dzieje, pierwszą odpowiedzią na te fakta były domysły w sensie nieprzychylnym wystąpieniu Kraszewskiego.

Posunięto się nawet do tego stopnia nieaktu, że zarzucono autorowi „*Ostapa Bondarczuka*“ zaprzęgnięcie niezależności zdania posługom poziomu waloru.

Bezmienne nadsyłane massami do nowój redakcyi, były wyrazem owych pokutnych knowań sił nieczystych w walce z obywatelskimi dążnościami zacnego pisarza.

Głównym atoli powodem niezadowolenia była zapowiedź redaktora—iż w szeregu kwestyi społecznych, jakie poddaniami być miały w przeszłości analizie zdrowego rozsądku, będzie i owa wstrętua i niesympatyczna dla ogółu kwestya żydowska.

„Jako, szemrauo, miałaby świecznik umysłowości narodu, niezrównany malarz przeszłości, zapomnieć do tego stopnia o swém wzniosłym powołaniu i stać się naraz wbrew prądowi ogólnej opinii obrońcą żydów?“

Kraszewski z pogodnym czołom. i ze stoicyzmem, wrodzonym duszom prawdziwie szlachetnym, milczeniem zrazu odpowiadał na te pierwsze szamotania się bezzilnej niechęci.

Gdy jednak miara zarzutów przebrała się, z odkrytą przyłbicą stanął do walki pisarz i człowiek, w najdroższych swych uczuciach i przekonaniach dotknięty.

„*Dziennik*—pisał Kraszewski—nie może iść za słabostkami i upodobaniami chwilowemi, ani pooblebiać namiętnościom, ale spełniać poważnie i surowo swe posłannictwo stróża i przewodnika, doradcy i tłumacza... Tego dokazać nie potrafi, jeśli nie stanie sercem i umysłem na stanowisku ogółu i nie wzniesie w sobie gorącego współczucia do rzeczy wielkich i świętych.“

W odpowiedzi na zarzut żydofilstwa, nieczem nieusprawiedliwiony, uznał Kraszewski za właściwe przypomnieć dotychczasowe swe działania, powołać się na przeszłość swoją, tę przeszłość, która w oczach każdego nieuprzedzonego była tak jasną i czystą, jak pobudki, które pisarza z cichego zakątka pracy poświęconej literaturze, powołały na szeroki gościniec publicznego działania.

„Przywiązanie do świętej wiary naszej, były słowa Kraszewskiego, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy, mającej przyszłość zgotować—oto zasady zawsze stałe i jedne, któreśmy dwudziestokilkuletnią pracą wyznawali. Z niemi przychodzimy do tego nowego dla nas i trudnego zadania, nietając przed sobą ani niebezpieczeństw, na jakie się narażamy, ani wielkości przedsięwzięcia. Powoli a stale—oto godło nasze. Niezrażając się ani chwilową walką, ani nieuznaniem, ani nawet potwarzą i składając na ołtarzu dobra powszechnego drobne osobiste boleści, walczyć będziemy za prawdę przeciwko fałszowi, bogdajby z nieprzyjaciółmi osobistymi dla prawdy, bogdaj przeciwko najbliższemu—dla niej...“

IX.

Zadanie przez Kraszewskiego podjęte, miało na widoku nie jedną pojedynczą gałąź interesów społecznych, ale kraj cały, jego potrzeby duchowe i ekonomiczne

z dobrem społeczeństwa nierozdzielnie związane.

Kto porówna dzisiejszy kierunek nmysłów w kraju z tym, jaki panował prze-
ważnie przed kilkunastu laty, ten mimo-
woli zdumieje nad postępem, jakimśy uczy-
nili na drodze zdrowego oceniania warunków
ekonomicznych kraju.

Handel i przemysł przed laty, były to
w pojęciu większości synonimy materya-
lizmu i duchowej degradacji.

Młodzież starała się głównie o zrobie-
nie kariery na urzędnictwie.

O poważnej pracy na polu przemysłu
i handlu z nader nielicznymi wyjątkami
mało kto myślał.

Było to więc odwagą niezwykłą ze stro-
ny autora „Chorób wieku”, jeśli obok hasła:
„*Ducha nie gości!*” postawił niemniej brze-
mienną w następstwa zasadę pracy, pracy
zdwojonej we wszelkich kierunkach około
podwignienia dobrobytu narodowego.

Lecz ponad temi wszystkimi pozytyw-
nymi celami, które bądź co bądź nie pierw-
szy i nie ostatni raz wskazywano z dzien-
nikarskiej trybuny, górowała w wystąpieniu
Kraszewskiego jedna pobudka święta i
wzniosła — a była nią owa miłość czysta
i jasna dla tego, co jest ludzkim, co do
ludzkości należy i co prawom *ludzkości*
ulegać musi.

Kraszewski złożył narodowi w ofierze
swoje pocziwe, zacne serce, to serce, któ-
re go tak ukochanym dla wszystkich uczy-
niło i w imię tego serca postanowił obu-
dzić w narodzie życiawe uczucia dla ple-
mienia, z losami kraju od wieków i na
zawsze związanego.

Stanowi to niejako charakterystyczną
cechę pisarza tak względem kraju zasłu-
żonego, iż w owę nieprzeliczoną massę
arcydzieł, jakie Kraszewski wysnuł z fan-
tazyi swojej, pierwiastek dobrego, zanego
i uczciwego, przeważa nad pierwiastkami
ujemnymi.

Bohaterowie Kraszewskiego wszyscy pra-
wie są to ludzie zaci, być może słabiej
woli, ale kierowani pobudkami szlachetnymi.

Jeżeli porównać przeciętne charaktery
powieściowe takich pisarzy, jak np. Hugo-
na, Dumasa, Bilzaka, Suego — dostrzeżemy,
że w charakterach tych potworność, brzy-
dota, nieczemułość, słowem pierwiastki
ujemne przeważają.

Natomiast z szeregu bohaterów powie-
ściowych Kraszewskiego nie wybija się
ponad poziom charakterów naturalnych nic
takiego, co by piętnem brzydoty wrażało

się w pamięć czytelnika i służyło, jako typ
dany np. nieczemułości, okrucieństwa i t. d.

To właśnie, co jako zarzut stawiano po-
staciom Kraszewskiego, iż przedstawiają
one po większej części charaktery słabe,
złamane, bez silnej woli, stanowić może
tylko dowód, iż charaktery te były tylko
odbiciem zanego serca ich twórcy, wyra-
zem jego poglądów na świat nie zaciem-
nionych żadnemi z góry powziętymi uprze-
dzeniami.

X.

Z tą samą wyrozumiałością, z jaką Kra-
szewski spoglądał na błędy i przywary
przeszłości swęj ojczyzny, traktował on za-
wsze i żydów w swych powieściach.

W całym szeregu jego postaci żydowskich,
przedstawionych na tle obyczajowego ży-
cia narodu, nie spotykamy ani jednej, któ-
raby kazała się domyślać, że Kraszewskie-
mu chodziło więcej o karykaturę i szarżę,
aniżeli o rysunek obiektywny.

Z wrodzoną bystrością pogląda i poety-
cznym traktowaniem przedmiotu przedsta-
wiał Kraszewski postacie żydów z nadwy-
czajną wiernością charakterystyki a pomimo
to bez szczypty owęj ironii lub żółci, jaką
w postaciach żydów w powieściach innych
pisarzy z przed laty napotykamy.

Jeżeli w epoce nam współczesnej pojawiają
się powieści takie, jak np.: *Żyd, Eli Mako-
wer* i *Moir Ezofowicz*, jeżeli na scenie na-
rodowej ukazują się czasami postacie pocho-
dzenia żydowskiego, przemawiające już nie
łamanym, lecz czystym językiem polskim
(*Żyd Asnyka, Żyd Lubowskiego*), jeżeli na
obrazach *Matejki, Gersona, Horowitza, Got-
lieba, Lessera*, na rysunkach *Grottgera* i *An-
driollego* znajdujemy uszlachetnione typy ży-
dów w starodawnych ubiorach, przypomi-
nające idealnym nastrojem postać Mickie-
wiczowskiego Jankla, nie w tém niezwykłego
być nie może...

Świeży prąd idei, wytworzony pod wpły-
wem ducha czasu i przeobrażeń społecznych,
nadał takim postaciom prawo obywatelstwa,
równouprawnił je z innymi żywiołami spo-
łecznemi w sferze sztuki.

Ale przed laty czterdziestu mniej więcej,
postacie żydów w utworach fantazyi należały
do rzeczywistych wyjątków.

Czytający ogół nie smakował w tego ro-
dzaju obrazkach, wybaczał je autorom o
tyle tylko, o ile rysunek był dosadnym i
nie odskakiwał zbyt znacznie od tych pojęć i
wyobrażeń, jakie panowały o żydach w wie-

ku np. XVI, w epoce, gdy poeta Klonowicz w *Victoria Deorum* śpiewał o nich:

Haec est Abraami (si displacet) unica proles,
Justitiam, et primi mores imitata parentis,
Sed jam degeneres missos faciamus Hebreos,
Sordibus urbanis latent caenoque profundo,
Fortunis hominum simul insidentur, et ipsis
Intima qui fureo in viscera sponte raptant.
Qui tineas hominum propriis in manibus abundat
A quibus admissis ingeno arroditur orbis,
Et velut a veteri pereunt aerugine gentes.

Zarzuca nam może niektórzy, że pisarze nasi w czasach dawniejszych nie mogli i nie byli w stanie mieć lepszego o żydach wyobrażenia, bo otoczenie, jakie mieli przed oczyma, nie nastrojało ich do łaskawszego w tej mierze poglądu.

Zdanie to błędne. W ciągu kilkowiekowego dziejowego bytowania żydów w Polsce znajdowali się między nimi oprócz gminu zagrzęzłego w zabobonach i zacofaniu, charaktery szlachetne, umysły wyższe nad wiek, w którym działały, serca szlachetne, bijące uczuciem przywiązania do społeczeństwa, wśród którego oddychały.

Nie sięgając nawet epok zbyt oddalonych, widzimy już w wieku XVI patryotyczne i patryarchalne postacie rodu Ezofowiczów i Isserlesów, mężów silnej wiary i poświęcenia, głębokiej nauki i szlachetnych charakterów, którzy, w każdym innem społeczeństwie, przy bardziej sprzyjających warunkach mogliby zdobić kartę w historii umysłowości narodu i służyć jako typ przeciętny wartości moralnej wzgardzonego i w odosobnieniu żyjącego plemienia. Dla czego pytamy nieraz, obcy podróżni, ludzie wprost przeciwnych religijnych obozów, jak n. p. kardynał legat Commendoni w sympatycznym świetle przedstawiali swym ziomkom żydów polskich; polscy pisarze zaś widzieli ich w świetle niekorzystnym, w takim, jakimi ich sobie przedstawiali Kmita, Miczyński, Śleszkowski?

Nowsze czasy dopiero wywołały przewrót zbawienny w wyobrażeniach. Nieśmiertelny Czacki w naukowym swém dziele dał pierwszy pochop do odmiennego na charakter żydów polskich, ich obyczaje i zwyczaje, zapatrywania. Belletrystyka wszakże nawet pod piórem tak zacnego obywatela, jakim był Niemcewicz, długo jeszcze nie mogła otrząsnąć się z manieri Miczyńskich i nie ustawała w docinkowym systemacie ośmieszania żydów. Znaleźli się w epoce nam bliższej pisarze, którzy postanowili zerwać z dotychczasową w tej mierze tradycją. Posunęli oni obywatelską odwagę do tego stopnia, że zaczęli malować postacie ży-

dów sympatyczne, owiane urokiem poezji i namaszczenia.

Do szeregu tych pisarzy zaliczać można Ignacego Chodźkę i Kraszewskiego. Chodźko w przepysznym *Obrazach litewskich*: „Pustelnik w Proniunach“ (1858) i *Nowych pamiętnikach kwestarza* odmalował nam staroświeckie postacie Abrahamów Ilskich i wołyńskiego mędrca Salomona, patryarchów rodu „ludzi wyższych prawością i dostojnością nad gmin szynkarzy, swych jednowierców, którzy w stosunkach z otaczającą ludnością nabywali poloru, taktu i pewnego rodzaju powagi i godności, która uszlachetniając ich w oczach własnych uszlachetniała zarazem ich sumienie i postęпки.“

Abraham Chodźki n. p. żywi przyjaźń szczerą dla zacnego księdza Daniela, Jezuity, przebywa u niego na częstych dysputach wieczornych, obmyśliwa z nim środki dopomożenia ubóstwu, radzi się w ważniejszych wypadkach zacnego kapłana i nawzajem służy, jako powiernik jego dumań i zamiarów. Czyż taki obrazek nie daje nam miary widocznego zwrotu w pojęciach i przekonaniach społeczeństwa na korzyść postępu i cywilizacji!

Nie będzie to wszelako dla zacnego malarza litewskich obrazów ujmą, jeżeli zauważymy, że poprzednikiem jego w malowaniu postaci żydowskich na tle narodowego i obyczajowego życia społeczeństwa był nie kto inny, tylko Kraszewski. Autor *Spinax i Powieści bez tytułu* pierwszy poważył się wprowadzić na scenę działania żydów o typach odrębnych, odskakujących od dotychczasowego szarego tła, jakim belletrystyka polska cała bez wyjątku plemię to w swych utworach zwykła była otaczać. Co więcej jednak. Pobudka Kraszewskiego przy tego rodzaju zuchwałej innowacji była głębszą, idealniejszą, a źródło jej tkwiło nie tyle w fantazji nieźrównanego malarza obyczajów, ile w sercu myśiącego obywatela kraju. Że zdanie to nie jest przesadnym, dowodem tego są własne słowa Kraszewskiego, jakie, z okazji drugiego wydania *Powieści bez tytułu*, odzwierciedlającej żywot rodzin żydowskich na Litwie, wypowiedział w rzetelnej przedmowie.

„Typy izraelskie z niemieckiej ulicy — pisał Kraszewski w r. 1872 — są właśnie współczesne chwili, gdy genialny współpracownik *Revue des Deux Mondes* wychowywał się w sklepiku sukiennym przy tej samej ulicy. Na owe lata, było prawie zuchwalstwem wprowadzenie ich do powieści. Wskazujemy je dla tego, ażeby okazać, że autor zawsze równoprawnie to rozu-

niał. W dziesięć dopiero prawie lat dawać mu było w dzienniku propagować tę samą ideę, która żyła już w instynkcie narodowym i jednego pięknego poranku spełniła się czynem."

Ze Kraszewski bezstronnie i samodzielnie zapatrywał się na kwestyą równouprawnienia żydów, dowodem tego jest, że już w roku 1842 nie była dlań obcą ta korzystna różnica, jaka już wówczas zachodziła między żydami polskimi królestwa a żydami prowincyi ościennych.

Okiem bystrego badacza przeczuł już był wówczas autor *Latarni Czarnoksiężkiej* (W. II. T. I., 107) że „Żydzi królestwa myśleli o zlanin się w całość narodową, od której gdzieindziej tak silnie się wyróżniają," że niezadługo staną się oni rozsądnikiem postępowych dążeń między swymi współwciarcami.

Podziwiać nieraz przychodzi w pisarzu obdarzonym tak poetyczną fantazyą, owo chłodne i obiektywne zapatrywanie się na rozmaite kwestye ekonomiczne i rozwijanie na tle lekkiej powieściowej tkanki, teoryi, którym surowe zasady nauki tylko przyklasać mogą.

Tylko różnostronnością talentu nieocenionego mistrza da się wytłumaczyć ów dziwny dar intuicyi, wnioskującej w najzawilsze zadania ekonomiczne z równą łatwością, z jakąby kreślił plan do nowój akcji powieściowej.

Prawda, że Kraszewski nie jest wyłącznie pracownikiem idei, ale i mężem czynu, że wszystko, co pisze i o czém pisze, przeżył i przeczuł własném doświadczeniem, to jednak tłumacząc tę dziwną, zagadkową siłę umysłu, stokroć ją jeszcze w oczach naszych podnosi.

Jakaż to trafna charakterystyka żydów, a zarazem surowa krytyka niezaradności ekonomicznój społeczeństwa na polu handlowych działań, mieści się w jednej z najdawniejszych powieści Kraszewskiego, w owej „*Historyi Herszka*" „z *Latarni Czarnoksiężkiej*!"

Talent malarza obyczajów, walczy tu o pierwszeństwo z baczną obserwacją stosunków społecznych nieuprzedzonego myśliciela.

„Gdybyśmy mieli dość przemysłowości, wytrwałości a nadewszystko zamilowania w pracy — pisał Kraszewski jeszcze w r. 1842, — moglibyśmy wysmienicie wieść też same handle, co żydzi; a mając pojedynczo daleko większe kapitały, zjednoczywszy je, jak oni czynią, moglibyśmy walczyć z handlem żydowskim. Ale wyznajmy szczerze —

nie potrafilibyśmy sobie dać rady. Wiedziano próby, cóż z nich wynikło? Oto, że wkrótce wiodący handel poczynali muić jeszcze być słownymi od żydów, a mnożąc koszta na siebie, podręcznych, na życie wystawniejsze, potrzebując tém samém większych zysków — albo upadać musieli albo mniej dogodne dla producentów ofiarować warunki. Dodajmy, że z żydem każdy z nas traktuje bez wszelkiej ceremonii patrząc pewności swojej nadewszystko, a z panem bratem zmuszany do zaufania, często go żałowałby potem. U naszych handlarzy rozbijał się wszelki dłuższy handel o podręcznych. Żydzi używają do tego ubogich, którzy ich ufność rzadko zawodzą. Nasza zaś klasa, mogąca być użytą ku temu, żadnej rękojmi w charakterze i zmienności nie daje, a nieopatrzna i niedbała o jutro, nawet własnym interesem nie daje się pohamować. Kapitałisci zbyt wysoko stoją w swoim przekonaniu, aby się sami zajmować mieli szczegółami handlu, podręczni zaś, jakieśmy wyżej rzekli, najczęściej są niesumienni... Smutna, bolesna — ale czysta prawda."

Czyż powyższe słowa nie mogą służyć jako doskonały traktat o jednej z najważniejszych kwestyi ekonomicznych kraju?

A zważmy, że to, co Kraszewski nakreślił w r. 1842, najzupełniej może się stosować i do najbliższej terażniejszości, do stosunków do dziś dnia niezmiennych, zawsze brakiem energii i inicjatywy z jednej a zabięgliwością z drugiej strony wywoływanych?

Przypatrzmy się teraz, z jaką trafnością maluje Kraszewski warunki życia nboższój klasy ludności żydowskiej: „Kawałek chleba z solą i cybulą im wystarczy. W szabas tylko jedzą więcej i odważają się na kawałek mięsa lub gotowanej ryby, resztę tygodnia wstrzemięźliwość i oszczędność żydowska jest prawie niepojętą. I to nam tłumaczy, jak małe zyski mogą wystarczać ludziom, co tak małym żyją. Każdy potrzebujący więcej dla siebie, tém samém musi żądać większych korzyści z handlu, a w jednym interesie przy równych zyskach, żyd zawsze chowa więcej, bo mniej go kosztuje życie. Strawa dzienna, gdyby ją izraelita chciał sobie dobierać wytworniej, kosztowałaby go daleko więcej, niż nas, bo w proporcji materiały są droższe, mięso koszerne i wszelki koszer nie bez zachodu i pewnych obrzędów otrzymywane, drożej się daleko płacą, niż pospolite. Nigdy żyd niema tyle powagi, jak przy jedzeniu. Czuje on, co czyni, a że spożywa

mily grosz, dumny jest tą abnegacją, tą rozrzutnością swoją... Im kosztowniejszą ję stawę, tém więcej się nadyma i marszczy. I w istocie jest czego! Jeśli nie wie-rzycie, przypatrzcie się kiedy żydom siedzącym za stołem“

XI.

Jako poeta, obdarzony fantazją gorącą, jako wierny malarz obyczajów i charakterów, umiał Kraszewski w malowaniu poetycznej strony postaci żydowskich wnieść się na wyżyny idealu.

W jednym z najświetniejszych swoich powieści, w *Spinacie* (rok 1847!), który, o lat dziesięć prawie wyprzedził „*Powieść bez tytułu*“ przedstawił nam Kraszewski nieznaną dotychczas w literaturze postać żyda — artysty malarza...

„Żyd — malarz! Coś dziwnego w istocie!“ Tęmi słowy wyraża swój podziw bohater powieści, malarz Jan, gdy mu Mammonicz, przyjaciel w wędrowce po pracowniach malarzy wileńskich, zapowiada odwiedziny pracowni żyda Jonasza.

„Zaprawdę — niepospolite zjawisko! — odpowiada mu na to Mammonicz. Wiesz i pojmujesz, co u nas znaczy żyd. Żyd jest jeszcze istotą napiętnowaną, wyklętą jak w średnich wiekach, wzgardzoną i niższą od wszystkich... Co do mnie — ja tego biednego paryi nigdy bez uwielbienia widzieć nie mogę. Wielec wyższy ukształceniem od swej tutejszej braci, nie zaparł się przecie ani fałszywie przez niektórych wzgardzonego narodu, ani nienawistnej wszystkim wiary... Pojął on, że oddzielić się od zwyczajów dozwolono, ale opuścić braci w niedoli jest podle. Jonasz, który zwiedził Palestynę, nie raz mi opowiadał o stanie Izraelitów tamtejszych, o upadku światła między wybranym Boga ludem. Nigdy nie zapomnę wyrazów jego, gdy mi malował cierpienia narodu, co wyprzedził inne poznaniem jednego Boga, co przez chwilę przewodniczył ludzkości, jak gwiazda, dziś zmuszonego żyć w poczwarném zrośnięciu z mahometanami, ludem od siebie niższym cywilizacją, zmuszonego nle-gać siłę zwierzęcej, siłę bezrozumnej, a potężniejszej jednak nad wszystko, nawet nad opiekę Jehowy! Z jaką rozpaczą wymowną maluje on cofanie się powolne i zaślepienie Izraelitów, aż nareszcie ich upadek, upadek myśli, ubóstwo duszy. Niekiedy, mówiąc o tém, staje się Jonasz poetycznym, jak księgi prorocze, wzniosłym, jak pieśń biblijna. Lecz za chwilę poznasz go, on ci

sam to powtórzy, bo to zwykle pierwsze słowa, co się z wezbraną jego wylewają duszy i ostatnie...“

W ten sposób słowami bohatera powieści skreślona postać Jonasza Palmera daje miarę podniesłego nastroju tego idealnego a może i z natury schwyconego charakteru.

W opowiadaniu Mammonicza, Jonasz Palmer, rodem z Wilna, był sierotą. Miał on w Hamburgu i Frankfurcie po matce i ojcu bogatych krewnych. Ci, dowiedziawszy się o sierocie, wzięli go do siebie. Miałem jeszcze dziecięciem przebył kraje dzielące go od tych, co mieli sobie za obowiązek zaopiekować się dalekim powinowatym. „Żydzi bowiem, mawiał Jonasz, jak wiele ludów biednych, stali się prawie wszyscy jedną wielką rodziną, jedną rodziną Izraela, a póty Żydów, póki ta jedność ich skupia i ożywia.“ Jonasz Palmer wychowuje się u Palmerów Frankfurckich, na jednej z tych ulic ciemnych i brudnych, „gdzie wynieciono żydów, jak na wielkie śmietnisko.“ Tam, w ciasnej kamieniczce gotyckiej, na *Juden Gasse* schodzi mu dzieciństwo smutnie, ale spokojnie. „W ostatnich czasach już przecie na noc przynajmniej, jak zwierza w klatce, nie zaciągano ich łańcuchami.“

Tam to, w tych ubogich na pozór sklepach, w przysłonionych oknach, błysły młodemu malarzowi pierwsze wzory głów starców i czarnookich niewiast, tam, na poddaszu dumał, czytał i rysował.

Nauczycielem Palmera była jakaś osobistość nieznana, ale, ucząc się u Niemców, doznawał przykrego co krok prześladowania. Nigdy nie chciał zaprzecć się, że był żydem, a skoro się o tém dowiedziano, wyganiano go ze szkoły, gdyż nikt z nim razem uczyć się nie chciał, ani siąść obok na jedną ławec. Uczył się najwięcej z książek, ze sztychów i mnóstwa arcydzieł, rozsypanych we Frankfurcie i innych miastach niemieckich.

Palmer czasowo bawi w Wilnie. Spro-wadza go tutaj niespodzianie nań spadłe dziedzictwo po babce, która żyła ubogą „sprzedając zgnile jabłka i kwaśne w-sienki, chodząc w zabłoconych, słomą wypchanych butach, po najbrudniejszych miastach zakątkach, przecieź znaleziono po niej zaszytych w lachmanach więcej tysiąca dukatów, uciulanych po jednemu dla wnuka.“

„Przed śmiercią zawołała starszka rabina i odala mu rupiecie, aby doszły w całości do Jonasza. Palmer przez wdzięczność dla niej, przez ciekawość poznania kraju, w którym się urodził, przybywa do Wilna.

Życ tu wszakże nie może, codziennie oburza się na nieszczęsny stan swych biednych współbraci i powiada, że chociaż podle zrobi, uciecze jednak z placu, bo mu serce pęka na widok ich skalania i moralnej nędzy.“

Bohater powieści Jan z Mammoniechem staje u drzwi misernego piętrowego domu żydowskiego, „tak brudnego i niedostępnego, że przez rynsztoki skakać na podwórze a po kupach błota nalepłych na wschodach wspinać się było potrzeba na górę.“

Tu następuje iście Hogarthowski obrazek, godny pędzla takiego mistrza, jakim jest w szkicowaniu Kraszewski. Jakże oryginalnie i poetycznie na tle owej nędzy i brudoty, właściwej uboższej klasie żydów wygląda żyd Jonasz!

Odarty żydek otwiera przybyłym półszklane drzwi. Przechodzą oni szybko za tęchłą izby, „gdzie całe familie spychały się na kilku łokciach kwadratowych, ucząc, swarząc, licząc, handlując, kochając i gospodarując w ciasnocie i zaduchu nieznośnym.“ „Przez niekiedy z łokszyną, przez cebry pomyj, ocierając się o kotary odarte i mnóstwo stojących i wiszących kołysek,“ przeciskają się nareszcie Mammoniech z Janem do wniścia zamkniętego szczelnie pokoiku.

Jonasz jest młodym człowiekiem niskiego wzrostu, delikatny, chudy „i jak prawie wszyscy potomkowie umarłych ludów, co dożywają wiekuistego bytu na pielgrzymce w obcej ziemi, biały jak kobieta, z pięcią przeźroczystą, tak, że przez nią sine żyłki przeświecały. Typ jego twarzy był wschodni. Ogromne, ożywione oczy czarne, głęboko opalone, otaczały brwi ślicznego rysu usta miał smutne ale rumiane, małą brodkę i wasy ciemne, włos kruczy, w siny wpadający prawie, a czoło wyniosłe i gładkie.

Po przywitaniu Jonasz z radością ściska Jana.

— A! Jakiem szczęśliwy! — mówi. Wy nie gardzicie biednym parą, wy mnie odwiedzacie, mnie, żyda! Niech wam Bóg to nagrodi.

Jan mu na to odpowiada żywo: Pozwól kolego powiedzieć sobie, że dziś słusznie *przesądem barbarzyńskim* ochrzczono wzgardy owe stare, całych narodów dotykające niewinne....

— A! to są słowa, mówi Jonasz, myśmy jednak zawsze tym waszjej legendy Ahaswerusem, któremu Bóg wasz rzekł: „Idź, wygnany, błędny, i pożywaj chleb pięciu denarów twoich we łzach i pogardzie.“ Dla was myśmy skalanymi potomkami zabójców Boga....

— Potomkami wybranego ludu!

— Tak, wybranego i straconego. Ale — dodaje Jonasz z pewną dumą — ludy, jak ludzie umierać muszą, trzeba się umieć pogodzić z losem i Bożkie wyroki szanować. Są wielkie konieczności, przeciw którym ktoś co może? Kto jak Bóg? Boża prawica nad nami! Nie godzi się wyrzekać. Byliśmy narodem wybranym, co reszcie ziemi, co całej ludzkości dał Boga swojego, Boga jedynego, dziś myśmy ostatnimi z ostatnich. Życie nasze zeszcilo, jak trawa i minęło, jak cień. Kto wie, co wyrażał ów bałwan Egiptu, bałwan Tebański, zwany Sfluxem, owa wielka starożytności zagadka? Może los wszelkiego rodu podbitego, co siłę pięści ulega i zrasta się ze zwierzęciem i, mając skrzydła, ale kamienne, ruszyć się nie może, ani podlecieć głową ludzką z ciałem zwierzęcym. Ten Sflux zawsze mi naszę dolę w Palestynie maluje. Żydz, co dali biblią światu — sługami miecza Mosleminów, nie jest-li to głowa człowieka, ulegająca ciału bestyi? A żale nasze beczsłone, rozlegające się po pustyni, nie sąż to skrzydła kamienne tajemniczego zwierzęcia, któremi z ciężkiej rzeczywistości ulecieć nie można?... Żydowi nawet artystą być trudno, przystęp do arcydzieł sztuki ciężki dla niego, do świątyni waszych podchodzi ze strachem, Rzym dla niego miastem zapartem, gdzie mu na ruinach starych zwycięzców swoich upadłych, zapłakać nawet nie wolno. Cierpieć, modlić się i milczeć, to los nasz!“

Pomijamy dalsze szczegóły tej, poetycznym językiem skreślonej rozmowy, aby zwrócić uwagę na końcowy ustęp tej pięknej sceny, obejmującej prorocze widzenie epoki, którąśmy za dni już naszych dożyli, epoki, w której już nie idealnie powieściowe postacie, ale żywe dłonie ludzi niechętnych dotąd obozów spłoty się w jednym uścisku, przebaczenia uraz, pojednania i miłości dla wspólnej matki ziemi.

— Wierz mi, — mówi żyd w ostatku, zegnając Jana. Do śmierci twych odwiedzin nie zapomnę. Świat — zwyciężonych, upadłych, częstuje wzgardą. Winni są przed nim, bo upadli — a któryż upadek nie kała? Winni, gdy rozpaczyli chcą wznieść się ze swego kału i błota, winni, jeśli się ukończą, winni, gdy milczą, zawsze winni.... A gdy z tłumu z tych, co wołają: Winni! wyrwie się głos serdeczny, głos współczucia i litości, jakaż to wdzięczność!

Wy nie dożyjecie pewnie, lecz kto wie, synowie wasi lub wnuki — nie trudno być prorokiem — chwili, gdy i dla was, jak dziś

dla mnie słowo pociechy, dłoń wyciągnięta, współczucie serdeczne, będą drogim darem Nie daj Boże! ale narody giną i upadają, jak ludzie, a przeciwko śmierci niema ratunku! Miecz to anioła Bożego!"

Zatrzymałem się może przydługo nieco nad fantazyjną postacią Jonasza, ale trudno, czytając Sfinxa, odejść obojętnie od obrazu, wykazującego nie tylko mistrzostwo Kraszewskiego w kreśleniu charakterów, ale i to zacie serce pisarza, które w epoce ogólnego antypatycznego nastroju uczuło do postaci żydów w życiu i sztuce, szukało wszędzie ideału i odczuwało go tam nawet, gdzie go inni mistrze pióra odnaléż nie mogli.

Aby malować z taką dokładnością niższe warstwy żydów, ów świat zamknięty w sobie, jak ślimak w skorupie, że wstrętnemi na zewnątrz pozory a wielką, poetyczną i zajmującą dla myślącego umysłu treścią, niedosć posiadać dar intuicji, ale trzeba znać dokładnie sferę wierzeń, cały duchowy nastrój, i bogatą skarbnicę podań plebienia, które się przedstawia. Widoczném to jest w powieściach Kraszewskiego. Tak jak w „*Chacie za wsią*“, w „*Jarynie*“, „*Jermole*“, i „*Budniku*“, są ślady poważnych studyów nad zwyczajami i obyczajami ludu, tak téż i obrazki na tle żywota żydowskiego osnute, wykazują głęboką znajomość Kraszewskiego wszelkich odcieni charakterów i typów żydowskich, poczynszy od małomiasteczkowego arendarza, aż do uczonego talmudysty, najbardziej zbliżonego do typu, jaki nam przekazała tradycja.

Komuż z nas nie utkwiły na zawsze w pamięci cudne sylwetki żydów starego autoramentu w perle powieściopisarskiego zawodu Kraszewskiego, w „*Powieści bez tytułu*?"

Któż z nas w marzeniach bujnej fantazyi umiał wymyślić sobie typ piękniejszej dziewczeczki nad Sarę? „Rzekłbyś—mówiąc słowy Kraszewskiego, że to wskrzeszona jedna z tych bohaterki biblii, jedna z tych wdzięcznych cór Izraela, które w ognistych wyrazach malują nam księgi święte.“

A ów biblijny starzec Abram, dziad Sary, wróg zacięty wszelkiego postępu i innowacyi w domowym życiu swego plebienia!

Wszakże to z Dantejską potęgą skreślona postać fanatyka religijnego. Słowa tego starca, każde pojawienie się jego na kartach „*Powieści bez tytułu*“, przerażają czytelnika zagrobowém widmem średnio-wiecznych zaklęć i urojeń.

Rzekłbyś, że to postać wyrwana z toni przeszłości i osłonięta tajemniczym światłem zagrobowych ogników.

„Czego ty uczysz Sarę!—mówi Abram na widok poety Szarskiego — nie *Chumisz*, nie *Tora*, nie *Tanach*, ale *Awoda zara* (obcój wiary), wiary *akamskiej* (gwiazdochalców). Chcą wstydu, chcą sromu, chcą z chassydów w domu swoim przerobić *myszumetów*.“

„Głupi, głupi, którym *Dass* (wiara) nie wystarcza, którzy w nauce od *klippes* zesłanej szukają dobra, jakiego w niej nie było, z ognia czerpią wodę! Czegoś ty przyszedł synu *akumów*, dzień, któregoś ty stąpił na próg nasz *jom et* dla ciebie i dla nas... Powiadam ci, weź kij i sandały twoje, a idź, dopókiś żyw i nie odwracaj głowy swojej ani oczu twoich, abyś nie powrócił i nie umarł... Ażaliż myślisz, że którykolwiek głos człowieczy, idący z serca, próżen być może i nie dochodzi do tronu Tego, którego imienia nie godzi się wymawiać ustom ludzkim? Ażali myślisz, że nietknięty ręką, nie możesz być pożarty oczyma i strawiony nienawiścią i zabity na wieki klątwą? Idź! mówię ci, uchodź w cichości okrywając głowę swoją a zatrzymaj za sobą kołosem płaszcza ślady nóg, aby cię nie znalazły myśli moje i posłańcy Tego który się mści za dzieci Izraela... Idź!”

XII.

Przytoczyliśmy powyższe ustępy z utworów, pisanych jeszcze w epoce na lat wiele poprzedzającej wystąpienie Kraszewskiego na widownią publiczną w charakterze pisarza o tendencji wpływowój i pojeźdnawczej, aby wykazać, że dziennikarska działalność Kraszewskiego w duchu tolerancji i postępu nie była nowym zwrotem w karierze zasłużonego pisarza i zaprzeczeniem dotychczasowego kierunku jego przekonań, ale wyrazem i wcieleniem w czyn poglądów myśliciela, wypowiedzianych nieraz w utworach fantazyi na jedno z wybitniejszych i palących zadań społecznych.

Kraszewski w powieściach swoich działał zawsze, jako apostoł pokoju i zgody pomiędzy różnorodnemi a nieprzyjaźnie względem siebie usposobionemi klasami ludności.

Dość np. wspomnieć owe wzniosłe obrazy z powieści, „*Ostap Bondarczuk*“, „*Jaryna*“, w których Kraszewski tak gorąco stanął w obronie pokrzywdzonych praw człowieczeństwa, aby przyjsć do przekonania, że wówczas, gdy kwestya włościańska

w praktyce leżała odłożeniem, był już myśliciel, który miał odwagę wypowiedzieć narodowi słowa prawdy i wskazać mu istotną drogę postępowania z wzgardzoną klasą narodu.

Jedyną pobudką i dźwignią Kraszewskiego w owych zbawiennych i wpływowych działaniach, była miłość powszechnego dobra, owa filantropia wyższa, czerpiąca swe soki ożywcze w sercu przejętém miłością dla wszelkich szlachetnych zadań.

Kraszewski był istotnie drugim Złotustym Skargą swego narodu. W chwilach npojenia i szalu ogólnego głosząc uroczyste „Memento,“ budził on uśpione w narodzie siły, zachęcał do poprawy i rzucał wszędzie posiew zdrowych zasad ku pożytkowi żyjącego i przyszłych pokoleń.

Ta sama pobudka była widoczną i w pierwszych krokach Kraszewskiego na arenie publicznego życia.

Od dawna już a może nigdy dotąd nie słyszano z trybuny dziennikarskiej słów i przemówień takich, z jakimi Kraszewski miał odwagę zwracać się do ogółu.

Dziennik, uważany błędnie, jako przelotny swistek papieru jednodziennej wartości i trwałości, stał się w rękach Kraszewskiego potężną dźwignią postępu, krzewicielem zdrowych zasad, doradcą, kierownikiem i agitatorom w duchu miłości człowieczeństwa, przedewszystkiem zaś stróżem cnót, narodowych tradycji i niepokalanej czystości dacha narodowego.

„W świecie materji posiada siłę, w świecie ducha... miłość tylko,—głosił Kraszewski w r. 1859. Człowiek człowieka posiadać nie może, tylko przez miłość, inaczej posiadanie rzeczywistém, zupełnem nie będzie. Miłość, a jako czyn jęj, poświęcenie i ofiara—oto criterium postępu... To, w czém ona jest, wiedzie ku dobremu, w czém jęj niema, cofa nas i odprowadza od głównego celu. Cechą więc postępu jest rozbudzenie uczucia miłości powszechnęj, jest *solidarne w narodzie związanie się nie tylko jednostek ku wspólnemu działaniu i pomocy, ale klas wszystkich. Gdziekolwiek panują uprzedzenia kastowe, nienawiści, odosobnienia, coraz się zwiększające, tam być postępu nie może...* Wydzielanie się klas społeczeństwa i ogółu, niechęć do brania udziału w życiu zbiorowém, wstętu ku ludziom, których powołanie stawia na innym szczeblu działalności—są pierwszymi oznakami dezorganizacyi. Uprzedzenia względem najniższych warst społeczeństwa, wypłacających się nienawiścią wzajemną, nie istnieją tam, gdzie wszyscy po chrystu-

sowemu są braćmi i robotnikami w winnicy, choćby nie w jedną przybyli godzinę.“

XIII.

W kilka lat po opuszczeniu steru Gazety Kraszewski ujął w systematyczną całość poglądy swoje na kwestyę żydów polskich.

Tak, jak dla muzyka pieśń, dla poety wiersz liryczny, dla Kraszewskiego powieść stanowi zawsze jedyną formę, w której najłatwiej wypowiada swoje religijne, estetyczne, filozoficzne i społeczne poglądy na zadania życia.

Dotychczasowe postacie żydów w powieściach Kraszewskiego stanowiły akcesoryum mniej lub więcej konieczne dla wiernego oddania charakterystyki miejsca i czasu malowanych obrazów.

W powieści, o której mowa, żydzi stanowią tło główne, żywot ich domowy i religijny a odcienia rozmaitych charakterów, typów i postaci, materyał — z którego się składa główna budowa i zawiązek dramatu.

Pierwszy raz również w literaturze polskiej spróbował tu Kraszewski przedstawić żyda nie pod postacią brodacza w chałacie, albo też fanatycznym pokostem powleczonego Azyaty, ale pod formą człowieka oświeconego, europejskiego, urobionego według warunków nowoczesnej cywilizacyi.

Jakób Kraszewskiego pomimo całej swojej światowości jest wszelako na wskroś religijnym człowiekiem, szanującym tradycję swego plemienia, pragnącym zlania się politycznego swoich współwyznawców z otaczającą ich społecznością, ale stojącym twardo na gruncie nienaruszalności tych cech odrębnych w religijném życiu, jakie rodzinne jego plemię mimo burz i nieszczęść dziejowych utrzymały i utrzymują dotychczas wśród innoplemiennych społeczeństw w uczuciach przywiązania do tradycyi przodków.

„Ja — przez moje wychowanie żydowskie najprzód — mówi o sobie Jakób — potem europejskie i ludzkie, stałem się innym, nowém czémś dla siebie i nowém dla moich współbraci; jestem żydem szanującym tradycję a nie przesadnym, w głębi serca zachowałem uczucie i wiarę, jako najdroższy skarb, ale nie odpychając światła rozumu i prawa postępu, nie wyłączając się z ogółu ludzkości. Godzi się to we mnie i daje spokój zupełny“.

Powiedziałem wyżej, że w ten sposób pojęta postać była w literaturze polskiej czémś nowém, oryginalnem.

Ze względu właśnie na tę oryginalność postaci zarzucono Kraszewskiemu, iż Jakóba pojął zbyt idealnie, bo, zdaniem krytyków, taka dwoistość charakteru postępowca i konserwatysty w żydzie jest niemożliwą. Nie tu miejsce dla wykazania błędności takiego poglądu.

Tłumaczy się on jedynie przyzwyczajeniem społeczeństwa do przedstawiania sobie postaci żydów zawsze pod jedną i tą samą formą: trochę azyatycką, trochę średniowieczną, z przymieszką pewnej dozy mniej lub więcej interesownej uczciwości, wielkiej dozy sprytu i zęczności do wyzyskania bliźnich....

Literatura polska, jakeśmy to wyżej wykazali, znała dotychczas kilka wybitnych typów żydów sympatycznych, obok niezliczonej masy karykatur.

Prototypem był Mickiewiczowski *Jankiel* z Pana Tadeusza, typowemi były postacie Arona z komedii Korzeniowskiego: „Żydzi”, Abrama i Salomona w obrazach Chodźki, i typy żydów w powieściach Kraszewskiego.

Typy te, niewyjmując malarza Jonasza, były przedstawione wiernie, malowane z natury... ale przeciąg czasu od ich powstania aż do dni naszych zdziałał wielki przewrót w ustroju obyczajowego i — że tak powiem — politycznego życia żydów polskich.....

Kraszewski w powieści swojej na tle współczesnej nam epoki osnutęj, musiał przyjąć i przyjął istotnie w rachubę te wpływy oświaty i cywilizacji, które z pośród tłumy żydów dotąd jeszcze w zastoju i odrębności wegetujących, wydzieliły potężny zastęp ludzi z pojęciami nowszymi o europejskich i obywatelskich poglądach na zadania życia.

Dążnością Kraszewskiego w przedstawieniu takiej właśnie postaci — było odzwierciedlenie wiernie stosunków nowych, wytworzonych siłą powolnego ale pewnego oddziaływania oświaty na wszystkie bez wyjątku stany i klasy narodu.

Niezależnie od tego górowały jeszcze w Kraszewskim względy etyczne, chęć wykazania w obrazie z natury skreślonym, że między ludźmi odmiennych religijnych przekonań i wpływów może i powinna istnieć spójnia jeduakich obywatelskich dążeń i miłości do rodzinnego kraju.

Przyjacieli i szkolny kolega Jakóba, Iwaś, dziecię szlacheckie, w szlacheckich uprzedzeniach do ludzi nieszlacheckiego pochodzenia wychowane, pomimo uczuć życzliwości, żywionych dla swego towarzysza żyda, burzy się wszakże niekiedy i buntuje przeciwko zasadzie równości praw i obowiązków

wszystkich mieszkańców jednej ziemi, jaką to zasadę Jakób w rozmowach swoich wygłasza, stawiając tę zasadę, jako główny warunek pomyślności kraju i normalnego rozwoju wszystkich jego czynników.

— Wy żydzi — mówi Iwaś — nie możecie mieć ani nie macie tego uczucia, co my dla kraju.

— Mylisz się — odpowiedział Jakób — jeżeli dla kogo, to dla nas kraj ten, co nam dał przytułek, w którym mimo chwilowych prześladowań urosliśmy liczbą i pracą, jest naszą drugą przybraną ojczyzną. Jeśli nią nie jest dla wszystkich, to być powinien i będzie. Ja się czuję przynajmniej zarówno Izraelitą, jak Polakiem.

— Tak — zarzuca Iwaś — ale ludzi takich, jak ty, niema i niemoże być wielu. W ogóle zarzucić wam można, że nie bardzo przywiązaliście się do tego kraju, w którym dosyć, jak na owe wieki, przeżyliście czas długi szczęśliwie i swobodnie, który was karmił, hodował, bogacił... i użwał za dzieci swoje...

— Powoli — odpiera Jakób, rozpatrz się w historyi bezstronnie: fanatyzm religijny, prawda, wspólny wam z innemi narodami i buta szlachecka... długo stały na przeszkodzie uznania żydów za obywateli kraju. Winni też byli i żydzi, że języka i obyczajów przyswoić sobie nie starali się, że się odosobniali, stanowiąc status in statu, naród w narodzie, że szczerze nie pracowali na obywatelstwo, które się poświęceniem i krwią zdobywa.

Winy są równe z obu stron i z obu stron szczerze przebaczenie i zapomnienie przeszłości wyjść powinno. Wiek inny, oświata rozpowszechniona, idee ludzkie nam wspólne, wszystko nas teraz zbliżyć i przejednać się zmusza. Wyciągamy dłonie... nie odpychajcie ich!

Obok świetlanej postaci Jakóba, człowieka postępu, lecz silnej wiary, grupują się i charaktery ujemne ludzi woluomyślnych, niedowiarków, bez poszanowania tradycji, czyniących z rachuby moralność życia a z rozumu przewodnika jedynego na polu postępowania z ludźmi.

Postacią taką w powieści Kraszewskiego jest ojciec sympatycznej, nieco rozmarzonej Tyldy.

Kraszewski, jako człowiek sam silnie wierzący, przyjmujący wiarę, jako nieodłączny atrybut człowieczeństwa, biczem satyry chłostuje indywidua tego pokroju. Miejscami słowa jego grzmia całą potęgą oburzenia przeciwko zmateryalizowaniu dusz

i wyziębieniu wszelkich ~~użyć~~ poszanowania dla rzeczy wielkich i świętych.

„Bądź co bądź, mówi on nsty głównego bohatera powieści — człowiek nie jest wykształceniśm zwierzęciem tylko; po za nim czuć inne światy, istoty i obszary ducha; oprócz ciała ma w sobie duszę, która łączy się z bóstwem, bada, przeczuwa, wlatuje wyżej nad ziemię i dalej nad zmysłowe przestrzenie. Materyalizm i ateizm nie starczą ani społeczeństwu do życia ani jednostce; oderwane przez nie od całości są jak kwiaty ścięte z łodygi, usychają. Odbierz im Boga, wiarę w nieśmiertelność ducha, wyższe poczucia i pragnienia, a stworzysz, zwłaszcza przy wiktwinie cywilizacji materyalnej, coś tak poczwarnego, jak jest przyzwoity, chłodny, umarły wiek dzisiejszy, który zwycięża żywioły, dochodzi tajemnic najskrytszych natury a nie wie już, co jest złem a co dobrém, i określa cnotę i występki, rozumem lub głupotą, niezręcznością tylko lub praktycznością. Miarą dlań jest powodzenie, bóstwem siła, a *vae victis* znówu się echem ogromném rozlega po nad tą pustynią, którą przecinają koleje i przelatuje para.“

Żywioł konserwatywny, zdala od oświaty stojący a trzymający się oburącz form i obyczajów dawnych, reprezentowanym jest w powieści Kraszewskiego w postaci Jankła Mewesa, żyda, który „choćby rozsądkiem i otarciem się o ludzi mógł być zająć inne stanowisko w świecie,“ nie zrzucił wszakże dla wdarcia się w cywilizowańsze towarzystwo ani sukni ani wiary.“

Przeciwnostawieniem tego typu jest sąsiad Jankła, małomiasteczkowy bankier Dawid Seebach, którego dom nie był ani żydowski ani chrześcijański, a choć niby dla oka trzymano się w nim praw i zwyczajów dawnych, w istocie nie przywiązywano już do nich żadnej wagi, czyniono to tylko dla oka z obojętnością i szyderstwem.....

Syn Dawida, Dawid, młodszym zwany, dalej jeszcze odstąpił od tradycji. Przedstawia go Kraszewski, jako człowieka na pozór wychowanego starannie, w istocie zaś ostatecznie zepsutego, zjadłego, jak ojciec, do robbienia grosza i nieprzebierającego w środkach....

Na tle tej różnobarwnej tkanki typów i charakterów żydowskich, wśród postaci skreślonych z werwą i właściwym Kraszewskiemu dowcipem, wśród skeptyków w rodzaju Simona, kameleonów umysłowych i moralnych w rodzaju Manna, dwuznacznych figur Wtorkowskiej i jej córki Muzy, roztacza się akcja dramatu.

Jakób, jakby apostoł prawdy, stara się w tę społeczność, owianą już atmosferą niedowiarstwa i kosmopolityzmu, wlać ducha poświęcenia i miłości dla powszechnego dobra. Na drodze tej spotyka wszędzie obojętność i szyderstwo. Pobożni żydzi uważają Jakóba za niedowiarka, wzruszają ramionami na jego apostołowanie i odrzucają myśl wszelkich reform. Zniemczeni żydzi są Heglistami, zfrancuzieli — pozytywistami. Inni bez wszelkiej filozofii z pustką w głowie i z pustkami w sercu czują się spokojnymi zupełnie.

„Na tém jałowem polu nawracanie było niemożebne. Społeczność rozumiała Izraelstwo swe ze strony jego poetycznej i malowniczej, poklaskiwała mu w Żydówce, w muzyce Mendelssohna i Mayerbeera, w dowcipie Heinego i Börnego, w milionach i wszechlunocności Rothszyldów, ale były to tylko wspomnienia jakiejś podruzgotanej przeszłości.... Walka większości dla europeizmu, dla francuzczyzny, dla tonu wypierała się wszytkiego swego i rumienila wspomnieniem.“

Są w powieści Kraszewskiego ustępy przedziwnej piękności, wskazujące, że autor wsłuchał się niejako w dziejowy dramat plenięcia, które wziął za przedmiot swego opowiadania, że odczuł sercem poety i umysłem myśliciela piękne jego strony, że, wyszydzając to, co szyderstwa jest godném, umiał się wznieść na podniosłe stanowisko filozofa w rozpatrywaniu smutnej przeszłości swego odłamu narodu, który narodem być przestawszy, powoli wsiąka w inne społeczne ciała....

Jaki bo cudny jest ów ustęp o obrazie Rnisdaela w Galeryi Drezdeńskiej, przedstawiającym stary cmentarz żydowski!

Żadna literatura, nie wyjmując i żydowskiej, poszczycić się nie może większą obrazowością stylu i głębokością idei, tryskającą z owych podniosłych słów wielkiego pisarza.

„Całemi godzinami można się wpatrywać w tę kartę, w ten poemat niewysłowionych smutków, niezgłębionej boleści tajemnej... przerażającej, jak historia atrydów, napiętnowanej fatalizmem wiekowym dziejów nieubłaganych.... Cóż to za cudowny utwór, ten kawał czarnego płótna, na którym zrazu widać tylko pokłębione chmury i kilka czarnych drzew, które burza odarła.“

„Przypatrzyć się jednak.... niebo ciemne, trochę kamieni, pnie drzew i gąszcze tajemnicze, głębokie.... przez jakieś porwane trzęsawiska sączy się zgnily strumień, oto cały materyał obrazu, stworzonego z tych

kilku pospolitych rzeczy z siłą wyrazu niewypowiedzianą. Ów niedoszły lekarz a artysta zachwycający Ruysdael, malarz posępnych skał, ruin, wody, ani w swym klasztorze, ani w zamku, ani w lasach i jeziorach mnogich, równie może pięknych, ale daleko mniej wymownych, nie wypowiedział tak całego swojego geniuszu, jak tutaj... tu on jest mistrzem, podnoszącym się do epopei...

„Nigdy krajobraz jeszcze nie był tak straszny, tak zarazem jasno mówiący, tak majestatycznie wielki i piękny... żaden jasny Claude Lorrain, uśmiechający się grą polulniowych promieni słonecznych, żaden Salvatore Rosa ze zbójczą jaskinią i rozczochranymi drzewy, martwymi gruzami i ziemniemi bryły nie potrafił tak wiele wyśpiewać.... To tęskna karta dziejów czarnych narodu odepchniętego, prześladowanego, któremu na cmentarném nawet wygnaniu wśród zgnilizny i ruin niema na ziemi spokoju.... Tu ludzi niema, ale jest burza, ulewa i potok, który niszczy i rozrywa, nawet kości spiące w grobowcach....

„Fatalizm i tu ich sięga....

„Chcąc dołączyć Izraelitów odmalować, nie mógł malarz nie innego wybrać nad cmentarz cmentarza.... spoczynek i tu jeszcze nie pewny—pod ruiną świątyni zburzonej, na której gruzach dwoje ludzi modli się, czekając, by burza odeszła i zaświeciło słońce.... Lecz w końcu XVII w., gdy obraz ten malowano, tęcza była jeszcze daleko, słońce za chmurami, promyk jego zaledwie się przedzierał i padał na grób, na którym dzikie z litości kwitły krzewy. Co tu za smutek, jakie przerażenie panuje w całym obrazie.... wypowiedzieć niepodobna.... To miejsce ostatniego spoczynku wygnańców zdaje się prześladować niegościnna ziemia.... woda podmywa groby, drzewa je poją wilgocią cieńców, burza rozwala i miota gałęziami, a mimo to... dwoje ludzi się tu modli i kwiat biały rozkwita nadzieją wiosny....“

Mówią, że gdy Kraszewski przystępuje do dzieła, którem jest bardzo przejęty, wówczas w kościele przy dźwięku organów, lub też wpatrując się w obraz treści religijnej albo fantazyjnej na fortepianie wśród wieczornej ciszy, czerpie w swojej samotni natchnienia.

Powieść, o której mowa, sądząc z jej osnowy i z mnożstwa tak podniosłych, jak przywiedziony powyżej, ustępów mogła tylko powstać pod wpływem obrazu Ruysdaela. Ten sam bowiem z niej bije smutek, też sama, mimo weselszych ustępów, atmosfera żaloby, też samo szamotanie się duszy zbolalej, tęskniącój za niedoścignionym ideałem

z ciężkimi warunkami bytu i rozczarowaniem życiowem.

Powieść Kraszewskiego, o której mowa, mimowoli nasuwa na myśl dzieło angielskiej powieściopisarki Eliott, która w swoim *Danielu Deronda* pragnęła również wydatnie apostołską ideę swego bohatera między tłumem zmateryalizowanych potomków Izraela.

Jakże odmiennie wszelako angielski pisarz pojął to trudne i niezwykle zadanie!

Daniel marzy również o odrodzeniu swego plemienia, ale przewodnią jego ideą jest mrzonka poetyczna—odbudowanie dawnej świątyni i wskreszenie Judzkiego państwa.

Jakób Kraszewskiego jest również apostołem, ale jest on przedewszystkiem obywatelom swego kraju, dzieckiem swego epoki.

Odrodzenie współwyznawców w pojęciu Jakóba nieznaczy wskreszenia tego, co wieki i przeszłość pogrzebały na zawsze, lecz oznacza obudzenie w sercach jego braci szczytniej idei miłości do tego, co nowsze czasy wraz z cywilizacją i nabytkami wiedzy przyniosły w dani duchowi ludzkiemu t. j. zasady koniecznego wyjścia z zasklepionego kółka ciasnych poglądów na życie i ujęcia silną dłońią steru owych drobnych na pozór, lecz w gruncie wszechwładnych czynników, z których spleta się więzanka naszych działań, naszych dążeń i celów.

Jakób Kraszewskiego jest typem obywatela miłującego ludzkość i wszystko to, co ludzkie, ale stawiającego na równi z tem i niezucie miłości dla ziemi rodzinnej, tysiącami węzły wspomnień złej i dobrej doli z życiem naszym związanęj.

W tym samym duchu skreśloną została niedawno przez Orzeszkową sympatyczna postać Meira Ezołowicza w pięknej powieści na tle życia żydowskiego osnutęj.

Daniel Eliotta jest marzycielem, poetycznie pojętym, ale dla ogółu dzisiejszego społeczeństwa niezrozumiałym, Jakóbów i Meirów jest wielu, a da Bóg z czasem liczbą ich będzie — legion.

XIV.

Lecz wróćmy do przerwanego toku opowiadania. Pierwszy krok uczyniony przez Kraszewskiego na polu śmiałego dotknięcia drażliwej kwestyi towarzyskiego uprzedzenia żydów w umysłach narodn, pobudził intelligentną klasę żydów warszawskich do energiczniejszej działalności.

Kółko literackie młodzieży skupione w mieszkaniu T. obok swego duchowego przewodnika D-ra J. poznało całą ważność chwili i z tém większą gorliwością zaczęło się krzątać około myśli utrwalenia swego efemerycznego, dotychczasowego istnienia.

Powstała myśl urządzenia peryodycznych odczytów o przedmiotach historii i literatury. Dr. J. przyjął na siebie obowiązek opracowania seryi opowiadań z dziejów żydowskich i biografii znakomitszych działaczy na polu emancypacji żydów.

Członkowie kółka obowiązali się od czasu do czasu przedstawiać piśmienne prace o rozmaitych przedmiotach z nauk przyrodniczych i belletrystyki. Zapowiedziano ponętny temat: „*Kraszewski i Korzeniowski jako powieściopisarze*“.

Jeden z członków opisał spotkanie duchów Herzberga i jednego z redaktorów na Elizejskich polach — w satyrycznym duchu. — Opracowano życiorysy Mendelssohna i Czackiego i t. d.

Pamiętne wrażenie wywarł był pod owe czasy artykuł niegłośnego jeszcze pisarza Neufelda zamieszczony w Encyklopedyi Orgelbrauda p. t.: „Chassyd.“

Bawiącego w przejeździe przez Warszawę autora zaproszono na jedno z wleczornych zebrań do T.

Nikt na widok owój skromnej, pochyłonej, chowającej się po kątach postaci, nie mógł się domyślić, że człowieczek ów, zajmując niezadługo wybitniejsze w społeczeństwie stanowisko, że siłą talentu swego i głębokiej nauki zawładnie wkrótce sterem nieznanej jeszcze wówczas publicystyki żydowsko-polskiej, której potrzebę już wówczas przeczuwano, ale która w warunkach ówczesnych nie mogła przybrać tego kierunku, jaki był pożądanym dla ogólnego dobra.

Piszących o kwestyi żydowskiej nie brakowało przedtém w literaturze polskiej.

Wszystkie jednak te prace judaistyczne obracały się wyłącznie w teologicznej sferze. Tugendhold wydał pokaźny szereg broszur w téj kwestyi. Były nawet słabe początki literatury śmielszej, bo dotyczącej strony obrządkowej religii żydowskiej. Buchner swą rozprawą „Prawdziwy Judaizm“ wywołał prawdziwą burzę między ortodoksami.

Do talentów pisarskich żydowskich zaliczano między innymi Abrama Paprockiego, autora *Historji ludu Izraelskiego*, wydanej w bardzo szczupłych, z niezależnych od au-

tora przyczyn, rozmiarach. Nie było wszakże dotąd pisarza, któryby kwestyą żydowską postawił na gruncie, że tak powiem, politycznym, któryby powagą swego imienia i stanowiska skupił obok siebie zastęp pracowników o siłach młodych, niezabawionych kolorem kastowości i odosobnienia. —

To zadanie przypadło w udziale Neufeldowi. Głośne to swego czasu nazwisko, obecnie już przycichło nieco. Przeciwności i zawody w trudnej walce z losem zbyt wcześnie złamały to dzielne pióro, które niezbyt dawno temu tak żywy przyjmowało udział w pracy około krzewienia oświaty między żydowską ludnością naszego kraju.

Lecz dziś już z pozostałych po Neufeldzie dzieł i pism, bądź drukiem ogłoszonych, bądź w rękopiśmie jeszcze walających się, odtworzyć sobie można pojęcie o doniosłości zamierzonego przez Neufelda zadania i o dotkliwej stracie, jaką inteligencja krajowa przez zawczesną śmierć tego pracownika poniosła.

Tak zwana kwestya żydowska na Zachodzie dawno już rozwiązana, u nas jeszcze od czasu do czasu podnoszona, dopotąd należyte zrozumianą nie zostanie, dopóki nie będzie zbudowaną zasadniczą podstawą, na której duchowy ustrój żydowskiego plemienia polega.

Uczeni żydowscy na Zachodzie wcześniej już pojęli tę prawdę, że najlepszym środkiem zniweczenia zadawnionych przeciwko żydom uprzedzeń — jak to zresztą i roztropnie radził Nestor naszych historyków Lelwel — jest odsłanianie żydowskiego życia rodzinnego, umysłowego i religijnego sposobem publikacji i tłumaczeń pism, przez społeczność żydowską za powagę uważanych.

W uzuanianiu konieczności takiego zrozumiałego łącznika między żydowską społecznością a ogółem kraju, odzywały się u nas dość często głosy o potrzebie założenia organu specjalnego, któregooby zadaniem było szerzenie istotnych pojęć o żydach i oddziaływanie tym środkiem i na żydów w duchu prawdziwego postępu.

Głosy te przez czas długi nie odnosiły pożądanego skutku i literatura polsko-żydowska skupiała się i szukała przytułku pod okładkami oderwanych broszur, które, trwalszego wpływu na ogół nie wywierały.

Szczęśliwe okoliczności pomogły Neufeldowi do urzeczywistnienia téj upragnionej myśli.

Grono obywateli żydowskich pokonawszy stawiane zewsząd trudności zebrało odpowiedzialni fundusz na założenie pisma peryodycznego, a ster tego pisma oddało w ręce znanego z zacnych dążeń i talentu pisarskiego Daniela Neufelda.

Pamiętuję pozostanie dla wszystkich oświeconych żydów kraju naszego dzieła, w którym po raz pierwszy ukazała się na horyzoncie dziennikarskim, dziś już zagasta „Jutrzenka“.

Ze sztandarem zgody i miłości, z pochodnią oświaty i obywatelskich dążeń, wystąpiła młodociana gazetka do walki z przesądami i ciemnotą, szerząc wszędzie idee zdrowego postępu i potrzeby naprawienia tego, co przeszłość smutna pozostawiła po sobie w spuściźnie.

Artykuły rozumowane, historyczne, wierszyk, powiastka obyczajowa, korespondencje z kraju, złożyły się na ów pierwszy, niebogaty wprawdzie treścią numer pisma, ale który był niejako zapowiedzią rozwoju ku lepszeniu i pierwszą próbą na nieznanym dotychczas polu pracy skuteczniejszej. Prassa warszawska pobłażliwie i z współczuciem przyjęła tego nowego towarzysza do swego grona.

„Zjawienie się pierwszego numeru pisma tygodniowego pod tytułem: „Jutrzenka“ jest pełnem znaczenia — pisał między innemi Kraszewski. Plan i treść wskazują dążność zacząć, w której wytrwać potrzeba. Nie będziemy się rozwodzić nad treścią, która jest w ogóle dobrze obmyślaną, powiemy słowo o znaczeniu tych usiłowań, jakie się mnożą dla zwalczenia dawnego przesądu i wprowadzenia w życie równouprawnienia Izraelitów. Jutrzenka jest pierwszym pismem, redagowanym z tą myślą i w tym celu, by z ludzi wydzielonych, a często dobrowolnie wydzielających się ze społeczności, uczynić obywateli kraju na równi z nami pracujących około jego dobra.

„Wiemy, że stan dotychczasowy w wielkiej części był spowodowanym przez samą naszą społeczność, że wiele było jej winy, ale mówimy prawdę: wiele i z drugiej strony rzeczy przyczyniło się do tego. Różnice stroju, obyczaju, mowy, wyróżnianie się umyślnie uwieczniało rozbrat niebezpieczliwy: potrzeba zwrócić najprzód na to usiłowanie i uczność, abyśmy jednym mówili językiem, nie różnili się ubiorem i powierzchownością nie odstrębiali tam, gdzie wspólnie interesu ogółu powołują. Z obu stron potrzeba usiłowań ku temu, nie wątpimy o skutkach, widząc jak szczere i gorące są chęci Izraelitów naszych. Tą drogą dalej niezmordo-

wanie iść potrzeba i pracować. Jutrzenka może mieć wielką zasługę odwagi, z jaką ją się dzieła dla obu stron ważnego i płodnego w najpiękniejsze owoce“.

XV.

Zakres działalności Neufelda na polu literatury nie ograniczał się jedynie wydawnictwem pisma peryodycznego.

Idąc za wzorem uczonych Zachodu, zapragnął on w literaturze żydowskiej religijnej znaleźć środek oddziaływania na masę. Literatura ta, odtworzona językiem zrozumiałym dla wszystkich, nie była w pojęciu Neufelda gałęzią wyłącznie dla żydów przeznaczoną, lecz przeważnie środkiem nabywania żydów, więcej sposobem uregulowania w duchu postępu ich stosunków wewnętrznych, gminnych, aniżeli nauką czy sztuką dla sztuki, w zamkniętym kółku specjalistów uprawianą.

„Ci, którzy do żydów przemawiają językiem zrozumiałym — były to słowa Neufelda — mają szersze przed oczyma zamiary, idzie im głównie o uczynienie żydów częścią składową narodów, wśród których się osiedlili, a ten interes jest wyższym nad interes plemienny, jest interesem ogółu wszystkich krajów, które dążą ku z amalgamowaniu pojedynczych ras i plemion mających warunki odrębności w jeden związek społeczny. Literaturą hebrajską dopiąć tego tak łatwo nie można, tyle tam już pisano, tylu tysięcy przedmiotów dotykano, iż lud żydowski wierzy wszystkiemu, co drukowane po hebrajsku, byle nie w jego czasach i byle nie w kwestyach społecznych. To, co współcześni piszą i co nie traktuje o przedmiotach religijnych, choćby nawet w języku świętym pisane, niema żadnej wagi w jego oczach. Prawdy mu wypowiedane, napomnienia do poprawy, wskazówki do reformy, nie wpływają na niego, uważa on to za dyskusję przy drzwiach zamkniętych. Inaczej wszakże ceni rzecz pisaną w języku zrozumiałym i dla jego sąsiada chrześcijanina. Ta dyskusja staje się publiczną, a im w szerszych sferach i wyższych kolach bywa czytana, tém silniej nań działa.

„Widząc, że jego sąsiad przysłuchuje się dyskusji, bierze ją do serca, wystrzega się niekonsekwencji, usprawiedliwia się, broni swych zasad, jeśli może, ustępuje, poznawszy, iż niektórych z nich obronić nie może, bo niechciałby, iżby plemię jego i wyznanie cierpiały na powadze i poszanowaniu“.

W takim to duchu podjęte zadanie starał się Neufeld urzeczywistnić przekładami dzieł religijnych na język polski, wyjaśnianiem istotnego znaczenia modlitw i obrzędów żydowskich i artykułami zamieszczanymi w Jutrzence.

W krótkim peryodzie czasu między 1860 a 1866 r. oprócz obszernych artykułów, zamieszczonych w Encyklopedyi Orgelbranda, wydał Naufeld rozprawę: „Wielki Sanhedryn Paryzki przez Napoleona I zwołany“ wydrukował dwa pierwsze tomy Pięcioksięgu Mojżesza w przekładzie polskim i oddzielnie wydaną książkę pod tyt.: „Urządzenie konsystorza żydowskiego w Polsce.“

Podczas dwuletniego pobytu w Cesarstwie, w m. Serdobsku, przetłumaczył „*Modły starożytne Izraelitów*“, wraz z obszerną rozprawą o ich historycznym znaczeniu, i komentarz *Moreh Derech*.

Do innych dzieł i rozpraw Neufelda należą: ważna i pięknym językiem oddana „Gromologia Ojców Synagogi“, „Modlitwy dla dzieci“, wreszcie rozprawa w języku niemieckim pod tyt.: „*Das Buch des Bundes oder gedrängte Darstellung der mosaischen Lehre*“, której polski przekład wraz z trzema ostatnimi tomami przekładu „Pięcioksięgu“ światła dziennego nie ujrzały i dotychczas w rękopismie pleśnieją. Gazeta Polska i Opiekun Domowy drukowały jego prace ogólniejszego znaczenia.

Ważną zasługą Neufelda oprócz prac literackich było skupienie obok siebie liczego zastępu pracowników, których do wspólnego dzieła umiał własnym przykładem i serdeczną radą zachęcić. Pojawily się też za działalności Neufelda piękne pi-

sarskie talenta: S. Trachtenbrga, S. Peltyna (obecnego Redaktora Izraelity), Ben Izaaka, Józefa Kirszrota, A. J. Cohna, życzliwie przez krytykę ocenione. Szereg artykułów wstępnych przez ciąg paroletniego istnienia Jutrzenki napisanych, był przeważnie pióra Neufelda. Poruszył on w nich wszystkie żywotne kwestye z dobrobytem kraju ściśle powiązane. Obok wewnętrznej, zawsze uczciwej, owianej serdecznym ciepłem treści, odznaczały się te artykuły piękną polszczyzną, stylem barwnym, jędrnym, potoczystym, przypominającym dosadnością i śmiałością styl złotego okresu pisarzy.

Postępowe zasady Neufelda, jego bezwzględność w wypowiedaniu przekonań, zjednały mu między zacofańcami niechętnych, ale w kołach ludzi inteligentnych wszystkich wyznań i w pośród prasy krajowej słowo Neufelda cieszyło się uznaniem i powagą.

Ostatnie lata życia swego przepędził Neufeld zdala od ogniska swój poprzedniej działalności. Zawody moralne i materialne nie zniechęciły wprawdzie Neufelda od dalszej w obranym kierunku pracy, ale odejęły mu możność doprowadzenia do skutku szeroko zamierzonych planów.

Tak wiedząc z opuszczonemi rękoma po za stołem księgarskim cichego prowincjonalnego miasta, zgasł dzielny szermierz postępu w sile wieku... poniosłszy ze sobą do grobu trochę pięknych wspomnień i wiele rozczarowania.

.

Alexander Kraushar.

SPIS PRENUMERATORÓW.

Abezyński, adwokat.
 Abramowicz Leopold.
 Adels Kazimierz.
 Adelstein.
 Akielewicz Mikołaj.
 Aleksandrowicz Aniela.
 Aleksandrowicz Jerzy.
 Aleksandrowicz L. S.
 Altenberg i Robitschek, egz. 11.
 Anders Wilhelm.
 Andrzejowski Józefat.
 Antoniewicz K.
 Antonowicz.
 Antonowicz Bronisław.
 Antonowicz Józefat.
 Antonowicz Waleryan.
 Antoszewicz Aleksander.
 Antoszevska Emilja.
 Antoszewski Adam.
 Antoszewski Bolesław.
 Antoszewski Sylwan.
 Antulski Mieczal ks.
 Antuszevics Edward.
 Apelt Hipolit.
 Appel Antoni.
 Aramowicz Paulina.
 Arcimowicz Adam.
 Arcimowiczowa Postumia.
 Arciszewska, z Wilna.
 Aret Stanisław, egz. 10.
 Arezyński Kazimierz.
 Armin Piotr.
 Arndt J.
 Arnold z Bukowiny.
 Aufschlag Lueyan.
 Augustajtyś Fr. ks.
 Augustynowicz.
 Aulich Artur.
 Augustynowicz.
 Auspitz Maurycy.
 Aweyde Edward.

Babiński Franciszek.
 Babiński Teofil.
 Babiński, professor.
 Baczyński Zdzisław.
 Baczynski Cezary.
 Badzkiewicz Jadwiga.
 Bagiński Józef, dr.
 Bagniewska.
 Bagniewska Albertyna.
 Bajerkiewicz Aleksander.
 Bajkowska Jadwiga.
 Bajkowski Walenty.
 Bakinowski Antoni, dr.

Książka Jubileuszowa.

Balieki Onufry.
 Baliński Józef.
 Balun, ks. z Filipowa,
 Balis Antoni, dr.
 Baumberg Teodor.
 Bandurski Józef.
 Bandzewicz Władysław.
 Bańkowski W., dr.
 Bańkowski z Włodawy.
 Barankiewicz Władysław.
 Baranowicz, dr.
 Baranowicz Tadeusz.
 Baranowski Bolesław.
 Baranowski Ignacy.
 Baranowski Marein.
 Baranowski Teodor.
 Baranowski, w Lublinie,
 Barciński Salomon.
 Bardzki Edward.
 Bardzki Stanisław.
 Barski Antoni.
 Barszewski Maks.
 Bartnicki Leon, ks.
 Bartold Eugenia.
 Bartoszewicz A. ks.
 Bartoszewicki Julian.
 Barzenberg Teresa.
 Bauerentz Arnold dr.
 Bąkowski Henryk.
 Bąkowski Konrad.
 Beaudoine de Courtenay.
 Beaudoine de Courtenay Jan.
 Beaurain Jan, egz. 2.
 Belejowska Joanna.
 Bolesta.
 Belcikowski Jan.
 Belkowski W., egz. 2.
 Belowski, w Lublinie.
 Belza Stanisław.
 Belzecki Piotr.
 Benislawska Adelajda.
 Benislawska Marya.
 Bentkowski Kazimierz, dr.
 Berent Marcelli.
 Bereśniewicz, dr.
 Berezowski Heliodor.
 Berezowski Julian.
 Berezowski Kazimierz.
 Berger Józef.
 Berlinerblau.
 Bernatowicz Antonina.
 Bernstein Elias.
 Bernstein Henryk.
 Berson Bernard.
 Beudelson Ignacy.

Beyer Karol.
 Bezak Karolina, Generalowa.
 Bębnowski.
 Bialecki.
 Białobłocki Bronisław.
 Białosuknia Lueyna.
 Białowiejski Maksymilian.
 Biały Julian, ks.
 Biały, ks. z Cieczerska.
 Biblioteka w Dąbrowie Górna.
 Biblioteka hr. Krasieńskich.
 Biehler.
 Bielajew Leokadya.
 Bielawska Hyacenta.
 Bielawski P. S.
 Bielecki Ludw.,
 Bielewicz Hipolit.
 Bielecki Erazm.
 Bielminowicz Scypion.
 Bielińska Rozalia.
 Bielińska Walerya.
 Bieliński Józef, dr.
 Bieliński Stanisław.
 Bieliński Teodor.
 Bielska Emilia.
 Bielska Marya.
 Bieniecki Ludwik.
 Bienkowska Olga.
 Bienkowski Bronisław.
 Biergiel Józef, ks.
 Biernacka Lucyna.
 Biernacki Cezary.
 Biernacki Walery.
 Biernawski, z Pinczowa.
 Biesiekierski.
 Biesiekierski Włodzimierz.
 Bielewski Tomasz.
 Biskupski.
 Biskupski Władysław.
 Blum Jakób.
 Bławdziewiczowa Marya.
 Bławiewicz Antoni.
 Bławiewicz, ks. z Scin.
 Błaś Leon.
 Bobakowski Artur.
 Bobańska Marya.
 Bobowski Karol.
 Bobrowieńska Zuzanna.
 Bobrowski Aleksander.
 Bobrowski Feliks.
 Bobrowski Henryk.
 Bobrowski Tadeusz.
 Bochwicowa Floryanova.
 Boeierski Dominik.
 Boczarski Julian.

Boczyliński Ignacy.
 Boduszynski, z Piszczyna.
 Boguet.
 Boerner E. X., pastor.
 Bogatko Konstanty.
 Bogatko Władysław.
 Bogucka Marya.
 Bogucka Olga.
 Bogucki Henryk.
 Bogucki Marcelli.
 Bogucki Stanisław.
 Bogucki, w Szezuczynie.
 Bogusławska.
 Bogusławska Wanda.
 Bogusławski Władysław.
 Bogusławski Wiktor.
 Bogusławski, w Rajeczce.
 Bohdanowicz Władysław.
 Bojakowski, ze Stawiszcz.
 Bokiewicz Dyonizy.
 Bokiewicz dr.
 Bolecki Konstanty.
 Bolesławski Michał dr.
 „Bolesław z Ukrainy“.
 Boładź, ks. z Nowego Miasta.
 Boniecki Ludwik.
 Borecki Jan.
 Boretti T.
 Borkiewicz Bolesław.
 Borkowski Bronisław.
 Borkowski Ksawery.
 Borkowski Stanisław.
 Bormann Jan.
 Borner.
 Bornstein.
 Borowski Wilhelm.
 Borowski Aleksander.
 Borowski Aleksander.
 Borszczowski Emilian.
 Borkiewicz Marya.
 Borzewski Łukasz.
 Borzęcki.
 Borzęcki Bolesław.
 Boski Konstanty.
 Boskowiec Edmund.
 Bossak Antoni.
 Bouchard Ludwik.
 Bożeniec Jolowicki Aleksander.
 Braibisch Ludwika.
 Bratkowski Wacław.
 Braum Wolff.
 Brenert Aleksander.
 Bretschneider Julian.
 Brochocki Ignacy.
 Brodowska Marya.
 Brodowski August, egz. 2.
 Brodowski Jan Kazimierz.
 Brodowski Włodzimierz.
 Brodowski Zygmunt.
 Brodzki.
 Broniewska Jadwiga.
 Bronikowski.
 Bronowska Marya.
 Broszkiewicz Mieczysław.
 Bruzendorf August.
 Brykezyński.
 Brylewicz Matylda.
 Bryliński.
 Bryndza Ludwik.
 Brzezińska Michałina.
 Brzeziński Bronisław.
 Brzeziński.
 Brzeziński Erazm.
 Brzeziński Jan.

Brzoska Henryk.
 Brzostowski Aleksander Bolesław.
 Brzozowska Stefania.
 Brzozowski Gustaw.
 Brzozowski Włodzimierz.
 Brzozowski Włodzimierz.
 Brzozowski Włodzimierz, egz. 2.
 Bucewicz Bronisław.
 Bucewicz Nestor, dr.
 Buchowska Marya.
 Buckiewicz Joanna.
 Budkiewicz Konstanty, egz. 3.
 Budrewicz Dominik, dr.
 Budryk Anna.
 Budzińska Helena.
 Budziszewski Czesław.
 Budziszewski Kazimierz ks.
 Budzyński, ks.
 Badzyński.
 Budzyński Aleksander.
 Bujnicki Adam.
 Bujnicki Teodor.
 Bujalski Władysław.
 Bule J.
 Bulhak Edgar.
 Bulhak Józef.
 Bulhakowa.
 Bulhakowa Teresa.
 Bulkowiński Bronisław.
 Burdziński Józef.
 Burzyński A.
 Burzyński, dr.
 Burzyński Feliks.
 Butkiewicz Rozalia.
 Butkiewicz Wiktor.
 Butler Jan.
 Butrym Nikodem.
 Bykowski Antoni.
 Bykowski Jaksza Piotr.
 Bylicki, ks.
 Bylina Zdzisław.
 Bystrzyński.

Cederbaum Henryk.
 Cedroński Michał.
 Celichowski Tadeusz.
 Celiński.
 Celiński Antoni.
 Centnerszwer, egz. 57.
 Cepryńska Kornelia.
 Chajek Ksawera.
 Chaniecki Józef.
 Charowicz Marya.
 Charkowski Jan.
 Charmański Ludwik.
 Chazewska Wilhelmina, egz. 2.
 Chadyńska.
 Cheliński Franciszek.
 Chelmiecki Adolf.
 Chelmiecki Jan.
 Chelnowski Konstanty.
 Chelnowski Ksawery.
 Chłapański Józef.
 Chmielewski, dr.
 Chmielewski J.
 Chmielewski Michał.
 Chmielewski Zygmunt.
 Chmieliński Józef.
 Chmieliński Faustyn.
 Chlopicka Felicya.
 Chodaeki Witold.
 Chodakowska Eugenia.
 Chodakowski K.
 Chodera Ludwika.

Chodkiewicz hr. A.
 Chodorowska Natalia.
 Chodorowski Zbigniew.
 Chodyńska Gabryella.
 Chodźko, General-Łejtnant.
 Chodźko Leonard, egz. 9.
 De Choiseul Gabryel, hr.
 Chojecki Józef.
 Chojka Piotr.
 Chojnacka Lucyna.
 Chojnacki Leonard.
 Chojnowski Szczepan.
 Cholewicki Aleksander.
 Cholewicki Jan.
 Chomentowski Antoni.
 Chomiczowski F.
 Chomiński Michał.
 Choromański K.
 Choroszewicz Cezary.
 Choroszewski Edward.
 Choroszewski Wincenty.
 Chotkowski Aleksander.
 Chrzanowski Bolesław.
 Chrzanowski Jan Nepomucen.
 Chrzanowski L.
 Chrzanowski Tad.
 Chrzanowski Władysław.
 Chrzyszczewski Feliks, egz. 2.
 Chrzyszczewski.
 Chudziński Marian.
 Chudziński Aleksander.
 Chwałibóg Feliks.
 Chwieskowski, dr.
 Cichocki Józef.
 Cichocki Karol.
 Cichocki Leopold.
 Cichowiec.
 Ciechanowiecka Ludwika.
 Ciechański Michał.
 Ciecierski hr. Stefan.
 Ciecierski Klemens.
 Cielecka Emilia.
 Cielecka Józefa.
 Ciemińska Justyna.
 Ciemiński Artur.
 Ciesielski Ignacy.
 Cieszewski, w Stropkowie.
 Ciszewicz Jarosław.
 Ciświcki Teofil.
 Cmiechowski.
 Cithura Br., ks.
 Cundziewicka Helena.
 Curriero Celestyn.
 Cybulski, w Kaliszu.
 Cygański Stanisław.
 Cypryński Antoni.
 Cyronski, sed. śled.
 Cytarzynski Paweł.
 Cywiński Kazimierz.
 Cywiński Zenon, dr.
 Czabowski J.
 Czajkowski Bronisław.
 Czajkowski Karol.
 Czamański Adolf.
 Czapiński Anzelm Teofil.
 Czapiński Euzebiusz Wiktor.
 Czapiński Leopold.
 Czapliski.
 Czapliski Feliks.
 Czapliski, w Kowalewie.
 Czapliski, ks.
 Czarkowska Eleonora.
 Czarkowski Julian.
 Czarkowski Ludwik.

Czarnecka Izabella, egz. 2.
 Czarnecki.
 Czarnecki, adwokat.
 Czarnecki Dyonizy.
 Czarnecki F.
 Czarnecki Modest.
 Czarnoeka.
 Czarnoeka.
 Czarnoeki Gracyan.
 Czarnoeki Gustaw.
 Czarnoeki Józef.
 Czarnoeki Kazimierz.
 Czarnoeki Wiktor.
 Czarnomski Alfred.
 Czarnota Bojarski.
 Czarnowski Justyn.
 Czarnowski Kazimierz.
 Czarnowski Stefan, egz. 4.
 Czarnowski St. i Sp.,
 Czarnowski Stanisław.
 Czechowicz.
 Czarnowski z Kijowa.
 Czechowicz Aniela.
 Czechowicz Józef.
 Czeżot Albin.
 Czeżot Edward.
 Czeżot Witold.
 Czekierski, dr.
 Czepielowski Napoleon.
 Czerepowicz Ksawery.
 Czarkawski Maksymilian.
 Czerkawski Paweł.
 Czerniński.
 Czernica Ludwik.
 Czernichowski, dr.
 Czerniewski Jan.
 Czerniowski Władysław.
 Czerny Aleksander.
 Czerny Henryk.
 Czerski Stanisław.
 Czerszyk, dr.
 Czerwiński Antoni.
 Czerwiński, ks.
 Czetwertyński k-żę Włodzimierz.
 Cznbalski Józef.
 Czuszkowski Paweł.
 Czytelnia Leona Szymońskiego.
 Czytowicz Michał.
 Czwalińska Józef.

Dabiński Ignacy.
 Danielewicz Roman.
 Daniłowicz Jan.
 Daniszewski Wacław.
 Darewski-Weryha Franciszek.
 Darzewski W. w Siedzowie.
 Dattynier.
 Dauksza Hieronim.
 Dawidowski Mieczysław.
 Dawnarowicz.
 Dąbrowska Cezaryna.
 Dąbrowska Feliksa.
 Dąbrowska Stanisława.
 Dąbrowski.
 Dąbrowski Antoni.
 Dąbrowski Ignacy.
 Dąbrowski Karol.
 Dąbrowski Leonard.
 Dąbrowski Leopold.
 Dąbrowski Mieczysław.
 Dąbrowski, sędzia.
 Dąbrowski Tadeusz.
 Dąbrowski Walenty.
 Dąbrowski Witalis.

Dąbrowski Paulin.
 Dąbski Feliks.
 Dębicki W.
 Dąbski hr. Michał.
 Degórski.
 Deike Karol.
 Deike Zofia.
 Deputowski Jan.
 Derkuczewski.
 Deskur Konstancja.
 Dębicki Władysław.
 Dębicki Zygmunt.
 Dębowski Paweł.
 Dębska Tekla.
 Dłuska Marya.
 Dłużewski.
 Dłużniowski Cyprian.
 Dłużniowski Władysław.
 Dmochowska Jadwiga.
 Dmochowski Franciszek.
 Dobiecki M.
 Dobiecki Wincenty.
 Doborzyński Julian.
 Dobraczyński Jan.
 Dobrodziej Józefina.
 Dobrogowski Bronisław.
 Dobrowolska Antonina.
 Dobrowolska Teofila.
 Dobrowolski Adolf.
 Dobrowolski Jan.
 Dobrowolski Julian.
 Dobryllo Władysław, ks.
 Dobrzański Mirosław.
 Dobrzański Wincenty.
 Dobrzycka Eleonora.
 Dobrzycki H., dr.
 Dobrzyjałowski August.
 Dobrzyńska.
 Dolkowski Seweryn.
 Domagalski, regent.
 Domańska Eleonora.
 Domańska Józefa.
 Domański Bronisław.
 Domański Józef.
 Domański Kujetan, ks.
 Domański M. F.
 Domański Seweryn.
 Domaradzki Adam.
 Domaradzki Ewaryst.
 Domaradzki Tadeusz.
 Domarzewski, w Warszawie.
 Domaszewski Aleksander.
 Domżański Fr.
 Donimirski Walerya.
 Doniszewski Wacław.
 Dorauff Zofia.
 Doregowski Hldefous.
 Dornstein.
 Doruchowski.
 Dowgierd A.
 Dowunarowicz Ignacy.
 Dragon Józef.
 Draiński Janusz.
 Drażewski Ludwik.
 Drecki Stefan.
 Drecki Władysław.
 Dreling Hieronim.
 Dreling Walerya.
 Drenowska Felicya.
 Drozdowski Rafał.
 Drwalewski Leonard.
 Drzewiecki August.
 Drzniewicz Jan.
 Dubelt, w Radomiu,

Dubiński Maryan.
 Duchateau Stefan.
 Duczyński Ludwik.
 Dukiet Wojciech.
 Dulciński L.
 Dulewicz Zenon.
 Dutkiewicz Walenty.
 Dunajewski A.
 Danciger, w Kaliszu.
 Dunin-Karwicki, hr. J.
 Dunin-Karwicki Konstanty.
 Dunin Kazimierz.
 Dunin Ksawera, hr.
 Dunin Romuald.
 Dursa Konstanty.
 Durzycka Karolina.
 Durzycki Antoni.
 Duszakiewicz Bogumiła.
 Duszyński A.
 Dworżański Władysław.
 Dyakowska Natalja.
 Dydyński Jan.
 Dygasińska Justyna.
 Dymitrowicz Marya.
 Dynowski.
 Dynowski Teofil.
 Dynowski Teofil.
 Dynowski Konrad, dr.
 Dziamański Paweł, ks.
 Dziekońska Zofia.
 Dzierzawski Jan.
 Dzierżanowski Henryk.
 Dzierżbiecki Cyprian.
 Dzierżbiecki Konstanty.
 Dzieszuk Romuald.
 Dziewanowski Kazimierz.
 Dziewiatkiewicz Stanisław.
 Dziewiecki Roman.
 Dziewulski Saturnin.
 Dziubińska Julia.
 Dzwonkowski Ignacy.

Eichman Ludwik.
 Ejdrygiewicz Michalina.
 Ejnarowicz Samuel.
 Eisenbett H., dr.
 Ejsymont Fr.
 Ejsymont Michał.
 Ekstowicz Józef, ks.
 Eljaszow Joachim.
 Epstein J. M.
 Essen Józef.
 Estreicher Karol.

Fabian Alfred.
 Fajans Maksymilian.
 Falewicz A.
 Falecki Emilian, dr.
 Falkowski.
 Farenholtz Amalia.
 Fawez Zofia.
 Fechner Zygmunt.
 Feder Józef.
 Feinkind Cecylia.
 Feist Aleksander.
 Felauer Henryk.
 Fiede Ignacy.
 Fijałkowski Bronisław.
 Filanowicz Antoni Wielisław.
 Filipkowski Stanisław.
 Filipowicz Aleksander.
 Filipowicz Józef.
 Filipowski Ignacy.
 Finkelsztejn Berta.

First.
Fischer Jan.
Fischer.
Fischer Otton.
Fohland Karol.
Formińska Leokadya.
Formińska Ludmiła.
Francki Aleksander.
Frankowska Teofila.
Fracki.
Frendensohn, dr.
Friedlein D. E., egz. 2.
Friedlein J.
Fronckiewicz Konstanty.
Fronckiewicz Wiktor, ks.
Fruchtman Józef.
Frycz Karol.
Fryk Edmund.
Fryze Edmund.
Funkensztein Ludwik.

Gabryel Helena.
Gajecki Leon.
Gajewski Władysław.
Gagatnicki.
Gajkiewicz Konstanty.
Galatti, w Warszawie.
Galoff Wiktoria.
Galkowski Ludomir.
Gampf Hilary.
Gampf Józef.
Garczyński.
Garwoliński Franciszek.
Gasztowd Anatoliusz.
Gawiński Romuald.
Gawkowski Aleksander.
Gawroński Henryk.
Gawroński Teofil.
Gąsiewski Stefan.
Gąsiorowski Kazimierz, ks.
Gąsiorowski Stanisław.
Gąsowska Tekla.
Gebethner i Wolff, egz. 200.
Gebethner G. i Sp. w Krak., egz. 12.
Geisler Amelia.
Geldhard Teodor.
Gepner Bronisław, dr.
Gepner Stanisław.
Gepner, w Lubartowie.
Geppert B., z Przybienia.
Gerlach Karol.
Gerlach Sylwin.
Gerlach, w Kaliszu.
Giejsztor Bronisław.
Giejsztor Stanisław.
Gierłowiec Marya.
Gieroltowski w Sieradzu.
Gileczek Amelia.
Gilewicz Celestyna.
Gilewicz Eleonora.
Gintowt, ks. Biskup.
Girdwojń.
Gizbert Karol.
Giżycki Kazimierz Jan.
Giżycki Wacław.
Glazer Zofia.
Gleser A.
Gleichgewicht Justyna.
Glinojcki Piotr.
Glinojcki Władysław.
Gliszczyńska.
Gliszczyński Leon.
Glogerowa Michalina.
Gloger Zygmunt.

Gładysz.
Głębiński M.
Głębocka Emilia.
Głębocka Zofia.
Głębocki Jan.
Głębocki Józef.
Głębocki Karol.
Głębocki, senator.
Głowański, emeryt.
Głowański Felicyan.
Głowański J. Z.
Głuchowski Teodor, ks.
Głuchowski Jan.
Gniewiewski Waleryan.
Goduszeńska Zofia.
Godecki Franciszek, dr.
Godlewska Teresa.
Godlewski A.
Godlewski Bronisław, egz. 8.
Godlewski Tadeusz.
Godlewski Witold.
Goedstein.
Goetz.
Goldbaum.
Goldblum Simon.
Goldflam Balbina.
Goldhaar Michał, egz. 2.
Goldman Karolina.
Goldman Leon.
Goldschmidt Jakób.
Goldschmidt Józef.
Goldschmidt Julian, dr.
Goldsztein, dr.
Golimont Gaspar.
Golisowski, w Odessie.
Golembowski, z Treszkowie.
Golembowski A.,
Golembowski Adam.
Golembowski Bolesław.
Gorajski Jan.
Gorczycki, w Brodzie.
Gordziałkowska Eleonora.
Gorkiewicz Karol, ks.
Goryniewska Władysława.
Gorzeński Ignacy.
Gorzkowski Roman.
Gosławski Emil.
Gostomski.
Gościński, obywatel.
Goul.
Góralski Grzegorz.
Górecki Tadeusz.
Górecki Władysław.
Górski, dr. z Odessy.
Górski Konrad.
Górski Teodor.
Górski Władysław.
Górski Wojciech.
Górski, z Woli Adamowej.
Grabianka Honorata, hr.
Grabiański Leon.
Grabowiecka Jadwiga.
Grabowska K.
Grabowski Adolf.
Grabowski, budowniczy.
Grabowski Hipolit.
Grabowski Maksymilian.
Grabowski Stanisław, hr.
Grabowski Stefan.
Grabski z Płocka.
Gradowski Leon.
Grajewski Tadeusz.
Grapow Teofil.
Graveur J., w Lipsku.

Grażewicz Julian.
Grażewicz Władysław.
Gregorowicz Wiktor.
Grejm Michał.
Grobiecki Piotr.
Grocholska Eufrozyna.
Grochowski Al.
Grochowski Stanisław.
Grozicka, ze Służkowa.
Grodzicki Władysław.
Grodzki.
Grodzki Alfred.
Gromadzki Henryk.
Grossglick.
Grudl, dr.
Gruff Erazm.
Gruszczyński Adam.
Gruszecka Klementyna.
Gruszecka Marya.
Gruszecki Aleksander.
Gruszecki Jan.
Gruszecki Jan, z Kielm.
Grünfeld Aleksander.
Gryglewski Justyn, ks.
Grzankowski Alojzy.
Grzegorzewicz Michalina.
Grzesiewicz Jan.
Grzybowski Eugeniusz.
Grzybowski, z Łopiennika.
Gubrynowicz i Schmidt, egz. 16.
Gudowski.
Gudwilowicz Julian, dr.
Gudwilowicz Kazimierz.
Gumiński, ks.
Gumkowski Felicyan.
Gumowski Jan.
Gustowski, z Konina, egz. 3.
Gustowski Tadeusz.
Guthner.
Guzowski Jan.
Günther i Malecki, egz. 9.
Gzopowicz, dr.
Gzowska Marya.

Habielski Ignacy.
Hablnak, w Lublinie.
Hagmajer Marya.
Hahn Adam.
Halkiewicz Józef.
Halkiewicz Marya.
Halkiewicz Władysław.
Halkowska Franciszka.
Halpern Daniel.
Halpert Feliks.
Halaczkievicz.
Hann Juliusz.
Hannum Józef.
Harasiewicz Marya.
Hartman Gustaw, dr.
Hansztein Henryk.
Hartmann Salomon.
Heidenreich Konstancja.
Heiman Simon.
Heinrich Aleksander, dr.
Heinrich Aleksander.
Heinrich Bogumił.
Heintze Henryk.
Helbich Józef.
Hellman Edward.
Heltman Leon.
Helezyński.
Herbert-Heybowicz Stanisław.
Herdin Wincenty.
Herniczek Ignacy.

Hertz Aloizy.
Hertz Józef.
Hess.
Hildebrand A., w Radomiu.
Hildebrand Aleksander, egz. 2.
Hildebrand Matylda.
Hildebrand Matylda, w Radomiu.
Hilke Henryk.
Hilsberg Jerzy, egz. 2.
Hirosz Józef.
Hischon Natan.
Hiż Tadeusz.
Hlebowicz Antoni.
Hlybowski Bazyli.
Hofinański Wincenty.
Holecki Jan.
Holewiński Władysław.
Holodecki Antoni.
Holowiński Tadeusz.
Holińska Elżbieta.
Homińska Ewelina.
Hoppen Witold.
Horalek Władysław.
Horezak Józef.
Hordliezkowa, w Czechach.
Horentzl.
Horkawicz.
Hornowski Ludwik.
Horodecka Leopolda.
Hösick F., egz. 3.
Hrehorowicz Seweryn, dr.
Hryniewicz J.
Hryniewicz Jan.
Hryniewicz Jan.
Hryniewicz Stefania.
Hryniewicki Adolf.
Hryniewiczcki Bolesław.
Hryniewiczcki Jan.
Hryniewska, z Żytomierza.
Hryniewicz Piotr.
Hryszkiewiczowa Józefa.
Hube.
Huber.
Hubicki Bolesław.
Hubicki Konrad.
Hubicki Konrad.
Hulanicki Cezary.
Hulewicz Jgnacy.
De Hun.
Huppmann Jan, dr.
Husarski, ks.
Hussarowski Zygmunt.
Huss, inżynier.
Huszezo Andrzej.
Huzarski Karol.
Hübner Grzegorz.

Iberszer Henryk.
Idzikowska Helena, egz. 30.
Idzikowski.
Idzikowski Edmund.
Heciewicz, z Wilna.
Iliński Czesław, hr.
Iliński Heliodor, hr.
Ilustrowski Stanisław.
Inatowicz Jan.
Inatowicz Jan.
Indycki.
Iszora Jan.
Iwanicka Marya.
Iwanicki, z Kijowa.
Iwanowicz Albert.
Iwanowicz Jan.

Iwanowska Hilary.
Iwanowska Jadwiga.
Iwanowska, z Woroneżkiej gub.
Iwanowski Romuald.
Iwańska Klementyna.
Iwański Władysław.
Iwaszkiewicz Alexandra.
Iwaszkiewicz Cezary.
Iwaszkiewicz Józef.
Iwaszkiewicz Julia.
Iwaszkiewicz Leon.
Iwaszkiewicz Walerya.
Izbiecki Alex., dr.
Izdebski, ks. w Puszczy.
Iżycki Władysław.

Jablecka, w Łomży.
Jablonowski.
Jablonowski Antoni.
Jabłoński Eugeniusz.
Jachimowicz Romuald.
Jackowski.
Jackowski Tomasz.
Jacobi Wilhelm.
Jacińska Helena.
Jaczyński Gustaw.
Jagmin Bolesław.
Jagmin Kalixt.
Jahilnicki.
Jaholkowski Jan.
Jakowska Helena.
Jakowski Józef.
Jakowicki Bronisław.
Jakóbski Adolf.
Jaksiewicz Antoni.
Jakubowska Marya.
Jakubowska Zofia.
Jakubowski Teofil, dr.
Jakubowski, ks. kan.
Jakubowski, w Tatkowie.
Jakułowicz Antoni.
Jalbrzykowski Seweryn.
Jamiolkowski Józef.
Jamont Piotr, ks.
Janasz.
Janeczowski Walery.
Janeczurowicz Felix.
Janicki Ignacy.
Janicki Józef, dr.
Janicki Karol.
Janiszewski Czesław.
Janiszewski Konstanty.
Janiszewski Leopold.
Janiszewski, w Lublinie.
Jankowska Kamilla.
Jankowska Marya.
Jankowski Alex., ks.
Jankowski, z Mirgorodu.
Janowska Henryka.
Janowski Henryk.
Janowski Stanisław.
Janowski Waleryan.
Janowski Wincenty.
Januszewicz Konrad.
Januszewski.
Janusz Edward.
Januszewski Albin.
Januszewski Eugeniusz.
Januszewski Józef.
Januszkiewicz Jan.
Januszkiewicz, ks.
Jarmiński Piotr.
Jarosiewicz Karol.
Jarosiewicz S.

Jaroszyńska Konstancja.
Jasielewicz Apollo.
Jasieniecki Prosper.
Jasiński Stanisław.
Jasińska Apollonia.
Jasińska Eugenia.
Jasiński L.
Jasiński Michał.
Jast Ludwik.
Jastrzębski Jan.
Jaszczońska Helena.
Jaszowski.
Jarnuszkiewicz Stanisław.
Jarociński, z Radomska.
Jaroszewicz Tytus.
Jarząbkowska Klara.
Jarząbkowska Marya.
Jawgiel Julian.
Jaworowska.
Jaworowski Alexander, dr.
Jaworska Natalia.
Jaworski Wincenty.
Jawurek, dr.
Jelezewska, w Janowie.
Jelenkowskii Julian.
Jeliński.
Jelski Aleksander.
Jelsey Ludwika i Leon.
Jelowicki Alexander.
Jelowicki Kazimierz.
Jeska Norbert.
Jeśman Jarosław.
Jezierska Marya, hr.
Jezierski Jan.
Jezierski Józef, ks.
Jeziorański Franciszek.
Jeziorański Karol.
Jeżewski Jan, dr.
Joemski Józef,
Jocunski.
Jodko Stanisław.
Jodko-Narkiewicz, dr. egz. 2.
Jokisz Zofia.
Jokiszowa Marya.
Jopkiewicz Józef, ks.
Jordański Wincenty.
Jotejko Lucyan.
Józefowicz-Hlebiński.
Józefowicz M.
Juchniewicz Cezary.
Juszczyk Edward.
Jundzill Józef, dr.
Jundzill Maurycy.
Jundzill Marya.
Jundzill Stefania.
Jungowska Henryka.
Juniewicz Stanisław.
Junosza-Kurdynowicz Mieczysław.
Jurczyk Jan.
Jurewicz Kamilla.
Jurewicz Kazimierz.
Jurjewicz Mieczysław.
Jurkiewicz Wincenta.
Jurkowski Leon.
Jurkowski Ludomil.
Jurow M.
Juściński, w Lublinie.

Kacicki Hipolit.
Kaczanowski Bolesław.
Kaczowska Ludwika.
Kaczowski G.
Kaczorowska.
Kaczorowski Michał.

Kaczyński Michał.
 Kaczyński Adolf.
 Kaczyński, w Kijowie.
 Kaczyński, z Łomżyńskiego.
 Kader Andrzej, ks.
 Kaleński Ignacy.
 Kalicki.
 Kalicki Józef.
 Kalinowski F., dr.
 Kalinowski Gabriel.
 Kalinowski, porucznik.
 Kaliski Julian.
 Kaliszewski Antoni.
 Kallett Zofia.
 Kamocki Alexander.
 Kamieniecka Klementyna.
 Kamieniecki Cezar.
 Kamieniecki, ks.
 Kamińska Teodozja.
 Kamiński Teofil.
 Kamińska.
 Kamiński, z Jurkówek.
 Kamiński Antoni, ks.
 Kamiński Odrowąż Antoni.
 Kamiński Władysław.
 Kamocki Włodzimierz.
 Kanigowski Włodzimierz.
 Kantak Kazimierz.
 Karaffa-Korbutt Józef.
 Karasiński, w Lublinie.
 Karcewski, w Stawiszynie.
 Kardaszewicz Mieczysław, egz. 2.
 Karnecki Julian.
 Karnilowicz, dr.
 Karnkowska Antonina.
 Karnkowska Marya.
 Karońska Jadwiga.
 Karpiński Feliks.
 Karpiński Piotr.
 Karpowicz Helena.
 Karpowicz Kazimierz.
 Karpowicz Witold.
 Karski Kajetan.
 Karwadziński Paweł.
 Karwiński Dumin Józef, hr.
 Karwowski, adwokat.
 Karwowski Kajetan.
 Karziński Jan.
 Kasperowska Adela.
 Kasperski Stanisław.
 Kawczyńska Marya.
 Kawalski Ludwik.
 Kayzer Józef.
 Kazimierowski Mikołaj.
 Kącki, ks.
 Kąkolewski Władysław.
 Kątkiewicz.
 Kempański Izidor.
 Kempański Maksymilian, w Kaliszu.
 Kempański Maksymilian.
 Kempner, w Płocku, egz. 16.
 Kerbedź.
 Kernbaum Józef.
 Kępiński, dr. egz. 2.
 Kęszycki, w Kaliszu.
 Kiełńska Regina.
 Kiełński Tadeusz.
 Kieka Natalia, Generalowa.
 Kielpisz Adolf.
 Kielpisz Józef.
 Kierbedź Paulina.
 Kiersnowska Adela.
 Kiersnowska Helena.
 Kiersnowski Henryk.

Kiersznowski Ferdynand.
 Kiersnicki Stanisław.
 Kiełbiński Stanisław.
 Kijeński Stanisław.
 Kirsztrot Józef.
 Kirkor Marya, egz. 3.
 Kieszowski.
 Kisielewski Józef.
 Kisielewski, ks.
 Kisielnicka Jadwiga.
 Klass Aurelia.
 Klebanowicz Ludwik.
 Klecka Karolina.
 Kleczkowska Zofia.
 Kleczyński Bohdan.
 Klenkiewicz Antoni.
 Kleszczyński.
 Klimaszewski, ks.
 Kliniecki, w Garwolinie, egz. 2.
 Klimontowicz Longin.
 Klingenberg Felix.
 Klink, dr.
 Klonowska Rozalia.
 Klonowski, dr.
 Kłaczewicz Jan.
 Klug E.
 Klukowska Krystyna.
 Klukowska Zofia.
 Klobukowski Stanisław.
 Kłopotowski A.
 Knoll Antoni.
 Knoll Ignacy.
 Knott Ewelina.
 Kobyliński Hubert.
 Kobyliński Jan.
 Kobyliński Julian.
 Kobyliński Lucyan.
 Kochanowski Kajetan, dr.
 Koczorowski Romuald.
 Kohn Józef.
 Kolendo, z Riazania.
 Kolendo.
 Koliński Edward.
 Kolnarski Ludwik.
 Koluński, w Kaliszu.
 Kolakowski Ludwik.
 Kolakowski Romuald.
 Koldrasińska Emilia.
 Kohmaczewska Olimpia.
 Komierowski Józef.
 Komornicka Julia.
 Komornicki August.
 Komorowski Zygmunt, hr.
 Konarzowski Felicyan, ks.
 Koneczewski Adam.
 Kondratowicz Józef, dr.
 Kondratowicz, inżynier.
 Kondratowicz Tekla.
 Koniecki Antoni.
 Konopańska Sabina.
 Konopacki Justyn.
 Konopczyński Emilian.
 Konopczyński Ignacy.
 Konopnicka Marya.
 Kontkiewicz Józef.
 Koope Edward.
 Kopanińska Izabella.
 Kopeć St., dr.
 Kopijowski Alexander.
 Kopraski Samuel.
 Kopysteński.
 Kopyciński Antoni.
 Korczakowski Stanisław.
 Kordaszewicz Stanisław.

Kordowski Julian.
 Kordzikowski Józef.
 Korenfeld Mikołaj.
 Koreywo Bolesław.
 Koreywo Marysienka.
 Koreywo Zunia.
 Korngold Helena.
 Korsak.
 Korybut-Daszkiewicz Teresa.
 Koryciński.
 Korzeniowski Stanisław.
 Korzon Paweł.
 Kościalkowski Romuald.
 Kościalkowski Stefan.
 Kościalkowski Stefan.
 Kosačka Jadwiga.
 Kosačka Teofila.
 Kosacki Alexander.
 Kosacki Jan.
 Kosacki Mieczysław.
 Kosigłowicz Adam.
 Kosiński Franciszek.
 Koskowski Marian.
 Koskowski Wincenty.
 Koscecki W., dr.
 Kosowska.
 Kossowska Nacia.
 Kossowski Antoni.
 Kossowski Ferdynand.
 Kossowski Klemens.
 Kossowski Platon.
 Kossowski Tytus.
 Kostecki Józef.
 Kostro Leon.
 Kostrzewska, w Warszawie.
 Kostrzewski Walenty.
 Koszarski, z Vitre.
 Kotarbiński Alexander.
 Kotlubaj Henryk.
 Kotkowska Marya.
 Kotkowski Seweryn.
 Kotkowski Wincenty.
 Kotowski Leon.
 Kotwicki F.
 Kowalewski Alexander.
 Kowalewski Leopold.
 Kowalewski M. ks.
 Kowalewski, z Szak.
 Kowalnicka Helena.
 Kowalski Adolf, egz. 8.
 Kowalski Edmund.
 Kowalski Piotr.
 Kowerski Stefan.
 Kownacki Adam.
 Kownacki Bolesław.
 Kownacki Jan.
 Kownacki Tomasz.
 Kozakiewicz Dominik.
 Kozakowski Wincenty.
 Kozarska, w Prusinowiecach.
 Koziorowski Gustaw.
 Kozłowska Paulina.
 Kozłowski.
 Kozłowski F.
 Kozłowski Feliks.
 Kozłowski Hipolit, dr.
 Kozłowski Józef.
 Kozłowski Józef, z Deszna.
 Kozłowski Konstanty.
 Kozłowski Leon.
 Kozłowski Romuald.
 Kozłowski Rudolf.
 Kozłowski Stanisław.
 Kozłowski Zdzisław.

Kozłowski, z Łomży.
 Kormiński Józef.
 Koznowski Ignacy. egz. 2.
 Kozonkiewicz Antoni.
 Kozubowski Karol.
 Koźmińska Marya.
 Koźmiński Ludwik.
 Koźmiński Paweł.
 Koźmiński Zygmunt.
 Kożerska Pelagia.
 Kożuchowski Karol.
 Krackiewicz Klementyna.
 Kruczyńska Marya.
 Kraft Ludwik.
 Krajbieh Zofia.
 Krajewski-Jasieńczyk St.
 Krajewski Hilary.
 Krajewski Rudolf.
 Krajewski T. F.
 Krajski K.
 Krajski A., w Żytomierzu.
 Krakowski Nikodem.
 Kramsztyk Jakób.
 Krantz Jakób.
 Kraskowski Julian.
 Krasnodębski Alexander.
 Krasnosielska, w Kluczkowie.
 Krassowska Klementyna.
 Krassowska Marya.
 Krasowski J., dr.
 Krassowski Tadeusz.
 Krasowski Władysław.
 Krasuski Adam.
 Krasuski, dr.
 Krasnski Tytus.
 Kraszevska Jadwiga.
 Kraszewski Antoni.
 Kraszewski Bogusław.
 Kraszewski Franciszek.
 Kraszewski Jakób, ks.
 Kraszewski Justyn Julian.
 Kraszewski Kajetan.
 Kraszewski Krzysztof.
 Kraszewski Lucyan.
 Kraszewski Ludwik, ks.
 Krauss Włodzimierz.
 Krauze Otto.
 Krawiecki L.
 Kredyk Jan.
 Kredytt Marcin.
 Kremer Aleksander, dr.
 Kremki Władysław.
 Krencki.
 Kretkowski Bronisław.
 Kretkowski Władysław.
 Krokowski Michał.
 Kromiecki Erazm.
 Kronenberg W. A.
 Kropielnicki M.
 Kropiwnicka Marya.
 Krośnicki Erazm.
 Krośnicki Tomasz.
 Krotkiewicz Józef.
 Królikowski Franciszek.
 Krndysz Marya.
 Krukowiecka Helena.
 Krukowska Anna.
 Krukowska Apolonia.
 Krukowski A., z Antonowa.
 Krukowski-Korwin.
 Krumann Antoni.
 Krupowicz Maurycy.
 Krupski Andrzej, inżynier.
 Kruszevska Antonina.

Kruszewski Konstanty.
 Kruszeżyński.
 Kruszyński Franciszek.
 Kryław Alexander.
 Kryński Kalixt.
 Krysiński Stanisław.
 Krysztanowicz Matysz.
 Krzesimowski, z Kalisza.
 Krzeszkowski z Żytomierza.
 Krzymuski Edmund.
 Krzymuski Józef.
 Krzyzkowski Roman.
 Krzywie Tomasz.
 Krzywicki, z Ternówki.
 Krzyżanowski Roman.
 Krzyżanowski S. A.
 Kubaeki Władysław.
 Kubiak Wawrzyniec.
 Kubliński Karol.
 Kubylaję, ks.
 Kuchanowski Roman.
 Kucharzewski Felix.
 Kuczalska Kamilla.
 Kuczalski, naucz. gimn.
 Kuczalski Władysław.
 Kuczewski Alexander, dr.
 Kuczkowski Leon.
 Kuczyński Justyn.
 Kuczyński Karol.
 Kudrewicz K.
 Kukiel Bronisław.
 Kukiel Edward.
 Kulesza Jadwiga.
 Kulikowski Karol.
 Kulikowski Mikołaj.
 Kulikowski, regent.
 Kuliński Józef.
 Kuliński, w Świerczach.
 Kulski, dr.
 Kulwieć Ludwik.
 Kulwieć Romuald.
 Kulwieć Zofia.
 Kulakowski, dr.
 Kuncewicz Adolf, dr.
 Kuncewicz Witold.
 Kuniewicz Jan.
 Kunkel Eugeniusz.
 Kupraszewicz Michał.
 Kurejusz Jadwiga.
 Kurkowski Felix.
 Kurkowski Tadeusz.
 Kuropecki Konstanty, ks.
 Kurowska.
 Kurowski Ignacy Michał.
 Kurowski Józef.
 Kurowski Mieczysław.
 Korzeniecka Helena,
 Kusche.
 Kuszel Teodor.
 Kuściński Michał.
 Kwieczyński Dionizy.
 Kwapiszewski, inżynier.
 Kwiatkowski, z Płocka.
 Kwieciński, z Kalisza.
 K., z L. L.

Lachowicz Ludwik, dr.
 Landau.
 Landau Bronisław.
 Landie Edward.
 Landsberg Gabryel.
 Landsberg Stanisław.
 Landy Maxymilian.
 Lasocki Stanisław.

Lassaud Aleksander.
 Lebedziński Antoni, dr.
 Lechowski, w Pokrzywnicy.
 Lelweł August.
 Lemański Kazimierz.
 Lenartowski M.
 Lenkiewicz A., ks.
 Lenkiewicz Bolesław.
 Leśkiewicz Józef.
 Lentz Gustaw.
 Lentz Karol.
 Leppert Marya.
 Lesisz Romania.
 Lesman Antoni.
 Lessel Stanisław.
 Lessel, w Radomiu.
 Lesser Emilia, baronowa.
 Lesser Jan, baron.
 Lessis Józef, egz. 2.
 Leszczye Grabianka Andrzej, hr.
 Leszczyński Antoni, egz. 4.
 Leszczyński Antoni.
 Leszczyński Jan Nepomucen.
 Leszczyński Roman.
 Leszkiewicz Aniela.
 Leśkiewicz Kazimierz.
 Leśniewska Bronisława.
 Leśniewski Jan.
 Lewandowski Józef.
 Lewandowski Józef, dr.
 Lewandowski Józef.
 Lewandowski Leopold.
 Lewaszo Amelia.
 Lewicka H.
 Lewicki Stanisław.
 Lewicki Władysław.
 Lewiński Marcelli, dr.
 Lewgowl Romuald, egz. 2.
 Lewoniewska Stanisława.
 Lewi Gustaw.
 Levittoux Piotr.
 Liekindorf Emilian.
 Liebieh.
 Liebkind.
 Liebkind Ludwik, dr.
 Likiernik.
 Lilpop Joanna.
 Linda Walenty.
 Lineburg Helena.
 Linowski Roman.
 Lipińska.
 Lipiński Felix.
 Lipkowski Benedykt.
 Lipski Bolesław.
 Lipski Gabryel.
 Lipski Ludwik.
 Lisiecki, w Kaliszu.
 Lisowski Zygmunt.
 Liszewski Ludwik.
 Liwski A.
 Liwski Edmund.
 Lochmann Władysław.
 Lubieniecki Leon.
 Luceński Ksawery.
 Lucy Władysław.
 Luiski T.
 Lutkiewicz Karol.
 Lutkiewicz Telesfor, egz. 2.
 Lutkiewicz Zygmunt.
 Lutosławski Franciszek.
 Lutosławski Franciszek.
 Lutostański Bolesław, dr.
 Lutyk Stanisław.
 Lübeck Ludwik, egz. 2.

Labok, ks.
 Labok Antoni, ks.
 Labuś Józefa.
 Labusiewicz Zofia.
 Lachodowicz Przemysław.
 Lanencki Antoni.
 Laniewska Olimpia.
 Laniewska-Wolk Adolina.
 Lapiński Julian.
 Lapiński Alexander.
 Lapiński Floryan, egz. 2.
 Lapiński Ignacy, ks.
 Lappa Michał.
 Lasiewicz, z Tulczyna.
 Laskiewicz Józef.
 Laszcz.
 Laszcz Edmund.
 Lati Alexy.
 Łażniewski Mikołaj.
 Łącki, kapitan.
 Łątkiewicz.
 Łątkiewicz Ignacy.
 Łążyński Filip, dr.
 Lempicka M.
 Lempicki Bogumił.
 Lempicki Romau.
 Lempicki Wiktor.
 Łoiciński Stanisław.
 Łojawski Konstanty.
 Łokietkowski Apolinary.
 Łokuciewski Jan.
 Łopacińska Marya.
 Łoś-Bielicki Kazimierz.
 Łosińska Anna.
 Łowicki, dr.
 Łożyński Adolf.
 Łubiński Józef, hr.
 Łubińska Felicya.
 Łuczeyki Bronisław.
 Łuczeyki Bronisław.
 Ługowska.
 Łukaszewicz Graeyan.
 Łukaszewicz P.
 Łukasik Franciszek.
 Łukaszewski Ludwik.
 Łukaszewski, dr.
 Łukawski Jan, ks.
 Łukowski Józef.
 Łukowski, w Białém błocie.
 Łuniewski.
 Łuniewski Erzm.
 Łuniewski Tymoteusz.
 Łupińska Kornelia.
 Łusakowski Edward.
 Łusakowski Henryk.
 Łusakowski Seweryn.
 Łuszczyńska Jadwiga.
 Łuszczyński Kazimierz.
 Łypaczewski Eugeniusz.
 Łyszczyński Stanisław.

Macewicz Aleksander.
 Machciewicz Ignacy.
 Machnaur Jan Wacław.
 Machnicka Stanisława.
 Machniewski Wojciech.
 Maciejewicz J.
 Maciejewicz Mieczysław.
 Maciesza Władysław.
 Maciesza Władysław.
 Maciulewicz Edward.
 Mackiewicz Włodzimierz.
 Maćkowski Michał.
 Majer Jerzy, dr.
 Majewski Alexander.
 Majewski Cyprian.
 Majewski, dr.
 Majewski Julian.
 Majewski Karol.
 Majewski Karol.
 Majewski Wincenty.
 Majkowski Ignacy.
 Mayzel Bronisław.
 Makarewicz Albin.
 Makomaski Ludwik.
 Makowska Aniela.
 Makowski Antoni.
 Makowski K.
 Makowski Wacław.
 Maknec Jan.
 Malesza, ks.
 Malewski Mieczysław.
 Malhomme, dr.
 Maficka Marya.
 Malicki Edward.
 Malinowscy Bolesław i Ambroży.
 Malinowska K.
 Malinowski Bolesław.
 Malinowski St.
 Maliński M.
 Maliszewska Józefa.
 Maluszycki Ignacy, dr.
 Małachowski, egz. 2.
 Małagowski Stanisław.
 Małowieski Józef.
 Małuński Maxymilian.
 Manduk Marya.
 Mankielewicz.
 Marcinięzyk Jan.
 Marcinięzyk Kazimierz.
 Marcinkiewiczowa Antonina.
 Marcinkowska Natalia.
 Marcinkowski Antoni.
 Marcinkowski.
 Marcinkowski Józef.
 Markiewicz Ignacy.
 Markow Alexander.
 Markowski Alexander.
 Markowski Antoni.
 Markowski Filip, ks.
 Markowski Jan.
 Markowski Karol.
 Markowski Leonard.
 Markowski Stefan.
 Markowski Wiktor.
 Markowski Władysław.
 Mars Romuald.
 Martini.
 Martini L.
 Martynski Jan.
 Marusiński Kazimierz.
 Maślakiewicz, regent.
 Masławska Anna.
 Matłaszyński.
 Matkowski Felix.
 Matuszewicz, dr.
 Matuszewska Aniela.
 Matuszewska Jadwiga.
 Matuszewska Marya.
 Matuszyński.
 Matwiejew.
 Maysner Izidor.
 Mazaraki Kazimierz.
 Mazaraki Mieczysław.
 Mazaraki Olimpia.
 Mazurkiewicz G.
 Mazurowski.
 Makiewicz Franciszek.

Mech J., ks.
 Mech Stanisław.
 Meisner Karol.
 Mejro Jan.
 Melhal Szymon.
 Meller Andrzej.
 Merzanowski Gustaw.
 Messing.
 Messing Jan.
 Mestenhauser Karol.
 Meszczyńska Bronisława.
 Mezyński, ks.
 Mędrkiewicz A.
 Mianowska Konstancja.
 Mianowski Alexander.
 Miączyński Mieczysław, hr.
 Miączyński, hr., w Rudnikach.
 Micewicz Ludwik, egz. 2.
 Micewicz Stanisław.
 Michalewski Karol.
 Michalska Karolina.
 Michalski Izidor.
 Michalski Stanisław.
 Michałowska Michalina.
 Michałowski Józef, egz. 2.
 Michałowski Ferdynand.
 Michałowski Jan.
 Michałowski Kazimierz.
 Michałowski Tytus.
 Michałowski Wincenty.
 Michałowski, w Lubartowie.
 Mickiewicz Henryk.
 Mieczkowski, dr.
 Mieczyski Stanisław.
 Mieszkowski-Maliszkiewicz Adam.
 Mierczyński Kazimierz.
 Mierzejewska Kazimiera.
 Mierzejewska Konstancja.
 Mierzejewski.
 Mierzkowski, ks.
 Mierzyński.
 Mieszalski Józef.
 Mieszkowska Helena.
 Migurski Wiktor.
 Mijakowski Józef.
 Miklaszewski Walenty.
 Mikoni, ks.
 Mikulicz Dorota.
 Mikulicz Edward.
 Mikuliński, w Kraśniku.
 Mikulski Ludwik, dr.
 Milachowicz Jan.
 Milberg Julian.
 Milewski, z Łomżyńskiego.
 Milewski Edward.
 Milewski Nestor, egz. 2.
 Milikowski J., egz. 5.
 Milowicz K.
 Milton, z Rybińska.
 Milczewska Julia.
 Milaszewiczowa Wanda.
 Milkowski, egz. 2.
 Milkowski L.
 Minasowicz Jan.
 Mingielewicz Paulina.
 Miniszewski Kwiryn.
 Miniszewski Seweryn.
 Minkiewicz Jan.
 Minter Karol.
 Minutko Stanisław.
 Mioneżyńska W., hr.
 Mirecki Alexander.
 Mirecki Konstanty.
 Mirski, k-żę Światopełk.

Misiewicz Jan.
 Misiewicz Stefania.
 Misirski, ks.
 Miskiewicz Władysław.
 Mitkiewicz Floryan.
 Mittwoch.
 Mitzgier, dr.
 Modliński Felix.
 Modrzejewski.
 Modrzewski Fr.
 Modzelewski Ludwik.
 Modzelewski Stanisław.
 Moes.
 Mokrzycki Antoni, dr.
 Moldenhaver Alexander.
 Mołochowicz Marya.
 Moniuszko Bolesław.
 Monkiewicz Kazimierz.
 Monkiewicz Ludwik.
 Monowid Adam.
 Montresor Alexander.
 Montwillo Wincenty.
 Montwid-Bialozor Alexander.
 Morawska.
 Morawska.
 Morgulce Bolesław, egz. 3.
 Moro Alexander.
 Moroz, w Lublinie.
 Morozowicz.
 Mosdorf Juliusz.
 Moskalewski, w Sieprawkach.
 Moskoleska Ludmiła.
 Mostowski Adolf.
 Moszczyński Bolesław.
 Moszyński Józef.
 Moszyński, ks., z Pińska.
 Moszyński Stefan.
 Mowczanowski, w Alexandrowsku.
 Móchlińska Leokadya.
 Móravski Alexander.
 Mroczek A. L.
 Mroczkowski.
 Mrozińska Klementyna.
 Mrozowski Józef.
 Muklanowicz.
 Muraszko Franciszek.
 Musiałowicz Marcin.
 Muszyński Alfons.
 Muśnicki Mieczysław.
 Mutniański.
 Müldner Henryk.
 Müller Franciszek.
 Müller Józef.
 Müller Roman.
 Mysłowski Adam, dr.

Nacelewicz Edmund.
 Nadratowski, z Rypina.
 Nagórski Ignacy.
 Naborski Michał.
 Nakoneczny Jan.
 Nalepiński Xawery.
 Narkiewicz-Jodko Edward.
 Narkiewicz-Jodko Teofil.
 Narkiewicz Witold.
 „Narodna Polza”, w Grodnie, egz. 3.
 Nartowska Olimpia.
 Naruszewicz Ferdynand.
 Narwojsz Otton.
 Narzyska Anna.
 Nassius Maxymilian.
 Nathowa, w Równie.
 Nawrocka Bronisława.
 Nawrocki Teofil.

Nelkenbaum Henryk.
 Neumann Alexandra.
 Neumann Teodor.
 Neuman Alexander.
 Neman, dr.
 Neuman Sebald.
 N.... J.
 Niecielski Józef.
 Niedzielski Adam.
 Niedzielski Stanisław.
 Niedźwiecki Michał.
 Niedwiedzki Stanisław, egz. 2.
 Niekrasz, ks.
 Niełubowicz Celina.
 Nieławiecki Rudolf.
 Niemiałowski, w Plocku.
 Nienirowski, dr.
 Niemojowska Wanda.
 Niepokojezycki.
 Niepokojezycki T.
 Niesłuchowski Władysław.
 Niewęglowski.
 Niewęglowski Oktawian.
 Niewiński Alexander.
 Niewmierzycka, z Żytomierza.
 Niewmierzycka Pelagia Oktawia.
 Niezabitowski Józef.
 De Niscan Antoni Kazimierz.
 Nitosławski Wiktor.
 Nitowski Bolesław.
 Niwiński Szymon.
 Niżyński Mieczysław.
 Nonowicz Edward, dr.
 Norblin.
 Norejko Herman.
 Norwid Fremont.
 Noskowski Bronisław.
 Nowak, dr.
 Nowak Edmund.
 Nowakowska Paulina.
 Nowakowski Adam.
 Nowakowski Janusz Ferd., dr.
 Nowakowski Kazimierz.
 Nowakowski Michał.
 Nowakowski Tomasz.
 Nowicki Alexander, dr.
 Nowicki Antoni.
 Nowicki Henryk.
 Nowicki Hilary.
 Nowicki Jan.
 Nowicki Józef.
 Nowicki Ł.
 Nowierski.
 Nowiński.
 Nowiński Stanisław.
 Nowodworski Zenon, dr.
 Nowosielski Julian.
 Nyko Adela.
 Nynkowski Antoni.

Objezińska Józefa.
 Obłóża Stefan, ks.
 Olmiski D.
 Obrąpalska Klementyna.
 Obrąpalski Erazm.
 Obrąpalski Franciszek, ks.
 Obrębski Adolf.
 Obuchowiczowa Stefania.
 Obywatele Łomżyń. gub. egz. 613.
 Ochłimowska Alexandra.
 Oczapowski Stanisław.
 Oczyskowski Romuald, egz. 2.
 Odyniec Tadeusz.
 Odyniec Waleryan, dr.

Okorski Franciszek.
 Okryński Felix.
 Okryński Xawery.
 Okolski.
 Okorski Alexander.
 Okulicz Stefan.
 Okuszek Antoni.
 Okuszek Kazimierz.
 Okuszek Wincenty.
 Olchowicz Józef.
 Olecki Władysław.
 Olendzki Alexander.
 Oleszkiewicz Robert.
 Olewiński Hipolit.
 Olędzki Bolesław.
 Olędzki Edward.
 Olgiati Józef.
 Olszanowska Bronisława.
 Olszański Rafał.
 Olszewski Andrzej.
 Olszewski Franciszek, dr.
 Olszewski Julian.
 Olszewski Konrad.
 Olszyński Marcin.
 Oltarzewski, w Razania.
 Oltuszewski.
 Omiecińska Cecylia.
 Onichimowski Stanisław.
 Onufrowicz Bronisław.
 Opatowicz Tadeusz.
 Opęchowski Teodor, dr.
 Orda Napoleon.
 Ordega Jan.
 Ordyniec Paweł.
 Orbińska Teresa.
 Orgelbrand Maurycy, egz. 70.
 Orlewicz Alexander.
 Orlicki Ludwik.
 Orłowska Gabriella.
 Orłowski Adolf.
 Orłowski Ignacy.
 Orłowski Władysław.
 Orpiszewski Stanisław.
 Orzechowska Anna.
 Orzechowska Kamilla.
 Orzechowski Franciszek.
 Orzechowski Juliusz.
 Orzechowski Michał.
 Orzechowski Michał.
 Orzechowski Włodzimierz.
 Osiecki Józef.
 Osipowiczowa Idalia.
 Osipowicz Kazimierz, dr., egz. 2.
 Osipowicz Zofia.
 Oskierko Maryn.
 Oskierka Bolesław.
 Oskierko, w Wilnie.
 Osmolski, ks.
 Ossolińska Walerya.
 Ossowski Julian.
 Osowska Kazimiera.
 Ostaszewska Marya Ignaca.
 Ostaszewski.
 Ostaszewski, dr.
 Ostrowski Adam.
 Ostrowski C. egz. 2.
 Ostrowski G.
 Ostrowski Romuald.
 Ostrowski Stanisław, hr.
 Ostrzykowski Mieczysław.
 Oświecimski Konrad.
 Otto Ferdynand.
 Otto Leopold, ks. dr.
 Owsiany Kalixt.

Oxner Paulina.
Ożarowska Adela, hr.
Ożarowski Cezary.

Pacanowski Ludwik.
Pachmiewski Kalixt.
Pachulski H.
Pacynko Wiktoria.
Padlewski Bronisław.
Pajewski Alfons, dr.
Papieski Leon.
Papiż, z Janowa.
Paprocki Emeryk.
Paprocki Teodor.
Pasieczny Włodzimierz.
Paskiewicz Leon, ks.
Paskowska, generalowa.
Paskowska Teodora.
Paskowski Alojzy.
Paszuta Jan.
Pauli Ferdynand.
Pawliczyński Jan.
Pawlikowski Mieczysław.
Pawliszak Fr.
Pawłowicz A. J.
Pawłowski, ks. kanonik.
Pawłowski Sabin.
Pawska Felicya.
Peehe Karol.
Peliksz Zofia.
Pensko J.
Peplowski Adolf.
Peretiatkiewicz Anieli.
Peretiatkiewicz Karol.
Peretiatkowski Zenon.
Perl Feliks.
Perlowski Michał.
Petkun Małgorzata.
Petroliewicz Walenty.
Petrykowski Eugeniusz.
Pecherzewski, szambelan.
Pęczkowski Jan, egz. 2.
Pfabe Edward.
Bracia Piaseccy.
Piasecki Józef.
Piątkowska Anna.
Piątkowska Joanna.
Piechowski Alexander.
Piekarski Józef.
Piekarski, z Kalisza.
Pieniążek.
Pieniążek Mieczysław.
Pieńkowski Ludwik.
Pieńkowski, z Działkowie, egz. 2.
Pietkiewicz Felix.
Pietkiewicz, dr., egz. 2.
Pietko, z Żytomierza.
Pietkowski Marcelli.
Pigłowski Ludwik.
Pikulski Antoni.
Piłaski Leon.
Piławska Franciszka.
Piłicka Zofia.
Piłiecki Zenon.
Piłewski Stanisław, dr.
Piller Jan Paweł.
Pinko, z Lubartowa.
Pinowski Leopold.
Piórek Paweł.
Piotraszewska Wilhelmina.
Piotraszko Franciszek.
Piotrowicz Apollonia.
Piotrowski Emil, dr.
Piotrowski Felix.

Piotrowski Hipolit.
Piotrowski Józef, dr.
Piotrowski Kajetan.
Piotrowski Karol.
Piotrowski Korwin Wincenty.
Piotrowski Michał.
Piotrowski Mieczysław.
Piotrowski, z Krakowa.
Piotrowski Wincenty.
Piotrowski Władysław, egz. 2.
Piramowicz Witold.
Planet H.
Plater Elżbieta, hr.
Płaskowski, dr.
Plebański Franciszek.
Plebiński Marcelli.
Plewiński Hieronim.
Płatkowski, z Koszyc.
Pławski Stanisław.
Plocki, egz. 2.
Plotnicki Albin.
Plotnicki Michał.
Pluchowski Teodor.
Płuszczeńska Marya.
Podbereski Andrzej.
Podhorski Edmund.
Podciechowski, dr.
Podernia Kazimierz.
Podgórska Leonia.
Podgórski Andrzej.
Podgórski Antoni.
Podgórski Jan Kazimierz, dr.
Podhorski Jan.
Podhorski Władysław.
Podolecka Marya.
Podrez Anna, w Rydze, egz. 3.
Podymowski S. L.
Podwysocki Karol.
Pogonowski Mikołaj, dr.
Pogorzelski-Krzywdia Józef Paweł.
Pogorzelski Ludwik, dr.
Pohl Lucyan.
Polezyński, adwokat.
Polkowska Paulina.
Polkowski Michał.
Pollak Alexander.
Pollewicz Kazimierz.
Polrez.
Polkotycki Wiktor.
Polkotycki Władysław.
Polonski Alexander.
Polubiński Piotr.
Polubiński Krystyna.
Polubiński Stanisław.
Pomorski, z Kijowa.
Poniatowski Kazimierz.
Poniatowski Szezęsny.
Ponikowski Stanisław.
Popiel Pius.
Popiel Romana.
Popławski Stanisław.
Popławski Wojciech.
Popławski, z Lysolaju.
Popowicz Franciszek.
Popowski Jakób.
Poraziński Stanisław.
Postawka Stanisława.
Postupańska Stanisława.
Portych Karol.
Potkański Kalixt.
Poznański Ludwik.
Poznański (syn).
Pożniak Jan.
Pożerski Jan.

Prawocheński Roman.
Prądyński Edw.
Prądyński Wincenty.
Prądyński Władysław.
Preyss Alexander.
Priebatsch J.
Prochnicki M.
Progulbicki Marcin.
Pronaszko Mieczysław.
Proszynski Wincenty.
Protasiewicz Władysław.
Protasowicz Józefa.
Prozor Konstanty, hr.
Próchnicki F.
Prószyński Maksymilian.
Prus-Frankowska Marya.
Prus-Frankowska Nina.
Prusinowski Jan.
Pruski Jan.
Pruszanowska Natalia.
Pruszkowski.
Pruszyńska Honorata.
Pruszyński Baltazar.
Pruszyński Felix.
Pruszyński Hipolit.
Pruszyński Piotr Ursyn.
Pruszyński Wacław.
Przygiuthowa Teofila.
Przeborowski Cyprian, dr.
Przedpelski, z Kalisza.
Przegaliński Robert.
Przesmycki Leopold.
Przesmycki, w Warszawie.
Przestrzelski Romuald, egz. 2.
Przewłocki Seweryn.
Przeworska Salomea.
Przewoski Edw., dr.
Przedziecki Konstanty, hr. egz. 5.
Przybora Wandalin.
Przybylska Teofila.
Przybylski Edward.
Przybylski Waleryan.
Przybylski, z Łącka.
Przybylko Apollnary.
Przybyłowski Antoni.
Przychodzki Wacław.
Przygodzki Antoni.
Przyłuski Felix.
Przyłuski Stanisław.
Przysiecki Michał.
Przystański Alexander, dr.
Ptaszyński Henryk.
Puchalski Józef.
Puchalski, ks.
Puchalski Stanisław.
Puchewicz Alfons.
Puciata Antoni.
Puliński Felix.
Pulaski K.
Pulawski Arkadyusz Antoni.
Pulkowski Gustaw, dr.
Puryszek, ks.
Purytz Balbina.
Putwiński Władysław.
Puzyna Paweł.
Pytowski, z Drzewicy.

Rabek L.
Raczyńska Zofia.
Raczyński, dr.
Raczyński Jarosław.
Raczyński M.
Radecki Leon.
Radliński Adam.

Radliński Ludwik.
 Radomski.
 Radońska, z Poznania.
 Radziejewska Natalia.
 Radziejowska Marya.
 Radziejowski Szymon.
 Radziemiński Zygmunt.
 Radzinkinas Józef.
 Radziszewska Halina.
 Rafalowiec, z Sieradza.
 Rajek Edmund.
 Rakoczy Marya.
 Rakowicz J.
 Rakowiecki Jarosław.
 Rakowska J.
 Rakowska Karolina.
 Rakowska, z Żytomierza.
 Rakowski Alexander.
 Rakowski Antoni.
 Rakowski Dionizy.
 Rakowski Felix.
 Rakowski Józef.
 Rakowski, z Żytomierza.
 Rakowski Leon.
 Rapacka Tekla.
 Ratuld.
 Rawa L.
 Rawa Władysław.
 Rawska Władysława.
 Rechiniewski Tadeusz.
 Redakeya Biblioteki Warszawsk.
 Redych Józef.
 Regulski.
 Regulski Henryk.
 Regulski Włodzimierz.
 Reichel Konstanty, ks.
 Reichel Maurycy.
 Rejchman Alexander.
 Rejmerowa Ludwika.
 Rejowicz.
 Rembertowski Cezary.
 Rembowska Zofia.
 Renier Mamert.
 Reniger Ludwik.
 Reszyt August, dr.
 Reutt Alexander.
 Rewieńska Stefania.
 Rewkowska Amalia.
 Richter Ludwik.
 Riedel Alexander.
 Riedel Jan.
 Rodeciewicz.
 Rode Jan.
 Rodkiewicz Bolesław.
 Rodkiewicz Józef.
 Rodzyn.
 Rogalińska Klaudia.
 Rogalski Erazm.
 Rogiński.
 Rogiński Roman.
 Rogowska.
 Rogowski Dominik.
 Rogowski Ludwik.
 Rogoziński Michał.
 Rogulski.
 Roguski.
 Roguski Felicyan.
 Roguski Henryk.
 Rohn Ignacy.
 Rohoziński Rafał.
 Rohoziński Władysław.
 Rojecki Karol.
 Rokiecki Jan.
 Rokko Julian.

Romanowski.
 Romańska Zofia.
 Romański Jan.
 Romer Alfred.
 Romiszewska Adela.
 Romiszewski Antoni.
 Romocki Ludwik.
 Ronba K. O.
 Rose Antoni.
 Rosenbaum August.
 Rosenberg Zofia.
 Rosenblatt Adolf.
 Rosenblatt Szaja.
 Rosenblum.
 Rosenblum Dawid.
 Rosenfeldowa, w Warszawie.
 Rosengarten Adolf.
 Rosengarten Michał.
 Rosicki Andrzej.
 Rossak Edmund.
 Rossbaum Edw.
 Rossochocki Antoni.
 Rossudowska Zencida.
 Rostański Michał.
 Rostkowski, z Chrzanówki.
 Roszkowska Julia.
 Roszkowska Julia.
 Roszkowski Bartosz.
 Rościszewski Franciszek.
 Rościszewski, z Plocka.
 Rotarski Felix.
 Rothe, dr.
 Rothert G. A.
 Rothlewy Adam.
 Rotkiewicz.
 Rotwand Leon.
 Rotwand M.
 Rotwand Stanisław.
 Roze Józef, dr.
 Rowecki Małswet, ks.
 Rowiński Andrzej.
 Rowiński, dr.
 Rowiński Gustaw.
 Roze K., dr.
 Rozenberg Józef.
 Rozenberg Jan.
 Rozradowska Joanna.
 Rozwadowski Dionizy.
 Rozwadowski Józef.
 Rożański Daniel.
 Rożniatowska Aniela.
 Rożycki, w Wawnezczech.
 Rószkiewicz Marya.
 Rubiński Mikołaj, dr.
 Rubinsztajn, egz. 6.
 Rucker Edmund.
 Rundingier.
 Rudnicka Helena.
 Rudnicka Helena.
 Rudnicka Zofia.
 Rudnicki.
 Rudnicki Ludwik.
 Rudnicki Mieczysław.
 Rudnicki Stanisław.
 Rudnicki, z Krzeczonowa.
 Rudowska.
 Rudowski Edward.
 Rudzki Konstanty.
 Rugeiewicz Bolesław.
 Rukiewicz Edmund.
 Rukujza, dr.
 Rulikowski Edmund.
 Rulikowski Zdzisław.
 Rumare Barbara.

Rundo Maurycy.
 Rupniewski Wiktor.
 Rusiecki Antoni.
 Rusiecki Henryk.
 Rusiecki, z Lubartowa.
 Rusiecki Zygmunt.
 Russocki Bolesław.
 Russocki Konstanty.
 Ruszczyński.
 Ruszkowski Józef, ks.
 Rutkowski Edmund.
 Rutkowski Konstanty.
 Rutkowski, ks.
 Rutkowski, z Koźlisk.
 Rüger Władysław.
 Ryb A.
 Rybarski Felix.
 Rycharski Lucyan.
 Rychter Karol.
 Rychterówna Michalina.
 Rydecki J.
 Ryłski Antoni.
 Ryłski St.
 Rymarkiewicz, dr.
 Rymkiewicz, ks.
 Rymkiewicz Piotr, ks.
 Rymaszewicz, dr.
 Rytel Maksymilian.
 Ryżówna Anna.
 Rzążewski Adam.
 Rzepiński, z Lubartowa.
 Rzeszotarski Ludomir.
 Rzeszotarski, w Warszawie.
 Rześciński, z Wyrożeń.
 Rzedkiewicz Stanisław.
 Sadowski Antoni.
 Sadowski Bolesł. Alexan., dr.
 Sagatowski Edward.
 Sakelle Leonard.
 Sakowicz Kazimierz, dr.
 Salimanowicz.
 Salnicki Jan.
 Sarnecki Jan.
 Salacki Wiktor.
 Satalewicz X., z Czeladzi.
 Sawaszkiewicz Jadwiga, egz. 2.
 Sawicka, w Suwałkach.
 Sawicka Zofia, z Mińska, egz. 6.
 Sawicki.
 Sawicki.
 Sawicki Alexander.
 Sawicki Jan, egz. 3.
 Sawicki Mikołaj.
 Sawicki, z Maryanpola.
 Sawicki Teofil, egz. 3.
 Sawicki Władysław.
 Sawicki Wojciech.
 Sawicz-Rydzgorski Norbert.
 Scharmach Stanisław.
 Schmidt Bronisław.
 Schmidt, dr. z Lublina.
 Schöber Al.
 Schönfeld, w Łomży.
 Schönfeld Ryszard.
 Schults Stanisław.
 Ściegienny Piotr, ks.
 Ścisłowski August.
 Sellin Fryderyk.
 Sennewald, księgarz.
 Serkowski Ignacy.
 Seydel Stanisław.
 Seyfarth i Czajkowski, egz. 9.
 Sędziakowski, ks.

Sekowski Stanisław.
Sidorowicz Felix i Antoni.
Sidorowicz Władysław.
Siedlewska Alexander.
von Sieger-Korn Euzebiusz.
von Sieger-Korn Lucia.
Sieheniewicz Józef.
Sielski Zygmunt.
Siemaszko Justyn, ks.
Siemaszko Zdzisław.
Sienkiewicz Bronisław.
Sieradzki Hieronim.
Sieszycki H.
Siezienieński Marcin.
Sikorska Jadwiga.
Sikorski Hipolit Józef.
Sikorski Jan.
Sikorski Józef.
Sikorski, ks.
Silberstein Salomea.
Sila-Nowicki Antoni.
Simson Eleonora.
Sinkiewiczowa, z Żytomierza.
Siowexllo Onufry.
Sipajło Alexandra.
Sippajło Józef.
Sipko Ignacy.
Siwiński Józef.
Skarbek Józef, hr.
Skarbek-Rudzki.
Skarzyńska Kornelia.
Skarzyńska Wiktoria.
Skarzyński Modest.
Skarzyński Stanisław.
Skibczyński Leonard.
Skibińska Olimpia.
Skibiński Józef.
Skibiński Władysław.
Skibiński, z Łomży.
Skibniewska Wanda.
Skirmunt Konstanty.
Skłodowski Zdzisław.
Skorupski Mikołaj.
Skorupski Piotr.
Skorzewska Melania, hr.
Skotnicki Saturnin.
Skowroński, z Tuley.
Skrobecki Henryk.
Skrodzki Ignacy.
Skrutkowski St.
Ślaska Helena.
Ślaski Julian.
Ślaski P. B., z Janowa.
Ślęwierko Konstanty.
Śliwiński Artur.
Śliwiński, ks.
Ślizin Władysław.
Ślawiński Romuald.
Ślawoszewski Zygmunt.
Ślotarski Hieronim.
Ślubicki Albin.
Ślupecka Alojza.
Ślupski Karol, ks.
Śmiarowski Józefat.
Śmiechowski, ks.
Śmiechowski Gustaw.
Smolak Jan.
Smoleniec Klemens.
Smoleński Julian.
Smoleński, z Turka.
Smolikowski Seweryn.
Smoliński Floryan.
Smółski Erazm.
Smuleczyńska Marya.

egz. 2.

Śniadecki Andrzej.
Śniechowski Józef.
Śniegocki Kazimierz.
Sobecki Alexander.
Sobieszezański Kwiryn.
Sobkiewicz Rudolf.
Sobolewska Engenia.
Sobolewski.
Sobolewski Antoni.
Sobolewski Emilian.
Sobolewski Xawery, dr.
Sobolewski Wiktor.
Sojecka.
Sokolnicki Wincenty.
Sokolowski, z Kijowa.
Sokolowski Gaspar.
Sokolowski Leopold.
Sokolowski Fr.
Sokolowski Józef.
Sokolowski Michał.
Sokolowski Wł.
Soliman, z Rygi.
Sobnicka Aniela.
Sollobub Józefat.
Somkowiec Ignacy.
Somkowiec Józef.
Sommer A.
Sommer Zofia.
Sosenberg, w Kijanach.
Sopoćko Tytus.
Soroko Konstancja.
Sorosiek Konstanty.
Sosiński Władysław.
Sosiński, z Proszowie.
Sosnowski Adam.
Sosnowski Antoni.
Sosnowski K.
Sowiński.
Sowiński Wincenty.
Spiessbach Alexander.
Splisgard, z Łomżyńskiego.
Splawski Stanisław.
Spokr E.
Sroka.
Srzednicki.
Stachowski.
Stachowski Kazimierz.
Staczyński Konrad.
Staczyński Rudolf.
Stambrowski Władysław.
Stanczukowska, z Kalisza.
Stanielewicz Seweryn.
Staniewicz Alexander.
Staniewicz Cezary, dr.
Staniewicz Emilia.
Stanisławski Antoni.
Staniszewska Hortensya.
Staniszewski Felix.
Staniszewski Karol.
Staniszewski Wiktor, dr.
Staniszewski Wincenty.
Stankiewicz.
Stankiewicz Alexander, dr.
Stankiewicz Gustaw, dr.
Stankiewicz Józef.
Stano Henryk, dr.
Starzewski.
Starzewski Leon.
Starkman Edmund.
Starkman Michał.
Staroropiński Karol.
Starzeńska Władysława.
Starzeński, z Lublina.
Starzyński Karol.

egz. 2.

Stasiekiewicz Józef.
Statkiewicz Ignacy.
Statkowski Apolinary.
Stawiński Bogdan.
Stawicki Ignacy.
Stawińska Marya.
Stecka Eliza.
Stecka Helena.
Steckiewicz Maurycy.
Stecki Marcelli.
Stecki, z Sieradza.
Stefanowicz.
Stegmann Ludwik.
Steinkeller Alfred.
Stentzel J. K.
Stępiński Józef.
Stępkowska Balbina.
Stępkowski Jan.
Stępkowski Wł.
Stępkowska Matylda.
Stępowski.
Stępowski.
Stępowski.
Stern Henryk.
Stilkr Konstanty.
Stojowski Bolesław.
Stokowski Wincenty.
Stolagiewicz Ignacy.
Stolbeców Alexander.
Stolychwo Wiktor.
Straszewicz Zygmunt.
Strauch K.
Strejbel, w Lublinie.
Stromfeld Alexander.
Stromfeld Alfous.
Stromfeld Wilhelm.
Stroński Jar.
Strugul Alexander.
Strumillo Ruffin.
Strumillo Władysław.
Strumpf Gustaw.
Strumpf, w Siedlcach.
Strzałkowski.
Strzelecki Edward.
Stummer Edward.
Styczakowska Katarzyna.
Styipejko Michał.
Stypulkowski Andrzej, ks.
Suchecki, z Kalisza.
Suchodolski Edward.
Suchowski Antoni.
Sudnik Franciszek.
Sudź R.
Suchman.
Sugielewicz Wincenty.
Sulatycki Jan.
Sulicka Ludmilla.
Suligowski Henryk.
Suligowski Edward.
Suligowski Felician.
Suligowski Lubomil.
Sulimierska Aniela.
Sulnicki, w Szczepanowicach.
Sulkowski, z Horodyszcza.
Sunińska Celestyna.
Suniowski Joachim.
Sunderland Stanisław.
Suniński Henryk, dr.
Surmaeki Wojciech.
Suryu Felician.
Surzycki.
Suska.
Suszczyński Ferdynand.
Swiacka.

egz. 4.

Swaryczewski Mieczysław.
 Świąckiewicz Helena.
 Świła Sydalia.
 Świdarski.
 Świdwiński, ks.
 Świeboda Stanisława.
 Świerczewska Olimpia.
 Świerczewski.
 Świerszcz Bolesław.
 Świerżawski Franciszek.
 Świerżyńska Kamilla.
 Świerżyńska Kamilla.
 Świeżawski Ernest.
 Święcicki J. A.
 Świecicki Klemens.
 Świecicki Witold.
 Świecki Kajetan.
 Świętochowski Andrzej.
 Świętochowski Ignacy.
 Świętorzecka Kazimiera.
 Świrski, ks.
 Świrski Wincenty.
 Świtalski Gabriel, ks.
 Symonowicz Dominik.
 Symonowicz, z Pieczary.
 Syrakowski Jan.
 Syruć Weronika.
 Szabelski Michał.
 Szablewski, dr.
 Szabuniewicz Wiktor.
 Szacherski Piotr, dr.
 Szadek Karol, dr.
 Szalkiewicz Antoni.
 Szajkiewicz Adam.
 Szanior Alexander.
 Szamota Ignacy.
 Szafir Józef.
 Szaniawski Ignacy.
 Szaniawski Karol.
 Szaniawski Wiktor, ks.
 Szaniawski Wiktor.
 Szankowski Henryk.
 Szarkowski Józef, ks.
 Szansser, w Kaliszu.
 Szczawiński Stanisław i Jarosław.
 Szczepankiewicz, egz. 27.
 Szczęsławicz Jan.
 Szezuka Antoni.
 Szezurkowska Marya.
 Szezyppilo Hipolit.
 Szeffer Jakób.
 Szelański Czesław.
 Szeliski A.
 Szembek Józef, hr.
 Szemiliński.
 Szefer Stanisław.
 Szefer Jakób.
 Szerszeński Tadeusz.
 Sześciakiewicz Kazimierz, egz. 2.
 Szezykiewicz Franciszek.
 von Szilling Leon, baron.
 Szkoła handlowa prywatna.
 Szląszkiewicz, w Fastowie.
 Szlązkowski, adwokat.
 Szlubowski Stanisław.
 Szlubowski Stanisław.
 Szluk Antoni.
 Szokalski Ignacy, ks.

Szokalski Ignacy.
 Szostak Leon.
 Szostak Stefan.
 Szostakowska Marya.
 Szostakow Wirgili.
 Szpaczyński E.
 Szpakowski Mieczysław.
 Szpądrowski, w Warszawie.
 Szperl Stanisław.
 Szpichalski Jan.
 Szpotniński Kazimierz.
 Szpręglewski Józef.
 Szreiber.
 Szretter E.
 Sztafk Edward.
 Szejner Felician.
 Szejner Józef.
 Szeimike Jakób.
 Sztochel Ludwik.
 Sztromberg Apolinary.
 Szuch Władysław.
 Szuch Stanisław.
 Szulakowska Wacława.
 Szulakowski Mieczysław.
 Szule.
 Szule Ambroży, ks.
 Szumlański Witold.
 Szumiewicz Felix.
 Szumiewicz Florenty.
 Suszczyński Ferdynand.
 Szwagierus Józef.
 Szwejkowski Konstanty.
 Szwojnicki Władysław.
 Szwojnicki, z Odessy.
 Szwykowski Walenty.
 Szye Marya.
 Szydowski K.
 Szykier Xawery.
 Szylling Hilary.
 Szymanowski Bernard.
 Szymanowski Jan.
 Szymańska M.
 Szymański Antoni.
 Szymański Jan Nepomucen.
 Szymborska Walentyna.
 Szymborski Adolf.
 Szymborski Józef.
 Szymborski Rudolf.
 Szyszko Józef.
 Szyszkowski Andrzej.
 Szyszkowski Henryk.
 Szyszkowski St. II.
 Szyszko Wincenty, dr.

Tabaczynski Telesfor.
 Tabęński Jan Wincenty.
 Tajlor Stanisław.
 Talko, dr.
 Talmont, dr.
 Tamulewicz Aniela.
 Tarczyński, z Wodzisławia.
 Targoni A.
 Targoni Alexander.
 Targoni Alexander, z Kijowa.
 Tarnopolski Witalis.
 Tarnowski Jan.
 Tarnowski Kazimierz, hr.
 Tatarkiewicz Xawery.
 Teleszyński, egz. 2.
 Teliga Władysław.
 Tenler Jan.
 Teraszkiewicz Józef.
 Teraszkiewicz, z Tyflisu.
 Teresiński Kazimierz.

Teszner Adolf.
 Terpilowski Felix.
 Tilly Jan.
 Tkaczyńska Marya Jadwiga.
 Tittenbron Leon.
 Tłuchowska Marya.
 Tokarzowski S.
 Tokarzowski Stefan.
 Toloczanow.
 Tolkaez Włodzimierz.
 Tomaszewska Bronisława.
 Tomaszewska Marya.
 Tomaszewski.
 Tomaszewski.
 Tomaszewski Albert.
 Tomaszewski Antoni.
 Tomaszewski Stanisław.
 Tomaszewski Waldemar.
 Tomezak, ks.
 Tomezycki Jan, dr.
 Tomilowska Julia.
 Tomkowicz Edward.
 Tosio, z Sieradza.
 Tosio Paganino, dr.
 Trabsza Bolesław.
 Traczykiewicz, ks.
 Trausolt.
 Trausolt Stanisław.
 Trawin Leokadya.
 Trąbaczynski Adam.
 Trembiński Stanisław.
 Trembińska.
 Trzemeski Józef.
 Trenkler H., egz. 2.
 Trentowski Zygmunt.
 Trepmo Helena.
 Trepte Konstanty.
 Trociewicz.
 Trojanowski Mateusz.
 Troszyński, z Grodna.
 Tronholt Edward.
 Truskolawski Kazimierz.
 Trypolski Jan.
 Trzaska Konstanty.
 Trzcieniecka Helena.
 Trzcienka.
 Trzcienka Helena.
 Trzcienka Emil.
 Trzcienka Jan.
 Trzcienka Leopold.
 Trzcienka Władysław.
 Trzeczolski, ks.
 Trzeczewska Marya.
 Trzeczowska Zofia.
 Tukallo Alfons.
 Tukallo Konrad.
 Tupalska Antonina.
 Turczynowicz Piotr.
 Turczyński A., z Żytomierza.
 Turkiewicz Adam.
 Turkiewicz Stanisław.
 Turkull Emilia i Max.
 Turkull Jan.
 Turowicz K.
 Turowicz Marya.
 Turowski Henryk.
 Turowski Jan.
 Turski Xawery.
 Turski W.
 Tuski.
 Twardzicka, w Warszawie.
 Twardzicki Seweryn.
 Twarowski Mieczysław.
 Tworkowska Ewelina.

Tymieniecki Władysław.
 Tyński A., ze Świsłoczy.
 Tyński Antoni, dr.
 Tyński.
 Tyński, z Pilicy.
 Tyński Jan.
 Tyński Teodor.
 Tymowski.
 Tymowski Ernest.
 Tyrawska Zofia.
 Tyszkiewicz Ernestyna, hr.
 Tyszkiewicz Katarzyna, hr.
 Tyszkiewicz.
 Tyszkowski Wincenty.
 Tyszyński A.
 Tyszyński Alexander.
 Udercki Wojciech.
 Ujazdowski Karol.
 Ulanowski, ks.
 Ulrich Emilia.
 Unierzycka Władysława.
 Urbanowicz Witold, dr.
 Urbńska Antonina.
 Urbński Leon.
 Urzędniczy Zarząd Dóbr Nieśwież-
 skich, z Nieświeża.
 Wacowski Michał.
 Wacowski Stanisław.
 Wagner Jan.
 Wagner Leonard.
 Wagner Stanisław.
 Wakar Łukasz.
 Walewska Józefa.
 Walewska, z Kalisza.
 Walewski Faustyn.
 Walewski Wincenty.
 Walewski Władysław.
 Walewski Władysław.
 Waligórski.
 Waligórski Teofil.
 Walunas Kazimierz, ks.
 Wangrad Henryk.
 Waniorski Konstanty.
 Wańkiewicz Zygmunt.
 Warehałowski, z Kazania.
 Wardziński, z Petersburga.
 Warsabo Płaton.
 Wasiewicz Józef.
 Wasilezenko Ludmiła.
 Wasilewski Antoni.
 Wasilewski Franciszek, ks.
 Wasilewski Henryk.
 Wasilewski Ignacy.
 Wasilewski Kazimierz.
 Wasilkowska Paulina.
 Wasiński Józef.
 Wassowska Helena.
 Waskiewicz Emilia.
 Wawelberg Hipolit.
 Wawrowski, prezes.
 Wawrzyniecki, w Warszawie.
 Wazgird Pelagia.
 Wasowicz, z Talicy gub. Permska.
 Wątrubski. egz. 2.
 W. B.
 Wdowikowski, dr.
 Wejtko Antoni.
 Wellamin-Rutski Tomasz.
 Wereszczako Marya.
 Wereszczynski Piotr.
 Werner Antoni.
 Werner Edward.

Werner Tomasz.
 Wernicki Wacław.
 Werpachowski Antoni.
 Wertheim Piotr.
 Wesolowski.
 Wetzlich Alexander.
 Wetzlich Maxymilian.
 Węclawowicz Adam.
 Węclawowicz Henryk.
 Węclawowiczowa K.
 Węgrzynowski Karol.
 Weżyk, z Kalisza.
 Wiciejewski, dr.
 Wiczorkowski Józef.
 Wichorski Michał, hr.
 Wielicki Jan.
 Wielogórski T. A.
 Wierciński, ks.
 Wiernik Jochim.
 Wierpsza Br.
 Wierpsza, dr.
 Wierzbicki Edward.
 Wierzbicki Karol.
 Wierzbicki Romuald.
 Wierzbicki Stanisław.
 Wierzbowicz Józef.
 Wierzbowski Erazm.
 Wierzbowski Jan.
 Wierzbowski Wilhelm.
 Wierzeblewski.
 Wietrzykowski Wiktor.
 Wiewiorowski Felix.
 Więckowski T.
 Wigura Ewelina.
 Wigurski Marek.
 Wiktor Józef, ks.
 Wilezowski Bolesław.
 Wilezowski, marszałek. egz. 2.
 Wilezowski, dr.
 Wilezyński Andrzej.
 Wilezyński Bronisław.
 Wilezyński Julian.
 Wilezyński Roman, ks.
 Wilezyński Władysław.
 Wilezyński, w Warszawie.
 Wilga Władysław.
 Wiliński Teofil.
 Wilkowski Józef.
 William, dr.
 Wilski Ignacy.
 Winhor Paulina.
 Winiarz Adolf.
 Winkler Wilhelm.
 Wiśniakowski Józef.
 Wiśniewski Kazimierz.
 Wiszniewski Alexy.
 Wiszniewski Konrad.
 Witunowski.
 Witkiewicz Ignacy.
 Witkowska, z Krakowa.
 Witkowski Dionizy.
 Witkowski Edward.
 Witkowski Edward.
 Witkowski Kazimierz.
 Witkowski, z Łomży.
 Witkowski Robert.
 Witkowski Tomasz.
 Witkowski Tomasz, dr.
 Witowski Emil.
 Wittig Daniel.
 Wittig Michalina.
 Wizbek Alexander.
 Wizbek Henryk.
 Włoczek Tadeusz.

Włoczkowski Józefat.
 Włodek Józef.
 Włodek Władysław.
 Wnukowski Lucyan, egz. 2.
 Wodzińska Konstancja.
 Wodziński.
 Wohl Henryk.
 Wojciechowska Kamilla.
 Wojciechowski Bronisław.
 Wojciechowski Jan.
 Wojciechowski Lucyan, ks.
 Wojdaek Józef.
 Wojewódzki Alexander.
 Wojewódzki Emilian.
 Wojewódzki Justyn.
 Wojnicz, z Zagorzyńska.
 Wojniłowicz Lucyan.
 Wojtkiewicz Jan.
 Wojtkiewicz, ks.
 Wojtkiewicz Stanisław.
 Wojtkiewicz Zofia.
 Wojtkowska Marya.
 Wojtowska Paulina.
 Wołański Rajnold.
 Wolff Aniela.
 Wolff Marya.
 Wolff Stefania.
 Wolfke Wincenty.
 Wolle, z Kalisza.
 Wolner Małgorzata.
 Wolska Florentyna.
 Wolski Felix.
 Wolski Kazimierz.
 Wolski K. K., dr.
 Wolski Michał.
 Wolski Stanisław.
 Wollowicz, egz. 2.
 Wołodźko Kazimierz.
 Wołoszynowski Oktawian.
 Wołowski Filip.
 Woroniecki Ferdynand.
 Wosiński Leon.
 Woyciechowski Władysław.
 Woyde, z Zabładowia.
 Woźniakowski Alexander.
 Woźniakowski Józef.
 Wretowski Dominik Emilian.
 Wrońska Justyna.
 Wroński Julian.
 Wrotnowski Antoni.
 Wróbel Józef.
 Wróblewski Józef.
 Wróblewski Kajetan, dr.
 Wróblewski Konstanty.
 Wróblewski, w Warszawie.
 Wrzesztor Konrad.
 Wścieklica.
 Wszelaki Jan.
 Wydzga Mikołaj, ks.
 Wykowski Józef.
 Wyleżyńska Franciszka.
 Wyleżyński Bronisław.
 Wyleżyński Tadeusz.
 Wyrwa-Wyrwalski.
 Wyrzykowska Jadwiga.
 Wysocka Antonina.
 Wysocka, ze Świsłoczy.
 Wysłouch Konstanty.
 Wysłouch Ludwik.
 Wysocki A.
 Wysocki Fryderyk.
 Wyszomirski Franciszek.
 Wywialkowski Marjan.
 Wywiórkowski Grzegorz.

Wzdulski Konstanty.

Zabiello Kazimierz.

Zabiello Szymon, hr.

Zabiello Wiktorya Cezaryna.

Zablocki.

Zablocki Franciszek.

Zaborowski.

Zaborowski Jerzy.

Zacharkiewiczowa, senatorowa.

Zachertowa, baronowa.

Zadanowski Franciszek.

Zagajewski Kazimierz.

Zagórski Alojzy.

Zahorowski Wilhelm, dr.

Zahorski Justynian.

Zahorski Justynian.

Zajadlewski Wiktor.

Zajęzkowski.

Zajęzkowski Józef.

Zajdler Władysław.

Zakrzewska Lucyna.

Zaleski Alexander, dr.

Zaleski Antoni.

Zaleski B.

Zaleski Bolesław.

Zaleski Kazimierz.

Zaleski Ludwik.

Zaleski Tadeusz.

Zaleski, z Pułtusa.

Zaleski Zygmunt.

Zaleska J. M.

Zalewski Jan, ks.

Zalewski Stanisław.

Zalewski Witold.

Zaluski Władysław.

Zamajski Ryszard.

Zamojski Lucyan, egz. 2.

Zamojski August, hr.

Zanietowski Józef.

Zapasznik Karol.

Zarakowski Wincenty.

Zaraneek Piotr.

Zaremba.

Zaremba Bolesław.

Zaremba Roman.

Zarembka Emilia.

Zareba Anzeim.

Zareba Witold.

Zarebska Emilia.

Zarzecki Jan.

Zasacki Józef.

Zaszczyński Michał.

Zatkaliak Leon.

Zawadzka Anna.

Zawadzki Brunon.

Zawadzki Daniel.

Zawadzki, dr.

Zawadzki Ignacy.

Zawadzki Józef,

egz. 160.

Zawadzki Michał.

Zawadzki Stanisław.

Zawadzki Tomasz,

egz. 2.

Zawisza Alexander.

Zawisza Marya.

Zawrocka Marya.

Zbiegniewska.

Zbijewska Tekla.

Zborowski Xawery.

Zborowski, w Chorzelach.

Zbroziński Łukasz.

Zdanowicz Paweł, dr.

Zdański Józef Ignacy, dr.

Zdrojewski Alexander.

Zdziarski, z Plocka.

Zdziechowska H.

Zdzitowiecki Aurelian.

Zeidler Izabella.

Zeithelm Jadwiga.

Zeitneker E., z Orenburga.

Zelichowski Michał.

Zejdel Edward.

Zejdler, z Wilna.

Zembrzusi, z Łomży.

Zembrzusi, z Moniak.

Zeytz.

Zgłeczewski, z Kalisza.

Zgliczyński H.

„Zgoda“ Stow. w Plocku, egz. 6.

Ziegler Aniel.

Zieleniewski Józef.

Zieleniewski Kazimierz.

Zieleniewski Piotr.

Zieleniewski, w Odessie.

Zieleniewski W.

Zieliński Antoni.

Zieliński August.

Zieliński Eugeniusz.

Zieliński Ignacy, ks.

Zieliński J.

Zieliński Józef.

Zieliński Józef.

Zieliński K.

Zieliński Wł. K.

Ziemborowski Apolinary.

Ziemiańska Marya.

Ziemińska Jadwiga.

Ziemoński Jan Nepom.

Zienkiewicz Zytisława-Wiktoria.

Zienkowski Władysław.

Ziętkiewicz Walenty, ks.

Zimmermann.

Zimodro, dr.

Złowodzki Nestor.

Znamierowski Bolesław.

Znatowicz Bronisław.

Znatowicz Edmund.

Znierzyński, ks.

Zorewicz Franciszek.

Zubryś T., ks.

Zucker, z Radomia,

egz. 2.

Zubkowiec, z Kijowa.

Zweigbaum Maksymilian.

Zwierzyński Salezy, ks.

Zwinogrodzki Władysław.

Zwoliński Brunon.

Żabczyński Józef.

Żaboklicki Antoni, dr.

Żabokrzycki Julian.

Żarnowski Ignacy.

Żbikowski Albin,

egz. 2.

Żebrowski Bohdan.

Żebrowski Julian.

Żera, dr.

Żerański.

Żochowska Bogumila.

Żochowski Kajetan.

Żomojtel Zofia.

Żoltyński Daniel.

Żórowska, z Szczukocina.

Żubrzycki, z Wilkowa.

Żuk, dr. z Kijowa.

Żuk Edward.

Żukotyński Felix.

Żukowska Joanna.

Żukowski Antoni.

Żukowski Józef,

egz. 3.

Żukowski Józef.

Żukowski Józef.

Żukowski Napoleon.

Żupański J. K.,

egz. 36.

Żurakowski Alexander.

Żurakowski Henryk.

Żurawlewicz Mikołaj.

Żórawski Mareyan.

Żurawski Wawrzyniec.

Żurkowska Joanna.

Żurkowski G.

Życki Józef.

Żyguś Emilia.

Żylińska Kamilla.

Żyliński, z Maryampola.

Żyliński Ludwik.

Żywiecki Władysław, dr.

Żyznowski Hipolit.

Uzupełnienie Listy Prenumeratorów Książki Jubileuszowej.

Altenberg Herman.

Anders Ludwik, dr.

Assendi.

Augustynowicz.

Baczyński Franciszek.

Bajkowski Alexander.

Baraniecki Maryan.

Baranowski, dr.

Baranowski Teodor.

Benzemer, dr.

Bergoni Stanisław.

Bergson Szmil.

Benth Emilia.

Beynar Teobald.

Bezruhly Fabian.

Białocka Konstancja.

Białosuknia Stanisław.

Biblioteka XX. Czarotoryskich.

Bielski Stanisław.

Biernawski Julian.

Birenzweig Bernard.

Biron Cecylia.

Birski Fr.

Błaszczykiewicz Antoni.

Boczkowski J.

Bogusławska Aniela.

Bojańczyk K.
 Bojarska.
 Bokalski Maxymilian.
 Bondzewicz Alexander.
 Boufal Zofia.
 Borkowski Tadeusz.
 Braun Jan.
 Brodowski Józef.
 Bronirska Karolina, hr.
 Brykezyński, ks.
 Brylewicz Matylda.
 Buchowiecki Władysław.
 Buczeli Lucyna.
 Burba Antoni, ks.
 Burhardt Stanisław.
 Bukowski, z Łomży.
 Burzyński Adam.
 Bykowski Karol Jaxa.
 Byszewska.
 Bzura Kajetan.
 Canenko Andrzej.
 Cehak Ferdynand.
 Celińska Marya.
 Cepryńska-Ciekawa Kornelia.
 Chalubiński, dr.
 Chamski, z Męczeńska.
 Chelmiecki Ignacy.
 Chmielewski Alexander.
 Chocianowska Kornelia.
 Chodecka Leokadya.
 Chodorowicz Ignacy.
 Chojnowski Józef. egz. 2.
 Ciechomski Henryk.
 Cielecki Maxymilian.
 Ciolkowski Władysław.
 Cohn Maxymilian.
 Cukroski Józef.
 Czarnocki Jan.
 Czartoryska Marya.
 Czempński Ignacy.
 Czepielński Florian.
 Czerkawski Adolf.
 Czerniejewski Alexander, dr.
 Czerwiński Kazimierz.
 Czosnowski, z Wolińska.
 Czumańska, z Łodzi.
 Czykirski, z Ananiewa.
 Danillo Stanisław.
 Darcwska Kamilla.
 Darowski, z Tetyjowa.
 Dattynier.
 Dąbrowska.
 Dąbrowska, z Płocka.
 Dąbrowski Aureliusz.
 Dąbrowski Władysław.
 Dąbrowski Władysław, ks.
 Dąbrowski, z Płocka.
 Dernałowicz-Doria Ewa.
 Dobrzański Julian.
 Debiecki Gustaw.
 Dierżyński Felician, dr.
 Długoborski Marian.
 Dłużniakiewicz, z Gawłowa.
 Dmiszewicz Fabian.
 Dmochowski Franciszek.
 Doborzyński.
 Dobrowolska Julia.
 Dobrowolski Stanisław.
 Dowgiałło Julian.
 Drownowska Stefania.
 Dróżbacki Ignacy.
 Dunin-Rutyska Marya.

Dudziński Waleryan.
 Dworaczek Ignacy.
 Dybowska Olimpia.
 Dzieciolowski.
 Ehrenkreutz Władysław.
 Ehrlich Antoni.
 Eismann Władysław.
 Elzenberg Henryk.
 Fajans Ignacy, dr.
 Fiszer Bronisław.
 Flaum Mauryey.
 Florkowski Józef.
 Foland Bogumił.
 Frankowski Władysław, dr.
 Gabryelski, budowniczy.
 Gajkiewicz Władysław, dr.
 Garbolewski, z Czerwonki.
 Garbski, sędzia.
 Garsztecki.
 Gawiński Walery.
 Gąsecki Adolf.
 Gebethner i Sp. z Krakowa, egz. 3.
 Giejsztor Kazimierz Jakób.
 Giejsztor Kazimierz.
 Giejsztor Leokadya.
 Giejsztor Stanisław.
 Giejsztor Tadeusz.
 Gins Emanuel.
 Glücksberg Maxymilian.
 Goldbaum.
 Golebiowska Michalina.
 Goniński Jan.
 Giegużyński August.
 Goldstein Samuel.
 Golembowski Jan.
 Gordzialska Eleonora.
 Grabianczyzna Honorata, hr.
 Grabianka-Leszczyc Andrzej.
 Grabowski Andrzej.
 Grabowski Gerwazy.
 Grabski Erazm.
 Gradowski Józef.
 Grajewski, ks.
 Gralewski, ze Szpeca.
 Gregorowicz Jan Kanty.
 Grobiecki Alexander.
 Groser.
 Grosman Ewelina.
 Grossglicz Israel Leon.
 Gruniewicz Czesław.
 Grzybowski Józef.
 Gurski, sędzia.
 Gustowski, z Konina.
 Hajmann Simon.
 Hałatkiewicz Lucyan.
 Hamuliński, z Krakowa.
 Harusewicz Adam, egz. 2.
 Heinrich B.
 Hemerling Henryk.
 Hermaniński.
 Hilanowski Józef.
 Hirschfeld Bolesław.
 Hirszel Franciszek.
 Hopfenblum Maxymilian.
 Horodecka Ninfa.
 Hoszowski Kajetan.
 Hosiak Ferdynand.
 Horodecka Ninfa.
 Hrubant Xawery.
 Hryniewicz Kamilla.

Hubert Henryk.
 Huk Helena.
 Ittakiewicz Ignacy.
 Iżycki Julian.
 Jabłonowska.
 Jabłonowska Wanda, X-żna.
 Jacewski Adolf.
 Jakubowski Fr., egz. 2.
 Jakubowski Jan.
 Jankowski Wincenty.
 Jankowski Władysław, ks.
 Januszewski Błażej.
 Jaraczewski Zygmunt.
 Jarnutowski Adam, ks.
 Jasińska Genowefa.
 Jastrzebski J. A.
 Jawitz J.
 Jeleniowie, bracia, egz. 3.
 Jelowiecki Adolf.
 Jeżewski R.
 Jędrzejewicz Felix.
 Jodłowski Franciszek.
 Jork Wilhelm.
 Jork, z Piotrkowa.
 Józefowicz Michał.
 Kaczkowska Ludwika.
 Kaczorowski Saturnin.
 Kahl Emil Kwiryn.
 Kajsiewicz Gustaw.
 Kajzer Wiktor.
 Kamiński Władysław.
 Kamocki Antoni.
 Kamocki Kazimierz.
 Kantor Adolf.
 Kantor Emanuel.
 Kański, prof.
 Karłowski A.
 Karpiński Felician.
 Karpowicz Adam.
 Katyl Józef, ks. egz. 2.
 Kaun Jan.
 Kączkowski Józef.
 Kempniński Felician.
 Kopernicki Walery.
 Kielpsz Stefan.
 Kikutowicz Anastazy.
 Kirsztajn.
 Kleszczewska.
 Kleszczewski Franciszek.
 Klimowicz Władysław.
 Klink Edward, dr.
 Klink Natalia.
 Kłuczewski Erazm, ks.
 Knothe Ferdynand, dr.
 Knobel Józef.
 Kobyliński Adolf.
 Kociejowski Leopold.
 Kohn Szymon.
 Kolodziejski, ks. kanonik.
 Kolyszko Alina.
 Konopacki Hilary.
 Konopacki, regent.
 Kopernicki, dr.
 Kopytowski Kazimierz.
 Korsak, z Siedlee.
 Korsak Stefania.
 Korzeniowska L.
 Korzybski Stanisław.
 Kościński, z Pyzdr.
 Kosiński, ks.
 Kosmowski Adam.
 Kowalewski, z Szak.

- Kowalewski, dr.
 Kowalska Eleonora.
 Kozicki Edward.
 Koziebrodzki Władysław, hr.
 Kozłowski Leon.
 Krasuski Adam.
 Kramsztyk Zygmunt, dr.
 Kraszewski Kajetan.
 Królikowski, ks.
 Krydel Michał.
 Krynicki Wojciech.
 Krzymuski Marcin Falborz,
 Krzywicka.
 Krzyżanowski S. A., egz. 4.
 Kszobel Józef.
 Kuczański Władysław.
 Kudorowska Leokadya.
 Kuksz Bronisław.
 Kuksz Józef.
 Kuksz Kazimierz.
 Kuksz Stanisław.
 Kulikowski Józef.
 Kumanowska Zofia.
 Kunkel Robert.
 Kuroski Józef.
 Kurowski Konrad.
 Kurnatowski Lucyan.
 Kwasięborski Franciszek, egz. 2.
 Kwiatkowska Stefania.
 Kwiatużyński Władysław.

 Lampe Henryk.
 Lati Alexy.
 Langer Franciszek.
 Laskowski Klemens.
 Lebor i Stanisław.
 Legotke Ferdynand.
 Leitgeber i Sp.
 Lewgowse Romuald.
 Lewental Salomon.
 Libelt Wilhelm.
 Linde ze Swisłoczy.
 Littich Walerya.
 Lewestam Gustaw.
 Lubińska Marya.

 Łabęcki Hipolit.
 Łapuszański Emil.
 Łaszczyński, w Czartkach.
 Łatkiewicz Ludwik.
 Ławrowicz Felix.
 Łempicki, z Leszczyna.
 Łempicki, z Leszczyna.
 Łopaciński M.
 Łowieniecki Wincenty.
 Łuszczyński Romuald.
 Łyszczyński Michał, egz. 2.
 Łyżniewski Seweryn.

 Maciejewski Ludwik.
 Majewski Izidor.
 Majewski Izidor.
 Majewski Stanisław, egz. 3.
 Makarewicz Kazimiera.
 Maklanowicz Bronisław.
 Makowiecki Fryderyk.
 Malik K., egz. 5.
 Małachowski X.
 Małenżyński Witold.
 Małtarzewski Kazimierz.
 Małuchowski Alexander.
 Manugiewicz Józef.
 Mauzin L.
 Mańkiewicz, ks. przeor.

 Mańkowski Wacław.
 Marski Ignacy.
 Matwiejczko.
 Mazurkiewicz Zdzisław, dr.
 Mazurkiewicz Józef.
 Meyersohn Malwina.
 Meyer Leopold.
 Mękowski Ignacy.
 Mianowska.
 Mianowski Nawery, dr.
 Mięczyński Stanisław.
 Michalski.
 Michalowski Henryk.
 Michel M.
 Michelis, inżynier.
 Mickiewicz Marya.
 Migdałski.
 Milkowski Jan Apolinary.
 Młocki Jakób.
 Mnińska Joanna.
 Moczulski Julian.
 Modrzewski Franciszek.
 Modzelewski Michał.
 Moninszko Adolf.
 Monkiewicz, z Petersburga.
 Moraczewska Józefa.
 Morgenthaler Gustaw.
 Moro Placyd.
 Musielwicz Piotr.
 Müller W.

 Nagórski Józef.
 Niniewska Alexandra.
 Norkiewicz Józef.
 Noskowski Jan.
 Nowakowska Marya.
 Nowojewski Józef.

 Oborski Wacław.
 Obrycka Tekla.
 Ocetkiewicz M.
 Oczepowska Klementyna.
 Okęcka Wanda.
 Okoński J. J.
 Oledzka Marya.
 Orłowski, z Płocka.
 Orzeszkowa Eliza.
 Orzeszkowa E. i Sp., egz. 20.
 Ostromecki Michał.
 Ostroróg Władysław, hr.
 Otto Władysław.
 Otto Władysław.
 Ożarowski Stanisław, egz. 2.

 Pacewicz Augustyn.
 Pacewicz Jerzy, dr.
 Pacewicz M., z Piotrkowa.
 Paskucki Franciszek.
 Paszkowski Włodzimierz.
 Paszkowski, z Włocławka.
 Pawelkiewicz Józef.
 Pawłowski Adam.
 Pawłowski, dr.
 Peltyń J. H.
 Pelka, z Turka.
 Penszke Jan.
 Piasecka Marya.
 Pickarski Józef.
 Pickarski Teodozy Justyn.
 Pielecki Władysław.
 Pietka Władysław.
 Pinczewska Augusta.
 Piotrowska Marya, egz. 3.
 Piotrowski Kajetan.

 Pióro Adam.
 Pisanecki Jan.
 Pivoni Jan.
 Planet Herman, egz. 2.
 Plewiński Ignacy.
 Plocer Julian.
 Płodowski Alexander.
 Plotnicki Michał.
 Podezaski Karol.
 Poleski Fr.
 Poller Józef.
 Popiel Ignacy.
 Potocka Marya, hr.
 Pożniak A.
 Pronaszko.
 Proszewska Albina.
 Protasewicz Marya.
 Prószynski K., egz. 3.
 Pruchnicki Teodor.
 Pruszyński Gustaw.
 Przestrzelski F.
 Przyjemski Konstanty.
 Pstrokański Felix.
 Puchalska Wanda.
 Puchalski Jan.
 Putiato Paulina.

 Rabik, z Siedlec.
 Raczkowski Franciszek, egz. 2.
 Raczynski Edward.
 Radoliński Teofil.
 Radomyski Jan, ks.
 Radońska.
 Radziejowski, ze Swisłoczy.
 Radziński Augustyn, ks.
 Rafalski Walenty.
 Rawa Stanisław.
 Reklewski.
 Reutlowie Ludwika i Wincenty.
 Rieth Alexander.
 Robitschek Maurycy.
 Ronthaler Klemens.
 Roszkowski Józef.
 Rotwand Michał.
 Rozdoba Ignacy.
 Różycki Franciszek.
 Rudnicki Edward.
 Rudnicki Seweryn.
 Rulikowski Wincenty.
 Rumbowicz Bronisław.
 Rumbowicz Henryk.
 Rutkowski.
 Rychłowski Władysław.
 Ryndyk Jakób.
 Rzeszotarski Antoni.
 Rzeszotowski Antoni.

 Saliński, w Górach.
 Satalecki Adolf.
 Sawicki Jan.
 Sądziński Wiktor.
 Schmidt Bolesław.
 Schrötter Ludwik.
 Schwartzschultz Robert.
 Sianożęcka Kamilla.
 Siemiaszko Władysław.
 Skibińska Ludwika.
 Skowrońska Marya.
 Skowrońska Marya.
 Skrobanski A.
 Sławęcka Marya.
 Słupecka Alexandra.
 Solarski, ks.
 Sobczyński Palemon.

Sobuki, z Radomia.
 Soenman, adwokat.
 Sporny, inżynier.
 Springer Fr.
 Stadnicki de Żmigroda Ignacy, hr.
 Stanisławski Ant.
 Stegmann Alexander.
 Stein August.
 Stepowska Jadwiga.
 Strasburger.
 Strumpf Gustaw, egz. 4.
 Stulgiński Leon.
 Stypulkowska Anna.
 Sułowski Jan.
 Suska Franciszka.
 Szamota Ignacy.
 Szamota Kazimierz.
 Szczepankiewicz Bronisław.
 Szerenkowski.
 Szroda, ks.
 Szule Albert.
 Szule Ambroży.
 Szuster Antoni.
 Szwedowski Antoni.
 Szymanowska Helena.
 Szymański Sylwester.
 Szyszkowski Stanisław, X.
 Świercanowski, technolog.

Tajlor Edm., ks.
 Taube Artur.
 Tłuchowski Franciszek.
 Tolłoczko Edward.
 Tomaszewski Gorgoniusz.
 Tomaszewski Michał, dr.

Treu Eugeniusz.
 Trzebiński Julian.
 Tuger.
 Turski Jan.

Unger Korneliusz.
 Urbański, ks. kanonik.

Wagner Tadeusz.
 Wapiński Ludwik.
 Wasiekowska, z Piotrkowa.
 Waszak Józef.
 Wawułyński Feliks.
 Werner Karol.
 Wesolowski Filip, dr.
 Węzyk A.
 Wierzbicki.
 Wierzeblewski Roman.
 Wierzchowski Maryan.
 Wienczycki Kazimierz.
 Wilczopolski Witold.
 Wilożyński.
 Wileczyński Józef.
 Winkler, z Wielunia.
 Wiszniewski Klemens.
 Włodkiewicz Konstanty.
 Wodzyńska Wanda.
 Wojciechowski Szczepan.
 Wolski.
 Woyde Alexander.
 Wrotnowski Szymon.
 Wiśtchube, z Konina.
 Wychowski, dr.
 Wyleżyński Józef.
 Wyrzykowski.

Zadarnowski Franciszek.
 Zagorski Józef.
 Zahorowski Robert.
 Zaleska Michalina.
 Zaleski Antoni Lubiec.
 Zaleski Jan.
 Zaleski Ludwik.
 Zaleski Marcin.
 Zalewski Kazimierz.
 Zamoyski Karol, hr.
 Zamoyska Konstantowa, hr.
 Zakrzewski Adam.
 Zapasiewicz Józef.
 Zaremba Józef.
 Zawadzka Michalina.
 Zawadzki Józef Bohdan.
 Zawadzki Stanisław.
 Zawkiewicz Antoni, ks.
 Ząbczyński Roman.
 Zdżarski A.
 Zelniker Nikodem.
 Zerański, dr.
 Zedzianowski Konrad.
 Zieleniewski Michał.
 Zieliński Józef.
 Zieliński, ks.
 Zmijewski Bolesław.
 Zych, ks.

Żukowski Ludwik.
 Żylińska Aniela.
 Żyliński Konstanty.
 Żyliński Wincenty.

Zamykając niniejszą listę prenumeratorów, redakeya czuje się w obowiązku uniewinnienia się wobec tych wszystkich, których nazwiska umieszczone zostały bez imion, lub też błędnie podane; nie mogła bowiem na to nie poradzić, odbierając w ten sposób ułożone ich spisy z rozmaitych księgarni lub kantorów pism peryodycznych. Osoby zaś, których nazwiska zupełnie pominięte zostały, niech to przypiszą albo opóźnieniu się swemu ze złożeniem przedpłaty, albo też tym, którzy ją we właściwej porze przyjąwszy, zaniechali nadesłać komitetowi redakeyjnemu wykazu imiennego przedpłaćcieli. W końcu powinniśmy uczynić tę jeszcze uwagę, że niektóre nazwiska spotykając dwukrotnie i trzykrotnie podane, a nie mając pewności, azali się one odnoszą do oddzielnych osób jednoimiennych, albo są tylko przypadkowym powtórzeniem tej samej, musieliśmy one drukować, chociaż bardzo być może, iż wcale niepotrzebnie zwiększyliśmy przez to listę niniejszą.

Redakeya „Książki Jubileuszowej“.

E R R A T A.

<i>Str.</i>	<i>szp.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
137	2	od dołu 8	rolni	— wolni
138	1	" " 17	także	— takie
143	1	" " 11	ten	— tém
146	1	od góry 17	walczącym	— wabiącym
—	2	" " 10	znamy	— znaczy
147	2	" " 6	czystej	— częściej
149	2	" " 18	porzeba	— potomek
151	2	od dołu 19	formalność	— rozmaitość
152	1	" " 24	bezczelność	— bezcelowość
153	1	od góry 7	duszę	— dumę
155	2	" " 15	Ostapem	— Hryciem
156	1	od dołu 16	skarbowych	— skazkowych
158	1	" " 9	bożą	— lwią
162	2	od dołu 5	ono	— owo
163	2	od góry 17	to	— tu
—	2	od dołu 19	wpół-potężnym	— wszechpotężnym
164	1	od góry 18	prorokowane	— prowokowane
—	2	od dołu 22	starożytniej	— strasznej
169	2	" " 20	wprowadza	— wprowadza nas
175	1	od góry 7	jego jurisconsulti	— ale jego jurisconsulti
176	1	" g. 1 i 2	małżeństwa	— małżonków
181	1	od dołu 23	Kutą	— Rutą
183	1	od g. 17 i 18	ed. Leunel	— ed. Leunclavii
215	1	od góry 14	opuścić: już	
216	1	od góry 8	przedstawia	— przedstawia
217	1	" " 4	dyamenty	— dyadematy
—		" " 14	poszturchiwał	— poszturchnął
—		" " 32	rozerwało	— rozciągnęło
—		" " 40	żał	— żał
218	2	" " 1	powiedział	— powiadał
219	1	" " 33	razie	— razić
220	1	od dołu 1	ceci	— pleci
—	2	od góry 5	ciągle	— ciągle
221	2	" " 4	skrupulatną	— skrupulatkę
—		" " 5	za czasów	— za Cezarów
222	1	" " 22	na czas	— na czezo
—	2	" " 23	małe	— mdłe
—		" " 28	nie wyjmuję	— nie wyjmując
223		" " 6	pracował	— spacerował
—		" " 5	czarownych	— na Szulcu
224		" " 28	delficką, gustu	— delficką gustu
226	1	" " 5	krój	— kraj
228	2	od dołu 11	nie rozumiejąc	— nie rozumując
—		od dołu 1	w ogrodach	— o ogrodach
229	2	od góry 4	charakterystyka	— charekteryстыki
—		" " 5	dobiera	— dobiera

Str.	szp.	wers.	zamiasł	czytaj
229		od góry 6	kuźni	— kuźnią
—		od dołu 21	i ku	— Ku
—		„ „ 19	teścię	— teściową
230	1	„ „ 19	order	— o order
231	2	od góry 5	nim: anioł	— nim i anioł
—		„ „ 11	„Pierwsze wrażenie	— „Pierwszy odcisk
—		„ „ 12	odniosło	— odniósł
—	1	od dołu 6	kobiety	— kokiety
233	1	od góry 7	wyzyskiwaniu	— wyzyskaniu
—		„ „ 28	jéj	— ją
—	2	od góry 25	po wyrazie: pozbawioną,	dodać: lajdaczką
235	1	„ „ 21	tęgo	— to go
—	2	„ „ 9	województwy	— wojewodziejowej
236	1	„ „ 3	„Kończy	— „Skończy
—	2	„ „ 16	uwagi	— „agi
—		„ „ 8	szturmu	— szumu
240	2	„ „ 2	wyjdiesz	— nietylko
—			nie	— nawet
242	1	„ „ 3	człowiek czynny?	— z człowieka czynnego?
242	2	od dołu 12	tacy	— ci
243	1	„ „ 7	poranny	— parady
244	2	„ „ 2	wieku	— wielu
245	2	od góry 7	bezczelnego	— bezbrzeżnego
—		„ „ 14	wiedzieć	— widzieć
—		od dołu 19	robacze	— robacze
246	1	od góry 14	dzieci	— dzieł
246	1	od dołu 5	po: za śmiałych, dodać: nie	odrzućono z pogardą. Ni- gdzie podobno nie było i t. d.
246	2	od dołu 13	przyszły	— przeszły
247	2	od góry 18	bowiem	— prawie
—		„ „ 9	wspólnego	— ogólnego
277	2	od góry 4	dziesięciu	— pięćdziesięciu
—	2	od dołu 9	jego w	— w jego
279	2	od góry 26	najwyższe	— najwyższe
—	2	od dołu 21	rodzaju	— rozwoju
291	2	od góry 29	arystokratycznego	— autokratycznego
293	2	„ „ 20	redaktora	— redaktorki
294	2	od dołu 1	różnicach	— różniach
297	2	od góry 29	wstępu	— wstętu
298	1	„ „ 26	naciągającą	— naciągając
299	2	od dołu 10	219 — 424	— 219. 424
301	1	od góry 12	jakbyśmy	— jakieśmy
303	2	„ „ 21	wyłamuje	— wyłamując
304	1	od dołu 24	całej	— kosztem
310	1	„ „ 10	zmysłu	— umysłu
312	2	„ „ 9	jego idealizmu	— jego od idealizmu
315	1	od góry 29	rozwoju i idealizmu	— rozwoju idealizmu
316	1	„ „ 8	niezrozumianego	— niezrozumiany
323	1	od dołu 3	i	— z
324	1	od góry 12	powód	— dowód
326	2	od dołu 8	pracy, urzeczywistnione	— pracy urzeczywistnia
344	1	od góry 20	zasila	— zasilał
347	2	„ „ 54	l. Poczysa	— X Poczysa [wienia się
348	2	„ „ 35	Wprawdzie w chwili	— Wprawdzie w chwili popa-
348	2	od góry 49	matomiczno	— anatomiczno
351	1	„ „ 39	w Podstolicu	— w Podstolim
351	2	„ „ 45	dodając	— dając
354	2	„ „ 25	sumienne	— znacznie

<i>Nr.</i>	<i>szp.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamianst</i>	<i>czytaj</i>
354	2	" " 26	wartości historycznej	— wartości historycznej ro-
360	2	" " 8	bywa	— była [mansów
363	2	" " 38	postępowania	— postępowych
364	2	" " 44	kierowników	— kierownikiem
365	1	" " 36	nad arcydziełem	— nad arcydziełami
365	1	" " 47	przyjmuje	— przyznaje
366	1	" " 49	r. 1836	— r. 1838
367	2	" " 37	spadnięciu	— opadnięciu
370	2	" " 33	roty	— rody
377	2	" " 54	w XVII stuleciu	— w XIII stuleciu
378	1	" " 14	do niej	— do niego
384	1	" " 51	wyznaje	— uznaje
378	2	" " 53	jego	— jej
395	1	" " 33	Kraszewski	— Krasicki
395	2	" " 6	na niego	— na kraj
397	2	" " 3	w Litwie	— w Lublinie
408	2	" " 27	wieków	— wieków średnich
413	1	" " 31	widzimy dużo	— widzimy dużo, za dużo na-
413	2	" " 33	zmierziwszy	— zwiedziwszy [wet
414	1	od dołu 12	epoce	— opoce
416	1	" " 6	powolny	— powabny
420	2	" " 33	połskich	— poleskich
420	2	" " 53	wo-gospodarz	— neo-gospodarz
421	1	" " 27	łyżkami	— łyżkami
421	1	" " 10	naśmiewana	— wyśmiewana
466	2	od góry 8	ożywionej	— ożywczej
467	1	od doła 20	w dyplomatycznym	— i o dyplomatycznym
468	1	od góry 22	gdy mu	— gdy im
469	1	od góry 17	starostwom i podsta- (rostwom	— starostom i podstarostom
469	1	od dołu 12	podpisane	— powołane
470	1	od dołu 17	za granicę Rossyi,	— za granicę do Rossyi,

**PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET**

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

PG
7158
K75Z73
1880
C.1
ROBA

2
21/11/86

